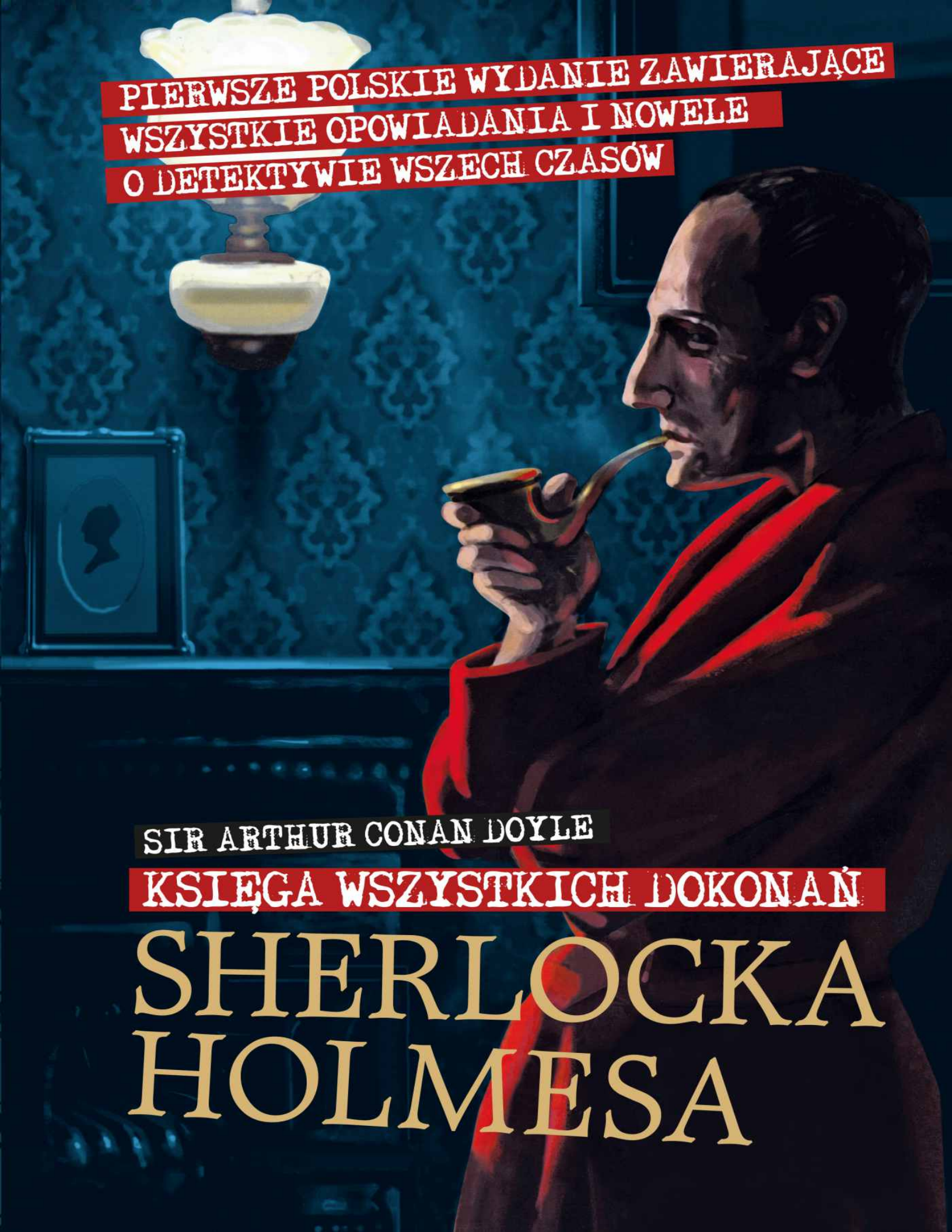

PIERWSZE POLSKIE WYDANIE ZAWIERAJĄCE
WSZYSTKIE OPOWIADANIA I NOWELE
O DETEKTYWIE WSZECH CZASÓW

SIR ARTHUR CONAN DOYLE

KSIĘGA WSZYSTKICH DOKONAŃ

SHERLOCKA HOLMESA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

SIR ARTHUR CONAN DOYLE

KSIĘGA WSZYSTKICH DOKONAŃ

SHERLOCKA HOLMESA

* Studium w szkarłacie * Znak czterech *
* Przygody Sherlocka Holmesa * Dzienniki Sherlocka Holmesa *
* Powrót Sherlocka Holmesa * Pies Baskerville'ów * Dolina strachu *
* Księga przypadków Sherlocka Holmesa * Ostatni ukłon *

Przełożyli z angielskiego:
* Anna Krochmal & Robert Kędzierski * Marta Domagalska * Zofia Wawrzyniak *

REA-SJ

Ilustracja na okładce:
Mark Mechan za zgodą Geddes & Grosset

Przełożyli z języka angielskiego:
Anna Krochmal, Robert Kędzierski:
Studium w szkarłacie (A Study in Scarlet), Znak czterech (The Sign of Four), Dzienniki Sherlocka Holmesa (Memoirs of Sherlock Holmes), Pies Baskerville'ów (The Hound of the Baskervilles), Dolina strachu (The Valley of Fear), Ostatni ukłon (His Last Bow)

Marta Domagalska:
Przygody Sherlocka Holmesa (The Adventure of Sherlock Holmes), Powrót Sherlocka Holmesa (The Return of Sherlock Holmes)

Zofia Wawrzyniak:
Księga przypadków Sherlocka Holmesa (The Case Book of Sherlock Holmes)

Redakcja:
NENYA Julia Celer dla Studio Wydawnicze 69, Olsztyn

Opracowanie typograficzne i projekt okładki:
Studio Gravite, Olsztyn

© Wydawnictwo REA, 2011
Wydanie trzecie, Warszawa 2016

ISBN 978-83-7993-243-6

Wydawnictwo REA-SJ Sp. z o.o.
Dział Handlowy
ul. Kościuszki 21, 05-510 Konstancin-Jeziorna
tel. 22 631 94 23; fax 22 632 21 15
e-mail: handlowy@rea-sj.pl
www.rea-sj.pl

Skład i łamanie wersji drukowanej: Studio Wydawnicze 69, Olsztyn
Druk i oprawa: Olsztyńskie Zakłady Graficzne, OZGraf SA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Każda reprodukcja, adaptacja całości lub części niniejszej publikacji, kopiowanie do bazy danych, zapis elektroniczny, mechaniczny, fotograficzny, dźwiękowy lub inny wymaga pisemnej zgody Wydawcy i właściciela praw autorskich.

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański
virtualo
konwersja.virtualo.pl

SPIS TREŚCI

STUDIUM W SZKARŁACIE

Część pierwsza
ZE WSPOMNIEŃ JOHNA H. WATSONA, BYŁEGO LEKARZA WOJSKOWEGO

Rozdział pierwszy
SHERLOCK HOLMES

Rozdział drugi
SZTUKA DEDUKCJI

Rozdział trzeci
TAJEMNICA LAURISTON GARDENS

Rozdział czwarty
CO MIAŁ DO POWIEDZENIA JOHN RANCE

Rozdział piąty
NASZE OGŁOSZENIE SPROWADZA GOŚCIA

Rozdział szósty
TOBIAS GREGSON POKAZUJE, NA CO GO STAĆ

Rozdział siódmy
ŚWIATŁO W CIEMNOŚCIACH

Część druga
KRAINA ŚWIĘTYCH

Rozdział pierwszy
NA WIELKICH SŁONYCH RÓWNINACH

Rozdział drugi
KWIAT UTAH

Rozdział trzeci
JOHN FERRIER ROZMAWIA Z PROROKIEM

Rozdział czwarty
UCIECZKA

Rozdział piąty
ANIOŁY ZEMSTY

Rozdział szósty
CIĄG DALSZY WSPOMNIEŃ DOKTORA WATSONA

Rozdział siódmy
ZAKOŃCZENIE

ZNAK CZTERECH

Rozdział pierwszy
SZTUKA DEDUKCJI

Rozdział drugi
PRZEDSTAWIENIE SPRAWY

Rozdział trzeci
W POSZUKIWANIU ROZWIĄZANIA

Rozdział czwarty
HISTORIA ŁYSEGO MĘŻCZYZNY

Rozdział piąty
TRAGEDIA W PONDICHERRY LODGE

Rozdział szósty
SHERLOCK HOLMES PRZEDSTAWIA SWOJĄ METODĘ

Rozdział siódmy
EPIZOD Z BECZKĄ

Rozdział ósmy
CHŁOPCY Z BAKER STREET

Rozdział dziewiąty
PRZERWANY ŁAŃCUCH

Rozdział dziesiąty
ŚMIERĆ NA RZECE

Rozdział jedenasty
WIELKI SKARB Z AGRY

Rozdział dwunasty
DZIWNA HISTORIA JONATHANA SMALLA

PRZYGODY SHERLOCKA HOLMESA

Opowieść pierwsza
SKANDAL W BOHEMII

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Opowieść druga
LIGA RUDZIELCÓW

Opowieść trzecia
SPRAWA TOŻSAMOŚCI

Opowieść czwarta
TAJEMNICA BOSCOMBE VALLEY

Opowieść piąta
PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY

Opowieść szósta
KRZYWOUSTY

Opowieść siódma
BŁĘKITNY RUBIN

Opowieść ósma
WZORZYSTA WSTĘGA

Opowieść dziewiąta
KCIUK INŻYNIERA

Opowieść dziesiąta
SZLACHETNY KAWALER

Opowieść jedenasta
BERYLOWY DIADEM

Opowieść dwunasta
BUCZYNA

DZIENNIKI SHERLOCKA HOLMESA

Rozdział pierwszy
SREBRNA GWIAZDA

Rozdział drugi
ŻÓŁTA TWARZ

Rozdział trzeci
PRACOWNIK BIURA MAKLERSKIEGO

Rozdział czwarty

Rozdział piąty
RYTUAŁ MUSGRAVE'ÓW

Rozdział szósty
ZAGADKA Z REIGATE

Rozdział siódmy
GARBUS

Rozdział ósmy
STAŁY PACJENT

Rozdział dziewiąty
GRECKI TŁUMACZ

Rozdział dziesiąty
TRAKTAT MORSKI

Rozdział jedenasty
OSTATNIA ZAGADKA

POWRÓT SHERLOCKA HOLMESA

Opowieść pierwsza
PUSTY DOM

Opowieść druga
PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY Z NORWOOD

Opowieść trzecia
TAŃCZĄCE SYLWETKI

Opowieść czwarta
SAMOTNA CYKLISTKA

Opowieść piąta
SZKOŁA KLASZTORNA

Opowieść szósta
CZARNY PIOTR

Opowieść siódma
CHARLES AUGUSTUS MILVERTON

Opowieść ósma
SZEŚĆ POPIERSI NAPOLEONA

Opowieść dziewiąta
TRZEJ STUDENCI

Opowieść dziesiąta
ZŁOTE BINOKLE

Opowieść jedenasta
ZAGINIONY SKRZYDŁOWY

Opowieść dwunasta
ABBEY GRANGE

Opowieść trzynasta
DRUGA PLAMA

PIES BASKERVILLE’ÓW

Rozdział pierwszy
SHERLOCK HOLMES

Rozdział drugi
KLĄTWA BASKERVILLE'ÓW

Rozdział trzeci
PROBLEM

Rozdział czwarty
SIR HENRY BASKERVILLE

Rozdział piąty
TRZY PRZERWANE WĄTKI

Rozdział szósty
REZYDENCJA BASKERVILLE'ÓW

Rozdział siódmy
STAPLETONOWIE Z MERRIPIT HOUSE

Rozdział ósmy
PIERWSZY RAPORT DOKTORA WATSONA

Rozdział dziewiąty
DRUGI RAPORT DOKTORA WATSONA. ŚWIATŁO NA WRZOSOWISKU

Rozdział dziesiąty
FRAGMENT DZIENNIKA DOKTORA WATSONA

Rozdział jedenasty
MĘŻCZYZNA ZE WZGÓRZA

Rozdział dwunasty
ŚMIERĆ NA WRZOSOWISKU

Rozdział trzynasty
ZARZUCANIE SIECI

Rozdział czternasty
PIES BASKERVILLE'ÓW

Rozdział piętnasty
RETROSPEKCJA

DOLINA STRACHU

Część pierwsza
TRAGEDIA W BIRLSTONE

Rozdział pierwszy
OSTRZEŻENIE

Rozdział drugi
SHERLOCK HOLMES I ALEC MACDONALD

Rozdział trzeci
TRAGEDIA W BIRLSTONE

Rozdział czwarty
CIEMNOŚĆ

Rozdział piąty
OSOBY DRAMATU

Rozdział szósty
BRZASK

Rozdział siódmy
ROZWIĄZANIE

Część druga
WYKONAWCY WYROKÓW

Rozdział pierwszy
MĘŻCZYZNA

Rozdział drugi
MISTRZ LOŻY

Rozdział trzeci
LOŻA 341 W VERMISSIE

Rozdział czwarty
DOLINA STRACHU

Rozdział piąty
NAJMROCZNIEJSZA GODZINA

Rozdział szósty
NIEBEZPIECZEŃSTWO

Rozdział siódmy
PUŁAPKA NA BIRDY'EGO EDWARDSA

Epilog

KSIĘGA PRZYPADKÓW SHERLOCKA HOLMESA

Przedmowa

Opowieść pierwsza
ZNAMIENITY KLIENT

Opowieść druga
ŻOŁNIERZ O BLADYM OBLICZU

Opowieść trzecia
KLEJNOT Z KOLEKCJI KARDYNAŁA MAZARINIEGO

Opowieść czwarta
DOM POD TRZEMA DASZKAMI

Opowieść piąta
WAMPIRZYCA Z HRABSTWA SUSSEX

Opowieść szósta
O TRZECH PANACH GARRIDEB

Opowieść siódma
NIEZWYKŁE WYDARZENIA NA MOŚCIE THOR

Opowieść ósma
OFIARA MIŁOŚCI

Opowieść dziewiąta
LWIA GRZYWA

Opowieść dziesiąta
LOKATORKA W WOALCE

Opowieść jedenasta
STARY DWÓR SHOSCOMBE

Opowieść dwunasta
EMERYTOWANY SPRZEDAWCA FARB

OSTATNI UKŁON

Wstęp

Opowieść pierwsza
PRZYGODA W WILLI WISTERIA

Rozdział pierwszy
PRZEDZIWNE DOŚWIADCZENIA PANA JOHNA SCOTT ECCLESA

Rozdział drugi
TYGRYS Z SAN PEDRO

Opowieść druga
TEKTUROWE PUDEŁKO

Opowieść trzecia
CZERWONY KRĄG

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Opowieść czwarta
PLANY ŁODZI BRUCE-PARTINGTON

Opowieść piąta
UMIERAJĄCY DETEKTYW

Opowieść szósta
ZNIKNIĘCIE LADY FRANCES CARFAX
Opowieść siódma
CZARCIA STOPA
Opowieść ósma
OSTATNI UKŁON
Sherlock Holmes. Epilog
Przypisy

STUDIUM
W SZKARŁACIE

Z angielskiego przełożyli: Anna Krochmal i Robert Kędzierski

Część pierwsza

Ze wspomnień Johna
H. Watsona, byłego lekarza
wojskowego

Rozdział pierwszy

Sherlock Holmes

W 1878 roku uzyskałem tytuł lekarza medycyny na Uniwersytecie Londyńskim, a następnie udałem się do Netley na specjalny kurs dla lekarzy wojskowych. Zakończywszy tam naukę, zostałem przydzielony do 5. pułku fizylierów northumberlandzkich jako asystent chirurga. W owym czasie pułk stacjonował w Indiach. Nim zdołałem do niego dołączyć, wybuchła druga wojna afgańska. Po dotarciu do Bombaju dowiedziałem się, że mój korpus przekroczył już przełęcze i znajdował się głęboko na terytorium wroga. Wyruszyłem jednak za nim wraz z wieloma innymi oficerami, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji jak ja. Udało mi się bezpiecznie dotrzeć do Kandaharu, gdzie odnalazłem swój pułk i od razu przejąłem nowe obowiązki.

Kampania ta przyniosła wielu ludziom zaszczyty i awanse, mnie samemu jednak nie przysporzyła niczego poza nieszczęściem i katastrofą. Zostałem skierowany do królewskiego pułku z Berkshire, w którym służyłem podczas feralnej bitwy pod Maiwand. To właśnie tam zostałem postrzelony w ramię z jezzaila, afgańskiego muszkietu. Kula strzaskała mi kość i uszkodziła tętnicę podobojczykową. Zapewne wpadłbym w ręce okrutnych ghazich, gdyby nie odwaga i poświęcenie mojego ordynansa Murraya. Przerzucił mnie przez grzbiet jucznego konia, i w ten sposób bezpiecznie doprowadził do Brytyjczyków.

Nękany bólem i osłabiony po długich trudach, jakie dane było mi przejść, zostałem wysłany pociągiem wraz z wieloma innymi rannymi do szpitala w Peszawarze. Tam doszedłem trochę do siebie, i moje zdrowie poprawiło się do tego stopnia, że mogłem już wygrzewać się w słońcu na werandzie i chodzić bez niczyjej pomocy. Niestety, wkrótce dopadł mnie dur brzuszny, prawdziwe przekleństwo naszych kolonii w Indiach. Przez wiele miesięcy

moje życie wisiało na włosku, a gdy wreszcie odzyskałem siły i rozpocząłem rekonwalescencję, byłem tak słaby i wycieńczony, że konsylium lekarzy orzekło, iż należy bez zwłoki odesłać mnie do Anglii. Popłynąłem więc na okręcie wojennym „Orontes” w charakterze pasażera i miesiąc później zszedłem na nabrzeże w Portsmouth ze zrujnowanym zdrowiem i decyzją rządu angielskiego, umożliwiającą mi poprawienie stanu zdrowia w ciągu dziewięciu miesięcy.

Nie miałem w Anglii krewnych ani przyjaciół, byłem więc wolny jak ptak, a przynajmniej tak wolny, jak pozwala na to człowiekowi dzienny dochód w wysokości jedenastu szylingów i sześciu pensów. W takich okolicznościach w naturalny sposób przyciągnął mnie Londyn, to ogromne bagno, do którego nieuchronnie ściągają wałkonie i obiboki z całego imperium. Zatrzymałem się na jakiś czas w hotelu przy Strandzie, wiodąc niezbyt wygodną, bezsensowną egzystencję i wydając wszystkie pieniądze, jakie miałem, znacznie swobodniej niż powinienem. Wkrótce stan moich finansów zaniepokoił mnie do tego stopnia, że zdałem sobie sprawę, iż albo będę musiał wyjechać z metropolii i zaszyć się gdzieś na wsi, albo dokonać radykalnej zmiany mojego stylu życia. Wybrałem tę drugą alternatywę. Zdecydowałem na początek wyprowadzić się z hotelu i zamieszkać w jakiejś mniej pretensjonalnej i tańszej siedzibie.

W dniu, w którym podjąłem takie postanowienie, siedziałem w barze „Criterion”, gdy nagle ktoś klepnął mnie w ramię. Odwróciłem się i rozpoznałem młodego Stamforda, który był kiedyś moim asystentem w szpitalu św. Bartłomieja. Dla samotnego człowieka w tej ogromnej dżungli, jaką jest Londyn, prawdziwą przyjemnością jest ujrzenie znajomej przyjaznej twarzy. Nigdy nie byliśmy ze Stamfordem szczególnie blisko zaprzyjaźnieni, teraz jednak przywitałem go z entuzjazmem, i wydawało mi się, że on też bardzo się cieszy z tego spotkania. Byłem tak uradowany, że zaprosiłem go na lunch w Holborn, dokąd udaliśmy się dorożką.

– I co porabiałeś, Watsonie? – spytał z nieskrywanym zdumieniem, gdy jechaliśmy zatłoczonymi ulicami Londynu. – Jesteś chudy jak szczapa i brązowy jak orzech!

Opisałem mu pokrótce moje przygody i właśnie kończyłem opowieść, gdy dojechaliśmy na miejsce.

– Biedaczysko! – powiedział ze współczuciem, wysłuchawszy relacji o wszystkich moich nieszczęściach. – I co teraz zamierzasz?

– Poszukam sobie kwatery – odparłem. – Próbuję właśnie znaleźć odpowiedź na pytanie, czy można wynająć wygodne mieszkanie po rozsądnej cenie.

– To doprawdy dziwne – zauważył mój towarzysz. – Jesteś już drugim człowiekiem, który mi dzisiaj coś takiego powiedział.

– A kto był tym pierwszym? – spytałem.

– Pewien mężczyzna, którego widuję w laboratorium chemicznym w szpitalu. Dziś rano uskarżał się, że nie może znaleźć nikogo, kto chciałby wynająć z nim wspólnie pewne ładne mieszkanie, które właśnie znalazł, a które jest zbyt kosztowne na jego kieszeń.

– Na Jowisza! – zawołałem. – Jeśli naprawdę szuka kogoś, kto będzie z nim dzielił mieszkanie i koszty wynajmu, to myślę, że jestem właśnie tym człowiekiem, którego szuka. Zresztą, wolałbym chyba mieć jakiegoś towarzysza, niż mieszkać samemu.

Młody Stamford rzucił mi znad swojego kieliszka z winem dość dziwne spojrzenie.

– Jeszcze nie znasz Sherlocka Holmesa – oznajmił. – Może ci zupełnie nie przypaść do gustu. Życie z nim na co dzień może nie być takie proste.

– A co, masz coś przeciwko niemu?

– Och, wcale tak nie mówiłem. On miewa trochę dziwaczne idee, jest entuzjastą pewnych dziedzin nauki, jednak, o ile wiem, to całkiem przyzwoity człowiek.

– Jak przypuszczam, student medycyny? – spytałem.

– Nie. Nie mam zielonego pojęcia, co zamierza robić. Wydaje mi się, że świetnie zna się na anatomii i jest pierwszorzędnym chemikiem, jednak, o ile wiem, nigdy systematycznie nie studiował medycyny. Swoje badania naukowe prowadzi bardzo pobieżnie i ekscentrycznie. Zgromadził jednak mnóstwo nietypowej wiedzy, którą mógłby zadziwić swoich profesorów.

– Nigdy go nie pytałeś, czym zamierza się zająć?

– Nie. Jest typem człowieka, z którego trudno coś wyciągnąć, choć potrafi być rozmowny, gdy jest akurat w odpowiednim nastroju.

– Chciałbym go poznać – powiedziałem. – Jeżeli mam już z kimś mieszkać, to wolałbym, żeby ten człowiek był pracowity i spokojny. Nie jestem jeszcze na tyle silny, by znosić hałas czy jakieś szaleństwa. Doświadczyłem tak dużo jednego i drugiego w Afganistanie, że wystarczy mi do końca życia. Gdzie znajdę twojego znajomego?

– Na pewno będzie w laboratorium – odparł mój towarzysz. – Przez wiele tygodni albo omija to miejsce szerokim łukiem, albo przesiaduje tam i pracuje nad czymś od rana do nocy. Jeśli masz ochotę, możemy tam zajrzeć po lunchu.

– Oczywiście – odparłem, i rozmowa zeszła na inne tematy.

Po drodze z Holborn do szpitala Stamford opowiedział mi kilka szczegółów o dżentelmenie, któremu właśnie zamierzałem zaproponować, by został moim współlokatorem.

– Tylko nie wiń mnie później, jeśli ci się z nim nie ułoży – rzekł. – Nie wiem o nim nic, prócz tego, czego się dowiedziałem, widując go od czasu do czasu w laboratorium. To twój pomysł, więc nie spodziewaj się, że będę ponosił za to odpowiedzialność w przyszłości.

– Jeśli nie będzie nam się dobrze układało, to po prostu się rozstaniemy – odparłem. – Wydaje mi się, Stamford – dodałem, przypatrując się badawczo mojemu towarzyszowi – że masz jakieś powody, by umyć ręce od całej tej sprawy. Czy ten człowiek ma aż tak straszne usposobienie, czy też chodzi o coś zupełnie innego? No dalej, przestań owijać w bawełnę!

– Trudno wyrazić to, czego nie można opisać słowami – odparł ze śmiechem. – Holmes jest, moim zdaniem, typem nawiedzonego naukowca. Czasem może się wydawać wręcz nieludzki. Potrafię sobie wyobrazić, jak podaje swojemu przyjacielowi szczyptę jakiegoś nowo odkrytego alkaloidu absolutnie bez złych zamiarów, po prostu w celu potwierdzenia naukowych dociekań, aby dokładnie i precyzyjnie poznać jego działanie. Jednakże gwoli sprawiedliwości muszę dodać, że równie chętnie byłby gotów sam go zażyć. Wydaje mi się, że jego pasją jest ścisła i precyzyjna wiedza.

– I bardzo słusznie.

– Tak, ale z tym również można przesadzić. Okładanie kijem zwłok w prosektorium to, przyznasz, jest dziwacznym przejawem pasji badawczej.

– Bije kijem zwłoki?!

– Tak, żeby sprawdzić, czy i w jakim stopniu można spowodować po śmierci powstanie siniaków. Widziałem na własne oczy, jak to robił.

– Ale przecież mówiłeś, że nie studiuje medycyny.

– Bo nie studiuje. Kto go tam wie, co on właściwie studiuje. Ale właśnie dojeżdżamy. Sam musisz sobie wyrobić zdanie na jego temat.

Gdy wypowiadał te słowa, skręciliśmy w wąską uliczkę. Przez niewielkie boczne drzwi przeszliśmy do jednego ze skrzydeł ogromnego szpitala. Znałem to miejsce i nie potrzebowałem przewodnika, gdy wchodziliśmy do ponurej klatki schodowej, a potem szliśmy długim korytarzem wśród bielonych wapnem ścian i pomalowanych szarą farbą drzwi. Przy końcu korytarza znajdowało się niskie, zwieńczone łukiem przejście, prowadzące do laboratorium chemicznego.

Było to przestronne pomieszczenie z niezliczonymi rzędami butelek. Tu i ówdzie stały szerokie niskie stoły, najeżone retortami, próbówkami i małymi palnikami Bunsena, płonącymi migotliwym niebieskim płomieniem. W pomieszczeniu przebywał tylko jeden student, pochylony nad stolikiem w głębi i pogrążony w pracy. Słysząc nasze kroki, obejrzał się i skoczył na równe nogi.

– Odkryłem to! Odkryłem! – krzyknął tryumfalnie do mojego towarzysza, biegnąc ku nam z próbówką w dłoni. – Znalazłem odczynnik, który jest wytrącany tylko przez hemoglobinę, i przez żadną inną substancję! – Nawet gdyby właśnie odkrył kopalnię złota, nie wywołałoby to na jego twarzy większej satysfakcji.

– Doktor Watson, pan Sherlock Holmes – rzekł Stamford, przedstawiając nas sobie.

– Bardzo mi miło – rzekł serdecznie, ściskając moją dłoń z siłą, o jaką bym go nigdy nie podejrzewał. – Jak widzę, był pan w Afganistanie.

– A jak, u licha, pan na to wpadł? – spytałem zdumiony.

– Nieważne – odparł, chichocząc pod nosem. – Teraz najważniejsza jest hemoglobina. Jak widzę, zapewne nie rozumie pan znaczenia mego odkrycia?

– Z chemicznego punktu widzenia jest to na pewno interesujące – odparłem. – Ale w praktyce…

– Ależ człowieku! To jest najbardziej praktyczne odkrycie medyczno-prawne, i długo jeszcze nikt nic lepszego nie odkryje! Nie widzi pan, że pozwala to na stworzenie niezawodnego testu na wykrywanie plam krwi? Proszę tu podejść!

W swym entuzjazmie schwycił mnie za rękaw płaszcza i pociągnął do stolika, przy którym pracował.

– Pobierzmy trochę świeżej krwi – powiedział, nakłuwając sobie palec długą igłą i zbierając krople pipetą. – Teraz dodam tę odrobinę krwi do litra

wody. Jak pan widzi, powstała mieszanka wygląda jak zwykła czysta woda. Stężenie krwi nie jest większe niż jeden do miliona. Jednakże bez wątpienia uda nam się uzyskać charakterystyczną reakcję.

Mówiąc to, wrzucił do naczynia kilka białych kryształów, a następnie dodał parę kropli przejrzystego płynu. Chwilę później zawartość stała się matowa i przybrała mahoniowy kolor, a na dnie szklanego naczynia pojawił się brązowawy osad.

– Ha! Ha! – zawołał, klaszcząc w dłonie; wyglądał przy tym jak dziecko zachwycone nową zabawką. – I co pan o tym sądzi?

– Wydaje się, że to niezwykle czuły test – zauważyłem.

– Cudownie, cudownie! Stary test gwajakolowy był bardzo niepewny i nieporęczny. Podobnie jest zresztą z badaniem próbek na obecność cząsteczek krwi za pomocą mikroskopu. To drugie jest zupełnie bezużyteczne, jeśli plamy mają już parę godzin. Mój test wydaje się działać niezależnie od tego, czy krew jest świeża, czy już zdążyła zakrzepnąć. Gdyby ktoś go wymyślił wcześniej, po świecie nie chodziłyby setki ludzi, którzy dawno powinni zapłacić za swoje zbrodnie.

– To prawda! – wymamrotałem.

– Sprawy kryminalne nieustannie kręcą się wokół tej właśnie kwestii. Jakiegoś człowieka podejrzewa się o przestępstwo być może wiele miesięcy po tym, jak je popełniono. Na jego bieliźnie czy ubraniu znajdują brązowawe plamy. Czy są to plamy krwi? A może plamy po błocie, rdzy, owocach lub czymkolwiek innym? Nad tą kwestią głowiło się już wielu ekspertów. A dlaczego? Bo nie było wiarygodnego testu. Ale teraz mamy test Sherlocka Holmesa, i nie będzie już z tym problemów.

Gdy to mówił, oczy mu płonęły. Następnie, kładąc rękę na sercu, skłonił się w taki sposób, jakby w swojej wyobraźni stał przed wiwatującym tłumem.

– Należą się panu gratulacje – zauważyłem, zaskoczony tym jego entuzjazmem.

– W zeszłym roku głośna była sprawa von Bischoffa z Frankfurtu. Gdyby taki test wtedy istniał, na pewno by go powiesili! I był jeszcze Mason z Bradford i ten słynny Muller, i Lefevre z Montpellier, i Samson z Nowego Orleanu. Mogę wymienić tuziny przypadków, w których ten test miałby decydujące znaczenie.

– Jest pan chyba chodzącą encyklopedią zbrodni – rzekł Stamford ze śmiechem. – Mógłby pan o tym pisać w gazetach w rubryce zatytułowanej „Kroniki policyjne przeszłości”.

– To rzeczywiście byłaby bardzo ciekawa lektura – zauważył Sherlock Holmes, zaklejając niewielkim kawałkiem plastra ślad po nakłuciu na palcu. – Muszę być ostrożny – ciągnął dalej, zwracając się do mnie z uśmiechem – bo sporo się bawię truciznami.

Mówiąc to, wyciągnął rękę; spostrzegłem, że cała upstrzona była podobnymi plastrami i przebarwiona od silnych kwasów.

– Przyszliśmy tu w pewnej sprawie – rzekł Stamford, siadając na stołku z trzema nogami i podsuwając stopą drugi stołek w moim kierunku. – Mój przyjaciel szuka kwatery. A ponieważ skarżył się pan ostatnio, że nikt nie chce wspólnie z panem wynająć mieszkania, pomyślałem, że może was ze sobą poznam.

Sherlock Homes wydawał się zaskoczony pomysłem dzielenia ze mną mieszkania.

– Mam na oku apartament przy Baker Street – powiedział – który by nam doskonale odpowiadał. Mam nadzieję, że nie przeszkadza panu zapach silnego tytoniu?

– Sam palę marynarski tytoń.

– To bardzo dobrze. Ja mam sporo chemikaliów i od czasu do czasu przeprowadzam eksperymenty. Nie będzie to panu przeszkadzać?

– Absolutnie nie.

– Zastanówmy się… Jakie mam jeszcze wady? Czasami popadam w depresję i całymi dniami się nie odzywam. Nie powinien pan wówczas myśleć, że kiedy tak się zachowuję, jestem obrażony. Trzeba mnie zostawić w spokoju: wkrótce mi przechodzi. A do czego pan chciałby się przyznać? Najlepiej będzie, by dwóch mężczyzn poznało się od najgorszej strony, zanim zdecydują, czy chcą razem zamieszkać?

Roześmiałem się, bo rozbawiło mnie to przesłuchanie.

– Mam małego buldoga, to jeszcze szczeniak – odparłem. – Poza tym nie godzę się na żadne awantury i hałasy, bo mam dość zszargane nerwy. Wstaję o przedziwnych porach, no i jestem beznadziejnie leniwy. Mam też parę innych złych nawyków, ale na razie wymieniłem panu najważniejsze z nich.

– Czy granie na skrzypcach też zalicza pan do awantur? – spytał z niepokojem.

– To zależy od muzyka – odparłem. – Dobra gra na skrzypcach jest darem od bogów… Natomiast kiepska gra…

– Och, w porządku! – zawołał, śmiejąc się wesoło. – Myślę, że możemy uznać sprawę za załatwioną. To znaczy, jeśli mieszkanie się panu spodoba.

– Kiedy możemy je obejrzeć?

– Proszę wpaść tu po mnie jutro w południe, a razem wybierzemy się na Baker Street i wszystko ustalimy – odpowiedział.

– Dobrze, przyjdę punktualnie w południe – odparłem, ściskając mu dłoń na pożegnanie.

Zostawiliśmy Sherlocka Holmesa przy pracy, otoczonego chemikaliami, i poszliśmy razem w stronę mojego hotelu.

– A tak nawiasem mówiąc – spytałem, zatrzymując się i zwracając w stronę Stamforda – skąd on, u diabła, wiedział, że przyjechałem z Afganistanu?

Mój towarzysz uśmiechnął się enigmatycznie.

– Na tym właśnie polega jego wyjątkowość – powiedział. – Wielu ludzi dużo by dało, żeby się dowiedzieć, jak on to wszystko odgaduje.

– Och, a więc to tajemnica?! – zawołałem, zacierając ręce. – To naprawdę intrygujące. Jestem ci bardzo wdzięczny, że poznałeś nas ze sobą. Właściwym przedmiotem badań nad ludzkością jest człowiek.

– W takim razie będziesz miał ciekawy obiekt do badań – rzekł Stamford, żegnając się ze mną. – Przekonasz się jednak, że to trudny orzech do zgryzienia. Założę się, że to on więcej dowie się o tobie niż ty o nim. Do zobaczenia!

– Do zobaczenia! – odparłem i spacerem wróciłem do hotelu, bardzo zaciekawiony moim nowym znajomym.

Rozdział drugi

Sztuka dedukcji

Następnego dnia spotkaliśmy się tak, jak ustaliliśmy, i obejrzeliśmy mieszkanie przy Baker Street pod numerem 221b, o którym Holmes wspominał podczas naszego pierwszego spotkania. Mieszkanie składało się z dwóch wygodnych sypialni i jednego dużego, przestronnego salonu, bardzo przyjemnie urządzonego, z dwoma wielkimi oknami, przez które wpadało dużo światła. Lokum pod każdym względem było wspaniałe, czynsz dzielony na dwóch okazał się na tyle niski, że od razu dobiliśmy targu, stając się jego lokatorami. Jeszcze tego samego wieczoru przeniosłem swoje rzeczy z hotelu, a następnego ranka Sherlock Holmes zjawił się z kilkoma pudłami i podróżnymi kuframi. Przez kilka pierwszych dni byliśmy bardzo zajęci urządzaniem się i rozpakowywaniem swoich rzeczy. Gdy już to zrobiliśmy, zaczęliśmy powoli odnajdywać się w nowym miejscu i przyzwyczajać do siebie i naszego nowego otoczenia.

Holmes z całą pewnością nie był kłopotliwym współlokatorem. Zachowywał się spokojnie, prowadził regularny tryb życia. Rzadko się zdarzało, by po dziesiątej wieczór jeszcze nie spał, a rano zjadał śniadanie i wychodził, nim zdążyłem wstać z łóżka. Czasami spędzał całe dnie w laboratorium chemicznym, czasami w prosektorium, a zdarzało się również, że chodził na długie spacery, najwyraźniej nie omijając najgorszych dzielnic Londynu. Gdy miał zapał do pracy, nie było bardziej energicznego człowieka niż on. Od czasu do czasu jednak popadał w zupełnie inny nastrój, a wtedy przez wiele dni leżał w salonie na sofie, prawie się do mnie nie odzywając i w ogóle nie wstając – i tak od rana do nocy. Dostrzegałem wówczas rozmarzony, nieobecny wyraz jego oczu; zacząłbym go podejrzewać, że jest uzależniony od jakichś narkotyków, ale jego schludność i wstrzemięźliwość wykluczały taką ewentualność.

W miarę jak mijały kolejne tygodnie, moje zaciekawienie Sherlockiem Holmesem i tym, co zamierza w życiu robić, stopniowo nasilało się i pogłębiało. Sam jego wygląd przykułby uwagę nawet najbardziej nieuważnego obserwatora. Miał ponad sześć stóp wzrostu, a ponieważ był przy tym strasznie chudy, wydawał się jeszcze wyższym. Oczy miał bystre i przenikliwe – z wyjątkiem tych sytuacji, gdy popadał w odrętwienie, o którym już wspominałem – a cienki jastrzębi nos nadawał jego twarzy wyraz czujności i zdecydowania. To wrażenie potęgował również wydatny kwadratowy podbródek. Jego ręce były zawsze poplamione atramentem i chemikaliami. Posiadał on zdolność niezwykle delikatnego obchodzenia się z przedmiotami – często miałem okazję obserwować, jak podczas przeprowadzania eksperymentu posługiwał się kruchymi przyrządami naukowymi.

Czytelnicy być może uznają, że jestem potwornie wścibski, muszę jednak przyznać, iż człowiek ten niezwykle pobudził moją ciekawość. Często próbowałem przebić się przez jego powściągliwość, którą on zasłaniał wszystko, co dotyczyło jego osoby. Nim jednak zostanę negatywnie oceniony, chciałbym przypomnieć o tym, jak bezcelowe było wówczas moje życie i jak niewiele rzeczy potrafiło zająć moją uwagę. Zdrowie nie pozwalało mi wychodzić na zewnątrz, chyba że przy wyjątkowo dobrej pogodzie. Nie miałem też przyjaciół, którzy by mnie odwiedzali, przerywając tym samym monotonię codziennej egzystencji. Dlatego w tych okolicznościach bardzo się cieszyłem z tajemniczości otaczającej mojego towarzysza i spędzałem większość czasu, próbując tę tajemnicę zgłębić.

Sherlock Holmes nie studiował medycyny. Sam o tym kiedyś powiedział, potwierdzając przypuszczenia Stamforda. Nie wyglądało również na to, by uczęszczał na jakieś studia, po których mógłby uzyskać tytuł naukowy lub zdobyć jakiekolwiek inne umiejętności, pozwalające mu wkroczyć do świata uczonych. Pewne dziedziny studiował jednak z ogromnym zapałem i w obszarach swej ekscentrycznej wiedzy potrafił poruszać się tak biegle i precyzyjnie, że jego obserwacje mnie zdumiewały. Z całą pewnością żaden człowiek nie był w stanie ani tak ciężko pracować, ani zdobywać tak szczegółowej wiedzy, jeśli nie miał w tym jakiegoś określonego celu. Ludzie mający pobieżną znajomość przedmiotu rzadko

posiadają tak dogłębną wiedzę. Żaden człowiek nie obciąża też swojego umysłu tak wieloma drobiazgami, o ile nie ma ku temu ważkich powodów.

Jego ignorancja w innych dziedzinach wiedzy była równie zaskakująca. Wyglądało na to, że nie ma zielonego pojęcia o literaturze współczesnej, filozofii czy polityce. Gdy zacytowałem Thomasa Carlyle'a, dopytywał się naiwnie, któż to taki i czego dokonał. Moje zaskoczenie sięgnęło jednak zenitu, gdy przez przypadek odkryłem, że nie wie nic o teorii Kopernika i budowie Układu Słonecznego. Fakt, że jakaś cywilizowana istota ludzka żyjąca w dziewiętnastym wieku nie jest świadoma, że to Ziemia obraca się wokół Słońca, wydał mi się tak niesamowity, że po prostu nie wiedziałem, co o tym myśleć.

– Wyglądasz na zdumionego – powiedział z uśmiechem, widząc wyraz zaskoczenia na mojej twarzy. – Teraz, kiedy już o tym wiem, postaram się najszybciej jak potrafię o tym zapomnieć.

– Zapomnieć?!

– Widzisz – wyjaśnił – uważam, że mózg człowieka przypomina niewielkie puste poddasze, które trzeba tak umeblować, by nam to odpowiadało. Głupiec będzie zbierał wszelkiego rodzaju graty, jakie nawiną mu się pod rękę. Wówczas wiedza, która mogłaby mu się przydać, zostaje wyparta lub w najlepszym przypadku upchnięta gdzieś w kąt wraz z mnóstwem innych rzeczy, tak że dostęp do niej będzie później bardzo utrudniony. Rozsądny człowiek natomiast nad wyraz skrupulatnie wybiera to, co wnosi na swoje poddasze, czyli wkłada do swego mózgu. Nie gromadzi tam niczego prócz narzędzi, które będą mu potrzebne w czasie wykonywania pracy, ale posiada ogromny ich asortyment, wszystkie umieszczone w idealnym porządku.

Błędem byłoby myśleć, że to ciasne pomieszczenie ma ściany, które można przesuwać, powiększając jego powierzchnię. Możesz mi wierzyć, że przychodzi taki czas, gdy za każdym razem, kiedy dowiadujesz się czegoś nowego, będziesz zapominał o czymś, co wiedziałeś wcześniej. Dlatego ogromne znaczenie ma to, by nie dopuścić, aby bezużyteczne fakty wypierały takie, które mogą nam się przydać.

– Ale Układ Słoneczny…

– A jakie do diabła ma on dla mnie znaczenie! – przerwał niecierpliwie. – Mówisz mi, że kręcimy się wokół Słońca. Nawet gdybyśmy się kręcili wokół Księżyca, nijak nie miałoby to wpływu na mnie ani na moją pracę.

Właśnie miałem go zapytać, co to za praca, ale coś w jego zachowaniu ostrzegło mnie, że takie pytanie nie byłoby mile widziane. Zastanawiałem się jednak nad naszą krótką rozmową i próbowałem wyciągnąć z niej jakieś logiczne wnioski. Powiedział, że nie chce zdobywać żadnych wiadomości, które niczego nie wnoszą do jego pracy. Tak więc cała wiedza, jaką posiadał, musiała mu być do czegoś potrzebna. Wyliczałem w głowie wszystkie najróżniejsze dziedziny, w których był wyjątkowo biegły. Wziąłem nawet do ręki ołówek i je wypisałem. Gdy lista była gotowa, nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Wyglądało to tak.

SHERLOCK HOLMES –
JEGO OGRANICZENIA I PREDYSPOZYCJE

1. Znajomość literatury – żadna.
2. Znajomość filozofii – żadna.
3. Znajomość astronomii – żadna.
4. Znajomość polityki – słaba.
5. Znajomość botaniki – różnie. Świetnie zna się na belladonie, opium i ogólnie na truciznach. Nie ma zielonego pojęcia o praktycznym ogrodnictwie.
6. Znajomość geologii – wiedza praktyczna, lecz ograniczona. W jednej chwili potrafi określić rodzaje gleby. Po powrocie ze spaceru pokazuje mi plamy na swoich spodniach i na podstawie ich koloru i konsystencji określa, z której części Londynu pochodzą.
7. Znajomość chemii – dogłębna.
8. Znajomość anatomii – precyzyjna, lecz nieusystematyzowana.
9. Znajomość literatury kryminalnej – wszechstronna. Wydaje się, że zna każdy szczegół wszystkich przestępstw popełnionych w tym stuleciu.
10. Dobrze gra na skrzypcach.
11. Doskonale walczy, posługując się kijem, jest świetnym bokserem i szermierzem.
12. Posiada dogłębną praktyczną znajomość prawa brytyjskiego.

Gdy dotarłem do tego punktu, cisnąłem, zrozpaczony, listę do ognia. Jeżeli tylko mam się przekonać, do czego zmierza ten człowiek, godząc ze sobą te dziedziny, i odkryć zawód, w którym wszystkie one byłyby przydatne, równie dobrze mogę się od razu poddać.

Napomknąłem, że Holmes dobrze grał na skrzypcach. Jego zdolności w tym względzie były naprawdę niezwykłe, lecz tak jak i pozostałe, również ekscentryczne. Doskonale wiedziałem, że potrafi grać znane kompozycje, nawet bardzo trudne, ponieważ na moją prośbę zagrał niektóre z pieśni Mendelssohna i inne ulubione przeze mnie utwory. Jeśli jednak zostawiało się go samemu sobie, rzadko można by nazwać muzyką to, co wówczas grał. Nawet nie silił się nadawać wydobywanym z instrumentu dźwiękom jakieś konwencjonalne brzmienie. Wieczorami, siadając wygodnie w swoim fotelu, przymykał oczy i niedbale rzępolił na skrzypcach opartych na kolanach. Czasami rozbrzmiewały dźwięczne melancholijne akordy, innym razem słychać było radosne i pełne fantazji melodie.

Najwyraźniej odzwierciedlały myśli, które akurat go pochłaniały, jednak nie byłem w stanie odgadnąć, czy ta muzyka pomagała mu w rozumowaniu, czy może grał z czystego kaprysu. Może i zbuntowałbym się przeciwko tym dość męczącym solówkom, gdyby nie fakt, że na zakończenie zazwyczaj grał całą serię moich ulubionych utworów, jeden po drugim, jako niewielkie zadośćuczynienie za to, że nadużywał mojej cierpliwości.

Przez pierwszy tydzień nie mieliśmy żadnych gości, i już zacząłem myśleć, że mój współlokator jest tak samo samotny jak ja i nie ma żadnych przyjaciół. Niebawem jednak odkryłem, że miał licznych znajomych, i to pochodzących z najróżniejszych klas społecznych. Był wśród nich pewien niski mężczyzna o szczurzej twarzy, ziemistej cerze i ciemnych oczach, którego przedstawiono mi jako pana Lestrade’a. W ciągu jednego tygodnia był u nas trzy, a może nawet cztery razy. Pewnego ranka przyszła jakaś młoda, modnie ubrana dziewczyna i została pół godziny, a może nawet dłużej. Tego samego dnia po południu przybył brudny, niechlujny siwowłosy jegomość, wyglądający jak żydowski domokrążca, który wydał mi się czymś bardzo podekscytowany, a wkrótce po nim zjawiła się starsza, dość zaniedbana kobieta. Był u nas też jakiś starszy siwy dżentelmen, a jeszcze innym razem pojawił się bagażowy z dworca kolejowego w welwetowym uniformie. Zawsze gdy zjawiał się któryś z tych dziwnych ludzi, Sherlock Holmes zwykł mnie pytać, czy nie mam nic przeciwko temu, by mógł skorzystać z salonu, wówczas udawałem się do swojej sypialni. Kiedy gość wychodził, zawsze przepraszał za niewygody.

– Używam tego pokoju do pracy – powiedział. – A ci ludzie są moimi klientami.

Za każdym razem przy okazji tych wizyt miałem możliwość zadać mu decydujące pytanie, jednak moje poczucie taktu powstrzymywało mnie przed zmuszaniem drugiego człowieka do zwierzeń. Wyobrażałem sobie wówczas, że może ma jakieś wystarczająco ważkie przyczyny, by nie wspominać o swoim fachu. Wkrótce jednak rozwiał moje wątpliwości, z własnej woli poruszając ten temat.

Działo się to czwartego marca. Mam powód, aby zapamiętać tę datę. Wstałem nieco wcześniej niż zazwyczaj i odkryłem, że Sherlock Holmes jeszcze nie skończył śniadania. Nasza gospodyni tak przyzwyczaiła się już do mojego późnego wstawania, że na stole nie było jeszcze dla mnie ani nakrycia, ani kawy. Z bezsensownym rozdrażnieniem przywołałem ją dzwonkiem, by dać do zrozumienia, że już nie śpię. Następnie wziąłem czasopismo, próbując umilić sobie czekanie, podczas gdy mój towarzysz w milczeniu przeżuwał swój tost. Nagłówek jednego z artykułów był zakreślony ołówkiem, więc zacząłem go czytać.

Tytuł – „Księga życia” – był dość pretensjonalny, a autor próbował wykazać, jak wiele może się dowiedzieć pilny obserwator dzięki dokładnej i systematycznej analizie wszystkiego, co stanie mu na drodze. Uderzyła mnie ta dziwaczna mieszanka przemyślności i absurdu. Rozumowanie było precyzyjne i dość głębokie, jednak wnioski wydawały się zbyt naciągane i przesadnie optymistyczne. Autor twierdził, że dzięki wyrazowi twarzy, drgnięciu jednego mięśnia czy też przelotnemu spojrzeniu można poznać najgłębiej skrywane myśli człowieka. Według niego, wyćwiczonego obserwatora, potrafiącego wprawnie analizować fakty, nie można w żaden sposób oszukać. Wnioski były równie niezawodne co wiele twierdzeń Euklidesa. Uzyskane wyniki miały wydawać się niewtajemniczonym tak niepokojące, że dopóki nie poznali procesu rozumowania, który je poprzedzał, mogli uważać go za kogoś w rodzaju nekromanty.

„Z jednej kropli wody – pisał autor – człowiek rozumujący w sposób logiczny może wywnioskować istnienie Atlantyku lub Niagary, choć nigdy ich nie widział ani o nich nie słyszał. Każdy przejaw życia jest długim łańcuchem przyczyn i skutków, którego natura staje się znana za każdym razem, gdy ujrzymy jedno jego ogniwo. Podobnie jak wszelkie inne umiejętności, sztukę dedukcji i analizy można opanować tylko dzięki

długiej i cierp-liwej pracy, a życie jest za krótkie, by jakikolwiek śmiertelnik mógł osiągnąć perfekcję w tej sztuce. Zanim jednak badacz skieruje uwagę na moralne i intelektualne aspekty tej sprawy, stanowiące największą trudność, powinien zacząć od rozwiązywania elementarnych zadań. Niech na przykład, rzuciwszy jedno spojrzenie na pierwszego napotkanego śmiertelnika, spróbuje od razu określić jego przeszłość, profesję lub zainteresowania. Choć takie ćwiczenie może się wydawać infantylne, wyostrza ono zdolności obserwacji i uczy nas, na co powinniśmy patrzeć i czego szukać. Na podstawie paznokci człowieka, rękawów jego płaszcza, butów, stanu spodni na kolanach, zgrubień skóry na palcu wskazującym i kciuku, wyrazu twarzy, mankietów koszuli można precyzyjnie określić, czym taki człowiek się zajmuje. Ponadto pewne jest, że wszystkie te szczegóły pozwolą uzdolnionemu obserwatorowi na wyciągnięcie prawidłowych wniosków".

– Co za potworny bełkot! – zawołałem, ciskając czasopismo na stół. – W życiu nie czytałem takich bredni.

– A o co chodzi?

– O ten artykuł – odparłem, wskazując na niego łyżeczką do jajek, bo zasiadłem już do śniadania. – Widzę, że już go czytałeś, bo jest zaznaczony. Nie przeczę, że został inteligentnie napisany, ale mimo to jest wybitnie irytujący. Wyraźnie widać, że to teoria kogoś, kto nie rusza się z fotela i wymyśla wszystkie te swoje hipotezy, siedząc w gabinecie, z dala od prawdziwego życia. To zupełnie niepraktyczne. Chciałbym go spotkać w metrze w wagonie trzeciej klasy. Poprosiłbym go wówczas, by podał mi zawody wszystkich podróżnych znajdujących się wokół. Postawiłbym tysiąc do jednego, że nie dałby rady.

– Straciłbyś swoje pieniądze – zauważył spokojnie Sherlock Holmes. – A co do tego artykułu, to ja go napisałem.

– Ty?!

– Tak, ja. Mam zdolności zarówno do obserwacji, jak i do dedukcji. Te teorie, które tam opisuję i które wydają ci się tak chimeryczne, są w rzeczywistości niezwykle praktyczne. Do tego stopnia praktyczne, że to dzięki nim mogę zarabiać na chleb.

– A w jaki sposób? – wyrwało mi się.

– Mam bardzo rzadką profesję. Przypuszczam, że jestem jedynym w swoim rodzaju detektywem-konsultantem, o ile rozumiesz, co mam

na myśli. Tutaj, w Londynie, jest mnóstwo detektywów policyjnych i prywatnych. Kiedy już nie wiedzą, co począć, przychodzą do mnie, a ja naprowadzam ich na właściwy trop. Przedstawiają mi wszystkie dowody, i jestem zazwyczaj w stanie ustalić, z pomocą mojej wiedzy o historii zbrodni, o co w tym wszystkim chodzi. Zbrodnie wykazują silne powinowactwo, i jeśli masz w jednym palcu szczegóły tysiąca z nich, istnieje spora szansa, że będziesz w stanie rozwiązać zagadkę tysiąc pierwszej. Lestrade jest znanym detektywem. Ostatnio zgubił trop w sprawie fałszerstwa, i właśnie to sprowadziło go do mnie.

– A pozostałe osoby?

– Najczęściej przysyłają ich do mnie prywatne agencje detektywistyczne. Wszystko to są ludzie, którzy mają jakieś problemy i potrzebują rady czy pomocy w ich rozwiązaniu. Słucham ich historii, oni słuchają moich uwag, a potem zgarniam do kieszeni honorarium.

– Czy chcesz przez to powiedzieć – spytałem – że nie opuszczając mieszkania, potrafisz rozwikłać jakieś pogmatwane sprawy, nad których rozwiązaniem głowią się ludzie, obeznani ze szczegółami zdarzenia dużo lepiej niż ty?

– Owszem, mam swoistą intuicję. Od czasu do czasu pojawia się nieco bardziej złożona sprawa. Wtedy muszę wokół niej pochodzić, rozejrzeć się i zobaczyć wszystko na własne oczy. Jak wiesz, posiadam specjalistyczną wiedzę w rożnych dziedzinach, którą wykorzystuję w rozwiązywaniu problemów, i to mi bardzo ułatwia proces dochodzenia do prawdy. Te zasady dedukcji opisane w artykule, który wzbudził w tobie taką pogardę, są dla mnie bezcenne w działaniach praktycznych. Obserwowanie jest moją drugą naturą. Wyglądałeś na zaskoczonego, gdy podczas naszego pierwszego spotkania powiedziałem ci, że przyjechałeś z Afganistanu.

– Na pewno ktoś ci o tym powiedział.

– Nic podobnego. Ja po prostu wiedziałem, że przyjechałeś z Afganistanu. Mam tę umiejętność już od dawna: ciąg myśli błyskawicznie przelatuje mi przez głowę, i formułuję wniosek; niekiedy nawet nie uświadamiam sobie poszczególnych etapów tego procesu. Ciąg rozumowania w twoim przypadku przebiegał mniej więcej tak. Mamy tutaj dżentelmena o wyglądzie lekarza, który równocześnie sprawia wrażenie wojskowego. Tak więc jest to najwyraźniej lekarz wojskowy. Niedawno wrócił z tropików, bo ma ogorzałą twarz, a nie jest to naturalny kolor jego

skóry, bo nadgarstki ma jasne. Przeszedł wiele trudów i chorobę, o czym świadczy jego mizerny wygląd. Był ranny w lewe ramię, widać, że dotychczas nie odzyskał w nim pełni władzy. Gdzie w tropikach angielski lekarz wojskowy mógłby doznać wielu trudów i zostać ranny w ramię? Oczywiście w Afganistanie. Cały ten ciąg myślowy nie trwał nawet jednej sekundy. Powiedziałem wtedy, że przyjechałeś z Afganistanu, a ty się bardzo zdziwiłeś.

– Teraz, kiedy wyjaśniasz, wydaje się to proste – powiedziałem z uśmiechem. – Przypominasz mi Dupina z opowiadań Edgara Allana Poe. Nie miałem pojęcia, że tacy ludzie istnieją naprawdę.

Sherlock Holmes podniósł się i zapalił fajkę.

– Bez wątpienia myślisz, że porównując mnie do Dupina, obdarzasz mnie komplementem – zauważył. – Moim zdaniem Dupin wcale nie był utalentowany. Ta jego sztuczka z odczytywaniem myśli przyjaciół i wygłaszanie jakiejś związanej z tym uwagi po kwadransie milczenia jest w rzeczywistości bardzo powierzchowna i na pokaz. Miał pewne genialne zdolności analityczne, co do tego nie ma wątpliwości, ale bynajmniej nie był takim zjawiskiem, jak wydawało się to Poemu.

– Czytałeś powieści Gaboriau? – spytałem. – Czy Lecoq był według ciebie prawdziwym detektywem?

Sherlock Holmes prychnął z pogardą.

– Lecoq był beznadziejnym nieudacznikiem – odparł gniewnym tonem. – Posiadał tylko jedną zaletę, a była nią jego energia. Doprawdy, po tej lekturze zrobiło mi się niedobrze. Co za problem ustalić tożsamość osoby, która przebywa w więzieniu. Zrobiłbym to w ciągu dwudziestu czterech godzin. Lecoqowi zajęło to sześć miesięcy. Tę powieść można traktować jako podręcznik dla detektywów, z którego uczyliby się, jak nie należy postępować.

Holmes tak lekceważąco mówił o dwóch moich ulubionych postaciach z książek, które zawsze podziwiałem, że byłem bardzo oburzony. Podszedłem do okna i wyjrzałem na ruchliwą ulicę. Ten Holmes może jest i bystry, ale z całą pewnością również bardzo zarozumiały.

– Nie ma w dzisiejszych czasach ani prawdziwych zbrodni, ani prawdziwych przestępców – rzekł markotnym tonem. – Do czego w naszym zawodzie może się jeszcze przydać mózg? Dobrze wiem, że posiadam takie zdolności, które mogłyby rozsławić moje imię. Nie ma

na świecie drugiego tak utalentowanego człowieka jak ja, który wniósłby tyle dokonań do sztuki wykrywania przestępstw. I jaki jest tego skutek? Nie ma godnych mnie przestępstw do wykrycia. Co najwyżej jakieś nędzne łotrostwa z tak oczywistymi motywami, że potrafi je odkryć nawet policjant ze Scotland Yardu.

Wciąż byłem poirytowany jego przemądrzałym stylem prowadzenia rozmowy. Pomyślałem, że najlepiej będzie zmienić temat.

– Ciekawe, czego szuka ten jegomość? – spytałem, wskazując na energicznego, prosto odzianego mężczyznę, który szedł wolnym krokiem drugą stroną ulicy, pilnie przyglądając się numerom domów. W dłoni trzymał niebieską kopertę i najwyraźniej chciał dostarczyć komuś jakąś wiadomość.

– Chodzi ci o tego emerytowanego sierżanta piechoty morskiej? – spytał Sherlock Holmes.

„Czcze przechwałki – pomyślałem sobie. – Doskonale wie, że nie będę w stanie sprawdzić, czy dobrze to odgadł”.

Ledwie ta myśl przeszła mi przez głowę, gdy człowiek, którego obserwowaliśmy, zauważył numer na naszych drzwiach i szybkim krokiem przeszedł przez ulicę. Usłyszeliśmy głośną rozmowę, niski głos dobiegający z dołu i ciężkie kroki na schodach.

– Dla pana Sherlocka Holmesa – powiedział, wchodząc do pokoju i podając list mojemu przyjacielowi.

Pomyślałem, że nadarzyła się doskonała okazja, aby go trochę wyleczyć z zarozumialstwa. Na pewno tego nie przewidział, gdy tak strzelał na ślepo.

– Czy mogę pana zapytać – odezwałem się najbardziej bezbarwnym tonem, na jaki mnie było stać – czym się pan zajmuje?

– Jestem gońcem, sir – odparł szorstko. – Odesłałem uniform do naprawy.

– A przedtem był pan…? – spytałem, rzucając nieco złośliwe spojrzenie mojemu towarzyszowi.

– Sierżantem, sir. Królewska piechota morska, sir.

Zwracając się do Holmesa, zapytał:

– Nie będzie odpowiedzi? Dobrze, sir.

Strzelił obcasami, zasalutował i wyszedł.

Rozdział trzeci

Tajemnica Lauriston Gardens

Muszę przyznać, że ten najnowszy dowód praktycznego zastosowania teorii mojego towarzysza bardzo mnie zaskoczył. Od tej pory mój szacunek dla jego zdolności analitycznych ogromnie wzrósł. Nie mogłem jednak pozbyć się podejrzenia, że wszystko to zostało zaaranżowane z góry po to, żeby mnie olśnić. Ale jakież ten człowiek mógłby mieć powody, żeby mnie tak nabierać? Tego za nic nie byłem w stanie zrozumieć. Gdy spojrzałem na niego, właśnie skończył czytać list; jego oczy straciły blask, a wzrok stał się roztargniony, co wskazywało na to, że pogrążył się w rozmyślaniach.

– Jakim cudem udało ci się to wydedukować? – spytałem.

– Co wydedukować? – spytał rozdrażnionym tonem.

– To, że ten człowiek był emerytowanym sierżantem piechoty morskiej.

– Nie mam teraz czasu na takie błahostki – odparł opryskliwie, lecz po chwili uśmiechnął się i dodał: – Wybacz mi moją nieuprzejmość, ale przerwałeś mi pewien tok myślowy… Zresztą, może to i lepiej. A więc naprawdę nie poznałeś, że był to sierżant piechoty morskiej?

– Naprawdę.

– Łatwiej mi się było tego domyślić, niż wytłumaczyć, jak do tego doszedłem. Gdyby ktoś cię poprosił, żebyś udowodnił, że dwa i dwa to cztery, mógłbyś mieć z tym pewne problemy, choć przecież jesteś pewien, że to prawda. Mimo że był po drugiej stronie ulicy, zauważyłem wielką niebieską kotwicę wytatuowaną na grzbiecie jego dłoni. To nasuwało skojarzenie z morzem. Miał jednak postawę zawodowego wojskowego i regulaminowe bokobrody. Wszystko to pasowało do żołnierza piechoty morskiej. Po sposobie, w jaki trzymał głowę i wymachiwał swoją laską, stwierdziłem, że najwyraźniej ma o sobie bardzo wysokie mniemanie; jego zachowanie wydawało się nieco władcze.

Z wyrazu twarzy natomiast można było wywnioskować, że jest to zrównoważony, budzący szacunek mężczyzna w średnim wieku. Wszystkie wymienione fakty przemawiały za tym, że musiał być w randze sierżanta.

– Cudowne! – zawołałem.

– Raczej pospolite – odparł Holmes, choć widząc wyraz jego twarzy, pomyślałem, że moje oczywiste zdumienie i podziw musiały sprawić mu przyjemność. – Dopiero co powiedziałem, że nie ma prawdziwych przestępców. Wygląda na to, że byłem w błędzie. Spójrz tylko na to!

Rzucił mi na stół notatkę, którą przyniósł posłaniec.

– Coś podobnego! – krzyknąłem, przebiegłszy ją szybko oczyma. – To potworne!

– Faktycznie, wydaje się, że to nie jest przeciętna sprawa – zauważył spokojnie. – Mógłbyś mi przeczytać na głos?

A oto list, który mu odczytałem:

Drogi Panie Holmes!

W domu pod numerem 3 przy Lauriston Gardens w pobliżu Brixton Road doszło nocą do tragicznych wydarzeń. Nasz posterunkowy zobaczył tam podczas patrolu około drugiej nad ranem światła, a ponieważ dom był opuszczony, nabrał podejrzeń, że dzieje się coś złego. Drzwi były otwarte; pierwszy pokój, do którego wszedł, był pozbawiony jakichkolwiek mebli. W tym oto pokoju odkrył ciało pewnego dobrze ubranego dżentelmena; w jego kieszeniach znalazł wizytówki o treści: „Enoch J. Drebber, Cleveland, Ohio, Stany Zjednoczone”. Ten człowiek nie został obrabowany; nie było żadnych przesłanek wskazujących na to, w jaki sposób mógł umrzeć. W pomieszczeniu były ślady krwi, jednak na ciele ofiary nie znaleziono żadnej rany. Nie potrafimy również odkryć, w jaki sposób dostał się do pustego domu. W rzeczywistości cała ta sprawa pozostaje dla nas zagadką. Gdyby zechciał pan tu zajrzeć o dowolnej porze przed dwunastą, zastanie mnie pan na miejscu. Niczego nie dotykaliśmy; wszystko pozostanie tak, dopóki się pan nie odezwie. Jeśli nie będzie mógł pan przybyć, podam więcej szczegółów. Uznałbym za ogromną uprzejmość z pana strony, gdyby zechciał pan podzielić się ze mną swą opinią.

Z poważaniem,
Tobias Gregson

– Gregson jest najbystrzejszy w całym Scotland Yardzie – zauważył mój przyjaciel. – On i Lestrade są jedynymi ludźmi, którzy się wyróżniają wśród tej beznadziejnej zbieraniny. Obaj działają szybko i energicznie, ale konwencjonalnie… Nad wyraz konwencjonalnie. Poza tym stale kopią pod

sobą dołki. Są o siebie tak zazdrośni, jak zazdrosne bywają rywalizujące ze sobą ślicznotki. Z tą sprawą też będzie niezła zabawa, jeśli obaj wpadną na jakiś trop.

Zdumiał mnie spokój, z jakim rzucał leniwie te uwagi.

– Ale przecież nie ma chwili do stracenia! – zawołałem. – Mam pójść i zamówić dorożkę?

– Nie wiem jeszcze, czy tam pojadę. Jestem chyba najbardziej nieuleczalnym leniem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi. To znaczy, kiedy dopadnie mnie taki nastrój, bo czasami bywam nawet dość energiczny.

– Jak to? Przecież to jest właśnie szansa, na której tak bardzo ci zależało!

– Mój drogi przyjacielu, jakie to ma dla mnie znaczenie? Jeśli rozwiążę tę sprawę, możesz być pewien, że Gregson, Lestrade i Scotland Yard zgarną wszystkie pochwały. To są właśnie te ujemne strony, jeśli angażujesz się w jakąś sprawę nieoficjalnie.

– Ale przecież on prosi cię o pomoc!

– Tak. Wie, że nie może się ze mną równać, i przyznaje się do tego przede mną. Wolałby jednak odgryźć sobie język, niż wyznać to przed kimś innym. Właściwie możemy tam pojechać i popatrzeć. Rozpracuję to dla własnej przyjemności. Skoro nie będę miał innej satysfakcji, to przynajmniej się z nich pośmieję. Chodź!

Szybko zarzucił płaszcz i zaczął gorączkowo krzątać się po mieszkaniu, co świadczyło o tym, że jego apatię zastąpił właśnie przypływ energii.

– Weź kapelusz! – rzucił.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą?

– Tak, jeśli nie masz nic lepszego do roboty.

Po chwili siedzieliśmy obaj w dorożce, pędzącej ulicą Brixton Road.

Był mglisty, pochmurny poranek, a nad dachami wisiała brudnoszara zasłona wyglądająca niczym odbicie zabłoconych ulic. Mój towarzysz był w wybornym nastroju i paplał coś o skrzypcach z Cremony oraz o tym, czym się różni Stradivarius od Amatiego. Ja natomiast pogrążyłem się w milczeniu, bo przygnębiająca pogoda i ta ponura sprawa, w którą się zaangażowaliśmy, popsuły mi nastrój.

– Nie myślisz o sprawie, którą masz się zająć – odezwałem się wreszcie, przerywając wywody Holmesa o muzyce.

– Nie znam jeszcze wszystkiego – odparł. – Tworzenie teorii przed poznaniem dowodów jest kardynalnym błędem. Nie można wówczas obiektywnie ocenić sytuacji.

– Wkrótce zdobędziesz te swoje dowody – zauważyłem, wskazując palcem przez okno dorożki. – To już Brixton Road, i o ile się nie mylę, tu właśnie jest ten dom, do którego jedziemy.

– W istocie. Stop, woźnico! Wysiadamy!

Wciąż byliśmy jakieś sto jardów od celu naszej podróży, uparł się jednak, byśmy wysiedli trochę wcześniej i ostatni odcinek naszej podróży odbyli pieszo.

Trzypiętrowy dom pod numerem 3 przy Lauriston Gardens wyglądał posępnie i złowieszczo. Był jednym z czterech budynków stojących w niewielkiej odległości od ulicy. Dwa z nich były zamieszkane, dwa inne, bezbarwne o ponurym wyglądzie, opustoszałe, spoglądały na nas pustymi melancholijnymi oknami. Na brudnej szybie jednego z nich tkwiła niczym bielmo na oku kartka z napisem: „Do wynajęcia”. Mały ogródek, oddzielający budynki od ulicy, pełen był chaotycznie rosnących cherlawych roślin. Przez ogródek prowadziła wąska ścieżka o lekko żółtawym kolorze, utworzona najwyraźniej z mieszaniny gliny i żwiru. Całe otoczenie prezentowało się wyjątkowo obskurnie, głównie za sprawą padającego w nocy deszczu. Wzdłuż ulicy ciągnął się wysoki na trzy stopy ceglany murek, zwieńczony drewnianą barierką. O ten murek opierał się krzepki konstabl otoczony niewielkim wianuszkiem gapiów, na próżno wyciągających szyje i wytężających wzrok w nadziei, że dowiedzą się, co takiego wydarzyło się wewnątrz.

Wyobrażałem sobie, że Sherlock Holmes natychmiast pospieszy do budynku i pogrąży się w badaniach zmierzających do rozwiązania tej tajemniczej zbrodni. Jednakże nie mogłem się bardziej mylić. Z nonszalancją, która w tych okolicznościach wydawała się graniczyć z megalomanią, spacerował powoli tam i z powrotem po chodniku, wpatrując się pustym wzrokiem w ziemię, niebo, przeciwległe domy i barierkę na murku. Gdy skończył je oglądać, powoli ruszył ścieżką ze wzrokiem wbitym w ziemię, lustrując pasmo trawy rosnącej obok. Dwa razy się zatrzymał, a raz zobaczyłem, że się uśmiecha. Usłyszałem też, jak z satysfakcją wymruczał coś do siebie pod nosem. Na gliniastej ziemi widniały liczne ślady butów, ale ponieważ policjanci biegali tamtędy

we wszystkie strony, nie miałem pojęcia, jak mój towarzysz mógłby coś z tych śladów wyczytać. Niemniej dostarczył mi już tylu niezwykłych dowodów swoich ogromnych zdolności obserwacji, iż nie wątpiłem, że będzie w stanie zobaczyć o wiele więcej niż policja i dowie się takich rzeczy, które również przede mną pozostawały ukryte.

Z drzwi domu wyszedł nam na spotkanie wysoki blady mężczyzna o włosach koloru lnu, trzymając w dłoni notes. Zobaczywszy Holmesa, podbiegł ku nam i wylewnie ścisnął dłoń mojego towarzysza.

– Doprawdy, to bardzo miło z pańskiej strony, że pan się zjawił – rzekł. – Nie pozwoliłem niczego dotykać.

– Z wyjątkiem tego! – odparł mój przyjaciel, wskazując na ścieżkę. – Gdyby przebiegło tędy stado bizonów, nie narobiłoby większego bałaganu. Nie wątpię jednak, panie Gregson, że nim pan do tego dopuścił, wyciągnął pan już jakieś wnioski.

– Miałem mnóstwo roboty wewnątrz domu – rzekł wymijająco detektyw. – Ale jest tu mój kolega, pan Lestrade. Liczyłem na to, że on się tym zajmie.

Holmes spojrzał na mnie, unosząc ironicznie brwi.

– Skoro tą sprawą zajęło się takich dwóch specjalistów jak pan i Lestrade, niewiele mi już pozostało do odnalezienia.

Gregson z wyraźną satysfakcją zatarł ręce.

– Sądzę, że zrobiliśmy tutaj wszystko, co było możliwe – odparł. – Niemniej jest to dziwna sprawa, a wiem, że lubi pan takie tajemnice.

– Przyjechał pan tutaj dorożką? – spytał Sherlock Holmes.

– Nie, sir.

– A Lestrade?

– Też nie.

– W takim razie chodźmy już obejrzeć ten pokój. – Wygłosiwszy tę nie związaną z poprzednim pytaniem uwagę, wszedł do domu, a za nim podążył Gregson, na którego twarzy malowało się ogromne zdziwienie.

Krótki korytarz, obity gołymi deskami i strasznie zakurzony, prowadził do kuchni i pomieszczeń służbowych. Było tu dwoje drzwi, jedne po lewej, a drugie po prawej stronie. Jednych z nich najwyraźniej nie otwierano od wielu tygodni. Drugimi drzwiami wchodziło się do jadalni, w której zostało popełnione to zagadkowe przestępstwo. Holmes wszedł do środka,

a ja podążyłem za nim z tym tłumionym w sercu uczuciem, jakim zawsze napawa człowieka obcowanie ze śmiercią.

Było to duże kwadratowe pomieszczenie, a brak jakichkolwiek mebli sprawiał, że wydawało się jeszcze większe. Ściany ozdabiała dość pospolita tapeta, tu i ówdzie widniały na niej plamy wilgoci i pleśni. W niektórych miejscach szerokie pasma odkleiły się i zwisały w dół, obnażając żółtawy tynk. Naprzeciw drzwi znajdował się dość pretensjonalny kominek, zwieńczony półką wykonaną z imitacji białego marmuru. Na końcu tej półki stały resztki wypalonej czerwonej świecy. Jedyne okno w pomieszczeniu było tak brudne, że sączące się przez nie światło wydawało się zamglone i niepewne, nadając wszystkiemu, na co padało, szary, ponury odcień. Wrażenie to pogłębiała jeszcze gruba warstwa kurzu pokrywająca wszystko, co się tu znajdowało.

Każdy z tych szczegółów zauważyłem jednak dopiero później. W tej chwili moja uwaga skupiła się na samotnej ponurej, zastygłej w bezruchu postaci, która leżała rozciągnięta na deskach podłogi. Jej puste niewidzące oczy wpatrywały się w wyblakły sufit. Był to mężczyzna w wieku około czterdziestu trzech czy czterdziestu czterech lat, średniego wzrostu o szerokich ramionach z krótkimi kręconymi czarnymi włosami i krótką szczeciniastą bródką. Ubrany był w surdut z cienkiego czarnego sukna, kamizelkę oraz jasne spodnie; kołnierzyk i mankiety były nieskazitelnie czyste. Obok niego na podłodze leżał wymuskany cylinder. Dłonie miał zaciśnięte, ramiona rozpostarte; jego nogi natomiast były podkurczone, tak jakby umierał w straszliwych męczarniach. Na twarzy zastygł wyraz przerażenia i, jak mi się wydawało, nienawiści tak silnej, jakiej nie widziałem jeszcze u żadnego człowieka. Ten potworny grymas w połączeniu z niskim czołem, szerokim nosem i wysuniętą szczęką nadawały zmarłemu małpi wygląd, a wrażenie to dodatkowo pogłębiała poskręcana nienaturalna pozycja ciała. Widywałem już wiele przypadków śmierci, nigdy jednak nie ukazała mi ona swego bardziej przerażającego oblicza niż tutaj, w tym ciemnym obskurnym domu, którego okna wychodziły na jedną z głównych arterii przedmieść Londynu.

Chudy, mający w sobie coś z fretki Lestrade stał przy drzwiach. Gdy weszliśmy, przywitał się z moim towarzyszem i ze mną.

– Będzie sporo szumu wokół tej sprawy, sir – zauważył. – Nie spotkałem się do tej pory z czymś takim, a sporo już w życiu widziałem.

– Nie ma żadnego tropu? – spytał Gregson.

– Nic. Absolutnie nic – z żalem potwierdził Lestrade.

Sherlock Holmes zbliżył się do zwłok, uklęknął przy nich i bardzo wnikliwie je zbadał.

– Jesteście, panowie, pewni, że nie ma żadnej rany? – spytał, wskazując na liczne plamki i kałuże krwi wokół.

– Z całą pewnością! – odpowiedzieli obaj detektywi.

– W takim razie ta krew, oczywiście, musiała należeć do innego człowieka. Zapewne do mordercy, o ile popełniono tu jakieś morderstwo. Przypomina mi to okoliczności towarzyszące śmierci Van Jansena w Utrechcie w 1834 roku. Czy pan kojarzy sobie tę sprawę, Gregson?

– Nie, sir.

– Powinien pan o tym poczytać. Naprawdę polecam. Nic nowego pod słońcem. Wszystko to już kiedyś było.

Gdy to mówił, jego zręczne palce poruszały się wokół, dotykając, naciskając, odpinając guziki i badając, podczas gdy oczy zachowywały ten sam nieobecny wyraz, o którym już wspominałem. Przeprowadził to badanie tak szybko i sprawnie, że trudno byłoby się nawet domyślić dokładności i precyzji, z jaką tego dokonał. Na koniec pochylił się nad twarzą zmarłego i wciągnął przez nos powietrze, a następnie spojrzał na podeszwy jego butów z lakierowanej skóry.

– Czy niczego tu nie ruszano? – spytał.

– Tylko to, co było konieczne dla celów naszego śledztwa.

– Może go pan już odesłać do kostnicy – rzekł Holmes. – Niczego więcej się tu nie dowiemy.

Gregson miał w pobliżu czterech ludzi. Na jego rozkaz weszli do pokoju i ułożyli ofiarę na noszach. Gdy ją podnosili, na podłogę z brzękiem upadł pierścionek i potoczył się przez pokój. Lestrade podniósł go i wpatrywał się w niego zdumionymi oczyma.

– Była tu jakaś kobieta! – zawołał. – To kobieca obrączka!

Mówiąc to, uniósł pierścionek na dłoni. Wszyscy stłoczyliśmy się wokół niego, przyglądając się temu znalezisku. Nie mogło być żadnych wątpliwości, że ta wykonana z czystego złota obrączka zdobiła kiedyś palec panny młodej.

– To komplikuje sprawę – rzekł Gregson. – A Bóg wie, że już i tak była skomplikowana.

– Jest pan pewien, że to jej nie upraszcza? – spytał Holmes. – Ale wpatrując się w nią, niczego się nie dowiemy. Co znaleźliście u niego w kieszeniach?

– Tu mamy wszystko – powiedział Gregson, wskazując na stertę przedmiotów chaotycznie rzuconych na jeden z dolnych stopni schodów. – Złoty zegarek od Barrauda w Londynie nr 97163, złoty łańcuszek do zegarka, bardzo ciężki i solidny, złoty pierścień z masońskimi symbolami, złota szpilka do krawata w kształcie głowy buldoga z rubinowymi oczami, skórzany pokrowiec z wizytówkami Enocha J. Drebbera z Cleveland, co odpowiada inicjałom E.J.D. wyhaftowanym na koszuli i bieliźnie. Nie miał przy sobie portfela, ale w kieszeniach było trochę pieniędzy, dokładnie siedem funtów i trzynaście pensów. Ponadto znaleźliśmy wydanie kieszonkowe Dekameronu Boccaccia, podpisane nazwiskiem „Joseph Stangerson” na pierwszej stronie i dwa listy: jeden do E.J. Drebbera, a drugi do Josepha Stangersona.

– Na jaki adres?

– Giełda Amerykańska, Strand. Do odbioru na wezwanie. Oba przesłano z kompanii „Guion”, obsługującej parowce; dotyczą wypłynięcia ich statku z Liverpoolu. To jasne, że ten nieszczęśnik miał zamiar wracać do Nowego Jorku.

– Dowiadywał się pan czegoś na temat tego Stangersona?

– Zrobiłem to natychmiast, sir – rzekł Gregson. – Rozesłałem ogłoszenia do wszystkich gazet, jeden z moich ludzi udał się do budynku Giełdy Amerykańskiej, ale jeszcze nie wrócił.

– Kontaktował się pan z Cleveland?

– Wysłaliśmy telegram dziś rano.

– Jak on brzmiał?

– Zawiadomiliśmy o zdarzeniu i poprosiliśmy o jakiekolwiek informacje, które mogłyby nam pomóc.

– Nie zapytał pan o szczegóły żadnej z kwestii, które wydawały się panu kluczowe?

– Pytałem o Stangersona.

– I nic więcej? Czyżby nie było żadnych innych okoliczności związanych z tą sprawą? Zamierza pan wysłać kolejny telegram?

– Zapytałem o wszystko, co uważałem za niezbędne – rzekł Gregson urażonym tonem.

Sherlock Holmes parsknął cicho i właśnie miał wygłosić jakąś uwagę, gdy Lestrade, który był w pokoju, podczas gdy my prowadziliśmy tę rozmowę w korytarzu, znów pojawił się na scenie, zacierając ręce, dumny jak paw i bardzo z siebie zadowolony.

– Panie Gregson – obwieścił – właśnie dokonałem odkrycia o wielkim znaczeniu. Gdybym nie zbadał dokładnie ścian, przeoczylibyśmy coś bardzo ważnego.

Kiedy to mówił, jego oczy błyszczały, a głos był pełen tryumfu, bo udało mu się właśnie zdobyć punkt przewagi nad swoim kolegą po fachu.

– Chodźcie tutaj, panowie – powiedział, energicznie zawracając do pokoju, w którym atmosfera wyraźnie się poprawiła, odkąd wyniesiono stamtąd ciało. – A teraz stańcie tutaj! – Skrzesał o but zapałkę, uniósł ją i przysunął do ściany. – Spójrzcie tylko na to! – rzekł dumnie.

Wspominałem już, że w niektórych miejscach tapeta całymi pasmami odkleiła się od ściany. W tym kącie pokoju też odpadł spory jej kawałek, obnażając żółty kwadrat szorstkiego tynku. Na tej wolnej przestrzeni nabazgrano krwią jedno tylko słowo:

RACHE

– I co o tym sądzicie? – zawołał detektyw tonem kuglarza zachwalającego swe występy. – Przeoczono to dlatego, że napis był w najciemniejszym kącie pokoju i nikt nie wpadł na pomysł, by tu zajrzeć. Morderca (którym mogła być także kobieta) napisał to własną krwią. Proszę zwrócić uwagę na te zacieki, tam, gdzie krew spłynęła po ścianie. Tak czy inaczej wyklucza to samobójstwo. A czemu morderca wybrał właśnie ten kąt? Powiem wam! Spójrzcie, panowie, na tę świeczkę nad kominkiem. Wtedy się paliła, i wówczas ten kąt pokoju był najjaśniejszym, a nie najciemniejszym fragmentem ściany.

– No dobrze, ale skoro już pan znalazł ten napis, to niech nam pan powie, co on oznacza – odezwał się Gregson kpiącym tonem.

– Oznacza? Cóż, oznacza to, że ten, kto to pisał, chciał napisać imię Rachel, ale coś mu przerwało, zanim zdążył dokończyć. Zapamiętajcie sobie moje słowa. Kiedy ta sprawa dobiegnie końca, przekonamy się, że kobieta o imieniu Rachel odegrała w niej istotną rolę. A pan z czego się

śmieje, panie Holmes? Może jest pan bystry i inteligentny, ale koniec końców to stary wyga okazał się tym razem najlepszy.

– Doprawdy, bardzo przepraszam! – rzekł mój przyjaciel, który najwyraźniej zirytował niskiego policjanta swoim głośnym wybuchem śmiechu. – Z całą pewnością trzeba przyznać, że pan pierwszy znalazł ten napis, i jak pan mówi, wszystko wskazuje na to, że nakreślił go drugi uczestnik tajemniczych wydarzeń, które rozegrały się tu ubiegłej nocy. Nie miałem jeszcze czasu, by zbadać cały pokój, ale za pańskim pozwoleniem, chciałbym zrobić to teraz.

Mówiąc to, wyciągnął z kieszeni miarkę i dużą lupę. Trzymając te dwa przyrządy, zaczął bezgłośnie obchodzić całe pomieszczenie, czasem się zatrzymując, klękając, raz nawet położył się płasko na brzuchu. Był tak pochłonięty tym, co robił, że wydawało się, iż zapomniał o naszym istnieniu. Przez cały czas szeptał coś pod nosem, pokrzykiwał, pogwizdywał i wydawał z siebie sugestywne odgłosy zachęty lub zadowolenia. Gdy go tak obserwowałem, nie mogłem się oprzeć wrażeniu, że przypomina mi rasowego i dobrze wyszkolonego psa myśliwskiego, który biega tam i z powrotem po zaroślach, skomląc niecierpliwie, póki nie odnajdzie zgubionego tropu. Kontynuował swe poszukiwania przez dwadzieścia minut, mierząc z pedantyczną starannością odległość pomiędzy śladami, które dla mnie były zupełnie niewidoczne, i od czasu do czasu, w równie niezrozumiałym celu, przykładając miarkę do ściany. W jednym miejscu pieczołowicie zebrał z podłogi odrobinę szarego kurzu i włożył go do koperty. Wreszcie obejrzał przez lupę słowo napisane na ścianie, wpatrując się szczegółowo w każdą literę po kolei. Kiedy już skończył, sprawiał wrażenie usatysfakcjonowanego, bo schował miarkę i lupę do kieszeni.

– Powiadają, że geniusz polega na nieskończonych zdolnościach do podejmowania wysiłku – zauważył z uśmiechem. – To wyjątkowo kiepska definicja, jednak pasuje do pracy detektywa.

Gregson i Lestrade spoglądali na poczynania detektywa-amatora ze znacznym zaciekawieniem i odrobiną pogardy. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z tego (a co ja zacząłem już sobie uświadamiać), że nawet najdrobniejsze poczynania Sherlocka Holmesa zawsze prowadzą ku jakiemuś określonemu celowi.

– I co pan o tym sądzi, sir? – spytali obaj.

– Panowie, pozbawiłbym was zasług, jakie mogą wam przypaść za rozwiązanie tej sprawy, gdybym wam podpowiadał – zauważył mój przyjaciel. – Radzicie sobie, panowie, tak świetnie, że byłoby wielkim nietaktem, gdyby ktoś wam przeszkadzał w dochodzeniu – jego głos wręcz ociekał sarkazmem. – Jeśli powiadomicie mnie, panowie, jak posuwa się śledztwo, z radością pomogę wam w miarę swych możliwości. Tymczasem chciałbym porozmawiać z konstablem, który odnalazł ciało. Możecie mi podać jego nazwisko i adres?

Lestrade zajrzał do swego notesu.

– John Rance. Obecnie jest po służbie. Znajdzie go pan przy Audley Court pod numerem 46, przy Kennington Park Gate.

Holmes zanotował sobie adres.

– Chodź, doktorze – powiedział. – Udamy się tam i porozmawiamy z nim.

Zwracając się do dwóch detektywów, dodał:

– Zdradzę wam, panowie, jedną rzecz, która może wam dopomóc w tej sprawie. Popełniono morderstwo. Sprawcą był wysoki, mierzący ponad sześć stóp mężczyzna w kwiecie wieku. Miał dość małe stopy jak na swój wzrost i masywne buty z kwadratowymi noskami. Palił cygaro marki „Trichinopoly”. Przyjechał tutaj ze swoją ofiarą dorożką, którą ciągnął koń podkuty trzema starymi podkowami i jedną nową na prawej przedniej nodze. Morderca najprawdopodobniej miał rumianą twarz i wyjątkowo długie paznokcie u palców prawej ręki. To tylko garstka wskazówek, ale być może one przydadzą się panom.

Lestrade i Gregson spojrzeli po sobie z uśmiechem niedowierzania.

– Skoro ten człowiek został zamordowany, to w jaki sposób? – spytał pierwszy detektyw.

– Trucizna – rzekł lakonicznie Sherlock Holmes i energicznie skierował się w stronę wyjścia. – Jeszcze jedno, Lestrade – dodał, odwracając się w drzwiach. – „Rache” oznacza po niemiecku „zemsta”, więc niech pan nie traci czasu, szukając panny Rachel.

Rzuciwszy tę uwagę na odchodnym, wyszedł, pozostawiając dwóch rywali patrzących za nim ogłupiałym wzrokiem.

Rozdział czwarty

Co miał do powiedzenia John Rance

Gdy opuszczaliśmy dom numer 3 przy Lauriston Gardens, była godzina pierwsza. Sherlock Holmes zabrał mnie ze sobą do najbliższego biura telegraficznego, skąd nadał długi telegram. Następnie przywołał dorożkę i kazał woźnicy zawieźć nas pod adres podany przez Lestrade'a.

– Nic nie może się równać z informacjami z pierwszej ręki – zauważył. – Tak naprawdę mam już swoje zdanie o tej sprawie, ale nic nie stoi na przeszkodzie, aby dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe.

– Zdumiewasz mnie, Holmesie – powiedziałem. – A jeśli chodzi o wszystkie te szczegóły, które im podałeś, to przecież nie możesz być ich aż tak pewien. Zgrywałeś się przed nimi?

– Nie ma tu miejsca na żaden błąd – odparł. – Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłem po przybyciu do tamtego domu, były dwie koleiny, jakie dorożka pozostawiła przy krawężniku. Przez cały tydzień aż do ubiegłej nocy nie padało, a więc koła, które pozostawiły tak głębokie ślady, musiały przejechać tamtędy właśnie ubiegłej nocy. Były też odciski końskich kopyt, przy czym zarys jednego z nich był o wiele wyraźniejszy niż pozostałych trzech, co wskazywało na nową podkowę. Ponieważ dorożka przyjechała, gdy już zaczął padać deszcz, a nie było jej tam rano, jak potwierdził Gregson, oznacza to, że musiała tam być w nocy i że to właśnie tą dorożką przyjechali ci dwaj osobnicy.

– Wydaje się to dość proste – powiedziałem. – Ale skąd wiedziałeś, jakiego wzrostu był ten drugi?

– No cóż, w dziewięciu przypadkach na dziesięć wzrost człowieka można określić na podstawie długości jego kroku. Oblicza się to bardzo prosto, ale nie ma sensu, żebym zanudzał cię liczbami. Widziałem ślady kroków tego człowieka, zarówno odciśnięte w glinie na zewnątrz, jak

i w kurzu wewnątrz mieszkania. Później udało mi się znaleźć sposób, aby sprawdzić moje obliczenia. Gdy człowiek pisze coś na ścianie, instynktownie robi to mniej więcej na poziomie swoich oczu. To słowo zostało napisane na wysokości trochę ponad sześć stóp nad ziemią. Jak widzisz, to było dziecinnie proste.

– A jego wiek? – spytałem.

– Cóż, jeśli człowiek bez najmniejszego wysiłku jest w stanie stawiać kroki mierzące cztery i pół stopy, to nie może być zniedołężniałym starcem. Taka była właśnie szerokość kałuży na ścieżce w ogrodzie, nad którą najwyraźniej przechodził. Ten w butach z lakierowanej skóry obszedł ją, ale ten w butach z kwadratowymi noskami przeskoczył kałużę. Nie ma w tym nic tajemniczego. Po prostu stosuję w praktyce kilka metod obserwacji i dedukcji, o których pisałem w artykule. Czy coś jeszcze nie daje ci spokoju?

– Jego paznokcie i cygaro marki „Trichinopoly” – podsunąłem.

– Wysoki mężczyzna napisał to słowo na ścianie swoim palcem wskazującym, umoczonym we krwi. Dzięki lupie udało mi się zaobserwować, że lekko zarysował przy tym tynk, co nie miałoby miejsca, gdyby miał krótko obcięte paznokcie. Zebrałem też odrobinę popiołu, która spadła na podłogę. Był ciemny i puszysty, a taki właśnie popiół powstaje wyłącznie z cygara „Trichinopoly”. Przeprowadziłem specjalne badania popiołu pochodzącego z różnych cygar. Tak naprawdę to napisałem o tym nawet monografię. Mogę się pochwalić, że jednym spojrzeniem potrafię odróżnić popiół powstający po spaleniu cygara każdej znanej marki lub też po wypaleniu tytoniu fajkowego. To właśnie takimi umiejętnościami różni się uzdolniony detektyw od ludzi typu Gregsona i Lestrade’a.

– A ta rumiana twarz? – spytałem.

– Ach, to już była bardziej ambitna hipoteza. Niemniej nie wątpię, że miałem rację. Ale proszę, nie pytaj mnie o to teraz, na tym etapie śledztwa.

Potarłem ręką czoło.

– W głowie mi się kręci – powiedziałem. – Im więcej się o tym myśli, tym bardziej tajemnicza robi się cała sprawa. W jaki sposób tych dwóch mężczyzn, o ile obaj byli mężczyznami, dostało się do pustego budynku? Co się stało z dorożkarzem, który ich przywiózł? W jaki sposób można zmusić drugiego człowieka, żeby zażył truciznę? Skąd się wzięła krew? Co chciał osiągnąć morderca, skoro nie był to rabunek? Jak tam trafiła

kobieca obrączka? A co najważniejsze, dlaczego ten drugi miałby napisać na ścianie niemieckie słowo *Rache*, nim się stamtąd ulotnił? Muszę przyznać, że nie zdołam w żaden sposób pogodzić tych faktów.

Mój towarzysz uśmiechnął się z aprobatą.

– Zwięźle i trafnie opisałeś problemy dotyczące tej sprawy – powiedział. – Wiele jej aspektów wciąż pozostaje niejasnych, ale doszedłem już do pewnych wniosków odnośnie głównych faktów. Co do znaleziska biednego Lestrade'a, był to po prostu taki fortel, mający podsunąć policji błędny trop. Miało to sugerować jakieś związki z socjalizmem i tajnymi stowarzyszeniami. Nie zrobił tego jednak żaden Niemiec. Jak zauważyłeś, „a" próbowano napisać gotykiem. Prawdziwy Niemiec napisałby bez zastanowienia łacińskie „a", możemy więc spokojnie uznać, że zrobił to niezręczny naśladowca, który po prostu przesadził. Miało to na celu zmylenie policji i skierowanie śledztwa na ślepy tor. Ale nie powiem ci teraz więcej o tej sprawie, doktorze. Jak wiesz, sztukmistrz nie zostanie nagrodzony brawami, jeśli wyjaśni, na czym polega jego sztuczka, i jeżeli ujawnię ci zbyt wiele tajników moich metod pracy, dojdziesz do wniosku, że koniec końców jestem zupełnie zwyczajnym człowiekiem.

– Nigdy nie dojdę do takiego wniosku – odparłem. – Tak bardzo zbliżyłeś wykrywanie przestępstw do nauk ścisłych, jak chyba jeszcze nikt przed tobą!

Moje słowa i powaga, z jaką je wypowiedziałem, musiały sprawić przyjemność mojemu towarzyszowi, bo jego twarz oblała się rumieńcem. Zdążyłem już zauważyć, że jest wrażliwy na pochlebstwa odnoszące się do jego umiejętności, podobnie jak dziewczyna czuła na komplementy dotyczące jej urody.

– Powiem ci jeszcze jedno – rzekł. – Buty z lakierowanej skóry i Kwadratowe nos-ki przyjechały tą samą dorożką, a potem razem, w zgodzie, przeszły ścieżką do domu. Najprawdopodobniej szły ramię w ramię. Potem, gdy już weszły do środka, chodziły tam i z powrotem po pokoju. A ściślej rzecz biorąc, Lakierki stały w jednym miejscu, a Kwadratowe noski przemierzały pokój.

Wszystko to byłem w stanie wyczytać ze śladów pozostawionych w kurzu pokrywającym podłogę. Stwierdziłem również, że chodząc tak po pokoju, ten człowiek coraz bardziej ekscytował się, stawiając dłuższe kroki. Przez cały ten czas coś mówił i bez wątpienia nakręcił się do takiego

stopnia, że wpadł we wściekłość. Właśnie wtedy doszło do tragedii. Teraz powiedziałem ci już wszystko, co sam wiem, cała reszta to czyste domysły i przypuszczenia, które mają jednak solidną podstawę. Musimy się spieszyć, bo zamierzam wybrać się na koncert Norman Nerudy dziś po południu.

Rozmowa ta miała miejsce, gdy nasza dorożka toczyła się przez obskurne uliczki i ponure zakamarki miasta. W najbardziej odrażającej i posępnej z nich nasz woźnica zatrzymał pojazd.

– Jesteśmy przy Audley Court – powiedział, wskazując na wąską szczelinę w równej linii szarych cegieł. – Zaczekam tu na panów.

Audley Court nie było atrakcyjnym miejscem. Wąskie przejście doprowadziło nas do kwadratowego dziedzińca wyłożonego płytami chodnikowymi. Wokół wznosiły się brzydkie budynki. Minęliśmy grupki brudnych dzieci oraz suszące się spłowiałe pranie i dotarliśmy pod numer 46. Drzwi ozdobione były małą mosiężną tabliczką z wygrawerowanym na niej nazwiskiem Rance. Dowiedzieliśmy się, że konstabl śpi; wprowadzono nas do małego saloniku, gdzie czekaliśmy, aż do nas wyjdzie.

Zjawił się wkrótce, był rozdrażniony jak człowiek wybudzony właśnie ze snu.

– Składałem już raport na posterunku – powiedział.

Holmes wyjął z kieszeni pół suwerena i w zamyśleniu bawił się monetą.

– Pomyśleliśmy sobie, że z chęcią wysłuchalibyśmy tego bezpośrednio od pana – powiedział.

– Ależ z przyjemnością opowiem wszystko, co wiem – odparł policjant z oczyma utkwionymi w mały złoty krążek.

– Niech nam pan po prostu opowie po swojemu o wszystkim, co się tam wydarzyło.

Rance usiadł na sofie wypchanej końskim włosiem i zmarszczył brwi jak ktoś, kto za nic nie chciałby pominąć żadnego szczegółu.

– Opowiem od początku, jak było – rzekł. – Miałem zmianę od dziesiątej wieczorem do szóstej rano. O jedenastej była bójka w gospodzie „Pod Białym Jeleniem”, ale poza tym wszędzie był spokój. Podczas obchodu o pierwszej w nocy, kiedy zaczęło padać, spotkałem Harry’ego Murchera, tego, który patroluje Holland Grove. Stanęliśmy sobie na rogu Henrietta Street i trochę pogadaliśmy. Wtedy, a była chyba druga albo trochę później,

pomyślałem, że się rozejrzę i sprawdzę, czy na Brixton Road jest spokój. Było tam paskudnie brudno i pusto. Przez całą drogę nie widziałem żywej duszy, no, minęły mnie jedna czy może dwie dorożki. Szedłem tak, myśląc, że przydałaby mi się teraz szklaneczka gorącego dżinu, gdy nagle spostrzegłem kątem oka światło w oknie. Wiedziałem, że te dwa domy przy Lauriston Gardens stoją puste, bo ich właściciel nie chce naprawić kanalizacji, chociaż ostatni lokator, który tam mieszkał, umarł na tyfus. Dlatego zamurowało mnie, gdy zobaczyłem światło w oknie pustego domu; podejrzewałem, że coś jest nie tak. Kiedy dotarłem do drzwi…

– Zatrzymał się pan, a następnie cofnął do ogrodowej furtki – wtrącił mój towarzysz. – Po co pan to zrobił?

Rance wzdrygnął się gwałtownie i z bezgranicznym zdumieniem na twarzy wpatrywał się w Sherlocka Holmesa.

– No… To prawda, sir – powiedział. – Chociaż diabli wiedzą, skąd pan to wie. Cóż, gdy podszedłem do drzwi, było tam tak pusto, i czułem się taki samotny, że pomyślałem sobie, jak by to było dobrze, gdyby ktoś był ze mną. Nie boję się niczego w świecie żywych. Ale tak jakoś przyszło mi do głowy, że może ten, co umarł na tyfus, przyszedł obejrzeć kanalizację, która go zabiła. Na tę myśl zrobiło mi się nieswojo, więc wróciłem do furtki, żeby sprawdzić, czy nie widać może latarni Murchera. Ale nie było śladu ani jego, ani kogokolwiek innego.

– Nie było nikogo na ulicy?

– Ani żywej duszy, sir. Nawet psa z kulawą nogą. Wówczas wziąłem się w garść, wróciłem i pchnąłem drzwi. W środku nie było nikogo. Poszedłem więc do tego pokoju, gdzie paliło się światło. Na kominku płonęła świeczka, czerwona świeczka, i w jej świet-le zobaczyłem…

– Tak, wiem, co pan zobaczył. Kilka razy obszedł pan pokój, uklęknął przy zwłokach, potem spróbował otworzyć kuchenne drzwi, a później…

John Rance skoczył na równe nogi z przerażoną twarzą, patrząc na nas podejrzliwie.

– Gdzie się pan schował, że pan to wszystko widział? – zawołał. – Coś mi się wydaje, że wie pan o wiele więcej, niż powinien!

Holmes roześmiał się i rzucił na stół swoją wizytówkę.

– Niech pan mnie przypadkiem nie aresztuje za dokonanie morderstwa – powiedział. – Nie jestem wilkiem, tylko jednym z ogarów. Pan Gregson lub

pan Lestrade mogą to potwierdzić. Ale proszę mówić dalej, co pan zrobił potem?

Rance ponownie usiadł, ale jego twarz zachowała wyraz zdumienia.

– Wróciłem do furtki i dałem sygnał gwizdkiem. Wtedy przybiegł Murcher, a z nim dwóch innych policjantów.

– Czy ulica była wtedy pusta?

– No… można tak powiedzieć.

– Co pan ma na myśli?

Twarz konstabla rozjaśniła się w uśmiechu.

– Wielu pijaków widziałem już w życiu – powiedział – ale nigdy kogoś tak zalanego w trupa jak ten gość. Kiedy wyszedłem, był przy furtce, opierał się o barierkę i na całe gardło śpiewał o jakichś sztandarach i Kolumbach czy coś w tym stylu.

– Co to był za człowiek? – spytał Sherlock Holmes.

Wydawało się, że John Rance był nieco poirytowany tym pytaniem.

– No… To był potwornie pijany człowiek. Pewnie zabralibyśmy go na posterunek, gdybyśmy nie mieli tyle roboty.

– A jego twarz, ubiór? Nic pan nie zauważył?! – wtrącił niecierpliwie Holmes.

– Oczywiście że zauważyłem, bo gdy tak się słaniał na nogach, musieliśmy go z Murcherem podtrzymywać. No, w każdym razie, wielkie było z niego chłopisko z czerwoną gębą owiniętą jakąś chustą czy szalem.

– Wystarczy! – zawołał Holmes. – I co się z nim stało?

– I bez tego pijaka mieliśmy mnóstwo roboty na głowie – rzekł urażonym tonem policjant. – Założę się, że w końcu znalazł jakoś drogę do domu.

– A jak był ubrany?

– W brązowy płaszcz.

– Miał w ręce bat?

– Bat? Nie.

– Musiał go zostawić – wymamrotał mój towarzysz. – Nie widział pan potem albo nie słyszał jakiejś dorożki?

– Nie.

– Ma pan tutaj pół suwerena – rzekł Holmes, wstając i sięgając po kapelusz. – Obawiam się, Rance, że nigdy pan nie awansuje w policji. Powinien pan nosić głowę nie tylko dla ozdoby. Czasem wypadałoby jej używać. Mógł pan sobie ostatniej nocy zasłużyć na awans na sierżanta.

Człowiek, którego miał pan w swoich rękach, dzierży klucz do całej tej tajemnicy, i to jego właśnie szukamy. Ach, nie ma sensu spierać się teraz o to! Mówię panu, że tak właśnie jest. Chodźmy już, doktorze.

Razem ruszyliśmy w stronę dorożki, pozostawiając naszego informatora z wyrazem niedowierzania na twarzy. Najwyraźniej czuł się dość nieswojo.

– Co za skończony głupiec! – rzekł gorzko Holmes, gdy jechaliśmy do swojego mieszkania. – Pomyśleć tylko, że miał takie niewyobrażalne szczęście i nie wykorzystał tego.

– Jeśli o mnie chodzi, to dalej nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. To prawda, że opis tego człowieka pokrywa się z wyglądem drugiego osobnika zamieszanego w sprawę. Ale po co miałby wracać do tego domu, skoro już z niego wyszedł? Przestępcy tak nie robią.

– Po obrączkę, człowieku, po obrączkę! Po nią właśnie wracał. Jeśli nie będziemy mieli żadnego innego sposobu, żeby go schwytać, zawsze możemy spróbować użyć obrączki jako przynęty. Złapię go, doktorze. Postawiłbym zakład dwa do jednego, że go złapię. Muszę ci za to wszystko podziękować. Gdyby nie ty, może w ogóle bym tam nie pojechał i straciłbym najbardziej złożoną sprawę, na jaką się kiedykolwiek natknąłem. To niezwykłe studium zbrodni, jak sądzę. Studium w szkarłacie, prawda? Czemuż nie mielibyśmy użyć takiego artystycznego określenia. Mamy szkarłatną od krwi nić zbrodni, biegnącą przez bezbarwny kłębek życia, a naszym zadaniem jest ją odnaleźć, oddzielić od pozostałych i obnażyć każdy jej cal. Ale teraz chodźmy na lunch, a potem na koncert Norman Nerudy. Jej pasja i technika są wspaniałe! Jak brzmiał ten utwór Chopina, który tak świetnie gra? Tra-la-la-lira-lira-lej.

I już po chwili ten osobliwy łowca przestępców, rozparty wygodnie w dorożce, śpiewał jak skowronek. Ja zaś pogrążyłem się w zadumie nad złożonością ludzkiej natury.

Rozdział piąty

Nasze ogłoszenie sprowadza gościa

Poranna wyprawa okazała się zbyt wielkim obciążeniem dla mojego zdrowia, i po południu byłem bardzo zmęczony. Holmes poszedł na koncert, a ja spróbowałem przespać się parę godzin. Próba ta okazała się całkowicie bezowocna. Byłem zbyt podekscytowany wszystkim, co się wydarzyło, a w mojej głowie kłębiły się przedziwne domysły i przypuszczenia. Za każdym razem, gdy przymykałem oczy, widziałem wykrzywioną małpią twarz ofiary. Wywarła ona na mnie tak ponure i przygnębiające wrażenie, że trudno było nie odczuwać wdzięczności dla człowieka, który usunął go z tego świata. Jeżeli ludzkie rysy mogą świadczyć o czyichś słabościach, okrucieństwie i innych najgorszych cechach charakteru, to twarz Enocha J. Drebbera z Cleveland z całą pewnością była tego dowodem. Niemniej zdawałem sobie sprawę, że sprawiedliwości musi stać się zadość i że zdeprawowanie ofiary zbrodni nie jest w oczach prawa okolicznością łagodzącą.

Im więcej o tym wszystkim myślałem, tym bardziej niezwykła wydawała mi się hipoteza mojego towarzysza, jakoby człowiek ten został otruty. Pamiętałem, jak Holmes pochylił się, by powąchać jego usta, i nie wątpiłem, że odkrył coś, co nasunęło mu właśnie ten pomysł. Ale cóż innego, jeśli nie trucizna, mogłoby spowodować śmierć tego człowieka, skoro na jego ciele nie było żadnych ran ani śladów duszenia? Z drugiej jednak strony, czyja krew tak gęsto i obficie zachlapała podłogę? Nie było żadnych śladów walki, a ofiara nie miała przy sobie żadnej broni, którą mogłaby ranić swego napastnika. Czułem, że dopóki te pytania pozostaną bez odpowiedzi, nie będzie łatwo zasnąć ani mnie, ani Holmesowi. Jego spokojne, pewne siebie zachowanie przekonało mnie, że sformułował już

jakąś teorię wyjaśniającą wszystkie znane fakty, choć w tym momencie nie miałem zielonego pojęcia, jaka to była teoria.

Wrócił do domu bardzo późno. Tak późno, że wiedziałem, iż koncert nie mógł się aż tak bardzo przeciągnąć. Nim się pojawił, podano kolację.

– To było cudowne – powiedział, siadając przy stole. – Pamiętasz, co mówił Darwin o muzyce? Twierdził, że ludzkość nauczyła się tworzyć muzykę i doceniać ją jeszcze na długo przedtem, nim zyskała zdolność mówienia. Może dlatego wywiera na nas tak istotny wpływ? Wciąż mamy w duszach niejasne wspomnienia tych pradawnych czasów, gdy świat był jeszcze młody.

– To dość oryginalne podejście – zauważyłem.

– Nasze podejście powinno obejmować naturę ludzkich odczuć, skoro próbujemy je interpretować – odparł. – Ale co się stało? Wyglądasz trochę nieswojo. Ta sprawa z Brixton Road chyba wytrąciła cię trochę z równowagi.

– Prawdę mówiąc, tak – odparłem. – Po tym, co przeżyłem w Afganistanie, powinienem być twardszy. Widziałem moich towarzyszy rozszarpywanych na kawałki pod Maiwand i wtedy jakoś nie traciłem panowania nad sobą.

– Potrafię to zrozumieć. Tutaj mamy do czynienia z tajemnicą, która pobudza wyobraźnię. Tam, gdzie nie ma wyobraźni, nie ma strachu. Widziałeś wieczorną gazetę?

– Nie.

– Dość dobrze zrelacjonowano w niej fakty dotyczące tej sprawy. Nie ma jednak żadnej wzmianki o tym, że wówczas, gdy podnoszono ofiarę, na podłogę spadła kobieca obrączka. I bardzo dobrze.

– Dlaczego?

– Spójrz tylko na to ogłoszenie – odparł. – Dziś rano, kiedy wstąpiliśmy do biura telegraficznego, wysłałem je do wszystkich gazet.

Rzucił mi na stół gazetę, a ja spojrzałem na szpaltę, którą mi wskazał. Było to pierwsze ogłoszenie w rubryce „Znaleziono”. Oto jego treść:

> Dziś rano przy Brixton Road między gospodą „Pod Białym Jeleniem” a Holland Grove znaleziono gładką złotą obrączkę. Proszę zgłaszać się do doktora Watsona, Baker Street 221b, między ósmą a dziewiątą dziś wieczorem.

– Wybacz, że posłużyłem się twoim nazwiskiem – powiedział. – Gdybym podał moje własne, któryś z tych cymbałów ze Scotland Yardu mógłby to zobaczyć i zapragnąć przeszkodzić nam.

– W porządku, nic się nie stało – odparłem. – Ale nawet zakładając, że ktoś się zgłosi, nie mam przecież tej obrączki.

– Ależ owszem, masz! – odparł, podając mi złoty krążek. – Powinna się świetnie nadawać. To niemal wierna kopia.

– A jak sądzisz, kto odpowie na to ogłoszenie?

– No jak to! Mężczyzna w brązowym płaszczu. Nasz rumiany przyjaciel w butach z kwadratowymi noskami. Nawet jeśli sam się po nią nie zjawi, wyśle jakiegoś wspólnika.

– Nie uzna, że to zbyt niebezpieczne?

– Ależ bynajmniej. Jeśli właściwie widzę tę sprawę, a mam wszelkie powody, by wierzyć, że tak właśnie jest, ten człowiek wolałby zaryzykować wszystkim, niż utracić tę obrączkę. Tak jak się tego domyślam, musiał ją upuścić, gdy pochylał się nad ciałem Drebbera, i wówczas nie zauważył tego. Po wyjściu z domu odkrył jej brak i pospiesznie wrócił, przekonał się jednak, że na miejscu była już policja, i to za sprawą jego własnego błędu, polegającego na tym, że nie zgasił świecy. Musiał więc udawać pijanego, by nie wzbudzić podejrzeń, które mogły się zrodzić, gdy pojawił się przy furtce. A teraz postaw się na miejscu tego człowieka. Gdy przemyślał przebieg zajścia, musiało mu przyjść do głowy, że być może zgubił tę obrączkę już na ulicy, po wyjściu z domu. I co by wtedy zrobił? Na pewno niecierpliwie czekałby na wieczorne gazety w nadziei, że znajdzie swoją zgubę w rubryce rzeczy znalezionych. Oczywiście informacja o tym wpadłaby mu w oko. Byłby niezmiernie uradowany. Czemuż miałby się obawiać jakiejś pułapki? Nie powinien mieć żadnych powodów, by podejrzewać, że odnalezienie obrączki może mieć związek z tym morderstwem. Na pewno przyjdzie. Zjawi się tu w ciągu godziny.

– A potem? – spytałem.

– Och, potem możesz mi go zostawić. Już ja sobie z nim poradzę. Masz jakąś broń?

– Mam stary służbowy rewolwer i parę naboi.

– To lepiej go wyczyść i naładuj. Ten człowiek to desperat, i choć liczę na to, że go zaskoczę, równie dobrze może być gotów na wszystko.

Poszedłem do mojej sypialni i zrobiłem tak, jak mi radził. Gdy wróciłem z bronią, stół był już uprzątnięty, a Holmesa pochłonęło jego ulubione zajęcie – rzępolił na swoich skrzypcach.

– Wiemy o tej sprawie coraz więcej – rzekł, gdy wszedłem. – Właśnie dostałem odpowiedź na mój telegram wysłany do Ameryki. Słusznie oceniłem tę sprawę.

– To znaczy? – spytałem skwapliwie.

– Przydałyby mi się nowe struny do skrzypiec – zauważył. – Włóż swój rewolwer do kieszeni. Kiedy zjawi się ten człowiek, rozmawiaj z nim jakby nigdy nic. Resztę pozostaw mnie. I nie przyglądaj mu się zbyt badawczo, bo możesz go spłoszyć.

– Jest ósma – powiedziałem, zerkając na zegarek.

– Tak. Prawdopodobnie pojawi się tu za parę minut. Uchyl lekko drzwi. Tak, wystarczy. A teraz przełóż klucz na wewnętrzną stronę. Dziękuję! Spójrz, jaką dziwną starą książkę znalazłem wczoraj na straganie! *De Jure inter Gentes*, wydana po łacinie w 1642 roku w Liège. Król Karol wciąż jeszcze miał głowę na karku, gdy ten mały tomik w brązowej oprawie opuszczał drukarnię.

– Kto był wydawcą?

– Niejaki Philippe de Croy, kimkolwiek on był. Na pierwszej stronie widnieje inskrypcja napisana bardzo wyblakłym już atramentem: „Ex libris Guliolmi Whyte”. Zastanawiam się, kim był ten William Whyte. Przypuszczam, że jakimś siedemnastowiecznym pragmatycznym prawnikiem. Jego styl cechuje typowa dla prawników maniera. Ale oto i nasz człowiek, jak sądzę.

Gdy wypowiadał te słowa, rozległ się ostry dźwięk dzwonka. Sherlock Holmes spokojnie wstał i przesunął swoje krzesło w kierunku drzwi. Usłyszeliśmy kroki służącej przechodzącej przez korytarz, a następnie zgrzyt zasuwy przy drzwiach.

– Czy mieszka tutaj doktor Watson? – spytał wyraźny, dość ostry głos.

Nie byliśmy w stanie usłyszeć odpowiedzi służącej, dobiegł do nas dźwięk zamykanych drzwi, ktoś zaczął wchodzić po schodach. Kroki były niepewne, tak jakby idący powłóczył nogami. Gdy mój towarzysz je usłyszał, na jego twarzy na moment pojawił się wyraz zaskoczenia. Człowiek zmierzał teraz wolno korytarzem w naszą stronę, następnie rozległo się nieśmiałe pukanie do drzwi.

– Proszę wejść! – zawołałem.

Zamiast silnego mężczyzny, którego się spodziewaliśmy, kuśtykając, weszła do pokoju na moje zaproszenie bardzo stara pomarszczona kobieta. Wydawało się, że oślepił ją nagle blask światła. Dygnęła i przez chwilę stała niezdecydowana, mrugając zapuchniętymi oczami. Potem zaczęła niezdarnie szukać czegoś w kieszeni swymi nerwowymi drżącymi palcami. Spojrzałem na mojego towarzysza, lecz on wyglądał na tak zaskoczonego, że jedyne, co byłem w stanie zrobić, to spróbować zachować powagę.

Staruszka wyciągnęła wieczorną gazetę i wskazała na nasze ogłoszenie.

– To mnie tu sprowadziło, moi dobrzy panowie – powiedziała, znów dygając. – Złota obrączka z Brixton Road. Należy do mojej dziewczynki Sally, która wyszła za mąż zaledwie rok temu. Jej mąż jest stewardem na statku, i strach pomyśleć, co by powiedział, gdyby wrócił do domu i zobaczył, że Sally nie ma swej obrączki. Nawet nie chcę o tym myśleć! I tak przez większość czasu się wścieka, ale już najbardziej, jak się napije. Wczoraj wieczorem moja córeczka szła na plac…

– To jej obrączka? – spytałem.

– Bogu niech będą dzięki! – zawołała staruszka. – Sally będzie dziś wieczorem szczęśliwą kobietą! Tak, to ta obrączka.

– A pani gdzie mieszka? – dopytywałem się, sięgając po ołówek.

– Przy Duncan Street, Houndsditch, pod numerem 13. Szmat drogi stąd.

– Brixton Road nie leży między żadnym placem a Houndsditch! – odezwał się ostro Sherlock Holmes.

Starsza kobieta odwróciła się w jego stronę i bystro mu się przyjrzała swoimi małymi zaczerwienionymi oczkami.

– Ten dżentelmen prosił, żebym podała mój adres – odparła. – Sally wynajmuje mieszkanie przy Mayfield Place, w Peckham, pod numerem 3.

– A nazywa się pani…

– Nazywam się Sawyer. A moja córka nazywa się Dennis, po tym Tomie Dennisie, który się z nią ożenił. To bystry porządny chłop, dopóki jest na morzu, nie mają drugiego takiego stewarda jak on, ale gdy tylko zejdzie na ląd, w głowie mu tylko kobiety i bary.

– Oto pani obrączka, pani Sawyer – przerwałem jej, na znak dany mi przez mojego towarzysza. – Jak widzę, należy do pani córki, a ja bardzo się cieszę, mogąc ją zwrócić prawowitej właścicielce.

Błogosławiąc mnie i mamrocząc słowa wdzięczności, staruszka wepchnęła obrączkę do kieszeni i, powłócząc nogami, zeszła po schodach. W chwili gdy znikła, Sherlock Holmes skoczył na równe nogi i pędem pobiegł do swojego pokoju. Wrócił po kilku sekundach, odziany w długi wełniany płaszcz z apaszką na szyi.

– Będę ją śledził – rzucił pospiesznie. – Musi być jego wspólniczką i na pewno mnie do niego doprowadzi. Zaczekaj na mnie.

Ledwie drzwi w holu zdążyły się za nią zatrzasnąć, Holmes pędem zbiegł po schodach.

Widziałem ją przez okno, jak szła chwiejnym krokiem drugą stroną ulicy, Holmes zaś podążał w niewielkiej odległości za nią. Albo ta jego teoria jest błędna, pomyślałem sobie, albo też ta kobieta doprowadzi go teraz do istoty tajemnicy. Niepotrzebnie mnie nawet prosił, bym nie kładł się spać, póki nie wróci. Wiedziałem, że na pewno nie zasnę, póki się nie dowiem, jaki był efekt jego wyprawy.

Gdy wyruszał, była prawie dziewiąta. Nie miałem pojęcia, jak długo go nie będzie, siedziałem więc, paląc fajkę i przerzucając strony *Vie de Bohème* Henri Murgera. Minęła dziesiąta; usłyszałem kroki służącej, udającej się na spoczynek. O jedenastej koło moich drzwi rozległy się bardziej dostojne kroki naszej gospodyni, która też zmierzała do swej sypialni. Dochodziła dwunasta, gdy wreszcie usłyszałem ostry dźwięk klucza przekręcanego w zamku. Już w chwili gdy wszedł, poznałem po jego twarzy, że mu się nie powiodło. Wyglądał tak, jakby sam nie był pewny swych odczuć. Najwyraźniej walczyło w nim rozbawienie z poczuciem rozczarowania, aż wreszcie to pierwsze wzięło górę, i wybuchnął szczerym śmiechem.

– Za nic w świecie nie chciałbym, żeby dowiedzieli się o tym ci ze Scotland Yardu – powiedział, opadając na krzesło. – Tak sobie z nich podkpiwałem, że teraz straciliby dla mnie cały szacunek. Ale mogę się teraz z tego śmiać, bo wiem, że koniec końców i tak postawię na swoim.

– Co się stało? – spytałem.

– Och, nie mam nic przeciwko temu, by opowiedzieć ci historię mojej porażki. Ta kobiecina przeszła kawałek drogi, a potem zaczęła utykać, i wyglądało na to, że rozbolały ją nogi. Wkrótce potem przystanęła i przywołała przejeżdżającą dorożkę. Zbliżyłem się do niej na tyle, by usłyszeć, jaki poda adres, ale niepotrzebnie się starałem. Wywrzeszczała go

tak głośno, że było ją słychać na drugiej stronie ulicy: „Jedź pan do Houndsditch, na Duncan Street 13!”. Zaczęło to wyglądać na prawdziwą historię, i gdy zobaczyłem, że siedzi już w środku, sam wskoczyłem na tylny próg dorożki. To sztuka, którą każdy detektyw powinien opanować do perfekcji. Ruszyliśmy w drogę i nie zatrzymywaliśmy się, póki nie dotarliśmy na podaną przez nią ulicę. Nim zajechaliśmy pod drzwi, zeskoczyłem i spokojnym leniwym krokiem ruszyłem ulicą. Ujrzałem, że dorożka się zatrzymuje. Woźnica zeskoczył, i widziałem, jak otwiera drzwi. Stał tak, czekając, aż jego pasażerka wysiądzie. Nikt jednak nie wysiadł. Gdy się z nim zrównałem, zobaczyłem, że gorączkowo bada wnętrze pustej dorożki, wyrzucając z siebie najbardziej kwiecistą wiązankę przekleństw, jaką kiedykolwiek miałem okazję usłyszeć. Po jego pasażerce nie było nawet śladu, i obawiam się, że minie sporo czasu, nim odbierze od niej opłatę za przejazd, która mu się należy. Gdy zajrzałem pod numer 13, dowiedziałem się, że dom należy do szanowanego tapeciarza o nazwisku Keswick, i nikt tam nie słyszał o żadnych Sawyerach czy Dennisach.

– Nie chcesz chyba powiedzieć – zawołałem zdumiony – że ta roztrzęsiona słaba kobiecina potrafiła wydostać się z jadącej dorożki tak, że nie zauważyliście tego ani dorożkarz, ani ty!

– Cholera by ją wzięła, tę babę! – rzekł ostro Sherlock Holmes. – Sami zachowaliśmy się jak stare baby, bo daliśmy się nabrać. To musiał być młody mężczyzna, i oprócz tego, że był niezrównanym aktorem, musiał być też bardzo zwinny. To przebranie było po prostu niesamowite! Na pewno zorientował się, że jest śledzony, i skorzystał z okazji, by mnie zgubić. A to świadczy o tym, że człowiek, którego ścigamy, wcale nie jest takim samotnikiem, jak mi się wydawało. Najwyraźniej ma przyjaciół, którzy gotowi są podjąć dla niego spore ryzyko. Ale ja tu gadam… a ty, jak widzę, jesteś zmordowany. Posłuchaj lepiej mojej rady i idź się położyć.

Rzeczywiście byłem już bardzo znużony, uczyniłem więc tak, jak powiedział. Zostawiłem Holmesa siedzącego przy tlącym się na kominku ogniu i jeszcze długo w nocy słyszałem ciche melancholijne zawodzenie jego skrzypiec. Wiedziałem, że wciąż się zastanawia nad tym dziwnym problemem, który postanowił rozwiązać.

Rozdział szósty

Tobias Gregson pokazuje, na co go stać

Następnego dnia w gazetach pełno było relacji o „tajemnicy z Brixton”, jak zaczęto nazywać tę sprawę. W każdej z nich pojawiła się obszerna notatka, a w niektórych pisano o niej również we wstępnych artykułach. Znalazły się tam pewne informacje, które były dla mnie nowością. Wciąż jeszcze przechowuję liczne wycinki z prasy dotyczące tej sprawy. A oto treść niektórych z nich.

„Daily Telegraph” pisała, że w historii zbrodni długo trzeba by szukać tragedii związanej z dziwniejszymi okolicznościami. Niemieckie nazwisko ofiary, brak jakichkolwiek innych motywów, złowrogi napis na ścianie – wszystko to wskazywało, że zbrodnię popełnili jacyś uchodźcy polityczni i rewolucjoniści. W Ameryce istniało wiele organizacji socjalistycznych, i zamordowany bez wątpienia musiał pogwałcić ich niepisane prawa, w związku z czym wyśledzili i dopadli go ich emisariusze. Po swobodnych aluzjach do Femegericht, aqua tofana, karbonariuszy, markizy de Brinvilliers, teorii Darwina, prawa Malthusa oraz morderstw z Ratcliff Highway artykuł kończył się przestrogą dla rządu, by ten baczniej przyglądał się cudzoziemcom przybywającym do Anglii.

W „Standard” pojawił się komentarz, że tego rodzaju bezprawne akty przemocy zdarzają się zazwyczaj za rządów liberałów. Ich przyczyną jest podburzanie mas, prowadzące w konsekwencji do osłabienia wszelkiej władzy. Zamordowany był dżentelmenem z Ameryki, który od kilku dni przebywał w metropolii. Wynajmował pokój u *madame* Charpentier przy Torquay Terrace w Camberwell. W podróży towarzyszył mu jego prywatny sekretarz pan Joseph Stangerson. Obaj pożegnali się ze swą gospodynią we wtorek, czwartego bieżącego miesiąca, i udali się na Euston Station, deklarując wcześniej, że zamierzają zdążyć na ekspres do Liverpoolu.

Następnie widziano ich razem na peronie. Nic więcej o nich nie wiadomo, aż do chwili, gdy odnaleziono ciało pana Drebbera w opuszczonym domu przy Brixton Road, wiele mil od Euston. W jaki sposób tam dotarł i dlaczego spotkał go ten los – to pytania, które wciąż pozostają bez odpowiedzi. Miejsce pobytu Stangersona jest nadal nieznane. Z przyjemnością natomiast odnotowujemy, że do rozwiązania tej sprawy przydzieleni zostali pan Lestrade i pan Gregson ze Scotland Yardu, co pozwala oczekiwać, iż ci słynni inspektorzy policji już wkrótce ją rozwiążą.

„Daily News” zauważała, iż przestępstwo to było zdecydowanie natury politycznej. Za sprawą despotyzmu oraz nienawiści do liberałów, jakie cechują rządy niektórych państw europejskich, do naszych brzegów zawitało wielu ludzi, którzy byliby wspaniałymi obywatelami, gdyby nie pamięć o tym, co przeszli. Wśród tych ludzi obowiązuje ścisły kodeks honorowy, a jego naruszenie karane jest śmiercią. Należy podjąć wszelkie próby, aby odnaleźć sekretarza Stangersona i zdobyć od niego szczegółowe informacje dotyczące życia zmarłego. Ogromnym krokiem naprzód w śledztwie było poznanie adresu domu, w którym wynajmował kwaterę. Efekt ten zawdzięczamy wyłącznie przenik-liwości i energii pana Gregsona ze Scotland Yardu.

Przejrzeliśmy z Sherlockiem Holmesem te notatki podczas śniadania, i odniosłem wrażenie, że one szalenie go rozbawiły.

– Mówiłem ci, że bez względu na to, co się stanie, wszelkie zasługi przypadną na pewno Lestrade’owi i Gregsonowi.

– Zależy, jak sprawa się rozwinie.

– Och, daj spokój! To akurat nie ma najmniejszego znaczenia. Jeśli ten człowiek zostanie schwytany, będzie to efektem ich wysiłków, jeśli zaś ucieknie, stanie się to mimo ich wysiłków. Jak będzie orzeł, to ja wygrywam, a jak reszka, to ty przegrywasz. Niezależnie od tego co zrobią, i tak zawsze ich będzie na wierzchu. *Un sot trouve toujours un plus sot qui l’admire*.

– A to co, u licha! – zawołałem, bo w tej właśnie chwili usłyszałem tupot wielu kroków w korytarzu i na schodach, którym towarzyszyły głośne i niezadowolone krzyki naszej gospodyni.

– To wydział policji z Baker Street – rzekł z powagą mój towarzysz, a w chwili gdy wypowiadał te słowa, do pokoju wbiegło pół tuzina

najbrudniejszych i najbardziej obszarpanych dzieciaków z ulicy, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Baczność! – zawołał Holmes ostrym tonem, a sześciu małych brudnych obdartusów wyprężyło się, stając w szeregu niczym sześć posążków. – W przyszłości macie przysyłać tu na górę jedynie Wigginsa, żeby zdał mi raport, a reszta ma czekać na ulicy. Znaleźliście go, Wiggins?

– Nie, sir. Nie znaleźliśmy – odparł jeden z chłopaków.

– Nie liczyłem na to, że wam się uda. Musicie go dalej szukać, dopóki nie znajdziecie. Oto wasza zapłata – mówiąc to, wręczył każdemu z nich po szylingu. – A teraz zmiatajcie stąd i następnym razem wróćcie z lepszymi wiadomościami.

Machnął ręką, a oni potruchtali po schodach jak stado szczurów, i po chwili usłyszeliśmy ich głośne wrzaski na ulicy.

– Każdy z tych małych urwisów potrafi lepiej pracować niż cały tuzin policjantów – zauważył Holmes. – Już na sam widok człowieka w mundurze ludziom zamykają się usta. Ci chłopcy mogą wejść dosłownie wszędzie i usłyszeć wszystko. Są też niesamowicie bystrzy, trzeba tylko ukierunkować ich i wziąć w karby.

– Zatrudniasz ich w związku z tą sprawą z Brixton Road? – spytałem.

– Tak. Potrzebuję ustalić pewien fakt, ale to tylko kwestia czasu. O! Zaraz usłyszymy nowiny, i to ważne nowiny! Idzie tu właśnie Gregson, a jego twarz wyraża ogromne zadowolenie. Zmierza do nas, jestem pewien. Tak. Zatrzymał się. Oto i on!

Rozległo się uporczywe dzwonienie do drzwi; po kilku chwilach jasnowłosy detektyw wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie, i wpadł do naszego salonu.

– Mój drogi panie! – zawołał, ściskając rękę podaną mu z rezerwą przez Holmesa. – Może mi pan pogratulować! Rozwiązałem tę sprawę!

Na wyrazistej twarzy mego przyjaciela dostrzegłem cień niepokoju.

– To znaczy, jest pan na właściwym tropie? – spytał.

– Na właściwym tropie? Nie, sir, mamy już naszego człowieka pod kluczem!

– A jak się nazywa?

– Arthur Charpentier, podporucznik królewskiej marynarki – odparł z dumą Gregson, zacierając swoje pulchne dłonie i prężąc pierś.

Sherlock Holmes odetchnął z ulgą, odprężył się i uśmiechnął.

– Proszę usiąść i poczęstować się cygarem – powiedział. – Bardzo chcielibyśmy się dowiedzieć, jak się to panu udało. Napije się pan whisky z wodą?

– Bardzo chętnie – odparł detektyw. – Jestem zmęczony tym strasznym wysiłkiem, na jaki musiałem się zdobyć w ciągu ostatnich dni. Chodzi mi nie tyle o wysiłek fizyczny, ale przede wszystkim umysłowy. Na pewno pan to świetnie rozumie, panie Holmes, bo obaj pracujemy głową.

– Doprawdy, chyba za bardzo mi pan schlebia – odparł z powagą Holmes. – A teraz proszę mi opowiedzieć, w jaki sposób udało się panu osiągnąć tak wspaniały rezultat.

Detektyw rozsiadł się w fotelu i zadowolony z siebie zaciągnął się cygarem. Potem nagle uderzył dłonią w udo i zaczął się śmiać.

– Najzabawniejsze w tym wszystkim jest to – wykrzyknął – że ten głupiec Lestrade, który ma tak wysokie mniemanie o sobie, podążył fałszywym tropem! Próbuje znaleźć tego sekretarza, Stangersona, który miał tyle wspólnego ze zbrodnią, co nowo narodzone dziecko. Nie wątpię, że do tej pory na pewno go już złapał.

Ta myśl tak rozweseliła Gregsona, że śmiał się długo, aż się zakrztusił.

– A w jaki sposób wpadł pan na właściwy trop?

– Ach! Opowiem panu o tym. Oczywiście, doktorze Watson, musi to zostać wyłącznie między nami. Pierwsza trudność, którą musieliśmy pokonać, polegała na tym, by dowiedzieć się czegoś o przeszłości tego Amerykanina. Inni woleli czekać, aż pojawi się jakaś odpowiedź na ich ogłoszenia lub zjawi się ktoś, kto z własnej woli udzieli informacji. Ale Tobias Gregson działa inaczej! Pamięta pan ten cylinder, który leżał przy nieboszczyku?

– Tak – odparł Holmes. – Ze sklepu firmy John Underwood and Sons, Camberwell Road 129.

Gregson wyglądał na zawiedzionego.

– Nie miałem pojęcia, że pan to zauważył – powiedział. – Był pan tam?

– Nie.

– Ha! – zawołał z ulgą Gregson. – Nie powinno się lekceważyć nawet najmniejszej szansy, choćby wydawała się zupełnie nieistotna.

– Dla wielkiego umysłu nic nie jest nieistotne – oznajmił sentencjonalnie Holmes.

– Udałem się więc do Underwooda i spytałem go, czy sprzedali cylinder tego rozmiaru człowiekowi o takim wyglądzie. Przejrzał swoje księgi i od razu go znalazł. Przesłał ten cylinder niejakiemu panu Drebberowi, zamieszkałemu w pensjonacie pani Charpentier przy Torquay Terrace. W ten sposób zdobyłem jego adres.

– Mądrze! Bardzo mądrze… – wymruczał Sherlock Holmes.

– Następnie złożyłem wizytę *madame* Charpentier – ciągnął dalej detektyw.

Zastałem ją bardzo bladą i przygnębioną. W pokoju była również jej córka, dziewczyna niezwykłej urody. Miała zaczerwienione oczy, a gdy do niej mówiłem, usta jej drżały. Nie umknęło to mojej uwadze. Zacząłem wierzyć, że znalazłem trop. Zna pan to uczucie, panie Holmes, kiedy trafi się na właściwy ślad. Ten dreszczyk emocji!

– Czy słyszała pani o tajemniczej śmierci jej niedawnego lokatora, pana Enocha J. Drebbera z Cleveland? – spytałem.

Madame skinęła głową. Wyglądało na to, że nie jest w stanie wydobyć z siebie nawet słowa. Dziewczyna natomiast zalała się łzami. Stało się dla mnie oczywistym, że obie kobiety coś wiedzą o tej sprawie.

– O której godzinie pan Drebber wyszedł z pani pensjonatu na pociąg? – pytałem dalej.

– O ósmej – odparła, przełykając z trudem ślinę i próbując zapanować nad głosem. – Jego sekretarz pan Stangerson powiedział, że mają dwa pociągi: jeden o 9.15, a drugi o 11.00. Chcieli zdążyć na ten pierwszy.

– I wtedy widziała go pani po raz ostatni?

Gdy zadałem to pytanie, twarz kobiety zmieniła się nie do poznania. Pobladła tak, że zrobiła się wręcz sina. Minęło parę sekund, nim była w stanie wydobyć z siebie jedno słowo: „Tak”, lecz wypowiedziała je ochrypłym nienaturalnym głosem.

Na chwilę zapadło milczenie, po czym jej córka odezwała się cicho:

– Nic nam dobrego nie przyjdzie z kłamstw, matko – powiedziała. – Bądźmy szczere z tym dżentelmenem. Widziałyśmy później pana Drebbera.

– Niech ci Bóg wybaczy! – zawołała *madame* Charpentier, chwytając się za głowę i osuwając się na fotel. – Zamordowałaś właśnie swojego brata!

– Arthur wolałby, żebyśmy powiedziały prawdę – odparła stanowczo dziewczyna.

– Najlepiej pani zrobi, wyznając mi całą prawdę – powiedziałem. – Lepiej już nic nie mówić, niż mówić tylko część prawdy. Poza tym nie ma pani pojęcia, ile już wiemy.

– Ty będziesz za to odpowiedzialna, Alice – zawołała jej matka i, zwracając się do mnie, rzekła: – Opowiem panu o wszystkim, sir. Niech pan nie sądzi, że moje poruszenie wynika z obawy, iż mój syn był w jakikolwiek sposób zamieszany w tę straszną sprawę. Jest całkowicie niewinny. Boję się jedynie, że w pańskich oczach i w oczach innych ludzi może się wydać podejrzany. Takie posądzenie jest całkowicie absurdalne. Świadczy o tym jego wspaniały charakter, zawód i cała jego przeszłość.

– Zrobiłaby pani najlepiej, wyznając mi wszystko, co pani wie. Niech się pani nie obawia: jeżeli pani syn jest niewinny, na pewno to mu nie zaszkodzi.

– Alice, chyba najlepiej będzie, jeśli zostawisz nas samych – rzekła do córki, i dziewczyna wyszła z pokoju.

– A teraz, sir, proszę posłuchać – ciągnęła dalej. – Nie miałam zamiaru mówić panu o tym, co zaszło, ale skoro moja biedna córka już ujawniła część prawdy, nie mam wyboru. Zdecydowałam już, że będę mówić, więc opowiem panu o wszystkim, nie pomijając żadnego szczegółu.

– Jest to bardzo mądra decyzja – odparłem.

– Pan Drebber mieszkał u nas prawie trzy tygodnie. On i jego sekretarz, pan Stangerson, podróżowali po kontynencie. Zauważyłam na ich kufrach naklejkę z Kopenhagi, co świadczyło o tym, że tam się ostatnio zatrzymywali. Stangerson był spokojnym, pełnym rezerwy człowiekiem, ale z przykrością muszę stwierdzić, że jego pracodawca należał do zupełnie innego typu ludzi. Zachowywał się wulgarnie i prymitywnie. Już tej samej nocy, gdy do nas zawitał, wypił o wiele za dużo, a następnego dnia o dwunastej w południe trudno byłoby nazwać go trzeźwym. Wobec pokojówek zachowywał się wyjątkowo obrzydliwie i pozwalał sobie na bezczelne uwagi, ale najgorsze z tego wszystkiego było to, że wkrótce zaczął tak samo odnosić się do mojej córki Alice, i kilka razy zdarzyło mu się odezwać do niej w sposób, którego na szczęście nie zrozumiała, bo jest na to zbyt niewinna. Raz zdarzyło się nawet, że chwycił ją za ramię i przytulił do siebie wbrew jej woli. Wtedy nawet jego własny sekretarz złajał go za to zachowanie niegodne mężczyzny.

– To dlaczego tolerowałyście taki sposób bycia? – spytałem. – Przypuszczam, że macie prawo wyprosić uciążliwych lokatorów?

Słysząc tę celną uwagę, pani Charpentier oblała się rumieńcem.

– Bóg mi świadkiem, że kazałabym mu się wyprowadzić jeszcze tego samego dnia, kiedy się tu zjawił. Chciwość była jednak silniejsza. Płacili mi funta dziennie od osoby, czternaście funtów na tydzień, a w tym okresie nie miewamy zbyt wielu gości. Jestem wdową, mój syn służy w marynarce, a to kosztuje. Nie chciałam stracić takich pieniędzy. Wydawało mi się, że robię najlepiej, jak mogę. Jednakże ostatni wybryk pana Drebbera był kroplą, która przepełniła czarę, i spowodował, że kazałam mu się wynosić. To właś-nie dlatego się wyprowadził.

– I co się potem stało?

– Ulżyło mi, gdy zobaczyłam, jak odjeżdża. Mój syn jest w tej chwili na przepustce, ale nic mu o tym wszystkim nie wspomniałam, bo ma dość ognisty temperament, a swoją siostrę wręcz uwielbia. Kiedy wreszcie zamknęłam za nimi drzwi, poczułam, jak kamień spadł mi z serca. Niestety, po niecałej godzinie rozległ się dzwonek, i zobaczyłam, że pan Drebber powrócił. Był podekscytowany i bardzo pijany. Wdarł się siłą do pokoju, w którym siedziałam z córką, i bełkotał coś bez ładu i składu o tym, że spóźnił się na pociąg. Potem zwrócił się do Alice i w mojej obecności zaproponował jej, żeby z nim uciekła! „Jesteś już pełnoletnia. Prawo cię nie może powstrzymać. Mam mnóstwo pieniędzy. Nie przejmuj się tą starą, tylko natychmiast ze mną wyjedź. Będziesz żyła jak księżniczka!” – powiedział. Biedna Alice była tak przerażona, że odsunęła się od niego, złapał ją jednak za nadgarstek i spróbował pociągnąć w stronę drzwi. Krzyknęłam, i w tej właśnie chwili do pokoju wszedł mój syn Arthur. Nie wiem, co się stało później. Słyszałam przekleństwa i odgłosy szamotaniny. Byłam zbyt przerażona, by cokolwiek uczynić. Kiedy podniosłam głowę, ujrzałam w drzwiach Arthura z kijem w dłoni. „Nie sądzę, żeby ten miły dżentelmen jeszcze kiedykolwiek zechciał nas nachodzić – powiedział. – Pójdę jeszcze za nim i sprawdzę, dokąd się wybiera”. Po tych słowach wziął swój kapelusz i wyszedł na ulicę. Następnego ranka dowiedziałyśmy się o tajemniczej śmierci pana Drebbera.

– Pani Charpentier przedstawiła mi tę historię, wielokrotnie wzdychając i przerywając opowieść – kontynuował Gregson. – Czasami mówiła tak cicho, że ledwie byłem w stanie zrozumieć jej słowa. Zanotowałem sobie

wszystko, co powiedziała, żeby wykluczyć możliwość popełnienia jakiegokolwiek błędu.

– To bardzo interesujące – powiedział Sherlock Holmes, ziewając. – Co się stało później?

– Gdy pani Charpentier skończyła swą opowieść – ciągnął detektyw – zorientowałem się, że cała sprawa kręci się wokół wyjścia z domu jej syna. Wbijając w nią wzrok w sposób, który, jak odkryłem, jest zawsze skuteczny w odniesieniu do kobiet, zapytałem, o której godzinie wrócił jej syn.

– Nie wiem – odparła.

– Nie wie pani?

– Nie. Ma własny klucz i sam otworzył sobie drzwi.

– Czy to się stało po tym, jak pani udała się już na spoczynek?

– Tak.

– A o której poszła pani spać?

– Około jedenastej.

– A więc pani syna nie było przez co najmniej dwie godziny?

– Tak.

– Może nawet przez cztery albo pięć godzin?

– Tak.

– Co on robił w tym czasie?

– Nie wiem – odparła, blednąc tak bardzo, że aż zbielały jej wargi.

Oczywiście, po tym niewiele pozostało już do zrobienia. Dowiedziałem się, gdzie przebywa porucznik Charpentier, wziąłem ze sobą dwóch moich ludzi i poszedłem go aresztować. Gdy położyłem mu rękę na ramieniu i poleciłem, by spokojnie udał się z nami, odparł z tupetem: „Przypuszczam, że aresztujecie mnie w związku ze śmiercią tego łotra Drebbera”. Tak właśnie się wyraził. Nic mu o tym wcześniej nie mówiliśmy, i to, że sam o tym napomknął, wydaje się nadzwyczaj podejrzanym.

– Rzeczywiście – rzekł Holmes.

– Wciąż miał przy sobie ten ciężki kij, który, jak wspomniała jego matka, wziął ze sobą, gdy poszedł za Drebberem. To była solidna dębowa pałka.

– I jaką ma pan teorię?

– Moja teoria opiera się na tym, że szedł za Drebberem aż do Brixton Road. Tam znów się posprzeczali, i podczas tej awantury Drebber otrzymał cios pałką, prawdopodobnie w dołek, który zabił go, nie pozostawiając

żadnego śladu. Noc była deszczowa, na ulicy nikogo nie było, więc Charpentier zawlókł ciało swojej ofiary do tego opuszczonego domu. Jeśli chodzi o świeczkę, krew, napis na ścianie i obrączkę, wszystko to mogą być wybiegi mające na celu zmylenie policji, by podążyła fałszywym tropem.

– Dobra robota – powiedział Holmes zachęcającym tonem. – Doprawdy, Gregson, świetnie pan sobie poradził. Jeszcze coś z pana będzie.

– Sam sobie pochlebiam, że tak dobrze sobie z tym poradziłem – rzekł z dumą detektyw. – Ten młody człowiek złożył z własnej woli oświadczenie, w którym przyznał, że po jakimś czasie, gdy tak szedł za Drebberem, ten go zauważył i wsiadł do dorożki, aby się od niego uwolnić. Po drodze do domu Charpentier spotkał kolegę, który służył na tym samym okręcie, i wybrał się z nim na długi spacer. Gdy spytaliśmy go, gdzie ten kolega mieszka, nie był w stanie udzielić nam satysfakcjonującej odpowiedzi. Sądzę, że to wszystko doskonale do siebie pasuje. Najbardziej jednak ze wszystkiego bawi mnie myśl o tym, że Lestrade podążył niewłaściwym tropem. Obawiam się, że niewiele w ten sposób osiągnie. Ale, ale, na Jowisza, oto i on!

W drzwiach istotnie pojawił się Lestrade, który podczas naszej rozmowy musiał wejść po schodach, i właśnie wkroczył do pokoju. Pewność siebie i energia, które zazwyczaj go cechowały, jak zresztą buńczuczny, typowy dla niego sposób bycia, gdzieś znikły. Nie był też ubrany tak schludnie jak zwykle. Wyglądał na zaniepokojonego i zatroskanego, a jego odzież była potargana i w nieładzie. Najwidoczniej przyszedł prosić Sherlocka Holmesa o radę. Gdy zauważył swojego kolegę po fachu, zupełnie stracił rezon. Zakłopotany, zatrzymał się na środku pokoju i, nerwowo ściskając w rękach kapelusz, najwyraźniej nie wiedział, co ze sobą począć.

– To doprawdy niezwykła sprawa – odezwał się wreszcie. – Strasznie zawikłana.

– Ach, tak pan uważa, panie Lestrade?! – zawołał tryumfalnie Gregson. – Byłem pewien, że dojdzie pan do takiego wniosku. Udało się panu odnaleźć sekretarza, pana Josepha Stangersona?

– Sekretarz pan Joseph Stangerson – rzekł z powagą Lestrade – został zamordowany w hotelu „Halliday” dziś rano, około szóstej.

Rozdział siódmy

Światło w ciemnościach

Wieść, którą przywitał nas Lestrade, była tak nieoczekiwana i ważna, że na chwilę zaniemówiliśmy. Gregson skoczył na równe nogi z fotela, na którym siedział, wywracając przy tym resztę swojej whisky z wodą. Wpatrywałem się w milczeniu w Sherlocka Holmesa, który zacisnął usta i ściągnął brwi.

– A więc Stangerson również – mruknął. – Robi się coraz ciekawiej.

– Nawet bez tego nie było nudno – burknął Lestrade, siadając na krześle. – Wydaje mi się, że trafiłem na jakąś naradę wojenną.

– Czy… czy jest pan pewien tej informacji? – wyjąkał Gregson.

– Właśnie wracam z jego pokoju – rzekł Lestrade. – Jako pierwszy odkryłem, co się wydarzyło.

– Wysłuchaliśmy właśnie opinii pana Gregsona o tej sprawie – zauważył Holmes. – Mógłby nam pan opowiedzieć, co takiego pan odkrył i czego dokonał?

– Jasne – odparł Lestrade, rozsiadając się na krześle. – Przyznaję, iż rzeczywiście od początku myślałem, że Stangerson był zamieszany w zabójstwo Drebbera, ale ten nowy obrót spraw pokazał, że całkowicie się myliłem. Myśląc o winie Stangersona, postanowiłem sprawdzić, co się z nim stało. Widziano ich obydwu razem na Euston Station trzeciego, około wpół do dziewiątej wieczorem. O drugiej w nocy Drebbera znaleziono przy Brixton Road. Musiałem znaleźć odpowiedź na pytanie, co robił Stangerson między ósmą trzydzieści a godziną popełnienia zbrodni i co się z nim później stało? Wysłałem telegram do Liverpoolu, podając jego opis i ostrzegając, by bacznie obserwowali statki odpływające do Ameryki. Następnie zacząłem odwiedzać różne hotele i pensjonaty w okolicy Euston. Pomyślałem, że skoro Drebber i jego towarzysz się rozdzielili, ten ostatni

w naturalny sposób przenocowałby gdzieś w okolicy, a następnego ranka kręciłby się w pobliżu stacji.

– Prawdopodobnie wcześniej ustalili jakieś miejsce spotkania – zauważył Holmes.

– Tak właśnie było. Spędziłem cały wczorajszy wieczór, bezskutecznie próbując się czegoś dowiedzieć. Dziś rano bardzo wcześnie rozpocząłem pracę i o ósmej dotarłem do hoteliku „Halliday” przy Little George Street. Gdy zapytałem, czy mieszka tam niejaki pan Stangerson, natychmiast uzyskałem twierdzącą odpowiedź.

– Na pewno jest pan tym dżentelmenem, którego się spodziewa. Od dwóch dni na kogoś czeka.

– Gdzie teraz jest? – spytałem.

– Na górze. Śpi jeszcze. Prosił, żeby go obudzić o dziewiątej.

– Pójdę od razu na górę, żeby się z nim spotkać – rzekłem.

Wydawało mi się, że moje nagłe pojawienie się zdenerwuje go i sprawi, że powie coś, czego tak naprawdę nie chciałby powiedzieć. Boy hotelowy zaoferował, że wskaże mi drogę. Pokój znajdował się na drugim piętrze w wąskim korytarzu. Gdy pokazał mi właściwe drzwi i miał już schodzić na dół, zobaczyłem coś, od czego zrobiło mi się niedobrze mimo dwudziestu lat pracy w tym zawodzie. Spod drzwi sączyła się wąska czerwona strużka krwi, która wiła się korytarzem, tworząc niewielką kałużę przy listwie po jego drugiej stronie. Krzyknąłem. Usłyszawszy mój krzyk, chłopiec przybiegł z powrotem. Prawie zemdlał, kiedy to zobaczył. Drzwi były zamknięte od środka, więc naparliśmy na nie i wyważyli je. Okno pokoju był otwarte, a przy nim leżało skulone ciało mężczyzny, ubranego w nocną koszulę. Najwyraźniej nie żył już od jakiegoś czasu, bo jego kończyny były sztywne i zimne. Gdy odwróciliśmy ciało, chłopak natychmiast rozpoznał w nim tego samego dżentelmena, który wynajął pokój na nazwisko Joseph Stangerson. Przyczyną śmierci było głębokie pchnięcie ostrym narzędziem z lewej strony, które musiało trafić go w serce. I teraz dochodzimy do najdziwniejszej części tej historii. Jak, panowie, sądzicie, co było jeszcze w pokoju?

Poczułem przebiegający mnie dreszcz, zapowiedź zbliżającej się grozy, jeszcze zanim Sherlock Holmes odparł:

– Słowo *Rache* zapisane krwią.

– Nie inaczej – rzekł Lestrade głosem pełnym strachu.

Przez chwilę wszyscy siedzieliśmy w milczeniu. W postępowaniu tego nieznanego mordercy było coś tak metodycznego i niezrozumiałego, że jego zbrodnie wydały nam się jeszcze bardziej upiorne. Na myśl o tym moje nerwy, które nigdy nie zawiodły mnie na polu bitwy, zaczęły odmawiać posłuszeństwa.

– Widziano zabójcę – ciągnął dalej Lestrade. – Chłopak roznoszący mleko szedł właśnie do mleczarni uliczką na tyłach hotelu. Zauważył, że drabina, która zazwyczaj leżała na ziemi, stała oparta przy jednym z okien na drugim piętrze, otwartym na oścież. Przeszedłszy kilka kroków, odwrócił się i zobaczył mężczyznę schodzącego po drabinie. Robił to tak spokojnie, nie kryjąc się, że chłopak pomyślał, iż to jakiś stolarz lub cieśla pracujący w hotelu. Nie zwrócił na niego szczególnej uwagi, przyszło mu jedynie do głowy, że zaczyna pracę o bardzo wczesnej porze. Chłopak przypomina, że mężczyzna był wysoki, miał rumianą twarz i ubrany był w długi brązowy płaszcz. Po popełnieniu morderstwa pozostał jakiś czas w pokoju, bo w misce znaleźliśmy wodę zabarwioną krwią. Na pewno mył w niej ręce. Zostawił też ślady na pościeli, z rozmysłem wycierając o nią swój nóż.

Usłyszawszy opis zbrodni, spojrzałem na Holmesa, bo szczegóły wyjątkowo zgadzały się z jego przypuszczeniami. Na twarzy Sherlocka nie było jednak śladu tryumfu czy satysfakcji.

– Nie znalazł pan w pokoju niczego, co mogłoby nas doprowadzić do mordercy? – spytał.

– Nie. Stangerson miał w kieszeni portfel Drebbera, jednak chyba nie jest to nic niezwykłego, bo to on za wszystko płacił. W portfelu było osiemdziesiąt parę funtów, ale chyba nic nie zginęło. Niezależnie od tego, co było motywem tych niezwykłych zbrodni, z całą pewnością nie był nim rabunek. W kieszeniach zamordowanego nie znaleźliśmy żadnych dokumentów czy notatek z wyjątkiem jednego telegramu nadanego z Cleveland jakiś miesiąc temu; tekst składał się z następujących słów: „J. H. jest w Europie”. Żadnego podpisu nie było.

– I nic więcej pan nie znalazł? – spytał Holmes.

– Niczego istotnego. Na łóżku leżała powieść, którą Stangerson czytał przed zaśnięciem, a na krześle obok jego fajka. Na stole stała szklanka wody, a na parapecie znajdowało się małe pudełeczko z dwiema pigułkami.

W tym momencie Sherlock Holmes skoczył na równe nogi z radosnym okrzykiem.

– Ostatnie ogniwo! – zawołał w euforii. – Rozwiązałem tę sprawę!

Dwóch detektywów patrzyło na niego w zdumieniu.

– Teraz trzymam już w ręku wszystkie nici – rzekł pewnie mój towarzysz – które tworzyły taką plątaninę. Oczywiście, brakuje jeszcze kilku szczegółów, jednak wszystkie najważniejsze wydarzenia od chwili, gdy Drebber pożegnał się ze Stangersonem na stacji, aż do odnalezienia ciała tego drugiego, są dla mnie tak oczywiste, jakbym widział wszystkie zdarzenia na własne oczy. Udowodnię wam to. Czy zabrał pan ze sobą pigułki?

– Mam je przy sobie – rzekł Lestrade, wyjmując z kieszeni małe białe pudełeczko. – Wziąłem je, jak też portfel i telegram, z zamiarem zabezpieczenia ich na posterunku. Pigułki jednak zabrałem przez czysty przypadek, bo, moim zdaniem, nie mają one żadnego znaczenia dla tej sprawy.

– Proszę mi je dać! – rzekł Holmes. – A teraz, doktorze – zwrócił się do mnie – proszę nam powiedzieć, czy są to zwyczajne pigułki.

Z pewnością nie były zwyczajne. Niewielkie, okrągłe, perłowoszare, wydawały się prawie przezroczyste, gdy się patrzyło na nie pod światło.

– Sądząc po ich lekkości i przejrzystości, powiedziałbym, że są rozpuszczalne w wodzie – zauważyłem.

– W rzeczy samej – odparł Holmes. – Czy zechciałbyś teraz zejść na dół i przynieść tutaj starego biednego teriera? Gospodyni już wczoraj myślała, by skrócić jego męczarnie.

Poszedłem na dół i przyniosłem psa. Oddychał z trudem, a szkliste oczy świadczyły o tym, że niewiele kołatało się w nim życia. Jego posiwiały pysk wskazywał, że żył dłużej niż przeciętny pies. Położyłem go na poduszce na dywanie.

– Teraz przetnę na pół jedną z tych pigułek – rzekł Holmes i, wyjmując scyzoryk, zrobił tak, jak powiedział. – Połowę odłożymy do pudełka, może się przydać. Drugą połowę umieszczę w tym kieliszku i wleję łyżeczkę wody. Jak panowie widzicie, nasz przyjaciel doktor Watson miał rację. Faktycznie łatwo się rozpuszcza.

– Może to i bardzo interesujące – rzekł Lestrade urażonym tonem kogoś, kto podejrzewa, że stał się pośmiewiskiem – ale nie rozumiem, co to może mieć wspólnego ze śmiercią pana Josepha Stangersona.

– Cierpliwości, przyjacielu, cierpliwości. W odpowiednim czasie dowie się pan, że jednak ma. Teraz dodam do tej mieszanki trochę mleka, żeby była smaczna, a następnie podam ją psu, i przekonamy się, że zaraz ją wychłepcze.

Mówiąc to, podsunął terierowi zawartość kieliszka przelaną na spodeczek, i pies szybko wylizał go do czysta. Powaga Sherlocka Holmesa sprawiła, że wszyscy siedzieliśmy w milczeniu, uważnie obserwując zwierzę i spodziewając się jakichś straszliwych rezultatów. Nic takiego jednak się nie stało. Pies nadal leżał wyciągnięty na poduszce, oddychając z trudem – najwyraźniej po wypiciu mikstury jego stan nie zmienił się ani na lepsze, ani na gorsze.

Holmes wyjął swój zegarek, i gdy minuty mijały, a stan psa nie uległ zmianie, na jego twarzy pojawił się wyraz ogromnego rozczarowania i rozgoryczenia. Zagryzł wargi, zaczął bębnić palcami po stole i wykazywał wszelkie objawy skrajnego zniecierpliwienia. Jego emocje były tak silne, że szczerze mu współczułem, a obaj detektywi uśmiechali się szyderczo i bynajmniej nie sprawiali wrażenia niezadowolonych z tej jego porażki.

– To nie może być zbieg okoliczności! – zawołał wreszcie, zrywając się z fotela i gorączkowo przemierzając pokój. – To niemożliwe, żeby to był zwykły zbieg okoliczności. Takie same tabletki, które, jak podejrzewałem, były powodem śmierci Drebbera, zostają odnalezione po śmierci Stangersona. A jednak nie są trujące. Co to może oznaczać? Cały tok mojego rozumowania z całą pewnością nie mógł być błędny. To niemożliwe! A jednak temu nieszczęsnemu psu się nie pogarsza. Ach! Już wiem, już wiem! – z okrzykiem radości podbiegł do pudełka, przepołowił drugą pigułkę, rozpuścił ją, dodał mleka i podał terierowi. Ledwie język nieszczęsnego stworzenia musnął tę miksturę, wszystkie jego kończyny przeszył dreszcz, i pies zastygł bez życia, sztywny, niczym rażony piorunem.

Sherlock Holmes zaczerpnął głęboko powietrza i otarł pot z czoła.

– Powinienem mieć więcej zaufania do swoich metod. Najwyższa pora, żebym wiedział, że gdy jakiś fakt wydaje się sprzeczny z rezultatami długiego procesu dedukcji, to zawsze okazuje się, że może należało zastosować inną interpretację. Spośród dwóch pigułek w tym pudełku jedna była śmiercionośną trucizną, druga całkowicie nieszkodliwa. Powinienem był o tym wiedzieć, jeszcze zanim zobaczyłem pudełko.

To ostatnie zdanie wydało mi się tak zaskakujące, że zacząłem się zastanawiać, czy Holmes jest przy zdrowych zmysłach. Przed nami leżał jednak martwy pies, co dowodziło, że nie mylił się w swych domysłach. Wydawało mi się, że obraz tej sprawy stopniowo staje się w mojej głowie coraz jaśniejszy, i zacząłem niejasno przeczuwać prawdę.

– Wszystko to wydaje się wam dziwne – ciągnął dalej Holmes – ponieważ na początku śledztwa nie pojęliście znaczenia jedynej prawdziwej przesłanki, jaką dostaliście do rąk. Miałem to szczęście, że podążyłem tym właśnie tropem i wszystko, co się wydarzyło od tego czasu, potwierdziło moje pierwotne przypuszczenia, będąc w rzeczywistości ich logicznym następstwem. Dlatego właśnie to, co was zdumiewało i powodowało, że sprawa przedstawiała się wam jeszcze bardziej zagmatwana, mnie dopomogło i potwierdziło jedynie moje wnioski. Błędem byłoby mylić oryginalność z tajemniczością. Najpospolitsza zbrodnia jest często najbardziej tajemnicza, gdy nie ma w niej żadnych szczególnych przesłanek, w oparciu o które można by coś wydedukować. To morderstwo byłoby nieskończenie trudniejsze do wyjaśnienia, gdyby ciało ofiary znaleziono po prostu na drodze, bez otoczki utworzonej z tych sensacyjnych dodatków, dzięki którym sprawa stała się tak niezwykła. Te dziwne szczegóły bynajmniej jej nie skomplikowały, przeciwnie, pomogły w wyjaśnieniu.

Gregson, który słuchał tej przemowy z wyraźnym zniecierpliwieniem, nie mógł się już powstrzymać.

– Proszę mnie posłuchać, panie Holmes – rzekł. – Wszyscy jesteśmy gotowi przyznać, że jest pan bystrym człowiekiem i ma pan własne metody pracy, jednak teraz chcielibyśmy usłyszeć coś więcej niż teorie i wykłady. Musimy aresztować przestępcę. Zrobiłem to, co uważałem za słuszne, ale chyba się pomyliłem. Młody Charpentier nie mógł mieć nic wspólnego z drugim morderstwem. Lestrade ruszył za swoim podejrzanym, Stangersonem, i chyba też się pomylił. Pan zaś dawał jakieś wskazówki – trochę tego, trochę tamtego – i odnosiliśmy wrażenie, że wie pan więcej od nas. Chyba wreszcie nadeszła pora, aby zapytać pana wprost, co pan wie o tej sprawie i czy zna pan nazwisko mordercy?

– Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że Gregson ma rację, sir – zauważył Lestrade. – Obaj próbowaliśmy, i obu nam się nie udało. Nie pierwszy raz, odkąd współpracuję z panem, twierdzi pan, że ma wszystkie dowody

potrzebne do rozwiązania sprawy. Nie zamierza pan chyba ukrywać ich dłużej przed nami?

– Jakakolwiek zwłoka w aresztowaniu zabójcy – zauważyłem – może dać mu czas na popełnienie kolejnych zbrodni.

Holmes, naciskany w ten sposób przez nas wszystkich, sprawiał wrażenie niezdecydowanego. Dalej przemierzał pokój wzdłuż i w poprzek z pochyloną głową i ściągniętymi brwiami, tak jak to miał w zwyczaju, gdy bywał głęboko pogrążony w myślach.

– Nie będzie więcej morderstw – powiedział wreszcie, przystając nagle i patrząc na nas. – Tego nie musimy się już obawiać. Pytaliście mnie, panowie, czy znam nazwisko mordercy. Znam je. Jednakże ta wiedza to niewiele w porównaniu z możliwością jego ujęcia, a tego właśnie spodziewam się wkrótce dokonać. Mam powody, by sądzić, że uda mi się to przeprowadzić własnymi siłami i środkami, chociaż ta sprawa wymaga delikatnego postępowania, bo mamy do czynienia ze sprytnym i zdesperowanym człowiekiem, któremu pomaga, jak miałem okazję udowodnić, ktoś inny, równie sprytny jak on. Dopóki ten człowiek nie ma pojęcia o tym, że ktoś może być na jego tropie, istnieje szansa na jego ujęcie. Gdyby jednak coś wzbudziło w nim najmniejsze podejrzenie, zmieniłby nazwisko i w jednej chwili zniknął wśród czterech milionów mieszkańców tego ogromnego miasta. Nie chciałbym urazić waszych uczuć, panowie, ale w moich oczach policjanci nie mogą się z tymi dwoma równać, i właśnie dlatego nie poprosiłem was o pomoc. Jeśli mi się nie uda, oczywiście wezmę winę za to niedopatrzenie na siebie, jestem jednak na to przygotowany. Teraz mogę wam obiecać, że gdy tylko będę mógł wam o wszystkim powiedzieć, nie narażając na szwank własnych planów, uczynię to bez zwłoki.

Gregson i Lestrade bynajmniej nie wydawali się usatysfakcjonowani tymi zapewnieniami oraz niezbyt pochlebnymi uwagami Holmesa na temat policyjnych detektywów. Pierwszy poczerwieniał aż po korzonki włosów, a paciorkowate oczy drugiego wyrażały ciekawość i oburzenie. Żaden z nich nie zdążył się jeszcze odezwać, bo nagle rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł młody Wiggins, rzecznik ulicznych urwisów.

– Sir – powiedział, odgarniając grzywkę z czoła. – Dorożka czeka na dole.

– Dobrze, mój chłopcze – rzekł Holmes beznamiętnie i, wyciągając z szuflady stalowe kajdanki, ciągnął dalej: – Czemu nie wprowadzicie takich w Scotland Yardzie? Proszę zobaczyć, jak wspaniale się zatrzaskują. Zamykają się w jednej chwili.

– Stary model też jest jeszcze niezły – zauważył Lestrade – przyjmując, że mamy komu je założyć.

– Doskonale! Celna uwaga – rzekł Holmes z uśmiechem. – Dorożkarz pomoże mi z tymi pudłami. Zawołaj go tu na górę, Wiggins.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że mój towarzysz zachowywał się tak, jakby wybierał się w podróż. Nic mi o tym wcześniej nie wspominał. Pod ścianą stał niewielki kufer podróżny. Holmes wyciągnął go na środek pokoju i zaczął zamykać. Był całkowicie pochłonięty tym zajęciem, gdy do pokoju wszedł dorożkarz.

– Może pomógłby mi pan, z łaski swojej, dopiąć tę sprzączkę – powiedział, klękając przy kufrze i nie odwracając głowy. Dorożkarz, nieco nadąsany, podszedł do niego z wyzywającym wyrazem twarzy i schylił się, by mu pomóc. W jednej chwili usłyszeliśmy ostre kliknięcie i brzęk metalu, a Sherlock Holmes poderwał się na nogi.

– Panowie – zawołał z błyskiem w oku. – Pozwólcie, że przedstawię wam pana Jeffersona Hope’a, zabójcę Enocha Drebbera i Josepha Stangersona.

Wszystko to wydarzyło się w jednej chwili, tak szybko, że nie miałem czasu, aby zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje. Wspominam tamten moment, tryumfalny wyraz twarzy Holmesa, brzmienie jego głosu, dziką oszołomioną twarz dorożkarza, wpatrującego się w osłupieniu w błyszczące kajdanki, które w jakiś magiczny sposób pojawiły się na jego nadgarstkach. Przez chwilę musieliśmy wyglądać jak posągi, po czym więzień z nieartykułowanym wrzaskiem wyrwał się z uchwytu Holmesa i rzucił się w kierunku okna. Drewniana rama i szkło pękły pod jego ciężarem, jednak zanim zdołał wypaść, Gregson, Lestrade i Holmes skoczyli na niego niczym psy gończe i wciągnęli z powrotem do pokoju. Następnie rozgorzała straszliwa walka. Dorożkarz był tak silny i rozwścieczony, że choć we czterech próbowaliśmy nad nim zapanować, wciąż udawało mu się nas z siebie zrzucać. Rozwścieczony przestępca posiadał jakąś straszną nadludzką siłę, niczym epileptyk podczas ataku. Twarz i ręce zabójcy były straszliwie poranione o rozbitą szybę, jednak mimo utraty krwi, jego opór

nie słabł. Dopiero kiedy Lestrade chwycił go za chustę na szyi i omal nie zadusił, człowiek ten uświadomił sobie, że jego walka nie ma już sensu. Jednakże nie poczuliśmy się bezpiecznie aż do chwili, dopóki nie skrępowaliśmy mu również nóg. Dokonawszy tego, wstaliśmy, zdyszani i zasapani.

– Mamy jego dorożkę – rzekł Sherlock Holmes. – Przyda się nam, kiedy pojedziemy do Scotland Yardu. A teraz, panowie – ciągnął dalej już z miłym uśmiechem – to już koniec naszej małej tajemnicy. Możecie mnie teraz pytać o wszystko, o co tylko zechcecie. Nie musicie się już obawiać, że nie zechcę wam odpowiedzieć.

Część druga

Kraina Świętych

Rozdział pierwszy

Na wielkich słonych równinach

W centralnej części ogromnego kontynentu północnoamerykańskiego rozciąga się sucha złowroga pustynia, która od wielu lat stanowiła barierę blokującą postęp cywilizacji. Od Sierra Nevada aż po Nebraskę i od rzeki Yellowstone na północy po Colorado na południu cała ta kraina jest wielkim milczącym pustkowiem. Jednakże nie wszędzie w tym ponurym miejscu natura ukazuje to samo oblicze. Są tam strzeliste górskie szczyty, zwieńczone śniegiem, i ciemne posępne doliny. Rwące rzeki toczą swe wody przez postrzępione skaliste kaniony i bezkresne równiny, zimą białe od śniegu, a latem szare od słonego pyłu. Niemniej wszystkie te ziemie są tak samo jałowe, niegościnne i nieprzyjazne człowiekowi.

W tej nieprzyjaznej krainie nie ma stałych mieszkańców. Od czasu do czasu przejeżdża tamtędy grupka Paunisów lub Czarnych Stóp w drodze na swe łowiska położone po drugiej stronie, jednak nawet najtwardsi i najdzielniejsi wojownicy z ulgą opuszczają te napawające grozą równiny, gdy wjeżdżają na znane sobie prerie. Kojoty skradają się wśród zarośli, myszołów ciężko trzepocze skrzydłami w przestworzach, niezdarny grizzly porusza się cicho ciemnymi wąwozami, próbując znaleźć jakieś pożywienie wśród skał. To jedyne z mieszkańców tych dzikich pustkowi.

Na całym świecie nie ma bardziej posępnego widoku niż ten, który rozciąga się z północnego stoku Sierra Blanco. Jak okiem sięgnąć ciągną się we wszystkich kierunkach wielkie płaskie, pokryte słonym pyłem równiny, gdzieniegdzie tylko porośnięte kępami karłowatych kolczastych krzewów. Na linii horyzontu wznosi się długi łańcuch górski o postrzępionych, pokrytych połaciami śniegu szczytach. Na tych rozległych terenach nie ma śladu życia ani czegokolwiek, co wskazywałoby na jego obecność. Żaden ptak nie szybuje po stalowoniebieskim niebie, nic nie porusza się na szarej

jałowej ziemi. Panuje tu absolutna cisza. Nawet gdyby wytężyć słuch, najcichszy dźwięk nie dobiegłby z tego bezkresnego pustkowia. Nic, tylko cisza, całkowita i przepełniająca serce lękiem.

Powiedziano już, że na tych rozległych równinach nie ma nic, co wskazywałoby na obecność życia. To nie do końca prawda. Patrząc ze zbocza Sierra Blanco, ujrzymy ścieżkę biegnącą przez pustynię, wijącą się i niknącą gdzieś w dali. Jest poznaczona koleinami wozów i wydeptana stopami wielu żądnych przygód śmiałków. Gdzieniegdzie coś bieli się w słońcu, przerywając monotonię szarego, pokrytego alkalicznymi okruchami terenu. Po zbliżeniu się widać, że są to kości. Niektóre są grube i potężne, inne mniejsze i delikatniejsze. Te pierwsze to kości wołów, te drugie – ludzkie. Na odległość tysiąca pięciuset mil można prześledzić upiorny szlak karawan, oznakowany takimi wiechami – porozrzucanymi szczątkami tych, którzy padli po drodze.

Czwartego maja tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku przyglądał się z góry tej scenerii samotny wędrowiec. Wyglądał tak, że można by go uznać za ducha lub demona rezydującego w tym miejscu. Obserwatorowi trudno byłoby określić, czy bliżej mu do czterdziestki, czy do sześćdziesiątki. Twarz miał chudą i wyniszczoną, a brązowa, wyschnięta jak pergamin skóra napięta była na wystających kościach. Jego długie ciemne włosy i broda naznaczone były siwizną. Zapadnięte oczy płonęły nienaturalnym blaskiem, a ręka ściskająca strzelbę nie mogłaby być chudsza, nawet gdyby był już tylko szkieletem. Stał tak pochylony, opierając się o swą broń. Jego wysoka sylwetka i masywne kości świadczyły o tym, iż był kiedyś silnym, pełnym wigoru mężczyzną, ale wyniszczona twarz i ubranie, zwisające niczym worek na jego wychudłym ciele, pozwalały się domyślić, dlaczego wygląda on jak słaby wynędzniały starzec. Ten człowiek umierał – umierał z głodu i pragnienia.

Ostatkiem sił zszedł do wąwozu, a potem wspiął się na to niewielkie wzniesienie, łudząc się, że dojrzy gdzieś ślady wody. Ale jego oczom ukazała się tylko słona równina, a w dali pas dzikich niedostępnych gór. Nigdzie nie było widać nawet śladu roślin czy drzew, mogących wskazywać na obecność choćby kropli wody. W całej tej rozległej scenerii nie było niczego, co dałoby mu choć cień nadziei. Zrozpaczony, popatrzył na północ, wschód i zachód, uświadamiając sobie, że jego wędrówka dobiegła końca i że na tej jałowej skale przyjdzie mu umrzeć.

– Tutaj czy w puchowej pościeli za dwadzieścia lat, co za różnica? – westchnął, siadając w cieniu głazu.

Nim usiadł, odłożył na ziemię swą bezużyteczną strzelbę i duże zawiniątko otulone szarym szalem, które dotychczas niósł przerzucone przez prawe ramię. Przy takim osłabieniu tobołek musiał być chyba dla niego zbyt ciężki, bo zdejmując, upuścił go zbyt gwałtownie na ziemię. Z szarego tobołka dobiegł najpierw cienki rozżalony głosik, a potem wyłoniła się mała wystraszona twarzyczka o błyszczących piwnych oczach, i ukazały się dwie drobne piegowate piąstki.

– To zabolało! – oznajmił z wyrzutem dziecięcy głosik. – Potłukłam się.

– Naprawdę? – zapytał mężczyzna ze skruszoną miną. – Przepraszam, nie chciałem. – Mówiąc to, odwinął szary szal i wydobył z zawiniątka śliczną, może pięcioletnią dziewczynkę, której błyszczące buciki i ładna różowa sukienka z płóciennym fartuszkiem były dowodem matczynej troski. Dziecko było blade i wymizerowane, jednak pulchne rączki i nóżki świadczyły o tym, że nie wycierpiało tyle co jej towarzysz.

– Już lepiej? – spytał z niepokojem w głosie, bo dziewczynka wciąż pocierała rozczochrane złociste loki z tyłu głowy.

– Jak tu pocałujesz, to przestanie boleć – odparła z powagą, podsuwając mu bolącą główkę. – Mama tak robiła. Gdzie jest mama?

– Mama odeszła. Myślę, że niedługo ją zobaczysz.

– Jak to? Odeszła? – odparła dziewczynka. – Dziwne. Nie pożegnała się ze mną. Prawie zawsze to robiła, nawet jak wychodziła tylko do cioci na herbatę. A teraz nie ma jej już trzy dni. Strasznie tu sucho, prawda? Nie ma tu wody? Ani nic do jedzenia?

– Nie ma, kochanie. Musisz zdobyć się jeszcze na odrobinę cierpliwości, a potem wszystko będzie dobrze. Oprzyj o mnie główkę, o tak, i zaraz poczujesz się lepiej. Trudno się rozmawia, kiedy w ustach jest sucho… ale chyba lepiej ci powiem, na czym stoimy. Co tam masz?

– Ojej! Jakie śliczne! – zawołała radośnie dziewczynka, podnosząc dwa błyszczące kawałki miki. – Jak wrócimy do domu, dam to mojemu braciszkowi Bobowi.

– Niedługo zobaczysz o wiele ładniejsze rzeczy – odparł mężczyzna z przekonaniem w głosie. – Tylko jeszcze troszkę poczekaj. Ale miałem ci coś powiedzieć… Pamiętasz, jak opuszczaliśmy rzekę?

– O tak!

– Liczyliśmy wtedy na to, że wkrótce natrafimy na inną rzekę. Ale coś poszło nie tak. Kompas się popsuł albo mieliśmy złą mapę czy coś takiego, i nie znaleźliśmy jej. Skończyła nam się woda. Została tylko kropelka dla ciebie i… i…

– I nie mogłeś się umyć! – przerwała mu z powagą dziewczynka, wpatrując się wielkimi oczyma w jego brudną twarz.

– Nie, ani się napić. Potem odszedł pan Bender. On pierwszy. A później Indianin Pete i pani McGregor, i Johnny Hones, a potem, kochanie, twoja mama.

– Czyli mama też nie żyje! – krzyknęła dziewczynka, chowając głowę w fartuszek i szlochając żałośnie.

– Tak, wszyscy odeszli, oprócz ciebie i mnie. Wtedy pomyślałem, że jeśli pójdziemy w tę stronę, będziemy mieli szansę znaleźć wodę. Przerzuciłem cię przez ramię, i tak razem wędrowaliśmy. Ale nie wygląda na to, żeby nasza sytuacja się poprawiła. Teraz nie mamy prawie żadnych szans.

– To znaczy, że my też niedługo umrzemy? – spytało dziecko, przestając szlochać i unosząc swą mokrą od łez twarzyczkę.

– Chyba na to wychodzi.

– Czemu wcześniej mi tego nie powiedziałeś? – zapytała i roześmiała się radośnie. – Ale mnie nastraszyłeś! Przecież jeśli umrzemy, znów spotkamy mamę.

– Tak, spotkasz ją, kochanie.

– I ty też. Opowiem jej, jaki byłeś dla mnie dobry. Założę się, że spotkamy ją przy bramie nieba; przyniesie nam wielki dzban wody i mnóstwo gryczanych ciasteczek, gorących i przypieczonych z obu stron, tak jak lubimy, Bob i ja. Ale kiedy to będzie?

– Nie wiem… ale już niedługo. – Mężczyzna wpatrywał się w północny horyzont. Przed nim na niebieskim sklepieniu nieba pojawiły się trzy małe punkciki, rosnące z każdą chwilą. Zbliżały się bardzo szybko. Po chwili zmieniły się w trzy wielkie brązowe ptaki. Zatoczyły krąg nad głowami dwójki wędrowców i usiadły na skałach powyżej. To były myszołowy, sępy zachodu, a ich pojawienie się zwykle zwiastowało śmierć.

– Koguciki i kurki! – zawołała radośnie dziewczynka, wskazując rączką na złowróżbne ptaki i klaszcząc w dłonie, żeby spłoszyć je i zmusić do lotu. – Powiedz, czy to Bóg stworzył ten kraj?

– Oczywiście że tak – odparł jej towarzysz, zaskoczony tym nieoczekiwanym pytaniem.

– Stworzył Illinois i Missouri – wyliczała dziewczynka – ale tę okolicę stworzył chyba ktoś inny. Nie udało mu się to za dobrze. Zapomniał o wodzie i drzewach.

– Co powiesz na to, żeby się pomodlić? – spytał nieśmiało mężczyzna.

– Przecież jeszcze nie ma wieczoru! – odparła.

– Nic nie szkodzi. Może to nie najwłaściwsza pora, ale mówię ci, Bóg nie będzie miał nic przeciwko temu. Zmówisz te same modlitwy, które odmawiałaś co wieczór na wozie, kiedy jechaliśmy przez wielkie równiny?

– A czemu sam ich nie zmówisz? – spytała dziewczynka, patrząc na niego zdumionymi oczyma.

– Nie pamiętam – odparł. – Kiedy ostatni raz się modliłem, byłem ze dwa razy mniejszy od tej strzelby. Ale chyba nigdy nie jest za późno. Powiedz je na głos, a ja się do ciebie przyłączę.

– No to uklęknij. Ja też uklęknę – powiedziała, rozkładając na ziemi szal. – Złóż ręce, o tak. Od razu dobrze się poczujesz.

Gdyby na pustyni był ktoś jeszcze oprócz myszołowów, ujrzałby przedziwny widok. Na wąskim szalu klęczało obok siebie dwoje wędrowców, mała szczebiocząca dziewczynka i zuchwały twardy łowca przygód. Jej pucułowata twarzyczka i jego chude surowe oblicze zwracały się ku czystemu niebu w szczerym błaganiu skierowanym do napawającej lękiem najwyższej Istocie. Stanęli z nią właśnie twarzą w twarz, a ich dwa głosy, jeden cienki i dźwięczny, a drugi niski i szorstki, połączyły się w prośbach o litość i przebaczenie. Gdy skończyli modlitwę, usiedli znów w cieniu głazu i siedzieli tak, póki dziecko nie zasnęło wtulone w szeroką pierś swego opiekuna. Przez jakiś czas czuwał nad jej snem, wkrótce jednak prawa natury wzięły nad nim górę. Przez ostatnie trzy dni i trzy noce nie pozwolił sobie nawet na chwilę snu czy odpoczynku. Powieki zaczęły opadać mu powoli na zmęczone oczy, a głowa osuwała się coraz niżej na piersi. Wreszcie posiwiała broda mężczyzny dotknęła złotych loków jego towarzyszki, i oboje zapadli w taki sam głęboki, pozbawiony marzeń sen.

Gdyby wędrowiec nadal czuwał przez kolejne pół godziny, ujrzałby przedziwny widok. W dali, na horyzoncie słonej równiny uniósł się w górę tuman kurzu, który z początku był niewielki, ledwo odróżnialny na tle mglistego horyzontu, stopniowo jednak powiększał się i wznosił coraz

wyżej, aż wreszcie przemienił się w wyraźną chmurę. Chmura ta wciąż rosła, aż stało się jasnym, że mogło ją wzbić jedynie bardzo wiele poruszających się istot. W innych, bardziej urodzajnych rejonach obserwator doszedłby do wniosku, że oto zbliża się ku niemu jedno z tych wielkich stad bizonów pasących się na prerii, jednak na tym suchym pustkowiu było to oczywiście niemożliwe. Gdy tuman kurzu zbliżył się do samotnego urwiska, na którym odpoczywało dwoje wędrowców, wyłoniły się z niego wozy, kryte grubym płótnem, i postacie uzbrojonych jeźdźców, a całe zjawisko okazało się olbrzymią karawaną, zmierzającą na zachód. Cóż to była za karawana! Gdy jej czoło dotarło do podnóża gór, na horyzoncie wciąż jeszcze nie było widać jej końca. Przez bezkresną równinę przetaczał się rozproszony pochód wozów, jeźdźców i pieszych. Było wśród nich mnóstwo kobiet, idących chwiejnym krokiem, przytłoczonych ciężarem bagaży; małe dzieci dreptały niepewnie obok wozów lub wystawiały głowy spod ich białych plandek. Najwyraźniej nie była to zwyczajna grupa imigrantów, lecz raczej jakiś koczowniczy lud, który ciężkie okoliczności zmusiły do szukania nowych terenów. W czystym powietrzu słychać było odgłosy przemarszu tej ogromnej rzeszy ludzi, a wtórowało jemu skrzypienie kół i rżenie koni. Choć karawana poruszała się głośno, hałas nie był dość silny, by obudzić dwoje znużonych podróżnych śpiących na wzgórzu.

Na czele kolumny jechało ponad dwudziestu poważnie wyglądających mężczyzn o twardych zahartowanych obliczach, odzianych w proste ubrania z samodziału i uzbrojonych w strzelby. Gdy dotarli do podnóża urwiska, zatrzymali się i odbyli krótką naradę.

– Studnie są na prawo, bracia – rzekł jeden z nich, gładko ogolony mężczyzna o zaciętych ustach i przyprószonych siwizną włosach.

– To na prawo od Sierra Blanco. W ten sposób dotrzemy do Rio Grande – powiedział inny.

– Nie lękajcie się, że zabraknie nam wody! – zawołał trzeci. – Ten, który potrafi sprawić, by popłynęła nawet ze skały, nie opuści teraz swego wybranego ludu.

– Amen! Amen! – odpowiedzieli wszyscy.

Mieli właśnie ruszyć w dalszą podróż, gdy jeden z najmłodszych i obdarzonych najlepszym wzrokiem krzyknął i wskazał na coś, co dostrzegł na postrzępionym grzbiecie skalnym znajdującym się nad nimi.

Na jego szczycie trzepotało coś różowego, rysując się ostro i wyraźnie na tle szarych skał. Ten widok sprawił, że wszyscy zaczęli wstrzymywać konie i wyciągać broń, a z tyłu przygalopowali kolejni jeźdźcy, aby wzmocnić przednią straż. Na ustach wszystkich słychać było jedno słowo: „czerwonoskórzy”.

– Tu nie może być Indian – stwierdził starszy mężczyzna, najwyraźniej ich przywódca. – Mijaliśmy już Paunisów, a nie napotkamy tu już innych plemion, dopóki nie przekroczymy tych wielkich gór.

– Pojadę naprzód i zobaczę, co to jest, bracie Stangersonie – odezwał się jeden z mężczyzn.

– I ja, i ja! – zawołało z tuzin innych głosów.

– Zostawcie konie na dole. Poczekamy tu na was – odparł starszy.

Młodzieńcy w jednej chwili zeskoczyli z koni, uwiązali je i zaczęli wspinać się po stromym stoku w stronę tego, co wzbudziło ich ciekawość. Posuwali się szybko i bezgłośnie, ze zręcznością i pewnością ruchów typową dla wytrawnych skautów. Ludzie obserwujący ich z równiny poniżej widzieli, jak przeskakują zwinnie ze skały na skałę, aż wreszcie ich sylwetki pojawiły się na szczycie, odcinając się wyraźnie na tle nieba. Prowadził ich młodzieniec, który jako pierwszy wszczął alarm. Nagle ci, którzy podążali za nim, zobaczyli, jak wyrzuca w górę ręce, jakby w ogromnym zdumieniu, a gdy do niego dołączyli, zareagowali w ten sam sposób na widok tego, co ujrzeli.

Na małym płaskowyżu, stanowiącym zwieńczenie jałowego wzgórza, stał samotny olbrzymi głaz, a tuż przy nim leżał wysoki mężczyzna o długiej brodzie i ostrych rysach. Był skrajnie wychudzony. Jego spokojna twarz i regularny oddech świadczyły o tym, że pogrążony był w głębokim śnie. Obok niego leżała mała dziewczynka, obejmując jego ogorzałą żylastą szyję swoimi krągłymi białymi ramionkami i wtulając złotowłosą główkę w jego pierś okrytą welwetową koszulą. Różowe usteczka były rozchylone, ukazując regularną linię śnieżnobiałych zębów, a dziecinne rysy rozjaśniał wesoły uśmiech. Pulchne białe nóżki odziane w białe skarpetki i eleganckie buciki z błyszczącymi sprzączkami stanowiły dziwny kontrast z długimi wychudzonymi członkami jej towarzysza. Na skalnej półce nad tą dziwną parą siedziały nieruchomo trzy myszołowy, które na widok przybyszy wydały z siebie hałaśliwe wrzaski rozczarowania, po czym zawiedzione wzbiły się w powietrze.

Krzyki tych wstrętnych ptaszysk obudziły dwoje śpiących, którzy ze zdumieniem zaczęli rozglądać się wokół. Mężczyzna chwiejnie podniósł się na nogi i spojrzał w dół na równinę, która była pusta, gdy zasypiał. Teraz przetaczały się przez nią ogromne masy ludzi i zwierząt. Gdy tak patrzył, na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania, więc przetarł oczy swą kościstą dłonią.

– To chyba musi być to, co nazywają delirium – mruknął pod nosem.

Dziecko stało przy nim, trzymając się rąbka jego koszuli, i w milczeniu rozglądało się wokół zdumionym, pytającym wzrokiem. Ich wybawcom szybko udało się przekonać dwoje zagubionych, że to wcale nie jest iluzja. Jeden z nich chwycił małą dziewczynkę i posadził sobie na ramionach. Dwóch innych podparło jej wychudzonego towarzysza i pomogło mu zejść na dół do wozów.

– Nazywam się John Ferrier – wyjaśnił wędrowiec. – Ja i ta mała to wszyscy z grupy dwudziestu jeden osób, którzy zostali przy życiu. Inni umarli z głodu i pragnienia, na południe stąd.

– Czy to twoje dziecko? – spytał go któryś.

– Sądzę, że teraz już tak – odparł wyzywającym tonem. – Jest moja, bo ją uratowałem. Nikt mi jej nie odbierze! Od dziś będzie się nazywać Lucy Ferrier. A wy kim jesteście? – ciągnął dalej, przyglądając się z zaciekawieniem swoim krzepkim opalonym wybawcom. – Wygląda na to, że jest was bardzo dużo.

– Prawie dziesięć tysięcy – rzekł jeden z młodzieńców. – Jesteśmy prześladowanymi dziećmi bożymi, wybrańcami anioła Moroni.

– Nigdy o nim nie słyszałem – odparł wędrowiec – ale coś mi się wydaje, że wybrał sobie spory orszak.

– Nie kpij sobie z rzeczy świętych – odparł surowo ten drugi. – Jesteśmy tymi, którzy wierzą w święte pisma, utrwalone znakami egipskimi na płytach z kutego złota, a objawione świętemu Josephowi Smithowi w miejscowości Palmyra. Podróżujemy z Nauvoo w stanie Illinois, gdzie zbudowaliśmy swoją świątynię. Musieliśmy szukać ratunku przed ludzką nienawiścią i bezbożnikami, choćby nawet w samym sercu tej pustyni.

Nazwa „Nauvoo” najwyraźniej przypomniała o czymś Johnowi Ferrierowi.

– Rozumiem – powiedział. – Jesteście mormonami.

– Jesteśmy mormonami – odpowiedzieli jednogłośnie jego towarzysze.

– A dokąd zmierzacie?

– Nie wiemy. Prowadzi nas ręka boska w osobie naszego proroka. Musisz się przed nim stawić. Zadecyduje, jaki będzie twój los.

Dotarli już do podnóża wzgórza. Otoczyły ich tłumy pielgrzymów, bladych kobiet o potulnych twarzach, silnych roześmianych dzieci i niespokojnych mężczyzn o surowych spojrzeniach. Słychać było liczne krzyki zdumienia i współczucia, gdy ludzie ujrzeli młodość jednej z nowo przybyłych i opłakany stan drugiego. Ich eskorta jednak się nie zatrzymała i posuwała się naprzód, a za nią podążał wielki tłum mormonów. W ten sposób dotarli do wozu najbardziej wyróżniającego się rozmiarami oraz bogactwem ozdób. Zaprzężonych do niego było sześć koni, podczas gdy inne wozy ciągnęły dwa lub co najwyżej cztery konie. Obok woźnicy siedział człowiek, który miał nie więcej niż trzydzieści lat, lecz jego kształtna głowa oraz dumny i zdecydowany wyraz twarzy świadczyły o tym, iż był ich przywódcą. Czytał jakąś księgę w brązowej oprawie, jednak gdy tłum się zbliżył, odłożył ją na bok i uważnie wysłuchał relacji z całego wydarzenia. Następnie zwrócił się do dwójki wędrowców.

– Jeśli was ze sobą zabierzemy – rzekł uroczyście – to tylko jako wyznawców naszej wiary. Nie chcemy mieć wilków w naszym stadzie. Będzie o wiele lepiej, jeśli wasze kości zbieleją na tym pustkowiu, niż gdybyście się mieli okazać zaczątkiem zgnilizny, od której miałby się zepsuć cały owoc. Pójdziecie z nami na tych warunkach?

– Pójdziemy z wami na każdych warunkach – odpowiedział tak dobitnie Ferrier, że nawet poważni członkowie starszyzny nie potrafili powstrzymać uśmiechu. Tylko twarz ich przywódcy zachowała surowy, budzący respekt wyraz.

– Przyjmij go, bracie Stangerson – powiedział. – Daj mu jeść i pić, dziecku też. Twoim zadaniem będzie nauczyć go naszej świętej wiary. Ale już zbyt długo tu zwlekamy. Ruszajmy! Naprzód! Do Syjonu!

– Do Syjonu! Do Syjonu! – krzyknął tłum mormonów, a słowa te niczym fale przebiegły przez długą karawanę przekazywane z ust do ust, aż w końcu przeszły w głuchy szmer gdzieś w oddali. Z dźwiękiem strzelających batów i skrzypiących kół ogromne wozy ruszyły z miejsca, i wkrótce cała karawana znów wiła się, pełznąc przez pustkowie. Starszy, którego pieczy powierzono dwoje podróżnych, zaprowadził ich do swojego wozu, gdzie czekał już na nich posiłek.

– Zostaniecie tutaj – powiedział. – Za parę dni dojdziecie do siebie po przebytych trudach. Tymczasem zapamiętajcie sobie, że od teraz i na zawsze jesteście wyznawcami naszej religii. Tak powiedział Brigham Young, a on przemawia głosem Josepha Smitha, który jest głosem Boga.

Rozdział drugi

Kwiat Utah

Nie jest to odpowiednie miejsce, by opisywać trudy i wyrzeczenia, jakie znosili podczas swej wędrówki mormoni, nim dotarli do celu swej podróży. Od brzegów Missisipi aż po zachodnie stoki Gór Skalistych brnęli naprzód z niezłomnością, która nie miała sobie równych w całej historii osadnictwa na Zachodzie. Dzicy ludzie i dzikie bestie, głód, pragnienie, zmęczenie i choroby – wszystkie te przeciwności losu, jakie stawiała im na drodze natura, zwalczali z iście anglosaską nieustępliwością. Jednakże długa podróż i straszliwe trudności, jakie musieli pokonywać, wstrząsnęły nawet najbardziej niezłomnymi. Nie było więc wśród nich takiego człowieka, który nie padłby na kolana w szczerej dziękczynnej modlitwie, gdy wreszcie ujrzeli przed sobą rozległą dolinę Utah, skąpaną w blasku słońca, i usłyszeli z ust swego przywódcy, że to właśnie jest ich ziemia obiecana, a te dziewicze akry mają na zawsze przejść w ich posiadanie.

Young, jak się szybko okazało, był zręcznym administratorem i stanowczym wodzem. Sporządzono mapy i przygotowano plany, na których wytyczono położenie przyszłego miasta. Wszędzie wokół wydzielono tereny na farmy i rozdzielono je między ludzi, stosownie do pozycji każdego z nich. Kupcy zajęli się swoimi interesami, a rzemieślnicy swoim rzemiosłem. W mieście, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiały się coraz to nowe ulice i place. Okoliczne tereny osuszano i grodzono, obsiewano pola, karczowano lasy. Następnego lata wszystkie te ziemie zazłociły się już łanami pszenicy. Wszystko prosperowało w tej przedziwnej osadzie. Najszybciej jednak wyrastała wielka świątynia, którą stawiano w centrum miasta. Od świtu do zmierzchu mieszkańcy wznosili przy nieustannym stuku młotków

i zgrzytaniu pił wielką budowlę ku czci Bogu, który bezpiecznie przeprowadził ich przez tak wiele niebezpieczeństw.

John Ferrier wraz z dziewczynką, która dzieliła z nim los i którą uznał za swoją córkę, towarzyszyli mormonom aż do końca ich długiej pielgrzymki. Mała Lucy Ferrier podróżowała całkiem wygodnie. W wozie Stangersona, członka starszyzny, podróżowały razem z nią trzy żony mormona i jego syn, krnąbrny i bezczelny chłopak w wieku dwunastu lat. Z elastycznością typową dla dzieci, otrząsnąwszy się z szoku, jakim była dla niej śmierć matki, już wkrótce stała się ulubienicą kobiet i pogodziła się z nowym życiem w tym swoim ruchomym, przykrytym płótnem domu. Tymczasem Ferrier, który doszedł do siebie po przeżytych trudach, zdążył się już wyróżnić jako przewodnik i niestrudzony myśliwy. Tak szybko zdobył szacunek wśród swych nowych towarzyszy, że gdy dotarli do kresu wędrówki, jednogłośnie ustalono, iż powinien otrzymać równie rozległe i żyzne ziemie jak inni osadnicy, z wyjątkiem samego Younga oraz Stangersona, Kemballa, Johnstona i Drebbera, czterech najważniejszych członków starszyzny.

Na uzyskanej w ten sposób ziemi John Ferrier zbudował sobie duży dom z bali, który z czasem, rozbudowując, przekształcił w przestronną willę. Był człowiekiem sprytnym, miał praktyczny umysł i zręczne ręce. Żelazne zdrowie pozwoliło mu pracować na swojej ziemi od świtu do nocy. Wkrótce jego gospodarstwo, farma i wszystko, co do niego należało, rozkwitło. Po trzech latach był już zamożniejszy niż sąsiedzi, po sześciu dobrze sytuowany, po dziewięciu stał się bogaty, a po dwunastu latach nie było nawet pół tuzina ludzi w całym Salt Lake City, którzy mogliby się z nim równać pod względem posiadanego majątku. Od wielkiego niczym morze słonego jeziora aż po szczyty gór Wasatch nie było tak znanego nazwiska jak John Ferrier.

Tylko pod jednym jedynym względem naruszał zasady swoich współwyznawców. Żadne argumenty ani namowy nie mogły go przekonać, by poślubił kilka kobiet, tak jak robili to inni jego towarzysze. Nigdy nie podał powodów takiego postępowania, lecz stanowczo i nieustępliwie trwał przy swoim. Byli tacy, którzy oskarżali go o to, iż ma niezbyt żarliwy stosunek do swojej religii, inni zaś zrzucali to na karb jego chciwości i niechęci do wydawania pieniędzy. Jeszcze inni mówili o jakiejś miłosnej przygodzie w młodości i o jasnowłosej dziewczynie, która umarła

z tęsknoty za nim gdzieś nad brzegiem Atlantyku. Jednak niezależnie od rzeczywistych powodów uparcie zachowywał celibat. Pod każdym innym względem stosował się do zasad religii tej młodej osady i zyskał miano ortodoksyjnego i prawego człowieka.

Lucy Ferrier dorastała w domu z bali, pomagając swemu ojcu we wszystkich jego przedsięwzięciach. Czyste górskie powietrze i balsamiczna woń sosen rekompensowały młodej dziewczynie brak matki i opiekunki. Z roku na rok była coraz wyższa i silniejsza, jej policzki stawały się rumiane, a krok bardziej sprężysty. Wielu wędrowców podróżujących traktem biegnącym w pobliżu farmy Ferriera czuło, że w ich umysłach odżywają dawno zapomniane uczucia i pragnienia, gdy widzieli gibką dziewczęcą sylwetkę biegnącą przez pola pszenicy lub gdy spotykali ją, jadącą na mustangu swego ojca, z którym radziła sobie tak łatwo i z takim wdziękiem, jak przystało prawdziwemu dziecku Zachodu. I tak jak pąk, który przemienił się w kwiat, tak w roku, w którym jej ojciec stał się najbogatszym wśród farmerów, Lucy wyrosła na najpiękniejszą amerykańską dziewczynę żyjącą pośród wzgórz zachodniego wybrzeża.

To jednakże nie jej ojciec odkrył jako pierwszy, że jego dziewczynka przeobraziła się w kobietę. Zresztą ojcowie zauważają to nader rzadko. Ta tajemnicza przemiana odbywa się stopniowo i jest zbyt subtelna, by można ją było ściśle umiejscowić w czasie. Tym bardziej nie wie o tym sama dziewczyna, póki ton czyjegoś głosu lub dotyk ręki nie sprawi, że nagle zadrży jej serce, a wtedy przekona się, z mieszaniną dumy i lęku, że przebudziła się w niej nowa potężna siła. Niewielu jest ludzi, którzy nie pamiętają tego dnia i tego jednego zdarzenia, które było dla nich zapowiedzią przebudzenia do nowego życia. W przypadku Lucy Ferrier wydarzenie samo w sobie było dość poważne, nie wspominając nawet o jego przyszłym wpływie na jej los i losy wielu innych ludzi.

Był ciepły czerwcowy poranek, a Święci Dni Ostatnich już pracowicie zajmowali się swymi sprawami niczym pszczoły, których ul wybrali zresztą na swój symbol. Na polach i ulicach panował gwar charakterystyczny dla ludzkiej działalności. Zakurzonymi drogami ciągnęły długie kolumny obładowanych mułów, zmierzające na Zachód, bo w Kalifornii zaczęła się właśnie gorączka złota, a Wielki Szlak biegł przez Miasto Wybranych. Posuwały się nim też stada owiec i wołów z odległych pastwisk oraz wozy zmęczonych imigrantów. Ludzie i konie byli równie znużeni niekończącą

się wędrówką. Przez ten tłum pędziła galopem Lucy Ferrier, torując sobie drogę niczym wytrawny jeździec. Jej piękna twarz zarumieniła się od wysiłku, a z ramion spływały długie kasztanowe włosy. Ojciec powierzył jej załatwienie czegoś w mieście, pędziła więc drogą, tak jak robiła to już wiele razy wcześniej, przepełniona animuszem młodości i skupiona wyłącznie na swym zadaniu oraz rozważaniu, jak ma je wykonać.

Zdrożeni łowcy przygód spoglądali za nią zdumieni, i nawet beznamiętni Indianie, wiozący skóry na sprzedaż, tracili swe zwykłe opanowanie, podziwiając piękno białej dziewczyny.

Gdy dotarła na przedmieścia, zobaczyła, że drogę blokuje wielkie stado bydła, pędzone przez pół tuzina pasterzy o dzikim wyglądzie, przybyłych z równin. Zniecierpliwiona, spróbowała ominąć tę przeszkodę, wprowadzając swojego konia w lukę między stłoczonymi zwierzętami, jednak ledwie ujechała parę kroków, w jednej chwili została otoczona przez żywy potok długorogich byków o dzikich oczach. Przyzwyczajona do radzenia sobie z bydłem, nie przeraziła się tą sytuacją, starając się popędzać swego konia w nadziei przedarcia się przez stłoczone stado. Niestety, rogi jednego z byków, czy to umyślnie czy przez przypadek, zadrasnęły bok jej mustanga, sprawiając, że koń wpadł w szał. W jednej chwili, z wściekłym rżeniem, stanął dęba, a potem zaczął skakać i wierzgać tak, że nawet najbardziej wytrawny jeździec wyleciałby z siodła. Sytuacja, w jakiej znalazła się dziewczyna, stała się bardzo niebezpieczna. Każdy gwałtowny ruch oszalałego konia sprawiał, że znów się nadziewał na rogi byków i na nowo wpadał w szał. Wszystko, co mogła zrobić, to starać się utrzymać w siodle, jednak najmniejszy błąd oznaczałby straszliwą śmierć pod kopytami przerażonych zwalistych zwierząt. Lucy nie przywykła do tego, by radzić sobie w tak trudnych sytuacjach. Zaczęło jej się kręcić w głowie, poluzowała wodze. Tracąc oddech w chmurze kurzu, wznoszącym się spod kopyt zmęczonych zwierząt i cuchnącym ich potem, być może zrezygnowałaby z dalszych prób, gdyby nie usłyszała czyjegoś głosu. Ktoś krzyczał, że zaraz jej pomoże. W tej samej chwili żylasta opalona dłoń chwyciła przerażonego konia za uzdę; torując sobie drogę przez stado, jej wybawca wyprowadził ją w bezpieczne miejsce.

– Mam nadzieję, że nic ci się nie stało, panienko? – rzekł z szacunkiem.

Podniosła oczy, popatrzyła na jego ciemną wyrazistą twarz i roześmiała się zalotnie.

– Strasznie się przeraziłam – powiedziała naiwnie. – Kto by pomyślał, że Poncho tak się przestraszy paru krów!

– Dzięki bogu, że nie wypadłaś z siodła – odparł z powagą jej rozmówca. Był to wysoki młodzieniec o zawadiackim wyglądzie. Siedział na potężnym dereszu; odziany był w surowy myśliwski strój, a przez ramię miał przerzuconą długą strzelbę. – Domyślam się, że jesteś córką Johna Ferriera – zauważył. – Widziałem, jak wyjeżdżałaś z jego domu. Gdy się z nim zobaczysz, zapytaj, czy pamięta Jeffersona Hope'a z St. Louis. Jeśli to ten sam Ferrier, to on i mój ojciec byli przyjaciółmi.

– Może sam przyjedź i zapytaj – rzekła, spuszczając oczy.

Wyglądało na to, że młodzieńcowi propozycja ta przypadła do gustu, bo w jego ciemnych oczach pojawił się błysk radości.

– Tak zrobię – powiedział. – Przez ostatnie dwa miesiące byliśmy w górach, i nie jesteśmy przygotowani do takich wizyt. Cóż, będzie musiał przyjąć nas takimi, jakimi jesteśmy.

– Ojciec bardzo dużo ci zawdzięcza, podobnie jak i ja – odparła. – Bardzo mnie kocha, i gdyby te krowy mnie stratowały, nigdy by się z tym nie pogodził.

– Ja też nie – odparł jej rozmówca.

– Ty? Cóż, nie sądzę, żeby to miało dla ciebie jakiekolwiek znaczenie. Nie jesteś przecież nawet naszym przyjacielem.

Po tej uwadze twarz młodego myśliwego stała się tak posępna, że Lucy Ferrier wybuchła śmiechem.

– Daj spokój, nie o to mi chodziło – powiedziała. – Oczywiście, że teraz jesteś naszym przyjacielem. Musisz nas odwiedzić. Ale czas już na mnie, bo ojciec nigdy więcej nie powierzy mi żadnych spraw do załatwienia. Zatem do zobaczenia!

– Do zobaczenia – odparł, unosząc swoje wielkie sombrero i pochylając się nad jej drobną rączką.

Dziewczyna zawróciła mustanga, smagnęła go szpicrutą i popędziła szeroką drogą w tumanach kurzu wzbijających się do góry.

Młody Jefferson Hope odjechał ze swymi towarzyszami, ponury i milczący. Spędzili ostatnie miesiące w górach Nevady na poszukiwaniu srebra, a teraz powracali do Salt Lake City w nadziei uzyskania pieniędzy

na rozpoczęcie eksploatacji odkrytych złóż. Podobnie jak jego pozostali towarzysze, był całkowicie pochłonięty tą sprawą, dopóki ten nagły incydent nie skierował jego myśli na zupełnie inne tory. Widok pięknej młodej dziewczyny, szczerej i pełnej życia niczym górski wiatr, rozbudził jego gorące jak wulkan, nieokiełznane serce. Gdy zniknęła mu z oczu, zdał sobie sprawę, że oto nadszedł przełomowy punkt w jego życiu i że ani spekulacje srebrem, ani żadne inne kwestie nigdy nie będą już miały dla niego tak wielkiego znaczenia, jak ta nowa i pochłaniająca go bez reszty fascynacja. Miłość, która zbudziła się w jego sercu, nie była gwałtownym i zmiennym chłopięcym zauroczeniem, lecz dziką namiętną pasją mężczyzny o silnej woli i władczym charakterze. Był przyzwyczajony do tego, że udawało mu się dotychczas wszystko, czego się tknął. Poprzysiągł więc sobie, że i na tym polu nie zawiedzie, a jego wysiłki i wytrwałość zapewnią mu to, czego pragnął.

Tego wieczoru przyszedł do Johna Ferriera, a potem odwiedzał go tak często, że wkrótce stał się znany na farmie. John, mieszkający na uboczu w dolinie, pochłonięty był pracą i prawie nic nie wiedział o tym, co się działo na świecie w ciągu ostatnich dwunastu lat. Jefferson Hope był w stanie opowiedzieć wiele rzeczy, które mogły zainteresować nie tylko Ferriera, ale i jego córkę. Wcześniej był przewodnikiem i tropicielem w Kalifornii, znał wiele dziwnych historii o tym, jak zdobywano i tracono fortuny w tych pionierskich czasach. Był też skautem, traperem, poszukiwaczem srebra i ranczerem. Jeśli tylko można było gdzieś przeżyć jakieś porywające przygody, Jefferson Hope zawsze tam się udawał. Stary farmer wkrótce bardzo go polubił i często wychwalał jego zalety. W takich chwilach Lucy milczała, ale jej zarumienione policzki i błyszczące radośnie oczy świadczyły aż nazbyt wymownie, że jej młode serce nie należało już tylko do niej. Być może jej ojciec nie zauważył tych objawów, lecz z całą pewnością nie umknęły one mężczyźnie, który zdobył jej uczucia.

Pewnego letniego wieczoru przygnał galopem i zatrzymał się przed bramą farmy. Lucy, która stała w drzwiach, pobiegła mu naprzeciw. Jefferson przerzucił wodze przez ogrodzenie i ruszył ścieżką w kierunku domu.

– Wyjeżdżam, Lucy – powiedział, ujmując jej dłonie i czule wpatrując się w jej twarz. – Nie proszę cię teraz, byś pojechała ze mną, ale czy będziesz gotowa to zrobić, kiedy tu powrócę?

– A kiedy to będzie? – spytała, zarumieniona, ze śmiechem.

– Za parę miesięcy. Wtedy przyjadę, kochana, i cię zabiorę. Nie ma takiego człowieka, który mógłby nas rozdzielić.

– A co z moim ojcem? – spytała.

– Już się zgodził. A więc pod tym względem nie obawiam się niczego. Muszę jednak przedtem uruchomić z przyjaciółmi eksploatację kopalni.

– Och, to dobrze! Oczywiście. Skoro ty i ojciec wszystko już uzgodniliście, nie mam już nic więcej do dodania – wyszeptała, wtulając policzek w jego szeroką pierś.

– Dzięki Bogu – rzekł ochrypłym głosem, pochylając się i całując dziewczynę. – W takim razie wszystko ustalone. Im dłużej tu zostanę, tym trudniej będzie mi wyjechać. Czekają już na mnie w kanionie. Do widzenia, moja ukochana! Do zobaczenia! Widzimy się za dwa miesiące!

Mówiąc to, gwałtownie się od niej odsunął i, wskakując na konia, pogalopował drogą, nie oglądając się, jakby się bał, że jeśli choć raz spojrzy na tę, którą opuszcza, nie będzie miał siły się z nią rozstać. Dziewczyna stała przy bramie, patrząc za nim, póki nie straciła go z oczu. Potem odwróciła się i weszła do domu, czując się najszczęśliwszą dziewczyną w całym Utah.

Rozdział trzeci

John Ferrier rozmawia z prorokiem

Upłynęły trzy tygodnie, odkąd Jefferson Hope i jego towarzysze opuścili Salt Lake City. Johnowi Ferrierowi robiło się ciężko na sercu, gdy myślał o powrocie młodzieńca i o nieuniknionej rozłące ze swym adoptowanym dzieckiem. Jednak jej promieniejąca szczęściem twarz przekonywała go bardziej niż jakiekolwiek inne argumenty, aby się z tym pogodzić. W głębi serca postanowił, że nie pozwoli jej poślubić mormona. Takie małżeństwo w ogóle nie było w jego oczach małżeństwem, lecz hańbą i wstydem. Cokolwiek by myślał na temat mormońskich doktryn, pod tym jednym względem pozostał nieugięty. Musiał oczywiście ukrywać swoje przekonania, bo w tamtych czasach wyrażanie takich heretyckich poglądów było w krainie świętych tak bardzo niebezpieczne, że nawet najbardziej świątobliwi mieli odwagę rozprawiać o religii jedynie szeptem, obawiając się, aby coś, co powiedzieli, nie zostało niewłaściwie zinterpretowane i nie sprowadziło na nich kary. Ofiary prześladowań religijnych same zmieniły się w prześladowców, i to prześladowców najgorszego gatunku. Ani sewilska inkwizycja, ani niemieckie Femegericht, ani tajemne stowarzyszenia we Włoszech nigdy nie zdołały uruchomić tak straszliwej machiny, jak ta, która teraz rzucała swój cień na cały stan Utah.

Tajemniczość towarzysząca jej działaniu sprawiała, że wydawała się w dwójnasób straszna, wszechwiedząca i wszechpotężna, choć nikt nigdy nie widział jej ogniw ani nie słyszał o tym, jak działa. Człowiek, który ośmielił się przeciwstawić kościołowi, po prostu znikał, i nikt nie wiedział, dokąd odszedł ani co się z nim stało. Jego żonie i dzieciom nie było sądzone doczekać się męża i ojca i dowiedzieć się, jak się z nim obeszli tajni sędziowie. Skutkiem nierozważnych słów czy pochopnych działań była zagłada, a jednak nikt nie znał tej straszliwej siły, która nad nim

zawisła. Nic dziwnego, że ludzie żyli w nieustannym strachu i drżeli na myśl o tym, co może ich spotkać, i że nawet pośrodku pustyni nie ośmielali się wyrażać choćby szeptem swych wątpliwości dotyczących wiary.

Na początku ta straszliwa potęga zagrażała tylko krnąbrnym mormonom, którzy nawróciwszy się na tę wiarę, pragnęli później przeinaczyć ją lub wyrzec się jej. Wkrótce jednak obszar działania tej siły powiększył się. Liczba dorosłych kobiet kurczyła się, a poligamia bez licznej rzeszy kobiet stała się doprawdy pustą doktryną. Zaczęły pojawiać się pogłoski o wymordowanych imigrantach i o całych obozowiskach, w których wystrzelano mężczyzn w rejonach, gdzie nigdy nie widywano Indian. W haremach członków starszyzny mormońskiej pojawiały się nowe kobiety. Kobiety, które usychały z tęsknoty i płakały i których twarze nosiły ślady straszliwych przeżyć, o jakich nigdy nie będą mogły zapomnieć. Wędrowcy, zapuszczający się nocą w góry, mówili o bandach uzbrojonych zamaskowanych mężczyzn, przemykających skrycie i bezgłośnie w ciemnościach. Te opowieści i pogłoski przybierały bardziej realne kształty, przyjmując formę działalności organizacji znanej po dziś dzień na oddalonych ranczach Zachodu jako Związek Danitów czy też Anioły Zemsty, wywołującej zabobonny strach.

Kiedy ludzie dowiedzieli się więcej o tej organizacji, która dopuszczała się tak straszliwych czynów, ich umysły ogarnęło jeszcze większe przerażenie. Nikt nie wiedział, kto należy do tej bezwzględnej sekty. Nazwiska uczestników krwawych czynów popełnionych w imię religii otoczone były najgłębszą tajemnicą. Najlepszy przyjaciel, któremu człowiek zwierzał się ze swoich wątpliwości co do proroka i jego misji, mógł być jednym z tych, którzy przyjdą nocą z ogniem i mieczem, by dokonać straszliwej zemsty. Tak więc każdy obawiał się swoich sąsiadów, i nikt nie mówił o sprawach, które leżały mu na sercu.

Pewnego pięknego ranka John Ferrier miał właśnie wyruszyć na swoje pola pszenicy, gdy usłyszał skrzypnięcie furtki i, wyjrzawszy przez okno, zobaczył jasnowłosego przysadzistego mężczyznę w średnim wieku, który nadchodził ścieżką. Serce mocniej zabiło mu w piersi, był to bowiem nie kto inny jak wielki Brigham Young we własnej osobie. Pełen niepokoju (wiedział bowiem, że taka wizyta nie mogła mu wróżyć niczego dobrego) Ferrier podbiegł do drzwi, by przywitać mormońskiego przywódcę. Ten

jednak chłodno odwzajemnił jego powitanie i z surową twarzą udał się wraz z nim do salonu.

– Bracie Ferrier – powiedział, siadając i mierząc farmera przenikliwym wzrokiem spod swoich jasnych rzęs. – Wyznawcy prawdziwej wiary byli dla ciebie dobrymi przyjaciółmi. Przygarnęliśmy cię, gdy umierałeś z głodu na pustyni, dzieliliśmy się z tobą swoim jedzeniem i doprowadziliśmy cię bezpiecznie do Doliny Wybranych. Szczodrze przyznaliśmy ci ziemię i pozwoliliśmy ci się bogacić pod naszą ochroną. Czyż nie jest to prawdą?

– To prawda – odparł John Ferrier.

– W zamian za to wszystko chcieliśmy, abyś spełnił tylko jeden warunek, żebyś przyjął prawdziwą wiarę i wiódł życie pod każdym względem zgodne z jej prawami. Ty zaś obiecałeś to uczynić, i jeśli krążące pogłoski są prawdziwe, zaniedbałeś tego.

– A w jakiż to sposób tego zaniedbałem? – zapytał Ferrier, szeroko rozkładając ręce, aby podkreślić swe zdumienie. – Czyż nie płaciłem na fundusz wspólnoty? Nie uczęszczałem do świątyni? Czy nie…

– A gdzie są twoje żony? – spytał Young, rozglądając się wokół. – Zawołaj je tutaj. Pragnę je powitać.

– To prawda, że się nie ożeniłem – odparł Ferrier. – Jednak kobiet było mało, i wielu było takich, którzy mieli do nich słuszniejsze roszczenia niż ja. Nie byłem samotnym człowiekiem. Miałem córkę, która o mnie dbała.

– To właśnie o córce pragnę z tobą porozmawiać – rzekł mormoński przywódca. – Dorosła już i przeobraziła się w prawdziwy kwiat Utah. Znalazła przychylność w oczach wielu spośród tych, którzy mają wysokie stanowisko na tej ziemi.

John Ferrier poczuł chłód w sercu.

– Ludzie opowiadają o niej historie, którym wolałbym nie dawać wiary. Historie o tym, że jest obiecana jakiemuś innowiercy. Ale to muszą być przecież tylko czcze plotki… Jaka jest trzynasta reguła kodeksu świętego Josepha Smitha? „Niech każde dziewczę prawdziwej wiary poślubi jednego z wybranych; albowiem jeśli poślubi innowiercę, popełni poważny grzech”. A skoro tak jest, to niemożliwe, byś ty, wyznawca świętej wiary, pozwolił, by twoja córka pogwałciła jej prawa.

John Ferrier nie odpowiedział, tylko bawił się nerwowo swoją szpicrutą.

– Ta jedna sprawa będzie próbą całej twojej wiary. Tak postanowiła Święta Rada Czterech. Dziewczyna jest młoda, i nie chcemy, żeby wyszła

za jakiegoś siwowłosego starca. Nie pozbawimy jej także całkowicie wyboru. My, starsi, mamy wiele jałówek, ale musimy też zadbać o nasze dzieci. Stangerson ma syna, i Drebber ma syna. Obaj powitaliby z radością w swym domu twoją córkę. Niech wybierze pomiędzy nimi. Są młodzi, bogaci i wyznają prawdziwą wiarę. Co na to powiesz?

Ferrier przez jakiś czas milczał, marszcząc brwi.

– Daj nam trochę czasu – powiedział w końcu. – Moja córka jest bardzo młoda. Ledwie osiągnęła wiek odpowiedni do zawarcia małżeństwa.

– Będzie miała cały miesiąc na dokonanie wyboru – odparł Young, powstając. – Po upływie tego czasu będzie musiała dać odpowiedź.

Znikał już w drzwiach, odwrócił się jednak z zaczerwienioną twarzą i rozpalonymi oczyma.

– I lepiej by było dla ciebie, Johnie Ferrier – zagrzmiał – żebyś razem z nią leżał teraz jako zbielały szkielet na Sierra Blanco, niż żebyś miał się sprzeciwić rozkazom Świętej Czwórki!

Odwrócił się i odszedł z gestem wyrażającym groźbę. Ferrier usłyszał jeszcze zgrzyt kamieni na ścieżce pod jego ciężkimi krokami.

Wciąż siedział z łokciami opartymi na kolanach, zastanawiając się, jak ma przekazać tę wiadomość swojej córce, gdy jego ręki dotknęła miękka dłoń: unosząc wzrok, ujrzał stojącą przed nim dziewczynę. Jedno spojrzenie na jej bladą przerażoną twarz powiedziało mu, że wszystko słyszała.

– Nic nie mogłam na to poradzić – odparła w odpowiedzi na to spojrzenie. – Jego głos niósł się po całym domu. Och ojcze, ojcze, co my zrobimy?!

– Nie bój się – odparł, przyciągając ją ku sobie i głaszcząc szeroką szorstką dłonią jej kasztanowe włosy. – Jakoś sobie z tym poradzimy, jak nie w ten, to w inny sposób. Nie masz wrażenia, że mniej lubisz tego chłopaka, prawda?

Szloch i mocniejszy uścisk jej dłoni były jedyną odpowiedzią.

– Nie, oczywiście, że nie. Zresztą wcale nie chciałbym usłyszeć, że tak jest. Ten miły chłopak jest chrześcijaninem, co czyni go o wiele lepszym od tych tutaj ludzi mimo ich nieustannych modłów i kazań. Jutro wyrusza grupa do Nevady; spróbuję przesłać mu wiadomość, by dowiedział się, w jakich tarapatach się znaleźliśmy. Jeśli intuicja mnie nie myli, młodzieniec będzie tu z powrotem szybciej niż te telegraficzne wiadomości przesyłane po drutach.

Lucy uśmiechnęła się przez łzy, słysząc słowa ojca.

– Wspólnie będziemy mogli temu zaradzić. Ale to o ciebie się boję. Słyszy się… słyszy się takie straszne historie o tych, którzy sprzeciwili się prorokowi. Zawsze spotykają ich jakieś potworności.

– Ale przecież my jeszcze się mu nie sprzeciwiliśmy – odparł jej ojciec. – Kiedy to uczynimy, wówczas trzeba będzie się spodziewać jakiejś burzy. Na razie mamy miesiąc spokoju, a potem, myślę, najlepiej będzie znaleźć się daleko od Utah.

– Mamy opuścić Utah?!

– Cóż, na to wygląda.

– A farma?

– Zabierzemy tyle pieniędzy, ile będziemy mogli, a reszta przepadnie. Prawdę mówiąc, Lucy, nie pierwszy raz o tym myślę. Niezbyt lubię chylić kark przed jakimkolwiek człowiekiem, tak jak ludzie tutaj przed tym swoim cholernym prorokiem. Urodziłem się wolnym Amerykaninem, i to, co się tutaj dzieje, jest dla mnie czymś nowym. Za stary już jestem, żeby się uczyć. Jeśli znów przyjdzie węszyć na tej farmie, to może się natknąć na gruby śrut podróżujący w przeciwnym kierunku.

– Ale oni nie pozwolą nam odejść! – zaprotestowała jego córka.

– Poczekaj tylko, aż wróci Jefferson, a zobaczysz, że nam się uda. Tymczasem, kochanie, nie bój się i nie płacz, bo jak będziesz miała zapuchnięte oczy, to spuści mi tęgi łomot, kiedy cię taką zobaczy. Nie ma się czego obawiać. Nic nam nie grozi.

John Ferrier wypowiedział te słowa pociechy bardzo pewnym tonem, zauważyła jednak, że tej nocy niezwykle starannie zamknął i sprawdził wszystkie drzwi, a także solidnie wyczyścił i naładował starą pordzewiałą śrutówkę wiszącą na ścianie jego sypialni.

Rozdział czwarty

Ucieczka

Następnego dnia po rozmowie z mormońskim prorokiem John Ferrier udał się rano do Salt Lake City i, odnalazłszy swego znajomego, który wybierał się w góry Nevady, powierzył mu wiadomość dla Jeffersona Hope’a, w której napisał młodzieńcowi, że grozi im niebezpieczeństwo i że jest absolutnie konieczne, żeby on wrócił jak najszybciej. Gdy Ferrier oddał list, zrobiło mu się lżej na sercu, i w lepszym nastroju wyruszył w drogę powrotną.

Kiedy zbliżał się do swej farmy, ze zdumieniem ujrzał dwa konie przywiązane do słupków przy bramie. Jeszcze bardziej był zaskoczony, gdy po wejściu do środka odkrył, że dwóch młodych ludzi panoszy się w jego salonie. Jeden, o szczupłej bladej twarzy, rozparł się w bujanym fotelu, oparłszy stopy o piec. Drugi, młodzieniec z grubym karkiem o topornych nalanych rysach twarzy, stał przy oknie z rękoma w kieszeniach, wygwizdując jakiś popularny kościelny hymn. Gdy Ferrier wszedł, obaj skinęli głowami w jego stronę, i ten, który rozsiadł się w bujanym fotelu, rozpoczął rozmowę.

– Może nas pan nie zna – powiedział. – To jest syn członka starszyzny Drebbera, a ja jestem Joseph Stangerson, który podróżował z panem przez pustynię, gdy Bóg wyciągnął do was rękę i przyjął do swego prawdziwego stada.

– Tak jak uczyni ze wszystkimi narodami, gdy uzna, że nadszedł na to czas – rzekł drugi nosowym głosem. – Bóg jest jak woda, która powoli drąży skałę.

John Ferrier skłonił się chłodno. Odgadł już, kim byli jego goście.

– Przybyliśmy tutaj – ciągnął dalej Stangerson – za radą naszych ojców, aby ubiegać się o rękę pańskiej córki dla tego z nas, którego ona i pan

uznacie za lepszego. Ponieważ mam tylko cztery żony, a obecny tu brat Drebber ma ich aż siedem, wydaje mi się, że moje roszczenia są bardziej usprawiedliwione.

– Nie, nie, bracie Stangerson! – zawołał ten drugi. – Kwestia nie polega na tym, ile mamy żon, ale ile jesteśmy w stanie utrzymać. Mój ojciec przekazał mi teraz swoje młyny, i jestem bogatszy od ciebie.

– Ale to ja mam lepsze perspektywy – odrzekł żarliwie Stangerson. – Gdy Pan weźmie mojego ojca do siebie, odziedziczę po nim garbarnię i fabrykę skóry. Jestem od ciebie starszy, i mam wyższą pozycję w kościele.

– To dziewczyna będzie decydować – przerwał mu młody Drebber, uśmiechając się z satysfakcją do swojego odbicia w szklance. – Pozwólmy jej samej rozstrzygnąć.

Podczas tego dialogu John Ferrier stał w drzwiach, kipiąc ze złości i ledwo się powstrzymując, by nie przepędzić swych gości szpicrutą.

– Posłuchajcie – powiedział wreszcie, zbliżając się do nich szybkim krokiem. – Kiedy moja córka was wezwie, będziecie mogli tu przyjść. Ale do tej pory nie chcę tutaj więcej was oglądać!

Dwaj młodzi mormoni wpatrywali się w niego w osłupieniu. W ich oczach ta rywalizacja o rękę dziewczyny była najwyższym możliwym zaszczytem zarówno dla niej, jak i dla jej ojca.

– Są dwie drogi z tego pokoju! – krzyknął Ferrier. – Jedna przez drzwi, a druga przez okno. Którą wybieracie?

Jego ogorzała twarz wyrażała taką wściekłość, a żylaste ręce zdawały się tak groźne, że goście zerwali się na równe nogi i w pośpiechu skierowali się do drzwi. Stary farmer poszedł za nimi.

– Dajcie mi znać, jak już ustalicie, który z was to ma być – rzekł ironicznie.

– Zapłacisz za to! – wrzasnął Stangerson, pobladły z gniewu. – Sprzeciwiłeś się prorokowi i Radzie Czterech. Będziesz tego żałował do końca twoich dni!

– Zawiśnie nad tobą ciężka ręka Pana! – zawołał młody Drebber. – On powstanie i cię zmiażdży.

– To ja zaraz kogoś zmiażdżę! – krzyknął wściekle Ferrier i pognałby na górę po swoją strzelbę, gdyby nie powstrzymała go Lucy, chwytając za ramię. Nim zdołał się jej wyrwać, tętent końskich kopyt oznajmił, że byli już poza jego zasięgiem.

– Co za młode łotry i ich czcze pogróżki! – zawołał, ocierając pot z czoła. – Prędzej zobaczę cię w grobie, córeczko, niż jako żonę któregoś z nich.

– Ja również bym to wolała, ojcze – odparła z przekonaniem. – Ale Jefferson niedługo tu będzie.

– Tak, już niedługo przyjedzie. Im szybciej, tym lepiej, bo nie wiemy, jaki będzie ich następny ruch.

I rzeczywiście był już najwyższy czas, by zjawił się ktoś, kto mógłby coś doradzić i pomóc krzepkiemu staremu farmerowi i jego przybranej córce. W całej historii osady nigdy nie było takiego przypadku nieposłuszeństwa wobec wyższych w kościelnej hierarchii i autorytetu starszych. Skoro drobniejsze przewinienia były tak surowo traktowane, jaka mogła być kara za tak jawny bunt? Ferrier wiedział o tym, że jego majątek i pozycja na nic mu się nie przydadzą. Już wcześniej inni, równie znani i zamożni jak on, niepostrzeżenie znikali, a ich dobra przekazywano kościołowi. Był odważnym człowiekiem, jednak na myśl o tej nieuchwytnej tajemniczej groźbie, jaka nad nimi zawisła, przeszywał go dreszcz. Mógłby dzielnie stawić czoła każdemu znanemu niebezpieczeństwu, ale to napięcie wyprowadzało go z równowagi. Ukrywał co prawda swoje lęki przed córką i próbował pokazać jej, że dość lekko traktuję tę sprawę, ona jednak tak bardzo kochała ojca, że dostrzegała jego niepokój i to, że on nie czuje się zbyt pewnie.

Ferrier oczekiwał, że za to, jak postąpił, otrzyma jakąś wiadomość lub ostrzeżenie od Younga. I nie mylił się, nadeszło ono jednak w sposób, jakiego się nie spodziewał. Gdy wstał następnego ranka, z zaskoczeniem odkrył niewielką kwadratową kartkę papieru przypiętą do kołdry, trochę powyżej jego klatki piersiowej. Było na niej napisane wielkimi chwiejnymi literami:

> Masz dwadzieścia dziewięć dni na poprawę, a potem…

Trzy kropki na końcu tej wiadomości o wiele bardziej napawały go lękiem niż jakakolwiek inna groźba. John Ferrier łamał sobie głowę, w jaki sposób to ostrzeżenie trafiło do jego pokoju; służący spali w innym budynku, a wszystkie okna i drzwi były zabezpieczone. Zmiął kartkę w dłoni i nie wspomniał o tym ostrzeżeniu córce, jednak zdarzenie

to zmroziło jego serce. Te dwadzieścia dziewięć dni były najwyraźniej czasem, jaki pozostał im z wyznaczonego przez Younga miesiąca. Cóż mogła zdziałać siła czy odwaga wobec wroga obdarzonego tak tajemniczymi mocami? Dłoń, która przypięła tę wiadomość, mogła przecież zadać mu cios w serce, a on nawet by nie wiedział, kto go zabił.

Jeszcze bardziej wstrząśnięty był jednak kolejnego ranka. Siedzieli razem przy śniadaniu, gdy nagle Lucy krzyknęła zaskoczona, wskazując ręką w górę. Na samym środku sufitu nabazgrano, najwyraźniej osmalonym patykiem, liczbę 28. Jego córka nie była w stanie odszyfrować niewyraźnych cyfr, on zaś nie wyjaśnił jej, co one oznaczają. Tę noc przesiedział ze strzelbą w ręku, czuwając i trzymając straż. Nic nie zobaczył ani nie usłyszał, jednak kolejnego ranka na zewnętrznej stronie drzwi odkrył wymalowaną wielką liczbę 27. I tak płynął dzień za dniem. Kiedy nadchodził poranek, Ferrier odkrywał, że jego niewidzialni wrogowie wciąż odliczają czas i zaznaczają w jakimś rzucającym się w oczy miejscu, ile jeszcze dni pozostało mu z tego miesiąca karencji. Czasami feralne liczby pojawiały się na ścianach, czasem na podłodze, innym razem na niewielkich tabliczkach przyczepionych do furtki ogrodu lub do ogrodzenia. Mimo całej swej czujności John Ferrier nie był w stanie odkryć, w jaki sposób pojawiały się te codzienne ostrzeżenia. Na ich widok ogarniał go niemal zabobonny lęk. Schudł i nie potrafił nigdzie znaleźć sobie miejsca. Jego oczy przybrały niespokojny wyraz ściganego zwierzęcia. Miał teraz już tylko jedną nadzieję – a było nią przybycie z Nevady młodego myśliwego.

Dwadzieścia zmieniło się w piętnaście, a piętnaście w dziesięć, jednak chłopak nie dawał znaku życia. Z każdym dniem liczby były coraz mniejsze, a o nim wciąż nic nie było słychać. Zawsze gdy na drodze rozlegał się tętent koni lub poganiacz bydła krzyczał coś do swoich ludzi, stary farmer spiesznym krokiem ruszał do bramy, licząc, że wreszcie przybyła pomoc. W końcu, gdy zobaczył, że pięć ustępuje czterem, a cztery zmienia się w trzy, stracił jakąkolwiek nadzieję na ucieczkę. Zdawał sobie sprawę z tego, że w pojedynkę, nie znając dobrze otaczających osadę gór, jest bezsilny. Bardziej uczęszczane szlaki były dokładnie pilnowane i strzeżone, i nikt nie mógł przejechać nimi bez zezwolenia Rady Czterech. Niezależnie od tego, w którą stronę by się nie zwrócił, wydawało się, że nie ma szans na uniknięcie niebezpieczeństwa, które mu zagrażało. A jednak

stary farmer ani na chwilę nie zmienił postanowienia, że wolałby stracić życie, niż zgodzić się na to, co uważał za hańbę dla swojej córki.

Pewnego wieczoru siedział samotnie, rozmyślając nad swoim losem i na próżno szukając jakiegoś rozwiązania. Tego ranka znalazł cyfrę 2 na ścianie domu, a następny dzień miał być ostatnim z darowanego im czasu. Co miało stać się później? Jego wyobraźnię wypełniały wszelkiego rodzaju niejasne przerażające wizje. A jego córka… Co się z nią stanie, kiedy go zabraknie? Nie było ucieczki przed tą niewidzialną siecią, która zaciskała wokół nich pętlę. Opuścił głowę na stół i gorzko zaszlochał na myśl o swej bezsilności.

Co to było? Usłyszał słaby odgłos drapania. Ledwie uchwytny, ale wyraźny w nocnej ciszy. Dobiegał od strony drzwi. Ferrier przemknął się do holu i nasłuchiwał w skupieniu. Przez kilka chwil nie dobiegał żaden dźwięk, a potem znów usłyszał ten dziwny cichy odgłos. Najwyraźniej ktoś bardzo lekko pukał w jedną z desek drzwi. Czy to zabójca, który przyszedł o północy z zamiarem wykonania wyroku tajnego trybunału? A może to jakiś posłaniec, mający zostawić wiadomość, że nadszedł ostatni dzień łaski? Ferrier poczuł, że natychmiastowa śmierć byłaby lepsza niż to szarpiące mu nerwy napięcie, przepełniające trwogą jego serce. Skoczył naprzód, odrzucając rygiel, i z impetem otworzył drzwi.

Na zewnątrz panowały cisza i absolutny spokój. Noc była piękna, w górze jasno świeciły gwiazdy. Ale ani w małym ogródku przed domem, ani przy bramie czy ogrodzeniu biegnącym dookoła, ani na drodze nie widać było żadnego człowieka. Z westchnieniem ulgi Ferrier spojrzał w prawo, potem w lewo, i przypadkiem jego wzrok padł prosto pod nogi. Ku swemu zdumieniu zobaczył mężczyznę leżącego płasko na brzuchu z rozpostartymi ramionami i nogami.

Widok ten tak nim wstrząsnął, że oparł się o ścianę, chwytając się ręką za gard-ło, by zdławić własny krzyk. Najpierw pomyślał, że był to jakiś ranny lub umierający, teraz jednak ujrzał, jak postać, wijąc się po ziemi, wpełza do środka, szybko i bezgłoś-nie niczym wąż. Gdy tylko mężczyzna znalazł się w domu, poderwał się na nogi i zamknął drzwi: zdumiony farmer ujrzał wyrazistą twarz i stanowcze spojrzenie Jeffersona Hope’a.

– Dobry Boże – sapnął John Ferrier. – Ale mnie przestraszyłeś! Dlaczego przyszed-łeś w taki sposób?

– Daj mi jeść – odparł ten drugi zachrypniętym głosem. – Nie miałem niczego w ustach przez ostatnie czterdzieści osiem godzin. – Rzucił się na chleb i wędlinę, które wciąż leżały na stole po kolacji, i zaczął je łapczywie pochłaniać. – Lucy się trzyma? – spytał, gdy zaspokoił już głód.

– Tak. Nie zdaje sobie sprawy z niebezpieczeństwa – odparł jej ojciec.

– To dobrze. Wasz dom jest obserwowany ze wszystkich stron. To właśnie dlatego musiałem się tu przyczołgać. Może i są cholernie czujni, ale nie na tyle, żeby złapać myśliwego z Washoe.

Teraz, gdy John Ferrier uświadomił sobie, że ma oddanego sojusznika, poczuł się dużo pewniej. Uchwycił szorstką dłoń młodzieńca i serdecznie ją uścisnął.

– Możesz być z siebie dumny, synu – powiedział. – Niewielu znalazłoby się takich, którzy odważyliby się dzielić nasze kłopoty i stawić czoła niebezpieczeństwu, które nam zagraża.

– Trafiłeś w sedno, przyjacielu – odparł młody myśliwy. – Szanuję cię, ale gdybyś tkwił w tym sam, pomyślałbym dwa razy, zanim wsadził głowę w to gniazdo szerszeni. To Lucy mnie tutaj sprowadza, i póki żyję, nikomu nie dam jej skrzywdzić.

– Co mamy robić?

– Jutro jest wasz ostatni dzień, i jeśli nie zdecydujecie się działać dziś w nocy, będzie po was. Muł i dwa konie czekają w Orlim Wąwozie. Ile macie pieniędzy?

– Dwa tysiące dolarów w złocie i pięć tysięcy w banknotach.

– To wystarczy. Ja mam drugie tyle. Musimy przedrzeć się przez góry do Carson City. Idź już lepiej obudzić Lucy. Dobrze, że służba nie śpi w tym budynku.

Gdy Ferrier zniknął, by przygotować córkę do czekającej ich podróży, Jefferson Hope zapakował w małe zawiniątko wszystko, co nadawało się do jedzenia, a co udało mu się znaleźć, i napełnił wodą kamionkowe naczynie. Z doświadczenia wiedział, że studnie, których i tak nie ma w górach zbyt wiele, są położone w dużej odległości od siebie. Ledwie zdążył skończyć te przygotowania, gdy farmer zjawił się z córką, ubraną i gotową do drogi. Powitanie kochanków było czułe, lecz krótkie, bo liczyła się każda minuta, a mieli jeszcze dużo do zrobienia.

– Musimy wyruszyć natychmiast – rzekł Jefferson Hope głosem cichym, lecz stanowczym, jak ktoś, kto zdaje sobie sprawę z ogromu

niebezpieczeństwa i jest gotów stawić mu czoła. – Frontowe i tylne drzwi są obserwowane, ale jeśli będziemy ostrożni, może uda nam się wydostać przez boczne okno i przejść na przełaj przez pola. Gdy już dotrzemy do drogi, zostaną nam tylko dwie mile do wąwozu, gdzie czekają konie. Nim wstanie świt, powinniśmy już pokonać pół drogi przez góry.

– A jeśli nas zatrzymają? – spytał Ferrier.

Hope klepnął kolbę rewolweru wystającego mu spod koszuli.

– Jeśli będzie ich zbyt wielu, paru na pewno zabierzemy ze sobą – powiedział z ponurym uśmiechem.

Wszystkie światła w domu były pogaszone, i z ciemnego okna Ferrier wyjrzał na swoje pola. Teraz miał opuścić je na zawsze. Był już jednak od dawna na to przygotowany, a myśl o honorze i szczęściu córki była silniejsza niż żal za utraconą fortuną. Szeleszczące drzewa i szerokie ciche łany zboża – wszystko wyglądało tak spokojnie i sielankowo, że trudno było uwierzyć, iż gdzieś tam czaili się mordercy. Jednak pobladła twarz młodego myśliwego świadczyła o tym, że zbliżając się do domu, widział wystarczająco dużo zagrożeń.

Ferrier wziął torbę ze złotem i banknotami, Jefferson Hope – skąpe zapasy i wodę, a Lucy – niewielkie zawiniątko z kilkoma najcenniejszymi rzeczami, jakie posiadała. Bardzo powoli i ostrożnie otworzyli okno, a potem poczekali, aż ciemna chmura zasłoniła księżyc, sprawiając, że noc stała się ciemniejsza.

Wtedy jedno po drugim przedostali się do niewielkiego ogródka. Wstrzymując oddech, pochyleni ku ziemi, szli, ukryci w cieniu żywopłotu, aż dotarli do prześwitu, którym można było przejść na pola pszenicy. Właśnie dotarli do tego miejsca, gdy młody mężczyzna przytrzymał dwójkę swych towarzyszy i pociągnął ich w dół, do cienia. Leżeli tam cicho, drżąc ze strachu.

Możliwe, że to doświadczenie, jakie Jefferson Hope zdobył na preriach, sprawiło, że słuch miał jak u rysia. Ledwie on i jego przyjaciele zdążyli przypaść do ziemi, gdy w odległości kilku jardów od nich rozległo się melancholijne pohukiwanie górskiej sowy. Natychmiast odpowiedziało mu inne pohukiwanie, trochę dalej. W tej samej chwili z prześwitu, do którego zmierzali, wyłonił się niewyraźny cień, który wydał żałosny zawodzący sygnał. Na ten znak z ciemności wynurzył się drugi mężczyzna.

– Jutro o północy – rzekł pierwszy, prawdopodobnie dowódca. – Kiedy lelek zawoła trzy razy.

– Dobrze – odparł drugi. – Mam powiadomić brata Drebbera?

– Przekaż mu to, a on przekaże innym. Dziewięć do siedmiu!

– Siedem do pięciu! – odpowiedział drugi, i obie postacie pomknęły w przeciwnych kierunkach.

Ich ostatnie słowa były czymś w rodzaju hasła i odzewu. W chwili gdy kroki ucich-ły w dali, Jefferson Hope zerwał się na nogi, pomógł swoim towarzyszom przejść przez przesiekę i poprowadził ich jak najszybciej przez pola, podtrzymując i prawie niosąc dziewczynę, gdy wydawało się, że opuszczają ją siły.

– Szybciej! Szybciej! – szeptał od czasu do czasu. – Minęliśmy linię ich straży. Teraz wszystko zależy od szybkości. Prędzej!

Gdy dotarli już do głównego traktu, zaczęli posuwać się naprzód bardzo szybko. Tylko raz natknęli się na kogoś, ale udało im się ukryć na polu, i w ten sposób pozostali niezauważeni. Nim dotarli do miasta, myśliwy skręcił w bok na nierówną wąską ścieżkę wiodącą w góry. W ciemności nad ich głowami majaczyły dwa postrzępione szczyty, a jar pomiędzy szczytami był właśnie Orlim Wąwozem, gdzie czekały na nich konie. Zdając się na swój nieomylny instynkt, Jefferson Hope wybrał drogę pomiędzy wielkimi głazami wzdłuż koryta wyschniętej rzeki; w bezpiecznym miejscu, osłoniętym skałami, stały zwierzęta. Dziewczynę posadzili na mule, stary Ferrier wsiadł na jednego z koni, trzymając torbę z pieniędzmi, natomiast Jefferson Hope poprowadził drugiego wierzchowca urwistą i niebezpieczną ścieżką.

Była to przerażająca droga dla każdego, kto nie nawykł oglądać natury w jej najdzikszych przejawach. Po jednej stronie piętrzyła się potężna grań, wysoka na ponad tysiąc stóp, czarna, surowa i groźna, z bazaltowymi kolumnami na postrzępionej powierzchni, przypominającymi żebra jakiegoś skamieniałego potwora. Po drugiej stronie dziki chaos głazów i skalnych gruzów uniemożliwiał poruszanie się naprzód. Pośrodku biegła kręta ścieżka, chwilami tak wąska, że musieli jechać gęsiego, i tak kamienista, że mógł nią przejechać tylko bardzo doświadczony jeździec. Jednakże, mimo wszystkich tych utrudnień i niebezpieczeństw, serca uciekinierów przepełniała radość, bo z każdym krokiem oddalali się coraz bardziej od tej straszliwej despotycznej siły, przed którą uciekali.

Szybko jednak przekonali się, że wciąż jeszcze znajdują się na terenach rządzonych przez Świętych. Gdy dotarli do najdzikszej, najbardziej oddalonej części szlaku dziewczyna wydała przestraszony okrzyk i wskazała ręką w górę. Na piętrzącej się nad szlakiem ciemnej, gładkiej skale, odcinającej się na tle nieba, stał samotny wartownik. Ujrzał ich w tej samej chwili, gdy oni zobaczyli jego, i ciszę wąwozu przerwał wojskowy okrzyk:

– Kto idzie?

– Podróżni zmierzający do Nevady – odparł Hope, przesuwając dłoń na wiszącą przy siodle strzelbę.

Dostrzegli, że samotny obserwator trzyma w ręce broń i przygląda im się, jakby niezadowolony z odpowiedzi.

– Za czyim pozwoleniem? – spytał.

– Świętej Czwórki – odpowiedział Ferrier. Lata spędzone wśród mormonów nauczyły go, że była to najwyższa władza, na jaką mógł się powołać.

– Dziewięć do siedmiu! – krzyknął wartownik.

– Siedem do pięciu! – odkrzyknął szybko Jefferson Hope, przypominając sobie odzew, który podsłuchali w ogrodzie.

– Jedźcie, i niech Pan was prowadzi! – odparł z góry głos.

Za jego stanowiskiem ścieżka stawała się szersza, a konie mogły przejść w kłus. Oglądając się za siebie, zobaczyli samotnego strażnika, opierającego się o swoją broń, i zrozumieli, że minęli właśnie najdalej wysunięty posterunek ludu wybranego. Przed nimi była wolność.

Rozdział piąty

Anioły Zemsty

Przez całą noc szlak wiódł ich krętymi wąwozami i wąskimi ścieżkami pośród skał. Nieraz gubili drogę, jednak dzięki doskonałej znajomości tych gór, jaką posiadał Hope, zawsze bezpiecznie wracali na szlak. Gdy nastał świt, rozpostarł się przed nimi cudowny i piękny, lecz dziki widok. Ze wszystkich stron otaczały ich zwieńczone śniegami szczyty, wznoszące się jeden za drugim aż po horyzont. Skaliste zbocza po obu stronach drogi były tak strome, że modrzewie i sosny jakby wisiały nad ich głowami, i wydawało się, iż jeden podmuch wiatru wystarczy, by runęły na nich w dół. Obawy te nie były zresztą tylko złudzeniem, bo jałowa dolina była gęsto usiana głazami i drzewami, które spad-ły z urwiska. Nawet wtedy, gdy przejeżdżali, ogromna skała runęła z łoskotem w dół, a dźwięk ten obudził echo w cichych wąwozach i przestraszył zmęczone konie, które rzuciły się galopem do przodu.

Gdy nad horyzontem na wschodzie zaczęło powoli wstawać słońce, ośnieżone wierzchołki gór rozpalały się jeden po drugim niczym lampiony, aż wreszcie wszystkie zapłonęły czerwonym blaskiem. Ten wspaniały spektakl uradował serca trójki uciekinierów, dodając im nowej energii. Przy dzikim rwącym potoku, płynącym przez wąwóz, zatrzymali się na postój, napoili konie, a sami zjedli pospiesznie śniadanie. Lucy i jej ojciec chętnie odpoczywaliby dłużej, ale Jefferson Hope był nieubłagany.

– Do tej pory na pewno ruszyli już za nami w pościg – powiedział. – Teraz wszystko zależy od nas. Kiedy już dotrzemy bezpiecznie do Carson, będziemy mogli odpoczywać do końca życia.

Przez cały ten dzień przedzierali się wąwozami, a wieczorem, według ich obliczeń, byli o ponad trzydzieści mil od swoich wrogów. Nocą zatrzymali się pod występem skalnym, gdzie można było schronić się przed zimnym

wiatrem. Przytuleni do siebie, aby było im cieplej, spali przez kilka godzin. Jednak nim nadszedł świt, znów byli w drodze. Nie było żadnych oznak pościgu, i Jefferson Hope zaczął myśleć, że znaleźli się już chyba poza zasięgiem tej strasznej wrogiej organizacji. Nie zdawał sobie jednak sprawy, jak daleko sięga jej stalowy uścisk i jak szybko ich dosięgnie i zmiażdży.

Mniej więcej w połowie drugiego dnia ucieczki zaczęły kończyć się ich skąpe zapasy żywności. Myśliwego jednak to nie niepokoiło. W górach można było upolować zwierzynę, a on już wiele razy musiał zdawać się na swoją strzelbę dla zaspokojenia własnych potrzeb. Wybrawszy dobrze osłonięte miejsce, ułożył stos z kilku suchych gałęzi i rozpalił ogień, przy którym jego towarzysze mogli się ogrzać. Znajdowali się teraz niemal pięć tysięcy stóp nad poziomem morza, powietrze było tu ostre i zimne. Spętawszy konie i pożegnawszy się z Lucy, zarzucił na ramię strzelbę i wyruszył na poszukiwanie zwierzyny. Przeszedłszy kilka kroków, obejrzał się i ujrzał starego mężczyznę i dziewczynę skulonych nad płonącym ogniem, a za nimi – stojące nieruchomo konie. Po chwili skały zasłoniły mu ten widok.

Przeszedł parę mil przez kolejne wąwozy, nie znajdując żadnej zwierzyny, choć poznał po zdartej korze drzew i innych oznakach, że w okolicy było wiele niedźwiedzi. Wreszcie, po jakichś dwóch czy trzech godzinach bezowocnych poszukiwań, zrezygnowany, zaczął myśleć o powrocie, kiedy, spojrzawszy w górę, ujrzał widok, który wypełnił jego serce przyjemnym drżeniem. Na krawędzi skalnego występu, jakieś trzysta czy czterysta stóp nad nim, stało zwierzę z wyglądu przypominające owcę, lecz uzbrojone w parę gigantycznych rogów. Muflon kanadyjski, bo tak nazywają się te zwierzęta, był prawdopodobnie strażnikiem stada ukrytego przed oczyma myśliwego. Na szczęście jednak szedł w przeciwną stronę, i muflon go nie zauważył. Przypadając do ziemi, oparł strzelbę o skałę, długo i starannie mierzył, a następnie pociągnął za spust. Zwierzę podskoczyło do góry, przez chwilę szło chwiejnym krokiem samą krawędzią przepaści, a potem z łoskotem stoczyło się w dół do doliny.

Muflon był taki duży, że nie dało się go nieść w całości, myśliwy musiał zadowolić się tylko tym, że wyciął udziec i mięso z boku. Zarzuciwszy na ramię swą zdobycz, ruszył w drogę powrotną. Zbliżał się zmierzch. Ledwie jednak przeszedł parę kroków, zdał sobie sprawę z czekających go

trudności. W zapale łowieckim zawędrował daleko poza wąwozy, które były mu znane, i nie było mu łatwo odnaleźć ścieżkę, którą wybrał, idąc na polowanie. Dolina, w której się znalazł, dzieliła się na wiele małych wąwozów, te zaś na jeszcze mniejsze, które były do siebie tak podobne, że nie sposób było je odróżnić. Szedł jednym z nich przez ponad milę, aż dotarł do górskiego strumienia. Był pewien, że nigdy wcześniej go nie widział. Przekonany, że skręcił w niewłaściwy wąwóz, spróbował iść innym, jednak z tym samym skutkiem. Zmierzch zapadał szybko, i było już prawie ciemno, nim wreszcie znalazł się w znajomym wąwozie. Jednak i tu nie było mu łatwo iść właściwą drogą, bo księżyc jeszcze nie wzeszedł, a wysokie urwiska po obu stronach sprawiały, że było tu jeszcze ciemniej. Obładowany zdobyczą i zmęczony całodziennym wysiłkiem, brnął naprzód, dodając sobie otuchy myślą, że każdy krok zbliżał go do Lucy i że niósł ze sobą tyle mięsa, iż starczy im jedzenia na resztę podróży.

Dotarł do wylotu wąwozu, w którym ich pozostawił. Nawet w ciemności był w stanie rozpoznać zarysy urwiska po obu jego bokach. Pomyślał, że na pewno niecierpliwie na niego czekają, bo nie było go przez niemal pięć godzin. Rozradowany, przysunął dłonie do ust i głośno krzyknął, a echo w dolinie powtórzyło ten dźwięk. Zatrzymał się i nasłuchiwał odpowiedzi. Nie usłyszał jednak nic prócz własnego krzyku, który odbijał się w ścianach ponurych wąwozów i powracał do jego uszu powtarzany niezliczoną ilość razy. Znów krzyknął, głośniej niż poprzednio, i ponownie nie dobiegł go nawet szept przyjaciół, których niedawno tu zostawił. Opanował go niejasny, nieokreślony strach, popędził naprzód, porzucając w szaleńczym biegu swą cenną zdobycz.

Gdy wyminął ostatnie skały, zobaczył miejsce, gdzie wcześniej płonęło ognisko. Nadal dymił się popiół, lecz najwyraźniej nikt nie doglądał ognia od czasu, gdy poszedł na polowanie. Wokół panowała martwa cisza. Jego lęk zaczął zmieniać się w pewność, pobiegł więc dalej. Przy dogasającym ognisku nie było ani jednej żywej istoty. Mężczyzna, dziewczyna, konie – wszystko znikło. Było aż nazbyt oczywiste, że pod jego nieobecność doszło do jakiegoś strasznego nieszczęścia. Nieszczęścia, które dotknęło ich wszystkich, nie pozostawiając żadnych śladów.

Zdumiony i porażony tym ciosem, Jefferson Hope poczuł, że kręci mu się w głowie. Musiał oprzeć się o swoją strzelbę, żeby nie upaść na ziemię. Był jednak z natury człowiekiem czynu. Szybko doszedł do siebie po tej

chwilowej niemocy. Wyciągnąwszy z tlącego się ogniska na wpół spalone polano, rozdmuchał płomień i za pomocą tej pochodni zaczął badać ślady. Ziemia wokół cała była zryta kopytami koni, co świadczyło o tym, że uciekinierów dogoniła duża grupa jeźdźców, a kierunek śladów wskazywał, że wszyscy zawrócili w stronę Salt Lake City. Czy porwali ze sobą oboje jego towarzyszy? Jeffersonowi Hope'owi udało się już niemal przekonać samego siebie, że tak właśnie się stało, gdy jego wzrok padł na coś, co sprawiło, że dreszcz przeszedł mu po plecach. W pobliżu obozu, trochę na uboczu, wznosił się niski kopiec czerwonawej ziemi, którego z całą pewnością nie było tam wcześniej. Nie było żadnych wątpliwości – to świeżo wykopany grób. Gdy młody myśliwy podszedł bliżej, zobaczył wbity w ziemię patyk, w którego rozszczepionym zakończeniu umocowano kartkę papieru. Napis na kartce był krótki, lecz treściwy:

JOHN FERRIER
NIEGDYŚ Z SALT LAKE CITY
zm. 4 sierpnia 1860

A więc krzepki mężczyzna, którego tak niedawno tutaj zostawił, odszedł, a to, na co teraz patrzył, było jego epitafium. Jefferson Hope gorączkowo rozglądał się wokół, szukając oczyma drugiego grobu, nie było jednak żadnych śladów. Lucy została porwana przez straszliwych prześladowców, by wypełnić pierwotne przeznaczenie, jakie dla niej przewidzieli – miała stać się jedną z żon w haremie syna któregoś ze starszych. Gdy młody mężczyzna zdał sobie sprawę z nieuchronności jej losu i z tego, że jest całkowicie bezsilny, nie mogąc temu zapobiec, pożałował, że nie leży obok starego farmera w jego cichym ostatnim miejscu spoczynku.

Porywcza, żywa natura Jeffersona kazała mu jednak otrząsnąć się z apatii, w jaką wpędziła go rozpacz. Skoro nie pozostało mu już nic innego, mógł przynajmniej poświecić swoje życie zemście. Jefferson Hope znany był z ogromnej wytrwałości i cierpliwości. Był również człowiekiem mściwym i potrafił poświęcić bardzo dużo czasu na dokonanie zemsty, czego prawdopodobnie nauczył się od Indian, wśród których kiedyś żył. Gdy tak stał przy opuszczonym ognisku, poczuł, że jedyną rzeczą, która pomoże stłumić jego żal, będzie srogi odwet. Zamierzał ukarać swoich wrogów. Postanowił, że całą swoją wolę i niezmordowaną energię poświęci

temu jednemu celowi. Z ponurą, pobladłą twarzą powrócił po swoich śladach do miejsca, gdzie upuścił mięso muflona, i rozpaliwszy na nowo tlące się ognisko, przygotował sobie tyle jedzenia, by starczyło mu na kolejnych kilka dni. Następnie zapakował je i mimo zmęczenia ruszył w drogę powrotną przez góry, śladem Aniołów Zemsty.

Przez pięć dni brnął, znużony, na obolałych nogach, przez te same wąwozy, które przedtem przemierzył konno. Nocą padał pomiędzy skałami i spał parę godzin, jednak zanim nadchodził świt, już miał wiele mil za sobą. Szóstego dnia dotarł do Orlego Wąwozu, skąd rozpoczęli swą nieszczęsną ucieczkę. Stamtąd spojrzał w dół na osadę Świętych. Zmęczony i wyczerpany, oparł się o swoją strzelbę i wściekle potrząsnął wychudzoną pięścią w stronę rozległego cichego miasta rozpościerającego się poniżej. Gdy tak na nie patrzył, dostrzegł, że główne ulice przyozdobiono flagami i innymi świątecznymi dekoracjami. Wciąż zastanawiał się nad tym, co to mogło oznaczać, gdy usłyszał stuk końskich kopyt i ujrzał zbliżającego się ku niemu jeźdźca. Gdy ten podjechał bliżej, Hope poznał w nim mormona o nazwisku Cowper. Kilka razy wyświadczał mu różne przysługi, tak więc gdy mormon podjechał bliżej, zagadnął go, żeby dowiedzieć się, co się stało z Lucy Ferrier.

– Jestem Jefferson Hope – powiedział. – Na pewno mnie pamiętasz.

Mormon spojrzał na niego z nieskrywanym zdumieniem. Rzeczywiście, w tym obszarpanym, zaniedbanym wędrowcu o upiornej, pobladłej twarzy i dziko płonących oczach trudno było rozpoznać dawnego przystojnego młodego myśliwego. Jednak gdy mężczyzna poznał Hope’a, jego zaskoczenie zmieniło się w konsternację.

– Jesteś szalony, że tu przychodzisz! – zawołał. – Ryzykuję własnym życiem, jeśli ktoś zobaczy, że z tobą rozmawiam. Święta Czwórka wydała nakaz pojmania cię za to, że pomogłeś Ferrierom w ucieczce.

– Nie boję się ani ich, ani ich nakazów – powiedział ponuro Hope. – Ale musisz coś wiedzieć o tej sprawie, Cowper. Zaklinam cię na wszystko, co jest ci drogie, żebyś odpowiedział mi na kilka pytań. Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Na Boga, proszę, odpowiedz mi!

– O co chodzi? – spytał nerwowo mormon. – Pospiesz się. W tym miejscu skały mają uszy, a drzewa oczy.

– Co się stało z Lucy Ferrier?

– Wczoraj poślubiono ją młodemu Drebberowi. Trzymaj się, człowieku! Trzymaj się! Wyglądasz, jakby uleciało z ciebie całe życie.

– Nie zwracaj na mnie uwagi – rzekł słabo Hope. Pobladł tak, że zbielały mu wargi, i osunął się na kamień, o który się opierał. – Poślubiono, mówisz?

– Tak. Wczoraj. Z tej okazji wywieszono flagi na kościele Daru Bożego. Między młodym Drebberem a młodym Stangersonem doszło do kłótni, posprzeczali się o to, który z nich będzie ją miał. Obaj byli w grupie pościgowej, i to Stangerson zastrzelił jej ojca, co dawało mu większe szanse. Lecz kiedy zwrócili się do Rady, by rozstrzyg-nęła ich spór, stronnicy Drebbera okazali się silniejsi, i to jemu przyznał ją prorok. Ale żaden z nich nie będzie miał jej zbyt długo, bo wczoraj widziałem śmierć wypisaną na jej twarzy. Bardziej przypominała ducha niż kobietę. Czy to już wszystko, co chciałeś wiedzieć?

– Wszystko – rzekł Jefferson Hope, który podniósł się już ze swojego kamienia. Jego twarz wyglądała niczym wyciosana z marmuru, tak twardy i zacięty był jej wyraz, a oczy płonęły złowieszczym blaskiem.

– Dokąd się udasz?

– Nieważne – odparł i, zarzucając broń na ramię, odszedł w dół wąwozu, podążając do serca gór, gdzie miały swoje legowiska dzikie zwierzęta. Nie było wśród nich żadnego, które byłoby tak niebezpieczne i rozwścieczone jak on sam.

Przepowiednia mormona spełniła się aż nazbyt dokładnie. Czy to za sprawą śmierci jej ojca, czy też znienawidzonego małżeństwa, do którego została zmuszona, biedna Lucy już nigdy nie doszła do siebie. Zmarniała z żalu i zmarła w ciągu miesiąca. Jej zapijaczony mąż, który poślubił ją głównie po to, by przejąć majątek Johna Ferriera, nie rozpaczał zbytnio po tej stracie. Jednak opłakiwały ją inne jego żony, czuwając przy zwłokach w nocy przed pogrzebem, tak jak nakazuje mormoński zwyczaj. Siedziały przy marach wcześnie rano, gdy ku ich ogromnej trwodze i zdumieniu drzwi otworzyły się z impetem i do pokoju wpadł jakiś wynędzniały mężczyzna o dzikim wyglądzie w poszarpanej odzieży. Nie rzucając słowa ani spojrzenia w stronę kulących się ze strachu kobiet, podszedł prosto do milczącej białej postaci, w której ciele żyła kiedyś czysta dusza Lucy Ferrier. Pochylając się nad nią, pocałował z czcią jej zimne czoło, a potem, chwytając jej dłoń, ściągnął z palca obrączkę.

– Nie będzie z tym pochowana – warknął wściekle, i zanim zdołano wszcząć alarm, rzucił się w dół po schodach i zniknął. Wydarzenie to było tak dziwne, i wszystko odbyło się tak błyskawicznie, że kobiety nie uwierzyłyby sobie i nie przekonały innych, gdyby nie jeden niezaprzeczalny fakt: z palca zmarłej zniknął złoty krążek, symbol małżeństwa.

Przez kilka miesięcy Jefferson Hope włóczył się po górach, wiodąc dziwne życie dzikiego zwierza i pielęgnując w sercu płomienne pragnienie zemsty, które go opętało. W mieście opowiadano historie o dziwnej postaci. Widziano, jak skradała się na przedmieściach i włóczyła się po samotnych górskich wąwozach. Pewnego razu kula ze świstem stłukła okno w domu Stangersona i rozpłaszczyła się na ścianie w odległości stopy od niego. Innym razem, gdy Drebber przechodził pod urwiskiem, przetoczył się nad nim z łoskotem ogromny głaz – udało mu się uniknąć straszliwej śmierci jedynie dlatego, że rzucił się twarzą na ziemię. Dwaj młodzi mormoni nie musieli się długo zastanawiać nad przyczynami tych zamachów na ich życie i niejednokrotnie prowadzili wyprawy w góry z nadzieją pojmania lub zabicia swego wroga, jednak zawsze na próżno. Z obawy o swe życie przestali wychodzić w pojedynkę lub po zmroku i postawili wokół swoich domów straże. Po jakimś czasie jednak przestali zachowywać ostrożność, bo ich wroga nigdzie nie widziano, dawno o nim nie słyszano, zaczęli mieć więc nadzieję, że opuściło go pragnienie zemsty.

W rzeczywistości było wręcz przeciwnie. Pragnienie to raczej nasiliło się. Natura myśliwego była twarda i nieustępliwa, a dominująca w jego sercu chęć zemsty przejęła nad nim władzę do tego stopnia, że nie pozostało już miejsca na jakiekolwiek inne emocje. Ponad wszystko jednak był człowiekiem praktycznym. Szybko zdał sobie sprawę, że nawet jego żelazne zdrowie nie wytrzyma nieustannych trudów, których doświadczał. Wyniszczały go zimno, ciężkie warunki i brak pożywnego jedzenia. W jaki sposób miałby się zemścić, gdyby zdechł w tych górach jak pies? A nabierał pewności, że jeśli dalej będzie robił to, co robi, taki właśnie koniec go czeka. Czuł, że w ten sposób prowadziłby grę na warunkach swoich wrogów, tak więc niechętnie powrócił do starych kopalni srebra w Nevadzie, żeby podreperować zdrowie i zgromadzić tyle pieniędzy, by móc bez wyrzeczeń dążyć do swego celu.

Zamierzał wyjechać do Nevady nie więcej niż na rok, jednak różne nieprzewidziane okoliczności sprawiły, że nie mógł opuścić kopalni przez niemal pięć lat. Chociaż minęło tyle czasu, pamięć o wyrządzonych mu krzywdach i chęć zemsty były w jego sercu równie świeże, jak owej pamiętnej nocy, gdy stał przy mogile Johna Ferriera. W przebraniu i pod zmienionym nazwiskiem powrócił do Salt Lake City, nie dbając o to, co się stało z jego własnym życiem, skupiony wyłącznie na pragnieniu, by sprawiedliwości stało się zadość. Na miejscu czekały na niego złe wieści. Kilka miesięcy wcześniej wśród ludu wybranego doszło do schizmy. Niektórzy młodsi członkowie kościoła zbuntowali się przeciwko autorytetowi starszych, i w konsekwencji część niezadowolonych opuściła kościół, wyjechała z Utah i zerwała więzi narzucone przez swą dawną religię. Byli wśród nich Drebber i Stangerson. Nikt nie wiedział, dokąd się udali. Plotki głosiły, że Drebber, któremu udało się spieniężyć znaczną część majątku, był człowiekiem zamożnym, podczas gdy jego towarzysz, Stangerson, był dość ubogi. Nikt nie był w stanie powiedzieć, gdzie obecnie przebywali.

Wiele osób, nawet mściwych, w obliczu takich trudności zarzuciłoby w końcu myśl o zemście, jednak Jefferson Hope nie wahał się ani przez chwilę. Dzięki skromnym środkom, jakie posiadał i które powiększał, podejmując się każdej pracy, podróżował po Stanach Zjednoczonych z miasta do miasta, szukając swoich wrogów. Mijały kolejne lata, jego czarne włosy przyprószyła siwizna, jednak nadal wędrował, na wpół człowiek, na wpół pies gończy, skupiony całkowicie na celu, któremu poświęcił swe życie. Wreszcie jego cierpliwość została wynagrodzona. Tylko przez chwilę widział twarz w oknie, ale to jedno spojrzenie powiedziało mu, że ludzie, których ścigał, są w Cleveland, w Ohio. Powrócił do swej nędznej kwatery, mając już w głowie gotowy plan zemsty. Tak się jednak złożyło, że Drebber, wyglądając przez okno, rozpoznał ulicznego włóczęgę i odczytał mordercze zamiary w jego oczach. Natychmiast wraz ze Stangersonem, który został jego prywatnym sekretarzem, popędzili do sędziego. Przekonali go, że ich życiu zagraża niebezpieczeństwo ze strony dawnego zazdrosnego rywala, który ich nienawidzi. Tego wieczora Jeffersona Hope’a aresztowano, a ponieważ nie był w stanie wyłożyć pieniędzy na kaucję, zatrzymano go na kilka tygodni.

Kiedy wreszcie wyszedł na wolność, przekonał się, że dom Drebbera stoi pusty, a on sam wraz ze swoim sekretarzem wyjechał do Europy.

Tak więc jego plany zemsty znów zostały pokrzyżowane. Ponownie jednak, powodowany spotęgowaną jeszcze nienawiścią, ruszył dalej w pościg. Ponieważ brakowało mu funduszy, na jakiś czas musiał powrócić do pracy. Każdego zarobionego dolara odkładał na planowaną podróż. Wreszcie, gdy zgromadził tyle środków, by móc przeżyć, popłynął do Europy i zaczął śledzić swoich wrogów, podążając za nimi z miasta do miasta i biorąc każdą pracę, jaką mu oferowano. Nie udało mu się jednak dopaść uciekinierów. Gdy dotarł do St. Petersburga, wyjechali już do Paryża, a gdy udał się tam za nimi, dowiedział się, że właśnie wyruszyli do Kopenhagi. Do stolicy Danii znów przybył o kilka dni za późno, bo wyjechali już do Londynu. Tam wreszcie udało mu się ich dogonić. Jeśli chodzi o to, co się wydarzyło w Londynie, nie możemy chyba zrobić nic lepszego, niż zacytować relację starego myśliwego, dokładnie zapisaną w dzienniku doktora Watsona, za której udostępnienie jesteśmy mu bardzo wdzięczni.

Rozdział szósty

Ciąg dalszy wspomnień doktora Watsona

Najwyraźniej opór naszego więźnia nie wskazywał na to, że żywi on nienawiść do któregokolwiek z nas, bo gdy przekonał się, że walka jest zbędna, uśmiechnął się do nas przyjaźnie i wyraził nadzieję, że podczas tej bójki żadnemu z nas nie stała się krzywda.

– Domyślam się, że zamierzacie zabrać mnie teraz na policję – rzekł do Sherlocka Holmesa. – Moja dorożka stoi pod drzwiami. Jeśli rozwiążecie mi nogi, będę mógł sam zejść na dół. Nie jestem już taki lekki, i nie tak łatwo jest mnie znieść.

Gregson i Lestrade popatrzyli po sobie, jakby uważali, że była to raczej zbyt śmiała propozycja, jednak Holmes od razu zaufał słowom więźnia i poluzował ręcznik, którym skrępowaliśmy mu nogi. Hope wstał i przeszedł kilka kroków, jakby chciał się upewnić, czy będzie w stanie chodzić. Pamiętam, że patrząc wtedy na niego, pomyślałem, jak rzadko zdarzało mi się oglądać równie silnie zbudowanych mężczyzn. Na jego ciemnej opalonej twarzy malowały się zdecydowanie i energia, równie potężne jak jego fizyczna siła.

– Jeśli szukają tutaj kogoś na stanowisko szefa policji, to sądzę, że byłby pan właś-ciwym człowiekiem – rzekł, patrząc z nieskrywanym podziwem na mojego współlokatora. – To, jak pan mnie wyśledził, było niesamowite!

– Chyba lepiej będzie, panowie, jeśli pojedziecie ze mną – rzekł Holmes do dwóch detektywów.

– Mogę powozić dorożką – odezwał się Lestrade.

– Dobrze! A pan Gregson może jechać w środku, razem ze mną. Ty też z nami jedź, doktorze. Od początku interesowała cię ta sprawa.

Chętnie na to przystałem, i wszyscy zeszliśmy na dół. Nasz więzień nie próbował uciekać i spokojnie zajął miejsce w dorożce, która jeszcze parę

minut temu należała do niego. Wsiedliśmy za nim. Lestrade wdrapał się na kozioł, strzelił batem i bardzo szybko dowiózł nas do celu. Zostaliśmy wprowadzeni do niewielkiego pomieszczenia, gdzie inspektor policji, blady, pozbawiony emocji mężczyzna, który mechanicznie wypełniał swe obowiązki, odnotował nazwisko naszego więźnia oraz nazwiska ludzi, o których morderstwo miał być oskarżony. Wygląd przy tym miał wielce znudzony.

– Więzień stanie przed sądem w ciągu tygodnia – rzekł. – A tymczasem, panie Jeffersonie Hope, czy chciałby pan coś powiedzieć? Muszę pana ostrzec, że pańskie słowa zostaną odnotowane i mogą zostać użyte przeciwko panu.

– Mam bardzo dużo do powiedzenia – odparł powoli nasz więzień. – Chcę wam, panowie, opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło.

– Nie lepiej zachować to na czas pańskiego procesu? – spytał inspektor.

– Być może nigdy do niego nie dojdzie – rzekł. – Nie musi pan robić takiej zaniepokojonej miny. Nie myślę o samobójstwie. Jest pan lekarzem? – zapytał, zwracając w moją stronę swoje ogniste ciemne oczy.

– Tak – odparłem.

– W takim razie proszę położyć tutaj rękę – powiedział z uśmiechem, wskazując skutymi dłońmi na swoją klatkę piersiową.

Uczyniłem tak i natychmiast zdałem sobie sprawę z niezwykłego tętnienia i pulsowania. Ściany jego klatki piersiowej wydawały się drżeć niczym ściany jakiegoś kruchego budynku, w którego wnętrzu pracuje potężny silnik. W cichym pomieszczeniu usłyszałem również głuchy szum i pomruk dochodzące z tego samego źródła.

– Do diabła – zawołałem. – Ma pan tętniaka aorty!

– Tak to nazywają – odparł spokojnie. – Zrobił mi się wtedy, gdy włóczyłem się zmarznięty, niedożywiony i wyczerpany po górach w okolicach Salt Lake City. W zeszłym tygodniu byłem z tym u lekarza i dowiedziałem się, że tętniak pęknie w ciągu kilku dni. Od wielu lat czułem się coraz gorzej. Teraz zrobiłem już wszystko, co miałem do zrobienia, i nie martwi mnie to, że niedługo umrę. Chciałbym jednak, żeby pozostał jakiś ślad po tym, co przeżyłem. Nie życzyłbym sobie, żeby zapamiętano mnie jak pospolitego bandziora.

Inspektor i dwaj detektywi odbyli szybką naradę, żeby ustalić, czy mogą pozwolić mu na opowiedzenie swojej historii.

– Uważa pan, doktorze, że istnieje bezpośrednie niebezpieczeństwo? – spytał ten pierwszy.

– Z całą pewnością istnieje.

– W takim razie naszym obowiązkiem w sposób oczywisty jest, by w interesie sprawiedliwości wysłuchać jego zeznań – rzekł inspektor. – Może pan zdać swoją relację, lecz ponownie pana ostrzegam, iż zostanie ona zapisana.

– Usiądę sobie, za pańskim pozwoleniem – rzekł więzień i zrobił tak, jak powiedział. – Ten mój tętniak sprawia, że łatwo się męczę, a nasza szarpanina pół godziny temu nie poprawiła sprawy. Stoję już nad grobem i nie będę panów okłamywał. Każde moje słowo będzie zawierało szczerą prawdą, zaś to, jak ją wykorzystacie, nie ma dla mnie żadnego znaczenia.

Z tymi słowami Jefferson Hope rozsiadł się wygodnie na krześle i rozpoczął tę oto dziwną opowieść. Mówił spokojnym tonem, systematycznie, tak jakby wydarzenia, o których opowiadał, były całkiem pospolite. Mogę poświadczyć dokładność załączonej relacji, ponieważ Lestrade udostępnił mi swój notes, w którym zapisano słowa więźnia tak, jak je wypowiedział.

– Oczywiście nie ma dla panów zbyt wielkiego znaczenia, dlaczego nienawidziłem tych ludzi – powiedział. – Wystarczy, że powiem, iż byli winni śmierci dwojga ludzi, ojca i córki, i sami zasłużyli na to, co ich spotkało. Od chwili kiedy popełnili tę zbrodnię, upłynęło już tyle czasu, że w żadnym sądzie nie udałoby mi się doprowadzić do ich skazania. Wiedziałem jednak, że są winni, i postanowiłem, że będę dla nich sędzią, ławą przysięgłych i katem w jednej osobie. Jesteście, panowie, mężczyznami, postąpilibyście tak samo na moim miejscu.

Dziewczyna, o której wspomniałem, miała poślubić mnie dwadzieścia lat temu. Została jednak zmuszona wyjść za tego Drebbera, co złamało jej serce. Zdjąłem obrączkę z jej martwego palca i poprzysiągłem sobie, że kiedy będzie umierał, ostatnią rzeczą, którą zobaczy, będzie właśnie ta obrączka, a ostatnią rzeczą, o której pomyśli, będzie zbrodnia, za którą go ukarałem. Obrączkę zawsze miałem przy sobie, a Drebbera i jego wspólnika ścigałem przez dwa kontynenty, póki w końcu ich nie złapałem. Myśleli, że mnie zamęczą i że zaprzestanę pościgu, ale nie dali rady tego zrobić. Jeśli jutro umrę, a jest to bardzo możliwe, skończę żywot, wiedząc, że wykonałem moją pracę na tym świecie, i wykonałem ją dobrze. Obaj

zginęli z mojej ręki. Nie pozostało mi już nic do zrobienia i nic, czego mógłbym pragnąć.

Oni byli bogaci, a ja biedny, tak więc niełatwo mi było za nimi podążać. Gdy dotarłem do Londynu, miałem puste kieszenie, i żeby przetrwać, musiałem znaleźć jakąś pracę. Powożenie i jazda konna są dla mnie tak naturalne jak chodzenie, zgłosiłem się więc do biura właściciela dorożek i szybko dostałem pracę. Miałem codziennie przekazywać pewną sumę mojemu pracodawcy, a wszystko, co mi zostało, mogłem zatrzymywać dla siebie. Rzadko była to duża kwota, udało mi się jednak jakoś przetrwać. Najcięższym zadaniem dla mnie było nauczenie się, jak się tutaj poruszać, bo ze wszystkich labiryntów, jakie kiedykolwiek wymyślił człowiek, to miasto jest chyba najbardziej zawiłym. Miałem mapę, a gdy się już dowiedziałem, gdzie znajdują się wszystkie główne hotele i stacje, zacząłem sobie całkiem nieźle radzić.

Minęło trochę czasu, nim odkryłem, gdzie zamieszkali moi dwaj dżentelmeni; dowiadywałem się o to i rozpytywałem tak długo i w tylu miejscach, aż wreszcie ich odnalazłem.

Zatrzymali się w pensjonacie w Camberwell po drugiej stronie rzeki. Kiedy już ich wyśledziłem, wiedziałem, że mam ich w garści. Zapuściłem brodę, i nie było szans na to, że mnie rozpoznają. Zamierzałem za nimi chodzić i ich obserwować, póki pewnego dnia nie trafi mi się jakaś okazja. Byłem zdeterminowany, nigdy nie pozwoliłbym im uciec.

Czułem, że znów chcieli mi umknąć. Gdziekolwiek w Londynie by się udawali, zawsze deptałem im po piętach. Czasem jeździłem za nimi moją dorożką, czasem chodziłem pieszo, i ten ostatni sposób był najlepszy, bo nie mogli się ode mnie uwolnić. Tylko wcześnie rano i późno w nocy mogłem cokolwiek zarobić, zacząłem więc mieć długi u mojego pracodawcy. Nie przeszkadzało mi to jednak, dopóki miałem w zasięgu ręki ludzi, na których chciałem się zemścić.

Byli bardzo przebiegli. Domyślali się, że ktoś może ich śledzić, bo nigdy nie wychodzili sami i nie zapuszczali się nigdzie po zmroku. Przez dwa tygodnie codziennie za nimi jeździłem i ani razu nie widziałem żadnego z nich w pojedynkę. Drebber często był pijany, za to Stangerson zawsze miał się na baczności. Obserwowałem ich o późnych i wczesnych porach, jednak ani razu nie pojawił się nawet cień szansy. Mimo to nie zniechęcałem się, bo w głębi ducha czułem, że moja godzina nadchodzi.

Obawiałem się tylko, że to coś, co mam w piersi, nagle pęknie zbyt wcześnie, i nie będę mógł ukończyć mojego dzieła.

Wreszcie pewnego wieczoru, gdy jeździłem tam i z powrotem wzdłuż Torquay Terrace, tej ulicy, przy której wynajmowali kwaterę, zobaczyłem, że pod ich drzwi zajeżdża dorożka. Po chwili wyniesiono jakieś bagaże, potem zjawili się Drebber i Stangerson, wsiedli do niej i odjechali. Popędziłem konia batem, by mieć ich w zasięgu wzroku. Byłem bardzo zaniepokojony, bo obawiałem się, że zamierzają przeprowadzić się do innej kwatery.

Wysiedli na Euston Station, a wtedy przywołałem jakiegoś chłopaka, żeby przytrzymał mi konia, i poszedłem za nimi na peron. Usłyszałem, jak pytają o pociąg do Liverpoolu. Zawiadowca odpowiedział im, że jeden właśnie odjechał, a następny będzie dopiero za parę godzin. Stangerson wydawał się tym poirytowany, ale Drebber wyglądał na zadowolonego. W tłumie udało mi się podejść do nich tak blisko, że słyszałem niemal każde słowo, jakie padało w rozmowie. Drebber oświadczył, że ma jakąś drobną sprawę do załatwienia i że jeśli ten drugi na niego poczeka, wkrótce wróci. Jego towarzysz zaprotestował i przypomniał mu, że postanowili trzymać się razem. Drebber odparł, że to delikatna sprawa i że musi pójść sam. Nie dosłyszałem, co na to odpowiedział Stangerson, ale Drebber zaczął nagle przeklinać i wypomniał mu, iż nie jest nikim więcej niż jego płatnym sługą i żeby mu się nie wydawało, że może mu dyktować jakieś warunki. Po tych słowach sekretarz się poddał, bo doszedł do wniosku, że nic nie wskóra; ustalili po prostu, że jeśli nie zdąży na ostatni pociąg, spotkają się w hotelu „Halliday”. Drebber odparł na to, że będzie na peronie przed jedenastą, po czym opuścił stację.

Moment, na który tak długo czekałem, wreszcie nadszedł. Moi wrogowie byli teraz w moich rękach. Dopóki byli razem, mogli się wzajemnie bronić, ale w pojedynkę byli zdani na moją łaskę i niełaskę. Nie działałem jednak pochopnie; wiedziałem, co chcę zrobić. Zemsta nie daje żadnej satysfakcji, o ile winny nie zdaje sobie sprawy, kim jest ten, który go zaatakował, ani za co spotyka go kara. Obmyśliłem sobie, jak uświadomić człowiekowi, który zniszczył mi życie, że w końcu dopadły go jego stare grzechy. Zbieg okoliczności spowodował, że parę dni wcześniej pewien dżentelmen, który doglądał jakichś domów na Brixton Road, zostawił w mojej dorożce klucze do jednego z nich. Jeszcze tego samego dnia zgłosił się, żeby je odebrać.

Zdążyłem jednak zrobić odciski i wykonać kopię kluczy. W ten sposób uzyskałem dostęp do jedynego miejsca w tym olbrzymim mieście, gdzie mogłem być pewien, iż nikt mi nie przeszkodzi. Teraz pozostało rozwiązać już tylko problem, jak sprowadzić Drebbera do tego domu.

Drebber poszedł ulicą i zajrzał do kilku barów, w ostatnim z nich został przez prawie pół godziny. Kiedy stamtąd wyszedł, zataczał się i najwyraźniej był nieźle wstawiony. Przywołał jednokonny powóz, który stał przede mną. Jechałem za nimi tak blisko, że nos mojego konia był niemal o jard od stangreta powozu, w którym jechał. Przetoczyliśmy się przez Waterloo Bridge, potem jechaliśmy jakimiś ulicami, aż ku mojemu zdumieniu znaleźliśmy się z powrotem na ulicy, przy której wcześniej wynajmował kwaterę. Nie miałem pojęcia, po co tam wrócił. Podjechałem jednak bliżej i zatrzymałem dorożkę o jakieś sto jardów od tego domu. Drebber wszedł do środka, a jego powóz odjechał. Dajcie mi, proszę, szklankę wody. Zaschło mi w gardle od mówienia.

Podałem mu szklankę wody, którą wypił jednym haustem.

– Teraz lepiej – rzekł. – Czekałem kwadrans, a może i dłużej, gdy nagle z domu dobiegły odgłosy szamotaniny. W następnej chwili drzwi otworzyły się z impetem, i pojawiło się w nich dwóch mężczyzn. Jednym z nich był Drebber, a drugim jakiś młody chłopak, którego nigdy przedtem nie widziałem. Ten gość trzymał jedną ręką Drebbera za kołnierz, a w drugiej miał pałkę. Gdy doszli do szczytu schodów, dał mu takiego kopniaka, że ten wyleciał na sam środek ulicy. „Ty psie – zawołał, wygrażając mu pałką – już ja cię oduczę obrażać uczciwe dziewczyny!”. Był tak wściekły, że wydawało mi się, iż zatłucze Drebbera swoją pałką, ale ten parszywy kundel popędził ulicą najszybciej, jak mógł. Dobiegł do rogu i, zobaczywszy moją dorożkę, zatrzymał ją i wskoczył do środka. „Proszę mnie zawieźć do hotelu «Halliday»!” – krzyknął.

Kiedy już znalazł się w środku, serce podskoczyło mi w piersiach z radości, i zacząłem się obawiać, żeby w ostatniej chwili nie pękł mój tętniak. Powoli ruszyłem naprzód, zastanawiając się, jak najlepiej postąpić. Mogłem od razu wywieźć go gdzieś na wieś i tam, na jakiejś opuszczonej dróżce, przeprowadzić ostatnią rozmowę. Już prawie podjąłem decyzję, że tak właśnie zrobię, kiedy on rozwiązał ten problem za mnie. Znów ogarnęła go szaleńcza chęć, żeby się napić, kazał mi więc zatrzymać się przed kolejnym barem. Wszedł do środka, mówiąc, że mam na niego poczekać.

Siedział aż do zamknięcia, a kiedy już się stamtąd wytoczył, wiedziałem, że mam go teraz w garści.

Nie wyobrażajcie sobie, panowie, że zamierzałem po prostu zamordować go z zimną krwią. Gdybym tak zrobił, sprawiedliwości stałoby się zadość, ale nie potrafiłem się do tego zmusić. Już dawno temu postanowiłem, że będzie miał szansę ocalić swoje życie, jeżeli tylko zdecyduje się z tego skorzystać. Spośród wielu zajęć, jakich imałem się w Ameryce podczas moich wędrówek, była praca woźnego w laboratorium przy York College. Pewnego dnia profesor prowadził wykład o truciznach i pokazywał swoim studentom jakiś alkaloid (tak to nazywał). Wyekstrahował go z jakiejś trucizny używanej przez Indian w Ameryce Południowej do zatruwania strzał. Substancja miała tak potężne działanie, że już jej odrobina powodowała natychmiastową śmierć. Zauważyłem, w jakiej fiolce przechowywano ten preparat. Kiedy wszyscy wyszli, wziąłem sobie trochę. Znałem się nieco na podstawach farmacji: udało mi się uformować dwie niewielkie rozpuszczalne pigułki, zawierające tę truciznę. Każdą z nich włożyłem do pudełka razem z inną, podobną, ale zupełnie nieszkodliwą. Postanowiłem, że kiedy nadejdzie czas mej zemsty, zmuszę obu moich wrogów do zażycia jednej z pigułek, pozostawiając sobie drugą. W ten sposób obarczałem Opatrzność możliwością dokonania sprawiedliwego osądu. Trucizna była równie skuteczna jak broń palna, ale mniej hałaśliwa. Od tego dnia zawsze nosiłem przy sobie pudełeczka z pigułkami, i teraz właśnie nadszedł czas, kiedy miałem je zastosować.

Było już sporo po dwunastej, a noc była paskudna i ponura. Wiał mocny wiatr, lało jak z cebra. Mimo ciemności i zimna moje serce przepełniała radość. Było mi tak dobrze, że mógłbym krzyczeć ze szczęścia. Jeżeli którykolwiek z was, panowie, tęsknił kiedyś za czymś tak bardzo i marzył o tym przez dwadzieścia długich lat, a potem nagle znalazł to coś w zasięgu ręki, zrozumie, co wtedy czułem. Zapaliłem cygaro, żeby uspokoić nerwy, ale ręce mi się trzęsły, i w skroniach dudniło z podniecenia. Kiedy tak jechałem, widziałem starego Johna Ferriera i słodką Lucy, jak patrzyli na mnie i uśmiechali się do mnie z ciemności, a widziałem ich tak wyraźnie jak was wszystkich tutaj. Przez całą drogę byli przede mną, po obu stronach konia. Wreszcie zatrzymałem się obok pustego domu przy Brixton Road. Wokół nie było żywej duszy, nie rozlegał się żaden dźwięk prócz szumu padającego deszczu. Gdy zajrzałem przez okienko do kabiny dorożki,

zobaczyłem skulonego Drebbera, który zapadł w pijacki sen. Potrząsnąłem go za ramię.

– Czas wysiadać! – powiedziałem.

– W porządku, woźnico – odparł.

Przypuszczam, że wydawało mu się, iż dojechaliśmy do hotelu, którego nazwę mi podał, bo wysiadł bez słowa i przeszedł razem ze mną przez ogródek. Musiałem iść obok niego, żeby go podtrzymywać, bo bez przerwy się zataczał. Kiedy doszliśmy do drzwi, otworzyłem je i wprowadziłem Drebbera do frontowego pokoju. Mogę przysiąc, że przez cały ten czas oboje – ojciec i córka – szli przed nami.

– Diabelnie tu ciemno – powiedział, wlokąc się ciężko u mego boku.

– Zaraz zrobimy tak, by było jasno – odparłem, zapalając zapałkę i przystawiając ją do woskowej świecy, którą przyniosłem ze sobą. – A teraz, Enochu Drebberze – rzekłem, odwracając się w jego stronę i oświetlając własną twarz – jak myślisz, kim jestem?

Przez chwilę gapił się na mnie swymi zapuchniętymi pijackimi oczkami, a potem zobaczyłem, jak maluje się w nich przerażenie, które wykrzywia jego rysy, i wiedziałem już, że mnie rozpoznał. Posiniał na twarzy i cofnął się chwiejnie: ujrzałem, jak pot występuje mu na czoło, a zęby zaczynają dzwonić. Oparłem się plecami o drzwi i śmiałem się długo i głośno. Zawsze wiedziałem, że zemsta będzie słodka, ale nigdy nawet nie liczyłem na to, że da mi aż tyle satysfakcji.

– Ty kundlu! – powiedziałem. – Polowałem na ciebie od Salt Lake City do St. Pe-tersburga, i zawsze mi się wymykałeś. Wreszcie moja wędrówka dobiegła końca, bo jeden z nas nigdy nie doczeka kolejnego wschodu słońca. – Kiedy to mówiłem, skulił się i jeszcze bardziej się ode mnie odsunął. Wyczytałem z jego twarzy, że uważa mnie za szaleńca. O tak, byłem nim wtedy! W skroniach tętniło mi tak, jakby w głowę waliły młoty, i myślę, że dostałbym jakiegoś ataku, gdyby krew nie pociekła mi z nosa, przynosząc ulgę.

– I co teraz myślisz o Lucy Ferrier?! – krzyknąłem, przekręcając klucz w drzwiach i potrząsając nim przed twarzą Drebbera. – Długo trwało, nim dosięgła cię kara, ale wreszcie wybiła twoja godzina.

Widziałem, jak temu tchórzowi trzęsą się wargi. Błagałby mnie o życie, ale wiedział, że na nic mu się to nie zda.

– Zamordujesz mnie? – wyjąkał.

– Nie będzie żadnego morderstwa – odparłem. – Kto by nazwał morderstwem zabicie takiego parszywego psa? Jaką litość okazałeś mojej biednej ukochanej, gdy odciągnąłeś ją od zamordowanego ojca i powlokłeś do swojego bezwstydnego przeklętego haremu?

– To nie ja zabiłem jej ojca! – zawołał.

– Ale to ty złamałeś jej niewinne serce! – krzyknąłem, z impetem podsuwając mu pod nos pudełko z pigułkami. – Niech Bóg nas osądzi. Wybierz którąś z nich i połknij. W jednej kryje się śmierć, druga ocali ci życie. Ja wezmę tę, którą ty zostawisz. Przekonajmy się, czy jest na tej ziemi jakaś sprawiedliwość, czy też wszystkim rządzi przypadek.

Cofnął się, przerażony, wrzeszcząc dziko i błagając o litość, ale gdy wyciągnąłem nóż i przystawiłem mu go do gardła, musiał mnie usłuchać. Ja sam połknąłem drugą pigułkę, i staliśmy tak w milczeniu minutę, a może trochę dłużej. Wkrótce mieliśmy się przekonać, który z nas będzie żył, a który umrze. Nigdy nie zapomnę wyrazu jego twarzy, gdy pierwsze bóle ostrzegły go, że to on zażył truciznę. Widząc to, roześmiałem się i podsunąłem mu pod oczy obrączkę ślubną Lucy. Trwało to jednak tylko chwilę, bo alkaloid działa bardzo szybko. Rysy Drebbera wykrzywiły się w spazmatycznym bólu. Wyrzucił przed siebie ręce, zachwiał się, a potem z ochrypłym krzykiem ciężko runął na podłogę. Odwróciłem go nogą i położyłem rękę na jego sercu. Nie biło. Był martwy!

Z nosa lała mi się krew, ale nawet tego nie zauważyłem. Nie wiem, skąd mi przyszło do głowy, żeby napisać coś na ścianie. Może była w tym jakaś przekorna myśl, że w ten sposób wytnę numer policji, podsuwając jej niewłaściwy trop, bo w tamtej chwili było mi lekko na sercu, i przepełniała mnie radość. Przyszło mi na myśl, że kiedyś w Nowym Jorku znaleziono pewnego Niemca z wypisanym nad nim słowem Rache, a potem rozpisywano się w gazetach o tym, że musiało to być dzieło jakiegoś tajemnego stowarzyszenia. Doszedłem do wniosku, że to, co było zagadką dla nowojorczyków, będzie też zagadką tutaj, w Londynie, umoczyłem więc palec we własnej krwi i napisałem to słowo na ścianie w miejscu najbardziej widocznym w świetle płomienia świecy. Potem wróciłem do swjej dorożki i, upewniwszy się, że nikogo w okolicy nie ma, odjechałem. Pogoda wciąż była paskudna. Przejechałem już trochę, gdy wsunąłem rękę do kieszeni, w której zazwyczaj trzymałem obrączkę Lucy, i zdałem sobie sprawę, że jej tam nie ma. To było jak rażenie piorunem.

Obrączka była dla mnie jedyną pamiątką, jaka została mi po mojej ukochanej. Pomyślałem, że mogłem ją upuścić, gdy pochylałem się nad ciałem Drebbera, zawróciłem więc i, zostawiwszy dorożkę w bocznej uliczce, śmiało skierowałem się z powrotem do tego domu. Byłem gotów zaryzykować wszystkim, byle tylko nie stracić obrączki. Gdy już się tam znalazłem, wszedłem prosto w objęcia policjanta, który wychodził z budynku – ledwie zdołałem odwrócić jego podejrzenia, udając, że jestem kompletnie pijany.

Tak właśnie skończył Enoch Drebber. Teraz pozostało mi tylko załatwienie porachunków ze Stangersonem, aby w ten sposób spłacić dług wobec Johna Ferriera. Wiedziałem, że zatrzymał się w hotelu „Halliday". Przez cały dzień kręciłem się po okolicy, ale on ani razu nie wyszedł. Domyślałem się, że zaczął coś podejrzewać, kiedy Drebber się nie zjawił. Ten Stangerson był sprytny i zawsze miał się na baczności. Jeżeli jednak myślał, że nie dostanę go w swoje ręce, jeśli będzie siedział w hotelu, to grubo się mylił. Szybko dowiedziałem się, które okno jest jego, i wczesnym rankiem dostałem się do jego pokoju, korzystając z drabiny leżącej na ziemi w zaułku na tyłach hotelu. Obudziłem Stangersona i oznajmiłem mu, że wreszcie nadeszła godzina wyrównania rachunków za życie, które odebrał dwadzieścia lat temu. Opisałem mu śmierć Drebbera i tak jak tamtemu dałem do wyboru pigułki. Jednak zamiast chwycić się szansy ocalenia życia, którą mu zaproponowałem, poderwał się z łóżka i rzucił mi się do gardła. Broniąc się, dźgnąłem go nożem w serce. Tak czy inaczej wyszło na to samo, bo Opatrzność nigdy nie dopuściłaby do tego, by dłoń winnego wybrała coś innego niż truciznę.

Niewiele już pozostało mi do opowiedzenia, ale to dobrze, bo jestem wykończony. Miałem zamiar popracować jeszcze przez jakiś czas jako dorożkarz, póki nie zaoszczędzę tyle pieniędzy, by móc wrócić do Ameryki. Stałem na podwórzu, kiedy jakiś obszarpany chłopak spytał mnie, czy jest tu dorożkarz o nazwisku Jefferson Hope. Powiedział, że pewien dżentelmen z Baker Street 221b chciałby pojechać moim pojazdem. Zawróciłem więc, nie podejrzewając niczego złego, a następną rzeczą, którą pamiętam, było to, że ten oto młody człowiek założył mi kajdanki na ręce i załatwił mnie na amen, jak nikt dotąd. I to cała moja historia, panowie. Możecie uważać mnie za mordercę, jednak sądzę, że jestem tak samo stróżem prawa jak i wy.

Opowieść mężczyzny była tak pasjonująca, a jego zachowanie zrobiło na nas tak ogromne wrażenie, że przez cały ten czas nie przerywaliśmy mu ani razu, z uwagą przysłuchując się każdemu słowu. Nawet policyjni detektywi, którzy w swojej pracy musieli już zobojętnieć na podobne wyznania, byli, jak się wydawało, żywo zainteresowani jego opowieścią. Po ostatnich słowach Hope'a siedzieliśmy przez kilka minut w milczeniu, a ciszę przerywało jedynie skrobanie ołówka Lestrade'a, który kończył stenografować relację.

– Jest tylko jedna rzecz, o której chciałbym się dowiedzieć trochę więcej – odezwał się wreszcie Sherlock Holmes. – Kim był pański wspólnik, który zgłosił się po obrączkę z ogłoszenia?

Więzień mrugnął żartobliwie do mojego przyjaciela.

– Mogę zdradzać tylko własne sekrety – odparł – ale nie zamierzam sprowadzać kłopotów na innych. Zobaczyłem pańskie ogłoszenie i pomyślałem, że to może być pułapka. Ale z drugiej strony mogłem odzyskać obrączkę, na której mi zależało. Mój przyjaciel sam zaproponował, że pójdzie i się przekona. Przyzna pan, że zrobił to z dużym sprytem.

– Nie ma co do tego wątpliwości – wyznał szczerze Holmes.

– A teraz, panowie – rzekł poważnie inspektor – należy dopełnić formalności prawnych. W czwartek więzień stanie przed sądem, i wówczas wymagana będzie panów obecność. Do tego czasu ja za niego odpowiadam. – Mówiąc to, dał sygnał dzwonkiem. Kilku strażników wyprowadziło Jeffersona Hope'a, a mój przyjaciel i ja opuściliśmy posterunek, przywołaliśmy dorożkę i wróciliśmy na Baker Street.

Rozdział siódmy

Zakończenie

Poinformowano nas wszystkich, że mamy się stawić w sądzie w czwartek, jednak gdy nadszedł ten dzień, nie mieliśmy już okazji składać zeznań. Sprawę przejął sędzia najwyższej instancji i nakazał doprowadzić Jeffersona Hope’a przed trybunał, który miał go sprawiedliwie osądzić. W nocy po aresztowaniu pękł mu tętniak, i rano znaleziono go rozciągniętego na podłodze w celi ze spokojnym uśmiechem na twarzy, jakby w chwili śmierci myślał o tym, że przeżył swoje życie nie na darmo i dobrze wykonał swe zadanie.

– Gregson i Lestrade będą wściekli, że umarł – zauważył Holmes, gdy rozmawialiśmy o tym następnego wieczoru. – Nie trafią przez to na pierwsze strony gazet.

– Nie sądzę, by mieli zbyt wiele wspólnego z jego ujęciem – odparłem.

– Okazuje się, że to, czego dokonasz na tym świecie, nie ma zupełnie żadnego znaczenia – odparł gorzko mój towarzysz. – Pytanie brzmi: co uda ci się wmówić ludziom? Zresztą, nieważne – dodał po chwili milczenia już pogodniejszym tonem. – I tak nie chciałbym za nic w świecie przegapić tego śledztwa. Nie przypominam sobie ciekawszej sprawy. Chociaż była prosta, posiadała kilka wyjątkowo pouczających aspektów.

– Prosta?! – zawołałem.

– Cóż… Doprawdy, trudno byłoby ją określić inaczej – rzekł Sherlock Holmes, uśmiechając się na widok mojej zdumionej miny. – A dowodem jest to, że bez żadnej pomocy i wyłącznie dzięki zastosowaniu najzwyklejszej dedukcji byłem w stanie ująć przestępcę w ciągu trzech dni.

– To fakt – powiedziałem.

– Już ci wyjaśniałem, że to, co jest w sprawie nietypowe i dziwne, z reguły okazuje się wskazówką, nie przeszkodą. W rozwiązywaniu tego

typu problemów najważniejszą umiejętnością jest „rozumowanie wstecz”. To wyjątkowo przydatna zdolność, a przy tym niezwykle prosta, lecz obecnie ludzie bardzo mało poświęcają temu uwagi. W codziennych sprawach przewijających się w naszym życiu o wiele przydatniejsze jest „rozumowanie do przodu”, ten drugi sposób jest zaniedbywany. Na jedną osobę potrafiącą myśleć analitycznie przypada pięćdziesiąt osób rozumujących syntetycznie.

– Muszę przyznać – odparłem – że trochę za tobą nie nadążam.

– Wcale tego nie oczekiwałem. Pozwól, że ci to wyjaśnię. Na podstawie podanego ciągu wydarzeń większość ludzi jest w stanie powiedzieć, jaki będzie skutek tych wydarzeń. Potrafią je połączyć i na ich podstawie wywnioskować, że coś się stanie. Istnieje jednak bardzo niewiele osób, które analizując skutek, są w stanie wywnioskować, jakie przyczyny do tego skutku doprowadziły. To właśnie jest umiejętność, którą miałem na myśli, gdy wspominałem o „rozumowaniu wstecz”, czyli w sposób analityczny.

– Rozumiem – odparłem.

– Była to sprawa, w której dostałem do rąk skutek, i musiałem sam dowiedzieć się całej reszty. Pozwól, że teraz przedstawię ci poszczególne kroki mojego rozumowania. Zacznijmy od początku. Jak wiesz, zbliżyłem się do tego domu pieszo, z umysłem całkowicie wolnym od jakichkolwiek sugestii. Naturalnie zacząłem od zbadania drogi i, jak już wspominałem, ujrzałem wyraźne ślady dorożki, która, co potwierdziłem dodatkowymi pytaniami, musiała znajdować się tam w nocy. Na podstawie wąskiego rozstawu kół przekonałem się, że była to dorożka, a nie prywatny powóz. Zwyczajne londyńskie dorożki są znacznie węższe niż prywatne pojazdy.

Tak właśnie zdobyłem pierwsze ogniwo. Następnie przeszedłem powoli ogrodową ścieżką, która szczęśliwym zbiegiem okoliczności wytyczona była w gliniastej ziemi, w której wyjątkowo dobrze zachowują się wszelkie ślady. Nie wątpię, że ścieżka ta wydała ci się wydeptanym i zrytym błockiem, jednak dla moich wytrenowanych oczu każdy ślad na jej powierzchni miał pewne znaczenie. Nie ma innej dziedziny detektywistycznej, która byłaby tak istotna i równocześnie tak zaniedbywana jak sztuka odczytywania śladów. Na szczęście poświęciłem temu bardzo dużo uwagi, a dzięki długiej praktyce umiejętność rozpoznawania śladów stała się moją specjalnością. Obok wyraźnych

odcisków butów konstabli spostrzeg-łem ślady butów dwóch mężczyzn, którzy wcześniej przeszli przez ogród. Łatwo było mi stwierdzić, że byli tu wcześniej niż pozostali, ponieważ w niektórych miejscach ich ślady były całkowicie zatarte przez inne, które się na nie nałożyły. W ten sposób ustaliłem drugie ogniwo i dowiedziałem się, że nocnych gości było dwóch, przy czym jeden był wyjątkowo wysoki (co wyliczyłem na podstawie długości jego kroku), a drugi modnie ubrany, sądząc po niewielkich śladach, jakie pozostawiły jego eleganckie buty.

Po wejściu do domu ten ostatni wniosek się potwierdził. Leżący człowiek miał bardzo dobre buty. Tak więc to ten wysoki popełnił morderstwo, o ile w ogóle miało miejsce jakieś morderstwo. Na ciele zmarłego nie było żadnych ran, jednak grymas przerażenia na jego twarzy upewnił mnie, że przewidział swój los, nim ten go dosięgnął. Na twarzach ludzi umierających wskutek choroby serca lub w jakiś inny gwałtowny, lecz naturalny sposób nigdy nie maluje się taki grymas. Powąchawszy usta zmarłego, poczułem lekko kwaśny zapach i doszedłem do wniosku, że zmuszono go do zażycia trucizny. Potwierdzały to nienawiść i strach, które zniekształciły jego rysy. Doszedłem do tego wniosku metodą eliminacji, bo żadna inna hipoteza nie wyjaśniałaby wszystkich faktów. Nie myśl sobie, że to taki nadzwyczajny pomysł. Zmuszanie człowieka do zażycia trucizny nie jest bynajmniej niczym nowym w kronikach kryminalnych. Każdy toksykolog od razu przypomni sobie sprawy Dolskiego w Odessie i Leturiera w Montpellier.

Teraz pojawiło się najistotniejsze pytanie: dlaczego do tego doszło? Motywem morderstwa nie był rabunek, ponieważ nic nie zniknęło. A więc mogło chodzić o politykę lub o kobietę. Przed takim dylematem właśnie stanąłem. Od samego początku skłaniałem się ku drugiemu przypuszczeniu. Zabójcy polityczni z reguły ulatniają się natychmiast, gdy skończą swą robotę. Tego morderstwa natomiast dokonano w wyjątkowo przemyślany sposób, a zabójca zostawił swoje ślady w całym pokoju, co świadczyło o tym, że przez cały czas tam był. Musiało chodzić o jakąś prywatną krzywdę, nie zaś o sprawę polityczną, i to właśnie było przyczyną tak metodycznej zemsty. Napis na ścianie jeszcze bardziej potwierdził moje przypuszczenie. Było dla mnie aż nazbyt oczywiste, iż uczyniono to dla zmylenia tropu. Jednak odnalezienie obrączki ostatecznie rozstrzygnęło sprawę. Najwyraźniej morderca przypomniał swojej ofierze o jakiejś nieżyjącej już lub nieobecnej kobiecie, dlatego spytałem wówczas

Gregsona, czy w swoim telegramie wysłanym do Cleveland dopytywał się o konkretne szczegóły z życia pana Drebbera. Jak pamiętasz, udzielił mi przeczącej odpowiedzi.

Następnie zacząłem starannie badać pokój i znalazłem potwierdzenie moich podejrzeń co do wzrostu mordercy, a także dodatkowe szczegóły w postaci cygara „Trichinopoly” oraz informacje o długości jego paznokci. Już wówczas doszedłem do wniosku, że brak śladów walki świadczy o tym, iż krew na podłodze musiała być krwią napastnika. Przyczyną mógł być krwotok z nosa spowodowany podekscytowaniem. Spostrzegłem także, że ślady krwi biegną w tym samym kierunku co ślady jego stóp. Rzadko się zdarza, żeby jakikolwiek mężczyzna dostał krwotoku z nosa pod wpływem emocji, chyba że jest bardzo, bardzo wzburzony lub ma wybuchowy temperament. Na tej podstawie zaryzykowałem opinię, że przestępca był prawdopodobnie krzepkim człowiekiem o rumianej twarzy. Późniejsze wydarzenia potwierdziły, że mój wniosek był właściwy.

Opuściwszy dom, poszedłem zrobić to, czego zaniedbał Gregson. Wysłałem telegram do szefa policji w Cleveland, ograniczając swoje pytania do okoliczności związanych z małżeństwem Enocha Drebbera. Odpowiedź, jaką uzyskałem, była dla sprawy rozstrzygająca. Dowiedziałem się, że Drebber zwracał się już do przedstawicieli prawa o ochronę przed dawnym rywalem o nazwisku Jefferson Hope i że wspomniany Hope przebywa obecnie w Europie. Wiedziałem teraz, że trzymam w ręku klucz do całej tajemnicy, i jedynym, co pozostało do zrobienia, było ujęcie mordercy.

Już wcześniej doszedłem do wniosku, że mężczyzna, który wszedł do domu wraz z Drebberem, był tym samym, który powoził dorożką. Ze śladów na drodze wydedukowałem, że koń przemieszczał się do przodu, co byłoby niemożliwe, gdyby woźnica był w dorożce. Gdzie więc mógł się podziać dorożkarz, jeśli nie w tym domu? Równie absurdalne byłoby to, żeby zdrowy na umyśle człowiek popełnił przestępstwo z premedytacją w obecności osoby trzeciej, która z całą pewnością by go wydała. A wreszcie, cóż lepszego mógłby uczynić człowiek chcący śledzić kogoś w Londynie? Zostać dorożkarzem! Wszystkie te rozważania doprowadziły mnie do wniosku, że Jefferson Hope pracuje jako dorożkarz w metropolii.

Skoro jest dorożkarzem, to dlaczego nagle miałby przestać nim być? Z jego punktu widzenia jakakolwiek gwałtowna zmiana prawdopodobnie

zwróciłaby na niego uwagę innych. Przypuszczalnie więc chciał nadal, przynajmniej przez jakiś czas, wykonywać swoją pracę. Nie było też powodów, by sądzić, że występował pod przybranym nazwiskiem. Po co miałby zmieniać swoje nazwisko w kraju, w którym nie było ono nikomu znane? Tak więc zorganizowałem mój korpus detektywów, czyli chłopaków z ulicy, i kazałem im systematycznie dopytywać się u każdego właściciela dorożek w Londynie o zatrudnionych, póki nie wywęszą człowieka, którego szukałem. Wciąż pewnie jeszcze masz w pamięci fakt, jak sprawnie sobie z tym poradzili i jak bardzo mi się przysłużyli. Zamordowanie Stangersona było dla mnie całkowitą niespodzianką, nawet ja nie potrafiłbym w żaden sposób temu zapobiec. W wyniku tego morderstwa wszedłem w posiadanie pigułek, których istnienia już wcześniej się domyślałem. Tak więc, jak widzisz, cała ta sprawa jest ciągiem logicznym, bez jakichkolwiek luk czy błędów.

– To cudowne – zawołałem. – Twoje zasługi powinny znaleźć powszechne uznanie. Musisz opublikować relację z tej sprawy. Jeśli ty tego nie uczynisz, sam zrobię to dla ciebie.

– Możesz zrobić, co zechcesz, doktorze – odparł. – Spójrz – ciągnął dalej, podając mi gazetę. – Przyjrzyj się tylko temu.

Było to dzisiejsze wydanie „Echa”, a akapit, który mi wskazał, poświęcony był sprawie Jeffersona Hope’a. „Opinii publicznej – pisano tam – umknął sensacyjny kąsek za sprawą nieoczekiwanej śmierci niejakiego Hope’a, którego podejrzewano o zamordowanie panów Enocha Drebbera i Josepha Stangersona. Prawdopodobnie nigdy już nie poznamy szczegółów tej sprawy, chociaż posiadamy informacje z dobrych źródeł, że zbrodnia, w której miały udział uczucia i przekonania religijne, była efektem dawnego zatargu i osobistej zemsty. Wygląda na to, że obie ofiary należały w młodości do sekty Świętych Dni Ostatnich, zaś Hope, ów zmarły więzień, również pochodził z Salt Lake City. Jeśli ta sprawa nie będzie miała żadnych innych konsekwencji, może przynajmniej być przekonującym dowodem skuteczności naszych policyjnych detektywów i posłuży za nauczkę wszystkim cudzoziemcom, którzy postąpią najmądrzej, załatwiając swoje zatargi u siebie w domu, a nie na brytyjskiej ziemi. Pozostaje tajemnicą poliszynela, że za wyjątkowo sprawne ujęcie przestępcy zasługi należy przypisać wyłącznie słynnym funkcjonariuszom ze Scotland Yardu panom Lestrade’owi i Gregsonowi. Do aresztowania

doszło podobno w mieszkaniu niejakiego pana Sherlocka Holmesa, który, choć jest amatorem, wykazał pewien talent detektywistyczny, a mając tak wspaniałych nauczycieli, może mieć nadzieję, że z czasem dorówna im w jakimś stopniu. Można się spodziewać, że za swe zasługi obaj detektywi zostaną nagrodzeni”.

– Czy nie mówiłem ci na samym początku, że tak będzie?! – zawołał ze śmiechem Sherlock Holmes. – Taki jest właśnie efekt naszego studium w szkarłacie: policja uzyska dowody najwyższego uznania!

– Nieważne – odparłem. – Zanotowałem wszystkie te fakty w moim dzienniku, i opinia publiczna o nich usłyszy. A tymczasem musisz się zadowolić samą świadomością swojego sukcesu, tak jak ten rzymski skąpiec:

> Populus me sibilat, at mihi plaudo
> Ipse domi simul ac nummos contemplar in arca.

ZNAK CZTERECH

Z angielskiego przełożyli: Anna Krochmal i Robert Kędzierski

Rozdział pierwszy

Sztuka dedukcji

Sherlock Holmes sięgnął po buteleczkę stojącą na gzymsie kominka, a następnie wyjął z ładnego futerału wykonanego z marokańskiej skóry strzykawkę. Długimi bladymi nerwowymi palcami osadził na nią delikatną igłę i podwinął mankiet lewego rękawa. Przez krótką chwilę wpatrywał się w zadumie w swoje żylaste przedramię i nadgarstek, poznaczone bliznami po niezliczonych nakłuciach. Wreszcie wbił sobie igłę w rękę, nacisnął tłoczek strzykawki i z przeciągłym westchnieniem zadowolenia zagłębił się w obitym aksamitem fotelu.

Choć byłem świadkiem tej sceny trzy razy dziennie już od wielu miesięcy, to ani się do tego nie przyzwyczaiłem, ani nie potrafiłem się też z tym pogodzić. Wręcz przeciwnie, z dnia na dzień widok ten coraz bardziej mnie drażnił, a wieczorami dręczyły wyrzuty sumienia na myśl o tym, że brak mi odwagi, aby się temu przeciwstawić. Wciąż na nowo przyrzekałem sobie, że wygarnę mu szczerze, co o tym sądzę, jednak w chłodnym nonszalanckim sposobie bycia mojego towarzysza istniało coś, co sprawiało, że był chyba ostatnim człowiekiem, wobec którego miałoby się ochotę pozwolić sobie na takie uwagi. Jego niesamowite zdolności, mistrzowskie dokonania, wiele niezwykłych cech, o których istnieniu przekonałem się na własne oczy – wszystko to sprawiło, że nie czułem się przy nim zbyt pewny siebie i jakoś nie kwapiłem się do tej rozmowy.

Tego popołudnia jednak, czy to za sprawą beaune, którego napiłem się do lunchu, czy też dodatkowego poirytowania na widok tego, jak świadomie sobie szkodzi, poczułem nagle, że dłużej już tego nie zniosę.

– A co dzisiaj? – spytałem. – Morfina czy kokaina?

Podniósł leniwie wzrok znad starej drukowanej gotykiem księgi, którą przeglądał.

– Kokaina – odparł. – Siedmioprocentowy roztwór. Masz ochotę spróbować?

– Nie, bynajmniej – odrzekłem zaczepnym tonem. – Nie doszedłem jeszcze do siebie po kampanii afgańskiej. Nie mogę sobie pozwolić na to, by tak niszczyć swoje zdrowie.

Uśmiechnął się, słysząc mój wybuch.

– Może i masz rację, Watsonie – powiedział. – Przypuszczam, że rzeczywiście ma to negatywny wpływ na zdrowie fizyczne, jednak przy okazji tak cudownie pobudza i rozjaśnia mój umysł, że skutki uboczne doprawdy są dla mnie drugorzędną sprawą.

– Ale zastanów się nad tym! – odparłem z powagą. – Pomyśl, jaką cenę płacisz! Może twój umysł i jest teraz pobudzony i podekscytowany, tak jak mówisz, ale to patologiczny, chorobliwy proces związany ze zmianami w tkankach, który w przyszłości może pozostawić trwały ślad. Poza tym wiesz doskonale, jak reagujesz, kiedy kończy się działanie narkotyku. Jestem pewien, że to gra niewarta świeczki. Dlaczego miałbyś dla chwilowej przyjemności ryzykować utratę tych niezwykłych zdolności, jakimi obdarzyła cię natura? Pamiętaj, że nie mówię ci tego tylko jako przyjaciel, lecz również jako lekarz. W pewnym stopniu jestem przecież odpowiedzialny za twoje zdrowie!

Nie wydawał się urażony. Wręcz przeciwnie, splótł palce i położył łokcie na oparciu fotela, przybierając taką pozę, jakby miał ogromną ochotę na rozmowę.

– Mój umysł – rzekł – buntuje się przeciwko stagnacji. Daj mi jakieś sprawy do rozwiązania, daj mi coś do roboty, jakiś najbardziej zawiły szyfr albo skomplikowany problem, a w jednej chwili będę w swoim żywiole. W takich sytuacjach mogę się obyć bez sztucznych środków stymulujących. Ale nienawidzę tej monotonii, tej nudnej rutynowej egzystencji. Jestem złakniony intelektualnych wyzwań. To dlatego wybrałem taki, a nie inny zawód… A raczej go stworzyłem, bo jestem jedynym jego przedstawicielem na świecie.

– Jesteś jedynym prywatnym detektywem? – spytałem, unosząc brwi.

– Jedynym prywatnym detektywem-konsultantem – odparł. – Jestem ostatnią i najwyższą instancją w wykrywaniu przestępstw. Gdy Gregson, Lestrade lub Athelney Jones zupełnie nie wiedzą, co począć – a jest to u nich stan normalny – przychodzą ze sprawą do mnie. Jako specjalista

analizuję dane i przedstawiam im swą ekspercką opinię. Nie domagam się w takich sprawach uznania moich zasług. Moje nazwisko nie trafia też do gazet. Największą nagrodą jest dla mnie praca sama w sobie, przyjemność, jaką daje mi praktyczne wykorzystanie moich niezwykłych umiejętności. Miałeś już przecież okazję poznać trochę moje metody podczas sprawy Jeffersona Hope'a.

– Tak, istotnie – potwierdziłem. – I jeszcze nigdy w życiu nic nie wprawiło mnie w takie zdumienie. Opisałem to nawet w niewielkiej publikacji pod dość niecodziennym tytułem *Studium w szkarłacie*.

Smutno potrząsnął głową.

– Przeglądałem ją – odparł. – Szczerze mówiąc, nie mam zamiaru gratulować ci tego dzieła. Wykrywanie przestępstw jest, czy raczej powinno być, nauką ścisłą, i jako takie należy je traktować w chłodny, pozbawiony emocji sposób. Ty zaś spróbowałeś całą tę historię ubarwić, co dało mniej więcej ten sam efekt, jakbyś wplótł jakiś romans czy historię ucieczki kochanków w piąty aksjomat Euklidesa.

– Ależ to była romantyczna historia! – zaprotestowałem. – Nie mogłem przecież przeinaczać faktów.

– Niektóre fakty należałoby mniej eksponować, a przynajmniej zachować zdrowe proporcje w sposobie ich przedstawienia. Jedynym zasługującym na uwagę aspektem całej tej sprawy był interesujący proces analitycznego rozumowania, od skutku do przyczyny, dzięki któremu udało mi się ją rozwiązać.

Zirytowała mnie ta krytyka dzieła, które stworzyłem głównie z myślą o tym, by sprawić Holmesowi przyjemność. Muszę też przyznać, że rozdrażniło mnie, z jakim egotyzmem domagał się, by każdy wers mojej książki poświęcony był wyłącznie jego wyjątkowym dokonaniom. Przez te lata, gdy mieszkałem z nim na Baker Street, nieraz zdarzyło mi się zauważyć, że spokój i moralizatorski ton mojego towarzysza nie były pozbawione pewnej próżności.

Nic jednak na to nie odparłem. Usiadłem, by dać odpocząć mojej nodze. Jakiś czas temu raniła mnie kula z jezzaila, i pomimo że mogłem chodzić, przy zmianie pogody stara rana zawsze dawała mi się we znaki.

– Ostatnio zasięg mej praktyki objął również kontynent – rzekł Holmes po chwili milczenia, nabijając swoją starą fajkę z korzenia wrzośca. – W zeszłym tygodniu zwrócił się do mnie François le Villard, który, jak

zapewne słyszałeś, wyróżnia się ostatnio wśród francuskich detektywów. Odznacza się szybką celtycką intuicją, brak mu jednak rozległej i szczegółowej wiedzy, która jest nieodzowna, by osiągnąć w sztuce wykrywania przestępstw wyższy poziom. Sprawa dotyczyła testamentu i posiadała pewne interesujące cechy. Miałem okazję przedstawić le Villardowi dwa podobne przypadki, jeden z Rygi z 1857 roku, a drugi z St. Louis z roku 1871, które zasugerowały mu właściwe rozwiązanie. Mam tu jego list z podziękowaniami za pomoc. Dostałem go dziś poranną pocztą. – Mówiąc to, rzucił na stół zmięty arkusz papieru listowego. Przejrzałem go pobieżnie. Rzuciło mi się w oczy mnóstwo wyrazów uznania; liczne *magnifiques*, *coup de maître* i *tour de force* świadczyły o szczerym podziwie, którym francuski detektyw darzył Holmesa.

– Pisze niczym uczeń do swojego mistrza – stwierdziłem.

– Och, zbyt wysoko ocenia moją pomoc – rzekł lekkim tonem Sherlock Holmes. – Sam jest bardzo uzdolniony. Posiada dwie z trzech cech idealnego detektywa: bystrość obserwacji i opanowanie sztuki dedukcji. Brak mu jedynie wiedzy, ale to przyjdzie z czasem. Teraz przekłada na francuski moje skromne monografie.

– Monografie?

– Nie wiedziałeś? – zawołał Holmes ze śmiechem. – Tak, popełniłem kilka drobnych dzieł, wszystkie poświęcone czysto technicznym zagadnieniom. Tu masz na przykład artykuł „O rozróżnianiu popiołu z różnych tytoni”. Opisałem w nim sto czterdzieści różnych rodzajów tytoniu do wyrobu papierosów, cygar oraz tytoniu fajkowego i zamieściłem kolorowe ilustracje obrazujące różnice pomiędzy nimi. Problematyka tytoniu nieustannie się przewija w sprawach kryminalnych i jako wskazówka ma czasem wielkie znaczenie. Jeśli na przykład potrafisz stwierdzić, że mordercą był mężczyzna palący indyjski *lunkah*, w oczywisty sposób zawęża ci to obszar poszukiwań. Dla wytrenowanego oka różnica między czarnym popiołem z cygara „Trichinopoly” a białymi kłaczkami z „Bird’s Eye” jest tak wyraźna jak między kapustą a ziemniakiem.

– Masz genialną zdolność dostrzegania szczegółów – zauważyłem.

– Doceniam ich znaczenie. A to moja monografia o odczytywaniu śladów, w której zawarłem kilka uwag na temat zastosowania gipsu modelarskiego, pozwalającego zachować odciśnięte ślady. Tu z kolei masz

niewielkie interesujące opracowanie, opisujące wpływ zawodu danego człowieka na kształt jego dłoni, z litografiami dłoni dekarzy, marynarzy, krajaczy korku, kompozytorów, tkaczy i szlifierzy diamentów. Dla detektywa z naukowym podejściem ma to ogromne znaczenie praktyczne, zwłaszcza w przypadku nierozpoznanych ciał czy też przy pozyskiwaniu informacji o przeszłości przestępców. Chyba jednak zaczynam cię nużyć tym gadaniem.

– Ależ bynajmniej! – zaprzeczyłem z powagą. – To dla mnie niezmiernie interesujące, szczególnie odkąd miałem okazję przekonać się na własne oczy, jak stosujesz swoje hobby w praktyce! Wspomniałeś jednak przed chwilą o obserwacji i dedukcji. Zapewne jedna w pewnym stopniu wynika z drugiej?

– Cóż, niezupełnie – rzekł mój przyjaciel, rozpierając się wygodnie w fotelu i wypuszczając gęste sine kłęby dymu ze swojej fajki. – Dzięki obserwacji wiem na przykład, że byłeś dziś rano na poczcie przy Wigmore Street. Ale to dedukcja podpowiada mi, że gdy tam byłeś, wysłałeś telegram.

– To prawda! – odparłem. – Odgadłeś w obu przypadkach. Muszę jednak przyznać, że nie mam pojęcia, jak do tego doszedłeś. Nagle odczułem impuls, żeby to zrobić, ale przecież nikomu o tym nie wspominałem.

– To banalne – powiedział Holmes, chichocząc na widok mojej zaskoczonej miny. – Tak absurdalnie proste, że wyjaśnianie tego jest wręcz zbędne. Możemy jednak posłużyć się tym przykładem, by zdefiniować granice obserwacji i dedukcji. Obserwacja podpowiada mi, że do podeszwy twojego buta przylgnęła odrobina czerwonawej ziemi. Naprzeciwko urzędu przy Seymour Street zdjęto właśnie fragment chodnika i rozkopano ziemię, tak że trudno w nią nie wdepnąć, wchodząc do środka. Ziemia tutaj ma specyficzną czerwonawą barwę i, o ile wiem, nie występuje nigdzie indziej w tych okolicach. To by było na tyle, jeśli chodzi o obserwację. Cała reszta to dedukcja.

– Jak w takim razie wydedukowałeś, że wysłałem telegram?

– Wiedziałem oczywiście, że nie napisałeś żadnego listu, bo przez cały ranek siedziałem naprzeciwko ciebie. Widzę również w otwartej szufladzie twojego biurka arkusz znaczków i gruby plik kartek pocztowych. Po cóż w takim razie miałbyś iść na pocztę, jeśli nie po to, by wysłać telegram?

Trzeba wyeliminować wszystkie pozostałe czynniki, a ten jeden, który pozostanie, musi być prawdziwy.

– W tym przypadku z całą pewnością tak właśnie było – odparłem po chwili zastanowienia. – Jednak, jak sam mówisz, to akurat było bardzo proste. Czy uznałbyś to za bezczelność, gdybym poddał twoje metody nieco trudniejszej próbie?

– Wręcz przeciwnie – odrzekł. – Dzięki temu mógłbym zrezygnować z drugiej dawki kokainy. Z wielką przyjemnością przeanalizuję każdy problem, jaki tylko mi podrzucisz.

– Słyszałem, jak wspominałeś kiedyś, że człowiekowi trudno jest na co dzień używać jakiegokolwiek przedmiotu, nie pozostawiwszy na nim jakichś typowych dla niego śladów, które wyćwiczony obserwator potrafiłby odczytać. Ten oto zegarek wszedł niedawno w moje posiadanie. Byłbyś tak miły i powiedział, co myślisz o charakterze i nawykach jego zmarłego właściciela?

Z lekkim rozbawieniem podałem mu zegarek, bo test ten, jak mi się wydawało, był niemożliwy do rozwiązania. Zamierzałem dać mu w ten sposób małą nauczkę za jego trochę apodyktyczny ton, jaki czasami przybierał. Holmes przez chwilę ważył zegarek w dłoni, wpatrując się intensywnie w jego tarczę, następnie otworzył pokrywkę i przyjrzał się mechanizmowi, najpierw gołym okiem, a potem przy użyciu silnej lupy. Ledwie zdołałem powstrzymać uśmiech, widząc jego zawiedzioną twarz, gdy wreszcie zatrzas-nął pokrywkę i oddał mi zegarek.

– Niewiele tu danych – zauważył mój przyjaciel. – Zegarek był ostatnio czyszczony, co pozbawia mnie najbardziej sugestywnych śladów.

– Masz rację – odparłem. – Wyczyszczono go, zanim przesłano do mnie. – W głębi serca oskarżałem już mojego towarzysza, że podsunął mi najgorszą i najsłabszą wymówkę, by zatuszować swą porażkę. Jakież to niby dane mógłby odczytać z niewyczyszczonego zegarka?

– Cóż, choć efekty nie są bynajmniej satysfakcjonujące, moja analiza nie była jednak całkiem bezowocna – rzekł Sherlock Holmes, wpatrując się w sufit rozmarzonymi, pozbawionymi wyrazu oczyma. – Popraw mnie, proszę, jeśli popełnię błąd. Powiedziałbym, że ten zegarek należał do twojego starszego brata, który odziedziczył go po waszym ojcu.

– Wywnioskowałeś to bez wątpienia z inicjałów H.W. wygrawerowanych z tyłu pokrywy?

– Zgadza się. „W” wskazuje na twoje nazwisko. Na zegarku wygrawerowana jest data sprzed niemal pięćdziesięciu lat, a inicjały są równie stare jak sam zegarek. Wykonano go więc dla kogoś z poprzedniego pokolenia. Biżuteria z reguły przechodzi na najstarszego syna, istnieje też spore prawdopodobieństwo, że będzie on nosił takie samo imię jak jego ojciec. O ile dobrze pamiętam, twój ojciec od wielu lat nie żyje, toteż zegarek należał w tym czasie do twego starszego brata.

– Jak do tej pory wszystko się zgadza. Coś jeszcze?

– Był on człowiekiem nieporządnym, bardzo niezorganizowanym i nieuważnym. Miewał w życiu możliwości, nie wykorzystał jednak swojej szansy, i mimo że od czasu do czasu zdarzały się chwile prosperity, żył w ubóstwie. Na koniec rozpił się i zmarł. To wszystko, co udało mi się wydedukować.

Zerwałem się z krzesła i, kulejąc, zacząłem niecierpliwie chodzić po pokoju. Czułem się rozżalony.

– To ciebie niegodne, Holmesie! – wyrzuciłem z siebie. – Nie wyobrażałem sobie, że potrafisz się zniżyć do czegoś takiego! Dowiedziałeś się o faktach z przeszłości mojego nieszczęsnego brata, a teraz udajesz, że w jakiś wydumany sposób wydedukowałeś tę wiedzę. Nie sądzisz chyba, że uwierzę, iż wyczytałeś to wszystko z mojego zegarka?! To jest bardzo niełądnie z twojej strony, i szczerze mówiąc, zakrawa wręcz na szarlatanerię!

– Mój drogi doktorze – odparł uprzejmym tonem Holmes – proszę, przyjmij moje przeprosiny. Rozważałem tę kwestię jako problem czysto abstrakcyjny, zapominając przy tym, jak osobiste i bolesne może to być dla ciebie. Zapewniam cię jednak, że nawet nie wiedziałem, że miałeś brata, dopóki nie pokazałeś mi tego zegarka.

– A więc jak, u licha, udało ci się tego dowiedzieć? Wszystko, co powiedziałeś, jest prawdą, i to w każdym szczególe.

– Ach, po prostu miałem szczęście. Potrafiłem jedynie wysnuć pewne przypuszczenia. Nawet nie oczekiwałem, że uda mi się to tak precyzyjnie odczytać.

– Ale to nie polegało na samym zgadywaniu?

– Nie, nie! Ja nigdy nie zgaduję. To bardzo niedobry nawyk, który ma destrukcyjny wpływ na logiczne myślenie. To, co uważasz za tak dziwne, jest takim tylko dlatego, że nie podążasz za moim tokiem rozumowania lub

też nie zauważasz drobnych szczegółów, z których można wysnuć tak znaczące wnioski. Zacząłem na przykład od stwierdzenia, że twój brat był niedbały. Jeśli przyjrzysz się dolnej części oprawy tego zegarka, zauważysz, że nie tylko jest w dwóch miejscach wgnieciona, lecz również cała porysowana czymś twardym, na przykład monetami czy kluczami, które twój brat nosił w tej samej kieszeni co zegarek. Z całą pewnością nie jest to aż tak wielkie odkrycie, jeśli założymy, że człowiek, który tak lekkomyślnie traktuje zegarek wart pięćdziesiąt gwinei, musi być nieporządny. Nie będzie też zbyt naciągane, jeśli przyjmiemy, że jeśli ktoś otrzymał w spadku tak wartościowy przedmiot, oznacza to, iż odziedziczył fortunę.

Skinąłem głową, dając mu znać, że podążam za jego tokiem rozumowania.

– W Anglii wśród właścicieli lombardów panuje zwyczaj, że gdy przyjmują w zastaw zegarek, to na wewnętrznej stronie pokrywy wydrapują szpilką numer pokwitowania. To bardziej poręczne niż nalepka, i nie ma ryzyka, że taki numer się zgubi lub nagle się znajdzie na innym przedmiocie. Gdy przyjrzałem się przez lupę wewnętrznej stronie pokrywy, dostrzegłem aż cztery takie numery i wysnułem wniosek, że twojemu bratu często źle się powodziło. Ale od czasu do czasu jego sytuacja ulegała znacznej poprawie, ponieważ w przeciwnym razie nie byłby w stanie wykupywać zastawionego zegarka. I wreszcie spójrz, proszę, na wewnętrzną płytkę, w której jest otwór na kluczyk. Przyjrzyj się tym tysiącom zadrapań dookoła otworka. To ślady po obsuwaniu się kluczyka. Czy gdyby używał go człowiek trzeźwy, byłby w stanie aż tak bardzo podrapać płytkę? Takie zadrapania znajdziesz na zegarku każdego pijaka. Nakręca zegarek w nocy, pozostawiając ślady drżącej ręki. I cóż w tym wszystkim tajemniczego?

– To jasne jak słońce! – odparłem. – Przepraszam, że cię tak niesprawiedliwie oskarżyłem. Powinienem był mieć więcej zaufania do twoich niesamowitych zdolności. Mogę cię spytać, czy prowadzisz teraz jakieś śledztwo?

– Żadnego. To dlatego biorę kokainę. Nie potrafię egzystować bez intelektualnej podniety. Po cóż innego warto byłoby żyć? Stań tutaj, przy oknie. Czy świat był kiedyś równie ponury, beznadziejny i bezproduktywny? Spójrz, jak ta żółta mgła wije się ulicą i przesuwa,

zasłaniając szare domy. Cóż mogłoby być bardziej bezwartościowego i prozaicznego? Co z tego, że posiadam pewne zdolności, doktorze, skoro nie mam gdzie ich wykorzystywać? Przestępstwa są pospolite, egzystencja jest pospolita, a na tym świecie nie przydają się żadne inne cechy poza pospolitymi.

Otworzyłem już usta, żeby zareagować jakoś na tę tyradę, lecz wtedy właśnie rozległo się głośne pukanie do drzwi, i weszła nasza gospodyni, niosąc na mosiężnej tacy wizytówkę.

– Jakaś młoda dama do pana, sir – powiedziała, zwracając się do mojego towarzysza.

– Panna Mary Morstan – odczytał Holmes. – Hm, nie przypominam sobie tego nazwiska. Niech ją pani poprosi na górę, pani Hudson. – Nie wychodź, Watsonie. Wolałbym, żebyś został.

Rozdział drugi

Przedstawienie sprawy

Panna Morstan weszła do pokoju zdecydowanym krokiem. Sprawiała wrażenie całkowicie opanowanej. Była to młoda dama o blond włosach, drobna i delikatna. Na dłoniach miała ładne rękawiczki, a kostium świadczył o doskonałym guście właścicielki. Jej strój zdradzał prostotę i pospolitość, co sugerowało ograniczoność środków finansowych. Brak jakichkolwiek ozdób nadawał ubraniu smutny szaro-beżowy odcień. Na głowie panna Morstan nosiła niewielki zawój w tym samym burym odcieniu, któremu pewnej lekkości nadawało jednak białe piórko, osadzone z boku. Jej twarz nie miała ani regularnych rysów, ani pięknej cery, jednak jej wyraz był słodki i przyjazny, a wielkie niebieskie oczy wydawały się szczególnie uduchowione i pełne współczucia. Choć widywałem kobiety różnych ras na trzech różnych kontynentach, nigdy dotąd nie widziałem twarzy, która wyraźniej odzwierciedlałaby wyrafinowaną i wrażliwą naturę. Gdy usiadła na krześle, które podsunął jej Sherlock Holmes, trudno było nie dostrzec, jak drżały jej usta i dłonie, co świadczyło o ogromnym wewnętrznym napięciu.

– Zwracam się do pana, panie Holmes – powiedziała – ponieważ kiedyś pomógł pan mojej pracodawczyni pani Cecil Forrester rozwiązać pewną rodzinną zagadkę. Pańska dobroć i umiejętności wywarły na niej ogromne wrażenie.

– Pani Cecil Forrester… – powtórzył z namysłem. – Istotnie, udało mi się wyświadczyć jej kiedyś drobną przysługę, jednakże, o ile pamiętam, sprawa była bardzo prosta.

– Ona wcale tak nie uważała. Ale nie powie pan tego samego przynajmniej o mojej sprawie. Trudno byłoby wyobrazić sobie dziwniejszą i bardziej niewytłumaczalną sytuację niż ta, w której się znalazłam.

Holmes aż zatarł ręce, a w jego oczach dostrzegłem dobrze mi znany błysk. Pochylił się do przodu w swoim fotelu, a na jego wyrazistej jastrzębiej twarzy pojawił się wyraz niezwykłego skupienia.

– Proszę mi opowiedzieć o swej sprawie, panno Morstan – rzekł energicznie, oficjalnym tonem.

Poczułem, że znalazłem się w niezręcznej sytuacji.

– Jestem pewien, że państwo mi wybaczą – powiedziałem, wstając z krzesła.

Ku mojemu zaskoczeniu młoda dama wyciągnęła odzianą w rękawiczkę dłoń, by mnie zatrzymać.

– Jeśli pański przyjaciel będzie tak dobry i zostanie – powiedziała – wyświadczy mi tym nieocenioną przysługę.

Ponownie opadłem na krzesło.

– Mówiąc w skrócie – ciągnęła dalej – oto fakty. Mój ojciec był oficerem, służył w pułku stacjonującym w Indiach. Kiedy byłam jeszcze dzieckiem, wysłał mnie do Anglii. Moja matka już wówczas nie żyła, a ja nie miałam w Anglii żadnych krewnych. Umieszczono mnie w Edynburgu w komfortowej szkole z internatem, gdzie pozostałam do siedemnastego roku życia. Mój ojciec, kapitan, dostał w 1878 roku roczną przepustkę i przypłynął do domu. Z Londynu wysłał mi telegram, w którym napisał, że dotarł bezpiecznie i zatrzymał się w hotelu „Langham”; prosił mnie, bym natychmiast przyjechała się z nim spotkać. O ile pamiętam, wiadomość od niego przepełniona była wyrazami radości, dobroci i miłości. Gdy dotarłam do Londynu, pojechałam do hotelu „Langham”; tam poinformowano mnie, że kapitan Morstan rzeczywiście się u nich zatrzymał, jednak ubiegłego wieczoru wyszedł i do tej pory nie powrócił. Czekałam przez cały dzień, lecz nie dostałam o nim żadnych wiadomości. Późnym wieczorem powiadomiłam za radą kierownika hotelu policję, a następnego ranka umieściliśmy ogłoszenia w prasie. Wszystko to jednak na nic się zdało. Od tamtego dnia aż do dziś nikt niczego nie słyszał o moim nieszczęsnym ojcu. Przyjechał do domu z sercem pełnym nadziei, by odpocząć i nacieszyć się spokojnym i wygodnym życiem, a zamiast tego… – przyłożyła dłoń do gardła, a resztę jej słów zdławił krótki stłumiony szloch.

– Kiedy to się wydarzyło? – spytał Holmes, otwierając swój notes.

– Zniknął 3 grudnia 1878 roku… Prawie dziesięć lat temu.

– A jego bagaż?

– Został w hotelu. Nie było w nim niczego, co mogłoby posłużyć za jakąś wskazówkę… Trochę ubrań, jakieś książki i wiele różnych ciekawych przedmiotów z Andamanów. Był tam jednym z oficerów dowodzących strażą więzienną.

– Miał jakichś przyjaciół tu, w tym mieście?

– Wiem tylko o jednym. To major Sholto z jego 34. pułku piechoty bombajskiej. Major przeszedł na emeryturę jakiś czas temu i zamieszkał w Upper Norwood. Oczywiście kontaktowaliśmy się z nim, ale nie wiedział nawet o tym, że jego przyjaciel z wojska jest w Anglii.

– Osobliwa sprawa – zauważył Holmes.

– Nie opowiedziałam panu jeszcze najbardziej dziwnego zdarzenia w tej całej historii. Mniej więcej sześć lat temu, dokładnie 4 maja 1882 roku, w „Timesie” pojawiło się ogłoszenie, w którym poszukiwano adresu panny Mary Morstan, stwierdzając, że gdyby się ujawniła, przyniosłoby jej to korzyści. W ogłoszeniu nie podano żadnego nazwiska ani adresu. W tamtym czasie zaczęłam właśnie pracę w charakterze guwernantki u rodziny pani Cecil Forrester. Za jej radą opublikowałam swój adres w kolumnie ogłoszeń. Tego samego dnia dostarczono pocztą niewielkie kartonowe pudełeczko, adresowane do mnie, w którym znalazłam ogromną lśniącą perłę. Nie dołączono żadnego listu. Od tego czasu co roku tego samego dnia zawsze pojawiało się podobne pudełeczko prawie z taką samą perłą w środku, bez żadnych wskazówek co do nadawcy. Specjalista określił, że są to perły rzadkiej odmiany, mające znaczną wartość. Sami możecie się, panowie, przekonać, że są bardzo piękne – mówiąc to, otworzyła płaskie pudełko i pokazała mi sześć najpiękniejszych pereł, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Pani opowieść jest niezwykle interesująca – stwierdził Sherlock Holmes. – Czy przytrafiło się pani coś jeszcze?

– Tak, i to nawet dzisiaj. Dlatego właśnie postanowiłam zwrócić się do pana. Dziś rano otrzymałam ten oto list. Proszę bardzo, niech go pan przeczyta.

– Dziękuję – odrzekł Holmes. – Poproszę też kopertę. Pieczęć pocztowa z południowo-zachodniego Londynu, data 7 lipca. Hm. Odcisk kciuka mężczyzny w rogu koperty, prawdopodobnie listonosza. Papier najwyższej

jakości. Koperta z gatunku tych po sześć pensów za pakiet. Dziwny gust ma ten człowiek, jeśli chodzi o wybór papeterii. Brak adresu zwrotnego.

> Proszę być przy trzeciej kolumnie od lewej strony przed teatrem „Lyceum” dziś wieczorem o siódmej. Jeśli mi pani nie ufa, proszę przyprowadzić ze sobą dwóch przyjaciół. Jest pani pokrzywdzoną kobietą, i sprawiedliwości powinno stać się zadość. Niech pani nie sprowadza policji. Jeśli to pani uczyni, wszystko pójdzie na marne. Pani nieznany przyjaciel.

Doprawdy, to rzeczywiście niecodzienna tajemnica. I co pani zamierza zrobić, panno Morstan?

– O to właśnie chciałam pana zapytać.

– A więc z całą pewnością tam się udamy. Pani, ja i… o tak, doktor Watson jest jak najbardziej odpowiednim człowiekiem. W liście wspominano o dwóch przyjaciołach. Pracowaliśmy już wcześniej ze sobą.

– Ale czy zechce pójść? – spytała panna Morstan, a w jej głosie pobrzmiewał błagalny ton.

– Będę niezmiernie dumny i szczęśliwy – odparłem z zapałem – mogąc pani pomóc w jakikolwiek sposób.

– Obaj, panowie, jesteście niezwykle mili – powiedziała. – Prowadzę samotne życie, nie mam więc przyjaciół, do których mogłabym się zwrócić o pomoc. Przypuszczam, że wystarczy, jeśli zjawię się tutaj o szóstej?

– Proszę tylko, by nie później – rzekł Holmes. – Pozostała jednak jeszcze jedna kwestia. Czy charakter pisma nadawcy listu jest taki sam, jak w adresach na pudełkach z perłami?

– Mam je tutaj – odparła kobieta, wyjmując pół tuzina małych pudełek.

– Z całą pewnością jest pani modelową klientką. Ma pani świetną intuicję. Przyjrzyjmy im się! – Rozłożył kawałki papieru na stole i szybko przejrzał jeden po drugim. – Człowiek, który je adresował, próbował ukryć swój charakter pisma z wyjątkiem listu – rzekł po chwili – ale nie może być żadnych wątpliwości co do tego, kto to napisał. Proszę tylko spojrzeć, jak uporczywie przebija się tutaj jego francuskie „e”, i przyjrzeć się zawijasowi w literze „s” na końcu wyrazów. To była niewątpliwie ta sama osoba. Nie chciałbym dawać pani żadnych złudnych nadziei, panno Morstan, ale czy ten charakter pisma w jakikolwiek sposób przypomina pismo pani ojca?

– Nie dostrzegam najmniejszego podobieństwa.

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi. W takim razie będziemy czekać na panią o szóstej. Proszę pozwolić mi zatrzymać na razie te papiery. Dzięki temu będę miał czas, aby bliżej przyjrzeć się tej sprawie. Mamy dopiero wpół do czwartej. A więc *au revoir*!

– *Au revoir*! – odpowiedziała nasza klientka, i rzucając nam bystre życzliwe spojrzenie, schowała pudełeczka z perłami do sakiewki przy pasku i pośpiesznie wyszła. Stojąc przy oknie, obserwowałem, jak żwawo podąża ulicą, póki szary zawój i białe piórko nie stały się zaledwie plamką w ponurym tłumie.

– Cóż za niezwykle atrakcyjna kobieta! – stwierdziłem, odwracając się w stronę mojego towarzysza, który ponownie zapalił fajkę i tak siedział wygodnie rozparty w fotelu, z powiekami opuszczonymi na oczy.

– Doprawdy? – odparł leniwie. – Nie zauważyłem.

– Ty… ty rzeczywiście jesteś automatem… Maszyną obliczeniową! – zawołałem. – Czasami jest w tobie naprawdę coś nieludzkiego.

Uśmiechnął się łagodnie.

– Rzeczą najwyższego znaczenia jest, by nie dopuścić do tego, aby na nasz osąd miały wpływ jakieś osobiste odczucia. Dla mnie klient jest po prostu jednostką, czynnikiem w danej sprawie. Emocje są przeciwieństwem chłodnego rozumowania. Zapewniam cię, że najbardziej ujmująca kobieta, jaką kiedykolwiek znałem, została powieszona za otrucie trójki małych dzieci, aby dostać pieniądze z ich polisy ubezpieczeniowej, a najbardziej odrażającym człowiekiem, jakiego znam, jest pewien filantrop, który wydał ćwierć miliona funtów na londyńską biedotę.

– Jednak w tym przypadku…

– Nigdy nie robię wyjątków. Wyjątek wyklucza regułę. Miałeś kiedyś okazję badać charakter człowieka na podstawie jego pisma? Co byś powiedział o tych gryzmołach?

– Pismo jest czytelne i regularne – odparłem. – To mężczyzna o nawykach biznesmena i dość silnym charakterze.

Holmes potrząsnął głową.

– Spójrz na te długie litery – powiedział. – Ledwie się wznoszą ponad krótkie. To „d” równie dobrze mogłoby być „a”, „l” zaś mogłoby być „e”. Ludzie o silnym charakterze zawsze odróżniają wysokie i niskie litery niezależnie od tego, jak nieczytelne może być ich pismo. W jego „k” widać

niezdecydowanie, a w wielkich literach poczucie własnej wartości… Wychodzę teraz, Watsonie. Muszę się dowiedzieć paru rzeczy. Pozwól, że polecę ci tę właśnie książkę, jedną z najbardziej niezwykłych, jakie kiedykolwiek napisano. To *Męczeństwo człowieka* Winwooda Reade'a. Wrócę za godzinę.

Siedziałem przy oknie z książką w ręku, jednak moje myśli odbiegały daleko od śmiałych spekulacji autora i powracały do naszej klientki, jej uśmiechu, głębokiego dźwięcznego tonu głosu i dziwnej tajemnicy, która zawisła nad jej życiem. Skoro miała siedemnaście lat, gdy zaginął jej ojciec, teraz musiała mieć dwadzieścia siedem… Słodki wiek, gdy młodość straciła już swą pewność siebie, a doświadczenie nieco ją otrzeźwiło. Siedziałem tak pogrążony w zadumie, póki nie zaczęły mi przychodzić do głowy myśli tak niebezpieczne, że szybkim krokiem ruszyłem do biurka i z wściekłością zagłębiłem się w najnowszy traktat z dziedziny patologii. Kimże ja byłem? Wojskowym lekarzem z kontuzjowaną nogą i jeszcze gorszym stanem konta? Jak mogłem się ośmielić myśleć o takich rzeczach? Mary Morstan jednostką, czynnikiem… Niczym więcej. Skoro moja przyszłość malowała się w tak ponurych barwach, z całą pewnością lepiej było stawić jej czoło jak mężczyzna, zamiast próbować ją rozjaśniać błędnymi ognikami własnej wyobraźni.

Rozdział trzeci

W poszukiwaniu rozwiązania

Gdy Holmes wrócił, ożywiony, pełen zapału i w doskonałym humorze, było już wpół do szóstej. W jego przypadku taki nastrój pojawiał się na przemian z napadami najczarniejszej depresji.

– Nie ma w tej sprawie jakiejś wielkiej tajemnicy – powiedział, biorąc do ręki filiżankę herbaty, którą mu nalałem. – Fakty wydają się dopuszczać tylko jedno wyjaśnienie.

– Co takiego?! Już rozwiązałeś tę sprawę?

– Cóż, to za wiele powiedziane. Odkryłem pewien bardzo istotny fakt, to wszystko, ale wciąż brakuje kilku szczegółów. Dowiedziałem się właśnie po sprawdzeniu w archiwach „Timesa”, że major Sholto z Upper Norwood, który służył niegdyś w 34. pułku piechoty bombajskiej, zmarł 28 kwietnia 1882 roku.

– Być może jestem bardzo ograniczony, Holmesie, ale zupełnie nie rozumiem, na co miałoby to wskazywać.

– Nie? Zaskakujesz mnie, Watsonie. A więc spójrzmy na to w ten sposób. Kapitan Morstan znika. Jedyną osobą w Londynie, którą mógł odwiedzić, jest major Sholto. Ten zaprzecza, jakoby w ogóle wiedział, że jego przyjaciel jest w mieście. Cztery lata później Sholto umiera. W tydzień po jego śmierci córka kapitana Morstana otrzymuje cenny prezent, a następnie dostaje takie prezenty co roku. Teraz sprawa osiąga punkt kulminacyjny, gdy panna Morstan otrzymuje list, z którego wynika, że jest pokrzywdzoną kobietą. Na cóż innego może to wskazywać poza tym, że jej ojca czegoś pozbawiono? I dlaczego prezenty miałyby się pojawić bezpośrednio po śmierci Sholto? Nie było żadnego powodu, chyba że dziedzic Sholto znał jakiś fragment tej tajemnicy i pragnął jej coś zrekompensować. Masz jakąś inną teorię, która wyjaśniałaby wszystkie te fakty?

– Ale cóż to za osobliwa rekompensata! I w jaki dziwny sposób dokonywana! Dlaczego poza tym miałby napisać do niej teraz, a nie sześć lat temu? Z drugiej strony w liście jest mowa o tym, że sprawiedliwości stało się zadość. Cóż to za sprawiedliwość? Chyba zbyt śmiałym byłoby założenie, że ojciec panny Morstan nadal żyje. W jej sprawie nie było żadnej innej niesprawiedliwości, o której byśmy wiedzieli.

– To są właśnie trudności, które nas czekają. Z całą pewnością mamy do czynienia z pewnymi wątpliwościami – rzekł z zadumą Sherlock Holmes. – Sądzę jednak, że nasza dzisiejsza wieczorna wyprawa wszystkie je rozwieje. Oto i dorożka, a w niej siedzi nasza klientka. Jesteś gotów? W takim razie lepiej zejdźmy na dół, bo jest już kilka minut po szóstej.

Wziąłem kapelusz i najcięższą z moich lasek, zauważyłem też, jak Holmes wyciąga z szuflady swój rewolwer i wsuwa go do kieszeni. Było dla mnie oczywistym, że uważał, iż nasza przygoda dziś w nocy będzie bardzo niebezpieczna.

Panna Morstan była otulona ciemną peleryną, a jej wrażliwa twarz, choć blada, była opanowana. Trudno oczekiwać, żeby kobieta nie czuła się nieswojo przed tym dziwnym przedsięwzięciem, w które właśnie wszyscy się zaangażowaliśmy. Doskonale jednak panowała nad sobą i chętnie odpowiedziała na kilka dodatkowych pytań zadanych przez mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa.

– Major Sholto był bardzo szczególnym przyjacielem tatusia – powiedziała. – W swoich listach ojciec bardzo często wspominał o majorze. On i tatuś dowodzili wojskiem na Andamanach i bardzo się do siebie zbliżyli. Nawiasem mówiąc, w biurku mojego ojca znaleziono dziwny dokument, którego nikt nie był w stanie zrozumieć. Nie sądzę, by miał jakiekolwiek znaczenie, pomyślałam jednak, że być może zechce pan rzucić na niego okiem, wzięłam więc go ze sobą. Oto on.

Holmes ostrożnie rozłożył kartkę papieru i rozprostował ją na kolanie. Następnie bardzo dokładnie zbadał ją za pomocą swojej podwójnej lupy.

– To papier z hinduskiej manufaktury – zauważył. – Przez jakiś czas wisiał przyczepiony do tablicy. Wyrysowany na nim diagram wygląda na plan części jakiegoś dużego budynku o licznych salach, korytarzach i przejściach. W jednym punkcie znajduje się mały krzyżyk zakreślony czerwonym atramentem, a nad nim widać spłowiały napis ołówkiem: „3,37 od lewej”. W lewym narożniku narysowany jest ciekawy znak,

przypominający nieco hieroglif, złożony z czterech krzyżyków w jednej linii, stykających się ramionami. Obok napisano niechlujnie bardzo nierównymi literami: „Znak czterech, Jonathan Small, Mahomet Singh, Abdullah Khan, Dost Akbar”. Muszę przyznać, że nie mam pojęcia, jaki to może mieć wpływ na naszą sprawę, najwyraźniej jednak to bardzo ważny dokument. Jestem pewien, że był ostrożnie przechowywany w notesie, ponieważ obie jego strony nie są zabrudzone.

– Właśnie w notesie znaleźliśmy go.

– Proszę go starannie przechowywać, panno Morstan, ponieważ jeszcze może nam się przydać. Zaczynam podejrzewać, że ta sprawa jest o wiele głębsza i subtelniejsza, niż sądziłem na początku. Muszę jeszcze raz to wszystko rozważyć. – Rozsiadł się wygodnie w dorożce, a ja widziałem po jego ściągniętych brwiach i pustym spojrzeniu, że pogrążył się w myślach. Panna Morstan i ja rozmawialiśmy ściszonymi głosami o naszej obecnej wyprawie i jej możliwych skutkach, Holmes natomiast pozostawał nieprzenikniony aż do końca podróży.

Szybko zapadł wrześniowy wieczór, chociaż do siódmej było daleko, jednak cały ten dzień był ponury, a gęsta dżdżysta mgła wisiała nisko nad ogromnym miastem. Chmury koloru błota zwieszały się smutno nad brudnymi ulicami. Latarnie na Strandzie były zaledwie zamglonymi plamkami rozproszonego światła, rzucającymi słabą poświatę na lśniące, śliskie chodniki. Żółte światło płynące ze sklepowych witryn rozpraszało się w parnym, gęstym powietrzu i rzucało tajemnicze, zmienne promienie na zatłoczoną główną ulicę. Wydawało mi się, że było coś upiornego i demonicznego w tym niekończącym się korowodzie twarzy przemykających przez wąskie pasma światła – twarzy smutnych i radosnych, wynędzniałych i zadowolonych. Podobnie jak cała ludzka rasa wyłaniały się z mroku na światło, aby ponownie pogrążyć się w ciemności. Nie jestem podatny na takie wrażenia, jednak pochmurny, parny wieczór i dziwna sprawa, jaka zaprzątała nasze umysły, wszystko to razem sprawiło, że byłem zdenerwowany i przygnębiony. Widziałem po zachowaniu panny Morstan, że ją również dręczą podobne myśli. Tylko Holmes był w stanie wznieść się ponad takie drobne, niewiele znaczące ludzkie słabości. Na kolanie trzymał otwarty notes, od czasu do czasu zapisywał w nim jakieś liczby i coś notował, świecąc sobie kieszonkową latarką.

Przy bocznych wejściach teatru „Lyceum” zgromadziły się już tłumy. Od frontu dobiegał terkot niekończącego się strumienia dorożek i powozów. Wysiadali z nich mężczyźni w smokingach i otulone szalami kobiety, na których lśniły diamenty. Gdy tylko dotarliśmy do trzeciej kolumny, przy której byliśmy umówieni, natychmiast energicznie zagadnął nas niski śniady mężczyzna w uniformie stangreta.

– Czy panowie są towarzyszami panny Morstan? – zapytał.

– Ja jestem panna Morstan, a ci dwaj dżentelmeni to moi przyjaciele – odpowiedziała.

Skierował na nas parę niezwykle przenikliwych oczu o pytającym spojrzeniu.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział dość zaciętym tonem – ale muszę prosić, by dała mi pani słowo, że żaden z jej towarzyszy nie jest z policji.

– Daję panu na to moje słowo – odparła.

Mężczyzna ostro zagwizdał. Na ten sygnał jakiś chłopak podprowadził powóz i otworzył drzwi. Mężczyzna, który nas zagadnął, wszedł na kozioł, a my zajęliśmy miejsca w środku. Ledwie zdążyliśmy to zrobić, gdy woźnica zaciął batem konia, i pognaliśmy w szaleńczym tempie przez zamglone ulice.

Sytuacja była dość niezwykła. Jechaliśmy w nieznane miejsce i w nieznanej sprawie. Jednakże albo zaproszenie nas było całkowitą mistyfikacją, co wydawało się hipotezą nie do przyjęcia, albo też mieliśmy dobry powód, by sądzić, że od tej podróży może zależeć wiele rzeczy. Panna Morstan była równie stanowcza i opanowana jak dotychczas. Próbowałem ją jakoś rozweselić, zabawiając wspomnieniami z mojego pobytu w Afganistanie, jednak prawdę mówiąc, sam byłem tak podekscytowany naszą sytuacją i tak bardzo ciekaw tego, dokąd zmierzamy, że moim historiom brakowało zaangażowania. Po dziś dzień moja towarzyszka twierdzi, że opowiedziałem jej wtedy pewną anegdotę o tym, jak do mojego namiotu w samym środku nocy zakradł się muszkiet, a ja wystrzeliłem do niego z dwulufowego młodego tygrysa. Na początku miałem jeszcze pewne pojęcie o tym, w jakim kierunku jedziemy, szybko jednak nasza szaleńcza jazda we mgle i moja słaba znajomość Londynu sprawiły, że całkowicie straciłem orientację i zdawałem już sobie sprawę tylko z tego, że jest to bardzo długa podróż. Sherlock Holmes jednak przez

cały czas wiedział, którędy jedziemy: gdy dorożka przejeżdżała przez kolejne place i kręte boczne uliczki, mruczał pod nosem ich nazwy.

– Rochester Row – powiedział. – Teraz Vincent Square. Teraz wyjeżdżamy na Vauxhall Bridge Road. Najwyraźniej jedziemy w stronę Surrey. Tak, tak właśnie myślałem. W tej chwili jesteśmy na moście. Widać nawet rzekę.

Rzeczywiście przez moment widzieliśmy fragment Tamizy z zapalonymi latarniami nad szeroką spokojną wodą. Nasza dorożka gnała jednak dalej, i szybko wjechaliśmy w labirynt ulic po drugiej stronie rzeki.

– Wordsworth Road – rzekł mój towarzysz. – Priory Road, Lark Hall Lane, Stockwell Place, Robert Street, Cold Harbour Lane. Wygląda na to, że nasza misja nie rozegra się w zbyt modnych rejonach miasta.

Tak było w istocie, dotarliśmy bowiem do niesympatycznej okolicy o dość wątpliwej reputacji. Długie rzędy ponurych ceglanych domów rozjaśniały jedynie prymitywne lampy i tandetne oświetlenie pubów usytuowanych na rogach ulic. Następnie pojawiły się szeregi dwupoziomowych willi z miniaturowymi ogródkami przed każdą z nich, a później znów mijaliśmy niekończące się szeregi nowych ceglanych budynków, gapiących się na nas swymi oknami. Były to monstrualne macki, które gigantyczne miasto wysuwało w otaczające je tereny wiejskie. Wreszcie dorożka stanęła przy trzecim domu w kolejnym rzędzie szeregowców. Żaden z pozostałych budynków nie był zamieszkany, a okna tego, przy którym się zatrzymaliśmy, były równie ciemne jak tych sąsiednich z wyjątkiem migoczącego światełka widocznego w kuchennym oknie. Gdy jednak zapukaliśmy, drzwi natychmiast otworzył nam hinduski służący w żółtym turbanie na głowie, odziany w białe luźne ubranie z żółtą szarfą. W pospolitym otoczeniu niezbyt imponującego domu na przedmieściach ta orientalna postać wyglądała przedziwnie absurdalnie.

– Sahib państwa oczekuje – rzekł mężczyzna, a gdy wypowiedział te słowa, dobiegł nas z jakiegoś pomieszczenia we wnętrzu domu wysoki piskliwy głos.

– Wprowadź ich do mnie, *khitmutgar*! – zawołał. – Przyprowadź ich prosto do mnie!

Rozdział czwarty

Historia łysego mężczyzny

Udaliśmy się za Hindusem obskurnym ponurym korytarzem, źle oświetlonym i jeszcze gorzej umeblowanym, i dotarliśmy do drzwi po prawej stronie. Gdy otworzył je przed nami, zalał nas strumień żółtego światła. W samym środku tego blasku stał niski mężczyzna. Miał bardzo wysokie czoło, rzadkie szczeciniaste włosy i łysinę na czubku głowy, wystającą niczym szczyt góry znad jodłowych lasów. Stojąc, nerwowo zaciskał dłonie. Jego twarz ani przez chwilę nie pozostawała spokojna i rozluźniona: nieustannie wykrzywiały ją to uśmiech, to jakiś dziwny grymas. Natura obdarzyła naszego gospodarza obwisłymi wargami i zbyt rzucającymi się w oczy żółtymi nierównymi zębami, które nieudolnie próbował ukryć, bez ustanku zasłaniając usta ręką. Mimo wyraźnej łysiny wyglądał na młodego człowieka. I faktycznie, jak się później okazało, dopiero co ukończył trzydzieści lat.

– Do pani usług, panno Morstan – powtarzał w kółko cienkim wysokim głosem. – Do usług, panowie. Proszę! Wejdźcie do mojej małej jaskini. Trochę tu ciasno, proszę pani, ale urządziłem to miejsce tak, jak lubię. To oaza sztuki na dzikiej pustyni południowego Londynu.

Wszystkich nas zdumiał wygląd pokoju, do którego zostaliśmy zaproszeni. W tym żałosnym domu było to tak nie na miejscu, jak najpiękniejszy diament oprawiony w mosiądz. Ze ścian zwisały przepiękne lśniące zasłony i gobeliny, które tu i ówdzie podwieszone były w taki sposób, by dodatkowo wyeksponować jakiś bogato oprawiony obraz lub orientalną wazę. Dywan miał kolor bursztynowo-czarny i był tak miękki i gęsty, że stopy zapadały się w nim niczym w leśnym mchu. W poprzek dywanu rzucono dwie ogromne tygrysie skóry, które pogłębiały wrażenie wschodnich luksusów, podobnie zresztą jak ogromna fajka wodna stojąca

na macie w rogu pomieszczenia. W samym środku pokoju zwisała na niemal niewidocznym złotym drucie lampa w kształcie srebrnej gołębicy. Płonąc, napełniała powietrze subtelną, przyjemną wonią.

– Thaddeus Sholto – rzekł niski człowieczek, wciąż wykrzywiając twarz i uśmiechając się. – Tak się nazywam. Pani jest oczywiście panną Morstan. A ci panowie…

– To jest pan Sherlock Holmes, a to doktor Watson.

– Jest pan lekarzem, tak? – zawołał nasz gospodarz, bardzo podekscytowany. – Zabrał pan ze sobą stetoskop? Mógłbym pana prosić… Byłby pan tak miły? Mam bardzo poważne wątpliwości co do mojej zastawki mitralnej. Jeśli byłby pan tak dobry… Aortę mam całkiem niezłą, ale bardzo chciałbym poznać pańskie zdanie co do zastawki mitralnej.

Osłuchałem mu serce, tak jak mnie o to prosił, nie potrafiłem jednak wykryć żadnych problemów, może poza tym, że był niemal sparaliżowany strachem, drżał bowiem od stóp do głów.

– Wygląda na to, że wszystko jest w normie – powiedziałem. – Nie ma pan powodów do obaw.

– Proszę mi wybaczyć, że się tak niepokoję, panno Morstan – rzekł. – Jestem bardzo chorowitym człowiekiem i od dawna żywiłem obawy co do tej zastawki. Ogromnie się cieszę, że były nieuzasadnione. Gdyby pański ojciec, panno Morstan, nie obciążał tak swojego serca, być może żyłby do dziś.

Miałem ochotę uderzyć tego człowieka w twarz. Rozwścieczyła mnie ta gruboskórna i bezceremonialna uwaga, dotycząca przecież tak delikatnej kwestii. Panna Morstan osunęła się na krzesło, jej twarz pobladła, a wargi zbielały.

– W głębi serca wiedziałam, że nie żyje – rzekła.

– Mogę pani wszystko opowiedzieć – mówił dalej. – I co więcej, mogę zadbać o to, by otrzymała pani zadośćuczynienie. Zrobię wszystko niezależnie od tego, co na to powie mój brat Bartholomew. Ogromnie się cieszę, że pani przyjaciele są tutaj z panią nie tylko jako eskorta, lecz również jako świadkowie tego, co mam zamiar powiedzieć i zrobić. We trzech śmiało stawimy czoło mojemu bratu. Nie chciałbym mieć do czynienia z żadnymi policjantami ani urzędnikami! Możemy wszystko załatwić sami, bez żadnych niepotrzebnych problemów. Nic nie irytuje mojego brata bardziej niż rozgłos.

Usiadł na niskiej kanapie, zmrużywszy pytająco swe słabe niebieskie oczy bez wyrazu.

– Jeśli chodzi o mnie – rzekł Holmes – cokolwiek pan tutaj powie, zostanie między nami.

Kiwnąłem głową, by pokazać mu, że również się zgadzam.

– To dobrze! To dobrze! – stwierdził Sholto. – Panno Morstan, czy mogę zaproponować pani kieliszek chianti? A może tokaju? Nie trzymam innych win. Otworzyć butelkę? Nie? W takim razie mam nadzieję, że nie macie państwo nic przeciwko łagodnej balsamicznej woni wschodniego tytoniu. Jestem trochę nerwowy, a moja fajka wodna jest dla mnie bezcennym środkiem uspokajającym – przymocował wąż z ustnikiem i zaciągnął się, a dym zabulgotał wesoło w różanej wodzie. Wszyscy troje tworzyliśmy półokrąg z głowami wysuniętymi do przodu i podbródkami opartymi na rękach, podczas gdy ten dziwny, niski, roztrzęsiony jegomość z lśniącą łysiną siedział naprzeciwko nas, niespokojnie ciągnąc dym z fajki.

– Gdy po raz pierwszy postanowiłem, że się z panią skontaktuję – powiedział – już wtedy mogłem pani podać swój adres, obawiałem się jednak, że zignoruje pani moją prośbę i przyprowadzi ze sobą nieodpowiednich ludzi. W związku z tym pozwoliłem sobie na to, by umówić się z panią w taki sposób, aby mój człowiek, Williams, mógł najpierw wybadać, z kim pani przyszła. Mam całkowite zaufanie do jego dyskrecji i wydałem mu takie polecenia, że gdyby nie był usatysfakcjonowany, kazałby wam odejść. Proszę mi wybaczyć te środki ostrożności, prowadzę jednak spokojny tryb życia i mogę nawet powiedzieć o sobie, że mam wyrafinowany gust. A proszę mi uwierzyć, że nie ma nic bardziej nieestetycznego niż policjant. Z natury wzdragam się przed wszelkimi postaciami prymitywnego materializmu. Rzadko mam kontakt z nieokrzesanym tłumem. Żyję, jak pani widzi, w atmosferze elegancji. Mógłbym się nazwać mecenasem sztuki. To moja słabość. Ten pejzaż to autentyczny Corot, i choć koneser mógłby mieć jakieś zastrzeżenia co do tego Salvatora Rosy, to nie może już być żadnych wątpliwości względem tego oto Bouguereau. Mam słabość do nowoczesnej szkoły francuskiej.

– Proszę mi wybaczyć, panie Sholto – odezwała się panna Morstan – ale przybyłam tu na pańskie życzenie, by dowiedzieć się czegoś, co chciał mi

pan powiedzieć. Jest już bardzo późno i pragnęłabym, aby ta rozmowa była na tyle krótka, na ile to tylko możliwe.

– Nawet w najlepszym razie zajmie nam to trochę czasu – odparł ten – bo z całą pewnością będziemy musieli pojechać do Norwood i spotkać się z moim bratem Bartholomew. Wszyscy tam pojedziemy i spróbujemy go jakoś przekonać. Jest na mnie bardzo zły za to, że obrałem taki sposób postępowania, jaki wydawał mi się słuszny. Ubiegłej nocy bardzo się z nim pokłóciłem. Nie potrafią sobie nawet państwo wyobrazić, jakim strasznym staje się człowiekiem, kiedy jest rozwścieczony.

– Skoro mamy jechać do Norwood, być może dobrze byłoby wyruszyć od razu – ośmieliłem się zauważyć.

Śmiał się tak długo, aż poczerwieniały mu uszy.

– To raczej nie załatwi sprawy – zawołał. – Nie wiem, co by powiedział mój brat, gdybym tak nagle państwa sprowadził. Nie, powinienem was najpierw przygotować i wyjaśnić nasze wzajemne z bratem relacje. Muszę państwu przede wszystkim powiedzieć, że jest w tej historii kilka kwestii, o których sam nic nie wiem. Mogę przedstawić tylko te fakty, jakie są mi znane.

Państwo być może odgadli, że moim ojcem był major John Sholto, który służył niegdyś w hinduskiej armii. Około jedenastu lat temu przeszedł w stan spoczynku i zamieszkał w Pondicherry Lodge w Upper Norwood. W Indiach dobrze mu się wiodło; przywiózł ze sobą znaczną sumę pieniędzy, ogromną kolekcję cennych przedmiotów oraz hinduskich służących. Kupił sobie dom i mieszkał w nim, opływając w luksusy. Mój brat bliźniak i ja byliśmy jego jedynymi dziećmi.

Doskonale pamiętam, jaką sensację wywołało zniknięcie kapitana Morstana. Przeczytaliśmy szczegóły w prasie i, wiedząc, że był przyjacielem naszego ojca, swobodnie dyskutowaliśmy o tej sprawie w jego obecności. Często rozważaliśmy wspólnie, co tak naprawdę mogło się stać. Nigdy, nawet przez chwilę, nie podejrzewaliśmy, że to on ukrywał sekret i że tylko on spośród wszystkich ludzi znał los Arthura Morstana.

Wiedzieliśmy, że życie naszego ojca otaczała jakaś tajemnica, a jemu zagrażało niebezpieczeństwo. Bardzo się bał wychodzić sam z domu i zawsze zatrudniał w charakterze odźwiernych w Pondicherry Lodge dwóch byłych zawodowych utytułowanych bokserów. Williams, dawny mistrz Anglii w wadze lekkiej, który was tu dzisiaj przywiózł, to jeden

z nich. Nasz ojciec nigdy nam nie zdradził, czego się tak panicznie bał, wykazywał jednak ogromną awersję do mężczyzn z drewnianą nogą. Pewnego razu doszło nawet do tego, że strzelił ze swojego rewolweru do takiego jednego, który okazał się nieszkodliwym handlarzem, próbującym pozyskać klientów. Musieliśmy zapłacić ogromne pieniądze, aby wyciszyć całą tę sprawę. Mój brat i ja myśleliśmy kiedyś, że to po prostu dziwactwo naszego ojca, później jednak doszło do wydarzeń, które zmieniły nasze zdanie na ten temat.

Na początku 1882 roku ojciec otrzymał list z Indii, który był dla niego ogromnym szokiem. Gdy otworzył go przy stole podczas śniadania, omal nie zemdlał i od tego dnia ciągle już chorował, aż do śmierci. Nigdy nie odkryliśmy, co zawierał ten list, gdy jednak trzymał go w dłoni, udało mi się dostrzec, że był krótki i napisany jakimiś gryzmołami. Ojciec od lat cierpiał na powiększenie śledziony, ale od tej chwili jego stan zaczął się bardzo szybko pogarszać. Pod koniec kwietnia poinformowano nas, że nie ma już żadnej nadziei i że pragnie porozmawiać z nami po raz ostatni.

Gdy weszliśmy do jego pokoju, leżał wsparty na poduszkach i z trudem oddychał. Usilnie nas prosił, żebyśmy zamknęli drzwi na klucz, podeszli do niego i stanęli po obu stronach łóżka. Potem chwycił nas za ręce i opowiedział nam tę dziwną historię głosem łamiącym się pod wpływem emocji i bólu. Spróbuję państwu ją przekazać jego własnymi słowami.

„W tej szczególnej chwili jest tylko jedna rzecz, która ciąży mi na sercu – powiedział nasz ojciec. – Chodzi mi o to, w jaki sposób potraktowałem biedną sierotę po Morstanie. Ta przeklęta chciwość, która przez całe życie była moim głównym grzechem, nie pozwoliła mi podzielić się z nią skarbem, choć co najmniej połowa powinna należeć do niej. W żaden sposób go nie wykorzystałem, tak ślepa i głupia była moja zachłanność. Sama świadomość posiadania była dla mnie tak ważna, że nie mogłem znieść myśli, bym miał się nim dzielić z kimś innym. Spójrzcie na ten różaniec z perłami, leży przy fiolce z chininą. Nie potrafiłem się z nim rozstać, chociaż miałem zamiar wysłać go jej. Wy, moi synowie, przekażecie pannie Morstan pokaźną część skarbu z Agry. Ale nic jej nie wysyłajcie, nawet tego różańca, dopóki nie umrę. Bądź co bądź ludzie bywali już w tak złym stanie jak ja, i mimo to wracali do zdrowia.

Opowiem wam o tym, jak zmarł Morstan – ciągnął dalej mój ojciec. – Od wielu lat miał słabe serce, lecz ukrywał to przed wszystkimi. Tylko ja

jeden o tym wiedziałem. Kiedy byliśmy w Indiach, weszliśmy obaj za sprawą niezwykłego zbiegu okoliczności w posiadanie sporego skarbu. Ja zabrałem go ze sobą do Anglii. Gdy Morstan powrócił, udał się tej samej nocy prosto tutaj, aby upomnieć się o swoją część. Przyszedł pieszo ze stacji; do domu wpuścił go mój wierny stary Lal Chowdar, który już nie żyje. Morstan i ja mieliśmy różne wyobrażenie co do tego, w jaki sposób podzielić skarb, i doszło między nami do gwałtownej wymiany zdań. Morstan, rozwścieczony, zerwał się z krzesła i nagle przycisnął dłoń do boku. Twarz mu pociemniała, on sam upadł do tyłu, rozbijając głowę o narożnik szkatuły ze skarbem. Kiedy się nad nim pochyliłem, przekonałem się, ku swojemu przerażeniu, że nie żyje.

Przez długi czas siedziałem zdenerwowany, zastanawiając się, co powinienem teraz zrobić. W pierwszym odruchu chciałem oczywiście wezwać pomoc. Musiałem jednak pogodzić się z tym, że najprawdopodobniej zostanę oskarżony o morderstwo. Fakt, że zmarł podczas kłótni, oraz rana na jego głowie byłyby dla mnie bardzo obciążające. Poza tym niemożliwe byłoby przeprowadzenie oficjalnego śledztwa bez ujawnienia pewnych faktów dotyczących skarbu, a mnie szczególnie zależało na tym, by zachować jego istnienie w tajemnicy. Morstan powiedział mi, że nie wspomniał żywej duszy o tym, dokąd się udał. I wydawało się, że nikt nie musi się o tym nigdy dowiedzieć.

Wciąż rozważałem tę sprawę, gdy uniósłszy wzrok, ujrzałem mojego służącego Lal Chowdara, stojącego na progu. Wkradł się do środka i zasunął zasuwę w drzwiach.

– Proszę się nie obawiać, sahib – powiedział. – Nikt nie musi się dowiedzieć, że pan go zabił. Ukryjmy ciało. Kto się wtedy o tym dowie?

– Ale ja go nie zabiłem – powiedziałem.

Lal Chowdar z uśmiechem potrząsnął głową.

– Wszystko słyszałem, sahib – powiedział. – Słyszałem waszą kłótnię i słyszałem, jak upadł po zadaniu ciosu. Ale moje usta pozostaną zamknięte. Wszyscy w domu śpią. Chodźmy razem ukryć ciało.

To mi wystarczyło, aby podjąć decyzję. Skoro mój własny służący nie był w stanie uwierzyć w mą niewinność, jak mogłem liczyć na to, że przekonam o niej dwunastu nierozgarniętych rzemieślników zasiadających w ławie przysięgłych? Tej nocy Lal Chowdar i ja pozbyliśmy się trupa, a po paru dniach we wszystkich londyńskich gazetach pełno było wzmianek

o tajemniczym zaginięciu kapitana Morstana. Widzicie, trudno byłoby oskarżać mnie za to, co się stało. Moja wina polega jedynie na tym, że ukryliśmy nie tylko ciało, lecz również skarb, a prócz tego nie dość że pragnąłem za wszelką cenę zatrzymać to, co mi się należało, to jeszcze chciałem zagarnąć część Morstana. Dlatego chciałbym, żebyście to naprawili. A teraz zbliżcie uszy do moich ust. Skarb jest ukryty w…”.

W tym momencie twarz ojca wykrzywił straszliwy grymas, oczy stały się dzikie, szczęka opadła, po czym wrzasnął głosem, którego nigdy nie zapomnę:

– Zabierzcie go! Na litość boską, zabierzcie go stąd!

Odwróciliśmy się obaj z bratem i spojrzeliśmy w okno za naszymi plecami, w którym utkwiony był jego wzrok. Z ciemności wpatrywały się w nas jakieś oczy. Widzieliśmy wyraźnie, jak czyjś nos zbielał w miejscu, w którym był przyciśnięty do szyby. Była to brodata, zarośnięta twarz o dzikich okrutnych oczach, które miały straszny złośliwy wyraz. Wraz z Bartholomew rzuciliśmy się do okna, ale tego człowieka już nie było. Gdy wróciliśmy do ojca, zobaczyliśmy, że głowa mu opadła, i przekonaliśmy się, że puls ustał.

Tej nocy przeszukaliśmy ogród, nie znaleźliśmy jednak żadnych śladów intruza z wyjątkiem pojedynczego odcisku buta na rabacie pod samym oknem. Jednak gdyby nie ten jeden jedyny trop, równie dobrze mogliśmy uwierzyć, że ta dzika szalona twarz była jedynie wytworem naszej wyobraźni. Wkrótce potem jednak znaleźliśmy kolejny, o wiele bardziej przekonujący dowód, że wokół nas działają jakieś tajemnicze siły. Rano okazało się, że okno w pokoju naszego ojca było otwarte: cała zawartość kredensu i skrzyń została opróżniona, a do kufra przypięto kawałek papieru z wypisanymi na nim niestarannym pismem słowami: „Znak czterech”. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co te słowa oznaczały, ani kim mógł być nasz tajemniczy gość. Na tyle, na ile byliśmy w stanie ocenić, nic, co należało do ojca, nie zostało skradzione, choć wszystko powywracano do góry nogami. Oczywiście, mój brat i ja skojarzyliśmy ten przedziwny incydent z lękiem, który przez całe życie dręczył naszego ojca, niemniej jego przyczyny nadal pozostają dla nas całkowitą tajemnicą.

Drobny człowieczek przerwał na chwilę, by ponownie zapalić swoją fajkę wodną, i przez jakiś czas w zadumie ją pykał. Wszyscy siedzieliśmy zaabsorbowani, słuchając tej niezwykłej opowieści. Podczas krótkiej relacji

opisującej śmierć jej ojca panna Morstan straszliwie pobladła i przez chwilę obawiałem się, że zemdleje. Doszła jednak do siebie po paru łykach wody, którą po cichu nalałem jej z weneckiej karafki stojącej na stoliku obok. Sherlock Holmes z nieobecnym spojrzeniem siedział rozparty w swym fotelu, a powieki opadły mu na błyszczące oczy. Kiedy na niego spojrzałem, nie mogłem nie pomyśleć o tym, że jeszcze dziś tak gorzko narzekał, jak pospolite jest życie. Teraz przynajmniej miał zagadkę, która będzie od niego wymagała wykorzystania wszystkich jego zdolności. Pan Thaddeus Sholto przenosił wzrok z jednego gościa na drugiego, wyraźnie dumny z wrażenia, jakie wywarła na nas jego historia. Potem znów podjął swą opowieść, przerywając tylko po to, by zaciągnąć się dymem ze swej gigantycznej fajki.

– Jak sobie państwo zapewne wyobrażają – kontynuował – mój brat i ja byliśmy niezwykle podnieceni opowieścią o skarbie, którą usłyszeliśmy od ojca. Przez całe tygodnie, a potem miesiące kopaliśmy i grzebaliśmy w całym ogrodzie, lecz nie natrafiliśmy na miejsce, w którym został ukryty. Do szaleństwa doprowadzała nas myśl, że nasz ojciec w chwili śmierci miał już na ustach słowa mające wyjawić nam kryjówkę. Różaniec, który pokazał nam przed śmiercią, świadczył o tym, jak wspaniałe bogactwa zostały przed nami ukryte. Ja i mój brat Bartholomew pokłóciliśmy się o niego. Perły bez wątpienia posiadały ogromną wartość, i mój brat nie chciał się z nimi rozstawać, bo mówiąc między nami, on również posiada te samy wady co nasz ojciec. Bartholomew uważał także, że jeśli oddamy różaniec, może się to stać powodem do plotek, a w końcu sprowadzi na nas kłopoty. Jedynym, do czego udało mi się go przekonać, było to, aby pozwolił mi odnaleźć adres panny Morstan i przesyłać jej w stałych odstępach czasu po jednej perle, tak, by nigdy nie znalazła się bez środków do życia.

– To bardzo miłe z pana strony, że przyszła mu do głowy taka myśl – powiedziała z powagą nasza towarzyszka. – Okazał pan naprawdę ogromną dobroć.

Mały człowieczek skromnie machnął ręką.

– Jesteśmy pani dłużnikami – powiedział. – To znaczy ja w ten sposób zapatrywałem się na tę sprawę, ale mój brat bynajmniej nie chciał jej postrzegać w takim świetle. Sami mieliśmy mnóstwo pieniędzy. Nie pragnąłem mieć więcej. Poza tym byłoby w potwornie złym guście,

gdybyśmy tak nikczemnie potraktowali młodą damę. *Le mauvais goût mène au crime*. Francuzi potrafią bardzo trafnie wyrazić sedno sprawy. Różnice w naszych poglądach zaszły tak daleko, że doszedłem do wniosku, iż najlepiej będzie, jeśli zamieszkamy osobno. Z tego powodu wyprowadziłem się z Pondicherry Lodge, zabierając ze sobą starego *khitmutgara* oraz Williamsa. Wczoraj jednak dowiedziałem się, że doszło do niezwykle ważnego wydarzenia. Odkryto miejsce, w którym znajduje się skarb. Natychmiast wysłałem list do panny Morstan, teraz więc pozostaje nam tylko udać się do Norwood i upomnieć się o nasz udział. Wczoraj w nocy wyjaśniłem mojemu bratu Bartholomew, w jaki sposób zapatruję się na tę sprawę. Dlatego być może nie będziemy pożądanymi gośćmi, ale na pewno Bartholomew będzie się nas spodziewał.

Pan Thaddeus Sholto zamilkł i siedział na swojej luksusowej kanapie, dygocąc i krzywiąc się. Wszyscy milczeliśmy, myśląc o tym, jaki obrót przybrały te tajemnicze sprawy. Holmes zerwał się na nogi jako pierwszy.

– Bardzo dobrze pan postąpił, sir. Od samego początku aż do końca – powiedział. – Możliwe, że będziemy w stanie choć odrobinę się panu odwdzięczyć, rzucając nieco światła na to, co wciąż pozostaje dla niego zagadką. Jednakże jak już raczyła wspomnieć panna Morstan, jest już dość późno, i najlepiej przejdźmy do rzeczy, nie zwlekając.

Nasz nowy znajomy starannie, z namaszczeniem zwinął rurkę swojej fajki wodnej i wyjął zza zasłony bardzo długi płaszcz lamowany sutaszem, przystrojony karakułowym kołnierzem i takimi samymi mankietami. Mimo że noc była bardzo parna, starannie pozapinał guziki i dopełnił swego ubioru, zakładając czapkę z króliczych skór ze zwisającymi po obu stronach głowy klapkami na uszy. Tym sposobem zasłonił niemal całe swe ciało, i nie było widać prawie nic prócz niezwykle ruchliwej, wymizerowanej twarzy.

– Jestem człowiekiem o dość kruchym zdrowiu – zauważył, prowadząc nas korytarzem. – Muszę o siebie bardzo dbać.

Na zewnątrz czekała nasza dorożka. Najwyraźniej cały program tego spotkania był z góry ustalony, bo woźnica natychmiast w szaleńczym tempie ruszył z miejsca. Thaddeus Sholto przez cały czas mówił swym piskliwym głosem, przebijającym się przez turkot kół.

– Bartholomew jest sprytnym człowiekiem. Jak państwo sądzą, w jaki sposób się dowiedział, gdzie jest ukryty skarb? Otóż doszedł do wniosku,

że musi być ukryty gdzieś w domu. Rozpoznał więc dokładnie położenie pomieszczeń budynku i zmierzył wszystko tak dokładnie, że nie pozostał nawet jeden wątpliwy cal. Odkrył między innymi, że wysokość domu wynosi siedemdziesiąt cztery stopy, lecz jeśli się doda wysokości poszczególnych pokoi i nawet uwzględni z nawiązką przestrzenie pomiędzy nimi, które brat ustalił, przewiercając na wylot ściany i stropy, całość nie przekracza siedemdziesięciu stóp. Tak wiec pozostały jeszcze cztery stopy. Ta przestrzeń mogła się znajdować tylko nad pomieszczeniem na najwyższym piętrze budynku. Tak więc w pomieszczeniu na najwyższym piętrze Bartholomew wybił otwór w suficie wykonanym z pokrytych tynkiem listew i dzięki temu odkrył, że powyżej znajduje się niewielki strych, który do tej pory był zamurowany i o którym nikt nie wiedział. Pośrodku strychu stała szkatuła ze skarbem, wsparta na dwóch krokwiach. Brat opuścił ją przez wybity otwór i umieścił w pokoju. Wartość klejnotów oszacował na nie mniej niż pół miliona szterlingów.

Usłyszawszy o tak gigantycznej sumie, spojrzeliśmy wszyscy po sobie z szeroko otwartymi ze zdumienia oczyma. Gdyby udało nam się zagwarantować prawo panny Morstan do udziału w skarbie, wówczas z ubogiej guwernantki stałaby się najbogatszą dziedziczką w całej Anglii! Wierny przyjaciel na pewno ucieszyłby się z takich wieści, jednak muszę ze wstydem wyznać, że w moją duszę zakradła się zazdrość, a serce stało się ciężkie niczym ołów. Wyjąkałem kilka niezdarnych słów gratulacji, a potem siedziałem przybity, ze spuszczoną głową, głuchy na paplaninę naszego nowego znajomego. Najwyraźniej był hipochondrykiem, jak przez mgłę uświadomiłem sobie, że wymienia niekończącą się listę jakichś objawów i usilnie prosi mnie o informacje o składzie i działaniu niezliczonych szarlatańskich specyfików; kilka z nich miał przy sobie w skórzanym futerale w kieszeni. Miałem nadzieję, że nie pamiętał odpowiedzi, których udzieliłem mu tamtej nocy. Holmes twierdził, że słyszał, jak ostrzegałem go przed ogromnym niebezpieczeństwem związanym z zażywaniem więcej niż dwóch kropli naraz oleju rycynowego i zalecałem mu duże dawki strychniny jako środka uspokajającego. Jednakże, jakkolwiek by było, poczułem z całą pewnością ogromną ulgę, gdy nasza dorożka zatrzymała się z szarpnięciem i woźnica zeskoczył z kozła, by otworzyć nam drzwi.

– Panno Morstan, to jest Pondicherry Lodge – rzekł pan Thaddeus Sholto, podając jej rękę, by wysiadła.

Rozdział piąty

Tragedia w Pondicherry Lodge

Dochodziła jedenasta, gdy dotarliśmy do celu naszej podróży. Zostawiliśmy za sobą wilgotną mgłę wielkiego miasta; tutaj noc była dość pogodna. Z zachodu wiał ciepły wiatr, a ciężkie chmury powoli przesuwały się po niebie. Z prześwitów pomiędzy nimi wyglądał od czasu do czasu półksiężyc. Było na tyle jasno, że moglibyśmy cokolwiek zobaczyć, jednak Thaddeus Sholto zdjął jedną z bocznych lamp powozu, by dodatkowo oświetlić nam drogę.

Willa Pondicherry Lodge stała na dużej działce; otaczał ją bardzo wysoki kamienny mur, posypany na górze tłuczonym szkłem. Na teren można było wejść jedynie przez wąskie kute żelazne drzwi. Nasz przewodnik zapukał w nie w sposób charakterystyczny dla listonosza.

– Kto tam? – zawołał szorstki głos z wewnątrz.

– To ja, panie McMurdo! Na pewno nauczyłeś się już rozpoznawać moje pukanie.

Usłyszeliśmy jakieś pomruki, a potem dzwonienie i szczęk kluczy. Drzwi otworzyły się ciężko, i przed nami stanął niski mężczyzna o potężnym torsie. Żółte światło latarni padało na jego wychyloną ku nam twarz oraz błyszczące nieufne oczy.

– To pan, panie Thaddeus? A kim są ci pozostali? Mój pan nie dał mi żadnych instrukcji co do nich.

– Jak to nie, McMurdo? Zaskakuje mnie pan. Ubiegłej nocy mówiłem bratu, że zamierzam sprowadzić paru przyjaciół.

– Dziś przez cały dzień nie wyłaził ze swego pokoju, panie Thaddeus, i nie wydał mi żadnych poleceń. Wie pan doskonale, że muszę trzymać się zasad. Mogę pana wpuścić do środka, ale pańscy przyjaciele powinni zostać tam, gdzie są.

To była nieoczekiwana przeszkoda. Thaddeus Sholto rozejrzał się, skonsternowany i bezsilny.

– To bardzo niełądnie z twojej strony, McMurdo – powiedział. – Jeśli za nich ręczę, powinno ci to wystarczyć. Poza tym jest z nami młoda dama. Przecież nie może czekać na ulicy o tej godzinie w nocy!

– Bardzo mi przykro, panie Thaddeus – rzekł nieubłaganym tonem odźwierny. – Ci ludzie może i są pańskimi przyjaciółmi, ale to nie znaczy, że są również przyjaciółmi mojego pana. Dobrze mi płaci za wypełnianie przeze mnie obowiązków, i nie zamierzam z tego rezygnować. Nie znam żadnego z pańskich przyjaciół.

– Ależ owszem, zna pan, panie McMurdo! – zawołał serdecznym tonem Sherlock Holmes. – Nie sądzę, by mógł pan mnie zapomnieć. Czyżby nie pamiętał pan tego amatora, który walczył z panem cztery lata temu przez trzy rundy w hali u Alison tej nocy, gdy powrócił pan na ring?

– No nie! To pan Sherlock Holmes! – ryknął zawodowy bokser. – Na Boga! Jak mogłem pana nie rozpoznać? Gdyby pan po prostu do mnie podszedł i walnął mnie tym swoim hakiem w podbródek, zamiast tak sobie spokojnie stać z boczku, natychmiast bym pana poznał. Doprawdy, zmarnował pan swój talent. Mógłby pan wysoko zajść, gdyby tylko chciał.

– Widzisz, Watsonie, jeśli wszystko inne zawiedzie mnie w życiu, wciąż pozostanie szansa w tej wspaniałej profesji – rzekł ze śmiechem Holmes. – Ale jestem pewien, że teraz nasz przyjaciel nie pozwoli nam stać tutaj na zimnie.

– Ależ proszę, sir. Proszę wejść do środka. Pan i pańscy przyjaciele – odparł McMurdo. – Bardzo mi przykro, panie Thaddeus, lecz mój pan udzielił mi bardzo ścisłych instrukcji. Musiałem się upewnić co do pańskich przyjaciół, zanim ich wpuściłem.

Po drugiej stronie muru żwirowa ścieżka wiła się przez pusty teren w stronę ogromnej kwadratowej bryły budynku. Wszystko pogrążone było w cieniu; tylko jeden promień księżyca przebijał się przez chmury, a w oknie na strychu migotało światełko. Ogromne rozmiary budowli, jej ponura bryła oraz śmiertelna cisza wypełniły moje serce chłodem. Wydawało się, że nawet Thaddeus Sholto nie czuje się tu zbyt pewnie, bo latarnia drżała i skrzypiała mu w dłoni.

– Nie potrafię tego zrozumieć – powiedział. – To musi być jakaś pomyłka. Wyraźnie mówiłem Bartholomew, że się tutaj zjawimy, a jednak

w jego oknie nie pali się światło. Nie wiem, co mam o tym sądzić.

– Czy zawsze w ten sposób strzeże swojej posesji? – spytał Holmes.

– Tak, kontynuuje zwyczaj ojca. Wie pan, to on był jego ulubionym synem, i czasami zdaje mi się, że ojciec powiedział mu więcej, niż kiedykolwiek zdradził mnie. Tam, gdzie pada teraz światło księżyca, to okno Bartholomew. Wydaje się dość jasne, ale nie sądzę, żeby to światło dobiegało od wewnątrz.

– Tak, ma pan rację – powiedział Holmes. – Widzę jednak migotanie światła w tym małym okienku przy drzwiach.

– To jest pokój gospodyni. Tam mieszka stara pani Bernstone. Może ona będzie mogła nam wszystko wyjaśnić. Czy zechcą państwo poczekać tutaj kilka minut, bo jeżeli wejdziemy tam wszyscy razem (a nikt jej nie poinformował o naszej wizycie), może być zaniepokojona. Sza! Co to za dźwięk?!

Uniósł w górę latarnię dłonią tak drżącą, że kręgi światła rozchwiały się i zachybotały wokół nas. Panna Morstan chwyciła mnie za nadgarstek, i wszyscy staliśmy tak przez chwilę z łomoczącymi sercami, wytężając słuch. Z ogromnego ciemnego domu dochodziły nas w nocnej ciszy najsmutniejsze i najżałośniejsze z możliwych dźwięków. To był przenikliwy, zawodzący szloch przerażonej kobiety.

– To pani Bernstone! – rzekł Sholto. – Jest jedyną kobietą w tym domu. Poczekajcie tutaj, za chwilę wrócę. – Ruszył śpiesznym krokiem do drzwi i zapukał w swój dziwaczny sposób. Widzieliśmy, jak w progu pojawiła się wysoka stara kobieta, która niezwykle uradowała się na jego widok, po czym wpuściła go do środka.

– Och, panie Thaddeus, sir! Tak się cieszę że pan przyjechał! Tak strasznie się cieszę, że pan jest, panie Thaddeus! – słyszeliśmy, jak wielokrotnie wyraża swą radość, póki drzwi się nie zamknęły, wówczas jej głos przeszedł w stłumiony szmer, a następnie zamilkł.

Nasz przewodnik zostawił nam swoją latarnię. Holmes powoli zatoczył nią krąg, bacznie przypatrując się domowi oraz wielkim hałdom śmieci leżącym na terenie posesji. Panna Morstan i ja staliśmy obok siebie, a jej dłoń wciąż nie puszczała mojej. Jakże cudownym i subtelnym zjawiskiem jest miłość. Staliśmy oto tutaj we dwoje, i choć do dzisiejszego dnia nigdy się nie spotkaliśmy i nie wymieniliśmy żadnego czułego słowa ani nawet spojrzenia, teraz, gdy nadeszła trudna godzina, nasze dłonie instynktownie

się odnalazły. Od tego czasu wielokrotnie się nad tym zastanawiałem, jednak w tamtej chwili wydawało się rzeczą najnaturalniejszą na świecie, że powinienem był wykonać wobec niej taki gest; ona również później często mówiła mi o tym, że instynkt kazał jej zwrócić się do mnie, szukając ochrony i pocieszenia. Staliśmy więc, trzymając się za ręce niczym dwójka dzieci, i mimo ciemności, jakie nas otaczały, w naszych sercach zagościł spokój.

– Co za dziwne miejsce – powiedziała moja towarzyszka, patrząc uważnie dokoła.

– Wygląda tak, jakby wypuszczono tutaj wszystkie krety z całej Anglii. Widziałem coś podobnego na zboczu wzgórza niedaleko Ballarat, gdzie poszukiwano złóż.

– Tutaj przyczyna była taka sama – rzekł Holmes. – To ślady pozostawione przez poszukiwaczy skarbu. Musicie pamiętać, że szukali go przez sześć lat. Nic dziwnego, że ta posesja wygląda jak wyrobisko żwiru.

W tej chwili drzwi domu otworzyły się gwałtownie, i wybiegł z nich Thaddeus Sholto z dłońmi wzniesionymi nad głową i z przerażeniem w oczach.

– Coś jest nie tak z Barholomew! – zawołał. – Boję się! Moje nerwy tego nie wytrzymają! – na wpół bełkotał ze strachu, a jego wymizerowana twarz z bezbronnym spojrzeniem wystraszonego dziecka, na której nieustannie pojawiały się różne grymasy, wyglądała znad ogromnego karakułowego kołnierza.

– Wejdźmy do domu! – rzekł Holmes beznamiętnym stanowczym głosem.

– Tak, zróbmy to! – odezwał się błagalnym tonem Thaddeus Sholto. – W tej chwili naprawdę nie czuję się na siłach, żeby cokolwiek wam wytłumaczyć.

Wszyscy udaliśmy się za nim do pokoju gospodyni, znajdującego się po lewej stronie korytarza. Starsza kobieta przemierzała pokój wzdłuż i wszerz z wystraszoną twarzą, nerwowo przebierając palcami, wydawało się jednak, że widok panny Morstan działał na nią kojąco.

– Niech Bóg błogosławi pani słodką, spokojną twarzyczkę! – zawołała, histerycznie szlochając. – Kiedy na panią patrzę, od razu robi mi się lżej. Och, ten dzień był dla mnie naprawdę straszny.

Nasza towarzyszka pogłaskała jej szczupłą, spracowaną dłoń i wyszeptała kilka ciepłych słów pociechy. Na pobladłą twarz kobiety powoli zaczęły wracać kolory.

– Pan zamknął się od środka na klucz i nie odpowiadał na moje wołanie – wyjaś-niła. – Przez cały czas czekałam, aż się do mnie odezwie, ale on lubi być sam. Jednak godzinę temu ogarnął mnie lęk, weszłam więc na górę i zajrzałam przez dziurkę od klucza. Musi pan tam pójść, panie Thaddeus… Musi pan wejść na górę i sam to zobaczyć. Przez dziesięć długich lat widywałam pana Barholomew Sholto w różnym stanie, gdy było mu wesoło i kiedy był smutny, ale nigdy nie widziałam, by jego twarz przybrała taki wyraz jak teraz.

Sherlock Holmes wziął lampę i ruszył przodem na górę. Thaddeus Sholto był tak wstrząśnięty, że zaczął szczękać zębami, i gdy wchodziliśmy po schodach, musiałem wziąć go pod ramię, ponieważ drżały mu kolana. Wspinając się po stopniach, Holmes dwa razy wyciągał z kieszeni lupę i starannie badał ślady, które mnie wydawały się jedynie jakimiś bezkształtnymi smugami kurzu na macie z włókna orzecha kokosowego, służącej za wykładzinę na schodach. Powoli pokonywał stopnie, trzymając nisko swoją lampę i bacznie się rozglądając na prawo i lewo. Panna Morstan została na dole z przerażoną gospodynią.

Trzecie półpiętro kończyło się prostym korytarzem; po jego prawej stronie wisiał ogromny hinduski gobelin, a po lewej znajdowały się troje drzwi. Holmes przeszedł przez korytarz w ten sam powolny metodyczny sposób, a my podążaliśmy tuż za nim. Z tyłu na ścianach kładły się nasze długie czarne cienie. Trzecie drzwi okazały się tymi, których szukaliśmy. Holmes zapukał do nich, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Następnie nacisnął klamkę, próbując otworzyć je siłą. Były jednak zamknięte na klucz od środka, a w świetle lampy ujrzeliśmy zamek z szeroką mocną zasuwą, który je trzymał. Ponieważ jednak klucz był trochę przekręcony, dziurka od klucza nie była całkowicie zasłonięta. Mój przyjaciel pochylił się ku niej i natychmiast się poderwał, ostro wciągając powietrze.

– Jest w tym coś diabolicznego, Watsonie – rzekł, bardzo poruszony; jeszcze nigdy dotąd nie widziałem go w takim stanie. – Co o tym sądzisz?

Pochyliłem się, by zajrzeć przez dziurkę, i cofnąłem się, przerażony. Pokój, do którego wpadało światło księżyca, jaśniał przymglonym drżącym blaskiem. Wprost na mnie patrzyła jakby zawieszona w powietrzu

(bo wszystko poniżej skrywały cienie) twarz, i to twarz naszego towarzysza Thaddeusa: ta sama lśniąca głowa, ta sama kępka szczeciniastych rudych włosów i to samo anemiczne oblicze. Usta zastygły jednak w straszliwym uśmiechu, stężałym i nienaturalnym, który w tym cichym pokoju, oświetlonym księżycowym blaskiem, wydawał się bardziej przerażający niż jakikolwiek grymas czy jakiekolwiek wykrzywienie twarzy. Oblicze to było tak podobne do twarzy naszego drobnego przyjaciela Thaddeusa Sholto, że musiałem na niego spojrzeć, aby się upewnić, iż rzeczywiście był z nami. Później przypomniałem sobie, że brat i on byli bliźniakami.

– To straszne! – powiedziałem do Holmesa. – Co powinniśmy teraz zrobić?

– Musimy wyważyć drzwi – odparł i rzucił się na nie całym swym ciężarem. Rozległo się jękliwe skrzypnięcie, ale drzwi nie ustąpiły. Naparliśmy na nie obaj po raz drugi, i tym razem otworzyły się z gwałtownym trzaskiem, my zaś znaleźliśmy się w pokoju Bartholomew Sholto.

Pomieszczenie zostało urządzone jako laboratorium chemiczne. Przy ścianie naprzeciwko drzwi stały dwa rzędy butelek ze szklanymi korkami, a stolik zastawiony był palnikami Bunsena, probówkami i retortami. W rogach w wiklinowych koszach stały butle z kwasami. Jedna z nich była chyba nieszczelna lub została stłuczona, bo wyciekł z niej jakiś ciemny płyn, i powietrze wypełniał ciężki i wyjątkowo gryzący odór, przypominający zapach smoły. Po jednej stronie pokoju, pośrodku sterty tynku i desek, stała niewielka drabina, a nad nią w suficie ziajała dziura na tyle duża, by mógł się przez nią przecisnąć człowiek. U podstawy drabinki rzucono niedbale długi zwój liny.

Przy stole w drewnianym fotelu siedział nienaturalnie skulony pan domu; głowę miał opuszczoną na lewe ramię, a na twarzy zastygł upiorny nieprzenikniony uśmiech. Był sztywny i zimny; najwyraźniej nie żył już od wielu godzin. Wydawało mi się, że nie tylko rysy jego twarzy, lecz również wszystkie kończyny były powykrzywiane i powyginane w najtrudniejszy do wyobrażenia sposób. Przy jego dłoni, spoczywającej na stole, leżał przedziwny przedmiot. Był to brązowy mocny drewniany kij, zwieńczony kamienną główką, przypominającą obuch młotka, prymitywnie przymocowany do trzonka grubym szpagatem. Obok niego leżała wyrwana

kartka z notesu, na której nabazgrano parę słów. Holmes spojrzał na nią, a następnie podał ją mnie.

– Zobacz – powiedział, znacząco unosząc brwi.

W świetle latarni odczytałem z dreszczem przerażenia: „Znak czterech”.

– Na Boga! Co to wszystko oznacza? – spytałem.

– To oznacza morderstwo – odparł, pochylając się nad zmarłym. – Ach, spodziewałem się tego. Spójrz tutaj! – Wskazał na coś, co wyglądało jak długi ciemny cierń wbity w skórę tuż nad uchem.

– To wygląda jak cierń – powiedziałem.

– Bo to jest cierń. Możesz go wyjąć, ale bądź ostrożny, ponieważ jest zatruty.

Chwyciłem go między palec wskazujący a kciuk. Wysunął się ze skóry tak lekko, że nie pozostawił po sobie prawie żadnego śladu. Jedynie malutka plamka krwi świadczyła o tym, w którym miejscu było nakłucie.

– To wszystko jest dla mnie nieprzeniknioną tajemnicą – powiedziałem. – Cała ta historia, zamiast się wyjaśniać, staje się coraz bardziej zagmatwana.

– Wręcz przeciwnie – odparł mój towarzysz. – Wyjaśnia się z każdą chwilą. Potrzebuję jeszcze tylko paru brakujących ogniw, aby całkowicie rozwiązać tę sprawę.

Kiedy weszliśmy do pokoju, niemal zapomnieliśmy o naszym przewodniku. Wciąż stał w drzwiach, niczym istne ucieleśnienie przerażenia, kurczowo zaciskając dłonie i cicho pojękując. Nagle jednak z jego gardła wyrwał się ostry płaczliwy krzyk.

– Skarb zniknął! – zawołał. – Ukradli mu skarb! To jest ten otwór, przez który opuszczaliśmy go na dół. Pomagałem mu! Jako ostatni widziałem Bartholomew żywego! Wczoraj w nocy go tutaj zostawiłem, a schodząc po schodach, słyszałem, jak zamyka drzwi na klucz.

– Która to była godzina?

– Dziesiąta. A teraz on nie żyje, trzeba wezwać policję, a oni będą podejrzewali, że maczałem w tym palce. O tak, jestem pewien, że tak będzie. Ale wy tak nie myślicie, panowie, prawda? Na pewno nie myślicie, że to ja? Czy byłoby prawdopodobne, że sprowadziłbym was tutaj, gdybym to ja go zabił? Ojej, ojej! Zaraz oszaleję! Jestem tego pewien – zaczął bezładnie wymachiwać rękoma i przestępować z nogi na nogę w jakimś konwulsyjnym napadzie szaleństwa.

– Nie ma pan powodów do obaw, panie Sholto – rzekł Holmes przyjaźnie, kładąc mu dłoń na ramieniu. – Proszę posłuchać mojej rady i pojechać na posterunek, aby poinformować policję o całej sprawie. Niech pan zaoferuje im wszelkiego rodzaju pomoc. Zaczekamy tutaj do pańskiego powrotu.

Na wpół ogłupiały drobny człowieczek zastosował się do słów mojego przyjaciela, a po chwili usłyszeliśmy, jak schodzi w ciemnościach, potykając się na stopniach.

Rozdział szósty

Sherlock Holmes przedstawia swoją metodę

– A teraz, Watsonie – rzekł Holmes, zacierając ręce – mamy pół godziny dla siebie. Dobrze wykorzystajmy ten czas. Jak już ci mówiłem, prawie całkowicie rozwiązałem tę sprawę, nie wolno nam jednak popełnić błędu, nie możemy być zbyt pewni siebie. Chociaż sprawa wydaje się banalnie prosta, możliwe, że kryje się w niej coś głębszego.

– Prosta?! – wykrzyknąłem.

– Oczywiście – odparł tonem przypominającym nieco ton profesora medycyny, tłumaczącego coś swoim studentom. – Usiądź sobie tam w kącie, żeby twoje ślady dodatkowo wszystkiego nie skomplikowały. Weźmy się teraz do pracy! Przede wszystkim, jak ci ludzie się tutaj dostali i którędy wyszli? Drzwi nie były otwierane od ubiegłej nocy. A co z oknem? – przysunął do niego lampę, mrucząc bardziej do samego siebie niż do mnie. – Okno jest zatrzaśnięte od wewnątrz. Konstrukcja wygląda na solidną. Z boku nie ma zawiasów. Otwórzmy je. W pobliżu nie ma rynny. Do dachu nie sięgniesz. A jednak jakiś człowiek wszedł przez to okno. Ubiegłej nocy trochę padało. Tu mamy odcisk stopy na parapecie. A tutaj okrągły błotnisty ślad, tu kolejny na podłodze, a tam, przy stole, jeszcze jeden. Spójrz tylko na to, Watsonie! To doprawdy całkiem niezła prezentacja.

Spojrzałem na wyraźnie widoczne kółka z błota.

– To przecież nie jest ślad buta – powiedziałem.

– Nie, to coś o wiele dla nas cenniejszego! To jest odcisk drewnianej nogi. Popatrz! Tutaj na parapecie mamy odcisk buta, ciężkiego buta z szerokim obcasem, podbitym metalem, a tuż obok niego ślad protezy.

– To ten człowiek z drewnianą nogą!

– W rzeczy samej. Ale był tu ktoś jeszcze… Jego wyjątkowo sprawny i skuteczny sprzymierzeniec. Dałbyś radę wspiąć się po tym murze, doktorze?

Wyjrzałem przez otwarte okno. Księżyc wciąż jasno oświetlał tę stronę domu. Znajdowaliśmy się dobrych sześćdziesiąt stóp nad ziemią, i gdziekolwiek bym spojrzał, nie byłem w stanie dostrzec żadnego oparcia, choćby jednej szczeliny w ceglanym murze.

– To absolutnie niemożliwe – odparłem.

– Tak, niemożliwe bez pomocy. Załóżmy jednak, że twój przyjaciel byłby już tu na górze i spuściłby ci dobrą mocną linę, którą widzę tu, w rogu pokoju, zaczepiając jej drugi koniec na tym solidnym haku, o tu, w ścianie. W takim przypadku sądzę, że gdybyś był sprawnym człowiekiem, dałbyś radę się tutaj wdrapać niezależnie od tego, czy miałbyś drewnianą nogę, czy nie. Wyszedłbyś naturalnie w ten sam sposób, a twój sprzymierzeniec wciągnąłby linę na górę. Odwiązałby ją od haka, zamknął okno, zatrzasnął je od wewnątrz, a następnie wydostałby się stąd tą samą drogą, jaką tu przyszedł. Możemy jeszcze odnotować pewien drobny szczegół – ciągnął dalej, badając palcami linę. – Nasz przyjaciel z drewnianą nogą potrafi całkiem nieźle się wspinać, chociaż nie jest zawodowym marynarzem. Na pewno nie miał na dłoniach zrogowaciałych zgrubień. Dzięki mojej lupie wykryłem wiele śladów krwi, zwłaszcza na końcowym odcinku liny, z czego wnioskuję, że ześliznął się po niej w dół z taką szybkością, iż zdarł sobie skórę z rąk.

– To znakomicie – powiedziałem – ale sprawa stała się przez to jeszcze bardziej niezrozumiała niż dotychczas. Co z tym tajemniczym pomocnikiem? W jaki sposób dostał się do tego pokoju?

– Tak… Pomocnik – powtórzył w zadumie Holmes. – Ten ma pewne niezwykle ciekawe cechy. Dzięki niemu sprawa przestaje być pospolita. Przypuszczam, że ów sprzymierzeniec otwiera zupełnie nowy rozdział w kronikach zbrodni tego kraju. Choć z drugiej strony nasuwają mi się analogiczne sprawy z Indii i, o ile pamięć mnie nie myli, z Senegambii.

– W takim razie jak się tu dostał? – powtórzyłem. – Drzwi były zamknięte na klucz, a okno niedostępne. Przeszedł przez komin?

– Krata paleniska jest o wiele za mała – odparł Holmes. – Już rozważałem tę możliwość.

– W takim razie jak? – nalegałem dalej.

– Nie chcesz, widzę, stosować moich zasad – rzekł, potrząsając głową. – Ile razy ci powtarzałem, że kiedy wyeliminujesz wszystko, co niemożliwe, wówczas to, co ci zostanie, jakiekolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą? Wiemy już, że nie wszedł drzwiami, oknem ani kominem. Wiemy też, że nie mógł się ukryć w pokoju, ponieważ tutaj ukryć się nie da. Którędy w takim razie wszedł?

– Wszedł przez tę dziurę w suficie! – zawołałem.

– Oczywiście że tak. Musiał tędy wejść. Jeśli będziesz tak miły i potrzymasz mi lampę, poszerzymy teraz zakres naszych oględzin o pomieszczenie powyżej. O ten tajemny pokój, w którym ukryty był skarb.

Holmes wspiął się po drabince, i chwytając jedną dłonią krokiew, wdrapał się na strych. Następnie, kładąc się płasko na brzuchu, sięgnął po lampę i przytrzymał mi ją, gdy wdrapywałem się za nim na górę.

Pomieszczenie, w którym się znaleźliśmy, mierzyło mniej więcej dziesięć stóp na sześć. Podłogę tworzyły krokwie, pomiędzy którymi znajdowała się cienka warstwa pokrytych tynkiem listew, trzeba więc było stąpać z belki na belkę. Strop zbiegał się w szczytowym punkcie i wyraźnie stanowił wewnętrzny szkielet dachu. Nie było tu żadnych mebli, a podłogę pokrywała gruba warstwa kurzu, który nagromadził się w ciągu wielu lat.

– No i proszę, spójrz tutaj – rzekł Sherlock Holmes, dotykając dłonią skosu ściany. Oto i klapa w suficie prowadząca na dach. Mogę ją popchnąć, zobacz, mamy tu dach o łagodnym skosie. A więc to tędy wszedł Numer Jeden. Rozejrzyjmy się i sprawdźmy, czy zostawił jakieś charakterystyczne ślady.

Opuścił lampę niżej, sprawdzając podłogę, a kiedy to uczynił, po raz drugi tej nocy zobaczyłem, że jego twarz przybrała zdumiony i zaskoczony wyraz. Ja sam zaś, gdy podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem, poczułem, jak skóra cierpnie mi pod ubraniem. Podłoga była gęsto poznaczona śladami bosych stóp. Były wyraźne, niezatarte, doskonale widoczne… lecz co najmniej o połowę mniejsze niż u dorosłego mężczyzny.

– Holmesie… – odezwałem się szeptem – to straszliwe morderstwo popełniło jakieś dziecko.

W jednej chwili mój przyjaciel odzyskał panowanie nad sobą.

– Na chwilę osłupiałem – powiedział – ale w gruncie rzeczy to całkiem naturalne. Zawiodła mnie pamięć, bo w przeciwnym razie powinienem był

to przewidzieć. Niczego więcej już się tutaj nie dowiemy. Chodźmy na dół.

– W takim razie jaką masz teorię co do tych śladów? – spytałem, płonąc z ciekawości, gdy znów znaleźliśmy się w pokoju.

– Mój drogi Watsonie, spróbuj sam to przeanalizować – odparł Holmes lekko zniecierpliwionym tonem. – Przecież znasz moje metody. Zastosuj je, a potem będziemy mogli porównać efekty. To może być bardzo pouczające.

– Nie przychodzi mi do głowy nic, co tłumaczyłoby te fakty.

– Wkrótce wszystko stanie się dla ciebie całkiem jasne – odparł bezceremonialnym tonem. – Przypuszczam, że nie znajdę tu już nic ważnego, ale mimo wszystko jeszcze się rozejrzę.

Wyjął lupę i miarkę i zaczął szybko się przemieszczać na kolanach po pokoju, mierząc, porównując i badając, ze swym długim chudym nosem zaledwie kilka cali od podłogowych desek, a jego paciorkowate, błyszczące, głęboko osadzone oczy przypominały oczy drapieżnego ptaka. Ruchy mojego przyjaciela były szybkie, ciche i ukradkowe niczym u wytrenowanego psa myśliwskiego szukającego śladu; mimo woli nasunęła mi się myśl, jakim straszliwym byłby przestępcą, gdyby zwrócił swój spryt i energię przeciwko prawu, zamiast wykorzystywać je w jego obronie. Węsząc tak dookoła, Holmes ciągle mruczał do siebie pod nosem, aż wreszcie głośno zapiał z zachwytu.

– Z całą pewnością mamy szczęście – powiedział. – Teraz powinniśmy mieć już bardzo niewiele problemów. Numer Jeden miał pecha, że wdepnął w kreozot. Tutaj widać zarys konturów jego małej stopy, tuż przy tym śmierdzącym paskudztwie. Widzisz, pękła butla z kwasem, i trochę z niej wyciekło.

– I co z tego? – spytałem.

– Cóż, mamy go. To wszystko – rzekł Holmes. – Znam pewnego psa, który poszedłby za tym tropem aż na koniec świata. Skoro sfora potrafi wytropić śledzia ciągniętego na sznurku przez całe hrabstwo, to jak daleko specjalnie tresowany pies myśliwski może podążać za tak ostro cuchnącym śladem jak ten? To tak jak w regule trzech… Odpowiedź powinna dać nam… No proszę! Oto i akredytowani przedstawiciele prawa.

Z dołu dobiegły nas ciężkie kroki i gwar donośnych głosów, a drzwi w holu zamknęły się z głośnym trzaskiem.

– Zanim się tu pojawią – rzekł Holmes – połóż po prostu dłoń na ramieniu tego biedaka i na jego nodze. Co czujesz?

– Mięśnie są twarde niczym deska – odparłem.

– Właśnie. Są w stanie silnego skurczu, znacznie przekraczającego normalny *rigor mortis*. W połączeniu z tym grymasem na jego twarzy, tym hipokratesowym uśmiechem, czy też *risus sardonicus* (uśmiechem sardonicznym), jak nazywano go w dawnej literaturze, do jakich wniosków cię to prowadzi?

– Śmierć nastąpiła wskutek działania jakiegoś niezwykle silnego roślinnego alkaloidu – odparłem. – Jakiejś substancji zbliżonej do strychniny, która prowadzi do skurczu mięśni.

– Dokładnie to przyszło mi do głowy, gdy zobaczyłem skurczone mięśnie na jego twarzy. Gdy tylko dostaliśmy się do tego pokoju, od razu zacząłem szukać środków, za pomocą których trucizna wniknęła do jego organizmu. Jak widziałeś, odkryłem ten cierń, który został wbity lub wstrzelony z niewielką siłą w skórę głowy. Zauważ, że obszar, w który trafił, był zwrócony w stronę otworu w suficie, o ile człowiek ten siedział wyprostowany na swoim krześle. A teraz zbadaj ten cierń!

Ostrożnie wziąłem go do ręki i oświetliłem latarnią. Był długi, ostry i czarny. Zaostrzony koniec połyskiwał tak, jakby zaschła na nim jakaś substancja podobna do gumy. Jego tępy koniec został przycięty i zaokrąglony przy użyciu noża.

– Czy to kolec jakiejś rośliny rosnącej w Anglii? – spytał.

– Nie, z całą pewnością nie.

– Mając do dyspozycji wszystkie te dane, powinieneś dojść do jakichś wniosków. Ale oto oficjalni przedstawiciele prawa, więc pomocnicy mogą się już wycofać.

W chwili gdy to mówił, kroki, których odgłos się ciągle zbliżał, zabrzmiały głoś-niej w korytarzu, i do pokoju wkroczył potężnie zbudowany, tęgi mężczyzna w szarym garniturze. Miał czerwoną, nalaną twarz, a para jego małych, błyszczących oczu patrzyła bystro spomiędzy obwisłych fałd skóry. Tuż za nim szli inspektor w mundurze i wciąż roztrzęsiony Thaddeus Sholto.

– Co za sprawa! – zawołał przyciszonym chrapliwym głosem. – Ciekawa sprawa! Ale co to za ludzie? Ten dom wydaje się pełny niczym królicza nora.

– Sądzę, że pan mnie sobie przypomina, panie Athelney Jones – rzekł cicho Holmes.

– Ależ oczywiście! – wysapał. – Pan Sherlock Holmes, teoretyk. Nigdy nie zapomnę pańskiego wykładu o przyczynach, skutkach i logicznym rozumowaniu w odniesieniu do sprawy klejnotu Bishopgate. To prawda, wskazał nam pan właściwy trop. Teraz musi pan jednak przyznać, że stało się tak raczej za sprawą szczęścia niż wymyślonych wskazówek.

– To było po prostu wyjątkowo proste rozumowanie.

– No nie! Niechże pan da spokój! Nigdy nie powinien się pan wstydzić do czegoś przyznać. Ale co my tu mamy? Kiepska sprawa, kiepska sprawa! Poproszę o same fakty. Bez żadnych teorii. Jak to się szczęśliwie złożyło, że byłem akurat w Norwood! Zajmowałem się inną sprawą. Ta wiadomość dotarła do mnie na tutejszym posterunku. Jak pan sądzi, co było przyczyną śmierci?

– Och, nie jest to raczej sprawa, na temat której chciałbym snuć teorie – rzekł sucho Holmes.

– Nie, nie. Z drugiej strony trudno mi zaprzeczyć, że czasami trafia pan w sedno. O rany! Drzwi były zamknięte na klucz, jak rozumiem. I zniknęły klejnoty warte pół miliona! A co z oknem?

– Było zamknięte, ale na parapecie są ślady.

– No cóż, skoro okno było zamknięte, to te ślady mogą nie mieć nic wspólnego ze sprawą. Tak przynajmniej podpowiada zdrowy rozsądek. Ten człowiek mógł dostać jakiegoś ataku i umrzeć, ale z drugiej strony znikły przecież klejnoty. Ha! Mam teorię! Czasami w mojej głowie pojawiają się takie przebłyski. Proszę na chwilę wyjść na zewnątrz, sierżancie, pan też, panie Sholto. Pański przyjaciel może zostać. Sholto sam się przyznał, że ubiegłej nocy był ze swoim bratem. Brat zmarł na jakiś atak, a wtedy Thaddeus Sholto wyszedł stąd, zabierając ze sobą skarb. Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

– Po wyjściu brata nieboszczyk wstał i zamknął od wewnątrz drzwi na klucz?

– Hm… Tak, ta teoria ma pewną lukę, ale zastosujmy w tej sprawie zdrowy rozsądek. Ten Thaddeus Sholto był u swojego brata, doszło do kłótni – tyle wiemy. Teraz jego brat jest martwy, a klejnoty zniknęły. To też wiemy. Nikt nie widział Bartholomew, od czasu, gdy Thaddeus od niego wyszedł. W łóżku nikt nie spał. Thaddeus jest oczywiście potwornie zmartwiony i przerażony. Wygląda… cóż, niezbyt atrakcyjnie. Jak pan widzi, zarzuciłem na Thaddeusa sieć i już prawie go złowiłem.

– Nie poznał pan jeszcze wszystkich faktów – rzekł Holmes. – Mam wszelkie powody sądzić, że ta drewniana drzazga wbita w skórę na głowie mężczyzny była zatruta; wciąż jeszcze widać po niej ślad. Na stole leżała ta oto kartka, a obok niej dość dziwny instrument z kamienną główką. Jak to wszystko pasuje do pańskiej teorii?

– Potwierdza ją pod każdym względem! – odparł nadętym tonem gruby detektyw. – W tym domu pełno jest różnych ciekawostek z Indii. Thaddeus to wszystko wymyślił, a jeśli ta drzazga rzeczywiście jest zatruta, mógł jej użyć do zamordowania brata równie dobrze jak każdy inny człowiek. Ta kartka to jakieś hokus-pokus. Zapewne po to, by zmylić policję. Pozostaje tylko pytanie, jak stąd wyszedł? Ach, oczywiście. Tu mamy otwór w dachu.

Z niezwykłą energią, biorąc pod uwagę jego ogromne gabaryty, wspiął się po drabince i przecisnął na strych, a chwilę później usłyszeliśmy jego tryumfujący głos, który oświadczył, że właśnie znalazł klapę.

– Potrafi jednak coś znaleźć – powiedział Homes, wzruszając ramionami. – Zdarzają mu się przebłyski zdrowego rozsądku. *Il n’y a pas des sots si incommodes que ceux qui ont de l’esprit.*

– No i widzi pan! – zawołał Athelney Jones, schodząc na dół po schodkach. – Bądź co bądź fakty są lepsze niż jakiekolwiek teorie. Potwierdził się mój pogląd na tę sprawę. Tam na górze jest klapa prowadząca na dach, częściowo otwarta.

– To ja ją otworzyłem.

– Och, doprawdy? A więc zauważył ją pan? – mężczyzna sprawiał wrażenie nieco zawiedzionego tym odkryciem. – Cóż, nie ma znaczenia, kto ją dostrzegł, świadczy to o tym, w jaki sposób nasz dżentelmen się stąd wydostał. Inspektorze!

– Tak, sir! – dobiegło z korytarza.

– Proszę powiedzieć panu Sholto, żeby tu przyszedł. Panie Sholto, mam obowiązek poinformować pana, że wszystko, co pan powie, może być użyte przeciwko panu. Aresztuję pana w imieniu królowej za udział w zamordowaniu pańskiego brata.

– No i proszę! Nie mówiłem wam?! – zawołał nieszczęsny mały człowieczek, wyrzucając w górę ręce i spoglądając to na Holmesa, to na mnie.

– Niech się pan tym nie przejmuje, panie Sholto – rzekł Holmes. – Sądzę, że mogę się podjąć uwolnienia pana od wszelkich zarzutów.

– Proszę za wiele nie obiecywać, panie teoretyku! Proszę nie obiecywać! – warknął detektyw. – To może być trudniejsze zadanie, niż pan sądzi.

– Nie tylko uwolnię go od zarzutów, panie Jones, ale dam panu w prezencie nazwisko i opis jednego z dwóch ludzi, którzy byli ubiegłej nocy w tym pomieszczeniu. Mam wszelkie powody, by sądzić, że człowiek ten nazywa się Jonathan Small. Jest niski, wysportowany, słabo wykształcony; nie ma prawej nogi, a zamiast niej nosi drewnianą protezę, startą od wewnętrznej strony. Jego lewy but ma grubą zelówkę z kwadratowym noskiem i żelazną podkówkę na pięcie. To człowiek w średnim wieku, dość opalony; w przeszłości był skazany. Mam nadzieję, że tych kilka wskazówek pomoże panu. Aha, z prawej dłoni zdarł sobie skórę. Ten drugi natomiast…

– Drugi? – spytał kpiącym tonem Athelney Jones, niemniej jednak, jak wyraźnie widziałem, szczegółowy opis podany przez Holmesa wywarł na nim wrażenie.

– To dość ciekawa postać – rzekł Sherlock Holmes, odwracając się na pięcie. – Mam nadzieję, że już wkrótce będę mógł przedstawić panu obu tych ludzi. Chciałbym zamienić z tobą słowo, Watsonie.

Wyprowadził mnie na zewnątrz, do szczytu schodów.

– To nieoczekiwane wydarzenie – zaczął – sprawiło, że chyba straciliśmy z oczu pierwotny cel naszej wyprawy.

– Właśnie o tym myślałem – odparłem. – To nie w porządku, żeby panna Morstan nadal musiała pozostawać w tym mrocznym miejscu.

– Masz rację. Powinieneś ją odwieźć do domu. Mieszka u pani Cecil Forrester w Lower Camberwell, a więc niezbyt daleko stąd. Jeśli potem będziesz miał ochotę tu wrócić, poczekam na ciebie. Ale może jesteś zbyt zmęczony?

– Nic podobnego! Sądzę, że nie zasnąłbym, gdybym się nie dowiedział więcej na temat tej pasjonującej sprawy. Poznałem życie od jego gorszej strony, ale daję słowo, że te przedziwne wydarzenia, jakie miały miejsce dzisiejszej nocy, całkowicie zszargały mi nerwy. Jednakże, skoro zaszedłem już tak daleko, chciałbym dopilnować tej sprawy razem z tobą.

– Twoja obecność ogromnie mi się przyda – odpowiedział mój przyjaciel. – Sami rozpracujemy tę sprawę i zostawimy tego Jonesa, żeby podniecał się swoimi bezwartościowymi wymysłami. Kiedy już odwieziesz pannę Morstan, chciałbym, abyś się udał na Pinchin Lane pod numer 3, blisko

brzegu rzeki, w Lambeth. Trzeci dom po prawej stronie należy do człowieka zajmującego się wypychaniem ptaków. Nazywa się Sherman. W jego oknie zobaczysz łasicę trzymającą młodego królika. Zapukaj do starego Shermana, przekaż mu moje pozdrowienia i powiedz, że natychmiast potrzebuję Toby'ego. Przywieziesz mi tutaj Toby'ego dorożką.

– To, jak przypuszczam, jakiś pies?

– Tak, dziwaczny kundel z doprawdy zdumiewającym zmysłem powonienia. Wolę skorzystać z pomocy Toby'ego niż wszystkich policyjnych detektywów z Londynu razem wziętych.

– W takim razie przywiozę ci go – rzekłem. – Teraz jest pierwsza, tak więc jeśli dostanę świeżego konia, powinienem wrócić przed trzecią.

– A ja – odparł Holmes – zobaczę, czego mogę się dowiedzieć od pani Bernstone i od tego hinduskiego służącego, który, jak powiedział mi pan Thaddeus, sypia na poddaszu w pokoju obok. Potem zajmę się studiowaniem wspaniałych metod pana Jonesa i posłucham jego niezbyt subtelnych, sarkastycznych uwag. *Wir sind gewohnt dass die Menschen verhöhnen was sie nicht verstehen*.

– Goethe zawsze trafia w samo sedno.

Rozdział siódmy

Epizod z beczką

Na ulicy wciąż stała dorożka, którą przyjechali tu policjanci, skorzystałem więc z niej, by odwieźć pannę Morstan do domu. Jak każda prawdziwa kobieta anioł, spokojnie znosiła niedogodności, dopóki mogła pomóc komuś słabszemu od siebie, znalazłem ją więc promienną i spokojną u boku przerażonej gospodyni. Niestety przygody tej nocy tak bardzo nadszarpnęły jej nerwy, że w dorożce najpierw zemdlała, a potem wybuchnęła gwałtownym płaczem. Mówiła mi później, że podczas tej podróży odniosła wrażenie, iż jestem chłodnym i pełnym rezerwy człowiekiem. Nie potrafiła przejrzeć tej wewnętrznej walki, jaką ze sobą toczyłem. W istocie bowiem z wielkim trudem panowałem nad sobą, by nie wyrzucić z siebie tego, co czułem. Pociągały mnie ku niej sympatia i miłość, uczucia, które kazały mi wyciągnąć do niej rękę w ogrodzie. Byłem przekonany, że nawet wiele lat zwykłego, powszedniego życia nie pozwoliłoby mi tak dobrze poznać tej słodkiej i dzielnej kobiety jak ta jedna, przepełniona dziwnymi wydarzeniami noc. W mojej głowie kołatały się jednak dwie myśli, które nie dawały mi wyrazić swoich uczuć. Panna Morstan była słaba i bezbronna, a jej umysł i nerwy zostały mocno nadszarpnięte. Gdybym w takim momencie narzucał się jej ze swoją miłością, byłoby to wykorzystywaniem sytuacji. Poza tym – co gorsza – była bogata! Jeśli dociekania Holmesa zakończą się sukcesem, zostanie zamożną dziedziczką. Czy byłoby honorowym, gdyby otrzymujący pół pensji lekarz wykorzystał w ten sposób bliskość, która pojawiła się pomiędzy nami pod wpływem przypadku? Czyż nie wydałbym jej się pospolitym łowcą posagów? Nie potrafiłem znieść myśli, że coś takiego mogłoby jej przyjść do głowy. Ten skarb z Agry stanął wówczas pomiędzy nami niczym bariera nie do pokonania.

Gdy dojechaliśmy do domu pani Cecil Forrester, była już prawie druga w nocy. Służący udali się na spoczynek wiele godzin temu, jednak sama pani Forrester była tak zaciekawiona tą dziwną wiadomością, którą otrzymała panna Morstan, że wciąż jeszcze nie spała, czekając na jej powrót. Sama otworzyła nam drzwi. Była pełną wdzięku kobietą w średnim wieku i z radością dostrzegłem, jak czule jej ramię oplotło talię mojej towarzyszki i jakim matczynym tonem ją powitała. Najwyraźniej panna Morstan nie była tutaj postrzegana wyłącznie jako pracownica, widziano w niej również przyjaciółkę. Przedstawiono mnie pani Forrester, która zaprosiła mnie do środka i poprosiła, bym opowiedział jej o naszych przygodach. Wytłumaczyłem jednak, jak ważne zadanie właśnie wypełniam, oraz solennie obiecałem, że przyjadę później i wtedy opowiem o wszelkich postępach, jakie poczyniliśmy w tej sprawie. Gdy miałem już odjeżdżać, ukradkiem spojrzałem za siebie. Wciąż jeszcze mam przed oczyma ten uroczy obraz dwóch kobiet stojących na schodach: pełne wdzięku obejmujące się postacie, na wpół uchylone drzwi, światło z korytarza przeświturające przez witraż, barometr na ścianie i jasna balustrada schodów. Teraz, gdy pochłonęła nas ta okropna mroczna przygoda, widok spokojnego angielskiego domu, który zobaczyłem w przelocie, podziałał na mnie bardzo kojąco.

Im więcej o tym wszystkim myślałem, tym bardziej przerażająca i zagadkowa wydawała się cała ta historia. Siedząc w turkoczącej dorożce i jadąc przez ciche, oświetlone gazowymi latarniami ulice, przypominałem sobie cały ten niezwykły ciąg wydarzeń. Na samym początku mieliśmy problem , ale w tej chwili, jak się wydaje, sprawa się wyjaśniła. Śmierć kapitana Morstana, przysyłanie pereł, ogłoszenie, list – na wszystko udało nam się już rzucić nieco światła. Doprowadziło nas to jednak do głębszej i o wiele bardziej tragicznej tajemnicy. Indyjski skarb, dziwny plan znaleziony w bagażu Morstana, niezwykła scena, jaka się rozegrała, gdy umierał major Sholto, ponowne odkrycie skarbu, po którym natychmiast nastąpiła śmierć tego, który go odnalazł, bardzo osobliwe okoliczności towarzyszące zbrodni, ślady stóp, egzotyczna broń, słowa na kartce pasujące do tych, jakie zapisano na planie kapitana Morstana – z całą pewnością był to prawdziwy labirynt, w którym człowiek nie obdarzony takimi zdolnościami jak mój przyjaciel mógłby stracić jakąkolwiek nadzieję na odnalezienie wyjścia.

Pinchin Lane była obskurną uliczką, otoczoną piętrowymi ceglanymi domami, położoną w dolnej części Lambeth. Przez jakiś czas musiałem się dobijać do drzwi pod numerem 3, nim wreszcie ktoś na to zareagował. W końcu dostrzegłem za zasłoną blask świecy, i z okna na górze wyjrzał jakiś człowiek.

– Idź stąd, ty zapity włóczęgo! – krzyknął. – Jak dalej będziesz się tak awanturować, otworzę psiarnię i wypuszczę na ciebie moje czterdzieści trzy psy!

– Jeśli wypuści pan jednego, zrobi pan dokładnie to, po co tu przybyłem – odparłem.

– No dalej! – wrzasnął. – Słowo daję, mam tutaj pod ręką brudną ścierę i zaraz rzucę ci ją na głowę, jeśli się stąd nie zabierzesz!

– Ale ja chciałbym psa! – zawołałem.

– Nie drażnij mnie! – wrzasnął pan Sherman. – A teraz zjeżdżaj stąd, bo jak doliczę do trzech, rzucam szmatą.

– Pan Sherlock Holmes… – zacząłem, lecz słowa te wywarły niemal magiczne wrażenie, bo okno natychmiast się zatrzasnęło, a minutę później odsunięto rygle, i drzwi się otworzyły. Pan Sherman był wysokim, chudym, starszym mężczyzną; miał pochylone ramiona, żylastą szyję i niebieskawe okulary na nosie.

– Przyjaciel pana Sherlocka Holmesa jest tu zawsze mile widziany! – rzekł. – Proszę wejść, sir. Ale niech się pan nie zbliża do borsuka, bo gryzie. Niegrzeczny jesteś, niegrzeczny. Ugryzłbyś tego dżentelmena? – te ostatnie słowa skierowane były do gronostaja, którego głowa z czerwonymi oczkami wysuwała się spomiędzy prętów klatki. – Niech się pan tym wężem nie przejmuje, sir, to tylko padalec. Nie ma zębów jadowych, więc może pełzać sobie swobodnie po pokoju, bo zżera tu wszystkie chrząszcze. Niech pan nie będzie na mnie zły za to, że trochę obcesowo się z nim na początku obszedłem, ale dzieciaki mi strasznie dokuczają. Wiele z nich włóczy się tą uliczką i wali w moje drzwi. Czego takiego życzy sobie pan Sherlock Holmes, sir?

– Chciałby pożyczyć pańskiego psa.

– Aha! Pewnie chodzi mu o Toby’ego?

– Tak, tak go nazywał.

– Toby jest pod numerem 7 po lewej.

Poruszał się powoli naprzód ze świecą w ręku, stąpając ostrożnie wśród przedziwnej zbieraniny zwierząt, jaką wokół siebie zgromadził. W niepewnym, przyćmionym świetle widziałem błyszczące ślepia, spoglądające na nas ze wszystkich zakamarków. Nawet na krokwiach nad nami siedziały rzędem jakieś ponure ptaki, leniwie przenosząc ciężar ciała z jednej łapy na drugą, najwyraźniej nasze głosy zakłóciły im sen.

Toby okazał się brzydkim, długowłosym, kłapouchym stworzeniem, w połowie spanielem, w jednej czwartej chartem, a w jednej czwartej owczarkiem szkockim. Miał brązowo-białe umaszczenie i poruszał się bardzo niezgrabnie, kiwając się niczym kaczka. Po chwili wahania przyjął ode mnie bryłkę cukru podaną mi przez starego przyrodnika i, gdy już przypieczętowaliśmy w ten sposób nasze przymierze, poszedł ze mną do dorożki, nie sprawiając kłopotu. Zegar na pałacu wybił właśnie trzecią, gdy ponownie znalazłem się w Pondicherry Lodge. Na miejscu dowiedziałem się, że były bokser McMurdo został aresztowany za współudział w morderstwie i wraz z panem Sholto przewieziony na posterunek. Wąskiej bramy pilnowało dwóch konstabli, jednak gdy wymieniłem nazwisko detektywa, pozwolili mi przejść razem z psem.

Holmes stał na progu z rękami w kieszeniach, pykając swoją fajkę.

– Ach, masz go! – powiedział. – Dobry piesek! Athelney Jones już sobie pojechał. Odkąd wyszedłeś, mieliśmy tutaj niesamowity pokaz energicznych działań. Aresztował nie tylko naszego przyjaciela Thaddeusa, lecz również odźwiernego, gospodynię i hinduskiego służącego. Gdyby nie sierżant na górze, cały dom byłby do naszej wyłącznej dyspozycji. Zostaw tu psa i chodź ze mną na górę.

Przywiązaliśmy Toby’ego do stolika w korytarzu i wspięliśmy się po schodach. Pokój był w takim stanie, w jakim go zostawilismy, tylko ciało pośrodku przykryto prześcieradłem. W kącie siedział, oparty o ścianę, sierżant policji; wyglądał na zmęczonego.

– Proszę mi pożyczyć swoją latarkę, sierżancie – zwrócił się do niego mój towarzysz. – Teraz proszę przywiązać ją do tego sznurka na mojej szyi tak, żeby zwisała mi na piersi. Dziękuję. Teraz muszę zdjąć buty i skarpety. Zabierz je na dół, Watsonie. Zamierzam poćwiczyć trochę wspinaczkę. I zamocz moją chustkę do nosa w kreozocie. Tak wystarczy. A teraz, proszę cię, chodź ze mną na chwilę na strych.

Przecisnęliśmy się na górę przez otwór w suficie. Holmes oświetlił latarką ślady stóp odciśnięte w kurzu.

– Chciałbym, żebyś zwrócił szczególną uwagę na te ślady – powiedział. – Czy dostrzegasz w nich coś godnego uwagi?

– Pozostawiło je dziecko lub jakaś drobna kobieta – powiedziałem.

– A czy poza ich rozmiarem zauważyłeś coś jeszcze?

– Wydaje mi się, że niczym się nie różnią od innych śladów stóp.

– Nic podobnego, spójrz tutaj! To jest ślad prawej stopy odciśnięty w kurzu. Teraz odcisnę obok niego ślad mojej nagiej stopy. Na czym polega podstawowa różnica?

– Twoje palce są bardzo blisko siebie. W tym drugim odcisku każdy palec jest w pewnej odległości od pozostałych.

– Tak, o to właśnie chodzi. Zapamiętaj sobie! Czy mógłbyś teraz, z łaski swojej, podejść do tego uchylonego okna i powąchać krawędź drewnianej ramy? Ja zostanę tutaj, gdzie jestem, i będę trzymać w dłoni swoją chustkę do nosa.

Zrobiłem tak, jak mi polecił, i natychmiast poczułem intensywny smolisty zapach.

– To tam postawił stopę, gdy wydostawał się na zewnątrz. Jeśli ty jesteś w stanie go wyczuć, to sądzę, że Toby nie będzie miał z tym żadnych problemów. A teraz zbiegnij na dół i spuść psa. I uważaj na głowę.

Nim zdążyłem wyjść na teren posesji, Sherlock Holmes był już na dachu. Gdy tak powoli czołgał się po samym szczycie domu, wyglądał niczym ogromny świetlik. Znikł mi z oczu za szeregiem kominów, zaraz jednak pojawił się ponownie, a potem znowu skrył się po drugiej stronie. Gdy obszedłem dom, zobaczyłem, że siedzi na jednym z narożnych okapów.

– To ty, Watsonie?! – zawołał.

– Tak.

– To jest to miejsce. Co to jest, ten czarny przedmiot, tam w dole?

– Beczka z wodą.

– Jest na niej dekiel?

– Tak.

– Żadnych śladów drabiny?

– Żadnych.

– A niech go diabli! Wyjątkowo łatwo skręcić sobie tutaj kark. Powinno mi się udać jakoś zejść na dół tą samą drogą, którą on się wspinał. Ta rynna

wydaje się dość solidna. No dobrze, tak czy inaczej, schodzę!

Usłyszałem szuranie stóp o rynnę, i latarnia zaczęła powoli opuszczać się po boku ściany. W końcu, po skoku z niewielkiej wysokości, mój przyjaciel wylądował na beczce i zeskoczył z niej na ziemię.

– Łatwo było iść po jego śladach – powiedział, zakładając skarpety i buty. Dachówki były obluzowane na całej drodze, którą przeszedł. Tak się śpieszył, że aż coś upuścił. Potwierdza to moją diagnozę, jakbyście powiedzieli wy, lekarze.

Pokazał mi przedmiot, który znalazł; była to niewielka kieszonka czy torebka, utkana z barwionych źdźbeł trawy, z kilkoma naszytymi tandetnymi paciorkami. Kształtem i rozmiarem przypominała papierośnicę. Wewnątrz znajdowało się sześć kolców z ciemnego drzewa, zaostrzonych z jednego końca, a zaokrąglonych z drugiego, takich samych jak ten, który ugodził Bartholomew Sholto.

– Straszne są – powiedział. – Uważaj, żebyś się nie ukłuł. Bardzo się cieszę, że je znalazłem, bo istnieje spora szansa, iż to jedyne, jakie posiadał. Dzięki temu maleje prawdopodobieństwo, że coś podobnego wkrótce utknie w mojej czy twojej skórze. Już wolałbym być trafiony pociskiem dum-dum. Masz ochotę na sześciomilową wędrówkę, Watsonie?

– Jak najbardziej – odparłem.

– Twoja noga to wytrzyma?

– Bez problemu.

– Tutaj jesteś, piesku! Dobry stary Toby! Powąchaj to, Toby! No, wąchaj!

Podsunął psu pod nos chustkę nasączoną kreozotem, a zwierzę stanęło na swych włochatych, szeroko rozstawionych nogach i przekomicznie odchyliło głowę niczym koneser wąchający bukiet wyśmienitego wina. Następnie Holmes odrzucił daleko chustkę, przymocował solidny sznur do obroży kundla i podprowadził go do beczki z wodą. Pies natychmiast wydał z siebie kilka wysokich ostrych dźwięków, a następnie z nosem przy ziemi i ogonem uniesionym wysoko w górę ruszył tropem w takim tempie, że jego smycz natychmiast się naprężyła, my zaś musieliśmy niemal biec, by dotrzymać mu kroku.

Niebo na wschodzie zaczynało się już powoli rozjaśniać, i teraz, w zimnym szarym świetle poranka mogliśmy już cokolwiek dostrzec. Z tyłu za nami górował masywny kwadratowy dom, którego ciemne, puste okna i wysokie, nagie ściany sprawiały, że wyglądał na smutny

i opuszczony. Nasza droga wiodła na przełaj przez posesję, wijąc się wśród rowów i wykopów, którymi był pobrużdżony i poprzecinany jej obszar. Całe to miejsce z porozrzucanymi hałdami ziemi i chorowitymi krzewami wyglądało ponuro i groźnie, jakby podkreślając tę straszną tragedię, która się tutaj rozegrała.

Gdy dotarliśmy do granicy posesji, Toby, głośno skomląc, rzucił się biegiem wzdłuż muru skryty w jego cieniu. Wreszcie zatrzymał się w narożniku pod młodym bukiem. W miejscu, gdzie łączyły się ze sobą dwie ściany muru, kilka cegieł obluzowano. W ten sposób cegły i pogłębione szczeliny między nimi tworzyły rodzaj drabiny. Holmes wspiął się na górę, odebrał ode mnie psa i upuścił go na ziemię po drugiej stronie.

– Tu jest odcisk dłoni człowieka z drewnianą nogą – powiedział, gdy ja również wspiąłem się na górę. – Zwróć uwagę na tę małą smużkę krwi na białym tynku. Mieliśmy szczęście, że od wczoraj zbyt mocno nie padało! Pies na pewno znajdzie trop, mimo że uciekinierzy mają nad nami dwadzieścia osiem godzin przewagi.

Muszę przyznać, że gdy pomyślałem o tym, jaki ruch panował na drodze do Londynu, w mojej głowie pojawiły się pewne wątpliwości. Szybko jednak przekonałem się, że obawy były bezpodstawne. Toby ani razu się nie zawahał, ani nie przystanął, lecz dalej brnął naprzód tym swoim charakterystycznym kaczym chodem. Widocznie ostra woń kreozotu dominowała nad innymi zapachami.

– Nie myśl sobie – rzekł Holmes – że moje powodzenie w rozwiązaniu tej sprawy zależy wyłącznie od czystego przypadku, jakim był fakt, że jeden z tych ludzi wdepnął w związek chemiczny o bardzo specyficznym zapachu. W tej chwili posiadam wiedzę, która pozwoliłaby mi ich wyśledzić na wiele różnych sposobów, ten jednak jest najłatwiejszy, i skoro już los dał nam go do rąk, bylibyśmy głupcami, gdybyśmy z niego nie skorzystali. Ale przez to cała ta sprawa przestaje być wspaniałą intelektualną zagadką, jaką się jeszcze niedawno wydawała. Gdyby nie ten aż nazbyt namacalny ślad, rozwiązując ją, moglibyśmy przejść do historii kryminalistyki.

– I tak się zasłużymy, i to bardzo – odparłem. – Zapewniam cię, Holmesie, że zdumiewają mnie metody, jakimi się posługujesz w tej sprawie, i to w stopniu jeszcze bardziej widocznym niż w sprawie Jeffersona Hope’a. To wszystko wydaje mi się coraz bardziej zawiłe

i niewytłumaczalne. Jak na przykład udało ci się tak precyzyjnie opisać człowieka z drewnianą nogą?

– Ech, mój drogi! To było banalnie proste. Dwóch oficerów dowodzących obozem dla skazańców poznaje ważny sekret zakopanego skarbu. Anglik o nazwisku Jonathan Small sporządza dla nich mapę. Jak pamiętasz, widzieliśmy jego nazwisko na planie, który należał do kapitana Morstana. Podpisał ją w imieniu swoim i swoich wspólników. To był ten „znak czterech", jak to nieco dramatycznie nazwał. Wspomagając się tą mapą, oficerowie, albo jeden z nich, wchodzą w posiadanie skarbu i sprowadzają go do Anglii. Załóżmy jednak, że jeden warunek, dzięki któremu mogli to zrobić, nie został spełniony. No i pozostaje jeszcze pytanie, dlaczego Jonathan Small sam nie zabrał swego skarbu? Odpowiedź na to jest oczywista. Data na planie wskazuje, że sporządzono go w czasach, gdy Morstan miał ścisły kontakt z więźniami. Jonathan Small nie mógł zabrać tego skarbu, ponieważ on i jego wspólnicy sami byli skazańcami i nie mogli się wydostać na wolność.

– Ale to czyste spekulacje – powiedziałem.

– Nie, to coś więcej. To jedyna hipoteza, która wyjaśnia wszystkie fakty. A teraz zobaczmy, jak do tego pasują późniejsze wydarzenia. Major Sholto żyje przez parę lat spokojnie i szczęśliwie ze swoim skarbem. Później dostaje list z Indii i od tej chwili jest potwornie przerażony. Co mogło być w tym piśmie?

– Pisano w nim, że ludzie, których skrzywdził, wyszli na wolność.

– Albo że zbiegli. To drugie jest o wiele bardziej prawdopodobne, ponieważ na pewno wiedział, jak wysokie mieli wyroki. Gdyby ich wypuszczono, nie byłoby to dla niego zaskoczeniem. I co wówczas robi? Próbuje się schronić przed człowiekiem z drewnianą nogą. Zwróć uwagę: przed białym człowiekiem, bo myli z nim białego handlarza i nawet strzela do niego z pistoletu. Na tym planie znajduje się nazwisko tylko jednego białego. Pozostali to Hindusi i muzułmanie. Nie ma wśród nich innych białych ludzi. Dlatego możemy powiedzieć z całą pewnością, że człowiek z drewnianą nogą to właśnie Jonathan Small. Czy to rozumowanie wydaje ci się błędne?

– Wręcz przeciwnie. Jest zwięzłe i przejrzyste.

– No cóż, teraz postawmy się na miejscu tego Jonathana Smalla. Spójrzmy na to wszystko z jego punktu widzenia. Wraca do Anglii

z zamiarem odzyskania tego, do czego, jak uważa, ma prawo, oraz z myślą o zemście na człowieku, który go skrzywdził. Dowiaduje się, gdzie zamieszkał Sholto, i bardzo możliwe, że działa w porozumieniu z kimś mieszkającym w jego domu. Mamy tego kamerdynera, Lala Rao, którego jeszcze nie spotkaliśmy. Ze słów pani Bernstone wynika, że nie jest to zbyt uczciwy człowiek. Small nie może się dowiedzieć, gdzie ukryto skarb, ponieważ tego nie wie nikt z wyjątkiem samego majora i jednego wiernego służącego, który wcześniej umiera. Nagle jednak Small się dowiaduje, że major leży na łożu śmierci. Obawiając się, że tajemnica skarbu umrze wraz z nim, Small wpada w szał i przemyka się między ludźmi pilnującymi posesji pod okno umierającego. Nie wchodzi do środka tylko dlatego, że powstrzymuje go przed tym obecność dwóch synów Sholto. Jednakże, oszalały z nienawiści, jeszcze tej samej nocy dostaje się do pokoju i przeszukuje prywatne dokumenty nieboszczyka w nadziei znalezienia jakichś zapisków dotyczących skarbu, a ślad swojej wizyty pozostawia w postaci krótkiej notatki na kartce. Z całą pewnością zaplanował to wcześniej, i gdyby zabił majora, zostawiłby na ciele taki sam znak, mający świadczyć o tym, że nie było to jakieś pospolite morderstwo lecz, co zrozumiałe dla owych czterech wspólników, coś w rodzaju aktu sprawiedliwości. Kapryśne i dziwaczne fanaberie tego rodzaju są dość powszechne w kronikach zbrodni i zazwyczaj dostarczają cennych wskazówek dotyczących przestępcy. Nadążasz za tym wszystkim?

– Bez problemu.

– Co więc może teraz zrobić Jonathan Small? Może tylko potajemnie śledzić domowników i ich wysiłki, aby odnaleźć skarb. Prawdopodobnie wyjeżdżał z Anglii i co jakiś czas tu wracał. Później odkryto to tajemne miejsce na strychu. Small dowiaduje się o tym. Tutaj znów potwierdzenie tego, że ktoś w domu jest jego wspólnikiem. Jonathan ze swoją drewnianą nogą nie byłby w stanie dotrzeć do pokoju Bartholomew Sholto, położonego wysoko na górze. Bierze więc ze sobą dziwacznego sprzymierzeńca, który pokonuję tę przeszkodę, jednak przy okazji wdeptuje nagą stopą w kreozot. I w tym właśnie miejscu na scenę wkracza Toby, a żyjącego za pół pensji byłego oficera z uszkodzonym *tendo Achillis* czeka sześciomilowa wycieczka.

– Ale to ten wspólnik, a nie Jonathan popełnił zbrodnię.

– W rzeczy samej. I Jonathan był z tego raczej niezadowolony, sądząc po sposobie, w jaki się poruszał, gdy już dostał się do pokoju. Nie żywił żadnej urazy do Bartholomew Sholto i wolałby po prostu go związać i zakneblować. Nie miał ochoty pchać się na szubienicę. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Jego towarzyszem owładnęły dzikie instynkty, a trucizna zrobiła swoje. Tak więc Jonathan Small pozostawił notatkę, opuścił na dół szkatułę ze skarbem i sam zszedł tą samą drogą. Taki był właśnie przebieg wydarzeń, przynajmniej ja je tak odczytuję. Oczywiście, jeśli chodzi o jego wygląd, musi być w średnim wieku i bardzo opalony po pobycie w takim piecu, jakim są Andamany. Jego wzrost można łatwo obliczyć z długości jego kroków, wiemy poza tym, że miał brodę. To, jak bardzo był zarośnięty, było jedyną rzeczą, która rzuciła się w oczy Thaddeusowi Sholto, gdy ujrzał tego człowieka w oknie. To już chyba wszystkie fakty, jakie znamy.

– A ten jego wspólnik?

– Och, cóż… Nie jest to żadna wielka tajemnica. Wkrótce wszystkiego się o nim dowiesz. Jakie słodkie i przyjemne jest poranne powietrze! Spójrz na ten niewielki obłoczek, który płynie po niebie niczym różowe pióro jakiegoś gigantycznego flaminga. A teraz czerwony rąbek słońca przebija się ponad ławicami chmur nad Londynem. Oświetla sporą rzeszę ludzi, ale założę się, że nikogo takiego, kto wypełniałby dziwniejsze zadanie niż ty i ja. Jakże mali się czujemy, z naszymi ambicjami i dążeniami, wobec potężnych pierwotnych sił natury! Daleko już zaszedłeś z lekturą Jean Paula?

– Dość daleko. Powróciłem do niego poprzez Carlyle’a.

– To było niczym śledzenie potoczku wpływającego do jeziora. Wygłasza jedną osobliwą, lecz głęboką uwagę. Chodzi mi o to, że głównym dowodem prawdziwej wielkości człowieka jest postrzeganie jego własnej małości. Rozumiesz? Wskazuje to na zdolność dokonywania porównań i możność doceniania różnych rzeczy, co samo w sobie jest dowodem szlachetności. U Richtera też można znaleźć wiele pożywki dla umysłu. Nie masz ze sobą pistoletu, prawda?

– Mam swoją laskę.

– Możliwe, że przyda nam się coś takiego, gdy dostaniemy się do ich siedziby. Jonathana pozostawię tobie, ale jeśli ten drugi okaże się paskudny, będę musiał go zastrzelić.

Mówiąc to, wyjął rewolwer, i załadowawszy go, ponownie wsunął go do prawej kieszeni kurtki.

Rozmawiając w ten sposób, podążaliśmy za Toby'm przez na wpół wiejskie drogi z willami po obu stronach, prowadzące do metropolii. Wkrótce dotarliśmy do zabudowanych ulic, którymi szli do pracy robotnicy i pracownicy z doków, zaś niechlujnie wyglądające kobiety odsłaniały okiennice i zamiatały progi swych domów. W narożnych pubach zaczynał się już ruch; wyłaniali się stamtąd surowi mężczyźni, wycierając rękawami brody po pierwszym porannym trunku. Po ulicach włóczyły się bezdomne psy, obrzucając nas zdziwionym spojrzeniem, kiedy przechodziliśmy obok. Jednak nasz niezrównany Toby, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo, truchtał przed siebie z nosem tuż przy ziemi, od czasu do czasu skomląc z zapałem, co znaczyło, że już wyczuł świeży trop.

Przeszliśmy Streatham, Brixton, Camberwell i znaleźliśmy się w Kennington Lane, zostawiwszy za sobą boczne uliczki na wschód od Oval. Wyglądało na to, że mężczyźni, których śledziliśmy, poruszali się zygzakiem, prawdopodobnie mając nadzieję, że nikt ich nie zauważy. Nigdy nie trzymali się głównej drogi, o ile tylko mogli się poruszać równoległą do niej dróżką boczną. Na początku Kennington Lane skręcili w lewo, przeszli przez Bond Street i Miles Street. W miejscu, gdzie ta druga skręca w Knight's Place, Toby przestał przeć naprzód i zaczął kręcić się tam i z powrotem, z jednym uchem postawionym na sztorc, a drugim oklapniętym, niczym prawdziwe ucieleśnienie niezdecydowanego psa. Następnie zaczął zataczać kręgi tym swoim kaczym krokiem, od czasu do czasu zerkając na nas, jakby szukając u nas współczucia z powodu tej żenującej dla niego sytuacji.

– Co, u diabła, dzieje się z tym psem? – mruknął Holmes. – Z całą pewnością nie wzięliby dorożki. Balonem też przecież nie odlecieli.

– Może stali tu przez jakiś czas – zasugerowałem.

– Ach, wszystko w porządku. Znowu rusza – rzekł mój towarzysz z ulgą w głosie.

Pies rzeczywiście ponownie ruszył się z miejsca. Wyglądało na to, że wreszcie się zdecydował, bo wystrzelił naprzód z energią i determinacją, jakiej jeszcze dotychczas nie wykazywał. Ślad stał się chyba jeszcze wyraźniejszy, i Toby nie musiał już nawet zbliżać nosa do ziemi, lecz ciągnął smycz z całej siły, próbując gnać przed nami. Po błyszczących

oczach Holmesa widziałem, że był przekonany, iż zbliżamy się do końca naszej podróży.

Nasza droga prowadziła przez Nine Elms. Dotarliśmy nią do dużego tartaku „Broderick and Nelson’s”, tuż za tawerną Biały Orzeł. Tutaj pies, oszalały z podniecenia, ruszył w boczną bramę prowadzącą na podwórze, gdzie pracowali już tracze. Rzucił się naprzód w wąskie przejście, ciągnąc nas przez pył i trociny, skręcił raz jeszcze, przebiegł pomiędzy dwiema stertami drewna, a wreszcie z tryumfalnym skomleniem wskoczył na wielką beczkę stojącą na wózku, którym ją tu przywieziono. Z wywieszonym językiem, mrugając oczyma, Toby stał na niej, spoglądając to na mnie, to na Holmesa, najwyraźniej oczekując jakichś wyrazów uznania. Beczka i koła wózka usmarowane były ciemną cieczą, a w powietrzu unosił się ciężki zapach kreozotu.

Sherlock Holmes i ja spojrzeliśmy po sobie w osłupieniu, w następnej chwili, obaj równocześnie, wybuchliśmy niepohamowanym śmiechem.

Rozdział ósmy

Chłopcy z Baker Street

– I co teraz? – spytałem. – Toby stracił właśnie reputację niezawodnego psa.

– Robił to, co wydawało mu się słuszne – rzekł Holmes, zdejmując zwierzę z beczki i prowadząc je ku wyjściu z tartaku. – Jeśli wziąć pod uwagę, jakie ilości kreozotu przewozi się każdego dnia wozami po Londynie, nic dziwnego, że nasz ślad przeciął się z innym. Dużo się go teraz używa, zwłaszcza do konserwacji drewna. Biedny Toby nie jest temu winien.

– Jak sądzę, powinniśmy teraz odnaleźć nasz trop.

– Tak. I na szczęście nie musimy się w tym celu udawać zbyt daleko. Najwyraźniej dlatego nasz Toby tak długo stał na rogu Knight’s Place, bo właśnie w tym miejscu oba tropy zaczęły biec w przeciwnych kierunkach. Poszliśmy tym niewłaściwym. Teraz pozostaje nam jedynie odnaleźć ten drugi.

Jak się okazało, nie było to wcale trudne. Gdy doprowadziliśmy psa do miejsca, gdzie popełnił błąd, zatoczył szerokie koło i po chwili ruszył w zupełnie innym kierunku.

– Musimy uważać, żeby nie zaprowadził nas teraz w miejsce, z którego przyjechała ta beczka z kreozotem – rzekłem.

– Już o tym myślałem. Ale zauważyłeś pewnie, że pies trzyma się chodnika? Beczkę z pewnością wieziono ulicą. Teraz jesteśmy na właściwym tropie.

A trop prowadził nas w dół w stronę rzeki, przez Belmont Place i Prince’s Street. Na końcu Broad Street pies ruszył prosto nad wodę, gdzie znajdowała się mała drewniana przystań. Doprowadził nas do samego brzegu i stanął tam, skomląc i wpatrując się w ciemny prąd wody poniżej.

– Nie dopisało nam szczęście – rzekł Holmes. – Wsiedli tutaj do łodzi.

Na wodzie przy końcu przystani unosiło się kilka małych płaskodennych łodzi i skifów. Podprowadzaliśmy Toby'ego do każdej z nich, jednak choć uważnie je obwąchiwał, nie dał nam żadnej wskazówki.

Niedaleko tej prymitywnej przystani stał mały ceglany dom z drewnianym szyldem przy jednym z dwóch okien. Na szyldzie było napisane wielkimi literami: „Mordecai Smith", a poniżej: „Łodzie do wynajęcia. Na godziny lub na dobę". Drugi napis, wiszący nad drzwiami, wskazał nam, że można tu również skorzystać z kutra z silnikiem parowym, a potwierdzała to ogromna sterta koksu na molo. Holmes powoli rozejrzał się wokół, a jego twarz przybrała złowróżbny wyraz.

– Kiepsko to wygląda – powiedział. – Ci ludzie są bystrzejsi, niż się spodziewałem. Zatarli po sobie ślady. Myślę, że zaplanowali to sobie z góry.

Zbliżaliśmy się właśnie do drzwi domu, gdy te otworzyły się nagle, i wybiegł z nich mały chłopiec około lat sześciu z kręconymi włosami, a za nim wytoczyła się tęgawa kobieta o czerwonej twarzy, trzymająca w dłoni ogromną gąbkę.

– Natychmiast tu wracaj i daj się umyć, Jack! – krzyknęła. – Chodź tu, ty mały diab-le! Jeśli twój ojciec wróci do domu i zobaczy, jak wyglądasz, dostanie się nam za to!

– Jaki śliczny chłopiec – zagadnął ją strategicznie Holmes. – Cóż za mały łobuz o różowych policzkach! Słuchaj, Jack, chciałbyś może czegoś?

Dziecko zastanawiało się przez chwilę.

– Chciałbym szylinga – powiedziało.

– I nic więcej? Może chciałbyś czegoś więcej?

– Więcej?… Chciałbym dwa szylingi – odparł po chwili namysłu młody geniusz.

– No to masz. Łap! Wspaniałe dziecko, pani Smith.

– Bóg zapłać, sir. Wspaniałe i w ogóle. Już prawie nie daję sobie z nim rady, zwłaszcza że mojego męża nie ma czasem nawet przez kilka dni.

– Nie ma go? – spytał Holmes zawiedzionym głosem. – Przykro mi to słyszeć, bo właśnie chciałem porozmawiać z panem Smithem.

– Nie ma go od wczoraj rano, sir. I prawdę mówiąc, zaczynam się o niego martwić. Ale jeśli chodzi o łódź, sir, to ja również mogę panu pomóc.

– Zamierzałem wynająć jego kuter.

– Cóż, mój drogi panie, akurat tym kutrem odpłynął. To właśnie mnie najbardziej zastanawia, bo wiem, że miał tylko tyle węgla, by dopłynąć do Woolwich i wrócić. Gdyby popłynął barką, nie zastanawiałabym się nad tym, bo wiele razy zdarzało mu się złapać kurs aż do Gravesend, i jeśli miał dużo do roboty, czasami zostawał tam na noc. Ale na co się komu przyda taki kuter bez węgla?

– Mógł go dokupić na przystani w dole rzeki.

– Mógł, sir, ale to by nie było do niego podobne. Wiele razy słyszałam, jak utyskiwał na ceny, jakie trzeba tam płacić za parę worków. A poza tym nie podobał mi się ten człowiek z drewnianą nogą. I ta jego paskudna gęba i dziwna mowa. Po co się tutaj w ogóle pojawił?

– Człowiek z drewnianą nogą? – zapytał Holmes, udając zdziwienie.

– Tak, sir, strasznie opalony jegomość z gębą jak małpa. Przychodził tu już wcześ-niej do mojego starego. I to właśnie on obudził go wczoraj w nocy. Co więcej, mój stary wiedział, że ma się pojawić, bo nie gasił paleniska na łodzi. Powiem panu prosto z mostu, sir, nie czuję się za dobrze, kiedy o tym myślę.

– Ależ moja droga pani Smith – rzekł Holmes, wzruszając ramionami – zamartwia się pani bez powodu. Skąd może pani wiedzieć, że to właśnie ten człowiek z drewnianą nogą przyszedł tutaj w nocy? Nie rozumiem, skąd ta pewność.

– Słyszałam jego głos, sir. Znam ten glos. Jest taki niski i zachrypnięty. Zastukał czymś w nawijarkę, a było wtedy koło trzeciej. „Pokaż no się, stary – powiedział. – Czas się zbierać”. Mój stary obudził Jima, naszego najstarszego syna, i poszli, nie mówiąc mi ani słowa. Słyszałam jeszcze, jak ta drewniana noga stukała o kamienie.

– Ten człowiek z drewnianą nogą był sam?

– Nie potrafię tego powiedzieć, sir. Nikogo więcej nie słyszałam.

– Przykro mi, pani Smith, bo chciałem wynająć ten kuter, a słyszałem, jak ludzie dobrze mówili o… Jak ona się nazywa?

– „Aurora”, sir.

– Och! Czy to nie ta stara, zielona łódź z bardzo szerokim, żółtym paskiem na burcie?

– Nie, na pewno nie. To mały, wąski kuter, jak każdy inny na tej rzece. Niedawno pomalowano go na czarno, z dwoma czerwonymi pasami.

– Dziękuję. I mam nadzieję, że pan Smith niedługo się pokaże. Wybieram się w dół rzeki i jeśli zauważę gdzieś „Aurorę”, powiem mu, że się pani o niego niepokoi. Mówi pani, że ma czarny komin?

– Nie, sir. Czarny z białym paskiem.

– Tak, oczywiście. To burty były czarne. Życzę pani miłego dnia, pani Smith. Znam tutaj człowieka, który wypożycza łodzie. Weźmiemy jedną i przeprawimy się przez rzekę.

– Główną rzeczą, kiedy masz do czynienia z tego rodzaju ludźmi – rzekł Holmes, gdy siedzieliśmy już w łodzi – jest to, by nigdy nie pozwolić im myśleć, że informacje, jakich ci udzielają, mogą mieć dla ciebie choćby najmniejsze znaczenie. Gdy tylko to wyczują, natychmiast zamykają się w sobie niczym ostryga. Jeśli jednak po prostu ich słuchasz, tak jakby od niechcenia, wówczas najprawdopodobniej dostaniesz to, czego potrzebujesz.

– Nasz sposób postępowania wydaje się teraz dość jasny – odparłem.

– A co ty byś zrobił?

– Wynająłbym łódź i popłynął w dół rzeki w ślad za „Aurorą”.

– Mój drogi, to byłoby bardzo trudne zadanie. Mogła zawinąć do którejkolwiek przystani, po którejkolwiek stronie rzeki na odcinku stąd aż do Greenwich. Tam, za mostem, jest prawdziwy labirynt przystani, który ciągnie się całymi milami. Zabrałoby ci wiele długich dni, gdybyś chciał sam je wszystkie posprawdzać.

– W takim razie zwróć się o pomoc do policji.

– Nie. Prawdopodobnie powiadomię Athelneya Jonesa dopiero w ostatniej chwili. Nie jest złym człowiekiem i nie chciałbym zrobić niczego, co mogłoby mu zaszkodzić w karierze. Skoro jednak zaszliśmy już tak daleko, mam taki kaprys, że chcę to rozpracować sam.

– W takim razie dajmy ogłoszenie, prosząc właścicieli przystani o informacje.

– Coraz gorzej! Nasi poszukiwani dowiedzieliby się wówczas, że pościg depcze im już po piętach, i zniknęliby z kraju. Zresztą nawet bez tego prawdopodobnie wyjadą, jednak dopóki myślą, że są całkowicie bezpieczni, nie będą się śpieszyć. Tu właśnie przyda nam się energia Jonesa, bo jego opinia o tej sprawie na pewno trafi do gazet, i zbiegowie będą przekonani, że wszyscy poszli złym tropem.

– Co w takim razie mamy robić? – spytałem, gdy wysiedliśmy na brzeg przy więzieniu Millbank.

– Weźmy dorożkę, jedźmy do domu, zjedzmy jakieś śniadanie i na godzinę się połóżmy. Wszystko wskazuje na to, że dziś w nocy znów będziemy na nogach. Woźnico! Proszę przystanąć w pobliżu biura telegraficznego. Zostawimy sobie Toby'ego, może nam się jeszcze przydać.

Wysiedliśmy obok urzędu pocztowego przy Great Peter Street, gdzie Holmes nadał jakiś telegram.

– Jak myślisz, dokąd go wysłałem? – spytał, gdy wsiedliśmy z powrotem do dorożki i ruszyliśmy w dalszą drogę.

– Nie mam zielonego pojęcia.

– Pamiętasz wydział detektywistyczny z Baker Street, który zatrudniałem w sprawie Jeffersona Hope'a?

– No jasne – odparłem ze śmiechem.

– To jest dokładnie taka sprawa, w której ich wkład może się okazać nieoceniony. Jeśli zawiodą, mam jeszcze inne metody, ale najpierw spróbuję wykorzystać te możliwości. Ten telegram wysłałem do mojego małego, niechlujnego porucznika Wigginsa i spodziewam się, że zjawi się u nas z całą swą bandą, jeszcze zanim skończymy śniadanie.

Było gdzieś między ósmą a dziewiątą rano, i zaczynałem już odczuwać skutki reakcji mojego organizmu na przygody z ubiegłej nocy. Utykałem i czułem się przemęczony, a mój umysł nie pracował przejrzyście. Nie odczuwałem tego zawodowego entuzjazmu, który dodawał sił mojemu towarzyszowi, ani nie byłem w stanie patrzeć na tę sprawę jak na jakiś abstrakcyjny problem intelektualny. Jeśli chodzi o śmierć Bartholomew Sholto, słyszałem o nim niewiele dobrego, więc nie czułem zbyt silnej antypatii do jego morderców. Ale skarb to było już całkiem co innego. Skarb, lub też jego część, słusznie należał się pannie Morstan. O ile istniała tylko jakaś szansa, by go odzyskać, gotów byłem poświęcić całe moje życie temu właśnie celowi. To prawda, że gdybym go odnalazł, straciłbym ją na zawsze. Wówczas jednak miłość, która na tym gruncie zakwitła, mogłaby być traktowana jako egoistyczna i małostkowa. Skoro Sherlock Holmes miał powody, aby nadal działać i szukać przestępców, moja motywacja, aby odnaleźć skarb, była dziesięć razy silniejsza.

Kąpiel na Baker Street i świeże ubranie cudownie mnie orzeźwiły. Gdy wróciłem do naszego pokoju, podano już śniadanie, a Holmes nalewał

właśnie kawę.

– No i proszę! – rzekł, śmiejąc się i wskazując na rozłożoną gazetę. – Tryskający energią pan Jones i wszędobylski dziennikarz załatwili to między sobą. Ale chyba dość już się nasłuchałeś na ten temat. Lepiej zjedz najpierw przygotowane dla ciebie jajka na szynce!

Wziąłem od niego „Standard” i przeczytałem krótką notatkę, zatytułowaną „Tajemnicza sprawa z Upper Norwood”:

> Ubiegłej nocy około dwunastej pan Bartholomew Sholto z Pondicherry Lodge w Upper Norwood został odnaleziony martwy w swym pokoju, w okolicznościach wskazujących na popełnienie morderstwa. Z tego, co udało nam się ustalić, na ciele pana Sholto nie znaleziono żadnych śladów przemocy, zniknęła jednak cenna kolekcja indyjskich klejnotów, którą zmarły dżentelmen odziedziczył po swym ojcu. Odkrycia tego dokonali jako pierwsi pan Sherlock Holmes oraz doktor Watson, którzy przybyli do domu razem z panem Thaddeusem Sholto, bratem zmarłego. Dziwnym, lecz niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności pan Athelney Jones, słynny policyjny detektyw, był akurat w tym czasie na posterunku w Norwood i w ciągu pół godziny od zgłoszenia dotarł na miejsce przestępstwa. Jako doświadczony i doskonale wyszkolony fachowiec natychmiast skupił się na ujęciu przestępców. Do tej pory osiągnął już satysfakcjonujące rezultaty; aresztowano Thaddeusa Sholto, brata zmarłego, podobnie jak gospodynię panią Bernstone, hinduskiego kamerdynera Lala Rao, a także portiera, czy też odźwiernego, o nazwisku McMurdo. Wydaje się dość pewnym, że złodziej, lub nawet złodzieje, dobrze znał dom. Wiedza techniczna, z której słynie pan Jones, i jego zdolności niezwykle wnikliwej obserwacji pozwoliły mu w nie budzący wątpliwości sposób udowodnić, że złoczyńcy nie mogli wejść drzwiami bądź oknem, lecz musieli przejść po dachu budynku i dostać się przez klapę w dachu do pomieszczenia, skąd przechodziło się do pokoju, w którym odnaleziono ciało. Fakt ten, który został bardzo wyraźnie wykazany, dowodzi w jednoznaczny sposób, że nie było to przypadkowe włamanie. Szybkie i aktywne działania przedstawicieli prawa świadczą o tym, jak ogromne korzyści daje w takich okolicznościach obecność jednego energicznego człowieka o wybitnym umyśle. Musimy przyznać, że wkłada to do rąk argument tym ludziom, którzy pragnęliby, aby nasi policyjni detektywi mogli pracować w bardziej zdecentralizowany sposób, dzięki czemu, mając bliższy kontakt ze sprawami, które badają, mogliby działać skuteczniej.

– Czyż to nie wspaniale? – spytał Holmes, szczerząc zęby nad filiżanką kawy. – I co o tym sądzisz?

– Uważam, że sami z trudem uniknęliśmy aresztowania w związku z tym przestępstwem.

– Ja też tak myślę. Gdyby akurat dostał kolejnego napadu i znów miał ten swój przypływ energii, nie byłbym w stanie zagwarantować nam bezpieczeństwa.

W tej samej chwili rozległ się głośny dzwonek do drzwi i usłyszałem przerażony głos naszej gospodyni, upominającej kogoś podniesionym tonem.

– Wielkie nieba, Holmesie! – zawołałem, na wpół zrywając się z krzesła. – Chyba rzeczywiście nas ścigają!

– Nie. Nie jest aż tak źle. To nieoficjalne siły śledcze, chłopcy z Baker Street.

Kiedy wypowiadał te słowa, dobiegły nas szybki tupot bosych stóp na schodach i gwar cienkich głosów, a po chwili do pokoju wpadło z tuzin brudnych obszarpanych dzieci z ulicy. Jednakże mimo tego chaotycznego wejścia panowała wśród nich pewna dyscyplina, bo natychmiast ustawili się w szereg i stali tak naprzeciwko nas z twarzami pełnymi oczekiwania. Jeden z nich, wyższy i starszy od pozostałych, pełen powagi, która była doprawdy przezabawna u takiego stracha na wróble, wystąpił naprzód.

– Dostałem pańską wiadomość, sir! – powiedział. – Skrzyknąłem ich wszystkich. Wyszło trzy szylingi i sześć pensów za bilety.

– Proszę – rzekł Holmes, wyjmując trochę srebrnych monet. – W przyszłości mogą zdawać raport tobie, Wiggins, a ty będziesz przychodził do mnie sam. Nie mogę pozwolić na takie wtargnięcia do mego domu, chociaż z drugiej strony dobrze się składa, bo wszyscy wysłuchacie moich instrukcji. Chcę się dowiedzieć, gdzie jest w tej chwili kuter o nazwie „Aurora”, którego właścicielem jest Mordecai Smith. Łódź jest czarna z dwoma czerwonymi pasami, a komin czarny z białym paskiem. Znajduje się gdzieś w dole rzeki. Chciałbym, żeby jeden z was został na przystani Mordecaia Smitha, naprzeciwko Millbank, aby mógł mnie poinformować, kiedy łódź powróci. Musicie się podzielić na grupy i porządnie przeszukać oba brzegi. Dajcie mi znać, gdy będziecie mieli jakieś wieści. Wszystko jasne?

– Tak, proszę pana! – rzekł Wiggins.

– Zapłacę wam tak jak poprzednio i dorzucę gwineę temu, który odnajdzie łódź. Tu macie dniówkę z góry. A teraz zmiatajcie!

Dał każdemu z nich po szylingu, a ci popędzili w dół po schodach, i chwilę później zobaczyłem, jak cała banda wypada na ulicę.

– Jeśli ta łódź wciąż jeszcze pływa po wodzie, na pewno ją odnajdą – rzekł Holmes, wstając i zapalając fajkę. – Potrafią wejść wszędzie, zobaczyć wszystko i podsłuchać każdego. Spodziewam się, że jeszcze przed wieczorem gdzieś tę łódź wypatrzą. Tymczasem my możemy tylko siedzieć i czekać na rezultaty. Nie odnajdziemy zgubionego śladu, dopóki nie znajdziemy „Aurory” lub pana Mordecaia Smitha.

– Chyba mogę dać te resztki Toby’emu? Idziesz się położyć, Holmesie?

– Nie, nie jestem zmęczony. Mam specyficznie funkcjonujący organizm. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek zmęczyła mnie praca, za to bezczynność całkowicie mnie wyczerpuje. Zamierzam teraz zapalić fajkę i pomyśleć nad tą dziwną sprawą, którą przedstawiła nam moja sympatyczna klientka. Chyba nikt nie miał łatwiejszego zadania niż my teraz. Ludzie z drewnianymi nogami nie są zbyt częstym zjawiskiem, ale jeśli chodzi o tego drugiego, to przypuszczam, że jest absolutnie unikalny.

– Znów wspominasz o tym drugim!

– Nie chcę, żeby wydawał ci się aż tak tajemniczy, ale najpierw wypracuj jakąś opinię na jego temat. Zastanów się nad faktami, które już znamy. Drobne odciski stóp, palce u nóg, które nie wiedzą, co to buty, nagie stopy, maczuga z kamienną główką, ogromna zręczność, małe zatrute strzałki. Nic ci to nie mówi?

– Dzikus! – zawołałem. – Może to jeden z tych Hindusów, którzy byli wspólnikami Jonathana Smalla?

– Bynajmniej – odparł Holmes. – Kiedy po raz pierwszy zauważyłem ślady jego dziwnej broni, też byłem skłonny tak pomyśleć, zmieniłem jednak zdanie, gdy przyjrzałem się tym niezwykłym odciskom stóp. Niektórzy mieszkańcy Półwyspu Indyjskiego to ludzie drobni i niscy, ale żaden z nich nie mógłby pozostawić takich śladów. Hindusi mają z reguły długie i chude stopy. Muzułmanie noszą sandały i mają duży palec u nogi wyraźnie odstający od pozostałych, ponieważ zazwyczaj tam właśnie biegnie rzemień od sandała. Również te małe strzałki mogły zostać wystrzelone tylko w jeden sposób. Z dmuchawki. A więc gdzie znajdziemy naszego dzikusa?

– W Ameryce Południowej? – zaryzykowałem.

Wyciągnął rękę i zdjął z półki opasłe tomisko.

– To pierwszy tom encyklopedii geograficznej, której publikację dopiero co rozpoczęto. Możemy ją traktować jako najwyższy autorytet. Co my tutaj

mamy? „Andamany, położone 340 mil na północ od Sumatry w Zatoce Bengalskiej”. Hm, zobaczmy… „Wilgotny klimat, rafy koralowe, rekiny, Port Blair, obozy skazańców, wyspa Rutland, *Hibiscus tiliaceus*…”. Ach! Tu ich mamy! „Rdzenni mieszkańcy Andamanów prawdopodobnie mogą być uznani za najmniejszą rasę na Ziemi, choć niektórzy antropolodzy uważają za takich afrykańskich buszmenów, amerykańskich Pajutów oraz mieszkańców Ziemi Ognistej. Ich przeciętny wzrost nie sięga czterech stóp, choć można napotkać wielu w pełni dojrzałych dorosłych ludzi, którzy bywają znacznie niżsi. Są ludem dzikim, ponurym i nieustępliwym, lecz kiedy się już pozyska ich zaufanie, są w stanie nawiązać głęboką przyjaźń”. Zwróć na to uwagę, Watsonie. A teraz posłuchaj dalej: „Z natury są bardzo szpetni, mają wielkie zdeformowane głowy, małe złe oczy i wykrzywione rysy twarzy. Ich dłonie i stopy są jednak wyjątkowo drobne. To lud tak dziki i nieustępliwy, że wszelkie wysiłki brytyjskich przedstawicieli, aby pozyskać ich przychylność, spełzły jak dotąd na niczym. Zawsze stwarzali ogromne zagrożenie dla załóg zniszczonych statków, bowiem roztrzaskują głowy rozbitków swoimi maczugami z kamienną główką lub też strzelają do nich zatrutymi strzałami. Masakry takie zawsze się kończą kanibalską ucztą”. Mili, przyjaźni ludzie, Watsonie. Gdyby pozostawić tego człowieka samemu sobie, sprawa ta mogłaby przybrać doprawdy potworny obrót. Przypuszczam, że nawet Jonathan Small dałby dużo za to, by mimo wszystko go nie zatrudniać.

– Ale w jaki sposób zdobył tak przedziwnego towarzysza?

– Tego już nie potrafię powiedzieć. Ponieważ jednak ustaliliśmy już, że Small przybył z Andamanów, nie jest niczym szczególnie niezwykłym, iż ten wyspiarz zjawił się tu razem z nim. Bez wątpienia dowiemy się wszystkiego we właściwym czasie. A teraz posłuchaj mojej rady, Watsonie. Wyglądasz na kompletnie wyczerpanego. Połóż się tutaj, na sofie, a ja zobaczę, czy uda mi się ciebie uśpić.

Wziął swoje skrzypce, leżące dotąd w rogu pokoju, a gdy wyciągnąłem się na sofie, zaczął grać jakąś cichą, rozmarzoną, wolną melodię – bez wątpienia jego własną kompozycję, posiadał bowiem niezwykły talent improwizacji. Jak przez mgłę przypominam sobie jego chude ręce, pełną powagi twarz, wznoszący się i opadający smyczek. Potem uniosło mnie spokojne, miękkie morze dźwięków, i znalazłem się w krainie sennych marzeń, gdzie spoglądała na mnie z góry słodka twarzyczka Mary Morstan.

Rozdział dziewiąty

Przerwany łańcuch

Gdy się obudziłem, wypoczęty i odświeżony, było już późne popołudnie. Holmes wciąż siedział tam, gdzie wcześniej, tyle tylko, że odłożył na bok swoje skrzypce i był teraz pogrążony w lekturze jakiejś książki. Kiedy się poruszyłem, spojrzał na mnie, wówczas dostrzegłem, że jego twarz jest posępna i zmartwiona.

– Zdrowo sobie pospałeś – rzekł. – Bałem się, że nasza rozmowa cię obudzi.

– Nic nie słyszałem – odparłem. – A więc masz jakieś nowe wieści?

– Niestety nie. Muszę przyznać, że jestem tym zaskoczony i zawiedziony. Oczekiwałem, że do tej pory będę już miał w ręku coś konkretnego. Był tu przed chwilą Wiggins i złożył mi raport. Mówi, że nigdzie nie udało im się znaleźć łodzi. To poważna przeszkoda, bo teraz liczy się już każda godzina.

– Mogę coś zrobić? Jestem całkowicie wypoczęty i gotów na następną nocną wycieczkę.

– Nie, nic nie możemy zrobić. Pozostaje nam jedynie czekać. Jeżeli gdzieś pójdziemy, może przybyć do nas ktoś z wiadomością i nie zastać nas, a to spowoduje opóźnienie. Możesz robić, co chcesz, lecz ja muszę zostać tutaj na posterunku.

– W takim razie przejadę się do Camberwell i odwiedzę panią Cecil Forrester. Prosiła mnie o to wczoraj.

– Panią Cecil Forrester? – spytał Holmes, patrząc na mnie rozbawionym wzrokiem.

– No cóż, oczywiście odwiedzę też pannę Morstan. Bardzo chciały usłyszeć, co się wydarzyło.

– Nie mówiłbym im zbyt wiele – rzekł Holmes. – Kobietom nigdy nie można całkowicie ufać, nawet tym najlepszym.

Nie zareagowałem na to okrutne stwierdzenie. Nie miałem teraz ochoty się z nim sprzeczać.

– Wrócę za godzinę albo za dwie – powiedziałem.

– W porządku. Powodzenia! Ale skoro i tak zamierzasz przeprawić się na drugi brzeg rzeki, możesz przy okazji oddać Toby'ego właścicielowi. Nie sądzę, byśmy go jeszcze potrzebowali.

Wziąłem naszego kundelka i zgodnie z prośbą Holmesa odstawiłem go do starego przyrodnika Shermana na Pinchin Lane, dając mu dodatkowo pół suwerena. W Camberwell przekonałem się, że panna Morstan jest nieco zmęczona po nocnych przygodach, ale z niecierpliwością oczekuje wieści. Pani Forrester również była bardzo ciekawa tego, co się wydarzyło. Opowiedziałem im o wszystkim, co robiliśmy, pozostawiłem jednak dla siebie najokrutniejsze aspekty tej tragedii. Choć napomknąłem im o śmierci pana Sholto, nie wspomniałem nic o tym, jak zginął. Biorąc jednak pod uwagę wszystko to, co pominąłem, moja historia zdumiała je i zaniepokoiła.

– Ależ to romantyczne! – zawołała pani Forrester. – Pokrzywdzona dama, skarb wart pół miliona, czarny kanibal i łotr z drewnianą nogą zajmują w tej opowieści miejsce straszliwego smoka czy podłego hrabiego.

– I dwóch błędnych rycerzy przybywających na ratunek – dodała panna Morstan, rzucając mi promienne spojrzenie.

– Cóż, Mary, twój los zależy od wyników tych poszukiwań. Nie wydaje mi się jednak, byś się wystarczająco tym przejmowała. Wyobraź tylko sobie, jak wspaniale jest być bogatą i mieć u swych stóp cały świat!

Poczułem w sercu dreszcz radości, gdy dostrzegłem, że w żaden sposób nie porywa jej ta perspektywa. Wręcz przeciwnie, dumnie potrząsnęła głową, jakby ta sprawa niewiele ją obchodziła.

– Tak naprawdę to martwię się o pana Thaddeusa Sholto – powiedziała. – Nic innego nie wydaje mi się teraz ważniejsze. Sądzę, że okazał mi ogromną dobroć i zachował się bardzo honorowo. Naszym obowiązkiem jest oczyścić go z tych strasznych i bezpodstawnych zarzutów.

Zanim opuściłem Camberwell, zdążył już zapaść wieczór, a gdy wróciłem do domu, było już całkiem ciemno. Książka i fajka mojego towarzysza leżały przy jego fotelu, on sam jednak zniknął. Rozejrzałem się

po pokoju w nadziei, że znajdę jakąś wiadomość, niczego takiego jednak nie było.

– Pan Sherlock Holmes gdzieś wyszedł, jak sądzę? – zagadnąłem panią Hudson, gdy przyszła zasunąć zasłony.

– Nie, sir. Jest w swoim pokoju. Wie pan, sir – powiedziała, zniżając głos do dramatycznego szeptu – obawiam się o jego zdrowie.

– A dlaczegóż to, pani Hudson?

– Bo jest bardzo dziwny, sir. Kiedy pan wyszedł, chodził i chodził po pokoju tam i z powrotem, tam i z powrotem, aż zmęczył mnie odgłos jego kroków. Potem słyszałam, jak mówi do siebie i mruczy coś pod nosem, a za każdym razem, gdy zadzwonił dzwonek, wychodził na szczyt schodów i dopytywał się: „Kto to, pani Hudson?”. Teraz zamknął się w swoim pokoju, ale wciąż słyszę, jak chodzi, tak samo jak przedtem. Mam nadzieję, że się nie rozchoruje, sir. Odważyłam się napomknąć coś o leku uspokajającym, ale rzucił mi takie spojrzenie, że czym prędzej wyszłam z tego pokoju.

– Nie sądzę, żeby miała pani jakieś powody do obaw, pani Hudson – odparłem. – Widywałem go już w takim stanie. Rozmyśla nad pewną drobną kwestią i to dlatego jest taki niespokojny.

Próbowałem rozmawiać z naszą szacowną gospodynią lekkim tonem, jednak w rzeczywistości sam byłem trochę zaniepokojony. Przez całą długą noc słyszałem głuchy odgłos kroków mojego przyjaciela i wiedziałem, że jego bystry umysł nie może znieść bezczynności, na którą nic nie potrafił poradzić.

Przy śniadaniu Holmes wyglądał na znużonego i wymizerowanego, a policzki płonęły mu lekko, jakby miał gorączkę.

– Zadręczysz się w ten sposób, przyjacielu – powiedziałem. – Słyszałem w nocy, jak chodzisz po pokoju.

– Nie mogłem spać – odparł. – Ta piekielna zagadka mnie zżera. Skoro wszystko inne już pokonaliśmy, nie może nam stanąć na drodze tak drobna przeszkoda. Tego byłoby już za wiele. Wiem już, kim są ci ludzie, wiem, na jakiej są łodzi, wiem wszystko! A jednak nie dostałem żadnych wieści. Skontaktowałem się już, z kim tylko mogłem, i wykorzystałem wszystkie środki, jakimi dysponuję. Przeszukano całą rzekę i oba jej brzegi, dotąd jednak nie ma żadnych wiadomości, a pani Smith dalej nie wie, co się

dzieje z jej mężem. Jak tak dalej pójdzie, niedługo dojdę do wniosku, że zatopili łódź. Do tej teorii mam jednak pewne zastrzeżenia.

– A może pani Smith podsunęła nam niewłaściwy trop?

– Nie. Myślę, że to możemy wykluczyć. Dowiadywałem się tu i tam. Faktycznie istnieje kuter odpowiadający podanemu przez nią opisowi.

– A może popłynął w górę rzeki?

– Tę możliwość też brałem pod uwagę, i jedna z grup poszukiwawczych sprawdzi rzekę aż do Richmond. Jeżeli dziś nie nadejdą żadne wieści, jutro wyruszę sam; zamierzam szukać tych ludzi, nie łodzi. Ale z całą pewnością jeszcze dziś będziemy coś wiedzieli.

Niczego nowego jednak się nie dowiedzieliśmy. Ani słowa od Wigginsa czy z innych źródeł, o których wspominał Holmes. W większości gazet ukazały sie artykuły o tragedii w Norwood. Ich ton wydawał się raczej wrogi wobec nieszczęsnego Thaddeusa Sholto. W żadnym nie znaleźliśmy jednak nowych szczegółów, może z wyjątkiem tego, że następnego dnia miało się rozpocząć postępowanie sądowe. Wieczorem udałem się do Camberwell, aby powiadomić panie Forrester i Morstan o tym, że nie dopisało nam szczęście, a po powrocie zastałem Holmesa przygnębionego i ponurego. Ledwie raczył odpowiadać na moje pytania i przez cały wieczór zajmował się jakąś zawiłą analizą chemiczną. Wymagała ona częstego podgrzewania retort i destylowania jakichś wywarów, wskutek czego powstał taki odór, że niemal zmusił mnie do opuszczenia mieszkania. Był już prawie świt, a ja wciąż słyszałem pobrzękujące probówki: mój przyjaciel nadal zajęty był swoim cuchnącym eksperymentem.

Przebudziłem się wcześnie, wystraszony i zaskoczony. Holmes stał u boku mojego łóżka, ubrany w prosty marynarski strój, dwurzędową kurtkę, a wokół szyi miał owinięty zwykły czerwony szal.

– Wyruszam w dół rzeki, Watsonie – powiedział. – Przemyślałem to na wszelkie możliwe sposoby i widzę tylko jedno rozwiązanie. Tak czy inaczej warto spróbować.

– Mogę iść z tobą? – spytałem.

– Nie. Przydasz mi się o wiele bardziej, jeśli zostaniesz tutaj i mnie zastąpisz. Nie mam bynajmniej ochoty na tę wycieczkę, wszystko wskazuje bowiem na to, że za dnia dotrze tu jakaś wiadomość, choć z drugiej strony Wiggins sprawiał wczoraj wieczorem wrażenie dość zniechęconego całą sprawą. Otwieraj wszystkie listy i telegramy adresowane do mnie, a jeżeli

pojawią się jakiekolwiek wieści, działaj według własnego uznania. Mogę na tobie polegać?

– Naturalnie.

– Obawiam się, że nie będziesz w stanie wysłać mi telegramu, bo trudno mi przewidzieć, gdzie będę. Jeśli jednak dopisze mi szczęście, powinienem niedługo wrócić. Liczę, że uda mi się zdobyć jakieś informacje.

Aż do śniadania nie otrzymałem od niego żadnej wiadomości. Jednak po przejrzeniu „Standarda” przekonałem się, że pojawiły się nowe wątpliwości w naszej sprawie.

> W odniesieniu do tragedii w Upper Norwood mamy powody, by sądzić, że sprawa okaże się jeszcze bardziej skomplikowana i tajemnicza, niż zakładaliśmy na początku. Nowe dowody wykazały, iż jest całkowicie niemożliwym, by pan Thaddeus Sholto był w jakikolwiek sposób zamieszany w tę sprawę. Wczoraj wieczorem zarówno jego, jak i gospodynię, panią Bernstone, zwolniono z aresztu. Uważa się jednak, że policja wpadła na świeży trop prowadzący do prawdziwych winowajców. W tej chwili bada go pan Athelney Jones ze Scotland Yardu. Pan Jones jest dobrze znany ze swej energii i roztropności, w każdej chwili można się spodziewać dalszych aresztowań.

„Przynajmniej tyle zrobili dobrze – pomyślałem. – I nasz przyjaciel Sholto jest bezpieczny. Ciekawe, co to za świeży trop. A może to tylko taki wybieg dziennikarski drukowany zawsze, gdy policja popełni jakiś błąd?”.

Gdy odkładałem gazetę na stół, mój wzrok padł na tekst w rubryce prywatnych ogłoszeń. Brzmiał on następująco:

> Zaginiony. Zważywszy, że Mordecai Smith trudniący się wynajmem łodzi oraz jego syn Jim opuścili przystań Smitha około godziny trzeciej nad ranem w ubiegły wtorek – na kutrze „Aurora”, czarnym, z dwoma czerwonymi pasami i czarnym kominem z białym paskiem – oferuje się sumę pięciu funtów każdemu, kto będzie w stanie przedstawić informacje dotyczące miejsca pobytu rzeczonego Mordecaia Smitha oraz kutra „Aurora”. Informacje proszę przekazywać pani Smith na przystani Smitha lub też na Baker Street 221b.

Najwyraźniej było to dzieło Holmesa. Świadczył o tym nasz adres. Anons wydał mi się dość pomysłowy, ponieważ uciekinierzy mogli go przeczytać, nie dopatrując się w nim niczego poza naturalną troską żony o zaginionego męża.

To był bardzo długi dzień. Za każdym razem gdy ktoś pukał do drzwi lub gdy słyszałem głośne kroki na ulicy, miałem nadzieję, że to Holmes lub że za chwilę pojawi się w drzwiach ktoś w odpowiedzi na jego ogłoszenie. Próbowałem trochę czytać, ale moje myśli biegły ku naszej dziwnej sprawie i parze osobliwych łotrów, których ścigaliśmy. Zastanawiałem się, czy w rozumowaniu mojego towarzysza mógł tkwić jakiś podstawowy błąd. Czy to możliwe, żeby sam się oszukiwał? Być może jego lotny analityczny umysł zbudował tę niesłychaną teorię, opierając się na błędnych przesłankach? Nigdy nie byłem świadkiem tego, by się pomylił, a jednak nawet najlepszy analityk może czasami zostać wprowadzony w błąd. Wydawało mi się, iż to całkiem możliwe, że pomyłka wynika z nadmiernego skomplikowania jego rozumowania, z tego, że preferuje subtelne i dziwaczne wyjaśnienia, choć ma pod ręką prostsze i bardziej pospolite. Z drugiej jednak strony przecież ja sam także widziałem dowody i znałem podstawy, na jakich Holmes opierał swą dedukcję. Spoglądając wstecz na długi łańcuch dziwnych okoliczności, z których wiele, traktując je z osobna, mogłoby się wydać trywialnymi, lecz wszystkie zmierzały w tym samym kierunku, musiałem przyznać, że nawet jeśli wyjaśnienia Holmesa były niewłaściwe, słuszna teoria musiała być równie niesamowita i zdumiewająca.

O trzeciej po południu rozległ się głośny dzwonek, po czym usłyszałem władczy głos dobiegający z holu i, ku mojemu zdumieniu, wprowadzono do mnie na górę pana Athelneya Jonesa we własnej osobie. Daleko mu jednak teraz było do opryskliwego i pewnego siebie zwolennika zdrowego rozsądku, który z taką pewnością siebie przejął sprawę w Upper Norwood. Wydawał się przybity i zachowywał się potulnie, wręcz przepraszająco.

– Dzień dobry, sir. Dzień dobry! – powiedział. – Jak rozumiem, pan Sherlock Holmes wyszedł?

– Tak, i nie jestem pewien, kiedy wróci. Ale być może zechce pan zaczekać? Proszę usiąść sobie w fotelu i poczęstować się cygarem.

– Dziękuję. Bardzo chętnie – odparł, ocierając twarz czerwoną chustką.

– A może whisky z wodą sodową?

– Poproszę pół szklanki. Jest bardzo gorąco jak na tę porę roku, prawda? A poza tym mam sporo powodów do zmartwień. Zna pan moją teorię odnośnie tej sprawy z Norwood?

– Pamiętam, jak ją pan wyjaśniał.

– No cóż, byłem zmuszony ponownie ją przemyśleć. Moja sieć, sir, już się zaciskała wokół pana Sholto i nagle – bach! – pękła, a on wymknął się z niej przez dziurę. Był w stanie przedstawić alibi nie budzące żadnych zastrzeżeń. Od momentu gdy wyszedł z pokoju swojego brata, przez cały czas ktoś go widział. Nie mógł więc wspiąć się na dach i wejść przez klapę. To bardzo mroczna sprawa, a stawką jest moja zawodowa reputacja. Bardzo by mi się przydała choćby niewielka pomoc.

– Wszyscy czasami potrzebujemy pomocy – powiedziałem.

– Pański przyjaciel, pan Sherlock Holmes, jest wspaniałym człowiekiem, sir – rzekł Jones ochryple konfidencjonalnym tonem. – Nie sposób go pokonać. Byłem świadkiem, jak ten młody człowiek angażował się w wiele spraw, ale nie miałem jeszcze takiej, na którą nie potrafiłby rzucić nieco światła. Jego metody są dość chaotyczne, trochę za szybko formułuje teorie, sądzę jednak, że niezależnie od tego byłby on niezwykle obiecującym policjantem. Dziś rano dostałem od niego telegram, rozumiem więc, że wpadł na jakiś trop dotyczący sprawy Sholto. Proszę przeczytać.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru i podał mi ją. Telegram nadano z Poplar o dwunastej. Oto jego treść:

> Proszę natychmiast udać się na Baker Street. Jeśli do tej pory nie wrócę, proszę na mnie zaczekać. Depczę po piętach zabójcom Sholto. Jeżeli chce pan być obecny przy zakończeniu tej sprawy, proszę pojechać z nami dziś wieczorem.

– Brzmi nieźle. Najwyraźniej znów wpadł na trop – rzekłem.

– Ach, to znaczy, że on również się pomylił! – stwierdził Jones z wyraźną satysfakcją. – Nawet najlepsi z nas czasami nie wiedzą, co robić. Oczywiście, może się to okazać fałszywym alarmem, lecz jako przedstawiciel prawa mam obowiązek nie przepuścić żadnej szansy. O, ktoś właśnie puka do drzwi! Może to on?

Usłyszeliśmy ciężkie kroki człowieka wchodzącego po schodach. Towarzyszył im świszczący oddech i sapanie kogoś, kto ma trudności z oddychaniem. Raz czy dwa razy zatrzymał się, tak jakby ta wspinaczka była ponad jego siły, w końcu jednak udało mu się dotrzeć do naszych drzwi. Gdy gość wszedł do środka, przekonałem się, że jego wygląd pasuje do odgłosów, które przed chwilą słyszeliśmy. Był to starszy mężczyzna, ubrany w strój marynarza, miał na sobie podniszczoną kurtkę, zapiętą aż

pod szyję. Plecy miał przygarbione, kolana mu drżały, a oddech wyraźnie wskazywał na astmę. Kiedy stał tak, podpierając się grubą drewnianą laską, jego ramiona unosiły się i opadały, co świadczyło o wysiłku, z jakim wciągał powietrze do płuc. Szyję owijał kolorowy szalik, tak że nie byłem w stanie dokładnie zobaczyć całej jego twarzy, jedynie długie szpakowate bokobrody i dwoje bystrych ciemnych oczu, wyglądających spod siwych krzaczastych brwi. Ogólnie wywarł na mnie wrażenie doświadczonego marynarza, takiego, co to niejedno widział i przeżył, a potem zestarzał się i zubożał.

– O co chodzi, mój dobry człowieku? – spytałem.

Gość rozejrzał się powoli w metodyczny, typowy dla starców sposób.

– Czy jest tu pan Sherlock Holmes? – spytał.

– Nie, lecz ja działam w jego imieniu. Może mi pan przekazać każdą wiadomość przeznaczoną dla niego.

– Miałem mu to powiedzieć osobiście – odparł.

– Przecież mówiłem już panu, że działam w jego imieniu. Czy chodzi może o łódź Mordecaia Smitha?

– Tak. No… wiem, gdzie ona jest. No i wiem, gdzie są ci ludzie, co to ich ściga. I wiem, gdzie jest ten skarb. Wiem o tym wszystkim.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, a ja mu przekażę.

– To jemu miałem powiedzieć, osobiście – powtórzył z rozdrażnieniem i uporem tak charakterystycznym dla starców.

– W takim razie musi pan na niego zaczekać.

– Nie, nie. Nie zamierzam tracić całego dnia, żeby kogoś tam zadowolić. Jak pana Holmesa tu nie ma, to pan Holmes będzie musiał sam się wszystkiego dowiedzieć. Nie patrzcie tak na mnie, bo i tak nie powiem ani słowa.

Powłócząc nogami, ruszył w stronę drzwi, lecz Athelney Jones zagrodził mu drogę.

– Poczekaj chwilę, przyjacielu! – rzekł. – Masz ważną wiadomość i nie możesz sobie tak po prostu odejść. Zatrzymamy cię tutaj, dopóki nasz gospodarz nie wróci, czy ci się to podoba, czy nie.

Starszy człowiek spróbował podbiec do drzwi, lecz gdy Jones oparł się o nie swoimi szerokimi plecami, pojął, że przeciwstawianie się nie ma żadnego sensu.

– No nie! Piękne mi traktowanie! – zawołał, uderzając laską w podłogę. – Przybyłem tu, żeby się spotkać z jakimś dżentelmenem, a wy obaj, ludzie, których nigdy nie widziałem na oczy, więzicie mnie i tak traktujecie!

– Nie wyjdzie pan na tym źle – powiedziałem. – Zrekompensujemy panu tę stratę czasu. Proszę sobie usiąść tam na sofie. Nie będzie pan musiał długo czekać.

Nadąsany, przeszedł przez pokój i usiadł na kanapie, podpierając brodę dłońmi. Jones i ja wróciliśmy do rozmowy, paląc cygara. Nagle usłyszeliśmy głos Holmesa:

– Sądzę, że mnie również moglibyście poczęstować cygarem – powiedział.

Podskoczyliśmy obaj w fotelach. Holmes siedział tuż obok nas, najwyraźniej bardzo rozbawiony całą sytuacją.

– Holmes! – zawołałem. – To ty! A gdzie się podział ten starzec?

– Jest tutaj – odparł, wyciągając pęk białych włosów. – Oto peruka, bokobrody, brwi i cała reszta. Wiedziałem, że moje przebranie jest dość dobre, ale nie sądziłem, że wytrzyma aż taką próbę.

– Ach, ależ z pana łotr! – zawołał Jones z wyraźnym rozbawieniem. – Byłby z pana wyśmienity aktor! Miał pan ten typowy dla ludzi z przytułków kaszel, a te pańskie słabe trzęsące się nogi warte są dziesięciu funtów na tydzień! Wydało mi się przez chwilę, że rozpoznałem ten charakterystyczny błysk w pańskim oku. Widzi pan, nie udało mu się jednak nabrać nas tak do końca.

– Pracowałem w tym przebraniu przez cały dzień – powiedział Holmes, zapalając cygaro. – Wielu przestępców coś tam już o mnie słyszało, zwłaszcza odkąd obecny tu mój przyjaciel zaczął publikować niektóre z mych spraw. Tak więc mogę wyruszać na wojenną ścieżkę jedynie w jakimś prostym przebraniu, takim na przykład jak to. Dostał pan mój telegram?

– Tak. To on mnie tu sprowadził.

– A jak pana postępy w sprawie?

– Wszystko spełzło na niczym. Musiałem wypuścić dwoje aresztowanych, a przeciwko dwójce pozostałych nie ma żadnych dowodów.

– Nic nie szkodzi. Na ich miejsce damy panu dwóch innych. Ale od teraz proszę wypełniać moje polecenia. Oficjalnie może pan sobie przypisać

wszystkie zasługi, ale będzie pan musiał działać na moich warunkach. Zgoda?

– Całkowicie, o ile pomoże mi pan dostać tych ludzi.

– W takim razie będę potrzebował szybkiej łodzi policyjnej z silnikiem parowym. Ma być przy Westminster Stairs o siódmej.

– Można to łatwo zorganizować. Zawsze mamy jakąś łódź w tej okolicy, ale mogę przejść się do telefonu po drugiej stronie ulicy i to zorganizować.

– Będę jeszcze potrzebował dwóch silnych ludzi, na wypadek gdyby stawiano nam opór.

– W łodzi będzie dwóch albo trzech. Coś jeszcze?

– Gdy ujmiemy już przestępców, dostaniemy też skarb. Myślę, że mój przyjaciel byłby bardzo zadowolony, mogąc zabrać tę szkatułę do młodej damy, która ma prawo do jego połowy. Niech ona otworzy ją jako pierwsza. Co ty na to, Watsonie?

– Sprawiłoby mi to ogromną przyjemność.

– To niezbyt zgodne z przepisami – rzekł Jones, potrząsając głową – ale cała ta sprawa jest dość nietypowa, sądzę więc, że możemy przymknąć na to oko. Później jednak skarb musi zostać przekazany władzom aż do czasu zakończenia oficjalnego śledztwa.

– Oczywiście. I jeszcze jedno. Chciałbym bardzo usłyszeć kilka szczegółów dotyczących tej sprawy z ust samego Jonathana Smalla. Wie pan o tym, że lubię dokładnie rozpracowywać przypadki, którymi się zajmuję. Nie ma pan nic przeciwko temu, bym nieoficjalnie go przesłuchał? Tu, w moim mieszkaniu, lub gdziekolwiek indziej, o ile będzie dobrze pilnowany.

– Cóż, to pan, sir, panuje nad sytuacją. Jak dotychczas nie mam jeszcze żadnych dowodów na to, że ten Jonathan Small w ogóle istnieje. Jeśli jednak będzie go pan w stanie pojmać, nie mógłbym przecież odmówić panu prawa do przesłuchania go.

– A więc uzgodnione?

– Jak najbardziej. Coś jeszcze?

– Tylko tyle, że bardzo bym pana prosił, aby zjadł pan z nami obiad. Będzie gotów za pół godziny. Mamy ostrygi, kuropatwy i niewielki wybór białych win. Watsonie, jeszcze nigdy nie miałeś okazji się przekonać, jak dobrym potrafię być gospodarzem.

Rozdział dziesiąty

Śmierć na rzece

Posiłek zjedliśmy w wyjątkowo wesołej atmosferze. Kiedy tylko Holmes tego chciał, potrafił bardzo dużo mówić, a tego wieczoru najwyraźniej miał na to ochotę. Był w stanie radosnego uniesienia. Jeszcze nigdy nie widziałem go takim błyskotliwym. Bardzo szybko zmieniał tematy. Mówił o miraklach, o średniowiecznym garncarstwie, o skrzypcach Stradivariusa, buddyzmie na Cejlonie i okrętach wojennych przyszłości, omawiając przy tym każdy z tych tematów tak, jakby poświęcił im szczegółowe studia. Ten jego wyśmienity humor musiał być odreagowaniem głębokiej depresji, w którą popadł w ostatnich dniach.

Okazało się też, że gdy Athelney Jones jest zrelaksowany i nie pracuje, staje się bardzo towarzyski. Jadł z nami obiad niczym prawdziwy bon vivant. Jeśli chodzi o mnie, czułem uniesienie na myśl, że zbliża się zakończenie naszej misji, udzieliła mi się również w pewnym stopniu wesołość Holmesa. Podczas obiadu nikt z nas nie wspominał o przyczynie, dla której się tu spotkaliśmy.

Gdy uprzątnięto ze stołu, Holmes spojrzał na zegarek i nalał porto do trzech kieliszków.

– Wznieśmy toast – powiedział – za sukces naszej małej wyprawy. A teraz już najwyższy czas na nas! Masz broń, Watsonie?

– Mam w biurku stary służbowy rewolwer.

– Weź go ze sobą. Lepiej być przygotowanym na wszystko. Widzę, że dorożka czeka już na nas pod drzwiami. Zamówiłem ją na wpół do siódmej.

Nim dotarliśmy do przystani Westminster, było już kilka minut po siódmej. Na miejscu czekała na nas łódź policyjna. Holmes przyjrzał się jej krytycznie.

– Czy ona ma jakieś oznakowanie świadczące o tym, że to łódź policyjna?

– Tak, to ta zielona lampa na burcie.

– W takim razie proszę ją zdjąć.

Gdy dokonano tej niewielkiej zmiany, weszliśmy na pokład i odcumowaliśmy. Jones, Holmes i ja siedzieliśmy na rufie. Jeden człowiek czuwał przy sterze, jeden zajmował się silnikami, a dwóch krzepkich policjantów stało na dziobie.

– Dokąd płyniemy? – spytał Jones.

– Do Tower. Proszę kazać im zatrzymać się naprzeciwko Jacobson’s Yard.

Nasza łódź była rzeczywiście bardzo szybka. Mknąc z dużą prędkością, minęliśmy długie szeregi obładowanych towarami barek, jakby wcale nie ruszały się z miejsca. Gdy wyprzedziliśmy parowiec rzeczny i zostawiliśmy go z tyłu, Holmes uśmiechnął się z satysfakcją.

– Chyba jesteśmy w stanie dogonić wszystko, co pływa po tej rzece – powiedział.

– Cóż, niezupełnie. Ale niewiele łodzi mogłoby się ścigać z nami.

– Będziemy musieli złapać „Aurorę”, a mówią o niej, że jest szybka jak wiatr. Powiem ci teraz, jak wygląda nasza sytuacja, Watsonie. Pamiętasz, jak mnie drażniło, że staje mi na przeszkodzie tak błaha rzecz?

– Tak.

– Dałem odpocząć mojemu umysłowi, zajmując się analizą chemiczną. Jeden z naszych największych mężów stanu powiedział kiedyś, że zmiana zajęcia jest najlepszym odpoczynkiem. I rzeczywiście. Gdy udało mi się rozpuścić węglowodór, nad którym pracowałem, powróciłem do zagadki rodziny Sholto i przemyślałem ponownie całą sprawę. Moi chłopcy przeczesali rzekę w górę i w dół, bez żadnych rezultatów. Kutra nie było na żadnym cumowisku ani na żadnej przystani, nie powrócił też na przystań Smitha. Wydawało się jednak niemożliwym, żeby został zatopiony po to, by ukryć ślady, choć wciąż pozostawało to jedną z hipotez, gdyby wszystkie inne zawiodły. Wiedziałem, że Small jest przebiegły, nie sądziłem jednak, by był zdolny do jakichś subtelnych i finezyjnych działań. Coś takiego jest zazwyczaj rezultatem dobrego wykształcenia. Później doszedłem do wniosku, że ponieważ z całą pewnością przebywa od jakiegoś czasu w Londynie (mamy przecież dowody na to, iż nieustannie

obserwował Pondicherry Lodge), nie mógłby raczej wyjechać stąd natychmiast. Potrzebowałby trochę czasu, choćby jednego dnia, żeby poukładać swoje sprawy. Tak czy inaczej wydawało się to najbardziej prawdopodobne.

– Wydaje mi się, że to dość słaby argument – powiedziałem. – Myślę, że poukładał swoje sprawy, zanim wyruszył na tę wyprawę.

– Nie, nie sądzę. Jego kryjówka musiała być dla niego wyjątkowo cenna na wypadek, gdyby jej potrzebował. Nie wierzę, aby chciał z niej zrezygnować, chyba że byłby pewien tego, iż sobie bez niej poradzi. Uderzyła mnie jednak inna myśl. Jonathan Small musiał przeczuwać, że dziwny wygląd jego towarzysza, rzucający się w oczy niezależnie od tego, jak byłby ubrany, stanie się powodem do plotek i łatwo będzie go powiązać z tragedią z Norwood. Jest na tyle bystry, aby to rozumieć. Wspólnicy wyruszyli ze swej siedziby pod osłoną nocy, a Small zapewne chciał do niej powrócić, zanim nadejdzie dzień. Według pani Smith, było już po trzeciej w nocy, gdy wsiedli na łódź. Niewiele brakowało do świtu, a za jakąś godzinę zaczęliby się kręcić tam ludzie. W związku z tym doszedłem do wniosku, że nie mogli popłynąć zbyt daleko. Dobrze zapłacili Smithowi za milczenie, zarezerwowali jego łódź na ostatni etap swej eskapady i w pośpiechu udali się do swojej siedziby, unosząc szkatułę ze skarbem. Po kilku dniach, kiedy zorientowaliby się już, co piszą w gazetach, i upewnili czy nie padły na nich jakieś podejrzenia, udaliby się po zapadnięciu zmierzchu do Gravesend lub Downs i wsiedli potajemnie na jakiś statek odpływający do Ameryki albo do jakichś kolonii.

– A co z kutrem? Przecież nie mogli go zabrać do swojej kryjówki.

– Otóż to. Doszedłem do wniosku, że musi być niedaleko, mimo iż pozostaje niewidzialny. Postawiłem się zatem na miejscu Smalla i spojrzałem na ten problem tak, jak zrobiłby to człowiek o jego możliwościach intelektualnych. Prawdopodobnie doszedłby do wniosku, że odesłanie łodzi z powrotem lub zatrzymanie jej na przystani ułatwiłoby pościg, w przypadku gdyby policja wpadła jednak na ich trop. A więc jak mógł ukryć łódź i jednocześnie mieć ją pod ręką w razie potrzeby? Zastanowiłem się, co sam bym zrobił, gdybym był na jego miejscu. Przyszło mi na myśl tylko jedno rozwiązanie. Mógłbym przekazać ją jakiemuś szkutnikowi lub komuś trudniącemu się naprawami łodzi i nakazać mu dokonanie jakiejś drobnej zmiany. Zostałaby wówczas

wciągnięta do hangaru lub doku w stoczni, i w ten sposób pozostawałaby skutecznie ukryta, a jednocześnie mógłbym dysponować nią ponownie w ciągu kilku godzin.

– To się wydaje dość proste.

– Najprostsze właśnie rzeczy można najczęściej przeoczyć. Tak czy inaczej postanowiłem to sprawdzić. Wyruszyłem więc natychmiast w tym skromnym marynarskim przebraniu i wypytywałem o kuter we wszystkich stoczniach w dole rzeki. W piętnastu z nich mi się nie powiodło, jednak w szesnastej, u Jacobsona, dowiedziałem się, że dwa dni temu przekazał im „Aurorę” jakiś człowiek z drewnianą nogą, udzielając przy tym niejasnych instrukcji, dotyczących steru. „Tyle tylko, że z jej sterem jest wszystko w porządku – rzekł kierownik. – Stoi tam, ma te czerwone paski”. I zgadnij, kto się wtedy zjawił? Sam Mordecai Smith, zaginiony właściciel kutra. Był w stanie świadczącym o nadużyciu alkoholu. Oczywiście nie rozpoznałbym go, ale wyryczał na cały głos swoje nazwisko i nazwę swojej łodzi: „Chcę ją dziś wieczorem, o ósmej! Punktualnie o ósmej! Pamiętajcie o tym. Mam tu dwóch dżentelmenów, którzy nie będą czekać”. Najwyraźniej dobrze mu zapłacili, bo bardzo hojnie szastał pieniędzmi, dając pracownikom po parę szylingów. Przez jakiś czas śledziłem go, ale potem on wszedł do piwiarni. Wróciłem do stoczni i, ponieważ przez przypadek natrafiłem na jednego z moich chłopców, poleciłem mu nie ruszać się z tej okolicy oraz pilnować łodzi. My będziemy czekali na rzece, a on ma stać na brzegu i machnąć chustką, kiedy tamci wyruszą. Byłoby bardzo dziwne, gdyby nie udało nam się ująć tych ludzi i przejąć skarbu.

– Bardzo ładnie pan sobie to wszystko zaplanował, niezależnie od tego, czy to właściwi ludzie, czy nie – rzekł Jones. – Ale gdyby ta sprawa była w moich rękach, wysłałbym już oddział policjantów do stoczni Jacobsona i aresztowałbym ich od razu, gdyby się tylko zjawili.

– Czyli nigdy. Ten cały Small to całkiem bystry człowiek. Wysłałby przodem zwiadowcę, i gdyby cokolwiek wzbudziło jego podejrzenia, czekałby w swej kryjówce przez kolejny tydzień.

– Ale mogłeś przecież śledzić Mordecaia Smitha, który doprowadziłby cię do ich kryjówki – powiedziałem.

– Wtedy zmarnowałbym cały dzień. Sądzę, że szanse, by Smith wiedział, gdzie oni mieszkają, są jak jeden do stu. Dopóki ma alkohol i dobrze mu

płacą, po cóż miałby im zadawać jakieś pytania? Przekazują mu tylko instrukcje, co ma robić. Nie! Przemyślałem sobie każdą możliwość i zdecydowałem się, że takie postępowanie jest najlepsze.

Podczas tej rozmowy nasza łódź mknęła pod licznymi mostami, rozciągającymi się nad Tamizą. Gdy mijaliśmy centrum miasta, ostatnie promienie słońca złociły krzyż na szczycie katedry św. Pawła. Nim dotarliśmy do Tower, zapadał już zmierzch.

– To stocznia Jacobsona – rzekł Holmes, wskazując na najeżone maszty i liny po stronie Surrey. – Popływajmy spokojnie tam i z powrotem pod osłoną tych lichtug. – Wyjął z kieszeni lornetkę i przez jakiś czas obserwował nabrzeże. – Jak widzę, mój wartownik jest na posterunku – zauważył. – Ale nie daje żadnych znaków chustką.

– A może popłyniemy trochę w dół rzeki i tam zaczaimy się na nich? – zaproponował gorliwie Jones. Wszyscy już paliliśmy się do działania, nawet policjanci i palacze, którzy mieli raczej mgliste pojęcie o tym, co się miało wydarzyć.

– Nie możemy niczego zakładać z góry – odparł Holmes. – Prawdopodobieństwo, że udadzą się w dół rzeki, jest jak dziesięć do jednego, ale nie możemy być tego pewni. Z tego miejsca widzimy wejście do stoczni, tymczasem oni raczej nas nie zobaczą. Tym bardziej że zapowiada się pogodna i bardzo jasna noc, musimy więc zostać tu, gdzie jesteśmy. Spójrzcie, jakie tłumy ludzi przechodzą tam pod latarniami.

– Wracają z pracy.

– Brudni i zmęczeni, ale przypuszczam, że każdy z nich nosi w sobie jakąś ukrytą iskrę nieśmiertelnego ognia. Patrząc na nich, trudno byłoby ją odkryć. W tym przypadku bowiem nie sposób założyć czegokolwiek a priori. Cóż za przedziwną istotą jest człowiek!

– Ktoś nazwał go duszą ukrytą w ciele zwierzęcia – podsunąłem.

– Winwood Reade dobrze to ujął – rzekł Holmes. – Zauważył, że choć pojedynczy człowiek stanowi zagadkę nie do rozwikłania, w większej grupie staje się matematycznym pewnikiem. Nigdy na przykład nie uda ci się przewidzieć, co zrobi dana jednostka, możesz jednak prognozować, co zrobi liczna grupa ludzi. Poszczególne jednostki się różnią, ale stosunek procentowy pozostaje taki sam. Tak twierdzą statystycy. Ale, ale, wydaje się, że ktoś macha chustką? Z całą pewnością powiewa tam coś białego.

– Tak, to twój chłopak! – zawołałem. – Widzę go wyraźnie.

– A tam jest „Aurora”! – krzyknął Holmes. – Pędzi niczym diabeł. Cała naprzód! Niech pan płynie za tym kutrem z żółtym światłem. Wielkie nieba, nigdy sobie nie wybaczę, jeśli okaże się szybszy od nas!

„Aurora” wyśliznęła się niezauważalnie ze stoczni i przepłynęła między kilkoma łodziami. Zanim ją dostrzegliśmy, zdążyła już nabrać znacznej prędkości. Teraz pędziła w dół rzeki, trzymając się blisko brzegu i oddalając się od nas w ogromnym tempie. Jones spojrzał z niepokojem na kuter i potrząsnął głową.

– Jest niezwykle szybka – powiedział. – Wątpię, czy ją dogonimy.

– Musimy ją dogonić! – zawołał Holmes przez zaciśnięte zęby. – Dorzućcie więcej węgla! Wyciśnijcie z tej łodzi, co się da! Choćbyśmy mieli ją spalić, musimy ich dogonić!

Byliśmy dość daleko za „Aurorą”. W paleniskach aż huczało, a potężne silniki gwizdały i stukały niczym ogromne metalowe serce. Ostry pionowy dziób naszej łodzi pruł spokojną rzekę, rozgarniając fale na prawo i lewo. Z każdym obrotem silników dokonywaliśmy skoku naprzód i drżeliśmy wraz z łodzią, jakby była żywą istotą. Duża żółta latarnia na dziobie rzucała długą migoczącą smugę światła. Ciemna plama na wodzie prosto przed nami wskazywała drogę „Aurory”, a kotłująca się za nią biała piana świadczyła o tym, jak szybko łódź mknęła naprzód.

Mijaliśmy barki, łodzie parowe, statki handlowe, opływaliśmy je, znów znajdowaliśmy się za czyjąś rufą i w ten sposób wyprzedzaliśmy łódź za łodzią. Z ciemności pozdrawiały nas jakieś głosy. „Aurora” nadal pędziła w dół rzeki, a my wciąż deptaliśmy jej po piętach.

– Więcej węgla, ludzie! Dorzućcie węgla! – krzyknął Holmes, zaglądając pod pokład do maszynowni, a jaskrawy blask rozpalonych kotłów oświetlił jego bystrą wyrazistą twarz. – Wyciśnijcie tyle pary, ile możecie!

– Wydaje mi się, że doganiamy ich – rzekł Jones z oczyma utkwionymi w „Aurorze”.

– Jestem tego pewien – odparłem. – Za kilka minut się z nią zrównamy.

W tej właśnie chwili złośliwy los sprawił jednak, że drogę przeciął nam jakiś holownik ciągnący trzy barki. Jedynie gwałtowne szarpnięcie sterem pozwoliło nam uniknąć zderzenia, i zanim go wyminęliśmy, „Aurora” zdobyła dobrych dwieście jardów przewagi. Wciąż jednak pozostawała w zasięgu wzroku, gdy tymczasem mroczny niepewny zmierzch zmieniał się właśnie w pogodną rozgwieżdżoną noc. Kotły naszej łodzi były

maksymalnie przeciążone, a jej kruchy kadłub zgrzytał i wibrował pod naporem dzikiej energii, która pchała nas naprzód. Zostawiliśmy za sobą baseny portowe, doki West India i popłynęliśmy w dół, omijając długi Deptford Reach, a potem znów w górę, opływając Psią Wyspę. Nagle niejasny kształt majaczący przed nami zmienił się w wyraźnie widoczną śmigłą „Aurorę". Jones skierował na nią nasz reflektor, w jego świetle wyraźnie dostrzegliśmy na jej pokładzie sylwetki ludzi. Na rufie siedział jakiś człowiek, pochylając się nad ciemnym przedmiotem pomiędzy nogami. Obok niego również leżał jakiś ciemny kształt, przypominający nowofund-landa. Ster trzymał młody chłopak, a w czerwonym świetle buchającym z paleniska dojrzałem starego Smitha rozebranego do pasa i dorzucającego węgla ze wszystkich sił. Być może z początku mieli jeszcze jakieś wątpliwości, czy rzeczywiście ich ścigamy. Jednak teraz, gdy za każdym razem skręcaliśmy w ślad za nimi, musieli już być tego pewni. W Greenwich dzieliło nas jakieś trzysta kroków, w Blackwall – nie więcej niż dwieście pięćdziesiąt. W mojej bogatej karierze ścigałem już wiele stworzeń w wielu krajach, jednak jeszcze nigdy dotąd nie czułem tak dzikiego podniecenia, jak podczas tego szaleńczego pościgu po Tamizie. Zbliżaliśmy się do nich jard po jardzie. W nocnej ciszy słyszeliśmy stękanie i buczenie silnika ich łodzi. Mężczyzna na rufie wciąż siedział skulony na pokładzie, a jego ręce nieustannie się poruszały. Wyglądało to tak, jakby był czymś bardzo zajęty. Od czasu do czasu podnosił wzrok, mierząc spojrzeniem dzielącą nas odległość. Byliśmy coraz bliżej. Jones wrzasnął do uciekinierów, żeby się zatrzymali. Dzieliło nas nie więcej niż cztery długości łodzi, obie jednostki mknęły teraz w szaleńczym tempie. Rzeka na tym odcinku była pusta, po jednej stronie ciągnął się Barking Level, a po drugiej rozciągały się melancholijne bagna Plumstead. Słysząc nasze wołanie, mężczyzna siedzący na rufie wyprostował się i, stojąc na pokładzie, zaczął wymachiwać w naszą stronę zaciśniętymi pięściami i przeklinać głośnym ochrypłym głosem. Był to rosły, potężnie zbudowany człowiek. Stał z szeroko rozstawionymi nogami, i dostrzegłem, że zamiast prawej nogi miał od uda w dół drewnianą protezę. Słysząc jego wściekłe okrzyki, ciemna sterta skulona na pokładzie raptem poruszyła się i uniosła. Ujrzałem niskiego czarnego mężczyznę, najmniejszego, jakiego widziałem w życiu. Miał olbrzymią, zniekształconą głowę i bujną czuprynę rozczochranych włosów. Holmes zdążył już wyciągnąć swój rewolwer, a ja

na widok tej dzikiej zdeformowanej istoty zrobiłem to samo. Mężczyzna był owinięty w jakiś ciemny ciężki płaszcz lub koc, wystawała jedynie twarz, widok ten wystarczył, by nie przespać kilku nocy. Nigdy dotąd nie widziałem rysów tak głęboko naznaczonych bestialstwem i okrucieństwem. Małe oczy płonęły, błyszcząc jakimś ponurym światłem, zaś grube wargi wykrzywił okropny grymas, odsłaniający zęby wyszczerzone ku nam w jakiejś półzwierzęcej furii.

– Jeśli uniesie rękę, strzelajcie – rzekł cicho Holmes.

W tej chwili dzieliła nas tylko jedna długość łodzi, i niemal stykaliśmy się z „Aurorą”. Wciąż mam przed oczyma, jak stali tam wtedy: biały człowiek na szeroko rozstawionych nogach, wykrzykujący przekleństwa w naszą stronę, i ten diabli karzeł o wstrętnej twarzy, szczerzący na nas w świetle latarni swoje silne żółte zęby.

Mieliśmy szczęście, że tak wyraźnie go widzieliśmy, bo nagle wyciągnął spod odzienia jakiś krótki, okrągły kawałek drewna wielkości szkolnej linijki i przyłożył go do ust. Równocześnie rozległ się huk naszych pistoletów. Karzeł skulił się, szarpnął do tyłu, wyrzucił w górę ramiona i ze zduszonym jękiem wypadł za burtę do rzeki. W białej wzburzonej wodzie dostrzegłem przez moment jego złośliwe, pełne nienawiści oczy. W tej samej chwili człowiek z drewnianą nogą rzucił się na ster i pchnął go mocno od siebie, tak że jego łódź skierowała się prosto na południowy brzeg, my zaś przemknęliśmy za jej rufą w odległości zaledwie kilku stóp. W jednej chwili nawróciliśmy i znów ruszyliśmy za nią, ale była już prawie przy brzegu. Znaleźliśmy się w dzikim i opuszczonym miejscu, gdzie światło księżyca połyskiwało na ciągnących się w dali bagnach, oświetlając stawy ze stojącą wodą i z gnijącą roślinnością. Kuter z głuchym odgłosem uderzył w mulisty brzeg, jego dziób uniósł się w powietrze, a rufę zalała woda. Uciekinier zeskoczył na brzeg, ale jego drewniana noga natychmiast zapadła się na całą długość w grząską ziemię. Na próżno wił się, walcząc, by się z niej uwolnić. Nie był w stanie zrobić kroku ni w przód, ni w tył. Wrzeszczał z bezsilnej złości i szaleńczo kopał błoto drugą nogą, jednak ta szarpanina sprawiała jedynie, że drewniana proteza zapadała się coraz głębiej w mulisty brzeg. Gdy nasza łódź zatrzymała się przy „Aurorze”, tkwił już tak głęboko w bagnie, że tylko zarzucając koniec liny na jego ramiona, byliśmy w stanie go wyciągnąć i powlec, niczym wściekle rzucającą się rybę, w naszą stronę. Obaj Smithowie, ojciec i syn, siedzieli

markotni w swojej łodzi, słysząc jednak polecenie, potulnie weszli na nasz pokład. Samą „Aurorę” ściągnęliśmy z brzegu i przymocowaliśmy do naszej rufy. Na jej pokładzie znajdowała się solidna żelazna szkatuła wykonana przez hinduskich rzemieślników. Nie pozostawało żadnych wątpliwości, że była to ta sama skrzynka, która zawierała owiany złą sławą skarb rodziny Sholto. Nie znaleźliśmy żadnego klucza, a szkatuła była dość ciężka, przenieśliśmy ją więc ostrożnie do naszej niewielkiej kabiny. Kiedy ruszyliśmy powoli w górę rzeki, zaczęliśmy przeszukiwać reflektorem jej nurt we wszystkich kierunkach, nie dostrzegliśmy jednak śladu tego dziwnego wyspiarza. Jego kości z pewnością spoczywają gdzieś w ciemnym mule na dnie Tamizy.

– Spójrzcie tylko – rzekł Holmes, wskazując na drewnianą klapę włazu. – Zdążyliśmy wystrzelić w ostatniej chwili.

I rzeczywiście, tuż za miejscem, gdzie staliśmy, tkwiła jedna z tak dobrze nam znanych morderczych strzałek. Musiała przelecieć między nami w tej samej chwili, w której zaczęliśmy strzelać. Holmes uśmiechnął się i od niechcenia wzruszył ramionami, muszę jednak przyznać, że mnie samemu zrobiło się niedobrze na myśl o straszliwej śmierci, która tej nocy była tak blisko.

Rozdział jedenasty

Wielki skarb z Agry

Nasz jeniec siedział w kabinie naprzeciw żelaznej szkatuły, dla której zdobycia uczynił tak wiele i na którą tak długo czekał. Był to mocno opalony mężczyzna o zuchwałym spojrzeniu, a sieć zmarszczek na jego mahoniowej twarzy mówiła o ciężkim życiu pod gołym niebem. Zarośnięty podbródek był wyraźnie wysunięty, co świadczyło o tym, że był człowiekiem, którego niełatwo odwieść od realizacji swych celów. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat, gdyż jego czarne kręcone włosy były gęsto poprzetykane pasmami siwizny. W tej chwili rysy twarzy mężczyzny były rozluźnione, i widok ten nie był nieprzyjemny, ale jeszcze przed chwilą mogłem się przekonać, że gdy wpadał w gniew, jego krzaczaste brwi i agresywny podbródek nadawały twarzy straszliwy wyraz. Siedział teraz z rękoma skutymi kajdankami i głową opuszczoną na piersi, zerkając swymi bystrymi błyszczącymi oczyma na szkatułę, która była przyczyną wszystkich jego złych uczynków. Odniosłem wrażenie, że stężała, opanowana twarz więźnia wyraża raczej smutek niż złość. Na chwilę podniósł wzrok i spojrzał na mnie, a w jego oczach dostrzegłem błysk czegoś, co można było uznać za przejaw swoistego poczucia humoru.

– Cóż, Jonathanie Small – rzekł Holmes, zapalając cygaro – przykro mi, że do tego doszło.

– Mnie również, sir – odparł szczerze. – Nie sądzę, bym mógł się teraz z tego wywinąć. Przysięgam panu na wszystkie świętości, że nie podniosłem ręki na pana Sholto. To Tonga, ten mały pies z piekła rodem, strzelił do niego jedną ze swoich przeklętych strzałek. Nie miałem w tym żadnego udziału, sir. Tak mnie to zasmuciło, jakby Sholto był moim krewnym. Wychłostałem za to tego małego diabła liną, ale było już za późno, i nie mogłem nic zrobić, aby to w jakikolwiek sposób cofnąć.

– Proszę się poczęstować cygarem – rzekł Holmes. – I dobrze by było, gdyby pociągnął pan łyk z mojej piersiówki. Jest pan bardzo przemoczony. Nie mógł się pan spodziewać, że ktoś tak słaby i mały jak ten czarny człowieczek pokona pana Sholto i obezwładni go w chwili, gdy pan wspinał się po linie.

– Wydaje mi się, że wie pan o tym tyle, jakby sam pan tam wtedy był, sir. Po prawdzie to miałem nadzieję, że w pokoju nikogo nie będzie. Znałem dość dobrze zwyczaje panujące w tym domu i wybrałem porę, kiedy pan Sholto z reguły schodził na kolację. Nie będę robił tajemnicy z całej sprawy. Najlepsza obrona, na jaką mnie w tej chwili stać, to po prostu powiedzieć prawdę. Gdybym zastał tam starego majora, nie wahałbym się nawet przez chwilę i z przyjemnością zadźgałbym go nożem. Nie zastanawiałbym się nad tym dłużej niż nad zapaleniem tego cygara. Ale przeklęty los sprawił, że natknąłem się na młodego Sholto, z którym nie miałem żadnego zatargu.

– Znajduje się pan pod nadzorem pana Athelneya Jonesa ze Scotland Yardu. On doprowadzi pana do mojego mieszkania, a tam porozmawiamy, jak to naprawdę było. Musi mi pan o wszystkim opowiedzieć, bo tylko wtedy, mam nadzieję, będę mógł panu pomóc. Sądzę, że jestem w stanie udowodnić, iż ta trucizna zadziałała tak szybko, że Sholto już nie żył, nim dotarł pan do jego pokoju.

– Tak było, sir. Nigdy w życiu nic mnie tak nie przeraziło jak jego widok, gdy wszedłem przez okno i zobaczyłem go, kiedy tak siedział, wytrzeszczając na mnie zęby, z głową zwieszoną na ramieniu. Ogromnie mną to wstrząsnęło, sir. Chyba zatłukłbym Tongę na śmierć, gdyby mi się nie wywinął. To właśnie dlatego zostawił swoją maczugę i część zatrutych strzałek, co i naprowadziło, jak sądzę, pana na nasz trop. Nie potrafię jednak powiedzieć, jakim cudem udało się panu go nie zgubić. Nie żywię wobec pana urazy, sir, ale wydaje mi się to dość dziwne – dodał z gorzkim uśmiechem – że ja, człowiek, który ma słuszne roszczenia do połowy miliona, musiałem spędzić pół życia, budując falochrony na Andamanach, a jego drugą połowę spędzę zapewne, kopiąc rowy w Dartmoor. To był dla mnie zły dzień, gdy moje oczy po raz pierwszy ujrzały kupca Achmeta i gdy wmieszałem się w sprawę tego skarbu z Agry. On zawsze obciążał właścicieli klątwą. To przez niego zamordowany został Achmet, major

Sholto żył w lęku i z poczuciem winy, dla mnie zaś oznaczał niewolę przez całe życie.

W tej właśnie chwili szeroka twarz i zwaliste ramiona Athelneya Jonesa pojawiły się w wejściu do maleńkiej kabiny.

– Cóż za rodzinne przyjęcie – zauważył. – Chyba też sobie łyknę z tej piersióweczki, panie Holmes. Uważam, że wszyscy możemy sobie pogratulować. Szkoda, że nie schwytaliśmy tego drugiego żywcem, ale nie mieliśmy wyboru. Trzeba przyznać, panie Holmes, że świetnie to panu wyszło. Wszystko, co musieliśmy zrobić, to dogonić ten kuter.

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy – rzekł Holmes. – Ale zapewniam pana, że nie wiedziałem, iż „Aurora” jest aż tak szybka.

– Smith twierdzi, że to jeden z najszybszych kutrów na tej rzece, i że gdyby tylko miał jeszcze jednego palacza, nigdy byśmy go nie doścignęli. Zaklina się, że nic nie wiedział o tej sprawie z Norwood.

– Bo nie wiedział – zawołał nasz więzień. – Nic mu o tym nie wspominałem. Wybrałem jego łódź, bo słyszałem o tym, jaka jest szybka, ale o niczym mu nie mówiliśmy. Dobrze mu zapłaciliśmy i obiecaliśmy niezłą nagrodę, gdyby udało mu się dotrzeć do „Esmeraldy”, statku, którym mieliśmy popłynąć z Gravesend do Brazylii.

– Skoro nic złego nie zrobił, musimy teraz dopilnować, żeby nic złego mu się nie stało. Jesteśmy szybcy w łapaniu przestępców, ale już nie tak szybcy w skazywaniu niewinnych. – Zabawnym było obserwować, z jakim przekonaniem Jones zaczynał się chełpić ujęciem więźnia. Z lekkiego uśmiechu, który przemknął po twarzy Sherlocka Holmesa, wyczytałem, że nie umknęła jego uwadze ta przemowa.

– Wkrótce będziemy przy Vauxhall Bridge – rzekł Jones. – Tam, doktorze Watson, wysadzimy pana razem ze skarbem. Chyba nie muszę mówić, że pozwalając na to, biorę na siebie ogromną odpowiedzialność. To rażące naruszenie procedur, ale oczywiście umowa pozostaje umową. Obowiązek nakazuje mi jednak wysłać z panem inspektora, ponieważ będzie pan miał ze sobą tak cenny ładunek. Zapewne weźmie pan dorożkę?

– Tak, tak, zamierzam.

– Szkoda, że nie ma klucza, bo wtedy moglibyśmy najpierw dokonać inwentaryzacji. Będzie pan musiał otworzyć tę skrzynkę siłą. Gdzie jest klucz, Small?

– Na dnie rzeki – odparł krótko więzień.

– Hm. Niepotrzebnie zadał pan sobie tyle trudu. I tak już mieliśmy przez pana mnóstwo roboty. Mimo wszystko, doktorze, nie muszę chyba panu tłumaczyć, aby był pan ostrożny. Potem proszę zabrać ze sobą szkatułę na Baker Street. Zatrzymamy się tam w drodze na posterunek.

Wysadzili mnie w Vauxhall z ciężką żelazną skrzynką, przydzieliwszy mi do towarzystwa dość obcesowego, ale sympatycznego inspektora. Po kwadransie jazdy dotarłem do domu pani Cecil Forrester. Służąca była zdumiona tak późną wizytą. Pani Forrester nie było tego wieczoru w domu i, jak wyjaśniła mi pokojówka, miała wrócić bardzo późno. W salonie była jednak panna Morstan, udałem się do niej ze szkatułą w rękach, zostawiając uczynnego inspektora w dorożce. Siedziała w wiklinowym fotelu przy otwartym oknie, odziana w suknię z jakiejś zwiewnej białej tkaniny, którą zdobił wokół szyi i talii drobny szkarłatny akcent. Na pannę Morstan padało łagodne światło osłoniętej kloszem lampy, grając na jej słodkiej poważnej twarzy i dodając głębokiego metalicznego blasku pięknym zwojom jej wspaniałych gęstych włosów. Białe ramię i dłoń zsunęły się poza poręcz fotela, a jej poza świadczyła o tym, że była pogrążona w melancholijnej zadumie. Słysząc moje kroki, panna Mary wstała pośpiesznie, a jej blade policzki oblał rumieniec zaskoczenia i radości.

– Usłyszałam, jak zajechała dorożka – powiedziała. – Przypuszczałam, że to pani Forrester wróciła tak wcześnie, nie marzyłam jednak nawet o tym, że to mógłby być pan. Jakie wieści mi pan przynosi?

– Przynoszę coś lepszego niż wieści – odrzekłem, stawiając na stole szkatułę. Powiedziałem to jowialnym, pełnym energii tonem, choć było mi ciężko na sercu. – Przynoszę coś, co warte jest wszystkich wieści na tym świecie. Przynoszę pani fortunę!

Spojrzała na żelazną skrzynkę.

– A więc to jest ten skarb? – spytała dość chłodnym tonem.

– Tak, to wielki skarb z Agry. Połowa należy do pani, a połowa do Thaddeusa Sholto. Obojgu z was dostanie się po paręset tysięcy. Proszę tylko o tym pomyśleć! To roczny dochód rzędu dziesięciu tysięcy funtów! Niewiele będzie w Anglii bogatszych młodych dam. Czyż to nie cudowne?

Muszę przyznać, że raczej z przesadą odgrywałem swój zachwyt i zapewne musiała zauważyć, iż moje gratulacje brzmią fałszywie. Uniosła nieco brwi i spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Jeśli go dostanę – odrzekła – będę zawdzięczała to panu.

– Nie, nie! – zaprotestowałem. – Nie mnie, lecz mojemu przyjacielowi Sherlockowi Holmesowi. Niezależnie od tego, jak bardzo bym tego pragnął, nigdy sam nie wpadłbym na ten trop. Nawet dla tak genialnego analityka jak on sprawa ta okazała się ciężkim wyzwaniem. I nawet mimo jego zaangażowania niewiele brakowało, byśmy stracili ten skarb w ostatniej chwili.

– Proszę usiąść, doktorze Watson. Niech mi pan o wszystkim opowie – powiedziała.

Streściłem jej pokrótce wydarzenia, które miały miejsce, odkąd widziałem ją po raz ostatni. Opowiedziałem o nowej metodzie poszukiwań zastosowanej przez Holmesa, o odnalezieniu „Aurory", pojawieniu się Athelneya Jonesa, naszej wieczornej wyprawie i dzikim pościgu po Tamizie. Słuchała tej relacji z rozchylonymi wargami i błyszczącymi oczyma. Gdy wspomniałem o strzałce, która omal nie trafiła jednego z nas, pobladła tak bardzo, iż obawiałem się nawet, że zaraz zemdleje.

– To nic – rzekła, gdy pośpiesznie nalałem jej odrobinę wody. – Nic mi nie jest. Było dla mnie wielkim szokiem, gdy usłyszałam, że naraziłam moich przyjaciół na tak straszliwe niebezpieczeństwo.

– Już po wszystkim – odparłem. – Nikomu nic się nie stało. Nie będę pani więcej opowiadał o ponurych szczegółach. Zajmijmy się czymś weselszym. Oto skarb! Cóż mogłoby być radośniejszego niż to? Pozwolono mi go tu przynieść, gdyż uznano, że chciałaby pani zobaczyć go jako pierwsza.

– To może być niezwykle interesujące – odpowiedziała panna Morstan, w jej głosie nie było jednak zapału. Bez wątpienia pomyślała, że mogłaby się wydać niewdzięczną, gdyby okazała brak zainteresowania skarbem, którego zdobycie tak wiele nas kosztowało.

– Jaka piękna szkatuła! – dodała, pochylając się nad nią. – To hinduska robota, jak przypuszczam?

– Tak, to rękodzieło z Benares.

– I jaka ciężka! – zawołała, próbując ją podnieść. – Już sama skrzynka musi być coś warta. A gdzie jest klucz?

– Small wyrzucił go do Tamizy – odrzekłem. – Będę musiał pożyczyć na chwilę pogrzebacz pani Forrester.

Szkatuła była zamknięta szeroką grubą klamrą w kształcie siedzącego Buddy. Wsunąłem pod nią końcówkę pogrzebacza i przekręciłem go,

używając jako dźwigni. Klamra odskoczyła z głośnym trzaśnięciem. Drżącymi palcami otworzyłem pokrywę. Staliśmy tak oboje, wpatrując się ze zdumieniem w środek szkatuły. Była pusta!

Nic dziwnego, że tyle ważyła, grubość jej żelaznych ścianek wynosiła jakieś dwie trzecie cala. Była masywna, dobrze i solidnie wykonana, nie zawierała jednak żadnych kosztowności, drogocennych kruszców czy biżuterii. Była absolutnie i całkowicie pusta.

– Skarb zniknął – rzekła spokojnie panna Morstan.

Gdy usłyszałem te słowa i uświadomiłem sobie, co oznaczają, poczułem, jak z serca spada mi ogromny ciężar. Aż do tej chwili nie zdawałem sobie nawet sprawy, jak bardzo ten skarb z Agry mnie przytłaczał. Zrozumiałem to dopiero teraz, gdy zniknął. Bez wątpienia było to egoistyczne, nielojalne i złe, nie potrafiłem jednak myśleć o niczym innym prócz tego, że oto znikła ta złota bariera, która tkwiła pomiędzy nami.

– Dzięki Bogu! – zawołałem z całego serca.

Spojrzała na mnie szybko z pytającym uśmiechem.

– Czemu pan tak powiedział? – spytała.

– Bo teraz znów jesteś w moim zasięgu – powiedziałem, ujmując jej dłoń. Nie cofnęła jej. – Bo kocham cię, Mary, bardziej niż jakikolwiek mężczyzna kochał w życiu jakąkolwiek kobietę! Bo ten skarb, wszystkie te bogactwa nie pozwalały mi mówić! Teraz, kiedy ich już nie ma, mogę ci powiedzieć, jak bardzo cię kocham. To dlatego powiedziałem: „Dzięki Bogu!”.

– W takim razie ja też powiem: „Dzięki Bogu!” – wyszeptała, gdy przyciągnąłem ją ku sobie. Niezależnie od tego, kto stracił skarb, wiedziałem, że tej nocy ja zdobyłem swój.

Rozdział dwunasty

Dziwna historia Jonathana Smalla

Inspektor, który czekał w dorożce, był niezwykle cierpliwym człowiekiem, upłynęło bowiem sporo czasu, nim do niego dołączyłem. Kiedy pokazałem mu pustą szkatułę, jego twarz spochmurniała.

– Nici z nagrody! – stwierdził ponuro. – Jak nie ma pieniędzy, to nie ma zapłaty. Gdyby wewnątrz był skarb, to dzisiejszej nocy zarobilibyśmy dychę za tę robotę, Sam Brown i ja.

– Pan Thaddeus Sholto jest bogatym człowiekiem – rzekłem. – Dopilnuję, byście otrzymali nagrodę niezależnie od tego, czy uda nam się znaleźć skarb, czy nie.

Jednakże inspektor, przygnębiony, potrząsnął tylko głową.

– Kiepska sprawa – mruknął. – Pan Athelney Jones też tak pomyśli.

Jego przewidywania okazały się słuszne. Gdy zaprezentowałem detektywowi pustą szkatułę, wyglądał na naprawdę skonsternowanego. Jones, Holmes i więzień dopiero co przyjechali, zmienili bowiem plany i po drodze odwiedzili najpierw posterunek. Mój przyjaciel oparł się wygodnie w swoim fotelu, jego twarz przybrała zwykły apatyczny wyraz twarzy. Small siedział, obojętny, naprzeciwko niego, założywszy drewnianą nogę na zdrową. Gdy pokazałem mu zawartość szkatuły, odchylił się na krześle i wybuchnął głośnym śmiechem.

– To twoja sprawka, Small! – zawołał gniewnie Athelney Jones.

– Tak. Ukryłem skarb w takim miejscu, że nigdy go nie dostaniecie! – zawołał w uniesieniu. – Ten skarb jest mój, i skoro nie mogę go zatrzymać, to cholernie dobrze zatroszczę się o to, by nie dostał go także nikt inny. Powiem wam! Nikt z żyjących nie ma do niego żadnych praw, z wyjątkiem trzech skazańców z obozu na Andamanach i mnie. Wiem, że teraz nie mógłbym go wykorzystać, podobnie zresztą jak oni. Przez cały ten czas

robiłem to wszystko tak samo dla siebie co i dla nich. Zawsze towarzyszył nam znak czterech! Wiem również, że chcieliby, abym zrobił dokładnie to, co zrobiłem. Już lepiej wyrzucić skarb do Tamizy, niż pozwolić na to, by dostał się do rąk jakichś krewnych albo potomków Sholto czy Morstana. Tego, co zrobiliśmy Achmetowi, nie zrobiliśmy po to, by oni się na tym wzbogacili. Możecie sobie szukać skarbu tam, gdzie leżą klucz i mały Tonga! Kiedy zrozumiałem, że wasza łódź na pewno nas dogoni, schowałem łup w bezpiecznym miejscu. Za tę wyprawę nie dostaniecie nawet rupii!

– Zwodzi nas pan, panie Small – rzekł surowo Athelney Jones. – Gdyby naprawdę chciał pan pozbyć się skarbu, łatwiej byłoby panu wrzucić do Tamizy całą szkatułę.

– Tak! Łatwiej by mi było ją wyrzucić, a wam jeszcze łatwiej byłoby ją wydobyć – odparł ten, spoglądając na policjanta z ukosa swymi bystrymi oczyma. – Człowiek, który był na tyle inteligentny, by mnie złapać, wiedziałby też, jak wydobyć żelazną skrzynkę z dna rzeki. Gdy wszystko leży teraz na dnie, porozrzucane na przestrzeni jakichś pięciu mil, może to być znacznie trudniejsze. W głębi serca czułem, że powinienem tak zrobić. Niemal oszalałem, kiedy się z nami zrównaliście. Ale nie ma co rozpaczać… Miałem w życiu dobre chwile i miałem też złe, ale nauczyłem się, by nigdy nie płakać nad rozlanym mlekiem.

– To bardzo poważna sprawa, Small – rzekł detektyw. – Gdyby pomógł pan wymiarowi sprawiedliwości, zamiast paraliżować w ten sposób jego działania, miałby pan znacznie większe szanse podczas procesu.

– Sprawiedliwość?! – warknął były skazaniec. – Ładna mi sprawiedliwość! Czyj to był łup, jeśli nie nasz? Co ma wspólnego ze sprawiedliwością oddanie go komuś, kto na niego nie zasłużył? Nie to co ja! Dwadzieścia długich lat na tych malarycznych bagnach, cały dzień pracy pod mangrowcami, całą noc skuty w obskurnej chatce dla więźniów, kąsany przez moskity, chory na febrę i napastowany przez każdego przeklętego czarnego strażnika, który miał ochotę wyżyć się na jakimś białym. To tak zasłużyłem sobie na skarb z Agry! A wy mówicie mi o sprawiedliwości tylko dlatego, że nie potrafię znieść myśli, iż zapłaciłem tę cenę jedynie po to, by inni ludzie mogli cieszyć się skarbem. Wolałbym raczej cisnąć go do wody dwadzieścia razy lub poczuć na własnej skórze jedną z zatrutych strzałek Tongi, niż siedzieć w celi ze świadomością, że

ktoś inny korzysta z życia w swoim pałacu dzięki pieniądzom, które powinny należeć do mnie.

Small odrzucił maskę stoicyzmu i wyrzucił z siebie ten dziki potok słów. Jego oczy miotały iskry. Z wściekłością wymachiwał rękoma, dzwoniąc kajdankami. Obserwując ten wybuch furii i pasję tego człowieka, zrozumiałem, że lęk, który opętał majora Sholto na wieść, iż niepełnosprawny zbieg jest na jego tropie, nie był ani bezpodstawny, ani nienaturalny.

– Zapomina pan, że my nic o tym wszystkim nie wiemy – rzekł cicho Holmes. – Nie usłyszeliśmy jeszcze pańskiej historii i nie potrafimy powiedzieć, czy oraz jak bardzo sprawiedliwość mogłaby panu pomoc.

– Sir, zachowywał się pan wobec mnie bardzo w porządku, choć doskonale wiem, że to panu zawdzięczam te kajdanki na rękach. Nie żywię jednak do pana urazy. Jeśli chce pan usłyszeć moją historię, nie będę niczego przed panem ukrywał. To, co powiem, to najszczersza prawda, każde słowo jest prawdziwe. Dziękuję. Proszę postawić przy mnie tę szklankę. Chętnie się napiję, gdy zaschnie mi w gardle.

Pochodzę z Worcestershire, urodziłem się niedaleko Pershore. Założę się, że gdyby pan sprawdził, znalazłby wielu Smallów, którzy wciąż tam żyją. Często myślałem o tym, żeby ich odwiedzić, jednak, prawdę mówiąc, rodzina nigdy za bardzo za mną nie przepadała, i wątpię, by się ucieszyli na mój widok. Wszyscy oni byli porządnymi ludźmi uczęszczającymi do kościoła, drobnymi rolnikami, znanymi i szanowanymi na wsi, podczas gdy ze mnie zawsze był trochę niespokojny duch. Kiedy jednak miałem mniej więcej osiemnaście lat, przestałem wreszcie ich niepokoić. Wpakowałem się w kłopoty z powodu pewnej dziewczyny, a mogłem uwolnić się od nich, wyłącznie godząc się na królewskie szylingi i dołączając do 3. pułku piechoty *The Buffs*, który właśnie wyruszał do Indii. Nie było mi jednak pisane zbyt długo służyć w wojsku. Ledwie nauczyłem się maszerować defiladowym krokiem i posługiwać muszkietem, gdy wpadłem na głupi pomysł, aby popływać sobie w Gangesie. Na szczęście, John Holder, sierżant z mojej kompanii, jeden z najlepszych pływaków w naszej jednostce, również był wtedy w wodzie. Na środku rzeki dopadł mnie krokodyl i odgryzł mi prawą nogę tuż nad kolanem, jak nożem uciął, tak precyzyjnie, jak mógłby to zrobić tylko chirurg. Zemdlałem wskutek szoku i utraty krwi, i na pewno bym się utopił,

gdyby nie Holder. Schwycił mnie i doholował do brzegu. Następne pięć miesięcy spędziłem w szpitalu, a gdy wreszcie go opuściłem, kuśtykając na tej drewnianej protezie, przypiętej do kikuta, byłem inwalidą niezdolnym do służby w armii i nienadającym się do wykonywania żadnego aktywnego zawodu.

Jak sobie zapewne panowie wyobrażają, byłem bardzo przygnębiony tym, co mnie spotkało, bo choć nie skończyłem jeszcze dwudziestu lat, stałem się bezużytecznym kaleką. Szybko jednak to moje nieszczęście okazało się błogosławieństwem w przebraniu. Człowiek o imieniu Abel White, który dorobił się fortuny jako plantator indygowca, pragnął zatrudnić nadzorcę, który pilnowałby w pracy jego kulisów. Tak się złożyło, że przyjaźniłem się z naszym pułkownikiem, który interesował się moim losem od czasu wypadku. Krótko mówiąc, pułkownik bardzo gorąco polecał mnie na to stanowisko, a ponieważ pracę tę wykonywało się głównie w siodle, brak nogi nie stanowił zbyt dużej przeszkody. Na szczęście, pozostała mi na tyle duża część uda, że mogłem się dobrze utrzymać na koniu. Moim zadaniem było jeździć po plantacji, przyglądać się ludziom podczas pracy i zawiadamiać mego pracodawcę o przypadkach uchylania się od pracy. Dobrze mi płacił, zapewnił wygodną kwaterę i, ogólnie mówiąc, cieszyła mnie myśl, że resztę życia spędzę na plantacji indygowca. Pan Abel White był dobrym człowiekiem i często zaglądał do mojego baraku, aby wypalić ze mną fajkę. Cóż, biali ludzie w tym rejonie świata lgną do siebie znacznie bardziej, niż miałoby to miejsce w ich ojczyźnie.

Niestety, los nigdy się do mnie za długo nie uśmiechał. Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wybuchł u nas potężny bunt. Jeszcze miesiąc wcześniej Indie wydawały się tak spokojne i ciche jak Surrey czy Kent. Zaledwie kilka tygodni później dwieście tysięcy czarnych diabłów zerwało się ze smyczy, przeobrażając ten kraj w istne piekło. Rzecz jasna, panowie o tym wszystkim wiedzą, i to pewnie dużo więcej niż ja, bo w życiu za wiele nie czytałem. Wiem tylko tyle, co widziałem na własne oczy. Nasza plantacja znajdowała się w dystrykcie zwanym Muttra, w pobliżu granicy północno-zachodnich prowincji. Każdej nocy całe niebo rozświetlone było łuną od płonących domów, a dzień w dzień małe grupki Europejczyków wraz ze swymi żonami i dziećmi przejeżdżały przez naszą posiadłość w drodze do Agry, gdzie stacjonowało wojsko. Pan Abel White

był upartym człowiekiem. Wbił sobie do głowy, że cała sprawa jest przesadnie nagłośniona i że przeminie równie szybko, jak się pojawiła. Siedział więc na swojej werandzie, popijając whisky i paląc cygara, podczas gdy cały kraj był ogarnięty pożogą. Oczywiście trwałem przy jego boku, podobnie zresztą jak zarządca Dawson, który w dodatku wraz z żoną prowadził White'owi księgowość. Ale pewnego pięknego dnia spadł cios. Cały dzień spędziłem na odległej plantacji, a gdy wieczorem wracałem nieśpiesznie konno do domu, nagle zauważyłem coś na dnie stromego jaru. Podjechałem, by zobaczyć, co to takiego, i poczułem, jak moje serce przenika chłód. To była żona Dawsona, poćwiartowana na drobne kawałki, na wpół zjedzona przez szakale i indyjskie psy. Trochę dalej na drodze leżał twarzą do ziemi sam Dawson, martwy, z pustym rewolwerem w dłoni, a przed nim znajdowała się bezładna sterta ciał czterech sipajów. Ściągnąłem wodze, zastanawiając się, czy nie powinienem zawrócić. Jednak w tej samej chwili dostrzegłem gęste kłęby dymu unoszące się nad domem Abla White'a i pierwsze płomienie, które zaczęły przebijać się przez dach. Zrozumiałem wówczas, że jeśli wmieszam się w tę sprawę, w żaden sposób nie przysłużę się mojemu pracodawcy, a sam zginę. Z miejsca, w którym stałem, widziałem setki tych czarnych diabłów, ubranych w czerwone kurtki, tańczących i wyjących wokół płonącego domu. Paru z nich wskazało na mnie, i w tym momencie kilka kul świsnęło mi koło ucha. Puściłem się więc z całych sił galopem przez ryżowe pola i późną nocą byłem już w murach Agry.

Okazało się jednak, że nawet tam nie było zbyt bezpiecznie. W całym kraju wrzało niczym w ulu. Wszędzie tam, gdzie Anglicy zdołali się zebrać w niewielkie grupki, utrzymywali po prostu takie pozycje, na jakie pozwalał im zasięg ich broni. Na innych terenach byli po prostu bezbronnymi uciekinierami. To była walka milionów przeciwko setkom. A najokrutniejsze w tym wszystkim było to, że ludzie, z którymi walczyliśmy, czy to piesi, czy konni, czy też kanonierzy, należeli do naszych własnych doborowych jednostek, które sami uczyliśmy i szkoliliśmy, oraz posługiwali się naszą bronią, grając na trąbkach nasze własne hejnały. W Agrze stacjonował 3. pułk fizylierów bengalskich, było trochę Sikhów, dwa oddziały konne i bateria artylerii. Utworzono korpus ochotniczy z urzędników i kupców, a ja, mimo swej drewnianej nogi, dołączyłem do niego. Na początku lipca wyruszyliśmy przeciw

buntownikom, starliśmy się z nimi pod Shahgunge i nawet na jakiś czas ich odepchnęliśmy, szybko jednak skończył nam się proch, i musieliśmy jak najprędzej wracać do miasta.

Ze wszystkich stron dobiegały najgorsze wieści. Nie należało się zresztą temu dziwić, bo spojrzawszy na mapę, można by się było przekonać, że znajdujemy się w samym sercu rebelii. Lucknow leży ponad sto mil na wschód, zaś Cawnpore mniej więcej tyle samo na południe. Zewsząd docierały do nas jedynie wieści o torturach, morderstwach i wściekłej przemocy.

Miasto Agra to wyjątkowe miejsce, w którym roi się od wszelkiego rodzaju fanatyków i zaciekłych czcicieli diabła. Kiedy nasz oddział zagubił się w jego wąskich krętych uliczkach, dowódca przeprowadził nas przez rzekę, i zajęliśmy pozycje w forcie Agra. Nie wiem, czy któryś z was, panowie, czytał lub słyszał coś o tym starym forcie. To przedziwne miejsce, najdziwniejsze, w jakim kiedykolwiek byłem, a zdarzało mi się bywać w różnych osobliwych zakątkach. Jest przede wszystkim olbrzymi, rozciąga się chyba na całe akry. W nowej części fortu pomieścił się cały nasz garnizon, a także kobiety, dzieci i zapasy, i zostało jeszcze sporo wolnego miejsca, ale ta nowa część jest maleńka w porównaniu ze starą, do której nikt się raczej nie zapuszcza i którą opanowały skorpiony i trujące wije. Pełno tam ogromnych opuszczonych sal i długich krętych korytarzy z niezliczoną ilością przejść, łatwo można się tam zgubić. Z tego właśnie powodu rzadko ktokolwiek tam wchodzi, choć od czasu do czasu jakiś mały oddział z pochodniami wyrusza badać to miejsce.

Rzeka opływa stary fort z jednej strony, tworząc jego naturalną ochronę. Z boków i z tyłu jest wiele bram, zarówno w starej części fortu, jak i w tej, gdzie stacjonował nasz oddział; wszystkich tych wejść trzeba było pilnować. Było nas niedużo i ledwie starczało mężczyzn, którzy mogliby obsadzić budynek i obsługiwać broń. Z tego powodu nie mieliśmy możliwości wystawienia silnych wart przy każdej z bram. Zorganizowaliśmy główny posterunek straży pośrodku fortu, i przez każdą bramę wychodziło się pod nadzorem jednego białego człowieka, któremu towarzyszyło dwóch lub trzech tubylców. Powierzono mi strzec w nocy, o określonych godzinach, małych, odizolowanych drzwi w południowo-zachodniej części budynku. Pod moją komendą było dwóch sikhijskich żołnierzy. Poinstruowano mnie, że jeśli cokolwiek pójdzie nie tak,

powinienem wystrzelić z muszkietu, a wtedy przybędzie pomoc z głównego posterunku straży. Ale ponieważ ci wartownicy byli oddaleni o dobrych dwieście kroków, a dzielącą nas odległość przecinał labirynt przejść i korytarzy, wątpiłem raczej, czy gdyby nas rzeczywiście zaatakowano, pomoc zdążyłaby dotrzeć tu na czas.

Rozpierała mnie duma, że dowodziłem tymi ludźmi, ja zaledwie nieopierzony wcześniej rekrut, i to w dodatku z drewnianą nogą. Przez dwie noce trzymałem wartę z moimi pendżabskimi żołnierzami. Obaj byli wysokimi mężczyznami o groźnym wyglądzie, nazywali się Mahomet Singh i Abdullah Khan. Obaj byli starymi wiarusami, którzy walczyli przeciwko nam pod Chilian Wallah. Dość dobrze mówili po angielsku, ale niewiele rozmawialiśmy. Woleli stać obok siebie i gadać o czymś przez całą noc w tej swojej dziwacznej sikhijskiej mowie. Jeśli zaś chodzi o mnie, to zazwyczaj tkwiłem przed bramą, spoglądając w dół na szeroką wijącą się rzekę i migoczące światła wielkiego miasta. Uderzenia w bębny, odgłos tam-tamów, wrzaski i wycie buntowników odurzonych opium i marihuaną przypominały nam przez cały czas, jak niebezpiecznych mamy sąsiadów po drugiej stronie rzeki. Co dwie godziny oficer pełniący nocną służbę obchodził posterunki, aby przekonać się, czy wszystko w porządku.

Trzeciej nocy, gdy pełniłem wartę, mżyło, było ciemno i ponuro. Podczas takiej pogody pełnienie warty przy bramie, gdy godziny wloką się jedna po drugiej, jest bardzo przykrym obowiązkiem. Ciągle próbowałem przekonać moich Sikhów, aby zaczęli ze mną rozmawiać, niestety, bez większych rezultatów. Około drugiej w nocy przeszedł patrol i na chwilę przerwał tę nużącą bezczynność. Przekonawszy się, że moi towarzysze nie dadzą się skłonić do wspólnej rozmowy, wyjąłem fajkę i odłożyłem muszkiet na bok, aby zapalić zapałkę. W mgnieniu oka obaj Sikhowie stali już nade mną. Jeden z nich chwycił moją broń i przyłożył mi ją do głowy, drugi zaś przystawił mi do gardła wielki nóż i wycedził przez zęby, że go wbije, jeśli choćby drgnę.

W pierwszej chwili pomyślałem, że ci ludzie sprzymierzyli się z buntownikami i że właśnie rozpoczyna się atak. Gdyby brama znalazła się w rękach sipajów, cały fort musiałby upaść, a to by oznaczało, że kobiety i dzieci zostaną potraktowane tak samo jak w Cawnpore. Może panowie uznają, że próbuję się wybielić, ale przysięgam, że gdy o tym pomyślałem, to mimo iż czułem ostrze noża na gardle, otworzyłem usta, by krzykiem

ostrzec główny posterunek straży, choćby miała to być ostatnia rzecz w moim życiu. Mężczyzna, który mnie obezwładnił, zdawał się czytać w moich myślach, bo widząc, że zamierzam krzyknąć, wyszeptał: „Nie rób hałasu! Fort jest bezpieczny. Po tej stronie rzeki nie ma rebelianckich psów”. Jego słowa brzmiały przekonująco, ja zaś wiedziałem, że jeśli choćby pisnę, będę martwy. Wyczytałem to z ciemnych oczu tego człowieka. Czekałem więc w milczeniu, aby się przekonać, czego ode mnie chcą.

– Posłuchaj mnie, sahib – rzekł Abdullah Khan, wyższy i groźniejszy z nich dwóch. – Teraz musisz być z nami, albo uciszymy cię na zawsze. Sprawa jest zbyt poważna, byśmy się zawahali. Albo będziesz z nami sercem i duszą i przysięgniesz to na chrześcijański krzyż, albo jeszcze tej nocy wrzucimy twoje ciało do rzeki i dołączymy do naszych braci z rebelianckiej armii. Nie ma żadnego pośredniego rozwiązania. Co wybierasz, śmierć czy życie? Możemy dać ci tylko trzy minuty na decyzję, bo czas mija, a wszystko musi być zrobione, nim przyjdzie następny patrol.

– Jak mogę zdecydować – odparłem – skoro nie powiedzieliście mi nawet, o co chodzi. Musicie wiedzieć jedno: jeśli jest to coś, co zagraża bezpieczeństwu fortu, to nie zamierzam mieć z tym nic wspólnego. Możecie więc dźgnąć mnie tym swoim nożem. Proszę bardzo!

– To nie jest związane z bezpieczeństwem fortu – odparł. – Prosimy cię tylko, byś zdecydował się na coś, co jest przyczyną pobytu twych rodaków w tym kraju. Prosimy cię, żebyś stał się bogaty. Jeśli dziś w nocy staniesz się jednym z nas, przysięgniemy ci na nagie ostrze noża i złożymy trzykrotną przysięgę, której jeszcze nigdy żaden Sikh nie złamał, że dostaniesz uczciwą część naszego łupu. Jedna czwarta skarbu będzie twoja. Nic lepszego nie możemy ci zaoferować.

– Ale co to za skarb? – spytałem. – Wzbogacę się równie chętnie jak wy, ale pokażcie mi, jak mogę tego dokonać.

– A więc złóż przysięgę – odpowiedział Abdullah Khan. – Na kości twego ojca, na cześć twojej matki, na krzyż waszej religii, że nie podniesiesz ręki i nie wypowiesz żadnego słowa przeciwko nam. Ani teraz, ani w przyszłości.

– Złożę taką przysięgę – odrzekłem – pod warunkiem, że fort nie będzie zagrożony.

– W takim razie ja i mój towarzysz przysięgniemy ci, że dostaniesz jedną czwartą skarbu, który zostanie równo podzielony pomiędzy nas czterech.

– Ale nas jest tylko trzech – zauważyłem.

– Nie. Dost Akbar też musi dostać swoją część. Możemy opowiedzieć ci tę historię, kiedy będziemy na niego czekać. Ty stań przy bramie, Mahomecie Singhu, i daj nam znać, gdy będą nadchodzić. Sprawa wygląda tak, sahib. Mówię ci o tym, ponieważ wiem, że wy, farangi[1], dotrzymujecie swoich przysiąg i że możemy ci zaufać. Gdybyś był jakimś kłamliwym Hindusem, to choćbyś zaklinał się na wszystkich bogów z tych ich fałszywych świątyń, twoja krew byłaby dzisiaj na tym nożu, a twoje ciało wrzucilibyśmy do wody. Ale Sikhowie znają Anglików, a Anglicy znają Sikhów. Posłuchaj więc, co mam ci do powiedzenia.

W północnych prowincjach żyje pewien radża, który jest bardzo bogaty, choć ma niewiele ziemi. Dużo skarbów odziedziczył po swoim ojcu, a jeszcze więcej zdobył sam, bo jest przyziemnym pazernym człowiekiem i gromadzi złoto, zamiast korzystać ze swego bogactwa. Kiedy wybuchła rebelia, przyjaźnił się i z lwem, i z tygrysem – i z sipajami, i z Anglikami. Szybko jednak doszedł do wniosku, że nadszedł dzień zagłady białego człowieka, bo z całego kraju docierały do niego wieści o śmierci i obaleniu Anglików. Będąc jednak człowiekiem ostrożnym, wymyślił plan, by niezależnie od tego, co się stanie, zachować przynajmniej połowę skarbu. Złoto i srebro zatrzymał przy sobie, w podziemiach swego pałacu, natomiast najcenniejsze kamienie szlachetne i najpiękniejsze perły złożył w żelaznej szkatule, którą następnie przekazał zaufanemu słudze, ten zaś w przebraniu kupca miał zawieźć ją do fortu Agra, aby spoczęły tam, aż w kraju zapanuje pokój. Plan radży opierał się na tym, że jeśliby zwyciężyli rebelianci, zachowałby swoje pieniądze, lecz gdyby zwyciężyli Brytyjczycy, zachowałby klejnoty. Podzieliwszy w ten sposób swój skarb, przeszedł na stronę sipajów, ponieważ na jego ziemiach aż się roiło od nich. Zauważ, sahib, jeżeli tak postąpił, jego majątek należy się tym, którzy zachowali wierność.

Sługa w przebraniu kupca, podróżujący pod imieniem Achmet, jest teraz w mieście Agra i pragnie się dostać do fortu. Jego towarzyszem podróży jest mój przybrany brat Dost Akbar, któremu wyjawił swój sekret. Dost Akbar obiecał, że tej nocy przeprowadzi go bocznym wejściem do fortu, gdzie ja i Mahomet Singh będziemy na niego czekali. To miejsce jest

olbrzymie i opuszczone, nikt się nie dowie o przybyciu Achmeta. Kupiec nie wyjdzie już stąd żywy, a wielki skarb radży podzielimy pomiędzy nas. Co na to powiesz, sahib?

W Worcestershire, skąd pochodzę, życie człowieka uważane jest za wielką świętość. Jednak gdy zewsząd otacza cię tylko ogień i krew, wszystko zaczyna wyglądać zupełnie inaczej i przyzwyczajasz się do widoku śmierci. To, czy kupiec Achmet miał żyć, czy umrzeć, nie miało dla mnie żadnego znaczenia, gdy usłyszałem o skarbie, zapragnąłem go w głębi serca. Natychmiast zacząłem myśleć, co mógłbym z nim zrobić w starym kraju i jak gapiłaby się na mnie moja rodzina, gdyby zobaczyła, że taki nieudacznik jak ja powrócił z kieszeniami pełnymi złotych *moidore* [2]. Tak więc podjąłem decyzję. Jednak Abdullah Khan, sądząc, że nadal się waham, nalegał dalej.

– Pomyśl, sahib – ciągnął – jeśli ten człowiek zostanie złapany przez naszego komendanta, powieszą go albo rozstrzelają, a jego klejnoty przejmie rząd, tak że nikt nie dostanie z tego nawet rupii. Teraz, kiedy będziemy go mieli w swoich rękach, czemu nie mielibyśmy wziąć całej reszty? Klejnotom będzie równie dobrze u nas, jak i w brytyjskich kufrach. Wystarczy ich, by uczynić z nas wszystkich bogatych ludzi i wielkich wodzów. Nikt się o niczym nie dowie. Przecież jesteśmy tu odcięci od świata. Trudno o bardziej sprzyjające naszym celom okoliczności. A więc zdecyduj, sahib, czy jesteś z nami, czy musimy traktować cię jak wroga.

– Jestem z wami duszą i sercem – odparłem.

– To dobrze – rzekł, oddając mi muszkiet. – Widzisz, że ci ufamy, bo podobnie jak i my nie złamiesz danego słowa. Teraz musimy tylko czekać na mojego brata i tego kupca.

– Czy twój brat wie o tym, co zamierzacie zrobić? – spytałem.

– To jego plan. On go uknuł. Teraz pójdziemy do bramy i będziemy pełnić wartę razem z Mahometem Singhiem.

Wciąż padało, bo właśnie zaczynała się pora deszczowa. Ciężkie, bure chmury przesuwały się po niebie, i nie sposób było zobaczyć dalej niż na rzut kamieniem. Przed naszą bramą ciągnęła się głęboka fosa, jednak w niektórych miejscach woda prawie całkiem wyschła, i łatwo było tamtędy przejść. Dziwnie się czułem, stojąc tak z tymi dwoma dzikimi

pendżabskimi żołnierzami i czekając na człowieka, którego miała spotkać śmierć.

Nagle dostrzegłem migotanie zaciemnionej latarni po drugiej stronie fosy. Zniknęła pomiędzy kurhanami, a następnie znów się pojawiła, zbliżając się powoli w naszą stronę.

– Są tam! – zawołałem.

– Sprawdź go tak, jak zwykle, sahib – wyszeptał Abdullah. – Nie daj mu powodów do obaw. Potem poślij go razem z nami, a my załatwimy resztę, kiedy ty będziesz czekał tutaj, stojąc na warcie. Miej pod ręką latarnię, oświetl ich tak, byśmy mieli pewność, że to rzeczywiście nasz człowiek.

Migotliwe światło zbliżało się do nas, raz po raz zatrzymując się, to znów posuwając się naprzód, aż wreszcie dostrzegłem dwie ciemne sylwetki po drugiej stronie fosy. Pozwoliłem im zejść ostrożnie po pochyłym brzegu, przebrnąć przez błoto i wspiąć się w pół drogi do bramy, nim się do nich odezwałem.

– Kto idzie? – spytałem ściszonym głosem.

– Przyjaciele – nadeszła odpowiedź. Odkryłem latarnię i oświetliłem ich. Pierwszy z nich był potężnym Sikhem, jego czarna broda sięgała niemal do szerokiej szarfy opinającej go w pasie. Nigdy nie widziałem tak wysokiego człowieka, chyba że w jakimś cyrku. Drugi był niskim, korpulentnym jegomościem z ogromnym żółtym turbanem na głowie. W ręce trzymał jakieś zawiniątko okryte szalem. Odniosłem wrażenie, że cały trzęsie się ze strachu, bo ręce drżały mu jak w febrze, i przez cały czas kręcił głową to w prawo, to w lewo, rozglądając się na boki małymi, bystrymi oczkami niczym mysz, która odważyła się wyjść ze swojej norki. Poczułem dreszcz na myśl o tym, że zostanie zabity, pomyślałem jednak o skarbie, i moje serce stwardniało niczym kamień. Gdy zobaczył moją białą twarz, odezwał się radośnie i ruszył ku mnie biegiem.

– Chroń mnie, sahib! – wysapał. – Nieszczęsny kupiec Achmet prosi cię o ochronę! Przejechałem przez całą Radżputanę, aby znaleźć schronienie w forcie Agra. Obrabowano mnie, pobito i znieważono, bo jestem przyjacielem Brytyjczyków. Błogosławiona niech będzie ta noc, kiedy znów jestem bezpieczny, ja i wszystko, co do mnie należy!

– Co masz w tym zawiniątku? – spytałem.

– Żelazną szkatułę – odparł. – Mam w niej parę rodzinnych drobiazgów, nie mających dla innych żadnej wartości, mnie jednak trudno byłoby się

z nimi rozstać. Nie jestem żebrakiem, sahib, i sowicie cię wynagrodzę, a także twojego dowódcę, jeśli udzieli mi schronienia, o które proszę.

Wiedziałem, że jeżeli jeszcze trochę będę z nim rozmawiał, wkrótce przestanę nad sobą panować. Im dłużej patrzyłem w tę pulchną przerażoną twarz, tym większą zbrodnią wydawało mi się pozbawienie go życia z zimną krwią. Najlepiej było mieć to już za sobą.

– Zaprowadźcie go do głównej warty! – rozkazałem.

Dwóch Sikhów podeszło do kupca z obu stron, olbrzym poszedł za nimi, i po chwili wszyscy zniknęli w ciemnej bramie fortu. Nigdy nie widziałem człowieka, którego śmierć otaczałaby tak szczelnie z każdej strony. Pozostałem przy bramie z latarnią.

Słyszałem ich miarowe kroki niosące się w pustych korytarzach. Nagle umilkły, a wówczas dobiegły mnie stłumione krzyki, dźwięki szamotaniny i spadających ciosów. Chwilę później, ku mojemu przerażeniu, usłyszałem szybkie kroki zmierzające w moją stronę oraz głośne sapanie biegnącego człowieka. Oświetliłem latarnią długi prosty korytarz i ujrzałem tego tęgiego mężczyznę, pędzącego niczym wiatr, z krwią na twarzy; tuż za nim gnał jak tygrys wielki czarnobrody Sikh, a w jego dłoni połyskiwał nóż. Nigdy nie widziałem człowieka biegnącego tak szybko, jak ten mały kupiec Achmet. Był coraz dalej od Sikha, i pomyślałem, że jeśli mnie minie i wydostanie się na otwartą przestrzeń, ma jeszcze szansę ocalić życie. Poczułem dla niego współczucie, ale na myśl o skarbie moje serce stwardniało. Kiedy mnie mijał, podstawiłem mu pod nogi lufę muszkietu, mężczyzna upadł i przetoczył się dwa razy niczym postrzelony królik. Zanim się pozbierał, Sikh był już przy nim i dwukrotnie zatopił nóż w jego boku. Kupiec nie zdążył nawet jęknąć ani się poruszyć i został tam, gdzie się przewrócił. Myślę sobie, że może nawet skręcił kark podczas upadku. Jak panowie widzą, dotrzymuję moich obietnic. Opowiadam wam o wszystkim tak, jak to się dokładnie wydarzyło, niezależnie od tego, czy świadczy to na moją korzyść, czy nie.

Zamilkł na chwilę i sięgnął skutymi w kajdanki rękoma po szklankę whisky z wodą, którą postawił przy nim Holmes. Muszę przyznać, że w tym momencie wydawał mi się jeszcze bardziej przerażający, i to nie tylko za sprawą tego morderstwa z zimną krwią, w którym brał udział, lecz głównie z powodu dość nonszalanckiego sposobu, w jaki nam o tym opowiadał. Niezależnie od tego, jaka czekała go kara, wiedziałem, że nie

będę mu współczuł. Sherlock Holmes i Jones siedzieli z dłońmi opartymi na kolanach, bardzo zaciekawieni całą tą historią, ale ich twarze wyrażały takie samo obrzydzenie. Być może Small to zauważył, bo gdy zaczął dalej mówić, jego głos i zachowanie stały się bardziej zuchwałe.

– Wszystko to, co zrobiłem, na pewno było złe – powiedział. – Ale chciałbym wiedzieć, ilu ludzi, będąc na moim miejscu, nie zgodziłoby się na udział w takim przedsięwzięciu, wiedząc, że za odmowę czeka ich poderżnięcie gardła. Poza tym skoro był już w forcie, jeden z nas musiał zginąć. On albo ja. Gdyby się wydostał, cała sprawa wyszłaby na jaw, a ja stanąłbym przed sądem polowym i zapewne by mnie rozstrzelali. Ludzie rzadko wydają łagodne wyroki w takich czasach.

– Niech pan opowiada dalej – rzekł krótko Holmes.

– Abdullah, Akbar i ja wnieśliśmy ciało kupca do środka. Mimo że był niski, sporo ważył. Zostawiliśmy Mahometa Singha, by pilnował bramy, i zanieśliśmy ciało Achmeta w miejsce, które Sikhowie już wcześniej przygotowali. Było położone niedaleko od naszego posterunku. Szło się tam krętym korytarzem prowadzącym do wielkiej pustej sali z rozpadającymi się ceglanymi ścianami. W jednym miejscu klepisko obniżało się, w naturalny sposób tworząc grób, więc zostawiliśmy tam ciało, przykrywszy je najpierw obluzowanymi cegłami. Następnie wróciliśmy po skarb.

Szkatuła leżała tam, gdzie ją upuścił, kiedy został zaatakowany. To ta sama, która stoi teraz otwarta na stole. Klucz przywiązany był jedwabnym sznurkiem do tej rzeźbionej rączki na górze. Otworzyliśmy ją. W świetle latarni przed naszymi oczyma zamigotały klejnoty, o jakich czytałem i marzyłem, gdy byłem jeszcze małym chłopcem, dorastającym w Pershore. Ich widok po prostu oślepiał. Kiedy nacieszyliśmy już nimi oczy, wyjęliśmy je ze szkatułki i sporządziliśmy listę. Było tam sto czterdzieści trzy brylanty najwyższej jakości, w tym również, jak sądzę, „Wielki Mogoł”, o którym mówiono, że jest drugim co do wielkości brylantem na świecie. Było też dziewięćdziesiąt siedem bardzo pięknych szmaragdów i sto siedemdziesiąt rubinów, choć niektóre z nich dość małe. W szkatule znaleźliśmy także czterdzieści karbunkułów, dwieście dziesięć szafirów, sześćdziesiąt jeden agatów oraz ogromną ilość beryli, onyksów, kocich oczu, turkusów i innych kamieni, których nazw wówczas nawet jeszcze nie znałem. Oprócz tego było jeszcze około trzystu bardzo pięknych pereł, z których dwanaście

nawleczono pomiędzy korale różańca. Nawiasem mówiąc, nie było go w szkatule, kiedy udało mi się ją odzyskać.

Gdy przeliczyliśmy już nasze skarby, odłożyliśmy je do szkatuły i zanieśliśmy pod bramę, by pokazać Mahometowi Singhowi. Następnie ponownie złożyliśmy solenną przysięgę, że będziemy chronić siebie nawzajem i zachowamy na zawsze nasz sekret. Uzgodniliśmy, że ukryjemy nasz łup w bezpiecznym miejscu do czasu, aż w kraju zapanuje spokój, a następnie podzielimy go równo pomiędzy siebie. Nie było sensu dzielić się nim wówczas, bo gdyby znaleziono przy nas klejnoty tak ogromnej wartości, spadłyby na nas podejrzenia, w forcie zaś nie było miejsca na prywatność; nie mieliśmy też gdzie ich trzymać. Zanieśliśmy więc szkatułę do tej samej sali, w której pochowaliśmy ciało Achmeta. Tam, wyjąwszy cegły z najlepiej zachowanej ściany, ukryliśmy nasz skarb w powstałej w ten sposób wnęce. Dokładnie zapamiętaliśmy to miejsce, a następnego dnia sporządziłem cztery plany, po jednym dla każdego z nas, i u dołu umieściłem znak naszej czwórki. Złożyliśmy przysięgę, że zawsze będziemy działać w imieniu nas wszystkich i żaden nie oszuka pozostałych. Z ręką na sercu mogę wam, panowie, powiedzieć, że nigdy tej przysięgi nie złamałem.

Nie ma sensu, bym wam opowiadał, jak się skończyła ta hinduska rebelia. Kiedy Wilson zdobył Delhi, a sir Colin przybył z odsieczą do Lucknow, złamaliśmy jej kręgosłup. Wciąż napływały świeże oddziały, a niedobitki wojsk Nana Sahiba przekroczyły granicę. Jednostki specjalne pod dowództwem pułkownika Greatheda przybyły do Agry i uwolniły ją od Pandjów. Wydawało się, że w kraju powraca spokój, i nas czterech ogarnęła nadzieja, że nadszedł czas, by każdy z nas mógł bezpiecznie odejść w swoją stronę z należną mu częścią łupu. Nadzieja ta jednak momentalnie legła w gruzach, gdy aresztowano nas za zamordowanie Achmeta.

A było to tak: radża powierzył swe klejnoty Achmetowi, bo wiedział, że był on człowiekiem godnym zaufania. Ludzie na Wschodzie są jednak wyjątkowo podejrzliwi. Tak więc radża wziął drugiego, jeszcze bardziej lojalnego sługę, i wysłał go, by ten szpiegował tego pierwszego. Nakazał mu, aby nigdy nie tracił Achmeta z oczu, podążał więc za pierwszym sługą niczym cień. Szedł też za nim tamtej nocy i widział, jak Achmet przeszedł przez bramę. Oczywiście pomyślał, że Achmet poprosił o schronienie

w forcie, dlatego następnego dnia sam również ubiegał się o to, by wpuszczono go do środka; nie natrafił jednak na żaden ślad Achmeta. Wydało mu się to tak dziwne, że porozmawiał z sierżantem pełniącym straż, a ten z kolei doniósł o tym naszemu komendantowi. Szybko przeszukano wszystkie pomieszczenia i odnaleziono ciało. Tak więc w chwili gdy zaczynaliśmy myśleć, że już jesteśmy bezpieczni, cała nasza czwórka została pojmana i osądzona pod zarzutem morderstwa; uzasadnieniem było to, że trzech z nas pełniło straż przy bramie, a czwarty towarzyszył Achmetowi. Podczas całego procesu nie padło nawet jedno słowo o klejnotach, bo radża został obalony i wygnany z Indii, toteż nikt się nimi szczególnie nie interesował. Wyraźnie jednak dowiedziono nam, że popełniliśmy morderstwo, i jasnym było, że wszyscy czterej musieliśmy być w nie zamieszani. Trzech Sikhów skazano na dożywocie, mnie zaś na śmierć, lecz mój wyrok został później złagodzony na taki sam, jaki otrzymali pozostali.

Znaleźliśmy się wówczas w dość dziwnej sytuacji. Zostaliśmy więźniami, a szansa na to, że znów się kiedykolwiek wydostaniemy na wolność, była wyjątkowo nikła. Mimo to każdy z nas znał sekret, który mógłby dać mu pałace, gdyby tylko zdołał z niego skorzystać. Już samo to wystarczyło, by człowiek z żalu zjadł własne serce, a przyszło nam jeszcze znosić kopniaki, kajdany i obelgi ze strony każdego głupiego urzędasa. Naszą strawą były ryż i woda, tymczasem ta wspaniała fortuna czekała na zewnątrz, niemal w zasięgu ręki. Można było od tego oszaleć. Byłem jednak dość upartym człowiekiem, tak więc po prostu czekałem. A czas płynął.

Wreszcie wydało mi się, że nadszedł właściwy moment. Przeniesiono nas z Agry do Madrasu, a stamtąd na Blair Island na Andamanach, gdzie było bardzo niewielu białych skazańców. Ponieważ od samego początku dobrze się zachowywałem, szybko stałem się pupilem pewnego uprzywilejowanego człowieka. Dostałem chatę w Hope Town, małej osadzie na stoku Mount Harriet, i w znacznym stopniu pozostawiono mnie samemu sobie. Było to ponure malaryczne miejsce, gdzie wszędzie, poza niewielkimi wyjątkami, aż się roiło od dzikich kanibali, strzelających swymi zatrutymi strzałkami do każdego, kto im się nawinie. Kopaliśmy tam rowy, uprawialiśmy pochrzyn i robiliśmy z tuzin innych rzeczy, więc przez cały dzień byliśmy zajęci. Wieczorami mieliśmy jednak trochę czasu dla

siebie. Nauczyłem się wtedy między innymi pomagać lekarzowi w sporządzaniu leków i posiadłem trochę medycznej wiedzy. Oczywiście przez cały ten czas szukałem jakiejś szansy na ucieczkę. Byłem jednak setki mil od najbliższego stałego lądu, a na tamtych morzach wiatry są albo słabe, albo nie ma ich wcale, więc niezmiernie trudno było się stamtąd wydostać.

Lekarz, doktor Somerton, był energicznym, lubiącym hazard młodym człowiekiem. Młodzi oficerowie spotykali się wieczorami w jego kwaterze, żeby pograć w karty. Gabinet, w którym sporządzałem leki, położony był tuż przy jego salonie, mogłem więc obserwować ich przez małe okienko. Często, gdy czułem się samotny, wyłączałem świat-ło w gabinecie i wtedy, stojąc tam, słuchałem ich rozmów i patrzyłem, jak grają. Sam lubię sobie zagrać, a kiedy obserwuje się innych, odczuwa się przyjemność niemal taką, jakby się grało samemu. Przesiadywali tam major Sholto, kapitan Morstan i porucznik Bromley Brown, którzy dowodzili hinduskimi oddziałami. No i był też ten lekarz oraz kilku więziennych urzędników, starych karcianych wygów, wytrawnych graczy, którzy grali dobrze, sprytnie i ryzykancko. Niezłe to było towarzystwo.

Bardzo szybko zorientowałem się, że żołnierze zawsze przegrywali, a cywile wygrywali. Nie twierdzę, że kryło się za tym jakieś oszustwo, ale tak to wyglądało z zewnątrz. Ci więzienni urzędnicy, odkąd wylądowali na Andamanach, niewiele robili poza grą w karty, i doskonale wiedzieli, jak grają pozostali. Żołnierze natomiast grali tylko po to, by jakoś zabić czas. Rzucali więc swoje karty na stół, za bardzo się nie przejmując grą. Z każdą kolejną nocą żołnierze stawali się coraz biedniejsi, a im byli biedniejsi, tym bardziej chcieli grać dalej. Najbardziej dotknęło to majora Sholto. Na początku grał na złoto i banknoty, szybko jednak doszło do tego, że zaczął grać za pożyczone pieniądze, i to stawiając duże sumy. Czasami, kiedy wygrywał parę rozdań, dodawało mu to otuchy, lecz następnie los znowu się od niego odwracał, i major przegrywał jeszcze więcej, niż wygrał dotychczas. Wtedy całymi dniami włóczył się ponury i przygnębiony, zaczął też więcej pić, a to mu nie służyło.

Pewnej nocy przegrał jeszcze więcej niż zazwyczaj. Siedziałem wówczas w swojej chatce, gdy usłyszałem, jak on i kapitan Morstan wracają ścieżką do swoich kwater. Tych dwóch było dobrymi przyjaciółmi, zawsze trzymali się razem. Major żalił się kapitanowi na swoje straty.

– Wszystko skończone, Morstan – mówił, gdy mijali właśnie mój domek. – Będę musiał złożyć rezygnację. Jestem zrujnowany.

– Nie gadaj bzdur, stary – powiedział ten drugi, klepiąc go po ramieniu. – Mnie też się nieźle oberwało. Ale… – i tyle zdążyłem usłyszeć, lecz wystarczyło, bym zaczął myśleć.

Parę dni później major Sholto przechadzał się po plaży, skorzystałem więc z okazji, żeby z nim porozmawiać.

– Chciałbym się pana o coś poradzić, majorze – powiedziałem.

– O co chodzi, Small? – spytał, wyjmując cygaro z ust.

– Chciałem pana zapytać, sir – zacząłem – do kogo powinienem się zwrócić, by przekazać ukryty skarb. Wiem, gdzie schowano pół miliona w klejnotach, a ponieważ sam nie mogę z tego skorzystać, pomyślałem, że najlepszym, co mógłbym zrobić, byłoby przekazać to właściwym władzom, a wtedy być może skróciliby mi wyrok.

– Pół miliona, Small? – wysapał, przypatrując mi się przenikliwie, by się przekonać, czy aby na pewno poważnie.

– W rzeczy samej, sir. W klejnotach i w perłach. Leżą i czekają, aż ktoś je sobie weźmie. A najdziwniejsze jest to, że ich prawdziwy właściciel jest banitą i nie wolno mu posiadać niczego na własność, więc skarb należy do każdego, kto pierwszy go znajdzie.

– Trzeba to… zgłosić rządowi, Small – wyjąkał major. – Rządowi.

Ale powiedział to tak przerywanym, łamiącym się głosem, że w głębi serca wiedziałem, iż mam go już w garści.

– A więc sądzi pan, sir, że trzeba przekazać tę informację gubernatorowi generalnemu? – spytałem cicho.

– No cóż, nie powinieneś niczego robić pochopnie, bo mógłbyś tego później żałować. Opowiedz mi o tym, Small. Podaj mi wszystkie fakty.

Opowiedziałem mu całą historię, z drobnymi zmianami, tak żeby nie był w stanie rozpoznać właściwych miejsc. Kiedy skończyłem, przez jakiś czas stał, milcząc jak grób, pogrążony w myślach. Widziałem po tym, jak zagryzał wargi, że toczy z sobą wewnętrzną walkę.

– To bardzo ważna sprawa, Small – powiedział w końcu. – Nie wolno ci pisnąć o tym nikomu ani słowa. Wkrótce znów się spotkamy.

Dwie noce później on i jego przyjaciel, kapitan Morstan, zjawili się w mojej chacie w samym środku nocy. Nieśli ze sobą latarnię.

– Chcę, żeby kapitan Morstan usłyszał tę historię z twoich ust, Small – rzekł.

Powtórzyłem ją tak, jak opowiedziałem to wcześniej.

– Brzmi autentycznie, co? – zapytał. – Wystarczy, żebyśmy wzięli to w swoje ręce?

Kapitan Morstan kiwnął głową.

– Posłuchaj, Small – rzekł major. – Obgadaliśmy to, ja i mój przyjaciel, i doszliśmy do wniosku, że ten twój sekret to sprawa, która niezbyt nadaje się dla rządu. To raczej twoja prywatna tajemnica, z którą oczywiście możesz zrobić to, co uważasz za najlepsze. Pytanie brzmi, jakiej ceny za to żądasz? Bylibyśmy skłonni tę cenę przyjąć, a przynajmniej ją rozpatrzyć, gdybyśmy dogadali się co do warunków – próbował mówić w chłodny niedbały sposób, ale jego oczy płonęły z podniecenia i chciwości.

– Cóż, jeśli o to chodzi, panowie – odparłem, również starając się nadać mojemu głosowi chłodny ton, choć byłem tak samo podekscytowany jak oni – to człowiek w mojej sytuacji może życzyć tylko jednego. Chcę, żebyście pomogli mi odzyskać wolność, i uczynili to samo dla trzech moich towarzyszy. Wówczas wtajemniczymy was we wszystko i oddamy wam jedną piątą skarbu, abyście podzielili ją między siebie.

– Hm – odrzekł Sholto. – Jedną piątą skarbu? Nie jest to zbyt kusząca propozycja.

– To by dawało pięćdziesiąt tysięcy na głowę – odparłem.

– Ale jak możemy zwrócić ci wolność? Dobrze wiesz, że to, o co prosisz, jest niemożliwe.

– Nic podobnego – odpowiedziałem. – Wszystko sobie przemyślałem, w najdrobniejszych szczegółach. Jedynym, co nie pozwala nam uciec, jest to, że nie możemy zdobyć łodzi, która nadawałaby się do takiej wyprawy, ani zapasów, które starczyłyby na tak długą podróż. W Kalkucie czy w Madrasie pełno jest niewielkich jachtów i jolek, które świetnie mogłyby posłużyć naszym celom. Sprowadźcie tu taką łódź. Wsiądziemy na nią w nocy, i jeśli wysadzicie nas w dowolnym miejscu indyjskiego wybrzeża, wywiążecie się ze swojej części umowy.

– Gdyby chodziło tylko o jednego człowieka…

– Wszyscy albo żaden – odparłem. – Złożyliśmy przysięgę. Cała nasza czwórka musi zawsze działać razem.

– Widzisz, Morstan – powiedział major. – Small jest człowiekiem, który dotrzymuje danego słowa. Nie opuści swoich przyjaciół. Myślę, że chyba możemy mu zaufać.

– To brudna sprawa – odparł kapitan. – Jednak, tak jak mówiłeś, te pieniądze mogłyby pięknie podreperować nasze finanse.

– No cóż, Small – powiedział major. – Sądzę, że musimy się zgodzić na twoje warunki. Oczywiście najpierw się upewnimy, czy cała ta historia jest prawdziwa. Powiedz mi, gdzie jest ukryta szkatuła, a ja sprawdzę wiarygodność tego, o czym nam powiedziałeś. Załatwię przepustkę i udam się do Indii statkiem, którym co miesiąc przywożą tu nowych żołnierzy.

– Nie tak szybko – odparłem; im większy zapał u niego wyczuwałem, tym chłodniejszym tonem starałem się mówić. – Muszę uzyskać zgodę moich trzech towarzyszy. Mówię wam, albo cała czwórka, albo nikt.

– Nonsens! – wybuchnął. – Co jakichś trzech czarnych ma wspólnego z naszą umową?

– Czarnych czy niebieskich – odrzekłem – my jesteśmy razem, i uciekniemy wszyscy.

Na drugim spotkaniu obecni byli Mahomet Singh, Abdullah Khan i Dost Akbar. Jeszcze raz omówiliśmy szczegóły sprawy i w końcu doszliśmy do porozumienia. Mieliśmy dać obu oficerom plany części fortu Agra i zaznaczyć miejsce, w którym ukryliśmy w ścianie skarb. Major Sholto miał się udać do Indii i sprawdzić naszą prawdomówność. Gdyby znalazł szkatułę, miał ją tam zostawić i wysłać na Andamany mały jacht, odpowiednio zaopatrzony na taką podróż. Jacht czekałby na nas przy Rutland Island, żeby zabrać nas na pokład. Major miał powrócić do swoich obowiązków, a kapitan Morstan wystarać się o przepustkę i spotkać się z nami w Agrze, gdzie mieliśmy podzielić skarb, przy czym on wziąłby zarówno swoją część, jak i część majora. Wszystko to przypieczętowaliśmy najuroczystszymi przysięgami, jakie tylko byliśmy w stanie wymyślić i wypowiedzieć. Spędziłem całą noc z papierem i atramentem i przed nadejściem poranka miałem już gotowe dwa plany, podpisane znakiem czterech, czyli Abdullaha, Akbara, Mahometa i moim.

Panowie, pewnie zmęczyła was moja długa historia i jestem pewien, że mój przyjaciel, pan Jones, już się niecierpliwi, by wreszcie zamknąć mnie za kratkami. Skrócę więc całą opowieść tak bardzo, jak potrafię. Ten łotr, Sholto, wyruszył do Indii, ale nigdy już nie powrócił. Wkrótce potem

kapitan Morstan pokazał mi jego nazwisko na liście pasażerów jednego ze statków. Wuj majora zmarł, pozostawiając mu fortunę, zrezygnował więc ze służby w wojsku. A mimo to potrafił zniżyć się do tego, by tak potraktować pięciu ludzi. Po pewnym czasie Morstan udał się do Agry i przekonał się – tak jak się spodziewaliśmy − że skarb zniknął. Ten drań Sholto go ukradł, nie wypełniając ani jednego z warunków, pod jakimi zdradziliśmy mu nasz sekret. Od tego czasu żyłem tylko chęcią zemsty. Myślałem o niej w dzień i precyzowałem sposób jej urzeczywistnienia nocami. Przerodziło się to w obsesję, która całkowicie mnie ogarnęła. Nie dbałem o prawo ani o to, że mogę trafić na szubienicę. Uciec, znaleźć Sholto, zacisnąć ręce na jego gardle – tylko o tym myślałem! Nawet skarb z Agry stał się dla mnie czymś mniej ważnym niż zabicie Sholto.

W całym swoim życiu podjąłem niejedno postanowienie, i nie było takiej rzeczy, której bym nie zrealizował. Minęły jednak długie znojne lata, nim nadszedł mój czas. Wspominałem wam już o tym, że dowiedziałem się co nieco o medycynie. Pewnego dnia, gdy doktor Somerton leżał złożony malarią, grupa skazańców złapała w lesie małego tubylca. Był śmiertelnie chory i udał się w jakieś samotne miejsce, żeby umrzeć. Opiekowałem się nim i zajmowałem, choć był jadowity niczym młoda żmija. Po paru miesiącach wyzdrowiał i nawet był w stanie znów chodzić. Polubił mnie i nie chciał już wracać do swojego lasu; zawsze kręcił się gdzieś w pobliżu mojej chatki. Nauczyłem się od niego trochę jego języka, dzięki czemu polubił mnie jeszcze bardziej.

Tonga, bo tak się nazywał, miał duże, przestronne kanu i świetnie radził sobie na łodzi. Gdy przekonałem się, jak bardzo jest do mnie przywiązany i że zrobiłby dla mnie wszystko, dostrzegłem szansę na ucieczkę. Omówiłem z nim cały plan. Pewnej nocy miał przyprowadzić swoją łódź do starej przystani, której nigdy nie strzeżono, i zabrać mnie stamtąd. Wydałem mu instrukcje, by wziął ze sobą kilka tykw wody oraz dużo bulw pochrzynu, orzechów kokosowych i batatów.

Oddany i lojalny był ten mały Tonga! Nigdy nie miałem wierniejszego towarzysza. Kiedy nadeszła wyznaczona noc, dobił swą łodzią do przystani. Tak się jednak złożyło, że był tam akurat jeden z więziennych strażników, podły Pasztun, który nigdy nie przepuścił okazji, by mnie znieważyć albo uderzyć. Od dawna poprzysiągłem mu zemstę, i teraz nadarzyła się ku temu okazja. To było tak, jakby los postawił go na mojej drodze, bym mógł mu

odpłacić za wszystko przed opuszczeniem tej wyspy. Stał na brzegu, zwrócony do mnie plecami, z karabinem na ramieniu. Rozejrzałem się za kamieniem, którym mógłbym roztrzaskać mu łeb, ale żadnego nie znalazłem.

I wtedy przyszła mi do głowy szalona myśl: wiedziałem już, skąd mam wziąć broń. Usiadłem cicho w ciemności i odpiąłem moją drewnianą protezę. Dopadłem go w trzech długich susach i uderzyłem z ogromną siłą, wgniatając mu czaszkę. Wciąż jeszcze widać pęknięcie na drewnie w tym miejscu, którym go trafiłem. Obaj padliśmy na ziemię, bo nie potrafiłem utrzymać równowagi, ale gdy wstałem, przekonałem się, że on leży, cichy i nieruchomy. Dotarłem do łodzi, i po godzinie byliśmy już daleko na morzu. Tonga zabrał ze sobą cały swój dobytek, broń i bożków. Miał między innymi długą bambusową włócznię i jakieś andamańskie maty z orzechów kokosowych, które służyły za swego rodzaju żagiel. Przez dziesięć dni błąkaliśmy się po morzu, zdani na łut szczęścia; jedenastego dnia odnalazł nas i wziął na pokład statek kupiecki, płynący z Singapuru do Dżuddy, z malajskimi pielgrzymami na pokładzie. Panował tam straszliwy tłok; Tondze i mnie szybko udało się wmieszać w ten tłum. Pielgrzymi mieli jedną bardzo dobrą cechę: zostawili nas w spokoju, nie zadając zbędnych pytań.

Nie bylibyście, panowie, zachwyceni, gdybym opowiedział wam o wszystkich przygodach, jakie przeżyłem ze swym małym towarzyszem, bo wówczas musielibyśmy tu siedzieć aż do wschodu słońca. Włóczyliśmy się po świecie, zaglądając tu i tam, ale zawsze wydarzało się coś, co przeszkadzało nam dotrzeć do Londynu. Jednakże przez cały ten czas nigdy nie zapomniałem o moim celu. Co noc śniłem o Sholto. Co najmniej sto razy zabijałem go w snach. W końcu jednak, jakieś trzy czy cztery lata temu, znaleźliśmy się w Anglii. Bez większych trudności ustaliłem, gdzie mieszkał Sholto, i od razu zabrałem się za sprawdzanie, czy upłynnił nasz skarb, czy też wciąż znajduje się on w jego posiadaniu.

Zaprzyjaźniłem się z kimś, kto mógł mi pomóc. Nie zamierzam wymieniać żadnych nazwisk, bo nie chcę nikogo ciągnąć za sobą. W każdym razie szybko odkryłem, że Sholto wciąż ma te klejnoty. Potem na różne sposoby próbowałem go dopaść, ale przebiegły był z niego człowiek. Zawsze zatrudniał dwóch dobrych zawodowych bokserów, którzy go strzegli, nie wspominając o synach i jego *khitmutgarze*. Aż pewnego

dnia dowiedziałem się, że umiera. Natychmiast pośpieszyłem do jego ogrodu, doprowadzony do szaleństwa myślą, że w ten sposób wymknie mi się z rąk. Zajrzałem przez okno. Zobaczyłem, że leży w łóżku, a synowie stoją po jego obu stronach. Zdobyłbym się na to, by spróbować swoich sił z całą trójką, lecz gdy spojrzałem na jego twarz, dostrzegłem, że opadła mu szczęka − wiedziałem już, że nie żyje. Jeszcze tej samej nocy udało mi się dostać do domu Sholto i przejrzeć wszystkie jego dokumenty, by znaleźć jakąś wzmiankę o tym, gdzie ukrył nasze klejnoty. Niczego takiego nie było, uciekłem więc rozczarowany i wściekły, jak chyba nikt na świecie. Zanim odszedłem, pomyślałem sobie, że jeśliby dowiedzieli się o tym moi sikhijscy towarzysze, ucieszyliby się, wiedząc, że pozostawiłem po sobie jakiś ślad naszej nienawiści. Nakreśliłem więc znak naszej czwórki, taki, jaki widniał też na planie, i przyczepiłem go do zwłok. Nie darowałbym sobie, gdyby pochowano go bez żadnej pamiątki pochodzącej od ludzi, których obrabował i oszukał.

W tamtym czasie zarabiałem na życie, wystawiając biednego Tongę na jarmarkach i w innych miejscach rozrywki jako czarnego kanibala. Jadł surowe mięso i tańczył swój taniec wojenny. Dzięki temu zawsze pod koniec dnia pracy mieliśmy pełen kapelusz drobnych. Wciąż nasłuchiwałem wszelkich wieści z Pondicherry Lodge, ale przez długi czas nie docierały do mnie żadne informacje poza tym, że szukano skarbu. Wreszcie jednak nadeszła wiadomość, na którą tak długo czekaliśmy. Skarb został odnaleziony! Był ukryty na strychu domu, nad laboratorium chemicznym Bartholomew Sholto. Natychmiast się tam udałem i obejrzałem sobie to miejsce, ale nie miałem pojęcia, jak mógłbym się wspiąć na górę z moją drewnianą nogą. Dowiedziałem się jednak o klapie w dachu, a także o tym, o której pan Sholto jada zwykle kolację. Doszedłem do wniosku, że z pomocą Tongi pójdzie łatwo. Wziąłem go ze sobą. Wokół pasa owiązałem długą linę. Potrafił się wspinać niczym kot, zręcznie więc dotarł na dach, a stamtąd szybko przedostał się do środka. Pech jednak chciał, że Bartholomew Sholto nadal był w pokoju i drogo za to zapłacił. Tonga pomyślał, że zabijając go, zrobi coś bardzo mądrego. Kiedy sam się znalazłem na górze, odkryłem, że paraduje po pokoju jak paw, dumny ze swojego wyczynu. Był bardzo zaskoczony, gdy rzuciłem się na niego, przeklinając i nazywając małym, żądnym krwi diabłem. Wziąłem szkatułę ze skarbem i opuściłem ją na dół po linie, a potem sam się ześliznąłem,

zostawiwszy przedtem na stole znak czterech, by pokazać, że klejnoty powróciły wreszcie do tych, którzy mieli do nich największe prawo. Tonga wciągnął linę na górę, zamknął okno i wydostał się z domu tą samą drogą, którą wszedł. Nie wiem, co wam jeszcze opowiedzieć. Usłyszałem, jak pewien przewoźnik wspominał, że „Aurora” Smitha to nadzwyczaj szybka łódź, pomyślałem więc sobie, że przydałaby się nam taka. Zamierzałem uciec, korzystając z pomocy starego Smitha, i miałem zamiar wynagrodzić go sowicie, gdyby dowiózł nas bezpiecznie na statek. Bez wątpienia domyślał się, że coś skrywamy, ale nie wtajemniczaliśmy go w nasze sekrety. Wszystko, co mówię, jest prawdą, i jeśli panom to opowiadam, to nie dlatego, aby was zabawić, bo nie przysłużyliście mi się za bardzo, lecz dlatego, że wierzę, iż moją najlepszą obroną jest prawda. Cały świat powinien się dowiedzieć, jak podle potraktował mnie major Sholto i że nie jestem winny śmierci jego syna.

– Niezwykła opowieść – rzekł Sherlock Holmes. – Godne zakończenie nadzwyczajnie interesującej sprawy. W drugiej części pańskiej opowieści nie było dla mnie zupełnie nic nowego poza tym, że przyniósł pan własną linę. Tego nie wiedziałem. Nawiasem mówiąc, miałem nadzieję, że Tonga zgubił wszystkie swoje strzałki. A jednak udało mu się do nas strzelić, kiedy byliśmy na łodzi.

– Zgubił je wszystkie, sir, oprócz tej jednej, która wciąż była w dmuchawce.

– Ach, oczywiście! – krzyknął Holmes. – O tym nie pomyślałem.

– Czy jest coś jeszcze, sir, o co chciałby pan zapytać? – spytał bez emocji więzień.

– Nie sądzę. Dziękuję panu – odparł mój przyjaciel.

– Cóż, panie Holmes – podjął Athelney Jones – jest pan człowiekiem, którego nie sposób przecenić, i wszyscy wiemy, że jest pan koneserem zbrodni. Ale obowiązek pozostaje obowiązkiem. Spełniając to, o co pan i pański przyjaciel mnie poprosili, posunąłem się za daleko. Poczuję się znacznie lepiej, kiedy nasz gawędziarz znajdzie się bezpiecznie za kratkami. Dorożka wciąż czeka, a na dole jest dwóch inspektorów. Jestem obu panom bardzo zobowiązany za pomoc, jakiej mi udzieliliście. Oczywiście, wasza obecność będzie niezbędna podczas procesu. Dobranoc.

– Dobranoc, panowie – rzekł Jonathan Small.

– Idź przodem, Small – rzucił nieufnie Jones, gdy opuszczali pokój. – Już ja zadbam o to, żebyś mnie nie zatłukł tą swoją drewnianą nogą, jak tego dżentelmena na Andamanach.

– Cóż, oto i koniec naszego małego dramatu – odezwałem się po krótkim milczeniu. Wciąż siedzieliśmy w fotelach, paląc. – Obawiam się, że to może być ostatnie śledztwo, podczas którego miałem szansę przyglądać się twoim metodom. Panna Morstan uczyniła mi ten zaszczyt i zgodziła się zostać moją żoną.

Holmes wydał z siebie ponury jęk.

– Tego się właśnie obawiałem! – powiedział. – Doprawdy, nie potrafię ci pogra-tulować.

Poczułem się trochę urażony.

– Czy masz jakieś powody, aby być niezadowolonym z mojego wyboru? – spytałem.

– Ależ bynajmniej! Sądzę, że jest jedną z najbardziej czarujących młodych dam, jakie kiedykolwiek poznałem, i może być niezwykle przydatna w tej pracy, jaką do tej pory wykonywaliśmy. Ma zdecydowanie wielkie uzdolnienia w tym kierunku. Zwróć uwagę, że spośród wszystkich dokumentów swego ojca zachowała właśnie plan fortu Agra. Jednakże miłość to kwestia emocjonalna, a wszystko co emocjonalne, jest przeciwieństwem chłodnego rozsądku, który cenię nade wszystko. Sam nigdy się nie ożenię, chyba że coś zmieni moje zdanie.

– Uważam – odparłem ze śmiechem – że moja opinia przetrwa tę próbę. Ale wyglądasz na zmęczonego.

– Tak. Mój organizm zaczyna już reagować na tę sprawę. Teraz przez tydzień będę się czuł jak przekręcony przez maszynkę.

– To dziwne – powiedziałem – jak coś, co u innego człowieka nazwałbym lenistwem, przeplata się u ciebie z przypływami ogromnej energii i wigoru.

– Tak – odrzekł Holmes. – Posiadam zarówno cechy strasznego lenia, jak i bardzo energicznego człowieka. Często przychodzą mi do głowy słowa dobrego starego Goethego:

Schade dass die Natur nur einen Mensch aus dir schuf,
Denn zum würdigen Mann war und zum Schelmen der Stoff.

A wracając do tej sprawy z Norwood, tak jak przypuszczałem, mieli w domu wspólnika. Nie mógł nim być nikt inny jak tylko ten Lal Rao, kamerdyner. Tak więc Jonesowi rzeczywiście nie można odmówić zasługi schwytania w swą ogromną sieć jednej rybki.

– Taki podział wydaje się dość niesprawiedliwy – zauważyłem. – Przecież to ty wykonałeś w tej sprawie całą pracę. Ja zyskam żonę, Jones dostanie wyróżnienie, ale co zostanie dla ciebie?

– Dla mnie – rzekł Sherlock Holmes – pozostaje fiolka z kokainą.

I wyciągnął po nią swą smukłą, białą dłoń.

PRZYGODY SHERLOCKA HOLMESA

Z angielskiego przełożyła: Marta Domagalska

Opowieść pierwsza

SKANDAL W BOHEMII

Rozdział pierwszy

Sherlock Holmes zawsze mówił o niej jako o *tej* kobiecie. Rzadko słyszałem, by określał ją w inny sposób. W jego oczach przesłania ona cały rodzaj żeński, do którego należy i dominuje nad nim. Nie oznacza to, że mój przyjaciel odczuwa do Ireny Adler coś na podobieństwo miłości. Wszystkie emocje, a szczególnie to uczucie, budzą obrzydzenie w jego zimnym, precyzyjnym, a przy tym zachwycająco zrównoważonym umyśle. Uważam, że Holmes jest najdoskonalszą maszyną do obserwacji i dedukcji, jaką widział ten świat, a miłostki skomplikowałyby jego życie i pracę. O uczuciach mniej gwałtownej natury również wypowiada się jedynie w tonie kpiącym i szyderczym. Owszem, przydają się one podczas wnioskowania, gdyż odsłaniają prawdę o ludzkich działaniach i ich pobudkach. Jednakże dla człowieka biegłego w sztuce wyciągania wniosków, takie wtargnięcie w jego starannie poukładane życie doprowadziłoby do zakłóceń rzucających cień wątpliwości na wyniki wszystkich jego przemyśleń. Piasek w trybach delikatnej maszynerii czy pęknięcie w soczewce jednego z przyrządów obserwacyjnych nie mogłyby spowodować większego zamętu w jego charakterze niż uczucie do kogoś. A jednak dla niego istnieje tylko jedna kobieta, nieżyjąca już, lecz bynajmniej nie świętej pamięci, Irene Adler.

Od pewnego czasu widywałem Holmesa dość rzadko. Moje małżeństwo oddaliło nas od siebie. Niezmącone szczęście i sprawy domowe, jakie pochłaniają każdego, kto po raz pierwszy założył rodzinę, zaprzątały mnie całkowicie, zaś Holmes, którego artystyczna dusza brzydziła się wszelkiego

rodzaju towarzystwa, pozostał w naszym mieszkaniu przy Baker Street zatopiony w starych książkach. Uzależniony ponadto tydzień po tygodniu na przemian od kokainy i zaspokajania swych ambicji, przechodził od senności wywołanej narkotykiem do wybuchu olbrzymiej energii, której niewyczerpanym źródłem był jego charakter. Był jak przedtem pochłonięty badaniem zbrodni, wykorzystując swe wielkie uzdolnienia i niezwykłą spostrzegawczość do poszukiwania poszlak w sprawach, które policja uznała za beznadziejne i rozwiązywania tych zagadek, w których wyjaśnienie zwątpiła. Od czasu do czasu dochodziły mnie słuchy o jego poczynaniach: o tym, że został wezwany do Odessy w sprawie morderstwa Trepoffa, o wyjaśnieniu niezwykłej tragedii, jaka spotkała braci Atkinson w Trincomalee, a także o nadzwyczaj delikatnej i uwieńczonej sukcesem misji, jakiej się podjął dla holenderskiej rodziny królewskiej. Jednakże poza informacjami, które znali wszyscy czytelnicy codziennej prasy, niewiele wiedziałem o losach mego dawnego towarzysza i przyjaciela.

Pewnej nocy, a było to dwudziestego marca 1888 roku, wracałem od pacjenta (podjąłem bowiem cywilną praktykę lekarską), przejeżdżając Baker Street. Kiedy mijałem tak dobrze znane mi drzwi, które już zawsze kojarzyć mi się będą z mymi zalotami i mrocznymi wypadkami opisanymi w *Studium w szkarłacie*, zapragnąłem znów ujrzeć Holmesa i dowiedzieć się, do czego aktualnie wykorzystuje swe niezwykłe zdolności.

Mieszkanie było rzęsiście oświetlone. Kiedy spojrzałem na zasłonięte okna, dwa razy zobaczyłem wysoką, szczupłą sylwetkę mego dawnego towarzysza. Szybko i nerwowo przemierzał pokój z głową opuszczoną na piersi i rękoma splecionymi za plecami. Znałem każdy z nastrojów i nawyków mego przyjaciela, więc jego postawa i zachowanie wiele mi powiedziały. Znów się czymś zajął. Otrząsnął się z narkotycznych snów i podążał tropem nowej zagadki. Zadzwoniłem do drzwi i zostałem wprowadzony do pokoju, który niegdyś należał również do mnie.

Holmes nie zachował się wylewnie – rzadko mu się to zdarzało – ale sądzę, że ucieszył się na mój widok. Prawie się nie odzywając, ale przyglądając mi się z zadowoleniem, ruchem ręki zaprosił mnie do zajęcia miejsca w fotelu, rzucił mi pudełko z cygarami i wskazał barek i syfon stojące w rogu. Następnie stanął przed kominkiem, patrząc na mnie w swój niezwykły, zamyślony sposób.

– Małżeństwo ci służy – stwierdził. – Sądzę, Watsonie, że od naszego ostatniego spotkania przybyło ci siedem i pół funta.

– Siedem! – poprawiłem.

– Doprawdy, wydawało mi się, że jednak nieco więcej. Widzę, wróciłeś do praktyki. Nie wspominałeś mi, że masz taki zamiar.

– Jak się o tym dowiedziałeś?

– Stwierdziłem przesłanki, a fakty wydedukowałem. Jak inaczej miałbym się dowiedzieć, że ostatnio porządnie zmokłeś i masz bardzo niezdarną i niedbałą służącą?

– Drogi Holmesie – odpowiedziałem – tego już doprawdy za wiele! Gdybyś żył kilka stuleci wcześniej, z pewnością trafiłbyś na stos. Istotnie, w czwartek wybrałem się na przechadzkę do wsi i wróciłem do domu przemoczony, ale przecież się przebrałem, więc nie wiem, jak ci się udało to wydedukować. A co do Mary Jane, faktycznie, jest niepoprawna, toteż moja żona wymówiła jej służbę, ale i w tym przypadku nie rozumiem, jak na to wpadłeś.

Holmes zachichotał pod nosem i zatarł swe długie, nerwowe dłonie.

– Ależ nic prostszego – wyjaśnił. – Zauważyłem, że na wewnętrznej stronie twego buta, w miejscu gdzie pada światło z kominka, na skórze widnieje sześć niemal równoległych zadrapań. Mógł je wykonać jedynie ktoś, kto bardzo niestarannie czyścił brzegi podeszwy, by usunąć z niej zaschnięte błoto. Wydedukowałem więc, że trafiłeś na złą pogodę oraz wyjątkowo złośliwą i wrogo nastawioną do butów przedstawicielkę londyńskiej służby. A co do twej praktyki… Gdy odwiedza mnie przesiąknięty zapachem jodoformu dżentelmen, u którego na wskazującym palcu prawej ręki widać czarną plamę z azotanu srebra, którego cylinder ma wybrzuszenie z prawej strony, w miejscu gdzie ukrywa stetoskop, doprawdy musiałbym być tępy, bym nie dostrzegł, że ten pan jest praktykującym lekarzem.

Nie mogłem powstrzymać śmiechu z powodu tego, jak łatwo wyjaśnił proces dedukcji i przyznałem:

– Kiedy tłumaczysz swoje rozumowanie, zawsze wydaje mi się ono tak śmiesznie proste, że mógłbym bez trudu przeprowadzić je sam, ale za każdym razem jestem w kropce, dopóki wszystkiego nie wyjaśnisz, choć przecież wzrok mam nie gorszy od twojego.

– Istotnie – odpowiedział Holmes, zapalając papierosa i opadając na fotel. – Różnica polega na tym, że patrzysz, ale nie widzisz. Oto przykład. Czy często patrzyłeś na schody, które prowadzą z korytarza do tego pokoju.

– Owszem.

– Ile razy?

– Setki.

– No to ile mają stopni?

– Nie mam pojęcia, nie zwróciłem uwagi.

– Otóż to! Patrzyłeś na nie, ale ich nie widziałeś. O tym właśnie mówię. A ja wiem, że tych stopni jest siedemnaście, bo nie tylko na nie patrzyłem, ale też je widziałem. Przy okazji, skoro interesujesz się tymi błahymi zagadkami i byłeś tak dobry, że opisałeś jedną czy dwie z mych przygód, być może zainteresuje cię ten list.

Rzucił mi arkusik grubego, różowego papieru listowego, który leżał na stole:

– Przyszło z ostatnią pocztą, przeczytaj na głos.

List nie miał daty, podpisu ani adresu. A oto jego treść:

> Dziś wieczorem za kwadrans ósma odwiedzi Pana pewien dżentelmen, który pragnie omówić z Panem sprawę niecierpiącą zwłoki. Usługi, jakie niedawno oddał Pan jednemu z europejskich rodów królewskich, dowiodły, że można Panu ufać w sprawach wielkiej wagi. Powyższą opinię na Pański temat wszyscy zapytani potwierdzają. Proszę zatem być w swym mieszkaniu o wskazanej porze i nie mieć za złe, jeśli Pański gość będzie miał na twarzy maskę.

– To jest dopiero zagadka – zauważyłem. – Jak sądzisz, co to oznacza?

– Nie mam jeszcze żadnych danych w tej sprawie, a tworzenie teorii przed zdobyciem danych to poważny błąd. W takich przypadkach traci się rozsądek i nagina fakty do teorii, zamiast dopasowywać teorię do faktów. Popatrzmy jednak na bilecik. Co możesz z niego wydedukować?

Uważnie przyjrzałem się charakterowi pisma.

– Prawdopodobnie napisała go zamożna osoba. – Starałem się naśladować rozumowanie mego towarzysza. – Taki papier musi kosztować co najmniej pół korony za paczkę. Jest niezwykle gruby i sztywny.

– Niezwykły – oto właściwe słowo – stwierdził Holmes. – To nie jest angielski papier. Obejrzyj go pod światło.

Zrobiłem to, o co poprosił – i zobaczyłem wplecione w fakturę papieru litery: wielkie „E” z małym „g”, wielkie „P” i wielkie „G” z małym „t”.

– Co o tym sądzisz? – spytał Holmes.

– To nazwisko wytwórcy lub jego monogram.

– Bynajmniej. „Gt” to skrót od niemieckiego słowa Gesellschaft (spółka), nasze „s-ka”. „P”, rzecz jasna, oznacza papier. A „Eg” sprawdźmy w indeksie nazw geograficznych atlasu Europy – powiedział, biorąc z półki ciężką brązową księgę. – Eglow, Eglonitz… jest, Egria. To niemiecka nazwa miasta położonego w Bohemii, niedaleko Karlsbadu, „…znanego jako miejsce śmierci Wallensteina, a także słynącego z licznych hut szkła i papierni”. Ha, ha, co o tym sądzisz, mój chłopcze? – spytał z błyskiem w oku, wydmuchując triumfalnie z papierosa dużą chmurę błękitnego dymu.

– Papier pochodzi z Bohemii – stwierdziłem.

– Otóż to. A człowiek, który napisał bilecik, jest Niemcem. Czy zauważyłeś niezwykły szyk zdania: „Powyższą opinię na pański temat wszyscy zapytani potwierdzają”? W ten sposób nie powiedziałby ani Francuz, ani Rosjanin. Jedynie Niemcy tak okrutnie obchodzą się z czasownikami. Pozostaje więc dowiedzieć się, czego chce ten Niemiec w masce na twarzy, piszący na papierze z Bohemii. I jeśli się nie mylę, przybywa on właśnie, by rozwiać nasze wątpliwości.

Nim skończył mówić, rozległ się donośny dźwięk podków i kół ocierających się o krawężnik, a potem usłyszeliśmy natarczywy dzwonek do drzwi. Holmes zagwizdał.

– Sądząc po odgłosach, to para – stwierdził. Wyjrzawszy przez okno, kontynuował: – Owszem, ładna kareta i para pięknych koni, po sto pięćdziesiąt gwinei za każdego. Watsonie, możemy być pewni jednego: sprawa dotyczy dużych pieniędzy.

– Myślę, że powinienem już iść, Holmesie.

– Ależ bynajmniej, doktorze. Zostań tu. Cóż poczną bez swego kronikarza? Sprawa zapowiada się interesująco, więc szkoda byłoby ją przegapić.

– Ależ twój klient…

– Nie martw się o niego. Twoja pomoc może być potrzebna zarówno mnie jak i jemu. Nadchodzi. Siadaj w fotelu doktorze i nadstawiaj ucha.

Ciężkie, powolne kroki, które wcześniej słyszeliśmy na schodach i w korytarzu, zatrzymały się tuż przed drzwiami; rozległo się głośne, władcze stukanie.

– Proszę wejść! – zawołał Holmes.

Człowiek, który przestąpił próg pokoju, miał co najmniej sześć stóp (może nawet sześć stóp i dziesięć cali) wzrostu, a jego kończyn i klatki piersiowej nie powstydziłby się Herkules. Ubrany był z przepychem, który w Anglii uchodził za taki, co graniczy ze złym smakiem. Rękawy i klapy jego dwurzędowego płaszcza były obszyte grubą warstwą futra z karakułów, a granatowa peleryna, którą narzucił na ramiona, była podbita płomieniście czerwonym jedwabiem. Pod szyją spinała ją brosza wykonana z jednej bryły czerwonego berylu. Buty z cholewami sięgające połowy łydek, ozdobione grubym brązowym futrem, dopełniały wrażenia barbarzyńskiego bogactwa. Mężczyzna trzymał w ręku kapelusz z szerokim rondem, a górną część jego twarzy przesłaniała czarna maska sięgająca aż za kości policzkowe. Najwyraźniej dopiero co ją założył, gdyż wchodząc, wciąż trzymał rękę przy policzku. Dolna część jego twarzy zdradzała mocny charakter. Miał grube, obwisłe wargi i długi, wydatny podbródek świadczący o zdecydowaniu przeradzającym się w upór.

– Dostał pan mój bilecik? – spytał głębokim, ostrym głosem z wyraźnym niemieckim akcentem. – Uprzedzałem, że przyjdę do pana. – Spoglądał to na jednego, to na drugiego z nas, jakby nie był pewien, do kogo ma się zwracać.

– Proszę usiąść – powiedział Holmes. – To mój przyjaciel, doktor Watson, który niekiedy wyświadcza mi uprzejmość, pomagając w pracy. Z kim mam przyjemność?

– Może pan mnie tytułować hrabią von Kramm, jestem czeskim szlachcicem. Rozumiem, że ten pański przyjaciel jest człowiekiem honorowym i dyskretnym, więc mogę mu zaufać w sprawie najwyższej wagi. Jeśli tak nie jest, zdecydowanie wolałbym rozmawiać z panem na osobności.

Wstałem, zamierzając odejść, ale Holmes chwycił mnie za nadgarstek i pchnął z powrotem na fotel.

– Albo obaj, albo żaden – stwierdził. – Przy tym dżentelmenie może pan powiedzieć wszystko, co ma mi pan do przekazania.

Hrabia wzruszył swymi potężnymi ramionami i odrzekł:

– W takim razie muszę zacząć od zobowiązania obu panów do zachowania w całkowitej tajemnicy wszystkiego, co powiem, przez dwa lata. Po upływie tego czasu sprawa nie będzie miała już żadnego znaczenia, nie przesadzę jednak mówiąc, że obecnie może mieć wpływ na historię Europy.

– Daję słowo – powiedział Holmes.

– Ja również.

– Proszę mi wybaczyć maskę – ciągnął nasz dziwny gość. – Mój dostojny chlebodawca nie życzy sobie, byście panowie poznali tożsamość jego przedstawiciela; wyznam także, że tytuł, który panom podałem, nie należy do mnie.

– Jestem tego świadom – odpowiedział oschle Holmes.

– Okoliczności są bardzo delikatne, należy podjąć wszelkie środki ostrożności, by zakończyć sprawę, która może wywołać ogromny skandal i skompromitować jeden z europejskich rodów królewskich. Ściśle rzecz biorąc, sprawa dotyczy rodu Ormstein, panującego w Bohemii.

– Spodziewałem się i tego – mruknął Holmes, wygodnie umościł się w fotelu i zamknął oczy.

Nasz gość z wyraźnym zdziwieniem przyjrzał się swobodnie usadowionej sylwetce mężczyzny, którego niewątpliwie opisano mu jako najbardziej przenikliwy umysł i najbardziej energicznego detektywa w Europie. Holmes powoli otworzył oczy i ze zniecierpliwieniem popatrzył na swego wielkiego klienta.

– Jeśli Wasza Wysokość zniży się do przedstawienia sprawy, z którą przyszedł, będę miał duże szanse, żeby coś mu poradzić – zauważył.

Mężczyzna zerwał się z krzesła i wielce wzburzony, zaczął przemierzać pokój. W końcu w geście desperacji zdarł z twarzy maskę i rzucił ją na ziemię.

– Ma pan rację! – wykrzyknął. – Jestem królem! Czemuż miałbym to ukrywać?

– Istotnie, po co? – mruknął Holmes. – Zanim Wasza Wysokość się odezwał, już wiedziałem, że stoi przede mną Wilhelm Gottsreich Sigismond von Ormstein, Wielki Książę Cassel-Felstein i dziedzic tronu Bohemii.

– Ale rozumie pan – powiedział nasz niecodzienny gość, ponownie siadając i przesuwając ręką po swym wysokim, bladym czole – rozumie pan, że nie jestem przyzwyczajony do załatwiania tego rodzaju spraw

osobiście. Tym razem jednak chodzi o kwestię tak delikatną, że nie mogłem powierzyć jej nikomu; czyniąc to, oddałbym się w ręce tego człowieka. Przyjechałem tu incognito z Pragi, by się z panem skonsultować.

– Słucham pana – Holmes ponownie zamknął oczy.

– Krótko mówiąc, fakty przedstawiają się następująco: mniej więcej pięć lat temu byłem przez dłuższy czas w Warszawie, tam poznałem słynną intrygantkę, Irene Adler. Nie wątpię, że zna pan to nazwisko.

– Doktorze, bądź tak dobry i sprawdź to w moim indeksie – wymamrotał Holmes, nie otwierając oczu. Od wielu lat zapisywał wszelkie wiadomości dotyczące różnych osób czy rzeczy, trudno więc było znaleźć zjawisko lub człowieka, o którym nie byłby w stanie natychmiast uzyskać informacji. Tak było i tym razem. Biografia rzeczonej pani była wciśnięta pomiędzy życiorysy żydowskiego rabina i komandora marynarki, autora monografii o rybach głębinowych.

– Pokaż! – poprosił Holmes. – Hmm… Urodzona w New Jersey w 1858 roku. Kontralt, hmm! La Scala, hmm! Primadonna w Operze Narodowej w Warszawie, tak! Zakończyła karierę śpiewaczki, ha! Mieszka w Londynie, otóż to! Jak rozumiem, Wasza Wysokość wplątał się w stosunki z tą osóbką, napisał do niej kompromitujące listy, a teraz pragnie je odzyskać.

– Zgadza się. Ale skąd…

– Czy doszło do zawarcia potajemnego małżeństwa?

– Nie.

– Czy zostały podpisane jakiekolwiek dokumenty?

– Nie.

– W takim razie nie rozumiem, czego się Wasza Wysokość obawia. Gdyby ta młoda panna zapragnęła przedstawić listy w celu, na przykład, szantażu, jak miałaby dowieść ich autentyczności?

– Sam je napisałem.

– Phi! To fałszerstwo.

– Na mym prywatnym papierze listowym.

– Skradzionym.

– Z moją pieczęcią.

– Podrobioną.

– Z moim zdjęciem.

– Kupionym.

– Ale na zdjęciu jesteśmy oboje.

– Ach! Bardzo niedobrze. Wasza Wysokość istotnie popełnił niedyskrecję.

– Byłem szalony! Niespełna rozumu!

– Wasza Wysokość naraził się na poważną kompromitację.

– Byłem wtedy zaledwie księciem koronnym. Bardzo młodym księciem. Teraz mam dopiero trzydzieści lat.

– Zdjęcie trzeba odzyskać.

– Próbowaliśmy, ale bez skutku.

– Wasza Wysokość musi za nie zapłacić.

– Ona nie chce go sprzedać.

– W takim razie trzeba go ukraść.

– Próbowałem pięciokrotnie. Opłaceni przeze mnie złodzieje dwa razy splądrowali jej dom. Raz przechwyciliśmy jej bagaż podczas podróży. Dwukrotnie ją napadnięto. Wszystko na nic.

– Ani śladu zdjęcia?

– Jak kamień w wodę.

Holmes się zaśmiał:

– To błahy problem.

– Dla mnie jest bardzo poważny – odparł król z wyrzutem.

– Istotnie, bardzo. A co wspomniana osoba zamierza zrobić ze zdjęciem?

– Chce go użyć, by mnie zrujnować.

– W jaki sposób?

– Niedługo jest mój ślub.

– Słyszałem o tym.

– Żenię się z Clotilde Lothman von Saxe-Meningen, młodszą córką króla Skandynawii. Być może wie pan o tym, że jej ród jest bardzo pryncypialny. Moja narzeczona to wcielenie wrażliwości. Nawet cień wątpliwości co do mego prowadzenia się położyłby kres małżeńskim planom.

– A co na to Irene Adler?

– Grozi, że wyśle im zdjęcie. I zrobi to. Wiem, że to zrobi. Nie zna jej pan, ma nieugięty charakter. Jest najpiękniejszą z kobiet, które poznałem i ma umysł najbardziej stanowczego z mężczyzn. Posunie się do wszystkiego, by uniemożliwić mi małżeństwo z inną kobietą.

– Czy Wasza Wysokość jest pewien, że jeszcze nie wysłała zdjęcia?

– Tak.

– Dlaczego?

– Zagroziła, że zrobi to w dniu, kiedy nasze oświadczyny zostaną ogłoszone publicznie. Będzie to w przyszły poniedziałek.

– Mamy zatem jeszcze trzy dni – stwierdził Holmes, ziewając. – Bardzo dobrze. Póki co, muszę się zająć kilkoma pilnymi sprawami. Wasza Wysokość zamierza na razie pozostać w Londynie?

– Owszem. Mieszkam w hotelu „Langham” jako hrabia von Kramm.

– W takim razie, napiszę do Waszej Wysokości, by powiadomić go o postępach w sprawie.

– Bardzo pana o to proszę. Będę ze zniecierpliwieniem oczekiwał każdej wiadomości od pana.

– A jeśli chodzi o pieniądze?

– Ma pan wolną rękę.

– Całkowicie?

– Proszę pana, jestem skłonny oddać jedną z prowincji mego królestwa, by odzyskać to zdjęcie.

– A wydatki bieżące?

Król wyjął spod płaszcza ciężką, zamszową sakiewkę i położył ją na stole.

– Trzysta funtów w złocie i siedemset w banknotach – oświadczył.

Holmes wypisał pokwitowanie na kartce z notatnika i podał je monarsze.

– A adres tej pani?

– Briony Lodge, Serpentine Avenue, St. John’s Wood.

Holmes zanotował i powiedział:

– Mam jeszcze tylko jedno pytanie. Czy było to zdjęcie typu *cabinet*[3]?

– Owszem.

– W takim razie życzę Waszej Wysokości dobrej nocy i ufam, że niedługo będziemy mogli przekazać mu dobre wieści – stwierdził Holmes. Kiedy na ulicy dał się słyszeć turkot kół królewskiej karety dodał: – Dobrej nocy i tobie, Watsonie. Jeśli będziesz tak dobry i wpadniesz tu jutro o trzeciej po południu, chciałbym porozmawiać z tobą o tej sprawie.

Rozdział drugi

Stawiłem się przy Baker Street punktualnie o trzeciej, ale Holmesa jeszcze nie było. Gospodyni poinformowała mnie, że opuścił dom tuż po ósmej rano. Usiadłem więc przy kominku, zamierzając czekać na jego powrót tak długo, jak będzie to konieczne. Zainteresowałem się już tą sprawą, bo choć nie była równie ponura i dziwna jak dwie zbrodnie, które opisałem wcześniej, towarzyszące okoliczności nadawały jej specyficznego charakteru, a osoba wysoko postawionego klienta – pikanterii. Co więcej, prócz faktów dotyczących śledztwa prowadzonego przez mojego przyjaciela, coś w jego mistrzowskim sposobie widzenia sytuacji i przenikliwym rozumowaniu sprawiało, że czerpałem przyjemność z obserwowania stylu jego pracy, subtelnych metod, z których pomocą potrafił rozwikłać tajemnice na pozór nierozwiązywalne. Byłem tak przyzwyczajony do jego sukcesów, że myśl o niepowodzeniu nie mieściła mi się w głowie.

Dochodziła czwarta, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł koniuszy. Był niechlujny, wyglądał na pijanego i miał potargane bokobrody. Przyzwyczaiłem się już do tego, z jak niezwykłą łatwością mój przyjaciel wcielał się w różne postacie, przebierając się…, ale musiałem mu się przyjrzeć trzy razy, nim się upewniłem, że to naprawdę on. Holmes kiwnął głową i zniknął w sypialni, skąd po pięciu minutach wyszedł odziany w tweedowy garnitur, wyglądając szacownie jak zwykle. Włożył ręce do kieszeni, usiadł, wyciągnął nogi w stronę ognia i przez kilka minut serdecznie się śmiał.

– Doprawdy! – wykrzyknął, a później znów wybuchnął śmiechem i śmiał się tak długo, aż w końcu opadł bez sił na fotel.

– O co chodzi?

– To doprawdy zabawne. Założę się, że nigdy byś nie zgadł, czym się zająłem dziś rano i do czego to doprowadziło.

– Nie mam pojęcia. Podejrzewam, że studiowałeś nawyki, a być może i dom panny Irene Adler.

– Nie inaczej. Ten fakt jednak miał dość niezwykłe następstwa. Zaraz ci opowiem. Wyszedłem z domu tuż po ósmej w przebraniu bezrobotnego stajennego. Ludzie tej profesji odnoszą się do siebie z wielką przyjaźnią i sympatią. Jeśli jesteś jednym z nich, powiedzą ci wszystko, co chcesz wiedzieć. Szybko znalazłem Briony Lodge. To urocza dwupiętrowa willa, która stoi frontem do ulicy. Z tyłu jest ogródek. Drzwi zaopatrzone są w mocny zamek. Duży salon znajduje się po prawej stronie; jest ładnie umeblowany; wysokie, prawie sięgające podłogi okna zamknięte są na te niedorzeczne angielskie zamki, które otworzyłoby nawet dziecko. Nie wykryłem nic więcej ciekawego, poza tym, że z dachu wozowni można sięgnąć do jednego z okien w korytarzu. Obejrzałem je dokładnie z każdej strony, ale nie znalazłem niczego interesującego. Poszedłem dalej ulicą. Tak jak się spodziewałem, znalazłem w bocznym zaułku stajnię, której jedna ściana przylega do ogrodu. Pomogłem stajennym oporządzić konie. Dostałem za to dwa pensy, szklankę piwa, dwie porcje machorki i uzyskałem mnóstwo informacji o pannie Adler i większości innych mieszkańców tej okolicy, którzy mnie wcale nie interesowali, ale których biografii byłem zmuszony wysłuchać.

– A co z Irene Adler?

– Och, zawróciła w głowie wszystkim mężczyznom z sąsiedztwa. Jest najelegantszą przedstawicielką płci pięknej na tej planecie, stajenni potwierdzili to jednogłośnie. Żyje spokojnie, śpiewa na koncertach, wyjeżdża codziennie o piątej i wraca na kolację punktualnie o siódmej. Poza tym rzadko wychodzi z domu, chyba że na występy. Odwiedza ją tylko jeden mężczyzna, za to często. Jest nim ciemnowłosy, przystojny i energiczny dżentelmen. Przychodzi co najmniej raz dziennie, czasami nawet dwa razy. Nazywa się Godfrey Norton, jest adwokatem w Temple. Widzisz, jak dobrze jest mieć stajennych w roli informatorów? Kilka razy odwieźli go do domu i wiedzą o nim wszystko. Kiedy wysłuchałem tego, co mieli do powiedzenia, zacząłem znów przechadzać się po okolicach Briony Lodge i obmyślać plan działania. Godfrey Norton najwyraźniej odgrywał ważną rolę. Wiedziałem, że jest prawnikiem. Brzmiało to podejrzanie. Co ich łączyło? Jaki był cel jego regularnych wizyt? Czy była jego klientką, przyjaciółką, a może kochanką? Jeśli klientką, zapewne przekazała mu zdjęcie. Jeśli kochanką, było to mniej prawdopodobne. Od odpowiedzi na to pytanie zależało czy powinienem

kontynuować działania w Briony Lodge, czy mam skierować swą uwagę na pokoje zajmowane przez tego dżentelmena w Temple. Była to delikatna kwestia i poszerzała zakres mego działania. Obawiam się, że zanudzam cię szczegółami, ale muszę wyjaśnić ci niewielkie trudności, z jakimi się borykałem, żebyś zrozumiał sytuację.

– Słucham cię uważnie – odpowiedziałem.

– Wciąż zastanawiałem się nad tą sprawą, kiedy do drzwi Briony Lodge podjechała dorożka. Wyskoczył z niej bardzo przystojny, ciemnowłosy mężczyzna, z orlim nosem i wąsami. Nie ulegało wątpliwości, że to człowiek, o którym mi opowiadano. Chyba bardzo się śpieszył; krzyknął dorożkarzowi, żeby na niego poczekał, przemknął obok pokojówki, która otworzyła mu drzwi i wszedł do domu jak do siebie. Spędził tam około pół godziny; widziałem przez okna salonu, jak chodzi tam i z powrotem, mówiąc o czymś z ożywieniem i wymachując rękami. Kobiety nie dostrzegłem. Po pewnym czasie mężczyzna wyszedł z domu. Wyglądał na jeszcze bardziej wzburzonego niż przedtem. Podchodząc do dorożki, wyjął z kieszonki złoty zegarek i wbił w niego wzrok. „Jedź, jakby cię sam diabeł gonił! – krzyknął. – Najpierw do sklepu Gross & Hankey’s przy Regent Street, potem do kościoła św. Moniki przy Edgeware Road. Dostaniesz pół gwinei, jeśli dotrzesz tam w dwadzieścia minut!” Ruszyli z kopyta i właśnie zacząłem się zastanawiać czy nie powinienem podążyć za nimi, kiedy z zaułka wyjechał mały elegancki powozik. Woźnica był rozchełstany i miał przekrzywiony krawat, a paski uprzęży wystawały ze sprzączek. Gdy tylko powóz się zatrzymał, z domu wybiegła kobieta i wsiadła do tego powozu. Widziałem ją zaledwie przez chwilę, ale zauważyłem, jaka była piękna. Za jej twarz wielu mężczyzn byłoby gotowych umrzeć. „Do kościoła św. Moniki, John – krzyknęła. – Dostaniesz pół suwerena, jeśli dotrzesz tam w dwadzieścia minut!” Nie mogłem stać bezczynnie, Watsonie. Zastanawiałem się czy mam pobiec, czy uchwycić się z tyłu jej powozu, kiedy nadjechała dorożka. Dorożkarz nie był zachwycony swym obdartym pasażerem, ale nim zdążył zaprotestować, wskoczyłem do środka. „Do kościoła św. Moniki – zażądałem. – Dostaniesz pół suwerena, jeśli dotrzesz tam w dwadzieścia minut”. Było za dwadzieścia pięć dwunasta i przeczuwałem, co się święci. Moja dorożka jechała prędko; chyba nigdy w życiu nie poruszałem się tak szybko, ale pozostali dotarli na miejsce przede mną. Dorożka i powozik

zaprzężony w spienione konie stały już przed bramą kościoła, kiedy tam podjechałem. Zapłaciłem dorożkarzowi i wbiegłem do świątyni. W środku nie było nikogo poza dwojgiem, których śledziłem, i księdzem w komży. Wydało mi się, że czyni im wymówki. Wszyscy troje stali przed ołtarzem bardzo blisko siebie. Szedłem boczną nawą, jak czyni każdy odwiedzający świątynię z nudów. Nagle, ku memu zaskoczeniu, trójka stojąca przed ołtarzem odwróciła się w moją stronę, a Godfrey Norton podbiegł do mnie. „Dzięki Bogu! – krzyczał. – Pan się nada. Proszę podejść! Proszę podejść!” „O co chodzi?” – spytałem. „Chodź, człowieku, chodź, tylko trzy minuty, inaczej to nie będzie miało mocy prawnej!” Zostałem niemal siłą zaciągnięty do ołtarza i zanim się spostrzegłem, słuchałem szeptanych mi do ucha odpowiedzi zapewniających o rzeczach, o których nie miałem pojęcia, dotyczących trwałego związania się panny Irene Adler z kawalerem Godfreyem Nortonem. Wszystko trwało zaledwie chwilę. Po zakończeniu ceremonii dżentelmen zaczął mi wylewnie dziękować, dama mu wtórowała, a ksiądz uśmiechał się od ucha do ucha. Była to najbardziej absurdalna sytuacja, w jakiej się kiedykolwiek znalazłem i właśnie na myśl o niej zacząłem się teraz śmiać. Zdaje się, że dokumenty, które przedstawiła młoda para, zawierały jakieś błędy, toteż duchowny kategorycznie odmówił udzielenia im ślubu bez świadka. Moje pojawienie się w świątyni uratowało pana młodego przed koniecznością biegania po ulicach w poszukiwaniu drużby. Panna młoda dała mi suwerena, którego zamierzam nosić na pamiątkę na łańcuszku od zegarka.

– To bardzo nieoczekiwany obrót spraw – stwierdziłem. – Co było dalej?

– Zrozumiałem, że moje plany są bardzo poważnie zagrożone. Wyglądało na to, iż państwo młodzi niezwłocznie wyjadą, a to wymagało z mojej strony szybkich i energicznych działań. Jednakże po wyjściu z kościoła nowożeńcy zachowali się nietypowo: on ruszył z powrotem do Temple, a ona poszła do swojego domu. „Będę w parku o piątej, jak zawsze” – powiedziała kobieta, odchodząc. Niczego więcej nie słyszałem. Każde z nich rozeszło się w swoją stronę, a ja zająłem się własnymi sprawami.

– Czyli?

– Wołowiną na zimno i szklanką piwa – odpowiedział, dzwoniąc na gospodynię. – Byłem zbyt zajęty, by myśleć o jedzeniu, a dziś wieczorem mogę mieć jeszcze mniej czasu. Przy okazji, doktorze, chciałbym prosić cię o pomoc.

– Z przyjemnością.

– Nie masz nic przeciwko złamaniu prawa?

– Ani trochę.

– Ani zagrożeniu aresztowaniem?

– Nie, jeśli w słusznej sprawie.

– Ach, sprawa jest jak najsłuszniejsza!

– W takim razie jestem do usług.

– Byłem pewien, że można na ciebie liczyć.

– Jak mogę ci pomóc?

– Wyjaśnię, kiedy pani Turner przyniesie jedzenie. A teraz – kontynuował, pochłaniając z apetytem prostą potrawę, którą dostarczyła nam gospodyni – jestem zmuszony mówić przy jedzeniu, gdyż nie mam wiele czasu. Dochodzi piąta. W ciągu dwóch godzin musimy dotrzeć na miejsce. Panna, czy raczej pani Irene, wraca z przejażdżki o siódmej. Musimy być wówczas w Briony Lodge, by się z nią spotkać.

– I co dalej?

– Zostaw to mnie. Zaplanowałem już przebieg wydarzeń. Nalegam tylko, że cokolwiek będzie się działo, niczego nie rób. Zrozumiałeś?

– Mam się w nic nie mieszać?

– Masz w ogóle nie podejmować żadnych działań. Prawdopodobnie dojdzie do drobnego incydentu. Nie bierz w nim udziału. W wyniku tego zdarzenia trafię do wnętrza domu. Po czterech–pięciu minutach w salonie otworzy się okno. Masz stać blisko niego.

– Rozumiem.

– Obserwuj mnie, miej mnie w polu widzenia.

– Rozumiem.

– I kiedy uniosę rękę, w ten oto sposób, wrzucisz do salonu to, co za chwilę ci dam i zaczniesz krzyczeć: „Pali się!”. Zrozumiałeś?

– Owszem.

– Nie ma się czego obawiać – stwierdził, wyjmując z kieszeni długi przedmiot w kształcie cygara. – To zwykła świeca dymna; ma po obu stronach nasadki, dzięki którym sama się zapali. To jest twoje zadanie. Kiedy zaczniesz krzyczeć: „Pali się!”, zbiegnie się tłum. Wtedy pójdziesz ulicą aż do końca, a ja za dziesięć minut do ciebie dołączę. Czy wszystko jasne?

– Mam się w nic nie mieszać, stanąć blisko okna, obserwować cię, a na twój sygnał wrzucić do środka ten przedmiot, potem krzyknąć, że się pali i czekać na ciebie na rogu ulicy.

– Właśnie.

– Możesz całkowicie na mnie polegać.

– Znakomicie. Muszę się przygotować do odegrania nowej roli.

Zniknął w swej sypialni i po kilku minutach powrócił pod postacią przyjaznego, prostodusznego protestanckiego duchownego. Na głowie miał czarny kapelusz z szerokim rondem, a na szyi koloratkę. Ubrany był w workowate spodnie. Współczującego uśmiechu i życzliwej ciekawości nie powstydziłby się sam John Hare[4]. Holmes nie tylko zmienił kostium. Wyraz jego twarzy, postawa, ba! nawet dusza wydawały się zmieniać z każdą kolejną rolą. Kiedy postanowił poświęcić się badaniu zbrodni, nauka straciła przenikliwy umysł, a scena – znakomitego aktora.

Wyruszyliśmy z Baker Street kwadrans po szóstej, a za dziesięć siódma znaleźliśmy się przy Serpentine Avenue. Zapadał już zmierzch i zapalano lampy. Przechadzaliśmy się przed Briony Lodge, czekając na jego lokatorkę. Dom wyglądał właśnie tak, jak go sobie wyobraziłem na podstawie zwięzłego opisu Holmesa, ale sąsiedztwo było znacznie mniej ciche, niż się spodziewałem. Jak na małą uliczkę w spokojnej okolicy panował tu niezwykły ruch. Na rogu stała grupa niechlujnie ubranych mężczyzn, którzy śmiali się i palili, był tu też szlifierz ze swym kołem; dwóch królewskich gwardzistów flirtowało z jakąś niańką, a kilku dobrze ubranych młodych ludzi przechadzało się z cygarami w ustach.

– Widzisz – zauważył Holmes, kiedy chodziliśmy tam i z powrotem przed domem – to małżeństwo w gruncie rzeczy upraszcza sprawę. Zdjęcie stało się teraz bronią obosieczną. Istnieje prawdopodobieństwo, że Irene zapragnie je ukryć przed panem Godfreyem Nortonem tak, jak nasz klient przed swoją księżniczką. Tylko gdzie go szukać?

– No właśnie, gdzie?

– Jest bardzo mało prawdopodobne, że nosi je ze sobą. Fotografia ma format *cabinet*, jest więc zbyt duża, by ukryć ją w fałdach kobiecej sukni. Irene wie też, że król może kazać ją uprowadzić i przeszukać, gdyż zostały podjęte już dwie takie próby. Możemy zatem przyjąć, że kobieta nie ma zdjęcia przy sobie.

– Gdzie zatem je trzyma?

– U swego bankiera lub prawnika. To dwie możliwości, jednak żadna z nich nie wydaje się realna. Kobiety są z natury skryte i same strzegą swych tajemnic. Dlaczego miałaby komukolwiek oddawać zdjęcie? Uznała, że u niej będzie bezpieczne, ale nie zdawała sobie sprawy, jakie skutki polityczne (i nie tylko) może wywołać konflikt z tak nieprzejednanym człowiekiem. Poza tym pamiętaj, że postanowiła wykorzystać zdjęcie w najbliższych dniach, zatem musi się ono znajdować tam, gdzie może po nie sięgnąć w każdej chwili. W jej własnym domu.

– Ale przecież dwukrotnie go obrabowano.

– Phi! Nie wiedzieli, jak i gdzie szukać.

– A ty jak zamierzasz szukać?

– Wcale nie mam takiego zamiaru.

– Co chcesz zatem zrobić?

– Skłonię ją, żeby sama mi je pokazała.

– Nie zgodzi się na to.

– Nie będzie mogła odmówić. Słyszę turkot kół. To jej powóz. Pamiętaj o moich poleceniach.

Nim skończył mówić, zobaczyliśmy światła eleganckiego powozika, który wyłonił się zza rogu ulicy i podjechał pod drzwi Briony Lodge. Gdy się zatrzymał, jeden z obiboków wystających na rogu ulicy rzucił się otwierać drzwi w nadziei, że zarobi miedziaka, ale został odepchnięty przez innego próżniaka, który przybiegł w tym samym celu. Wywiązała się wściekła sprzeczka, a spotęgowali ją dodatkowo gwardziści, którzy opowiedzieli się za jednym z obiboków i szlifierzem, który równie gorąco popierał obie strony. Posypały się ciosy, a kobieta, która właśnie wysiadła z powozu, w jednej chwili znalazła się wśród rozgorączkowanych, walczących ludzi, rozdających na prawo i lewo ciosy pięściami i kijami. Holmes wkroczył w tłum, by ratować damę, ale kiedy był tuż przy niej, krzyknął i padł na ziemię z zakrwawioną twarzą. Widząc to, gwardziści i próżniacy rozpierzchli się w przeciwne strony, a lepiej ubrani przechodnie, którzy przyglądali się bójce, nie biorąc w niej udziału, stłoczyli się wokół, by pomóc kobiecie i opatrzyć rannego. Irene Adler (tak nadal będę ją nazywał) wbiegła po schodach prowadzących do domu, jednak zatrzymała się przed drzwiami i popatrzyła w dół. Światła w korytarzu uwidoczniały jej piękną sylwetkę.

– Czy ten biedny pastor odniósł ciężkie rany? – spytała.

– Nie żyje! – odezwało się kilka głosów.

– Nie, nie, życie jeszcze się w nim tli! – zawołał inny. – Ale nie dojedzie do szpitala.

– To odważny człowiek – stwierdziła jakaś kobieta. – Gdyby nie on, skradliby pani portfel i zegarek. To był bezwzględny gang. Ach, zaczął oddychać!

– Nie może tak leżeć na ulicy. Czy można go wnieść do środka, proszę pani?

– Oczywiście. Wnieście go do salonu, tam jest wygodna kanapa. Tędy proszę!

Powoli i z namaszczeniem wnieśli Holmesa do willi Briony Lodge i położyli w salonie; ja obserwowałem całą sytuację ze swego posterunku przy oknie. Zapalono już lampy, nie zaciągnięto jednak zasłon, widziałem więc mego przyjaciela leżącego na kanapie. Nie mam pojęcia, czy odczuwał wtedy wyrzuty sumienia z powodu odgrywanej roli, wiem jednak na pewno, że nigdy nie było mi tak za siebie wstyd jak wtedy, gdy zobaczyłem tę piękną istotę, przeciwko której spiskowałem. Byłem poruszony jej wdziękiem i oddaniem, z jakimi zajmowała się rannym. Zdradziłbym jednak Holmesa, wycofując się z powierzonego mi zadania. Opanowałem poryw serca i wyjąłem spod płaszcza świecę dymną. „Przecież wcale nie robimy jej krzywdy – pomyślałem – jedynie powstrzymujemy ją przed skrzywdzeniem innej osoby”.

Holmes usiadł na kanapie. Widziałem, że zachowuje się jak człowiek, któremu brakuje powietrza. Pokojówka podbiegła do okna i otworzyła je. W tej samej chwili zobaczyłem, jak mój przyjaciel podnosi rękę, dając mi znak. Wrzuciłem świecę do pokoju i krzyknąłem:

– Pali się!

Natychmiast zebrał się tłumek lepiej i gorzej ubranych gapiów; byli tam dżentelmeni, stajenni i służący; wszyscy zaczęli wrzeszczeć:

– Pali się!

Gęste kłęby dymu wypełniły pokój i zaczęły ulatywać przez otwarte okno. Zauważyłem biegające postacie, a chwilę później usłyszałem dobiegający ze środka głos Holmesa, zapewniający, że to fałszywy alarm. Przeciskając się przez rozwrzeszczany tłum, dotarłem na róg ulicy. Dziesięć minut później mój przyjaciel dołączył do mnie i razem oddaliliśmy się od źródła burzliwych zdarzeń. Szliśmy szybko, bez słowa przez kilka

minut, aż w końcu skręciliśmy w jedną z cichych uliczek przecinających Edgeware Road.

– Bardzo dobrze się spisałeś, doktorze – stwierdził Holmes. – Nikt nie zrobiłby tego lepiej. Wszystko poszło jak z płatka.

– Masz zdjęcie?

– Wiem, gdzie jest.

– Jak się tego dowiedziałeś?

– Tak, jak ci mówiłem, sama mi pokazała.

– Nic nie rozumiem.

– Nie zamierzam robić z tego tajemnicy – odpowiedział ze śmiechem. – Sprawa jest bardzo prosta. Na pewno zauważyłeś, że wszyscy przechodnie byli statystami, zostali zatrudnieni na ten wieczór.

– Tego akurat się domyśliłem.

– Kiedy wybuchła sprzeczka, rozmazałem na dłoni czerwoną farbę. Rzuciłem się do przodu, upadłem i przeciągnąłem dłonią po twarzy. Wyglądałem jak obraz nędzy i rozpaczy. To stara sztuczka.

– Zauważyłem.

– Pani domu musiała się zgodzić na to, by wnieśli mnie do środka, nie miała innego wyjścia! Trafiłem do salonu, czyli dokładnie tam, gdzie chciałem. Obok była jej sypialnia; musiałem się dowiedzieć, w którym pokoju trzyma zdjęcie. Kiedy położyli mnie na kanapie, zacząłem się dusić, chwytając gorączkowo powietrze. Gospodyni musiała otworzyć okno, a wówczas ty mogłeś działać.

– Co na tym zyskałeś?

– To była najważniejsza część planu! Kiedy kobieta sądzi, że jej dom się pali, instynktownie biegnie po te rzeczy, które są dla niej najdroższe. To jest impuls. Wykorzystałem ten fakt wielokrotnie, na przykład w sprawie skandali w Darlington czy w zamku Arnsworth. Matka chwyta dziecko, panna natomiast szkatułkę z kosztownościami. Było oczywistym, że nasza dama nie ma w domu niczego cenniejszego niż to, czego poszukujemy; wiedziałem zatem, iż pobiegnie zabezpieczyć ten swój skarb. Panika spowodowana pożarem zadziałała znakomicie. Dym i wrzaski mogą nadszarpnąć nawet stalowe nerwy. Irene zrobiła dokładnie to, o co mi chodziło. Zdjęcie jest ukryte we wnęce za przesuwaną okiennicą, z prawej strony, tuż nad sznurem od dzwonka. Kobieta znalazła się tam w jednej chwili. Przez moment widziałem zdjęcie, kiedy je stamtąd wyjęła. Gdy

krzyknąłem, że to fałszywy alarm, odłożyła fotografię na miejsce, popatrzyła na świecę dymną i wybiegła z pokoju. Więcej jej nie widziałem. Podniosłem się, przeprosiłem i opuściłem dom. Zastanawiałem się, czy nie zabrać zdjęcia od razu, ale do pokoju wszedł woźnica, który bacznie mi się przyglądał, uznałem więc, że bezpieczniej będzie zaczekać. Pośpiech może wszystko zepsuć.

– Co teraz? – spytałem.

– Nasze zadanie jest już właściwie wykonane. Jutro przyjadę tu z królem; oczywiście, możesz nam towarzyszyć, jeśli zechcesz. Wprowadzą nas do salonu. Poczekamy na panią domu, ale nie jest wykluczone, że kiedy przyjdzie, nas już nie zastanie, nie będzie też zdjęcia. Jego Wysokość może być usatysfakcjonowany tym, że własnoręcznie odzyskał fotografię.

– O której tam będziesz?

– O ósmej rano. Irene będzie jeszcze w łóżku, więc będziemy mogli swobodnie działać. Nie mamy wiele czasu, bo małżeństwo może spowodować całkowitą zmianę jej sposobu życia i nawyków. Należy niezwłocznie zatelegrafować do króla.

Pojechaliśmy na Baker Street. Kiedy mój przyjaciel szukał klucza, jakiś przechodzień powiedział:

– Dobranoc, panie Holmes.

Chodnikiem szło kilka osób, a pozdrowił nas szczupły, okutany w płaszcz młodzieniec, który szedł szybkim krokiem.

– Znam skądś ten głos. – Holmes wpatrywał się w słabo oświetloną ulicę. – Kto to jest, do diaska?

Rozdział trzeci

Noc spędziłem przy Baker Street. Następnego ranka, kiedy jedliśmy grzanki i piliśmy kawę, do pokoju wpadł król Bohemii.

– Pan je naprawdę zdobył! – wykrzyknął, chwytając Sherlocka Holmesa za ramiona i wpatrując się w jego twarz.

– Jeszcze nie.

– Ale ma pan nadzieję odzyskać je?

– Owszem.

– Chodźmy więc. Umieram z niecierpliwości.

– Trzeba zawołać dorożkę.

– Nie, moja kareta czeka.

– Istotnie, uprości to sprawę.

Wyszliśmy z domu i ruszyliśmy do Briony Lodge.

– Irene Adler wyszła za mąż – powiedział Holmes.

– Za mąż? Kiedy?

– Wczoraj.

– Za kogo?

– Za angielskiego prawnika o nazwisku Norton.

– Ależ ona z pewnością go nie kocha.

– Mam nadzieję, że tak.

– Skąd pan wie?

– Chcę oszczędzić Waszej Wysokości kłopotów. Jeśli ta dama kocha swego męża, nie kocha Waszej Wysokości. Jeśli zaś nie kocha Waszej Wysokości, nie ma powodu, by utrudniała realizację pańskich planów.

– To prawda. Bardzo żałuję, że nie była mi równa stanem! Cóż by z niej była za królowa! – rzekłszy to, król pogrążył się w zadumie, którą przerwał nasz przyjazd na Serpentine Avenue.

Drzwi Briony Lodge były otwarte. Na schodach stała starsza kobieta. Przyglądała się kpiąco jak wysiadamy z karety.

– Pan Sherlock Holmes, jak sądzę? – spytała.

– Owszem, nazywam się Holmes – odpowiedział mój towarzysz, wpatrując się w nią zdziwionym, pytającym wzrokiem.

– W rzeczy samej! Moja pani uprzedziła o pańskiej wizycie. Wyjechała z mężem dziś rano na kontynent pociągiem o 5.15 z dworca Charing Cross.

– Co takiego? – Holmes zbladł zaskoczony i zachwiał się; sprawiał wrażenie bardzo zawiedzionego. – Opuściła Anglię?

– I nie zamierza tu wracać.

– A papiery? – spytał król ochrypłym głosem. – Wszystko przepadło!

– To się okaże – Holmes odepchnął służącą i pobiegł do gabinetu. Podążyliśmy za nim. Meble były poprzesuwane, półki pozrzucane, a szafki otwarte, jak gdyby kobieta pośpiesznie opróżniała je przed ucieczką. Holmes podbiegł do sznura od dzwonka, odchylił małą przesuwaną okiennicę i wyjął zza niej list i fotografię. Na zdjęciu była Irene Adler w wieczorowej sukni, a list zaadresowano do „Sz. P. Sherlocka Holmesa. Poste restante”. Mój przyjaciel rozdarł kopertę i wszyscy trzej przeczytaliśmy list. Widniała na nim data poprzedniego dnia.

DROGI PANIE HOLMES!

Spisał się Pan doprawdy znakomicie. Wywiódł Pan mnie w pole. Aż do czasu fałszywego alarmu nie miałam żadnych podejrzeń. Jednak później, kiedy zrozumiałam, że się zdradziłam, pomyślałam o Panu. Ostrzegano mnie przed Panem od miesięcy. Mówiono mi, że jeśli król zatrudni kogoś do prowadzenia tej sprawy, będzie to Pan. Podano mi również Pański adres. Mimo wszystko skłonił mnie Pan do ujawnienia tego, czego się Pan chciał dowiedzieć. Gdy nabrałam podejrzeń, trudno mi było nie ufać uroczemu, dobrotliwemu pastorowi. Musi Pan jednak pamiętać, że jestem profesjonalną aktorką. Męskie przebrania to dla mnie chleb powszedni. Często korzystam ze swobody, jaką mi zapewniają. Wysłałam mojego woźnicę Johna, żeby Pana pilnował, pobiegłam na górę, przebrałam się w mój strój spacerowy i zeszłam na dół, kiedy Pan odjeżdżał.

Śledziłam Pana aż do jego drzwi i w ten sposób upewniłam się, że istotnie jestem obiektem zainteresowania słynnego Sherlocka Holmesa. Później, choć było to dość nieostrożne, życzyłam Panu dobrej nocy i pojechałam zobaczyć się z mężem. Wspólnie uznaliśmy, że skoro mamy przeciw sobie takiego przeciwnika, najlepszym rozwiązaniem będzie ucieczka. Juto rano mój dom będzie już pusty. Jeśli chodzi o zdjęcie, Pański klient może być spokojny. Kocham mężczyznę lepszego niż on i jestem kochana. Król może robić, co mu się podoba. Nie będę czyniła przeszkód, choć tak okrutnie mnie skrzywdził. Zatrzymuję zdjęcie jedynie dla swej ochrony

i zabezpieczenia przed krokami, jakie mógłby podjąć w przyszłości. Pozostawiam fotografię, którą być może chciałby zachować i pozostaję szczerze Panu oddana

IRENE NORTON z d. ADLER

– Cóż za kobieta, ach, cóż za kobieta! – wykrzyknął król Bohemii, kiedy skończyliśmy lekturę. – Czyż nie mówiłem panom, jaka jest bystra i rzutka? Czyż nie byłaby wspaniałą królową? Czyż to nie jest smutne, że nie pochodziła z mojej sfery?

– Z tego co mi wiadomo, ta dama istotnie reprezentuje zupełnie inny poziom niż Wasza Wysokość – odparł Holmes zimno. – Przykro mi, że nie udało się doprowadzić sprawy Waszej Wysokości do pożądanego zakończenia.

– Wręcz przeciwnie, drogi panie! – wykrzyknął król. – Nie mogło być lepsze! Wiem, że jej słowo jest święte, więc zdjęcie jest tak bezpieczne, jakby dostępu do niego broniły płomienie.

– Cieszę się, że Wasza Wysokość tak uważa.

– Mam wobec pana ogromny dług. Proszę powiedzieć, w jaki sposób mogę pana wynagrodzić. Ten pierścień… – zsunął z palca sygnet w kształcie węża przyozdobiony szmaragdem i położył na dłoni.

– Wasza Wysokość posiada coś, co jest dla mnie dużo cenniejsze.

– Proszę mi powiedzieć, co pan ma na myśli?

– To zdjęcie.

Król spojrzał na Holmesa ze zdumieniem.

– Zdjęcie Irene? – wykrzyknął. – Oczywiście, jeśli tego właśnie pan sobie życzy!

– Dziękuję Waszej Wysokości. Sprawę możemy uznać za zamkniętą. Mam zaszczyt życzyć Waszej Wysokości przyjemnego poranka – powiedział Holmes, po czym skłonił się, odwrócił i nie zważając na wyciągniętą królewską dłoń, odszedł.

Tak oto wielki skandal zagrażał królestwu Bohemii, a kobiecy spryt zniweczył misterne plany Sherlocka Holmesa.

Dawniej mój przyjaciel kpił sobie z umysłu kobiet, ale jakoś nie słyszałem, by robił to w ostatnim czasie. I kiedy mówi o Irene Adler lub o jej zdjęciu, zawsze wymawia jak tytuł: „Ta Kobieta”.

Opowieść druga

LIGA RUDZIELCÓW

Pewnego dnia, jesienią zeszłego roku, odwiedziłem mego przyjaciela Sherlocka Holmesa i zastałem go pogrążonego w rozmowie z bardzo tęgim, rumianym, starszym dżentelmenem o płomiennorudych włosach. Przeprosiłem za najście i już miałem opuścić pokój, kiedy Holmes bezceremonialnie wciągnął mnie do środka i zamknął drzwi.

– Nie mogłeś wybrać lepszego momentu na wizytę, mój drogi Watsonie – rzekł serdecznie.

– Sądziłem, że jesteś zajęty.

– Istotnie, jestem – i to bardzo.

– W takim razie, mogę poczekać w pokoju obok.

– Mowy nie ma. Panie Wilson, ten dżentelmen był mym towarzyszem i pomocnikiem przy rozwiązywaniu wielu najbardziej udanych spraw, więc nie mam wątpliwości, że również w pańskim przypadku okaże się wielce pomocny.

Tęgi mężczyzna uniósł się z krzesła i pochylił się do przodu w geście powitania, obrzucając mnie pytającym spojrzeniem oczu okolonych fałdami tłuszczu.

– Proszę usiąść na sofie – powiedział Holmes, opadając z powrotem na fotel i stykając dłonie opuszkami palców, co zazwyczaj robił, gdy się nad czymś zastanawiał. – Mój drogi Watsonie, wiem, że podzielasz moje zamiłowanie do wszystkiego, co niezwykłe i wykracza poza umowności i monotonię codziennego życia. Okazałeś to, spisując z entuzjazmem i, za pozwoleniem, nieco ubarwiając tak wiele mych mało znaczących przygód.

– Sprawy, które prowadziłeś, zawsze bardzo mnie interesowały – zauważyłem.

– Pamiętasz zapewne, jak niedawno, tuż przed tym, jak przyszła do nas panna Mary Sutherland i opowiedziała o swoim niewielkim problemie, wspomniałem, że nawet człowiek o najśmielszej fantazji nie jest w stanie wyobrazić sobie czy wymyślić tak osobliwych i dziwacznych przypadków, jakie niesie życie.

– Pozwoliłem sobie zwątpić w słuszność tego stwierdzenia.

– Owszem, doktorze, musisz jednak uznać moje poglądy. W przeciwnym razie będę przypominał ci kolejne fakty dopóty, dopóki twój rozsądek nie ugnie się pod ich ciężarem i nie przyzna mi racji. Obecny tu pan Jabez Wilson zaszczycił mnie dziś rano wizytą i zaczął opowiadać historię, która zanosi się na jedną z najbardziej niezwykłych. Jak wiesz, uważam, że najdziwniejsze i najosobliwsze zdarzenia bardzo często wiążą się raczej z drobnymi wykroczeniami. Często wątpliwe jest czy na pewno zostało popełnione przestępstwo. Na podstawie tego, co dotąd usłyszałem, nie potrafię stwierdzić czy doszło do złamania prawa, ale bieg wypadków należy do najniezwyklejszych, z jakimi się dotychczas zetknąłem. Panie Wilson, będzie pan tak dobry i zacznie swą opowieść od nowa! Proszę o to nie tylko dlatego, żeby mój przyjaciel doktor Watson wysłuchał tej historii od początku do końca, ale także dlatego, że ze względu na jej niezwykły charakter chciałbym ponownie usłyszeć wszystkie szczegóły. Kiedy mniej więcej wiem, co się wydarzyło, mogę posiłkować się tysiącami podobnych spraw, które mam w pamięci. Tym razem jestem zmuszony przyznać, że okoliczności pańskiej sprawy są, wedle mojej najlepszej wiedzy, jedyne w swoim rodzaju.

Postawny klient, napęczniały z dumy, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni płaszcza brudną, pomiętą gazetę i rozłożył ją na kolanach. Kiedy studiował ogłoszenia, pochylił głowę, wówczas dobrze mu się przyjrzałem i spróbowałem zgadnąć na podstawie wyglądu i ubioru, jak to robił mój przyjaciel, kim jest nasz gość.

Moje obserwacje niewiele mi jednak dały. Od razu można było zauważyć, że jest to typowy, pompatyczny, brytyjski kupiec, opasły i tępy. Miał na sobie workowate szare spodnie w pepitkę. Jego niezbyt schludny czarny surdut był rozpięty, a na poszarzałej kamizelce widniała bardzo gruba, pretensjonalna dewizka z osobliwą ozdobą w postaci kawałka metalu z kwadratowym otworem pośrodku. Na krześle obok leżały postrzępiony cylinder i spłowiały brązowy płaszcz z wymiętym aksamitnym kołnierzem.

Przyjrzałem się naszemu gościowi najdokładniej, jak potrafiłem, ale nie dostrzegłem niczego godnego uwagi prócz ogniście rudych włosów oraz wielkiego smutku i niezadowolenia, jakie miał wypisane na twarzy.

Bystremu spojrzeniu Sherlocka Holmesa nie uszła uwagi moja obserwacja, a na moje pytające spojrzenie pokręcił tylko głową i uśmiechnął się:

– Nie potrafię wydedukować niczego prócz oczywistych faktów: nasz gość pracował kiedyś fizycznie, zażywa tabaki, jest wolnomularzem, był w Chinach, a ostatnio sporo pisał.

Imć Jabez Wilson zerwał się z krzesła i wciąż przyciskając palec wskazujący do gazety, wbił wzrok w mego towarzysza.

– Jakim cudem udało się panu tego wszystkiego dowiedzieć, panie Holmes? – spytał. – Skąd pan na przykład wie, że byłem pracownikiem fizycznym? Owszem, to szczera prawda, w młodości byłem cieślą okrętowym.

– Mówią o tym pańskie ręce. Prawa jest znacznie mocniejsza od lewej. Używał jej pan podczas pracy, więc mięśnie są lepiej rozwinięte.

– A tabaka? A wolnomularstwo?

– Łatwo się domyślić, jako że wbrew ścisłym regułom zakonu nosi pan broszę z cyrklem i węgielnicą.

– Oczywiście! Zapomniałem o tym. A pisanie?

– Na cóż innego może wskazywać prawy mankiet wyświecony na siedem cali, i lewy rękaw wytarty na łokciu?

– No tak. A Chiny?

– Wizerunek ryby, który widnieje nad prawym nadgarstkiem, mógł zostać wytatuowany jedynie w Chinach. Zajmowałem się kiedyś tatuażami, stworzyłem nawet przyczynek do literatury tego przedmiotu. Tylko w tym kraju rybie łuski barwi się na delikatnie różowy kolor. Gdy dostrzegłem chińską monetę zawieszoną na pańskiej dewizce, przekonałem się ostatecznie, że był pan w tym kraju.

Jabez Wilson zaśmiał się donośnie.

– A niech mnie! – wykrzyknął. – Na początku myślałem, że pan dokonał czegoś nadzwyczajnego, ale teraz widzę, że wcale tak nie jest.

– Watsonie, zaczynam domniemywać, że popełniam błąd, wyjaśniając tok swego rozumowania – stwierdził Holmes. – Jak wiesz, *omne ignotum*

pro magnifico[5], więc mogę narazić mą reputację na szwank, jeśli nadal będę aż tak szczery. Panie Wilson, czy udało się panu odnaleźć ogłoszenie?

– Tak, mam je – odpowiedział kupiec, wskazując tłustym palcem kolumnę. – Jest tu. Od niego wszystko się zaczęło. Niech pan sam spojrzy.

Wziąłem gazetę i przeczytałem:

> DO LIGI RUDZIELCÓW. Na mocy testamentu Ezechiasza Hopkinsa z Lebanon w stanie Pensylwania, USA, powstała możliwość zatrudnienia jednego z członków Ligi, upoważniająca go do pobierania wynagrodzenia w wysokości czterech funtów tygodniowo w zamian za oddawanie drobnych usług. Ubiegać się o posadę może każdy rudowłosy mężczyzna zdrowy na ciele i umyśle, który ukończył dwadzieścia jeden lat. Kandydaci winni stawić się osobiście w poniedziałek o jedenastej rano do pana Duncana Rossa w siedzibie Ligi przy Pope’s Court 7, Fleet Street.

– Co to oznacza, do kroćset? – wykrzyknąłem, gdy dwa razy przeczytałem niezwykłe ogłoszenie.

Holmes zachichotał i zaczął się wiercić na krześle; robił tak zawsze, gdy był czymś uradowany.

– Przyznasz – zwrócił się do mnie – że to dosyć osobliwe. A teraz, panie Wilson, proszę zacząć od początku i opowiedzieć nam wszystko o sobie, swym domu i o tym, jak to ogłoszenie wpłynęło na pana losy. Doktorze, popatrz na tytuł gazety i datę.

– To „Morning Chronicle” z dwudziestego siódmego kwietnia 1890 roku, czyli sprzed pięciu miesięcy.

– Znakomicie. Panie Wilson, proszę mówić.

– No więc jest tak, jak panu mówiłem, panie Holmes – zaczął Jabez Wilson, ocierając czoło. – Mam niewielki lombard przy Coburg Square, niedaleko City. Interes nie jest duży, a w ostatnich latach dochody ledwo starczały mi na utrzymanie. Dawniej miałem dwóch pomocników, teraz został tylko jeden, a i jemu nie bardzo miałbym z czego płacić, gdyby nie to, że pracuje za połowę pensji, bo przyucza się do zawodu.

– Jak się nazywa ten usłużny młodzieniec? – spytał Holmes.

– Vincent Spaulding, ale młodzieńcem to on już raczej nie jest. Trudno powiedzieć, ile ma lat. Nie ma chyba na świecie zmyślniejszego pomocnika, panie Holmes. Mógłby rozwinąć skrzydła i zarabiać dwa razy więcej, niż ja jestem w stanie mu zapłacić. Ale skoro jest mu dobrze u mnie, po co mu o tym mówić?

– Istotnie, po co? Ma pan, zdaje się, wielkie szczęście, zatrudniając pracownika, który kosztuje mniej, niż jest wart. Nieczęsto zdarza się to dzisiejszym przedsiębiorcom. Nie wiem, czy pański pomocnik nie jest bardziej niezwykły niż ogłoszenie.

– Ach, ma oczywiście swoje wady – odrzekł Wilson. – W życiu nie spotkałem takiego amatora fotografii. Zamiast się szkolić, wciąż biega z aparatem, a potem daje nura do piwnicy jak królik do nory i wywołuje zdjęcia. To jego największa wada, ale ogólnie dobry z niego pracownik i porządny człowiek.

– Mieszka z panem?

– Zgadza się. On i czternastoletnia dziewuszka, która gotuje i sprząta. To już wszyscy mieszkańcy mojego domu. Jestem wdowcem, nigdy nie miałem rodziny. Żyjemy sobie spokojnie we trójkę i zarabiamy na dach nad głową oraz podjęte zobowiązania. To ogłoszenie zmieniło naszą sytuację. Równo cztery miesiące temu Spaulding wszedł do biura, trzymając w rękach tę właśnie gazetę, którą panom pokazałem i stwierdził: „Mój Boże, Panie Wilson, jakże chciałbym być rudy!”. „A niby czemu?” – ja na to. „Ach, proszę pana – odpowiedział – zwolniła się kolejna posada w Lidze Rudzielców. Przyniesie okrągłą sumkę temu, kto ją otrzyma; zdaje się, że miejsc jest więcej niż chętnych, więc powiernicy zachodzą w głowę, co zrobić z pieniędzmi. Gdyby tylko moje włosy mogły zmienić kolor, wystarałbym się o taką synekurę!” „O co tu chodzi?” – spytałem. Panie Holmes, jestem wielkim domatorem, a ponieważ to interesanci przychodzili do mnie, a nie ja chodziłem do nich, często spędzałem całe tygodnie, nie wystawiając nosa za próg. Nie wiedziałem zbyt dobrze, co się dzieje na świecie, toteż zawsze z przyjemnością słuchałem nowin. „Nigdy pan nie słyszał o Lidze Rudzielców?” – spytał, wytrzeszczając oczy. „Nigdy”. „Teraz mi przyszło do głowy, że może pan by się nadawał na to stanowisko”. „A ile dostanę?” – spytałem. „Jedynie kilka setek rocznie, ale pracy przy tym tyle co nic, więc nie przeszkadza ona w wykonywaniu innych obowiązków”. Jak się pan domyśla, ta wiadomość przykuła moją uwagę. Od kilku lat cienko przędłem, więc dodatkowych kilkaset funtów rocznie byłoby jak znalazł. „Opowiedz mi wszystko, co o tym wiesz” – poprosiłem. „No cóż. – Spaulding pokazał mi ogłoszenie. – Sam pan widzi, że jest posada do objęcia. Podali też adres, pod który trzeba się zgłaszać po dalsze informacje. Z tego co wiem, ligę założył

amerykański milioner Ezechiasz Hopkins, który był wielkim oryginałem. Sam był rudy i bardzo lubił wszystkich rudzielców. Kiedy zmarł, okazało się, że zostawił swój wielki majątek powiernikom i zalecił wypłacać odsetki w celu finansowania ciepłych posadek rudowłosym mężczyznom. Słyszałem, że taka praca jest dobrze płatna, a przy tym nie wymaga wiele wysiłku. „Ależ zgłoszą się miliony chętnych!" „Nie aż tylu, jak pan myśli – odpowiedział. – Widzi pan, ogłoszenie jest skierowane do dorosłych londyńczyków. Ten Amerykanin zaczął prowadzić interesy w Londynie i chciał się odwdzięczyć naszemu pięknemu miastu. Słyszałem też, że nie ma sensu ubiegać się o posadę, jeśli ma się włosy rudoblond, kasztanowe lub w jakimkolwiek innym odcieniu niż naprawdę płomieniście rude. Gdyby pan zechciał się tam zgłosić, panie Wilson, przyjęliby pana z otwartymi ramionami, ale może tych kilkaset funtów nie jest wartych fatygi". Jak sami panowie widzicie, moje włosy mają bardzo żywy odcień, więc wydawało mi się, że gdybym konkurował z kimkolwiek, miałbym spore szanse. Vincent Spaulding wydawał się tak dobrze poinformowany, że uznałem, iż może mi się przydać. Kazałem mu zamknąć lombard i iść ze mną. Bardzo się ucieszył z wychodnego. Zatrzasnęliśmy okiennice i udaliśmy się pod adres podany w ogłoszeniu. Mam nadzieję, że już nigdy nie przyjdzie mi oglądać niczego takiego, panie Holmes. W odpowiedzi na ogłoszenie ze wszystkich czterech stron świata ściągali mężczyźni, którzy mieli we włosach choćby odcień rudego koloru. Fleet Street była zapchana rudzielcami, a Pope's Court wyglądał jak jedna wielka pomarańcza. Nie sądziłem, że w całym kraju może być tylu rudowłosych, ilu zebrało się w tym jednym miejscu. Ich włosy miały przeróżne odcienie – słomkowe, cytrynowe, pomarańczowe, ceglaste, w kolorze maści setera irlandzkiego, wątróbki czy gliny, ale, tak jak mówił Spaulding, niewielu miało naprawdę płomiennorude czupryny. Kiedy zobaczyłem, ilu ich czeka, załamałem się i zamierzałem się poddać, ale mój pomocnik nie chciał nawet o tym słyszeć. Nie wiem, jak tego dokonał, ale przepychał się i przeciskał tak długo, aż przedostaliśmy się przez tłum i stanęliśmy na schodach prowadzących do biura. Płynęły nimi dwa strumienie ludzi – jedni wchodzili pełni nadziei, inni schodzili zasmuceni. W końcu udało nam się dostać do biura.

– To doprawdy przezabawne – stwierdził Holmes, kiedy jego klient odświeżał swą pamięć za pomocą ogromnej szczypty tabaki. – Proszę,

niech pan kontynuuje tę niezwykle zajmującą opowieść.

– W pomieszczeniu biura nie było niczego poza kilkoma drewnianymi krzesłami i stołem z bali, za którym siedział niewysoki mężczyzna o włosach jeszcze bardziej jaskrawych niż moje. Zamienił on kilka słów z kolejnym kandydatem, ale i u niego znalazł wadę, która go dyskwalifikowała. Wyglądało na to, że otrzymanie posady nie jest wcale taką prostą sprawą. Kiedy jednak nadeszła moja kolej, człowieczek odniósł się do mnie bardziej przychylnie niż do moich poprzedników. Gdy weszliśmy, zamknął drzwi, byśmy mogli porozmawiać na osobności. „Oto pan Jabez Wilson – przedstawił mnie mój pomocnik. – Chce objąć posadę w Lidze". „I idealnie się do tego nadaje – odpowiedział człowieczek. – Spełnia wszystkie wymogi. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem równie wspaniały odcień rudości". Cofnął się o krok, przechylił głowę i wpatrywał się w moje włosy tak długo, że aż się zawstydziłem. Nagle skoczył do przodu, uścisnął mi dłoń i serdecznie pogratulował sukcesu. „Byłoby jawną niesprawiedliwością, gdybym dłużej się wahał, proszę mi jednak wybaczyć, muszę zachować środki ostrożności" – mówiąc to, obiema rękami chwycił mnie za włosy i szarpnął, aż ryknąłem z bólu. „Oczy panu łzawią – stwierdził, wypuszczając moje kędziory – czyli wszystko jest tak, jak być powinno. Musimy zachować ostrożność, bo już dwa razy oszukano nas za pomocą peruki, a w jednym przypadku włosy były ufarbowane. Mógłbym też opowiedzieć panu takie historie o nieuczciwym zastosowaniu pasty do butów, że zwątpiłby pan w dobroć natury ludzkiej". Podszedł do okna i krzyknął ile sił w płucach, że miejsce zostało obsadzone. Rozległ się jęk zawodu i przybyli zaczęli się rozchodzić w różne strony. Na miejscu pozostały jedynie dwie rude czupryny, moja i mego rozmówcy. „Nazywam się Duncan Ross i również należę do beneficjentów funduszu założonego przez naszego szlachetnego dobroczyńcę – przedstawił się. – Czy jest pan żonaty, panie Wilson? Czy ma pan rodzinę?" Zaprzeczyłem, a on natychmiast spochmurniał. „O rety! – Jego głos był bardzo poważny. – To duża przeszkoda. Bardzo mi przykro, że tak się sprawy mają. Fundusz miał służyć nie tylko finansowemu wsparciu rudowłosych, ale także rozpowszechnianiu tego koloru włosów. To doprawdy niefortunne, że jest pan kawalerem". Mina mi zrzedła, panie Holmes, bo już byłem przekonany, że nie obejmę tej posady, ale po kilku minutach namysłu Ross stwierdził, że pójdzie mi na rękę: „Ta

okoliczność wykluczałaby innych kandydatów, ale musimy zrobić wyjątek dla człowieka z taką czupryną. Od kiedy może pan zacząć pełnić obowiązki?" „Jest to dość niezręczna sytuacja, prowadzę własny interes". „Ależ niech się pan tym nie martwi, panie Wilson! – wykrzyknął Vincent Spaulding. – Zajmę się nim!" „Jakie są godziny pracy?" – spytałem. „Od dziesiątej do drugiej". W lombardzie załatwia się interesy głównie wieczorem, zwłaszcza w czwartki i piątki, czyli tuż przed dniami wypłat, więc bardzo odpowiadała mi możliwość dorobienia w godzinach rannych. Poza tym wiedziałem, że mój pomocnik to dobry człowiek i zajmie się wszystkim, kiedy zaistnieje potrzeba. „Bardzo mi to odpowiada – stwierdziłem. – Jakie wynagrodzenie?" „Cztery funty tygodniowo". „A na czym polega praca?" „Jest bardzo lekka". „Co pan przez to rozumie?" „Przez cały czas musi pan być w biurze lub przynajmniej w budynku. Jeśli pan wyjdzie na zewnątrz, utraci posadę na zawsze. Testament określa to bardzo precyzyjnie. Jeśli opuści pan biuro w godzinach pracy, nie dotrzyma warunków". „To tylko cztery godziny dziennie – i ani mi się śni stąd ruszać" – odparłem. „Nie zostanie przyjęte żadne usprawiedliwienie – ciągnął Duncan Ross. – Ani choroba, ani interesy, ani nic innego. Musi pan być stale na miejscu albo pożegna się ze stanowiskiem". „A na czym polega praca?" „Będzie pan przepisywał *Encyclopædia Britannica*. W szafie znajdzie pan jej pierwszy tom. Zaopatrzy się pan w atrament, pióra, papier i bibułę, a my zapewnimy stół i krzesło. Czy będzie pan mógł przystąpić do pracy jutro?" „Jak najbardziej" – zapewniłem. „Zatem żegnam pana, panie Wilson – i jeszcze raz gratuluję wysokiego stanowiska, które udało się panu objąć" – powiedział Ross, po czym, gnąc się w ukłonach, wyprowadził mnie z biura. Wróciłem do domu wraz z moim pomocnikiem. Tak ucieszył mnie ten uśmiech losu, że nie wiedziałem, co robić ani co mówić. Zastanawiałem się nad tym przez cały dzień, ale pod wieczór znów ogarnęły mnie wątpliwości. Uznałem, że cała sprawa to jakieś wielkie oszustwo lub jakaś mistyfikacja, choć nie potrafiłem sobie wyobrazić, co taki spisek mógłby mieć na celu. Trudno było uwierzyć, że ktoś sporządził testament, na mocy którego płaci się tak dużo za coś tak łatwego jak przepisywanie encyklopedii. Vincent Spaulding robił, co mógł, by dodać mi otuchy, ale zanim położyłem się spać, postanowiłem się ze wszystkiego wycofać. Rano jednak pomyślałem, że mogę przynajmniej sprawdzić, co się za tym kryje.

Kupiłem butelkę taniego atramentu, nie zapomniałem o zaostrzonym piórze i siedmiu dużych arkuszach papieru i wyruszyłem na Pope’s Court. Ku memu zaskoczeniu i niekłamanej radości, wszystko było dokładnie tak, jak zostało ustalone. Stół już na mnie czekał, a Duncan Ross był na miejscu, by upewnić się, że uczciwie wezmę się do roboty. Kazał mi zacząć od litery A i wyszedł, ale od czasu do czasu wpadał sprawdzić czy wszystko jest w porządku. O drugiej życzył mi miłego dnia, pochwalił za szybkość pisania i zamknął za mną drzwi biura. Powtarzało się to codziennie, a w sobotę mój chlebodawca wręczył mi cztery złote suwereny za pracę wykonaną przez tydzień. Tak samo było w kolejnym tygodniu i w następnym. Codziennie stawiałem się na miejscu o dziesiątej rano i wychodziłem o drugiej po południu. Pana Rossa widywałem teraz tylko raz dziennie, rano, a po jakimś czasie w ogóle przestał przychodzić. Oczywiście, nie śmiałem wyjść z pokoju ani na chwilę, gdyż nie byłem pewien, kiedy wróci, a posada była tak dobra i tak mi odpowiadała, że za nic nie zaryzykowałbym jej utraty. Tak minęło osiem tygodni. Przepisałem artykuły o anemii, alabastrze, agronomii, architekturze i attyce; byłem pewien, że jeśli się przyłożę, niedługo dojdę do B. Sporo wydałem na papier, zapełniłem swoimi zapiskami prawie całą półkę. I nagle wszystko się skończyło.

– Skończyło?

– Tak, proszę pana, właśnie dziś rano. Zjawiłem się w pracy jak zwykle o dziesiątej, lecz biuro było zamknięte. Na drzwiach była przypięta pinezką mała karteczka. Oto ona, możecie panowie sami przeczytać.

Wilson podał nam arkusz sztywnego, białego papieru wielkości kartki z notatnika. Widniały na nim słowa:

LIGA RUDZIELCÓW
ZOSTAJE
ROZWIĄZANA
9 października 1890 r.

Przyglądaliśmy się z Holmesem temu lakonicznemu oświadczeniu i żałosnej minie naszego klienta tak długo, aż komiczny aspekt sprawy przeważył i obaj wybuchnęliśmy gromkim śmiechem.

– Nie widzę w tym niczego śmiesznego! – wykrzyknął Wilson, czerwieniąc się aż po cebulki płomiennorudych włosów. – Jeśli nie macie

mi panowie do zaoferowania niczego poza chichotem, zwrócę się do kogo innego.

– Nie, nie! – krzyknął Holmes, popychając go z powrotem na krzesło. – Za skarby świata nie dałbym sobie odebrać pańskiej sprawy! Jest niezwykła, ożywia mnie! Ale, proszę wybaczyć, ma w sobie coś zabawnego. Co pan zrobił, gdy znalazł na drzwiach karteczkę?

– Byłem wstrząśnięty, proszę pana. Nie wiedziałem, co robić. Zacząłem rozpytywać w okolicznych biurach, ale nikt niczego nie wiedział. W końcu poszedłem do gospodarza budynku, który jest księgowym i mieszka na parterze. Spytałem go czy wie, co się stało z Ligą Rudzielców. Stwierdził, że nigdy nie słyszał o takiej organizacji. Zapytałem go o Duncana Rossa, a on oświadczył, że nie zna tego nazwiska. „Chodzi mi o dżentelmena z biura numer cztery” – wyjaśniłem. „Tego rudego?” „Tak”. „Ach – odpowiedział – ten człowiek nazywa się William Morris. Jest prawnikiem. Wynajmował u mnie pokój tymczasowo, do chwili wykończenia nowego biura. Wczoraj się wyprowadził”. „Gdzie mogę go znaleźć?” „W nowym biurze. Zostawił mi adres: King Edward Street 17, niedaleko katedry św. Pawła”. Ruszyłem w drogę, ale pod wskazanym adresem znalazłem wytwórnię protez stawu kolanowego, w której nikt nie słyszał ani o Williamie Morrisie, ani o Duncanie Rossie.

– I co pan zrobił? – spytał Holmes.

– Poszedłem do domu na Saxe-Coburg Square i poprosiłem Vincenta Spauldinga o radę. Nie potrafił mi pomóc, powiedział, że mam poczekać, zapewne otrzymam informacje pocztą. To mi jednak nie wystarczyło, panie Holmes, nie chcę stracić takiej dobrej posady bez walki; słyszałem, że udziela pan porad ludziom, którzy ich potrzebują, przyszedłem więc prosto do pana.

– I bardzo mądrze pan postąpił – odrzekł Holmes. – Pańska sprawa jest zaiste godna uwagi i z przyjemnością się nią zajmę. Z tego co mi pan powiedział, wnoszę, że sytuacja może być poważniejsza, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

– A to nie jest wystarczająco poważna? – wykrzyknął Jabez Wilson. – Toż straciłem cztery funty tygodniowo!

– Jeśli chodzi o pana – odpowiedział Holmes – nie wydaje mi się, by miał pan podstawy skarżyć się na dotychczasową pracę. Wręcz przeciwnie. Jeśli dobrze zrozumiałem, wzbogacił się pan o około trzydzieści funtów

i posiadł szczegółową wiedzę o wszystkim, co się zaczyna w encyklopedii na literę A. Nic pan na tym nie stracił.

– Nie, proszę pana. Ale chcę się dowiedzieć, kim oni są i po co zrobili mi ten kawał, jeśli to był kawał. On ich sporo kosztował, wydali trzydzieści dwa funty!

– Dołożymy starań, by to wyjaśnić. Najpierw, panie Wilson, chciałbym zadać kilka pytań. Od jak dawna pracował u pana ów pomocnik, który zwrócił pańską uwagę na ogłoszenie?

– Prawie od miesiąca.

– Jak do pana trafił?

– Z ogłoszenia.

– Czy zgłosił się jako jedyny?

– Nie, miałem z tuzin chętnych.

– Dlaczego wybrał pan akurat jego?

– Był zmyślny i nie żądał wysokiej pensji.

– Zgodził się na połowę stawki?

– Tak.

– Jak wygląda Vincent Spaulding?

– Jest niski, krzepki, bardzo ruchliwy. Nie ma zarostu, chociaż na pewno przekroczył trzydziestkę. Na czole ma białą plamę wyżartą kwasem.

Holmes, wyraźnie ożywiony, wyprostował się w fotelu.

– Tak właśnie myślałem – stwierdził. – Nie wie pan może czy on ma przekłute uszy?

– Owszem. Powiedział mi, że kiedy był młody, przekłuła mu je Cyganka.

– Hmm… – Holmes pogrążył się w zadumie. – Czy wciąż u pana pracuje?

– Ależ tak. Dopiero co się z nim widziałem.

– A czy dobrze dbał o interes pod pana nieobecność?

– Nie mogę narzekać. Rano i tak nigdy nie ma wielkiego ruchu.

– To już wszystko, panie Wilson. Z przyjemnością wypowiem się w pańskiej sprawie za dzień lub dwa. Dziś sobota, mam nadzieję, że do poniedziałku uda się tę sprawę rozwiązać.

– I cóż, Watsonie – zwrócił się do mnie po wyjściu naszego gościa. – Co o tym wszystkim sądzisz?

– Absolutnie nic – odpowiedziałem szczerze. – Dla mnie to całkowita zagadka.

– Z reguły, im coś jest dziwniejsze na początku, tym mniej zagadkowe okazuje się później. To zwyczajne zbrodnie bez żadnych cech szczególnych są najbardziej tajemnicze, tak jak pospolita twarz jest najtrudniejsza do rozpoznania. W tej sprawie muszę jednak działać szybko.

– Co zamierzasz zrobić? – spytałem.

– Zapalić – odparł. – Rozwiązanie tego problemu może wymagać wypalenia nawet trzech fajek, więc muszę cię prosić, byś się do mnie nie odzywał przez najbliższych pięćdziesiąt minut.

To rzekłszy, zagłębił się w fotelu, podkulił kolana aż pod swój jastrzębi nos i zamknął oczy. Czarna gliniana fajka wystawała mu z ust i przypominała dziób jakiegoś dziwnego ptaka. Uznałem, że przyjaciel zasnął i sam zacząłem zapadać w drzemkę, kiedy nagle zerwał się z fotela i odłożył fajkę na kominek. Jego mina świadczyła o tym, że podjął ważną decyzję.

– Dziś po południu w St. James's Hall gra Sarasate[6] – oznajmił. – Jak sądzisz, Watsonie, czy twoi pacjenci zdołają przez kilka godzin obyć się bez ciebie?

– Nie mam na dziś żadnych planów. Moja praktyka nigdy nie zajmuje zbyt wiele czasu.

– Zatem włóż kapelusz i chodź ze mną. Pójdziemy przez City, zjemy po drodze lunch. W programie jest dużo muzyki niemieckiej, która odpowiada mi bardziej niż włoska czy francuska. Skłania do rozmyślań, a ja właśnie zamierzam rozmyślać. Ruszajmy!

Pojechaliśmy metrem do Aldersgate, skąd poszliśmy na Saxe-Coburg Square, gdzie się rozpoczęła osobliwa historia, której wysłuchaliśmy dziś rano. Saxe-Coburg Square to niewielki placyk pamiętający lepsze czasy. Fasady dwupiętrowych murowanych domów okalających plac wychodzą na mały, ogrodzony skwer, na którym zachwaszczony trawnik i kilka wawrzynów starały się przetrwać w zadymionym, nieprzyjaznym otoczeniu. Na narożnym domu widniały trzy złocone kule i brązowa tablica z białym napisem: „JABEZ WILSON". To tutaj prowadził swój interes nasz rudowłosy klient. Sherlock Holmes zatrzymał się przed budynkiem, przechylił głowę i uważnie mu się przyjrzał błyszczącymi oczami spod przymkniętych powiek. Potem poszedł powoli dalej ulicą i zawrócił, wciąż uważnie przyglądając się domom. W końcu powrócił przed lombard, dwa lub trzy razy stuknął głośno laską w chodnik, podszedł do drzwi i zapukał.

Natychmiast otworzył mu gładko ogolony, bystry młodzieniec i zaprosił do środka.

– Dziękuję – odpowiedział mój przyjaciel. – Chciałem tylko zapytać, jak dojść stąd na ulicę Strand.

– Trzecia ulica w prawo, czwarta w lewo – niezwłocznie odpowiedział mężczyzna i zamknął drzwi.

– To zmyślny gość – stwierdził Holmes, odchodząc. – Moim zdaniem, jest czwartym największym spryciarzem w Londynie, a szczerze mówiąc, nie jestem pewien czy nie należy mu się trzecie miejsce. Miałem z nim już do czynienia.

– To jasne – podchwyciłem – że pomocnik Wilsona odgrywa ważną rolę w zagadce Ligi Rudzielców. Jestem pewien, że spytałeś go o drogę jedynie po to, by mu się przyjrzeć.

– Nie jemu.

– A czemu?

– Nogawkom jego spodni na wysokości kolan.

– I co na nich zobaczyłeś?

– To, czego się spodziewałem.

– Dlaczego zastukałeś w chodnik?

– Drogi doktorze, to czas na obserwację, nie na rozmowy. Jesteśmy szpiegami na terytorium wroga. Zapoznaliśmy się już z Saxe-Coburg Square. Teraz chodźmy dalej.

Ulica, przy której się znaleźliśmy, różniła się od placyku tak bardzo, jak przód obrazu od jego tylnej części. Była to jedna z głównych arterii prowadzących z City na północ i dalej na zachód. Jezdnią poruszał się strumień pojazdów śpieszących w obu kierunkach, a na chodnikach tłoczyli się przechodnie. Patrząc na eleganckie sklepy i okazałe biura, trudno było uwierzyć, że na ich tyłach znajduje się ubogi, bezbarwny placyk.

– Niech pomyślę – stwierdził Holmes, stając na rogu i patrząc przed siebie. – Chciałbym zapamiętać kolejność domów. Skrupulatne zaznajamianie się z Londynem to moje hobby. Jest tu trafika „Mortimer’s”, sklepik z gazetami, oddział banku City & Suburban, restauracja wegetariańska i powozownia McFarlane’a. A tam już przecznica. Doktorze, praca zakończona, przyszedł czas na zabawę. Chodźmy na kanapkę i filiżankę kawy. Potem przeniesiemy się do krainy skrzypiec, gdzie panują

słodycz, delikatność i harmonia, natomiast nie ma rudowłosych klientów naprzykrzających się nam ze swoimi problemami.

Mój przyjaciel uwielbiał muzykę i nie tylko sam znakomicie grał, ale był uzdolnionym kompozytorem. Przez całe popołudnie siedział na widowni odprężony, pogrążony w kontemplowaniu dźwięków, łagodnie poruszając w rytm muzyki swymi długimi, szczupłymi palcami. Jego uśmiechnięta twarz i senne, rozmarzone oczy były całkiem niepodobne do twarzy i oczu Holmesa, tropiciela zbrodni, nieugiętego, przenikliwego, błyskawicznego w działaniu detektywa. W niezwykłej osobowości mego przyjaciela brały górę na przemian różne strony jego natury, więc sądzę, że jego niebywała skrupulatność i wnikliwość były reakcją na zamyślony poetycki nastrój, który niekiedy go ogarniał. Bywał na przemian niewiarygodnie ospały lub wyjątkowo energiczny, a dobrze wiedziałem, że nigdy nie bywa tak groźny, jak po wielu dniach spędzonych w fotelu, rozmyślając pośród książek drukowanych gotycką czcionką. Kiedy nagle dopadała go żądza polowania, a jego błyskotliwe rozumowanie wznosiło się na poziom intuicji, osoby mniej obeznane z jego metodami patrzyły na niego spode łba jak na człowieka, który posiadł nadludzką wiedzę. Kiedy zobaczyłem go tego popołudnia w St. James’s Hall zatopionego w dźwiękach muzyki, pomyślałem, że nadchodzą ciężkie czasy dla tych, których ściga.

– Zapewne chcesz teraz wrócić do domu, doktorze – stwierdził, kiedy wyszliśmy z sali.

– Owszem.

– Ja mam do załatwienia trochę spraw. Zajmie mi to kilka godzin. Ta zagadka z Coburg Square jest bardzo poważnym problemem.

– Dlaczego?

– Sądzę, że wiąże się z poważnym przestępstwem. Wierzę, a mam ku temu wszelkie podstawy, że zdążymy je udaremnić, ale dziś sobota, więc to bardzo komplikuje sprawę. Wieczorem będę potrzebował twojej pomocy.

– O której?

– Wystarczy, jeśli przyjdziesz o dziesiątej.

– Zatem do dziesiątej!

– Znakomicie. Doktorze, uprzedzam cię, że sytuacja może przyjąć niebezpieczny obrót, więc bądź tak dobry i weź ze sobą swój rewolwer – poprosił, po czym pomachał mi, odwrócił się na pięcie i zniknął w tłumie.

Nie wydaje mi się, bym był głupszy od bliźnich, ale w kontaktach z Sherlockiem Holmesem zawsze przytłaczało mnie poczucie własnej ignorancji. Widziałem i słyszałem to samo co on, lecz z jego słów jasno wynikało, że wie nie tylko, co się stało, ale i co ma nastąpić, podczas gdy mnie cała sytuacja wciąż wydawała się zagmatwana i groteskowa. Jadąc do domu w Kensington, analizowałem w myślach wszystko, począwszy od niezwykłej historii rudowłosego kopisty encyklopedii do wizyty przy Saxe-Coburg Square i złowróżbnych słów, którymi mój przyjaciel się ze mną pożegnał.

O co chodzi w tej nocnej wyprawie i dlaczego miałem przyjść uzbrojony? Dokąd mieliśmy pójść i co zrobić? Holmes dał mi do zrozumienia, że gładkolicy pomocnik z lombardu to straszny człowiek, który prowadzi własną grę. Próbowałem poskładać elementy tej zagadki w całość, jednak poddałem się, zdesperowany, i postanowiłem zaczekać do nocy, kiedy cała sprawa miała się wyjaśnić.

Był kwadrans po dziewiątej, kiedy wyruszyłem z domu przez Park i dalej Oxford Street na Baker Street. Przed drzwiami stały dwie dorożki. Kiedy znalazłem się w korytarzu, usłyszałem głosy dochodzące z góry. W pokoju zastałem Holmesa pogrążonego w ożywionej rozmowie z dwoma mężczyznami. W jednym z nich rozpoznałem Petera Jonesa, funkcjonariusza policji. Drugi, wysoki, szczupły człowiek, miał smutną minę, lśniący cylinder i przytłaczająco nienaganny surdut.

– Ha! Są już wszyscy – stwierdził Holmes, zapinając kurtkę i biorąc ze stojaka swój ciężki palcat. – Watsonie, znasz pana Jonesa ze Scotland Yardu? Pozwól, że przedstawię ci pana Merryweathera, który będzie nam towarzyszył w dzisiejszej wyprawie.

– Widzi pan, doktorze, znów polujemy parami – powiedział Jones z typową dla siebie wyższością. – Nasz przyjaciel znakomicie wszczyna pościg. Potrzebuje tylko starego psa do nagonki.

– Obyśmy tylko nie gonili w piętkę – stwierdził ponuro Merryweather.

– Może pan w pełni zaufać panu Holmesowi – odparł wyniośle policjant. – Trzyma się on własnych metod, które, bez urazy, wydają mi się nieco zbyt teoretyczne i wydumane, ale ma zadatki na detektywa. Wystarczy wspomnieć, że raz czy dwa, na przykład w sprawie morderstwa Sholto lub skarbu Agra, był bliżej prawdy niż funkcjonariusze prowadzący śledztwo.

– Jeśli pan tak twierdzi, panie Jones, to w porządku – z szacunkiem powiedział nieznajomy. – Muszę jednak przyznać, że będzie mi brakowało partyjki brydża. Po raz pierwszy od dwudziestu siedmiu lat opuszczę robra w sobotni wieczór.

– Przekona się pan – odpowiedział Sherlock Holmes – że dzisiejsza gra będzie się toczyła o stawkę wyższą niż kiedykolwiek i będzie bardziej wciągająca. Dla pana, panie Merryweather, stawka wynosi około trzydziestu tysięcy funtów, a dla ciebie, Jones, nagrodą będzie człowiek, którego pragniesz dostać w swoje ręce.

– John Clay, morderca, złodziej, wandal i oszust. Musi pan wiedzieć, panie Merryweather, że mimo młodego wieku jest mistrzem w swoim fachu. Pragnę zakuć go w kajdanki bardziej niż któregokolwiek innego z londyńskich przestępców. To niezwykły człowiek. Jego dziadek był księciem, a on sam uczęszczał do Eton i Oxford. Jego umysł jest równie sprawny jak palce, a choć co chwila natykamy się na jego ślady, nigdy nie wiemy, gdzie go szukać. W jednym tygodniu dokonuje włamania w Szkocji, w kolejnym wyłudza pieniądze rzekomo na budowę sierocińca w Kornwalii. Tropię go od lat, a jeszcze nigdy go nie widziałem.

– Mam nadzieję, że dziś będę miał przyjemność przedstawić panów sobie. Miałem już do czynienia z Johnem Clayem i zgadzam się, że jest wybitnym przedstawicielem swej profesji. Jest już jednak po dziesiątej, a więc najwyższy czas ruszać w drogę. Wsiądźcie panowie do pierwszej dorożki; ja i Watson pojedziemy za wami drugą.

Holmes nie był zbyt rozmowny podczas długiej jazdy; leżał na siedzeniu, mrucząc pod nosem melodie, które usłyszał po południu. Przejechaliśmy przez niekończący się labirynt ulic oświetlonych gazowymi latarniami i znaleźliśmy się na Farrington Street.

– Jesteśmy już blisko – rzekł mój przyjaciel. – Merryweather jest dyrektorem banku i osobiście interesuje się tą sprawą. Pomyślałem, że warto zabrać ze sobą również Jonesa. Jest zacnym człowiekiem, choć absolutnie beznadziejnym policjantem, ale ma pewne niezaprzeczalne zalety: jest odważny jak buldog i nieustępliwy jak rak, kiedy już dostanie kogoś w swoje szczypce. Jesteśmy na miejscu, a oni już na nas czekają.

Dotarliśmy do tej samej ruchliwej ulicy, na której byliśmy rano. Odesłaliśmy dorożki, poszliśmy w ślad za panem Merryweatherem jakimś wąskim przejściem, a następnie weszliśmy do małego korytarzyka przez

boczne drzwi, które nam otworzył. Korytarzyk kończył się masywną, żelazną furtą. Otworzyliśmy ją i zeszliśmy w dół po stromych schodach, na których końcu znajdowała się kolejna żelazna furtka. Dyrektor powiódł nas ciemnym, pachnącym ziemią tunelem i po otwarciu kolejnych drzwi wprowadził do olbrzymiej piwnicy czy raczej skarbca, gdzie stało pełno skrzyń i masywnych pudeł.

– Od góry jesteście zabezpieczeni – zauważył Holmes, unosząc wysoko latarnię i rozglądając się po pomieszczeniu.

– Od dołu również – stwierdził Merryweather, uderzając laską o jedną z kamiennych płyt, którymi wyłożona była podłoga. – Boże drogi, tam jest pusto! – wykrzyknął, rozglądając się wokół ze zdumieniem.

– Muszę poprosić pana o zachowanie ciszy – rzekł Holmes surowo. – Już zdążył pan narazić na szwank powodzenie całej wyprawy. Proszę pana, niech pan będzie łaskaw usiąść na jednym z pudeł i nie przeszkadzać.

Merryweather z poważną i bardzo urażoną miną siadł na jednej ze skrzyń, a Holmes ukląkł na podłodze i z latarnią w jednej ręce, a lupą w drugiej zaczął uważnie oglądać spojenia pomiędzy płytami. Wystarczyło mu zaledwie kilka sekund, po czym podniósł się i włożył lupę do kieszeni.

– Mamy co najmniej godzinę – stwierdził – bo muszą zaczekać, aż poczciwy właściciel lombardu znajdzie się bezpiecznie w łóżku. Później nie będą mieli chwili do stracenia, im szybciej zrobią to, co zaplanowali, tym więcej czasu zostanie im na ucieczkę. Jak się zapewne domyśliłeś, doktorze, znajdujemy się w skarbcu oddziału jednego z największych londyńskich banków. Pan Merryweather, jego dyrektor, wyjaśni ci, dlaczego najzuchwalsi londyńscy przestępcy są w tej chwili szczególnie zainteresowani jego zawartością.

– Przechowujemy tu nasze francuskie złoto – wyszeptał dyrektor. – Kilkakrotnie otrzymywaliśmy ostrzeżenia, że może dojść do próby jego kradzieży.

– Francuskie złoto?

– Zgadza się. Kilka miesięcy temu byliśmy zmuszeni powiększyć nasze zasoby kruszcu. W tym celu pożyczyliśmy trzydzieści tysięcy napoleondorów z banku Francji. Rozeszła się wieść, że nie zdążyliśmy nawet rozpakować złotych monet, a więc one wciąż znajdują się w naszym skarbcu. Skrzynia, na której siedzę, zawiera dwa tysiące napoleondorów poprzekładanych ołowianą blachą. Bardzo rzadko w jednym oddziale banku

przechowywana jest taka ilość złota, jak tutaj obecnie. Zarząd ma poważne obawy.

– Nie bez racji – stwierdził Holmes. – A teraz musimy się przygotować. Sądzę, że sprawa zakończy się w ciągu godziny. Tymczasem, panie Merryweather, musimy zasłonić latarnię.

– I siedzieć tu po ciemku?

– Obawiam się, że tak. Przyniosłem ze sobą karty, żeby mógł pan jednak zagrać w brydża, skoro jest nas czterech, ale jak widzę, nasz przeciwnik posunął przygotowania tak daleko, że nie możemy ryzykować, siedząc przy zapalonym świetle. Musimy się zastanowić, kto gdzie będzie czekał. To są zuchwali ludzie i choć mamy nad nimi przewagę, możemy ponieść straty, jeśli nie będziemy ostrożni. Ja stanę za tą skrzynią; panowie ukryjcie się, proszę, za tamtymi. Kiedy oświetlę złodziei latarnią, szybko do nas podbiegnijcie. Watsonie, jeśli użyją broni, zastrzel ich bez wahania.

Umieściłem odbezpieczony rewolwer na drewnianej skrzyni i przykucnąłem za nią. Holmes osłonił latarnię; zapadły absolutne ciemności, nigdy dotąd się w takich nie znalazłem. Pozostał tylko zapach rozgrzanego metalu. Oznaczało to, że lampa wciąż się pali i jej światło rozbłyśnie natychmiast, kiedy będzie potrzebne. Miałem nerwy napięte jak postronki, przygnębiały mnie mrok i wilgotne powietrze w skarbcu.

– Mają tylko jedną drogę ucieczki – wyszeptał Holmes – z powrotem przez dom na Saxe-Coburg Square. Mam nadzieję, że zrobiłeś to, o co cię prosiłem, Jones?

– Przed drzwiami czekają inspektor i dwóch oficerów.

– Czyli obstawiliśmy wszystkie wyjścia. Teraz pozostaje nam milczeć i czekać.

Jakże się ten czas dłużył! Później okazało się, że siedzieliśmy tam zaledwie godzinę i piętnaście minut, wydawało mi się jednak, iż minęła cała noc i na dworze zaczyna już świtać. Byłem zmęczony i zesztywniały, gdyż obawiałem się poruszyć, nerwy przy tym miałem napięte do granic możliwości, a słuch tak wyostrzony, że nie tylko słyszałem ściszone oddechy towarzyszy, ale byłem też w stanie odróżnić głębsze ciężkie sapanie potężnego Jonesa od łagodnych westchnień dyrektora banku.

Z miejsca, w którym się znajdowałem, było widać podłogę. Nagle spostrzegłem na niej światełko. Najpierw była to jedynie błyszcząca iskierka na kamiennej posadzce. Potem zamieniła się w żółtą linię,

a następnie bezszelestnie poszerzyła się niczym otwierająca się rana, a pośrodku plamy światła pojawiła się biała, niemal kobieca dłoń. Przez ponad minutę wystawała ponad podłogę, badając ją palcami, a potem zniknęła równie nagle, jak się pojawiła – i znów zapadła ciemność. Pozostała jedynie iskierka w miejscu spojenia pomiędzy kamiennymi płytami.

Dłoń zniknęła jednak tylko na chwilę; nagle rozległ się przenikliwy dźwięk, jedna z szerokich, białych płyt przesunęła się na bok, a na jej miejscu pojawił się głęboki, kwadratowy otwór, przez który wpadało światło lampy. Nad otworem pojawiła się sympatyczna twarz mężczyzny o chłopięcych rysach, który uważnie rozejrzał się wokół siebie, a potem, opierając się dłońmi o krawędzie otworu, podciągnął się najpierw na wysokość piersi, potem do pasa, aż w końcu przerzucił nad krawędź jedno kolano. Po chwili stał nad otworem i wciągał swego towarzysza, równie drobnego i gibkiego jak on sam, o bladej twarzy i uderzająco rudej czuprynie.

– Droga czysta – wyszeptał. – Czy masz dłuto i worki? Do licha! Podskocz, Archie, podskocz, a ja cię wciągnę!

Sherlock Holmes podbiegł i chwycił intruza za kołnierz. Drugi z rabusiów wskoczył do otworu i usłyszałem dźwięk rozdzieranego materiału, kiedy Jones chwycił go za połę surduta. Światło odbiło się od lufy rewolweru, ale Holmes uderzył palcatem w nadgarstek napastnika i broń upadła na kamienną podłogę.

– Walka nie ma sensu, Johnie Clay – stwierdził Holmes łagodnie. – Jesteś bez szans.

– Na to wygląda – odpowiedział mężczyzna z niewzruszonym spokojem. – Ale memu kompanowi, jak się zdaje, udało się, choć urwaliście poły jego surduta.

– Przed drzwiami czeka na niego trzech ludzi – wyjaśnił Holmes.

– Doprawdy? Pomyślał pan o wszystkim. Muszę pana pochwalić.

– Ja zaś pana – odparł Holmes. – Pomysł z rudzielcami był niezwykle nowatorski i efektywny.

– Za chwilę zobaczy pan swego kolegę, który tak szybko łazi po dziurach – dodał Jones. – Proszę wyciągnąć ręce, bym mógł założyć kajdanki.

– Błagam, by nie dotykali mnie panowie swymi brudnymi rękami – powiedział nasz więzień po tym, jak skuto mu ręce. – Być może panowie

o tym nie wiedzą, ale w moich żyłach płynie błękitna krew. Proszę również, by byli panowie tak dobrzy i zwracając się do mnie, mówili „proszę pana”.

– Niech będzie – stwierdził kpiąco Jones, obrzucając go zdziwionym spojrzeniem. – Proszę pana, czy zechciałby pan pójść na górę, gdzie poszukamy dorożki, by zawieźć Waszą Wysokość na posterunek?

– Tak już lepiej – spokojnie stwierdził John Clay, po czym zamaszyście ukłonił się i nie stawiając oporu, poszedł z detektywem.

– Doprawdy, panie Holmes – stwierdził Merryweather, kiedy wychodziliśmy za nimi z piwnicy. – Nie wiem, jak mój bank ma panu dziękować i jak możemy to panu wynagrodzić. Nie ulega wątpliwości, że wykrył pan i całkowicie udaremnił jedną z najprzemyślniejszych prób obrabowania banku, o jakich kiedykolwiek słyszałem.

– Miałem własne rachunki do wyrównania z panem Clayem – odrzekł Holmes. – Poniosłem w związku z tą sprawą pewne wydatki, które bank na pewno zrekompensuje, ale poza tą kwotą starczy mi aż nadto niezwykłe przeżycie i osobliwa historia Ligi Rudzielców.

– Widzisz, Watsonie – wyjaśnił nad ranem, kiedy siedzieliśmy na Baker Street, popijając whisky z wodą sodową – od samego początku było zupełnie jasne, że głównym i jedynym możliwym celem niezwykłego ogłoszenia ligi i kopiowania encyklopedii musi być pozbycie się z mieszkania niezbyt bystrego właściciela lombardu, na kilka godzin każdego dnia. Był to nietypowy sposób zrealizowania planu, ale chyba trudno byłoby znaleźć skuteczniejszy. Clayowi z pewnością podsunął ten pomysł kolor włosów jego wspólnika. Cztery funty tygodniowo stanowiły przynętę, która miała przyciągnąć Wilsona; dla ludzi, którzy zamierzali zdobyć tysiące, była to drobna kwota. Dali więc ogłoszenie, jeden oszust tymczasowo wynajął biuro, drugi namówił chlebodawcę, by się zgłosił – i tak wspólnie zapewnili jego nieobecność każdego ranka. Kiedy tylko usłyszałem, że pomocnik zgodził się pracować za połowę pensji, stało się dla mnie oczywiste, że z jakiegoś powodu musiało mu bardzo zależeć na tej posadzie.

– Ale jak zgadłeś powód?

– Gdyby w domu mieszkały kobiety, mógłbym podejrzewać bardziej wulgarną intrygę. W tym przypadku było to jednak wykluczone. Lombard nie przynosi wielkich dochodów, a w domu właściciela nie ma nic, co mogłoby wymagać tak drobiazgowych przygotowań i byłoby warte

takich nakładów. Musiało zatem chodzić o coś znajdującego się poza domem. Ale o co? Wtedy przypomniałem sobie o rzekomym zamiłowaniu pomocnika do fotografii i o tym, że często znika w piwnicy. Właśnie ten fakt pomógł mi rozwikłać poplątane poszlaki. Wypytałem też o tajemniczego pomocnika, okazało się, że chodzi o jednego z najprzemyślniejszych i najzuchwalszych przestępców w Londynie. Robił coś w piwnicy, coś, co zajmowało wiele godzin dziennie przez kilka miesięcy. Cóż to mogło być? Nie przychodziło mi do głowy nic poza kopaniem tunelu.

Do tego udało mi się dojść, nim trafiliśmy na miejsce. Później zaskoczyłem cię, uderzając laską o chodnik. Chciałem w ten sposób sprawdzić czy tunel jest drążony przed budynkiem, czy za nim. Przekonałem się, że przed domem go nie było. Zadzwoniłem, jak pamiętasz, do drzwi i tak jak miałem nadzieję – otworzył mi pomocnik właściciela lombardu. Kilkakrotnie ścieraliśmy się już ze sobą, ale nigdy wcześniej nie stanęliśmy oko w oko. Nie przyglądałem się jego twarzy, interesowały mnie kolana. Sam zapewne zauważyłeś, jak wytarte, wygniecione i poplamione były jego spodnie. Świadczyło to o wielu godzinach, jakie spędził na kopaniu. Pozostawało jedynie się dowiedzieć, dokąd tunel ma prowadzić. Kiedy za rogiem zobaczyłem bank City & Suburban przylegający do lombardu naszego przyjaciela, pojąłem, że rozwiązałem zagadkę. Kiedy ty po koncercie pojechałeś do domu, ja udałem się do Scotland Yardu i do dyrektora banku. Resztę historii już znasz.

– A skąd wiedziałeś, że spróbują obrabować bank właśnie dzisiaj? – spytałem.

– Cóż, fakt, że zamknęli biuro ligi oznaczał, że przestała im wadzić obecność pana Jabeza Wilsona, czyli innymi słowy, że skończyli tunel. Musieli skorzystać z niego jak najszybciej, gdyż podkop mógł w każdej chwili zostać odkryty, a złoto przewiezione w inne miejsce. Sobota była dla nich najdogodniejsza, gdyż dawała im dwa dni na zorganizowanie ucieczki. Dlatego właśnie spodziewałem się ich dziś w nocy.

– Pięknie poprowadzone wnioskowanie! – wykrzyknąłem ze szczerym podziwem. – Łańcuch jest bardzo długi, ale każde jego ogniwo jest doskonałe!

– Ta sprawa ocaliła mnie przed nudą – odparł mój przyjaciel, ziewając. – Niestety, już czuję, że znów się w niej pogrążam. Całe moje życie stanowi jeden wielki wysiłek, by uciec przed banałem egzystencji. Te drobne zagadki mi w tym pomagają.

– A rozwiązując je, stajesz się dobroczyńcą ludzkości – dodałem.

Holmes wzruszył ramionami.

– Cóż, być może faktycznie do czegoś się przydaję – przyznał. – Ale jak pisał Gustave Flaubert do George Sand: „*L’homme c’est rien – l’oeuvre c’est tout*”[7].

Opowieść trzecia

SPRAWA TOŻSAMOŚCI

– Mój drogi – stwierdził Sherlock Holmes, kiedy siedzieliśmy przed kominkiem w mieszkaniu przy Baker Street. – Prawdziwe życie jest nieskończenie bardziej niezwykłe od wszystkiego, co zdołałby wymyślić człowiek. Nawet byśmy się nie ośmielili wyobrazić sobie wszystkiego tego, co składa się na codzienną egzystencję. Gdybyśmy mogli teraz wyfrunąć przez okno, unieść się nad tym wielkim miastem, delikatnie zdjąć z domów dachy i przyjrzeć się dziwnym sprawom, które dzieją się w środku! Tym wszystkim niezwykłym zbiegom okoliczności, misternym planom, sprzecznym dążeniom i cudownym ciągom wydarzeń obejmującym całe pokolenia i przynoszącym niespodziewane skutki! W porównaniu z nimi wszystkie konwencjonalne i przewidywalne opowieści stworzone przez człowieka okazałyby się z pewnością nudne i niewiele warte.

– Nie jestem o tym przekonany – odpowiedziałem. – Sprawy, o których można przeczytać w gazetach, świadczą raczej o ludzkiej zuchwałości i wulgarności. Realizm policyjnych sprawozdań został posunięty do granic możliwości, a nie sposób uznać, że przyczyniły się one do powstania jakiegoś fascynującego dzieła.

– Aby otrzymać realistyczny efekt, trzeba dokonać odpowiednich wyborów – zauważył Holmes. – Tego właśnie brakuje sprawozdaniom policyjnym, w których większy nacisk kładzie się na powtórzenie komunałów wygłaszanych przez sędziego, niż na opisanie szczegółów, które dla uważnego obserwatora zawierają istotę sprawy. Możesz mi wierzyć, nie ma nic bardziej nadzwyczajnego niż codzienność.

Uśmiechnąłem się i potrząsnąłem głową.

– Rozumiem, dlaczego tak sądzisz – przyznałem. – Skoro nieoficjalnie służysz radą i pomocą zagubionym ludziom na trzech kontynentach, masz

kontakt ze wszystkim, co dziwne i nietypowe. Ale proszę – wziąłem do ręki poranną gazetę – sprawdźmy to w praktyce. Oto pierwszy nagłówek, na jaki natrafiłem: „Mąż znęcał się nad żoną”. Artykuł zajmuje pół kolumny, a ja dokładnie znam jego treść, choć go nie czytałem. Inna kobieta, alkohol, szturchańce, ciosy, sińce, współczująca siostra lub gospodyni. Nawet najmarniejszy pisarz nie mógłby wymyślić niczego mniej odkrywczego.

– Doprawdy, twój przykład jest równie niefortunny jak twój argument – stwierdził Holmes, zabierając mi gazetę i rzucając okiem na artykuł. – Piszą tu o sprawie separacji państwa Dundas, a tak się składa, że uczestniczyłem w wyjaśnianiu kilku związanych z nią kwestii. Mąż jest abstynentem, był wierny żonie, a postawiony mu zarzut dotyczył faktu, że po zakończeniu każdego posiłku wyjmował sztuczną szczękę i rzucał nią w małżonkę. Zgodzisz się chyba ze mną, że przeciętny pisarz nigdy nie wymyśliłby czegoś takiego. Zażyj tabaki doktorze i przyznaj, że tym razem musisz ulec sile moich argumentów.

Podał mi tabakierę ze starego złota z ogromnym ametystem pośrodku wieczka. Wystawność tego przedmiotu tak kłóciła się z jego skromnymi obyczajami i prostym stylem życia, że nie zdołałem powstrzymać się od komentarza.

– Ach! – powiedział. – Zapomniałem, że nie widzieliśmy się kilka tygodni. To drobna pamiątka od króla Bohemii w podzięce za pomoc w rozwiązaniu sprawy Irene Adler.

– A pierścień? – spytałem, patrząc na okazały brylant lśniący na jego palcu.

– Dostałem go od holenderskiej rodziny królewskiej, jednak sprawa, w której jej pomogłem, była tak delikatna, że nie mogę opowiedzieć o niej nawet tobie, choć byłeś tak dobry, by spisać kilka prowadzonych przeze mnie śledztw.

– A czy teraz się jakąś zajmujesz? – spytałem z zainteresowaniem.

– Mam ich z dziesięć czy dwanaście, ale żadna nie wyróżnia się niczym szczególnym. Rozumiesz, są istotne, ale nieinteresujące. W gruncie rzeczy, to drobne sprawy dają zwykle możliwość obserwacji i szybkiej analizy przyczyn i skutków, która dodaje uroku śledztwu. Poważniejsze przestępstwa są prostsze, gdyż z zasady im cięższa zbrodnia, tym bardziej oczywisty jest jej motyw. W takich przypadkach, poza jedną dość zawiłą sprawą, która trafiła do mnie z Marsylii, nie ma niczego interesującego.

Możliwe jednak, że za kilka minut będę miał ciekawsze zajęcie. O ile się nie mylę, nadchodzi kolejna klientka.

Holmes wstał z krzesła i stanął w oknie, patrząc spomiędzy rozsuniętych zasłon na nudną i nijaką londyńską ulicę. Zajrzałem mu przez ramię i zobaczyłem, że na chodniku naprzeciwko naszego domu stoi postawna kobieta; szyję miała owiniętą ciężkim futrzanym boa, a na ucho zawadiacko nasunięty kapelusz o szerokim rondzie z dużym, falistym piórem. Spod tego niezwykłego baldachimu zerkała nerwowo i niepewnie na nasze okna i kiwając się w tył i w przód, bawiła się guzikami przy rękawiczkach. Nagle rzuciła się przed siebie jak pływak wskakujący do wody, pośpiesznie przeszła przez ulicę, a my usłyszeliśmy ostry dźwięk dzwonka.

– Znam te objawy – stwierdził Holmes, wrzucając papieros do kominka. – Kiwanie się na chodniku zawsze oznacza problemy sercowe. Ta dama potrzebuje porady, ale nie jest pewna czy powinna rozmawiać z nami o tak delikatnej sprawie. W tym przypadku można dokonać jeszcze dalszego rozróżnienia. Jeśli kobieta została ciężko skrzywdzona przez mężczyznę, nie kiwa się, lecz zwykle urywa sznur od dzwonka. Możemy przyjąć, że chodzi tu o sprawę sercową, lecz pokrzywdzona jest nie tyle wściekła, co zagubiona lub zasmucona. Ale oto nadchodzi we własnej osobie, by rozwiać nasze wątpliwości.

Zanim skończył mówić, rozległo się pukanie do drzwi, po czym wszedł chłopak na posyłki, by zaanonsować pannę Mary Sutherland. Kobieta natychmiast pojawiła się za jego drobną, czarno odzianą postacią, niczym statek kupiecki pod pełnymi żaglami, za maleńką łodzią pilota. Sherlock Holmes powitał ją ze swobodną grzecznością, z której słynął, po czym, zamknąwszy drzwi i zaprosiwszy ją na fotel, przez chwilę przyglądał się jej uważnie, sprawiając jednocześnie wrażenie zamyślonego, jak to miał w zwyczaju.

– Czy nie sądzi pani – powiedział w końcu – że przy jej słabym wzroku tak częste pisanie na maszynie może być uciążliwe?

– Na początku było – odpowiedziała. – Teraz trafiam w litery, nie patrząc na nie. – Nagle zdała sobie sprawę z głębszego znaczenia jego wypowiedzi, wzdrygnęła się i spojrzała na swego rozmówcę ze strachem i zdumieniem na okrągłej, dobrodusznej twarzy.

– Ktoś panu o mnie opowiadał, panie Holmes! – wykrzyknęła. – Skąd inaczej mógłby pan to wiedzieć?

– To nieważne – odpowiedział Holmes ze śmiechem. – Moim zadaniem jest wiedzieć. Być może udało mi się nauczyć zauważać rzeczy, które umykają uwadze innych. Gdyby tak nie było, nie przybyłaby pani do mnie po poradę.

– Przyszłam do pana, bo słyszałam o panu od pani Etherege, której męża z taką łatwością pan odnalazł, choć policja i cała reszta położyli na nim krzyżyk. Panie Holmes, chciałabym, żeby pomógł pan i mnie. Nie jestem bogata, ale mam sto funtów rocznie plus to, co udaje mi się zarobić maszynopisaniem i oddałabym to wszystko, żeby wiedzieć, co się stało z panem Hosmerem Angelem.

– Czemu przybiegła pani do mnie w takim pośpiechu? – spytał Holmes, stykając dłonie czubkami palców i patrząc w sufit.

Na prostodusznej twarzy panny Mary Sutherland znów pojawił się wyraz zdziwienia.

– Owszem, wyleciałam z domu jak z procy – przyznała – bo rozgniewało mnie, jak spokojnie pan Windibank, czyli mój ojciec, to wszystko przyjął. Nie chciał iść ani na policję, ani do pana, w ogóle nie zamierzał niczego z tym zrobić i w kółko powtarzał, że nic się nie stało, więc wpadłam we wściekłość, ubrałam się i przyszłam wprost tutaj.

– Pani ojciec? Zapewne miała pani na myśli ojczyma – zauważył Holmes. – Nosicie różne nazwiska.

– Zgadza się, to mój ojczym. Ale nazywam go ojcem, chociaż to brzmi śmiesznie, gdyż jest zaledwie o pięć lat i dwa miesiące starszy ode mnie.

– Czy pani matka żyje?

– Ależ tak, żyje i dobrze się miewa. Nie byłam zachwycona, kiedy ponownie wyszła za mąż tak szybko po śmierci ojca i to za człowieka młodszego od siebie o prawie piętnaście lat. Ojciec prowadził zakład hydrauliczny przy Tottenham Court Road. Matka odziedziczyła po nim ten dobrze prosperujący interes, który prowadziła dalej z pomocą majstra pana Hardy’ego. Ale pan Windibank kazał jej sprzedać zakład; on sam handluje winem i uważa tę profesję za bardziej godną szacunku. Dostali cztery tysiące siedemset funtów z odsetkami. Gdyby ojciec żył, na pewno sprzedałby firmę dużo drożej.

Spodziewałem się, że Sherlocka Holmesa zniecierpliwi ta chaotyczna, błaha historia, on jednak słuchał z najwyższą uwagą.

– A czy pani dochody są związane z tym interesem? – spytał.

– Ależ nie, proszę pana! To zupełnie co innego, to spadek po wuju Nedzie z Auckland. Zostawił mi nowozelandzkie akcje, które przynoszą cztery i pół procenta rocznie. Wartość akcji wynosi dwa i pół tysiąca funtów, ale ja mogę dysponować jedynie odsetkami.

– To niezwykle ciekawe – stwierdził Holmes. – Skoro ma pani aż sto funtów rocznego dochodu, a ponadto swoje zarobki, zapewne często pani podróżuje i pozwala sobie na inne rozrywki. Wydaje mi się, że niezamężna dama może spokojnie przeżyć za sześćdziesiąt funtów rocznie.

– Mnie wystarczyłoby znacznie mniej, panie Holmes, jednak widzi pan, dopóki mieszkam w domu, nie chcę być ciężarem dla rodziny, więc oddaję im pieniądze. Oczywiście, ma tak być jedynie, dopóki z nimi mieszkam. Pan Windibank pobiera moje odsetki co kwartał i wypłaca je mojej mamie, a ja bez trudu utrzymuję się z maszynopisania. Zarabiam dwa pensy za arkusz, a potrafię przepisać od piętnastu do dwudziestu arkuszy dziennie.

– Bardzo szczegółowo wyjaśniła mi pani swoją sytuację – stwierdził Holmes. – Oto mój przyjaciel doktor Watson, z którym może pani mówić równie swobodnie jak ze mną. Proszę teraz, by była pani tak dobra i opowiedziała nam, co ją łączy z panem Hosmerem Angelem.

Panna Sutherland spłonęła rumieńcem i zaczęła nerwowo skubać brzeg klapy żakietu.

– Poznałam go na balu monterów gazowych – wyznała. – Gdy ojciec żył, zawsze otrzymywał bilety na tę zabawę. Po jego śmierci nie zapomnieli o nas i przysyłali je matce. Pan Windibank nie chciał, żebyśmy tam szły. W ogóle nie życzył sobie, byśmy chodziły gdziekolwiek. Wpadał w straszną wściekłość, nawet wtedy, kiedy zamierzałam się wybrać na herbatkę do szkółki niedzielnej. Ale tym razem uparłam się i poszłam, bo przecież nie miał prawa mi niczego zabraniać. Według niego, ci ludzie, przyjaciele mego ojca, nie są dla nas odpowiednim towarzystwem. Stwierdził też, że nie mam odpowiedniego stroju, a przecież ani razu jeszcze nie założyłam swojej fioletowej aksamitnej sukni. Kiedy w końcu zrozumiał, że nic nie wskóra, wyjechał w interesach do Francji, a mama i ja poszłyśmy na bal z panem Hardym, naszym dawnym majstrem; tam właśnie poznałam pana Hosmera Angela.

– Jak się domyślam, po powrocie z Francji pan Windibank był bardzo niezadowolony, że wybrałyście się na tę zabawę.

– Wręcz przeciwnie, przyjął to bardzo dobrze. Pamiętam, że uśmiał się, wzruszył ramionami i stwierdził, że nie ma sensu odmawiać czegokolwiek kobiecie, bo ona i tak postawi na swoim.

– Rozumiem. Czyli na balu gazowników poznała pani dżentelmena nazwiskiem Hosmer Angel.

– Tak, proszę pana. Zawarliśmy znajomość tamtego wieczora, następnego dnia przyszedł, by spytać, czy bezpiecznie wróciłyśmy do domu, a później spotykałyśmy się z nim, to znaczy, panie Holmes, ja się z nim spotkałam jeszcze dwa razy na spacerach, ale potem ojciec wrócił z podróży i pan Angel nie mógł już do nas przychodzić.

– Nie?

– No wie pan, ojciec nie pochwala takich rzeczy. Unika gości jak może i często powtarza, że kobiecie powinna wystarczyć rodzina. Ale, jak sama często mówię mamie, kobieta musi przecież najpierw mieć tę rodzinę, a ja jeszcze swojej nie założyłam.

– A co z panem Angelem? Czy nie próbował się z panią zobaczyć?

– Ojciec miał znów wyjechać na tydzień do Francji. Hosmer napisał do mnie, że bezpieczniej będzie nie widywać się przed jego wyjazdem. Póki co, korespondowaliśmy ze sobą, Hosmer codziennie do mnie pisał. Odbierałam pocztę rano, żeby się ojciec o niczym nie dowiedział.

– Czy była pani zaręczona z tym dżentelmenem?

– O tak, panie Holmes. Zaręczyliśmy się po pierwszym wspólnym spacerze. Hosmer, to znaczy pan Angel, jest kasjerem w biurze przy Leadenhall Street i…

– W jakim biurze?

– W tym cały kłopot, panie Holmes, nie mam pojęcia.

– A gdzie mieszka?

– Nocował w pracy.

– I nie zna pani jego adresu?

– Nie. Wiem tylko, że biuro znajduje się przy Leadenhall Street.

– W takim razie, pod jaki adres wysyłała pani listy?

– Na poste restante do urzędu pocztowego przy Leadenhall Street. Powiedział, że gdybym pisała do biura, inni urzędnicy dokuczaliby mu z powodu korespondencji z damą. Zaproponowałam, że mogę pisać na maszynie, tak jak on, ale nie chciał o tym słyszeć. Twierdził, że kiedy piszę ręcznie, on czuje, że listy pochodzą ode mnie, a kiedy piszę

na maszynie, ma wrażenie, że ona nas rozdziela. To dowodzi, jak bardzo mu na mnie zależało, panie Holmes i jaką wagę przywiązywał do drobiazgów.

– To oczywiście wiele znaczy – przyznał Holmes. – Od dawna jestem przekonany, że właśnie rzeczy drobne mają największe znaczenie. Czy pamięta pani jeszcze jakieś szczegóły związane z panem Angelem?

– Był bardzo nieśmiały, panie Holmes. Wolał się ze mną przechadzać wieczorem niż w dzień. Tłumaczył, że nie znosi afiszowania się. Był bardzo zamknięty w sobie, ale zachowywał się po dżentelmeńsku. Miał cichy, aksamitny głos. Powiedział mi, że w młodości chorował na świnkę oraz zapalenie migdałków i w wyniku tych chorób ma słabe gardło, dlatego mówi przyciszonym głosem. Zawsze był elegancko ubrany, bardzo prosto i schludnie, a poza tym, tak samo jak ja, miał słaby wzrok i nosił ciemne okulary.

– A co się stało, kiedy pani ojczym, pan Windibank, znów pojechał do Francji?

– Pan Angel znów do nas przyszedł i zaproponował, byśmy się pobrali przed powrotem ojca. Był nadzwyczaj poważny i kazał mi przysiąc z ręką na Piśmie Świętym, że będę mu wierna, cokolwiek się stanie. Mama powiedziała, że dobrze zrobił mówiąc to oraz że świadczy to o uczuciu, jakim mnie darzy. Mama od początku była mu przychylna i przepadała za nim chyba bardziej niż ja. Kiedy zaczęli rozmawiać o zawarciu małżeństwa w ciągu najbliższego tygodnia, przypomniałam im o ojczymie. Powiedzieli mi, że mam o nim nie myśleć; poinformujemy go o wszystkim po fakcie, a mama obiecała jakoś go ułagodzić. Nie bardzo mi się to podobało, panie Holmes. Wydawało mi się dziwne, że miałabym prosić ojczyma o pozwolenie, gdyż jest zaledwie o kilka lat starszy ode mnie, ale nie chciałam niczego robić ukradkiem. Napisałam list do Bordeaux, gdzie znajduje się francuskie biuro firmy ojca, ale list zwrócono rankiem w dniu ślubu.

– Nie dotarł zatem do adresata?

– Nie, proszę pana. Ojciec wyjechał do Anglii tuż przed jego nadejściem.

– Hmm, to wielce niefortunne. Data ślubu została wyznaczona na piątek. Czy ceremonia miała się odbyć w kościele?

– Tak, proszę pana, ale to miał być kameralny ślub. Zamierzaliśmy się pobrać w kościele Najświętszego Zbawiciela niedaleko King’s Cross,

a potem zjeść śniadanie w hotelu St. Pancras. Hosmer przyjechał po nas dwukółką, ale że było nas troje, posadził moją matkę i mnie do tego zamówionego pojazdu, a sam wsiadł do innej dorożki, która akurat przejeżdżała. Dotarłyśmy do kościoła pierwsze. Podjechał drugi pojazd. Czekałyśmy, aż pan młody wysiądzie, ale się nie doczekałyśmy. Dorożkarz zsiadł z kozła i zajrzał do środka. Nikogo tam nie było! Woźnica powiedział, że nie ma pojęcia, co się mogło stać z pasażerem, widział przecież, jak wsiadał. To się stało w piątek, panie Holmes. Od tamtego czasu nie widziałam ani nie słyszałam niczego, co mogłoby mi wyjaśnić zniknięcie mego narzeczonego.

– Uważam, że została pani niegodziwie potraktowana – rzekł Holmes.

– Ależ nie, proszę pana. On był zbyt dobry i miły, żeby mnie zostawić tak po prostu. Przez cały ranek powtarzał, że cokolwiek się zdarzy, mam być mu wierna i gdyby nawet rozdzieliły nas jakieś nieprzewidziane okoliczności, mam pamiętać, że obiecałam mu swą rękę. Takie słowa dziwnie brzmiały w dniu ślubu, ale to, co się zdarzyło, nadaje im nowe znaczenie.

– Niewątpliwie. Sądzi pani zatem, że natrafił na jakieś nieprzewidziane przeszkody?

– Tak, proszę pana. Myślę, że przeczuwał jakieś niebezpieczeństwo, inaczej nie rozmawiałby ze mną w ten sposób. Później stało się to, czego się obawiał.

– Może wie pani, co to mogło być?

– Nie.

– Jeszcze jedno pytanie. Jak pani matka odniosła się do całej sprawy?

– Była rozgniewana i kazała mi nigdy więcej o tym nie wspominać.

– Powiedziała pani o wszystkim ojczymowi?

– Tak. Chyba sądzi podobnie jak ja, to znaczy uważa, że coś się stało, ale na pewno jeszcze zobaczę Hosmera. Przecież sam mówił, po co narzeczony miałby się umówić ze mną w kościele, a następnie porzucić? Gdyby pożyczył ode mnie pieniądze lub po ślubie miał rozporządzać moimi dochodami, to inna sprawa, ale Hosmer był niezależny finansowo i nigdy nie wziął ode mnie nawet szylinga. Co się mogło stać? Czemu do mnie nie napisał? Te myśli doprowadzają mnie do szaleństwa, a w nocy nie mogę przez nie zmrużyć oka.

Dziewczyna wyjęła z mufki małą chusteczkę, zasłoniła nią twarz i zaczęła gwałtownie łkać.

– Zajmę się pani sprawą – powiedział Holmes, wstając z fotela – i nie mam wątpliwości, że uda mi się ją rozwikłać. Proszę wszystko pozostawić mnie i nie zatruwać sobie tym umysłu. Przede wszystkim jednak, proszę się postarać wyrzucić pana Angela z pamięci, jakby go w ogóle nie było.

– Więc sądzi pan, że więcej go nie zobaczę?

– Obawiam się, że nie.

– Co się z nim stało?

– Proszę pozostawić to mnie. Na pewno znajdę odpowiedź na pani pytanie. Potrzebuję dokładnego opisu wyglądu pana Angela i listów od niego, gdyby pani była skłonna się z nimi rozstać.

– Dałam ogłoszenie o jego zaginięciu w sobotnim numerze „Chronicle” – rzekła nasza klientka. – Oto wycinek z gazety i cztery listy od Hosmera.

– Dziękuję. Czy może pani podać swój adres?

– 31 Lyon Place, Camberwell.

– Rozumiem, że nie zna pani adresu pana Angela. A gdzie prowadzi interesy pani ojciec?

– Podróżuje służbowo na zlecenie firmy Westhouse & Marbank, która importuje wina Bordeaux. Jej siedziba mieści się przy Fenchurch Street.

– Dziękuję pani za bardzo szczegółowe informacje. Proszę zostawić listy i pamiętać o mojej radzie. Ten incydent to zamknięty rozdział; nie może on mieć wpływu na pani dalsze życie.

– To bardzo miłe z pana strony, panie Holmes, ale nie mogę do tego dopuścić. Będę wierna Hosmerowi. Będę na niego czekała, dopóki nie wróci.

Mimo niedorzecznego kapelusza i roztargnionego wyrazu twarzy prostolinijność i ufność naszej klientki wzbudziły nasz szacunek. Panna Sutherland położyła na stole niewielki plik papierów i wyszła obiecując, że przyjdzie na każde wezwanie.

Sherlock Holmes siedział przez kilka minut bez słowa z wyciągniętymi nogami, wciąż ściskając czubki palców i patrząc w sufit. Potem wstał, wziął starą glinianą fajkę, która towarzyszyła mu niczym wierny doradca i zapaliwszy ją, opadł znów na fotel, owiany kłębami gęstego, błękitnego dymu; na jego twarzy malowała się śmiertelna nuda.

– Ta panna to interesujący przypadek – stwierdził w końcu. – Znacznie ciekawszy niż jej sprawa, która szczerze mówiąc, jest dość banalna. W moich zapiskach znajdziesz podobne, z 1877 roku w Andover i z zeszłego roku w Hadze. Sam pomysł nie jest nowy, a chociaż wzbogacono go w sposób, z jakim się wcześniej nie zetknąłem, sama klientka wszystko mi wyjaśniła.

– Odczytałeś z jej wyglądu i relacji wiele rzeczy, których nie dostrzegłem – przyznałem.

– Były do odczytania, lecz ich nie zauważyłeś, Watsonie. Nie wiedziałeś, czego szukać, przeoczyłeś zatem wszystko, co było istotne. Nie potrafię sprawić, byś doceniał znaczenie rękawów, paznokci lub wiązania sznurowadeł. Co wywnioskowałeś z wyglądu tej kobiety? Opisz ją.

– Miała szaro-fioletowy słomkowy kapelusz o szerokim rondzie z ceglastoczerwonym piórem, czarny żakiet z naszytymi czarnymi koralikami, obramowany małymi czarnymi dżetami, brązową sukienkę w kolorze ciemniejszym niż kawa, z kołnierzykiem i mankietami z fioletowego aksamitu i szarawe rękawiczki rozdarte na prawym palcu wskazującym. Jej butów nie udało się obejrzeć. W uszach miała nieduże, okrągłe, wiszące, złote kolczyki; wyglądała na dość zamożną, choć pretensjonalną osobę, która wiedzie wygodne, spokojne życie.

Sherlock Holmes cicho klasnął w ręce i zachichotał.

– Słowo daję, Watsonie, idzie ci znakomicie. Faktem jest, że przeoczyłeś wszystkie istotne szczegóły, ale udało ci się opanować metodę i trzeba przyznać, że masz oko do kolorów. Nigdy nie ufaj ogólnemu wrażeniu, mój drogi. Koncentruj się na szczegółach. Ja zawsze patrzę najpierw na rękawy kobiety i na kolana spodni mężczyzny. Jak zauważyłeś, na mankietach z aksamitu widać było wyraźne ślady, podwójna linia tuż nad nadgarstkiem w miejscu, w którym ręce maszynistki opierają się o biurko. Podobny ślad zostawia ręczna maszyna do szycia, ale jedynie na lewej ręce i po stronie zewnętrznej, najdalej od kciuka; w naszym przypadku linia znajdowała się z prawej, wewnętrznej strony. Na twarzy naszej klientki zobaczyłem po obu stronach nosa wgłębienia pozostawione przez binokle, rzuciłem więc uwagę o krótkowzroczności i maszynopisaniu, która chyba ją zaskoczyła.

– Mnie również.

– Ależ to było oczywiste! Gdy spojrzałem w dół, ze zdziwieniem i zainteresowaniem stwierdziłem, że jej buty, choć podobne, nie są z jednej

pary, jeden miał delikatnie zdobiony nosek, drugi tego nie miał. W jednym sznurowadło przewleczone było przez dwie najniższe z pięciu dziurek, w drugim zaś przez pierwszą, trzecią i piątą. Widząc młodą damę, schludnie ubraną, która ma dwa różne, byle jak zawiązane buty, nietrudno się domyślić, że wybiegła z domu w pośpiechu.

– Co jeszcze? – spytałem zaintrygowany wnikliwym, jak zawsze, rozumowaniem przyjaciela.

– Zauważyłem też, że pisała coś tuż przed wyjściem z domu, już po tym, jak się ubrała. Dostrzegłeś dziurę na prawym palcu wskazującym jej rękawiczki, ale najwyraźniej umknęło ci, że zarówno rękawiczka, jak i sam palec były poplamione fioletowym atramentem. Pisała zatem w pośpiechu i zbyt głęboko zamoczyła pióro. Musiało się to dziać dziś rano, inaczej ślad na palcu nie byłby tak wyraźny. To wszystko jest zabawne, choć bardzo proste… ale muszę wrócić do meritum, Watsonie. Czy zechciałbyś przeczytać mi zamieszczony w ogłoszeniu opis pana Hosmera Angela?

Spojrzałem pod światło na wycinek z gazety:

> Rankiem czternastego bm. zaginął dżentelmen nazwiskiem Hosmer Angel. Wzrost ok. 5 stóp 7 cali, mocna budowa ciała, cera ziemista, włosy ciemne, niewielka łysina na czubku głowy, czarne krzaczaste bokobrody i wąsy, przyciemniane okulary, drobna wada wymowy. Miał na sobie czarny frak oblamowany jedwabiem, czarną kamizelkę ze złotą dewizką, szare spodnie w jodełkę i brązowe getry, założone na wysokie buty. Był zatrudniony w biurze przy Leadenhall Street. Ktokolwiek…

– Wystarczy – stwierdził Holmes, po czym, przejrzawszy listy, stwierdził: – Są bardzo banalne i nie wnoszą żadnych nowych informacji na temat pana Angela poza tym, że raz zacytował Balzaka. Mają natomiast jedną niezwykłą cechę, która z pewnością rzuci ci się w oczy.

– Są napisane na maszynie – zauważyłem.

– Nie tylko listy, ale i podpisy. Popatrz na to równiutkie, małe „Hosmer Angel” na dole strony. Jest też data, ale brak miejsca, określenie „Leadenhall Street” jest dość ogólnikowe. Podpis jest natomiast bardzo istotny. Możemy uznać go za ważny dowód.

– Dowód czego?

– Mój drogi, czy naprawdę nie widzisz, jak wielką ma wagę?

– Nie, chyba że chodzi o to, że piszący wyprze się autorstwa listów, gdyby wszczęto sprawę o krzywoprzysięstwo.

– Nie w tym rzecz. Napiszę dwa listy, które zamkną sprawę: jeden do firmy z City, drugi do ojczyma tej młodej damy, pana Windibanka, z prośbą o przybycie tu na spotkanie jutro o szóstej wieczorem. Powinniśmy omówić problem z głową rodziny. A teraz, doktorze, do chwili otrzymania odpowiedzi odłóżmy tę drobną sprawę na bok.

Mój przyjaciel, uznałem, tak wiele razy dowodził swych zdolności subtelnego rozumowania i niezwykłej energii, że musi mieć solidne podstawy, by z taką lekkością i pewnością siebie traktować powierzoną mu sprawę. Wiedziałem jedynie o jego porażce w sprawie króla Bohemii i zdjęcia Irene Adler, jednak przypominając sobie dziwną sprawę Znaku Czterech i niezwykłe okoliczności związane ze *Studium w szkarłacie*, stwierdziłem, że zagadka musiałaby być doprawdy zawikłana, by nie zdołał jej rozwiązać.

Zostawiłem go z jego czarną glinianą fajką. Byłem przekonany, że kiedy przyjadę następnego wieczora, będzie miał już wszystkie poszlaki prowadzące do ustalenia okoliczności zaginięcia narzeczonego panny Mary Sutherland.

Moją uwagę zaprzątały wówczas sprawy zawodowe wielkiej wagi, więc cały następny dzień spędziłem przy łożu chorego. Dopiero przed szóstą wieczorem zakończyłem pracę, wskoczyłem do dorożki i popędziłem na Baker Street. Bałem się, że nie zdążę wziąć udziału w rozwiązywaniu zagadki, ale kiedy dotarłem na miejsce, Sherlock Holmes siedział samotnie wyciągnięty w fotelu i na wpół pogrążony we śnie. Wokół niego stało mnóstwo butelek i probówek, a w powietrzu unosił się mocny, gryzący zapach kwasu solnego, co świadczyło o tym, że mój przyjaciel spędził dzień na eksperymentach chemicznych, które tak lubił przeprowadzać.

– I jak, udało się? – spytałem, wchodząc.

– Tak, otrzymałem wodorotlenek barowy.

– Mówię o zagadce! – wykrzyknąłem.

– Ach, o tym! Ja myślałem o soli, nad której uzyskaniem pracowałem. W naszej sprawie żadnej zagadki nie było, choć muszę przyznać, że niektóre jej aspekty okazały się interesujące. Jedyny problem polega na tym, że o ile mi wiadomo, nie istnieje prawo, na mocy którego można by ścigać tego łajdaka.

– W takim razie, kto to był i dlaczego opuścił pannę Sutherland?

Ledwie zadałem to pytanie, a Holmes nie zdążył jeszcze otworzyć ust, by mi odpowiedzieć, gdy usłyszeliśmy ciężkie kroki w korytarzu i stukanie do drzwi.

– To ojczym dziewczyny, pan James Windibank – wyjaśnił Holmes. – Napisał do mnie i zgodził się przyjechać o szóstej. Proszę wejść!

Do pokoju wkroczył mocno zbudowany mężczyzna średniego wzrostu, mniej więcej trzydziestoletni, gładko ogolony, o ziemistej cerze, nijakiej powierzchowności niebudzącej zaufania i przenikliwych, jasnoszarych oczach. Popatrzył na każdego z nas pytająco, umieścił swój lśniący cylinder na kredensie i z lekkim ukłonem usiadł ostrożnie na najbliższym krześle.

– Dobry wieczór, panie Windibank – powiedział Holmes. – Rozumiem, że to od pana otrzymałem napisany na maszynie list, w którym potwierdza pan chęć przybycia na spotkanie o szóstej?

– Tak, proszę pana. Obawiam się, że nieco się spóźniłem, ale nie do końca jestem panem swego czasu. Przykro mi, że panna Sutherland niepokoiła panów swymi problemami, uważam, że nie powinno się prać brudów publicznie. Poszła do pana wbrew mojej woli, ale jak pan zapewne zauważył, to bardzo pobudliwa i impulsywna dziewczyna, której trudno przemówić do rozsądku, jeśli się przy czymś uprze. Rzecz jasna, nie mam nic przeciwko panu, skoro nie pracuje pan dla policji, ale nie jest przyjemne, kiedy ktoś ujawnia rodzinne tajemnice. Poza tym to niepotrzebny wydatek, bo niby jak miałby pan znaleźć tego Hosmera Angela?

– Otóż – stwierdził cicho Holmes – mam wszelkie podstawy sądzić, że uda mi się ustalić miejsce jego pobytu.

Windibank wzdrygnął się gwałtownie i upuścił rękawiczki.

– Miło mi to słyszeć – odpowiedział.

– Ciekawe doprawdy – zauważył Holmes – że czcionka maszyny do pisania może być niemal równie specyficzna jak charakter pisma. Poza nowymi egzemplarzami maszyn trudno znaleźć dwa identyczne. Niektóre litery wycierają się szybciej niż inne lub wykrzywiają z jednej strony. W pańskim liście, panie Windibank, wszystkie litery „e” są nieco zamazane, zaś „r” lekko skrzywione. Mogę wymienić jeszcze czternaście innych charakterystycznych cech, ale te są najbardziej oczywiste.

– Na mojej maszynie pisze się korespondencję prowadzoną przez biuro, więc bardzo możliwe, że jest ona nieco zużyta – odpowiedział nasz gość,

uważnie przyglądając się Holmesowi swoimi małymi, jasnymi oczkami.

– Chciałbym panu przedstawić pewne interesujące spostrzeżenia, panie Windibank – ciągnął Holmes. – Rozważam napisanie w najbliższym czasie krótkiej monografii na temat maszyn do pisania i ich związków z przestępczością. Poświęciłem tej kwestii nieco uwagi. Mam tu cztery listy pochodzące podobno od pewnego zaginionego dżentelmena. Wszystkie są napisane na maszynie i w każdym z nich litery „e” są zamazane, natomiast literom „r” brakuje poziomych kreseczek. Za pomocą szkła powiększającego można zaobserwować czternaście charakterystycznych cech, o których wcześniej wspominałem.

Windibank zerwał się z krzesła i chwycił cylinder.

– Nie mogę marnować czasu na takie niestworzone brednie, panie Holmes! – wykrzyknął. – Jeśli potrafi pan schwytać tego mężczyznę, niech pan to zrobi, a mnie zawiadomi o tym później.

– Oczywiście – zgodził się Holmes, wstając i przekręcając klucz w zamku. – Niniejszym powiadamiam więc pana, że został on schwytany!

– Co?! Gdzie?! – wrzasnął Windibank, blednąc i rozglądając się wokół jak szczur złapany w pułapkę.

– Ależ, doprawdy, nic to panu nie da – stwierdził łagodnie Holmes. – Nie uda się panu wywinąć. Sprawa jest wystarczająco jasna – obraził mnie pan mówiąc, że nie zdołam rozwiązać tak prostej zagadki. To tyle. A teraz usiądźmy i porozmawiajmy o wszystkim.

Nasz gość opadł na krzesło z upiorną miną, czoło miał mokre od potu.

– To… to nie podlega zaskarżeniu! – wyjąkał.

– Chyba nie. Ale tak między nami, panie Windibank, był to najbardziej samolubny, okrutny i nieludzki z tych drobnych występków, z jakimi się zetknąłem. Chcę panu przedstawić bieg wydarzeń, proszę mnie poprawić, gdybym się pomylił.

Mężczyzna skulił się na krześle z głową opuszczoną na piersi, jak gdyby został przytłoczony jakimś wielkim ciężarem. Holmes oparł nogi na krawędzi kominka. Z rękami w kieszeniach, odchylając się do tyłu na krześle, zaczął mówić, chyba bardziej do siebie niż do nas.

– Pewien mężczyzna ożenił się dla pieniędzy ze znacznie starszą od siebie kobietą i korzystał również z dochodów jej córki, którymi mógł dysponować dopóty, dopóki dziewczyna będzie z nimi mieszkała. Dla ludzi w ich położeniu była to znacząca suma, której utrata poważnie wpłynęłaby

na ich sytuację. Córka była miłą, dobrą dziewczyną, a przy tym czułą i serdeczną; nie ulegało wątpliwości, że przy swych zaletach i dochodach nie pozostanie panną zbyt długo. Jej małżeństwo oznaczałoby utratę stu funtów rocznie. Co więc zrobił jej ojczym, by temu małżeństwu zapobiec? Oczywiście, kazał jej siedzieć w domu, zabraniając obcować z rówieśnikami. Szybko jednak odkrył, że młoda dama nie będzie słuchała jego zakazów. Zniecierpliwiła się oburzona zakazami, zaczęła stawiać na swoim, a w końcu oznajmiła, że zamierza się wybrać na najbliższy bal. Co wówczas zrobił jej sprytny ojczym? Obmyślił plan, który przynosi chlubę jego umysłowi, lecz hańbę jego sercu. Z przyzwoleniem i pomocą żony przebrał się, ukrył oczy za przyciemnionymi szkłami, zamaskował twarz wąsami i krzaczastymi bokobrodami, zmienił swój donośny głos w drżący szept, po czym, bezpieczny z uwagi na krótkowzroczność dziewczyny, pojawił się na balu jako pan Hosmer Angel i uczynił wszystko, by zniechęcić innych zalotników, zdobywając jej serce.

– To miał być tylko żart – jęknął nasz gość. – Nie mieliśmy pojęcia, że tak się w to zaangażuje.

– Zapewne nie. Ale młoda dama dała się porwać uczuciom, a ponieważ była przekonana, że jej ojczym przebywa we Francji, nawet nie przyszło jej do głowy, iż padła ofiarą oszustwa. Pochlebiało jej zainteresowanie ze strony dżentelmena, a poparcie matki wzmocniło uczucie. Pan Angel zaczął odwiedzać młodą damę; było bowiem jasne, że jeśli jego zabiegi mają przynieść pożądany skutek, trzeba posunąć się tak daleko, jak się da. Doszło do kolejnych spotkań, a potem do zaręczyn, dzięki którym dziewczyna nie zwracała już uwagi na nikogo innego. Złudzeń nie można jednak było podtrzymywać wiecznie. Udawane wyjazdy do Francji były dość uciążliwe. Należało doprowadzić rzecz do końca w sposób tak dramatyczny, by na zawsze wrył się w pamięć młodej damy i przynajmniej na pewien czas uniemożliwił jej zainteresowanie się kimś innym. Stąd przysięga złożona na Pismo Święte i aluzje do nieprzewidzianych zajść w dniu ślubu. James Windibank chciał, by panna Sutherland była tak przywiązana do Hosmera Angela i niepewna jego losu, żeby przez najbliższe lata nie chciała nawet spojrzeć na innych mężczyzn. Doprowadził ją zatem aż do kościoła, a potem zniknął, posługując się starą sztuczką: wsiadł do dorożki jednymi drzwiami, a wysiadł drugimi. Tak właśnie było, panie Windibank, prawda?

Gdy Holmes opowiadał, nasz gość nieco odzyskał rezon, a potem wstał z zimnym, drwiącym uśmieszkiem na bladej twarzy.

– Może tak, a może nie, panie Holmes – powiedział – ale skoro jest pan taki bystry, powinien wiedzieć, że to pan łamie prawo, nie ja. Nie zrobiłem niczego, co uzasadniałoby postawienie mi zarzutów, a pan, zamykając mnie tu, naraził się na oskarżenie o napaść i nielegalne przetrzymywanie niewinnego człowieka.

– Owszem, nie ma podstaw prawnych, by pana ukarać – potwierdził Holmes, przekręcając klucz w zamku i otwierając drzwi na oścież – jednak nie było jeszcze człowieka, który w równym stopniu zasługiwałby na karę. Jeśli ta młoda dama ma brata lub przyjaciela, powinni wygarbować panu skórę. Na Jowisza! – mówił dalej, rozwścieczony gorzkim, kpiącym uśmieszkiem na twarzy mężczyzny – nie należy to wprawdzie do moich obowiązków, ale mam tu palcat i chyba nie zdołam się powstrzymać… – zrobił dwa kroki w kierunku bata, ale nim zdążył go chwycić, na schodach rozległy się pośpieszne kroki, trzasnęły drzwi wejściowe i zobaczyliśmy przez okno pana Jamesa Windibanka oddalającego się ile sił w nogach.

– Oto zimnokrwisty drań! – stwierdził Holmes ze śmiechem, znów opadając na fotel. – Będzie kroczył drogą przestępstwa, aż w końcu posunie się do zbrodni i trafi na szubienicę. Pewne aspekty tej sprawy okazały się dość interesujące.

– Nie do końca jednak udało mi się ogarnąć twoje rozumowanie – przyznałem.

– Od początku było jasne, że pan Hosmer Angel musiał mieć powód, by zachowywać się w tak dziwny sposób, a jedyną osobą, która mogłaby skorzystać na tym jego dziwnym postępowaniu, był ojczym panny Sutherland. Dał mi też wiele do myślenia fakt, że mężczyźni nigdy się nie spotkali, jeden z nich pojawiał się zawsze pod nieobecność drugiego. Podejrzane były też przyciemnione okulary, dziwny głos i krzaczaste bokobrody, które najwyraźniej stanowiły część przebrania. Moje przypuszczenia potwierdził napisany na maszynie podpis, oznaczało to, że panna Sutherland dobrze zna charakter pisma ojczyma i od razu by go rozpoznała. Wszystkie powyższe fakty oraz wiele drobnych szczegółów wskazywały na to samo.

– A jak sprawdziłeś swoje przypuszczenia?

– Kiedy znalazłem podejrzanego, łatwo było o dowody. Wyeliminowałem z opisu w ogłoszeniu wszystkie elementy przebrania, bokobrody, okulary i głos, po czym wysłałem go do chlebodawców ojczyma z prośbą o wskazanie czy pasuje do któregoś z ich pracowników. Dostrzegłem także charakterystyczne cechy maszyny do pisania, wysłałem więc także list z zaproszeniem do Windibanka pod jego firmowy adres. Odpowiedź, jak się spodziewałem, została napisana na maszynie i zawierała te same defekty czcionki. Jednocześnie otrzymałem list z firmy Westhouse & Marbank przy Fenchurch Street informujący, że opisowi dokładnie odpowiada jeden z pracowników, mianowicie James Windibank. Ot i wszystko.

– A panna Sutherland?

– Jeśli jej o tym opowiem, nie uwierzy. Pamiętasz stary perski aforyzm: „Naraża się na niebezpieczeństwo ten, co odbiera tygrysicy młode, i ten, co odziera kobietę ze złudzeń”? Mądrość Hafiza, autora aforyzmu, nie ustępowała mądrości Horacego oraz wiedzy o świecie tego ostatniego.

Opowieść czwarta

TAJEMNICA BOSCOMBE VALLEY

Pewnego ranka, kiedy siedziałem z żoną przy śniadaniu, pokojówka przyniosła telegram od Sherlocka Holmesa. Przeczytałem go na głos:

> Masz kilka wolnych dni? Dostałem wiadomość z zachodniej Anglii w związku z tragedią w Boscombe Valley. Jedź ze mną. Znakomite powietrze i widoki. Odjazd Paddington 11.15.

– I jak, kochanie? – spytała moja żona, przyglądając mi się uważnie. – Pojedziesz?

– Nie wiem, co odpowiedzieć. Mam teraz wielu pacjentów.

– Och, Anstruther cię zastąpi. Ostatnio jesteś jakiś blady. Myślę, że zmiana klimatu dobrze ci zrobi, a poza tym zawsze się interesowałeś śledztwami prowadzonymi przez pana Holmesa.

– Byłbym niewdzięcznikiem, gdybym się nimi nie interesował, biorąc pod uwagę to, co zyskałem dzięki jednej z nich – odpowiedziałem. – Ale jeśli mam pojechać, muszę natychmiast się spakować, zostało mi pół godziny.

W wojskowym obozie w Afganistanie nauczyłem się szybko przygotowywać się do podróży. Pośpiesznie spakowałem walizkę i wkrótce jechałem dorożką na dworzec Paddington. Holmes przechadzał się po peronie. Jego wysoka, szczupła sylwetka zdawała się jeszcze wyższa i szczuplejsza w długim, szarym płaszczu podróżnym i obcisłej czapce.

– Świetnie, że przyjechałeś, Watsonie – stwierdził. – Cieszę się, że będę miał przy sobie kogoś, na kim mogę całkowicie polegać. Miejscowi pomocnicy są zwykle bezużyteczni lub nieobiektywni. Zajmij dwa miejsca w rogu, a ja kupię bilety.

Mieliśmy dla siebie cały przedział; była tu jeszcze olbrzymia sterta papierów, które Holmes wertował, czytał, robiąc notatki i rozmyślając. Gdy znaleźliśmy się za Reading, nagle zmiął wszystkie kartki w wielką kulę i wrzucił ją na półkę.

– Czy słyszałeś coś o tej sprawie? – spytał.

– Ani słowa. Od kilku dni nie czytałem gazet.

– Prasa londyńska nie zamieszcza pełnych informacji. Przejrzałem właśnie wszystkie gazety, które się ostatnio ukazały, by zapoznać się ze szczegółami. Zdaje się, że mamy do czynienia z jedną z tych spraw, które są oczywiste, a przez to niezwykle trudne.

– Brzmi to nieco paradoksalnie.

– Ale jest absolutnie prawdziwe. Wszelkie cechy szczególne niemal zawsze stanowią poszlaki. Im bardziej banalne i pospolite jest przestępstwo, tym trudniej rozwiązać sprawę. Obecnie wszystkie dowody obciążają syna zamordowanego mężczyzny.

– Chodzi o morderstwo?

– Są podejrzenia. Nie zamierzam brać niczego za pewnik, dopóki osobiście nie zbadam faktów. Przedstawię ci pokrótce to, co wiem.

Boscombe Valley to wiejski okręg w hrabstwie Herefordshire, nieopodal Ross. Największym właścicielem ziemskim w okolicy jest niejaki John Turner, który dorobił się majątku w Australii i kilka lat temu powrócił do ojczyzny. Jedną z jego farm, Hatherley, wydzierżawił Charles McCarthy, który również przyjechał z antypodów. Mężczyźni znali się z kolonii, nic zatem dziwnego, że osiedlili się bardzo blisko siebie. Turner, zdaje się, był zamożniejszy. McCarthy został jego dzierżawcą, ale przestawali ze sobą jak równy z równym i często widywano ich razem. Obaj byli wdowcami. McCarthy miał osiemnastoletniego syna, a Turner córkę w tym samym wieku. Unikali kontaktów z innymi rodzinami z okolicy i nie udzielali się towarzysko, choć obaj panowie McCarthy przepadali za sportem i często jeździli na lokalne wyścigi konne. McCarthy miał dwoje służących – mężczyznę i dziewczynę, a Turner co najmniej sześcioro służby. Tyle udało mi się dowiedzieć o ich rodzinach i domownikach. Teraz przedstawię fakty. Trzeciego czerwca, czyli w ostatni poniedziałek, McCarthy wyszedł z domu w Hatherley około trzeciej po południu i poszedł nad Boscombe Pool, małe jeziorko powstałe wskutek rozlania się strumienia płynącego przez dolinę. Rano tego dnia był w Ross ze swoim służącym; powiedział, że muszą się

śpieszyć, gdyż jest z kimś umówiony o trzeciej. Farma Hatherley leży w odległości ćwierć mili od Boscombe Pool. McCarthy'ego widziały dwie osoby. Jedną z nich była starsza kobieta, której nazwiska nie podano, drugą gajowy William Crowder, który pracuje u Turnera. Obydwoje zeznali, że McCarthy szedł sam, a gajowy dodał, że po kilku minutach dostrzegł również jego syna idącego w tę samą stronę co ojciec; pod pachą miał strzelbę. Wydaje mu się, że widział ojca i syna jednocześnie i że młody McCarthy szedł za swym ojcem. Nie zastanawiał się jednak nad tym, dopóki wieczorem nie usłyszał o tragedii. Obu McCarthych widziano też po tym, jak zobaczył ich gajowy. Wokół Boscombe Pool rozciąga się gęsty las, a tuż nad samą wodą ciągnie się wąski pas trawy i trzcin. Czternastoletnia Patience Moran, córka dozorcy posiadłości Boscombe Valley, zbierała w lesie kwiaty. Twierdzi, że widziała na skraju lasu tuż nad jeziorkiem pana McCarthy'ego i jego syna. Wydawało się, że się gwałtownie kłócili. Słyszała, jak starszy z mężczyzn zwrócił się do młodszego ostrym tonem, a ten drugi podniósł rękę tak, jakby chciał uderzyć ojca. Dziewczynkę tak wystraszyła ta brutalność, że pobiegła do domu. Powiedziała matce, że dwaj panowie McCarthy kłócą się niedaleko Boscombe Pool i obawia się, iż dojdzie między nimi do bójki. Ledwie skończyła mówić, przybiegł McCarthy syn oznajmiając, że znalazł w lesie ciało ojca, więc poprosił dozorcę o pomoc. Był bardzo poruszony, nie miał broni ani kapelusza; jego ręka i mankiet były poplamione świeżą krwią. Na brzegu jeziorka znaleziono ciało rozciągnięte na trawie. Ofiara miała liczne obrażenia głowy zadane ciężkim, tępym narzędziem, być może kolbą strzelby, którą znaleziono niedaleko w trawie. W rezultacie wizji lokalnej młody człowiek został natychmiast aresztowany. We wtorek odbyło się śledztwo, które zakończyło się werdyktem: „morderstwo z premedytacją", a w środę McCarthy stanął przed sędzią pokoju w Ross; sędzia wyznaczył rozprawę na najbliższą wyjazdową sesję sądu. Tak wyglądała sprawa przed przesłuchaniem przez sędziego śledczego i posiedzeniem sądu policyjnego.

– Nie potrafię sobie wyobrazić bardziej obciążających dowodów. Poszlaki wyraźnie wskazują na sprawcę.

– Poszlaki mogą być mylące – stwierdził Holmes z zamyśleniem. – Może się wydawać, że wyraźnie na coś wskazują, a jeśli nieco zmienisz punkt widzenia, okazuje się, że równie niewątpliwie świadczą o czymś całkiem

innym. Trzeba jednak przyznać, że młody człowiek jest w bardzo trudnej sytuacji; nie można wykluczyć jego winy. Mimo wszystko kilku sąsiadów, w tym panna Turner, córka właściciela ziemskiego, wierzy w niewinność młodego McCarthy'ego. Zwrócili się z prośbą do inspektora Lestrade'a, pamiętasz go ze *Studium w szkarłacie*, o znalezienie dowodów świadczących na jego korzyść. Inspektor poczuł się zagubiony i powierzył sprawę mnie. Oto dlaczego dwóch dżentelmenów w średnim wieku pędzi na zachód z prędkością pięćdziesięciu mil na godzinę zamiast spokojnie siedzieć w domu i odpoczywać po zjedzeniu obfitego śniadania.

– Obawiam się, że w tej sprawie fakty są oczywiste i nie będziesz miał pola do popisu – stwierdziłem.

– Nie ma nic bardziej złudnego niż oczywisty fakt! – odpowiedział mój przyjaciel ze śmiechem. – Poza tym możemy natrafić na inne, nie mniej oczywiste wskazówki, które przeoczył pan Lestrade. Znasz mnie dobrze i wiesz, że mogę – a to stwierdzenie nie będzie czczą przechwałką, potwierdzić lub obalić jego teorię za pomocą środków, których on nie potrafi nie tylko zastosować, ale nawet zrozumieć. Dla mnie na przykład jest jasne, że okno w twej sypialni znajduje się po prawej stronie lustra, ale wątpię czy inspektor zauważył ten oczywisty fakt.

– Ależ jak…

– Mój drogi, dobrze znam ciebie i twoją schludność nabytą w wojsku. Golisz się każdego ranka, o tej porze roku robisz to przy świetle dziennym. Lewa strona twarzy jest mniej starannie wygolona, a że na szczęce po tej stronie masz już całkiem wyraźny zarost, jasne jest, że ta część twej twarzy jest słabiej oświetlona. Nie wyobrażam sobie, by ktoś, kto równie dba o wygląd, goląc się przy równomiernym oświetleniu, był zadowolony z takiego rezultatu. Podałem to jako banalny przykład obserwacji i dedukcji. Na tym opiera się moja praca, a niewykluczone, że dzięki nim zdołamy pomóc w śledztwie tam, dokąd się udajemy. Podczas przesłuchania ujawniono kilka faktów, które warto wziąć pod uwagę.

– Jakie to fakty?

– McCarthy został chyba zatrzymany nie od razu, lecz dopiero po powrocie do Hatherley. Kiedy inspektor policji okręgowej poinformował młodego człowieka o aresztowaniu, ten wyznał, że nie jest zaskoczony i zasłużył na to. Trudno się dziwić, że te słowa w naturalny sposób rozwiały wszelkie wątpliwości, jakie mogli mieć przysięgli w sądzie śledczym.

– To było przecież przyznanie się do winy! – wybuchnąłem.

– Nie. Młody człowiek natychmiast oświadczył, że jest niewinny.

– Po nader obciążających dowodach takie stwierdzenie musiało się wydać podejrzane.

– Wręcz przeciwnie – stwierdził Holmes. – To najjaśniejszy promyczek nadziei, jaki w tej chwili widzę. Ten młodzieniec może być niewinny, musiałby jednak być absolutnym imbecylem, by nie dostrzec, że wszystko przemawia przeciwko niemu. Gdyby udawał zaskoczonego lub oburzonego aresztowaniem, uważałbym to za wielce podejrzane, gdyż taka reakcja nie byłaby naturalna w zaistniałych okolicznościach, choć winnemu może się wydawać najrozsądniejsza. To, że otwarcie zaakceptował sytuację, wskazuje, że jest albo niewinny, albo przynajmniej bardzo twardy i opanowany. Stwierdzenie odnośnie tego, że na to zasłużył, nie wydaje się nie na miejscu, jeśli wziąć pod uwagę, iż stanął nad ciałem swego ojca chwilę po tym, jak mu nawymyślał. Dziewczynka, której zeznania są bardzo istotne, utrzymuje, że nawet podniósł na niego rękę. Takie wyrzuty sumienia i skrucha są dla mnie przejawem raczej normalnego sposobu myślenia niż winy.

Pokręciłem głową:

– Wielu powieszono na podstawie znacznie słabszych dowodów.

– Owszem. I wielu powieszono niesłusznie.

– Jak brzmi zeznanie młodego człowieka?

– Obawiam się, że nie daje jego orędownikom zbyt wielkiej nadziei, choć zawiera dwa znaczące elementy. Proszę, zapoznaj się z nim.

Wyciągnął spośród zmiętych papierów egzemplarz lokalnej gazety Herefordshire i wskazał mi akapit z opowieścią młodego człowieka o tym, co zaszło. Usadowiłem się wygodnie w rogu przedziału i uważnie przeczytałem całą historię. Oto jej treść:

> Potem został wezwany pan James McCarthy, jedyny syn zmarłego, i złożył następujące zeznanie: „Nie było mnie w domu przez trzy dni, gdyż przebywałem w Bristolu. Wróciłem rankiem w ostatni poniedziałek, trzeciego. Kiedy przyjechałem, ojca nie było w domu, a pokojówka powiedziała mi, że pojechał do Ross z panem Johnem Cobbem, stajennym. Niedługo później usłyszałem dwukółkę, która zajechała przed dom. Wyjrzałem przez okno i zobaczyłem, jak ojciec wysiada z powozu i szybko idzie przez podwórko. Nie wiedziałem, dokąd zmierza. Wziąłem broń i poszedłem do Boscombe Pool, by zapolować na króliki

z kolonii znajdującej się na drugim brzegu jeziorka. Po drodze widziałem gajowego Williama Crowdera, który potwierdził to w swoim zeznaniu; myli się jednak, sądząc, że podążałem za ojcem. Nie miałem pojęcia, że idzie on przede mną. W odległości stu jardów od jeziorka usłyszałem okrzyk: „Cooee!", którego używaliśmy z ojcem jako sygnału. Pobiegłem szybko do przodu i zobaczyłem na brzegu ojca. Wydawało się, że mój widok bardzo go zaskoczył; dość ostro spytał, co tu robię. Wywiązała się sprzeczka, podczas której padły gwałtowne słowa i doszło nieomal do rękoczynów, gdyż mój ojciec był człowiekiem bardzo porywczym. Kiedy zauważyłem, że przestaje panować nad swoimi emocjami, odszedłem i ruszyłem w drogę powrotną do Hatherley. Nie przeszedłem jednak stu pięćdziesięciu jardów, kiedy usłyszałem straszliwy krzyk. Zawróciłem, pobiegłem do jeziorka i znalazłem na brzegu konającego ojca. Miał strzaskaną głowę. Rzuciłem na ziemię strzelbę i wziąłem go na ręce, ale on niemal natychmiast wyzionął ducha. Przez kilka minut klęczałem obok. Później poszedłem do dozorcy pana Turnera, który mieszka najbliżej, by prosić go o pomoc. Nie widziałem nikogo w pobliżu i nie wiem, skąd się wzięły te jego obrażenia. Ojca nie lubili ze względu na jego zimny i nieprzystępny sposób bycia, ale, jak mi wiadomo, nie miał zażartych wrogów. To wszystko, co wiem o tej sprawie.

Sędzia śledczy: Czy ojciec przed śmiercią powiedział coś do pana?

Świadek: Wymamrotał kilka słów, ale zrozumiałem jedynie jakieś odniesienie do szczura.

Sędzia: Co pan zrozumiał?

Świadek: Nie pojąłem znaczenia tych słów. Wydawało mi się, że ojciec bredzi.

Sędzia: Jak zakończyła się pana ostatnia kłótnia z ojcem?

Świadek: Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie.

Sędzia: Nalegam jednak.

Świadek: Naprawdę nie mogę panu tego zdradzić, zapewniam wszakże, iż nie ma to nic wspólnego z tragedią, która rozegrała się później.

Sędzia: O tym zdecyduje sąd. Nie muszę chyba tłumaczyć panu, że każda odmowa odpowiedzi wpłynie na sposób interpretowania tej sprawy podczas wszelkich przyszłych postępowań.

Świadek: Mimo to, muszę odmówić.

Sędzia: Często używali panowie okrzyku „Cooee"?

Świadek: Owszem.

Sędzia: Dlaczego więc ojciec wydał ten okrzyk, zanim pana zobaczył, a nawet zanim się dowiedział o pańskim powrocie z Bristolu?

Świadek (wyraźnie zmieszany): Nie wiem.

Przysięgły: Kiedy usłyszał pan krzyk, powrócił i znalazł śmiertelnie rannego ojca – czy zauważył pan coś podejrzanego?

Świadek: Nic konkretnego.

Sędzia: Co pan przez to rozumie?

Świadek: Kiedy biegłem do ojca, byłem tak poruszony, że nie myślałem o niczym. Wydawało mi się jednak, że zobaczyłem coś na ziemi z lewej strony. Coś szarego, może płaszcz lub koc. Potem szukałem tej rzeczy, ale jej już nie było.

Sędzia: Czyli to coś zniknęło, nim pobiegł pan po pomoc?

Świadek: Zgadza się.

Sędzia: Nie potrafi pan określić, co to było?

Świadek: Nie, ale widziałem, że coś tam leży.

Sędzia: Jak daleko od ciała znajdował się ten przedmiot?

Świadek: Jakieś dwanaście jardów.

Sędzia: A jak daleko od skraju lasu?

Świadek: Mniej więcej w tej samej odległości.

Sędzia: Czyli zostało usunięte, kiedy znajdował się pan w odległości dwunastu jardów od tego przedmiotu?

Świadek: Tak, ale byłem odwrócony tyłem.

Na tym zakończyło się przesłuchanie świadka.

– Zdaje się – powiedziałem, przyglądając się gazecie – że sędzia śledczy był dość surowy dla młodego McCarthy’ego. Nie bez racji zwrócił uwagę na niespójność jego zeznań, według których ojciec rzekomo zawołał syna, zanim go zauważył, na odmowę powtórzenia rozmowy z ojcem i osobliwą opowieść o jego ostatnich słowach. Sędzia zaznaczył, że wszystko to świadczy przeciwko synowi.

Holmes zaśmiał się cicho i wyciągnął się na wyścielanym siedzeniu.

– I ty, i sędzia śledczy znaleźliście niechcący coś na obronę młodego McCarthy’ego. Zwróć uwagę, raz oskarżacie go o nadmiernie wybujałą wyobraźnię, a innym razem o to, że ma tę wyobraźnię zbyt ubogą. Z jednej strony, nie był w stanie wymyślić przyczyny kłótni, która wzbudziłaby współczucie przysięgłych, z drugiej natomiast wspomniał o czymś tak dziwnym, jak szczur i znikający szary przedmiot. Nie, mój drogi, zamierzam przyjąć, że ten młody człowiek mówi prawdę i zobaczymy dokąd doprowadzi nas ta hipoteza. A teraz zajmę się kieszonkowym wydaniem Petrarki i nie powiem o tej sprawie ani słowa więcej, póki nie znajdziemy się na miejscu. Lunch zjemy w Swindon, powinniśmy tam dotrzeć za dwadzieścia minut.

Była prawie czwarta po południu. Przejechaliśmy przez piękną dolinę Stroud, przekroczyliśmy szeroką, lśniącą rzekę Severn i znaleźliśmy się w ładnym prowincjonalnym miasteczku Ross. Na peronie czekał na nas

chudy mężczyzna o aparycji łasicy i przebiegłych oczach. Mimo beżowego prochowca i getrów, które miał na sobie, by się wtopić w wiejski krajobraz, bez trudu rozpoznałem pana Lestrade’a ze Scotland Yardu. Pojechaliśmy razem do Hereford Arms, gdzie był przygotowany dla nas pokój.

– Zamówiłem powóz – oznajmił inspektor, kiedy usiedliśmy nad filiżanką herbaty. – Znam pańską tajemniczą naturę i wiem, że nie będzie pan usatysfakcjonowany, póki nie znajdzie się na miejscu zbrodni.

– To bardzo miłe z pana strony i dobrze o panu świadczy – odpowiedział Holmes – ale wszystko zależy od ciśnienia atmosferycznego.

Lestrade był zbity z tropu.

– Nie rozumiem – przyznał.

– Widział pan barometr? Ciśnienie wysokie, nie ma wiatru, a niebo jest bezchmurne. Mam paczkę papierosów, które chciałbym wypalić, a kanapa w moim pokoju jest znacznie wygodniejsza niż większość tych okropnych mebli, w które wyposażone są wiejskie hotele. Nie sądzę, że będę dziś korzystał z powozu.

Lestrade zaśmiał się pobłażliwie.

– Zapewne wyrobił już pan sobie opinię na podstawie lektury gazet – stwierdził. – Sprawa jest prosta jak drut. Im bardziej się w nią zagłębiamy, tym staje się ona bardziej oczywista. Nie sposób jednak odmówić damie, zwłaszcza tak zdesperowanej. Słyszała o panu i koniecznie chciała poznać pańskie zdanie, choć wielokrotnie powtarzałem jej, że nie zdoła pan dokonać niczego, czego ja bym już nie zrobił. Ależ na honor! Oto jej powóz!

Ledwie skończył mówić, do pokoju wpadła jedna z najśliczniejszych młodych kobiet, jakie w życiu widziałem. Jej fiołkowe oczy lśniły, wargi były lekko rozchylone, na policzkach miała lekkie rumieńce; była tak zmartwiona i poruszona, że nawet nie próbowała zachować normalnego w tych okolicznościach dystansu.

– Ach, panie Holmes! – wykrzyknęła, patrząc to na jednego, to na drugiego z nas, a po chwili, wiedziona kobiecą intuicją, zwróciła się do mojego towarzysza. – Tak się cieszę, że pan przyjechał! Muszę panu to powiedzieć. James tego nie zrobił! Ja to wiem i chcę, by i pan to wiedział, nim rozpocznie śledztwo. Proszę nigdy w to nie wątpić. Znamy się z Jamesem od dzieciństwa. Jestem świadoma jego wad bardziej niż

ktokolwiek inny, ale jest on tak łagodny, że nie skrzywdziłby muchy. Taka nagła zmiana musiała wydać się absurdalna każdemu, kto go zna.

– Mam nadzieję, że uda nam się oczyścić go z zarzutów, panno Turner – stwierdził Holmes. – Może pani być pewna, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

– Zapoznał się pan z dowodami. Czy doszedł pan do jakichś wniosków? Nie dostrzegł pan jakiejś luki czy nieprawidłowości? Nie sądzi pan, że James jest niewinny?

– Myślę, że to bardzo prawdopodobne.

– No właśnie! – wykrzyknęła, odchylając głowę i rzucając Lestrade'owi wyzywające spojrzenie. – Słyszy pan? Pan Holmes dał mi nadzieję!

Inspektor wzruszył ramionami:

– Obawiam się, że mój kolega zbyt pośpiesznie wyciągnął wnioski.

– Ale ma rację. Ach, wiem, że ma rację! James w żadnym razie tego nie zrobił. A jeśli chodzi o kłótnię z ojcem, to jestem pewna, że nie chciał mówić o niej z sędzią, gdyż to ja byłam jej przedmiotem!

– Jak to? – spytał Holmes.

– Nie będę niczego ukrywała. James i jego ojciec wiele razy kłócili się o mnie. Pan McCarthy bardzo chciał, byśmy się pobrali. Zawsze kochaliśmy się z Jamesem jak brat i siostra, ale rzecz jasna, on jest jeszcze młody i nie zna życia, a zresztą… zresztą… nie był jeszcze gotowy do podjęcia takich kroków. Dochodziło więc między nimi do kłótni, i jestem pewna, że i tym razem poszło o mnie.

– A czy pani ojciec popierał to małżeństwo? – spytał Holmes.

– Nie, on także był mu przeciwny. Jedynie pan McCarthy tego pragnął.

Holmes obrzucił dziewczynę jednym ze swych przenikliwych, pytających spojrzeń, a na jej twarz wypłynął rumieniec.

– Dziękuję pani za te informacje – rzekł. – Czy będę mógł się spotkać jutro z pani ojcem?

– Obawiam się, że doktor się na to nie zgodzi.

– Doktor?

– Tak. Nie słyszał pan? Ojciec zawsze był słabego zdrowia, ale teraz całkiem się załamał. Jest przykuty do łóżka. Doktor Willows twierdzi, że jest wrakiem człowieka, a jego układ nerwowy jest nadwyrężony. Pan McCarthy był jedynym, który znał tatę jeszcze za dawnych czasów, kiedy pracował w stanie Wiktoria.

– Ha! W stanie Wiktoria! To ważny fakt.

– Tak. Pracował wówczas w kopalni.

– Rozumiem, że chodzi o kopalnie złota, na których pan Turner dorobił się majątku.

– Zgadza się.

– Dziękuję, panno Turner. Bardzo mi pani pomogła.

– Proszę powiadomić mnie jutro, gdyby się pan czegoś dowiedział. Zapewne zobaczy się pan z Jamesem w więzieniu, panie Holmes. Proszę mu zatem powiedzieć, że wiem, iż jest niewinny.

– Zrobię to, panno Turner.

– Muszę już wracać do domu. Mój tata jest w ciężkim stanie, więc jestem mu teraz bardzo potrzebna. Do widzenia. Niech Bóg pana prowadzi! – powiedziała i wybiegła z pokoju równie pośpiesznie, jak do niego wpadła, a po chwili usłyszeliśmy turkot oddalającego się powozu.

– Wstyd mi za pana, Holmes – oświadczył z godnością Lestrade po kilku minutach milczenia. – Dlaczego rozbudza w niej pan nadzieje, które i tak się nie spełnią? Nie jestem nadmiernie wrażliwy, ale uważam to za okrucieństwo.

– Sądzę, że znalazłem sposób, by oczyścić Jamesa McCarthy’ego z zarzutów – wyjaśnił Holmes. – Czy uzyskał pan pozwolenie na odwiedzenie go w więzieniu?

– Tak, ale jedynie dla siebie i dla pana.

– W takim razie rozważę raz jeszcze swoją decyzję o udaniu się do miasta. Czy mamy dość czasu, by jeszcze dziś pojechać pociągiem do Hereford i zobaczyć się z więźniem?

– Aż nadto.

– Pojedźmy więc. Watsonie, obawiam się, że będziesz się tu nudził, ale wyjeżdżam jedynie na kilka godzin.

Odprowadziłem ich na dworzec, pospacerowałem ulicami miasteczka i wróciłem do hotelu. W pokoju ułożyłem się na kanapie i próbowałem czytać tanią powieść. Jednak jej żałosna fabuła, tak banalna w porównaniu z zagadką, którą usiłowaliśmy rozwikłać, spowodowała, że moje myśli zaczęły błądzić od fikcji do faktów, aż w końcu rzuciłem książkę w kąt i poświęciłem się rozważaniu wydarzeń minionego dnia. Jeśli historia opowiedziana przez nieszczęsnego młodzieńca była prawdziwa, jakie zdarzenie z piekła rodem, jaka niezwykła i nieprzewidziana katastrofa

musiały nastąpić od chwili, gdy opuścił ojca, do momentu, gdy zaniepokojony jego krzykami pobiegł na polanę? Musiało to być coś straszliwego i zabójczego. Ale co? Być może opis obrażeń, jakie odniósł zmarły, mógłby podpowiedzieć coś moim lekarskim instynktom? Zadzwoniłem na służbę i poprosiłem o lokalny tygodnik, w którym znalazłem szczegółową relację ze śledztwa. Chirurg zeznał, że jedna trzecia tylnej części lewej kości ciemieniowej i lewa połowa kości potylicznej zostały strzaskane tępym narzędziem. Zaznaczyłem odpowiednie miejsce na swojej głowie. Taki cios mógł być zadany jedynie od tyłu. Do pewnego stopnia świadczyło to na korzyść oskarżonego, gdyż podczas kłótni z ojcem stał przodem do niego. Argument był jednak słaby – ofiara mogła wszak odwrócić się plecami, nim padł cios. Być może jednak warto było zwrócić uwagę Holmesa na ten szczegół. A co mogła oznaczać wzmianka umierającego o szczurze? To nie mogły być majaki. Umierający wskutek nagłego uderzenia w głowę zwykle nie majaczą. Próbował raczej wyjaśnić, co się stało. Ale co mogły znaczyć te słowa? Zachodziłem w głowę, jakie może być rozwiązanie tej zagadki? No i ten szary przedmiot, który widział McCarthy. Jeśli była to prawda, morderca musiał podczas ucieczki upuścić jakąś część przyodziewku, zapewne płaszcz, jednakże miał czelność wrócić po nią, kiedy syn klęczał odwrócony tyłem do niego, w odległości nie więcej niż dwunastu kroków. Jakiż splot tajemnic i nieprawdopodobnych wydarzeń stanowiła cała sprawa! Nie dziwiłem się opinii Lestrade’a, ale jednocześnie bardzo zaufałem spostrzegawczości Sherlocka Holmesa, więc nie zamierzałem tracić nadziei, póki fakty nie wykluczą niewinności młodego McCarthy’ego.

Kiedy Holmes wrócił, było już późno. Przyjechał sam, bo Lestrade nocował w mieście.

– Ciśnienie wciąż jest bardzo wysokie – zauważył mój przyjaciel, siadając. – Ważne jest, by nie zaczęło padać, nim obejrzymy miejsce zbrodni. Z drugiej jednak strony, należy być w jak najlepszej formie, nie chciałem więc przystępować do pracy, będąc zmęczony długą podróżą. Widziałem się z młodym McCarthym.

– I czego się od niego dowiedziałeś?

– Niczego.

– Nie potrafił niczego wyjaśnić?

– Nic a nic. Myślałem przedtem, że być może wie, kto to zrobił i chroni winnego, ale przekonałem się, iż jest równie zbity z tropu jak wszyscy, może poza inspektorem Lestrade’em. To inteligentny młodzian, do tego przystojny i jak sądzę, prawy.

– Nie wydaje mi się jednak, by miał dobry gust – zaoponowałem – jeśli istotnie był przeciwny małżeństwu z tak uroczą młodą damą jak panna Turner.

– Ach, to bolesna sprawa. Jest w niej zakochany do szaleństwa, ale dwa lata temu, kiedy był jeszcze prawie dzieckiem i zanim naprawdę poznał pannę Turner, gdyż pięć lat spędziła w szkole z internatem, zrobił coś bardzo głupiego – wziął ślub cywilny z barmanką z Bristolu. Nikt nie wie o tej sprawie, ale możesz się domyślać, jak trudne było dla niego wysłuchiwanie reprymend, że nie robi tego, czego pragnął najbardziej na świecie, a czego w żadnym razie zrobić nie mógł. Dlatego właśnie gwałtownie gestykulował, gdy podczas ostatniego spotkania ojciec ponownie nakłaniał go do ożenku z młodą panną. Z drugiej jednak strony, nie miał żadnego źródła dochodów, a jego ojciec, którego wszyscy opisują jako człowieka niezwykle twardego, nie chciałby go więcej widzieć, gdyby poznał prawdę. To właśnie ze swoją żoną spędził ostatnie trzy dni w Bristolu, a ojciec nie wiedział, gdzie przebywa. Zapamiętaj ten fakt. To ważne. Nie ma jednak tego złego, co by na dobre nie wyszło. Kiedy barmanka dowiedziała się z gazet, że jej mąż jest w poważnych tarapatach i grozi mu stryczek, wyrzekła się go. Napisała, iż była już zamężna z innym człowiekiem, pracującym w bazie marynarki na Bermudach, więc ich małżeństwo jest nieważne. Ta wiadomość, jak się wydaje, wynagrodziła młodemu McCarthy’emu wszystkie cierpienia.

– Ale skoro on jest niewinny, kto to zrobił?

– No właśnie, kto? Chciałbym zwrócić twą uwagę na dwa fakty. Po pierwsze, zamordowany umówił się z kimś nad jeziorkiem, a tym kimś nie mógł być jego syn, ponieważ James wyjechał i McCarthy nie wiedział, kiedy wróci. Po drugie, słyszano, jak zamordowany krzyknął: „Cooee!”, zanim dowiedział się o powrocie syna. To najważniejsze w całej sprawie. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko, podyskutujmy o dziełach Mereditha[8], a pomniejsze kwestie zostawmy na jutro.

Zgodnie z przewidywaniami Holmesa, następnego dnia nie padało, a ranek był słoneczny i bezchmurny. Lestrade przyjechał po nas

o dziewiątej i wyruszyliśmy obejrzeć Hatherley i Boscombe Pool.

– Ranek przyniósł ważne wieści – rzekł Lestrade. – Podobno stan pana Turnera jest tak poważny, że obawiają się o jego życie.

– To starszy mężczyzna? – spytał Holmes.

– Ma około sześćdziesięciu lat, ale chorował już od jakiegoś czasu, gdyż lata spędzone za granicą mocno nadwątliły jego zdrowie. Ta sprawa bardzo go dotknęła. Był przyjacielem McCarthy'ego i muszę dodać, jego wielkim dobroczyńcą. Dowiedziałem się, że nie pobierał opłaty za dzierżawę Hatherley.

– Doprawdy? To interesujące! – stwierdził Holmes.

– O tak! Wspomagał go też na wiele innych sposobów. Wszyscy opowiadają o jego dobroci.

– Ach tak! A czy nie wydaje się panu osobliwe, że McCarthy, który sam posiadał niewiele, a tyle zawdzięczał Turnerowi, chciał ożenić swego syna z jego córką, zapewne dziedziczką całego majątku, i mówił o tym z taką pewnością, jakby sprawa była już rozstrzygnięta i pozostawało tylko czekać na oświadczyny? Jest to tym dziwniejsze, że wiemy, iż sam Turner sprzeciwiał się rzeczonemu pomysłowi. Czy jesteś w stanie coś z tego wydedukować?

– A więc dochodzimy do dedukcji i wnioskowania – stwierdził Lestrade, mrugając do mnie. – Panie Holmes, mam wystarczająco wiele trudności ze śledzeniem faktów, by zajmować się teoriami i wymysłami.

– Ma pan rację – przyznał skromnie Holmes. – Najwyraźniej niełatwo jest panu śledzić fakty.

– A jednak znam jeden, którego pan w sposób oczywisty nie jest w stanie pojąć – odpowiedział Lestrade nie bez irytacji.

– A mianowicie?

– McCarthy senior poniósł śmierć z ręki McCarthy'ego juniora, a wszystkie teorie głoszące inaczej są wyssane z palca.

– Cóż, palec może być lepszy niż pusta głowa – stwierdził Holmes ze śmiechem. – Ale jeśli się nie mylę, po prawej mamy farmę Hatherley.

– Zgadza się.

Zobaczyliśmy obszerny, wygodny, dwupiętrowy budynek z dachem krytym łupkiem i wielkimi żółtymi plamami porostów na szarych ścianach. Zasłonięte kotary i brak dymu z komina sprawiały wrażenie, jakby wciąż wisiał nad nim cień tragedii. Weszliśmy do środka. Pokojówka na prośbę

Holmesa pokazała nam buty, które jej pan miał na sobie w chwili śmierci oraz obuwie syna, choć nie to, w którym chodził feralnego dnia. Mój przyjaciel pomierzył buty w siedmiu czy ośmiu różnych miejscach; następnie poprosił o otwarcie drzwi na podwórze, skąd wszyscy poszliśmy krętą ścieżką nad Boscombe Pool.

Kiedy Sherlock Holmes szedł tropem, ulegał przemianie. Ci, którzy znali go jedynie jako cichego myśliciela i logika z Baker Street, nie rozpoznaliby go w tej chwili. Jego twarz spochmurniała i zarumieniła się, a oczy patrzące spod ściągniętych w dwie grube, czarne kreski brwi, rzucały stalowe błyski. Detektyw miał zaciętą minę, skulone ramiona i zaciśnięte wargi, a na jego długiej, mocnej szyi wyraźnie odznaczały się żyły. Wydął nozdrza jak zwierzę ogarnięte żądzą pościgu i tak bardzo skoncentrował swój umysł na sprawie, że kierowane do niego pytania lub uwagi zostawały bez odpowiedzi albo w najlepszym razie wywoływały krótkie, zniecierpliwione warknięcie. Holmes poruszał się szybko i cicho ścieżką biegnącą najpierw przez łąki, a potem przez las. Grunt był podmokły, niemal bagnisty. Zarówno na dróżce, jak i na otaczającej ją z obu stron trawie widać było liczne ślady stóp. Holmes to wybiegał do przodu, to znów stawał nagle w miejscu, a raz okrążył łąkę. Lestrade i ja szliśmy za nim. Policjant zachowywał się obojętnie, nawet pogardliwie, a ja przyglądałem się przyjacielowi z zainteresowaniem, bo byłem przekonany, że każde z jego działań służy określonemu celowi.

Boscombe Pool, małe, porośnięte trzcinami jeziorko o średnicy około pięćdziesięciu jardów leżało na granicy pomiędzy ziemią należącą do Hatherley a prywatnym parkiem zamożnego Turnera. Nad otaczającymi jeziorko drzewami widać było wysokie, czerwone tyczki zaznaczające granicę posiadłości bogacza. Po stronie Hatherley las był bardzo gęsty, zaś pomiędzy jego skrajem a trzcinami otaczającymi jezioro ciągnął się wąski pas podmokłej trawy o szerokości może dwudziestu kroków. Lestrade pokazał nam, gdzie zostało znalezione ciało i okazało się, że grunt w tym miejscu był tak miękki, iż upadająca ofiara pozostawiła bardzo wyraźne ślady. Skupiona mina i przenikliwy wzrok Holmesa świadczyły o tym, że potrafił odczytać z podeptanej trawy znacznie więcej niż inni. Biegał tam i z powrotem jak pies szukający tropu, a następnie zwrócił się do inspektora:

– Po co wchodził pan do jeziorka?

– Grzebałem w nim grabiami do liści. Myślałem, że może znajdę tam narzędzie zbrodni lub natrafię na jakiś inny ślad. Ale skąd…

– Ciiiiii! Nie mam na to czasu! Ślady pańskiej wykręconej do wewnątrz lewej stopy są wszędzie. Zobaczyłby je nawet kret. A tu znikają pomiędzy trzcinami. Ach, o ileż łatwiej byłoby mi pracować, gdyby nie gromada ludzi, która niczym stado bawołów zadeptała wszystko! Tą drogą przyszła grupa prowadzona przez dozorcę i zniszczyła wszystkie ślady w promieniu sześciu lub ośmiu stóp wokół ciała. Widać jednak, że trzy razy przechodziła tędy ta sama osoba. To odciski butów młodego McCarthy’ego. Dwa razy szedł, raz biegł szybko – palce są wyraźnie zaznaczone, a pięty ledwie widać. To potwierdza jego wersję. Kiedy zobaczył ojca na ziemi, puścił się biegiem. A tu mamy ślady ojca chodzącego tam i z powrotem. Tutaj syn oparł kolbę strzelby, kiedy zatrzymał się, słysząc sygnał. A tu? Ha! Co my tu mamy? Ktoś szedł na palcach a na nogach miał nietypowe buty o kwadratowych noskach. Nadszedł, cofnął się, później wrócił – po płaszcz, rzecz jasna. A skąd on przyszedł?

Holmes penetrował otoczenie, gubiąc trop i odnajdując go ponownie, aż znaleźliśmy się w lesie pod ogromną brzozą, największym drzewem w okolicy. Mój przyjaciel, idąc śladem, okrążył pień i jeszcze raz położył się, nachylając twarz do samej ziemi; tym razem wydał cichy okrzyk zadowolenia. Pozostał w tej pozycji przez długi czas. Przesuwając liście i suche gałązki, zbierał do koperty coś, co przypominało pył, oglądał przez szkło powiększające nie tylko ziemię, ale także korę drzewa do wysokości, do której zdołał sięgnąć. We mchu leżał kamień o ostrych krawędziach, który Holmes również uważnie obejrzał i zabrał ze sobą. Poszliśmy ścieżką przez las aż do głównej drogi, gdzie wszystkie ślady znikały.

– Była to wielce interesująca sprawa – stwierdził, powracając do swego zwykłego sposobu bycia. – Domyślam się, że ten szary domek po prawej należy do leśniczego. Zamienię teraz kilka słów z panem Moranem i być może napiszę krótki list. Później pojedziemy na drugie śniadanie. Możecie panowie wrócić do dorożki, za chwilę do was dołączę.

Po około dziesięciu minutach dotarliśmy do naszego powozu i pojechaliśmy z powrotem do Ross. Holmes wciąż miał przy sobie kamień, który znalazł w lesie.

– Być może to pana zainteresuje, Lestrade – powiedział, wyciągając go przed siebie. – To narzędzie zbrodni.

– Nie widzę na nim żadnych śladów.

– Bo ich nie ma.

– Więc skąd pan to wie?

– Poprzednio rosła pod nim trawa. W tym miejscu, gdzie go znalazłem, leżał zaledwie od kilku dni, a nie było widać miejsca, z którego został zabrany. Jego kształt odpowiada obrażeniom. I nie znaleziono żadnej innej broni.

– A morderca?

– To wysoki, leworęczny mężczyzna, który utyka na prawą nogę, nosi myśliwskie buty o grubych podeszwach i szary płaszcz, pali indyjskie cygara, używa ustnika i ma w kieszeni tępy scyzoryk. Znalazłem kilka innych śladów, ale sądzę, że te wystarczą dla naszych poszukiwań.

Lestrade się roześmiał.

– Obawiam się, że wciąż jestem sceptykiem – stwierdził. – Teorie to ciekawa rzecz, ale będziemy mieli do czynienia z upartą angielską ławą przysięgłych.

– *Nous verrons*[9] – odpowiedział Holmes ze spokojem. – Proszę stosować swoje metody, ja będę stosował własne. Dziś po południu będę zajęty, a do Londynu prawdopodobnie wrócę wieczornym pociągiem.

– I pozostawi pan sprawę niedokończoną?

– Ależ nie, doprowadzę ją do końca.

– A co z zagadką?

– Została rozwiązana.

– Kto więc jest sprawcą?

– Dżentelmen, którego opisałem.

– Ale kim on jest?

– Z pewnością nietrudno będzie się dowiedzieć. Okolica nie jest zbyt gęsto zaludniona.

Lestrade wzruszył ramionami.

– Jestem człowiekiem praktycznym – rzekł – i doprawdy nie mogę biegać po miasteczku, szukając kulawego, leworęcznego mężczyzny. Stałbym się pośmiewiskiem Scotland Yardu.

– W porządku – stwierdził cicho Holmes. – Dałem panu szansę. Oto pańska kwatera. Napiszę do pana przed wyjazdem.

Zostawiliśmy Lestrade’a w jego mieszkaniu i pojechaliśmy do hotelu, gdzie czekał na nas lunch. Holmes milczał zatopiony w myślach i miał

zbolałą minę osoby znajdującej się w trudnym położeniu.

– Watsonie – powiedział, kiedy sprzątnięto ze stołu – usiądź, proszę, w fotelu i posłuchaj tego, co mam ci do powiedzenia. Nie jestem pewien, co mam zrobić, twoja rada może być dla mnie bardzo cenna. Zapal cygaro i wysłuchaj mnie.

– Jestem do twojej dyspozycji.

– Kiedy zastanawialiśmy się nad przebiegiem sprawy, obaj zwróciliśmy uwagę na dwa fragmenty opowieści młodego McCarthy’ego, choć moim zdaniem, świadczyły one na jego korzyść, a twoim – przeciwko niemu. Po pierwsze, zgodnie z wersją młodego człowieka, ojciec krzyknął: „Cooee!”, zanim zobaczył syna. Po drugie, umierając, wypowiedział osobliwą uwagę na temat szczura. Wymamrotał kilka słów, ale tylko tyle dotarło do uszu młodzieńca. Od tego zaczniemy więc śledztwo, zakładając, że chłopak mówi szczerą prawdę.

– Co więc oznacza okrzyk „Cooee!”?

– Rzecz jasna, nie mógł on być skierowany do syna, który przebywał poza domem. To czysty przypadek, że młodzieniec usłyszał krzyk. Sygnał miał po prostu przyciągnąć uwagę tego, z kim ofiara była umówiona. Jest to typowo australijski okrzyk, którego używają mieszkańcy antypodów. Fakt ten pozwala mniemać, że osoba, z którą McCarthy miał się spotkać nad Boscombe Pool, również była wcześniej w Australii.

– A co ze szczurem?

Holmes wyjął z kieszeni arkusz papieru i rozłożył go na stole.

– To mapa kolonii Wiktoria – wyjaśnił. – Wczoraj zamówiłem ją w Bristolu. – Zakrył ręką fragment mapy. – Jaki napis widzisz?

– ARAT, czyli szczur! – przeczytałem.

– A teraz? – spytał, odsuwając rękę.

– BALLARAT.

– Zgadza się. To właśnie słowo wypowiedział umierający, a jego syn usłyszał jedynie ostatnie dwie sylaby. Ofiara próbowała wyjaśnić, kto był mordercą. Taki a taki, z Ballarat.

– Wspaniałe! – wykrzyknąłem.

– To oczywiste. Zawęziło to znacznie pole moich poszukiwań. Kolejną wskazówką, jeśli przyjąć, że syn mówił prawdę, było posiadanie przez mordercę szarego płaszcza. W ten sposób od błądzenia we mgle doszliśmy

do stwierdzenia, że poszukujemy Australijczyka z Ballarat noszącego szary płaszcz.

– Zgadza się.

– A ponadto zamieszkałego w pobliżu, gdyż do jeziorka można dotrzeć jedynie z posiadłości Turnera lub z farmy McCarthych, a obcy raczej się tam nie zapuszczają.

– Jasne.

– W ten sposób dochodzimy do naszej dzisiejszej wycieczki. Badając ślady, zdobyłem nieco informacji pozwalających określić tożsamość sprawcy, które podałem temu imbecylowi Lestrade'owi.

– Ale skąd je wziąłeś?

– Znasz moją metodę. Opiera się na obserwacji drobnych szczegółów. Jego wzrost mogłem odgadnąć z długości kroków. Po śladach było też widać, jaki rodzaj butów nosi. Było to bardzo charakterystyczne obuwie.

– A fakt, że utyka?

– Ślady prawej stopy zawsze były płytsze niż lewej. Mniej obciążał tę nogę. Dlaczego? Bo kuleje.

– A skąd wiesz, że jest leworęczny?

– Zastanowiły cię obrażenia, które opisał chirurg. Cios zadano od tyłu, a jednak obrażenia objęły lewą stronę czaszki. Jedynym wyjaśnieniem tego faktu była leworęczność napastnika. Morderca stał za brzozą podczas rozmowy ojca z synem, a nawet tam zapalił. Znalazłem popiół z cygara, które dzięki swej znajomości różnych rodzajów tytoniu mogłem określić jako indyjskie. Jak wiesz, poświęciłem tej sprawie nieco uwagi i napisałem krótką monografię o popiołach ze stu czterdziestu różnych rodzajów tytoniu fajkowego, cygarowego i papierosowego. Po znalezieniu popiołu rozejrzałem się i znalazłem końcówkę cygara pośród mchu, tam, gdzie została rzucona. Było to cygaro indyjskie zwijane w Rotterdamie.

– A ustnik?

– Zauważyłem, że cygaro nie było trzymane w ustach, palący musiał zatem używać ustnika. Końcówka została odcięta, a nie odgryziona, ale cięcie nie było równe. Na tej podstawie wydedukowałem, że dokonano go za pomocą tępego scyzoryka.

– Holmesie – powiedziałem – zarzuciłeś wokół sprawcy sieć, z której nie ma ucieczki i ocaliłeś życie niewinnego człowieka równie skutecznie, jak

gdybyś odciął go ze stryczka. Widzę, dokąd to wszystko zmierza. Winnym jest…

– Pan John Turner! – wykrzyknął boy hotelowy, otwierając drzwi naszego salonu i wprowadzając gościa.

Do pokoju w ślad za chłopakiem wszedł mężczyzna o niezwykłym, imponującym wyglądzie. Jego powolny, utykający krok i opuszczone ramiona sprawiały, że wyglądał na zniedołężniałego, a jednak z twardych, wyrazistych rysów pobrużdżonej twarzy i potężnych kończyn można było wyczytać, że to człowiek o niezwykłej sile fizycznej i mocnym charakterze. Splątana broda, siwiejące włosy i krzaczaste brwi nadawały mu władczy, pełen godności wygląd, ale cerę miał popielatobiałą, a wokół nozdrzy odznaczały się sine obwódki. Nie miałem wątpliwości, że nasz gość zmaga się z przewlekłą, śmiertelną chorobą.

– Proszę usiąść na kanapie – powiedział Holmes łagodnie. – Rozumiem, że dostał pan mój list?

– Tak, przyniósł go dozorca. Napisał pan, że chce się ze mną spotkać tutaj, by uniknąć skandalu.

– Uznałem, że moje pojawienie się w pańskim domu dałoby powód do plotek.

– A czemu chciał się pan ze mną widzieć? – spytał Turner, patrząc na mego towarzysza z taką rozpaczą w swych zmęczonych oczach, jakby znał już odpowiedź na to pytanie.

– Tak – powiedział Holmes, odpowiadając bardziej na spojrzenie niż na słowa. – O to właśnie chodzi. O McCarthy’ego.

Starzec zatopił twarz w dłoniach.

– Niech Bóg ma mnie w swojej opiece! – wykrzyknął. – Musi pan jednak wiedzieć, że nie pozwoliłbym skrzywdzić tego młodego człowieka. Daję słowo, że pomógłbym mu się wywinąć, gdyby doszło do jego skazania przez sąd podczas sesji wyjazdowej.

– Cieszę się, że pan tak twierdzi – odparł Holmes z powagą.

– Przyznałbym się już wcześniej, gdyby nie moja kochana córeczka. Wiadomość o moim aresztowaniu złamałaby jej serce.

– Nie musi do niego dojść – odpowiedział mój przyjaciel.

– Jak to?

– Nie działam oficjalnie. Przybyłem tu na prośbę pańskiej córki i przeprowadziłem śledztwo z jej polecenia. Młody McCarthy musi jednak

zostać zwolniony.

– Ma pan przed sobą umierającego – powiedział stary Turner. – Od lat cierpię na cukrzycę. Lekarz nie daje mi wielkich szans na przeżycie najbliższego miesiąca. Wolałbym jednak dożyć swych dni we własnym domu, a nie za kratami.

Holmes podniósł się z fotela, usiadł przy stole z piórem w ręku i rozłożył arkusz papieru.

– Proszę tylko powiedzieć nam prawdę – rzekł. – Spiszę zeznania, pan je podpisze, a obecny tu pan Watson poświadczy. W razie potrzeby będę mógł się nimi posłużyć, by uratować młodego McCarthy’ego. Daję panu słowo, że nie wykorzystam ich, jeśli nie będzie to absolutnie konieczne.

– To dobra myśl – przyznał starzec. – Nie wiadomo, czy dożyję do sesji sądu, nie ma to więc dla mnie znaczenia, chciałbym jednak oszczędzić Alice wstrząsu. A teraz do wszystkiego się przyznam. Opowiadanie zajmie znacznie mniej czasu niż popełniony czyn. Nie znał pan zmarłego McCarthy’ego. Mówię panu – to był diabeł wcielony – i niech Bóg pana strzeże przed dostaniem się w ręce takiego człowieka. Trzymał mnie w garści przez dwadzieścia lat i zniszczył mi życie. Opowiem panu, jak znalazłem się pod jego wpływem. W latach sześćdziesiątych pracowałem w kopalni. Byłem wtedy młodym chłopakiem, porywczym i nierozważnym, który przed niczym się nie cofał. Wpadłem w złe towarzystwo, zacząłem zaglądać do kieliszka, nie poszczęściło mi się w poszukiwaniu złota, trafiłem więc do buszu – krótko mówiąc – zostałem rabusiem. Było nas w bandzie sześciu. Wiedliśmy szalone życie, cieszyliśmy się wolnością, od czasu do czasu napadając na dworce lub zatrzymując pociągi jadące do kopalni. Byłem znany jako Black Jack z Ballarat, a naszą bandę, „Gang z Ballarat” wciąż jeszcze wspominają w kolonii. Pewnego dnia zaczailiśmy się na konwój ze złotem jadący z Ballarat do Melbourne i zaatakowaliśmy go. Sześciu strażników przeciw sześciu bandytom, czyli walka była wyrównana. Położyliśmy czterech pierwszym strzałem, ale nim dostaliśmy się do ładunku, zginęło trzech naszych. Przyłożyłem lufę do głowy woźnicy, którym był właśnie McCarthy. Boże, żałuję, że go wtedy nie zastrzeliłem! Darowałem mu życie, choć widziałem, jak przygląda mi się swoimi małymi, złośliwymi oczkami, zupełnie jakby starał się zapamiętać moją twarz. Uciekliśmy ze złotem, które uczyniło nas bogaczami i nie budząc niczyich podejrzeń, wyjechaliśmy do Anglii. Tam pożegnałem się

z towarzyszami i postanowiłem prowadzić ciche, szacowne życie. Kupiłem posiadłość, która akurat była wystawiona na sprzedaż, i starałem się używać swego majątku w szlachetnych celach, by odkupić sposób, w jaki go zdobyłem. Ożeniłem się, a choć moja żona zmarła młodo, zostawiła mi moją kochaną Alice. Była zaledwie dzieckiem, ale jej małe rączki wskazały mi właściwą drogę życia wyraźniej, niż mógłby to zrobić ktokolwiek inny lub cokolwiek innego. Krótko mówiąc, stałem się innym człowiekiem i nie szczędziłem starań, by odkupić dawne winy. Wszystko układało się jak najlepiej do chwili, gdy wpadłem w łapy McCarthy'ego. Pojechałem w interesach do Londynu i spotkałem go przy Regent Street. Był bez grosza przy duszy. „No proszę, Jack! – Chwycił mnie za ramię. – Od dziś będziemy jak rodzina. Zajmiesz się mną i moim synem. Jeśli nie zechcesz… cóż, Anglia to piękny, praworządny kraj, a w pobliżu zawsze znajdzie się jakiś policjant". Przyjechali tu za mną. Nie sposób było się ich pozbyć. Zamieszkali za darmo na mojej najlepszej ziemi. Nie dane mi było choć przez chwilę zaznać spokoju, odpoczynku czy się zapomnieć. Gdzie bym się nie obrócił, widziałem chytrą, uśmiechniętą twarz McCarthy'ego. W miarę dorastania Alice moja sytuacja stawała się coraz gorsza, bo ten szczwany lis rychło dostrzegł, że bardziej niż policji boję się ujawnienia mej przeszłości córce. Dałem mu wszystko, czego zażądał: ziemię, pieniądze, domy, aż w końcu sięgnął po coś, czego nie mogłem mu oddać. Po Alice. Jego syn dorósł, podobnie jak moja córka, a że wszyscy wiedzieli o moim słabym zdrowiu, McCarthy uznał, że warto, by jego potomek odziedziczył cały mój majątek. W tej kwestii byłem jednak stanowczy, nie mogłem pozwolić jego przeklętej krwi zmieszać się z moją. Nie miałem nic przeciwko temu młodemu człowiekowi, ale przecież był jego synem – i to wystarczyło. Zdecydowanie upierałem się przy swoim, wówczas McCarthy zaczął mi grozić. Umówiliśmy się na spotkanie nad jeziorem, w połowie drogi między naszymi domami, by porozmawiać o całej sprawie. Kiedy dotarłem na miejsce, znalazłem go pogrążonego w rozmowie z synem, zapaliłem więc cygaro i zaczaiłem się za drzewem, czekając, aż zostanie sam. Kiedy jednak słuchałem jego słów, górę wziął mój stanowczy, bezkompromisowy charakter. Nakłaniał chłopaka do ożenku z moją córką, nie liczył się zupełnie z jej zdaniem, jakby chodziło o jakąś uliczną dziewkę. Doprowadziła mnie do szaleństwa myśl, że to, co jest dla mnie najdroższe na świecie, miałoby wpaść w łapy tego człowieka. Za wszelką

cenę pragnąłem przerwać łączącą nas mroczną więź. I tak byłem umierający, pogrążony w rozpaczy. Zachowałem jasny umysł i nieco sił fizycznych, wiedziałem jednak, że mój los jest przesądzony. Ale moja cześć i moja córka! Mogłem wszystko uratować, uciszając tego łajdaka. Zrobiłem to, panie Holmes – i zrobiłbym to ponownie. Zgrzeszyłem ciężko, ale odkupiłem to życiem w męczeństwie. Nie mogłem jednak ścierpieć, by Alice wpadła w matnię, w której sam tkwiłem. Zabiłem go i nie czułem się bardziej winny, niż gdybym ubił wściekłe, dzikie zwierzę. Jego syn zawrócił, słysząc krzyk, ale ja byłem już pod osłoną lasu; musiałem jednak wrócić po płaszcz, który upuściłem podczas ucieczki. Oto cała prawda o tym, co się stało, panowie.

– Nie mnie pana osądzać – stwierdził Holmes, kiedy starzec podpisał zeznanie. – I modlę się, by nigdy nie ulec takiej pokusie.

– Oby nigdy to pana nie spotkało. A co pan zamierza zrobić?

– Nic, mając na względzie pański stan. Sam pan wie, że niedługo przyjdzie panu odpowiedzieć za swe czyny przed najwyższym sądem. Zatrzymam pańskie zeznania, lecz jeśli McCarthy zostanie skazany, będę zmuszony ich użyć. Jeśli do tego nie dojdzie, nikt ich więcej nie zobaczy. Dochowamy pańskiej tajemnicy, zarówno za pana życia jak i po śmierci.

– Żegnajcie zatem, panowie – odrzekł starzec z powagą. – I obyście na łożu śmierci znaleźli pociechę w myśli, że zapewniliście mnie, umierającemu, spokój. – Po wypowiedzeniu tych słów powoli wyszedł z pokoju, drżąc na całym swym potężnym ciele.

– Niech Bóg ma nas w opiece! – powiedział Holmes po długim milczeniu. – Czemu los tak okrutnie bawi się biednymi, bezradnymi robakami? Zawsze, kiedy trafiam na taką sprawę, przypominają mi się słowa Baxtera, więc powtarzam sobie: „Oto, z łaski boskiej, Sherlock Holmes”.

James McCarthy został uniewinniony podczas wyjazdowej sesji sądu dzięki licznym dowodom znalezionym przez Holmesa i wskazanym obrońcy. Stary Turner żył jeszcze po naszej rozmowie przez siedem miesięcy. Wszystko wskazuje na to, że syn i córka zmarłych będą żyli razem w szczęściu, nieświadomi cieni ciążących nad przeszłością ich rodzin.

Opowieść piąta

PIĘĆ PESTEK POMARAŃCZY

Kiedy przeglądam zapiski dotyczące spraw prowadzonych przez Sherlocka Holmesa pomiędzy 1882 a 1890 rokiem, tak wiele z nich wydaje mi się niezwykłymi i interesującymi, że trudno jest zdecydować, które tu zamieścić, a które opuścić. Niektóre z nich zostały już spopularyzowane przez prasę, inne zaś nie dawały memu przyjacielowi możliwości wykorzystania jego niesamowitych zdolności, które tak wspaniale rozwinął, a które niniejsza historia ma za zadanie przedstawić. Analityczne zdolności Holmesa nie zdołały sprostać niektórym sprawom, więc opowieści o nich zawierałyby jedynie rozpoczęcie i nie miałyby zakończenia, inne zostały wyjaśnione jedynie częściowo, na podstawie domysłów i przypuszczeń, a nie logicznego wnioskowania, w którym tak lubował się mój przyjaciel. Okoliczności i skutki jednej z tych ostatnich spraw są tak niezwykłe, że odczuwam pokusę przedstawienia jej, mimo iż niektóre wątki nie zostały dotąd rozwiązane do końca, a prawdopodobnie nigdy to nie nastąpi.

Rok 1887 przyniósł ze sobą wiele mniej lub bardziej ciekawych spraw, które opisałem. W moich notatkach jest między innymi opowieść o Paradol Chamber, Towarzystwie Żebraków Amatorów, które prowadziło luksusowy klub w piwnicach magazynu mebli; i o faktach związanych ze zniknięciem brytyjskiego statku „Sophy Anderson”; o osobliwych przygodach Grice’a Pattersonsa na wyspie Uffa, a także o sprawie otrucia Camberwella. W tej ostatniej sprawie Sherlock Holmes po zbadaniu mechanizmu zegarka zmarłego zdołał udowodnić, że ów zegarek nakręcono dwie godziny wcześniej, z czego wynikało, że ofiara położyła się spać już po tym czasie. Takie stwierdzenie miało wielkie znaczenie dla rozwiązania sprawy. Być może kiedyś opiszę te przygody, żadna z nich nie jest jednak równie osobliwa jak niezwykły splot okoliczności, który za chwilę przedstawię.

Był koniec września; w okresie jesiennej równonocy wichry wiały z niezwykłą wściekłością. Przez cały dzień wył wiatr, a deszcz uderzał w okna z taką siłą, że nawet my, mieszkający w sercu Londynu, wspaniałego dzieła rąk ludzkich, byliśmy zmuszeni oderwać się od rutyny dnia codziennego i schylić czoła przed siłami natury warczącymi na człowieka zza krat cywilizacji, niczym zamknięte w klatce dzikie bestie. Wieczorem nawałnica przybrała na sile, a wiatr w kominie wył i łkał jak dziecko. Sherlock Holmes siedział zachmurzony przy kominku, uzupełniając indeks opisów przestępstw, ja natomiast tak się zatopiłem w lekturze jednej ze znakomitych, marynarskich opowieści Clarka Russella, że dobiegające zza okien wycie wichru stało się ilustracją dźwiękową tekstu, a deszcz bębniący o szyby zaczął brzmieć jak szumiące morskie fale. Moja żona pojechała w odwiedziny do swej matki, więc na kilka dni przeprowadziłem się do mego dawnego mieszkania przy Baker Street.

W pewnym momencie spojrzałem na mego towarzysza:

– Jestem pewien, że słyszałem dzwonek. Kto to może być? Czy spodziewasz się odwiedzin jakiegoś przyjaciela?

– Jesteś jedynym, jakiego mam – odpowiedział. – Niechętnie goszczę kogokolwiek.

– W takim razie, może to klient?

– No to sprawa musi być poważna, skoro przychodzi w taki dzień i o takiej godzinie. Bardziej jednak prawdopodobne, że to jakaś kumoszka naszej gospodyni.

Okazało się, że Sherlock Holmes był w błędzie. Po chwili usłyszeliśmy kroki w korytarzu i stukanie do drzwi. Mój przyjaciel wyciągnął długą rękę i przesunął lampę tak, by oświetlała fotel, na którym miał usiąść przybysz.

– Proszę wejść! – powiedział.

Do pokoju wkroczył młody, może dwudziestodwuletni mężczyzna, schludny i dobrze ubrany. Jego maniery były w pewnym stopniu delikatne i wyrafinowane. Ociekający wodą parasol w ręku i długi, lśniący płaszcz przeciwdeszczowy, który miał na sobie, świadczyły o tym, że musiał stawić czoła żywiołom. Nasz gość rozejrzał się niespokojnie wokół, a wtedy w świetle lampy zauważyłem, że ma bladą twarz i smutne oczy człowieka, którego trapią wielkie zmartwienia.

– Jestem panom winien przeprosiny – powiedział, nakładając na nos złote binokle. – Proszę mi wybaczyć najście. Obawiam się, że zostawię

w tym schludnym mieszkaniu ślady deszczu i burzy.

– Proszę podać mi płaszcz i parasol – odpowiedział Holmes. – Powieszę je tutaj na haczyku i za chwilę będą suche. Widzę, że przyjechał pan z południowego zachodu.

– Zgadza się, z Horsham.

– Mieszanka kredy i gliny, którą ma pan na noskach butów, jest dość charakterystyczna.

– Chciałem prosić pana o radę.

– Otrzyma ją pan bez kłopotu.

– I o pomoc.

– Z tym bywa czasem trudniej.

– Słyszałem o panu, panie Holmes. Major Prendergast opowiedział mi, jak ocalił go pan przed skandalem w klubie Tankerville.

– Ach, oczywiście. Chodziło o niesłuszne oskarżenie o szulerstwo.

– Powiedział mi, że potrafi pan rozwiązać każdą zagadkę.

– Przesadził.

– I że nigdy pan nie przegrywa.

– Zostałem pokonany czterokrotnie: trzy razy przez mężczyzn, raz przez kobietę.

– Cóż jednak znaczą cztery porażki w porównaniu z mnogością pańskich sukcesów?

– To prawda, zwykle mi się udaje.

– Może więc tak będzie i w moim przypadku.

– Proszę przysunąć krzesło do ognia i opowiedzieć szczegóły pańskiej sprawy.

– Nie jest ona zwyczajna.

– Do mnie zwyczajne sprawy nie trafiają. Jestem ostatnią instancją.

– Proszę pana, nie wiem czy w całej swej karierze zetknął się pan z bardziej zagadkowym i niejasnym splotem wydarzeń niż ten, który miał miejsce w mojej rodzinie.

– Rozbudził pan we mnie ciekawość – przyznał Holmes. – Proszę mi opowiedzieć całą historię od samego początku, a potem porozmawiamy o szczegółach, które wydadzą mi się najistotniejsze.

Młodzieniec przysunął krzesło do kominka i wyciągnął swe mokre nogi do ognia.

– Nazywam się John Openshaw – zaczął – ale z tego co wiem, moje prywatne sprawy nie mają związku z tymi strasznymi wydarzeniami. Sprawa ciągnie się od pokoleń, więc żeby panowie mieli jej pełny obraz, zacznę od samego początku. Mój dziadek miał dwóch synów, mego stryja Eliasa i mego ojca Josepha. Ojciec był właścicielem niewielkiej fabryki w Coventry, którą rozbudował po upowszechnieniu się rowerów. Opatentował nieprzebijalne opony Openshawa, które miały taki popyt, że sprzedał interes za okrągłą sumkę i został rentierem.

Mój stryj wyjechał za młodu do Ameryki i założył na Florydzie plantację, która prawdopodobnie znakomicie prosperowała. Kiedy wybuchła wojna secesyjna, walczył w armii Jacksona, a później pod rozkazami Hooda i dosłużył się stopnia pułkownika. Po kapitulacji generała Lee wrócił do siebie na plantację i spędził tam kolejne trzy lub cztery lata. W 1869 lub 1870 roku wrócił do Europy i kupił niewielką posiadłość w hrabstwie Sussex niedaleko Horsham. W Ameryce dorobił się sporego majątku, a do wyjazdu skłoniła go niechęć do czarnoskórych i do polityki republikanów, którzy znieśli niewolnictwo. Stryj był niezwykłym człowiekiem, gwałtownym i zapalczywym (w gniewie nie przebierał w słowach), a przy tym bardzo nieśmiałym. Zdaje się, że przez wszystkie lata, gdy mieszkał w Horsham, ani razu nie wybrał się do miasta. Jego dom był otoczony ogrodem, wokół rozciągały się pola, po których spacerował, zdarzało się jednak często, że tygodniami nie opuszczał sypialni. Dużo palił i litrami pił brandy, nie zabiegał o towarzystwo i nie przyjaźnił się z nikim, nawet z własnym bratem. Mnie jednak tolerował, a nawet lubił. Kiedy spotkaliśmy się po raz pierwszy w 1878 roku, miałem około dwunastu lat. Było to w ośmym lub dziewiątym roku jego pobytu w Anglii. Stryj uprosił mego ojca (a swego brata), żeby pozwolił mi z nim zamieszkać. Na swój sposób okazywał mi swą dobroć. Kiedy był trzeźwy, grał ze mną w tryktraka i w warcaby; uczynił mnie swym przedstawicielem w kontaktach ze służbą i z interesantami. Nim skończyłem szesnaście lat, byłem w gruncie rzeczy panem domu, miałem klucze od wszystkich pomieszczeń, mogłem więc chodzić, gdzie chciałem (z jednym wyjątkiem) i robić, co mi się podobało, byle nie zakłócać spokoju stryja. Na strychu jest rupieciarnia, zawsze zamknięta – jedyny pokój, do którego stryj nigdy nie pozwalał wchodzić ani mnie, ani nikomu innemu. I to jest ten wyjątek, o którym wspomniałem. Z ciekawości zaglądałem do środka przez dziurkę

od klucza, ale nigdy nie udało mi się dostrzec niczego poza stosami starych skrzyń i paczek, których można się spodziewać w takim miejscu. Pewnego dnia w marcu 1883 roku, w czasie śniadania pułkownik otrzymał list z zagranicznym znaczkiem. Stryj rzadko dostawał listy, gdyż wszystkie należności regulował gotówką, a żadnych przyjaciół nie miał. „To z Indii!” – stwierdził, biorąc list do rąk. „Stempel z Pondicherry! Cóż to może być?” Szybko otworzył kopertę, z której wypadło na jego talerz pięć pestek pomarańczy. Wybuchnąłem śmiechem, lecz uśmiech zamarł mi na ustach, kiedy zobaczyłem twarz stryja. Szczęka mu opadła, oczy wyszły z orbit, a skóra przybrała szarą barwę. Nie spuszczając wzroku z koperty, którą wciąż trzymał w drżącej dłoni, wykrzyknął zmienionym głosem najpierw: „K.K.K.!”, a później: „Boże mój, Boże, dopadły mnie moje grzechy!” „Co to takiego, stryju?” – zapytałem. „Śmierć” – odpowiedział i poszedł do swojego pokoju, zostawiając mnie zdrętwiałego ze strachu. Obejrzałem kopertę i zobaczyłem trzy litery „K” nabazgrane czerwonym atramentem na tylnej klapie, tuż nad paskiem kleju. W środku nie było niczego prócz pięciu wyschniętych pestek. Jaka mogła być przyczyna tak panicznego przerażenia? Wstałem od stołu i poszedłem na górę. Na schodach natknąłem się na pułkownika, który trzymał w jednej ręce stary, zardzewiały klucz (niewątpliwie od pokoiku na strychu), a w drugiej miał małe, mosiężne pudełko przypominające skarbonkę. „Niech robią, co chcą – i tak ich zaszachuję!” – powiedział, po czym zaklął i dodał: „Powiedz Mary, żeby u mnie napaliła i poślij po pana Fordhama, prawnika z Horsham”. Zrobiłem to, co mi kazał. Kiedy prawnik przybył, zaprowadziłem go do pokoju wuja. Na kominku buzował ogień, a na kracie osadziło się dużo czarnego, puszystego popiołu, jakby ze spalonego papieru. Obok stała pusta mosiężna szkatułka. Przyjrzałem jej się i ze zdziwieniem zauważyłem, że na wieczku widnieją trzy litery K, takie same, jakie zobaczyłem rano na kopercie. „Johnie – powiedział stryj – chcę, byś poświadczył mój testament. Zapisuję swój majątek w całości, ze wszystkim, co jest w nim dobre i złe, memu bratu, a twemu ojcu, po którym z pewnością odziedziczysz go ty. Jeśli zdołasz się nim cieszyć w spokoju, tym lepiej! Jeśli jednak będzie inaczej, posłuchaj mej rady chłopcze i oddaj go najgorszemu wrogowi. Przykro mi, że daję ci taką obosieczną broń, ale nie potrafię przewidzieć, jak potoczą się sprawy. Proszę, podpisz papiery w miejscu, które wskaże ci pan Fordham”.

Złożyłem podpis zgodnie z poleceniem, a prawnik zabrał testament ze sobą. Jak zapewne się panowie domyślają, ten osobliwy incydent wywarł na mnie olbrzymie wrażenie. Rozmyślałem o nim i ze wszystkich sił starałem się pojąć jego znaczenie. Nie udało mi się to, nie mogłem się jednak pozbyć niejasnego uczucia grozy, jakie mi cały czas towarzyszyło. Uczucie to słabło, w miarę jak mijały kolejne tygodnie, a nasze życie biegło zwykłym trybem. Zauważyłem jednak, że stryj się zmienił. Pił więcej niż kiedykolwiek i jeszcze bardziej niż przedtem unikał wszelkiego towarzystwa. Większość czasu spędzał w swoim pokoju, którego drzwi zawsze były zamknięte od środka; czasami wyłaniał się pijany ze swej sypialni, wybiegał z domu i z rewolwerem w dłoni gonił po ogrodzie krzycząc, że nikogo się nie boi i ani człowiek, ani sam diabeł nie zapędzą go w kozi róg. Kiedy ataki mijały, pośpiesznie wracał do domu, zamykał i ryglował drzwi, jakby nie potrafił zwalczyć strachu czającego się w zakamarkach jego duszy. Wówczas twarz stryja była mokra od potu, nawet w zimne dni. Nie chcę nadużywać pańskiej cierpliwości, panie Holmes, już kończę. Pewnej nocy stryj wybiegł pijany z domu i już nie wrócił. Zaczęliśmy go szukać i znaleźliśmy w małej, pokrytej rzęsą sadzawce na końcu ogrodu. Leżał twarzą w dół. Nie było żadnych śladów przemocy, a sadzawka miała głębokość zaledwie dwóch stóp. Prowadzący dochodzenie, znający ekscentryczny charakter stryja uznali, że popełnił on samobójstwo. Ja jednak wiedziałem, że wzdragał się na samą myśl o śmierci, toteż nie potrafiłem uwierzyć, że zginął z własnej ręki. Fakt jednak pozostał faktem, a mój ojciec odziedziczył posiadłość i około czternastu tysięcy funtów zdeponowanych na koncie bankowym.

– Chwileczkę – przerwał Holmes. – Pańska historia zapowiada się na jedną z najbardziej niezwykłych, z jakimi miałem do czynienia. Proszę podać mi daty otrzymania przez stryja listu i jego domniemanego samobójstwa.

– List przyszedł dziesiątego marca 1883 roku, a stryj zmarł siedem tygodni później, w nocy, drugiego maja.

– Dziękuję. Proszę mówić dalej.

– Kiedy ojciec przejął posiadłość w Horsham, obejrzał na moją prośbę zamknięty dotychczas pokój na strychu. Znaleźliśmy tam mosiężną szkatułkę, jej zawartość została spalona. Na wewnętrznej stronie wieczka przyklejona była papierowa etykieta, na której widniały litery: „K. K. K.”,

a pod nimi napis: „Listy, pamiątki, pokwitowania i rejestr”. Sądzę, że te właśnie dokumenty spalił pułkownik Openshaw. Poza tym nie znaleźliśmy na strychu niczego ważnego, jeśli nie liczyć dużej ilości porozrzucanych kartek i notatników z opowieściami o życiu stryja w Ameryce. W niektórych z nich opisano lata wojny; były one świadectwem tego, że mój waleczny stryj jako żołnierz zasłynął ze swego męstwa. Inne notatki spisywane podczas odbudowy Południa traktowały głównie o polityce. Stryj najwyraźniej był wielkim przeciwnikiem nowych rządzących elit przybyłych z Północy. Na początku 1884 roku mój ojciec sprowadził się do Horsham i wszystko układało się jak najlepiej aż do początku 1885 roku. Czwartego stycznia, kiedy siedzieliśmy przy śniadaniu, ojciec wydał okrzyk zdumienia i zastygł trzymając w ręku dopiero co otwartą kopertę; w wyciągniętej dłoni drugiej ręki zobaczyłem pięć wyschniętych pestek pomarańczy. Zawsze śmiał się z mojej opowieści i twierdził, że gadam bzdury, ale teraz, kiedy i jemu przydarzyło się to samo, wyglądał na zaskoczonego i przerażonego. „Co to, u licha, oznacza, John?” – wyjąkał. „To «K.K.K.»” – odpowiedziałem z ciężkim sercem. Ojciec zajrzał do koperty. „Masz rację! – wykrzyknął. – Znów te same litery. A co jest napisane nad nimi?” „Zostaw papiery na zegarze słonecznym” – przeczytałem, zaglądając mu przez ramię. „Jakie papiery? Na jakim zegarze?” – spytał. „Chodzi chyba o zegar w ogrodzie. Innego tu nie ma – stwierdziłem – ale dokumenty zostały zniszczone”. „Phi! – powiedział ojciec, siląc się na odwagę. – Żyjemy w cywilizowanym kraju i nie będziemy tolerowali takich wygłupów. Gdzie to zostało nadane?” „W Dundee”. – Sprawdziłem stempel. „To jakiś absurdalny żart – uznał ojciec. – Co niby miałbym zrobić z papierami i zegarem słonecznym? Nie zamierzam zawracać sobie głowy takimi bredniami”. „Ja na twoim miejscu porozmawiałbym z policją” – poradziłem. „I wystawił się na pośmiewisko? Nie ma mowy!” „W takim razie pozwól mnie to uczynić”. „Zabraniam ci. Nie zamierzam robić szumu z powodu takich głupot”. Nie sposób było spierać się z ojcem, człowiekiem wyjątkowo upartym. Więcej go nie namawiałem, ale byłem pełen złych przeczuć. Na trzeci dzień po otrzymaniu listu ojciec udał się z wizytą do starego przyjaciela majora Freebody’ego, który dowodzi jednym z fortów na Portsdown Hill. Cieszyłem się, że wyjechał, gdyż wydawało mi się, że będzie bezpieczniejszy z dala od domu. Jak się okazało, byłem w błędzie. Już

na drugi dzień po jego wyjeździe otrzymałem telegram od majora, z którego wynikało, że mam natychmiast przyjechać. Ojciec wpadł do jednego z głębokich wyrobisk, których jest mnóstwo w tamtych stronach i leżał nieprzytomny z uszkodzoną czaszką. Pojechałem natychmiast, ale nie zdążyłem – ojciec zmarł, nie odzyskawszy przytomności. Podobno wracał z Fareham o zmroku. Jako że nie znał okolicy, a wyrobisko nie było ogrodzone, uznano podczas śledztwa, iż zginął w nieszczęśliwym wypadku. Uważnie zbadałem wszystkie fakty związane z jego śmiercią, lecz nie udało mi się znaleźć niczego, co mogłoby wskazywać na morderstwo. Nie było śladów walki ani odcisków stóp, niczego ojcu nie skradziono ani nikt nie widział w okolicy obcych. Nie muszę chyba dodawać, że mnie to bynajmniej nie uspokoiło; byłem niemal pewien, że ojciec padł ofiarą jakiegoś ohydnego spisku. W ten oto smutny sposób odziedziczyłem posiadłość. Zapewne spytają panowie, dlaczego się jej nie pozbyłem? Odpowiedź jest prosta: byłem zupełnie pewien, że wszystkie wydarzenia w jakiś sposób związane są z przeszłością mego stryja, toteż w każdym innym domu groziłoby mi równie wielkie niebezpieczeństwo. Mój biedny ojciec rozstał się z życiem w styczniu 1885 roku. Od tego czasu upłynęły dwa lata i osiem miesięcy, które szczęśliwie przeżyłem w Horsham. Zacząłem już mieć nadzieję, że klątwa wygasła na poprzednim pokoleniu i przestała ciążyć nad moją rodziną, ale radość okazała się przedwczesna. Wczoraj rano zadano mi cios w taki sposób, jak memu ojcu.

Młodzieniec wyjął z kieszeni kamizelki pogniecioną kopertę i wytrząsnął z niej na stół pięć malutkich, wysuszonych pestek pomarańczy.

– Oto koperta – stwierdził. – List nadano we wschodnim Londynie. Wewnątrz napisano to samo, co w liście do ojca: „K.K.K.”, a poniżej: „Zostaw papiery na zegarze słonecznym”.

– I co pan zrobił?

– Nic.

– Nic?

– Szczerze mówiąc – wyjaśnił młodzieniec, ukrywając twarz w szczupłych, białych dłoniach – poczułem się bezradny jak królik, do którego skrada się wąż. Dostałem się chyba we władanie jakiejś nieubłaganej, złowrogiej siły, której nie da się powstrzymać i przed którą nie sposób się uchronić.

– Ciiiiii! – wykrzyknął Holmes. – Człowieku, musisz coś zrobić, inaczej będziesz zgubiony. Może cię uratować jedynie działanie. Nie czas teraz na rozpacz.

– Byłem na policji.

– Doprawdy?

– Wysłuchali mojej opowieści z drwiącymi uśmieszkami. Sądzę, że inspektor jest przekonany, iż te wszystkie listy są jakimś żartem, a śmierć moich krewnych była przypadkowa, jak stwierdzono podczas śledztwa, toteż w żaden sposób nie można jej łączyć z ostrzeżeniami.

Holmes zacisnął pięści i zaczął wymachiwać nimi w powietrzu.

– Niebywała głupota! – wykrzyknął.

– Przydzielili mi jednak policjanta, który przebywa ze mną w domu.

– Czy przybył tu dzisiaj z panem?

– Nie. Otrzymał rozkazy, by nie opuszczać domu.

Holmes ponownie zaczął wymachiwać pięściami.

– Dlaczego w takim razie przyszedł pan do mnie? – wykrzyknął. – A przede wszystkim, dlaczego nie od razu?

– Nie wiedziałem o panu. Rozmawiałem dzisiaj o swych kłopotach z majorem Prendergastem – on to właśnie poradził mi zwrócić się do pana.

– Od nadejścia listu minęły zatem dwa dni. Trzeba było zacząć działać wcześniej. Czy nie ma pan jeszcze jakichś materiałów? Może jakiś drobiazg, który naprowadziłby nas na właściwy trop?

– Mam jeszcze to. – John Openshaw przetrząsnął kieszenie płaszcza i wyciągnął arkusz wyblakłego niebieskiego papieru, który położył na stole.

– Przypomniałem sobie, że w dniu, kiedy mój stryj spalił dokumenty, w popiele zauważyłem nadpalone kartki o tym właśnie kolorze. Ten arkusz znalazłem na podłodze w pokoju stryja. Chyba wypadł ze stosu i dlatego ocalał. Wprawdzie jest tam mowa o pestkach, ale poza tym nie ma niczego, co by nam mogło w jakiś sposób pomóc. Zdaje się, że to kartka z pamiętnika. Nie mam wątpliwości, że jest to pismo stryja.

Holmes przesunął lampę i obaj pochyliliśmy się nad kartką, której poszarpane brzegi wskazywały na to, że została wyrwana z książki. Na górze był nagłówek: „Marzec 1869”, a niżej widniały następujące enigmatyczne wzmianki:

4. Przyjechał Hudson. Ten sam sposób, co zawsze.

7. Wysłano pestki do McCauleya, Paramore’a i Johna Swaina z St. Augustine.

9. McCauley usunął się.

10. John Swain usunął się.

12. Złożono wizytę u Paramore’a, z dobrym skutkiem.

– Dziękuję panu! – stwierdził Holmes, składając kartkę i zwracając ją naszemu gościowi. – A teraz nie ma ani chwili do stracenia. Nie mamy nawet czasu, by omówić to, co mi pan opowiedział. Musi pan natychmiast wrócić do domu i zacząć działać.

– Co mam robić?

– Proszę niezwłocznie włożyć ten arkusik do szkatułki, którą pan opisał i dołączyć liścik z wyjaśnieniem, że została tylko ta kartka, reszta dokumentów została zniszczona przez pańskiego stryja. Proszę w przekonujący sposób opisać sytuację, a następnie, zgodnie z instrukcją, położyć szkatułkę na zegarze słonecznym. Zrozumiał pan?

– Owszem.

– Proszę zapomnieć na razie o zemście i wyrównywaniu rachunków. Sądzę, że trzeba dochodzić sprawiedliwości w majestacie prawa, a póki co, nie utkaliśmy jeszcze sieci na tych ludzi, oni natomiast zarzucili już swoją wokół pana. Należy najpierw usunąć grożące panu niebezpieczeństwo, a później zająć się wyjaśnieniem zagadki i ukaraniem winnych.

– Dziękuję panu – odpowiedział młodzieniec, wstając i sięgając po płaszcz. – Obudził pan we mnie nadzieję i przywrócił mi życie. Zastosuję się do pańskiej rady.

– Nie ma czasu do stracenia. Proszę przede wszystkim uważać na siebie. Nie wątpię, że grozi panu poważne niebezpieczeństwo. Jak zamierza pan wrócić do domu?

– Pociągiem z dworca Waterloo.

– Nie ma jeszcze dziewiątej. Ulice są zatłoczone, myślę, że będzie pan bezpieczny. Jednak ostrożności nigdy dosyć.

– Jestem uzbrojony.

– Znakomicie. Jutro zajmę się pańską sprawą.

– Przyjedzie pan do Horsham?

– Nie, klucz do pańskiej zagadki kryje się w Londynie, więc to tu zamierzam go szukać.

– W takim razie przyjadę za dzień lub dwa, by złożyć panu relację z tego, co się stało ze szkatułką i z papierami. Zamierzam we wszystkim stosować się do pańskich rad – obiecał młodzieniec, po czym uścisnął nam dłonie i wyszedł.

Na dworze wciąż wył wicher, a deszcz bębnił o szyby. Wydawało się, że same żywioły zesłały nam tę sprawę – niczym kępkę wodorostów rzuconą wichurą – a teraz z powrotem ją pochłonęły.

Sherlock Holmes siedział przez pewien czas w milczeniu, z głową pochyloną do przodu i oczyma wbitymi w czerwony poblask ognia. Później zapalił fajkę i półleżąc w fotelu, obserwował błękitne kółka dymu, unoszące się do sufitu.

– Sądzę, Watsonie – stwierdził w końcu – że nie mieliśmy dotychczas podobnie niezwykłej sprawy.

– Być może poza Znakiem Czterech.

– Cóż, chyba można uznać ją za wyjątek. A jednak wydaje mi się, że John Openshaw jest w jeszcze większym niebezpieczeństwie niż niegdyś członkowie rodziny Sholto.

– Czy udało ci się ustalić, na czym polega to niebezpieczeństwo? – spytałem.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości – odparł.

– O co więc chodzi? Kim jest „K.K.K.” i dlaczego prześladuje tę nieszczęsną rodzinę?

Holmes zamknął oczy, położył łokcie na oparciu fotela i zetknął opuszki palców, po czym zaczął mówić:

– Człowiek obdarzony idealną zdolnością dedukcji, po pełnym zapoznaniu się z określonym faktem, byłby w stanie nie tylko wywnioskować bieg wydarzeń, który do niego doprowadził, ale także przewidzieć jego przyszłe skutki. Podobnie jak Cuvier potrafił poprawnie opisać całe zwierzę na podstawie jednej jego kości, obserwator, który w pełni zrozumiał jedno ogniwo w łańcuchu zdarzeń, powinien być w stanie określić te wszystkie ogniwa, które miały miejsce przed znanym zdarzeniem i które nastąpią po nim. Nie znamy jeszcze granic możliwości, jakie może dać sama dedukcja. Niekiedy w zaciszu gabinetów rozwiązuje się problemy, wobec których bezradni byli ci, którzy szukali rozwiązania

za pomocą zmysłów. Aby jednak przeprowadzić takie rozumowanie, dedukujący musiałby mieć możliwość wykorzystania wszystkich znanych faktów, co z kolei opiera się na założeniu, że dana osoba posiada wszelką wiedzę, a to nawet obecnie, w czasach darmowej edukacji i encyklopedii jest trudne do osiągnięcia. Jest możliwe, żeby człowiek posiadał wszelką wiedzę, która może okazać się przydatna w jego pracy, taki właśnie cel sobie postawiłem. Jeśli dobrze pamiętam, na początku naszej przyjaźni bardzo precyzyjnie określiłeś obszar moich wiadomości.

– Owszem – odpowiedziałem ze śmiechem. – Była to niezwykła ocena. Filozofia, astronomia i polityka: zero. Botanika: wiedza zróżnicowana, geologia: głęboka wiedza o rodzajach błota występujących w promieniu pięćdziesięciu mil od miasta, chemia: nietypowa, anatomia: niesystematyczna, literatura sensacyjna i akta spraw kryminalnych: niezrównana; a do tego gra na skrzypcach, boks, szermierka, prawo oraz zatruwanie się tytoniem i kokainą. Jeśli dobrze pamiętam, takie wyniki dała moja analiza.

Holmes uśmiechnął się, kiedy omawiałem ostatni punkt swej listy i powiedział:

– Podobnie jak wówczas, również i teraz twierdzę, że każdy powinien trzymać na małym strychu swego mózgu te sprzęty, które mogą mu się przydać, a resztę może zamknąć w graciarni biblioteki, gdzie będzie mógł do nich dotrzeć w razie potrzeby. W przypadku sprawy takiej jak ta, którą powierzono nam dziś wieczorem, musimy wykorzystać wszystko, co mamy do dyspozycji. Podaj mi, proszę, tom amerykańskiej encyklopedii z hasłami na literę K. Stoi na półce obok ciebie. Dziękuję. A teraz zastanówmy się nad sytuacją i pomyślmy, co można z niej wydedukować. Na początek możemy zdecydowanie przyjąć założenie, że pułkownik Openshaw miał dobry powód, by opuścić Amerykę. Mężczyźni w jego wieku zwykle nie porzucają swych nawyków i niechętnie zamieniają wspaniały klimat Florydy na samotną egzystencję w prowincjonalnym angielskim miasteczku. Jego samotniczy tryb życia po powrocie do Anglii wskazuje na to, że się kogoś lub czegoś bał, można zatem przyjąć roboczą hipotezę, że to właśnie ten strach zmusił go do opuszczenia Stanów Zjednoczonych. Przyczynę lęku można wydedukować ze złowrogich liter widniejących na kopertach, które otrzymał pułkownik i jego spadkobiercy. Czy zauważyłeś, gdzie zostały nadane?

– Pierwszy w Pondicherry, drugi w Dundee, trzeci w Londynie.

– We wschodnim Londynie. Co można z tego wydedukować?

– Wszystkie te miasta są portami. Nadawca listów pływa na statku.

– Znakomicie. Mamy już poszlakę. Bez wątpienia jest prawdopodobne – i to bardzo prawdopodobne, że autor listów znajdował się na pokładzie statku. A teraz rozważmy inną kwestię. Od wygłoszenia groźby w liście z Pondicherry do jej spełnienia minęło siedem tygodni, w przypadku listu z Dundee – zaledwie trzy czy cztery dni. Co to oznacza?

– Morderca miał do przebycia większą odległość.

– To samo można powiedzieć o liście.

– W takim razie nie wiem.

– Można założyć, że ten człowiek czy też ludzie, pływają na żaglowcu. Wydaje się, że zawsze przesyłają swe niezwykłe ostrzeżenie lub też groźbę przed wyruszeniem w rejs. Gdyby podróżowali z Pondicherry parowcem, przybyliby na miejsce niemal równo ze swoim listem. Tymczasem upłynęło siedem tygodni. Sądzę, że to różnica w czasie trwania rejsu statku pocztowego, który przywiózł list, a żaglowca, który przywiózł jego autora.

– To możliwe.

– Więcej. To prawdopodobne. Teraz rozumiesz, dlaczego tym razem sprawa jest śmiertelnie pilna i dlaczego zaleciłem młodemu Openshawowi ostrożność. Cios zawsze spadał po upływie czasu potrzebnego nadawcy na przebycie odpowiedniej odległości. Tym razem jednak list nadano w Londynie, nie możemy więc liczyć na zwłokę.

– Dobry Boże! – wykrzyknąłem. – Co może oznaczać to bezlitosne prześladowanie?

– Najwyraźniej papiery, które przechowywał pułkownik Openshaw, mają wielką wagę dla osoby lub osób podróżujących tym żaglowcem. Myślę, że sprawców musi być więcej. Jeden człowiek nie zdołałby dwukrotnie zabić w taki sposób, by zmylić śledczych. Musi ich działać kilku, a przy tym wszyscy są pomysłowi i zdeterminowani. Chcą odzyskać dokumenty niezależnie od tego, w czyim są one posiadaniu. W ten sposób możemy stwierdzić, że „K.K.K.” to nie inicjały osoby, lecz nazwa stowarzyszenia.

– Jakiego stowarzyszenia?

– Czy nigdy nie słyszałeś – spytał Holmes, pochylając się do przodu i ściszając głos – o Ku-Klux-Klanie?

– Nigdy.

Mój przyjaciel przez chwilę przewracał kartki książki, którą trzymał na kolanach. Wreszcie oznajmił: „Jest” i przeczytał:

> Ku-Klux-Klan. Nazwa przypomina rzekomo odgłos odciąganego kurka strzelby. To potworne, tajne stowarzyszenie zostało zawiązane przez byłych żołnierzy armii Konfederatów w stanach Południa, po wojnie secesyjnej. Jego lokalne oddziały szybko powstały w innych częściach kraju, m.in. w Tennessee, Luizjanie, obu Karolinach, Georgii i na Florydzie. Wpływy stowarzyszenia wykorzystywano w celach politycznych, głównie do terroryzowania czarnoskórych, uprawnionych do głosowania. Mordowano też lub zmuszano do wyjazdu z kraju osoby o poglądach sprzecznych z głoszonymi przez stowarzyszenie. Ataki zwykle poprzedzało ostrzeżenie przesyłane przyszłej ofierze w nietypowej, lecz łatwej do rozpoznania postaci, na przykład gałązki dębu, nasion arbuza lub pestek pomarańczy. Po otrzymaniu takiego znaku ofiara mogła otwarcie wyrzec się dawnych poglądów lub uciec z kraju. Ci, którzy się nie ugięli, nieodmiennie byli karani śmiercią, zwykle zadaną w osobliwy i nieprzewidziany sposób. Stowarzyszenie było tak idealnie zorganizowane, a jego metody działania tak skuteczne, że niemal nie zdarzało się, by ktokolwiek zdołał bezkarnie mu się oprzeć; nie udało się nigdy ująć sprawców ataków. Przez kilka lat organizacja rozwijała się mimo działań podejmowanych przez władze Stanów Zjednoczonych i bardziej światłych obywateli Południa. W 1869 roku doszło do niespodziewanego załamania się jej działalności, wciąż jednak zdarzają się sporadyczne ataki.

– Zauważ – podkreślił Holmes, odkładając książkę – że nagłe zakończenie działalności stowarzyszenia zbiega się w czasie ze zniknięciem z Ameryki Openshawa i powierzonych mu dokumentów. Możemy mieć tu do czynienia z przyczyną i skutkiem. Nic dziwnego, że on i jego rodzina byli zawzięcie prześladowani. Rejestr i inne zapiski mogłyby pogrążyć najznamienitszych obywateli Południa, a wielu z nich nie zazna spokoju, dopóki dokumenty nie zostaną odzyskane.

– Zatem strona, którą widzieliśmy…

– Opisuje to, czego można było się domyślać. O ile dobrze pamiętam, treść brzmiała: „Wysłano pestki do A, B i C”, czyli ostrzeżono ich. Z kolejnych wpisów wynika, że A i B usunęli się, czyli opuścili kraj, a u C złożono wizytę. Obawiam się, że miała ona dla niego straszne następstwa. Doktorze, sądzę, że udało nam się nieco rozwikłać sytuację, a dla Openshawa jedyną szansą jest zastosowanie się do moich wskazówek. Dziś nie możemy niczego więcej ani zrobić, ani powiedzieć w tej sprawie. Podaj

mi skrzypce, spróbujmy na pół godziny zapomnieć o tej ponurej pogodzie i jeszcze bardziej ponurych losach naszych bliźnich.

Rankiem wypogodziło się i zaświeciło słońce przesłaniane przez mgłę wiszącą nad miastem. Kiedy zszedłem na dół, Holmes siedział już przy śniadaniu.

– Wybacz, że na ciebie nie zaczekałem – powiedział. – Ale sądzę, że będę dziś bardzo zajęty sprawą młodego Openshawa.

– Jakie kroki zamierzasz podjąć? – spytałem.

– Będzie to zależało od odpowiedzi na pierwsze pytania, jakie mi się nasunęły. Może się okazać, że jednak będę musiał się udać do Horsham.

– Nie zamierzasz od niego zacząć?

– Nie. Najpierw pojadę do City. Zadzwoń, niech pokojówka przyniesie ci kawy.

Czekając na służącą, wziąłem ze stołu nierozciętą jeszcze gazetę i zacząłem ją przeglądać. Mój wzrok zatrzymał się na nagłówku, który zmroził mi krew w żyłach.

– Holmesie! – krzyknąłem. – Spóźniliśmy się!

– Ach! – westchnął mój przyjaciel, odstawiając filiżankę. – Tego się właśnie obawiałem. Jak to się stało? – mówił spokojnie, ale widziałem, że jest głęboko poruszony.

– Rzuciło mi się w oczy nazwisko Openshaw i nagłówek: „Tragedia przy moście Waterloo”. Oto treść artykułu:

> Ostatniej nocy, między 9 a 10, posterunkowy Cook z okręgu H, pełniący służbę w okolicy mostu Waterloo, usłyszał wołanie o pomoc i plusk wody. Noc była tak ciemna i burzliwa, że mimo pomocy kilku przechodniów, nie udało się przeprowadzić akcji ratunkowej. Wszczęto jednak alarm i z pomocą policji wodnej wyłowiono ciało. Z adresu podanego na kopercie znalezionej w kieszeni zmarłego wynika, że nazywał się on John Openshaw i mieszkał niedaleko Horsham. Prawdopodobnie chciał zdążyć na ostatni pociąg z dworca Waterloo, a z pośpiechu i z powodu ciemności skręcił w złym miejscu i wpadł do rzeki z nabrzeża dla parostatków. Na zwłokach nie znaleziono śladów przemocy, nie ulega zatem wątpliwości, że zmarły padł ofiarą nieszczęśliwego wypadku. Incydent ten powinien skłonić władze do refleksji nad stanem nabrzeżnych przystani.

Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Jeszcze nigdy nie widziałem mego przyjaciela równie wstrząśniętego i przygnębionego.

– To uraziło moją dumę, Watsonie – powiedział w końcu. – Wiem, że to małoduszne, ale poczułem się dotknięty. Od tej chwili jest to dla mnie sprawa osobista, więc jeśli Bóg da mi dość zdrowia, nie spocznę, póki nie doprowadzę do schwytania tej szajki. On przyszedł do mnie po pomoc, a ja wysłałem go na śmierć!

Gdy to powiedział, zerwał się z fotela i zaczął chodzić po pokoju. Był bardzo wzburzony, miał rumieńce na bladych policzkach i nerwowo splatał i rozplatał dłonie.

– To dopiero zmyślne diabły! – wykrzyknął w końcu. – Jak udało im się go tam zwabić? Nabrzeże nie leży przy drodze na dworzec, a na moście, nawet w taką noc, musiało znajdować się zbyt wiele osób, by mogło im się udać coś takiego. Cóż, Watsonie, zobaczymy, kto będzie się śmiał ostatni. Wychodzę!

– Idziesz na policję?

– Nie. Zamierzam ich wyręczyć. Pozwolę im wyjąć muchy z pajęczyny, ale najpierw muszę ją rozsnuć.

Przez cały dzień zajmowałem się sprawami zawodowymi i na Baker Street wróciłem późno wieczorem. Holmesa jeszcze nie było. Dochodziła dziesiąta, kiedy przyszedł. Był blady, wyglądał na wyczerpanego. Podszedł do kredensu, oderwał kawał z bochenka chleba i rzucił się na niego żarłocznie, popijając dużym łykiem wody.

– Jesteś głodny – stwierdziłem.

– Umieram z głodu. Zupełnie o tym zapomniałem. Nic nie jadłem od śniadania.

– Nic?

– Ani kęsa. Nie miałem na to czasu.

– Jak ci się powiodło?

– Znakomicie.

– Znalazłeś jakieś poszlaki?

– Mam ich w garści. Wkrótce młody Openshaw zostanie pomszczony. Watsonie, pokonamy tych łotrów ich własną bronią. To znakomity pomysł!

– Co masz na myśli?

Holmes wziął z szafki pomarańczę i podzielił na cząstki, z których wycisnął pestki. Wziął pięć z nich i włożył do koperty. Wewnątrz klapy napisał: „S.H. za J.O.”, zakleił kopertę i zaadresował ją: „Kapitan James Calhoun, barkentyna «Lone Star», Savannah, Georgia”.

– Będzie czekała na niego w porcie – wyjaśnił, chichocząc. – Zapewne nie da mu spać w nocy. Uzna ten znak za zwiastun losu, jaki spotkał Openshawa.

– A kim jest ten Calhoun?

– To przywódca szajki. Dopadnę też pozostałych, ale chcę zacząć od niego.

– Jak wpadłeś na ich ślad?

Holmes wyjął z kieszeni duży arkusz papieru pokryty datami i nazwami i wyjaśnił:

– Spędziłem cały dzień na grzebaniu w rejestrach portowych i starych gazetach, śledząc los każdego statku, który przybił do portu w Pondicherry w styczniu i lutym 1883 roku. W ciągu tych dwóch miesięcy przypłynęło trzydzieści sześć dużych statków. Jeden z nich, „Lone Star”, natychmiast przykuł moją uwagę. Odnotowano, że przypłynął z Londynu, ale „Lone Star” to nieoficjalna nazwa jednego z amerykańskich stanów.

– Zdaje się, że Teksasu.

– Nie jestem pewien, ale nie ulega wątpliwości, że statek pochodził z Ameryki.

– Co dalej?

– Sprawdziłem rejestry z Dundee, a kiedy odkryłem, że barkentyna „Lone Star” cumowała w tym porcie w styczniu 1885 roku, moje przypuszczenia się potwierdziły. Następnie sprawdziłem nazwy statków, które znajdują się obecnie w londyńskim porcie.

– I co?

– „Lone Star” przypłynęła w zeszłym tygodniu. Poszedłem do doku Alberta i dowiedziałem się, że dziś rano podczas przypływu statek wyruszył w rejs do macierzystego portu w Savannah. Zatelegrafowałem do Gravesend i dowiedziałem się, że niedawno go tam widziano, a że wieje wschodni wiatr, nie mam wątpliwości, że znajduje się już za Goodwins, niedaleko wyspy Wight.

– Co zamierzasz?

– Calhoun jest już mój. Dowiedziałem się, że jedynymi Amerykanami wśród członków załogi są Calhoun i dwaj maci. Pozostali marynarze to Finowie i Niemcy. Wiem też, że wszyscy trzej zeszli z pokładu ostatniej nocy. Nim ich żaglowiec dotrze do Savannah, statek pocztowy dostarczy

tam mój list, a telegraf poinformuje miejscową policję, że tych trzech dżentelmenów jest poszukiwanych za morderstwo.

Jednak nawet najbardziej przemyślne plany ułożone przez człowieka, niekiedy zawodzą. Mordercy Johna Openshawa nigdy nie otrzymali pestek pomarańczy, które miały dowieść, że na ich trop wpadła osoba nie mniej przebiegła i bezwzględna niż oni sami. Wichry wiejące podczas jesiennej równonocy były tamtego roku wyjątkowo porywiste. Długo czekaliśmy na wieści z Savannah o statku „Lone Star”, ale takie nie nadchodziły. Wreszcie dowiedzieliśmy się, że gdzieś daleko na Atlantyku widziano unoszące się na falach szczątki okrętowej rufy z wyrzeźbionymi literami „L.S.”. Nikt więcej o „Lone Star” nigdy nie słyszał.

Opowieść szósta

KRZYWOUSTY

Isa Whitney, brat zmarłego Eliasa Whitneya, doktor teologii chrześcijańskiej i dyrektor Kolegium Teologicznego św. Jerzego, był silnie uzależniony od opium. O ile mi wiadomo, popadł w nałóg w wyniku studenckiego wybryku – przeczytał opis snów i doznań de Quinceya i nasączył swój tytoń laudanum, by doprowadzić się do podobnego stanu. Przekonał się jednak, jak wielu innych, że łatwiej jest osiągnąć biegłość w tej praktyce, niż od niej odwyknąć. Przez wiele lat był niewolnikiem narkotyku, przedmiotem przerażenia i współczucia swych przyjaciół i krewnych. Pamiętam pożółkłą, ziemistą twarz, opadające powieki, źrenice skurczone do rozmiarów łebka od szpilki i skuloną w fotelu sylwetkę wraka tego szlachetnego człowieka.

Pewnej nocy, w czerwcu 1889 roku, zadzwoniono do moich drzwi o takiej godzinie, w której mężczyzna zwykle zaczyna ziewać i spoglądać na zegar. Wyprostowałem się w fotelu, a moja żona odłożyła robótkę i zrobiła rozczarowaną minkę.

– Wzywają cię do pacjenta! – stwierdziła.

Jęknąłem, gdyż dopiero co wróciłem do domu po ciężkim dniu.

Usłyszeliśmy dźwięk otwieranych drzwi, kilka pośpiesznie wypowiedzianych słów, a potem odgłos szybkich kroków w korytarzu. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadła ubrana na ciemno kobieta z twarzą osłoniętą czarną woalką.

– Wybaczcie mi wizytę o tak późnej porze – zaczęła mówić, a później nagle straciła panowanie nad sobą, podbiegła do mojej żony, zarzuciła jej ręce na szyję, oparła głowę na jej ramieniu i zaszlochała. – Ach, jestem w strasznych tarapatach i bardzo potrzebuję pomocy!

– Przecież to Kate Whitney! – stwierdziła moja żona, odsłaniając woalkę. – Przestraszyłaś mnie, Kate! Kiedy weszłaś, nie miałam pojęcia, że to ty.

– Nie wiedziałam, co robić, więc przybiegłam prosto do ciebie.

I tak było zawsze. Strapieni ludzie ciągnęli do mojej żony niczym ptaki do latarni morskiej.

– Bardzo się cieszę, że przyszłaś. A teraz napij się wina z wodą, usiądź wygodnie i powiedz nam, co się stało. A może wolałabyś, żebym wysłała Jamesa do łóżka?

– Ależ nie! Potrzebuję także pomocy i porady lekarza. Chodzi o Isę. Od dwóch dni nie ma go w domu. Tak się o niego martwię!

Nie pierwszy raz mówiła o problemach swego męża – mnie jako lekarzowi, mojej żonie jako starej przyjaciółce i koleżance ze szkolnej ławy. Pocieszaliśmy ją, jak umieliśmy. Zapytaliśmy czy wie, gdzie może przebywać jej mąż i czy będziemy w stanie go do niej sprowadzić.

Wyglądało na to, że tak. Wiedziała na pewno, że ostatnio, gdy czuł narkotykowy głód, jeździł do palarni opium na wschodnich obrzeżach City. Narkotykowe orgie zawsze trwały jeden dzień. Wieczorem wracał rozbity i wstrząsany drgawkami. Tym razem zniknął na czterdzieści osiem godzin i zapewne leżał gdzieś razem z obwiesiami z doków, wdychając truciznę lub odsypiając jej działanie. Kate była pewna, że można go będzie znaleźć w Bar of Gold przy Upper Swandam Lane. Co jednak mogła zrobić? Młoda, nieśmiała kobieta nie mogła pójść sama w takie miejsce i wyrwać męża z tłumu szubrawców.

Tak przedstawiała się sytuacja. Istniało z niej tylko jedno wyjście. Oczywiste było, że powinienem z nią tam pojechać, ale w gruncie rzeczy, jej obecność była zbędna. Jako lekarz Isy Whitneya miałem na niego pewien wpływ. Wiedziałem jednak, że łatwiej opanuję sytuację, jeśli pojadę sam, obiecałem więc Kate, że jeśli znajdę jej męża pod wskazanym adresem, w ciągu dwóch godzin odeślę go do domu dorożką. Po dziesięciu minutach, opuściwszy wygodny fotel i przytulny salon, jechałem dorożką na wschód Londynu, mając do wypełnienia misję, która wydawała mi się osobliwa, choć dopiero przyszłość miała pokazać, jak bardzo będzie niezwykła.

Na początku podróży nie napotkałem większych trudności. Od Swandam Lane odchodził podejrzany zaułek ukryty za wysokim nabrzeżem ciągnącym się wzdłuż północnego brzegu rzeki, na wschód od London

Bridge. Pomiędzy sklepami z tanią odzieżą a spelunami, w których sprzedawano gin, zszedłem stromymi schodami w czarną czeluść niczym w głąb jaskini i znalazłem palarnię opium, której szukałem. Kazałem dorożkarzowi czekać, pokonałem schody wydeptane niezliczonymi krokami chwiejnych nóg, w świetle migoczącej lampy oliwnej wiszącej nad drzwiami znalazłem klamkę i wszedłem do długiej, wąskiej izby, dusznej od opiumowego dymu i pełnej drewnianych ław, niczym rufa statku wiozącego emigrantów.

W półmroku widać było jedynie kontury ciał leżące w dziwnych, nienaturalnych pozycjach, ze skulonymi ramionami, zgiętymi kolanami, głowami odrzuconymi do tyłu i podbródkami zadartymi ku górze. Tu i ówdzie widać było ciemne, zamglone oczy, które przyglądały się wchodzącym. W mroku jarzyły się czerwone punkciki, raz ciemniejsze, raz jaśniejsze, tam, gdzie płonąca trucizna rozjarzała się i przygasała w metalowych fajkach. Większość palaczy leżała w milczeniu, niektórzy mamrotali do siebie, inni mówili coś dziwnym głosem, cichym i monotonnym, na przemian to wylewając z siebie potoki słów, to nagle cichnąc. Każdy plótł, co mu ślina na język przyniesie, nie zważając na słowa sąsiada. Na końcu sali stał niewielki koksownik pełen rozżarzonego węgla drzewnego, a obok niego siedział na trójnożnym stołku i wpatrywał się w ogień wysoki, szczupły, starszy mężczyzna, z brodą opartą na zaciśniętych w pięści dłoniach i łokciami złożonymi na kolanach.

Kiedy wszedłem, malajski służący o ziemistej cerze podbiegł, by wręczyć mi fajkę i porcję narkotyku oraz wskazał pustą ławę.

– Dziękuję, ale nie po to tu przyjechałem – stwierdziłem. – Szukam przyjaciela, pana Isa Whitneya, pragnę z nim pomówić.

W tym momencie po mojej prawej stronie ktoś poruszył się i krzyknął. Dojrzałem w mroku Whitneya. Był blady, wynędzniały i rozczochrany. Gapił się na mnie.

– Mój Boże! Toż to Watson! – wykrzyknął. Był w żałosnym stanie, wszystkie mięśnie drżały mu bezwiednie. – Watsonie, którą mamy godzinę?

– Dochodzi jedenasta.

– Którego dnia?

– Piątek, dziewiętnasty czerwca.

– Boże drogi! Byłem pewien, że to środa. Z pewnością środa. Po co mnie tak straszysz? – schował głowę między ramiona i zaczął piskliwie szlochać.

– Powtarzam ci, człowieku, dzisiaj jest piątek. Żona czeka na ciebie od dwóch dni. Powinieneś się wstydzić!

– Wstydzę się, wstydzę. A ty się mylisz, Watsonie. Jestem tu zaledwie od kilku godzin. Wypaliłem trzy fajki, może cztery, ech, nie pamiętam ile. Ale teraz pojadę z tobą do domu. Za nic w świecie nie chciałbym zrobić przykrości Kate, mojej biednej małej Kate. Daj mi rękę! Czy przyjechałeś dorożką?

– Tak, czeka na zewnątrz.

– W takim razie pojadę z tobą. Ale na pewno narobiłem trochę długów. Watsonie, dowiedz się, ile jestem winien. Ja nie mam już ani grosza i sam nie dam sobie rady.

Poszedłem wąskim przejściem między dwoma rzędami śpiących, wstrzymując oddech, by nie wdychać oszałamiających oparów narkotyku. Szukałem właściciela tego przybytku. Kiedy mijałem wysokiego mężczyznę siedzącego przy ogniu, poczułem jak ktoś łapie mnie za ubranie i usłyszałem cichy szept:

– Przejdź obok mnie, a potem przyjrzyj mi się. – Usłyszałem te słowa całkiem wyraźnie. Spojrzałem w dół i przekonałem się, że mógł je wypowiedzieć jedynie ten wysoki mężczyzna. On jednak przez cały czas wyglądał na nieobecnego. Był bardzo chudy i pomarszczony, przygarbiony ze starości, między kolanami wisiała fajka do opium, która wypadła mu z bezwładnych palców. Zrobiłem dwa kroki do przodu i obejrzałem się za siebie. Musiałem przywołać na pomoc całą siłę woli, by nie krzyknąć ze zdumienia. Mężczyzna odwrócił się tak, by nikt poza mną nie mógł go widzieć. Wyprostował się, zmarszczki zniknęły, w zamglonych oczach znów pojawił się blask – i oto przy ogniu siedział, uśmiechając się na widok mojej zdziwionej miny, nikt inny jak Sherlock Holmes. Przywołał mnie do siebie dyskretnym gestem i odwracając się w stronę sali, ponownie przybrał wygląd zgrzybiałego, śliniącego się starca.

– Holmesie! – wyszeptałem. – Co, u licha, robisz w tej palarni?

– Mów najciszej, jak potrafisz – odpowiedział. – Mam znakomity słuch. Gdybyś był tak dobry i wyprowadził stąd swego odurzonego opium przyjaciela, chętnie uciąłbym sobie z tobą małą pogawędkę.

– Na zewnątrz czeka dorożka.

– Więc go do niej wsadź. Spokojnie możesz puścić go samego, jest zbyt oszołomiony, by napytać sobie biedy. Prześlij też przez dorożkarza liścik

do swojej żony, napisz jej o naszym spotkaniu. Jeśli zaczekasz na zewnątrz, przyjdę do ciebie za pięć minut.

Trudno było odmówić prośbom Sherlocka Holmesa, które zawsze były niezwykle konkretne i wygłaszane z pewną wyższością. Po umieszczeniu Whitneya w dorożce mogłem uznać swe zadanie za wypełnione. Cieszyłem się, bo nie mogło mnie spotkać nic lepszego niż możliwość towarzyszenia przyjacielowi w jednej z osobliwych przygód, którymi wypełnione było jego życie. W kilka minut napisałem liścik do żony, opłaciłem rachunek Whitneya, zaprowadziłem go do dorożki i popatrzyłem, jak odjeżdża w mrok. Po chwili z palarni wyłoniła się zniedołężniała postać i zatrzymała się obok mnie. Przez dwie przecznice Sherlock Holmes szedł zgarbiony, niepewnym krokiem, później szybko rozejrzał się dookoła, wyprostował i wybuchnął szczerym śmiechem.

– Domyślam się, Watsonie – powiedział – że obawiasz się, iż oprócz zastrzyków z kokainy i innych słabostek, w sprawie których napominałeś mnie jako lekarz, doszło palenie opium.

– Nie ukrywam, że byłem zaskoczony twoją obecnością w tym miejscu.

– Nie bardziej niż ja twoją.

– Szukałem tam przyjaciela.

– A ja wroga.

– Wroga?

– Tak. Jednego z mych naturalnych wrogów czy może raczej jednej z naturalnych ofiar. Krótko mówiąc, Watsonie, prowadzę właśnie bardzo niezwykłe śledztwo i miałem nadzieję, że podobnie jak nie jeden raz wcześniej, uda mi się znaleźć jakąś wskazówkę w majaczeniach narkomanów. Gdyby rozpoznano mnie w tej palarni, moje życie nie byłoby warte funta kłaków. Po tym, jak kilkakrotnie wykorzystałem ją do własnych celów, łajdak Hindus, który ją prowadzi, poprzysiągł mi zemstę. Na tyłach tego budynku, niedaleko narożnika kościoła św. Pawła, znajduje się zapadnia. Gdyby potrafiła mówić, opowiedziałaby o wielu dziwnych rzeczach, które działy się tu w bezksiężycowe noce.

– Co takiego? Twierdzisz, że są tam ciała?

– Zgadza się, Watsonie. Zostalibyśmy bogaczami, gdyby dali nam tysiąc funtów za każdego biedaka, którego tak uśmiercono. To najniebezpieczniejsze miejsce na całym nabrzeżu i obawiam się, że pan Neville St. Clair nigdy już go nie opuści. Ale gdzieś tu powinien stać nasz

pojazd – stwierdził Holmes, po czym zagwizdał przenikliwie na palcach. Odpowiedział mu podobny gwizd, następnie rozległ się turkot kół i stukot podkutych kopyt.

– Watsonie, pojedziesz ze mną? – spytał mój przyjaciel, kiedy z mroku wyłonił się wysoki, dwukołowy powóz, którego boczne latarnie rzucały dwa złote pasy światła.

– Jeśli mogę okazać się pomocny.

– Zaufany przyjaciel zawsze może się przydać, a tym bardziej kronikarz. W moim pokoju Pod Cedrami stoją dwa łóżka.

– Pod Cedrami?

– Tak. To dom pana St. Clair. Zatrzymałem się tam na czas śledztwa.

– Gdzie to jest?

– Niedaleko Lee w hrabstwie Kent, siedem mil stąd.

– Nic nie wiem o tej sprawie!

– Oczywiście że nie. Ale za chwilę wszystkiego się dowiesz. Wskakuj do środka. Dziękuję, John, nie będę cię już potrzebował. Masz pół korony. Baw się dobrze, a jutro czekaj tu na mnie około jedenastej. Bywaj!

Holmes strzelił z bicza i pomknęliśmy przez niekończący się labirynt ponurych, wyludnionych uliczek, które stopniowo stawały się coraz szersze. Wjechaliśmy następnie na szeroki, ogrodzony balustradą most, pod którym powoli płynęła ciemna woda. Przed nami rozciągała się kolejna połać monotonnej, murowanej dżungli, której ciszę mąciły jedynie ciężkie, regularne kroki policjanta lub śpiewy i krzyki zapóźnionej grupy biesiadników. Ciemne chmury powoli płynęły po niebie, a w przerwach pomiędzy nimi tu i ówdzie migotały gwiazdy. Pogrążony w myślach Holmes powoził w ciszy, głowę miał opuszczoną na piersi, a ja siedziałem obok niego, ogromnie ciekawy, jaka sprawa wymaga tak wielkiego skupienia. Nie chciałem jednak przerywać biegu jego myśli. Przejechaliśmy kilka mil, a kiedy zbliżyliśmy się do dzielnicy podmiejskich willi, otrząsnął się, wzruszył ramionami i zapalił fajkę z miną człowieka pewnego, że to właśnie powinien zrobić.

– Twoją wielką zaletą, Watsonie, jest małomówność – powiedział. – Czyni cię ona niezastąpionym towarzyszem. Ale słowo daję, teraz bardzo potrzebuję z kimś pomówić, gdyż nie jest mi lekko na duszy. Zastanawiałem się, co powiedzieć tej uroczej kobiecie, kiedy dziś wieczorem otworzy mi drzwi.

– Pamiętaj, że nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Zdążę zapoznać cię z tą sprawą, nim dotrzemy do Lee. Wydaje się absurdalnie prosta, a jednak nie mogę znaleźć żadnego punktu zaczepienia. Ma wiele wątków, a żadnego z nich nie mogę rozwikłać. Przedstawię ci fakty w zwięzły i jasny sposób, może tobie się uda dostrzec światełko w tunelu, w którym ja widzę tylko ciemność.

– Opowiadaj.

– Kilka lat temu, konkretnie rzecz ujmując, w maju 1884 roku, do Lee przybył dżentelmen nazwiskiem Neville St. Clair. Wydawał się bardzo zamożny. Wynajął dużą willę, ładnie zagospodarował przyległe do niej grunty i ogólnie zaprezentował się jako człowiek z klasą. Stopniowo zaprzyjaźnił się z okolicznymi mieszkańcami i w 1887 roku pojął za żonę córkę miejscowego piwowara, z którą ma dwoje dzieci. Nie pracował. Zajmował się różnymi interesami. Zwykle wyjeżdżał rano do Londynu i co wieczór wracał pociągiem odjeżdżającym z Cannon Street o 17.14. Pan St. Clair ma obecnie trzydzieści siedem lat, jest spokojnym człowiekiem, dobrym mężem i bardzo kochającym ojcem, a wszyscy, którzy mieli okazję go poznać, darzą go sympatią. Mogę jeszcze dodać, że na chwilę obecną jego długi wynoszą osiemdziesiąt funtów dziesięć szylingów, a na koncie w banku Capital & Counties znajduje się dwieście dwadzieścia funtów, nic zatem nie wskazuje na to, by martwił się stanem swych finansów.

W ostatni poniedziałek pan St. Clair wybrał się do miasta wcześniej niż zazwyczaj, tłumacząc, że ma do załatwienia dwie ważne sprawy i obiecując, że przywiezie swemu synkowi klocki. Tak się złożyło, że od razu po jego wyjeździe, żona otrzymała telegram z wiadomością, że niewielka paczka o znacznej wartości, której się spodziewała, czeka na nią w biurze firmy Aberdeen Shipping Company. Dobrze znasz Londyn, wiesz zatem, że to biuro znajduje się przy Fresno Street, krzyżującej się z Upper Swandam Lane, zaułkiem, w którym się dziś spotkaliśmy. Pani St. Clair zjadła lunch, pojechała do City, zrobiła zakupy, odebrała przesyłkę i idąc z powrotem na dworzec, dokładnie o 16.35 znalazła się na Swandam Lane. Czy nadążasz za moim tokiem rozumowania?

– Na razie wszystko jest jasne.

– Może pamiętasz, w poniedziałek panował wielki upał. Pani St. Clair szła powoli. Rozglądała się w nadziei na znalezienie dorożki, gdyż nie podobała jej się okolica, w której się znalazła. Idąc Swandam Lane,

usłyszała nagle krzyk. Była przerażona, bo wydało jej się, że widzi swego męża machającego do niej z okna na drugim piętrze. Okno było otwarte. Wyraźnie zobaczyła jego twarz, która, jej zdaniem, była straszliwie ożywiona. Mężczyzna szaleńczo wymachiwał rękami, a później zniknął wewnątrz pomieszczenia tak nagle, jakby ktoś na siłę odciągnął go od okna do tyłu. Swoim bystrym, kobiecym wzrokiem zdołała dojrzeć, że choć jej mąż miał na sobie ciemną marynarkę, tę samą, w której pojechał do miasta, brakowało mu kołnierzyka i krawata.

Przekonana, że mężowi coś zagraża, ruszyła w dół po schodach – zobaczyła go bowiem w tym samym domu, w którym mieści się nasza palarnia opium – przebiegła przez pierwszą salę i chciała wejść po schodach na pierwsze piętro. Natknęła się jednak na Hindusa, tego łotra, o którym wspomniałem. Odepchnął ją i ze swym pomocnikiem Duńczykiem wyrzucił na ulicę. Pełna najgorszych obaw, kobieta pobiegła ulicą i niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności natknęła się przy Fresno Street na inspektora policji oraz grupę posterunkowych śpieszących na obchód. Inspektor i dwaj jego podwładni poszli z panią St. Clair do palarni i mimo sprzeciwu właściciela weszli do pokoju na górze, w którym ostatni raz widziano pana St. Clair. Po mężczyźnie nie było śladu, a w pomieszczeniach na piętrze znaleziono jedynie odrażającego, kalekiego biedaka, który mieszka tam chyba na stałe. Zarówno on, jak i Hindus zarzekali się, że przez całe popołudnie nikt nie wchodził do frontowego pokoju. Zaprzeczali wszystkiemu tak usilnie, że inspektor poczuł się zbity z tropu, toteż już zaczynał podejrzewać, że pani St. Clair miała przywidzenia, kiedy kobieta z krzykiem podbiegła do stołu, chwyciła leżące na nim małe, drewniane pudełko i zerwała pokrywkę. Ze środka wypadły dziecięce klocki. Była to zabawka, którą zaginiony obiecał kupić synowi.

Po tym zdarzeniu kaleka wyraźnie nie mógł ukryć zmieszania. Widząc to, inspektor uświadomił sobie, że sprawa jest poważna. Starannie przeszukano cały dom. Wszystko zaczęło wskazywać na to, że została popełniona ohydna zbrodnia.

Frontowy pokój – w pełni umeblowany salon prowadził do małej sypialni wychodzącej na tyły nabrzeża. Pomiędzy nabrzeżem a oknem sypialni znajduje się niewielka fosa. Podczas odpływu jest sucha, a podczas przypływu zalewa ją woda do wysokości co najmniej czterech i pół stopy. Okno sypialni jest szerokie, otwiera się od dołu. Oględziny wykazały

obecność śladów krwi na parapecie, kilka kropli znaleziono również na drewnianej podłodze sypialni. Za zasłonę okna frontowego pokoju wciśnięto ubrania pana Neville’a St. Clair: buty, skarpetki, kapelusz oraz zegarek. Brakowało jedynie płaszcza. Żadna z części garderoby nie nosiła śladów jakiejkolwiek przemocy.

Nigdzie, w całym domu nie znaleziono żadnych innych śladów zaginionego. Nie udało się też odkryć drugiego wyjścia, założono zatem, że wydostał się on z budynku przez okno, a złowróżbne plamy krwi na podłodze nie dawały wielkiej nadziei, że udało mu się odpłynąć, choć tragedia rozegrała się podczas kulminacyjnego stanu wody.

Jeśli chodzi o bandziorów bezpośrednio zamieszanych w tę sprawę, Hindus był znany z licznych występków, ale z opowieści pani St. Clair wynikało, że tuż po pojawieniu się jej męża w oknie właściciel znajdował się u dołu schodów, mógł więc być najwyżej wspólnikiem przestępstwa. Bronił się twierdząc, że o niczym nie wie, nie może odpowiadać za uczynki Hugh Boone’a, swego lokatora, więc nie potrafi wyjaśnić, skąd wzięły się ubrania zaginionego.

Tyle o właścicielu domu. Jeżeli chodzi o nędznego kalekę mieszkającego nad palarnią, z pewnością był on ostatnim, który widział Neville’a St. Clair. Ten lokator nazywa się Hugh Boone, a jego ohydną twarz znają wszyscy, którzy często bywają w City. Jest zawodowym żebrakiem, który omija policyjne zakazy udając, że handluje zapałkami. Być może zauważyłeś, że nieco dalej, przy Threadneedle Street, w ścianie budynku po lewej stronie ulicy znajduje się niewielki wyłom. Tam właśnie przychodzi codziennie ten pokraczny osobnik i siada ze skrzyżowanymi nogami. Na kolanach ma niewielki stosik zapałek, a wygląda tak żałośnie, że zatłuszczona, skórzana czapka, która leży przed nim na chodniku, nigdy nie jest pusta. Obserwowałem tego człowieka już wcześniej, zamierzałem bowiem zapoznać się z nim z powodów zawodowych i byłem zdumiony tym, ile pieniędzy jest w stanie zebrać w krótkim czasie. Wygląda tak, że nie sposób go nie zauważyć. Ma grzywę rudych włosów, bladą twarz zniekształconą okropną blizną, która ściągając się, przyczyniła się do wywinięcia górnej wargi, podbródek jak u buldoga i bardzo przenikliwe, czarne oczy, osobliwie kontrastujące z kolorem włosów. Wyróżnia się jednak z tłumu żebraków nie tylko dzięki tym charakterystycznym cechom, ale także przez swój dowcip – zawsze ma gotową ciętą ripostę na każdą zaczepkę

przechodniów. Teraz wiemy również, że mieszka nad palarnią opium i jako ostatni widział poszukiwanego przez nas dżentelmena.

– Ale to kaleka! – zauważyłem. – Co mógłby zdziałać przeciwko mężczyźnie w kwiecie wieku?

– Jego kalectwo ogranicza się do utykania. Poza tym wydaje się silny i dobrze odżywiony, a ty, Watsonie, z pewnością wiesz ze swego lekarskiego doświadczenia, że słabość jednej kończyny często jest wyrównywana przez niezwykłą siłę pozostałych.

– Proszę, mów dalej.

– Pani St. Clair zemdlała na widok krwi na parapecie. Policjanci odwieźli ją do domu, gdyż jej obecność na miejscu nie była niezbędna z uwagi na prowadzone dochodzenie. Inspektor Barton, który zajmuje się tą sprawą, zarządził bardzo dokładne oględziny budynku, nie znaleziono jednak niczego, co mogłoby pomóc w wyjaśnieniu zagadki. Barton popełnił jeden błąd: nie aresztował od razu Boone’a, który miał czas, by porozumieć się z Hindusem, ale szybko ten błąd naprawił. Kaleka został ujęty i przeszukany, nie znaleziono jednak przy nim niczego, co mogłoby go obciążyć. Na prawym rękawie były wprawdzie plamy krwi, ale Boone miał skaleczony serdeczny palec w okolicy paznokcia i stąd najprawdopodobniej wzięła się ta krew. Powiedział, że owszem, stał przy oknie, więc znalezione tam ślady krwi mogą mieć to właśnie źródło. Hugh Boone stanowczo zaprzeczył, by kiedykolwiek widział Neville’a St. Clair i przysiągł, że znalezienie ubrań zaginionego w jego pokoju zaskoczyło go nie mniej niż policję. Jeżeli chodzi o oświadczenie pani St. Clair o tym, że widziała w oknie swojego męża, stwierdził, iż kobieta oszalała lub miała przywidzenia. Odwieziono go jednak, mimo głośnych protestów, na posterunek. Inspektor pozostał na miejscu, gdyż liczył, że odpływ ujawni kolejne poszlaki.

Kiedy woda się cofnęła, nie odsłoniła tego, co obawiano się znaleźć. W błocie leżał nie Neville St. Clair, lecz jego płaszcz. Jak myślisz, co znaleziono w kieszeniach?

– Nie mam pojęcia.

– I wątpię, by udało ci się zgadnąć. Obie kieszenie wypchane były drobniakami, znaleziono w sumie czterysta dwadzieścia jeden pensów i dwieście siedemdziesiąt półpensówek. Nic dziwnego, że woda nie zabrała płaszcza, mogła jednak porwać ciało. Pomiędzy domem a przystanią

występuje bardzo silny prąd wirowy. Wydawało się zatem prawdopodobne, że obciążone okrycie zostało, a nagie ciało zmyła cofająca się fala odpływu.

– Powiedziałeś, że resztę ubrań znaleziono w pokoju. Czy ciało ubrane było jedynie w płaszcz?

– Nie, mój drogi, łatwo jednak odtworzyć fakty. Załóżmy, że Boone wyrzucił niepostrzeżenie St. Claire’a przez okno. Co uczynił później? Rzecz jasna, musiał pozbyć się ubrań, które wskazywałyby na jego winę. Chwycił płaszcz, lecz nim go wyrzucił, zdał sobie sprawę, że okrycie może unosić się na wodzie. Nie miał zbyt wiele czasu, słyszał odgłosy szamotaniny, która wywiązała się, kiedy żona zaginionego próbowała dostać się na górę, być może Hindus powiadomił go, że do budynku zbliża się policja. Nie było więc ani chwili do stracenia. Rzucił się do tajnej skrytki, w której trzymał wyżebrane pieniądze i wypełnił drobniakami kieszenie płaszcza, by być przekonanym, że ubranie zatonie. Wyrzucił go i już miał zrobić to samo z innymi częściami garderoby, gdy usłyszał na dole kroki i ledwie zdążył zamknąć okno, nim weszli policjanci.

– Faktycznie, mogło tak być.

– Z braku lepszej hipotezy przyjmiemy tę jako roboczą. Powiedziałem, że Boone został aresztowany i przewieziony na komisariat, ale nie znaleziono niczego, co mogłoby świadczyć przeciwko niemu. Wiadomo było, że od lat zajmuje się żebraniem, ale prowadził bardzo spokojne życie. Tak wygląda sprawa na chwilę obecną. Boję się, że śledztwo nie wykaże, co robił Neville St. Clair w palarni opium i co go tam spotkało, gdzie znajduje się teraz i jaki związek z jego zaginięciem miał Hugh Boone. Muszę przyznać, że nie pamiętam sprawy, która na pierwszy rzut oka wydawałaby się tak prosta, a później tak bardzo się skomplikowała.

Podczas gdy Holmes opowiadał o tym osobliwym splocie wypadków, przejechaliśmy przez przedmieścia, zostawiliśmy za sobą ostatnie rozsiane tu i ówdzie domy i zapuściliśmy się w wiejskie drogi otoczone żywopłotami. Kiedy mój przyjaciel skończył mówić, minęliśmy już dwie wioski, w oknach niektórych domów wciąż paliły się światła.

– Znajdujemy się na przedmieściach Lee – wyjaśnił mój towarzysz. – Podczas tak krótkiej jazdy byliśmy w trzech hrabstwach: wyruszyliśmy z Middlesex, przejechaliśmy przez Surrey, a zakończymy podróż w Kent. Widzisz to światło pomiędzy drzewami? To jest właśnie dom Pod Cedrami.

Tam, w świetle lampy siedzi zaniepokojona kobieta, która niewątpliwie usłyszała już tętent kopyt naszego konia.

– Dlaczego nie pracujesz nad tą sprawą na Baker Street? – spytałem.

– Wielu rzeczy muszę dowiedzieć się tutaj. Pani St. Clair była tak dobra i oddała mi do dyspozycji dwa pokoje. Jestem pewien, że również i ciebie, mojego przyjaciela, przyjmie z otwartymi ramionami. Przykro mi, że będę musiał przyznać się, iż nie dowiedziałem się niczego nowego o losach jej męża. Jesteśmy na miejscu. Prr!

Zatrzymaliśmy się przed dużą willą, która była częścią wielkiej posiadłości. Stajenny przybiegł, by zająć się koniem, a Holmes i ja wyskoczyliśmy z powozu i ruszyliśmy wąską, wysypaną żwirem ścieżką prowadzącą do domu. Nim do niego dotarliśmy, drzwi otworzyły się z rozmachem i stanęła w nich drobna, jasnowłosa kobieta, ubrana w sukienkę z jedwabnego muślinu, której kołnierzyk i mankiety ozdobione były mocno przymarszczonymi falbankami różowego szyfonu. Jej sylwetka odcinała się na jasnym tle. Jedną ręką pani St. Clair trzymała się drzwi, drugą uniosła z nadzieją do góry, lekko się odchyliła i wysunęła głowę do przodu, wargi miała rozchylone; patrzyła na nas niepewnym, pytającym wzrokiem.

– I jak? – spytała. – I co? – Kiedy zobaczyła, że jest nas dwóch, wydała okrzyk nadziei, który zmienił się w jęk zawodu, gdy mój przyjaciel potrząsnął głową i wzruszył ramionami.

– Nie ma pan dobrych wieści?

– Nie.

– A złych?

– Także nie.

– Dzięki Bogu chociaż za to. Proszę wejść. Jest pan na pewno bardzo zmęczony po tak długim dniu.

– Chciałbym pani przedstawić mego przyjaciela, doktora Watsona, który służył nieocenioną pomocą w wielu moich sprawach, a którego szczęśliwym trafem udało mi się przywieźć ze sobą i włączyć do śledztwa.

– Miło mi pana poznać – powiedziała kobieta, serdecznie ściskając moją dłoń. – Proszę wybaczyć, jeśli w domu będzie czegoś brakowało, ale pan wie, spadł na nas niespodziewanie straszny cios.

– Droga pani – odparłem. – Jestem starym wojakiem. Pani nie ma się czego wstydzić. Będę szczęśliwy, jeśli zdołam pomóc pani lub mojemu

przyjacielowi.

– Panie Holmes – powiedziała gospodyni, kiedy weszliśmy do rzęsiście oświetlonej jadalni, gdzie na stole czekała kolacja na zimno – chciałabym zadać panu kilka prostych pytań i błagam, by udzielił mi pan na nie prostych i szczerych odpowiedzi.

– Jestem do pani dyspozycji.

– Proszę nie martwić się o moje uczucia. Nie jestem histeryczką i nie mam skłonności do omdleń. Chcę tylko poznać pana opinię.

– O czym konkretnie?

– Czy w głębi serca sądzi pan, że Neville żyje?

Holmes wydawał się zakłopotany takim pytaniem.

– Proszę mówić szczerze! – powtórzyła kobieta, stając na dywanie i uważnie przyglądając się memu przyjacielowi rozpartemu w wyplatanym krześle.

– W takim razie powiem bez ogródek. Uważam, że nie.

– Sądzi pan, że zginął?

– Tak.

– Został zamordowany?

– Być może. Nie jestem w stanie tego teraz stwierdzić.

– I od jak dawna nie żyje?

– Od poniedziałku.

– Skoro tak, czy byłby pan łaskaw wytłumaczyć mi, jak to się stało, że dziś dostałam od niego list?

Holmes zerwał się z krzesła jak rażony piorunem.

– Co takiego? – wykrzyknął.

– Owszem, dzisiaj! – stwierdziła pani St. Clair, uśmiechając się i unosząc w górę niewielki skrawek papieru.

– Czy mogę go obejrzeć?

– Oczywiście.

Wyrwał jej z dłoni kopertę, wygładził ją na stole, przysunął lampę i dokładnie obejrzał. Ja również wstałem z krzesła i patrzyłem mu przez ramię. Na lichej kopercie widniał stempel pocztowy z Gravesend datowany na ten sam dzień, a właściwie na poprzedni, ponieważ północ dawno już minęła.

– Niechlujny charakter pisma – wymamrotał pod nosem. – Z pewnością nie napisał tego pani mąż.

– Nie, ale załącznik jest jego.

– Widzę także, że osoba, która adresowała kopertę, pytała o adres.

– Skąd pan wie?

– Proszę spojrzeć. Nazwisko wypisano czarnym atramentem, litery są ciemne, więc najwyraźniej atrament wysechł sam. Pozostała część adresu ma kolor szarawy, co wskazuje, że piszący korzystał z bibuły. Gdyby wypisano i osuszono od razu całość pisma, żadna część nie miałaby czarnego odcienia. Autor wypisał nazwisko, a adres dopisał po pewnym czasie, co rzecz jasna, oznacza, że go nie znał. To drobnostka, ale nie ma nic istotniejszego niż drobnostki. Teraz obejrzyjmy list. Ha! Zawierał załącznik!

– Owszem, pierścień. Jego sygnet.

– I twierdzi pani, że to charakter pisma pani męża?

– Jeden z nich.

– Jak to?

– Pisze w ten sposób, gdy bardzo się śpieszy. To pismo wygląda całkiem inaczej niż zwykle, lecz jest mi dobrze znane.

> Najdroższa, nie bój się, wszystko się ułoży. Doszło do strasznej pomyłki, której wyjaśnienie może mi zająć trochę czasu. Czekaj cierpliwie. NEVILLE

– Napisane na wyklejce z książki formatu octavo, pozbawionej znaków wodnych. Hmm. Nadał go dziś w Gravesend mężczyzna, który miał brudny kciuk. Ha! Jeśli się nie mylę, osoba, która zakleiła kopertę, żuła tytoń. Czy nie ma pani wątpliwości, że to charakter pisma pani męża?

– Żadnych. Ten list napisał Neville.

– A wysłano go dzisiaj z Gravesend. Cóż, pani St. Clair, chmury zaczynają się rozpraszać, nie zaryzykuję jednak stwierdzenia, że niebezpieczeństwo minęło.

– Ale on żyje, panie Holmes.

– Być może. Albo ktoś zastosował zmyślne fałszerstwo, by naprowadzić nas na niewłaściwy trop. Sygnet niczego nie dowodzi, mogli mu go odebrać.

– Nie, nie, to jego charakter pisma.

– Doskonale. Ale list mógł zostać napisany w poniedziałek i nadany dzisiaj.

– To możliwe.

– Jeśli tak było, wiele mogło się wydarzyć w tym czasie.

– Ach, proszę mnie nie martwić, panie Holmes. Na pewno nic mu nie jest. Jesteśmy tak bardzo ze sobą związani, że poczułabym, gdyby stało mu się coś złego. Ostatniego dnia, kiedy go widziałam, skaleczył się w sypialni, a ja, choć byłam w jadalni, natychmiast pobiegłam na górę, pewna, że coś się stało. Czy sądzi pan, że mogłabym zareagować na taką błahostkę, a nie wiedzieć o jego śmierci?

– Zbyt wiele w życiu widziałem, by wątpić, że kobieca intuicja może okazać się cenniejsza niż wnioski wyciągane drogą analizy. List zaś stanowi mocny dowód na potwierdzenie pani przekonania. Jeśli jednak pani mąż żyje i jest w stanie pisać, czemu do pani nie wrócił?

– Nie wiem. Nie potrafię tego pojąć.

– Czy w poniedziałek przed wyjściem mówił coś szczególnego?

– Nie.

– Czy była pani zaskoczona, widząc go przy Swandam Lane?

– Bardzo.

– Czy okno tamtego budynku było otwarte?

– Tak.

– A więc mógł panią zawołać?

– Owszem.

– A jednak, jak mi mówiono, wydał jedynie nieartykułowany okrzyk?

– Tak.

– Uznała pani, że wzywa pomocy?

– Tak. Machał też rękami.

– Mógł to jednak być okrzyk wyrażający zdziwienie. Czy sądzi pani, że mąż mógłby wznieść w górę ręce dlatego, że był zaskoczony jej widokiem?

– To możliwe.

– I wydawało się pani, że został odciągnięty od okna?

– Zniknął bardzo nagle.

– Mógł odskoczyć. Czy nie widziała pani w pokoju nikogo innego?

– Nie, ale ten okropny mężczyzna stwierdził, że znajdował się tam przez cały czas, a Hindus stał u dołu schodów.

– Zgadza się. Czy kiedy widziała pani męża, miał na sobie to same ubranie co zwykle?

– Tak, ale nie było krawata i kołnierzyka. Wyraźnie widziałam jego odsłoniętą szyję.

– Czy mówił pani kiedyś o Swandam Lane?

– Nigdy.

– Czy kiedykolwiek zachowywał się w sposób wskazujący, że mógł palić opium?

– Nigdy.

– Dziękuję, pani St. Clair. To najważniejsze sprawy, o których chciałem porozmawiać. Teraz zjemy lekką kolację i udamy się na spoczynek. Jutro czeka nas wiele pracy.

Oddano nam do dyspozycji dużą, wygodną sypialnię z dwoma łóżkami. Ja położyłem się od razu, gdyż byłem zmęczony po nocy pełnej przygód, jednak Sherlock Holmes miał to do siebie, że gdy jego uwagę zaprzątał nierozwiązany problem, potrafił obywać się bez odpoczynku przez kilka dni, a nawet i przez cały tydzień, wciąż rozmyślając o sprawie, rozważając znane sobie fakty i analizując je z każdego punktu widzenia, dopóki nie znalazł rozwiązania lub nie przekonał się, że brakuje mu niezbędnych danych. Szybko stało się jasne, że i tym razem zamierza przesiedzieć całą noc. Zdjął marynarkę i kamizelkę, założył długi niebieski szlafrok, a później okrążył pokój, zbierając poduszki ze swojego łóżka i ozdobne poduchy z kanapy i foteli. Ułożył z nich coś na kształt otomany, na której usiadł ze skrzyżowanymi nogami, kładąc przed sobą uncję tytoniu i pudełko zapałek. W słabym świetle lampy widziałem jak siedzi trzymając w ustach starą fajkę z korzenia wrzośca i wbijając wzrok w róg sufitu, otacza się błękitnym dymem. Nie poruszał się, nic nie mówił, a światło podkreślało jego wyraziste, ostre rysy. Siedział tak, kiedy zasypiałem i zobaczyłem go w tej samej pozycji, gdy obudził mnie jakiś hałas. Do pokoju wpadało już letnie słońce. Mój przyjaciel wciąż miał w ustach fajkę, nadal unosił się z niej dym, od którego powietrze w pokoju zrobiło się gęste, a tytoń, jaki widziałem wieczorem, zniknął.

– Nie śpisz już, Watsonie? – spytał.

– Nie.

– Jesteś gotów na poranną przejażdżkę?

– Oczywiście.

– Ubieraj się. Domownicy jeszcze śpią, ale wiem, gdzie szukać stajennego, nasz pojazd będzie zaraz gotowy. – Kiedy to mówił, śmiał się

do siebie, oczy mu błyszczały; wydawał się innym człowiekiem niż zasępiony myśliciel, którego widziałem poprzedniego wieczora.

Wkładając ubranie, zerknąłem na zegarek. Nic dziwnego, że wszyscy jeszcze spali – było dwadzieścia pięć po czwartej. Kiedy tylko skończyłem, powrócił Holmes z wiadomością, że chłopak zaprzęga już konia.

– Chciałbym sprawdzić pewną teorię – stwierdził, wkładając buty. – Zdaje się, Watsonie, że stoi przed tobą jeden z największych głupców w Europie. Zasługuję, by posłać mnie stąd kopniakiem aż na Charing Cross. Ale sądzę, że znalazłem klucz do zagadki.

– Gdzie? – spytałem z uśmiechem.

– W łazience – odpowiedział, a widząc moje pełne niedowierzania spojrzenie, wyjaśnił: – Ależ tak, nie żartuję! Przed chwilą tam byłem, zabrałem go i włożyłem do tej oto torby. Chodź, mój drogi, zobaczymy czy pasuje do zamka.

Zeszliśmy na dół najciszej jak się dało i wyszliśmy z domu na jasne, poranne słońce. Powóz czekał zaprzężony przed domem, a stajenny trzymał konia za uzdę. Po drodze wyprzedziliśmy kilka wozów ze świeżymi warzywami jadących w kierunku miasta. Wille znajdujące się po obu stronach drogi zdawały się wymarłe.

– Doprawdy, niektóre aspekty tej sprawy okazały się osobliwe – stwierdził Holmes, poganiając konia do galopu. – Przyznaję, że byłem ślepy jak kret, ale jeśli chodzi o wyciąganie wniosków, zawsze lepiej to robić późno niż wcale.

Kiedy przejeżdżaliśmy przez południową część Londynu, w oknach zaczęły się już pojawiać senne twarze tych, którzy musieli bardzo wcześnie wstawać. Przejechaliśmy Waterloo Bridge Road na drugi brzeg rzeki, potem pędząc Wellington Street, ostro skręciliśmy w prawo i znaleźliśmy się przy Bow Street. Sherlock Holmes był dobrze znany policji, toteż dwaj posterunkowi stojący przy drzwiach najpierw mu zasalutowali, potem jeden przytrzymał konia, a drugi wprowadził nas do środka.

– Kto pełni służbę? – spytał Holmes.

– Inspektor Bradstreet, proszę pana.

– Ach, Bradstreet, jak się pan miewa? – powiedział do wysokiego, tęgiego mężczyzny w policyjnym mundurze. Chciałbym zamienić z panem słowo na osobności.

– Oczywiście, panie Holmes. Proszę do mojego biura. – Weszliśmy do niewielkiego pokoju, w którym na stoliku leżała olbrzymia księga, a na ścianie wisiał telefon. Inspektor usiadł za biurkiem.

– Co mogę dla pana zrobić, panie Holmes?

– Chodzi mi o tego żebraka Boone'a, podejrzewanego o związek ze zniknięciem pana Neville'a St. Clair z Lee.

– Został tu przywieziony i zatrzymany w celu dalszego przesłuchania.

– Tak właśnie słyszałem. Czy jest tutaj?

– Tak, w areszcie.

– Czy zachowuje się spokojnie?

– Nie sprawia żadnych kłopotów, ale to straszny brudas.

– Brudas?

– Tak, ledwo udało nam się go zmusić do umycia rąk, a twarz ma czarną jak kominiarz. Kiedy zostanie skazany, trafi do więziennej łaźni, ale póki co, gdyby go pan zobaczył, przyznałby, że bardzo potrzebna jest mu kąpiel.

– Koniecznie chciałbym go zobaczyć.

– Doprawdy? Da się to zrobić. Proszę za mną. Może pan zostawić tu torbę.

– Wolałbym zabrać ją ze sobą.

– Znakomicie. W takim razie proszę za mną.

Bradstreet poprowadził nas korytarzem do zakratowanych drzwi. Gdy je otworzył, zeszliśmy po kręconych schodach i znaleźliśmy się w bielonym wapnem korytarzu, po którego obu stronach ciągnęły się rzędy drzwi.

– Jest w trzeciej celi po prawej – wyjaśnił inspektor. – Oto i on. – Cicho przesunął płytkę znajdującą się w górnej części drzwi i zajrzał do środka. – Śpi – powiedział. – I wyraźnie go widać.

Spojrzeliśmy przez kraty. Więzień leżał twarzą do nas pogrążony w głębokim śnie, oddychając ciężko i powoli. Był to człowiek średniego wzrostu, odziany w łachmany odpowiednie dla przedstawiciela jego profesji. Przez dziury w obszarpanej marynarce wystawała kolorowa koszula. Tak jak powiedział inspektor, był cały usmolony, ale brud nie zdołał ukryć jego odpychającej szpetoty. Od oka do podbródka biegła szeroka, stara blizna, która kurcząc się, uniosła część górnej wargi, odsłaniając trzy zęby w wiecznym grymasie. Oczy i czoło przesłaniała przydługa, płomiennoruda czupryna.

– Musi pan przyznać, że to człek rzadkiej piękności – stwierdził inspektor.

– Niewątpliwie potrzebuje kąpieli – przyznał Holmes. – Spodziewałem się tego i pozwoliłem sobie przynieść odpowiednie utensylia. – Mówiąc to, otworzył torbę i ku memu zaskoczeniu, wyjął z niej ogromną gąbkę.

– Cha, cha! Zabawny z pana człowiek! – zaśmiał się inspektor.

– A teraz, gdyby był pan tak dobry i cicho otworzył drzwi, w mgnieniu oka przemienię go w bardziej szacowną osobę.

– Cóż, nie widzę przeciwwskazań. Jego wygląd nie przynosi chluby aresztowi przy Bow Street – uznał policjant i przekręcił klucz w zamku.

Wszyscy trzej weszliśmy do celi. Śpiący nieznacznie się poruszył, a później ponownie zapadł w głęboką drzemkę. Holmes szybko podszedł do dzbanka z wodą, zwilżył gąbkę i dwa razy energicznie przetarł nią twarz więźnia, po czym wykrzyknął:

– Przedstawiam panom Neville’a St. Clair z Lee w hrabstwie Kent!

Nigdy w życiu nie widziałem niczego podobnego. Pod naciskiem gąbki skóra mężczyzny zaczęła się łuszczyć jak kora z drzewa. Zniknęły jej brudnobrązowy odcień oraz przecinająca twarz szrama, która nadawała obliczu odpychający wyraz. Jeden ruch wystarczył także, by zniknęła ruda grzywa – i oto przed nami siedział na pryczy blady, smutny mężczyzna o eleganckiej powierzchowności, czarnych włosach i gładkiej skórze. Przetarł oczy i sennie rozejrzał się wokół, a kiedy uświadomił sobie, że został zdemaskowany, z krzykiem rzucił się na łóżko i ukrył twarz w poduszce.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął inspektor. – To naprawdę ten zaginiony mężczyzna! Widziałem go na zdjęciu!

Więzień odwrócił się do nas i z niedbałością człowieka, który postanowił poddać się losowi, spytał:

– Niech będzie. A o co się mnie oskarża?

– O zabójstwo Neville’a St.… Rety, nie można przecież oskarżyć pana o to, chyba żeby uznać pana działanie za próbę samobójczą! – stwierdził inspektor z szerokim uśmiechem. – Do licha, służę w policji od dwudziestu siedmiu lat, ale ta sprawa bije na głowę wszystkie, jakie dotąd prowadziłem.

– Skoro to ja jestem Neville St. Clair, oczywiste jest, że nie zostało popełnione żadne przestępstwo, a co za tym idzie, jestem

tu przetrzymywany bezprawnie.

– Nie popełnił pan przestępstwa, ale wielki błąd – stwierdził Holmes. – Powinien był pan zaufać żonie.

– Nie chodziło o żonę, lecz o dzieci! – jęknął więzień. – Bóg mi świadkiem, nie chciałem, by wstydziły się ojca! Boże drogi! Cóż za kompromitacja! Co mogę zrobić?

Holmes usiadł na pryczy obok mężczyzny i pokrzepiająco poklepał go po ramieniu.

– Jeśli sprawa trafi do sądu, nie uniknie pan rozgłosu. Jeśli jednak przekona pan policję, że nie może postawić panu żadnych zarzutów, nie widzę powodu, by szczegóły trafiły do akt. Jestem pewien, że inspektor Bradstreet z chęcią spisze pańskie zeznania i przekaże je odpowiednim władzom. W takim wypadku uda się uniknąć rozprawy.

– Niech Bóg pana błogosławi! – wykrzyknął wzruszony więzień. – Zniósłbym więzienie, ba, nawet egzekucję, byle nie zostawiać dzieciom w spadku mego wstydliwego sekretu.

Panom pierwszym opowiem swoją historię. Mój ojciec był dyrektorem szkoły w Chesterfield, gdzie odebrałem staranne wykształcenie. W młodości podróżowałem, próbowałem swych sił jako aktor, a w końcu zostałem reporterem wieczornej gazety w Londynie. Pewnego dnia redaktor poprosił o serię artykułów o żebractwie w mieście, i ja zgłosiłem się na ochotnika, by je napisać. Tak się zaczęła moja przygoda. Jedynie próbując swoich sił jako żebrak, mogłem zebrać materiał do artykułów. Podczas występów w teatrze poznałem tajniki charakteryzacji i zasłynąłem z biegłości w tej dziedzinie. Teraz mogłem wykorzystać to, czego się wówczas nauczyłem. Pomalowałem twarz, a żeby nadać sobie jak najżałośniejszy wygląd, spreparowałem ogromną szramę i wykrzywiłem wargę za pomocą małego paska cielistego plastra. W rudej peruce i odpowiednio nędznych ubraniach stanąłem w dzielnicy handlowej, udając, że sprzedaję zapałki, a w gruncie rzeczy, żebrząc. Prosiłem o jałmużnę przez siedem godzin, a po powrocie do domu ze zdumieniem zauważyłem, że zebrałem dwadzieścia sześć szylingów i cztery pensy.

Napisałem artykuły i zapomniałem o całej sprawie aż do chwili, kiedy po złożeniu poręczenia za przyjaciela zostałem zmuszony do spłaty dwudziestu pięciu funtów. Nie miałem pojęcia, skąd wziąć pieniądze, póki nie wpadłem na pewien pomysł. Ubłagałem wierzyciela, by przedłużył

o dwa tygodnie termin spłaty, wziąłem urlop i znów zacząłem żebrać w City w przebraniu. W ciągu dziesięciu dni zebrałem sumę wystarczającą, by uregulować należność.

Mogą sobie panowie wyobrazić, jak trudno było mi zabrać się ponownie do ciężkiej pracy za dwa funty tygodniowo, kiedy przekonałem się, że mogę tyle samo zarobić w ciągu jednego dnia, rozmazując na twarzy farbę, kładąc przed sobą czapkę i siedząc bez ruchu. Moja duma długo walczyła o lepsze z żądzą zysku, ale w końcu pieniądze wygrały, porzuciłem pracę w gazecie i codziennie siadałem w miejscu, które wybrałem za pierwszym razem, budząc litość swoją ohydną twarzą i napełniając kieszenie drobniakami. Mój sekret znał tylko jeden człowiek, Hindus prowadzący palarnię przy Swandam Lane, gdzie nocowałem i każdego ranka przemieniałem się w nędznego żebraka, a każdego wieczora znów stawałem się elegancko ubranym mieszczaninem. Wiedziałem jednak, że ten człowiek nie zdradzi mej tajemnicy, gdyż dobrze płaciłem mu za wynajmowany pokój.

Bardzo szybko zauważyłem, że udaje mi się odłożyć spore sumy pieniędzy. Nie twierdzę, że każdy żebrak w Londynie jest w stanie zarobić siedemset funtów rocznie, ja jednak zwykle zbierałem więcej, nie tylko dzięki umiejętnościom charakteryzatorskim, ale także celnym ripostom, które zwiększały moje zyski i sprawiły, że stałem się rozpoznawalny w City. Codziennie płynął do mnie strumień drobnych, a niekiedy także i srebrnych monet; mogłem mówić o kiepskim dniu, jeśli nie udało mi się zebrać dwóch funtów.

Stawałem się coraz bardziej zamożny i ambitny, wynająłem dom na wsi i ożeniłem się. Nikt nie zdołał odkryć mojej tajemnicy. Moja ukochana żona wiedziała, że zajmuję się czymś w City, nie miała jednak pojęcia, czym konkretnie.

W ostatni poniedziałek, kiedy skończyłem pracę i przebierałem się w swoim pokoju nad palarnią, wyglądając przez okno, zobaczyłem ku swemu zdumieniu i przerażeniu moją żonę, która stała na ulicy, wlepiając we mnie wzrok. Krzyknąłem ze zdziwienia, podniosłem ręce, by zakryć twarz i pobiegłem do Hindusa, który znał moją tajemnicę, błagając go, by nie pozwolił nikomu wejść na górę. Usłyszałem na dole głos żony, wiedziałem jednak, że nie uda jej się wejść. Szybko zrzuciłem swoje ubrania, wdziałem żebracze łachmany, pomalowałem twarz i włożyłem

perukę. W takim przebraniu nie zdołałaby mnie rozpoznać nawet żona. Później jednak przyszło mi na myśl, że może dojść do przeszukania pokoju i ubrania mogą mnie zdradzić. Otworzyłem okno, a w wyniku gwałtownego szarpnięcia otworzyła mi się ranka na ręce, którą skaleczyłem w sypialni tego dnia rano. Potem chwyciłem płaszcz, obciążając go miedziakami wyjętymi z torby, w której zwykle noszę wyżebrane pieniądze, wyrzuciłem go za okno i zatopiłem w Tamizie. Inne ubrania miały iść w jego ślady, ale po schodach wbiegli policjanci i kilka minut później, zamiast zostać zidentyfikowany jako Neville St. Clair, zostałem uwięziony jako jego zabójca. Poczułem ulgę.

Nie mam nic do dodania. Chciałem, by moja żebracza tożsamość zachowała się jak najdłużej, stąd moja niechęć do kąpieli. Wiedziałem, że żona będzie się o mnie bardzo martwić, więc kiedy policjanci przez chwilę nie zwracali na mnie uwagi, zdjąłem sygnet i dałem go Hindusowi razem z pośpiesznie nabazgranym liścikiem z prośbą, żeby się o mnie nie martwiła.

– Dostała go dopiero wczoraj – stwierdził Holmes.

– Dobry Boże! Jakże straszny musiał być dla niej ten tydzień!

– Hindus był obserwowany przez policję, nic więc dziwnego, że nie mógł nadać listu, pozostając niezauważonym – wyjaśnił inspektor Bradstreet. – Zapewne przekazał go jednemu ze swoich klientów żeglarzy, który na kilka dni o nim zapomniał.

– Tak właśnie było – stwierdził Holmes, kiwając głową z uznaniem. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Czy nigdy nie był pan karany za żebranie?

– Wiele razy, ale stać mnie było na zapłacenie grzywny.

– Teraz jednak musi pan z tym skończyć – ostrzegł Bradstreet. – Jeśli policja ma zatuszować sprawę, Hugh Boone musi zniknąć.

– Przysięgam na wszystkie świętości, że tak się stanie.

– W takim razie, zapewne nie podejmiemy dalszych kroków. Jeśli jednak znowu przyłapiemy pana na gorącym uczynku, prawda wyjdzie na jaw. Panie Holmes, jesteśmy bardzo zobowiązani za wyjaśnienie tej sprawy. Chciałbym wiedzieć, jak znajduje pan rozwiązania takich zagadek.

– To akurat znalazłem, siedząc na pięciu poduszkach i wypalając uncję tytoniu – wyjaśnił mój przyjaciel. – Watsonie, myślę, że jeśli udamy się teraz na Baker Street, dotrzemy tam w samą porę na śniadanie.

Opowieść siódma

BŁĘKITNY RUBIN

W dzień po Bożym Narodzeniu udałem się z wizytą do mego przyjaciela Sherlocka Holmesa, by złożyć mu życzenia. Siedział rozparty na kanapie, ubrany w fioletowy szlafrok. Stojak na fajki był w zasięgu ręki, a tuż obok leżał stos pomiętych porannych gazet, które widocznie dopiero co przeglądał. Nieopodal kanapy stało drewniane krzesło. Na jego oparciu wisiał podniszczony melonik, wgnieciony w kilku miejscach. Holmes chyba dokładnie go badał, bo na siedzeniu krzesła leżały szczypce oraz szkło powiększające.

– Jesteś zajęty – zauważyłem – może ci przeszkadzam?

– Bynajmniej. Cieszę się, że mam przy sobie przyjaciela, z którym mogę porozmawiać o wynikach mojej pracy. Sprawa jest banalna – stwierdził Holmes, wskazując kciukiem na stary kapelusz – ale pewne jej aspekty są poniekąd interesujące, a nawet pouczające.

Rozsiadłem się w fotelu i ogrzałem dłonie przy ogniu buzującym na kominku. Chwycił trzaskający mróz; szyby były grubo pokryte kryształkami lodu.

– Podejrzewam – zacząłem – że choć przedmiot ten wygląda zwyczajnie, wiąże się z jakąś krwawą historią i stanowi poszlakę, która pozwoli ci rozwiązać zagadkę zbrodni i ukarać winnych.

– Nie, nie, nie popełniono żadnego przestępstwa – odparł Holmes ze śmiechem. – Chodzi jedynie o pewien drobny incydent z gatunku tych, których nie da się uniknąć, gdy cztery miliony ludzi ociera się o siebie na przestrzeni kilku mil kwadratowych. Akcje i reakcje takiej ciżby mogą prowadzić do wszelkich możliwych splotów wydarzeń i powodować mnóstwo problemów, które bywają dziwne i interesujące, choć

niepowiązane z żadną zbrodnią. Pamiętasz, mieliśmy już takie doświadczenia.

– Istotnie – potwierdziłem. – Z sześciu ostatnich spraw, które zapisałem, w trzech nie doszło do pogwałcenia prawa.

– Zgadza się. Mówisz o mojej próbie odzyskania zdjęcia Irene Adler, o osobliwej sprawie panny Mary Sutherland i o przygodzie z krzywoustym żebrakiem. Nie mam wątpliwości, że ten drobny problem zaliczymy do tej samej kategorii. Znasz portiera Petersona?

– Tak.

– To do niego należy to trofeum.

– To jego kapelusz?

– Nie, on go znalazł. Właściciel pozostaje nieznany. Proszę, spróbuj zobaczyć w nim nie wysłużony melonik, lecz zagadkę intelektualną. Muszę najpierw opowiedzieć ci, jak się tu znalazł. Przybył rankiem w dzień Bożego Narodzenia w towarzystwie pięknej, tłustej gęsi, która niewątpliwie piecze się teraz u Petersona. Sytuacja wyglądała następująco: około czwartej w gwiazdkowy poranek, Peterson, który jak mniemam, jest człowiekiem na wskroś uczciwym, szedł Tottenham Court Road, wracając do domu po hucznym świętowaniu. W świetle gazowej latarni zobaczył przed sobą wysokiego mężczyznę, który szedł lekko chwiejnym krokiem i niósł białą gęś przerzuconą przez ramię. Kiedy nieznajomy dotarł do rogu Goodge Street, wdał się w kłótnię z grupką hultajów. Jeden z nich strącił mu kapelusz, więc mężczyzna uniósł laskę, by się bronić i zamachnął się nią, rozbijając witrynę sklepową za plecami. Peterson rzucił się naprzód, by ochronić nieznajomego przed napastnikami, ale ten, widząc, że w jego stronę biegnie umundurowany człowiek, upuścił gęś, wziął nogi za pas i zniknął w labiryncie zaułków krzyżujących się z Tottenham Court Road. Na widok Petersona czmychnęli także opryszkowie i w ten sposób został on sam na polu bitwy z łupami w postaci tego oto podniszczonego kapelusza i wspaniałej świątecznej gęsi.

– Którą, jak rozumiem, zwrócił właścicielowi?

– Mój drogi, w tym właśnie problem. Owszem, do lewej nogi ptaka przywiązana była karteczka z napisem; „Dla pani Henrykowej Baker”, a na podszewce kapelusza widnieją inicjały H.B., lecz w naszym pięknym kraju mieszkają tysiące Bakerów i setki Henrych Bakerów, niełatwo więc zwrócić zgubę jednemu z nich.

– Co w takim razie zrobił Peterson?

– W świąteczny ranek przyniósł do mnie i gęś, i kapelusz, gdyż wie, że uwielbiam rozwiązywać również błahe zagadki. Gęś zatrzymałem do dzisiejszego ranka, kiedy stało się jasne, że mimo lekkiego mrozu powinna zostać zjedzona bez dalszej zwłoki. Jej znalazca zabrał ją więc do domu, gdzie ptak spotka swoje przeznaczenie. Ja zatrzymałem kapelusz nieznanego dżentelmena, który utracił swój świąteczny obiad.

– Czy nie dał ogłoszenia?

– Nie.

– Jak więc można ustalić jego tożsamość?

– Jedynie na podstawie tego, co uda nam się wydedukować.

– Z tego kapelusza?

– Nie inaczej.

– Pozwalasz sobie żartować. Jakie poszlaki mogą kryć się w starym, wytartym filcu?

– Oto moja lupa. Znasz moje metody. Co jesteś w stanie powiedzieć o człowieku, który nosił to nakrycie głowy?

Wziąłem do rąk podniszczony przedmiot i ponuro mu się przyjrzałem. Był to najzwyklejszy w świecie czarny melonik o tradycyjnym, okrągłym kształcie, twardy i znoszony. Miał podszewkę z czerwonego jedwabiu, który zdążył już mocno wypłowieć. Nie było na niej nazwy wytwórcy, ale, jak zauważył Holmes, po jednej stronie nabazgrano inicjały H.B. Na brzegu kapelusza widniały dziurki na gumkę, która miała przytrzymywać go na głowie, samej gumki jednak nie było. Melonik był porysowany, bardzo zakurzony i poplamiony w kilku miejscach, choć ktoś prawdopodobnie podjął próbę ukrycia zabrudzeń, zamalowując je atramentem.

– Niczego nie widzę – przyznałem, oddając kapelusz przyjacielowi.

– Wręcz przeciwnie, Watsonie, widzisz wszystko, ale nie potrafisz niczego wykorzystać do dedukcji. Zbyt nieśmiało wyciągasz wnioski.

– Skoro tak, powiedz mi, proszę, co ty wywnioskowałeś po obejrzeniu tego kapelusza?

Holmes wziął melonik do rąk i wpatrzył się w niego ze skupieniem, w charakterystyczny dla siebie sposób.

– Poszlaki nie są znaczące – stwierdził – a jednak da się z nich wysnuć kilka całkiem pewnych wniosków i kilka kolejnych, całkiem prawdopodobnych. Oczywiste jest, że właściciel tego nakrycia głowy jest

wysoce inteligentny. Trzy lata temu żył całkiem dostatnio, jednak ostatnimi czasy wiedzie mu się gorzej. Zawsze cechowała go pewna przezorność, lecz ostatnio nieco osłabła, co wskazuje na demoralizację; ta z kolei, w połączeniu z pogorszeniem jego sytuacji finansowej, świadczy o tym, że popadł w nałóg, prawdopodobnie zaczął pić, w związku z tym żona przestała go kochać.

– Drogi Holmesie!

– Zachował on mimo wszystko trochę godności – mówił dalej mój przyjaciel, nie zważając na mój zachwyt. – Człowiek ten prowadzi siedzący tryb życia, rzadko wychodzi z domu, wcale nie zażywa ruchu. Jest w średnim wieku, ma siwiejące włosy, które obcinał w ciągu ostatnich kilku dni, a do których używa cytrynowej pomady. Oto najbardziej oczywiste fakty, które można wydedukować z tego kapelusza. Poza tym jest bardzo prawdopodobne, że w domu właściciela nie ma instalacji gazowej.

– Chyba żartujesz, Holmesie.

– Bynajmniej. Czy to możliwe, byś nawet teraz, kiedy podaję ci efekty mojego rozumowania, nie był w stanie pojąć, jak do nich doszedłem?

– Głupiec ze mnie, nie mam wątpliwości, więc muszę przyznać, że nie nadążam za twoim tokiem rozumowania. Skąd, na przykład, przekonanie, że człowiek ten jest bardzo inteligentny?

W odpowiedzi Holmes włożył sobie na głowę kapelusz, który gładko zjechał po jego czole i zatrzymał się dopiero na nosie.

– Chodzi o rozmiar – wyjaśnił. – Człowiek o tak dużym mózgu musi mieć coś w głowie.

– A skąd wiesz, że ostatnio zbiedniał?

– Melonik został kupiony trzy lata temu. Wówczas wprowadzono do sprzedaży model z płaskim rondem wywiniętym na brzegach. Jest to wyrób najlepszej jakości. Popatrz na wstążkę z prążkowanego jedwabiu i piękną podszewkę. Jeśli tego człowieka stać było na zakup tak drogiego kapelusza trzy lata temu, a od tego czasu nie sprawił sobie nowego, musiał zbiednieć.

– To jasne. A skąd wiesz o przezorności i demoralizacji?

Holmes roześmiał się.

– Oto dowód przezorności – wyjaśnił, kładąc palec na otworze na gumkę. – W fabryce ich nie robią. Skoro właściciel zamówił kapelusz z gumką, świadczy to o pewnej zdolności przewidywania, gdyż pamiętał, żeby się

chronić przed wiatrem. Widać jednak, że gumka pękła, a on nie raczył jej wymienić, czyli jego przezorność osłabła, przestał o siebie dbać, co świadczy o postępującej demoralizacji. Z drugiej jednak strony, chciał ukryć plamy na filcu i zamalował je atramentem, więc zachował resztki godności.

– Całkowicie zgadzam się z twoim rozumowaniem.

– Kolejne kwestie… wiek średni, siwiejące, niedawno ostrzyżone włosy, pomada cytrynowa… o tym wszystkim wyczytałem z podszewki. Pod lupą widać końcówki włosów obciętych równo fryzjerskimi nożycami. Wszystkie są lepkie i wydzielają wyraźną woń pomady. Ponadto kapelusz nie jest pokryty żwirowatym, szarym ulicznym pyłem, tylko puszystym, brązowym kurzem, który zbiera się w domu. Świadczy to, że przez większość czasu nie był używany. Widniejące na podszewce ślady wilgoci dowodzą, że właściciel pocił się obficie, nie jest zatem w najlepszej kondycji.

– A czemu uważasz, że żona już go nie kocha?

– Kapelusz nie był szczotkowany od tygodni. Mój drogi Watsonie, kiedy zobaczę, że twoja żona wypuściła cię na ulicę w kapeluszu, na którym przez tydzień zbierał się kurz, zacznę się obawiać, że utraciłeś jej względy.

– Ale ten mężczyzna może być kawalerem.

– Nie. Niósł do domu gęś, którą chciał dać żonie na zgodę. Pamiętaj o treści karteczki przymocowanej u nogi.

– Masz odpowiedź na każde pytanie. Ale jak, u licha, zdołałeś wydedukować, że w domu tego człowieka nie ma gazu?

– Jedna, a nawet dwie plamy z wosku mogły być dziełem przypadku, ale tu jest ich nie mniej niż pięć, nie ma więc wątpliwości, że mężczyzna często miał do czynienia z cieknącym woskiem, gdy na przykład, wchodził nocą po schodach z kapeluszem w jednej ręce i kapiącą świecą w drugiej. Czy zadowala cię taka odpowiedź?

– Cóż, jest uzasadniona – powiedziałem ze śmiechem – ale skoro, jak sam powiedziałeś, nie popełniono żadnego przestępstwa, a jedyną szkodą jest utrata gęsi, wydaje mi się, że tylko marnujesz czas.

Holmes właśnie otwierał usta, by mi odpowiedzieć, kiedy drzwi się gwałtownie otworzyły i do pokoju wpadł portier Peterson z rumieńcami na policzkach i wielce zdziwioną miną.

– Gęś, panie Holmes! Gęś!

– Co się z nią stało? Czyżby wróciła do życia i wyfrunęła przez kuchenne okno? – spytał Holmes, obracając się na kanapie tak, by lepiej widzieć rozemocjonowaną twarz mężczyzny.

– Niech pan spojrzy! Niech pan zobaczy, co moja żona znalazła w jej wolu! – krzyknął przybysz, po czym wyciągnął dłoń, a naszym oczom ukazał się jaskrawo roziskrzony, błękitny kamień, nieco mniejszy od ziarna fasoli, ale tak jasny i czysty, że migotał na dłoni naszego gościa niczym elektryczna iskra.

Holmes zagwizdał i usiadł.

– Na Jowisza, Peterson! – wykrzyknął. – Znalazłeś skarb! Czy wiesz, co trzymasz w ręku?

– To chyba diament, a w każdym razie jakiś szlachetny kamień, bo szkło przecina jak masło.

– To nie tylko kamień szlachetny. To poszukiwany klejnot.

– Chyba nie błękitny rubin hrabiny Morcar?! – wykrzyknąłem.

– W rzeczy samej! Dobrze znam jego kształt i rozmiar, gdyż przez kilka ostatnich dni czytałem codziennie jego opis w ogłoszeniu w „Timesie”. Jest jedyny w swoim rodzaju, a o jego wartości można jedynie spekulować. Oferowana za niego nagroda w wysokości tysiąca funtów z pewnością nie jest równa nawet dwudziestej części jego rynkowej ceny.

– Tysiąc funtów! Wielkie nieba! – Peterson opadł na krzesło i patrzył to na jednego, to na drugiego z nas.

– Tyle wynosi nagroda, a skądinąd wiem, że z przyczyn sentymentalnych hrabina byłaby gotowa rozstać się nawet z połową majątku, byle odzyskać ten klejnot.

– Jeśli dobrze pamiętam, zaginął on w hotelu „Cosmopolitan” – przypomniałem sobie.

– Zgadza się. Dwudziestego drugiego grudnia, pięć dni temu. Hydraulik John Horner został oskarżony o kradzież kamienia, który był przechowywany w szkatułce na biżuterię należącej do hrabiny, a obciążające go dowody były tak przekonujące, że sprawę skierowano do sądu. Zdaje się, że gdzieś tu był opis całego wydarzenia.

Holmes przez chwilę grzebał w gazetach, przeglądając daty, w końcu wygładził jeden egzemplarz, zgiął go na pół i odczytał co następuje:

Kradzież biżuterii w hotelu „Cosmopolitan”. John Horner, lat 26, hydraulik, został oskarżony o to, że dwudziestego drugiego bm. zabrał drogocenny klejnot należący do hrabiny Morcar, znany jako błękitny rubin, który był przechowywany w jej szkatułce na biżuterię. James Ryder, szef personelu hotelu „Cosmopolitan”, zeznał, że w dniu kradzieży wprowadził Hornera do garderoby hrabiny Morcar, aby przylutował obluzowany pręt w kominku. Przez pewien czas Ryder przebywał tam razem z Hornerem, później jednak musiał wyjść, a po powrocie stwierdził, że hydraulik zniknął, sekretarzyk stał otwarty, a mała safianowa szkatułka, w której, jak się później okazało, hrabina zwykle trzymała kosztowności, leżała pusta na toaletce. Ryder natychmiast wszczął alarm i Horner został aresztowany jeszcze tego samego wieczora, jednak kamienia nie znaleziono ani przy nim, ani w jego domu. Catherine Cusack, służąca hrabiny, zeznała, że usłyszała, jak Ryder krzyczy z wściekłości po odkryciu kradzieży, po czym pobiegła do pokoju, gdzie zastała wszystko tak, jak opisał to poprzedni świadek. Inspektor Bradstreet z wydziału B poinformował o aresztowaniu Hornera, który stawiał zaciekły opór i, nie przebierając w słowach, twierdził, że jest niewinny. Wyszło na jaw, że aresztowany był już wcześniej skazany za kradzież, w związku z czym sędzia pokoju odmówił rozpatrzenia sprawy w trybie pilnym i skierował ją do sądu wyższej instancji. Horner, który przez cały czas rozprawy okazywał wielkie wzburzenie, zemdlał po ogłoszeniu tej decyzji i został wyniesiony z sądu.

– Hmm. To tyle, jeśli chodzi o śledztwo – stwierdził w zadumie Holmes, odrzucając gazetę na bok. – Teraz musimy wyjaśnić, jak kamień trafił ze szkatułki hrabiny w hotelu do wola gęsi znalezionej przy Tottenham Court Road. Jak widzisz, Watsonie, nasza skromna dedukcja nagle stała się dużo bardziej istotna i znacznie mniej niewinna. Oto kamień, który znaleziono w gęsi, gęś miał pan Henry Baker, dżentelmen w podniszczonym kapeluszu i posiadacz innych cech, których opisem cię zanudzałem. Teraz musimy energicznie zabrać się za poszukiwania tego dżentelmena, by odkryć, jaką rolę odegrał w całym tajemniczym wydarzeniu. Odwołajmy się najpierw do najprostszych metod działania. Umieśćmy ogłoszenia we wszystkich wieczornych gazetach. Jeśli niczego nie uzyskamy, zastosujemy inne środki.

– Jak sformułujesz ogłoszenie?

– Podaj mi ołówek i tamten arkusz papieru. A teraz piszemy, zwięźle i jasno:

Na rogu Goodge Street znaleziono gęś i czarny filcowy kapelusz. Pan Henry Baker może je odzyskać, zgłaszając się dziś o 18.30 na Baker Street 221B.

–Dobrze. Ale czy on przeczyta ogłoszenie?

– Jestem pewien, że sprawdza gazety; dla tak biednego człowieka to dotkliwa strata. Miał pecha. Najwyraźniej tak się przestraszył wybitej szyby i Petersona w mundurze, że myślał tylko o ucieczce, ale na pewno bardzo żałuje, że w strachu upuścił ptaka. Poza tym ogłoszenie zawiera jego nazwisko, więc wszyscy jego znajomi zwrócą na nie uwagę. Panie Peterson, biegnij pan z tym do biura ogłoszeń i każ je umieścić we wszystkich wieczornych gazetach.

– W których?

– W „Globe”, „Star”, „Pall Mall”, „St. James’s”, „Evening News”, „Standard”, „Echo” i wszystkich innych, jakie przyjdą ci do głowy.

– Doskonale, proszę pana. A co z kamieniem?

– Ach tak. Kamień zatrzymam, dziękuję. I jeszcze jedno, Peterson. Gdy będziesz wracał tutaj, kup pan gęś i zostaw ją u mnie. Musimy oddać temu dżentelmenowi jakiegoś ptaka w miejsce tego, którego w tej chwili pochłania pańska rodzina.

Po wyjściu komisarza Holmes wziął do ręki kamień i przyjrzał się mu pod światło.

– To ładna błyskotka, popatrz tylko, jak się mieni – powiedział. – Nic dziwnego, że stała się przedmiotem i przyczyną przestępstwa. Dzieje się tak z każdym pięknym klejnotem. To zabawki diabła. W przypadku większych i starszych kamieni każdej fasetce może towarzyszyć krwawa zbrodnia. To cacko nie ma jeszcze dwudziestu lat. Zostało znalezione na brzegu rzeki Amoy w południowych Chinach, a jego niezwykłość polega na tym, że posiada wszelkie cechy rubinu poza barwą, kamień bowiem nie jest czerwony, tylko błękitny. Mimo młodego wieku już doprowadził do wielu przestępstw. Dla tego kawałka skrystalizowanego węgla o wadze czterdziestu granów popełniono dwa morderstwa, jedno samobójstwo, dokonano kilku napadów, a jedna osoba została otruta witriolem. Kto by pomyślał, że coś tak ślicznego może zaprowadzić człowieka do więzienia, a nawet na stryczek? Zamknę teraz kamień w sejfie i napiszę do hrabiny, że jest u mnie.

– Czy sądzisz, że ten cały Horner jest niewinny?

– Nie wiem.

– A czy myślisz, że ten drugi, Henry Baker, miał z tą sprawą cokolwiek wspólnego?

– Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że to zupełnie niewinny człowiek, który nie miał pojęcia, że ten jego ptak jest wart znacznie więcej niż jego waga wyrażona w złocie. Upewnię się o tym w bardzo prosty sposób, jeśli odpowie na nasze ogłoszenie.

– A co zamierzasz robić?

– Nic.

– W takim razie pojadę na wizyty, ale wrócę tu o godzinie podanej w ogłoszeniu, bo chciałbym poznać rozwiązanie tej zawikłanej zagadki.

– Z przyjemnością znów cię zobaczę. Kolację jem o siódmej, zdaje się, że dziś będzie bekas. Swoją drogą, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, może powinienem poprosić panią Hudson, by dokładnie obejrzała jego wole.

Zatrzymano mnie dłużej u chorego, więc było nieco po wpół do siódmej, kiedy znów znalazłem się przy Baker Street. Podchodząc do domu, zauważyłem wysokiego mężczyznę w szkockim berecie na głowie i zapiętym pod szyję płaszczu, który czekał przed jaskrawym półkolem światła rzucanym przez okienko nad drzwiami wejściowymi. Nim do niego podszedłem, drzwi się otworzyły i zostaliśmy wprowadzeni do mieszkania Holmesa.

– Pan Henry Baker, jak sądzę – powiedział nasz gospodarz, wstając z fotela i witając przybysza ze swobodą, na którą tak łatwo potrafił się zdobyć. – Proszę usiąść przy kominku, panie Baker. Jest zimna noc, a wydaje mi się, że woli pan lato niż zimę. Watsonie, przybyłeś w samą porę. Panie Baker, czy to pański kapelusz?

– Tak, proszę pana, bez wątpienia.

Baker był postawnym mężczyzną, nieco przygarbionym, o masywnej głowie i okrągłej, inteligentnej twarzy zwieńczonej spiczastą, brązową bródką przetykaną siwizną. Lekkie zaczerwienienie nosa i oczu oraz nieznaczne drżenie wyciągniętej ręki naszego gościa potwierdzały przypuszczenia Holmesa co do jego nałogu. Mężczyzna miał na sobie znoszony, zapięty na guziki czarny frak z postawionym kołnierzem, a jego chude nadgarstki wystawały wprost z rękawów; koszuli nie było widać. Mówił powoli, przeciągając sylaby i uważnie dobierając słowa. Stwarzał wrażenie człowieka wykształconego, z którym los okrutnie się obszedł.

– Zatrzymaliśmy oba przedmioty – wyjaśnił Holmes – gdyż spodziewaliśmy się zobaczyć w prasie ogłoszenie z pańskim adresem.

Wciąż nie rozumiem, czemu nie zgłosił pan zguby.

Nasz gość zaśmiał się, zawstydzony.

– Mam mniej pieniędzy, niż kiedyś bywało – przyznał – a ponieważ byłem pewien, że obwiesie, którzy mnie napadli, zabrali zarówno mój kapelusz jak i ptaka, nie chciałem tracić więcej pieniędzy na beznadziejne próby ich odzyskania.

– To całkiem naturalne. A przy okazji, ptaka musieliśmy zjeść.

– Zjeść! – Wzburzony mężczyzna aż podniósł się z krzesła.

– Tak. Gdybyśmy tego nie zrobili, i tak nikomu na nic by się nie przydał. Na kredensie leży jednak inna gęś, świeżutka i mniej więcej tej samej wielkości; mam nadzieję, że wystarczy na pana potrzeby?

– Ależ tak, z pewnością! – odpowiedział Baker, wzdychając z ulgą.

– Rzecz jasna, z poprzedniego ptaka zostały pióra, nogi i wole, jeśli więc chciałby pan…

Mężczyzna wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Szczątki mej zmarłej znajomej mogłyby stanowić ciekawą pamiątkę mojej przygody, ale do niczego by mi się nie przydały – rzekł. – Za pańskim pozwoleniem, wolałbym ograniczyć się do pięknej gąski, którą widzę na kredensie.

Holmes rzucił mi znaczące spojrzenie i lekko wzruszył ramionami.

– W takim razie, oto pański kapelusz i pański ptak – powiedział. – A przy okazji, czy zechciałby pan zdradzić mi, gdzie kupił pan tamtą gęś? Jestem miłośnikiem ptactwa, a niewiele widziałem równie tłustych okazów.

– Ależ oczywiście – zgodził się Baker, który zdążył już wstać i wziąć pod pachę swój odzyskany nabytek. – Wraz z kilkoma kolegami często bywam w oberży „Alpha Inn”, niedaleko Muzeum Brytyjskiego, w którym pracujemy. W tym roku nasz dobry gospodarz, człek nazwiskiem Windigate, otworzył klub, którego członkowie, wpłacając co tydzień kilka pensów, mogli otrzymać na Boże Narodzenie gęś. Systematycznie uiszczałem składki, a resztę historii już pan zna. Jestem panu wielce zobowiązany, gdyż szkocki beret doprawdy nie jest odpowiedni ani do mojego wieku, ani do mojej postury. – Nasz gość skłonił się z komiczną powagą i ruszył w swoją stronę.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, Holmes powiedział:

– To tyle, jeśli chodzi o pana Henry’ego Bakera. Jestem absolutnie pewien, że on nic nie wie o całej sprawie. Czy jesteś głodny, Watsonie?

– Nieszczególnie.

– W takim razie proponuję, byśmy przełożyli naszą kolację i ruszyli tym tropem, póki jest ciepły.

– Z przyjemnością.

Noc była bardzo zimna, więc otuliliśmy się płaszczami, a szyje owinęliśmy szalikami. Gwiazdy oświetlały zimnym światłem bezchmurne niebo, a z ust przechodniów wydobywały się obłoczki pary podobne do tych, jakie unoszą się po wystrzale nad lufą pistoletu. Nasze kroki rozbrzmiewały energicznie i donośnie, kiedy przeszliśmy przez dzielnicę lekarzy Wimpole Street, Harley Street i dalej przez Wigmore Street na Oxford Street. W ciągu kwadransa dotarliśmy do dzielnicy Bloomsbury, gdzie znaleźliśmy „Alpha Inn”, niewielką gospodę na rogu jednego z zaułków krzyżujących się z ulicą Holborn. Holmes otworzył drzwi, a po wejściu do środka zamówił dwa kufle piwa u rumianego oberżysty w białym fartuchu.

– Pańskie piwo powinno być znakomite, jeśli dorównuje pańskim gęsiom – zagaił.

– Moim gęsiom? – mężczyzna wydawał się zaskoczony.

– Owszem. Nie dalej niż pół godziny temu rozmawiałem z panem Henrym Bakerem, członkiem gęsiego klubu, który pan założył.

– Ano tak. Ale przecie te gęsi nie były moje.

– Doprawdy? A czyje?

– Kupił żem dwa tuziny od handlarza z Covent Garden.

– Znam tam wiele osób. U kogo kupił pan te gąski?

– Nazywa się Breckinridge.

– Jego akurat nie znam. Cóż, zacny gospodarzu, za twoje zdrowie i powodzenie! Dobrej nocy! – zawołał mój przyjaciel.

Kiedy wyszliśmy na mroźne powietrze, mówił dalej zapinając płaszcz:

– A teraz poszukamy imć Breckinridge’a. Pamiętaj, Watsonie, że pierwszym ogniwem tego łańcucha zdarzeń jest najzwyklejsza gęś, ostatnim zaś człowiek, który z pewnością zostanie skazany na kilka lat więzienia, jeśli nie uda nam się dowieść jego niewinności. Niewykluczone, że nasze śledztwo jedynie potwierdzi jego winę, ale tak czy inaczej, odkryliśmy już trop, który uszedł uwagi policji, a który pomyślnym trafem wpadł w nasze ręce. Podążajmy za nim, dopóki się da. Szybkim marszem na południe!

Przeszliśmy przez Holborn, Endell Street i zakosami przez całą tę zaniedbaną okolicę, na targ Covent Garden. Na jednym z największych straganów widniało nazwisko Breckinridge, a jego właściciel, człowiek o ostrych rysach twarzy, przystrzyżonych bokobrodach i wyglądzie miłośnika wyścigów konnych, pomagał czeladnikowi opuścić okiennice.

– Dobry wieczór. Zimną mamy dziś noc – zagaił Holmes.

Handlarz skinął głową i spojrzał pytająco na mego towarzysza.

– Widzę, że brakło panu gęsi – ciągnął Holmes, wskazując na puste marmurowe blaty.

– Mogę panu dostarczyć pięćset na jutro rano.

– To za późno.

– Na tamtym stoisku z gazowym oświetleniem zostały jakieś ptaki.

– Ale polecono mi pana.

– Kto?

– Właściciel „Alpha Inn”.

– No tak. Sprzedałem mu parę tuzinów.

– To były ładne ptaki. Skąd pan je wziął?

Ku mojemu zaskoczeniu pytanie to wywołało u handlarza napad wściekłości.

– Słuchaj, pan – powiedział, przekrzywiając głowę i podpierając się pod boki – do czego pan zmierzasz? Mów pan jasno.

– Wyraziłem się chyba całkiem zrozumiale. Chciałbym wiedzieć, kto sprzedał panu gęsi, które trafiły do „Alpha Inn”.

– A ja nie chcę panu powiedzieć. Koniec pytań!

– To nic ważnego, ale nie rozumiem, czemu tak się pan gorączkuje z powodu takiej błahostki?

– Gorączkuję się? Sam byś się pan gorączkował, gdyby pana ktoś tak nachodził jak mnie. Płacę dobrą cenę za dobry towar i na tym sprawa powinna się kończyć, a tymczasem słyszę ciągle: „Gdzie gęsi?”, „Komu pan sprzedał gęsi?” i „Po ile te gęsi?”. Można by pomyśleć, że to jedyne gęsi na świecie, tyle szumu wokół nich robicie.

– Cóż, ja nie jestem w żaden sposób powiązany z innymi osobami, które o to pytały – stwierdził Holmes spokojnie. – Tyle że jeśli mi pan nie powie, zakład, który przyjąłem, będzie nieważny. Zawsze jestem gotów bronić swej opinii w sprawie drobiu i postawiłem pięć funtów na to, że ptak, którego właśnie zjadłem, pochodzi z wiejskiej fermy.

– No to stracił pan piątaka, bo był hodowany w mieście – uciął sprzedawca.

– Niemożliwe!

– A jednak.

– Nie wierzę w to.

– Myślisz pan, że wiesz o ptakach więcej niż ja, chociaż zajmuję się nimi od maleńkości? Mówię panu, wszystkie gęsi, które trafiły do „Alpha Inn", były hodowane w mieście.

– Nigdy mnie pan nie przekona.

– Chcesz się pan założyć?

– Równie dobrze mógłbym od razu zabrać panu pieniądze, bo wiem, że mam rację. Ale postawię suwerena tylko po to, żeby oduczyć pana uporu.

Handlarz zaśmiał się ponuro i krzyknął:

– Bill, przynieś no księgi!

Młody czeladnik przybiegł, niosąc małą, cienką książeczkę i dużą, zatłuszczoną księgę, obie położył pod wiszącą lampą.

– A teraz, panie pewny siebie – stwierdził Breckinridge – byłem pewny, że skończyły mi się gęsi, ale kiedy skończę wszystko panu objaśniać, zobaczysz pan, że przy mym stoisku stoi człek, który jest bardziej głupi niż gęś. Widzisz pan tę książeczkę?

– Tak.

– To lista dostawców. Rozumiesz pan? Tu po jednej stronie są hodowcy ze wsi, a te cyferki przy ich nazwiskach, to ich numery w księdze. A widzisz pan tę drugą stronę, zapisaną czerwonym atramentem? To dostawcy z miasta. Popatrz pan na trzecie nazwisko i przeczytaj mi je pan na głos.

– Pani Oakshott, Brixton Road 117, 249 – odczytał Holmes.

– Zgadza się. Teraz wyszukaj ją pan w księdze.

Holmes znalazł wskazany numer strony.

– Proszę bardzo. Pani Oakshott, Brixton Road 117, dostawca jaj i drobiu.

– A teraz, czytaj pan ostatni wpis.

– Dwudziestego drugiego grudnia. Dwadzieścia cztery gęsi za siedem szylingów sześć pensów.

– Dokładnie tak. A pod spodem?

– Sprzedane panu Windigate z „Alpha Inn" za dwanaście szylingów.

– I co pan na to powie?

Holmes wydawał się głęboko zasmucony. Wyciągnął z kieszeni suwerena i rzucił go na ladę, po czym odszedł z miną człowieka odczuwającego niewymowne obrzydzenie. Po przejściu kilku jardów zatrzymał się obok latarni i zaczął się śmiać w charakterystyczny dla siebie sposób: serdecznie, lecz bezgłośnie.

– Kiedy widzisz mężczyznę z tak przyciętymi bokobrodami i tanią gazetą sportową wystającą z kieszeni, możesz być pewien, że zwabisz go zakładem – wyjaśnił. – Śmiem twierdzić, że nawet gdybym położył przed nim sto funtów, nie podałby mi tak dokładnych informacji jak te, które udało mi się z niego wyciągnąć wtedy, kiedy cieszył się z niechybnej wygranej. Cóż, Watsonie, nasza wyprawa dobiega końca. Pozostaje jedynie ustalić czy wybierzemy się do pani Oakshott jeszcze dziś wieczorem, czy zostawimy to sobie na jutro. Ze słów tego prostaka wyraźnie wynikało, że nie jesteśmy jedynymi zainteresowanymi tą sprawą, więc sądzę…

Jego rozważania zostały nagle przerwane hałasem dochodzącym od straganu, który dopiero co opuściliśmy. Kiedy spojrzeliśmy w tamtą stronę, zobaczyliśmy drobnego człowieczka o szczurzej twarzy. Stał on w kręgu żółtego światła rzucanego przez wiszącą lampę, a handlarz Breckinridge rozparty w drzwiach wściekle wygrażał mu pięściami.

– Dość mam już was i waszych gęsi! – wrzeszczał. – Idźcie wszyscy razem do diabła! Przyjdź pan tu jeszcze raz zawracać mi głowę, to psami poszczuję! Jak pan przywieziesz panią Oakshott, to z nią porozmawiam, ale co pan masz z tym wspólnego? To nie od pana kupiłem te gęsi.

– Nie, ale jedna z nich była moja – jęknął człowieczek.

– To zażądaj pan zwrotu od pani Oakshott.

– Ona skierowała mnie do pana.

– To równie dobrze mógłbyś pan gadać z królem pruskim. Dość się już nasłuchałem. Wynoś się pan! – z wściekłością skoczył do przodu, a człowieczek szybko zniknął w ciemnościach.

– Ha! Wizyta na Brixton Road może okazać się niepotrzebna – wyszeptał Holmes. – Chodź za mną, zobaczymy, czego uda się dowiedzieć od tego gościa.

Poszliśmy pomiędzy grupkami ludzi skupionych wokół straganów oświetlonych gazowymi płomieniami. Mój towarzysz szybko wyprzedził mężczyznę i dotknął jego ramienia. Człowieczek podskoczył, odwrócił się i w świetle latarni zauważyłem, jak bardzo zbladł.

– Kim pan jest? Czego pan chce? – spytał drżącym głosem.

– Proszę mi wybaczyć – łagodnie odpowiedział Holmes – ale przypadkiem usłyszałem, o co pan pytał tego handlarza, więc sądzę, że mógłbym panu pomóc.

– Pan? A kim pan jest? Skąd pan może cokolwiek wiedzieć o moim kłopocie?

– Nazywam się Sherlock Holmes, a moim zadaniem jest wiedzieć to, czego nie wiedzą inni.

– Ale o tej sprawie nie może pan wiedzieć niczego.

– Za pozwoleniem, wiem o niej wszystko. Usiłuje pan odszukać gęsi, które zostały sprzedane przez panią Oakshott z Brixton Road handlarzowi nazwiskiem Breckinridge, przez niego z kolei panu Windigate z „Alpha Inn”, a przez tego ostatniego – członkom klubu, do którego należy pan Henry Baker.

– Ach, proszę pana, takiego człowieka właśnie potrzebowałem! – wykrzyknął nasz rozmówca, szeroko rozkładając drżące ręce. – Nie ma pan pojęcia, jak ważna jest dla mnie ta sprawa.

Holmes zatrzymał przejeżdżającą dorożkę.

– W takim razie lepiej omówmy ją w przytulnym pokoju, na tym targu hula wiatr – zaproponował. – Ale nim ruszymy, proszę powiedzieć, komu mam przyjemność służyć pomocą.

Mężczyzna przez chwilę się wahał, a później, strzelając oczami na boki, odpowiedział:

– Nazywam się John Robinson.

– Chodzi mi o pańskie prawdziwe nazwisko – odpowiedział Holmes niewinnym tonem. – Zawsze czuję się niezręcznie, zwracając się do kogoś, kto ukrywa się pod pseudonimem.

Blade policzki obcego nagle się zaczerwieniły.

– Niech będzie – przyznał. – Naprawdę nazywam się James Ryder.

– Tak sądziłem. Szef personelu hotelu „Cosmopolitan”. Proszę wsiąść do dorożki, a ja niebawem udzielę odpowiedzi na wszystkie nurtujące pana pytania.

Człowieczek stał, patrząc to na jednego, to na drugiego z nas, z oczyma pełnymi strachu i nadziei, tak jakby nie był pewien czy znajduje się o krok od ocalenia, czy od zguby. Wreszcie wsiadł do dorożki i nim minęło pół godziny, znaleźliśmy się w salonie przy Baker Street. Podczas jazdy nie

padło ani jedno słowo, lecz szybki, płytki oddech naszego nowego znajomego i sposób, w jaki splatał i rozplatał ręce, zdradzały, jak napięte miał nerwy.

– Oto jesteśmy! – stwierdził Holmes wesoło, kiedy weszliśmy do pokoju. – Ogień jest w sam raz odpowiedni jak na tę porę roku. Panie Ryder, zdaje się, że pan przemarzł. Proszę siąść w tym wyplatanym fotelu, a ja tylko założę bambosze i zajmiemy się pańską sprawą. No, jestem gotów. Chce się pan dowiedzieć, dokąd trafiły te gęsi?

– Tak, proszę pana.

– Ściślej rzecz biorąc, interesuje pana los jednego z ptaków – białego z czarnym pasem na kuprze.

Ryder aż się zatrząsł z emocji.

– Och, proszę pana! – wykrzyknął. – Czy może mi pan powiedzieć, gdzie on jest?

– Ależ tak, jest tutaj.

– Tutaj?

– Owszem – i okazał się doprawdy niezwykły. Nic dziwnego, że tak się nim pan interesował. Już po śmierci gęś zniosła jajo, najśliczniejsze i najbardziej lśniące, błękitne jajo, jakie widział świat. Mam je tutaj, w moim muzeum.

Nasz gość zerwał się z fotela, nogi mu drżały, prawą ręką chwycił się półki nad kominkiem. Holmes otworzył sejf i wyjął z niego błękitny rubin lśniący jak gwiazda jasnym, zimnym światłem załamującym się w wielu fasetkach. Ryder stał z nieprzeniknioną miną, zastanawiając się czy się przyznać, czy wszystkiemu zaprzeczyć.

– Koniec zabawy, Ryder – powiedział cicho Holmes. – Niech się pan odsunie, bo wpadnie pan w ogień! Watsonie, podaj mu rękę i pomóż usiąść z powrotem w fotelu. Ma za słabe nerwy, by móc bezkarnie popełniać występki. Daj mu odrobinę brandy. No, teraz zaczyna wyglądać bardziej jak człowiek. Słowo daję, co za słabeusz!

Ryder przez chwilę chwiał się na nogach i omal się nie przewrócił, ale kiedy łyknął brandy, policzki znów mu się zaróżowiły. Usiadł, wpatrując się przerażonymi oczami w swego oskarżyciela.

– Znam niemal wszystkie fakty i mam w rękach wszystkie dowody, których mógłbym potrzebować, więc niewiele może mi pan powiedzieć.

Jednak warto wyjaśnić tę resztę, by zakończyć sprawę. Panie Ryder, jak się pan dowiedział o tym błękitnym kamieniu należącym do hrabiny Morcar?

– Powiedziała mi o nim Catherine Cusack – wyjaśnił mężczyzna ochrypłym głosem.

– Ach tak, pokojówka hrabiny. I uległ pan pokusie szybkiego i łatwego wzbogacenia się. Zdarzało się to już lepszym, jednak nie przebierał pan w środkach. Zdaje się, Ryder, że ma pan zadatki na prawdziwego kryminalistę. Wiedział pan, że Horner, ten hydraulik, był już zamieszany w podobne przestępstwo i że to na niego padną podejrzenia. Co zatem pan zrobił? Wraz ze swoją wspólniczką, panną Cusack, sprokurował usterkę w pokoju hrabiny i urządził wszystko tak, by posłano po rzeczonego hydraulika. Później, po jego wyjściu, opróżnił pan szkatułkę z biżuterią, wszczął alarm i doprowadził do aresztowania tego nieszczęśnika. A następnie…

Ryder nagle rzucił się na dywan i chwycił mego towarzysza za kolana.

– Na litość Boską, niech się pan zlituje! – wykrzyknął. – Przez wzgląd na mego ojca i na mą matkę! Wieść o tym złamałaby im serca. Nigdy wcześniej nie naruszyłem prawa i nigdy więcej tego nie zrobię, obiecuję! Mogę przysiąc na Pismo Święte. Na rany Chrystusa, błagam, niech mnie pan nie stawia przed sądem!

– Proszę wrócić na fotel – odparł Holmes surowo. – Teraz pan jęczy i rzuca się na kolana, ale nie raczył pan pomyśleć o losie biednego Hornera, uwięzionego za przestępstwo, o którym nic nie wie.

– Panie Holmes, mogę uciec z kraju. Wtedy będą musieli go uniewinnić!

– Hmm. O tym jeszcze porozmawiamy. A póki co, posłuchajmy opowieści o kolejnym rozdziale tej historii. Jak kamień trafił do gęsi, a gęś na stragan? Proszę mówić prawdę, w tym cała pańska nadzieja.

Ryder przesunął językiem po spierzchniętych wargach i zapewnił:

– Opowiem panu wszystko ze szczegółami. Po aresztowaniu Hornera wydawało mi się, że najlepiej zrobię, uciekając od razu z kamieniem, gdyż nie byłem pewien czy policjantom nie przyjdzie do głowy przeszukać mnie i mojego mieszkania. W hotelu nie miałem żadnej bezpiecznej skrytki. Wyszedłem więc, mówiąc, że mam coś do załatwienia, po czym pojechałem do siostry. Nazywa się po mężu Oakshott, mieszka przy Brixton Road i zajmuje się tuczeniem ptactwa. Przez całą drogę wydawało mi się, że wszyscy mijani przechodnie to policjanci i detektywi. Noc była zimna, ale

nim dotarłem na Brixton Road, byłem zlany potem. Siostra spytała mnie, co się stało i dlaczego jestem taki blady. Wyjaśniłem jej, że zdenerwowałem się kradzieżą biżuterii w hotelu, po czym wyszedłem na podwórko jej domu. Zapaliłem fajkę i zacząłem się zastanawiać, co robić dalej. Miałem kiedyś przyjaciela nazwiskiem Maudsley, który zszedł na złą drogę i trafił do więzienia w Pentonville. Spotkaliśmy się, kiedy wyszedł na wolność. Opowiedział mi o sposobach, jakich używają złodzieje, by ukryć swoje łupy. Wiedziałem, że mogę mu zaufać, bo sam znałem kilka jego sekretów. Postanowiłem więc pojechać do Kilburn, gdzie mieszkał, o wszystkim mu opowiedzieć i poprosić o pomoc w spieniężeniu kamienia. Ale jak miałem do niego dotrzeć? Pamiętałem, jakie męki cierpiałem po drodze z hotelu, wiedziałem, że policja może w każdej chwili mnie zatrzymać i przeszukać, a kamień wciąż tkwił w kieszonce mojej kamizelki. Oparłem się o ścianę, patrząc na gęsi, które dreptały mi pod nogami – i nagle wpadłem na pomysł, który miał mi pomóc wywieść w pole nawet najlepszych detektywów. Kilka tygodni wcześniej siostra obiecała mi, że będę mógł wybrać sobie w prezencie gąskę na Boże Narodzenie. Zawsze dotrzymuje słowa. Postanowiłem więc zabrać gęś, ukryć w niej kamień i tak dostarczyć go do Kilburn. Wybrałem jednego z ptaków, piękną, białą gęś z czarnym pasem na ogonie, złapałem ją, zaciągnąłem za małą szopę stojącą na podwórku, siłą otworzyłem jej dziób i wepchnąłem klejnot do gardła, najgłębiej jak zdołałem sięgnąć. Ptak przełknął go. Poczułem, jak kamień przesuwa się przez przełyk do wola. Ptaszysko narobiło jednak tyle hałasu, że moja siostra przyszła sprawdzić, co się dzieje. Kiedy się odwróciłem, by z nią porozmawiać, gęś wyrwała mi się i wpadła pomiędzy pozostałe ptaki. „Coś ty robił z tą gąską, Jem?” – spytała moja siostra. „Obiecałaś dać mi jedną na święta, więc chciałem sprawdzić, która jest najbardziej tłusta” – wyjaśniłem. „Ale my wybraliśmy już jedną dla ciebie!” – odpowiedziała. „Mówimy na nią «ptak dla Jema». To ta duża, biała, o tam. Mam tu aż dwadzieścia sześć gęsi. Jedną dla ciebie, jedną dla nas i dwa tuziny na sprzedaż. „Dziękuję, Maggie – odpowiedziałem – ale jeśli ci to nie wadzi, wolałbym wziąć tę, którą przed chwilą trzymałem”. „ Przecież tamta jest o dobre trzy funty cięższa, utuczyliśmy ją specjalnie dla ciebie!” – ona na to. „To nic. Wolę tę i chciałbym zabrać ją już teraz” – obstawałem przy swoim. „Rób, jak uważasz – odpowiedziała siostra urażonym tonem. – Którą zamierzasz wziąć?” „Tę białą z czarnym pasem na ogonie, która stoi

pośrodku stadka”. „Niech ci będzie. Zabij ją i weź ją sobie”. Zrobiłem tak, jak kazała siostra, panie Holmes, po czym zaniosłem ptaka aż do Kilburn. Opowiedziałem memu znajomkowi, co zaszło, gdyż takiemu człowiekowi nietrudno się zwierzyć. Śmiał się, aż dostał czkawki, a potem wziął nóż i rozkroił gęś. Serce mało mi nie pękło, kiedy nie znaleźliśmy w niej ani śladu kamienia. Wiedziałem, że musiała zajść jakaś straszna pomyłka. Zostawiłem więc tamtego ptaka Maudsleyowi, pobiegłem z powrotem do siostry i wpadłem na jej podwórko. Nie było tam ani jednej gęsi. „Gdzie one się podziały, Maggie?” – krzyknąłem. „Zabrał je handlarz, Jem”. „Który handlarz?” „Breckinridge, z Covent Garden”. „A czy było więcej takich z czarnym pasem na ogonie, podobnych do tej, którą wybrałem?” – spytałem. „Tak, Jem. Miałam dwa takie ptaki i nijak nie umiałam ich rozróżnić”. Wtedy zrozumiałem, co się stało i pobiegłem ile sił w nogach do tego Breckenridge’a. Okazało się, że sprzedał wszystkie od razu i za nic nie chciał mi powiedzieć, dokąd je zabrano. Słyszał pan, jak zwrócił się do mnie dzisiaj? Zawsze mnie tak traktował. Moja siostra sądzi, że popadam w obłęd. Chwilami wydaje mi się, że ma rację. A teraz mam zostać oskarżony o kradzież, choć nawet nie posmakowałem bogactwa, przez które sprzeniewierzyłem się swoim zasadom. Boże, dopomóż! Boże, dopomóż! – Powiedziawszy to, nasz gość ukrył twarz w dłoniach i zaczął konwulsyjnie szlochać.

Nastała długa chwila ciszy przerywana ciężkim oddechem Rydera i rytmicznym stukaniem palców Holmesa o kant stołu. Wreszcie mój przyjaciel wstał i zamaszyście otworzył drzwi.

– Wynocha! – wykrzyknął.

– Co takiego? Och, niech Bóg pana błogosławi!

– Ani słowa więcej! Wynocha!

Holmes nie musiał powtarzać. Usłyszeliśmy odgłos kroków na schodach, a po chwili szybki tupot na ulicy.

– Było nie było, Watsonie – stwierdził Holmes, sięgając po swoją glinianą fajkę – policja nie płaci mi za to, bym naprawiał jej błędy. Gdyby Horner był w niebezpieczeństwie, to co innego, ale Ryder nie będzie zeznawać przeciw niemu, więc z pewnością zostanie uniewinniony. Zdaje się, że pomogłem przestępcy, ale bardzo możliwe, że go uratowałem. Ten człowiek nie złamie więcej prawa, jest zbyt przerażony, by to zrobić. Gdyby teraz trafił do więzienia, stałby się jego stałym bywalcem. Poza tym

są święta, czas przebaczenia. Los zesłał nam tę osobliwą zagadkę, a jej rozwiązanie wystarczy mi za nagrodę. A teraz, doktorze, jeśli będziesz tak dobry i zadzwonisz po gospodynię, będziemy mogli zająć się inną sprawą, w której inny ptak odegra znaczącą rolę.

Opowieść ósma

WZORZYSTA WSTĘGA

Przeglądając swe zapiski dotyczące spraw prowadzonych przez mego przyjaciela Sherlocka Holmesa w ciągu ostatnich ośmiu lat, a takich mam ponad siedemdziesiąt, dostrzegam wiele zagadek tragicznych, kilka komicznych, mnóstwo zaś po prostu dziwnych. Żadna z nich nie jest zwyczajna. Mój przyjaciel pracował bardziej dla przyjemności niż dla zarobku, odmawiał więc zajmowania się sprawami, które według niego nie były niezwykłe lub fantastyczne. Żadna z nich nie okazała się jednak równie osobliwa, jak ta związana ze słynną rodziną Roylott ze Stoke Moran w hrabstwie Surrey.

Do opisywanych tu wydarzeń doszło we wczesnych latach mej przyjaźni z Holmesem, kiedy jako dwaj kawalerowie mieszkaliśmy razem przy Baker Street. Mogłem opisać tę sprawę wcześniej, ale obiecałem zachować całą rzecz w tajemnicy. Z przysięgi zostałem zwolniony dopiero w zeszłym miesiącu z powodu przedwczesnej śmierci damy, której tę przysięgę złożyłem. Być może lepiej, że fakty wreszcie ujrzą światło dzienne, jestem bowiem świadom, że krążące plotki o śmierci doktora Grimesby'ego Roylotta brzmią jeszcze straszniej niż prawda na ten temat.

Pewnego ranka, na początku kwietnia 1883 roku, obudziłem się i zobaczyłem przy moim łóżku całkowicie ubranego Holmesa. Mój przyjaciel nie jest bynajmniej rannym ptaszkiem, ale zegar na kominku wskazywał zaledwie kwadrans po siódmej. Zamrugałem ze zdziwieniem i poczułem lekką urazę, gdyż sam prowadziłem unormowany tryb życia.

– Przepraszam, że zrywam cię tak wcześnie, Watsonie – zaczął Holmes – ale tak już dzisiaj jest. Obudzono panią Hudson, która odegrała się za to na mnie, a ja powetowałem sobie, przychodząc o tej porze do ciebie.

– Co się stało? Pożar?

– Nie. Klient. Zdaje się, że przybyła do nas bardzo wzburzona młoda dama, która nalega, by się ze mną zobaczyć. Czeka w salonie. Sądzę, że jeśli panna wypuszcza się w miasto o tak wczesnej porze i zrywa ludzi z łóżek, musi mieć bardzo pilną sprawę. Jej przypadek może okazać się interesujący, pomyślałem więc, że może byś zechciał śledzić jego przebieg od samego początku, więc umożliwiam ci to.

– Mój drogi, nie przepuściłbym okazji za skarby świata!

Nie znałem większej przyjemności niż obserwowanie Holmesa podczas pracy i podziwianie metod dedukcji. Tok jego rozumowania przebiegał tak szybko, że wyniki wydawały się przeczuciem, niemniej zawsze opartym na logicznych podstawach. Dzięki temu rozwiązywał zagadki. Szybko się ubrałem i po kilku minutach mogłem towarzyszyć przyjacielowi do salonu. Kobieta siedziała przy oknie. Kiedy weszliśmy do pokoju, wstała. Była ubrana na czarno, a jej twarz zasłaniała gęsta woalka.

– Dzień dobry pani – rzekł mój towarzysz przyjaźnie. – Nazywam się Sherlock Holmes, a to mój bliski przyjaciel i współpracownik doktor Watson, z którym może pani rozmawiać równie otwarcie jak ze mną. Ha! Widzę, że pani Hudson zachowała się rozsądnie i rozpaliła ogień. Proszę przysunąć się bliżej kominka, a ja każę podać filiżankę gorącej kawy, bo widzę, że pani drży.

– Trzęsę się nie z zimna – wyjaśniła kobieta cichym głosem, siadając przy kominku, tak jak zaproponował jej Holmes.

– A z jakiego powodu?

– Ze strachu, panie Holmes. Z przerażenia.

Mówiąc to, kobieta uniosła woalkę i przekonaliśmy się na własne oczy, że istotnie, znajduje się w stanie wielkiego wzburzenia. Jej poszarzała twarz była ściągnięta, przerażone oczy patrzyły niespokojnie, jak u zaszczutego zwierzęcia. Sylwetka i postawa naszego gościa świadczyły o tym, że kobieta miała nie więcej niż trzydzieści lat, ale twarz okolona włosami, które przedwcześnie przyprószyła siwizna, była zmęczona i wymizerowana. Sherlock Holmes obrzucił ją bystrym spojrzeniem; na pewno dostrzegł to, czego ja nie zobaczyłem.

– Proszę się nie obawiać – powiedział łagodnie, pochylając się i pogłaskał kobietę po ramieniu. – Nie mam wątpliwości, że szybko rozwiążemy problem. Przyjechała pani dziś rano pociągiem?

– Zna mnie pan?

– Nie, ale za mankietem pani lewej rękawiczki widzę bilet powrotny. Wyjechała pani bardzo wcześnie, a przedtem długo jechała dwukółką do dworca.

Kobieta wzdrygnęła się i z niedowierzaniem przyjrzała memu towarzyszowi.

– Nie ma w tym nic tajemniczego, droga pani – powiedział z uśmiechem. – Prawy rękaw pani płaszcza jest zbryzgany błotem w co najmniej siedmiu miejscach. Ślady są świeże. Żaden pojazd prócz dwukółki nie rozchlapuje błota w ten sposób, a poplamić się tak można jedynie, siedząc na lewo od woźnicy.

– Nie wiem, skąd pan to wie, ale ma całkowitą rację – przyznała kobieta. – Wyruszyłam przed szóstą rano, dotarłam do Leatherhead dwadzieścia po szóstej i wsiadłam do pierwszego pociągu jadącego na dworzec Waterloo. Proszę pana, nie zniosę dłużej tego napięcia, po prostu oszaleję! Nie mam się do kogo zwrócić. Jest jeden człowiek, któremu na mnie zależy, ale on nie może mi pomóc. Słyszałam o panu, panie Holmes, od pani Farintosh, której pomógł pan, gdy była w wielkiej potrzebie. To ona podała mi pański adres. Proszę pana, czy może mi pan pomóc, a przynajmniej nieco rozjaśnić otaczający mnie gęsty mrok? W tej chwili nie jestem w stanie wynagrodzić pana za jego usługi, ale za miesiąc lub sześć tygodni wyjdę za mąż, będę sama rozporządzała swymi dochodami i nie omieszkam się panu odwdzięczyć.

Holmes podszedł do swego sekretarzyka, otworzył go i wyjął ze środka niewielki skorowidz, w którym coś sprawdził.

– Farintosh – mruknął. – Ach tak, przypominam sobie tę sprawę. Chodziło o tiarę z opali. Watsonie, zdaje się, że jeszcze się wówczas nie znaliśmy. A co do pani sprawy, z radością poświęcę jej nie mniej uwagi niż problemowi pani przyjaciółki. Jeśli chodzi o wynagrodzenie, wystarczy mi satysfakcja z pracy, ale jeśli pani zechce, będzie mogła, w dogodnym dla siebie terminie, zwrócić mi wydatki poniesione podczas śledztwa. Proszę opowiedzieć wszystko, co może nam pomóc.

– Niestety! – zaczął nasz gość. – Moja sytuacja jest tak straszliwa właśnie dlatego, że moje obawy są bardzo niejasne, a podejrzenia opierają się jedynie na drobnostkach, które innym mogą wydać się błahe i na które nawet ten, kogo mam prawo prosić o pomoc i poradę, patrzy jak na wybryki nerwowej kobiety. Nie mówi mi niczego, ale czytam to w jego

wymijających odpowiedziach, przy czym gdy mówi, odwraca wzrok. Słyszałam jednak, panie Holmes, że potrafi pan przeniknąć niecne zamiary kryjące się w ludzkich sercach, może zatem uda się panu wskazać mi drogę pośród otaczających mnie niebezpieczeństw.

– Zamieniam się w słuch.

– Nazywam się Helen Stoner. Mieszkam z ojczymem, ostatnim potomkiem jednego z najstarszych saskich rodów w Anglii, Roylottów ze Stoke Moran, na zachodnim krańcu hrabstwa Surrey.

Holmes skinął głową.

– To nazwisko jest mi znane – potwierdził.

– Ród należał niegdyś do najzamożniejszych w Anglii, a jego posiadłości rozciągały się poza granice hrabstwa, do Berkshire na północy i Hampshire na zachodzie. Jednakże w ciągu ostatnich stu lat czterech kolejnych spadkobierców okazało się rozpustnymi utracjuszami, a ruinę przypieczętował hazardzista żyjący w okresie regencji. Z majątku nie pozostało nic prócz kilku akrów ziemi i dwustuletniego domostwa, którego hipoteka jest obciążona. Ostatni potomek rodu nie zgodził się opuścić tego miejsca i pędził próżniaczy żywot arystokraty żebraka, ale jego jedyny syn, mój ojczym, był świadom, że musi przystosować się do nowych warunków. Wystarał się u krewnego o pożyczkę, która pozwoliła mu ukończyć studia medyczne, po czym wyjechał do Kalkuty. Tam dzięki swym umiejętnościom i silnemu charakterowi stworzył dobrze prosperujący gabinet. Kiedy jednak jego dom został okradziony, w napadzie szału zabił swego hinduskiego lokaja i ledwie uniknął kary śmierci. Po wielu latach spędzonych w więzieniu, do Anglii powrócił ponury, zgorzkniały człowiek. Jeszcze podczas pobytu w Indiach doktor Roylott ożenił się z moją matką, panią Stoner, młodą wdową po generale majorze Stonerze z kawalerii bengalskiej. Ja i moja siostra bliźniaczka Julia miałyśmy wówczas zaledwie dwa lata. Swoje znaczne dochody, które wynosiły nie mniej niż tysiąc funtów rocznie, matka oddała w rozporządzanie doktorowi Roylottowi, kiedy z nim zamieszkałyśmy, z zastrzeżeniem, że każda z nas, gdy zostanie mężatką, będzie otrzymywała co roku pewną sumę. Niedługo po naszym powrocie do Anglii, osiem lat temu, matka zginęła w katastrofie kolejowej niedaleko Crewe. Doktor Roylott zaprzestał wówczas prób otwarcia gabinetu w Londynie i zabrał nas do swej rodowej siedziby w Stoke Moran. Pieniądze, które matka zostawiła nam w spadku, wystarczały na wszystkie

nasze potrzeby i wydawało się, że nic nie może nam stanąć na drodze do szczęścia. Jednakże w tym czasie w mym ojczymie zaszła straszliwa zmiana. Zamiast nawiązywać przyjaźnie i składać wizyty sąsiadom, którzy na początku byli bardzo radzi, że potomek rodu Roylott ze Stoke Moran znów zamieszkał w rodzinnym domu, zamknął się w czterech ścianach. Wychodził rzadko i jedynie po to, by wdać się we wściekłą kłótnię z każdym, kogo napotkał. Mężczyźni z jego rodu odznaczali się gwałtownym charakterem graniczącym z obłędem, a jak sądzę, w przypadku mego ojczyma tę cechę zaostrzył długi pobyt w tropikalnym klimacie. Po serii haniebnych burd, z których dwie znalazły swój finał w sądzie, doktor Roylott stał się postrachem wioski, a mieszkańcy uciekali na sam jego widok. Jest on człowiekiem niezwykle silnym, gdy owładnie nim gniew. W zeszłym tygodniu pchnął miejscowego kowala przez barierkę wprost do strumienia, więc musiałam wydać wszystkie pieniądze, jakie udało mi się zebrać, by uniknąć kolejnej publicznej kompromitacji. Mój ojczym nie miał żadnych przyjaciół prócz taboru wędrownych Cyganów, którym pozwalał rozbijać obóz na kilku akrach zachwaszczonej ziemi na terenie posiadłości; w zamian za to korzystał z ich gościnności i wędrował z nimi nieraz przez całe tygodnie. Doktor ma także słabość do orientalnych zwierząt, które przysyła mu hinduski znajomy. Obecnie ma geparda i pawiana, które swobodnie poruszają się po posiadłości i przerażają wieśniaków niemal równie mocno jak on sam. Proszę pana, ja i moja biedna siostra Julia nie zaznałyśmy w życiu wiele radości. Nikt nie chciał przyjść do nas na służbę. Bardzo długo same wykonywałyśmy wszystkie prace domowe. Moja siostra miała zaledwie trzydzieści lat, gdy umarła, ale jej włosy zaczęły już siwieć, podobnie jak moje.

– Pani siostra nie żyje?!

– Zmarła dwa lata temu i właśnie o jej śmierci chcę z panem pomówić. Prowadzę, niestety, życie, jakie opisałam. Nie miałyśmy z siostrą wielu okazji do spotkań z rówieśnikami lub osobami z naszego kręgu. Panie Holmes, mam ciotkę, stryjeczną siostrę mojej matki. Nazywa się Honoria Westphail, jest panną, mieszka niedaleko Harrow. Od czasu do czasu ojczym pozwalał nam składać jej krótkie wizyty. Dwa lata temu Julia pojechała do cioci na Boże Narodzenie i poznała majora marynarki w stanie spoczynku. Wkrótce się zaręczyła. Kiedy ojczym dowiedział się o tym, nie

sprzeciwił się, ale na dwa tygodnie przed ślubem doszło do strasznego wydarzenia. Straciłam swą jedyną przyjaciółkę.

Holmes siedział w fotelu z zamkniętymi oczami; jego głowa spoczywała na zagłówku. Po ostatnich słowach rozmówczyni otworzył oczy i popatrzył na kobietę.

– Proszę opowiedzieć mi wszystko w szczegółach – rzekł.

– Z tym kłopotu nie będzie. Wydarzenia tych strasznych dni wryły mi się głęboko w pamięć. Jak wspomniałam, dwór jest bardzo stary; zamieszkane jest obecnie tylko jedno jego skrzydło. Na parterze znajdują się sypialnie; salony mieszczą się w środkowej części budynku. Pierwsza sypialnia należy do doktora Roylotta, w drugiej spała moja siostra, a trzecia jest moja. Pokoje nie są ze sobą połączone, ale wszystkie wychodzą na ten sam korytarz. Czy wyrażam się jasno?

– Jak najbardziej.

– Okna wszystkich trzech pokoi wychodzą na trawnik. Feralnej nocy doktor Roylott udał się wcześnie do swego pokoju, ale się nie położył, o czym wiedziała siostra, męcząc się zapachem mocnych hinduskich cygar, które nasz ojczym palił. Siostra przyszła do mnie. Spędziłyśmy razem jakiś czas, rozmawiając o ślubie. O jedenastej wstała, by pójść do siebie, ale zatrzymała się przy drzwiach i spytała mnie: „Czy słyszałaś kiedykolwiek gwizdanie w środku nocy?” „Nie, nigdy” – odpowiedziałam. „Niemożliwe, żebyś ty gwizdała przez sen” – nie ustępowała. „Na pewno nie, dlaczego pytasz?” – spytałam. „Przez kilka ostatnich nocy, około trzeciej nad ranem, słyszałam wyraźnie ciche gwizdanie. Mam lekki sen i ten odgłos zawsze mnie budził. Nie potrafię powiedzieć, skąd dochodził, może z pokoju obok, może z trawnika. Słyszałaś go?” „Nie słyszałam. Może są to ci wstrętni Cyganie?”. „Bardzo możliwe. Ale jeśli gwizdanie dochodziło z trawnika, dziwię się, że ty go nie słyszałaś”. „Mam twardy sen”. „Tak czy inaczej to bez znaczenia” – stwierdziła Julia, uśmiechnęła się do mnie i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Po chwili usłyszałam, jak jej klucz obraca się w zamku.

– Ach tak? Czy zawsze zamykały się panie na noc? – Chciał wiedzieć mój przyjaciel.

– Zawsze.

– Dlaczego?

– Mówiłam już, że doktor hoduje geparda i pawiana. Nie czułyśmy się bezpiecznie, póki nie zamknęłyśmy drzwi.

– Aha… Proszę opowiadać dalej.

– Tej nocy nie mogłam zasnąć. Trapiło mnie niejasne przeczucie nadchodzącego nieszczęścia. Wie pan, byłyśmy bliźniaczkami, a między rodzeństwem istnieje niezwykle silna, subtelna więź. Noc była niespokojna. Wył wicher, deszcz bębnił o szyby. Nagle przez odgłosy nawałnicy usłyszałam rozpaczliwy krzyk przerażonej kobiety. Poznałam głos siostry. Wyskoczyłam z łóżka, owinęłam się szalem i wybiegłam na korytarz. Kiedy otwierałam drzwi swego pokoju, wydawało mi się, że słyszę cichy gwizd, taki, o jakim mówiła Julia; po kilku chwilach coś brzęknęło, jakby upadł jakiś metalowy przedmiot. Kiedy podbiegłam do pokoju siostry, zobaczyłam, że drzwi są uchylone. Stałam, zdjęta przerażeniem, nie wiedziałam, co o tym wszystkim myśleć. Po chwili w drzwiach ukazała się moja siostra. Była blada z przerażenia, wyciągała ręce błagając o pomoc, i kiwała się jak pijana w przód i w tył. Podbiegłam do niej i objęłam, ale jej nogi się ugięły i sama upadła na podłogę. Wiła się tak, jakby odczuwała straszliwy ból, a jej kończyny wykrzywiły się w konwulsjach. Wydało mi się w pierwszej chwili, że mnie nie poznała, ale kiedy pochyliłam się nad nią, nagle wyrzęziła: „O mój Boże! Helen! To była wstęga! Wzorzysta wstęga!” Nigdy tego nie zapomnę! Usiłowała powiedzieć coś jeszcze. Wskazała palcem pokój doktora, ale znów chwyciły ją skurcze, które zdławiły słowa. Pobiegłam po ojczyma, wołając go głośno. Natknęłam się na niego, kiedy pośpiesznie wybiegał z pokoju ubrany w szlafrok. Gdy się znalazł przy mojej siostrze, ona była już nieprzytomna. Dał jej brandy i posłał do wioski po pomoc, lecz wysiłki okazały się bezowocne. Stan Julii się pogarszał; dziewczyna zmarła, nie odzyskawszy przytomności. Taki okropny koniec spotkał mą ukochaną siostrę.

– Chwileczkę – przerwał Holmes. – Czy jest pani pewna, że słyszała gwizd i metaliczny dźwięk? Mogłaby pani przysiąc, że je słyszała?

– To samo pytanie zadał mi lekarz sądowy podczas śledztwa. Jestem przekonana, że słyszałam te dźwięki, ale odgłosy burzy i skrzypienie starego domu były tak głośne, że mogło mi się to tylko wydawać.

– Czy pani siostra była ubrana?

– Miała na sobie koszulę nocną. W prawej ręce ściskała zwęgloną zapałkę, a w lewej trzymała pudełko zapałek.

– Czyli, zanim wszczęła alarm, zapaliła światło i rozejrzała się dookoła. To ważne. A do jakich wniosków doszedł lekarz sądowy?

– Zbadał wszystko z wielką uwagą, gdyż doktor Roylott słynął na całe hrabstwo ze swego zachowania, ale nie udało mu się ustalić przyczyny śmierci. Ja zeznałam, że drzwi były zamknięte od środka, a okna przesłaniały staroświeckie okiennice z grubymi, żelaznymi kratami, zamykane na noc. Uważnie opukano ściany, ale okazało się, że nie ma w nich żadnych pustych przestrzeni. Ten sam wynik dały oględziny podłogi. Komin jest szeroki, ale jego kanał zagradzają cztery duże klamry. Pewne jest, że moja siostra była przed śmiercią całkiem sama. Jej ciało nie nosiło śladów przemocy.

– Czy mogła zostać otruta?

– Lekarze nie znaleźli śladów trucizny.

– W takim razie, co według pani było przyczyną śmierci jej siostry?

– Była bardzo zdenerwowana i ogromnie przerażona, ale nie wiem, co mogło ją tak wystraszyć.

– Czy byli tu wówczas Cyganie?

– Tak. Prawie zawsze kręcą się w pobliżu.

– A co, według pani, mogły oznaczać słowa o wzorzystej wstędze?

– Mogło to być majaczenie, a może chodziło o wstęgę utworzoną z idących gęsiego ludzi, na przykład Cyganów. Wielu z nich nosi na głowach wzorzyste chusty. Może stąd te dziwne słowa?

Holmes potrząsnął głową; nie usatysfakcjonowało go takie tłumaczenie.

– To naciągane wyjaśnienie – stwierdził. – Proszę mówić dalej.

– Od tego czasu minęły dwa lata. Pędziłam do niedawna życie bardziej samotne niż kiedykolwiek wcześniej, jednak miesiąc temu mój dobry przyjaciel, którego znam od wielu lat, uczynił mi zaszczyt i poprosił mnie o rękę. Nazywa się Armitage, Percy Armitage jest drugim synem pana Armitage z Crane Water, niedaleko Reading. Mój ojczym nie sprzeciwił się naszemu małżeństwu; mamy wziąć ślub jeszcze tej wiosny. Dwa dni temu w zachodnim skrzydle domu rozpoczął się remont, podczas którego przebito jedną ze ścian mej sypialni. Musiałam przenieść się do pokoju, w którym zmarła moja siostra. Oczywiście, spałam w jej łóżku. Proszę sobie wyobrazić moje przerażenie, kiedy ostatniej nocy, leżąc bezsennie i rozmyślając o strasznym losie Julii, nagle usłyszałam to samo gwizdanie, które przedtem zwiastowało jej śmierć. Wyskoczyłam z łóżka i zapaliłam

lampę, ale w pokoju nie było nikogo. Byłam zbyt roztrzęsiona, aby się znów położyć. Ubrałam się, i kiedy tylko zaczęło się rozwidniać, wymknęłam się z domu. Naprzeciwko jest oberża „Crown Inn”. Wynajęłam tam dwukółkę i pojechałam do Leatherhead, skąd dotarłam rano tutaj, by się z panem zobaczyć i poprosić go o radę.

– Mądrze pani postąpiła – powiedział mój przyjaciel. – Ale niczego pani przede mną nie ukrywa?

– Nie, proszę pana.

– Nieprawda, panno Stoner. Chroni pani ojczyma.

– Jak to? Co pan ma na myśli?

Zamiast odpowiedzi Holmes odchylił mankiet z czarnej koronki i odsłonił rękę, która leżała na kolanie. Na białym nadgarstku widać było pięć sinych plam, odciski pięciu palców.

– Została pani okrutnie potraktowana – stwierdził Holmes.

Kobieta zarumieniła się i zakryła posiniaczony nadgarstek.

– To twardy człowiek – wyjaśniła. – I nieświadomy własnej siły.

Zapadła długa cisza. Holmes oparł na dłoniach podbródek i wpatrywał się w trzaskający ogień .

– To bardzo skomplikowana sprawa – powiedział w końcu. – Chciałbym sprawdzić tysiąc szczegółów, nim zdecyduję o sposobie działania. Nie mamy jednak ani chwili do stracenia. Gdybyśmy dziś przyjechali do Stoke Moran, moglibyśmy obejrzeć pokoje, ale tak, by pani ojczym się o tym nie dowiedział?

– Tak się składa, że wybiera się dziś do miasta w jakiejś ważnej sprawie. Możliwe, że nie będzie go przez cały dzień i nikt panom nie przeszkodzi. Mamy gospodynię, ale ona jest stara i głupia, mogę bez trudu odwrócić jej uwagę.

– Znakomicie. Watsonie, nie masz nic przeciwko podróży?

– Bynajmniej.

– W takim razie pojedziemy obaj. A jakie ma pani plany?

– Skoro już jestem w mieście, chciałabym załatwić kilka spraw, ale zamierzam wrócić pociągiem o dwunastej, żeby być w domu, kiedy panowie przyjadą.

– Proszę się nas spodziewać wczesnym popołudniem. Sam jeszcze mam tu coś do zrobienia. Czy zje pani z nami śniadanie?

– Dziękuję, ale muszę już iść. Zrobiło mi się lżej na sercu, kiedy o wszystkim panu opowiedziałam. Będę czekała na nasze spotkanie dziś po południu – powiedziała kobieta, po czym opuściła grubą czarną woalkę i lekkim krokiem wyszła z pokoju.

– Co o tym myślisz, Watsonie? – spytał Holmes, rozpierając się w fotelu.

– To mroczna i ponura sprawa.

– Bez wątpienia.

– Ale jeśli prawdą jest to, co mówiła nasza młoda dama, że w ścianach i podłodze nie ma otworów, drzwi były zamknięte, a przez okno i komin nie da się przejść, jej siostra naprawdę była sama przed swoją zagadkową śmiercią.

– A co z nocnym gwizdaniem i niezwykle osobliwymi słowami umierającej?

– Nie mam pojęcia.

– Kiedy połączy się te gwizdy, obecność Cyganów zaprzyjaźnionych ze starym doktorem, fakt, że Roylott miał interes w tym, by nie dopuścić do małżeństwa pasierbicy oraz ostatnie słowa dotyczące wstęgi, można podejrzewać, że metaliczny dźwięk, który słyszała panna Helen Stoner, to odgłos wydawany przez przesuwane kraty zabezpieczające okiennice.

– Ale co mogli z nimi zrobić Cyganie?

– Nie mam pojęcia.

– A ja mam wiele wątpliwości co do tej teorii.

– Ja również. Dlatego właśnie jedziemy dziś do Stoke Moran. Muszę sprawdzić czy wątpliwości da się rozwiać, czy też podważą one moje przypuszczenia. Ale… co to, do diaska?

Mój towarzysz wydał okrzyk, gdyż drzwi się nagle otworzyły i stanął w nich mężczyzna potężnej postury. Odziany był osobliwie, jego ubranie stanowiło połączenie stroju miejskiego i wiejskiego – miał na sobie cylinder, długi frak i getry, a w dłoni dzierżył palcat. Był tak wysoki, że jego kapelusz ocierał się o górną część framugi, i tak potężny, że wypełniał sobą całe przejście. Jego duża twarz poorana tysiącem zmarszczek, pożółkła od słońca i naznaczona śladami wszelkich nikczemnych cech, odwracała się to do jednego, to do drugiego z nas. Głęboko osadzone, nabiegłe żółcią oczy i długi, cienki nos upodabniały mężczyznę do starego, drapieżnego ptaka.

– Który z panów to Holmes? – spytał nasz niespodziewany gość.

– To moje nazwisko, proszę pana. Nie znam natomiast pańskiego – powiedział cicho mój towarzysz.

– Jestem doktor Grimesby Roylott ze Stoke Moran.

– Miło mi, doktorze – powiedział Holmes spokojnie. – Proszę usiąść.

– Ani myślę. Była tu moja pasierbica. Szedłem za nią. Co panu naopowiadała?

– Jest nieco zimno jak na tę porę roku – stwierdził Holmes.

– Co panu naopowiadała? – wykrzyknął starzec z wściekłością.

– Ale podobno krokusy będą ładnie kwitły – ciągnął niewzruszenie mój przyjaciel.

– Ha! A więc chcesz mnie zbyć? – wrzasnął mężczyzna, robiąc krok do przodu i wymachując palcatem. – Już ja cię znam, łajdaku. Słyszałem o tobie. Jesteś Holmes Wścibski.

Mój przyjaciel się uśmiechnął.

– Holmes Natrętny!

Uśmiech stał się szerszy.

– Holmes Sługus Scotland Yardu!

Holmes roześmiał się serdecznie.

– Pańskie wypowiedzi są doprawdy interesujące – stwierdził. – Wychodząc, proszę zamknąć za sobą drzwi. Jest przeciąg.

– Wyjdę, kiedy powiem to, co mam do powiedzenia. Nie waż się pan mieszać w moje sprawy. Wiem, że panna Stoner tu była. Śledziłem ją! Jestem takim człowiekiem, z którym lepiej się nie wadzić! Proszę spojrzeć! – szybko podszedł do kominka, chwycił pogrzebacz i zgiął go wpół swymi ogromnymi, ogorzałymi rękami.

– Uważaj pan, żebym pana nie dostał w swoje ręce! – warknął, rzucił zgięty pogrzebacz na kominek i wyszedł z pokoju.

– Jaki uroczy człowiek – Holmes nie mógł się powstrzymać od śmiechu. – Wprawdzie nie jestem równie potężny, ale gdyby został chwilę dłużej, mógłbym pokazać mu, że mam nie mniej krzepy niż on – mówiąc to, podniósł pogrzebacz i szybkim ruchem przywrócił mu dawny kształt. – Cóż za bezczelność utożsamiać mnie z policyjnymi detektywami! Ten incydent dodaje smaczku dochodzeniu. Mam nadzieję, że nasza młoda przyjaciółka nie będzie miała nieprzyjemności z powodu tego, że ojczym ją wyśledził. Teraz, Watsonie, zjemy śniadanie, a później pójdę do Kolegium Cywilistów. Myślę, że uda mi się tam uzyskać ważne informacje.

Dochodziła pierwsza, kiedy Holmes wrócił ze swej wyprawy. Trzymał w ręku arkusz niebieskiego papieru, na którym były nabazgrane notatki i cyfry.

– Widziałem testament zmarłej żony doktora, chciałem sprawdzić, co zostało w nim zawarte – wyjaśnił. – Musiałem też obliczyć obecne zyski z opisanych w nim inwestycji. Całkowity dochód, który w chwili śmierci testatorki wynosił niecałe tysiąc sto funtów, zmalał w wyniku spadku cen płodów rolnych do siedmiuset pięćdziesięciu funtów. Każda córka była uprawniona do pobierania dwustu pięćdziesięciu funtów po zawarciu małżeństwa. Jest zatem jasne, że gdyby obie wyszły za mąż, ta okrągła sumka skurczyłaby się do śmiesznej kwoty, a nawet zamążpójście jednej z dziewcząt poważnie by ją uszczupliło. Dobrze wykorzystałem ten poranek, upewniłem się, że ojczym ma bardzo istotny powód, by nie dopuścić do żadnego małżeństwa. A teraz, Watsonie, nie mamy czasu do stracenia, zwłaszcza że doktor wie, iż interesujemy się jego sprawą. Jeśli jesteś gotów, wezwijmy dorożkę; pojedziemy na dworzec Waterloo. Byłbym wielce zobowiązany, gdybyś wziął ze sobą rewolwer. Broń marki Eley to znakomity argument w dyskusji z dżentelmenem, który potrafi zawiązywać pogrzebacze na supeł. Myślę, że poza rewolwerem potrzebujemy jedynie szczoteczek do zębów.

Na dworcu udało nam się szybko złapać pociąg do Leatherhead. W gospodzie przy stacji wynajęliśmy dwukółkę; mieliśmy przed sobą cztery lub pięć mil uroczej drogi, typowej dla Surrey. Pogoda była idealna. Słońce świeciło jaskrawo, a po niebie płynęło kilka pierzastych chmurek. Drzewa i krzewy rosnące przy drodze wypuszczały pierwsze pąki, a powietrze było nasycone przyjemnym zapachem wilgotnej ziemi. Słodkie obietnice wiosny tworzyły dla mnie dziwny kontrast z ponurą sprawą, z powodu której przyjechaliśmy tutaj. Mój towarzysz siedział z przodu ze skrzyżowanymi rękami; kapelusz miał nasunięty na oczy, głowę opuścił na piersi. Był zatopiony w myślach, ale nagle drgnął, dotknął mego ramienia i wskazał na łąki.

– Popatrz na to – powiedział.

Na łagodnym wzgórzu rozciągał się gęsty las, który na szczycie przechodził w zagajnik. Pomiędzy gałęziami prześwitywały szare ściany i dach bardzo starego dworu.

– Czy to Stoke Moran? – spytał Holmes.

– Tak, proszę pana, to dom doktora Grimesby’ego Roylotta – potwierdził woźnica.

– Jest tam teraz jakiś remont – odrzekł mój przyjaciel – tam właśnie chcemy pojechać.

– Wioska leży w innym miejscu – wyjaśnił woźnica, wskazując na dachy widoczne w pewnej odległości po naszej lewej stronie – ale jeśli chcą się panowie dostać do domu, najlepiej będzie przejść przez przełaz, a potem ścieżką przez pola jak idzie tamta pani.

– Zdaje się, że to panna Stoner – zauważył Holmes, osłaniając ręką oczy. – Dziękuję, pójdziemy za pańską radą.

Wysiedliśmy, zapłaciliśmy woźnicy i dwukółka ruszyła w drogę powrotną do Leatherhead.

– Pomyślałem sobie – rzekł Holmes, kiedy wchodziliśmy na pole – że lepiej będzie, aby ten człowiek myślał, iż jesteśmy architektami lub przyjechaliśmy tu w interesach. Może to go powstrzyma przed plotkowaniem na nasz temat. Dzień dobry, panno Stoner. Widzę, że dotrzymała pani słowa.

Nasza klientka pośpieszyła nam na powitanie, na jej twarzy malowała się radość.

– Tak bardzo na panów czekałam! – krzyknęła, ściskając nam ręce. – Wszystko znakomicie się udało. Doktor Roylott pojechał do miasta i raczej nie wróci przed wieczorem.

– Mieliśmy przyjemność poznać doktora – rzekł Holmes, po czym w kilku słowach wyjaśnił, co zaszło. Panna Stoner pobladła, słuchając jego opowieści.

– Wielkie nieba! – wykrzyknęła. – Śledził mnie!

– Na to wygląda.

– Jest tak przebiegły, że nigdy nie czuję się bezpieczna. Czego mam się spodziewać po jego powrocie?

– Powinien mieć się na baczności, może się bowiem okazać, że tropi go ktoś bardziej przemyślny niż on sam. Proszę zamknąć się dziś w swoim pokoju, a jeśli doktor będzie próbował się pani naprzykrzać, zawieziemy panią do ciotki, do Harrow. Teraz musimy jak najlepiej wykorzystać czas. Proszę zaprowadzić nas do pokoi, które mamy obejrzeć.

Kamień, z którego został zbudowany dwór, był porośnięty mchem. Środkowa część wznosiła się wysoko, a dwa łukowate skrzydła rozciągały

się po jej bokach niczym szczypce kraba. W jednym ze skrzydeł brakowało szyb, okna były zabite deskami, a dach się zapadał. Istny obraz nędzy i rozpaczy! Centralna część budynku była w nieco lepszym stanie, a prawe skrzydło wyglądało dość nowocześnie. W oknach były rolety, a z kominów unosił się błękitny dym, tam właśnie mieszkała rodzina. Przy jednej ze ścian stały rusztowania, a kamienne mury były w jednym miejscu przebite. Kiedy dotarliśmy na miejsce, nie zastaliśmy tam nikogo z robotników. Holmes powoli przeszedł się po zaniedbanym trawniku i z wielką uwagą przyjrzał się oknom od zewnątrz.

– Rozumiem, że to jest okno pani dawnego pokoju, to środkowe – pokoju pani siostry, a położone najbliżej głównego budynku znajduje się w sypialni doktora Roylotta?

– Zgadza się. Teraz śpię w środkowym pokoju.

– Przeniosła się tam pani na czas remontu? Nie wydaje mi się jednak, by ta ściana pilnie wymagała naprawy.

– Bo nie wymaga. Sądzę, że prace były pretekstem, by zmusić mnie do zmiany pokoju.

– Tak, to wiele wyjaśnia. Rozumiem, że po drugiej stronie tego wąskiego skrzydła biegnie korytarz, na który wychodzą pokoje. Czy są w nim okna?

– Tak, ale bardzo małe. Nikt by się nie przecisnął przez nie.

– Obie panie – zarówno pani siostra jak i pani, zamykałyście drzwi na noc, więc nie sposób było dostać się do waszych sypialni z tamtej strony. Czy mogłaby pani teraz pójść do swojego pokoju i zamknąć okiennice?

Panna Stoner zrobiła to, o co prosił Holmes, a on, po uważnym przyjrzeniu się okiennicom, próbował najróżniejszych sposobów, by je otworzyć z zewnątrz, jednak mu się to nie udało. Nie znalazł szpary, w którą można by wetknąć nóż, by podważyć kratę, a oględziny zawiasów dokonane przez szkło powiększające wykazały, że są one wykonane z żelaza i mocno osadzone w masywnym murze.

– Hmm – stwierdził mój przyjaciel, z zakłopotaniem pocierając podbródek – zdaje się, że moja teoria się nie potwierdza. Nikt nie zdołałby sforsować zamkniętych okiennic. Zobaczmy czy uda się coś znaleźć we wnętrzu domu.

Niewielkie boczne drzwi prowadziły do bielonego wapnem korytarza, na który wychodziły trzy sypialnie. Do pierwszej z nich Holmes nawet nie zajrzał. Poszliśmy od razu do środkowej, w której sypiała obecnie panna

Stoner, a gdzie wyzionęła ducha jej siostra. Był to przytulny pokoik z niskim sufitem i otwartym kominkiem, typowy dla starych wiejskich domów. W jednym rogu znajdowało się wąskie łóżko przykryte białą narzutą, w drugim stała komódka, a po lewej stronie od okna – toaletka. Te sprzęty oraz dwa wyplatane krzesła stanowiły całe umeblowanie pokoju. Pośrodku leżał wełniany dywan. Podłoga i boazeria na ścianach wykonane z brązowej, przeżartej przez korniki dębiny były tak stare, że zapewne nie były zmieniane od czasu zbudowania domu. Holmes postawił jedno z krzeseł w rogu i w milczeniu usiadł na nim, dokładnie lustrując wzrokiem każdy szczegół pokoju.

– Gdzie znajduje się dzwonek? – spytał w końcu, wskazując na wiszący nad łóżkiem gruby sznur zakończony frędzlem, który leżał na poduszce.

– W pokoju gospodyni.

– Sznur wydaje się nowszy niż reszta sprzętów.

– Owszem, został założony zaledwie kilka lat temu.

– Prosiła o to pani siostra?

– Nie, nigdy nie słyszałam, by go używała. Przywykłyśmy same się o siebie troszczyć.

– Istotnie, zdaje się, że umieszczono go tu bez potrzeby. A teraz proszę wybaczyć, przez chwilę przyjrzę się podłodze. – Holmes pochylił się nad posadzką i z lupą w dłoni zaczął się czołgać tam i z powrotem, uważnie oglądając szpary pomiędzy deskami. Następnie z taką samą uwagą przyjrzał się boazerii. Wreszcie podszedł do łóżka i przez jakiś czas badał jego konstrukcję oraz ścianę, przy której stał mebel. W końcu chwycił sznur i mocno za niego pociągnął.

– To atrapa – stwierdził.

– Jak to, nie dzwoni?

– Nie, nie jest nawet przymocowany do dzwonka. Ciekawe… Proszę się przyjrzeć, wisi tylko na haczyku, który umocowano tuż nad małym otworem wentylacyjnym.

– Cóż za absurd! Nigdy wcześniej tego nie zauważyłam.

– To bardzo dziwne – mruknął Holmes, ciągnąc ponownie za sznur. – W ogóle kilka rzeczy w tym pokoju mnie zastanawia. Na przykład, jakim głupcem musiał być jego budowniczy, skoro przebił otwór wentylacyjny do drugiej sypialni. Przecież równie łatwo mógł wpuścić tu świeże powietrze z zewnątrz!

– Ten otwór jest tu od niedawna – wyjaśniła dziewczyna.

– Pojawił się w tym samym mniej więcej czasie co sznur? – domyślił się Holmes.

– Tak, wówczas wykonano w domu kilka prac.

– Ich efekty są zaiste interesujące: atrapy sznurów od dzwonka i otwory wentylacyjne, które nie spełniają swej funkcji. Za pani pozwoleniem, panno Stoner, obejrzymy teraz kolejny pokój.

Sypialnia doktora Grimesby'ego Roylotta była większa niż pokój jego pasierbicy, ale równie prosto umeblowana. Przy łóżku polowym stał fotel, niewielka drewniana biblioteczka wypełniona była książkami, głównie z dziedziny techniki; znajdowały się tu jeszcze zwykłe drewniane krzesło przy ścianie, okrągły stół i duży, żelazny sejf. Holmes powoli okrążył pokój, przyglądając się z zainteresowaniem każdemu przedmiotowi po kolei.

– Co jest w środku? – spytał, stukając w sejf.

– Papiery mego ojczyma.

– Zaglądała tam pani?

– Tylko raz, kilka lat temu. Pamiętam, że był wypełniony papierami.

– I nie było w nim, na przykład, kota?

– Nie. Skąd ten dziwny pomysł?

– Proszę spojrzeć na to – powiedział, wskazując na stojący na sejfie spodeczek z mlekiem.

– Nie mamy kota, są tu jednak pawian i gepard.

– Ano tak! Gepard jest co prawda wielkim kotem, ale śmiem twierdzić, że spodeczek mleka nie zaspokoi raczej jego apetytu. Chciałbym sprawdzić jeszcze jedno – rzekł, kucając przed drewnianym krzesłem i uważnie przyglądając się jego siedzeniu.

– Dziękuję, to wystarczy. – Wstał i schował lupę do kieszeni. – Oho! Znalazłem coś wielce interesującego!

Przedmiotem, który przykuł uwagę mego przyjaciela, okazała się krótka smycz zwisająca z rogu łóżka. Zawiązano ją tak, że na jej końcu powstała pętla podobna do tej na końcu bata.

– Co o tym sądzisz, Watsonie?

– To całkiem zwyczajna smycz, nie wiem tylko, po co zawiązał pętlę.

– To już nie jest takie zwyczajne, prawda? Do licha, ten świat jest zły, ale nigdy nie bywa gorszy niż wtedy, gdy przemyślny człowiek używa swego

sprytu do popełnienia zbrodni. Sądzę, że dość już widziałem. Panno Stoner, za pani pozwoleniem chciałbym wyjść na trawnik.

Nigdy nie widziałem twarzy mego przyjaciela równie ponurej i nachmurzonej jak wówczas, gdy opuściliśmy to miejsce. Kilka razy przeszliśmy się w milczeniu tam i z powrotem po trawniku, gdyż nie chcieliśmy przerywać biegu myśli Holmesa, póki sam nie ocknie się z zadumy. W końcu mój przyjaciel stwierdził:

– Panno Stoner, proszę się zastosować skrupulatnie do moich rad, jest to niezwykle ważne.

– Z pewnością ich posłucham.

– Sprawa jest zbyt poważna, nie wolno się wahać. Od pani posłuszeństwa może zależeć jej życie.

– Oddaję się do pana dyspozycji.

– Po pierwsze, ja i mój przyjaciel spędzimy najbliższą noc w pani pokoju.

Oboje z panną Stoner spojrzeliśmy na niego, zaskoczeni.

– Jest to niezbędne. Wszystko pani wyjaśnię. Czy we wsi jest oberża?

– Owszem, „Crown Inn”.

– Znakomicie. Czy widać z niej pani okna?

– Z pewnością.

– Po powrocie ojczyma pójdzie pani do swego pokoju, wymawiając się bólem głowy. Kiedy pani usłyszy, że doktor udał się na spoczynek, proszę otworzyć okiennice, odsunąć zasuwę, postawić w oknie zapaloną lampę, która będzie dla nas sygnałem, zabrać wszystko, czego może pani potrzebować i pójść do swej dawnej sypialni. Sądzę, że mimo prowadzonych tam prac, zdoła pani wytrzymać w niej jedną noc.

– O tak, bez trudu.

– Resztę proszę pozostawić nam.

– Co zamierzają panowie zrobić?

– Spędzimy noc w pani pokoju, by odkryć przyczynę nękających ją hałasów.

– Panie Holmes, zdaje się, że wyrobił pan już sobie pogląd na tę sprawę – stwierdziła panna Stoner, kładąc rękę na rękawie mego towarzysza.

– Być może.

– Proszę o litość, proszę mi powiedzieć, co było przyczyną śmierci mojej siostry.

– Wolałbym wstrzymać się z tym do chwili zdobycia niepodważalnych dowodów.

– Może pan przynajmniej powiedzieć mi, czy potwierdziły się moje przypuszczenia, że zmarła z powodu nagłego przerażenia?

– Nie sądzę. Myślę, że istniała bardziej realna przyczyna. A teraz, panno Stoner, musimy panią zostawić. Gdyby doktor Roylott nas tu zastał, wszystkie wysiłki poszłyby na marne. Do zobaczenia, proszę być dzielną. Jeśli zrobi pani to, o co prosiłem, może pani być pewna, że wkrótce nie będzie jej groziło żadne niebezpieczeństwo.

Bez przeszkód wynajęliśmy z Holmesem sypialnię i salon w „Crown Inn”. Nasze pokoje znajdowały się na piętrze. Z ich okien widać było bramę i zamieszkane skrzydło dworu Stoke Moran. O zmierzchu zobaczyliśmy, jak przyjechał doktor Grimesby Roylott. Jego potężna postać górowała nad drobną sylwetką powożącego chłopca. Woźnica miał trudności z otwarciem ciężkiej, żelaznej bramy; słyszeliśmy ochrypły ryk doktora i widzieliśmy, z jaką wściekłością wygrażał młodzikowi pięściami. W końcu dwukółka wjechała przez bramę, a kilka minut później ukazało się pomiędzy drzewami światło lampy, która została zapalona w jednym z salonów.

– Watsonie – rzekł Holmes, kiedy siedzieliśmy razem w zapadających ciemnościach – nie wiem czy powinienem cię zabierać dziś ze sobą. Może być bardzo niebezpiecznie.

– Czy mogę się przydać?

– Twoja obecność może przynieść nieocenione korzyści.

– W takim razie bezwzględnie idę z tobą.

– To bardzo uprzejme z twojej strony.

– Mówiłeś o niebezpieczeństwie. Najwyraźniej zobaczyłeś w tych pokojach coś, czego ja nie zauważyłem.

– Nie. Widzieliśmy obaj to samo, ale mnie się udało coś z tego wywnioskować.

– Nie dostrzegłem niczego godnego uwagi poza sznurem od dzwonka, ale nie potrafię sobie wyobrazić, do czego miałby on służyć.

– Widziałeś otwór wentylacyjny?

– Tak, ale nie wydaje mi się, by niewielki otwór pomiędzy pokojami był czymś szczególnie niezwykłym. Jest tak mały, że nawet szczurowi niełatwo byłoby się przez niego przecisnąć.

– Wiedziałem, że znajdziemy taki otwór, jeszcze nim znaleźliśmy się w Stoke Moran.

– Drogi Holmesie!

– Tak było. Pamiętasz zapewne, jak panna Stoner stwierdziła, że jej siostra czuła zapach cygar doktora Roylotta. To od razu nasunęło mi myśl, że pomiędzy pokojami musi istnieć połączenie na tyle małe, że nie zwrócono na nie uwagi podczas śledztwa. Wywnioskowałem zatem, że chodzi o otwór wentylacyjny.

– Jaką szkodę może spowodować taki otwór?

– Zwróć uwagę na osobliwą zbieżność dat. W ścianie, przy której stoi łóżko, wybito otwór wentylacyjny i zawieszono sznur od dzwonka. Dziewczyna, która śpi w tym łóżku, umiera. Czy to cię nie zastanawia?

– Jak dotąd, nie widzę związku pomiędzy tymi faktami.

– Czy nie zauważyłeś niczego niezwykłego w łóżku?

– Nie.

– Jest przytwierdzone do podłogi. Czy widziałeś wcześniej coś takiego?

– Muszę przyznać, że nie.

– Panna Julia nie mogła zatem przesunąć łóżka. Ono zawsze znajdowało się w tej samej pozycji względem otworu i sznura. Nie mówię już o dzwonku, gdyż najwyraźniej nigdy nie był do tego sznura przymocowany.

– Holmesie! – wykrzyknąłem. – Zdaje się, że zaczynam rozumieć, do czego zmierzasz. Przybyliśmy w samą porę, by zapobiec potwornej i jakże wyrafinowanej zbrodni.

– Bardzo potwornej i bardzo wyrafinowanej. Kiedy lekarz schodzi na złą drogę, staje się najgroźniejszym z przestępców, posiada bowiem rozległą wiedzę i stalowe nerwy. Palmer i Pritchard należeli do najlepszych specjalistów w swym zawodzie. Ten człowiek jest jeszcze bardziej przebiegły, ale sądzę, Watsonie, że mimo wszystko uda nam się go przechytrzyć. Nim skończy się ta noc, będziemy świadkami wielkich okropności, więc póki co, zapalmy spokojnie fajki i spędźmy tych kilka godzin, myśląc i rozmawiając o czymś przyjemniejszym.

Około dziewiątej światła przebłyskujące pomiędzy drzewami zgasły i dwór pogrążył się w mroku. Powoli upłynęły dwie godziny. Kiedy zegar wybijał jedenastą, tuż naprzeciwko naszych okien pojawiło się jedno jaskrawe światełko.

– Oto sygnał dla nas! – Holmes zerwał się na równe nogi. – Lampa stoi w środkowym oknie.

Nim wyszliśmy, mój przyjaciel zamienił kilka słów z gospodarzem, wyjaśniając mu, że udajemy się z późną wizytą do znajomego, zatem niewykluczone, iż spędzimy u niego noc. Po chwili znaleźliśmy się na nieoświetlonej drodze. Zimny wiatr wiał prosto w twarz. Szliśmy, kierując się samotnym, żółtym światełkiem migoczącym w mroku.

Bez trudu weszliśmy na teren posiadłości, gdyż w starym murze otaczającym park były liczne wyłomy. Idąc pomiędzy drzewami, dotarliśmy do trawnika, przecięliśmy go i już mieliśmy wejść przez okno do domu, kiedy z kępy wawrzynu wyskoczył stwór przypominający wyglądem ohydnie zniekształcone dziecko, opadł na trawę pokręconymi kończynami, szybko przemknął przez trawnik i zniknął w mroku.

– Mój Boże! – wyszeptałem. – Widziałeś to?

Przez chwilę Holmes był równie zbity z tropu jak ja i poruszony, złapał mnie za nadgarstek. Jego ręka zacisnęła się na mojej jak imadło, jednak szybko wybuchnął cichym śmiechem i przyłożył usta do mojego ucha.

– Doprawdy, to uroczy dom – wymamrotał. – Właśnie spotkaliśmy pawiana.

Zapomniałem o dziwnych ulubieńcach doktora. Gdzieś na terenie posiadłości znajdował się również gepard, który w każdej chwili mógł skoczyć nam na plecy. Muszę przyznać, że poczułem się znacznie spokojniejszy, kiedy idąc za przykładem Holmesa, zdjąłem buty i wdrapałem się do sypialni. Mój towarzysz bezgłośnie zamknął okiennice, przestawił lampę na stolik i obrzucił wzrokiem pokój. Wszystko w środku wyglądało tak samo, jak podczas naszej wizyty w ciągu dnia. Holmes podkradł się do mnie, zwinął dłonie w trąbkę i szepnął do ucha tak, że ledwie zdołałem rozróżnić słowa:

– Nawet najcichszy dźwięk może pokrzyżować nasze plany.

Skinąłem głową na znak, że usłyszałem.

– Musimy siedzieć po ciemku. Przez otwór widać światło.

Ponownie pokiwałem głową.

– Nie zasypiaj. Od tego będzie zależało twoje życie. Miej pod ręką pistolet, może się przydać. Ja usiądę na skraju łóżka, ty siądź na tamtym krześle.

Wyjąłem rewolwer i położyłem go na stoliku. Holmes położył obok siebie długą, cienką rózgę, którą przyniósł ze sobą, a obok niej pudełko zapałek i ogarek świecy. Następnie zgasił lampę i pokój pogrążył się w ciemnościach.

Nigdy nie zapomnę tego straszliwego oczekiwania. Do moich uszu nie dochodził żaden dźwięk, nawet odgłos oddechu, ale wiedziałem, że mój towarzysz siedzi z otwartymi oczami zaledwie o kilka stóp ode mnie, w takim samym stanie nerwowego napięcia, w jakim znajdowałem się i ja. Przez okiennice nie przedostawał się nawet najmniejszy promyczek światła, czekaliśmy więc w całkowitych ciemnościach.

Z zewnątrz od czasu do czasu dochodziły krzyki nocnych ptaków, a raz usłyszałem tuż za oknem miauczenie, podobne do kociego. Świadczyło to, że po posiadłości istotnie grasuje gepard. Słychać też było odległe bicie zegara, który na wieży kościoła wydzwaniał kwadranse. Jakże długie się one zdawały! Wybiła dwunasta, pierwsza, druga i trzecia, a my wciąż siedzieliśmy w ciszy, czekając na to, co miało się stać.

Nagle w otworze wentylacyjnym rozbłysło światło, które po chwili zniknęło. Poczułem silny zapach płonącego oleju i rozgrzanego metalu, w pokoju obok zapalono lampę, a następnie ją osłonięto. Usłyszałem cichy szelest, a później znów zapadła cisza, jedynie zapach się nasilił. Przez pół godziny siedziałem, wytężając słuch. Nagle dało się słyszeć kolejny dźwięk, był to delikatny syk podobny do tego, jaki wydaje para buchająca z czajnika. Kiedy tylko rozległ się ten odgłos, Holmes zerwał się z łóżka, zapalił zapałkę i zaczął wściekle tłuc rózgą w sznur od dzwonka.

– Widziałeś go, Watsonie? Widziałeś go? – krzyknął.

Mnie jednak nie udało się niczego zobaczyć. Kiedy Holmes zapalił zapałkę, wyraźnie usłyszałem cichy gwizd, ale nagły rozbłysk oślepił moje przyzwyczajone do ciemności oczy. Nie miałem pojęcia, w co tak zawzięcie uderza mój przyjaciel. Zauważyłem jednak, że na jego twarzy, która stała się trupio blada, pojawił się wyraz przerażenia i obrzydzenia. Po chwili przestał wymachiwać rózgą i spojrzał w stronę otworu. Wtedy nocną ciszę rozdarł najstraszliwszy krzyk, jaki w życiu słyszałem. Ochrypły ryk bólu i wściekłości stawał się coraz głośniejszy, po czym przeszedł w okropne skrzeczenie. Podobno ten krzyk pobudził mieszkańców wioski, a nawet śpiących z sąsiedniej parafii. Obaj z Holmesem zdrętwieliśmy, usłyszawszy

go i staliśmy patrząc na siebie, póki nie przebrzmiało echo i znów nie zapanowała cisza.

– Co to było? – wykrztusiłem.

– Oznacza to, że już po wszystkim – odparł mój przyjaciel – i że być może stało się najlepsze, co się mogło stać. Weź swój rewolwer i chodź ze mną do sypialni doktora.

Z poważną miną zapalił lampę i wyszedł na korytarz. Dwukrotnie zapukał do drzwi, ale nie było żadnej odpowiedzi. Holmes przekręcił gałkę i wszedł do pokoju. Podążyłem za nim, ściskając w dłoni broń z odwiedzionym kurkiem.

Naszym oczom ukazał się osobliwy widok. Na stole stała częściowo przysłonięta lampa, rzucając jaskrawe światło na otwarty sejf. Doktor Grimesby Roylott siedział przy stole na drewnianym krześle. Był ubrany w długi, szary szlafrok, spod którego wystawały gołe kostki, a na nogach miał płaskie, czerwone tureckie kapcie. Na jego kolanach leżała zapętlona smycz, którą zauważyliśmy wcześniej. Głowę miał zadartą i martwym wzrokiem wpatrywał się w sufit, w oczach zastygło przerażenie. Czoło miał obwiązane dziwną, żółtą wstęgą w brązowe cętki, która ciasno przylegała do jego głowy. Kiedy weszliśmy do pokoju, doktor nie poruszył się ani nie wydał żadnego dźwięku.

– Wstęga! Wzorzysta wstęga! – wyszeptał Holmes.

Zrobiłem krok naprzód i w tej samej chwili osobliwe nakrycie głowy zaczęło się ruszać. Pomiędzy włosami mężczyzny ukazały się płaski, romboidalny łeb i napuszona szyja ohydnego węża.

– To żmija błotna, najbardziej jadowity wąż w Indiach! – wykrzyknął Holmes. – Roylott zmarł w ciągu dziesięciu sekund od ukąszenia. Prawdą jest, co mówią: kto pod kim dołki kopie, ten sam w nie wpada. Pozostaje nam umieścić tego potwora z powrotem w jego legowisku, zawieźć pannę Stoner w bezpieczne miejsce i powiadomić o wszystkim miejscową policję.

Mówiąc to, szybko chwycił smycz leżącą na kolanach zmarłego, opasał pętlą szyję gada, ściągnął go ze zwłok i niosąc w wyciągniętym ręku, wrzucił do sejfu, który natychmiast zamknął.

Oto cała prawda o śmierci doktora Grimesby’ego Roylotta ze Stoke Moran. Nie będę przedłużał opowieści, która i tak się rozrosła ponad miarę. Przekazaliśmy smutne wieści przerażonej pannie Stoner, odwieźliśmy ją porannym pociągiem do Harrow i oddaliśmy pod opiekę jej zacnej ciotki.

Przebiegające powoli oficjalne śledztwo zakończyło się stwierdzeniem, że przyczyną śmierci doktora była nieuwaga podczas zabawy z niebezpiecznym zwierzęciem. To, czego jeszcze nie wiedziałem o całej sprawie, dopowiedział Holmes następnego dnia podczas powrotnej podróży do Londynu.

– Drogi Watsonie – zaczął mój przyjaciel – wyciągnąłem całkowicie błędne wnioski, co pokazuje, jak niebezpieczna jest dedukcja, gdy nie ma wystarczających danych. Obecność Cyganów i słowo „wstęga”, którego biedna dziewczyna niewątpliwie użyła, by opisać to, co zdążyła zobaczyć w świetle zapałki, naprowadziły mnie na zupełnie fałszywy trop. Na swoje usprawiedliwienie mogę powiedzieć jedynie, że natychmiast odrzuciłem błędną hipotezę, kiedy stało się dla mnie jasne, że niebezpieczeństwo czyhające na lokatorki tego pokoju nie mogło wtargnąć do środka ani drzwiami, ani oknem. Jak już wspomniałem, moją uwagę natychmiast przykuły otwór wentylacyjny i sznur od dzwonka, który zwisał aż na łóżko. Kiedy odkryłem, że sznur to atrapa, a łóżko jest przytwierdzone do podłogi, powziąłem przypuszczenie, że sznur stanowi pomost dla czegoś, co ma się dostać przez otwór do łóżka. Natychmiast pomyślałem o wężu, a kiedy się dowiedziałem, że doktor sprowadza zwierzęta z Indii, poczułem, że wpadłem na trop. Pomysł zastosowania trucizny, której nie wykryją żadne testy chemiczne, mógł przyjść do głowy jedynie sprytnemu i bezlitosnemu człowiekowi, który kształcił się na wschodzie. Szybkość działania tego rodzaju trucizny również była dla niego korzystna. Tylko wyjątkowo bystry lekarz sądowy zauważyłby dwa małe, ciemne punkciki w miejscu, w które wbiły się zęby jadowe. Przypomniał mi się gwizd. Rzecz jasna, Roylott musiał mieć sposób, by wzywać węża z powrotem, aby ofiara nie zobaczyła go w świetle poranka. Wytresował gada, zapewne za pomocą mleka, które widzieliśmy na spodeczku, tak by wracał na wezwanie, po czym przekładał go przez otwór wentylacyjny o tej porze, którą uznał za dogodną, mając przekonanie, że wąż spełznie po linie na łóżko. Nie było pewne, że żmija ukąsi śpiącą, kobieta mogła unikać tego każdej nocy nawet przez tydzień, ale wcześniej czy później musiała paść ofiarą. Doszedłem do tych wniosków jeszcze przed wejściem do pokoju pana domu. Oględziny krzesła wykazały, że doktor regularnie na nim stawał, by sięgnąć do otworu. Sejf, spodeczek z mlekiem i zapętlona smycz rozwiały moje ostatnie wątpliwości. Metaliczny dźwięk, który słyszała panna Stoner, rozlegał się,

kiedy jej ojczym zamykał drzwi sejfu za jego straszliwym mieszkańcem. Kiedy potwierdziłem swoje przypuszczenia, podjąłem kroki, by dowieść słuszności moich domysłów. Usłyszawszy syk gada, który zapewne nie uszedł i twojej uwagi, natychmiast zapaliłem światło i ruszyłem do ataku, zmuszając węża do ucieczki z powrotem przez otwór i – jak się okazało – skłaniając go do zaatakowania jego pana, który znajdował się po drugiej stronie. Niektóre z mych ciosów dosięgły celu i rozdrażniły gada tak, że zaatakował pierwszą osobę, która stanęła mu na drodze. Niewątpliwie czyni mnie to współodpowiedzialnym za śmierć doktora Grimesby'ego Roylotta, ale nie wydaje mi się, bym odczuwał z tego powodu wyrzuty sumienia.

Opowieść dziewiąta

KCIUK INŻYNIERA

We wszystkich sprawach, które mój przyjaciel Sherlock Holmes rozwiązał w trakcie naszej znajomości, ja zwróciłem jego uwagę na zagadkowość problemu jedynie w dwóch przypadkach: szaleństwa pułkownika Warburtona i kciuka pana Hatherleya. Pierwsze z tych śledztw dawało mu duże pole do popisu jako wnikliwemu i oryginalnemu obserwatorowi, drugie natomiast zaczęło się tak dziwnie i przebiegało tak dramatycznie, że może być warte wzmianki, choć zapewniło memu przyjacielowi mniejsze możliwości stosowania dedukcji, dzięki której uzyskiwał tak znakomite wyniki. Zdaje się, że tę historię opisywały kiedyś gazety, ale jak w każdym podobnym przypadku robi znacznie mniejsze wrażenie, kiedy jest w skrócie podana na połowie kolumny, niż wówczas, gdy fakty powoli przewijają się przed oczyma czytelnika, a zagadka stopniowo się wyjaśnia, gdyż każdy nowy szczegół stanowi kolejny krok do odkrycia prawdy. Okoliczności tej sprawy wywarły na mnie na tyle głębokie wrażenie, że nie zdołały go zatrzeć dwa lata, jakie minęły od jej wyjaśnienia.

Zdarzenia, o których zamierzam tu opowiedzieć, miały miejsce w lecie 1889 roku, niedługo po moim ślubie. Wróciłem do cywilnej praktyki lekarskiej i pozostawiłem Holmesa samego w mieszkaniu przy Baker Street. Odwiedzałem go regularnie; czasem udawało mi się go przekonać, by porzucił swe nawyki i złożył nam wizytę. Miałem coraz więcej pacjentów, a że mieszkałem teraz niedaleko dworca Paddington, byli wśród nich także urzędnicy. Jeden z nich, którego wyleczyłem z bolesnej i przewlekłej choroby, zachwalał me umiejętności każdemu, komu tylko mógł, i posyłał go do mnie, jeśli tylko był w stanie namówić go do wizyty u lekarza.

Pewnego ranka, tuż przed siódmą, obudziło mnie pukanie. Pokojówka oznajmiła, że dwaj mężczyźni przybyli z dworca Paddington i są u mnie w poczekalni. Wiedziałem z doświadczenia, że wypadki na kolei rzadko bywają niegroźnymi, więc pośpiesznie się ubrałem i szybko zbiegłem na dół. Kiedy byłem na schodach, z poczekalni wyszedł mój dawny pacjent i zamknął za sobą drzwi.

– Przyprowadziłem go tu – wyszeptał, wskazując kciukiem drzwi. – On jest tutaj.

– O co chodzi? – spytałem.

Mówił tak, jakby zamknął u mnie jakiegoś dziwnego stwora.

– Pomyślałem, że sam go przyprowadzę, żeby nie uciekł. No i proszę, siedzi tam. Muszę lecieć, doktorze, mam swoje obowiązki, podobnie jak pan. – Mój niezawodny naganiacz poszedł, nim zdążyłem mu podziękować.

Przy stole w poczekalni siedział dżentelmen ubrany w tweedowy garnitur w kolorze wrzosu. Miękka, płócienna czapka leżała na książkach. Jedną rękę miał owiniętą chusteczką, całą pokrytą plamami krwi. Był to młody, trzydziestoletni mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy, bardzo blady, sprawiający wrażenie człowieka, który siłą woli stara się opanować silne wzburzenie.

– Przepraszam, że tak wcześnie zrywam pana z łóżka, doktorze – powiedział – ale w nocy uległem poważnemu wypadkowi. Przyjechałem rannym pociągiem. Kiedy rozpytywałem na dworcu Paddington, gdzie mogę znaleźć lekarza, ten zacny dżentelmen był na tyle miły, że zaprowadził mnie do pana. Dałem pokojówce wizytówkę, ale widzę, że zostawiła ją na stoliku. Zerknąłem na wizytówkę: „Pan Victor Hatherley, inżynier hydraulik, Victoria Street 16A (trzecie piętro)”.

Tak poznałem nazwisko, zawód i adres zamieszkania mego porannego gościa.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać – powiedziałem, siadając w fotelu. – Jechał pan całą noc, już samo to jest nużące.

– Och, ta ostatnia noc wcale nie była nudna – odrzekł mój pacjent i roześmiał się.

Półleżąc w krześle, cały trząsł się ze śmiechu, w którym brzmiała jakaś wysoka nuta. Jako lekarzowi bardzo mi się nie spodobał.

– Proszę przestać! Niech się pan weźmie w garść! – krzyknąłem i nalałem mu wody z karafki.

Nie przyniosło to jednak skutku. Mężczyzna wpadł w histerię. Zdarza się to czasem ludziom o silnym charakterze, którzy mają za sobą ciężkie przeżycia. Mój pacjent doszedł po chwili do siebie, ale był blady i wyglądał na wycieńczonego.

– Zrobiłem z siebie durnia – wykrztusił.

– Bynajmniej. Proszę to wypić. – Podałem mu wodę, do której wlałem trochę brandy i po chwili na jego blade policzki zaczął powoli wypływać rumieniec.

– Już lepiej – powiedział. – Doktorze, proszę zająć się teraz moim kciukiem, a raczej tym, co po nim pozostało.

Rozwinął chusteczkę i wyciągnął rękę. Choć mam stalowe nerwy, zadrżałem na ten widok. Cztery palce były wyprostowane, a w miejscu, gdzie powinien znajdować się kciuk, widniała ohydna, gąbczasta, czerwona plama. Palec został wyrwany albo odcięty u samej nasady.

– Wielkie nieba! – wykrzyknąłem. – To straszna rana. Musiała bardzo krwawić.

– Owszem. Po zranieniu zemdlałem i chyba przez długi czas byłem nieprzytomny. Kiedy odzyskałem świadomość, wciąż krwawiłem, więc mocno owinąłem chustkę wokół nadgarstka i przewiązałem gałązką.

– Znakomicie! Chirurg by tego lepiej nie zrobił!

– To hydraulika, która jest przecież moją dziedziną.

– Ranę zadano bardzo ciężkim, ostrym narzędziem – stwierdziłem, oglądając obrażenie.

– Czymś w rodzaju tasaka – potwierdził mój pacjent.

– Czy to był wypadek?

– Bynajmniej.

– Co takiego? Padł pan ofiarą zamachu?

– Nie inaczej.

– Przeraża mnie pan.

Oczyściłem, osuszyłem i opatrzyłem ranę, a potem opatrzyłem watą i bandażami nasączonymi kwasem karbolowym. Hatherley zniósł cały zabieg bez mrugnięcia okiem, choć od czasu do czasu przygryzał wargi.

– Jak się pan teraz czuje? – spytałem, kiedy skończyłem zabieg.

– Znakomicie. Dzięki brandy i bandażom jestem jak nowo narodzony. Miałem chwilę słabości, ale trzeba przyznać, wiele przeszedłem.

– Może lepiej byłoby, gdyby pan o tym nie mówił. To z pewnością wyczerpuje pana nerwowo.

– Nie, już nie. Będę musiał zrelacjonować wszystko policji, ale szczerze mówiąc, gdyby nie przekonujący dowód w postaci rany, wątpię czy uwierzyliby w moje zeznania. Moja historia jest doprawdy osobliwa, a nie mam zbyt wielu dowodów. Nawet jeśli potraktują mnie poważnie, poszlaki jakich mogę dostarczyć, są tak wątpliwe, że nie wiadomo czy sprawiedliwości stanie się zadość.

– Ha! – wykrzyknąłem. – Jeśli jest zagadka, którą trzeba rozwiązać, powinien pan zasięgnąć rady mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa, zanim pójdzie pan na posterunek policji.

– Słyszałem o tym człowieku – przyznał mój pacjent. – Bardzo bym się ucieszył, gdyby się zgodził zająć moją sprawą, choć oczywiście muszę zawiadomić też policję. Czy zechciałby pan wspomnieć panu Holmesowi o mnie?

– Uczynię więcej, zawiozę pana do niego.

– Będę niezmiernie zobowiązany.

– Pojedziemy dorożką. Dotrzemy na miejsce w samą porę, by zjeść z nim śniadanie. Czy czuje się pan na siłach jechać dorożką?

– Tak. I nie odzyskam spokoju, póki nie opowiem swojej historii.

– W takim razie, każę służącej wezwać powóz, za chwilę wrócę. – Pobiegłem na górę, wyjaśniłem pokrótce żonie w czym rzecz i po pięciu minutach jechaliśmy wraz z mym nowym znajomym dorożką na Baker Street.

Tak jak się spodziewałem, zastaliśmy Holmesa jeszcze w szlafroku. Siedział w salonie, czytał w „Timesie” porady i palił pierwszą poranną fajkę nabitą resztkami tytoniu z poprzedniego dnia. Resztki skrupulatnie zbierał i starannie suszył nad kominkiem. Mój przyjaciel przyjął nas bardzo życzliwie, kazał przynieść świeży bekon oraz jajka i wspólnie zjedliśmy sycący posiłek. Kiedy wstaliśmy od stołu, Holmes zaproponował inżynierowi usiąść na kanapie, położył mu pod głowę poduszkę, a w zasięgu ręki postawił szklaneczkę wody z brandy.

– Nietrudno zauważyć, że przeżył pan coś niezwykłego, panie Hatherley – stwierdził. – Proszę czuć się jak u siebie i opowiedzieć nam o wszystkim, nie pomijając szczegółów; jeśli poczuje się pan zmęczony, proszę się nieco pokrzepić.

– Dziękuję – odpowiedział mój pacjent. – Od chwili gdy doktor mnie obandażował, czuję się jak nowo narodzony, a śniadanie, którym nas pan uraczył, dopełniło kuracji. Nie chcę zajmować zbyt wiele pańskiego cennego czasu, dlatego od razu przejdę do rzeczy.

Holmes usiadł w fotelu z senną miną, która skrywała jego bystrą i zapalczywą naturę, a ja ulokowałem się naprzeciw niego. W milczeniu wysłuchaliśmy niezwykłej historii naszego gościa.

– Muszę panom powiedzieć – zaczął – że jestem sierotą. W Londynie mieszkam sam, jestem kawalerem. Z zawodu jestem inżynierem hydraulikiem. Zdobyłem dość duże doświadczenie, terminując przez siedem lat w znanej firmie Venner & Matheson w Greenwich. Dwa lata temu, kiedy moje terminowanie dobiegło końca, odziedziczyłem znaczną sumę pieniędzy po śmierci mego ojca. Wówczas postanowiłem rozkręcić własny interes i wynająłem biuro przy Victoria Street. Chyba każdy, kto zaczyna własny interes, doświadcza wielkich problemów. W moim przypadku były one niezwykle poważne. W ciągu dwóch lat trzy razy udzieliłem porad i otrzymałem tylko jedno niewielkie zlecenie. Zarobiłem dwadzieścia siedem funtów i dziesięć szylingów brutto. W swym małym biurze czekałem codziennie od dziewiątej rano do czwartej po południu, aż w końcu zacząłem tracić nadzieję i doszedłem do wniosku, że nie powinienem był rozpoczynać własnej praktyki. Jednakże wczoraj, kiedy zamierzałem już wyjść z biura, mój recepcjonista oznajmił, że czeka na mnie dżentelmen, który chce porozmawiać o interesach. Podał mi wizytówkę gościa, na której widniał napis: „Pułkownik Lysander Stark”. Po chwili zjawił się sam pułkownik, człowiek dość wysokiego wzrostu i niezwykle szczupły. Nie przypominam sobie, bym widział w swym życiu kogoś równie chudego. Miał spiczasty nos i taki sam podbródek; skóra jego twarzy była mocno napięta na wystających kościach policzkowych. Uznałem, że taka postura wynika z natury i przyzwyczajeń, a nie z choroby. Mój gość miał przenikliwy wzrok, dziarski chód i pewny siebie sposób bycia. Był ubrany skromnie, lecz schludnie; na oko mógł mieć czterdzieści lat. „Pan Hatherley? – spytał z lekkim niemieckim akcentem. – Polecono mi pana jako fachowca nie tylko biegłego w swym zawodzie, ale także jako człowieka dyskretnego i zdolnego do zachowania tajemnicy”. Skłoniłem się zadowolony (to samo poczułby każdy młody człowiek) i spytałem: „Kto wydał o mnie tak pochlebną opinię?” „Nie powinienem chyba zdradzać

tego panu. Wiem jednak z tego samego źródła, że nie ma pan rodziny i mieszka w Londynie sam". „Zgadza się – odpowiedziałem – ale proszę wybaczyć, nie rozumiem, jak to się ma do moich kwalifikacji zawodowych. Zdaje się, że chciał pan rozmawiać ze mną o interesach?" „Owszem. Ale zaraz się pan przekona, że moje pytanie było jak najbardziej na miejscu. Mam dla pana zlecenie, lecz wymaga ono zachowania całkowitej, podkreślam, całkowitej dyskrecji. Takiej można oczekiwać raczej od człowieka żyjącego samotnie". „Obiecuję dochować tajemnicy. Może pan całkowicie na mnie polegać" – zapewniłem. Pułkownik spojrzał na mnie bacznie. Chyba nigdy nie widziałem równie nieufnego i pełnego wątpliwości spojrzenia. „Jest pan skłonny przysiąc?" – zapytał. „Tak, przysięgam". „Absolutne i całkowite milczenie przed pracą, w trakcie pracy i po jej zakończeniu; ani w mowie, ani na piśmie?" „Daję panu słowo". „Znakomicie" – stwierdził mężczyzna, po czym nagle przebiegł przez pokój i gwałtownym szarpnięciem otworzył drzwi. Korytarz był pusty. „W porządku – stwierdził, odwracając się. – Wiem, że recepcjoniści lubią czasami wtykać nos w sprawy swych chlebodawców. Teraz możemy spokojnie pomówić". Postawił swoje krzesło bardzo blisko mojego i znów wbił we mnie przenikliwy wzrok. Dziwne zachowanie tego zasuszonego mężczyzny zaczęło budzić we mnie wstręt, poczułem też strach. Nawet obawa przed utratą klienta nie mogła zmusić mnie, żebym cierpliwie czekał, aż on zacznie mówić. „Proszę powiedzieć, o co panu chodzi – zażądałem. – Mój czas jest cenny". Niech mi Bóg wybaczy to ostatnie zdanie, ale słowa same przyszły mi na myśl. „Czy odpowiadałoby panu pięćdziesiąt gwinei za noc pracy?" – spytał. „Owszem, tak". „Mówię o nocy, ale w gruncie rzeczy chodzi mi wyłącznie o jedną godzinę. Chciałbym zasięgnąć pańskiej opinii w sprawie prasy hydraulicznej, która przestała działać. Jeśli pan wskaże, co się zepsuło, my sami szybko to naprawimy. Co pan sądzi o takim zleceniu?" „Praca wydaje się łatwa, a wynagrodzenie hojne". „Zgadza się. Chcielibyśmy, by przyjechał pan dziś ostatnim pociągiem". „Dokąd?" „Do Eyford w hrabstwie Berkshire. To niewielkie miasteczko niedaleko granicy z hrabstwem Oxfordshire, oddalone o siedem mil od Reading. Jadąc z dworca Paddington, dotarłby pan tam około jedenastej piętnaście". „Zgoda". „Przyjadę po pana powozem". „A zatem trzeba będzie pojechać gdzieś dalej?" „Tak, siedziba naszej firmy mieści się dość daleko na wsi, dobrych siedem mil od dworca

w Eyford”. „Czyli nie dotrzemy na miejsce przed północą i do rana nie będę miał pociągu. Będę zmuszony zatrzymać się u państwa na noc”. „Tak. Dla nas to żaden kłopot”. „To bardzo niezręczna sytuacja. Czy nie mógłbym przyjechać o bardziej dogodnej porze?” „Uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli przybędzie pan późnym wieczorem. Właśnie z powodu tej niedogodności płacimy panu, młodemu i nieznanemu fachowcowi, taką stawkę, za którą moglibyśmy uzyskać opinię czołowych przedstawicieli pańskiej profesji. Oczywiście, może się pan wycofać”. Pomyślałem o pięćdziesięciu gwineach i o tym, jak bardzo by mi się one przydały: „Bynajmniej. Z chęcią uczynię zadość państwa życzeniom. Chciałbym jednak dowiedzieć się więcej o tym, co mam dla państwa zrobić”. „Ależ oczywiście. To naturalne, że zobowiązanie do zachowania tajemnicy, które na panu wymogliśmy, rozbudziło jego ciekawość. Nie będę niczego od pana wymagał, zanim wszystkiego panu nie wyjaśnię. Rozumiem, że nikt nas nie podsłuchuje”. „Absolutnie nikt”. „Zatem sprawa przedstawia się następująco. Wie pan zapewne, jak cennym surowcem jest ziemia fulerska. W Anglii występuje zaledwie w kilku miejscach”. „Owszem, słyszałem o niej”. „Jakiś czas temu zakupiłem maleńką parcelę nieopodal Reading. Poszczęściło mi się. Pod jednym z moich pól znajdują się złoża ziemi fulerskiej. Po bardziej precyzyjnym zbadaniu okazało się, że jest ono jednak dosyć małe i stanowi łącznik pomiędzy dwoma znacznie większymi złożami leżącymi na ziemiach moich sąsiadów. Ci poczciwi ludzie nie mieli pojęcia, że ich działki mogą przynieść zysk nie mniejszy niż kopalnia złota. Rzecz jasna, w moim interesie leżał zakup tych parceli, nim właściciele zdadzą sobie sprawę z ich wartości. Niestety, nie dysponowałem odpowiednim kapitałem. Wtajemniczyłem w sprawę kilku przyjaciół, którzy zaproponowali, byśmy potajemnie eksploatowali posiadane złoże i w ten sposób zarobili pieniądze na zakup. Robimy to już od pewnego czasu za pomocą prasy hydraulicznej, którą w tym celu zbudowaliśmy. Jak już wspominałem, prasa przestała działać. Chcielibyśmy poznać pańską opinię w tej sprawie. Zazdrośnie strzeżemy jednak naszej tajemnicy. Gdyby rozniosło się, że sprowadzamy do naszego domku inżynierów hydraulików, od razu pojawiłyby się pytania, a gdyby fakty wyszły na jaw, moglibyśmy się pożegnać z szansą zakupu pól i wprowadzenia w życie naszego planu. Dlatego kazałem panu przysiąc, że nikomu nie powie o dzisiejszej wycieczce do Eyford. Mam nadzieję, że wyraziłem się jasno?”

„Zrozumiałem wszystko – odpowiedziałem – poza tym, w jaki sposób wykorzystują państwo prasę hydrauliczną do wydobywania ziemi fulerskiej, która, z tego co wiem, zwykle wykopywana jest z wyrobisk żwirowych”. „Jeśli o to chodzi – powiedział mój rozmówca niezrażony pytaniem – mamy własne sposoby. Prasujemy ziemię w cegły, które przewozimy, nie ujawniając, z czego są zrobione. To jednak nieistotny szczegół. Zdradziłem panu swoją tajemnicę, panie Hatherley, okazując panu zaufanie. Będę pana oczekiwał w Eyford o jedenastej piętnaście” – powiedział wstając. „Będę na pewno”. „I nikomu ani słowa” – powtórzył, rzucając mi ostatnie długie, badawcze spojrzenie, po czym, ścisnąwszy moją rękę w swej zimnej dłoni, pośpiesznie opuścił biuro. Zapewne nie zdziwi panów, że gdy zacząłem spokojnie myśleć o całej sprawie, zdumiałem się tym powierzonym mi nagle zadaniem. Z jednej strony, cieszyłem się, gdyż zaproponowano mi stawkę dziesięciokrotnie wyższą od tej, której sam bym zażądał; za pierwszym zleceniem mogły pójść kolejne. Z drugiej natomiast, fizjonomia i sposób bycia mego zleceniodawcy wywarły na mnie nieprzyjemne wrażenie, a jego historia o ziemi fulerskiej nie stanowiła przekonującego wyjaśnienia konieczności mojego przyjazdu o północy i wielkiego niepokoju o to czy nikomu nie opowiem o podróży. Uciszyłem jednak swoje obawy, zjadłem porządną kolację, pojechałem na dworzec Paddington i nic nikomu nie mówiąc, ruszyłem w drogę. W Reading musiałem nie tylko się przesiąść, ale i przejechać na inny dworzec, udało mi się jednak zdążyć na ostatni pociąg do Eyford, więc po jedenastej wieczorem dotarłem na małą, słabo oświetloną stacyjkę. Wysiadłem tam jako jedyny pasażer, na peronie nie było nikogo prócz zaspanego tragarza z latarnią. Kiedy się znalazłem za ogrodzeniem stacji, okazało się, że po jego drugiej stronie, skryty w cieniu, czeka mój nowy znajomy. Bez słowa złapał mnie za ramię i szybko zaprowadził do powozu, który czekał z otwartymi drzwiczkami. Zasłonił okna po obu stronach, zastukał w przednią ściankę i odjechaliśmy co koń wyskoczy.

– Czy koń był tylko jeden? – wtrącił się Holmes.

– Tak.

– Zauważył pan, jakiej był maści?

– Tak, podchodząc do powozu, zobaczyłem zwierzę w świetle bocznych lamp. Był to kasztan.

– Wyglądał na wypoczętego czy na zmęczonego?

– Był świeżutki i aż lśnił.

– Dziękuję. Przepraszam, że panu przerwałem, proszę, niech pan kontynuuje swe niezwykle zajmujące opowiadanie.

– Oczywiście. Ruszyliśmy i jechaliśmy co najmniej przez godzinę. Pułkownik Lysander Stark utrzymywał, że przed nami zaledwie siedem mil drogi, jednak z prędkości, z jaką jechaliśmy i czasu przejazdu wnioskuję, że odległość mogła wynosić nawet dwanaście mil. Mój chlebodawca przez cały czas siedział obok mnie w milczeniu i – jak kilkakrotnie zauważyłem, zerkając w jego stronę – wpatrywał się we mnie z wielką natarczywością. Wiejskie drogi w tamtej części kraju najwyraźniej pozostawiają wiele do życzenia, nasz pojazd okropnie trząsł i szarpał. Próbowałem wyjrzeć przez okno, by zorientować się, gdzie jesteśmy, ale przez mleczne szyby udało mi się dostrzec jedynie zamazane plamy mijanych niekiedy świateł. Od czasu do czasu próbowałem rzucić jakąś uwagę, by rozproszyć monotonię podróży, jednak pułkownik odpowiadał mi monosylabami i rozmowa się nie kleiła. W końcu wyboista droga zmieniła się w szeleszczący pod kołami, gładki, wysypany żwirem podjazd, a powóz powoli się zatrzymał. Pułkownik Lysander Stark wyskoczył z powozu, a kiedy poszedłem w jego ślady, szybko wciągnął mnie na ganek, który znajdował się tuż przed nami. Weszliśmy do domu tak prędko, że nie udało mi się przyjrzeć budynkowi. Kiedy tylko przekroczyliśmy próg i znaleźliśmy się w korytarzu, drzwi zatrzasnęły się głucho, a ja usłyszałem odległy turkot kół odjeżdżającego powozu. W domu było ciemno choć oko wykol. Pułkownik przez chwilę miotał się w poszukiwaniu zapałek, pomrukując coś pod nosem. Nagle na końcu korytarza zaczęły otwierać się drzwi i przez powstałą szparę padł długi, złocisty promień światła. Stawał się on coraz szerszy, aż wreszcie w drzwiach pojawiła się kobieta, która trzymała nad sobą zapaloną lampę i przyglądała nam się, wychylając do przodu głowę. Zauważyłem, że jest ładna, a refleksy światła na jej ciemnej sukni świadczyły o tym, że strój uszyto z dobrego materiału. Nieznajoma wymówiła pytającym tonem kilka słów w obcym języku, a kiedy mój towarzysz odpowiedział jej szorstką monosylabą, wzdrygnęła się tak gwałtownie, że lampa omal nie wypadła jej z ręki. Pułkownik Stark podszedł do niej, szepnął coś do ucha, a potem wepchnął z powrotem do pomieszczenia, z którego wyszła i zbliżył się do mnie z lampą w dłoni.

„Niech pan będzie tak dobry i poczeka kilka minut” – poprosił, otwierając inne drzwi prowadzące do niedużego, cichego, prosto umeblowanego pokoju. Pośrodku stał okrągły stół, na którym leżało kilka książek po niemiecku. Pułkownik Stark umieścił lampę na stojącej obok drzwi fisharmonii, po czym zniknął w ciemnościach ze słowami: „Nie każę panu długo czekać”. Przyjrzałem się książkom leżącym na stole i mimo nieznajomości niemieckiego udało mi się stwierdzić, że dwie z nich to traktaty naukowe, a pozostałe – tomiki poezji. Następnie podszedłem do okna w nadziei, że uda mi się zerknąć na okolicę, ale widok zasłaniała szczelnie zamknięta dębowa okiennica. W domu było niezwykle cicho. Gdzieś w korytarzu donośnie tykał stary zegar, ale poza tym nie rozlegał się żaden dźwięk. Zacząłem odczuwać nieokreślony niepokój. Kim byli ci Niemcy i co robili w tym dziwnym, odludnym miejscu? I gdzie właściwie się ono znajdowało? Wiedziałem, że jestem w promieniu mniej więcej dziesięciu mil od Eyford, ale nie miałem pojęcia, w jakim kierunku. Z drugiej strony, w takiej odległości leżało także Reading, a niewykluczone, że również inne duże miasta, więc istniała możliwość, że dom nie był całkiem odosobniony. Panująca wokół głucha cisza wskazywała jednak, że znajdujemy się na wsi. Chodziłem tam i z powrotem po pokoju, mrucząc pod nosem jakąś melodyjkę, by dodać sobie odwagi; czułem, że na te pięćdziesiąt gwinei będę musiał bardzo ciężko pracować. Nagle, choć absolutnej ciszy nie zmącił przedtem żaden dźwięk, drzwi mojego pokoju się otworzyły. Stała w nich kobieta, którą widziałem wcześniej. Za nią majaczył pogrążony w ciemnościach korytarz, a światło mojej lampy padało na jej piękną, wzburzoną twarz. Od razu spostrzegłem, że jest ledwie żywa ze strachu, co z kolei przeraziło mnie. Nieznajoma nakazała mi milczenie ruchem drżącej dłoni, po czym powiedziała do mnie kilka słów łamaną angielszczyzną, strzelając oczami, niczym osaczone zwierzę. „Ja bym uciekła – powiedziała i wydawało mi się, że wkłada wiele wysiłku, by mówić spokojnie. – Ja bym uciekła. Nie powinien pan tu zostać. Nic tu po panu”. „Ale proszę pani – odpowiedziałem – nie zrobiłem jeszcze tego, po co przyjechałem. Absolutnie nie mogę wyjechać, nie obejrzawszy maszyny”. „Nie warto czekać – mówiła dalej nieznajoma. – Może pan wyjść drzwiami. Nikt pana nie zatrzymuje”. Później, widząc, że się uśmiecham i kręcę głową, nagle przemogła się i zrobiła krok do przodu, splatając ręce. „Na miłość boską! – wyszeptała. – Niech pan idzie, nim

będzie za późno!” Z natury jestem dość uparty i im więcej przeszkód napotykam w działaniu, tym bardziej się w nie angażuję. Pomyślałem o pięćdziesięciu gwineach wynagrodzenia, o męczącej podróży i o czekającej mnie nieprzyjemnej nocy. Czyżby wszystko to miało pójść na marne? Czemu miałbym odjeżdżać, nie wykonawszy zadania i nie otrzymawszy należnej zapłaty? Kobieta mogła przecież być obłąkana, więc choć jej zachowanie poruszyło mnie bardziej, niż byłem skłonny przyznać, stanowczo potrząsnąłem głową i oświadczyłem, że zamierzam pozostać tam, gdzie jestem. Nieznajoma miała właśnie ponowić swoją prośbę, kiedy na górze trzasnęły drzwi, a na schodach rozległy się kroki. Kobieta przez chwilę nasłuchiwała, następnie podniosła ręce w geście rozpaczy i zniknęła równie nagle i bezszelestnie, jak się pojawiła. Po chwili do pokoju weszli pułkownik Lysander Stark i niski, przysadzisty mężczyzna z brodą porastającą liczne obwisłe podbródki, którego mój zleceniodawca przedstawił jako pana Fergusona. „To mój sekretarz i zarządca – wyjaśnił. – A przy okazji, wydawało mi się, że zostawiłem te drzwi zamknięte. Nie chciałem, by siedział pan w przeciągu”. „Istotnie – stwierdziłem. – Sam otworzyłem drzwi, gdyż odniosłem wrażenie, że w pokoju jest duszno”. Pułkownik wbił we mnie podejrzliwy wzrok. „W takim razie, przejdźmy do interesów – powiedział. – Pan Ferguson i ja pokażemy panu maszynę”. „W takim razie, powinienem chyba założyć kapelusz”. „Ależ nie trzeba, prasa znajduje się wewnątrz domu”. „Jak to? Wydobywają panowie ziemię fulerską w domu?” „Nie, tutaj jedynie ją prasujemy. Ale to nieistotne. Chcemy tylko, by obejrzał pan maszynę i powiedział, co się z nią stało”. Poszliśmy na górę. Pułkownik kroczył pierwszy, niosąc lampę, za nim szedł tłusty zarządca, ja podążałem za nimi. Stary dom był istnym labiryntem pełnym korytarzy, przejść, wąskich, kręconych schodów i niskich drzwi, których progi zostały wydeptane przez kolejne pokolenia mieszkańców. Na piętrze nie dostrzegłem dywanów ani żadnych mebli, ze ścian opadał tynk, a zielone plamy na nich świadczyły o wilgoci. Starałem się przybrać obojętną minę, ale choć zlekceważyłem ostrzeżenia kobiety, nie zapomniałem o nich i bacznie przyglądałem się swym towarzyszom. Ferguson wydawał się człowiekiem cichym i ponurym, ale z nielicznych wypowiedzianych przez niego słów udało mi się wywnioskować, że jest przynajmniej moim rodakiem. Wreszcie pułkownik Stark zatrzymał się przed niskimi drzwiami i otworzył je. Prowadziły do małego,

kwadratowego pomieszczenia, w którym ledwie mogliśmy się pomieścić. Ferguson pozostał na zewnątrz, a pułkownik wprowadził mnie do środka, po czym wyjaśnił: „W tej chwili znajdujemy się wewnątrz prasy hydraulicznej i gdyby ktoś ją teraz uruchomił, skończyłoby się to dla nas tragicznie. Sufit pomieszczenia stanowi dolną powierzchnię tłoka, który opadając, naciska z siłą wielu ton na metalową podłogę. Niewielkie, poprzecznie umieszczone siłowniki hydrauliczne przekazują ciśnienie lub zwielokrotniają je, jak pan wie. Maszyna nie działa prawidłowo, zacina się i nie pracuje z pełną mocą. Proszę ją obejrzeć i podpowiedzieć nam, co trzeba naprawić". Wziąłem od mojego towarzysza lampę i bardzo uważnie obejrzałem urządzenie. Istotnie, była to gigantyczna prasa, która mogła wywierać ogromny nacisk. Wyszedłem z pomieszczenia i przesunąłem sterujące nią dźwignie. Po świszczącym dźwięku natychmiast poznałem, że w jednym z bocznych cylindrów powstała nieszczelność, przez którą woda przedostaje się na zewnątrz. Bliższe oględziny wykazały, że jedna z gumowych uszczelek pod głowicą wału skurczyła się i nie do końca wypełniała gniazdo. To właśnie było przyczyną utraty mocy prasy. Mężczyźni z wielką uwagą wysłuchali mej diagnozy i zadali kilka praktycznych pytań dotyczących tego, jak ją naprawić. Kiedy wszystko im wyjaśniłem, wróciłem do pomieszczenia stanowiącego serce maszyny i dobrze się jej przyjrzałem, by zaspokoić swą ciekawość. Od razu się domyśliłem, że historia o ziemi fulerskiej to czysta bzdura. Byłoby absurdalnym, gdyby tak potężną maszynerię przeznaczono do tak nieodpowiedniego celu. Ściany były drewniane, ale podłogę, która miała kształt rynny, wykonano z metalu. Po bliższych oględzinach zauważyłem na niej metaliczny osad. Pochyliłem się i zacząłem skrobać, by zobaczyć, co to takiego, kiedy usłyszałem niemieckie przekleństwo wymamrotane pod nosem i zobaczyłem trupio bladą twarz pułkownika. „Co pan tu robi?" – spytał. Ogarnął mnie gniew na myśl, że dałem się zwieść na manowce jego zmyślną opowieścią. „Podziwiam ziemię fulerską – odpowiedziałem. – Sądzę, że byłbym w stanie lepiej panu doradzić w sprawie tej maszyny, gdybym znał cel, w jakim ją pan wykorzystuje". Pożałowałem swych słów, nim skończyłem je wymawiać. Twarz pułkownika stężała, a w jego szarych oczach pojawił się złowrogi błysk. „Bardzo dobrze – rzekł. – Zaraz się pan dowie wszystkiego o tej prasie". Zrobił krok w tył, zatrzasnął drzwiczki i przekręcił klucz w zamku. Podbiegłem do wyjścia i szarpnąłem

za klamkę, ale ta ani drgnęła, a drzwi nie ustąpiły przed moimi pchnięciami i kopniakami. „Halo! – wrzasnąłem. – Halo! Pułkowniku! Proszę mnie wypuścić!” I wtedy w ciszy nagle usłyszałem dźwięk, który sprawił, że serce mi zamarło. Był to odgłos przesuwania dźwigni i świst wydawany przez nieszczelny cylinder. Stark uruchomił maszynę! Lampa wciąż stała na podłodze, tam gdzie ją umieściłem, kiedy oglądałem osad. W jej świetle zobaczyłem, że sufit zaczął się obniżać. Poruszał się powoli i drżał. Dobrze wiedziałem, że siła jego nacisku w ciągu minuty zamieni mnie w miazgę. Krzycząc, rzuciłem się w kierunku drzwi i zacząłem szarpać zamek paznokciami. Błagałem pułkownika, by mnie wypuścił, ale bezlitosny szczęk dźwigni zagłuszał moje krzyki. Sufit znajdował się zaledwie stopę nad moją głową; unosząc rękę, mogłem wyczuć jego twardą, chropowatą powierzchnię. Wówczas przyszło mi na myśl, że ból, jaki będę odczuwał w chwili śmierci, będzie w znacznym stopniu zależał od pozycji, w jakiej zginę. Gdybym się położył na brzuchu, prasa zmiażdżyłaby mi kręgosłup – zadrżałem na myśl o przeraźliwym dźwięku, gdy on zachrzęści. Lepiej byłoby się położyć na plecach, mniej by bolało, ale czy odważyłbym się leżeć, patrząc na zbliżający się nieuchronnie śmiercionośny, czarny cień? Kiedy nie mogłem już stać prosto, zauważyłem coś, co wzbudziło we mnie nadzieję. Jak już mówiłem, podłoga i sufit były metalowe, ściany zaś – z drewna. Kiedy po raz ostatni rozglądałem się pośpiesznie wokół, zauważyłem cienką smugę żółtego światła pomiędzy dwiema deskami, która stopniowo się powiększała, w miarę obniżania się sufitu. Przez chwilę nie mogłem uwierzyć, że może to być wyjście z pułapki. Z całych sił naparłem na deski i upadłem ledwie żywy, po drugiej stronie. Szczelina zamknęła się za mną. Dźwięk miażdżonej lampy, a chwilę później odgłos dwóch uderzających o siebie żelaznych płyt, uświadomiły mi, że cudem udało mi się uniknąć śmierci. Odzyskałem świadomość, gdy poczułem, jak ktoś gwałtownie szarpie mnie za nadgarstek. Okazało się, że leżę na kamiennej podłodze wąskiego korytarza, a nade mną stoi kobieta, która ciągnie mnie lewą ręką, a w prawej trzyma świeczkę. Była to ta sama dobra dusza, której ostrzeżenie tak głupio zlekceważyłem. „Za mną! Za mną! – wykrzyknęła bez tchu. – Oni zaraz tu będą. Zobaczą, że pana tam nie ma. Nie ma czasu do stracenia, proszę iść za mną!” Tym razem posłuchałem jej rady. Chwiejnie stanąłem na nogi i pobiegłem za nią najpierw korytarzem, a potem w dół po kręconych schodach prowadzących do obszernego holu.

Kiedy tam dotarliśmy, usłyszeliśmy tupot biegnących stóp i dwa podniesione głosy: jeden na piętrze, na którym się znajdowaliśmy, drugi – poniżej. Moja przewodniczka zatrzymała się i rozejrzała wokół siebie tak, jakby nie wiedziała, co dalej robić. Gwałtownie otworzyła drzwi prowadzące do sypialni. Przez okno przeświecał jasny blask księżyca. „To pana jedyna szansa – stwierdziła. – Wysoko, ale może pan zeskoczy". Nim skończyła mówić, na końcu korytarza pojawiło się światło. Zobaczyłem szczupłą sylwetkę pułkownika Starka. Biegł w naszą stronę. W jednej ręce miał latarnię, a w drugiej coś, co przypominało rzeźnicki tasak. Przebiegłem przez sypialnię, otworzyłem okno i wyjrzałem na zewnątrz. Jakże cichy, uroczy i spokojny wydawał się w świetle księżyca ogród leżący około trzydziestu stóp poniżej! Wgramoliłem się na parapet, ale nie mogłem tak po prostu skoczyć; chciałem się dowiedzieć, co zaszło pomiędzy moją wybawczynią a ścigającym mnie łotrem. Gdyby próbował ją skrzywdzić, zamierzałem bronić jej za wszelką cenę. Ledwie zdążyłem o tym pomyśleć, pułkownik pojawił się w drzwiach i usiłował przedostać się obok kobiety, ale ona zarzuciła mu ręce na szyję, starając się zatrzymać mężczyznę. „Fritz! Fritz! – krzyknęła po angielsku. – Pamiętaj, co obiecałeś ostatnim razem. Powiedziałeś, że to się więcej nie powtórzy. On będzie milczał. Będzie milczał!" „Jesteś szalona, Elise! – odpowiedział, próbując wyrwać się z jej uścisku. – Sprowadzisz na nas zgubę! On widział zbyt wiele. Przepuść mnie!" Odepchnął kobietę na bok, skoczył do okna i zamachnął się ciężkim tasakiem. Kiedy spadł cios, zwisałem na rękach z parapetu. Poczułem tępy ból, rozluźniłem uchwyt i spadłem do ogrodu. Upadek mnie oszołomił, ale nie zrobiłem sobie krzywdy. Podniosłem się i pognałem pomiędzy krzewami ile sił w nogach, wiedziałem bowiem, że nie uwolniłem się jeszcze od niebezpieczeństwa. Biegnąc, poczułem mdłości i zawroty głowy. Odczuwałem w dłoni rwący ból; gdy na nią spojrzałem, wtedy spostrzegłem, że odcięto mi kciuk, a z rany leje się krew. Próbowałem obwiązać rękę chusteczką, ale nagle usłyszałem w uszach szum i po chwili padłem bez czucia pomiędzy krzewami róż. Nie potrafię powiedzieć, ile czasu byłem nieprzytomny, ale chyba trwało to bardzo długo, bo kiedy doszedłem do siebie, księżyc już zaszedł i zaczynało świtać. Moje ubranie przemoczyła rosa, a rękaw płaszcza był nasiąknięty krwią z rany. Kłujący ból ręki w jednej chwili przypomniał mi moją nocną przygodę. Gwałtownie się podniosłem, nie mogłem się pozbyć uczucia, że

wciąż nie jestem bezpieczny. Kiedy jednak rozejrzałem się wokół siebie, nie dostrzegłem, ku swemu zdziwieniu, ani domu, ani ogrodu. Leżałem w załomie żywopłotu nieopodal drogi, przy której nieco dalej znajdował się długi budynek. Gdy do niego podszedłem, okazało się, że to ten sam dworzec kolejowy, na który przyjechałem poprzedniej nocy. Gdyby nie paskudna rana na ręku, wszystko, co się stało w ciągu ostatnich godzin, mogło być jedynie snem.

Półprzytomny wszedłem na dworzec i spytałem o poranny pociąg. Za niecałą godzinę miał przyjechać pociąg do Reading. Okazało się, że dyżur miał ten sam tragarz, którego zastałem na peronie, gdy przyjechałem. Spytałem go czy słyszał o pułkowniku Lysandrze Starku. Nie znał jednak tego nazwiska, a poprzedniej nocy nie widział powozu, który na mnie czekał. Poinformował mnie też, że najbliższy posterunek policji jest oddalony o niecałe trzy mile. Znajdowałem się w takim stanie, że nie mogłem przebyć piechotą takiej odległości. Postanowiłem opowiedzieć swą historię policji po powrocie do miasta. Dotarłem do Londynu krótko po szóstej i najpierw pojechałem opatrzyć ranę, a później, dzięki uprzejmości pana doktora, dotarłem tutaj. Oddaję sprawę w pańskie ręce i zamierzam postąpić według pańskich rad.

Po wysłuchaniu tej niezwykłej opowieści siedzieliśmy przez dłuższą chwilę w milczeniu, potem Holmes ściągnął z półki jedną z ciężkich, niczym nie wyróżniających się albumów, do którego wklejał wycinki prasowe.

– To ogłoszenie może pana zainteresować – oświadczył. – Pojawiło się mniej więcej rok temu we wszystkich gazetach. Proszę posłuchać:

> 9 bm. zaginął pan Jeremiah Hayling, lat dwadzieścia sześć, inżynier hydraulik. Opuścił swe mieszkanie o dziesiątej wieczorem i od tej chwili nikt go nie widział. Miał na sobie… itd., itp.

Ha! Zapewne właśnie wtedy pułkownik po raz ostatni potrzebował naprawy maszyny.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął mój pacjent. – To wyjaśnia słowa kobiety.

– Owszem. Nie ulega wątpliwości, że Stark to bezwzględny, zdesperowany człowiek, który nie zamierzał pozwolić, by cokolwiek przeszkodziło mu w rozegraniu jego małej gierki, niczym pirat, który nie

pozostawia przy życiu nikogo z załogi zdobytego statku. Teraz jednak nie ma chwili do stracenia, więc jeśli czuje się pan na siłach, natychmiast udamy się do siedziby Scotland Yardu, a potem do Eyford.

Mniej więcej trzy godziny później wszyscy znaleźliśmy się w pociągu jadącym z Reading do małej wioski w hrabstwie Berkshire. W przedziale pociągu siedzieli: Sherlock Holmes, nasz inżynier, inspektor Bradstreet ze Scotland Yardu, nieumundurowany funkcjonariusz i ja. Bradstreet rozłożył na siedzeniu wojskową mapę hrabstwa i za pomocą cyrkli rysował okrąg, którego środkiem było Eyford.

– Proszę bardzo – stwierdził w końcu. – Okrąg, pośrodku którego znajduje się wioska, ma średnicę dziesięciu mil. Wspominał pan o takiej odległości, więc miejsce, którego szukamy, powinno znajdować się wewnątrz okręgu.

– Jechaliśmy od Eyford co najmniej godzinę.

– Jak pan myśli, odwieziono pana z powrotem, kiedy był pan nieprzytomny?

– Musiało tak być. Jak przez mgłę pamiętam, że ktoś mnie podniósł i gdzieś przeciągnął.

– Nie rozumiem jednak – wtrąciłem – dlaczego darowali panu życie, kiedy znaleźli pana nieprzytomnego w ogrodzie. Być może prośby kobiety zmiękczyły serce łotra.

– Nie wydaje mi się to prawdopodobne. Nigdy w życiu nie widziałem równie zaciętej twarzy.

– Niedługo wszystko wyjaśnimy – obiecał Bradstreet. – Wyrysowałem okrąg; pozostaje określić, w którym jego miejscu znajdują się poszukiwani przez nas ludzie.

– Myślę, że jestem w stanie je wskazać – cicho powiedział Holmes.

– Doprawdy! – wykrzyknął inspektor. – A więc wpadł pan na trop! Sprawdzimy, z kim się pan zgodzi. Ja obstawiam południe, tam okolica jest najsłabiej zaludniona.

– Ja bym szukał na wschodzie – stwierdził mój pacjent.

– Ja myślę, że ukrywają się na zachodzie – oznajmił funkcjonariusz w cywilu. – Leży tam wiele odludnych, małych wiosek.

– A ja uważam, że należy udać się na północ – dodałem. – Tam teren jest płaski, a nasz przyjaciel twierdzi, że nie pamięta, by powóz wjeżdżał na jakieś wzniesienia.

– Cóż – stwierdził inspektor ze śmiechem – nasze opinie są całkiem rozbieżne. Wskazaliśmy wszystkie strony świata. Na którą odda pan swój decydujący głos?

– Wszyscy panowie jesteście w błędzie.

– To niemożliwe!

– Ależ tak. Ja wskazuję ten oto punkt. – Holmes położył palec pośrodku okręgu. – Znajdziemy ich tam.

– A co z dwunastoma milami, które przejechaliśmy? – wysapał Hatherley.

– Sześć tam i sześć z powrotem. Nic prostszego. Sam pan stwierdził, że kiedy wsiadał do powozu, koń był wypoczęty. Jak mógłby wyglądać tak dobrze po przejechaniu dwunastu mil po wyboistych drogach?

– Taki podstęp rzeczywiście jest prawdopodobny – stwierdził zamyślony Bradstreet. – Rzecz jasna, nie ma wątpliwości co do charakteru działalności tej grupy.

– Najmniejszych – przyznał Holmes. – To działający na szeroką skalę fałszerze monet, a maszynę wykorzystywali do prasowania amalgamatu, który stosowali zamiast srebra.

– Już od jakiegoś czasu wiedzieliśmy, że w okolicy działa przebiegła szajka – wyjaśnił inspektor. – Produkowali masowo półkoronówki. Tropiliśmy ich aż do Reading, ale nie byliśmy w stanie dotrzeć dalej, gdyż zacierali ślady w sposób świadczący o wielkiej wprawie. Teraz jednak, dzięki szczęśliwemu trafowi, uda nam się wreszcie ich schwytać.

Niestety, jak się okazało, inspektor się mylił. Przestępcom nie było dane dostać się w ręce sprawiedliwości. Kiedy wjechaliśmy na dworzec w Eyford, zobaczyliśmy olbrzymi słup dymu unoszący się zza rosnącej nieopodal kępy drzew i rozwiewający się ponad okolicą niczym gigantyczne strusie pióro.

– Czy pali się jakiś dom? – spytał Bradstreet zawiadowcę, kiedy pociąg ruszył w dalszą drogę.

– Tak, proszę pana! – potwierdził kolejarz.

– Kiedy wybuchł pożar?

– Podobno w nocy, ale teraz rozgorzał na dobre i cały dom stanął w płomieniach.

– Kto tam mieszka?

– Doktor Becher.

– Proszę mi powiedzieć – wtrącił się inżynier – czy ten doktor to bardzo szczupły Niemiec o długim, ostrym nosie?

Zawiadowca serdecznie się roześmiał.

– Nie, proszę pana. To rodowity Anglik i posiadacz najbardziej okrągłego brzuszka w naszej parafii, ale bawi u niego inny dżentelmen, zdaje się, że jego pacjent, który faktycznie jest cudzoziemcem i wygląda tak, jakby jadł za mało znakomitej wołowiny z Berkshire.

Nim mężczyzna skończył mówić, wszyscy puściliśmy się biegiem w kierunku płonącego domu. Droga wiodła przez wierzchołek niewielkiego wzgórza, za którym zobaczyliśmy olbrzymi, bielony wapnem budynek; z jego wszystkich okien i drzwi buchały płomienie. Trzy wozy strażackie stały przed domem na trawniku. Strażacy bezskutecznie usiłowali opanować ogień.

– To tutaj! – wykrzyknął Hatherley z wielkim wzburzeniem. – To żwirowy podjazd, to krzewy róż, w których leżałem, a skoczyłem z tamtego okna.

– Cóż – stwierdził Holmes – przynajmniej odpłacił im się pan pięknym za nadobne. Nie ulega wątpliwości, że to pańska lampa oliwna, która została zmiażdżona w prasie, spowodowała podpalenie drewnianych ścian, a zajęci pościgiem opryszkowie tego nie zauważyli. Proszę zobaczyć czy nie ma tu pańskich znajomych, choć obawiam się, że mogą oni być już sto mil stąd.

Przypuszczenia Holmesa się potwierdziły, nikt odtąd nie słyszał o pięknej kobiecie, złowrogim Niemcu i ponurym Angliku. Jeden z okolicznych wieśniaków zeznał, że tego ranka widział powóz z kilkoma osobami i bardzo dużymi skrzyniami w środku, mknący w kierunku Reading, ale dalej ślad po nim zaginął, toteż nawet Holmes, mimo całej swej przemyślności nigdy nie odkrył miejsca ich pobytu.

Strażaków bardzo zaniepokoiły dziwne urządzenia znalezione w domu, a jeszcze bardziej – niedawno odcięty ludzki kciuk leżący na parapecie okna na drugim piętrze. Przed zachodem słońca ich wysiłki uwieńczyło powodzenie i ogień został opanowany, ale do tego czasu zdążył zawalić się dach, a dom zmienił się w zgliszcza, w których prócz powyginanych cylindrów i metalowych rur nie pozostał żaden ślad maszynerii, której naprawa tak drogo kosztowała naszego nieszczęsnego przyjaciela. W szopie obok domu znaleziono duże ilości niklu i cyny, nie było tam jednak

żadnych monet, prawdopodobnie zostały wywiezione w tych olbrzymich skrzyniach, o których już wspominałem.

To, jak nasz inżynier dostał się z ogrodu w miejsce, gdzie odzyskał przytomność, być może na zawsze pozostałoby zagadką, gdyby nie miękki grunt, na którym wyraźnie odcisnęły się ślady. Nieprzytomnego przeniosły dwie osoby, z których jedna miała wyjątkowo małe, a druga – wyjątkowo duże stopy. Zapewne milczący Anglik, mniej zuchwały lub mniej ogarnięty żądzą mordu niż jego towarzysz, pomógł kobiecie przenieść Hatherleya w bezpieczne miejsce.

– Doprawdy – stwierdził ponuro inżynier, kiedy zajęliśmy miejsca w pociągu jadącym do Londynu – zrobiłem świetny interes! Straciłem kciuk i pięćdziesiąt gwinei, a co zyskałem?

– Doświadczenie – odparł ze śmiechem Holmes – które w pośredni sposób może mieć swoją wartość. Wystarczy, by ubrał je pan w słowa, a przez resztę życia będzie się pan cieszył opinią zajmującego rozmówcy.

Opowieść dziesiąta

SZLACHETNY KAWALER

Małżeństwo lorda St. Simon i jego niecodzienne zakończenie od dawna nie są już przedmiotem zainteresowania wysoko postawionych warstw społeczeństwa, w których obraca się nieszczęsny pan młody. Dramat sprzed czterech lat został przyćmiony przez nowsze, bardziej pikantne skandale. Mam jednak podstawy sądzić, że pełen obraz zdarzeń nigdy nie został podany do publicznej wiadomości, a jako że mój przyjaciel Sherlock Holmes miał znaczący udział w wyjaśnianiu tej sprawy, uważam, że relacje o jego dokonaniach nie byłyby pełne bez krótkiej notki o tym pamiętnym zajściu.

Wydarzenia, które są przedmiotem niniejszego opowiadania, miały miejsce kilka tygodni przed moim ślubem, gdy dzieliłem jeszcze z Holmesem mieszkanie przy Baker Street. Gdy mój towarzysz powrócił z popołudniowej przechadzki, czekał na niego list. Tego dnia nie ruszałem się z domu przez cały dzień. Zaczął padać deszcz, wiał porywisty jesienny wiatr; rana, pamiątka z kampanii w Afganistanie, pulsowała, powodując tępy ból. Usiadłem w jednym fotelu, opierając nogi na siedzeniu drugiego. Otoczyłem się stosami gazet, a nasyciwszy się najnowszymi wiadomościami, rzuciłem dzienniki w kąt i leżałem, przyglądając się ogromnemu herbowi i monogramowi na kopercie, zastanawiając się leniwie, kim może być ten szlachetnie urodzony nadawca listu.

– Tym razem dostałeś bardzo elegancki list – powiedziałem Holmesowi po jego powrocie. – O ile dobrze pamiętam, poranna poczta nadesłana została przez handlarza rybami i celnika portowego.

– Tak, urok mej korespondencji leży w jej różnorodności – odpowiedział z uśmiechem – a zwykle im skromniejszy list, tym bardziej interesująca jest

jego treść. Ten wygląda na jedno z niepożądanych zaproszeń na jakieś przyjęcie, gdzie można tylko się nudzić albo kłamać.

Złamał pieczęć i przeczytał list.

– No proszę, a jednak może to być interesujące.

– Nie jest to spotkanie towarzyskie?

– Nie, jest to sprawa czysto zawodowa.

– A klient jest szlachetnie urodzony?

– Pochodzi z jednego z najznamienitszych angielskich rodów.

– Mój drogi, muszę ci pogratulować.

– Watsonie, zapewniam cię, bez kokieterii, że status społeczny mego klienta jest dla mnie znacznie mniej istotny niż jego problem. Zdaje się jednak, że podczas tego śledztwa nie będę narzekał na nudę. Powiedz, czy ostatnio uważnie czytasz gazety?

– Jak widać – stwierdziłem ponuro, wskazując na olbrzymi stos prasy piętrzący się w kącie pokoju. – Nie mam nic innego do roboty.

– To się dobrze składa. Być może będziesz mógł opowiedzieć mi o tej sprawie. Ja czytuję wyłącznie kronikę kryminalną i dział porad, który uważam za wielce pouczający. Jeśli jednak śledzisz na bieżąco najnowsze wydarzenia, zapewne czytałeś o lordzie St. Simon i jego ślubie?

– Owszem, z wielkim zainteresowaniem.

– Znakomicie. List, który trzymam w ręku, napisał właśnie lord St. Simon. Przeczytam ci go, a ty pokażesz mi artykuły w gazecie. Posłuchaj zatem:

> Drogi Panie Holmes!
>
> Lord Backwater twierdzi, że mogę całkowicie polegać na Panu i jego dyskrecji, postanowiłem zatem złożyć Panu wizytę i poprosić go o radę w związku z pewnym wielce bolesnym wydarzeniem, jakie miało miejsce tuż po moim ślubie. Sprawą zajmuje się już inspektor Lestrade ze Scotland Yardu, zapewnił mnie on jednak, że nie ma nic przeciwko współpracy z Panem, a nawet sądzi, że mogłaby ona przynieść pewne korzyści. Zjawię się u Pana o czwartej po południu. Jeśli ma Pan inne plany na tę godzinę, mam nadzieję, że je zmieni, bowiem moja sprawa ma pierwszorzędne znaczenie.
>
> Z poważaniem. St. Simon.

List został napisany w Grosvenor Mansions gęsim piórem, a nasz szlachetnie urodzony klient miał nieszczęście poplamić atramentem

wewnętrzną stronę małego palca prawej ręki – dodał Holmes, składając kartkę.

– Zapowiedział się na czwartą. Teraz jest trzecia, czyli będzie tu za godzinę.

– Mam zatem czas, by z twoją pomocą zorientować się w sprawie. Przejrzyj gazety i ułóż artykuły w kolejności chronologicznej – poprosił mój przyjaciel – ja zaś sprawdzę, kim jest nasz klient – stwierdził, po czym sięgnął po jeden z oprawionych na czerwono tomów encyklopedii stojących obok kominka. – Oto i on. – Holmes usiadł i rozłożył książkę na kolanach. – „Lord Robert Walsingham de Vere St. Simon, drugi syn księcia Balmoral". Hmm. „Herb: czarny pas w błękitnym polu, nad nim trzy chabry. Urodzony w 1846 roku". Czyli ma czterdzieści jeden lat, zdążył więc dojrzeć do małżeństwa. W składzie poprzedniego rządu był podsekretarzem do spraw kolonii, zaś książę Balmoral, jego ojciec, piastował niegdyś urząd sekretarza spraw zagranicznych. Wywodzą się bezpośrednio od Plantagenetów, a po kądzieli w ich żyłach płynie także krew Tudorów. Ha! Cóż, nie znalazłem tu żadnych istotnych informacji. Liczę, że ty, Watsonie, okażesz się bardziej pomocny.

– Bez trudu wyszukałem odpowiednie artykuły – przyznałem – wydarzenia rozegrały się bowiem niedawno i już wcześniej zwróciłem uwagę na ich niezwykły charakter. Nie chciałem ci jednak o nich opowiadać, gdyż wiedziałem, że prowadzisz jakieś dochodzenie, a w takich wypadkach nie lubisz, by narzucać ci się z innymi sprawami.

– Chodzi ci o tę drobną zagadkę dotyczącą wozu z meblami z Grosvenor Square? Została już rozwiązana, a zresztą, muszę przyznać, że sprawa od początku była oczywista. Proszę, przedstaw mi wyniki przeglądu prasy.

– Pierwsza wzmianka, jaką udało mi się znaleźć, widnieje w rubryce towarzyskiej „Morning Post" i jak widzisz, pochodzi sprzed kilku tygodni.

> Zostały ogłoszone zaręczyny pomiędzy lordem Robertem St. Simon, drugim synem księcia Balmoral i panią Hatty Doran, jedyną córką Sz. P. Aloysiusa Dorana z San Francisco w amerykańskim stanie Kalifornia. Jeśli wierzyć plotkom, ślub odbędzie się na dniach.

To wszystko.

– Zwięźle i rzeczowo – zauważył Holmes, wyciągając swoje długie, chude nogi w kierunku ognia.

– Temat został bardziej rozwinięty w innej gazecie z tego samego tygodnia.

> Należy pomyśleć o ochronie rynku małżeństw, gdyż panujące na nim obecnie zasady wolnorynkowe wydają się niekorzystne dla krajowych produktów. Kolejne szlachetne rody Wielkiej Brytanii przechodzą pod zarząd naszych uroczych kuzynów zza Atlantyku. W ubiegłym tygodniu lista ofiar tych czarujących najeźdźców znów się wydłużyła. Lord St. Simon, który przez ponad dwadzieścia lat wydawał się odporny na strzały Kupidyna, ogłosił zamiar ożenienia się z panną Hatty Doran, urzekającą córką kalifornijskiego milionera. Panna Doran, której wdzięczna sylwetka i wyrazista twarz przyciągnęły uwagę wielu obserwatorów podczas uroczystości w Westbury House, jest jedynaczką i mówi się, że wniesie w posagu poważną sześciocyfrową kwotę, a w przyszłości odziedziczy znacznie więcej. Tajemnicą poliszynela jest, że w ciągu ostatnich kilku lat książę Balmoral był zmuszony sprzedać swe obrazy, a lord St. Simon nie ma własnych posiadłości poza niewielkim majątkiem w Birchmoor, nie ulega zatem wątpliwości, że nie tylko kalifornijska dziedziczka zyska na małżeństwie, które pozwoli jej łatwo i bezboleśnie przedzierzgnąć się z republikanki w brytyjską arystokratkę.

– Coś jeszcze? – spytał Holmes, ziewając.

– Owszem, całe mnóstwo. Kolejna notka z „Morning Post” mówi o tym, że planowany jest cichy ślub w kościele św. Jerzego przy Hanover Square, na który zaproszonych zostało jedynie kilkoro najbliższych przyjaciół, zdradza też, że po ceremonii państwo młodzi udadzą się do umeblowanego domu przy Lancaster Gate, który wynajął pan Aloysius Doran. Dwa dni później, czyli w ostatnią sobotę, ukazała się sucha wzmianka o tym, że ślub się odbył i nowożeńcy zamierzają spędzić miesiąc miodowy w majątku lorda Backwater, niedaleko Petersfield. To ostatnia informacja, która ukazała się przed zniknięciem panny młodej.

– Przed czym? – spytał Holmes, wzdragając się gwałtownie.

– Zniknięciem panny młodej.

– Kiedy zniknęła?

– Podczas śniadania, tuż po ślubie.

– Doprawdy, sprawa jest bardziej interesująca, niż się wydawała na pierwszy rzut oka. Można nawet uznać ją za dramatyczną.

– Owszem, uderzyła mnie jej niezwykłość.

– Państwu młodym zdarza się znikać przed ceremonią, a niekiedy także podczas miesiąca miodowego, nie przypominam sobie jednak, by

kiedykolwiek stało się to tak szybko po zaślubinach. Proszę, zdradź mi więcej szczegółów.

– Uprzedzam, że obraz sprawy jest bardzo niepełny.

– Być może uda nam się to zmienić.

– Sytuację podsumowuje artykuł w jednej ze wczorajszych porannych gazet, zatytułowany: „Niezwykłe wydarzenie na szykownym ślubie”. Przeczytam ci go:

> Rodzina lorda Roberta St. Simon jest skonsternowana dziwnymi, bolesnymi wydarzeniami, jakie miały miejsce po jego ślubie. Jak podały wczorajsze gazety, uroczystość odbyła się poprzedniego dnia rano, jednak dopiero teraz udało się potwierdzić niezwykłe i uporczywie powtarzane plotki. Choć przyjaciele rodziny usiłowali zatuszować całą sprawę, spotkała się ona z ogromnym zainteresowaniem. Nie ma sensu udawać, że nie miały miejsca wydarzenia, które stały się aktualnym tematem rozmów.
>
> Ceremonia odbyła się w kościele św. Jerzego przy Hanover Square i była bardzo kameralna. Uczestniczyli w niej jedynie: ojciec panny młodej, pan Aloysius Doran, księżna Balmoral, lord Backwater, lord Eustace i lady Clara St. Simon (młodszy brat i siostra pana młodego) oraz lady Alicia Whittington. Po ślubie wszyscy goście pojechali do domu przy Lancaster Gate, który zajmuje pan Aloysius Doran, gdzie zostało przygotowane śniadanie. Zdaje się, że nieco zamieszania spowodowała kobieta, której tożsamości nie udało się ustalić, a która usiłowała dostać się do domu razem z weselnikami, twierdząc, że ma sprawę do lorda St. Simon. Dopiero po długiej i nieprzyjemnej scenie lokajowi i portierowi udało się kobietę usunąć. Panna młoda, która na szczęście weszła do domu przed tym niemiłym incydentem, zasiadła do śniadania wraz z gośćmi, po chwili jednak zaczęła się uskarżać na nagłą niedyspozycję i udała się do swojego pokoju. Jej przedłużająca się nieobecność wywołała komentarze, więc ojciec poszedł po nią, ale pokojówka powiedziała, że jej młoda pani weszła do pokoju jedynie na chwilę, chwyciła płaszcz i czepek, po czym wybiegła na korytarz. Jeden z lokajów potwierdził, że widział wychodzącą z domu kobietę w ubraniu odpowiadającym opisowi, ale nie chciał przyznać, że była to jego pani, gdyż był przekonany, że znajduje się z resztą towarzystwa. Odkrywszy zniknięcie młodej damy, pan Aloysius Doran i pan młody natychmiast porozumieli się z policją; wszczęto energiczne śledztwo, które zapewne doprowadzi do szybkiego wyjaśnienia tej niezwykle osobliwej sprawy, jednak wczoraj do późnych godzin wieczornych nie udało się ustalić miejsca pobytu zaginionej. Krążą plotki o tym, że mogło dojść do popełnienia przestępstwa, mówi się także, iż policja aresztowała kobietę, która wcześniej zakłóciła przebieg uroczystości, uznano bowiem, że z zazdrości lub innego powodu mogła być zamieszana w zaginięcie młodej pani.

– Czy to wszystko?

– Jeszcze tylko jedna notka w innej porannej gazecie, wydaje się jednak znacząca.

– O czym mówi?

– O aresztowaniu panny Flory Millar, damy, która spowodowała zamieszanie. Była chyba niegdyś tancerką w Allegro, pana młodego zna od kilku lat. Nie podano innych szczegółów. Teraz wiesz już wszystko, co napisano w prasie, a sprawa jest w twoich rękach.

– I wydaje się niezwykle interesująca. Za nic w świecie nie chciałbym jej przegapić. O, dzwonek do drzwi, a zegar wskazuje kilka minut po czwartej, zatem bez wątpienia przybył nasz szlachetnie urodzony klient. Nawet nie próbuj nigdzie iść, Watsonie. Bardzo zależy mi na obecności świadka, choćby po to, byś w razie potrzeby potwierdził moją relację z tej sprawy.

– Lord Robert St. Simon – oznajmił usługujący nam chłopak, szeroko otwierając drzwi.

Do pokoju wszedł dżentelmen o sympatycznej, inteligentnej twarzy, blady i wyniosły, z nieco rozdrażnioną miną i pewnym, śmiałym spojrzeniem człowieka, który przez całe życie wydawał polecenia i miał posłuch wśród podwładnych. Poruszał się energicznie, ale ponieważ nieco się garbił i chodził na lekko ugiętych nogach, wyglądał na starszego niż był w rzeczywistości; kiedy zdjął cylinder o mocno wywiniętym rondzie, okazało się, że ma siwe skronie i włosy przerzedzone na czubku głowy. Staranność, z jaką był ubrany, graniczyła z fircykowatością – miał wysoki kołnierzyk, czarny frak, białą kamizelkę, żółte rękawiczki, buty z lakierowanej skóry i jasne getry. Powoli wszedł do środka i rozejrzał się po pokoju; w prawej ręce obracał łańcuszek ze złotymi okularami.

– Dzień dobry, wasza lordowska mość – powiedział Holmes, wstając i kłaniając się naszemu gościowi. – Proszę usiąść tu, na wyplatanym krześle. Oto mój przyjaciel i współpracownik doktor Watson. Proszę przysunąć się do kominka i opowiedzieć nam o całej sprawie.

– Jak może się pan domyślać, panie Holmes, jest ona dla mnie bardzo bolesna. Czuję się dotknięty do żywego. Jeśli dobrze rozumiem, zajmował się pan już tak delikatnymi sprawami, choć zapewne nie dotyczyły one osób z mojej klasy.

– Nie, z wyższej.

– Przepraszam?

– Ostatnią tego typu sprawę prowadziłem dla króla.

– Doprawdy? Nie wiedziałem o tym. O którym królu pan mówi?

– O królu Skandynawii.

– Co takiego? Czyżby jego małżonka zaginęła?

– Jak pan zapewne rozumie – uprzejmie odpowiedział Holmes – sprawy innych klientów traktuję z taką samą dyskrecją, jaką obiecuję panu.

– Ależ oczywiście! Słusznie! Bardzo słusznie! Przepraszam pana. Jeśli chodzi o moją sprawę, gotów jestem udzielić panu wszelkich informacji, jakie mogą okazać się przydatne.

– Dziękuję. Wiem tylko tyle, ile napisano w gazetach. Rozumiem, że ich treść, na przykład tego artykułu o zniknięciu panny młodej, jest zgodna ze stanem faktycznym.

Lord St. Simon przejrzał gazetę.

– Owszem, to, co tu napisano, jest prawdą.

– Wymaga jednak znacznego uzupełnienia, nim powiem cokolwiek na ten temat. Sądzę, że najprościej będzie, jak właśnie pan mi przedstawi fakty.

– Proszę pytać.

– Kiedy poznał pan pannę Hatty Doran?

– Rok temu, w San Francisco.

– Podróżował pan po Stanach Zjednoczonych?

– Tak.

– Czy to wówczas się państwo zaręczyli?

– Nie.

– Rozumiem jednak, że utrzymywaliście przyjacielskie kontakty?

– Jej towarzystwo mnie bawiło, a ona była tego świadoma.

– Czy jej ojciec jest bardzo bogaty?

– Podobno to najzamożniejszy człowiek na całym wybrzeżu Pacyfiku.

– A w jaki sposób dorobił się majątku?

– Na kopalniach. Jeszcze kilka lat temu był bez grosza przy duszy. Później odkrył złoto, korzystnie zainwestował pieniądze uzyskane z jego sprzedaży i stał się bogaczem.

– Co sądzi pan o charakterze tej młodej damy, pańskiej żony?

Lord zaczął nieco szybciej wymachiwać okularami i wbił wzrok w ogień.

– Widzi pan, panie Holmes – zaczął mówić – moja żona miała już dwadzieścia lat, kiedy jej ojciec dorobił się fortuny. Przedtem żyła swobodnie w górniczym obozowisku i włóczyła się po lasach i górach, więc

zamiast nauczycieli wyedukowała ją przyroda. To typ, jaki w Anglii określają „chłopczyca”. Ma silny charakter, jest swobodna, nieokiełznana i nieskrępowana żadną tradycją. Jest zapalczywa, ma wybuchowy temperament. Szybko podejmuje decyzje i nieugięcie realizuje to, co sobie postanowiła. Z drugiej jednak strony, nie dałbym jej nazwiska, które mam zaszczyt nosić (tu nasz gość zakasłał cicho, acz znacząco), gdybym nie był przekonany, że w głębi duszy to szlachetna osoba. Sądzę, że jest zdolna do heroicznych poświęceń i brzydzi się wszystkim, co niegodziwe.

– Czy ma pan jej zdjęcie?

– Przyniosłem ze sobą to – otworzył medalion i pokazał nam okrągłą twarzyczkę niezwykle uroczej kobiety. Nie była to fotografia, lecz miniatura z kości słoniowej, w której artysta pięknie przedstawił lśniące, czarne włosy, duże, ciemne oczy i subtelne usta. Holmes i ja uważnie przyjrzeliśmy się portretowi, po czym mój przyjaciel zamknął medalion i oddał go lordowi St. Simon.

– Odnowili państwo znajomość po przyjeździe młodej damy do Londynu?

– Tak, ojciec przywiózł ją tu w minionym sezonie. Spotkałem się z nią kilka razy, zaręczyliśmy się i wzięliśmy ślub.

– Rozumiem, że wniosła w posagu znaczącą kwotę?

– Godziwą. Nie większą, niż jest to przyjęte w mojej rodzinie.

– A jako że małżeństwo zostało zawarte, zatrzymuje pan te pieniądze?

– Doprawdy, nie pytałem o to.

– Oczywiście. Czy widział się pan z panną Doran w dniu poprzedzającym ślub?

– Tak.

– Czy była w dobrym nastroju?

– W jak najlepszym. Snuła coraz to nowe plany na nasze wspólne życie.

– Doprawdy! To wielce interesujące. A rankiem w dniu ślubu?

– Była nie mniej radosna aż do rozpoczęcia ceremonii.

– Czy zauważył pan wówczas jakąś zmianę w jej zachowaniu?

– Cóż, prawdę mówiąc, wtedy właśnie przekonałem się, że potrafi być nieco porywcza. Ten incydent był jednak tak błahy, że nie warto o nim mówić, nie mógł on w żaden sposób wpłynąć na całą sprawę.

– Mimo wszystko, proszę o nim opowiedzieć.

– Doprawdy dziecinada. Upuściła bukiet, kiedy szliśmy do zakrystii. Przechodziła właśnie koło pierwszej ławki i wiązanka upadła obok. Zatrzymaliśmy się na chwilę, dżentelmen siedzący w tej ławce podniósł bukiet i podał go jej. Kwiaty nie ucierpiały, ale kiedy wspomniałem jej o tym, odpowiedziała szorstko. W powozie po drodze do domu wydawała się absurdalnie poruszona tą błahostką.

– Doprawdy? Wspomniał pan, że w pierwszej ławce siedział jakiś dżentelmen. W kościele był zatem ktoś jeszcze poza gośćmi?

– Tak. Nie sposób tego uniknąć, gdyż kościół jest otwarty.

– Czy ten dżentelmen był znajomym pańskiej żony?

– Nie. Nazwałem go dżentelmenem przez grzeczność, ale wyglądał pospolicie. Nic w jego powierzchowności nie rzuciło mi się w oczy. Ale naprawdę, zdaje się, że bardzo oddaliliśmy się od istoty sprawy.

– A zatem lady St. Simon wróciła ze ślubu w mniej radosnym nastroju, niż na niego pojechała. Co uczyniła po powrocie do domu ojca?

– Widziałem, jak rozmawia z pokojówką.

– Kim jest ta służąca?

– Ma na imię Alice. Jest Amerykanką, przyjechała z Kalifornii razem z moją żoną.

– Czy łączą je bliskie stosunki?

– Aż nazbyt. Odniosłem wrażenie, że na zbyt wiele się jej pozwala. Trzeba jednak pamiętać, że w Ameryce pewne rzeczy wyglądają inaczej.

– Jak długo trwała rozmowa z Alice?

– Kilka minut. Byłem wówczas zajęty innymi sprawami.

– Czy słyszał pan, o czym mówiły?

– Lady St. Simon wspomniała coś o przejęciu działki. Często posługiwała się takim slangiem. Nie wiem, co miała na myśli.

– Amerykański slang bywa bardzo wymowny. A co zrobiła pańska żona po zakończeniu tej rozmowy?

– Weszła do jadalni.

– Opierając się na pana ramieniu?

– Nie, sama. Była bardzo niezależna i nie przykładała wagi do konwenansów. Później, mniej więcej dziesięć minut po tym, jak zasiedliśmy do stołu, pośpiesznie wstała, wymamrotała coś na swoje usprawiedliwienie i wyszła z jadalni. Już do niej nie wróciła.

– Z tego co wiem, pokojówka Alice zeznaje, że jej pani poszła do swojego pokoju, włożyła na suknię ślubną długi płaszcz, nałożyła czepek i wyszła.

– Zgadza się. Później widziano, jak wchodzi do Hyde Parku w towarzystwie Flory Millar, tej samej kobiety, która rano zakłóciła spokój w domu pana Dorana, a obecnie przebywa w areszcie.

– Rozumiem. Chciałbym się czegoś dowiedzieć o tej młodej damie i o pańskiej z nią znajomości.

Lord St. Simon uniósł brwi i wzruszył ramionami.

– Od kilku lat utrzymujemy przyjacielskie stosunki. Mogę powiedzieć, że wręcz zażyłe. Tańczyła kiedyś w Allegro. Nie potraktowałem jej źle, więc nie miała żadnych powodów, by się na mnie uskarżać, ale wie pan, jakie są kobiety, panie Holmes. Flora to urocza osóbka, lecz bardzo porywcza, a przy tym niezwykle do mnie przywiązana. Kiedy dowiedziała się, że zamierzam się ożenić, zaczęła zasypywać mnie okropnymi listami i szczerze mówiąc, dlatego nastawałem na cichy ślub, gdyż obawiałem się skandalu w kościele. Flora pojawiła się przed domem pana Dorana tuż po naszym powrocie i próbowała dostać się do środka, wymyślając mojej żonie, a nawet jej grożąc, przewidziałem jednak, że może do tego dojść, więc poprosiłem, by w domu znajdowało się dwóch nieumundurowanych policjantów. Szybko wypchnęli ją na zewnątrz, a ona ochłonęła, kiedy przekonała się, że wszczęcie burdy niczego jej nie da.

– Czy pańska żona słyszała to zamieszanie?

– Na szczęście nie.

– Ale później widziano ją w towarzystwie tej kobiety?

– Tak. Pan Lestrade ze Scotland Yardu jest tym bardzo zaniepokojony. Sądzi, że Flora zwabiła moją żonę w jakąś straszną pułapkę.

– To jedna z możliwych teorii.

– Pan też tak sądzi?

– Nie, powiedziałem, że jest prawdopodobna. A czy pan ją za taką uważa?

– Moim zdaniem, Flora nie skrzywdziłaby muchy.

– Trzeba jednak pamiętać, że zazdrość zmienia ludzi. Jaka jest pańska teoria na temat tego, co się wydarzyło?

– Ja przyszedłem tu usłyszeć pańską teorię, panie Holmes, a nie proponować własną! Skoro jednak pan pyta, przyznaję, że pomyślałem, iż

wszystkie emocje związane z tą sprawą i świadomość olbrzymiego awansu społecznego, jaki uzyskała, spowodowały zaburzenia nerwowe u mojej żony.

– Czyli, krótko mówiąc, nagle oszalała?

– Doprawdy, kiedy pomyślę, że ona mogła zrezygnować… nie, nie ze mnie, lecz z tego wszystkiego, o czym bezskutecznie marzą inni, nie potrafię znaleźć lepszego wyjaśnienia.

– Cóż, to z pewnością również jeden z możliwych wniosków – stwierdził z uśmiechem Holmes. – A teraz, wasza lordowska mość, proszę powiedzieć, czy przy śniadaniu siedzieli państwo naprzeciwko okna?

– Tak. Widać było przeciwległą stronę ulicy i Hyde Park.

– Rozumiem. Myślę, że nie ma potrzeby, bym dłużej pana zatrzymywał. Powiadomię pana w stosownym czasie.

– Jeśli będzie pan miał na tyle szczęścia, by rozwiązać tę zagadkę.

– Już ją rozwiązałem.

– Co proszę?

– Powiedziałem, że już ją rozwiązałem.

– Gdzie w takim razie jest moja żona?

– Wkrótce podam panu tę informację.

Lord St. Simon potrząsnął głową.

– Obawiam się, że trzeba do tego tęższych głów niż pańska lub moja – stwierdził, po czym ukłonił się majestatycznie, w sposób staroświecki i wyszedł.

– To bardzo uprzejme ze strony lorda St. Simon, że docenił mój intelekt, stawiając go na równi z własnym – stwierdził Holmes ze śmiechem. – Myślę, że po tej rozmowie należy nam się whisky z wodą sodową i cygaro. Rozwiązałem tę sprawę, jeszcze zanim nasz klient tu przybył.

– Drogi Holmesie!

– Mam zapiski z kilku podobnych przypadków, choć jak już mówiłem, żaden z nich nie rozegrał się równie szybko. Wszystkie pytania, które zadałem, miały jedynie potwierdzić moją teorię. Poszlaki mogą niekiedy być bardzo przekonujące, na przykład, kiedy znajdujesz w mleku pstrąga, żeby zacytować Thoreau.

– Ależ słyszałem dokładnie to samo, co ty.

– Nie masz jednak wiedzy o wcześniejszych przypadkach, która jest dla mnie wielce przydatna. Do podobnego zdarzenia doszło kilka lat temu

w Aberdeen, a także w Monachium w rok po wojnie francusko-pruskiej. To w jednej z tych spraw… Ale oto i Lestrade! Dzień dobry, panie Lestrade. Proszę wziąć szklankę z kredensu i cygaro z pudełka.

Detektyw był ubrany w żakiet o marynarskim kroju i fular, który to strój nadawał mu wygląd żeglarza, w ręku trzymał czarną, płócienną torbę. Po krótkim powitaniu usiadł i zapalił cygaro.

– Proszę powiedzieć, w czym rzecz – poprosił Holmes z błyskiem w oku. – Nie wygląda pan na zadowolonego.

– Bo nie jestem. Chodzi o tę piekielną sprawę ślubu lorda St. Simon. Nic z niej nie rozumiem.

– Doprawdy? Zdumiewa mnie pan.

– To prawdziwy węzeł gordyjski, a wątki wymykają mi się z rąk. Siedziałem nad tym przez cały dzień.

– I porządnie się pan przy tym zamoczył – stwierdził Holmes, kładąc rękę na rękawie jego żakietu.

– Owszem. Przeszukiwałem dno stawu Serpentine w Hyde Parku.

– Ależ po co, na litość boską?

– W poszukiwaniu ciała lady St. Simon.

Sherlock rozparł się w fotelu i wybuchnął serdecznym śmiechem.

– Czy sprawdzał pan też fontannę przy Trafalgar Square? – zapytał.

– Dlaczego? O co panu chodzi?

– Miałby pan mniej więcej takie same szanse odnalezienia zaginionej damy, zarówno w jednym jak i w drugim z tych miejsc.

Lestrade spojrzał na mego towarzysza z jawną złością.

– Rozumiem, że pan już wszystko wie o tej sprawie – warknął.

– Dopiero co zapoznałem się z faktami, ale już wyrobiłem sobie zdanie na całe zajście.

– Doprawdy? I twierdzi pan, że Serpentine nie odgrywa tu żadnej roli?

– Sądzę, że jest to bardzo mało prawdopodobne.

– Czy w takim razie byłby pan tak uprzejmy i wyjaśnił, czemu znaleźliśmy w stawie to? – Lesrade otworzył torbę i wyrzucił z niej na podłogę jedwabną suknię ślubną, parę białych atłasowych bucików, wianek i welon, wszystko przybrudzone i nasiąknięte wodą. – Proszę bardzo. – Położył na stosiku nową obrączkę. – Co pan na to, panie Holmes?

– Doprawdy – zapytał mój przyjaciel, wypuszczając w powietrze kółka błękitnego dymu – wyłowił je pan z Serpentine?

– Nie. Dozorca parku zauważył, że unosiły się na wodzie niedaleko brzegu. Rozpoznano je jako należące do zaginionej, więc sądziłem, że skoro jest tam ubranie, ciało powinno być niedaleko.

– Gdyby opierać się na tym błyskotliwym rozumowaniu, ciało każdego zmarłego należałoby szukać w pobliżu jego szafy. Proszę wyjaśnić, co chciał pan w ten sposób znaleźć?

– Dowody na udział Flory Millar w całej sprawie.

– Obawiam się, że może pan mieć z tym kłopot.

– Ach tak? – wykrzyknął Lestrade z goryczą. – Z żalem przyznaję, panie Holmes, że rezultaty pańskich dociekań i wniosków nie są zbyt trafne. W ciągu dwóch minut popełnił pan dwa błędy. Suknia wskazuje na to, że panna Flora Millar była zamieszana w całą sprawę.

– W jaki sposób?

– W kieszeni sukni znaleziono wizytownik, a w nim liścik. Oto on. – Lestrade rzucił arkusz papieru na stół przed sobą. – Proszę posłuchać: „Spotkamy się, kiedy wszystko będzie gotowe. Proszę przybyć bez wahania. F.H.M.”. Od początku uważałem, że Flora Millar zwabiła lady St. Simon w pułapkę i odpowiada, prawdopodobnie wraz ze wspólnikami, za jej zniknięcie. Oto liścik podpisany jej inicjałami, który zapewne wcisnęła w rękę panny młodej przy drzwiach i którym zwabiła ją w swoje sidła.

– Znakomicie, panie Lestrade – odparł Holmes ze śmiechem. – Doprawdy, świetnie się pan spisał. Proszę mi to pokazać. – Wziął liścik do rąk z obojętną miną, ale karteczka szybko przyciągnęła jego uwagę i po jej obejrzeniu wydał cichy okrzyk zadowolenia. – To naprawdę istotny fakt – stwierdził.

– Ha! Tak pan sądzi?

– Zdecydowanie tak. Serdecznie panu gratuluję.

Lestrade triumfująco podniósł się z miejsca i pochylił się nad Holmesem.

– Ależ patrzy pan nie na tę stronę kartki, co trzeba! – wykrzyknął.

– Wręcz przeciwnie. To ta jest właściwa.

– Właściwa? Chyba pan oszalał! Liścik jest z drugiej stony!

– Ale na tej ważniejszej, według mnie, widnieje fragment rachunku hotelowego, który uważam za wielce interesujący.

– Już mu się przyglądałem, sądzę, że nie ma w nim niczego ciekawego. Czwarty października. Pokoje osiem szylingów, śniadanie dwa szylingi

sześć pensów, koktajl jeden szyling, lunch dwa szylingi sześć pensów, kieliszek sherry osiem pensów. Dla mnie nic z tego nie wynika.

– To całkiem prawdopodobne, nie oznacza jednak, że rachunek nie jest istotny. A przynajmniej te oto inicjały również mają duże znaczenie, muszę więc jeszcze raz panu pogratulować.

– Zmarnowałem tu już dość czasu – stwierdził Lestrade, wstając. – Wierzę w ciężką pracę, a nie w naciągane teorie snute przy kominku. Do widzenia, panie Holmes. Zobaczymy, który z nas jako pierwszy rozwiąże sprawę. – Pozbierał ubrania, wrzucił je do torby i skierował się do drzwi.

– Mam dla pana jedną wskazówkę, Lestrade – wycedził Holmes przed odejściem rywala. – Zdradzę panu rozwiązanie tej zagadki. Lady St. Simon to fikcja. Taka osoba nie istnieje i nigdy nie istniała.

Lestrade ze smutkiem spojrzał na mego towarzysza, potem odwrócił się do mnie, trzykrotnie postukał się w czoło, z powagą pokręcił głową i czym prędzej wyszedł.

Ledwie zamknęły się za nim drzwi, Holmes podniósł się i włożył płaszcz.

– Ten człowiek ma trochę racji co do pracy w terenie – oświadczył – więc muszę cię, Watsonie, pozostawić na jakiś czas samego z gazetami.

Sherlock Holmes wyszedł po piątej, nie zdążyłem jednak poczuć się samotny – po niecałej godzinie przybył dostawca ze sklepu garmażeryjnego i przyniósł bardzo duże płaskie pudło. Zaczął je rozpakowywać przy pomocy towarzyszącego mu czeladnika i po chwili, ku memu wielkiemu zaskoczeniu, na naszym skromnym stole pojawiła się wielce wystawna kolacja na zimno, złożona z paru bekasów, bażanta, placka z pasztetem strasburskim i kilku starych omszałych butelek. Po wypakowaniu tych wspaniałości przybysze zniknęli, niczym dżinny z *Baśni z tysiąca i jednej nocy*, nie podając żadnych wyjaśnień poza tym, że ktoś opłacił to zamówienie i kazał je dostarczyć pod nasz adres.

Tuż przed dziewiątą Holmes energicznie wszedł do pokoju. Miał poważną minę, ale błysk w oczach wskazywał na to, że jego przewidywania okazały się słuszne.

– Widzę, że podano do stołu – stwierdził, zacierając ręce.

– Czy się kogoś spodziewasz? Nakryto na pięć osób.

– Owszem, możemy mieć dziś gości – odparł. – Dziwne, że nie ma jeszcze lorda St. Simon. Ha! Słyszę, zdaje się, jego kroki na schodach.

Istotnie, do pokoju wpadł nasz popołudniowy gość, wymachując jeszcze gwałtowniej okularami, niż czynił to wcześniej; na jego arystokratycznej twarzy malowało się wielkie wzburzenie.

– Rozumiem, że otrzymał pan moją wiadomość? – spytał Holmes.

– Owszem. Muszę przyznać, że jej treść zdumiała mnie ponad wszelką miarę. Czy ma pan dowody na prawdziwość swoich słów?

– Najpewniejsze z możliwych.

Lord St. Simon opadł na fotel i przesunął dłonią po czole:

– Co powie książę, kiedy dowie się, że jeden z członków rodziny wystawił się na pośmiewisko?

– To czysty przypadek. Nie widzę w nim żadnej śmieszności.

– Ach, patrzy pan na to z innego punktu widzenia.

– W tej sprawie nikt nie jest winny. Dama nie mogła chyba zachować się inaczej, choć pośpiech, z jakim zadziałała, jest niewątpliwie godny ubolewania. Nie ma matki, więc nikt nie mógł jej doradzić, jak postąpić w tej sytuacji.

– To było upokorzenie, proszę pana. Publiczne upokorzenie – powtórzył lord St. Simon, stukając palcami w stół.

– Musi pan wybaczyć tej biednej dziewczynie, która znalazła się w tak wyjątkowym położeniu.

– Nie zamierzam tego zrobić. Jestem wściekły, że tak haniebnie mnie wykorzystano.

– Zdaje się, że słyszałem dzwonek – Holmes zmienił temat. – Tak, słychać już kroki na półpiętrze. Skoro ja nie zdołałem skłonić waszej lordowskiej mości do łagodniejszego spojrzenia na tę sprawę, sprowadziłem kogoś, komu może się to udać.

Otworzył drzwi i wprowadził do środka damę i dżentelmena, po czym oznajmił:

– Lordzie St. Simon, pozwoli pan, że mu przedstawię: pan Francis Hay Moulton z małżonką. Zdaje się, że wasza lordowska mość zna już tę panią.

Na widok przybyłych nasz klient poderwał się na równe nogi i stanął wyprostowany, z oczyma wbitymi w ziemię i ręką na piersi niczym wcielenie urażonej dumy. Kobieta szybko do niego podeszła i wyciągnęła ku niemu rękę, on jednak nie podniósł wzroku. Być może tak było dla niego

lepiej, gdyż inaczej chyba nie zdołałby się oprzeć błaganiu wypisanemu na jej twarzy.

– Gniewasz się, Robercie – stwierdziła – i masz ku temu dobry powód.

– Nie życzę sobie przeprosin – odpowiedział gorzko lord St. Simon.

– Wiem, że bardzo źle cię potraktowałam, powinnam się z tobą rozmówić przed wyjazdem, ale byłam zupełnie wstrząśnięta od chwili, kiedy zobaczyłam Franka, nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Aż dziw, że nie zemdlałam od razu przed ołtarzem.

– Panie Moulton, czy życzy pan sobie, byśmy z przyjacielem opuścili pokój, kiedy będzie pan wyjaśniał całą sprawę?

– Moim zdaniem, za dużo już było tajemnic. Chciałbym, by cała Europa i Ameryka dowiedziały się prawdy – odpowiedział pan Moulton. Był to ogorzały, gładko wygolony mężczyzna o wyrazistych rysach twarzy, pełen energii, niski i żylasty.

– W takim razie od razu opowiem naszą historię – zaczęła kobieta. – Frank i ja spotkaliśmy się w 1884 roku w obozie McQuire’a, niedaleko Gór Skalistych, gdzie tatko eksploatował złotonośne złoże. Zaręczyliśmy się, ale ojciec trafił na bogatą żyłę złota i zbił majątek, a pokłady biednego Franka się wyczerpały, więc został z niczym. Im bardziej tatko się bogacił, tym bardziej biedniał Frank. Mój ojciec nie chciał więcej słyszeć o naszym narzeczeństwie i zabrał mnie do Frisco. Mój ukochany jednak ani myślał cofać danego mi słowa. Pojechał tam za mną i spotykaliśmy się bez wiedzy ojczulka. Staruszek wściekłby się, gdyby się o tym dowiedział, więc wszystko ustalaliśmy sami. Frank przyrzekł, że też zdobędzie majątek i przyjedzie po mnie, kiedy będzie już takim bogaczem jak tatko. Obiecałam, że będę czekać na niego do końca świata i nie zostanę żoną innego tak długo, jak długo będzie żył. „W takim razie, czemu nie mielibyśmy się pobrać od razu? – on na to. – Wtedy będę miał pewność, ale nie przyznam się nikomu, że jestem twoim mężem, dopóki po ciebie nie wrócę”. Obgadaliśmy to, on pięknie wszystko załatwił, a że przyprowadził ze sobą księdza, wzięliśmy ślub od ręki. Później Frank pojechał zbijać majątek, a ja wróciłam do tatka. Kiedy znowu usłyszałam o Franku, był w Montanie, później szukał złota w Arizonie, a potem pojechał do Nowego Meksyku. W końcu przeczytałam długi artykuł w gazecie opowiadający o ataku Apaczów na obóz górników; nazwisko Franka było wymienione wśród zabitych. Padłam bez czucia tak jak stałam, a potem chorowałam

jeszcze przez wiele miesięcy. Tatko myślał, że popadłam w niemoc, toteż wezwał do mnie połowę lekarzy z Frisco. Nie miałam żadnych wieści przez ponad rok i święcie wierzyłam, że Frank naprawdę nie żyje. Później lord St. Simon przyjechał do Frisco, a potem my pojechaliśmy do Londynu, gdzie zostały ogłoszone zaręczyny. Tatko był w siódmym niebie, ale ja przez cały czas czułam, że żaden mężczyzna na świecie nie zdoła zająć w moim sercu miejsca, które przeznaczyłam biednemu Frankowi. Oczywiście, po ślubie z lordem St. Simon zamierzałam sumiennie wypełniać małżeńskie obowiązki. Nie panujemy nad swymi uczuciami, ale nad uczynkami owszem. Kiedy szłam z nim do ołtarza, zamierzałam być dla niego tak dobrą żoną, jak tylko zdołam. Mogą sobie jednak panowie wyobrazić, jak się poczułam, kiedy przy samym ołtarzu obejrzałam się za siebie i w pierwszej ławce zobaczyłam wpatrzonego we mnie Franka. Na początku myślałam, że to duch, ale kiedy spojrzałam w to samo miejsce drugi raz, wciąż tam był i patrzył na mnie tak, jakby chciał spytać czy jego widok ucieszył mnie, czy zmartwił. Dziwię się, że nie padłam wtedy jak długa, ale faktem jest, że kręciło mi się w głowie, a słowa księdza brzmiały dla mnie jak brzęczenie roju pszczół. Nie wiedziałam, co mam począć. Czy przerwać mszę i urządzić scenę w kościele? Popatrzyłam na Franka jeszcze raz, a on chyba odgadł moje myśli, bo podniósł palec do ust, dając znak, żebym była cicho. Później zobaczyłam, jak gryzmoli coś na skrawku papieru i zrozumiałam, że pisze do mnie. Kiedy przechodziłam koło niego po drodze do wyjścia, upuściłam bukiet, a on, oddając kwiaty, wsunął mi w dłoń liścik. Było w nim tylko jedno zdanie, prosił, bym do niego dołączyła, kiedy da mi znak. Rzecz jasna, ani przez chwilę nie wątpiłam, że moje zobowiązania wobec niego mają pierwszeństwo nad aktualnymi, więc postanowiłam zrobić to, co mi poleci. Po powrocie do domu powiedziałam o wszystkim mojej pokojówce, która pamiętała Franka jeszcze z Kalifornii i zawsze była mu przychylna. Kazałam jej nikomu niczego nie mówić, przygotować mój płaszcz i spakować kilka najbardziej potrzebnych rzeczy. Wiem, że powinnam była pomówić z lordem St. Simon, ale strasznie trudno było mi się na to zdobyć przed jego matką i tymi wszystkimi szacownymi ludźmi. Postanowiłam uciec i wyjaśnić wszystko później. Nie minęło dziesięć minut, odkąd usiedliśmy przy stole, gdy zobaczyłam Franka przez okno po drugiej stronie ulicy. Skinął do mnie ręką i poszedł w głąb parku. Wymknęłam się z jadalni, ubrałam i podążyłam za nim. Przyczepiła się

do mnie jakaś kobieta i zaczęła coś opowiadać o lordzie St. Simon. Z tego co usłyszałam, wywnioskowałam, że też miał co nieco do ukrycia. Udało mi się wyrwać tej kobiecie i szybko dogoniłam Franka. Wsiedliśmy razem do dorożki i pojechaliśmy do mieszkania, które wynajął przy Gordon Square. To był mój prawdziwy ślub po wszystkich tych latach czekania. Frank był więziony przez Apaczów, uciekł z niewoli i wrócił do Frisco. Dowiedziawszy się, że położyłam na nim krzyżyk i pojechałam do Anglii, przyjechał tu za mną i wreszcie dotarł do mnie w dniu mego drugiego ślubu.

– Zobaczyłem informację o ceremonii w gazecie – wyjaśnił Amerykanin. – Podano nazwisko i nazwę kościoła, ale nie było adresu panny młodej.

– Później obgadaliśmy, co robić dalej. Frank był za tym, żeby wszystko ujawnić, ale ja tak bardzo się wstydziłam, że chciałam zniknąć i nigdy więcej nie widzieć nikogo z nich, może najwyżej przesłać liścik tatkowi, żeby wiedział, że żyję. Myśl o tym, iż wszyscy ci arystokraci siedzą wokół stołu i czekają na mój powrót, po prostu mnie przerażała, więc Frank wziął mój ślubny strój, zwinął w węzełek i wyrzucił gdzieś, gdzie nikt nie mógł go znaleźć, tak, żeby nie dało się mnie wyśledzić. Jutro mieliśmy ruszyć do Paryża. Jednak ten miły dżentelmen, pan Holmes, przyszedł dziś wieczorem – choć zupełnie nie rozumiem, jak udało mu się nas odszukać – pokazał czarno na białym, że Frank ma rację, a ja się mylę, więc źle byśmy zrobili, utrzymując wszystko dalej w tajemnicy. Później zaproponował, że umożliwi nam rozmowę na osobności z lordem St. Simon, więc natychmiast przyjechaliśmy do jego mieszkania. Robercie, teraz wiesz już wszystko. Bardzo mi przykro, przepraszam, jeśli zadałam ci ból, lecz mam nadzieję, że nie myślisz o mnie źle.

Lord St. Simon ani drgnął, wysłuchał tej długiej relacji ze zmarszczonymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

– Przepraszam – powiedział – ale omawianie najintymniejszych spraw osobistych na forum publicznym nie leży w moim zwyczaju.

– A więc mi nie wybaczysz? Nie podasz mi ręki, nim wyjadę?

– Ależ proszę bardzo, jeśli sprawi ci to przyjemność. – Wyprostował rękę i sztywno uścisnął wyciągniętą do niego dłoń kobiety.

– Miałem nadzieję, że zje pan z nami kolację w przyjaznej atmosferze – zaproponował Holmes.

– Prosi pan o zbyt wiele – odparł lord. – Jestem zmuszony przyjąć do wiadomości ostatnie wydarzenia, ale nie można ode mnie oczekiwać, bym się z nich cieszył. Za pozwoleniem, chciałbym życzyć wszystkim obecnym dobrej nocy – powiedział, po czym ukłonił się z galanterią i cicho wyszedł z pokoju.

– Mam jednak nadzieję, że państwo zaszczycicie nas swym towarzystwem – zwrócił się Holmes do naszych gości. – Panie Moulton, zawsze z radością spotykam się z Amerykanami, wierzę bowiem, że mimo szaleństwa monarchy i błędów ministra popełnionych w dawnych latach, pewnego dnia nasze dzieci będą obywatelami kraju, rozciągającego się na cały świat, pod flagą łączącą barwy angielskie i amerykańskie.

Po wyjściu gości Holmes stwierdził:

– Ta sprawa była interesująca, gdyż bardzo wyraźnie ukazuje, jak proste może być rozwiązanie zagadki, która na początku wydaje się nie do rozwikłania. Nie ma niczego bardziej naturalnego niż zdarzenia opisane przez tę damę i nic bardziej osobliwego niż ich skutki, zwłaszcza w oczach, na przykład, pana Lestrade’a ze Scotland Yardu.

– Czyżbyś ani trochę się nie pomylił?

– Od samego początku oczywiste były dla mnie dwa fakty: po pierwsze, panna Hatty Doran z chęcią wzięła udział w ceremonii ślubnej, po drugie, pożałowała tego po kilku minutach od chwili powrotu do domu. Nie ulegało zatem wątpliwości, że w ciągu poranka musiało nastąpić coś, co spowodowało, że zmieniła zdanie. Cóż to mogło być? Nie mogła rozmawiać z nikim po wyjściu z domu, gdyż przez cały czas przebywała w towarzystwie przyszłego męża. Czy zatem kogoś zobaczyła? Jeśli tak, musiał to być ktoś z Ameryki. Tutaj spędziła niewiele czasu, było zatem w zasadzie niemożliwe, by ktoś wywarł na nią tak silny wpływ, że na sam jego widok całkowicie zmieniłaby swoje plany. Jak widzisz, drogą eliminacji doszliśmy już do stwierdzenia, że prawdopodobnie zobaczyła Amerykanina. Kim zaś mógł być ten Amerykanin i co dawało mu nad nią taką władzę? Zapewne był to jej kochanek lub mąż. Wiedziałem, że młode lata spędziła w trudnych warunkach i w niezwykłych miejscach. Powyższe wnioski wyciągnąłem jeszcze przed wysłuchaniem lorda St. Simon. Kiedy opowiedział nam o mężczyźnie w kościele, o tym, jak zmieniło się zachowanie panny młodej, o upuszczeniu bukietu – tak oczywistym sposobie na przekazanie liściku, o rozmowie z zaufaną służącą i o przejęciu

działki, co w żargonie poszukiwaczy złota oznacza odebranie żyły innemu górnikowi, który miał do niej prawo, cała sytuacja stała się jasna. Uciekła z innym mężczyzną, zapewne kochankiem lub poprzednim mężem, przy czym bardziej prawdopodobna była druga z możliwości.

– A jak, u licha, udało ci się ich znaleźć?

– To mogło być trudne, ale nasz przyjaciel Lestrade dysponował informacjami, których wagi nawet nie podejrzewał. Rzecz jasna, bardzo istotne były inicjały, jeszcze cenniejsza okazała się jednak wiedza, że w ciągu ostatniego tygodnia mężczyzna regulował rachunek w jednym z najbardziej luksusowych londyńskich hoteli.

– Jak ci się to udało wydedukować?

– Z luksusowych cen. Osiem szylingów za pokój i osiem pensów za kieliszek sherry wskazywałoby na jeden z najdroższych hoteli. Niewiele miejsc w Londynie liczy sobie aż tyle. W drugim z tych, które odwiedziłem przy Northumberland Avenue, dowiedziałem się z księgi gości, że niejaki Francis H. Moulton, dżentelmen przybyły z Ameryki, wymeldował się zaledwie dzień wcześniej, a przeglądając dotyczące go zapisy znalazłem te same pozycje, które widniały na rachunku. Kazał przesyłać korespondencję na Gordon Square 226, tam więc pojechałem, a że szczęśliwie udało mi się zastać parę zakochanych w domu, udzieliłem im ojcowskich rad i powiedziałem, że postąpiliby ze wszech miar słusznie, ujawniając wszystko rodzinie lorda St. Simon, a w szczególności jemu samemu. Zaprosiłem ich tutaj, by się z nim spotkali i jak widziałeś, skłoniłem do przybycia jego lordowską mość.

– Z dość opłakanym skutkiem – stwierdziłem. – Nie można powiedzieć, by zachował się elegancko.

– Ach, Watsonie. – Uśmiechnął się Holmes. – A czy sam zachowałbyś się inaczej, gdybyś po trudach związanych z zalotami i ślubem w jednej chwili stracił żonę i majątek? Sądzę, że powinniśmy być łaskawi dla lorda St. Simon i dziękować niebiosom, że sami zapewne nigdy nie znajdziemy się w jego położeniu. Przysuń tu krzesło i podaj mi skrzypce. Jedyny problem, jaki pozostaje do rozwiązania, polega na tym, jak przetrwać te ponure, jesienne wieczory.

Opowieść jedenasta

BERYLOWY DIADEM

– Zobacz, Holmesie – powiedziałem – biegnie jakiś szaleniec. Nie rozumiem, jak krewni pozwalają mu się samotnie błąkać po mieście.
Stałem w wykuszu naszego mieszkania i patrzyłem na ulicę.

Mój przyjaciel podniósł się leniwie z fotela i stanął z rękami w kieszeniach szlafroka, zaglądając mi przez ramię. Był jasny, rześki lutowy poranek, a śnieg, który spadł poprzedniego dnia, wciąż leżał na ziemi, lśniąc w zimowym słońcu. Na ulicy puch został ubity przez przejeżdżające pojazdy w kruchą, brązową masę, ale pobocza drogi i zaspy na skrajach chodników wciąż były nieskalanie białe. Szary trotuar został odśnieżony, lecz wciąż był niebezpiecznie śliski, poruszało się po nim mniej przechodniów niż zazwyczaj. Od strony stacji metra Metropolitan szedł tylko jeden dżentelmen, którego ekscentryczne zachowanie przykuło moją uwagę.

Był to pięćdziesięcioletni mężczyzna, wysoki, dobrze zbudowany, o imponującej powierzchowności; miał pełną twarz, wyraziste rysy i władczą postawę. Ubrany był w bogaty ciemny strój: miał na sobie czarny frak, lśniący cylinder, gustowne brązowe getry i dobrze skrojone spodnie w kolorze perłowoszarym. Jego zachowanie kłóciło się jednak z godnością widoczną w fizjonomii i stroju, pędził bowiem na złamanie karku, od czasu do czasu lekko podskakując, jak człowiek nieprzyzwyczajony do chodzenia, a tym bardziej biegania. Machał rękami, potrząsał głową, a jego twarz zniekształcały wielce osobliwe grymasy.

– Co mu dolega, do krocset? – spytałem. – Teraz sprawdza numery domów.

– Sądzę, że zmierza tutaj – stwierdził Holmes, zacierając ręce.

– Tutaj?

– Owszem. Myślę, że chce zasięgnąć mojej porady. Rozpoznaję te objawy. A nie mówiłem?

Zanim Holmes wypowiedział te słowa, mężczyzna, sapiąc, podbiegł do naszych drzwi i zaczął szarpać za sznur od dzwonka, którego odgłos rozległ się w całym domu.

Po chwili siedział w naszym pokoju. Wciąż ciężko dyszał i gwałtownie gestykulował, ale na jego smutnej twarzy malowała się taka rozpacz, że nasze rozbawienie w jednej chwili zmieniło się w litość i we współczucie. Przybysz przez chwilę nie mógł wydusić z siebie słowa, kiwał się tylko i rwał sobie włosy z głowy jak człowiek, który odchodzi od zmysłów. Nagle zerwał się na nogi i z całej mocy uderzył głową o ścianę. Podbiegliśmy do niego i zaciągnęliśmy na środek pokoju. Sherlock Holmes usadził go w fotelu, sam usiadł obok, poklepał po ramieniu i zaczął mówić swym najbardziej łagodnym i kojącym głosem.

– Przyszedł pan tutaj, by opowiedzieć mi swoją historię, prawda? – zapytał. – Wyczerpał pana pośpiech. Poczekajmy, aż dojdzie pan do siebie, wówczas z przyjemnością wysłucham pana.

Przez minutę (lub dłużej) mężczyzna siedział, oddychając głęboko i walcząc z emocjami, później przetarł czoło chusteczką, zacisnął wargi i odwrócił się ku nam:

– Panowie sądzą zapewne, że jestem niespełna rozumu?

– Widzę, że znalazł się pan w wielkim kłopocie – odpowiedział Holmes.

– Bóg mi świadkiem, ma pan rację! Te straszne kłopoty spadły na mnie tak nagle! Czuję, że jestem o krok od szaleństwa. Mogę stawić czoła hańbie, choć niczym się dotąd nie splamiłem. Nieszczęście przytrafia się każdemu. Ale jednocześnie jedno i drugie, w dodatku w tak okropnej postaci, wstrząsnęło mną do głębi. Nie chodzi poza tym tylko o mnie. Jeśli nie uda się znaleźć jakiegoś wyjścia z tej straszliwej sytuacji, może ucierpieć jedna z najsłynniejszych osobistości naszego kraju.

– Proszę się uspokoić i opowiedzieć mi, kim pan jest i co się panu przytrafiło – zachęcił Holmes.

– Moje nazwisko zapewne jest panom znane – zaczął nasz gość. – Jestem Alexander Holder z banku Holder & Stevenson przy Threadneedle Street.

Istotnie, nazwisko nie było nam obce. Wiedzieliśmy, że należy ono do wspólnika drugiego co do wielkości prywatnego banku londyńskiego City. Co musiało się stać, by jeden z najznamienitszych obywateli naszego

miasta znalazł się w tak pożałowania godnym stanie? Czekaliśmy cierpliwie, chociaż rozpierała nas ciekawość. Mężczyzna z ogromnym wysiłkiem wziął się w garść, uspokoił się i opowiedział swoją historię.

– Nie ma czasu do stracenia. Pośpieszyłem tu od razu, gdy inspektor policji zaproponował, bym poprosił pana o pomoc. Przyjechałem metrem, a od stacji szedłem piechotą, gdyż przy takiej pogodzie dorożki poruszają się bardzo wolno. Zwykle niewiele się ruszam, dlatego się zadyszałem. Czuję się lepiej i przedstawię panom fakty tak zwięźle i jasno, jak tylko zdołam. Zapewne panowie wiedzą, aby odnieść sukces w bankowości, trzeba badać możliwości zainwestowania z zyskiem posiadanych środków, a także poszukiwać nowych kontaktów i klientów. Jednym z najlepszych sposobów na zwiększenie kapitału są dobrze zabezpieczone pożyczki. W ciągu ostatnich kilku lat często pożyczaliśmy przedstawicielom szlachetnych rodów znaczące sumy pod zastaw obrazów, księgozbiorów czy porcelany.

Wczoraj, kiedy siedziałem w swoim gabinecie w banku, jeden z urzędników przyniósł mi wizytówkę. Zadrżałem, gdy zobaczyłem wypisane na niej nazwisko. Było to – nawet panu nie powinienem mówić więcej – nazwisko znane na całym świecie, należące do jednego z najstarszych i najszlachetniejszych rodów Anglii. Ten zaszczyt mnie onieśmielił. Po wejściu dostojnego klienta próbowałem mu to powiedzieć, on jednak natychmiast przystąpił do rzeczy z miną człowieka, który chce jak najszybciej uporać się z nieprzyjemnym zadaniem. „Panie Holder – zaczął – powiedziano mi, że trudni się pan pożyczaniem pieniędzy”. „Owszem, nasza firma udziela pożyczek pod odpowiedni zastaw” – odpowiedziałem. „ Potrzebuję koniecznie natychmiast pięćdziesiąt tysięcy funtów – rzekł. – Oczywiście, mógłbym pożyczyć od przyjaciół nawet dziesięć razy więcej, wolę jednak zdobyć tę drobną kwotę jako pożyczkę bankową. Proszę pana, dla osoby w moim położeniu nierozważnym byłoby zwracanie się do znajomych w takiej sprawie”. „Jeśli wolno wiedzieć, na jak długo potrzebuje pan tych piniędzy?” – spytałem. „W najbliższy poniedziałek mam otrzymać z powrotem znaczącą sumę. Wtedy spłacę pożyczkę wraz z takimi odsetkami, jakie uzna pan za stosowne. Bardzo istotne jest jednak dla mnie, by pieniądze zostały wypłacone od razu”. „Z radością, bez zbędnych słów udzieliłbym panu pożyczki z własnej kiesy, gdyby nie fakt, że nie zniosłaby ona takiego obciążenia – stwierdziłem. –

Jeśli natomiast mam to zrobić w imieniu firmy, uczciwość wobec wspólnika nakazuje, bym nawet w pańskim przypadku wymagał gwarancji w postaci koniecznych zabezpieczeń". „Inaczej sobie nie wyobrażam – odpowiedział, biorąc do ręki kwadratową szkatułkę z czarnego safianu, którą położył obok na stole. – Słyszał pan zapewne o berylowym diademie". „To jeden z najcenniejszych klejnotów imperium" – potwierdziłem. „Zgadza się" – mówiąc to, otworzył szkatułkę. W środku, na miękkim jasnobeżowym aksamicie leżało wspaniałe dzieło sztuki jubilerskiej. „Osadzono w nim trzydzieści dziewięć olbrzymich beryli – powiedział. – A wartość samej złotej oprawy jest trudna do określenia. Według minimalnego oszacowania diadem wart jest dwukrotnie więcej niż kwota, którą chcę pożyczyć. Jestem gotów przekazać go panu jako zastaw". Wziąłem do rąk szkatułkę z drogocenną zawartością i nie bez zmieszania spoglądałem to na nią, to na mego znamienitego klienta. „Czy nie jest pan pewien jego wartości?" – spytał. „Ależ jestem. Nie wiem tylko…". „Czy to właściwe, bym zostawił go u pana? Mogę pana uspokoić. Nawet nie pomyślałbym o tym, gdybym nie był całkowicie pewien, że w ciągu czterech dni będę mógł go odebrać. To czysta formalność. Czy takie zabezpieczenie wystarczy?" „Aż nadto". „Jak pan widzi, panie Holder, darzę pana bezgranicznym zaufaniem. Ufam, że będzie pan dyskretny i powstrzyma się od plotek, a przede wszystkim zachowa wszelkie możliwe środki ostrożności. Nie muszę chyba mówić, jak wielki publiczny skandal wybuchłby, gdyby cokolwiek się stało z diademem. Jakiekolwiek uszkodzenie ozdoby pociągnęłoby za sobą takie same skutki jak jej całkowite zniszczenie, gdyż na świecie nie ma więcej podobnych beryli, nie sposób zatem wymienić osadzonych w niej klejnotów. Zaufam jednak panu w pełni i zostawiam diadem ze spokojnym sumieniem. Zgłoszę się po niego osobiście w poniedziałek rano". Widziałem, że mój klient się śpieszy, więc nie ociągając się, wezwałem kasjera i kazałem mu wypłacić pięćdziesiąt tysiącfuntowych banknotów. Kiedy jednak zostałem sam z drogocenną szkatułką na stole, nie mogłem się pozbyć myśli o ryzyku, jakie niosła za sobą ogromna odpowiedzialność związana z klejnotem. Nie ulegało wątpliwości, że to skarb narodowy, więc gdyby coś się stało, nie obeszłoby się bez głośnego skandalu. Zacząłem żałować, że w ogóle zgodziłem się go przyjąć, było jednak za późno na zmianę tej decyzji. Zamknąłem diadem w mym prywatnym sejfie i wróciłem do pracy. Pod koniec dnia uznałem, że nieroztropnie byłoby

zostawić w biurze tak cenny przedmiot. Zdarzało się już, że okradano bankierów, mój sejf też mógłby spotkać podobny los. A gdyby do tego doszło, w jakże strasznym położeniu bym się znalazł! Postanowiłem nie spuszczać z oczu szkatułki przez kolejnych kilka dni i zawsze mieć ją pod ręką. Powziąwszy tę decyzję, wezwałem dorożkę i pojechałem do domu w Streatham, zabierając ze sobą klejnot. Odetchnąłem swobodnie dopiero wówczas, kiedy zamknąłem go w garderobie na górze, w sekretarzyku. Panie Holmes, mój koniuszy i goniec śpią poza domem, można ich pominąć. Moje trzy pokojowe służą u mnie od wielu lat. Całkowicie na nich polegam i nie podejrzewam żadnej z nich. Pomocnica Lucy Parr jest u mnie dopiero od kilku miesięcy, ale ktoś mi ją polecił; zawsze byłem z niej zadowolony. To bardzo ładna dziewczyna. Co prawda, jej liczni adoratorzy przesiadują u mnie w domu, ale to jedyne zastrzeżenie, jakie mamy wobec niej, jest porządną dziewczyną. To tyle, jeśli chodzi o służbę. Moja rodzina jest nieliczna, nie będę więc długo opowiadał. Jestem wdowcem, mam syna Arthura. Zawiodłem się na nim, panie Holmes, okrutnie się zawiodłem i nie mam wątpliwości, że sam jestem sobie winien. Ludzie mówią, że go rozpuściłem i tak zapewne jest. Po śmierci mej kochanej żony pozostał mi tylko on. Nie potrafiłem ścierpieć, gdy uśmiech choć na chwilę znikał z jego twarzy. Nigdy niczego mu nie odmówiłem. Być może byłoby lepiej dla nas obu, gdybym zachowywał się bardziej stanowczo, ale działałem w jak najlepszej wierze. Rzecz jasna, chciałem, by syn przejął po mnie interes, ale okazało się, że się do tego nie nadaje. Był nieokiełznany, kapryśny i, szczerze mówiąc, nie mogłem powierzyć mu dużych sum pieniędzy. Za młodu został członkiem arystokratycznego klubu, w którym, dzięki swemu urokowi, szybko zaprzyjaźnił się z dżentelmenami o nabitych kabzach, hołdującymi drogim nawykom. Zaczął grać w karty o duże stawki i trwonić pieniądze na wyścigach konnych, przez co wiele razy zmuszony był zwracać się do mnie z prośbą o wypłacenie kieszonkowego z góry, by mógł spłacić honorowe długi. Kilkakrotnie próbował zerwać z tym niebezpiecznym towarzystwem, lecz wracał do niego pod wpływem przyjaciela sir George’a Burnwella. Trudno się dziwić, że sir George Burnwell miał tak duży wpływ na mego syna. Arthur wielokrotnie przyprowadzał go do domu; ja sam ledwie zdołałem się oprzeć fascynacji jego sposobem bycia. Jest starszy od mojego syna, świat leży u jego stóp. Sir George był wszędzie i widział wszystko; jest błyskotliwym mówcą,

a do tego bardzo przystojnym mężczyzną. Kiedy jednak myślę o nim, gdy nie ma go w pobliżu, nie sugerując się czarem, jaki zwykle roztacza, przypominają mi się jego cyniczne wypowiedzi i wyraz oczu, które dowodzą, że nie można mu ufać. Mój pogląd podziela mała Mary, której kobieca intuicja pozwala szybko przejrzeć ludzką naturę. Mary jest moją bratanicą. Kiedy mój brat zmarł pięć lat temu, ona została sama na świecie. Adoptowałem ją i traktuję jak córkę. Rozświetla mój dom niczym promyk słońca. Jest urocza, kochająca i piękna, znakomicie prowadzi dom i zarządza nim, jest jednak przy tym delikatna, łagodna i cicha, taka, jaką powinna być kobieta. Jest moją prawą ręką i nie wiem, co bym bez niej zrobił. Tylko w jednej sprawie postąpiła wbrew mym życzeniom. Syn dwa razy prosił ją o rękę, gdyż kocha ją głęboko, ona jednak dwukrotnie mu odmówiła. Sądzę, że gdyby ktokolwiek mógł wprowadzić go z powrotem na właściwą drogę, byłaby to właśnie ona. To małżeństwo mogło zmienić jego życie, ale teraz jest już za późno, niestety, nieodwołalnie za późno! Panie Holmes, zna pan już mieszkańców domu, wracam więc do mej smutnej historii. Tego wieczora, kiedy po kolacji piliśmy kawę w salonie, opowiedziałem Arthurowi i Mary, co mnie spotkało i zdradziłem, że pod naszym dachem znajduje się drogocenny przedmiot. Zataiłem jedynie nazwisko mego klienta. Jestem pewien, że Lucy Parr, która przyniosła nam kawę, wyszła wcześniej z pokoju, nie mogę jednak przysiąc czy drzwi były zamknięte. Mary i Arthur byli bardzo zaciekawieni moją opowieścią i chcieli obejrzeć słynny diadem, ja jednak byłem zdania, że lepiej go nie ruszać. „Gdzie go schowałeś?” – spytał Arthur. „W moim sekretarzyku”. „Trzeba więc prosić niebiosa, żeby w nocy nie obrabowano domu” – stwierdził. „Sekretarzyk jest zamknięty” – odpowiedziałem. „Ale da się go otworzyć każdym kluczem. Kiedy byłem młodszy, sam to robiłem, używając klucza do szafy w rupieciarni”. Mój syn często mówił dziwne rzeczy, nie przejąłem się więc jego słowami. Tej nocy poszedł jednak za mną do mojego pokoju z bardzo poważną miną. „Słuchaj, tato – powiedział, spuszczając wzrok. – Czy mógłbyś mi dać dwieście funtów?” „Nie mógłbym! – odpowiedziałem ostro. – I tak dałem ci już zbyt wiele pieniędzy”. „Zawsze byłeś bardzo hojny – przyznał – ale jeśli teraz nie dostanę tej sumy, nie będę mógł się więcej pokazać w klubie”. „I bardzo dobrze!” – krzyknąłem. „Owszem, ale przecież nie chciałbyś, bym opuścił go w niesławie – ciągnął. – Nie zniósłbym takiej hańby. Muszę w jakiś

sposób zdobyć te pieniądze. Jeśli ty mi ich nie dasz, będę musiał uciec się do innych środków”. Bardzo się rozgniewałem, gdyż była to jego trzecia taka prośba w tym miesiącu. Krzyknąłem: „Nie dostaniesz ode mnie złamanego grosza!” Ukłonił się i bez słowa opuścił pokój. Po wyjściu syna otworzyłem sekretarzyk, upewniłem się, że mój skarb jest bezpieczny i znów zamknąłem go w środku. Później zacząłem obchód domu, by sprawdzić czy wszystko jest odpowiednio zabezpieczone. Zwykle robi to Mary, tym razem jednak uznałem, że powinienem uczynić to sam. Schodząc na dół, zobaczyłem dziewczynę przy bocznym oknie w korytarzu. Kiedy się zbliżałem, zamknęła i zaryglowała okno. „Powiedz mi, tato – zapytała, a wyglądała przy tym chyba na nieco zaniepokojoną – czy dałeś Lucy, tej pokojówce, wychodne na dziś wieczór?” „Zdecydowanie nie”. „Przed chwilą weszła do domu bocznymi drzwiami. Jestem pewna, że spotkała się z kimś przy bocznej furtce. Moim zdaniem, to niebezpieczne, więc trzeba jej tego zabronić”. „Porozmawiaj z nią rano albo, jeśli wolisz, ja to zrobię. Czy jesteś pewna, że wszystko pozamykałaś?” „Absolutnie pewna, tato”. „W takim razie życzę ci dobrej nocy”. Ucałowałem ją, wróciłem do sypialni i szybko zapadłem w sen. Panie Holmes, staram się opowiedzieć panu wszystko, co może mieć jakikolwiek związek ze sprawą, ale proszę pytać mnie o wszelkie szczegóły, których nie przedstawię dostatecznie jasno.

– Pańska opowieść jest niezwykle przejrzysta.

– Dochodzę do niezwykle ważnego momentu. Mam dość lekki sen, a niepokój, jaki odczuwałem, z pewnością sprawił, że był dużo mniej spokojny niż zazwyczaj. Około drugiej w nocy obudził mnie jakiś hałas dobiegający z wnętrza domu. Ucichł, nim zdążyłem się rozbudzić, ale odniosłem wrażenie, że był to dźwięk delikatnie zamykanego okna. Nagle, ku swemu przerażeniu, usłyszałem wyraźny odgłos ostrożnych kroków dochodzący z pokoju obok. Wyślizgnąłem się z łóżka i przez uchylone drzwi zajrzałem do garderoby. Serce mocno biło mi ze strachu. „Arthurze! – wykrzyknąłem. – Ty złoczyńco! Ty rabusiu! Jak śmiesz dotykać diademu!” Lampa gazowa była przykręcona do połowy, tak jak ją zostawiłem, a mój biedny syn, ubrany jedynie w koszulę i spodnie, stał obok niej, trzymając w rękach diadem. Wydawało mi się, że z całej siły starał się go wygiąć lub skręcić. Słysząc mój krzyk, upuścił klejnot i zbladł jak ściana. Szybko chwyciłem diadem i przyjrzałem mu się. Brakowało

jednego ze złotych elementów, w którym osadzone były trzy beryle. „Ty niegodziwcze! – wrzasnąłem ogarnięty wściekłością. – Zniszczyłeś go! Na zawsze okryłeś mnie hańbą! Gdzie kamienie, które ukradłeś?” „Ukradłem?!” – wykrzyknął. „Tak, złodzieju!” – ryknąłem, chwytając go za ramiona i potrząsając. „Żadnego nie brakuje. To niemożliwe” – stwierdził. „Brakuje trzech, a ty wiesz, gdzie one są. Jesteś nie tylko złodziejem, ale i kłamcą! Przecież widziałem, jak usiłujesz odłamać kolejną część!” „Dość się już od ciebie nasłuchałem! – oświadczył. – Nie zniosę tego dłużej. Skoro postanowiłeś mnie obrażać, nie powiem ani słowa więcej. Rano opuszczę ten dom i dalej będę radził sobie sam”. „Opuścisz go pod eskortą policji! – krzyknąłem na wpół oszalały z wściekłości i smutku. – Każę dogłębnie zbadać te sprawę!” „Ode mnie niczego się nie dowiesz – odpowiedział z pasją, o którą nigdy bym go nie podejrzewał. – Jeśli chcesz, wezwij policję i niech sobie szuka”. Tymczasem mój podniesiony, gniewny głos postawił cały dom na nogi. Jako pierwsza do pokoju wpadła Mary. Widząc diadem i twarz Arthura, wszystkiego się domyśliła, krzyknęła i padła zemdlona. Wysłałem pokojową po policję i kazałem natychmiast wszcząć dochodzenie. Kiedy do domu przybyli inspektor i posterunkowy, Arthur, który dotąd stał ponuro z założonymi rękami, spytał, czy zamierzam oskarżyć go o kradzież. Odpowiedziałem, że nie jest to już nasza prywatna sprawa, gdyż zniszczony diadem stanowi własność publiczną. Stanowczo uważałem, że całą sprawę należy rozstrzygnąć zgodnie z prawem. „Nie każ aresztować mnie przynajmniej od razu – poprosił. – Byłoby korzystne dla nas obu, gdybyś pozwolił mi na pięć minut wyjść z domu”. „Żebyś mógł uciec albo ukryć to, co ukradłeś?” – spytałem. Kiedy zdałem sobie sprawę, w jak strasznym położeniu się znalazłem, błagałem go, by pamiętał, że w grę wchodzi nie tylko mój honor, lecz także cześć wysoko postawionej osoby, a nam grozi skandal, który wstrząśnie całym narodem. Mógłby temu zapobiec, gdyby powiedział mi, co zrobił z trzema brakującymi kamieniami. – Spójrz prawdzie w oczy – nalegałem. – Zostałeś złapany na gorącym uczynku, a przyznanie się do winy w żaden sposób jej nie zwiększy. Jeśli zrobisz, co możesz, by ją odkupić i powiesz mi, gdzie są beryle, wszystko zostanie wybaczone i zapomniane”. „Zachowaj swoje przebaczenie dla tych, którzy o nie proszą” – odpowiedział i odwrócił się ode mnie z drwiącą miną. Zdałem sobie sprawę, że zhardział tak, że nie wzruszą go żadne moje słowa. Mogłem zrobić tylko jedno. Kazałem

inspektorowi aresztować Arthura. Przeszukano mojego syna, jego pokój i każde miejsce w domu, gdzie mógł ukryć kamienie, lecz nie znaleziono po nich ani śladu, a przeklęty chłopak nie raczył nawet otworzyć ust, choć nakłaniano go do tego prośbą i groźbą. Dziś rano został umieszczony w areszcie, a ja, po dopełnieniu wszystkich formalności na policji, pośpieszyłem do pana. Błagam, niech pan wykorzysta swe zdolności i rozwikła tę sprawę. Policjanci otwarcie przyznali, że w tej chwili są w kropce. Może pan wydawać tyle, ile uzna za stosowne. Już zaoferowałem tysiąc funtów nagrody. Boże, co ja pocznę? W ciągu jednej nocy straciłem swój honor, szlachetne kamienie i syna. Co mam począć?

Po tych słowach pan Alexander Holder złapał się za głowę i zaczął się kiwać w przód i w tył, mrucząc do siebie jak dziecko, które nie znajduje słów, by wyrazić swą rozpacz.

Sherlock Holmes przez kilka minut siedział w milczeniu, marszcząc brwi i wpatrując się w ogień, a ptem zapytał:

– Czy często przyjmuje pan gości?

– Nie miewam żadnych poza moim wspólnikiem i jego rodziną; od czasu do czasu przyjdzie jakiś przyjaciel Arthura. Ostatnio kilka razy był u nas sir George Burnwell. Nikogo innego sobie nie przypominam.

– Czy udziela się pan towarzysko?

– Tylko Arthur. Ja i Mary spędzamy czas w domu. Nie potrzebujemy takich rozrywek.

– To dość niezwykłe jak na młodą dziewczynę.

– Ma spokojny charakter, poza tym nie jest już taka bardzo młoda. Skończyła dwadzieścia cztery lata.

– Z tego co pan mówił, wnoszę, że cała ta sprawa wstrząsnęła także nią.

– Straszliwie! Przeżywa to jeszcze bardziej niż ja.

– Czy żadne z państwa nie ma wątpliwości co do winy pańskiego syna?

– Jak moglibyśmy je mieć, skoro na własne oczy widziałem go z diademem w rękach?

– Nie uważam tego za rozstrzygający dowód. Czy pozostała część diademu również została uszkodzona?

– Tak, była poskręcana.

– Czy nie wydaje się panu, że Arthur starał się go rozprostować?

– Niech pana Bóg błogosławi! Uczyni pan, co w jego mocy, ale to zadanie ponad pana siły. Dlaczego mój syn w ogóle znalazł się w tym

pokoju? A jeśli nie miał złych zamiarów, dlaczego o tym nie powiedział?

– Zgadza się. A jeśli był winny, dlaczego nie wymyślił jakiegoś kłamstwa? Jego milczenie wydaje mi się obosieczną bronią. Cała ta sprawa ma kilka osobliwych aspektów. Co powiedziała policja o odgłosach, które obudziły pana ze snu?

– Uznali, że zapewne słyszałem jak Arthur zamyka drzwi do sypialni.

– Tak, brzmi to prawdopodobnie! Człowiek, który zamierza popełnić przestępstwo, trzaska drzwiami tak, żeby obudzić cały dom?! A co powiedzieli o zniknięciu klejnotów?

– Wciąż mają nadzieję, że znajdą je, ostukując podłogi i badając meble.

– Czy pomyśleli o tym, żeby poszukać poza domem?

– Tak, bardzo energicznie wzięli się do rzeczy. Cały ogród został już dokładnie przeszukany.

– Szanowny panie – rzekł Holmes. – Czy nie wydaje się panu, że sprawa sięga znacznie głębiej? Panu i policjantom już na początku wydała się prosta. Moim zdaniem, jest ona niezwykle złożona. Na czym opiera się pańska teoria? Sądzi pan, że jego syn wstał z łóżka, poszedł do pańskiej garderoby, narażając się na wielkie niebezpieczeństwo, otworzył biurko, wyjął diadem, odłamał jego niewielką część, poszedł gdzieś, ukrył trzy z trzydziestu dziewięciu beryli tak przemyślnie, że nikt nie jest w stanie ich znaleźć, po czym z pozostałymi trzydziestoma sześcioma wrócił do pokoju, gdzie groziło mu największe niebezpieczeństwo schwytania? Proszę powiedzieć, czy taka teoria ma sens?

– A czy ma pan lepszą? – wykrzyknął bankier, czyniąc gest rozpaczy. – Jeśli działał w dobrej wierze, dlaczego nie chciał niczego powiedzieć?

– Wyjaśnienie tej zagadki pozostawiam panu – odparł Holmes. – A teraz, jeśli pan pozwoli, panie Holder, pojedziemy razem do Streatham i poświęcimy godzinkę na bliższe zapoznanie się ze sprawą.

Mój przyjaciel nalegał, bym towarzyszył mu w wyprawie. Chętnie się zgodziłem, gdyż historia, której wysłuchałem, wzbudziła we mnie ciekawość i współczucie. Muszę przyznać, że nie wątpiłem w winę Arthura, tak samo jak jego ojciec, zaufałem jednak całkowicie logice Holmesa, która pozwalała mi wierzyć, że póki nie jest zadowolony z uzyskanego wyjaśnienia, można mieć nadzieję. Mój towarzysz prawie się nie odzywał przez całą drogę, gdy zmierzaliśmy w stronę południowego przedmieścia Londynu. Siedział głęboko zatopiony w myślach, z brodą opuszczoną

na piersi i kapeluszem nasuniętym na oczy. Nasz klient wyglądał tak, jakby promyczek nadziei, który ukazał mu Holmes, przywrócił go do życia, i nawet wdał się ze mną w swobodną rozmowę o swoich interesach. Po krótkiej podróży pociągiem przybyliśmy do Fairbank, skromnej siedziby naszego rekina finansowego.

Ten duży kwadratowy dom z białego kamienia jest nieco oddalony od głównej drogi. Szeroki na dwie karoce podjazd i przykryty śniegiem trawnik prowadzą od tej drogi do dwuskrzydłowej żelaznej bramy, która strzeże wejścia do budynku. Po prawej stronie są zarośla, a za nimi – wąska ścieżka, po obu stronach której rośnie starannie przystrzyżony żywopłot; ścieżka biegnie od drogi do kuchennych drzwi, korzystają z niej dostawcy. Po lewej stronie domu znajduje się droga prowadząca do stajni; jest to droga publiczna, która nie leży na terenie posiadłości, lecz rzadko jest uczęszczana.

Holmes zostawił nas przy drzwiach i powoli okrążył dom; poszedł najpierw wzdłuż jego frontowej ściany, potem ścieżką dla dostawców, dalej przez ogród, aż dotarł do drogi prowadzącej do stajni. Zajęło mu to sporo czasu, więc weszliśmy z panem Holderem do jadalni i tam czekaliśmy na mojego przyjaciela przy kominku. Kiedy siedzieliśmy w milczeniu, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła młoda dama. Była dość wysoka i szczupła, miała ciemne włosy i takie same oczy, które wydawały się jeszcze ciemniejsze w porównaniu z jej bardzo bladą skórą. Nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział równie bladolicą kobietę. Jej wargi także były białe, jakby nie było w nich kropli krwi, oczy natomiast miała zaczerwienione od płaczu. Kiedy cicho weszła do pokoju, zauważyłem, jak bardzo była smutna, jej uczucie było jeszcze głębsze niż przygnębienie bankiera, a kobieta najwyraźniej posiadała silny charakter i cechowało ją wielkie opanowanie. Nie zwracając uwagi na moją obecność, podeszła prosto do stryja i pogłaskała go po czole – była to słodka kobieca pieszczota.

– Kazałeś zwolnić Arthura, prawda, tato? – spytała.

– Nie, moje dziecko, sprawa musi zostać dogłębnie zbadana.

– Ale jestem tak pewna jego niewinności! Wiesz, jak niezawodna bywa kobieca intuicja. Jestem przekonana, że on nie zrobił niczego złego, a tobie przyjdzie żałować, że tak twardo z nim postąpiłeś.

– Skoro jest niewinny, czemu milczy?

– Któż to może wiedzieć? Może się gniewa, że go podejrzewasz?

– Jak mógłbym sądzić inaczej, skoro widziałem diadem w jego rękach?

– Wziął go tylko po to, by obejrzeć. Uwierz memu słowu, on jest niewinny. Wycofaj skargę i nie wracajmy więcej do tego. To takie straszne, że nasz drogi Arthur znalazł się w więzieniu!

– Nie wycofam jej, póki nie znajdą się kamienie. Nigdy! A ciebie, Mary, przywiązanie do Arthura zaślepia tak, że nie dostrzegasz strasznych konsekwencji, jakie ta sprawa będzie miała dla mnie. Nie zamierzam jej tuszować, wręcz przeciwnie, sprowadziłem z Londynu dżentelmena, który ma dokładniej ją zbadać.

– Tego dżentelmena? – spytała, patrząc na mnie.

– Nie, jego przyjaciela. Poprosił, byśmy zostawili go samego. Jest teraz na drodze prowadzącej do stajni.

– Na drodze do stajni? – kobieta uniosła ciemne brwi. – Ma przeświadczenie, że coś tam znajdzie? Ach, domyślam się, że to on. Proszę pana, mam nadzieję, iż uda się panu udowodnić to, o czym sama jestem przekonana: mój kuzyn Arthur nie jest winny przestępstwa.

– W pełni podzielam pani opinię i podobnie jak pani ufam, że uda nam się dowieść jej racji – odparł Holmes, cofając się do wycieraczki, by otrzepać śnieg z butów. – Rozumiem, że mam zaszczyt rozmawiać z panną Mary Holder. Czy mógłbym zadać pani kilka pytań?

– Jeśli może to pomóc w wyjaśnieniu tej okropnej sprawy, proszę pytać.

– Czy słyszała coś pani wczoraj w nocy?

– Nie, póki mój stryj nie zaczął mówić podniesionym głosem. Kiedy go usłyszałam, zeszłam na dół.

– Poprzedniego wieczora zamknęła pani drzwi i okna. Czy zaryglowała pani wszystkie okna?

– Tak.

– Czy wszystkie były zaryglowane dziś rano?

– Tak.

– Czy pani pokojówka ma absztyfikanta? Zdaje się, że wczoraj wieczorem mówiła pani stryjowi, iż dziewczyna poszła się z kimś zobaczyć.

– Tak. Była to ta sama służąca, która podawała nam kawę i która mogła słyszeć opowieść stryja o diademie.

– Rozumiem. Sądzi pani, że mogła powtórzyć ją swemu ukochanemu i razem zaplanowali kradzież?

– Po co snuć te niepewne teorie, skoro widziałem Arthura z diademem w rękach? – krzyknął zniecierpliwiony bankier.

– Proszę chwilę poczekać, panie Holder. Jeszcze do tego wrócimy. A jeśli chodzi o dziewczynę… Panno Holder, widziała ją pani, jak wchodzi do domu kuchennymi drzwiami.

– Tak. Kiedy poszłam sprawdzić czy drzwi są zamknięte na noc, natknęłam się na nią, gdy wślizgiwała się do środka. W ciemnościach zobaczyłam też mężczyznę.

– Czy zna go pani?

– Ależ tak. To właściciel warzywniaka, który dostarcza nam jarzyny. Nazywa się Francis Prosper.

– Czy stał na ścieżce po lewej stronie od drzwi na tyle daleko, że nie mógł do nich dosięgnąć?

– Owszem.

– A czy ma drewnianą nogę?

W wyrazistych, czarnych oczach młodej damy błysnął strach.

– Czarodziej z pana – stwierdziła. – Skąd pan to wie? – Uśmiechnęła się do Holmesa, ale na jego szczupłej, ożywionej twarzy nie pojawił się nawet cień uśmiechu.

– Chciałbym za chwilę pójść na górę – powiedział tylko – później zapewne ponownie obejrzę okolice domu. Na początku jednak przyjrzę się oknom.

Szybko obszedł cały parter, przechodząc od jednego okna do drugiego, wreszcie zatrzymał się przy jednym z nich, tym dużym, wychodzącym na drogę do stajni. Otworzył je i bardzo uważnie obejrzał parapet, posługując się swym silnym szkłem powiększającym.

– A teraz chodźmy na górę – rzekł w końcu.

Garderoba bankiera była niewielka i skromnie umeblowana. Były tam duży sekretarzyk, długie lustro i szary dywan na podłodze. Holmes najpierw podszedł do sekretarzyka i uważnie przyjrzał się zamkowi.

– Jakim kluczem go otwarto? – spytał.

– Tym samym, o którym wcześniej mówił mój syn. Kluczem od szafy w graciarni.

– Czy jest on tutaj?

– Leży na toaletce.

Holmes wziął klucz i otworzył nim mebel.

– Zamek działa bezgłośnie – stwierdził. – Nic dziwnego, że się pan nie obudził. W tej szkatułce znajduje się diadem? Obejrzyjmy go. – Otworzył szkatułkę, wyjął ozdobę i położył ją na stole.

Był to piękny okaz sztuki jubilerskiej, nigdy też nie widziałem wspanialszych klejnotów niż te trzydzieści sześć beryli. Z jednej strony krawędź diademu była poszarpana, i brakowało fragmentu z trzema kamieniami.

– Panie Holder – rzekł Holmes. – Oto druga krawędź diademu, przeciwległa tej, która została tak nieszczęśliwie utracona. Czy mogę prosić, by ją pan odłamał?

Bankier cofnął się, przerażony.

– Nie śmiałbym nawet spróbować – odparł.

– W takim razie ja to zrobię. – Holmes ścisnął z całej siły diadem, ale próba nie powiodła się. – Czuję, że trochę się odgiął – zauważył – ale choć mam niezwykle silne ręce, złamanie ozdoby zajęłoby mi wiele czasu. Nie mógł więc tego dokonać zwykły człowiek. A czy wie pan, panie Holder, co by się stało, gdyby udało mi się złamać diadem? Rozległby się odgłos przypominający wystrzał z pistoletu. Utrzymuje pan, że nie słyszał niczego takiego, choć kradzież miała miejsce w odległości kilku jardów od pańskiego łóżka?

– Nie wiem, co myśleć. To dla mnie zupełna zagadka.

– Być może uda nam się ją rozwiązać. Co pani o tym sądzi, panno Holder?

– Przyznaję, że czuję się równie zagubiona jak mój stryj.

– Kiedy zobaczył pan syna, miał on na nogach buty lub kapcie?

– Miał na sobie jedynie spodnie i koszulę.

– Dziękuję. Trzeba przyznać, że szczęście niezwykle nam sprzyja, więc jeśli nie uda nam się wyjaśnić tej sprawy, będzie to wyłącznie nasza wina. Za pańskim pozwoleniem, panie Holder, chciałbym jeszcze obejrzeć coś na zewnątrz.

Poszedł sam, bowiem jak wyjaśnił, dodatkowe ślady stóp jedynie utrudniłyby mu zadanie. Pracował przez godzinę, może dłużej. Kiedy wrócił, miał buty oblepione śniegiem, a twarz była jak zwykle, nieprzenikniona.

– Sądzę, że widziałem już wszystko, co można było tu zobaczyć, panie Holder – rzekł. – Mogę wrócić do domu.

– Ale gdzie są klejnoty, panie Holmes?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Bankier załamał ręce.

– Nie zobaczę ich więcej! – wykrzyknął. – A mój syn? Czy daje mi pan nadzieję?

– W tej sprawie nie zmieniłem zdania.

– W takim razie, na litość boską, jakie mroczne zdarzenia miały miejse w mym domu ostatniej nocy?

– Proszę przyjechać do mnie jutro między dziewiątą a dziesiątą rano, dołożę wszelkich starań, by to panu wyjaśnić. Będę mógł działać w swoim imieniu, żeby znaleźć kamienie, a wydatki na pokrycie kosztów mogą być nieograniczone? Rozumiem, że daje mi pan wolną rękę.

– Oddałbym cały swój majątek, by odzyskać diadem.

– Znakomicie. Zastanowię się nad tym wszystkim. Do widzenia. Niewykluczone, że wrócę tu jeszcze dzisiaj wieczorem.

Było oczywiste, że mój towarzysz rozwikłał już ten trudny problem, choć nie miałem zielonego pojęcia, do jakich wniosków doszedł. Podczas podróży powrotnej do domu kilkakrotnie próbowałem go o to wypytać, jednak zawsze zręcznie zmieniał temat. Dałem w końcu za wygraną. Kiedy wróciliśmy do mieszkania, nie było jeszcze trzeciej. Holmes niezwłocznie udał się do swojego pokoju i po kilku minutach powrócił w stroju próżniaka z gminu. W wyświeconym, podniszczonym płaszczu z postawionym kołnierzykiem, czerwonym krawacie i znoszonych butach wyglądał na typowego przedstawiciela tej warstwy społecznej.

– Ujdzie – stwierdził, zerkając na swoje odbicie w lustrze nad kominkiem. – Chciałbym cię ze sobą zabrać, Watsonie, ale obawiam się, że to niemożliwe. Być może wpadłem w tej sprawie na trop, być może gonię w piętkę, wkrótce się dowiem czy miałem rację. Przypuszczam, że wrócę w ciągu kilku godzin. – Ukroił plaster wołowiny ze sztuki mięsa leżącej na kredensie, włożył go pomiędzy dwie pajdy chleba, schował ten prosty posiłek do kieszeni i ruszył na wyprawę.

Holmes wrócił, jak tylko skończyłem pić herbatę. Był w znakomitym nastroju, a w ręku dzierżył stary but z gumką z boku. Rzucił go w kąt i nalał sobie filiżankę herbaty.

– Wpadłem tylko po drodze – wyjaśnił – zaraz ruszam dalej.

– Dokąd?

– Aż na drugi koniec West Endu. Nie wiem, kiedy wrócę. Nie czekaj na mnie.

– Jak ci idzie?

– Nie najgorzej. Nie mogę narzekać. Od czasu, kiedy ostatni raz się widzieliśmy, byłem w Streatham, ale nie wchodziłem do domu. Sprawa jest bardzo interesująca i za nic w świecie nie chciałbym jej wypuścić z rąk. Nie mam czasu na plotki, muszę zrzucić ten nędzny przyodziewek; wracam do własnej szacownej postaci.

Zachowanie mojego przyjaciela świadczyło o tym, że miał więcej powodów do zadowolenia, niż gotów był przyznać. Oczy mu błyszczały, a ziemiste zwykle policzki nawet się zarumieniły. Szybko poszedł na górę. Po kilku minutach usłyszałem trzaśnięcie drzwi w korytarzu. Oznaczało to, że Holmes znów wyruszył na swe niezwykłe łowy.

Czekałem do północy, ale go nie było, udałem się więc do swego pokoju. Mój przyjaciel często znikał na całe dnie i noce, kiedy wpadł na trop, dlatego też jego długa nieobecność mnie nie zdziwiła. Nie wiem, o której wrócił, ale kiedy rano zszedłem na śniadanie, siedział świeży i schludny, z filiżanką kawy w jednej ręce i gazetą w drugiej.

– Wybacz, że zacząłem śniadanie bez ciebie, Watsonie – powiedział – ale umówiłem się dziś z klientem na wczesną porę.

– Jest już po dziewiątej – stwierdziłem. – Słyszę dzwonek, chyba przyszedł.

Istotnie, przybył nasz bankier. Wstrząsnęła mną zmiana, jaka się w nim dokonała. Jego krągła masywna twarz skurczyła się, policzki się zapadły, a włosy chyba posiwiały. Kiedy wszedł, emanujące od niego zmęczenie i niemoc były jeszcze bardziej przygnębiające niż gwałtowność, jaka cechowała go poprzedniego ranka. Ciężko opadł na fotel, który mu podsunąłem.

– Nie wiem, czym zasłużyłem sobie na tak ciężki los – powiedział. – Dwa dni temu byłem człowiekiem szczęśliwym i zamożnym, nie miałem żadnych trosk. Teraz czeka mnie samotność i hańba, a jeden kłopot pociąga za sobą kolejny. Moja bratanica Mary opuściła mnie.

– Opuściła pana?

– Tak. Rano okazało się, że jej pokój był pusty, a na stole w korytarzu znalazłem liścik adresowany do mnie. Wczoraj wieczorem powiedziałem jej ze smutkiem, lecz bez gniewu, że gdyby wyszła za mojego syna, całe to nieszczęście nie miałoby miejsca. Być może nie powinienem był tego mówić. O tym wspomina w liście:

> Najdroższy stryju!
>
> Wiem, że sprowadziłam na Ciebie kłopoty. Gdybym się zachowała inaczej i wiedziała wcześniej, nie doszłoby do tego strasznego nieszczęścia. Nigdy więcej nie będę szczęśliwa pod Twym dachem. Czuję, że muszę odejść na zawsze. Nie martw się o moją przyszłość – jest zabezpieczona – a przede wszystkim nie szukaj mnie. Twoje bezowocne wysiłki mogą mi tylko zaszkodzić.
>
> Za życia i po śmierci pozostaję kochająca
> Mary

– Co to może oznaczać, panie Holmes? Czy ona popełniła samobójstwo?

– Nic z tych rzeczy! Wybrała być może najlepsze wyjście. Panie Holder, sądzę, że zbliża się kres pańskich kłopotów.

– Tak? Panie Holmes, czego się pan dowiedział? Gdzie są klejnoty?

– Pańskim zdaniem, tysiąc funtów za sztukę byłoby wygórowaną ceną za nie?

– Zapłaciłbym i dziesięć.

– Niepotrzebnie, wystarczą trzy tysiące. No i nagroda, którą pan wyznaczył. Czy ma pan ze sobą książeczkę czekową? Oto pióro. Proszę wystawić czek na cztery tysiące funtów.

Oszołomiony bankier wypisał czek na żądaną kwotę. Holmes podszedł do swego biurka, wyjął z niego niewielki, trójkątny kawałek złota z trzema osadzonymi w nim kamieniami i rzucił go na stół.

Nasz klient chwycił klejnoty z okrzykiem radości.

– Odnalazł je pan! – wykrztusił. – Jestem ocalony! Ocalony!

Jego radość była równie wylewna jak przedtem smutek, przytulił odzyskane kamienie do piersi.

– Ma pan jeszcze jedno zobowiązanie, panie Holder – dodał surowo Sherlock Holmes.

– Zobowiązanie? – bankier chwycił za pióro. – Proszę tylko podać sumę, zapłacę.

– Powinien pan przeprosić swego szlachetnego syna. Gdybym miał takiego syna, byłbym z niego dumny.

– To nie Arthur zabrał kamienie?

– Powiedziałem to panu wczoraj, a dzisiaj powtarzam: nie on.

– Jest pan pewien? Musimy natychmiast do niego pojechać i powiadomić, że prawda wyszła na jaw.

– Już o tym wie. Rozmawiałem z nim; on nie chciał opowiedzieć mi całej historii, więc ja mu ją zaprezentowałem. Potwierdził, że mam rację, dodał kilka szczegółów, co do których nie miałem jasności. Jednak po usłyszeniu wieści, które przyniósł pan dziś rano, zacznie mówić.

– Na litość boską, jakie jest rozwiązanie tej niezwykłej zagadki?

– Najpierw przedstawię panu sposób, w jaki do niego doszedłem. Przykro mi, ale sir George Burnwell i pańska bratanica Mary działali w porozumieniu. Teraz uciekli.

– Moja Mary? To niemożliwe!

– Niestety, to więcej niż możliwe, to pewne. Ani pan, ani pański syn nie znaliście prawdziwej natury człowieka, którego przyjęliście do kręgu znajomych. To jeden z najniebezpieczniejszych ludzi w Anglii: zrujnowany hazardzista, złoczyńca działający w desperacji, człowiek bez serca i sumienia. Pańska bratanica nie znała takich mężczyzn. Kiedy szeptał jej czułe słówka, tak jak przedtem stu innym kobietom, sądziła, że jej jedynej udało się poruszyć serce tego człowieka. Diabeł raczy wiedzieć, co jej naopowiadał, ale koniec końców stała się narzędziem w jego rękach i zaczęła się z nim widywać.

– Nie uwierzę w to! Nie mogę! – wykrzyknął pobladły bankier.

– Skoro tak, opowiem panu, co się wydarzyło w jego domu poprzedniej nocy. Kiedy pan się udał do swego pokoju, pańska siostrzenica zeszła na parter, by porozmawiać z kochankiem przez okno wychodzące na drogę do stajni. Stał przy nim tak długo, że ślady jego butów odcisnęły się wyraźnie w śniegu. Opowiedziała mu o diademie, a on, wiedziony żądzą posiadania złota, skłonił dziewczynę do postępowania zgodnie z jego wolą. Owszem, Mary pana kochała, ale są kobiety, u których miłość do kochanka zagłusza miłość do bliskich, więc sądzę, że ta dziewczyna do nich należy. Ledwie zdążyła wysłuchać Burnwella, kiedy zobaczyła, że pan schodzi na dół. Szybko zamknęła okno i opowiedziała o spotkaniu jednej ze służących z jej kochasiem o drewnianej nodze, które istotnie miało

miejsce. Po rozmowie z panem Arthur udał się na spoczynek, spał jednak niespokojnie, gdyż martwił się długami w klubie. W środku nocy usłyszał ciche kroki; kiedy wstał i wyjrzał na korytarz, ze zdumieniem zauważył, że jego kuzynka skrada się do pańskiej garderoby. Nie posiadając się ze zdziwienia, ubrał się i czekał w ciemności, by sprawdzić, co wyniknie z tej dziwnej sytuacji. Po chwili dziewczyna wyszła z pokoju, a w świetle płonącej na korytarzu lampy pański syn zauważył, że trzyma w rękach drogocenny diadem. Mary zeszła po schodach, a Arthur, przerażony jej postępowaniem, pobiegł za nią i wślizgnął się za zasłonę niedaleko drzwi pana pokoju. Ze swej kryjówki zobaczył jak Mary ostrożnie otwiera okno, podaje diadem komuś, kto czekał w ciemnościach, potem zamyka okno i szybko wraca do swego pokoju. Młodzieniec nie mógł podjąć żadnych działań, nie narażając ukochanej na straszliwą hańbę. Jednak gdy odeszła, zdał sobie sprawę, jak wielką krzywdę wyrządziła panu i jak ważne jest, by ją szybko naprawić. Zbiegł na dół, tak jak stał, boso, otworzył okno, wyskoczył na śnieg i pomknął drogą, na której w świetle księżyca dojrzał ciemną sylwetkę. Sir George Burnwell próbował uciec, jednak Arthur złapał go. Między nimi doszło do walki, pański syn ciągnął za diadem z jednej strony, jego przeciwnik z drugiej. Podczas bójki chłopak uderzył sir George’a i skaleczył mu brew. Później coś nagle trzasnęło. Młodzieniec zdał sobie sprawę, że ma diadem w ręku, pobiegł więc do domu, zamknął okno i poszedł do pańskiego pokoju. Zauważył, że klejnot został poskręcany podczas szamotaniny i właśnie usiłował go rozprostować, kiedy pojawił się pan.

– Czy to możliwe? – wykrztusił bankier.

– Rozgniewał go pan, wyzywając od złodziei, kiedy sądził, że właśnie zasłużył na pańskie serdeczne podziękowania. Aby wyjaśnić sytuację, musiałby zdradzić tę, która bynajmniej nie zasługiwała na jego względy. On jednak postąpił rycersko i zachował sekret.

– Dlatego krzyknęła i zemdlała, kiedy zobaczyła diadem! – wykrzyknął pan Holder. – O mój Boże! Jakim byłem ślepym głupcem! To dlatego poprosił, bym pozwolił mu wyjść na pięć minut! Kochany chłopak chciał sprawdzić, czy brakujący fragment nie pozostał na miejscu bójki! Jak bardzo źle go oceniłem!

– Kiedy dotarłem do domu – ciągnął Holmes – natychmiast bardzo uważnie obejrzałem jego otoczenie, by sprawdzić czy w śniegu nie zostały

jakieś ślady, które mogłyby pomóc w śledztwie. Wiedziałem, że od poprzedniego wieczora nie padało, a silny mróz utrwalił odciski stóp. Poszedłem ścieżką dla dostawców, była jednak tak zadeptana, że nie sposób było niczego z niej wyczytać. Zauważyłem jednak, że opodal kuchennych drzwi stała jakaś kobieta i rozmawiała z mężczyzną. Okrągłe ślady świadczyły, że miał on drewnianą nogę. Mogę też stwierdzić, że ktoś im przeszkodził. Kobieta szybko pobiegła do drzwi, na co wskazywały głębsze odciski palców nóg, a płytsze – pięt. Człowiek z drewnianą nogą czekał przez chwilę, a potem odszedł. Pomyślałem, że ślady mogły należeć do służącej i jej absztyfikanta, co się potwierdziło podczas śledztwa. Przeszedłem przez ogród, gdzie zobaczyłem jedynie ślady chaotycznych kroków. Uznałem, że zostawili je policjanci. Kiedy jednak dotarłem do drogi prowadzącej do stajni, odczytałem na śniegu długą i złożoną historię. Zauważyłem podwójne ślady: ciężkich męskich butów oraz, jak stwierdziłem z radością, bosych męskich stóp. Po tym, co usłyszałem od pana, wiedziałem z pewnością, że ślady bosych stóp należą do pańskiego syna. Pierwszy z mężczyzn szedł tam i z powrotem, drugi biegł szybko, a że jego kroki w niektórych miejscach były odciśnięte na śladach buta, wywnioskowałem, że podążał za tamtym. Idąc śladami, stwierdziłem, iż zmierzają do okna salonu, gdzie obuty mężczyzna zadeptał cały śnieg. Poszedłem jakieś sto jardów wzdłuż drogi. W pewnym miejscu obuty mężczyzna się odwrócił, śnieg był wydeptany, jakby doszło do walki. Krople krwi dowiodły słuszności mego wnioskowania. Później obuty mężczyzna pobiegł drogą, a ślady krwi wskazywały, że to on został ranny. W miejscu, w którym droga łączy się z gościńcem, chodnik został odśnieżony, a ślad się urywał. Gdy dotarłem do domu, obejrzałem przez szkło powiększające, jak pan pamięta, parapet i ramę okna i od razu zauważyłem, że ktoś tamtędy wychodził, dostrzegłem także ślad mokrej stopy pozostawiony przez kogoś, kto wchodził do środka. Zaczynałem domyślać się, co się wydarzyło. Mężczyzna czekał za oknem, ktoś przyniósł klejnoty, świadkiem tego zdarzenia był pański syn, który puścił się w pogoń za złodziejem i walczył z nim. Każdy ciągnął diadem w swoją stronę, co spowodowało jego uszkodzenie, którego nie uczyniłby jeden człowiek. Arthur wrócił z odebranym łupem, jednak część klejnotów pozostała w rękach złodzieja. Pozostało odpowiedzieć na pytanie, kim był złoczyńca i kto przyniósł mu diadem. Hołduję zasadzie, że kiedy wykluczy

się to, co niemożliwe, wówczas to, co pozostaje, choćby najbardziej nieprawdopodobne, musi być prawdą. Wiedziałem, że to nie pan zabrał diadem, pozostały zatem pańska bratanica i pana pokojówki. Gdyby chodziło o służące, dlaczego pański syn miałby pozwolić oskarżyć siebie zamiast jednej z nich? Nie było ku temu żadnego powodu. Skoro jednak kochał swą kuzynkę, zrozumiałem, że pragnął zachować w tajemnicy jej jakże haniebny czyn. Kiedy przypomniałem sobie, że widział ją pan przy oknie, a na widok diademu zemdlała, moje przypuszczenia zmieniły się w pewność. Któż mógł być jej wspólnikiem? Najprawdopodobniej kochanek. Kto inny bowiem okazałby się dla niej ważniejszy niż pan, do którego niewątpliwie odczuwała miłość i wdzięczność? Wiedziałem, że rzadko wychodzi pan z domu, a krąg pana przyjaciół jest dosyć wąski. Należał do nich sir George Burnwell. Słyszałem o nim już wcześniej, cieszył się złą sławą kobieciarza. Nie wątpiłem, że to on miał na sobie ciężkie buty, a klejnot wciąż znajduje się w jego posiadaniu. Choć Burnwell wiedział, że Arthur go rozpoznał, pochlebiał sobie, że jest bezpieczny, gdyż pański syn nie mógł niczego ujawnić, by nie skompromitować swojej rodziny. Zapewne się pan domyśla, co zrobiłem później. W przebraniu obiboka udałem się do domu sir George’a, zawarłem znajomość z jego służącym, dowiedziałem się, że jego pan wychodził z domu poprzedniej nocy, a za sześć szylingów upewniłem się o wszystkim, kupując jego buty. Pojechałem z nimi do Streatham i zauważyłem, że pasują do pozostawionych śladów.

– Wczoraj widziałem przy drodze jakiegoś obdartusa – zauważył pan Holder.

– Zgadza się. To byłem ja. Kiedy znalazłem winnego, wróciłem do domu, by się przebrać. Musiałem działać z wielką delikatnością, gdyż miałem świadomość, że wniesienie oskarżenia w tej sprawie doprowadziłoby do skandalu. Wiedziałem też, że tak zatwardziały złoczyńca zauważy, że mamy w tej sprawie związane ręce. Poszedłem się z nim zobaczyć. Rzecz jasna, na początku wszystkiemu zaprzeczał. Kiedy opowiedziałem mu ze szczegółami całą historię, próbował zgrywać chojraka i chwycił wiszącą na ścianie pałkę. Wiedziałem jednak, z kim mam do czynienia: zanim zdążył się zamachnąć, przystawiłem mu do głowy pistolet. Wtedy zaczął zachowywać się bardziej rozsądnie. Powiedziałem mu, że odkupimy od niego kamienie po tysiąc funtów za sztukę. Wtedy po raz pierwszy

zaczął ubolewać: „O, do diaska! Sprzedałem wszystkie trzy za sześćset!” Obiecując, że nie zostanie to wykorzystane podczas śledztwa, szybko zdobyłem adres pasera, który nabył beryle. Pojechałem do niego i po długich targach odkupiłem klejnoty za tysiąc funtów za sztukę. Potem poszedłem do pańskiego syna, powiedziałem mu, że sprawa się wyjaśniła i wreszcie około drugiej udałem się na spoczynek. Należało mi się to po dniu wypełnionym ciężką pracą.

– W tym dniu ocalił pan Anglię przed wielkim publicznym skandalem – stwierdził bankier, wstając z fotela. – Nie wiem, jak panu dziękować, jednak może pan być pewny, że znajdę sposób, by okazać swą wdzięczność. Pańskie umiejętności przekraczają wszystko, o czym dotąd słyszałem. Muszę czym prędzej jechać do mego drogiego chłopca i przeprosić go za krzywdę, którą mu wyrządziłem. To, czego się dowiedziałem od pana o Mary, dotknęło mnie do żywego. Zapewne nawet pan nie zdołałby ustalić, gdzie teraz przebywa.

– Sądzę, że możemy założyć – odparł Holmes – iż jest tam, gdzie sir George Burnwell. Równie pewne jest, że rychło poniesie surową karę za swe winy.

Opowieść dwunasta

BUCZYNA

– Człowiek, który kocha sztukę dla niej samej – stwierdził Sherlock Holmes, odkładając na bok dział ogłoszeń „Daily Telegraph” – często czerpie największą przyjemność z jej najbardziej błahych i najniższych przejawów. Z przyjemnością zauważam, Watsonie, że pojąłeś tę prawdę tak dalece, iż w opowieściach o naszych śledztwach, które byłeś łaskaw opisać, a niekiedy, muszę przyznać, również ubarwić, uwzględniłeś przede wszystkim nie słynne sprawy i sensacyjne procesy, w których brałem udział, lecz te przypadki, które, choć trywialne, dały mi możliwość wykorzystania zdolności dedukcji i logicznej syntezy stanowiących moją specjalność.

– Mimo wszystko – odpowiedziałem z uśmiechem – nie potrafię się obronić przed zarzutem pogoni za sensacją, który stawiano opisywanym przeze mnie historiom.

– Być może popełniłeś błąd – rzekł, chwytając szczypcami rozżarzony węgiel i zapalając od niego długą fajkę z drzewa wiśniowego, która zajmowała miejsce glinianej wtedy, gdy był w nastroju do dyskusji, a nie do rozmyślań. – Być może popełniłeś błąd, starając się ożywić swoje opowiadania, zamiast ograniczyć się do surowego opisu rozumowania prowadzącego od przyczyn do skutków, stanowiącego jedyny istotny ich element.

– Wydaje mi się, że nie skrzywdziłem cię w tej kwestii – zauważyłem dość zimno, gdyż dotknął mnie egotyzm, który, jak wielokrotnie zaobserwowałem, stanowił silną cechę niezwykłego charakteru mego przyjaciela.

– Nie chodzi tu o samolubstwo ani o pychę – stwierdził, swoim zwyczajem odpowiadając na moje myśli, nie na słowa. – Jeśli domagam się

uznania dla swych działań, czynię to dlatego, że są one przejawem sztuki bezosobowej i uniwersalnej. Zbrodnia jest powszechna, logika rzadka, dlatego powinieneś koncentrować się na logice, nie na zbrodniach. Sprowadziłeś to, co powinno stanowić cykl wykładów, do zbioru opowiastek.

Był zimny, wczesnowiosenny poranek. Siedzieliśmy po śniadaniu przy ogniu, który wesoło płonął w salonie przy Baker Street. Pomiędzy rzędami ciemnobrązowych domów snuła się gęsta mgła, a okna budynku naprzeciwko jawiły się przez jej ciężkie, żółtawe opary jak bezkształtne, rozmazane cienie. Zapalone lampy gazowe rozświetlały biały obrus, a ich odblask migotał na metalu i porcelanie, gdyż nie sprzątnięto jeszcze ze stołu. Sherlock Holmes milczał przez cały ranek, przeglądając ogłoszenia w kolejnych gazetach, aż w końcu, zaniechawszy poszukiwań, popadł w zły nastrój i zaczął rozprawiać o mych literackich niedociągnięciach.

– Z drugiej jednak strony – stwierdził po chwili przerwy, podczas której siedział, paląc długą fajkę i patrząc w ogień – doprawdy trudno oskarżać cię o poszukiwanie sensacji, skoro wiele ze spraw, którymi byłeś uprzejmy się zainteresować, nie dotyczy przestępstw rozumianych jako złamanie prawa. Drobny kłopot, który próbowałem pomóc rozwiązać królowi Bohemii, niezwykły przypadek panny Mary Sutherland, problem krzywoustego żebraka i incydent szlachetnego kawalera, nie wiązały się z wykroczeniami. Obawiam się jednak, że unikając sensacji, otarłeś się o trywialność.

– Cel, do którego dążyliśmy, mógł być błahy – odpowiedziałem – ale metody, które zastosowałeś, były interesujące i nowatorskie.

– Phi, mój drogi, czy naprawdę sądzisz, że przeciętnych zjadaczy chleba pozbawionych zdolności obserwacji, którzy nie potrafiliby rozpoznać tkacza po zębach ani kompozytora po lewym kciuku, interesują meandry analizy i dedukcji? Nie mogę cię jednak winić za to, że piszesz o błahostkach, gdyż czasy wielkich zbrodni minęły. Ludzie, a przynajmniej przestępcy, utracili wszelką inicjatywę i oryginalność. Moja własna praktyka zaczyna sprowadzać się do odszukiwania zagubionych ołówków i doradzania młodym pannom ze szkół z internatem. Sądzę jednak, że udało mi się dosięgnąć dna. Liścik, który otrzymałem dziś rano, świadczy o tym, że niżej już chyba upaść nie mogę. Przeczytaj go! – Rzucił mi wymiętą karteczkę.

List został napisany w Montague Place poprzedniego wieczora i brzmiał:

Szanowny Panie Holmes!

Bardzo pragnę omówić z Panem kwestię czy powinnam przyjąć zaproponowane mi stanowisko guwernantki. Zgłoszę się jutro o dziesiątej trzydzieści, jeśli ten termin Panu odpowiada.

Z poważaniem. Violet Hunter

– Czy znasz tę młodą damę? – spytałem.

– Absolutnie nie.

– Dochodzi właśnie dziesiąta trzydzieści.

– Owszem. I nie wątpię, że to właśnie nasza panna dzwoni do drzwi.

– To, z czym przychodzi, może okazać się bardziej interesujące, niż myślisz. Pamiętaj, że sprawa błękitnego rubinu na początku również wydawała się banalną, a rozwinęła się w poważne śledztwo. Być może podobnie stanie się i tym razem.

– Miejmy nadzieję. Nasze wątpliwości zostaną szybko rozwiane. Jeśli się nie mylę, oto osoba, na którą czekaliśmy.

Nim skończył mówić, drzwi się otworzyły i do pokoju weszła młoda dama. Była ubrana skromnie, lecz schludnie; miała wesołą, bystrą twarz, piegowatą jak jajo siewki; cechowała ją energia właściwa osobie zmuszonej do samodzielnego radzenia sobie w życiu.

– Przepraszam za najście – powiedziała, kiedy mój towarzysz podniósł się, by się z nią przywitać. – Przydarzyło mi się coś bardzo dziwnego, a że nie mam rodziców ani żadnych krewnych, których mogłabym prosić o radę, pomyślałam, może pan byłby tak dobry i podpowiedział mi, jak powinnam postąpić.

– Proszę usiąść, panno Hunter. Z przyjemnością uczynię, co w mojej mocy, by pani pomóc.

Zauważyłem, że Holmes był mile zaskoczony zachowaniem i sposobem wysławiania się swej nowej klientki. Przyjrzał się dziewczynie w typowy dla siebie, badawczy sposób, później usadowił się z rozchylonymi ustami i złączonymi opuszkami palców, by wysłuchać jej opowieści.

– Przez pięć lat byłam guwernantką w rodzinie pułkownika Spence’a Munro – zaczęła mówić panna Hunter – jednak dwa miesiące temu otrzymał on powołanie do Halifaksu w Nowej Szkocji i zabrał dzieci

ze sobą do Ameryki, zostałam więc bez pracy. Odpowiadałam na ogłoszenia i dawałam własne, bez skutku. Moje skromne oszczędności zaczęły topnieć, a ja nie miałam pojęcia, co robić. Na West Endzie znajduje się znana agencja guwernantek Westaway's. Zgłaszałam się tam mniej więcej raz w tygodniu, by sprawdzić, czy nie pojawiły się odpowiednie dla mnie oferty pracy. Założyciel tej firmy nazywa się Westaway, ale naprawdę zarządza nią panna Stoper. Urzęduje w niewielkim biurze. Kobiety poszukujące pracy czekają w przedsionku, następnie wchodzą po kolei do panny Stoper, a ona sprawdza w księgach czy ma oferty, które mogłyby im odpowiadać. Kiedy przyszłam tam w zeszłym tygodniu i poproszono mnie do biura, okazało się, że panna Stoper nie jest sama. Obok niej siedział niezwykle postawny mężczyzna o szerokim uśmiechu i olbrzymim podbródku, którego fałdy opadały mu na piersi. Miał na nosie okulary i bardzo uważnie przyglądał się wchodzącym paniom. Gdy mnie zobaczył, podskoczył na krześle i szybko odwrócił się do panny Stoper. „Ta się nada – stwierdził. – Nie mógłbym wymarzyć sobie nikogo lepszego. Jest kapitalna! Kapitalna!" Promieniał entuzjazmem i aż zacierał ręce z radości. Wyglądał na tak zadowolonego, że przyjemnie było na niego popatrzeć. „Czy szuka pani posady?" – spytał. „Tak, proszę pana". „Jako guwernantka?" „Tak, proszę pana". „Jaka pensja panią interesuje?" „W moim ostatnim miejscu pracy, u pułkownika Spence'a Munro, zarabiałam cztery funty miesięcznie". „Och, cicho już, cicho! Toż to wyzysk! Ohydny wyzysk! – wykrzyknął, podnosząc do góry ręce, jakby bardzo się rozgniewał. – Jak ktokolwiek mógł zaproponować tak żałosną sumę tak uroczej i wykształconej damie?" „Obawiam się, że mogę być słabiej wykształcona, niż się pan spodziewa – uprzedziłam. – Znam nieco francuski i niemiecki, gram i rysuję…". „Cicho, cicho! – wykrzyknął. – To wszystko nie ma znaczenia. Pytanie brzmi: czy pani postawa i sposób bycia są godne damy? Krótko mówiąc, tylko o to mi chodzi. Jeśli pani jest ich pozbawiona, to nie nadaje się do wychowywania dziecka, które pewnego dnia może odegrać ważną rolę w historii naszego kraju. Jeśli jednak je pani posiada, jakżeż ktokolwiek mógłby prosić panią, by zniżyła się do dwucyfrowej pensji rocznej? Ja, szanowna pani, na początek daję sto funtów rocznie". Byłam wówczas bez grosza przy duszy, więc może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, że taka oferta wydała mi się zbyt hojna, by mogła być prawdziwa. Jednak dżentelmen, który być może zauważył niedowierzanie na mojej

twarzy, otworzył portfel i wyjął z niego banknot. „Mam również w zwyczaju – powiedział, uśmiechając się przyjaźnie, dopóki jego oczy nie zmieniły się w dwie małe, lśniące szparki pomiędzy białymi fałdami na twarzy – wypłacać młodym damom z góry połowę pensji, by miały z czego pokryć wydatki na ubrania i podróż". Chyba nigdy w życiu nie spotkałam równie zdecydowanego i fascynującego człowieka. Zdążyłam już zadłużyć się u kupców, więc zaliczka była mi bardzo na rękę. Odniosłam jednak wrażenie, że w tej ofercie jest coś dziwnego, postanowiłam zatem dowiedzieć się czegoś więcej, nim ostatecznie zdecyduję się ją przyjąć. „Czy mogę wiedzieć, gdzie pan mieszka?" – spytałam. „W hrabstwie Hampshire, w uroczym wiejskim zakątku. Posiadłość nazywa się Buczyna i leży pięć mil za Winchesterem. To wspaniała okolica, moja droga, młoda damo, a Buczyna jest bardzo przyjemnym, starym wiejskim domem". „Co będzie należało do moich obowiązków? Chciałabym się z nimi zapoznać". „Jedno dziecko, kochany, zaledwie sześcioletni chłopaczek. Ach, gdyby pani widziała, jak zabija kapciem karaluchy! Trzask! Trzask! Trzask! Nie zdąży pani mrugnąć, a trzy leżą trupem!". Odchylił się na krześle i znów zaczął się śmiać tak, że jego oczy zniknęły między fałdami skóry. Byłam nieco zmieszana opowieścią o rozrywkach malca, ale jego ojciec się śmiał, pomyślałam więc, że być może jedynie żartował. „A zatem będę opiekowała się wyłącznie jednym dzieckiem?" – spytałam. „Nie, nie, moja droga, młoda damo, nie tylko! – wykrzyknął. – Jak zapewne się pani domyśla, do pani powinności będzie należało również wypełnianie drobnych poleceń mojej żony, oczywiście, pod warunkiem, że nie będzie prosiła o nic, co mogłoby uchybić czci damy. Nie widzi pani w związku z tym żadnych trudności, prawda?" „Jestem do usług". „Znakomicie. Na przykład, jeśli chodzi o ubranie. Jesteśmy ludźmi dziwacznymi, lecz poczciwymi. Gdyby poproszono panią o założenie jakiejś sukni, którą byśmy jej dali, nie sprzeciwiłaby się pani temu drobnemu kaprysowi, prawda?" „Nie" – odpowiedziałam, zdumiona jego słowami. „A gdyby kazano pani usiąść tu czy tam – czułaby się pani urażona?" „Bynajmniej". „A gdybyśmy poprosili, żeby przed przybyciem do nas obcięła pani krótko włosy?" Nie mogłam uwierzyć własnym uszom. Jak pan widzi, panie Holmes, moje lśniące włosy mają niezwykły orzechowy odcień. Mówiono mi, że są jak dzieło sztuki. Nie mogłam ot tak ich poświęcić. „Obawiam się, że to niemożliwe" – odpowiedziałam.

Mężczyzna uważnie przyglądał mi się swymi małymi oczkami, a kiedy wypowiedziałam te słowa, zauważyłam, że jego twarz na chwilę spochmurniała. „Niestety, to warunek konieczny – odparł. – To kaprys mojej żony, a jak pani wie, nie sposób oprzeć się kobiecym kaprysom. Nie zgadza się więc pani na obcięcie włosów?” „Nie, proszę pana, naprawdę nie mogę” – odpowiedziałam stanowczo. „Cóż, to załatwia sprawę. Szkoda, gdyż pod wszystkimi innymi względami świetnie by się pani nadawała. W takim razie, panno Stoper, chciałbym się spotkać z kilkoma kolejnymi młodymi paniami”. Kierowniczka przez chwilę wertowała papiery, które leżały na biurku, nie odzywając się ani słowem, później spojrzała na mnie z taką irytacją, że chcąc nie chcąc pomyślałam, że moja odmowa kosztowała ją sporą prowizję. „Czy chce pani, by jej nazwisko w dalszym ciągu było zapisane w księgach firmy?” – spytała. „Jeśli się pani zgodzi, panno Stoper”. „Zdaje się, że to nie ma sensu, skoro odrzuca pani tak korzystne oferty – odpowiedziała ostro. – Nie spodziewa się pani chyba, że podejmiemy wysiłki, by znaleźć dla niej drugą taką posadę. Do widzenia, panno Hunter”. Uderzyła w gong stojący na stole, i służący wyprowadził mnie z pokoju. Och, panie Holmes, w domu spiżarnia była prawie pusta, a na stole czekało kilka rachunków do zapłacenia, zaczęłam się więc zastanawiać, czy nie postąpiłam niemądrze. Przecież nawet jeśli ci ludzie mieli osobliwe kaprysy i oczekiwali posłuszeństwa w niezwykłych kwestiach, byli gotowi dobrze płacić za swoją ekscentryczność. Niewiele jest w Anglii guwernantek, które zarabiałyby sto funtów rocznie. Poza tym, jaki pożytek miałam z włosów? Wiele osób wygląda lepiej w krótkiej fryzurze – pomyślałam, że być może i mnie będzie w takiej do twarzy. Następnego dnia zaczęłam sądzić, iż popełniłam błąd, a kolejnego byłam tego pewna. Prawie zdecydowałam się schować dumę do kieszeni, wrócić do agencji i spytać, czy oferta jest wciąż aktualna, kiedy dostałam list od dżentelmena, który mi ją złożył. List mam ze sobą, zaraz go panu przeczytam:

Buczyna, niedaleko Winchester

Droga Panno Hunter!

Pani Stoper była tak uprzejma i podała mi Pani adres, piszę więc, by zapytać czy nie zmieniła Pani zdania. Moja żona bardzo nalega na Pani przyjazd, gdyż sposób, w jaki Panią opisałem, zrobił na niej wielkie wrażenie. Jesteśmy gotowi zapłacić trzydzieści funtów za kwartał, czyli sto dwadzieścia funtów za rok, by

wynagrodzić wszelkie niedogodności, jakich może Pani doznać w wyniku naszych zachcianek. Nie wydaje mi się jednak, by były one szczególnie uciążliwe. Moja żona bardzo lubi pewien odcień błękitu i chciałaby, żeby codziennie rano nosiła Pani po domu suknię w tym kolorze. Nie potrzebuje Pani jednak wydawać pieniędzy na zakup takiego stroju, mamy suknię po naszej córce Alice (która obecnie przebywa w Filadelfii); moim zdaniem, suknia znakomicie by na Panią pasowała. Jeśli chodzi o siadanie w różnych miejscach lub wykonywanie drobnych poleceń, nie powinno to być dla Pani uciążliwe. Co do Pani włosów, przyznaję, że będzie to wielka strata – ich piękno rzuciło mi się w oczy podczas naszej krótkiej rozmowy – ale obawiam się, że w tej sprawie muszę obstawać przy swoim i mam nadzieję, iż wyższa pensja wynagrodzi Pani tę stratę. Jeśli chodzi o opiekę nad dzieckiem, Pani obowiązki nie będą ciężkie. Proszę przyjechać; wyjadę po Panią dwukółką do Winchesteru. Proszę dać mi znać, którym pociągiem będzie Pani podróżowała.

Z poważaniem.
JEPHRO RUCASTLE

– Panie Holmes, podjęłam decyzję. Zamierzam przystać na zaproponowane warunki. Pomyślałam jednak, że zanim zrobię ostateczny krok, poproszę pana o radę.

– Cóż, panno Hunter, skoro się pani zadecydowała, sprawa jest rozstrzygnięta – odpowiedział Holmes z uśmiechem.

– Czy nie radziłby mi pan odrzucić tę propozycję?

– Przyznaję, że nie chciałbym, by moja siostra przyjęła taką posadę.

– Co to wszystko może oznaczać, panie Holmes?

– Mam zbyt mało danych, by wysnuć jakieś wnioski. A co pani o tym sądzi?

– Widzę tylko jedno wytłumaczenie. Pan Rucastle jest bardzo miłym i poczciwym człowiekiem. Może jego żona oszalała, a on pragnie zatuszować całą sprawę, gdyż nie chce, by kobieta trafiła do szpitala. Zaspokaja więc każdą jej zachciankę, żeby jej stan się nie pogorszył.

– Owszem, jest to jakieś wytłumaczenie, a w tej chwili wydaje się najbardziej prawdopodobne. Według mnie, pani nowe otoczenie nie będzie dla niej zbyt miłe.

– Pieniądze, panie Holmes, pieniądze!

– Tak, tak, płaca jest dobra, zbyt dobra – i to mnie niepokoi. Dlaczego mieliby płacić pani sto dwadzieścia funtów rocznie, skoro mogliby

przebierać w kandydatkach, którym starczy czterdzieści? Musi istnieć jakiś szczególny powód.

– Panie Holmes, pragnę opowiedzieć panu o wszystkim teraz, żeby się pan nie zdziwił później, gdy będę potrzebowała jego pomocy. Czułabym się dużo pewniej wiedząc, że mogę liczyć na pańskie wsparcie.

– Obiecuję to pani. Sprawa zapowiada się chyba na dość interesującą w porównaniu z tymi, z jakimi miałem do czynienia od miesięcy. Pewne jej aspekty są zdecydowanie nietuzinkowe. Gdyby miała pani jakieś wątpliwości lub znalazła się w niebezpieczeństwie…

– Niebezpieczeństwie? Jakie niebezpieczeństwo może mi grozić?

Holmes z powagą pokręcił głową.

– Gdybyśmy potrafili je określić, przestałoby być niebezpieczeństwem – oświadczył. – Proszę tylko przysłać telegram, a przybędę do pani z pomocą o każdej porze dnia i nocy.

– To mi wystarczy – powiedziała kobieta i energicznie wstała. Z jej twarzy zniknął niepokój. – Teraz mogę spokojnie pojechać do Hampshire. Napiszę do pana Rucastle jeszcze dziś w nocy i złożę w ofierze swe biedne włosy, a jutro pojadę do Winchesteru. – Podziękowała Holmesowi, życzyła nam miłego dnia i wyszła z pokoju.

– Myślę – zauważyłem, kiedy na schodach rozbrzmiały jej szybkie, stanowcze kroki – że ta młoda dama jest w stanie zadbać o siebie.

– Przyda jej się to – stwierdził Holmes z powagą. – Jestem pewien, że nie minie wiele czasu i znów się spotkamy.

Przewidywania mego przyjaciela szybko się sprawdziły. Minęły dwa tygodnie. Często myślałem o pannie Hunter i zastanawiałem się, w jak dziwny zaułek ludzkiego losu zapuściła się ta samotna kobieta. Niezwykła pensja, osobliwe wymagania i niezbyt ciężkie obowiązki… Było to jakieś nienaturalne, ale czy chodziło o kaprys, czy o spisek, czy pracodawca był filantropem, czy złoczyńcą, nie potrafiłem stwierdzić. Zauważyłem, że Holmes często długo przesiadywał (nawet po pół godziny) ze zmarszczonymi brwiami i zamyślonym wyrazem twarzy, ale kiedy wspominałem mu o tej sprawie, zbywał mnie machnięciem ręki.

– Za mało wiem o sprawie! – krzyczał zniecierpliwiony. – Nie mogę zrobić cegieł, nie mając gliny! – I zawsze dodawał, że nigdy by się nie zgodził, żeby jego siostra przyjęła taką posadę.

Telegram nadszedł pewnego wieczora. Było już bardzo późno. Ja szykowałem się do snu, a Holmes rozpoczynał jeden ze swych całonocnych eksperymentów chemicznych, które często prowadził – wieczorem zostawiałem go pochylonego nad retortą i probówką, a rano, schodząc na śniadanie, zastawałem w tej samej pozycji. Mój przyjaciel otworzył żółtą kopertę, rzucił okiem na kartkę, a następnie podał ją mnie.

– Sprawdź rozkład jazdy pociągów – powiedział i powrócił do swych badań.

Wiadomość była krótka i pilna:

> Będę czekała w hotelu Pod Czarnym Łabędziem w Winchesterze jutro w południe. Proszę przyjechać! Nie wiem, co robić. Hunter.

– Pojedziesz ze mną? – spytał Holmes, podnosząc wzrok.

– Bardzo chętnie.

– No to sprawdź rozkład.

– Jest pociąg o wpół do dziesiątej – powiedziałem, gdy przejrzałem rozkład. – W Winchesterze ma być o jedenastej trzydzieści.

– Bardzo dobrze. Odłożę na później analizę acetonów, gdyż rano powinniśmy być w jak najlepszej formie.

O jedenastej następnego dnia jechaliśmy do dawnej stolicy Anglii. Holmes zatopił się w lekturze porannych gazet, ale wkrótce po tym, jak minęliśmy granicę hrabstwa Hampshire, rzucił gazety w kąt i zaczął podziwiać krajobraz. Był idealny, wiosenny dzień, błękitne niebo było usiane puszystymi, białymi chmurkami płynącymi z zachodu na wschód. Słońce mocno przyświecało, ale w powietrzu można było wyczuć lekki, orzeźwiający chłodek. W całej okolicy, aż po falujące wzgórza wokół Aldershot, spośród młodej, jasnej zieleni wystawały niewielkie czarne i szare dachy zabudowań gospodarskich.

– Czyż nie jest tu pięknie i świeżo? – wykrzyknąłem z entuzjazmem człowieka nawykłego do mgieł Baker Street.

Holmes jednak ponuro pokręcił głową i rzekł:

– Watsonie, jednym z przekleństw człowieka o umyśle takim jak mój jest fakt, że na wszystko patrzy z perspektywy sprawy, którą się zajmuje. Ty spoglądasz na rozsiane wokół domy i dostrzegasz ich piękno. Kiedy ja się

im przyglądam, myślę wyłącznie o tym, iż są odcięte od świata i można tu bezkarnie popełniać przestępstwa.

– Dobry Boże! – wykrzyknąłem. – Komu te urocze, stare domostwa mogą kojarzyć się ze zbrodnią?

– We mnie zawsze budzą pewien niepokój. Jestem przekonany, a moje doświadczenie to potwierdza, że w najbardziej obskurnych zaułkach Londynu nie popełnia się tylu grzechów, co na pięknej i radosnej wsi.

– Przerażasz mnie!

– Przyczyna jest jednak oczywista. Nacisk ze strony opinii publicznej potrafi zdziałać w mieście więcej niż przepisy prawa. Nie ma zakątka tak podłego, by rozlegający się tam krzyk dręczonego dziecka czy odgłos ciosu zadanego ręką pijaka nie wzbudziły współczucia i oburzenia pośród sąsiadów. Machina sprawiedliwości jest zawsze w pobliżu, uruchomić ją może jedno słowo skargi, a od przestępstwa jest zaledwie krok do więziennej celi. Popatrz jednak na te osamotnione domy otoczone polami i zamieszkałe głównie przez niedouczonych biedaków, którzy niewiele wiedzą o prawie. Pomyśl o okrutnych uczynkach czy potajemnych zbrodniach, które mogą być popełniane w takich miejscach każdego roku i bez niczyjej wiedzy. Gdyby dama, która poprosiła nas o pomoc, wyjechała do Winchesteru, nie obawiałbym się o nią. Niebezpieczeństwo wiąże się z tym, że zamieszkała pięć mil od miasta. Jest jednak oczywiste, że nic jej nie grozi.

– Nie. Jeśli może przyjechać do Winchesteru, by się z nami spotkać, to może w ogóle wyjechać.

– Zgadza się, ma zatem swobodę działania.

– Co w takim razie mogło się stać? Czy udało ci się znaleźć jakieś wytłumaczenie?

– Zgodnie ze znanymi nam faktami znalazłem ich siedem. Które z nich są prawdziwe, okaże się dopiero, gdy zapoznamy się z nowymi informacjami, jakich niewątpliwie pani nam dostarczy. Oto i wieża katedry, niebawem dowiemy się, co panna Hunter ma nam do powiedzenia.

Tuż obok stacji, przy High Street, znajdowała się szacowna gospoda „Pod Czarnym Łabędziem”, gdzie czekała nasza młoda znajoma. Zarezerwowała salonik, w którym nakryto do lunchu.

– Tak się cieszę, że panowie przyjechali! – powiedziała żarliwie. – To bardzo miłe z ich strony! Naprawdę nie wiem, co począć, więc rady

panów będą dla mnie bezcenne.

– Proszę opowiedzieć nam, co się pani przydarzyło.

– Muszę to zrobić czym prędzej, obiecałam panu Rucastle, że wrócę przed trzecią. Dał mi dziś wychodne, żebym mogła pojechać do miasta, nie zna jednak celu mej wyprawy.

– Proszę opowiedzieć nam wszystko po kolei – Holmes wyciągnął swe długie, szczupłe nogi w kierunku ognia, usadowił się wygodnie i przygotował się do wysłuchania relacji.

– Przede wszystkim przyznaję, że w gruncie rzeczy państwo Rucastle nigdy nie potraktowali mnie źle. Muszę oddać im w tym względzie sprawiedliwość. Nie rozumiem ich jednak, budzą we mnie niepokój.

– Czego pani nie rozumie?

– Przyczyn ich zachowania. Ale opowiem panom w takiej kolejności, w jakiej się wszystko wydarzyło. Kiedy tu przybyłam, pan Rucastle wyjechał po mnie i zawiózł dwukółką do Buczyny. Tak jak mówił, dom jest pięknie położony, jednak nie jest ładny. To duży kwadratowy budynek bielony wapnem, ale wilgoć i opady poznaczyły go plamami i zaciekami. Z trzech stron dom otacza las. Od frontu rozpościera się łąka, która ciągnie się aż do drogi na Southampton. Ta droga przebiega w odległości około stu jardów od frontowych drzwi. Teren przed budynkiem należy do Buczyny, lasy stanowią część posiadłości lorda Southertona. Nazwa domu pochodzi od kępy czerwonolistnych buków rosnących tuż przed drzwiami. Mój pracodawca, uroczy jak poprzednio, przywiózł mnie na miejsce i tego samego wieczoru przedstawił swojej żonie i dziecku. Panie Holmes, teoria, którą ułożyliśmy przy Baker Street, okazała się błędna. Pani Rucastle nie jest obłąkana. To cicha, blada kobieta, znacznie młodsza od męża, wydaje mi się, że nie ma więcej niż trzydzieści lat, tymczasem on z pewnością przekroczył już czterdzieści pięć. Z rozmów dowiedziałam się, że są małżeństwem od około siedmiu lat. Jego pierwsza żona zmarła; miał z nią jedno dziecko, córkę, która wyjechała do Filadelfii. Pan Rucastle powiedział mi na osobności, że przyczyną jej wyprowadzki była niezrozumiała niechęć do macochy. Córka musiała mieć co najmniej dwadzieścia lat, nie dziwię się więc, że jej stosunki z młodą żoną ojca nie układały się najlepiej. Zarówno umysł jak i rysy pani Rucastle wydały mi się bezbarwne. Nie zrobiła na mnie ani korzystnego, ani przykrego wrażenia, zupełnie jakby wcale nie istniała. Nietrudno zauważyć, że jest

bardzo oddana mężowi i małemu synkowi. Jej jasnoszare oczy bez przerwy błądzą od jednego do drugiego, dostrzegając ich najdrobniejsze potrzeby, które zaspokaja, wyprzedzając ich prośby. On również jest dla niej dobry na swój rubaszny, hałaśliwy sposób. Wyglądają na szczęśliwą parę. Ta kobieta ukrywa jednak jakieś troski. Często błądzi gdzieś myślami, wówczas jej twarz staje się bardzo smutna. Kilka razy zdarzyło mi się widzieć, jak płacze. Zastanawiałam się, czy na jej nastrój nie ma wpływu charakter jej dziecka, nigdy bowiem nie spotkałam równie zepsutego i złośliwego malca. Jest nieduży jak na swój wiek, ale ma nieproporcjonalnie wielką głowę. Często ma napady furii przerywane okresami dąsów. Jego ulubioną rozrywką jest zadawanie bólu stworzeniom mniejszym od siebie. Wykazuje on niezwykły talent do chwytania myszy, małych ptaków i owadów. Wolałabym jednak nie mówić o tym chłopcu, panie Holmes, gdyż nie ma on wiele wspólnego z moją historią.

– Chętnie wysłucham wszystkich szczegółów – stwierdził mój przyjaciel – niezależnie od tego czy pani wydają się one istotne, czy nie.

– Postaram się nie pominąć niczego ważnego. Od razu moją uwagę zwróciło zachowanie służących oraz ich nieprzyjemny wygląd. Jest ich tam dwoje, mąż i żona. Toller, tak się sługa nazywa, jest szorstkim, nieokrzesanym człowiekiem o siwiejących włosach i bokobrodach, od którego wiecznie zionie alkoholem. Od mego przybycia dwukrotnie był pijany jak bela, lecz pan Rucastle jakby tego nie zauważa. Jego żona, bardzo wysoka i silna kobieta, ma zawsze skwaszoną minę; jest przy tym równie cicha jak pani Rucastle, jednak zdecydowanie mniej sympatyczna. To bardzo niemiła para, na szczęście jednak większość czasu spędzam w pokoju dziecka lub w swoim własnym. Oba pomieszczenia znajdują się tuż obok siebie w jednym z rogów budynku. Pierwsze dwa dni po moim przybyciu do Buczyny minęły bardzo spokojnie. Trzeciego dnia pani Rucastle zeszła na dół po śniadaniu i szepnęła coś mężowi. „Ach tak – odpowiedział, odwracając się do mnie. – Panno Hunter, jesteśmy pani bardzo wdzięczni za to, że przystała pani na nasze kaprysy i ścięła włosy. Zapewniam, że bynajmniej nie wpłynęło to niekorzystnie na pani wygląd. Teraz chcielibyśmy zobaczyć, czy będzie pani do twarzy w błękitnej sukni. Znajdzie ją pani na łóżku w swoim pokoju. Bylibyśmy wielce zobowiązani, gdyby pani była tak dobra i ją przymierzyła”. Suknia miała szczególny odcień błękitu. Była uszyta ze znakomitej wełny, ale widać było wyraźnie,

że ktoś ją już nosił. Nie mogłaby leżeć na mnie lepiej nawet wówczas, gdyby uszyto ją dla mnie na miarę. Państwo Rucastle byli wielce uradowani na mój widok, ale ta radość wydała mi się nieco przesadzona. Czekali na mnie w salonie, bardzo dużym pokoju ciągnącym się wzdłuż całej frontowej ściany domu, z trzema wysokimi oknami sięgającymi aż do podłogi. Niedaleko środkowego okna stało krzesło odwrócone do niego oparciem. Poprosili mnie, bym usiadła na tym krześle. Pan Rucastle zaczął przechadzać się tam i z powrotem po pokoju i opowiadać najzabawniejsze historyjki, jakie w życiu słyszałam. Nie potrafią sobie panowie wyobrazić, jak był komiczny, śmiałam się do łez. Pani Rucastle najwyraźniej nie ma jednak poczucia humoru. Ani razu nawet się nie uśmiechnęła, siedziała z rękami na podołku, a minę miała smutną i zaniepokojoną. Po mniej więcej godzinie pan Rucastle nagle stwierdził, że czas wrócić do codziennych obowiązków, że mogę się przebrać i pójść do pokoju dziecinnego, do małego Edwarda. Dwa dni później miała miejsce taka sama sytuacja, w tych samych okolicznościach. Ponownie się przebrałam, usiadłam w oknie i śmiałam się do rozpuku z zabawnych historyjek, których niewyczerpanym repertuarem dysponował mój chlebodawca i które opowiadał w sposób niezrównany. Później wręczył mi tanią powieść, przesunął krzesło nieco w bok, tak by mój cień nie padał na książkę i błagał, bym poczytała mu na głos. Trwało to mniej więcej dziesięć minut. Zaczęłam w środku rozdziału, lecz nagle, w połowie zdania, pan Rucastle kazał mi zakończyć czytanie i pójść się przebrać. Może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, jak bardzo zaciekawiły mnie przyczyny i znaczenie tych niezwykłych występów. Zauważyłam, że moi pracodawcy zawsze bardzo dbają, bym siedziała z twarzą odwróconą od okna, więc pożerała mnie ciekawość, co też się dzieje za moimi plecami. Na początku sprawdzenie tego wydawało mi się niemożliwe, ale szybko znalazłam sposób. Moje kieszonkowe lusterko pękło i wpadłam na szczęśliwy pomysł, by ukryć jeden z odłamków w rękawiczce. Przy najbliższej okazji, podczas ataku śmiechu podniosłam rękę do oczu i manipulując nią, byłam w stanie obejrzeć wszystko, co znajdowało się za mną. Muszę przyznać, że poczułam rozczarowanie, bo nic nie zobaczyłam, przynajmniej nie od razu. Kiedy jednak dokładniej się przyjrzałam, zauważyłam, że przy Southampton Road stoi niski, brodaty mężczyzna w szarym garniturze i patrzy w moją stronę. Droga jest bardzo ruchliwa i zwykle są na niej

ludzie, jednak ten nieznajomy opierał się o ogrodzenie naszej łąki i usilnie wpatrywał się w okna. Opuściłam rękę i zerknęłam na panią Rucastle, napotykając jej badawczy wzrok. Nie odezwała się do mnie, ale jestem pewna, iż odgadła, że miałam w ręku lusterko i że udało mi się spojrzeć za siebie. Natychmiast zerwała się z miejsca. „Jephro – powiedziała – przy drodze stoi jakiś wścibski człowiek, który gapi się na pannę Hunter”. „Czy to pani znajomy?” – spytał mnie jej mąż. „Nie, nie znam nikogo w tej okolicy”. „A niech mnie! To bardzo niegrzeczne! Proszę się odwrócić i gestami nakazać mu się oddalić”. „Może lepiej byłoby nie zwracać na niego uwagi?” „Nie, nie, gdybyśmy tak postąpili, wystawałby tu bez przerwy. Proszę się odwrócić i go odgonić”. Zrobiłam to, co mi kazano, a pani Rucastle niezwłocznie opuściła roletę. Zdarzenie to miało miejsce tydzień temu. Od tego czasu nie kazano mi siadać przy oknie ani zakładać niebieskiej sukienki, nie widziałam też więcej mężczyzny stojącego przy drodze.

– Proszę mówić dalej – nalegał Holmes. – Pani opowieść zapowiada się nader ciekawie.

– Obawiam się, że uzna ją pan za niespójną. Nie wiem, czy wydarzenia, które miały miejsce, mają ze sobą coś wspólnego. Już pierwszego dnia mego pobytu w Buczynie pan Rucastle zabrał mnie do niewielkiej szopki stojącej nieopodal kuchennych drzwi. Kiedy się do niej zbliżyliśmy, usłyszałam ostry szczęk łańcucha i odgłos ruchów dużego zwierzęcia. „Proszę spojrzeć! – powiedział pan Rucastle, wskazując mi szparę pomiędzy dwiema deskami. – Czyż nie jest piękny?” Zajrzałam do środka i dostrzegłam parę błyszczących ślepi oraz niewyraźną sylwetkę skuloną w mroku. Wzdrygnęłam się. „Niech się pani nie boi – uspokoił mnie chlebodawca, śmiejąc się ze mnie. – To tylko Carlo, mój mastiff. Mówię, że jest mój, ale tak naprawdę jedynym człowiekiem, którego on słucha, jest mój koniuszy Toller. Carlo dostaje jeść tylko raz dziennie i nigdy za dużo, więc jest cięty i agresywny. Toller co noc spuszcza go z łańcucha i niech Bóg ma w swojej opiece intruza, jeżeli ten pies go dopadnie i wbije swe kły. Na litość boską, proszę w żadnym wypadku nie ruszać się za próg po zmroku, bo naraziłaby pani swoje życie”. Dwa dni później mogłam się przekonać, że ostrzeżenie nie było bezpodstawne. Około drugiej w nocy wyjrzałam przypadkiem przez okno sypialni. Była piękna księżycowa noc, trawnik przed domem lśnił srebrzyście, a jasno było niemal jak w dzień.

Stałam, podziwiając spokojne piękno tej scenerii, gdy nagle zauważyłam, że coś się porusza w cieniu buków. Kiedy stwór ukazał się w świetle księżyca, zobaczyłam, że to ogromny wychudzony pies z wystającymi żebrami, wielki jak cielak, o płowym umaszczeniu, z obwisłym podgardlem i czarnym pyskiem. Powoli przeszedł przez trawnik i zniknął w cieniu po jego drugiej stronie. Ten potworny strażnik przeraził mnie bardziej, niż mógłby to zrobić jakikolwiek złodziej. Muszę też opowiedzieć panu o innym, bardzo dziwnym zdarzeniu. Jak pan wie, jeszcze w Londynie ścięłam włosy. Zwinęłam je w wielki pukiel i umieściłam na dnie kufra. Pewnego wieczoru, kiedy chłopiec leżał już w łóżku, zaczęłam dla rozrywki oglądać meble stojące w moim pokoju i rozkładać w nich swój skromny dobytek. W sypialni znajdowała się między innymi stara komoda z szufladami. Dwie górne szuflady były otwarte, dolna, niestety, zamknięta. W tych otwartych ułożyłam bieliznę, ale wciąż zostało mi sporo rzeczy, zirytowałam się, że nie mogę wykorzystać trzeciej szuflady. „Może nie otworzyli jej przez przypadek” – pomyślałam. Wyjęłam więc pęk kluczy i spróbowałam otworzyć. Już pierwszy klucz, jakiego użyłam, pasował do zamka. Wysunęłam szufladę. Znalazłam w niej tylko jedną rzecz, ale jestem pewna, że nigdy by pan nie zgadł, co to było. Leżał tam pukiel mych ściętych włosów! Wzięłam go do rąk i obejrzałam. Miał taki sam niezwykły odcień i taką samą grubość. Później jednak uderzyła mnie pewna myśl. Jak to możliwe, żeby moje włosy były zamknięte w szufladzie? Drżącymi rękami otworzyłam kufer, wyrzuciłam jego zawartość i wyjęłam mój własny pukiel. Położyłam obydwa obok siebie i zapewniam pana – były identyczne. Czy nie jest to dziwne? Byłam bezgranicznie zdumiona! Odłożyłam cudze włosy na miejsce i nie wspomniałam o tym ani słowem państwu Rucastle, gdyż czułam, że postąpiłam niewłaściwie, otwierając zamkniętą szufladę. Panie Holmes, być może pan zauważył, że jestem z natury spostrzegawcza, więc bez trudu oswoiłam się z rozmieszczeniem pokoi i korytarzy w całym domu. Jedno z jego skrzydeł nie jest zamieszkane. Drzwi, które do niego prowadzą, znajdują się naprzeciwko pokojów Tollerów, ale zawsze były zamknięte. Pewnego dnia, schodząc na dół, zobaczyłam, że pan Rucastle wychodzi przez te drzwi. W ręku trzymał klucze. Wyglądał zupełnie inaczej niż zwykle. Miał zarumienione policzki i brwi ściągnięte z gniewu; na skroniach wystąpiły mu żyły. Zamknął drzwi na klucz i szybko przeszedł obok, nie zaszczycając mnie

słowem ani spojrzeniem. Wzbudziło to moją ciekawość, więc kiedy udałam się ze swoim podopiecznym na spacer po posiadłości, poszłam tak, by po drodze popatrzeć na okna w tamtej części domu. Były cztery, trzy po prostu brudne, czwarte zasłonięte okiennicą. Za żadnym z nich niczego nie dostrzegłam. Kiedy się przechadzałam, zerkając od czasu do czasu w stronę okien, podszedł do mnie pan Rucastle, znowu wesoły i dobroduszny, tak jak przedtem. „Ach – powiedział – proszę nie mieć mi za złe, że minąłem panią bez słowa, droga młoda damo. Byłem zaprzątnięty myślami o interesach". Zapewniłam go, iż nie czuję się urażona. „A tak przy okazji – zagaiłam – zdaje się, że na górze jest sporo pustych pokoi, a jeden z nich ma zasłonięte okno". Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego i chyba nieco zmieszanego moją uwagą. „Jednym z moich zainteresowań jest fotografia – wyjaśnił. – Urządziłem tam sobie ciemnię. Ale, do licha, jaką spostrzegawczą młodą damę zatrudniliśmy! Kto by pomyślał? No kto by pomyślał?" Mówił to żartobliwym tonem, ale w jego oczach nie było radości. Wyczytałam w nich natomiast podejrzliwość i irytację. Cóż, panie Holmes, od chwili, kiedy zrozumiałam, że próbuje się ukryć przede mną coś, co ma związek z pustymi pokojami, rozpaczliwie zapragnęłam czegoś się o nich dowiedzieć. Nie powodowała mną wyłącznie ciekawość, było to raczej poczucie obowiązku. Miałam wrażenie, że jeśli się tam dostanę, wyniknie z tego coś dobrego. Mówi się o kobiecej intuicji, być może właśnie z niej wynikało to uczucie. Tak czy inaczej, zaczęłam czekać na okazję, by się dostać za zamknięte drzwi. Dopiero wczoraj nadarzyła się sposobna chwila. Mogę zdradzić panom, że prócz pana Rucastle, do opuszczonych pokojów wchodzą także Toller i jego żona. Raz widziałam, jak służący wnosi tam duży, czarny, płócienny worek. Ostatnio często zaglądał do kieliszka, a wczoraj wieczorem spił się do nieprzytomności. Kiedy weszłam na górę, w zamku tkwił klucz. Jestem pewna, że zostawił go tam właśnie Toller. Oboje państwo Rucastle byli na dole, dziecko siedziało z nimi, miałam więc znakomitą sposobność. Ostrożnie obróciłam klucz w zamku, otworzyłam drzwi i wślizgnęłam się przez nie. Przede mną ciągnął się niewielki korytarz, w którym nie było ani dywanów, ani tapet. Na końcu korytarz skręcał pod kątem prostym. Za rogiem ujrzałam troje drzwi, z których pierwsze i trzecie były otwarte. Prowadziły one do pustych pokoi, ponurych i zakurzonych. W jednym z nich były dwa okna, w drugim – jedno. Brud pokrywał je tak grubą

warstwą, że wieczorne słońce ledwie przez nie przeświecało. Środkowe drzwi były zaryglowane od zewnątrz grubym stalowym prętem wyjętym z łóżka. Jeden jego koniec włożono do kółka w ścianie, drugi przymocowano grubym sznurem. Te drzwi były także zamknięte na zamek, ale klucza nie było. Na pewno prowadziły do pokoju, w którym znajdowało się okno z zamkniętymi okiennicami, ale przedostawało się spod nich światło. Doszłam więc do wniosku, że skoro w pokoju nie jest ciemno, to powinien znajdować się w nim świetlik, który wpuszcza światło od góry. Stojąc w korytarzu, wpatrywałam się w drzwi budzące grozę i zastanawiałam się, jaką tajemnicę mogą ukrywać. Nagle usłyszałam w pokoju kroki i zobaczyłam, jak w wąskim pasie światła pod drzwiami przesuwa się tam i z powrotem czyjś cień. Panie Holmes, ten widok obudził we mnie szaleńczy, bezrozumny lęk. Napięte nerwy w jednej chwili odmówiły mi posłuszeństwa, odwróciłam się i pobiegłam tak, jakby z tyłu czyjeś straszne szpony usiłowały chwycić mnie za brzeg sukni. Pomknęłam korytarzem, wybiegłam przez drzwi i wpadłam prosto w ramiona pana Rucastle, który czekał przed nimi. „A więc – powiedział z uśmiechem – to była pani. Tak właśnie pomyślałem, kiedy zobaczyłem otwarte drzwi”. „Och, tak się wystraszyłam!” – wydyszałam. „Droga młoda damo! Droga młoda damo! – Nie wyobraża pan sobie, jak pieszczotliwym i kojącym tonem mówił. – A co panią tak przestraszyło?” Mówił jednak zbyt przymilnie – trochę przesadził, zaczęłam więc mieć się na baczności. „Z głupoty zabrnęłam w puste skrzydło – odpowiedziałam – ale jest ono tak odludne i wygląda tak upiornie przy słabym świetle, że wystraszyłam się i wybiegłam. Och, tam jest tak okropnie cicho!”. „Tylko o to chodzi?” – spytał, uważnie mi się przyglądając. „A czego innego się pan spodziewał?” – odrzekłam. „Jak się pani wydaje, dlaczego zamykam te drzwi?” „Nie mam pojęcia”. „Robię to, by nie wchodziły tam osoby postronne, rozumie pani?” – mówiąc to, przez cały czas uroczo się uśmiechał. „Gdybym wiedziała…”. „Teraz już pani wie. I jeśli jeszcze raz przekroczy pani ten próg… – Tutaj jego uśmiech w jednej chwili zmienił się w grymas wściekłości i mój chlebodawca spojrzał na mnie z diaboliczną miną: – Rzucę panią mastiffowi”. Tak się przeraziłam, że nie wiem, co się działo dalej. Zapewne minęłam pana Rucastle i pobiegłam do swego pokoju. Nie pamiętam niczego więcej aż do chwili, gdy znalazłam się na swoim łóżku, dygocąc na całym ciele. Później pomyślałam o panu, panie Holmes. Nie

mogłabym mieszkać tam dłużej, nie zasięgnąwszy pańskiej rady. Boję się tego domu, mężczyzny, kobiety, służących, nawet dziecka. Oni mnie przerażają. Pomyślałam jednak, że jeśli zdołam sprowadzić pana, wszystko się ułoży. Rzecz jasna, mogłam stamtąd uciec, ale moja ciekawość niemal dorównuje lękowi. Szybko postanowiłam, że wyślę do pana telegram. Włożyłam kapelusz i płaszcz, poszłam na pocztę oddaloną od domu o około pół mili i wróciłam znacznie spokojniejsza. Kiedy zbliżałam się do drzwi, przestraszyłam się na myśl, że pies mógł zostać spuszczony z łańcucha. Jednakże przypomniałam sobie, iż tego wieczora Toller upił się do nieprzytomności, a tylko on jeden w całym domu miał nad tym dzikim stworem władzę i odważyłby się go wypuścić. Bezpiecznie wślizgnęłam się do domu i przez pół nocy nie spałam, ciesząc się ze spotkania z panem. Bez kłopotu otrzymałam wychodne na dzisiejszy ranek, by pojechać do Winchesteru. Muszę jednak wrócić przed trzecią, bo państwo Rucastle wyjeżdżają z wizytą i nie będzie ich przez cały wieczór, trzeba będzie zająć się dzieckiem. Panie Holmes, opowiedziałam panu o wszystkich moich przygodach, bardzo chciałabym wiedzieć, jak pan je wytłumaczy, a przede wszystkim, co powinnam teraz zrobić.

Obaj z Holmesem słuchaliśmy jak urzeczeni tej niezwykłej historii. Kiedy panna Hunter skończyła, mój przyjaciel wstał z miejsca i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju z rękami w kieszeniach i bardzo poważnym wyrazem twarzy.

– Czy Toller wciąż jest pijany? – spytał.

– Tak. Słyszałam, jak jego żona mówiła pani Rucastle, że do niczego się nie nadaje.

– Znakomicie. A państwo Rucastle wychodzą dziś wieczorem?

– Tak.

– Czy w domu znajduje się piwnica z porządnym, mocnym zamkiem?

– Tak. Piwniczka na wina.

– Panno Hunter, przez cały czas zachowywała się pani bardzo dzielnie i rozsądnie. Czy sądzi pani, że stać by ją było na jeszcze jeden wyczyn? Nie prosiłbym pani o to, gdybym nie uważał jej za wyjątkową kobietę.

– Zrobię, co w mojej mocy. O co chodzi?

– O siódmej przyjedziemy z przyjacielem do Buczyny. Państwa Rucastle o tej porze już nie będzie w domu, a mam nadzieję, że Toller nie wytrzeźwieje do tego czasu. Alarm mogłaby zatem wszcząć jedynie pani

Toller. Gdyby udało się pani wysłać ją po coś do piwnicy i zamknąć ją tam, bardzo ułatwiłaby nam pani działanie.

– Zrobię to.

– Znakomicie! Wówczas uda nam się bardziej szczegółowo zbadać tę sprawę. Rzecz jasna, istnieje tylko jedno możliwe wyjaśnienie. Została pani sprowadzona, by kogoś udawać, a osoba, o którą chodzi, jest więziona w zamkniętym pokoju. To oczywiste. Jeśli idzie o tożsamość więźnia, nie mam wątpliwości, że to córka pana domu, jeśli dobrze pamiętam, panna Alice Rucastle, która rzekomo wyjechała do Ameryki. Wybrano panią dlatego, bo ma ona podobny wzrost, figurę i kolor włosów. Włosy panny Alice zostały obcięte prawdopodobnie podczas jakiejś choroby, dlatego pani również musiała poświęcić swoje. Przypadkiem natrafiła pani na pukiel jej włosów. Mężczyzna przy drodze to bez wątpienia jej przyjaciel, zapewne narzeczony. Pani jest bardzo do niej podobna, miała pani na sobie suknię dziewczyny. Obserwował pani gesty, słyszał jej śmiech za każdym razem, gdy panią widział, wszystko to przekonało go, że panna Rucastle miewa się znakomicie i nie życzy już sobie jego awansów. Pies jest spuszczany na noc, by uniemożliwić młodemu człowiekowi skontaktowanie się z dziewczyną. To wszystko jest mniej więcej jasne. Najbardziej niepokojący w całej sprawie wydaje się charakter dziecka.

– Co, do licha, ma ono z tym wspólnego!? – wykrzyknąłem.

– Drogi Watsonie, jako lekarz sam często badasz cechy charakterystyczne dzieci, obserwując ich rodziców. Czy nie jest oczywistym, że można też wyciągnąć wnioski w odwrotną stronę? Często zdarzało mi się określić charakter rodziców, przyglądając się ich dzieciom. Ten malec jest niezwykle okrutny i czerpie ze swego okrucieństwa przyjemność. Niezależnie od tego czy przejął tę cechę, jak się spodziewam, po swym uśmiechniętym ojcu, czy po matce, źle to wróży dziewczynie, nad którą mają władzę.

– Jestem przekonana, że ma pan rację, panie Holmes! – wykrzyknęła nasza klientka. – Teraz przypominam sobie o tysiącu rzeczy, jakie dają mi pewność, że jest pan na właściwym tropie. Nie ma chwili do stracenia, trzeba pomóc temu biedactwu!

– Musimy działać ostrożnie, mamy bowiem do czynienia z bardzo przebiegłym człowiekiem. Wstrzymamy się do siódmej. O tej godzinie dołączymy do pani i szybko rozwikłamy zagadkę.

Dotrzymaliśmy słowa: punktualnie o siódmej dotarliśmy do Buczyny, zostawiwszy naszą dwukółkę w oberży przy drodze. Kępa drzew, których ciemne liście lśniły w świetle zachodzącego słońca jak wypolerowany metal, pozwoliłaby nam rozpoznać dom nawet wtedy, gdyby w progu nie stała uśmiechnięta panna Hunter.

– Udało się pani? – spytał Holmes.

Z dołu dobiegł głośny łomot.

– To pani Toller zamknięta w piwnicy – odpowiedziała kobieta. – Jej mąż chrapie na dywanie w kuchni. Oto jego klucze, duplikaty tych pana Rucastle.

– Znakomicie się pani spisała! – wykrzyknął Holmes z entuzjazmem. – Teraz proszę nas poprowadzić, a szybko położymy kres tej mrocznej sprawie.

Weszliśmy po schodach, otworzyliśmy drzwi, poszliśmy korytarzem i znaleźliśmy się przed tymi zaryglowanymi, które wcześniej opisała nam panna Hunter. Holmes przeciął sznur i zdjął pręt. Później próbował otworzyć zamek różnymi kluczami, lecz bez skutku. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk, więc kiedy Holmes to zauważył, zachmurzył się.

– Mam nadzieję, że się nie spóźniliśmy – powiedział. – Panno Hunter, sądzę, że lepiej będzie, jeśli wejdziemy do środka bez pani. Watsonie, użyjmy ramion, zobaczymy czy uda nam się utorować sobie drogę.

Stare, rozchwierutane drzwi od razu ustąpiły pod naporem naszych ciał. Wpadliśmy obaj do pokoju. Był prawie pusty. Leżał tam jedynie mały siennik oraz stały stolik i kosz z bielizną. Świetlik w dachu był otwarty, a uwięziona dziewczyna zniknęła.

– Tu zostało popełnione jakieś łotrostwo – stwierdził Holmes. – Ten człowiek odgadł zamiary panny Hunter i zabrał ze sobą swą ofiarę.

– Ale jak?

– Przez świetlik. Zaraz zobaczymy, w jaki sposób to zrobił – wyjaśnił, wślizgując się przez okno na dach. – Ach tak! – krzyknął. – O okap opiera się koniec długiej drabiny. Posłużył się tą drabiną.

– Ależ to niemożliwe! – stwierdziła panna Hunter. – Kiedy państwo Rucastle wyjeżdżali, drabiny jeszcze tam nie było.

– Widocznie wrócił, by zabrać córkę. Mówiłem, że to przebiegły i niebezpieczny człowiek. Nie zdziwiłbym się, gdyby się okazało, że to jego

kroki rozbrzmiewają w tej chwili na schodach. Watsonie, miej w pogotowiu swój pistolet.

Ledwie skończył mówić, kiedy w drzwiach stanął przysadzisty i bardzo tęgi mężczyzna. W dłoni dzierżył gruby kij. Na jego widok panna Hunter krzyknęła i skuliła się pod ścianą, a Sherlock Holmes skoczył do przodu, by stawić mu czoła.

– Ty łotrze! – krzyknął. – Gdzie twoja córka?

Grubas obrzucił wzrokiem pokój, a później otwarty świetlik.

– To ja powinienem was o to spytać! – wrzasnął. – Złodzieje! Szpiedzy i złodzieje! Mam was! Nie wymkniecie mi się! Już ja wam pokażę! – Odwrócił się na pięcie i najszybciej jak mógł, zbiegł po schodach.

– Poszedł spuścić psa! – wrzasnęła panna Hunter.

– Mam rewolwer – przypomniałem.

– Trzeba zamknąć frontowe drzwi! – wykrzyknął Holmes, więc wszyscy troje rzuciliśmy się biegiem na dół. Ledwie dotarliśmy do korytarza, kiedy usłyszeliśmy skowyt psa, a później krzyk bólu, okropny, przeraźliwy dźwięk, którego nie sposób było wytrzymać. Z bocznych drzwi wyszedł, zataczając się, starszy mężczyzna o czerwonej twarzy i drżących rękach i nogach.

– Boże drogi! – wykrzyknął. – Ktoś spuścił psa! Nie karmiłem go od dwóch dni! Szybko, zanim będzie za późno!

Wybiegliśmy z Holmesem z domu i skręciliśmy za róg, a Toller pośpieszył za nami. Olbrzymia, wygłodzona bestia zatopiła kły w gardle pana Rucastle, który wił się na ziemi, krzycząc. Podbiegając, wpakowałem kulę w łeb zwierzęcia, które padło na ziemię. Wielkie białe kły wciąż tkwiły w fałdach na szyi ofiary. Z wielkim trudem uwolniliśmy mężczyznę i zanieśliśmy go do domu. Żył, ale był straszliwie poszarpany. Położyliśmy rannego na kanapie w salonie, wysłaliśmy otrzeźwiałego tymczasem Tollera do pani Rucastle z wiadomością, a ja zrobiłem, co mogłem, by ulżyć cierpiącemu. Staliśmy tak wokół niego, kiedy drzwi się otworzyły i do pokoju weszła wysoka, wymizerowana kobieta.

– Pani Toller! – wykrzyknęła panna Hunter.

– Tak, panienko. Pan Rucastle wypuścił mnie, zanim pobiegł do państwa. Szkoda, że panienka nie zdradziła mi, co zamierza zrobić, od razu bym jej powiedziała, że to wszystko na nic.

– Ha! – zakrzyknął Holmes, uważnie się jej przyglądając. – Zdaje się, że pani Toller wie o całej sprawie więcej niż ktokolwiek inny.

– A i owszem, proszę pana – jestem gotowa opowiedzieć, co wiem.

– W takim razie proszę usiąść i wszystko nam wyjaśnić. Muszę przyznać, że wciąż nie rozumiem kilku kwestii.

– Zaraz wszystko panu wytłumaczę – odpowiedziała kobieta. – Zrobiłabym to już wcześniej, gdybym się mogła wydostać z piwnicy. Jeśli cała sprawa trafi do sądu, niech pan pamięta, że byłam przychylna panu, a wcześniej także panience Alice. Od czasu kiedy jej ojciec ponownie się ożenił, panienka nie była w domu szczęśliwa. Pomiatano nią jak nie wiem co, nie miała nic do powiedzenia, ale naprawdę zrobiło się źle, gdy u jednego z przyjaciół poznała pana Fowlera. Z tego co wiem, panience Alice coś się należało na mocy testamentu, ale ona, taka cicha i cierpliwa, nigdy nie powiedziała słowa na ten temat i pozwoliła panu Rucastle decydować o wszystkim. Wiedział, że może z nią robić, co chce, ale gdyby pojawił się mąż, to jak nic zacząłby dochodzić swoich praw. Ojciec panienki postanowił temu zapobiec. Chciał, żeby podpisała papier, który dawał mu możność rozporządzania jej pieniędzmi w każdej sytuacji – czy będzie zamężna, czy nie. Nie zgodziła się na to, więc naprzykrzał się jej, aż dostała zapalenia mózgu i przez sześć tygodni była o krok od śmierci. W końcu wyzdrowiała, ale była bardzo wymizerowana; trzeba było obciąć jej piękne włosy. Nie zmieniło to jednak uczuć młodego człowieka, był jej wierny jak tylko może być zakochany mężczyzna.

– Ach tak – stwierdził Holmes – sądzę, że to, co była pani uprzejma nam powiedzieć, wyjaśnia sprawę. Całą resztę jestem w stanie wydedukować. Pan Rucastle uwięził dziewczynę?

– Tak, proszę pana.

– I sprowadził z Londynu pannę Hunter, by pozbyć się niepożądanego pana Fowlera?

– Zgadza się, proszę pana.

– Fowler był jednak, jak każdy dobry żeglarz, upartym mężczyzną. Dostał się do domu, spotkał się z panią i za pomocą argumentów, zapewne brzęczących, przekonał ją, by została pani jego wspólniczką.

– Pan Fowler to bardzo grzeczny i hojny dżentelmen – spokojnie odpowiedziała pani Toller.

– I dzięki temu pani zacny mąż mógł napić się do woli, a po wyjeździe pani chlebodawcy drabina czekała w pogotowiu.

– Tak właśnie było, proszę pana.

– Bez wątpienia jesteśmy pani winni przeprosiny, pani Toller – stwierdził Holmes – gdyż wyjaśniła pani wszelkie nasze wątpliwości. Nadchodzą pani Rucastle i miejscowy chirurg, myślę Watsonie, że najlepiej zrobimy, gdy odwieziemy pannę Hunter do Winchesteru, wątpię bowiem, czy możemy mieć coś do powiedzenia w tej sprawie.

Tak oto została rozwiązana zagadka strasznego domu, przed którego drzwiami rosły buki. Pan Rucastle przeżył, załamał się jednak i przy życiu utrzymuje go jedynie żona, która opiekuje się nim z wielkim oddaniem. Wciąż mieszkają ze starymi sługami, którzy wiedzą zbyt dużo o przeszłości swego chlebodawcy, by ten mógł się z nimi łatwo rozstać. Pan Fowler i panna Rucastle wzięli, na mocy specjalnego pozwolenia, ślub w Southampton w dzień po ucieczce. Pan Fowler pracuje obecnie jako urzędnik państwowy na wyspie Mauritius. Jeśli chodzi o pannę Violet Hunter, mój przyjaciel Holmes nie wykazał, ku memu niemałemu rozczarowaniu, dalszego zainteresowania jej losem po tym, jak przestała być podmiotem prowadzonej przez niego sprawy. Obecnie panna Hunter kieruje prywatną szkołą w Walsall, z tego co mi wiadomo, z dużym powodzeniem.

DZIENNIKI SHERLOCKA HOLMESA

Z angielskiego przełożyli: Anna Krochmal i Robert Kędzierski

Rozdział pierwszy

Srebrna Gwiazda

– Obawiam się, Watsonie, że będę musiał wyjechać – rzekł Holmes pewnego ranka, gdy siedzieliśmy razem przy śniadaniu.

– Wyjechać?! Dokąd?

– Do Dartmoor, do King’s Pyland.

Nie byłem tym specjalnie zaskoczony. Tak naprawdę zastanawiałem się nawet, dlaczego do tej pory nie zaangażował się w tę niezwykłą sprawę, o której wszyscy mówili jak Anglia długa i szeroka. Przez cały dzień mój towarzysz chodził po pokoju z opuszczoną głową i ze zmarszczonymi brwiami, wciąż nabijając swoją fajkę bardzo mocnym czarnym tytoniem i całkowicie ignorując jakiekolwiek pytania czy uwagi z mojej strony. Pospiesznie przeglądał najnowsze wydania każdej gazety dostarczonej nam tego ranka do domu i zaraz potem rzucał je w róg pokoju. Pomimo że w ogóle się nie odzywał, doskonale wiedziałem, o czym tak duma. Opinię publiczną zaprzątał tylko jeden problem, który mógłby stanowić wyzwanie dla mocy jego analitycznego umysłu. Było to przedziwne zniknięcie faworytki wyścigu o Puchar Wessex i tragiczna śmierć jej trenera. Gdy więc Holmes nagle ogłosił, że zamierza udać się na miejsce, w którym rozegrał się ten dramat, było to coś, czego się spodziewałem i na co tak naprawdę liczyłem.

– Bardzo bym się ucieszył, gdybym mógł pojechać tam z tobą – powiedziałem. – Oczywiście, o ile nie będę ci przeszkadzał.

– Mój drogi Watsonie, jadąc ze mną, wyświadczyłbyś mi ogromną przysługę. Sądzę, że nie uznasz tego czasu za stracony, ponieważ pewne aspekty tej sprawy świadczą o tym, iż może się ona okazać absolutnie wyjątkowa. Myślę, że zdążymy jeszcze złapać pociąg z Paddington,

a podczas podróży jeszcze raz przemyślę tę sprawę. Byłbym ci także bardzo wdzięczny, gdybyś zabrał ze sobą swoją doskonałą lornetkę.

Tym oto sposobem mniej więcej godzinę później siedziałem w kącie przedziału wagonu pierwszej klasy, w pociągu jadącym do Exeter, podczas gdy Sherlock Holmes ze swą skupioną bystrą twarzą, wyglądającą spod podróżnej czapki z nausznikami, pospiesznie przeglądał stos najnowszych gazet kupionych w Paddington. Gdy w końcu cisnął ostatnią z nich pod siedzenie i poczęstował mnie cygarem, Reading było już daleko za nami.

– Szybko jedziemy – powiedział, wyglądając przez okno i zerkając na zegarek. – Obecnie poruszamy się z prędkością pięćdziesięciu trzech i pół mili na godzinę.

– Nie przyglądałem się ćwierćmilowym słupkom.

– Ja również nie, jednak słupy telegraficzne na tej linii stoją co sześćdziesiąt jardów, więc obliczenie tego było proste. Zakładam, że interesowałeś się już sprawą Johna Strakera i zniknięciem Srebrnej Gwiazdy?

– Wiem, co pisano o tym w „Telegraph” i „Chronicle”.

– To jedna z takich spraw, gdzie sztukę logicznego myślenia powinno się raczej wykorzystać do właściwego przesiania znanych już szczegółów, zamiast do skupiania się na szukaniu nowych dowodów. Ta tragedia była tak niezwykła, tak znacząca i dotknęła osobiście tak wiele osób, że spowodowała powstanie ogromnej ilości domysłów, przypuszczeń i hipotez. Trudność polega na tym, by oddzielić fakty, absolutnie niezaprzeczalne fakty, od wszelkich ozdobników dodanych przez teoretyków i reporterów. Później, kiedy już ustalimy te podstawowe zdarzenia, naszym obowiązkiem będzie sprawdzenie, co możemy z nich wywnioskować. Musimy też poznać różne aspekty, będące otoczką tej tajemnicy. We wtorek wieczorem dostałem dwa telegramy. Jeden od pułkownika Rossa, właściciela konia, a drugi od inspektora Gregory, który zajmuje się sprawą. Obaj poprosili mnie o współpracę.

– We wtorek wieczorem! – zawołałem. – Ale przecież dziś mamy czwartek rano! Czemu nie pojechałeś tam wczoraj?

– Ponieważ popełniłem błąd, mój drogi Watsonie, co zresztą, jak się obawiam, zdarza się znacznie częściej, niż mógłby pomyśleć ktoś, kto zna mnie tylko z twoich dzienników. Pozostaje faktem, że nie byłem w stanie uwierzyć, iż to możliwe, by najlepszy koń w Anglii mógł tak długo

pozostawać w ukryciu, a zwłaszcza w tak słabo zaludnionym miejscu, jak północ Dartmoor. Wczoraj jeszcze sądziłem, że koń szybko zostanie odnaleziony i że człowiek, który go uprowadził, okaże się równocześnie zabójcą Johna Strakera. Jednakże gdy nadszedł kolejny ranek, a ja przekonałem się, że oprócz aresztowania młodego Fitzroya Simpsona nic w tej sprawie nie zrobiono, poczułem, że nadszedł czas, bym zaczął działać. W pewnym sensie wydaje mi się jednak, że wczorajszy dzień wcale nie poszedł na marne.

– A więc masz już jakąś teorię?

– Mam już przynajmniej pewne pojęcie o podstawowych faktach związanych z tą sprawą. Pozwól, że ci je wyliczę, bo chyba nie ma lepszego sposobu, aby uzmysłowić sobie całą sprawę, niż opowiedzieć ją komuś innemu. A poza tym jak mógłbym liczyć na twoją współpracę, gdybym nie wyjaśnił ci, w jakim momencie angażujemy się w to wszystko?

Oparłem się wygodnie w fotelu, pykając cygaro, podczas gdy Holmes pochylony do przodu, odhaczając każdy kolejny punkt swoim długim, chudym palcem, przedstawił mi zarys wydarzeń, jakie doprowadziły do naszej podróży.

– Srebrna Gwiazda – powiedział – pochodzi od Somomy, a jej osiągnięcia sportowe są tak znaczne, jak jej znakomitego przodka. Teraz ma pięć lat i zdobyła po kolei wszystkie możliwe nagrody dla swojego szczęśliwego właściciela, pułkownika Rossa. Aż do czasu tej tragedii była główną faworytką wyścigów o Puchar Wessex, i obstawiano ją trzy do jednego. Jak dotąd zawsze była ulubienicą publiczności i nigdy jeszcze jej nie zawiodła, tak więc nawet przy takich notowaniach stawiano na nią ogromne sumy. Nic więc dziwnego, że było wiele osób, które zrobiłyby dużo, by nie dopuścić, żeby Srebrna Gwiazda była tam w przyszły wtorek, gdy bomba pójdzie w górę.

Oczywiście w King’s Pyland, gdzie znajduje się stajnia treningowa pułkownika, liczono się z tym. Podjęto wszelkie możliwe środki ostrożności, by strzec faworytki. Jej trener John Straker był kiedyś dżokejem, który jeździł pięć lat w barwach stajni pułkownika Rossa, a później, gdy stał się na to za ciężki, przez siedem lat pracował u niego jako trener; okazał się ambitnym i uczciwym pracownikiem. Straker miał trzech podwładnych, stajennych. Więcej ludzi nie było potrzebnych, ponieważ ta mała stadnina posiadała tylko cztery konie. Jeden z chłopaków

przez całą noc pozostawał w stajni, podczas gdy inni spali w swoich pokojach na strychu. Wszyscy trzej byli porządnymi, uczciwymi pracownikami. John Straker mieszkał ze swoją żoną w niewielkiej willi, położonej jakieś dwieście metrów od stajni. Nie miał dzieci, był dobrze sytuowany, a dom prowadziła mu gosposia. Okolica jest bardzo słabo zaludniona, jednakże mniej więcej pół mili na północ znajduje się małe skupisko domów zbudowanych przez przedsiębiorcę z Tavistock, z myślą o inwalidach i wszystkich tych, którzy chcieliby oddychać czystym powietrzem Dartmoor. Samo Tavistock leży dwie mile dalej na zachód, podczas gdy również w odległości jakichś dwóch mil, na przełaj przez wrzosowisko, znajduje się inna, większa stajnia treningowa Mapleton, należąca do lorda Backwatera i zarządzana przez Silasa Browna. We wszystkich innych kierunkach całe wrzosowisko to jedno wielkie pustkowie, zamieszkiwane wyłącznie przez garstkę wędrownych Cyganów. Taki był ogólny obraz sytuacji w ubiegły poniedziałek wieczorem, gdy doszło do opisywanych wypadków.

Tamtego wieczoru jak zwykle przeprowadzono trening, następnie napojono konie i o dziewiątej zamknięto stajnię. Dwaj stajenni udali się do domu trenera, gdzie w kuchni zjedli kolację, natomiast trzeci, Ned Hunter, pozostał na straży. Kilka minut po dziewiątej pokojówka Edith Baxter zaniosła mu do stajni kolację składającą się z baraniny przyprawionej curry. Nie przyniosła nic do picia, ponieważ w stajni była woda, a obowiązująca zasada zabraniała stajennemu pełniącemu wartę picie innych płynów poza wodą. Dziewczyna oświetlała sobie drogę latarnią, ponieważ było bardzo ciemno, a ścieżka biegła przez wrzosowisko.

Edith Baxter znajdowała się trzydzieści jardów od stajni, gdy nagle z ciemności wyłonił się jakiś mężczyzna i krzyknął do niej, by się zatrzymała. Gdy znalazł się w kręgu żółtego światła rzucanego przez jej latarnię, spostrzegła, że wyglądał na dżentelmena. Ubrany był w szary, tweedowy garnitur i czapkę. Miał na sobie getry i nosił ciężką laskę z gałką. Największe wrażenie zrobiły jednak na Edith jego straszliwa bladość i nerwowe zachowanie. Według niej wyglądał na trzydzieści parę lat.

– Może pani mi powiedzieć, gdzie jestem? – spytał. – Już niemal byłem przekonany, że przyjdzie mi spędzić noc na wrzosowisku, gdy ujrzałem światło pani latarni.

– Jest pan w pobliżu stajni treningowych King’s Pyland – odrzekła.

– Och! Doprawdy? Co za szczęście! – zawołał. – Rozumiem, że stajenny śpi tam co noc, sam? I pewnie niesie mu pani właśnie kolację? Jestem przekonany, że nie jest pani zbyt dumna, by nie zgodzić się na łatwy zarobek, prawda?

Wyjął z kieszeni kamizelki arkusik białego złożonego papieru.

– Proszę tylko dopilnować, żeby chłopak to dzisiaj dostał, a będzie pani miała najpiękniejszą suknię na świecie!

Pokojówka była przerażona jego bezczelnością i natarczywością, pobiegła więc prosto do okna, przez które zazwyczaj podawała posiłki. Było już otwarte, a Hunter siedział w środku przy małym stoliku. Zaczęła mu opowiadać o tym, co się wydarzyło, gdy nagle nieznajomy znowu się pojawił.

– Dobry wieczór – powiedział, zaglądając przez okno. – Chciałbym zamienić z tobą słowo.

Dziewczyna przysięgała potem, że kiedy to mówił, z jego dłoni wystawała mała papierowa paczuszka.

– Czego pan tu szuka? – spytał stajenny.

– Czegoś, dzięki czemu możesz zarobić – odparł ten drugi. – Dwa wasze konie startują w Pucharze Wessex – Srebrna Gwiazda i Bayard. Odpowiedz po prostu na moje pytanie, a nie pożałujesz. Czy to prawda, że Bayard mógłby z łatwością wyprzedzić Srebrną Gwiazdę o pięćset jardów na dystansie pięciu furlongów i że stajnia postawiła na niego pieniądze?

– A więc jesteś jednym z tych cholernych krętaczy, sprzedających innym swe typy! – zawołał stajenny. – Pokażę ci, jak ich traktujemy tutaj, w King’s Pyland! – Zerwał się i pobiegł pędem przez stajnię, żeby spuścić psa. Dziewczyna zaczęła uciekać w kierunku domu; biegnąc, odwróciła się jednak i zobaczyła, że nieznajomy przechyla się przez okno. Minutę później, gdy Hunter wrócił z psem, przybysz zdążył już zniknąć, i choć stajenny obiegł wszystkie budynki, nie znalazł żadnego śladu jego obecności.

– Chwileczkę – przerwałem. – Czy kiedy stajenny wybiegł z psem, nie zamknął za sobą drzwi stajni?

– Doskonale, Watsonie. Doskonale! – zamruczał z zadowoleniem mój towarzysz. – Kwestia ta wydała mi się tak ważna, że wczoraj wysłałem telegram do Dartmoor, aby to wyjaśnić. Zanim chłopak wyszedł, zamknął

drzwi na klucz. Dodam jeszcze, że okno było za małe, aby mógł przecisnąć się przez nie człowiek.

Hunter poczekał na powrót pozostałych stajennych, a następnie wysłał do trenera wiadomość, informując go o tym, co się wydarzyło. Straker był podenerwowany, gdy usłyszał tę relację, wydaje się jednak, że nie zdawał sobie sprawy z jej prawdziwego znaczenia. Musiała jednak zasiać w jego umyśle niepokój, bo gdy pani Straker przebudziła się o pierwszej w nocy, odkryła, że jej mąż się ubiera. Odpowiadając na jej pytania, odparł, że nie może spać, bo niepokoi się o konie, i zamierza przejść się do stajni, aby się przekonać, czy wszystko jest w porządku. Słysząc, jak deszcz zacina, żona błagała go, żeby został w domu, jednak mimo jej próśb założył długi płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedł.

Gdy pani Straker obudziła się o siódmej rano, odkryła, że jej mąż jeszcze nie wrócił. Ubrała się pospiesznie, zawołała pokojówkę i ruszyła do stajni. Drzwi były otwarte; w środku siedział skulony na krześle Hunter w stanie całkowitego otępienia. Boks Srebrnej Gwiazdy był pusty, i nigdzie nie było widać trenera.

Dwóch stajennych spało na strychu na sianie, nad siodlarnią. Szybko ich obudzono. W nocy niczego nie słyszeli, bo obaj mają bardzo mocny sen. Hunter był najwyraźniej pod wpływem jakiegoś silnego narkotyku, i nie dało się nic z niego wydobyć, pozostawiono go więc, aby doszedł do siebie.

Obaj stajenni, pani Straker i pokojówka pobiegli szukać konia i trenera. Nadal jeszcze liczyli na to, że trener z jakiegoś powodu zabrał konia na poranne ćwiczenia, jednak gdy weszli na pagórek w pobliżu domu, z którego widać rozpościerające się wokół wrzosowisk, nie tylko nie ujrzeli śladów zaginionego konia, lecz spostrzegli coś, co mogło świadczyć, że doszło do tragedii.

Jakieś ćwierć mili od stajni, na krzaku kolcolistu, powiewał płaszcz Johna Strakera. Tuż obok było zagłębienie w kształcie niecki, na którego dnie odnaleziono ciało nieszczęsnego trenera. Głowę miał roztrzaskaną potężnym ciosem, zadanym jakimś ciężkim przedmiotem. Miał także ranę na udzie w postaci długiego cięcia, zadanego jakimś bardzo ostrym narzędziem. Było oczywiste, że Straker usilnie bronił się przed napastnikami, ponieważ w prawej ręce trzymał mały nóż, pokryty aż po rękojeść zakrzepłą krwią, w lewej natomiast ściskał czerwono-czarną jedwabną apaszkę. Pokojówka rozpoznała ją jako własność nieznajomego,

spotkanego przez nią ubiegłego wieczoru na drodze do stajni. Hunter, gdy już doszedł do siebie, potwierdził, do kogo należała chustka. Był również pewien, że to ten sam nieznajomy – stojąc przy oknie – dodał do jego baraniny jakiegoś narkotyku, pozbawiając w ten sposób stajnię ochrony. Jeśli zaś chodzi o zaginionego konia, w błocie, w zagłębieniu niecki, znaleziono mnóstwo dowodów świadczących o tym, że koń był tam, gdy doszło do walki. Niestety, ślad po koniu zaginął, i choć wyznaczono ogromną nagrodę, a wszyscy Cyganie z Dartmoor też go szukali, nie uzyskano jak dotąd żadnych wieści na jego temat. Przeprowadzona analiza wykazała, że resztki kolacji Huntera zawierały znaczne ilości sproszkowanego opium. Wszystkie inne osoby, które tego samego wieczoru jadły na kolację tę samą baraninę, nie odczuły żadnych negatywnych skutków.

To są najistotniejsze fakty związane ze sprawą. Nie zawierają żadnych przypuszczeń i domysłów, przedstawiłem je w możliwie najjaśniejszy sposób. Teraz podsumuję wszystko, czego do tej pory dokonała policja.

Inspektor Gregory, któremu powierzono tę sprawę, jest niezwykle kompetentnym człowiekiem. Gdyby tylko został obdarzony przez naturę odrobiną wyobraźni, mógłby w swoim zawodzie naprawdę wiele osiągnąć. Natychmiast po przyjeździe odnalazł i aresztował człowieka, na którego w oczywisty sposób padły podejrzenia. Odszukanie go nie stanowiło zresztą trudności, ponieważ mieszka w jednym z tych domów, o których ci wspominałem. Nazywa się Fitzroy Simpson. To wysoko urodzony i wykształcony człowiek, który przepuścił całą swą fortunę na wyścigach. Żył teraz spokojnie i uczciwie, pracując jako bukmacher w klubach sportowych Londynu.

Przeanalizowanie jego dziennika z zakładami wykazało, że odnotował w nim kwotę pięciu tysięcy funtów, jaką postawił przeciwko faworytowi. Gdy Simpson został aresztowany, przyznał z własnej woli, że przybył do Dartmoor w nadziei uzyskania informacji dotyczących koni z King’s Pyland, a także czegoś na temat Desborough, innego faworyta ze stajni Mapleton zarządzanej przez Silasa Browna. Nie próbował zaprzeczać, że ubiegłego wieczoru wybrał się do King’s Pyland, oświadczył jednak, że nie miał żadnych złych zamiarów, a pragnął jedynie uzyskać wiadomości z pierwszej ręki. Gdy pokazano mu jego apaszkę, nagle zbladł i kompletnie nie był w stanie wyjaś-nić faktu, dlaczego znaleziono ją w dłoni

zamordowanego człowieka. Mokre ubrania Fitzroya Simpsona świadczyły o tym, że ubiegłej nocy był podczas burzy poza domem, a jego obciążona ołowiem laska mogła być narzędziem, którym zadano okropne rany trenerowi. Musiałby przy tym uderzyć go wielokrotnie. Z drugiej strony na jego ciele nie stwierdzono żadnych ran, choć nóż Strakera świadczył o tym, że przynajmniej na jednym z napastników powinny być widoczne ślady walki.

W tych paru słowach przedstawiłem ci całą sprawę, Watsonie, i teraz byłbym ci niezwykle wdzięczny, gdybyś pomógł mi rzucić na nią światło.

Słuchałem z wielkim zainteresowaniem tej relacji, którą Holmes przedstawił mi z tak charakterystyczną dla siebie precyzją. Choć już wcześniej znałem większość tych faktów, nie byłem do końca świadom ich rzeczywistego znaczenia ani zachodzących pomiędzy nimi związków.

– Czy jest możliwe – zasugerowałem – że rana cięta, jaką znaleziono na ciele Strakera, została zadana jego własnym nożem podczas konwulsyjnych drgawek, jakie mogły nastąpić wskutek obrażeń mózgu?

– To więcej niż możliwe, to nawet bardzo prawdopodobne – odparł Holmes. – W tym przypadku znika jeden z głównych dowodów świadczących na korzyść oskarżonego.

– A jednak – powiedziałem – nawet teraz nie rozumiem, jaką hipotezę mogła przyjąć policja.

– Obawiam się, że niezależnie od tego, jaką wysnujemy teorię, będzie się ona wiązała z bardzo poważnymi zastrzeżeniami – odparł mój towarzysz. – Jak zakładam, policja sądzi, że ten Fitzroy Simpson odurzył chłopaka i, za pomocą uzyskanego jakimś sposobem duplikatu klucza, otworzył drzwi stajni i wyprowadził konia najwyraźniej z zamiarem jego uprowadzenia. Brakuje uzdy; Simpson musiał mu ją założyć, po czym, pozostawiwszy otwarte drzwi, wyprowadził konia na wrzosowisko, a wtedy spotkał go lub dogonił trener. Oczywiście doszło do walki. Simpson roztrzaskał trenerowi czaszkę swoją ciężką laską, przy czym ani razu nie został draśnięty niewielkim nożem użytym przez Strakera w samoobronie. Następnie złodziej zaprowadził konia do jakiejś tajemnej kryjówki. Inna teoria jest taka, że przerażony koń wyrwał się podczas walki i teraz wędruje gdzieś po wrzosowiskach. Tak na tę sprawę zapatruje się policja, i choć historia brzmi dość nieprawdopodobnie, wszelkie inne wyjaśnienia wydają się jeszcze mniej wiarygodne. Zamierzam jednak bardzo szybko

to sprawdzić, gdy już będę na miejscu. Nie sądzę bowiem, abyśmy mogli zajść dalej, dysponując tylko tym, co wiemy teraz.

Nim dotarliśmy do Tavistock, małego miasteczka leżącego niczym umbo tarczy w samym środku olbrzymiego kręgu Dartmoor, zapadł już wieczór. Na stacji czekało na nas dwóch dżentelmenów. Jeden z nich był wysokim, przystojnym mężczyzną o włosach i brodzie przypominających lwią grzywę oraz przenikliwych, ciekawych jasnoniebieskich oczach. Drugi, sprawiający wrażenie czujnego, był niski, bardzo elegancki i wytworny, odziany we frak i w getry. Miał przystrzyżone bokobrody i monokl. Jak się okazało, tym drugim był pułkownik Ross, znany miłośnik sportu. Pierwszy zaś okazał się inspektorem Gregorym, człowiekiem, który robił błyskotliwą karierę w angielskiej policji.

– Bardzo się cieszę, panie Holmes, że pan przybył – powiedział pułkownik. – Obecny tu inspektor zrobił wszystko co możliwe, mimo to chciałbym zajrzeć pod każdy kamień, żeby pomścić biednego Strakera i odzyskać mojego konia.

– Wydarzyło się coś nowego? – spytał Holmes.

– Z przykrością muszę przyznać, że poczyniliśmy bardzo niewielkie postępy – odrzekł inspektor. – Na zewnątrz czeka na nas powóz, ponieważ bez wątpienia będzie pan chciał obejrzeć miejsce zbrodni, zanim zapadnie zmrok. Możemy porozmawiać o sprawie po drodze.

Po chwili siedzieliśmy w wygodnym powozie toczącym się przez stare, urocze miasteczko w Devonshire. Inspektor Gregory świetnie się orientował w całej sprawie i zarzucał nas powodzią swoich uwag; Holmes od czasu do czasu wtrącał jakieś pytanie czy uwagę. Pułkownik Ross siedział oparty, z założonymi rękoma i kapeluszem zsuniętym na oczy, ja zaś z zainteresowaniem przysłuchiwałem się rozmowie detektywa z inspektorem. Gregory przedstawiał swoją teorię, która była niemal dokładnie taka sama, jak opisał to w pociągu mój przyjaciel.

– Wokół Fitzroya Simpsona zaciska się sieć – zauważył – i jestem przekonany, że jest to właśnie poszukiwany przez nas człowiek. Z drugiej strony, przyznaję, mamy tylko poszlaki, i nowy rozwój wydarzeń może je łatwo obalić.

– Co z nożem Strakera?

– Doszliśmy do wniosku, że musiał zranić się sam podczas upadku.

– Gdy jechaliśmy tutaj, to samo zasugerował mój przyjaciel, doktor Watson. Jeśli rzeczywiście tak było, świadczy to przeciwko Simpsonowi.

– Niewątpliwie. Nie znaleźliśmy u niego żadnego noża, a na jego ciele nie było ani śladu rany. Obciążające go jednak dowody są bez wątpienia bardzo mocne. Zainteresowany był tym, żeby ten koń zniknął. Podejrzewamy go, że dodał do posiłku stajennego narkotyk, z całą pewnością był na zewnątrz podczas burzy, miał przy sobie ciężką laskę, a jego chustkę znaleziono w dłoni zmarłego. Doprawdy sądzę, że mamy wystarczającą ilość dowodów, by udać się z tym do sądu.

Holmes potrząsnął przecząco głową.

– Bystry prawnik rozniesie to na strzępy – powiedział. – Czemu Simpson miałby wyprowadzać konia ze stajni? Skoro chciał go zranić, równie dobrze mógł to zrobić tam. Czy znaleziono u niego duplikat klucza? Która apteka sprzedała mu opium w proszku? A przede wszystkim, gdzie on, człowiek obcy w tej okolicy, mógłby ukryć konia, i to takiego rumaka jak ten? I jak on sam wyjaśnia fakt, że chciał dać stajennemu jakiś papier ?

– Twierdzi, że był to dziesięciofuntowy banknot. Znaleziono taki w jego portfelu. Jednak inne problemy, o których pan wspomniał, nie są tak poważne, jak mogłoby się wydawać. Simpson nie jest całkowicie obcy w tej okolicy. W lecie dwa razy przebywał w Tavistock. Opium prawdopodobnie przywiózł z Londynu. Mógł też wyrzucić klucz, kiedy już otworzył drzwi. A koń może leżeć na dnie jednego z szybów starych kopalni.

– Co mówi na temat chusty?

– Przyznaje, że należała do niego, i twierdzi, że ją zgubił. W sprawie pojawił się jednak nowy element, który może tłumaczyć, dlaczego wyprowadził konia ze stajni.

Holmes nadstawił ucha.

– Znaleźliśmy ślady świadczące o tym, że w poniedziałkową noc grupa Cyganów obozowała niecałą milę od miejsca, w którym doszło do morderstwa. We wtorek Cyganie zniknęli. Tak więc możemy założyć, że Simpson, zanim został odszukany, prowadził konia do nich, i to oni mogą go mieć w tej chwili.

– To z całą pewnością jest możliwe.

– Przeczesujemy wrzosowisko w poszukiwaniu tych Cyganów. Przeszukałem też każdą stajnię i każdy budynek gospodarczy w Tavistock

oraz w promieniu dziesięciu mil od miasta.

– Rozumiem, że w pobliżu jest jeszcze jedna stajnia treningowa?

– Tak, i jest to ślad, którego nie możemy zaniedbać. Desborough, koń z tej stajni, był drugi w zakładach, mieli więc swój interes w zniknięciu faworyta. Silas Brown, trener, postawił dużą sumę w tych zawodach i bynajmniej nie był przyjacielem biednego Strakera. Przeszukaliśmy jednak stajnie i nie znaleźliśmy niczego, co mogłoby go łączyć z tą sprawą.

– I nic, co mogłoby łączyć Simpsona z interesami stajni Mapleton?

– Zupełnie nic.

Holmes rozparł się wygodnie w powozie, i rozmowa ucichła. Kilka minut później nasz woźnica zatrzymał się przy niewielkiej ładnej willi z czerwonej cegły i z szerokimi okapami, stojącej tuż przy drodze. Trochę dalej, za padokiem, znajdował się długi budynek gospodarczy pokryty szarą dachówką. We wszystkich innych kierunkach niskie zarośla wrzosowiska, rdzawe od liści schnących paproci, sięgały aż po horyzont. Odcinały się od nich tylko iglice Tavistock oraz grupka domów stojących dalej na zachód, tam, gdzie mieściły się stajnie Mapleton. Wysiedliśmy wszyscy oprócz Holmesa, który pozostał w powozie, z oczyma utkwionymi w niebo. Wyglądał na całkowicie zatopionego w swoich myślach. Dopiero gdy dotknąłem jego ramienia, wzdrygnął się i wysiadł.

– Przepraszam – powiedział, zwracając się do pułkownika Rossa, który spojrzał na niego zaskoczony. – Zamyśliłem się.

W jego oczach dostrzegłem jednak dobrze mi znany błysk i tłumione podniecenie, które przekonało mnie, że wpadł na jakiś trop, choć nie miałem pojęcia, jak tego dokonał.

– Może chciałby pan od razu przejść na miejsce zbrodni, panie Holmes? – spytał Gregory.

– Wolałbym raczej zostać tutaj przez chwilę i zająć się szczegółowo kilkoma sprawami. Zakładam, że Strakera przeniesiono tutaj, prawda?

– Tak, leży na górze. Na jutro planowane są oględziny zwłok.

– Od dawna dla pana pracował, pułkowniku?

– Tak. Zawsze uważałem go za wspaniałego pracownika.

– Jak sądzę, sporządził pan, inspektorze, listę przedmiotów, które miał w kieszeniach w chwili śmierci?

– Mamy wszystkie te rzeczy w salonie, jeżeli zechciałby pan rzucić na nie okiem.

– Bardzo chętnie.

Weszliśmy razem do salonu i usiedliśmy przy stojącym pośrodku stole. Inspektor otworzył kwadratowe blaszane pudełko i ułożył przed nami niewielką stertę przedmiotów. Były wśród nich: pudełko zapałek, dwa cale łojowej świecy, fajka z korzenia wrzośca, sakiewka z foczej skóry, jakieś pół uncji ciętego tytoniu Cavendish, srebrny zegarek ze złotym łańcuszkiem i pięć suwerenów w złocie. Oprócz tego aluminiowy futerał na ołówek, kilka papierów oraz nóż z rękojeścią z kości słoniowej z niezwykle delikatnym sztywnym ostrzem, na którym widniał znak Weiss & Co., Londyn.

– To bardzo dziwny nóż – powiedział Holmes, podnosząc go i dokładnie mu się przyglądając. – Sądząc po tych plamach krwi, to właśnie tę broń zaciskał w ręku zmarły. Watsonie, to z pewnością nóż używany przez lekarzy?

– Cóż, to nóż chirurgiczny – odrzekłem.

– Tak właśnie sądziłem. Bardzo delikatne ostrze, zaprojektowane do niezwykle finezyjnej pracy. To jeden z dziwniejszych przedmiotów, jakie mógłby zabrać ze sobą mężczyzna, wychodząc na wrzosowisko, zwłaszcza że nie można go złożyć, by schować do kieszeni.

– Koniec ostrza był zabezpieczony osłoną z korka, którą znaleźliśmy przy ciele – powiedział inspektor. – Jego żona mówiła nam, że ten nóż leżał na toaletce i że Straker wziął go, wychodząc z pokoju. Kiepska to broń, ale być może najlepsza, jaką był w stanie znaleźć w tamtej chwili.

– Bardzo możliwe. A te papiery?

– Trzy z nich to pokwitowania za siano. Kolejny to list z instrukcjami od pułkownika Rossa. Ten natomiast to rachunek od krawcowej, wystawiony przez *madame* Lesurier z Bond Street dla Williama Derbyshire. Pani Straker powiedziała nam, że Derbyshire był przyjacielem jej męża i że czasami przychodziły tutaj listy zaadresowane do niego.

– *Madame* Derbyshire ma dość kosztowne zachcianki – zauważył Holmes, zerkając na rachunek. – Dwadzieścia dwie gwinee za jedną suknię to ogromny wydatek. Odnoszę jednak wrażenie, że niczego więcej już się z tego nie dowiemy. Możemy teraz przejść na miejsce zbrodni.

Gdy wyszliśmy z salonu, kobieta czekająca w korytarzu poderwała się i chwyciła inspektora za rękaw. Jej twarz była chuda, wynędzniała, lecz podniecona, i nosiła ślady ostatnich ciężkich przejść.

– Schwytał ich pan? Znalazł ich pan już? – wyrzuciła z siebie.

– Nie, pani Straker. Ale pan Sherlock Holmes przyjechał tutaj z Londynu, żeby nam w tym pomóc, i zapewniam panią, że zrobimy wszystko co w naszej mocy.

– Jestem niemal pewien, że spotkałem panią jakiś czas temu w Plymouth, na przyjęciu w ogrodzie, prawda, pani Straker? – zapytał Holmes.

– Nie, sir. Myli się pan.

– Coś podobnego! Cóż, mógłbym przysiąc, że tak było. Miała pani na sobie szary jedwabny kostium ze strusimi piórami.

– Nigdy nie miałam takiej sukni, sir – odpowiedziała kobieta.

– Ach, to rozwiązuje sprawę – powiedział Holmes. Przeprosił ją i wyszedł na zewnątrz za inspektorem.

Po krótkim spacerze przez wrzosowisko dotarliśmy do zagłębienia, w którym znaleziono ciało. Przy krawędzi rósł krzak kolcolistu, na którym wisiał płaszcz.

– Jak rozumiem, tamtej nocy nie było silnego wiatru?

– Nie, ale lało jak z cebra.

– W takim przypadku ten płaszcz nie został tam zaniesiony przez wiatr. Ktoś go na tym krzaku powiesił.

– Tak, ktoś musiał to zrobić.

– Bardzo interesujące. Jak widzę, ślady na ziemi zostały już zadeptane. Niewątpliwie od poniedziałkowej nocy musiało się tu kręcić wielu ludzi.

– Położyliśmy z boku matę, i wszyscy stawali tylko na niej.

– Doskonale.

– W tym worku mam jeden z butów, jakie miał na sobie Straker, but Fitzroya Simpsona oraz odlew podkowy Srebrnej Gwiazdy.

– Mój drogi inspektorze, przechodzi pan samego siebie!

Holmes wziął torbę, a schodząc do zagłębienia, przesunął matę bliżej środka. Potem położył się na niej na brzuchu i, podpierając dłońmi podbródek, dokładnie się przyjrzał śladom w błocie tuż przed sobą.

– Hola! – krzyknął nagle. – A to co?

Była to na wpół spalona zapałka, tak oblepiona błotem, że na pierwszy rzut oka wyglądała jak zwykła drzazga.

– Nie wiem, jak mogłem to przeoczyć – powiedział poirytowanym głosem inspektor.

– Nie było jej widać, była całkiem zagrzebana w błocie. Dostrzegłem ją tylko dlatego, że jej szukałem.

– Co takiego? Spodziewał się pan ją znaleźć?

– Sądziłem, że to dość prawdopodobne.

Holmes wyjął buty z torby i porównał odciski każdego z nich ze śladami widocznymi na ziemi. Następnie wspiął się na krawędź zagłębienia i zaczął się czołgać pomiędzy paprociami i krzakami.

– Obawiam się, że nie znajdzie pan już więcej śladów – powiedział inspektor. – Bardzo dokładnie zbadałem grunt w promieniu stu jardów.

– Doprawdy! – odparł Sherlock, wstając. – W takim razie nie powinienem być takim niedowiarkiem, by po tym, co pan powiedział, badać miejsce zdarzenia ponownie. Chciałbym jednak przejść się trochę po wrzosowisku, zanim zapadnie zmierzch, żeby jutro mieć lepszą orientację w terenie… I chyba schowam sobie tę podkowę do kieszeni, na szczęście.

Pułkownik Ross, który wykazywał oznaki zniecierpliwienia, widząc spokojny i systematyczny sposób pracy mojego towarzysza, zerknął na swój zegarek.

– Chciałbym, żeby wrócił pan ze mną, inspektorze – powiedział. – Potrzebuję pańskiej porady w kilku sprawach, a zwłaszcza w tej, czy powinniśmy powiadomić opinię publiczną o usunięciu naszego konia z listy startujących w wyścigu.

– Zdecydowanie nie! – krzyknął kategorycznie Holmes. – Zostawiłbym jego imię na liście.

Pułkownik skłonił się lekko.

– Bardzo się cieszę, mogąc poznać pańską opinię, sir – powiedział. – Po spacerze proszę przyjść do domu biednego Strakera. Udamy się wówczas razem do Tavistock.

Obaj panowie odwrócili się i odeszli, gdy tymczasem Holmes i ja ruszyliśmy wolno przez wrzosowisko. Słońce zaczęło się chować za stajniami Mapleton, a długa, pochyła równina rozciągająca się tuż przed nami, zabarwiła się złotem wpadającym w głęboki rdzawy brąz tam, gdzie wieczorne światło padało na zwiędłe paprocie i jeżyny. Jednakże mój towarzysz, głęboko pogrążony w myślach, w ogóle nie dostrzegał piękna tego zjawiska.

– Tędy, Watsonie – powiedział wreszcie. – Zapomnijmy na chwilę o tym, kto zabił Johna Strakera, i ograniczmy się do rozwiązania zagadki, co stało się z koniem. Zakładając, że wyrwał się podczas walki bądź tuż po jej zakończeniu, pomyślmy, dokąd mógłby się udać? Koń to bardzo towarzyskie zwierzę. Gdyby pozostawić go samemu sobie, instynkt podpowiedziałby mu, że ma wrócić do King's Pyland. A może poszedłby do Mapleton? Czemuż miałby sam biegać po wrzosowisku? Do tej pory z pewnością ktoś by go już spostrzegł. I dlaczego mieliby go porwać Cyganie? To prawda, że zawsze znikają, kiedy usłyszą o jakichś kłopotach, bo nie chcą, by niepokoiła ich policja, ale nie mogliby liczyć na to, że uda im się sprzedać takiego konia. Naraziliby się tylko na ogromne ryzyko, nic na tym nie zyskując. To przecież jasne.

– W takim razie gdzie jest?

– Już powiedziałem. Musiał wrócić do King's Pyland lub pójść do Mapleton. W King's Pyland go nie ma. A więc jest w Mapleton. Przyjmijmy to za roboczą hipotezę i zobaczmy, dokąd nas to zaprowadzi. Jak zauważył inspektor, w tej części wrzosowiska grunt jest twardy i suchy. Opada jednak w kierunku Mapleton i już stąd widać, że jest tam długie zagłębienie, które musiało być bardzo mokre w poniedziałkową noc. Jeśli nasze założenie jest słuszne, koń musiał przez nie przejść, i tam właśnie powinniśmy szukać jego śladów.

Prowadząc rozmowę, szliśmy żwawym krokiem i po kilku minutach dotarliśmy do wspomnianego zagłębienia. Na prośbę Holmesa szedłem jego prawą, on zaś lewą krawędzią. Nim jednak uszedłem pięćdziesiąt kroków, usłyszałem jego krzyk i zobaczyłem, że macha ręką, zachęcając, abym do niego podszedł. Przed nim w miękkim gruncie widoczny był wyraźny odcisk końskiej podkowy, zaś podkowa, którą wyjął z kieszeni, dokładnie do tego śladu pasowała.

– Oto dlaczego wyobraźnia jest tak cenna – powiedział Holmes. – To jedyna cecha, której brak Gregory'emu. Wyobraziliśmy sobie, co się stało, zadziałaliśmy zgodnie z naszym założeniem i przekonaliśmy się, że mamy rację. Chodźmy dalej.

Przeszliśmy przez bagnisty rów i pokonaliśmy ponad ćwierć mili suchej twardej ziemi. Dalej grunt znowu opadał, a my ponownie natrafiliśmy na ślady. Później zgubiliśmy je na kolejne pół mili, tylko po to, by znów je odnaleźć w pobliżu Mapleton. Holmes spostrzegł tropy pierwszy

i zatrzymał się, wskazując na nie ręką z triumfalnym wyrazem twarzy. Obok śladów konia widoczne były ślady człowieka.

– Przedtem koń był sam! – zawołałem.

– Na to wygląda. Przedtem był sam. A to co znowu?

Podwójny trop ostro zakręcał w kierunku King’s Pyland. Holmes zagwizdał pod nosem, i obaj poszliśmy w tamtą stronę. Mój przyjaciel skupił wzrok na śladach, jednak ja przypadkiem spojrzałem w bok i ku swemu zaskoczeniu odkryłem te same ślady biegnące w odwrotnym kierunku.

– Punkt dla ciebie, Watsonie – rzekł Holmes, gdy mu je pokazałem. – Zaoszczędziłeś nam długiego spaceru, który doprowadziłby nas z powrotem do naszych własnych śladów. Chodźmy za tymi drugimi.

Nie musieliśmy daleko iść. Tropy kończyły się przy brukowanej drodze przed bramą stajni Mapleton. Gdy się zbliżyliśmy, do bramy podbiegł stajenny.

– Nie życzymy tu sobie żadnych włóczęgów! – powiedział.

– Chciałem tylko zadać jedno pytanie – rzekł Holmes, wsuwając palce do kieszeni kamizelki. – Czy gdybym zamierzał się spotkać z twoim przełożonym, panem Silasem Brownem, to jutro o godzinie piątej nie byłoby za wcześnie?

– Jeżeli ktoś tu będzie, to z pewnością pan Brown, bo zawsze przychodzi wcześ-nie. Ale oto i on, sir! Sam będzie mógł odpowiedzieć na pańskie pytania. Nie, sir. Nie. Dziękuję panu, sir. Jeśli zobaczy, że dotykam pańskich pieniędzy, mogę stracić pracę. Może później, jeżeli będzie pan tak dobry.

Sherlock Holmes wsunął pół korony z powrotem do kieszeni. Z bramy wyszedł starszy mężczyzna z gniewnym wyrazem twarzy, wymachując trzymaną w dłoni szpicrutą.

– Co to ma znaczyć, Dawson! – zawołał. – Żadnego plotkowania! Zajmij się swoimi sprawami! A pan czego tu u diabła szuka?

– Chciałbym przez chwilę z panem porozmawiać – powiedział Holmes głosem tak słodkim, jak to tylko możliwe.

– Nie mam czasu gadać z każdym włóczęgą. Nie chcemy tutaj obcych. Odejdź pan, bo inaczej poszczuję pana psami.

Holmes pochylił się naprzód i wyszeptał coś do ucha trenera. Ten wzdrygnął się gwałtownie, a na jego twarzy pojawił się rumieniec.

– To kłamstwo! – wrzasnął. – Wierutne kłamstwo!

– Proszę bardzo! Będziemy się o to sprzeczać tutaj, gdzie wszyscy nas słyszą, czy omówimy to może w pańskim salonie?

– No dobrze. Proszę wejść, skoro pan chce.

Holmes uśmiechnął się.

– To nie potrwa dłużej niż kilka minut, Watsonie – powiedział. – A teraz, panie Brown, jestem do pańskiej dyspozycji.

Minęło dwadzieścia minut. Czerwienie wyblakły i zmieniły się w szarości, zanim Holmes i trener pojawili się ponownie. Nigdy nie widziałem, by człowiek mógł się tak bardzo zmienić jak Silas Brown, i to w tak krótkim czasie. Jego twarz była popielatoszara, na czole połyskiwały kropelki potu, a ręce trzęsły się tak bardzo, że szpicruta, którą trzymał, powiewała niczym gałązka na wietrze. Znikło też jego władcze, butne zachowanie. Szedł teraz skulony u boku mego towarzysza niczym pies przy swoim panu.

– Wykonam pańskie instrukcje. Wszystko będzie zrobione.

– Nie może być mowy o żadnym błędzie – powiedział Holmes, spoglądając na niego.

Brown skrzywił się, widząc groźbę w jego oczach.

– O nie. Żadnej pomyłki. Będzie tam. Mam go od razu zmienić czy nie?

Holmes zastanawiał się przez chwilę, a potem wybuchnął śmiechem.

– Nie, nie – powiedział. – Napiszę panu o tym. A teraz żadnych sztuczek albo…

– Och, naprawdę, może mi pan zaufać.

– Tak, też tak myślę. Cóż, jutro się do pana odezwę.

Odwrócił się na pięcie, lekceważąc drżącą dłoń Browna wyciągniętą do niego, i ruszyliśmy w kierunku King’s Pyland.

– Nigdy nie widziałem doskonalszego połączenia tyrana, tchórza i szui w jednym niż pan Silas Brown – rzekł Holmes, gdy szliśmy razem przez wrzosowisko.

– A więc to on ukrywa konia?

– Próbował mnie zagadać i jakoś się ze sprawy wykręcić, ale tak dokładnie mu opisałem, co robił tego ranka, że teraz jest przekonany, iż go obserwowałem. Na pewno zauważyłeś te dziwne charakterystyczne odciski czubków butów, gdy szliśmy po śladach, oraz to, że jego buty dokładnie im odpowiadały. No i oczywiście fakt, że żaden z jego podwładnych nie

ośmieliłby się zrobić czegoś takiego. Opowiedziałem mu, że zgodnie ze swoim zwyczajem pierwszy się tu znalazł i spostrzegł obcego konia włóczącego się po wrzosowisku. Gdy do niego podszedł i ze zdumieniem rozpoznał go po białej strzałce na czole, której faworytka zawdzięcza swoje imię, zrozumiał, że los zesłał mu jedynego konia, który mógłby prześcignąć tego, na którego on postawił pieniądze. A potem zasugerowałem mu, że w pierwszym odruchu chciał odprowadzić konia do King's Pyland, ale później jakiś diabeł mu podszepnął, że może go ukryć aż do zakończenia wyścigów. Zaprowadził więc konia z powrotem i ukrył w Mapleton. Gdy przedstawiłem mu to ze wszystkimi szczegółami, poddał się; myślał już tylko o ratowaniu własnej skóry.

– Ale przecież jego stajnie przeszukano!

– Och, taki stary koniarz jak on zna wiele sztuczek.

– Nie boisz się teraz zostawiać u niego Srebrnej Gwiazdy? Miałby przecież interes w tym, żeby ją okaleczyć.

– Mój drogi przyjacielu, będzie jej strzegł niczym źrenicy oka. Dobrze wie, że dla niego jedyną nadzieją na łagodne potraktowanie jest bezpieczne doprowadzienie konia do właściciela.

– Pułkownik Ross nie zrobił na mnie wrażenia człowieka, który w takim przypadku okazałby litość.

– Ta sprawa nie zależy od pułkownika Rossa. Stosuję własne metody i mówię tak dużo lub tak mało, jak sam postanowię. Takie są zalety prowadzenia nieoficjalnego śledztwa. Nie wiem, czy to zauważyłeś, Watsonie, ale pułkownik zachowywał się wobec mnie dość protekcjonalnie. Teraz mam ochotę zabawić się trochę jego kosztem. Nic mu nie mów o koniu.

– Na pewno nic mu nie powiem bez twojego pozwolenia.

– Oczywiście wszystko to jest tylko drobnostką w porównaniu z pytaniem, kto zabił Johna Strakera.

– I tym się teraz zamierzasz zająć?

– Wręcz przeciwnie. Nocnym pociągiem obaj wrócimy do Londynu.

Słowa mojego przyjaciela poraziły mnie. Bawiliśmy w Devonshire zaledwie parę godzin, i to, że chciał zaniechać śledztwa, które tak wspaniale rozpoczął, było dla mnie kompletnie niezrozumiałe. Nie udało mi się jednak wyciągnąć z niego ani słowa przez całą drogę powrotną do domu trenera. Pułkownik i inspektor czekali na nas w salonie.

– Mój przyjaciel i ja wracamy do miasta nocnym ekspresem – oznajmił Holmes. – Odbyliśmy uroczy spacer i pooddychaliśmy trochę cudownym powietrzem Dartmoor.

Inspektor ze zdumienia szeroko otworzył oczy, a na ustach pułkownika pojawił się szyderczy uśmieszek.

– A więc stracił pan nadzieję na odnalezienie mordercy biednego Strakera? – powiedział.

Holmes wzruszył ramionami.

– Z całą pewnością na drodze do rozwiązania tej sprawy piętrzą się poważne trudności – powiedział. – Jestem jednak głęboko przekonany, że pański koń wystartuje we wtorek, i proszę, by trzymał pan w gotowości swojego dżokeja. Czy mogę prosić o fotografię pana Johna Strakera?

Inspektor wyjął zdjęcie z koperty i podał mu.

– Mój drogi panie Gregory, przewiduje pan wszystkie moje życzenia. Czy mógłbym pana prosić, by poczekał pan tutaj przez chwilę? Pragnąłbym zapytać o coś pokojówkę.

– Muszę stwierdzić, że jestem dość rozczarowany naszym londyńskim konsultantem – powiedział bez ogródek pułkownik Ross, gdy mój przyjaciel wyszedł z pokoju. – Nie sądzę, byśmy posunęli się choć o krok naprzód, odkąd przyjechał.

– Przynajmniej ma pan jego zapewnienie, że pański koń pobiegnie w wyścigu – wycedziłem.

– Tak, mam jego zapewnienie – powiedział pułkownik, wzruszając ramionami. – Ale wolałbym mieć konia.

Już miałem coś odpowiedzieć w obronie mojego przyjaciela, kiedy Holmes powrócił do pokoju.

– A teraz, panowie – powiedział – jestem już gotów ruszać do Tavistock.

Gdy wsiadaliśmy do powozu, jeden ze stajennych przytrzymał nam otwarte drzwiczki. Odniosłem wrażenie, że Holmesowi przyszedł nagle do głowy jakiś pomysł, bo gwałtownie się pochylił i złapał chłopaka za rękaw.

– Macie parę owiec na padoku – powiedział. – Kto się nimi zajmuje?

– Ja, sir.

– Czy nie zauważyłeś ostatnio, że coś z nimi jest nie tak?

– Cóż, sir. Co tu dużo mówić. Trzy z nich okulały.

Dostrzegłem, że Holmesa bardzo ucieszyła ta odpowiedź, bo zachichotał i zatarł ręce.

– To był strzał w ciemno, Watsonie. Strzał w ciemno – powiedział, szczypiąc mnie w ramię. – Inspektorze Gregory, pragnę zwrócić pana uwagę na tę przedziwną epidemię wśród owiec. Ruszajmy, woźnico!

Twarz pułkownika Rossa zdradzała, jakie miał kiepskie zdanie na temat zdolności mego towarzysza. Po inspektorze było jednak widać, że ta informacja niezwykle go zainteresowała.

– Uważa pan, że to ważne? – zapytał.

– Niezwykle ważne.

– Czy jest jakiś problem, na który jeszcze pragnąłby pan zwrócić moją uwagę?

– Tak. To ciekawe zdarzenie w nocy z psem.

– Ależ ten pies niczego w nocy nie zrobił!

– Na tym właśnie polega ten ciekawy przypadek – zauważył Sherlock Holmes.

Cztery dni później Holmes i ja znów siedzieliśmy w pociągu, tym razem jadącym do Winchester, aby obejrzeć wyścigi o Puchar Wessex. Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami pułkownik Ross spotkał się z nami na stacji, i jego powozem udaliśmy się na tor za miastem. Twarz pułkownika była poważna, a zachowanie niezwykle chłodne.

– Nigdzie nie widzę mojego konia.

– Zakładam, że gdyby go pan zobaczył, to by go pan rozpoznał? – spytał Holmes.

Pułkownik wydawał się bardzo rozgniewany.

– Zajmuję się wyścigami od dwudziestu lat, i nikt wcześniej nie zadał mi takiego pytania – powiedział. – Każde dziecko rozpoznałoby Srebrną Gwiazdę z jej białym czołem i dropiatą przednią nogą.

– Jak stoją zakłady?

– No cóż, to właśnie jest ciekawe. Wczoraj można było uzyskać piętnaście do jednego, ale stawka stopniowo malała, i dzisiaj można dostać ledwie trzy do jednego.

– Hm – powiedział Holmes. – Wygląda na to, że ktoś coś wie.

Gdy podniesiono barierkę w padoku, w pobliżu głównej trybuny, spojrzałem na tablicę, żeby sprawdzić stawki.

Było na niej napisane:

Puchar Wessex Plate 50 suwerenów za udział w biegu, nagroda główna 1000 suwerenów dla cztero- i pięciolatków. Drugie miejsce 300 funtów. Trzecie miejsce 200 funtów. Dystans: 1 mila i 5 furlongów.
Negro pana Heatha Newtona. Czerwona czapka, brązowa kamizelka.
Bokser pułkownika Wardlawa. Różowa czapka, czarno-niebieska kamizelka.
Desborough lorda Backwatera. Żółta czapka, żółte rękawy.
Srebrna Gwiazda pułkownika Rossa. Czarna czapka, czerwona kamizelka.
Iris księcia Balmoral. Żółto-czarne paski.
Rasper lorda Singleforda. Fioletowa czapka, czarne rękawy.

– Wycofaliśmy drugiego konia, stawiając wszystko zgodnie z danym przez pana słowem – powiedział pułkownik. – Chwileczkę… A to co?! Srebrna Gwiazda jest faworytem?

– Pięć do czterech przeciwko Srebrnej Gwieździe! – wykrzyczano z trybuny. – Pięć do czterech przeciwko Srebrnej Gwieździe! Pięć do piętnastu przeciwko Desborough! Pięć do czterech najwyższym notowaniem!

– Podali wszystkie konie! – zawołałem. – Startuje cała szóstka!

– Cała szóstka? A więc mój koń biegnie! – krzyknął podekscytowany pułkownik. – Ale nigdzie go nie widzę… Nie widzę moich barw!

– Wyszło tylko pięć. W takim razie to musi być ten.

Gdy wypowiadałem te słowa, przegalopował przed nami potężny gniady koń, niosąc na swym grzbiecie dżokeja w dobrze nam znanych czerwono-czarnych barwach pułkownika.

– To nie mój koń! – zawołał jego właściciel. – To zwierzę nie ma na sobie nawet jednego białego włosa! Co pan narobił, panie Holmes?!

– No cóż, zobaczmy, jak sobie poradzi – rzekł mój przyjaciel z niewzruszonym spokojem.

Przez kilka minut patrzył przez moją lornetkę.

– Niesamowite! Wyśmienity start! – zawołał nagle. – Są tam, wychodzą z zakrętu!

Z naszych miejsc mieliśmy doskonały widok na konie wychodzące na prostą. Cała szóstka była tak blisko siebie, że można by je było przykryć płachtą, jednak w połowie drogi żółte barwy stajni Mapleton wyszły na czoło. Zanim jednak dobiegły do nas, Desborough pozostał z tyłu, a koń pułkownika wyrwał się naprzód i minął metę, wyprzedzając o dobre sześć

długości swojego rywala. Iris księcia Balmoral dobiegła jako trzecia, daleko za nimi.

– Tak czy inaczej to mój wyścig – sapnął pułkownik, pocierając ręką czoło. – Muszę jednak przyznać, że nic z tego nie rozumiem. W jaki sposób zachował pan to wszystko tak długo w tajemnicy, panie Holmes?

– Nic dziwnego, pułkowniku. Zaraz się pan wszystkiego dowie. Może podejdźmy tam wszyscy i przyjrzyjmy się tej klaczy. Oto i ona – ciągnął dalej, gdy szliśmy w stronę padoku, do którego dostęp mieli wyłącznie właściciele koni oraz zaproszeni przez nich goście. – Wystarczy, że umyje jej pan spirytusem pysk i nogę, a przekona się, że to ta sama pańska Srebrna Gwiazda.

– Zdumiewa mnie pan, panie Holmes.

– Znalazłem ją w rękach oszusta i pozwoliłem sobie wystawić ją do biegu, gdy tylko została mi odesłana.

– Drogi panie Holmes, dokonał pan cudu! Koń prezentuje się świetnie i jest we wspaniałej formie. W całym swoim życiu nie pobiegł lepiej. Jestem panu winien ogromne przeprosiny za to, że zwątpiłem w pańskie zdolności. Odzyskując mojego konia, wyświadczył mi pan wielką przysługę. Jeszcze większą byłoby doprowadzenie do ujęcia mordercy Johna Strakera.

– Uczyniłem to już – rzekł cicho Holmes.

Pułkownik i ja wpatrywaliśmy się w niego w osłupieniu.

– Ma go pan?! W takim razie gdzie on jest?

– Tutaj.

– Tutaj?! Gdzie?

– W tej chwili jest w naszym towarzystwie.

Pułkownik oblał się gniewnym rumieńcem.

– Muszę przyznać, że czuję się wobec pana zobowiązany, ale to, co przed chwilą pan powiedział, muszę potraktować albo jako zniewagę, albo jako bardzo kiepski dowcip.

Sherlock Holmes roześmiał się na te słowa.

– Zapewniam pana, pułkowniku, że nie łączę pana z tym przestępstwem – powiedział. – Prawdziwy morderca stoi tuż za panem.

Minął pułkownika i położył dłoń na lśniącej szyi klaczy.

– To koń! – zawołaliśmy równocześnie z pułkownikiem.

– Zgadza się. Koń. Na jego usprawiedliwienie mogę jednak powiedzieć, że zrobił to w samoobronie i że John Straker był człowiekiem całkowicie niegodnym pańskiego zaufania. Ale właśnie zadzwonił dzwonek, i ponieważ zamierzam wygrać co nieco w następnym biegu, ze szczegółowymi wyjaśnieniami chciałbym poczekać na bardziej odpowiednią chwilę.

Tego wieczoru wracaliśmy do Londynu, siedząc wygodnie w wagonie pierwszej klasy. Jestem przekonany, że pułkownikowi Rossowi podróż przebiegła równie szybko jak i mnie, gdy słuchaliśmy opowieści mojego przyjaciela o tym, co wydarzyło się w stajniach treningowych w Dartmoor w tamtą poniedziałkową noc oraz o tym, w jaki sposób udało mu się wyjaśnić całą tę sprawę.

– Muszę wyznać – rzekł Holmes – że wszystkie teorie, które stworzyłem na podstawie artykułów z gazet, całkowicie mijały się z prawdą. A jednak kryły się w nich istotne wskazówki, których wcześniej nie dostrzegałem, ponieważ przysłaniały je inne szczegóły. Udałem się do Devonshire w przekonaniu, że wszystko to było sprawką Fitzroya Simpsona, choć oczywiście byłem świadom faktu, że dowody świadczące o jego winie są niekompletne. To właśnie wtedy, gdy siedziałem w powozie, po tym jak dojechaliśmy do domu trenera, dostrzegłem ogromne znaczenie tego, że stajennemu podano baraninę z curry. Być może przypominacie sobie, panowie, że nagle stałem się rozkojarzony i zostałem w powozie, choć wy wszyscy już wysiedliście. Zastanawiałem się wtedy po prostu, jak mogłem przeoczyć tak oczywistą wskazówkę.

– Przyznaję – rzekł pułkownik – że nawet teraz całkowicie nie rozumiem, w jaki sposób mogło to być dla nas pomocne.

– To było pierwsze ogniwo w łańcuchu mojego rozumowania. Sproszkowane opium bynajmniej nie jest pozbawione smaku. Nie jest on wprawdzie przykry, ale wyraźnie zauważalny. Gdyby dodano go do jakiegoś zwykłego dania, jedząca je osoba wyczułaby to i prawdopodobnie przestała jeść. To właśnie curry było przyprawą, która ukrywała smak opium. Nie istniała taka możliwość, żeby ten obcy człowiek, Fitzroy Simpson, mógł sprawić, aby owego wieczoru rodzina trenera i stajenni jedli na kolację danie z curry. Trudno byłoby też założyć, iż dziwnym zbiegiem okoliczności człowiek ten pojawił się ze swoim sproszkowanym opium dokładnie tego dnia wieczorem, gdy przygotowano

danie mogące ukryć jego smak. To nie do pomyślenia. W ten właśnie sposób wyeliminowałem ze sprawy Simpsona i skupiłem całą uwagę na Strakerze i jego małżonce, czyli jedynych dwóch osobach, które mogły zadecydować o tym, że tej nocy na kolację podawano baraninę z curry. Opium dodano tylko do porcji przeznaczonej dla stajennego, ponieważ inni jedli tę samą potrawę i nie odczuli żadnych niekorzystnych skutków. Które z nich miało w takim razie dostęp do jedzenia i dodało do niego proszek w tajemnicy przed służącą?

Zanim jednak odpowiedziałem na to pytanie, zrozumiałem, jak ważne było to, że pies nie szczekał. A jeden właściwy wniosek zawsze prowadzi do kolejnego. Incydent z Simpsonem uświadomił mi, że choć w stajniach trzymano psa, nie szczekał on na tyle głośno, by obudzić dwóch stajennych śpiących na strychu, mimo iż ktoś wkradł się do środka i wyprowadził konia. Najwyraźniej ten nocny gość musiał być kimś, kogo pies doskonale znał.

Byłem już przekonany albo prawie przekonany, że to John Straker udał się w środku nocy do stajni i zabrał Srebrną Gwiazdę. Ale w jakim celu? Byłem pewien, że miał nieuczciwe zamiary, bo w przeciwnym razie po co podawałby narkotyk własnemu stajennemu? A jednak nie wiedziałem, co zamierzał. Już przedtem zdarzały się przypadki, gdy trenerzy zarabiali ogromne sumy pieniędzy, obstawiając za pośrednictwem agentów przegrane własnych koni, a potem nie dopuszczając do tego, by zwyciężyły. Czasami to właśnie dżokej spowalnia konia. Czasem jednak oszustwo jest subtelniejszej natury i daje pewniejsze wyniki. O co chodziło tym razem? Miałem nadzieję, że zawartość kieszeni Strakera pomoże mi dojść do właściwych wniosków.

I tak się właśnie stało. Na pewno pamiętają panowie ten dziwny nóż znaleziony w dłoni zmarłego. Był to nóż, którego żaden człowiek przy zdrowych zmysłach nie wybrałby sobie jako broni. Ponadto, jak powiedział nam doktor Watson, noże takie używane są przy najprecyzyjniejszych operacjach znanych współczesnej chirurgii. I tej nocy do takiej właśnie operacji miał być wykorzystany. Pułkowniku Ross, posiada pan ogromne doświadczenie, jeśli chodzi o wyścigi. Zapewne wie pan o tym, że można wykonać niewielkie nacięcie na ścięgnie w zadzie konia, i zrobić to podskórnie, w taki sposób, by nie pozostał absolutnie żaden ślad. Tak

potraktowany koń będzie nieco kulał, co można potem przypisać przetrenowaniu, lekkiemu reumatyzmowi, ale nigdy jakiemuś oszustwu.

– Co za łotr! Łajdak! – zawołał pułkownik.

– Tak więc znaleźliśmy wyjaśnienie, dlaczego John Straker chciał zabrać konia na wrzosowisko. Stworzenie o tak ogromnym temperamencie, czując ukłucie noża, z pewnością zbudziłoby wszystkich, i to z najgłębszego snu. Bezwzględnie musiał to zrobić na zewnątrz, z dala od stajni.

– Byłem ślepy! – krzyknął pułkownik. – Oczywiście! To po to potrzebował świeczki i dlatego zapalił zapałkę.

– Bez wątpienia. Jednakże gdy przeglądałem jego rzeczy, udało mi się nie tylko odkryć, w jaki sposób chciał popełnić przestępstwo, lecz również motywy, jakie nim kierowały. Pułkowniku, jako człowiek obyty w świecie przyzna pan zapewne, że ludzie nie noszą w swoich kieszeniach rachunków innych ludzi. Większości z nas wystarczają własne. Natychmiast doszedłem do wniosku, że Straker prowadził podwójne życie i miał też drugą tożsamość. Znaleziony w jego rzeczach rachunek wskazywał, że w sprawę zamieszana jest jakaś kobieta, i to kobieta o niezwykle kosztownych gustach. Choć tak hojnie płaci pan swoim ludziom, trudno byłoby oczekiwać, że stać ich na to, by kupowali swym damom suknie za dwadzieścia gwinei. Wypytałem panią Straker o tę suknię w taki sposób, żeby nie nabrała najmniejszych podejrzeń, i dowiedziałem się, że nigdy jej nie dostała. Zapamiętałem adres krawcowej i byłem już przekonany, że gdy udam się do niej z fotografią Strakera, z łatwością uda mi się wykluczyć ze sprawy nieistniejącego pana Derbyshire.

Od tej chwili wszystko stało się proste. Straker zaprowadził konia do zagłębienia, z którego jego świeca byłaby niewidoczna. Simpson, uciekając, zgubił swoją chustkę, a Straker ją podniósł – być może zamierzał obwiązać nią nogę Gwiazdy. Gdy znalazł się już w zagłębieniu, stanął za klaczą i zapalił zapałkę. Nagły rozbłysk światła musiał jednak przerazić zwierzę, które – działając pod wpływem instynktu podpowiadającego mu, że człowiek ma wobec niego jakieś złe zamiary – wierzgnęło. Stalowa podkowa uderzyła Strakera prosto w czoło. Mimo że padał deszcz, już wcześniej zdjął płaszcz, aby przystąpić do swojego delikatnego zadania. Kopnięcie było tak silne, że trener upadł, a nóż wbił mu się w udo. Czy wszystko wyjaśniłem?

– Cudownie! – zawołał pułkownik. – Wspaniale! Zupełnie jakby pan tam był.

– Muszę przyznać, że moje trafienie było wyjątkowo szczęśliwe. Byłem przekonany, że człowiek tak przebiegły jak Straker nie przeciąłby koniowi ścięgna, nie nabywając przedtem nieco praktyki. A gdzież mógłby coś takiego poćwiczyć? Przypadkiem spostrzegłem owce i zadałem pytanie, na które odpowiedź, ku mojemu zdumieniu, wykazała, że miałem słuszność.

Kiedy wróciłem do Londynu, udałem się do krawcowej, która rozpoznała Strakera jako swego świetnego klienta o nazwisku Derbyshire, mężczyznę mającego wyjątkowo elegancką żonę, lubującą się w drogich sukniach. Nie miałem już wątpliwości, że ta kobieta wciągnęła go w długi i doprowadziła do tak fatalnego końca.

– Wyjaśnił pan wszystko oprócz jednego – zawołał pułkownik. – Gdzie przez cały ten czas był mój koń?

– Ach, wyrwał się i uciekł. Potem zadbał o niego jeden z pańskich sąsiadów. Myślę, że najlepiej byłoby udzielić mu małej amnestii. Zbliżamy się do stacji Clapham, i jeśli się nie mylę, za niecałe dziesięć minut dotrzemy do Victoria Station. Jeśli ma pan ochotę zapalić z nami cygaro, pułkowniku, z chęcią przedstawię panu wszystkie pozostałe szczegóły, jakie pana interesują.

Rozdział drugi

Żółta twarz

Publikując te krótkie opowieści, opisujące liczne sprawy, o jakich dowiadywaliśmy się w związku z wyjątkowymi zdolnościami mojego przyjaciela i w których, w rezultacie, braliśmy udział jako bohaterowie tych przedziwnych dramatów, w naturalny sposób skupiam się raczej na sukcesach Sherlocka Holmesa niż na jego porażkach. Nie czynię tak jednak ze względu na jego reputację – ponieważ to właśnie wówczas, gdy już nie wiedział, co zrobić, wykazywał się najbardziej podziwu godną energią i wszechstronnością – lecz dlatego, że tam, gdzie on zawiódł, bardzo często nikomu nie udało się znaleźć rozwiązania, a sprawa miała na zawsze pozostać niewyjaśnioną. Niekiedy zdarzało się jednak, że nawet gdy Sherlock Holmes zbłądził, doprowadzał mimo tego do poznania prawdy. Opisałem jakieś pół tuzina takich przypadków. Dwa spośród nich wydają się szczególnie interesujące – rytuał Musgrave'ów oraz historia, którą zamierzam opowiedzieć teraz.

Sherlock Holmes był człowiekiem, który rzadko ćwiczył dla samych tylko ćwiczeń. Istniało niewielu ludzi bardziej niż on zdolnych zmusić swe mięśnie do dużego wysiłku i bez wątpienia był jednym z najlepszych bokserów w swojej wadze, jakich kiedykolwiek widziałem, postrzegał jednak bezcelowy wysiłek fizyczny jako całkowitą utratę energii i rzadko zajmował się boksem, z wyjątkiem przypadków, gdy miał on służyć jego zawodowym celom. W takich chwilach był nad podziw wytrwały i absolutnie niezmordowany. Istotne było to, że wówczas trenował, jednak jego dieta wciąż pozostawała uboga, a przyzwyczajenia miał tak proste, że wręcz banalne. Nie miał żadnych słabości prócz tego, że od czasu do czasu zażywał kokainę, lecz sięgał po ten narkotyk tylko w momentach, gdy nie

mógł się pogodzić z monotonią egzystencji, bo spraw było niewiele, a w gazetach nie pojawiało się nic ciekawego.

Pewnego dnia, wczesną wiosną, Holmes był do tego stopnia zrelaksowany, że wybrał się ze mną na spacer do parku. Na wiązach pojawiały się pierwsze jasnozielone pąki, a lepkie pączki kasztanowców dopiero zaczynały się rozwijać w pięciopalczaste listki. Przechadzaliśmy się dwie godziny, przez większość czasu milcząc, jak to zwykle bywa pomiędzy dwoma mężczyznami, którzy bardzo dobrze się znają. Gdy wróciliśmy na Baker Street, dochodziła piąta.

– Przepraszam, sir – powiedział nasz portier, otwierając drzwi. – Był tu jakiś dżentelmen i pytał o pana.

Holmes rzucił mi spojrzenie pełne rezygnacji.

– Zdaje się, że to już koniec z naszymi popołudniowymi spacerami! – powiedział. – A więc ten dżentelmen już sobie poszedł?

– Tak, sir.

– Nie zaprosiłeś go do środka?

– Ależ tak, sir. Skorzystał z zaproszenia i czekał na pana.

– Jak długo?

– Jakieś pół godziny, sir. To był bardzo niespokojny dżentelmen. Przez cały czas, kiedy tu był, co chwilę wstawał, a potem znowu siadał albo w kółko przechadzał się po pokoju. Czekałem za drzwiami, sir, i słyszałem, co robi. W końcu wypadł na korytarz i krzyknął: „Czy ten człowiek nigdy nie zamierza wrócić?”. To jego własne słowa, sir. Powiedziałem mu: „Proszę poczekać jeszcze chwilę”. Odparł: „W takim razie poczekam na zewnątrz! Duszę się tutaj. Wkrótce wrócę”. A potem wstał i wyszedł i żadne moje słowa nie były w stanie go zatrzymać.

– No cóż, w takim razie zrobiłeś, co mogłeś – powiedział Holmes, gdy wchodziliśmy do pokoju. – Niemniej to strasznie irytujące, Watsonie. Bardzo potrzebuję nowej sprawy, a sądząc po zniecierpliwieniu tego człowieka, to, z czym chciał się do mnie zwrócić, może być istotne. Chwileczkę! To nie twoja fajka leży na stole. Musiał ją tu zostawić. Dobre drewno z korzenia starego wrzośca, z długim ustnikiem wykonanym z bursztynu. Ciekaw jestem, ile można by znaleźć w Londynie ustników z prawdziwego bursztynu. Niektórzy ludzie uważają, że jeśli jest w nim zatopiona mucha, świadczy to o jego autentyczności. Musiał być bardzo wzburzony, skoro zapomniał fajki, którą bardzo sobie ceni.

– Skąd wiesz, że tak bardzo ją ceni? – spytałem.

– Domyślam się, że kosztowała go siedem szylingów i sześć pensów. Jak widzisz, była dwukrotnie naprawiana: raz zreperowano drewnianą część cybucha, a drugi raz bursztynowy ustnik. W obu przypadkach, jak pewnie zauważyłeś, użyto srebrnych opasek, które kosztowały pewnie więcej niż sama fajka. Ten człowiek musi ją bardzo lubić, skoro wolał ją reperować, niż kupić nową za te same pieniądze.

– Zauważyłeś coś jeszcze? – spytałem, bo Holmes nadal obracał fajkę w dłoni i zadumany wpatrywał się w nią w charakterystyczny dla siebie sposób.

Uniósł ją do góry i puknął w nią kilka razy swym długim, chudym palcem, tak jak mógłby to uczynić profesor prowadzący wykład na temat jakiejś kości.

– Fajki bywają czasami wyjątkowo interesujące – powiedział. – Żaden inny przedmiot nie gromadzi w sobie tylu cech indywidualnych właściciela, no, może z wyjątkiem zegarków i sznurowadeł. Jednak wskazówki, które tutaj dostrzegam, nie są ani bardzo wyraźne, ani szczególnie istotne. Właściciel tej fajki to najwyraźniej dobrze zbudowany człowiek; jest leworęczny, posiada wspaniałe uzębienie, jest dość niedbały i nie musi zbytnio oszczędzać.

Mój przyjaciel sypał tymi informacjami jak z rękawa, w pewnym momencie dostrzegłem jednak, że zerknął w moją stronę, by sprawdzić, czy podążam za jego tokiem rozumowania.

– Uważasz, że ten człowiek jest zamożny, skoro pali fajkę wartą sześć szylingów? – spytałem.

– To mieszanka Grosvenor po osiem pensów za uncję – odparł Holmes, wytrząsając na dłoń odrobinę tytoniu. – A ponieważ mógłby dostać doskonały tytoń za połowę tej ceny, sądzę, że nie musi oszczędzać.

– A twoje pozostałe uwagi?

– Ma nawyk odpalania fajki od lamp i palników gazowych. Jak pewnie zauważyłeś, główka z jednej strony jest dość silnie zwęglona. Przecież zapałka tak by jej nie zniszczyła. Po co człowiek miałby przystawiać płonącą zapałkę do cybucha swej fajki? Nie mógłby jednak odpalić jej od lampy tak, żeby nie opaliła się przy tym główka. A opalona jest tylko z prawej strony. Z tego właśnie wnioskuję, że jej właściciel jest leworęczny. Przysuń do lampy własną fajkę, Watsonie. Przekonasz się, że ty, będąc

człowiekiem praworęcznym, w naturalny sposób zbliżasz ją do płomienia lewą stroną. Być może raz czy dwa razy zdarzyło ci się zrobić to inaczej, ale na pewno nie jest to regułą. Tę fajkę zawsze tak przybliżano do ognia. Poza tym przygryzł swój bursztynowy ustnik. Do tego trzeba silnego, energicznego mężczyzny, mającego przy tym świetne zęby. Ale jeśli się nie mylę, słyszę jego kroki na schodach, a więc zaraz będziemy mieli o wiele ciekawszy obiekt do badań niż ta fajka.

Chwilę później drzwi się otworzyły, i do pokoju wszedł wysoki, młody mężczyzna. Był ubrany w elegancki szary, stonowany garnitur, a w ręce trzymał brązowy kapelusz z szerokim rondem. Na oko dawałem mu około trzydziestu lat, choć w rzeczywistości okazał się nieco starszy.

– Przepraszam bardzo – powiedział zmieszany. – Chyba powinienem był zapukać. Tak, oczywiście… Powinienem był zapukać. Po prostu jestem trochę zdenerwowany. Proszę mi wybaczyć – przesunął dłonią po czole jak człowiek na wpół oszołomiony, a potem raczej opadł na krzesło, niż na nim usiadł.

– Jak widzę, nie spał pan ostatniej nocy – rzucił Holmes mimochodem, jak zawsze, gdy wygłaszał jakąś ze swych zaskakujących uwag. – To szarpie człowiekowi nerwy bardziej niż praca, a nawet jeszcze bardziej niż rozrywki. Pozwoli pan, że zapytam, jak mogę mu pomóc?

– Chciałem poprosić pana o radę. Nie wiem, co mam począć, i odnoszę wrażenie, że całe moje życie rozpada się na kawałki.

– Chce mnie pan zatrudnić jako detektywa?

– Nie tylko to. Chciałbym poznać pańską opinię. No wie pan… zdanie rozsądnego człowieka, bywałego w świecie. Proszę mi powiedzieć, co powinienem teraz zrobić. Mój Boże, mam nadzieję, że będzie pan w stanie mi pomóc.

Mówił szarpanymi, urywanymi zdaniami. Miałem wrażenie, że w ogóle mówienie sprawiało mu trudność i że tylko dzięki sile woli przezwyciężał swoje skłonności.

– To bardzo delikatna sprawa – powiedział. – Nikt nie lubi rozmawiać z obcymi ludźmi o tym, co dzieje się u niego w domu. Człowiekowi wydaje się czymś strasznym rozmawiać o zachowaniu własnej żony. I to z dwoma mężczyznami, których dopiero co spotkał. To okropne, że muszę to robić. Dłużej jednak nie jestem w stanie tak żyć… Muszę prosić pana o radę.

– Mój drogi panie Grancie Munro – zaczął Holmes.

Nasz gość skoczył na równe nogi.

– Co takiego?! – zawołał. – Wie pan, jak się nazywam?

– Jeśli pragnie pan występować incognito – powiedział Holmes z uśmiechem – sugerowałbym, by przestał pan nosić kapelusz ze swym nazwiskiem wyszytym na podszewce, bo inaczej osoba, z którą pan rozmawia, na pewno pozna pańską tożsamość. Właśnie miałem powiedzieć, że mój przyjaciel i ja wysłuchaliśmy już w tym pokoju sporo dziwnych sekretów i że mieliśmy okazję przynieść spokój wielu udręczonym duszom. Mam nadzieję, że i dla pana będziemy mogli tyle uczynić. Czy mógłby mi pan podać, nie zwlekając, wszystkie fakty związane ze sprawą? Czas może się tu okazać bardzo istotny.

Nasz gość ponownie potarł ręką czoło, tak jakby to zadanie wydawało mu się bardzo trudne. Z wyrazu jego twarzy i każdego gestu mogłem odczytać, że był człowiekiem pełnym rezerwy i zamkniętym w sobie, a przy tym nie pozbawionym dumy, i zapewne wolałby ukryć swoje problemy, niż się z nich zwierzać. A potem nagle jakby pękła w nim tama, i z gniewnym gestem zaciśniętej pięści zaczął opowiadać nam swoją historię.

– Oto fakty, panie Holmes – powiedział. – Od trzech lat jestem człowiekiem żonatym. Przez cały ten czas ja i moja żona kochaliśmy się tak bardzo i żyliśmy tak szczęśliwie, jak chyba żadne inne małżeństwo. Nigdy, ani razu się nie poróżniliśmy czy to w myślach, czy w słowach, czy w czynach. A teraz, od ostatniego poniedziałku, nagle wyrosła pomiędzy nami jakaś bariera i odkrywam ze zdumieniem, że istnieje w jej życiu i w jej myślach coś takiego, o czym wiem bardzo niewiele, jakby była jedną z tych obcych kobiet, które mijam na ulicy. Odsunęliśmy się od siebie, a ja pragnę się dowiedzieć dlaczego.

Jest pewna rzecz, którą chciałbym panu uświadomić, panie Holmes, zanim powiem coś więcej. Effie mnie kocha. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Kocha mnie całym sercem i całą duszą i nigdy nie kochała mnie bardziej niż teraz. Wiem to. Czuję to. Nie muszę się nad tym zastanawiać. Mężczyzna potrafi z łatwością rozpoznać, czy kobieta darzy go uczuciem. Teraz jednak stanął między nami ten sekret i dopóki nie zostanie wyjaśniony, nigdy nie będzie tak jak dawniej.

– Panie Munro, proszę z łaski swojej przedstawić mi fakty – rzekł Holmes nieco zniecierpliwionym tonem.

– Powiem panu, co wiem o historii Effie. Gdy ją poznałem, była wdową, choć jeszcze dość młodą. Miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. Nosiła wówczas nazwisko Hebron. W młodości wyjechała do Ameryki i zamieszkała w Atlancie, gdzie poślubiła pana Hebrona, prawnika prowadzącego własną praktykę. Mieli jedno dziecko. Niestety w okolicy, w której żyli, wybuchła epidemia żółtej febry i jej mąż oraz dziecko zmarli. Widziałem jego akt zgonu. Po tych tragicznych przejściach wyjechała z Ameryki i zamieszkała w Pinner w Middlesex ze swoją niezamężną ciotką. Wspomnę jeszcze o tym, że mąż pozostawił jej wystarczające środki. Posiadała kapitał około czterech tysięcy pięciuset funtów, który swojego czasu tak dobrze zainwestował, że Effie miała z niego dochody w wysokości średnio siedmiu procent. Mieszkała w Pinner zaledwie od sześciu miesięcy, kiedy ją poznałem. Zakochaliśmy się w sobie i kilka tygodni później wzięliśmy ślub.

Sam handluję chmielem i mam dochody rzędu siedmiuset czy ośmiuset funtów, a więc mieliśmy dostatecznie dużo pieniędzy. Wynajęliśmy ładną willę w Norbury za osiemdziesiąt funtów rocznie. Panuje tam wiejska atmosfera, co jest niesamowite, zwłaszcza że mieszkamy tak blisko miasta. Są tam gospoda, dwa budynki położone za naszym oraz jeden domek stojący po drugiej stronie pola, naprzeciwko naszego domu. Inne zabudowania pojawiają się dopiero w pół drogi do stacji. W pewnych porach roku muszę pilnować swoich interesów w mieście, jednak latem mam niewiele do roboty, a więc szczęśliwie spędzam czas z żoną w naszym wiejskim domku. Mogę pana zapewnić, że nigdy nie było pomiędzy nami żadnych nieporozumień, dopóki nie zaczęła się ta przeklęta sprawa.

Myślę, że zanim przejdę dalej, powinienem panu jeszcze o czymś powiedzieć. Kiedy się pobieraliśmy, Effie przekazała mi cały swój majątek. Zrobiła to wbrew mojej woli, rozumiałem bowiem, jak niezręczna byłaby nasza sytuacja, gdyby moje interesy potoczyły się nie po mojej myśli. Tego jednak właśnie sobie życzyła i tak też uczyniła. No cóż… A potem, jakieś sześć tygodni temu, przyszła do mnie.

– Jack – powiedziała – kiedy przejmowałeś moje pieniądze, mówiłeś mi, że gdybym kiedykolwiek czegoś chciała, wystarczy, że cię o to poproszę.

– Oczywiście – odparłem. – Przecież są twoje.

– Cóż – powiedziała. – Chciałabym sto funtów.

Byłem trochę oszołomiony, bo myślałem, że chce sobie po prostu kupić jakąś nową suknię albo coś w tym rodzaju.

– A po cóż ci taka suma? – spytałem.

– Och – odparła swobodnie. – Mówiłeś przecież, że będziesz tylko moim bankierem, a bankierzy nigdy nie zadają pytań. Przecież wiesz.

– Jeśli mówisz poważnie, to oczywiście dam ci te pieniądze – powiedziałem.

– O tak, mówię poważnie.

– I nie powiesz mi, na co są ci potrzebne?

– Być może pewnego dnia, Jack. Ale nie teraz.

Musiałem więc zadowolić się tą odpowiedzią, choć w nasze życie po raz pierwszy wkradł się jakiś sekret. Dałem żonie czek i nigdy więcej nie zastanawiałem się nad tą sprawą. Być może nie miało to nic wspólnego z tym, co zdarzyło się później, pomyślałem jednak, że będzie dobrze, jeśli o tym wspomnę.

Powiedziałem już panu, że niedaleko naszego domu stoi niewielki piętrowy domek. Dzieli nas od niego tylko pole, ale żeby tam dojść, trzeba pójść drogą, a potem skręcić w alejkę. Zaraz za nią znajduje się niewielki jodłowy zagajnik. To bardzo ładne miejsce, i kiedyś lubiłem się tam przechadzać, bo kocham drzewa. Domek stał pusty od ośmiu miesięcy – szkoda, bo to rzeczywiście śliczny budynek ze staroświeckim gankiem porośniętym wiciokrzewem. Wiele razy zatrzymywałem się w pobliżu i myślałem o tym, jak musi być w nim przytulnie.

W ubiegły poniedziałek wybrałem się tam na przechadzkę i gdy szedłem alejką, wyminął mnie pusty wóz. Zauważyłem stertę dywanów i mebli leżących na trawniku przed gankiem. Pomyślałem, że wreszcie wynajęto komuś ten domek. Przechodząc obok, zastanawiałem się, jacyż to ludzie zamieszkają tak blisko nas. Spojrzałem na budynek i nagle zdałem sobie sprawę, że z okna na górze obserwuje mnie jakiś człowiek.

Nie umiem dokładnie określić, panie Holmes, co takiego było w tej twarzy, ale po plecach przebiegł mi zimny dreszcz. Znajdowałem się w pewnej odległości od domku, nie mogłem rozróżnić jej rysów, ale było w nich coś nienaturalnego, coś nieludzkiego. Takie odniosłem wrażenie, szybko więc ruszyłem naprzód, żeby lepiej przyjrzeć się osobie, która mnie obserwowała. Jednak gdy tylko się zbliżyłem, twarz nagle znikła, tak szybko i niespodziewanie, że wydało mi się, iż po prostu zapadła się

w ciemność pokoju. Stałem tam przez pięć minut, rozmyślając i próbując przeanalizować swoje odczucia. Nie potrafiłem stwierdzić, czy była to twarz mężczyzny, czy kobiety, bo była za daleko. Ale największe wrażenie zrobił na mnie kolor tej twarzy. Była sinawożółta, w jakiś sposób zacięta i sztywna, dlatego właśnie wydawała się tak szokująco nienaturalna. Całe to zdarzenie zaniepokoiło mnie tak bardzo, że postanowiłem dowiedzieć się czegoś więcej o nowych mieszkańcach domku. Podszedłem i zapukałem do drzwi, które natychmiast otworzyła wysoka, chuda kobieta o surowej nieprzystępnej twarzy.

– Czego sobie życzy? – spytała z północnym akcentem.

– Jestem państwa sąsiadem. Mieszkam… o tam – powiedziałem, pokazując na mój dom. – Widzę, że dopiero się państwo wprowadzili, a więc pomyślałem, że jeśli mógłbym w czymkolwiek pomóc…

– Jak coś nam będzie trza, to powiemy – warknęła i zatrzasnęła mi drzwi przed nosem. Poirytowany tym gburowatym zachowaniem odwróciłem się na pięcie i poszedłem do domu. Mimo to, choć starałem się skupiać na innych sprawach, przez cały wieczór powracałem myślami do tego widma w oknie i tamtej bezczelnej kobiety. Postanowiłem, że o tym pierwszym nic nie wspomnę mojej żonie, ponieważ jest nerwową, nieco lękliwą osobą i za nic nie chciałbym, aby udzieliły jej się moje negatywne emocje. Przed snem napomknąłem tylko, że ktoś zamieszkał w tamtym domku. Nic mi na to nie odpowiedziała.

Z reguły mam bardzo głęboki sen. W naszej rodzinie żartowano nawet, że w nocy nic nie jest w stanie mnie obudzić. A jednak w jakiś nieodgadniony sposób – czy to za sprawą podekscytowania po mojej dziwnej przygodzie, czy też z innych przyczyn – mój sen był tamtej nocy o wiele lżejszy niż zazwyczaj. Choć byłem na wpół pogrążony we śnie, niejasno zdawałem sobie sprawę, że w naszej sypialni coś się dzieje. Stopniowo uświadomiłem sobie, że moja żona ubiera się, narzuca płaszcz i zakłada czepek na głowę.

Już otwierałem usta, by wymamrotać coś zaspanym głosem czy też zaprotestować przeciwko tej wyprawie, gdy mój wzrok padł na jej twarz oświetloną blaskiem świecy. Zamarłem ze zdumienia. Nigdy dotąd nie widziałem jej takiej. Sądziłem, że Effie nie jest nawet w stanie przybrać takiego wyrazu twarzy. Była śmiertelnie blada i oddychała szybko, a zapinając płaszcz, rzucała ukradkowe spojrzenia w kierunku łóżka, żeby

sprawdzić, czy mnie nie obudziła. Potem, przeświadczona, że wciąż śpię, wymknęła się z pokoju, a chwilę później usłyszałem ostre skrzypienie, które mogły wydawać tylko zawiasy frontowych drzwi. Usiadłem na łóżku i uderzyłem ręką w oparcie, żeby się przekonać, czy to na pewno nie sen. Następnie wyjąłem spod poduszki zegarek. Była trzecia nad ranem. Cóż takiego mogła robić moja żona o trzeciej nad ranem na wiejskiej drodze?

Siedziałem tak przez dobre dwadzieścia minut, zastanawiając się nad tym wszystkim i próbując znaleźć jakieś wyjaśnienie. Jednak im dłużej myślałem, tym bardziej niezwykłe i niewytłumaczalne wydawało mi się jej zachowanie. Byłem wciąż pogrążony w myślach, gdy znów usłyszałem ciche zamykanie drzwi, a od schodów dobiegły mnie kroki mojej małżonki.

– Na Boga, Effie! Gdzieś ty była? – spytałem, kiedy weszła.

Wzdrygnęła się gwałtownie, słysząc moje słowa, i wydała z siebie zduszony jęk, jęk, który zmartwił mnie bardziej niż cała reszta, bo kryło się w nim jakieś nieokreślone poczucie winy. Moja żona zawsze była szczerą, otwartą kobietą. Zmroziło mnie, kiedy zobaczyłem, jak wkrada się do własnej sypialni, a jej twarz ogarnia przerażenie, w momencie, gdy zwraca się do niej jej własny mąż.

– To ty nie śpisz, Jack? – zawołała z nerwowym śmiechem. – Myślałam, że nic nie jest w stanie cię obudzić.

– Gdzie byłaś? – spytałem, tym razem już poważniej.

– Trudno się dziwić, że jesteś zaskoczony – powiedziała, rozpinając płaszcz. Widziałem, jak drżą jej palce. – Cóż, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek w życiu zrobiła coś takiego. Poczułam nagle, że jest mi bardzo duszno, i strasznie zapragnęłam odetchnąć świeżym powietrzem. Myślę, że chyba bym zemdlała, gdybym nie wyszła na zewnątrz. Parę minut stałam przy drzwiach, ale doszłam już do siebie.

Przez cały czas, kiedy mi to opowiadała, ani razu nie spojrzała w moją stronę, a jej głos był dziwnie zmieniony. Wydawało mi się oczywistym, że to, co mówi Effie, jest kłamstwem. Nic nie odpowiedziałem, lecz odwróciłem się twarzą do ściany. Mój umysł wypełniały tysiące ponurych wątpliwości i podejrzeń. Cóż takiego ukrywała przede mną moja żona? Dokąd się udała podczas tej przedziwnej nocnej wyprawy? Czułem, że nie zaznam spokoju, dopóki się tego nie dowiem. A jednak wzbraniałem się, by zapytać ją o to wprost, po tym, jak już raz mnie okłamała. Przez resztę nocy

przewracałem się niespokojnie z boku na bok, wymyślając teorię za teorią, jedną bardziej nieprawdopodobną od drugiej.

Tego dnia powinienem był udać się do Londynu, byłem jednak zbyt zmartwiony i zaniepokojony, aby zająć się swoimi sprawami. Moja żona wydawała się równie zdenerwowana jak ja, i odczytałem z jej pytających spojrzeń, iż wie o tym, że jej nie uwierzyłem i że nie mam pojęcia, co dalej począć. Przy śniadaniu prawie nie zamieniliśmy ze sobą słowa, a zaraz potem wyszedłem na spacer, żeby przemyśleć tę sprawę na świeżym porannym powietrzu.

Doszedłem aż do Crystal Palace, spędziłem tam godzinę i wróciłem do Norbury przed pierwszą. W drodze powrotnej znów przechodziłem obok domku. Zatrzymałem się na chwilę, by spojrzeć w okna i sprawdzić, czy ponownie nie ujrzę tej dziwnej twarzy, która wpatrywała się we mnie poprzedniego dnia. I kiedy tak tam stałem, proszę sobie wyobrazić moje zaskoczenie, panie Holmes, gdy drzwi nagle się otworzyły i ukazała się w nich moja żona.

Na jej widok oniemiałem ze zdumienia, jednak moje emocje były niczym w porównaniu z tymi, które pojawiły się na jej twarzy, gdy nasze spojrzenia się spotkały. Przez moment wydawało mi się, że chce się cofnąć i ukryć w domu. Po chwili jednak, widząc, że nic jej z tego nie przyjdzie, podeszła do mnie z pobladłą twarzą i przerażonymi oczyma, które stały w sprzeczności z uśmiechem na jej ustach.

– Och, Jack – powiedziała. – Właśnie zajrzałam do naszych nowych sąsiadów, żeby zapytać, czy mogę im w czymś pomóc. Czemu tak na mnie patrzysz? Jesteś na mnie zły?

– A więc – odparłem – to tutaj byłaś w nocy.

– Co masz na myśli? – zapytała.

– Byłaś tutaj, jestem tego pewien. Kim są ci ludzie, że musisz ich odwiedzać o tak dziwnej porze?

– Nie byłam tutaj przedtem.

– Jak możesz mnie tak okłamywać?! – zawołałem. – Nawet twój głos się zmienia, kiedy kłamiesz. Czy ja miałem kiedyś przed tobą jakiekolwiek tajemnice? Wejdę teraz do tego domu i wyjaśnię sprawę do końca.

– Nie, Jack! Nie! Proszę, na Boga! – jęknęła Effie, nie panując już nad emocjami. A potem, gdy podszedłem do drzwi, chwyciła mnie za rękaw i pociągnęła w tył z niespotykaną siłą.

– Zaklinam cię, Jack, nie rób tego! – zawołała. – Przysięgam, że pewnego dnia powiem ci o wszystkim! Ale jeśli teraz wejdziesz do tego domu, nie wyniknie z tego nic prócz nieszczęścia.

Kiedy próbowałem się od niej uwolnić, przywarła do mnie i zaczęła błagać.

– Zaufaj mi, Jack! – krzyknęła. – Zaufaj mi tylko ten jeden raz. Nigdy nie będziesz miał powodów, żeby tego żałować. Wiesz, że nie miałabym przed tobą żadnych tajemnic, gdyby nie chodziło o twoje własne dobro. Tu chodzi o całe nasze życie, Jack. Jeśli wrócisz ze mną do domu, wszystko będzie dobrze. Ale jeśli będziesz się upierał, żeby wejść do tego domku, wszystko się między nami skończy.

Wypowiedziała to z taką powagą i desperacją, że zatrzymałem się w miejscu i niezdecydowany stałem pod drzwiami.

– Zaufam ci, Effie, ale tylko pod jednym warunkiem – wydusiłem z siebie wreszcie. – Nie będzie więcej między nami żadnych sekretów. Możesz nie zdradzać mi swojej tajemnicy, ale musisz obiecać, że koniec z tymi nocnymi wizytami i że nic więcej nie będziesz przede mną ukrywać. Zapomnę o tym, co dotąd zrobiłaś, jeśli mi przysięgniesz, że nie zrobisz już niczego takiego w przyszłości.

– Byłam pewna, że mi zaufasz – zawołała z ogromną ulgą. – Będzie dokładnie tak, jak sobie życzysz. Chodź już, proszę, chodź już ze mną do domu.

Wciąż trzymając mnie za rękaw, odciągnęła mnie od domku. Gdy się oddalaliśmy, spojrzałem za siebie i znów ujrzałem tę sinożółtą twarz obserwującą nas z okna na górze. Cóż mogło łączyć to stworzenie i moją żonę? I w jaki sposób mogła być z nią związana ta opryskliwa, nieuprzejma kobieta, którą spotkałem dzień wcześniej? Była to dziwna zagadka, a jednak wiedziałem, że nie zaznam spokoju, dopóki jej nie rozwiążę.

Przez dwa dni po tym wydarzeniu siedziałem cały czas w domu, a moja żona najwyraźniej lojalnie dotrzymywała naszej umowy, bo o ile mi wiadomo, nigdzie nie wychodziła. Jednakże trzeciego dnia uzyskałem wystarczające dowody, że uroczyste obietnice jej nie powstrzymały i znów opuściła swojego męża, porzucając obowiązki domowe.

Tego dnia pojechałem do miasta, wróciłem jednak pociągiem o 2.40, nie zaś o 3.36, tak jak zazwyczaj. Gdy wszedłem do domu, do holu wpadła pokojówka z przerażoną twarzą.

– Gdzie jest twoja pani? – spytałem.

– Chyba wyszła na spacer – odparła.

W mojej głowie natychmiast zbudziły się podejrzenia. Wbiegłem pędem po schodach na górę, aby się upewnić, że Effie nie ma w domu. Przypadkiem wyjrzałem przez jedno z okien na piętrze i zobaczyłem, że pokojówka pędzi na przełaj przez pole w kierunku domku. Rzecz jasna pojąłem, co to wszystko oznacza. Żona poszła tam i poprosiła pokojówkę, aby ta zawołała ją, gdybym przypadkiem wrócił wcześniej. Kipiąc z gniewu, popędziłem za dziewczyną i szybkim krokiem przemierzyłem pole z silnym postanowieniem, że zakończę tę sprawę raz na zawsze. Ujrzałem moją żonę i pokojówkę biegnące alejką, lecz nie zatrzymałem się, by z nimi porozmawiać. To w tym domku krył się sekret rzucający cień na całe moje życie. Poprzysiągłem sobie, że co ma być, to będzie, ale ta sprawa nie może pozostać już dłużej tajemnicą. Gdy doszedłem do drzwi, nawet nie zapukałem, lecz po prostu chwyciłem za klamkę i wpadłem do korytarza.

Na parterze panowała cisza. W kuchni gotowała się woda w czajniku, a w koszyku spał zwinięty w kłębek wielki czarny kot. Nie natknąłem się jednak na żaden ślad kobiety, którą tu wcześniej widziałem. Wpadłem do drugiego pomieszczenia, lecz tam również było pusto. Następnie popędziłem schodami na górę, tylko po to, aby się przekonać, że dwa pozostałe pokoje także są opuszczone. W całym domu nie było żywej duszy.

Wnętrze zdobiły pospolite meble i obrazy, z wyjątkiem jednego pokoju, tego, z którego okna spoglądała na mnie ta dziwna twarz. Pomieszczenie urządzono wygodnie i elegancko. Gdy ujrzałem, że na kominku stoi kopia dużej fotografii przedstawiającej moją żonę (a zdjęcie zamówiłem zaledwie trzy miesiące temu), wszystko się we mnie zagotowało. W jednej chwili wróciły wszystkie podejrzenia.

Zostałem w domku tak długo, by się upewnić, że nikt się w nim nie ukrył. Wyszedłem stamtąd z ciężkim sercem. Dotychczas nic podobnego mi się nie zdarzyło. Gdy wróciłem do domu, Effie wybiegła do holu. Czułem się zbyt zraniony i wściekły, aby z nią rozmawiać, minąłem ją więc i udałem się do swego gabinetu. Poszła jednak za mną i weszła do środka, zanim zdążyłem zamknąć drzwi.

– Przykro mi, Jack, że złamałam daną ci obietnicę – powiedziała. – Jestem jednak przekonana, że gdybyś znał wszystkie okoliczności, wybaczyłbyś mi.

– W takim razie opowiedz mi o wszystkim – powiedziałem.

– Nie mogę, Jack. Nie mogę! – zawołała.

– Dopóki mi nie powiesz, kto mieszka w tym domku i komu dałaś swoją fotografię, nie może być mowy o żadnym zaufaniu pomiędzy nami – powiedziałem i, wyrywając się z jej objęć, wyszedłem z domu.

To się działo wczoraj, panie Holmes. Od tej pory nie widziałem żony i nie dowiedziałem się niczego więcej. Po raz pierwszy na nasze życie padł cień, i tak bardzo to mną wstrząsnęło, że nie mam pojęcia, co teraz uczynić. Dziś rano nagle przyszło mi do głowy, że jest pan właściwym człowiekiem, do którego powinienem się zwrócić po poradę. Pospieszyłem więc jak najszybciej na spotkanie z panem i całkowicie oddaję się w pańskie ręce. Jeśli jakaś kwestia wymaga szerszych wyjaśnień, proszę mi o tym powiedzieć. Przede wszystkim jednak niech mi pan poradzi, co mam zrobić, bo cała ta nieszczęsna historia to więcej, niż jestem w stanie znieść.

Holmes i ja słuchaliśmy z ogromnym zainteresowaniem tej niezwykłej historii opowiadanej w chaotyczny sposób, tak typowy dla człowieka szarpanego skrajnymi emocjami. Mój przyjaciel przez jakiś czas siedział w milczeniu, pogrążony w myślach, oparłszy na dłoni podbródek.

– Proszę mi powiedzieć – odezwał się wreszcie – czy mógłby pan przysiąc, że ta twarz, którą widział pan w oknie, była twarzą mężczyzny?

– Za każdym razem, kiedy ją widziałem, byłem dość daleko, tak więc nie potrafię na to jednoznacznie odpowiedzieć.

– Wydaje się jednak, że zrobiła ona na panu bardzo przykre wrażenie.

– Miała nienaturalny kolor, a jej rysy wyglądały na dziwnie nieruchome. Kiedy się zbliżałem, znikała błyskawicznie.

– Ile czasu upłynęło, odkąd żona poprosiła pana o sto funtów?

– Prawie dwa miesiące.

– Widział pan kiedyś zdjęcie jej pierwszego męża?

– Nie. Tuż po jego śmierci w Atlancie wybuchł wielki pożar, i wszystkie dokumenty uległy zniszczeniu.

– A jednak miała akt zgonu. Wspominał pan, że go widział.

– Tak. Po pożarze Effie dostała duplikat.

– Czy spotkał pan kiedyś kogoś, kto znał pańską żonę w Stanach?

– Nie.

– Czy wspominała kiedykolwiek o tym, że chciałaby tam pojechać?

– Nie.

– A może dostawała stamtąd jakieś listy?

– Nie.

– Dziękuję panu. Teraz chciałbym zastanowić się trochę nad tą sprawą. Jeśli domek został opuszczony na stałe, możemy mieć pewne trudności. Z drugiej jednak strony – a przypuszczam, że jest to bardziej prawdopodobne – jeżeli jego mieszkańcy zostali ostrzeżeni o tym, że pan nadchodzi i udało im się wczoraj wymknąć, nim wtargnął pan do środka, to być może już tam wrócili, a wtedy z łatwością wszystko wyjaśnimy. Radzę więc panu, by wrócił do Norbury i uważnie się przyglądał oknom domku. Jeśli będzie miał pan powody sądzić, że znów ktoś w nim mieszka, proszę tam nie wchodzić, lecz wysłać telegram do mnie i mojego przyjaciela. Przybędziemy do pana w ciągu godziny od jego otrzymania, a wtedy bardzo szybko dotrzemy do sedna sprawy.

– A jeśli domek nadal będzie pusty?

– W takim razie przybędę do pana jutro i omówimy to razem. Do zobaczenia! I przede wszystkim proszę się nie denerwować, dopóki nie będzie pan pewien, że ma rzeczywiście ku temu powody.

– Obawiam się, że to przykra sprawa, Watsonie – rzekł mój przyjaciel, po tym jak odprowadził pana Granta Munro do drzwi. – Co o tym wszystkim sądzisz?

– Brzydko mi to pachnie – odparłem.

– Owszem. O ile się nie mylę, mamy tu do czynienia z szantażem.

– A kim jest szantażysta?

– No cóż, musi nim być ta osoba mieszkająca w wygodnie urządzonym pokoju i trzymająca fotografię pani Munro nad kominkiem. Daję ci słowo, Watsonie, coś mnie bardzo pociąga w tej sinożółtej twarzy przy oknie i za żadne skarby świata nie chciałbym przegapić tej sprawy.

– Masz już jakąś teorię?

– Tak. Prowizoryczną. Będę jednak bardzo zaskoczony, jeśli nie okaże się prawdziwa. W tym domku mieszka pierwszy mąż tej kobiety.

– Po czym to wnosisz?

– A w jaki inny sposób można by wytłumaczyć jej potworne przerażenie, gdy jej drugi mąż chciał wejść do środka? Według mnie fakty wyglądają

mniej więcej tak: ta kobieta ma męża w Ameryce. Nagle pojawiają się u niego jakieś odrażające cechy albo, powiedzmy, zaczyna ciężko chorować. Może to trąd, a może upośledzenie umysłowe. W końcu kobieta ucieka od niego i wraca do Anglii. Zmienia nazwisko i, jak jej się wydaje, rozpoczyna życie na nowo. Od trzech lat jest mężatką. Wierzy, że jej pozycja jest dość pewna, bo przecież pokazała mężowi akt zgonu jakiegoś człowieka, którego nazwisko przyjęła. Nagle pierwszy małżonek Effie odkrywa miejsce jej pobytu. Być może robi to jakaś pozbawiona skrupułów kobieta, która się z nim związała. Piszą do nieszczęsnej i grożą jej, że przyjadą i wydadzą jej sekret. Ona prosi męża o sto funtów i próbuje ich przekupić. Mimo to jednak przyjeżdżają, a gdy mąż wspomina żonie mimochodem, że w domku pojawili się nowi lokatorzy, ona w jakiś sposób przeczuwa, że są to jej prześladowcy. Czeka, aż mąż zaśnie, a potem biegnie do nich i próbuje ich przekonać, by zostawili ją w spokoju. Kiedy to się nie udaje, wraca do domku następnego ranka, a jej mąż spotyka ją, gdy stamtąd wychodzi, tak jak nam to opowiedział. Wówczas żona obiecuje mu, że więcej do sąsiadów nie pójdzie, jednak po dwóch dniach idzie tam ponownie, żywiąc nadzieję, że tym razem uda jej się pozbyć tych okropnych ludzi. Podejmuje więc kolejną próbę, zabierając ze sobą tę oto fotografię, której prawdopodobnie od niej zażądali. W samym środku rozmowy wpada pokojówka, ostrzegając ją, że pan domu powrócił. Wtedy Effie, domyślając się, że mąż uda się prosto do domku, nakazuje jego mieszkańcom, aby jak najszybciej uciekali przez tylne drzwi, prawdopodobnie do pobliskiego jodłowego gaju, o którym wspominał nam pan Munro. To właśnie dlatego nikogo tam nie zastał. Będę jednak bardzo zaskoczony, jeśli dziś wieczorem po jego powrocie domek nadal będzie pusty. Co sądzisz o mojej teorii?

– To wszystko czyste domysły.

– Ale przynajmniej wyjaśniają wszystkie fakty. Gdy zdobędziemy nowe informacje, których w tej chwili nam brak, będziemy mieli dość czasu, aby sprawę jeszcze raz przemyśleć. A teraz nie możemy już nic więcej zrobić, dopóki nasz przyjaciel z Norbury nie prześle nam wiadomości.

Nie musieliśmy jednak długo czekać. Telegram nadszedł dokładnie w chwili, gdy skończyliśmy pić herbatę. „W domku znów są mieszkańcy” – brzmiała jego treść. – „Znowu widziałem tę twarz w oknie. Wyjdę

na pociąg o siódmej i nie będę podejmował żadnych kroków do waszego przyjazdu”.

Gdy wysiedliśmy z pociągu, czekał już na peronie. W słabym świetle lamp dostrzegliśmy, że był bardzo blady i drżał ze zdenerwowania.

– Wciąż tu są, panie Holmes – powiedział, chwytając mojego przyjaciela mocno za rękaw. – Gdy przyjechałem, widziałem w domku światła. Wyjaśnijmy tę sprawę raz na zawsze!

– A więc jaki ma pan plan? – spytał Holmes, gdy szliśmy ciemną aleją wysadzaną po obu stronach drzewami.

– Wtargnę do środka i na własne oczy się przekonam, kto mieszka w tym domku. Panowie, pragnąłbym, abyście byli tam obaj, jako świadkowie.

– Jest pan całkowicie zdecydowany, aby to zrobić mimo ostrzeżeń pańskiej żony, że będzie lepiej, jeśli nie rozwiąże pan tej zagadki?

– Tak. Tak postanowiłem.

– Uważam, że postępuje pan słusznie. Jakkolwiek by było, pewność jest zawsze lepsza od niejasnych przypuszczeń. Najlepiej pójdźmy tam od razu. Oczywiście z prawnego punktu widzenia postępujemy zupełnie niesłusznie. Myślę jednak, że gra jest warta świeczki.

Noc była bardzo ciemna, a gdy skręciliśmy z głównej drogi w wąską, poznaczoną głębokimi koleinami alejkę z żywopłotem po obu stronach, zaczęło mżyć. Pan Grant Munro niecierpliwie parł do przodu, my zaś szliśmy za nim, starając się dotrzymać mu kroku.

– To okna mojego domu – wymamrotał, wskazując na światła migoczące pomiędzy drzewami. – A tam jest domek, do którego zamierzam wejść.

Gdy to mówił, dotarliśmy właśnie do zakrętu alejki i ujrzeliśmy stojący nieopodal niewielki budynek. Żółte pasmo odcinające się od czarnego tła wskazywało, że drzwi są niedomknięte, a w jednym z okien na piętrze paliło się jasne światło. Kiedy w nie spojrzeliśmy, dostrzegliśmy ciemny, niewyraźny kształt poruszający się za zasłoną.

– To ta istota! – krzyknął Grant Munro. – Sami panowie widzą, że ktoś tam jest. A teraz chodźcie za mną. Za chwilę wszystkiego się dowiemy.

Podeszliśmy do drzwi, lecz nagle z cienia wyłoniła się jakaś kobieta i stanęła w złotym paśmie światła lampy. W ciemnościach nie byłem w stanie dostrzec jej twarzy, wyciągnęła jednak ramiona w błagalnym geście.

– Na Boga! Nie rób tego, Jack! – krzyknęła. – Przeczuwałam, że dzisiaj tutaj przyjdziesz. Zastanów się nad tym, ukochany! Zaufaj mi raz jeszcze, a nigdy nie będziesz miał powodów, by tego żałować.

– Już za długo ci ufałem, Effie! – zawołał stanowczym głosem jej mąż. – Puść mnie! Muszę tam wejść! Moi przyjaciele i ja załatwimy tę sprawę ostatecznie!

Odsunął ją na bok. Gdy szarpnięciem otworzył drzwi, wybiegła ku nam jakaś starsza kobieta i próbowała zagrodzić mu drogę, jednak odepchnął ją i chwilę później wszyscy byliśmy już na schodach. Grant Munro wtargnął do jasno oświetlonego pokoju na górze, my zaś wbiegliśmy tuż za nim.

Był to przytulny, ładnie urządzony pokój. Dwie świece paliły się na stole i dwie na kominku. W rogu stało biurko, przy którym siedziała, skulona, jakaś istotka wyglądająca na małą dziewczynkę. Kiedy weszliśmy, jej twarz odwrócona była w drugą stronę, dostrzegliśmy jednak, że jest ubrana w czerwoną sukienkę i ma długie białe rękawiczki. Gdy na nas spojrzała, z gardła wyrwał mi się okrzyk przerażenia. Twarz, która zwróciła się ku nam, miała bardzo dziwną sinożółtą barwę, zaś jej rysy były całkowicie pozbawione jakiegokolwiek wyrazu. Jednakże chwilę później wszystko stało się jasne. Holmes ze śmiechem przesunął dłoń za ucho dziecka i zdjął mu z twarzy maskę. Naszym oczom ukazała się czarna jak węgiel twarz małej Murzynki. W rozbawieniu błysnęła białymi zębami, widząc nasze osłupiałe miny. Ja również wybuchnąłem śmiechem, tylko Grant Munro stał jak oniemiały, wpatrując się w dziewczynkę i trzymając się ręką za gardło.

– Mój Boże! – wykrzyknął. – Co to ma znaczyć?

– Powiem ci, co to ma znaczyć! – zawołała jego żona, wpadając do pokoju z dumą i desperacją wypisanymi na twarzy. – Zmusiłeś mnie, żebym ci powiedziała, choć miałam pewność, iż będzie lepiej dla nas obojga, jeśli tego nie zrobię. Teraz musimy wspólnie znaleźć jak najlepsze rozwiązanie. Mój mąż zmarł w Atlancie. Moje dziecko przeżyło.

– Twoje dziecko?

Zdjęła z szyi duży srebrny medalion.

– Nigdy nie widziałeś, co jest w środku?

– Myślałem, że się nie otwiera.

Dotknęła sprężynki, i wieczko medalionu odskoczyło. Wewnątrz znajdował się portret mężczyzny – niezwykle przystojnego i inteligentnego,

lecz o rysach twarzy ewidentnie świadczących o jego afrykańskim pochodzeniu.

– To jest John Hebron z Atlanty – powiedziała kobieta. – Najszlachetniejszy człowiek, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. Żeby go poślubić, odcięłam się od własnej rasy, ale nigdy, ani przez chwilę, tego nie żałowałam. Na nieszczęście nasze jedyne dziecko odziedziczyło wygląd po jego przodkach, nie po moich. Często tak się dzieje w podobnych związkach; mała Lucy ma skórę o wiele ciemniejszą od skóry swego ojca. Ale czy ma skórę ciemną, czy jasną, i tak jest i zawsze będzie moją ukochaną córeczką.

Słysząc te słowa, dziewczynka podbiegła i uchwyciła się sukni pani Munro.

– Zostawiłam ją w Ameryce – mówiła dalej kobieta – tylko dlatego, że była słabego zdrowia i taka zmiana mogłaby jej zaszkodzić. Została powierzona opiece wiernej szkockiej służącej, która niegdyś dla nas pracowała. Nigdy, nawet przez moment, nie myślałam o tym, żeby się jej wyrzec. Kiedy jednak los sprawił, że pojawiłeś się na mojej drodze, Jacku, i kiedy cię pokochałam, bałam się powiedzieć ci o moim dziecku. Niech Bóg mi wybaczy. Przestraszyłam się, że mogę cię utracić, dlatego nie miałam odwagi ci tego wyznać.

Musiałam wybierać pomiędzy wami dwojgiem i w swej słabości odwróciłam się od mojej małej dziewczynki. Przez trzy lata ukrywałam przed tobą jej istnienie, dostawałam jednak wieści od opiekunki i wiedziałam, że wszystko u niej dobrze. W końcu jednak poczułam przemożne pragnienie, żeby znów zobaczyć moje dziecko. Walczyłam z tym, lecz na próżno.

Choć wiedziałam, jakie to ryzykowne, postanowiłam sprowadzić tu córeczkę przynajmniej na parę tygodni. Wysłałam opiekunce sto funtów i przekazałam instrukcje dotyczące tego domku, tak by zjawiła się tutaj jako sąsiadka, na pozór w żaden sposób ze mną nie związana. Byłam tak ostrożna, że posunęłam się nawet do tego, by kazać jej za dnia trzymać dziewczynkę w środku i zasłaniać jej twarzyczkę i dłonie, aby nawet ci, którzy zobaczą ją przez okno, nie plotkowali o czarnym dziecku w sąsiedztwie. Być może postąpiłabym mądrzej, nie będąc aż tak zapobiegliwą, lecz paraliżował mnie strach, że możesz poznać prawdę.

To ty powiedziałeś mi pierwszy, że domek jest zamieszkany. Powinnam była zaczekać, aż nadejdzie poranek, byłam jednak tak podekscytowana, że nie mogłam zasnąć i w końcu się wymknęłam, wiedząc, jak trudno cię obudzić. Ty jednak widziałeś, jak wychodzę, i tak zaczęły się moje kłopoty. Następnego dnia mogłeś już poznać moją tajemnicę, lecz ty szlachetnie postanowiłeś nie wykorzystywać swojej przewagi. Jednak trzy dni później opiekunka i dziecko ledwie zdążyły uciec przez tylne drzwi, gdy ty wpadłeś do domku od frontu. Tej nocy poznałeś wreszcie całą prawdę, pytam cię więc teraz, co się z nami stanie. Z moim dzieckiem i ze mną – złożyła dłonie, czekając na jego odpowiedź.

Upłynęło całe dziesięć minut – czas, który wydawał nam się dłużyć w nieskończoność – nim Grant Munro przerwał w końcu milczenie. Jego odpowiedź jest jedną z tych, które uwielbiam wspominać. Wziął dziewczynkę na ręce, pocałował ją, a potem, wciąż trzymając ją w objęciach, wyciągnął drugą dłoń do żony i skierował się do drzwi.

– Lepiej porozmawiajmy o tym w domu – powiedział. – Nie jestem jakimś szczególnie dobrym człowiekiem, Effie, ale myślę, że lepszym, niż sądziłaś.

Holmes i ja poszliśmy za nimi w dół alejki. Gdy już odchodziliśmy, mój przyjaciel pociągnął mnie za rękaw.

– Myślę – powiedział – że bardziej się teraz przydamy w Londynie niż w Norbury.

Nie wspomniał ani słowem o tej sprawie aż do późna w nocy, gdy z zapaloną świecą w ręce szedł do swojej sypialni.

– Watsonie – rzekł – gdybyś kiedykolwiek odniósł wrażenie, że zanadto ufam swoim zdolnościom lub poświęcam danej sprawie mniej uwagi i wysiłku, niż faktycznie na to zasługuje, proszę, szepnij mi tylko do ucha: „Norbury”, a będę ci bezgranicznie wdzięczny.

Rozdział trzeci

Pracownik biura maklerskiego

Wkrótce po tym, jak się ożeniłem, kupiłem gabinet lekarski w dzielnicy Paddington. Stary pan Farquhar, od którego go nabyłem, prowadził niegdyś doskonale prosperującą praktykę. Niestety, jego wiek oraz choroba św. Wita, jakiej się nabawił, bardzo przerzedziły grono jego pacjentów. To zupełnie naturalne, że ludzie żyją w przekonaniu, iż ten, kto leczy innych, sam powinien być zdrowy; patrzą więc krzywo na lekarza, który nie potrafi wyleczyć własnej choroby. Dlatego też gdy mój poprzednik zachorował, jego praktyka zaczęła podupadać, a dochody rzędu 1200 funtów spadły do niewielu ponad 300 rocznie. Tak było, gdy ją od niego odkupiłem. Byłem jednak pewien, że moja młodość i energia sprawią, że w ciągu kilku lat praktyka znów będzie kwitła tak, jak niegdyś.

Przez trzy miesiące po jej przejęciu cały niemal czas poświęcałem pracy i rzadko widywałem mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa. Sam byłem zbyt zajęty, by odwiedzać go na Baker Street, on zaś rzadko wychodził z domu, chyba że w sprawach zawodowych. Z tegoż powodu byłem niezmiernie zaskoczony, gdy pewnego czerwcowego ranka, odpoczywając po śniadaniu i czytając „British Medical Journal”, usłyszałem dźwięk dzwonka u drzwi, a chwilę później wysoki, nieco ostry głos mojego starego przyjaciela.

– Ach, mój drogi Watsonie – zaczął, wchodząc do pokoju. – Tak bardzo się cieszę, że cię widzę! Mam nadzieję, że pani Watson nie jest już tak roztrzęsiona, jak po naszej przygodzie ze „Znakiem czterech”?

– Dziękuję, oboje mamy się wyśmienicie – odparłem, serdecznie ściskając mu dłoń.

– I ufam – ciągnął dalej Holmes, siadając w bujanym fotelu – że praktyka lekarska nie zniweczyła całkowicie twojego wcześniejszego zamiłowania

do rozwiązywania zagadek kryminalnych?

– Wręcz przeciwnie – odparłem. – Nie dalej jak zeszłego wieczoru przeglądałem moje stare notatki i segregowałem sprawy, którymi się wspólnie zajmowaliśmy.

– A więc uważasz naszą kronikę za zamknięte?

– Bynajmniej. Niczego bardziej nie pragnę, niż przeżyć więcej takich przygód.

– Czy dzisiaj także?

– Choćby i dzisiaj. Jeśli tylko masz na to ochotę.

– I nawet jeśli to będzie daleko, na przykład w Birmingham?

– Oczywiście. Jeżeli tego sobie życzysz.

– A twoja praktyka?

– Pracuję za mojego sąsiada, kiedy ten musi gdzieś wyjechać. Zapewne chętnie spłaci mi ten dług.

– Ha! A więc doskonale – powiedział Holmes, rozpierając się w fotelu i patrząc na mnie swym bystrym wzrokiem spod na wpół przymkniętych powiek. – Odnoszę wrażenie, że ostatnio nieco chorowałeś. Latem przeziębienia są zawsze dość uciążliwe.

– W zeszłym tygodniu przez trzy dni nie wychodziłem z domu, bo miałem silne dreszcze. Myślałem jednak, że nie pozostał już po tym żaden ślad.

– Bo nie pozostał. Wyglądasz wyjątkowo krzepko i zdrowo.

– W takim razie skąd wiesz, że byłem chory?

– Mój drogi przyjacielu, przecież znasz moje metody.

– A więc wydedukowałeś to?

– Oczywiście.

– A na jakiej podstawie?

– Na podstawie twoich pantofli.

Spojrzałem w dół na moje nowe pantofle z lakierowanej skóry, które miałem właś-nie na nogach.

– Jak u licha… – zacząłem, jednak Holmes odpowiedział na moje pytanie, jeszcze zanim zdążyłem je zadać.

– Twoje pantofle są nowe – powiedział. – Nie możesz mieć ich dłużej niż kilka tygodni. Podeszwy, które w tej chwili zwrócone są do mnie, sprawiają wrażenie trochę osmalonych. Przez chwilę myślałem, że być może najpierw zamokły, a później przypaliły się podczas suszenia. Jednak przy obcasach

są małe okrągłe naklejki ze sklepu. Oczywiście, odpadłyby pod wpływem wilgoci. To zaś oznacza, że siedziałeś z nogami wysuniętymi w kierunku ognia, czego na pewno nie zrobiłby żaden zdrowy człowiek, nawet biorąc pod uwagę fakt, że czerwiec w tym roku jest wyjątkowo wilgotny.

Tak jak zawsze, gdy Holmes wyjaśniał mi swoje rozumowanie, sprawa wydawała się nad wyraz prosta. Odczytał tę myśl z mojej twarzy i uśmiechnął się trochę gorzko.

– Obawiam się, że raczej nie jest to tak imponujące, kiedy ci wszystko wyjaśniam – powiedział. – Wyniki mojego rozumowania bez podawania przyczyn robią o wiele większe wrażenie. A więc jesteś gotów jechać ze mną do Birmingham?

– Oczywiście. Co to za sprawa?

– Opowiem ci wszystko w pociągu. Mój klient czeka na zewnątrz w powozie. Możesz wyruszyć natychmiast?

– Daj mi tylko chwilę.

Nabazgrałem wiadomość dla mojego sąsiada, wbiegłem na górę po schodach, aby wyjaśnić sprawę mojej żonie, i spotkałem się z Holmesem na progu.

– Twój sąsiad jest lekarzem – powiedział, wskazując na mosiężny szyld.

– Tak. Wykupił praktykę, podobnie jak ja.

– Starą i uznaną?

– Podobną jak moja. Obie były prowadzone tu od czasu, gdy wybudowano te domy.

– Aha! A więc tobie przypadła ta lepsza.

– Też tak sądzę, ale skąd to wiesz?

– Ze stanu schodów, mój drogi. Twoje są tak wytarte, że stopnie są niższe o trzy cale. Ale, ale… Ten dżentelmen w dorożce to mój klient, pan Hall Pycroft. Pozwól, że mu ciebie przedstawię. Popędź swojego konia, woźnico. Ledwie starczy nam czasu, by zdążyć na pociąg.

Mężczyzna, naprzeciw którego usiadłem, był dobrze zbudowanym młodym człowiekiem o świeżej cerze i szczerej, uczciwej twarzy, którą zdobił niewielki jasny wąsik. Na głowie miał błyszczący kapelusz i ubrany był w skromny i schludny czarny garnitur, w którym wyglądał na tego, kim w istocie był – bystrym młodzieńcem z centrum Londynu, należącym do warstwy określanej mianem cockney. To jej zawdzięczamy nasze pułki ochotnicze. To ona daje nam więcej atletów i sportowców niż jakakolwiek

inna grupa wywodząca się z wyspiarskiego społeczeństwa. Okrągła, rumiana twarz pana Pycrofta wskazywała na wrodzoną wesołość. A jednak opuszczone kąciki jego ust wyrażały jakiś rodzaj smutku, nadając jego twarzy charakter, który wydał mi się na wpół komiczny. Dopiero gdy wszyscy siedzieliśmy już w wagonie pierwszej klasy i mieliśmy za sobą pierwszy etap naszej podróży do Birmingham, dowiedziałem się, jakie to kłopoty sprowadziły go do Sherlocka Holmesa.

– Teraz przez godzinę i dziesięć minut pociąg nie będzie się nigdzie zatrzymywał – zauważył Holmes. – A więc, panie Pycroft, chciałbym, by opowiedział pan mojemu przyjacielowi o swoich niezwykle ciekawych doświadczeniach, dokładnie tak, jak pan opowiedział to mnie, lub, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej szczegółowo. Będzie to dla mnie pomocne, gdy raz jeszcze usłyszę o wszystkich tych wydarzeniach. To sprawa, Watsonie, w której być może coś się kryje. W każdym razie jest ona niezwykła i dziwaczna, a takie cenimy sobie najbardziej. Teraz, panie Pycroft, oddaję panu głos.

Nasz młody towarzysz spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

– Najgorsze w tej historii jest to – powiedział – że czuję się jak jakiś skołowany głupiec. Oczywiście wszystko to może się dobrze skończyć i myślę, że w rezultacie nie mogłem postąpić inaczej, niż postąpiłem. Jeśli jednak stracę moją ciepłą posadkę i nie dostanę nic w zamian, będzie to oznaczało, że jestem skończonym pajacem. Ale kiepski ze mnie gawędziarz, doktorze Watson. Opowiadanie zdarzeń nie wychodzi mi za dobrze. Taki już jestem.

Miałem posadę w Coxon & Woodhouse, w Draper’s Gardens, ale na wiosnę firma musiała zwinąć interes przez tę wenezuelską pożyczkę – jak zapewne pan pamięta – no i zostałem na lodzie. Pracowałem u nich pięć lat, i jak przyszło co do czego, stary Coxon dał mi świetne referencje, ale wszyscy urzędnicy stracili pracę – a było nas dwudziestu siedmiu. Próbowałem szukać posady tu i ówdzie, ale mnóstwo ludzi znalazło się w podobnej sytuacji, i przez długi czas panował kompletny zastój na rynku pracy. W Coxon zarabiałem trzy funty tygodniowo. Odłożyłem sobie około siedemdziesięciu funtów, wkrótce jednak przejadłem wszystkie oszczędności. W końcu nie wiedziałem już, co począć; ledwie było mnie stać na koperty, aby powysyłać odpowiedzi na ogłoszenia, nie mówiąc już o znaczkach, które mógłbym na te koperty poprzyklejać. Zdarłem zelówki

na schodach prowadzących do różnych biur, ale na horyzoncie nie pojawiła się żadna możliwa do przyjęcia posada.

W końcu dowiedziałem się, że w Mawson & Williams, tym wielkim biurze maklerskim na Lombard Street, pojawił się wakat. Przypuszczam, że jako lekarz nie interesuje się pan zbytnio giełdą, ale mogę panu powiedzieć, że to chyba najbogatszy dom maklerski w całym Londynie. Na ogłoszenie należało odpowiedzieć wyłącznie w formie listu. Wysłałem im moje referencje i podanie o pracę, ale nawet się nie łudziłem, że ją dostanę. Otrzymałem jednak odpowiedź: jeśli zjawię się u nich w następny poniedziałek i zrobię na pracodawcach dobre wrażenie, będę mógł natychmiast przyjąć nowe obowiązki. Nikt nie wie, co o tym decyduje. Mówiło się, że kierownik po prostu wsadza rękę w stos podań i wybiera pierwsze lepsze. Tak czy inaczej, wyglądało na to, że los się do mnie uśmiechnął, byłem więc tak szczęśliwy, jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Miałem zarabiać o funt więcej tygodniowo niż w Coxon, a obowiązki miałbym mniej więcej takie same jak u nich.

No i teraz dochodzę do najdziwniejszej części tej historii. Mieszkałem na stancji w Hampstead, przy Potter’s Terrace, pod numerem 17. Jeszcze tego samego wieczora, po tym jak zaproponowano mi pracę, siedziałem i paliłem papierosa. Nagle do moich drzwi zapukała właścicielka mieszkania i przyniosła wizytówkę, na której widniał napis: „Arthur Pinner, agent finansowy”. Nigdy przedtem nie słyszałem tego nazwiska i nie miałem pojęcia, czego ten jegomość mógłby ode mnie chcieć, ale oczywiście poprosiłem, by go wprowadziła. Do pokoju wszedł mężczyzna średniego wzrostu, ciemnowłosy, ciemnooki, z czarną brodą i charakterystycznym semickim nosem. Był energiczny, mówił szybko i zdecydowanie, jak człowiek, który nie lubi marnować czasu.

– Pan Hall Pycroft, jak sądzę? – powiedział.

– Tak, zgadza się – odparłem, podsuwając mu krzesło.

– Ostatnio zatrudniony w Coxon & Woodhouse?

– Tak.

– A obecnie pracownik Mawson?

– Zgadza się.

– Cóż – powiedział – słyszałem kilka naprawdę zadziwiających historii na temat pańskich zdolności. Pamięta pan Parkera, byłego kierownika w Coxon? Wychwalał pana pod niebiosa.

Rzecz jasna słuchałem tego z zadowoleniem. Zawsze w pracy starałem się, jak mogłem, nigdy jednak nie marzyłem nawet o tym, by tak dobrze o mnie mówiono.

– Ma pan dobra pamięć? – zapytał.

– Nie najgorszą – odparłem skromnie.

– Śledził pan rynek w czasie, gdy był pan bez pracy? – pytał dalej.

– Tak, co rano czytałem notowania giełdowe.

– Ha, to świadczy o prawdziwym zaangażowaniu! – zawołał. – Tak właśnie dochodzi się do bogactwa. Nie ma pan nic przeciwko temu, żebym pana sprawdził? Spójrzmy… Jak stoi Ayrshires?

– Sto sześć i jedna czwarta do sto pięć i siedem ósmych.

– A nowozelandzki fundusz konsolidacyjny?

– Sto cztery.

– A British Broken Hills?

– Siedem do siedem i sześć.

– Cudownie! – zawołał, unosząc w górę ręce. – Sprawdza się wszystko to, co o panu słyszałem. Mój drogi młodzieńcze, jest pan o wiele za dobry na to, by być jakimś urzędniczyną w Mawson!

Jak pan sobie zapewne wyobraża, zaskoczył mnie ten wybuch entuzjazmu.

– Cóż – odparłem. – Inni ludzie nie cenią mnie tak bardzo jak pan, panie Pinner. Musiałem ciężko walczyć o tę pracę i bardzo się cieszę, że ją mam.

– Człowieku! Możesz mieć o wiele więcej. Zapewniam pana, Pycroft, że to praca poniżej pańskich możliwości. A teraz proszę posłuchać, co ja o tym myślę. Biorąc pod uwagę pańskie zdolności, mam mu niewiele do zaoferowania, ale w zestawieniu z posadą w Mawson to tak, jakby porównać dzień z nocą. Zobaczmy. Kiedy ma pan zacząć pracę w Mawson?

– W poniedziałek.

– Ha, ha! Mógłbym się nawet założyć, że pan tam w ogóle nie pójdzie.

– Nie pójdę do Mawson?

– Tak. Nim nadejdzie ten dzień, będzie pan już kierownikiem Franco-Midland Hardware Company, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością handlującej artykułami żelaznymi i posiadającej sto trzydzieści cztery filie w różnych francuskich miastach i wioskach, nie licząc przedstawicielstwa w Brukseli i w San Remo.

Zaparło mi dech w piersiach.

– Nigdy nie słyszałem o tej firmie – powiedziałem.

– Zapewne nie. Nie starano się o rozgłos, bo cały kapitał był w prywatnych rękach, a to zbyt dobra firma, żeby dopuścić jej akcje do publicznego obrotu. Mój brat Harry Pinner, jej założyciel, został wybrany przez zarząd na dyrektora zarządzającego. Wiedział, że trzymam rękę na pulsie tutaj, w Londynie, i poprosił mnie, bym mu znalazł odpowiedniego człowieka, który zgodzi się dla nas pracować za niewielkie wynagrodzenie. Młodego ambitnego pracownika, kogoś z ikrą. Parker wspominał mi o panu, i to właśnie sprowadziło mnie do pana dziś wieczorem. Niestety, na początek mogę jedynie zaoferować nędzne pięćset funtów.

– Pięćset rocznie?! – krzyknąłem.

– Tylko na początek. Będzie pan miał za to dodatkową prowizję w wysokości jednego procenta od wszystkich transakcji zawartych przez pańskich agentów, i może mi pan wierzyć na słowo, że przyniesie to panu co najmniej drugą pensję.

– Ale ja niczego nie wiem na temat artykułów żelaznych.

– No cóż, mój chłopcze, znasz się za to świetnie na liczbach.

W głowie mi huczało, i ledwie byłem w stanie spokojnie usiedzieć na krześle. Nagle jednak ogarnęły mnie wątpliwości.

– Muszę być z panem szczery – rzekłem. – W Mawson proponują mi tylko dwieście, ale będę za to miał bezpieczną posadę. O pańskiej firmie wiem tak niewiele, że…

– Och, słusznie, słusznie! – zawołał mój gość, niezwykle uradowany. – Widzę, że jest pan dla nas idealnym człowiekiem. Nie wystarczy kilka słów, by pana przekonać. Oczywiście ma pan rację. Oto stufuntowy banknot, i jeśli pan uzna, że możemy razem robić interesy, proszę go zatrzymać w charakterze zaliczki na poczet swojej pensji.

– To bardzo miło z pana strony. Kiedy miałbym przejąć moje nowe obowiązki?

– Proszę być w Birmingham jutro o pierwszej – powiedział. – Mam przy sobie w kieszeni list, który zaniesie pan mojemu bratu. Znajdzie go pan przy Corporation Street pod numerem 126b, gdzie mieści się tymczasowa siedziba firmy. Oczywiście mój brat będzie musiał potwierdzić, że pana zatrudniamy, ale między nami mówiąc, proszę się o to nie obawiać.

– Doprawdy, nie wiem, jak panu dziękować, panie Pinner – powiedziałem.

– Ależ nie trzeba, młodzieńcze. Dostał pan tylko to, na co pan zasługuje. Zostały jeszcze dwie sprawy. Zwykłe formalności, które muszę z panem uzgodnić. Oto kartka papieru. Proszę napisać na niej: „Jestem skłonny podjąć pracę na stanowisku kierownika Franco-Midland Hardware Company, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością, za minimalną pensję w wysokości 500 funtów”.

Zrobiłem to, o co mnie prosił, po czym wręczyłem mu kartkę, którą wsunął do kieszeni.

– Jeszcze jeden szczegół – powiedział. – Co zamierza pan zrobić z Mawson?

Byłem tak uradowany, że całkiem zapomniałem o Mawson.

– Napiszę do nich i zrezygnuję z posady – powiedziałem.

– To dokładnie to, czego nie chciałbym, aby pan zrobił. Pokłóciłem się o pana z kierownikiem w Mawson. Poszedłem tam, by o pana zapytać, a on był bardzo nieuprzejmy. Oskarżył mnie o to, że chcę im ukraść pracownika. W końcu straciłem cierpliwość, i trochę mnie poniosło. „Jeśli chcecie mieć dobrych pracowników, musicie im dobrze płacić”, powiedziałem. A on mi na to: „On woli pracować u nas za mniejsze pieniądze niż u ciebie za duże”. „Założę się o piątaka, że gdy tylko pozna moją ofertę, nigdy już o nim nie usłyszycie”, odparłem. „Załatwione. Wyciągnęliśmy go z rynsztoka, więc tak łatwo od nas nie odejdzie”, odrzekł. Tak się dokładnie wyraził.

– Co za bezczelny łajdak! – zawołałem. – W życiu go nawet nie widziałem na oczy. Czemu miałbym dbać o to, co sobie pomyśli? Skoro pan woli, żebym do niego nie pisał, to oczywiście tego nie zrobię.

– Dobrze! Zakładam, że wszystko ustalone – odparł Pinner, wstając z krzesła. – Cóż, bardzo się cieszę, że zdobyłem dla mojego brata tak dobrego pracownika. Oto sto funtów zaliczki, a tu ma pan list. Proszę zapisać adres: „Corporation Street 126b” i zapamiętać sobie, że ma się pan stawić jutro o pierwszej. Dobranoc. I życzę panu powodzenia, na które pan zasługuje.

Tak mniej więcej wszystko wyglądało, o ile jestem w stanie sobie przypomnieć. Może pan sobie wyobrazić, doktorze Watson, jak uradował mnie ten niezwykły uśmiech losu. Przez pół nocy nie mogłem zasnąć, ciesząc się z okazji, która wpadła mi w ręce, a nazajutrz wyjechałem

do Birmingham. Pociąg przyjeżdżał na miejsce stosunkowo wcześnie, tak więc miałem jeszcze dużo czasu przed umówionym spotkaniem. Zaniosłem swoje rzeczy do hotelu przy New Street, po czym udałem się pod wskazany adres.

Przybyłem na miejsce piętnaście minut przed ustalonym terminem, sądziłem jednak, że nie zrobi to żadnej różnicy. Lokal 126b znajdował się w pasażu pomiędzy dwoma dużymi sklepami. Pasaż prowadził do kamiennych krętych schodów, z których wchodziło się do lokali, wynajmowanych przez różne firmy na biura. Na ścianie na parterze wisiały tablice wszystkich firm mających tam swoje siedziby, nie dostrzegłem jednak szyldu Franco-Midland Hardware Company, spółki z ograniczoną odpowiedzialnością.

Stałem tak przez kilka minut, a serce ściskał mi strach. Zastanawiałem się, czy to wszystko było jedynie wymyślnym oszustwem, gdy nagle zbliżył się jakiś człowiek i zwrócił się do mnie po nazwisku. Był bardzo podobny do tego, który zjawił się u mnie ubiegłego wieczoru; miał taką samą sylwetkę i taki sam głos, był jednak gładko ogolony i miał jaśniejsze włosy.

– Pan Hall Pycroft? – spytał.

– Tak – odparłem.

– Och! Spodziewałem się pana, ale jak widzę, przyszedł pan trochę przed czasem. Dziś rano dostałem list od mojego brata, w którym bardzo wychwalał pańskie zdolności.

– Kiedy pan przyszedł, akurat szukałem państwa biura.

– Nie wywiesiliśmy jeszcze naszego szyldu, bo wynajęliśmy tę tymczasową siedzibę dopiero w zeszłym tygodniu. Proszę za mną. Zaraz wszystko omówimy.

Wszedłem za nim na szczyt wysokich stromych schodów. Tam, na podeście strychu znajdowało się kilka pustych, zakurzonych i małych pomieszczeń, bez żadnych dywanów czy zasłon. Tam właśnie mnie wprowadził. Przedtem wyobrażałem sobie jakieś wielkie biuro z błyszczącymi biurkami i całą rzeszą urzędników, takie, do jakiego byłem przyzwyczajony. Muszę przyznać, że z dość niepewną miną wpatrywałem się w dwa proste krzesła i jeden niewielki stolik, który wraz z księgą rachunkową i koszem na papiery stanowiły cały wystrój pomieszczenia.

– Proszę się nie zrażać, panie Pycroft – powiedział mój nowy znajomy, widząc moją minę. – Rzymu też nie zbudowano w jeden dzień. Mamy

rezerwy finansowe, lecz nie przeznaczyliśmy ich jeszcze na wystrój biur. Proszę, niech pan usiądzie i pokaże mi swój list.

Dałem mu pismo, które bardzo dokładnie przestudiował.

– Najwyraźniej wywarł pan ogromne wrażenie na moim bracie Arthurze – powiedział. – A wiem, że on potrafi bardzo trafnie oceniać ludzi. Rozumie pan, brat odpowiada za Londyn, ja natomiast za Birmingham. Tym razem jednak posłucham jego rady. Od tej chwili proszę się uważać za zatrudnionego w naszej firmie.

– Na czym będą polegały moje obowiązki? – spytałem.

– Będzie pan zarządzał wielkim składem w Paryżu, skąd strumieniami będą płynąć angielskie naczynia stołowe do sklepów stu trzydziestu czterech ajentów we Francji. Zakup zostanie dokonany w ciągu tygodnia, a w tym czasie pozostanie pan tutaj, w Birmingham, i będzie nam pan pomocny.

– W jaki sposób?

W odpowiedzi wyjął z szuflady dużą, czerwoną książkę.

– To jest paryski katalog – powiedział – z firmami i nazwiskami ich właścicieli. Proszę zabrać go ze sobą do domu i zaznaczyć wszystkich sprzedawców artykułów żelaznych wraz z ich adresami. Te informacje będą mi bardzo przydatne.

– Na pewno istnieją jakieś sklasyfikowane listy – zasugerowałem.

– Tak, ale nie ma żadnej rzetelnej. Ich system różni się od naszego. Proszę zrobić tak, jak powiedziałem, i przynieść mi swoją listę w poniedziałek, do godziny dwunastej. Do zobaczenia, panie Pycroft. Życzę miłego dnia. Jeśli nadal będzie się pan wykazywał takim zapałem i inteligencją, będzie pan bardzo zadowolony, mogąc dla nas pracować.

Wróciłem do hotelu z wielką księgą pod pachą, targany bardzo sprzecznymi uczuciami. Z jednej strony, rzeczywiście zostałem zatrudniony, a w kieszeni miałem sto funtów; z drugiej strony, brak szyldu na ścianie czy wygląd biura, które biznesmenowi natychmiast rzucają się w oczy, sprawiły, że miałem dość kiepskie przeczucia co do pozycji moich pracodawców. Pomyślałem jednak, że co ma być, to będzie. Dostałem przecież pieniądze, zabrałem się więc do wykonywania mojego zadania.

Przez całą niedzielę ciężko pracowałem, a jednak w poniedziałek dotarłem dopiero do litery H. Poszedłem do mojego pracodawcy; zastałem go w tym samym nieumeblowanym pomieszczeniu i usłyszałem od niego,

że mam dalej pracować do środy, a następnie znów się do niego zgłosić. W środę zadanie wciąż jeszcze było nieukończone, przełożyłem więc termin na piątek, czyli na wczoraj. Wreszcie zaniosłem moją pracę panu Harry'emu Pinnerowi.

– Bardzo panu dziękuję – powiedział. – Obawiam się, że błędnie oceniłem stopień trudności tego zadania. Pańska lista będzie dla mnie niezwykle pomocna.

– Zajęło mi to trochę czasu – powiedziałem.

– A teraz – odparł – chciałbym, aby sporządził pan listę sklepów z meblami. Jak pan wie, wszystkie one również sprzedają naczynia stołowe.

– Oczywiście.

– Czy może pan przyjść tutaj jutro wieczorem o siódmej i dać mi znać, w jakim tempie posuwa się praca? No i proszę się nie przepracowywać. Miły wieczór w Day's Music Hall nie powinien panu zaszkodzić – mówiąc to, roześmiał się, a mnie natychmiast przebiegł dreszcz, zobaczyłem bowiem, że w jego drugim zębie po lewej stronie tkwiła duża złota plomba.

Sherlock Holmes z zapałem zatarł ręce, ja natomiast wpatrywałem się ze zdumieniem w naszego klienta.

– Wygląda pan na bardzo zaskoczonego, doktorze Watson. A to było tak – powiedział. – Podczas rozmowy z tym pierwszym jegomościem w Londynie on roześmiał się, kiedy usłyszał, że nie będę pracował w Mawson. Wówczas przez przypadek zauważyłem, że ma w zębie złotą plombę. Błysk złota przykuł mój wzrok. Teraz, gdy dodałem do tego jeszcze taki sam głos i identyczną sylwetkę, uświadomiłem sobie, że różnili się wyłącznie tym, co można zmienić dzięki brzytwie lub peruce. Nie miałem już żadnych wątpliwości, że to był jeden i ten sam człowiek. Oczywiście można się spodziewać, że bracia będą do siebie podobni, ale nie do tego stopnia, by mieli identyczną plombę, i to w tym samym zębie!

Pożegnał się ze mną, a ja oszołomiony znalazłem się na ulicy, zupełnie nie wiedząc, co się wokół mnie dzieje. Wróciłem do hotelu, włożyłem głowę do miednicy z zimną wodą i próbowałem wymyślić jakieś rozwiązanie. Dlaczego wysłał mnie z Londynu do Birmingham? Dlaczego dotarł tam przede mną? I dlaczego napisał list do samego siebie? Za dużo było dla mnie tych pytań, i niczego nie byłem w stanie pojąć. A potem nagle przyszło mi do głowy, że to, co jest nieprzeniknione dla mnie, może być całkiem jasne i proste dla pana Sherlocka Holmesa. Miałem akurat tyle

czasu, by dotrzeć do miasta nocnym pociągiem, spotkać się z nim dziś rano i skłonić obu panów do udania się ze mną do Birmingham.

Gdy urzędnik biura maklerskiego zakończył swą niesamowitą opowieść, nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Sherlock Holmes, opierając się na siedzeniu, spojrzał na mnie z zadowoloną i pełną ciekawości miną niczym koneser, który właśnie skosztował pierwszy łyk wina doskonałego rocznika i oczekuje reakcji innych.

– Całkiem niezła historia, prawda, Watsonie? – powiedział. – Są w niej takie elementy, które naprawdę dają mi dużo satysfakcji. Sądzę, że zgodzisz się ze mną, iż rozmowa z panem Arthurem Harrym Pinnerem w tymczasowej siedzibie Franco-Midland Hardware Company byłaby dla nas obu interesującym doświadczeniem.

– Ale jak możemy do tego doprowadzić? – spytałem.

– Och, to bardzo proste – powiedział radośnie Hall Pycroft. – Jesteście panowie moimi przyjaciółmi, którym bardzo przydałaby się praca. A cóż mogłoby wyglądać bardziej naturalnie niż zarekomendowanie was obu dyrektorowi zarządzającemu?

– Oczywiście, ma pan rację – powiedział Holmes. – Chciałbym się przyjrzeć temu dżentelmenowi i sprawdzić, czy potrafię zdemaskować jego grę. Jakież twoje cechy, mój drogi przyjacielu, sprawiłyby, że twoje usługi byłyby dla niego tak cenne? Ale czy to możliwe, że… – urwał nagle i zaczął obgryzać paznokcie, patrząc pustym wzrokiem przez okno, i nie udało nam się wyciągnąć z niego już ani słowa, dopóki nie znaleźliśmy się przy New Street.

Tego wieczora o godzinie siódmej szliśmy we trzech ulicą Corporation Street do siedziby firmy.

– Nie ma żadnego sensu pojawiać się tam przed czasem – rzekł nasz klient. – Najwyraźniej przychodzi tylko po to, aby się ze mną spotkać, bo pomieszczenia są zupełnie puste aż do godziny, na którą się ze mną umawia.

– To bardzo znaczący szczegół – zauważył Holmes.

– Na Jowisza, a nie mówiłem? – zawołał urzędnik. – To on. Idzie teraz przed nami.

Wskazał na drobnego, ciemnowłosego, dobrze ubranego mężczyznę, maszerującego żwawym krokiem drugą stroną ulicy. Gdy go obserwowaliśmy, spojrzał na biegającego wśród dorożek i autobusów

chłopca, krzykiem zachęcającego przechodniów do kupienia ostatniego wydania gazety, po czym przywołał go i kupił egzemplarz. Później, ściskając gazetę w dłoni, wszedł w bramę.

– Jest tam! – zawołał Hall Pycroft. – Poszedł do tego swojego biura. Chodźcie ze mną, panowie, z łatwością to wszystko załatwię.

Weszliśmy za nim na piąte piętro, a następnie dotarliśmy przed uchylone drzwi, do których nasz klient zapukał. Jakiś głos z wewnątrz kazał nam wejść i znaleźliśmy się w ogołoconym, nieumeblowanym pomieszczeniu, dokładnie takim, jakie opisywał nam Hall Pycroft. Przy stoliku siedział mężczyzna, którego widzieliśmy na ulicy, a przed nim leżała rozpostarta wieczorna gazeta. Kiedy na nas spojrzał, odniosłem wrażenie, że nigdy nie widziałem twarzy tak naznaczonej smutkiem i ogromnym przerażeniem, jakie człowiekowi rzadko jest dane w życiu odczuć. Jego czoło błyszczało od potu, policzki były trupioblade niczym rybie podbrzusze, a oczy wpatrywały się w nas dziko. Spojrzał na swojego pracownika tak, jakby go nie rozpoznawał, ja zaś dostrzegłem po tym, jakie zdziwienie odmalowało się na twarzy naszego przewodnika, iż bynajmniej nie był to normalny wygląd jego pracodawcy.

– Czy pan jest chory, panie Pinner? – zawołał.

– Tak, nie czuję się najlepiej – odparł jego pracodawca, wyraźnie próbując wziąć się w garść i oblizując suche usta. – Kim są ci dżentelmeni, których przyprowadził pan ze sobą?

– Jeden to pan Harris z Bermondsey, a drugi to pan Price stąd, z Birmingham – odparł gładko nasz towarzysz. – To moi przyjaciele, ludzie z doświadczeniem, niestety, od pewnego czasu nie mogą znaleźć sobie zajęcia. Mieli nadzieję, że być może da im pan jakąś posadę w swojej firmie.

– Bardzo możliwe! Bardzo możliwe! – zawołał pan Pinner z upiornym uśmiechem. – Tak, nie mam żadnych wątpliwości, że będziemy mogli coś dla panów zrobić. Czym konkretnie się pan zajmuje, panie Harris?

– Jestem księgowym – rzekł Holmes.

– Ach tak. Będziemy potrzebować wielu księgowych. A pan, panie Price?

– Jestem urzędnikiem – powiedziałem.

– Mam nadzieję, że firma będzie mogła was zatrudnić. Powiadomię panów natychmiast, gdy tylko zapadnie decyzja. A teraz, proszę, idźcie już sobie. Na Boga, zostawcie mnie samego!

Te ostatnie słowa wyrzucił z siebie tak, jakby opanowanie, które jakimś cudem udało mu się osiągnąć, pękło nagle niczym bańka mydlana. Holmes i ja spojrzeliśmy po sobie, a Hall Pycroft zrobił krok w kierunku stołu.

– Zapomina pan, panie Pinner, że byłem tu z panem umówiony, ponieważ miał mi pan udzielić pewnych wskazówek – powiedział.

– Oczywiście, panie Pycroft. Oczywiście – powiedział mężczyzna już spokojniejszym tonem. – Może pan tutaj chwilę zaczekać? Nie ma też żadnego powodu, by pańscy przyjaciele nie mogli poczekać z panem. Za trzy minuty będę do panów dyspozycji, o ile mogę was prosić o chwilę cierpliwości. – Wstał i, bardzo uprzejmie się nam kłaniając, wyszedł drzwiami w drugim końcu pomieszczenia. Zamknął je za sobą starannie.

– I co teraz? – wyszeptał Holmes. – Próbuje nam się wymknąć?

– To niemożliwe – odparł Pycroft.

– Dlaczego?

– Te drzwi prowadzą jedynie do kolejnego pomieszczenia.

– Nie ma stamtąd żadnego wyjścia?

– Nie.

– Czy tamten pokój jest umeblowany?

– Jeszcze wczoraj był pusty.

– To cóż, u diabła, może tam robić? W jego zachowaniu jest coś, czego nie rozumiem. Jeśli jest jakiś człowiek, o którym można by powiedzieć, że całkowicie oszalał ze strachu, to powiedziałbym, że nazywa się Pinner. Co go tak przeraziło?

– Przypuszcza, że jesteśmy detektywami – zasugerowałem.

– To musi być to! – zawołał Pycroft.

Ale Holmes pokręcił głową.

– On nie zbladł na nasz widok. Był już blady, gdy tu weszliśmy – powiedział. – Możliwe, że…

Jego słowa przerwało ostre pukanie dochodzące od strony drzwi do dalszego pokoju.

– U licha, po cóż on puka w swoje własne drzwi! – zawołał urzędnik.

Znów dobiegło nas pukanie, tym razem o wiele głośniejsze. Wszyscy z oczekiwaniem wpatrywaliśmy się w zamknięte drzwi. Zerknąłem na Holmesa i zauważyłem, że jego twarz stężała, a on sam, podekscytowany, pochylił się do przodu. Potem dobiegły nas bulgoczący, charczący dźwięk i szybkie pukanie w drewno. Holmes rzucił się jak

szalony przez pokój i pchnął drzwi. Były zamknięte od wewnątrz. Podążając za jego przykładem, naparliśmy na nie całym naszym ciężarem. Usłyszeliśmy trzask jednego z zawiasów, potem drugiego, i drzwi runęły z hukiem. Przeskakując przez nie, wpadliśmy do pokoju. Był pusty.

Jednakże tylko przez chwilę staliśmy zdezorientowani. W rogu pokoju, usytuowanym najbliżej pomieszczenia, z którego właśnie wyszliśmy, były drugie drzwi. Holmes doskoczył do nich i otworzył szarpnięciem. Na podłodze leżały płaszcz i kamizelka, a na haku za drzwiami wisiał na własnych szelkach zaciśniętych wokół szyi dyrektor zarządzający Franco-Midland Hardware Company. Kolana miał podciągnięte w górę, a jego głowa zwisała pod straszliwym kątem. Źródłem hałasu, który przerwał naszą rozmowę, było stukanie jego obcasów o drzwi. W jednej chwili schwyciłem go w pasie i podniosłem do góry, podczas gdy Holmes i Pycroft odwiązali gumowe taśmy, które zacisnęły się i zagłębiły w posiniałych fałdach skóry na szyi. Przenieśliśmy go do drugiego pokoju i położyliśmy na podłodze. Jego twarz miała kolor gliny; przy każdym oddechu sapał przez posiniałe wargi. Pinner był w tej chwili wrakiem człowieka, którego widzieliśmy zaledwie pięć minut wcześniej.

– Co o tym sądzisz, Watsonie? – spytał Holmes.

Pochyliłem się nad nim i zbadałem go. Puls miał słaby i przerywany, ale jego oddech był pełniejszy, zaś powieki zaczęły lekko drżeć, ukazując białka gałek ocznych.

– Jeszcze chwilę temu niewiele można było powiedzieć – odparłem – ale teraz sądzę, że będzie żył. Otwórzcie tylko okno i podajcie mi karafkę z wodą. – Rozpiąłem leżącemu kołnierzyk, oblałem twarz zimną wodą, a następnie zacząłem unosić i opuszczać jego ramiona aż do chwili, gdy zaczął samodzielnie oddychać. – Teraz to tylko kwestia czasu – powiedziałem, odwracając się od niego.

Holmes stał przy stole z opuszczoną głową i rękoma wetkniętymi głęboko w kieszenie spodni.

– Przypuszczam, że powinniśmy teraz powiadomić policję – powiedział. – Przyznaję jednak, że gdy się już tutaj zjawi, chciałbym przedstawić w pełni rozwiązaną sprawę.

– Dla mnie to nadal tajemnica – rzekł Pycroft, drapiąc się po głowie. – Po cóż by mieli sprowadzać mnie aż tutaj, a potem…

– Eee, to akurat jest całkowicie jasne – powiedział zniecierpliwionym głosem Holmes. – Chodziło mi o to jego ostatnie drastyczne posunięcie.

– A więc rozumie pan wszystko?

– Sądzę, że to raczej oczywiste. A co ty powiesz, Watsonie?

Wzruszyłem ramionami.

– Muszę przyznać, że zupełnie nie wiem, o co tu chodzi – powiedziałem.

– Och, jeśli najpierw przeanalizujesz wszystkie wydarzenia, to z pewnością mogą cię one doprowadzić tylko do jednego wniosku.

– Do jakiego mianowicie?

– Cóż, cała ta sprawa obraca się wokół dwóch kwestii. Pierwszą było skłonienie pana Pycrofta do napisania deklaracji, na mocy której zatrudniał się do pracy w tej groteskowej firmie. Czy nie rzuca ci się w oczy, jak bardzo to było sugestywne?

– Obawiam się, że nadal nie wiem, w czym rzecz.

– A dlaczego chcieli, żeby to zrobił? Nie była to sprawa biznesowa, ponieważ takich ustaleń zazwyczaj dokonuje się ustnie. Nie było też żadnych powodów, by w tej sytuacji zrobić jakiś wyjątek. Czy nie zorientowałeś się, mój młody przyjacielu – zwrócił się do Pycrofta – że bardzo im zależało na zdobyciu próbki twojego pisma, ponieważ nie mieli żadnego innego sposobu, aby go zdobyć?

– Ale dlaczego?

– No właśnie, dlaczego? Gdy odpowiemy na to pytanie, zrobimy znaczny postęp w rozwiązaniu tej sprawy. Dlaczego? Może istnieć tylko jeden sensowny powód. Komuś zależało na podrobieniu pańskiego pisma, ale najpierw musiał zdobyć jego próbkę. A teraz, gdy przejdziemy do drugiego zagadnienia, przekonamy się, że są one ze sobą powiązane. Bardzo istotna jest prośba Pinnera, by nie rezygnował pan ze swego stanowiska, lecz wywarł na kierowniku tej ważnej firmy wrażenie, iż pan Hall Pycroft, którego tamten nigdy przedtem nie widział, z całą pewnością zjawi się w biurze w poniedziałek rano.

– O mój Boże! – zawołał nasz klient. – Jakim byłem ślepcem, że tego nie dostrzegłem.

– Teraz już pan rozumie, o co chodziło z tym pismem? Załóżmy, że zamiast pana zjawiłby się ktoś, kogo charakter pisma byłby zupełnie inny od pańskiego. Gdy ubiegał się pan o to stanowisko, przesłał im pan napisane odręcznie podanie. W takiej sytuacji gra oczywiście byłaby

skończona. W tym czasie jednak ten łotr nauczył się naśladować pańskie pismo, a więc jego pozycja była bezpieczna, bo przypuszczam, że nikt w tamtym biurze nigdy pana nie widział.

– Ani jeden człowiek – jęknął Hall Pycroft.

– Bardzo dobrze. Oczywiście niezwykle ważne było, aby się pan nad tym nie zastanawiał oraz nie kontaktował się z nikim, kto mógłby panu powiedzieć, że w Mawson pracuje jakiś człowiek, który się za pana podaje. To właśnie dlatego wypłacili panu hojną zaliczkę i skłonili do wyjazdu do środkowej Anglii, gdzie dostał pan od razu tak dużo pracy, by nie wrócić do Londynu i nie zdemaskować ich gry. Wszystko to jest całkowicie jasne.

– Ale dlaczego ten człowiek udawał, że jest swoim bratem?

– Cóż, to również jest dosyć proste. Najwyraźniej jest ich tylko dwóch. Ten drugi udaje pana w biurze. Nasz podejrzany zaangażował pana do pracy, a potem przekonał się, że nie znajdzie panu pracodawcy, nie wtajemniczając do spisku trzeciej osoby. A tego bynajmniej nie miał ochoty robić. Zmienił więc swój wygląd w takim stopniu, w jakim tylko było to możliwe, licząc na to, iż uzna pan, że podobieństwo, które musiał pan dostrzec, wynika po prostu z pokrewieństwa. Na szczęście zauważył pan złotą plombę, w przeciwnym razie nic nie wzbudziłoby w panu żadnych podejrzeń.

Hall Pycroft potrząsnął zaciśniętą pięścią.

– Dobry Boże! – zawołał. – Co robił ten drugi Hall Pycroft w Mawson, kiedy ja dawałem się tak wodzić za nos? Co możemy zrobić, panie Holmes? Niech mi pan powie, co robić?!

– Musimy wysłać telegram do Mawson.

– W soboty zamykają o dwunastej.

– Nic nie szkodzi. Może tam być jakiś woźny czy strażnik…

– Ależ tak! Ze względu na wartość posiadanych dokumentów zatrudniają na stałe strażnika. Pamiętam, jak mówiono o tym w mieście.

– Doskonale. Wyślemy do niego telegram i dowiemy się, czy wszystko jest u nich w porządku i czy pracuje tam jakiś urzędnik o pańskim nazwisku. To wszystko jest jasne; dalej nie wiem natomiast, dlaczego na nasz widok jeden z tych łotrów natychmiast wyszedł z pokoju i próbował się powiesić.

– Gazeta! – wychrypiał głos za naszymi plecami. Mężczyzna próbował usiąść. Jego twarz wciąż była blada i upiorna, lecz po jego oczach widać

było, że zaczyna trzeźwo myśleć. Dłońmi nerwowo pocierał szeroką czerwoną pręgę, która nadal znaczyła jego gardło.

– Gazeta! Oczywiście! – krzyknął Holmes, ogromnie podekscytowany. – Jakim byłem idiotą! Tak bardzo skupiłem się na naszej wizycie, iż nawet przez chwilę nie przyszło mi do głowy, że mogło chodzić o gazetę. Ależ tak! To w niej należy szukać rozwiązania tej zagadki.

Rozłożył dziennik na stole i wydał triumfalny okrzyk.

– Spójrz na to, Watsonie – zawołał. – To londyńska gazeta, poranne wydanie „Evening Standard”. Tu jest to, czego szukamy. Spójrz na nagłówki: „Zbrodnia w Londynie”, „Morderstwo w Mawson & Williams”, „Usiłowanie przestępstwa na ogromną skalę”, „Złoczyńca ujęty”. Masz, Watsonie, wszyscy jesteśmy ciekawi, żeby jak najszybciej to usłyszeć, więc proszę, przeczytaj nam na głos.

Po rozmiarach nagłówka można było wywnioskować, że było to najważniejsze wydarzenie dnia w mieście. Relacja brzmiała następująco:

> Dziś po południu w Londynie doszło do desperackiej próby rabunku, która doprowadziła do śmierci jednej osoby oraz ujęcia przestępcy. Już od jakiegoś czasu Mawson & Williams, słynny dom maklerski, był w posiadaniu papierów wartościowych o łącznej wartości znacznie przekraczającej milion funtów szterlingów. Kierownik był świadom ogromnej odpowiedzialności, jaka na nim spoczywa, w związku z czym zainstalowano najnowsze sejfy i zatrudniono uzbrojonego strażnika, który czuwał nad budynkiem w dzień i w nocy. W ubiegłym tygodniu w firmie zatrudnił się nowy urzędnik o nazwisku Hall Pycroft. Człowiek ten okazał się nikim innym, jak tylko Beddingtonem, słynnym fałszerzem i włamywaczem, który wraz ze swoim bratem wyszedł niedawno z więzienia po odsiedzeniu pięcioletniego wyroku. Jakimś sposobem, który nie jest dla nas jasny, udało mu się pod fałszywym nazwiskiem otrzymać posadę w wymienionej firmie, żeby zdobyć wzory kluczy do różnych zamków, a także dokładną wiedzę na temat umiejscowienia skarbca i sejfów.
>
> Zazwyczaj w soboty urzędnicy w Mawson kończą pracę w południe. Sierżant Tuson z policji miejskiej był nieco zaskoczony, gdy zobaczył, jak dwadzieścia po pierwszej schodzi po schodach jakiś dżentelmen i niesie torbę podróżną. Wzbudziło to podejrzenia sierżanta, poszedł więc za tym człowiekiem i z pomocą konstabla Pollacka aresztował go mimo zaciekłego oporu, jaki stawiał podejrzany.
>
> Stało się jasne, że próbowano dopuścić się rabunku na gigantyczną skalę. W torbie znaleziono akcje kolei amerykańskich warte niemal sto tysięcy funtów oraz duże ilości akcji bonusowych różnych kopalni i licznych firm. Po dokładnym przeszukaniu pomieszczeń firmy znaleziono ciało nieszczęsnego strażnika wciśnięte do największego z sejfów; nie odkryto by go aż do poniedziałku rano, gdyby nie

szybka akcja sierżanta Tusona. Czaszka mężczyzny została roztrzaskana pogrzebaczem. Cios zadano od tyłu. Nie było żadnych wątpliwości, iż Beddingtonowi udało się wejść do budynku (skłamał po prostu, że coś tam zostawił). Po zabiciu strażnika szybko opróżnił sejf, a następnie próbował zbiec z łupem. Jego brat, a zarazem wspólnik, jak do tej pory nie zgłosił się w związku z tą sprawą, choć policja czyni intensywne starania, aby ustalić jego miejsce pobytu.

– Cóż, przynajmniej pod tym względem możemy zaoszczędzić im trochę kłopotów – rzekł Holmes, zerkając na nieszczęsną postać skuloną przy oknie. – Ludzka natura jest doprawdy przedziwna, Watsonie. Jak widzisz, nawet łotr i morderca może wzbudzać w ludziach takie uczucia, że jego brat próbuje popełnić samobójstwo, dowiedziawszy się, iż grozi mu stryczek. Nie mamy innego wyboru: doktor Watson i ja zostaniemy tu na straży, natomiast pana, Pycroft, proszę, by z łaski swojej powiadomił o wszystkim policję.

Rozdział czwarty

"Gloria Scott"

– Mam tu trochę ciekawych papierów, Watsonie – powiedział mój przyjaciel Sherlock Holmes, gdy pewnego dnia siedzieliśmy przy kominku – i naprawdę uważam, że warto, abyś je przejrzał. To dokumenty dotyczące niezwykłej sprawy „Glorii Scott", a ta oto wiadomość sprawiła, że sędzia pokoju Trevor padł martwy z przerażenia po jej przeczytaniu.

Wyjął z szuflady małą poplamioną tubę na dokumenty i, odkleiwszy zabezpieczającą taśmę, podał mi krótką notatkę zapisaną niestarannym pismem na kartce szaroniebieskiego papieru.

Oto jej treść:

> Londyn sprzedał nam wszystko. Zapasy w magazynach skończone. Tutejszy główny łowczy Hudson chciałby sprowadzić dla nas samice bażantów. Czy wydał pan już dyspozycje? Jedyne oferty to samce. Co kupować? Teraz możemy jeszcze coś z tym zrobić. Lep na muchy to dobra oferta. Musimy natychmiast zadecydować, bo może zniknąć.

Po przeczytaniu tej zagadkowej wiadomości podniosłem wzrok i zobaczyłem, że Holmes chichocze, widząc moją minę.

– Wyglądasz na zdumionego – powiedział.

– Nie potrafię sobie wyobrazić, w jaki sposób ta wiadomość mogłaby kogoś przerazić. Wydaje mi się raczej groteskowa niż straszna.

– Tak, w istocie tak to wygląda. Pozostaje jednak faktem, że krzepki starszy mężczyzna cieszący się dość dobrym zdrowiem padł po jej przeczytaniu jak rażony gromem.

– Wzbudzasz we mnie ciekawość – przyznałem. – Ale czemu mówisz mi o tym właśnie teraz? Czy są jakieś szczególne powody, dla których powinienem zbadać tę sprawę?

– Owszem. Wyobraź sobie, że to była pierwsza sprawa, jaką kiedykolwiek się zajmowałem.

Często próbowałem wyciągnąć z mego towarzysza wyznanie, dlaczego zaczął się zajmować rozwiązywaniem zagadek kryminalnych, jednak nigdy dotąd nie udało mi się skłonić go do zwierzeń na ten temat. Teraz siedział pochylony w swoim fotelu, rozkładając na kolanach dokumenty. Po chwili zapalił fajkę i przez jakiś czas tkwił tak, trzymając ją w zębach i przeglądając papiery.

– Nigdy ci nie opowiadałem o Victorze Trevorze, prawda? – spytał. – Był moim jedynym przyjacielem podczas tych dwóch lat, jakie spędziłem w college'u. Cóż, nigdy nie byłem zbyt towarzyski, Watsonie. Zawsze wolałem zaszywać się w swoim pokoju i doskonalić metodę dedukcji, tak więc nie miałem okazji poznać bliżej ludzi z mojego roku. Nie przejawiałem zamiłowania do sportu, poza szermierką i boksem, a w ogóle wiedza, którą zgłębiałem, różniła się dość znacznie od przedmiotów, jakich uczyli się moi koledzy, dlatego też nie mieliśmy ze sobą prawie nic wspólnego. Trevor był jedynym chłopakiem, którego poznałem, i to tylko przez przypadek: pewnego dnia rano, kiedy szedłem do kaplicy, jego bulterier ugryzł mnie w kostkę.

Był to dość prozaiczny sposób nawiązania przyjaźni, niemniej jednak okazał się skuteczny. Potem przez dziesięć dni nie byłem w stanie chodzić, a Trevor odwiedzał mnie i pytał, jak się czuję. Na początku nasze spotkania trwały krótko, szybko jednak jego wizyty stały się dłuższe, i nim semestr dobiegł końca, byliśmy już bliskimi przyjaciółmi. Serdeczny, pełen wigoru i energii chłopak, pod wieloma względami stanowił moje całkowite przeciwieństwo, łączyły nas jednak pewne zainteresowania, a ponadto gdy odkryłem, że nie miał tak jak i ja przyjaciół, wytworzyła się między nami więź. W końcu zaprosił mnie do rezydencji swojego ojca w Donnithorpe, w Norfolk, ja zaś skorzystałem z jego gościnności i przebywałem tam przez miesiąc podczas letnich wakacji.

Stary Trevor był człowiekiem zamożnym, poważanym sędzią pokoju i właścicielem ziemskim. Donnithorpe to niewielka wioska, trochę na północ od Langmere, we wschodnim zakątku Anglii poprzecinanym rzekami. Mokradła były świetnym miejscem do polowania na dzikie kaczki, a w rzekach było pełno ryb.

Dom okazał się staroświeckim, rozległym ceglanym budynkiem z dębowymi belkami stropowymi, do którego prowadziła piękna, lipowa aleja. Pan Trevor miał niewielką, lecz wyjątkowo bogatą bibliotekę, przejętą, jak się domyśliłem, po poprzednim właścicielu, oraz całkiem znośnego kucharza, więc tylko wyjątkowo wybredny człowiek nie spędziłby tam z przyjemnością kilku tygodni.

Stary Trevor był wdowcem, a mój przyjaciel był jego jedynym synem. Jak słyszałem, miał też córkę, która niestety zmarła na dyfteryt podczas wizyty w Birmingham. Ojciec mego przyjaciela wydał mi się niezwykle ciekawym człowiekiem. Nie był zbyt wykształcony, posiadał jednak ogromny zasób sił zarówno fizycznych, jak i psychicznych. Nie czerpał wiedzy z książek, poznał jednak szeroki świat dzięki licznym dalekim podróżom. Poza tym pamiętał wszystko, czego się podczas tych wypraw nauczył. Ojciec mojego przyjaciela był krępym, przysadzistym mężczyzną z bujnymi włosami przyprószonymi siwizną. Miał ciemną, ogorzałą twarzą oraz bystre niebieskie oczy o srogim spojrzeniu. W okolicy szanowano go jako dobrego i hojnego człowieka, a ponadto znany był z wydawania łagodnych wyroków.

Pewnego wieczoru, tuż po moim przybyciu, gdy siedzieliśmy po obiedzie, popijając porto, młody Trevor zaczął opowiadać ojcu o moim nawyku obserwacji i metodzie logicznego wnioskowania, które już wówczas stosowałem, choć nie w pełni doceniałem jeszcze roli, jaką miały odegrać w moim życiu. Starszy człowiek najwyraźniej pomyślał, że jego syn przesadza, opisując kilka moich błahych osiągnięć.

– Proszę, proszę, panie Holmes – powiedział, śmiejąc się dobrodusznie. – Będę dla pana świetnym przedmiotem badań. Ciekawe, co też pan wydedukuje.

– Myślę, że niewiele – odparłem. – Powiedziałbym tylko, że przez ostatnich dwanaście miesięcy obawiał się pan jakiejś napaści na swoją osobę.

Uśmiech zamarł mu na ustach, a on sam wpatrywał się we mnie wyraźnie zaskoczony.

– Cóż, to najprawdziwsza prawda – powiedział. – Wiesz, Victorze – zwrócił się do syna – gdy rozbiliśmy ten gang kłusowników, oni poprzysięgli, że zadźgają nas nożem, a sir Edward Holly rzeczywiście

został napadnięty. Od tamtej chwili miałem się cały czas na baczności, choć zupełnie nie wiem, jak się pan tego domyślił.

– Pańska laska jest bardzo solidna – odparłem. – Po napisie, który na niej widnieje, zorientowałem się, że ma ją pan nie dłużej niż rok. Poczynił pan również pewne starania, aby przewiercić gałkę i wypełnić ją stopionym ołowiem, tak, aby laska przeobraziła się w groźną broń. Doszedłem do wniosku, że nie podejmowałby pan takich środków, gdyby nie obawiał się jakiegoś zagrożenia.

– Coś jeszcze? – spytał z uśmiechem.

– W młodości trenował pan boks.

– Znów ma pan rację. Jak pan to wywnioskował? Czyżby mój nos był odrobinę skrzywiony?

– Nie – odparłem. – Poznałem to po pańskich uszach. Mają charakterystyczne zniekształcenia i spłaszczenia, typowe dla boksera.

– Może jeszcze coś?

– Często kopał pan w ziemi. Świadczą o tym zgrubienia na pańskich dłoniach.

– Wszystkie moje pieniądze zarobiłem na złotonośnych polach.

– Był pan w Nowej Zelandii.

– Znów ma pan rację.

– I odwiedził pan Japonię.

– To również prawda.

– Miał pan też bliski związek z kimś o inicjałach J.A., kimś, kogo później bardzo pan pragnął wymazać z pamięci.

Trevor powoli wstał, wbijając we mnie dziwne i dzikie spojrzenie swoich wielkich niebieskich oczu, a potem zachwiał się i padł twarzą do przodu, prosto w łupiny orzechów leżące na obrusie. Stracił przytomność.

Potrafisz sobie zapewne wyobrazić, Watsonie, w jakim szoku byliśmy, i jego syn, i ja? Jego omdlenie nie trwało jednak zbyt długo, bo gdy rozpięliśmy mu kołnierzyk i skropiliśmy twarz wodą z miseczki stojącej na stole, wydał z siebie westchnienie i usiadł.

– Och, chłopcy – powiedział z wymuszonym uśmiechem. – Mam nadzieję, że was nie przestraszyłem. Choć wyglądam na silnego mężczyznę, mam słabe serce, i niewiele trzeba, aby mnie powalić. Nie wiem, jak się to panu udaje, panie Holmes, sądzę jednak, że wszyscy detektywi, czy to prawdziwi, czy wymyśleni, byliby w porównaniu z panem niczym

dzieci. To pańskie życiowe powołanie, sir, może pan uwierzyć na słowo człowiekowi, który widział już trochę świata i ma za sobą kawał życia.

To właśnie ta rekomendacja, poprzedzona przesadną oceną moich zdolności, była – uwierz mi, Watsonie – pierwszą wkazówką, dzięki której zacząłem przypuszczać, że to, co do tej pory było zaledwie moją rozrywką i hobby, mogłoby się stać moim zawodem. W tamtej chwili jednak byłem zbyt zmartwiony tym, że mój gospodarz tak nagle zasłabł, abym mógł myśleć o czymkolwiek innym.

– Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic, co mogłoby pana zmartwić – rzekłem.

– Z pewnością trafił pan w mój dość czuły punkt. Czy mogę spytać, jak się pan tego dowiedział i co jeszcze wie? – mówił teraz na wpół żartobliwym tonem, jednak w jego oczach nadal czaiło się przerażenie.

– To banalnie proste – odparłem. – Gdy odsłonił pan ramię, by wciągnąć do łodzi rybę, spostrzegłem, że w zagięciu pańskiego łokcia wytatuowane zostały litery J.A. Były nadal czytelne, jednak w znacznym stopniu zamazane. Na skórze wokół nich pojawiła się plama, więc stało się dla mnie oczywiste, że próbowano je wywabić. Osoba o tych inicjałach była niegdyś panu bardzo bliska, a potem pragnął pan o niej zapomnieć.

– Ależ pan ma oko – zawołał z westchnieniem ulgi. – Jest dokładnie tak, jak pan mówi. Nie będziemy jednak o tym rozmawiać. Spośród wszystkich duchów przeszłości najgorsze są duchy tych, których kochaliśmy. A teraz przejdźmy do sali bilardowej i spokojnie wypalmy cygara.

Począwszy od tego dnia, mimo całej swej serdeczności, jaką mnie obdarzał, pan Trevor zaczął się zachowywać z rezerwą. Nawet jego syn to zauważył. „Tak przestraszyłeś mojego starego – powiedział – że nigdy już nie będzie pewny, co wiesz, a czego nie wiesz”. Jestem przekonany, że nie chciał mi tego okazywać, jednak moje słowa tak silnie zapadły mu w pamięć, że dostrzegałem dystans w jego zachowaniu. W końcu doszedłem do wniosku, że skoro pan Trevor czuje się tak nieswojo w moim towarzystwie, najlepiej byłoby zakończyć już tę wizytę. Jednak właśnie na dzień przed moim odjazdem doszło do pewnego incydentu, który później okazał się niezwykle istotny.

Siedzieliśmy sobie we trójkę na krzesłach ogrodowych, ustawionych na trawniku, wygrzewając się w słońcu i podziwiając widok na rzekę

i moczary, gdy zjawiła się pokojówka i oznajmiła, że przy drzwiach czeka pewien człowiek, który chciałby się widzieć z panem Trevorem.

– Jak się nazywa? – spytał mój gospodarz.

– Nie chciał podać swego nazwiska.

– Czego w takim razie chce?

– Twierdzi, że pan go zna i chce tylko przez chwilę z panem porozmawiać.

– W takim razie przyprowadź go tutaj.

Chwilę później pojawił się niski, przygarbiony, pomarszczony człowiek. Miał na sobie rozpiętą kurtkę z rękawem poplamionym smołą, koszulę w czerwono-czarną kratę, drelichowe spodnie i ciężkie, bardzo zniszczone buty. Twarz miał chudą, ogorzałą i przebiegłą. Nieustannie się uśmiechał, ukazując nieregularną linię pożółkłych zębów, a jego pomarszczone dłonie były na wpół zaciśnięte w charakterystyczny dla marynarzy sposób. Gdy tak szedł do nas przez trawnik, powłócząc nogami, usłyszałem, że z gardła pana Trevora wydobywa się dźwięk przypominający czkawkę, po czym sędzia zerwał się z krzesła i pobiegł do domu. Wrócił po chwili, ale kiedy mnie mijał, poczułem od niego silną woń brandy.

– Cóż, mój dobry człowieku – powiedział – co mogę dla ciebie zrobić?

Marynarz stał, patrząc na niego ze zmarszczonymi brwiami, z tym samym nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy.

– Nie znasz mnie? – zapytał.

– Wielkie nieba! Ty musisz być Hudson! – powiedział pan Trevor zaskoczonym tonem.

– Zgadza się, sir. To ja, Hudson – odparł żeglarz. – No cóż, minęło ponad trzydzieści lat, odkąd ostatni raz pana widziałem. Jak widzę, ma pan piękny dom… A ja nadal wyjadam z beczek solone mięso.

– Przekonasz się, że nie zapomniałem o starych czasach – zawołał pan Trevor i, podchodząc do marynarza, powiedział coś do niego po cichu. – Idź, proszę, do kuchni – ciągnął dalej głośno – a tam będziesz mógł się najeść i napić do syta. Jestem pewien, że znajdę dla ciebie jakieś zajęcie.

– Dziękuję, sir – odparł marynarz, dotykając czoła. – Właśnie skończyłem dwuletni okres pływania na frachtowcu, na którym w dodatku brakowało załogi, i bardzo mi się przyda wypoczynek. Tak właśnie sobie myślałem, że odpocznę albo u pana Beddoesa, albo tutaj.

– Ach – zawołał Trevor. – Wiesz, gdzie przebywa pan Beddoes?

– Ależ oczywiście, sir. Wiem, gdzie są wszyscy moi starzy przyjaciele – odparł z ponurym uśmiechem mężczyzna i niedbałym krokiem ruszył za pokojówką w kierunku kuchni. Pan Trevor wymamrotał coś o tym, że kiedyś, gdy był jeszcze poszukiwaczem złota, pływał z tym człowiekiem na jednym statku; potem zostawił nas na trawniku i wszedł do domu. Godzinę później, gdy i my weszliśmy do środka, zobaczyliśmy, że pijany w sztok leży rozciągnięty na sofie w jadalni. Cały ten incydent wywarł na mnie wyjątkowo paskudne wrażenie, i wcale nie żałowałem, gdy następnego dnia opuszczałem Donnithorpe. Czułem, że moja obecność musiała się stać dla mojego przyjaciela krępująca.

Wszystko to miało miejsce w ciągu pierwszego miesiąca moich długich wakacji. Wróciłem do Londynu na stancję, gdzie spędziłem kolejnych siedem tygodni, przeprowadzając parę eksperymentów z zakresu chemii organicznej. Jednak pewnego dnia, późną jesienią, gdy wakacje dobiegały już końca, dostałem telegram od mojego przyjaciela. Zaklinał mnie, bym przyjechał do Donnithorpe, twierdząc, że bardzo potrzebuje mojej pomocy i rady. Oczywiście rzuciłem wszystko, czym się zajmowałem, i ponownie wyruszyłem na północ.

Wyjechał po mnie dwukółką na stację; wystarczyło jedno spojrzenie, i już wiedziałem, że ostatnie dwa miesiące musiały być dla niego bardzo ciężkie. Schudł, miał zatroskaną twarz i zatracił ten głośny, radosny sposób bycia, tak niegdyś dla niego typowy.

– Ojciec umiera – rzucił, i były to pierwsze słowa, które wypowiedział.

– To niemożliwe! – zawołałem. – Co się stało?!

– Apopleksja. Jest o krok od śmierci. Nie mam nawet pewności, czy gdy dojedziemy do domu, zastaniemy go jeszcze przy życiu.

Jak zapewne przypuszczasz, Watsonie, przeraziły mnie te nieoczekiwane wieści.

– Jak to się stało? Dlaczego? – spytałem.

– Ach! O to właśnie chodzi. Wskakuj do środka. Omówimy to podczas jazdy. Pamiętasz tego faceta, który zjawił się wieczorem, na dzień przed twoim odjazdem?

– Bardzo dobrze.

– Wiesz, kogo tego dnia wpuściliśmy do swego domu?

– Nie mam pojęcia.

– To wcielony diabeł, Holmesie! – zawołał.

Wpatrywałem się w niego zdumiony.

– Tak, to prawdziwy diabeł. Od tego czasu nie przeżyliśmy ani jednej spokojnej godziny. Ani jednej! Ojciec wciąż nie może się pozbierać po tamtym wieczorze, a teraz jeszcze uchodzi z niego życie, i jego serce jest złamane. A wszystko przez tego przeklętego Hudsona!

– Ale jak on mógł do tego doprowadzić?

– To jest właśnie to, czego tak bardzo pragnę się dowiedzieć. Mój dobry, uczynny, stary ojciec. Jak on mógł wpaść w szpony takiego łotra! Ale, Holmesie, tak bardzo się cieszę, że przyjechałeś. Mam wielkie zaufanie do twego osądu sytuacji i twej dyskrecji, i wiem, że będziesz mógł mi doradzić najlepiej, jak potrafisz.

Pędziliśmy gładką, piaszczystą drogą. Przed nami rozpościerał się widok na mokradła, połyskujące w czerwonym świetle zachodzącego słońca. Ponad zagajnikiem, po naszej lewej stronie, widać było już zarysy wysokich kominów rezydencji sędziego.

– Mój ojciec zaproponował temu człowiekowi posadę ogrodnika – rzekł mój towarzysz. – Jednak to go nie zadowoliło, więc ojciec awansował go na kamerdynera. Można było odnieść wrażenie, że cały dom jest zdany na jego łaskę i niełaskę. Włóczył się po posiadłości i robił to, na co tylko przyszła mu ochota. Pokojówki narzekały na jego pijackie maniery i plugawy język. Tata podniósł całej służbie pensje, żeby zrekompensować przykrości. A ten brał sobie łódź i najlepszą strzelbę ojca i spędzał czas na wyprawach łowieckich! I wszystko to robił z tak obrzydliwym bezczelnym uśmieszkiem, że już ze dwadzieścia razy spuściłbym mu baty, gdyby tylko był moim rówieśnikiem. Mówię ci, Holmesie, przez cały ten czas musiałem bardzo nad sobą panować. A teraz… Teraz zadaję sobie pytanie, czy nie postąpiłbym mądrzej, gdybym pozwolił sobie jednak na więcej.

Sytuacja szybko się zmieniała ze złej na jeszcze gorszą, a ten bydlak Hudson coraz bardziej się u nas szarogęsił. Wreszcie, pewnego dnia, gdy w mojej obecności powiedział coś bezczelnego do mojego ojca, wziąłem go za kark i wyprowadziłem z pokoju. Wymknął się z posiniałą twarzą i pełnym jadu spojrzeniem, które wyrażało większą groźbę, niż mógłby to ująć w słowach. Nie wiem, co zaszło potem pomiędzy moim biednym tatą a nim, ale ojciec następnego dnia przyszedł do mnie i zapytał, czy mógłbym przeprosić Hudsona. Jak się zapewne domyślasz, odmówiłem

mu i zapytałem, jak może znosić panoszenie się tego łajdaka we własnym domu.

– Ach, mój chłopcze – odparł. – Łatwo ci to mówić, ale nie wiesz, w jakiej sytuacji się znalazłem. Dowiesz się jednak, Victorze, wszystkiego, i niech się dzieje co chce. Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, że twój stary, biedny ojciec mógł zrobić coś złego, prawda, mój chłopcze? – Był niezwykle poruszony, a potem na cały dzień zamknął się w swoim gabinecie. Widziałem przez okno, że coś tam długo w skupieniu pisał.

Tamtego wieczoru wydarzyło się coś, co przyniosło mi ogromną ulgę, bowiem Hudson oznajmił, że zamierza nas opuścić. Wtoczył się do jadalni, gdzie siedzieliśmy po obiedzie, i ochrypłym głosem na wpół pijanego człowieka poinformował nas o swoich zamiarach.

– Już mi zbrzydło tu, w Norfolk – powiedział. – Pojadę sobie do pana Beddoesa w Hampshire. I coś mi się wydaje, że ucieszy się na mój widok równie mocno jak pan.

– Mam nadzieję, Hudsonie, że nie będziesz wyjeżdżał stąd rozczarowany – rzekł mój ojciec tak potulnym głosem, że aż krew zawrzała mi w żyłach.

– Nie usłyszałem przeprosin – odparł obrażonym tonem, zerkając w moim kierunku.

– Victorze, musisz przyznać, że niesprawiedliwie potraktowałeś tego dobrego człowieka – powiedział tata, zwracając się do mnie.

– Wręcz przeciwnie – odparłem. – Uważam, że obaj okazaliśmy mu niezwykłą cierpliwość.

– Och, doprawdy? Doprawdy? – warknął Hudson. – Bardzo dobrze, kolego. Już my się tym zajmiemy!

Wyszedł z pokoju, a pół godziny później opuścił nasz dom, pozostawiając mojego ojca w stanie godnym pożałowania. Co noc słyszałem, jak tata przechadza się tam i z powrotem po swoim pokoju, a gdy już się wydawało, że odzyskuje dawną pewność siebie, spadł na niego ostateczny cios.

– Co się takiego stało? – spytałem niecierpliwie.

– To dość niezwykłe. Wczoraj wieczorem przyszedł do niego list ze stemplem poczty w Fordingbridge. Ojciec przeczytał go, złapał się rękoma za głowę i zaczął biegać w kółko po pokoju jak człowiek, który całkowicie postradał zmysły. Gdy w końcu udało mi się zaciągnąć go na sofę, zauważyłem, że po jednej stronie twarzy opadają mu usta

i powieki. Od razu wiedziałem, że doznał wylewu. Natychmiast przyjechał do nas doktor Fordham, położyliśmy ojca do łóżka, ale paraliż już się rozprzestrzenił, i nie było żadnych oznak wskazujących, że odzyska świadomość. Boję się, że gdy dojedziemy, nie zastaniemy go już żywego.

– Przerażasz mnie, Trevorze! – krzyknąłem. – Cóż takiego mogło być w tym liście, że doprowadziło twojego ojca do tak potwornego stanu?

– Nic. Tego właśnie zupełnie nie potrafię wytłumaczyć. Treść była absurdalna i trywialna. O mój Boże, jest tak, jak się obawiałem.

Gdy wypowiedział te słowa, właśnie wyjechaliśmy z zakrętu alejki i w gasnącym świetle dnia ujrzałem, że wszystkie zasłony w oknach domu zostały zaciągnięte. Gdy dobiegliśmy do drzwi, twarz mojego przyjaciela ściągnęła się ze smutku. Z domu wyszedł ubrany na czarno człowiek.

– Kiedy to się stało, doktorze? – spytał Trevor.

– Prawie natychmiast po pana wyjeździe.

– Czy odzyskał świadomość przed śmiercią?

– Tak, na chwilę.

– Czy zostawił mi jakąś wiadomość?

– Tylko taką, że dokumenty są w tylnej szufladzie japońskiej szafki.

Mój przyjaciel poszedł z lekarzem do pokoju, w którym leżał zmarły, ja tymczasem zostałem w gabinecie, zastanawiając się nad całą tą sprawą. Ogarnął mnie tak ponury nastrój, jak chyba nigdy dotąd w całym moim życiu. Jaka była przeszłość tego Trevora, pięściarza, podróżnika i poszukiwacza złota? I w jaki sposób doszło do tego, że nagle został zdany na łaskę tego marynarza o paskudnej twarzy? No i dlaczego zemdlał, słysząc jedynie niewinną aluzję do na wpół zatartych inicjałów, wytatuowanych na jego ramieniu? Czemu dosłownie umarł ze strachu po otrzymaniu listu z Fordingham? Potem przypomniałem sobie, że Fordingham leży w Hampshire i że słyszałem wzmiankę o tym, jakoby ten pan Beddoes, którego marynarz pojechał odwiedzić i przypuszczalnie zaszantażować, mieszkał właśnie w Hampshire.

A więc list został wysłany albo przez tego żeglarza Hudsona, który mógł zdradzić ich wspólny, brudny sekret, albo przez Beddoesa, który ostrzegał swojego starego wspólnika, że taki sekret najpewniej zostanie wkrótce ujawniony. Tyle wydawało mi się jasne. Ale z drugiej strony, jak to możliwe, by sam list miał tak trywialną i groteskową treść, jak opisywał to syn zmarłego? Najwyraźniej musiał go błędnie odczytać. A jeśli tak,

to został zapewne napisany jednym z tych pomysłowych szyfrów, które pozornie coś znaczą, a w rzeczywistości kryją zupełnie inne treści. Musiałem zobaczyć ten list! Jeśli rzeczywiście zawierał jakieś tajemne przesłanie, byłem pewien, że uda mi się je ujawnić.

Przez godzinę siedziałem w mrocznym pokoju, zastanawiając się nad tą sprawą, aż wreszcie zapłakana pokojówka wniosła lampę, a chwilę później zjawił się mój przyjaciel Trevor, blady, lecz opanowany. W ręku ściskał te same papiery, które trzymam teraz na kolanach. Usiadł naprzeciwko mnie, przestawił lampę na krawędź stołu i podał mi krótką notatkę, nabazgraną na kartce szarego papieru:

> Londyn sprzedał nam wszystko. Zapasy w magazynach skończone. Tutejszy główny łowczy Hudson chciałby sprowadzić dla nas samice bażantów. Czy wydał pan już dyspozycje? Jedyne oferty to samce. Co kupować? Teraz możemy jeszcze coś z tym zrobić. Lep na muchy to dobra oferta. Musimy natychmiast zadecydować, bo może zniknąć.

Wyznam ci, że gdy po raz pierwszy przeczytałem tę wiadomość, moja twarz przybrała taki sam, równie zdumiony wyraz jak teraz twoja. Potem przeczytałem ją jeszcze raz bardzo dokładnie. Najwyraźniej było tak, jak się wcześniej domyślałem – w tym dziwnym połączeniu słów musiało zawierać się jakieś ukryte znaczenie. Ale czy możliwym było, że takie zwroty, jak „lep na muchy” i „samice bażantów” posiadały jakieś z góry ustalone znaczenie? Można je dowolnie interpretować, ale do niczego to nie doprowadzi. Ani przez chwilę jednak nie sądziłem, że było tak w tym przypadku. Obecność słowa „Hudson” wydawała się wskazywać, że wiadomość, zgodnie z moim przypuszczeniem, pochodziła raczej od Beddoesa, a nie od marynarza. Spróbowałem odczytać list wspak, jednak połączenia słów „bażantów samice nas” czy „samce to oferty” nie były zbyt zachęcające. Potem spróbowałem czytać co drugi wyraz, ale ani „sprzedał wszystko w skończone”, ani „lep muchy dobra musimy” najwyraźniej nie rzucały nowego światła na całą sprawę. Podobny rezultat dawało czytanie co trzeciego wyrazu. Też nic z tego. Aż nagle w jednej chwili stwierdziłem, że mam w ręku klucz do całej zagadki. Dostrzegłem bowiem, że co czwarte słowo, począwszy od pierwszego, tworzy wiadomość, która mogła doprowadzić starego Trevora na skraj rozpaczy.

Ostrzeżenie było krótkie i lakoniczne. Odczytałem je mojemu towarzyszowi:

> Wszystko skończone. Hudson nas wydał. Jedyne, co możemy zrobić, to natychmiast zniknąć.

Victor Trevor ukrył twarz w drżących dłoniach.

– Tak, to musi być to – powiedział. – To gorsze niż śmierć, bo oznacza również hańbę. Ale co oznaczają zwroty „główni łowczy” i te „samice bażantów”?

– Nie mają żadnego wpływu na treść wiadomości, ale dla nas mogą oznaczać bardzo dużo, jeśli nie mamy innego sposobu, by dowiedzieć się, kto był nadawcą. Jak widzisz, najpierw napisał: „Wszystko… skończone…” i tak dalej. Potem, żeby ukryć wiadomość w ustalonym z góry szyfrze, musiał w każdym zdaniu wpisać dowolne trzy słowa. W naturalny sposób użyłby wyrazów, które pierwsze przyszły mu na myśl, a skoro tak wiele z nich odnosi się do zwierzyny, możemy raczej mieć pewność, że albo jest zapalonym myśliwym, albo interesuje go hodowla. Wiesz coś o tym Beddoesie?

– Teraz, kiedy o tym mówimy – odparł mój przyjaciel – przypomniałem sobie, że mój nieszczęsny ojciec miał od niego stałe zaproszenie na polowania odbywające się na jego terenie każdej jesieni.

– A więc niewątpliwie to od niego pochodzi ta notatka – powiedziałem. – Teraz pozostaje nam tylko się dowiedzieć, jakiż to sekret był w posiadaniu tego marynarza Hudsona i dlaczego zawisła groźba nad głowami tych dwóch zamożnych i szanowanych ludzi.

– Niestety, Holmesie, obawiam się, że to wstydliwa i grzeszna tajemnica! – zawołał Victor. – Nie zamierzam jednak mieć przed tobą żadnych sekretów. Oto oświadczenie sporządzone przez mego ojca, gdy już wiedział, że grozi mu bezpośrednie niebezpieczeństwo ze strony Hudsona. Znalazłem je w tej japońskiej szafce, tak jak powiedział lekarz. Weź je i odczytaj mi, proszę, bo nie mam siły ani odwagi, by zrobić to samemu.

Watsonie, te dokumenty, które leżą teraz przed tobą, są tymi samymi, które wówczas podał mi mój towarzysz. Odczytam je tobie, tak jak odczytałem jemu tamtej nocy w starym gabinecie. U góry widnieje tytuł: „Niektóre szczegóły podróży brygantyny «Gloria Scott» od opuszczenia

przez nią Falmouth dnia 8 października 1855 r. aż do chwili jej zatonięcia na 15°20' szerokości północnej, 24°14' długości zachodniej dnia 6 listopada”. Dokument miał formę listu i brzmiał jak następuje:

Mój drogi, kochany synu! Teraz, gdy hańba zaczyna rzucać swój cień na ostatnie lata mojego życia, mogę napisać ci szczerze i uczciwie, że to nie lęk przed prawem, przed utratą mojej pozycji w kraju czy też przed moim upadkiem w oczach wszystkich, którzy mnie znali, najbardziej rani moje serce, lecz myśl o tym, że będziesz musiał się za mnie wstydzić – ty, który mnie kochasz i który, jak mam nadzieję, rzadko miałeś powody, by czuć do mnie coś innego niż szacunek. Jeśli jednak dosięgnie mnie cios, który stale mi zagrażał, pragnę, abyś to przeczytał i dowiedział się bezpośrednio ode mnie, jak wielka jest moja wina. Z drugiej strony, jeśli wszystko ułoży się pomyślnie (oby Bóg Wszechmogący na to pozwolił!), to wówczas, gdyby jakimś zbiegiem okoliczności zdarzyło się, że list ten pozostanie niezniszczony i dostanie się w twoje ręce, zaklinam cię na wszystko, co uważasz za święte, na pamięć twojej kochanej matki i na całą miłość, jaka nas łączyła, abyś cisnął go w ogień i już nigdy o nim nie myślał.

A więc, jeżeli już przeczytałeś te wiersze, będzie to oznaczało, że ujawniono całą prawdę o mnie i że wygnano mnie z własnego domu lub też – co bardziej realne, bo wiesz, że mam słabe serce – jestem martwy, a śmierć na zawsze zamknęła mi usta. Tak czy inaczej czas na ukrywanie tajemnic już minął, i każde słowo, które zapisuję, jest absolutnie szczere. Przysięgam ci to z tą samą mocą, z jaką pragnę łaski.

Mój drogi chłopcze, w rzeczywistości nie nazywam się Trevor. W czasach mojej młodości zwano mnie James Armitage, i pewnie teraz rozumiesz, jaki szok przeżyłem parę tygodni temu, gdy twój przyjaciel z college’u zwrócił się do mnie w taki sposób, jak gdyby udało mu się odkryć mój sekret. To właśnie jako Armitage zostałem zatrudniony w londyńskim banku, i jako Armitage’a skazano mnie za złamanie prawa i wydalono z mojego kraju. Nie myśl o mnie źle, mój chłopcze. To był tak zwany honorowy dług, który musiałem spłacić, i aby to zrobić, skorzystałem z cudzych pieniędzy, będąc pewnym, że uda mi się je zwrócić, zanim ktokolwiek odkryje ich brak. Prześladował mnie jednak straszliwy pech. Pieniądze, na które liczyłem, nigdy do mnie nie trafiły, a przedwczesny audyt kont ujawnił spowodowany przeze mnie deficyt. Sprawa mogła zostać rozpatrzona łagodniej, jednak trzydzieści lat temu egzekwowanie prawa było o wiele bardziej surowe niż teraz. W dwudziestym trzecim roku mojego życia znalazłem się, skuty jak bandyta, wraz z trzydziestoma siedmioma innymi skazańcami, pod pokładem brygantyny „Gloria Scott”, płynącej do Australii.

Był rok 1855. Wojna krymska osiągnęła punkt kulminacyjny, a stare łodzie wykorzystywane wcześniej do przewozu skazańców były w większości używane do transportowania ludzi i ładunku na Morzu Czarnym. Rząd był więc zmuszony wywozić więźniów mniejszymi i mniej nadającymi się do takich celów statkami. Żaglowiec „Gloria Scott”, którym wcześniej przewożono herbatę z Chin, był jednak

przestarzałym statkiem o ciężkim dziobie i szerokim kadłubie, dlatego zastąpiły go nowsze klipry. Miał wyporność pięćset ton; oprócz trzydziestu ośmiu kryminalistów niósł na swym pokładzie dwudziestu sześciu członków załogi, osiemnastu żołnierzy, kapitana, trzech matów, lekarza, kapelana i czterech strażników. Tak więc w dniu, w którym wyruszyliśmy z Falmouth, na jego pokładzie znajdowało się niemal sto dusz.

Przegrody pomiędzy celami skazańców były dość cienkie i kruche, a nie, jak to zwykle miało miejsce na statkach przystosowanych do transportu więźniów, wykonane z grubych dębowych desek. Człowiek, z którym sąsiadowałem od strony rufy, był skazańcem, na którego zwróciłem szczególną uwagę, gdy prowadzono nas na nabrzeże. Był to młody mężczyzna o gładkiej, pozbawionej zarostu twarzy, długim, cienkim nosie i tak mocnych szczękach, że mógłby nimi łupać orzechy. Głowę trzymał wysoko, wyprostowana postawa świadczyła o jego niezależności, szedł dumnym krokiem, przykuwając uwagę swym niecodziennym wzrostem. Nie przypuszczam, by którykolwiek z nas sięgał mu głową do ramienia, i jestem pewien, że nie mógł być niższy niż sześć i pół stopy. Dziwne było wśród tylu smutnych i zmęczonych twarzy ujrzeć oblicze tak pełne energii i determinacji. Ten widok przywodził mi na myśl ognisko, które ktoś rozpalił pośrodku śnieżnej zamieci. Byłem więc rad, gdy się dowiedziałem, że nasze cele sąsiadują ze sobą, a ucieszyłem się jeszcze bardziej, kiedy w samym środku nocy usłyszałem tuż przy uchu jakiś szept i odkryłem, że udało mu się wyciąć otwór w desce, która nas dzieliła.

– Witaj, przyjacielu! – powiedział. – Jak się nazywasz i za co tu trafiłeś?

Odpowiedziałem mu i spytałem, z kim rozmawiam.

– Jestem Jack Prendergast – odparł – i na Boga, zanim skończy się nasza znajomość, będziesz błogosławił tę chwilę, kiedy mnie poznałeś.

Słyszałem wcześniej o jego sprawie, bo stała się ona wielką sensacją w całym kraju jakiś czas przed moim aresztowaniem. Pochodził z dobrej rodziny i był obdarzony wielkimi zdolnościami, miał jednak nieuleczalnie zły charakter i stworzył niezwykle pomysłowy system oszustw, dzięki którym udało mu się wyłudzić ogromne sumy pieniędzy od największych londyńskich kupców.

– Ha, ha! Pamiętasz moją sprawę! – powiedział z dumą.

– Zaiste. Świetnie ją pamiętam.

– W takim razie może pamiętasz również, co było w niej takiego dziwnego?

– Nie, a co takiego?

– Dostało mi się prawie ćwierć miliona, prawda?

– Tak mówiono.

– Ale nikt ich nigdy nie odzyskał, co?

– Tak.

– No cóż, jak myślisz? Gdzie są te pieniądze? – spytał.

– Nie mam pojęcia – powiedziałem.

– Tutaj, w mojej kieszeni – zawołał. – Na Boga! Mam więcej funtów, niż ty masz włosów na głowie. A gdy masz pieniądze, synku, i wiesz, jak się z nimi obchodzić i je rozdzielać, wtedy możesz zrobić wszystko. A teraz nie myślisz chyba, że

człowiek, który może zrobić wszystko, będzie wycierał spodnie, siedząc w śmierdzącej ładowni takiej spleśniałej starej trumny, osranej przez szczury i przeżartej przez korniki. Nie, nie, mój drogi panie! Taki człowiek potrafi o siebie zadbać i zadba też o swoich kamratów. Możesz mi wierzyć! Tylko się go trzymaj, a jestem gotów przysiąc, że wyciągnie cię z tego bagna.

Mówił do mnie w tym stylu, i na początku myślałem, że to nic nie oznacza. Jednak po chwili, kiedy już mnie sprawdził i uroczyście zaprzysiągł, dał mi do zrozumienia, że zorganizował spisek, aby przejąć kontrolę nad statkiem. Uknuło go kilkunastu więźniów, jeszcze zanim wsiedli na pokład. Prendergast był ich przywódcą, zaś potężną motywacją dla wszystkich były jego pieniądze.

– Mam wspólnika – powiedział. – Niesamowity z niego człowiek. Wierny i lojalny jak pies. To on ma całą kasę. I jak sądzisz, gdzie jest w tej chwili? Jest kapelanem na tej łajbie! Tak, tak, kapelanem. Nie inaczej! Wszedł na pokład w tym swoim czarnym ubranku, z papierami bez zarzutu i taką ilością pieniędzy w szkatułce, że mógłby kupić całą tę krypę od kilu aż po czubek masztu. Załoga jest mu całkowicie wierna. Ciałem i duszą. Mógłby ich wszystkich kupić parę razy i zrobił to, jeszcze zanim się zaokrętowali. Ma też w kieszeni dwóch strażników i Mereera, drugiego mata, a przekupiłby pewnie samego kapitana, gdyby sądził, że jest on tego wart.

– Co w takim razie musimy robić? – spytałem.

– A jak myślisz? – odparł. – Sprawimy, że kurtki tych żołnierzy staną się wkrótce bardziej czerwone niż wtedy, gdy wyszły spod krawieckiej igły.

– Ale oni są uzbrojeni – powiedziałem.

– I my też będziemy, mój chłopcze. Mamy mnóstwo pistoletów, starczy dla każdego z nas, i jeśli nie uda nam się przejąć tego statku ze wsparciem załogi, to znaczy, że powinni nas wszystkich wysłać do jakiegoś internatu dla panienek. Pogadaj dziś w nocy ze swoim towarzyszem z celi na lewo i sprawdź, czy możemy mu ufać.

Zrobiłem tak, jak mi kazał, i dowiedziałem się, że mój drugi sąsiad to młody mężczyzna, który podobnie jak ja został skazany za fałszerstwa. Wówczas nazywał się Evans (potem też zmienił nazwisko; teraz jest zamożnym i szanowanym człowiekiem; mieszka na południu Anglii). Był gotów przystąpić do spisku, ponieważ widział w tym jedyny sposób ratunku dla nas; nim przepłynęliśmy zatokę, zaledwie dwóch spośród wszystkich skazańców nie było wtajemniczonych. Jeden z nich był niespełna rozumu, dlatego nie odważyliśmy się mu zaufać; drugi chorował na żółtaczkę, i nie mógł nam się do niczego przydać.

Od samego początku mieliśmy przeczucie, że nic nie może nam przeszkodzić w przejęciu statku. Załoga była zbieraniną łotrów, specjalnie w tym celu wyselekcjonowanych. Fałszywy kapelan przychodził do nas, żeby wskazać nam właściwą drogę, i miał ze sobą czarną torbę, rzekomo pełną religijnych pism. Pojawiał się jednak tak często, że nim upłynął trzeci dzień podróży, każdy z nas miał już schowany pod łóżkiem pilnik, dwa pistolety, funt prochu i dwadzieścia kul. Dwóch strażników było wspólnikami Prendergasta, a drugi mat był jego prawą ręką. Przeciwko sobie mieliśmy tylko kapitana, dwóch pozostałych matów, dwóch

strażników, porucznika Martina, jego osiemnastu żołnierzy i doktora. Choć wydawało się, że niczym nie ryzykujemy, postanowiliśmy, iż nie zaniedbamy żadnych środków bezpieczeństwa i uderzymy nagle, w środku nocy. Doszło jednak do tego szybciej, niż planowaliśmy.

Pewnego wieczoru, mniej więcej w trzecim tygodniu po opuszczeniu portu, doktor przyszedł zbadać jednego ze skazańców, który chorował. Gdy oparł się dłonią o jego pryczę, wymacał pod nią pistolety. Gdyby zachował spokój, być może udałoby mu się zdemaskować cały spisek, ale był to mały nerwowy jegomość, krzyknął, zaskoczony, i tak pobladł, że więzień od razu zorientował się, co się dzieje, i natychmiast się na niego rzucił. Nim doktor zdążył ostrzec resztę, był już zakneblowany i leżał związany na pryczy. Ponieważ drzwi prowadzące na pokład zostawił otwarte, wybiegliśmy przez nie pędem. Zastrzeliliśmy dwóch strażników, a potem kaprala, który nadbiegł, żeby zobaczyć, co się dzieje. Drzwi mesy pilnowało kolejnych dwóch żołnierzy, ale ich muszkiety były chyba nienaładowane, bo nie oddali do nas ani jednego strzału i padli martwi, próbując umocować bagnety.

Potem pognaliśmy do kabiny kapitana. Gdy próbowaliśmy się dostać do środka, zza drzwi dobiegł nas huk wystrzału. Kapitan leżał na podłodze z mózgiem rozsmarowanym na mapie Atlantyku przymocowanej do stołu, nad nim stał kapelan, a z lufy jego pistoletu unosił się dym. Obu matów obezwładniła załoga, wydawało się zatem, że cała sprawa jest zakończona.

Mesa sąsiadowała z kabiną kapitana, i wszyscy się w niej stłoczyliśmy. Opadliśmy na kanapy, krzycząc jeden przez drugiego, oszołomiła nas bowiem świadomość odzyskania wolności. Dookoła stały skrzynie. Wilson, fałszywy kapelan, roztrzaskał jedną z nich i wyciągnął kilkanaście butelek sherry. Obtłukliśmy szyjki butelek, rozlaliśmy trunek do szklanek i właśnie byliśmy w środku zabawy, gdy w jednej chwili, bez żadnego ostrzeżenia, ogłuszył nas huk muszkietów, a pomieszczenie wypełnił tak gęsty dym, że nie widzieliśmy, co się dzieje po drugiej stronie stołu.

Kiedy dym się rozwiał, mesa wyglądała jak jedna wielka ruina. Wilson i ośmiu innych skazańców wili się na podłodze. Do tej pory robi mi się niedobrze, gdy przypomnę sobie krew wymieszaną z brązową sherry rozlaną na stole. Ten widok tak nas oszołomił, że chyba byśmy się poddali, gdyby nie Prendergast. Ryknął niczym zraniony buhaj i rzucił się do drzwi, a za nim wszyscy, którzy zostali przy życiu. Wybiegliśmy na zewnątrz, a tam, na rufie, stał porucznik i jego dziesięciu ludzi. Świetliki nad stołem w mesie były nieco uchylone, a oni do nas przez nie strzelali. Podbiegliśmy do nich, zanim zdążyli przeładować broń; choć walczyli jak mężczyźni, mieliśmy nad nimi przewagę, i po pięciu minutach walka dobiegła końca. Mój Boże! Nigdy wcześniej nie widziałem takiej jatki! Prendergast szalał niczym wcielony diabeł, chwytał żołnierzy, jakby byli dziećmi, i ciskał ich za burtę, żywych czy martwych. Był tam bardzo ciężko ranny sierżant, który ciągle płynął przed siebie i przez zaskakująco długi czas utrzymywał się na powierzchni, dopóki ktoś z litości nie przestrzelił mu głowy.

Gdy walka dobiegła końca, przy życiu nie pozostał żaden z naszych przeciwników oprócz strażników, matów i doktora. To właśnie oni stali się przyczyną wielkiej

kłótni, jaka się rozpętała. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że odzyskaliśmy wolność, jednak nie chcieliśmy mieć na sumieniu dalszych morderstw. Zabijać uzbrojonych w muszkiety żołnierzy to jedno, ale stać obok i patrzeć, jak z zimną krwią morduje się ludzi, to zupełnie coś innego. Ośmiu z nas, pięciu skazańców i trzech marynarzy, stwierdziło, że nie zamierzamy brać w tym udziału. Nic jednak nie było w stanie przekonać Prendergasta i tych, którzy byli po jego stronie. Twierdził, że możemy czuć się bezpiecznie tylko wówczas, gdy ukończymy tę brudną robotę, i oświadczył, że nie zamierza pozostawić przy życiu nikogo, kto mógłby zjawić się w sądzie. O mały włos nie podzieliliśmy losu naszych jeńców, w końcu jednak Prendergast oświadczył, że jeśli chcemy, możemy wziąć szalupę i odpłynąć.

Przyjęliśmy tę propozycję z wielką ulgą, bo robiło nam się już słabo od tej krwi, i dobrze wiedzieliśmy, że nim to wszystko się skończy, sytuacja znacznie się pogorszy. Każdy z nas dostał marynarskie ubranie, a do łodzi wrzucono beczułkę wody, dwie baryłki – jedną z prowiantem, a drugą z sucharami – oraz kompas. Prendergast dał nam też mapę, nakazując, że mamy mówić, iż jesteśmy rozbitkami ze statku, który zatonął na piętnastym stopniu szerokości północnej i dwudziestym stopniu długości zachodniej, a potem przeciął linę i pozwolił nam odpłynąć.

A teraz, mój drogi synu, dochodzę do najbardziej zaskakującej części mojej historii. Marynarze podciągnęli na czas walki żagiel na fokrei, ale teraz, gdy odpływaliśmy, znów go opuścili, i brygantyna zaczęła się od nas oddalać, ponieważ z północnego wschodu powiał lekki wiatr. Nasza łódź unosiła się i opadała na ogromnych falach, a Evans i ja, jako najbardziej wykształceni z całej jej załogi, siedzieliśmy nad mapami, ustalając naszą pozycję i rozważając, do którego brzegu należy się skierować. Nie było to łatwe zadanie, bo Zielony Przylądek znajdował się jakieś pięćset mil na północ od nas, zaś wybrzeże Afryki – mniej więcej siedemset mil na wschód. A ponieważ wiatr wiał w kierunku północnym, doszliśmy do wniosku, że najlepszym rozwiązaniem będzie żeglowanie w kierunku Sierra Leone, i w tamtą stronę się skierowaliśmy. Tymczasem brygantyna znikała już prawie po naszej sterburcie. Gdy na nią patrzyliśmy, ujrzeliśmy nagle chmurę czarnego dymu, wyrastającą nad linią horyzontu niczym monstrualne drzewo. Chwilę później do naszych uszu dobiegł huk, głośny niczym uderzenie pioruna, a gdy dym się nieco rozwiał, nie pozostał nawet ślad po „Glorii Scott”. W jednej chwili zawróciliśmy naszą łódź i z całych sił popłynęliśmy do miejsca katastrofy, o której świadczyły wciąż unoszące się na wodzie pozostałości.

Nim dotarliśmy na miejsce, upłynęła cała godzina, zaczęliśmy więc się obawiać, że przybyliśmy za późno, by kogokolwiek uratować. Roztrzaskana szalupa, parę skrzyń i drewniane fragmenty omasztowania unoszące się i opadające na falach wskazały nam miejsce, gdzie zatonął statek. Nie dostrzegliśmy ani śladu życia, więc zrozpaczeni zawróciliśmy. Wtedy jednak usłyszeliśmy wołanie o pomoc i w pewnej odległości dostrzeg-liśmy fragment wraku, którego kurczowo trzymał się jakiś mężczyzna. Gdy wciągnęliśmy go na pokład szalupy, okazało się, że to młody marynarz o nazwisku Hudson, tak poparzony i wyczerpany, że aż do następnego poranka nie był w stanie opowiedzieć nam, co się stało.

Przypuszczam, że po tym jak odpłynęliśmy, Prendergast i jego banda zaczęli zabijać pozostałych przy życiu jeńców. Najpierw zastrzelili dwóch strażników i wyrzucili ich ciała za burtę. Podobny los spotkał też trzeciego mata. Potem Prendergast zszedł na międzypokład i własnymi rękoma poderżnął gardło biednemu lekarzowi. Kiedy pierwszy mat, odważny i energiczny człowiek, zobaczył zbliżającego się do niego skazańca z zakrwawionym nożem w ręce, uwolnił się z więzów, które jakimś cudem udało mu się poluzować, rzucił się biegiem przez pokład i wskoczył do pomieszczeń na rufie. Dwunastu więźniów z pistoletami w rękach znalazło go z pudełkiem zapałek w dłoni siedzącego nad otwartą beczką prochu, jedną ze stu przewożonych na pokładzie. Krzyknął, że jeśli ktokolwiek spróbuje mu coś zrobić, wysadzi statek w powietrze. Chwilę później doszło do eksplozji, ale Hudson był przekonany, że spowodowała ją raczej jakaś zabłąkana kula któregoś ze skazańców niż zapałka rzucona przez mata. W każdym razie niezależnie od prawdziwej przyczyny był to koniec „Glorii Scott” i całej tej hałastry, która ją przejęła.

Mój drogi chłopcze, tak pokrótce przedstawia się ta straszliwa historia, w którą byłem zamieszany. Następnego dnia wziął nas na pokład bryg „Hotspur” płynący do Australii, a jego kapitan bez problemu uwierzył, że jesteśmy rozbitkami, którym udało się przetrwać po zatonięciu statku pasażerskiego. Admiralicja doszła do wniosku, że „Gloria Scott” zaginęła gdzieś na morzu; jej prawdziwy los na zawsze pozostał tajemnicą. Po spokojnej podróży „Hotspur” wysadził nas w Sydney, gdzie obaj z Evansem zmieniliśmy nazwiska i udaliśmy się na złotonośne pola. Znaleźliśmy się w tłumie przybyszy z całego świata, dzięki czemu bez problemu zatraciliśmy naszą poprzednią tożsamość. Reszty nie muszę już opowiadać. Świetnie nam się powodziło, podróżowaliśmy po świecie, a potem powróciliśmy do Anglii jako zamożni mieszkańcy kolonii i nabyliśmy posiadłości ziemskie. Przez ponad dwadzieścia lat wiedliśmy spokojne i pożyteczne życie, mając nadzieję, że nasza przeszłość została na zawsze pogrzebana. Wyobraź więc sobie, co musiałem czuć, gdy ujrzałem tego marynarza, który do nas przyszedł. Natychmiast rozpoznałem w nim człowieka, którego uratowaliśmy z wraku. W jakiś sposób udało mu się nas wyśledzić i odnaleźć i postanowił sobie, że nas zastraszy. Teraz pojmujesz już pewnie, dlaczego starałem się go nie drażnić, i w pewnej mierze rozumiesz lęk, który mnie prześladuje od czasu, gdy Hudson zostawił mnie w spokoju i udał się z pogróżkami do swojej drugiej ofiary.

Poniżej napisano pismem tak chwiejnym, że ledwie można było je odczytać:

Beddoes napisał szyfrem, że H. wszystko wyśpiewał. Słodki Boże, zlituj się nad naszymi duszami!.

Właśnie taką dramatyczną historię odczytałem tamtej nocy młodemu Trevorowi. Gdy mój druh ją usłyszał, był załamany. Wyjechał potem do Teraju, gdzie został plantatorem herbaty. Podobno dobrze mu się tam wiedzie. Jeśli chodzi o marynarza i Beddoesa, nie słyszano o nich więcej od dnia, w którym został wysłany list z ostrzeżeniem. Obaj zniknęli, zupełnie jakby rozpłynęli się w powietrzu. Nikt też nie złożył doniesienia na policji, a to oznacza, że Beddoes uznał pogróżkę Hudsona za czyn już dokonany. Ktoś widział Hudsona, jak kręcił się po okolicy, a policja podejrzewa, że musiał zabić Beddoesa i uciec. Jeśli o mnie chodzi, jestem przeświadczony, że było dokładnie na odwrót. Najprawdopodobniej to Beddoes, doprowadzony do ostateczności, pewny, że go zdradzono, zemścił się na Hudsonie, a następnie zbiegł z kraju, zabierając ze sobą tyle pieniędzy, ile udało mu się zgromadzić. Takie są fakty w tej sprawie, mój drogi Watsonie; jeśli więc uznasz, że warto je zamieścić w twojej kronice, są teraz do twojej dyspozycji. Zrób z nimi, co tylko zechcesz.

Rozdział piąty

Rytuał Musgrave'ów

Mój przyjaciel Sherlock Holmes miał niezwykle precyzyjny i usystematyzowany sposób myślenia; ubierał się raczej zwyczajnie i skromnie. Niemniej był jednym z najgorszych bałaganiarzy, jakiego kiedykolwiek poznałem. I bynajmniej nie chodzi o to, że moje przyzwyczajenia w tym względzie można by uznać za konwencjonalne. Trudy i niebezpieczeństwa pracy w Afganistanie, w połączeniu z moimi artystycznymi skłonnościami, sprawiły, że podchodzę do porządku znacznie swobodniej, niż przystoi lekarzowi. W moim przypadku istnieją pewne granice. Kiedy jednak widzę człowieka, który trzyma swoje cygara w koszu na węgiel, tytoń w czubku perskiego pantofla, a listy, na które jeszcze nie odpowiedział, przybija scyzorykiem do drewnianej półki nad kominkiem, zaczynam wierzyć, że sam jestem niezwykle pedantyczny. Zawsze byłem zdania, że ćwiczenia w strzelaniu z pistoletu odbywają się z reguły na wolnym powietrzu. Pewnego razu gdy Holmes znajdował się w tym dziwnym nastroju, w jaki od czasu do czasu popadał, zastałem go siedzącego w fotelu z palcem na spuście i setką naboi Boxera pod ręką. Strzelając na wprost, ozdabiał przeciwległą ścianę dziurami po kulach, które utworzyły litery V.R. tchnące patriotyzmem. Wierzcie mi, nie skorzystały na tym ani atmosfera, ani wygląd naszego pokoju.

W naszym mieszkaniu zawsze walało się mnóstwo chemikaliów i najróżniejszych przedmiotów związanych z przestępstwami, których rozwikłaniem zajmował się Holmes. Przedmioty te w jakiś niewytłumaczalny sposób odnajdywały się w nieprawdopodobnych miejscach, na przykład w maselniczce, albo gdzieś, gdzie jeszcze trudniej było się ich spodziewać. Najbardziej jednak drażniły mnie papierzyska. Holmesa przerażała myśl, że jego dokumenty – zwłaszcza te, które były

związane z wcześniejszymi sprawami – mogą ulec zniszczeniu, jednak tylko raz w roku lub raz na dwa lata znajdował w sobie tyle energii, by je skatalogować i uporządkować. Zresztą, jak już gdzieś pisałem w tych dość chaotycznych wspomnieniach, po okresach przypływu ogromnej energii i pasji, kiedy to mój przyjaciel dokonywał swych największych czynów kojarzonych później z jego nazwiskiem, zawsze następowały w jego życiu stany apatii. Wówczas przez całe dnie leżał na sofie ze swoimi skrzypcami, otoczony stertami książek, i rzadko kiedy ruszał się z miejsca, a jeśli już, to co najwyżej po to, by podejść do stołu. W ten sposób papiery gromadziły się z miesiąca na miesiąc, aż w końcu każdy zakątek pokoju zawalony był stertami rękopisów, których pod żadnym pozorem nie można było spalić i których nikt nie miał prawa ruszyć z wyjątkiem ich właściciela. Pewnego zimowego wieczoru, kiedy razem siedzieliśmy przy kominku, zasugerowałem mu, żeby – gdy już skończy wklejać wycinki do swojej księgi złotych myśli – wykorzystał kolejne dwie godziny i trochę się postarał, aby w naszym mieszkaniu dało się żyć. Holmes nie mógł zaprzeczyć słuszności mojej prośby, więc z żałosną miną poszedł do sypialni, a po chwili wrócił, wlokąc wielkie blaszane pudło. Postawił je na podłodze pośrodku pokoju i, przysiadając przed nim na stołku, zdjął pokrywę. Zobaczyłem, że w jednej trzeciej zapełnione już było stosem papierów w postaci pakietów, powiązanych czerwoną taśmą.

– Sporo tutaj spraw, Watsonie – powiedział, patrząc na mnie z szelmowską miną. – Coś mi się wydaje, że gdybyś wiedział o wszystkim, co kryje się w tym pudle, błagałbyś mnie, bym kilka z nich stamtąd wyjął, zamiast wkładać kolejne do środka.

– A więc to są zapiski z twoich pierwszych spraw? – spytałem. – Już wiele razy pragnąłem sie do nich dorwać.

– Tak, mój drogi. Wszystko to zostało spisane wcześniej, jeszcze zanim pojawił się mój biograf, aby mnie uwiecznić – czule, jakby pieszczotliwie brał do rąk pakiet po pakiecie. – Nie są to świadectwa samych sukcesów, Watsonie – powiedział – ale zdarzały się wśród nich niezłe zagadki. Oto relacja dotycząca morderstw z Tarleton i sprawa Vamberry’ego, handlarza winem oraz przygoda ze starą Rosjanką i dziwna sprawa kuli z aluminium. No i jeszcze pełne sprawozdanie o kulawym Ricolettim i jego paskudnej żonie. A tutaj… O, tutaj mamy coś, co naprawdę wymagało sporego wysiłku.

Włożył rękę do pudła, sięgając aż do jego dna, i wydobył z niego małą drewnianą szkatułkę z przesuwanym wiekiem, taką, w jakich dzieci trzymają zwykle swoje drobiazgi. Wyciągnął ze środka zmięty kawałek papieru, staroświecki mosiężny klucz, drewniany kołek z przymocowanym do niego kłębkiem sznurka i trzy stare, przeżarte rdzą metalowe krążki.

– No i co, mój drogi? Co o tym sądzisz? – spytał, uśmiechając się na widok mojej miny.

– To doprawdy przedziwna kolekcja.

– Niewątpliwie przedziwna, a związana z nią historia wyda ci się jeszcze dziwniejsza.

– A więc te przedmioty mają jakąś historię?

– Owszem, i to jaką! Można śmiało powiedzieć, że same stanowią historię.

– Co przez to rozumiesz?

Biorąc przedmioty do ręki, jeden po drugim, Sherlock Holmes ułożył je wzdłuż krawędzi stołu. Potem uniósł się z taboretu, usiadł wygodnie na krześle i przyglądał im się przez chwilę z błyskiem satysfakcji w oku.

– Te rzeczy tutaj – powiedział – to jedyne pamiątki, które przypominają mi o rytuale Musgrave’ów.

Już kilka razy słyszałem, jak wspominał o tej sprawie, nie sądziłem jednak, że kiedykolwiek uda mi się poznać szczegóły.

– Sprawiłbyś mi ogromną przyjemność – powiedziałem – gdybyś mi o tym opowiedział.

– I pozostawił śmieci tam, gdzie są? – zawołał z psotnym błyskiem w oku. – Bądź co bądź, Watsonie, twoje zamiłowanie do porządku zbytnio na tym nie ucierpi, ja zaś bardzo się ucieszę, jeśli dodasz tę sprawę do swoich pamiętników. Pewne aspekty czynią ją całkowicie wyjątkową w historii kryminologii, i to nie tylko w Anglii, lecz również – jak sądzę – w innych krajach. Lista moich osiągnięć z pewnością nie byłaby kompletna, gdyby nie znalazła się w niej relacja z tej tak bardzo dziwnej przygody.

Jak zapewne pamiętasz, to sprawa statku „Gloria Scott” i moja rozmowa z tym nieszczęsnym człowiekiem, którego losy streściłem, po raz pierwszy zwróciły moją uwagę na zawód detektywa, jaki miał się potem stać istotą mojego życia. Znasz mnie teraz, kiedy moje nazwisko stało się już rozpoznawalne, a zarówno policja, jak i opinia publiczna uznają mnie za ostatnią instancję w trudnych do rozwiązania przypadkach. Nawet kiedy

mnie poznałeś, w czasach gdy zajmowałem się sprawą, którą upamiętniłeś jako „Studium w szkarłacie”, miałem już znaczne, choć niezbyt lukratywne osiągnięcia. W związku z tym nie zdajesz sobie pewnie sprawy, jak ciężko mi było na początku i jak długo musiałem czekać, nim zdołałem poczynić jakiekolwiek postępy w mojej profesji.

Gdy po raz pierwszy przyjechałem do Londynu, wynająłem kwaterę przy Montague Street, kilka kroków od British Museum. Tam czekałem na swoją szansę, wypełniając wolny czas, którego miałem w nadmiarze, zgłębianiem wszystkich dziedzin wiedzy, jakie mogłyby się przydać w mym fachu. Od czasu do czasu trafiały się jakieś sprawy, które podrzucali mi głównie byli koledzy ze studiów, bo w ostatnich latach, jakie spędziłem na uniwersytecie, zrobiło się dość głośno o mnie i o moich metodach. Trzecią z tych spraw był rytuał Musgrave’ów, i to właśnie dzięki zainteresowaniu, jakie wzbudził przedziwny łańcuch wydarzeń, oraz dzięki sprawom ogromnej wagi, których dotyczył, udało mi się uczynić pierwszy krok w kierunku zdobycia mojej obecnej pozycji.

Reginald Musgrave uczęszczał do tego samego college’u co ja; nawiązałem z nim luźną znajomość. Nie był zbyt lubiany przez innych studentów, choć zawsze odnosiłem wrażenie, że to, co uznawano za jego dumę, było raczej próbą ukrycia całkowitego braku pewności siebie. Szczupły, z zadartym nosem i wielkimi oczami sprawiał wrażenie arystokraty. Świadczył o tym również jego styl bycia. Faktycznie był potomkiem jednego z najstarszych rodów w królestwie, mimo że należał do linii, która wyodrębniła się z północnych Musgrave’ów mniej więcej około szesnastego wieku i objęła włości w zachodnim Sussex; dwór Hurlstone jest prawdopodobnie najstarszym zamieszkanym budynkiem w hrabstwie.

Patrząc na Reginalda, można było odnieść wrażenie, że uosabia miejsce, w którym się urodził. Zawsze gdy widziałem jego bladą, bystrą twarz, sposób, w jaki trzymał głowę, przychodziły mi na myśl szare sklepienia, wielodzielne okna i ogólny widok tej szacownej wiekowej siedziby. Pamiętam, że rozmawialiśmy kilkakrotnie; wyrażał wówczas wielkie zainteresowanie moimi metodami obserwacji i wnioskowania.

Nie widziałem go przez cztery lata aż do dnia, gdy pewnego ranka wszedł do mojego pokoju przy Montague Street. Niewiele się zmienił. Był

modnie ubrany (zawsze wyglądał jak dandys), zachował także ten sam spokojny, uprzejmy sposób bycia, który wcześniej go wyróżniał.

– I jak ci się wiedzie, Musgrave? – spytałem, gdy już serdecznie uścisnęliśmy sobie dłonie.

– Pewnie słyszałeś o śmierci mojego biednego ojca – powiedział. – Pochowaliśmy go jakieś dwa lata temu. Od tego czasu musiałem oczywiście zarządzać posiadłością Hurlstone, a ponieważ jestem również posłem z mojego regionu, zostaje mi niewiele czasu dla siebie. Ty zaś, Holmesie, jak widać, postanowiłeś zrobić praktyczny użytek z tych zdolności, którymi niegdyś wprawiałeś mnie w osłupienie.

– Tak – odparłem. – Zdecydowałem się żyć z mojego intelektu.

– Ogromnie się cieszę, że to słyszę, bo w tej chwili twoja rada byłaby dla mnie nieoceniona. W Hurlstone dzieją się ostatnio dziwne rzeczy, a policji jak dotąd nie udało się niczego wyjaśnić. Doprawdy, to przedziwne i niewytłumaczalne zdarzenia.

Możesz sobie wyobrazić, Watsonie, jak uważnie go słuchałem, ponieważ szansa, na którą tak liczyłem przez wszystkie miesiące bezczynności, nagle znalazła się w zasięgu ręki. W głębi serca byłem przekonany, że powiedzie mi się tam, gdzie innym się nie udało, i że teraz będę miał możliwość się sprawdzić.

– Proszę, opowiedz o tym w szczegółach! – zaproponowałem.

Reginald Musgrave usiadł naprzeciwko mnie i zapalił papierosa, którym go po-częstowałem.

– Powinieneś wiedzieć, że choć sam jestem kawalerem, muszę utrzymywać w Hurlstone wielu służących. To stary, wielki dom pełen zakamarków, i trzeba włożyć dużo wysiłku, żeby się nim zajmować. Muszę dbać o niezbędne naprawy, a w sezonie polowań na bażanty zazwyczaj zjeżdżają goście, dlatego posiadanie licznej służby jest konieczne. Mam łącznie osiem pokojówek, kucharza, kamerdynera, dwóch lokajów i chłopaka na posyłki. Oczywiście stajniami i ogrodem zajmuje się dodatkowy personel.

Spośród wszystkich tych osób najdłużej pracował u nas kamerdyner Brunton. Kiedy zatrudniał go mój ojciec, był jeszcze młodym nauczycielem, który nie mógł sobie znaleźć miejsca w świecie. Jego silny charakter i mnóstwo energii sprawiły, że szybko stał się dla nas kimś niezastąpionym. To rosły, przystojny mężczyzna o pięknym wysokim czole;

choć był z nami od dwudziestu lat, w tej chwili ma nie więcej niż czterdzieści. Mając na uwadze jego osobiste zalety i niezwykłe uzdolnienia – zna kilka języków i gra na niemal wszystkich instrumentach – zawsze się dziwiłem, że zadowala go takie stanowisko. Przypuszczam jednak, że Bruntonowi było po prostu wygodnie i brakowało mu motywacji, by dokonać w swym życiu jakichś zmian. Tak czy owak wszyscy nasi goście na zawsze zapamiętają kamerdynera z Hurlstone.

Ten wzór wszelakich cnót miał jednak pewną wadę. Był prawdziwym Don Juanem, a jak sobie zapewne wyobrażasz, dla człowieka jego pokroju nie trudno było o miłosne podboje w tym cichym, wiejskim zakątku. Kiedy miał żonę, wszystko było w porządku, ale odkąd owdowiał, bezustannie przysparza nam kłopotów. Kilka miesięcy temu wszyscy mieliśmy nadzieję, że znów się ustatkuje, ponieważ zaręczył się z Rachel Howells, naszą drugą pokojówką. Potem jednak ją porzucił i wdał się w romans z Janet Tregellis, córką głównego leśniczego. Rachel, która, nawiasem mówiąc, jest bardzo dobrą dziewczyną, obdarzoną ognistym walijskim temperamentem, ciężko się rozchorowała na zapalenie opon mózgowych i teraz snuje się po domu, a raczej snuła się aż do wczoraj, niczym wspomnienie dawnej siebie. To był nasz pierwszy dramat w Hurlstone. Potem jednak zszedł na plan dalszy, pojawił się bowiem drugi problem, a całą sprawę poprzedziło zwolnienie Bruntona.

A oto jak do tego doszło. Wspominałem już, że kamerdyner był niezwykle inteligentnym człowiekiem, i to właśnie jego inteligencja doprowadziła go do zguby, ponieważ wygląda na to, iż zaczął nadmiernie ciekawić się sprawami, którymi nie powinien się interesować. Nie miałem pojęcia, jak bardzo się w to zaangażował, dopóki nadzwyczajny zbieg okoliczności nie otworzył mi oczu.

Wspominałem już, że dom jest pełen zakamarków. Pewnego dnia, w zeszłym tygodniu, a dokładniej mówiąc w czwartkową noc, nie mogłem zasnąć, gdyż byłem na tyle głupi, że po kolacji wypiłem filiżankę mocnej, czarnej kawy. Kiedy o drugiej nad ranem wciąż jeszcze przewracałem się z boku na bok i przestałem wierzyć w to, że zasnę, wstałem, zapaliłem świecę i postanowiłem dokończyć pewną powieść. Książkę, jak się okazało, zostawiłem w sali bilardowej, włożyłem zatem szlafrok i poszedłem tam.

Żeby dojść do sali bilardowej, trzeba zejść piętro niżej, a następnie przejść korytarzem prowadzącym do biblioteki i zbrojowni. Nie

wyobrażasz sobie, jak byłem zaskoczony, gdy w głębi korytarza dostrzegłem spoza uchylonych drzwi biblioteki migoczące światło. Osobiście zgasiłem tam lampę i zamknąłem drzwi, nim udałem się na spoczynek.

Rzecz jasna najpierw przyszło mi do głowy, że może to jacyś włamywacze. Ściany korytarzy w Hurlstone zdobi wiele trofeów i starej broni. Wybrałem sobie topór bojowy, a potem, odstawiwszy świecę, podkradłem się na palcach i zajrzałem przez uchylone drzwi.

W bibliotece znajdował się kamerdyner Brunton. Siedział w fotelu, trzymając na kolanie kartkę papieru, która wyglądała jak fragment mapy. Podparł ręką głowę, zagłębiony w rozmyślaniach. Stałem tak oniemiały ze zdumienia, obserwując go spoza kręgu światła. Cienka świeczka na brzegu stołu rzucała zaledwie słabe światło, było jednak na tyle jasno, że zauważyłem, iż był całkowicie ubrany. Nagle wstał z fotela, podszedł do komody stojącej z boku, przekręcił klucz i otworzył jedną z szuflad. Wyjął stamtąd jakiś papier, wrócił do swojego fotela, rozłożył ten papier na stole obok świeczki i zaczął niezwykle wnikliwie studiować. Byłem tak wzburzony, widząc, jak potajemnie czyta nasze rodowe dokumenty, że otworzyłem szeroko drzwi i zatrzymałem się na progu pokoju. Brunton podniósł wzrok i dostrzegł mnie. Z twarzą pobladłą z przerażenia skoczył na równe nogi i wsunął do kieszeni na piersi przypominający mapę dokument, któremu jeszcze przed chwilą tak uważnie się przyglądał.

– A więc to tak! – powiedziałem. – Tak nam odpłacasz za zaufanie, jakim cię obdarzyliśmy. Jutro masz opuścić ten dom!

Ukłonił się i z miną całkowicie zdruzgotanego człowieka bez słowa przemknął obok mnie. Świeczka nadal stała na stole, i w jej świetle spojrzałem na arkusz, który Brunton wyjął z komody. Ku mojemu zdumieniu nie było to nic ważnego, a jedynie kopia pytań i odpowiedzi dotyczących pewnego starego, dziwacznego obrządku, zwanego rytuałem Musgrave’ów. To nasza rodowa ceremonia, w której od stuleci każdy Musgrave, wkraczający w wiek męski, musiał uczestniczyć. Ta rodzinna tradycja, podobnie jak nasze tarcze herbowe czy okrzyki bojowe, być może zainteresowałaby archeologa, ale nie ma absolutnie żadnego praktycznego zastosowania.

– Później jeszcze wrócimy do tego dokumentu – powiedziałem.

– Jeśli sądzisz, że to naprawdę konieczne – odparł z wahaniem w głosie. – Pozwól jednak, że opowiem ci, co było dalej. Zamknąłem komodę, używając klucza, który zostawił Brunton, i odwróciłem się, mając zamiar wyjść z bibilioteki, lecz z zaskoczeniem odkryłem, że kamerdyner wrócił i stoi przede mną.

– Panie Musgrave, sir… – wykrztusił głosem ochrypłym z emocji. – Nie zniosę takiej hańby… Zawsze byłem dumny z tego, co robię w życiu, i taka hańba mnie zabije. Będzie pan miał moją śmierć na sumieniu… Na pewno tak się stanie, jeśli wpadnę w rozpacz. Gdy po tym, co się stało, nie chce mnie pan więcej widzieć, to, na Boga, proszę mi dać wypowiedzenie, a ja odejdę za miesiąc, tak jakby z własnej woli. To będę w stanie znieść, panie Musgrave… Ale nie przeżyję, jeśli pan mnie wyrzuci, i wszyscy ci, których tak dobrze znam i którzy znają mnie, dowiedzą się o tym.

– Nie zasługujesz na takie względy, Brunton – odparłem. – Postąpiłeś doprawdy haniebnie. Jednakże, skoro tak długo służyłeś naszej rodzinie, nie zamierzam cię publicznie kompromitować. Miesiąc to za długo. Wynieś się stąd za tydzień i podaj taki powód, jaki chcesz.

– Już za tydzień, sir? – zawołał zrozpaczonym głosem. – Za dwa tygodnie. Chociaż za dwa tygodnie!

– Tydzień – powtórzyłem. – I możesz uznać, że obszedłem się z tobą wyjątkowo łagodnie.

Wtedy kamerdyner, który sprawiał wrażenie przybitego, oddalił się z opuszczoną głową, ja zaś zgasiłem świecę i wróciłem do swego pokoju.

Przez kolejne dwa dni Brunton niezwykle sumiennie wykonywał swoje obowiązki. Nie czyniłem żadnych aluzji do tego, co się stało, i z pewnym zaciekawieniem czekałem, chcąc się przekonać, w jaki sposób zamierza ukryć swą hańbę. Jednak trzeciego dnia nie pojawił się po śniadaniu, tak jak to zazwyczaj czynił, abym udzielił mu instrukcji na cały dzień. Gdy wyszedłem z jadalni, natknąłem się na tę pokojówkę Rachel Howells. Już ci wspominałem, że dopiero co doszła do siebie po ciężkiej chorobie, a wyglądała tak blado i słabo, że zganiłem ją za to, że już przyszła do pracy.

– Powinnaś leżeć w łóżku – powiedziałem. – Wrócisz do swych obowiązków, kiedy dojdziesz do siebie.

Spojrzała na mnie z tak dziwnym wyrazem twarzy, iż zacząłem podejrzewać, że choroba uszkodziła jej mózg.

– Już nic mi nie jest, panie Musgrave – odpowiedziała.

– Zobaczymy, co na to powie lekarz – odparłem. – Teraz natychmiast przerwij pracę, a kiedy będziesz szła na dół, powiedz Bruntonowi, że chcę go widzieć.

– Kamerdyner odszedł – powiedziała.

– Odszedł? Dokąd odszedł?

– On odszedł. Nikt go nie widział. Nie ma go w jego pokoju. O tak, odszedł! Odszedł!

Gwałtownie oparła się plecami o ścianę i wybuchnęła histerycznym śmiechem; przerażony tą nagłą reakcją, popędziłem, aby przywołać dzwonkiem pomoc.

Wrzeszczącą i szlochającą dziewczynę zaprowadzono do jej pokoju, ja natomiast próbowałem znaleźć Bruntona. Nie było żadnych wątpliwości co do tego, że zniknął. Nocą w jego łóżku nikt nie spał. Nikt go też nie widział, odkąd poprzedniego wieczoru udał się na spoczynek. A jednak trudno było ustalić, w jaki sposób opuścił dom, bo rano wszystkie okna i drzwi były pozamykane od wewnątrz. W pokoju zostały jego ubrania, zegarek, a nawet pieniądze. Brakowało tylko czarnego garnituru, który zazwyczaj nosił. Zniknęły również jego pantofle, zostawił natomiast buty. A więc dokąd w samym środku nocy mógł się udać kamerdyner Brunton, i co takiego mogło się z nim teraz dziać?

Oczywiście przeszukaliśmy dom od piwnicy aż po strych, nie znaleźliśmy jednak niczego, nawet najmniejszego śladu. Jak już mówiłem, ten stary dom to prawdziwy labirynt, zwłaszcza jego najstarsze skrzydło, w którym obecnie nikt nie mieszka. Przetrząsnęliśmy i tam każde pomieszczenie i piwnice, ale nie natknęliśmy się na żaden ślad zaginionego. Wydawało mi się niemożliwe, by Brunton mógł odejść, zostawiając cały swój dobytek, a z drugiej strony, gdzież mógł się podziać?

Wezwałem miejscową policję, nic to jednak nie dało. Poprzedniej nocy padał deszcz, i grunt był mokry. Obejrzeliśmy dokładnie trawnik i wszystkie ścieżki wokół domu, lecz na próżno.

Tak właśnie miały się sprawy, kiedy nowe wydarzenia spowodowały, że rozwiązanie tej pierwszej zagadki odeszło na plan dalszy.

Przez dwa dni Rachel Howells była tak ciężko chora – na przemian majaczyła i dostawała ataków histerii – że trzeba było zatrudnić pielęgniarkę, która czuwała nad nią w nocy. Trzeciej nocy po zniknięciu Bruntona pielęgniarka, przekonawszy się, że jej pacjentka spokojnie śpi,

zdrzemnęła się w fotelu. Gdy obudziła się nad ranem, odkryła, że łóżko jest puste, okno otwarte, i nigdzie nie ma ani śladu chorej. Natychmiast mnie obudzono, i wraz z dwoma lokajami ruszyłem niezwłocznie na poszukiwania zaginionej dziewczyny. Nietrudno było ustalić kierunek, w którym się udała, bo ślady prowadziły spod samego okna przez trawnik na brzeg jeziora, gdzie znikały przy żwirowanej dróżce prowadzącej poza teren posiadłości. Jezioro ma w tym miejscu osiem stóp głębokości, i wyobrażasz sobie zapewne, co czuliśmy, widząc, że ślady tej biednej, obłąkanej dziewczyny urywały się nad jego brzegiem.

Oczywiście od razu chwyciliśmy za drągi i rozpoczęliśmy poszukiwania zwłok, nie natrafiliśmy jednak na ciało. Wyciągnęliśmy natomiast na powierzchnię coś zupełnie nieoczekiwanego. Była to płócienna torba zawierająca mnóstwo starych zardzewiałych i odbarwionych metalowych krążków oraz kilka matowych kamyków i kawałków szkła. To przedziwne znalezisko było wszystkim, co wyłowiliśmy z jeziora, i choć wczoraj szukaliśmy dziewczyny, przetrząsnąwszy wszystko dookoła, nie natrafiliśmy na żaden ślad Rachel Howells ani Richarda Bruntona. Policja z hrabstwa odchodzi już od zmysłów, dlatego teraz zwracam się do ciebie, jesteś moją ostatnią deską ratunku.

Wyobrażasz sobie zapewne, Watsonie, jak skwapliwie słuchałem opowieści o tym przedziwnym ciągu zdarzeń. Próbowałem je do siebie dopasować i znaleźć jakiś wspólny motyw, który mógłby je wszystkie połączyć. Kamerdyner przepadł. Dziewczyna przepad-ła. Dziewczyna kochała kamerdynera, później jednak miała powody, aby go znienawidzić. W jej żyłach płynęła namiętna, ognista walijska krew. Była strasznie wzburzona bezpośrednio po zniknięciu Bruntona. Wrzuciła do jeziora torbę z jakąś dziwną zawartością. Wszystkie te okoliczności należało wziąć pod uwagę, a jednak żaden z nich nie wyjaśniał sedna sprawy. Co zapoczątkowało tę historię? Tam właśnie znajdował się koniec tej splątanej nici.

– Muszę zobaczyć ten dokument, Musgrave – powiedziałem. – Ten, do którego twój kamerdyner tak bardzo chciał zajrzeć, mimo że ryzykował utratą posady.

– Ech, ten nasz rytuał… Jest dość absurdalny – odparł. – Na jego usprawiedliwienie można powiedzieć tylko tyle, że jest strasznie stary. Mam tutaj kopię pytań i odpowiedzi, skoro chcesz rzucić na nie okiem.

Podał mi ten arkusz papieru, który trzymam teraz przed sobą. Watsonie, to jest właśnie ów przedziwny katechizm, któremu musiał się podporządkować każdy Musgrave, kiedy dorastał i stawał się dziedzicem posiadłości. Odczytam ci pytania i odpowiedzi, tak jak je spisano.

– Do kogo to należało?
– Do tego, który odszedł.
– Kto to otrzyma?
– Ten, który nadejdzie.
– Gdzie było słońce?
– Było nad dębem.
– Gdzie był cień?
– Był pod wiązem.
– Jak stawiano kroki?
– Na północ dziesięć i dziesięć, na wschód pięć i pięć, na południe dwa i dwa, na zachód jeden i jeden i poniżej.
– Co za to oddamy?
– Wszystko co nasze.
– Dlaczego mamy to oddać?
– Przez wzgląd na zaufanie.

– Na oryginale nie było daty, ale wnosząc z pisowni, pochodzi z połowy siedemnastego wieku – zauważył Musgrave. – Obawiam się jednak, że ten stary dokument niewiele ci pomoże w rozwiązaniu zagadki.

– Przynajmniej – odparłem – otwiera nam drogę do kolejnej, i to nawet ciekawszej niż ta pierwsza. Niewykluczone, iż okaże się, że rozwiązanie jednej zagadki będzie też rozwiązaniem drugiej. Wybacz mi to, co powiem, Musgrave, ale odnoszę wrażenie, że wasz kamerdyner był niezwykle bystrym człowiekiem i rozumiał ten rytuał lepiej niż dziesięć pokoleń jego panów.

– Ledwie za tobą nadążam – stwierdził Musgrave. – Wydaje mi się, że ten papier nie ma żadnego praktycznego znaczenia.

– No cóż, mnie zaś wydaje się niezwykle praktyczny, i ośmielę się stwierdzić, że Brunton podzielał ten sam pogląd. Prawdopodobnie widział już ten dokument wcześniej, nim przyłapałeś go tamtej nocy.

– To bardzo możliwe. Nigdy go nie ukrywaliśmy.

– Sądzę, że chciał po prostu odświeżyć sobie pamięć. Jak rozumiem, miał jakąś mapę, którą porównywał z manuskryptem, i wetknął do kieszeni,

kiedy się zjawiłeś.

– To prawda. Ale co on mógł mieć wspólnego z naszym starym rodzinnym zwyczajem, i co oznaczają całe te podchody?

– Jestem przekonany, że bez trudu uda nam się to ustalić – odparłem. – Za twoim pozwoleniem, wsiądziemy w pierwszy pociąg do Sussex. Na miejscu zbadamy tę sprawę dokładnie.

Jeszcze tego samego popołudnia dotarliśmy do Hurlstone. Prawdopodobnie widziałeś zdjęcia i czytałeś opisy tej słynnej starej budowli, ograniczę więc swoją relację do przypomnienia, że wzniesiono ją na planie litery L, której dłuższe ramię stanowi nowoczesne skrzydło, krótsze zaś jest najstarszą częścią budowli. Nad niskimi drzwiami z ciężkim nadprożem, pośrodku starej części, wyryto dłutem datę „1607”, eksperci jednak są zgodni co do tego, że belki nośne i mury są w rzeczywistości znacznie starsze. Ponieważ w tej części budynku ściany są niezwykle grube, a okna maleńkie, w ubieg-łym stuleciu członkowie rodu zdecydowali, że wybudują nowe skrzydło; stare miało być użytkowane – o ile w ogóle – jako magazyn i piwnice. Dom otoczony jest wspaniałym parkiem z pięknymi, starymi drzewami. Nieopodal alejki leży jezioro, o którym wspominał Reginald, oddalone jakieś dwieście jardów od budynku.

Do tego czasu byłem już przekonany, Watsonie, że nie mieliśmy tu do czynienia z trzema odrębnymi tajemnicami, lecz tylko z jedną, i że jeśli uda mi się właściwie odczytać rytuał Musgrave’ów, natrafię na trop, dzięki któremu poznam prawdę o kamerdynerze Bruntonie i pokojówce Howells. Na tym więc skupiłem całą swoją energię. Dlaczego kamerdyner tak bardzo chciał zapamiętać tę starą ceremonię? Najwyraźniej dlatego, że dostrzegł w niej coś, co umknęło wszystkim pokoleniom dziedziców, i ze znajomości czego spodziewał się uzyskać jakieś osobiste korzyści. Czym w takim razie był ten rytuał i w jaki sposób wpłynął on na los Bruntona?

Po przeczytaniu manuskryptu stało się dla mnie całkowicie jasne, że wszystkie te liczby muszą się odnosić do jakiegoś miejsca, do którego czyniono aluzje w pozostałej części dokumentu, i że jeśli uda nam się to miejsce odnaleźć, będziemy już na dobrej drodze do odkrycia, jaki sekret dawni Musgrave’owie postanowili uwiecznić w tak dziwaczny sposób. Na początek mieliśmy dwa punkty odniesienia: dąb oraz wiąz. Jeśli chodzi o dąb, nie mogło tu być żadnych wątpliwości. Tuż przed domem, po lewej

stronie podjazdu, stał prawdziwy patriarcha wśród dębów, jedno z najdostojniejszych drzew, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Z pewnością stał tu już wówczas, gdy spisywano ten rytuał – powiedziałem, gdy go mijaliśmy.

– Najprawdopodobniej był tutaj już za czasów normańskiej inwazji – odparł Musgrave. – Ma w obwodzie dwadzieścia trzy stopy.

– A są tu jakieś stare wiązy? – spytałem.

– Tam dalej rósł kiedyś bardzo stary wiąz, ale dziesięć lat temu uderzył w niego piorun i musieliśmy go wyciąć.

– Czy widać jeszcze, gdzie kiedyś stał?

– O tak.

– I nie ma innych wiązów?

– Nie ma żadnych starych, jest za to mnóstwo buków.

– Chciałbym zobaczyć, gdzie rósł.

Podjechaliśmy tam dwukółką, a mój klient natychmiast, jeszcze zanim weszliśmy do domu, zaprowadził mnie do karpy na trawniku w miejscu, gdzie rósł niegdyś wiąz. Było to prawie w połowie drogi pomiędzy dębem a domem. Wyglądało na to, że moje śledztwo posuwa się naprzód.

– Przypuszczam, że nie sposób teraz stwierdzić, jak wysoki był ten wiąz? – spytałem.

– Mogę ci powiedzieć. Miał sześćdziesiąt cztery stopy wysokości.

– Jakim cudem znasz jego wysokość? – spytałem zaskoczony.

– Gdy mój stary guwerner zadawał mi ćwiczenia z trygonometrii, zawsze chodziło w nich o pomiar wysokości. Kiedy byłem młodzieńcem, musiałem obliczać wysokość każdego drzewa i każdego budynku na terenie posiadłości.

Nieoczekiwanie uśmiechnęło się do nas szczęście. Zbierałem informacje szybciej, niż mógłbym na to liczyć.

– A powiedz mi – zapytałem – czy twój kamerdyner kiedykolwiek zadał ci takie pytanie?

Reginald Musgrave spojrzał na mnie zaskoczony.

– Teraz, kiedy o tym myślę… – odparł. – Tak. Jakieś parę miesięcy temu Brunton zapytał mnie o wysokość tego drzewa. Chodziło o jakąś nieistotną sprzeczkę ze stajennym.

– Były to doskonałe wieści, Watsonie, bo dzięki temu wiedziałem już, że jestem na właściwym tropie. Spojrzałem w górę na słońce i obliczyłem, że

za niecałą godzinę znajdzie się tuż ponad najwyższymi gałęziami starego dębu. Wówczas spełniony miał być jeden z warunków wymienionych w rytuale. Natomiast cień wiązu musi oznaczać najdalszy punkt cienia, bo w przeciwnym razie jako wskazówkę wybrano by pień. Musiałem się więc dowiedzieć, gdzie kończyłby się najdalszy kraniec cienia wiązu, gdy słońce stało tuż nad dębem.

– To nie było chyba łatwe zadanie, Holmesie, bo przecież wiązu już tam nie było.

– Cóż, przynajmniej wiedziałem, że skoro Brunton był w stanie to zmierzyć, to mnie też się uda. Poza tym tak naprawdę nie było to wcale takie trudne. Poszliśmy z Musgrave'em do jego gabinetu. Ja wystrugałem sobie ten kołek i przywiązałem do niego długi sznurek z węzłami w odstępach jednego jarda. Potem wziąłem długą wędkę mierzącą około sześciu stóp i udałem się z moim klientem na miejsce, gdzie rósł kiedyś wiąz. Słońce ocierało się właśnie o wierzchołek dębu. Przytwierdziłem wędkę, wyznaczyłem kierunek padania cienia, a następnie go zmierzyłem. Był długi na dziewięć stóp.

Oczywiście teraz obliczenia były już proste. Skoro wędka długości sześciu stóp rzucała cień długi na dziewięć stóp, drzewo mające sześćdziesiąt cztery stopy wysokości rzucałoby cień długi na dziewięćdziesiąt sześć stóp, i naturalnie cienie te leżałyby na tej samej linii. Zmierzyłem tę odległość, docierając niemal do ściany domu, i w tym miejscu wbiłem kołek. Wyobraź sobie, jaki byłem podekscytowany, gdy w odległości dwóch cali od mojego kołka spostrzegłem lejkowate zagłębienie w ziemi. To musiał być ślad po pomiarach poczynionych przez Bruntona, wiedziałem, że wciąż jestem na jego tropie.

Gdy uzyskałem w ten sposób punkt odniesienia, zacząłem odmierzać kroki, sprawdziwszy najpierw główne kierunki na moim kieszonkowym kompasie. Dziesięć par kroków na północ poprowadziło mnie wzdłuż ściany budynku, a wtedy znów oznaczyłem to miejsce kołkiem. Potem starannie odmierzyłem pięć kroków na wschód i dwa kroki na południe. Dotarłem w ten sposób do progu starych drzwi. Dwa kroki na zachód oznaczały, że mam przekroczyć próg i przejść po kamiennych płytach. I to właśnie było miejsce, które określał tekst rytuału.

Nigdy w życiu nie byłem tak strasznie rozczarowany, Watsonie. To było niczym zimny prysznic. Przez chwilę wydawało mi się, że musiałem

popełnić jakiś kardynalny błąd w moich obliczeniach. Zachodzące słońce zalewało światłem podłogę przejścia, i wyraźnie ujrzałem, że stare, wytarte szare kamienie, którymi je wyłożono, ściśle do siebie przylegały, i z całą pewnością od wielu, wielu lat nikt ich nie przesuwał. Brunton niczego tutaj nie dotykał. Ostukałem podłogę, ale dźwięk był wszędzie taki sam, i nic nie świadczyło o obecności jakiejś szczeliny czy pęknięcia. Na szczęście jednak Musgrave, który zaczął już dostrzegać sens mojego postępowania i był teraz tak samo podniecony jak ja, wyjął swój manuskrypt, żeby sprawdzić moje obliczenia.

– …i poniżej! – zawołał. – Opuściłeś „i poniżej”!

Do tej pory myślałem, że oznacza to, iż w tym miejscu należy kopać, teraz jednak, oczywiście, natychmiast się zorientowałem, że byłem w błędzie.

– A więc tu niżej jest piwnica? – zawołałem.

– Tak, stara jak cały ten dom. Tędy, tymi drzwiami!

Zeszliśmy na dół po krętych kamiennych schodach. Mój towarzysz zapalił zapałką dużą latarnię stojącą na beczce w rogu. W jednej chwili stało się oczywistym, że wreszcie dotarliśmy we właściwe miejsce i że nie byliśmy jedynymi ludźmi, którzy ostatnio je odwiedzali.

Piwnicę wykorzystywano do przechowywania drewna, ale polana, które niegdyś leżały porozrzucane na podłodze, teraz zostały ułożone w stosy pod ścianą tak, by odsłonić przestrzeń pośrodku. I tam właśnie znajdowała się wielka i ciężka płyta kamienna z zardzewiałym żelaznym pierścieniem pośrodku, do którego przywiązany był gruby kraciasty szal.

– Na Jowisza! – zawołał mój klient. – To szal Bruntona! Mógłbym przysiąc, że widziałem, jak go nosił. Co ten łajdak tutaj robił?

Na moją prośbę wezwano kilku miejscowych policjantów. Gdy przybyli, spróbowaliśmy unieść kamienną płytę, ciągnąc za szal. Ledwie udało mi się ją poruszyć i tylko dzięki pomocy jednego z konstabli odsunąłem ją wreszcie na bok. Pod nami ział czarny otwór. Patrzyliśmy w niego wszyscy, podczas gdy Musgrave, klęcząc z boku, opuszczał w dół latarnię.

Pod nami znajdowało się małe pomieszczenie, głębokie na blisko siedem stóp i szerokie na cztery stopy. Z jednej strony stała ciężka drewniana skrzynia z mosiężnymi okuciami. Jej wieko było uniesione w górę, a z zamka wystawał ten oto dziwny, staroświecki klucz. Z zewnątrz pokrywała ją gruba warstwą kurzu. Najwyraźniej wilgoć i robactwo

przeżarły się przez drewno, bo wnętrze skrzyni porastał siny grzyb. Na jej dnie leżało kilka porozrzucanych metalowych krążków, takich jak te, które widzisz – najwyraźniej były to stare monety. Poza tym nic więcej nie zawierała.

W tamtej chwili jednak nikt z nas nie patrzył na skrzynię, bo nasze oczy zwrócone były na skuloną przy niej sylwetkę. Był to odziany w czarny garnitur mężczyzna. Siedział na podłodze z podkurczonymi nogami, z czołem opartym o krawędź skrzyni, z ramionami obejmującymi jej boki. Posiniała twarz i jej zniekształcone rysy uniemożliwiały rozpoznanie ofiary. Gdy jednak wyciągnęliśmy ciało, jego wzrost, ubiór oraz włosy wystarczyły, by przekonać mojego klienta, iż faktycznie był to jego zaginiony kamerdyner. Nie żył już od kilku dni. Na jego ciele nie było widać żadnych ran ani stłuczeń świadczących o tym, w jaki sposób spotkał go ten straszliwy koniec. Wynieśliśmy ciało z piwnicy, ale nadal pozostał nam do rozwiązania problem, który był niemal równie skomplikowany jak ten, z którym już się uporaliśmy.

Zdradzę ci, Watsonie, że byłem dość rozczarowany wynikami mojego dotychczasowego śledztwa. Liczyłem na to, że wyjaśnię całą tę sprawę, gdy tylko znajdę miejsce opisywane w tekście rytuału. Teraz jednak, kiedy już je znałem, okazało się, że nie zbliżyłem się ani trochę do poznania prawdy o tym, co takiego ukryli tam dawni członkowie rodu, i to podejmując tak skomplikowane środki ostrożności. Wprawdzie udało mi się rzucić trochę światła na to, jaki los spotkał Bruntona, teraz jeszcze musiałem się dowiedzieć, w jaki sposób zginął i jaką rolę odgrywała w tej sprawie kobieta, która zniknęła. Przysiadłem na beczułce w rogu piwnicy i dokładnie przemyślałem sobie wszystko od początku.

Wiesz, jakie metody stosuję w takich sytuacjach, Watsonie. Stawiam się na miejscu takiego człowieka i, oceniwszy najpierw jego inteligencję, próbuję sobie wyobrazić, jak sam bym się zachował w takich okolicznościach. W tym przypadku kwestia była o tyle prosta, że Brunton był bardzo bystrym człowiekiem, nie musiałem więc wprowadzać żadnych korekt i poprawek – nie musiałem uwzględniać równania indywidualnego, jak nazywają to astronomowie. Ten człowiek wiedział, że ukryto coś cennego. Odnalazł to miejsce. Przekonał się jednak, że kamienna płyta stojąca mu na drodze była zbyt ciężka, by mógł ją sam przesunąć. Co miał robić? Nie mógł uzyskać pomocy z zewnątrz, nawet gdyby miał kogoś,

komu ufał, bo wówczas musiałby odryglować drzwi do domu, narażając się na ryzyko wykrycia. Było więc dla niego o wiele lepszym rozwiązaniem znalezienie sobie pomocnika wśród mieszkańców. Kogo jednak mógł o to poprosić?

Ta dziewczyna kochała go kiedyś. Mężczyzna nie potrafi zdać sobie sprawę z faktu, że ostatecznie utracił miłość kobiety. Nie jest tego pewien, bez względu na to, jak źle ją traktował. Spróbował kilkakrotnie okazać Rachel Howells swoje względy, zawierając w ten sposób z nią pokój, a następnie uczynić z niej swoją wspólniczkę. Nocą zeszli razem do piwnicy i razem podnieśli płytę. Do tego momentu byłem w stanie prześledzić ich działania tak, jakbym był naocznym świadkiem.

Uniesienie tego kamienia musiało być dla złoczyńców bardzo ciężką pracą, zwłaszcza że Brunton miał do pomocy kobietę. Nawet dla mnie i krzepkiego policjanta z Sussex nie było to proste zadanie. Co w takim razie mogli zrobić, żeby je sobie ułatwić? Prawdopodobnie to, co ja sam również bym uczynił. Wstałem i dokładnie przyjrzałem się różnym polanom porozrzucanym na podłodze. Niemal natychmiast znalazłem to, co spodziewałem się znaleźć. Jedno z polan, długie mniej więcej na trzy stopy, miało wyraźne wgniecenie na jednym końcu, natomiast kilka innych było spłaszczonych przy krawędziach tak, jakby przycisnął je jakiś ogromny ciężar. Kiedy udało im się już unieść nieco płytę, wsunęli w szczelinę kawałki drewna, aż w końcu otwór zrobił się na tyle duży, by można się było przez niego wczołgać do środka. Podparli płytę polanem ustawionym na sztorc; ponieważ przyciskała je całym ciężarem do kamiennej podłogi, na jego końcu utworzyło się wgniecenie. Jak do tej pory poruszałem się po bezpiecznym gruncie.

W jaki jednak sposób miałem odtworzyć ten rozgrywający się w środku nocy dramat? Najwyraźniej tylko jedno z nich mogło się przecisnąć przez otwór, i uczynił to Brunton. Dziewczyna czekała na niego na górze. Brunton otworzył skrzynię, prawdopodobnie podał Rachel jej zawartość – ponieważ tego nie znaleźliśmy – a następnie… No właśnie. Co się zdarzyło później?

Czy kiedy zobaczyła mężczyznę, który ją skrzywdził – i to być może o wiele, wiele bardziej, niż podejrzewaliśmy – zdanego na jej łaskę i niełaskę, w namiętnej celtyckiej duszy tej kobiety tlący się płomyk zemsty przemienił się nagle w prawdziwy pożar? A może to był przypadek? Może

polano wysunęło się samo, i kamienna płyta zamknęła Bruntona w pomieszczeniu, które miało się stać jego grobem? Czy dziewczyna była winna tylko tego, że nikomu nie wspomniała o jego losie? A może to jej ręka wytrąciła podpórkę i sprawiła, że kamienna płyta z łoskotem opadła w dół? Niezależnie od tego, jak było naprawdę, wydawało mi się, że widzę postać tej kobiety, ściskającej w dłoniach swój skarb, gdy w dzikim popłochu wbiegała po krętych schodach, a w jej uszach wciąż rozbrzmiewały stłumione krzyki i uderzenia dłoni w kamienną płytę, która przyczyniła się do pozbawienia życia jej niewiernego kochanka.

W tym właśnie krył się sekret jej pobladłej twarzy, zszarganych nerwów i napadów histerycznego śmiechu następnego ranka. Ale co było w skrzyni? I co z tym zrobiła? Oczywiście musiały to być te stare metalowe krążki i kamyki, które mój klient wyłowił z jeziora. Cisnęła je tam przy pierwszej okazji, aby zatrzeć ostatnie ślady swej zbrodni.

Przez dwadzieścia minut siedziałem tak bez ruchu, zastanawiając się nad całą sprawą. Musgrave wciąż stał obok z bardzo bladą twarzą, poruszając latarnią i zaglądając w otwór.

– To monety z czasów Karola I – powiedział, zbliżając do oczu kilka z tych, które pozostały w skrzyni. Widzisz, prawidłowo ustaliliśmy datę powstania rytuału.

– Możemy znaleźć coś jeszcze, co należało do Karola I! – zawołałem, bo wydało mi się, że nagle pojąłem znaczenie dwóch pierwszych pytań rytuału. – Pokaż mi, proszę, zawartość tej torby, którą wyciągnęliście ze stawu!

Poszliśmy na górę do jego gabinetu, gdzie Musgrave rozłożył przede mną wyłowione przedmioty. Gdy spojrzałem na nie, zrozumiałem, dlaczego uznał je za nieważne. Metal był niemal czarny, a kamienie – pozbawione połysku, matowe. Potarłem jeden z nich rękawem, a wtedy rozbłysnął niczym iskra w zagłębieniu mojej dłoni. Metalowa oprawa miała postać podwójnego pierścienia, była jednak tak pogięta i powykręcana, że w niczym nie przypominała swojej pierwotnej postaci.

– Musisz pamiętać o tym – powiedziałem – że rojaliści w Anglii skutecznie się bronili jeszcze po śmierci króla, a kiedy wreszcie postanowili ratować się ucieczką, prawdopodobnie zakopali najcenniejsze rzeczy w nadziei, że powrócą po nie w spokojniejszych czasach.

– Mój przodek sir Ralph Musgrave był ważnym stronnikiem Karola I w czasie wojny, później zaś stał się prawą ręką Karola II podczas jego tułaczki – rzekł mój przyjaciel.

– Och, doprawdy? – odparłem. – Cóż, sądzę, że jest to ostatnie ogniwo, którego szukaliśmy. Muszę ci pogratulować, że… choć w dość tragiczny sposób… wszedłeś w posiadanie pewnego artefaktu mającego ogromną wartość, a z pewnością jeszcze większe znaczenie historyczne.

– Co to jest w takim razie? – spytał zdumiony.

– To nic innego, jak dawna korona królów Anglii!

– Korona?!

– Właśnie. Przypomnij sobie, co mówi rytuał. Jak to szło? „Czyje to było? Tego, który odszedł”. To znaczy, że działo się to po egzekucji Karola. Następnie: „Kto to dostanie? Ten, który nadejdzie”. Chodziło o Karola II, którego nadejście już przewidywano. Moim zdaniem nie ma wątpliwości, że ten powykrzywiany i odkształcony diadem ozdabiał niegdyś głowy królewskiej rodziny Stuartów.

– A jak trafił do stawu?

– Odpowiedź na to pytanie zabierze nam trochę więcej czasu.

Przedstawiłem mu długi łańcuch rozumowania wraz ze wszystkimi moimi domniemaniami i dowodami. Nim skończyłem swoją opowieść, zapadł zmierzch, i na niebie ukazał się jasny księżyc.

– A jak to się stało, że po swym powrocie Karol nie odzyskał tej korony? – spytał Musgrave, odkładając przedmiot do płóciennej torby.

– No cóż, zwróciłeś teraz uwagę na sprawę, której prawdopodobnie nigdy nie uda nam się wyjaśnić. Zapewne było tak, że Musgrave, który znał sekret, w tym czasie zmarł, pozostawiwszy wskazówki swojemu potomkowi, ale nie objaśniwszy mu ich przedtem. Od tego dnia rytuał przekazywany był w twoim rodzie z ojca na syna, aż wreszcie dotarł do niego człowiek, który odkrył sekret rytuału, lecz stracił przy tym życie.

I oto cała historia rytuału Musgrave’ów, Watsonie. Nadal przechowują tę koronę w Hurlstone, choć nie obyło się bez kłopotów prawnych, i musieli zapłacić znaczną sumę, aby pozwolono im ją zatrzymać. Jestem pewien, że gdybyś powołał się na mnie, z radością by ci ją pokazali.

Co do tej kobiety, to słuch o niej zaginął. Prawdopodobnie udało jej się wydostać z Anglii i zbiec ze wspomnieniami o swej zbrodni do jakiegoś zamorskiego kraju.

Rozdział szósty

Zagadka z Reigate

Wydarzyło się to nieco wcześniej, nim mój przyjaciel Sherlock Holmes w pełni powrócił do zdrowia. Jego choroba była rezultatem wyczerpania, jakiego doznał po ogromnych wysiłkach wiosną 1887 roku. Sprawa Neverland-Sumatra Company i knowania barona Maupertuisa są jeszcze zbyt świeże w pamięci opinii publicznej i za bardzo związane z kręgami politycznymi i finansjerą, by mogły stanowić temat tego cyklu opowieści. W pośredni sposób doprowadziły one jednak do zaistnienia przedziwnej i złożonej zagadki, dając mojemu przyjacielowi szansę ukazania zalet nowej „broni" spośród wielu sposobów i metod, którymi przez całe życie posługiwał się, walcząc z przestępcami.

Zajrzałem do notatek i sprawdziłem, że w dniu 14 kwietnia otrzymałem telegram z Lyonu. Informowano mnie, że Holmes leży chory w hotelu „Dulong". W ciągu dwudziestu czterech godzin byłem już przy nim i z ulgą odkryłem, że jego niedomagania nie są objawami żadnej poważnej choroby. Choć normalnie Holmes cieszył się żelaznym zdrowiem, załamało się ono pod wpływem trudów śledztwa ciągnącego się już od ponad dwóch miesięcy. W tym czasie nie zdarzało się właściwie, by pracował mniej niż piętnaście godzin dziennie, i jak mnie zapewniał, robił to często bez odpoczynku przez pięć dni z rzędu. Triumf, odniesiony z tak ogromnym wysiłkiem, okupiony został załamaniem nerwowym. I tak oto w czasie, gdy w całej Europie imię Holmesa było dosłownie na ustach wszystkich, a w jego pokoju wręcz brodziło się po kostki w telegramach z gratulacjami, odkryłem, że mój przyjaciel popadł w depresję najsilniejszą z możliwych. Nawet świadomość, że udało mu się dokonać tego, czego nie była w stanie zrobić policja trzech różnych państw, i że przechytrzył pod każdym

względem największego oszusta w Europie, nie dawała mu dość siły, by podźwignąć się z choroby.

Trzy dni później wróciliśmy razem na Baker Street. Było jednak oczywiste, że mojemu przyjacielowi bardzo by się przydała jakaś zmiana. Była wiosna, więc mnie też ogromnie pociągała myśl o tygodniowym pobycie na wsi. Mój stary przyjaciel pułkownik Hayter, którego leczyłem kiedyś w Afganistanie, niedawno kupił dom niedaleko Reigate w Surrey i już wielokrotnie zapraszał mnie, bym go tam odwiedził. Podczas naszej ostatniej rozmowy zauważył też, że gdyby tylko mój przyjaciel zechciał przyjechać wraz ze mną, chętnie będzie gościł również jego. Rzuciłem na szalę wszystkie moje dyplomatyczne zdolności, i gdy tylko Holmes usłyszał, że nasz gospodarz jest kawalerem i że będzie mógł poczuć się u niego swobodnie, dał się przekonać do wyjazdu. W tydzień po naszym powrocie z Lyonu znaleźliśmy się w domu pułkownika. Hayter był starym wiarusem, widział kawał świata i wkrótce przekonał się, tak jak zresztą się spodziewałem, że Holmes i on mają ze sobą wiele wspólnego.

Wieczór w dniu naszego przyjazdu spędzaliśmy w zdobionym kolekcją broni saloniku. Holmes leżał, wygodnie rozciągnięty na sofie, podczas gdy Hayter prezentował mi swój skromny zbiór wschodniej broni.

– A tak, nawiasem mówiąc – powiedział nagle – chyba wezmę ze sobą na górę jeden z tych pistoletów, tak na wszelki wypadek.

– Na wszelki wypadek?

– Tak. Ostatnio mamy powody do obaw. U starego Actona, jednego z naszych miejscowych magnatów, w poniedziałek miało miejsce włamanie. Niby nie było żadnych wielkich strat, ale ci, którzy to zrobili, wciąż są na wolności.

– Nie znaleziono żadnego tropu? – spytał Holmes, zerkając na pułkownika.

– Jak do tej pory, jeszcze nie. To żadna wielka sprawa, jedno z takich naszych nieistotnych wiejskich przestępstw, które z pewnością muszą się wydawać zbyt błahe, by godne były pańskiej uwagi, panie Holmes. A zwłaszcza po wyjaśnieniu tej międzynarodowej afery.

Słysząc komplement, Holmes lekceważąco machnął ręką, lecz uśmiech na jego twarzy świadczył o tym, jak wielką sprawił mu on przyjemność.

– Czy było w tym włamaniu coś interesującego?

– Wydaje mi się, że nie. Złodzieje przetrząsnęli bibliotekę, ale ten wysiłek nie za bardzo im się opłacił. Całe pomieszczenie wywrócone zostało do góry nogami, powyrzucano zawartości szuflad i przetrząśnięto szafy, jednak wszystko, co zniknęło, to jeden tom Homera w tłumaczeniu Pope’a, dwa platerowane świeczniki, przycisk do papieru z kości słoniowej, mały dębowy barometr i kłębek sznurka.

– Cóż za niezwykły łup! – zawołałem.

– Och, najwidoczniej złodzieje zabrali po prostu to, co im wpadło w ręce.

Holmes odchrząknął, leżąc na sofie.

– Miejscowa policja powinna coś z tym zrobić – powiedział. – Cóż, to przecież oczywiste, że…

Podniosłem do góry palec w geście ostrzeżenia.

– Mój drogi przyjacielu, przyjechałeś tutaj, żeby wypocząć. Na litość boską, nie zaczynaj zajmować się nowym problemem, kiedy twoje nerwy wciąż jeszcze są w strzępach.

Holmes wzruszył ramionami, rzucając pułkownikowi zrezygnowane spojrzenie, po czym rozmowa zeszła na bezpieczniejsze tory.

Było mi jednak pisane, by wszystkie moje zawodowe wysiłki poszły na marne. Następnego bowiem ranka problem ten znów stanął na naszej drodze, i to w sposób, który nie pozwalał nam go zignorować, a nasza wizyta na wsi przybrała obrót, jakiego żaden z nas nie był w stanie przewidzieć. Siedzieliśmy właśnie przy śniadaniu, gdy do jadalni wpadł nagle kamerdyner pułkownika. Był czymś tak głęboko wzburzony, że zapomniał o wszelkich konwenansach.

– Słyszał pan już wieści, sir? – wysapał. – U Cunninghama, sir!

– Włamanie? – zawołał pułkownik, a filiżanka kawy, którą podnosił do ust, zastygła w pół drogi.

– Morderstwo!

Pułkownik gwizdnął.

– Na Jowisza! – krzyknął. – Kogo zabito? Sędziego pokoju czy jego syna?

– Żadnego z nich, sir. Zginął stangret William. Dostał kulę proste w serce i skonał na miejscu.

– Ale kto go zastrzelił?

– Włamywacz, sir. Uciekał potem, że aż się kurzyło, i udało mu się zbiec. Bezpośrednio przedtem musiał się włamać przez okno w spiżarni,

a William, który go zaskoczył, zginął, broniąc własności swojego pana.

– Kiedy to się stało?

– Późno w nocy, sir. Mniej więcej około dwunastej.

– Och, w takim razie zajrzymy tam później – powiedział pułkownik, zabierając się znów ze spokojem do śniadania. – To paskudna sprawa – dodał po wyjściu kamerdynera. – Stary Cunningham jest w okolicy bardzo lubiany, a poza tym to wielce przyzwoity człowiek. Będzie zapewne załamany, bo ten stangret pracował u niego od wielu lat i był naprawdę dobrym służącym. Z pewnością zrobiły to te same łotry, które włamały się do Actona.

– I skradły te przedziwne przedmioty – powiedział z namysłem Holmes.

– Nie inaczej.

– Hmm. Może się to okazać najprostszą sprawą na świecie, niemniej na pierwszy rzut oka wydaje się niecodzienną, prawda? Należałoby się spodziewać, że banda włamywaczy będzie się przemieszczać i zmieniać miejsca dokonywania swych przestępstw zamiast okradać domostwa położone w tej samej okolicy. Wczoraj wieczorem, gdy wspominał pan o podjęciu środków ostrożności, pamiętam, przyszło mi do głowy, że ta okolica jest prawdopodobnie ostatnią parafią w całej Anglii, na którą złodziej czy też złodzieje zwróciliby uwagę… Świadczy to o tym, że muszę się jeszcze wiele nauczyć.

– Przypuszczam, że to ktoś z miejscowych – powiedział pułkownik. – Posiadłości Actona i Cunninghama są tutaj zdecydowanie największe.

– A właściciele najbogatsi?

– Powinni takimi być. Jednak parę lat temu procesowali się ze sobą, i proces ten, jak sądzę, upuścił krwi im obu. Stary Acton ma roszczenia do połowy posiadłości Cunninghama, i prawnicy mieli przy rozstrzyganiu sporu pełne ręce roboty.

– Jeśli to jakiś miejscowy złodziej, to z ujęciem go nie powinno być zbyt dużo trudności – rzekł Holmes, ziewając. – Nie martw się, Watsonie, nie zamierzam się w to mieszać.

– Inspektor Forrester, sir – zapowiedział kamerdyner, z rozmachem otwierając drzwi.

Do pokoju wkroczył policjant, bystry, młody mężczyzna o inteligentnej twarzy.

– Dzień dobry, pułkowniku – powiedział. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzam. Usłyszeliśmy jednak, że jest tutaj pan Sherlock Holmes z Baker Street.

Pułkownik wskazał dłonią na mojego przyjaciela, inspektor natomiast ukłonił się.

– Pomyśleliśmy, że być może zechce pan nas odwiedzić, panie Holmes.

– Wygląda na to, że los ci nie sprzyja, Watsonie – rzekł Holmes ze śmiechem. – Właśnie rozmawialiśmy o tej sprawie, kiedy pan przyszedł, inspektorze. Może zechce nam pan podać parę szczegółów.

Gdy rozparł się na krześle w tej tak dobrze mi znanej, typowej dla niego pozie, wiedziałem już, że jego kuracja zostanie przerwana.

– Nie znaleźliśmy żadnego tropu w sprawie Actona. Teraz jednak zdobyliśmy sporo wskazówek, i nie ma wątpliwości, że w obu przypadkach sprawcą był ten sam człowiek. Widziano go.

– Ach tak!

– Tak, sir, bezpośrednio po tym, gdy padł strzał, który zabił biednego Williama Kirwana. Zabójca uciekał niczym sarna, ale starszy pan Cunningham widział go z okna sypialni, a pan Alec Cunningham – z korytarza na tyłach domu. Kiedy wszczęto alarm, była za piętnaście dwunasta. Pan Cunningham dopiero się położył, a pan Alec wyszedł ubrany w szlafrok, żeby zapalić papierosa. Obaj usłyszeli, jak stangret William woła o pomoc; pan Alec pobiegł na dół, żeby zobaczyć, co się stało. Tylne drzwi były otwarte; gdy zbiegł ze schodów, zobaczył dwóch mężczyzn walczących ze sobą na zewnątrz. Jeden z nich oddał strzał, drugi upadł, a wówczas bandyta pobiegł przez ogród i przeskoczył żywopłot. Pan Cunningham, wyglądając z okna sypialni, ujrzał go, gdy docierał do drogi, wkrótce potem zniknął mu z oczu. Ponieważ pan Alec zatrzymał się, żeby sprawdzić, czy może coś zrobić dla rannego stangreta, bandycie udało się zbiec. Nie mamy żadnych wskazówek pozwalających ustalić, kim mógł być. Wiemy jedynie, że był mężczyzną średniego wzrostu ubranym na ciemno. Prowadzimy jednak energiczne śledztwo, i jeśli tylko nie pochodzi z tych stron, wkrótce go odnajdziemy.

– Co ten William tam robił? Czy powiedział coś przed śmiercią?

– Ani słowa. Mieszkał w stróżówce wraz ze swoją matką i był bardzo oddany swemu panu. Sądzimy, że po prostu robił obchód domu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Oczywiście, włamanie u Actona

sprawiło, że wszyscy tutaj zaczęli się mieć na baczności. Rabuś musiał siłą otworzyć drzwi, bo zamek był wyłamany. Prawdopodobnie wtedy przyłapał go William.

– Czy William mówił coś swojej matce, zanim wyszedł?

– To bardzo stara kobieta, a ponadto głucha, i nie potrafimy od niej uzyskać żadnych informacji. Jest w szoku, pomieszało jej się w głowie, przypuszczam jednak, że nigdy nie była zbyt bystra. Ale jest jednak pewna ważna sprawa. Proszę spojrzeć na to!

Wyjął ze swojego notatnika mały świstek papieru i rozłożył na kolanie.

– Znaleziono go w zaciśniętych palcach zmarłego. Wygląda na skrawek oderwany od większego arkusza. Proszę zwrócić uwagę na fakt, że wymieniona tu godzina jest bardzo zbliżona do czasu, kiedy zamordowano tego biedaka. Myślę, że morderca wyrwał mu z rąk resztę kartki albo że to on sam urwał ten fragment z kartki trzymanej w ręku przez mordercę. Z treści wynika, że został ustalony termin spotkania.

Holmes wziął do ręki skrawek papieru, którego kopię załączam poniżej.

Za piętnaście dwunasta
dowiesz się wtedy
może

– Zakładając, że było to spotkanie umówione – ciągnął inspektor – można oczywiście wysnuć teorię, że William Kirwan, choć cieszył się reputacją uczciwego człowieka, w rzeczywistości był w zmowie ze złodziejem. Mógł się z nim tam spotkać, a nawet pomóc w sforsowaniu drzwi. Później mogli się pokłócić, co doprowadziło do użycia broni.

– Ta notatka jest wyjątkowo interesująca – powiedział Holmes, studiując tekst z wielką uwagą. – Ta sprawa jest o wiele poważniejsza i bardziej złożona, niż myślałem.

Podparł głowę rękoma, a inspektor uśmiechnął się, widząc, jakie wrażenie wywarła jego relacja na słynnym specjaliście z Londynu.

– Pańska ostatnia uwaga – rzekł wreszcie Holmes – co do możliwości współpracy pomiędzy włamywaczem i służącym oraz fakt, że posiadamy zapisek potwierdzający umówione być może spotkanie, to bardzo pomysłowe i całkiem realne przypuszczenie. Ale ten liścik otwiera…

Znów podparł głowę rękoma i przez kilka minut siedział nieruchomo, pogrążony we własnych myślach. Gdy znów uniósł głowę, z zaskoczeniem odkryłem, że jego policzki się zarumieniły, a w oczach pojawił się dawny błysk. Sprawiał wrażenie jakby nagle ozdrowiał. Zerwał się na równe nogi z całą swą dawną energią.

– Powiem panu coś – odezwał się. – Chciałbym spokojnie przyjrzeć się szczegółom tej sprawy. Jest w niej coś, co niesamowicie mnie zafascynowało. Jeśli pan pozwoli, pułkowniku, zostawię teraz pana i mojego przyjaciela Watsona i udam się z inspektorem, aby sprawdzić kilka moich przypuszczeń. Za pół godziny wrócę do panów.

Minęło jednak półtorej godziny, nim pojawił się inspektor. Był sam.

– Pan Holmes chodzi tam i z powrotem po polu – rzekł. – Chciałby, żebyśmy wszyscy we czwórkę pojechali do tego domu.

– Do pana Cunninghama?

– Tak, sir.

– Ale po co?

Inspektor wzruszył ramionami:

– Nie wiem, sir. Między nami mówiąc, sądzę, że pan Holmes jeszcze nie do końca doszedł do siebie po chorobie. Zachowuje się bardzo dziwnie i jest strasznie podniecony.

– Myślę, że nie powinien się pan o niego obawiać – powiedziałem. – Niemal zawsze przekonywałem się, że w jego szaleństwie tkwi jakaś metoda.

– Inni mogliby powiedzieć, że to raczej w jego metodzie tkwi jakieś szaleństwo – wymamrotał inspektor. – Ale pan Holmes nalegał, byśmy jak najszybciej do niego dołączyli, a więc najlepiej już chodźmy, pułkowniku, o ile jest pan gotów.

Zastaliśmy Holmesa przemierzającego pole. Chodził ze spuszczoną głową i rękoma wetkniętymi w kieszenie spodni.

– Ta sprawa robi się coraz ciekawsza – powiedział. – Watsonie, muszę przyznać, że ta twoja wycieczka na wieś staje się wyjątkowo udana. Przeżyłem doprawdy czarujący poranek.

– Jak rozumiem, był pan na miejscu zbrodni – powiedział pułkownik.

– Tak. Wraz z inspektorem przeprowadziliśmy też mały rekonesans.

– Udany?

– No cóż, widzieliśmy parę niezwykle interesujących rzeczy. Po drodze opowiem panu, co robiliśmy. Przede wszystkim widzieliśmy ciało tego biedaka. Rzeczywiście zastrzelono go z rewolweru, tak jak twierdzono.

– A więc miał pan co do tego jakieś wątpliwości?

– Najlepiej jest wszystko sprawdzić. Nasz trud nie poszedł zresztą na marne. Później przesłuchaliśmy pana Cunninghama oraz jego syna. Wskazali dokładnie miejsce, gdzie morderca podczas ucieczki przeskoczył przez żywopłot. Było to bardzo ciekawe.

– Oczywiście.

– Następnie spotkaliśmy się z matką tego biedaka. Niczego się jednak od niej nie mogliśmy dowiedzieć, bo jest bardzo stara i słaba.

– I co wynikło z pańskiego śledztwa?

– Przekonanie, że przestępstwo to jest doprawdy nietypowe. Być może teraz nasza wizyta trochę rozjaśni sprawę. Sądzę, inspektorze, że obaj jesteśmy zgodni co do tego, iż ten świstek papieru znaleziony w dłoni zmarłego, na którym widnieje dokładna godzina jego śmierci, ma tu ogromne znaczenie.

– Powinno to wskazać trop, panie Holmes.

– Ależ tak! Ktokolwiek napisał tę notatkę, sprawił, że William Kirwan wstał z łóżka o określonej godzinie. Ale gdzie może być reszta kartki?

– Dokładnie zbadałem grunt, mając nadzieję, że ją odnajdę – powiedział inspektor.

– Ten papier został wyrwany z dłoni zmarłego. Dlaczego komuś tak bardzo zależało, żeby go zdobyć? Ponieważ był dla niego obciążającym dowodem. A co by z nim zrobił? Najprawdopodobniej wsunąłby go do kieszeni, nawet nie zauważając, że w dłoni zmarłego został jeszcze jakiś mały skrawek. Jeśli uda nam się znaleźć resztę tej kartki, poczynimy ogromny krok w stronę rozwiązania tej tajemnicy.

– To prawda. Ale w jaki sposób przeszukamy kieszenie przestępcy, nie wiedząc, kto nim jest?

– No cóż… Warto się nad tym zastanowić. Ponadto jest jeszcze jedna oczywista kwestia. Ta notatka została Williamowi przysłana. Człowiek, który ją napisał, nie mógł z różnych względów jej dostarczyć. W przeciwnym razie przekazałby mu wiadomość osobiście. A w takim razie, kto mu doręczył tę notatkę? Może przesłano ją pocztą?

– Dowiadywałem się już o tym – rzekł inspektor. – William otrzymał list wczoraj popołudniową pocztą. Kopertę zniszczył.

– Doskonale! – zawołał Holmes, klepiąc inspektora po plecach. – A więc widział się pan z listonoszem. To prawdziwa przyjemność pracować z kimś takim jak pan. No cóż, oto i stróżówka, pułkowniku. Jeśli zechce pan udać się ze mną, pokażę panu miejsce zbrodni.

Minęliśmy ładny domek, w którym mieszkał zamordowany, i podeszliśmy obsadzaną dębami aleją do pięknego, starego domu z czasów królowej Anny, na którego nadprożu widniała data bitwy pod Malplaquet. Holmes i inspektor poprowadzili nas wokół domu do bocznych drzwi. Od żywopłotu rosnącego przy drodze dzieliła nas część ogrodu. Przy kuchennych drzwiach stał konstabl.

– Proszę otworzyć drzwi, konstablu – rzekł do niego Holmes. – To właśnie na tych schodach stał młody pan Cunningham, gdy zobaczył dwóch walczących ze sobą mężczyzn. Dokładnie w tym miejscu, gdzie teraz stoimy. Stary pan Cunningham był przy oknie, tym drugim na lewo, i widział, jak człowiek ucieka, na lewo od tamtego krzaka. Pan Alec wybiegł i przyklęknął przy rannym. Jak panowie zauważyli, ziemia jest tu bardzo twarda i nie ma żadnych śladów, z których moglibyśmy coś wywnioskować.

Kiedy to mówił, zza rogu domu wyłoniło się dwóch mężczyzn, podążając ogrodową ścieżką. Jeden z nich był starszym człowiekiem o zdecydowanej, pobrużdżonej zmarszczkami twarzy i ciężkim spojrzeniu. Towarzyszył mu krzepki młodzieniec, którego bystra, uśmiechnięta twarz i modny ubiór dziwnie kontrastowały z charakterem sprawy, która nas tu przywiodła.

– A więc nadal pan to bada, tak? – zwrócił się do Holmesa. – Myślałem, że wy, londyńczycy, nigdy się nie mylicie. Nie wydaje mi się, żeby aż tak szybko posuwał się pan naprzód.

– Musi mi pan dać trochę więcej czasu – odparł dobrodusznie Holmes.

– Będzie go pan potrzebował – odparł młody Alec Cunningham. – Ale jakoś nie widzę, abyśmy mieli już jakikolwiek trop.

– Jest tylko jeden – wtrącił inspektor. – Myślimy, że gdybyśmy tylko odnaleźli… Dobry boże, panie Holmes! Co się dzieje?!

Twarz mojego biednego przyjaciela przybrała nagle straszliwy wyraz. Przewrócił oczyma, a jego twarz wykrzywił potworny grymas; tłumiąc jęk, upadł na ziemię. Przerażeni tym nagłym silnym atakiem zanieśliśmy go

do kuchni i ułożyli na dużym fotelu. Przez kilka minut ciężko oddychał. Wreszcie, ze wstydem przepraszając za swą słabość, ponownie wstał na nogi.

– Watson potwierdzi panom fakt, że dopiero co doszedłem do siebie po poważnej chorobie – wyjaśnił. – Miewam teraz takie nagłe ataki nerwowe.

– Odwieźć pana do domu moją dwukółką? – spytał starszy pan Cunningham.

– Nie, skoro już tu jestem, chciałbym się upewnić co do jednej sprawy. Z łatwością możemy to zweryfikować.

– A cóż to za sprawa?

– Całkiem możliwe, że ten biedak William zjawił się nie przed, lecz po dostaniu się włamywacza do domu. Wydaje mi się, iż uważacie panowie za pewnik, że choć drzwi zostały sforsowane, rabuś nigdy nie dostał się do środka.

– To chyba dość oczywiste – rzekł z powagą pan Cunningham. – Mój syn Alec jeszcze nie spał i na pewno by usłyszał, gdyby ktoś się tutaj kręcił.

– Gdzie pan wtedy był?

– Paliłem papierosa w garderobie – odpowiedział młodszy pan Cunningham.

– Które to okno?

– Ostatnie po lewej, przy sypialni ojca.

– Oczywiście, obaj panowie mieliście zapalone lampy?

– Ma się rozumieć.

– Coś mi się tu nie zgadza – rzekł Holmes z uśmiechem. – Czy to nie jest dziwne, że włamywacz, i to taki, który ma już nieco doświadczenia, umyślnie próbuje włamać się do domu wówczas, gdy światła jeszcze się palą, co oznacza, że mieszkańcy nie udali się na spoczynek? Musiał być bardzo pewien swoich umiejętności.

– Oczywiście, ale gdyby sprawa nie była tak dziwna, nie musielibyśmy prosić pana o to, by ją wyjaśnić – rzekł młody pan Alec. – Co do pańskich przypuszczeń, że ten człowiek obrabował dom, nim przyłapał go William, sądzę, że to wyjątkowo absurdalny pomysł. Czy w takim przypadku nie znaleźlibyśmy miejsca, w którym czegoś szukał, i nie zauważylibyśmy brakujących przedmiotów?

– To zależy od tego, co zabrał – rzekł Holmes. – Musi pan też pamiętać, że mamy do czynienia z włamywaczem, który jest bardzo dziwnym człowiekiem i wydaje się pracować według własnych zasad. Proszę zwrócić uwagę, jak specyficzne rzeczy ukradł z domu Actona. Co to było? Kłębek sznurka, przycisk do papierów, i już sam nie pamiętam jakie inne, dziwne drobiazgi.

– No cóż, panie Holmes, zdajemy się na pana – rzekł stary Cunningham. – Z całą pewnością zrobimy wszystko, o co pan czy inspektor nas poprosicie.

– Przede wszystkim – rzekł Holmes – chciałbym, żebyście, panowie, wyznaczyli jakąś nagrodę. Prywatnie, bo drogą oficjalną może to zająć trochę czasu, nim uzgodniona zostanie odpowiednia suma. Jak wiemy, takich rzeczy nie załatwia się zbyt szybko. Napisałem tu panom w skrócie tekst stosownego ogłoszenia, jeśli nie mielibyście nic przeciwko temu, aby go podpisać. Uznałem, że pięćdziesiąt funtów w zupełności wystarczy.

– Z chęcią dałbym i pięćset – rzekł sędzia pokoju, biorąc kartkę papieru i ołówek z rąk Holmesa. – Ale to się przecież nie zgadza! – dodał, zerkając na dokument.

– Pisałem w pośpiechu.

– Proszę spojrzeć. Widzi pan? Zaczął pan tak: „Zważywszy, że mniej więcej za piętnaście pierwsza we wtorek w nocy dokonano próby… itd.”. Przecież w rzeczywistości była za piętnaście dwunasta!

Ten błąd sprawił mi przykrość, wiedziałem bowiem, jak musiał poczuć się Holmes, gdy uświadomiono mu takie przeoczenie. Zawsze przedstawiał fakty z najwyższą dokładnością, ale choroba najwyraźniej odcisnęła na nim piętno. Ten drobny incydent wystarczył, by mi pokazać, że mój przyjaciel bynajmniej nie doszedł jeszcze do siebie. Naturalnie, przez chwilę byłem zażenowany, inspektor uniósł ze zdziwienia brwi, a Alec Cunningham wybuchnął śmiechem. Starszy dżentelmen poprawił błąd i zwrócił kartkę z ogłoszeniem Holmesowi.

– Proszę to jak najszybciej przekazać do druku – powiedział. – Moim zdaniem, pański pomysł jest doskonały.

Holmes starannie schował kartkę papieru do portfela.

– A teraz – powiedział – sądzę, że naprawdę dobrze by było, gdybyśmy razem obeszli cały dom i upewnili się, czy ten chaotycznie działający włamywacz czegoś jednak nie zabrał.

Nim weszliśmy do środka, Holmes zbadał jeszcze sforsowane drzwi. Było oczywiste, że do zamka wepchnięto dłuto lub solidny nóż, aby go wyważyć. Spostrzegliśmy ślady na drewnianej framudze w miejscu, gdzie go wsunięto.

– A więc nie używacie panowie rygli? – spytał Holmes.

– Nie uważaliśmy tego za konieczne.

– I nie macie psa?

– Owszem, mamy. Ale jest na łańcuchu, po drugiej stronie domu.

– O której służący idą spać?

– Koło dziesiątej.

– Rozumiem, Williams o tej porze też zazwyczaj leżał już w łóżku?

– Tak.

– To bardzo dziwne, że tej właśnie nocy jeszcze się nie położył. A teraz byłbym wielce zobowiązany, panie Cunningham, gdyby, z łaski swojej, oprowadził nas pan po domu.

Przeszliśmy korytarzem wyłożonym kamiennymi płytami; skręcało się z niego do kuchni, a następnie drewnianymi schodami wchodziło się na pierwsze piętro. Korytarz kończył się na półpiętrze, naprzeciwko innych, bardziej ozdobnych schodów, wiodących z frontowego holu. Z tego półpiętra wchodziło się do salonu oraz do kilku sypialni, zajmowanych między innymi przez pana Cunninghama i jego syna. Holmes szedł powoli, pilnie zwracając uwagę na rozkład domu. Z wyrazu jego twarzy odczytałem, że znalazł gorący trop, jednak nie miałem zielonego pojęcia, w jaką stronę zmierzały jego domysły.

– Mój miły panie – rzekł nieco zniecierpliwionym tonem pan Cunningham. – To z całą pewnością niepotrzebne. Przy końcu schodów jest mój pokój, a sypialnia mojego syna znajduje się w głębi. Pozostawiam to pańskiej ocenie, czy złodziej mógł dotrzeć tutaj tak, abyśmy go nie usłyszeli.

– Sądzę, że musi pan spróbować jeszcze raz, żeby znaleźć jakiś nowy trop – odezwał się syn z dosyć złośliwym uśmieszkiem.

– A jednak muszę panów prosić, byście spełnili jeszcze jedną moją prośbę. Chciałbym zobaczyć, jak dobrze z okien sypialni widać miejsce przed domem. Rozumiem, że jest to sypialnia pańskiego syna – otworzył pchnięciem drzwi – a to, jak zakładam, garderoba, w której siedział, paląc papierosa, gdy wszczęto alarm. Co widać z jej okna?

Przeszedł przez sypialnię, otworzył drzwi i rozejrzał się w kolejnym pomieszczeniu.

– Mam nadzieję, że teraz jest pan zadowolony – rzekł cierpko pan Cunningham.

– Ależ tak, dziękuję. Zobaczyłem już wszystko, co chciałem zobaczyć.

– A więc skoro to naprawdę konieczne, możemy już przejść do mojego pokoju.

– Jeśli nie sprawi to panu kłopotu.

Sędzia pokoju wzruszył ramionami i poprowadził nas do swej sypialni, prostego, przeciętnie urządzonego pomieszczenia. Gdy zbliżaliśmy się do okna, Holmes został z tyłu i poczekał na mnie. W nogach łóżka stał na stoliku półmisek z pomarańczami i karafka wody. Gdy go mijaliśmy, Holmes, idący przede mną, pochylił się i, ku mojemu niewypowiedzianemu zaskoczeniu, umyślnie potrącił stolik, przewracając go. Szkło rozbiło się na tysiąc kawałków, a owoce potoczyły się we wszystkie kąty pokoju.

– No i coś ty narobił, Watsonie – powiedział spokojnie. – Popatrz, jaki zrobiłeś bałagan na dywanie.

Zmieszany, pochyliłem się i zacząłem zbierać owoce, dochodząc do wniosku, że mój towarzysz z jakiegoś powodu chciał, bym wziął winę na siebie. Inni pomogli nam, ponownie ustawiając stolik na nogach.

– Hola! – zawołał nagle inspektor. – Gdzie on poszedł?

Holmes zniknął.

– Proszę tu chwilę zaczekać – powiedział młody Alec Cunningham. – Moim zdaniem temu człowiekowi brakuje piątej klepki! Chodź ze mną, ojcze, sprawdzimy, dokąd poszedł.

Wypadli z pokoju, a inspektor, pułkownik i ja spojrzeliśmy po sobie.

– Słowo daję, chyba jestem gotów zgodzić się z paniczem Alekiem – rzekł policjant. – Może to skutki tej choroby, ale wydaje mi się, że…

Jego słowa przerwał nagły krzyk:

– Pomocy! Pomocy! Morderca!

Z dreszczem emocji rozpoznałem głos mojego przyjaciela. Pędem wypadłem z pokoju na półpiętro. Wołanie, które przerodziło się w ochrypłe nieartykułowane krzyki, dobiegało z pomieszczenia, w którym byliśmy wcześniej. Wpadłem do środka i podbiegłem do garderoby w głębi. Dwóch Cunninghamów pochylało się nad leżącym Holmesem. Młodszy ściskał go obiema rękoma za gardło, a starszy wykręcał nadgarstek. W jednej chwili

we trzech odciągnęliśmy ich od niego, a mój przyjaciel wstał, chwiejąc się jeszcze, strasznie blady i najwyraźniej bardzo osłabiony.

– Proszę aresztować tych ludzi, inspektorze – sapnął.

– Pod jakim zarzutem?

– Zamordowania stangreta Williama Kirwana.

Inspektor wpatrywał się w niego zdumiony.

– Och, panie Holmes, proszę dać spokój – powiedział w końcu. – Z całą pewnością nie zamierzam…

– To proszę spojrzeć na ich twarze! – zawołał szorstko Holmes.

Jestem pewien, że nigdy nie widziałem na ludzkiej twarzy oznak wyraźniejszego przyznania się do winy. Starszy mężczyzna wyglądał na sparaliżowanego i zamroczonego, a jego pomarszczone oblicze przybrało ponury wyraz. Młodszy Cunningham natomiast zupełnie zatracił ten pewny siebie buńczuczny sposób bycia, tak typowy dla jego dotychczasowego zachowania. W ciemnych oczach płonęła wściekłość dzikiej bestii, co kłóciło się z ładnymi rysami jego twarzy.

Inspektor podszedł bez słowa do drzwi i dał sygnał gwizdkiem. Natychmiast zjawiło się dwóch konstabli.

– Nie mam innego wyjścia, panie Cunningham – rzekł. – Mam nadzieję, że to wszystko okaże się absurdalnym błędem, ale rozumie pan, że… proszę to natychmiast rzucić!

Szybkim ruchem ręki do przodu wytrącił z dłoni młodszego mężczyzny rewolwer, który właśnie odbezpieczał; broń z głośnym stukiem upadła na podłogę.

– Proszę to zatrzymać – rzekł Holmes, spokojnie przydeptując broń stopą. – Przyda się panu podczas procesu. Przecież tak naprawdę o to nam chodziło.

Uniósł mały pogięty skrawek papieru.

– Pozostała część kartki! – zawołał inspektor.

– Dokładnie.

– A gdzie ona była?

– Tam, gdzie byłem pewien, że musi się znajdować. Zaraz panu wszystko wyjaśnię. Myślę, pułkowniku, że pan i doktor Watson możecie już wracać, ja zaś dołączę do was najdalej za godzinę. Inspektor i ja musimy zamienić parę słów z aresztowanymi, ale z całą pewnością wrócę na lunch.

Sherlock Holmes dotrzymał obietnicy, bo około pierwszej był już z nami w palarni pułkownika. Towarzyszył mu drobny starszy dżentelmen, którego przedstawiono mi jako pana Actona, człowieka, którego dom był miejscem pierwszego włamania.

– Pragnąłem, żeby pan Acton towarzyszył nam, gdy będę wyjaśniał wam tę sprawę – rzekł Holmes. – Wydaje mi się, że szczegóły bardzo go zainteresują. Obawiam się, mój drogi pułkowniku, że pewnie żałuje pan już tej godziny, gdy przyjął pan pod swój dach takiego gościa jak ja.

– Wręcz przeciwnie – odrzekł ciepło pułkownik. – Uważam za ogromny przywilej, że dane mi było przyjrzeć się pańskim metodom pracy. Muszę przyznać, że przerosły one moje wszelkie oczekiwania i zupełnie nie potrafię sobie wytłumaczyć, w jaki sposób doszedł pan do tych rezultatów. Przez cały czas nie dostrzegałem nawet choćby jednego tropu.

– Obawiam się, że moje wyjaśnienia pana rozczarują. Niemniej zawsze miałem nawyk ujawniania moich metod czy to mojemu przyjacielowi Watsonowi, czy też jakiemukolwiek innemu inteligentnemu człowiekowi, którego to interesuje. Najpierw jednak, pułkowniku, chętnie poczęstowałbym się kropelką pańskiej brandy, ponieważ jestem dość wstrząśnięty tą szarpaniną w garderobie. Ostatnio moje siły były wystawione na ciężką próbę.

– Mam nadzieję, że nie miał już pan tych ataków?

Sherlock Holmes roześmiał się serdecznie.

– Po kolei, pułkowniku, po kolei. Do wszystkiego dojdziemy – rzekł. – Zrelacjonuję panu sprawę we właściwym porządku, prezentując poszczególne wskazówki, które mną pokierowały. Proszę mi przerwać, jeżeli zauważy pan jakiś wniosek, do którego doszed-łem, a który nie wyda się panu całkowicie oczywisty.

W sztuce rozwiązywania zagadek kryminalnych kluczowe znaczenie ma umiejętność rozróżniania, które spośród wielu faktów są przypadkowe, a które istotne. W przeciwnym razie zamiast koncentrować się, rozpraszamy swoją uwagę i energię. Od początku nie miałem najmniejszych wątpliwości, że klucz do całej sprawy kryje się w tym skrawku papieru, który ściskał w palcach zabity stangret.

Zanim jednak do tego dojdę, chciałbym zwrócić panu uwagę na fakt, że gdyby opowieść Aleca Cunninghama była prawdziwa i napastnik po zastrzeleniu Williama Kirwana natychmiast uciekł, wówczas ten, kto

wydarł papier z ręki zmarłego, nie mógł być włamywaczem. Skoro nie był to on, człowiekiem tym musiał być Alec Cunningham, ponieważ do czasu gdy jego ojciec zszedł po schodach, na miejsce przybiegło już kilku służących. Kwestia ta jest prosta, inspektor ją jednak przeoczył, ponieważ wychodził z założenia, że właściciele tej rezydencji nie mogli mieć nic wspólnego z tą sprawą. Jeśli chodzi o mnie, kładę bardzo silny nacisk na to, by nigdy nie uwzględniać żadnych sugestii i zawsze starannie badać wszystkie fakty, które mogą mnie gdzieś zaprowadzić. Tak więc, już na samym początku mojego śledztwa patrzyłem nieco krzywym okiem na rolę odegraną w całej tej historii przez pana Aleca Cunninghama.

Następnie bardzo starannie zbadałem świstek papieru, który przyniósł nam inspektor. Natychmiast stało się dla mnie jasne, że stanowił on część bardzo ważnego dokumentu. Proszę zobaczyć, co się od razu rzuca w oczy?

– Pismo jest bardzo nieregularne – rzekł pułkownik.

– Mój drogi panie – zawołał Holmes – nie ma najmniejszej wątpliwości co do tego, że zostało napisane przez dwie osoby, naprzemiennie wpisujące słowa. Jeśli zwrócę panu uwagę na silne „t” w „piętnaście” oraz na słabe w „dwunasta”, natychmiast pan sobie to uświadomi.

Bardzo krótka analiza tych słów pozwoliłaby panu stwierdzić z całą pewnością, że wyrazy „piętnaście” i „dowiesz” zostały napisane silniejszą ręką, zaś „może” – słabszą.

– Na Jowisza, to jasne jak słońce! Ale dlaczegóż by dwóch ludzi miało pisać w ten sposób list?

– Najwyraźniej mieli nieuczciwe zamiary, i jeden z nich, nie ufając drugiemu, był zdecydowany, że niezależnie od tego, co uczynią, obaj w równym stopniu będą w to zamieszani. Jasne jest również, że jeden z mężczyzn – ten, który napisał „dowiesz” i „wtedy” – był prowodyrem.

– W jaki sposób pan do tego doszedł?

– Można to wydedukować nawet z zestawienia charakteru pisma obydwu piszących osób. Mamy jednak mocniejsze powody, aby tak sądzić. Jeśli przyjrzy się pan uważnie temu skrawkowi papieru, dojdzie pan do wniosku, że mężczyzna o silniejszej ręce napisał swoje słowa jako pierwszy, pozostawiając luki do wypełnienia dla tego drugiego. Luki te nie zawsze były jednak wystarczająco duże, i jak pan widzi, ten drugi człowiek musiał się bardzo starać, stawiając litery blisko siebie, aby zmieścić swoje „piętnaście” pomiędzy „za” i „dwunasta”, co niechybnie wskazuje na to, iż

te ostatnie były napisane wcześniej. Człowiek, który napisał wszystkie swoje wyrazy jako pierwszy, jest bez wątpienia również tym, który zaplanował tę całą aferę.

– Niesamowite! – zawołał pan Acton.

– W gruncie rzeczy to nic takiego. Teraz jednak dochodzimy do bardzo istotnego punktu. Być może nie zdaje sobie pan z tego sprawy, ale eksperci potrafią z bardzo dużą dokładnością wywnioskować wiek człowieka na podstawie jego charakteru pisma. W normalnych przypadkach z dość dużą dozą pewności można ustalić wiek człowieka z dokładnością do dziesięciu lat. Jak zaznaczyłem, w normalnych przypadkach, ponieważ zły stan zdrowia oraz fizyczne osłabienie dają taki sam efekt jak starość, nawet wówczas, gdy człowiek jest młody. W tym przypadku, patrząc na śmiały charakter pisma pierwszego i raczej chwiejne pismo drugiego, które jednak nadal jest czytelny, choć kreska w „t” zaczyna zanikać, możemy powiedzieć, że jeden z nich jest młody, drugi, choć w podeszłym wieku, nie jest jeszcze człowiekiem zniedołężniałym.

– Niesamowite! – znów zawołał pan Acton.

– Mamy tu jednak do czynienia z jeszcze jedną kwestią, która jest subtelniejsza i znacznie bardziej interesująca. Charakter pisma obydwu osób jest podobny. Pisali to krewni. Będzie to dla pana najbardziej oczywiste na przykładzie tych „d”, dostrzegłem jednak wiele innych drobnych szczegółów wskazujących na potwierdzenie tej hipotezy. Nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że te dwie próbki pisma pozwalają wyśledzić rodzinne powiązania między piszącymi. W tej chwili oczywiście podaję panu jedynie główne wyniki mojej analizy tego dokumentu. Ponadto odnalazłem jeszcze dwadzieścia trzy inne szczegóły, które bardziej zainteresowałyby specjalistów niż pana. Wszystkie one ostatecznie przekonały mnie, że to Cunninghamowie, ojciec i syn, napisali ten list.

Gdy dotarłem do tego punktu, moim ostatnim krokiem było oczywiście zbadanie szczegółów przestępstwa i przekonanie się, jak daleko nas to zaprowadzi. Wraz z inspektorem udałem się do ich domu i zobaczyłem wszystko, co można było zobaczyć. Na podstawie rany na zwłokach stwierdziłem z całkowitą pewnością, że stangreta zastrzelono z rewolweru z odległości nieco większej niż cztery jardy. Na jego ubraniu nie było śladów prochu. Tak więc najwyraźniej Alec Cunningham skłamał, mówiąc, że strzał padł wówczas, gdy mężczyźni ze sobą walczyli. Następnie

zarówno ojciec, jak i syn zgodnie pokazali miejsce, w którym uciekający przestępca przedostał się na drogę. Jednak, jak to się zdarza, w miejscu tym jest dość głęboki rów. Ponieważ na wilgotnym dnie rowu nie było żadnych śladów butów, byłem już absolutnie pewien, że Cunninghamowie zgodnie kłamali: nieznany napastnik w ogóle nigdy nie istniał.

Teraz zastanowimy się nad motywem tego przedziwnego przestępstwa. Spróbowałem najpierw znaleźć przyczynę włamania do domu pana Actona. Na podstawie tego, co mówił pułkownik, zrozumiałem, że pan, panie Acton, procesował się z Cunninghamami. Oczywiście natychmiast przyszło mi do głowy, że włamali się oni do pańskiej biblioteki z zamiarem zdobycia jakiegoś dokumentu, który mógłby być ważny w tej sprawie.

– Właśnie tak – rzekł pan Acton. – Nie ma żadnych wątpliwości co do ich zamiarów. Mam uzasadnione roszczenia do połowy ich obecnej posiadłości, i gdyby byli w stanie znaleźć pewien dokument, który na szczęście był w sejfie moich adwokatów, niewątpliwie utrudniliby rozstrzygnięcie procesu.

– No i proszę – powiedział Holmes z uśmiechem. – To była ryzykowna i lekkomyślna próba, w której wyczuwam inspirację młodego Aleca. Kiedy niczego nie znaleźli, spróbowali odwrócić od siebie podejrzenia, sprawiając, by wyglądało to jak zwykłe włamanie. I to właśnie dlatego zabrali przedmioty, które wpadły im w rękę. Wszystko to jest całkowicie jasne, nadal miałem jednak kilka wątpliwości. Zależało mi przede wszystkim na tym, by zdobyć brakujący fragment listu. Byłem pewien, że to Alec wyrwał go z dłoni zmarłego i w pośpiechu musiał wsunąć do kieszeni swojego szlafroka. No bo gdzie indziej mógłby go schować? Pozostawało tylko pytanie, czy ten list wciąż tam jest. Opłacało się zadać sobie trochę wysiłku, żeby się o tym przekonać, i to właśnie w tym celu udaliśmy się wszyscy do ich domu.

Jak pan bez wątpienia pamięta, Cunninghamowie dołączyli do nas przed kuchennymi drzwiami. Oczywiście największe znaczenie miało to, by w żaden sposób nie przypominać im o istnieniu tego listu, bo w przeciwnym razie natychmiast by go zniszczyli. Inspektor miał im właśnie powiedzieć, jak wielką wagę przywiązujemy do jego odnalezienia, lecz w tej chwili, niezwykle szczęśliwym zbiegiem okoliczności, dostałem ataku, padłem na ziemię i dzięki temu zmieniłem przebieg rozmowy.

– Wielkie nieba! – wykrzyknął pułkownik ze śmiechem. – Chce pan przez to powiedzieć, że wówczas gdy wszyscy panu współczuliśmy, udawał pan atak?

– Z punktu widzenia lekarza zrobiłeś to doskonale – zawołałem, patrząc na niego w zdumieniu, bo wciąż zaskakiwał mnie swoim sprytem.

– Cóż, to sztuczka, która się często przydaje – rzekł Holmes. – Gdy doszedłem do siebie, udało mi się podstępem, może nawet odrobinę pomysłowym, skłonić starego Cunninghama, żeby napisał słowo „dwunasta” tak, bym mógł je porównać z tym samym słowem na naszym skrawku papieru.

– Och, ależ ze mnie osioł! – zawołałem.

– Widziałem, że bardzo mi współczujesz z powodu omdlenia – rzekł ze śmiechem Holmes. – Było mi przykro, że martwisz się tak przeze mnie. Później razem poszliśmy po schodach na górę, a gdy weszliśmy do pokoju i zobaczyłem szlafrok wiszący za drzwiami, wymyśliłem sposób, by na chwilę odwrócić ich uwagę. Przewróciłem stolik i wymknąłem się szybko, żeby sprawdzić, co jest w kieszeniach. Ledwie jednak udało mi się odnaleźć list, który tak jak się spodziewałem był w jednej z kieszeni, gdy napadli mnie obaj Cunninghamowie, i naprawdę myślę, że by mnie tam zamordowali, gdyby nie wasza szybka przyjacielska pomoc. Do tej pory czuję jeszcze ucisk rąk młodego Cunninghama na gardle; jego ojciec wykręcił mi nadgarstek, próbując wyrwać z mojej dłoni ten papier. Widzicie, panowie, ojciec i syn zrozumieli, że muszę o wszystkim wiedzieć, i ta nagła zmiana z absolutnego poczucia bezpieczeństwa do stanu zagrożenia uczyniła z nich prawdziwych desperatów.

Po tym wszystkim porozmawiałem ze starym Cunninghamem, żeby poznać motyw zbrodni. Stał się dość uległy, jego syn natomiast zmienił się w prawdziwego demona, gotowego przestrzelić mózg sobie samemu lub któremukolwiek z nas, gdyby tylko udało mu się dostać w swe ręce rewolwer. Gdy Cunningham zrozumiał, że dowody świadczące przeciwko niemu są tak mocne, stracił jakąkolwiek nadzieję i do wszystkiego się przyznał. Wygląda na to, że William potajemnie śledził swych panów tej nocy, gdy włamali się do pana Actona, a potem, gdy byli zdani na jego łaskę i niełaskę, zaczął ich szantażować, grożąc zdradzeniem tajemnicy. Pan Alec jednak był zbyt niebezpiecznym człowiekiem, by można było bawić się z nim w takie gierki. Przyszedł mu do głowy genialny pomysł. Gdy

wszyscy w okolicy zaczęli obawiać się włamywaczy, dostrzegł w tym świetną okazję, by w sposób nie budzący podejrzeń pozbyć się człowieka, którego miał powody się obawiać. William został zwabiony w pułapkę i zastrzelony, i gdyby tylko Cunninghamowie odebrali mu cały list i zwrócili trochę więcej uwagi na szczegóły, bardzo możliwe, że nigdy nie padłby na nich nawet cień podejrzenia.

– A co z listem? – spytałem.

Sherlock Holmes położył przed nami obie części.

> Zjaw się koniecznie za piętnaście dwunasta
> przy wschodniej bramie a dowiesz się wtedy
> wszystkiego. Przyjdź, może
> bardzo się to przysłużyć tobie
> i Annie Morrison, ale nic nie mów
> nikomu o tej sprawie

– Właśnie czegoś takiego się spodziewałem – rzekł. – Oczywiście, jeszcze nie wiemy, jakie mogły być relacje pomiędzy Alekiem Cunninghamem, Williamem Kirwanem i tą Annie Morrison. Rezultaty świadczą jednak o tym, że pułapka została umiejętnie zastawiona. I jestem pewien, że zachwycą was te dziedziczne podobieństwa, jakie wykazują litery „e” oraz „n”. Kreska zamiast kropki nad „i” w charakterze pisma młodszego Cunninghama jest również wybitnie charakterystyczną cechą. Wiesz, Watsonie, tak sobie myślę, że nasz spokojny wypoczynek na wsi miał niezwykle pomyślny przebieg. Gdy jutro wrócę na Baker Street, z całą pewnością nie będzie mi brakowało energii.

Rozdział siódmy

Garbus

Pewnej letniej nocy, kilka miesięcy po ślubie, siedziałem u siebie przy kominku, zmęczony po całym dniu pracy, paląc ostatnią tego dnia fajkę i przysypiając nad jakąś powieścią. Moja żona poszła już na górę, a dźwięk zamykanych drzwi do holu, oznaczał, że służący również udali się na spoczynek. Wstałem właśnie z fotela i wystukiwałem popiół z fajki, gdy nagle usłyszałem dźwięk dzwonka.

Spojrzałem na zegar. Była za kwadrans dwunasta. O tak późnej godzinie nie mógł to być gość. Najwyraźniej przybył do mnie jakiś pacjent, i zapewne czeka mnie bardzo pracowita noc. Z grymasem niezadowolenia na twarzy ruszyłem do holu i otworzyłem drzwi. Jednak ku mojemu zdumieniu na progu stał Sherlock Holmes.

– Och, Watsonie – powiedział. – Miałem nadzieję, że nie przychodzę za późno, by zastać cię jeszcze na nogach.

– Proszę, przyjacielu, wejdź.

– Wyglądasz na zaskoczonego, ale nie dziwię się temu! I chyba trochę ci też ulżyło, prawda? Hmm… Nadal palisz mieszankę Arcadia, tak jak za kawalerskich czasów! Ten puszysty popiół, jaki masz na ubraniu, trudno pomylić z jakimkolwiek innym. Bardzo po tobie widać, Watsonie, że przyzwyczaiłeś się nosić mundur. Dopóki nie pozbędziesz się zwyczaju chowania chustki w rękawie, nigdy nie będziesz mógł uchodzić za cywila z prawdziwego zdarzenia. Mógłbyś mnie dziś przenocować?

– Z przyjemnością.

– Wspominałeś mi, że masz u siebie wolny pokój gościnny, a jak widzę, nie masz gości. Tyle przynajmniej można wyczytać z twojego stojaka na kapelusze.

– Będzie mi bardzo miło, jeśli zostaniesz.

– Dziękuję! W takim razie zajmę ten wolny kołek. Z przykrością zauważam, że był u ciebie angielski rzemieślnik. To zło wcielone. Mam nadzieję, że to nie kanalizacja?

– Nie, gaz.

– Ach! Jego but zostawił dwa odciski gwoździ na twoim linoleum w miejscu, gdzie pada na nie światło. Nie, nie, dziękuję ci. Jadłem już kolację w Waterloo, ale z przyjemnością wypalę z tobą fajkę.

Podałem mu swój woreczek na tytoń, on zaś usiadł naprzeciwko mnie i przez jakiś czas palił w milczeniu. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że nie zjawiłby się u mnie o tej porze, gdyby nie chodziło o coś niezwykle ważnego, czekałem więc cierpliwie, aż się odezwie.

– Jak widzę, masz teraz mnóstwo pracy – rzekł, obrzucając mnie bystrym spojrzeniem.

– Tak, miałem ciężki dzień – odparłem. – Być może wyda ci się to bardzo głupie, ale naprawdę nie mam pojęcia, z czego to wydedukowałeś.

Roześmiał się cicho.

– Mam tę przewagę, Watsonie, że znam twoje nawyki – odparł. – Kiedy masz mało pacjentów, chodzisz pieszo, a gdy masz ich dużo, bierzesz dorożkę. Jak widzę, na twoich butach nie ma śladów błota, jestem więc przekonany, że w tej chwili czujesz się usprawied-liwiony, używając dorożki.

– Niesamowite! – zawołałem.

– Elementarne – odparł. – To jeden z takich przypadków, gdy logicznie rozumujący człowiek dochodzi do wniosku, jaki komuś innemu może wydać się ważny, ponieważ ten ostatni przeoczył jeden drobny szczegół, będący absolutną podstawą sztuki dedukcji. Mój drogi przyjacielu, to samo można powiedzieć o wrażeniu, jakie wywierają niektóre z tych twoich opowiadań. Jest ono jednak całkowicie złudne, ponieważ opiera się na tym, iż niektóre szczegóły zagadki zachowujesz dla siebie i nie zdradzasz ich czytelnikowi. W tej chwili jestem właśnie w takiej samej sytuacji, jak ci czytelnicy. Zajmuję się jedną z najdziwniejszych spraw, nad jaką ludzie kiedykolwiek łamali sobie głowę, i trzymam w garści kilka tropów, a jednak brak mi tego jednego czy dwóch, dzięki którym mógłbym stworzyć kompletną teorię. Ale zdobędę je, Watsonie, zdobędę je! – oczy mu zapłonęły, a na chudych policzkach pojawił się słaby rumieniec. Jednak

tylko na chwilę. Gdy ponownie spojrzałem na jego twarz, znów wyrażała to iście indiańskie opanowanie, sprawiające, że tak wielu ludzi nie uważało Sherlocka Holmesa za człowieka, lecz coś w rodzaju myślącej maszyny.

– Ta zagadka jest dość interesująca – powiedział. – Mógłbym nawet powiedzieć, że wyjątkowo interesująca. Zbadałem, na czym sprawy stoją, i jak sądzę, dotarłem do punktu, w którym rozwiązanie leży już w zasięgu ręki. Bardzo by mi pomogło twoje towarzystwo, gdy wykonam ten ostatni krok.

– Zrobię to z przyjemnością.

– Mógłbyś jutro wybrać się ze mną aż do Aldershot?

– Jackson na pewno zgodzi się przejąć moich pacjentów.

– Doskonale. Chciałbym wyruszyć o jedenastej dziesięć z Waterloo.

– W takim razie będę miał dość czasu, by wszystko zorganizować.

– A więc dobrze. Skoro nie jesteś jeszcze śpiący, opiszę ci pokrótce, co się wydarzyło i co jeszcze trzeba zrobić.

– Chciało mi się spać, zanim się zjawiłeś. Teraz zupełnie się rozbudziłem.

– Skrócę tę historię tak bardzo, jak to tylko możliwe bez pomijania jedynie szczegółów mających kluczowe znaczenie dla sprawy. Być może nawet coś już o tym czytałeś. Chodzi o domniemane zabójstwo pułkownika Barclaya z królewskich fizylierów munsterskich, popełnione w Aldershot. Prowadzę w tej sprawie dochodzenie.

– Nic o tym nie słyszałem.

– Ta sprawa zyskała rozgłos jedynie wśród miejscowych. Wszystko wydarzyło się zaledwie dwa dni temu. Mówiąc w skrócie, fakty są następujące. Królewscy fizylierzy munsterscy to, jak ci wiadomo, jeden z najsłynniejszych irlandzkich pułków w brytyjskiej armii. Dokonali cudów na Krymie i podczas powstania sipajów. Od tej pory wyróżniali się przy każdej nadarzającej się okazji. Aż do poniedziałku wieczorem dowódcą pułku był James Barclay, okryty chwałą weteran, który zaczynał jako zwykły szeregowiec. Potem został awansowany do rangi oficera za męstwo okazane podczas powstania sipajów i dane mu było dożyć chwili, gdy został dowódcą pułku, w którym kiedyś sam nosił muszkiet.

Pułkownik Barclay ożenił się, gdy był sierżantem, zaś jego żona Nancy, której panieńskie nazwisko brzmiało Devoy, była córką byłego sierżanta sztabowego z tego samego korpusu. Tak więc, jak zapewne sobie

wyobrażasz, doszło do pewnych tarć towarzyskich, gdy młoda para (bo wówczas oboje byli jeszcze młodzi) znalazła się w nowym otoczeniu. Wygląda jednak na to, że szybko się przystosowali: pani Barclay była zawsze lubiana w środowisku żon kadry dowódczej, podobnie zresztą jak jej mąż, który cieszył się popularnością wśród oficerów. Dodam jeszcze, że była kobietą niebywałej urody i że nawet teraz, po ponad trzydziestu latach małżeństwa, wygląda jak prawdziwa królowa.

Można odnieść wrażenie, że życie rodzinne pułkownika Barclaya było jednym pas-mem szczęścia. Major Murphy, który podał mi większość tych szczegółów, zapewniał mnie, że nigdy nie słyszał o jakichkolwiek nieporozumieniach tej pary i że Barclay był oddany swej żonie znacznie bardziej niż ona jemu. Bardzo się niepokoił, gdy zostawiał ją na cały dzień. Z drugiej strony, ona, choć była do niego przywiązana i dochowywała mu wierności, okazywała mu swe uczucia w mniej rzucający się w oczy sposób. Niemniej w pułku uważano ich za wzorowe małżeństwo w średnim wieku. We wzajemnych relacjach małżonków nie było absolutnie niczego, co w jakikolwiek sposób zapowiadałoby tragedię, jaka miała się wydarzyć.

Należy zaznaczyć, że pułkownik Barclay posiadał pewne osobliwe cechy. Na co dzień, kiedy miał dobry nastrój, był energicznym, jowialnym, starym żołnierzem. Zdarzały się jednak sytuacje, gdy okazywał się człowiekiem okrutnym i zdolnym do przemocy. Wygląda na to, że żona nigdy nie miała okazji poznać go od tej gorszej strony. Major Murphy i trzech spośród pięciu innych oficerów, z którymi rozmawiałem, zwrócili uwagę na przedziwne przygnębienie, jakie go czasami ogarniało. Według majora, uśmiech niekiedy znikał mu z twarzy niczym za dotknięciem niewidzialnej różdżki podczas żartów przy stole w kantynie. W dniach, w których wpadał w taki nastrój, pogrążony był w głębokiej depresji. Takie zachowanie oraz fakt, że był odrobinę przesądny, to jedyne specyficzne cechy charakteru, jakie zaobserwowali u niego inni oficerowie. Infantylna cecha jego męskiej natury, która objawiała się tym, że nie lubił zostawać sam, zwłaszcza po zmroku, była często przedmiotem komentarzy i domysłów.

Pierwszy batalion pułku królewskich fizylierów munsterskich, czyli dawny 117. batalion piechoty, od kilku lat stacjonował w Aldershot. Żonaci oficerowie nie mieszkają w koszarach; pułkownik zajmował willę „Lachine”, położoną w odległości około pół mili od północnego obozu. Dom stoi na wydzielonym gruncie, a od zachodu oddalony jest od głównej

drogi nie więcej niż trzydzieści jardów. Pułkownik miał troje służących: woźnicę, kucharkę i pokojówkę. Oni oraz ich pan i pani byli jedynymi mieszkańcami willi „Lachine”, ponieważ państwo Barclay nie mieli dzieci, a goście rzadko zatrzymywali się u nich.

Teraz przejdę do wydarzeń, jakie miały miejsce w willi w ubiegły poniedziałek wieczorem między godziną dziewiątą a dziesiątą.

Pani Barclay, która jest katoliczką, działała w organizacji charytatywnej św. Jerzego przy kościele położonym przy Watt Street, która zajmowała się rozdawaniem biednym używanych ubrań. Spotkania odbywały się co wieczór o ósmej. Pani Barclay szybko zjadła kolację, aby nie spóźnić się na zebranie. Gdy wychodziła z domu, woźnica usłyszał, jak rzuca swojemu mężowi jakąś zupełnie zwyczajną uwagę i zapewnia go, że niedługo wróci. Następnie wstąpiła po pannę Morrison, młodą damę mieszkającą w sąsiedniej willi, i razem udały się na spotkanie. Trwało ono czterdzieści minut. Piętnaście po dziewiątej pani Barclay wróciła do domu, odprowadziwszy najpierw pannę Morrison.

Z okien salonu willi „Lachine” widać drogę, a wielkie przeszklone przesuwane drzwi wychodzą prosto na trawnik, który ma trzydzieści jardów szerokości, a od głównej drogi oddziela go tylko niski murek, zwieńczony żelazną barierką. To właśnie do tego pomieszczenia udała się pani Barclay zaraz po swoim powrocie. Zasłony nie były zaciąg-nięte, bo pokoju tego rzadko używano wieczorami. Pani Barclay sama zapaliła lampę, a następnie dzwonkiem wezwała pokojówkę Jane Stewart, aby ta przyniosła jej filiżankę herbaty. Nie zgadzało się to zupełnie z jej codziennymi nawykami. Pułkownik do tej pory siedział w jadalni, jednak, słysząc, że żona wróciła, dołączył do niej w salonie. Woźnica widział go, jak przechodził przez hol i wchodził do salonu. Wtedy właśnie po raz ostatni widziano pułkownika żywego.

Pokojówka przyniosła zamówioną herbatę nie później niż po dziesięciu minutach. Jednak gdy podeszła do drzwi, usłyszała, zaskoczona, rozwścieczone głosy swoich państwa, prowadzących jakąś zajadłą kłótnię. Zapukała, lecz nikt jej nie odpowiedział, nacisnęła więc klamkę tylko po to, by się przekonać, że drzwi zamknięto od środka. Oczywiście pobiegła natychmiast, by powiedzieć o tym kucharce, po czym wraz z woźnicą poszli do holu, gdzie słychać było odgłosy trwającej nadal kłótni. Wszyscy byli zgodni co do tego, że słychać było tylko dwa głosy, Barclaya i jego

żony. Barclay wypowiadał swe uwagi nieskładnie i ściszonym tonem, tak że żadne z nich nie było w stanie dokładnie usłyszeć tego, co mówił. Uwagi pani Barclay były natomiast pełne żalu, i gdy podnosiła głos, wszystko było wyraźnie słychać. „Ty tchórzu” – powtarzała wielokrotnie. – „I co teraz można zrobić? Co teraz można zrobić? Oddaj mi moje życie! Nie chcę już oddychać tym samym powietrzem co ty! Ty tchórzu! Ty tchórzu!”. Tak brzmiały urywki ich rozmowy, która zakończyła się przeraźliwym krzykiem mężczyzny, głośnym hałasem i krzykiem kobiety. Przekonany, że doszło do jakiejś tragedii, woźnica rzucił się na drzwi i spróbował je sforsować, podczas gdy spoza nich przez cały czas dobiegały krzyki. Nie zdołał jednak dostać się do salonu, a kobiety były tak sparaliżowane strachem, że nie mogły w żaden sposób mu pomóc. Nagle, pod wpływem pewnej myśli wybiegł przez drzwi holu, obiegł dom i dotarł do trawnika, na który wychodziły wysokie francuskie okna. Skrzydło jednego z okien było otwarte, co, jak zakładam, jest czymś całkowicie naturalnym w lecie, i przez to właśnie skrzydło woźnica bez problemu dostał się do pokoju. Jego pani leżała nieprzytomna na kanapie, a obok, z głową na podłodze przy osłonie kominka, w kałuży własnej krwi i nogami przerzuconymi przez oparcie fotela, spoczywało ciało nieszczęsnego pułkownika.

Gdy woźnica przekonał się, że już nic nie może zrobić dla swojego pana, jego pierwszą myślą było otworzyć drzwi. Tutaj jednak pojawiła się nieoczekiwana i przedziwna trudność. W drzwiach nie było bowiem klucza, i nie mógł go też znaleźć nigdzie w pokoju. Tak więc ponownie wyszedł przez okno, wezwał policjanta i lekarza, a następnie wrócił. Dama, która oczywiście była główną podejrzaną w tej sprawie, została przeniesiona do swojego pokoju, gdyż wciąż była nieprzytomna. Następnie ciało pułkownika ułożono na sofie i starannie zbadano miejsce tragedii.

Nieszczęsny weteran zginął od potężnego ciosu tępym narzędziem, które pozostawiło szarpaną ranę z tyłu głowy, długą na około dwa cale. Nietrudno było również odgadnąć, co to była za broń. Na podłodze przy ciele leżała pałka z twardego drewna z rękojeścią zrobioną z kości. Pułkownik posiadał bogatą kolekcję broni przywiezionej z różnych krajów, w których walczył, i policja zakłada, że maczuga była jednym z jego trofeów. Chociaż służący twierdzą, że nigdy jej przedtem nie widzieli, to z uwagi na obecność wielu nietypowych przedmiotów możliwe jest, że po prostu ją przeoczyli. Poza tym policja nie odkryła w pokoju niczego istotnego. Niewytłumaczalny był

fakt, że ani przy pani Barclay, ani przy ofierze, ani w pokoju nie znaleziono brakującego klucza. Koniec końców drzwi musiały zostać otwarte przez ślusarza z Aldershot.

I tak właśnie wyglądały okoliczności sprawy, Watsonie, aż do wtorku rano, gdy na prośbę majora Murphy'ego udałem się do Aldershot, by wspomóc prowadzone przez policję śledztwo. Sądzę, iż zgodzisz się ze mną, że była to ciekawa zagadka, lecz moje obserwacje wkrótce uświadomiły mi, iż w rzeczywistości jest jeszcze bardziej niezwyk-ła, niż mogłoby się to wydawać na pierwszy rzut oka.

Przed zbadaniem pokoju dokładnie przesłuchałem służących, lecz udało mi się uzyskać od nich jedynie informacje, o których już ci opowiedziałem. Jane Stewart, pokojówka, zapamiętała jeszcze jeden interesujący szczegół. Przypominasz sobie zapewne, że gdy usłyszała odgłosy kłótni, pobiegła na dół i wróciła z pozostałymi służącymi. Jak twierdzi, za pierwszym razem, kiedy była tam sama, jej państwo mówili tak cichymi głosami, że ledwie mogła cokolwiek usłyszeć. Zorientowała się raczej po ich tonie niż po słowach, że to sprzeczka. Jednak gdy ją nagabywałem pytaniami, przypomniała sobie, iż usłyszała, jak jej pani dwa razy wypowiedziała imię Dawid. Szczegół ten ma ogromne znaczenie, ponieważ może nam wskazać przyczyny nagłej kłótni. Jak pewnie pamiętasz, pułkownik miał na imię James.

Sprawa ma jeden aspekt, który wywarł ogromne wrażenie zarówno na służących, jak i na policji. Chodzi mi o grymas na twarzy pułkownika. Według ich relacji, jego twarz zastygła w strasznym wyrazie lęku i zgrozy, jaki może przybrać twarz przerażonego człowieka. Na jego widok niejedna osoba by zemdlała. Wydawało się dość jasne, że spodziewał się tego, co go czeka, i był skrajnie przerażony. A to oczywiście dość dobrze pasuje do teorii wysnutej przez policję, jakoby pułkownik zobaczył, że żona chce go zamordować. Ranę z tyłu głowy można było do tej teorii dopasować, jako że mógł się odwrócić, próbując uniknąć ciosu. Od żony pułkownika nie dało się uzyskać żadnych informacji, ponieważ zachorowała na zapalenie mózgu i chwilowo nie jest przy zdrowych zmysłach.

Dowiedziałem się od policji, że panna Morrison, która, jak wiesz, wychodziła tego wieczoru z panią Barclay, twierdzi, iż nie ma pojęcia, co mogło wprawić jej towarzyszkę w zły nastrój po powrocie do domu.

Gdy zebrałem te fakty, Watsonie, zacząłem się nad nimi zastanawiać i wypaliłem przy tym kilka fajek. Próbowałem odróżnić te, które mają kluczowe znaczenie dla sprawy, od pozostałych, które są czysto przypadkowe. Bez wątpienia najbardziej specyficzną i wymowną zagadką w tej sprawie było przedziwne zaginięcie klucza. Nie znaleziono go nawet po bardzo starannym przeszukaniu pokoju. A to oznacza, że ktoś go musiał stamtąd zabrać. Nie mogli tego jednak zrobić ani pułkownik, ani jego żona. To było całkowicie jasne. Tak więc do pokoju musiała wejść jakaś trzecia osoba, a mogła wejść tylko przez okno. Wydawało mi się, że po starannym zbadaniu pokoju i trawnika powinienem znaleźć jakieś ślady tego tajemniczego nieznajomego. Znasz moje metody, Watsonie. Zastosowałem je wszystkie co do jednej, aby się czegoś dowiedzieć. Koniec końców odkryłem ślady, lecz zupełnie inne niż te, jakich się spodziewałem. W tym pomieszczeniu był jakiś mężczyzna, który przeszedł przez trawnik od strony ulicy. Udało mi się znaleźć pięć bardzo wyraźnych odcisków jego butów. Jeden na samej drodze, w miejscu, w którym przechodził przez niski murek. Dwa na trawniku oraz dwa bardzo słabe odciski na poplamionych deskach przy oknie, przez które wszedł. Najwyraźniej przebiegł przez trawnik, bo odciski czubków butów były znacznie głębsze z przodu niż z tyłu. Jednak to nie ten człowiek był dla mnie zaskoczeniem. Zdumiał mnie jego towarzysz.

– Jego towarzysz?

Holmes wyciągnął z kieszeni duży arkusz bibuły i ostrożnie rozwinął go na kolanie.

– Co o tym sądzisz? – spytał.

Bibułka poznaczona była śladami jakiegoś niewielkiego zwierzęcia. W odciskach wyraźnie odznaczało się pięć opuszków palców, co wskazywało na długie pazury, zaś cały ślad był mniej więcej wielkości łyżeczki.

– To pies – powiedziałem.

– Widziałeś kiedyś, żeby pies wspiął się po zasłonie? Znalazłem wyraźne ślady świadczące o tym, że to stworzenie tak właśnie zrobiło.

– To może małpa?

– Ale to nie są ślady małpy.

– W takim razie cóż to takiego mogło być?

– Na pewno nie pies, kot, małpa ani żadne inne stworzenie, które dobrze znam. Próbowałem je zrekonstruować na podstawie pomiarów. Oto cztery odciśnięte ślady stworzenia, które stało nieruchomo. Jak widzisz, odległość między przednią a tylną łapą wynosi nie mniej niż piętnaście cali. Jeśli dodamy do tego długość szyi i głowy, okaże się, że stworzenie miało niewiele mniej niż dwie stopy, prawdopodobnie nawet więcej, o ile posiadało ogon. Teraz jednak spójrz na drugi wynik moich pomiarów. Tutaj zwierzę było w ruchu, i długość jego kroku wynosi zaledwie trzy cale, a to wskazuje na długie ciało z bardzo krótkimi nogami. Nie było na tyle uprzejme, żeby pozostawić sierść. Jednak ogólnie musi mieć taki kształt, jak ci opisałem, może się wspiąć po zasłonie i jest mięsożerne.

– Na jakiej podstawie to wydedukowałeś?

– Ponieważ wspięło się po zasłonie. W oknie wisiała klatka z kanarkiem, i najwyraźniej chciało upolować ptaka.

– Cóż to w takim razie było za zwierzę?

– Och, gdybym potrafił odpowiedzieć na to pytanie, zbliżylibyśmy się bardzo do rozwiązania sprawy. Mówiąc ogólnie, było to prawdopodobnie jakieś stworzenie przypominające łasicę lub gronostaja. A jednak jest o wiele większe niż jakiekolwiek zwierzę tego gatunku, które widziałem.

– Ale co miało ono wspólnego z przestępstwem?

– To również pozostaje niejasne. Jednak, jak widzisz, sporo się dowiedzieliśmy. Wiemy, że na drodze stał jakiś człowiek i przyglądał się kłótni Barclayów, zasłony były podniesione, a pokój dobrze oświetlony. Wiemy również, że przebiegł przez trawnik i wszedł do pokoju wraz z jakimś dziwnym zwierzęciem. Następnie albo uderzył pułkownika, albo, co w równym stopniu możliwe, pułkownik padł z przerażenia na jego widok i rozbił sobie głowę o próg kominka. Mamy wreszcie punkt zaczepienia: intruz, wychodząc, zabrał ze sobą klucz.

– Wygląda na to, że twoje odkrycia jeszcze bardziej zagmatwały sprawę, zamiast ją wyjaśnić – powiedziałem.

– Nie inaczej. Niewątpliwie wykazały, że sprawa jest o wiele głębsza, niż wydawało mi się na początku. Dokładnie wszystko przemyślałem i doszedłem do wniosku, że muszę na to spojrzeć z zupełnie innego punktu widzenia. Ale doprawdy, Watsonie, przeze mnie nie kładziesz się jeszcze spać, a ja równie dobrze mogę ci to wszystko opowiedzieć jutro w drodze do Aldershot.

– Dziękuję ci bardzo. Za daleko już zaszedłeś, żeby się teraz zatrzymać.

– Jest dość pewne, że gdy pani Barclay wychodziła z domu o wpół do ósmej, była w dobrych relacjach ze swoim mężem. Jak sądzę, wspominałem już, że nigdy ostentacyjnie nie okazywała swych uczuć, woźnica słyszał jednak, jak przyjaźnie gawędziła z pułkownikiem. Równie jasne było również to, że zaraz po swym powrocie udała się do takiego pomieszczenia, w którym spotkanie z mężem było najmniej prawdopodobne, chcąc napić się herbaty, jak to robi każda podenerwowana kobieta, a wreszcie, gdy pułkownik do niej przyszedł, zaczęła go gwałtownie o coś oskarżać. A to oznacza, że coś się wydarzyło między siódmą trzydzieści a dziewiątą i że wydarzenie to całkowicie zmieniło jej uczucia do męża. Jednak przez całe te półtorej godziny towarzyszyła jej panna Morrison. Tak więc z całą pewnością, mimo wszystkich jej zaprzeczeń, musi coś wiedzieć o tej sprawie.

Na początku przypuszczałem, że być może coś łączyło starego żołnierza i tę młodą damę, a ta ostatnia wyznała to teraz jego żonie. To by tłumaczyło, dlaczego po powrocie była tak rozwścieczona, jak również to, że dziewczyna zaprzecza, iż w ogóle cokolwiek się w tym czasie wydarzyło. Nie najgorzej by to również pasowało do większości podsłuchanych przez służbę słów. Padło jednak imię Dawid. Poza tym wszyscy zgodnie twierdzili, że pułkownik kochał żonę, co przeczy takiej teorii, nie wspominając już o tragicznym wtargnięciu tego drugiego mężczyzny, które mogło nie mieć nic wspólnego ze wszystkim, co wydarzyło się wcześniej. Niełatwo mi było znaleźć jakiś trop, ogólnie jednak byłem skłonny zarzucić pomysł, że coś łączyło pułkownika i pannę Morrison. Niemniej byłem przeświadczony, że ta młoda dama posiada wskazówki, które mogłyby wyjaśnić, dlaczego pani Barclay tak nagle znienawidziła swego męża. Obrałem więc oczywisty kierunek i udałem się z wizytą do panny M., by wyjaśnić jej, iż jestem całkowicie pewien, że zataiła jakieś fakty, oraz by ją zapewnić, że o ile sprawa się nie wyjaśni, jej przyjaciółka, pani Barclay, może trafić do więzienia za morderstwo.

Panna Morrison była drobnym, eterycznym dziewczęciem o nieśmiałych oczach i blond włosach; przekonałem się jednak, że bynajmniej nie brakowało jej sprytu i zdrowego rozsądku. Gdy wyjaśniłem sprawę, siedziała przez jakiś czas pogrążona w myślach, a potem, zwracając się

do mnie w wyjątkowo ożywiony i zdecydowany sposób, opowiedziała coś bardzo interesującego, co w skrócie ci powtórzę.

„Przyrzekłam mojej przyjaciółce, że nic o tej sprawie nie wspomnę, a obietnica jest obietnicą” – powiedziała. – „Jednak jeśli naprawdę mogę jej pomóc w obliczu tak poważnych zarzutów, gdy ona sama, biedaczka, nic nie może powiedzieć złożona chorobą, myślę, że te okoliczności zwalniają mnie z danego przyrzeczenia. Opowiem panu szczegółowo o wszystkim, co wydarzyło się w poniedziałkowy wieczór.

Wracałyśmy ze spotkania przy Watt Street mniej więcej za piętnaście dziewiąta. Po drodze szłyśmy Hudson Street, która jest bardzo spokojną ulicą. Jest tam tylko jedna latarnia, stojąca po lewej stronie, i gdy zbliżyłyśmy się do niej, zobaczyłyśmy, że podchodzi do nas bardzo zgarbiony człowiek z jakimś pudełkiem przewieszonym przez ramię. Odniosłam wrażenie, że jego ciało jest zdeformowane, bo głowę miał nisko opuszczoną i chodził na ugiętych nogach. Właśnie go mijałyśmy, gdy uniósł twarz i spojrzał na nas w kręgu światła rzucanego przez latarnię. Gdy nas ujrzał, zatrzymał się i krzyknął przeraźliwym głosem: „Mój Boże, to Nancy!”. Pani Barclay zrobiła się biała jak kreda i padłaby zemdlona na ziemię, gdyby to indywiduum jej nie podtrzymało. Już miałam zamiar wezwać policję, jednak ku mojemu zaskoczeniu, zaczęła uprzejmie rozmawiać z tym mężczyzną.

– Henry! Przez te trzydzieści lat myślałam, że nie żyjesz – odezwała się drżącym głosem.

– Ja też tak myślałem – odparł, a ton, jakim to powiedział, zmroził mi krew w żyłach. Miał bardzo ciemną brzydką twarz, a jego płonące oczy wciąż śnią mi się po nocach. Włosy i bokobrody przyprószone były siwizną, a twarz, cała pomarszczona i pobrużdżona, przypominała zwiędłe jabłko.

– Idź przodem, moja droga – powiedziała pani Barclay. – Chciałabym zamienić parę słów z tym człowiekiem. Nie ma się czego obawiać.

Próbowała powiedzieć to zdecydowanym, śmiałym tonem, wciąż jednak była blada jak śmierć, a jej wargi drżały, więc ledwo była w stanie wydobyć słowo.

Zrobiłam tak, jak mnie prosiła, i przez kilka minut rozmawiali ze sobą. Potem ruszyła dalej ulicą z pałającym wzrokiem, a kaleka został przy słupie latarni, potrząsając zaciśniętymi pięściami, tak jakby coś go rozwścieczyło.

Pani Barclay nie powiedziała do mnie ani słowa aż do chwili, gdy dotarłyśmy pod moje drzwi. Wtedy wzięła mnie za rękę i błagała, bym nikomu nie wspominała o tym, co się wydarzyło.

– To mój stary znajomy, któremu nie powiodło się w życiu – powiedziała.

Gdy obiecałam, że o niczym nie powiem, ucałowała mnie, i od tej pory już jej nie widziałam. Wyznałam panu teraz całą prawdę, a jeśli zataiłam to przed policją, to tylko dlatego, iż nie zdawałam sobie sprawy, w jakim niebezpieczeństwie znalazła się moja przyjaciółka. Wiem, że prawda może świadczyć tylko na jej korzyść".

Tyle mi opowiedziała, Watsonie, i jak sobie zapewne wyobrażasz, było to niczym błysk światła w środku ciemnej nocy. Wszystko, co do tej pory wydawało się bez związku, zaczęło nagle układać się we właściwym miejscu, a ja niejasno przeczuwałem bieg kolejnych wydarzeń. Moim następnym krokiem było oczywiście odnalezienie człowieka, który wywarł tak głębokie wrażenie na pani Barclay. Jeśli wciąż był w Aldershot, zadanie to nie było zbyt trudne. Miasto nie ma aż tak wielu mieszkańców, a człowiek o tak zdeformowanym ciele na pewno zwracał na siebie uwagę. Cały dzień spędziłem na poszukiwaniach, a dziś wieczorem, Watsonie, odnalazłem go. Ten człowiek nazywa się Henry Wood i wynajmuje pokój przy tej samej ulicy, przy której spotkały go kobiety. Mieszka tam zaledwie od pięciu dni. Podając się za urzędnika z biura meldunkowego, przeprowadziłem niezwykle ciekawą pogawędkę z kobietą, która wynajęła mu pokój. Ten mężczyzna jest z zawodu artystą i iluzjonistą. Po zmroku chodzi od kantyny do kantyny i tam występuje. W pudełku nosi ze sobą jakieś zwierzę. Wyglądało na to, że kobieta wynajmująca mu pokój bardzo się tego stworzenia obawia, bo nigdy dotychczas takiego nie widziała. Według tego, co opowiadała, wykorzystuje je w różnych sztuczkach. Tyle była mi w stanie powiedzieć. Na koniec dodała, że to prawdziwy cud, iż ten człowiek jeszcze żyje, mając tak powykręcane ciało, i że czasami mówi jakimś dziwnym obcym językiem, a przez ostatnie dwie noce słyszała, jak jęczał i płakał w swojej sypialni. Jeśli chodzi o płacenie za kwaterę, wywiązywał się ze swoich zobowiązań, dał jej jednak w depozyt coś, co wyglądało jej na fałszywego florena. Pokazała mi tę monetę, i okazało się, że była to indyjska rupia. Tak więc teraz, mój drogi przyjacielu, dokładnie pojmujesz, co o tej sprawie jest wiadomo, i rozumiesz, dlaczego

cię potrzebuję. Oczywiste jest, że gdy kobiety odeszły od tego mężczyzny, on poszedł za nimi, śledząc je z pewnej odległości. Był świadkiem kłótni pomiędzy mężem i żoną, ponieważ wszystko widział przez okno. Następnie wtargnął przez nie do środka, zaś zwierzątko, które nosił w swoim pudełku, wydostało się na wolność. Wszytko to wiadomo na pewno. Jest on jednak jedynym człowiekiem na świecie, który może nam dokładnie powiedzieć, co zaszło w tym pokoju.

– I zamierzasz go o to zapytać?

– Naturalnie, jednak w obecności świadka.

– I ja mam być tym świadkiem.

– Gdybyś był tak dobry. Jeśli wyjaśni nam całą tę sprawę, to wszystko w porządku. Jeśli jednak odmówi, nie będziemy mieli innego wyjścia, niż uzyskać nakaz aresztowania.

– Ale skąd możesz wiedzieć, że gdy wrócimy, wciąż jeszcze tam będzie?

– Możesz być pewien, że podjąłem pewne środki. Czuwa nad nim jeden z chłopców z Baker Street. Będzie się go trzymał niczym rzep psiego ogona niezależnie od tego, dokąd się uda. Jutro, Watsonie, odnajdziemy go przy Hudson Street. A tymczasem sam stanę się przestępcą, jeśli dłużej będę cię powstrzymywał przed pójściem do łóżka.

Dochodziło południe, gdy znaleźliśmy się na miejscu tragedii. Mój towarzysz zaprowadził mnie natychmiast na Hudson Street. Choć doskonale potrafi ukrywać swe emocje, z łatwością dostrzegałem, że z trudem tłumił podekscytowanie, podczas gdy ja odczuwałem to przyjemne mrowienie i na wpół sportową, na wpół intelektualną przyjemność, której zawsze doświadczam, angażując się w prowadzone przez niego śledztwo.

– To ta ulica – rzekł, gdy skręciliśmy w krótką przecznicę, po której obu stronach stały zwykłe jednopiętrowe domy z cegły. – Ach! Oto i Simpson. Zaraz zda mi raport.

– Wszystko dobrze, panie Holmes. Jest u siebie – zawołał mały ulicznik, podbiegając do nas.

– Dobrze, Simpsonie – rzekł Holmes, klepiąc go po głowie. – Chodź, Watsonie, to ten dom.

Posłał swoją wizytówkę z wiadomością, iż przyszedł w ważnej sprawie. Chwilę później staliśmy już twarzą w twarz z mężczyzną, z którym mieliśmy się spotkać. Choć było ciepło, kulił się przy ogniu, a mały pokoik

był nagrzany niczym piec. Siedział dziwnie skulony i poskręcany na krześle, sprawiając wrażenie, jakby jego ciało było w jakiś niesamowity sposób zdeformowane. Jednak twarz, którą ku nam zwrócił, choć była zniszczona i śniada, musiała kiedyś odznaczać się niecodziennym pięknem. Spojrzał na nas podejrzliwie swymi pożółkłymi, złymi oczami i, nic nie mówiąc ani nie ruszając się z miejsca, wskazał nam gestem dwa krzesła.

– Pan Henry Wood, niegdyś z Indii, jak sadzę – rzekł przyjaźnie Holmes. – Przyszedłem w pewnej drobnej sprawie. Chodzi mi mianowicie o śmierć pułkownika Barclaya.

– A co ja mogę wiedzieć na ten temat?

– Właśnie co do tego pragnę się upewnić. Wie pan, jak przypuszczam, że o ile sprawa się nie wyjaśni, pańska dawna przyjaciółka pani Barclay będzie prawdopodobnie musiała bronić się przed zarzutami morderstwa.

Człowiek gwałtownie się wzdrygnął.

– Nie wiem, kim pan jest – zawołał – ani skąd się pan tego dowiedział! Ale czy może mi pan przysiąc, że to, co pan mówi, jest prawdą?

– Cóż, policja czeka tylko na to, by doszła do siebie, aby móc ją aresztować.

– Mój boże! Jest pan z policji?

– Nie.

– To dlaczego się pan tym interesuje?

– Każdemu powinno zależeć na tym, by sprawiedliwości stało się zadość.

– Mogę panu dać słowo, że jest niewinna.

– W takim razie pan jest winny.

– Nie, nie jestem.

– Kto w takim razie zabił pułkownika Jamesa Barclaya?

– To opatrzność go zabiła! Ale zapewniam pana, że gdybym mu roztrzaskał łeb tak, jak tego pragnąłem, to nie spotkałoby go nic, na co sobie nie zasłużył. Gdyby nie to, że dopadły go wyrzuty sumienia, prawdopodobnie miałbym jego krew na rękach. Chce pan, żebym opowiedział panu tę historię? Cóż, nie mam powodów, żeby ją przed panem ukrywać, bo nie ma w niej nic, czego powinienem się wstydzić.

To było tak, sir. Widzi pan, teraz mam garb niczym wielbłąd i powykręcane wszystkie żebra, kiedyś jednak kapral Henry Wood był najbystrzejszym człowiekiem w 117. batalionie piechoty. Stacjonowaliśmy wówczas w garnizonie w Indiach, w miejscowości Bhurtee. Barclay był

sierżantem w tej samej kompanii co ja, a gwiazdą naszego pułku, najpiękniejszą dziewczyną, jaka chodziła po świecie, była Nancy Devoy, córka sierżanta sztabowego. Kochało się w niej dwóch mężczyzn, ona zaś kochała tylko jednego. Uśmiecha się pan, widząc tego biedaka skulonego przy kominku, mogę jednak pana zapewnić, że kochała mnie również za mój wygląd.

Cóż, chociaż zdobyłem jej serce, jej ojciec uparł się, by poślubiła Barclaya. Byłem roztrzepanym, lekkomyślnym chłopakiem, on zaś miał wykształcenie, i wszyscy wiedzieli, że wkrótce dostanie oficerskie szlify. Dziewczyna jednak była mi wierna i sądziłem, że będzie moja. Wtedy jednak wybuchło powstanie sipajów, i w kraju rozpętało się piekło.

Byliśmy odcięci w Bhurtee. Nasz pułk z połową baterii artylerii, kompania Sikhów oraz wiele kobiet i dzieci. Otaczało nas dziesięć tysięcy buntowników, rozjuszonych niczym teriery wokół klatki ze szczurami. Mniej więcej w drugim tygodniu skończyła nam się woda i wszystko zależało od tego, czy uda nam się nawiązać kontakt z kolumną generała Neilla, przemieszczającą się przez kraj. To była nasza jedyna szansa, bo nie mogliśmy liczyć na to, że uda nam się przedrzeć i wymknąć ze wszystkimi tymi kobietami i dziećmi. Zgłosiłem się więc na ochotnika, by prześliznąć się przez linie wroga i powiadomić generała Neilla o niebezpieczeństwie, w jakim się znaleźliśmy. Moja propozycja została przyjęta. Omówiłem sprawę z sierżantem Barclayem, który znał ten teren lepiej niż ktokolwiek inny. Narysował mi drogę, jaką mogłem się przedostać przez linie buntowników. Wyruszyłem tej samej nocy o dziesiątej. Miałem ocalić życie tysiąca ludzi, jednak gdy przechodziłem przez mur, myślałem tylko o niej jednej.

Moja droga prowadziła suchym korytem rzeki, które, jak mieliśmy nadzieję, miało mnie osłonić przed wartownikami wroga. Jednak gdy tylko wyczołgałem się zza zakrętu, wpadłem prosto na sześciu z nich, przyczajonych w ciemności: czekali na mnie. W jednej chwili zostałem ogłuszony i związany. Jednak prawdziwy cios zadano mi w nie głowę, lecz w serce. Gdy odzyskałem przytomność, zacząłem przysłuchiwać się ich rozmowie, i udało mi się zrozumieć, że mój towarzysz, ten sam człowiek, który zaplanował drogę, zdradził mnie, wysługując się swoim hinduskim służącym i wydając w ręce wroga.

Czy mam się dalej nad tym rozwodzić? Teraz pan wie, do czego był zdolny James Barclay. Następnego dnia Neill przerwał okrążenie Bhurtee, jednak buntownicy zabrali mnie ze sobą do swej kryjówki. Minęło wiele długich lat, nim znów zobaczyłem twarz białego człowieka. Torturowali mnie. Próbowałem uciec, ale mnie schwytali i znów torturowali. Sam pan widzi, w jakim jestem stanie. Ci, co zbiegli do Nepalu, zabrali mnie ze sobą, a później zawlekli aż za Darjeeling. Tamtejsi górale zamordowali buntowników, którzy mnie więzili, i przez pewien czas byłem niewolnikiem górali. Później udało mi się uciec. Zamiast jednak udać się na południe, musiałem iść na północ, dopóki nie znalazłem się wśród Afgańczyków. Wędrowałem tam przez wiele lat, aż wreszcie udało mi się wrócić do Pundżabu, gdzie żyłem wśród tubylców i zarabiałem na życie sztuczkami iluzjonistycznymi, jakich się nauczyłem. Jakiż by to miało sens, bym ja, biedny kaleka, miał wracać do Anglii albo kontaktować się z moimi dawnymi towarzyszami? Nie skłoniło mnie do tego nawet pragnienie zemsty. Wolałem raczej, by Nancy i moi starzy towarzysze myśleli, że Henry Wood zginął, patrząc śmierci prosto w twarz, niż aby ujrzeli go żywego, czołgającego się z laską niczym szympans. Nigdy nie wątpili w to, że zginąłem, ja zaś byłem z tego zadowolony. Dowiedziałem się, że Barclay poślubił Nancy i że błyskawicznie awansował w pułku, jednakże nawet to nie skłoniło mnie do wyjawienia prawdy.

Niemniej w miarę upływu lat, gdy człowiek się starzeje, zaczyna tęsknić za domem. Przez wiele lat śniłem o jasnozielonych polach i żywopłotach Anglii. W końcu postanowiłem zobaczyć je raz jeszcze przed śmiercią. Odłożyłem tyle pieniędzy, żeby starczyło mi na podróż; teraz jestem wśród żołnierzy. Wiem jacy są, co lubią i jak ich zabawić, i dzięki temu zarabiam na życie.

– Pańska opowieść jest niezwykle interesująca – rzekł Sherlock Holmes. – Słyszałem już o pańskim spotkaniu z panią Barclay i o tym, że oboje się rozpoznaliście. Jak przypuszczam, śledził ją pan, gdy wracała do domu. Był pan świadkiem kłótni pomiędzy nią a jej mężem, podczas której najwyraźniej oskarżyła go, patrząc mu prosto w twarz, o to, co panu uczynił. Stracił pan panowanie nad sobą, więc pobiegł przez trawnik i wtargnął do środka.

– Zgadza się, sir. Tak uczyniłem. Kiedy Barclay spojrzał na mnie, jego twarz przybrała taki wyraz, jakiego jeszcze nigdy u człowieka nie

widziałem. Przewrócił się i uderzył głową o próg kominka. Był jednak martwy jeszcze zanim upadł, śmierć bowiem malowała się bardzo wyraźnie na jego twarzy. Sam mój widok był dla niego niczym kula, która trafiła w jego pełne wyrzutów sumienia serce.

– A potem?

– Potem Nancy zemdlała, a ja chwyciłem z jej ręki klucz, zamierzając otworzyć drzwi i sprowadzić pomoc. Jednak przyszło mi nagle do głowy, że lepiej będzie, jeżeli ich zostawię, a sam odejdę, bo mógłbym ściągnąć na siebie podejrzenia, a gdybym został ujęty, mój sekret by się wydał. W pośpiechu wsunąłem klucz do kieszeni i upuściłem pałkę, goniąc Teddy'ego, który wspiął się po zasłonie. Gdy schowałem go do skrzynki, z której udało mu się wymknąć, uciekłem stamtąd najszybciej jak mogłem.

– Kto to jest Teddy? – zapytał Holmes.

Mężczyzna pochylił się i uniósł przednią część niewielkiej klatki stojącej w rogu pokoju. W jednej chwili wymknęło się z niej piękne, czerwonobrązowe stworzenie, szczupłe i zwinne, o nogach gronostaja, cienkim pyszczku i najpiękniejszych czerwonych oczach, jakie kiedykolwiek widziałem u zwierzęcia.

– To mangusta! – zawołałem.

– Cóż, niektórzy tak je nazywają, inni mówią na nie ichneumony – odparł mężczyzna. – Ja sam nazywam je wężołapami, bo Teddy potrafi niezwykle szybko uporać się z kobrą. Mam jedną bez zębów jadowych, a Teddy łapie ją co wieczór, żeby sprawić przyjemność żołnierzom w kantynie. Coś jeszcze, sir?

– Cóż, być może będziemy musieli znów się do pana zwrócić, jeśli okaże się, że pani Barclay ma poważne kłopoty.

– W takim razie oczywiście się ujawnię.

– Jednak jeśli tak się nie stanie, nie ma sensu wygrzebywać skandalu, w który zamieszany był zmarły, niezależnie od tego, jak haniebnie postąpił. Ma pan przynajmniej tę satysfakcję, że wie pan, iż przez trzydzieści lat miał straszne wyrzuty sumienia z powodu swojego podłego czynu. O, to major Murphy, tam, po drugiej stronie ulicy! Żegnam pana, panie Wood. Chcę się dowiedzieć, czy od wczoraj coś się wydarzyło.

Udało nam się dogonić majora, nim ten skręcił za róg.

– Ach, pan Holmes! – zawołał. – Pewnie słyszał pan już, że sprawa śmierci pułkownika została zakończona.

– A co się takiego stało?

– Właśnie zamknięto dochodzenie. Dane z badań medycznych wykazały w jednoznaczny sposób, że zgon nastąpił wskutek apopleksji. Jak pan widzi, sprawa okazała się całkiem prosta.

– Tak, rzeczywiście była wyjątkowo trywialna – rzekł z uśmiechem Holmes. – Chodź, Watsonie. Nie sądzę, byśmy byli jeszcze potrzebni w Aldershot.

– Jeszcze tylko jeden szczegół – odezwałem się, gdy zmierzaliśmy do stacji. – Skoro mąż miał na imię James, ten drugi mężczyzna Henry, to o co chodziło z tym całym Dawidem?

– Mój drogi Watsonie, gdybym rzeczywiście tak dobrze i logicznie rozumował, jak to lubisz opisywać w swoich opowieściach, wówczas na podstawie tego jednego, jedynego słowa powinienem był się domyślić rozwiązania całej tej historii. Najwyraźniej, nazywając go tak, robiła mu wyrzuty.

– Wyrzuty?

– Tak, Dawidowi zdarzyło się kiedyś trochę zbłądzić, raz nawet w ten sam sposób co sierżantowi Barclayowi. Pamiętasz ten drobny incydent z Uriaszem i Batszebą? Obawiam się, że moja wiedza na temat Biblii jest trochę zardzewiała, ale możesz znaleźć tę historię w 1 lub 2 Księdze Samuela.

Rozdział ósmy

Stały pacjent

Gdy przeglądam ten nieco niespójny cykl wspomnień, jakimi próbowałem zilustrować niektóre szczególne cechy intelektu mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa, łapię się na tym, jaką trudność sprawia mi wybranie przykładów, które pod każdym względem odpowiadałyby moim celom. Dzieje się tak dlatego, że w przypadkach gdy Holmes tworzył prawdziwe majstersztyki analitycznego rozumowania i przedstawiał specyficzne metody prowadzenia śledztwa, same fakty dotyczące sprawy bywały tak błahe i pospolite, że nie uważałem za konieczne przedstawiać je czytelnikom. Z drugiej strony często zdarzało się i tak, że zaangażowany był w jakieś dochodzenie, w którym fakty były doprawdy niezwykłe i dramatyczne, jednak jego udział w ustaleniu ich wagi i znaczenia nie był tak znaczny, jak mógłbym tego pragnąć jako jego biograf. Niewielkie sprawy, jak ta opisana w „Studium w szkarłacie” czy też inna, powiązana z zaginięciem statku „Gloria Scott”, mogą posłużyć jako przykłady przysłowiowych Scylli i Charybdy, które nieustannie zagrażają historykowi. Być może jest tak, że w sprawie, o której zamierzam teraz napisać, rola mojego przyjaciela nie jest wystarczająco zaakcentowana. Z drugiej jednak strony, cały ciąg wydarzeń jest tak niezwykły, iż nie potrafię odmówić sobie zamieszczenia jego opisu w tym cyklu opowieści.

Był duszny, pochmurny październikowy dzień. Mieliśmy na wpół zaciągnięte zasłony, a Holmes leżał skulony na sofie, wczytując się w list, który otrzymał poranną pocztą. Jeśli chodzi o mnie, służąc w Indiach, nauczyłem się lepiej znosić gorąco niż zimno, i trzydzieści stopni na termometrze nie były dla mnie żadnym problemem. Gazeta była jednak wyjątkowo nieciekawa. Parlament zakończył obrady, wszyscy poznikali z miasta, ja zaś czułem tęsknotę za polanami New Forest i kamienistymi

plażami w Southsea. Brak pieniędzy na koncie sprawił, że musiałem odłożyć wakacje, jeśli zaś chodzi o mojego towarzysza, to nie ciągnęło go ani do uroków wsi, ani nad morze. Uwielbiał tkwić w samym centrum pięciomilionowego miasta, pozostając w gotowości, by natychmiast zareagować na każdą pogłoskę czy podejrzenie dotyczące jakiegoś niewyjaśnionego przestępstwa. Wśród jego wielu zalet nie było miejsca na zachwyty nad pięknem natury, i jedyne, co mogło zmienić jego nastawienie w tym względzie, to decyzja, że zamiast śledzić jakiegoś złoczyńcę w mieście, podąży jego tropem wiodącym na wieś.

Przekonawszy się, że Holmes jest zbyt pochłonięty tym, co robił, by mieć ochotę na rozmowę, odrzuciłem na bok nudną gazetę i, opierając się wygodnie w fotelu, pogrążyłem się w zadumie. Nagle bieg moich myśli przerwał głos mego towarzysza.

– Masz rację, Watsonie – powiedział. – Też uważam, że to zupełnie niedorzeczny sposób rozwiązywania sporów.

– Kompletnie niedorzeczny! – zawołałem, a potem, zdawszy sobie nagle sprawę, że odczytał najgłębsze myśli skrywane w mojej duszy, wyprostowałem się w fotelu i spojrzałem na niego w kompletnym osłupieniu.

– Cóż to było, Holmesie?! – zawołałem raz jeszcze. – Teraz już naprawdę przeszedłeś moje najśmielsze oczekiwania.

Widząc moją konsternację, roześmiał się z całego serca.

– Pamiętasz może – powiedział – że gdy czytałem ci niedawno fragment jednego z opowiadań Poe, w którym człowiek posługujący się logicznym myśleniem śledził niewypowiedziane myśli swego towarzysza, byłeś raczej skłonny potraktować to wszystko jako czcze wymysły autora? A gdy zauważyłem wówczas, że ja sam nieustannie robię to samo, wyrażałeś swoje niedowierzanie.

– Och nie!

– Być może nie wyraziłeś tego słowami, mój drogi Watsonie, ale z całą pewnością świadczyły o tym twe uniesione brwi. Tak więc, gdy zobaczyłem, że odrzucasz gazetę i pogrążasz się w myślach, bardzo się ucieszyłem, że mam oto okazję, aby je odczytać, a następnie opowiedzieć tobie o nich jako dowód na nawiązanie z tobą bliskiego kontaktu mentalnego.

Nie byłem bynajmniej usatysfakcjonowany tymi słowami.

– W tym fragmencie, który mi czytałeś – rzekłem – myślący logicznie człowiek wyciągał wnioski z zachowań mężczyzny, którego obserwował. O ile dobrze pamiętam, mężczyzna ten potknął się o stos kamieni, potem spojrzał w górę na gwiazdy i tak dalej. Ja natomiast spokojnie sobie siedziałem w fotelu. Jakich więc przesłanek do rozumowania mogłem ci dostarczyć?

– Jesteś niesprawiedliwy wobec samego siebie. Rysy twarzy człowieka wyrażają jego emocje, zaś w twoim przypadku wiernie ci one służą.

– Chcesz przez to powiedzieć, że odczytałeś ciąg moich myśli z mojej twarzy?

– Tak, z rysów twojej twarzy, a przede wszystkim z oczu. Może pamiętasz, od czego zaczęły się twoje rozmyślania?

– Nie pamiętam.

– W takim razie ja ci powiem. Po tym, gdy odrzuciłeś gazetę, co zwróciło moją uwagę, przez pół minuty siedziałeś z pustym spojrzeniem. Później utkwiłeś wzrok w niedawno oprawionym portrecie generała Gordona, a ja spostrzegłem po zmianie twoich rysów, że rozpoczął się pewien proces myślowy. Nie trwał jednak zbyt długo. Zwróciłeś oczy na nieoprawiony portret Henry’ego Warda Beechera, stojący na książkach. Później spojrzałeś w górę na ścianę i to, co pomyślałeś, było oczywiste. Przyszło ci do głowy, że gdyby ten portret był oprawiony, zasłoniłby to puste miejsce na ścianie i dobrze by pasował do wiszącego portretu Gordona.

– Świetnie odgadłeś moje myśli! – zawołałem.

– Aż do tamtego momentu raczej nie mogłem pobłądzić. Wtedy jednak twoje myśli powróciły do Beechera i spojrzałeś na niego twardo, tak jakbyś badał jego charakter na podstawie rysów twarzy. Później wyraz twych oczu złagodniał, lecz nadal na niego patrzyłeś, a twoja twarz wyrażała zamyślenie. Przypominałeś sobie różne epizody z kariery Beechera. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że przy tej okazji nie mogłeś nie pomyśleć o misji, jakiej się podjął dla Północy podczas wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych, pamiętałem bowiem, z jaką pasją wyrażałeś swoje wzburzenie wobec tego, jak przyjęli go mniej przychylnie nastawieni Anglicy. Wywołuje to w tobie tak silne emocje, iż wiedziałem, że nie możesz myśleć o Beecherze, nie myśląc również o tej kwestii. Gdy chwilę później ujrzałem, że twoje oczy zaczynają błądzić i nie wpatrują się już w portret, podejrzewałem, że zwróciłeś myśli ku wojnie secesyjnej. Gdy

zauważyłem, jak przygryzasz usta, twoje oczy zaczynają miotać iskry, a pięści się zaciskają, byłem już pewien, że naprawdę myślisz o męstwie okazanym przez obie strony podczas tego desperackiego konfliktu. Potem jednak twoja twarz posmutniała. Potrząsnąłeś głową. Zadumałeś się nad tym, jak smutny, przerażający i bezużyteczny był ten rozlew krwi. Twoja dłoń bezwiednie powędrowała w miejsce, w którym kiedyś byłeś ranny, a na twoich ustach pojawił się lekki uśmiech, co przekonało mnie o tym, iż właśnie myślisz, że taka metoda rozwiązywania międzynarodowych sporów jest doprawdy niedorzeczna. W tym właśnie punkcie zgodziłem się z tobą, mówiąc, iż rzeczywiście jest niedorzeczna, i mogłem się z radością przekonać, że cały ten przeprowadzony przeze mnie proces dedukcji był słuszny.

– Całkowicie słuszny! – powiedziałem. – I muszę przyznać, że teraz, kiedy mi to wszystko wyjaśniłeś, wciąż jestem równie zdumiony jak przedtem.

– Mój drogi Watsonie, to naprawdę nic niezwykłego, zapewniam cię. Nie przerywałbym twoich refleksji, gdybyś parę dni temu nie wyrażał swojego niedowierzania, iż jest to możliwe. Ale zbliża się wieczór, i zaczyna przyjemnie wiać wietrzyk. Co byś powiedział na małą przechadzkę po Londynie?

Byłem już tak znużony przesiadywaniem w naszym małym salonie, że z radością na to przystałem. Spacerowaliśmy razem przez jakieś trzy godziny, obserwując nieustannie zmieniający się kalejdoskop życia, przetaczającego się przez Fleet Street i Strand niczym przypływy i odpływy morza. Holmes przez cały czas bawił mnie i oczarowywał swymi tak typowymi dla niego uwagami, przez które przebijała się bystra obserwacja szczegółów i subtelna moc dedukcji. Nim wróciliśmy na Baker Street, była już dziesiąta. Przed naszymi drzwiami czekał jednokonny powóz.

– Hmm! Należy do lekarza! Lekarza ogólnego, jak sądzę – rzekł Holmes. – Ma praktykę od niedawna, ale nie narzeka na brak pracy. Coś mi się wydaje, że przyszedł prosić mnie o radę. Na szczęście już wróciliśmy!

Znałem już metody Holmesa na tyle dobrze, by nadążyć za jego rozumowaniem i dostrzec, że rodzaj i stan różnych lekarskich narzędzi wiszących w wiklinowym koszu i widocznych w świetle lampy wewnątrz powozu, dostarczyły mu niezbędnych informacji, by szybko wydedukować, kim jest nasz gość. Światło palące się na piętrze w naszym oknie

świadczyło o tym, że to rzeczywiście do nas udał się z tą późną wizytą. Byłem ciekaw, co mogło skłonić mojego kolegę po fachu do odwiedzenia nas o tak późnej porze; ruszyłem za Holmesem do naszej jaskini.

Gdy weszliśmy, z krzesła przy kominku podniósł się blady mężczyzna o szczupłej twarzy i skąpych bokobrodach. Nie miał więcej niż trzydzieści trzy czy trzydzieści cztery lata, jednak jego wymizerowana twarz i niezdrowa cera świadczyły o tym, że życie, jakie wiódł, wyssało z niego siły i pozbawiło młodości. Zachowywał się nerwowo i nieśmiało, zaś szczupła, biała dłoń, jaką oparł na gzymsie kominka, wstając z krzesła, mogłaby raczej należeć do artysty niż do lekarza. Odziany był zwyczajnie, ale dość ponuro – w czarny surdut i ciemne spodnie. Jedynym kolorowym akcentem w jego stroju był krawat.

– Dobry wieczór, doktorze – zagaił radośnie Holmes. – Cieszę się, widząc, że czekał pan na nas tylko przez parę minut.

– A więc rozmawiał pan z moim woźnicą?

– Nie. Powiedziała mi o tym świeca stojąca na stoliku obok. Ale proszę usiąść i powiedzieć mi, jak mogę panu pomóc.

– Nazywam się doktor Percy Trevelyan – rzekł nasz gość – mieszkam na Brook Street pod numerem 403.

– Czy to nie pan jest autorem monografii o rzadko spotykanych urazach układu nerwowego? – spytałem.

Gdy usłyszał, że znam jego pracę, jego blade policzki okrył rumieniec. Najwyraźniej sprawiło mu to przyjemność.

– Tak rzadko wspomina ktoś o tej pracy, że myślałem, iż nikt jej już nie czyta – odparł. – Mój wydawca zdał mi wyjątkowo zniechęcający raport o tym, jak się sprzedaje. Przypuszczam, pan również jest lekarzem?

– Emerytowanym lekarzem wojskowym.

– Moim hobby zawsze były choroby neurologiczne. Pragnąłbym uczynić z nich moją wyłączną specjalizację, ale oczywiście na początku człowiek musi brać to, co dostaje. Nie ma to jednak nic wspólnego ze sprawą, panie Holmes, ja zaś dokładnie wiem, jak cenny jest pański czas. Ostatnio w moim domu przy Brook Street doszło do niezwykle dziwnego ciągu wydarzeń, który dziś w nocy osiągnął taką kulminację, że nie mogłem już wytrzymać ani godziny dłużej i przyjechałem prosić pana o radę i pomoc.

Sherlock Holmes usiadł i zapalił fajkę.

– Z przyjemnością udzielę panu i jednej, i drugiej – rzekł. – Ale proszę teraz opowiedzieć mi ze wszystkimi szczegółami, jakież to okoliczności nie dają panu spokoju.

– Niektóre szczegóły tej sprawy są tak trywialne – rzekł doktor Trevelyan – że doprawdy wstydzę się o nich wspominać, a sama sprawa jest tak niewytłumaczalna, i obrót, który niedawno przybrała, tak skomplikowany, że opowiem panu o wszystkim, tak by sam mógł pan ocenić, co jest w niej istotne, a co nie zasługuje na uwagę. Na początek jestem zmuszony opowiedzieć co nieco o mojej karierze naukowej. Ukończyłem uniwersytet w Londynie i mam nadzieję, iż nie pomyśli pan, że bezpodstawnie chwalę się swoimi osiągnięciami, jeśli powiem, iż moja kariera w czasach studenckich uznawana była przez wykładowców za bardzo obiecującą. Po ukończeniu studiów nadal poświęcałem się badaniom, zajmując poślednie stanowisko w King’s College Hospital. Szczęście mi dopisało. Wzbudziłem w środowisku znaczne zainteresowanie badaniami patologii katalepsji, dzięki czemu przyznano mi nagrodę Pinkertona oraz medal za monografię o urazach neurologicznych, o której przed chwilą wspomniał pański przyjaciel. W tamtym czasie można było odnieść wrażenie, że czeka mnie wybitna kariera.

Jednak na drodze stała wielka przeszkoda: brak środków. Jak pan zapewne wie, specjalista, który wysoko mierzy, musi zaczynać przy jednej z kilkunastu uliczek przy Cavendish Square, a otwarcie tam praktyki zawsze wiąże się z koniecznością płacenia niebotycznego czynszu i dużymi wydatkami na wystrój lokalu. Oprócz tych wstępnych nakładów trzeba być przygotowanym na to, że przez kilka pierwszych lat trzeba będzie utrzymywać się z własnych źródeł i wynająć porządny powóz z koniem. Wszystko to było raczej poza moim zasięgiem, i mogłem jedynie mieć nadzieję, że jeśli będę oszczędny, po dziesięciu latach uda mi się odłożyć odpowiednią sumę, by móc zawiesić w takim miejscu swój własny szyld. Wtedy jednak doszło do pewnego zdarzenia, które otwierało przede mną całkiem nowe perspektywy.

Była nim wizyta pewnego dżentelmena o nazwisku Blessington, wówczas zupełnie obcego dla mnie człowieka. Pewnego ranka zjawił się w moim pokoju i natychmiast przeszedł do interesów.

– Jest pan tym samym Percym Trevelyanem, który miał przed sobą tak wybitną karierę i niedawno wygrał wielką nagrodę? – zapytał.

– Do pańskiej dyspozycji.

– Proszę odpowiadać mi szczerze – ciągnął mój gość – bo leży to jak najbardziej w pańskim interesie. Jest pan tak inteligentnym człowiekiem, że pański sukces jest właściwie gwarantowany. Ale czy jest pan taktowny?

Słysząc to obcesowe pytanie, nie mogłem powstrzymać uśmiechu.

– Sądzę, że posiadam tę cechę – odparłem.

– Jakieś nałogi? Nie ciągnie pana do picia, co?

– Doprawdy, sir! – zawołałem.

– Doskonale! Świetnie się składa. Musiałem pana jednak o to zapytać. Skoro posiada pan tyle zalet, to czemu nie prowadzi pan własnej praktyki?

Wzruszyłem ramionami.

– A więc to tak? – dorzucił w ten swój zaaferowany sposób. – Historia stara jak świat. Więcej pan ma w głowie niż w kieszeni, co? A co by pan powiedział na to, żebym pana urządził przy Brook Street?

Wpatrywałem się w niego w osłupieniu.

– Och, ze względu na mnie, nie na pana! – zawołał. – Będę z panem całkowicie szczery, i jeśli będzie to panu odpowiadać, ja również będę bardzo zadowolony. Widzi pan, mam parę tysięcy do zainwestowania, i pomyślałem, że utopię je w pańskiej praktyce.

– Ale dlaczego? – wysapałem.

– Cóż, inwestycja jak każda inna, tyle tylko że bezpieczniejsza niż większość z nich.

– W takim razie co miałbym zrobić?

– Powiem panu. Wynajmę kamienicę, umebluję ją, opłacę pokojówki i dozorcę. Wszystko, co pan ma robić, to siedzieć w swoim gabinecie, tak żeby się obicie od krzesła przetarło. Będę panu zapewniać kieszonkowe i wszystko inne. Będzie mi pan przekazywał trzy czwarte tego, co pan zarobi, a jedną czwartą zatrzyma pan dla siebie.

I taka była, panie Holmes, ta dziwna propozycja, z którą przyszedł do mnie Blessington. Nie będę pana zamęczać opowiadaniem o tym, jak się targowaliśmy i negocjowaliśmy. W każdym razie wprowadziłem się do tej kamienicy zaraz po święcie Zwiastowania i rozpocząłem praktykę na takich warunkach, jakie mi zaproponował. On również zamieszkał w tym domu w charakterze pacjenta. Wyglądało na to, że ma słabe serce i wymaga stałego nadzoru lekarza. W dwóch najlepszych pokojach na pierwszym piętrze urządził sobie salon i sypialnię. Jest człowiekiem o bardzo dziwnych

nawykach, nie lubi towarzystwa i bardzo rzadko wychodzi z domu. Prowadził nieregularny tryb życia, jednak pod jednym względem był uosobieniem systematyczności. Każdego wieczoru o tej samej godzinie wchodził do mojego gabinetu, sprawdzał księgi, kładł na biurku pięć szylingów i trzy pensy za każdą gwineę jaką zarobiłem, a resztę zabierał do sejfu w swoim pokoju.

Mogę z całą pewnością powiedzieć, że nigdy nie miał powodów, by żałować tej swojej inwestycji. Moja praktyka od samego początku była sukcesem. Dzięki kilku dobrze zdiagnozowanym przypadkom i reputacji, jaką zdobyłem, pracując w szpitalu, błyskawicznie piąłem się w górę i w ciągu kilku lat uczyniłem z niego bogatego człowieka.

I to by było chyba wszystko, panie Holmes, jeśli chodzi o moją historię i relacje z panem Blessingtonem. Teraz pozostaje mi już tylko wyjaśnić, jakie wydarzenie sprowadziło mnie tu dziś w nocy.

Kilka tygodni temu pan Blessington zszedł na dół do mojego gabinetu w stanie wielkiego podekscytowania. Mówił coś o jakimś włamaniu, które popełniono w West Endzie, i jak pamiętam, był przy tym bardzo podniecony. Oświadczył, że natychmiast zamontujemy rygle w naszych drzwiach i oknach. Przez cały tydzień pozostawał w tym dziwnym stanie niepokoju, nieustannie zerkał przez okna na ulicę i przestał nawet wychodzić na swoje krótkie spacery, na które zazwyczaj wybierał się przed kolacją. Sądząc po jego zachowaniu, wydawało mi się, że śmiertelnie się kogoś lub czegoś boi. Jednak kiedy go o to pytałem, stawał się tak nieuprzejmy, że musiałem zaniechać tego tematu. Stopniowo, w miarę upływu czasu, lęk go opuszczał, a on sam powrócił do dawnych nawyków. Wówczas pewne nowe wydarzenie ponownie wpędziło go w ten pożałowania godny stan, w jakim się teraz znajduje.

A oto co się wydarzyło. Dwa dni temu otrzymałem list, który panu przeczytam. Nie było na nim ani daty, ani adresu.

> Pewien rosyjski arystokrata mieszkający obecnie na stałe w Anglii byłby niezmiernie rad, mogąc skorzystać z profesjonalnej pomocy dr. Percy’ego Trevelyana. Od kilku lat cierpi na napady katalepsji, choroby, w której leczeniu doktor Trevelyan, jak powszechnie wiadomo, jest autorytetem. Proponuję spotkanie kwadrans po szóstej jutro wieczorem, o ile doktorowi Trevelyanowi ta pora będzie odpowiadać i o ile doktor zechce czekać na nas w domu.

List ten niezmiernie mnie zainteresował, ponieważ główną trudnością w badaniu katalepsji jest rzadkość występowania tej choroby. Jak pan się zapewne domyśla, o umówionej godzinie czekałem już w moim gabinecie, kiedy portier wprowadził pacjenta.

Był to starszy człowiek, chudy, skromny i niczym nie wyróżniający się. Nijak nie pasował do schematu, jaki powstaje człowiekowi w głowie, gdy słyszy, że ma spotkać rosyjskiego arystokratę. Znacznie bardziej zaintrygował mnie natomiast wygląd jego towarzysza. Był to wysoki, młody mężczyzna, niezwykle przystojny, o ciemnej, pełnej pasji twarzy, obdarzony kończynami i torsem Herkulesa.

Gdy weszli, prowadził swego towarzysza pod ramię i pomógł mu usiąść z taką czułością i opiekuńczością, jakich, sądząc po jego wyglądzie, trudno byłoby się po nim spodziewać.

– Proszę mi wybaczyć, że wszedłem do gabinetu, doktorze – rzekł do mnie; mówiąc po angielsku, odrobinę seplenił. – To mój ojciec, a sprawa jego zdrowia jest dla mnie niezmiernie ważna.

Wzruszyła mnie ta synowska troska.

– Być może zechce pan pozostać z nami na czas badania? – spytałem.

– Za żadne skarby świata! – zawołał z gestem przerażenia. – To dla mnie tak boles-ne, że nie potrafię tego wyrazić. Gdybym miał zobaczyć mojego ojca podczas jednego z tych straszliwych napadów, jestem pewien, że nie zniósłbym takiego widoku. Mam wyjątkowo wrażliwy układ nerwowy. Za pańskim pozwoleniem, doktorze, posiedzę w poczekalni, kiedy pan będzie badał mojego ojca.

Oczywiście zgodziłem się na to, i młody mężczyzna wycofał się z gabinetu. Pogrążyłem się w rozmowie z pacjentem, przez cały czas sporządzając obszerne notatki dotyczące jego przypadku. Nie był zbyt inteligentnym człowiekiem i często udzielał niejasnych odpowiedzi, co przypisywałem jego ograniczonej znajomości naszego języka. Jednak nagle, gdy tak siedziałem, zapisując uwagi, przestał w ogóle odpowiadać na moje pytania, a gdy na niego spojrzałem, przekonałem się ze zdumieniem, że siedzi na swoim krześle wyprostowany niczym struna, wpatrując się we mnie z zupełnie bezmyślną i pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarzą. Znów znalazł się pod wpływem swej tajemniczej choroby.

Moją pierwszą reakcją, jak już wspomniałem, było współczucie i przerażenie. Obawiam się jednak, że drugą było poczucie zawodowej

satysfakcji. Odnotowałem puls i temperaturę pacjenta, sprawdziłem sztywność jego mięśni i zbadałem odruchy. W żadnym z tych stanów nie wykryłem anomalii, co zgadzało się z moimi poprzednimi doświadczeniami. Wcześniej stosowanie inhalacji z azotynu amylu dawało w takich przypadkach dobre rezultaty, i wydawało mi się, że obecna sytuacja jest doskonałą sposobnością do sprawdzenia tej metody. Fiolka była jednak na dole, w laboratorium, zostawiłem więc pacjenta siedzącego na krześle i pobiegłem po nią. Odnalezienie fiolki zajęło mi jakieś pięć minut, po czym wróciłem na górę. Proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy odkryłem, że gabinet jest pusty, a pacjenta nigdzie nie ma.

Oczywiście, w pierwszym odruchu pobiegłem do poczekalni. Jego syn również zniknął. Drzwi od holu były zamknięte, ale nie na klucz. Mój odźwierny, który wprowadza pacjentów, to nowy, niezbyt bystry chłopak. Czeka zwykle na dole i wbiega na górę, żeby wprowadzić pacjenta, kiedy daję mu znak dzwonkiem z gabinetu. Niczego nie słyszał, i zniknięcie pacjenta pozostało całkowitą tajemnicą. Wkrótce potem pan Blessington powrócił ze swojego krótkiego spaceru. Nie wspomniałem mu o całym tym zdarzeniu, bo prawdę mówiąc, w ostatnim czasie starałem się rozmawiać z nim tak rzadko, jak to tylko było możliwe.

Nie spodziewałem się już nigdy ujrzeć tego Rosjanina i jego syna, proszę więc sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy dziś wieczorem, dokładnie o tej samej porze, obaj ponownie wmaszerowali do mojego gabinetu.

– Obawiam się, że jestem panu winien ogromne przeprosiny za moje wczorajsze nagłe zniknięcie, doktorze – rzekł mój pacjent.

– Przyznaję, że byłem tym bardzo zaskoczony – odparłem.

– Cóż, prawda jest taka – wyjaśnił – że gdy dochodzę do siebie po tych atakach, mój umysł nie pracuje zbyt jasno. Nie bardzo pamiętam, co się działo wcześniej. Ocknąłem się w jakimś, jak mi się wydawało, obcym pokoju i w stanie takiego zamroczenia, że pod pańską nieobecność po prostu wyszedłem na ulicę.

– A ja – wtrącił syn – widząc, że mój ojciec wychodzi z gabinetu, pomyślałem, że konsultacja dobiegła końca. Z tego, co się naprawdę stało, zacząłem sobie zdawać sprawę dopiero wówczas, gdy dotarliśmy do domu.

– Cóż – odparłem ze śmiechem – nic takiego się nie stało, a pański przypadek bardzo mnie zaintrygował. Tak więc, sir, jeśli z łaski swojej

zechce pan przejść do gabinetu, z przyjemnością dokończę badanie, które tak niespodziewanie wczoraj przerwaliśmy.

Przez jakieś pół godziny omawiałem z tym starszym dżentelmenem objawy jego choroby, a następnie, przepisawszy mu lekarstwa, odprowadziłem do drzwi i widziałem, jak wychodzi podtrzymywany pod ramię przez swojego syna.

Jak już panu wspominałem, pan Blessington z reguły o tej porze dnia zażywał nieco ruchu. Wkrótce potem wrócił i poszedł na górę. Chwilę później usłyszałem, jak zbiega po schodach. Wpadł do mojego gabinetu niczym człowiek, któremu panika odjęła rozum.

– Kto był w moim pokoju?! – zawołał.

– Nikt – odparłem.

– To kłamstwo! – wrzasnął. – Niech pan wejdzie na górę i sam spojrzy!

Zignorowałem grubiański ton, jakim się do mnie zwracał, bo odniosłem wrażenie, że ze strachu stracił rozum. Gdy wszedłem z nim na górę, wskazał ręką na kilka odcis-ków butów na jasnym dywanie.

– Chce pan powiedzieć, że to moje?! – zawołał.

Ślady były z całą pewnością o wiele większe, niż on sam mógłby pozostawić, i dość świeże. Jak pan wie, tego popołudnia bardzo padało, a jedynymi ludźmi, którzy mnie odwiedzili, byli moi pacjenci. Tak więc mężczyzna, który został w poczekalni, z jakichś nieznanych mi powodów wszedł na górę do pokoju mojego pacjenta, podczas gdy ja zajmowałem się tym drugim. Nikt niczego nie dotykał, nic nie zniknęło, pozostały jednak te ślady butów, będące dowodem, że samo wtargnięcie było niezbitym faktem.

Pan Blessington był bardziej podekscytowany tą sprawą, niż wydawało mi się to uzasadnione. Choć przyznaję, takie wydarzenie mogło każdemu zakłócić spokój ducha. Dosłownie siedział w fotelu i płakał, a ja nie mogłem wydobyć z niego nic sensownego. To on zasugerował, bym zwrócił się do pana, a ja od razu uznałem to za słuszną propozycję, bo z całą pewnością incydent ten był bardzo dziwny, choć odnoszę wrażenie, że mój pacjent zbyt przesadnie na niego zareagował. Jeśli tylko zechce pan pojechać ze mną moim powozem, będzie pan przynajmniej mógł go trochę uspokoić, choć nie mam zbytnio nadziei, że będzie pan w stanie wyjaśnić to przedziwne zdarzenie.

Sherlock Holmes słuchał tej długiej opowieści w ogromnym skupieniu, świadczącym o tym, że sprawa ta niezwykle go zainteresowała. Choć jego twarz pozostała jak zawsze beznamiętna, powieki mocniej zaczęły opadać mu na oczy, a kłęby dymu z fajki stawały się coraz bardziej gęste za każdym razem, gdy doktor dochodził podczas swojej opowieści do jakiegoś ciekawego epizodu. Gdy nasz gość skończył mówić, Holmes bez słowa podniósł się z fotela, podał mi mój kapelusz, wziął swój ze stołu i ruszył za doktorem Trevelyanem w kierunku wyjścia. Po kwadransie wysiedliśmy pod drzwiami rezydencji lekarza przy Brook Street, jednego z tych ponurych, pozbawionych wyrazu domów, które jakoś zawsze kojarzą się z praktyką lekarską w West Endzie. Wpuścił nas odźwierny niewysokiego wzrostu, i bez zwłoki ruszyliśmy na górę po szerokich, wyłożonych dywanem schodach. Zatrzymało nas jednak w miejscu dziwne zdarzenie. Światło u szczytu schodów nagle zgasło, i z ciemności dobiegł nas piskliwy, drżący głos.

– Mam pistolet! – krzyczał. – Słowo daję, jeśli się do mnie zbliżycie, wystrzelę!

– To już się robi naprawdę skandaliczne, panie Blessington! – zawołał doktor Trevelyan.

– Och, a więc to pan, doktorze – powiedział głos z ogromną ulgą. – Ale ci dwaj dżentelmeni, czy oni rzeczywiście przyszli z panem?

Czuliśmy, że z ciemności ktoś nam się długo i dokładnie przygląda.

– Tak, tak. W porządku – odezwał się wreszcie głos. – Możecie wejść na górę. Jeśli moje środki ostrożności was poirytowały, to bardzo przepraszam.

Mówiąc to, ponownie zapalił lampę gazową na schodach i ujrzeliśmy przed sobą dziwacznego człowieka, którego wygląd, podobnie zresztą jak głos, świadczył o jego zszarpanych nerwach. Był bardzo otyły, ale najwyraźniej jakiś czas temu musiał być jeszcze tęższy, bo skóra na twarzy zwisała niczym luźne kieszenie, upodabniając go do posokowca. Jego cera miała chorobliwy kolor, a rzadkie spłowiałe włosy wydawały się jeżyć pod wpływem silnych emocji. W dłoni trzymał pistolet, który po chwili schował do kieszeni.

– Dobry wieczór, panie Holmes – powiedział. – Jestem panu bardzo zobowiązany za to, że pan pofatygował się i przyszedł. Nikt nigdy nie potrzebował bardziej pańskiej rady i pomocy niż ja. Przypuszczam, że

doktor Trevelyan opowiedział już panu o tym niczym nieusprawiedliwionym wtargnięciu do moich pokoi?

– Zgadza się – rzekł Holmes. – Kim są ci dwaj mężczyźni, panie Blessington, i dlaczego pana nachodzą?

– No cóż – rzekł nerwowo Blessington. – Oczywiście trudno mi to powiedzieć. Nie może pan oczekiwać, że to ja odpowiem na to pytanie, panie Holmes.

– Chce pan przez to powiedzieć, że pan nie wie?

– Proszę wejść do środka. Niech pan z łaski swojej zajrzy tutaj.

Poprowadził nas do swojej sypialni, która okazała się być dużym, wygodnie urządzonym pomieszczeniem.

– Widzi pan to? – powiedział, wskazując na duże czarne pudło stojące w nogach łóżka. – Nigdy nie byłem wielkim bogaczem, panie Holmes. Dokonałem w życiu tylko jednej inwestycji, o której panu zapewne opowiedział doktor Trevelyan. Ale nie wierzę w bankierów. Nigdy nie zaufałbym bankierowi, panie Holmes! Między nami, nie mam w tej skrzyni za wiele. Rozumie pan więc, co to dla mnie oznacza, gdy jacyś nieznani ludzie wdzierają się do mojego pokoju.

Holmes spojrzał przenikliwie na Blessingtona i potrząsnął głową.

– Nie mogę panu udzielić żadnej rady, skoro próbuje mnie pan oszukać – powiedział.

– Ale przecież wszystko panu powiedziałem.

Holmes odwrócił się na pięcie, zdegustowany.

– Dobranoc, doktorze Trevelyan – powiedział.

– I nic mi pan nie doradzi? – zawołał Blessington łamiącym się głosem.

– Radzę panu powiedzieć prawdę.

Chwilę później zmierzaliśmy już do domu. Przeszliśmy przez Oxford Street i minęliśmy już połowę Harley Street, nim udało mi się cokolwiek wydobyć od mojego towarzysza.

– Przykro mi, że zabrałem cię na taką nieprzemyślaną wyprawę, Watsonie – odezwał się wreszcie. – Tyle że w gruncie rzeczy to ciekawa sprawa.

– Niewiele z niej rozumiem – przyznałem.

– Oczywistym jest, że co najmniej dwóch mężczyzn (być może jest ich więcej) z jakiegoś powodu bardzo chce dopaść tego Blessingtona. Nie mam absolutnie żadnych wątpliwości, że i za pierwszym, i za drugim razem ten

młody mężczyzna dostał się do pokoju Blessingtona, podczas gdy jego wspólnik koncentrował uwagę doktora za pomocą pomysłowego podstępu.

– A katalepsja?

– Ten oszust udawał, Watsonie. Nie ośmieliłbym się jednak napomknąć o tym naszemu specjaliście. To choroba, którą bardzo łatwo udawać. Sam to robiłem.

– A potem?

– To był czysty przypadek, że za każdym razem Blessingtona nie było akurat w domu. Naturalnie, wybrali tak dziwną porę na konsultację, aby mieć pewność, że w poczekalni nie będzie żadnych innych pacjentów. Tak się jednak złożyło, że pora ta pokrywała się również z terminem spaceru Blessingtona, co wydaje się wskazywać na to, że nie znali zbyt dobrze jego codziennych zwyczajów. Oczywiście, gdyby chodziło im po prostu o rabunek, wówczas spróbowaliby dostać się do jego sejfu. Poza tym potrafię wyczytać z oczu, kiedy ktoś boi się o własną skórę. To zupełnie nie do pomyślenia, żeby ten człowiek mógł zyskać dwóch mściwych wrogów, pragnących dopaść go tak jak ci dwaj, i nic o tym nie wiedzieć. Uważam więc za pewnik, że doskonale zdaje sobie sprawę, kim są ci ludzie, i że ma jakieś własne powody, aby to zataić. Bardzo możliwe, że jutro będzie bardziej skory do rozmowy.

– Czy nie ma innej alternatywy? – spytałem. – Przyznaję, to wręcz groteskowe i nieprawdopodobne, nie ma co do tego wątpliwości, ale przecież chyba możliwe? A może cała ta historia z chorym na katalepsję Rosjaninem i jego synem była tylko wymysłem doktora Trevelyana, który z jakichś własnych powodów poszedł do pokoju Blessingtona?

W świetle latarni gazowej ujrzałem, że Holmes uśmiecha się z rozbawieniem, słuchając moich błyskotliwych refleksji.

– Mój drogi przyjacielu – powiedział – to była jedna z pierwszych konkluzji, jakie nasunęły się, nim udało mi się potwierdzić opowieść lekarza. Ten młody mężczyzna, o którym mówił doktor, zostawił również ślady butów na dywanie na schodach, nie musiałem więc prosić, by pokazano mi ślady, które zostawił w pokoju. Jeśli ci powiem, że jego buty miały kwadratowe czubki, a nie spiczaste jak buty Blessingtona, i że były o jakiś cal i jedną trzecią dłuższe od butów doktora, pewnie przyznasz mi rację, że nie może być żadnych wątpliwości co do tożsamości tego człowieka. Teraz jednak możemy spokojnie przespać się z tym problemem;

będę bardzo zaskoczony, jeśli jutro rano nie dotrą do nas kolejne wieści z Brook Street.

Przepowiednia Sherlocka Holmesa szybko się spełniła, i to w dość dramatyczny sposób.

Następnego ranka o wpół do ósmej w pierwszych promieniach słonecznego światła spostrzegłem, że Holmes stoi przy moim łóżku ubrany w szlafrok.

– Czeka na nas powóz, Watsonie – powiedział.

– A o co chodzi?

– O tę sprawę z Brook Street.

– Jakieś świeże wieści?

– Dramatyczne, lecz dość dwuznaczne – odparł mój przyjaciel, odsłaniając okno. – Spójrz na to. To kartka z notesu, na której w pośpiechu nabazgrano ołówkiem: „Na miłość boską, proszę natychmiast przyjść. P.T.”. Nasz przyjaciel doktor musiał być przyciś-nięty do muru, kiedy to pisał. Chodź już, przyjacielu, bo to pilne wezwanie.

W ciągu kwadransa znów byliśmy w domu lekarza. Wybiegł nam na spotkanie z twarzą, na której malowało się przerażenie.

– Och, co za sprawa! – zawołał, przyciskając ręce do skroni.

– Co się stało?

– Blessington popełnił samobójstwo!

Holmes gwizdnął.

– Tak, powiesił się w nocy!

Weszliśmy do środka, a doktor poprowadził nas do pomieszczenia, które najwyraźniej było jego poczekalnią.

– Zupełnie nie wiem, co robić! – zawołał. – Policja jest już na górze. Potwornie mną to wstrząsnęło.

– Kiedy pan to odkrył?

– Codziennie wcześnie rano kazał sobie przynosić do pokoju filiżankę herbaty. Gdy pokojówka weszła tam około siódmej, ten biedak wisiał na środku pokoju. Przywiązał sznur do haka, na którym zawsze wisiała ciężka lampa, i zeskoczył z tej samej skrzyni, którą wczoraj nam pokazywał.

Holmes stał przez chwilę, pogrążony głęboko w myślach.

– Za pańskim pozwoleniem – powiedział wreszcie – chciałbym pójść na górę i dokładnie to zbadać.

Obaj weszliśmy po schodach, a doktor podążył za nami.

Gdy przeszliśmy przez drzwi sypialni, naszym oczom ukazał się straszliwy widok. Wspominałem już o tym, że Blessington był człowiekiem otyłym o zwiotczałym ciele. Gdy zwisał tak z haka, nie można było oprzeć się wrażeniu, że zatracał właściwie ludzki wygląd. Wyciągnięta jak u oskubanego kurczaka szyja sprawiała, że reszta ciała wyglądała jeszcze bardziej grubo i nienaturalnie. Miał na sobie jedynie długą nocną koszulę, spod której wystawały jego nabrzmiałe kostki i niezgrabne stopy. Obok niego stał inspektor policji sprawiający wrażenie bystrego i zapisywał coś w swoim notesie.

– Ach, pan Holmes! – powiedział radośnie, gdy mój przyjaciel wszedł do pokoju. – Bardzo się cieszę, że pana widzę.

– Dzień dobry, Lanner – odparł Holmes. – Na pewno nie uzna mnie pan za intruza. Słyszał pan o wydarzeniach, które doprowadziły do takiego finału?

– Tak, słyszałem co nieco.

– Wyrobił sobie już pan jakąś opinię?

– Według mnie, przerażenie odjęło temu człowiekowi rozum. Jak widać, spał w swoim łóżku. Pozostawił wystarczająco głębokie ślady. Jak pan zapewne wie, samobójstwa są najczęściej popełniane około piątej rano. No i o takiej właśnie porze musiał się powiesić. Wygląda na to, że dobrze pomyślał, jak to zrobić.

– Powiedziałbym, że nie żyje od jakichś trzech godzin, sądząc po sztywności jego mięśni – wtrąciłem.

– Zauważył pan w pokoju coś szczególnego? – spytał Holmes.

– Znalazłem śrubokręt i parę śrub na umywalce. Wygląda też na to, że dużo palił tej nocy. Tu mam cztery niedopałki cygar, które wyjąłem z kominka.

– Hmm – powiedział Holmes. – Znalazł pan jego cygarniczkę?

– Nie, żadnej nie było.

– A pudełko na cygara?

– Tak, było w kieszeni jego płaszcza.

Holmes otworzył je i powąchał jedyne cygaro, jakie było w środku.

– Och, to hawańskie cygaro. Natomiast te pozostałe należą do szczególnego gatunku importowanego przez Holendrów z kolonii w Indiach Wschodnich. Takie cygara zazwyczaj zawijane w słomę

są znacznie cieńsze w stosunku do swojej długości niż jakakolwiek inna marka.

Przysunął bliżej oczu cztery niedopałki i przyjrzał im się uważnie przez swoją kieszonkową lupę.

– Dwa z nich palono w cygarniczce, a dwa bez cygarniczki – powiedział. – Dwa zostały przycięte niezbyt ostrym nożem, a pozostałe dwa mają odgryzione końcówki, musiał to zrobić człowiek, który miał bardzo zdrowe zęby. To nie było samobójstwo, panie Lanner, a bardzo dokładnie zaplanowane morderstwo z zimną krwią.

– Niemożliwe! – zawołał inspektor.

– Niby dlaczego?

– Czemu ktoś miałby zamordować człowieka w tak niewygodny sposób, wieszając go?

– Tego właśnie musimy się dowiedzieć.

– Jak sprawcy mogli dostać się do środka?

– Przez frontowe drzwi.

– Rano były zaryglowane.

– W takim razie zaryglowano je po ich wyjściu.

– Skąd pan to wie?

– Widziałem ich ślady. Proszę mi wybaczyć, a być może za chwilę będę w stanie powiedzieć o tym coś więcej.

Podszedł do drzwi i, przekręcając zamek, starannie i metodycznie go obejrzał. Następnie wyjął klucz, który znajdował się od wewnętrznej strony drzwi, i również dokładnie go zbadał. Później po kolei przyglądał się uważnie łóżku, dywanowi, krzesłom, półce nad kominkiem, zwłokom i sznurowi, aż wreszcie usatysfakcjonowany skończył oględziny. Wówczas z pomocą moją i inspektora odciął sznur, na którym wisiały zwłoki, po czym z szacunkiem przykryliśmy je prześcieradłem.

– A co z tą liną? – zapytał Holmes.

– Odcięto kawałek od tej – rzekł doktor Trevelyan, wyciągając spod łóżka duży zwój. – Chorobliwie bał się pożaru i zawsze trzymał ten sznur pod ręką, żeby móc uciec przez okno na wypadek, gdyby paliły się schody.

– To musiało im zaoszczędzić kłopotów – rzekł z namysłem Holmes. – Tak, fakty w rzeczywistości są bardzo proste, i będę zaskoczony, jeśli do dzisiejszego popołudnia nie będę w stanie ich panom wyjaśnić. Wezmę

ze sobą to zdjęcie Blessingtona stojące nad kominkiem. Może mi pomóc w dochodzeniu.

– Ale nic nam pan nie powiedział! – zawołał doktor.

– Och, nie ma żadnych wątpliwości co do przebiegu i kolejności zdarzeń – rzekł Holmes. – Było ich trzech, ten młody mężczyzna, starszy mężczyzna i ktoś trzeci, co do którego tożsamości nie mam żadnych wskazówek. Nie muszę chyba dodawać, że tych pierwszych dwóch, to ci sami, którzy udawali rosyjskiego arystokratę i jego syna, możemy więc ich bardzo dokładnie opisać. Do domu wpuścił ich jakiś wspólnik. Jeśli mogę panu coś doradzić, inspektorze, to proponowałbym aresztować odźwiernego, który, jak rozumiem, pracuje dla pana dopiero od niedawna, doktorze.

– Ten młody urwis gdzieś zniknął – rzekł doktor Trevelyan. – Pokojówka i kucharz już go szukali.

Holmes wzruszył ramionami.

– Odegrał niepoślednią rolę w całym tym dramacie – powiedział. – Ci trzej mężczyźni weszli na górę po schodach, poruszając się na palcach. Starszy szedł przodem, młodszy jako drugi, a ten, o którym nic nie wiemy, na końcu.

– Mój drogi Holmesie! – wykrzyknąłem.

– Och, nie ma wątpliwości co do tego, uwzględniając, w jaki sposób nakładają się na siebie ślady. Mam tę przewagę, że wczoraj wieczorem dowiedziałem się, które do kogo należą. Następnie przeszli do pokoju pana Blessingtona i przekonali się, że drzwi są zamknięte na klucz. Udało im się go jednak przekręcić za pomocą kawałka drutu. Nawet bez lupy zauważycie panowie po zadrapaniach na zamku, w jaki sposób starano się je otworzyć.

Po wejściu do pokoju ich pierwszym posunięciem musiało być zakneblowanie pana Blessingtona. Być może był pogrążony we śnie lub tak sparaliżował go strach, że nie był nawet w stanie krzyknąć. Ściany są tutaj grube, istnieje więc możliwość, że jego krzyk nie został usłyszany, o ile rzeczywiście zdążył zawołać o pomoc.

Po tym, gdy już go zakneblowali, najwyraźniej odbyli jakąś naradę. Prawdopodobnie było to coś w stylu procesu sądowego. Musiało to trwać przez jakiś czas, bo to właś-nie wówczas palili cygara. Starszy mężczyzna siedział na tym wiklinowym krześle, to właśnie on palił w cygarniczce. Młodszy mężczyzna siedział tam. Strącił popiół ze swojego cygara

na komodę. Trzeci człowiek chodził w tę i z powrotem po pokoju. Blessington, jak sądzę, siedział na łóżku, nie mam jednak co do tego absolutnej pewności.

Cóż, stanęło na tym, że go w końcu powiesili. Według mnie, tak sobie wszystko z góry zaplanowali, że przynieśli ze sobą jakiś bloczek, który miał im posłużyć jako szubienica. Tak jak ja to widzę, śrubokręt i śruby miały służyć do tego, by go przymocować. Jednak gdy zobaczyli hak, oszczędzili sobie kłopotu. Gdy skończyli swoją robotę, wyszli, a ich wspólnik zaryglował za nimi drzwi.

Wszyscy z ogromnym zainteresowaniem słuchaliśmy tego opisu wydarzeń minionej nocy, które Holmes wydedukował ze znaków tak subtelnych i drobnych, że nawet, gdy je nam pokazywał, ledwie byliśmy w stanie nadążać za tokiem jego rozumowania. Zaraz potem inspektor pospiesznie wyszedł, aby podjąć działania w sprawie odnalezienia odźwiernego, natomiast Holmes i ja powróciliśmy na Baker Street na śniadanie.

– Wrócę przed trzecią – powiedział, gdy skończyliśmy posiłek. – O tej godzinie mam się tutaj spotkać z inspektorem i doktorem, i ufam, że do tego czasu wyjaśnię już wszelkie drobne niejasności, jakie nadal mogą wiązać się z tą sprawą.

Nasi goście stawili się o umówionej godzinie, jednak mój przyjaciel wrócił dopiero za piętnaście czwarta. Gdy tylko wszedł do pokoju, od razu odgadłem z wyrazu jego twarzy, że wszystko mu się powiodło.

– Jakie wieści, inspektorze?

– Złapaliśmy tego chłopaka, sir.

– Doskonale, a ja mam naszych ludzi.

– Co takiego?! – zawołaliśmy wszyscy trzej.

– No cóż, przynajmniej znam już ich tożsamość. Ten tak zwany Blessington jest, tak jak przypuszczałem, dobrze znanym policji osobnikiem, podobnie zresztą jak napastnicy, którzy go zaatakowali. Nazywają się Biddle, Hayward i Moffat.

– Gangsterzy z Worthingdon, napadający na banki! – zawołał inspektor.

– Dokładnie – rzekł Holmes.

– A więc ten Blessington musiał być Suttonem!

– W istocie – potwierdził Holmes.

– Cóż, teraz wszystko jest jasne jak słońce – stwierdził inspektor.

Jednak Trevelyan i ja patrzyliśmy na siebie w osłupieniu.

– Na pewno pamiętacie ten słynny napad na bank w Worthingdon – wyjaśnił Holmes. – Brało w nim udział pięciu ludzi. Tych czterech i piąty, o nazwisku Cartwright. Zabili wartownika Tobina i uciekli z siedmioma tysiącami funtów. To było w 1875 roku. Wszystkich pięciu aresztowano, ale dowody przeciwko nim bynajmniej nie były zbyt mocne. Ten Blessington, czy też Sutton, najgorszy z całego gangu, poszedł na współpracę z policją. To dzięki dostarczonym przez niego dowodom powieszono Cartwrighta, a pozostała trójka dostała po piętnaście lat każdy. Niedawno wyszli z więzienia na kilka lat przez upływem pełnego wyroku, i jak widać postanowili dopaść człowieka, który ich zdradził, i pomścić śmierć swojego towarzysza. Dwa razy próbowali go dostać, ale się nie udało. Za trzecim razem jednak, jak widzicie, wszystko poszło zgodnie z planem. Czy jest jeszcze coś, co mogę panu wyjaśnić, doktorze Trevelyan?

– Sądzę, że teraz wszystko jest całkowicie jasne – rzekł doktor. – Bez wątpienia w tym dniu, kiedy był tak zaniepokojony, musiał przeczytać w gazecie informację o ich zwolnieniu.

– Z całą pewnością. Te jego sugestie dotyczące włamania były tylko wymysłem.

– Ale dlaczego nie mógł panu o tym powiedzieć?

– Cóż, mój drogi panie, znając mściwość swoich dawnych wspólników, próbował ukrywać swoją tożsamość przed każdym, dopóki tylko istniała taka możliwość. Miał wstydliwy sekret i nie mógł się zmusić do tego, aby go wyjawić. Jednak, choć był skończonym łajdakiem, chroniło go brytyjskie prawo, i nie wątpię, inspektorze, iż dopilnuje pan, by, mimo że tarcza tego prawa go nie ochroniła, znalazł się miecz sprawiedliwości, który go pomści.

Takie były dziwne okoliczności związane z pacjentem i jego lekarzem z Brook Street. Od tamtej nocy słuch po trzech mordercach zaginął, i Scotland Yard przypuszczał, że znaleźli się oni wśród pasażerów pechowego parowca „Norah Creina”, który kilka lat temu zatonął wraz ze wszystkimi pasażerami blisko portugalskiego wybrzeża, kilka lig na północ od Porto. Postępowanie przeciw odźwiernemu umorzono z braku dowodów, a tajemnica Brook Street, jak ją później nazwano, nigdy, aż do dzisiaj, nie została w pełni opisana w żadnej publikacji.

Rozdział dziewiąty

Grecki tłumacz

Podczas mojej długiej i zażyłej znajomości z Sherlockiem Holmesem nigdy nie słyszałem, by wspominał on o swych krewnych. Bardzo rzadko mówił też o swojej młodości. Ta powściągliwość nasilała dodatkowo dość dziwne wrażenie, jakie na mnie wywierał, aż pewnego dnia odkryłem, że zacząłem go postrzegać jak jakieś odosobnione zjawisko, mózg bez serca, obdarzony wybitną inteligencją, natomiast niemal pozbawiony ludzkich uczuć. Niechęć do kobiet i brak skłonności do nawiązywania nowych przyjaźni należały do typowych cech jego charakteru, podobnie zresztą jak to całkowite milczenie na temat własnej rodziny. Zacząłem wierzyć, że był sierotą i nie posiadał żadnych żyjących krewnych, lecz pewnego dnia, ku memu ogromnemu zdumieniu, zaczął mi opowiadać o swoim bracie.

Był letni wieczór. Gdy skończyliśmy już pić herbatę, rozmowa, błądząca dość luźno i przypadkowo po różnych tematach, od klubów golfowych aż po przyczyny zmian kąta nachylenia ekliptyki, zeszła wreszcie na kwestie atawizmu oraz dziedzicznych uzdolnień. Przedmiotem naszej dyskusji było to, w jakim stopniu człowiek dziedziczy dane uzdolnienie, a w jakim zyskuje go dzięki treningom w czasach młodości.

– W twoim przypadku – powiedziałem – sądząc po tym, co mi mówiłeś, wydaje mi się, że twoje umiejętności obserwacji i szczególnie biegła dedukcja wynikają z własnego systematycznego treningu.

– W pewnym stopniu tak – odparł z namysłem. – Moi przodkowie byli wiejskimi właścicielami ziemskimi, którzy prawdopodobnie wiedli takie samo życie, jakie jest naturalne dla ludzi ich pokroju. Niemniej zdolności, o jakich mówisz, mam we krwi i mogłem je odziedziczyć po mojej babce, która była siostrą francuskiego artysty Verneta. Jednak takie dziedziczne uzdolnienia artystyczne przybierają czasami najdziwniejsze formy.

– Ale skąd możesz wiedzieć, że to cecha dziedziczna?

– Bo mój brat Mycroft posiadł ją w jeszcze większym stopniu niż ja.

To była dla mnie doprawdy nowość. Skoro był inny człowiek w Anglii obdarzony tak zadziwiającymi zdolnościami, to jak to się stało, że ani policja, ani opinia publiczna nigdy o nim nie słyszały? Zadałem to pytanie, równocześnie sugerując mojemu przyjacielowi, że to przez skromność uważa brata za lepszego od siebie. Słysząc tę uwagę, Holmes się roześmiał.

– Mój drogi Watsonie – powiedział. – Jak wiesz, nie należę do ludzi, którzy zaliczają skromność do cnót. Z punktu widzenia logiki wszystkie rzeczy powinny być postrzegane dokładnie takimi, jakimi są, a umniejszanie własnych zdolności jest w takim samym stopniu odbieganiem od prawdy, co ich przesadne wyolbrzymianie. Tak więc gdy mówię, że Mycroft jest obdarzony lepszym zmysłem obserwacji niż ja, możesz spokojnie założyć, że to precyzyjne i dosłowne stwierdzenie.

– Jest od ciebie młodszy?

– Siedem lat starszy.

– I jak to możliwe, że nikt go nie zna?

– Och, jest bardzo dobrze znany w swoich kręgach.

– To znaczy?

– Na przykład w klubie „Diogenes”.

Nigdy nie słyszałem o tej instytucji, i chyba moja twarz musiała to dobitnie wyrażać, bo Sherlock Holmes wyciągnął zegarek.

– Klub „Diogenes” jest najdziwniejszym klubem w Londynie, a Mycroft jednym z najdziwniejszych ludzi. Zawsze tam siedzi, od za kwadrans piąta do za dwadzieścia ósma. Teraz mamy szóstą, a więc jeśli masz ochotę na przechadzkę w ten piękny wieczór, z przyjemnością zapoznam cię zarówno z osobliwym człowiekiem, jak i tym osobliwym miejscem.

Pięć minut później byliśmy już na ulicy, zmierzając w kierunku Regent’s Circus.

– Zastanawiasz się zapewne – rzekł mój towarzysz – dlaczego Mycroft nie wykorzystuje swoich zdolności do pracy detektywistycznej. On nie jest do tego zdolny.

– Ale mówiłeś przecież…

– Mówiłem, że jest ode mnie lepszy, jeśli chodzi o zdolność obserwacji i dedukcji. Gdyby praca detektywa zaczynała się i kończyła na snuciu rozważań w fotelu, mój brat byłby największym detektywem, jaki

kiedykolwiek chodził po świecie. Brak mu jednak do tego ambicji i energii. Nie zechce sobie nawet zadać trudu, żeby zweryfikować wymyślone przez siebie rozwiązanie, i woli, by uznano, iż jest w błędzie, niż pofatygować się i udowodnić, że ma rację. Już wielokrotnie zwracałem się do niego z różnymi sprawami i udzielał mi wyjaśnień, które później okazywały się słuszne. Mimo to był kompletnie niezdolny do rozpracowania praktycznych kwestii, którymi trzeba się zająć, nim można przedstawić sprawę sędziemu lub ławie przysięgłych.

– A więc to nie tym się zajmuje?

– Absolutnie nie. To, co dla mnie jest sposobem na życie, dla niego stanowi najzwyk-lejsze hobby. Ma świetną głowę do liczb i prowadzi audyty ksiąg w którymś z departamentów rządowych. Mycroft mieszka przy Pall Mall, tak więc Whitehall ma za rogiem – rano tam, wieczorem z powrotem, zawsze tą samą drogą. Tak mijają kolejne lata, nie uprawia żadnego sportu i nigdzie indziej nie chodzi. Jedyny wyjątek stanowi klub „Diogenes”, który mieści się naprzeciwko jego mieszkania.

– Nie kojarzę tej nazwy.

– To bardzo prawdopodobne. Widzisz, w Londynie jest wielu ludzi, którzy czy to za sprawą nieśmiałości, czy też jakiejś niechęci do innych, nie mają ochoty na towarzystwo. Z drugiej strony nie mają nic przeciwko wygodnym fotelom i najświeższym czasopismom. To dla ich wygody założono klub „Diogenes”, gdzie przychodzą najmniej towarzyscy i najmniej chętni do zrzeszania się ludzie w mieście. Żadnemu z jego członków nie wolno choćby w najmniejszym stopniu zwracać uwagi na pozostałych. Z wyjątkiem Sali obcych, zakazane są jakiekolwiek rozmowy, a trzy popełnione przewinienia, jeśli zostaną przedstawione komisji, upoważniają do wydalenia winnego z klubu. Mój brat był jednym z jego założycieli, a ja sam przekonałem się, że panuje tam wyjątkowo kojąca atmosfera.

Tak rozmawiając, dotarliśmy do Pall Mall, w którą skręciliśmy od strony stacji St. James. Sherlock Holmes zatrzymał się przy drzwiach w pobliżu Carlton i, ostrzegając mnie, bym nic nie mówił, wprowadził mnie do holu. Za przeszkloną ścianą ujrzałem przestronną, luksusowo urządzoną salę, w której siedziało wielu mężczyzn czytających gazety, każdy w swoim własnym kąciku. Holmes wprowadził mnie do niewielkiego pomieszczenia

z oknami wychodzącymi na Pall Mall, a następnie zostawił mnie na chwilę i zaraz wrócił w towarzystwie człowieka, który miał być jego bratem.

Mycroft Holmes był potężniejszy i znacznie tęższy niż Sherlock. Choć jego ciało było zdecydowanie korpulentne, twarz, mimo iż masywna, zachowała ostry wyraz, który był tak charakterystyczny dla jego brata. Miał naprawdę niezwykłe oczy, jasne i wodniście szare, które wydawały się przez cały czas zachowywać to odległe, introspektywne spojrzenie, jakie obserwowałem u Sherlocka, gdy w pełni wykorzystywał swoje zdolności.

– Miło mi pana poznać, sir – rzekł, wyciągając do mnie szeroką, tłustą dłoń, przypominającą foczą płetwę. – Odkąd został pan biografem Sherlocka, wszędzie o nim słyszę. A tak nawiasem mówiąc, Sherlocku, spodziewałem się spotkać z tobą w ubiegłym tygodniu. Miałeś się ze mną skontaktować w związku ze sprawą Manor House. Odniosłem wrażenie, że brakuje ci nieco głębi spojrzenia.

– Nie, nie. Już ją rozwiązałem – rzekł z uśmiechem mój przyjaciel.

– Oczywiście to był Adams.

– Zgadza się, Adams.

– Od początku byłem tego pewien. – Obaj usiedli w wykuszowym oknie klubu. – To idealne miejsce dla każdego, kto pragnie postudiować sobie ludzkość – rzekł Mycroft. – Spójrz, co za wspaniałe typy! Popatrz na przykład na tych dwóch mężczyzn, którzy teraz zmierzają w naszą stronę.

– Markiera od bilarda i tego drugiego?

– Właśnie. Co sądzisz o tym drugim?

Dwóch mężczyzn zatrzymało się naprzeciwko okna. Drobne ślady kredy nad kieszenią kamizelki były jedynymi dostrzeżonymi przeze mnie oznakami, które jednego z nich mogły łączyć z bilardem. Drugi był bardzo niskim mężczyzną o ciemnej karnacji z kapeluszem odchylonym do tyłu i kilkoma paczkami pod pachą.

– Były żołnierz, jak widzę – rzekł Sherlock.

– I to bardzo niedawno zwolniony ze służby – zauważył jego brat.

– Musiał służyć w Indiach.

– I był podoficerem.

– Królewska artyleria, jak sądzę – dodał Sherlock.

– I jest wdowcem.

– Ale ma dziecko.

– Dzieci, mój drogi. Dzieci.

– Dajcie spokój – powiedziałem ze śmiechem. – Tego już trochę za wiele!

– Doprawdy? – odparł Holmes. – Nietrudno zauważyć, że mężczyzna o takiej posturze, zachowaniu świadczącym o poczuciu władzy i opalonej skórze jest żołnierzem w randze wyższej niż szeregowiec i że niedawno powrócił z Indii.

– Widać, że niedawno zwolniono go ze służby, bo wciąż nosi te swoje buty „amunicyjne”, jak je nazywają – zauważył Mycroft.

– Jego krok nie jest typowy dla kawalerzystów, kapelusz nosił przechylony na jedną stronę, co widać po jaśniejszej skórze nad brwiami. Jego waga świadczy o tym, że nie jest saperem, musi być więc artylerzystą.

– Ponadto strój wskazuje na żałobę, a więc utracił kogoś bliskiego. Fakt, że sam robi zakupy, sugeruje, że zmarła mu żona. Jak widzisz, kupił różne rzeczy dla dzieci. Wśród nich jest grzechotka, która świadczy o tym, że jedno z nich jest bardzo małe. Jego żona prawdopodobnie zmarła przy porodzie. Fakt, iż trzyma pod pachą książkę z obrazkami, przemawia za tym, że zapewne posiada jeszcze jedno dziecko.

Teraz dopiero zacząłem rozumieć, co miał na myśli mój przyjaciel, mówiąc, że zdolności brata przewyższają jego własne. Zerknął na mnie i uśmiechnął się. Mycroft wyjął tabakę z szylkretowej tabakiery i dużą, czerwoną jedwabną chustką strzepnął z ubrania kilka jej okruchów.

– A tak nawiasem mówiąc, Sherlocku – powiedział – mam dla ciebie coś, co bardzo przypadłoby ci do gustu. Przedstawiono mi dziwną zagadkę i zapytano, co o tym myślę. Doprawdy, nie mam sił na to, by się tą sprawą zajmować, chyba że w bardzo fragmentaryczny sposób, jednak znajomość paru faktów dała mi podstawę do dokonania kilku bardzo interesujących domysłów. Gdybyś tylko zechciał posłuchać faktów…

– Mój drogi Mycrofcie, będę zachwycony.

Jego brat szybko nabazgrał notatkę na karteczce wyrwanej z notesu i, zadzwoniwszy, podał ją kelnerowi.

– Poprosiłem pana Melasa, żeby do nas podszedł – powiedział. – Mieszka jedno piętro nade mną i zawarłem z nim dość luźną znajomość, a on zwierzył mi się ze swojego problemu. O ile wiem, pan Melas pochodzi z Grecji i jest wybitnym lingwistą. Zarabia na życie po części jako tłumacz sądowy, a po części jako przewodnik bogatych ludzi ze Wschodu,

odwiedzających hotele przy Northumberland Avenue. Ale sądzę, że lepiej będzie, jak sam opowie o swych niezwykłych doświadczeniach.

Po kilku minutach dołączył do nas niski, krępy mężczyzna, którego oliwkowa cera i kruczoczarne włosy świadczyły o tym, iż pochodził z południa, wysławiał się jednak jak wykształcony Anglik. Skwapliwie podał dłoń Holmesowi, a w jego ciemnych oczach pojawił się błysk zadowolenia, gdy usłyszał, że ten oto specjalista pragnie usłyszeć jego historię.

– Nie sądzę, by policja mi uwierzyła. Daję słowo, nie sądzę – powiedział tonem pełnym żalu. – Uważają to za niemożliwe tylko dlatego, że nigdy o czymś takim nie słyszeli. Ja jednak wiem, że nie odzyskam spokoju ducha, dopóki się nie przekonam, co się stało z tym biedakiem z twarzą pozaklejaną plastrami.

– Cały zamieniam się w słuch – rzekł Sherlock Holmes.

– Dziś mamy środę wieczór – rozpoczął pan Melas. – To, o czym opowiem, wydarzyło się w poniedziałek w nocy. Rozumie pan, zaledwie dwa dni temu. Jak zapewne powiedział panu mój sąsiad, jestem tłumaczem. Tłumaczę ze wszystkich języków, no prawie ze wszystkich, ponieważ jednak jestem Grekiem z urodzenia i posiadam greckie nazwisko, jestem szczególnie kojarzony z tym właśnie językiem. Przez wiele lat byłem głównym tłumaczem greckiego w Londynie, a moje nazwisko jest świetnie znane w hotelach.

Nierzadko zdarza się, że o bardzo dziwnych porach posyłają po mnie różni cudzoziemcy, którzy mają jakieś kłopoty, lub też późno przyjeżdżający podróżni, pragnący skorzystać z moich usług. Nie byłem zatem zdziwiony, gdy w poniedziałek w nocy niejaki pan Latimer, bardzo modnie odziany młody dżentelmen, przyszedł do mnie do mieszkania i poprosił, bym udał się wraz z nim dorożką czekającą pod drzwiami. Powiedział, że przyjaciel z Grecji przyjechał spotkać się z nim w interesach, a jako że nie posługiwał się żadnym językiem prócz własnego, niezbędne były usługi tłumacza. Dał mi do zrozumienia, że jego dom jest nieco oddalony i że leży w Kensington. Odniosłem wrażenie, że sprawa była bardzo pilna, ponieważ gdy tylko wyszliśmy na ulicę, pospiesznie zachęcił mnie, bym wsiadł do dorożki.

Powiedziałem „do dorożki”, szybko jednak zacząłem mieć wątpliwości, czy przypadkiem nie znalazłem się w prywatnym powozie. Z całą

pewnością pojazd był przestronniejszy niż te zwykłe czterokołowe londyńskie bryki, a choć wnętrze było nieco sfatygowane, jego jakość świadczyła o zamożności właściciela. Pan Latimer usiadł naprzeciwko mnie i ruszyliśmy Charing Cross, a później w górę Shaftesbury Avenue. Gdy dojechaliśmy do Oxford Street, ośmieliłem się zauważyć, że to dość okrężna droga do Kensington, a wówczas mój towarzysz zareagował w tak niezwykły sposób, że słowa zamarły mi na ustach.

Wyciągnął z kieszeni groźnie wyglądającą pałkę wypełnioną ołowiem, a następnie kilka razy machnął nią w przód i w tył, tak jakby sprawdzał jej wagę i siłę. Potem bez słowa położył ją na siedzeniu obok siebie. Zrobiwszy to, odsłonił okna po obu stronach powozu, i ku mojemu zdumieniu odkryłem, że szyby były zaklejone papierem, tak, abym nie mógł przez nie nic zobaczyć.

– Przykro mi, że ograniczam panu widok, panie Melas – powiedział. – Pozostaje jednak faktem, że nie zamierzam dopuścić, by zobaczył pan, dokąd jedziemy. Gdyby był pan w stanie odnaleźć drogę do tego miejsca, mogłoby się to dla mnie okazać wyjątkowo niewygodne.

Jak pan sobie zapewne wyobraża, słowa te całkowicie mnie zaskoczyły. Mój towarzysz był silnym, młodym mężczyzną o szerokich barkach, i nawet nie mówiąc o jego broni, nie miałbym żadnych szans w starciu z nim.

– To bardzo dziwne zachowanie, panie Latimer – wyjąkałem. – Musi pan sobie zdawać sprawę z tego, że to, co pan robi, jest sprzeczne z prawem.

– Bez wątpienia pozwalam sobie na nieco swobody – odparł. – Ale wynagrodzimy to panu. Muszę jednak pana ostrzec, panie Melas, że jeśli dziś w nocy spróbuje pan wszcząć alarm lub zrobi cokolwiek, co będzie godziło w moje interesy, znajdzie się pan w bardzo poważnych kłopotach. Proszę sobie zapamiętać, że nikt nie wie, gdzie pan jest, i czy to w tym powozie, czy w moim domu, jest pan całkowicie zdany na moją łaskę.

Wypowiedział te słowa cicho, jednak z taką intonacją, że odebrałem je jako bardzo poważną groźbę. Siedziałem w milczeniu, zastanawiając się, z jakiegoż to powodu porwano mnie w ten dość niezwykły sposób. Niezależnie jednak od przyczyn było dla mnie całkowicie jasne, że nie ma sensu się opierać. Mogłem tylko czekać na rozwój wydarzeń.

Jechaliśmy prawie dwie godziny, i ja przez cały ten czas nie miałem zielonego pojęcia, dokąd zmierzamy. Czasem turkot kół na kamieniach

świadczył o tym, że jedziemy po bruku, a cicha i gładka droga była dowodem na to, że poruszamy się po asfalcie. Jednak oprócz tych różnic w dobiegających z zewnątrz dźwiękach nie było niczego, co choćby w najmniejszym stopniu mogło mi pomóc odgadnąć, gdzie się znajdujemy. Papier na oknach nie przepuszczał światła, a przeszklenie z przodu zakryto niebieską zasłoną. Opuszczaliśmy Pall Mall kwadrans po siódmej, a gdy wreszcie się zatrzymaliśmy, na moim zegarku była za dziesięć dziewiąta. Mój towarzysz uchylił okno, i kątem oka dostrzegłem niskie łukowe drzwi z płonącą nad nimi lampą. Gdy szybko wysiadłem z powozu, drzwi się otworzyły, i znalazłem się we wnętrzu domu. Wchodząc, miałem niejasne wrażenie, że po obu stronach rozciąga się trawnik i rosną drzewa. Nie byłbym jednak w stanie powiedzieć, czy był to jakiś ogród, czy też może rzeczywiście byliśmy na wsi.

Wewnątrz paliła się kolorowa lampa gazowa, którą opuszczono tak nisko, że nie-wiele byłem w stanie zobaczyć. Zauważyłem tylko, iż hol był przestronnym pomieszczeniem, w którym wisiały jakieś obrazy. W przyćmionym świetle spostrzegłem, że człowiek, który otworzył mi drzwi, był niskim mężczyzną w średnim wieku o złośliwym wyrazie twarzy i zaokrąglonych ramionach. Gdy zwrócił się ku nam, ujrzałem błysk światła odbijający się w jego okularach.

– Czy to pan Melas, Haroldzie? – spytał.

– Tak.

– Dobra robota, dobra robota! Nie mamy wobec pana złych zamiarów, panie Melas. Nie mogliśmy jednak obyć się bez pana. Mam nadzieję, że nie ma nam pan tego za złe. Jeśli postąpi pan z nami uczciwie, nie będzie pan żałował! Ale jeśli spróbuje pan jakiejś sztuczki, to niech Bóg pana strzeże – mówił nerwowo, urywanymi zdaniami, co chwila chichocząc, jednak w jakiś sposób bardziej napawał mnie lękiem niż ten pierwszy.

– Czego pan ode mnie chce? – spytałem.

– Tylko tego, by zadał pan parę pytań pewnemu greckiemu dżentelmenowi, który przybył do nas z wizytą, i przetłumaczył nam pan jego odpowiedzi. Proszę jednak nie mówić nic więcej niż to, co panu każę, bo… – i znów ten nerwowy chichot – bo pożałuje pan, że się pan urodził.

Mówiąc to, otworzył drzwi i zaprowadził mnie do, jak się wydawało, luksusowo urządzonego, bardzo dużego pokoju. Jedynym źródłem światła była tylko na wpół przykręcona lampa gazowa. Moje stopy zapadały się

głęboko w dywan, czułem, że otacza mnie bogactwo. Kątem oka dostrzegłem aksamitne fotele, wysoki kominek z białego marmuru i stojącą przy nim japońską zbroję. Bezpośrednio pod lampą stało krzesło, a starszy mężczyzna wskazał mi gestem, że mam na nim usiąść. Młodszy opuścił nas, po chwili jednak powrócił, wchodząc innymi drzwiami i prowadząc ze sobą mężczyznę ubranego w luźny szlafrok, obaj powoli zmierzali w naszą stronę. Gdy prowadzony mężczyzna znalazł się w kręgu przyćmionego światła, w którym mogłem mu się dokładniej przyjrzeć, jego wygląd sprawił, że przeszył mnie dreszcz przerażenia. Był trupio blady i potwornie wychudzony, a jego wytrzeszczone, bystre oczy świadczyły o tym, że oto mam przed sobą człowieka silniejszego duchem niż ciałem. Bardziej jednak niż oznaki fizycznego osłabienia zszokowało mnie to, że jego twarz była groteskowo oklejona plastrami i że jednym z takich plastrów zaklejono mu usta.

– Masz tę tabliczkę, Haroldzie? – zawołał starszy mężczyzna, gdy ten człowiek raczej opadł na krzesło niż na nim usiadł. – Rozwiązałeś mu ręce? Dobrze, teraz daj mu ołówek. Pan będzie zadawał pytania, panie Melas, a on będzie panu pisał odpowiedzi. Przede wszystkim proszę go zapytać, czy jest gotów podpisać dokumenty.

W oczach mężczyzny zapłonął ogień.

– Nigdy – napisał po grecku na tabliczce.

– Pod żadnym warunkiem? – spytałem na rozkaz naszego prześladowcy.

– Tylko wówczas, gdy ożeni się z nią w mojej obecności, a ślubu udzieli im grecki ksiądz, którego znam.

Z gardła starszego mężczyzny dobył się jadowity chichot.

– W takim razie wiesz, co cię czeka?

– Nie dbam o to, co się ze mną stanie.

Takie mniej więcej były pytania i odpowiedzi, z których składała się nasza dziwna rozmowa, prowadzona na pół ustnie, na pół pisemnie. Wciąż i wciąż musiałem go pytać, czy się podda i czy podpisze jakieś dokumenty. Wciąż i wciąż padała ta sama, pełna oburzenia odpowiedź. Wkrótce jednak wpadłem na dobry pomysł. Do każdego pytania zacząłem dodawać własne krótkie zdania, z początku niewinne, aby sprawdzić, czy którykolwiek z tych dwóch mężczyzn w ogóle potrafi się w tym połapać. Następnie, gdy nie zauważyłem z ich strony żadnej reakcji, rozpocząłem bardziej niebezpieczną grę. Nasza rozmowa przebiegała mniej więcej tak:

– Ten twój upór nie wyjdzie ci na dobre. Kim jesteś?
– Nie dbam o to. Jestem cudzoziemcem w Londynie.
– Sam będziesz winien tego, co się z tobą stanie. Jak długo tu jesteś?
– Niech tak będzie. Trzy tygodnie.
– Posiadłość nigdy nie będzie twoja. Co ci dolega?
– Nie trafi w ręce łotrów. Głodzą mnie.
– Jeśli podpiszesz, puścimy cię wolno. Co to za dom?
– Nigdy nie podpiszę. Nie wiem.
– W ten sposób jej się nie przysłużysz. Jak się nazywasz?
– Chcę to usłyszeć z jej ust. Kratides.
– Zobaczysz ją, jeśli podpiszesz. Skąd jesteś?
– W takim razie nigdy jej nie zobaczę. Z Aten.

Gdybym miał jeszcze pięć minut, panie Holmes, rozpracowałbym całą tę historię pod ich nosem. Moje kolejne pytanie mogło wszystko wyjaśnić, gdy nagle otworzyły się drzwi, i do pokoju weszła kobieta. Nie widziałem jej na tyle wyraźnie, by móc powiedzieć o niej coś więcej niż to, że była wysoka i pełna wdzięku, czarnowłosa i odziana w luźną białą suknię.

– Haroldzie – powiedziała po angielsku z silnym akcentem – muszę już wracać. Czuję się tutaj tak samotnie, mając tylko… O mój Boże, to Paul!

Ostatnie słowa wypowiedziała po grecku. W tej samej chwili mężczyzna konwulsyjnym wysiłkiem zerwał plaster krępujący mu usta, i wołając: „Sophy!, Sophy!”, rzucił się w objęcia kobiety. Ich uścisk trwał jednak tylko chwilę, bo młodszy mężczyzna chwycił kobietę i wypchnął ją z pokoju, zaś starszy z łatwością pokonał swą wycieńczoną ofiarę i zaciągnął go gdzieś przez drugie drzwi. Zostałem sam w pokoju, zerwałem się więc na nogi z niejasną myślą, że być może w jakiś sposób uda mi się znaleźć wskazówkę, co to za dom, w którym się znajdowałem. Na szczęście jednak nie zdążyłem nic zrobić, bo gdy podniosłem wzrok, ujrzałem starszego mężczyznę. Stał w drzwiach i uporczywie się we mnie wpatrywał.

– To wystarczy, panie Melas – powiedział. – Jak pan widzi, wtajemniczyliśmy pana w pewne bardzo prywatne sprawy. Nie fatygowalibyśmy pana, lecz nasz przyjaciel, który mówi po grecku i który rozpoczął te negocjacje, był zmuszony powrócić na wschód. Musieliśmy znaleźć kogoś, kto mógł przejąć zadania i na szczęście usłyszeliśmy o pańskich umiejętnościach.

Skłoniłem się.

– Ma pan tu pięć suwerenów – powiedział, podchodząc do mnie. – Mam nadzieję, że będzie to wystarczające honorarium. Ale niech pan pamięta – dodał, klepiąc mnie lekko po piersi i chichocząc – jeśli wspomni pan o tym choć jednemu człowiekowi, choć jednej żywej duszy, cóż, niech Bóg się nad panem zlituje!

Nie potrafię wprost wyrazić, jaki lęk i odrazę budził we mnie ten człowiek o tak niepozornym wyglądzie. Teraz, gdy padało na niego światło lampy, ujrzałem go dokładnie. Twarz miał mizerną i ziemistą, a jego krótka spiczasta bródka była rzadka i skąpa. Gdy mówił, wysuwał głowę do przodu, a jego usta i powieki nieustannie drgały jak u człowieka cierpiącego na chorobę św. Wita. Nasunęła mi się myśl, że ten dziwny, niezwykle charakterystyczny chichot również był objawem jakiejś choroby nerwowej. Jednak najstraszniejsze w jego twarzy były oczy. Stalowoszare i zimno połyskujące jakimś złośliwym nieubłaganym okrucieństwem.

– Jeśli piśnie pan choć słowo, dowiemy się o tym. Mamy własne źródła informacji. A teraz czeka już na pana powóz. Mój przyjaciel pana odwiezie.

Szybko przeprowadzono mnie przez hol i usadzono w powozie. Znów przez chwilę widziałem drzewa i ogród. Pan Latimer szedł tuż za mną i bez słowa zajął miejsce naprzeciwko mnie. W całkowitym milczeniu przy zasłoniętych oknach znów przebyliśmy nieokreślony dystans, aż wreszcie, tuż po północy, powóz się zatrzymał.

– Tutaj pan wysiądzie, panie Melas – powiedział mój towarzysz. – Przepraszam, że zostawiam pana tak daleko od domu, nie mamy jednak innego wyboru. Jeśli spróbuje pan w jakikolwiek sposób śledzić ten powóz, źle się to dla pana skończy.

Mówiąc, otworzył drzwi, i ledwie miałem czas wyskoczyć, gdy woźnica zaciął konie, i powóz pomknął drogą. Rozejrzałem się wokół zdumiony. Byłem na jakiejś porośniętej wrzosem łące upstrzonej ciemnymi kępami kolcolistu. W oddali ciągnęła się linia domów, tu i tam w oknach widziałem światła. Po drugiej stronie ujrzałem czerwone światła sygnałowe kolei.

Powóz, którym tutaj dotarłem, znalazł się już poza zasięgiem wzroku. Gdy tak stałem, rozglądając się i zastanawiając, gdzie się znalazłem, zobaczyłem, że w ciemności ktoś się do mnie zbliża. Gdy podszedł do mnie, stwierdziłem, że to bagażowy pracujący na kolei.

– Może mi pan powiedzieć, co to za miejsce? – spytałem.

– Wandsworth Common – odparł.

– Jeździ tu jakiś pociąg do miasta?

– Jeśli przejdzie pan milę w kierunku stacji Clapham Junction – odpowiedział – zdąży pan akurat na ostatni jadący na Victoria Station.

Tak moja przygoda dobiegła końca, panie Holmes. Nie wiem, gdzie byłem, z kim rozmawiałem, ani nic więcej prócz tego, co panu powiedziałem. Wiem jednak, że toczy się tam jakaś nieczysta gra, i chciałbym pomóc temu nieszczęśnikowi.

Następnego ranka opowiedziałem całą tę historię panu Mycroftowi Holmesowi, a potem zgłosiłem ją na policji.

Po wysłuchaniu tej niezwykłej opowieści wszyscy przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Potem Sherlock spojrzał na swojego brata.

– Zostały podjęte jakieś kroki? – spytał.

Mycroft podniósł leżącą na stoliku obok „Daily News”.

– To ukazało się we wszystkich dziennikach, ale żadnej odpowiedzi nie było:

> Nagroda dla każdego, kto dostarczy informacji o miejscu pobytu greckiego dżentelmena o nazwisku Paul Kratides z Aten, który nie mówi po angielsku. Nagroda wypłacona zostanie również każdemu, kto dostarczy informacji o Greczynce o imieniu Sophy. X. 2473.

– A co na to grecka ambasada?

– Pytałem. Nic nie wiedzą.

– Może w takim razie wysłać telegram do szefa ateńskiej policji?

– W naszej rodzinie całą energię odziedziczył Sherlock – rzekł Mycroft, zwracając się do mnie. – Cóż, przejmij tę sprawę, jak najbardziej, i poinformuj mnie, jak sobie z nią poradziłeś.

– Oczywiście – odpowiedział mój przyjaciel, wstając z krzesła. – Powiadomię i ciebie, i pana Melasa. A tymczasem, panie Melas, gdybym był na pańskim miejscu, miałbym się na baczności. Na pewno widzieli już to ogłoszenie i wiedzą, że pan ich zdradził.

W drodze do domu Holmes zatrzymał się przy biurze telegraficznym i wysłał kilka depesz.

– Widzisz, Watsonie – zauważył – nie zmarnowaliśmy jednak całego wieczoru. Kilka spośród moich najciekawszych spraw trafiło do mnie

właśnie przez Mycrofta. Ta sprawa, którą właśnie poznaliśmy, choć może mieć tylko jedno wyjaśnienie, i tak posiada pewne szczególne cechy.

– Masz jakąś nadzieję na to, że ją rozwiążesz?

– Cóż, skoro wiemy już tyle, byłoby doprawdy dziwne, gdybyśmy nie dowiedzieli się reszty. Z pewnością ty sam również masz już teorię wyjaśniającą fakty, o których usłyszeliśmy.

– Wprawdzie dość niejasną, ale mam.

– Co więc o tym sądzisz?

– Wydało mi się oczywistym, że ta Greczynka została uprowadzona przez młodego Anglika o nazwisku Harold Latimer.

– Uprowadzona? A skąd?

– Być może z Aten.

Sherlock Holmes potrząsnął głową.

– Ten młody mężczyzna nie znał ani słowa po grecku. Natomiast ta dama dość dobrze mówiła po angielsku. Wniosek? Przebywała w Anglii od jakiegoś czasu, on natomiast nie był w Grecji.

– Cóż, w takim razie załóżmy, że przyjechała z wizytą do Anglii i ten Harold ją przekonał, aby z nim uciekła.

– To już bardziej prawdopodobne.

– A potem, jak sądzę, jej brat, bo taki chyba musi być między nimi związek, przyjechał tu z Grecji, żeby interweniować. Nierozważnie wpadł w ręce tego młodszego mężczyzny i jego starszego wspólnika. Schwytali go i próbowali zmusić przemocą, by podpisał jakieś dokumenty, przekazujące im fortunę dziewczyny, której zapewne jest powiernikiem. On jednak nie chce tego zrobić. Aby z nim negocjować, musieli sprowadzić tłumacza. Przedtem mieli jakiegoś innego, tym razem jednak postanowili uprowadzić pana Melasa. Nie powiedzieli dziewczynie o przyjeździe brata, dowiedziała się o tym przez przypadek.

– Doskonale, Watsonie – zawołał Holmes. – Doprawdy, nie uważam, byś był daleki od prawdy. Jak widzisz, mamy w ręku wszystkie karty i jedyne, czego powinniśmy się obawiać, to jakiegoś nagłego aktu przemocy ze strony tych dwóch mężczyzn. Jeśli dadzą nam dość czasu, na pewno ich dopadniemy.

– Ale jak się dowiemy, gdzie znajduje się ten dom?

– Cóż, jeśli nasze przypuszczenia są słuszne i ta dziewczyna naprawdę nazywa się lub nazywała Sophy Kratides, nie powinniśmy mieć problemów

z jej odnalezieniem. To musi być naszą główną nadzieją, bo o jej bracie, oczywiście, nikt tutaj nie słyszał. Związek tego Harolda z dziewczyną trwa już od jakiegoś czasu. W każdym razie na pewno parę tygodni, bo jej brat w Grecji miał czas dowiedzieć się o tym i przybyć na Wyspy. Jeśli przez ten czas mieszkali razem w tym samym miejscu, prawdopodobnie dostaniemy jakąś odpowiedź na ogłoszenie Mycrofta.

Rozmawiając, dotarliśmy do naszego domu na Baker Street. Holmes pierwszy wszedł po schodach na górę, i gdy otworzył drzwi naszego pokoju, wzdrygnął się zaskoczony. Kiedy spojrzałem nad jego ramieniem, sam byłem równie zdumiony. Jego brat Mycroft siedział w fotelu i palił cygaro.

– Wejdź Sherlocku! I pan niech też wejdzie – powiedział beznamiętnie, uśmiechając się, gdy zobaczył nasze zdumione twarze. – Nie spodziewałeś się po mnie takiego zaangażowania, prawda, Sherlocku? Ale jakoś tak się składa, że ta sprawa mnie pociąga.

– Jak się tu dostałeś?

– Minąłem cię dorożką.

– Wydarzyło się coś nowego?

– Dostałem odpowiedź na moje ogłoszenie. Nadeszła kilka minut po waszym wyjściu.

– I jaka to odpowiedź?

Mycroft Holmes wyjął arkusz papieru.

– Oto i ona – odparł. – Napisana piórem na dużym kremowym arkuszu papieru przez słabego zdrowia mężczyznę w średnim wieku:

> Sir, w odpowiedzi na pańskie dzisiejsze ogłoszenie pragnę pana poinformować, że bardzo dobrze znam tę młodą damę. Jeśli zechce mnie pan odwiedzić, mógłbym podać panu pewne szczegóły jej niecodziennej historii. Obecnie mieszka w „Myrtles”, w Beckenham.
>
> Z poważaniem.
> J. Davenport

– Pisze z Lower Brixton – stwierdził Mycroft Holmes. – Myślisz, Sherlocku, że możemy teraz do niego pojechać i poznać te szczegóły?

– Mój drogi Mycrofcie, życie człowieka jest cenniejsze niż historia jego siostry. Sądzę, że powinniśmy skontaktować się z inspektorem Gregsonem

ze Scotland Yardu i od niego udać się do Beckenham. Wiemy, że ten człowiek jest torturowany, i o jego życiu może decydować każda godzina.

– Lepiej wstąpmy po drodze po pana Melasa – zasugerowałem. – Możemy potrzebować tłumacza.

– Wyśmienicie – rzekł Sherlock Holmes. – Wyślij chłopaka po dorożkę i natychmiast wyruszamy. – Mówiąc to, otworzył szufladę biurka, i spostrzegłem, że wsuwa do kieszeni rewolwer. – Tak – odparł w odpowiedzi na moje spojrzenie – mamy do czynienia z bardzo niebezpieczną bandą.

Było już prawie ciemno, gdy znaleźliśmy się na Pall Mall przed drzwiami do mieszkania pana Melasa. Jak się okazało, nieco wcześniej odwiedził go pewien dżentelmen, i nie było go teraz w domu.

– Może nam pani powiedzieć, dokąd poszedł? – spytał Mycroft Holmes.

– Nie wiem, sir – odparła kobieta, która otworzyła drzwi. – Wiem tylko, że odjechał powozem z tym dżentelmenem.

– Czy ten dżentelmen się przedstawił?

– Nie, sir.

– A nie był to przypadkiem wysoki, przystojny młody mężczyzna o ciemnej cerze?

– Och nie, sir. To był drobny dżentelmen w okularach i z chudą twarzą. Był bardzo miły i gdy mówił, co chwila się śmiał.

– No chodź już! – zawołał ostro Sherlock Holmes. – Sytuacja robi się poważna – zauważył, gdy jechaliśmy do Scotland Yardu. – Ci ludzie znów mają Melasa. Nie znajdzie w sobie na tyle odwagi, by im się opierać, a oni, po swoich doświadczeniach z ostatniej nocy, dobrze o tym wiedzą. Ten łotr może go w każdej chwili zastraszyć. Bez wątpienia chcą znów skorzystać z jego usług, ale gdy już go wykorzystają, mogą chcieć go ukarać za to, co uważają pewnie za zdradę.

Mieliśmy nadzieję, że jadąc pociągiem, uda nam się dotrzeć do Beckenham równie szybko lub nawet szybciej niż powozem. Jednak w Scotland Yardzie czekaliśmy ponad godzinę, nim dostaliśmy się do inspektora Gregsona i dopełniliśmy wszelkich formalności prawnych, związanych z możliwością dokonania rewizji w tym domu. Gdy dojeżdżaliśmy do London Bridge, była już za kwadrans dziesiąta, a kiedy we czterech wysiedliśmy na stacji w Beckenham dochodziła wpół do jedenastej. Przejechawszy pół mili, dotarliśmy do „Myrtles”, dużego

ciemnego domu, zbudowanego na dużej parceli, stojącego w pewnym oddaleniu od drogi. Tutaj zwolniliśmy dorożkarza i razem ruszyliśmy podjazdem.

– Wszystkie okna są ciemne – zauważył inspektor. – Ten dom wygląda na opuszczony.

– Nasze ptaszki zdążyły odfrunąć. Już ich tu nie ma – rzekł Holmes.

– Czemu pan tak sądzi?

– W ciągu ostatniej godziny przejeżdżał tędy bardzo obciążony powóz.

Inspektor roześmiał się.

– Widziałem ślady kół w świetle lampy przy bramie, ale jak się ma do tego obciążenie?

– Być może zauważył pan także takie same ślady biegnące w przeciwnym kierunku, jednak te, które pozostawili, wyjeżdżając, są o wiele głębsze. Z całą pewnością można powiedzieć, że powóz był bardzo obciążony.

– Jak widzę, trochę mnie pan wyprzedza – rzekł inspektor, wzruszając ramionami. – Nie będzie łatwo sforsować te drzwi, ale jeśli nikt nas nie usłyszy, będziemy musieli spróbować.

Kilka razy głośno zastukał kołatką i pociągnął za dzwonek, jednak bez rezultatu. Holmes gdzieś zniknął, ale wrócił po kilku minutach.

– Otworzyłem okno – powiedział.

– Całe szczęście, że jest pan po stronie policji, a nie przeciwko niej, panie Holmes – zauważył inspektor, spostrzegłszy, w jak sprytny sposób mój przyjaciel poradził sobie z zapadką. – Sądzę, że w tych okolicznościach możemy wejść bez zaproszenia.

Przeszliśmy gęsiego do dużego salonu, w którym właśnie znalazł się wcześniej pan Melas. Inspektor zapalił swoją latarnię, i w jej świetle spostrzegliśmy dwoje drzwi, zasłonę, lampę oraz japońską zbroję. Było tak, jak tłumacz nam opisał. Na stole stały dwie szklanki, pusta butelka po brandy i pozostałości posiłku.

– A co to? – spytał nagle Holmes.

Wszyscy przystanęliśmy i zaczęliśmy nasłuchiwać. Gdzieś z góry, sponad naszych głów dobiegł cichy jęk. Holmes popędził do drzwi i wybiegł na korytarz. Ten niepokojący dźwięk dobiegał z piętra. Holmes pognał po schodach, ja i inspektor za nim, zaś Mycroft podążał za nami tak szybko, jak mu na to pozwalały jego ogromne gabaryty. Na piętrze

zatrzymaliśmy się przed trojgiem drzwi – zza środkowych dobiegały te dziwne odgłosy. Chwilami przechodziły w głuche pojękiwanie, chwilami zaś wznosiły się do przenikliwego łkania. Drzwi były zamknięte, jednak klucz tkwił w zamku. Holmes z impetem otworzył je na oścież i wbiegł do środka, po chwili jednak wypadł z pomieszczenia, trzymając się dłonią za gardło.

– To węgiel drzewny – zawołał. – Za chwilę przejdzie.

Gdy zajrzeliśmy do środka, spostrzegliśmy, że jedynym źródłem światła w pokoju był przyćmiony niebieski płomień, migoczący na stojącym pośrodku niewielkim mosiężnym trójnogu. Rzucał na podłogę nienaturalnie blady krąg światła. Dalej w półmroku ujrzeliśmy dwie majaczące sylwetki skulone przy ścianie. Przez otwarte drzwi wydostawały się na korytarz cuchnące trujące opary. Wszyscy zaczęliśmy kaszleć i łapać powietrze. Holmes wbiegł na szczyt schodów, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, potem wpadł do pokoju, z impetem otworzył okno i cisnął mosiężny trójnóg do ogrodu.

– Za chwilę będziemy mogli wejść – sapnął, znów wyłaniając się z pokoju. – Gdzie jest świeca? Wątpię, czy w tych warunkach uda nam się zapalić zapałkę. Mycroft, potrzymaj świecę przy drzwiach, a my ich stamtąd wydostaniemy! No już!

Pospiesznie przedostaliśmy się do zatrutych mężczyzn i wyciągnęliśmy ich na zewnątrz, do dobrze oświetlonego korytarza. Obaj byli nieprzytomni. Ich twarze były nabrzmiałe i opuchnięte, oczy wybałuszone, wargi zsiniałe. Rysy twarzy były zniekształcone do tego stopnia, że gdyby nie czarna broda i przysadzista sylwetka, nie rozpoznalibyśmy w jednym z nich greckiego tłumacza, który zaledwie kilka godzin temu rozstał się z nami w klubie „Diogenes”. Jego ręce i nogi były bardzo mocno związane, a nad jednym okiem widniał ślad potężnego ciosu. Ten drugi, którego skrępowano w podobny sposób, wysoki mężczyzna, z kilkoma pasmami plastra tworzącymi groteskowy wzór na jego twarzy, był w ostatnim stadium wycieńczenia. Gdy ułożyliśmy go na podłodze, przestał pojękiwać. Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by stwierdzić, że przynajmniej dla niego pomoc przybyła zbyt późno. Jednak pan Melas nadal żył, i po niecałej godzinie, próbując cucić go za pomocą amoniaku i brandy, z satysfakcją ujrzałem, że otwiera oczy. Przez chwilę mogłem cieszyć się uczuciem, że

to moja pomocna dłoń wyciągnęła go z tej ciemnej doliny, w której spotykają się wszystkie ścieżki.

Miał nam do opowiedzenia prostą historię, która tylko potwierdziła nasze przypuszczenia. Mężczyzna, który do niego przyszedł, zaraz po wejściu do mieszkania wyciągnął z rękawa pałkę. Pan Melas zaczął się obawiać o swoje życie, zrozumiał, że jeśli nie uda się razem z tym mężczyzną, czeka go niechybna śmierć. W rzeczywistości wrażenie, jakie ten chichoczący łotr wywarł na biednym lingwiście, było tak wielkie, że nawet teraz, gdy o tym mówił, drżały mu dłonie, a policzki znów pobladły. Został szybko przewieziony do Beckenham i tłumaczył drugą rozmowę, jeszcze dramatyczniejszą niż poprzednia, podczas której dwóch Anglików groziło swemu więźniowi, że za chwilę go zabiją, jeśli nie spełni ich żądań. Przekonawszy się wreszcie, że żadne pogróżki nie przyniosą oczekiwanego rezultatu, cisnęli go z powrotem do jego dotychczasowego więzienia i, oskarżywszy Melasa o zdradę na podstawie ogłoszenia w gazecie, ogłuszyli go ciosem pałki. Potem nie pamiętał już nic aż do chwili, gdy się ocknął i zobaczył, jak się nad nim pochylamy.

Taka właśnie była osobliwa sprawa greckiego tłumacza, której całkowite wyjaśnienie nadal pozostaje tajemnicą. Skontaktowawszy się z dżentelmenem, który odpowiedział na ogłoszenie, dowiedzieliśmy się, że ta nieszczęsna młoda dama pochodziła z zamożnej greckiej rodziny i że przybyła z wizytą do jakichś przyjaciół mieszkających w Anglii. Poznała tu młodego mężczyznę o nazwisku Harold Latimer, który miał na nią taki wpływ, że w końcu udało mu się ją namówić, by z nim uciekła. Jej przyjaciele, choć zszokowani tym wydarzeniem, ograniczyli się tylko do poinformowania o ucieczce jej brata przebywającego w Atenach, po czym przestali się interesować całą sprawą. Brat dziewczyny po przyjeździe do Anglii wpadł nierozważnie w ręce Latimera i jego wspólnika o nazwisku Wilson Kemp, człowieka o wyjątkowo paskudnej przeszłości. Ci dwaj, przekonawszy się, że nie zna języka i w związku z tym skazany jest na czyjąś pomoc, uwięzili go i usiłowali okrucieństwem i głodem zmusić do przepisania na nich całego majątku jego i siostry. Trzymali go w domu bez wiedzy dziewczyny, twarz okleili mu plastrem, by go nie rozpoznała, gdyby przypadkiem zobaczyła. Jednak niełatwo jest zwieść kobiecą intuicję, i gdy ujrzała go po raz pierwszy przy okazji wizyty tłumacza, natychmiast zrozumiała, na kogo patrzy. Zresztą biedna

dziewczyna sama była właściwie więźniem, bo w domu nie było nikogo prócz mężczyzny pełniącego rolę stangreta oraz jego żony, a oboje oni byli narzędziami w rękach konspiratorów. Gdy dwaj złoczyńcy dowiedzieli się, że ich sekret się wydał, a więźnia nie da się zmusić do podpisania dokumentów, zabrali dziewczynę i uciekli kilka godzin wcześniej z domu, który wynajmowali. Najpierw jednak, jak im się wydawało, dokonali zemsty na tym człowieku, który odmówił spełnienia ich żądań, oraz na tym drugim, który ich zdradził.

Kilka miesięcy później dotarł do nas z Budapesztu ciekawy wycinek z gazety. Wynikało z niego, że dwóch Anglików podróżujących w towarzystwie kobiety spotkał tragiczny koniec. Obaj zostali pchnięci nożem. Węgierska policja była zdania, że zapewne pokłócili się i w trakcie sporu zadali sobie śmiertelne rany. Sądzę jednak, że Holmes myśli o zakończeniu tej sprawy inaczej, bo do dziś dnia utrzymuje, że gdyby tylko udało się odnaleźć tę grecką dziewczynę, moglibyśmy się dowiedzieć, w jaki sposób pomszczone zostały krzywdy wyrządzone jej i jej bratu.

Rozdział dziesiąty

Traktat morski

Lipiec tego roku, w którym się ożeniłem, godny jest zapamiętania dzięki trzem interesującym sprawom, podczas wyjaśniania których miałem okazję i przywilej pracować z Sherlockiem Holmesem i zgłębiać jego metody. W moich notatkach sprawy te opatrzyłem tytułami: „Druga plama”, „Traktat morski” i „Zmęczony kapitan”. Jednak pierwsza z nich dotyczy kwestii tak ogromnej wagi i obciąża tak wiele najznamienitszych rodów w królestwie, że jeszcze przez wiele lat nie będę mógł jej opublikować. Chyba żadna inna z prowadzonych przez Holmesa spraw nie ilustrowała tak dobrze wartości jego analitycznych metod i nie zrobiła tak wielkiego wrażenia na ludziach, którzy byli z nim związani. Nadal posiadam spisaną niemal słowo w słowo rozmowę, podczas której prezentował on fakty związane z tą sprawą monsieur Dubugue’owi z paryskiej policji oraz Fritzowi von Waldbaumowi, słynnemu specjaliście z Gdańska. Obaj oni marnowali swój czas i energię na coś, co okazało się jedynie pobocznymi wątkami głównego nurtu problemu. Musi jednak upłynąć wiele lat, i historię tę będzie można opowiedzieć dopiero w nowym stuleciu. W tej chwili byłoby to zbyt niebezpieczne. Przejdę więc do drugiej pozycji na mej liście, która również w pewnym momencie zapowiadała się jako sprawa wagi międzynarodowej. Cechowało ją kilka zdarzeń, które nadały jej unikalny charakter.

W czasach gdy chodziłem do szkoły, moim bliskim przyjacielem był chłopak, który nazywał się Percy Phelps. Był niemal moim rówieśnikiem, chodził jednak o dwie klasy wyżej niż ja. Był błyskotliwym uczniem i zdobył chyba wszystkie nagrody, jakie szkoła miała do zaoferowania. Zakończył naukę, uzyskując stypendium, dzięki któremu mógł odnosić triumfy w Cambridge. Jak pamiętam, miał wyśmienite koneksje, i nawet

gdy bawiliśmy się razem jako mali chłopcy, wszyscy wiedzieli, że bratem jego matki był lord Holdhurst, znamienity polityk partii konserwatywnej. Jednak w szkole ten wspaniały krewny nie przysporzył mu popularności. Wręcz przeciwnie. Bawiło nas, gdy biegaliśmy za Percym po placu zabaw i smagaliśmy go witkami po łydkach. Niemniej gdy wkroczył w końcu w wielki świat, wyglądało to już zupełnie inaczej. Doszły mnie słuchy, że dzięki swym zdolnościom i wpływom zdobył dobre stanowisko w ministerstwie spraw zagranicznych. Później całkowicie o nim zapomniałem, póki o jego istnieniu nie przypomniał mi poniższy list:

Briarbrae, Woking

Mój drogi Watsonie, na pewno pamiętasz Phelpsa Kijankę, który chodził do piątej klasy, kiedy ty byłeś w trzeciej. Słyszałeś może, że dzięki wpływom mojego wuja dostałem dobrą posadę w ministerstwie spraw zagranicznych, a moje stanowisko wiązało się z zaufaniem i zaszczytem. Wszystko układało się pomyślnie, dopóki nagle nie spadło na mnie to straszliwe nieszczęście, które zrujnowało moją karierę.

Nie ma sensu opisywać szczegółów tego straszliwego wydarzenia. Jeśli przystaniesz na moją prośbę, prawdopodobnie sam będę ci musiał o nim opowiedzieć. Dopiero dochodzę do siebie po zapaleniu mózgu i po dziewięciu tygodniach jestem wciąż jeszcze bardzo słaby. Proszę, abyś przyjechał do mnie w towarzystwie swego przyjaciela pana Holmesa. Chciałbym bowiem poznać jego opinię w tej sprawie, choć władze zapewniają mnie, że nic więcej nie można zrobić. Proszę, spróbuj go do mnie sprowadzić tak szybko, jak to możliwe. Żyję teraz w stanie strasznej niepewności, i każda minuta wydaje mi się godziną. Zapewnij go, że jeśli wcześniej nie zwróciłem się do niego o radę, to nie dlatego, iż nie cenię jego uzdolnień, lecz dlatego, że odkąd spadł na mnie ten cios, odchodziłem od zmysłów. Teraz znów jestem w stanie jasno myśleć, choć nie ośmielę się zbyt długo nad tym zastanawiać, bo obawiam się nawrotu choroby. Nadal jestem tak słaby, że jak widzisz nie mogłem własnoręcznie napisać tego listu i musiałem go podyktować. Proszę, postaraj się sprowadzić swojego przyjaciela.

Twój dawny szkolny kolega
Percy Phelps

Było w tym liście coś, co mnie głęboko poruszyło, coś niesłychanie żałosnego w tych powtarzających się prośbach, abym sprowadził Holmesa. Byłem do tego stopnia przejęty, że spróbowałbym zadośćuczynić jego prośbie, nawet gdyby to było niemal niewykonalne. Oczywiście dobrze wiedziałem, że Holmes uwielbia swój zawód i zawsze gotów jest służyć swoją pomocą, o ile klient rzeczywiście chce ją przyjąć. Moja żona zgodziła się ze mną, że nie powinienem tracić ani chwili i natychmiast

przedstawić mu tę sprawę, tak więc godzinę po śniadaniu znów znalazłem się, tak jak kiedyś, w naszym dawnym mieszkaniu na Baker Street.

Holmes siedział przy stoliczku pod ścianą, ubrany w szlafrok i całkowicie pochłonięty pracą nad pewnym doświadczeniem chemicznym. Jakiś płyn w dużej zakrzywionej retorcie gotował się wściekle nad błękitnym płomieniem palnika Bunsena, a krople wydestylowanej cieczy kondensowały się w dwulitrowej menzurce. Gdy wszedłem, mój przyjaciel nawet na mnie nie spojrzał, ja zaś widząc, że doświadczenie, które przeprowadzał, musi być dla niego niezmiernie ważne, rozsiadłem się w fotelu i czekałem, aż skończy. Otwierał różne buteleczki, pobierając z każdej po kilka kropel szklaną pipetą, aż wreszcie wziął próbówkę zawierającą końcowy roztwór i podszedł z nią do stołu. W prawej ręce trzymał pasek papieru lakmusowego.

– Trafiłeś na kluczowy moment – powiedział. – Jeśli ten papier pozostanie niebieski, to wszystko będzie w porządku; a jeśli zabarwi się na czerwony, będzie to oznaczało czyjąś śmierć. – Zanurzył go w próbówce, a papierek natychmiast przybrał kolor matowego brudnego szkarłatu. – Hmm. Tak jak myślałem! – zawołał. – Za moment będę do twoich usług, Watsonie. Tytoń znajdziesz w perskim pantoflu.

Odwrócił się do swojego biurka i pospiesznie nabazgrał kilka telegramów, które przekazał chłopcu na posyłki. Następnie opadł na krzesło naprzeciwko mnie, podciągnął w górę kolana i objął dłońmi swoje długie, chude golenie.

– Bardzo pospolite, małe, brudne morderstwo – powiedział. – Zdaje mi się, że masz dla mnie coś lepszego. Twoja pochmurna mina może być zapowiedzią prawdziwej kryminalnej burzy z piorunami. A więc z czym do mnie przyszedłeś?

Podałem mu list, który przeczytał w maksymalnym skupieniu.

– Zbyt wiele nam to nie mówi, prawda? – zauważył, oddając mi list.

– Niemal nic.

– A jednak charakter pisma jest ciekawy.

– Ale to nie jego pismo.

– Właśnie. Pisała kobieta.

– Z całą pewnością mężczyzna! – zawołałem.

– Nie, kobieta. I to kobieta o nieprzeciętnym charakterze. Cóż… Dowiadujemy się na początku naszego śledztwa, że nasz klient utrzymuje

bliskie kontakty z kimś o wyjątkowym charakterze, dobrym lub złym. Już mnie ta sprawa zainteresowała. Jeśli jesteś gotów, możemy natychmiast ruszać do Woking. Spotkajmy się z twoim dyplomatą, który wpadł w tak ciężkie kłopoty, i z ową damą, której dyktuje swoje listy.

Mieliśmy szczęście, bo udało nam się złapać wczesny pociąg z Waterloo, tak więc już po niecałej godzinie znaleźliśmy się wśród jodłowych lasów i wrzosowisk Woking. Briarbrae okazał się dużym, wolno stojącym domem, zbudowanym na obszernym terenie w odległości kilku minut spaceru od stacji. Przekazaliśmy nasze wizytówki, i po chwili wprowadzono nas do elegancko urządzonego salonu. Kilka minut później wszedł do pokoju przysadzisty mężczyzna i bardzo uprzejmie nas powitał. Był bliżej czterdziestki niż trzydziestki, lecz jego policzki były tak rumiane, a oczy tak wesołe, że odnosiło się wrażenie, iż nadal jest pulchnym, psotnym chłopcem.

– Tak się cieszę, że panowie przyjechaliście! – powiedział, wylewnie ściskając nam dłonie. – Percy przez cały ranek o was dopytuje. Och, biedaczysko chwyta się brzytwy! Jego ojciec i matka prosili mnie, bym się z panami spotkał, bo nawet najmniejsza wzmianka na temat sprawy związanej z Percym jest dla nich bardzo bolesna.

– Jak do tej pory nie poznaliśmy żadnych szczegółów – zauważył Holmes. – A jak widzę, pan nie jest członkiem tej rodziny.

Nasz znajomy wyglądał na zaskoczonego, jednak po chwili, gdy spojrzał w dół, roześmiał się.

– Oczywiście spostrzegł pan monogram J.H. na moim medalionie. Przez chwilę myślałem, że dokonał pan czegoś niesamowitego. Nazywam się Joseph Harrison, a ponieważ Percy ma poślubić moją siostrę Annie, będę przynajmniej ich krewnym poprzez to małżeństwo. Z moją siostrą spotkacie się, panowie, w jego pokoju. Pielęgnuje go nieustannie od dwóch miesięcy. Ale może już tam pójdźmy, bo wiem, jak bardzo się niecierpliwi.

Pokój, do którego nas wprowadzono, znajdował się na tym samym piętrze co salon. Umeblowano go częściowo jak salon, a częściowo jak sypialnię. We wszystkich kątach i zakamarkach ustawiono piękne bukiety kwiatów. Młody mężczyzna, bardzo blady i zmęczony, leżał na sofie przy otwartym oknie, przez które wpadały do środka bogate zapachy ogrodu i balsamiczne, letnie powietrze. Obok niego siedziała kobieta. Podniosła się, gdy tylko weszliśmy.

– Mam wyjść, Percy? – spytała.

Chwycił jej dłoń, aby ją zatrzymać.

– Co u ciebie, Watsonie? – powitał serdecznie. – Nigdy bym cię nie poznał z tymi wąsami i ośmielę się stwierdzić, że ty też nie byłbyś pewien, czy to ja. A to, jak przypuszczam, twój słynny przyjaciel pan Sherlock Holmes?

Przedstawiłem go w paru słowach, i obaj usiedliśmy. Przysadzisty młody człowiek wyszedł z pokoju, jednak jego siostra została, trzymając dłoń chorego w swoich dłoniach. Była kobietą o uderzającym wyglądzie. Trochę za niska i zbyt korpulentna, lecz o pięknej oliwkowej cerze, wielkich ciemnych oczach Włoszki i gęstych kruczoczarnych włosach. Ciemna karnacja sprawiała, że blada twarz jej towarzysza wydawała się jeszcze bardziej zmęczona i wymizerowana.

– Nie będę marnował waszego czasu – powiedział, unosząc się na sofie. – Może przejdę od razu do sprawy bez żadnych wstępów. Byłem szczęśliwy i odnosiłem sukcesy, panie Holmes, lecz tuż przed moim ślubem spadło na mnie nagle straszliwe nieszczęście, które zrujnowało wszystkie moje życiowe plany.

Być może Watson już panu wspominał, że pracowałem w ministerstwie spraw zagranicznych i dzięki wpływom mojego wuja, lorda Holdhursta, błyskawicznie awansowałem na odpowiedzialne stanowisko. Za czasów obecnej administracji, gdy mój wuj został ministrem spraw zagranicznych, powierzył mi kilka poufnych misji. A ponieważ zawsze doprowadzałem je z powodzeniem do końca, zaczął doceniać moje zdolności i mój takt, obdarzając mnie dużym zaufaniem.

Niemal dziesięć tygodni temu, dokładniej mówiąc, 23 maja, wezwał mnie do swego prywatnego gabinetu i, pochwaliwszy za dobrą robotę, którą wykonałem, oznajmił, że ma dla mnie nowe, poufne zadanie.

– To, co tu widzisz – powiedział, wyjmując ze swego biurka szary rulon papieru – to oryginał tajnego traktatu pomiędzy Anglią a Włochami. Z żalem muszę stwierdzić, że pewne pogłoski na jego temat przedostały się już do prasy. Niezmiernie ważnym jest, by nie doszło do żadnych innych przecieków. Francuska i rosyjska ambasada zapłaciłyby bajońskie sumy, aby poznać treść tych dokumentów. W ogóle nie opuściłyby mojego biurka, gdyby nie to, że absolutnie konieczne jest ich skopiowanie. Masz u siebie własne biurko?

– Tak, sir.

– W takim razie weź ten traktat i zamknij go tam na klucz. Udzielę personelowi instrukcji, byś mógł tu zostać, gdy inni pójdą do domu, i spokojnie go skopiować bez obaw, że ktoś ci zagląda przez ramię. Kiedy już skończysz, ponownie zamknij na klucz oryginał i kopię. Jutro rano osobiście mi je przekażesz.

Wziąłem dokumenty i…

– Przepraszam, że na chwilę panu przerwę – rzekł Holmes. – Czy podczas tej rozmowy byliście sami?

– Całkowicie sami.

– W dużym pomieszczeniu?

– Trzydzieści na trzydzieści stóp.

– Pośrodku?

– Tak, mniej więcej.

– I mówiliście cicho?

– Mój wuj zawsze mówi bardzo cicho. Ja prawie się nie odzywałem.

– Dziękuję – rzekł Holmes, przymykając oczy. – Proszę mówić dalej.

– Zrobiłem dokładnie tak, jak mi powiedział, i odczekałem, aż pozostali pracownicy pójdą do domu. Jeden z nich, Charles Gorot, który pracuje ze mną w tym samym pokoju, miał do nadrobienia zaległości w pracy, zostawiłem go więc i wyszedłem na obiad. Gdy wróciłem, kolegi już nie było. Bardzo mi zależało, by jak najszybciej zabrać się do pracy, bo wiedziałem, że Joseph, czyli pan Harrison, którego dopiero co pan poznał, był akurat w mieście i zamierzał wracać do Woking pociągiem o jedenastej. W miarę możliwości również chciałem zdążyć na ten pociąg.

Gdy przyjrzałem się dokładniej traktatowi, natychmiast zorientowałem się, że faktycznie był tak ważny, iż mój wuj absolutnie nie przesadził w jego ocenie. Nie wdając się w szczegóły, mogę powiedzieć, że określał on stanowisko Wielkiej Brytanii wobec Trójprzymierza i zwiastował politykę, jaką miał prowadzić nasz kraj w przypadku, gdyby flota francuska zdobyła całkowitą dominację nad flotą włoską na Morzu Śródziemnym. Kwestie poruszane w traktacie były czysto morskiej natury. Na końcu znajdowały się podpisy wysokich dygnitarzy, którzy go parafowali. Pospiesznie przejrzałem tekst, a następnie zabrałem się do przepisywania.

Był to długi dokument, sporządzony w języku francuskim i złożony z dwudziestu sześciu paragrafów. Przepisywałem tak szybko, jak mogłem,

ale o godzinie dziewiątej ukończyłem dopiero dziewięć paragrafów i nie miałem już szansy zdążyć na pociąg. Czułem się senny i trochę ospały, częściowo z powodu spożytego obiadu, a po części za sprawą przedłużonego dnia pracy. Pomyślałem, że filiżanka kawy rozjaśniłaby mi w głowie. W małym pomieszczeniu na dole przy schodach siedzi przez całą noc dozorca. Ma on w zwyczaju robić kawę na swoim spirytusowym palniku dla wszystkich urzędników, którzy pracują po godzinach. Przywołałem go więc dzwonkiem.

Ku mojemu zaskoczeniu na wezwanie pojawiła się starsza kobieta potężnej budowy o grubych rysach, ubrana w fartuch. Wyjaśniła, że jest żoną dozorcy i że właśnie sprząta, wydałem jej więc polecenie, by zrobiła mi kawę.

Przepisałem jeszcze dwa paragrafy, lecz potem poczułem się tak senny, że musiałem wstać i przejść się po pokoju, żeby rozprostować trochę nogi. Kawy wciąż nie było, i zastanawiałem się, jaka mogła być przyczyna tego opóźnienia. Otworzyłem drzwi i ruszyłem korytarzem, aby się tego dowiedzieć. Korytarz oświetlony przyćmioną lampą prowadził z pokoju, w którym pracowałem, i miał tylko jedno wyjście. Kończyło się ono krętymi schodami, przy których na dole w holu znajdowało się pomieszczenie dozorcy. W połowie tych schodów na półpiętrze jest niewielki podest, od którego pod kątem prostym biegnie inny korytarz. Prowadzi on do kolejnych niewielkich schodów, które kończą się przy bocznym wyjściu. Używają ich służący, lecz przychodzą tamtędy również urzędnicy od strony Charles Street, gdy chcą sobie skrócić drogę. Oto przybliżony plan tego budynku.

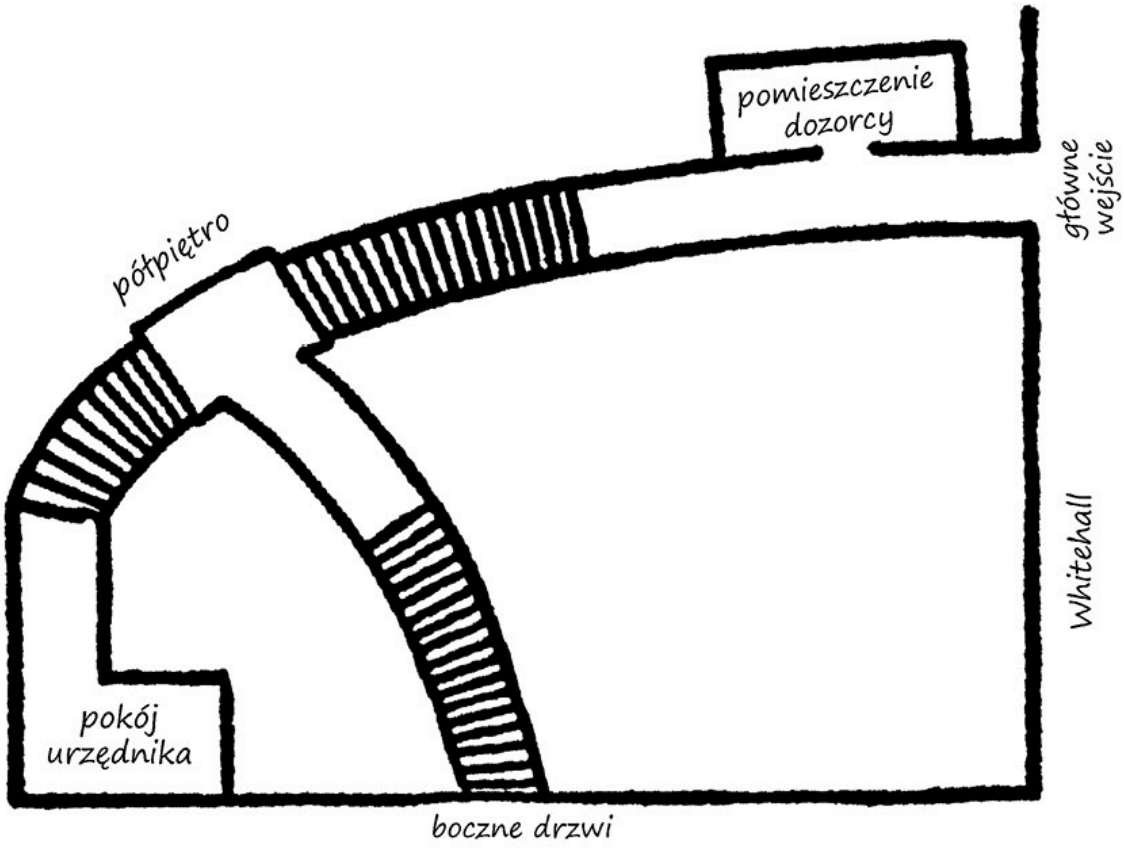

– Dziękuję. Sądzę, że nadążam za panem – rzekł Sherlock Holmes.

– Proszę zwrócić uwagę na te okoliczności, które mają ogromne znaczenie. Zszedłem w dół po schodach do holu i przekonałem się, że dozorca smacznie śpi w swoim pomieszczeniu, a w czajniku wrze woda. Zestawiłem czajnik, po czym zdmuchnąłem palnik, bo woda pryskała już na podłogę. Następnie wyciągnąłem rękę i już miałem potrząsnąć dozorcą, który sprawiał wrażenie głęboko pogrążonego we śnie, gdy nagle rozległ się głośny dźwięk dzwonka nad jego głową, on zaś wzdrygnął się i obudził.

– Panie Phelps, sir! – powiedział, spoglądając na mnie w osłupieniu.

– Zszedłem na dół, żeby zobaczyć, czy moja kawa jest już gotowa.

– Wstawiłem czajnik i zasnąłem, sir – spojrzał na mnie, a potem w górę, na wciąż jeszcze drgający dzwonek, z rosnącym zdumieniem na twarzy.

– Sir, skoro pan jest tutaj, to w takim razie kto zadzwonił? – zapytał.

– Dzwonek! – zawołałem. – Co to za dzwonek?

– To dzwonek z pokoju, w którym pan pracował.

Nagle wydało mi się, że jakaś zimna dłoń ściska mi serce. A więc ktoś był w pokoju, w którym na stole leżał mój bezcenny traktat! Szaleńczo pognałem po schodach, potem wzdłuż korytarza. W przejściach nie było nikogo, panie Holmes. I nikogo nie było też w pokoju. Wszystko było dokładnie tak, jak zostawiłem, z tym jedynym wyjątkiem, że dokumenty powierzone mojej pieczy zniknęły z biurka, na którym leżały! Kopia została, nie było natomiast oryginału.

Holmes wyprostował się na krześle i zatarł ręce. Widziałem, że sprawa ta zdecydowanie przypadła mu do gustu.

– I co pan wtedy zrobił? – wymruczał pod nosem.

– W jednej chwili zdałem sobie sprawę, że złodziej musiał wejść na górę po schodach od strony bocznych drzwi. Oczywiście, gdyby przyszedł inną drogą, musiałbym się na niego natknąć.

– Był pan pewien, że nie mógł przez cały czas ukrywać się w pokoju lub w tym korytarzu, który był oświetlony przyćmionym światłem?

– To absolutnie niemożliwe. Nawet szczur by się tam nie ukrył, ani w tym pokoju, ani w korytarzu. Tam zupełnie nie ma gdzie się schować.

– Dziękuję. Proszę mówić dalej.

Dozorca, widząc po mojej pobladłej twarzy, że dzieje się coś złego, poszedł za mną na górę. Potem obaj popędziliśmy korytarzem i zbiegliśmy w dół po stromych schodach prowadzących do wyjścia na Charles Street. Drzwi na dole były zamknięte, lecz nie na klucz. Otwarliśmy je na oścież i wybiegliśmy na zewnątrz. Dokładnie pamiętam, że w tamtej chwili kuranty pobliskiego zegara zadzwoniły trzykrotnie. Była za kwadrans dziesiąta.

– To ma ogromne znaczenie – rzekł Holmes, zapisując coś sobie na mankiecie koszuli.

– Noc była bardzo ciemna, siąpił drobny ciepły deszczyk. Na Charles Street nie było nikogo, a na Whitehall jak zwykle panował ogromny ruch. Popędziliśmy chodnikiem z gołymi głowami, na rogu spostrzegliśmy policjanta.

– Popełniono kradzież – wysapałem. – Z ministerstwa spraw zagranicznych skradziono dokument ogromnej wagi. Czy ktoś tędy przechodził?

– Stoję tu już od kwadransa, sir – odparł – przechodziła tędy tylko jedna osoba. Starsza wysoka kobieta z szalem w tureckie wzory.

– Ach, to tylko moja żona – zawołał dozorca. – I nikt inny tędy nie przechodził?

– Nie.

– W takim razie złodziej musiał uciec w drugą stronę – krzyknął, pociągając mnie za rękaw. Nie byłem jednak przekonany, a jego próby, by mnie zniechęcić, wzmocniły tylko moje podejrzenia.

– W którą stronę poszła ta kobieta? – zawołałem.

– Nie wiem, sir. Zauważyłem ją, gdy mnie mijała, ale nie miałem żadnych szczególnych powodów, żeby ją obserwować. Odniosłem wrażenie, że się spieszyła.

– Jak dawno to było?

– Och, kilka minut.

– Nie więcej niż pięć?

– Tak, nie upłynęło więcej niż pięć minut.

– Traci pan tylko swój czas, sir, a teraz każda minuta się liczy! – zawołał dozorca. – Daję słowo, że moja stara nie ma z tym nic wspólnego. Chodźmy już w drugą stronę. Jeśli pan tego nie zrobi, ja to uczynię.

I z tymi słowami rzucił się w przeciwnym kierunku.

Jednak po chwili sam pobiegłem za nim i chwyciłem go za rękaw.

– Gdzie mieszkasz? – spytałem.

– W Brixton, przy Ivy Lane 16 – odparł. – Ale niech pan nie podąża fałszywym tropem, panie Phelps. Idźmy w drugą stronę, tamtą ulicą, i zobaczmy, czy czegoś się tam nie dowiemy.

Stosując się do jego rady, nic nie traciłem. Ruszyliśmy wraz z policjantem, jednak tylko przekonaliśmy się, że na ulicy panuje straszny ruch, wielu ludzi zmierza w różnych kierunkach i wszystkim bardzo się spieszy, by dotrzeć do jakiegoś spokojnego i suchego miejsca w tę deszczową noc. Nie znaleźliśmy żadnego włóczęgi, który byłby nam w stanie powiedzieć, kto tamtędy przechodził.

Powróciliśmy następnie do biura i bezskutecznie przeszukaliśmy schody. Korytarz prowadzący do pokoju wyłożony był kremowym linoleum, na którym bardzo wyraźnie widać wszelkie ślady. Niezwykle uważnie mu się przyjrzeliśmy, lecz nie znaleźliśmy żadnych odcisków stóp.

– Czy przez cały wieczór padał deszcz?

– Mniej więcej od siódmej.

– Jak to więc możliwe, że kobieta, która weszła do pokoju około godziny dziewiątej, nie pozostawiła żadnych śladów swoimi zabłoconymi butami?

– Dobrze, że porusza pan tę kwestię. Mnie też przyszło to wtedy do głowy. Sprzątaczki mają w zwyczaju zdejmować obuwie obok pomieszczenia dozorcy i zakładać robocze pantofle.

– To jasne. A więc nie było śladów, chociaż noc była deszczowa. Ten ciąg wydarzeń jest niezwykle interesujący. Co pan zrobił później?

– Zbadaliśmy również pokój. Nie ma żadnych możliwości, by były tam jakieś tajemne drzwi, a okna znajdują się jakieś trzydzieści stóp nad ziemią. Oba były zamknięte od wewnątrz. Wykładzina uniemożliwia wykorzystanie jakiejkolwiek klapy w podłodze (gdyby nawet taka klapa była), a sufit jest gładki, bielony wapnem. Ręczę moim życiem, że ktokolwiek ukradł moje dokumenty, mógł się tam dostać tylko i wyłącznie przez drzwi.

– A kominek?

– Nie używają kominka. Jest tam piec. Lina od dzwonka zwisa z prawej strony od mojego biurka. Ktoś, kto zadzwonił, musiał podejść do biurka. Ale dlaczego przestępca chciałby używać dzwonka? To dla mnie niewytłumaczalna tajemnica.

– Z całą pewnością ten incydent był dość niezwykły. Jakie kroki podjął pan? Zakładam, że zbadał pan pokój, aby się przekonać, czy intruz nie pozostawił po sobie jakichś śladów, na przykład niedopałka cygara, rękawiczki, spinki do włosów czy innego drobiazgu.

– Nic takiego nie znalazłem.

– A może wyczuł pan jakiś zapach?

– Nie, nawet o tym nie pomyśleliśmy.

– Zapach tytoniu byłby dla nas znaczącą wskazówką w śledztwie.

– Sam nie palę, więc sądzę, że wyczułbym zapach tytoniu. Jedynym oczywistym faktem było to, że żona dozorcy, która nazywa się Tangey, szybko wyszła z budynku. Jej mąż nie był w stanie niczego wytłumaczyć, powiedział jedynie, że zawsze mniej więcej o tej porze udaje się do domu. Policjant i ja byliśmy zgodni co do tego, że najlepiej byłoby schwytać tę kobietę, nim zdoła pozbyć się dokumentów, zakładając, że to ona je zabrała.

Do tego czasu powiadomiliśmy już Scotland Yard; natychmiast zjawił się detektyw Forbes, który niezwykle energicznie przejął śledztwo. Wynajęliśmy dorożkę i w ciągu pół godziny znaleźliśmy się pod podanym przez dozorcę adresem. Otworzyła nam młoda kobieta, która, jak się

okazało, była najstarszą córką pani Tangey. Jej matka jeszcze nie wróciła, zaprowadzono nas więc do pokoju gościnnego, byśmy tam poczekali. Mniej więcej dziesięć minut później rozległo się pukanie do drzwi.
I tu popełniliśmy poważny błąd, za który się obwiniam: pozwoliliśmy otworzyć drzwi dziewczynie. Usłyszeliśmy, jak mówi: „Mamo, w domu czeka dwóch mężczyzn, którzy chcą z tobą porozmawiać”; chwilę później usłyszeliśmy tupot nóg pani Tangey, gdy rzuciła się do ucieczki korytarzem. Forbes otworzył drzwi, i obaj pobiegliśmy do pokoju na tyłach mieszkania, a potem do kuchni, kobieta już tam była. Patrzyła na nas wyzywająco, ale gdy mnie rozpoznała, na jej twarzy pojawił się wyraz absolutnego osłupienia.

– Ojej, to przecież pan Phelps z ministerstwa! – zawołała.

– Proszę, proszę! A co pani myślała, gdy próbowała przed nami uciekać? – spytał mój towarzysz.

– Myślałam, że jesteście handlarzami – powiedziała. – Mieliśmy problemy z pewnym sprzedawcą.

– Nie wystarczy nam taka wymówka – odparł Forbes. – Mamy powody sądzić, że zabrała pani z ministerstwa spraw zagranicznych bardzo ważny dokument i przybiegła pani tutaj, aby się go pozbyć. Uda się pani teraz z nami do Scotland Yardu, gdzie zostanie przeszukana!

Na próżno opierała się i protestowała. Sprowadzono powóz, i pojechaliśmy nim we trójkę. Wcześniej przeszukaliśmy jeszcze kuchnię, a zwłaszcza palenisko, by przekonać się, czy nie zdążyła pozbyć się dokumentów przez tę krótką chwilę, kiedy była tam sama. Nie odkryliśmy jednak żadnych śladów popiołu czy strzępów papieru. Gdy dojechaliśmy do Scotland Yardu, natychmiast oddano ją w ręce kobiety, która miała ją przeszukać. Czekałem, udręczony, w napięciu, aż wróci i zda nam raport. Nie znalazła jednak żadnych dokumentów.

Wtedy właśnie po raz pierwszy dotarło do mnie w pełni, w jak przerażającej sytuacji się znalazłem. Do tej pory działałem, i to zajęcie nie pozwoliło mi na zastanawianie się nad skutkami całego wydarzenia. Tak bardzo byłem pewien, że zaraz odzyskam traktat, iż nie ośmieliłem się nawet myśleć o tym, jakie byłyby konsekwencje, gdyby mi się to nie udało. Teraz jednak nie mogłem liczyć już na nic, więc czekając bezczynnie, uświadomiłem sobie moją sytuację. Była straszna. Watson mógłby panu potwierdzić, że w czasach szkolnych byłem dość wrażliwym, nerwowym

chłopakiem. Taką już mam naturę. Pomyślałem o moim wuju i jego kolegach z rządu, o wstydzie, jaki sprowadziłem na niego, na siebie i wszystkich tych, z którymi byłem związany. I cóż z tego, że padłem ofiarą niebywałego przypadku? Tam, gdzie w grę wchodzi dyplomacja, na przypadki nie ma miejsca. Moja kariera była skończona. Haniebnie, beznadziejnie zrujnowana. Nie wiedziałem, co czynię. Przypuszczam, że musiałem wtedy zrobić jakąś scenę. Przypominam sobie jak przez mgłę urzędników stłoczonych wokół i usiłujących mnie pocieszać. Jeden z nich pojechał ze mną na Waterloo i wsadził do pociągu jadącego do Woking. Sądzę, że towarzyszyłby mi aż do samego domu, gdyby nie to, że doktor Ferrier, który mieszka w sąsiedztwie, jechał tym samym pociągiem. Doktor troskliwie się mną zaopiekował, już na stacji miałem pierwszy atak, i zanim dojechaliśmy do domu, zdążyłem się praktycznie zamienić w majaczącego szaleńca.

Wyobraża pan sobie pewnie, co tu się działo, gdy domownicy, których zaalarmował doktor, zobaczyli mnie w takim stanie. Biedna Annie i moja matka były zrozpaczone. Doktor Ferrier przekazał im w ogólnych zarysach, co się wydarzyło (a czego dowiedział się od detektywa na stacji), ale jego opowieść wcale nie poprawiła sytuacji. Dla wszystkich było jasne, że poważnie zachorowałem, tak więc Joseph musiał opuścić swoją wygodną sypialnię, którą zamieniono na pokój dla mnie. I tak tu leżę, panie Holmes, od ponad dziewięciu tygodni, nieświadomy, majaczący, z zapaleniem mózgu. Gdyby nie panna Harrison i opieka doktora, nie mógłbym dziś z panem rozmawiać. Annie pielęgnowała mnie w dzień. Wynajęła też pielęgniarkę, która opiekowała się mną w nocy, bo w tych moich napadach szaleństwa byłem zdolny do wszystkiego. Powoli zaczęło rozjaśniać mi się w głowie, jednak pamięć wróciła dopiero w ostatnich trzech dniach. Czasami żałuję, że w ogóle ją odzyskałem. Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem, było wysłanie telegramu do pana Forbesa, prowadzącego tę sprawę. Skontaktował się ze mną i zapewnił, że choć zrobiono wszystko, co możliwe, nie znaleziono żadnego tropu. Dozorcę i jego żonę wielokrotnie przesłuchiwano na wszelkie możliwe sposoby, nie rzuciło to jednak żadnego światła na sprawę. Następnie podejrzenia policji padły na młodego Gorota, który, jak pan zapewne pamięta, pracował tamtego wieczora dłużej. To, że został w biurze po godzinach, oraz jego francuskie nazwisko, były w rzeczywistości jedynymi kwestiami mogącymi budzić

wobec niego jakiekolwiek podejrzenia. Pozostaje jednak faktem, iż nie rozpocząłem pracy, dopóki nie poszedł do domu, i choć jego rodzina to hugenoci, to pod względem tradycji czy poglądów są takimi samymi Anglikami jak pan czy ja. Nie odkryto niczego, co by w jakikolwiek sposób obciążyło go, więc sprawę zarzucono. Zwracam się do pana, panie Holmes, bo jest pan dla mnie ostatnią nadzieją. Jeśli pan mnie zawiedzie, na zawsze stracę honor i pozycję.

Zmęczony tą długą opowieścią, chory opadł na poduszki, a jego opiekunka nalała mu do szklanki jakiegoś leku pobudzającego. Holmes siedział w milczeniu z odchyloną do tyłu głową i przymkniętymi oczyma w pozycji, która komuś obcemu mogłaby się wydać apatyczna, ja jednak wiedziałem, iż oznacza to, że pogrążył się w wyjątkowo intensywnym rozmyślaniu.

– Pana opowieść była tak szczegółowa – odezwał się wreszcie – że pozostaje bardzo niewiele pytań, jakie powinienem zadać. Jedno z nich ma jednak ogromne znaczenie. Czy mówił pan komuś, że ma wypełnić to szczególne zadanie?

– Nikomu.

– A na przykład obecnej tu pannie Harrison?

– Nie. Nie byłem w Woking od chwili otrzymania tego zadania do rozpoczęcia jego wykonywania.

– I nikt z pańskiej rodziny przypadkiem pana nie odwiedził?

– Nie.

– Czy ktokolwiek z nich znał układ pomieszczeń biura?

– O tak, pokazywałem je wszystkim.

– Oczywiście, jeśli nikomu pan nie wspominał o tym traktacie, te pytania nic tu nie wnoszą.

– Nikomu niczego nie powiedziałem.

– Wie pan coś na temat tego dozorcy?

– Nic poza tym, że jest emerytowanym żołnierzem.

– Z którego pułku?

– Coś o tym słyszałem… Coldstream Guards.

– Dziękuję. Bez wątpienia dalsze szczegóły uzyskam od Forbesa. Policja jest świetna w gromadzeniu faktów, jednak nie zawsze wie, jak później te fakty wykorzystać. Cóż za przepiękna róża!

Minął kanapę, podszedł do otwartego okna i wziął do ręki opadającą gałązkę róży stulistnej. Przez chwilę przyglądał się delikatnemu połączeniu szkarłatu i zieleni. Dla mnie było to zupełną nowością, nigdy bowiem wcześniej nie zauważyłem, by wykazywał jakiekolwiek zainteresowanie przyrodą.

– Dedukcja w niczym nie jest tak niezbędna jak w religii – powiedział, opierając się plecami o okiennicę. – Człowiek posługujący się logicznym myśleniem może ją zaprezentować podobnie jak naukę ścisłą. Wydaje mi się, że nasza największa pewność co do dobroci opatrzności opiera się na kwiatach. Pozostałe rzeczy: nasze zdolności, pragnienia, nasze pożywienie – jest konieczne dla naszego istnienia. Ale ta róża jest czymś więcej. Jej zapach i kolor są ozdobą życia, nie zaś jego warunkiem. Tylko prawdziwa dobroć potrafi dawać coś więcej, tak więc jeszcze raz powiem, że możemy liczyć na wiele ze strony kwiatów.

Percy Phelps i jego opiekunka patrzyli na Holmesa podczas tego wywodu z zaskoczeniem, a na ich na twarzach było wypisane ogromne rozczarowanie. Holmes zaś pogrążył się w zadumie, trzymając różę między palcami. Upłynęło kilka minut, nim młoda kobieta przerwała milczenie.

– Widzi pan jakieś szanse rozwiązania tej zagadki, panie Holmes? – spytała nieco szorstkim tonem.

– Ach tak, zagadka! – odparł, otrząsając się z zadumy i powracając do rzeczywistości. – Cóż, absurdem byłoby zaprzeczać, że sprawa jest zawiła i skomplikowana. Mogę jednak obiecać, że się tym zajmę i powiadomię państwa o wszelkich rezultatach, które wydadzą mi się istotne.

– Dostrzega pan jakiś trop?

– Dostarczyliście mi państwo siedem, ale naturalnie muszę je sprawdzić, nim będę mógł stwierdzić, czy są one czegoś warte.

– Podejrzewa pan kogoś?

– Podejrzewam siebie…

– Co takiego?!

– …o to, że zbyt szybko wyciągam wnioski.

– W takim razie proszę się udać do Londynu i je sprawdzić.

– Udziela mi pani doskonałej rady, panno Harrison – odparł Holmes, wstając. – Sądzę, Watsonie, że nic lepszego nie możemy zrobić. Niech pan

sobie nie pozwala na złudne nadzieje, panie Phelps. To bardzo powikłana sprawa.

– Będę z niecierpliwością czekał na nasze następne spotkanie z panem! – wykrzyknął dyplomata.

– Jutro przyjadę tym samym pociągiem, choć jest bardziej prawdopodobne, że mój raport nie będzie zbyt zachęcający.

– Niech pana Bóg błogosławi za to, że obiecuje pan tu wrócić – zawołał nasz klient. – Teraz, gdy wiem, że coś w tej sprawie zaczęło się dziać, wstępuje we mnie nowe życie. A nawiasem mówiąc, otrzymałem list od lorda Holdhursta.

– Ha! I co było w tym liście?

– Ton był chłodny, ale nie ostry. Ośmielę się stwierdzić, że powstrzymała go przed tym moja ciężka choroba. Powtórzył, że jest to sprawa ogromnej wagi i dodał, że nie zostaną podjęte żadne kroki dotyczące mojej przyszłości (chodzi oczywiście o moje zwolnienie), dopóki nie powrócę do zdrowia i nie będę miał szansy naprawienia szkody, jaką wyrządziłem.

– Cóż, to rozsądne i taktowne – rzekł Holmes. – Chodź, Watsonie. Czeka nas dziś pracowity dzień w mieście.

Pan Joseph Harrison odwiózł mojego przyjaciela i mnie na stację, i wkrótce mknęliśmy pociągiem jadącym z Portsmouth. Holmes pogrążył się głęboko w rozmyślaniach i prawie się nie odzywał, póki nie minęliśmy Clapham Junction.

– Bardzo przyjemnie wraca się do Londynu którąś z tych linii biegnących nad ziemią, skąd można spojrzeć w dół na wszystkie te domy, tak jak teraz.

Pomyślałem, że żartuje, bo widok był dość obskurny, wkrótce jednak wyjaśnił mi, co miał na myśli.

– Spójrz na te wielkie, odizolowane skupiska budynków, wznoszące się niczym ceglane wyspy nad ołowianym morzem.

– To szkoły z internatem.

– Latarnie, mój drogi. Światła przyszłości. Kapsułki z setkami małych, jasnych nasionek w każdej, z których wyrośnie mądra lepsza Anglia przyszłości. Przypuszczam, że ten Phelps nie pije?

– Nie sądzę.

– Ja też nie. Musimy jednak wziąć pod uwagę każdą możliwość. Ten biedak z pewnością wpadł po uszy w problemy, i pozostaje tylko pytanie,

czy uda nam się kiedykolwiek wyprowadzić go na bezpieczny grunt. Jakie wrażenie zrobiła na tobie panna Harrison?

– To dziewczyna z silnym charakterem.

– Tak, ale o ile się nie mylę, ma dobre usposobienie. Ona i jej brat są jedynymi dziećmi właściciela huty stali gdzieś w okolicach Northumberland. Pan Phelps zaręczył się z nią podczas podróży ubiegłej zimy, i zaproszono ją, by zamieszkała ze swoim bratem u rodziny narzeczonego. Potem nadszedł ten cios, i panna Harrison pozostała, by opiekować się swoim ukochanym, podczas gdy jej brat Joseph, który uznał, że mieszka mu się tam miło i przytulnie, również postanowił zostać. Jak widzisz, dowiedziałem się kilku rzeczy na własną rękę. Jednak dzisiejszy dzień musi być dniem dochodzenia.

– Moja praktyka… – zacząłem.

– Och, jeśli uważasz, że twoje przypadki są ciekawsze niż moje… – odrzekł nieco szorstko Holmes.

– Chciałem właśnie powiedzieć, że moja praktyka nie dozna uszczerbku przez dzień czy dwa, bo teraz jest okres największego zastoju w ciągu całego roku.

– Doskonale! – powiedział, błyskawicznie odzyskując dobry humor. – Zgłębimy więc tę sprawę razem. Sądzę, że powinniśmy zacząć od spotkania z Forbesem. Prawdopodobnie będzie w stanie podać nam wszystkie niezbędne szczegóły, my zaś dzięki temu dowiemy się, od której strony trzeba podejść do tej sprawy.

– Wspominałeś, że masz jakiś trop.

– Owszem, mam ich kilka, jednak tylko prowadząc dalsze śledztwo, możemy sprawdzić, ile są warte. Najtrudniejszym do wykrycia przestępstwem jest takie, które nie ma żadnego motywu. To, z którym mamy teraz do czynienia, ma motyw. Kto może na tym skorzystać? Francuski ambasador, rosyjski ambasador, wszyscy, którzy mogą sprzedać ten dokument któremuś z nich, no i jeszcze lord Holdhurst.

– Lord Holdhurst?!

– Cóż, jest możliwe, że mąż stanu znalazł się w sytuacji, w której byłoby mu na rękę, gdyby taki dokument przypadkowo uległ zniszczeniu.

– Ale chyba nie mąż stanu z tak zaszczytnymi osiągnięciami jak lord Holdhurst?

– Istnieje taka możliwość, i nie możemy sobie pozwolić na to, by ją zignorować. Dziś zresztą spotkamy się z lordem i przekonamy się, co nam powie. A tymczasem rozpocząłem już dochodzenie.

– Już?

– Tak. Ze stacji w Woking wysłałem telegramy do wszystkich wieczornych gazet w Londynie. W każdej z nich pojawi się to ogłoszenie.

Podał mi kartkę wyrwaną z notatnika, na której nabazgrano ołówkiem:

> Dziesięć funtów nagrody za podanie numeru dorożki, z której wysiadł mężczyzna przy samych drzwiach lub w pobliżu wejścia do ministerstwa spraw zagranicznych przy Charles Street za kwadrans dziesiąta wieczorem 23 maja. Proszę się zgłaszać na Baker Street pod numer 221b.

– Jesteś pewien, że złodziej przyjechał dorożką?

– Jeśli pan Phelps miał rację, mówiąc, że ani w pokoju, ani na korytarzach nie ma żadnej kryjówki, to znaczy, że ten człowiek musiał przyjść z zewnątrz. Skoro przybył z zewnątrz w deszczową noc i nie zostawił żadnych mokrych śladów na linoleum, które badano kilka minut po tym, gdy on przeszedł, to jest nadzwyczaj prawdopodobne, że przyjechał dorożką. Tak. Sądzę, że możemy spokojnie wydedukować, iż właśnie tak mogło być.

– Brzmi przekonująco.

– To jeden z tropów, o których mówiłem. Może nas to dokądś doprowadzi. No i oczywiście jeszcze ten dzwonek, który jest charakterystycznym ogniwem całej sprawy. Po co ktoś miałby dzwonić? Czyżby ten złodziej miał ochotę na jakiś brawurowy popis? A może ktoś, kto był razem ze złodziejem, zrobił to, żeby zapobiec przestępstwu? A może to był przypadek? A może… – i znów zamilkł, popadłszy w ten stan intensywnego zamyślenia, z którego na chwilę tylko się wynurzył. Jednak mnie, przyzwyczajonemu do wszystkich jego nastrojów, wydawało się, że nagle przyszła mu do głowy jakaś zupełnie nowa możliwość.

Dojechaliśmy do końcowej stacji dwadzieścia po trzeciej i po szybkim lunchu w bufecie udaliśmy się prosto do Scotland Yardu. Holmes wysłał telegram do Forbesa już wcześniej, i gdy przyszliśmy, detektyw już czekał na nas. Był to niski człowiek o lisim wyglądzie i bystrych, lecz prawdę mówiąc, niezbyt życzliwych rysach twarzy. Zachowywał się chłodno, zwłaszcza gdy usłyszał, w jakiej sprawie przyszliśmy.

– Słyszeliśmy już wcześniej o pańskich metodach, panie Holmes – powiedział zgryźliwie. – Zawsze jest pan gotów wykorzystać wszystkie informacje, jakie daje panu do dyspozycji policja, a potem próbuje pan sam rozwiązać sprawę, dyskredytując naszych detektywów.

– Wręcz przeciwnie – odparł Holmes. – Spośród ostatnich pięćdziesięciu trzech spraw, które prowadziłem, moje nazwisko pojawiło się publicznie tylko w związku z czterema, natomiast policji przypisano wszystkie zasługi za rozwiązanie czterdziestu dziewięciu. Nie winię pana za to, że pan tego nie wie, bo jest pan młody i niedoświadczony, jednak jeśli chce pan dobrze wypełniać swoje obowiązki, będzie pan pracował ze mną, a nie przeciwko mnie.

– Bardzo bym się ucieszył, gdybym usłyszał jakąś dobrą nowinę – rzekł detektyw, zmieniając ton. – Bo z całą pewnością za uczestniczenie w wyjaśnianiu tej sprawy nie przypisano mi do tej pory żadnych zasług.

– Jakie kroki pan podjął?

– Śledziliśmy Tangeya, tego dozorcę. Wygląda na to, że służba w Guards dobrze ukształtowała jego charakter, i nic nie możemy na niego znaleźć. Przypuszczam jednak, że jego żona nie mówi wszystkiego, a mam wrażenie, że wie na ten temat więcej, niż mogłoby się wydawać.

– Śledziliście ją?

– Nasłaliśmy na nią jedną z naszych kobiet. Pani Tangey lubi wypić, i nasza agentka przysiadła się do niej ze dwa razy, gdy już sobie trochę wypiła. Ale niczego nie udało się z niej wyciągnąć.

– W domu nachodzili ich jacyś handlarze?

– Tak. Ale już im zapłacili.

– Skąd wzięli pieniądze?

– To akurat można wytłumaczyć. Jej mąż dostał wypłatę. Nic nie świadczy o tym, że nagle zaczęło im się lepiej powodzić.

– Jak wyjaśniła to, że była na górze, gdy pan Phelps dzwonił, aby poprosić o kawę?

– Powiedziała, że jej mąż był bardzo zmęczony i chciała mu jakoś pomóc.

– Cóż, to by się zgadzało: niedługo po tym pan Phelps zastał go śpiącego na krześle. Raczej nic na nich nie mamy, ale ten jej pośpiech… Pytał ją pan, dlaczego tej nocy tak jej się spieszyło? Właśnie ten pośpiech zwrócił na nią uwagę konstabla.

– Wyszła później niż zazwyczaj i chciała jak najszybciej wrócić do domu.

– Jak tłumaczyła fakt, że pan razem z panem Phelpsem wyszliście z budynku co najmniej dwadzieścia minut po niej, a dotarliście na miejsce przed nią?

– Wyjaśniła, że jechała autobusem podczas gdy my wynajęliśmy dorożkę.

– Czy pani Tangey wytłumaczyła, dlaczego po powrocie pobiegła do kuchni?

– Trzymała tam pieniądze dla tych handlarzy.

– Przynajmniej ma na wszystko odpowiedź. Zapytał ją pan, czy kiedy wychodziła, widziała kogoś kręcącego się po Charles Street?

– Nie widziała nikogo prócz konstabla.

– Cóż, wygląda na to, że wziął ją pan w krzyżowy ogień pytań. Co jeszcze pan zrobił w tej sprawie?

– Przez te całe dziewięć tygodni śledziliśmy urzędnika Gorota, ale bez żadnych rezultatów. Nie znaleźliśmy niczego, co by go obciążało.

– Coś jeszcze?

– Na niczym więcej nie mogliśmy się oprzeć. Nie było już żadnych dowodów.

– A ma pan jakąś teorię na temat tego, dlaczego zadzwonił dzwonek?

– Muszę przyznać, że to mnie przerasta. Ktokolwiek to był, musiał być bardzo pewny tego, że zdoła uciec, skoro w ten sposób wszczął alarm.

– Tak, to, co zrobił, było dziwne. Bardzo panu dziękuję za to, co mi pan powiedział. Jeśli będę w stanie oddać tego człowieka w pańskie ręce, dam panu znać. Chodźmy, Watsonie.

– Dokąd teraz idziemy? – spytałem, gdy opuściliśmy komisariat.

– Idziemy porozmawiać z lordem Holdhurstem, ministrem obecnego rządu i przyszłym premierem Anglii.

Na szczęście udało nam się jeszcze zastać lorda Holdhursta w jego gabinecie przy Downing Street, i gdy Holmes przesłał mu wizytówkę, natychmiast zostaliśmy do niego wprowadzeni. Mąż stanu przyjął nas z tą tradycyjną uprzejmością, która tak go wyróżniała, i wskazał nam dwa okazałe fotele po obu stronach kominka. Stał przed nami na dywaniku. Jego szczupła, wysoka sylwetka, wyraziste rysy, zadumana twarz i kręcone włosy przedwcześnie przyprószone siwizną wydawały się atrybutami tych

rzadko spotykanych arystokratów, których rzeczywiście cechuje szlachetność.

– Pańskie nazwisko jest mi dobrze znane, panie Holmes – rzekł z uśmiechem. – I oczywiście nie zamierzam udawać, iż nie jest mi znany cel pańskiej wizyty. W biurze wydarzyła się tylko jedna rzecz, która mogłaby przyciągnąć pańską uwagę. Proszę powiedzieć, w czyim interesie pan działa?

– Pana Percy'ego Phelpsa – odparł Holmes.

– Ach, mój nieszczęsny siostrzeniec. Rozumie pan zapewne, iż nasze pokrewieństwo sprawia, że tym bardziej nie mogę go w żaden sposób chronić. Obawiam się, że ten incydent będzie miał bardzo niekorzystny wpływ na jego karierę.

– A gdyby odnaleziono dokument?

– Wtedy, oczywiście, byłaby to zupełnie inna sprawa.

– Mam kilka pytań, które pragnąłbym panu zadać, lordzie Holdhurst.

– Z chęcią udzielę panu wszelkich informacji, jakie tylko posiadam.

– Czy to w tym pokoju udzielał pan instrukcji dotyczących przepisywania dokumentu?

– Tak.

– A więc można raczej wykluczyć, że ktoś pana podsłuchiwał?

– To nie wchodzi w rachubę.

– Czy wspominał pan kiedyś komukolwiek, że zamierza przekazać ten traktat do przepisania?

– Nie, nigdy.

– Jest pan tego pewien?

– Całkowicie.

– Cóż, skoro nigdy pan o tym nie wspominał i nie wspominał o tym również pan Phelps, a nikt poza wami nie wiedział o tej sprawie, oznacza to, że obecność złodzieja w pokoju pana Phelpsa była czystym zbiegiem okoliczności. Zobaczył swoją szansę i z niej skorzystał.

Mąż stanu uśmiechnął się.

– To już nie jest moją dziedziną – powiedział.

Holmes zastanawiał się przez chwilę.

– Jest jeszcze jedna bardzo istotna kwestia, którą pragnę z panem omówić – powiedział. – Jak rozumiem, obawiał się pan, że gdyby szczegóły

tego traktatu zostały ujawnione, mogłoby to mieć bardzo poważne konsekwencje.

Po wyrazistej twarzy ministra przebiegł cień.

– W istocie, bardzo poważne.

– I czy takie konsekwencje już miały miejsce?

– Jeszcze nie.

– Czy gdyby ten traktat trafił, powiedzmy, do francuskiego czy rosyjskiego ministerstwa spraw zagranicznych, spodziewałby się pan, że się o tym dowie?

– Powinienem – odparł lord Holdhurst z grymasem na twarzy.

– Ponieważ upłynęło już niemal dziesięć tygodni, i jak do tej pory nic na ten temat nie słychać, słusznym wydaje się założenie, że traktat ten z jakichś powodów jednak do nich nie dotarł.

Lord Holdhurst wzruszył ramionami.

– Chyba nie możemy oczekiwać, panie Holmes, że ten człowiek zabrał traktat, by oprawić go sobie w ramki i powiesić na ścianie.

– Być może czeka na lepszą cenę.

– Jeśli poczeka jeszcze trochę, w ogóle nic nie dostanie. Za kilka miesięcy traktat przestanie być tajny.

– To niezmiernie ważne – rzekł Holmes. – Oczywiście, można również dopuścić możliwość, że gdyby złodziej nagle zapadł na jakąś chorobę…

– Taką jak na przykład zapalenie mózgu? – spytał mąż stanu, rzucając mu szybkie spojrzenie.

– Ja tego nie powiedziałem – rzekł Holmes z niewzruszonym spokojem. – A teraz, lordzie Holdhurst, sądzę, że zajęliśmy już panu zbyt wiele cennego czasu, tak więc chcielibyśmy życzyć panu dobrego dnia.

– Życzę panu wszelkich sukcesów w tym śledztwie niezależnie od tego, kim okaże się przestępca – odparł arystokrata, kłaniając się nam przy drzwiach.

– To niezwykły człowiek – rzekł Holmes, gdy wyszliśmy na Whitehall. – Robi wszystko, aby utrzymać swoje stanowisko. Nie jest bynajmniej bogaty i ma wiele potrzeb. Zauważyłeś oczywiście, że wymieniono mu podeszwy butów? A teraz, Watsonie, nie będę cię już dłużej zatrzymywał, wracaj do wykonywania swojej właściwej pracy. Dziś nie będę już nic robił w naszej sprawie, chyba że ktoś odpowie na moje ogłoszenie związane

z dorożką. Byłbym ci jednak niezwykle zobowiązany, gdybyś pojechał ze mną jutro do Woking tym samym pociągiem co dziś.

Następnego ranka spotkałem się z nim tak, jak ustaliliśmy, i razem udaliśmy się do Woking. Poinformował mnie, że nikt nie odpowiedział na ogłoszenie, i nie wydarzyło się nic, co rzuciłoby nowe światło na sprawę. Kiedy miał na to ochotę, potrafił przybierać kamienny, beznamiętny wyraz twarzy, niczym Indianin, i nie potrafiłem wtedy wyczytać z jego wyglądu, czy był zadowolony z tego, jak sprawy stoją, czy też nie. Pamiętam, mówił o systemie pomiarów Bertillona i entuzjastycznie wyrażał swój podziw dla tego francuskiego erudyty.

Nasz klient nadal był otoczony troskliwą opieką jego oddanej opiekunki, wyglądał jednak znacznie lepiej niż wczoraj. Gdy weszliśmy, bez trudu wstał z sofy i przywitał się z nami.

– Jakieś wieści? – spytał skwapliwie.

– Mój raport jest, tak jak się obawiałem, negatywny – rzekł Holmes. – Widziałem się z Forbesem i rozmawiałem z pańskim wujem, zacząłem badać kilka tropów, które mogą do czegoś doprowadzić.

– A więc nie zniechęcił się pan?

– Bynajmniej.

– Niech pana Bóg błogosławi za te słowa! – zawołała panna Harrison. – Jeśli zachowamy odwagę i cierpliwość, prawda musi wyjść na światło dzienne.

– Mamy panu więcej do powiedzenia niż pan nam – rzekł Phelps, ponownie siadając na sofie.

– Miałem nadzieję, że tak się właśnie stanie.

– Ostatniej nocy przeżyliśmy pewną przygodę, i fakt ten może mieć duże znaczenie – gdy to mówił, jego twarz spoważniała, a w oczach pojawiło się coś, co bardzo przypominało lęk. – Wie pan – ciągnął dalej – zaczynam wierzyć, iż jestem nieświadomym przedmiotem jakiegoś monstrualnego spisku, który godzi nie tylko w moje życie, lecz również w mój honor.

– Aha! – zawołał Holmes.

– Brzmi to może niewiarygodnie, bo o ile wiem, nie mam wrogów na tym świecie. Jednak po doświadczeniach z ostatniej nocy nie mogę wyciągnąć innych wniosków.

– Proszę mi o tym opowiedzieć.

– Muszę panu wyznać, że ubiegłej nocy po raz pierwszy spałem w pokoju sam. Czułem się już dużo lepiej, więc doszedłem do wniosku, że się obejdę bez pielęgniarki. Świeciła się lampka nocna. Około drugiej w nocy zapadłem w lekki sen, gdy nagle obudził mnie jakiś cichy dźwięk. To był taki odgłos, jaki wydaje mysz gryząca deskę. Przez jakiś czas leżałem, nasłuchując i mając wrażenie, że takie właśnie musi być jego źródło. Później ten odgłos stał się głośniejszy i nagle od strony okna dobiegło ostre metaliczne kliknięcie. Zdumiony, usiadłem. Nie mogło być żadnych wątpliwości, co ten dźwięk mógł oznaczać. Pierwszy dobiegł wówczas, gdy ktoś wsuwał jakieś narzędzie w szczelinę w ramie okna, natomiast ten drugi był dźwiękiem, który powstaje przy podważaniu zapadki.

Potem przez jakieś dziesięć minut panowała cisza, tak jakby ten człowiek czekał, by się przekonać, czy ten dźwięk mnie obudził. Następnie usłyszałem ciche skrzypienie otwieranego bardzo powoli okna. Nie byłem w stanie dłużej tego znieść, bo moje nerwy nie są już tak mocne, jak kiedyś. Wyskoczyłem z łóżka i otworzyłem na oścież okiennice. Pod oknem czaił się jakiś człowiek. Nie widziałem go wyraźnie, bo znikł niczym błyskawica. Był owinięty w coś, co przypominało pelerynę, która zasłaniała też część jego twarzy. Jestem pewien tylko jednej rzeczy, a mianowicie tego, że miał w ręku jakąś broń. Wyglądało mi to na długi nóż. Gdy się rzucił do ucieczki, wyraźnie ujrzałem błysk ostrza.

– To niezwykle interesujące – rzekł Holmes. – I co pan wtedy zrobił?

– Powinienem był wyskoczyć przez otwarte okno i go ścigać. Tak właśnie bym postąpił, gdybym czuł się na siłach. Jednak w moim obecnym stanie po prostu chwyciłem za dzwonek i obudziłem wszystkich w domu. Zajęło mi to trochę czasu, bo dzwonek był w kuchni, a wszyscy służący śpią na górze. Zacząłem jednak krzyczeć, a wtedy Joseph zszedł na dół i obudził wszystkich pozostałych. Joseph i stajenny znaleźli ślady na rabacie pod oknem, jednak ostatnio było tak sucho, że doszli do wniosku, iż śledzenie ich na trawie to beznadziejna sprawa. Powiedzieli mi jednak, że na drewnianym płocie przy drodze jest miejsce, w którym widnieje ślad, jakby ktoś tamtędy przechodził i nadłamał szczyt barierki. Nie mówiłem o tym jeszcze lokalnej policji, bo pomyślałem, że może lepiej będzie, jeśli zapytam najpierw pana, panie Holmes, co pan sądzi o tym zdarzeniu.

Wydawało się, że opowieść naszego klienta wywarła niezwykłe wrażenie na Sherlocku Holmesie. Ogromnie podekscytowany, wstał z krzesła i zaczął przemierzać pokój.

– Nieszczęścia zawsze chodzą parami – rzekł Phelps z uśmiechem, choć było wyraźnie widać, że ta przygoda nieco nim wstrząsnęła.

– Z pewnością sporo spadło na pańską głowę – rzekł Holmes. – Czy zdobędzie się pan na wysiłek , aby przejść się ze mną wokół domu?

– O tak. Bardzo chętnie wyjdę trochę na słońce. Joseph też pójdzie.

– I ja również – rzekła panna Harrison.

– Obawiam się, że nie – rzekł Holmes, potrząsając głową. – Muszę chyba panią prosić, by została pani dokładnie w tym miejscu, w którym jest pani teraz.

Młoda dama ponownie usiadła, wyrażając spojrzeniem swe niezadowolenie. Dołączył do nas za to jej brat, i wyruszyliśmy we czwórkę. Obeszliśmy trawnik, podchodząc od zewnętrznej strony do okna pokoju, w którym spał młody dyplomata. Na rabacie były, tak jak wspominał, ślady, lecz beznadziejnie zamazane i niejasne. Holmes na chwilę się nad nimi pochylił, a potem wstał, wzruszając ramionami.

– Nie sądzę, by ktokolwiek był w stanie coś z nich wywnioskować – rzekł.

– Obejdźmy jednak dom i przekonajmy się, dlaczego ten właśnie pokój został wybrany przez włamywacza. Przypuszczałbym, że większe okna w salonie i jadalni powinny wydawać mu się bardziej atrakcyjne.

– Są bardziej widoczne od strony drogi – zasugerował pan Joseph Harrison.

– Oczywiście. A tutaj mamy drzwi, które też mógł spróbować sforsować. Dokąd prowadzą?

– To boczne wejście dla dostawców. Oczywiście w nocy są zamknięte.

– Czy przydarzyło wam się kiedyś wcześniej coś podobnego?

– Nigdy – odparł nasz klient.

– Trzymacie w domu złotą czy srebrną zastawę albo coś, co mogłoby przyciągnąć włamywaczy?

– Nic wartościowego.

Holmes przechadzał się wokół domu, niedbale trzymając ręce w kieszeniach, co według mnie, było dla niego czymś niezwykłym.

– A właśnie – zwrócił się do Josepha Harrisona. – Znalazł pan jakieś miejsce, gdzie ten człowiek uszkodził płot? Przyjrzyjmy się temu!

Korpulentny młody człowiek poprowadził nas do miejsca, gdzie szczyt jednej z desek był pęknięty. Mały fragment drewna zwisał w dół. Holmes odłupał go i krytycznie mu się przyjrzał.

– Sądzi pan, że zrobiono to zeszłej nocy? Wygląda na dość stare, nieprawdaż?

– Cóż. To możliwe.

– Nie ma żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś zeskoczył po drugiej stronie. Nie, sądzę, że tutaj nie uzyskamy żadnych wskazówek. Wróćmy do sypialni i przedyskutujmy tę sprawę.

Percy Phelps szedł bardzo powoli, opierając się na ramieniu swego przyszłego szwagra. Holmes zmierzał natomiast szybkim krokiem przez trawnik. Dotarliśmy do sypialni trochę wcześniej, nim dołączyli do nas Percy i Joseph.

– Panno Harrison – powiedział Holmes, mówiąc z niezwykła powagą – musi pani przez cały dzień pozostać tam, gdzie pani jest. Niech pani nie pozwoli, by cokolwiek pani w tym przeszkodziło. To niezwykle ważne.

– Oczywiście, skoro pan sobie tego życzy, panie Holmes – rzekła zdumiona dziewczyna.

– Gdy będzie pani kładła się spać, proszę zamknąć drzwi tego pokoju od zewnątrz i wziąć ze sobą klucz. Proszę mi obiecać, że pani to zrobi.

– Ale Percy?

– Pojedzie z nami do Londynu.

– A ja mam tutaj zostać?

– To dla jego dobra. Może mu pani naprawdę pomóc. Szybko! Niech mi to pani obieca!

Skinęła głową na znak zgody. Nasi dwaj towarzysze właśnie do nas dotarli.

– Dlaczego tam siedzisz z taką nieszczęśliwą miną, Annie? Wyjdź tutaj do nas na słońce!

– Nie, dziękuję, Josephie. Trochę mnie boli głowa, a w tym pokoju powietrze jest cudownie chłodne i kojące.

– Co pan teraz proponuje, panie Holmes? – spytał nasz klient.

– Cóż, badając każdą pomniejszą kwestię, nie możemy stracić z oczu głównego celu naszego dochodzenia. Niezmiernie by mi pomogło, gdyby

udał się pan z nami do Londynu.

– Teraz?

– Najszybciej jak będzie to panu odpowiadało. Powiedzmy, za godzinę?

– Czuję się wystarczająco silny, skoro rzeczywiście mogę się na coś przydać.

– To wielce prawdopodobne.

– Być może chciałby pan, żebym został tam dziś na noc?

– Właśnie miałem to zaproponować.

– W takim razie, jeśli mój nocny przyjaciel zechce ponownie złożyć mi wizytę, przekona się, że ptaszek wyfrunął. Wszyscy zdajemy się na pana, panie Holmes, i musi nam pan dokładnie opisać, co pan chce, abyśmy robili. Być może wolałby pan, żeby Joseph pojechał z nami, aby się mną opiekować?

– Och nie. Mój przyjaciel Watson jest lekarzem i z pewnością będzie w stanie się panem zająć. Zjemy tu lunch, jeśli pan pozwoli, a później wszyscy trzej wyruszymy do miasta.

I tak właśnie zrobiliśmy, a panna Harrison podała jakąś wymówkę, żeby nie wychodzić z sypialni, zgodnie z tym, co sugerował jej Holmes. Nie miałem pojęcia, jaki cel mogą mieć wszystkie te manewry mojego przyjaciela, może poza tym, że miało to trzymać damę z dala od Phelpsa, który ucieszony poprawą stanu zdrowia i perspektywy działania zjadł z nami lunch. Holmes szykował nam jednak bardziej zdumiewającą niespodziankę: gdy dotarliśmy na stację, wsadził nas do wagonu i ze spokojem oświadczył, że on sam wcale nie zamierza opuszczać Woking.

– Jest kilka szczegółów, które chciałbym wyjaśnić, zanim stąd wyjadę – powiedział. – Pańska nieobecność, panie Phelps, pod pewnymi względami będzie dla mnie raczej pomocna. Watsonie, kiedy już dojedziecie do Londynu, byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś udał się natychmiast z naszym przyjacielem na Baker Street i pozostał z nim tam aż do naszego kolejnego spotkania. Świetnie się składa, że jesteście dawnymi kolegami ze szkoły, bo pewnie musicie mieć mnóstwo rzeczy do omówienia. Pan Phelps może dzisiaj spać w wolnej sypialni, a ja dołączę do was tak, by zdążyć na śniadanie. Mam pociąg o ósmej, który zawiezie mnie prosto na stację Waterloo.

– Ale co z naszym śledztwem w Londynie? – spytał z żalem Phelps.

– Możemy je przeprowadzić jutro. Sądzę jednak, że w tej chwili bardziej przydam się tutaj.

– Niech pan im powie w Briarbrae, że mam nadzieję wrócić jutro wieczorem – zawołał Phelps, gdy pociąg zaczął ruszać z peronu.

– Nie spodziewam się raczej wracać do Briarbrae – odparł Holmes i wesoło pomachał nam ręką, gdy pociąg, nabierając szybkości, zaczął opuszczać stację.

Phelps i ja rozmawialiśmy o działaniach Holmesa podczas podróży, jednak żaden z nas nie potrafił wymyślić zadowalającego uzasadnienia tego nowego obrotu spraw.

– Przypuszczam, że chce znaleźć jakiś trop związany z włamaniem ubiegłej nocy, o ile faktycznie to było włamanie. Jeśli o mnie chodzi, to nie wierzę, żeby to był jakiś zwykły złodziej.

– A co właściwie ty o tym sądzisz?

– Daję słowo, możesz to zrzucić na karb moich nerwów, ale jestem przekonany, że wokół mnie rozgrywana jest jakaś poważna intryga polityczna i z jakiegoś powodu, którego nie potrafię pojąć, celem tych spiskowców jest odebranie mi życia. Brzmi to górnolotnie i absurdalnie, ale popatrz na fakty! Czemu jakiś złodziej miałby się włamywać przez okno w sypialni, w której nie mógł liczyć na żadne łupy? I czemu miałby przychodzić z długim nożem w ręce?

– Jesteś pewien, że nie miał w ręce łomu?

– Och nie, to na pewno był nóż. Dość wyraźnie widziałem błysk ostrza.

– Ale dlaczego ktoś chciałby cię zabić?

– Oto właśnie jest pytanie.

– Cóż, jeśli Holmes patrzy na to podobnie, to by wyjaśniało jego postępowanie, prawda? Załóżmy, że twoja teoria jest słuszna; jeśli uda mu się dostać w swoje ręce człowieka, który zeszłej nocy zagroził twemu życiu, będzie blisko poznania prawdy o tym, kto ukradł ten traktat morski. Absurdalnym byłoby zakładać, że masz dwóch wrogów, z których jeden cię okrada, a drugi dybie na twoje życie.

– Ale Holmes powiedział, że nie wraca do Briarbrae.

– Znam go już trochę – odrzekłem – ale jak do tej pory jeszcze się nie zdarzyło, by zrobił coś, nie mając ku temu uzasadnionych powodów.

Potem nasza rozmowa zeszła na inne tematy.

Był to jednak męczący dla mnie dzień. Phelps wciąż był słaby po długiej chorobie, a nieszczęście, jakie na niego spadło, sprawiło, że stał się płaczliwy i dość nerwowy. Na próżno próbowałem go zainteresować Afganistanem, Indiami, problemami społecznymi lub czymkolwiek, co mogłoby oderwać jego myśli od własnych problemów. Ciągle powracał do zaginionego traktatu, zastanawiał się, zgadywał i spekulował, co robi Holmes, jakie kroki podejmuje lord Holdhurst i jakież to wieści usłyszymy jutro rano. Wieczorem to jego podekscytowanie stało się dosyć uciążliwe.

– Wierzysz bezgranicznie w zdolności Holmesa? – spytał.

– Widziałem, jak robił naprawdę niezwykłe rzeczy.

– Ale chyba nigdy nie udało mu się wyjaśnić sprawy tak zawiłej jak ta?

– Wręcz przeciwnie, widziałem, jak rozwiązuje problemy, w których było znacznie mniej przesłanek niż teraz.

– Ale chyba nie były to sprawy, które dotyczyły aż tak znaczących zagadnień?

– Tego nie wiem. Ale z pewnością działał w imieniu trzech europejskich domów panujących.

– Ale ty go dobrze znasz, Watsonie. Jest tak enigmatycznym człowiekiem, że nigdy do końca nie wiem, co o nim myśleć. Sądzisz, że jest jakaś nadzieja i że uda mu się tę sprawę rozwiązać?

– Nic mi nie mówił.

– To zły znak.

– Wręcz przeciwnie. Zauważyłem, że gdy straci trop, z reguły o tym mówi. Wtedy natomiast, gdy podąża jakimś śladem i nie jest jeszcze do końca pewien, czy jest on właściwy, staje się małomówny. A teraz posłuchaj, drogi przyjacielu! Nie poprawimy w żaden sposób sytuacji, denerwując się i w kółko o niej rozmawiając, a więc bardzo cię proszę, idź już do łóżka, abyś jutro był świeży i wypoczęty, żeby stawić czoło temu, co być może nas czeka.

W końcu udało mi się namówić mojego towarzysza, by zastosował się do tej rady, ale był tak pobudzony, że nie miał zbyt wielkich szans na szybkie zaśnięcie. Jego nastrój okazał się natomiast zaraźliwy, bo przez pół nocy sam przewracałem się z boku na bok, dumając nad tym dziwnym problemem i wymyślając setki teorii, z których każda była jeszcze bardziej nieprawdopodobna niż poprzednia. Czemu Holmes pozostał w Woking? Dlaczego prosił pannę Harrison, by przez cały dzień nie wychodziła

z pokoju, w którym wcześniej leżał chory? Dlaczego tak bardzo uważał, by nie zdradzić rodzinie z Briarbrae, iż zamierza pozostać w okolicy? Łamałem sobie głowę, aż wreszcie, próbując znaleźć jakieś wyjaśnienia tłumaczące wszystkie te fakty, zasnąłem.

Obudziłem się o siódmej i natychmiast poszedłem do pokoju Phelpsa, aby się przekonać, że jest wymizerowany i zmęczony po bezsennej nocy. Jego pierwszym pytaniem było, czy Holmes już przyjechał.

– Będzie tu tak, jak obiecał – powiedziałem. – Ani chwili wcześniej, ani chwili później.

Moje słowa się sprawdziły, ponieważ wkrótce po ósmej przed naszymi drzwiami zatrzymała się dorożka i wysiadł z niej mój przyjaciel. Stojąc w oknie, spostrzegliśmy, że jego lewa dłoń jest owinięta bandażem, a twarz jest bardzo ponura i blada. Wszedł do domu, lecz minęło trochę czasu, nim przyszedł na górę.

– Wydaje się, że ktoś go pobił! – zawołał Phelps.

Musiałem przyznać mu rację.

– Wygląda na to – powiedziałem – że prawdopodobnie trop, który doprowadzi nas do rozwiązania sprawy, kryje się gdzieś tutaj, w mieście.

Phelps jęknął.

– Nie wiem, jak jest – powiedział – ale tak wiele sobie obiecywałem po jego powrocie. Jednak wczoraj jego dłoń na pewno nie była obandażowana. O co tu chodzi?

– Czy jesteś ranny, Sherlocku? – spytałem, gdy mój przyjaciel wszedł do pokoju.

– E! To tylko draśnięcie, i to z własnej winy – odparł, kiwając nam głową na dzień dobry. – Ta pańska sprawa, panie Phelps, jest z pewnością jedną z najbardziej zawiłych, jakie kiedykolwiek próbowałem rozwiązać.

– Obawiałem się, że dojdzie pan do wniosku, iż przekracza ona pańskie możliwości.

– To było absolutnie niezwykłe doświadczenie.

– Ten bandaż świadczy o tym, że przeżyłeś jakieś przygody – powiedziałem. – Nie opowiesz nam, co się wydarzyło?

– Po śniadaniu, mój drogi Watsonie. Pamiętaj, że jeszcze dziś rano oddychałem powietrzem trzydzieści mil od Surrey. Jak przypuszczam, nie było żadnej odpowiedzi na moje ogłoszenie o dorożkarzu? No cóż, nie możemy oczekiwać, że każde nasze posunięcie okaże się trafne.

Stół był już nakryty, i właśnie gdy miałem sięgnąć po dzwonek, weszła pani Hudson z herbatą i kawą. Chwilę później przyniosła trzy półmiski z przykrywkami, i wszyscy zasiedliśmy do stołu: Holmes z wilczym apetytem, ja zaciekawiony, a Phelps w czarnym nastroju.

– Ho, ho! Pani Hudson stanęła dziś na wysokości zadania – rzekł Holmes, zdejmując przykrywkę, pod którą znalazł kurczaka z curry. – Jej inwencja kulinarna jest co prawda nieco ograniczona, lecz jako Szkotka ma doskonałe pojęcie o tym, jak powinno wyglądać porządne śniadanie. A ty co tam masz, Watsonie?

– Jajka na szynce – odparłem.

– Świetnie! A czym pan się poczęstuje, panie Phelps? Drobiem z curry czy jajkami? Sam pan sobie nałoży?

– Dziękuję, nie jestem w stanie nic przełknąć – rzekł Phelps.

– Och, niechże pan da spokój! Proszę spróbować tego dania, które stoi przed panem.

– Dziękuję bardzo, ale wolałbym nie.

– No cóż – rzekł Holmes z szelmowskim błyskiem w oku. – W takim razie nie ma pan pewnie nic przeciwko temu, żeby się ze mną podzielić. Mogę prosić?

Phelps uniósł przykrywkę, i w tej samej chwili z jego gardła wyrwał się krzyk. Siedział tak, wpatrując się w to, co zobaczył, z twarzą równie białą jak talerz stojący przed nim na stole. Pośrodku półmiska leżała niewielka tuba z niebieskoszarego papieru. Schwycił ją, pożerając oczami, i puścił się w pląsy po całym pokoju. Przyciskał tubę do piersi i krzyczał dziko z radości. W końcu bezwładnie osunął się na fotel, tak wyczerpany swymi emocjami, że musieliśmy wlać mu do gardła trochę brandy, żeby nie zemdlał.

– No już, już – powiedział uspokajająco Holmes, klepiąc go po ramieniu. – To niełądnie z mojej strony, że tak pana zaskoczyłem, ale nie potrafię się oprzeć pokusie wprowadzenia odrobiny dramatyzmu. Watson to potwierdzi.

Phelps chwycił rękę mojego przyjaciela i pocałował ją.

– Niech pana Bóg błogosławi! – zawołał. – Ocalił pan mój honor.

– Cóż, gra toczyła się również o mój honor, rozumie pan – rzekł Holmes. – Zapewniam pana, że podobnie jak panu trudno jest znieść niewypełnienie powierzonego mu zadania, tak mnie jest ciężko pogodzić się z porażką.

Phelps wepchnął cenny dokument w najgłębszą wewnętrzną kieszeń swojej kamizelki.

– Nie mam serca przeszkadzać panu spożywać śniadanie, lecz umieram z ciekawości, aby się dowiedzieć, jak go pan odnalazł i gdzie on był.

Sherlock Holmes wypił łyk kawy i poświęcił całą uwagę jajkom na szynce. Potem wstał z krzesła, zapalił fajkę i rozsiadł się wygodnie w swoim fotelu.

– Opowiem panu, jakie kroki poczyniłem i co mi się udało ustalić – odparł. – Po tym, jak zostawiłem was na stacji, wybrałem się na cudowny spacer, podziwiając wspaniałe krajobrazy Surrey. Dotarłem do uroczej małej wioski Ripley, gdzie wypiłem herbatę w gospodzie, a następnie napełniłem flaszeczkę i włożyłem do kieszeni kilka kanapek. Pozostałem tam aż do wieczora, a potem wyruszyłem do Woking i tuż po zachodzie słońca znalazłem się na głównej drodze przy Briarbrae.

Czekałem, aż droga opustoszeje, choć, jak sądzę, nigdy nie ma na niej zbyt wielkiego ruchu. Następnie przeszedłem przez ogrodzenie otaczające teren wokół domu.

– Ależ brama na pewno była otwarta! – zawołał Phelps.

– Owszem, tylko że mam w tych sprawach dość specyficzny gust. Wybrałem sobie miejsce, gdzie rosną jodły, i przeszedłem pod ich osłoną, nie narażając się na najmniejsze nawet ryzyko, by ktoś z domu mógł mnie zobaczyć. Przyczaiłem się wśród krzewów po drugiej stronie i czołgałem się od jednego do drugiego, co może potwierdzić okropny stan moich spodni na kolanach, dopóki nie dotarłem do kępy rododendronów naprzeciwko okien pańskiej sypialni. Tam się zaczaiłem i czekałem na rozwój wydarzeń. Zasłona w pańskim pokoju nie była opuszczona i widziałem, że panna Harrison siedzi przy stole i czyta. Kwadrans po dziesiątej odłożyła książkę, zamknęła okiennice i poszła spać. Usłyszałem jeszcze, jak zamyka drzwi, i byłem pewien, że przekręciła również klucz w zamku.

– Klucz?! – zawołał Phelps.

– Tak. Poinstruowałem pannę Harrison, by zamknęła drzwi od zewnątrz i wzięła ze sobą klucz, gdy będzie szła spać. Wypełniła wszystkie moje zalecenia co do joty, a zapewniam pana, że bez jej współpracy nie miałby pan teraz swojego dokumentu w kieszeni kamizelki. Następnie poszła

do swej sypialni, i światła zgasły, ja natomiast dalej czekałem przyczajony między krzewami rododendronu.

Noc była piękna, ale całe to czuwanie było dla mnie niezwykle nużące. Oczywiście jest w tym też coś podniecającego, coś takiego, co czuje myśliwy, gdy czeka przy wodopoju na grubą zwierzynę. A jednak strasznie mi się dłużyło. Niemal tak bardzo, Watsonie, jak wówczas, gdy razem czekaliśmy w tym dziwacznym pokoju, zajmując się zagadką nakrapianej przepaski. W Woking na kościelnej wieży jest zegar, który bije co kwadrans, i nieraz przychodziło mi do głowy, że chyba musiał się zatrzymać. Jednak wreszcie, około drugiej w nocy, usłyszałem delikatny dźwięk przesuwanego rygla i zgrzyt klucza. Chwilę później otworzyły się drzwi dla służby, i w świetle księżyca stanął pan Joseph Harrison.

– Joseph! – zawołał Phelps.

– Nie miał żadnego nakrycia głowy, na ramieniu trzymał jednak czarną pelerynę, tak by w razie konieczności mógł ukryć swoją twarz. Przeszedł na palcach w cieniu muru, a kiedy dotarł do okna, wsunął w szczelinę ramy okiennej nóż o długim ostrzu i wypchnął zapadkę. Następnie otworzył okno na oścież i, wsuwając nóż przez szczelinę w okiennicach, odryglował je i otworzył. Z miejsca, w którym leżałem, miałem doskonały widok na wnętrze pokoju i mogłem obserwować każdy jego ruch. Zapalił te dwie świece, które stały na półce nad kominkiem, a następnie odwinął róg dywanu przy drzwiach i wyjął z podłogi kwadratowy kawałek deski, taki, jak zazwyczaj pozostawia się, aby monterzy mieli dostęp do złączek rur gazowych. Ten fragment deski, jak się okazało, rzeczywiście zakrywał złącze w kształcie litery T, od którego odchodziła rura doprowadzająca gaz do kuchni położonej poniżej. Wyjął ze swojej kryjówki tubę z dokumentem, odłożył na miejsce deskę, wyprostował dywan, zdmuchnął świece i… wkroczył wprost w me ramiona, gdy stałem, czekając na niego pod oknem.

Cóż, ten panicz Joseph jest brutalniejszy, niż mogłem podejrzewać. Rzucił się na mnie z tym swoim nożem, więc musiałem dwukrotnie go powalić. Skaleczyłem przy tym sobie kostki ręki, nim udało się go pokonać. Patrzył na mnie z nienawiścią tym okiem, którym był w stanie jeszcze widzieć, kiedy już ze sobą skończyliśmy; posłuchał jednak głosu rozsądku i oddał mi dokument. Gdy już miałem go w rękach, puściłem Harrisona; wszystkie szczegóły przesłałem telegramem do Forbesa. Jeśli będzie na tyle szybki, żeby złapać tego ptaszka, to wspaniale. Jednak jeśli, jak w swej

przenikliwości przypuszczam, dotrze tam i odkryje, że gniazdko jest puste, to cóż… tym lepiej dla rządu. Sądzę, że lord Holdhurst, a także pan Percy Phelps naprawdę woleliby, by ta sprawa nigdy nie wyszła poza mury budynku policji.

– Mój Boże – westchnął nasz klient. – Mówi mi pan, że w ciągu tych długich dziesięciu tygodni męczarni skradziony dokument przez cały czas był w tym samym pokoju, w którym leżałem?

– Tak właśnie było.

– A Joseph?! Łotr i złodziej!

– Obawiam się, że charakter Josepha jest bardziej złożony i niebezpieczny, niż można by sądzić po jego wyglądzie. Z tego, co dziś w nocy od niego usłyszałem, wnioskuję, że poniósł ogromne straty, grając na giełdzie, i jest gotów na wszystko, aby tylko poprawić swoją kondycję finansową. Ponieważ jest człowiekiem w ogromnym stopniu egoistycznym, to gdy nadarzyła się okazja, nie zastanawiał się, że kradzież dokumentu może stać na przeszkodzie szczęściu własnej siostry czy podważyć pańską reputację.

Percy Phelps opadł na krzesło.

– W głowie mi się kręci – powiedział. – Pańskie słowa całkowicie mnie zszokowały.

– Główna trudność w tej naszej sprawie – zauważył Holmes swym mentorskim tonem – polegała na tym, że było za dużo dowodów. Na kwestie o kluczowym znaczeniu nałożyły się rzeczy nieistotne, zaciemniając je. Spośród wszystkich faktów, jakie nam przedstawiono, musieliśmy wybrać te, które uznaliśmy za kluczowe, a następnie poukładać je po kolei, aby zrekonstruować ten niezwykły przebieg wydarzeń. Zacząłem podejrzewać Josepha już na podstawie informacji o tym, że zamierzał pan wracać z nim do domu tego wieczoru. Istniało w związku z tym spore prawdopodobieństwo, że po drodze zajrzy po pana, zwłaszcza że dobrze znał budynek ministerstwa. Gdy tylko dowiedziałem się o tym, że ktoś chciał się dostać do sypialni, w której nikt poza Josephem nie mógł niczego ukryć (bo jak wspomniał pan w swojej opowieści, gdy przyjechał pan chory w towarzystwie lekarza, Joseph musiał ten pokój opuścić) moje podejrzenia zmieniły się w pewność. Zwłaszcza że próby tej dokonano w pierwszą noc, gdy nie czuwała przy panu pielęgniarka, co wskazywało na to, że intruz doskonale wiedział o wszystkim, co dzieje się w domu.

– Jakim byłem ślepcem!

– Fakty związane z tą sprawą, na tyle, na ile udało mi się je rozpracować, przedstawiały się następująco. Joseph wszedł do budynku ministerstwa przez drzwi od Charles Street i, znając drogę, udał się prosto do pańskiego biura akurat w chwili, gdy pan z niego wyszedł. Zorientowawszy się, że nikogo tam nie ma, zadzwonił, jednak w tej samej chwili jego wzrok padł na leżące na stole papiery. Jedno spojrzenie wystarczyło, by zrozumiał, że los dał mu do rąk dokument wagi państwowej o ogromnej wartości. Tak więc w jednej chwili wepchnął go do kieszeni i wyszedł. Jak pan pamięta, minęło kilka minut, nim zaspany dozorca zwrócił panu uwagę na dzwonek, więc złodziej miał wystarczająco dużo czasu, żeby uciec. Pojechał do Woking pierwszym pociągiem i, przejrzawszy swój łup, upewnił się, że rzeczywiście posiada on ogromną wartość. Ukrył go w miejscu, które według niego było bardzo bezpieczne, mając zamiar odnieść go za dzień czy dwa do francuskiej ambasady lub gdziekolwiek tam, gdzie, jak uważał, dostanie za niego wysoką cenę. Potem nagle pan powrócił. Joseph, z pewnością zaskoczony takim obrotem spraw, musiał zabrać swoje rzeczy z pokoju; od tego czasu zawsze były tam co najmniej dwie osoby, nie mógł więc odzyskać swego łupu. Sytuacja ta musiała być dla niego nie do zniesienia. Jednak w końcu wydało mu się, że pojawiła się szansa. Spróbował się tam zakraść, ale udaremnił mu pan to, budząc się tej nocy. Przypomina pan sobie, że tego wieczoru nie wypił pan, tak jak zazwyczaj, swojego lekarstwa?

– Rzeczywiście.

– Przypuszczam, że podjął odpowiednie kroki, by pańskie lekarstwo było skuteczne, i był pewien, że będzie pan nieprzytomny. Oczywiście, było dla mnie jasne, że spróbuje ponownie, gdy tylko uzna, że jest to bezpieczne. Kiedy opuścił pan pokój, znowu pojawiła się szansa, na którą tak długo czekał. Ja jednak poprosiłem pannę Harrison, by siedziała tam przez cały dzień, żeby nie mógł nas ubiec. Gdy uzyskał pewność, że droga jest wolna, dostał się do pomieszczenia, a ja czatowałem pod oknem, tak jak opisałem. Wiedziałem już, że dokumenty są w pokoju, nie miałem jednak ochoty odrywać wszystkich desek i listew, żeby je odnaleźć. Tak więc pozwoliłem mu wyjąć je z kryjówki i w ten sposób oszczędziłem sobie trudu. Czy jest jeszcze jakaś inna kwestia, którą mógłbym wyjaśnić?

– Czemu za pierwszym razem próbował wejść przez okno, skoro mógł wejść drzwiami?

– Żeby dojść do tych drzwi, musiałby przejść obok siedmiu sypialni. Z drugiej strony, mógł z łatwością przejść do okna przez trawnik. Coś jeszcze?

– Ale nie sądzi pan chyba – spytał Phelps – że miał jakieś mordercze zamiary? Czy ten nóż miał być tylko narzędziem?

– Możliwe – odparł Holmes, wzruszając ramionami. – Mogę tylko powiedzieć, że pan Joseph Harrison jest z pewnością dżentelmenem, na którego łaskę nie chciałbym być zdany i któremu niezwykle trudno byłoby mi zaufać.

Rozdział jedenasty

Ostatnia zagadka

Z ciężkim sercem biorę do ręki pióro, aby opisać po raz ostatni osobliwe zdolności, wyróżniające mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa. Spróbowałem w niespójny i – jestem głęboko przeświadczony – zupełnie nieadekwatny sposób zdać relację z moich dziwnych przygód przeżytych u jego boku, od czasu gdy po raz pierwszy połączył nas los w czasie rozwiązywania problemu „Studium w szkarłacie” aż do jego udziału w sprawie traktatu morskiego, kiedy to bez wątpienia zapobiegł poważnym międzynarodowym komplikacjom. Zamierzałem na tym poprzestać i nic nie wspominać o wydarzeniu, które pozostawiło w moim życiu pustkę, jakiej nie udało mi się wypełnić mimo upływu dwóch lat. Zostałem jednak zmuszony do opisania tych zdarzeń z powodu niedawno opublikowanego listu, w którym pułkownik James Moriarty broni pamięci swego brata. Nie mam więc innego wyboru, jak tylko przedstawić czytelnikom wszystkie wydarzenia, które wówczas miały miejsce. Znam całą prawdę o tej sprawie i cieszę się, że nadszedł taki moment, gdy dalsze jej przemilczanie nie służy żadnym celom. O ile mi wiadomo, w prasie pojawiły się tylko trzy informacje: artykuł w „Journal de Genève” z 6 maja 1891 roku, depesza Reutera w angielskich gazetach z 7 maja i opublikowany niedawno list, o którym już wspomniałem. Dwie pierwsze spośród nich były niezwykle zwięzłe, podczas gdy ostatnia publikacja, jak zaraz udowodnię, całkowicie wypaczała fakty. Moim zadaniem jest opowiedzieć po raz pierwszy o tym, co się naprawdę wydarzyło pomiędzy profesorem Moriartym a Sherlockiem Holmesem.

Niektórzy być może pamiętają, że po moim ślubie i rozpoczęciu prywatnej praktyki bardzo bliskie relacje, jakie istniały pomiędzy Holmesem a mną, uległy osłabieniu. Wciąż zjawiał się u mnie od czasu

do czasu, gdy zapragnął mieć towarzysza podczas prowadzonego śledztwa, jednak okazje te stawały się coraz rzadsze, aż wreszcie, jak to teraz widzę, w roku 1890 były już tylko trzy sprawy, o których cokolwiek mi wiadomo. Zimą tego roku i wczesną wiosną 1891 wyczytałem z gazet, że został zaangażowany przez francuski rząd w jakąś sprawę o niezwykle doniosłym znaczeniu. Otrzymałem też dwa listy od Holmesa, wysłane z Narbonne i Nîmes, z których wywnioskowałem, że jego pobyt we Francji prawdopodobnie znacznie się przeciągnie. Byłem więc bardzo zaskoczony, gdy wieczorem 24 kwietnia ujrzałem, jak wchodzi do mojego gabinetu. Uderzył mnie jego wygląd. Był jeszcze bledszy i bardziej wychudzony niż zazwyczaj.

– Masz rację! Chyba zbyt swobodnie wykorzystywałem swoje siły – zauważył w odpowiedzi na moje spojrzenie, choć nie odezwałem się ani słowem. – Ostatnio żyłem pod dużą presją. Masz coś przeciwko temu, żebym zamknął okiennice?

Jedynym źródłem światła w pokoju była lampka stojąca na stole, przy którym czytałem. Holmes przemknął się wzdłuż ściany, a następnie zamknął okiennice i porządnie je zaryglował.

– Obawiasz się czegoś? – spytałem.

– Owszem.

– Czego?

– Strzału z wiatrówki.

– Mój drogi Holmesie, co masz na myśli?!

– Watsonie, znasz mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie jestem nerwowym człowiekiem. Jednak z drugiej strony, gdy zbliża się niebezpieczeństwo, zaprzeczanie temu jest raczej głupotą niż odwagą. Byłbyś tak miły i podał mi zapałki? – zaciągnął się dymem z papierosa i przez chwilę cieszył się jego kojącym wpływem.

– Muszę cię przeprosić za to, że przyszedłem tak późno – powiedział – i za to, że muszę cię jeszcze prosić o to, byś pozwolił mi opuścić twój dom przez płot ogrodu na jego tyłach.

– Ale co to wszystko znaczy? – spytałem.

Wyciągnął dłoń, i zobaczyłem w świetle lampki, że dwie otarte kostki krwawią.

– Jak widzisz, to nie jest takie zupełne nic – powiedział z uśmiechem. – Wręcz przeciwnie, jest na tyle rzeczywiste, że można sobie na tym złamać

rękę. Pani Watson jest w domu?

– Wyjechała z wizytą.

– Naprawdę! Jesteś sam?

– Na to wygląda.

– W takim razie łatwiej mi będzie złożyć ci propozycję, abyś wyjechał ze mną na tydzień na kontynent.

– Dokąd?

– Och, gdziekolwiek. Wszystko mi jedno.

Było w tym wszystkim coś bardzo dziwnego. W naturze Holmesa nie leżało urządzanie sobie beztroskich wakacji, a coś w jego bladej przemęczonej twarzy mówiło mi, że nerwy ma napięte do granic możliwości. Zauważył moje pytające spojrzenie. Zetknął czubki palców i, opierając łokcie na kolanach, zaczął wyjaśniać całą sytuację.

– Prawdopodobnie nigdy nie słyszałeś o profesorze Moriartym? – zapytał.

– Nie.

– No właśnie. I na tym polega jego geniusz, a także niecodzienność całej sprawy! – zawołał. – Macki tego człowieka oplatają cały Londyn, a nikt nawet o nim nie słyszał. To sprawia, że jego działalność jest ukoronowaniem historii zbrodni. Mówię ci, Watsonie, z całą powagą, że gdybym mógł go pokonać i uwolnić społeczeństwo od tego człowieka, czułbym, że moja kariera osiągnęła apogeum, i byłbym gotów znaleźć sobie w życiu jakieś spokojniejsze zajęcie. Między nami mówiąc, moje ostatnie sprawy, które umożliwiły mi wyświadczyć przysługę rodzinie królewskiej ze Skandynawii oraz rządowi Republiki Francuskiej, dały mi taką pozycję, że mogę żyć sobie spokojnie w sposób, jaki najbardziej mi odpowiada, i skupić całą uwagę na moich badaniach chemicznych. Nie mógłbym jednak odpoczywać, Watsonie, nie byłbym w stanie spokojnie usiedzieć na miejscu, wiedząc, że ktoś taki jak profesor Moriarty bezkarnie spaceruje po ulicach Londynu.

– A co on takiego zrobił?

– Jest człowiekiem dobrze urodzonym, posiada doskonałe wykształcenie, a natura obdarzyła go fenomenalnymi zdolnościami matematycznymi. Przebieg jego kariery był dość niezwykły. W wieku dwudziestu jeden lat napisał traktat o dwumianie Newtona; ta rozprawa stała się głośna w całej Europie. Dzięki temu dostał katedrę matematyki na jednym z mniejszych

uniwersytetów, i wszystko wskazywało na to, że czeka go błyskotliwa kariera. Jednak ten człowiek obciążony był pewnymi dziedzicznymi skłonnościami, i to skłonnościami wręcz diabolicznej natury. Można by powiedzieć, że zbrodnię miał we krwi. Zamiast jednak zagłuszyć odziedziczone cechy, dodatkowo jeszcze je wzmocnił, stając się wysoce niebezpiecznym dzięki niezwykłym zdolnościom swego intelektu. W miasteczku uniwersyteckim krążyły o Moriartym ponure pogłoski, aż w końcu był zmuszony zrezygnować z prowadzenia katedry i przyjechał do Londynu, gdzie podjął pracę jako nauczyciel w szkole wojskowej. Tyle wiadomo światu na jego temat, jednak to, co ci teraz powiem, odkryłem sam.

Jak dobrze wiesz, Watsonie, nie ma człowieka, który znałby najwyższe kręgi przestępcze tak dobrze, jak ja. W ciągu minionych lat nieustannie byłem świadomy istnienia siły kryjącej złoczyńców, ukrytej głęboko struktury organizacyjnej, która zawsze stawała na drodze prawu i osłaniała swą tarczą przestępcę. W najróżniejszych sprawach, związanych z fałszerstwami, rabunkami, morderstwami, nieustannie wyczuwałem obecność tej siły. Wydedukowałem jej wpływ w wielu z tych nierozwiązanych przestępstw, w których nie poproszono mnie osobiście o pomoc. Przez wiele lat próbowałem przebić się przez zasłonę, która ją otaczała. Aż w końcu nadszedł czas, gdy wpadłem na trop, który po niezliczonych zakrętach doprowadził mnie do byłego profesora Moriarty’ego, słynnego matematyka.

To Napoleon zbrodni, Watsonie! To on organizuje połowę wszystkich przestępstw i niemal wszystkie te, które w tym ogromnym mieście pozostają niewykryte. Jest geniuszem, filozofem, człowiekiem myślącym abstrakcyjnie. Ma pierwszorzędny mózg. Siedzi bez ruchu niczym pająk pośrodku swej sieci, jednak ta sieć ma tysiące odgałęzień, a on doskonale wyczuwa każde jej drżenie. Sam robi niewiele. Tylko planuje. Ma jednak licznych, doskonale zorganizowanych agentów. Gdy trzeba popełnić przestępstwo, powiedzmy, wykraść dokumenty, splądrować czyjś dom albo się kogoś pozbyć, zadanie zostaje przekazane profesorowi, a on czuwa nad jego zorganizowaniem i wykonaniem. Sprawca może zostać ujęty, wówczas zawsze znajdą się pieniądze na kaucję lub opłacenie adwokata. Jednak „mózg” posługujący się agentami nigdy nie zostaje schwytany. Nikt nawet nie podejrzewa o jego istnieniu. Watsonie, wydedukowałem fakt istnienia

takiej organizacji i poświęciłem całą swą energię na jej ujawnienie i rozbicie.

Profesor jednak tak sprytnie się zabezpieczył, że niezależnie od tego, co robiłem, zdobycie dowodów, na których podstawie sąd mógłby go skazać, wydawało się niemożliwe. Znasz moje zdolności, mój drogi Watsonie. Upłynęły jednak trzy miesiące, i byłem zmuszony przyznać, iż w końcu spotkałem przeciwnika równego mi intelektem. Grozę, jaką czułem na myśl o jego zbrodniach, przyćmił podziw dla jego zdolności. Jednak w końcu popełnił błąd. Było to tylko drobne potknięcie, lecz nie mógł sobie na nie pozwolić w sytuacji, kiedy już deptałem mu po piętach. Dostałem więc szansę od losu i od tamtej chwili snułem wokół niego swą sieć. Pułapka jest gotowa, wystarczy tylko zapędzić go w tę sieć. Za trzy dni, czyli w poniedziałek, przygotowania zostaną zakończone, a profesor oraz wszyscy główni członkowie jego organizacji znajdą się w rękach policji. Potem dojdzie do największego procesu w tym stuleciu i wyjaśnienia ponad czterdziestu nierozwiązanych spraw, a wszyscy winni zawisną. Jednak jeśli przedwcześnie wykonamy jakiś ruch, mogą wymknąć nam się z rąk nawet w ostatniej chwili.

Gdybym mógł tego wszystkiego dokonać bez wiedzy profesora Moriarty’ego, wszystko byłoby dobrze. On jednak był na to zbyt przebiegły. Gdy zastawiałem na niego sidła, śledził każdy mój krok. Niejednokrotnie próbował się z nich wyrwać, lecz ja za każdym razem odcinałem mu drogę. Mówię ci, przyjacielu, że gdyby spisać relację z tej cichej walki, zostałaby uznana za najbardziej błyskotliwą wymianę ciosów i uników w historii ścigania zbrodni. Nigdy jeszcze nie wzniosłem się na takie wyżyny i nigdy wcześniej mój przeciwnik tak bardzo nie przyparł mnie do muru. On ciął mocno, ja zaś nieustannie te jego ciosy parowałem. Ostatnie kroki podjąłem dziś rano i potrzebowałem tylko trzech dni, aby zakończyć całą sprawę. Siedziałem u siebie w pokoju, zastanawiając się nad tym wszystkim, gdy drzwi się otworzyły i stanął przede mną sam profesor Moriarty.

Mam dość mocne nerwy, Watsonie, ale muszę przyznać, że przeszył mnie dreszcz, gdy zobaczyłem tego człowieka na progu mojego domu. Wiedziałem, jak wygląda. Jest bardzo wysoki i chudy, z wysklepionym wysokim czołem i głęboko osadzonymi oczyma. Gładko ogolony, blady, wręcz ascetyczny, zachował w swoich rysach coś z typowego naukowca.

Plecy ma przygarbione po wielu latach studiów i badań, głowę wysuniętą do przodu. Nieustannie kołysze się lekko z boku na bok w jakiś dziwaczny gadzi sposób. Patrzył na mnie spod zmarszczonych brwi z ogromnym zaciekawieniem.

– Ma pan mniej wysklepione czoło, niż się spodziewałem – powiedział wreszcie. – To chyba dość niebezpieczny nawyk nosić naładowaną broń w kieszeni szlafroka?

Faktem jest, że gdy tylko do mnie wszedł, natychmiast zdałem sobie sprawę, że znalazłem się w straszliwym niebezpieczeństwie. Jedyną możliwą drogą ucieczki, jaką mógł sobie zapewnić, było uciszenie mnie na zawsze. W jednej chwili chwyciłem rewolwer z szuflady, wsunąłem go do kieszeni i trzymałem tak przez tkaninę. Słysząc jego uwagę, wyciągnąłem broń i położylem, odbezpieczoną, na stole. Nadal się uśmiechał i wciąż mrugał, ale w jego oczach było coś takiego, że bardzo się cieszyłem, mając pod ręką rewolwer.

– Najwyraźniej pan mnie nie zna – powiedział.

– Wręcz przeciwnie – odparłem. – Oczywistym jest, że pana znam. Ale proszę usiąść. Mogę poświęcić panu pięć minut, jeśli ma mi pan coś do powiedzenia.

– Wszystko, co mam do powiedzenia, przeszło już panu przez myśl – powiedział.

– A więc być może panu przeszła przez myśl moja odpowiedź – odparłem.

– Upiera się pan przy swoim?

– Jak najbardziej.

Wsunął rękę do kieszeni, ja zaś chwyciłem pistolet ze stołu. Wyciągnął jednak tylko jakiś notes, w którym miał zapisane daty.

– Wszedł mi pan w drogę 4 stycznia – oznajmił. – 23 stycznia udało się panu przeszkodzić mi. Już w pierwszej połowie lutego był pan dla mnie poważnym utrapieniem. Pod koniec marca całkowicie pokrzyżował mi pan plany, a teraz, pod koniec kwietnia, za sprawą pańskich nieustannych prześladowań wisi nade mną poważna groźba pozbawienia wolności. Ta sytuacja staje się nie do zniesienia.

– Chce pan coś zasugerować? – spytałem.

– Musi pan zostawić mnie w spokoju, panie Holmes – rzekł, kiwając powoli głową. – Naprawdę musi pan to zrobić. Wie pan o tym.

– Po poniedziałku – odparłem.

– No, no – powiedział. – Jestem pewien, że człowiek o pańskiej inteligencji musi wiedzieć, że z tej sytuacji może wyniknąć tylko jedno. Powinien się pan wycofać. Tak pan namieszał, że teraz pozostaje nam tylko jedna możliwość. Było dla mnie wspaniałą intelektualną rozrywką przyglądać się panu, gdy zmagał się on z tą sprawą, i muszę szczerze przyznać, że byłoby mi bardzo przykro, gdybym był zmuszony posunąć się do jakichś skrajnych rozwiązań. Uśmiecha się pan, sir, ale zapewniam pana, że mówię szczerze.

– Niebezpieczeństwo jest częścią mojego zawodu – zauważyłem.

– To nie niebezpieczeństwo – odparł. – To nieuchronne zniszczenie. Nie stanął pan na drodze jednemu człowiekowi, lecz potężnej organizacji, z której ogromnego zasięgu, mimo całego pańskiego sprytu i inteligencji, nie zdaje pan sobie nawet sprawy. Musi się pan usunąć z drogi, panie Holmes, albo zostanie pan zmiażdżony.

– Obawiam się – odparłem, wstając – że z powodu naszej miłej rozmowy zaniedbałem pewną ważną sprawę, która czeka na mnie gdzie indziej.

Również wstał i spojrzał na mnie bez słowa, smutno potrząsając głową.

– No cóż – odezwał się w końcu. – Szkoda, ale zrobiłem co mogłem. Znam każdy pański ruch. Przed poniedziałkiem nie jest mi pan w stanie w żaden sposób zaszkodzić. To był pojedynek pomiędzy panem a mną, panie Holmes. Ma pan nadzieję wsadzić mnie za kratki, ale proszę mi wierzyć, ja nigdy tam nie trafię. Ma pan nadzieję mnie pokonać. Zapewniam pana, że to się panu nigdy nie uda. Jeśli jest pan na tyle przebiegły, by doprowadzić mnie do zguby, to proszę mi wierzyć, zginie pan razem ze mną.

– Jestem zaszczycony pańskimi komplementami, panie Moriarty – odparłem. – Pozwoli pan, że też panu coś powiem. Dla dobra publicznego z radością zgodziłbym się na to drugie, gdybym był przekonanym o tym pierwszym.

– Mogę obiecać panu to drugie. Pierwsze – nie – warknął w odpowiedzi, po czym odwrócił się do mnie zgarbionymi plecami i wyszedł, rozglądając się i mrugając oczyma.

Taka była moja dziwna rozmowa z profesorem Moriartym. Muszę przyznać, że pozostało mi po niej wyjątkowo przykre wrażenie. Ten jego cichy, spokojny ton zawierał w sobie takie poczucie pewności, że ktoś, kto

próbowałby mnie po prostu brutalnie zastraszyć, nigdy nie osiągnąłby podobnego efektu. Oczywiście zapytasz mnie: „Czemu nie poprosić policji o ochronę?”. Otóż dlatego, że jestem pewien, iż cios spadnie z rąk jego agentów. Mam bardzo mocne dowody na to, że właśnie tak się stanie.

– Nastawano już na twoje życie?

– Mój drogi Watsonie, profesor Moriarty jest typem człowieka, który nie zasypia gruszek w popiele. Wyszedłem z domu około południa, aby załatwić pewną sprawę na Oxford Street. Gdy skręciłem za róg i skierowałem się Bentinck Street w stronę skrzyżowania z Welbeck Street, spostrzegłem zbliżający się z zawrotną prędkością dwukonny powóz, który tylko mignął mi przed oczyma. W ostatniej chwili uskoczyłem na chodnik: uratowały mnie ułamki sekund. Powóz skręcił w Marylebone Lane i w jednej chwili zniknął. Po tym wydarzeniu, Watsonie, trzymałem się już chodnika, jednak gdy szedłem Vere Street, z dachu jednego z domów spadła cegła i roztrzaskała się na kawałki tuż pod moimi stopami. Wezwałem policję, przeszukano tę okolicę. Na dachu była sterta kamieni i cegieł przygotowanych do wykorzystania podczas remontu, a oni próbowali mi wmówić, że wiatr strącił jedną z nich. Oczywiście wiedziałem, że jest inaczej, niczego jednak nie byłem w stanie udowodnić. Po tym wydarzeniu wziąłem dorożkę i pojechałem do mieszkania mojego brata na Pall Mall, gdzie spędziłem resztę dnia. Następnie chciałem zajrzeć do ciebie, ale po drodze zaatakował mnie jakiś zbir z pałką. Powaliłem go i oddałem w ręce policji. Mogę ci jednak zagwarantować, że nigdy nie zostanie wykryty żaden związek pomiędzy tym dżentelmenem, o którego przednie zęby otarłem sobie kostki u ręki, a przechodzącym wkrótce na emeryturę nauczycielem matematyki, który, jak przypuszczam, rozwiązuje właśnie na tablicy jakieś zadania dziesięć mil stąd. Nie dziw się więc, Watsonie, że pierwsze, co zrobiłem po wejściu do twojego mieszkania, to zamknąłem okiennice; teraz pozwól mi, proszę, opuścić twój dom jakimś mniej rzucającym się w oczy wyjściem niż frontowe drzwi.

Często podziwiałem odwagę mojego towarzysza, jednak nigdy tak bardzo jak teraz, gdy siedział, spokojnie wyliczając serię incydentów, które musiały sprawić, że jego dzień zmienił się w istny koszmar.

– Przenocujesz tutaj? – spytałem.

– Nie, przyjacielu. Mógłbyś się przekonać, że jestem bardzo niebezpiecznym gościem. Mam swoje plany, i wszystko będzie dobrze.

Sprawy zaszły już tak daleko, że będą posuwać się naprzód bez mojej pomocy, przynajmniej jeśli chodzi o samo aresztowanie. Moja obecność będzie jednak konieczna, aby go skazać. Jest zatem oczywiste, że nie mogę zrobić nic lepszego, niż wyjechać gdzieś na te kilka dni, jakie muszą jeszcze upłynąć, nim policja będzie w stanie swobodnie działać. Tak więc zrobiłbyś mi ogromną przyjemność, gdybyś zechciał wybrać się ze mną na kontynent.

– Nie mam ostatnio zbyt wielu pacjentów – odparłem. – No i mam sąsiada, który chętnie mnie zastąpi. Chętnie z tobą pojadę.

– I byłbyś gotów wyjechać jutro rano?

– Jeśli to będzie konieczne.

– O tak, bezwzględnie. W takim razie, mój drogi Watsonie, przekażę ci pewne instrukcje. Bardzo cię proszę, zastosuj się do nich co do joty, bo teraz jesteś po mojej stronie w grze przeciwko najbystrzejszemu łotrowi i najpotężniejszemu syndykatowi przestępców w całej Europie. A teraz słuchaj! Cały bagaż, jaki zamierzasz zabrać, wyślesz dziś w nocy przez zaufanego posłańca na Victoria Station. Nie podawaj na nim adresu. Rano poślesz po dorożkę, wyraźnie zaznaczając swojemu posłańcowi, by nie brał ani pierwszej, ani drugiej, która się nawinie. Wskoczysz do tej dorożki i pojedziesz na Strand, wysiądziesz przy bazarze Lowther Arcade. Podasz dorożkarzowi adres na kartce papieru i poprosisz, aby jej nie wyrzucał. Przygotuj wcześniej pieniądze dla niego. Gdy tylko dorożka się zatrzyma, pobiegnij przez Arcade, tak wyliczając czas, byś dotarł na druga stronę piętnaście po dziewiątej. Znajdziesz tam niewielki powozik czekający przy krawężniku. Stangretem będzie jegomość w ciężkiej, czarnej pelerynie z obszytym na czerwono kołnierzykiem. Wsiądziesz do tego powozu i dotrzesz do Victoria Station w takim czasie, by zdążyć na Continental Express.

– Gdzie się spotkamy?

– Na stacji. Drugi wagon pierwszej klasy od przodu, przedział będzie zarezerwowany tylko dla nas.

– W takim razie zobaczymy się w pociągu?

– Tak.

Na próżno prosiłem Holmesa, by został na noc. Było dla mnie oczywistym, iż uważa, że może sprowadzić kłopoty na dom, pod którego dachem się znajduje, i że to właśnie przeświadczenie skłoniło go

do wyjścia. Pospiesznie wypowiadając kilka słów co do naszych jutrzejszych planów, podniósł się i wyszedł ze mną do ogrodu, po czym przeskoczył przez mur na Mortimer Street, natychmiast zagwizdał na dorożkę i usłyszałem, jak odjeżdża.

Rano zastosowałem się do instrukcji Holmesa. Zamówiłem dorożkę, zachowując wszelkie środki ostrożności, aby nie wybrać podstawionej przez naszych wrogów, i natychmiast po śniadaniu udałem się na Lowther Arcade. Przebiegłem rynek najszybciej jak potrafiłem i odnalazłem czekający na mnie jednokonny powóz z niezwykle masywnym stangretem, owiniętym ciemną peleryną. Gdy tylko wskoczyłem do środka, zaciął konia batem i ruszyliśmy w kierunku Victoria Station. Kiedy wysiadłem, woźnica zawrócił powóz i pomknął ulicą, nawet na mnie nie spojrzawszy.

Do tej pory wszystko szło jak po maśle. Mój bagaż już czekał na mnie, i nie miałem żadnych problemów z odnalezieniem wagonu, o którym wspominał mi Holmes, tym bardziej, że był to jedyny w pociągu wagon z miejscami rezerwowanymi. Moim jedynym powodem do niepokoju była teraz nieobecność Holmesa. Zegar na stacji wskazywał, że zostało już tylko siedem minut do odjazdu pociągu. Na próżno wypatrywałem wśród podróżnych i żegnających się szczupłej sylwetki mojego przyjaciela. Nie było po nim ani śladu. Spędziłem kilka minut, pomagając starszemu włoskiemu księdzu, który swym łamanym angielskim próbował wytłumaczyć bagażowemu, że jego rzeczy mają zostać przesłane do Paryża. Później jeszcze raz rozejrzałem się i powróciłem do wagonu, gdzie odkryłem, że zawiadowca, mimo rezerwacji, przydzielił mi tego zniedołężniałego Włocha jako towarzysza podróży. Nie było sensu, bym mu tłumaczył, że jego obecność nie jest mi miła, ponieważ robił na mnie wrażenie jeszcze bardziej ograniczonego niż jego znajomość angielskiego. Tak więc z rezygnacją wzruszyłem ramionami i nadal niespokojnie rozglądałem się za moim przyjacielem. Przeszył mnie zimny dreszcz na myśl o tym, że jego nieobecność może oznaczać, iż w nocy doszło do jakiejś tragedii. Gdy zamknięto już wszystkie drzwi, i rozległ się gwizdek zawiadowcy, nagle usłyszałem głos:

– Mój drogi Watsonie, nie raczyłeś mi nawet powiedzieć: „Dzień dobry”.

Odwróciłem się z bezgranicznym zdumieniem. Sędziwy duchowny zwrócił ku mnie swoją twarz. Na chwilę zmarszczki się wygładziły, nos odsunął się od podbródka, dolna warga przestała wystawać, a usta

mamrotać, otępiałe oczy odzyskały swój dawny blask, a przygarbiona sylwetka wyprostowała się. W chwilę później cała postać znów zapadła się w sobie, a Holmes znikł równie szybko, jak się pojawił.

– Wielkie nieba! – zawołałem. – Ależ mnie przestraszyłeś!

– Wciąż musimy zachowywać wszystkie środki ostrożności – wyszeptał. – Mam powody sądzić, że nadal depczą nam po piętach. Ach, oto i Moriarty we własnej osobie!

Gdy Holmes wypowiedział te słowa, pociąg już ruszał. Spoglądając do tyłu, zobaczyłem wysokiego mężczyznę, wściekle przepychającego się przez tłum i machającego ręką, tak jakby chciał zatrzymać pociąg. Było już jednak za późno, bo pociąg błyskawicznie nabierał prędkości, i po chwili, rozpędzony, wytoczył się z dworca.

– Zabezpieczyliśmy się na tyle dobrze, że jak widzisz, całkiem nieźle nam poszło – rzekł Holmes ze śmiechem.

Wstał i, zrzuciwszy czarną sutannę i kapelusz, stanowiące jego przebranie, zapakował je do podręcznej torby.

– Widziałeś poranną gazetę, Watsonie?

– Nie.

– A więc nie wiesz, co się stało na Baker Street?

– Na Baker Street?

– Zeszłej nocy podłożyli ogień w moim mieszkaniu. Na szczęście nie wyrządzili wielkich zniszczeń.

– Wielkie nieba, Holmesie! To przekracza wszelkie granice!

– Musieli zupełnie zgubić mój trop po aresztowaniu tego ich zbira z pałką. W przeciwnym razie nie mogłoby im przyjść do głowy, że wróciłem do swojego mieszkania. Najwyraźniej jednak na wszelki wypadek obserwowali ciebie, i właśnie to sprowadziło Moriarty’ego na Victoria Station. Nie popełniłeś żadnego błędu, stawiając się na spotkanie?

– Zrobiłem dokładnie tak, jak mi poradziłeś.

– Znalazłeś swój powóz?

– Tak, czekał na mnie.

– A rozpoznałeś woźnicę?

– Nie.

– To był mój brat Mycroft. W takich sytuacjach jak ta bardzo cenna okazuje się możliwość niewtajemniczania we własne sprawy kogoś obcego. Teraz jednak musimy zaplanować, co zrobimy z Moriartym.

– Ten pociąg to ekspres, a godzina odpłynięcia statku jest uzależniona od jego przyjazdu, myślę więc, że skutecznie się go pozbyliśmy.

– Mój drogi Watsonie, najwyraźniej nie zdajesz sobie sprawy, co miałem na myśli, mówiąc, że pod względem intelektu ten człowiek dorównuje mi. Chyba nie sądzisz, że gdybym to ja go ścigał, pozwoliłbym sobie na to, by tak błahe niepowodzenie zbiło mnie z tropu. Dlaczego tak nisko oceniasz jego możliwości?

– Co w takim razie zrobi?

– A co ja bym zrobił?

– No dobrze, co ty byś zrobił?

– Wynająłbym specjalistę.

– Chyba jest na to trochę za późno?

– Ależ bynajmniej. Ten pociąg zatrzymuje się w Canterbury, a statek zawsze odpływa z opóźnieniem co najmniej piętnastu minut. Tam nas dopadnie.

– Można by pomyśleć, że to my jesteśmy przestępcami. Spróbujmy powiadomić policję, i niech go aresztują, jak tylko się zjawi.

– To oznaczałoby, że trzy miesiące pracy poszłyby na marne. Złapalibyśmy grubą rybę, ale mniejsze wymknęłyby się z naszej sieci. W poniedziałek będziemy mieli ich wszystkich. Nie, aresztowanie nie wchodzi w rachubę.

– Co w takim razie zrobimy?

– Wysiądziemy w Canterbury.

– A później?

– Pojedziemy do Newhaven i stamtąd przeprawimy się do Dieppe. Moriarty znów zrobi to, co ja zrobiłbym na jego miejscu. Pojedzie do Paryża, namierzy nasz bagaż, a jego ludzie będą czekali przez dwa dni w pobliżu przechowalni. Tymczasem my zorganizujemy sobie kilka nowych toreb podróżnych, wspierając producentów walizek z krajów, przez które będziemy przejeżdżali, i spokojnie dotrzemy przez Luksemburg i Bazyleę do Szwajcarii.

Wysiedliśmy w Canterbury tylko po to, by się przekonać, że musimy czekać godzinę na pociąg do Newhaven.

Wciąż z żalem spoglądałem w stronę, gdzie przed chwilą zniknął wózek z bagażami, zawierającymi moją garderobę, gdy Holmes pociągnął mnie za rękaw, żeby coś mi pokazać.

– Widzisz, już jest – powiedział.

W dali, wśród lasów Kentu, wznosił się słaby obłok dymu. Po chwili zobaczyliśmy lokomotywę z wagonem, pędzącą szerokim łukiem torów prowadzących do stacji. Ledwie mieliśmy czas ukryć się za stertą bagażu, gdy pociąg minął nas z głośnym turkotem, dmuchając nam w twarz gorącym powietrzem.

– Jest tam – rzekł Holmes, gdy patrzyliśmy na przejeżdżający obok nas rozkołysany wagon. – Jak widzisz, inteligencja naszego przyjaciela ma swoje granice. To byłby doprawdy *coup de maître*, gdyby wydedukował to, co ja i zadziałał odpowiednio do tego.

– A co by zrobił, gdyby nas dogonił?

– Nie mam ani cienia wątpliwości, że spróbowałby mnie zabić. Na szczęście jest to gra, w którą możemy grać we dwóch. Teraz jednak stoimy przed pytaniem, czy zjeść tutaj wczesny lunch, czy też może narazić się na ryzyko śmierci głodowej, nim dotrzemy do baru w Newhaven.

Tego wieczoru dotarliśmy do Brukseli, gdzie spędziliśmy kolejne dwa dni, trzeciego dojechaliśmy aż do Strasburga. W poniedziałek rano Holmes wysłał telegram do londyńskiej policji, a wieczorem odkryliśmy, że w hotelu czeka na nas odpowiedź. Holmes przeczytał wiadomość, a następnie z gorzkim przekleństwem cisnął ją w palenisko.

– Mogłem się tego domyślić! – jęknął. – Wymknął się!

– Moriarty?

– Aresztowali wszystkich z wyjątkiem jego. Uciekł im. Oczywiście, gdy opuściłem kraj, nie został tam nikt, kto byłby w stanie poradzić sobie z nim. Jednak naprawdę byłem przekonany, że wystawiłem im zwierzynę pod sam nos. Myślę, że lepiej by było, gdybyś wrócił do Anglii, Watsonie.

– Dlaczego?

– Ponieważ od teraz będę dla ciebie niebezpiecznym towarzyszem. Ten człowiek stracił wszystko, co stworzył. Jeśli wróci do Londynu, będzie po nim. O ile właściwie oceniam jego charakter, teraz całą swą energię poświęci na to, aby się na mnie zemścić. Powiedział mi to zresztą podczas naszej krótkiej rozmowy, i sądzę, że mówił poważnie. Zdecydowanie radziłbym ci, byś wrócił do swojej praktyki.

Ten apel nie mógł być skierowany do tego, kto jednocześnie był starym wiarusem i starym przyjacielem. Przez pół godziny siedzieliśmy w *salle*

à manger w Strasburgu, sprzeczając się o to. Jednak jeszcze tej samej nocy wyruszyliśmy w dalszą podróż i znaleźliśmy się w drodze do Genewy.

Spędziliśmy uroczy tydzień, wędrując doliną Rodanu, a później, skręcając w Leuk, pokonaliśmy przełęcz Gemmi, wciąż pokrytą głębokim śniegiem, i przez Interlaken dotarliśmy do Meiringen. To była piękna podróż w czasie pomiędzy delikatną zielenią wiosny niżej w dolinach a dziewiczą bielą zimy wysoko w górach. Dla mnie było jednak jasne, że Holmes nawet przez chwilę nie zapomniał o ścigającym go cieniu. W przytulnych alpejskich wioskach i na odludnych górskich przełęczach widziałem po jego szybkich, ukradkowych spojrzeniach i wnikliwym przypatrywaniu się każdej napotkanej twarzy, że był całkowicie przekonany, iż niezależnie od tego, dokąd się udamy, nie uwolnimy się od zagrażającego nam niebezpieczeństwa.

Pamiętam, pewnego razu, gdy zdobyliśmy przełęcz Gemmi i szliśmy brzegiem melancholijnego jeziora Daubensee, z grani powyżej obluzowała się wielka skała i, z łoskotem tocząc się w dół, wpadła do jeziora za nami. Holmes natychmiast pobiegł na grań i, stanąwszy na wysokim skalnym występie, wyciągając szyję, rozglądał się na wszystkie strony. Na próżno nasz przewodnik zapewniał go, że wiosną spadające w tym miejscu kamienie nie są niczym nadzwyczajnym. Nic na to nie odpowiedział, uśmiechnął się jednak do mnie z miną człowieka, który dostrzega spełnienie własnej przepowiedni.

A jednak mimo całej swej czujności nigdy nie był przygnębiony. Wręcz przeciwnie, nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek widział go tak tryskającego energią i w równie wspaniałym nastroju. Wielokrotnie powtarzał, że gdyby tylko mógł mieć pewność, iż uwolnił społeczeństwo od profesora Moriarty’ego, z radością zakończyłby swą karierę.

– Myślę, Watsonie, że wówczas mógłbym nawet powiedzieć, że nie żyłem całkowicie na próżno – zauważył. – Gdyby dziś w nocy cała moja kariera miała dobiec końca, mógłbym znieść to ze spokojem. Dzięki mnie atmosfera w Londynie stała się przyjemniejsza. Spośród ponad tysiąca spraw, jakie prowadziłem, nic mi nie wiadomo o żadnej, w której wykorzystałbym swoje zdolności, stając po niewłaściwej stronie. W ostatnich czasach odczuwałem pokusę, by zająć się badaniem problemów przyrodniczych, nie zaś tych bardziej przyziemnych, za które odpowiedzialny jest sztuczny twór, jakim jest społeczeństwo. Kronika,

którą uwieczniasz moje czyny, dobiegnie końca w dniu, gdy ukoronowaniem mej kariery będzie ujęcie lub unicestwienie najbardziej niebezpiecznego i najzdolniejszego przestępcy w Europie.

Pozostało mi już niewiele do opowiedzenia, i opiszę to zwięźle. Nie jest to temat, nad którym z przyjemnością bym się rozwodził, jestem jednak świadom faktu, że spoczywa na mnie obowiązek przedstawienia każdego szczegółu.

Wydarzyło się to 3 maja. Dotarliśmy tego dnia do małej wioski Meiringen i zatrzymaliśmy się w pensjonacie „Englischer Hof", prowadzonym przez niejakiego Petera Steilera. Nasz gospodarz był bystrym człowiekiem, doskonale mówiącym po angielsku, ponieważ przez trzy lata pracował jako kelner w hotelu „Grosvenor" w Londynie. Za jego namową 4 maja po południu wyruszyliśmy na wycieczkę z zamiarem przejścia przez wzgórza i spędzenia nocy w wiosce Rosenlaui. Zachęcał nas bardzo, byśmy po drodze koniecznie obejrzeli wodospady Reichenbach, znajdujące się mniej więcej w połowie zbocza, i przekonywał, że naprawdę warto zboczyć trochę ze szlaku, by je zobaczyć.

To miejsce rzeczywiście napawa człowieka przerażeniem. Wartki strumień, wezbrany od nieustannie topniejących śniegów, spada w straszliwą przepaść, z której mgła wodna wzbija się w górę niczym dym z płonącego domu. Rozpadlina, którą pędzi rzeka, jest nieskończoną otchłanią, po której obu stronach wznoszą się błyszczące, czarne niczym węgiel skały. Dalej koryto zwęża się do bulgoczącego spienionego kotła o nieokreślonej głębokości, z którego woda przelewa się, opadając w dół nad jego postrzępioną krawędzią. Te zielone masy wody spadające w dół z ogromnej wysokości i gęsta, migocząca kurtyna mgły wodnej, która z sykiem wznosi się w górę, sprawiają, że w obliczu tego nieustającego spektaklu, pełnego zawirowań i huku, człowiekowi zaczyna się kręcić w głowie. Staliśmy przy samej krawędzi, spoglądając na połyskujące wzburzone wody, roztrzaskujące się o czarne skały w dole pod nami, wsłuchani w ten na wpół ludzki krzyk, dobiegający zza kłębów mgły wodnej na dnie otchłani.

Wąską ścieżkę w skale, prowadzącą do punktu, skąd odsłaniał się jeszcze wspanialszy widok, wykuto w połowie drogi wiodącej na górę, do progu wodospadów. Urywa się ona jednak gwałtownie i podróżny musi zawrócić i iść tą samą drogą, którą przyszedł. Właśnie zawracaliśmy, gdy ujrzeliśmy

szwajcarskiego chłopaka biegnącego ku nam z listem w ręce. Widniała na nim pieczęć hotelu, który dopiero co opuściliśmy, adresowany był do mnie, a nadał ten list nasz gospodarz. Jak się okazało, kilka minut po tym, jak wyruszyliśmy na szlak, do pensjonatu przybyła pewna Angielka, która miała ostatnie stadium gruźlicy. Spędziła zimę w Davos Platz i teraz jechała spotkać się ze swymi przyjaciółmi w Lucernie. Wkrótce po tym, jak przybyła, dostała silnego krwotoku. Sądzono, że nie przeżyje kolejnych kilku godzin, byłoby dla niej jednak ogromną pociechą, gdyby czuwał nad nią angielski lekarz, i jeśli tylko zechciałbym zawrócić… I tak dalej, i tak dalej. Nasz dobry Steiler zapewniał mnie w postscriptum, że byłby mi bardzo wdzięczny za tę wielką przysługę, ponieważ kobieta absolutnie nie chciała dać się zbadać szwajcarskiemu lekarzowi, i nic nie może poradzić na to, że czuje się odpowiedzialny za zaistniałą sytuację.

Była to prośba, której nie mogłem zignorować. Nie sposób było odmówić rodaczce umierającej w obcym kraju. Miałem jednak wyrzuty sumienia, zostawiając Holmesa samego. W końcu uzgodniliśmy, że zostanie w towarzystwie młodego szwajcarskiego posłańca, podczas gdy ja powrócę do Meiringen. Mój przyjaciel oznajmił, że chce jeszcze trochę zostać przy wodospadzie, a następnie przejdzie powoli na drugą stronę wzgórza do Rosenlaui, gdzie wieczorem do niego dołączę. Kiedy się odwróciłem, ujrzałem Holmesa z założonymi rękoma, opartego plecami o skałę i patrzącego w dół, w rwące, spienione wody. To właśnie wtedy było mi pisane widzieć go na tym świecie po raz ostatni.

W połowie drogi, która schodziła w dół, obejrzałem się za siebie. Z miejsca, w którym zatrzymałem się, nie można było dostrzec wodospadu, widziałem natomiast prowadzącą do niego ścieżkę, wijącą się po zboczu wzgórza. Pamiętam, że tą ścieżką szybkim krokiem szedł jakiś człowiek. Jego czarna postać wyraźnie odcinała się na tle zieleni. Na chwilę przykuł moją uwagę, i zauważyłem, jak energicznie zmierza pod górę, zaraz jednak wyleciało mi to z głowy, i pospieszyłem zająć się sprawą, w jakiej mnie wezwano.

Droga do Meiringen zajęła mi ponad godzinę. Stary Steiler stał na ganku swego pensjonatu.

– No i jak? – rzekłem, podchodząc do niego pospiesznie. – Mam nadzieję, że jej się nie pogorszyło?

Po jego twarzy przemknął wyraz zdumienia, i już w chwili, gdy zaczął unosić brwi, moje serce zamieniło się w ołów.

– Nie napisał pan tego?! – spytałem, wyciągając list z kieszeni. – Nie ma w hotelu żadnej chorej Angielki?

– Z całą pewnością nie! – zawołał. – Ale przecież na tym liście jest pieczęć mojego hotelu! Ha! Musiał to napisać ten wysoki Anglik, który przybył tu wkrótce po tym, jak wyruszyliście w drogę. Mówił…

Nie czekałem jednak na wyjaśnienia mojego gospodarza. Z sercem przepełnionym lękiem biegłem przez wioskę, kierując się ku ścieżce, którą dopiero co szedłem. Zejście na dół zajęło mi godzinę. Mimo wysiłków dopiero po dwóch godzinach znalazłem się przy wodospadzie Reichenbach. Góralska laska Holmesa wciąż stała oparta o skałę, przy której go zostawiłem. Po samym Holmesie nie było jednak śladu, i na próżno go wołałem. Jedyną odpowiedzią był mój własny głos, zwielokrotniony potężnym echem, odbijającym się od otaczających mnie skał.

To właśnie widok tej laski sprawił, że przebiegł mnie zimny dreszcz, i poczułem, że robi mi się niedobrze. A więc nie poszedł do Rosenlaui! Pozostał na tej ścieżce, szerokiej na trzy stopy, ze ścianą skalną po jednej stronie i ziejącą przepaścią po drugiej. Czekał tam aż do chwili, gdy doścignął go jego wróg. Młody Szwajcar również przepadł bez śladu. Prawdopodobnie był opłacony przez Moriarty’ego, i zostawił ich tutaj sam na sam. A co się wydarzyło potem? Kto mógł mi powiedzieć, co się potem wydarzyło? Przez parę minut stałem tam, oszołomiony tym straszliwym ciosem i niezdolny zapanować nad własnymi emocjami. Potem przypomniałem sobie o metodach Holmesa i spróbowałem sam je zastosować, chcąc rozwiązać zagadkę tej tragedii. Niestety, było to banalnie proste. Podczas naszej rozmowy nie doszliśmy do końca ścieżki, a laska stała dokładnie tam, gdzie się ostatnio zatrzymaliśmy. Czarna ziemia w tym miejscu jest zawsze miękka, bo nieustannie unosi się mgła wodna, i nawet ptak odcisnąłby w niej swoje ślady. W stronę końca ścieżki biegły wyraźne ślady dwóch osób, oddalające się ode mnie. Nie było natomiast żadnych śladów, które wracałyby w moją stronę. Kilka jardów przed końcem ścieżki ziemia była zryta tak, że zmieniła się w błoto, a gałęzie i paprocie zwisające nad otchłanią były zdeptane i połamane. Położyłem się na brzuchu, próbując przeniknąć wzrokiem wzbijające się wokół mnie tumany wodnego pyłu. Słońce stało już znacznie niżej, i mogłem dostrzec jedynie czarne,

połyskujące od wilgoci skały i migoczącą wzburzoną wodę w dali, w głębokim korycie potoku. Wołałem, jednak do moich uszu powracał jedynie ten sam, na wpół ludzki krzyk.

Było mi jednak pisane odnaleźć ostatnie słowa pożegnania mojego przyjaciela i towarzysza. Wspominałem już, że jego góralska laska wciąż stała oparta o skałę przylegającą do ścieżki. Gdy spojrzałem na szczyt głazu, mój wzrok przykuł blask słonecznego światła, odbitego od jakiegoś przedmiotu. Sięgnąłem ręką i przekonałem się, że była to srebrna papierośnica, którą Holmes zwykle ze sobą nosił. Gdy wziąłem ją do ręki, na ziemię sfrunął mały kwadratowy świstek papieru, który dotychczas przyciskała. Gdy go rozłożyłem, okazało się, że trzymam w ręku trzy strony z notesu Holmesa, adresowane do mnie. List ten cechował się jakże charakterystyczną dla niego precyzją, a pismo było tak czytelne, jakby pisał te słowa, siedząc przy biurku we własnym gabinecie.

Oto jego treść:

Mój drogi Watsonie!

Piszę tych kilka linijek dzięki uprzejmości pana Moriarty’ego, który czeka, aż będę gotów ostatecznie omówić z nim pewne kwestie. Przedstawił mi pokrótce, w jaki sposób udało mu się uniknąć schwytania przez angielską policję i śledzić na bieżąco nasze posunięcia. Z całą pewnością potwierdzają one moje wyjątkowo wysokie mniemanie o jego umiejętnościach. Z przyjemnością myślę o tym, że będę mógł uwolnić społeczeństwo od wszelkich dalszych skutków jego istnienia, choć obawiam się, że dokonam tego kosztem bolesnym dla moich przyjaciół, a zwłaszcza dla ciebie, mój drogi Watsonie. W każdym razie, jak ci już wyjaśniałem, moja kariera osiągnęła swe apogeum, i żadne inne jej zakończenie nie mogłoby dać mi takiej satysfakcji. W rzeczywistości, jeśli mam ci wyznać całą prawdę, byłem pewien, że ten list z Meiringen to podstęp. Pozwoliłem ci odejść i zająć się tą sprawą w przekonaniu, że wydarzenia przybiorą taki właśnie obrót. Powiedz inspektorowi Pattersonowi, że dokumenty, na podstawie których będzie mógł doprowadzić do skazania całej szajki, znajdzie w przegródce pod literą M w niebieskiej kopercie z napisem „Moriarty”. Przed opuszczeniem Anglii wydałem wszelkie dyspozycje odnośnie mojego majątku i przekazałem je mojemu bratu Mycroftowi. Proszę, pozdrów ode mnie Panią Watson.

Twój, uwierz mi, szczerze Ci oddany
Sherlock Holmes

Wystarczy kilka słów, aby opowiedzieć o tym, co jeszcze zostało do opowiedzenia. Badanie przeprowadzone przez specjalistów pozostawia

niewiele wątpliwości, że walka wręcz pomiędzy dwoma mężczyznami zakończyła się tak, jak było to w tych okolicznościach raczej nieuniknione – mianowicie tym, że spadli ze ścieżki w przepaść, spleceni w śmiertelnym uścisku. Jakiekolwiek próby odnalezienia ich ciał były z góry skazane na niepowodzenie. To właśnie tam, w tym przerażającym kotle wirującej wody i buchającej piany będzie spoczywał po wsze czasy najniebezpieczniejszy przestępca i najwybitniejszy obrońca prawa naszego pokolenia. Młodego Szwajcara nigdy nie odnaleziono, i nie ma wątpliwości, że był jednym z licznych agentów zatrudnianych przez Moriarty'ego. Jeśli zaś chodzi o jego przestępczą organizację, ludzie będą pamiętać, że dowody zgromadzone przez Holmesa całkowicie ją zdemaskowały. Jego ręka zawisła nad nimi nawet po śmierci. Podczas dochodzenia wyszło na jaw niewiele szczegółów o ich straszliwym przywódcy, co zmusiło mnie do przejrzystego opisania jego przestępczej kariery. Czynię to tylko ze względu na działania nierozważnych obrońców, którzy próbują oczyścić jego pamięć, oczerniając przy tym kogoś, kogo zawsze będę uważał za najlepszego i najmądrzejszego człowieka, jakiego kiedykolwiek znałem.

POWRÓT SHERLOCKA HOLMESA

Z angielskiego przełożyła: Marta Domagalska

Opowieść pierwsza

Pusty dom

Wiosną 1894 roku cały Londyn z zapartym tchem śledził sprawę zabójstwa czcigodnego Ronalda Adaira. Zbrodni dokonano w niezwykłych i niewyjaśnionych okolicznościach, a wyższe sfery były przerażone tym wydarzeniem. Do publicznej wiadomości podano jedynie te informacje o morderstwie, które zostały ujawnione podczas policyjnego śledztwa, jednak znaczną ich część ukryto, gdyż wina była tak oczywista, że odkrycie wszystkich faktów okazało się zbędne. Dopiero teraz, po niemal dziesięciu latach, pozwolono mi opisać brakujące ogniwa łańcucha tej niezwykłej zbrodni. Samo przestępstwo było nietypowe, ale moim zdaniem, nie mogło się nawet równać z tymi niewyobrażalnymi skutkami, które okazały się tak dużym wstrząsem i zaskoczyły mnie tak bardzo, jak chyba żadne inne zdarzenie w mym pełnym przygód życiu. Nawet teraz, po tak długim czasie, myśl o nich wciąż porusza moją wyobraźnię, powodując uczucia radości, zdumienia i niedowierzania, jakie mnie wówczas ogarnęły. Chciałbym prosić osoby, które wykazały zainteresowanie uwagami o myślach i czynach pewnego niezwykłego człowieka, by nie winiły mnie za milczenie. Chciałbym się podzielić swoją wiedzą i uważałbym to za swoją najwyższą powinność, gdyby nie stanowczy zakaz, wydany przez samego zainteresowanego, który wycofano dopiero trzeciego dnia ostatniego miesiąca.

Jak można było się spodziewać, moja zażyłość z Sherlockiem Holmesem zaowocowała głębokim zainteresowaniem przestępczością. Gdy przyjaciel zniknął, nadal uważnie czytałem o nierozwiązanych sprawach, jakie się wówczas wydarzyły. Próbowałem nawet kilkakrotnie je rozwikłać, stosując metody mego przyjaciela, niestety, z marnym skutkiem. Żadna sprawa nie

wywarła na mnie takiego wrażenia jak tragedia Ronalda Adaira. Czytając informacje o dochodzeniu, w wyniku którego uznano, że śmierć została spowodowana umyślnie przez nieznaną osobę lub grupę osób, uświadomiłem sobie, jaką stratę poniosło społeczeństwo z powodu śmierci Sherlocka Holmesa. Byłem przekonany, że pewne aspekty tej niezwykłej sprawy obudziłyby w nim wielkie zainteresowanie, a działania policji zostałyby wzbogacone – lub, co bardziej prawdopodobne, wyprzedzone – umiejętnością obserwacji i dedukcji cechujące żywy umysł najlepszego detektywa Europy. Przez cały dzień, jeżdżąc do pacjentów, zastanawiałem się nad tą sprawą, i nie udało mi się znaleźć żadnego zadowalającego rozwiązania. Zaryzykuję i opowiem historię, którą wszyscy już słyszeli, oraz podsumuję fakty, jakie zostały podane do publicznej wiadomości po zakończeniu śledztwa.

Czcigodny Ronald Adair był drugim synem księcia Maynooth, w owym czasie gubernatora jednej z kolonii w Australii. Matka Ronalda wróciła z antypodów, by poddać się operacji usunięcia katarakty, i wraz z synem i córką Hildą zamieszkała przy Park Lane 427. Młodzi obracali się w najlepszym towarzystwie, i nikt nie wiedział niczego o ich wrogach czy słąbościach. Ronald był po słowie z panną Edith Woodley z Carstairs, zaręczyny jednak zerwano za obopólną zgodą kilka miesięcy wcześniej. Nic nie wskazywało na to, by młodych łączyło kiedykolwiek głębokie uczucie. Życie Ronalda płynęło spokojnie i bez zakłóceń; miał on skromne nawyki i łagodne usposobienie. A jednak ten właśnie młody arystokrata zginął, niespodziewanie w niezwykle osobliwych okolicznościach, wieczorem trzydziestego marca 1894 roku pomiędzy dziesiątą a jedenastą dwadzieścia.

Młodzieniec był zapalonym karciarzem. Grywał często, ale nigdy o wysokie stawki. Był członkiem klubów karcianych „Baldwin”, „Cavendish” i „Bagatelle”. Ustalono, że po kolacji w dniu swojej śmierci rozegrał partię wista w ostatnim klubie „Bagatelle”. Pozostali uczestnicy – pan Murray, sir John Hardy i pułkownik Moran – zeznali, że partia została rozegrana do końca, a żaden z graczy nie miał wyraźnej przewagi w kartach. Adair mógł przegrać najwyżej pięć funtów, a że posiadał znaczny majątek, taka strata nie mogła w żaden sposób narazić go na szwank. Grywał codziennie, był jednak ostrożnym karciarzem i zwykle wstawał od stolika jako zwycięzca. Odkryto, że kilka tygodni wcześniej, grając w parze z pułkownikiem Moranem, zdobył czterysta dwadzieścia

funtów od Godfreya Milnera i lorda Balmoral. Tyle udało się ustalić policji w toku śledztwa w sprawie ostatnich wydarzeń z życia młodzieńca.

W dniu popełnienia morderstwa Adair wrócił z klubu o dziesiątej wieczorem. Jego matki i siostry nie było w domu; spędzały wieczór z krewną. Służąca zeznała, że słyszała, jak panicz wszedł do pokoju na drugim piętrze, który służył mu za salon. Wcześniej rozpaliła tam ogień, a że kominek dymił, otworzyła okno. Z pomieszczenia nie dobiegał żaden dźwięk aż do jedenastej dwadzieścia, kiedy lady Maynooth powróciła z córką do domu. Pani poszła do salonu, by życzyć synowi dobrej nocy, ale nie mogła wejść do środka. Pokój był zamknięty od wewnątrz, a krzyki i stukanie pozostały bez odpowiedzi. Posłano po pomoc, i drzwi zostały wyważone. Ciało nieszczęsnego młodzieńca leżało na podłodze nieopodal stołu. Jego głowa została potwornie okaleczona strzałem z rewolweru, jednak żadnej broni w pokoju nie znaleziono. Na stole znaleziono dwa banknoty dziesięciofuntowe, siedemnaście funtów w srebrze i złocie, ułożone w stosiki o różnej wielkości, a także arkusz papieru, na którym zapisano liczby i nazwiska kolegów Adaira z klubu. Na tej podstawie uznano, że przed śmiercią młodzieniec obliczał swe karciane zyski i straty.

Drobiazgowe badanie okoliczności sprawy skomplikowało ją jeszcze bardziej. Nie udało się ustalić, dlaczego młody człowiek zamknął drzwi od środka. Istniała możliwość, że uczynił to morderca, ale okno, przez które uciekł znajdowało się co najmniej dwadzieścia stóp nad ziemią, a na dole rozciągała się rabatka z kwitnącymi krokusami. Nie znaleziono tam żadnych śladów, podobnie jak na wąskim pasie trawy, oddzielającym dom od drogi. Najwyraźniej drzwi zamknął sam młodzieniec. W jaki jednak sposób poniósł śmierć? Nikt nie zdołałby się wspiąć do jego pokoju, nie zostawiając śladów. Rozważano możliwość, że morderca oddał strzał przez okno, jednak tak straszliwą ranę z rewolweru mógł zadać tylko strzelec wyborowy. Park Lane to ruchliwa ulica, a w odległości stu jardów od domu mieści się postój dorożek. Nikt nie słyszał strzału, mimo to na ciele znaleziono dużą ranę, a w pomieszczeniu kulę z rewolweru, spłaszczoną w sposób typowy dla pocisków o miękkim czubku, która, trafiając ofiarę, powoduje natychmiastowy zgon. Okoliczności wikłał dodatkowo brak motywu. Jak już mówiłem, młody Adair nie miał wrogów, a z pokoju nie zginęły pieniądze ani cenne przedmioty.

Przez cały dzień rozmyślałem o tym wszystkim, usiłując ułożyć teorię, która mogłaby pogodzić te wszystkie fakty i znaleźć linię najmniejszego oporu, którą mój nieodżałowany przyjaciel uważał za punkt wyjścia każdego dochodzenia. Muszę przyznać, że nie poczyniłem wielkich postępów. Wieczorem poszedłem na spacer do Hyde Parku i około szóstej znalazłem się na Park Lane, niedaleko skrzyżowania z Oxford Street. Grupa próżniaków stojących na chodniku i gapiących się w okno jednego z domów pozwoliła mi zlokalizować budynek, który szukałem. Wysoki, szczupły mężczyzna w przyciemnionych okularach, o którym myślałem, że jest nieumundurowanym detektywem, wygłaszał swoją teorię na temat tragedii, inni zaś tłoczyli się wokół, uważnie go słuchając. Przecisnąłem się jak najbliżej, ale jego spostrzeżenia wydały mi się absurdalne, wycofałem się więc nie bez obrzydzenia. Odchodząc, szturchnąłem przygarbionego staruszka, który stał za mną, i wytrąciłem mu z rąk kilka książek. Podnosząc je, przeczytałem na grzbiecie jednej z nich: *Początki kultu drzew*; i przyszło mi na myśl, że biedak jest bibliofilem, który zawodowo lub hobbystycznie zajmuje się zbieraniem osobliwych tytułów. Chciałem przeprosić go za ten wypadek, jednak tytuły, które tak niefortunnie naraziłem na szwank, musiały być na tyle cenne dla właściciela, że staruszek odwrócił się na pięcie, złorzecząc, i zobaczyłem, jak jego zgarbione plecy i białe bokobrody znikają w tłumie.

Obserwacje, jakie poczyniłem przy Park Lane 427, niewiele pomogły w próbach rozwikłania zagadki. Dom był odgrodzony od ulicy płotem o wysokości około pięciu stóp, osadzonym na niskim murku. Każdy mógł się łatwo dostać do ogrodu, jednak do okna nie można było się dostać, gdyż na ścianie domu nie było rynny ani żadnej innej podpory, bez której nie poradziłby sobie nawet najbardziej wprawny wspinacz. Nie uzyskawszy żadnych nowych informacji, poszedłem z powrotem do Kensington. Byłem w swoim gabinecie niecałe pięć minut, gdy weszła pokojówka i oznajmiła, że ktoś chce się ze mną widzieć. Ku memu zdumieniu, gościem okazał się ten dziwny, stary zbieracz książek o chudej, zasuszonej twarzy wystającej spod grzywy siwych włosów; pod prawą pachą miał co najmniej tuzin swych cennych ksiąg.

– Zaskoczył pana mój widok – powiedział dziwnym, skrzeczącym głosem.

Przyznałem, że tak było w istocie.

– Cóż, proszę pana, nie jestem pozbawiony sumienia. Szedłem za panem, i kiedy zobaczyłem, że wchodzi on do swego domu, pomyślałem sobie: „Wstąpię do tego uprzejmego dżentelmena i powiem mu, że zachowałem się wobec niego dość opryskliwie, ale nie miałem nic złego na myśli i jestem mu bardzo wdzięczny za pozbieranie mych książek”.

– To doprawdy błahostka – odpowiedziałem. – Czy mogę spytać, skąd pan mnie zna?

– Za pozwoleniem, jestem pańskim sąsiadem. Prowadzę małą księgarenkę na rogu Church Street, do której serdecznie pana zapraszam. Może pan też zbiera książki? Mam tu *Ptaki Brytanii*, *Katullusa* i *Świętą wojnę*, każdą po okazyjnej cenie. Pięć tomów w sam raz wystarczyłoby, żeby zapełnić tamtą lukę na drugiej półce. Przyzna pan, nie wygląda ona zbyt porządnie.

Popatrzyłem na biblioteczkę, a kiedy odwróciłem się do mego gościa, przy biurku stał, uśmiechając się do mnie, Sherlock Holmes. Zerwałem się na równe nogi, przez kilka sekund patrzyłem na niego, ogarnięty zdumieniem, a potem, zdaje się, po raz pierwszy i ostatni w życiu, zemdlałem. Wiem na pewno, że oczy zasnuła mi szara mgła; kiedy się rozwiała, miałem rozpięty kołnierzyk i palący posmak brandy w ustach, a Holmes stał, pochylony nad moim krzesłem, trzymając w dłoni butelkę.

– Drogi Watsonie – powiedział głosem, który tak dobrze pamiętałem – jestem ci winien tysiąckrotne przeprosiny. Nie miałem pojęcia, że wywrze to na tobie aż takie wrażenie.

Chwyciłem go za ramiona.

– Holmesie! – krzyknąłem. – Czy to naprawdę ty? Czy to możliwe, że żyjesz? Czy naprawdę udało ci się wydobyć z tej straszliwej otchłani?

– Poczekaj chwilę – odpowiedział. – Czy jesteś pewien, że czujesz się na siłach, aby porozmawiać? Spowodowałem u ciebie poważny wstrząs swoim tak dramatycznym powrotem.

– Nic mi nie jest, Holmesie, ale nie mogę uwierzyć własnym oczom. Wielkie nieba! Pomyśleć tylko, że to właśnie ty stoisz w moim gabinecie! – Chwyciłem go za rękaw i wyczułem pod palcami szczupłe, muskularne ramię. – Cóż, na pewno nie jesteś duchem – stwierdziłem. – Mój drogi, radość rozpiera mnie na twój widok. Usiądź i opowiedz, jak udało ci się wydostać z tej strasznej przepaści.

Holmes usadowił się naprzeciwko mnie i, jak dawniej, nonszalancko zapalił papierosa. Miał na sobie znoszony frak księgarza, ale reszta atrybutów – stos starych książek i siwa peruka – leżała na stole. Mój przyjaciel zdawał się jeszcze szczuplejszy i bardziej skupiony niż dawniej, ale trupia bladość na jego wyrazistej twarzy świadczyła o tym, że nie prowadził ostatnio zdrowego trybu życia.

– Cieszę się, że mogę się wyprostować, Watsonie – stwierdził. – To nic przyjemnego, kiedy wysoki mężczyzna musi przez kilka godzin wydawać się o stopę niższym. A teraz, mój drogi, jeśli chodzi o wyjaśnienia, których zażądałeś… Mamy przed sobą, jeśli się zgodzisz mi pomóc, pracowitą noc, trudną i niebepieczną. Lepiej chyba będzie, gdy o wszystkim ci opowiem, kiedy już wykonamy nasze zadanie.

– Nie posiadam się z ciekawości. Zdecydowanie wolałbym posłuchać teraz.

– Czy będziesz mi towarzyszył dzisiaj w nocy?

– Gdzie i kiedy tylko zechcesz.

– Zupełnie jak za starych, dobrych czasów. Zanim wyruszymy, zdążymy jeszcze zjeść kolację. A wracając do przepaści… Wydostanie się z niej nie przysporzyło mi wielkich trudności z jednej prostej przyczyny: nigdy do niej nie wpadłem.

– Nie wpadłeś?

– Nie, Watsonie, nie wpadłem. Mój liścik do ciebie był jak najbardziej autentyczny. Nie wątpiłem, że moja kariera dobiegła kresu, kiedy zobaczyłem złowrogą postać profesora Moriarty’ego, zagradzającą wąską ścieżkę, która prowadziła w jedyne bezpieczne miejsce. Wyczytałem w jego szarych oczach nieubłaganą determinację, zamieniłem z nim więc kilka zdań i za jego uprzejmym pozwoleniem napisałem krótki liścik, który później trafił do ciebie. Zostawiłem go obok pudełka papierosów i laski i poszedłem przed siebie, a Moriarty deptał mi po piętach. Kiedy dotarłem do końca ścieżki, przystanąłem. Profesor nie wyciągnął żadnej broni, tylko rzucił się na mnie i oplótł swymi długimi rękami. Wiedział, że wypadł z gry, i miał tylko jeden cel: zemścić się na mnie. Obaj zachwialiśmy się na skraju wodospadu. Posiadam pewne umiejętności w japońskich zapasach *baritsu*, które już nieraz mi się przydała. Zdołałem się wyślizgnąć z jego uchwytu, on wydał przeraźliwy krzyk, przez kilka sekund szaleńczo kopał i młócił rękami w powietrzu, jednak pomimo tych wysiłków nie udało mu

się odzyskać równowagi, i poleciał w przepaść. Wysunąłem głowę nad jej skraj i zobaczyłem, jak spada w dół. W końcu uderzył o skałę, odbił się od niej i wpadł do wody.

Oszołomiony, wysłuchałem opowieści i wykrzyknąłem:

– A co ze śladami? Na własne oczy widziałem, że do przepaści prowadziły ślady stóp dwóch ludzi i urywały się na jej krawędzi!

Holmes zaciągnął się papierosem.

– Już ci mówię, jak to było. W chwili gdy profesor zniknął, dotarło do mnie, jak szczęśliwy traf zesłał mi los. Wiedziałem, że Moriarty nie był jedynym człowiekiem, który poprzysiągł mi śmierć. Miałem co najmniej trzech innych nieprzyjaciół, a ich pragnienie zemsty mogło zostać spotęgowane śmiercią przywódcy. Byli niezwykle niebezpieczni, i któryś z nich z pewnością w końcu by mnie dopadł. Z drugiej strony, gdyby wszyscy byli przekonani, że nie żyję, moi wrogowie przestaliby się mieć na baczności, odsłoniliby się, i wcześniej czy później doprowadziłbym do ich zguby. Dopiero wówczas mógłbym ujawnić, że wciąż jestem wśród żywych. Mój mózg pracował tak szybko, że przemyślałem to, chyba jeszcze zanim profesor Moriarty osiągnął dno wodospadu Reichenbach. Przyjrzałem się wznoszącej się za mną skalnej ścianie. W swojej malowniczej relacji, którą z wielkim zainteresowaniem przeczytałem kilka miesięcy później, zapewniasz, że ściana była niemal pionowa. To nie do końca prawda. Można było znaleźć na niej kilka punktów podparcia dla stóp i niewielki występ. Grań była położona tak wysoko, że niepodobieństwem byłoby wspiąć się na jej szczyt, nie zdołałbym też przejść po mokrej ścieżce, nie zostawiając śladów. Mogłem wprawdzie, jak mi się to już zdarzało, kroczyć tyłem, ale ślady trzech osób prowadzących w jedną stronę niewątpliwie wzbudziłyby podejrzenia. Koniec końców postanowiłem zaryzykować wspinaczkę. Nie było to miłe przeżycie, Watsonie. Pode mną ryczał wodospad, a choć nie mam skłonności do urojeń, to wydawało mi się, daję słowo, iż słyszę głos Moriarty’ego dobiegający z czeluści. Każdy błąd mógł kosztować mnie życie. Kilka razy, kiedy kępki trawy, których się chwytałem, zostawały mi w dłoni, lub moje stopy ześlizgiwały się z mokrych skalnych rozpadlin, myślałem, że już po mnie. Piąłem się jednak w górę z wysiłkiem i w końcu dotarłem do skalnego występu, szerokiego na kilka stóp i pokrytego miękkim, zielonym mchem, gdzie mogłem ułożyć się wygodnie i pozostać niezauważonym.

Tam właśnie się znajdowałem, kiedy ty, drogi Watsonie, a później także inni, wybacz, że to powiem, całkowicie nieudolnie badaliście okoliczności mojej śmierci. Kiedy w końcu doszliście do nieuchronnych i absolutnie błędnych wniosków, ruszyliście w drogę do hotelu, pozostawiając mnie samemu sobie. Zdawało mi się, że moje przygody dobiegły końca, ale nader nieoczekiwane zdarzenie dowiodło, że czekają mnie dalsze niespodzianki. Wielki głaz, staczając się z góry, przeleciał obok mnie, spadł na ścieżkę i, odbijając się od podłoża, wpadł w otchłań. Początkowo myślałem, że to przypadek, ale kiedy chwilę później spojrzałem w górę, zobaczyłem na tle ciemniejącego nieba twarz mężczyzny; na moją skalną półkę spadł, nie dalej niż o stopę od mojej głowy, kolejny kamień. Stało się dla mnie oczywiste, że Moriarty nie działał sam. Jego wspólnik (którego wcześniej nie zauważyłem, a jedno spojrzenie wystarczyło, by się przekonać, jak był groźny) stał na straży, kiedy mój przeciwnik mnie zaatakował, i z oddali obserwował śmierć profesora i moją ucieczkę. Odczekał nieco, a potem dostał się na szczyt grani i próbował dokończyć dzieła, którego nie dokonał jego przyjaciel. Nie zastanawiałem się długo. Kiedy ponownie zobaczyłem nad krawędzią złowrogą twarz, zrozumiałem, że za chwilę spadnie jeszcze jeden kamień. Zsunąłem się na ścieżkę. Nie sądzę, bym zdołał zrobić to, działając z zimną krwią. Było to stokrotnie trudniejsze niż wspinaczka. Nie miałem jednak czasu myśleć o niebezpieczeństwie; kiedy zwisałem na rękach z krawędzi półki skalnej, obok mojego ucha przeleciał kolejny kamień. W połowie drogi w dół poślizgnąłem się, lecz, dzięki Bogu, poraniony i zakrwawiony, wylądowałem na ścieżce. Puściłem się biegiem, po ciemku przebyłem dziesięć mil w górzystym terenie, a tydzień później znalazłem się we Florencji, pewien, że nikt na świecie nie wie, co się ze mną stało. Zdradziłem to tylko jednej osobie, memu bratu Mycroftowi. Jestem ci winien przeprosiny, drogi Watsonie, ale było niezwykle istotne, by wszyscy sądzili, że nie żyję. Nie napisałbyś, nie ulega to wątpliwości, tak przekonującej opowieści o mym smutnym końcu, gdybyś sam nie był tego pewien. W ciągu ostatnich trzech lat kilkakrotnie zamierzałem do ciebie napisać, ale za każdym razem powstrzymywała mnie jednak obawa, że mógłbyś popełnić jakąś nieostrożność i zdradzić mój sekret. Z tego samego powodu odwróciłem się od ciebie dziś wieczorem, kiedy wytrąciłeś mi książki, byłem wówczas w niebezpieczeństwie; gdybyś okazał zaskoczenie lub jakiekolwiek inne emocje, mógłbyś zwrócić na mnie

powszechną uwagę, co doprowadziłoby do opłakanych i nieodwracalnych skutków. Mycroftowi musiałem się zwierzyć, by pozyskać pieniądze. Sprawy w Londynie nie potoczyły się tak, jak sobie założyłem. Po procesie gangu Moriarty'ego dwaj z jego najgroźniejszych członków, a moich najbardziej zaciętych wrogów, pozostali na wolności. Przez dwa lata podróżowałem więc po Tybecie, zwiedzając dla rozrywki Lhasę i spędzając kilka dni z dalajlamą. Być może czytałeś o niezwykłych wyprawach Norwega nazwiskiem Sigerson, ale z pewnością nie przyszło ci jednak nigdy do głowy, że były to wieści o poczynaniach twego przyjaciela. Później pojechałem do Persji, zajrzałem do Mekki i złożyłem krótką, acz interesującą wizytę kalifowi Chartumu, której wyniki przekazałem ministerstwu spraw zagranicznych. Następnie udałem się do Francji, gdzie przez kilka miesięcy prowadziłem badania nad pochodnymi smoły powęglowej w laboratorium w Montpellier, na południu kraju. Zakończyłem je z zadowalającym wynikiem i gdy się dowiedziałem, że w Londynie pozostał już tylko jeden z mych wrogów, zacząłem się zbierać do powrotu. Przyśpieszyły go wieści o niezwykłym wydarzeniu w Park Lane, które nie tylko zainteresowało mnie samo w sobie, ale także było bardzo obiecujące ze względów osobistych. Niezwłocznie wróciłem do Londynu, pod własną postacią pojawiłem się na Baker Street, wprawiając panią Hudson w stan histerii, i stwierdziłem, że Mycroft zachował moje mieszkanie i dokumenty w niezmienionym stanie. Tak więc, mój drogi Watsonie, kiedy dziś o drugiej usiadłem w swym dawnym fotelu w naszym dawnym pokoju, stwierdziłem, że brakuje mi jedynie tego, by mój stary przyjaciel Watson znalazł się w drugim fotelu, w którym tak często spoczywał.

Takiej to niesamowitej opowieści wysłuchałem owego kwietniowego wieczora. Nigdy bym w nią nie uwierzył, gdyby nie potwierdzał jej widok wysokiej, szczupłej sylwetki i ożywionej twarzy o przenikliwym umyśle, których nie miałem już nadziei ujrzeć. Holmes wiedział o mojej żałobie i okazał swe współczucie bardziej w czynach niż w słowach.

– Praca jest najlepszym lekarstwem na smutek, drogi Watsonie – stwierdził – a mam dla nas na tę noc zadanie, które, jeśli uda nam się je wykonać, uzasadni celowość życia człowieka na ziemi. – Na próżno błagałem go, by powiedział mi więcej. – Zobaczysz i usłyszysz dosyć, nim nadejdzie ranek – odparł. – Mamy do omówienia trzy minione lata. Niech

to wystarczy do wpół do dziesiątej, kiedy wyruszymy na spotkanie z niezwykłą przygodą w pustym domu.

Istotnie, czułem się jak za dawnych lat, kiedy o wyznaczonej godzinie siedziałem obok przyjaciela w dorożce z rewolwerem w kieszeni, a serce drżało mi z emocji. Małomówny Holmes był chłodny i surowy. Kiedy blask latarni oświetlił jego wyraziste rysy, zobaczyłem, że zmarszczył brwi w zamyśleniu i zacisnął wąskie wargi. Nie wiedziałem, na jakie zwierzę mamy zapolować w mrocznej dżungli przestępczego Londynu, ale z zachowania tego wytrawnego łowcy mogłem wnosić, że sprawa jest poważna, a sardoniczny uśmiech, który niekiedy przebijał się przez jego ponury, ascetyczny nastrój nie wróżył niczego dobrego temu, który był celem naszej wyprawy.

Sądziłem, że jedziemy na Baker Street, jednak Holmes zatrzymał dorożkę na rogu Cavendish Square. Zauważyłem, że, wysiadając, czujnie popatrzył w lewo i w prawo, a na każdym kolejnym rogu ulicy dokładnie się upewniał, czy nie jest śledzony. Nasza trasa była doprawdy niezwykła. Holmes znakomicie znał zaułki Londynu i przeszedł szybko i zdecydowanie przez cały labirynt uliczek i podwórek, o których istnieniu ja nie miałem pojęcia. W końcu wyszliśmy na niewielką ulicę, wzdłuż której stały ponure stare domy, przeszliśmy na Manchester Street i dalej na Blandford Street. Tam mój przyjaciel szybko skierował się w wąski zaułek, przeszedł przez drewnianą bramę na opuszczone podwórko, a następnie otworzył kluczem tylne drzwi domu. Razem weszliśmy do środka, a Holmes zamknął za nami drzwi.

Wewnątrz było ciemno, choć oko wykol, nie miałem jednak wątpliwości, że znajdujemy się w opuszczonym budynku. Nagie deski podłogi skrzypiały i trzeszczały pod naszymi stopami, a wyciągniętą ręką dotykałem ścian, z których zwisały resztki tapet. Zimne, szczupłe palce Holmesa zacisnęły się wokół mojego nadgarstka. Przyjaciel poprowadził mnie naprzód długim korytarzem, na którego końcu majaczyło słabo podświetlone półkoliste okienko umieszczone nad drzwiami. Holmes nagle skręcił przed nim w prawo, i znaleźliśmy się w dużym pustym kwadratowym pokoju, którego kąty pogrążone były w ciemności, a na środek padało nieco światła z ulicy. W pobliżu nie było żadnej latarni, a okno pokrywała gruba warstwa kurzu, więc ledwie mogliśmy rozróżnić

swoje sylwetki. Mój towarzysz położył mi rękę na ramieniu i zbliżył usta do mojego ucha.

– Czy wiesz, gdzie jesteśmy? – wyszeptał.

– To niewątpliwie Baker Street – odpowiedziałem, wyglądając przez zmatowiałą szybę.

– Zgadza się. Znajdujemy się w Camden House, naprzeciwko naszego dawnego mieszkania.

– Ale dlaczego tu przyszliśmy?

– Roztacza się stąd znakomity widok na tamten malowniczy budynek. Czy mógłbym cię prosić, drogi Watsonie, żebyś się nieco zbliżył do okna, dokładając wszelkich starań, by nie zostać zauważonym, i zajrzeć do naszych dawnych pokoi, w których rozpoczynało się tak wiele z twych opowiastek? Zobaczymy, czy trzy lata nieobecności nie odebrały mi umiejętności zaskakiwania cię.

Podkradłem się do okna i spojrzałem na znajomą fasadę. Kiedy ogarnąłem ją wzrokiem, zaparło mi dech w piersiach, i krzyknąłem ze zdumienia. Roleta była opuszczona, a w pokoju paliło się jaskrawe światło. Człowiek siedzący w fotelu rzucał wyraźny czarny cień widoczny na tle rozświetlonego okna. Nie sposób było pomylić z nikim innym tej przechylonej głowy, skulonych ramion i wyrazistych rysów. Twarz była widoczna z profilu i wyglądała jak jedna z czarnych sylwetek, które lubili oprawiać w ramki nasi dziadkowie. Idealna podobizna Holmesa! Byłem tak oszołomiony, że wyciągnąłem rękę, by sprawdzić, czy mój przyjaciel na pewno stoi obok mnie, a on zatrząsł się od bezgłośnego śmiechu.

– I jak? – zapytał.

– Wielkie nieba! – wykrzyknąłem. – To cudowne!

– Mam nadzieję, że „w ogóle z wiekiem nie więdnę” – stwierdził, a w jego głosie było słychać radość i dumę, jakie odczuwa artysta na widok własnego dzieła. – Chyba podobne do mnie, prawda?

– Mógłbym przysiąc, że to ty sam.

– Pochwały za wykonanie należą się panu Oscarowi Meunier z Grenoble, który przez kilka dni pracował nad odlewem. To woskowe popiersie. O resztę zadbałem sam podczas wizyty, jaką złożyłem na Baker Street dziś po południu.

– Ale po co to wszystko?

– Ponieważ, mój drogi Watsonie, miałem bardzo dobry powód, by przekonać pewne osoby, że tam siedzę, podczas gdy w rzeczywistości znajduję się gdzie indziej.

– Sądzisz, że mieszkanie jest obserwowane?

– Jestem tego pewien.

– Przez kogo?

– Przez mych dawnych wrogów, Watsonie. Przez urocze towarzystwo, którego przywódca spoczął pod wodospadem Reichenbach. Jak zapewne pamiętasz, tylko oni wiedzieli, że pozostałem przy życiu. Byli pewni, że wcześniej czy później wrócę do swego mieszkania, więc ciągle je obserwowali, a dziś rano byli świadkami mego powrotu.

– Skąd o tym wiesz?

– Wyglądając przez okno, zauważyłem ich wartownika. To całkiem niegroźny chłopina. Nazywa się Parker, trudni się duszeniem garotą i znakomicie gra na drumli. On mnie nie interesuje, co innego jego znacznie groźniejszy chlebodawca, serdeczny przyjaciel Moriarty'ego, ten sam człowiek, który ciskał we mnie kamieniami ze skały. Jest najbardziej przebiegłym i najniebezpieczniejszym z londyńskich przestępców. To on zapoluje na mnie dziś w nocy, Watsonie, lecz nie ma pojęcia, że my jesteśmy równocześnie na jego tropie.

Stopniowo zaczynały się odsłaniać plany mego przyjaciela. Z dogodnej kryjówki mieliśmy obserwować obserwatorów i tropić tropicieli. Cień, który widziałem, był przynętą, my zaś – łowcami. Czekaliśmy w ciemności, nie mówiąc ani słowa, przyglądając się ludziom na ulicy. Holmes stał bez ruchu, wiedziałem jednak, że wytężając uwagę, wbija wzrok w strumień przechodniów. Noc była zimna i hałaśliwa, a po długiej ulicy hulał wiatr. Przechodzili nią ludzie, okutani w większości w płaszcze, z szalikami owiniętymi wokół szyi. Raz czy dwa wydało mi się, że ta sama osoba minęła nasze okno kilka razy. Moją uwagę zwrócili szczególnie dwaj mężczyźni, którzy wyglądali tak, jakby chronili się przed wiatrem w bramie nieco dalej przy tej samej ulicy. Próbowałem wskazać ich memu przyjacielowi, on jednak warknął na mnie ze zniecierpliwieniem i wciąż wpatrywał się w ulicę. Kilka razy poruszył stopami i szybko zastukał palcami w ścianę. Stało się dla mnie oczywiste, że zaczyna się niepokoić, a sytuacja nie rozwija się zgodnie z jego planem. Wreszcie, kiedy zbliżała się północ, a na ulicy było coraz mniej przechodniów, zaczął chodzić,

wzburzony, tam i z powrotem po pokoju, nie mogąc się pohamować. Właśnie miałem się do niego odezwać, gdy mój wzrok spoczął na naszym oświetlonym oknie, i zdumiałem się niemal tak samo jak przedtem. Chwyciłem Holmesa za ramię i wskazałem mu okno.

– Cień się przesunął! – wykrzyknąłem.

Istotnie, sylwetka w oknie nie była już zwrócona do niego bokiem, lecz odwrócona tyłem.

Trzy lata ani nie złagodziły szorstkiego charakteru mego przyjaciela, ani nie zwiększyły tolerancji dla osób mniej spostrzegawczych od niego.

– Oczywiście, że się przesunął – przytaknął. – Czy sądzisz, że jestem tak groteskowym partaczem, by, wystawiając w oknie kukłę, sądzić, że zmyli ona mężczyzn, którzy należą do najbystrzejszych w Europie? Jesteśmy tu od dwóch godzin. W tym czasie pani Hudson osiem razy przestawiła popiersie; robi to co kwadrans. Ustawia się przed nim, żeby jej cień nie był widoczny. Ha! – Nagle, rozemocjonowany, gwałtownie wciągnął powietrze.

W słabym świetle zobaczyłem, że wysunął głowę do przodu i zesztywniał w oczekiwaniu. Ulica na zewnątrz była całkowicie pusta. Być może dwaj mężczyźni wciąż kulili się w bramie, nie mogłem jednak ich dostrzec. Wszystko było pogrążone w ciszy i ciemności, wszystko prócz jaskrawego, żółtego ekranu naprzeciw, pośrodku którego widniała czarna sylwetka. W tej całkowitej ciszy znów usłyszałem wysoki, syczący dźwięk, świadczący o walce z silnymi emocjami. Chwilę później Holmes odciągnął mnie w najciemniejszy kąt pokoju i zasłonił mi usta ręką. Ściskające mnie palce drżały. Nigdy nie widziałem mego przyjaciela równie wzburzonego, choć na ciemnej ulicy w zasięgu wzroku nikogo nie było.

Nagle uświadomiłem sobie to, co jemu już wcześniej dały znać jego bardziej wyostrzone zmysły. Do moich uszu dobiegł cichy, stłumiony dźwięk, ale nie od strony Baker Street, lecz z głębi tego samego domu, który służył nam za kryjówkę. Drzwi otworzyły się, a potem zamknęły. Chwilę później w korytarzu rozległy się kroki. Miały one być ciche, ale wyraźnie rozbrzmiewały w pustym domu. Holmes skulił się pod ścianą, ja zrobiłem to samo, zaciskając dłoń na rękojeści rewolweru. W mroku zauważyłem niewyraźną ciemną sylwetkę mężczyzny na tle otwartych drzwi. Obcy przez chwilę stał w progu, po czym ostrożnie zakradł się do pokoju. Złowroga postać znalazła się o trzy jardy od nas, i już przygotowywałem się na konfrontację z nią, kiedy uświadomiłem sobie, że

intruz nie zdaje sobie sprawy z naszej obecności. Przeszedł obok, zbliżył się po cichu do okna oraz bardzo delikatnie i bezgłośnie uniósł szybę o pół stopy. Kiedy schylił się do powstałego otworu, światło z ulicy, nie przytłumione kurzem zebranym na szkle, padło na jego twarz. Mężczyzna wydawał się bardzo podekscytowany. Jego oczy lśniły jak gwiazdy, a mięśnie twarzy konwulsyjnie drgały. Był to starszy, łysawy człowiek o wąskim wydatnym nosie, wysokim czole i sumiastych, przyprószonych siwizną wąsach. Na głowie miał cylinder, który zsunął mu się do tyłu. Pod rozpiętym płaszczem widać było wieczorową koszulę. Twarz nieznajomego była chuda i śniada, poorana głębokimi zmarszczkami. Mężczyzna trzymał w ręku coś, co wziąłem za laskę, ale gdy odłożył ten przedmiot na podłogę, usłyszałem metaliczny dźwięk. Z kieszeni płaszcza przybysz wyciągnął jakiś duży przedmiot i wykonał czynność, która zakończyła się głośnym ostrym szczęknięciem, tak, jakby sprężyna lub zapadka trafiły na swoje miejsce. Wciąż klęcząc na podłodze, pochylił się do przodu i z całej siły naparł ciałem na jakąś dźwignię: usłyszeliśmy najpierw długie zgrzytnięcie, a następnie kolejny głośny szczęk. Mężczyzna się wyprostował; zobaczyłem, że trzyma w rękach strzelbę z kolbą o nietypowym kształcie. Odwiódł zamek do tyłu, włożył coś do środka i zaryglował go; następnie, kuląc się, oparł koniec lufy o parapet otwartego okna. Zobaczyłem, jak jego długie wąsy opadły na kolbę, a oczy zabłysły. Uważnie rozejrzał się po okolicy. Usłyszałem ciche westchnienie zadowolenia, kiedy nieznajomy opierał broń o ramię. Jego celem była czarna sylwetka na żółtym tle. Przez chwilę stał sztywno bez ruchu, po czym zacisnął palec na spuście. Rozległ się dziwny przeciągły świst, i usłyszeliśmy długie, srebrzyste brzęczenie tłuczonego szkła. W tej samej chwili Holmes skoczył niczym tygrys na plecy strzelca i rzucił go na podłogę twarzą w dół. Mężczyzna szybko zerwał się na nogi i z konwulsyjną siłą złapał Holmesa za gardło, ja jednak uderzyłem napastnika w głowę kolbą rewolweru, i on opadł z powrotem na podłogę. Rzuciłem się na niego i przytrzymałem, a mój towarzysz zadął w policyjny gwizdek. Na chodniku rozległy się pośpieszne kroki, i po chwili dwaj umundurowani policjanci i jeden detektyw w cywilnym ubraniu wbiegli przez frontowe drzwi i wpadli do pokoju.

– Czy to pan, Lestrade?

– Tak, panie Holmes. Zgłosiłem się do tego zadania. Dobrze zobaczyć pana znów w Londynie.

– Sądzę, że przyda się panu nieco nieoficjalnej pomocy. Trzy niewykryte morderstwa w ciągu roku to zbyt wiele, panie Lestrade. Jednak w sprawie Moleseya postąpił pan z mniejszą niż zwykle… chciałem powiedzieć, że dobrze się pan spisał.

Podnieśliśmy się z podłogi. Nasz więzień ciężko oddychał, z obu stron trzymało go dwóch potężnych posterunkowych. Na ulicy zaczęli się już zbierać gapie. Holmes podszedł do okna, zamknął je i opuścił rolety. Lestrade zapalił dwie świece, a policjanci odsłonili lampy, więc mogłem nareszcie dobrze się przyjrzeć schwytanemu.

Twarz, którą zwrócił ku nam, była niezwykle męska, a zarazem złowroga. Nieznajomy miał czoło filozofa i szczękę lubieżnika, musiał od urodzenia wykazywać wielką skłonność zarówno do dobrego, jak i złego. Dość jednak było spojrzeć w jego okrutne, niebieskie oczy o opadających cynicznie powiekach, na agresywnie wystający nos i groźnie zmarszczone brwi, by wyczytać z nich bardzo wyraźne ostrzeżenie udzielone przez samą naturę. Mężczyzna nie zwracał uwagi na nikogo z obecnych, lecz wpatrywał się w Holmesa z wyrazem, w którym łączyły się w równych proporcjach nienawiść i zdumienie.

– Ty diable! – mamrotał bez ustanku. – Ty przebiegły diable!

– Ach, pułkowniku! – odpowiedział Holmes, poprawiając zmięty, potargany kołnierzyk. – Jak napisano w pewnej starej sztuce: „Jakąkolwiek pójdziesz dróżką, miłość czeka na cię”. Nie sądzę, bym miał przyjemność zobaczyć pana, odkąd zechciał on zaszczycić mnie swą uwagą, gdy leżałem na skalnej półce nad wodospadem Reichenbach.

Więzień wciąż wpatrywał się w mego przyjaciela jak zaczarowany, a jedyne słowa, na jakie mógł się zdobyć, brzmiały: „Ty przebiegły diable!”.

– Jeszcze panów sobie nie przedstawiłem – stwierdził Holmes. – Oto pułkownik Sebastian Moran, niegdyś żołnierz Armii Indyjskiej Jej Królewskiej Mości, najlepszy łowca grubego zwierza, jakiego wydało nasze Wschodnie Imperium. Pułkowniku, zdaje się, że nie minę się z prawdą, stwierdzając, że nikt dotąd nie prześcignął pana w liczbie upolowanych tygrysów?

Rozwścieczony starzec nie odpowiedział, lecz wciąż gapił się na mego towarzysza. Ze swymi okrutnymi oczami i zjeżonymi wąsami sam bardzo przypominał tygrysa.

– Dziwię się, że taki stary *shikari* dał się nabrać na moją prostą sztuczkę – kontynuował Holmes. – Musi być przecież panu znana. Wszak sam przywiązywał pan koźlęta pod drzewem, kładł się powyżej ze strzelbą i czekał, aż tygrys przybędzie, zwabiony przynętą. Ten pusty dom to moje drzewo, a pan jest moim tygrysem. Zapewne trzymał pan w zapasie inne strzelby, w razie gdyby nadeszło kilka drapieżników lub, co jest mało prawdopodobne, zawiodło pana oko. Oto moje zapasowe strzelby. – Pokazał ręką dookoła. – Porównanie jest całkiem trafne.

Pułkownik Moran rzucił się naprzód, warcząc ze złości, ale posterunkowi odciągnęli go. Strasznie było patrzeć na wściekłość malującą się na jego twarzy.

Holmes zachował spokój.

– Przyznaję, że zgotował mi pan jedną małą niespodziankę – powiedział mój przyjaciel. – Nie sądziłem, że pan również skorzysta z tego pustego domu i jego dogodnego frontowego okna. Zdawało mi się, że będzie pan działał prosto z ulicy, gdzie czekał na niego mój przyjaciel Lestrade ze swymi wesołymi kompanami. Poza tym wszystko przebiegło tak, jak się spodziewałem.

Moran zwrócił się do policjanta:

– Być może ma pan powód, by mnie aresztować, nie widzę jednak przyczyny, dla której miałbym pozwolić temu człowiekowi kpić z siebie. Jeśli jestem w rękach stróżów prawa, proszę postępować zgodnie z literą prawa.

– Cóż, to rozsądna prośba – przyznał Lestrade. – Czy ma pan coś do dodania, panie Holmes?

Mój przyjaciel podniósł z podłogi potężną wiatrówkę i zbadał jej mechanizm.

– To wspaniała i wyjątkowa broń – stwierdził – działa bezgłośnie i z wielką mocą. Znałem Von Herdera, niewidomego niemieckiego mechanika, który zbudował ją na zlecenie zmarłego profesora Moriarty’ego. Wiedziałem o jej istnieniu od lat, jednak nigdy wcześniej nie miałem okazji wziąć do ręki. Szczególnie polecam ją pańskiej uwadze, Lestrade, wraz z pociskami.

– Może pan być pewien, że się tym zajmiemy, panie Holmes – stwierdził inspektor, kiedy wszyscy obecni zaczęli iść w kierunku drzwi. – Coś jeszcze?

– Chciałbym tylko spytać, jaki zarzut zamierza pan postawić.

– Jaki zarzut? Ależ to oczywiste: usiłowanie zabójstwa pana Sherlocka Holmesa.

– Nie, Lestrade. Ja w ogóle nie chcę, by łączono mnie z tą sprawą. To nadzwyczajne aresztowanie jest tylko pana zasługą. Tak, Lestrade, muszę panu pogratulować. Dzięki typowemu dla pana szczęśliwemu połączeniu przemyślności i odwagi udało mu się go dopaść.

– Dopaść? Ale kogo, panie Holmes?

– Pułkownika Sebastiana Morana, człowieka, którego na próżno poszukuje cała policja, który zabił czcigodnego Ronalda Adaira, strzelając do niego pociskiem typu dum-dum przez otwarte okno frontowego pokoju na drugim piętrze domu przy Park Lane 427 trzydziestego dnia zeszłego miesiąca. Oto zarzuty, Lestrade. A teraz, Watsonie, jeśli nie będzie ci przeszkadzał przeciąg spowodowany rozbitą szybą, powinniśmy przyjemnie spędzić najbliższe pół godziny, paląc cygara w moim gabinecie.

Nasze dawne mieszkanie nic a nic się nie zmieniło dzięki nadzorowi Mycrofta Holmesa i opiece pani Hudson. Wchodząc, zauważyłem nienaganny porządek. Wszystkie znajome przedmioty stały na swoich miejscach. Były tam kącik chemiczny z poplamionym kwasami drewnianym stołem, półka pełna niezwykłych albumów na wycinki i leksykonów, które wielu obywateli z chęcią by spaliło, wykresy, futerał ze skrzypcami i stojak z fajkami, a nawet perski but wypełniony tytoniem – zauważyłem je wszystkie, rozglądając się wokół. W pokoju znajdowały się dwie osoby: pani Hudson, która rozpromieniła się na nasz widok, i dziwna kukła, która odegrała tak istotną rolę w wydarzeniach tego wieczoru. Było to woskowe popiersie mego przyjaciela, tak znakomicie wykonane, że wyglądało dokładnie jak on. Stało na niewielkim postumencie, owinięte starym szlafrokiem Holmesa; patrząc z ulicy, nie sposób było nie ulec złudzeniu.

– Pani Hudson, mam nadzieję, że zachowała pani wszelkie środki ostrożności? – spytał Holmes.

– Podchodziłam do niego na kolanach, tak jak pan mi kazał.

– Znakomicie. Świetnie się pani spisała. Czy zauważyła pani, którędy wleciał pocisk?

– Tak, proszę pana. Obawiam się, że zniszczył pańskie piękne popiersie, przebił bowiem głowę i rozpłaszczył się na ścianie. Podniosłam go

z dywanu. Oto on.

Holmes podał mi pocisk.

– Jak widzisz, Watsonie, to miękka kula rewolwerowa. Genialne rozwiązanie. Kto by się spodziewał, że można ją wystrzelić z wiatrówki? Pani Hudson, bardzo dziękuję za pomoc. A teraz, Watsonie, usiądź znów w swym starym fotelu, gdyż pozostało kilka rzeczy, które chciałbym z tobą omówić.

Zrzucił wytarty frak, założył szary szlafrok, który zdjął z kukły, i znów stał się dawnym Holmesem.

– Stary *shikari* wciąż ma stalowe nerwy i sokoli wzrok – stwierdził ze śmiechem, oglądając strzaskane czoło swej podobizny. – Rana pośrodku potylicy i roztrzaskany mózg. Był najlepszym strzelcem w Indiach, i sądzę, że w Londynie również nie miał wielu sobie równych. Czy słyszałeś przedtem jego nazwisko?

– Nie.

– Cóż, taka bywa sława. Ale jeśli dobrze pamiętam, nie znałeś również profesora Jamesa Moriarty’ego, jednego z najwybitniejszych umysłów tego stulecia. Podaj mi słownik biograficzny z tamtej półki.

Rozparty w fotelu, leniwie przewracał kartki, wydmuchując wielkie kłęby dymu z cygara.

– Mam piękną kolekcję nazwisk na M – rzekł. – Sam Moriarty byłby ozdobą każdej litery, a tu mamy jeszcze truciciela Morgana, niechlubnej pamięci pana Merridew i Mathewsa, który wybił mi lewy kieł w poczekalni przy Charing Cross, a na końcu listy jest nasz przyjaciel, z którym spotkaliśmy się dziś w nocy.

Podał mi książkę, w której wyczytałem:

MORAN SEBASTIAN, pułkownik. Bezrobotny. Dawniej pierwszy pułk pionierów z Bangalore. Urodzony w Londynie w roku 1840. Syn sir Augustusa Morana, dawnego brytyjskiego ministra ds. Persji. Ukończył Eton i Oxford. Służył w kampanii Jowaki, kampanii afgańskiej, w Charasiab (wymieniony w sprawozdaniu), Sherpur i Kabulu. Autor *Grubej zwierzyny Himalajów zachodnich* (1881) i *Trzech miesięcy w dżungli* (1884). Adres: Conduit Street. Kluby: „Anglo-Indian”, „Tankerville”, klub karciany „Bagatelle”.

Na marginesie widniał dopisek, sporządzony starannie ręką Holmesa: „Drugi spośród najniebezpieczniejszych ludzi w Londynie”.

– To niezwykłe – stwierdziłem, oddając mu książkę. – Ten człowiek okrył się chwałą na polach bitwy.

– To prawda – przyznał Holmes. – Służył dzielnie. Zawsze miał stalowe nerwy, a w Indiach wciąż opowiadają o tym, jak wczołgał się do kanału w pogoni za rannym tygrysem ludożercą. Istnieją jednak, drogi Watsonie, drzewa, które po osiągnięciu pewnej wysokości nagle ulegają szpetnemu zniekształceniu. Często dzieje się tak również z ludźmi. Ułożyłem teorię, w myśl której rozwój każdego człowieka odzwierciedla losy wszystkich jego przodków, i jego nagły zwrot ku dobru lub złu świadczy o tym, jak znaczący wpływ wywiera jego pochodzenie. W ten sposób dana osoba staje się uosobieniem historii swej rodziny.

– To dość wymyślna teza.

– Nie obstaję przy niej, jednak niezależnie od przyczyny pułkownik Moran zaczął schodzić na złą drogę. Nie wywołał żadnego głośnego skandalu, ale był zmuszony opuścić Indie. Przeszedł w stan spoczynku, przyjechał do Londynu i tutaj również okrył się złą sławą. Wtedy skontaktował się z nim profesor Moriarty, dla którego przez pewien czas pracował jako szef personelu. Moriarty dawał mu znaczne sumy, którymi Moran mógł dysponować, i wykorzystał go do jednego czy dwóch zadań specjalnych, których nie zdołałby wykonać żaden zwykły przestępca. Pamiętasz może śmierć pani Stewart z Lauder w 1887 roku? Nie? Jestem przekonany, że stał za nią Moran, jednak niczego mu nie udowodniono. Pułkownik był tak zmyślnie zakonspirowany, że nawet po rozbiciu gangu Moriarty’ego nie udało się postawić mu zarzutów. Pamiętasz, odwiedziłem cię w tamtym czasie; wspomniałem, że kazałem założyć okiennice z obawy przed wiatrówkami? Uznałeś to za dziwactwo, ja jednak bardzo dobrze wiedziałem, co robię, zdawałem sobie sprawę z istnienia tej niezwykłej broni i byłem świadom, że posługuje się nią jeden z najlepszych strzelców na świecie. W Szwajcarii podążał za nami wraz z Moriartym i zaatakował mnie na półce skalnej nad wodospadem Reichenbach, jestem tego pewien. Jak się domyślasz, podczas pobytu we Francji uważnie czytałem gazety w poszukiwaniu tropu, który mógłby mnie do niego doprowadzić. Dopóki przebywał na wolności w Londynie, moje życie nie było warte funta kłaków. Jego cień wisiałby nade mną dniem i nocą; znalazłby w końcu

sposobność, by dostać mnie w swoje ręce. Co miałem zrobić? Nie mogłem zastrzelić go w miejscu publicznym, wówczas sam trafiłbym do więzienia. Nie było również sensu iść ze sprawą do sędziego pokoju: nie zgodziłby się działać na podstawie podejrzeń, które uznałby za urojenia. Byłem w kropce. Śledziłem jednak kronikę kryminalną, wierząc, że wcześniej czy później go dopadnę. Kiedy nadeszła wiadomość o śmierci Ronalda Adaira, zrozumiałem, że w końcu doczekałem się swojej szansy. Wiedza, którą dysponowałem, ponad wszelką wątpliwość wskazywała na to, że sprawcą był pułkownik Moran. Grał z młodzieńcem w karty, poszedł za nim do domu z klubu i zastrzelił go przez otwarte okno. Same pociski wystarczą, by trafił na szubienicę. Przyjechałem niezwłocznie, zobaczył mnie wartownik, który, jak wiedziałem, miał natychmiast powiadomić pułkownika. Ten nie omieszkał powiązać mego powrotu z popełnioną zbrodnią i wielce się zaniepokoił. Byłem pewien, że niezwłocznie spróbuje się mnie pozbyć i wykorzysta w tym celu swą śmiercionośną broń. Zostawiłem mu w oknie idealny cel, uprzedziłem policję, że może być potrzebna jej interwencja (przy okazji, Watsonie, udało ci się dostrzec funkcjonariuszy kryjących się w bramie), i zająłem miejsce, które wydawało mi się dogodnym punktem obserwacyjnym. Nie spodziewałem się, że to stamtąd będzie chciał zaatakować. Czy wszystko jest jasne, drogi Watsonie?

– Nie – odparłem. – Nie wyjaśniłeś, jaki motyw miał pułkownik Moran, by zamordować czcigodnego Ronalda Adaira.

– Drogi Watsonie, zapuszczamy się tu w rozważania, przy których pomylić się może nawet najlogiczniejszy umysł. Każdy może stworzyć własną hipotezę na podstawie dostępnych dowodów, i twoja może okazać się równie trafna jak moja.

– Czy to znaczy, że ułożyłeś własną?

– Sądzę, że nietrudno jest wyjaśnić fakty. Podczas śledztwa wyszło na jaw, że pułkownik Moran i młody Adair wygrali wspólnie znaczną kwotę. Gra z pewnością nie była uczciwa, wiedziałem o tym od dawna. Domyślam się, że w dniu morderstwa Adair odkrył, że Moran oszukuje. Zapewne pomówił z nim na osobności i zagroził ujawnieniem całej sprawy, jeśli nie zrezygnuje dobrowolnie z członkostwa w klubie i nie przyrzeknie nie brać więcej kart do ręki. Mało prawdopodobne jest, by taki młodzik jak Adair chciał od razu wywołać skandal, donosząc na człowieka znanego i znacznie

starszego od siebie. Prawdopodobnie postąpił tak, jak mówiłem. Wykluczenie z klubów oznaczałoby jednak ruinę dla Morana, który żył z nieuczciwie wygranych pieniędzy. Zamordował więc Adaira, który w tym czasie obliczał, ile powinien zwrócić, gdyż nie chciał zyskiwać na szulerstwie swego partnera. Młody człowiek zamknął drzwi od środka, by nie zaskoczyły go matka i siostra, które koniecznie chciałyby się dowiedzieć, dlaczego wypisuje nazwiska i odlicza pieniądze. Czy to brzmi prawdopodobnie?

– Nie mam wątpliwości, że odkryłeś prawdę.

– To się okaże podczas procesu. Tymczasem jednak, cokolwiek by się działo, pułkownik Moran nie przysporzy nam więcej kłopotów. Słynna wiatrówka Von Herdera stanie się ozdobą muzeum Scotland Yardu, a pan Sherlock Holmes może znów poświęcić się rozwiązywaniu interesujących, drobnych problemów, których tak obficie dostarcza skomplikowane życie Londynu.

Opowieść druga

PRZEDSIĘBIORCA BUDOWLANY Z NORWOOD

– Z punktu widzenia eksperta do spraw przestępczości – stwierdził Sherlock Holmes – Londyn stał się wyjątkowo nudnym miastem od śmierci nieodżałowanego profesora Moriarty’ego.

– Sądzę, że niewielu uczciwych obywateli by się z tobą zgodziło – odparłem.

– Cóż, nie powinienem być tak samolubny – odrzekł z uśmiechem, wstając od stołu po śniadaniu. – Z pewnością zyskało na tym społeczeństwo, a nie stracił nikt prócz biednego specjalisty, który został bez pracy. Kiedy działał profesor, poranna gazeta otwierała przede mną nieograniczone możliwości. Często były to zaledwie drobne poszlaki, ulotne ślady, a jednak wystarczały, by stwierdzić, że za wszystkim stoi geniusz zła, tak jak delikatne drżenie brzegów pajęczyny przypomina, że gdzieś tam w środku czyha ohydny pająk. Drobne kradzieże, pozornie nieuzasadnione napady, bezcelowa brutalność układały się w jedną całość dla człowieka, który wiedział, w czym rzecz. Dla badacza świata przestępczego żadna z europejskich stolic nie miała takich zalet jak Londyn. Teraz jednak… – wzruszył ramionami, z humorem wyrażając dezaprobatę wobec stanu rzeczy, do którego powstania sam tak bardzo się przyczynił.

Rozmowa, którą przytoczyłem, miała miejsce jakiś czas po tym, gdy Holmes powrócił, a ja na jego prośbę sprzedałem gabinet i wprowadziłem się znów do naszego dawnego mieszkania przy Baker Street. Moją niewielką praktykę w Kensington odkupił młody lekarz nazwiskiem Verner, który zadziwił mnie, płacąc niemal bez sprzeciwu najwyższą kwotę, jakiej ośmieliłem się zażądać. Sprawa ta wyjaśniła się kilka lat później, kiedy

odkryłem, że Verner jest dalekim krewnym Holmesa i że w istocie to mój przyjaciel dał mu pieniądze na zakup.

Pierwsze miesiące naszej ponownej współpracy nie były aż tak nudne, jak twierdził Holmes. Zapiski z tamtego okresu zawierają na przykład opis zagadki papierów byłego prezydenta Murillo i śledztwa w szokującej sprawie holenderskiego parowca „Friesland", które omal nie kosztowało życia nas obu. Mój przyjaciel, beznamiętny i dumny, wzbraniał się jednak przed publicznym uznaniem i bezwzględnie wymógł na mnie, bym nie pisał więcej o nim, jego metodach i sukcesach; jak już wspomniałem, cofnął ten zakaz dopiero niedawno.

Po wygłoszeniu swej osobliwej skargi Sherlock Holmes rozparł się w fotelu i właśnie rozkładał leniwie poranną gazetę, kiedy naszą uwagę przykuł natarczywy odgłos dzwonka. Potem usłyszeliśmy głuche bębnienie, jakby ktoś walił pięścią w drzwi wejściowe, odgłos otwieranych drzwi i szybkie kroki. Ktoś wbiegł na korytarz i popędził do góry po schodach. Chwilę później do pokoju wpadł rozgorączkowany młody człowiek. Miał rozczochrane włosy, był bardzo blady i cały drżał. Patrzył błędnym wzrokiem to na jednego, to na drugiego z nas, póki nasze pytające spojrzenia nie uświadomiły mu, że powinien przeprosić za to bezceremonialne najście.

– Przepraszam, panie Holmes! – wykrzyknął. – Proszę nie mieć mi tego za złe! Odchodzę już od zmysłów, panie Holmes. Jestem nieszczęsny John Hector McFarlane.

Wymówił te słowa w taki sposób, jakby samo nazwisko miało tłumaczyć zarówno jego wizytę, jak i zachowanie, ale z kamiennej twarzy mego towarzysza wyczytałem, że jemu to miano powiedziało nie więcej niż mnie.

– Proszę poczęstować się papierosem, panie McFarlane – rzekł tylko, podając przybyszowi pudełko. – Jestem pewien, że obecny tu mój przyjaciel doktor Watson może zaordynować środek uspokajający, który panu pomoże. Przez kilka ostatnich dni było bardzo ciepło. A teraz, jeśli pan już nieco ochłonął, proszę usiąść w tamtym fotelu i bardzo spokojnie oraz powoli wyjaśnić, kim pan jest i czego od nas oczekuje. Wypowiedział pan swoje nazwisko tak, jakbym powinien był je rozpoznać, ale zapewniam, że poza oczywistymi faktami, iż jest pan kawalerem, prawnikiem, masonem i astmatykiem, nic o nim nie wiem.

Znałem metody pracy mego przyjaciela, bez trudu zatem podążyłem śladem jego dedukcji, rejestrując kolejno niechlujny strój, pliki dokumentów prawnych, dewizkę od zegarka i sposób oddychania, na których oparł swe rozumowanie. Nasz klient jednak wpatrywał się w niego ze zdumieniem.

– Zgadza się, panie Holmes, a do tego jestem obecnie najnieszczęśliwszym człowiekiem w Londynie. Na litość boską, panie Holmes, niech mnie pan nie odtrąca! Jeśli przybędą mnie aresztować, nim skończę opowiadać, proszę spowodować, by poczekali, gdyż muszę wyznać panu całą prawdę. Z radością poszedłbym do więzienia, gdybym wiedział, że pan w tym czasie pracuje dla mnie.

– Aresztować? – stwierdził Holmes. – To doprawdy wspania… interesujące. A pod jakimi zarzutami?

– Oskarża się mnie o zamordowania pana Jonasa Oldacre’a z Lower Norwood.

Na wyrazistej twarzy mego przyjaciela pojawiło się współczucie, obawiam się jednak, że z domieszką zadowolenia.

– A niech mnie – powiedział. – Dopiero co mówiłem przy śniadaniu mojemu przyjacielowi doktorowi Watsonowi, że sensacyjne sprawy zniknęły z łamów gazet.

Nasz gość wyciągnął drżącą rękę i podniósł „Daily Telegraph”, wciąż leżący na kolanach Holmesa.

– Gdyby przeczytał pan gazetę, od razu wiedziałby, z czym przychodzę. Zdawało mi się, że moje nieszczęście jest na ustach wszystkich. – Przewrócił strony, znalazł artykuł i podał go Holmesowi. – Za pana pozwoleniem, chciałbym go przeczytać. Proszę posłuchać, panie Holmes. Nagłówek brzmi: „Tajemnicza sprawa w Lower Norwood. Zniknięcie znanego przedsiębiorcy budowlanego. Podejrzenie o morderstwo i podpalenie. Ślad prowadzi do sprawcy”. Mowa o tropie, którym już podąża policja, panie Holmes, i wiem, że niechybnie doprowadzi on do mnie. Byłem śledzony od stacji London Bridge, i jestem pewien, że czekają tylko na nakaz aresztowania. To złamie serce mojej matce, złamie jej serce!

Był przerażony, kiwał się na krześle w tył i w przód.

Przyjrzałem się z zainteresowaniem mężczyźnie oskarżonemu o popełnienie krwawej zbrodni. Miał włosy koloru lnu i przystojną, choć zmęczoną, gładko wygoloną twarz o przestraszonych, niebieskich oczach;

opuszczone kąciki ust wskazywały na pewną rozwiązłość. Miał około dwudziestu siedmiu lat; strój i postawa wskazywały na dżentelmena. Z kieszeni jego lekkiego letniego płaszcza wystawał plik dokumentów, które mogły sugerować, że ich posiadacz jest prawnikiem.

Holmes uważnie wysłuchał naszego gościa.

– Musimy dobrze wykorzystać czas, który nam pozostał – stwierdził. – Watsonie, bądź tak dobry, weź tę gazetę i przeczytaj notatkę.

Pod sensacyjnym nagłówkiem, który zacytował nasz klient, znajdowała się następująca, sugestywna opowieść:

> Wczoraj w późnych godzinach nocnych, czyli dziś wczesnym rankiem, w Lower Norwood doszło do incydentu, który może, niestety, wiązać się z poważnym przestępstwem. Pan Jonas Oldacre był przedsiębiorcą budowlanym, wszyscy w okolicy bardzo dobrze go znają. Jest kawalerem, ma pięćdziesiąt dwa lata, mieszka od lat w Deep Dene House przy skrzyżowaniu ulic Deep Dene i Sydenham. Słynie ze swych ekscentrycznych nawyków, jest tajemniczy i zamknięty w sobie. Kilka lat temu wycofał się z prowadzenia interesu, który podobno przyniósł mu znaczny majątek, jednakże na tyłach jego domu nadal znajduje się niewielki skład drewna. Wczoraj około północy wszczęto alarm, gdyż zapalił się jeden ze stosów. Wozy strażackie szybko przybyły na miejsce, ale suche drewno paliło się tak gwałtownie, że nie udało się ugasić ognia, dopóki nie strawił on całej sterty. Aż do tego momentu całe wydarzenie wyglądało na nieszczęśliwy wypadek, pojawiły się jednak poszlaki świadczące o tym, że popełniono poważne przestępstwo. Nieobecność gospodarza podczas pożaru wywołała zdziwienie, a dalsze poszukiwania wykazały, że mężczyzna zniknął z domu. Podczas oględzin jego pokoju okazało się, że nie spał w swoim łóżku, sejf był otwarty, a wiele ważnych dokumentów poniewierało się po całym pokoju. Znaleziono także ślady walki na śmierć i życie – w pokoju odkryto ślady rozpryśniętej krwi, widniała ona także na rączce dębowej laski. Wiadomo, że pan Jonas Oldacre do późna w nocy przyjmował w swym pokoju gościa, a laska, jak się udało ustalić, należy do tej właśnie osoby, młodego londyńskiego prawnika nazwiskiem John Hector McFarlane, młodszego wspólnika w kancelarii Graham i McFarlane z Gresham Buildings 426. Policja twierdzi, że posiada dowody co do istnienia wyraźnych motywów zbrodni, a sprawa niewątpliwie będzie miała charakter sensacyjny.
>
> Z OSTATNIEJ CHWILI
>
> Przed oddaniem gazety do druku pojawiły się plotki, że pan John Hector McFarlane został aresztowany pod zarzutem zamordowania pana Jonasa Oldacre’a. Wiadomo na pewno, że został wydany nakaz aresztowania. Podczas śledztwa prowadzonego w Norwood dokonano nowych niepokojących odkryć. Sypialnia nieszczęsnego gospodarza domu, gdzie znaleziono ślady walki, znajduje się na

parterze. Przeszklone drzwi tego pomieszczenia były otwarte. Natrafiono na ślady, które świadczą o tym, że w stronę stosu drewna był wleczony ciężki przedmiot, a pomiędzy kawałkami węgla drzewnego pozostałego po pożarze znaleziono nadpalone ludzkie szczątki. Wedle teorii policji została popełniona okropna zbrodnia: sprawca zabił ofiarę w jej własnej sypialni, uderzając ją tępym narzędziem, przeszukał dokumenty i zaciągnął ciało na stos drewna, który następnie podpalił, by ukryć ślady zbrodni. Dochodzenie prowadzi doświadczony inspektor Lestrade ze Scotland Yardu, który podąża za poszlakami z właściwą sobie energią i przenikliwością.

Sherlock Holmes wysłuchał tej niezwykłej relacji z zamkniętymi oczami; dłonie splótł tak, że opuszki palców stykały się ze sobą.

– Sprawę niewątpliwie cechują pewne interesujące aspekty – stwierdził ospale, w charakterystyczny dla siebie sposób. – Panie McFarlane, dlaczego pozostaje pan na wolności, skoro dowody, jak się wydaje, są wystarczające, by uzasadnić pańskie aresztowanie?

– Panie Holmes, mieszkam z rodzicami w Torrington Lodge w Blackheath. Nasze spotkanie z panem Jonasem Oldacre zakończyło się o bardzo późnej porze, więc przenocowałem w hotelu w Norwood i stamtąd pojechałem rano do kancelarii. Nie wiedziałem, co się stało, póki nie przeczytałem w pociągu gazety. Od razu dostrzegłem, w jak straszliwie niebezpiecznym położeniu się znajduję, i pośpieszyłem do pana. Powierzam mu tę sprawę. Nie mam wątpliwości, że zostałbym aresztowany w biurze lub w domu. Od stacji London Bridge śledził mnie jakiś mężczyzna i jestem pewien… Wielkie nieba! Kto to?

Rozległ się dzwonek, a zaraz po nim dały się słyszeć ciężkie kroki na schodach. Chwilę później w drzwiach stanął nasz stary przyjaciel Lestrade. Dostrzegłem w korytarzu umundurowanych funkcjonariuszy.

– Pan John Hector McFarlane? – spytał Lestrade.

Młody człowiek podniósł się, przygnębiony.

– Aresztuję pana za zabójstwo pana Jonasa Oldacre’a z Lower Norwood.

McFarlane, zrozpaczony, opadł ponownie na fotel, jak gdyby przywalił go jakiś ciężar.

– Chwileczkę, Lestrade – zabrał głos mój przyjaciel. – Pół godziny nie zrobi panu żadnej różnicy, a ten dżentelmen miał właśnie opowiedzieć nam o tej niezwykle interesującej sprawie, co może nam pomóc w jej wyjaśnieniu.

– Nie sądzę, by jej wyjaśnienie miało nastręczyć jakiekolwiek trudności – ponuro odparł Lestrade.

– Mimo wszystko, za pańskim pozwoleniem, bardzo chciałbym posłuchać jego historii.

– Cóż, panie Holmes, trudno mi odmówić panu czegokolwiek, gdyż niejednokrotnie oddał pan usługi policji; mamy wobec pana w Scotland Yardzie dług wdzięczności – rzekł inspektor. – Muszę jednak pozostać przy więźniu i uprzedzić, że wszystko, co powie, może być wykorzystane jako materiał dowodowy w sprawie przeciw niemu.

– Niczego bardziej nie pragnę – zapewnił nasz klient. – Proszę tylko, by panowie wysłuchali mego szczerego wyznania.

Lestrade spojrzał na zegarek.

– Daję panom pół godziny – zastrzegł.

– Wyjaśnię na początek – powiedział McFarlane – że nie znam pana Jonasa Oldacre’a, chociaż jego nazwisko nie jest mi obce, gdyż wiele lat temu moi rodzice utrzymywali z nim kontakt. Z czasem znajomość się rozluźniła. Byłem więc bardzo zaskoczony, gdy wczoraj około trzeciej po południu człowiek ten przyszedł do mojego biura. Jeszcze bardziej zdumiałem się, gdy wyjaśnił mi cel swej wizyty. „Oto mój testament – oznajmił. – Panie McFarlane, chcę, żeby nadał mu pan odpowiednią formę prawną. Posiedzę tu, kiedy będzie pan nad nim pracował”. Zabrałem się za przepisywanie tekstu, i proszę sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy przeczytałem, że testator pozostawia, z nielicznymi zastrzeżeniami, cały swój majątek mnie. Był to dziwny mężczyzna: miał białe rzęsy, a wyglądem przypominał łasicę. Kiedy na niego spojrzałem, zauważyłem, że jego przenikliwe, szare oczy wpatrują się we mnie z rozbawieniem. Po zapoznaniu się z treścią testamentu nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście. Mój klient wyjaśnił, że jest kawalerem, a jego krewni nie żyją. W młodości poznał mych rodziców i słyszał z wielu źródeł, że jestem prawym młodym człowiekiem, nie ma więc cienia wątpliwości, iż jego pieniądze trafią w dobre ręce. Testament został sporządzony na niebieskim papierze, podpisany i poświadczony przez mego kancelistę. Te kartki, jak już panom wyjaśniłem, to brudnopis. Pan Jonas Oldacre powiedział mi, że istnieje wiele dokumentów – aktów dzierżawy i własności nieruchomości, hipotek, świadectw udziałowych i innych – z którymi powinienem się zapoznać. Dodał, że nie zazna spokoju, póki nie doprowadzi tej sprawy do

końca, i błagał mnie, bym przyjechał do jego domu w Norwood jeszcze tego samego wieczora, przywiózł ze sobą testament i wszystko uporządkował. „Pamiętaj tylko, chłopcze, ani słowa rodzicom, póki nie dopełnimy wszystkich formalności. Będziemy mieli dla nich małą niespodziankę” – powiedział. Bardzo nalegał i kazał mi obiecać, że niczego nie powiem rodzicom. Domyśla się pan zapewne, panie Holmes, że nie miałem zamiaru odmówić mu niczego, o co poprosił. Był moim dobroczyńcą, więc pragnąłem jedynie wypełnić jego życzenia. Wysłałem do domu telegram z wiadomością, że zajmuję się ważną sprawą i nie wiem, o której wrócę. Pan Oldacre zaproponował spotkanie o dziewiątej na kolacji, gdyż obawiał się, że nie zdąży wrócić do domu wcześniej. Dotarcie na miejsce nastręczyło mi jednak pewnych trudności; dochodziło wpół do dziesiątej, kiedy wszedłem do jego domu. Zastałem gospodarza…

– Chwileczkę! – przerwał Holmes. – Kto otworzył drzwi?

– Kobieta w średnim wieku, zdaje się, gospodyni.

– Rozumiem, że to ona podała policji pańskie nazwisko?

– Tak – przyznał McFarlane.

– Proszę mówić dalej.

Prawnik otarł pot z czoła i kontynuował swą opowieść.

– Kobieta wprowadziła mnie do salonu, w którym czekała skromna kolacja. Po posiłku pan Jonas Oldacre zaprowadził mnie do swej sypialni, w której stał duży sejf. Otworzył go i wyjął mnóstwo dokumentów, które wspólnie przejrzeliśmy. Kiedy skończyliśmy, było już dawno po jedenastej, ale północ jeszcze nie wybiła. Pan Oldacre stwierdził, że nie powinniśmy niepokoić gospodyni, i wypuścił mnie przez oszklone drzwi w swoim pokoju, które cały czas były otwarte.

– Czy roleta została opuszczona? – spytał Holmes.

– Nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że jedynie do połowy. Tak, teraz sobie przypominam, że pan Oldacre podciągnął ją, by szerzej otworzyć drzwi. Nie mogłem znaleźć swojej laski, powiedział mi jednak: „Nie szkodzi, chłopcze, mam nadzieję, że będziemy się teraz częściej widywać. Przechowam ją, póki po nią nie wrócisz”. Wyszedłem z pokoju. Sejf był otwarty, a papiery poukładane w stosiki na stole. Było tak późno, że nie miałem jak wrócić do Blackheath, spędziłem więc noc w Anerley Arms i o strasznych wydarzeniach, jakie miały miejsce, dowiedziałem się rano z gazety.

– Czy chciałby pan spytać o coś jeszcze, panie Holmes? – Podczas tej niezwykłej opowieści Lestrade kilka razy uniósł brew.

– Dopiero jak wrócę z Blackheath.

– Chyba z Norwood – poprawił go policjant.

– Ach tak, o to właśnie mi chodziło – stwierdził Holmes z enigmatycznym uśmiechem. Lestrade wiedział z doświadczenia potwierdzonego znaczną liczbą dochodzeń, że umysł mego przyjaciela jest w stanie przejrzeć sprawy dla niego niezrozumiałe. Inspektor z zaciekawieniem przyglądał się Holmesowi.

– Chciałbym zamienić z panem kilka słów, panie Holmes – powiedział. – Panie McFarlane, za drzwiami stoi dwóch posterunkowych, a na dole czeka powóz. – Udręczony młody człowiek wstał, rzucił nam ostatnie błagalne spojrzenie i wyszedł z pokoju. Funkcjonariusze zaprowadzili go do dorożki, a Lestrade pozostał z nami.

Holmes wziął do ręki kartki z brudnopisem testamentu i zaczął się im przyglądać z wielkim zainteresowaniem.

– Ten dokument budzi pewne wątpliwości, prawda, Lestrade? – spytał, podając mu kartki.

Policjant spojrzał na nie, zmieszany:

– Zdołałem odczytać kilka pierwszych linijek, a potem jeszcze kilka następnych w połowie drugiej strony i jedną czy dwie linijki na końcu, gdzie pismo jest niemal kaligraficzne. Pozostałe linijki są bardzo niewyraźne, a w trzech miejscach w ogóle nie jestem w stanie niczego odcyfrować.

– Co pan z tego wnosi?

– A pan?

– Że tekst napisano w pociągu. Wyraźne linijki powstały podczas postojów, niewyraźne w czasie jazdy, nieczytelne zaś – przy przejeżdżaniu przez zwrotnice. Ekspert niezwłocznie orzekłby, że testament sporządzono w pociągu linii podmiejskiej, gdyż nigdzie, poza najbliższym otoczeniem wielkich miast, stacje nie leżą tak blisko siebie. Przyjmując, że spisywanie ostatniej woli zajęło całą podróż, można stwierdzić, że autor jechał ekspresem, który zatrzymywał się tylko raz pomiędzy stacjami Norwood i London Bridge.

Lestrade wybuchnął śmiechem.

– Panie Holmes, nie nadążam za panem, kiedy zaczyna pan snuć swoje teorie – stwierdził. – Jak to się ma do sprawy?

– Do pewnego stopnia potwierdza opowieść młodego człowieka, świadczy bowiem o tym, że Jonas Oldacre spisał testament wczoraj podczas podróży. Czyż to nie dziwne, że tak istotny dokument powstał w tak nieodpowiednich warunkach? Oznacza to, że mężczyzna nie przywiązywał do swej ostatniej woli wielkiej wagi. Gdyby ktoś chciał spisać testament, który miałby nigdy nie zyskać mocy prawnej, zrobiłby to właśnie w ten sposób.

– Cóż, tym samym podpisał na siebie wyrok śmierci – stwierdził Lestrade.

– Tak pan sądzi?

– A pan nie?

– To całkiem możliwe, jednak sprawa nie jest dla mnie jeszcze do końca jasna.

– Nie jest jasna? Chyba nie może być jaśniejsza! Mamy tu młodego człowieka, który nagle dowiaduje się, że po śmierci pewnego starszego pana odziedziczy fortunę. Co zatem robi? Nic nikomu nie mówiąc, udaje się w nocy pod jakimś pretekstem do klienta. Czeka, aż jedyna poza gospodarzem mieszkanka domu zaśnie, a później, będąc sam ze swym dobroczyńcą w sypialni, morduje go, pali ciało na stosie drewna i udaje się do leżącego nieopodal hotelu. Plamy krwi znalezione w pokoju i na lasce są bardzo niewielkie. Być może wydawało mu się, że popełnił zbrodnię bez rozlewu krwi, i liczył na to, iż spalenie ciała ukryje wszystkie ślady morderstwa, ślady, które siłą rzeczy wskazałyby na niego. Czy to nie oczywiste?

– Zacny Lestrade, uderza mnie fakt, że jest to nieco zbyt oczywiste – stwierdził Holmes. – Bujna wyobraźnia nie jest pańską najmocniejszą stroną, ale gdyby mógł pan na chwilę postawić się na miejscu tego młodego człowieka, czy wybrałby pan pierwszą noc po sporządzeniu testamentu na popełnienie zbrodni? Czy nie wydawałoby się panu niebezpieczne tworzenie tak bliskiego związku pomiędzy tymi dwoma wydarzeniami? Poza tym, czy zabiłby pan akurat wtedy, kiedy wiadomo było, że jest pan w domu, gdyż wpuściła pana służąca? Czy zadałby wreszcie pan sobie tak wiele trudu, by ukryć ciało, a pozostawił swoją laskę na miejscu zbrodni, co

potwierdzało jego winę? Przyzna pan, Lestrade, że wszystko to jest bardzo mało prawdopodobne.

– Jeśli chodzi o laskę, panie Holmes, wie pan równie dobrze jak ja, że przestępcy, działając w stanie wzburzenia, często robią rzeczy, których nie zrobiłby trzeźwo myślący człowiek. Bardzo możliwe, że sprawca bał się wrócić do pokoju. Niech mi pan poda inną teorię, która pasowałaby do faktów.

– Bez trudu mógłbym ich stworzyć z pół tuzina – stwierdził Holmes. – Oto, na przykład, teza możliwa, a nawet prawdopodobna. Dam ją panu w prezencie. Starszy człowiek pokazuje dokumenty, które niewątpliwie mają wielką wartość. Przechodzący włóczęga widzi je przez okno, gdyż roleta jest opuszczona jedynie do połowy, zakrada się do pokoju po wyjściu prawnika, chwyta laskę, którą zostawił gość, zabija pana Oldacre'a i odchodzi, podpalając stos drewna i ciało.

– Po co włóczęga miałby spalić ciało?

– Skoro już o tym mowa, dlaczego miałby to robić McFarlane?

– Aby pozbyć się dowodów.

– Być może włóczęga chciał ukryć, że w ogóle doszło do popełnienia zbrodni.

– A dlaczego niczego nie zabrał?

– Dokumenty nie były łatwe do zbycia.

Lestrade potrząsnął głową, wydawało mi się jednak, że uczynił to w sposób mniej pewny niż wcześniej.

– Cóż, panie Holmes, może pan szukać swego włóczęgi, ale póki go pan nie znajdzie, zatrzymamy podejrzanego. Czas pokaże, kto z nas ma rację. Proszę jednak zwrócić uwagę na pewien fakt: z tego, co wiemy, nie brakuje żadnych dokumentów, a nasz podejrzany jest jedyną osobą na świecie, która nie miała powodu, by je zabierać, i tak trafiłyby do niego jako do prawowitego spadkobiercy.

Mój przyjaciel wydawał się głęboko poruszony tą uwagą.

– Nie zamierzam zaprzeczać, że część dowodów bardzo silnie przemawia za pańską teorią – przyznał. – Chciałem jedynie zauważyć, że istnieją inne możliwości. Jak pan powiedział, czas pokaże. Życzę dobrego dnia i zapowiadam, że zamierzam pojechać dziś do Norwood, by zbadać postępy w sprawie.

Po wyjściu detektywa Holmes podniósł się z fotela i przystąpił do wykonywania codziennych porannych czynności z energią człowieka, który ma przed sobą przyjemne zajęcie.

– Na początek, Watsonie – powiedział, szybko wdziewając surdut – udam się, jak zapowiedziałem, do Blackheath.

– A czemu nie do Norwood?

– W tej sprawie jedno niezwykłe wydarzenie nastąpiło tuż po innym. Policjanci popełnili błąd, skupiając swą uwagę jedynie na drugim z nich, gdyż to ono nosi znamiona przestępstwa. Dla mnie jest jednak oczywiste, że logiczne podejście do sprawy wymaga wyjaśnienia tak nagłego i osobliwego sporządzenia testamentu na rzecz tak nieoczekiwanego spadkobiercy. Być może ułatwi to rozwikłanie dalszej części zagadki. Mój drogi, nie sądzę, byś mógł mi pomóc. Nie grozi mi raczej niebezpieczeństwo, w przeciwnym razie na pewno bym cię ze sobą zabrał. Mam nadzieję, że kiedy spotkamy się wieczorem, będę mógł ci powiedzieć, czy udało mi się zdziałać coś dla tego nieszczęsnego młodzika, który błagał mnie o pomoc.

Mój przyjaciel wrócił do domu późno, i jedno spojrzenie na jego pełną zmęczenia i niepokoju twarz wystarczyło, by stwierdzić, że wielkie nadzieje, z jakimi wyruszał w drogę, spełzły na niczym. Holmes przez godzinę grał na skrzypcach, by ukoić wzburzone nerwy, potem odłożył instrument i ze szczegółami opowiedział mi o swych dzisiejszych poczynaniach.

– Wszystko idzie źle, Watsonie, tak źle, jak to tylko możliwe. Przed Lestrade’em robiłem dobrą minę do złej gry, ale, na honor, zdaje się, że tym razem to on jest na właściwym tropie, a my gonimy w piętkę. Instynkt mówi mi co innego, fakty świadczą o czymś innym, a obawiam się, że brytyjscy przysięgli nie rozwinęli jeszcze swej inteligencji na tyle, by dać mym teoriom pierwszeństwo nad faktami, które przedstawi Lestrade.

– Czy byłeś w Blackheath?

– Tak, Watsonie, pojechałem tam i bardzo szybko przekonałem się, że nieodżałowany Oldacre był nie lada łajdakiem. Ojciec pojechał do syna, matkę zastałem w domu. Ta drobna, delikatna, niebieskooka osóbka aż trzęsła się ze strachu i oburzenia. Rzecz jasna, nie chciała nawet słyszeć o winie młodzieńca, a ponadto nie wyraziła ani zdziwienia, ani żalu z powodu tego, co spotkało pana Oldacre’a. Wręcz przeciwnie, mówiła

o nim z taką goryczą, że nieświadomie potwierdzała argumenty policji. Gdyby jej syn usłyszał, jak wypowiada się o tym mężczyźnie, dałoby mu to powód do nienawiści i przemocy. „On bardziej przypominał złośliwą, przebiegłą małpę niż istotę ludzką – stwierdziła. – Był taki zawsze, od młodości”. „Czy znała pani go już wtedy?”. „Tak, znałam go dobrze, był jednym z moich adoratorów. Dzięki Bogu, miałam dość rozsądku, by odrzucić jego awanse i wyjść za lepszego człowieka, choć mniej zamożnego. Byłam z nim nawet zaręczona, panie Holmes, ale gdy usłyszałam szokującą opowieść o tym, jak wpuścił kota do ptaszarni, jego okrucieństwo tak mnie przeraziło, że nie chciałam mieć z nim w ogóle do czynienia”. Przetrząsnęła biurko i wyjęła ohydnie oszpeconą i pociętą nożem fotografię kobiety. „To moje zdjęcie – powiedziała. – Przysłał mi je wraz ze swym przekleństwem w dniu mego ślubu”. „Cóż – odrzekłem – zdaje się, że już pani wybaczył, skoro zapisał jej synowi cały swój majątek”. „Ani mój syn, ani ja nie chcemy niczego od Jonasa Oldacre’a, ani za jego życia, ani po śmierci! – krzyknęła, wzburzona. – Bóg istnieje, panie Holmes. Najpierw pokarał tego niegodziwego człowieka, a później, w odpowiednim czasie, wykaże, że mój syn nie ma na rękach jego krwi”. Podążałem kilkoma tropami, ale nie natrafiłem na nic, co mogłoby poprzeć naszą hipotezę, odkryłem natomiast kilka faktów, które jej przeczyły. W końcu dałem za wygraną i pojechałem do Norwood. Deep Dene House, w którym popełniono przestępstwo, to duża, nowoczesna willa z czerwonej cegły, położona w głębi posiadłości. Przed budynkiem rozciąga się trawnik, na którym rosną krzewy wawrzynu. Po prawej stronie, w pewnej odległości od drogi, znajduje się skład drewna, w którym doszło do pożaru. Narysowałem ogólny plan domu na okładce notatnika. Okno po lewej znajduje się w pokoju Oldacre’a. Można zajrzeć do niego z drogi. To jedyny fakt, który nie świadczy przeciwko McFarlane’owi. Lestrade’a nie było, ale jego najwyższy rangą policjant czynił honory domu. Właśnie odkryli cenną poszlakę. Spędzili cały ranek, przeszukując popioły pozostałe po spalonym stosie drewna; poza zwęglonymi resztkami ciała znaleźli kilka odbarwionych metalowych krążków. Uważnie je obejrzałem: nie ulegało wątpliwości, były to guziki od spodni. Udało mi się nawet dostrzec, że na jednym z nich widnieje nazwisko Hyams, tak nazywał się krawiec Oldacre’a. Później bardzo uważnie przeszukałem trawnik, ale nie znalazłem żadnych śladów, bo przez panującą suszę ziemia była twarda jak kamień.

Nie udało mi się ustalić niczego poza tym, że ciało (a może jakiś inny duży przedmiot) zostało przeciągnięte przez niski ligustrowy żywopłot, który rósł wzdłuż składu drewna. Wszystko to, rzecz jasna, pasuje do oficjalnej teorii. Czołgałem się po trawniku w gorącym sierpniowym słońcu; po godzinie podniosłem się z kolan, nie dowiedziawszy się niczego. Zawiedziony, poszedłem do sypialni, by tam dokonać oględzin. Plamy krwi były niewielkie (znalazłem zaledwie smugi i przebarwienia), ale z pewnością świeże. Laskę już zabrali, ale na niej również nie było wyraźnych śladów. Nie ulega wątpliwości, że należy ona do naszego klienta. Sam to przyznał. Na dywanie widniały tylko ślady stóp obu mężczyzn, nie było żadnych innych, co również świadczyło na niekorzyść naszego prawnika. Policja zdobywała więc kolejne punkty, a my nadal byliśmy w kropce. Zobaczyłem tylko jeden, niewielki promyczek nadziei. Przejrzałem papiery z sejfu, większa część jego zawartości została wyjęta i rozłożona na stole. Dokumenty znajdowały się w zalakowanych kopertach. Jedną lub dwie z nich otworzyli policjanci. O ile mogłem ocenić, te papiery nie przedstawiały wielkiej wartości, a wyciągi z konta bankowego bynajmniej nie wskazywały na to, że pan Oldacre był człowiekiem zamożnym. Wydało mi się jednak, że części papierów brakuje. Znalazłem odwołania do aktów notarialnych – być może bardziej wartościowych – których nie było. Rzecz jasna, gdyby udało nam się to udowodnić, argument Lestrade’a obróciłby się przeciwko niemu, któż bowiem kradłby coś, co miał niebawem odziedziczyć? Wreszcie, po otwarciu wszystkich kopert, w których nie natrafiłem na żaden trop, postanowiłem spróbować szczęścia w rozmowie z gospodynią, panią Lexington, drobną, śniadą, małomówną kobietą o podejrzliwych oczach, którymi wciąż strzelała na boki. Jestem przekonany, że gdyby chciała, mogłaby nam coś powiedzieć, milczała jednak jak grób. Owszem, wpuściła pana McFarlane’a do domu o wpół do dziesiątej. Żałuje, że nie uschła jej ręka, nim zdążyła to zrobić. Położyła się spać o wpół do jedenastej. Jej pokój znajduje się na drugim końcu domu, więc nie słyszała niczego, co wtedy zaszło. Pan McFarlane nie zabrał kapelusza, ona zaś obudziła się dopiero, kiedy wszczęto alarm z powodu pożaru. Jej biedny, ukochany pan z pewnością padł ofiarą morderstwa. Czy miał wrogów? Każdy ich ma, jednak pan Oldacre trzymał się na uboczu, a jeżeli spotykał się z innymi, to jedynie w interesach. Widziała guziki i była przekonana, że pochodzą z ubrań, które zmarły miał na sobie

poprzedniego wieczora. Drewno ułożone w stos było bardzo suche, gdyż nie padało od miesiąca. Paliło się jak hubka. Kiedy dotarła na miejsce, nie było już widać niczego prócz płomieni. Podobnie jak strażacy poczuła swąd palonego ciała. Nie wie nic o papierach ani o prywatnych sprawach pana Oldacre'a. Oto, mój drogi Watsonie, sprawozdanie z porażki. A jednak… a jednak… – zacisnął ręce z emocji – wiem, że to nie wszystko. Czuję to w kościach. Coś nie wyszło jeszcze na jaw, i gospodyni o tym wie. Nadąsana, patrzyła na mnie wyzywająco, jakby strzegła mrocznej tajemnicy. Nie ma sensu więcej o tym mówić, Watsonie, ale jeśli nie pomoże nam szczęśliwy traf, obawiam się, że sprawa zniknięcia przedsiębiorcy budowlanego z Norwood nie trafi do kroniki naszych sukcesów, z którą wcześniej czy później będą musieli uporać się wytrwali czytelnicy.

– Sam wygląd McFarlane'a zdołałby z pewnością przekonać każdą ławę przysięgłych – podsunąłem myśl.

– To niepewny argument, mój drogi Watsonie. Czy pamiętasz tego straszliwego mordercę, Berta Stevensa, który chciał, byśmy doprowadzili do jego uniewinnienia w roku 1887? Czy kiedykolwiek widziałeś młodzieńca wyglądającego równie niewinnie, jakby właśnie wrócił ze szkółki niedzielnej?

– To fakt.

– Jeśli nie uda nam się stworzyć alternatywnej teorii, ten człowiek będzie zgubiony. Trudno wskazać błąd w stawianych przeciwko niemu argumentach, a im dalej postępuje śledztwo, tym stają się one mocniejsze. Choć, nawiasem mówiąc, znalazłem w papierach coś osobliwego, co może posłużyć nam za punkt wyjścia dla dalszych działań. Przeglądając wyciągi bankowe, odkryłem, że skromny stan konta wynikał przede wszystkim ze spieniężenia czeków na duże sumy, wystawionych w ciągu ostatniego roku na niejakiego Corneliusa. Przyznaję, że zaciekawiło mnie, kim może być ów człowiek, z którym emerytowany przedsiębiorca dokonywał tak kosztownych transakcji. Czy to możliwe, że brał udział w całej sprawie? Być może jest maklerem, nie znaleźliśmy jednak akcji, które odpowiadałyby wypłaconym kwotom. Ze względu na brak innych tropów muszę wypytać w banku o dżentelmena, który spieniężył te czeki. Obawiam się jednak, mój drogi, że nasza sprawa znajdzie haniebny koniec: Lestrade powiesi naszego klienta, a Scotland Yard uzna to za swój sukces.

Nie wiem, czy Sherlock Holmes w ogóle spał tej nocy; kiedy zszedłem na dół na śniadanie, zauważyłem, że był blady i znękany, a jego jasne oczy wydawały się jeszcze bledsze, kontrastując z ciemnymi kręgami pod oczami. Dywan wokół fotela był pokryty niedopałkami papierosów i pierwszymi wydaniami porannych gazet, a na stole leżał otwarty telegram.

– Co o tym sądzisz, Watsonie? – spytał, rzucając mi arkusz papieru.

Telegram, nadany w Norwood, brzmiał następująco:

> Pojawiły się nowe istotne dowody. Wina McFarlane’a dowiedziona ponad wszelką wątpliwość. Doradzam zakończenie śledztwa. LESTRADE.

– To brzmi poważnie – stwierdziłem.

– To przechwałki zwycięskiego inspektora – odparł Holmes z gorzkim uśmiechem – a jednak za wcześnie chyba kłaść krzyżyk na tej sprawie. Nowe istotne dowody to przecież obosieczna broń, która może zadać cios z innej strony niż ta, z której spodziewa się tego Lestrade. Zjedz śniadanie, Watsonie, a później pójdziemy i zobaczymy, co da się jeszcze zrobić. Czuję, że będę dziś potrzebował twego towarzystwa i moralnego wsparcia.

Mój przyjaciel nic nie zjadł; jedną z jego osobliwych cech była ta, że w chwilach wielkiego wzburzenia nie przyjmował żadnych pokarmów. Zdarzały się przypadki, gdy czerpał ze swej niezwykłej siły, dopóki nie zemdlał z niedożywienia.

– W tej chwili nie mogę zużywać fizycznej i psychicznej energii na trawienie – odpowiadał na moje lekarskie kazania. Nie byłem więc zdziwiony, że tego ranka wyruszył ze mną do Norwood, pozostawiwszy na stole nietknięty posiłek.

Wokół Deep Dene House, który okazał się podmiejską willą, właśnie taką, jak sobie wyobrażałem, wciąż kłębił się tłum gapiów. W bramie stał Lestrade, który wyszedł nam na spotkanie, pokraśniały z dumy po odniesionym zwycięstwie i rozkoszujący się swym triumfem.

– I jak, panie Holmes, czy dowiódł pan już, że byliśmy w błędzie? Znalazł pan swojego włóczęgę? – wykrzyknął.

– Nie rozstrzygnąłem jeszcze tej sprawy – odparł mój towarzysz.

– My zaś rozstrzygnęliśmy ją jeszcze wczoraj, i jak się okazało, prawidłowo, musi pan zatem przyznać, panie Holmes, że tym razem udało nam się go wyprzedzić.

– Niewątpliwie wygląda pan tak, jakby się stało coś niebywałego – stwierdził Holmes.

Lestrade zaśmiał się głośno.

– Nie lubi pan przegrywać, podobnie jak wszyscy – orzekł. – Nie sposób jednak zawsze wygrywać, prawda, doktorze Watson? Chodźcie za mną, panowie, mam nadzieję, że uda mi się was przekonać, iż to John McFarlane popełnił przestępstwo.

Policjant poprowadził nas korytarzem. Na jego końcu znajdował się ciemny hol.

– To tu przyszedł młody McFarlane po popełnieniu zbrodni, by odzyskać swój kapelusz – wyjaśnił. – A teraz popatrzcie na to. – Dramatycznym ruchem zapalił zapałkę, w której świetle ukazała się plama krwi na bielonej wapnem ścianie. Zobaczyliśmy wyraźny odcisk kciuka.

– Proszę obejrzeć go przez szkło powiększające, panie Holmes.

– To właśnie robię.

– Jest pan świadom, że nie ma dwóch identycznych odcisków palców?

– Słyszałem o tym.

– Proszę zatem porównać ten ślad z woskowym odlewem prawego kciuka pana McFarlane’a, który kazałem wykonać dziś rano.

Kiedy umieścił odcisk w wosku obok krwawego śladu, nie trzeba było szkła powiększającego, by stwierdzić, że są to niewątpliwie ślady tego samego kciuka. Byłem pewien, że nie ma już ratunku dla naszego nieszczęsnego klienta.

– To ostateczny dowód – stwierdził Lestrade.

– Ostateczny – niechcący powtórzyłem za nim.

– Owszem, ostateczny – potwierdził Holmes.

Ton, jakim to powiedział, spowodował, że odwróciłem się, by na niego spojrzeć. W mym przyjacielu zaszła niezwykła zmiana: z jego twarzy biła radość, oczy błyszczały jak gwiazdy. Wydawało mi się, że czyni rozpaczliwe wysiłki, by powstrzymać wybuch śmiechu.

– A niech to, a niech to! – wykrztusił w końcu. – Kto by pomyślał? To jednak prawda, że pozory mylą. A wyglądał na takiego miłego młodzieńca! To lekcja dla nas, by nie ufać zbyt łatwo własnemu osądowi, prawda, panie Lestrade?

– Owszem, niektórzy z nas bywają zbyt zadufani w sobie, panie Holmes – odparł inspektor.

Jego bezczelność była nie do zniesienia, ale trudno było go za to winić.

– Cóż za niezwykłe zrządzenie losu, że ten młody człowiek przycisnął swój prawy kciuk do ściany, zdejmując z kołka kapelusz. A jeśli głębiej się nad tym zastanowić, jakże naturalne jest takie zachowanie! – Holmes był na pozór spokojny, ale wiedziałem, że cały drżał od tłumionego podniecenia.

– A przy okazji, panie Lestrade, kto dokonał tego niezwykłego odkrycia?

– To gospodyni, pani Lexington, zwróciła na ten ślad uwagę posterunkowego, który pełnił służbę w nocy.

– Gdzie on przebywał?

– Strzegł sypialni, w której zostało popełnione przestępstwo, żeby nikt niczego tam nie tknął.

– A dlaczego policja nie zauważyła tego znaku wczoraj?

– Nie widzieliśmy powodu, by dokonać uważnych oględzin holu. Poza tym, jak pan widzi, ślad znajduje się w nieszczególnie widocznym miejscu.

– To prawda. Jak sądzę, nie ma wątpliwości, że był on tu również wczoraj?

Lestrade spojrzał na Holmesa jak na szaleńca. Przyznaję, że sam byłem zaskoczony zarówno dobrym humorem mego przyjaciela, jak i jego niezwykłymi spostrzeżeniami.

– Czy sądzi pan, że McFarlane wyszedł z więzienia w środku nocy, by dodatkowo wzmocnić obciążające go dowody? – spytał Lestrade. – Każdy ekspert na świecie przyzna, że jest to odcisk kciuka McFarlane’a, i nikogo innego.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– I to wystarczy – stwierdził inspektor. – Panie Holmes, jestem człowiekiem praktycznym i po zebraniu dowodów wyciągam z nich wnioski. Jeśli nie ma pan nic do dodania, przejdę teraz do salonu, by napisać stosowny raport.

Holmes odzyskał panowanie nad sobą, choć wciąż dostrzegałem w jego twarzy ślady rozbawienia.

– Doprawdy, to bardzo smutne odkrycie, Watsonie – stwierdził. – A jednak jest w nim coś, co niesie ze sobą nadzieję dla naszego klienta.

– Miło mi to słyszeć. – Byłem szczery. – Bałem się, że sprawa jest przegrana.

– Nie posunąłbym się do takiego stwierdzenia, drogi Watsonie. W gruncie rzeczy dowód, do którego nasz przyjaciel inspektor przywiązuje

tak wielką wagę, ma bardzo poważny mankament.

– Jaki, Holmesie?

– Wiem z pewnością, że wczoraj śladu krwi w holu nie było; obejrzałem ściany. Chodźmy teraz na słońce.

Oszołomiony, ale z sercem na nowo przepełnionym nadzieją, towarzyszyłem memu przyjacielowi w spacerze po ogrodzie. Holmes podszedł po kolei do każdej ze ścian domu i bardzo uważnie obejrzał. Gdy wróciliśmy, zbadał cały budynek od piwnicy aż po strych. Większość pokoi nie była umeblowana, ale Holmes dokonał drobiazgowych oględzin wszystkich pomieszczeń. Wreszcie w korytarzu na najwyższym piętrze, gdzie znajdowały się trzy niezamieszkałe sypialnie, znów zadygotał z radości.

– To doprawdy niezwykła sprawa, Watsonie – stwierdził. – Sądzę, że nadszedł czas, byśmy wtajemniczyli we wszystko naszego przyjaciela Lestrade’a. Zabawił się naszym kosztem, i być może uda nam się odpłacić mu pięknym za nadobne, jeśli okaże się, że to ja rozwikłałem zagadkę. Tak, tak, myślę, że wiem, jak się do tego zabrać.

Inspektor Scotland Yardu wciąż siedział w salonie, zajęty pisaniem, kiedy Holmes wszedł do pokoju i mu przerwał:

– Pisze pan raport z tej sprawy?

– Owszem.

– Nie sądzi pan, że jest trochę za wcześnie na to? Nie mogę oprzeć się wrażeniu, iż zebrane przez pana dowody nie są kompletne.

Lestrade zbyt dobrze znał mego przyjaciela, by zlekceważyć jego słowa. Odłożył pióro i spojrzał na niego z zaciekawieniem.

– Co pan ma na myśli, panie Holmes?

– Jedynie to, że jest jeszcze jeden istotny świadek, którego pan nie przesłuchał.

– Czy może pan go wezwać?

– Tak sądzę.

– Proszę więc to zrobić.

– Postaram się. Ilu funkcjonariuszy ma pan do dyspozycji?

– Trzech natychmiast przybiegnie na moje wezwanie.

– Znakomicie! – stwierdził Holmes. – Czy są to potężni, zwinni ludzie o mocnych głosach?

– Nie mam co do tego wątpliwości, nie rozumiem jednak, co mają do rzeczy ich głosy.

– Być może uda mi się wyjaśnić panu tę i kilka innych spraw – stwierdził mój towarzysz. – Proszę najpierw wezwać swoich ludzi.

Pięć minut później w holu zebrało się trzech policjantów.

– W szopie jest słoma – zwrócił się do nich Holmes. – Proszę, by przynieśli panowie do domu dwie wiązki. Mam nadzieję, że odegra to wielką rolę w przesłuchaniu świadka, którego chcę wezwać. Dziękuję bardzo. Watsonie, zdaje się, że masz w kieszeni zapałki… A teraz proszę mi towarzyszyć na najwyższe piętro.

Jak już wspomniałem, był tam długi korytarz, na który wychodziły drzwi trzech pustych sypialni. Holmes zaprowadził nas na koniec korytarza. Posterunkowi szczerzyli zęby w uśmiechu, a Lestrade wpatrywał się w mojego przyjaciela na przemian ze zdumieniem, wyczekiwaniem i kpiną. Holmes stanął przed nami z miną magika wykonującego sztuczkę.

– Czy mógłby pan posłać jednego ze swych ludzi po dwa wiadra wody? Proszę położyć słomę na podłodze w tym miejscu, tak, by nie dotykała żadnej ze ścian. Sądzę, że teraz jesteśmy gotowi.

Twarz Lestrade’a poczerwieniała z gniewu.

– W co się pan z nami bawi, panie Holmes? – wykrzyknął. – Jeśli coś pan wie, proszę nam powiedzieć bez tego całego przedstawienia.

– Zapewniam pana, zacny Lestrade, że mam ważny powód, by robić to, o co proszę. Być może pamięta pan, jak strofował mnie kilka godzin temu, kiedy wydawało się, że to pan będzie górą, więc proszę nie odmawiać mi teraz prawa do odrobiny pompatyczności. Watsonie, czy mogę prosić, byś otworzył okno, a następnie przyłożył zapałkę do wiązki słomy?

Zrobiłem to. Pchane strumieniem powietrza kłęby siwego dymu rozpełzły się po korytarzu, a sucha słoma trzeszczała i strzelała płomieniami.

– A teraz zobaczymy, czy uda się znaleźć pańskiego świadka, Lestrade. Czy mogę prosić, by panowie krzyknęli wszyscy razem: „Pali się!”? Na mój znak: raz, dwa, trzy…

– Pali się! – wrzasnęliśmy jednym głosem.

– Dziękuję. Proszę powtórzyć okrzyk.

– Pali się!!!

– I ostatni raz, panowie, wszyscy razem.

– Pali się!!! – Ten krzyk musiał dotrzeć aż do Norwood.

Nim przebrzmiał, stało się coś niezwykłego. Na końcu korytarza, w ścianie, otworzyły się ukryte drzwi, o których istnieniu nikt nie podejrzewał, a zza nich, niczym królik ze swej nory, wyskoczył mały, zasuszony człowieczek.

– Kapitalnie! – stwierdził spokojnie Holmes. – Watsonie, wylej na słomę wiadro wody. Tyle starczy. Lestrade, pozwoli pan, że przedstawię mu najważniejszego, nie przesłuchanego dotąd świadka, pana Jonasa Oldacre’a.

Detektyw wpatrywał się w milczeniu ze zdumieniem w nowo przybyłego, mężczyzna zaś mrugał, oślepiony przez jaskrawe światło oblewające korytarz, i przyglądał się nam, zerkając od czasu do czasu na tlący się ogień. Miał odrażającą twarz – chytrą, okrutną i złośliwą, o rozbieganych jasnoszarych oczach i białych rzęsach.

– O co tu chodzi? – spytał w końcu inspektor. – Co pan tu robił przez cały ten czas, hę?

Oldacre zaśmiał się nerwowo, cofając się przed wściekłą, zaczerwienioną twarzą rozeźlonego detektywa.

– Nic złego.

– Nic złego? Zrobił pan co w jego mocy, by niewinny człowiek trafił na szubienicę! Gdyby nie obecny tu dżentelmen, być może udałoby się to panu.

Odrażająca kreatura zaczęła skomleć:

– Ależ proszę pana, to był tylko dowcip!

– Ach tak? Dowcip? Obiecuję, że niedługo przestanie się pan śmiać. Zabierzcie go stąd i trzymajcie w salonie, dopóki nie przyjdę. Panie Holmes – ciągnął, kiedy policjanci wyprowadzili więźnia – nie mogłem powiedzieć tego w obecności swoich ludzi, ale przyznam przy doktorze Watsonie, że to pańskie największe dotychczasowe osiągnięcie, chociaż nie mam pojęcia, jak pan tego dokonał. Ocalił pan życie niewinnego człowieka i zapobiegł wybuchowi poważnego skandalu, który zrujnowałby moją reputację w policji.

Holmes uśmiechnął się i poklepał Lestrade’a po ramieniu.

– Szanowny panie, pańska reputacja nie dozna uszczerbku, wręcz przeciwnie: znacznie zyska. Proszę wprowadzić jedynie kilka poprawek w swym raporcie, a pańscy przełożeni zobaczą, że z inspektorem Lestrade’em trzeba się liczyć.

– Nie chce pan, by pojawiło się tam pańskie nazwisko?

– W żadnym razie. Dla mnie nagrodą jest sama praca. Być może kiedyś zdobędę należne mi uznanie, jeśli ponownie pozwolę memu gorliwemu kronikarzowi przelać nasze przygody na papier, prawda, Watsonie? A teraz zobaczmy, gdzie ukrywał się ten szczur.

Sześć stóp przed końcem korytarza postawiono ściankę z listewek i gipsu ze zmyślnie zamaskowanymi drzwiczkami. Od wewnątrz kryjówkę oświetlały szpary pod okapem, ustawiono w niej także kilka mebli. Były tu zapasy jedzenia i wody oraz książki i papiery.

– Oto zaleta bycia budowlańcem – stwierdził Holmes, kiedy stamtąd wyszliśmy. – Ten człowiek zdołał stworzyć dla siebie kryjówkę bez czyjejkolwiek pomocy, nie licząc oczywiście jego nieocenionej gospodyni, którą także radzę się panu zająć, Lestrade.

– Postąpię zgodnie z pańską sugestią. Ale jak pan odkrył to miejsce, panie Holmes?

– Uznałem, że ten człowiek ukrył się gdzieś w domu. Kiedy zauważyłem, że jeden z korytarzy jest o sześć stóp krótszy od tego piętro niżej, stało się dla mnie jasne, gdzie należy go szukać. Pomyślałem, że nie zdoła wysiedzieć tam spokojnie, kiedy usłyszy, że wybuchł pożar. Rzecz jasna, mogliśmy wtargnąć do środka i go aresztować, doszedłem jednak do wniosku, że zabawniej będzie zmusić go, by sam się ujawnił. Poza tym, Lestrade, należał mi się rewanż za pańskie poranne uwagi.

– Cóż, niewątpliwie wyrównał pan ze mną rachunki. Ale skąd wiedział pan, że Oldacre przebywa w domu?

– Dzięki odciskowi kciuka, Lestrade. Stwierdził pan, że to ostateczny dowód, i istotnie tak było, lecz w zupełnie innym sensie. Wiedziałem, że śladu nie było w tym miejscu dzień wcześniej. Jak być może pan zauważył, przywiązuję wielką wagę do szczegółów. Po obejrzeniu holu byłem pewien, że ściana jest czysta. Wynikało z tego, że ślad pojawił się w nocy.

– Ale jak?

– Bardzo prosto. Podczas lakowania kopert Jonas Oldacre poprosił McFarlane’a, by odcisnął swój kciuk w miękkim laku. Młody człowiek szybko spełnił prośbę, zapominając o tym niemal natychmiast. Zapewne stało się to przypadkiem, a sam Oldacre nie miał jeszcze wtedy pojęcia, do czego wykorzysta odcisk. Kiedy jednak rozmyślał nad sprawą w swej norze, przyszło mu do głowy, jak obciążający dowód przeciwko

McFarlane’owi może stworzyć za pomocą takiego śladu. Nie było nic prostszego niż zdjęcie odcisku z laku, zwilżenie go krwią, której utoczył sobie z palca, i odbicie go w nocy na ścianie, samemu lub z pomocą gospodyni. Jeśli przejrzy pan dokumenty, które zabrał do swej kryjówki, to znajdzie pan pośród nich pieczęć z odciskiem kciuka, mogę się założyć.

– Cudownie! – stwierdził Lestrade. – Cudownie! Kiedy wyłożył pan wszystko w taki sposób, sprawa stała się przejrzysta jak kryształ. Jaki jednak był cel tego przemyślnego podstępu, panie Holmes?

Zabawnie było patrzeć, jak detektyw z postawy pełnej wyższości przeszedł do tonu dziecka zadającego pytania nauczycielowi.

– Cóż, nietrudno to wyjaśnić. Dżentelmen, który czeka na nas na dole, jest niezwykle złośliwym i mściwym osobnikiem. Czy wie pan, że niegdyś został odtrącony przez matkę McFarlane’a? Nie wiedział pan?! Jak mówiłem, należy pojechać najpierw do Blackheath, a dopiero potem do Norwood. Zniewaga, jakiej doznał Oldacre, jątrzyła jego niegodziwy podstępny umysł, i przez całe życie pragnął zemsty, nigdy jednak nie udało mu się jej dokonać. W ciągu ostatnich dwóch lat sprawy przestały układać się po jego myśli (chyba ze względu na potajemne spekulacje), i nasz budowlaniec znalazł się w kłopocie. Postanowił oszukać swych wierzycieli. W tym celu wystawił czeki na dużą kwotę niejakiemu Corneliusowi. Sądzę, że był to on sam, ukryty pod tym nazwiskiem. Nie prześledziłem jeszcze losu tych czeków, ale nie mam wątpliwości, że Oldacre wpłacał pieniądze na rzeczone nazwisko do banku w jakimś prowincjonalnym miasteczku, gdzie prowadził podwójne życie. Zamierzał zmienić tożsamość, pobrać pieniądze, skryć się i zacząć życie od nowa w innym miejscu.

– To całkiem prawdopodobne.

– Znikając, mógłby zmylić pogoń, a jednocześnie okrutnie się zemścić na swej dawnej ukochanej, pozorując morderstwo dokonane przez jej jedyne dziecko. Taki był jego plan, arcydzieło zbrodni, które rozegrał po mistrzowsku. Pomysł z testamentem, oczywisty motyw zabójstwa, potajemna wizyta, o jakiej nie wiedzieli nawet rodzice młodzieńca, laska, plamy krwi i szczątki zwierząt oraz guziki w spalonym stosie drewna – wszystko to było godne podziwu. Jeszcze kilka godzin temu nie wiedziałem jeszcze, jak mam uratować naszego młodzieńca. Oldacre był jednak pozbawiony najważniejszego daru cechującego artystę, nie wiedział mianowicie, kiedy przestać. Chciał poprawić to, co było doskonałe,

zaciskając mocniej pętlę wokół szyi swej nieszczęsnej ofiary, i przez to wszystko zepsuł. Zejdźmy na dół, Lestrade. Chciałbym zadać mu jeszcze kilka pytań.

Złośliwy człowieczek siedział w swoim salonie otoczony policjantami.

– To był dowcip, proszę pana, tylko dowcip, nic więcej! – skomlał bez przerwy. – Zapewniam pana, że ukryłem się tylko po to, by sprawdzić, jaki to pociągnie za sobą skutek. Nie jest pan chyba tak niesprawiedliwy i nie sądzi, że pozwolę, by biednemu młodemu panu McFarlane'u stała się jakaś krzywda!

– O tym zdecydują przysięgli – oznajmił. – Z pewnością stanie pan przed sądem albo pod zarzutem usiłowania zabójstwa, albo uknucia spisku.

– A pańscy wierzyciele zajmą prawdopodobnie konto pana Corneliusa – dodał Holmes.

Człowieczek wzdrygnął się i zwrócił swe złośliwe oczka ku memu przyjacielowi.

– Doprawdy, mam za co panu dziękować – stwierdził. – Być może pewnego dnia zdołam spłacić swój dług.

Holmes uśmiechnął się z pobłażaniem.

– Przez kilka najbliższych lat będzie pan bardzo zajęty – odparł. – A przy okazji, co spalił pan na stosie drzewa wraz ze swymi starymi spodniami? Czy był to martwy pies, a może króliki? Nie chce pan powiedzieć? To wielce nieuprzejme z pana strony! Sądzę, że para królików wyjaśnia zarówno ślady krwi, jak i zwęglone szczątki. Watsonie, jeśli kiedykolwiek będziesz pisał o tej sprawie, wspomnij o królikach.

Opowieść trzecia

Tańczące sylwetki

Holmes od kilku godzin pochylał swe szczupłe plecy nad naczyniem chemicznym, w którym warzył coś szczególnie cuchnącego. Z głową opuszczoną na piersi przypominał mi dziwnego, chudego ptaka o szarym, matowym upierzeniu z czarną kitą na czubku głowy.

– A zatem, Watsonie – powiedział nagle – odradzasz inwestowanie w południowoafrykańskie papiery wartościowe?

Wzdrygnąłem się ze zdziwienia. Choć przyzwyczaiłem się do niezwykłych zdolności mego przyjaciela, takie nagłe wtargnięcie w moje najskrytsze myśli było całkowicie niewytłumaczalne.

– Skąd o tym wiesz, u licha? – spytałem.

Obrócił się na stołku z dymiącą probówką w dłoniach. W jego oczach zauważyłem błysk rozbawienia.

– Przyznaj, Watsonie, że zupełnie cię zaskoczyłem – powiedział.

– Przyznaję.

– Każę ci podpisać oświadczenie w tej sprawie.

– Dlaczego?

– Za pięć minut stwierdzisz, że to absurdalnie proste.

– Jestem pewien, że tego nie powiem.

– Widzisz, drogi Watsonie – odstawił probówkę na stojak i zaczął wygłaszać wykład z miną profesora zwracającego się do swych studentów. – Doprawdy, nietrudno jest wyciągnąć serię wniosków, z których każdy zależy od poprzedniego, a ten jest prosty sam w sobie. Jeśli po dokonaniu takiego rozumowania usunie się wnioski pośrednie i przedstawi słuchaczom jedynie początek i koniec, można osiągnąć oszałamiający, choć powierzchowny efekt. Dlatego po obejrzeniu bruzdy pomiędzy twym

lewym kciukiem a palcem wskazującym uzyskałem pewność, że nie zamierzasz inwestować swego niewielkiego kapitału w złotonośne pola.

– Nie widzę związku.

– To wielce prawdopodobne, ja jednak mogę szybko go wykazać. Oto brakujące ogniwa tego prostego łańcucha. Po pierwsze, gdy ostatniej nocy wróciłeś z klubu, miałeś ślady kredy między lewym kciukiem a palcem wskazującym. Po drugie, nacierasz to miejsce kredą, kiedy grasz w bilard, by kij się nie ześlizgiwał. Po trzecie, w bilard grywasz jedynie z Thurstonem. Po czwarte, cztery tygodnie temu powiedziałeś mi, że Thurston zaproponował ci, żebyś kupił do spółki z nim udziały w jakichś nieruchomościach w Afryce Południowej, których ważność wygasa za miesiąc. Po piąte, twoja książeczka czekowa spoczywa w mej zamkniętej szufladzie, a nie poprosiłeś mnie o klucz. Po szóste, nie zamierzasz inwestować pieniądze w ten interes.

– Ależ to absurdalnie proste! – wykrzyknąłem.

– Zgadza się – przyznał mój przyjaciel, nieco poirytowany. – Każdy problem staje się dziecinnie prosty, kiedy ci go wyjaśnię. Oto jeden niewyjaśniony. Sprawdź, co uda ci się z tego wywnioskować, Watsonie – rzucił na stół arkusz papieru i powrócił do swej analizy chemicznej.

Spojrzałem ze zdumieniem na niedorzeczne hieroglify pokrywające papier.

– Ależ Holmesie, to dziecięce bazgroły! – wykrzyknąłem.

– Tak ci się wydaje!

– Co innego może to być?

– Tego właśnie pragnie się dowiedzieć pan Hilton Cubitt z Riding Thorpe Manor w hrabstwie Norfolk. List otrzymałem poranną pocztą, a jej autor ma przyjechać następnym pociągiem. Słyszysz dzwonek do drzwi, Watsonie? Nie zdziwiłbym się, gdyby to był nasz klient.

Na schodach rozbrzmiały ciężkie kroki, a chwilę później do pokoju wszedł wysoki, ogorzały, starannie ogolony dżentelmen, którego błyszczące oczy i rumiane policzki świadczyły, że pędzi życie z dala od mgieł Baker Street. Odniosłem wrażenie, że wchodząc, przyniósł ze sobą powiew czystego, świeżego, orzeźwiającego powietrza ze wschodniego wybrzeża. Uścisnął ręce nam obu i już miał usiąść, kiedy jego wzrok spoczął na kartce pokrytej osobliwymi rysunkami, którą przed chwilą oglądałem i zostawiłem na stole.

– I jak, panie Holmes, co pan o nich sądzi? – wykrzyknął. – Powiedziano mi, że lubi pan niezwykłe zagadki, a nie sądzę, by istniała dziwniejsza od tej. Wysłałem wiadomość wcześniej, by miał pan czas zapoznać się z nią przed moim przyjazdem.

– To istotnie dość interesujący wytwór – przyznał Holmes. – Na pierwszy rzut oka wydaje się dziecinnym żartem. Składa się z pewnej liczby absurdalnych małych sylwetek, tańczących na papierze. Dlaczego przywiązuje pan wagę do takiego cudacznego rysunku?

– Nie przyszłoby mi to nawet do głowy, panie Holmes, ale moja żona uważa, że jest to bardzo ważne, i śmiertelnie się tego boi. Dlatego chcę dogłębnie zbadać tę sprawę.

Holmes uniósł arkusik papieru i popatrzył na niego pod światło. Była to kartka wydarta z notatnika. Pokrywały ją rysunki, wykonane ołówkiem, które wyglądały tak:

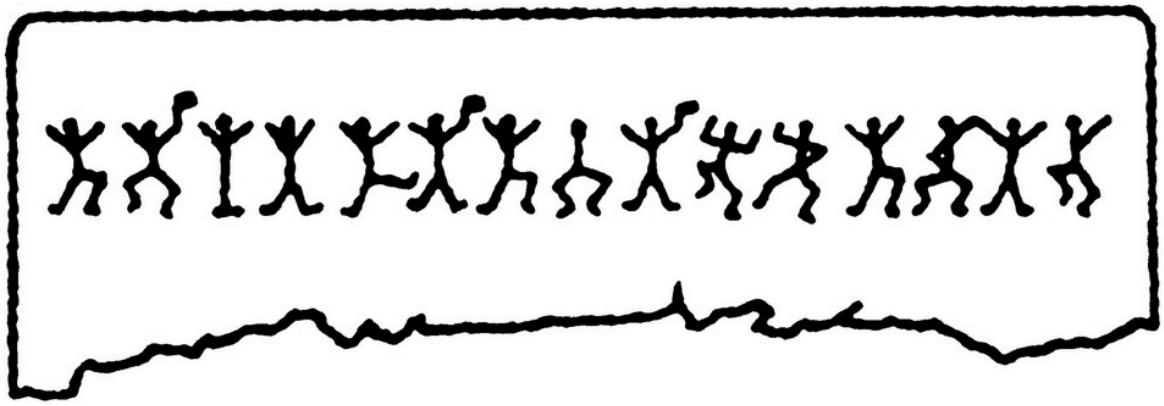

Holmes przez pewien czas im się przyglądał, potem ostrożnie złożył arkusz i umieścił go w swym notesie.

– Sprawa może być bardzo interesująca i niezwykła – podsumował. – Panie Cubitt, w swym liście podał pan kilka szczegółów, byłbym jednak zobowiązany, gdyby pan był tak dobry i powtórzył je mojemu przyjacielowi, doktorowi Watsonowi.

– Nie jestem biegły w opowiadaniu – stwierdził nasz gość, nerwowo splatając i rozplatając swe wielkie silne ręce. – Proszę pytać mnie o wszystko, czego nie przedstawię dość jasno. Zacznę od mego małżeństwa, zawartego w zeszłym roku. Najpierw jednak chcę powiedzieć,

że choć nie jestem bogaty, moja rodzina mieszka w Riding Thorpe od przeszło pięciuset lat, a w hrabstwie Norfolk nie ma rodu cieszącego się większym szacunkiem. W zeszłym roku przyjechałem do Londynu na obchody jubileuszu panowania królowej Wiktorii i zatrzymałem się w pensjonacie przy Russell Square, który wybrał pan Parker, wikary z naszej parafii. Mieszkała tam młoda Amerykanka, nazywała się Patrick, Elsie Patrick. Zaprzyjaźniliśmy się, a nim minął miesiąc, byłem w niej zakochany nad życie. Wzięliśmy cichy ślub cywilny i wróciliśmy do Norfolku jako małżeństwo. Panie Holmes, zapewne uzna pan za szaleństwo, że potomek dobrej rodziny ożenił się, nie wiedząc niczego ani o przeszłości, ani o krewnych swej wybranki, jednak gdyby mógł pan zobaczyć i poznać moją małżonkę, z pewnością by mnie zrozumiał. Elsie nigdy nie ukrywała tego, co myśli. Muszę przyznać, że na każdym kroku dawała mi możliwość wycofania się, gdybym tylko tego chciał. „Zawarłam w życiu kilka nieciekawych znajomości – wyznała – i chciałabym o nich zapomnieć. Wolałabym nie wspominać o przeszłości, gdyż jest ona dla mnie bardzo bolesna. Hiltonie, jeśli się ze mną ożenisz, zyskasz małżonkę, która nie ma się czego wstydzić, ale będziesz musiał uwierzyć mi na słowo i pozwolić pominąć milczeniem wszystko, co działo się przed naszym ślubem. Jeśli te warunki są dla ciebie nie do przyjęcia, wróć do Norfolku i pozwól mi dalej żyć samotnie i prowadzić życie, jakie prowadziłam, nim cię poznałam”. Powiedziała mi to dopiero w przeddzień naszego ślubu. Odparłem, że z radością przyjmę ją na jej warunkach, i dotrzymałem słowa. Jesteśmy małżeństwem prawie od roku. Byliśmy bardzo szczęśliwi, jednak jakiś miesiąc temu, pod koniec czerwca, dostrzegłem pierwsze zwiastuny kłopotów. Pewnego dnia moja żona otrzymała list z Ameryki. Zauważyłem amerykański znaczek. Gdy zobaczyła kopertę, zbladła jak ściana, przeczytała list i wrzuciła go do ognia. Nie wspominała o nim, ja również o nic nie pytałem – wszak jej to obiecałem – jednak od tamtego wydarzenia nie przeżyła spokojnie ani chwili. Na jej twarzy ciągle malują się strach i wyczekiwanie. Powinna mi zaufać, jestem jej najlepszym przyjacielem, ale póki nie dowiem się od niej wszystkiego, niczego więcej nie jestem w stanie powiedzieć. Podkreślam jednak, panie Holmes, że to prawdomówna kobieta i żadne problemy, jakie mogła mieć w dawnym życiu, nie wyniknęły z jej winy. Jestem tylko skromnym ziemianinem z Norfolku, ale nie ma w Anglii człowieka, który ceniłby honor swego rodu

bardziej niż ja. Elsie dobrze o tym wie, i była tego świadoma, zanim się pobraliśmy. Nigdy nie splamiłaby mego nazwiska, tego jestem pewien. Teraz dochodzimy do osobliwej części mojej opowieści. Mniej więcej tydzień temu, w zeszły wtorek, odkryłem na jednym z parapetów dziwaczne tańczące sylwetki, takie jak te na rysunku. Były nabazgrane kredą. Myślałem, że narysował je stajenny, chłopak jednak przysiągł, że nic o tym nie wie. Tak czy inaczej, pojawiły się w nocy. Zmyłem je i dopiero później opowiedziałem o wszystkim mojej żonie. Ku memu zaskoczeniu potraktowała sprawę bardzo poważnie i błagała mnie, bym pokazał jej nowe rysunki, jeśli się pojawią. Przez tydzień nie było żadnych bazgrołów, aż wczoraj rano znalazłem tę kartkę na zegarze słonecznym w ogrodzie. Kiedy pokazałem ją Elsie, zemdlała. Od tamtej chwili żyje jak we śnie, jest półprzytomna, a w jej oczach czai się strach. Dlatego napisałem do pana i przesłałem mu tę kartkę, panie Holmes. Nie mogłem pójść na policję, bo tam wyśmialiby mnie, liczę natomiast, że pan mi powie, co robić. Nie jestem bogaty, ale jeśli mojej żonie zagraża niebezpieczeństwo, wydam ostatni grosz, by ją ochronić.

Ten uczciwy potomek starego angielskiego rodu był dobrym człowiekiem, prostym i łagodnym; miał duże niebieskie oczy o poważnym spojrzeniu i krągłą urodziwą twarz, z której aż biły miłość do żony i zaufanie do niej. Holmes wysłuchał opowieści naszego gościa z wielką uwagą, po czym pogrążył się w myślach.

– Czy nie sądzi pan, panie Cubitt – zapytał w końcu – że najlepiej byłoby zwrócić się bezpośrednio do pańskiej małżonki i poprosić ją, by zdradziła panu swój sekret?

Hilton Cubitt potrząsnął swą masywną głową.

– Dałem słowo, panie Holmes. Gdyby Elsie chciała mi o tym powiedzieć, już by to zrobiła. Skoro tego nie uczyniła, nie będę na siłę wydobywać z niej zwierzeń. Mam powody, by tak postępować, i nie zamierzam się z tego wycofywać.

– Skoro tak pan stawia sprawę, pomogę, jak tylko zdołam. Po pierwsze, czy słyszał pan, by w okolicy pojawili się jacyś obcy?

– Nie.

– Wydaje mi się, że mieszka pan w bardzo odludnym miejscu, gdzie każda nowa twarz wywołałaby komentarze.

– Owszem, ale tylko w najbliższej okolicy, bo niedaleko znajduje się kilka niewielkich uzdrowisk, a farmerzy wynajmują pokoje.

Detektyw zastanawiał się przez chwilę.

– Te rysunki z pewnością coś oznaczają, ale jest ich tak niewiele, że nie potrafię tego przesłania odczytać, a fakty, które mi pan przedstawił, są tak mało konkretne, że nie dają punktu wyjścia dla śledztwa. Proponuję, by wrócił pan do Norfolku, zachował czujność i dokładnie przerysowywał wszystkie tańczące sylwetki, jakie się pojawią. Bardzo żałuję, że nie dysponujemy kopią rysunku wykonanego kredą na parapecie. Proszę też dyskretnie wypytać o obcych, którzy ostatnio pojawili się w sąsiedztwie. Jeśli zdobędzie pan nowe informacje, proszę znów do mnie przyjechać. To najlepsza rada, jakiej mogę panu udzielić, panie Cubitt. Jeśli sytuacja będzie wymagała szybkiej interwencji, niezwłocznie przyjadę do pana do Norfolku.

Po spotkaniu Sherlock Holmes był bardzo zamyślony, a w ciągu kolejnych kilku dni nieraz widziałem, jak wyjmuje kawałek papieru ze swego notatnika oraz długo i przenikliwie przygląda się wyrysowanym na nim sylwetkom. Nie wspominał jednak o tej sprawie aż do pewnego popołudnia, jakieś dwa tygodnie później.

Kiedy wychodziłem, zawołał mnie:

– Lepiej zostań, Watsonie.

– Dlaczego?

– Dostałem telegram od Hiltona Cubitta. Pamiętasz tego człowieka od tańczących sylwetek? Miał przyjechać na Liverpool Street o pierwszej dwadzieścia. Może tu być w każdej chwili. Z treści jego listu wnoszę, że wydarzyło się coś ważnego.

Nie musieliśmy długo czekać, nasz znajomy ziemianin z Norfolku przyjechał dorożką co koń wyskoczy wprost ze stacji. Wyglądał na zmartwionego i przygnębionego, miał zmęczone oczy i zmarszczone czoło.

– Cała ta sprawa zaczyna działać mi na nerwy, panie Holmes – powiedział, padając na fotel z wyczerpania. – Nie wystarczy, że otaczają nas nieznani niewidzialni ludzie, którzy mają w stosunku do nas jakieś plany. Kiedy okazuje się, że moja żona jest przez to bliska śmierci, rzecz staje się nie do zniesienia. Ona gaśnie na moich oczach!

– Czy rozmawiała z panem na ten temat?

– Nie, panie Holmes. Widziałem, że chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła się zebrać na odwagę. Próbowałem jej pomóc, ale zrobiłem to tak niezręcznie, że tylko ją wystraszyłem. Zaczęła mówić o mym starym rodzie, jego reputacji w naszym hrabstwie i naszej dumie z niesplamionego honoru. Za każdym razem wydawało mi się, że do czegoś zmierza, ale zawsze przerywała, nim udało jej się cokolwiek wyjaśnić.

– A czy pan zdołał się czegoś dowiedzieć?

– Wielu rzeczy, panie Holmes. Mam dla pana kilka nowych rysunków tańczących sylwetek, a co najważniejsze, widziałem tego człowieka.

– Mężczyznę, który je rysuje?

– Tak, widziałem go przy pracy. Ale opowiem panu wszystko po kolei. Gdy wróciłem od pana, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem rano, był kolejny rysunek. Tańczące sylwetki wyrysowano kredą na czarnych, drewnianych drzwiach szopki. Stoi ona obok trawnika tak, że widać ją z frontowych okien. Dokładnie skopiowałem rysunek.

Rozłożył kartkę i położył ją na stole. – Oto i on:

– Znakomicie – stwierdził Holmes. – Znakomicie! Proszę mówić dalej.

– Po sporządzeniu kopii starłem znaki, ale rankiem dwa dni później pojawił się kolejny rysunek.

Holmes zatarł ręce i zaśmiał się radośnie, mówiąc:

– Szybko przybywa nam materiału.

– Trzy dni później znalazłem pod kamieniem na zegarze słonecznym kolejny liścik nabazgrany na skrawku papieru. Oto on. Widzi pan, postacie wyglądają tak samo, jak na poprzednim. Po tym wydarzeniu postanowiłem się zaczaić na intruza. Nabiłem więc rewolwer, poszedłem do gabinetu, którego okna wychodzą na trawnik i ogród, i usiadłem przy jednym z nich. Na dworze zalegała ciemność, rozpraszana jedynie światłem księżyca. Około drugiej usłyszałem za sobą kroki. Była to moja żona ubrana w szlafrok. Błagała mnie, bym wrócił do łóżka. Szczerze wyznałem, że chcę zobaczyć, kto wyczynia coś tak absurdalnego. Odpowiedziała, że to jakiś bezsensowny dowcip i nie powinienem zwracać na niego uwagi.

– Jeśli naprawdę ci to przeszkadza, Hiltonie, możemy wybrać się w podróż, by uniknąć tych przykrości.

– Co takiego? Jakiś kawalarz miałby wykurzyć nas z domu? – wykrzyknąłem. – Stalibyśmy się pośmiewiskiem całego hrabstwa!

– Chodź do łóżka – poprosiła – a porozmawiamy o tym rano.

– Nagle, jeszcze nim skończyła mówić, zauważyłem, jak jej twarz widoczna w świetle księżyca jeszcze bardziej zbladła, a ręka zacisnęła się na mym ramieniu. Coś poruszało się w cieniu szopki. Zauważyłem ciemną sylwetkę, która zakradła się zza rogu i przycupnęła pod drzwiami. Chwyciłem pistolet i już miałem wybiec do ogrodu, kiedy żona oplotła mnie ramionami i przytrzymała rozpaczliwie. Próbowałem się jej wyrwać, ale desperacko do mnie przylgnęła. W końcu udało mi się uwolnić, ale nim otworzyłem drzwi i wybiegłem z domu, nieznajomego już nie było. Zostawił jednak po sobie ślad: na drzwiach szopki widniała taka sama grupa tańczących ludzików, jaka pojawiła się przedtem dwa razy i jaką przerysowałem na tę kartkę. Nie znalazłem żadnego innego śladu po nieproszonym gościu, choć przeszukałem całą posiadłość. A jednak, choć jest to zadziwiające, przez cały czas musiał być w pobliżu, bo kiedy rankiem znów obejrzałem drzwi, zobaczyłem kolejne sylwetki pod rzędem tych, które widziałem już wcześniej.

– Czy ma pan ten nowy rysunek?

– Tak. Ludzików jest niewiele, oto kopia. – Wyciągnął kartkę z nowym tańcem:

Holmes uważnie się przyjrzał postaciom.

– Proszę mi powiedzieć – odezwał się Holmes, a w jego oczach wyczytałem wielkie poruszenie – czy było to jedynie uzupełnienie pierwszego rysunku, czy może jakaś odrębna wiadomość?

– Znajdował się na innej desce na drzwiach.

– Znakomicie! Ten rysunek jest dla nas najistotniejszy. Napełnia mnie nadzieją. A teraz, panie Cubitt, proszę kontynuować swą niezwykle zajmującą opowieść.

– Nie mam nic do dodania, panie Holmes, poza tym, że rozgniewałem się na żonę za to, że mnie przytrzymała, kiedy mogłem złapać tego łajdaka. Powiedziała, że bała się, bo mógł zrobić mi krzywdę. Myślałem przez chwilę, że być może obawiała się, że to ja mogę zranić jego. Nie miałem już wątpliwości, wiedziała, kim jest ten mężczyzna i co oznaczają te dziwne znaki. Mimo wszystko, panie Holmes, ton jej głosu i spojrzenie przekonały mnie: istotnie, troszczyła się o moje bezpieczeństwo. Oto cała historia. Teraz proszę o radę, panie Holmes, co mam robić. Gdyby to ode mnie zależało, ukryłbym w krzakach z pół tuzina robotników z farmy, którzy spuściliby mu takie manto, gdyby się znów pojawił, że na przyszłość zostawiłby nas w spokoju.

– Obawiam się, że sprawa jest zdecydowanie zbyt skomplikowana jak na takie proste rozwiązania – stwierdził Holmes. – Jak długo może pan zostać w Londynie?

– Muszę wrócić jeszcze dzisiaj. Za nic w świecie nie zostawiłbym żony samej na całą noc. Jest bardzo wzburzona. Błagała mnie, bym szybko wracał.

– Zapewne ma pan rację, jednak gdyby się pan zdecydował zostać, sądzę, że za dzień lub dwa pojechałbym z panem do jego domu. Póki co proszę zostawić mi papiery, a bardzo możliwe, że niebawem uda mi się złożyć panu wizytę i wyjaśnić tę sprawę.

Sherlock Holmes zachowywał spokojną i profesjonalną postawę aż do wyjścia naszego gościa, znałem go jednak dobrze, widziałem więc, że jest głęboko poruszony. Kiedy tylko szerokie plecy Hiltona Cubitta zniknęły za drzwiami, mój przyjaciel podbiegł do stołu, rozłożył wszystkie kartki z rysunkami tańczących sylwetek i rozpoczął zawiłe drobiazgowe obliczenia. Przez dwie godziny patrzyłem, jak pokrywa kolejne arkusze papieru literami i cyframi. Był tak pochłonięty tą czynnością, że najwyraźniej zapomniał o mojej obecności. Gdy robił postępy, gwizdał i podśpiewywał, gdy gubił trop, przez długie chwile siedział ze zmarszczonym czołem, patrząc przed siebie nieprzytomnym wzrokiem. Wreszcie zerwał się z krzesła z okrzykiem zadowolenia i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju, zacierając ręce. Wziął następnie blankiet telegramu, napisał długi tekst i powiedział:

– Jeśli dostaniemy taką odpowiedź, jakiej się spodziewam, będziesz mógł dodać do swej kolekcji bardzo ciekawą sprawę, Watsonie. Sądzę, że jutro pojedziemy do Norfolku i zawieziemy naszemu przyjacielowi pewne informacje o tym, co go martwi.

Przyznaję, że rozpierała mnie ciekawość, wiedziałem jednak, że Holmes lubił dzielić się swą wiedzą, jak i kiedy chciał, czekałem więc, aż uzna za stosowne wtajemniczyć mnie w całą sprawę.

Długo nie otrzymywaliśmy odpowiedzi, przez dwa dni czekaliśmy z niecierpliwością, a Holmes nadstawiał ucha przy każdym dzwonku do drzwi. Wieczorem drugiego dnia nadszedł list od Hiltona Cubitta. Nie miał dla nas nowych wiadomości poza tym, że rano na postumencie zegara słonecznego pojawił się duży rysunek. Nasz klient załączył jego kopię:

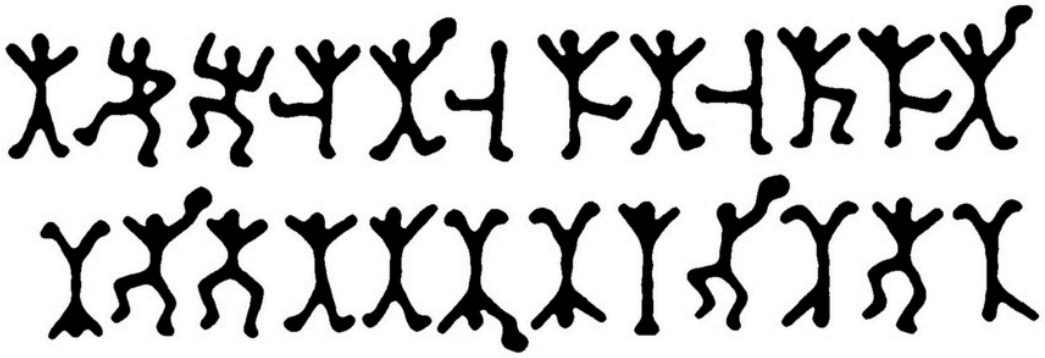

Holmes na kilka minut pochylił się nad tym groteskowym szlaczkiem, a potem nagle zerwał się na równe nogi z okrzykiem zaskoczenia i przerażenia. Na jego twarzy odbił się niepokój.

– Pozwoliliśmy przybrać tej sprawie niekorzystny obrót – stwierdził. – Czy dziś wieczorem jest pociąg do North Walsham?

Sprawdziłem w rozkładzie. Ostatni właśnie odjechał.

– W takim razie zjemy jutro wczesne śniadanie i pojedziemy pierwszym porannym pociągiem – stwierdził Holmes. – Sprawa pilnie wymaga naszej obecności. Ach, a oto i telegram, którego oczekiwałem. Chwileczkę, pani Hudson, być może będę chciał nadać odpowiedź. Nie, treść jest taka, jak się spodziewałem. Ta wiadomość potwierdza, że powinniśmy niezwłocznie powiadomić Hiltona Cubitta o rozwoju sytuacji. Nasz ziemianin z Norfolku uwikłał się w niezwykłą i niebezpieczną sieć.

Istotnie, przypuszczenia Holmesa się potwierdziły, a kiedy zbliżam się do mrocznego zakończenia opowieści, która na początku wydawała mi się jedynie dziecinną błachą zabawą, ponownie odczuwam przerażenie, które mnie wówczas ogarnęło. Wolałbym przedstawić czytelnikom szczęśliwe zakończenie, opisuję jednak fakty, muszę zatem opowiedzieć o ponurym ogniwie w łańcuchu zdarzeń, które na pewien czas uczyniło Riding Thorpe Manor sławnym w całej Anglii.

Ledwie wysiedliśmy w North Walsham i wspomnieliśmy o tym, dokąd jedziemy, podszedł do nas zawiadowca.

– Jesteście, panowie, detektywami z Londynu? – spytał.

Przez twarz Holmesa przemknął cień irytacji.

– Czemu pan tak sądzi?

– Przed chwilą przejeżdżał tędy inspektor Martin z Norwich. Ale może jesteście, panowie, chirurgami. Ona żyje, a przynajmniej żyła według ostatnich relacji. Być może zdążycie, panowie, ją uratować, choć tylko po to, by trafiła na szubienicę.

Holmes się nachmurzył.

– Jedziemy do Riding Thorpe Manor – przyznał – ale nie słyszeliśmy o tym, co tam zaszło.

– To straszna sprawa – stwierdził kolejarz. – Oboje padli od kul. Ona strzeliła do niego, a później do siebie, tak mówią służący. On nie żyje, jej nie dają wielkich nadziei. A to przecież jeden z najstarszych i najszacowniejszych rodów w hrabstwie Norfolk!

Holmes bez słowa pośpieszył do powozu i przez siedem mil drogi nie otworzył ust. Niewiele razy widziałem go równie przygnębionego. Był niespokojny przez całą drogę z miasteczka, zauważyłem też, że choć przedtem z napięciem czytał poranne gazety, fakt, że jego obawy były uzasadnione, wprawił go w melancholię. Oparł się na siedzeniu, zatopiony w ponurych myślach. Wokół było jednak mnóstwo interesujących rzeczy – przejeżdżaliśmy przez jeden z najwspanialszych angielskich obszarów, którego mieszkańcy zasiedlali obecnie nieliczne domy, rozsiane po okolicy, a o dawnej świetności tego rejonu Anglii Wschodniej świadczyły olbrzymie kościoły o kwadratowych wieżach, wyrastające tu i ówdzie pośród płaskiego, zielonego krajobrazu. Wreszcie ponad zielonym wybrzeżem Norfolku pojawiły się fioletowe fale Morza Północnego, a woźnica wskazał biczem dwa dachy z cegły i drewna, wystające ponad linię drzew.

– Oto Riding Thorpe Manor – wyjaśnił.

Kiedy podjechaliśmy do okolonych portykiem drzwi frontowych, zauważyłem obok kortu tenisowego czarną szopkę i stojący na postumencie zegar słoneczny, z którymi łączyły się niezwykłe wydarzenia. Z wysokiej dwukółki wysiadł elegancki człowiek, bystry i czujny, o nawoskowanych wąsach. Przedstawił się jako inspektor Martin z komisariatu w Norfolk i był wielce zaskoczony, kiedy usłyszał nazwisko mego towarzysza.

– Ależ panie Holmes, przestępstwo popełniono dziś o trzeciej rano. Jakim cudem, dowiadując się o nim w Londynie, przybył pan na miejsce równo ze mną?

– Przewidziałem je. Przyjechałem w nadziei, że się uda mu zapobiec.

– Dysponuje pan zatem dowodami, o których istnieniu my nie wiemy? Uchodzili bowiem za bardzo zgodną parę.

– Mam jedynie tańczące sylwetki – stwierdził Holmes. – Później wyjaśnię panu, o co chodzi. Tymczasem, skoro jest już za późno, by zapobiec tragedii, chciałbym wykorzystać posiadaną wiedzę, by zapewnić, że sprawiedliwości stanie się zadość. Chce pan towarzyszyć mi w śledztwie czy wolałby, żebym działał na własną rękę?

– Byłbym dumny, mogąc powiedzieć, że działamy wspólnie, panie Holmes – żarliwie stwierdził inspektor.

– W takim razie chciałbym niezwłocznie zapoznać się z dowodami i dokonać oględzin domu.

Inspektor Martin miał dość rozsądku, by pozwolić memu przyjacielowi działać według jego uznania i zadowolić się uważnym odnotowywaniem wyników jego postępowania. Miejscowy chirurg, stary, siwowłosy mężczyzna, który właśnie wyszedł z pokoju pani Cubitt, oświadczył, że obrażenia, jakie odniosła, są poważne, ale niekoniecznie śmiertelne. Kula otarła się jednak o przedni płat mózgu, i minie trochę czasu, nim ranna odzyska przytomność. Nie mógł z całą stanowczością stwierdzić, czy kobieta została postrzelona, czy sama strzeliła do siebie. Z pewnością strzał oddano z bardzo niewielkiej odległości. W pokoju znaleziono tylko jeden pistolet, w którego magazynku brakowało dwóch pocisków. Hilton Cubitt został zabity strzałem w serce. Możliwe było zarówno to, że on strzelił do żony, a później do siebie, jak i to, że ona popełniła tę zbrodnię, broń leżała bowiem między nimi.

– Czy przeniesiono ciało? – spytał Holmes.

– Nie dotykaliśmy niczego i nikogo, prócz pani Cubitt. Nie mogliśmy zostawić rannej na podłodze.

– Jak długo pan tu jest, doktorze?

– Od czwartej.

– Czy był tu ktoś jeszcze?

– Tak, obecny tu posterunkowy.

– I niczego panowie nie ruszali?

– Niczego.

– Postąpili panowie bardzo rozważnie. Kto po panów posłał?

– Pokojówka, pani Saunders.

– Czy to ona wszczęła alarm?

– Razem z kucharką, panią King.

– Gdzie one są teraz?

– Zdaje się, że w kuchni.

– W takim razie powinniśmy natychmiast wysłuchać ich relacji.

Stary hol o wysokich oknach, wyłożony dębową boazerią, stał się miejscem pracy śledczych. Holmes usiadł w wielkim staromodnym fotelu, a jego bezlitosne oczy lśniły w wymizerowanej twarzy. Wyczytałem w nich, że zamierza poświęcić się tej sprawie bez reszty, dopóki klient, którego nie zdołał ocalić, nie zostanie pomszczony. Resztę zebranych stanowili zadbany inspektor Martin, stary, siwowłosy wiejski lekarz, flegmatyczny miejscowy policjant oraz ja.

Opowieść kobiet była jasna. Ze snu wyrwał je odgłos wystrzału, a minutę po nim usłyszały kolejny. Spały w przylegających do siebie pokojach, i pani King pośpieszyła do pani Saunders. Wspólnie zbiegły ze schodów. Drzwi gabinetu były otwarte, a na stole płonęła świeca. Pan domu leżał bez życia twarzą do podłogi pośrodku pokoju. Nieopodal okna kuliła się jego ciężko ranna żona, opierając głowę o ścianę. Jedna strona jej twarzy była zalana krwią. Oddychała ciężko, lecz nie potrafiła wydobyć z siebie słowa. Korytarz i pokój wypełniał dym, w powietrzu unosił się zapach prochu. Obie kobiety zeznały, że okno było zamknięte i zaryglowane od wewnątrz. Natychmiast posłały po lekarza i posterunkowego, a swą ranną panią przeniosły z pomocą stajennych do jej pokoju. Pani była ubrana w suknię, a pan miał na sobie szlafrok narzucony na koszulę nocną. W gabinecie niczego nie zostało przesunięte. Z tego, co wiedziały służące, mąż i żona nigdy się nie kłócili, uchodzili za bardzo zgodną parę.

Takie były zeznania pokojówki i kucharki. Odpowiadając na pytanie inspektora Martina, potwierdziły, że wszystkie drzwi były zamknięte od środka, więc nikt nie mógł wydostać się z domu, z kolei Holmesowi powiedziały, że obie poczuły zapach prochu, kiedy wybiegły ze swych pokoi na najwyższym piętrze.

– Polecam ten fakt pańskiej uwadze – zwrócił się Holmes do kolegi po fachu – i sądzę, że teraz możemy przejść do oględzin pokoju.

Gabinet okazał się niedużym pomieszczeniem. Biblioteczki zajmowały trzy ściany. Biurko stało pod oknem wychodzącym na ogród. Najpierw przyjrzeliśmy się wielkiemu ciału nieszczęsnego ziemianina. Leżał, wyciągnięty, na podłodze. Jego ubiór był w nieładzie, co świadczyło o tym,

że został nagle wyrwany ze snu. Strzelono od przodu. Pocisk przebił serce i pozostał w ciele. Śmierć była bezbolesna i natychmiastowa. Ani na szlafroku, ani na dłoniach nie znaleziono śladów prochu. Chirurg stwierdził, że kobieta miała proch na twarzy, ale nie na rękach.

– Brak materiału wybuchowego nie oznacza niczego, choć jego obecność mogłaby rozstrzygnąć o wszystkim – stwierdził Holmes. – O ile proch nie zostanie wyrzucony do tyłu z powodu nieszczelności pomiędzy komorą nabojową a pociskiem, można oddać wiele strzałów, nie zostawiając śladów. Sądzę, że można już stąd zabrać ciało pana Cubitta. Doktorze, czy wyjął pan pocisk, który zranił damę?

– Wymagałoby to przeprowadzenia poważnej operacji. W rewolwerze zostały cztery naboje. Wystrzelono dwa razy i zadano dwie rany, zatem łatwo jest prześledzić los wszystkich pocisków.

– Na pierwszy rzut oka. A jaki był los tego, który przebił futrynę?

Szybko się odwrócił, wskazując swym długim, szczupłym palcem otwór wybity w dolnej części ramy okiennej, mniej więcej o cal nad jej krawędzią.

– Do diaska! – wykrzyknął inspektor. – Jakim cudem pan to zauważył?

– Szukałem go.

– Znakomicie! – stwierdził lekarz. – Niewątpliwie ma pan rację. Skoro został oddany trzeci strzał, musiała tu być trzecia osoba. Jednak kto to był i jak udało mu się zbiec?

– Za chwilę rozwiążemy tę zagadkę – powiedział Sherlock Holmes. – Pamięta pan, inspektorze, jak służące zeznały, że po wyjściu z pokoi natychmiast poczuły zapach prochu, a ja podkreśliłem, że to bardzo istotna uwaga?

– Tak, proszę pana, lecz, przyznaję, nie do końca zrozumiałem, o co panu chodziło.

– W chwili oddania strzału okno i drzwi pokoju były otwarte, inaczej dym prochowy nie rozszedłby się tak szybko po całym domu. Spowodował to przeciąg. Jednak zarówno drzwi, jak i okno były otwarte przez chwilę.

– Jak może pan tego dowieść?

– Świeca nie zdążyła zgasnąć.

– Kapitalne! Kapitalne! – wykrzyknął inspektor.

– Upewniwszy się, że do tragedii doszło przy otwartym oknie, doszedłem do wniosku, że mogła brać w niej udział jeszcze jedna osoba, która stała za

oknem. Strzał mógł trafić w ramę. Przyjrzałem się jej i znalazłem otwór po kuli.

– Ale okno zostało zamknięte i zaryglowane?

– Zamknęła go instynktownie kobieta. Ale cóż to! – wykrzyknął mój przyjaciel, zobaczywszy na biurku w gabinecie niewielką damską torebkę. Była wykonana z krokodylej skóry i srebra. Holmes otworzył ją i wyjął zawartość. Było tam dwadzieścia pięćdziesięciofuntowych banknotów banku angielskiego związanych gumką recepturką, i nic ponadto.

– Należy to zachować, gdyż będzie stanowiło dowód podczas procesu – stwierdził Holmes, podając inspektorowi torebkę wraz z zawartością. – Teraz musimy wyjaśnić sprawę trzeciego pocisku, który, jak wskazuje na to sposób uszkodzenia ramy, został wystrzelony ze środka pokoju. Chciałbym jeszcze raz porozmawiać z kucharką. Pani King, według pani słów, obudził ją głośny strzał. Czy chce pani przez to powiedzieć, iż wydawał się głośniejszy niż drugi?

– Ten odgłos, proszę pana, wyrwał mnie ze snu, więc trudno mi to ocenić. Ale naprawdę wydawał się bardzo głośny.

– Czy sądzi pani, że oba strzały zostały oddane niemal równocześnie?

– Nie mam pojęcia, proszę pana.

– Ja jestem o tym przekonany. Inspektorze Martin, sądzę, że w tym pokoju niczego więcej się nie dowiemy. Zobaczmy, co się uda znaleźć w ogrodzie.

Rabatka kwiatowa rozpościerała się aż do okna gabinetu. Gdy ją zobaczyliśmy, głośno krzyknęliśmy. Kwiaty zostały zadeptane, a na miękkiej ziemi widniały liczne odciski dużych męskich butów o niezwykle długich, spiczastych noskach. Holmes szperał w trawie i liściach niczym pies gończy podążający za ranną zwierzyną. Po chwili z okrzykiem zadowolenia podniósł z ziemi niewielki mosiężny cylinder.

– Tak myślałem – stwierdził. – Rewolwer był wyposażony w wyrzutnik, a oto trzecia łuska. Sądzę, inspektorze Martin, że sprawa jest bliska rozwiązania.

Na twarzy policjanta widać było zdumienie wywołane szybkimi postępami, jakich po mistrzowsku dokonywał w śledztwie mój przyjaciel. Na początku Martin usiłował podkreślić swą pozycję, później jednak, pełen podziwu, gotów był bez szemrania podążać za Holmesem.

– Kogo pan podejrzewa? – spytał.

– Powiem o tym za chwilę. Istnieje jednak kilka aspektów tej sprawy, których nie zdążyłem jeszcze panu wyjaśnić. Teraz, kiedy zaszedłem tak daleko, powinienem działać na własną rękę i wyjaśnić całą sprawę raz na zawsze.

– Niech pan robi to, co uzna za stosowne, panie Holmes, byle tylko udało nam się dopaść tego człowieka.

– Nie zamierzam robić z niczego tajemnicy, ale na tym etapie dochodzenia nie mogę wdawać się w długie i skomplikowane wyjaśnienia. Mam w ręku wszystkie wątki tej sprawy. Jeśli ranna nie odzyska przytomności, i tak zdołamy odtworzyć wydarzenia, jakie rozegrały się ostatniej nocy, i spowodować, że sprawiedliwości stanie się zadość. Po pierwsze, chciałbym się dowiedzieć, czy w okolicy jest gospoda „U Elridge’a”?

Wypytano służących, ale żadne z nich nie słyszało o takim miejscu. Stajenny przypomniał sobie jednak, że farmer nazwiskiem Elridge mieszka kilka mil dalej w kierunku East Ruston.

– Czy to odludne miejsce?

– Bardzo, proszę pana.

– Czy jest możliwe, że nie słyszano tam jeszcze o zdarzeniach tej nocy?

– Tak, proszę pana.

Holmes pomyślał przez chwilę, a na jego twarzy pojawił się szczególny uśmiech.

– Osiodłaj konia, chłopcze – rozkazał. – Chciałbym, żebyś zawiózł list na farmę Elridge’a.

Wyjął z kieszeni kartki z tańczącymi sylwetkami, ułożył je przed sobą i przez pewien czas pracował przy biurku w gabinecie. Wreszcie podał stajennemu list i kazał oddać adresatowi do rąk własnych, w żadnym razie nie odpowiadając na zadawane pytania. Zauważyłem, że adres został napisany rozstrzelonymi nieregularnymi literami, zupełnie nie przypominającymi starannego charakteru pisma Holmesa. Adresatem był pan Abe Slaney zamieszkały na farmie Elridge’a w East Ruston, w hrabstwie Norfolk.

– Sądzę, inspektorze – zauważył Holmes – że powinien pan wysłać telegram z prośbą o posiłki, bo gdy moje przypuszczenia się potwierdzą, trzeba będzie odeskortować do więzienia okręgowego szczególnie groźnego przestępcę. Telegram może nadać stajenny, którego wysyłamy z listem.

Watsonie, jeśli po południu odchodzi pociąg do Londynu, powinniśmy nim pojechać, muszę dokończyć interesującą analizę chemiczną, a to śledztwo rychło dobiegnie końca.

Kiedy chłopak pojechał zawieźć liścik, Holmes udzielił służącym instrukcji. Gdyby ktokolwiek przybył do posiadłości i pytał o żonę pana Hiltona Cubitta, miały niczego nie opowiadać o jej stanie, ale natychmiast wprowadzić gościa do salonu. Mój przyjaciel bardzo na to nalegał. Poszedł z nami do salonu i oznajmił, że nie mamy już wpływu na rozwój sprawy i musimy poczekać na to, co przyniesie los. Lekarz pojechał do swych pacjentów, a na miejscu pozostaliśmy jedynie Holmes, ja oraz inspektor.

– Sądzę, że pomogę panom spędzić ten czas w sposób interesujący i pożyteczny – stwierdził Holmes, przysuwając krzesło do stołu i rozkładając przed sobą kartki, na których widniały pląsające sylwetki. – Tobie, mój przyjacielu Watsonie, jestem winien zadośćuczynienie za to, że pozwoliłem, by twoja ciekawość tak długo pozostała niezaspokojona. Dla pana, inspektorze, to zdarzenie może być interesujące z zawodowego punktu widzenia. Przede wszystkim muszę opowiedzieć panom o niezwykłych okolicznościach towarzyszących rozmowom, jakie prowadziłem z panem Hiltonem Cubittem przy Baker Street. – Pokrótce omówił fakty, które już tu opisałem. – Mam przed sobą te osobliwe rysunki, które mogłyby budzić śmiech, gdyby nie były zwiastunami tak straszliwej tragedii. Sporo wiem o szyfrach; napisałem na ich temat krótką monografię, w której przeanalizowałem sto sześćdziesiąt różnych kodów, przyznaję jednak, że ten był dla mnie całkowicie nowy. Celem autorów tego systemu było zapewne ukrycie faktu, że ciągi sylwetek zawierają jakąś wiadomość, i stworzenie złudzenia przypadkowych dziecięcych bazgrołów. Kiedy się jednak zorientowałem, że symbole odpowiadają literom, i zastosowałem do nich te same zasady, którymi kieruję się w przypadku wszystkich innych szyfrów, rozwiązanie okazało się całkiem proste. Pierwsza wiadomość, jaką mi przedstawiono, była tak krótka, że dała mi pewność jedynie co do tego, iż symbol odpowiadał literze E. Panowie wiedzą zapewne, że jest to najczęściej występująca litera alfabetu angielskiego, która dominuje nawet w krótkich zdaniach. Cztery z piętnastu symboli zawartych w pierwszej wiadomości były identyczne, uznałem zatem, że przedstawiają literę E. W niektórych miejscach ludki trzymały w dłoniach flagę. Sądząc ze

sposobu usytuowania flag, uznałem za prawdopodobne, że zostały użyte do zaznaczenia podziału poszczególnych słów. Przyjąłem taką hipotezę i zapisałem, że literze E odpowiada symbol . W tym miejscu dochodzenie bardzo się skomplikowało. Częstotliwość występowania angielskich liter po E nie jest już tak oczywista, a ich kolejność ustalona na podstawie jednej strony druku może zostać odwrócona w jednym krótkim zdaniu. Ogólnie rzecz biorąc, litery występują w kolejności: T, A, O, I, N, S, H, R, D, L, przy czym T, A, O są niemal równie powszechne, i można by bez końca wypróbowywać różne kombinacje, nim rozszyfrowałoby się znaczenie wiadomości. Podczas naszej drugiej rozmowy pan Cubitt pokazał mi dwa inne krótkie zdania i jedną wiadomość, którą – ze względu na brak flagi – uznałem za pojedyncze słowo. W tym pięcioliterowym wyrazie litera E występowała jako druga i czwarta, mogło to zatem być *sever* ‘odciąć’, *lever* ‘dźwignia’ lub *never* ‘nigdy’. Nie ulegało wątpliwości, że ostatnie z tych słów stanowiło najbardziej prawdopodobną odpowiedź na prośbę, a okoliczności wskazywały, że napisała ją kobieta. Przyjmując tę hipotezę, udało mi się ustalić, że symbolom 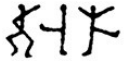 odpowadają kolejno litery N, V, R. Nie rozwiało to wszystkich wątpliwości, ale dzięki fortunnemu skojarzeniu udało mi się poznać kilka kolejnych liter. Uznałem, że jeśli, jak podejrzewałem, autorem próśb był ktoś, kogo dama znała w młodości, połączenie dwóch E z trzema innymi literami mogło stanowić zapis jej imienia „Elsie”. Po bliższych oględzinach okazało się, że takie połączenie występowało na końcu wiadomości, która została powtórzona trzykrotnie. Była to zatem jakaś prośba skierowana do Elsie. Słowo poprzedzające jej imię składało się zaledwie z czterech liter i kończyło na E. Przekonałem się, że chodzi o *come* ‘przyjdź’. Sprawdziłem wszystkie inne czteroliterowe wyrazy kończące się na E, jednak żaden nie pasował. Odkryłem zatem, jak wyglądają litery C, O, M, i mogłem wrócić do rozszyfrowania pierwszej wiadomości, dzieląc ją na poszczególne słowa i wstawiając kropki w miejsce brakujących symboli. Uzyskałem taką treść:

.M .ERE ..E SL.NE.

Pierwszą z liter mogło być jedynie A; to odkrycie okazało się bardzo przydatne, gdyż symbol występuje trzykrotnie w krótkim zdaniu, a na

początku drugiego ze słów może stać jedynie H. Zdanie przybrało zatem postać:

AM HERE A.E SLANE.

Gdy wypełniłem oczywiste luki w nazwisku, przeczytałem:

AM HERE ABE SLANEY. (JESTEM TU ABE SLANEY).

Dysponowałem już tak wieloma literami, że mogłem śmiało przystąpić do rozszyfrowywania kolejnej wiadomości. Brzmiała ona:

A. ELRI. ES.

Mogłem doszukać się w niej sensu, jedynie podstawiając T i G w miejsce brakujących liter. Otrzymałem wyrażenie *At Elridge's* (U Elridge'a), przypuszczałem zatem, że to nazwa domu lub gospody, gdzie zatrzymał się autor wiadomości.

Wraz z inspektorem Martinem słuchaliśmy z ogromnym zainteresowaniem szczegółowej i przejrzystej opowieści mego przyjaciela o tym, jak dochodził do wniosków, które pozwoliły mu przezwyciężyć trudności.

– Co zrobił pan później? – spytał inspektor.

– Miałem podstawy sądzić, że Abe Slaney jest Amerykaninem, gdyż Abe to amerykańskie zdrobnienie imienia, a wszystkie problemy zaczęły się od listu nadanego w Ameryce. Byłem również przekonany, że sprawa wiąże się z jakimś zbrodniczym sekretem. Wskazywały na to zarówno aluzje kobiety do przeszłości, jak i odmowa wtajemniczenia męża w całą sprawę. Wysłałem więc telegram do mego przyjaciela Wilsona Hargreave'a z nowojorskiej policji, który wielokrotnie korzystał z mojej wiedzy o londyńskim świecie przestępczym. Spytałem go, czy znane jest mu nazwisko Slaney, Abe Slaney. Odpowiedź brzmiała: „To najniebezpieczniejszy przestępca w Chicago". Tego samego wieczora, kiedy nadeszła ta informacja, Hilton Cubitt przesłał mi ostatnią wiadomość od Slaneya. Wykorzystując znane mi litery, uzyskałem co następuje:

ELSIE .RE.ARE TO MEET THY GO.

Uzupełniając brakujące symbole literami P i D, otrzymałem zdanie: *Elsie prepare to meet thy God* (Elsie, przygotuj się na spotkanie z Bogiem), co wskazywało, że łotr przeszedł od próśb do gróźb. Posiadam dużą wiedzę o chicagowskich przestępcach, którzy bardzo szybko wprowadzają swe słowa w czyn. Niezwłocznie przyjechałem do Norfolku ze swoim przyjacielem i współpracownikiem, doktorem Watsonem, lecz niestety, okazało się, że doszło już do najgorszego.

– To zaszczyt pracować z panem – powiedział ciepło inspektor. – Proszę mi jednak wybaczyć szczerość. Pan odpowiada jedynie przed sobą, ja odpowiadam przed przełożonymi. Jeśli ten Abe Stanley mieszkający u Elridge'a istotnie jest sprawcą zbrodni i jeśli ucieknie, kiedy ja będę siedział tutaj, znajdę się w wielkim kłopocie.

– Nie musi się pan niepokoić. Nie będzie próbował uciekać.

– Skąd pan to wie?

– Byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do winy.

– W takim razie jedźmy go aresztować.

– Spodziewam się go tutaj lada chwila.

– Przyjdzie tutaj? Dlaczego?

– Napisałem do niego i poprosiłem go o to.

– Ależ to niewiarygodne, panie Holmes! Czemu miałby odpowiedzieć na takie zaproszenie? Czy nie wzbudzi ono jego podejrzeń i nie skłoni do ucieczki?

– Sądzę, że udało mi się nadać wiadomości odpowiednią formę – stwierdził Holmes. – Jeśli się nie mylę, tu wspomniany dżentelmen nadchodzi we własnej osobie.

Ścieżką prowadzącą do drzwi szedł wysoki, przystojny mężczyzna o śniadej cerze. Jego twarz cechowały czarna broda i haczykowaty nos, wielki i wydatny. Ubrany był w szary, flanelowy garnitur, a na głowie miał panamę. Idąc, wywijał laską. Kroczył dróżką tak, jakby dom należał do niego. Po chwili usłyszeliśmy głośny, natarczywy dźwięk dzwonka.

– Panowie – powiedział cicho Holmes – powinniśmy ustawić się za drzwiami. W kontaktach z takim osobnikiem należy zachować wszelkie środki ostrożności. Inspektorze, będą potrzebne kajdanki. Ja z nim porozmawiam.

Czekaliśmy w milczeniu. Była to jedna z tych chwil, których nigdy nie zapomnę. Otworzyły się drzwi, i mężczyzna wszedł do środka. W mgnieniu

oka Holmes przystawił mu do głowy pistolet, a Martin nałożył kajdanki. Zrobili to tak szybko i zręcznie, że kiedy przybysz zorientował się, iż wpadł w zasadzkę, nie mógł już nic zrobić. Patrzył to na jednego, to na drugiego wściekłymi, czarnymi oczami, a następnie wybuchnął gorzkim śmiechem.

– Cóż, panowie, dopadliście mnie. Trafiła kosa na kamień. Przybyłem tu jednak, bo prosiła mnie o to pani Cubitt. Chyba nie powiecie mi, panowie, że brała w tym udział i pomogła zastawić na mnie pułapkę?

– Pani Cubitt została poważnie ranna i jest o krok od śmierci.

Mężczyzna wydał ochrypły krzyk rozpaczy, który odbił się echem w całym domu.

– Chyba oszaleliście! – wrzasnął z wściekłością. – To on został ranny, nie ona. Kto mógłby skrzywdzić małą Elsie? Groziłem jej, niech mi Bóg wybaczy, jednak nie pozwoliłbym, żeby włos spadł jej z głowy. Proszę powiedzieć, że nic jej nie jest!

– Znaleziono ją ciężko ranną u boku zmarłego męża.

Amerykanin opadł na kanapę z głuchym jękiem i ukrył twarz w skutych kajdankami dłoniach. Po chwili podniósł głowę i zaczął mówić z zimnym opanowaniem świadczącym o rozpaczy.

– Nie mam przed panami nic do ukrycia. Strzeliłem do człowieka, który przedtem strzelił do mnie, nie było to więc morderstwo. Jeśli jednak sądzą panowie, że mogłem zrobić krzywdę tej kobiecie, nie znają panowie ani jej, ani mnie. Oświadczam, że żaden mężczyzna na tym świecie nie kochał żadnej kobiety tak, jak ja kochałem Elsie. Miałem do niej prawo. Wiele lat temu zaręczyliśmy się. Kimże był ten Anglik, który ośmielił się nas rozdzielić? Powtarzam, ja pierwszy miałem do niej prawo i chciałem jedynie je wyegzekwować.

– Kiedy przekonała się, jakim jest pan człowiekiem, przestał pan mieć na nią wpływ – stwierdził surowo Holmes. – Uciekła z Ameryki, by się od pana uwolnić, a w Anglii poślubiła szacownego dżentelmena. Pan wytropił ją, zaczął prześladować i zamienił jej życie w piekło, by skłonić do porzucenia męża, którego kochała i szanowała, oraz do ucieczki z panem, którego nienawidziła i bała się. Doprowadził pan do śmierci szlachetnego człowieka i samobójstwa jego żony. Oto pański udział w tej sprawie, panie Slaney, i odpowie pan za to przed sądem.

– Jeśli Elsie nie przeżyje, będzie mi wszystko jedno, co się ze mną stanie – powiedział Amerykanin i przyjrzał się zmiętemu liścikowi, który trzymał

w dłoni. – Proszę spojrzeć na to! – krzyknął, a w jego oczach pojawił się cień podejrzliwości. – Nie chce mnie pan chyba zastraszyć, co? Jeśli dama jest tak ciężko ranna, jak pan mówi, kto to napisał? – spytał, rzucając karteczkę na stół.

– Zrobiłem to ja, aby tu pana zwabić.

– Pan? Ale nikt na świecie poza naszym gangiem nie znał sekretu tańczących sylwetek. Jak się panu udało to napisać?

– To, co stworzył jeden człowiek, inny człowiek jest w stanie pojąć – stwierdził Holmes. – Panie Slaney, jedzie tu już powóz, który zawiezie pana do Norwich. Niech się pan postara i przynajmniej częściowo naprawi krzywdę, którą wyrządził. Czy zdaje pan sobie sprawę, że panią Cubitt podejrzewano o zamordowanie męża i jedynie moja obecność tutaj i wiedza, którą posiadam, ocaliły ją przed oskarżeniem? Jest pan jej winien przynajmniej tyle, by wyjaśnić całemu światu, że nie jest ona w żaden sposób odpowiedzialna, pośrednio czy bezpośrednio, za tragiczną śmierć małżonka.

– Niczego więcej nie pragnę – stwierdził Amerykanin. – Sądzę, że najlepiej się jej przysłużę, jeżeli przedstawię całą prawdę.

– Muszę pana uprzedzić, że zostanie ona wykorzystana przeciwko panu! – wykrzyknął inspektor. – Brytyjskie prawo karne jest sprawiedliwe.

Slaney wzruszył ramionami.

– Zaryzykuję – stwierdził. – Po pierwsze, chcę, by panowie wiedzieli, że znam tę damę od dzieciństwa. Nasz gang w Chicago składał się z siedmiu członków, przewodził mu ojciec Elsie. Stary Patrick był sprytnym chłopem. To on wymyślił szyfr, który dla niewtajemniczonych wyglądał jak dziecięce bazgroły. Dziewczyna nauczyła się niektórych naszych sztuczek, ale nie mogła znieść tego, czym się zajmowaliśmy; jako że miała trochę własnych, uczciwie zarobionych pieniędzy, wymknęła się nam i pojechała do Londynu. Byliśmy zaręczeni, i sądzę, że zostałaby moją żoną, gdybym wybrał inny zawód, nie chciała mieć nic wspólnego z przestępcami. Dopiero po tym, jak wyszła za tego Anglika, udało mi się wywiedzieć, gdzie mieszka. Napisałem do niej, ale nie otrzymałem odpowiedzi. Przyjechałem więc tutaj, a że listy nie wywołały żadnej reakcji, zostawiałem wiadomości tam, gdzie Elsie mogła je odczytać. Jestem tu już od miesiąca. Mieszkam na farmie. Wynająłem pokój na parterze, dzięki czemu wymykałem się stamtąd co noc bez niczyjej wiedzy. Chwytałem się

wszelkich sposobów, by Elsie odeszła ze mną po dobroci. Wiedziałem, że czyta wiadomości ode mnie, gdyż odpisała na jedną z nich. Wreszcie moja cierpliwość się wyczerpała, i zacząłem jej grozić. Wtedy napisała do mnie list, błagając, bym wyjechał; stwierdziła, że pękłoby jej serce, gdyby nazwisko jej męża splamiło się jakimś skandalem. Zaproponowała, że o trzeciej w nocy, kiedy Cubitt będzie spał, zejdzie na dół i porozmawia ze mną przez okno, jeśli obiecam, że wyjadę i zostawię ją w spokoju. Przyszła i przyniosła ze sobą pieniądze, gdyż chciała mnie przekupić. Rozwścieczyło mnie to. Chwyciłem ją za ramię i próbowałem wyciągnąć przez okno. W tej samej chwili do pokoju wpadł jej mąż z bronią w ręku. Elsie osunęła się na podłogę, a my stanęliśmy twarzą w twarz. Byłem również uzbrojony i wyciągnąłem pistolet, licząc, że się przestraszy i pozwoli mi spokojnie odejść. On jednak strzelił do mnie, ale chybił. Pociągnąłem za spust niemal w tym samym momencie i powaliłem go. Pobiegłem z powrotem przez ogród, a po drodze usłyszałem dźwięk zamykanego okna. Przysięgam na Boga, że powiedziałem całą prawdę. Nie słyszałem niczego więcej o całej sprawie, póki nie zjawił się u mnie chłopak z liścikiem. Natychmiast przyszedłem tu jak ostatni naiwniak i wpadłem w ręce panów.

Nim Amerykanin skończył mówić, podjechał powóz z dwoma umundurowanymi policjantami. Inspektor Martin wstał i dotknął ramienia swego więźnia.

– Czas na nas.

– Czy mógłbym ją zobaczyć?

– Nie, wciąż jest nieprzytomna. Panie Holmes, mogę jedynie mieć nadzieję, że jeśli jeszcze kiedyś będę miał do rozwiązania tak trudną sprawę, uda mi się ponownie skorzystać z pańskiej pomocy.

Staliśmy przy oknie, obserwując odjeżdżający pojazd. Kiedy się odwróciłem, mój wzrok padł na zwiniętą w kulkę kartkę papieru na stole, porzuconą przez więźnia. Był to liścik, który Holmes zastosował jako przynętę.

– Sprawdź, czy uda ci się to odczytać, Watsonie. – Zachęcił mój przyjaciel z uśmiechem.

Na kartce nie było ani jednego słowa, widniał tylko rząd tańczących sylwetek:

– Jeśli skorzystasz z szyfru, który złamałem – powiedział Holmes – odkryjesz, że tu napisane jest po prostu: „Przyjdź jak najszybciej”. Byłem pewien, że Slaney nie odrzuci takiego zaproszenia, gdyż nie przyszłoby mu nawet do głowy, że mógł go ułożyć ktokolwiek inny poza damą jego serca. I tak, drogi Watsonie, udało nam się użyć w dobrym celu tańczących sylwetek, które tak często wykorzystywano do złego, i zdaje się, że zdołałem wywiązać się z obietnicy dostarczenia ci niezwykłego materiału do zapisków. Pociąg mamy o trzeciej czterdzieści. Sądzę, że dotrzemy na Baker Street w samą porę na kolację.

Zamiast epilogu. Amerykanin Abe Slaney został skazany na śmierć podczas zimowej sesji wyjazdowej sądu w Norwich, jednak karę zmieniono na więzienie z uwagi na okoliczności łagodzące i pewność, że Hilton Cubitt strzelił jako pierwszy. O żonie zmarłego wiem tylko tyle, że wróciła do zdrowia i nie wyszła powtórnie za mąż. Swoje życie poświęciła opiece nad ubogimi i zarządzaniu majątkiem męża.

Opowieść czwarta

SAMOTNA CYKLISTKA

W latach 1894–1901 Sherlock Holmes był człowiekiem bardzo zajętym. Można stwierdzić z całą pewnością, że w ciągu tych ośmiu lat nie było żadnej, nastręczającej trudności, publicznie udostępnionej sprawy, w której rozwiązaniu nie brałby udziału. Odegrał też znaczącą rolę w wyjaśnieniu setek problemów prywatnych, niekiedy wielce zawikłanych i osobliwych. Ten długi okres nieprzerwanej pracy zaowocował wieloma oszałamiającymi sukcesami i kilkoma nieuniknionymi porażkami. Zachowałem kompletne zapiski dotyczące tych spraw, a że w wiele z nich byłem osobiście zaangażowany, nic dziwnego, że niełatwo mi wybrać te, które chciałbym przedstawić czytelnikom. Postanowiłem kierować się stosowaną dawniej zasadą i przyznać pierwszeństwo sprawom interesującym nie tyle z racji brutalnego charakteru zbrodni, co z powodu pomysłowości i dramatyzmu procesu rozwiązywania zagadki. Dlatego zamierzam opisać teraz sprawę Violet Smith, samotnej cyklistki z Charlington, i ciekawe skutki naszego dochodzenia, które zakończyło się niespodziewanie tragedią. Okoliczności nie pozwoliły na spektakularne wykorzystanie zdolności, z których słynął mój przyjaciel, jednak pewne aspekty tej sprawy wyróżniają ją spośród licznych innych, opisanych w relacjach z prowadzonych dochodzeń, skąd czerpię materiały do swych opowiadań.

Sprawdzając notatki z 1895 roku, mogę stwierdzić, że po raz pierwszy usłyszeliśmy o pannie Violet Smith w sobotę dwudziestego trzeciego kwietnia. Pamiętam, że jej wizyta była bardzo nie na rękę Holmesowi, pochłoniętemu wówczas pracą nad niezwykle zawiłą i złożoną sprawą, dotyczącą szczególnego nękania, którego ofiarą padł John Vincent Harden, słynny milioner i plantator tytoniu. Mój przyjaciel, który nade wszystko

cenił sobie logikę działania i skupienie myśli, nie znosił tego wszystkiego, co odwracało jego uwagę od prowadzonego dochodzenia. Mimo to nie był tak nieuprzejmy, by odmówić wysłuchania opowieści młodej i pięknej kobiety, wysokiej i pełnej iście królewskiego wdzięku, która zjawiła się na Baker Street późnym wieczorem, błagając o radę i pomoc. Na próżno mój przyjaciel tłumaczył jej, że nie ma ani jednej wolnej chwili; młoda dama przyszła z niezłomnym zamiarem opowiedzenia swej historii, i było jasne, że póki tego nie zrobi, nic, poza brutalną siłą, nie zdoła jej skłonić do opuszczenia pokoju. Holmes przybrał zrezygnowaną postawę i z nieco znużonym uśmiechem poprosił piękną damę, by usiadła i opowiedziała nam o swoich kłopotach.

– Przynajmniej wiem, że nie chodzi o pani zdrowie – powiedział, obrzucając ją badawczym spojrzeniem. – Tak zapalona cyklistka wprost tryska energią.

Kobieta ze zdumieniem zerknęła na swoje stopy, ja zaś zauważyłem szorstki punkt z boku podeszwy jej buta, w miejscu, które ocierało się o brzeg pedału.

– Owszem, panie Holmes, często jeżdżę na rowerze, i ma to związek z moją dzisiejszą wizytą.

Mój przyjaciel chwycił nieosłoniętą rękawiczką dłoń naszego gościa i przyjrzał się jej uważnie i beznamiętnie jak badacz, który ogląda ciekawy okaz.

– Proszę wybaczyć, ale taką mam pracę – powiedział, wypuszczając dłoń ze swoich rąk. – Niewiele brakowało, a mylnie uznałbym, że jest pani maszynistką. Tymczasem zajmuje się pani muzyką. Watsonie, czy dostrzegłeś szufelkowate opuszki palców, typowe dla obu tych profesji? W tym przypadku widać jednak w twarzy uduchowienie – tu dama delikatnie odwróciła głowę w stronę światła – którego próżno szukać u maszynistek. Pani jest muzyczką.

– Owszem, panie Holmes, uczę muzyki.

– Z pani cery wnoszę, że mieszka pani na wsi.

– Tak, proszę pana. Niedaleko Farnham, na obrzeżach hrabstwa Surrey.

– To piękna okolica, budzi we mnie wielce interesujące skojarzenia. Pamiętasz, Watsonie, niedaleko stamtąd udało nam się ująć fałszerza Archiego Stamforda? Panno Violet, cóż takiego przydarzyło się pani niedaleko Farnham?

Młoda dama w wyjątkowo przejrzysty i opanowany sposób opowiedziała nam tę oto osobliwą historię.

– Panie Holmes, mój ojciec nie żyje. Nazywał się James Smith. Był dyrygentem orkiestry w starym teatrze „Imperial”. Nie miałyśmy z matką innych krewnych prócz mego stryja Ralpha Smitha, który dwadzieścia pięć lat temu wyjechał do Afryki i od tego czasu nie dawał znaku życia. Po śmierci ojca popadłyśmy w wielką nędzę. Może pan sobie wyobrazić, jak się ucieszyłyśmy, kiedy pewnego dnia dowiedziałyśmy się, że w „Timesie” ukazało się ogłoszenie, w którym pytano o nasz adres. Miałyśmy nadzieję, że być może ktoś zostawił nam w spadku majątek. Natychmiast udałyśmy się do prawnika, którego nazwisko podano w gazecie. Spotkałyśmy się tam z dwoma dżentelmenami, Carruthersem i Woodleyem, którzy przyjechali w odwiedziny do kraju z Afryki Południowej. Wyjaśnili oni, że mój stryj był ich przyjacielem, że kilka miesięcy wcześniej zmarł w wielkim ubóstwie w Johannesburgu i w swych ostatnich słowach poprosił ich, by odnaleźli jego krewnych i upewnili się, czy niczego im nie brakuje. Wydawało nam się dziwne, że stryj Ralph, który za życia nie utrzymywał z nami kontaktów, uznał za stosowne zaopiekować się nami po śmierci, pan Carruthers wyjaśnił jednak, że nasz krewny tuż przed śmiercią dowiedział się o zgonie brata i poczuł się za nas odpowiedzialny.

– Przepraszam – przerwał Holmes – kiedy miała miejsce ta rozmowa?

– W grudniu zeszłego roku, cztery miesiące temu.

– Proszę mówić dalej.

– Pan Woodley wydał mi się niezwykle odpychający. Ten grubiański, młody człowiek o nalanej twarzy, rudych wąsach i włosach przylizanych po obu stronach czoła ciągle się we mnie wpatrywał. Pomyślałam, że to bardzo niemiły osobnik i że Cyril z pewnością nie życzyłby sobie, żebym zawierała z nim znajomość.

– Ach, więc on ma na imię Cyril – powiedział Holmes z uśmiechem.

Młoda dama zaśmiała się i spłonęła rumieńcem.

– Tak, panie Holmes, Cyril Morton, jest inżynierem elektrykiem; zamierzamy się pobrać pod koniec lata. Ojej, ale jakim cudem zaczęłam o nim mówić? Chciałam tylko zaznaczyć, że pan Woodley był absolutnie odrażający, natomiast pan Carruthers, człowiek znacznie od niego starszy, zrobił na mnie o wiele przyjemniejsze wrażenie. To ciemnowłosy, milczący mężczyzna o gładko wygolonej, ziemistej twarzy. Jest uprzejmy i ma miły

uśmiech. Wypytywał o naszą sytuację, a kiedy dowiedział się, w jak wielkiej żyjemy biedzie, zaproponował, bym zaczęła uczyć muzyki jego jedyną dziesięcioletnią córkę. Wyjaśniłam mu, że nie chcę zostawiać matki samej, więc on zapewnił, że będę mogła odwiedzać ją w każdy weekend, i zaoferował mi sto funtów rocznie, to bardzo hojna pensja. Koniec końców przyjęłam propozycję i pojechałam do Chiltern Grange, leżącego niecałe sześć mil od Farnham. Pan Carruthers jest wdowcem; zatrudnia gospodynię, bardzo szacowną starszą panią o nazwisku Dixon, która prowadzi mu dom. Dziecko okazało się urocze, i wszystko zapowiadało się jak najlepiej. Pan Carruthers był nadzwyczaj miły i bardzo muzykalny; przyjemnie spędzaliśmy razem wieczory, a w każdy weekend jeździłam do miasta do matki. Pierwszą rzeczą, która zakłóciła moje szczęście, był przyjazd rudowąsego pana Woodleya. Przybył z tygodniową wizytą, która dla mnie trwała miesiące. Wszystkich traktował okropnie, ale mnie zdecydowanie najgorzej. Narzucał mi się ze swymi awansami, przechwalał się swym majątkiem, mówił, że gdybym za niego wyszła, kupiłby mi najwspanialsze w Londynie brylanty. Kiedy oznajmiłam, że nie chcę mieć z nim nic do czynienia, chwycił mnie pewnego dnia po kolacji w ramiona, a był niezwykle silny, i stwierdził, że nie puści, póki go nie pocałuję. W tym momencie wszedł pan Carruthers, który wyrwał mnie z rąk brutala. Ten zaatakował swojego gospodarza, zwalając go z nóg i raniąc mu twarz. Jak zapewne się pan domyśla, na tym zakończyła się jego wizyta. Następnego dnia pan Carruthers przeprosił mnie i zapewnił, że nigdy więcej nie będę narażona na podobną zniewagę. Od tego czasu nie widziałam pana Woodleya. A teraz, panie Holmes, przechodzę do tego szczególnego wydarzenia, które sprawiło, że przyjechałam tu dziś prosić pana o radę. W każde sobotnie przedpołudnie jeżdżę na rowerze na dworzec w Farnham i jadę do Londynu pociągiem o 12.22. Droga z Chiltern Grange jest odludna, szczególnie w jednym miejscu, gdzie przez ponad milę biegnie wzdłuż wrzosowiska Charlington Heath z jednej strony i lasów otaczających dwór Charlington Hall z drugiej. Nie ma chyba na świecie bardziej odludnej ścieżki; rzadko spotyka się na niej dwukółkę czy wieśniaka, póki nie dotrze się do drogi głównej nieopodal Crooksbury Hill. Dwa tygodnie temu, przejeżdżając tędy, przypadkiem obejrzałam się i zobaczyłam mężczyznę, również jadącego na rowerze. Zdaje się, był w średnim wieku i miał krótką ciemną brodę. Obejrzałam się jeszcze raz,

nim dotarłam do Farnham, ale mężczyzny już nie było, więc nie myślałam o tym więcej. Może pan sobie jednak wyobrazić, jak się zdziwiłam, kiedy w poniedziałek, wracając od matki, zobaczyłam tego samego człowieka na tym samym odcinku drogi. Zdumiałam się jeszcze bardziej, kiedy incydent powtórzył się w kolejną sobotę i kolejny poniedziałek. Nieznajomy zawsze jechał w pewnej odległości ode mnie i w żaden sposób mi się nie narzucał, ale sytuacja niewątpliwie była bardzo dziwna. Wspomniałam o tym panu Carruthersowi; wydawało się, że zaciekawiły go moje spostrzeżenia. Powiedział mi po kilku dniach, że zamówił konia i dwukółkę, bym w przyszłości nie musiała jeździć tą odludną drogą sama. Koń i powóz miały dotrzeć w tym tygodniu, jednak z jakiegoś powodu ich nie dostarczono, i znów musiałam pojechać na dworzec rowerem. Miało to miejsce dziś rano. Jak się pan domyśla, dojeżdżając do Charlington Heath, obejrzałam się, i rzecz jasna, zobaczyłam tego samego mężczyznę, co wcześniej. Zawsze trzymał się tak daleko ode mnie, że nie mogłam dokładnie przyjrzeć się jego rysom, ale z pewnością nie był to nikt mi znany. Miał na sobie ciemny garnitur i płócienną czapkę. Twarzy nie widziałam wyraźnie, jedynie ciemną brodę. Dziś nie przestraszył mnie, ale zaciekawił, i postanowiłam dowiedzieć się, kim jest i czego chce. Zwolniłam, ale on także zaczął jechać wolniej. Zatrzymałam się, on również przystanął. Wreszcie zastawiłam na niego pułapkę. W pewnym miejscu droga ostro zakręca. Przejechałam tamtędy bardzo szybko, stanęłam i zaczęłam czekać. Spodziewałam się, że nieznajomy skręci i przejedzie obok mnie, gdyż nie zdąży się zatrzymać, ale on wcale się nie pojawił. Cofnęłam się i spojrzałam na drogę przed zakrętem. Miałam przed oczami długi na milę odcinek drogi, jednak mężczyzny nie było. Sprawa jest o tyle dziwna, że nie ma tam żadnej bocznej drogi, w którą mógłby zjechać.

Holmes zaśmiał się cicho i zatarł ręce:

– To niezwykle interesująca sprawa. Ile czasu upłynęło od chwili, kiedy pokonała pani zakręt i stwierdziła, że na drodze nie ma nikogo?

– Dwie lub trzy minuty.

– A zatem mężczyzna nie zdążyłby się oddalić, a pani zapewnia, że w okolicy nie ma bocznych dróg.

– Zgadza się.

– W takim razie poszedł jakąś ścieżką.

– Na pewno nie przez wrzosowisko, inaczej bym go zauważyła.

– No więc drogą eliminacji dochodzimy do stwierdzenia, że skierował się ku Charlington Hall, który, jak rozumiem, leży w głębi posiadłości po drugiej stronie drogi. Czy chce pani coś jeszcze dodać?

– Nie, panie Holmes, ale byłam tak oszołomiona, że w obawie o własny spokój postanowiłam zobaczyć się z panem i uzyskać pańską poradę.

Holmes przez chwilę siedział w milczeniu.

– Gdzie pracuje dżentelmen, z którym jest pani zaręczona? – spytał w końcu.

– W Midland Electrical Company w Coventry.

– Czy mógłby przyjechać z niezapowiedzianą wizytą?

– Panie Holmes! Poznałabym go przecież!

– Czy miała pani innych adoratorów?

– Kilku, nim przedstawiono mi Cyrila.

– A od tego czasu?

– Był ten okropny człowiek, Woodley, jeśli można go nazwać adoratorem.

– Nikogo poza tym?

Nasza urocza klientka nieco się zmieszała.

– Kto to był?

– Ach, być może tylko mi się wydawało, ale niekiedy odnosiłam wrażenie, że mój chlebodawca, pan Carruthers, jest mną bardzo zainteresowany. Spędzamy razem dużo czasu. Akompaniuję mu wieczorami. Nigdy nie powiedział niczego na ten temat, jest dżentelmenem w każdym calu, ale kobiety dostrzegają takie rzeczy.

– Ha! – Holmes przybrał poważną minę. – A z czego się utrzymuje?

– Jest bogaty.

– I nie ma koni ani powozów?

– Jest co najmniej zamożny. Jeździ jednak do miasta dwa lub trzy razy w tygodniu. Wiem, że inwestuje w kopalnie złota w Afryce Południowej.

– Panno Smith, proszę powiadamiać mnie o wszelkich nowych wydarzeniach. W tej chwili jestem bardzo zajęty, postaram się jednak znaleźć czas, by zbadać pani sprawę. Póki co proszę nie podejmować żadnych kroków, nie uprzedziwszy mnie o tym. Do widzenia. Mam nadzieję, że będziemy mieć dla pani wyłącznie pomyślne wieści.

– Jest to naturalny porządek świata, że taka panna ma adoratorów – stwierdził Holmes, dobywając fajkę, którą palił podczas rozmyślań – jednak zwykle nie poruszają się oni na rowerach po odludnych wiejskich drogach. Nie ma cienia wątpliwości, że to jakiś potajemny kochanek. Przyznaję jednak, Watsonie, że pewne aspekty tej sprawy są dziwne i znaczące.

– Na przykład to, że mężczyzna pojawia się jedynie w tym miejscu.

– Zgadza się. Najpierw musimy ustalić, kto mieszka w Charlington Hall, następnie – co łączy Carruthersa i Woodleya, którzy tak się od siebie różnią. Czemu obu tak bardzo zależało na odnalezieniu krewnych Ralpha Smitha? I jeszcze jedno. Co to za dom, w którym płaci się guwernantce podwójną pensję, ale nie utrzymuje się koni, choć do stacji jest sześć mil? To dziwne, Watsonie, bardzo dziwne!

– Pojedziesz tam?

– Nie, mój drogi, ty tam pojedziesz. Sprawa może okazać się błaha, i nie zamierzam przerywać innego istotnego dochodzenia. W poniedziałek udasz się do Farnham wcześnie rano, ukryjesz się w pobliżu Charlington Heath, zobaczysz na własne oczy, jak się sprawy mają, i zrobisz to, co wyda ci się najwłaściwsze. Później wypytasz jeszcze o mieszkańców Charlington Hall i po powrocie zdasz mi relację. A teraz, Watsonie, ani słowa więcej o tej sprawie, dopóki nie zdobędziemy jakichś punktów zaczepienia, na których podstawie będziemy mogli przejść do rozwiązania zagadki.

Wiedzieliśmy od naszej klientki, że w poniedziałki jeździ pociągiem odchodzącym z dworca Waterloo o 9.50; wyruszyłem wcześnie i zdążyłem na pociąg o 9.13. Na dworcu w Farnham bez trudu dowiedziałem się o drogę do Charlington Heath. Nie sposób było nie znaleźć miejsca, gdzie młodą damę spotkała przygoda; droga biegła tam pomiędzy wrzosowiskiem a starym, cisowym żywopłotem, otaczającym park, w którym rosły wspaniałe drzewa. Prowadziła do niego brama z omszałego kamienia, na której bocznych kolumnach widniały wyszczerbione symbole heraldyczne. Poza tym zauważyłem kilka luk w żywopłocie, przez które prowadziły ścieżki. Domu nie było widać z drogi, ale jego otoczenie tchnęło smutkiem i zwiastowało upadek.

Wrzosowisko było pokryte złotymi plamami kwitnącego janowca, pięknie lśniącym w ostrym, wiosennym słońcu. Ukryłem się za jedną z kęp, aby widzieć zarówno bramę do parku, jak i długi odcinek drogi po każdej jej stronie. Kiedy schodziłem z drogi, była ona pusta, ale po chwili ujrzałem

rowerzystę jadącego w kierunku, z którego przybyłem. Był ubrany w ciemny garnitur, miał czarną brodę. Kiedy dotarł do krańca posiadłości, zeskoczył z pojazdu i przeprowadził go przez lukę w żywopłocie, znikając mi z oczu.

Po upływie kwadransa pojawiła się druga osoba na rowerze: była to nasza młoda dama, która jechała od strony dworca. Zauważyłem, że gdy dotarła do żywopłotu przed Charlington Hall, zaczęła się rozglądać. Chwilę później mężczyzna wychynął z kryjówki, wskoczył na rower i pojechał za nią. W całym tym rozległym krajobrazie poruszały się tylko dwie sylwetki – pełna wdzięku dziewczyna, która siedziała, wyprostowana na rowerze i mężczyzna jadący za nią, pochylony nad kierownicą tak, jakby się skradał na tym rowerze. Panna Smith obejrzała się i zwolniła. Mężczyzna również zmniejszył tempo. Dziewczyna zatrzymała się, i on natychmiast zrobił to samo. Dzieliła ich odległość dwustu jardów. Kolejny ruch kobiety był gwałtowny i nieoczekiwany. Nagle odwróciła rower i pojechała prosto w kierunku nieznajomego. On jednak równie szybko ruszył do desperackiej ucieczki. Po chwili młoda dama zawróciła, z dumnie uniesioną głową kontynuując jazdę w poprzednim kierunku: najwyraźniej postanowiła nie zwracać więcej uwagi na swego milczącego towarzysza. Mężczyzna ponownie ruszył za nią, wciąż trzymając się w pewnej odległości za panną, i jechał tak aż do chwili, gdy za zakrętem zniknął mi z oczu.

Pozostałem w swej kryjówce, jak się okazało, słusznie, gdyż po chwili znów pojawił się nieznajomy, który powoli pedałował z powrotem. Zatrzymał się przy bramie i zsiadł z roweru. Przez kilka minut stał między drzewami. Podniósł ręce do góry, i wydawało mi się, że poprawia muszkę. Później znów wsiadł na rower i odjechał, oddalając się ode mnie, podjazdem prowadzącym do budynku. Pobiegłem przez wrzosowiska i pomiędzy drzewami zajrzałem w głąb posiadłości. W oddali dostrzegłem stary budynek w stylu Tudorów, szary, ze sterczącymi kominami. Ścieżka prowadziła jednak przez gęste zarośla, więc mężczyzna zniknął mi z oczu.

Mimo to miałem poczucie, że dobrze poradziłem sobie ze swym porannym zadaniem i w świetnym nastroju wróciłem piechotą do Farnham. Pośrednik z miejscowego biura obrotu nieruchomościami nie potrafił mi nic powiedzieć na temat Charlington Hall i skierował mnie do znanej firmy mającej siedzibę przy ulicy Pall Mall w Londynie. Wstąpiłem tam po drodze do domu i zostałem bardzo grzecznie przyjęty. Dowiedziałem się, że

się spóźniłem, bo Charlington Hall wynajęto już mniej więcej miesiąc wcześniej niejakiemu panu Williamsonowi, szacownemu starszemu dżentelmenowi. Uprzejmy pośrednik stwierdził, że niestety, nie może powiedzieć mi nic więcej, gdyż nie zwykł rozmawiać o sprawach swych klientów.

Holmes z uwagą wysłuchał długiego sprawozdania, jakie złożyłem mu tego wieczora, nie skwitował go jednak lakoniczną pochwałą, której oczekiwałem i z której bym się ucieszył. Wręcz przeciwnie, jego surowa twarz przybrała wyraz jeszcze bardziej srogi niż zwykle, kiedy roztrząsał, co zrobiłem, a co zaniedbałem.

– Drogi Watsonie, wybrałeś zupełnie niewłaściwe miejsce na kryjówkę. Powinieneś był stanąć za żywopłotem, skąd mógłbyś z bliska przyjrzeć się temu interesującemu człowiekowi. Tymczasem zaczaiłeś się o setki jardów od niego i w efekcie wiesz o nim jeszcze mniej niż panna Smith. Młoda dama twierdzi, że nie zna tego mężczyzny, a ja jestem przekonany, że to nieprawda. Gdyby tak było istotnie, dlaczego tak bardzo utrudniał jej możliwość przyjrzenia mu się z bliska? Mówisz, że pochylał się nad kierownicą. To również świadczy o tym, że starał się ukryć swą tożsamość. Doprawdy, spisałeś się po prostu fatalnie. Mężczyzna wraca do domu, a ty, chcąc się dowiedzieć, kim on jest, jedziesz do agenta nieruchomości w Londynie!

– Co miałem wobec tego zrobić!? – krzyknąłem nie bez irytacji.

– Pójść do najbliższej gospody. Tam można usłyszeć wiejskie plotki. Poznałbyś personalia wszystkich mieszkańców, od pana domu do pomywaczki. Nazwisko Williamson nic mi nie mówi. Jeśli to starszy człowiek, nie może być tym sprawnym rowerzystą, który zdołał wymknąć się energicznej pogoni młodej damy. Co dała nam twoja wyprawa? Przekonanie, że opowieść dziewczyny jest prawdziwa, w co nigdy nie wątpiłem, oraz że istnieje związek pomiędzy tajemniczym rowerzystą a posiadłością, o czym również byłem przekonany. Wiemy, że dom wynajął człowiek nazwiskiem Williamson, ale co komu z tego? No, mój drogi, nie bądź taki przybity. Do następnej soboty niewiele możemy zrobić, a ja sam postaram się sprawdzić kilka faktów.

Następnego ranka otrzymaliśmy liścik od panny Smith, opisujący zwięźle i dokładnie wydarzenia, których byłem świadkiem. Jego najważniejszą częścią okazało się jednak post scriptum:

> Panie Holmes, jestem pewna, że dochowa pan tajemnicy, jeśli mu zdradzę, że moja praca tutaj stała się trudna, gdyż mój chlebodawca mi się oświadczył. Nie mam wątpliwości, że jego uczucia są głębokie i godne szacunku, jednak jestem już po słowie z innym. Pan Carruthers przyjął mą odmowę z wielką powagą, bardzo grzecznie, jednak, jak zapewne się pan domyśla, sytuacja jest obecnie nieco napięta.

– Zdaje się, że nasza młoda przyjaciółka brnie coraz bardziej w kłopoty – stwierdził Holmes w zamyśleniu, kiedy skończył czytać list. – Sprawa staje się ciekawsza i bardziej obiecująca, niż sądziłem. Przydałby mi się cichy i spokojny dzień spędzony na wsi. Pojadę tam chyba dziś po południu i sprawdzę jedną lub dwie teorie, które wysnułem.

Spokojny dzień, który Holmes spędził na wsi, zakończył się nader osobliwie – mój przyjaciel powrócił na Baker Street późnym wieczorem z podbitym okiem i sinym guzem na czole; wyglądał tak podejrzanie, że Scotland Yard z pewnością mógłby się nim zainteresować. Był bardzo podekscytowany swoimi przygodami, a opowiadając o nich, śmiał się serdecznie.

– Zażywam ruchu tak rzadko, że takie okazje to dla mnie gratka – stwierdził. – Jak wiesz, posiadłem pewną biegłość w boksie, starym, dobrym brytyjskim sporcie. Niekiedy mi się to przydaje. Dzisiaj na przykład popadłbym w wielką biedę.

Błagałem go, by opowiedział, co zaszło.

– Znalazłem wiejską gospodę, którą już przedtem poleciłem twej uwadze. Usiadłem przy barze i od gadatliwego gospodarza uzyskałem wszystkie informacje, których potrzebowałem. Williamson to siwobrody staruszek, który mieszka w domu sam z nielicznymi służącymi. Chodzą plotki, że jest lub był duchownym, ale kilka wydarzeń, jakie miały miejsce, odkąd zamieszkał w Hall, pozostaje w sprzeczności z naukami kościoła. Zasięgnąłem już języka w kurii i dowiedziałem się, że człowiek o tym nazwisku istotnie został wyświęcony, jednak jego kariera przebiegała wyjątkowo niepomyślnie. Dowiedziałem się też, że w weekendy w posiadłości nocują goście („Zgraja hulaków, proszę pana”). Spośród nich wyróżnia się jeden rudowąsy dżentelmen nazwiskiem Woodley, który przyjeżdża tu co tydzień. Kiedy doszliśmy do tego momentu, podszedł do nas dżentelmen, o którym była mowa. Raczył się on piwem w sali obok i usłyszał naszą rozmowę. Zaczął wypytywać, kim jestem, czego chcę i po co zadaję takie pytania. Mówił potoczyście, używając niezwykle soczystych

przymiotników. Strumień przekleństw zakończył podstępnym ciosem na odlew, przed którym nie do końca udało mi się obronić. Następnych kilka minut upłynęło bardzo miło na pojedynku mego lewego prostego z sierpowym tego zbira. Wyszedłem z tego w takim stanie, jak widzisz, pana Woodleya natomiast odwieziono do domu dwukółką. Tak zakończyła się moja wycieczka na wieś, i muszę przyznać, że choć setnie się ubawiłem, spędzając dzień na obrzeżach hrabstwa Surrey, nie dowiedziałem się wiele więcej niż ty.

W czwartek otrzymaliśmy kolejny list od naszej klientki. Oto jego treść:

> Panie Holmes, zapewne nie zdziwi pana wiadomość, że zrezygnowałam z pracy u pana Carruthers. Nawet wysoka pensja nie może wynagrodzić mi niedogodności związanych z zaistniałą sytuacją. W sobotę jadę do Londynu i nie zamierzam wrócić. Panu Carruthersowi dostarczono w końcu dwukółkę, więc niebezpieczeństwa czyhające na odludnej drodze, jeśli takowe w ogóle istniały, odchodzą w niepamięć.
>
> Przyczyną mego odejścia jest nie tylko napięta sytuacja pomiędzy mną a panem Carruthers, lecz także ponowne pojawienie się tego odpychającego typa Woodleya. Zawsze był on ohydny, teraz jednak wygląda jeszcze gorzej niż przedtem, zdaje się bowiem, że uległ jakiemuś wypadkowi, w wyniku którego został okaleczony. Widziałam go przez okno, ale z radością donoszę, że się nie spotkaliśmy. Gość odbył długą rozmowę z panem Carruthersem, który po jej zakończeniu był bardzo poruszony. Woodley musiał zatrzymać się gdzieś w sąsiedztwie, nie spał tutaj, ale rano widziałam, jak skrada się przez zarośla. Wolałabym, żeby puszczono tu swobodnie dzikie zwierzę. Nie potrafię nawet opisać, jaki strach i wstręt odczuwam do niego. Jak to możliwe, że pan Carruthers choć przez chwilę znosi obecność takiej kreatury?
>
> Na szczęście, wszystkie moje problemy skończą się w sobotę.

– Mam taką nadzieję, Watsonie – stwierdził Holmes z powagą. – Ta młoda kobieta wpadła w sieć szeroko zakrojonej intrygi, i naszym obowiązkiem jest dopilnować, by nikt nie przeszkodził jej podczas ostatniego przejazdu. Sądzę, że powinniśmy, poświęcając swój czas, pojechać tam razem w sobotni poranek i upewnić się, że to niecodzienne i skomplikowane śledztwo zakończy się pomyślnie.

Przyznaję, że aż do tej chwili nie zapatrywałem się zbyt poważnie na sprawę, która wydawała mi się raczej dziwna i groteskowa niż niebezpieczna. Fakt, że mężczyzna czeka w ukryciu, a później śledzi niezwykle urodziwą kobietę, nie jest sam w sobie niczym niezwykłym, a skoro nieznajomy był tak nieśmiały, że nie tylko się do niej nie odzywał,

ale uciekał, gdy się zbliżała, trudno było uznać go za straszliwego napastnika. Ten łajdak Woodley to co innego, ale naprzykrzał się naszej klientce tylko raz, a później odwiedził dom pana Carruthersa, w ogóle się z nią nie spotykając. Cyklista niewątpliwie był jednym z weekendowych gości Charlington Hall, o których wspomniał właściciel gospody, ale nie miałem pojęcia, kim jest i czego chce. Dopiero poważne podejście Holmesa do tego zdarzenia i fakt, że przed wyjściem z domu wsunął do kieszeni rewolwer, przekonały mnie, że ten szczególny ciąg zdarzeń może doprowadzić do tragedii.

Po deszczowej nocy nastał przepiękny poranek, a wrzosowisko usiane kępkami kwitnącego janowca wydawało się jeszcze piękniejsze naszym oczom, znużonym szaroburym Londynem. Szliśmy z Holmesem szeroką, piaszczystą drogą, wdychając czyste, poranne powietrze i ciesząc się śpiewem ptaków i świeżością wiosny. W miejscu, gdzie droga biegła wysoko po zboczu Crooksbury Hill, dojrzeliśmy ponury budynek Charlington Hall, wznoszący się ponad prastare, lecz i tak młodsze od niego dęby. Holmes wskazał na długą drogę, która wiła się czerwono-żółtą wstęgą pomiędzy brązową połacią wrzosowiska a świeżą zielenią lasu. W oddali ujrzeliśmy czarną kropkę – pojazd zmierzający w naszym kierunku. Holmes wydał okrzyk zniecierpliwienia.

– Dałem nam pół godziny zapasu – stwierdził. – Jeśli to jej dwukółka, widocznie wybrała się na wcześniejszy pociąg, i obawiam się, Watsonie, że minie Charlington, nim uda nam się do niej dotrzeć.

Kiedy zeszliśmy ze wzniesienia, pojazd zniknął nam z oczu, ale ruszyliśmy naprzód z taką szybkością, że zacząłem boleśnie odczuwać skutki siedzącego trybu życia i zostałem z tyłu. Holmes był jak zawsze w dobrej formie, gdyż korzystał z niewyczerpanych zasobów energii. Ani na chwilę nie zwolnił sprężystego kroku aż do momentu, kiedy, wyprzedzając mnie o sto jardów, stanął i podniósł ręce do góry w geście smutku i rozpaczy. W tej samej chwili pusta dwukółka ciągnięta przez galopującego konia, z lejcami wlokącymi się po ziemi, wyjechała zza zakrętu drogi i zaczęła szybko zbliżać się do nas.

– Za późno, Watsonie, za późno! – wykrzyknął Holmes, kiedy, zdyszany, stanąłem u jego boku. – Jakim głupcem byłem, że nie pomyślałem o wcześniejszym pociągu! Doszło do porwania, morderstwa albo Bóg raczy wiedzieć, czego jeszcze! Zatarasuj drogę! Zatrzymaj konia! Właśnie tak.

A teraz do środka! Zobaczymy, czy uda mi się naprawić skutki własnego błędu.

Wskoczyliśmy do dwukółki. Holmes, zawróciwszy konia, ostro strzelił z bicza, i pomknęliśmy z powrotem tą samą drogą. Kiedy wyłoniliśmy się zza zakrętu, otworzył się przed nami widok na cały odcinek drogi pomiędzy Charlington Hall a wrzosowiskiem. Chwyciłem Holmesa za ramię.

– To on! – wykrztusiłem. W naszą stronę jechał samotny cyklista. Miał pochyloną głowę i sztywne ramiona. Wydawało się, że wkłada w pedałowanie resztki swej energii. Pędził, jakby brał udział w wyścigu. Nagle uniósł brodatą twarz, zobaczył nas w pobliżu, zatrzymał się i zeskoczył z roweru. Jego kruczoczarna broda dziwnie kontrastowała z oczami, które błyszczały, jakby miał gorączkę. Przez chwilę wpatrywał się to w nas, to w dwukółkę, a potem na jego twarzy pojawił się wyraz oszołomienia.

– Hola! Stać! – krzyknął, ustawiając rower tak, by zablokować drogę. – Skąd macie ten powóz? Stój, człowieku! – ryknął, dobywając pistolet. – Stój, mówię, albo, do diaska, wpakuję kulę w konia.

Holmes rzucił mi lejce i zeskoczył z pojazdu.

– To pana szukamy. Gdzie jest panna Violet Smith? – spytał w typowy dla siebie bezpośredni i rzeczowy sposób.

– To ja was o to pytam. Siedzicie w jej dwukółce. Powinniście wiedzieć, gdzie jest.

– Znaleźliśmy pojazd przy drodze. Nikogo w nim nie było. Zawróciliśmy, by pomóc młodej damie.

– Boże drogi! Boże drogi! Co ja pocznę? – wykrzyknął nieznajomy, ogarnięty rozpaczą. – Dopadli ją, ten łajdak Woodley i niegodziwy duchowny. Człowieku, jeśli naprawdę jesteś jej przyjacielem, chodź ze mną. Stań u mego boku, a ocalimy ją, choćbym miał paść trupem w lesie Charlington.

Jak szalony pobiegł z pistoletem w dłoni w kierunku luki w żywopłocie. Holmes ruszył za nim, a ja podążyłem za nimi, zostawiwszy konia skubiącego trawę na poboczu drogi.

– To tędy przeszli – wyjaśnił, wskazując ślady kilku osób na błotnistej ścieżce. – Hola! Stać! Ktoś jest w zaroślach!

Zobaczyliśmy młodego, może siedemnastoletniego chłopaka w stroju stajennego – na nogach miał kamasze, a w ręku trzymał bat. Leżał na

plecach z podkurczonymi kolanami, miał rozciętą głowę. Był nieprzytomny, ale żył. Rzut oka na ranę pozwolił mi stwierdzić, że kości czaszki nie zostały naruszone.

– To Peter, koniuszy – wykrzyknął nieznajomy. – To on ją wiózł. Te bydlaki wyciągnęły go i pobiły. Zostawmy go tu, jemu nie pomożemy, a ją możemy uratować od najgorszego, co może spotkać kobietę.

Pomknęliśmy ścieżką wijącą się między drzewami. Kiedy dotarliśmy do otaczającego dom żywopłotu, Holmes się zatrzymał.

– Nie poszli do domu. Ich ślady widać po lewej, tam, obok wawrzynów. Ach! Tak właśnie myślałem.

Nim skończył mówić, przenikliwy kobiecy krzyk, w którym słychać było śmiertelne przerażenie, dobiegł z dużej kępy krzaków znajdującej się przed nami. Skończył się nagle zduszonym piskiem.

– Tędy! Tędy! Są na torze do kręgli! – wykrzyknął mężczyzna, przedzierając się przez zarośla. – Co za tchórzliwe psy! Za mną, panowie! Już za późno, do diaska, za późno!

Znaleźliśmy się nagle na uroczej polanie, otoczonej prastarymi drzewami. Na jej krańcu, w cieniu wielkiego dębu, ujrzeliśmy niezwykłą grupę z trzech osób. Była tam kobieta, nasza klientka, omdlewająca, z chusteczką przyciśniętą do ust. Brutalny, rudowąsy młodzieniec o nalanej twarzy stał na szeroko rozstawionych, obutych w kamasze nogach; jedną ręką podpierał się pod bok, a w drugiej trzymał palcat i wyglądał jak ucieleśnienie triumfu. Pomiędzy nimi znajdował się starszy siwobrody mężczyzna w krótkiej komży narzuconej na lekki tweedowy garnitur. Najwyraźniej przed chwilą skończył udzielać im ślubu. Kiedy się pojawiliśmy, właśnie chował do kieszeni książeczkę do nabożeństwa i poklepywał złowrogiego pana młodego po plecach, jowialnie mu gratulując.

– Pobrali się! – wykrztusiłem.

– Chodźcie! – wykrzyknął nasz przewodnik. – Chodźcie! – Pobiegł przez polanę, a Holmes i ja ruszyliśmy za nim. Kiedy się zbliżyliśmy, kobieta wsparła się o pień drzewa, Williamson, były duchowny, ukłonił się nam z udawaną grzecznością, a brutal Woodley wystąpił naprzód, wybuchając radosnym grubiańskim śmiechem.

– Możesz już zdjąć tę brodę, Bob – powiedział. – Od razu cię poznałem. Ty i twoi kolesie przybyliście w samą porę, bym mógł przedstawić was pani

Woodley.

Nieznajomy zareagował w gwałtowny sposób – zerwał z twarzy czarną brodę i rzucił ją na ziemię, ukazując ziemistą, gładko wygoloną twarz, po czym uniósł pistolet i wymierzył go w młodego łotra, który zbliżał się do niego, wymachując groźnie palcatem.

– Tak – stwierdził nasz sprzymierzeniec. – To ja, Bob Carruthers, i pomszczę krzywdę tej kobiety, choćbym miał za to zawisnąć na szubienicy. Uprzedzałem cię, co uczynię, jeśli będziesz się jej naprzykrzał, i Bóg mi świadkiem, że dotrzymam słowa.

– Spóźniłeś się. Jest moją żoną.

– Nie. Wdową po tobie.

Rozległ się strzał. Zobaczyłem, jak przód kamizelki Woodleya zalewa krew. Mężczyzna obrócił się z krzykiem i padł na plecy, a jego ohydna czerwona twarz pokryła się nagle okropnymi bladymi plamami. Starzec w komży wybuchnął gradem przekleństw, jakich jeszcze nigdy w życiu nie słyszałem, i również wyciągnął rewolwer, jednak nim zdążył go unieść, zobaczył wymierzoną w siebie lufę pistoletu Holmesa.

– Dość tego! – rozkazał mój przyjaciel. – Rzuć broń! Watsonie, podnieś ją i przystaw mu do głowy. Dziękuję. Panie Carruthers, proszę o pańską broń. Nie dopuszczę do dalszego rozlewu krwi. Proszę mi ją oddać.

– Kim pan jest?

– Nazywam się Sherlock Holmes.

– Dobry Boże!

– Widzę, że pan o mnie słyszał. Będę reprezentował policję aż do jej przybycia. – Ej, ty! – krzyknął do przerażonego stajennego, który pojawił się na skraju polany. – Chodź tu. Weź ten list i pędź z nim co koń wyskoczy do Farnham. – Napisał kilka słów na kartce z notatnika. – Daj go naczelnikowi posterunku policji. Do jego przybycia pozostaniecie, panowie, pod moim nadzorem.

Silna osobowość Holmesa zdominowała tę tragiczną scenę, a my wszyscy poczuliśmy się marionetkami w jego rękach. Williamson i Carruthers zanieśli nieprzytomnego Woodleya do domu, a ja podałem rękę wystraszonej dziewczynie. Woodleya ułożono na jego łóżku. Na prośbę Holmesa zbadałem rannego, po czym poszedłem do starej jadalni obwieszonej gobelinami, gdzie siedzieli mój przyjaciel i jego dwaj więźniowie, i zdałem sprawę ze stanu zdrowia Woodleya.

– Przeżyje – stwierdziłem.

– Co takiego? – wykrzyknął Carruthers, zrywając się z krzesła. – Pójdę w takim razie na górę i skończę z nim. Czy mój anioł pozostanie już przez całe życie z tym okrutnym Ryczącym Jackiem Woodleyem?

– Proszę się o to nie martwić – odparł Holmes. – Istnieją dwa bardzo istotne powody, by nie uznać jej za żonę tego łajdaka. Po pierwsze, bez trudu możemy zakwestionować prawo pana Williamsona do udzielenia ślubu.

– Zostałem wyświęcony! – krzyknął stary łotr.

– A później usunięty z zakonu.

– Duchowny pozostaje duchownym.

– Śmiem wątpić. A co z pozwoleniem na ślub?

– Wystaraliśmy się o nie. Mam je w kieszeni.

– Zdobyliście je podstępem. Poza tym małżeństwo zawarte pod przymusem nie jest sakramentem, lecz bardzo poważnym przestępstwem, o czym będzie się pan miał okazję przekonać. Jeśli się nie mylę, dostanie pan mniej więcej dziesięć lat na przemyślenie tej sprawy. Co do pana, Carruthers, nie trzeba było wyciągać broni.

– Sam do tego doszedłem, panie Holmes, ale nie wytrzymałem, kiedy pomyślałem o wszystkim, co zrobiłem, by chronić tę dziewczynę. Kochałem ją, panie Holmes, i dzięki niej poznałem, co to miłość. Do szaleństwa doprowadził mnie fakt, że wpadła w łapy najgroźniejszego opryszka w Afryce Południowej, mężczyzny, który sieje postrach od Kimberley po Johannesburg. Panie Holmes, być może pan mi nie uwierzy, ale odkąd przyjąłem tę dziewczynę do pracy, za każdym razem, kiedy przejeżdżała koło tego domu, w którym, jak wiedziałem, ukrywali się łajdacy, jechałem za nią na swoim rowerze, by upewnić się, że nic jej nie zrobią. Trzymałem się w pewnej odległości od niej i przyklejałem sobie brodę, by mnie nie rozpoznała. Ta dobra i pełna życia dziewczyna rychło zrezygnowałaby z pracy, gdyby się dowiedziała, że uganiam się za nią po wiejskich drogach.

– Dlaczego nie powiedział jej pan o niebezpieczeństwie?

– Odeszłaby, a ja bym tego nie zniósł. Choć mnie nie kochała, wiele znaczyło dla mnie już to, że mogłem podziwiać tę uroczą kobietę w swoim domu i słuchać jej głosu.

– Cóż – stwierdziłem – pan nazywa to miłością, panie Carruthers, dla mnie jest to jednak egoizm.

– Być może jedno łączy się z drugim. Tak czy inaczej nie mogłem pozwolić jej odejść. Poza tym, skoro interesowała się nią ta szajka, ktoś musiał jej bronić. Kiedy nadszedł telegram, wiedziałem, że będą musieli wykonać jakiś ruch.

– Jaki telegram?

Carruthers wyjął z kieszeni arkusz papieru.

– Oto on.

Był krótki i zwięzły: „Stary nie żyje”.

– Hmm. Wiem, co zaszło – stwierdził Holmes – i rozumiem, że taka wiadomość mogła, tak jak pan twierdzi, skłonić ich do działania. Jednak może mi pan teraz o wszystkim opowiedzieć.

Stary nikczemnik w komży znów zaczął przeklinać na czym świat stoi.

– Niech cię ręka boska broni! – wykrzyknął. – Bobie Carruthers, jeśli nas wsypiesz, zrobię ci to samo, co ty zrobiłeś Jackowi Woodleyowi. Możesz bajdurzyć o dziewczynie, ile dusza zapragnie, to twoja sprawa, ale jeśli wydasz kumpli temu glinie w cywilu, zrobisz najpodlejsze świństwo w życiu.

– Wielebny, to wzburzenie jest doprawdy zbędne – stwierdził Holmes, zapalając papierosa. – Dowody wyraźnie świadczą przeciw panom, a fakt, że chciałbym poznać kilka szczegółów, wynika z mej własnej ciekawości. Jeśli jednak nie zechcą panowie ze mną rozmawiać, ja zacznę mówić, i zobaczymy, jak szybko uda mi się odkryć panów sekrety. Po pierwsze, wszyscy trzej przybyliście do Anglii z Afryki Południowej – ty, Williamson, ty, Carruthers, i Woodley.

Starzec pokręcił głową.

– To pierwsze kłamstwo – rzekł. – Obu poznałem nie dalej jak dwa miesiące temu. Nigdy w życiu nie byłem w Afryce, więc tą bzdurą może pan sobie nabić fajkę, panie Wścibski Holmesie.

– Mówi prawdę – potwierdził Carruthers.

– W takim razie przyjechaliście wy dwaj. Wielebny jest wytworem naszego pięknego kraju. W Afryce poznaliście Ralpha Smitha, mieliście podstawy przypuszczać, że długo nie pożyje, i odkryliście, iż jego majątek odziedziczy bratanica. Zgadza się?

Carruthers przytaknął, Williamson zaklął.

– Bez wątpienia była jego najbliższą krewną, a wiedzieliście, że staruszek nie sporządzi testamentu.

– Nie umiał czytać ani pisać – wtrącił Carruthers.

– Przyjechaliście więc razem do kraju i odnaleźliście dziewczynę. Jeden z was miał się z nią ożenić, a drugi dostałby swoją część łupu. Z jakiegoś powodu mężem miał zostać Woodley. Dlaczego?

– Podczas podróży graliśmy o nią w karty. On wygrał.

– Rozumiem. Pan przyjął młodą damę do pracy, a Woodley miał się do niej zalecać. Spostrzegła jednak, że to pijak i brutal, i nie chciała mieć z nim nic wspólnego. Tymczasem wasze plany nieco skomplikował fakt, że pan sam zakochał się w dziewczynie i nie mógł ścierpieć myśli, że mogłaby wpaść w ręce tego łotra.

– Bóg mi świadkiem, nie mogłem!

– Doszło między wami do kłótni, pański wspólnik wpadł we wściekłość, porzucił pana i zaczął realizować własne plany.

– Williamson, zadziwia mnie, jak niewiele nowego możemy powiedzieć temu dżentelmenowi – stwierdził Carruthers, śmiejąc się gorzko. – Owszem, doszło do kłótni, i Woodley powalił mnie na ziemię. Teraz mu za to odpłaciłem. Potem zniknął mi z oczu i skumał się z obecnym tu wyklętym klechą. Dowiedziałem się, że wynajęli dom przy drodze, którą młoda dama jeździła na dworzec. Od tego czasu miałem pannę Smith na oku, gdyż wiedziałem, że kroi się jakieś łajdactwo. Od czasu do czasu spotykałem się z nimi, gdyż chciałem wiedzieć, co zamierzają. Dwa dni temu Woodley przybył do mego domu z telegramem o śmierci Ralpha Smitha; chciał wiedzieć, czy zamierzam dotrzymać warunków naszej umowy. Zaprzeczyłem. Wtedy spytał, czy zgodzę się sam ożenić z dziewczyną i podzielić się z nim pieniędzmi. Odparłem, że chętnie bym to zrobił, ale ona mnie nie przyjmie, no to on zaproponował: „Najpierw doprowadźmy do ślubu, a za tydzień lub dwa panna może inaczej spojrzeć na sprawę”. Powiedziałem, że nie życzę sobie żadnej przemocy, więc ten wulgarny łajdak wyniósł się, klnąc na czym świat stoi i przysięgając, że i tak ją dopadnie. Dziewczyna postanowiła wyjechać w ten weekend. Nająłem dwukółkę, by zawiozła ją na dworzec, ale tak się o nią niepokoiłem, że pojechałem za nią na rowerze. Wyruszyła jednak wcześniej, i nim zdążyłem ją dogonić, doszło do nieszczęścia. Zrozumiałem to, kiedy zobaczyłem panów jadących jej dwukółką.

Holmes wstał i wrzucił niedopałek papierosa do kominka.

– Watsonie, zachowałem się jak tępak – rzekł. – Kiedy opowiedziałeś mi, że widziałeś, jak rowerzysta poprawia muszkę, stojąc wśród zarośli, powinienem był od razu się wszystkiego domyślić. Możemy jednak pogratulować sobie ciekawej i pod pewnymi względami wyjątkowej sprawy. Widzę trzech panów z policji okręgowej i cieszę się, że młody stajenny dotrzymuje im kroku, zdaje się, że ani on, ani osobliwy pan młody nie doznali trwałego uszczerbku podczas dzisiejszych porannych przygód. Sądzę, przyjacielu, że jako lekarz możesz sprawdzić stan panny Smith i powiedzieć jej, że jeśli czuje się na siłach, z przyjemnością odwieziemy ją do matki. Jeżeli wciąż będzie osłabiona, myślę, że postawi ją na nogi wzmianka o telegramie do pewnego młodego elektryka. Co do pana, panie Carruthers, zrobił pan wszystko, co w pańskiej mocy, by odkupić swój udział w tym ohydnym spisku. Oto moja wizytówka. Jeśli potrzebne będą moje zeznania podczas pańskiego procesu, jestem do dyspozycji.

Jak czytelnicy zapewne zauważyli, w wirze naszej nieprzerwanej działalności często miewam trudności z podsumowaniem mych opowieści i poinformowaniem zainteresowanych o zakończeniu sprawy. Niemal natychmiast pojawia się nowa zagadka, po której rozwikłaniu zamieszane w nią osoby na zawsze znikają z naszego pracowitego życia. Na końcu notatek dotyczących tego śledztwa znalazłem jednak dopisek, że panna Violet Smith istotnie odziedziczyła spory majątek i obecnie jest żoną Cyrila Mortona, starszego wspólnika Morton & Kennedy, słynnej firmy elektrycznej z Westminsteru. Williamson i Woodley stanęli przed sądem za napaść i porwanie. Pierwszego z nich skazano na siedem, drugiego na dziesięć lat więzienia. O losie pana Carruthersa nic mi nie wiadomo, jestem jednak pewien, że sąd nie był dla niego zbyt surowy, już po kilku miesiącach spłacił on swój dług wobec prawa, gdyż to Woodley uchodził za niebezpiecznego łotra.

Opowieść piąta

SZKOŁA KLASZTORNA

Wiele osób wkraczało do naszego mieszkania przy Baker Street lub opuszczało je w dramatyczny sposób, nie przypominam sobie jednak żadnego przypadku równie nagłego i zdumiewającego jak pierwsza wizyta, którą złożył nam mgr dr itp. Thorneycroft Huxtable. Najpierw wniesiono jego wizytówkę, zbyt małą, by pomieścić wszystkie tytuły naukowe właściciela, następnie do pokoju wkroczył pan Huxtable we własnej osobie, potężny, pompatyczny i pełen godności, uosobienie solidności i opanowania. Ale kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, zachwiał się na nogach, chwycił się stolika i, nieprzytomny i bezradny, osunął się na podłogę. Jego majestatyczna sylwetka spoczęła na skórze niedźwiedzia leżącej przed kominkiem.

Zerwaliśmy się na równe nogi i przez kilka chwil w ciszy i zdumieniu przypatrywaliśmy się temu olbrzymiemu wrakowi człowieka, który niechybnie przebył jakąś nagłą i śmiertelnie niebezpieczną burzę w odmętach oceanu życia. Holmes szybko podłożył mu pod głowę poduszkę, a ja podałem mu brandy. Nalana, blada twarz mężczyzny była poorana zmarszczkami świadczącymi o licznych troskach, zwisające worki pod oczami miały kolor ołowiu, kąciki rozchylonych ust opadły w grymasie bólu, a fałdy policzków pokrywał zarost. Kołnierzyk i koszula przybysza były przybrudzone po długiej podróży, a rozczochrane włosy jeżyły się na kształtnej głowie. Leżał przed nami człowiek dotknięty wielkim cierpieniem.

– Co mu jest, Watsonie? – spytał Holmes.

– Całkowicie wyczerpany. Może osłabł z głodu i zmęczenia – powiedziałem, badając nitkowate tętno nieprzytomnego, które świadczyło

o tym, że życie ledwie się w nim tli.

– Bilet w obie strony, z Mackleton, na północy Anglii – stwierdził Holmes, wyciągając dokument z kieszonki od zegarka. – Nie ma jeszcze dwunastej. Musiał wyjechać bardzo wcześnie.

Zmarszczone powieki naszego gościa zaczęły drgać, i po chwili spojrzały na nas nieprzytomne szare oczy. Mężczyzna stanął chwiejnie na nogi z twarzą purpurową ze wstydu.

– Proszę wybaczyć mi tę słabość, panie Holmes, jestem nieco wyczerpany nerwowo. Jeśli poczęstują mnie panowie ciastkiem i szklanką mleka, poczuję się lepiej. Panie Holmes, przyjechałem osobiście, by się upewnić, iż pojedzie pan ze mną. Obawiałem się, że żaden telegram nie przekona pana, jak pilna jest sprawa.

– Kiedy dojdzie pan do siebie…

– Czuję się już dobrze. Nie wiem, co mi się stało. Panie Holmes, chciałbym, żeby pojechał pan ze mną do Mackleton najbliższym pociągiem.

Mój przyjaciel potrząsnął głową.

– Mój współpracownik doktor Watson może zaświadczyć, że jesteśmy w tej chwili bardzo zajęci. Pracuję nad sprawą dokumentów Ferrersa, rozpoczyna się też proces o morderstwo Abergavenny. Jedynie bardzo istotna sprawa mogłaby skłonić mnie w tej chwili do wyjazdu z Londynu.

– Istotna! – nasz gość podniósł do góry ręce. – Czy nie słyszał pan o porwaniu jedynego syna księcia Holdernesse?

– Byłego ministra?

– Zgadza się. Staraliśmy się, by sprawa nie trafiła do gazet, ale wzmianka ukazała się w „Globe” wczoraj wieczorem. Myślałem, że może pan o tym słyszał.

Holmes wyciągnął swą długą, szczupłą rękę i chwycił tom encyklopedii zawierający hasła na literę H: „Holdernesse, szósty książę, kawaler Orderu Podwiązki, tajny radca – cóż za persona! – Baron Beverley, hrabia Carston – a niech mnie, jaka długa lista! – Od 1900 pan na Hallamshire. W 1888 poślubił Edith, córkę sir Charlesa Appledore. Dziedzic i jedyny potomek lord Saltire. Posiadacz ok. 250 akrów ziemi oraz kopalni minerałów w hrabstwie Lancashire i w Walii. Adres: Carlton House Terrace; Holdernesse Hall, Hallamshire; zamek Carston, Bangor, Walia. Lord Admiralicji, 1872. Sekretarz stanu ds.” – no, no, ten człowiek z pewnością należy do najznamienitszych poddanych królowej.

– Najznamienitszych i zapewne najzamożniejszych. Panie Holmes, wiem, że w pracy zawodowej postępuje pan według niezwykle szlachetnych zasad i jest pan gotów pracować dla samej pracy. Mogę jednak zdradzić, iż jego książęca mość obiecał czek na pięć tysięcy funtów osobie, która wykryje miejsce pobytu jego syna, i kolejny, na tysiąc, temu, kto ujawni tożsamość porywaczy.

– To hojna oferta – stwierdził Holmes. – Watsonie, sądzę, że pojedziemy z doktorem Huxtable na północ Anglii. A teraz, doktorze, kiedy skończy pan pić mleko, proszę, by zechciał nam opowiedzieć, co się stało, kiedy i w jaki sposób, co wspólnego ze sprawą ma doktor Thorneycroft Huxtable ze szkoły klasztornej nieopodal Mackleton i dlaczego zjawia się on w trzy dni po całym zajściu, co się da stwierdzić po pańskim zaroście, by zabiegać o moje skromne usługi.

Nasz gość zjadł ciastka, popijając mlekiem. W jego oczach znów pojawił się błysk, a na policzki wrócił rumieniec, kiedy zaczął z wielką werwą i klarownie objaśniać sytuację.

– Trzeba wam wiedzieć, panowie, że szkoła klasztorna, której jestem założycielem i dyrektorem, to szkoła przygotowawcza. Być może znają mnie panowie jako autora opracowania „Huxtable’a uwagi o Horacym”. Moja szkoła jest bez wątpienia najlepszą i najbardziej elitarną placówką tego typu w Anglii. Swoich synów powierzyli mi lord Leverstoke, hrabia Blackwater i sir Cathcart Soames, jednak naprawdę poczułem, że szkoła osiągnęła szczyt świetności kilka tygodni temu, kiedy książę Holdernesse przysłał swego sekretarza pana Jamesa Wildera z informacją, że dziesięcioletni lord Saltire, jego jedyny potomek i dziedzic, ma zostać umieszczony pod mą opieką. Nie spodziewałem się wówczas, że będzie to początek najbardziej nieszczęśliwego wydarzenia, jakie mnie w życiu spotkało. Chłopiec przyjechał pierwszego maja, na początku semestru letniego. Okazał się uroczym dzieckiem i szybko przyzwyczaił się do trybu życia, jaki obowiązuje w naszej szkole. Mogę panu zdradzić (nie wiem, czy nie popełnię niedyskrecji, ale w takiej sprawie absurdem byłoby zachowywanie jakichkolwiek sekretów), że malec nie był zbyt szczęśliwy w domu. Jest tajemnicą poliszynela, że małżeństwo księcia nie było zgodne i za porozumieniem stron zakończyło się separacją. Księżna zamieszkała na południu Francji. Stało się to niedawno, a chłopiec, jak wiadomo, był bardzo przywiązany do matki. Rozpaczał po jej odjeździe z Holdernesse

Hall, i dlatego właśnie książę postanowił umieścić go w mojej placówce. W ciągu dwóch tygodni chłopak poczuł się u nas jak w domu, i wyglądało na to, że jest szczęśliwy. Ostatni raz widziano go w nocy trzynastego maja, czyli w ostatni poniedziałek. Jego pokój znajduje się na drugim piętrze; wchodzi się do niego przez drugi, większy, zamieszkany przez dwóch innych chłopców. Lokatorzy niczego nie widzieli ani nie słyszeli, jest zatem pewne, że młody lord Saltire nie wychodził tamtędy. Jego okno było otwarte, a po ścianie budynku aż do ziemi pnie się bluszcz o mocnych pnączach. Nie znaleźliśmy śladów na podłożu, ale z pewnością był to jedyny sposób, w jaki chłopiec mógł opuścić pokój. Jego nieobecność odkryto we wtorek o siódmej rano. Ustalono, że spał w łóżku, a przed wyjściem ubrał się w szkolny mundurek: krótką czarną marynarkę i ciemnoszare spodnie. Nie znaleziono żadnych śladów świadczących o tym, by ktoś wchodził do pokoju, a pewne jest, że krzyki czy szamotanina nie pozostałyby niezauważone, gdyż Caunter, starszy z chłopców mieszkających w przyległym pokoju, ma bardzo lekki sen. Po odkryciu zaginięcia małego lorda natychmiast zarządziłem odczytanie listy wszystkich obecnych na terenie szkoły: chłopców, nauczycieli i służących. Okazało się, że lord Saltire nie uciekł sam. Brakowało również Heideggera, wykładowcy niemieckiego. Jego pokój znajduje się na drugim piętrze, w dalszej części budynku, a okna wychodzą na tę samą stronę, co okna sypialni młodego lorda. Nauczyciel również spał w swoim łóżku, ale opuścił szkołę najwyraźniej w niekompletnym stroju, na podłodze znaleziono koszulę i skarpetki. Nie ulegało wątpliwości, że zsunął się w dół po bluszczu, gdyż na trawniku, w miejscu, w którym wylądował, widoczne były odciski jego stóp. Zniknął także rower, który trzymał w małej szopce obok trawnika. Heidegger pracował u mnie od dwóch lat. Miał najlepsze możliwe referencje, był jednak cichym, ponurym człowiekiem, nie lubianym zbytnio ani przez nauczycieli, ani przez uczniów. Ślad po uciekinierach zaginął, i dziś, w czwartek rano, wiemy nie więcej niż we wtorek. Rzecz jasna, od razu skontaktowaliśmy się z Holdernesse Hall. Dwór jest oddalony zaledwie o kilka mil; sądziliśmy, że chłopak może nagle zatęsknił i wrócił do ojca, ale nikt go tam nie widział. Książę jest bardzo wzburzony, a jeśli o mnie chodzi, sami panowie widzieli, do jakiego stanu napięcia nerwowego doprowadziły mnie niepewność i poczucie winy. Panie Holmes, jeśli może pan zaprząc do pracy wszystkie swe zdolności,

błagam, by zrobił pan to teraz: żadna inna sprawa nie zasługuje na to bardziej niż moja.

Sherlock Holmes z wielką uwagą wysłuchał opowieści nieszczęsnego dyrektora. Zmarszczone brwi detektywa i widoczna pomiędzy nimi bruzda wskazywały z całą pewnością, że nawet gdyby go o to nie błagano, skupiłby całą swą uwagę na rozwikłaniu zagadki, która nie tylko dawała perspektywę zarobku, ale także zaspokajała jego żądzę wyjaśniania złożonych i niezwykłych spraw. Po chwili wyciągnął notatnik i coś w nim zapisał.

– Popełnił pan wielki błąd, że nie przyjechał do mnie wcześniej – powiedział surowo. – Bardzo utrudni mi to prowadzenie śledztwa. Niemożliwe jest, na przykład, by wprawny obserwator nie odczytał niczego z bluszczu i trawnika.

– Proszę mnie nie winić, panie Holmes. Jego książęca mość bardzo chciał uniknąć skandalu. Nie życzył sobie, by nieszczęścia w jego rodzinie zostały wyciągnięte na światło dzienne. Bardzo się boi takich sytuacji.

– Czy zostało wszczęte oficjalne śledztwo?

– Tak, proszę pana, jego wyniki bardzo nas jednak rozczarowały. Już na samym początku wydawało się, że jest jakiś ślad, ustalono bowiem, iż pewien chłopiec i młody mężczyzna odjechali porannym pociągiem z pobliskiego dworca. Wczoraj w nocy otrzymaliśmy wiadomość: odnaleziono ich w Liverpoolu, ale nie mają oni żadnego związku ze sprawą. Wtedy, zrozpaczony i rozczarowany, przyjechałem wczesnym pociągiem po nieprzespanej nocy prosto do pana.

– Czy dochodzenie zostało wstrzymane na czas sprawdzania fałszywego tropu?

– Zostało przerwane.

– A zatem zmarnowano trzy dni. Sprawę potraktowano w godny pożałowania sposób.

– Jestem tego świadom i przyznaję to.

– A jednak rozwikła się tę zagadkę. Zajmę się tym z wielką przyjemnością. Czy zdołano ustalić jakikolwiek związek pomiędzy zaginionym chłopcem a nauczycielem niemieckiego?

– Absolutnie nie.

– Czy malec był w jego klasie?

– Nie, i z tego, co wiem, nie zamienił z nim ani słowa.

– To doprawdy niezwykłe. Czy chłopiec miał rower?

– Nie.

– Czy zabrakło jakiegoś innego roweru?

– Nie.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie.

– Nie sądzi pan chyba, że Niemiec odjechał na swoim bicyklu w środku nocy, uwożąc chłopca pod pachą?

– Zdecydowanie nie.

– Jaką zatem ma pan teorię?

– Uciekinierzy mogli zabrać rower, by sprowadzić śledztwo na fałszywy trop. Być może gdzieś go ukryli, a sami odeszli piechotą.

– To możliwe, ale czy taki fałszywy trop nie wydaje się absurdalny? Czy w szopce stały inne rowery?

– Owszem, kilka.

– W takim razie, gdyby chcieli stworzyć wrażenie, że odjechali na rowerach, nie ukryliby dwóch?

– Sądzę, że tak właśnie by zrobili.

– Oczywiście, że tak. Teoria o fałszywym tropie jest błędna, ale samo zdarzenie stanowi znakomity punkt wyjścia dla śledztwa, wszak niełatwo jest zniszczyć lub ukryć rower. Jeszcze jedno pytanie. Czy nikt nie przyjechał do chłopca z wizytą w dniu poprzedzającym jego zniknięcie?

– Nie.

– Czy malec otrzymał tego dnia jakieś listy?

– Tak, jeden.

– Od kogo?

– Od ojca.

– Czy otwiera pan listy uczniów?

– Nie.

– Skąd w takim razie wiadomo, że ten był od księcia Holdernesse?

– Na kopercie widniał herb, adres był wypisany charakterystycznym dla księcia kanciastym pismem. Poza tym jego książęca mość pamięta, że napisał list do syna.

– Kiedy chłopiec dostał poprzedni list?

– Kilka dni wcześniej.

– Czy zdarzyło się, by otrzymał coś z Francji?

– Nie, nigdy.

– Mam nadzieję, że rozumie pan cel, w jakim zadaję te pytania. Lord Saltire mógł zostać uprowadzony siłą albo uciec z własnej woli. W tym ostatnim przypadku można się spodziewać, że aby skłonić malca do takiego kroku, potrzebny był jakiś sygnał z zewnątrz. Jeśli młody lord nie miał gości, sygnał musiał być zawarty w liście, dlatego usiłuję prześledzić, z kim chłopiec korespondował.

– Obawiam się, że niewiele panu pomogę. Z tego, co wiem, pisywał do niego jedynie ojciec.

– Który przysłał list także w dniu zniknięcia syna. Czy łączyły ich przyjazne stosunki?

– Jego książęca mość nie jest zbyt przyjazny dla nikogo. Zaprzątają go sprawy wagi państwowej, więc pospolite emocje nie mają do niego przystępu. Zawsze jednak był na swój sposób dobry dla chłopca.

– Mimo to chłopak wolał matkę?

– Tak.

– Czy przyznał się do tego?

– Nie.

– Czy stwierdził to książę?

– Nie, broń Boże!

– Skąd zatem pan to wie?

– Kilka razy rozmawiałem na osobności z Jamesem Wilderem, sekretarzem jego książęcej mości. On mi to uświadomił.

– Rozumiem. A przy okazji, czy po zniknięciu chłopca znaleziono w jego pokoju ten ostatni list od ojca?

– Nie, zabrał go ze sobą. Panie Holmes, sądzę, że już czas udać się na dworzec Euston.

– Wezwę dorożkę, w ciągu kwadransa będziemy do pańskiej dyspozycji. Panie Huxtable, jeśli zamierza pan telegrafować do domu, dobrze by było, gdyby wszyscy myśleli, że śledztwo wciąż prowadzone jest w Liverpoolu lub jakimś innym miejscu, do którego zaprowadził fałszywy ślad. Ja tymczasem będę po cichu pracował w pana szkole. Być może trop jest jeszcze na tyle ciepły, aby dwóm ogarom, takim jak Watson i ja, udało się na niego wpaść.

Wieczór zastał nas w zimnych i rześkich okolicach Peak, gdzie mieściła się słynna szkoła doktora Huxtable. Kiedy dotarliśmy na miejsce, było już

ciemno. Na stole w korytarzu leżała wizytówka, a lokaj wyszeptał coś do swego pana, który zwrócił się do nas z ożywieniem bijącym z grubo ciosanej twarzy.

– Przyjechał książę – powiedział. – Wraz z panem Wilderem czeka w gabinecie. Proszę za mną, panowie, przedstawię was.

Rzecz jasna, widywałem przedtem zdjęcia słynnego męża stanu, ale w rzeczywistości wyglądał on zgoła inaczej niż na tych podobiznach. Wysoki i postawny, nienagannie ubrany, miał szczupłą, wynędzniałą twarz oraz groteskowo długi i wykrzywiony nos. Był blady jak ściana, co dodatkowo podkreślała długa, nieco już przerzedzona płomiennoruda broda, spływająca na białą kamizelkę, z której kieszonki zwisała dewizka. Ten imponujący mężczyzna stał z kamienną twarzą na dywaniku przed kominkiem. Towarzyszył mu bardzo młody, drobny człowiek, jak się domyśliłem, pan Wilder, jego sekretarz. Był nerwowy i czujny, miał inteligentne, bladoniebieskie oczy i wyrazistą twarz. To on rozpoczął konwersację tonem ostrym i stanowczym.

– Doktorze Huxtable, przybyłem dziś rano, nie zdążyłem jednak powstrzymać pana przed wyjazdem do Londynu. Dowiedziałem się, że udał się pan tam, by poprosić pana Sherlocka Holmesa o przeprowadzenie śledztwa w naszej sprawie. Jego książęca mość jest zdumiony, że podjął pan takie kroki bez uzgodnienia z nim.

– Kiedy dowiedziałem się, że policja zawiodła…

– Jego książęca mość bynajmniej nie jest o tym przekonany.

– Ależ panie Wilder…

– Z pewnością wie pan, doktorze Huxtable, jak bardzo jego książęcej mości zależy na uniknięciu skandalu. Pragnie on, by w sprawę było wtajemniczonych jak najmniej osób.

– Łatwo temu zaradzić – odparł wystraszony dyrektor. – Pan Holmes może wrócić do Londynu porannym pociągiem.

– Ależ nie, doktorze, w żadnym razie – stwierdził Holmes swym najbardziej uprzejmym tonem. – Klimat na północy Anglii jest tak przyjemny i ożywczy, że chciałbym spędzić w tej okolicy kilka dni, zajmując się tym, co uznam za stosowne. Oczywiście, do pana należy decyzja, czy zatrzymam się pod pańskim dachem, czy w oberży w wiosce.

Widziałem, że biedny doktor jest rozdarty; wyrwał go z tego stanu głęboki, dźwięczny głos rudobrodego księcia, który rozbrzmiał jak gong:

– Doktorze Huxtable, zgadzam się z panem Wilderem, że lepiej by pan zrobił, omawiając to ze mną. Ale skoro przedstawił pan już sprawę panu Holmesowi, byłoby doprawdy absurdalne, gdybyśmy nie skorzystali z jego usług. Panie Holmes, o noclegu w gospodzie nie ma mowy, z przyjemnością będę gościł pana w Holdernesse Hall.

– Dziękuję, wasza książęca mość, sądzę jednak, że dla dobra śledztwa powinienem pozostać na miejscu przestępstwa.

– Jak pan uważa, panie Holmes. Rzecz jasna, i ja, i pan Wilder udzielimy panu wszelkich informacji.

– Prawdopodobnie będę musiał spotkać się z panem w Holdernesse Hall – odpowiedział Holmes. – Teraz chciałbym jedynie spytać, czy ma pan jakąś własną teorię, która by wyjaśniała zagadkowe zniknięcie pańskiego syna?

– Nie.

– Przepraszam, jeśli pana urażę, ale nie mam wyjścia. Czy sądzi pan, że księżna miała cokolwiek wspólnego z tą sprawą?

Wielki minister wyraźnie się zawahał.

– Nie wydaje mi się – stwierdził w końcu.

– Innym oczywistym wyjaśnieniem zniknięcia jest porwanie dziecka dla okupu. Czy otrzymał pan jakiekolwiek żądania tego rodzaju?

– Nie.

– Jeszcze jedno pytanie, wasza książęca mość. Podobno napisał pan do syna w dniu, w którym doszło do incydentu?

– Nie, list napisałem dzień wcześniej.

– Zgadza się. Ale chłopiec otrzymał go tego dnia?

– Tak.

– Czy cokolwiek w treści listu mogło wytrącić syna z równowagi i skłonić do podjęcia takiego kroku?

– Zdecydowanie nie.

– Czy pan sam nadał list?

Odpowiedzi szlachcica nie było dane nam usłyszeć, bo jego sekretarz wtrącił się nie bez irytacji:

– Jego książęca mość nie ma w zwyczaju samodzielnie wysyłać korespondencji. List leżał razem z innymi na biurku w gabinecie, i ja sam włożyłem wszystkie koperty do worka pocztowego.

– Czy jest pan pewien, że był wśród nich list do chłopca?

– Tak, widziałem go.

– Ile listów napisał książę tego dnia?

– Dwadzieścia lub trzydzieści. Koresponduje z wieloma osobami. Ale co to ma do rzeczy?

– Być może więcej, niż się wydaje – odpowiedział Holmes.

– Jeśli o mnie chodzi – mówił dalej książę – zaleciłem policji, by skupili swą uwagę na południu Francji. Powiedziałem już, że nie wierzę, by księżna mogła stać za tym potwornym przestępstwem, ale chłopak miał głowę nabitą błędnymi przekonaniami i mógł uciec do niej, korzystając z pomocy tego Niemca. Doktorze Huxtable, myślę, że wrócimy teraz do Holdernesse Hall.

Zauważyłem, że Holmes zamierzał zadać kolejne pytania, ale stanowcza postawa szlachcica wskazywała, że rozmowę należy uznać za zakończoną. Jasne było, że omawianie prywatnych spraw z obcymi budziło w tym arystokracie wstręt, ponadto on obawiał się, iż każde kolejne pytanie mogłoby rzucić więcej światła na, ukryte w dyskretnym cieniu, zakątki jego arystokratycznego życia.

Kiedy książę i jego sekretarz wyszli, mój przyjaciel z właściwym sobie zapałem przystąpił do prowadzenia śledztwa.

Pokój chłopca poddano uważnym oględzinom, które wykazały ponad wszelką wątpliwość, że okno było jedyną możliwą drogą ucieczki. Badanie pomieszczenia i rzeczy należących do nauczyciela niemieckiego nie dostarczyło dalszych poszlak. Łodyga bluszczu oberwała się pod ciężarem mężczyzny, a w świetle latarni dostrzegliśmy na trawniku ślady jego obcasów. Wgłębienie w niskiej zielonej trawie było jedynym dowodem związanym z niewyjaśnioną nocną ucieczką.

Mój przyjaciel wyszedł z domu sam, wrócił dopiero po jedenastej. Wystarał się o dużą wojskową mapę okolicy, przyniósł ją do mojego pokoju, położył na łóżku, skierował na nią światło lampy, zapalił fajkę i, przyglądając się uważnie, od czasu do czasu wskazywał dymem interesujące miejsca.

– Coraz bardziej podoba mi się ta sprawa, Watsonie – stwierdził. – Zapowiada się niezwykle interesująco. Chciałbym, żebyś ty już teraz zapoznał się z ukształtowaniem terenu, które może odegrać znaczącą rolę w naszym dochodzeniu. Spójrz na mapę. Ten ciemny kwadrat to szkoła klasztorna. Zaznaczę go pinezką. Ta linia to główna droga. Jak widzisz,

biegnie obok szkoły ze wschodu na zachód, a w promieniu mili nie ma żadnej bocznej ścieżki. Jeśli uciekinierzy jechali drogą, to na pewno tą.

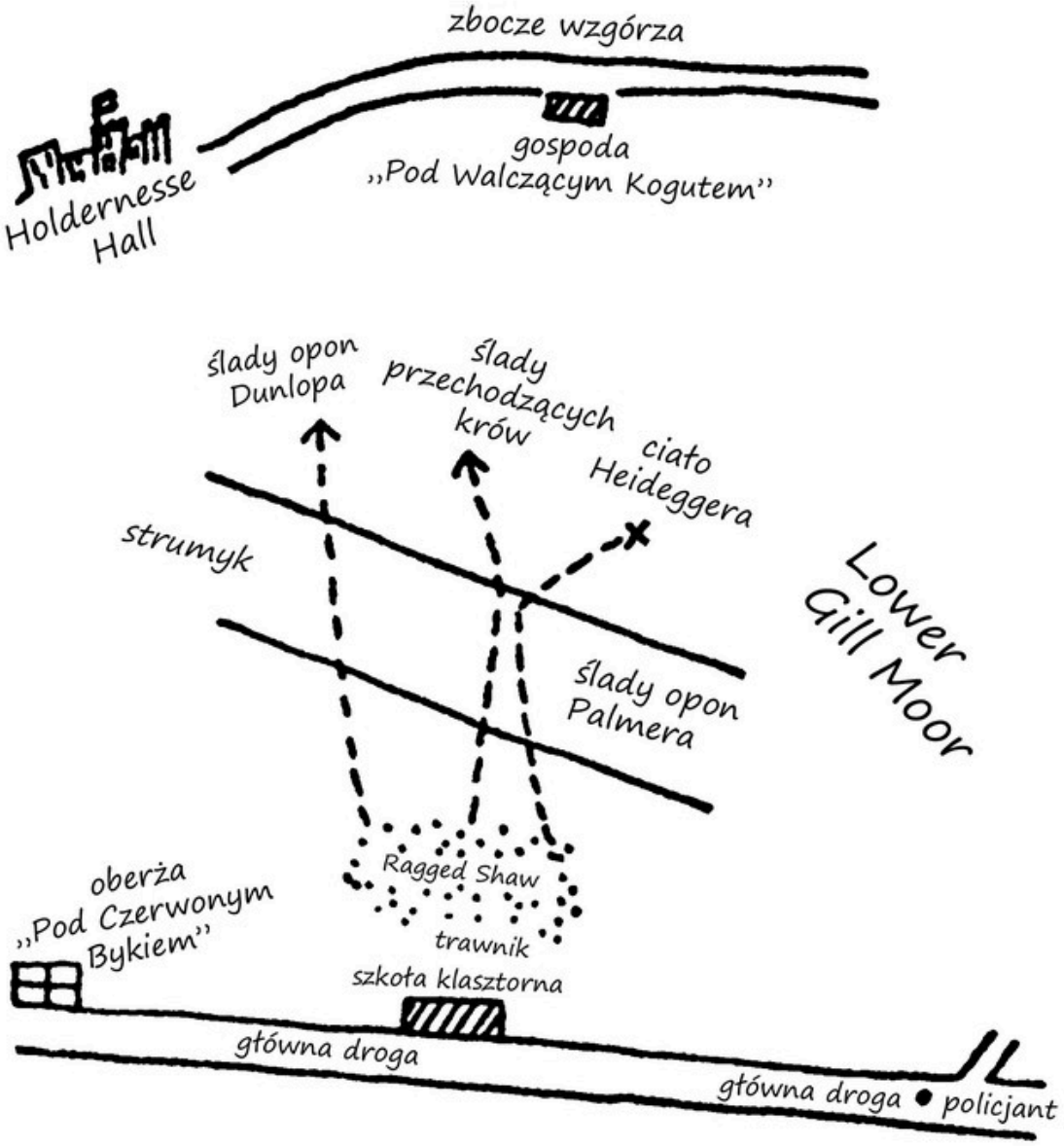

– Zgadza się.

– Niezwykłym i szczęśliwym trafem mamy możność z dużą dozą pewności sprawdzić do pewnego stopnia, co działo się przy tej drodze feralnej nocy. W tym miejscu, tu, gdzie wskazałem fajką, od dwunastej do szóstej pełnił służbę policjant z okręgu. Podobno ani na chwilę nie opuścił posterunku, zarzeka się, i jest pewien, że ani chłopiec, ani mężczyzna nie

przedostaliby się niezauważeni. Rozmawiałem dziś z tym funkcjonariuszem, i wydał mi się jak najbardziej wiarygodny. To wyklucza kierunek wschodni. Teraz zajmiemy się drugim kierunkiem. W tym miejscu znajduje się oberża „Pod Czerwonym Bykiem”. Jej właścicielka zachorowała i posłała do Mackleton po lekarza. Został on jednak wcześniej wezwany do innego pacjenta i przybył do chorej dopiero rankiem. Pracownicy gospody czuwali przez całą noc i na zmianę nieustannie obserwowali drogę, wyglądając lekarza. Są pewni, że nikt tamtędy nie przejeżdżał. Jeśli to prawda, mamy szczęście, możemy wykluczyć również kierunek zachodni, stwierdzając, że zbiegowie w ogóle nie korzystali z drogi.

– Ale co z rowerem? – zaprotestowałem.

– Otóż to. Za chwilę do tego dojdziemy, tymczasem wnioskujmy dalej: jeśli nie pojechali drogą, musieli udać się na przełaj na północ albo na południe od domu. Rozważmy obie te możliwości. Jak widzisz, na południe od budynku znajduje się duży obszar ziemi uprawnej, podzielony na mniejsze pola oddzielone od siebie kamiennymi murkami. Nie sposób przejechać tamtędy na rowerze, możemy więc wykluczyć ten kierunek. Na północy znajduje się zagajnik zwany Ragged Shaw, a za nim rozległe falujące wrzosowisko Lower Gill Moor, które ciągnie się przez dziesięć mil w stopniowo wznoszącym się terenie. Po drugiej stronie tego dzikiego obszaru leży Holdernesse Hall, do którego drogą jest dziesięć mil, ale na przełaj przez wrzosowisko – tylko sześć. To wyjątkowo odludna równina. Kilku farmerów postawiło tam niewielkie budynki, w których trzymają owce i bydło, lecz jedynymi stałymi mieszkańcami tego terenu aż do drogi na Chesterfield są tylko siewki i kuliki. Tu, jak widzisz, znajduje się kościółek, tu kilka domów i gospoda. Dalej wzgórza stają się bardziej strome. Nie ulega zatem wątpliwości, że musimy skierować się na północ.

– Ale co z rowerem? – powtórzyłem uparcie.

– Chwileczkę – odparł zniecierpliwiony Holmes. – Dobry rowerzysta nie potrzebuje szosy. Wrzosowisko przecinają ścieżki, a księżyc tamtej nocy był w pełni. Tak! Kto tam?

– Rozległo się energiczne pukanie do drzwi, i chwilę później do pokoju wszedł doktor Huxtable. Trzymał w ręce niebieską czapeczkę z daszkiem, z białym galonem na czubku.

– Wreszcie trafiliśmy na ślad! – wykrzyknął. – Dzięki Bogu! W końcu jesteśmy na tropie drogiego chłopca! To jego czapka.

– Gdzie ją znaleziono?

– W wozie Cyganów, którzy obozowali na wrzosowisku. We wtorek ruszyli w dalszą drogę, dziś odnalazła ich policja i przeszukała cały tabor. Natrafiono na czapkę.

– Jak to wytłumaczyli?

– Kłamali i kręcili, twierdzili, że znaleźli czapkę na wrzosowisku we wtorek rano. Te łotry wiedzą, gdzie jest chłopak! Dzięki Bogu, wszyscy trafili za kratki, i z pewnością wszystko wyśpiewają albo ze strachu przed karą, albo z chęci uzyskania nagrody od księcia.

– Póki co wszystko się zgadza – stwierdził Holmes, kiedy doktor wreszcie wyszedł z pokoju. – Przynajmniej potwierdza się nasza teoria, że należy szukać na obrzeżach Lower Gill Moor. Policja w ogóle nie przeprowadziła żadnych działań w terenie poza aresztowaniem tych Cyganów. Spójrz, Watsonie! Przez wrzosowisko płynie strumień. Zaznaczono go na mapie. W niektórych miejscach rozlewa się, tworząc moczary. Najlepiej to widać pomiędzy Holdernesse Hall a szkołą. Przy tak suchej pogodzie próżno byłoby szukać śladów gdziekolwiek indziej, ale tam akurat mogły pozostać. Przyjdę do ciebie jutro wcześnie rano i zobaczymy, czy uda nam się rzucić nieco światła na tę zagadkę.

Dopiero zaczynało się rozwidniać, kiedy obudziłem się i zobaczyłem przy łóżku wysoką szczupłą sylwetkę Holmesa. Był całkowicie ubrany, i wyglądało na to, że już wychodził.

– Obejrzałem trawnik i szopkę na rowery – wyjaśnił. – Przeszedłem się też po Ragged Shaw. Chodź, Watsonie, w pokoju obok czeka kakao. Proszę, pośpiesz się, gdyż mamy przed sobą wiele pracy.

Oczy mojego przyjaciela błyszczały, a na policzkach widniał rumieniec radości, takiej samej, jaką może odczuwać wprawny rzemieślnik, przyglądając się swojemu dziełu. Ten aktywny, czujny Holmes bardzo różnił się od bladego i zamyślonego marzyciela z Baker Street. Patrząc na gibką postać, pełną energii, pomyślałem, że istotnie czeka nas pełen trudów dzień.

Zaczęło się jednak od wielkiego rozczarowania. Pełni nadziei, ruszyliśmy przez brunatne torfowe wrzosowisko z tysiącami wydeptanych przez owce ścieżek; dotarliśmy do szerokiego pasa jasnej zieleni znaczącego mokradła

pomiędzy szkołą a Holdernesse Hall. Jeśli chłopiec jechał w stronę domu, musiał przejeżdżać właśnie tędy, a nie mógł tego zrobić, nie zostawiając śladów. Mimo to nie było żadnych: ani jego, ani Niemca. Mój przyjaciel z coraz bardziej ponurą miną chodził wzdłuż obrzeża mokradła, uważnie przyglądając się każdej plamie błota na omszałej powierzchni. Widać było ślady mnóstwa owiec i w jednym miejscu, parę mil dalej, ślady kilku krów. Nic poza tym.

– Oto pierwszy problem – stwierdził Holmes, ponuro przyglądając się falującemu wrzosowisku. Tam jest kolejne mokradło, oddzielone od tego wąskim przesmykiem. Proszę, proszę, co my tu mamy?

Dotarliśmy do czarnej ścieżki, wąskiej i krętej. Pośrodku niej widniał wyraźnie odciśnięty w wilgotnej ziemi ślad opony rowerowej.

– Hurra! – wykrzyknąłem. – Mamy go!

Holmes jednak pokręcił głową, a na jego twarzy malowały się raczej zaskoczenie i wyczekiwanie niż radość.

– To jest rower, ale nie ten właściwy– wyjaśnił. – Znam czterdzieści dwa rodzaje odcisków opon. Jak widzisz, to połatany Dunlop. Heidegger miał opony Palmera, które zostawiają podłużne pasy. Aveling, nauczyciel matematyki, był tego pewien. Nie jest to zatem ślad roweru Heideggera.

– Czy mógł go zostawić rower chłopca?

– Byłoby to możliwe, gdybyśmy zdołali dowieść, że posiada rower, nie udało nam się jednak tego zrobić. Jak widzisz ślad zostawił rowerzysta jadący od strony szkoły.

– A nie ku niej?

– Nie, nie, drogi Watsonie. Głębiej odciska się tylne koło, na którym spoczywa ciężar ciała jadącego. Zauważ, że w kilku miejscach przejechało po płytszych śladach pozostawionych przez przednie, zacierając je. Rower niewątpliwie jechał od strony szkoły. Ten ślad może nie mieć związku z naszym dochodzeniem, ale nim pójdziemy dalej, zbadajmy go jeszcze raz.

Zrobiliśmy jak powiedział i zgubiliśmy trop po kilkuset jardach, gdy wyszliśmy na suchą część wrzosowiska. Cofnęliśmy się i przyjrzeliśmy się innemu miejscu, przez które przepływał strumyk. Również tutaj znajdował się odcisk opony rowerowej, był jednak niemal zatarty przez krowie kopyta. Dalej ślad również się urywał, ale ścieżka wiodła prosto do Ragged Shaw, lasu sąsiadującego ze szkołą, pojazd musiał zatem wyjechać właśnie

stamtąd. Holmes przysiadł na kamieniu i oparł podbródek na dłoniach. Zdążyłem wypalić dwa papierosy, nim znów się poruszył.

– No, no – odezwał się w końcu. – Rzecz jasna, możliwe jest, by przebiegły człowiek zmienił opony w rowerze, aby nie dało się rozpoznać jego śladów. Z przyjemnością zająłbym się śledzeniem przestępcy zdolnego wpaść na taki pomysł. Pozostawmy jednak tę kwestię nierozstrzygniętą i wróćmy na mokradła, gdyż nie zakończyliśmy jeszcze oględzin.

Zaczęliśmy znów uważnie przyglądać się skrajowi podmokłej części wrzosowiska, i niebawem nasz upór został nagrodzony. Przez dolną część grzęzawiska biegła bagnista ścieżka. Zbliżając się do niej, Holmes wydał okrzyk zadowolenia. Na środku dróżki widniał odcisk przypominający wiązkę drutów telegraficznych. Zostawiły go opony Palmera.

– Oto i ślady Herr Heideggera! – wykrzyknął uradowany Holmes. – Zdaje się, Watsonie, że moje rozumowanie okazało się całkiem słuszne.

– Gratuluję.

– To jednak nie koniec. Proszę, nie wchodź na ścieżkę. Podążajmy ich tropem. Obawiam się, że nie zajdziemy daleko.

Okazało się jednak, że w tej części wrzosowiska ziemia była miękka, więc choć często traciliśmy ślady z oczu, zawsze udawało nam się odnaleźć je ponownie.

– Czy zauważyłeś – spytał Holmes – że rowerzysta jechał w wielkim pośpiechu? Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Popatrz na ten odcisk, gdzie wyraźnie widać obie opony. Jedna zostawiła równie głęboki ślad jak druga, może to oznaczać, że jadący starał się obciążyć kierownicę, tak jak się to robi podczas sprintu. Na Jowisza! Upadł!

Na odcinku kilku jardów widniała na drodze szeroka, nieregularna plama. Pojawiły się też ślady stóp, potem szybko powróciły odciski opon.

– Poślizgnął się – stwierdziłem.

Holmes podniósł pomiętą gałązkę kwitnącego janowca. Ku swemu przerażeniu zauważyłem na żółtych kwiatach purpurowe ślady. Również na ścieżce i pomiędzy wrzosami widniały ciemne plamy zaschniętej krwi.

– Niedobrze! – rzekł. – Niedobrze! Odsuń się, Watsonie! Ani jednego zbędnego kroku! Co da się z tego odczytać? Został ranny, upadł, wstał, znów wsiadł na rower i pojechał dalej. Nie ma jednak innych śladów. Po tej stronie ścieżki widać odciski krowich kopyt. Chyba nie pobódł go byk? To

niemożliwe. Nie widzę niczego innego. Idźmy dalej, Watsonie. Teraz, kiedy prowadzą nas ślady opon i plamy krwi, już nam się nie wymknie.

Nasze poszukiwania nie trwały długo. Ślady opon zaczęły tworzyć wymyślne zawijasy na lśniącej, mokrej ścieżce. Nagle, spoglądając do przodu, dostrzegłem błysk metalu wśród gęstych krzaków janowca. Wyciągnęliśmy z nich rower. Miał opony Palmera, wygięty pedał, a przednia część ramy cała była zalana krwią. Z drugiej strony kępy wystawał but. Pobiegliśmy tam i znaleźliśmy nieszczęsnego rowerzystę. Był to wysoki, brodaty mężczyzna w okularach z jednym wybitym szkłem. Przyczyną śmierci był potężny cios w głowę, który wgniótł fragment czaszki. Fakt, że po doznaniu takich obrażeń ranny zdołał kontynuować jazdę, wiele mówił o jego żywotności i odwadze. Mężczyzna miał na sobie buty, brakowało jednak skarpetek, a spod rozpiętego płaszcza wystawała koszula nocna. Nie ulegało wątpliwości, że był to nauczyciel niemieckiego.

Holmes z szacunkiem obrócił ciało i bardzo uważnie je obejrzał. Później przez jakiś czas siedział, zatopiony w myślach, a z jego zmarszczonych brwi wyczytałem, że wątpi, by to ponure odkrycie posunęło śledztwo do przodu.

– Trudno mi rozstrzygnąć, co robić dalej, Watsonie – powiedział w końcu. – Chciałbym kontynuować dochodzenie, straciliśmy bowiem tyle czasu, że nie możemy zmitrężyć kolejnej godziny. Z drugiej strony, musimy poinformować policję o odkryciu i dopilnować, by zajęli się ciałem tego biedaka.

Natychmiast zaofiarowałem pomoc:

– Mogę zanieść list.

– Ale twoje towarzystwo i pomoc są mi potrzebne. Chwileczkę! Tam jakiś człowiek wycina torf. Sprowadź go tu. Wyślemy go po policję.

Przyprowadziłem wieśniaka, a Holmes posłał tego przestraszonego posłańca z wiadomością do doktora Huxtable’a.

– Watsonie – powiedział do mnie – dziś rano odkryliśmy dwa ślady. Jeden z nich należał do roweru z oponami Palmera, i już wiemy, dokąd dojechał. Drugi został odciśnięty przez koła z łatanymi oponami Dunlopa. Zanim zaczniemy badać tę sprawę, zastanówmy się, co o niej wiemy, by oddzielić istotne zdarzenia od tych przypadkowych. Po pierwsze, chciałbym zwrócić twą uwagę na fakt, że chłopiec niewątpliwie opuścił szkołę

z własnej woli. Wydostał się oknem i uciekł sam lub w czyimś towarzystwie. To pewne.

Przytaknąłem.

– A teraz zajmijmy się nieszczęsnym nauczycielem niemieckiego. Uczeń uciekł w pełni ubrany, wiadomo zatem, że zaplanował swoje działania. Niemiec wybrał się w drogę bez skarpetek, z pewnością wyruszał w wielkim pośpiechu.

– Niewątpliwie tak było.

– Dlaczego to zrobił? Z okna sypialni zobaczył, jak chłopiec ucieka, chciał go dogonić i sprowadzić z powrotem. Chwycił rower, ruszył za młodym lordem, a podczas pościgu pożegnał się z życiem.

– Na to wygląda.

– Teraz przechodzę do krytycznej części argumentu. Naturalnym działaniem mężczyzny usiłującego dogonić małego chłopca byłoby pobiegnąć za nim, jest przecież pewne, by go doścignął. Niemiec jednak postąpił inaczej. Wsiadł na rower. Mówiono mi, że był wytrawnym cyklistą. Nie zrobiłby tego, gdyby nie widział, że malec dysponuje szybkim sposobem ucieczki.

– Drugim rowerem.

– Kontynuujmy odtwarzanie faktów. Nauczyciel został zabity pięć mil od szkoły, zauważ, że nie pociskiem (z pistoletu mogłoby wystrzelić nawet dziecko), a okrutnym ciosem zadanym z potężną siłą. Chłopiec nie uciekał zatem sam. Oglądając teren wokół miejsca tragedii, znaleźliśmy jednak tylko kilka odcisków krowich kopyt. Obszedłem okolicę. W promieniu pięćdziesięciu jardów nie ma żadnej ścieżki. Drugi rowerzysta nie mógł mieć nic wspólnego z morderstwem, nie dostrzegłem także żadnych ludzkich śladów.

– Holmesie! – wykrzyknąłem – To niemożliwe!

– Wspaniale! – odparł. – To bardzo pomocna uwaga. Opisany przeze mnie przebieg zdarzeń jest niemożliwy, zatem musiałem pomylić się w jego opisie. Widziałeś jednak wszystko na własne oczy. Możesz wskazać jakiś błąd?

– Czy nie mógł strzaskać czaszki podczas upadku?

– Na bagnie, Watsonie?

– Nie wiem, co myśleć.

– No, no, rozwiązywaliśmy już trudniejsze zagadki. Tym razem mamy przynajmniej dużo materiału, musimy tylko odpowiednio go wykorzystać. Skoro wyczerpaliśmy temat roweru z oponami Palmera, zobaczmy, dokąd zaprowadzi nas połatany Dunlop.

Poszliśmy tym tropem i przez jakiś czas widzieliśmy go, jednak niebawem wrzosowisko zmieniło się w wysokie, porośnięte kępkami wrzosu wzgórze, a strumień pozostał za nami. Na dalsze ślady nie było co liczyć. Ostatnie odciski opon Dunlopa widzieliśmy w miejscu, skąd mogły równie dobrze prowadzić do Holdernesse Hall, którego okazałe wieże wznosiły się opodal po lewej, jak i do szarej wioski o niskiej zabudowie, która leżała przed nami przy drodze na Chesterfield.

Kiedy zbliżaliśmy się do ponurej, zaniedbanej gospody, nad której drzwiami wisiał szyld przedstawiający koguta wyszkolonego do walk, Holmes nagle jęknął i chwycił mnie za ramię, by nie upaść. Zwichnął chyba sobie nogę, bo nie mógł na niej stanąć. Z trudem dokuśtykał do drzwi, przed którymi starszy, przysadzisty mężczyzna o ciemnych włosach palił czarną glinianą fajkę.

– Jak się pan miewa, panie Reubenie Hayes? – spytał mój przyjaciel.

– Kim pan jesteś i skąd pan znasz moje nazwisko? – odpowiedział wieśniak z podejrzanym błyskiem w chytrych oczkach.

– Jest wypisane na tablicy nad pańską głową. Nietrudno poznać człowieka, który jest panem swego domu. Czy nie ma pan przypadkiem w stajni powozu?

– Nie mam.

– Nie mogę nawet postawić stopy na ziemi.

– To niech jej pan nie stawia.

– Nie mogę chodzić.

– Niech pan skacze.

Pan Reuben Hayes nie był zbyt uprzejmy, Holmes jednak przyjął to zadziwiająco spokojnie.

– Dobry człowieku – powiedział – znalazłem się w naprawdę wielkiej biedzie. Nie wiem, jak mam ruszyć w dalszą drogę.

– Ja też nie – odparł ponury oberżysta.

– To dla mnie bardzo ważne. Dałbym suwerena za możliwość skorzystania z roweru.

– Gdzie pan chce jechać?

– Do Holdernesse Hall.

– To przyjaźnią się panowie z naszym księciem? – spytał mężczyzna, ironicznie przyglądając się poplamionym błotem ubraniom.

Holmes zaśmiał się dobrodusznie.

– Na pewno ucieszy się na nasz widok.

– Czemu?

– Przynosimy mu wieści o jego zaginionym synu.

Oberżysta bardzo wyraźnie się wzdrygnął.

– Jak to, wpadliście na jego trop?

– Widziano go w Liverpoolu. Spodziewają się go znaleźć lada chwila.

W nalanej, nieogolonej twarzy zaszła kolejna szybka zmiana. Mężczyzna nagle stał się ujmująco grzeczny.

– Mam mniej powodów niż większość, by dobrze życzyć księciu – powiedział. – Byłem kiedyś jego głównym stangretem, a on mnie bardzo źle potraktował. Wyrzucił z pracy, choć nie miał żadnych dowodów prócz słów kłamliwego handlarza kukurydzą. Ale cieszę się, że młodego lorda znaleźli w Liverpoolu, i pomogę panu dotrzeć do Holdernesse Hall, żeby mógł pan przekazać dobre wieści.

– Dziękuję – odpowiedział Holmes. – Najpierw coś zjemy, potem może pan przyprowadzić rower.

– Nie mam roweru.

Holmes wyciągnął suwerena.

– Mówię ci, człowieku, że nie mam. Dam panom dwa konie, żebyście mogli dojechać do dworu.

– Dobrze, dobrze – odparł mój przyjaciel. – Porozmawiamy o tym po posiłku.

Kiedy zostaliśmy sami w wyłożonej kamiennymi płytami kuchni, skręcona kostka zagoiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaczynało zmierzchać, a my niczego nie jedliśmy od wczesnego ranka, spędziliśmy więc trochę czasu, posilając się. Holmes był zatopiony w myślach, a raz czy dwa podszedł do okna i wyjrzał przez nie, patrząc dookoła badawczym wzrokiem. Okno wychodziło na zapuszczone podwórze. Na jego końcu w jednym rogu mieściła się kuźnia, w której pracował brudny chłopak, w drugim znajdowały się stajnie. Po jednej z wycieczek do okna Holmes usiadł, a po chwili zerwał się z krzesła z głośnym okrzykiem.

– Wielkie nieba, Watsonie, myślę, że mamy rozwiązanie! – krzyknął. – Tak, tak właśnie musiało być. Watsonie, czy pamiętasz, że widzieliśmy dziś ślady krowich kopyt?

– Tak, kilka razy.

– Gdzie?

– No wszędzie. Były na mokradłach, na ścieżce i niedaleko miejsca, gdzie zginął biedny Heidegger.

– Zgadza się. Powiedz, Watsonie, ile krów widziałeś na wrzosowisku?

– Nie przypominam sobie ani jednej.

– To dziwne, że przez cały czas natykaliśmy się na ślady, ale nie widzieliśmy na wrzosowisku ani jednej krowy. Nie sądzisz, że to bardzo osobliwe?

– Owszem.

– A teraz, przyjacielu, wysil pamięć. Czy wiesz, jak wyglądały te ślady?

– Tak.

– A czy przypominasz, że czasami układały się one tak… – Ułożył okruchy chleba w następujący sposób : : : : : – czasami tak – : . : . : . : . – a niekiedy tak – . : . : . : .?

– Nie.

– Ale ja owszem. Mógłbym przysiąc. Wrócimy tam w wolnej chwili, by to sprawdzić. Byłem ślepy jak kret, skoro nie wyciągnąłem wniosków wcześniej.

– Jakich wniosków?

– Krowa, która chodzi stępa, kłusuje i galopuje musi być doprawdy niezwykła. Do licha! Watsonie, do takiego zatarcia śladów nie wystarczy umysł wiejskiego oberżysty. Nikogo na dworze nie ma, chyba że tamten chłopak wyjdzie z kuźni. Zobaczmy, co nam się uda znaleźć.

W walącej się szopie stały dwa kudłate zaniedbane konie. Holmes podniósł tylne kopyto jednego ze zwierząt i zaśmiał się w głos.

– Ma stare podkowy, ale niedawno przybite, widać to po nowych gwoździach. Ta sprawa wejdzie do kanonu. Chodźmy do kuźni.

Chłopak pracował cały czas, nie zwracając na nas uwagi. Zauważyłem, że wzrok Holmesa błądzi tam i z powrotem pośród rozrzuconych po podłodze kawałków drewna i żelaza. Nagle usłyszeliśmy za sobą kroki, i w kuźni pojawił się gospodarz, marszcząc szerokie brwi nad pałającymi gniewem oczami, z grymasem wściekłości na smagłej twarzy. Trzymał

w ręku krótki, okuty żelazem kij i zbliżał się do nas z miną tak groźną, że ucieszyłem się na myśl, iż mam w kieszeni rewolwer.

– Wy piekielni szpiedzy! – wykrzyknął mężczyzna. – Co tu robicie?

– Ależ panie Hayes – spokojnie odpowiedział Holmes – można by pomyśleć, że boi się pan, żebyśmy czegoś nie znaleźli.

Mężczyzna opanował się z wielkim wysiłkiem i skrzywił usta w fałszywym uśmiechu, który nadał twarzy jeszcze bardziej złowrogi grymas.

– Możecie sobie zabrać wszystko, co znajdziecie w mojej kuźni – powiedział. – Ale słuchaj pan, nie lubię, jak ludzie wałęsają mi się po domu bez pozwolenia, więc im szybciej zapłacisz pan rachunek i ruszysz dalej, tym lepiej.

– Dobrze, panie Hayes, nie miałem złych zamiarów. Rzuciliśmy okiem na pańskie konie, ale myślę, że jednak się przejdę. Zdaje się, że to nie jest daleko.

– Nie więcej niż dwie mile do bramy dworu. Prowadzi do niego ta droga po lewej – rzekł oberżysta i przyglądał nam się ponuro, dopóki nie opuściliśmy terenu gospody.

Nie zaszliśmy zbyt daleko, Holmes zatrzymał się bowiem zaraz po tym, jak zniknęliśmy gospodarzowi z oczu za zakrętem drogi.

– W oberży, jak mówią dzieci podczas zabawy, było ciepło – stwierdził – a im bardziej się od niej oddalamy, staje się coraz zimniej. Nie możemy stąd odejść.

– Jestem pewien, że ten cały Reuben Hayes wie wszystko o sprawie. Nigdy nie widziałem człowieka, którego podłość bardziej rzucałaby się w oczy.

– A więc takie zrobił na tobie wrażenie? Są konie, jest i stajnia. Tak, „Pod Walczącym Kogutem” to wielce interesujące miejsce. Myślę, że warto mu się dyskretnie przyjrzeć.

Za nami rozciągało się długie wzgórze usiane szarymi wapiennymi głazami. Zeszliśmy z drogi i właśnie wdrapywaliśmy się na to wzgórze, kiedy, spoglądając w stronę Holdernesse Hall, zauważyłem szybko zbliżającego się rowerzystę.

– Na ziemię, Watsonie! – wykrzyknął Holmes, kładąc mi rękę na ramieniu. Ledwie zdążyliśmy się ukryć, gdy mężczyzna szybko przejechał obok nas, wzbijając chmurę pyłu. Zauważyłem bladą, wyrazistą twarz,

na której malowało się przerażenie. Rowerzysta miał otwarte usta i błędny wzrok. Wyglądał jak dziwaczna karykatura eleganckiego Jamesa Wildera, którego spotkaliśmy poprzedniego dnia.

– To sekretarz księcia! – wykrzyknął Holmes. – Chodź, Watsonie, zobaczymy, co zrobi.

Skacząc z kamienia na kamień, w kilka chwil dotarliśmy do miejsca, z którego można było zobaczyć frontowe drzwi oberży. Rower Wildera stał oparty o ścianę. W domu nie zauważyliśmy żadnego ruchu, nikt też nie wyglądał przez okna. Słońce schowało się za wysokimi wieżami Holdernesse Hall, i powoli zapadł zmierzch. W półmroku zobaczyliśmy, jak zapaliły się boczne lampy dwukółki na podwórzu przed stajnią, a chwilę później usłyszeliśmy tętent kopyt, kiedy pojazd wyjechał na drogę i z szaloną prędkością ruszył w stronę Chesterfield.

– Co o tym sądzisz, Watsonie? – wyszeptał Holmes.

– Wygląda to na ucieczkę.

– W powozie siedział jakiś mężczyzna, i z pewnością nie był to pan James Wilder, bo on jest tutaj.

Pośrodku oświetlonego kwadratu drzwi dostrzegliśmy ciemną sylwetkę sekretarza, który, wychylając głowę, wpatrywał się w mrok. Było oczywiste, że kogoś wygląda. W końcu na drodze rozległy się kroki. W świetle padającym przez otwarte drzwi mignęła druga sylwetka. Potem drzwi się zamknęły, i znów zapadła ciemność. Pięć minut później zapalono lampę w pokoju na pierwszym piętrze.

– Gospoda prowadzi wielce interesującą działalność – zauważył Holmes.

– Mieści się przecież po drugiej stronie budynku.

– Zgadza się. Ci, których obserwujemy, to prywatni goście. Ale co, u licha, James Wilder robi w takiej norze tak późno w nocy, i kim jest jego towarzysz, który przybył, żeby się z nim spotkać? Chodź, Watsonie, musimy podjąć ryzyko i przyjrzeć się bliżej tej sprawie.

Wyszliśmy na drogę i podkradliśmy się do drzwi gospody. Rower wciąż stał oparty o ścianę. Holmes zapalił zapałkę i oświetlił nią tylne koło. Usłyszałem jego cichy śmiech, kiedy światło padło na połataną oponę Dunlopa. Nad nami znajdowało się rozświetlone okno.

– Muszę przez nie zajrzeć, Watsonie. Jeśli się schylisz i oprzesz o ścianę, powinno mi się to udać.

Chwilę później stanął mi na ramionach, ale zaraz zszedł z powrotem na ziemię.

– Chodź, przyjacielu – oznajmił. – Mamy za sobą długi i pracowity dzień. Zebraliśmy chyba wszystkie możliwe dowody. Do szkoły kawał drogi, więc im szybciej wyruszymy, tym lepiej.

Kiedy brnęliśmy przez wrzosowisko, prawie się nie odzywał. Gdy dotarliśmy na miejsce, nie wszedł do szkoły, lecz udał się na dworzec w Mackleton. Stamtąd wysłał kilka telegramów. Późno w nocy usłyszałem, jak pociesza doktora Huxtable’a, przybitego śmiercią swego nauczyciela. Do mego pokoju wszedł równie skupiony i pełen energii jak rano.

– Wszystko jest na najlepszej drodze, przyjacielu – powiedział. – Obiecuję, że rozwiążemy zagadkę jeszcze jutro przed wieczorem.

O jedenastej następnego dnia szedłem z przyjacielem do Holdernesse Hall słynną cisową aleją. Weszliśmy przez wspaniałe elżbietańskie drzwi, następnie wprowadzono nas do gabinetu jego książęcej mości. Czekał tam pan James Wilder. Był spokojny i uprzejmy, ale ślady przerażenia, które ogarnęło go ostatniej nocy, wciąż były widoczne w jego ukradkowych spojrzeniach i rozedrganej twarzy.

– Przyszli panowie zobaczyć się z jego książęcą mością? Przykro mi, ale książę nie czuje się dobrze. Bardzo przeżył tragiczne wieści. Wczoraj po południu otrzymaliśmy telegram od doktora Huxtable’a, który doniósł nam o pańskim odkryciu.

– Muszę zobaczyć się z księciem, panie Wilder.

– Ale jego książęca mość jest w swoim pokoju.

– W takim razie pójdę do jego pokoju.

– Zdaje się, że nawet nie wstał z łóżka.

– Zatem przyjmie mnie na leżąco.

Chłodne i stanowcze zachowanie Holmesa uzmysłowiło sekretarzowi, że nie ma sensu się spierać.

– Dobrze, panie Holmes, powiem jego książęcej mości o pańskim przybyciu.

Po godzinie pojawił się wielki arystokrata. Jego twarz była jeszcze bledsza niż wcześniej, garbił się jeszcze bardziej i wyglądał tak, jakby od poprzedniego ranka przybyło mu lat. Powitał nas z wielkopańską uprzejmością i usiadł przy swoim biurku, a ruda broda opadła na blat.

– Cóż, panie Holmes? – zapytał. Mój przyjaciel wpatrywał się jednak w sekretarza, który stał obok krzesła swego pana.

– Wasza książęca mość, sądzę, że mógłbym mówić swobodniej, gdyby nie było tu pana Wildera.

Młodzieniec zbladł i rzucił Holmesowi pełne złości spojrzenie.

– Jeśli wasza książęca mość sobie życzy…

– Tak, tak, lepiej wyjdź. A teraz, panie Holmes, co ma pan mi do powiedzenia?

Mój przyjaciel odczekał, aż za sekretarzem zamkną się drzwi.

– Wasza książęca mość, doktor Huxtable zapewnił mojego współpracownika doktora Watsona i mnie, że za rozwiązanie tej sprawy wyznaczono nagrodę. Chciałbym usłyszeć to z pańskich ust.

– Oczywiście, panie Holmes.

– Zdaje się, że nagroda wynosi pięć tysięcy funtów dla osoby, która zdoła wskazać miejsce pobytu pańskiego syna?

– Owszem.

– I kolejny tysiąc dla tego, kto poda nazwiska porywaczy?

– Zgadza się.

– Rzecz jasna, należy przez to rozumieć nie tylko osoby, które uprowadziły chłopca, ale także te, które obecnie go przetrzymują?

– Tak, tak! – wykrzyknął zniecierpliwiony książę. – Panie Holmes, jeśli dobrze wykona pan swą pracę, nie będzie miał powodu, by się na mnie uskarżać.

Mój przyjaciel zatarł szczupłe dłonie, udając zachłanność, co mnie bardzo zdziwiło, gdyż dobrze wiedziałem, jakim jest skromnym człowiekiem.

– Zdaje się, że widzę na biurku waszej książęcej mości książeczkę czekową. Proszę o wypisanie czeku na sześć tysięcy funtów. Może być krosowany. Korzystam z usług filii banku Capital and Counties przy Oxford Street.

Książę, który siedział bardzo sztywno na krześle, spojrzał z kamienną twarzą na mego przyjaciela.

– Czy to żart, panie Holmes? Nie uważam, by był to właściwy temat do dowcipkowania.

– Nie żartuję, wasza książęca mość. Nigdy w życiu nie byłem bardziej poważny.

– W takim razie o co panu chodzi?

– O to, że zarobiłem na nagrodę. Wiem, gdzie przebywa pański syn, i znam nazwiska przynajmniej niektórych z porywaczy.

Broda księcia stała się nagle bardziej ognista niż przedtem, gdyż jeszcze mocniej odcinała się od bladej jak ściana twarzy.

– Gdzie on jest? – wykrztusił.

– Jest, albo przynajmniej był wczoraj wieczorem, w gospodzie „Pod Walczącym Kogutem”, niecałe dwie mile od bramy pańskiej posiadłości.

Książę opadł z powrotem na krzesło.

– A kogo pan oskarża?

Odpowiedź Holmesa była zdumiewająca. Szybko podszedł do arystokraty i dotknął jego ramienia.

– Oskarżam pana – powiedział. – A teraz, wasza książęca mość, poproszę o czek.

Nigdy nie zapomnę, jak książę zerwał się z miejsca i zaczął młócić rękami jak tonący. Później, odzyskując z wielkim wysiłkiem panowanie godne szlachcica, usiadł z powrotem i ukrył twarz w dłoniach. Nie odzywał się przez kilka minut.

– Jak dużo pan wie? – spytał w końcu, nie podnosząc głowy.

– Widziałem was razem wczoraj wieczorem.

– Czy mówił pan o tym komukolwiek poza pańskim przyjacielem?

– Z nikim o tym nie rozmawiałem.

Książę ujął pióro w drżącą dłoń i otworzył książeczkę czekową.

– Dotrzymam słowa, panie Holmes. Za chwilę wypiszę panu czek, choć informacje, które pan uzyskał, nie są dla mnie korzystne. Wyznaczając nagrodę, nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Sądzę jednak, że pan i pański przyjaciel jesteście ludźmi dyskretnymi.

– Nie rozumiem, do czego wasza książęca mość zmierza.

– Powiem wprost, panie Holmes. Jeśli jedynie panowie wiedzą o tym incydencie, nie ma powodu, by dowiedział się o nim ktoś jeszcze. Zdaje się, że jestem panom winien dwanaście tysięcy funtów?

Holmes uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Obawiam się, wasza książęca mość, że nie da się tak łatwo zatuszować tej sprawy. Należy wyjaśnić śmierć nauczyciela.

– Ale James nic o tym nie wiedział. Nie możecie obarczać go za to odpowiedzialnością. To robota tego brutalnego szubrawca, którego nająłem,

na swoje nieszczęście.

– Wasza książęca mość, wyznaję pogląd, że kiedy człowiek dopuszcza się przestępstwa, staje się moralnie odpowiedzialny za wszystkie zbrodnie, jakie może ono za sobą pociągnąć.

– Owszem, panie Holmes, z moralnego punktu widzenia. Nie ulega wątpliwości, że ma pan rację. Ale z pewnością nie jest tak w świetle prawa. Nie można skazać nikogo za morderstwo, w którym nie brał on bezpośredniego udziału i które wywołuje w nim równie wielkie przerażenie i obrzydzenie jak w panu. Kiedy tylko o tym usłyszał, był tak przerażony, że okazał skruchę i do wszystkiego mi się przyznał. Natychmiast wyparł się mordercy. Ach, panie Holmes, musi pan go uratować, musi pan! Powtarzam, musi pan! – Książę nie był w stanie dłużej zachowywać spokój. Konwulsje wykrzywiły mu twarz. Chodził nerwowo po gabinecie, wymachując w powietrzu zaciśniętymi w pięści dłońmi. W końcu odzyskał panowanie nad sobą i ponownie usiadł przy biurku. – Doceniam fakt, że przyszedł pan tutaj, zanim komukolwiek o tym powiedział. Możemy przynajmniej spokojnie omówić, jak złagodzić ten ohydny skandal.

– Zgadza się – przyznał Holmes. – Sądzę, wasza książęca mość, że wymaga to absolutnej szczerości. Jestem gotów pomóc waszej książęcej mości, ale muszę poznać całą sprawę w najdrobniejszych szczegółach. Rozumiem, że mówił pan o panu Jamesie Wilderze i że to nie on jest mordercą.

– Nie, morderca zbiegł.

Sherlock Holmes uśmiechnął się skromnie.

– Wasza książęca mość nie słyszał chyba o sławie, jaką się cieszę w pewnych kręgach, w przeciwnym razie nie sądziłby, że można tak łatwo przede mną uciec. Pan Reuben Hayes został aresztowany wczoraj o jedenastej wieczorem w Chesterfield na podstawie przekazanych przeze mnie informacji. Dziś rano, gdy byłem jeszcze w szkole, otrzymałem telegram od komendanta tamtejszej policji.

Książę odchylił się na krześle i ze zdumieniem utkwił wzrok w mego przyjaciela.

– Pan jest chyba obdarzony nadludzkimi zdolnościami – rzekł. – A zatem ujęto Reubena Hayesa? Bardzo się cieszę, a czy aresztowanie Hayesa nie zaważy na losie Jamesa?

– Pańskiego sekretarza?

– Mojego syna.

Tym razem to Holmes wyglądał na zaskoczonego.

– Przyznaję, wasza książęca mość, że jest to dla mnie zupełna nowość. Muszę prosić pana o więcej informacji.

– Nie zamierzam niczego przed panem ukrywać. Zgadzam się, że całkowita szczerość, choć może być dla mnie niezmiernie bolesna, stanowi najlepsze wyjście z tej rozpaczliwej sytuacji, do której doprowadziły szaleństwo i zazdrość Jamesa. Panie Holmes, kiedy byłem bardzo młodym człowiekiem, pokochałem kobietę; taka miłość zdarza się tylko raz w życiu. Poprosiłem moją wybrankę o rękę, ona jednak odmówiła, twierdząc, że takie małżeństwo mogłoby zniszczyć mi karierę. Gdyby żyła, nigdy nie ożeniłbym się z nikim innym. Zmarła jednak, pozostawiając dziecko, które, ze względu na jej pamięć, kochałem i hołubiłem. Nie mogłem go usynowić, trzymałem jednak przy sobie. Kiedy syn odgadł mój sekret, zaczął wykorzystywać przewagę, jaką w ten sposób zdobył, i groził wywołaniem skandalu. Obecność Jamesa była przyczyną wszystkich problemów w mym małżeństwie. Od początku znienawidził mego prawowitego dziedzica. Dziwi się pan, dlaczego trzymałem Jamesa pod swoim dachem? Odpowiedź jest prosta. W jego rysach widziałem twarz jego matki, a przez wzgląd na pamięć o ukochanej gotów byłem znieść wszystko. Bardzo mi ją przypominał. Nie byłem w stanie go odesłać, jednak tak się bałem, że skrzywdzi Arthura, lorda Saltire, że dla bezpieczeństwa chłopca wysłałem go do szkoły doktora Huxtable’a. James poznał Hayesa, gdyż działał jako mój przedstawiciel, a tamten, szumowina, był moim najemcą. Z niewiadomych przyczyn James zaprzyjaźnił się z nim. Kiedy postanowił porwać lorda Saltire, skorzystał z usług tego łotra. Jak pan pamięta, na dzień przed incydentem napisałem do Arthura. James otworzył kopertę i włożył do niej liścik z prośbą o spotkanie w lasku Ragged Shaw, leżącym nieopodal szkoły. Skłonił chłopca do przybycia, powołując się na księżną. Tego wieczora James pojechał do lasu (powtarzam teraz panu to, co on sam mi wyznał), spotkał się z Arthurem i powiedział mu, że jego matka pragnie się z nim zobaczyć, czeka na niego na wrzosowisku; jeśli chłopiec przyjdzie do lasu jeszcze raz o północy, postara się, by przyjechał człowiek z koniem, który go do niej zabierze. Biedny Arthur wpadł w pułapkę. Przybył na spotkanie, gdzie czekał na niego Hayes z kucykiem. Mój syn dosiadł wierzchowca, i wyruszyli razem. Zdaje się, choć James dowiedział się

o tym dopiero wczoraj, że ktoś ruszył za nimi w pogoń. Hayes uderzył ścigającego swoim kijem, i mężczyzna zmarł od odniesionych ran. Oberżysta zabrał Arthura do swej gospody „Pod Walczącym Kogutem”, gdzie zamknął chłopca w pokoju na górze, zostawiając pod opieką pani Hayes, kobiety zacnej, ale znajdującej się pod całkowitym wpływem brutalnego męża.

– Panie Holmes, taki był stan rzeczy, kiedy pierwszy raz spotkałem się z panem dwa dni temu. Nie wiedziałem wówczas o całej sprawie więcej niż pan. Jaki motyw miał James, dopuszczając się takiego czynu? Była to nienawiść, jaką odczuwał do mego prawowitego dziedzica, bezrozumna i fanatyczna. Uważał, że to on powinien odziedziczyć cały mój majątek, i czuł się głęboko urażony zasadami społecznymi, które to uniemożliwiały. Jednocześnie miał jednak także bardziej konkretny cel. Chciał, bym zrezygnował z majoratu, i sądził, że jestem w stanie to zrobić. Zamierzał dobić ze mną targu: odda mi Arthura, jeśli odrzucę zastosowanie majoratu i umożliwię mu dziedziczenie na mocy testamentu. Dobrze wiedział, że nigdy z własnej woli nie oddam go w ręce policji. Powiedziałem panu, że chciał mi zaproponować taki układ, nie zrobił jednak tego; wydarzenia potoczyły się zbyt szybko, i zabrakło mu czasu, by wprowadzić swe zamierzenia w czyn. Jego niecny plan legł w gruzach, kiedy odkrył pan ciało Heideggera. James się przeraził. Ta wieść nadeszła wczoraj, kiedy byliśmy w gabinecie. Doktor Huxtable przysłał nam telegram. James był tak wystraszony i zasmucony, że podejrzenia, które żywiłem już wcześniej, natychmiast zmieniły się w pewność, i zarzuciłem mu porwanie. Sam przyznał się do wszystkiego, poprosił mnie tylko, bym dochował jego tajemnicy jeszcze przez trzy dni, by jego podły wspólnik mógł ujść z życiem. Jak zawsze, uległem jego prośbom, a James natychmiast pojechał do Hayesa, by go ostrzec i umożliwić mu ucieczkę. Nie mogłem udać się tam za dnia, nie wywołując komentarzy, ale gdy tylko zapadł zmrok, pośpieszyłem zobaczyć się z mym drogim Arthurem. Znalazłem go całego i zdrowego, ale niewyobrażalnie przerażonego okrutną zbrodnią, której był świadkiem. Zgodnie z daną obietnicą, choć zdecydowanie wbrew swej woli, zgodziłem się pozostawić go tam na trzy dni pod opieką pani Hayes, bo nie mogłem poinformować o wszystkim policji, nie zdradzając tożsamości mordercy, a zdawałem sobie sprawę, że kara wymierzona zbrodniarzowi zrujnuje także życie nieszczęsnego Jamesa. Prosił mnie pan

o szczerość, panie Holmes; uwierzyłem panu na słowo i opowiedziałem wszystko, nie próbując niczego pominąć czy ukryć. Czy w zamian będzie pan ze mną równie szczery?

– Owszem – powiedział Holmes. – Po pierwsze, wasza książęca mość, jestem zmuszony powiedzieć panu, że postawił się pan w bardzo trudnej sytuacji z prawnego punktu widzenia. Patrzył pan przez palce na przestępstwo i pomógł mordercy w ucieczce, nie mam bowiem wątpliwości, że wszelkie środki, którymi posłużył się James Wilder, by pomóc swemu wspólnikowi, pochodziły z pańskiej kiesy.

Książę skinął głową na potwierdzenie.

– To niewątpliwie bardzo poważny zarzut. Moim zdaniem, wasza książęca mość, jeszcze większym przewinieniem jest pańska postawa wobec młodszego syna. Zostawił go pan w tej norze na trzy dni.

– Otrzymałem solenną obietnicę…

– Czymże są obietnice dla takich ludzi? Nie ma pan żadnej gwarancji, że chłopiec nie zostanie znów uprowadzony. Aby ułagodzić starszego potomka, winnego przestępstwa, naraził pan niewinnego młodszego syna na nieuchronne i niepotrzebne niebezpieczeństwo. Nie ma usprawiedliwienia dla takiego czynu.

Dumny pan na Holdernesse nie przywykł do takiego traktowania we własnym domu. Krew oblała jego twarz aż po wysokie czoło, ale sumienie nakazało mu milczeć.

– Pomogę panu, ale pod jednym warunkiem. Proszę zadzwonić po lokaja i pozwolić mi wydać mu takie rozkazy, jakie uznam za stosowne.

Książę bez słowa nacisnął przycisk elektrycznego dzwonka. Do pokoju wszedł sługa.

– Ucieszy cię wiadomość – powiedział do niego Holmes – że młody panicz się odnalazł. Książę życzy sobie, aby powóz natychmiast pojechał do gospody „Pod Walczącym Kogutem” i przywiózł lorda Saltire do domu.

– A teraz – mówił dalej mój przyjaciel, kiedy uradowany lokaj zniknął – zabezpieczywszy przyszłość, możemy pozwolić sobie na bardziej pobłażliwe traktowanie przeszłości. Jestem tu nieoficjalnie i nie widzę żadnego powodu, by zdradzać wszystko, co wiem, o ile sprawiedliwości stanie się zadość. W sprawie Hayesa nie mam nic do powiedzenia. Czeka go stryczek, i nie kiwnę palcem, by go przed nim uchronić. Nie sposób powiedzieć, co może zdradzić, nie wątpię jednak, że wasza książęca mość

może pomóc mu pojąć, że milczenie leży w jego interesie. Policja uzna, że porwał chłopca dla okupu. Jeśli sami nie dojdą do innych wniosków, nie widzę powodu, by proponować im przyjęcie innego punktu widzenia w tej sprawie. Muszę jednak ostrzec waszą książęcą mość, że dalsza obecność Jamesa Wildera w pańskim domu niechybnie doprowadzi do nieszczęścia.

– Zdaję sobie z tego sprawę, panie Holmes. Zostało już postanowione, że opuści mnie na zawsze i pojedzie szukać szczęścia w Australii.

– W takim przypadku, wasza książęca mość, skoro sam pan stwierdził, że wszystkie problemy w pańskim małżeństwie powodowała obecność Wildera, proponuję, by dołożył pan wszelkich starań, by pogodzić się z księżną i naprawić stosunki, które zostały tak niefortunnie zerwane.

– I o tym pomyślałem, panie Holmes. Napisałem do żony dziś rano.

– Skoro tak – powiedział Holmes, wstając – sądzę, że mój przyjaciel i ja możemy pogratulować sobie, że nasza krótka wizyta na północy kraju przyniosła efekty. Chciałbym wyjaśnić jeszcze jedną drobną kwestię. Ten łajdak Hayes podkuł konie podkowami udającymi krowie kopyta. Czy to pan Wilder zaproponował mu ten niezwykły podstęp?

Książę przez chwilę stał, zamyślony, z wyrazem wielkiego zdumienia na twarzy. Potem otworzył drzwi, wprowadził nas do dużego pokoju, urządzonego na podobieństwo muzeum, i poprowadził do stojącej w rogu szklanej gablotki. Opis głosił:

> Podkowy te wykopano z fosy Holdernesse Hall. Podkuwano nimi konie. Od spodu jednak mają żelazny odlew rozszczepionego kopyta, by zmylić pogoń. Mówi się, że w średniowieczu używali ich łupieżczy baronowie Holdernesse.

Holmes otworzył gablotę, zwilżył palec i przesunął nim po podkowie. Na opuszce pozostała cienka warstewka świeżego błota.

– Dziękuję – powiedział, zamykając drzwiczki. – To drugi najciekawszy przedmiot, jaki widziałem na północy.

– Jaki był pierwszy?

Holmes złożył czek i pieczołowicie umieścił go w notatniku.

– Jestem człowiekiem biednym – powiedział, głaszcząc czule notatnik, po czym włożył go do wewnętrznej kieszeni.

Opowieść szósta

CZARNY PIOTR

Nigdy nie widziałem mego przyjaciela w lepszej kondycji fizycznej i umysłowej niż w roku 1895. Rosnąca sława przysporzyła mu wiele zleceń. Byłbym nadzwyczaj niedyskretny, gdybym napomknął o tożsamości niektórych spośród znamienitych klientów, przekraczających skromne progi naszego mieszkania przy Baker Street. Holmes jednak, jak wszyscy wielcy artyści, żył dla swej sztuki, i nie słyszałem, by otrzymał kiedykolwiek wysoką nagrodę za swe nieocenione usługi poza gratyfikacją od księcia Holdernesse. Był tak obojętny na sprawy tego świata – lub tak grymaśny – że często odmawiał pomocy możnym, których kłopoty nie wzbudziły w nim zainteresowania, za to poświęcał całe tygodnie wytężonej pracy na rozwiązanie problemów skromnych klientów, jeśli okoliczności ich dziwnych dramatycznych spraw przemawiały do jego wyobraźni i stanowiły wyzwanie dla jego intelektu.

W pamiętnym 1895 roku uwagę mego przyjaciela zaprzątały liczne osobliwe i wielce różnorodne zagadnienia, poczynając od słynnego śledztwa w sprawie nagłej śmierci kardynała Toski, przeprowadzonego na wyraźne życzenie Jego Świątobliwości, po aresztowanie Wilsona, nauczyciela śpiewu, które pozwoliło odetchnąć mieszkańcom londyńskiej dzielnicy East End. Obok tych słynnych spraw należy wymienić tragedię w Woodman’s Lee i badanie wielce niejasnych okoliczności śmierci kapitana Petera Careya. Żaden zbiór opowieści o działalności Sherlocka Holmesa nie byłby kompletny bez sprawozdania z tego niezwykłego dochodzenia.

W pierwszym tygodniu lipca mój przyjaciel znikał z domu tak często i na tak długo, że domyślałem się, iż prowadzi jakieś śledztwo. Owszem, kilku

podejrzanych typów pytało w tym czasie o kapitana Basila, co uzmysłowiło mi, że Holmes pracował w jednym ze swych rozlicznych przebrań, ukrywając się pod fałszywym nazwiskiem. Miał przynajmniej pięć kryjówek w różnych dzielnicach Londynu, gdzie mógł się przedzierzgnąć w inną osobę. Nie wspominał o tej sprawie, a ja nie przywykłem wymuszać na nim zwierzeń. Pierwszy znak, na którego podstawie wywnioskowałem, w jakim kierunku zmierza dochodzenie, był doprawdy osobliwy. Mój przyjaciel wyszedł z domu przed śniadaniem, a ja właśnie miałem spożyć swój posiłek, gdy Sherlock wszedł do pokoju w kapeluszu na głowie i z harpunem, który wetknął sobie pod ramię jak parasolkę.

– Dobry Boże, Holmesie! – wykrzyknąłem. – Nie powiesz mi chyba, że chodziłeś z tym po Londynie?

– Byłem u rzeźnika.

– U rzeźnika?

– Jestem głodny jak wilk. Drogi Watsonie, zażywanie ruchu przed śniadaniem jest niewątpliwie bardzo korzystne dla zdrowia. Mogę się jednak założyć, że nie zgadniesz, jaką postać przybrały moje ćwiczenia.

– Nawet nie będę próbował.

Holmes zachichotał, nalewając sobie kawy:

– Gdybyś zajrzał na zaplecze sklepu Allaedyce’a, zobaczyłbyś ubitą świnię wiszącą na haku, zamocowanym w suficie, i dżentelmena w zarękawkach, wściekle dźgającego zwierzę tą oto bronią. To ja byłem ową energiczną osobą i upewniłem się, że bez żadnego wysiłku jestem w stanie przebić świnię jednym ciosem. Może chciałbyś spróbować?

– Nie, za skarby świata! Ale dlaczego to robiłeś?

– Wydawało mi się, że jest to w pośredni sposób związane z zagadką Woodman’s Lee. Ach, Hopkins, dostałem pański telegram wczoraj wieczorem i czekałem na pana. Proszę wejść i usiąść.

Nasz gość, trzydziestoletni mężczyzna, ubrany w skromny tweedowy garnitur, był niezwykle spięty; jego wyprostowana postawa wskazywała na osobę, przyzwyczajoną do noszenia munduru. Od razu rozpoznałem Stanleya Hopkinsa, młodego inspektora policji, z którym Holmes wiązał wielkie nadzieje i który z podziwem i szacunkiem czeladnika odnosił się do naukowych metod pracy słynnego amatora. Młody człowiek usiadł z nachmurzoną twarzą i bardzo zniechęconą miną.

– Nie, dziękuję panu, już jadłem. Spędziłem noc w mieście; przyjechałem wczoraj, by złożyć raport.

– I co pan napisał w tym raporcie?

– To porażka, proszę pana, całkowita porażka.

– Nie poczynił pan żadnych postępów?

– Żadnych.

– Do licha! Muszę zająć się tą sprawą.

– Modlę się o to, panie Holmes. To moja wielka szansa, a sam już nie wiem, co myśleć. Na litość boską, proszę przyjechać i mi pomóc.

– Tak się składa, że zapoznałem się już ze wszystkimi dowodami, w tym z raportem ze śledztwa. A przy okazji, co pan sądzi o kapciuchu na tytoń, który znaleziono na miejscu zbrodni? Czy nie stanowi on żadnej poszlaki?

Hopkins zrobił zaskoczoną minę.

– Był własnością zmarłego. Są tam jego inicjały. Został wykonany ze skóry foki; zabity był niegdyś łowcą fok.

– Nie miał jednak fajki.

– Nie, proszę pana, nie udało nam się znaleźć fajki. Najwyraźniej palił bardzo mało, ale w domu trzymał tytoń, by częstować znajomych.

– No tak. Wspominam o tym jedynie dlatego, że gdybym ja miał rozwiązać tę zagadkę, uczyniłbym ten fakt punktem wyjścia w dochodzeniu. Mój przyjaciel doktor Watson nie wie nic o całej sprawie, a nie zaszkodzi, jeśli raz jeszcze posłucham o tym, co się wydarzyło. Proszę pokrótce przedstawić nam najważniejsze fakty.

Stanley Hopkins wyciągnął z kieszeni skrawek papieru.

– Mam tu kilka dat z życia zmarłego kapitana Petera Careya. Urodził się w 1845 roku, czyli miał pięćdziesiąt lat. Był bardzo śmiałym wytrawnym łowcą fok i wielorybnikiem. W 1883 roku dowodził parowcem „Sea Unicorn” z Dundee, odbył kilka udanych wypraw, a rok później przeszedł na emeryturę. Przez kilka lat podróżował, następnie nabył niewielką posiadłość Woodman’s Lee nieopodal Forest Row w hrabstwie Sussex. Tam mieszkał przez sześć lat, zmarł tydzień temu. Musicie, panowie, wiedzieć kilka rzeczy o tym człowieku. W życiu codziennym był surowym purytaninem, milczącym i ponurym. Mieszkał z żoną i dwudziestoletnią córką; w domu były też dwie pokojówki. Służącym nigdy nie udawało się zagrzać tam długo miejsca, gdyż ponure życie w tej posiadłości było niekiedy nie do zniesienia. Mężczyzna miewał napady pijaństwa, podczas

których wstępował w niego diabeł. Podobno kiedyś w środku nocy wyrzucił żonę i córkę z domu i poganiał je, smagając biczem, po parku, aż krzyki tych nieszczęsnych pobudziły wszystkich mieszkańców wioski, w której położona jest posiadłość. Raz pan kapitan stanął przed sądem za barbarzyńską napaść na starego księdza, który przybył do niego, by czynić mu wyrzuty z powodu niegodnego zachowania. Krótko mówiąc, panie Holmes, musiałby pan daleko szukać, żeby znaleźć człowieka groźniejszego niż Peter Carey, a słyszałem, że cieszył się podobnie złą sławą już wtedy, kiedy dowodził statkiem. Wśród marynarzy znany był jako Czarny Piotr; nazywano go tak nie tylko ze względu na smagłą twarz i kolor bujnej brody, ale także przez napady wściekłości, które przerażały wszystkich w jego otoczeniu. Nie muszę chyba dodawać, że sąsiedzi nienawidzili go jak jeden mąż i unikali jak ognia oraz żaden z nich nie wyraził żalu z powodu tak okropnego końca. Panie Holmes, na pewno czytał pan raport ze śledztwa przeprowadzonego w posiadłości; pański przyjaciel nie mógł o nim nie słyszeć. Carey własnoręcznie wybudował w odległości kilkuset jardów od swego domu drewniany barak, który nazywał „kajutą”, i spędzał w nim każdą noc. Był to mały, jednoizbowy domek o wymiarach szesnaście na dziesięć stóp. Mężczyzna zawsze nosił klucz przy sobie, sam sprzątał dom, ścielił łóżko i nie pozwalał nikomu przestąpić jego progu. W dwóch ścianach budynku znajdują się okna, przykryte zasłonami, które nikt nigdy nie otwiera. Jedno z okien wychodzi na drogę. Kiedy nocami paliło się w nim światło, ludzie pokazywali je sobie nawzajem i zastanawiali się, co też wyczynia tam Czarny Piotr. Właśnie to okno, panie Holmes, umożliwiło nam uzyskać jedną z niewielu pewnych poszlak, wykrytych w czasie śledztwa. Jak pan pamięta, kamieniarz nazwiskiem Slater, który szedł z Forest Row około pierwszej w nocy – na dwa dni przed morderstwem – zatrzymał się, przechodząc niedaleko domu, i popatrzył w rozświetlony kwadrat okna widoczny między drzewami. Przysięga, że na tle zasłony było wyraźnie widać cień profilu męskiej głowy i że cień ten z pewnością nie przypominał dobrze mu znanego Petera Careya. Slater zobaczył postać brodatego mężczyzny, ale jego broda była krótka i najeżona, zupełnie inna niż zarost kapitana. Tak twierdzi kamieniarz, ale wcześniej spędził on dwie godziny w gospodzie, droga natomiast znajduje się w znacznej odległości od okna. Poza tym Slater szedł tamtędy w poniedziałek, a przestępstwo popełniono w środę. We wtorek

Peter Carey był w jednym ze swych najgorszych nastrojów, czerwony na twarzy od wypitego alkoholu i wściekły jak dzika bestia. Miotał się po domu, a kobiety, słysząc go, schodziły mu z drogi. Późnym wieczorem poszedł do swojej chaty. Około drugiej w nocy jego córka, która spała przy otwartym oknie, usłyszała dochodzący stamtąd przeraźliwy wrzask: kiedy kapitan popił, często zdarzało mu się płakać i krzyczeć, więc nikt nie zwrócił na to uwagi. O siódmej rano jedna z pokojówek zauważyła po obudzeniu się, że drzwi domku są otwarte, ale gospodarz budził we wszystkich taki lęk, że minęło południe, nim ktoś odważył się pójść i sprawdzić, czy nic mu się nie stało. Kiedy zajrzeli przez drzwi, zobaczyli to, co się za nimi kryło, natychmiast pobiegli, bladzi jak ściana, do wioski. W ciągu godziny przybyłem na miejsce i przejąłem tę sprawę. Jak pan wie, panie Holmes, mam dość mocne nerwy, ale, słowo daję, zadrżałem, kiedy wszedłem do tego małego domku. Rozbrzmiewało tam brzęczenie much i plujek niczym dźwięki wydobywane z fisharmonii, a podłoga i ściany wyglądały jak w rzeźni. Kapitan nazywał tę budowlę kajutą; rzeczywiście, wnętrze przypominało wyglądem pomieszczenie na statku. Znajdowały się w nim koja, marynarski kufer, mapy i wykresy, obraz przedstawiający statek „Sea Unicorn”, dzienniki pokładowe stojące rzędem na półce – wszystko tak, jak powinno wyglądać w kapitańskiej kajucie. Sam kapitan stał, przyszpilony do ściany. Jego twarz wykrzywił grymas, jaki przybiera ktoś cierpiący piekielne męki; olbrzymia, przetykana siwizną broda uniosła się w chwili agonii. Szeroka klatka piersiowa została przeszyta stalowym harpunem, który wbił się głęboko w drewnianą ścianę za jego plecami. Był przyszpilony jak motyl w gablotce. Rzecz jasna, nie żył, i to już od chwili, kiedy wydał w agonii ostatni krzyk. Panie Holmes, postąpiłem zgodnie z pańskimi metodami, które nie są mi obce. Zanim pozwoliłem cokolwiek przesunąć, bardzo dokładnie zbadałem otoczenie domu i podłogę pokoju. Nie było na nich śladów stóp.

– Żadnych pan nie dostrzegł?

– Zapewniam pana, nie było żadnych.

– Zacny Hopkinsie, badałem już wiele zbrodni, nie zetknąłem się jednak z taką, którą popełniłby latający potwór. O ile sprawca porusza się na dwóch nogach, musi pozostawić zagłębienie, otarcie czy drobne zadrapanie, które można odkryć. Nie chce mi się wierzyć, że w tym zbryzganym krwią pokoju nie było żadnych śladów, które mogłyby nam pomóc. Z przebiegu

śledztwa wnoszę jednak, że znajdowały się tam przedmioty, których nie udało się panu przeoczyć.

Młody inspektor zamrugał, słysząc ironiczne komentarze mego towarzysza.

– Byłem głupcem, że nie wezwałem pana od razu na miejsce, panie Holmes. Ale teraz jest już za późno, by to zmienić. Owszem, kilka przedmiotów znajdujących się w pokoju zwróciło szczególnie moją uwagę. Jednym z nich był harpun, za pomocą którego popełniono tę zbrodnię. Został zdjęty ze stojaka przytwierdzonego do ściany. Znajdowały się tam dwa inne podobne egzemplarze, a jedno miejsce było puste. Na drzewcu wygrawerowano napis: „«Sea Unicorn» Dundee”. Świadczyło to, że zabójstwa dokonano w afekcie, a morderca chwycił pierwszą broń, jaka wpadła mu w ręce. Fakt, że zbrodnię popełniono o drugiej w nocy, a Peter Carey był kompletnie ubrany, sugeruje, że gospodarz umówił się na spotkanie z napastnikiem. Taką teorię potwierdza butelka rumu i dwie brudne szklanki na stole.

– Tak – stwierdził Holmes. – Sądzę, że oba te wnioski są do przyjęcia. Czy w pokoju poza rumem był jeszcze jakiś alkohol?

– Tak, na skrzyni stał barek z brandy i whisky. Nie jest to jednak dla nas istotne, bo karafki były pełne, zatem nie korzystano z nich.

– Mimo wszystko ich obecność ma pewne znaczenie – stwierdził Holmes. – Czy były tam inne przedmioty, które, pańskim zdaniem, mogą być istotne dla sprawy?

– Na stole leżał kapciuch.

– Gdzie mianowicie?

– Pośrodku. Wykonany z szorstkiej, sztywnej foczej skóry, związany skórzanym rzemykiem. Na wewnętrznej stronie klapy widniały inicjały „P.C.”, a w środku znaleziono pół uncji mocnego, marynarskiego tytoniu.

– Znakomicie! Coś jeszcze?

Stanley Hopkins wyciągnął z kieszeni szary notatnik o podniszczonej okładce i wyblakłym papierze. Na pierwszej stronie można było odczytać inicjały „J.H.N.” i datę „1883”. Holmes położył zeszyt na stole i przyjrzał mu się z właściwą sobie drobiazgowością. Na drugiej stronie widniały drukowane litery „C.P.R.”, a po nich następowało kilka kartek cyfr. Kolejny nagłówek brzmiał „Argentyna”, następny „Kostaryka”, a po nim – „Sao Paulo”; po każdym z nich kilka stron było zapisano znakami i cyframi.

– Co pan o tym sądzi?

– Wydaje mi się, że są to listy akcji giełdowych, „J.H.N.” może być maklerem, a „C.P.R.” – jego klientem.

– Niech pan sprawdzi spółkę „Canadian Pacific Railway” – zaproponował Holmes.

Hopkins zaklął pod nosem i uderzył się w udo zaciśniętą pięścią.

– Jaki ze mnie głupiec! – wykrzyknął. – Rzecz jasna, jest tak, jak pan mówi. W takim razie do rozszyfrowania pozostają jedynie inicjały „J.H.N.”. Sprawdziłem już stare księgi giełdowe i w zapiskach z roku 1883 nie udało mi się znaleźć nikogo o takich inicjałach, ani z pracowników giełdy, ani ze współpracujących z nią maklerów. Mam jednak wrażenie, że to najważniejsza poszlaka, jaką posiadam. Przyzna pan, panie Holmes, że mogą to być inicjały drugiej osoby, która znajdowała się w „kajucie”, innymi słowy, zabójcy. Sądzę także, że teoria o istnieniu dokumentu związanego z dużą ilością cennych papierów wartościowych stanowi pierwsze wyjaśnienie motywu zbrodni, jakim dysponujemy.

Twarz Holmesa wskazywała, że jest całkowicie zaskoczony takim rozumowaniem:

– Muszę stwierdzić, że ma pan rację w obu kwestiach. Przyznaję, że ten notatnik, o którym nie było mowy podczas śledztwa, zmienia mój punkt widzenia. W teorii, którą wcześniej stworzyłem, nie ma dla niego miejsca. Czy próbował pan prześledzić którykolwiek z wymienionych tu papierów?

– Obecnie wypytujemy o nich w biurach maklerskich, obawiam się jednak, że kompletny spis akcjonariuszy tych południowoamerykańskich koncernów znajduje się w Ameryce Południowej i może minąć kilka tygodni, nim uda nam się sprawdzić, kto i kiedy obracał tymi akcjami.

Holmes oglądał właśnie okładkę notatnika przez swoje szkło powiększające.

– Zdaje się, że jest tu jakieś przebarwienie – stwierdził.

– Tak, plama krwi. Mówiłem panu, że podniosłem ten zeszyt z podłogi.

– Czy był poplamiony krwią z wierzchu, czy może leżał na plamie?

– Leżał obok, na jednej z desek.

– Co, rzecz jasna, dowodzi, że notatnik znalazł się na podłodze po popełnieniu przestępstwa.

– Zgadza się, panie Holmes. Zauważyłem zeszycik niedaleko drzwi, wywnioskowałem więc, że upuścił go morderca podczas ucieczki.

– Jak rozumiem, w rzeczach zmarłego nie znaleziono żadnych papierów wartościowych.

– Nie.

– Czy ma pan jakikolwiek powód, by podejrzewać napad rabunkowy?

– Nie. Zdaje się, że nic nie zginęło.

– Do licha, to doprawdy bardzo interesująca sprawa. A co z nożem, bo znaleziono przecież i nóż?

– Owszem, nóż motylkowy, został w pochwie. Leżał u stóp zmarłego. Pani Carey zidentyfikowała go jako własność męża.

Holmes przez pewien czas siedział, pogrążony w myślach.

– Cóż – stwierdził w końcu – zdaje się, że będę musiał tam pojechać i sam się wszystkiemu przyjrzeć.

Stanley Hopkins aż krzyknął z radości:

– Dziękuję panu! Kamień spadł mi z serca!

Holmes pogroził inspektorowi palcem.

– To zadanie byłoby mniej skomplikowane tydzień temu – odrzekł – ale i teraz moja wizyta może przynieść pewne efekty. Watsonie, jeśli masz wolną chwilę, chętnie zabiorę cię ze sobą. Hopkins, proszę wezwać dorożkę, za kwadrans wyruszymy do Forest Row.

Wysiedliśmy na małej stacyjce i przejechaliśmy kilka mil przez pozostałości rozległego lasu. Był on niegdyś częścią wielkiej puszczy, która tak długo powstrzymywała saksońskich najeźdźców. Przez sześćdziesiąt lat była niezdobytym bastionem Brytanii. Wielkie jej połacie wycięto, gdyż w tej okolicy zbudowano pierwsze w kraju huty żelaza, a drewno wykorzystywano w procesie wytapiania rudy. Obecnie ośrodki metalurgiczne znajdują się na bogatszej w złoża północy, a tu o przeszłości przypominają jedynie spustoszone lasy i wielkie blizny w ziemi. W takim właśnie miejscu na polanie, położonej na zielonym zboczu wzgórza, stał długi, niski, kamienny dom, do którego prowadziła kręta droga biegnąca przez pola. W pobliżu drogi stała niewielka szopa, otoczona z trzech stron krzewami, której jedno okno i drzwi wychodziły na naszą stronę. Było to miejsce zbrodni.

Poszliśmy najpierw do domu, gdzie Stanley Hopkins przedstawił nas wynędzniałej siwej kobiecie, wdowie po zamordowanym, której wychudła twarz, głęboko poorana zmarszczkami, oraz błyski przerażenia w głębi zaczerwienionych oczu świadczyły o latach niedoli i złego traktowania,

jakie musiała znosić. Była z nią córka, blada, jasnowłosa dziewczyna, której oczy płonęły wyzywająco, kiedy mówiła nam, że się cieszy ze śmierci ojca i błogosławi rękę, która zadała mu śmiertelny cios. Dom Czarnego Piotra był zaiste przerażający, i odetchnęliśmy z ulgą, gdy znaleźliśmy się z powrotem w świetle dnia i podążyliśmy przez pola ścieżką, wydeptaną stopami zmarłego.

Szopa była bardzo prostym drewnianym budynkiem z dachem krytym gontem; jedno okno znajdowało się obok drzwi, a drugie – w przeciwległej ścianie. Hopkins wyciągnął z kieszeni klucz i pochylił się nad zamkiem. Nagle zatrzymał się, bacznie się przyjrzał, a na jego twarzy pojawił się wyraz zdumienia.

– Ktoś przy nim majstrował – stwierdził.

Fakt ten nie ulegał wątpliwości. Stolarka została przecięta, a rysy zrobione w farbie prześwitywały na biało, tak jakby ktoś wykonał je przed chwilą. Holmes obejrzał okno.

– Ktoś próbował wejść także tędy. Ktokolwiek to był, nie udało mu się. Musiał być bardzo marnym włamywaczem.

– Bardzo dziwne – stwierdził inspektor. – Mógłbym przysiąc, że wczoraj wieczorem nie było tu żadnych śladów.

– Może zostawił je jakiś ciekawski mieszkaniec wioski – podsunąłem.

– To bardzo mało prawdopodobne. Niewielu z nich odważyłoby się podejść do domu, a tym bardziej spróbować dostać się do „kajuty”. Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

– Myślę, że szczęście bardzo nam sprzyja.

– Uważa pan, że ten człowiek tu wróci?

– To wielce prawdopodobne. Przybył tu, spodziewając się zastać otwarte drzwi. Próbował je sforsować za pomocą ostrza małego scyzoryka. Nie udało mu się to. Co zatem zrobi?

– Wróci kolejnej nocy z bardziej użytecznym narzędziem.

– Otóż to! I popełnimy wielki błąd, jeśli się tu na niego nie zaczaimy. Tymczasem chciałbym obejrzeć wnętrze chaty.

Ślady tragedii usunięto, ale meble wciąż stały tak, jak owej feralnej nocy. Holmes przez dwie godziny w najwyższym skupieniu oglądał wszystkie przedmioty po kolei, jednak z jego twarzy mogłem wyczytać, że nie wiedzie mu się w poszukiwaniach. Tylko raz przerwał oględziny.

– Czy wziął pan cokolwiek z tej półki, Hopkins?

– Nie, niczego nie ruszałem.

– Coś stąd zabrano. W tym rogu półki warstwa kurzu jest cieńsza niż gdzie indziej. Możliwe, że leżała tu książka, a może stało pudełko. Cóż, nic więcej nie mogę zrobić. Watsonie, przejdźmy się po tych pięknych lasach i rozkoszujmy się przez kilka godzin ptakami i kwiatami. Spotkamy się tu później, panie Hopkins, i zobaczymy, czy uda nam się zawrzeć bliższą znajomość z dżentelmenem, który złożył nocną wizytę.

Było już po jedenastej, kiedy zastawiliśmy naszą małą pułapkę. Hopkins optował za tym, by zostawić drzwi domku otwarte, Holmes jednak był zdania, że wzbudziłoby to podejrzenia nieznajomego. Zamek był bardzo prosty. Żeby go otworzyć, wystarczyło odpowiednio mocne ostrze. Holmes zaproponował także, byśmy czekali nie w chatce, a na zewnątrz. Ukryci w krzewach, które rosły pod oknem, moglibyśmy obserwować drzwi położone naprzeciwko. Dzięki temu zobaczylibyśmy intruza, gdyby zapalił światło, i sprawdzilibyśmy, jaki jest cel tej potajemnej nocnej wizyty.

Czuwanie było długie i nużące, wywoływało jednak dreszcz podobny do tego, jaki czuje myśliwy, kiedy ukrywa się przy wodopoju i czeka na nadejście spragnionej zwierzyny. Jaka dzika bestia miała podkraść się do nas w ciemności? Czy był to wściekły, zbrodniczy tygrys morderca, którego trzeba będzie pokonać w ciężkiej walce, zębami i pazurami, czy tylko przyczajony szakal, niebezpieczny jedynie dla słabych i nieostrożnych?

W milczeniu przykucnęliśmy wśród krzewów, czekając na to, co miało nastąpić. Najpierw urozmaicały nam czas odgłosy kroków wieśniaków, wracających późno do domu, lub dochodzące z wioski dźwięki, jednak milkły one jeden po drugim, aż nastała absolutna cisza. Przerywały ją jedynie bicie odległego kościelnego dzwonu, uświadamiające nam upływ czasu oraz szmer drobnego deszczu padającego na liście, pod którymi znaleźliśmy schronienie.

Wybiło wpół do drugiej – była to najciemniejsza godzina poprzedzająca nadejście świtu – kiedy wzdrygnęliśmy się, słysząc cichy, lecz wyraźny odgłos, jaki dobiegł od strony bramy. Ktoś szedł drogą. Znów nastała cisza, która trwała tak długo, że już zacząłem się obawiać, iż to fałszywy alarm, aż nagle po drugiej stronie chaty usłyszeliśmy ciche kroki, a chwilę później – metaliczne skrobanie i szczękanie. Intruz usiłował sforsować zamek. Tym razem zabrał się do tego bardziej umiejętnie lub miał lepsze narzędzia, gdyż rozległ się trzask, po czym zaskrzypiały zawiasy. Następnie zapaliła się

zapałka, i po chwili wnętrze domku wypełniło równomierne światło świecy. Uważnie wpatrywaliśmy się przez zasłonę z gazy, by zobaczyć, co się dzieje w środku.

Nocny gość okazał się młodym człowiekiem, wątłym i chudym, o czarnych wąsach, które podkreślały trupią bladość jego twarzy. Nie miał więcej niż dwadzieścia lat. Nigdy w życiu nie widziałem nikogo równie żałosnego i przerażonego: ze strachu szczękały mu zęby, a ręce i nogi drżały. Ubrany był w luźną kurtkę i pumpy, jak przystało na dżentelmena, a na głowie miał płócienną czapkę. Patrzyliśmy, jak rozgląda się wokół przerażonym wzrokiem. Później położył ogarek na stole i zniknął nam z oczu w rogu pokoju. Wrócił, niosąc dużą księgę, jeden z dzienników pokładowych, stojących rzędem na półkach. Opierając się o stół, szybko przewracał kartki opasłego tomu, aż znalazł wpis, którego szukał. Gniewnie wygrażając zaciśniętą pięścią, zamknął księgę, odłożył ją z powrotem na półkę w rogu i zgasił światło. Nim zdążył odwrócić się do drzwi, Hopkins złapał go za kołnierz. Usłyszałem, jak nieznajomy gwałtownie zaczerpnął powietrza i kiedy zrozumiał, że został schwytany, ogarnęło go przerażenie. Ponownie zapaliliśmy świecę, i naszym oczom ukazał się nieszczęsny więzień, który drżał, skulony, w mocnym chwycie inspektora. Opadł na skrzynię i patrzył bezradnie to na jednego, to na drugiego z nas.

– Dobry człowieku – zagaił Hopkins – kim jesteś i czego tu chcesz?

Mężczyzna uspokoił się i obrócił się ku nam, starając się opanować.

– Rozumiem, że jesteście, panowie, detektywami – stwierdził. – Sądzicie, że mam związek ze śmiercią kapitana Petera Careya. Zapewniam panów, że jestem niewinny.

– To się okaże – odrzekł Hopkins. – Po pierwsze, jak się pan nazywa?

– John Hopley Neligan.

Zauważyłem, że Holmes i Hopkins pośpiesznie wymienili spojrzenia.

– Co pan tu robi?

– Czy potraktuje pan tę informację jako poufną?

– Nie, z pewnością nie.

– W takim razie czemu miałbym to panu zdradzić?

– Jeśli pan tego nie zrobi, może to panu zaszkodzić podczas procesu.

Młody człowiek zamrugał:

– No to powiem panom. Dlaczegóż by nie? Nie podoba mi się jednak, że ten dawny skandal wróci na łamy prasy. Słyszeliście, panowie, kiedyś

o firmie Dawson i Neligan?

Z miny Hopkinsa wywnioskowałem, że nie zna tej nazwy, Holmes natomiast wydawał się wielce zainteresowany.

– Chodzi o bankierów z West Country – odpowiedział. – Stracili milion, zrujnowali połowę rodzin w Kornwalii, a Neligan zniknął.

– Otóż to. Neligan był moim ojcem.

Wreszcie udało nam się uzyskać jakieś istotne informacje, wydawało się jednak, że wyjętego spod prawa bankiera i kapitana Petera Careya przyszpilonego do ściany za pomocą jednego z jego własnych harpunów dzieli przepaść. Wszyscy z uwagą słuchaliśmy słów młodego człowieka.

– W gruncie rzeczy winę ponosi mój ojciec, Dawson wycofał się już z interesu. Miałem wówczas zaledwie dziesięć lat, byłem jednak wystarczająco dojrzały, by odczuć hańbę i grozę, jakie wywołała ta sytuacja. Powszechnie twierdzono, że to mój ojciec ukradł wszystkie akcje i uciekł. To nieprawda. Wierzył, że gdyby miał czas je sprzedać, wszystko skończyłoby się dobrze i spłaciłby wierzycieli co do grosza. Wyruszył swym małym jachtem do Norwegii tuż przed wydaniem nakazu jego aresztowania. Pamiętam tę ostatnią noc, kiedy żegnał się z moją matką. Zostawił nam wykaz akcji, które miał ze sobą, przysięgając, iż powróci, by odzyskać dobre imię. Zapewniał, że żadna z osób, które mu zaufały, nie ucierpi. Więcej o nim nie słyszano, zniknął razem z jachtem jak kamfora. Sądziliśmy z matką, że akcje, które ze sobą zabrał, spoczęły na dnie morza. Mamy jednak wiernego przyjaciela; zajmuje się on interesami, jakiś czas temu odkrył, że część papierów, które miał ze sobą mój ojciec, pojawiła się ponownie na londyńskiej giełdzie. Możecie sobie, panowie, wyobrazić moje zdumienie. Miesiącami starałem się prześledzić losy tych akcji, miałem z tym dużo problemów, nieraz ogarniały mnie wątpliwości, ale w końcu odkryłem, że puścił je w obieg kapitan Peter Carey, właściciel tej chaty. Rzecz jasna, zacząłem rozpytywać o tego człowieka. Dowiedziałem się, że był kapitanem statku wielorybniczego, który wracał z Morza Arktycznego w tym samym czasie, kiedy mój ojciec płynął do Norwegii. Jesień 1883 roku była burzliwa, długo wiały południowe wiatry. Jacht mojego ojca mógł zostać zepchnięty na północ, gdzie napotkał statek kapitana Careya. Jeśli w istocie tak było, co stało się z ojcem? W każdym razie uznałem, że gdybym z pomocą Petera Careya zdołał wyjaśnić, w jaki sposób papiery pojawiły się na rynku, dowiódłbym, że mój ojciec nie zabrał

ich, by sprzedać dla własnego zysku. Przyjechałem do Sussex, pragnąc zobaczyć się z kapitanem, ale dowiedziałem się, że właśnie poniósł okropną śmierć. W raporcie ze śledztwa przeczytałem opis jego „kajuty", dzięki czemu dowiedziałem się, że znajdowały się w niej stare dzienniki pokładowe. Pomyślałem, że gdybym mógł sprawdzić, co się wydarzyło na pokładzie statku „Sea Unicorn" w sierpniu 1883 roku, być może zdołałbym rozwikłać zagadkę rejsu, podczas którego zaginął mój ojciec. Wczoraj w nocy próbowałem dostać się do ksiąg, nie byłem jednak w stanie otworzyć drzwi. Dziś mi się to udało, odkryłem jednak, że strony dotyczące miesiąca, o który mi chodziło, zostały wyrwane z dziennika. Chwilę później stałem się panów więźniem.

– Czy to wszystko? – spytał Hopkins.

– Tak – odpowiedział młodzieniec, strzelając oczami na boki.

– Nie ma pan nam nic więcej do powiedzenia?

Neligan zawahał się.

– Nie.

– Nie był tu pan wcześniej?

– Nie.

– Więc jak wyjaśni pan to? – wykrzyknął Hopkins, wyjmując obciążający naszego więźnia dowód: notatnik z jego inicjałami na pierwszej stronie i plamą krwi na okładce.

Nieszczęsny mężczyzna załamał się. Ukrył twarz w dłoniach i zaczął drżeć na całym ciele.

– Skąd pan go ma? – jęknął. – Nie wiedziałem. Myślałem, że zgubiłem go w hotelu.

– Wystarczy – surowo odparł Hopkins. – Dalsze wyjaśnienia złoży pan przed sądem. Teraz pójdzie pan ze mną na posterunek. Cóż, panie Holmes, bardzo dziękuję panu i pańskiemu przyjacielowi za pomoc. Okazuje się, że ich obecność nie była konieczna, a mnie udałoby się samemu doprowadzić sprawę do pomyślnego zakończenia, jestem jednak wdzięczny. Zarezerwowałem dla panów pokoje w hotelu „Brambletye", więc możemy razem przejść się do wioski.

– I jak, Watsonie, co o tym sądzisz? – spytał Holmes następnego ranka, gdy ruszyliśmy w drogę powrotną do domu.

– Widzę, że nie jesteś zadowolony.

– Ależ nie, mój drogi, jestem jak najbardziej zadowolony, nie podobają mi się jednak metody pracy Stanleya Hopkinsa. Zawiodłem się na nim. Spodziewałem się po nim więcej. Należy zawsze szukać innej możliwej alternatywy i ją obalać. To pierwsza zasada prowadzenia śledztwa w sprawach karnych.

– Jaka jest alternatywa?

– To wątek mojego własnego dochodzenia. Być może prowadzi donikąd, jeszcze tego nie wiem, ale zamierzam dotrwać do końca.

Na Baker Street czekało na Holmesa kilka listów. Chwycił jeden z nich, otworzył go i wybuchnął triumfalnym śmiechem.

– Znakomicie, Watsonie! Nasza alternatywna teoria się rozwija. Czy masz formularze do telegramów? Wyślij, proszę, dwie wiadomości: „Sumner, spedytor, Ratcliff Highway. Proszę przysłać 3 ludzi jutro na 10 rano. Basil”. I jeszcze jedna: „Inspektor Stanley Hopkins, Lord Street 46, Brixton. Proszę przyjść na śniadanie jutro na 9.30. To ważne. Jeśli pan nie będzie miał czasu, proszę o telegram. Sherlock Holmes”. Watsonie, ta piekielna sprawa męczyła mnie przez dziesięć dni. Teraz zakazuję omawiać ją w mojej obecności. Mam nadzieję, że jutro usłyszymy o niej po raz ostatni.

Rankiem inspektor Stanley Hopkins zjawił się punktualnie o wyznaczonej godzinie i wspólnie zasiedliśmy do znakomitego śniadania przygotowanego przez panią Hudson. Młody detektyw był uradowany odniesionym sukcesem.

– Czy naprawdę sądzi pan, że pańska teoria jest właściwa? – spytał go Holmes.

– Nie potrafię sobie wyobrazić drugiej, równie jasnej sprawy.

– Mnie te argumenty nie wydały się rozstrzygające.

– Zadziwia mnie pan, panie Holmes. Czego więcej można oczekiwać w tej sprawie?

– Czy pańska teoria wyjaśnia wszystko?

– Niewątpliwie, tak. Dowiedziałem się, że młody Neligan przybył do hotelu „Brambletye” w dniu, w którym została popełniona zbrodnia. Twierdził, że przyjechał grać w golfa. Jego pokój znajdował się na parterze, mógł więc wychodzić, kiedy chciał. Tej samej nocy poszedł do Woodman’s Lee, spotkał się z Peterem Careyem w jego chacie, pokłócił się z nim i zabił harpunem. Przerażony tym, co uczynił, uciekł, pozostawiając notatnik,

który przyniósł ze sobą, żeby wypytać kapitana o akcje. Być może zauważył pan, że niektóre z nich zostały odhaczone, przy innych, a była ich zdecydowana większość, nie było żadnych znaczków. Te odhaczone zostały wyśledzone na londyńskiej giełdzie, inne prawdopodobnie wciąż znajdowały się w posiadaniu Careya, a młody Neligan, jeśli wierzyć jego słowom, pragnął je odzyskać, aby spłacić wierzycieli ojca. Po ucieczce nie śmiał zbliżyć się do chatki przez pewien czas, ale w końcu zmusił się do tego, by uzyskać informacje o pozostałych akcjach, których potrzebował. Czyż nie jest to jasne i proste?

Holmes uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Panie Hopkins, widzę tylko jedną wadę pańskiej teorii, jest ona wewnętrznie sprzeczna. Czy próbował pan przebić ciało harpunem? Nie? No, no, drogi panie, musi pan zwracać uwagę na takie drobiazgi. Mój przyjaciel Watson może potwierdzić, że spędziłem kiedyś cały poranek na takim ćwiczeniu. Nie jest to proste i wymaga silnej, wyćwiczonej ręki. A ten cios został zadany z taką siłą, że głownia harpuna wbiła się głęboko w ścianę. Czy wyobraża pan sobie, że nasz anemiczny młodzieniec mógłby zaatakować silnego mężczyznę z taką furią? Czy to on w środku nocy popijał z Czarnym Piotrem rum z wodą sodową? Czy to jego profil widziano w oknie dwie noce wcześniej? Nie, nie, Hopkins, szukamy innej, znacznie groźniejszej osoby.

Entuzjazm detektywa słuchającego wypowiedzi Holmesa powoli znikał. Jego nadzieje i ambicje legły w gruzach, nie zamierzał jednak poddać się bez walki.

– Nie zaprzeczy pan jednak, że Neligan był na miejscu feralnej nocy. Świadczy o tym jego notatnik. Sądzę, że mam wystarczająco dużo dowodów, by przekonać ławę przysięgłych, nawet jeśli ma pan zastrzeżenia co do niektórych z nich. Poza tym, panie Holmes, ja złapałem swojego podejrzanego. A gdzie jest ten okropny człowiek, o którym pan mówił?

– Zdaje się, na schodach – spokojnie odpowiedział Holmes. – Watsonie, myślę, że powinieneś mieć rewolwer w zasięgu ręki. – Wstał i położył zapisaną kartkę papieru na stoliku. – Teraz jesteśmy gotowi – stwierdził.

Na zewnątrz rozbrzmiały ochrypłe głosy; po chwili pani Hudson otworzyła drzwi i powiedziała, że trzech mężczyzn pyta o kapitana Basila.

– Proszę wpuszczać ich tu pojedynczo – powiedział Holmes.

Jako pierwszy do pokoju wszedł niski, okrąglutki człowieczek o rumianych policzkach i puszystych, białych bokobrodach. Holmes wyjął z kieszeni list.

– Jak się pan nazywa? – zapytał.

– James Lancaster.

– Przykro mi, Lancaster, ale wszystkie miejsca są już zajęte. Ma pan tu pół suwerena za fatygę. Proszę przejść do tamtego pokoju i poczekać kilka minut.

Drugi z mężczyzn był wysokim, zasuszonym osobnikiem, miał włosy pozlepiane w strąki i ziemistą cerę. Nazywał się Hugh Pattins. On również otrzymał odprawę w wysokości pół suwerena i polecenie, by chwilę zaczekać.

Trzeci przybysz wyglądał zaiste niezwykle. Jego wściekłą, przypominającą pysk buldoga twarz okalały splątane włosy i broda, a czarne oczy o śmiałym spojrzeniu wyzierały spod gęstych krzaczastych brwi. Zasalutował i stanął w pozie marynarza, obracając w dłoniach czapkę.

– Jak się pan nazywa? – spytał Holmes.

– Patrick Cairns.

– Jest pan harpunnikiem?

– Tak, proszę pana. Mam za sobą dwadzieścia sześć wypraw.

– Zdaje się, że pochodzi pan z Dundee?

– Tak.

– Czy jest pan gotów zamustrować się na statek badawczy?

– Tak.

– Jakich zarobków pan oczekuje?

– Ośmiu funtów tygodniowo.

– Czy mógłby pan wyruszyć natychmiast?

– Kiedy tylko dostanę ekwipunek.

– Czy ma pan dokumenty?

– Tak – odpowiedział mężczyzna, wyjmując z kieszeni plik podniszczonych, zatłuszczonych papierów. Holmes przejrzał je i oddał.

– Jest pan takim właśnie człowiekiem, jakiego szukałem – stwierdził. – Na stoliku leży umowa. Jeśli pan ją podpisze, sprawa będzie załatwiona.

Żeglarz chwiejnym krokiem przeszedł przez pokój i wziął do ręki pióro.

– Czy mam podpisać w tym miejscu? – spytał, pochylając się nad stolikiem.

Holmes nachylił się nad jego ramieniem i zacisnął mu ręce na szyi.

– Tak, tu – odpowiedział.

Usłyszałem brzęk stali i ryk, jaki mógłby wydać z siebie rozjuszony byk. Po chwili Holmes i Cairns, mocując się, padli na podłogę. Żeglarz był tak silny, że nawet w kajdankach, które Holmes tak zręcznie mu założył, szybko pokonałby mego przyjaciela, gdybyśmy wraz z Hopkinsem nie ruszyli z odsieczą. Dopiero kiedy przyłożyłem do skroni harpunnika zimną lufę rewolweru, zrozumiał, że dalszy opór jest bezcelowy. Skrępowaliśmy mu sznurem kostki u nóg i, zdyszani, zakończyliśmy walkę.

– Bardzo pana przepraszam, Hopkins – stwierdził Holmes. – Zdaje się, że wystygła nam jajecznica. Sądzę jednak, że reszta śniadania będzie panu bardziej smakowała dzięki świadomości, że doprowadził pan swoją sprawę do triumfalnego końca.

Stanley Hopkins oniemiał ze zdumienia.

– Nie wiem, co powiedzieć, panie Holmes – wykrztusił w końcu, czerwony jak burak. – Zdaje się, że od początku robiłem z siebie głupca. Teraz rozumiem to, o czym powinienem był pamiętać przez cały czas: ja jestem uczniem, a pan mistrzem. Nawet teraz, kiedy widzę, co pan zrobił, nie wiem, jak się to panu udało ani co to wszystko znaczy.

– Cóż – stwierdził łagodnie Holmes – wszyscy uczymy się na błędach, a pan powinien wyciągnąć z tej lekcji wniosek, że nie wolno tracić z oczu alternatywnych teorii. Był pan tak zaabsorbowany młodym Neliganem, że nawet nie pomyślał o Patricku Cairnsie, rzeczywistym mordercy Petera Careya.

Naszą rozmowę przerwał ochrypły głos harpunnika.

– Słuchaj pan – powiedział. – Nie skarżę się na takie traktowanie, ale byłbym wdzięczny, gdybyś pan nazywał rzeczy po imieniu. Pan mówisz, że zamordowałem Petera Careya, ja obstaję przy tym, że go zabiłem, a to jest różnica. Może mi pan nie wierzysz? Może pan myślisz, że coś kręcę?

– Bynajmniej – odparł Holmes. – Posłuchajmy, co ma pan do powiedzenia.

– Nie zajmie mi to wiele czasu, i przysięgam na Boga, że każde moje słowo jest prawdą. Znałem dobrze Czarnego Piotra, i kiedy wyciągnął na mnie nóż, przebiłem go harpunem na wskroś, bo wiedziałem, że tylko jeden z nas może wyjść z tego żywy. Tak właśnie umarł. Możecie nazywać to

morderstwem. Ja jednak wolę skończyć życie z pętlą na szyi niż z nożem Czarnego Piotra w sercu.

– Jak pan tam trafił? – spytał Holmes.

– Opowiem panu wszystko od początku. Proszę tylko pozwolić mi usiąść, żeby łatwiej mi było mówić. To było w 1883 roku, w sierpniu. Peter Carey był kapitanem statku „Sea Unicorn", a ja służyłem na nim jako dodatkowy harpunnik. Wracaliśmy do portu i właśnie wypłynęliśmy spomiędzy lodów, mając wiatr od dziobu, po tygodniu południowych wichur, kiedy pojawiła się mała łódź, która została zepchnięta na północ. Był na niej tylko jeden człowiek, szczur lądowy. Załoga jego jachtu, obawiając się, że rychło zatonie, odpłynęła szalupą w kierunku wybrzeża Norwegii. Myślę, że wszyscy utonęli. Wzięliśmy tego rozbitka na pokład, gdzie prowadził długie rozmowy z kapitanem, zamknięty z nim w kajucie. Za cały bagaż miał jedno blaszane pudełko. O ile mi wiadomo, nazwisko przybysza nie padło ani razu; drugiej nocy po tym, jakeśmy go wyłowili, zniknął, jakby nigdy nie istniał. Mówili, że musiał rzucić się za burtę albo wypaść podczas sztormu. Tylko jeden człowiek wiedział, co się z nim stało, i to byłem ja, bo na własne oczy widziałem, jak kapitan powalił go na pokład i wyrzucił za burtę ciemną nocą podczas wachty środkowej, na dwa dni przed tym, jak zobaczyliśmy światła Szetlandów. Zachowałem swoją wiedzę dla siebie i czekałem, co będzie dalej. Kiedy wróciliśmy do Szkocji, sprawa została zatuszowana, i nikt nie zadawał żadnych pytań. Jakiś obcy człowiek poniósł przypadkową śmierć, i nikt nie miał żadnego interesu w tym, żeby się o niego dopytywać. Niedługo później Peter Carey porzucił morze, i przez długie lata nie mogłem się dowiedzieć, gdzie zamieszkał. Podejrzewałem, że zrobił to, co zrobił, by zdobyć zawartość blaszanego pudełka, i że dzięki niej będzie go stać na opłacenie mojego milczenia. W końcu zdobyłem jego adres od żeglarza, który spotkał go w Londynie, i przyjechałem, by wydusić z niego co nieco. Pierwszej nocy zachowywał się rozsądnie i był gotów zapłacić mi tyle, bym przez resztę życia nie musiał więcej wypływać w morze. Mieliśmy wszystko omówić do końca dwie noce później. Kiedy przyszedłem, był pijany jak bela i w podłym nastroju. Usiedliśmy, napiliśmy się i pogadali o starych czasach, ale im więcej rumu wlewał w siebie Czarny Piotr, tym mniej podobało mi się to, co widziałem na jego twarzy. Przyuważyłem ten harpun na ścianie i pomyślałem, że może mi się przydać, nim cała sprawa się skończy.

Wreszcie Carey chwycił wielki nóż motylkowy i rzucił się na mnie, plując i przeklinając. Wiedziałem, że gotów jest mnie zamordować. Nie zdążył jednak otworzyć noża, jak zatopiłem w jego ciele harpun. Wielkie nieba! Jaki wrzask z siebie wydał! Wspomnienie jego twarzy nie pozwala mi zasnąć. Stałem tam, a krew tryskała wokół mnie. Poczekałem chwilę, ale było cicho, więc znów nabrałem odwagi. Rozejrzałem się i dostrzegłem na półce blaszane pudełko. Miałem do niego takie samo prawo jak Peter Carey, więc zabrałem je ze sobą i wyszedłem z chaty, jak ostatni głupiec zostawiając na stole swój kapciuch. Teraz opowiem panu najdziwniejszą część tej historii. Ledwie zdążyłem wyjść, kiedy usłyszałem, że ktoś nadchodzi. Ukryłem się w krzakach. Do domku podkradł się jakiś mężczyzna, wszedł do środka, wrzasnął, jakby zobaczył ducha, i zwiewał ile sił w nogach, dopóki nie straciłem go z oczu. Nie mam pojęcia, kim był ani czego chciał. Ja przeszedłem dziesięć mil, wsiadłem do pociągu w Tunbridge Wells i dojechałem do Londynu, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Kiedy przejrzałem zawartość pudełka, okazało się, że nie ma w nim pieniędzy, tylko jakieś papiery, których nie odważyłbym się sprzedać. Straciłem władzę nad Czarnym Piotrem i utknąłem w Londynie bez grosza przy duszy. Zobaczyłem ogłoszenie o naborze harpunników, obiecujące wysokie zarobki, poszedłem więc do spedytora, a on przysłał mnie tutaj. Tyle wiem i jeszcze raz powtarzam, że zabiłem Czarnego Piotra, a wymiar sprawiedliwości powinien być mi wdzięczny, bo oszczędził na stryczku.

– To bardzo jasne zeznanie – stwierdził Holmes, wstając i zapalając fajkę. – Hopkins, sądzę, że powinien pan niezwłocznie przewieźć więźnia w bezpieczne miejsce. Ten pokój raczej nie nadaje się na celę, a pan Cairns zajmuje zbyt dużo miejsca na naszym dywanie.

– Panie Holmes – powiedział Hopkins – nie wiem, jak panu dziękować. W dalszym ciągu nie rozumiem, jak się panu udało rozwikłać tę sprawę.

– Miałem szczęście, gdyż od początku wpadłem na właściwy trop. Bardzo możliwe, że gdybym wiedział wtedy o notatniku, naprowadziłby mnie na fałszywy trop podobnie jak pana. Jednak wszystko, o czym słyszałem, wskazywało na jedno. Niezwykła siła, umiejętność władania harpunem, rum z wodą sodową i kapciuch z foczej skóry wypełniony podłym tytoniem – wszystko świadczyło o tym, że sprawcą jest żeglarz, dawny wielorybnik. Byłem przekonany, że inicjały „P.C.” widniejące na

kapciuchu były przypadkowo zbieżne z personaliami ofiary. Nie mogły należeć do Petera Careya, który rzadko palił, poza tym nigdzie nie znaleziono fajki. Pamięta pan, jak pytałem, czy są w domku whisky i brandy? Potwierdził pan to. Ilu ludzi przywykłych do życia na lądzie wybrałoby rum, mając do dyspozycji inne trunki? W ten sposób upewniłem się, że sprawcą jest żeglarz.

– A jak go pan znalazł?

– Drogi panie, tu sprawa była bardzo prosta. Jeśli miał to być marynarz, to tylko taki, który służył na „Sea Unicorn”, gdy kapitanem był Carey. Z tego, co udało mi się dowiedzieć, Czarny Piotr nie pływał na żadnym innym statku. Spędziłem trzy dni, telegrafując do Dundee, a po upływie tego czasu uzyskałem nazwiska członków załogi statku z roku 1883. Kiedy odkryłem wśród harpunników Patricka Cairnsa, moje śledztwo zaczęło zbliżać się do końca. Odgadłem, że człowiek, którego szukam, jest w Londynie i że będzie chciał na pewien czas opuścić kraj. Spędziłem zatem kilka dni na East Endzie, wymyśliłem ekspedycję arktyczną, zaproponowałem kuszące warunki harpunnikom, którzy zamustrują się na rejs pod dowództwem kapitana Basila, i oto efekt!

– Wspaniale! – wykrzyknął Hopkins. – Wspaniale!

– Musi pan jak najszybciej doprowadzić do zwolnienia młodego Neligana – dodał Holmes. – Sądzę, że jest mu pan winien przeprosiny. Należy koniecznie zwrócić mu blaszane pudełko, choć, rzecz jasna, papiery, które sprzedał Peter Carey, przepadły. Hopkins, dorożka już jest, może pan zabrać więźnia. Gdyby zechciał pan, abym wziął udział w procesie, znajdzie mnie i Watsona gdzieś w Norwegii, adres prześlę w późniejszym terminie.

Opowieść siódma

CHARLES AUGUSTUS MILVERTON

Od wydarzeń, które zamierzam tu opisać, minęły całe lata, a jednak waham się, czy o nich wspomnieć. Przez długi czas nie mogłem podać tych faktów do publicznej wiadomości nawet przy zachowaniu największej dyskrecji i powściągliwości, teraz jednak, gdy główna uczestniczka zdarzeń nie podlega już prawom ludzkim, można po stosownym sformułowaniu opowiedzieć tę historię tak, by nikomu nie zaszkodziła. Będzie to zapis doświadczenia absolutnie wyjątkowego zarówno w karierze Sherlocka Holmesa, jak i mojej. Proszę zatem, by czytelnicy wybaczyli mi pominięcie dat i innych faktów, które mogłyby pozwolić im na zidentyfikowanie tego wydarzenia.

Holmes i ja wyruszyliśmy na jedną z naszych wieczornych wypraw w mroźny, zimowy wieczór i wróciliśmy około szóstej. Kiedy Holmes zapalił lampę, jej światło padło na leżącą na stole wizytówkę. Mój przyjaciel spojrzał na nią, po czym z okrzykiem obrzydzenia rzucił na podłogę. Podniosłem kartonik i przeczytałem:

CHARLES AUGUSTUS MILVERTON, agent. Appledore Towers, Hampstead

– Kto to taki?

– Najgorszy człowiek w Londynie – odpowiedział Holmes, siadając i wyciągając nogi w stronę kominka. – Czy na odwrocie znajduje się jakiś dopisek?

Odwróciłem wizytówkę i odczytałem: „Przyjdę o 6.30. C.A.M.”.

– Widzisz, Watsonie, zaraz tu będzie! Powiedz, czy kiedy stoisz w zoo przed klatką z wężami i widzisz te oślizgłe, wijące się jadowite stworzenia o oczach, w których czai się śmierć, i odpychających, płaskich łbach, nie

ogarniają cię mimowolnie dreszcze? Ja czuję się tak, gdy patrzę na Milvertona. W ciągu całego swego życia zajmowałem się pięćdziesięcioma morderstwami, jednak nawet najgorsze z nich nie wywołało we mnie takiego wstrętu jak styczność z tym człowiekiem. Mimo to nie mogę nie utrzymywać z nim kontaktów, co więcej, przybędzie tu na moje zaproszenie.

– Ale któż to taki?

– Watsonie, to król szantażystów. Niech Bóg ma w swej opiece mężczyzn, a tym bardziej kobiety, których tajemnice i dobre imię dostaną się w ręce Milvertona. Ten uśmiechnięty człowiek o kamiennym sercu wyciśnie z nich wszystko do ostatniego grosza. To geniusz w swoim fachu, a zabłysnąłby również w każdym bardziej szacownym zawodzie. Działa w następujący sposób: rozgłasza, że gotów jest zapłacić bardzo wysokie sumy za listy kompromitujące możnych. Odkupuje je nie tylko od zdradzieckich służących, ale równie często od uroczych łajdaków, którzy zdobyli zaufanie i uczucie naiwnych kobiet. Nie żałuje grosza. Wiem, że zapłacił pewnemu lokajowi siedemset funtów za liścik z dwóch linijek, z którego pomocą doprowadził do ruiny jeden z rodów szlacheckich. Wszystkie listy dostępne na rynku trafiają do Milvertona, i setki osób w tym pięknym mieście bledną na dźwięk jego nazwiska. Nikt nie wie, kiedy uderzy, jest bowiem wystarczająco zamożny i zbyt przebiegły, by od razu wykorzystywać zdobyte kompromitujące materiały. Potrafi latami trzymać w tajemnicy zdobyte wiadomości, by zagrozić ich ujawnieniem wtedy, gdy stawka będzie najwyższa. Wspomniałem już, że jest to najgorszy człowiek w Londynie; powiedz, jak można porównać łobuza, który w amoku zatłucze na śmierć swego towarzysza, z tym kimś, kto metodycznie i z premedytacją dręczy dusze i szarga nerwy ludziom, by jeszcze bardziej nabić swą i tak wypchaną kabzę?

Rzadko zdarzało mi się słyszeć, by mój przyjaciel mówił z takim wzburzeniem.

– Ale przecież – odparowałem – ten człowiek musi także podlegać prawu?

– Teoretycznie z pewnością tak, praktycznie bynajmniej. Co zyskałaby, na przykład, kobieta, za której sprawą trafiłby na kilka miesięcy do więzienia, skoro tym samym sprowadziłaby na siebie zgubę? Ofiary Milvertona nie mają odwagi, by się na nim odegrać. Gdyby kiedyś

zaszantażował niewinną osobę, udałoby się pewnie go dopaść, jest jednak zmyślny jak sam diabeł. Musimy znaleźć inne sposoby, by go pokonać.

– A dlaczego ma się pojawić tutaj?

– Pewna znakomita klientka oddała w moje ręce swą godną politowania sprawę. Chodzi o lady Evę Blackwell, najpiękniejszą debiutantkę ostatniego sezonu. Za dwa tygodnie ma wyjść za mąż za hrabiego Dovercourt. Łajdak Milverton dysponuje kilkoma nierozważnymi liścikami (nierozważnymi, Watsonie, nic więcej), które napisała do pewnego zubożałego wiejskiego szlachcica. Ich ujawnienie zerwałoby zaręczyny. Milverton zagroził, że wyśle te listy do hrabiego, jeśli nie otrzyma dużej sumy. Ja mam się z nim spotkać i wynegocjować jak najlepsze warunki.

W tym momencie na ulicy rozległ się turkot kół i tętent kopyt. Spojrzałem w dół przez okno i zobaczyłem piękny powóz zaprzężony w parę koni. Jaskrawe światło lamp odbijało się od lśniących zadów szlachetnych kasztanów. Lokaj otworzył drzwi, i z pojazdu wysiadł niewielki, tęgi człowieczek w futrze z karakułów. Minutę później przybysz był już w naszym pokoju.

Charles Augustus Milverton miał pięćdziesiąt lat, dużą, świadczącą o wielkiej inteligencji głowę, okrągłą, pulchną twarz, pozbawioną zarostu, zastygłą w nieustannym uśmiechu, i przenikliwe szare oczy, lśniące za dużymi okularami w złotych oprawkach. W jego powierzchowności było coś z dobroduszności pana Pickwicka, jednak wrażenie to psuła nieszczerość wiecznego uśmiechu i okrutne błyski w rozbieganych oczach o przenikliwym spojrzeniu. Kiedy podszedł bliżej, wyciągając swą małą, pulchną dłoń i mamrocząc, że jest mu przykro, iż nie zastał nas przy pierwszej wizycie, zauważyłem, że jego głos jest równie gładki i uprzejmy jak jego fizjonomia. Holmes zignorował wyciągniętą rękę i z kamienną twarzą wpatrywał się w mężczyznę. Milverton uśmiechnął się jeszcze szerzej, wzruszył ramionami, zdjął futro, pieczołowicie powiesił je na oparciu krzesła i usiadł.

– Ten dżentelmen… – Machnął ręką w moją stronę. – Czy to dyskretne? Czy to właściwe?

– Doktor Watson jest mym przyjacielem i współpracownikiem.

– Znakomicie, panie Holmes. Zgłosiłem tę wątpliwość w interesie pańskiej klientki. Sprawa jest tak delikatna…

– Doktor Watson już o niej słyszał.

– W takim razie możemy przejść do rzeczy. Twierdzi pan, że działa w imieniu lady Evy. Czy upoważniła pana do przyjęcia moich warunków?

– Jakie to warunki?

– Siedem tysięcy funtów.

– A jaka jest alternatywa?

– Drogi panie, mówię o tym z wielkim bólem, ale jeśli do czternastego nie dostanę pieniędzy, osiemnastego z pewnością nie dojdzie do zawarcia małżeństwa. – Jego nieznośny uśmiech pozostał równie błogi.

Holmes na chwilę pogrążył się w myślach.

– Wydaje mi się – powiedział – że jest pan zbyt pewny swego. Rzecz jasna, znam treść tych listów. Moja klientka z pewnością postąpi zgodnie z moją radą, ja zaś zamierzam nakłonić ją, by opowiedziała o wszystkim swemu przyszłemu mężowi i zaufała jego wielkoduszności.

Milverton zachichotał:

– Od razu widać, że nie zna pan hrabiego.

Z zaskoczonej miny Holmesa wywnioskowałem, że nasz gość minął się z prawdą.

– Cóż złego jest w tych listach? – zapytał.

– Są pełne polotu, i to bardzo – odparł Milverton. – Dama jest uroczą korespondentką. Mogę jednak zapewnić pana, że hrabia Dovercourt nie doceniłby tego. Jeśli jednak się pan ze mną nie zgadza, dajmy spokój tej sprawie. Chodzi tu wyłącznie o interesy. Jeśli pan sądzi, że dla jego klientki byłoby lepiej, gdyby listy trafiły do rąk jej przyszłego męża, to rzeczywiście głupotą byłoby płacić tak znaczną sumę za ich odzyskanie. – Wstał i chwycił futro.

Twarz Holmesa poszarzała z gniewu i upokorzenia.

– Proszę chwileczkę poczekać – rzekł. – Działa pan zbyt pochopnie. Z pewnością dołożymy wszelkich starań, by uniknąć skandalu w tej delikatnej sprawie.

Milverton opadł z powrotem na fotel.

– Byłem pewien, że się zrozumiemy – mruknął.

– Musi pan jednak wiedzieć – ciągnął Holmes – że lady Eva nie jest kobietą zamożną. Zapewniam, że nawet dwa tysiące funtów byłyby dla niej wielkim wydatkiem, a kwota, której pan żąda, przekracza jej możliwości. Błagam więc, by ograniczył pan swe żądania i zwrócił listy za wskazaną

przeze mnie sumę, która, gwarantuję to, jest najwyższą, jaką może pan za nie otrzymać.

Milverton uśmiechnął się szerzej, a w jego oczach pojawił się błysk rozbawienia.

– Jestem świadom tego, że mówi pan prawdę o majątku tej damy – potwierdził. – Musi pan jednak przyznać, że jej zamążpójście stanowi odpowiednią okazję do obdarowania jej w jakiś sposób. Rodzina może się zastanawiać nad odpowiednim prezentem ślubnym. Ręczę głową, że ten mały pakiecik z listami sprawi jej więcej radości niż wszystkie świeczniki i maselniczki w Londynie.

– To niemożliwe – uciął Holmes.

– Ojej, ojej, jakże to niefortunne! – wykrzyknął Milverton, wyjmując gruby notatnik. – Nie mogę oprzeć się wrażeniu, że damy nie chcą się zdobyć na odpowiedni wysiłek, a to błąd. Proszę spojrzeć! – Wyciągnął liścik z herbem na kopercie. – To należy do… Może nie powinienem zdradzać tego nazwiska do jutrzejszego poranka, wówczas jednak list znajdzie się w rękach męża tej damy. A wszystko dlatego, że nie zgodziła się zapłacić skromnej kwoty, którą mogła zdobyć, zastawiając swe brylanty. Jaka szkoda! A czy pamięta pan nagłe zerwanie zaręczyn pomiędzy szanowną panną Miles a pułkownikiem Dorkingiem? Zaledwie na dwa dni przed ich ślubem ukazała się w „Morning Post” informacja, że do małżeństwa nie dojdzie. A dlaczego tak się stało? Trudno uwierzyć, ale śmieszna suma tysiąca dwustu funtów załatwiłaby całą sprawę. Czyż to nie żałosne? Teraz pan, skądinąd rozsądny człowiek, próbuje się targować, kiedy w grę wchodzi przyszłość i honor jego klientki. Zaskoczył mnie pan, panie Holmes.

– Mówię prawdę – odparł mój przyjaciel. – Nie jesteśmy w stanie zdobyć takiej kwoty. Czy nie lepiej byłoby, żeby pan przyjął sumę, którą oferuję, niż zrujnował życie tej kobiety, co nie przyniesie panu żadnego pożytku?

– Tu się pan myli, panie Holmes. Skompromitowanie jej przyniosłoby mi znaczne, choć pośrednie, korzyści. W toku jest osiem lub dziesięć podobnych spraw. Jeśli rozniesie się, że przykładnie ukarałem lady Evę, inne panie będą znacznie bardziej podatne na rozsądne argumenty, rozumie pan?

Holmes zerwał się z krzesła.

– Stań za nim, Watsonie! Nie pozwól mu uciec! A teraz, drogi panie, obejrzyjmy ten notatnik.

Milverton przemknął jak szczur pod ścianę i przywarł do niej plecami.

– Panie Holmes, panie Holmes – powiedział, odchylając połę płaszcza i pokazując rękojeść dużego rewolweru, wystającą z wewnętrznej kieszeni. – Spodziewałem się po panu czegoś bardziej oryginalnego. Grożono mi bardzo często, a czy był z tego kiedykolwiek jakiś pożytek? Zapewniam pana, jestem uzbrojony po zęby i nie zawaham się użyć broni, bo wiem, że prawo stoi po mojej stronie. A pańskie przypuszczenie odnośnie do tego, że przyniosłem listy w notatniku, jest całkowicie błędne. Nigdy nie zrobiłbym czegoś równie głupiego. Panowie, mam jeszcze jedną czy dwie rozmowy, a do Hampstead daleka droga. – Zrobił krok do przodu, podniósł futro, położył dłoń na rewolwerze i skierował się ku drzwiom.

Chwyciłem za krzesło, ale odstawiłem je, gdyż Holmes potrząsnął głową. Milverton skłonił się, uśmiechnął i mrugnął, po czym odwrócił się i wyszedł z pokoju. Kilka chwil później usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi powozu i turkot kół.

Mój przyjaciel usiadł przy kominku z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie spodni; podbródek opuścił na piersi, a oczy utkwił w rozżarzone węgle. Przez pół godziny siedział cicho i nieruchomo. Później zerwał się na nogi z gestem człowieka, który podjął decyzję, i poszedł do swej sypialni. Niedługo po tym zawadiacki robotnik z kozią bródką, maszerujący dumnym krokiem, zapalił glinianą fajkę, zanim wyszedł na ulicę.

– Wrócę później, Watsonie – oznajmił, nim pochłonęła go noc. Zrozumiałem, że rozpoczął kampanię przeciw Charlesowi Augustusowi Milvertonowi, w najśmielszych jednak wyobrażeniach nie przypuszczałem, jak osobliwą postać miała ona przybrać.

Przez kilka dni Holmes pojawiał się i znikał o najróżniejszych porach. Przez cały czas działał w przebraniu, wspomniał jedynie, że spędza czas w Hampstead i że nie jest to czas zmarnowany. Nie wiedziałem, czym się zajmuje, aż do chwili, gdy pewnego niespokojnego, burzliwego wieczora, kiedy wicher wył i potrząsał szybami w oknach, powrócił ze swej kolejnej wyprawy. Gdy się przebrał, usiadł przed kominkiem i zaczął się serdecznie śmiać we właściwy sobie dziwny sposób.

– Nie pomyślałbyś chyba, że się kiedyś ożenię, co, Watsonie?

– Z pewnością nie!

– Zatem zainteresuje cię fakt, że się zaręczyłem.

– Drogi przyjacielu! Gratu…

– Z pokojówką Milvertona.

– Holmesie, na litość boską!

– Potrzebowałem informacji, Watsonie.

– Czy nie posunąłeś się za daleko?

– Musiałem wykonać ten krok. Jestem hydraulikiem, nazywam się Escott i właśnie rozkręcam interes. Co wieczór zabierałem dziewczynę na spacer i rozmawiałem z nią. Wielkie nieba, cóż to były za rozmowy! Dowiedziałem się jednak wszystkiego, co chciałem wiedzieć. Znam dom Milvertona jak własną kieszeń.

– Ale co z panną Blackwell, Holmesie?

Mój przyjaciel wzruszył ramionami.

– Nic nie poradzę, mój drogi Watsonie. Kiedy w grze jest taka stawka, trzeba rozgrywać karty najlepiej, jak się da. Muszę jednak z radością przyznać, że mam nienawistnego rywala, który z pewnością zajmie moje miejsce, kiedy tylko spuszczę go z oka. Cóż za piękna noc!

– Podoba ci się ta pogoda?

– Jest odpowiednia dla mych poczynań. Watsonie, zamierzam włamać się dziś do domu Milvertona.

To stwierdzenie wygłoszone powoli, tonem świadczącym o skupieniu i zdecydowaniu, sprawiło, że zachłysnąłem się oddechem i zadrżałem. Jak rozbłyskująca w nocy błyskawica, która w mgnieniu oka oświetla każdy element krajobrazu, tak i ja w jednej chwili zobaczyłem wszystkie możliwe skutki tego działania – wykrycie, schwytanie, szacowną karierę zakończoną w niesławie i mego przyjaciela zdanego na łaskę odrażającego Milvertona.

– Na Boga, Holmesie, zastanów się, co chcesz zrobić! – wykrzyknąłem.

– Mój drogi, to przemyślałem starannie. Nigdy nie działam pochopnie, nie zdecydowałbym się więc na równie energiczny i, co tu kryć, niebezpieczny krok, gdybym dysponował innymi możliwościami działania. Spójrzmy na sprawę jasno i uczciwie. Przyznasz, że mój zamiar jest uzasadniony z moralnego punktu widzenia, choć z technicznego stanowi przestępstwo. Włamanie do domu nie jest poważniejszym przewinieniem niż odebranie siłą notatnika, w czym byłeś gotów mi pomóc.

Zastanowiłem się nad tym.

– Owszem – zgodziłem się. – Jest to usprawiedliwione z moralnego punktu widzenia, jeśli tylko nie zabierzesz stamtąd niczego poza przedmiotami wykorzystywanymi do nielegalnych celów.

– Otóż to. Skoro czyn ten jest moralnie usprawiedliwiony, do rozważenia pozostaje jedynie kwestia ryzyka. Dżentelmen z pewnością nie ma się tu nad czym zastanawiać, skoro dama rozpaczliwie potrzebuje jego pomocy.

– Postawisz się w fałszywym położeniu.

– Cóż, to część ryzyka. Nie ma innego sposobu, by odzyskać listy. Nieszczęsna dama nie ma dość pieniędzy, a nie może zwierzyć się nikomu ze swych bliskich. Jutro upływa termin, więc jeśli nie uda nam się zdobyć listów dziś w nocy, łotr dotrzyma słowa i ją zrujnuje. Muszę zatem pozostawić mą klientkę własnemu losowi lub rozegrać tę ostatnią kartę. To także pojedynek pomiędzy mną a Milvertonem. Pierwsze starcie wygrał on, a mój szacunek do samego siebie i reputacja nakazują mi stoczyć tę walkę do końca.

– Cóż, nie podoba mi się to, ale chyba nie może być inaczej – stwierdziłem. – Kiedy wyruszamy?

– Nie zabieram cię ze sobą.

– W takim razie nigdzie nie idziesz – powiedziałem stanowczo. – Daję ci słowo honoru (a nigdy w życiu nie sprzeniewierzyłem się danej obietnicy), że jeśli nie wciągniesz mnie w tę przygodę, pojadę dorożką prosto na komisariat i cię wydam.

– Nie byłbyś mi pomocny.

– Skąd wiesz? Nie możesz przewidzieć, co się stanie. Poza tym podjąłem już decyzję. Nie ty jeden masz szacunek do samego siebie i dbasz o reputację.

Na początku Holmes wyglądał na zirytowanego, później jednak rozchmurzył się i poklepał mnie po ramieniu.

– Cóż, mój drogi, niech tak będzie. Dzieliliśmy mieszkanie przez tak wiele lat, że zabawnie byłoby, gdybyśmy w końcu wylądowali w jednej celi. Wiesz, Watsonie, mogę ci się zwierzyć, że zawsze uważałem, iż byłbym bardzo skutecznym przestępcą. Moją życiową szansą jest spróbowanie sił w tej profesji. Popatrz! – Wyciągnął z szuflady starannie wykonany skórzany futerał, otworzył go i wyjął ze środka kilka lśniących narzędzi. – Oto pierwszej klasy nowoczesny zestaw akcesoriów włamywacza; są tu niklowany łom, nóż do cięcia szkła z diamentową

końcówką, regulowane wytrychy i wszelkie inne udogodnienia, jakich wymaga postęp techniczny. Mam tu też lampę z przysłoną. Wszystko na swoim miejscu. Czy masz jakieś miękkie obuwie?

– Mam buty do tenisa na gumowej podeszwie.

– Znakomicie. A maskę?

– Mogę zrobić nam maski z czarnego jedwabiu.

– Widzę, że przejawiasz silną naturalną skłonność do tego rodzaju działań. Świetnie, zrób maski. Przed wyjściem zjemy kolację na zimno. Jest dziewiąta trzydzieści. O jedenastej pojedziemy do Church Row; stamtąd jest kwadrans drogi piechotą do Appledore Towers. Będziemy na miejscu przed północą. Milverton ma mocny sen, a kładzie się punktualnie o dziesiątej trzydzieści. Przy odrobinie szczęścia będziemy tu z powrotem przed drugą z listami lady Evy w kieszeni.

Ubraliśmy się elegancko, by uchodzić za dwóch bywalców teatrów wracających do domu. Przy Oxford Street wsiedliśmy do dorożki i pojechaliśmy pod umówiony adres w Hampstead. Tam zapłaciliśmy woźnicy i, szczelnie otuleni płaszczami, gdyż było bardzo zimno, a wicher przenikał nas na wskroś, poszliśmy wzdłuż skraju wrzosowiska.

– Ta sprawa wymaga wielkiej delikatności – wyjaśnił Holmes. – Dokumenty znajdują się w sejfie w gabinecie, który przylega do sypialni Milvertona. Jak wszyscy zażywni osobnicy, którym się dobrze powodzi, sypia jak zabity. Agatha, moja narzeczona, twierdzi, że służący żartują sobie, iż nie sposób ich pana obudzić. Milverton ma sekretarza, który zajmuje się jego sprawami, i przez cały dzień nie rusza się z gabinetu. Dlatego jedziemy tam w nocy. Gospodarz trzyma w ogrodzie ogromnego psa, jednak przez ostatnie dwa wieczory spotykałem się z dziewczyną o późnej porze, i teraz zamyka ona bestię, bym mógł bezpiecznie przejść. Oto dom, ten duży, stojący w głębi posiadłości. Pójdziemy przez bramę, a teraz na prawo, pomiędzy krzewami wawrzynu. Tu możemy założyć maski. Jak widzisz, w żadnym z okien nie widać nawet promyczka światła. Wszystko układa się znakomicie.

Z twarzami przysłoniętymi czarnymi, jedwabnymi maskami, w których wyglądaliśmy na największych zawadiaków w Londynie, podkradliśmy się do cichego, ponurego domu. Z jednej strony znajdowała się weranda wyłożona płytkami, miała ona kilka okien i dwie pary drzwi.

– To jego sypialnia – wyszeptał Holmes. – Te drzwi prowadzą prosto do gabinetu. Byłyby dla nas najdogodniejsze, są jednak zamknięte na zamek i zaryglowane, więc narobilibyśmy zbyt wiele hałasu, próbując przez nie wejść. Idź za mną. To cieplarnia, przez którą też można dostać sie do gabinetu.

Budynek był zamknięty, ale Holmes wyciął kawałek szyby i otworzył zamek od środka. Chwilę później zamknęliśmy za sobą drzwi i w oczach prawa staliśmy się przestępcami. Gęste ciepłe powietrze w szklarni i silny, dławiący zapach egzotycznych roślin zaparły nam dech w piersiach. Przyjaciel chwycił mnie za rękę i szybko poprowadził w ciemnościach wzdłuż rzędów krzewów, które ocierały się o nasze twarze. Holmes miał niezwykłą i starannie pielęgnowaną zdolność widzenia w ciemności. Wciąż trzymając mnie jedną ręką, drugą otworzył drzwi; uświadomiłem sobie niejasno, że znaleźliśmy się w dużym pokoju, w którym ktoś nie tak dawno palił cygaro. Sherlock wymacał drogę pomiędzy meblami, otworzył kolejne drzwi i zamknął je za nami. Wyciągnąłem rękę i gdy dotknąłem kilku płaszczy wiszących na ścianie, zrozumiałem, że znajdujemy się w korytarzu. Przeszliśmy nim, i po chwili Holmes bardzo ostrożnie otworzył drzwi po prawej stronie. Coś się na nas rzuciło, serce podeszło mi do gardła, jednak po chwili zachciało mi się śmiać, kiedy zdałem sobie sprawę, że był to kot. W pokoju płonął na kominku ogień, a powietrze było gęste od tytoniowego dymu. Holmes wszedł do środka na palcach, zaczekał, aż do niego dołączę, po czym bardzo delikatnie zamknął drzwi. Znaleźliśmy się w gabinecie Milvertona, a portiera wisząca w głębi pokoju wskazywała miejsce, gdzie znajdowało się przejście do sypialni.

W kominku napalono tak mocno, że ogień oświetlał cały pokój. Niedaleko drzwi dostrzegłem włącznik światła elektrycznego, jednak nie musielibyśmy z niego korzystać nawet wówczas, gdyby niczym to nie groziło. Po jednej stronie kominka wisiała ciężka zasłona. Skrywała ona okno wykuszowe, które widzieliśmy z zewnątrz. Po drugiej stronie były drzwi wychodzące na werandę. Pośrodku pokoju stało biurko z obrotowym fotelem obciągnięte lśniącą czerwoną skórą. Naprzeciwko niego znajdowała się duża biblioteczka, zwieńczona marmurowym popiersiem Ateny. W rogu, pomiędzy biblioteczką a ścianą, stał duży zielony sejf. Światło z kominka odbijało się w jego mosiężnych, polerowanych gałkach. Holmes po cichu podszedł do sejfu i uważnie go obejrzał. Następnie podkradł się do drzwi

sypialni i stanął przy nich z przechyloną głową, czujnie nasłuchując. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk. Ja tymczasem uświadomiłem sobie, że dobrze byłoby zabezpieczyć drogę ucieczki przez drzwi prowadzące na zewnątrz, więc się im przyjrzałem. Ku memu zdumieniu okazało się, że nie są ani zamknięte, ani zaryglowane. Dotknąłem ramienia Holmesa, a on odwrócił zamaskowaną twarz w stronę tych drzwi. Zauważyłem, jak drgnął, najwyraźniej był zaskoczony nie mniej ode mnie.

– Nie podoba mi się to – wyszeptał, przykładając swoje usta do mojego ucha. – Nie wiem, o co chodzi. Nie mamy jednak czasu do stracenia.

– Co mam robić?

– Stań przy wejściu. Jeśli usłyszysz jakieś kroki, zarygluj drzwi, a my uciekniemy tą samą drogą, którą się tu dostaliśmy. Jak ktoś pojawi się z drugiej strony, wyjdziemy drzwiami, jeżeli zdążymy wykonać nasze zadanie; jeśli jednak jeszcze się z nim nie uporamy, ukryjemy się za zasłonami, rozumiesz?

Pokiwałem głową i stanąłem przy drzwiach. Strach, który ogarnął mnie na początku, ustąpił, i poczułem dreszcz emocji, silniejszy niż wówczas, gdy broniliśmy prawa, zamiast je łamać. Ważny cel naszej misji, świadomość, że jest ona rycerska i bezinteresowna, nikczemny charakter naszego przeciwnika – wszystko to składało się na wyjątkową przygodę. Bynajmniej nie czułem się winny, upajałem się niebezpieczeństwem. Z podziwem przyglądałem się, jak Holmes wyjmuje swój futerał i wybiera z niego odpowiednie narzędzia ze spokojną dokładnością chirurga wykonującego delikatny zabieg. Wiedziałem, że otwieranie sejfów stanowi szczególne hobby mego przyjaciela, i zauważyłem, ile radości sprawiała mu konfrontacja z tym zielono-złotym potworem, smokiem czyhającym na dobre imię wielu pięknych pań. Podwinąwszy rękawy fraka (płaszcz zdjął wcześniej i położył na krześle), Holmes wybrał dwa wiertła, łom i kilka wytrychów. Stałem przy środkowych drzwiach, rozglądając się na boki, gotów przystąpić do działania w każdej sytuacji, choć muszę przyznać, że nie bardzo wiedziałem, jak miałbym się zachować, gdyby ktoś usiłował nam przeszkodzić. Mój przyjaciel pracował z werwą przez pół godziny w wielkim skupieniu, odkładając jedno narzędzie i biorąc do rąk inne; każde z nich chwytał z siłą i delikatnością wprawnego mechanika. Wreszcie usłyszałem trzask i zobaczyłem leżące wewnątrz sejfu pliki papierów, z których każdy był przewiązany, zapieczętowany i opisany. Holmes wziął

do rąk jeden z nich, ale trudno było odczytać napis przy migoczącym ogniu. Mój przyjaciel wyjął swoją małą latarkę, gdyż niebezpiecznie było zapalać światło elektryczne, kiedy Milverton spał w pokoju obok. Nagle zamarł, przez moment uważnie nasłuchiwał, a potem w jednej chwili zamknął drzwi sejfu, chwycił płaszcz, wetknął narzędzia do kieszeni i pośpiesznie ukrył się za zasłoną, gestem nakazując mi zrobić to samo.

Dopiero kiedy do niego dołączyłem, usłyszałem to, co już przedtem zarejestrowały jego bardziej wyczulone zmysły. Z wnętrza domu dobiegał hałas. W oddali trzasnęły drzwi, niewyraźny stłumiony szmer zamienił się w miarowy odgłos szybko zbliżających się ciężkich kroków. Ktoś przeszedł przez korytarz i zatrzymał się przed naszą kryjówką. Po chwili usłyszeliśmy odgłos otwierających się drzwi i wyraźne pstryknięcie, zwiastujące włączenie światła elektrycznego. Drzwi zamknęły się, a w nasze nozdrza uderzył odpychający fetor mocnego cygara. W kilku jardach od nas kroki to oddalały się, to przybliżały się. Wreszcie skrzypnął fotel, a odgłosy stąpania ustały. Później w zamku szczęknął klucz, i usłyszałem szelest papierów.

Do tej chwili nie odważyłem się poruszyć, teraz jednak delikatnie rozsunąłem zasłony i wyjrzałem przez powstały między nimi otwór. Poczułem ramię Holmesa na moim ramieniu, z czego wywnioskowałem, że on również wygląda z ukrycia. Tuż przed nami, niemal w zasięgu ręki, znajdowały się szerokie, zgarbione plecy Milvertona. Było oczywiste, że całkowicie omyliliśmy się co do jego planów, on w ogóle nie wchodził do sypialni, a siedział w palarni lub pokoju bilardowym w innym skrzydle domu, którego okien nie widzieliśmy. Pierwsze, co się znalazło przed naszymi oczami, była jego okrągła, siwiejąca głowa z łysiną na czubku. Mężczyzna spoczywał w czerwonym skórzanym fotelu z wyciągniętymi nogami, w ustach tkwiło pod jakimś dziwnym kątem długie, czarne cygaro. Miał na sobie bordowy smoking o kroju, przypominającym militarny, z czarnym, aksamitnym kołnierzykiem. W ręku trzymał gruby dokument, który leniwie czytał, wydmuchując przy tym kółka tytoniowego dymu. Ani wygodna pozycja, ani spokojna postawa nie wskazywały na to, by miał szybko zakończyć czytanie i wyjść.

Poczułem, jak Holmes chwyta moją dłoń i ściska ją krzepiąco, jakby chciał mi powiedzieć, że panuje nad sytuacją i niczym się nie niepokoi. Nie byłem pewien, czy zauważył to, co z mojego miejsca, gdzie stałem, było widać jak na dłoni – niedomknięte drzwiczki sejfu. Milverton mógł to

dostrzec w każdej chwili. Postanowiłem, że jeśli wyczytam ze spojrzenia szantażysty, że zwrócił uwagę na sejf, natychmiast wyskoczę zza zasłony, narzucę mu na głowę swój płaszcz, skrępuję ręce, a resztę pozostawię Holmesowi. Jednak Milverton ani razu się nie obejrzał. Z leniwym zainteresowaniem przeglądał trzymane w ręku papiery, przewracając kolejne strony. Sądziłem, że kiedy skończy lekturę i wypali cygaro, pójdzie wreszcie do sypialni, jednak zanim to nastąpiło, doszło do niezwykłego wydarzenia, które całkowicie zmieniło tok naszych myśli.

Kilkakrotnie zauważyłem, że Milverton spogląda na zegarek, a raz podniósł się z fotela i opadł na niego niecierpliwie z powrotem. Jednak myśl, że mógł się z kimś umówić o tak późnej porze, przyszła mi do głowy dopiero wówczas, gdy z werandy dobiegł cichy dźwięk. Milverton upuścił papiery i sztywno usiadł w fotelu. Hałas się powtórzył, chwilę później rozległo się ciche stukanie do drzwi. Milverton wstał i otworzył je.

– No – powiedział ostro – spóźniłaś się prawie o pół godziny.

Takie oto było wyjaśnienie niezamkniętych drzwi i nocnego czuwania mężczyzny. Usłyszałem cichy szelest kobiecej sukni. Zaciągnąłem szparę między zasłonami, kiedy Milverton zwrócił twarz w naszą stronę, później jednak zebrałem się na odwagę, ponownie uchyliłem kotarę i bardzo ostrożnie zerknąłem. Szantażysta ponownie usiadł, a cygaro wciąż wystawało pod niebywałym kątem z kącika jego ust. Przed mężczyzną stała w świetle elektrycznych lamp wysoka, szczupła kobieta o ciemnych włosach z twarzą osłoniętą woalką, okutana w pelerynę sięgającą aż do podbródka. Oddychała szybko, a każdy cal jej gibkiej sylwetki drżał pod wpływem silnych emocji.

– Nie wyśpię się przez ciebie, złotko – oznajmił Milverton. – Mam nadzieję, że okażesz się tego warta. Nie mogłaś przyjść kiedy indziej, co?

Kobieta potrząsnęła głową.

– Cóż, nie mogłaś, to nie mogłaś. Jeśli hrabina jest złą panią, będziesz miała teraz szansę wyrównać z nią rachunki. Dziewczyno, czemu się tak trzęsiesz? O tak. Weź się w garść. A teraz przejdźmy do interesów. – Wyjął notatnik z szuflady biurka. – Twierdzisz, że masz pięć listów kompromitujących hrabinę d’Albert. Ty chcesz je sprzedać, ja chcę je kupić. Póki co wszystko jest na jak najlepszej drodze, pozostaje tylko ustalić cenę. Rzecz jasna, chciałbym obejrzeć listy. Jeśli okażą się naprawdę przydatne… Wielkie nieba, to pani?

Kobieta bez słowa podniosła woalkę i opuściła pelerynę, zakrywającą jej podbródek. W Milvertona wpatrywała się ładna, śniada kobieta o wyrazistych rysach twarzy – z zadartym nosem, grubymi ciemnymi brwiami, pod którymi lśniły zimne oczy, i ustami o wąskich wargach, zastygłych w groźnym uśmiechu.

– To ja – odpowiedziała. – Kobieta, której złamał pan życie.

Milverton roześmiał się, ale w jego głosie pobrzmiewał strach.

– Była pani taka uparta – rzekł. – Czemu zmusiła mnie pani, bym posunął się do ostateczności? Zapewniam, że z własnej woli nie skrzywdziłbym muchy, ale taką mam pracę, więc co miałem zrobić? Wyznaczyłem cenę, na którą było panią stać. Nie zapłaciła pani.

– Wysłał pan zatem listy do mojego męża, a on, najcnotliwszy dżentelmen, jakiego ziemia nosiła, człowiek, któremu nie byłam godna wiązać butów, umarł, gdyż pękło jego szlachetne serce. Pamięta pan ostatnią noc, kiedy tu byłam. Błagałam o litość, a pan roześmiał mi się w twarz tak, jak próbuje zrobić to teraz, tyle że przez swe tchórzostwo nie może pan powstrzymać drżenia warg. Tak, nie spodziewał się pan ujrzeć mnie tu ponownie, ale tamtej nocy przekonałam się, że jestem zdolna stanąć z panem sama twarzą w twarz. Charlesie Milverton, co ma pan do powiedzenia?

– Niech się pani nie wydaje, że uda jej się mnie zastraszyć – odparł mężczyzna, zrywając się z fotela. – Wystarczy, że podniosę głos, a przybiegną moi służący, i pani zostanie aresztowana. Okażę jednak zrozumienie dla gniewu, który jest naturalny w pani sytuacji. Proszę natychmiast opuścić pokój, a nie wspomnę więcej o tej sprawie.

Kobieta wciąż stała, jej ręka była ukryta w fałdach na wysokości piersi, a na ustach nadal błądził złowrogi uśmiech.

– Nie zrujnuje pan nikomu więcej życia tak jak mnie. Nie złamie pan nikomu więcej serca tak jak mnie. Uwolnię świat od tej jadowitej kreatury. A masz, ty bydlaku! A masz! A masz!

Wyciągnęła mały lśniący rewolwer i zaczęła strzelać do Milvertona, trzymając lufę o dwie stopy od gorsu jego koszuli. Mężczyzna najpierw się cofnął, potem upadł do przodu na biurko, wściekle kaszląc i zagarniając rękami papiery, a następnie wstał, chwiejąc się, na nogi, lecz trafiony raz jeszcze, upadł na podłogę.

– Wykończyła mnie pani! – wykrzyknął i znieruchomiał.

Kobieta uważnie mu się przyjrzała i postawiła obcas buta na zwróconą ku górze twarz swej ofiary. Spojrzała na niego ponownie, leżał cicho i nieruchomo. Usłyszałem szelest sukni, do nagrzanego pokoju wtargnęło chłodne nocne powietrze, a mścicielka zniknęła.

Nasza interwencja w żaden sposób nie mogła uratować mężczyzny. Kiedy kobieta raz za razem strzelała do kulącego się Milvertona, chciałem ją zatrzymać, poczułem jednak wtedy, jak Holmes mocno łapie mnie za nadgarstek swą zimną ręką. Zrozumiałem, co chciał mi przekazać tym silnym chwytem: to nie nasza sprawa, tego łotra spotkało to, na co zasłużył, mamy własne zamiary i cele, o których nie należy zapominać. Zaraz po tym, jak kobieta wyszła z pokoju, Holmes szybkimi cichymi krokami podkradł się do drugich drzwi i przekręcił klucz w zamku. W tej samej chwili usłyszeliśmy dobiegające z domu głosy i pośpieszny tupot kroków. Dźwięki wystrzałów obudziły cały dom. Holmes z niezmąconym spokojem podszedł do sejfu, wziął w obie ręce pliki listów i wrzucił je wszystkie do ognia. Powtórzył tę operację kilka razy, aż do opróżnienia sejfu. Ktoś obrócił klamkę i zaczął dobijać się do drzwi. Sherlock szybko rozejrzał się wokół. List, który czytał Milverton przed śmiercią, leżał na biurku, był poplamiony krwią. Holmes rzucił go również pomiędzy płonące papiery. Następnie wyjął klucz z zamka w zewnętrznych drzwiach i, kiedy wyszliśmy z domu, zamknął je za sobą.

– Tędy, Watsonie! – krzyknął. – Z tej strony możemy przedostać się przez płot otaczający ogród.

Nie mogłem uwierzyć, że alarm tak szybko postawi wszystkich na nogi. Kiedy się obejrzałem, zobaczyłem, że cały olbrzymi budynek rozbłyskiwał światłami. Frontowe drzwi były otwarte, i jakieś postacie wybiegały na drogę. Ogród był pełen ludzi, a jeden z nich krzyknął, kiedy wybiegaliśmy z werandy, i pognał za nami. Holmes, który bardzo dobrze znał ten teren, popędził pomiędzy młodymi drzewkami. Biegłem tuż za nim, a pogoń deptała nam po piętach. Na drodze stanął wysoki na sześć stóp mur, jednak mój przyjaciel wskoczył na jego szczyt, a stamtąd zeskoczył na drugą stronę. Poszedłem w jego ślady. Poczułem, jak mój prześladowca łapie mnie za kostkę; uwolniłem się kopnięciem i przeczołgałem przez porośnięte trawą zwieńczenie muru. Upadłem na twarz w jakieś krzaki, jednak Holmes w mgnieniu oka postawił mnie na nogi, i razem pomknęliśmy przez rozległe wrzosowisko Hampstead Heath. Przebiegliśmy chyba ze dwie

mile, nim mój przyjaciel zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Wokół nas panowała absolutna cisza. Zgubiliśmy pogoń i byliśmy bezpieczni.

Następnego dnia po opisanych tu niezwykłych wydarzeniach paliliśmy fajki po śniadaniu, kiedy inspektor Lestrade ze Scotland Yardu wkroczył z bardzo uroczystą miną do naszego skromnego salonu.

– Dzień dobry, panie Holmes – przywitał się. – Dzień dobry panu. Chciałbym się dowiedzieć, czy jest pan w tej chwili bardzo zajęty?

– Nie aż tak, by pana nie wysłuchać.

– Pomyślałem, że gdyby miał pan nieco wolnego czasu, mógłby nam pomóc w wyjaśnieniu niezwykle osobliwej sprawy, która rozegrała się w Hampstead wczoraj w nocy.

– A niech mnie! – zdziwił się Holmes. – Co się takiego stało?

– Doszło do morderstwa, niezwykłego i dramatycznego morderstwa. Wiem, jak bardzo lubi pan takie sprawy, i byłbym bardzo zobowiązany, gdyby wstąpił pan do Appledore Towers i dał nam możność skorzystania z pańskich rad. To nie była zwyczajna zbrodnia. Mieliśmy pana Milvertona na oku już od jakiegoś czasu, i, mówiąc między nami, był z niego kawał drania. Wiadomo, że posiadał dokumenty, które wykorzystywał do szantażu. Wszystkie zostały spalone przez morderców. Nie zginęło nic cennego, jest zatem prawdopodobne, że sprawcy byli wysoko postawionymi osobami, a ich jedynym celem było uniknięcie kompromitacji.

– Sprawcy? – spytał Holmes. – Użył pan liczby mnogiej?

– Tak, było ich dwóch. Mało brakowało, a schwytano by ich na gorącym uczynku. Mamy odciski butów i rysopisy, i stawiam dziesięć przeciwko jednemu, że uda nam się ich wytropić. Pierwszy biegł zbyt szybko, ale drugi został schwytany przez pomocnika ogrodnika i wyrwał mu się dopiero po szamotaninie. Był to krępy mężczyzna średniego wzrostu o kwadratowej szczęce i grubej szyi, miał wąsy, a twarz przysłaniała mu maską.

– To niezbyt konkretny opis – stwierdził Holmes. – Przecież pasuje nawet do Watsona!

– W rzeczy samej – rzekł rozbawiony inspektor – to mógłby być rysopis doktora Watsona.

– Cóż, Lestrade, obawiam się, że nie mogę panu pomóc. Nie ukrywam, że znałem Milvertona i uważałem go za jednego z najniebezpieczniejszych

ludzi w Londynie. Poza tym sądzę, że istnieją takie zbrodnie, których nie może ukarać prawo i które w związku z tym do pewnego stopnia usprawiedliwiają zemstę. Nie ma sensu się spierać, podjąłem już decyzję. W tym przypadku jestem po stronie sprawców, nie ofiary, nie mogę więc zająć się sprawą.

Holmes nie wspomniał ani słowem o tragedii, której byliśmy świadkami, jednak przez cały ranek był w melancholijnym nastroju, a jego błędny wzrok i roztargnienie wskazywały na to, że usiłuje coś sobie przypomnieć. Kiedy jedliśmy lunch, nagle zerwał się na nogi.

– Na Jowisza, Watsonie, mam! – wykrzyknął. – Bierz kapelusz i chodź ze mną! – Pobiegliśmy ile sił w nogach Baker Street i dalej Oxford Street, aż dotarliśmy w pobliże Regent Circus. W tym miejscu, po lewej stronie ulicy, znajdowała się witryna ze zdjęciami aktualnych sław i piękności. Holmes wpatrzył się w jedną z fotografii, a ja, idąc za jego spojrzeniem, zobaczyłem wizerunek wspaniałej, szlachetnie urodzonej damy w dworskich szatach, z wysoką brylantową tiarą na pełnej wdzięku głowie. Popatrzyłem na jej delikatnie zadarty nos, wyraziste brwi, wąskie usta i mocno zarysowany podbródek. Później gwałtownie wciągnąłem powietrze, kiedy przeczytałem stary zaszczytny tytuł wielkiego szlachcica i męża stanu, którego żoną była ta kobieta. Napotkałem wzrok Holmesa, mój przyjaciel przyłożył palec do ust, i odwróciliśmy się od witryny.

Opowieść ósma

SZEŚĆ POPIERSI NAPOLEONA

Pan Lestrade ze Scotland Yardu często składał nam wieczorem wizyty, które cieszyły Sherlocka Holmesa, gdyż mógł na bieżąco śledzić pracę policji. W zamian za wieści, które przynosił inspektor, mój przyjaciel był zawsze gotów uważnie wysłuchać szczegółów sprawy, nad którą pracował jego gość, i niekiedy, nie biorąc w niej bezpośrednio udziału, zasugerować coś na podstawie swej rozległej wiedzy i swego doświadczenia.

Tego wieczora Lestrade mówił o pogodzie i prasie. Potem umilkł i palił w zamyśleniu cygaro. Holmes przyglądał mu się badawczo.

– Ma pan coś ciekawego? – spytał.

– Nie, panie Holmes, to nic takiego.

– W takim razie proszę mi o tym opowiedzieć.

Lestrade się roześmiał.

– Cóż, panie Holmes, nie zaprzeczam, że mam coś na myśli, jednak sprawa jest tak absurdalna i trywialna, że wahałem się, czy zawracać panu głowę. Z drugiej strony, jest niewątpliwie także osobliwa, a wiem, że gustuje pan we wszystkim, co niezwykłe. Moim zdaniem, rzecz jednak dotyczy bardziej doktora Watsona jako lekarza.

– Chodzi o jakąś chorobę?

– O szaleństwo, i to nietypowe. Kiedy ktoś dokonuje włamania, aby zniszczyć cudze podobizny, powinien się nim zająć lekarz, nie policjant.

Holmes wyprostował się w fotelu.

– Włamanie? Robi się coraz ciekawiej. Proszę opowiedzieć mi o wszystkim w szczegółach.

Lestrade wyjął swój służbowy notatnik i odświeżył pamięć za pomocą zapisków.

– Pierwszy raz zgłoszono tę sprawę cztery dni temu – zaczął. – Incydent miał miejsce w sklepie Morse’a Hudsona, który sprzedaje obrazy i rzeźby przy Kennington Road. Subiekt wyszedł na chwilę na zaplecze. Usłyszał huk, a kiedy pośpiesznie wrócił do sklepu, zobaczył, że gipsowe popiersie Napoleona, które wraz z kilkoma innymi przedmiotami znajdowało się na ladzie, leżało teraz, strzaskane, na podłodze. Chłopak wybiegł na ulicę, ale choć kilku przechodniów widziało, jak ze sklepu wybiega jakiś mężczyzna, nie schwytał nikogo, nie wiedział też, jak rozpoznać złoczyńcę. Uznał, że to jeden z tych chuligańskich wybryków, które się od czasu do czasu zdarzają, i zgłosił posterunkowemu. Gipsowy odlew nie był wart więcej niż kilka szylingów, a cała sprawa wydawała się dziecinadą, nie zasługującą na drobiazgowe śledztwo. Drugi przypadek, poważniejszy i wyjątkowo niezwykły, miał miejsce ostatniej nocy. Przy tejże Kennington Road, kilkaset jardów od sklepu pana Hudsona, mieszka znany lekarz doktor Barnicot, który posiada jeden z największych gabinetów na południowym brzegu Tamizy. Mieszka i przyjmuje pacjentów przy Kennington Road; oprócz tego ma także drugi gabinet i aptekę przy Lower Brixton Road, dwie mile dalej. Doktor Barnicot uwielbia Napoleona. Jego dom jest pełen książek, obrazów i pamiątek po cesarzu Francuzów. Jakiś czas temu zakupił u Morse’a Hudsona dwa gipsowe odlewy słynnego popiersia Napoleona wykonanego przez francuskiego rzeźbiarza Devine’a. Jeden z nich umieścił w korytarzu domu przy Kennington Road, drugi – na kominku w gabinecie przy Lower Brixton Road. Kiedy doktor Barnicot przybył dziś rano do domu, ze zdziwieniem odkrył, że w nocy ktoś się włamał do mieszkania, ale nie zginęło nic poza gipsowym odlewem. Złodziej wyniósł popiersie z domu i bezlitośnie roztrzaskał o mur w ogrodzie. Na ziemi odnaleziono jedynie marne resztki rzeźby.

Holmes zatarł ręce.

– Zdarzenie w istocie bardzo nietypowe – stwierdził.

– Miałem nadzieję, że się pan zainteresuje, ale to jeszcze nie koniec. W południe doktor Barnicot przyszedł do gabinetu. Proszę sobie wyobrazić jego zdumienie, kiedy odkrył, że okno jest otwarte, a po całym pokoju rozrzucone są strzaskane fragmenty drugiego popiersia. Zostało ono rozbite tam, gdzie stało. W żadnym z tych miejsc nie znaleźliśmy śladów, które mogłyby doprowadzić nas do przestępcy lub szaleńca, sprawcy tego czynu. Panie Holmes, przedstawiłem panu fakty.

– Są one osobliwe, można by rzec, groteskowe – przyznał mój przyjaciel. – Czy dwa popiersia rozbite u doktora Barnicota były dokładnymi kopiami tego zniszczonego w sklepie Morse’a Hudsona?

– Zostały odlane z tej samej formy.

– Aha, nie świadczy to na korzyść teorii, że niszczycielem powoduje wyłącznie nienawiść do Napoleona. Biorąc pod uwagę, ile setek posągów wielkiego cesarza znajduje się w Londynie, trudno podejrzewać, by nasz zuchwały obrazoburca zaczął przypadkiem od trzech egzemplarzy tego samego popiersia.

– Też tak pomyślałem – potwierdził Lestrade. – Z drugiej jednak strony, Morse Hudson zaopatruje w rzeźby tę część Londynu, a od lat miał w sklepie tylko rzeczone trzy popiersia. Być może, tak jak pan twierdzi, w naszym mieście znajdują się setki rzeźb Napoleona, jest jednak bardzo prawdopodobne, że te trzy były jedynymi w dzielnicy, zatem miejscowy fanatyk siłą rzeczy zaczął od nich. Co pan o tym sądzi, doktorze Watson?

– Możliwości monomanii są nieograniczone – odpowiedziałem. – Istnieje jednostka chorobowa, którą współcześni francuscy psychologowie nazwali „idée fixe”. Może ona mieć łagodny przebieg, a cierpiący na nią mogą we wszystkich innych aspektach życia zachowywać się jak ludzie całkowicie zdrowi. Człowiek, który wiele czytał o Bonapartem lub którego rodzina doznała uszczerbku wskutek wojny napoleońskiej, mógłby zostać owładnięty taką idée fixe i pod jej wpływem robić rzeczy fantastyczne i oburzające.

– To za mało, drogi Watsonie – powiedział Holmes, potrząsając głową. – Żadna idée fixe nie pozwoliłaby twojemu maniakowi dowiedzieć się, gdzie znajdują się te popiersia.

– Jak ty byś to wytłumaczył?

– Chciałem jedynie zauważyć, że w ekscentrycznych działaniach tego dżentelmena jest pewna metoda. Na przykład, popiersie z korytarza domu doktora Barnicota roztrzaskano nie w środku, gdzie hałas mógłby obudzić mieszkańców, a na zewnątrz, zaś w gabinecie, gdzie niebezpieczeństwo wszczęcia alarmu było mniejsze, rozbito je tam, gdzie stało. Sprawa wydaje się absurdalnie błaha, nie śmiem jednak bagatelizować żadnego drobiazgu, pamiętam bowiem, że niektóre z moich najciekawszych spraw nie miały obiecujących początków. Watsonie, przypominasz sobie zapewne, jak straszna sprawa dotycząca rodziny Abernetty zwróciła moją uwagę dlatego,

że pietruszka głęboko zatopiła się w maśle w gorący dzień. Nie zamierzam zatem lekceważyć trzech rozbitych popiersi, Lestrade, i byłbym bardzo zobowiązany, gdyby powiadomił mnie pan o kolejnych niecodziennych wydarzeniach w tej sprawie.

Dalszy rozwój sytuacji, którego spodziewał się mój przyjaciel, nastąpił szybciej i był zdecydowanie bardziej tragiczny, niż mogliśmy przypuszczać. Następnego ranka, gdy ubierałem się w swojej sypialni, rozległo się stukanie do drzwi, wszedł Holmes z telegramem w dłoni i odczytał go na głos:

> Proszę przybyć natychmiast, Pitt Street 131, Kensington. Lestrade.

– Co się stało?

– Nie wiem, może chodzić o cokolwiek, podejrzewam jednak, że sprawa popiersi znalazła swój dalszy ciąg. Jeśli tak, nasz przyjaciel wandal zaczął działać w innej części Londynu. Watsonie, na stole czeka kawa, a przed drzwiami już stoi dorożka.

W ciągu pół godziny dotarliśmy na Pitt Street, cichą uliczkę tuż obok jednej z najbardziej ruchliwych londyńskich arterii. Dom pod numerem 131 był jednym z szeregu płaskich budynków, szacownych i zupełnie nieromantycznych. Kiedy tam podjechaliśmy, zobaczyliśmy, że przy ustawionych przed wejściem barierkach stoi tłum ciekawskich. Holmes zagwizdał.

– Do licha! Chodzi co najmniej o usiłowanie zabójstwa. Nic mniej dramatycznego nie zwabiłoby tu londyńskich gapiów. Skulone ramiona i wyciągnięte szyje świadczą o tym, że doszło tu do aktu przemocy. Ale co to, Watsonie? Najwyższe stopnie zostały wyszorowane, pozostałe są suche. A ile tu śladów stóp! Oto i Lestrade przy frontowym oknie. Zaraz się wszystkiego dowiemy.

Policjant przyjął nas z bardzo poważną miną i wprowadził do salonu, który przemierzał wszerz i wzdłuż bardzo niechlujny i wzburzony starszy mężczyzna, odziany we flanelowy szlafrok. Przedstawiono nam go. Był to właściciel domu pan Horace Harker z Głównego Syndykatu Prasowego.

– Znów chodzi o popiersie Napoleona – powiedział Lestrade. – Panie Holmes, wczoraj zainteresował się pan tą sprawą, pomyślałem więc, że zechce pan tu przyjechać, bo przybrała ona znacznie poważniejszy obrót.

– Co się stało?

– Popełniono morderstwo. Panie Harker, czy mógłby pan opowiedzieć w szczegółach tym dżentelmenom, co zaszło?

Mężczyzna w szlafroku zwrócił ku nam swoją bardzo smutną twarz.

– Dziwna rzecz – stwierdził, poruszony. – Przez całe życie zbierałem informacje o innych ludziach, a teraz, kiedy sam mam trafić na nagłówki gazet, jestem tak skonfundowany i zdenerwowany, że nie mogę złożyć razem dwóch słów. Gdybym przybył tu jako dziennikarz, przeprowadziłbym ze sobą wywiad i zamieściłbym artykuł na dwie kolumny w każdej wieczornej gazecie. Teraz rozdaję cenne informacje, opowiadając swą historię kolejnym osobom, a sam nie mogę jej wykorzystać. Słyszałem o panu, panie Holmes. Jeśli zdoła pan wyjaśnić tę dziwną sprawę, wysiłek, jaki włożę w opowiedzenie panu całego zajścia, zostanie wynagrodzony.

Holmes usiadł i zaczął słuchać.

– Zdaje się, że cała sprawa koncentruje się wokół popiersia Napoleona, które kupiłem tanio jakieś cztery miesiące temu i ustawiłem w tym pokoju. Znalazłem je u braci Harding, dwa domy dalej za stacją High Street. Jestem dziennikarzem, pracuję najczęściej w nocy, nierzadko piszę aż do świtu. Tak było i dzisiaj. Około trzeciej nad ranem, kiedy siedziałem w swojej norze na tyłach domu na najwyższym piętrze, wydało mi się, że usłyszałem na dole hałas. Nasłuchiwałem, ale się nie powtórzył, uznałem więc, że dochodził z zewnątrz. Jakieś pięć minut później rozległ się nagle okropny wrzask. Panie Holmes, był to najbardziej przerażający dźwięk, jaki w życiu słyszałem. Zostanie mi w uszach do końca moich dni. Siedziałem, skamieniały z przerażenia, przez minutę lub dwie, następnie chwyciłem pogrzebacz i ruszyłem na dół. Kiedy wszedłem do pokoju, zobaczyłem, że okno jest otwarte na oścież, a z kominka zniknęło popiersie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego złodziej miałby się połaszczyć na coś takiego, był to jedynie gipsowy odlew, pozbawiony w gruncie rzeczy jakiejkolwiek wartości. Jak pan widzi, osoba wychodząca przez otwarte okno może, stawiając jeden długi krok, zeskoczyć na próg frontowych drzwi. Najwyraźniej to właśnie uczynił włamywacz. Poszedłem więc do tych drzwi, otworzyłem je, wyszedłem i w ciemności przed domem omal się nie przewróciłem o czyjeś ciało. Pobiegłem z powrotem po lampę, i w jej świetle zobaczyłem biedaka z poderżniętym gardłem, zalanego krwią.

Zmarły leżał na plecach z podkurczonymi kolanami. Usta wykrzywiał okropny grymas. Ten widok będzie mnie nawiedzał w snach. Zdążyłem tylko wezwać gwizdkiem policję, a później chyba zemdlałem, gdyż pamiętam dopiero policjantów stojących nade mną w korytarzu.

– Kim był zamordowany?

Lestrade pośpieszył z wyjaśnieniami:

– Nie miał przy sobie niczego, co pozwoliłoby określić jego tożsamość. Może pan obejrzeć jego ciało w kostnicy. Póki co nie udało nam się niczego ustalić na jego temat. To wysoki smagły mężczyzna o potężnej budowie. Mógł mieć nie więcej niż trzydzieści lat, był nędznie ubrany, ale nie wyglądał na robotnika. W kałuży krwi obok ciała leżał rozkładany nóż z rogową rękojeścią. Nie wiadomo, czy był on narzędziem zbrodni, czy stanowił własność zmarłego. Na ubraniu mężczyzny nie było nazwiska, a w jego kieszeniach znaleźliśmy jabłko, kawałek sznurka, tani plan Londynu i zdjęcie. Oto ono.

Była to fotografia wykonana pośpiesznie małym aparatem. Przedstawiała żwawego, podobnego do małpy mężczyznę o wyrazistych rysach, grubych brwiach i osobliwie wystającej dolnej szczęce, upodabniającej jego twarz do pyska pawiana.

– A co się stało z popiersiem? – spytał Holmes, uważnie przyjrzawszy się zdjęciu.

– Otrzymaliśmy informacje na jego temat tuż przed pańskim przybyciem. Znaleziono je w ogrodzie przed pustym domem przy Campden House Road. Mówiąc ściślej, znaleziono drobne kawałki rozbitego popiersia. Jadę tam teraz, żeby im się przyjrzeć. Czy zechce pan mi towarzyszyć?

– Oczywiście. Najpierw jednak chciałbym się tu rozejrzeć. – Obejrzał dywan i okno, po czym stwierdził: – Ten człowiek albo miał bardzo długie nogi, albo był wyjątkowo wysportowany. Jest tu tak wysoko, że wdrapanie się na parapet i otwarcie okna było nie lada wyczynem. Droga powrotna była łatwiejsza. Panie Harker, czy pójdzie pan z nami zobaczyć, co zostało z popiersia?

Zrezygnowany dziennikarz usiadł przy biurku.

– Postaram się napisać coś na temat tej zbrodni – powiedział – choć nie wątpię, że pierwsze wieczorne wydania gazet dysponują już szczegółowymi informacjami. Takie już mam szczęście. Pamięta pan, jak przewróciła się trybuna w Doncaster? Byłem tam jedynym dziennikarzem, a tylko moja

gazeta nie podała relacji z tego wydarzenia, gdyż byłem zbyt wstrząśnięty, by cokolwiek napisać. A teraz spóźnię się z opisem morderstwa, które popełniono na progu mojego domu.

Wychodząc z pokoju, usłyszeliśmy ostry dźwięk pióra skrobiącego po papierze.

Miejsce, gdzie znaleziono szczątki popiersia, było oddalone o jakieś kilkaset jardów. Po raz pierwszy mogliśmy zobaczyć odłamki podobizny wielkiego cesarza, który budził tak szaloną nienawiść w umyśle nieznanego nam sprawcy. Szczątki leżały rozrzucone w trawie. Holmes podniósł z ziemi kilka z nich i uważnie obejrzał. Z jego skupionej twarzy i zdecydowanych działań wyczytałem, że wreszcie trafił na ślad.

– I co? – spytał Lestrade.

Holmes wzruszył ramionami.

– Przed nami jeszcze długa droga, jednak…, a jednak… istnieją pewne znaczące fakty, na których możemy się oprzeć. Po pierwsze, dla przestępcy zdobycie tego popiersia było warte więcej niż ludzkie życie, po drugie, nie rozbił odlewu w domu ani w jego pobliżu, i nie wiemy, czy zniszczenie rzeźby stanowiło jego jedyny cel.

– Działał w pośpiechu i był wstrząśnięty po walce z tamtym mężczyzną. Nie wiedział, co robi.

– To całkiem możliwe. Chciałbym jednak zwrócić pańską uwagę na położenie domu, przy którym zostało zniszczone popiersie.

Lestrade rozejrzał się wokół.

– Budynek był pusty, więc sprawca wiedział, że w ogrodzie nikt nie będzie mu przeszkadzał.

– Tak, jednak przy tej ulicy stoi jeszcze jeden pusty dom, który musiał mijać, nim dotarł tutaj. Czemu nie włamał się tam, skoro z każdym jardem wzrastało ryzyko, że ktoś go zauważy?

– Nie mam pojęcia – przyznał Lestrade.

Holmes wskazał na latarnię nad naszymi głowami.

– Tutaj widział, co robi, tam nie miał takiej możliwości. Oto przyczyna.

– Na Jowisza! To prawda – zgodził się detektyw. – Teraz, kiedy o tym myślę, przypomina mi się, że popiersie należące do doktora Barnicota zostało roztrzaskane nieopodal lampy. Panie Holmes, co powinniśmy z tym faktem zrobić?

– Zapamiętać go. Być może później trafimy na powiązany z nim ślad. Jakie kroki zamierza pan teraz podjąć, Lestrade?

– Moim zdaniem najbardziej praktyczny sposób rozpoczynania śledztwa to identyfikacja zmarłego. Nie powinna ona nastręczać problemów. Kiedy dowiemy się, kim był ten mężczyzna i z kim współpracował, będzie nam łatwiej ustalić, co robił przy Pitt Street wczoraj w nocy i kto napotkał go i zabił na progu domu pana Horace'a Harkera. Nie sądzi pan?

– Niewątpliwie, jednak ja bym się zabrał do sprawy inaczej.

– Co by pan zrobił?

– Nie może pan pozwolić, bym wywierał na niego wpływ. Proponuję, żeby pan pracował swoją metodą, ja wykorzystam swoją. Później będziemy mogli porównać nasze wyniki i uzupełnić je.

– Znakomicie – odpowiedział Lestrade.

– Wraca pan na Pitt Street? Jeśli zobaczy pan Horace'a Harkera, proszę go powiadomić o tym, że mam pewność, iż wczoraj do jego domu włamał się niebezpieczny szaleniec o morderczych zamiarach z manią na punkcie Napoleona. Ta informacja przyda mu się podczas pracy nad artykułem.

Lestrade wpatrzył się w mojego przyjaciela.

– Chyba pan w to nie wierzy?

Holmes się uśmiechnął.

– Nie wierzę? Może i nie. Jestem jednak przekonany, że taka wersja zainteresuje pana Harkera i czytelników Głównego Syndykatu Prasowego. A teraz, Watsonie, mamy, zdaje się, przed sobą długi dzień pełen dość skomplikowanej pracy. Lestrade, byłbym wdzięczny, gdyby wstąpił pan do nas na Baker Street dzisiaj o szóstej po południu. Chciałbym zatrzymać do tego czasu zdjęcie znalezione w kieszeni zabitego. Możliwe, że poproszę pana także o towarzyszenie mi i pomoc w małej wyprawie, na którą trzeba będzie wyruszyć dzisiaj, jeśli moje przypuszczenia się potwierdzą. Póki co do widzenia i powodzenia!

Wraz z Sherlockiem Holmesem poszliśmy na High Street, gdzie zatrzymaliśmy się przed sklepem braci Harding, w którym zostało kupione popiersie. Młody sprzedawca poinformował nas, że pan Harding będzie po południu, a on sam jest nowym pracownikiem i nie potrafi udzielić żadnych informacji. Na twarzy Holmesa odmalowały się rozczarowanie i irytacja.

– Cóż, Watsonie, nie możemy się spodziewać, że wszystko będzie szło jak z płatka – stwierdził w końcu. – Skoro pan Harding ma być tu dopiero

po południu, to wrócimy o tej właśnie porze. Jak zapewne się domyśliłeś, staram się prześledzić dzieje popiersi aż do ich źródła, by sprawdzić, czy istnieje jakaś przyczyna osobliwego losu, jaki je spotyka. Teraz pojedziemy do pana Morse'a Hudsona z Kennington Road i sprawdzimy, czy uda nam się wyjaśnić tę sprawę.

Po godzinie jazdy dotarliśmy do sklepu marszanda. Był to niski, przysadzisty człowieczek o czerwonej twarzy i krewkim temperamencie.

– Tak jest. Stał tu, na mojej ladzie, proszę pana – powiedział. – Nie wiem, po co płacę podatki, skoro każdy obwieś może tu wejść i zniszczyć moją własność. Tak, proszę pana, to ja sprzedałem dwa popiersia doktorowi Barnicotowi. To hańba, proszę pana! Myślę, że to spisek nihilistów. Tylko anarchiści mogą włóczyć się po mieście, rozbijając rzeźby. Czerwoni republikanie, oto z kim mamy do czynienia. Skąd miałem popiersia? Nie rozumiem, co to ma do rzeczy. Ale jeśli chce pan wiedzieć naprawdę, kupiłem je w firmie Gelder & Co. przy Church Street w Stepney. To znane przedsiębiorstwo, działa na rynku od dwudziestu lat. Ile miałem odlewów? Trzy. Dwa i jeden to trzy. Dwa kupił doktor Barnicot, jeden został rozbity w środku dnia na mojej własnej ladzie. Czy rozpoznaję człowieka z tej fotografii? Nie. Ależ tak! To Beppo, włoski robotnik, który pracował u mnie na akord. Trochę rzeźbił, pozłacał, oprawiał obrazy w ramy, wykonywał też inne drobne prace. Odszedł w zeszłym tygodniu, i od tego czasu nie słyszałem o nim. Nie wiem, ani skąd się wziął, ani dokąd poszedł. Kiedy u mnie pracował, nie miałem do niego żadnych zastrzeżeń. Zniknął na dwa dni przed rozbiciem popiersia.

– Cóż, trudno było się spodziewać więcej po panu Morsie Hudsonie – oznajmił Holmes, kiedy wyszliśmy ze sklepu. – Okazuje się, Beppo jest ogniwem łączącym Kennington i Kensington, i warto było przejechać dziesięć mil, by się tego dowiedzieć. A teraz, Watsonie, pojedziemy do firmy Gelder & Co. w Stepney, producenta odlewów. Byłbym zdziwiony, gdyby tam nie udało się uzyskać potrzebnych informacji.

Szybko przejechaliśmy kolejno przez różne części Londynu: modną, hotelową, teatralną, literacką, handlową i w końcu żeglarską, aż trafiliśmy do nabrzeżnego miasta o stu tysiącach mieszkańców, gdzie domy czynszowe wypełniał duszny odór wyrzutków z całej Europy. Tutaj, przy szerokiej ulicy, gdzie niegdyś mieszkali kupcy z City, znaleźliśmy poszukiwaną przez nas pracownię. Przed budynkiem znajdował się spory

plac pełen monumentalnych kamiennych pomników. Wewnątrz, w dużej sali, pięćdziesięciu robotników zajmowało się rzeźbieniem i wykonywaniem odlewów. Kierownik, potężny, jasnowłosy Niemiec, przyjął nas uprzejmie i udzielił wyraźnych odpowiedzi na wszystkie pytania Holmesa. Z jego ksiąg wynikało, że wykonano setki odlewów marmurowego popiersia Napoleona autorstwa Devine'a, zaś te trzy, które mniej więcej rok wcześniej trafiły do Morse'a Hudsona, stanowiły połowę partii złożonej z sześciu sztuk. Pozostałe trzy pojechały do Kensington, do braci Harding. Mężczyzna nie widział żadnego powodu, dla którego tych sześć odlewów miałoby się różnić od pozostałych. Nie potrafił też podać żadnej przyczyny, dlaczego ktokolwiek mógłby pragnąć je zniszczyć, co więcej, pomysł ten go rozśmieszył. Cena hurtowa popiersi wynosiła sześć szylingów, a w sprzedaży detalicznej mogły kosztować dwanaście lub więcej. Odlew wykonywano z dwóch form, z których każda przedstawiała jedną połowę twarzy; później dwa profile z gipsu paryskiego łączono w popiersie. Zwykle robili to Włosi w sali, w której się znajdowaliśmy. Po zakończeniu prac popiersia schły na stole w korytarzu, a następnie zanoszono je do magazynu. Nic więcej nie potrafił nam powiedzieć. Gdy jednak pokazaliśmy mu zdjęcie, wywarło ono na nim niezwykłe wrażenie. Jego twarz poczerwieniała z gniewu, a brwi zmarszczyły się nad niebieskimi, teutońskimi oczami.

– To ten łajdak! – wykrzyknął. – O tak, znam go bardzo dobrze! Nasza pracownia zawsze była szacowną firmą; tylko jedyny raz była tu policja, ponad rok temu, i to właśnie z jego powodu. Zadźgał na ulicy pewnego Włocha, przybiegł tu ścigany przez policjantów, i tu też został ujęty. Miał na imię Beppo, nazwiska nie znam. Dostałem za swoje, nie trzeba było zatrudniać człowieka o takiej gębie. Był jednak dobrym rzemieślnikiem, jednym z najlepszych.

– Jaki dostał wyrok?

– Jego ofiara przeżyła, więc miał wyjść z więzienia po roku. Zapewne jest już na wolności, ale nie odważył się u mnie pokazać. Pracuje tu jednak jego kuzyn, być może on mógłby wskazać panu miejsce pobytu swego krewnego.

– Nie, nie! – wykrzyknął Holmes. – Błagam pana, ani słowa kuzynowi. Sprawa jest niezwykle ważna, a im bardziej się w nią zagłębiam, nabieram większego przekonania o jej znaczeniu. Kiedy pokazywał nam pan

w księdze zapis o sprzedaży popiersi, zauważyłem, że pochodzi on z trzeciego czerwca zeszłego roku. Czy mógłby mi pan powiedzieć, kiedy aresztowano Beppa?

– Mogę to ustalić mniej więcej na podstawie listy płac – powiedział kierownik. – Tak – stwierdził po przejrzeniu kilku stron. – Ostatnie wynagrodzenie otrzymał dwudziestego maja.

– Dziękuję – odparł Holmes. – Sądzę, że nie ma potrzeby, bym dalej nadużywał pańskiego czasu i pańskiej cierpliwości. – Jeszcze raz poprosiliśmy Niemca, by nie wspominał nikomu o naszych odwiedzinach, i ponownie skierowaliśmy się na zachód.

Było już późne popołudnie, gdy udało nam się wstąpić do restauracji i zjeść w pośpiechu obiad. Tablica z informacjami wisząca przy wejściu głosiła: „Napad w Kensington. Szaleniec morderca”, a treść artykułu w dostępnej na miejscu gazecie dowodziła, że pan Horace Harker zdołał opublikować swą historię. Spisana bardzo sensacyjnym i kwiecistym stylem, zajmowała dwie kolumny. Holmes oparł gazetę o stojak na przyprawy i przeczytał ją przy jedzeniu. Kilka razy przy tym zachichotał.

– Wszystko się zgadza, Watsonie, posłuchaj:

> Przyjęto z zadowoleniem fakt, że w tej sprawie nie dojdzie do różnicy poglądów. Zarówno pan Lestrade, jeden z najbardziej doświadczonych detektywów, jak i pan Sherlock Holmes, znany ekspert wezwany na konsultację, doszli do wniosku, że groteskowa i tragicznie zakończona seria wydarzeń jest efektem szaleństwa, a nie zaplanowanego przestępstwa. Zaistniałe fakty można wyjaśnić jedynie chorobą psychiczną.

– Prasa, Watsonie, jest nader pożyteczną instytucją, jeśli tylko potrafi się ją odpowiednio wykorzystać. Jeśli już skończyłeś, udamy się z powrotem do Kensington i zobaczymy, co ma w tej sprawie do powiedzenia właściciel sklepu braci Harding.

Założyciel tego wielkiego sklepu okazał się stanowczym, energicznym człowiekiem o jasnym umyśle i drobnej budowie, bystrym, elokwentnym i eleganckim.

– Tak, proszę pana, czytałem już relację w wieczornych gazetach. Pan Horace Harker jest naszym klientem. Kupił u nas popiersie kilka miesięcy temu. Zamówiliśmy trzy takie odlewy w firmie Gelder & Co. i wszystkie już sprzedaliśmy. Komu? Zaraz sprawdzę wpisy w księgach, sądzę, że

z łatwością zdołam odpowiedzieć na to pytanie. Oto one. Jak pan widzi, jedno popiersie trafiło do pana Harkera, drugie kupił pan Josiah Brown z Laburnum Lodge przy Laburnum Vale w Chiswick, a trzecie pan Sandeford z Lower Grove Road w Reading. Nie, nigdy nie widziałem osoby, która widnieje na tej fotografii. Sam pan przyzna, że nie dałoby się jej łatwo zapomnieć, rzadko widuje się szpetniejsze. Czy pracują u nas jacyś Włosi? Tak, proszę pana, kilku rzemieślników i sprzątaczy tej narodowości. Tak, myślę, że gdyby chcieli, mogliby zajrzeć do książki. Nie widzę powodu, by trzeba było jej pilnować. Cała ta sprawa jest bardzo dziwna. Mam nadzieję, że dadzą mi panowie znać, gdy ich dochodzenie przyniesie jakiś efekt.

Holmes zapisał kilka uwag podczas rozmowy z panem Hardingiem; zauważyłem, że jest bardzo zadowolony z rozwoju sytuacji. Nie powiedział jednak nic poza tym, że jeśli się nie pośpieszymy, spóźnimy się na spotkanie z Lestrade'm. Istotnie, kiedy dotarliśmy na Baker Street, detektyw był już na miejscu i przemierzał niecierpliwie pokój wzdłuż i wszerz. Napuszona mina naszego gościa świadczyła o tym, że jego dzisiejsza praca nie poszła na marne.

– I jak? – spytał. – Poszczęściło się panu, panie Holmes?

– Dzień był pracowity, i nie mogę uznać go za zmarnowany – odpowiedział mój przyjaciel. – Byliśmy u sprzedawców detalicznych i u hurtowników, którzy wytwarzają popiersia. Mogę teraz prześledzić losy każdego z nich od samego źródła.

– Popiersia! – wykrzyknął Lestrade. – Cóż, panie Holmes, ma pan swoje metody, i nie zamierzam ich krytykować, sądzę jednak, że dziś pracowałem skuteczniej niż pan. Zidentyfikowałem ofiarę.

– Coś podobnego!

– I znalazłem motyw zbrodni.

– Znakomicie!

– Pracuje u nas inspektor, który specjalizuje się w Saffron Hill i dzielnicy włoskiej. Zmarły miał na szyi jakiś katolicki symbol. Kiedy zobaczyłem jego śniadą cerę, pomyślałem, że być może pochodzi z południa. Inspektor Hill rozpoznał go od razu. Nazywał się Pietro Venucci, urodził się w Neapolu i był jednym z najgroźniejszych bandytów w Londynie. Miał powiązania z mafią, która, jak pan wie, jest tajnym stowarzyszeniem politycznym, egzekwującym swe postanowienia za pomocą wyroków

śmierci. Widzi pan, sprawa zaczyna się wyjaśniać. Ten drugi człowiek to zapewne także Włoch i członek mafii, który złamał jedną z panujących w niej zasad. Pietro ruszył jego śladem. Zdjęcie, które znaleźliśmy w kieszeni, przedstawia prawdopodobnie samego poszukiwanego, Venucci nosił je przy sobie, by nie zadźgać niewłaściwej osoby. Wytropił swą niedoszłą ofiarę, zobaczył, jak wchodzi do domu, zaczaił się na nią przed budynkiem, a podczas szamotaniny sam został śmiertelnie ranny. Co pan na to, panie Holmes?

Detektyw z uznaniem zaklaskał w dłonie.

– Znakomicie, Lestrade, znakomicie! – wykrzyknął. – Nie rozumiem jednak, jak zamierza pan wyjaśnić zniszczenie popiersi.

– Znowu te popiersia! Widzę, że tylko jedno panu w głowie. A to przecież błahostka, drobna kradzież, za którą sprawca nie dostanie więcej niż pół roku więzienia. Prowadzimy dochodzenie w sprawie morderstwa, i mówię panu, że śledzę wszystkie jej wątki.

– Jaki będzie pana następny krok?

– Bardzo prosty. Pojadę z Hillem do dzielnicy włoskiej, znajdę człowieka, którego zdjęciem dysponujemy, i aresztuję go pod zarzutem morderstwa. Czy pojedzie pan z nami?

– Raczej nie. Uważam, że możemy osiągnąć nasz cel w prostszy sposób. Nie mogę stwierdzić tego z całą pewnością, ponieważ wszystko zależy… cóż, zależy od czynnika pozostającego całkowicie poza naszą kontrolą. Mam jednak wielką nadzieję, konkretnie rzecz biorąc, stawiam dwa przeciwko jednemu, że jeśli pojedzie pan dzisiaj z nami, zdołam pomóc panu schwytać podejrzanego.

– W dzielnicy włoskiej?

– Nie, sądzę, że mamy większe szanse zastać go w Chiswick. Lestrade, jeśli pojedzie pan ze mną do Chiswick dziś wieczorem, obiecuję, że wybiorę się z panem do dzielnicy włoskiej, takie niewielkie opóźnienie w żaden sposób nie zaszkodzi sprawie. A teraz przydałoby się nam wszystkim kilka godzin snu. Zamierzam wyruszyć wieczorem po jedenastej, a jest mało prawdopodobne, że zdołamy wrócić przed świtem. Lestrade, proszę zjeść z nami obiad i zdrzemnąć się na kanapie. Watsonie, byłbym wdzięczny, gdybyś wezwał gońca. Muszę wysłać ważny pilny list.

Holmes spędził wieczór, wertując pliki starych gazet, którymi wypełniona była jedna z naszych rupieciarni. Kiedy w końcu zszedł na dół,

jego oczy błyszczały triumfalnie, nie powiedział jednak ani słowa o wynikach swych poszukiwań. Ja z kolei usiłowałem krok po kroku prześledzić metody, za pomocą których mój przyjaciel śledził zawiły przebieg tej skomplikowanej sprawy, i choć nie wiedziałem jeszcze, do czego zmierzamy, pojąłem, że Holmes spodziewa się ataków groteskowego złoczyńcy na dwa pozostałe popiersia, z których jedno, jak pamiętałem, znajdowało się w Chiswick. Nie miałem wątpliwości, że celem naszej wyprawy jest złapanie sprawcy na gorącym uczynku, i mogłem jedynie podziwiać przemyślność, z jaką mój przyjaciel podrzucił do wieczornej gazety fałszywy trop, by przekonać nieznajomego, że może nadal działać bezkarnie. Nie byłem zaskoczony, gdy Holmes poprosił, bym zabrał ze sobą rewolwer. On sam wziął ciężki palcat, swą ulubioną broń.

Dorożka zajechała pod drzwi o jedenastej, i udaliśmy się w miejsce położone po drugiej stronie mostu Hammersmith. Wysiedliśmy z powozu, a Holmes polecił woźnicy czekać. Po krótkim spacerze dotarliśmy do odludnej drogi, po której obu stronach stały urokliwe domy otoczone ogrodami. W świetle ulicznej latarni odczytaliśmy na słupie bramy jednego z nich napis: „Laburnum Villa”. Domownicy najwyraźniej udali się już na spoczynek, gdyż w całym domu było ciemno. Światło przenikało jedynie przez okienko nad drzwiami wejściowymi, i na ogrodowej ścieżce widać było niewyraźny jasny okrąg. Drewniany płot oddzielający posiadłość od drogi rzucał gęsty czarny cień. Tam właśnie się zaczailiśmy.

– Obawiam się, że będziemy musieli długo czekać – wyszeptał Holmes. – Możemy dziękować naszym szczęśliwym gwiazdom, że nie pada. Nie ryzykowałbym tu nawet palenia dla zabicia czasu. Stawiam jednak dwa przeciwko jednemu, że uda nam się znaleźć tu coś, co wynagrodzi te niedogodności.

Nasze czuwanie okazało się krótsze niż uprzedzał Holmes i zakończyło się w sposób nagły i bardzo nieoczekiwany. W jednej chwili bez najmniejszego dźwięku, który mógłby nas uprzedzić o czyimś nadejściu, otworzyła się furtka do ogrodu, i ścieżką ruszyła gibka, ciemna postać, szybka i ruchliwa jak małpa. Zobaczyliśmy, jak prześlizguje się przez światło z okna nad drzwiami i znika w czarnym cieniu domu. Po długiej przerwie, podczas której staraliśmy się wstrzymywać oddech, usłyszeliśmy delikatne skrzypienie. Ktoś otwierał okno. Po chwili wszystko umilkło, i znów zapanowała długa cisza. Przybysz zakradł się do domu.

Zobaczyliśmy, jak w jednym z pokoi nagle rozbłysło światło osłoniętej latarni. Intruz najwyraźniej nie znalazł tego, czego szukał, gdyż zobaczyliśmy światło przebłyskujące w innym pokoju, a potem w kolejnym.

– Chodźmy do otwartego okna. Schwytamy go, kiedy będzie wychodził – wyszeptał Lestrade.

Nim zdążyliśmy się ruszyć, mężczyzna znów pojawił się przed domem. Kiedy przechodził przez plamę światła, dostrzegliśmy, że trzyma pod pachą jakiś biały przedmiot. Ukradkiem rozejrzał się dookoła, uspokoiła go jednak panująca wszędzie cisza, więc odwrócił się do nas plecami, położył to, co niósł, na ziemi, i po chwili usłyszeliśmy głośny stuk, a po nim brzęk i grzechotanie. Nieznajomy był tak skupiony na tym, co robił, że nie usłyszał naszych kroków, gdy skradaliśmy się przez trawnik. Holmes jak tygrys skoczył na niego od tyłu, a po chwili Lestrade i ja chwyciliśmy go za nadgarstki i zakuliśmy w kajdanki. Kiedy odwróciliśmy go na plecy, zobaczyłem wpatrzoną w nas ohydną, ziemistą twarz o poskręcanych z wściekłości rysach. Od razu rozpoznałem mężczyznę z fotografii.

Holmes jednak nie zwracał uwagi na naszego więźnia. Przycupnął na progu i zaczął dokonywać uważnych oględzin przedmiotu, który mężczyzna wyniósł z domu. Było to popiersie Napoleona, takie samo, jak to, które widzieliśmy rano, i roztrzaskane w podobny sposób. Holmes po kolei oglądał pod światło wszystkie odłamki, ale żaden z nich niczym się nie różnił od pozostałych. Tuż po tym, jak zakończył oględziny, w korytarzu zapaliły się światła, i z domu wyszedł jego właściciel, jowialny, okrąglutki jegomość ubrany w koszulę i spodnie.

– Pan Josiah Brown, jak mniemam? – spytał Holmes.

– Owszem. A pan to niewątpliwie Sherlock Holmes. Otrzymałem list, który przesłał mi pan przez gońca, i zrobiłem dokładnie to, co mi pan zalecił. Zamknęliśmy wszystkie drzwi od środka i czekaliśmy na dalszy rozwój wypadków. Z przyjemnością widzę, że dopadł pan tego drania. Mam nadzieję, że wejdziecie panowie do środka, by się czegoś napić.

Lestrade’owi było jednak pilno odwieźć schwytanego w bezpieczne miejsce, więc po kilku minutach zawołaliśmy dorożkę i we czterech ruszyliśmy w drogę powrotną do Londynu. Nasz więzień nie odezwał się ani słowem, ale łypał na nas spod grzywy skołtunionych włosów, a raz, kiedy wydawało mu się, że zdoła dosięgnąć mojej ręki, rzucił się na nią

z zębami jak głodny wilk. Spędziliśmy chwilę na komisariacie. Dowiedzieliśmy się, że podczas przeszukania ubrania więźnia znaleziono jedynie kilka szylingów i długi, składany nóż, z rękojeścią obficie poplamioną świeżą krwią.

– Nie szkodzi – stwierdził Lestrade przed naszym odjazdem. – Hill zna wszystkich tych ludzi, będzie więc w stanie go zidentyfikować. Zobaczy pan, że moja teoria dotycząca mafii się potwierdzi. Jestem jednak panu bardzo wdzięczny, panie Holmes, za to, jak sprawnie pan go pojmał, i przyznaję, że nie do końca rozumiem, jak pan to zrobił.

– Obawiam się, że jest nieco za późno na długie wywody – stwierdził Holmes. – Poza tym kilka szczegółów nie zostało jeszcze wyjaśnionych, a zagadka należy do tych, które warto rozwikłać do samego końca. Jeśli zechciałby pan przyjść do mnie jutro o szóstej, będę w stanie wykazać, że nie pojął pan do końca znaczenia tej sprawy, a jej niektóre aspekty są niepowtarzalne w skali całej historii przestępczości. Watsonie, jeśli kiedykolwiek pozwolę ci spisać relacje z moich kolejnych śledztw, podejrzewam, że zechcesz urozmaicić je opowieścią o niezwykłej przygodzie z popiersiami Napoleona.

Kiedy spotkaliśmy się następnego wieczora, Lestrade przekazał nam wiele informacji o naszym więźniu. Miał on na imię Beppo, jego nazwisko pozostało nieznane. Był łajdakiem owianym złą sławą we włoskiej kolonii. Niegdyś zarabiał na życie uczciwie jako utalentowany rzeźbiarz, później jednak zszedł na złą drogę i już dwa razy zdążył trafić do więzienia – najpierw za drobną kradzież, później, o czym już wiedzieliśmy, za pchnięcie nożem swego rodaka. Znakomicie mówił po angielsku. Powody, dla których chciał zniszczyć popiersia, wciąż nie były znane, a więzień odmawiał udzielenia odpowiedzi na jakiekolwiek pytania dotyczące tej sprawy. Policja odkryła jednak, że mógł własnoręcznie odlać popiersia, bo wykonywał takie prace, gdy był zatrudniony w firmie Gelder & Co. Holmes wysłuchał tych informacji, z których znaczna część nie była już mu obca, uprzejmie i uważnie, ja jednak znałem go bardzo dobrze i wyraźnie widziałem, że błądzi myślami gdzie indziej. Wyczuwałem także mieszaninę niepokoju i wyczekiwania pod maską, którą zwykł się osłaniać. Nagle drgnął, a oczy mu rozbłysły, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi. Minutę później usłyszeliśmy kroki na schodach, i do pokoju wszedł starszy,

rumiany mężczyzna o siwiejących bokobrodach. W prawej ręce niósł staromodną płócienną torbę, którą postawił na stole.

– Czy jest tu pan Sherlock Holmes?

Mój przyjaciel skłonił się z uśmiechem.

– Pan Sandeford z Reading, jak mniemam? – zapytał.

– Owszem. Przepraszam za niepunktualność, ale mój pociąg się spóźnił. Zwrócił się pan do mnie w sprawie popiersia, które znajduje się w moim posiadaniu.

– Zgadza się.

– Mam tu pański list. Napisał pan: „Pragnę nabyć kopię popiersia Napoleona, które wykonał Devine, i jestem gotów zapłacić dziesięć funtów za odlew, który pan posiada”. Zgadza się?

– Jak najbardziej.

– Pański list bardzo mnie zdziwił, nie pojmuję bowiem, skąd pan wiedział, że w ogóle posiadam taki przedmiot.

– Rozumiem pańskie zaskoczenie, wyjaśnienie jest jednak bardzo proste. Pan Harding z firmy „Bracia Harding” powiedział, że sprzedali panu ostatni egzemplarz, i podał mi pański adres.

– A więc to tak! A czy powiedział panu, ile zapłaciłem za popiersie?

– Nie.

– Cóż, jestem człowiekiem uczciwym, choć niezbyt zamożnym. Dałem za ten odlew jedynie piętnaście szylingów i sądzę, że powinien pan to wiedzieć, nim zażądam od pana dziesięciu funtów.

– Takie skrupuły przynoszą panu zaszczyt, panie Sandeford. Podałem jednak cenę, i zamierzam ją zapłacić.

– To bardzo ładnie z pana strony, panie Holmes. Przywiozłem popiersie ze sobą, tak jak pan prosił. Oto ono! – otworzył torbę, i wreszcie zobaczyliśmy na naszym stole nienaruszony odlew, identyczny jak te, które przedtem oglądaliśmy strzaskane.

Holmes wyjął z kieszeni kartkę papieru i położył na stole dziesięciofuntowy banknot.

– Panie Sandeford, proszę podpisać ten dokument w obecności świadków. Stanowi on, że przekazuje mi pan wszelkie prawa do popiersia. Jak pan widzi, jestem człowiekiem metodycznym, a nigdy nie wiadomo, co przyniesie los. Dziękuję, panie Sandeford. Oto pańskie pieniądze. Życzę panu miłego wieczoru.

Po wyjściu naszego gościa Holmes zaczął zachowywać się w sposób, który nie mógł nie zwrócić naszej uwagi. Najpierw wyjął z szuflady czysty biały obrus i rozłożył go na stole, potem umieścił pośrodku obrusa zakupione chwilę wcześniej popiersie, nareszcie wziął do rąk swój palcat i mocno uderzył w czubek głowy Napoleona. Odlew rozpadł się na kawałki, a Holmes z uwagą się nad nimi pochylił. Po chwili z głośnym okrzykiem triumfu uniósł do góry jeden z odłamków, w którym, jak śliwka w cieście, tkwił ciemny, okrągły przedmiot.

– Panowie! – wykrzyknął. – Oto słynna czarna perła Borgiów!

Lestrade i ja przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, a później obaj zaczęliśmy spontanicznie klaskać, tak, jak po dobrze skonstruowanym zakończeniu sztuki teatralnej. Blade policzki Holmesa lekko się zarumieniły. Ukłonił się nam jak znany dramaturg, któremu widownia złożyła hołd. W takim momencie przestawał na chwilę być myślącą maszyną i zdradzał bardzo ludzkie upodobanie do podziwu i poklasku. Ta sama osobliwie dumna i pełna dystansu natura, która ze wzgardą odwracała się od sławy, wzruszała się do głębi spontanicznym zachwytem i pochwałą przyjaciela.

– Tak, panowie – powiedział Holmes. – To obecnie najsłynniejsza perła na świecie, a ja miałem szczęście, dzięki wyciąganiu kolejnych logicznych wniosków, prześledzić jej drogę z sypialni księcia Colonny w hotelu Dacre, skąd zaginęła, do wnętrza ostatniego z sześciu popiersi Napoleona wykonanych przez firmę Gelder & Co. ze Stepney. Lestrade, zapewne pamięta pan sensację, jaką wzbudziło zniknięcie tego cennego klejnotu i daremne wysiłki, jakie czyniła londyńska policja, by go odzyskać. Zwrócono się z prośbą o radę w tej sprawie również do mnie, nie byłem jednak w stanie rozwikłać tej zagadki. Podejrzenia padły na pokojówkę księżnej, niejaką Włoszkę, która, jak wykazało śledztwo, ma brata w Londynie. Nie udało się jednak udowodnić, że działali w zmowie. Służąca nazywała się Lucretia Venucci, i nie ulega wątpliwości, że zamordowany dwie noce temu Pietro był jej bratem. Sprawdziłem daty w starych gazetach, i okazało się, że zniknięcie perły miało miejsce na dwa dni przed aresztowaniem Beppa za napaść, dokonanym w pracowni firmy Gelder & Co., dokładnie wtedy, gdy wytwarzano tam popiersia. Teraz widzą panowie cały ciąg wydarzeń, choć oczywiście w odwrotnej kolejności, niż udało się ustalić to mnie. Beppo znalazł się w posiadaniu

perły. Może ukradł ją Pietrowi, może był jego wspólnikiem, a może pośredniczył pomiędzy Venuccim a jego siostrą. Nie ma to dla nas znaczenia. Istotny jest fakt, że miał perłę przy sobie, kiedy ścigała go policja. Uciekł do fabryki, w której pracował. Wiedział, że ma tylko kilka minut na ukrycie niezwykle cennego łupu, który zostałby znaleziony podczas przeszukania. W korytarzu schło sześć gipsowych odlewów popiersia Napoleona. Jeden z nich wciąż był miękki. Beppo, który był zdolnym rzemieślnikiem, zrobił małą dziurkę w gipsie, umieścił w niej perłę i kilkoma ruchami zalepił otwór. Była to znakomita skrytka. Nikt nie zdołałby jej znaleźć. Beppo został skazany na rok więzienia. W tym czasie sześć popiersi trafiło w różne części Londynu. Włoch nie wiedział, które z nich zawiera jego skarb. Mógł się o tym przekonać, rozbijając jedynie odlewy. Potrząsanie nic by nie dało, gdyż mokry gips mógł przylgnąć do perły, tak zresztą stało się w istocie. Beppo nie poddał się jednak i prowadził poszukiwania z wielką przemyślnością i uporem. Za pośrednictwem kuzyna pracującego w firmie Gelder dowiedział się, do których sklepów trafiły popiersia. Zatrudnił się u Morse'a Hudsona i w ten sposób wytropił trzy z nich. W żadnym nie znalazł perły. Następnie z pomocą kolejnego włoskiego pracownika sprawdził, kto kupił trzy pozostałe. Pierwszym nabywcą był Harker. Przed jego domem zdybał Beppa wspólnik. Obwiniał on go o utratę klejnotu, lecz poniósł śmierć w bójce, która się wywiązała w rezultacie kłótni.

– Jeśli Pietro był wspólnikiem, po co nosił przy sobie jego zdjęcie? – spytałem.

– Żeby móc go odszukać, pytając o niego innych. Powód był oczywisty. Po tym, jak doszło do morderstwa, uznałem, że Beppo zapewne będzie się starał działać jak najszybciej. Bał się, że policja odkryje jego sekret, i śpieszył się, by go nie ubiegła. Rzecz jasna, nie wiedziałem, czy nie znalazł perły w popiersiu, które posiadał Harker. Nie byłem nawet całkowicie pewny, czy chodzi właśnie o ten klejnot, ale było dla mnie oczywiste, że czegoś szukał, skoro przeszedł z popiersiem obok innych pustych domów i roztrzaskał je w ogrodzie oświetlonym latarnią. Skoro popiersie należące do Harkera było jednym z trzech ostatnich, szanse, że perła będzie w nim właśnie, wynosiły jeden do dwóch. Pozostały jeszcze dwa odlewy, ale było jasne, że Włoch najpierw spróbuje dostać się do tego znajdującego się w Londynie. Ostrzegłem mieszkańców domu, by zapobiec

kolejnej tragedii, i pojechaliśmy na miejsce, jak już wiadomo, ze znakomitym skutkiem. Byłem już wtedy pewny, że szukamy perły Borgiów. Nazwisko zamordowanego połączyło obie te sprawy. Pozostało ostatnie popiersie, to z Reading; perła musiała znajdować się wewnątrz niego. W waszej obecności odkupiłem je od właściciela, i oto jest.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Cóż – stwierdził w końcu Lestrade. – Widziałem, jak pracuje pan nad wieloma sprawami, panie Holmes, jednak nie rozwiązał pan żadnej z nich bardziej fachowo niż tej. My ze Scotland Yardu nie jesteśmy zawistni. Wręcz przeciwnie, rozpiera nas duma, że możemy z panem współpracować, i jeśli jutro pan do nas wpadnie, każdy, od najstarszego inspektora po najmłodszego posterunkowego, z przyjemnością uściśnie pańską dłoń.

– Dziękuję! – powiedział Holmes. – Dziękuję! – powtórzył, a kiedy odwracał się od nas, zdawało mi się, że był przepełniony ludzkimi emocjami bardziej, niż kiedykolwiek miałem okazję obserwować. Chwilę później stał się jednak na powrót zimnym, praktycznym myślicielem.

– Włóż perłę do sejfu, Watsonie – stwierdził – i wyjmij z niego papiery dotyczące sprawy fałszerstwa Conka-Singletona. Do widzenia, Lestrade. Jeśli napotka pan kiedyś kolejną zagadkę, z przyjemnością podsunę wskazówki dotyczące jej rozwiązania.

Opowieść dziewiąta

TRZEJ STUDENCI

W 1895 roku w wyniku splotu okoliczności, których nie zamierzam tu opisywać, spędziliśmy z Sherlockiem Holmesem kilka tygodni w jednym z pięknych brytyjskich miast uniwersyteckich. Przydarzyła nam się wówczas pouczająca przygoda, którą zamierzam tu opisać. Rzecz jasna, nie podam szczegółów, które mogłyby pomóc czytelnikowi zidentyfikować uczelnię lub winowajcę, byłoby to bowiem nieroztropne, a nawet obraźliwe. Nie godzi się rozdmuchiwać tak bolesnego skandalu, jednak przy zachowaniu odpowiedniej dyskrecji warto opisać samo wydarzenie, gdyż pozwoli to przedstawić pewne cechy, z których słynął mój przyjaciel. W swej opowieści będę się starał unikać stwierdzeń, które pozwoliłyby powiązać ją z określonym miejscem lub wskazać tożsamość występujących w niej osób.

Mieszkaliśmy wówczas w umeblowanych pokojach nieopodal biblioteki, w której Sherlock Holmes prowadził żmudne badania nad staroangielskimi dokumentami. Swoją drogą, jego praca przyniosła tak niezwykłe rezultaty, że same w sobie mogłyby stać się przedmiotem jednego z mych kolejnych opowiadań. Pewnego wieczora złożył nam wizytę znajomy, pan Hilton Soames, wykładowca w Kolegium św. Łukasza. Był to wysoki, szczupły mężczyzna o nerwowym i pobudliwym usposobieniu. Zawsze zachowywał się niespokojnie, tym razem jednak był tak niepohamowanie wzburzony, że nie miałem wątpliwości, że stało się coś niezwykłego.

– Panie Holmes, mam nadzieję, że zechce pan poświęcić mi kilka godzin swego cennego czasu. U św. Łukasza doszło do nader bolesnego incydentu, i gdyby szczęśliwym trafem nie przebywał pan w mieście, nie wiedziałbym, co robić.

– Jestem bardzo zajęty i nie życzę sobie, by mi przeszkadzano – odpowiedział mój przyjaciel. – Stanowczo wolałbym, aby skorzystał pan z pomocy policji.

– Drogi panie, to absolutnie niemożliwe. Kiedy raz puści się w ruch machinę prawa, nie sposób jej zatrzymać, a mamy do czynienia ze sprawą, która, ze względu na dobre imię kolegium, nie może doprowadzić do skandalu. Pańska dyskrecja jest nie mniej słynna niż pańskie zdolności, i jest pan jedynym człowiekiem na świecie, który może mi pomóc. Błagam pana, panie Holmes, niech pan zrobi wszystko, co w jego mocy.

Mój przyjaciel był nie w humorze, odkąd opuściliśmy nasze sympatyczne mieszkanie przy Baker Street. Bez swych albumów z wycinkami, chemikaliów i zwykłego bałaganu czuł się nieswojo. Wzruszył więc ramionami niezbyt uprzejmie, a nasz gość kontynuował opowieść, mówiąc szybko i gestykulując z ożywieniem.

– Panie Holmes, musi pan wiedzieć, że jutro zaczynają się egzaminy umożliwiające otrzymanie stypendium Fortescue. Jestem jednym z egzaminatorów, sprawdzam znajomość greki. Pierwsza część egzaminu obejmuje tłumaczenie z greckiego dużego ustępu pewnego utworu, nieznanego studentom. Tekst jest drukowany na kartach egzaminacyjnych, i nie ulega wątpliwości, że gdyby kandydaci mogli przygotować go z wyprzedzeniem, zapewniliby sobie olbrzymią przewagę. Z tego względu bardzo dbamy o to, by jego treść pozostała tajemnicą. Dziś około trzeciej nadeszły z drukarni próbne odbitki kart. Do przetłumaczenia jest pół rozdziału z Tukidydesa. Musiałem uważnie przeczytać tekst, gdyż niezbędna jest jego bezwzględna poprawność. Nie udało mi się skończyć lektury przed wpół do piątej. Ponieważ obiecałem koledze, że przyjdę do niego na herbatę, wyszedłem, zostawiając odbitkę na swoim biurku. Nie było mnie przez ponad godzinę. Panie Holmes, jak pan wie, pokoje w naszym kolegium mają podwójne drzwi; wewnętrzne obite są zielonym suknem, zewnętrzne wykonane z masywnego dębu. Kiedy, wracając, zbliżyłem się do nich, zauważyłem ze zdumieniem, że w zamku tkwi klucz. Przez chwilę sądziłem, że to mój własny, ale pomacałem kieszeń i stwierdziłem, że mam go wciąż przy sobie. Jedyny istniejący duplikat, o jakim wiedziałem, należał do mego sługi Bannistera, człowieka, który dba o moje mieszkanie od dziesięciu lat i w którego uczciwość nie mam podstaw wątpić. Okazało się, że to istotnie jego klucz, wszedł bowiem do

mojego pokoju, by zaproponować mi herbatę, a wychodząc, zostawił przez nieuwagę klucz w zamku. Był u mnie w pokoju tuż po moim wyjściu. Roztargnienie służącego nie miałoby większego znaczenia w innych okolicznościach, jednak tego dnia przyniosło opłakane skutki. Kiedy tylko spojrzałem na biurko, zdałem sobie sprawę, że ktoś przeglądał moje papiery. Odbitka korektorska składa się z trzech dużych arkuszy. Zostawiłem je wszystkie razem, a gdy wróciłem, jeden z nich leżał na podłodze, drugi na stoliku pod oknem, a trzeci tam, gdzie go położyłem.

Holmes po raz pierwszy się poruszył.

– Pierwsza strona znajdowała się na podłodze, druga na oknie, a trzecia na swoim miejscu – stwierdził.

– Otóż to, panie Holmes. Zadziwia mnie pan. Skąd może pan o tym wiedzieć?

– Proszę kontynuować; pańska opowieść jest niezwykle zajmująca.

– Przez chwilę sądziłem, że to Bannister dopuścił się niewybaczalnego przewinienia i grzebał w moich dokumentach. Zaprzeczył jednak temu gwałtownie, i jestem pewien, że mówił prawdę. Można założyć, że ktoś, przechodząc obok drzwi, zauważył tkwiący w zamku klucz, wiedział, że nie ma mnie w środku i wszedł, by się przyjrzeć papierom. W grę wchodzi znacząca suma, stypendium jest bowiem bardzo wysokie, i osoba pozbawiona skrupułów mogła skwapliwie podjąć ryzyko, by zyskać przewagę nad innymi. Bannister był bardzo wzburzony całym incydentem. Omal nie zemdlał, kiedy okazało się, że ktoś mógł przeglądać papiery. Dałem mu brandy i zostawiłem go siedzącego w fotelu, a sam uważnie obejrzałem pokój. Szybko okazało się, że intruz, poza nieporządkiem w papierach, pozostawił również inne ślady swej obecności. Na stoliku pod oknem leżało kilka strużyn z temperowanego ołówka i ułamany kawałek rysika. Najwyraźniej ten drań przepisywał tekst w wielkim pośpiechu, złamał ołówek i musiał ponownie go zaostrzyć.

– Znakomicie! – stwierdził Holmes, który zaczął odzyskiwać dobry nastrój, w miarę jak coraz bardziej interesował się sprawą. – Szczęście panu sprzyja.

– To nie wszystko. Mam nowy stolik do pisania z blatem obitym czerwoną skórą. Jestem gotów przysiąc, a Bannister wraz ze mną, że mebel był czysty i gładki. Teraz pojawiło się na nim nacięcie o długości około trzech cali, nie zadrapanie, ale wyraźne nacięcie. Ponadto na stole leżała

mała grudka czarnej plasteliny lub gliny, w której tkwiły drobinki czegoś, co wyglądało na trociny. Jestem przekonany, że ślady zostawił ten sam człowiek, który przeglądał papiery. Nie znalazłem odcisków stóp ani innych dowodów mogących wskazywać na jego tożsamość. Nie wiedziałem już, co począć, gdy nagle przypomniałem sobie na szczęście, że jest pan w mieście, i przyszedłem prosto do pana, by powierzyć mu tę sprawę. Proszę mi pomóc, panie Holmes. Widzi pan, przed jak wielkim dylematem stoję. Muszę odszukać winnego albo przełożyć egzamin do czasu przygotowania kolejnych arkuszy, a że nie da się tego zrobić bez udzielenia wyjaśnień, wybuchnie potworny skandal, który okryje hańbą nie tylko moje kolegium, ale cały uniwersytet. Nade wszystko pragnę załatwić tę sprawę cicho i dyskretnie.

– Z przyjemnością się nią zajmę i doradzę panu, jak tylko będę mógł – obiecał Holmes, wstając i zakładając płaszcz. – Sprawa zapowiada się dość interesująco. Czy ktoś wchodził do pańskiego pokoju po przywiezieniu odbitek?

– Tak, młody Daulat Ras, student z Indii. Przyszedł, by spytać mnie o pewne kwestie dotyczące egzaminu.

– Zamierza do niego przystąpić?

– Tak.

– Czy papiery leżały wtedy na pańskim biurku?

– O ile dobrze pamiętam, były wtedy zwinięte w rulon.

– Czy można było rozpoznać w nich arkusze egzaminacyjne?

– To niewykluczone.

– Czy nikt inny do pana nie wchodził?

– Nie.

– Czy ktoś jeszcze wiedział o dostarczeniu arkuszy?

– Tylko drukarz.

– A Bannister?

– Nie, na pewno nie. Nikt o tym nie wiedział.

– Gdzie jest teraz pański służący?

– Biedak bardzo źle się poczuł. Zostawiłem go nieprzytomnego w fotelu, gdyż bardzo się do pana śpieszyłem.

– Zostawił pan otwarte drzwi?

– Ale najpierw zamknąłem papiery.

– Panie Soames, oznacza to, że albo hinduski student zorientował się, że w rulonie są odbitki arkuszy, albo człowiek, który je rozrzucił, natrafił na nie przypadkiem, nie wiedząc, że je u pana znajdzie.

– Tak mi się wydaje.

Holmes uśmiechnął się tajemniczo.

– Cóż – powiedział – chodźmy zatem. Watsonie, to nie jest sprawa dla ciebie, ma charakter umysłowy, nie fizyczny. No dobrze, możesz pójść, jeśli chcesz. A teraz, panie Soames, jestem do pańskiej dyspozycji.

Okratowane okno salonu naszego klienta wychodziło na antyczny, porośnięty mchem dziedziniec starego kolegium. Gotyckie drzwi o ostrych łukach prowadziły na wydeptane kamienne schody. Na parterze znajdował się pokój wykładowcy, powyżej mieszkało trzech studentów, po jednym na każdym piętrze. Kiedy dotarliśmy na miejsce, zaczynało się już ściemniać. Holmes najpierw zatrzymał się przy oknie i uważnie mu się przyjrzał, a potem podszedł do niego, stanął na palcach, wyciągnął szyję i zajrzał do pokoju.

– Musiał wejść drzwiami. W oknie otwiera się tylko jedna szyba – powiedział nasz uczony przewodnik.

– Ach tak! – Holmes z dziwnym uśmiechem spojrzał na naszego towarzysza. No to wejdźmy do środka.

Wykładowca otworzył zewnętrzne drzwi i zaprosił nas do pokoju. Stanęliśmy w progu, a Holmes obejrzał dywan.

– Brak tu jakichkolwiek śladów – stwierdził. – Nie można mieć na nie wielkiej nadziei w tak suchy dzień. Zdaje się, że pański służący poczuł się już lepiej. Powiedział pan, że zostawił go siedzącego w fotelu. W którym?

– W tym przy oknie.

– Aha, niedaleko stolika. Możecie wejść. Dywan już obejrzałem. Teraz chciałbym się przyjrzeć stoliczkowi. Wiem, jak to się stało. Nieproszony gość wszedł do pokoju. Brał z biurka po jednym arkuszu, przenosił je na stolik przy oknie, bo tylko stamtąd mógł zobaczyć pana wracającego przez dziedziniec, co dawało mu możliwość ucieczki w odpowiednim momencie.

– Gwoli ścisłości, nie dawało – odrzekł Soames – wszedłem bowiem bocznymi drzwiami.

– Ach, znakomicie. Przynajmniej taki był jego zamiar. Proszę pokazać mi wszystkie arkusze. Nie ma na nich odcisków palców. Wziął najpierw ten i skopiował go. Ile czasu mogłoby mu to zająć, gdyby stosował wszystkie

możliwe skróty? Nie mniej niż kwadrans. Później rzucił kartkę na podłogę i chwycił kolejną. Kiedy ją przepisywał, pan zmusił go do szybkiej ucieczki, bardzo się śpieszył, skoro nie odłożył na miejsce papierów, co świadczyło o jego wizycie. Nie słyszał pan tupotu stóp na schodach, kiedy podchodził do zewnętrznych drzwi?

– Nie.

– Pisał tak prędko, że złamał ołówek i, jak pan zauważył, musiał go zatemperować. To jest niezwykle interesujące, Watsonie, bowiem nie był to zwykły ołówek. Nadzwyczaj duży, polakierowany na granatowo, miał miękki rysik, a nazwa wytwórcy została wytłoczona na nim srebrnymi literami. Pozostała po zaostrzeniu część ma zaledwie około półtora cala długości. Panie Soames, proszę znaleźć taki ołówek, a schwyta pan poszukiwanego. Dla ułatwienia mogę jeszcze dodać, że człowiek ten posiada długi i bardzo tępy nóż.

Soames był nieco przytłoczony takim nawałem informacji:

– Jestem w stanie zrozumieć resztę. Ale jeśli chodzi o długość…

Holmes podniósł małą strużynę, na której widniały litery NN, a za nimi kawałek pustego miejsca.

– Czy teraz pan rozumie?

– Obawiam się, że nie.

– Watsonie, byłem dla ciebie niesprawiedliwy. Inni wcale nie są bystrzejsi. Skąd wzięły się litery NN? Znajdowały się na końcu słowa. Wie pan zapewne, że najbardziej znany wytwórca ołówków nazywa się Johann Faber. Czyż nie jest oczywiste, że zestrugano już tę część ołówka, na której mieściło się słowo Johann? – Odwrócił stolik na bok, by obejrzeć go przy świetle lampy elektrycznej. – Miałem nadzieję, że jeśli włamywacz pisał na cienkim papierze, na gładkiej powierzchni mógł zostać ślad jego pisma. Niczego tu jednak nie widzę i sądzę, że niczego się więcej nie dowiemy. Obejrzyjmy biurko. Ta grudka to czarna, ciastowata masa, o której pan wspominał? Ma kształt zbliżony do piramidy i jest wydrążona w środku. Tak jak pan mówił, są w niej kawałki trocin. A niech mnie, to bardzo interesujące. I nacięcie, a z tego, co widzę, to właściwie rozdarcie. Zaczęło się od wąskiego zadrapania, a skończyło na postrzępionej dziurze. Panie Soames, jestem panu niezwykle wdzięczny, że przyszedł pan z tą sprawą do mnie. Dokąd prowadzą te drzwi?

– Do mojej sypialni.

– Czy był pan tam, zanim poszedł do mnie?

– Nie, nie byłem.

– Chciałbym się tu rozejrzeć. Co za uroczy staroświecki pokój! Proszę chwilę poczekać, aż obejrzę podłogę. Nie, nic tu nie widzę. A co jest za tą zasłoną? Wiesza pan za nią ubrania? Gdyby ktoś chciał się ukryć w tym pokoju, musiałby się schować właśnie tutaj, gdyż łóżko jest za niskie, a szafa zbyt płytka. Chyba nikogo tam nie ma…

Kiedy Holmes odsuwał zasłonę, wyczytałem z jego nieco sztywnej i czujnej postawy, że jest przygotowany na nieprzewidziane wypadki. Po odsłonięciu naszym oczom ukazały się jednak tylko trzy czy cztery garnitury umieszczone na wieszakach zawieszonych na sznurku. Holmes odwrócił się i nagle pochylił ku podłodze.

– Hola, hola! A cóż to? – spytał.

Była to mała piramidka wykonana z czarnej substancji przypominającej kit, dokładnie taka sama, jak ta, którą znaleźliśmy na stoliku w gabinecie. Holmes położył ją na otwartej dłoni i przyjrzał się jej przy świetle lampy.

– Wygląda na to, panie Soames, że pański gość pozostawił ślady nie tylko w pańskim salonie, ale i w sypialni.

– Czego tu szukał?

– Myślę, że to oczywiste. Wrócił pan z innej strony, nie wiedział więc, skąd się pan pojawi, aż do chwili, kiedy znalazł się pan tuż przed drzwiami. Co mógł zrobić? Chwycił wszystko, co mogło go zdradzić, i pobiegł do pańskiej sypialni, gdzie miał nadzieję się ukryć.

– Dobry Boże, panie Holmes, czy to znaczy, że przez cały czas, kiedy rozmawiałem tu z Bannisterem, winowajca przebywał w sypialni, a my o tym nie wiedzieliśmy?

– Tak sądzę.

– Panie Holmes, musi być jakieś inne wytłumaczenie. Czy przyjrzał się pan oknu w sypialni?

– Zakratowane, ramy z ołowiu, trzy oddzielne szyby, jedna rama na zawiasach, wystarczająco duża, by mógł przejść przez nią człowiek.

– Otóż to. A ponadto okno wychodzi na dziedziniec pod takim kątem, że jest częściowo ukryte. Ten człowiek mógł wejść tędy, zostawiając ślady, kiedy przechodził przez sypialnię, a później odkryć, że drzwi są otwarte, i uciec przez nie.

Holmes niecierpliwie potrząsnął głową.

– Pomyślmy praktycznie – powiedział. – Ze schodów korzysta trzech studentów, którzy często przechodzą obok pańskich drzwi.

– Zgadza się.

– Czy wszyscy trzej mają pisać ten egzamin?

– Tak.

– Czy ma pan jakiekolwiek powody, by podejrzewać jednego z nich bardziej niż innych?

Soames się zawahał.

– To bardzo delikatna sprawa. Trudno rzucać oskarżenia, kiedy nie ma dowodów.

– Pomówmy o podejrzeniach. Dowodami ja się zajmę.

– Skoro tak, w kilku słowach opowiem panu o trzech mieszkańcach tych pokojów. Najniżej z nich mieszka Gilchrist, dobry uczeń i sportowiec, który gra w drużynie kolegium w rugby i krykieta i zwyciężył w zawodach w biegu przez płotki i skoku w dal. To szlachetny, dzielny młodzieniec. Jest synem niesławnego sir Jabeza Gilchrista, który zrujnował się na wyścigach konnych. Mój student bardzo przez to zubożał, ale jest pilny i pracowity. Z pewnością poradzi sobie w życiu. Drugie piętro zajmuje Hindus Daulat Ras. Jak większość jego rodaków jest cichy i tajemniczy. Ma dobre wyniki w nauce, ale greka to jego pięta achillesowa. Jest opanowany i metodyczny. Najwyższe piętro należy do Milesa McLarena. Osiąga znakomite wyniki, jeśli tylko łaskawie zabierze się do pracy, posiada jeden z najbystrzejszych umysłów na tym uniwersytecie, ale to samowolny, rozpustny, pozbawiony skrupułów młodzieniec. Kiedy był na pierwszym roku, niewiele brakowało, by usunięto go za skandal karciany. Przez cały ten semestr zbijał bąki i z pewnością drży na myśl o egzaminie.

– Zatem to jego pan podejrzewa?

– Nie posunąłbym się do takiego stwierdzenia, ale ze wszystkich trzech w jego przypadku włamanie wydaje mi się najbardziej prawdopodobne.

– Rozumiem. A teraz, panie Soames, porozmawiajmy z pańskim sługą.

Bannister, drobny, blady, pięćdziesięcioletni mężczyzna o siwych włosach, gładko wygolony, wciąż był bardzo zdenerwowany z powodu nagłego zakłócenia spokojnego trybu życia. Jego krągła twarz drgała z emocji, a ręce trzęsły się.

– Prowadzimy dochodzenie w tej niefortunnej sprawie, Bannister – wyjaśnił jego pan.

– Tak, proszę pana.

– Zostawiłeś klucz w drzwiach? – spytał Holmes.

– Tak, proszę pana.

– Czyż to nie nadzwyczajny zbieg okoliczności, że zrobiłeś to akurat tego dnia, kiedy w pokoju znajdowały się arkusze z testem egzaminacyjnym?

– To straszny pech proszę pana, ale zdarzało mi się to już wcześniej.

– O której wszedłeś do pokoju?

– Było mniej więcej wpół do piątej. Pan Soames pija o tej godzinie herbatę.

– Jak długo byłeś w środku?

– Kiedy zobaczyłem, że pana nie ma, od razu wyszedłem.

– Czy spojrzałeś na papiery leżące na stole?

– Nie, proszę pana. Absolutnie nie.

– Jak to się stało, że zostawiłeś klucz w drzwiach?

– Trzymałem w ręku tacę z herbatą. Zamierzałem wrócić po klucz, ale o tym zapomniałem.

– Czy zewnętrzne drzwi mają zamek zatrzaskowy?

– Nie, proszę pana.

– Czyli były otwarte przez cały czas?

– Tak, proszę pana.

– I jeśli ktoś znajdował się w pokoju, mógł z niego wyjść?

– Tak, proszę pana.

– Kiedy pan Soames wrócił i cię zawołał, byłeś bardzo wzburzony?

– Tak, proszę pana. Pracuję tu od wielu lat, i nigdy wcześniej nie zdarzyło mi się nic podobnego. O mało nie zemdlałem, proszę pana.

– Słyszałem o tym. Gdzie stałeś, kiedy źle się poczułeś?

– Gdzie stałem, proszę pana? A tutaj, koło drzwi.

– Ciekawe, usiadłeś bowiem w fotelu stojącym w rogu. Dlaczego akurat na nim?

– Nie wiem, proszę pana, nie wybierałem specjalnie miejsca, gdzie zamierzałem usiąść.

– Naprawdę nie wydaje mi się, by wiedział wtedy, co robi, panie Holmes. Wyglądał bardzo źle, wręcz upiornie.

– Zostałeś w pokoju po wyjściu pana?

– Tylko na jakąś minutę. Później zamknąłem drzwi i poszedłem do siebie.

– Kogo podejrzewasz?

– Nie śmiałbym o tym mówić, proszę pana. Nie wierzę, by jakikolwiek dżentelmen na tym uniwersytecie mógł dla własnej korzyści posunąć się do czegoś takiego. Nie, proszę pana, nie wierzę w to.

– Dziękuję, wystarczy – powiedział Holmes. – Aha, jeszcze jedno. Nie wspominałeś żadnemu z trzech młodych ludzi, u których również pełnisz służbę, że coś się stało?

– Nie, proszę pana, ani słowem.

– Czy widziałeś się z którymkolwiek z nich?

– Nie, proszę pana.

– Znakomicie. A teraz, panie Soames, za pańskim pozwoleniem, chciałbym przejść się z panem po dziedzińcu.

W zapadającym mroku nad naszymi głowami jarzyły się trzy rozświetlone kwadraty.

– Wszystkie ptaszki są w gniazdach – stwierdził Holmes, spoglądając do góry. – Ale cóż to? Jeden z nich wydaje się niespokojny.

Był to Hindus, którego ciemna sylwetka nagle pojawiła się za zasłoną. Szybko chodził tam i z powrotem po pokoju.

– Chciałbym zajrzeć do każdego z nich – poprosił Holmes. – Czy to możliwe?

– Jak najbardziej – odparł Soames. – Te pokoje są najstarsze w całym kolegium, i udostępnia się je zwiedzającym. Proszę za mną, osobiście panów oprowadzę.

– Proszę tylko nie wymieniać nazwisk! – zastrzegł Holmes, kiedy zapukaliśmy do drzwi Gilchrista.

Otworzył nam wysoki, szczupły młodzieniec o płowych włosach, i kiedy się dowiedział, po co przyszliśmy, przyjaźnie nas powitał. W pokoju znajdowały się bardzo interesujące średniowieczne detale architektoniczne. Holmes tak zachwycił się jednym z nich, że koniecznie chciał naszkicować go w notatniku. Złamał przy tym ołówek, pożyczył więc inny od naszego gospodarza, a później poprosił go także o nóż, żeby zatemperować własny. To samo osobliwe wydarzenie powtórzyło się w pokoju Hindusa, drobnego, cichego człowieczka o haczykowatym nosie, który spoglądał na nas z ukosa i wyraźnie się ucieszył, kiedy studia architektoniczne Holmesa dobiegły końca. Ani w jednym, ani w drugim pokoju nie zauważyłem, by mój przyjaciel natrafił na ślad, którego szukał, a wizyta na najwyższym piętrze

okazała się bezowocna. Zewnętrzne drzwi pozostały zamknięte w odpowiedzi na nasze stukanie, a zza nich wydobył się jedynie stek przekleństw.

– Nie obchodzi mnie, coście za jedni. Możecie iść do diabła! – ryknął rozgniewany głos. – Jutro piszę egzamin, i nikt nie będzie mi teraz przeszkadzał.

– Co za nieuprzejmy młodzieniec! – stwierdził nasz przewodnik, czerwieniejąc z gniewu, kiedy schodziliśmy z powrotem po schodach. – Rzecz jasna, nie wiedział, że to ja pukam, ale mimo to jego zachowanie było bardzo niegrzeczne, a w zaistniałych okolicznościach dość podejrzane.

Holmes zareagował na tę uwagę w bardzo dziwny sposób:

– Czy może mi pan powiedzieć, ile on ma wzrostu?

– Doprawdy, panie Holmes, nie podejmuję się tego. Jest wyższy niż Hindus, a niższy niż Gilchrist. Może mieć mniej więcej pięć stóp i sześć cali.

– To bardzo istotne – stwierdził Holmes. – A teraz, panie Soames, życzę panu dobrej nocy.

Uczony krzyknął ze zdumienia i rozczarowania.

– Wielkie nieba, panie Holmes! Chyba nie chce mnie pan tak po prostu zostawić? Nie zdaje pan sobie sprawy z mojego położenia! Jutro egzamin. Dziś muszę podjąć ostateczne kroki. Nie mogę dopuścić, by egzamin się odbył, jeśli ktoś poznał treść jednego z arkuszy. Muszę stawić czoła tej sytuacji.

– Proszę pozostawić ją własnemu biegowi. Przyjdę jutro wczesnym rankiem, i wszystko omówimy. Możliwe, że będę mógł już coś panu doradzić. Tymczasem proszę nie podejmować żadnych, absolutnie żadnych działań.

– Dobrze, panie Holmes.

– Może pan być całkowicie spokojny. Z pewnością znajdziemy jakiś sposób, by wybawić pana z kłopotu. Wezmę ze sobą tę czarną glinę i strużyny z ołówka. Do widzenia.

Kiedy wyszliśmy na pogrążony w ciemności dziedziniec, znów spojrzeliśmy w okna. Hindus wciąż chodził po swoim pokoju, pozostałych studentów nie było widać.

– I jak, Watsonie, co o tym myślisz? – spytał Holmes, kiedy byliśmy na ulicy. – To jak gra salonowa, rodzaj sztuczki z trzema kartami, prawda? Są

trzej mężczyźni. Jeden z nich musi być winny. Wybieraj, na którego stawiasz?

– Na ordynarnego chłopaka z najwyższego piętra. To on ma najgorszą opinię. Co prawda, Hindus też wyglądał mi na chytrą sztukę. Czemu bez przerwy chodził po pokoju?

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Wiele osób robi to, kiedy próbuje nauczyć się czegoś na pamięć.

– Dziwnie na nas patrzył.

– Też byś się tak zachowywał, gdyby zgraja obcych wtargnęła do twego mieszkania podczas przygotowania do egzaminu, który miałbyś pisać następnego dnia. Nie, nie widzę w tym niczego istotnego. Ani ołówki, ani noże nie dały zadowalającej odpowiedzi. Ale tamten człowiek bardzo mnie zaintrygował.

– Kto?

– Bannister, rzecz jasna, ten służący. Jaka jest jego rola w całej sprawie?

– Wywarł na mnie wrażenie człowieka na wskroś uczciwego.

– Na mnie również. To właśnie mnie zastanawia. Dlaczego człowiek na wskroś uczciwy… Patrz, duży sklep papierniczy. Tu rozpoczniemy nasze śledztwo.

W miasteczku były tylko cztery sklepy papiernicze. W każdym z nich Holmes pokazywał strużyny z ołówka i oferował dużą sumę za drugi taki egzemplarz. Wszędzie mu odpowiadano, że ołówek ma nietypowy rozmiar, rzadko o taki pytają, ale można go zamówić. Mój przyjaciel nie wydawał się przygnębiony tą porażką, wzruszał tylko ramionami z rezygnacją.

– Niedobrze, drogi Watsonie. Ta wskazówka, najlepsza i jedyna, która dawała szansę na rozstrzygnięcie sprawy, doprowadziła nas donikąd. Nie wątpię jednak, że uda nam się rozwikłać tę zagadkę i bez niej. Na Jowisza! Mój drogi, dochodzi dziewiąta. Gospodyni mówiła, że o wpół do ósmej podaje groszek. Biorąc pod uwagę to, ile palisz i jak nieregularnie jadasz, wymówi chyba tobie pokój i mnie też, wcześniej jednak rozwiążemy problem nerwowego wykładowcy, roztargnionego sługi i trzech przedsiębiorczych studentów.

Tego dnia Holmes nie mówił już więcej o naszej sprawie, ale po spóźnionej kolacji długo siedział pogrążony w myślach. O ósmej następnego ranka, tuż po tym, jak zakończyłem toaletę, przyszedł do mego pokoju.

– Watsonie – powiedział – czas najwyższy, byśmy się wybrali do św. Łukasza. Wytrzymasz bez śniadania?

– Oczywiście.

– Soames nie usiedzi w miejscu, póki nie powiemy mu czegoś pewnego.

– Czy masz dla niego jakieś informacje?

– Tak sądzę.

– Doszedłeś do jakichś wniosków?

– Tak, drogi Watsonie, rozwiązałem tę zagadkę.

– Ale jak ci się udało zdobyć nowe dowody?

– Ha! Nie na darmo wstałem dziś o tak barbarzyńskiej porze! Szósta rano! Przez dwie godziny ciężko pracowałem, przeszedłem co najmniej sześć mil i teraz mam się czym pochwalić. Popatrz na to!

Wyciągnął rękę. Na jego dłoni spoczywały trzy małe piramidki z czarnej ciastowatej gliny.

– Ależ, Holmesie, wczoraj znalazłeś tylko dwie.

– A dziś rano kolejną. Zakładam z dużą dozą prawdopodobieństwa, że źródło, z którego pochodzi trzecia, dostarczyło także pierwszej i drugiej. Watsonie, chodźmy, zakończmy męki naszego przyjaciela Soamesa.

Zastaliśmy nieszczęsnego wykładowcę w jego pokoju w stanie pożałowania godnego wzburzenia. Za kilka godzin miał rozpocząć się egzamin, a on wciąż nie zdecydował, czy podać fakty do publicznej wiadomości, czy też pozwolić winowajcy stanąć do walki o cenne stypendium. Był tak poruszony, że ledwie mógł ustać w miejscu. Gdy nas zobaczył, podbiegł do Holmesa, żarliwie wyciągając ku niemu ręce.

– Bogu niech będą dzięki, że pan przyszedł. Obawiałem się, że się pan zniechęcił i poddał. Co mam zrobić? Czy przeprowadzić egzamin?

– Jak najbardziej.

– A ten łotr?

– Nie przystąpi do niego.

– Wie pan, kto to?

– Tak sądzę. Jeśli sprawa ma uniknąć upublicznienia, musimy przyznać sobie pewne prawa i przedzierzgnąć się w mały, prywatny sąd polowy. Panie Soames, proszę usiąść tutaj! Watsonie, ty siadaj tutaj! Ja zajmę fotel pośrodku. Uważam, że wyglądamy dość imponująco, by napełnić grozą serce winowajcy. Proszę zadzwonić.

Pojawił się Bannister, który aż się skulił ze strachu, widząc naszą sędziowską postawę.

– Proszę być tak uprzejmym i zamknąć za sobą drzwi – nakazał Holmes. – A teraz, Bannister, czy możesz powiedzieć nam prawdę o wczorajszym incydencie?

Mężczyzna zbladł aż po korzonki włosów.

– Powiedziałem panu wszystko, proszę pana.

– Nie masz nic do dodania?

– Nic a nic, proszę pana.

– Cóż, w takim razie muszę sam co nieco zasugerować. Czy usiadłeś wczoraj w tym fotelu, by ukryć przedmiot, który zdradziłby, kto wchodził do pokoju?

Twarz Bannistera przybrała upiorny wygląd.

– Nie, proszę pana. Absolutnie nie.

– To tylko sugestia – stwierdził Holmes uprzejmie. – Szczerze przyznaję, że nie jestem w stanie tego dowieść. Wydaje się jednak całkiem prawdopodobne, że kiedy tylko pan Soames wyszedł, wypuściłeś człowieka, który ukrywał się w sypialni.

Bannister oblizał zaschnięte wargi.

– Nikogo tam nie było, proszę pana.

– Wielka szkoda, Bannister. Być może do tej chwili mówiłeś prawdę, teraz jednak jestem pewien, że skłamałeś.

Twarz mężczyzny zastygła w ponurym buntowniczym wyrazie.

– Nikogo tam nie było, proszę pana.

– Daj spokój, Bannister.

– Nie, proszę pana, nikogo tam nie było.

– Skoro tak twierdzisz, niczego więcej się od ciebie nie dowiemy. Proszę, byś nie opuszczał pokoju. Stań tam, obok drzwi do sypialni. A teraz, panie Soames, będzie pan tak dobry, proszę pójść na górę do młodego Gilchrista i poprosić, by zszedł do pańskiego pokoju.

Po chwili wykładowca powrócił w towarzystwie studenta. Wysoki młodzieniec prezentował się pięknie: był gibki i zwinny, miał sprężysty krok i przyjemną, uczciwą twarz. Jego niebieskie oczy z niepokojem spoglądały na każdego z nas, aż w końcu z wyrazem niemej rozpaczy spoczęły na Bannisterze, który stał w drugim końcu pokoju.

– Proszę zamknąć drzwi – zażądał Holmes. – Panie Gilchrist, jesteśmy tu całkiem sami, i nikt nie musi się dowiedzieć, co się tu wydarzy. Możemy być ze sobą całkowicie szczerzy. Chcielibyśmy się dowiedzieć, dlaczego tak szacowny młodzieniec jak pan posunął się do tak karygodnego czynu?

Nieszczęsny chłopak zachwiał się i obrzucił Bannistera przerażonym spojrzeniem, pełnym wyrzutu.

– Nie, nie, panie Gilchrist, nie powiedziałem ani słowa! Ani słowa! – wykrzyknął sługa.

– Aż do tej chwili – przyznał Holmes. – Proszę pana, zapewne zdaje pan sobie sprawę, że po tym, jak Bannister się zdradził, pańska sytuacja jest beznadziejna, i jego jedyną szansą jest szczere przyznanie się do wszystkiego.

Gilchrist przez chwilę próbował, przykładając rękę do twarzy, utrzymać drgające mięśnie, następnie rzucił się na kolana obok stołu, ukrył twarz w dłoniach i wybuchnął rozpaczliwym płaczem.

– No, no – dobrotliwie powiedział Holmes. – Błądzić jest rzeczą ludzką, a nikt nie może oskarżyć pana o wielką zbrodnię. Być może byłoby łatwiej dla pana, gdybym to ja opowiedział panu Soamesowi, co zaszło, a pan poprawiłby mnie tylko, gdybym popełnił jakiś błąd. Czy mam to zrobić? Proszę nie odpowiadać. Niech pan słucha, a zobaczy pan, że oddam mu sprawiedliwość. Panie Soames, od chwili, kiedy powiedział mi pan, że nikt, nawet Bannister, nie wiedział, że arkusze znajdują się w pańskim pokoju, zacząłem się domyślać, jakie jest rozwiązanie zagadki. Drukarza skreśliłem od razu. Gdyby chciał przejrzeć arkusze, mógł to zrobić w swej pracowni. Nie podejrzewałem także Hindusa. Skoro odbitki były zwinięte w rulon, nie mógł się domyślić, co zawierają. Z drugiej strony, wydawało się niezwykłym zbiegiem okoliczności, że ktoś mógłby przypadkiem wejść do pokoju, w którym rozłożono na biurku papiery. Odrzuciłem tę możliwość. Intruz wiedział, że arkusze egzaminacyjne są u pana. Jak się o tym dowiedział? Kiedy zbliżaliśmy się do pańskiego pokoju, obejrzałem uważnie okno. Rozbawił mnie pan, przypuszczając, że rozważałem możliwość, iż ktoś w środku dnia na oczach mieszkańców wszystkich leżących naprzeciwko domów próbował się przez to okno przecisnąć. Ta myśl była absurdalna. Sprawdziłem, jak wysoki musiałby być przechodzień, by zobaczyć leżące na biurku papiery. Ja mierzę sześć stóp, a przyszło mi to z trudnością. Nikt niższy ode mnie nie zdołałby tego

dokonać. Jak pan widzi, miałem podstawy sądzić, że jeśli jeden z pańskich studentów jest niezwykle wysokiego wzrostu, to przede wszystkim na nim należy skupić uwagę. Wszedłem do pokoju, a pan opowiedział mi o tym, co znalazł na stoliku. Wygląd biurka nie dostarczył żadnych poszlak, dopóki, opisując Gilchrista, nie wspomniał pan, że uprawia on skok w dal. Wtedy zrozumiałem wszystko w mgnieniu oka, potrzebowałem jedynie pewnych dowodów potwierdzających moją teorię, które niebawem zdobyłem. Oto, co się stało: młodzieniec spędził popołudnie na stadionie, gdzie ćwiczył skoki. Wracał, niosąc w rękach swe buty treningowe, które, jak zapewne pan wie, mają w podeszwach ostre kolce. Przechodząc obok pańskiego okna, zauważył dzięki swemu wysokiemu wzrostowi leżące na biurku odbitki i zaczął się domyślać, co to takiego. Nie stałoby się nic złego, gdyby nie to, że przechodząc obok pańskich drzwi, zobaczył klucz, który pozostał w zamku przez lekkomyślność pańskiego sługi. Poczuł nagłą chęć, by wejść do środka i sprawdzić, czy rzeczywiście widział arkusze egzaminacyjne. Nie było to niebezpieczne, zawsze mógł powiedzieć, że przyszedł o coś się zapytać. Kiedy stwierdził, że istotnie ma przed sobą odbitki arkuszy egzaminacyjnych, uległ pokusie. Postawił buty na stoliku. A co położył pan na fotelu obok okna?

– Rękawiczki – wyjaśnił młodzieniec. Holmes spojrzał triumfująco na Bannistera.

– Położył na fotelu rękawiczki i brał kolejne arkusze, by je przepisać. Sądził, że zobaczy wykładowcę wracającego główną bramą. Jak wiemy, pan Soames skorzystał z bocznego wejścia. Student usłyszał go nagle tuż przed drzwiami. Nie miał dokąd uciec. Zapomniał o rękawiczkach, ale chwycił buty i pobiegł z nimi do sypialni. Jak mogą panowie zauważyć, zadrapanie na stoliku jest płytkie z jednej strony, ale jest głębsze, im bliżej drzwi sypialni się znajduje. Już samo to wystarczy, by dowieść, że but był wleczony w kierunku sypialni, gdzie i ukrył się winny. Na stole pozostała ziemia, która zebrała się wokół kolca, druga jej grudka obluzowała się i spadła już w sypialni. Dziś rano poszedłem na stadion i przekonałem się, że takiej lepkiej, czarnej gliny używa się na bieżniach, przyniosłem też jej próbkę, do której dodałem drobnych trocin, jakimi posypuje się tor, by zapobiec ślizganiu się. Czy potwierdza pan wszystko, co powiedziałem, panie Gilchrist?

Student wyprostował się.

– Tak, proszę pana, wszystko to prawda – odpowiedział.

– Wielkie nieba! Nie ma pan nic do dodania? – wykrzyknął Soames.

– Mam, proszę pana, ale wstrząs wywołany tą kompromitacją przytłoczył mnie. Panie Soames, mam tu list, który napisałem do pana dziś nad ranem po nieprzespanej nocy, jeszcze zanim dowiedziałem się, że odkryto moją winę. Oto on, proszę pana:

> Postanowiłem nie przystępować do egzaminów. Zaoferowano mi stanowisko w rodezyjskiej policji, i niezwłocznie wyjeżdżam do Afryki Południowej.

– Miło mi słyszeć, że nie zamierzał pan wykorzystać nieuczciwie zdobytej przewagi – stwierdził Soames. – Co jednak skłoniło pana do zmiany zdania?

Gilchrist wskazał Bannistera:

– Oto człowiek, który sprowadził mnie na właściwą drogę.

– Bannister – zwrócił się do niego Holmes. – Z tego, co mówiłem, jasno wynika, że jedynie ty mogłeś wypuścić tego młodzieńca, gdyż zostałeś w pokoju, a wychodząc, musiałeś zamknąć za sobą drzwi. Ucieczka przez okno nie wydaje się prawdopodobna. Czy mógłbyś wyjaśnić ostatni punkt tej zagadki i zdradzić nam motywy swego postępowania?

– Są bardzo proste, proszę pana, ale mimo całej swojej przemyślności, nie mógł pan ich znać. Byłem dawniej lokajem starego sir Jabeza Gilchrista, ojca tego młodego dżentelmena. Kiedy popadł w biedę, przyszedłem na służbę do kolegium, ale nigdy nie zapomniałem o mym dawnym chlebodawcy, choć źle mu się wiodło. Przez wzgląd na dawne czasy opiekowałem się jego synem, jak tylko mogłem. Proszę pana, kiedy wszedłem wczoraj do tego pokoju po tym, jak wszczęto alarm, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem, były skórzane rękawiczki pana Gilchrista leżące na tamtym fotelu. Dobrze znałem te rękawiczki i wiedziałem, co oznacza ich obecność w tym pokoju. Gdyby pan Soames je zobaczył, byłoby po wszystkim. Opadłem na fotel i nie ruszyłem się stamtąd, dopóki pan Soames nie udał się do pana. Wtedy z sypialni wyszedł mój biedny panicz, którego niegdyś bujałem na kolanach, i wszystko mi wyznał. Czy nie było naturalne, proszę pana, że powinienem go uratować, i czy nie było równie naturalne, że powinienem porozmawiać z nim tak, jak zrobiłby to jego

zmarły ojciec, i wytłumaczyć mu, że nie może czerpać korzyści z takiego postępku? Czy może mnie pan za to winić, proszę pana?

– Istotnie, nie – serdecznie odpowiedział Holmes, wstając z fotela. – Panie Soames, sądzę, że rozwikłaliśmy pańską zagadkę, a w domu czeka na nas śniadanie. Chodźmy, Watsonie. A co do pana, młodzieńcze, ufam, że ma pan przed sobą świetlaną przyszłość w Rodezji. Raz zdarzyło się panu upaść nisko. Niech pan teraz pokaże, jak wysoko może pan zajść!

Opowieść dziesiąta

ZŁOTE BINOKLE

Kiedy przeglądam trzy opasłe tomy zapisków ze spraw, które prowadziliśmy w 1894 roku, bardzo trudno jest mi wybrać z tak bogatego materiału te śledztwa, które są najbardziej interesujące, a zarazem najlepiej ukazują niezwykłe zdolności, z których słynął mój przyjaciel. Na kolejnych stronach widzę notatki o odpychającej historii czerwonych pijawek i strasznej śmierci bankiera Crosby'ego, relację z tragedii Addletona i opowieść o wyjątkowej zawartości pewnego starego brytyjskiego kurhanu. W tym okresie miały miejsce także słynny spór o spadek między Smithem a Mortimerem oraz wyśledzenie i aresztowanie Hueta, mordercy z Bulwaru. Za ten wyczyn Holmes otrzymał podziękowania napisane własnoręcznie przez prezydenta Francji i order Legii Honorowej. Każda z tych spraw nadawałaby się na opowiadanie, uważam jednak, że żadna z nich nie łączy w sobie tak dużo osobliwości jak śledztwo w sprawie Yoxley Old Place, obejmujące nie tylko śmierć nieodżałowanego młodego Willoughby'ego Smitha, ale także wydarzenia, które po niej nastąpiły i rzuciły tak interesujące światło na motywy zbrodni.

Był koniec listopada. Przez cały niespokojny, burzowy wieczór siedzieliśmy z Holmesem w milczeniu. On zajmował się odcyfrowywaniem, za pomocą silnego szkła powiększającego, pozostałości pierwotnego napisu na palimpseście, ja zagłębiłem się w wydany niedawno traktat o chirurgii. Na zewnątrz po Baker Street hulał wiatr, a deszcz wściekle tłukł o szyby. Siedząc w samym środku miasta, mając wokół siebie w promieniu dziesięciu mil jedynie konstrukcje wykonane ludzką ręką, dziwnie było poczuć żelazny uścisk Natury i uświadomić sobie, że dla potężnych sił przyrody Londyn nie znaczy więcej niż kretowiska na polach.

Podszedłem do okna i wyjrzałem na wyludnioną ulicę. Zapalone gdzieniegdzie lampy oświetlały błotnistą jezdnię i lśniący od deszczu chodnik. Jedna jedyna dorożka, jadąca od strony Oxford Street, przedzierała się przez kałuże.

– Cóż, Watsonie, dobrze, że nie musiałem odczytać wszystkiego od razu – stwierdził Holmes, odkładając lupę i zwijając palimpsest. – Zrobiłem dość jak na jeden wieczór. Ta praca męczy oczy, a z tego, co zdołałem wyczytać, wynika, że to nic szczególnie ciekawego, bo rachunki opactwa z drugiej połowy piętnastego wieku. Hola, hola! A cóż to?

Przez buczenie wiatru przebił się tętent końskich kopyt i zgrzyt koła o krawężnik. Dorożka, którą widziałem, zatrzymała się przed naszymi drzwiami.

– Czego może chcieć ten człowiek!? – wykrzyknąłem, gdy z pojazdu wysiadł mężczyzna.

– Czego chce? Nas! A my, biedny Watsonie, będziemy potrzebowali płaszczy, szalików i kaloszy oraz wszystkich innych wynalazków, za pomocą których człowiek chroni się przed złą pogodą. Ale poczekaj chwilę! Dorożka odjeżdża! Jest jeszcze nadzieja. Gdyby ten przybysz chciał, byśmy z nim pojechali, kazałby dorożkarzowi czekać. Mój drogi, biegnij na dół i otwórz drzwi, bo wszyscy porządni ludzie od dawna są już w łóżkach.

Kiedy światło lampy padło na naszego nocnego gościa, rozpoznałem go bez trudu. Był to młody Stanley Hopkins, obiecujący detektyw, któremu Holmes kilka razy pomógł w rozwoju kariery.

– Czy jest w domu? – spytał gorliwie.

– Proszę tutaj, drogi panie – usłyszeliśmy z góry głos Holmesa. – Mam nadzieję, że nie ma pan żadnych planów co do nas w taką noc.

Detektyw szedł po schodach, a światło lampy odbijało się od jego lśniącego płaszcza przeciwdeszczowego. Pomogłem mu go zdjąć, a Holmes poprawił drwa leżące na kominku tak, że buchnęły płomieniem.

– Drogi Hopkinsie, niech się pan przysunie do ognia i ogrzeje stopy – zaproponował. – Oto cygaro, a doktor ma receptę na lek wprost stworzony na takie noce jak dzisiejsza, w którego skład wchodzi cytryna i gorąca woda. Jak ważna musiała być sprawa, skoro przedzierał się pan przez taką nawałnicę?

– Istotnie, panie Holmes. Mogę pana zapewnić, że bardzo pracowicie spędziłem popołudnie. Czytał pan może o sprawie Yoxley w najnowszych

wydaniach gazet?

– Dziś mą uwagę zaprzątały jedynie teksty piętnastowieczne.

– Zamieścili tylko jeden akapit, w dodatku błędny, więc nic pan nie stracił. Ja tymczasem nie zasypiałem gruszek w popiele. Miejsce zbrodni znajduje się w hrabstwie Kent, siedem mil za Chatham i trzy mile od torów kolejowych. Otrzymałem telegram o trzeciej piętnaście, dotarłem do Yoxley Old Place o piątej, przeprowadziłem dochodzenie, wróciłem na dworzec Charing Cross ostatnim pociągiem i przyjechałem dorożką wprost do pana.

– Chce pan powiedzieć, że nie ma całkowitej jasności co do tej sprawy?

– Nic a nic z niej nie pojmuję. Z tego, co widziałem do tej pory, jest to najbardziej powikłana zagadka, z jaką się zetknąłem, choć na początku wydawała się tak prosta, że nie sposób było popełnić błędu. Nie ma jednak motywu, panie Holmes. To mnie martwi, nie mogę znaleźć motywu. Został zabity człowiek, temu nie da się zaprzeczyć, ale nie dostrzegam żadnego powodu, dla którego ktokolwiek mógłby mu źle życzyć.

Holmes zapalił cygaro i rozparł się w fotelu.

– Proszę o wszystkim opowiedzieć.

– Udało mi się ustalić fakty – wyjaśnił Stanley Hopkins. – Teraz muszę się jeszcze dowiedzieć, o czym one świadczą. Historia, wedle mojej wiedzy, przedstawia się następująco. Kilka lat temu wiejski Yoxley Old Place wynajął starszy człowiek, który przedstawił się jako profesor Coram. Jest on inwalidą. Połowę czasu spędza w łóżku, a drugą – kuśtykając wokół domu o lasce lub jeżdżąc po posiadłości w fotelu na kółkach, który pcha ogrodnik. Nieliczni sąsiedzi, utrzymujący z nim kontakty, bardzo go polubili. Zasłynął też wielką wiedzą. W Yoxley Old Place mieszkają wraz z nim od chwili przybycia gospodyni, starsza pani o nazwisku Marker, i pokojówka Susan Tarlton. Obie sprawiają wrażenie zacnych kobiet. Profesor tworzy jakieś uczone dzieło i mniej więcej rok temu zaczął szukać sekretarza. Pierwsi dwaj, jakich zatrudnił, nie stanęli na wysokości zadania, jednak trzeci, pan Willoughby Smith, bardzo młody człowiek, który rozpoczął tę pracę zaraz po ukończeniu studiów, dokładnie odpowiadał oczekiwaniom chlebodawcy. Praca sekretarza polegała na pisaniu przez cały ranek pod dyktando profesora, wieczory zaś zwykle spędzał, sprawdzając odniesienia i źródła związane z pracą zaplanowaną na kolejny dzień. Smith nie sprawiał żadnych problemów ani jako chłopiec w Uppingham, ani jako młodzieniec w Cambridge. Widziałem jego

świadectwa szkolne; od najmłodszych lat był cichy i pracowity, pozbawiony słabości. I ten prawy, młody człowiek zakończył życie dziś rano w gabinecie profesora w okolicznościach, które jednoznacznie wskazują na morderstwo.

Wicher wył za oknami. Holmes i ja przysunęliśmy się bliżej do ognia, a młody inspektor powoli, punkt po punkcie, rozwijał swą niezwykłą opowieść.

– Choćbyście, panowie, przeszukali całą Anglię – stwierdził – nie sądzę, by udało wam się znaleźć dom bardziej samowystarczalny i niezależny od zewnętrznych wpływów. Jego mieszkańcy potrafili tygodniami nie wychodzić poza ogrodową furtkę. Profesor był zatopiony w pracy, i nic poza nią dla niego nie istniało. Młody Smith nie znał nikogo w okolicy i prowadził bardzo podobny tryb życia jak jego chlebodawca. Żadna z dwóch kobiet nie miała czego szukać poza domem. Mortimer, ogrodnik, który niekiedy pcha wózek na kółkach, jest emerytem wojskowym, szlachetnym weteranem wojny krymskiej. Mieszka w trzypokojowej chatce na drugim końcu ogrodu. To jedyne osoby, jakie można spotkać w posiadłości otaczającej Yoxley Old Place. Z drugiej strony, od furtki w ogrodzie jest zaledwie sto jardów do głównej drogi z Londynu do Chatham. Furtka zamykana jest na skobel, i z pewnością nie zdołałaby powstrzymać nikogo przed wtargnięciem do środka. Teraz przedstawię panom zeznania Susan Tarlton, jedynej osoby, która jest w stanie powiedzieć o tej sprawie coś pewnego. Feralnego dnia wieszała firanki w sypialni na górze, położonej od frontu. Profesor Coram wciąż leżał w łóżku, przy złej pogodzie zwykle nie wstawał przed południem. Gospodyni krzątała się w głębi domu. Willoughby Smith siedział w swej sypialni, która służyła mu także za salon, ale pokojówka usłyszała, jak idzie korytarzem i schodzi do gabinetu, znajdującego się dokładnie poniżej pokoju, w którym sprzątała. Nie widziała młodzieńca, ale twierdzi, że nie mogła pomylić jego szybkich, zdecydowanych kroków z żadnymi innymi. Nie słyszała odgłosu zamykania drzwi w gabinecie, ale mniej więcej minutę później w pokoju poniżej rozległ się okropny krzyk. Był nieartykułowany i ochrypły, tak dziwny i nienaturalny, że mogli go wydać zarówno mężczyzna, jak i kobieta. W tej samej chwili rozległ się głośny łoskot, który wstrząsnął starym domem, i zapadła cisza. Pokojówka przez chwilę stała, skamieniała ze strachu, potem zebrała się na odwagę i zbiegła na dół. Drzwi

do gabinetu były zamknięte. Otworzyła je i w środku znalazła młodego Willoughby’ego Smitha, który leżał na podłodze. Nie zauważyła na początku żadnych obrażeń na jego ciele, ale kiedy próbowała go podnieść, spostrzegła, że z szyi młodzieńca leje się krew. Smith miał w tym miejscu bardzo małą, lecz głęboką ranę, która przecięła tętnicę szyjną. Narzędzie, którym zadano cios, leżało na podłodze obok niego. Był to mały nożyk do wosku, z tych, które są nieodłącznym atrybutem każdego staroświeckiego biurka, z rączką z kości słoniowej i sztywnym ostrzem. Zawsze znajdował się w sekretarzyku profesora. Pokojówka pomyślała, że młody Smith już nie żyje, ale kiedy polała mu czoło wodą z karafki, na chwilę otworzył oczy i wymamrotał: „Profesor, to ona”. Dziewczyna gotowa jest przysiąc, że usłyszała właśnie te słowa. Ranny rozpaczliwie próbował powiedzieć coś jeszcze i uniósł do góry prawą rękę, jednak niemal natychmiast osunął się na ziemię martwy. W gabinecie zjawiła się zaraz gospodyni, przybyła jednak zbyt późno, by usłyszeć ostatnie słowa młodzieńca. Zostawiła Susan przy zmarłym i pobiegła do pokoju profesora. Staruszek siedział w łóżku, bardzo wzburzony, gdyż słyszał dość, by uświadomić sobie, że stało się coś strasznego. Pani Marker zarzeka się, że profesor wciąż miał na sobie koszulę nocną, nie był zresztą w stanie ubrać się bez pomocy Mortimera, który otrzymał polecenie, by przyjść w południe. Profesor twierdził, że słyszał z oddali krzyk, ale nie wie nic więcej. Nie potrafił wyjaśnić ostatnich słów młodzieńca „Profesor, to ona”, ale sądził, że umierający wygłosił je w delirium. Uważa, że Willoughby Smith nie miał wrogów, i dlatego nie potrafił podać motywu zbrodni. Od razu posłał ogrodnika Mortimera po policję. Komisarz wysłał na miejsce mnie. Przed moim przybyciem niczego nie ruszano i stanowczo zakazano korzystania ze ścieżek prowadzących do domu. Była to znakomita okazja do wprowadzenia w czyn pańskich teorii, panie Holmes. Niczego nie brakowało.

– Oprócz mnie – stwierdził mój towarzysz z dość gorzkim uśmiechem. – Ale posłuchajmy. Jak pan sobie poradził?

– Najpierw, panie Holmes, muszę poprosić pana, by zapoznał się on z tym planem, który wskazuje położenie gabinetu profesora i innych miejsc związanych ze sprawą. Pomoże to panu śledzić przebieg dochodzenia.

Rozłożył pobieżnie naszkicowaną mapę i położył ją na kolanach Holmesa. Podniosłem się z miejsca, stanąłem za plecami przyjaciela

i przyjrzałem się rysunkowi ponad jego ramieniem.

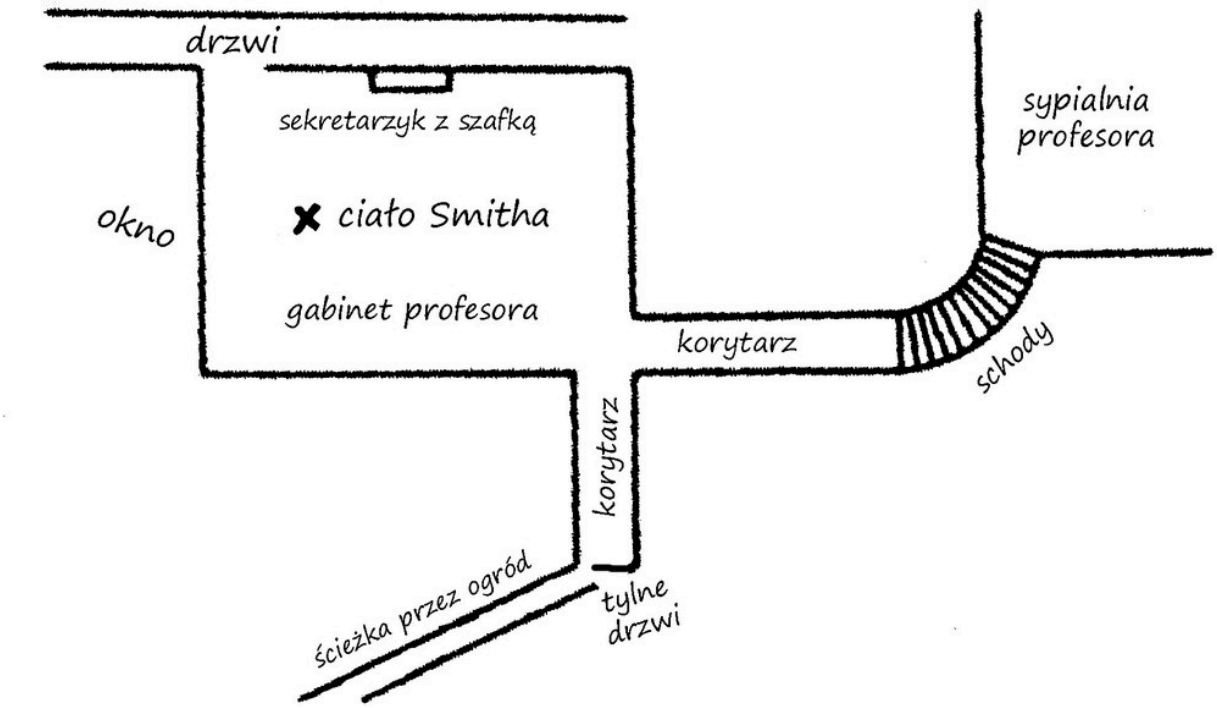

– Oczywiście, to tylko szkic i obejmuje jedynie miejsca, które wydają się najważniejsze. Resztę zobaczy pan później na własne oczy. Po pierwsze, załóżmy, że zabójca dostał się do domu z zewnątrz. W jaki sposób to zrobił (lub zrobiła)? Niewątpliwie przyszedł ścieżką wiodącą przez ogród i wszedł tylnymi drzwiami, prowadzącymi bezpośrednio do gabinetu. Wszelkie inne sposoby byłyby niezmiernie skomplikowane. Tą samą drogą musiał uciekać: jedno wyjście z pokoju zatarasowała pani Susan, kiedy zbiegła na dół, ale drugie prowadzi wprost do sypialni profesora. Dlatego od razu skupiłem swą uwagę na ścieżce wiodącej przez ogród, która była tak nasiąknięta wodą po ostatnich deszczach, że z pewnością widać byłoby na niej odciski stóp, gdyby takie były. Oględziny wykazały, że mam do czynienia z ostrożnym i wprawnym przestępcą. Na ścieżce nie było żadnych odcisków. Nie ulegało jednak wątpliwości, że ktoś przeszedł po pasie trawy przylegającym do ścieżki i że zrobił to, by nie zostawić śladów. Nie udało mi się znaleźć wyraźnego odcisku, ale trawa była zdeptana, i pewne było, że ktoś tamtędy przechodził. Mógł to być jedynie morderca:

ani ogrodnik, ani nikt inny nie chodził po ogrodzie rano, a padać zaczęło dopiero w nocy.

– Chwileczkę – przerwał mu Holmes. – Dokąd prowadzi ta ścieżka?

– Do drogi.

– Jakiej jest długości?

– Ze sto jardów.

– Ślady musiały być chyba widoczne w miejscu, gdzie ścieżka przechodzi przez furtkę?

– Niestety, to miejsce jest wyłożone płytkami.

– A co z drogą?

– Wszystko zadeptane.

– Ech! A czy ślady na trawie były skierowane w stronę domu czy w stronę drogi?

– Nie dało się tego stwierdzić. Nie znalazłem wyraźnego odcisku.

– Czy zostawiła je mała czy duża stopa?

– Nie wiadomo.

Holmes krzyknął z niecierpliwości.

– Od tego czasu bez przerwy leje deszcz i wieje huraganowy wiatr – stwierdził. – Ścieżka będzie trudniejsza do odczytania niż palimpsest. Ale cóż, nic się nie poradzi. Hopkins, co zrobił pan po tym, jak odkrył, że nic nie odkrył?

– Sądzę, że udało mi się odkryć całkiem sporo, panie Holmes. Wiem, że ktoś ostrożnie wszedł do domu z zewnątrz. Obejrzałem też korytarz. Jest wyłożony matami kokosowymi, na których nie pozostały żadne odciski stóp. Idąc dalej, trafiłem do gabinetu. Jest to skromnie umeblowany pokój. Najważniejszym z mieszczących się w nim sprzętów jest duży sekretarzyk, na którego blacie stoją dwie kolumny szuflad, a pomiędzy nimi znajduje się niewielka szafka. Szuflady były otwarte, szafka pozostała zamknięta. Zdaje się, że szuflady są otwarte przez cały czas, i nie trzyma się w nich niczego wartościowego. W szafce znajdowały się ważne papiery, nic jednak nie wskazuje na to, by ktoś w nich grzebał, a profesor zapewnił mnie, że niczego nie brakuje. Na pewno niczego nie skradziono. Opiszę teraz ciało młodzieńca. Znaleziono je nieopodal biurka, po lewej stronie, tak, jak zaznaczyłem na mapie. Rana znajduje się po prawej stronie szyi, zadano ją od tyłu, jest więc prawie niemożliwe, że młodzieniec zranił się sam.

– Chyba że się przewrócił na nóż – zasugerował Holmes.

– Otóż to. Wziąłem pod uwagę taką możliwość, ale nóż leżał kilka stóp od ciała, więc nie wydaje się to prawdopodobne. Pozostają jeszcze ostatnie słowa zmarłego i bardzo istotny dowód, który znaleziono w jego zaciśniętej prawej ręce.

Hopkins wyciągnął z kieszeni małą paczuszkę owiniętą w papier, rozpakował ją i pokazał nam złote binokle; z obydwu stron zwisały dwa oderwane kawałki czarnej, jedwabnej tasiemki.

– Willoughby Smith miał znakomity wzrok – dodał. – Nie ulega wątpliwości, że ten przedmiot zerwano z twarzy lub szyi mordercy.

Sherlock Holmes wziął okulary do ręki i obejrzał je z wielką uwagą i zainteresowaniem. Włożył następnie sobie na nos, usiłował coś przeczytać, podszedł do okna i popatrzył na ulicę, dokładnie przyjrzał im się w świetle lampy, a w końcu, chichocząc, usiadł przy stole i napisał kilka linijek na kartce papieru, którą rzucił Hopkinsowi.

– Tyle mogę dla pana zrobić – stwierdził. – Może się to panu przydać.

Zaskoczony detektyw przeczytał na głos zapisek o następującej treści:

> Poszukiwana elegancka kobieta, ubrana w sposób godny damy. Ma niezwykle szeroki nos, oczy osadzone blisko siebie i pomarszczone czoło, mruży oczy i prawdopodobnie się garbi. Istnieją podstawy, by sądzić, że w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy dwukrotnie korzystała z usług optyka. Jej okulary posiadają niezwykle mocne szkła, a ponieważ optyków nie ma zbyt wielu, powinno się ją wyśledzić bez trudności.

Holmes uśmiechnął się, widząc zdumienie Hopkinsa, które zapewne odbiło się również na mojej twarzy.

– Przecież moja dedukcja to ucieleśnienie prostoty – powiedział. – Trudno byłoby znaleźć przedmiot dający większe możliwości do wnioskowania niż okulary, szczególnie tak charakterystyczne jak te. To, że należą do kobiety, wywnioskowałem z ich delikatnego fasonu oraz, rzecz jasna, z ostatnich słów umierającego. Ich właścicielka to osobą wyrafinowana i dobrze ubrana, gdyż, jak widzicie, okulary są starannie oprawione w złoto, a nie do pomyślenia jest, by ktoś, kto takie nosi, ubierał się niechlujnie. Może pan sprawdzić, że skrzydełka są zbyt szeroko rozstawione, nie pasowałyby na pana, co oznacza, że dama ma nos bardzo szeroki u podstawy. Tego rodzaju nosy są zwykle krótkie i toporne, istnieje jednak tak wiele wyjątków od tej reguły, że nie wierzę w nią jak w dogmat

i nie obstaję przy tym punkcie. Choć sam mam wąską twarz, nie jestem w stanie spojrzeć przez środek szkieł. Oznacza to, że oczy tej kobiety są bardzo blisko osadzone. Watsonie, zauważyłeś zapewne, że soczewki okularów są wklęsłe i niezwykle mocne. Kobieta, która przez całe życie miała tak słaby wzrok, musi posiadać fizyczne cechy krótkowidza: zmarszczone czoło, zmrużone powieki i przygarbioną sylwetkę.

– Tak – powiedziałem. – Rozumiem wszystkie twoje argumenty. Przyznaję jednak, że nie mam pojęcia, skąd wiesz, że dwukrotnie była u optyka.

Holmes wziął okulary do ręki.

– Zauważ – wyjaśnił – że skrzydełka wyłożone są maleńkimi korkowymi podkładkami, które zmniejszają nacisk na nos. Jedna z nich jest nieco odbarwiona i podniszczona, druga – nowa. Najwyraźniej jedna się zgubiła. Sądzę, że starsza również nie ma więcej niż kilka miesięcy. Są identyczne, z czego wnoszę, że dama poszła po drugą z nich do tej samej pracowni.

– Do diaska, to wspaniałe! – wykrzyknął pełen podziwu Hopkins. – I pomyśleć, że miałem w ręku wszystkie te dowody i nie wiedziałem o tym! Zamierzałem jednak odwiedzić londyńskich optyków.

– Ależ oczywiście! Lecz póki co, czy ma pan coś więcej do powiedzenia w tej sprawie?

– Nie, panie Holmes. Sądzę, że wie pan już tyle samo co ja, a zapewne więcej. Wypytywaliśmy, czy nie było obcych na drodze lub dworcu kolejowym, jednak nie udało nam się niczego ustalić. Mnie zbija z tropu przede wszystkim całkowity brak motywu zbrodni. Nie znaleziono choćby cienia przyczyny.

– Aha! W tym nie mogę panu pomóc. Jak sądzę, chce pan, byśmy pojechali tam jutro?

– Gdyby pan był tak dobry, panie Holmes! Jeśli pojedziemy pociągiem z Charing Cross do Chatham, który odchodzi o szóstej rano, dotrzemy do Yoxley Old Place między ósmą a dziewiątą.

– W takim razie trzeba złapać ten pociąg. Sprawa, którą pan przedstawił, niewątpliwie zapowiada się interesująco i chętnie się nią zajmę. Dochodzi już pierwsza, powinniśmy choć kilka godzin się przespać. Sądzę, że będzie panu wygodnie na kanapie przed kominkiem. Zapalę lampę spirytusową; zanim wyruszymy, poczęstuję pana kawą.

Następnego dnia już nie wiało, ale kiedy ruszaliśmy w drogę, chwycił mróz. Widzieliśmy, jak chłodne, zimowe słońce wstaje nad ponurymi bagnami otaczającymi Tamizę i nad długimi, posępnymi odcinkami rzeki, które już zawsze kojarzyć mi się będą z pościgiem za wyspiarzem z Andamanów na początku naszej kariery. Po długiej i nużącej podróży wysiedliśmy na małej stacyjce odległej o kilka mil od Chatham. Kiedy zaprzęgano konie do dwukółki, którą najęliśmy w miejscowej oberży, zjedliśmy pośpieszne śniadanie i do Yoxley Old Place przybyliśmy gotowi do działania. Przy głównej bramie czekał na nas posterunkowy.

– I jak, Wilson, coś nowego?

– Nie, proszę pana, nic.

– Nikt nie zgłosił, że widział obcych?

– Nie, proszę pana. Na stacji byli pewni, że wczoraj nie przyjechał ani nie wyjechał nikt nieznajomy.

– Czy wypytaliście w gospodach i pokojach do wynajęcia?

– Tak, proszę pana. Nie było tam nikogo, o kim byśmy nie wiedzieli.

– Cóż, do Chatham można dojść spacerem. Każdy może się tam zatrzymać lub wsiąść do pociągu, pozostając niezauważonym. Panie Holmes, to ścieżka, o której wczoraj panu mówiłem. Daję słowo honoru, że wczoraj nie było na niej żadnych śladów.

– Po której stronie znajdowały się odciski na trawie?

– Tutaj, na tym wąskim pasie pomiędzy ścieżką a rabatką kwiatową. Nie widzę ich teraz, ale wczoraj były wyraźne.

– Tak, tak, ktoś tędy przechodził – stwierdził Holmes, pochylając się nad trawą. – Nasza dama musiała bardzo uważnie stawiać kroki, z jednej strony mogła zostawić ślad na ścieżce, z drugiej, jeszcze wyraźniejszy, na miękkiej ziemi w rabatce.

– Tak, musiała być bardzo opanowana.

Zobaczyłem, że na twarzy Holmesa na chwilę pojawiło się zaniepokojenie.

– Twierdzi pan, że wracała tą samą drogą?

– Tak. Nie ma innej możliwości.

– Po tym pasie trawy?

– Owszem, panie Holmes.

– Hmm! Był to doprawdy niezwykły wyczyn, doprawdy niezwykły! Zdaje mi się, że tutaj niczego więcej się nie dowiemy. Chodźmy dalej. Czy

drzwi do ogrodu zwykle są otwarte? Skoro tak, nieznajoma mogła niepostrzeżenie wejść do środka. Nie zamierzała popełniać morderstwa; gdyby było inaczej, przybyłaby uzbrojona i nie musiałaby się posłużyć nożykiem z biurka. Szła tym korytarzem, nie zostawiając śladów na kokosowych matach. Ile czasu spędziła w gabinecie? Nie sposób tego ocenić.

– Nie więcej niż kilka minut. Zapomniałem panu powiedzieć, że gospodyni, pani Marker, sprzątała tu niedługo przedtem, twierdzi, że mógł minąć najwyżej kwadrans.

– To pozwala nam określić ramy czasowe. Nasza dama wchodzi do pokoju i co robi dalej? Podchodzi do biurka. Po co? Z pewnością nie po to, żeby wziąć coś z szuflady. Gdyby trzymano w nich coś wartościowego, ponad wszelką wątpliwość byłyby zamknięte. Nie, chodziło o jakiś przedmiot z sekretarzyka. Ale, ale! Co to za zadrapanie? Watsonie, przyświeć zapałką. Hopkins, dlaczego mi pan o tym nie powiedział?

Ślad, który oglądał mój przyjaciel, widniał na mosiężnym okuciu po prawej stronie dziurki od klucza; miał długość mniej więcej czterech cali, lakier na okuciu był zdarty.

– Zauważyłem to, panie Holmes, ale wokół dziurek od klucza zawsze można znaleźć rysy.

– Ta jest świeża, całkiem świeża. Proszę popatrzeć, jak błyszczy w tym miejscu mosiądz. Gdyby rysa była starsza, miałaby ten sam kolor, co pozostała część powierzchni. Proszę spojrzeć przez moje szkło powiększające. Widać też kawałeczki zdrapanego lakieru, spiętrzone jak ziemia po bokach bruzdy. Czy jest tam pani Marker?

Starsza kobieta o smutnej twarzy weszła do pokoju.

– Odkurzała pani sekretarzyk wczoraj rano?

– Tak, proszę pana.

– Czy zauważyła pani tę rysę?

– Nie, proszę pana.

– Byłem tego pewien, drobinki lakieru zostałyby niechybnie usunięte podczas odkurzania. Kto ma klucz do sekretarzyka?

– Profesor nosi go na dewizce.

– Czy to zwykły klucz?

– Nie, proszę pana, to klucz do zamka firmy Chubb.

– Znakomicie, pani Marker, dziękuję pani. Zaczęliśmy robić postępy. Nasza dama wchodzi do pokoju, podchodzi do sekretarzyka i otwiera go albo usiłuje to zrobić. Zastaje ją przy tym młody Willoughby Smith. Kobieta w pośpiechu wyjmuje z zamka klucz, robiąc rysę na drzwiczkach. Młodzieniec chwyta ją, a ona łapie pierwszy przedmiot, jaki ma pod ręką (jak już ustaliliśmy, ten nożyk), i uderza Smitha, by rozluźnił uchwyt. Cios okazuje się śmiertelny. Młodzieniec upada, kobieta ucieka, mając to, po co przyszła, lub tego nie mając. Czy jest tu pokojówka? Susan, czy ktokolwiek mógł wydostać się przez te drzwi po tym, jak usłyszałaś krzyk?

– Nie, proszę pana, to niemożliwe. Zobaczyłabym tę osobę w korytarzu, idąc po schodach. Poza tym nikt nie otwierał drzwi, inaczej bym usłyszała.

– To rozstrzyga kwestię wyjścia. Nie ulega wątpliwości, że dama opuściła dom tą samą drogą, którą przyszła. Rozumiem, że drugi korytarz prowadzi jedynie do pokoju profesora, z którego nie ma wyjścia na dwór?

– Zgadza się, proszę pana.

– Pójdziemy teraz zawrzeć znajomość z gospodarzem. No proszę, Hopkins! To bardzo, bardzo istotny fakt. Korytarz prowadzący do pokoju profesora także jest wyłożony kokosowymi matami.

– Ale co z tego wynika?

– Nie widzi pan, jakie ma to znaczenie dla sprawy? Cóż, nie będę obstawał przy swoim. Mogę się mylić. A jednak wydaje mi się, że to znaczący fakt. Proszę iść ze mną i mnie przedstawić.

Poszliśmy korytarzem; jego długość była taka sama, jak długość korytarza prowadzącego do ogrodu. Na końcu ujrzeliśmy kilka schodków. Pokonaliśmy je i wreszcie stanęliśmy przed drzwiami sypialni profesora. Nasz przewodnik zapukał i zaprosił nas do środka.

Był to bardzo duży pokój wypełniony niezliczoną ilością książek, które wychylały się z półek, leżały w stosach na podłodze i piętrzyły się pod biblioteczkami. Pośrodku pokoju stało łóżko, a w nim, oparty na poduszkach, spoczywał pan domu. Rzadko zdarzało mi się widzieć osobę o równie niezwykłej powierzchowności. Profesor zwrócił ku nam szczupłą twarz o orlich rysach i przenikliwych, czarnych oczach, błyszczących w ciemnych zagłębieniach pod zwisającymi krzaczastymi brwiami. Mężczyzna miał siwe włosy; na siwej brodzie wokół ust widniały żółte plamy. Pośród splątanej brody żarzył się papieros, a powietrze w pokoju

cuchnęło starym dymem tytoniowym. Kiedy profesor wyciągnął rękę do Holmesa, zauważyłem, że ona również jest poplamiona na żółto nikotyną.

– Pali pan, panie Holmes? – spytał gospodarz z osobliwym, nieco afektowanym akcentem, uważnie dobierając słowa. – Proszę poczęstować się papierosem. A pan? Polecam, robi je specjalnie dla mnie Ionides z Aleksandrii. Przesyła mi po tysiąc sztuk, ale z przykrością przyznaję, że jestem zmuszony robić zamówienia co dwa tygodnie. To niedobrze, proszę pana, bardzo niedobrze, ale starcy nie mają w życiu wielu przyjemności. Mnie pozostały jedynie tytoń i praca.

Holmes zapalił papierosa i zaczął ukradkiem rozglądać się po pokoju.

– Tytoń i praca, a teraz już tylko tytoń! – wykrzyknął staruszek. – Ach, jaki straszny wypadek! Któż mógł przewidzieć tak potworną tragedię? Taki szacowny, młody człowiek! Zapewniam, że po kilku miesiącach przyuczania znakomicie wywiązywał się z obowiązków sekretarza. Co pan sądzi o tej sprawie, panie Holmes?

– Jeszcze nie wyrobiłem o niej zdania.

– Będę panu niezmiernie wdzięczny, jeśli uda mu się rzucić nieco światła tam, gdzie my gubimy się w mroku. Dla biednego mola książkowego i inwalidy, takiego jak ja, to paraliżujący cios. Mam wrażenie, że odebrał mi zdolność myślenia. Pan jednak jest człowiekiem czynu, zawodowcem. Takie wydarzenia składają się na pańskie codzienne życie, i potrafi pan zachować równowagę w każdej sytuacji. Mamy szczęście, że znalazł się pan u naszego boku.

Podczas gdy stary profesor mówił, Holmes chodził tam i z powrotem wzdłuż jednej ze ścian pokoju. Zauważyłem, że pali bardzo szybko, przypalając jednego papierosa od drugiego: najwyraźniej, podobnie jak nasz gospodarz, zagustował w świeżych papierosach z Aleksandrii.

– Tak, proszę pana, to wielki cios – ciągnął dalej staruszek. – Plik papierów leżący tam na stoliku to moje *magnum opus*, analiza dokumentów znalezionych w klasztorach koptyjskich w Syrii i Egipcie, która podważa podstawy religii objawionej. Nie wiem, czy przy moim słabym zdrowiu uda mi się ją dokończyć po stracie asystenta. Ojej! Panie Holmes, pali pan jeszcze szybciej niż ja.

Holmes się uśmiechnął.

– Jestem koneserem – stwierdził, biorąc ze szkatułki kolejnego, już czwartego, papierosa i odpalając go od właśnie wypalonego. – Profesorze

Coram, nie będę pana męczył długim przesłuchaniem, gdyż, jak mniemam, w czasie, kiedy zostało popełnione przestępstwo, był pan w łóżku, i niczego nie może wiedzieć o sprawie. Chciałbym zapytać tylko o jedno. Jak pan sądzi, o co chodziło temu biednemu młodzieńcowi, kiedy wymawiał swoje ostatnie słowa: „Profesor, to ona”?

Staruszek potrząsnął głową.

– Susan jest wieśniaczką – wyjaśnił – a wie pan, jak niewiarygodnie głupi potrafią być ludzie tej klasy. Wydaje mi się, że pogrążony w delirium nieszczęśnik wymamrotał bezładnie jakieś słowa, a ona przekręciła je, tworząc tę pozbawioną sensu wypowiedź.

– Rozumiem. Czy widzi pan jakieś wyjaśnienie tej tragedii?

– Mógł to być wypadek albo, powiem to jedynie panu, samobójstwo. Młodzi ludzie miewają utajone problemy, być może Smith był nieszczęśliwie zakochany, a my o niczym nie wiedzieliśmy. Wydaje mi się to bardziej prawdopodobne niż morderstwo.

Holmes chciał wiedzieć więcej:

– A co z okularami?

– Ach, jestem tylko uczonym, żyję pośród snów. Nie potrafię zrozumieć spraw praktycznych. Ale wiadomo, mój przyjacielu, że dowody miłości mogą przybierać najróżniejsze kształty. Proszę koniecznie poczęstować się jeszcze jednym papierosem. Miło mi patrzeć, jak panu smakują. Wachlarz, rękawiczka, okulary… Kto wie, jaki przedmiot należący do ukochanej mógł zdobyć młodzieniec i mieć go przy sobie w chwili śmierci. Ten dżentelmen mówił o śladach stóp na trawie, ale w takiej sprawie łatwo jest się pomylić. Jeśli chodzi o nóż, mógł upaść daleko od nieszczęśnika, kiedy ten zwalił się na ziemię. Możliwe, że to, co mówię, zabrzmi dziecinnie, ale wydaje mi się, że Willoughby Smith zginął z własnej ręki.

Holmes wydawał się bardzo poruszony wygłoszoną przez staruszka teorią i przez pewien czas chodził po pokoju zatopiony w myślach, paląc papierosa za papierosem.

– Proszę mi powiedzieć, profesorze Coram – odezwał się w końcu – co znajduje się w szafce w sekretarzyku?

– Nic, z czego złodziej mógłby mieć pożytek. Papiery rodzinne, listy od mojej biednej żony, dyplomy uniwersytetów, które postanowiły mnie uhonorować. Oto klucz. Może pan sam sprawdzić.

Holmes wziął do ręki klucz, przez chwilę mu się przyglądał, a później zwrócił właścicielowi.

– Nie, nie sądzę, by miało mi to pomóc – stwierdził. – Wolałbym przejść się spokojnie po pańskim ogrodzie i przemyśleć całą sprawę. Teoria o samobójstwie, którą pan ułożył, ma swoje mocne strony. Profesorze Coram, przepraszamy za najście, obiecuję, że nie pojawimy się ponownie przed lunchem. O drugiej tu wrócimy i złożymy panu relację ze wszystkiego, co się wydarzyło w tym czasie.

Holmes był niezwykle roztargniony, i przez jakiś czas w milczeniu spacerowaliśmy ogrodową ścieżką.

– Czy wpadłeś na jakiś trop? – spytałem w końcu.

– Wszystko zależy od wypalonych przeze mnie papierosów – odparł. – Możliwe, że całkowicie się mylę. Papierosy rozstrzygną sprawę.

– Drogi Holmesie! – wykrzyknąłem. – Jak niby…

– Sam zobaczysz, a jeśli nie, mówi się trudno. Rzecz jasna, zawsze pozostaje nam wątek optyka, który możemy zbadać, ale jeśli mam możliwość, by uprościć sobie pracę, chętnie z niej korzystam. A oto i zacna pani Marker! Poświęćmy pięć minut na pouczającą rozmowę z nią.

Jak już chyba wspominałem, Holmes, kiedy tylko chciał, potrafił odnosić się do kobiet w sposób niezwykle ujmujący i bardzo szybko nawiązywał z nimi przyjazne stosunki. Nie minęła połowa czasu, o którym wspomniał, a zdobył względy gospodyni i rozmawiał z nią tak, jakby się znali od lat.

– Tak, panie Holmes, jest tak, jak pan mówił. Pali jak smok przez cały dzień, a bywa, że i przez całą noc. Widziałam jego pokój rano, proszę pana, można by pomyśleć, że wypełnia go londyńska mgła. Biedny młody pan Smith także palił, ale nie tyle co profesor. Jeśli chodzi o jego zdrowie, sama nie wiem, czy palenie polepsza je czy pogarsza.

– Cóż – stwierdził Holmes – na pewno zabija apetyt.

– No nie wiem, proszę pana.

– Sądzę, że profesor prawie nic nie je.

– Mogę panu powiedzieć, że różnie z tym bywa.

– Założę się, że dziś rano nie zjadł śniadania i że nie tknie lunchu po tych wszystkich papierosach, które wypalił na moich oczach.

– I tu się pan myli. Tak się składa, że dziś zjadł zadziwiająco obfite śniadanie. Nie przypominam sobie, bym kiedyś przygotowywała mu większe. A na lunch kazał sobie zrobić kotlety. Sama jestem zdziwiona, bo

od chwili, kiedy wczoraj weszłam do tamtego pokoju i zobaczyłam młodego pana Smitha leżącego na podłodze, nie mogę patrzeć na jedzenie. Ale ludzie są różni, a profesor, jak widać, nie stracił apetytu.

Poranek spędziliśmy w ogrodzie. Hopkins pojechał do wioski, by zbadać informacje o nieznajomej kobiecie, którą jakieś dzieci widziały ponoć przy Chatham Road poprzedniego dnia. Mój przyjaciel sprawiał wrażenie, jakby opuścił go właściwy mu zapał. Nigdy nie widziałem, by zabierał się do sprawy w tak gnuśny sposób. Nawet przywiezione przez Hopkinsa wieści, że odnalazł dzieci, które niewątpliwie widziały kobietę w okularach na nosie, dokładnie odpowiadającą podanemu przez Holmesa opisowi, nie wzbudziły w nim większego zainteresowania. Słuchał z większą uwagą, kiedy Susan, która usługiwała nam podczas lunchu, zdradziła, że Smith poprzedniego ranka poszedł na spacer i wrócił zaledwie pół godziny przed tym, jak doszło do tragedii. Ja nie dostrzegłem w tym incydencie żadnego znaczenia, ale wyraźnie widziałem, że Holmes wplótł go w ogólny obraz, który tworzył w swym umyśle. Nagle zerwał się z krzesła i spojrzał na zegarek.

– Panowie, jest druga – stwierdził. – Czas wrócić do domu i porozmawiać z naszym przyjacielem profesorem.

Staruszek właśnie skończył jeść lunch, a jego pusty talerz wyraźnie świadczył o dopisującym mu apetycie, o którym wspominała gospodyni. Kiedy zwrócił ku nam grzywę białych włosów i lśniące oczy, wyglądał wielce osobliwie. W jego ustach żarzył się nieodłączny papieros. Pod naszą nieobecność został ubrany i posadzony w fotelu przy kominku.

– I jak, panie Holmes, rozwiązał już pan tę zagadkę? – pchnął dużą puszkę z papierosami, która stała na stole obok niego, w stronę mego towarzysza. Holmes w tej samej chwili wyciągnął po nią rękę tak gwałtownie, że puszka spadła ze stołu. Wszyscy rzuciliśmy się na kolana i przez minutę czy dwie zbieraliśmy papierosy z najzupełniej nieprawdopodobnych miejsc. Kiedy się podnieśliśmy, zauważyłem, że oczy Holmesa lśnią, a jego policzki się zaróżowiły. Były to nieomylne oznaki przełomu.

– Tak – odpowiedział. – Rozwiązałem ją.

Hopkins i ja wpatrzyliśmy się w niego ze zdumieniem, a po szczupłej twarzy starego profesora przemknął drwiący grymas.

– Doprawdy? W ogrodzie?

– Nie, tutaj.

– Ach tak? Kiedy?

– Przed chwilą.

– Raczy pan chyba żartować, panie Holmes. Jestem zmuszony przypomnieć, że sprawa jest zbyt poważna, by traktować ją w taki sposób.

– Wykułem i wypróbowałem każde ogniwo mych rozważań, profesorze Coram, i jestem pewien, że niczego w nim nie brakuje. Nie wiem jeszcze, jakie są pańskie motywy działania i jaką pan odegrał rolę w tej dziwnej sprawie. Za kilka minut zapewne dowiem się tego od pana. Tymczasem odtworzę panu przebieg wydarzeń, by wiadomo było, czego mi jeszcze brakuje. Wczoraj do pańskiego gabinetu weszła kobieta. Przybyła z zamiarem zabrania pewnych dokumentów, które znajdowały się w pańskim sekretarzyku. Miała do niego klucz. Skorzystałem z okazji, by obejrzeć ten pański, i nie znalazłem na nim przebarwienia, które niechybnie musiało powstać po zdrapaniu lakieru. Nie był pan zatem jej wspólnikiem, kobieta przybyła, by pana obrabować, jak wynika z dowodów, bez pańskiej wiedzy.

Profesor wypuścił z ust chmurę dymu.

– To bardzo ciekawe i pouczające – stwierdził. – Czy ma pan coś jeszcze do powiedzenia? Skoro udało się panu wyśledzić tę damę, z pewnością jest pan w stanie powiedzieć również, co się z nią stało.

– Postaram się. Najpierw pochwycił ją pański sekretarz, którego dźgnęła podczas próby ucieczki. Uważam tę tragedię za nieszczęśliwy wypadek, jestem bowiem przekonany, że dama nie zamierzała zadać tak poważnych obrażeń. Morderca nie zjawia się nieuzbrojony. Przerażona tym, co zrobiła, kobieta czym prędzej uciekła z miejsca zbrodni. Na swoje nieszczęście, podczas szamotaniny straciła okulary, a że miała bardzo słaby wzrok, była bez nich zupełnie bezradna. Pobiegła korytarzem, jak jej się wydawało, tym samym, którym przyszła, oba bowiem były wyłożone kokosowymi matami, i dopiero po chwili pojęła, że zmyliła drogę i że odcięto jej możliwość odwrotu. Co miała robić? Nie mogła zawrócić ani pozostać tam, gdzie była. Musiała iść przed siebie, i to właśnie uczyniła. Weszła na schody, otworzyła drzwi i znalazła się w pańskim pokoju.

Starzec siedział z otwartymi ustami, gniewnie wpatrując się w Holmesa. Na jego wyrazistej twarzy odbiły się zaskoczenie i strach. Po chwili

z wyraźnym wysiłkiem wzruszył ramionami i wybuchnął nieszczerym śmiechem.

– Wszystko bardzo pięknie, panie Holmes – stwierdził – ale pańska wspaniała teoria ma jedną wadę. Byłem w pokoju sam i nie opuszczałem go przez cały dzień.

– Jestem tego świadom, profesorze Coram.

– I chce pan powiedzieć, że leżąc w łóżku, mogłem nie zauważyć, że do pokoju weszła kobieta?

– Bynajmniej tak nie twierdzę. Owszem, zauważył ją pan, rozmawiał pan z nią, rozpoznał ją i pomógł jej w ucieczce.

Profesor ponownie wybuchnął piskliwym śmiechem. Podniósł się na nogi, a oczy płonęły mu jak rozżarzone węgle.

– Chyba pan oszalał! – wykrzyknął. – Mówi pan jak wariat. Ja pomogłem jej uciec? A gdzie jest teraz?

– Tam – stwierdził Holmes, wskazując wysoką biblioteczkę stojącą w rogu pokoju.

Starzec podniósł ręce do góry, wykrzywił twarz w przerażającym grymasie i opadł z powrotem na fotel. W tej samej chwili biblioteczka, o której była mowa, odchyliła się na zawiasach, i w pokoju pojawiła się kobieta.

– Miał pan rację! – wykrzyknęła dziwnym głosem naznaczonym cudzoziemskim akcentem. – Miał pan rację! Oto jestem.

Nieznajoma była szara od kurzu i pokryta pajęczynami, które przedtem wisiały na ścianach jej kryjówki. Miała również przybrudzoną twarz, a i bez tego nie byłaby ładna, wyglądała dokładnie tak, jak opisał ją Holmes, a w dodatku miała długi, wydatny podbródek. Ze względu na swój słaby wzrok i nagłe przejście z ciemności do światła stała jak odurzona i rozglądała się, mrugając, by się zorientować, kim jesteśmy i gdzie się znajdujemy. Jednak mimo wszystkich tych ułomności w postawie kobiety była pewna szlachetność, a galanteria widoczna w prowokującym podbródku i uniesionej głowie budziła podziw i szacunek.

Hopkins położył jej rękę na ramieniu, by ją aresztować, ona jednak gestem nakazała mu, żeby się odsunął, łagodnie, lecz z nie znoszącą sprzeciwu godnością. Starzec leżał w fotelu z twarzą targaną skurczami i złowrogo wpatrywał się w damę.

– Tak, proszę pana, jestem pańskim więźniem – oświadczyła kobieta. – Słyszałam każde słowo ze swej kryjówki i wiem, że odkryli panowie prawdę. Do wszystkiego się przyznaję. To ja zabiłam młodego człowieka. Miał jednak słuszność ten z panów, który twierdził, że był to wypadek. Nie wiedziałam nawet, że przedmiot, który trzymam w dłoni, to nóż, gdyż w desperacji chwyciłam ze stołu pierwszą rzecz, jaka nawinęła mi się pod rękę, i uderzyłam go, by mnie wypuścił. Mówię prawdę.

– Proszę pani – stwierdził Holmes – jestem pewien, że to prawda, obawiam się jednak, że nie czuje się pani dobrze.

Twarz kobiety przybrała straszliwą barwę, jeszcze bardziej upiorną w połączeniu z widniejącymi na niej smugami kurzu. Nieznajoma usiadła na skraju łóżka i znów zaczęła mówić.

– Nie mam wiele czasu – odrzekła – ale chcę, by poznali panowie całą prawdę. Jestem żoną tego człowieka. Nie jest on Anglikiem, a Rosjaninem. Nie zdradzę jednak panom jego nazwiska.

Starzec po raz pierwszy się poruszył.

– Niech cię Bóg błogosławi, Anno! – wykrzyknął. – Niech cię Bóg błogosławi!

Kobieta rzuciła mu spojrzenie pełne najgłębszej pogardy.

– Czemu tak uparcie trzymasz się swego nędznego życia, Sergiuszu? – spytała. – Zaszkodziło to wielu, a nie pomogło nikomu, nawet tobie. Nie zamierzam jednak przerywać cienkiej nitki twego żywota przed czasem, jaki Bóg ci wyznaczył. Dość już splamiłam swoją duszę od chwili, gdy przekroczyłam próg tego przeklętego domu. Muszę jednak mówić dalej, nim będzie za późno. Panowie, jak już powiedziałam, jestem żoną tego człowieka. Kiedy się pobraliśmy, on miał pięćdziesiąt lat, a ja byłam głupią dwudziestolatką. Ślub wzięliśmy w uniwersyteckim mieście w Rosji… Nie zdradzę panom jego nazwy.

– Niech cię Bóg błogosławi, Anno! – ponownie wymamrotał starzec.

– Byliśmy reformatorami, rewolucjonistami… Rozumie pan, nihilistami. On, ja i wielu innych. Później przyszły złe czasy, zginął oficer policji, wielu z nas aresztowano, żądano naszych zeznań, a mój mąż, by ratować siebie i uzyskać wysoką nagrodę, zdradził swą żonę i swych towarzyszy. Wszystkich nas aresztowano na podstawie jego zeznań. Niektórzy zostali skazani na stryczek, inni na Syberię. Ja znalazłam się wśród tych ostatnich, ale nie zostałam zesłana dożywotnio. Mój mąż wyjechał do Anglii ze swym

haniebnie zdobytym majątkiem i od tego czasu mieszkał tu, starając się nie rzucać w oczy, gdyż wiedział, że gdyby Braterstwo dowiedziało się, gdzie przebywa, wymierzyłoby mu sprawiedliwość przed upływem tygodnia.

Starzec wyciągnął drżącą dłoń po papierosa.

– Oddaję się w twoje ręce, Anno – stwierdził. – Zawsze byłaś dla mnie dobra.

– Nie powiedziałam panom jeszcze o jego najbardziej niegodziwym postępku – dodała kobieta. – Wśród naszych towarzyszy z Braterstwa był mój serdeczny druh, szlachetny, bezinteresowny, kochający, miał wszystkie cechy, jakich brakowało mojemu mężowi. Nieustannie pisał do nas listy, starając się odwieść od planowanych działań. Te listy mogły go uratować, podobnie jak mój pamiętnik, w którym dzień po dniu pisałam o moich uczuciach do niego i o tym, jak różnią się nasze poglądy. Mój mąż znalazł pamiętnik i listy, zachował je dla siebie, ukrył i robił, co mógł, by ten młody człowiek stracił życie. Nie udało mu się to, lecz Aleksy został zesłany na Syberię, do dziś pracuje tam w kopalni soli. Pomyśl o tym, ty łotrze, ty niegodziwcze! Teraz, w tej właśnie chwili, Aleksy, człowiek, którego imienia nie jesteś godzien wymówić, żyje i pracuje jak niewolnik, a jednak, choć twoje życie jest w moich rękach, puszczam cię wolno.

– Zawsze byłaś szlachetną kobietą, Anno – powiedział starzec, zaciągając się papierosem.

Dama wstała, ale opadła z powrotem na łóżko z cichym okrzykiem bólu.

– Muszę dokończyć – powiedziała. – Po odbyciu kary postawiłam sobie za cel zdobyć pamiętnik i listy. Mogły one, po ujawnieniu ich treści rosyjskim władzom, doprowadzić do zwolnienia mego przyjaciela. Wiedziałam, że mój mąż wyjechał do Anglii. Po miesiącach poszukiwań odkryłam, gdzie przebywa. Pamiętnik mój zatrzymał, wiem, gdyż podczas pobytu na Syberii dostałam od niego list, w którym czynił mi wyrzuty i cytował niektóre jego ustępy. Byłam jednak pewna, że ze względu na swą mściwą naturę nigdy nie odda mi go z własnej woli. Postanowiłam odebrać pamiętnik sama i w tym celu najęłam agenta z prywatnej firmy detektywistycznej, który zatrudnił się u mego męża jako sekretarz, był to twój drugi pracownik, Sergiuszu, ten, który tak pośpiesznie odszedł z pracy. Dowiedział się, że papiery są przechowywane w sekretarzyku, i skopiował klucz. Nie chciał posunąć się dalej. Sporządził dla mnie plan domu i powiedział, że przed południem gabinet zawsze jest pusty, gdyż sekretarz

pracuje w twoim pokoju. W końcu zebrałam się na odwagę i przybyłam odebrać ci dokumenty. Udało mi się, ale jakim kosztem!

Kiedy zamykałam szafkę, z której wyjęłam papiery, pochwycił mnie młody człowiek. Widziałam go już wcześniej tego ranka. Spotkałam przy drodze i poprosiłam, by wskazał dom profesora Corama, nie wiedząc, że tam pracuje.

– Otóż to! Otóż to! – stwierdził Holmes. – Sekretarz wrócił i opowiedział swemu chlebodawcy o spotkaniu z kobietą. A w swych ostatnich słowach próbował przekazać, że to była ona, ta sama, o której wcześniej z nim rozmawiał.

– Proszę pozwolić mi mówić – powiedziała kobieta rozkazującym tonem, z twarzą ściągniętą w grymasie bólu. – Kiedy młody człowiek upadł na podłogę, wybiegłam z gabinetu, otworzyłam niewłaściwe drzwi i znalazłam się w pokoju mego męża. Groził, że mnie zdradzi. Wyjaśniłam mu, że jeśli to zrobi, będzie zdany na mą łaskę. Gdyby on wydał mnie prawu, ja mogłabym wydać go Braterstwu. Nie zależy mi na życiu, pragnę wykonać swe zadanie. Wiedział, że spełnię swą groźbę, że jego los jest powiązany z moim. Tylko i wyłącznie ten fakt skłonił go do udzielenia mi schronienia. Kazał mi wcisnąć się do tamtej mrocznej kryjówki, pozostałości z dawnych czasów, o której nikt poza nim nie wiedział. Jadał posiłki w tym pokoju, więc mógł podzielić się ze mną jedzeniem. Ustaliliśmy, że kiedy policja opuści dom, wymknę się pod osłoną nocy i więcej nie wrócę. Jednak pan w jakiś sposób przejrzał nasze plany. – Gwałtownym ruchem wyjęła zza stanika sukni niewielką paczuszkę. – Oto moje ostatnie słowa – powiedziała. – Ten plik papierów uratuje Aleksego. Powierzam go panu, ufna w pański honor i umiłowanie sprawiedliwości. Proszę go zabrać i dostarczyć do ambasady rosyjskiej. Zrobiłam wszystko, co do mnie należało, i…

– Powstrzymajcie ją! – wykrzyknął Holmes, przebiegł przez pokój i wyrwał z dłoni kobiety małą fiolkę.

– Za późno! – powiedziała, osuwając się na łóżko. – Za późno! Zażyłam truciznę, nim opuściłam kryjówkę. Kręci mi się w głowie! Odchodzę! Błagam, niech pan pamięta o papierach!

– To prosta sprawa, a jednak pod wieloma względami pouczająca – zauważył Holmes, kiedy jechaliśmy z powrotem do miasta. – Od początku opierała się na złotych binoklach. Gdyby nie to, że umierający szczęśliwym

trafem chwycił okulary, nie jestem pewien, czy kiedykolwiek udałoby nam się rozwikłać tę zagadkę. Z grubości szkieł wywnioskowałem, że ich właścicielka musi być bez tych swoich okularów prawie ślepa i bezradna. Kiedy próbował mnie pan przekonać, że przeszła wąskim pasem trawy, nie robiąc ani jednego fałszywego kroku, stwierdziłem, jak zapewne pan pamięta, że był to niezwykły wyczyn. W moim mniemaniu było to niemożliwe, chyba że dama dysponowała drugą parą okularów. To drugie jednak było mało prawdopodobne, co zmusiło mnie do rozważenia hipotezy, że poszukiwana pozostała w domu. Kiedy zauważyłem, jak podobne są dwa korytarze, stało się dla mnie jasne, iż kobieta mogła bardzo łatwo je pomylić, a w takim przypadku oczywiste było, że znalazła się w pokoju profesora. Pilnie wypatrywałem wszelkich dowodów na prawdziwość tej teorii i dokładnie obejrzałem pokój w poszukiwaniu możliwej kryjówki. Dywan stanowił jedną całość i był przybity do podłogi, odrzuciłem więc istnienie klapy w podłodze. Za jednym z regałów mogła jednak znajdować się wnęka, często spotyka się je w starych bibliotekach. Zauważyłem, że we wszystkich innych miejscach książki ułożone były w stosy na podłodze, brakowało ich tylko przed jedną biblioteczką. Tam też mogły znajdować się drzwi. Nie zauważyłem nic, co by na to wskazywało, ale dywan był ciemnobrązowy, a ten kolor znakomicie nadaje się do prowadzenia obserwacji. Wypaliłem mnóstwo znakomitych papierosów naszego gospodarza i strząsnąłem z nich popiół przed podejrzaną biblioteczką. Była to prosta sztuczka, ale okazała się bardzo skuteczna. Później zszedłem na dół i stwierdziłem w twojej obecności, Watsonie, choć nie pojąłeś, do czego zmierzam, że profesor Coram zaczął więcej jeść. Można było się tego spodziewać, skoro dokarmiał drugą osobę. Kiedy wróciliśmy do pokoju, przewróciłem puszkę z papierosami. Zbierając je, obejrzałem starannie dywan. Dzięki odciśniętym w popiele po papierosach śladom przekonałem się, że podczas naszej nieobecności kobieta opuściła kryjówkę. Cóż, Hopkins, dotarliśmy na Charing Cross; gratuluję panu pomyślnego zakończenia śledztwa. Domyślam się, że jedzie pan na komendę główną. A my, Watsonie, udamy się do ambasady rosyjskiej.

Opowieść jedenasta

ZAGINIONY SKRZYDŁOWY

Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że na Baker Street przychodzą telegramy o dziwnej treści, ale szczególnie dobrze pamiętam jeden z nich, który dotarł do nas w ponury lutowy poranek, jakieś siedem czy osiem lat temu, i na cały kwadrans wprawił Sherlocka Holmesa w zdumienie. Był zaadresowany do mego przyjaciela i brzmiał następująco:

> Proszę na mnie czekać. Straszliwe nieszczęście. Zaginął prawy skrzydłowy. Niezbędny jutro. OVERTON.

– Nadano przy ulicy Strand o dziesiątej trzydzieści sześć – stwierdził Holmes, po raz kolejny czytając tekst. – Wygląda na to, że pan Overton wysyłał ten telegram w stanie wielkiego wzburzenia, i w efekcie napisał go nieco niespójnie. Zdaje się, że zanim przejrzę „Timesa”, dotrze tu nadawca, i wtedy dowiemy się wszystkiego o całej sprawie. W czasach zastoju nawet najbłahsza zagadka byłaby mile widziana.

Istotnie, ostatnio nie byliśmy zasypywani zleceniami, a bałem się takich okresów bezczynności, gdyż wiedziałem z doświadczenia, że mózg mojego przyjaciela jest nieprzeciętnie aktywny i że niebezpiecznie jest pozostawiać go bez materiału, nad którym mógłby pracować. Przez lata stopniowo wyprowadzałem Sherlocka z narkotykowego nałogu, który niegdyś omal nie przekreślił jego niezwykłej kariery. W normalnych okolicznościach nie pragnął już tego sztucznego bodźca, byłem jednak świadom, że nie wypędziłem demona, a jedynie go uśpiłem. Wiedziałem, że ma lekki sen i jest bliski przebudzenia w okresach bezczynności. Świadczyły o tym wymizerowana, ascetyczna twarz Holmesa i jego nieprzeniknione, głęboko osadzone oczy o ponurym spojrzeniu. Błogosławiłem więc pana Overtona,

kimkolwiek on był, gdyż enigmatyczna wiadomość, jaką od niego otrzymaliśmy, przerwała niebezpieczny spokój, który mógł zagrozić memu przyjacielowi bardziej, niż wszystko, co przeżył w swej burzliwej karierze.

Zgodnie z naszymi przewidywaniami, wkrótce po telegramie przybył jego nadawca. Najpierw przyniesiono wizytówkę pana Cyrila Overtona z kolegium św. Trójcy w Cambridge, a po chwili do pokoju wszedł ogromny młody człowiek: ważył z szesnaście kamieni, cały składał się z potężnych kości i mięśni, sięgał szerokimi ramionami od jednego do drugiego krańca framugi i zwracał to na jednego, to na drugiego z nas swoją przystojną twarz, zmizerniałą z niepokoju.

– Pan Sherlock Holmes?

Mój towarzysz się ukłonił.

– Byłem w Scotland Yardzie, panie Holmes. Widziałem się z inspektorem Stanleyem Hopkinsem. Poradził mi, bym zwrócił się do pana. Powiedział, że sprawa wydaje mu się bardziej odpowiednia dla pana niż dla policji.

– Proszę usiąść i opowiedzieć, co się stało.

– To okropne, panie Holmes, po prostu okropne! Dziwię się, że jeszcze nie osiwiałem. Godfrey Staunton, na pewno pan o nim słyszał, to trybik, który wprawia w ruch całą drużynę. Wolałbym poświęcić dwóch innych zawodników, byle mieć go na prawym skrzydle. Czy podaje, blokuje lub drybluje, nikt nie jest w stanie go dogonić. Poza tym gra z głową i utrzymuje spójność drużyny. Co mam zrobić? O to właśnie chciałem pana spytać. Mam pierwszego rezerwowego, Moorhouse’a, ale jest niedoszkolony i zawsze wybija piłkę na prawy aut zamiast w pole. To prawda, że dobrze wykonuje rzuty wolne, ale nie umie ocenić sytuacji i nie potrafi biegać. Tacy sprinterzy jak Morton czy Johnson z Oxfordu mogliby go zdublować. Stevenson jest dosyć szybki, ale nie trafiłby do bramki z dwudziestu pięciu metrów. Skrzydłowy, który nie potrafi strzelać goli ani uderzać z pierwszej piłki, nie jest wart miejsca w drużynie, choćby był rączy jak jeleń. Panie Holmes, będziemy zgubieni, jeśli nie pomoże mi pan odnaleźć Godfreya Stauntona.

Mój przyjaciel z pełnym rozbawienia zdziwieniem wysłuchał tej wygłoszonej z niezwykłą werwą i żarliwością długiej przemowy, której każdy punkt podkreślany był uderzeniem potężnej pięści mówiącego o jego kolano. Kiedy nasz gość zamilkł, Holmes wziął do ręki tom leksykonu

zawierający hasła na literę S. Tym razem zagłębił się w tę kopalnię informacji na próżno.

– Jest tu Arthur H. Staunton, obiecujący młody fałszerz – stwierdził – i Henry Staunton, któremu pomogłem trafić na stryczek, ale o Godfreyu Stauntonie słyszę po raz pierwszy.

Nasz gość wyglądał na zdumionego.

– Ależ, panie Holmes, sądziłem, że jest pan obdarzony wszechstronną wiedzą – powiedział. – Skoro nie zna pan Godfreya Stauntona, podejrzewam, że nazwisko Cyril Overton także nic panu nie powie?

Holmes z uśmiechem potrząsnął głową.

– Boże drogi! – wykrzyknął sportowiec. – Przecież byłem pierwszym rezerwowym na meczu Anglia–Walia, a przez cały ten rok pełniłem funkcję kapitana drużyny uniwersyteckiej. Ale to nic! Nie sądziłem, że istnieje w Anglii człowiek, któremu obce jest nazwisko Godfreya Stauntona, znakomitego skrzydłowego, który grał w drużynach Cambridge i Blackheath oraz w pięciu meczach reprezentacji narodowej. Dobry Boże, panie Holmes, w jakim świecie pan żyje?

Mój przyjaciel roześmiał się, widząc naiwne zdumienie młodego olbrzyma.

– W innym niż pan, panie Overton. Pański jest znacznie piękniejszy i zdrowszy. Moje śledztwa obejmowały wiele warstw społecznych, ale z przyjemnością przyznaję, że nigdy dotąd nie zetknęły się z dziedziną sportu amatorskiego, który jest najlepszą i najszlachetniejszą rzeczą w Anglii. Pańska dzisiejsza nieoczekiwana wizyta świadczy jednak o tym, że nawet w świecie uczciwej gry i świeżego powietrza może znaleźć się coś dla mnie do roboty. Dlatego, drogi panie, proszę, by usiadł pan i opowiedział mi spokojnie i powoli, co się stało i jakiej pomocy pan ode mnie oczekuje.

Młody Overton bardzo się zmartwił, jego mina wskazywała, że był to człowiek nawykły do wytężania mięśni, nie umysłu, ale stopniowo, często się powtarzając i gubiąc, opowiedział nam swą dziwną historię.

– To jest tak, panie Holmes. Jak już mówiłem, jestem kapitanem drużyny rugby na uniwersytecie Cambridge, a Godfrey Staunton to mój najlepszy zawodnik. Jutro gramy z Oxfordem. Wczoraj przyjechaliśmy i zameldowaliśmy się w prywatnym hotelu u Bentleya. O dziesiątej wieczorem przeszedłem się po pokojach, by dopilnować, żeby wszyscy

zawodnicy się położyli, bo uważam, że nie ma to jak ostre treningi i dużo snu, żeby utrzymać drużynę w dobrej formie. Zamieniłem kilka słów z Godfreyem, zanim poszedł spać. Wydawał mi się blady i niespokojny. Spytałem go, o co chodzi, ale odpowiedział, że wszystko jest w porządku, tylko trochę boli go głowa. Życzyłem mu dobrej nocy i wyszedłem. Portier powiedział mi, że pół godziny później jakiś brodaty obdartus przyszedł do Godfreya z liścikiem. Chłopak jeszcze nie spał. Zaniesiono mu list do pokoju Kiedy go przeczytał, padł na fotel, jakby go ktoś ogłuszył. Portier tak się wystraszył, że chciał pobiec po mnie, ale Godfrey go zatrzymał, napił się wody i wziął się w garść. Później zszedł na dół, zamienił kilka słów z człowiekiem, który czekał w holu, i razem wyszli. Portier widział ich ostatni raz, kiedy oddalali się ulicą w stronę Strandu, prawie biegnąc. Dziś rano okazało się, że pokój Godfreya jest pusty, że w ogóle nie spał w swoim łóżku, a jego rzeczy wciąż leżą dokładnie tak, jak pamiętam z poprzedniego wieczora. Od chwili gdy poszedł z nieznajomym, nie dał znaku życia. Nie wierzę, że wróci. Był sportowcem z krwi i kości. Nie porzuciłby treningów i nie zawiódł kapitana, gdyby nie przeszkodziło mu coś, z czym nie zdołał sobie poradzić. Nie. Czuję, że zniknął na zawsze i że więcej go nie ujrzymy.

Sherlock Holmes z wytężoną uwagą wysłuchał tej osobliwej opowieści.

– Jak pan zareagował? – zapytał.

– Wysłałem telegram do Cambridge, by sprawdzić, czy tam nie mieli o nim jakichś wieści. Otrzymałem odpowiedź negatywną. Nikt go nie widział.

– Czy mógł wrócić do Cambridge?

– Tak, gdyby złapał nocny pociąg o jedenastej piętnaście.

– Jednak wedle pana wiedzy nie pojechał nim?

– Nie, nikt go w pociągu nie widział.

– Co zrobił pan dalej?

– Wysłałem telegram do lorda Mount-Jamesa.

– Czemu właśnie do niego?

– Godfrey jest sierotą, a lord Mount-James to jego najbliższy krewny, zdaje się, że stryj.

– Doprawdy? To stawia sprawę w innym świetle. Lord Mount-James jest jednym z najzamożniejszych ludzi w Anglii.

– Godfrey wspominał mi o tym.

– Czy pański przyjaciel był z nim blisko związany?

– Tak, jest jego dziedzicem, a staruszek ma już prawie osiemdziesiąt lat i cierpi na podagrę, chociaż mówią, że kiedyś potrafił zgnieść w ręku kulę bilardową. Nigdy nie dał Godfreyowi nawet szylinga, bo to skąpiec, jakich mało, ale chłopak wszystko po nim odziedziczy.

– Czy lord Mount-James odpowiedział panu?

– Nie.

– Jaki powód mógł mieć pański przyjaciel, by pojechać do stryja?

– No cóż, poprzedniego wieczora coś go trapiło, a jeśli miało to coś wspólnego z pieniędzmi, możliwe, że postanowił zwrócić się do najbliższego krewnego, który ma ich całą masę, chociaż z tego, co wiem, raczej by mu nie pomógł. Godfrey nie przepadał za starym i nie pojechałby do niego, gdyby miał inne wyjście.

– Możemy szybko to sprawdzić. Jeśli pański przyjaciel zamierzał wybrać się do swego krewnego lorda Mount-Jamesa, musi pan jakoś wyjaśnić nocną wizytę i wywołane nią poruszenie.

Cyril Overton złapał się za głowę.

– Nic już z tego nie rozumiem – przyznał.

– Cóż, tak się składa, że dysponuję wolnym czasem i chętnie zajmę się pańską sprawą – rzekł Holmes. – Stanowczo doradzam jednak, by przygotowywał się pan do rozegrania meczu bez tego młodego dżentelmena. Jak sam pan stwierdził, tylko jakaś ważna przyczyna mogła oderwać go od obowiązków, i możliwe jest, że z tego samego powodu nie pojawi się na meczu. Chodźmy razem do hotelu, może portier będzie w stanie powiedzieć nam coś więcej.

Sherlock Holmes był mistrzem w skłanianiu nieśmiałych świadków do zwierzeń, i bardzo szybko po tym, jak znaleźliśmy się w opuszczonym pokoju Godfreya Stauntona, wyciągnął z portiera wszystko, co tamten mógł opowiedzieć. Gość, który przybył poprzedniej nocy, nie był ani dżentelmenem, ani robotnikiem, portier określił go jako „kogoś pomiędzy”. Miał pięćdziesiąt lat, siwiejącą brodę i bladą twarz. Był skromnie ubrany i wydawał się bardzo wzburzony. Portier zauważył, że trzęsły mu się ręce, gdy oddawał list. Godfrey Staunton po przeczytaniu kartki wepchnął ją do kieszeni. Nie podał ręki człowiekowi czekającemu w holu, jedynie zamienił z nim kilka zdań, z których portier usłyszał tylko jedno słowo: „Czas”. Później oddalili się. Zegar w holu wskazywał tuż po wpół do jedenastej.

– Niech pomyślę. – Sherlock usiadł na łóżku Stauntona. – Pan pracuje na dzienną zmianę, tak?

– Tak, proszę pana, kończę pracę o jedenastej.

– Rozumiem, że nocny portier niczego nie widział?

– Niczego, proszę pana. Jedna grupka gości późno wróciła z teatru. Poza tym nie było nikogo.

– Czy pracował pan wczoraj przez cały dzień?

– Tak.

– Czy dostarczał pan wcześniej jakieś wiadomości panu Stauntonowi?

– Tak, proszę pana, jeden telegram.

– To wielce interesujące. O której to było?

– Około szóstej.

– Gdzie był pan Staunton, kiedy otrzymał wiadomość?

– Tutaj, w swoim pokoju.

– Czy był pan przy tym, jak ją czytał?

– Tak. Czekałem, czy będzie chciał nadać odpowiedź.

– Nadał ją?

– Tak, proszę pana, napisał odpowiedź.

– Czy pan ją zabrał?

– Nie, zaniósł ją sam.

– Ale napisał ją w pańskiej obecności.

– Tak, proszę pana. Stałem przy drzwiach, a on pisał przy tym biurku, odwrócony do mnie plecami. Kiedy skończył, powiedział do mnie: „W porządku, sam to zaniosę”.

– Czym pisał?

– Piórem, proszę pana.

– Czy korzystał z jednego z formularzy leżących na stole?

– Tak, proszę pana, z tego na samej górze.

Holmes wstał, wziął do rąk formularze, podszedł do okna i uważnie obejrzał pierwszy od góry.

– Szkoda, że nie pisał ołówkiem – powiedział, rzucając kartki z powrotem na biurko i wzruszając ramionami. Był rozczarowany. – Jak zapewne nieraz widziałeś, Watsonie, zwykle zostaje wtedy odciśnięty ślad. Ten fakt położył kres niejednemu szczęśliwemu małżeństwu. Tu odcisków nie widać, jednak zauważyłem, że zaginiony pisał gęsim piórem o szeroko

zaostrzonym czubku, i na bibule na pewno znajdziemy jakieś ślady. Proszę bardzo, oto i ona!

Oderwał pasek bibuły i pokazał nam jakieś symbole:

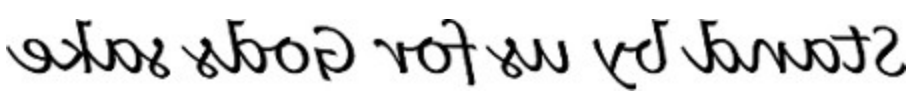

Cyril Overton nie posiadał się z podniecenia.

– Niech pan to obejrzy przez szkło powiększające! – wykrzyknął.

– To nie będzie konieczne – wyjaśnił Holmes. – Bibuła jest cienka, a jeśli odwrócimy ją na drugą stronę, da się odczytać wiadomość. Proszę spojrzeć. – Odwrócił bibułę, z której odczytaliśmy:

(„Na litość Boską, niech nam pan pomoże!”)

– Tak wygląda końcówka telegramu, który Godfrey Staunton wysłał na kilka godzin przed zniknięciem. Nie znamy co najmniej sześciu pierwszych słów, ale to zdanie „Na litość Boską, niech nam pan pomoże!” dowodzi, że młodzieniec lękał się jakiegoś niebezpieczeństwa, które przeczuwał, a przed którym ktoś inny mógł go uchronić. Proszę zwrócić uwagę na słowo „nam”. Wskazuje ono, że w sprawę zaangażowana jest jeszcze jedna osoba. Kto mógłby nią być, jeśli nie blady brodaty człowiek, który sam wydawał się tak poruszony? Co zatem łączy Godfreya Stauntona z brodaczem? I od kogo chcieli oni uzyskać pomoc w obliczu niebezpieczeństwa? Nasze śledztwo zawęziło się do tych pytań.

– Wystarczy dowiedzieć się, do kogo był adresowany telegram – podsunąłem.

– Otóż to, drogi Watsonie. Ten pomysł, przyznaję, znakomity, przyszedł mi do głowy już wcześniej. Pragnę jednak zwrócić twą uwagę na fakt, że jeśli zjawisz się w urzędzie telegraficznym z fragmentem wiadomości nadanej przez inną osobę, pracownicy urzędu nie będą zbyt skorzy do pomocy. W tych sprawach panuje straszliwa biurokracja, jednak odrobina delikatności i finezji czynią cuda. Panie Overton, chciałbym tymczasem w pańskiej obecności przejrzeć papiery, które pozostały na biurku.

Leżało tam mnóstwo listów, rachunków i zeszytów, które Holmes po kolei kartkował swymi zręcznymi nerwowymi palcami i przeglądał niespokojnymi przenikliwymi oczami.

– Niczego tu nie ma – stwierdził w końcu. – Proszę pana, tak przy okazji, pański przyjaciel cieszył się dobrym zdrowiem?

– Był zdrów jak ryba.

– Czy pamięta pan, by kiedykolwiek chorował?

– Nigdy. Zdarzyło mu się pokasływać, zwichnął raz rzepkę, ale nic poza tym.

– Być może był w gorszej kondycji, niż pan sądzi. Może ukrywał jakieś problemy? Za pańskim pozwoleniem, chciałbym zatrzymać kilka papierów, gdyż mogą się przydać podczas śledztwa.

– Chwileczkę! Chwileczkę! – Usłyszeliśmy gderliwy głos, a gdy spojrzeliśmy w kierunku, z którego dochodził, zobaczyliśmy, że w drzwiach stoi trzęsący się mały człowieczek ubrany w znoszony czarny strój; na głowie miał cylinder o bardzo szerokim rondzie, na szyi luźno zwisała biała muszka. Wyglądał jak duchowny, przybyły z zapadłej wsi, lub karawaniarz, ale mimo jego niechlujnej, a nawet dziwacznej aparycji, ostry ton głosu i zdecydowana postawa domagały się uwagi.

– Kim pan jest i jakim prawem dotknął papierów tego dżentelmena?

– Jestem prywatnym detektywem i usiłuję wyjaśnić sprawę jego zniknięcia.

– Ach tak? A kto to panu polecił?

– Ten dżentelmen, przyjaciel pana Stauntona, którego skierował do mnie Scotland Yard.

– A kim pan jest?

– Nazywam się Cyril Overton.

– A więc to pan wysłał do mnie telegram. Jestem lord Mount-James. Przyjechałem tak szybko, jak się dało, autobusem z Bayswater. Czyli wynajął pan detektywa?

– Tak.

– A czy jest pan gotów ponieść koszty jego pracy?

– Proszę pana, nie mam wątpliwości, że zrobi to mój przyjaciel Godfrey, kiedy uda nam się go znaleźć.

– A co, jeśli wam się nie uda? Proszę odpowiedzieć!

– To jego rodzina zapewne…

– Nic z tych rzeczy, proszę pana! – wrzasnął człowieczek. – Nie dam ani pensa! Ani pensa! Rozumie pan, panie detektywie? Jestem jedynym żyjącym członkiem rodziny tego młodzieńca i nie poczuwam się do odpowiedzialności. Jeśli będzie mógł coś po mnie odziedziczyć, to tylko dlatego, że nigdy nie trwoniłem pieniędzy i nie zamierzam robić tego teraz. Jeśli chodzi o papiery, z którymi, jak widzę, robi pan, co mu się żywnie podoba, zapowiadam, że jeśli któryś z nich ma jakąś wartość, zostanie pan rozliczony z tego, co pan z nimi zrobi.

– Znakomicie – odpowiedział Sherlock Holmes. – A póki co, jeśli mogę spytać, czy ma pan jakąś teorię, która by wyjaśniła zniknięcie młodzieńca?

– Nie, proszę pana, nie mam. Chłopak jest na tyle duży, że mógł sam o siebie zadbać, a jeśli był tak głupi, by się zgubić, nie zamierzam brać udziału w jego poszukiwaniach.

– Rozumiem pański punkt widzenia – odrzekł Holmes z figlarnym błyskiem w oku. – Nie jestem jednak pewien, czy pan rozumie mój. Wszystko wskazuje na to, że Godfrey Staunton jest biedny. Jeśli został porwany, to na pewno nie ze względu na jego własny majątek. Lordzie Mount-James, wieść o pańskich bogactwach przekroczyła granice tego kraju, i jest całkiem możliwe, że gang złodziei ujął pańskiego bratanka, by wydobyć od niego informacje o pańskim domu, nawykach i zawartości pańskiego skarbca.

Twarz naszego niemiłego gościa stała się nagle równie biała jak jego muszka.

– Wielkie nieba, proszę pana, co za pomysł! Nigdy nie przyszłaby mi do głowy podobna niegodziwość! Jakież nieludzkie łotry żyją na tym świecie! Ale Godfrey to dobry chłopak, ma mocny charakter. Nikt nie zmusiłby go, żeby wydał swego starego stryja. Dziś wieczorem każę przenieść srebra do banku. A póki co, panie detektywie, niech pan nie szczędzi wysiłków! Niech poruszy niebo i ziemię, by dzieciak bezpiecznie wrócił. Jeśli chodzi o pieniądze, cóż, mogę zaoferować panu pięć, a nawet dziesięć funtów.

Nawet po tym, jak ten arystokratyczny skąpiec stał się bardziej skłonny do współpracy, nie był w stanie podać nam żadnych informacji, gdyż niewiele wiedział o prywatnym życiu bratanka. Jedyną poszlakę stanowił fragment telegramu; mając go na uwadze, Holmes wyruszył na poszukiwanie kolejnego ogniwa łańcucha. Pozbyliśmy się lorda Mount-

Jamesa, a Overton poszedł spotkać się z kolegami z drużyny i poinformować ich o nieszczęściu, jakie na nich spadło.

Nieopodal hotelu mieścił się urząd telegraficzny. Zatrzymaliśmy się przed nim.

– Warto spróbować, Watsonie. – Holmes był pełen nadziei. – Rzecz jasna, gdybyśmy mieli nakaz, moglibyśmy zażądać udostępnienia blankietów, ale sprawa nie jest jeszcze na tym etapie. Nie sądzę, żeby w tak ruchliwym miejscu mogli zapamiętać konkretną twarz. Spróbujmy.

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedział swym najbardziej uprzejmym tonem do młodej kobiety siedzącej w okienku – ale mam problem z telegramem, który wysłałem wczoraj. Nie dostałem odpowiedzi i obawiam się, że zapomniałem podpisać się na końcu. Czy mogłaby pani to sprawdzić?

Urzędniczka przysunęła plik papierów.

– O której został nadany?

– Tuż po szóstej.

– Do kogo był adresowany?

Holmes przyłożył palec do ust i zerknął w moją stronę.

– Ostatnie słowa brzmiały: „Niech nam pan pomoże” – szepnął tonem, który wskazywał, że to poufna informacja. – Bardzo się niepokoję, gdyż nie otrzymałem jeszcze odpowiedzi.

Kobieta wyjęła jeden z formularzy.

– Oto on. Nie ma podpisu – stwierdziła, kładąc papier na ladzie.

– To wszystko wyjaśnia, a ja czekam na odpowiedź! – wykrzyknął Holmes. – Ależ ze mnie głupiec! Życzę pani dobrego dnia i serdecznie dziękuję, że pozwoliła mi pani odzyskać spokój. – Kiedy znaleźliśmy się z powrotem na ulicy, zachichotał i zatarł ręce.

– I co?

– Robimy postępy, drogi Watsonie, robimy postępy! Obmyśliłem siedem różnych sposobów, by przyjrzeć się telegramowi, ale nie spodziewałem się, że już pierwszy z nich okaże się skuteczny.

– I co zyskałeś?

– Punkt wyjścia dla śledztwa. – wyjaśnił, zatrzymując dorożkę. – Na dworzec King’s Cross – powiedział do woźnicy.

– A więc ruszamy w podróż?

– Tak, sądzę, że powinniśmy się udać do Cambridge. Wszystkie ślady, jakimi dysponuję, wskazują na to miejsce.

– Powiedz mi – spytałem, kiedy koła naszego pojazdu turkotały na Gray’s Inn Road – czy masz już jakieś podejrzenia co do przyczyny zaginięcia chłopaka? Nie przypominam sobie, by w którejkolwiek z prowadzonych przez nas spraw motywy były równie niejasne. Nie myślisz chyba serio, że biedaka porwano, by wyciągnąć z niego informacje o zamożnym stryju?

– Przyznaję, drogi Watsonie, że takie wyjaśnienie nie wydaje mi się szczególnie prawdopodobne. Uznałem jednak, że właśnie ono może najbardziej zainteresować tego wyjątkowo niesympatycznego starszego pana.

– I niewątpliwie tak się stało. Ale czy masz jakieś inne teorie?

– Mógłbym przedstawić kilka. Musisz przyznać, że ciekawy i znaczący jest fakt, że do incydentu doszło w przeddzień ważnego meczu i że zaangażowany jest w niego jedyny człowiek, którego gra może zapewnić drużynie zwycięstwo. Rzecz jasna, może to być zbieg okoliczności, jest jednak interesujący. Bukmacherzy nie przyjmują zakładów o wyniki rozgrywek amatorskich, ale kibice często zakładają się między sobą, i być może ktoś uznał, że warto unieszkodliwić zawodnika, podobnie jak łajdakom grającym na wyścigach zdarza się ranić konie biorące udział w gonitwie. To jedno wyjaśnienie. Drugie, nader oczywiste, to takie, że nasz młody człowiek, choć w tej chwili ubogi, jest dziedzicem wielkiej fortuny, i niewykluczone, że doszło do spisku mającego na celu porwanie dla okupu.

– Żadna z tych teorii nie uwzględnia telegramu.

– Zgadza się, Watsonie. Pozostaje on jedynym pewnym dowodem, na jakim możemy się oprzeć, nie możemy więc stracić go z oczu. Jedziemy w tej chwili do Cambridge właśnie po to, by zorientować się, w jakim celu nadano ten telegram. Obecnie nie wiem jeszcze, jak się potoczy śledztwo, ale bardzo bym się zdziwił, gdybyśmy przed wieczorem nie zdołali go zakończyć, a przynajmniej znacząco posunąć naprzód.

Było już ciemno, kiedy dotarliśmy do starego uniwersyteckiego miasta. Holmes zatrzymał dorożkę przy dworcu i kazał się zawieźć do domu doktora Lesliego Armstronga. Kilka minut później zatrzymaliśmy się przed okazałym gmachem stojącym przy głównej ulicy miasteczka. Wpuszczono

nas do środka i po długim oczekiwaniu wprowadzono do gabinetu, gdzie za biurkiem siedział doktor Armstrong.

To, że nie znałem wówczas jego nazwiska, świadczy niezbicie, w jak wielkim stopniu straciłem kontakt z mym wyuczonym zawodem. Obecnie wiem już, że był nie tylko dziekanem wydziału medycyny na uniwersytecie w Cambridge, ale także słynnym na całą Europę myślicielem, zajmującym się również innymi dziedzinami nauki. Jednak nawet nie wiedząc o sławie, jaką się cieszył, nie sposób było oprzeć się wrażeniu, jakie robił ten mężczyzna o masywnej kwadratowej twarzy, ponurych oczach spoglądających spod krzaczastych brwi i twardej, jakby wyrzeźbionej w granicie, szczęce. Był to człowiek o silnym charakterze i czujnym umyśle, ponury, ascetyczny, niezależny, onieśmielający – tyle udało mi się wyczytać ze srogiej twarzy doktora Lesliego Armstronga. Wziął do ręki wizytówkę Holmesa i spojrzał na nas z niezbyt zadowoloną miną.

– Słyszałem o panu, panie Holmes, wiem, czym się pan zajmuje, i nie pochwalam tego.

– Panie doktorze, w tej sprawie zgodziłby się z panem każdy złoczyńca w tym kraju – cicho odpowiedział mój przyjaciel.

– Dopóki pańskie działania mają na celu zwalczanie przestępczości, zasługują na poparcie każdego rozsądnego obywatela, choć sądzę, że oficjalne środki służące do osiągnięcia tego celu są nie mniej skuteczne. Pańskie dochodzenie podlega krytyce, bo wtrąca się pan w cudze sprawy, odgrzebuje rodzinne sekrety, które nie powinny ujrzeć światła dziennego, i marnuje czas bardzo zajętych ludzi. Ja na przykład powinienem w tej chwili pisać traktat zamiast z panem rozmawiać.

– Nie wątpię w to, doktorze, nasza rozmowa może jednak okazać się ważniejsza niż pański traktat. Proszę pana, robimy coś wręcz przeciwnego niż to, o co nas pan oskarża, i czynimy, co w naszej mocy, by uniknąć upublicznienia pewnych prywatnych spraw, nieuniknionego, jeśli sprawą zajmie się policja. Może pan myśleć o mnie jako o partyzancie, który kroczy przed regularnymi siłami zbrojnymi. Jestem tu, by spytać o pana Godfreya Stauntona.

– Słucham!

– Zna go pan?

– Jest moim serdecznym przyjacielem.

– Czy wie pan, że zaginął?

– Doprawdy? – Wymizerowana twarz lekarza nie drgnęła.

– Wyszedł z hotelu wczoraj wieczorem, i od tamtego czasu nikt o nim nie słyszał.

– Wróci, nie wątpię w to.

– Jutro mecz drużyn uniwersyteckich.

– Nie lubię takich dziecinnych zabaw. Los tego młodego człowieka bardzo mnie interesuje, gdyż znam go i lubię. Mecz jest mi całkowicie obojętny.

– Odwołam się więc do pańskiej sympatii: czy wie pan, gdzie przebywa Godfrey Staunton?

– Nie, z całą pewnością.

– Czy widział się już pan z nim dzisiaj?

– Nie.

– Czy pan Staunton chorował na coś?

– Nie.

– Czy pamięta pan, by kiedykolwiek chorował?

– On nigdy nie chorował.

Holmes wyciągnął kartkę papieru i pokazał ją lekarzowi.

– W takim razie proszę wyjaśnić mi rachunek na trzynaście gwinei zapłacony w zeszłym miesiącu przez pana Godfreya Stauntona doktorowi Lesliemu Armstrongowi z Cambridge. Znalazłem go w papierach, które leżały na jego biurku.

Lekarz poczerwieniał ze złości.

– Nie widzę powodu, dla którego miałbym się panu tłumaczyć, panie Holmes.

Holmes wsunął rachunek z powrotem do notatnika.

– Jeśli woli pan tłumaczyć się publicznie, wcześniej czy później zostanie pan niechybnie do tego zmuszony – stwierdził. – Mówiłem już panu, że ja mogę zatuszować to, co inni będą chcieli rozgłosić, i że lepiej byłoby dla pana, gdyby pan mi zaufał.

– Nic nie wiem o tej sprawie.

– Czy po przyjeździe do Londynu pan Staunton kontaktował się z panem?

– Nie, z całą pewnością nie.

– Ech, znów ta poczta – westchnął ze znużeniem Holmes. – Wczoraj wieczorem, o szóstej piętnaście, Godfrey Staunton nadał do pana

z Londynu bardzo pilny telegram, niewątpliwie związany z przyczyną jego zniknięcia, a pan jeszcze go nie otrzymał. To doprawdy karygodne. Nie omieszkam złożyć skargi w tej sprawie.

Doktor Armstrong wyskoczył zza biurka z twarzą siną z wściekłości.

– Proszę opuścić mój dom – wykrzyknął – i powtórzyć swemu pryncypałowi lordowi Mount-Jamesowi, że nie życzę sobie mieć do czynienia ani z nim, ani z jego sługusami! Nie, proszę pana, ani słowa więcej! – Wściekle pociągnął za sznur od dzwonka. – Johnie, wyprowadź tych panów!

Pompatyczny lokaj z całą stanowczością odprowadził nas do drzwi. Gdy znaleźliśmy się na ulicy, Holmes wybuchnął śmiechem.

– Doktor Leslie Armstrong niewątpliwie ma mnóstwo energii i odznacza się silnym charakterem – stwierdził. – Nie widziałem dotąd człowieka, który, spożytkując swe zdolności wbrew prawu, mógłby lepiej wypełnić lukę pozostałą po słynnym profesorze Moriartym. A teraz, biedny Watsonie, utknęliśmy sami w tym nieprzyjaznym mieście. Nie możemy go opuścić, bo prowadzimy śledztwo. Naprzeciwko domu Armstronga jest mała gospoda. Ty wynajmiesz frontowy pokój i kupisz wszystko, co niezbędne dla spędzenia tu nocy, a ja w tym czasie popytam tu i ówdzie.

Rozpytywanie okazało się bardziej czasochłonne, niż się Holmes spodziewał. Kiedy wrócił do gospody, dochodziła już dziewiąta. Był blady, zniechęcony, brudny od pyłu i ledwie trzymał się na nogach z głodu i zmęczenia. Na stole czekała go kolacja na zimno. Gdy mój przyjaciel nasycił głód i zapalił fajkę, zaczął patrzeć na świat na poły humorystycznie i filozoficznie. Taki pogląd cechował go, kiedy sprawy nie układały się po jego myśli. Słysząc turkot kół powozu, wstał i wyjrzał przez okno. Przed drzwiami domu lekarza stała kareta zaprzężona w parę siwków.

– Nie było go przez trzy godziny – powiedział Holmes. – Wyjechał o wpół do szóstej, a wrócił dopiero teraz. Raz, a niekiedy dwa razy dziennie pokonuje dziesięć lub dwanaście mil.

– To nic dziwnego w przypadku praktykującego lekarza.

– Ale Armstrong nie praktykuje. Pracuje jako wykładowca i konsultant, ale nie przyjmuje pacjentów, którzy mogliby przeszkadzać mu w pracy naukowej. Dlaczego w takim razie odbywa te długie podróże, które muszą być dla niego bardzo uciążliwe, i kogo odwiedza?

– Jego woźnica…

– Drogi Watsonie, nie wątpisz chyba, że na samym początku skierowałem się do niego? Nie wiem, czy powodowała nim wrodzona złość, czy działał z polecenia swego pana, ale zachował się wielce nieuprzejmie i poszczuł mnie psem. Co prawda, ani czworonóg, ani jego pan nie chcieli zbytnio zbliżyć się do mego kija, i na tym sprawa się zakończyła, jednak stosunki między nami pozostały napięte na tyle, że wykluczały dalsze pytania. Wszystkiego się dowiedziałem od pewnego przyjaznego człowieczka siedzącego na dziedzińcu naszej gospody. To on poinformował mnie o zwyczajach doktora i o jego codziennych podróżach. W tej samej chwili, jakby na potwierdzenie jego słów, pod drzwi podjechał powóz.

– Czy nie mogłeś pojechać za nim?

– Znakomicie, Watsonie! Dziś doprawdy błyszczysz inteligencją. Owszem, wpadłem na ten pomysł. Zauważyłeś, że obok gospody znajduje się sklep z rowerami? Wypożyczyłem tam bicykl i pojechałem za karetą. Szybko ją dogoniłem i, utrzymując dyskretną odległość około stu jardów, jechałem za jej światłami. Opuściliśmy miasto i zdążyliśmy ujechać spory kawałek po wiejskiej drodze, kiedy wydarzył się dość przykry incydent. Powóz się zatrzymał, doktor wysiadł, szybko podszedł do miejsca, w którym przystanąłem, i powiedział mi z całą ironią, na jaką było go stać, że choć droga jest wąska, on ma nadzieję, iż jego powóz nie utrudnia przejazdu memu rowerowi. Nie sposób było ująć tych słów bardziej wdzięcznie. Natychmiast ruszyłem przodem i, trzymając się głównej drogi, przejechałem kilka mil, po czym zatrzymałem się w dogodnym miejscu, by sprawdzić, czy pojazd będzie tamtędy przejeżdżał. Nie dostrzegłem go. Na pewno skręcił w jedną z bocznych dróg, które zauważyłem podczas jazdy. Pojechałem z powrotem, ale i po drodze nie napotkałem karety, która, jak widziałeś, wróciła później ode mnie. Rzecz jasna, na początku nie miałem szczególnego powodu, by łączyć te podróże ze zniknięciem Godfreya Stauntona, i chciałem czegoś się o nich dowiedzieć tylko dlatego, że w tej chwili interesuje nas wszystko, co dotyczy doktora Armstronga. Jednak skoro uważnie wypatruje wszystkich, którzy mogliby śledzić go podczas tych wypadów, sprawa wydaje się bardziej istotna, i nie spocznę, dopóki jej nie wyjaśnię.

– Możemy pojechać za nim jutro.

– Czyżby? To nie takie proste, jak ci się wydaje. Nie znasz terenu Cambridgeshire, prawda? Tam nie ma gdzie się ukryć. Cały obszar, przez który przejeżdżałem dziś wieczorem, był płaski i nagi jak wnętrze dłoni, a człowiek, którego śledzimy, nie jest głupcem, czego dał dziś wyraźny dowód. Wysłałem telegram do Overtona, by przesyłał nam wszelkie wieści z Londynu pod ten adres, a my skupimy na razie uwagę na doktorze Armstrongu, którego nazwisko urocza dama z urzędu telegraficznego pozwoliła mi odczytać na formularze z tekstem pilnego telegramu Stauntona. Lekarz wie, gdzie przebywa ten młodzieniec, jestem gotów to przysiąc, a skoro tak, będzie wyłącznie naszą winą, jeśli nie zdołamy się tego dowiedzieć. Trzeba przyznać, że na chwilę obecną to on jest górą w tej grze, a jak wiesz, Watsonie, nie mam zwyczaju kończyć rozgrywki jako pokonany.

Następnego dnia nie zbliżyliśmy się jednak do rozwiązania zagadki. Po śniadaniu dostarczono nam liścik, który Holmes podał mi z uśmiechem. Brzmiał on następująco:

Szanowny Panie!

Mogę zapewnić Pana, że marnuje on swój czas, usiłując śledzić moje ruchy. Jak zauważył Pan wczoraj wieczorem, w tylnej ścianie mej karety znajduje się okienko, więc jeśli chce pan przejechać dwadzieścia mil, by wrócić tam, skąd przybył, proszę śmiało jechać za mną. Mogę również poinformować Pana, że szpiegowanie mnie w żaden sposób nie pomoże ani jemu, ani Godfreyowi Stauntonowi, a Pan najlepiej przysłuży się temu dżentelmenowi, jestem pewien, niezwłocznie wracając do Londynu i informując swego chlebodawcę, że nie zdołał go Pan odnaleźć. Czas, który spędzi Pan w Cambridge, z pewnością będzie można uznać za zmarnowany.

Z poważaniem. LESLIE ARMSTRONG

– Doktor jest uczciwym i elokwentnym przeciwnikiem – przyznał Holmes. – Budzi we mnie coraz większą ciekawość, i doprawdy muszę się więcej o nim dowiedzieć.

– Jego powóz stoi teraz przed drzwiami – odrzekłem. – Armstrong właśnie do niego wsiadł. Zauważyłem, że przy okazji spojrzał w nasze okno. Czy mam pojechać za nim na rowerze?

– Nie, nie, drogi Watsonie! Z całym szacunkiem dla twej wrodzonej bystrości, sądzę, że nie byłbyś godnym przeciwnikiem dla zacnego doktora. Wydaje mi się, że mogę osiągnąć swój cel, prowadząc niezależne badania. Zostawię cię chyba własnemu losowi, gdyż pojawienie się dwóch

dociekliwych nieznajomych w tak sennej okolicy mogłoby wzbudzić zbyt wiele plotek. Jestem pewien, że znajdziesz w tym znakomitym mieście dość zabytków, by się czymś zająć, ja natomiast jeszcze przed wieczorem przedstawię ci bardziej pomyślną, mam taką nadzieję, relację z mych poczynań.

Sherlocka czekało jednak kolejne rozczarowanie. Wrócił w nocy, zmęczony, nic nie zdziaławszy.

– Mój Watsonie, zmarnowałem cały dzień. Gdy się zorientowałem, w którą stronę pojechał lekarz, odwiedziłem wszystkie wioski po tamtej stronie Cambridge, rozmawiałem z oberżystami i przedstawicielami innych lokalnych agencji informacyjnych. Przejechałem kawał drogi. Byłem w Chesterton, Histon, Waterbeach i Oakington. Niestety, niczego się nie dowiedziałem. W takich zapadłych dziurach zauważyliby karetę zaprzężoną w parę koni, która przejeżdża tam codziennie. Doktor zdobył kolejne punkty. Czy to telegram do mnie?

– Tak, otworzyłem go. Posłuchaj: „Poproście Jeremiego Dixona z kolegium św. Trójcy o Pompejusza”. Nic z tego nie rozumiem.

– Wszystko jasne. Przysłał go nasz przyjaciel Overton w odpowiedzi na moje pytanie. Wyślę liścik do Jeremiego Dixona i nie wątpię, że nasz los się odmieni. A przy okazji, czy wiadomo coś o meczu?

– Tak, w ostatnim wydaniu lokalnej gazety znalazła się znakomita relacja. Oxford wygrał jednym punktem i dwoma przyłożeniami. Artykuł kończy się tak:

> Przegraną drużyny Cambridge można złożyć na karb nieobecności asa kadry narodowej Godfreya Stauntona, którego nieobecność dało się odczuć w każdym momencie gry. Brak koordynacji skrzydłowych i ich słabość zarówno w ataku, jak i w obronie zniweczyły wysiłki pracowitej ekipy.

– Sprawdziły się przewidywania Overtona – stwierdził Holmes. – W tej sprawie zgadzam się z doktorem Armstrongiem, rugby jest mi całkowicie obojętne. Watsonie, dziś musimy położyć się wcześniej, bo jutro czeka nas pracowity dzień.

Następnego ranka byłem przerażony, gdy zobaczyłem Holmesa, który siedział przy ogniu i trzymał w ręku swą maleńką strzykawkę. To narzędzie kojarzyłem z jedyną słabością mego przyjaciela, i kiedy go zobaczyłem,

obawiałem się najgorszego. Widząc moją zaniepokojoną minę, Holmes zaśmiał się i odłożył strzykawkę na stół:

– Nie, nie, mój drogi, nie ma powodu do obaw. To narzędzie jest tylko kluczem do naszej zagadki. Ta strzykawka to nasza jedyna szansa na rozwiązanie zagadki. Właśnie wróciłem z krótkiej wyprawy zwiadowczej, i, uwierz mi, wszystko układa się jak najlepiej. Watsonie, zjedz porządne śniadanie, bo podążymy dziś w tropy za Armstrongiem, a kiedy raz natrafię na jego ślad, nie zamierzam jeść ani odpoczywać, póki nie odkryję celu podróży doktora.

– W takim razie – powiedziałem – musimy zabrać śniadanie ze sobą, bo nasz znajomy wyrusza dziś wcześnie. Jego powóz już stoi pod drzwiami.

– Nieważne. Niech jedzie. Musi być niezwykle przemyślny, żebym nie zdołał go wyśledzić. Kiedy skończysz, zejdź na dół, przedstawię ci detektywa, wybitnego specjalistę w dziedzinie, którą zamierzamy się zająć.

Po posiłku poszedłem za Holmesem do stajni, gdzie mój przyjaciel otworzył drzwi jednego z boksów i wyprowadził krępego białobrązowego psa o oklapniętych uszach, łączącego w sobie cechy beagle’a i foxhounda.

– Przedstawiam ci Pompejusza, chlubę miejscowych ogarów – stwierdził. – Nie jest wprawdzie szybkobiegaczem, jak widać z jego sylwetki, ale znakomicie chodzi tropem. Pompejuszu, może nie jesteś zbyt chyży, ale podejrzewam, że i tak wyprzedziłbyś dwóch londyńskich dżentelmenów w średnim wieku, więc pozwolę sobie przypiąć do twojej obroży tę oto skórzaną smycz. A teraz chodź i pokaż nam, co potrafisz. – Poprowadził psa do drzwi doktora. Czworonóg przez chwilę niuchał, a potem przenikliwie zaskomlał z podniecenia i ruszył ulicą, szarpiąc za spowalniającą go smycz. Po pół godziny byliśmy już poza miastem i szybko szliśmy wiejską drogą.

– Coś ty zrobił, Holmesie? – spytałem.

– To sztuczka stara jak świat, ale bardzo przydatna. Dziś rano poszedłem na dziedziniec domu doktora i za pomocą strzykawki spryskałem tylne koło powozu wyciągiem z anyżku. Ogar może iść za tym zapachem choćby na koniec świata, a nasz przyjaciel Armstrong musiałby przejechać przez rzekę, żeby Pompejusz zgubił trop. Co za spryciarz! To tak zmylił mnie tamtej nocy.

Pies nagle skręcił z głównej drogi na zarośniętą trawą ścieżkę. Pół mili dalej wyszła ona na drogę, a ślady skręciły w prawo, w stronę miasta, po

czym poprowadziły łukiem przez południową część Cambridge i skierowały się w stronę przeciwną do tej, w którą szliśmy na początku.

– Aha, zrobił ten objazd wyłącznie dla nas – stwierdził Holmes. – Nic dziwnego, że niczego nie dowiedziałem się od wieśniaków. Doktor niewątpliwie wykorzystał w tej grze wszystkie atuty; chciałbym wiedzieć, dlaczego stosuje tak wymyślne podstępy. Zobacz, na prawo przed nami leży wioska Trumpington. Na Jowisza! Zza rogu wyjeżdża kareta. Szybko, Watsonie! Szybko, albo będzie po nas!

Pobiegł przez bramę na pole, ciągnąc za sobą opierającego się Pompejusza. Ledwie zdążyliśmy się schronić za żywopłotem, gdy pojazd przejechał obok nas. Zobaczyłem doktora Armstronga, który ze skulonymi ramionami i głową zwieszoną na piersi wyglądał jak uosobienie rozpaczy.

Mój przyjaciel pokiwał głową.

– Nasza wyprawa zmierza chyba ku końcowi – powiedział nie bez wahania. – Niedługo wszystkiego się dowiemy. Chodź, Pompejuszu! Na polu stoi chatka!

Bez wątpienia dotarliśmy do celu podróży. Pompejusz skamlał przed bramą, gdzie widać było ślady kół karety. Do domu prowadziła ścieżka. Holmes przywiązał psa do płotu, a my pobiegliśmy naprzód. Mój przyjaciel zapukał raz i drugi do niskich drzwi, ale nikt nie odpowiedział. W domu na pewno ktoś był: do naszych uszu dobiegł cichy odgłos, jakby jęk rozpaczy, pełen niewypowiedzianego smutku. Holmes zatrzymał się, bo nie był pewny, co robić dalej. Drogą, którą przyszliśmy, jechał powóz zaprzężony w parę siwków, którego nie sposób było pomylić z żadnym innym.

– Na Jowisza, doktor wraca! – wykrzyknął Holmes. – To rozstrzyga sprawę. Musimy się dowiedzieć, o co chodzi, nim tu dotrze.

Otworzył drzwi, i weszliśmy do sieni. Jęki stały się coraz głośniejsze, aż przeszły w nieprzerwany, pełen rozpaczy lament. Odgłosy dochodziły z górnego piętra. Holmes szybko wbiegł po schodach, ja podążyłem za nim. Mój przyjaciel otworzył drzwi, i obaj stanęliśmy, przerażeni tym, co zobaczyliśmy. Na łóżku leżała piękna młoda kobieta. Była martwa. Jej spokojną bladą twarz o zamglonych, szeroko otwartych niebieskich oczach okalała burza splątanych jasnych włosów. U stóp łóżka, pół siedząc, pół klęcząc, szlochał młody człowiek. Był tak pogrążony w smutku, że nawet się nie obejrzał, póki Holmes nie położył mu ręki na ramieniu.

– Pan Godfrey Staunton?

– Tak, to ja, ale spóźniliście się, panowie. Ona nie żyje.

Mężczyzna był tak oszołomiony, że nie sposób było wytłumaczyć mu, że nie jesteśmy lekarzami, którzy przybyli z pomocą. Holmes usiłował powiedzieć młodzieńcowi kilka słów pociechy i wyjaśnić, jak bardzo jego nagłe zniknięcie zaniepokoiło przyjaciół, kiedy na schodach rozbrzmiały kroki, a po chwili w drzwiach pojawiła się pełna surowa twarz doktora Armstronga.

– A więc, panowie – powiedział – dopięliście swego, a w dodatku wybraliście niezmiernie delikatny moment na najście. Nie zamierzam grozić wam w miejscu, gdzie przed chwilą zagościła śmierć, ale zapewniam panów, że gdybym był młodszy, wasz postępek nie uszedłby wam płazem.

– Przepraszam, doktorze Armstrong, zdaje się, że doszło do pewnego nieporozumienia – odpowiedział mój przyjaciel z godnością. – Jeśli zechce pan zejść z nami na dół, sądzę, że zdołamy wyjaśnić pewne aspekty tej smutnej sprawy.

Minutę później siedzieliśmy wraz z posępnym lekarzem w salonie na parterze.

– Co ma mi pan do powiedzenia?

– Przede wszystkim musi pan wiedzieć, że nie pracuję dla lorda Mount-Jamesa i w tej sprawie zdecydowanie nie stoję po jego stronie. Jeśli doszło do zaginięcia, mym obowiązkiem było ustalenie tego, co się stało z poszukiwanym, ale na tym kończy się moja rola. O ile nie popełniono przestępstwa, wolę tuszować sprawę, niż ją rozgłaszać. Jeśli, o czym jestem przekonany, nie zostało złamane prawo, może być pan całkowicie pewien mej dyskrecji i pomocy w zatajeniu faktów przed prasą.

Doktor Armstrong szybko podszedł do Holmesa i chwycił go za rękę.

– Dobry z pana człowiek – stwierdził. – Źle pana oceniłem. Dziękuję Bogu, że wyrzuty sumienia nie pozwoliły mi zostawić biednego Stauntona samego w jego smutnym położeniu, więc zawróciłem powóz i dzięki temu zawarłem z panem znajomość. Wie pan już tyle, że mogę łatwo wytłumaczyć całą sytuację. W zeszłym roku Godfrey Staunton przez pewien czas mieszkał w Londynie. Zakochał się wówczas bez pamięci w córce swej gospodyni i ożenił się z nią. Dziewczyna była dobra, mądra i piękna. Żaden mężczyzna nie musiałby się wstydzić takiej żony. Jednakże Godfrey jest dziedzicem tego opryskliwego starego szlachcica, był więc

pewien, że na wieść o tym małżeństwie zostałby wydziedziczony. Znam dobrze tego chłopaka i cenię go za jego liczne zalety. Pomagałem mu, jak tylko mogłem. Robiliśmy, co w naszej mocy, żeby zachować całą sprawę w tajemnicy przed wszystkimi, gdyż kiedy zaczynają krążyć plotki, szybko docierają do każdych uszu. Dzięki tej odludnej chacie i swojej dyskrecji Godfreyowi do tej pory się udawało. Ich tajemnicy nie znał nikt poza mną i jednym zacnym sługą, który pojechał właśnie po pomoc do Trumpington. W końcu dosięgnął ich jednak straszliwy cios, dziewczyna ciężko zachorowała. Cierpiała na najbardziej zjadliwą postać gruźlicy. Biedny chłopak był bliski pomieszania zmysłów z rozpaczy, musiał jednak pojechać do Londynu na mecz, gdyż nie mógł tego uniknąć, nie udzielając wyjaśnień, które zdradziłyby jego sekret. Wysłałem mu telegram, by go pocieszyć, a on odpowiedział, błagając, bym zrobił wszystko, co w mojej mocy. To ten telegram, który w niewyjaśniony sposób udało się panu przeczytać. Nie powiedziałem mu, jak poważne jest niebezpieczeństwo, gdyż wiedziałem, że nic tu po nim, powiadomiłem jednak ojca dziewczyny, który bardzo nierozważnie przekazał wieści Godfreyowi. W efekcie młodzieniec przyjechał tu bliski obłędu i pozostał w tym stanie, klęcząc przy łóżku ukochanej, aż do dzisiejszego ranka, kiedy śmierć położyła kres jej cierpieniom. To wszystko, panie Holmes, i mam nadzieję, że mogę liczyć na dyskrecję pańską i pańskiego przyjaciela.

Holmes uścisnął rękę lekarza.

– Chodźmy, Watsonie – powiedział. Wyszliśmy z pogrążonego w żałobie domu na blade słońce zimowego dnia.

Opowieść dwunasta

ABBEY GRANGE

Pewnego okrutnie mroźnego poranka pod koniec zimy roku 1894 obudziło mnie szarpanie. Stał nade mną Holmes i tarmosił za ramię. Świeca, którą trzymał w ręku, oświetlała jego pochyloną nade mną, pełną ożywienia twarz, z której wyrazu wyczytałem natychmiast, że coś się stało.

– Chodź, Watsonie, chodź! – wykrzyknął. – Czas rozpocząć polowanie. Ani słowa! Ubieraj się i chodź!

Dziesięć minut później siedzieliśmy już w dorożce, jadąc cichymi ulicami na dworzec Charing Cross. Wstawał blady zimowy świt, i widzieliśmy zamglone sylwetki mijających nas robotników z najwcześniejszej zmiany, zamazane i niewyraźne w opalizującej londyńskiej mgle. Milczący Holmes otulił się grubym płaszczem, a ja cieszyłem się, że mogę zrobić to samo – panował trzaskający mróz, żaden z nas natomiast nie jadł jeszcze śniadania.

Dopiero kiedy napiliśmy się na dworcu gorącej herbaty i zajęliśmy miejsca w pociągu do Kent, odtajaliśmy na tyle, by mój przyjaciel był w stanie mówić, a ja mogłem słuchać. Holmes wyjął z kieszeni list i przeczytał go na głos:

Abbey Grange, Marsham, hrabstwo Kent, 3.30 rano

Drogi Panie Holmes!

Byłbym bardzo wdzięczny za pańską niezwłoczną pomoc w śledztwie, które zapowiada się nadzwyczaj ciekawie. Ta sprawa może pana zainteresować. Dopilnuję, by – poza uwolnieniem damy – wszystko pozostało tak, jak to znalazłem, ale błagam,

by przybył pan, nie tracąc ani chwili, gdyż nie mogę na długo pozostawić sir Eustace’a w obecnym położeniu.

Z poważaniem.
STANLEY HOPKINS

– Hopkins wzywał mnie dotąd siedmiokrotnie i za każdym razem z całkowicie uzasadnionych powodów – powiedział Holmes. – Zdaje się, że każda z jego spraw trafiła do twego zbiorku. Muszę przyznać, Watsonie, że umiejętnie dobierasz tematy, co wynagradza wiele niedociągnięć, jakie dostrzegam w twych opowiadaniach. Twój zgubny zwyczaj patrzenia na wszystko jak na historię, nie zaś na badania naukowe, niszczy dzieło, które mogło być pouczającą, a nawet klasyczną kroniką przykładów. Ledwie napomykasz o kwestiach wymagających wielkiej finezji i delikatności, a skupiasz się na sensacyjnych szczegółach, które mogą zainteresować czytelnika, lecz z pewnością nie pogłębią jego wiedzy.

– Czemu nie spiszesz tych historii sam? – zapytałem nie bez goryczy.

– Zrobię to, drogi Watsonie, zrobię to. W tej chwili, jak wiesz, jestem dość zajęty, ale zamierzam poświęcić swe ostatnie lata na tworzenie podręcznika obejmującego całokształt sztuki detektywistycznej. Zdaje się, że nasza obecna sprawa dotyczy morderstwa.

– Sądzisz, że sir Eustace nie żyje?

– Owszem. Pismo Hopkinsa wskazuje, że był bardzo wzburzony, a nie jest on człowiekiem skłonnym do wzruszeń. Tak, myślę, że doszło do aktów przemocy i że pozostawiono ciało, byśmy mogli je zbadać. Zwykłe samobójstwo nie skłoniłoby młodego detektywa, by po mnie posłać. Jeśli chodzi o uwolnienie damy, zapewne była ona zamknięta w swoim pokoju, kiedy doszło do tragedii. Będziemy się poruszać w wysokich sferach, Watsonie. Spójrz na szeleszczący papier, monogram „E.B.”, herb i wymyślny adres. Mam nadzieję, że nasz przyjaciel Hopkins nie zawiedzie oczekiwań i poranek spędzimy interesująco. Morderstwo popełniono wczoraj przed północą.

– Skąd o tym wiesz?

– Sprawdziłem rozkład jazdy pociągów i obliczyłem czas. Najpierw zostali wezwani lokalni policjanci, którzy musieli porozumieć się ze Scotland Yardem. Później na miejsce przybył Hopkins i posłał po mnie. To

niewątpliwie trwało całą noc. Ale jesteśmy już na dworcu w Chiselhurst i wkrótce będziemy mogli wyjaśnić swoje wątpliwości.

Po przejechaniu kilku mil po wąskich wiejskich drogach znaleźliśmy się przed bramą parku, którą otworzył nam stary gajowy o wymizerowanej twarzy, noszącej piętno wielkiej tragedii. Aleja prowadziła przez piękny park pomiędzy rzędami wiekowych wiązów do niskiego rozległego domu o frontonie otoczonym filarami jak w budynkach projektu Palladia. Środkowa część domu była bardzo stara, jej ściany pokrywał bluszcz, ale duże okna świadczyły o tym, że budynek unowocześniono, a jedno ze skrzydeł domu wydawało się zupełnie nowe. Inspektor Stanley Hopkins o młodzieńczej sylwetce i inteligentnej, przenikliwej twarzy czekał na nas w otwartych drzwiach.

– Bardzo się cieszę, że pan przyjechał, panie Holmes. I pan, doktorze Watson. Gdybym jednak miał więcej czasu do namysłu, nie robiłbym panom kłopotu, dama doszła do siebie i zdała tak jasną relację z wydarzeń, że niewiele pozostało dla nas do roboty. Pamięta pan gang złodziei z Lewisham?

– Trzech Randallów?

– Otóż to. Ojciec i dwóch synów. Nie wątpię, że to ich sprawka. Dwa tygodnie temu widzieli ich podczas rabunku w Sydenham, wówczas sporządzono rysopisy. To, że uderzyli ponownie tak szybko i tak blisko, świadczy o ich wielkiej zuchwałości, ale to byli oni, ponad wszelką wątpliwość. Tym razem nie unikną stryczka.

– A zatem sir Eustace nie żyje?

– Owszem, zginął od ciosu w głowę zadanego jego własnym pogrzebaczem.

– Woźnica powiedział mi, że zmarły nazywał się Brackenstall.

– Zgadza się. Był jednym z najbogatszych ludzi w hrabstwie Kent. Lady Brackenstall jest w salonie. Biedna kobieta, przeżyła coś potwornego! Kiedy zobaczyłem ją po raz pierwszy, wydawała się bliska śmierci. Myślę, że najlepiej byłoby, gdyby się pan z nią zobaczył i wysłuchał jej relacji z całego zdarzenia. Później możemy razem obejrzeć jadalnię.

Lady Brackenstall była osobą niezwykłą. Nieczęsto zdarzało mi się widzieć damy równie kobiece, o tak wdzięcznej sylwetce i pięknej twarzy. Miała złote włosy i niebieskie oczy, z pewnością posiadała również piękną cerę, jaka zwykle towarzyszy takiej karnacji, ale po ostatnich wydarzeniach

jej twarz stała się szarą. Dama cierpiała nie tylko na duszy, ale i na ciele – nad jednym okiem widniał ohydny obrzmiały siniak koloru śliwki, który pokojówka pani domu, wysoka surowa kobieta, pieczołowicie przemywała wodą z octem. Lady Brackenstall leżała bez sił na kanapie, ale bystre, przenikliwe spojrzenie, którym obrzuciła nas, gdy weszliśmy do pokoju, i czujny wyraz pięknej twarzy dowodziły, że okropne przejścia nie pozbawiły jej przytomności umysłu ani odwagi. Była ubrana w luźny błękitno-srebrny szlafrok, a obok leżała czarna wieczorowa suknia, wyszywana cekinami.

– Wszystko już panu opowiedziałam, panie Hopkins – stwierdziła ze znużeniem. – Czy nie mógłby pan powtórzyć tego za mnie? Cóż, jeśli twierdzi pan, że to konieczne, wyjaśnię tym dżentelmenom, co się stało. Byli panowie już w jadalni?

– Uznałem, że najlepiej będzie, jeśli najpierw wysłuchają pani opowieści.

– Chciałabym, żeby pan zakończył już tę sprawę. Przeraża mnie myśl o tym, że on wciąż tam leży. – Zadrżała i ukryła twarz w dłoniach. Szlafrok zsunął się z jej ramion.

Holmes krzyknął:

– Ależ ma pani jeszcze inne obrażenia! Co to? – Na jednym z krągłych białych ramion wyraźnie widniały dwie jaskrawoczerwone plamy. Kobieta pośpiesznie podciągnęła szlafrok.

– To nic. Nie ma żadnego związku z dzisiejszymi strasznymi wydarzeniami. Jeśli pan i pański znajomy zechcecie usiąść, opowiem wam wszystko, co wiem. Jestem żoną sir Eustace’a Brackenstalla. Pobraliśmy się mniej więcej rok temu. Nie ma chyba sensu ukrywać, że nasze małżeństwo nie było szczęśliwe. Nawet gdybym ja próbowała wszystkiemu zaprzeczyć, powiedzieliby o tym panu nasi sąsiedzi. Być może wina leży częściowo po mojej stronie. Wychowałam się w bardziej swobodnej i mniej ograniczonej konwenansami atmosferze Południowej Australii, i angielskie życie, z całą swoją poprawnością i afektacją, mi nie służy. Główną przyczynę kłopotów stanowił jednak doskonale wszystkim znany fakt, że sir Eustace był pijakiem. Przebywanie z takim człowiekiem choćby przez godzinę jest przykre. Czy może pan sobie wyobrazić, co oznaczało dla wrażliwej i pełnej życia kobiety takie uwiązanie do niego w dzień i w nocy? Uznawanie takiego małżeństwa za prawnie wiążące to świętokradztwo, zbrodnia, podłość! Uważam, że nieludzkie przepisy, które obowiązują

w tym kraju, sprowadzą na niego zagładę, Bóg nie pozwoli, by taka niegodziwość trwała.

Na chwilę się uniosła, próbując usiąść, rumieniec wystąpił jej na policzki, a oczy zapłonęły pod okrutnym sińcem. Silna, kojąca dłoń surowej pokojowej skłoniła jej głowę ku poduszce, i wściekły gniew przeszedł w rozpaczliwy szloch. W końcu kobieta zaczęła mówić dalej.

– Opowiem panom o wydarzeniach ostatniej nocy. Jak zapewne wiecie, w tym domu wszyscy służący śpią w nowym skrzydle. W środkowej części budynku znajdują się pokoje mieszkalne, za nią położona jest kuchnia, a powyżej – nasza sypialnia. Moja pokojówka Theresa śpi nad moim pokojem. Nie ma tu nikogo innego, a żadne dźwięki stąd nie dobiegają do bocznego skrzydła. Złodzieje musieli o tym wiedzieć, inaczej nie postąpiliby w taki sposób. Sir Eustace położył się spać około wpół do jedenastej. Służba poszła już do siebie. Na nogach była tylko Theresa, która czekała na moje wezwanie w swym pokoju na najwyższym piętrze domu. Siedziałam u siebie do jedenastej, zatopiona w lekturze. Później, zanim poszłam na górę, przeszłam się po domu, by sprawdzić, czy wszystko jest jak należy. Miałam w zwyczaju robić to samodzielnie gdyż, jak wspominałam, sir Eustace nie zawsze zachowywał się w sposób godny zaufania. Poszłam do kuchni, spiżarni, zbrojowni, pokoju bilardowego, salonu i na koniec do jadalni. Kiedy zbliżyłam się do okna, zakrytego grubymi zasłonami, nagle poczułam na twarzy powiew wiatru i zdałam sobie sprawę, że jest ono otwarte. Odsunęłam zasłonę i stanęłam twarzą w twarz z barczystym, starszym mężczyzną, który właśnie wszedł do środka. Okno sięga do ziemi, i można wyjść przez nie na trawnik. Ja trzymałam w dłoni zapaloną świeczkę i w jej świetle zobaczyłam, jak za pierwszym mężczyzną właśnie wchodzi do domu dwóch kolejnych nieznajomych. Cofnęłam się, ale włamywacz w mgnieniu oka podskoczył do mnie. Chwycił najpierw za nadgarstek, a potem za gardło. Otworzyłam usta, by krzyknąć, ale on zadał mi okrutny cios pięścią w oko, który powalił mnie na ziemię. Musiałam być nieprzytomna przez kilka minut, a kiedy doszłam do siebie, okazało się, że napastnicy zdarli ze ściany sznur od dzwonka i mocno przywiązali mnie do dębowego krzesła, które stoi u szczytu stołu. Więzy były tak ciasne, że nie mogłam się poruszyć, a chustka, którą mnie zakneblowano, sprawiała, że nie byłam w stanie wydać z siebie dźwięku. W tej właśnie chwili do jadalni wszedł mój

nieszczęsny mąż. Musiał usłyszeć podejrzane hałasy i przyszedł, przygotowany na to, co zastał. Miał na sobie koszulę nocną i spodnie, a w dłoni trzymał swój ulubiony kij z tarniny. Rzucił się na rabusiów, ale jeden z nich – był to ten starszy mężczyzna – pochylił się, chwycił z paleniska pogrzebacz i zadał mojemu mężowi potężny cios. Sir Eustace z jękiem padł na ziemię i więcej się nie poruszył. Ja zemdlałam ponownie, ale i tym razem nie na długo. Kiedy otworzyłam oczy, zobaczyłam, że złodzieje wyjęli z kredensu srebra i butelkę wina. Każdy miał w ręku kieliszek. Jak już chyba mówiłam, jeden z nich, brodaty mężczyzna, miał już swoje lata, dwaj pozostali byli młodzi i bez zarostu. Mógł to być ojciec z dwoma synami. Rozmawiali szeptem, później podeszli do mnie, sprawdzili, czy więzy mocno trzymają, i uciekli, zamykając za sobą okno. Minął dobry kwadrans, nim zdołałam oswobodzić się z knebla. Kiedy mi się to udało, zaczęłam krzyczeć, i pokojowa przybiegła mi na pomoc. Szybko zaalarmowano pozostałych służących; posłaliśmy po miejscowych policjantów, którzy natychmiast porozumieli się z Londynem. To wszystko, co jestem w stanie wam powiedzieć, panowie, i mam nadzieję, że nie będę musiała więcej powtarzać tej bolesnej historii.

– Czy ma pan jakieś pytania, panie Holmes? – spytał Hopkins.

– Nie zamierzam dłużej nadużywać czasu i cierpliwości lady Brackenstall – stwierdził mój przyjaciel. – Nim pójdę do jadalni, chciałbym usłyszeć pani opowieść. – Spojrzał na pokojówkę.

– Zobaczyłam ich, jeszcze zanim weszli do domu – wyjaśniła kobieta. – Siedziałam przy oknie w sypialni i w świetle księżyca zauważyłam trzech mężczyzn przy stróżówce, o tam, ale nie zastanawiałam się wtedy nad tym. Minęła godzina, może trochę więcej, gdy usłyszałam krzyk panienki. Pobiegłam wtedy na dół i znalazłam ją, biedactwo, związaną tak, jak mówiła, a jej męża na podłodze. Jego mózg i krew zbryzgały cały pokój. Więzy i suknia zachlapana krwią zabitego mogłyby doprowadzić do obłędu każdą kobietę, ale pannie Mary Fraser z Adelajdy nigdy nie brakowało odwagi, co to, to nie, i to się nie zmieniło, kiedy została lady Brackenstall z Abbey Grange. Zadaliście jej już dość pytań, panowie. Teraz panienka pójdzie do swojej sypialni, wyłącznie w towarzystwie starej Theresy, zażyć odpoczynku, którego bardzo potrzebuje.

Szczupła kobieta z matczyną troskliwością otoczyła ręką swoją panią i wyprowadziła ją z pokoju.

– Jest przy niej od urodzenia – wyjaśnił Hopkins. – Karmiła ją w niemowlęctwie i przyjechała z nią z Australii do Anglii osiemnaście miesięcy temu. Nazywa się Theresa Wright. Trudno teraz o taką pokojową. Panie Holmes, proszę za mną.

Żywe zainteresowanie sprawą zniknęło z wyrazistej twarzy Holmesa, a ja wiedziałem, że wraz z rozwikłaniem zagadki śledztwo straciło dla niego cały swój urok. Wciąż trzeba było doprowadzić do aresztowania, ale kimże byli ci pospolici łajdacy, by brudził sobie nimi ręce? Wyczytałem w oczach przyjaciela irytację podobną do tej, jaką może odczuwać należący do elity uczony lekarz specjalista, kiedy dowiaduje się, że wezwano go do chorego na odrę. Jednak dość osobliwa jadalnia w Abbey Grange mogła przykuć jego uwagę i przywrócić słabnące zainteresowanie sprawą.

Była to bardzo duża i wysoka sala o rzeźbionym dębowym suficie i dębowej boazerii na ścianach, ozdobionych także bogatą kolekcją jelenich łbów i starożytnej broni. W głębi pokoju widniały przeszklone drzwi, o których już słyszeliśmy. Trzy mniejsze okna znajdujące się po prawej stronie napełniały pomieszczenie chłodnym blaskiem zimowego słońca. Po lewej znajdował się duży głęboki kominek, nad którym ciągnęła się szeroka dębowa półka. Obok kominka stało ciężkie dębowe krzesło z podłokietnikami i poprzeczką w dolnej części. Przez otwory w stolarce przewleczony był purpurowy sznur, z obu stron przywiązany do znajdującej się poniżej poprzeczki. Przy uwolnieniu damy zsunięto więzy, ale pozostawiono węzły, które je mocowały. Na te szczegóły zwróciliśmy jednak uwagę dopiero później – na początku całkowicie pochłonął nas straszliwy widok kształtu rozciągniętego na tygrysiej skórze przed kominkiem.

Były to zwłoki wysokiego, postawnego mężczyzny, mniej więcej czterdziestoletniego. Leżał na plecach, z twarzą zwróconą ku górze, a jego wyszczerzone białe zęby przeświecały przez krótką czarną brodę. Zaciśnięte dłonie, w których spoczywał ciężki tarninowy kij, miał uniesione nad głowę, a jego przystojna ogorzała twarz o ostrych rysach wykrzywiła się w grymasie mściwej nienawiści, który nadawał obliczu przerażający, szatański wygląd. Zmarły musiał być w łóżku, kiedy wszczęto alarm, bo miał na sobie wytworną haftowaną koszulę nocną, a pod nią – spodnie, z których wystawały bose stopy. Na jego głowie widniała przerażająca rana, a ślady okrutnej brutalności ciosu, który powalił go na ziemię, widoczne

były w całym pokoju. Obok ciała leżał ciężki pogrzebacz, wybrzuszony wskutek siły uderzenia. Holmes obejrzał zarówno to narzędzie, jak i nieopisane zniszczenia dokonane za jego pomocą.

– Ten stary Randall musi być bardzo silny – zauważył.

– Tak – stwierdził Hopkins. – Wiem o nim co nieco i muszę przyznać, że chłop ma krzepę.

– Powinien go pan ująć bez trudu.

– Bez najmniejszego. Wszczęliśmy poszukiwania; przez chwilę wydawało się, że uciekł do Ameryki. Obecnie wiemy już, że jego gang znajduje się w kraju, i nie ma możliwości, by nam się wymknął. Powiadomiliśmy już wszystkie porty, a przed wieczorem zostanie wyznaczona nagroda. Nie rozumiem tylko jednej rzeczy: czemu zrobili coś tak szalonego, wiedząc, że dama będzie w stanie ich opisać i że na podstawie tego opisu z pewnością ich rozpoznamy.

– Otóż to. Można by się spodziewać, że będą chcieli uciszyć lady Brackenstall.

– Mogli nie zdawać sobie sprawy, że się ocknęła – zasugerowałem.

– To dość prawdopodobne. Skoro wydawało im się, że leży bez zmysłów, nie chcieli odbierać jej życia. Hopkins, a co z tym biedakiem? Słyszałem o nim dziwne rzeczy.

– Na trzeźwo był złotym człowiekiem, ale robił się z niego diabeł wcielony, gdy się upił, a w zasadzie gdy się napił, bo rzadko zdarzało mu się spić jak bela. Coś wtedy w niego wstępowało, i był zdolny do wszystkiego. Z tego, co słyszałem, mimo jego tytułu i majątku, niewiele brakowało, a musielibyśmy się zająć nim już wcześniej. Wybuchł skandal, kiedy nasączył benzyną sierść psa – co gorsza, pupila lady Brackenstall – i go podpalił. Sprawę zatuszowano z wielkim trudem. Później znów miał kłopoty, po tym jak rzucił karafką w tę pokojówkę, Theresę Wright. Ogólnie rzecz biorąc, tak między nami, ten dom będzie bez niego weselszym miejscem. A czemu się pan teraz przygląda?

Holmes klęczał na podłodze, z wielką uwagą oglądając węzły na czerwonym sznurze, którym związano lady Brackenstall. Później dokładnie przyjrzał się postrzępionemu końcowi sznura, który pękł, szarpany przez złodzieja.

– Kiedy zerwano sznur, dzwonek w kuchni musiał dzwonić bardzo głośno – zauważył.

– Nikt nie mógł tego słyszeć. Kuchnia znajduje się na tyłach domu.

– Skąd złodziej wiedział, że tak będzie? Czemu tak beztrosko pociągnął za sznur?

– Otóż to, panie Holmes, otóż to. Stawia pan to samo pytanie, które wielokrotnie sobie zadawałem. Nie ulega wątpliwości, że ten człowiek musiał znać dom i panujące w nim zwyczaje. Wiedział, że służba będzie już spać o tej dość wczesnej godzinie i że nikt nie usłyszy dzwonka w kuchni. Jeden ze służących zatem mógł być z nim w zmowie. To oczywiste. Wszyscy słudzy, a jest ich ośmioro, mają dobre charaktery.

– Przy obecnym stanie naszej wiedzy należałoby podejrzewać kobietę, w którą pan domu rzucił karafką – stwierdził Holmes. – Musiałaby jednak zdradzić swą panią, której wydaje się oddana. Cóż, to prawdopodobnie błahostka, a po schwytaniu Randalla zapewne uda się bez trudu ująć jego wspólników. Gdyby nawet przyjąć, że opowieść tej damy wymagałaby potwierdzenia, dostarcza go wszystko, co tu widzimy. – Podszedł do przeszklonych drzwi i zamaszyście je otworzył. – Nie ma tu śladów, ale ziemia jest twarda jak kamień, więc trudno było się ich spodziewać. Widzę, że świece na kominku były zapalone.

– Tak. Złodzieje nie poruszali się po ciemku, pani domu też miała ze sobą świeczkę.

– A co zabrali?

– Niewiele. Około pół tuzina elementów zastawy z kredensu. Lady Brackenstall uważa, że sami byli tak przerażeni śmiercią sir Eustace’a, że zrezygnowali z plądrowania domu.

– To niewątpliwie prawda, a jednak, o ile dobrze pamiętam, zdążyli napić się wina.

– Aby ukoić nerwy.

– Zgadza się. Rozumiem, że nie ruszano trzech kieliszków na kredensie?

– Nie. Butelka też stoi tak, jak zostawili ją złodzieje.

– Przyjrzyjmy się jej. Hola, hola! A cóż to?

Trzy kieliszki znajdowały się blisko siebie, wszystkie były poplamione winem, a jeden zawierał męty. Nieopodal nich stała butelka, opróżniona w jednej trzeciej, a obok niej leżał długi, silnie poplamiony korek. Jego wygląd i kurz pokrywający butelkę wskazywały, że mordercy uraczyli się trunkiem z nie byle jakiego rocznika.

Holmes zmienił się na twarzy. Zniknęła osowiała mina, znów zobaczyłem w jego przenikliwych, głęboko osadzonych oczach błysk zainteresowania. Mój przyjaciel podniósł korek i uważnie go obejrzał.

– Jak go wyciągnęli?

Hopkins wskazał na częściowo wysuniętą szufladę, leżały w niej obrusy i duży korkociąg.

– Czy lady Brackenstall twierdziła, że złodzieje posłużyli się tym korkociągiem?

– Nie. Nie wiem, czy pan pamięta, ale była nieprzytomna w chwili otwierania butelki.

– Otóż to. W istocie, nie skorzystali z niego. Butelkę otwarto korkociągiem kieszonkowym, zapewne ze scyzoryka, który ma nie więcej niż półtora cala długości. Jeśli przyjrzy się pan wierzchniej części korka, to zauważy, że korkociąg wkręcano trzykrotnie, nim udało się wyjąć korek, i że nie przebito tego ostatniego na wylot. Ten długi korkociąg przedziurawiłby korek i wyjął go za pierwszym pociągnięciem. Kiedy ujmie pan sprawcę, przekona się pan, czy ma przy sobie scyzoryk o wielu ostrzach.

– Znakomicie! – stwierdził Hopkins.

– Muszę jednak przyznać, że zastanawiają mnie te kieliszki. Czy lady Brackenstall widziała, jak włamywacze piją?

– Tak, wyraźnie to potwierdziła.

– W takim razie na tym należy zakończyć. Cóż więcej można dodać? A jednak musi pan przyznać, Hopkins, że te trzy kieliszki są doprawdy niezwykłe. Co? Nie widzi pan w nich niczego osobliwego? Być może ludzie o szczególnej wiedzy i uzdolnieniach, takich jak moje, mają skłonność do poszukiwania skomplikowanych rozwiązań, choć dysponują prostymi wyjaśnieniami. Rzecz jasna, jeśli idzie o kieliszki, to czysty przypadek. Cóż, Hopkins, życzę panu dobrego dnia. Nie wygląda na to, bym mógł się panu na cokolwiek przydać, i zdaje się, że już rozstrzygnął pan sprawę. Proszę powiadomić mnie o aresztowaniu Randalla i dalszym rozwoju wypadków. Wierzę, że niedługo będę mógł pogratulować panu pomyślnego zakończenia śledztwa. Chodź, Watsonie, zdaje się, że bardziej pożytecznie spędzimy czas w domu.

Podczas podróży widziałem po minie Holmesa, że był zaintrygowany czymś, co zobaczył. Od czasu do czasu z wysiłkiem zmieniał wyraz twarzy

i mówił o sprawie tak, jakby była oczywista, później jednak znów ogarniały go wątpliwości, a jego zmarszczone brwi i błędny wzrok wskazywały, że ponownie powrócił myślami do wielkiej jadalni w Abbey Grange, w której o północy rozegrała się tragedia. Wreszcie, kiedy nasz pociąg ruszał z podmiejskiego dworca, wyskoczył pod wpływem nagłego impulsu na peron, ciągnąc mnie za sobą.

– Wybacz mi, mój drogi – powiedział, kiedy patrzyliśmy na ostatnie wagony naszego pociągu znikające za zakrętem. – Przepraszam, że naraziłem cię na niebezpieczeństwo przez coś, co mogło wyglądać na zwykły kaprys, ale na me życie, Watsonie, po prostu nie mogę zostawić tak tej sprawy. Wszystkie moje instynkty przemawiają przeciw temu. To nie tak, wszystko nie tak, przysięgam. Owszem, opowieść damy była kompletna, zeznanie pokojówki wystarczająco ją potwierdziło, a szczegóły mniej więcej się zgadzały. Cóż mogę temu przeciwstawić? Nic, prócz trzech kieliszków do wina. Gdybym jednak nie brał opowieści i zeznań za pewnik, gdybym zbadał wszystko z należytą uwagą, gdybyśmy zaczynali pracę nad sprawą od samego początku i nie mieli gotowej historii, która wypaczyła mój osąd, czy nie znalazłbym bardziej konkretnego punktu oparcia? Oczywiście że tak. Watsonie, usiądźmy na tej ławce, poczekajmy na pociąg do Chiselhurst, a w tym czasie przedstawię ci dowody. Błagam, odrzuć najpierw przekonanie, że wszystko, co mówiły pokojówka i jej pani, musi być prawdą. Urok tej damy nie może odbierać nam jasności widzenia. Nie ulega wątpliwości, że niektóre szczegóły opowieści mogą wzbudzić podejrzenia, jeśli przyjrzeć im się bez emocji. Złodzieje dokonali poważnego rabunku w Sydenham dwa tygodnie temu. W gazetach znalazły się informacje o nich i rysopisy, które naturalnie mógłby wykorzystać każdy, kto chciałby opowiedzieć o zmyślonym napadzie. Rabusie, którym powiódł się skok, zwykle cieszą się łupami w ciszy i spokoju i nie wyruszają tak szybko na kolejną niebezpieczną wyprawę. Ponadto złodzieje zwykle nie pojawiają się o tak wczesnej porze, nie biją dam, by zapobiec wszczęciu alarmu (gdyż to właśnie jest pewny sposób, by dama zaczęła krzyczeć), nie popełniają morderstwa, jeśli jest ich tylu, by obezwładnić jednego przeciwnika, nie zadowalają się niewielkim łupem, jeżeli mają większy w zasięgu ręki, i wreszcie nie zostawiają niedopitej butelki. Co sądzisz o tych niedorzecznościach, Watsonie?

– Wzięte razem brzmią całkiem efektownie, ale każda z nich z osobna nie jest rzeczą niemożliwą. Mnie najbardziej zdziwiło to, że damę przywiązano do krzesła.

– Mnie nie, Watsonie. Oczywiste jest, że musieli albo ją zabić albo skrępować tak, by nie mogła wywołać alarmu natychmiast po ich ucieczce. Tak czy inaczej, wykazałem, że pewne elementy opowieści damy są niezbyt prawdopodobne. A do tego jeszcze kieliszki.

– Co z nimi nie tak?

– Czy potrafisz je sobie wyobrazić?

– Widzę je wyraźnie.

– Powiedziano nam, że piło z nich trzech mężczyzn. Czy wydaje ci się to prawdopodobne?

– Dlaczego nie? W każdym znajdowało się wino.

– Owszem, ale męty były tylko w jednym. Musiałeś to zauważyć. Co, twoim zdaniem, to oznacza?

– Najbardziej prawdopodobne jest, że męty znalazły się w kieliszku, który był napełniany jako ostatni.

– Bynajmniej. Butelka była ich pełna, i nie jest możliwe, by w ogóle nie dostały się do pierwszych dwóch kieliszków, za to było ich pełno w trzecim. Istnieją dwa, i tylko dwa wyjaśnienia takiego stanu rzeczy. To, które stwierdza, że po nalaniu drugiego kieliszka butelką gwałtownie potrząśnięto i dlatego w trzecim kieliszku znalazł się osad, nie wydaje się prawdopodobne. Nie, jestem pewien, że mam rację.

– Jakie wyjaśnienie proponujesz?

– Takie, że pito jedynie z dwóch kieliszków, a osad z obu zlano do trzeciego, by stworzyć fałszywe wrażenie, że były tam trzy osoby. W ten sposób wszystkie męty znalazłyby się w ostatnim kieliszku, prawda? Tak, jestem przekonany, że tak właśnie było. Jeśli moje wyjaśnienie jest prawdziwe, sprawa z banalnej natychmiast staje się niezwykle interesująca, oznacza to bowiem, że lady Brackenstall i jej pokojówka celowo nas okłamały, że nie należy wierzyć ani jednemu ich słowu, a one mają bardzo istotny powód, by chronić prawdziwego sprawcę, musimy więc zbadać sprawę sami, nie licząc na żadną pomoc z ich strony. Oto misja, którą mamy do spełnienia, Watsonie, a oto i pociąg do Chiselhurst.

Wszyscy obecni w Abbey Grange byli bardzo zaskoczeni naszym powrotem. Kiedy Sherlock Holmes się dowiedział, że Stanley Hopkins

pojechał na komendę główną złożyć raport, objął we władanie jadalnię, zamknął drzwi od środka i na dwie godziny poświęcił się drobiazgowym i nużącym oględzinom, na jakich opierał wspaniałe wytwory swej dedukcji. Czułem się jak student, który siedzi w kącie i z zainteresowaniem ogląda eksperyment pokazywany przez profesora, śledząc każdy krok tego niezwykłego badania. Okno, zasłony, dywan, krzesło, sznur – wszystkie te przedmioty zostały dokładnie obejrzane, a stan i położenie każdego z nich przeanalizowane. Ciało nieszczęsnego baroneta zostało zabrane wcześniej, wszystko inne pozostało na swoich miejscach. Nagle, ku memu wielkiemu zdziwieniu, Holmes wspiął się na masywną półkę nad kominkiem. Wysoko nad jego głową wisiał strzęp czerwonego sznura, który był przywiązany do drutu połączonego z dzwonkiem. Mój przyjaciel wpatrywał się najpierw przez długi czas w resztki tego sznura, a potem, by dostać się do niego jeszcze bliżej, oparł kolano na drewnianym wsporniku wystającym ze ściany. Gdy to uczynił, jego ręka znalazła się o kilka cali od resztek sznura, i odniosłem wrażenie, że uwagę Holmesa przykuł nie tyle sznur, co sam wspornik. Wreszcie zeskoczył na podłogę z okrzykiem satysfakcji:

– Watsonie, wszystko poszło jak z płatka. Rozwiązaliśmy tę sprawę! Możemy zaliczyć ją do najbardziej niezwykłych w naszej kolekcji. Niech mnie, jakże byłem tępy! Mogłem popełnić życiowy błąd! Teraz jednak łańcuchowi mych rozważań brakuje jeszcze tylko kilku ogniw.

– Wiesz, kim są sprawcy?

– Sprawca, Watsonie, sprawca! Tylko jeden człowiek, za to straszliwy! Jest silny jak lew, popatrz, pogrzebacz zgiął się od uderzenia! Ma sześć stóp i trzy cale wzrostu, jest zwinny jak wiewiórka, ma zręczne ręce, jest też niebywale bystry, to on wpadł na tak genialny pomysł. Watsonie, trafiliśmy na dzieło niezwykłego człowieka. Zostawił jednak ślad, a jest nim sznur; obejrzeliśmy go i nie powinniśmy mieć żadnych wątpliwości.

– Co to za ślad?

– Gdybyś próbował urwać sznur od dzwonka, gdzie, twoim zdaniem, on by pękł? Oczywiście, w miejscu, w którym łączy się z drutem, a nie trzy cale poniżej.

– Może był postrzępiony w tym miejscu?

– Otóż to. Ten koniec, któremu możemy się przyjrzeć, jest nierówny. Sprawca był dość przebiegły, by postrzępić go za pomocą noża. Jednak drugi koniec wygląda inaczej. Z dołu tego nie widać, ale gdybyś spojrzał

z kominka, zauważyłbyś, że jest gładko odcięty, nie ma tam żadnego wystrzępienia. Pozwala to odtworzyć bieg wydarzeń. Sprawca potrzebował sznura. Nie mógł go zerwać, gdyż bał się, że dźwięk dzwonka wywoła alarm. Co zatem zrobił? Wskoczył na półkę, ale nie mógł dosięgnąć sznura, oparł się więc kolanem o wspornik (jest tam ślad, który zostawił w kurzu) i wyciągnął nóż, by odciąć ten sznur. Nie mogłem dosięgnąć miejsca cięcia, bo zabrakło mi co najmniej trzech cali; wywnioskowałem z tego, że mężczyzna był przynajmniej o trzy cale wyższy ode mnie. Spójrz na ten ślad na dębowym krześle! Co to takiego?

– Krew.

– Niewątpliwie. To zadaje kłam słowom naszej lady. Ona siedziała na krześle w momencie popełnienia zbrodni, skąd się wziął zatem ten ślad? Nie posadzili jej tam po śmierci męża. Założę się, że na czarnej sukni znajdziemy plamy. Watsonie, nie jest to jeszcze nasze Waterloo, ale na pewno Marengo: zaczyna się od porażki, a kończy zwycięstwem. Chciałbym teraz zamienić kilka słów z Theresą. Musimy być bardzo ostrożni, jeśli chcemy czegoś się od niej dowiedzieć.

Ta surowa australijska pokojówka była interesującą osobą – milczącą, podejrzliwą i niesympatyczną; minęło sporo czasu, nim ujmujące maniery Holmesa i otwarty sposób, w jaki przyjmował wszystko, co powiedziała, sprawiły, że się rozchmurzyła i stała nieco milsza. Nie próbowała nawet ukrywać nienawiści do zmarłego chlebodawcy.

– Tak, proszę pana, to prawda, że rzucił we mnie karafką. Słyszałam, jak ordynarnie zwrócił się do panienki. Powiedziałam mu, że nie odważyłby się tak do niej mówić, gdyby był tu jej brat. Wtedy cisnął we mnie karafką. Mógłby cisnąć i tuzinem, byle zostawił moją słodką ptaszynę w spokoju. On jednak przez cały czas źle ją traktował, a ona była zbyt dumna, by się skarżyć. Nie chciała nawet zdradzić tego, że ją krzywdził. Nie powiedziała mi, skąd się wzięły ślady na jej ramieniu, które widział pan rano, ale ja dobrze wiem, że zostawiły je dźgnięcia szpilką od kapelusza. To chytry czart, Boże, przebacz mi, że mówię tak o nim teraz, po jego śmierci! Ale jeśli chodził kiedykolwiek po ziemi diabeł wcielony, to był nim właśnie on, sama słodycz. Poznałyśmy go zaledwie osiemnaście miesięcy temu, a nam się wydaje, że minęło osiemnaście lat. Panienka przyjechała dopiero co do Londynu. To była jej pierwsza podróż, nigdy przedtem nie była tak daleko od domu. Zdobył ją swym tytułem, majątkiem i fałszywymi londyńskimi

manierami. Popełniła błąd, ale zapłaciła za niego, jak chyba żadna inna kobieta. Kiedy go poznałyśmy? Już panu mówię. Było to zaraz po tym, jak przyjechałyśmy. Przybyłyśmy w czerwcu, a to był lipiec. Pobrali się w styczniu zeszłego roku. Tak, jest już znowu w salonie, i nie wątpię, że się z panem spotka, ale nie może pan wymagać od niej za wiele, bo przeszła wszystko, co człowiek jest w stanie znieść.

Lady Brackenstall leżała na tej samej kanapie, wyglądała jednak lepiej niż przedtem. Pokojówka weszła razem z nami i zaczęła ponownie przemywać siniec na czole swej pani.

– Mam nadzieję – powiedziała dama – że nie przyszliście, panowie, po to, by znów mnie przesłuchiwać?

– Nie – odpowiedział Holmes swym najłagodniejszym tonem. – Nie zamierzam przysparzać pani niepotrzebnych trosk, lady Brackenstall, pragnę jedynie ułatwić jej życie, gdyż nie mam wątpliwości, że wiele pani przeszła. Jeśli potraktuje mnie pani jak przyjaciela i mi zaufa, przekona się, że jej nie zawiodę.

– Co mam zrobić?

– Powiedzieć prawdę.

– Panie Holmes!

– Nie, nie, lady Brackenstall, to nic nie da. Być może słyszała pani, jaką cieszę się sławą. Rzucam ją na szalę, twierdząc, że pani historia jest całkowicie zmyślona.

– Jest pan bezczelny! – wykrzyknęła Theresa. – Czy chce pan powiedzieć, że moja panienka kłamie?

Holmes podniósł się z krzesła.

– Czy pani nie ma mi nic do powiedzenia?

– Powiedziałam panu wszystko.

– Proszę się zastanowić, lady Brackenstall. Czy nie lepiej byłoby mówić szczerze?

Zauważyłem, że piękna dama się waha; następnie jakaś nowa myśl sprawiła, że jej rysy zastygły:

– Powiedziałam panu wszystko, co wiem.

Holmes wziął swój kapelusz i wzruszył ramionami.

– Przykro mi – stwierdził.

Nie mówiąc ani słowa, wyszliśmy z pokoju i po chwili opuściliśmy dom. W parku znajdowała się sadzawka, mój przyjaciel zaprowadził mnie do

niej. Sadzawka była zamarznięta, wyrąbano w niej jednak przerębel dla samotnego łabędzia. Holmes przyjrzał mu się, po czym udaliśmy się do stróżówki. Tam Sherlock napisał krótki liścik do Stanleya Hopkinsa i zostawił go dozorcy.

– Może mam rację, może nie, ale musimy zrobić coś dla naszego przyjaciela policjanta, by uzasadnić tę drugą wizytę – powiedział. – Nie zamierzam jeszcze zdradzać mu naszej tajemnicy. Musimy najpierw pójść do biura spółki, która zarządza liniami z Adelajdy do Southampton; jeśli dobrze pamiętam, znajduje się ono na końcu ulicy Pall Mall. Pomiędzy Południową Australią i Anglią kursuje jeszcze jedna linia parowców, ale zaczniemy od tej większej.

Wizytówka Holmesa, przesłana do kierownika biura, wywarła magiczny wpływ, i mój przyjaciel szybko uzyskał wszystkie potrzebne mu informacje. W czerwcu 1895 roku do macierzystego portu przybił tylko jeden statek „Rock of Gibraltar”, największa i najlepsza jednostka tej linii. Na liście pasażerów widniały nazwiska panny Fraser z Adelajdy i jej pokojówki. Obecnie statek był w drodze do Australii i znajdował się na południe od Kanału Sueskiego. Płynęli na nim ci sami oficerowie co w roku 1895. Wyjątek stanowił pierwszy oficer Jack Crocker, który został mianowany kapitanem. Miał on objąć komendę nad nowym statkiem „Bass Rock”, odpływającym za dwa dni z Southampton. Crocker mieszkał w Sydenham; tego ranka miał przybyć po instrukcje. Holmes nie zamierzał czekać na niego, ale chciał się dowiedzieć czegoś więcej o charakterze kapitana i przebiegu jego służby.

Był dzielnym marynarzem. Żaden oficer we flocie nie dorastał mu do pięt. Był opanowany i niezawodny podczas służby, ale poza pokładem statku zachowywał się straceńczo, jak szaleniec. Był porywczy i pobudliwy, ale też lojalny, uczciwy i życzliwy. Tak można było streścić informacje, otrzymane w biurze spółki przewozowej. Stamtąd pojechaliśmy do Scotland Yardu, ale Holmes nie wszedł do środka, tylko siedział w dorożce z marsową miną, zatopiony w myślach. W końcu udaliśmy się do urzędu telegraficznego przy Charing Cross; Sherlock wysłał stamtąd wiadomość, po czym wreszcie skierowaliśmy się na Baker Street.

– Nie, nie mogłem tego zrobić, Watsonie – powiedział, kiedy znów znaleźliśmy się w salonie. – Gdyby wydano nakaz, nie byłoby dla niego ratunku. Mam wrażenie, że kilka razy w trakcie mojej kariery poczyniłem

większą szkodę, wykrywając sprawcę, niż on – popełniając przestępstwo. Jestem teraz ostrożny, wolę zmagać się z angielskim prawem, a nie z własnym sumieniem. Zanim zaczniemy działać, musimy dowiedzieć się nieco więcej.

Przed wieczorem złożył nam wizytę inspektor Stanley Hopkins. Nie był uradowany.

– Pan chyba jest czarodziejem, panie Holmes. Naprawdę, czasem wydaje mi się, że posiada pan nadludzkie zdolności. Skąd, u diaska, wiedział pan, że skradzione srebra znajdują się na dnie sadzawki?

– Nie wiedziałem.

– Ale poradził mi pan to sprawdzić.

– Czyli dostał pan moją wiadomość?

– Tak.

– Bardzo się cieszę, że panu pomogłem.

– Ależ wcale mi pan nie pomógł! Jedynie jeszcze bardziej skomplikował całą sprawę. Co to za złodzieje, którzy kradną srebra, a później wrzucają je do najbliższej sadzawki?

– Niewątpliwie było to zachowanie dość nietypowe. Oparłem się jedynie na przypuszczeniu, że srebra zabrała osoba, która ich nie potrzebowała, zrobiła jedynie po to, by zmylić trop, i w związku z tym pragnęła jak najszybciej się ich pozbyć.

– Ale skąd taka teoria?

– Uznałem, że to możliwe. Kiedy złodzieje wyszli przez przeszklone drzwi, zobaczyli tuż przed sobą przerębel. Czy można wymarzyć lepszą skrytkę?

– Ach, a więc chodzi o ukrycie łupu! To już lepiej! – wykrzyknął Stanley Hopkins. – Tak, tak, teraz wszystko rozumiem! Było wcześnie, drogą przejeżdżali ludzie, rabusie bali się, by nikt nie zobaczył ich ze srebrem, więc zatopili je w sadzawce i zamierzali wrócić po nie, kiedy będzie tu spokojniej. Wspaniale, panie Holmes! To lepszy pomysł niż ten z fałszywym tropem.

– Otóż to. Stworzył pan znakomitą teorię. Nie ulega wątpliwości, że moje pomysły były szalone, musi pan jednak przyznać, że dzięki nim udało się odnaleźć srebra.

– Tak, tak, proszę pana. To wyłącznie pańska zasługa. Mam jednak poważny problem.

– Problem?

– Tak, panie Holmes. Gang Randallów został aresztowany dziś rano w Nowym Jorku.

– A niech mnie, Hopkins! To przeczy pańskiej teorii, że wczoraj w nocy popełnili morderstwo w Kent.

– Przekreśla ją, panie Holmes, całkowicie ją przekreśla. Są jednak inne trzyosobowe gangi, a może to jakaś nowa szajka, nieznana jeszcze policji.

– Owszem, to całkiem możliwe. Co takiego, już pan idzie?

– Tak, panie Holmes, nie spocznę, póki nie rozgryzę tej sprawy do końca. Rozumiem, że nie ma pan dla mnie żadnych wskazówek?

– Jedną już panu dałem.

– Jaką?

– Cóż, zasugerowałem fałszywy trop.

– Ale dlaczego, panie Holmes, dlaczego?

– Oto jest pytanie. Polecam jednak tę kwestię pańskiej uwadze. Może się pan przekonać, że nie jest pozbawiona sensu. Nie zostanie pan na kolację? Cóż, w takim razie do widzenia i proszę informować nas o postępach w sprawie.

Nim Holmes wrócił do tematu, zjedliśmy kolację. Gdy sprzątnięto ze stołu, mój przyjaciel zapalił fajkę i wyciągnął swe obute w bambosze stopy ku wesoło trzaskającemu ogniu. Nagle spojrzał na zegarek.

– Spodziewam się dalszego rozwoju wypadków, Watsonie.

– Kiedy?

– Teraz, w ciągu kilku najbliższych minut. Zapewne uważasz, że postąpiłem niełądnie wobec Stanleya Hopkinsa?

– Ufam twemu osądowi.

– To bardzo rozsądna odpowiedź, przyjacielu. Popatrz na to w taki sposób: moja wiedza jest nieoficjalna, jego – oficjalna. Ja mam prawo do prywatnego osądu, on nie ma takiego prawa. On musi ujawnić wszystko, inaczej złamie zasady, którym służy. W sprawie budzącej wątpliwości nie chcę stawiać go w trudnym położeniu, dlatego zachowam posiadane informacje dla siebie, póki sam nie będę miał jasności co do tego, czy są prawdziwe.

– Ale kiedy to się stanie?

– Ten czas już nadszedł. Będziesz widzem ostatniej sceny niezwykłego dramatu.

Na schodach rozległy się kroki, i po chwili wszedł do pokoju najwspanialszy bodaj mężczyzna, jaki się u nas kiedykolwiek pojawił. Był to bardzo wysoki, młody człowiek o złotych wąsach, niebieskich oczach, skórze ogorzałej od słońca tropików; jego sprężysty krok świadczył o tym, że był postacią równie aktywną, jak mocarną. Zamknął za sobą drzwi i stanął z zaciśniętymi pięściami i falującą piersią, usiłując otrząsnąć się z przytłaczających go emocji.

– Proszę siadać, kapitanie Crocker. Czy otrzymał pan mój telegram?

Nasz gość opadł na fotel i zaczął wpatrywać się to w jednego, to w drugiego z nas pytającym wzrokiem.

– Dostałem go i przybyłem o wskazanej godzinie. Słyszałem, że był pan w biurze. Nie sposób się przed panem ukryć. Jestem gotów na najgorsze. Co zamierza pan ze mną zrobić? Aresztować mnie? Niechże się pan odezwie! Nie może pan tak siedzieć i bawić się mną jak kot myszą.

– Daj mu cygaro – powiedział Holmes. – Proszę się poczęstować, kapitanie Crocker, i nie dać się ponieść nerwom. Może pan być pewien, że nie siedziałbym tu, paląc razem z panem cygara, gdybym uważał go za pospolitego przestępcę. Jeśli będzie pan ze mną szczery, możemy zdziałać wiele dobrego. Jeśli będzie pan próbował sztuczek, zniszczę pana.

– Co mam zrobić?

– Opowiedzieć mi prawdę o tym, co zaszło ostatniej nocy w Abbey Grange. Powtarzam, prawdę, niczego nie dodając ani nie zatajając. Wiem już tyle, że jeśli choć o cal minie się pan z prawdą, stanę w oknie, zadmę w policyjny gwizdek, i sprawa na zawsze wymknie się z moich rąk.

Marynarz zastanawiał się przez chwilę, a potem uderzył swą wielką ogorzałą dłonią w nogę.

– Zaryzykuję! – wykrzyknął. – Wierzę, że dotrzyma pan słowa, więc opowiem mu całą historię. Najpierw jednak chciałbym wyjaśnić jedną rzecz. Niczego nie żałuję ani niczego się nie boję, zrobiłbym to jeszcze raz i byłbym z tego dumny. Niech diabli porwą tego potwora, i choćby miał tyle żywotów co kot, pozbawiłbym go wszystkich! Chodzi o damę, o Mary, Mary Fraser, bo nigdy nie nazwę jej tym jego przeklętym nazwiskiem. Ale kiedy pomyślę, że mógłbym wpędzić ją w kłopoty, ja, który oddałbym życie za jeden uśmiech na jej drogiej twarzy, moja dusza zaczyna cierpieć piekielne męki. A jednak… a jednak… co innego mogłem zrobić? Panowie, opiszę wam swoją historię, a potem odpowiecie jak mężczyźni, co innego

mogłem zrobić? Muszę cofnąć się nieco w czasie. Zdaje się, że odkryliście, panowie, wszystko, więc zapewne wiecie także, że poznaliśmy się, kiedy ona była pasażerką, a ja pierwszym oficerem na „Rock of Gibraltar". Od chwili gdy pierwszy raz ją ujrzałem, inne kobiety przestały dla mnie istnieć. Każdego dnia tamtej podróży kochałem ją coraz bardziej i wiele razy klękałem w ciemnościach podczas nocnej wachty i całowałem pokład statku, gdzie stawiała ukochane stopy. Nigdy się nie zaręczyliśmy. Traktowała mnie tak uczciwie, jak tylko kobieta może traktować mężczyznę. Nie mogę się na nią uskarżać. Z mojej strony była to miłość, z jej – koleżeństwo i przyjaźń. Kiedy się rozstawaliśmy, ona była wolną kobietą, a ja już nigdy nie miałem być wolnym mężczyzną. Gdy wróciłem z mojego kolejnego rejsu, usłyszałem o jej ślubie. I dobrze. Czemu nie miałaby wyjść, za kogo tylko chciała? Kto bardziej od niej zasługiwał na tytuły i majątek? Była stworzona do wszystkiego, co piękne i delikatne. Nie rozpaczałem z powodu jej małżeństwa. Nie byłem takim samolubnym psem. Cieszyłem się z tego, że jej się poszczęściło i że nie zmarnuje życia z ubogim marynarzem. Tak właśnie kochałem Mary Fraser. Myślałem, że nigdy więcej jej nie zobaczę, lecz po ostatnim rejsie awansowałem, a że nowego statku jeszcze nie zwodowano, musiałem przez kilka miesięcy zostać z załogą w Sydenham. Pewnego dnia, idąc wiejską drogą, spotkałem Theresę Wright, oddaną pokojówkę Mary. Opowiedziała mi o niej, o nim, o wszystkim. Mówię panom, niemal doprowadziło mnie to do obłędu. Ten zapijaczony kundel śmiał podnieść rękę na nią, na tę, której butów nie był godzien lizać! Znów spotkałem się z Theresą, później z samą Mary, potem kolejny raz. Nie chciała mnie więcej widywać. Kilka dni temu otrzymałem jednak informację, że w ciągu tygodnia mam wyruszyć w rejs, i postanowiłem przed wyjazdem zobaczyć się z nią raz jeszcze. Theresa zawsze mi sprzyjała, gdyż kochała Mary i nienawidziła tego łotra niemal równie mocno jak ja. To ona zdradziła mi, jakie zwyczaje panują w domu. Mary siadywała z książką w swym małym pokoiku na dole. Podkradłem się tam ostatniej nocy i zastukałem w okno. Najpierw nie chciała mi otworzyć, ale wiem, że w głębi serca mnie kochała i nie pozwoliłaby mi zostać na dworze w tak mroźną noc. Wyszeptała, że mam podejść do dużego frontowego okna. Było otwarte, wszedłem przez nie do jadalni. Znów usłyszałem z jej ust rzeczy, od których krew zawrzała mi w żyłach, i ponownie przekląłem brutala, który tak źle traktował moją ukochaną.

Panowie, stałem obok niej przy oknie bez żadnych złych zamiarów, niech mnie Bóg osądzi, kiedy ten człowiek wpadł do pokoju jak szaleniec, odezwał się do niej w najbardziej ordynarny sposób, w jaki mężczyzna może przemówić do kobiety, i uderzył ją w twarz trzymanym w ręku kijem. Rzuciłem się po pogrzebacz i doszło między nami do bójki. Pierwszy cios, jaki mi zadał, trafił w ramię. Gdy nadeszła moja kolej, rozbiłem mu głowę, jakby była zgniłą dynią. Czy sądzicie panowie, że choć przez moment tego żałowałem? Bynajmniej! Tylko jeden z nas mógł wyjść z tego żywy, co więcej, mogło przeżyć tylko jedno z nich dwojga, bo jak mógłbym zostawić ją w rękach tego szaleńca? Tak oto unieszkodliwiłem łotra. Czy postąpiłem niesłusznie? Co zrobiłby każdy z panów, gdyby znalazł się w moim położeniu? Kiedy ją uderzył, krzyknęła, a pokojówka Theresa, słysząc ten odgłos, przybiegła na dół ze swego pokoju. W kredensie stała butelka wina, otworzyłem ją i wlałem nieco pomiędzy wargi Mary, która była ledwie żywa z powodu szoku. Później sam się trochę napiłem. Theresa zachowała stoicki spokój, i my razem wymyśliliśmy całą historię. Uznaliśmy, że musimy upozorować włamanie. Theresa powtórzyła wszystko swojej pani, a ja wdrapałem się na kominek, odciąłem sznur od dzwonka, przywiązałem Mary do krzesła i postrzępiłem koniec sznura, by wyglądał na urwany, w przeciwnym razie zaczęto by się zastanawiać, w jaki sposób złodziejom udało się go odciąć. Zabrałem następnie część sreber, by wtargnięcie do domu wyglądało na rabunek, i zostawiłem damy, nakazując im, by wszczęły alarm po upływie kwadransa. Wrzuciłem srebra do sadzawki i ruszyłem do Sydenham, przeświadczony, że tej nocy zrobiłem kawał dobrej roboty. Taka jest prawda i cała prawda, panie Holmes, choćby miała mnie kosztować życie.

Detektyw przez jakiś czas palił w milczeniu. Potem przeszedł przez pokój i uścisnął rękę naszego gościa.

– Oto, co myślę – powiedział. – Wiem, że każde słowo jest prawdą, gdyż nie powiedział pan niemal niczego, o czym bym nie wiedział. Jedynie akrobata lub marynarz mógł dostać się do sznura, opierając się na wsporniku, a tylko marynarz mógł zawiązać te węzły, którymi przymocowano sznur do krzesła. Dama jedynie raz miała kontakt z marynarzami podczas podróży do Anglii; chodziło ponadto o kogoś z jej klasy społecznej, gdyż próbowała osłaniać tę osobę, wskazując tym samym,

że ją kocha. Widzi pan, jak łatwo mi było do pana dotrzeć, kiedy raz wpadłem na pański ślad.

– Wydawało mi się, że policja nigdy nie przejrzy naszego planu.

– I z tego, co wiem, nie przejrzała. Niech pan słucha, kapitanie Crocker, to bardzo poważna sprawa, jestem jednak skłonny przyznać, że działał pan pod największą presją, jakiej może kiedykolwiek zostać poddany mężczyzna. Nie wiem, czy pańskie postępowanie o działanie w obronie własnej zostanie uznane za uzasadnione. O tym powinna rozstrzygnąć ława przysięgłych. Współczuję jednak panu bardzo i obiecuję, że jeśli zniknie pan w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin, nikt nie będzie pana zatrzymywał.

– A później wszystko wyjdzie na jaw?

– Niewątpliwie.

Marynarz zaczerwienił się z gniewu.

– Jak można składać mężczyźnie taką propozycję? Znam się na prawie wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że Mary w takim przypadku zostanie uznana za wspólniczkę. Czy sądzi pan, że mógłbym zostawić ją samą z tym wszystkim i dać drapaka? Nie, proszę pana, ze mną niech robią, co chcą, ale, na litość boską, panie Holmes, niech pan znajdzie jakiś sposób, by Mary nie poszła pod sąd!

Holmes po raz drugi podał marynarzowi rękę.

– Poddałem pana próbom, i przeszedł pan wszystkie pomyślnie. Biorę na siebie wielką odpowiedzialność. Dałem Hopkinsowi wyraźne wskazówki, a jeśli z nich nie skorzysta, nic więcej nie będę mógł dla niego zrobić. Kapitanie Crocker, postąpimy zgodnie z literą prawa. Pan jest oskarżonym. Watsonie, ty wystąpisz jako ława przysięgłych: nigdy nie spotkałem człowieka, który lepiej by się do tego nadawał. Ja będę sędzią. A teraz, panowie przysięgli, wysłuchaliście zeznań. Czy waszym zdaniem oskarżony jest winny czy niewinny?

– Niewinny, panie sędzio – odpowiedziałem.

– *Vox populi, vox Dei*. Kapitanie Crocker, niniejszym uniewinniam pana. Jeśli nie zostanie w tej sprawie oskarżona niewinna osoba, nie musi się pan mnie obawiać. Proszę wrócić do tej damy za rok, i niech wasza przyszłość zaświadczy o tym, że dziś w nocy wydaliśmy sprawiedliwy wyrok!

Opowieść trzynasta

DRUGA PLAMA

Chciałem zakończyć opowieść o dokonaniach mego przyjaciela Sherlocka Holmesa na opowiadaniu „Abbey Grange” bynajmniej nie ze względu na brak materiałów, mam bowiem zapiski setek spraw, o których nigdy nie wspominałem, ani z uwagi na słabnące zainteresowanie czytelników szczególną osobowością i niezwykłymi metodami działania tego wyjątkowego człowieka. Przyczyną była niechęć, jaką okazywał Holmes wobec wydawania drukiem kolejnych opisów jego przygód. Dopóki uprawiał swój zawód, opowieści o jego sukcesach miały dla niego pewną wartość praktyczną, ale odkąd na zawsze wyjechał z Londynu do Sussex Downs, by poświęcić się nauce i pszczelarstwu, znienawidził sławę i stanowczo zażądał, bym uszanował bezwzględnie jego życzenia w tej kwestii. Dopiero kiedy obiecałem mu, że opublikuję „Drugą plamę” po upływie stosownego czasu, i wykazałem, że uzasadnione jest zakończenie długiej serii opowiadań o jego przygodach relacją z najważniejszej sprawy międzynarodowej, jaką kiedykolwiek prowadził, udało mi się uzyskać jego zgodę na podanie do publicznej wiadomości opowieści o tym wydarzeniu, ale bez szczegółów. Jeśli pewne fragmenty mego opisu będą dla czytelnika niejasne, proszę, by miał on na względzie ważne powody, dla których musiałem zachować powściągliwość.

W roku, którego tu nie uściślę, pewnego wtorkowego jesiennego ranka odwiedziło nas w naszym skromnym mieszkaniu przy Baker Street dwóch gości, których nazwiska znane są w całej Europie. Jednym z nich był lord Bellinger, surowy, wyniosły, dominujący mężczyzna o przenikliwym wzroku, dwukrotny premier Wielkiej Brytanii. Drugi z dżentelmenów, smagły, elegancki, o wyrazistej twarzy, który dopiero wchodził w wiek

średni, obdarzony był wszelkimi zaletami ciała i umysłu. Rozpoznałem w nim sekretarza do spraw europejskich Trelawneya Hope’a, najbardziej obiecującego męża stanu w naszym kraju. Mężczyźni siedzieli obok siebie na zarzuconej papierami kanapie, a ich przygnębione zaniepokojone twarze wyraźnie świadczyły o tym, że przybyli w ważnej i pilnej sprawie. Szczupłe ręce premiera, poznaczone niebieskimi żyłkami, były zaciśnięte na rączce parasolki z kości słoniowej, a jego wychudzona ascetyczna twarz spoglądała ponuro to na Holmesa, to na mnie. Sekretarz do spraw europejskich nerwowo szarpał wąsy i bawił się dewizką od zegarka:

– Panie Holmes, kiedy tylko odkryłem zniknięcie dokumentu, dziś rano o ósmej, natychmiast powiadomiłem o tym premiera. To on zaproponował, byśmy przyszli do pana.

– Czy zgłosili to panowie na policji?

– Nie, proszę pana – powiedział premier szybko z właściwym sobie zdecydowaniem. – Nie zrobiliśmy tego i nie możemy tego zrobić. Poinformowanie policji niechybnie doprowadziłoby wcześniej czy później do ujawnienia treści dokumentu. Zależy nam bardzo na tym, by tego uniknąć.

– Dlaczego?

– Dokument, o którym mowa, jest tak ważny, że ujawnienie jego treści mogłoby bardzo łatwo (mogę wręcz stwierdzić, iż niemal na pewno) doprowadzić do poważnych konfliktów na skalę europejską. Nie będzie przesadą, gdy powiem, że wywołałoby to może nawet wojnę. Jeśli nie da się odzyskać dokumentu w tajemnicy, można w ogóle z tego zrezygnować, gdyż osoby, które go przejęły, chcą, by jego treść trafiła do publicznej wiadomości.

– Rozumiem. Panie Hope, będę zobowiązany, jeżeli pan szczegółowo przedstawi okoliczności zniknięcia dokumentu.

– Nie zajmie to wiele czasu. List (był to bowiem list od zagranicznego korespondenta) nadszedł sześć dni temu. Był tak ważny, że nie mogłem zostawić go w sejfie w pracy, i co wieczór zabierałem ze sobą do domu, do Whitehall Terrace, gdzie trzymałem go w zamkniętej czerwonej teczce. Jestem pewien, że był tam wczoraj wieczorem. Przebierając się do kolacji, otworzyłem teczkę i sprawdziłem, czy list jest w środku. Dziś rano już go nie było. Teczka znajdowała się przez całą noc obok szklanki z wodą na szafce nocnej. Mamy z żoną lekki sen. Oboje jesteśmy gotowi przysiąc, że

nikt nie mógł wejść do pokoju w nocy. A jednak, jak mówiłem, dokument zniknął.

– O której jadł pan kolację?

– O wpół do ósmej.

– O której pan się położył?

– Żona pojechała do teatru. Czekałem na nią. Byliśmy w sypialni o wpół do dwunastej.

– Czyli przez cztery godziny nikt teczki nie strzegł?

– Do tego pokoju wolno wchodzić jedynie pokojówce, i to w godzinach rannych; mój lokaj i służąca mojej żony mają tam dostęp tylko przez pozostałą część dnia. Oboje pracują u nas od dawna, darzymy ich zaufaniem. Żadne z nich nie wiedziało, że w teczce znajdują się dokumenty cenniejsze niż te, które zwykle przynoszę z biura.

– Kto wiedział o liście?

– Nikt w całym domu.

– A pańska żona?

– Nie, proszę pana. Nic nie powiedziałem żonie do chwili, gdy dziś rano zauważyłem, że dokument zniknął.

Premier pokiwał głową z uznaniem.

– Od dawna wiem, jak ważne są dla pana powinności wobec państwa – powiedział. – Jestem przekonany, że w przypadku tak ważkiej tajemnicy poczucie obowiązku bierze górę nad sprawami osobistymi.

Sekretarz do spraw europejskich ukłonił się:

– Pan bynajmniej nie przesadził. Aż do dzisiejszego ranka nie zamieniłem z żoną ani słowa na ten temat.

– Czy się czegoś domyśla?

– Nie, panie Holmes. Ani ona, ani nikt inny.

– Czy zdarzało się panu przedtem gubić dokumenty?

– Nie.

– Kto w Anglii wie o istnieniu tego listu?

– Wczoraj zostali o nim poinformowani wszyscy członkowie gabinetu, ale ciążący na nich obowiązek zachowania tajemnicy został dodatkowo wzmocniony przestrogą udzieloną przez premiera. Dobry Boże, pomyśleć tylko, że kilka godzin później ja sam zgubiłem ten list! – Przystojną twarz sekretarza zniekształcił grymas rozpaczy, i mężczyzna zaczął rwać sobie włosy z głowy.

Przez moment widzieliśmy jego prawdziwe oblicze – impulsywne, żarliwe, niezwykle wrażliwe. Po chwili arystokratyczna maska wróciła na swoje miejsce, a łagodny głos stwierdził:

– Poza członkami gabinetu o liście wiedziało dwóch, góra trzech ministerialnych urzędników. Zapewniam pana, panie Holmes, że nikt poza tym.

– A za granicą?

– Sądzę, że za granicą nie widział go nikt prócz człowieka, który go napisał. Jestem przekonany, że jego ministrowie… że nie korzystał ze zwyczajowo przyjętych oficjalnych kanałów.

Holmes przez chwilę się zastanawiał.

– Proszę pana, muszę spytać, o jaki konkretnie dokument chodzi i dlaczego jego zniknięcie miałoby mieć tak poważne konsekwencje.

Dwaj mężowie stanu wymienili szybkie spojrzenia, a premier zmarszczył krzaczaste brwi.

– Panie Holmes, na tej długiej wąskiej, jasnobłękitnej kopercie znajduje się odciśnięta pieczęć z siedzącym lwem. Jest zaadresowana wielkimi literami stanowczym charakterem pisma do…

– Obawiam się, proszę pana – stwierdził Holmes – że choć te szczegóły są interesujące i niewątpliwie istotne, muszę zbadać sprawę dogłębnie. Jaka była treść listu?

– To najwyższej wagi tajemnica państwowa, której nie mogę panu zdradzić, zresztą, nie jest to konieczne. Jeśli dzięki zdolnościom, które, jak mi mówiono, pan posiada, zdoła pan odnaleźć kopertę wraz z jej zawartością, zasłuży się pan dla swego kraju i zaskarbi sobie każdą nagrodę, jaką będziemy w stanie panu przyznać.

Sherlock Holmes wstał i powiedział z uśmiechem:

– Zdaję sobie sprawę, że należą panowie do grona najbardziej zajętych ludzi w tym kraju – rzekł. – Ja również pracuję nad wieloma sprawami, choć na mniejszą skalę. Bardzo żałuję, że nie będę w stanie panom pomóc, ale dalsze prowadzenie tej rozmowy byłoby stratą czasu.

Premier zerwał się na równe nogi, wbijając w mego przyjaciela wściekłe przenikliwe spojrzenie swych głęboko osadzonych oczu, przed którym drżeli członkowie gabinetu.

– Proszę pana, nie przywykłem… – zaczął, ale pohamował gniew i usiadł ponownie. Przez kilka minut zachowywaliśmy milczenie. Potem mąż stanu

wzruszył ramionami. – Panie Holmes, jesteśmy zmuszeni przyjąć pańskie warunki. Nie ulega wątpliwości, że ma pan rację, a byłoby nierozsądnie z naszej strony wymagać od pana podjęcia działań, jeśli całkowicie panu nie zaufamy.

– Zgadzam się z panem premierem– rzekł młodszy z mężczyzn.

– W takim razie opowiem panu wszystko, całkowicie polegając na pańskim honorze i honorze doktora Watsona, pańskiego współpracownika. Mogę się również odwołać do ich patriotyzmu, nie potrafię sobie bowiem wyobrazić większego nieszczęścia dla naszej ojczyzny niż ujawnienie tej sprawy.

– Proszę nam zaufać.

– List został wysłany przez pewnego zagranicznego dygnitarza, którego wzburzyły wydarzenia w koloniach należących do jego kraju. Ten człowiek napisał spontanicznie i wyłącznie na własną odpowiedzialność. Wykryliśmy, że ministrowie w jego kraju nie wiedzą niczego o całej sprawie. Jednocześnie jednak list jest sformułowany tak niefortunnie, a niektóre fragmenty mają tak prowokacyjny charakter, że jego publikacja niewątpliwie doprowadziłaby do wielce niebezpiecznych niepokojów w tym kraju. Wywołałaby taki społeczny ferment, że, nie zawaham się stwierdzić, w ciągu tygodnia od publikacji listu w tym kraju rozgorzałaby wojna.

Holmes napisał nazwisko na skrawku papieru, który podał premierowi.

– Zgadza się. Właśnie o niego chodziło. I to właśnie ten list, który może spowodować milionowe straty i pochłonąć życie setek tysięcy mężczyzn, został tak niefortunnie zagubiony.

– Czy poinformował pan o tym nadawcę?

– Tak, wysłaliśmy do niego zaszyfrowany telegram.

– Być może to jemu zależy na publikacji listu?

– Nie, proszę pana, mamy podstawy sądzić, że pojął już, jak nierozważnie i niedyskretnie się zachował. Ujawnienie treści listu byłoby większym ciosem dla niego i jego ojczyzny niż dla nas.

– Jeśli tak, to w czyim interesie leży ujawnienie listu? Dlaczego ktokolwiek chciałby go ukraść lub opublikować?

– Tutaj, panie Holmes, wchodzimy w meandry polityki międzynarodowej najwyższego szczebla. Jeśli jednak zna pan sytuację w Europie, bez trudu pojmie pan motyw. Cały kontynent to jeden wielki zbrojny obóz. Istnieją

w nim dwa ugrupowania o zbliżonej sile militarnej. Wielka Brytania jest języczkiem u wagi. Przystąpienie do wojny przeciw jednej z tych stron zapewniłoby przewagę drugiej z nich niezależnie od tego, czy wzięłaby ona udział w wojnie. Rozumie pan?

– Jak najbardziej. W interesie wrogów tego potentata leży zatem pozyskanie i publikacja tego listu, który poróżniłby jego kraj z naszym?

– Zgadza się.

– A do kogo mógłby zostać przesłany dokument, gdyby wpadł w ręce wroga?

– Do któregokolwiek z wielkich przywódców Europy. Niewykluczone, że zmierza w tej chwili do niego z największą prędkością, jaką może zapewnić silnik parowy.

Trelawney Hope pochylił głowę i głośno jęknął. Premier w uprzejmym geście pocieszenia położył mu rękę na ramieniu.

– To zwyczajny pech, mój drogi. Nikt nie może pana za to winić. Zachował pan wszelkie środki ostrożności. Jakie działanie pan zaleca, panie Holmes?

Detektyw ponuro pokręcił głową i zapytał:

– Sądzi pan, że jeśli nie uda się odzyskać dokumentu, wybuchnie wojna?

– Uważam, że to wielce prawdopodobne.

– W takim razie proszę przygotować się do wojny.

– To ostre słowa, panie Holmes.

– Proszę wziąć pod rozwagę fakty. Niemożliwe jest, by list zabrano po wpół do dwunastej w nocy, gdyż, jak rozumiem, pan Hope i jego żona przebywali w pokoju od tej godziny do chwili odkrycia straty. Dokument skradziono zatem wczoraj wieczorem, pomiędzy wpół do ósmej a wpół do dwunastej, prawdopodobnie bliżej wpół do ósmej, gdyż ten, kto go zabrał, najwyraźniej wiedział, gdzie się dokument znajduje, i naturalnie chciał go pozyskać jak najwcześniej. Jeśli kradzieży dokonano w tych określonych godzinach, gdzie się może znajdować obecnie? Nie było powodu, żeby go przetrzymywać. Uważam, że został niezwłocznie przekazany tym, którzy zamierzali go wykorzystać. Jakie zatem mamy szanse, by go przechwycić lub chociaż wyśledzić? Całkiem marne, jest poza naszym zasięgiem.

Premier wstał z kanapy.

– Pańskie słowa są nieodparcie logiczne, panie Holmes. Obawiam się, że sprawa istotnie wymknęła nam się z rąk.

– Przyjmijmy wersję roboczą: dokument został zabrany przez pokojówkę lub lokaja…

– To starzy wypróbowani słudzy.

– Pański pokój znajduje się na drugim piętrze, nie ma do niego wejścia z zewnątrz, i nikt nie zdołałby dostać się tam niepostrzeżenie od wewnątrz. Oznacza to, że dokument musiał zabrać ktoś z domowników. Do kogo złodziej mógł zanieść list? Do jednego z kilku międzynarodowych szpiegów i tajnych agentów, których nazwiska, tak się składa, znam. Trzech z nich można uznać za asów wywiadu. Zacznę od sprawdzenia, czy wszyscy są na miejscu. Jeśli nie zastanę któregoś z nich, zwłaszcza jeśli zniknął po wczorajszym wieczorze, może to stanowić wskazówkę, gdzie trafił dokument.

– Czemu szpieg miałby zniknąć? – spytał sekretarz. – Z pewnością zaniósłby list do ambasady swego państwa w Londynie.

– Wątpię. Ci agenci pracują samodzielnie, a ich stosunki z ambasadami często bywają napięte.

Premier potaknął, kiwając głową.

– Sądzę, że ma pan rację, panie Holmes. Zapewne własnoręcznie zawiózłby tak cenny łup do centrali. Uważam, że proponowany przez pana plan działania jest znakomity. Tymczasem, Hope, nie możemy zaniedbać innych obowiązków ze względu na to nieszczęście. Powiadomię pana o wszelkich nowych wydarzeniach, proszę także informować nas o wynikach śledztwa.

Mężowie stanu skłonili się z powagą i opuścili pokój.

Po wyjściu naszych znamienitych gości Holmes zapalił fajkę i przez pewien czas siedział w milczeniu, zatopiony w myślach. Ja otworzyłem poranną gazetę i zagłębiłem się w lekturze artykułu o sensacyjnym przestępstwie popełnionym w Londynie poprzedniej nocy, gdy nagle mój przyjaciel krzyknął, zerwał się na równe nogi i odłożył fajkę na kominek.

– Tak, właśnie tak! Nie ma lepszego sposobu rozpracowania tej sprawy. Sytuacja jest rozpaczliwa, ale nie beznadziejna, nawet teraz. Sądzę, że uda nam się ustalić, który z agentów zabrał list. Być może przesyłka wciąż jest w jego rękach. Chodzi przecież tylko o pieniądze, a ja mam do dyspozycji brytyjski skarbiec. Jeśli list znalazł się na rynku, kupię go, choćby miało to doprowadzić do podwyżki podatku dochodowego w Wielkiej Brytanii. Niewykluczone, że sprawca przetrzymuje list, by sprawdzić, jakie oferty

otrzyma od jednej ze stron, nim zacznie się targować z drugą. Jedynie trzech ludzi jest zdolnych do tak śmiałych poczynań: Oberstein, La Rothiere i Eduardo Lucas. Porozmawiam z każdym z nich.

Zerknąłem do porannej gazety.

– Czy ten Eduardo Lucas mieszka przy Godolphin Street?

– Tak.

– Nie porozmawiasz z nim.

– Dlaczego?

– Ostatniej nocy został zamordowany w swoim domu.

Podczas naszych przygód mój przyjaciel zaskakiwał mnie tak często, że kiedy uświadomiłem sobie, iż zupełnie go zadziwiłem, uradowałem się wielce. Holmes wpatrywał się we mnie w osłupieniu, a następnie wyrwał z moich rąk gazetę. Oto artykuł, który czytałem, nim zabrał mi lekturę:

MORDERSTWO W WESTMINSTERZE

Wczoraj w nocy popełniono tajemnicze przestępstwo przy Godolphin Street 16, w jednym ze staromodnych odludnych skupisk XVIII-wiecznych domów położonych między Tamizą a Opactwem Westminsterskim tuż obok Tower i budynku parlamentu. W tym niewielkim, lecz ekskluzywnym domu od kilku lat mieszkał pan Eduardo Lucas, znany w kręgach towarzyskich ze swej ujmującej osobowości i cieszący się zasłużoną sławą jednego z najlepszych tenorów amatorów w kraju. Pan Lucas był kawalerem, miał 34 lata; w domu oprócz niego mieszkali gospodyni pani Pringle i lokaj Mitton. Pokój starszej pani znajduje się na najwyższym piętrze domu; kładzie się ona wcześnie. Lokaj miał tego wieczora wychodne, odwiedzał przyjaciela w Hammersmith. Od dziesiątej pan Lucas był w domu sam (nie licząc gospodyni). Nie ustalono jeszcze, co się w tym czasie wydarzyło, wiadomo jednak, że przechodząc o 11.45 Godolphin Street, posterunkowy Barrett zauważył, że drzwi domu pod numerem 16 stoją otworem. Zapukał, ale nikt mu nie odpowiedział. We frontowym pokoju paliło się światło. Posterunkowy wszedł do korytarza i zapukał ponownie, ale również nie uzyskał odpowiedzi. Następnie otworzył drzwi i wszedł do środka. W pokoju panował straszliwy nieład. Wszystkie meble przesunięte były na jedną stronę, a pośrodku znajdowało się przewrócone krzesło. Obok niego, ściskając jedną z nóżek, leżał nieszczęsny pan domu. Został pchnięty czymś ostrym w serce, co niewątpliwie spowodowało jego natychmiastową śmierć. Narzędziem zbrodni był zakrzywiony hinduski sztylet z kolekcji broni orientalnej, która ozdabiała jedną ze ścian. Motywem zbrodni nie był chyba rabunek, gdyż nie zginął żaden z cennych przedmiotów znajdujących się w pokoju. Pan Eduardo Lucas był powszechnie znany i lubiany, zatem jego gwałtowna i tajemnicza śmierć z pewnością wywoła żałobę i wielkie współczucie w szerokim kręgu jego przyjaciół.

– I cóż, Watsonie, co o tym myślisz? – zapytał Holmes po długiej przerwie.

– To niezwykły zbieg okoliczności.

– Zbieg okoliczności? Oto jeden z trzech mężczyzn, którzy, jak ustaliliśmy, mogli odgrywać rolę w tym dramacie, ginie nagle w tym samym czasie, kiedy dramat się rozgrywa! Prawdopodobieństwo, że to zbieg okoliczności, jest tak małe, iż nie da się wyrazić go liczbami. Mój drogi Watsonie, te dwa wydarzenia niewątpliwie są powiązane, a do nas należy wykrycie tego związku.

– Ale teraz trzeba będzie powiadomić o wszystkim policję, już nie da się tego uniknąć.

– Bynajmniej. Dowiedzą się tyle, ile wykryją przy Godolphin Street. Nie mają jednak (i nie będą mieli) pojęcia o tym, co zaszło w Whitehall Terrace. Jedynie my wiemy o tych obu wydarzeniach i możemy ustalić związek między nimi. Już przedtem miałem powód, by podejrzewać Lucasa. Godolphin Street leży w dzielnicy Westminster i jest oddalona zaledwie o kilka minut spacerem od Whitehall Terrace. Pozostali tajni agenci, o których mówiłem, mieszkają na samym końcu West Endu, więc Lucasowi byłoby najłatwiej nawiązać kontakty w domu sekretarza do spraw europejskich lub otrzymać stamtąd wiadomość. To drobny fakt, ale może okazać się rozstrzygający, skoro wszystkie wydarzenia rozegrały się w ciągu kilku godzin. No, no, a co my tu mamy?

Do pokoju weszła pani Hudson, niosąc na tacy wizytówkę. Holmes rzucił okiem na karteczkę, uniósł brwi i oddał ją mnie.

– Proszę wprowadzić panią Hildę Trelawney Hope – polecił.

Chwilę później nasze skromne mieszkanko, które już wcześniej tego ranka dostąpiło wielkiego zaszczytu, zostało wyróżnione ponownie, kiedy weszła do niego najpiękniejsza z kobiet mieszkających w Londynie. Często słyszałem opowieści o urodzie najmłodszej córki księcia Belminster, ale ani jej opisy, ani czarno-białe zdjęcia, które widziałem, nie oddawały sprawiedliwości subtelnemu, delikatnemu urokowi tej damy oraz pięknej karnacji jej urodziwej twarzy. Kiedy jednak ujrzeliśmy ją tego jesiennego poranka, to nie jej piękno najbardziej rzuciło się w oczy. Policzki miała śliczne, ale pobladłe od silnych emocji, oczy błyszczały gorączkowo, a delikatne usta były ściągnięte w rozpaczliwym wysiłku, z jakim starała się zachować panowanie nad sobą. Kiedy nasz piękny gość na chwilę

zatrzymał się w otwartych drzwiach, zauważyliśmy przede wszystkim strach, nie urodę.

– Panie Holmes, czy był tu mój mąż?

– Owszem.

– Błagam pana, niech mu pan nie mówi o mojej wizycie.

Holmes ukłonił się sztywno i gestem zaprosił damę, żeby spoczęła w fotelu.

– Stawia mnie pani w bardzo trudnym położeniu. Proszę usiąść i wyjaśnić, o co pani chodzi, obawiam się jednak, że nie mogę obiecać niczego bezwarunkowo.

Dama przeszła przez pokój i usiadła tyłem do okna. Jej wysoka sylwetka, wdzięczna i bardzo kobieca, godna była królowej.

– Panie Holmes – powiedziała, splatając i rozplatając dłonie, ubrane w białe rękawiczki – będę z panem szczera i mam nadzieję, że odwdzięczy mi się pan tym samym. Mój mąż rozmawia ze mną o wszystkim poza polityką. W tych sprawach milczy jak grób. Wiem, że wczoraj wieczorem w naszym domu miało miejsce pożałowania godne wydarzenie, zaginął jakiś dokument. Ponieważ wiąże się to z polityką, mąż nie chce mi zdradzić, o co chodzi. Jest jednak niezwykle istotne, podkreślam, niezwykle istotne, bym się tego dowiedziała. Jest pan jedyną osobą prócz zainteresowanych, która zna prawdę o całej sprawie. Dlatego błagam pana, panie Holmes, proszę mi powiedzieć, co zaszło i jakie pociągnie to za sobą skutki. Proszę niczego nie ukrywać, zasłaniając się interesami klienta, zapewniam bowiem pana, że choć mój mąż sam o tym nie wie, to interesom posłużyłoby najlepiej dopuszczenie mnie do tajemnicy. Jaki dokument został skradziony?

– Żąda pani ode mnie niemożliwego.

Kobieta jęknęła i ukryła twarz w dłoniach.

– Proszę to zrozumieć. Ja poznałem fakty dopiero po tym, jak obiecałem zachować tajemnicę zawodową. Jeśli pani mąż nie uznał za stosowne wtajemniczyć ją w tę sprawę, jakże mógłbym ujawnić to, co on chce ukryć? Powinna pani prosić o to nie mnie, tylko swego męża.

– Prosiłam go. Pan jest moją ostatnią deską ratunku. Ale nawet jeśli nie zdradzi mi pan żadnych konkretnych informacji, panie Holmes, może pan oddać mi wielką przysługę, wyjaśniając jedną rzecz.

– Słucham panią.

– Czy kariera polityczna mojego męża może ucierpieć w wyniku tego incydentu?

– Jeśli sprawa nie zostanie wyjaśniona, jej skutki mogą być bardzo niekorzystne.

– Ach! – Dama gwałtownie zaczerpnęła powietrza, jak osoba, której wątpliwości zostały rozwiane.

– Jeszcze jedno pytanie, panie Holmes. Mój mąż był tak wzburzony zniknięciem dokumentu, że ze słów, które mu się wyrwały, wnoszę, iż to wydarzenie może pociągnąć za sobą poważne konsekwencje natury publicznej.

– Skoro on tak powiedział, ja nie będę zaprzeczać.

– Jakie to konsekwencje?

– Znów chce pani wiedzieć więcej, niż mogę jej zdradzić.

– Skoro tak, nie będę dłużej zabierała pańskiego czasu. Panie Holmes, nie mogę winić go za to, że nie zgodził się pan porozmawiać ze mną bardziej otwarcie, a pan z kolei nie może chyba mieć do mnie pretensji o to, że chcę dzielić z mężem jego troski, choćby i wbrew jego woli. Raz jeszcze błagam, by nie mówił pan o mojej wizycie.

Stojąc w progu, dama odwróciła się ku nam, ukazując jeszcze raz swą piękną znękaną twarz, wystraszone oczy i ściągnięte usta, po czym wyszła.

– Watsonie, płeć piękna to twoja specjalność – stwierdził Holmes z uśmiechem, kiedy ucichł szelest spódnic i trzasnęły frontowe drzwi. – O co chodziło tej pięknej damie? Czego tak naprawdę chciała?

– Jej słowa były jasne, a niepokój bardzo naturalny.

– Hmm! Pomyśl o tym, jak wyglądała, Watsonie: o jej postawie, tłumionym wzburzeniu, nerwowości i nieustępliwości podczas zadawania pytań. Pamiętaj, że pochodzi ona z klasy społecznej, która nieczęsto okazuje emocje.

– Z pewnością była czymś bardzo poruszona.

– Nie zapominaj także o osobliwej żarliwości, z jaką zapewniała nas, że dla jej męża najlepiej byłoby, gdyby ona poznała całą prawdę. Co chciała przez to powiedzieć? Zapewne zauważyłeś, Watsonie, że usiadła tak, by mieć światło za plecami. Nie chciała, byśmy zobaczyli wyraz jej twarzy.

– To prawda, wybrała jedyny ustawiony w ten sposób fotel w pokoju.

– A jednak motywy działania kobiet bywają czasami nieodgadnione. Pamiętasz tę damę z Margate, którą podejrzewałem dlatego, że usiadła

plecami do okna? Okazało się wówczas, że przyczyną takiego jej postępowania był nieupudrowany nos. Jak można zbudować jakąkolwiek teorię na tak niepewnych podstawach? Nawet najbardziej trywialne zachowanie kobiety może znaczyć bardzo wiele, a najniezwyklejsze z nich wynika z kłopotów ze spinką do włosów lub z lokówką. Watsonie, życzę miłego dnia.

– Wychodzisz?

– Tak. Zamierzam spędzić poranek przy Godolphin Street razem z naszymi przyjaciółmi policjantami. Eduardo Lucas stanowi z pewnością klucz do rozwiązania zagadki, chociaż muszę przyznać, że nie mam pojęcia, jaką postać to rozwiązanie przybierze. Pełnij tu wartę, zacny Watsonie, i przyjmuj gości. Postaram się wpaść na lunch.

Przez cały tamten dzień i dwie kolejne doby Holmes był w nastroju, który jego przyjaciele nazywali milczącym, a inni – posępnym. Przybiegał do domu i wybiegał, bez przerwy palił, grał na skrzypcach fragmenty utworów muzycznych, popadał w zadumę, jadł kanapki o najróżniejszych porach i nie odpowiadał prawie na żadne pytanie, jakie mu zadawałem. Dostrzegałem, że sprawy najwyraźniej nie układają się po jego myśli. Nie mówił nic na temat sprawy, i to z gazet dowiedziałem się o przebiegu śledztwa oraz aresztowaniu i późniejszym zwolnieniu Johna Mittona, lokaja zmarłego. Ława koronera orzekła, rzecz jasna, że popełniono morderstwo z premedytacją, jednak sprawca pozostał nieznany, nie znaleziono również motywu. Pokój był pełen cennych przedmiotów, ale żaden z nich nie zginął. Nie tknięto również papierów gospodarza domu. Uważne oględziny wykazały, że zmarły interesował się żywo polityką międzynarodową, był niezmordowanym plotkarzem, wybitnym lingwistą i niestrudzonym korespondentem. Pozostawał w zażyłych stosunkach z czołowymi politykami kilku krajów, jednak wśród dokumentów wypełniających jego szuflady nie znaleziono niczego sensacyjnego. Jeśli chodzi o związki z kobietami, ustalono, że były one liczne, lecz powierzchowne. Znał wiele kobiet, ale przyjaźnił się zaledwie z kilkoma, żadnej natomiast nie kochał. Żył statecznie i spokojnie. Śmierć Lucasa stanowiła absolutną zagadkę, i wszystko wskazywało na to, że pozostanie nią nadal.

Jeśli chodzi o aresztowanie Johna Mittona, lokaja, był to desperacki krok stanowiący alternatywę dla bezczynności. Nie znaleziono jednak dowodów świadczących przeciwko niemu – feralnej nocy był on w odwiedzinach

u przyjaciół w Hammersmith, a jego alibi zostało potwierdzone. Co prawda ruszył w drogę powrotną o takiej porze, że powinien był dotrzeć do Westminsteru przed wykryciem morderstwa, ale wyjaśnienie, iż część trasy przeszedł piechotą, wydawało się całkiem prawdopodobne, biorąc pod uwagę, że noc była piękna. Lokaj dotarł na miejsce o północy i wydawał się przybity niespodziewaną tragedią. Od zawsze był ze swym chlebodawcą w przyjaznych stosunkach. W rzeczach sługi znaleziono kilka przedmiotów należących do zmarłego – między innymi niewielki zestaw brzytew – mężczyzna wyjaśnił jednak, że były to prezenty od jego pana, a gospodyni to potwierdziła. Mitton pracował u Lucasa od trzech lat. Na uwagę zasługiwał fakt, że zmarły nie zabierał służącego ze sobą na kontynent. Gdy wyjeżdżał do Paryża nawet na trzy miesiące, lokaj zawsze zostawał w domu przy Godolphin Street. Gospodyni nie słyszała żadnych hałasów tej nieszczęsnej nocy. Jeśli jej pan miał gości, sam wpuścił ich do domu.

Przez trzy dni zagadka pozostawała nierozwikłana, a przynajmniej tak twierdziły gazety. Jeśli Holmes wiedział o sprawie coś więcej, zatrzymał to dla siebie, powiedział mi jednak, że inspektor Lestrade wtajemniczył go w przebieg śledztwa, wiedziałem więc, że na bieżąco obserwuje jego rozwój. Czwartego dnia nadszedł długi telegram z Paryża, który wydawał się wyjaśniać całą sprawę. W „Daily Telegraph” przeczytaliśmy:

> Paryska policja dokonała właśnie odkrycia, które pozwala wyjaśnić tragiczny los pana Eduardo Lucasa, zabitego w ostatni poniedziałek wieczorem przy Godolphin Street w dzielnicy Westminster. Jak nasi Czytelnicy zapewne pamiętają, zmarły został zasztyletowany w swoim domu, i początkowo podejrzewano jego lokaja, ten ostatni przedstawił jednak mocne alibi. Wczoraj służący pani Fournaye, zamieszkującej w niewielkiej willi przy rue Austerlitz, zgłosili władzom, że ich pani popadła w obłęd. Badanie wykazało, że u kobiety istotnie rozwinęła się niebezpieczna i nieuleczalna mania. Śledztwo policji ujawniło, że pani Fournaye wróciła w zeszły wtorek z podróży do Londynu; istnieją też dowody wskazujące na jej udział w zbrodni popełnionej w Westminsterze. Porównanie zdjęć dowiodło ponad wszelką wątpliwość, że pan Henri Fournaye i Eduardo Lucas byli w istocie jedną i tą samą osobą i że zmarły z niewiadomych przyczyn prowadził podwójne życie w Londynie i Paryżu. Pani Fournaye, w której żyłach płynie kreolska krew, jest osobą niezwykle pobudliwą, i już wcześniej zdarzały jej się ataki zazdrości graniczącej z obłędem. Uważa się, że właśnie podczas jednego z nich popełniła straszliwą zbrodnię, która wywołała taką sensację w Londynie. Nie ustalono jeszcze jej postępowania w poniedziałkowy wieczór, odkryto jednak, że we wtorek rano kobieta odpowiadająca jej opisowi zwróciła na siebie uwagę wielu osób na dworcu

Charing Cross, bo była bardzo wzburzona i zachowywała się nerwowo. Jest zatem prawdopodobne, że zbrodnia została popełniona w afekcie lub że w jej wyniku nieszczęsna kobieta doznała pomieszania zmysłów. W chwili obecnej chora nie jest w stanie mówić w spójny sposób o minionych wydarzeniach, a lekarze nie dają żadnych nadziei na jej powrót do zdrowia. Istnieją dowody wskazujące na to, że jakaś kobieta, być może pani Fournaye, przez kilka godzin przyglądała się domowi przy Godolphin Street w poniedziałkowy wieczór.

– Co o tym sądzisz, Holmesie? – spytałem, gdy przeczytałem na głos artykuł swemu przyjacielowi, który właśnie kończył śniadanie.

– Drogi Watsonie – odpowiedział, wstając od stołu i chodząc tam i z powrotem po pokoju. – Wykazujesz się wielką cierpliwością, ale jeśli niczego ci nie mówiłem przez ostatnie trzy dni, to tylko dlatego, że nie mam nic do powiedzenia. Nawet wieści z Paryża niewiele nam pomogły.

– Niewątpliwie pozwoliły rozwikłać zagadkę śmierci Lucasa.

– Ta śmierć to jedynie trywialny incydent w porównaniu z naszym prawdziwym zadaniem, którym jest odnalezienie dokumentu i ocalenie Europy przed katastrofą. W ciągu trzech ostatnich dni stała się tylko jedna ważna rzecz: nic się nie wydarzyło. Niemal co godzinę otrzymuję raporty od władz, i pewne jest, że nigdzie w Europie nie zanosi się na konflikt. Gdyby ujawniono list… Nie, nie został ujawniony, ale gdzie w takim razie się znajduje? Kto ma go w rękach i dlaczego się nim nie posłużył? Oto pytania, które zaprzątają mój umysł. Czy naprawdę był zbiegiem okoliczności fakt, że Lucas zszedł z tego świata tej samej nocy, gdy zniknął list? Czy dokument do niego dotarł? Jeśli tak, dlaczego nie ma go w papierach zmarłego? Czy zabrała go jego obłąkana małżonka? Jak mam go szukać, nie wzbudzając podejrzeń francuskiej policji? Drogi Watsonie, w tej sprawie stróże prawa mogą być dla nas równie niebezpieczni jak przestępcy. Mamy przeciwko sobie wszystkich, a gra toczy się o olbrzymią stawkę. Jeśli uda mi się doprowadzić tę sprawę do pomyślnego końca, stanie się ona ukoronowaniem mojej kariery. A oto najnowsze wieści z frontu! – Obrzucił szybkim spojrzeniem przyniesiony właśnie liścik. – No, no! Zdaje się, że Lestrade dostrzegł coś interesującego. Załóż kapelusz, Watsonie. Przejdziemy się razem do Westminsteru.

Po raz pierwszy znalazłem się w miejscu zbrodni, wysokim obdrapanym domu o wąskiej fasadzie, sztywnym i solidnym jak wiek, w którym powstał. Lestrade, którego oblicze przywodziło na myśl buldoga,

wpatrywał się w nas przez frontowe okno; inspektor przyjaźnie nas powitał, gdy potężny posterunkowy otworzył drzwi i wpuścił nas do środka. Zostaliśmy wprowadzeni do pokoju, w którym popełniono morderstwo. Po zbrodni nie pozostał jednak żaden ślad poza brzydką nieregularną plamą na niewielkim kwadratowym dywanie leżącym pośrodku pokoju i otoczonym szeroką połacią pięknej staromodnej podłogi, wykonanej z polerowanych na wysoki połysk kwadratowych drewnianych klepek. Nad kominkiem wisiała wspaniała kolekcja broni, z której jeden okaz wykorzystano feralnej nocy. Pod oknem stało obszerne biurko, a wszystkie elementy mieszkania – obrazy, dywany i draperie – wskazywały na gust tak wyszukany, że ocierał się o zniewieściałość.

– Słyszał pan wieści z Paryża? – spytał Lestrade.

Holmes skinął głową.

– Zdaje się, że tym razem nasi przyjaciele Francuzi trafili w sedno. Nie ulega wątpliwości, że było dokładnie tak, jak mówią. Zapukała do drzwi (zapewne była to niespodziewana wizyta, gdyż zmarły strzegł swej prywatności jak źrenicy oka), gospodarz wpuścił ją, bo nie mógł pozwolić, żeby stała na ulicy. Opowiedziała, jak udało jej się go wyśledzić, i zaczęła mu wymyślać. Gdy awantura osiągnęła szczyt, kres całej sprawie położył sztylet, który kobieta miała pod ręką. Nie wydarzyło się to jednak od razu, wszystkie krzesła przesunięto aż tam, pod ścianę, a jedno z nich ofiara wciąż ściskała w rękach, jak gdyby próbowała zasłonić się przed napastniczką. Można odtworzyć wszystko tak, jakbyśmy widzieli to na własne oczy.

Holmes uniósł brwi.

– A jednak posłał pan po mnie?

– Ach tak, to inna sprawa, niby drobnostka, ale taka, która mogłaby pana zainteresować. Widzi pan, jest to coś osobliwego, a nawet dziwacznego. Nie ma żadnego związku ze sprawą, bo po prostu nie może go mieć.

– Ale o co chodzi?

– Jak pan wie, podczas pracy nad tego rodzaju sprawami bardzo uważamy, by pozostawić wszystko na swoim miejscu. Niczego nie ruszaliśmy. Dniem i nocą czuwa tu policjant. Dziś rano, po pogrzebie i zakończeniu śledztwa, uznaliśmy, że można tu trochę posprzątać, przynajmniej w tym pokoju. Widzi pan ten dywan? Nie jest przytwierdzony do podłogi, leży luźno. Podnieśliśmy go i znaleźliśmy…

– Tak? – Twarz Holmesa stężała z emocji.

Lestrade triumfował:

– Jestem pewien, że choćby myślał pan sto lat, nie zgadłby, co odkryliśmy. Widzi pan tę plamę na dywanie? Krew powinna przez niego przesiąknąć, prawda?

– Niewątpliwie.

– Zapewne zaskoczę pana, gdy powiem, że na białym drewnie pod dywanem nie znaleziono plamy, której kształt odpowiadałby plamie pozostawionej na dywanie.

– Nie było plamy? Ależ musi…

– Tak się wydaje. Lecz faktem jest, że jej nie było.

Inspektor chwycił róg, podniósł go i odwrócił dywan tak, by potwierdzić swoje słowa.

– Ale spodnia część jest tak samo poplamiona jak wierzchnia. Musiał zostać jakiś ślad.

Lestrade zachichotał z radości, że udało mu się wprawić w zakłopotanie słynnego eksperta.

– Pokażę panu rozwiązanie. Widnieje tu druga plama, ale nie odpowiada ona pierwszej. Proszę zobaczyć. – Mówiąc to, podniósł inną część dywanu; pod spodem na białych klepkach staroświeckiej podłogi widniała wielka purpurowa plama. – I co pan o tym sądzi, panie Holmes?

– To bardzo proste. Plamy się pokrywały, ale dywan przesunięto. Jest kwadratowy i nie był przytwierdzony do podłogi, więc nietrudno było to zrobić.

– Panie Holmes, policja nie potrzebuje pańskiej pomocy, by stwierdzić, że dywan mógł zostać przemieszczony. To oczywiste, gdyż kiedy położy się go w ten sposób, plamy znajdują się jedna nad drugą. Chciałbym jednak wiedzieć, kto go przesunął i dlaczego.

Z pozornie kamiennej twarzy Holmesa wyczytałem, że mój przyjaciel aż kipi od wewnętrznego podniecenia.

– Niech pan posłucha, Lestrade – powiedział. – Czy ten posterunkowy, który stoi w korytarzu, był tutaj przez cały czas?

– Tak.

– Proszę postąpić zgodnie z moją radą. Niech pan skrupulatnie go wypyta. Proszę nie robić tego w naszej obecności. My poczekamy tutaj, a pan pójdzie z nim do pokoju na tyłach domu. Bardziej prawdopodobne

jest, że uda się panu skłonić go do zwierzeń, jeśli będziecie rozmawiać na osobności. Proszę spytać go, jak śmiał wpuścić do tego pokoju obcych i zostawić ich tu samych. Niech pan nie pyta go, czy to zrobił, a przyjmie to za pewnik. Proszę na niego naciskać, powiedzieć mu, że wie pan, iż ktoś tu był i jego jedyną szansą jest przyznanie się. Proszę zrobić dokładnie to, co powiedziałem.

– Niech mnie kule biją, jeśli nie wydobędę z niego wszystkiego! – wykrzyknął Lestrade, wybiegł na korytarz i po kilku chwilach jego podniesiony głos rozbrzmiewał z pokoju na tyłach domu.

– Teraz, Watsonie, teraz! – Holmes był nad wyraz bardzo podekscytowany.

Jego demoniczna wewnętrzna siła skryta za apatyczną powierzchownością ujawniła się gwałtownym wybuchem energii. Zerwał z podłogi dywan i po chwili klęczał na posadzce, szarpiąc po kolei za każdą z klepek. Jedna odskoczyła w bok, kiedy wbił paznokcie w jej boczną część – odchyliła się na zawiasach jak wieczko szkatułki. Pod nią znajdował się niewielki otwór. Holmes szybko zanurzył w niego rękę i wyciągnął ją, warcząc z gniewu i rozczarowania. Skrytka była pusta.

– Szybko, Watsonie, szybko! Zamknij to z powrotem!

Opuściłem drewniane wieko i ledwie zdążyłem poprawić dywan, kiedy w korytarzu zabrzmiał głos Lestrade’a. Gdy inspektor wszedł do pokoju, zastał Holmesa opierającego się apatycznie o półkę nad kominkiem, ze zrezygnowaną i znudzoną miną, tłumiącego niepohamowane ziewanie.

– Przepraszam, że kazałem panu czekać, panie Holmes. Widzę, że cała ta sprawa śmiertelnie pana nudzi. Miał pan rację, do wszystkiego się przyznał. Chodźcie tu, MacPherson. Opowiedzcie tym dżentelmenom o swoim niewybaczalnym zachowaniu.

Rosły posterunkowy, zarumieniony i skruszony, chyłkiem wszedł do pokoju.

– Proszę panów, nie miałem złych zamiarów. Wczoraj wieczorem przyszła tu młoda dama, która zabłądziła. Zaczęliśmy rozmawiać. Człowiek czuje się osamotniony, jak przebywa tu na służbie cały boży dzień.

– Co się stało później?

– Chciała zobaczyć, gdzie popełniono zbrodnię, mówiła, że czytała o tym w gazetach. Była to bardzo szacowna młoda kobieta, proszę panów, i bardzo ładnie się wysławiała, więc nie widziałem nic złego w tym, żeby

pozwolić jej tam zajrzeć. Kiedy zobaczyła tę plamę na dywanie, upadła na podłogę jak długa i leżała jak martwa. Pobiegłem na tyły domu, żeby przynieść jej wody, ale nie udało mi się jej ocucić. Skoczyłem więc za róg do „Bluszczu”, chciałem przynieść trochę brandy, jednak zanim wróciłem, kobieta odzyskała przytomność i zniknęła, pewnie było jej wstyd, i nie miała śmiałości spojrzeć mi w oczy.

– A co z przesuniętym dywanem?

– No cóż, proszę pana, kiedy wróciłem, leżał inaczej niż przedtem. Kobieta upadła na dywan, podłoga była wypastowana, a on nie był niczym przymocowany. Później go poprawiłem.

– To nauczka dla was, że nie da się mnie oszukać, posterunkowy MacPherson – stwierdził Lestrade z godnością. – Zapewne myśleliście, że zaniedbanie przez was obowiązków pozostanie niewykryte, a jednak wystarczył rzut oka na dywan, a już wiedziałem, że kogoś wpuszczono do pokoju. Macie szczęście, że nic nie zginęło, inaczej znaleźlibyście się w nie lada kłopocie. Panie Holmes, przepraszam, że wzywałem pana do takiej błahostki, ale pomyślałem, że druga plama nie pasująca do pierwszej może pana zainteresować.

– Istotnie, była wielce interesująca. Panie posterunkowy, czy ta kobieta była tu tylko raz?

– Tak, proszę pana.

– A kto to był?

– Nie znam jej nazwiska. Przyszła w odpowiedzi na ogłoszenie o pracę dla maszynistki, ale pomyliła numer domu, była to bardzo przyjemna i grzeczna młoda dama.

– Czy była wysoka i ładna?

– Tak, proszę pana. Była dość wysoka i chyba ładna, a niektórzy pewno uznaliby, że bardzo ładna. „Panie oficerze, proszę pozwolić mi tam zerknąć!” – powiedziała. Zachowywała się tak naturalnie i niewinnie, że pomyślałem sobie, iż nic złego się nie stanie, jeśli pozwolę jej popatrzeć przez drzwi.

– Jak była ubrana?

– Skromnie, proszę pana, miała pelerynę długą aż do ziemi.

– O której przyszła?

– Akurat zmierzchało. Kiedy wróciłem z brandy, właśnie zapalali latarnie.

– Znakomicie – stwierdził Holmes. – Chodź, Watsonie, myślę, że mamy coś ważniejszego do zrobienia gdzie indziej.

Kiedy wychodziliśmy z domu, Lestrade pozostał we frontowym pokoju, a skruszony posterunkowy otworzył drzwi, by nas wypuścić. Kiedy staliśmy już na schodach, Holmes odwrócił się i wyciągnął dłoń. Policjant przyglądał się z przejęciem.

– Dobry Boże! – wykrzyknął, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie. Holmes położył palec na ustach, włożył rękę do kieszonki na piersi, a kiedy skręciliśmy za róg ulicy wybuchnął śmiechem.

– Znakomicie! – Był zachwycony. – Chodź, drogi Watsonie, kurtyna idzie w górę przed ostatnim aktem. Z pewnością przyjmiesz z ulgą wiadomość, że do wojny nie dojdzie, błyskotliwa kariera szanownego pana Trelawneya Hope nie legnie w gruzach, niedyskretny potentat nie zostanie ukarany za swą nierozwagę, premier nie będzie musiał mierzyć się z konfliktami na skalę europejską, a jeśli wykażemy nieco taktu i zręczności, nikt nie straci niczego na incydencie, który mógł się skończyć bardzo tragicznie.

Byłem pełen podziwu dla tego niezwykłego człowieka.

– Rozwiązałeś zagadkę! – wykrzyknąłem.

– Nie do końca, Watsonie. Niektóre jej aspekty pozostają nadal tajemnicą. Wiemy już jednak tak wiele, że będzie wyłącznie naszą winą, jeśli nie uda nam się odkryć reszty. Pojedziemy prosto do Whitehall Terrace, aby ujawnić pozostałe fakty.

Kiedy przybyliśmy do rezydencji sekretarza do spraw europejskich, Sherlock Holmes zapytał o lady Hildę Trelawney Hope. Wprowadzono nas do salonu.

– Panie Holmes! – powiedziała dama, a jej twarz zaróżowiła się z oburzenia. – Pańskie postępowanie jest nieuczciwe i krzywdzące. Mówiłam panu, że pragnę utrzymać swoją wizytę w tajemnicy, by mój mąż nie pomyślał, że wtrącam się w jego sprawy, a tymczasem pan mnie kompromituje, przychodząc tutaj i pokazując tym samym, że coś nas łączy.

– Niestety, proszę pani, nie miałem innego wyjścia. Zlecono mi odzyskanie niezwykle istotnego dokumentu, w związku z czym muszę prosić panią, by była tak uprzejma i zwróciła mi go.

Dama poderwała się na równe nogi, a jej piękna twarz w jednej chwili zbladła. Oczy zaszkliły się, kobieta się zachwiała, i byłem pewien, że

zemdleje. Olbrzymim wysiłkiem otrząsnęła się z szoku, i po chwili na jej twarzy widać było jedynie wielkie zaskoczenie i gniew.

– Pan… pan mnie obraża, panie Holmes.

– Proszę pani, to nic nie da. Proszę oddać list.

Kobieta podbiegła do dzwonka.

– Lokaj zaprowadzi panów do wyjścia.

– Lady Hildo, proszę nie dzwonić. Jeśli pani to zrobi, zniweczy pani wszystkie starania, jakie poczyniłem, by uniknąć skandalu. Proszę oddać list, a cała sprawa zakończy się pomyślnie. Jeśli zgodzi się pani ze mną współpracować, nie ujawnię wszystkiego. W przeciwnym razie będę zmuszony panią wydać.

Dama stała z wyzywającą miną, dumna niczym królowa, utkwiwszy wzrok w twarzy mego przyjaciela, tak jakby chciała zajrzeć w głąb jego duszy. Trzymała rękę na dzwonku, ale nie skorzystała z niego.

– Próbuje mi pan grozić. Panie Holmes, nie jest zbyt godne dżentelmena przyjść tu i zastraszać kobietę. Twierdzi pan, że coś wie. O co chodzi?

– Proszę usiąść. Jeśli pani upadnie, zrobi sobie krzywdę. Nie zacznę mówić, póki pani nie usiądzie. Dziękuję.

– Daję panu pięć minut, panie Holmes.

– Wystarczy mi jedna, lady Hildo. Wiem, że odwiedziła pani Eduardo Lucasa, przekazała mu dokument, a wczoraj wieczorem w sprytny sposób dostała się znów do jego mieszkania i zabrała list ze skrytki pod dywanem.

Kobieta wpatrywała się w detektywa z poszarzałą twarzą. Nim udało jej się przemówić, dwukrotnie przełknęła ślinę.

– Jest pan niespełna rozumu, panie Holmes, niespełna rozumu! – krzyknęła w końcu.

Mój przyjaciel wyjął z kieszeni niewielki kartonik z wizerunkiem twarzy kobiety, wyciętym z portretu.

– Miałem to przy sobie, bo uznałem, że może się przydać – wyjaśnił. – Rozpoznał panią policjant.

Dama gwałtownie wciągnęła powietrze, a jej głowa opadła na oparcie fotela.

– Lady Hildo, ma pani list. Sprawę wciąż można doprowadzić do pomyślnego zakończenia. Moim jedynym celem jest zwrócenie zaginionego dokumentu pani mężowi. Proszę pójść za moją radą i wszystko szczerze opowiedzieć. To pani jedyna szansa.

Nasza rozmówczyni wykazała się niezwykłą odwagą, wciąż nie chciała przyznać się do porażki.

– Powtarzam panu, panie Holmes, padł pan ofiarą jakiegoś absurdalnego złudzenia.

Holmes wstał z miejsca.

– Przykro mi, lady Hildo. Zrobiłem, co mogłem, by pani pomóc. Widzę jednak, że na próżno.

Zadzwonił, i do pokoju wszedł lokaj.

– Czy pan Trelawney Hope jest w domu?

– Ma wrócić za piętnaście pierwsza.

Holmes zerknął na zegarek.

– Czyli za kwadrans – stwierdził. – Bardzo dobrze. Watsonie, zaczekamy tutaj.

Ledwie zamknęły się za służącym drzwi, lady Hilda padła na kolana do stóp Holmesa z wyciągniętymi rękami, jej piękna twarz, mokrą od łez, była zwrócona ku memu przyjacielowi.

– Niech się pan zlituje, panie Holmes! Niech się pan zlituje! – zaczęła błagać szaleńczo. – Na miłość boską, niech mu pan nie mówi! Tak bardzo go kocham! Za nic nie chciałabym go zasmucać, a wiem, że taka wieść złamałaby jego szlachetne serce.

Holmes pomógł damie wstać.

– Bardzo się cieszę, że się pani opamiętała! Nie mamy chwili do stracenia. Gdzie jest list?

Kobieta podbiegła do sekretarzyka, otworzyła go i wyjęła długą niebieską kopertę.

– Oto on, panie Holmes. Wiele bym dała, żeby nigdy go nie zobaczyć!

– Jak możemy odłożyć go na miejsce? – mruknął Holmes. – Szybko, szybko, musimy wymyślić jakiś sposób! Gdzie czerwona teczka?

– Nadal w sypialni.

– Cóż za szczęśliwy traf! Szybko, niech ją pani tu przyniesie! – Chwilę później lady Hilda przybiegła, trzymając w rękach płaską czerwoną teczkę.

– W jaki sposób otworzyła ją pani poprzednim razem? Czy ma pani zapasowy klucz? Oczywiście, że tak. Proszę otworzyć!

Kobieta wyciągnęła zza dekoltu niewielki kluczyk i szybko otworzyła teczkę. Była wypchana papierami. Holmes wcisnął niebieską kopertę

w głąb, pomiędzy kartki innego dokumentu. Teczka została zamknięta i odniesiona do sypialni.

– Teraz jesteśmy gotowi na jego przybycie – stwierdził Holmes. – Zostało nam dziesięć minut. Lady Hildo, zrobiłem wiele, by panią chronić. W zamian proszę opowiedzieć mi szczerze, o co chodzi w tej niezwykłej sprawie.

– Panie Holmes, powiem panu wszystko! – wykrzyknęła dama. – Och, prędzej odcięłabym sobie prawą rękę, niż sprawiła mężowi choćby najdrobniejszą przykrość! Nie ma w Londynie kobiety, która kochałaby swego męża bardziej niż ja, jednak gdyby wiedział, co zrobiłam, co zostałam zmuszona zrobić, nigdy by mi nie wybaczył. Tak bardzo ceni sobie honor, że nie potrafiłby zapomnieć ani przebaczyć, że ktoś mu uchybił. Panie Holmes, proszę mi pomóc! Tu idzie o moje szczęście, jego szczęście, ba, o nasze życie!

– Proszę mówić szybko, czas ucieka!

– Tu chodzi o mój list, jeszcze sprzed zamążpójścia, głupi niedyskretny list, napisany przez impulsywną zadurzoną dziewczynę. Nie miałam złych intencji, ale mój mąż uznałby to za zbrodnię. Gdyby go przeczytał, bezpowrotnie straciłabym jego zaufanie. List wysłałam wiele lat temu i myślałam, że cała sprawa poszła w zapomnienie, jednak ten człowiek, Lucas, powiadomił mnie, że ma go u siebie i zamierza pokazać mojemu mężowi. Błagałam go o litość. Powiedział, że zwróci mi moją własność, jeśli dostarczę mu pewien dokument z teczki męża; precyzyjnie mi go opisał. Miał w biurze męża szpiega, który powiedział mu o tym liście. Zapewnił mnie, że mojemu mężowi nie stanie się nic złego. Panie Holmes, proszę postawić się na moim miejscu. Co miałam zrobić?

– Powiedzieć o wszystkim mężowi.

– Nie mogłam, panie Holmes, nie mogłam! Po pierwsze, byłam pewna, że doprowadzi to do mojej zguby, po drugie, choć czułam się okropnie, zabierając mężowi dokument, nie rozumiałam konsekwencji politycznych tego działania, za to jego skutki mojego czynu w sferze miłości i zaufania były dla mnie aż nazbyt jasne. Zrobiłam to, panie Holmes! Wykonałam odlew klucza, a Lucas dostarczył mi duplikat. Otworzyłam teczkę, zabrałam dokument i zaniosłam go na Godolphin Street.

– Co się tam stało?

– Zastukałam w umówiony sposób. Lucas mi otworzył, i poszłam za nim do jego pokoju, nie zamykając za sobą drzwi, gdyż bałam się zostać sama z tym człowiekiem. Pamiętam, że kiedy wchodziłam do środka, przed domem stała jakaś kobieta. Szybko dokonaliśmy wymiany. Miał mój list na biurku i zwrócił mi go, kiedy dałam mu dokument. W tym momencie przed drzwiami rozległy się jakieś hałasy, następnie usłyszeliśmy kroki w korytarzu. Lucas szybko odsunął dywan, wrzucił dokument do skrytki w podłodze i ponownie ją przykrył. To, co się stało później, było jak koszmarny sen. Wciąż widzę ciemną szaloną twarz i słyszę kobiecy głos krzyczący po francusku: „Nie czekałam na darmo! W końcu cię z nią przydybałam!”. Doszło do bójki. On chwycił w ręce krzesło, ona złapała nóż. Uciekłam z tego okropnego miejsca, wybiegłam z domu i dopiero następnego ranka dowiedziałam się z gazet, jaki straszliwy koniec miała ta awantura. Wieczorem czułam się szczęśliwa, gdyż odzyskałam swój list; nie wiedziałam, co przyniesie przyszłość, ale zdałam sobie sprawę, że jedynie zamieniłam jeden kłopot na inny. Cierpienie mojego męża z powodu utraty dokumentu sprawiło mi ból. Ledwie powstrzymałam się, by nie rzucić mu się do nóg i nie wyznać prawdy, co by oznaczało, że muszę się przyznać i do błędów przeszłości. Tego ranka udałam się do pana i w pełni uświadomiłam sobie wagę mego przewinienia. Myślałam tylko o jednym: jak odzyskać list. Uznałam, że musi znajdować się tam, gdzie ukrył go Lucas, nim ta straszna kobieta weszła do pokoju. Gdyby nie jej wtargnięcie, nigdy bym się nie dowiedziała, gdzie mieści się skrytka. Przez dwa dni obserwowałam dom, drzwi zawsze były zamknięte. Ostatniej nocy podjęłam desperacką próbę. Wie pan już, co wtedy zrobiłam i z jakim skutkiem. Przyniosłam list z powrotem i chciałam go zniszczyć, gdyż nie widziałam możliwości, by zwrócić go mężowi, nie wyznając swojej winy. Boże, słyszę na schodach jego kroki!

Do pokoju wpadł rozemocjonowany pan sekretarz.

– Ma pan jakieś wieści, panie Holmes? – wykrzyknął.

– Żywię pewne nadzieje.

– Ach, dzięki Bogu! – twarz Hope’a się rozpromieniła. – Dziś jem lunch z premierem. Czy może pan opowiedzieć i jemu o swoich nadziejach? Ma stalowe nerwy, a jednak wiem, że od tego strasznego zdarzenia niemal nie zmrużył oka. Jacobs, poproś pana premiera na górę. Kochanie, obawiam

się, że to sprawa polityczna. Poczekaj na nas w jadalni. Przyjdziemy za kilka minut.

Premier zachowywał się z dystansem, ale po błysku w jego oczach i drżeniu kościstych rąk poznałem, że był nie mniej podekscytowany niż jego młody kolega.

– Spodziewam się, że ma pan nam coś do powiedzenia, panie Holmes.

– Jak dotąd absolutnie nic – odpowiedział mój przyjaciel. – Wypytywałem wszędzie i jestem pewien, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

– Ale to nie wystarczy. Nie możemy siedzieć na takiej bombie. Musimy uzyskać ostateczną odpowiedź.

– Mam nadzieję to wyjaśnić. Po to tu jestem. Im więcej myślę o tej sprawie, tym bardziej jestem przekonany, że list nie opuścił tego domu.

– Panie Holmes!

– Gdyby było inaczej, z pewnością zostałby już ujawniony.

– Ale po co ktoś miałby go zabierać i trzymać go tutaj?

– Nie jestem pewien, czy ktokolwiek go zabrał.

– Skoro tak, w jaki sposób zniknął z teczki?

– Nie jestem pewien, czy w ogóle z niej zniknął.

– Panie Holmes, nie czas na takie żarty. Zapewniam pana, że listu nie ma w teczce.

– Czy zaglądał pan do niej od wtorku rano?

– Nie. To nie było konieczne.

– Mógł pan go przeoczyć.

– Powtarzam panu, że to niemożliwe.

– Nie jestem tego pewien. Słyszałem już o takich przypadkach. Podejrzewam, że w środku są inne papiery. List mógł wsunąć się pomiędzy nie.

– Leżał na wierzchu.

– Ktoś mógł potrząsnąć teczką, i on się przesunął.

– Nie, nie, wyjąłem wszystko ze środka.

– Łatwo to sprawdzić, Hope – powiedział premier. – Niech pan każe przynieść teczkę.

Sekretarz zadzwonił po służącego.

– Jacobs, przynieś moją teczkę. To absurdalna strata czasu, ale skoro tak się pan tego domaga, proszę bardzo. Dziękuję, Jacobs, połóż ją tutaj. Przez

cały czas nosiłem klucz na dewizce. Proszę bardzo, oto papiery. List od lorda Merrow, raport od sir Charlesa Hardy’ego, memorandum z Belgradu, notatka o rosyjsko-niemieckim podatku na zboża, pismo z Madrytu, liścik od lorda Flowersa… Wielkie nieba! A to co? Lordzie Bellinger! Lordzie Bellinger!

Premier wyrwał mu z ręki niebieską kopertę.

– Tak, to ten list, i to nietknięty. Hope, gratuluję panu.

– Dziękuję! Dziękuję! Kamień spadł mi z serca. Ale to niewiarygodne, niemożliwe! Panie Holmes, jest pan czarodziejem! Skąd pan wiedział, że list jest właśnie tam?

– Wiedziałem, że nie ma go nigdzie indziej.

– Nie wierzę własnym oczom! – Popędził do drzwi. – Gdzie moja żona? Muszę powiedzieć jej, że wszystko w porządku. Hildo! Hildo! – Usłyszeliśmy jego głos na schodach.

Premier spojrzał na Holmesa z błyskiem w oku.

– Proszę pana, nie powiedział nam pan wszystkiego. W jaki sposób list znalazł się z powrotem w teczce?

Holmes z uśmiechem odwrócił się od badawczego spojrzenia tych przenikliwych oczu.

– My także mamy swoje dyplomatyczne sekrety – odpowiedział, wziął kapelusz i skierował się ku drzwiom.

KONIEC

PIES BASKERVILLE'ÓW

Z angielskiego przełożyli: Anna Krochmal i Robert Kędzierski

Rozdział pierwszy

Sherlock Holmes

Sherlock Holmes, który zazwyczaj wstawał bardzo późno – z wyjątkiem tych dość licznych sytuacji, gdy nie spał przez całą noc – siedział przy stole i popijał poranną kawę. Stałem na dywaniku przy kominku i trzymałem w rękach laskę, którą poprzedniego wieczoru zostawił tu nasz gość. Wykonana była z dobrego, mocnego drewna i zakończona okrągłą gałką, pod którą umieszczono szeroką niemal na cal srebrną obrączkę z wygrawerowanym napisem: „Jamesowi Mortimerowi, M.R.C.S., od przyjaciół z C.C.H.” oraz datą „1884”. Dokładnie takie same laski nosili lekarze domowi starej daty – pełne godności, solidne i budzące zaufanie.

– I cóż, Watsonie, o tym myślisz? – odezwał się Holmes.

Siedział odwrócony do mnie plecami, a ja w żaden sposób nie zdradziłem, czym się zajmuję.

– Skąd wiesz, co robię? Czyżbyś miał oczy z tyłu głowy?

– Nie, ale stoi przede mną dobrze wypolerowany, posrebrzany dzbanek do kawy – odparł. – Powiedz mi, Watsonie, co myślisz o naszym gościu na podstawie tego przedmiotu? Niestety, rozminęliśmy się z nim i nie poznaliśmy celu jego wizyty, toteż ta przypadkowa pamiątka nabiera dla nas znaczenia. Ciekaw jestem, co możesz mi powiedzieć o tym człowieku.

– Sądzę – odpowiedziałem, stosując na tyle, na ile potrafiłem, metody mojego przyjaciela – że doktor Mortimer jest świetnie prosperującym starszym lekarzem, szanowanym przez ludzi, którzy podarowali mu tę laskę w dowód uznania.

– Dobrze – powiedział Holmes. – Wyśmienicie!

– Sądzę również, iż to bardzo prawdopodobne, że jest wiejskim lekarzem, który często udaje się do swych pacjentów pieszo.

– A to dlaczego? – zapytał Holmes.

– Cóż, choć kiedyś musiała być bardzo ładna, ta laska jest tak poobijana, że trudno mi sobie wyobrazić, by mógł ją nosić jakiś lekarz z miasta. Żelazne, masywne okucie na końcu jest mocno zniszczone, a z tego jasno wynika, że nasz doktor często jej używał.

– To, co mówisz, brzmi bardzo rozsądnie – stwierdził Holmes.

– No i jest jeszcze ten napis: „Od przyjaciół z C.C.H.”. Przypuszczam, że może tu chodzić o jakieś lokalne koło łowieckie… Doktor Mortimer zapewne kiedyś udzielał jego członkom pomocy medycznej, oni zaś w podzięce podarowali mu ten drobny prezent.

– Doprawdy, Watsonie, przechodzisz samego siebie – powiedział Holmes, odchylając się głębiej w fotelu i zapalając papierosa. – Muszę powiedzieć, że zawsze, gdy byłeś tak miły i opisywałeś moje skromne dokonania, z reguły nie doceniałeś swych własnych zdolności. Być może nie świecisz jak słońce, ale potrafisz wyprowadzić z mroku. Niektórzy ludzie, sami pozbawieni geniuszu, posiadają niezwykłą moc budzenia go w innych. Chcę powiedzieć, drogi przyjacielu, że jestem ci bardzo zobowiązany.

Nigdy dotąd nie zwracał się do mnie w ten sposób i przyznaję, że jego słowa sprawiły mi ogromną przyjemność. Często nie okazywał nic więcej poza obojętnością, zarówno wtedy, gdy wyrażałem mój podziw dla niego, jak i kiedy starałem się przedstawić innym skuteczność jego metod; niejednokrotnie czułem się tym dotknięty. Dlatego teraz dumą napawała mnie myśl, że zasłużyłem na uznanie mojego przyjaciela, stosując sposób jego rozumowania, który tak dobrze opanowałem.

Holmes wziął z moich rąk laskę i przez kilka minut uważnie jej się przyglądał. Następnie odłożył papierosa i z wyrazem ożywienia na twarzy podszedł z nią do okna, gdzie ponownie zaczął jej się przypatrywać, tym razem używając do tego celu lupy.

– To interesujące, ale sprawa jest prosta – stwierdził, siadając na kanapie. – W tej lasce z całą pewnością kryje się niejedna wskazówka, która może nas doprowadzić do ciekawych wniosków.

– Czyżby coś mi umknęło? – zapytałem lekko urażony, nabrałem już bowiem przekonania o własnych umiejętnościach dedukcji. – Nie wydaje mi się, bym przeoczył jakiś istotny detal. A może jednak?

– Obawiam się, mój drogi Watsonie, że większość twoich wniosków była błędna. Gdy mówiłem, że pobudziłeś mnie do myślenia, miałem tak

naprawdę na uwadze twoje pomyłki. Przypadkiem naprowadziły mnie na właściwy trop. Nie w tym rzecz, że zupełnie byłeś w błędzie. Ten człowiek jest z całą pewnością wiejskim lekarzem. I często chodzi pieszo.

– Miałem zatem rację.

– W tej kwestii, tak.

– I to by było wszystko.

– Nie, nie, mój drogi Watsonie, nie wszystko… Z całą pewnością nie wszystko. Sugerowałbym na przykład, że podarunek dla lekarza prawdopodobnie nie pochodzi od koła łowieckiego, lecz od pracowników szpitala. Jeśli litery „C.C.” umieści się przed literą oznaczającą szpital, słowa „Charing Cross” nasuwają się same.

– Być może masz rację.

– Wydaje mi się to wysoce prawdopodobne. I jeśli przyjmiemy to za roboczą hipotezę, mamy nowe podstawy, aby dowiedzieć się czegoś więcej o naszym nieznajomym.

– Cóż, w takim razie zakładając, że „C.C.H.” rzeczywiście oznacza „Charing Cross Hospital”, jakie wnioski moglibyśmy jeszcze wyciągnąć?

– Żaden ci nie przychodzi do głowy? Znasz przecież moje metody działania. Zastosuj je!

– Jedyne, co mi przychodzi na myśl, to oczywisty wniosek, że człowiek ten, nim przeprowadził się na wieś, prowadził praktykę w mieście.

– Uważam, że tym tropem możemy pójść o krok dalej. Pomyśl. Z jakiej okazji wręcza się komuś taki prezent? Kiedy jego przyjaciele mogli wspólnie postanowić, że w taki sposób okażą mu swoją sympatię? Oczywiście w chwili gdy doktor Mortimer odchodził z pracy w szpitalu, żeby otworzyć własną praktykę. Wiemy już, że laskę otrzymał na pamiątkę. Przypuszczamy, że zrezygnował z pracy w szpitalu, by podjąć praktykę na wsi. Czy posunęlibyśmy się zatem zbyt daleko, gdybyśmy stwierdzili, że upominek wręczono na pożegnanie z tej właśnie okazji?

– Z całą pewnością wydaje się to prawdopodobne.

– A teraz zauważ, że nie mógł on być stałym pracownikiem szpitala. Na takie posady przyjmowani są jedynie uznani lekarze, a tacy przecież nie przenoszą się z Londynu, aby prowadzić praktykę na wsi. Kim był w takim razie? Skoro doktor Mortimer pracował w szpitalu, nie mając zagwarantowanej posady, mógł być co najwyżej asystentem, kimś niewiele ważniejszym niż praktykujący studenci ze starszych roczników. Ze szpitala

odszedł zaś pięć lat temu – to mówi nam data wygrawerowana na lasce. Tak więc, jak widzisz, twój obraz poważnego lekarza w średnim wieku rozwiał się niczym mgła, mój drogi Watsonie. Pojawia się natomiast wyobrażenie młodego człowieka, przed trzydziestką – sympatycznego, niezbyt ambitnego i roztargnionego. Ma też ulubionego psa, o którym w przybliżeniu mógłbym powiedzieć, że jest większy niż terier, a mniejszy niż mastiff.

Roześmiałem się z niedowierzaniem. Sherlock Holmes rozparł się na kanapie, puszczając niewielkie, drżące w powietrzu kółka dymu, które unosiły się powoli w stronę sufitu.

– Jeśli chodzi o twoje ostatnie słowa, nie mam pojęcia, jak mógłbym to zweryfikować – odrzekłem – ale bez trudu możemy się dowiedzieć paru szczegółów dotyczących wieku i kariery tego człowieka.

Sięgnąłem po stojący na niewielkiej półce z książkami medycznymi „Wykaz lekarzy” i odnalazłem właściwą stronę. Było kilku Mortimerów, ale tylko jeden z nich mógł być naszym gościem. Zacząłem czytać na głos:

> Mortimer James. M.R.C.S., 1882; Grimpen, Dartmoor, Devon. W latach 1882–1884 asystent chirurga w Charing Cross Hospital. Laureat nagrody Jacksona w dziedzinie patologii porównawczej za pracę zatytułowaną „Czy choroba to powrót do cech atawistycznych?”. Członek Szwedzkiego Towarzystwa Patologicznego. Autor artykułów Atawistyczne anomalie (The Lancet, 1882), „Czy się rozwijamy?” (Journal of Psychology, marzec 1883); lekarz w gminach Grimpen, Thorsley i High Barrow.

– Żadnej wzmianki o lokalnym kółku łowieckim, Watsonie – stwierdził Holmes, uśmiechając się szelmowsko. – Ale jak słusznie zauważyłeś, to wiejski lekarz. Sądzę, że moje wnioski są dość trafne. Jeśli natomiast chodzi o przymiotniki, które wymieniłem − o ile dobrze pamiętam: sympatyczny, mało ambitny i roztargniony − to moje doświadczenie podpowiada mi, że na tym świecie tylko ludzie sympatyczni dostają upominki, tylko mało ambitni porzucają karierę w Londynie, by prowadzić praktykę na wsi, a jedynie roztargnieni zostawiają swoją laskę zamiast wizytówki, po tym jak przez godzinę czekali w twoim salonie.

– A pies?

– Miał zwyczaj nosić tę laskę za swoim panem. Ponieważ jest ciężka, pies mocno ją trzymał w środkowej części, stąd w tym miejscu bardzo

wyraźne odciski jego zębów. Jak widać z odstępów pomiędzy śladami, szczęka tego psa jest moim zdaniem zbyt szeroka jak na teriera, a zbyt wąska jak na mastiffa. To mógł być… tak, na Jowisza! To spaniel!

Mówiąc to, wstał i szybkim krokiem ruszył przez pokój, zatrzymując się we wnęce przy oknie. W jego głosie słychać było taką pewność siebie, że zaskoczony podniosłem wzrok.

– Drogi przyjacielu, jak możesz być tego tak pewnym?

– Z tego prostego powodu, że widzę tego psa przed naszymi drzwiami, a jego właściciel sięga akurat do dzwonka. Zostań, Watsonie, proszę. To przecież twój kolega po fachu, a twoja obecność może się okazać pomocna. Watsonie, nadchodzi właśnie ta dramatyczna chwila, w której odmienia się los: oto słyszysz na schodach kroki człowieka, który wkroczy w twoje życie, i nie wiesz, czy przyniesie ci to coś dobrego, czy złego. Czego może chcieć doktor James Mortimer, człowiek nauki, od Sherlocka Holmesa specjalizującego się w sprawach kryminalnych?… Proszę!

Wygląd naszego gościa był dla mnie zaskoczeniem, gdyż spodziewałem się raczej ujrzeć typowego wiejskiego lekarza. Był to bardzo wysoki chudy mężczyzna z długim nosem przypominającym dziób ptaka, sterczącym pomiędzy dwojgiem bystrych, szarych, osadzonych blisko siebie oczu, błyszczących zza okularów w złotej oprawce. Ubrany był stosownie do swego zawodu – jakkolwiek nieco niechlujnie – w spłowiały frak i znoszone spodnie. Choć młody, poruszał się nieco przygarbiony, z pochyloną do przodu głową, roztaczając wokół siebie atmosferę badawczej życzliwości. Gdy wszedł, jego wzrok zatrzymał się na lasce, którą Holmes trzymał w dłoniach. Podbiegł ku niej z okrzykiem radości.

– Całe szczęście – powiedział. – Nie byłem pewien, czy zostawiłem ją tutaj, czy w biurze spedycyjnym. Za nic w świecie nie chciałbym utracić tej laski.

– Dostał ją pan w prezencie, jak sądzę? – rzekł Holmes.

– Tak, sir.

– Od kogoś z Charing Cross Hospital?

– Od paru przyjaciół stamtąd, z okazji mojego ślubu.

– Och, niedobrze – powiedział Holmes, potrząsając głową.

Doktor Mortimer mrugnął zza swych okularów, nieco zdumiony.

– A cóż w tym złego?

– Tylko tyle, że nasze dociekania okazały się błędne. Mówi pan, że z okazji ślubu?

– Tak, sir. Ożeniłem się, więc odszedłem ze szpitala z nadzieją na własną praktykę. A rodzina potrzebuje domu.

– No proszę, mimo wszystko aż tak bardzo się nie myliliśmy – stwierdził Holmes. − A teraz, doktorze Mortimer…

– Panie Mortimer, sir. Jestem tylko zwykłym, skromnym lekarzem.

– I jak widzę człowiekiem o niezwykle precyzyjnym umyśle.

– Jestem naukowcem amatorem, panie Holmes. Takim zbieraczem muszelek na brzegu wielkiego, nieodgadnionego oceanu. Zakładam, że rozmawiam z panem Sherlockiem Holmesem, nie zaś…

– Nie. To mój przyjaciel, doktor Watson.

– Miło mi poznać, sir. Słyszałem nieraz pańskie nazwisko wymieniane z nazwiskiem pańskiego przyjaciela. Bardzo mnie pan ciekawi, panie Holmes. Nigdy bym się nie spodziewał tak długiej czaszki ani tak wydatnych łuków brwiowych. Czy miałby pan coś przeciwko temu, gdybym zbadał palcami pana szew ciemieniowy? Odlew pańskiej czaszki, sir, to jest do czasu, gdy dostępny będzie oryginał, mógłby być ozdobą każdego muzeum antropologicznego. Nie chciałbym, aby zabrzmiało to zbyt pochlebczo, ale muszę przyznać, że zazdroszczę panu jego czaszki.

Sherlock Holmes gestem wskazał naszemu dziwnemu gościowi krzesło.

– Widzę, że jest pan entuzjastą swej dziedziny, podobnie zresztą jak ja mojej – stwierdził. – Sądząc po pańskim palcu wskazującym, sam skręca pan sobie papierosy. Jeśli ma pan na to ochotę, proszę zapalić.

Mężczyzna wyjął tytoń i bibułkę i z zaskakującą zręcznością skręcił papierosa. Miał długie drżące palce, zręczne i niespokojne niczym czułki owada. Holmes milczał, lecz jego szybkie spojrzenia świadczyły o tym, jak bardzo zaciekawił go nasz dziwny gość.

– Zakładam, sir – powiedział wreszcie – iż to nie tylko chęć zbadania mojej czaszki sprawiła, że zaszczycił nas pan wczorajszą i dzisiejszą wizytą?

– Nie, sir, choć bardzo się cieszę, że miałem sposobność zrobić również i to. Przyszedłem do pana, panie Holmes, ponieważ zdaję sobie sprawę, że sam nie jestem zbyt praktycznym człowiekiem, i ponieważ nieoczekiwanie stanąłem przed bardzo poważnym i niezwykłym problemem. Wiedząc, że jest pan drugim najlepszym ekspertem w Europie…

– No proszę! A czy mógłbym się dowiedzieć, kto ma zaszczyt być tym pierwszym? − spytał nieco szorstko Holmes.

– Na człowieku o precyzyjnym umyśle naukowca ogromne wrażenie muszą wywierać dokonania *monsieur* Bertillona.

– W takim razie czy nie lepiej byłoby skonsultować się właśnie z nim?

– Cóż, powiedziałem, że na człowieku o precyzyjnym umyśle naukowca, sir. Jeśli jednak chodzi o praktyczne rozwiązania, jest pan niewątpliwie najlepszym detektywem. Mam nadzieję, sir, że nieumyślnie nie…

– Tylko trochę – rzekł Holmes. – Myślę, doktorze Mortimer, że postąpiłby pan najrozsądniej, gdyby uprzejmie mi teraz opowiedział, jakiej dokładnie natury jest problem, który wymaga mojej pomocy.

Rozdział drugi

Klątwa Baskerville'ów

– Mam w kieszeni manuskrypt – rzekł doktor James Mortimer.

– Zauważyłem to, gdy wszedł pan do pokoju – odparł Holmes.

– To stary manuskrypt.

– Z początku osiemnastego wieku, o ile nie został sfałszowany.

– Skąd może pan to wiedzieć, sir?

– Obserwowałem cal czy dwa tego dokumentu przez cały czas, gdy pan mówił. Kiepski byłby ze mnie ekspert, gdybym nie potrafił określić wieku papieru z dokładnością do dziesięciu lat. Być może czytał pan moją niewielką monografię poświęconą temu tematowi? Na moje oko jest z roku 1730.

– Jeśli chodzi o ścisłość, z 1742 – doktor Mortimer wyciągnął manuskrypt z kieszeni umiejscowionej na piersi. – Ten rodzinny dokument został powierzony mojej pieczy przez sir Charlesa Baskerville’a, którego nagła i tragiczna śmierć przed trzema miesiącami wywołała takie wzburzenie w Devonshire. Mogę powiedzieć, że nie tylko byłem jego lekarzem, lecz miałem też zaszczyt być jego bliskim przyjacielem. Był nieugiętym człowiekiem, sir. Przenikliwym, praktycznym… i równie pozbawionym wyobraźni jak ja sam. Traktował niniejszy rękopis bardzo poważnie i był przygotowany na taki koniec, jaki go spotkał.

Holmes wyciągnął rękę po manuskrypt i położył go na kolanie.

– Zauważ, Watsonie, że naprzemiennie używano tu długiego i krótkiego „*s*”. Ta i kilka innych wskazówek pozwoliły mi ustalić datę.

Spojrzałem znad jego ramienia na pożółkły papier i wyblakłe pismo. Nagłówek brzmiał: „Rezydencja Baskerville’ów”, a poniżej, trudnym do odczytania pismem, dodano datę: „1742”.

– Wydaje mi się, że to swojego rodzaju kronika.

– Tak, dotyczy ona pewnej legendy związanej z rodem Baskerville’ów.

– Zakładam jednak, że pragnie pan poradzić się mnie w jakiejś bardziej współczes-nej i konkretnej kwestii?

– Jak najbardziej współczesnej. To wyjątkowo praktyczna i paląca rzecz, a decyzja musi zapaść w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Ten rękopis jest jednak dość krótki i ściśle związany ze sprawą. Za pańskim pozwoleniem, chciałbym go panom odczytać.

Holmes rozsiadł się wygodniej w fotelu, splótł dłonie i zamknął oczy. Sprawiał przy tym wrażenie zrezygnowanego. Doktor Mortimer zwrócił dokument do światła i wysokim ochrypłym głosem zaczął nam czytać starą i ciekawą opowieść:

O pochodzeniu psa Baskerville’ów mówiono wiele różnych rzeczy. Jednak, jako że wywodzę się w prostej linii od Hugona Baskerville’a i usłyszałem tę historię od mego ojca, ten zaś zasłyszał ją od swego, spisałem całą historię w przekonaniu, że zdarzyła się rzeczywiście w taki sposób, jak ją tu opisuję. Chciałbym, moi synowie, byście wierzyli, że ta sama Opatrzność, która karze za grzech, może go również łaskawie przebaczać, a żadne przekleństwo nie jest takim ciężarem, by nie można go było znieść poprzez modlitwę i pokutę. Z tej historii dowiecie się zatem, że nie należy się lękać owoców przeszłości, lecz raczej w przyszłości z większą postępować powściągliwością, tak by te zgubne pasje, wskutek których tak bardzo ucierpiała nasza rodzina, nie zawładnęły nami powtórnie ku naszej zgubie.

Wiedzcie zatem, że w czasach wojny domowej (której historię autorstwa uczonego lorda Clarendona szczerze wam polecam) rezydencję Baskerville’ów dzierżył Hugo Baskerville. Był to bez wątpienia człek niezwykle dziki, bezbożny i nieprawy. Po prawdzie to jego sąsiedzi mogli mu jeszcze wybaczyć, rozumiejąc, że w tych okolicach nigdy nie było zbyt wielu świętych, w nim jednak taka była rozwiązłość i okrutne poczucie humoru, iż jego nazwisko stało się znane na całym zachodzie kraju. I tak się złożyło, że wspomniany Hugo pokochał (jeśli zaprawdę tak mroczną żądzę można określić takim pięknym słowem) córkę pewnego szlachcica, pana na włościach w pobliżu rezydencji Baskerville’ów. Jednakże to młode, spokojne dziewczę, cieszące się dobrą reputacją, wolało go unikać; panienkę odstraszała otaczająca go zła sława. I pewnego razu stało się tak, że w dniu św. Michała rzeczony Hugo wraz z kilkoma podłymi towarzyszami zakradł się na farmę i porwał dziewczynę, wiedział bowiem, że jej ojca i braci nie ma akurat w domu. Gdy przywiedli ją do rezydencji, zamknęli w komnacie na górze, a sami oddali się hulankom, jak mieli w zwyczaju czynić każdej nocy. Biedna uwięziona dziewczyna prawdopodobnie odchodziła od zmysłów, słysząc śpiewy, wrzaski i okropne przekleństwa dochodzące z dołu. Mówiono, iż język upojonego winem Hugona Baskerville’a był tak potworny, że mógłby przerazić nawet jego samego, oczywiście gdyby był trzeźwy. Jakżeż musiała być przerażona, skoro zrobiła coś, co byłoby

wyzwaniem nawet dla najdzielniejszego i najsprawniejszego mężczyzny. Chwytając się bluszczu, który pokrywał (i nadal pokrywa) południową ścianę dworu, zeszła na dół, przekradła się pod oknami i udała do domu na przełaj przez wrzosowisko, choć rezydencję od gospodarstwa jej ojca dzieliło aż dziewięć mil.

Tak się złożyło, że wkrótce potem Hugo opuścił swych gości, by zanieść swojej brance jedzenie i napitek – a być może miał znacznie gorsze zamiary – i odkrył, że klatka jest pusta, a ptaszek uciekł. Wówczas wydawać by się mogło, że diabeł go opętał, zbiegł bowiem po schodach pędem do jadalni, wskoczył na wielki stół, strącając dzbany i zastawę, i przed całą zgromadzoną kompanią wykrzyczał, że jeszcze tej nocy zaprzeda swe ciało i duszę Złym Mocom, jeśli tylko uda mu się doścignąć tę dziewkę. I gdy banda hulaków stała tak, przerażona furią tego człowieka, jeden z nich, bardziej podły czy też bardziej upojony niż reszta, zawołał, aby spuścić za nią psy. Słysząc to, Hugo wybiegł z domu, krzycząc do stajennych, że mają siodłać jego klacz, sam zaś wypuścił sforę z psiarni, rzucił zwierzakom do powąchania chusteczkę dziewczyny i z wrzaskiem popędził je w skąpane księżycowym blaskiem wrzosowisko.

Przez jakiś czas cała kompania stała z rozdziawionymi gębami, nie potrafiąc ogarnąć wszystkiego, co zdarzyło się w takim pośpiechu. Szybko jednak ich otępiałe umysły pojęły naturę czynu, który miał się rozegrać na wrzosowiskach. Zapanowało ogromne zamieszanie. Ktoś krzyczał, by przyniesiono mu pistolet, ktoś inny wołał o konia, jeszcze inny domagał się butelki wina. Powoli jednak do pijanych głów zaczął powracać rozum, i po chwili wszyscy – a było ich trzynastu − dosiedli koni, rzucając się w pościg. Księżyc świecił nad nimi jasno, a rumaki, pędząc łeb w łeb, niosły swych jeźdźców w tym samym kierunku, jaki obrać musiało biedne dziewczę, pragnące dotrzeć do swego domostwa.

Przejechali milę czy dwie, gdy ujrzeli na wrzosowiskach jednego z pasterzy pilnujących nocą stada, zapytali go więc, czy nie widział pogoni. Człowiek ten, jak wieść niesie, był tak sparaliżowany ze strachu, że ledwie potrafił wydobyć z siebie słowo, w końcu jednak wybąkał, że rzeczywiście natknął się na nieszczęsną białogłowę ściganą przez sforę psów. „Widziałem coś jeszcze – dodał. − Hugo Baskerville minął mnie na swej czarnej klaczy, a za nim biegł bezgłośnie pies tak piekielny, że niech Bóg broni, bym kiedykolwiek miał takiego spotkać”. Pijana gromada zbirów obrzuciła pasterza przekleństwami i puściła się dalej. Szybko jednak strach ich obleciał, bo usłyszeli na wrzosowisku tętent galopującego konia. Z ciemności wyłoniła się czarna klacz, pokryta białą pianą, wlokąca za sobą wodze. Siodło było puste. Mężczyźni zbili się w gromadę, bo przejął ich nagle ogromny lęk. Ruszyli dalej przez wrzosowisko, choć każdy z nich, gdyby znalazł się tu sam, najchętniej zawróciłby konia z drogi. Jadąc z wolna, wreszcie natrafili na psy. Te, choć znane z odwagi cechującej ich rasę, skamlały stłoczone na krawędzi skarpy; niektóre z nich oddalały się ukradkiem, inne ze zjeżoną sierścią i z rozszerzonymi ślepiami wpatrywały się w znajdujący się przed nimi wąwóz.

Kompani zatrzymali się. Teraz, jak zapewne się domyślacie, byli już znacznie bardziej trzeźwi niż w chwili, gdy wyruszali w pościg. Większość z nich za nic nie

chciała jechać dalej, jednak trzech, najodważniejszych – a być może najbardziej pijanych – puściło się w dół skarpy. Dalej, gdzie wąwóz się rozszerzał, stały dwa z tych wielkich głazów, które wciąż można tu zobaczyć. Wzniósł je niegdyś jakiś zapomniany dzisiaj lud. Księżyc jasno oświetlał polanę, na której leżała nieszczęsna dziewczyna, tak jak upadła – zabił ją strach lub zmęczenie. Jednak to nie widok jej ciała ani zwłok Baskerville'a leżących obok spowodował, że na głowach śmiałków włosy stanęły dęba. Sprawił to stojący nad ciałem Hugona i przegryzający jego gardło wstrętny, wielki czarny stwór, kształtem przypominający psa gończego, lecz większy niż jakikolwiek pies, kiedykolwiek widziany oczami śmiertelnika. Gdy tak patrzyli, bestia rozrywała gardło Hugona Baskerville'a, a następnie zwróciła na nich swe rozpalone ślepia i ociekający krwią pysk. Wówczas to cała trójka krzyknęła z przerażenia i puściła się galopem, pragnąc ratować życie. Mówi się, że jeden z nich zmarł jeszcze tej samej nocy z powodu tego, co zobaczył, a dwaj inni nie mogli się otrząsnąć ze strachu do końca swoich dni.

Taka jest właśnie, moi synowie, opowieść o pojawieniu się psa, który – jak powiadają – od tego czasu tak dotkliwie nęka nasz ród. Jeżeli ją spisałem, to z tego powodu, iż to, co wiadomo z całą pewnością, jest mniej przerażające niż to, czego można tylko domniemywać lub co zgadywać. Nie sposób też zaprzeczyć, że wielu członków naszego rodu zmarło tragicznie nagłą, krwawą i tajemniczą śmiercią. Zdajmy się jednak na nieskończoną dobroć Opatrzności, która nie będzie wiecznie karać niewinnych poza trzecie czy czwarte pokolenie, jak mówi Pismo Święte. Tedy, moi synowie, tej właśnie Opatrzności was polecam i radzę wam, byście wystrzegali się zapuszczać nocą na wrzosowisko w tych ciemnych godzinach, gdy moce zła są najsilniejsze (spisane przez Hugona Baskerville'a dla synów Rodgera i Johna z pouczeniem, by nic o tym nie wspominali swej siostrze Elizabeth).

Doktor Mortimer skończył czytać tę dziwną opowieść, poprawił okulary na nosie i spojrzał na Sherlocka Holmesa. Ten ziewnął i wyrzucił niedopałek papierosa do kominka.

– No więc? – spytał.

– Nie uznał pan tej opowieści za interesującą?

– Owszem, dla kogoś, kto kolekcjonuje baśnie.

Doktor Mortimer wyciągnął z kieszeni złożoną gazetę.

– A teraz, panie Holmes, usłyszy pan coś znacznie świeższego. Mam tu egzemplarz „Devon County Chronicle" z 14 maja bieżącego roku. Gazeta zawiera krótką relację, opisującą fakty związane ze śmiercią sir Charlesa Baskerville'a, która miała miejsce na kilka dni przed tą datą.

Mój przyjaciel pochylił się nieco do przodu, a na jego twarzy pojawił się wyraz skupienia. Gość ponownie poprawił okulary i zaczął czytać:

Niedawna tragiczna śmierć sir Charlesa Baskerville’a, wymienianego jako potencjalnego kandydata partii liberalnej w Mid Devon w kolejnych wyborach, rzuciła na hrabstwo ponury cień. Choć sir Charles zamieszkiwał w rezydencji Baskerville’ów stosunkowo niedługo, jego przyjazny charakter i ogromna hojność zapewniły mu sympatię i szacunek wszystkich, którzy mieli z nim styczność. W dzisiejszych czasach, gdy wokoło jest tak wielu nowobogackich, czymś wyjątkowym jest spotkać potomka starej szlacheckiej rodziny, podupadłej w złych czasach, który jest w stanie dorobić się własnej fortuny i przywieźć ją ze sobą, aby przywrócić utraconą świetność swego rodu. Jak powszechnie wiadomo, sir Charles zarobił ogromne sumy na spekulacjach w południowej Afryce. Będąc mądrzejszym od tych, którzy nie potrafią się wycofać, dopóki koło fortuny jest w ruchu, spieniężył swe zyski i powrócił z nimi do Anglii. Upłynęły zaledwie dwa lata, odkąd zamieszkał w rezydencji Baskerville’ów, a głośno mówiło się o tym, jak szeroko zakrojone były plany odnowy i renowacji rodzinnej posiadłości, które niestety udaremniła jego śmierć. Ponieważ sir Charles sam był człowiekiem bezdzietnym, otwarcie wyraził pragnienie, aby za jego życia cała okolica czerpała zyski z fortuny, jaką posiadał, i wielu ludzi ma swoje powody, by opłakiwać jego przedwczesny zgon. Hojne darowizny Charlesa Baskerville’a dla lokalnych organizacji charytatywnych i innych stowarzyszeń z terenów całego hrabstwa często opisywaliśmy na łamach naszej gazety.

Nie można stwierdzić, że dochodzenie całkowicie wyjaśniło okoliczności związane ze śmiercią sir Charlesa, dowiedziano się jednak wystarczająco dużo, aby rozprawić się z plotkami, jakie pojawiły się za sprawą miejscowych przesądów. Nie istnieją żadne powody, by podejrzewać, że miało miejsce przestępstwo, albo domniemywać, iż śmierć nie nastąpiła z przyczyn naturalnych. Sir Charles był wdowcem i człowiekiem, o którym można by powiedzieć, że pod pewnymi względami miał dość ekscentryczne nawyki. Mimo że był bardzo zamożny, żył dość skromnie, a w rezydencji służyło mu wyłącznie małżeństwo Barrymore. Mąż był kamerdynerem, żona zaś prowadziła gospodarstwo domowe. Ich zeznania, potwierdzone przez kilku przyjaciół, zdają się wskazywać, że sir Charles jakiś czas wcześniej zaczął podupadać na zdrowiu. Zmiana koloru skóry na twarzy, zadyszka i ostre ataki depresji świadczyć mogły o jakiejś chorobie serca. Zeznania doktora Jamesa Mortimera, przyjaciela i lekarza nieboszczyka, potwierdzają to.

Fakty związane ze sprawą są proste. Każdego wieczoru Baskerville, przed udaniem się na spoczynek, miał zwyczaj przechadzać się po swoim parku słynną cisową aleją. O nawyku tym wspomnieli państwo Barrymore w swoich zeznaniach. Dnia 4 maja sir Charles poinformował ich o swym zamiarze udania się nazajutrz do Londynu i polecił Barrymore’owi, by ten przygotował jego bagaże. Tego wieczoru, jak zawsze, udał się na swój późny spacer, podczas którego miał zwyczaj palić cygaro. Bardzo długo nie wracał. O dwunastej w nocy sługa, który spostrzegł, że drzwi rezydencji nadal są otwarte, zaniepokojony wyruszył z latarnią w ręku na poszukiwanie swego pana. Tego dnia padało, i łatwo można było dostrzec ślady sir Charlesa na drodze. W połowie alei znajduje się brama prowadząca na wrzosowiska.

Istnieją wskazówki świadczące o tym, że sir Charles Baskerville zatrzymał się przy niej na jakiś czas. Następnie ruszył dalej aleją, i to w jej najodleglejszym końcu odnaleziono jego ciało. Jednego nie udało się wyjaśnić, a związane jest to z oświadczeniem Barrymore’a, który zauważył, że ślady jego pana zmieniły się, gdy minął bramę wiodącą na wrzosowiska, tak jakby od tego momentu zaczął iść na czubkach palców. Niejaki Murphy, cygański handlarz końmi, znajdował się w tym czasie nieopodal, na wrzosowisku, jednak – jak sam zeznał − był wtedy bardzo pijany. Oświadczył, że słyszał jakieś krzyki, ale nie był w stanie stwierdzić, z której strony dobiegały. Na zwłokach sir Charlesa nie odkryto żadnych śladów przemocy, i choć według zeznań lekarza na jego twarzy widniał nieprawdopodobny grymas zniekształcający rysy twarzy – tak dziwny, że doktor Mortimer początkowo nie mógł uwierzyć, iż rzeczywiście leży przed nim jego przyjaciel i pacjent – wyjaśniono, że objaw ten nie jest niczym niezwykłym w przypadku duszności i śmierci wskutek ataku serca. Przypuszczenie to potwierdziły wyniki sekcji, która wykazała długotrwałą chorobę trawiącą organizm, a zespół koronera wydał osąd na podstawie ustaleń medycznych. Dobrze, że tak się stało, bo oczywiście jest sprawą najwyższej wagi, by dziedzic sir Charlesa mógł się osiedlić w rezydencji jak najszybciej i kontynuować pożyteczną pracę swego poprzednika, która w tak smutny sposób została przerwana. Gdyby rzeczowe ustalenia koronera nie położyły ostatecznie kresu przedziwnym historiom, jakie rozpowiadano w związku z tą sprawą, sprowadzenie sukcesora rezydencji Baskerville’ów mogłoby się okazać trudne. Zakłada się, że najbliższym żyjącym krewnym sir Charlesa jest pan Henry Baskerville, syn jego młodszego brata. Gdy ostatni raz słyszano o tym młodym człowieku, bawił on w Ameryce, rozpoczęto więc już poszukiwania, aby go poinformować o odziedziczonej fortunie.

Doktor Mortimer złożył gazetę i ponownie wsunął ją do kieszeni.

– Panie Holmes, tak brzmią fakty podane do publicznej wiadomości, związane ze śmiercią sir Charlesa Baskerville’a.

– Muszę panu podziękować – rzekł Sherlock Holmes – za zwrócenie mi uwagi na sprawę, która z całą pewnością wydaje się dość ciekawa. Zauważyłem wprawdzie jakiś czas temu wzmiankę w gazecie, jednak wówczas całkowicie pochłaniała mnie zagadka watykańskich kamei i, pragnąc wyświadczyć przysługę papieżowi, przeoczyłem kilka interesujących spraw w Anglii. Twierdzi pan, że ten artykuł zawiera wszystkie upublicznione fakty?

– Owszem.

– W takim razie proszę wymienić mi te, które przemilczano.

Holmes oparł się głębiej w fotelu, splótł palce, a jego twarz przybrała niewzruszony i zamyślony wyraz.

– Robiąc to – powiedział doktor Mortimer, którego zachowanie zaczęło zdradzać silne emocje – opowiem panu o czymś, o czym dotąd nikomu nie wspominałem. Gdy postanowiłem nie ujawniać tych informacji koronerowi, kierowało mną przekonanie, że człowiek nauki niechętnie mówi publicznie o czymś, co wydaje się jedynie umacniać powszechnie panujące przesądy. Powodowało mną również to, że rezydencja Baskerville'ów − tak jak pisano w gazecie − z całą pewnością nie znalazłaby kolejnego właściciela, gdyby zdarzyło się cokolwiek, co zaszkodziłoby jej i tak już nadszarpniętej reputacji. Stwierdziłem więc, że będę usprawiedliwiony, wyjawiając mniej, niż wiem, ponieważ w praktyce nie mogłoby wyniknąć z tego nic dobrego. Jednak w rozmowie z panem nie mam żadnych powodów, by nie być całkowicie szczerym.

Wrzosowisko jest miejscem bardzo słabo zaludnionym, a ludzie mieszkający blisko siebie trzymają się razem. W związku z tym często widywałem sir Charlesa Baskerville'a. Z wyjątkiem pana Franklanda z Lafter Hall oraz pana Stapletona, przyrodnika, w promieniu wielu mil nie ma żadnych wykształconych ludzi. Sir Charles był człowiekiem w podeszłym wieku, jednak wskutek jego choroby zbliżyliśmy się do siebie, co dodatkowo pogłębiało nasze wspólne zainteresowanie nauką. W Afryce Południowej zdobył cenną gruntowną wiedzę, i spędziliśmy niejeden miły wieczór, dyskutując o anatomii porównawczej Buszmenów i Hotentotów.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy stało się dla mnie całkowicie jasne, że nerwy sir Charlesa były przeciążone tak bardzo, iż znalazł się on na granicy załamania. Głęboko wziął sobie do serca tę legendę, którą panom odczytałem – do tego stopnia, że choć przechadzał się po swoich włościach, nic nie było w stanie skłonić go do zapuszczania się nocą na wrzosowiska. Choć może się to panu wydać niewiarygodne, panie Holmes, był szczerze przekonany, że nad jego rodem zawisło straszliwe fatum, a to, co opowiedział mi o swoich przodkach, z całą pewnością nie było zachęcające. Nieustannie dręczyło go przeświadczenie o obecności jakiejś upiornej istoty i kilkakrotnie mnie pytał, czy podczas moich podróży do pacjentów nie widziałem nocą jakiegoś dziwnego stworzenia lub czy nie słyszałem wycia psa. To ostatnie pytanie zadawał mi kilkakrotnie, a jego głos zawsze drżał wtedy z emocji.

Dobrze pamiętam, jak odwiedziłem go wieczorem, na trzy tygodnie przed tym tragicznym zdarzeniem. Sir Charles stał akurat w drzwiach swojej rezydencji. Wysiadłem z powozu i, stojąc na wprost niego, nagle zauważyłem, że z wyrazem bezgranicznego przerażenia na twarzy wpatruje się intensywnie w coś ponad moim ramieniem. Odwróciłem się i zdążyłem zauważyć stworzenie, które uznałem za wielkie czarne cielę przechodzące obok podjazdu. Był tak podekscytowany i wystraszony, że poczułem przemożną chęć, aby podejść do miejsca, gdzie stało zwierzę. Co prawda zniknęło, jednak incydent ten wywarł na sir Charlesie bardzo silne wrażenie. Spędziłem z nim cały wieczór, i to właśnie wtedy, by wyjaśnić powód swojego zdenerwowania, powierzył mi tę opowieść, którą odczytałem panom zaraz po przyjściu. Wspominam o tym drobnym epizodzie, ponieważ nabiera on większego znaczenia w kontekście tragedii, do której później doszło, byłem jednak wówczas przekonany, że sprawa jest całkowicie błaha i że nie uzasadnia jego wzburzenia.

To za moją radą sir Charles miał się udać do Londynu. Wiedziałem, że ma chore serce, a ponieważ żył w nieustannym niepokoju, jakiekolwiek byłyby jego przyczyny, miało to niewątpliwie poważny wpływ na stan jego zdrowia. Uważałem, że po kilku miesiącach spędzonych na miejskich rozrywkach powróciłby niczym nowo narodzony człowiek. Pan Stapleton, nasz wspólny przyjaciel, który był bardzo zatroskany kondycją mojego pacjenta, był tego samego zdania. I w ostatniej chwili doszło do tej straszliwej tragedii.

Tej nocy, gdy zmarł sir Charles, kamerdyner Barrymore, który go znalazł, wysłał do mnie konno Perkinsa, stajennego, a ponieważ jak zwykle siedziałem do późna, byłem w stanie dotrzeć do rezydencji Baskerville’ów w ciągu godziny od tego zdarzenia. Sprawdziłem i potwierdziłem wszystkie fakty, o których wspomniano podczas śledztwa. Obejrzałem ślady w cisowej alei, widziałem miejsce przy bramie prowadzącej na wrzosowisko, gdzie wydawał się na coś czekać, zauważyłem, jak potem zmienił się kształt jego śladów, odnotowałem, że na rozmokłym żwirze nie było żadnych innych, prócz tych należących do Barrymore’a, a wreszcie starannie zbadałem zwłoki, których aż do mojego przyjazdu nikt nie dotykał. Sir Charles leżał twarzą do ziemi, z rozpostartymi ramionami i palcami wczepionymi w ziemię, a jego twarz wykrzywiał tak silny grymas, że ledwie byłem w stanie go zidentyfikować. Z całą pewnością nie

doznał żadnych fizycznych urazów. Jednakże jedno z zeznań Barrymore’a mijało się z prawdą. Podczas śledztwa oświadczył on, że na ziemi wokół nieboszczyka nie było żadnych śladów. Niczego nie zauważył. Ja je jednak dostrzegłem. Były w niewielkiej odległości, ale świeże i wyraźne.

– Ślady?

– Tak.

– Mężczyzny czy kobiety?

Doktor Mortimer przez chwilę dziwnie na nas patrzył, po czym odpowiedział głosem, który przerodził się niemal w szept.

– Nie, panie Holmes, to były ślady ogromnego psa!

Rozdział trzeci

Problem

Przyznaję, że gdy usłyszałem te słowa, przebiegł mnie dreszcz. Głos doktora zadrżał, co wskazywało, że sam jest głęboko poruszony tym, co nam opowiedział. Holmes, podekscytowany, pochylił się do przodu. W jego oczach pojawił się twardy, zimny blask, jak zawsze, gdy był czymś bardzo zainteresowany.

– Widział je pan?

– Równie wyraźnie, jak widzę teraz pana.

– I nic pan nie powiedział?

– A jaki byłby z tego pożytek?

– A jak to się stało, że nikt inny ich nie zauważył?

– Ślady były oddalone jakieś dwadzieścia jardów od zwłok, i nikt nie pomyślał, aby w takiej odległości czegoś szukać. Nie sądzę, bym sam zwrócił na to uwagę, gdybym nie znał tej legendy.

– Na wrzosowisku jest dużo psów pasterskich?

– Bez wątpienia, ale to nie był pies pasterski.

– I twierdzi pan, że był duży?

– Ogromny.

– Ale nie zbliżył się do nieboszczyka?

– Nie.

– Jaka była pogoda tamtej nocy?

– Było wilgotno i zimno.

– Ale nie padało?

– Nie.

– Jak wygląda aleja?

– Po obu jej stronach biegną rzędy starego cisowego żywopłotu, tak gęstego, że nie można przez niego przejść, i wysokiego na dwanaście stóp.

Ścieżka pośrodku ma około ośmiu stóp szerokości.

– Czy jest coś między żywopłotem a ścieżką?

– Tak, pas trawy, szeroki na prawie sześć stóp. Z jednej i drugiej strony.

– Rozumiem, że w żywopłocie jest jakieś przejście?

– Istotnie, furtka prowadząca na wrzosowisko.

– Jest jeszcze drugie?

– Nie, żadnego.

– A więc, aby dojść do cisowej alei, trzeba albo wyjść z rezydencji, albo też przejść przez furtkę wiodącą na wrzosowiska?

– Jest jeszcze wyjście przez altanę na końcu alei.

– Czy sir Charles do niej dotarł?

– Nie, leżał jakieś pięćdziesiąt jardów od niej.

– A teraz, doktorze Mortimer, to bardzo ważne… Proszę mi powiedzieć, czy ślady, które pan widział, były na samej ścieżce czy na trawie?

– Na trawie nie było widać żadnych śladów.

– Czy były po tej samej stronie ścieżki co wejście na wrzosowiska?

– Tak, były na jej skraju, po tej samej stronie.

– Ogromnie mnie pan zaciekawił. Kolejna kwestia. Czy furtka była zamknięta?

– Tak. I to na kłódkę.

– A jak wysoka jest ta furtka?

– Ma około czterech stóp.

– A więc każdy mógłby przez nią przeskoczyć?

– Tak.

– A widział pan tam jakieś ślady?

– Nie widziałem tam nic szczególnego.

– Wielkie nieba! Czy nikt tego nie zbadał?

– Owszem. Zbadałem to sam.

– I nic pan nie znalazł?

– Wszystko było bardzo pogmatwane. Najwyraźniej sir Charles stał tam przez pięć czy dziesięć minut.

– Skąd pan może to wiedzieć?

– Ponieważ dwa razy strzepnął popiół z cygara.

– Wspaniale! Watsonie, nasz gość wykazuje podobny naszemu tok myślenia. A ślady?

– Sir Charles zostawił ślady na żwirowej ścieżce. Nie byłem w stanie odróżnić żadnych innych.

Sherlock Holmes niecierpliwie uderzył pięścią w kolano.

– Gdybym tylko tam był! – zawołał. – To rzeczywiście bardzo ciekawa sprawa, i to dająca ogromne możliwości ekspertowi. Wszystko, co mógłbym odczytać z tego żwiru, już dawno zostało zamazane przez deszcz i zadeptane butami ciekawskich wieśniaków. O, doktorze Mortimer, doktorze Mortimer. Pomyśleć tylko, że mógł mnie pan wtedy wezwać!

– Nie mogłem pana wezwać, panie Holmes, nie ujawniając przy tym tych faktów, a wyjaśniłem już panu powody, dla których nie chciałem tego zrobić. A ponadto, ponadto…

– Czemu się pan waha?

– Istnieje taka dziedzina, w której nawet najbardziej przenikliwy i najbardziej doświadczony detektyw nie może nic poradzić.

– Chodzi panu o to, że to jakaś nadprzyrodzona istota?

– Tego nie powiedziałem.

– Nie, ale najwyraźniej tak pan utrzymuje.

– Panie Holmes, od czasu tej tragedii dotarły do moich uszu wieści o kilku incydentach, które trudno pogodzić z ustalonym porządkiem natury.

– Na przykład?

– Dowiedziałem się, że przed tym strasznym zdarzeniem kilka osób widziało na wrzosowisku istotę, której opis odpowiada demonowi Baskerville’ów i która nie mogła być żadnym zwierzęciem znanym nauce. Wszyscy ci ludzie byli zgodni co do tego, że było to ogromne, świetliste, upiorne stworzenie. Zadawałem im pytania. Jeden z nich to wieśniak, bardzo realistycznie zapatrujący się na świat. Drugi jest kowalem, a trzeci dzierżawcą z wrzosowiska. Każdy opowiadał tę samą historię o przerażającej zjawie, dokładnie odpowiadającej opisowi piekielnego psa, o którym mówi legenda. Wszyscy w okolicy są przerażeni, i tylko najśmielsi ważą się wychodzić na wrzosowisko nocą.

– I pan, wykształcony człowiek nauki, wierzy, że ta istota jest nadprzyrodzona?

– Nie wiem, w co wierzyć.

Holmes wzruszył ramionami.

– Jak do tej pory ograniczałem moje śledztwa do tego świata – rzekł. – Na swój skromny sposób zwalczałem zło, niemniej rzucenie wyzwania

samemu Praojcu Zła to zapewne wielce ambitne zadanie. Musi pan jednak przyznać, że ślady były materialne.

– Pies Baskerville’ów był na tyle materialny, by rozszarpać człowiekowi gardło, a równocześnie był diabelskim stworem.

– Widzę, że już się pan skłania ku nadnaturalnym wyjaśnieniom. A teraz, doktorze Mortimer, proszę mi powiedzieć jedną rzecz. Skoro tak się pan na to zapatruje, to dlaczego w ogóle zwrócił się pan do mnie o radę? Mówi mi pan, że prowadzenie dochodzenia w sprawie śmierci sir Charlesa uważa za bezcelowe, a jednocześnie chciałby, abym się tego podjął.

– Nie mówiłem nic o tym, że chciałbym, by pan się tego podjął.

– W takim razie jak mogę panu pomóc?

– Doradzając mi, co powinienem zrobić z sir Henrym Baskerville’em, który przyjeżdża na stację Waterloo – doktor Mortimer zerknął na zegarek – dokładnie za godzinę i kwadrans.

– Ten dziedzic posiadłości?

– Tak. Po śmierci sir Charlesa próbowaliśmy się czegoś dowiedzieć o tym młodym dżentelmenie i ustaliliśmy, że ma farmę w Kanadzie. Z relacji, jakie do nas dotarły, wynika, że jest on wspaniałym człowiekiem, pod każdym względem. Nie mówię tego teraz jako lekarz, lecz jako powiernik i wykonawca testamentu sir Charlesa.

– Zakładam, że nie ma innych spadkobierców?

– Nie ma. Jedynym krewnym, którego udało nam się odnaleźć, był Rodger Baskerville, najmłodszy z trzech braci − najstarszy był sir Charles. Drugi brat, który zmarł młodo, to ojciec tego chłopaka, Henry’ego. Rodger był czarną owcą w rodzinie. Jak słyszałem, bardzo się wdał w starego Hugona. Gdy poczuł, że Anglia przestała być dla niego życzliwa, zbiegł do Ameryki Środkowej i zmarł tam w 1876 roku na żółtą febrę. Henry jest ostatnim z rodu Baskerville’ów. Za godzinę i pięć minut mam się z nim spotkać na stacji Waterloo. Dostałem telegram, że dziś rano przybył do Southampton. A teraz, panie Holmes, co pan mi radzi? Cóż robić?

– Czy nie powinien się udać do rezydencji swoich przodków?

– Wydaje się to naturalne, prawda? A jednak proszę wziąć pod uwagę, że każdego Baskerville’a, który się tam pojawia, spotyka coś złego. Gdyby sir Charles, jestem tego pewien, miał okazję porozmawiać o tym ze mną przed śmiercią, ostrzegłby mnie przed sprowadzeniem tutaj ostatniego członka rodu i dziedzica ogromnej fortuny. To miejsce przynosi śmierć. Z drugiej

strony należy przyznać, że losy tej całej biednej, niewesołej okolicy zależą właśnie od tego, czy Henry tam zamieszka. Cała pożyteczna praca, jaką wykonał sir Charles, pójdzie na marne, jeśli nie znajdzie się nowy właściciel rezydencji. Boję się, by na mojej opinii nie zaważył zbytnio mój własny interes, dlatego zdecydowałem się przedstawić panu tę sprawę i proszę teraz o radę.

Holmes przez chwilę się zastanawiał.

– Mówiąc wprost, sprawa wygląda tak – rzekł. – Pańskim zdaniem istnieje jakaś diabelska istota, która sprawia, że Dartmoor nie jest bezpiecznym miejscem dla Baskerville'a. Zgadza się?

– Mógłbym w każdym razie powiedzieć, że istnieją pewne dowody, które faktycznie mogą o tym świadczyć.

– Dokładnie. Jednak z całą pewnością, jeśli pańska teoria sił nadprzyrodzonych jest właściwa, to temu młodemu człowiekowi może równie dobrze przytrafić się coś złego w Londynie co w Devonshire. Wydaje mi się mało prawdopodobne, aby moce diab-ła ograniczały się do jednego miejsca, na przykład do jakiejś zakrystii parafialnej.

– Ujmuje pan tę sprawę bardziej nonszalancko, panie Holmes, niż zapewne zrobiłby pan wówczas, gdyby zetknął się z tym wszystkim osobiście. Według pana, ten młody człowiek będzie bezpieczny w Devonshire tak samo jak w Londynie? Przyjeżdża za pięćdziesiąt minut. Co więc radzi mi pan uczynić?

– Radzę, by wziął pan dorożkę, zabrał swojego spaniela, który drapie mi frontowe drzwi, i udał się na stację Waterloo na spotkanie sir Henry'ego Baskerville'a.

– A później?

– Później proszę nic mu o tym nie wspominać, dopóki nie zastanowię się nad tą sprawą.

– Jak długo będzie się pan zastanawiał?

– Przez dwadzieścia cztery godziny. A jutro o dziesiątej, doktorze Mortimer, będę panu bardzo zobowiązany, jeśli mnie pan tutaj odwiedzi. Proszę też przyprowadzić ze sobą sir Henry'ego. Bardzo mi to pomoże w sprecyzowaniu moich planów na przyszłość.

– Tak zrobię, panie Holmes. – Nabazgrał godzinę spotkania na mankiecie swojej koszuli i szybkim krokiem skierował się do drzwi, poruszając się w swój dziwny, roztargniony sposób. Holmes zatrzymał go przy schodach.

– Jeszcze jedno pytanie, doktorze Mortimer. Powiedział pan, że przed śmiercią sir Charlesa Baskerville’a kilku ludzi widziało tę zjawę na wrzosowisku?

– Tak, trzy osoby.

– Czy ktoś widział ją później?

– O niczym takim nie słyszałem.

– Dziękuję panu. Życzę dobrego dnia.

Holmes powrócił na swój fotel z tym spokojnym wyrazem wewnętrznej satysfakcji, który oznaczał, że czeka go przyjemne zadanie.

– Wychodzisz gdzieś, Watsonie?

– Tak, chyba że mogę ci jakoś pomóc.

– Nie, drogi przyjacielu. Zwracam się do ciebie o pomoc, gdy przychodzi czas na działanie. Co za wspaniała sprawa! Z pewnego punktu widzenia naprawdę unikalna. Czy gdy będziesz mijał sklep Bradleya, możesz go poprosić, by przesłał mi funt najmocniejszego tytoniu? Dziękuję ci. Dobrze też, gdybyś nie wracał tutaj przed wieczorem. A wtedy będzie mi bardzo miło, jeśli skonfrontujemy nasze poglądy na ten niezwykle ciekawy problem, który powierzono nam dziś rano.

Wiedziałem, że odosobnienie i samotność są absolutnie niezbędne mojemu przyjacielowi w czasie intensywnej koncentracji, gdy dokładnie ważył wszystkie dowody, tworzył alternatywne teorie, porównywał je ze sobą i decydował, które elementy są najistotniejsze, a które wcale. W związku z tym spędziłem cały dzień w klubie i nie wróciłem na Baker Street aż do wieczora. Gdy ponownie znalazłem się w naszym salonie, dochodziła prawie dziewiąta.

Kiedy otworzyłem drzwi, odniosłem wrażenie, że wybuchł tu jakiś pożar − dym wypełniał pokój do tego stopnia, że przyćmiewał światło stojącej na stole lampy. Jednak gdy wszedłem, przestałem się tego obawiać, zrozumiałem bowiem, że to po prostu… kłęby gęstego dymu tytoniowego, który momentalnie chwycił mnie za gardło i sprawił, że zacząłem kaszleć. Przez tę mgłę niewyraźnie widziałem Holmesa ubranego w szlafrok, skulonego w fotelu, ze swą czarną glinianą fajką w ustach. Wokół niego leżało kilka zwojów papieru.

– Przeziębiłeś się, Watsonie? – spytał.

– Nie, to ten trujący dym.

– Teraz, gdy o tym wspominasz, wydaje mi się, że dym istotnie jest dość gęsty.

– Gęsty? Jest nie do zniesienia!

– W takim razie otwórz okno! Przypuszczam, że przez cały dzień byłeś w swoim klubie?

– Mój drogi Holmesie!

– Mam rację?

– Bezspornie, ale skąd o tym wiesz?

Roześmiał się, widząc malujące się na mojej twarzy zdumienie.

– Jesteś czasem, Watsonie, tak uroczo naiwny, że z rozkoszą wykorzystuję swoje niewielkie zdolności, by zabawić się nieco twoim kosztem. Dżentelmen wychodzi z domu w deszczowy, wilgotny dzień. Kiedy wraca wieczorem, jego strój jest nieskazitelnie czysty, a kapelusz i buty nadal lśnią. Wygląda na to, że zapuścił gdzieś korzenie, i to na cały dzień. Nie jest człowiekiem posiadającym bliskich przyjaciół. Gdzież w takim razie mógł się podziewać? Czyż nie jest to oczywiste?

– Cóż, istotnie. Raczej oczywiste.

– Na świecie pełno jest oczywistych rzeczy, których jakimś zbiegiem okoliczności nikt nigdy nie zauważa. A jak myślisz, gdzie ja byłem?

– Też zapuściłeś korzenie?

– Wręcz przeciwnie, Watsonie. Byłem w Devonshire.

– Chyba duchem?

– Dokładnie. Moje ciało pozostało w tym fotelu i z przykrością muszę zauważyć, że wypiło pod moją nieobecność dwa duże dzbanki kawy i wypaliło niesamowite ilości tytoniu. Gdy wyszedłeś, posłałem do Stanforda z prośbą, by dostarczono mi szczegółową mapę tej części wrzosowiska, i mój duch unosił się nad nim cały dzień. Cieszy mnie myśl, że się tam nie zgubiłem.

– Zakładam, że to była mapa o dużej skali?

– Bardzo dużej – odwinął fragment i oparł go o kolano. – Tu mamy dokładnie tę okolicę, która nas interesuje. Rezydencja Baskerville’ów jest w tym miejscu, na samym środku.

– Otoczona lasem?

– W rzeczy samej. Zastanawiam się nad tą cisową aleją. Choć nie jest oznaczona taką nazwą, musi przebiegać wzdłuż tej linii, a wrzosowisko, jak widzisz, znajduje się na prawo od niej. To małe skupisko budynków to

osada Grimpen, gdzie pracuje nasz przyjaciel, doktor Mortimer. Jak widzisz, w promieniu pięciu mil znajduje się tylko kilka rozproszonych domostw. Tu jest Lafter Hall, które zostało wspomniane w manuskrypcie. Tu jest zaznaczony dom, który może być rezydencją przyrodnika, Stapletona, o ile dobrze pamiętam. A tutaj są dwa gospodarstwa na wrzosowiskach, High Tor i Foulmire. Czternaście mil dalej znajduje się wielkie więzienie w Princetown. Pomiędzy tymi porozrzucanymi punktami ciągnie się opustoszałe, bezludne wrzosowisko, czyli scena tragedii, której zagadkę zamierzamy rozwikłać.

– To musi być bardzo dzikie miejsce.

– Tak, w istocie. Jeśli diabeł rzeczywiście pragnąłby się wmieszać w ludzkie sprawy…

– A więc ty również skłaniasz się do nadprzyrodzonego wyjaśnienia?

– Słudzy diabła mogą być jak najbardziej z krwi i kości, nieprawdaż? Na początek będziemy musieli rozwiązać dwie kwestie. Pierwszą jest to, czy w ogóle popełniono jakieś przestępstwo, drugą zaś, jakie to było przestępstwo i w jaki sposób zostało popełnione. Oczywiście, jeśli przypuszczenia doktora Mortimera miałyby się okazać słuszne i rzeczywiście mamy tu do czynienia z siłami wykraczającymi poza normalne prawa natury, będzie to oznaczało koniec naszego śledztwa. Musimy jednak wyeliminować wszystkie pozostałe hipotezy, zanim przyjmiemy właśnie tę jedną. Chyba zamkniemy już to okno, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To osobliwe, ale odnoszę wrażenie, że zaduch pomaga w koncentracji. Nie posunąłem się wprawdzie jeszcze do tego, by zatrzaskiwać się w jakiejś skrzyni, żeby spokojnie pomyśleć, ale byłoby to logiczną konsekwencją moich potrzeb. A ty, czy zastanawiałeś się już nad tą sprawą?

– Tak, wiele o niej myślałem przez cały dzień.

– I jakie jest twoje zdanie?

– Wszystko to jest naprawdę zdumiewające.

– Z całą pewnością przypadek jest nietypowy. Są tu jednak pewne istotne punkty. Na przykład zmiana wyglądu śladów. Co o tym sądzisz?

– Mortimer uważał, że ten mężczyzna szedł dalej aleją na palcach.

– Mortimer powtórzył tylko to, co stwierdził jakiś głupiec podczas dochodzenia. Czemu miałby chodzić aleją na palcach?

– Co w takim razie myślisz?

– On biegł, Watsonie. Biegł najszybciej jak mógł, próbując ratować życie, ale serce nie wytrzymało tego, i upadł martwy twarzą do ziemi.

– Ale przed czym uciekał?

– I tu właśnie tkwi problem. Istnieją wskazówki pozwalające wnioskować, że ten człowiek oszalał ze strachu, jeszcze zanim zaczął uciekać.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Zakładam, że to, czego się tak przeląkł, podeszło do niego z wrzosowiska. Gdyby tak było w istocie − a to wydaje się najbardziej prawdopodobne − tylko człowiek, który całkowicie postradał rozum, oddalałby się od domu, zamiast biec w jego stronę. Jeśli uznamy zeznania tego Cygana za prawdziwe, to człowiek ten biegł, wołając o ratunek, w kierunku, skąd nie mógł oczekiwać najmniejszej pomocy. No a poza tym, na kogo czekał tej nocy? I dlaczego czekał na tę osobę w cisowej alei, a nie we własnym domu?

– Myślisz, że na kogoś czekał?

– Oczywiście, to był starszy, schorowany człowiek. Mogę zrozumieć to, że codziennie wieczorem wychodził na przechadzkę, ale ziemia była rozmokła, a noc wyjątkowo niepogodna. Czy to normalne, że stałby w jednym miejscu przez pięć czy dziesięć minut, jak wydedukował na podstawie popiołu z cygara doktor Mortimer, obdarzony zresztą większym zmysłem praktycznym, niż mógłbym podejrzewać?

– Ale wychodził co wieczór.

– Uważam, że to mało prawdopodobne, by czekał przy furtce na wrzosowiska każdego wieczoru. Wręcz przeciwnie. Dowody wskazują na to, że unikał wrzosowisk. Jednak tej nocy się tam zatrzymał. Była to noc przed jego zaplanowanym wyjazdem do Londynu. Ta sprawa zaczyna przybierać konkretne kształty, Watsonie. Staje się spójna. Byłbyś tak dobry i podał mi moje skrzypce? Odłożymy dalsze zastanawianie się nad tym wszystkim do jutra rana, dopóki nie spotkamy się z doktorem Mortimerem i sir Henrym Baskerville’em.

Rozdział czwarty

Sir Henry Baskerville

Po śniadaniu stół został szybko uprzątnięty. Holmes czekał w szlafroku na obiecaną rozmowę. Nasi klienci stawili się punktualnie – zegar właśnie wybił dziesiątą, gdy pojawił się doktor Mortimer, a za nim młody baronet. Ten drugi był niskim, czujnym, ciemnookim mężczyzną w wieku około trzydziestu lat, bardzo mocno zbudowanym, o gęstych czarnych brwiach i zdecydowanej, zadziornej twarzy. Miał na sobie rdzawą tweedową marynarkę, a jego ogorzała twarz przywodziła na myśl kogoś, kto spędza większość czasu na otwartej przestrzeni. W jego spokojnym wzroku i pewnej siebie postawie było jednak coś, co wskazywało na to, że jest dżentelmenem.

– Panowie, sir Henry Baskerville – powiedział doktor Mortimer.

– Cóż, zgadza się – powiedział sir Henry – a najdziwniejsze jest to, panie Holmes, że gdyby mój przyjaciel nie zaproponował dziś rano, abyśmy do pana zajrzeli, sam bym tu przyszedł. Rozumiem, że rozwiązuje pan zagadki, a dziś rano sam zastanawiałem się nad jedną, która wymaga ode mnie więcej czasu, niż jestem jej w stanie poświęcić.

– Proszę usiąść, sir Henry. Czy dobrze rozumiem, że od chwili przyjazdu do Londynu zdążyły już pana spotkać jakieś dziwne przygody?

– Panie Holmes, nie było to nic szczególnie istotnego. Najprawdopodobniej tylko jakiś żart. Dziś rano dotarł do mnie taki oto list, jeśli w ogóle można go nazwać listem.

Położył na stole kopertę, i wszyscy pochyliliśmy się nad nią. Zwykła szara koperta. Adres Sir Henry Baskerville, hotel „Northumberland” napisano nierównym pismem. Stempel z Charing Cross i data nadania z poprzedniego wieczoru.

– Kto wiedział o tym, że zamierza się pan zatrzymać w hotelu „Northumberland”? – spytał Holmes, patrząc czujnie na naszego gościa.

– Nikt nie mógł tego wiedzieć. Postanowiliśmy o tym dopiero wtedy, gdy spotkałem doktora Mortimera.

– Ale doktor Mortimer na pewno wcześniej już się tam zatrzymał?

– Nie, zatrzymałem się u przyjaciela – stwierdził doktor. – Nie było żadnych wskazówek świadczących o tym, że planujemy się udać do tego hotelu.

– Hm. Wygląda na to, że ktoś jest bardzo zainteresowany tym, co panowie robią. − Holmes wyjął z koperty pół arkusza papieru kancelaryjnego, złożonego na czworo. Rozłożył go na stole. Na środku kartki widniało jedno zdanie, utworzone z wyciętych drukowanych słów. Brzmiało ono: „Jeśli cenisz swoje życie, trzymaj się z dala od wrzosowiska”. Tylko słowo „wrzosowiska” napisano atramentem.

– A teraz – powiedział sir Henry Baskerville – być może powie mi pan, panie Holmes, co to ma u diabła znaczyć? I kto jest tak bardzo zainteresowany moimi sprawami?

– Co pan o tym sądzi, doktorze Mortimer? Musi pan przyznać, że nie ma w tym nic nadprzyrodzonego, prawda?

– Nie, panie Holmes, ale równie dobrze może to pochodzić od kogoś, kto był przekonany, że sprawa ma charakter nadprzyrodzony.

– Jaka sprawa? – spytał ostro sir Henry. – Mam wrażenie, że wy, panowie, wiecie o wiele więcej o moich sprawach niż ja sam.

– Sir Henry, obiecam panu, że zanim opuści on ten pokój, będzie wiedział tyle co my – oświadczył Sherlock Holmes. – A teraz, za pańskim przyzwoleniem, ograniczymy się do tego niezwykle ciekawego dokumentu, który musiał zostać spreparowany i wysłany wczoraj wieczorem. Masz wczorajszego „Timesa”, Watsonie?

– Tak, leży na stoliku.

– Zechciałbyś mi go podać? Tę wewnętrzną stronę, z głównymi artykułami. – Szybko ją przejrzał, przebiegając oczyma kolejne rubryki. – Główny artykuł na temat wolnego handlu. Pozwólcie, panowie, że przeczytam wam jego fragment:

> Być może łudzisz się, wyobrażając sobie, że twoja szczególna branża czy fach zyskają na cłach ochronnych. Być może, jeśli je cenisz, jesteś w błędzie. Na dłuższą

metę wydaje się bowiem logiczne, że jeśli taka legislacja miałaby wejść w życie, nie dopuści to do wzbogacenia kraju, spowoduje natomiast zmniejszenie wartości naszych importowanych dóbr. Można też oczekiwać, że wobec ogólnie pogarszających się warunków ekonomicznych życie na Wyspach stanie się przez to trudniejsze. Nasza rada brzmi więc: dbaj o swoje interesy i trzymaj się z dala od takich poglądów.

– Co o tym myślisz, Watsonie? – krzyknął Holmes radośnie, zacierając z satysfakcją ręce. – Nie sądzisz, że to godne podziwu podejście?

Doktor Mortimer spojrzał na Holmesa, zdradzając zawodowe zainteresowanie jego osobą, a sir Henry Baskerville zwrócił na mnie spojrzenie swoich zdezorientowanych ciemnych oczu.

– Nie wiem zbyt dużo o cłach i tego typu sprawach – stwierdził – ale wydaje mi się, że jeśli chodzi o ten list, to chyba nieco odeszliśmy od tematu.

– Wręcz przeciwnie, sądzę, że bardzo ściśle się go trzymamy! Obecny tutaj Watson wie więcej o moich metodach niż pan, obawiam się jednak, że nawet on nie pojął do końca znaczenia tego zdania.

– Nie, przyznaję, że nie widzę żadnego związku.

– A jednak, mój drogi Watsonie, istnieje związek na tyle ścisły, że jedno można stworzyć z drugiego. „Życie, cenisz, trzymaj się z dala od…”. Czy nie widzicie teraz, skąd zaczerpnięto te słowa?

– Do diabła, ma pan rację! To było naprawdę błyskotliwe! – zawołał sir Henry.

– Jeśli są jeszcze jakieś wątpliwości, to rozwiewa je fakt, że słowa „trzymaj się z dala od” zostały wycięte w jednym kawałku.

– No cóż… W istocie!

– Doprawdy, panie Holmes, to przekracza wszystko, co mogłem sobie o panu wyobrażać – powiedział doktor Mortimer, patrząc w osłupieniu na mego przyjaciela. – Rozumiem, że ktoś mógłby stwierdzić, iż słowa te wycięto z gazety. Pan jednak nie tylko wiedział dokładnie z której, to jeszcze dodał, że pochodzą one z głównego artykułu. Zaiste, to jedna z najbardziej niesamowitych rzeczy, z jakimi się kiedykolwiek spotkałem. Jak pan tego dokonał?

– Zakładam, doktorze, że byłby pan w stanie odróżnić czaszkę Murzyna od czaszki Eskimosa?

– Z całą pewnością.

– Ale w jaki sposób?

– Ponieważ to moje szczególne hobby. Różnice są oczywiste. Grzebień oczodołowy, kąt pochylenia twarzy, zakrzywienie żuchwy…

– A to z kolei jest moim szczególnym hobby, i różnice są tu nie mniej oczywiste. Dostrzegam tyle rozbieżności pomiędzy ciężką, burżuazyjną czcionką artykułu w „Timesie” a niechlujnym drukiem artykułu z wieczornej gazety za pół pensa, ile pan mógłby dostrzec między swoim Murzynem a Eskimosem. Rozróżnianie czcionek jest jedną z najbardziej elementarnych gałęzi wiedzy dla człowieka specjalizującego się w rozwiązywaniu spraw kryminalnych, choć muszę przyznać, że raz, gdy byłem bardzo młody, pomyliłem „Leeds Mercury” z „Western Morning News”. Jednak czcionka „Timesa” jest bardzo charakterystyczna, i słowa te po prostu nie mogły pochodzić z żadnej innej gazety. A ponieważ list wysłano wczoraj, istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że odnajdziemy nasze wyrazy we wczorajszym wydaniu.

– O ile za panem nadążam – wtrącił sir Henry Baskerville – ktoś wyciął słowa tego listu nożyczkami…

– Mówiąc ściślej, nożyczkami do paznokci – stwierdził Holmes. – Widać, że były to nożyczki o bardzo krótkich ostrzach, ponieważ człowiek, który sporządził ten list, fragment „trzymaj się z dala od” musiał wycinać na dwa razy.

– Rzeczywiście. Wobec tego ktoś wyciął słowa nożyczkami o krótkich ostrzach, nakleił je za pomocą kleju…

– Gumy arabskiej – poprawił Holmes.

– No dobrze, nakleił je gumą na papier. Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego wyraz „wrzosowiska” został napisany odręcznie.

– Ponieważ nie potrafił znaleźć go wydrukowanego. Wszystkie pozostałe słowa były proste, i można je było odszukać w każdej gazecie, ale wyraz „wrzosowiska” pojawia się znacznie rzadziej.

– No cóż, oczywiście to by wszystko tłumaczyło. Wywnioskował pan coś jeszcze z tego listu, panie Holmes?

– Widzę tu jedną czy dwie wskazówki, jednak ktoś bardzo się postarał, by je zatuszować. Proszę zauważyć, że adres został celowo napisany nierówno. A przecież „Times” rzadko trafia do ludzi nieposiadających wykształcenia. Możemy zatem przyjąć, że list został spreparowany przez wykształconego człowieka, który chciał udawać niewykształconego,

a wysiłki, jakie podjął, by ukryć własne pismo, sugerują, że może być ono panu znane lub też niebawem pan je pozna. Proszę również zauważyć, że nie wszystkie słowa zostały przyklejone w równej linii, niektóre z nich znajdują się znacznie wyżej niż inne. Na przykład „życie” naklejono zupełnie krzywo. Może to świadczyć o niechlujstwie bądź o podenerwowaniu i pośpiechu człowieka, który wycinał te słowa. Ogólnie skłaniam się ku tej drugiej interpretacji, ponieważ sprawa najwyraźniej była ważna, i to bardzo mało prawdopodobne, by ktoś, kto sporządził taki list, nie był staranny. Jeżeli się spieszył, pojawia się nowe pytanie: dlaczego miałby się spieszyć, skoro każdy list, nawet wysłany wcześnie rano, dotarłby do rąk sir Henry’ego, jeszcze zanim opuści on hotel. Czyżby osoba, która go spreparowała, bała się, że ktoś jej przeszkodzi? I kim była ta osoba?

– Teraz zapuszczamy się już chyba w obszar domysłów – stwierdził doktor Mortimer.

– Powiedzmy raczej, w obszar, w którym rozważamy różne możliwości i wybieramy te najbardziej prawdopodobne. Jest to wprawdzie naukowe wykorzystywanie wyobraźni, zawsze mamy jednak jakieś materialne podstawy, na których opieramy te spekulacje. Bez wątpienia nazwałby to pan zgadywaniem, lecz jestem prawie pewien, że ten list zaadresowano w hotelu.

– A skąd pan to może wiedzieć?

– Jeśli przyjrzy mu się pan uważnie, to zauważy, że piszący miał kłopoty zarówno z piórem, jak i atramentem. Z pióra dwa razy skapnął atrament, tworząc kleksy przy pisaniu jednego słowa, i zaschło ono trzy razy podczas pisania tak krótkiego adresu, co wskazuje, że w kałamarzu było bardzo niewiele atramentu. Ludzie raczej nie dopuszczają do tego, by ich własne pióro czy kałamarz były w takim stanie. A połączenie tych dwóch warunków jest już doprawdy wyjątkowo rzadkie. Wie pan jednak, jak to jest z hotelowym atramentem i hotelowymi piórami… Nieczęsto można znaleźć coś porządnego. Tak, nie wahałbym się długo, by stwierdzić, że gdybyśmy mogli sprawdzić zawartość koszy na papiery w hotelach otaczających Charing Cross, znaleźlibyśmy pozostałości powycinanego „Timesa” i dostali w swe ręce osobę, która wysłała ten niecodzienny list. Chwileczkę! Chwileczkę! A to co?!

Uważnie przyjrzał się kartce z naklejonymi słowami, trzymając ją cal czy dwa od swoich oczu.

– No i?

– Nie, nic – odpowiedział, odrzucając ją. – To pusty arkusz papieru, nawet bez znaku wodnego. Myślę, że dowiedzieliśmy się już wszystkiego, co mogliśmy, z tego dziwnego listu. A teraz, sir Henry, proszę mi powiedzieć, czy od czasu pańskiego przybycia do Londynu przytrafiło się panu jeszcze coś interesującego?

– Nie, panie Holmes. Nie wydaje mi się.

– Nie zauważył pan, żeby ktoś pana obserwował lub śledził?

– Mam wrażenie, jakbym znalazł się w samym środku jakiejś taniej powieści – powiedział nasz gość. – Czemu u diabła ktoś miałby mnie śledzić albo obserwować?

– Zaraz do tego dojdziemy. Nie miałby pan nic do dodania, nim zajmiemy się tą właśnie kwestią?

– Cóż, to zależy od tego, co pan uważa za warte wzmianki.

– Myślę, że wszystko, co wykracza poza rutynowe działania.

Sir Henry uśmiechnął się.

– Nie znam jeszcze za dobrze brytyjskich zwyczajów, ponieważ niemal całe swoje życie spędziłem w Stanach Zjednoczonych i w Kanadzie. Mam jednak nadzieję, że utrata jednego buta nie jest tu na porządku dziennym.

– Zgubił pan jeden z butów?

– Drogi panie – zawołał doktor Mortimer – ten but na pewno gdzieś jest. Znajdzie go pan po powrocie do hotelu. Jaki sens ma opowiadanie panu Holmesowi o tego typu błahostkach?

– Prosił mnie, bym wspomniał o wszystkim, co nie należy do rutynowych czynności.

– Dokładnie – rzekł Holmes. – Niezależnie od tego, jak nieznaczący może się wydawać taki incydent. A więc, twierdzi pan, że zgubił but, tak?

– W każdym razie gdzieś się zawieruszył. Wczoraj wieczorem zostawiłem oba buty przed drzwiami, a dziś rano stał tam tylko jeden. Nie uzyskałem żadnych sensownych informacji od chłopaka, który zajmuje się ich czyszczeniem. A najgorsze jest to, że kupiłem je wczoraj w Strand i ani razu ich nie założyłem.

– Skoro nigdy ich pan nie założył, to czemu wystawił je pan przed drzwi do wy-czyszczenia?

– To były jasnobrązowe buty, nigdy nie lakierowane. Dlatego je wystawiłem.

– Wobec tego wnioskuję, że wczoraj po przyjeździe do Londynu pan wyszedł i natychmiast kupił parę butów.

– Zrobiłem sporo zakupów. Doktor Mortimer mi towarzyszył. Widzi pan, skoro jestem dziedzicem, muszę się stosownie nosić, a przypuszczam, że mieszkając na Zachodzie, nie zwracałem wystarczającej uwagi na swój wygląd. Kupiłem między innymi te brązowe buty – dałem za nie sześć dolarów – i jeszcze zanim zdążyłem włożyć je na nogi, jeden mi ukradziono.

– Wydaje się, że dla złodzieja to rzecz bezużyteczna – stwierdził Sherlock Holmes. – Muszę przyznać, że podzielam opinię doktora Mortimera. Ten skradziony but zapewne niedługo się znajdzie.

– A teraz, panowie – rzekł zdecydowanym głosem baronet – uważam, że już wystarczająco długo mówiłem o tych niewielu rzeczach, o których wiem. Nadeszła pora, byście dotrzymali swojej obietnicy i opowiedzieli mi szczegółowo, do czego właściwie zmierzamy.

– Pańska prośba wydaje się bardzo rozsądna – odparł Holmes. – Doktorze Mortimer, uważam, że najlepiej by było, gdyby opowiedział pan swoją historię, tak jak opowiedział ją pan nam.

Zachęcony w ten sposób, nasz przyjaciel o naukowym umyśle wyciągnął swoje papiery z kieszeni i przedstawił całą sprawę, podobnie jak uczynił to ubiegłego poranka. Sir Henry Baskerville słuchał go w wielkim skupieniu, od czasu do czasu wydając okrzyki zdziwienia.

– Wygląda na to, że otrzymałem spadek, który ściśle wiąże się z tą opowieścią – stwierdził, gdy długa historia dobiegła już końca. – Oczywiście słyszałem o tym psie, już kiedy byłem małym chłopcem. To ulubiona rodzinna historyjka, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, aby traktować ją poważnie. Jednak jeśli chodzi o śmierć mojego wuja… Teraz wszystko kotłuje mi się w głowie, i nie mam jeszcze na ten temat wyrobionego zdania. Wy, panowie, również sprawiacie wrażenie, jakbyście sami wciąż nie zdecydowali, czy to sprawa dla policjanta, czy raczej dla duchownego.

– W istocie.

– No i jest jeszcze kwestia listu, który dostałem w hotelu. Przypuszczam, że pasuje do reszty.

– Najprawdopodobniej ktoś wie więcej niż my na temat zajść na wrzosowisku – stwierdził doktor Mortimer.

– A ponadto – dodał Holmes – ten, kto wysłał list, nie ma wobec pana złych intencji, ponieważ ostrzega pana przed niebezpieczeństwem.

– Ale być może ta osoba chciałaby mnie wystraszyć w sobie tylko wiadomym celu…

– No cóż, oczywiście taka możliwość również istnieje. Jestem panu bardzo zobowiązany, doktorze Mortimer, że przedstawił mi pan zagadkę, z którą wiąże się kilka interesujących alternatywnych rozwiązań. Istnieje jednak pewna sprawa, o której powinniśmy teraz zadecydować, a mianowicie, sir Henry, należy się zastanowić, czy powinien pan udać się do rezydencji Baskerville’ów, czy też nie.

– Dlaczego nie miałbym tam pojechać?

– Wydaje się to niebezpieczne.

– Ma pan na myśli zagrożenie związane z tym rodzinnym upiorem bądź też powodowane przez ludzi?

– Tego właśnie będziemy się musieli dowiedzieć.

– Bez względu na to, jak jest w istocie, nie wpłynie to na moją decyzję. Nie ma takiego diabła w piekle ani takiego człowieka na ziemi, który mógłby spowodować, bym nie wybrał się do domu moich przodków! I może pan to uznać za moją ostateczną odpowiedź.

Kiedy to mówił, zmarszczył swoje ciemne brwi, a jego twarz oblała się rumieńcem. Było jasne, że ognisty temperament Baskerville’ów został odziedziczony również przez ostatniego przedstawiciela ich rodu.

– A tymczasem – dodał – nie miałem nawet możliwości, by przemyśleć wszystko to, o czym mi panowie powiedzieli. To zbyt poważna sprawa, abym mógł ją w pełni zrozumieć podczas tego jednego spotkania i w dodatku poczynić odpowiednie kroki. Chciałbym mieć godzinę dla siebie, żeby spokojnie się nad tym zastanowić. Panie Holmes, jest wpół do dwunastej i zaraz wracam do swojego hotelu. Może pan i pański przyjaciel, doktor Watson, przyszlibyście do mnie i zjedli o drugiej lunch ze mną i z doktorem Mortimerem? Wtedy będę w stanie dokładniej panom powiedzieć, co o tym wszystkim myślę.

– Czy odpowiada ci to, Watsonie?

– Idealnie.

– W takim razie mogą się nas panowie spodziewać. Czy mam poprosić, by przywołano dorożkę?

– Wolałbym się przejść, ponieważ ta sprawa bardzo mnie poruszyła.

– Z przyjemnością przespaceruję się z panem – powiedział jego towarzysz.

– W takim razie widzimy się znów o drugiej. *Au revoir*, panowie, dobrego dnia.

Usłyszeliśmy kroki naszych gości schodzących po schodach, a potem trzaśnięcie frontowych drzwi. W jednej chwili Holmes zmienił się z rozleniwionego marzyciela w człowieka czynu.

– Twój kapelusz i buty, Watsonie! Szybko! Nie mamy ani chwili do stracenia!

Pognał w szlafroku do swojego pokoju i po paru chwilach wrócił ubrany we frak. Razem zbiegliśmy po schodach i wyszliśmy na ulicę. W odległości jakichś dwustu jardów od nas zobaczyliśmy doktora Mortimera i młodego Baskerville’a, którzy zmierzali w stronę Oxford Street.

– Czy mam za nimi pobiec i ich zatrzymać?

– Absolutnie nie, mój drogi Watsonie. Całkowicie wystarczy mi twoje towarzystwo, jeśli i ty potrafisz znieść moje. Nasi przyjaciele to mądrzy ludzie; ten przepiękny poranek jest wręcz wymarzony na spacer.

Przyspieszył kroku, aż zmniejszyliśmy odległość dzielącą nas od dwóch dżentelmenów niemal o połowę. Potem – wciąż utrzymując dystans stu jardów − poszliśmy za nimi na Oxford Street i w dół Regent Street. Raz nasi przyjaciele zatrzymali się i oglądali coś w sklepowej witrynie, a wówczas Holmes uczynił to samo. Chwilę później krzyknął cicho z satysfakcją, a ja, śledząc jego bystre spojrzenie, zobaczyłem kabriolet z siedzącym w środku mężczyzną: kilka minut wcześniej zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, a teraz ponownie powoli ruszył naprzód.

– Oto i nasz człowiek, Watsonie. Chodźże! Jeśli nie uda nam się zrobić nic więcej, przynajmniej dobrze mu się przyjrzymy.

W tym samym momencie dostrzegłem krzaczastą czarną brodę i dwoje oczu o świdrującym spojrzeniu, patrzących na nas przez boczne okno kabrioletu. Jednocześnie w dachu dorożki otworzyło się okienko, ktoś wydał jakieś polecenie woźnicy, i pojazd popędził w szalonym tempie w dół Regent Street. Holmes rozglądał się gorączkowo za innym, jednak wokół nie było widać żadnej wolnej dorożki. Następnie rzucił się w szalony

pościg, wpadając pomiędzy pojazdy na ulicy, jednak nieznajomy miał już nad nami zbyt wielką przewagę, i jego dorożka zniknęła nam z oczu.

– No i proszę! – powiedział Holmes rozgoryczonym głosem, gdy dysząc, wynurzył się spośród fali pojazdów, z twarzą pobladłą ze zdenerwowania. – Widziałeś kiedyś jednocześnie takiego pecha i taką nieudolność? Watsonie, Watsonie, jeśli jesteś uczciwym człowiekiem, wspomnisz kiedyś także o tej porażce!

– Kim był ten człowiek?

– Nie mam pojęcia.

– Szpiegował ich?

– Cóż, z tego, co usłyszeliśmy od Baskerville’a, jasno wynikało, że ktoś go nieustannie śledzi, odkąd pojawił się w mieście. W jaki sposób ci ludzie wiedzieliby tak szybko, że zdecydował się zamieszkać w hotelu „Northumberland”? Skoro śledzili go pierwszego dnia, doszedłem do wniosku, że będą go śledzić również i drugiego. Być może zauważyłeś, że dwa razy podszedłem do okna w czasie, gdy doktor Mortimer czytał nam swoją legendę.

– Tak, przypominam sobie.

– Rozglądałem się, czy na ulicy nie ma jakichś włóczęgów, ale żadnego nie zauważyłem. Mamy do czynienia z inteligentnym człowiekiem, Watsonie. Ta sprawa sięga bardzo głęboko i choć jeszcze nie wiem, czy weszliśmy w kontakt z kimś o dobrych czy też o złych zamiarach, zawsze od razu zdaję sobie sprawę z czyichś możliwości i pomysłowości. Gdy nasi przyjaciele wyszli, natychmiast podążyłem za nimi z nadzieją, że namierzę ten niewidzialny cień, który ich szpieguje. Był jednak na tyle przebiegły, że nie podążał ich śladem pieszo, lecz skorzystał z dorożki, by móc jechać za nimi lub w do-wolnej chwili ich wyprzedzić, pozostając w ten sposób niezauważonym. Jego metoda miała tę dodatkową zaletę, że gdyby wsiedli do dorożki, byłby gotów ich śledzić również i w takiej sytuacji. Naturalnie wiązało się to z pewnym oczywistym utrudnieniem.

– W ten sposób był zdany na dorożkarza.

– W rzeczy samej.

– Jaka szkoda, że nie zapisaliśmy numeru!

– Mój drogi Watsonie! Może i byłem nieudolny, ale chyba nie myślisz naprawdę, że nie zapamiętałem numeru? Nasz człowiek siedział w dorożce numer 2704. Jednak na tę chwilę jest to dla nas bezużyteczna informacja.

– Nie wyobrażam sobie, jak mógłbyś zrobić coś więcej.

– Gdy spostrzegłem dorożkę, powinienem był natychmiast się odwrócić i odejść w przeciwnym kierunku. Następnie bez pośpiechu przywołać drugą dorożkę i podążać za nim w odpowiedniej odległości albo jeszcze lepiej − kazać się zawieść do hotelu „Northumberland” i tam zaczekać. Nasz nieznajomy śledziłby Baskerville’a, zaś my mielibyśmy okazję pobić go jego własną bronią, sami mając go na oku. Teraz jednak, przez pochopność i brak dyskrecji z mojej strony, którą on niezwykle szybko i energicznie wykorzystał, zdradziliśmy się i straciliśmy jego ślad.

Powoli szliśmy w dół Regent Street, rozmawiając w ten sposób; doktor Mortimer i jego towarzysz dawno zniknęli nam z oczu.

– Teraz nie ma sensu, byśmy za nimi szli – stwierdził Holmes. – Cień zniknął i już się nie pojawi. Musimy jeszcze zobaczyć, jakie karty zostały nam w ręku, i w odpowiedni sposób je rozegrać. Czy potrafiłbyś rozpoznać twarz tego mężczyzny z dorożki?

– Zapamiętałem tylko brodę.

– Podobnie jak i ja, z czego wnoszę, że najprawdopodobniej była sztuczna. Inteligentny człowiek wypełniający tak delikatne zadanie potrzebowałby brody tylko po to, by ukryć rysy swojej twarzy. Wejdźmy tu, Watsonie!

Skręcił do jednego z biur kurierskich w tej dzielnicy, kierownik biura serdecznie go przywitał.

– Och, Wilsonie, widzę, że nie zapomniałeś o tej niewielkiej sprawie, w której miałem przyjemność ci dopomóc?

– Ależ, proszę pana, jak mógłbym zapomnieć! Ocalił pan moje dobre imię, a być może i życie.

– Przesadzasz, mój drogi. Przypominam sobie, Wilsonie, że jednym z chłopców, którzy tu pracowali, był niejaki Cartwright, który podczas śledztwa wykazał się pewnymi zdolnościami.

– Tak, sir, wciąż dla nas pracuje.

– Czy mógłbyś go przywołać? Dziękuję! Byłbym ci też bardzo wdzięczny, gdybyś mógł mi rozmienić ten pięciofuntowy banknot.

Czternastoletni chłopiec o bystrej uważnej twarzy pojawił się posłusznie na wezwanie kierownika. Stał, wpatrując się z ogromnym szacunkiem w słynnego detektywa.

– Poproszę o listę hoteli. Dziękuję! A teraz, Cartwright, znajdziesz tu nazwy dwudziestu trzech hoteli, z których każdy jest położony w bezpośrednim sąsiedztwie Charing Cross. Rozumiesz?

– Tak, sir.

– Odwiedzisz je wszystkie po kolei.

– Tak, sir.

– Za każdym razem zaczniesz od wręczenia jednego szylinga portierowi stojącemu na zewnątrz. Tu masz dwadzieścia trzy szylingi.

– Tak, sir.

– Powiesz mu, że chciałbyś zobaczyć kosz z papierami z wczorajszego dnia. Powiesz, że ważny telegram nie dotarł do właściwych rąk i że właśnie go szukasz, rozumiesz?

– Tak, sir.

– Jednak tym, czego naprawdę będziesz szukał, jest środkowa strona z „Timesa” z dziurami wyciętymi nożyczkami. Tu masz ten egzemplarz „Timesa”. Chodzi o tę stronę. Z łatwością ją rozpoznasz, prawda?

– Tak, sir.

– W każdym przypadku portier stojący na zewnątrz zawoła recepcjonistę, któremu również dasz szylinga. Tu masz kolejne dwadzieścia trzy szylingi. Zapewne w jakichś dwudziestu przypadkach na dwadzieścia trzy dowiesz się wtedy, że papiery z poprzedniego dnia spalono lub wyrzucono. W pozostałych trzech przypadkach pokażą ci stertę papierów, a ty postarasz się w niej znaleźć tę stronę z „Timesa”. Szanse, że ją odszukasz, są bardzo niewielkie. Masz tu jeszcze dodatkowe dziesięć szylingów na wszelki wypadek. Prześlij mi przed wieczorem telegramem raport na Baker Street. A teraz, Watsonie, pozostaje nam tylko ustalić telegraficznie tożsamość dorożkarza numer 2704. Następnie zajrzymy do jednej z galerii obrazów przy Bond Street, aby wypełnić sobie jakoś czas aż do naszego spotkania w hotelu.

Rozdział piąty

Trzy przerwane wątki

Sherlock Holmes, gdy tylko miał na to ochotę, wprowadzał w życie niezwykłą umiejętność odrywania się od sprawy, nad którą pracował. Przez kolejne dwie godziny wydawało się, że dziwna zagadka, w którą się zaangażowaliśmy, odeszła na dalszy plan, a Holmesa całkowicie pochłonęły płótna współczesnych belgijskich mistrzów. Od momentu gdy wyszliśmy z galerii, aż do chwili, kiedy się znaleźliśmy w hotelu „Northumberland”, nie mówił o niczym innym, tylko o dziełach sztuki, do których zresztą miał niezwykle emocjonalne podejście.

– Sir Henry Baskerville oczekuje panów na górze – oznajmił recepcjonista. – Prosił mnie, bym wskazał panom drogę, gdy się już pojawicie.

– Czy miałby pan coś przeciwko temu, abym zajrzał do waszego rejestru gości? – spytał Holmes.

– Absolutnie nie.

Do księgi gości po nazwisku Baskerville’a wpisano jeszcze dwa nazwiska. Jedno brzmiało: Theophilus Johnson z Newcastle (przybył z rodziną); drugim gościem była pani Oldmore Alton z High Lodge ze swoją pokojówką.

– To na pewno ten sam Johnson, którego kiedyś znałem – powiedział Holmes do recepcjonisty. – Jest prawnikiem, prawda? Taki siwy i trochę kuleje?

– Nie, sir, ten pan Johnson jest właścicielem kopalni węgla. To bardzo energiczny dżentelmen, nie starszy niż pan.

– Na pewno się pan nie myli co do jego fachu?

– Nie, sir. Zatrzymuje się w tym hotelu od wielu lat, i jest nam bardzo dobrze znany.

– Och, to rozwiązuje sprawę. A pani Oldmore… Wydaje mi się, że to nazwisko coś mi mówi. Proszę mi wybaczyć moją ciekawość, jednak często, natrafiając na jakiegoś przyjaciela, człowiek odnajduje innego.

– To niepełnosprawna dama, sir. Jej mąż był kiedyś burmistrzem Glocester. Zawsze się u nas zatrzymuje, kiedy jest w mieście.

– Dziękuję. Niestety, obawiam się, że jej nie znam.

Ruszyliśmy dalej.

– Dzięki tym pytaniom ustaliliśmy niezwykle ważny fakt, Watsonie – ciągnął ściszonym głosem Holmes, gdy wchodziliśmy po schodach. – Wiemy teraz, że ludzie, którzy tak interesują się naszym przyjacielem, nie zatrzymali się w tym samym hotelu co on. A to oznacza, że chociaż − jak się przekonaliśmy − zależy im na tym, aby go śledzić, równie mocno dbają o to, by ich nie zobaczył. A to niezwykle wymowny fakt.

– A do jakiego wniosku cię to prowadzi?

– Do takiego, że… Hola, mój drogi przyjacielu! A cóż się tutaj dzieje?

Gdy doszliśmy do szczytu schodów, wpadliśmy na sir Henry’ego Baskerville’a we własnej osobie. Jego twarz była czerwona od gniewu, a w ręku trzymał stary, przybrudzony but. Był tak wściekły, że ledwie potrafił wykrztusić słowo, a kiedy wreszcie przemówił, odezwał się ze znacznie silniejszym amerykańskim akcentem niż podczas naszej porannej rozmowy.

– Wydaje mi się, że w tym hotelu mają mnie za jakiegoś frajera – wykrzyknął. – Dowiedzą się, że zadarli z niewłaściwym człowiekiem, chyba że zaczną uważać na to, co robią! Do diabła, jeśli ten facet nie znajdzie mojego brakującego buta, to popadnie w tarapaty. Nie to, żebym się nie znał na żartach, panie Holmes, ale tym razem już trochę przesadzili.

– Nadal szuka pan swojego buta?

– Tak, sir. I zamierzam go znaleźć.

– Jednak, jak pamiętam, mówił pan, że był to nowy brązowy but.

– Zgadza się, sir. A teraz brakuje starego czarnego.

– Co takiego? Chce pan powiedzieć, że…

– Tak, właśnie to chcę powiedzieć. Miałem tylko trzy pary butów. Nowe brązowe, stare czarne i te z lakierowanej skóry, które mam na sobie. Wczoraj w nocy ukradli mi jeden z tych brązowych, a dzisiaj ktoś podwędził mi czarny. I co, masz go? No, odezwij się, człowieku. Nie stój tak i się nie gap!

W pobliżu pojawił się zażenowany Niemiec z obsługi hotelowej.

– Nie mam, proszę pana. Pytałem w całym hotelu, ale nikomu nic o tym nie wiadomo.

– No cóż, albo te buty pojawią się tutaj przed zachodem słońca, albo porozmawiam z kierownikiem i poinformuję go, że natychmiast wyprowadzam się z tego hotelu!

– Na pewno się znajdą, sir. Obiecuję panu, że jeśli tylko wykaże się pan odrobiną cierpliwości, na pewno się znajdą.

– Dopilnuj, żeby tak się stało, bo to będzie ostatnia rzecz, która zostanie mi ukradziona w tej jaskini złodziei. Proszę, proszę, panie Holmes. Niech mi pan wybaczy, że kłopoczę go taką błahostką…

– Myślę, że ta błahostka jest tego warta.

– Cóż, wydaje mi się, że bardzo poważnie pan do tego podchodzi.

– A jak pan to wyjaśni?

– Nawet nie próbuję tego wyjaśniać! To chyba najbardziej szalona i najdziwniejsza rzecz, jaka mi się w życiu przytrafiła.

– Najdziwniejsza, być może… – rzekł z namysłem Holmes.

– A co pan myśli na ten temat?

– Nie twierdzę jeszcze, że to rozumiem. Ta pańska sprawa jest niezwykle złożona, sir Henry. Jeśli uwzględnimy jeszcze śmierć pańskiego wuja, to nie jestem pewien, czy wśród wszystkich tych pięciuset spraw o ogromnym znaczeniu, jakimi się zajmowałem, znalazłaby się choć jedna, która byłaby równie zawiła. Mamy jednak w rękach kilka wątków, i istnieje szansa, że jeśli nie ten, to inny przywiedzie nas do prawdy. Być może stracimy czas, podążając za tym, który zawiedzie nas donikąd, mimo to prędzej czy później musimy natrafić na właściwy.

Zjedliśmy lunch w przyjemnej atmosferze, niewiele mówiąc o problemie, który nas tu zgromadził. Następnie przeszliśmy do prywatnego salonu, gdzie Holmes zapytał Baskerville’a, jakie są jego zamiary.

– Zamierzam się udać do rezydencji Baskerville’ów.

– A kiedy?

– Pod koniec tego tygodnia.

– Ogólnie rzecz biorąc – rzekł Holmes – uważam, że podjął pan rozsądną decyzję. Mam wystarczające dowody świadczące o tym, że tu, w Londynie ktoś depcze panu po piętach, a wśród milionów osób zamieszkujących to wielkie miasto niełatwo odkryć, kto to jest i jakie mogą być jego zamiary.

Jeśli są nieprzyjazne, może wyrządzić panu krzywdę, a my nie będziemy w stanie zrobić niczego, aby temu zapobiec. Doktorze Mortimer, czy wie pan, że dziś rano po opuszczeniu mojego domu byliście śledzeni?

Doktor Mortimer gwałtownie zerwał się na nogi.

– Śledzeni! Przez kogo?

– Tego, niestety, nie jestem w stanie powiedzieć. Czy ma pan jakiegoś sąsiada lub znajomego z Dartmoor, który nosi czarną krzaczastą brodę?

– Nie… Ale chwileczkę… No cóż, tak. Barrymore, kamerdyner sir Charlesa, ma taką brodę.

– Ha! A gdzie jest teraz Barrymore?

– Opiekuje się rezydencją.

– Najlepiej zrobimy, sprawdzając, czy istotnie tam jest, ponieważ nie można wykluczyć, że w rzeczywistości przebywa w Londynie.

– Jak to sprawdzimy?

– Potrzebuję formularza do telegramów. „Czy wszystko gotowe na przyjazd sir Henry’ego?”. Tyle wystarczy. Zaadresujemy to do pana Barrymore’a z rezydencji Baskerville’ów. Gdzie jest najbliższe biuro telegraficzne? W Grimpen. Bardzo dobrze. Drugi telegram wyślemy do naczelnika poczty w Grimpen: „Telegram należy dostarczyć panu Barrymore’owi do rąk własnych. W przypadku jego nieobecności proszę przesłać depeszę zwrotną sir Henry’emu Baskerville’owi, hotel „Northumberland”. W ten sposób jeszcze przed wieczorem dowiemy się, czy Barrymore pozostaje na swoim miejscu w Devonshire, czy nie.

– Aha! – zabrał głos Henry Baskerville. – A tak przy okazji, doktorze Mortimer, kim jest ten Barrymore?

– To syn dawnego zarządcy, który już nie żyje. Ta rodzina służy w rezydencji od czterech pokoleń. O ile wiem, Barrymore i jego żona są równie godni szacunku jak wszyscy inni w tym hrabstwie.

– Jednakże – rzekł Baskerville – oczywistym jest, że dopóki nikt z mojej rodziny nie zamieszkuje rezydencji, ci ludzie mają wspaniały dom i niewiele do roboty.

– To prawda.

– Czy Barrymore został wymieniony w testamencie sir Charlesa? – zapytał Holmes.

– Oboje odziedziczyli po pięćset funtów.

– Ha! Wiedzieli, że dostaną taką kwotę?

– Tak. Sir Charles bardzo lubił mówić na temat zapisów zawartych w swoim testamencie.

– To niezwykle interesujące.

– Mam nadzieję – odezwał się doktor Mortimer – że nie patrzy pan podejrzliwie na każdego, komu sir Charles coś zapisał, bo mnie także co nieco pozostawił: tysiąc funtów.

– Doprawdy? Wymieniał kogoś jeszcze?

– Przekazał mnóstwo drobnych sum różnym ludziom i wielu publicznym organizacjom charytatywnym. Całą resztę zapisał sir Henry’emu.

– A na ile opiewała ta reszta?

– Siedemset czterdzieści tysięcy funtów.

Holmes zdumiony uniósł brwi.

– Nie miałem pojęcia, że chodzi o tak gigantyczną kwotę – rzekł.

– Sir Charles uchodził za bogacza, jednak nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak ogromna była jego fortuna, dopóki nie przejrzeliśmy papierów wartościowych. W sumie jego majątek wart był prawie milion.

– Ho, ho! To stawka, o którą niejeden człowiek mógłby podjąć desperacką grę. Jeszcze jedno pytanie, doktorze Mortimer. Zakładając, że coś by się przytrafiło naszemu obecnemu tu młodemu przyjacielowi – proszę mi wybaczyć tę nieprzyjemną hipotezę – kto odziedziczyłby wówczas rezydencję?

– Ponieważ Rodger Baskerville, młodszy brat sir Charlesa, już zmarł, a nigdy się nie ożenił, rezydencja przypadłaby Desmondom, dalekim kuzynom rodu. James Desmond to starszy człowiek, jest pastorem w Westmorland.

– Dziękuję panu. Wszystkie te szczegóły są niezmiernie interesujące. Poznał pan pana Jamesa Desmonda?

– Tak, przyjechał raz w odwiedziny do sir Charlesa. Sprawiał wrażenie czcigodnego człowieka, wiodącego nieomal święty żywot. Pamiętam, że nie chciał przyjąć jakiegokolwiek legatu od sir Charlesa, choć ten bardzo nalegał, by coś mu pozostawić.

– I ten człowiek, który prowadzi tak proste życie, zostałby dziedzicem fortuny sir Charlesa?

– Odziedziczyłby rezydencję, ponieważ tak postanowiono. Dostałby również w spadku pieniądze, gdyby obecny właściciel, który może

oczywiście zrobić z nimi wszystko, na co ma ochotę, nie ustanowił w testamencie inaczej.

– A pan, sir Henry? Sporządził już pan swój testament?

– Nie, panie Holmes. Nie miałem nawet na to czasu, bo dopiero wczoraj dowiedziałem się, jak się sprawy mają. W każdym razie uważam, że pieniądze powinny podążać razem z tytułem i rezydencją. Tego pragnąłby mój biedny wuj. Jak właściciel miałby przywrócić Baskerville'om ich dawny splendor, gdyby brakowało mu gotówki na utrzymanie posiadłości? Dom, ziemia i pieniądze powinny iść ze sobą w parze.

– W istocie.

– No cóż, sir Henry, zgadzam się z panem co do tego, że powinien pan bezzwłocznie udać się do Devonshire. Mam tylko jedno zastrzeżenie. Z całą pewnością nie może pan jechać sam.

– Doktor Mortimer wraca ze mną.

– Ale doktor Mortimer musi się zajmować swoją praktyką, ponadto mieszka wiele mil od pana. Nawet przy jak najlepszych intencjach prawdopodobnie nie będzie w stanie panu pomóc. Musi pan wziąć kogoś ze sobą, jakiegoś zaufanego człowieka, który zawsze będzie w pobliżu.

– Czy mógłby pan pojechać ze mną, panie Holmes?

– Jeżeli dojdzie do krytycznej sytuacji, spróbuję się tam zjawić osobiście. Proszę jednak zrozumieć, że prowadzę szeroką praktykę detektywistyczną i nieustannie docierają do mnie z wielu miejsc prośby o pomoc. Nie mogę więc zniknąć z Londynu na nieokreślony czas. Obecnie jeden z najbardziej szanowanych ludzi w Anglii jest właśnie oczerniany przez szantażystę i tylko ja jestem w stanie powstrzymać skandal, który mógłby go zrujnować. Widzi pan, że w moim przypadku wyprawa do Dartmoor jest w tej chwili po prostu niemożliwa.

– Kogo w takim razie pan poleca?

Holmes położył dłoń na moim ramieniu.

– Jeśli mój przyjaciel się tego podejmie, to nie ma drugiego takiego człowieka, który powinien czuwać przy pańskim boku, gdy znajdzie się pan w tarapatach. Nikt nie może powiedzieć tego z większą pewnością niż ja.

Propozycja ta całkowicie mnie zaskoczyła, jednak nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, Baskerville schwycił moją dłoń i serdecznie ją uścisnął.

– To naprawdę bardzo miło z pańskiej strony, doktorze Watson – rzekł. – Widzi pan, jak wygląda moja sprawa, i wie pan o niej tyle co ja sam. Jeżeli uda się pan ze mną do rezydencji Baskerville’ów i będzie nade mną czuwał, nigdy mu tego nie zapomnę.

Zawsze fascynowała mnie perspektywa przygody, a słowa Holmesa i skwapliwość, z jaką baronet powitał mnie jak swego druha, bardzo mi pochlebiły.

– Z przyjemnością z panem pojadę – odparłem. – Nie wiem, jak mógłbym lepiej wykorzystać swój czas.

– I będziesz mi składał szczegółowe raporty – rzekł Holmes. – Gdy zaczną się kłopoty, a dojdzie do tego na pewno, pokieruję twoimi działaniami. Zakładam, że wszyscy panowie będą gotowi do soboty?

– Czy odpowiada to doktorowi Watsonowi?

– Jak najbardziej.

– W takim razie, o ile nic nie ulegnie zmianie, spotkamy się w sobotę o dziesiątej trzydzieści w pociągu odchodzącym z Paddington.

Wstaliśmy, kierując się do wyjścia, gdy nagle Baskerville zerwał się z okrzykiem triumfu i zanurkował w kąt pokoju, wyciągając spod szafki brązowy but.

– Mój zgubiony but! – zawołał.

– Oby wszystkie trudności rozwiały się równie łatwo – rzekł Sherlock Holmes.

– A jednak to bardzo dziwna sprawa – zauważył doktor Mortimer. – Przed lunchem niezwykle dokładnie przeszukałem ten pokój.

– Ja również – zapewnił sir Baskerville. – Sprawdziłem tu każdy zakamarek.

– Z całą pewnością nie było tutaj tego buta.

– W takim razie kelner musiał go tu zostawić, kiedy jedliśmy lunch.

Posłano po Niemca, ten jednak uparcie utrzymywał, że nic o tym nie wie, i dalsze dopytywanie niczego nie wyjaśniło. Przybyła w ten sposób kolejna pozycja do tej nieustannie rosnącej i pozornie niemającej żadnego sensu listy drobnych niewytłumaczalnych epizodów, które następowały tak szybko jeden po drugim. Pomijając nawet ponurą historię związaną ze śmiercią sir Charlesa, mieliśmy do czynienia z szeregiem niewyjaśnionych wypadków, które wydarzyły się w ciągu zaledwie dwóch dni: otrzymanie spreparowanego z wycinków listu, czarnobrody szpieg w kabriolecie, utrata

nowego brązowego buta, utrata starego czarnego buta, a teraz jeszcze odzyskanie tego pierwszego. Gdy wracaliśmy dorożką na Baker Street, Holmes milczał przez całą drogę, a jego ściągnięte brwi i skupiona twarz świadczyły o tym, że podobnie jak ja pochłonięty był szukaniem schematu, do którego wszystkie te dziwne i na pozór niezwiązane ze sobą epizody można by było dopasować. Przez całe popołudnie aż do późnego wieczora siedział pogrążony w myślach, otoczony kłębami tytoniowego dymu.

Przed samym obiadem dostarczono dwa telegramy. Pierwszy z nich brzmiał: „Właśnie się dowiedziałem, że Barrymore jest w rezydencji. Baskerville”. Drugi zaś: „Zgodnie ze wskazówkami byłem w dwudziestu trzech hotelach, lecz z przykrością donoszę, że nie zdołałem znaleźć pociętej strony «Timesa». CARTWRIGHT”.

– Tak oto urywają się dwa moje tropy, Watsonie. Nie ma nic bardziej stymulującego niż sprawa nieukładająca się po twojej myśli. Musimy się rozejrzeć za jakimiś innymi śladami.

– Wciąż jeszcze mamy dorożkarza, który woził tego szpiega.

– Dokładnie. Wysłałem telegram, by dowiedzieć się jego nazwiska i adresu z oficjalnego rejestru. Nie byłbym zaskoczony, gdyby właśnie nadchodziła odpowiedź na moje pytanie.

Dźwięk dzwonka, który rozległ się w tym momencie, potwierdził przeczucia Holmesa. Drzwi się otworzyły, i do pokoju wszedł prosty mężczyzna, w którym rozpoznaliśmy naszego dorożkarza.

– Otrzymałem wiadomość z centrali, że jakiś dżentelmen spod tego adresu dopytywał się o dorożkę numer 2704 – powiedział. – Jeżdżę tą dorożką od siedmiu lat i nikt nigdy nie zgłaszał żadnych skarg. Przyszedłem tutaj prosto z Yard, aby zapytać pana wprost, jakie ma pan zastrzeżenia.

– Ależ absolutnie żadnych, mój dobry człowieku – odparł Holmes. – Wręcz przeciwnie, mam tu dla pana pół suwerena, jeśli udzieli pan jasnej odpowiedzi na moje pytanie.

– No cóż, w takim razie wygląda na to, że mam dziś dobry dzień – rzekł dorożkarz z szerokim uśmiechem. – Czego chciałby się pan dowiedzieć, sir?

– Przede wszystkim pańskiego nazwiska i adresu, na wypadek gdybym znów pana potrzebował.

– John Clayton, Turpey Street 3, Borough. Moja dorożka należy do Shipley Yard, przy stacji Waterloo.

Holmes zanotował sobie te informacje.

– A teraz, panie Clayton, proszę mi opowiedzieć o kliencie, który zjawił się dziś o dziesiątej rano i obserwował ten dom, a następnie śledził dwóch dżentelmenów na Regent Street.

Mężczyzna wyglądał na zaskoczonego i trochę zakłopotanego.

– Hm, nie ma sensu, żebym panu o tym opowiadał, bo wygląda na to, że wie pan już tyle co i ja – odparł. – Prawdę mówiąc, ten mężczyzna wyjawił mi, że jest detektywem, i prosił, bym nikomu o tym nie wspominał.

– Mój przyjacielu, to bardzo poważna sprawa, a pan sam może się znaleźć w dość kłopotliwej sytuacji, jeśli będzie próbował coś przede mną zataić. Twierdzi pan, że klient wspomniał, iż jest detektywem?

– Tak.

– A kiedy to powiedział?

– Na odchodnym.

– Powiedział coś jeszcze?

– Wymienił swoje nazwisko.

Holmes rzucił mi szybkie, triumfalne spojrzenie.

– Och, podał swoje nazwisko? Doprawdy, bardzo nierozsądnie. A jakież to nazwisko wymienił?

– Powiedział – odparł dorożkarz – że nazywa się Sherlock Holmes.

Nigdy nie zdarzyło mi się widzieć mojego przyjaciela tak kompletnie zaskoczonego jak wówczas, gdy usłyszał odpowiedź dorożkarza. Przez chwilę siedział zdumiony, milcząc. Następnie wybuchnął donośnym śmiechem.

– Punkt dla niego, Watsonie. Nie da się zaprzeczyć, że mnie przechytrzył – powiedział. – Cios równie szybki i zręczny jak mój własny. Tym razem bardzo pięknie wystrychnął mnie na dudka. A więc nazywał się Sherlock Holmes, tak?

– Tak, sir. Takie nazwisko podał ten dżentelmen.

– Doskonale! Teraz niech mi pan powie, skąd go pan zabrał. I proszę mi opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło.

– Przywołał moją dorożkę o wpół do dziesiątej na Trafalgar Square. Powiedział, że jest detektywem, i zaproponował mi dwie gwinee, jeśli przez cały dzień będę robił dokładnie to, co mi powie, nie zadając żadnych pytań. Z ochotą na to przystałem. Najpierw pojechaliśmy pod hotel „Northumberland” i czekaliśmy tam, dopóki nie wyszło z niego dwóch

dżentelmenów, którzy wsiedli do jednej ze stojących przed hotelem dorożek. Jechaliśmy za nimi, dopóki nie zatrzymali się gdzieś w tej okolicy.

– Konkretnie pod tymi drzwiami – powiedział Holmes.

– Nie jestem tego pewien, ośmielę się jednak stwierdzić, że mój klient doskonale o tym wiedział. Zatrzymaliśmy się mniej więcej w połowie ulicy i czekaliśmy przez półtorej godziny. Potem tych dwóch dżentelmenów minęło nas pieszo, a my śledziliśmy ich na Baker Street, a później…

– Wiem – rzekł Holmes.

– Tak było, dopóki nie przejechaliśmy trzech czwartych Regent Street. Wtedy mój klient otworzył okienko w dachu i krzyknął, że mam natychmiast pędzić na stację Waterloo. Pogoniłem kobyłę batem i dojechaliśmy tam w niecałe dziesięć minut. Zapłacił mi obiecane dwie gwinee i poszedł na stację. Gdy już odchodził, odwrócił się i powiedział: „Może cię zainteresuje, że woziłeś pana Sherlocka Holmesa”. Tak się właśnie dowiedziałem, jak się nazywał.

– Rozumiem. A potem już go pan nie widział?

– Nie, od chwili gdy zniknął na stacji.

– A jak by pan opisał pana Sherlocka Holmesa?

Dorożkarz podrapał się po głowie.

– No cóż, tak naprawdę to wcale niełatwo opisać tego dżentelmena. Na oko miał jakieś czterdzieści lat i był średniego wzrostu, o jakieś dwa czy trzy cale niższy od pana, sir. Odziany jak człowiek z wyższych sfer, był blady i miał czarną brodę, prosto przyciętą na końcu. Nie wiem, czy mogę coś więcej o nim powiedzieć.

– Jakiego koloru miał oczy?

– Tego nie jestem w stanie sobie przypomnieć.

– Niczego już pan więcej nie pamięta?

– Nie, sir. To wszystko.

– Trudno, w takim razie tu jest pańskie pół suwerena. I czeka kolejne, jeśli będzie pan w stanie dostarczyć mi nowych informacji. Dobranoc!

– Dobranoc, sir. I dziękuję.

John Clayton wyszedł, chichocząc, a Holmes wzruszył ramionami i zwrócił się do mnie ze smutnym uśmiechem.

– I tak oto urywa się nasz trzeci trop, więc dotarliśmy do punktu, z którego wyszliśmy – powiedział. – Co za chytry drań. Wiedział, pod jakim numerem mieszkam. Wiedział, że sir Henry Baskerville zwrócił się

do mnie o radę. Na Regent Street zobaczył mnie i rozpoznał, domyślił się, że zapamiętałem numer jego dorożki i że dotrę do woźnicy, a więc przysłał mi tę bezczelną wiadomość. Mówię ci, Watsonie, tym razem mamy wroga, który nam dorównuje. W Londynie dał mi szacha i mata. Mogę ci tylko życzyć, żeby w Devonshire bardziej ci się poszczęściło. Ale nie jest mi z tym lekko.

– Z czym?

– Z tym, że cię tam wysyłam. To paskudna sprawa, Watsonie. Paskudna, niebezpieczna sprawa. I im więcej się o niej dowiaduję, tym mniej mi się podoba. Tak, mój drogi przyjacielu, możesz się z tego śmiać, ale daję ci słowo, że bardzo się ucieszę, gdy już zdrowy i bezpieczny powrócisz na Baker Street.

Rozdział szósty

Rezydencja Baskerville'ów

Sir Henry i doktor Mortimer byli gotowi w umówionym dniu, i zgodnie z planem wyruszyliśmy razem do Devonshire. Sherlock Holmes odwiózł mnie na stację i przed odjazdem udzielił mi ostatnich rad i wskazówek.

– Nie chcę, żebyś miał jakiekolwiek uprzedzenia, Watsonie, nie będę więc ci sugerował żadnych moich teorii – powiedział. – Chciałbym po prostu, byś relacjonował mi fakty, najpełniej jak to będzie możliwe. Tymczasem wyciąganie wniosków możesz pozostawić mnie.

– Jakiego rodzaju fakty? – spytałem.

– Wszystko, co może się wydawać, że ma wpływ na sprawę, choćby tylko pośrednio. A zwłaszcza relacje pomiędzy młodym Baskerville’em a jego sąsiadami czy jakiekolwiek nowe szczegóły dotyczące okoliczności śmierci sir Charlesa. W ciągu ostatnich paru dni sam próbowałem się kilku rzeczy dowiedzieć, obawiam się jednak, że bez pozytywnych rezultatów. Tylko jedno wydaje się pewne, a mianowicie to, że James Desmond, następny w kolejności dziedzic po sir Charlesie, jest starszym dżentelmenem o bardzo życzliwym usposobieniu, tak więc te zajścia, o jakich wiemy, nie mają z nim nic wspólnego. Jestem przeświadczony, że możemy wykluczyć go całkowicie z naszych rozważań. Pozostają więc ludzie z wrzosowiska mieszkający wokół posiadłości sir Henry’ego Baskerville’a.

– Czy nie byłoby dobrze najpierw pozbyć się tej pary Barrymore’ów?

– Absolutnie nie! Nie mógłbyś popełnić większego błędu. Jeśli są niewinni, byłoby to okrutną niesprawiedliwością, jeżeli zaś są winni, zniweczylibyśmy wszelkie szanse, aby im to udowodnić. Nie, nie. Zachowamy ich na naszej liście podejrzanych. No i jest jeszcze stajenny z rezydencji, o ile sobie dobrze przypominam. Są dwaj rolnicy

z wrzosowiska. Jest nasz przyjaciel, doktor Mortimer, który, jak mniemam, jest bardzo uczciwym człowiekiem, no i jego żona, o której nie wiemy nic. Poza tym mamy jeszcze tego przyrodnika, Stapletona, i jego siostrę, ponoć młodą atrakcyjną damę. Jest też pan Frankland z Lafterhall, o którym też nic nie wiemy, a także paru innych sąsiadów. To są ludzie, na których powinieneś skupić swoją uwagę.

– Postaram się najlepiej, jak potrafię.

– Zakładam, że masz broń?

– Tak, pomyślałem, że rozsądnie będzie wziąć ją ze sobą.

– Z całą pewnością. Trzymaj pod ręką rewolwer w dzień i w nocy i nigdy nie zaniedbuj środków ostrożności.

Nasi towarzysze zarezerwowali już przedział w wagonie pierwszej klasy i czekali na nas na peronie.

– Nie, nie mamy żadnych nowych wieści – odparł doktor Mortimer na pytania mojego przyjaciela. – Mogę jedynie pana zapewnić, że w ciągu ostatnich dwóch dni nie byliśmy śledzeni. Zawsze gdy wychodziliśmy, zachowywaliśmy absolutną czujność, nikt więc nie mógł umknąć naszej uwadze.

– Zakładam, że przez cały czas trzymali się panowie razem?

– Z wyjątkiem wczorajszego popołudnia. Zazwyczaj gdy przyjeżdżam do miasta, jeden dzień przeznaczam wyłącznie na rozrywki. Spędziłem go więc w muzeum College of Surgeons.

– A ja poszedłem popatrzeć na ludzi w parku – powiedział Baskerville. – Ale nie mieliśmy żadnych kłopotów.

– Niemniej było to nierozsądne – rzekł Holmes bardzo poważnie, potrząsając głową. – Bardzo pana proszę, sir Henry, żeby nigdzie nie chodził pan sam. Jeśli będzie pan tak postępował, przytrafi się mu jakieś wielkie nieszczęście. Znalazł się pański drugi but?

– Nie, sir. Przepadł na dobre.

– No proszę. To bardzo interesujące. Cóż, w takim razie do zobaczenia – dodał, gdy pociąg ruszył z peronu. – Sir Henry, proszę pamiętać o jednym zdaniu z tej dziwacznej starej legendy, którą odczytał nam doktor Mortimer. Niech pan wystrzega się wrzosowiska w tych ciemnych godzinach, gdy moce zła są najsilniejsze.

Obejrzałem się, kiedy peron został już daleko za nami. Dostrzegłem wysoką szczupłą sylwetkę Holmesa, który stał bez ruchu i patrzył w naszą

stronę.

Podróż minęła nam szybko i przyjemnie. Spędziłem czas, zaznajamiając się bliżej z moimi dwoma towarzyszami i bawiąc się ze spanielem doktora Mortimera. Po kilku zaledwie godzinach brunatna ziemia nabrała rdzawej barwy, a glina ustąpiła miejsca granitowi. Brązowe krowy pasły się na otoczonych żywopłotami polach, których wysokie trawy i bujniejsza roślinność świadczyły o łagodniejszym, ale wilgotniejszym klimacie. Młody Baskerville z zaciekawieniem wyglądał przez okno i wydawał z siebie okrzyki zachwytu, rozpoznając znane sobie elementy scenerii hrabstwa Devon.

– Zwiedziłem większą część świata, odkąd stąd wyjechałem, doktorze Watson – powiedział. – Nigdy jednak nie widziałem miejsca, które mogłoby się równać z tym.

– Ja zaś nigdy nie spotkałem człowieka z Devonshire, który by nie kochał swojego hrabstwa – zauważyłem.

– Zależy to w równym stopniu od pochodzenia ludzi co od samego hrabstwa – rzekł doktor Mortimer. – Jeden rzut oka na naszego przyjaciela zdradza, że okrągły kształt jego głowy charakterystyczny dla Celtów wiąże się z celtyckim entuzjazmem i silnym przywiązaniem do ziemi. Czaszka biednego sir Charlesa była bardzo rzadkiego typu, w połowie celtycka, w połowie iweryjska. Ale musiał być pan bardzo młody, gdy ostatni raz widział pan rezydencję Baskerville’ów, prawda?

– Byłem kilkunastoletnim chłopcem, gdy zmarł mój ojciec. Nigdy nie widziałem rezydencji, bo mieszkaliśmy w małym domku na południowym wybrzeżu Anglii. Stamtąd udałem się prosto do przyjaciela w Ameryce. Mogę panów zapewnić, że to wszystko jest dla mnie równie nowe co dla doktora Watsona. I nie mogę się już doczekać, by ujrzeć wrzosowisko!

– Doprawdy? Wobec tego pańskie życzenie z łatwością się spełnia, bo tu właśnie po raz pierwszy otwiera się na nie widok – powiedział doktor Mortimer, wskazując na okno wagonu.

Nad zielonymi prostokątami pól i niską linią lasu wznosiło się w dali szare, melancholijne wzgórze o postrzępionym szczycie, ciemne i zamglone niczym jakiś fantastyczny krajobraz ze snu. Baskerville siedział przez pewien czas, w milczeniu się w nie wpatrując. Mogłem wyczytać z jego skupionej twarzy, jak wiele dla niego znaczyło po raz pierwszy ujrzeć to dziwne miejsce, gdzie mężczyźni z jego rodu panowali od tak dawna

i pozostawili po sobie niezatarte wspomnienie. Siedział tak w swym tweedowym garniturze w kącie zwykłego wagonu kolejowego i choć mówił z amerykańskim akcentem, gdy spojrzałem w jego śniadą wyrazistą twarz, silniej niż kiedykolwiek przedtem poczułem, że jest prawdziwym potomkiem tej długiej linii władczych arystokratów o ognistym temperamencie. Jego krzaczaste brwi, delikatne nozdrza i wielkie piwne oczy wyrażały dumę, odwagę i siłę. Jeśli na tym złowrogim wrzosowisku czekać nas miało trudne i niebezpieczne zadanie, był to przynajmniej towarzysz, z którym można było podjąć ryzyko, nie tracąc przy tym pewności, że dzielnie stawi mu czoła.

Pociąg zatrzymał się na niewielkiej stacji, gdzie wysiedliśmy. Na zewnątrz, za niskim, białym ogrodzeniem, czekał na nas powóz zaprzężony w parę krępych i silnych koni. Nasze przybycie było najwyraźniej ważnym wydarzeniem, bo zjawił się kierownik stacji, a bagażowi stłoczyli się wokół, żeby odnieść nasze rzeczy. To była miła, skromna miejscowość, z zaskoczeniem jednak spostrzegłem, że przy bramie stoi dwóch uzbrojonych mężczyzn, ubranych w ciemne uniformy. Oparci o swoje krótkie karabiny bacznie się nam przyglądali, gdy przechodziliśmy obok.

Stangret, sękaty niski człowiek o twardych rysach, powitał sir Henry’ego Baskerville’a i po kilku minutach pędziliśmy już szeroką białą drogą. Pofalowane pastwiska po jej obu stronach wznosiły się coraz wyżej, a stare domy z facjatkami wyzierały spośród zieleni gęstego listowia. Jednakże za tym spokojnym krajobrazem, oblanym słonecznym światłem, coraz wyraźniej wznosiła się ciemniejąca na tle wieczornego nieba długa, ponura linia wrzosowiska, przerywana gdzieniegdzie postrzępionymi złowieszczymi wzgórzami.

Powóz skręcił w boczny trakt. Jechaliśmy pod górę wąskimi koleinami od stuleci wyjeżdżonymi przez koła, a po obu stronach drogi wznosiły się wały ciężkie od ociekającego wilgocią mchu i mięsistych liści języcznika. Rdzawe paprocie i cętkowane liście jeżyn błyszczały w świetle zachodzącego słońca. Wciąż pnąc się pod górę, minęliśmy wąski granitowy mostek i przejechaliśmy nad głośno szumiącym wartkim strumieniem, spienionym i huczącym pomiędzy szarymi głazami. Droga i strumień wiły się przez dolinę gęsto porośniętą niskimi dębami i jodłami.

Na każdym zakręcie Baskerville wydawał z siebie okrzyki zachwytu, energicznie rozglądając się dookoła i zadając niezliczone pytania. Dla niego

wszystko było tutaj piękne, ja tymczasem odczuwałem nutki melancholii unoszące się nad tą okolicą, na której tak wyraźnie odcisnęło się piętno zbliżającego się ku końcowi roku. Żółte liście wyścielały drogę i z furkotem opadały na nasz powóz. Skrzypienie kół milkło, gdy przejeżdżaliśmy przez kopce gnijących liści, które wydawały mi się niczym smutne podarunki, jakie natura rzucała przed powóz powracającego dziedzica Baskerville'ów.

– Hola! – krzyknął nagle doktor Mortimer. – A to co?

Przed nami wznosiła się krzywizna porośniętego wrzosem pagórka, zewnętrzne pasmo wrzosowiska. Na jego szczycie widniała ciemna ponura sylwetka – konny żołnierz z karabinem na ramieniu, niczym statua jeźdźca umieszczona na piedestale. Obserwował drogę, którą akurat podróżowaliśmy.

– Co to ma znaczyć, Perkinsie? – spytał doktor Mortimer.

Nasz woźnica odwrócił się lekko na siedzeniu.

– Z Princetown zbiegł więzień, sir. Jest na wolności już od trzech dni, i strażnicy obserwują wszystkie drogi i stacje, ale do tej pory go nie znaleziono. Tutejszym rolnikom to się nie podoba, sir.

– Domyślam się, że dostaną pięć funtów, jeśli udzielą jakiejś informacji o nim?

– Tak, sir, ale szansa otrzymania pięciu funtów jest niczym wobec tego, że ktoś może poderżnąć im gardło. Widzi pan, to nie jest jakiś zwykły więzień. Ten człowiek zabiłby za nic.

– Doprawdy? A kim on jest?

– To Selden, morderca z Notting Hill.

Dobrze pamiętałem tę sprawę, ponieważ Holmes interesował się nią kiedyś ze względu na szczególne okrucieństwo i bezsensowną brutalność cechujące wszystkie działania tego zabójcy. Przekształcenie wyroku śmierci na dożywocie związane było z pewnymi wątpliwościami, czy jest on całkowicie zdrowy na umyśle, tak nieludzkie były bowiem jego zbrodnie.

Nasz powóz wjechał na szczyt wzniesienia, i przed nami otworzyła się ogromna przestrzeń wrzosowiska, poznaczona ostrymi, urwistymi kopcami i skalistymi wzgórzami. Powiał od niego zimny wiatr i przeszył nas wszystkich lodowaty dreszcz. Gdzieś tam, na upiornym pustkowiu, czaił się ten ścigany przestępca, kryjąc się w jakiejś norze niczym dzikie zwierzę, z sercem wypełnionym nienawiścią wobec całej ludzkiej rasy, która go odrzuciła. Tylko tego brakowało, by dopełnić przygnębiającego obrazu

jałowego pustkowia, przeszywanego zimnym wiatrem, i ciemniejącego nieba. Nawet Baskerville zamilkł i otulił się szczelniej płaszczem.

Za nami, w dole, pozostały żyzne tereny. Obejrzeliśmy się, aby raz jeszcze na nie spojrzeć. W ukośnych promieniach słońca wędrującego nisko nad horyzontem strumienie wydawały się niczym złote nici, połyskujące na tle rdzawej, świeżo zaoranej ziemi i szerokiej gęstwiny lasów. Droga przed nami stawała się z każdą chwilą coraz bardziej ponura i dzika. Biegła wśród rdzawooliwkowych stoków upstrzonych gigantycznymi głazami. Od czasu do czasu mijaliśmy jakieś domostwa o kamiennych ścianach i szarych dachach, nie porastał ich jednak żaden bluszcz, który łagodziłby ich surowe kontury. Nagle znaleźliśmy się nad zagłębieniem w kształcie niecki pokrytym połaciami skarlałych dębów i jodeł, poskręcanych i powyginanych przez wściekłe wichry wiejące tu latami. Nad drzewami wznosiły się dwie wysokie, wąskie wieże. Woźnica wskazał na nie swoim biczem.

– Rezydencja Baskerville’ów – powiedział.

Dziedzic powstał i wpatrywał się w budowlę z zarumienioną twarzą i błyszczącymi oczyma. Kilka minut później dotarliśmy do stróżówki przy bramie wykonanej z kutego żelaza. Naznaczone zębem czasu filary po obu stronach zarysowane były plamami porostów i zwieńczone głowami dzików z herbu Baskerville’ów. Ze stróżówki została dziś tylko ruina z czarnego granitu o obnażonych krokwiach, jednak naprzeciw niej stał nowy budynek, zaledwie w połowie ukończony – pierwszy efekt wykorzystywania złota zdobytego przez sir Charlesa w południowej Afryce.

Wjechaliśmy bramą w aleję, gdzie turkot kół znów głuszyły zwiędłe liście, a gałęzie starych drzew splecione ze sobą tworzyły mroczny tunel nad naszymi głowami. Baskerville wzdrygnął się, patrząc na długi ciemny podjazd, na którego końcu migotała niczym widmo sylwetka domostwa.

– Czy to się stało tutaj? – zapytał ściszonym głosem.

– Nie, nie. Cisowa aleja jest po drugiej stronie.

Młody dziedzic rozejrzał się wokół z posępnym obliczem.

– Nic dziwnego, że mój wuj czegoś się obawiał – powiedział. – To miejsce wystraszyłoby każdego. W ciągu sześciu miesięcy każę tu i przed samą rezydencją zainstalować latarnie elektryczne, a wtedy go, panowie, nie poznacie.

Aleja wyprowadziła nas na rozległą przestrzeń pokrytą murawą. Przed nami znajdował się dom w całej swej okazałości. W gasnącym świetle dnia dostrzegłem, że jego centralną część stanowiła ciężka bryła z wysuniętym gankiem. Cały front porastał bluszcz, choć go gdzieniegdzie wycięto, by odsłonić okno czy herb Baskerville'ów prześwitujący przez ciemną zasłonę zieleni. Nad tą główną bryłą wznosiły się dwie wieże, bardzo stare, zwieńczone krenelażem i podziurawione licznymi otworami strzelniczymi. Po obu stronach wież rozciągały się nowocześniejsze skrzydła budynku wzniesione z czarnego granitu. Z ciężkich wielodzielnych okien sączyło się słabe światło, a z jednego z wysokich kominów nad stromym, spadzistym dachem wzbijał się w niebo pojedynczy słup czarnego dymu.

– Witamy w rezydencji Baskerville'ów, sir Henry!

Wysoki mężczyzna wyłonił się z cienia ganku i otworzył drzwiczki powozu. Na tle żółtego światła widocznego z wnętrza pojawiła się sylwetka kobiety, która również podeszła i pomagała teraz mężowi przy naszych bagażach.

– Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli pojadę prosto do domu, sir Henry? – spytał doktor Mortimer. – Żona na mnie czeka.

– Ale niechże pan zostanie chociaż na kolację!

– Nie, muszę jechać. Prawdopodobnie w domu czeka mnie jeszcze praca. Zostałbym, żeby oprowadzić pana po posiadłości, ale Barrymore będzie lepszym przewodnikiem niż ja. Do zobaczenia. I proszę się nie wahać posłać po mnie, we dnie czy w nocy, kiedy tylko będę mógł się na coś przydać.

Turkot kół ucichł na podjeździe. Sir Henry i ja weszliśmy do przedsionka, a za nami z ciężkim odgłosem zatrzasnęły się drzwi. Znaleźliśmy się w pięknej sali – wielkim, przestronnym pomieszczeniu podpieranym ogromnymi poczerniałymi ze starości dębowymi słupami. W olbrzymim, staromodnym kominku, za wysoką żelazną kratą, strzelał i trzaskał ogień. Sir Henry i ja wyciągnęliśmy w jego kierunku dłonie, bo przemarzliśmy podczas długiej podróży. Następnie rozejrzeliśmy się po komnacie. Ujrzeliśmy duży, wysoko umieszczony stary witraż, dębowe boazerie, głowy jeleni i herby wiszące na ścianach. Wszystko to wydawało się przyćmione i ponure w słabym świetle wiszącej pośrodku lampy.

– Jest dokładnie taka, jak ją sobie wyobrażałem – powiedział sir Henry. – Czyż to nie sama kwintesencja starej rodowej siedziby? Pomyśleć tylko, że

moi przodkowie żyli tu przez pięćset lat! Sama myśl o tym jest niezwykła.

Zauważyłem, że gdy się rozglądał, na jego śniadej twarzy zapłonął chłopięcy entuzjazm. Mimo że światło padało dokładnie tam gdzie stał, na ścianach kładły się długie cienie, wiszące nad młodym dziedzicem niczym czarna kopuła.

Barrymore, który poszedł zanieść bagaże do naszych pokoi, teraz powrócił i stał przed nami, z szacunkiem czekając na dalsze dyspozycje. Był mężczyzną o wyjątkowym wyglądzie, wysokim, przystojnym, z czarną, prosto przystrzyżoną brodą i bladą twarzą o szlachetnych rysach.

– Czy życzy pan sobie, by natychmiast podano kolację, sir?

– Jest już gotowa?

– Będzie gotowa za kilka minut, sir. W pokojach znajdą panowie gorącą wodę. Sir Henry, ja i moja żona będziemy bardzo szczęśliwi, mogąc zostać z panem aż do chwili, gdy podejmie pan nowe decyzje. Jednak rozumie pan zapewne, że odtąd ten dom będzie wymagał znacznie liczniejszej służby.

– Dlaczegóż to?

– Sir, chodzi mi tylko o to, że sir Charles był starszym człowiekiem, i oboje z żoną byliśmy w stanie zatroszczyć się o wszystkie jego potrzeby. Pan będzie zapewne częściej pragnął towarzystwa, potrzebne więc będą zmiany w całym domu.

– Czy to znaczy, że chcecie odejść?

– Tylko wówczas, jeśli będzie pan sobie tego życzył, sir.

– Ale twoja rodzina mieszkała z naszą od wielu pokoleń, prawda? Byłoby mi przykro, gdybym miał rozpocząć nowe życie tutaj, zrywając tę starą rodzinną więź.

Wydawało mi się, że dostrzegam oznaki poruszenia na bladej twarzy kamerdynera.

– Też tak to widzę, sir. Podobnie jak moja żona. Jednak prawdę mówiąc, oboje byliśmy bardzo przywiązani do sir Charlesa. Jego śmierć była dla nas szokiem, i teraz w tym otoczeniu czujemy się bardzo przygnębieni. Obawiam się, że już nigdy się na dobre nie odnajdziemy w rezydencji Baskerville’ów.

– Co zamierzacie zrobić?

– Mam nadzieję, że uda nam się otworzyć własny interes. Dzięki hojności sir Charlesa mamy akurat na to środki. A teraz, sir, powinienem chyba pokazać panom ich pokoje.

Nad starym holem znajdowała się kwadratowa galeryjka z balustradą, na którą prowadziły podwójne schody. Z tego centralnego punktu biegły dwa korytarze, ciągnące się przez całą długość budynku i prowadzące do wszystkich sypialni. Sypialnie moja i Baskerville'a znajdowały się w tym samym skrzydle, właściwie prawie ze sobą sąsiadowały.

Pokoje na górze były urządzone znacznie bardziej nowocześnie niż centralna część domu, a jasne tapety i liczne świece łagodziły nieco ponure wrażenie, czające się w moim umyśle od chwili przyjazdu. Jednakże jadalnia, do której wchodziło się z holu, była posępnym miejscem pełnym cieni. W tej długiej komnacie znajdowało się podwyższenie, gdzie zasiadali domownicy, na które wchodziło się po stopniach. Niższa część była zarezerwowana dla służby. Przy jednym końcu sali jadalnej znajdowała się galeryjka dla minstreli. Nad naszymi głowami biegły czarne dźwigary, podtrzymujące ściemniałe od dymu sklepienie. Niegdyś, gdy rozświetlały je zapalone pochodnie, a wnętrze rozbrzmiewało odgłosami barwnej starodawnej uczty, mogło być tu weselej. Teraz jednak, kiedy dwóch odzianych na czarno dżentelmenów siedziało w niewielkim kręgu światła rzucanego przez osłoniętą lampę, mimowolnie miało się ochotę zniżyć głos, a w duszę wdzierał się smutek.

Z obrazów na ścianach spoglądali na nas przodkowie w najróżniejszych ubiorach, od elżbietańskiego rycerza aż po strojnisia z okresu regencji, onieśmielając nas swym milczącym towarzystwem. Rozmawialiśmy niewiele, i bardzo się cieszyłem, gdy posiłek wreszcie dobiegł końca, a my mogliśmy przejść do nowoczesnej sali bilardowej i zapalić papierosa.

– Słowo daję, nie jest to zbyt radosne miejsce – powiedział sir Henry. – Przypuszczam, że można się do niego przyzwyczaić, ale w tej chwili czuję się trochę tak, jakbym tutaj nie pasował. Nie dziwię się, że mój wuj stał się nieco nerwowy, mieszkając zupełnie sam w takim domu. Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, doktorze, położymy się dzisiaj wcześnie spać. Być może rano wszystko przedstawi nam się w jaśniejszych barwach.

Zanim poszedłem do łóżka, rozsunąłem zasłony i wyjrzałem przez okno. Zobaczyłem trawnik przed drzwiami do rezydencji. Nieco dalej dwa zagajniki jęczały i drżały pod wpływem wzmagającego się wichru. Przez szczelinę w gnanych wiatrem chmurach prześwitywał sierp księżyca. W jego zimnym świetle ujrzałem postrzępioną linię skał za drzewami

i długą niską krzywiznę melancholijnego wrzosowiska. Zasunąłem story, przekonany, że moje ostatnie wrażenie potwierdziło jedynie to poprzednie.

A jednak nie miała to być ostatnia przygoda tego dnia. Byłem zmęczony, ale nie mogłem zasnąć. Nieustannie przewracałem się z boku na bok, jednak upragniony sen nie nadchodził. Gdzieś daleko zegar z kurantem wybijał kolejne kwadranse, lecz poza tym nad starym domem zawisła martwa cisza. A potem nagle, w samym środku nocy, do moich uszu dotarł dźwięk, wyraźny i wibrujący, którego nie sposób było pomylić z niczym innym. To był szloch kobiety. Stłumiony, zduszony szloch kogoś udręczonego niemożliwym do opanowania smutkiem. Usiadłem na łóżku i w skupieniu słuchałem. Dźwięk nie mógł dobiegać z zewnątrz, z całą pewnością jego źródło znajdowało się gdzieś w domu. Przez pół godziny, z nerwami napiętymi do granic możliwości, czekałem, jednak płacz już się nie powtórzył, nie usłyszałem też żadnego innego dźwięku z wyjątkiem kurantów zegara i szelestu bluszczu porastającego ścianę.

Rozdział siódmy

Stapletonowie z Merripit House

Świeże piękno poranka zatarło nieco w naszych umysłach ponure wrażenie, jakie pozostawiło w nas obu pierwsze zetknięcie z rezydencją Baskerville’ów. Gdy razem z sir Henrym siedzieliśmy przy śniadaniu, przez wysokie wielodzielne okna spływały ku nam promienie słońca, a witraże z herbami tworzyły jasne kolorowe plamy. W złocistym świetle dnia ciemna boazeria lśniła niczym brąz, i trudno było uwierzyć, że rzeczywiście była to ta sama komnata, która poprzedniego wieczoru wprawiła nas w tak ponury nastrój.

– Przypuszczam, że możemy winić tylko samych siebie, a nie dom – powiedział baronet. – Byliśmy zmęczeni podróżą i przemarznięci, więc całe to miejsce wydało nam się szare i przygnębiające. Teraz czujemy się wypoczęci i mamy na wszystko inne spojrzenie.

– A jednak nie do końca było to wytworem naszej wyobraźni – odparłem. – Czy nie słyszał pan przypadkiem, jak ktoś w nocy szlochał? Wydaje mi się, że to była kobieta.

– To ciekawe, bo kiedy już zasypiałem, odniosłem wrażenie, że słyszę coś takiego. Przez jakiś czas czekałem, ale już się nie powtórzyło, doszedłem więc do wniosku, że to był tylko sen.

– Ja słyszałem to bardzo wyraźnie. Jestem przekonany, że naprawdę był to płacz kobiety.

– Musimy zaraz to sprawdzić. – Zadzwonił, a gdy Barrymore przyszedł, zapytał go, czy potrafi jakoś wyjaśnić to, co usłyszeliśmy. Zdawało mi się, że na dźwięk słów młodego pana blade oblicze kamerdynera zbielało jeszcze bardziej.

– W tym domu są tylko dwie kobiety, sir Henry – odparł. – Jedna z nich to kucharka, która śpi w drugim skrzydle. Drugą jest moja żona, i mogę

panów zapewnić, że to nie ona płakała tej nocy.

A jednak mówiąc to, skłamał, ponieważ tak się złożyło, że po śniadaniu spotkałem panią Barrymore w długim korytarzu. Była potężną, spokojną kobietą o ciężkich rysach i surowych ustach. Nagle jej twarz znalazła się w pełnym słońcu, i wówczas zdradziły ją oczy, zaczerwienione, patrzące na mnie spod zapuchniętych powiek. A więc to ona płakała w nocy, a skoro tak było, to jej mąż musiał o tym wiedzieć. Utrzymując, że było inaczej, podejmował oczywiste ryzyko, że jego kłamstwo się wyda. Dlaczego to zrobił? I dlaczego ona tak rozpaczliwie szlochała?

Tego przystojnego mężczyznę o bladej cerze i czarnej brodzie otaczała ponura, tajemnicza atmosfera. To on jako pierwszy znalazł ciało sir Charlesa, i jeśli chodzi o wszystkie okoliczności, które doprowadziły do śmierci starego baroneta, opieraliśmy się wyłącznie na jego słowach. Czy to możliwe, że człowiekiem, którego widzieliśmy w dorożce na Regent Street, był mimo wszystko Barrymore? Broda się zgadzała. Dorożkarz opisywał nieco niższego mężczyznę, jednak tego rodzaju wrażenia często bywają błędne. Jak mogłem raz na zawsze rozstrzygnąć tę kwestię? Oczywiście pierwszą rzeczą, którą powinienem był zrobić, było spotkanie z kierownikiem poczty w Grimpen. W ten sposób mogłem się dowiedzieć, czy telegram rzeczywiście dostarczono Barrymore’owi do rąk własnych. Niezależnie od otrzymanej odpowiedzi miałbym przynajmniej coś, o czym mógłbym donieść Holmesowi.

Po śniadaniu sir Henry miał do przejrzenia dużo dokumentów, nadszedł więc odpowiedni moment na moją wycieczkę. Był to przyjemny czteromilowy spacer skrajem wrzosowiska, który w końcu doprowadził mnie do małej szarej osady, nad którą wyraźnie górowały dwa większe budynki. Okazało się, że jeden z nich to gospoda, drugi zaś jest domem doktora Mortimera. Kierownik poczty, będący równocześnie właścicielem sklepu spożywczego we wsi, dobrze pamiętał telegram.

– Oczywiście, sir – powiedział. – Kazałem dostarczyć ten telegram panu Barrymore’owi dokładnie według instrukcji.

– Kto go dostarczył?

– Mój syn. James, dostarczyłeś depeszę panu Barrymore’owi z rezydencji w zeszłym tygodniu, prawda?

– Tak, ojcze. Dostarczyłem.

– Do rąk własnych? – spytałem.

– Pan Barrymore był wtedy na strychu, więc nie mogłem przekazać mu jej do rąk własnych, ale dałem ją pani Barrymore, a ona obiecała, że natychmiast mu ją dostarczy.

– Widziałeś pana Barrymore’a?

– Nie, sir. Mówiłem już panu, że był na strychu.

– Skoro go nie widziałeś, to skąd możesz wiedzieć, że tam był?

– Hm, jego własna żona powinna wiedzieć najlepiej, gdzie był – rzekł cierpko kierownik poczty. – Czyżby nie dostał telegramu? Jeśli popełniono jakiś błąd, to pan Barrymore może za to winić tylko siebie.

Kontynuowanie tego śledztwa wydało mi się bezcelowe. Stało się dla mnie jasne, iż mimo wybiegu Holmesa nadal nie mieliśmy żadnych dowodów na to, że Barrymore nie przebywał przez cały ten czas w Londynie. Załóżmy, że tak było. Załóżmy, że ten sam człowiek był ostatnim, który widział sir Charlesa żywego, i pierwszym, który zaczął śledzić nowego dziedzica, kiedy ten powrócił do Anglii. I co wówczas? Czy działał na zlecenie innych, czy też sam miał jakieś mroczne zamiary? Jaki mógłby mieć interes w prześladowaniu rodziny Baskerville’ów? Zastanawiałem się nad tym dziwnym ostrzeżeniem wyciętym z głównego artykułu „Timesa”. Czy było to jego dziełem? A może zrobił to ktoś, kto pragnął pokrzyżować mu plany? Jedyny rozsądny motyw zasugerował już sir Henry – taki mianowicie, że jeśli udałoby się odstraszyć ród Baskerville’ów, Barrymore’owie zapewniliby sobie na stałe bardzo wygodne lokum.

Z pewnością jednak takie tłumaczenie nie wystarczało, aby wyjaśnić te podstępne, subtelne knowania, które wydawały się otaczać młodego baroneta niczym niewidzialna sieć. Nawet sam Holmes przyznawał, że mimo tak licznych sensacyjnych spraw, jakie kiedykolwiek rozwiązywał, nie miał dotąd do czynienia z bardziej złożonym przypadkiem. Wracając szarą, pustą drogą, pragnąłem gorąco, żeby mój przyjaciel szybko uwolnił się od swoich zajęć i mógł tu przyjechać, by zdjąć z moich barków ten ogromny ciężar odpowiedzialności.

Moje rozmyślania przerwał nagle odgłos zbliżających się kroków i głos wołający mnie po nazwisku. Odwróciłem się przekonany, że ujrzę doktora Mortimera, jednak ku mojemu zaskoczeniu biegł za mną jakiś nieznajomy. Był to niski, szczupły, gładko ogolony mężczyzna o poważnej twarzy, włosach koloru lnu i wąskiej szczęce, w wieku trzydziestu–czterdziestu lat.

Miał na sobie szarą marynarkę, a na głowie słomiany kapelusz. Przez ramię przewiesił metalowe pudełko na okazy botaniczne, w dłoni trzymał zieloną siatkę na motyle.

– Jestem pewien, że wybaczy mi pan moją bezczelność, doktorze Watson – powiedział, zbliżając się do mnie i dysząc z wysiłku. – Tutaj, na wrzosowisku wszyscy jesteśmy prostymi ludźmi i nie czekamy na to, aż ktoś zostanie nam oficjalnie przedstawiony. Być może słyszał pan już o mnie od naszego wspólnego przyjaciela, doktora Mortimera. Jestem Stapleton z Merripit House.

– Domyśliłem się już tego, widząc siatkę i to pudełko – odparłem, bo wiedziałem, że pan Stapleton jest przyrodnikiem. – Ale jak pan mnie rozpoznał?

– Byłem właśnie z wizytą u Mortimera. Pokazał mi pana z okna swego gabinetu, kiedy pan akurat przechodził. Ponieważ zmierzamy w tym samym kierunku, pomyślałem, że pana dogonię i przedstawię się. Mam nadzieję, że sir Henry czuje się dobrze po podróży?

– Ma się świetnie. Dziękuję.

– Wszyscy trochę się obawialiśmy, że po tragicznej śmierci sir Charlesa nowy baronet nie zechce tu zamieszkać. Domagać się, by zamożny człowiek zagrzebał się w miejscu takim jak to, jest bardzo wygórowanym życzeniem. Nie muszę chyba jednak panu tłumaczyć, jak wielkie ma to znaczenie dla całej okolicy. Spodziewam się, że sir Henry nie odczuwa w związku z tym żadnych zabobonnych lęków?

– Nie wydaje mi się, by to w ogóle było możliwe.

– Oczywiście zna pan legendę o diabelskim psie prześladującym rodzinę?

– Tak, słyszałem ją.

– To niesamowite, jak łatwowierni potrafią być wieśniacy w tych stronach. Wielu z nich gotowych byłoby przysiąc, że widzieli takie stworzenie na wrzosowisku – powiedział z uśmiechem. Z jego oczu można było jednak wyczytać, że traktował tę sprawę znacznie poważniej. – Ta historia wywarła ogromny wpływ na wyobraźnię sir Charlesa. Nie mam wątpliwości, że właśnie to doprowadziło do tak tragicznego końca.

– Ale w jaki sposób?

– Miał tak zszargane nerwy, że pojawienie się jakiegokolwiek psa mogło mieć fatalne skutki dla jego schorowanego serca. Zgaduję, że naprawdę

zobaczył coś takiego w cisowej alei. Od dawna bałem się, że może dojść do tragedii, bo bardzo lubiłem tego staruszka i wiedziałem, że miał słabe serce.

– Skąd pan to wiedział?

– Powiedział mi o tym mój przyjaciel, Mortimer.

– W takim razie uważa pan, że jakiś pies ścigał sir Charlesa, a on wskutek tego umarł ze strachu?

– A potrafi pan podać lepsze wyjaśnienie?

– Nie doszedłem jeszcze do żadnych wniosków.

– A pan Sherlock Holmes?

Gdy usłyszałem te słowa, na chwilę odjęło mi mowę, lecz jedno spojrzenie na łagodną twarz i spokojne oczy mojego towarzysza upewniły mnie, że nie chciał mnie zaskoczyć.

– To bez sensu, żebyśmy udawali, że pana nie znamy, doktorze Watson – powiedział. – Dotarła tu do nas sława pańskiego przyjaciela, detektywa, a pan nie może opisywać jego dokonań, sam nie stając się przy tym znanym. Gdy Mortimer wspomniał pańskie nazwisko, nie mógł zaprzeczyć, że chodzi właśnie o tego doktora Watsona. Skoro jest pan tutaj, wynika z tego, że Sherlock Holmes zainteresował się tą sprawą, i naturalnie bardzo mnie ciekawi, co też on sądzi na ten temat.

– Obawiam się, że nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– A mogę zapytać, czy sam pan Holmes zamierza zaszczycić nas wizytą?

– W tej chwili nie może opuścić miasta. Ma inne sprawy, które pochłaniają jego uwagę.

– Jaka szkoda! Mógłby rzucić nieco światła na to, co wydaje nam się tak nieprzeniknione. Jeżeli jednak chodzi o pańskie dociekania, to jeśli w jakikolwiek sposób mógłbym okazać się pomocny, ufam, że pan się do mnie zwróci. Gdybym się dowiedział, jakie są pańskie podejrzenia, lub poznał sposób, w jaki planuje pan prowadzić to śledztwo, być może mógłbym w czymś pomóc albo coś doradzić, nawet w tej chwili.

– Zapewniam pana, że przybyłem tu po prostu z wizytą do mojego przyjaciela, sir Henry’ego, i że nie jest mi potrzebna żadna pomoc.

– Doskonale – odparł Stapleton. – Ma pan pełne prawo być nieufnym i dyskretnym. Słusznie mi się należała ta reprymenda, bo mam wrażenie, że moje wścibstwo nie było niczym usprawiedliwione. Obiecuję panu, że więcej już nie wspomnę o tej sprawie.

Doszliśmy do miejsca, gdzie od drogi odchodziła wąska, trawiasta ścieżka, wijąca się przez wrzosowiska. Po prawej stronie leżało strome, upstrzone głazami wzgórze. Widniejące na nim ślady wskazywały, że dużo wcześniej wydobywano tutaj granit. Zwrócona ku nam ściana skalna tworzyła ciemne urwisko, w którego szczelinach rosły paprocie i jeżyny. W dali, nad wzniesieniem unosił się szary słup dymu.

– Krótki spacer tą ścieżką przez wrzosowisko doprowadzi nas do Merripit House – powiedział mój towarzysz. – Może zechce pan poświęcić godzinę, abym mógł mieć przyjemność przedstawić panu moją siostrę?

W pierwszej chwili pomyślałem, że powinienem być u boku sir Henry'ego. Później jednak przypomniałem sobie stertę papierów i rachunków, którymi zarzucony był stół w jego gabinecie. Byłem pewny, że w tym zajęciu akurat nie mogę mu pomóc. Poza tym Holmes wyraźnie mi powiedział, że powinienem uważnie się przyjrzeć sąsiadom z wrzosowiska. Przyjąłem więc zaproszenie Stapletona, i obaj weszliśmy na ścieżkę.

– To wrzosowisko to cudowne miejsce – powiedział, rozglądając się po falistych kotlinach i długich zielonych wzgórzach, zwieńczonych postrzępionym, tworzącym fantastyczne formy granitem. – Wrzosowisko nigdy się nie nudzi. Jest tak rozległe, jałowe i intrygujące. Nawet pan sobie nie wyobraża, jakież wspaniałe tajemnice tu się kryją.

– A więc zna je pan dobrze, prawda?

– Mieszkam tu zaledwie od dwóch lat. Miejscowi nazwaliby mnie nowo przybyłym. Przyjechaliśmy tu niedługo po tym, jak osiedlił się w tym miejscu sir Charles. Jednak z racji moich zamiłowań zbadałem każdy zakątek tych okolic i śmiem twierdzić, że niewiele jest osób, które znają je lepiej ode mnie.

– Tak trudno je poznać?

– Niezwykle trudno. Proszę spojrzeć na przykład na ogromną równinę na północ stąd, nad którą wznoszą się te dziwaczne wzgórza. Czy dostrzega pan tam coś godnego uwagi?

– Z największą przyjemnością pogalopowałbym po niej.

– W naturalny sposób nasuwa się panu ta myśl, która już wielu ludzi kosztowała życie. Widzi pan te gęsto porozrzucane jasnozielone plamy?

– Tak, wydają się żyźniejsze niż grunty dookoła.

Stapleton roześmiał się.

– To wielkie trzęsawisko Grimpen – powiedział. – Tam jeden niewłaściwy krok oznacza śmierć, dla człowieka czy dla zwierzęcia. Zaledwie wczoraj byłem świadkiem, jak zawędrował tam jeden z kucyków żyjących na wrzosowisku. Nigdy stamtąd nie powrócił. Jeszcze przez długi czas widziałem jego głowę wystającą nad powierzchnię bagna, ale w końcu całkowicie go wciągnęło. Nawet o suchej porze roku niebezpiecznie jest tamtędy przechodzić, a co dopiero po tych jesiennych deszczach – wówczas to naprawdę straszliwe miejsce. A jednak potrafię dotrzeć aż do samego serca trzęsawiska i powrócić stamtąd bezpiecznie. Na Jowisza, oto kolejny z tych biednych kucyków!

Coś brązowego szarpało się i rzucało wśród zielonej turzycy. Potem uniosła się w górę umęczona wijąca się szyja, a nad wrzosowiskiem odbiło się echem przeraźliwe rżenie. Poczułem zimny dreszcz grozy, wyglądało jednak na to, że mój towarzysz ma silniejsze nerwy niż ja.

– Już po nim! – powiedział. – Bagno go dopadło. To już drugi w ciągu ostatnich dwóch dni, a zapewne było ich o wiele więcej, bo mają zwyczaj tam chodzić, kiedy jest sucho. Nie potrafią wyczuć niebezpieczeństwa, dopóki moczary ich nie pochwycą. Trzęsawisko Grimpen to złe miejsce.

– I twierdzi pan, że potrafi się po nim poruszać?

– Tak. Jest parę ścieżek, którymi może przejść sprawny mężczyzna. Odkryłem je.

– Ale dlaczego ktoś chciałby chodzić w tak straszliwe miejsca?

– Widzi pan te wzgórza tam dalej? Są niczym wyspy odcięte ze wszystkich stron przez niedostępne trzęsawisko, które na przestrzeni lat do nich podpełzło. To właśnie tam można znaleźć rzadkie gatunki roślin i motyli, jeśli ma się na tyle inwencji, by do nich dotrzeć.

– Pewnego dnia spróbuję szczęścia.

Spojrzał na mnie zaskoczony.

– Na miłość boską! Proszę zapomnieć o tym pomyśle – powiedział. – Miałbym pańską śmierć na sumieniu. Zapewniam, że nie ma najmniejszych szans, aby powrócił pan stamtąd żywy. Ja sam jestem w stanie tego dokonać tylko dzięki temu, że pamiętam wiele niemal niewidocznych punktów orientacyjnych.

– Hola! – zawołałem. – A cóż to takiego?

Nad wrzosowiskiem rozległ się długi głęboki jęk, nieopisanie smutny. Wypełnił całe powietrze, a jednak nie sposób było powiedzieć, z której

dobiegał strony. Z głuchego szeptu przerodził się w groźny ryk, a następnie znów przeszedł w melancholijny pulsujący szept. Stapleton spojrzał na mnie, a jego twarz zdradzała ciekawość.

– Przedziwne miejsce to wrzosowisko – powiedział.

– Ale co to takiego?

– Wieśniacy mówią, że to pies Baskerville’ów przyzywa swoją ofiarę. Słyszałem te odgłosy już raz czy dwa razy, ale nigdy nie były aż tak donośne.

Rozejrzałem się z sercem ściśniętym zimnym lękiem po ogromnej falującej równinie, upstrzonej zielonymi połaciami sitowia. Nic się nie poruszało na tej ogromnej przestrzeni z wyjątkiem dwóch kruków, które głośno krakały ze skalistego wzgórza za nami.

– Jest pan wykształconym człowiekiem. Nie wierzy pan przecież w takie brednie? – powiedziałem. – Jak pan sądzi, co mogło być przyczyną tak dziwnego dźwięku?

– Bagna wydają czasem przedziwne odgłosy. Osadza się błoto, podnosi się poziom wody albo coś w tym rodzaju.

– Nie, nie. To był dźwięk wydawany przez żywą istotę.

– Cóż, być może. Słyszał pan kiedyś buczenie bąka?

– Nie, nigdy.

– To bardzo rzadki ptak. Obecnie w Anglii jest właściwie na wymarciu, ale na tym wrzosowisku wszystko jest możliwe. Tak, nie byłbym zaskoczony, gdybym się dowiedział, że właśnie słyszeliśmy krzyk jednego z ostatnich bąków w naszym kraju.

– To najdziwniejszy, najbardziej upiorny dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałem.

– Tak, w sumie to przedziwne miejsce. Proszę spojrzeć tam, na zbocze wzgórza. Co pan o nim sądzi?

Całą stromiznę stoku pokrywały kręgi szarych kamieni, których było co najmniej ze dwadzieścia.

– Co to jest? Zagrody dla owiec?

– Nie, to domostwa naszych czcigodnych przodków. Prehistoryczni ludzie licznie zamieszkiwali to wrzosowisko. A ponieważ potem nikt już tutaj właściwie nie przebywał, można znaleźć ich mieszkania dokładnie takimi, jakimi je pozostawili. Jedyne, czego im brak, to dachy. Może pan

nawet zobaczyć paleniska i posłania, jeśli ciekawość zawiedzie pana do środka.

– Ależ to prawie miasteczko. Kiedy było zamieszkiwane?

– W okresie neolitu. Nie znamy dokładniejszej daty.

– Czym się zajmowali?

– Wypasali na tych stokach swoje bydło i nauczyli się wydobywać cynę, gdy miecze z brązu zaczęły wypierać kamienne topory. Proszę spojrzeć na ten wielki rów wykopany we wzgórzu tam, naprzeciwko. To ślady, jakie po sobie pozostawili. Tak, doktorze Watson. Na tym wrzosowisku można znaleźć wiele osobliwości. Och, proszę mi na chwilę wybaczyć! To na pewno *Cyclopides*!

Nad naszą ścieżką zatrzepotała jakaś mała muszka czy ćma, a Stapleton w jednej chwili za nią pognał, wykazując się niezwykłą energią i szybkością. Ku mojemu przerażeniu stworzonko poleciało prosto nad wielkie trzęsawisko, jednak przyrodnik nie zawahał się ani przez chwilę, w pogoni przeskakując z jednej kępy trawy na drugą i wymachując w powietrzu swoją zieloną siatką. W szarym ubraniu, poruszając się zygzakiem, sam wyglądał niczym jakaś ogromna ćma. Stałem tak, przyglądając się temu pościgowi, z mieszaniną podziwu dla jego niezwykłej sprawności oraz lęku, że straci grunt pod nogami na tych zdradzieckich moczarach. I wtedy właśnie usłyszałem odgłos czyichś kroków.

Odwróciłem się i ujrzałem kobietę zbliżającą się do mnie ścieżką. Nadeszła z tej strony, gdzie słup dymu wskazywał położenie Merripit House, jednak obniżenie wrzosowiska skrywało ją przed moim wzrokiem aż do chwili, gdy była już całkiem blisko.

Nie miałem żadnych wątpliwości, że oto mam przed sobą pannę Stapleton, o której mi opowiadano. Pamiętałem z opisu, że była wyjątkową pięknością, poza tym damy na wrzosowisku spotykało się niezmiernie rzadko. Kobieta, która właśnie się do mnie zbliżała, z całą pewnością była nadzwyczaj piękna i odznaczała się niezwykłym typem urody. Trudno byłoby o większy kontrast pomiędzy dwojgiem rodzeństwa. Stapleton miał dość bladą cerę, jasne włosy i szare oczy, a żadna napotkana przeze mnie w Anglii brunetka nie miała tak ciemnej karnacji jak jego siostra. Była szczupła, elegancka i wysoka. Miała dumną twarz o pięknych rysach, tak regularnych, że mogłyby się wydawać beznamiętne, gdyby nie jej zmysłowe usta i ciemne bystre oczy. Ze swą perfekcyjną figurą

i w eleganckiej sukni rzeczywiście była przedziwnym zjawiskiem na osamotnionej ścieżce wiodącej przez wrzosowisko.

Kiedy się odwróciłem, patrzyła na brata. Następnie przyspieszyła kroku i podeszła do mnie. Uniosłem kapelusz i właśnie miałem coś wyjaśnić, gdy nagle jej słowa zwróciły moje myśli na zupełnie nowe tory.

– Proszę wracać! – powiedziała szybko. – Niech pan natychmiast wraca, prosto do Londynu!

Byłem tak zaskoczony, że mogłem jedynie stać i głupio się w nią wpatrywać. Spoglądała na mnie płomiennym wzrokiem, niecierpliwie udeptując ziemię stopą.

– Dlaczegóż miałbym wracać? – zapytałem.

– Nie potrafię tego wyjaśnić. – Mówiła cichym zniecierpliwionym głosem, dziwnie przy tym sepleniąc. – Ale, na Boga, niech pan zrobi to, o co pana proszę. Niech pan wraca i niechaj pańska noga nigdy już nie postanie na tym wrzosowisku.

– Ale przecież dopiero co przyjechałem.

– Człowieku! Człowieku! – zawołała. – Czy nie potrafi pan poznać, kiedy ktoś pana ostrzega dla jego własnego dobra? Proszę wracać do Londynu! Niech pan wyjedzie jeszcze dzisiejszej nocy. Proszę za wszelką cenę oddalić się od tego miejsca! Sza, mój brat idzie. Ani słowa o tym, co panu powiedziałam. Mógłby mi pan zerwać ten storczyk, tam, między skrzypami? Mamy tu na wrzosowisku bardzo wiele storczyków, choć oczywiście przyjechał pan zbyt późno, aby móc docenić piękno tego miejsca.

Stapleton zaprzestał swojego pościgu i wrócił do nas, ciężko dysząc, zarumieniony od wysiłku.

– Beryl! – powiedział, a ja odniosłem wrażenie, że ton tego pozdrowienia bynajmniej nie był serdeczny.

– Witaj, Jack. Widzę, że się strasznie zgrzałeś.

– Tak. Goniłem okaz *Cyclopides*. To niezwykle rzadki gatunek i nieczęsto można go spotkać późną jesienią. Jaka szkoda, że mi umknął! – mówił to lekkim tonem, lecz jego niewielkie jasne oczy nieustannie zerkały to na dziewczynę, to na mnie.

– Jak widzę, już się poznaliście.

– Tak. Mówiłam właśnie sir Henry’emu, że przybył raczej za późno, aby zobaczyć prawdziwe piękno wrzosowiska.

– Jak to? Więc myślisz, że to…

– Przypuszczam, że to musi być sir Henry Baskerville.

– Nie, nie – powiedziałem. – Jestem tylko zwykłym, skromnym człowiekiem, chociaż uważam się za jego przyjaciela. Doktor Watson, bardzo mi przyjemnie.

Po jej wyrazistej twarzy przemknął cień irytacji.

– Widzę, że mówiliśmy o dwóch różnych rzeczach – powiedziała.

– Cóż, nie mieliście zbyt dużo czasu na rozmowę – zauważył jej brat, wciąż podejrzliwie na nas spoglądając.

– Mówiłam tak, jakby doktor Watson był tutaj stałym mieszkańcem, nie zaś tylko gościem. Nie może mieć dla niego większego znaczenia, czy jest za wcześnie, czy za późno na storczyki. Ale bardzo proszę, niech pan uda się z nami i obejrzy Merripit House.

Dotarliśmy tam po krótkim spacerze. Był to posępny dom, niegdyś, w dawnych dobrych czasach, gospodarstwo jakiegoś rolnika wypasającego bydło. Teraz został odnowiony i przekształcony w nowoczesną siedzibę. Otaczał go sad, jednak jak wszędzie na wrzosowisku drzewa były skarlałe i poskręcane, a całe to melancholijne miejsce sprawiało przygnębiające wrażenie. Otworzył nam dziwny, pomarszczony, odziany w spłowiały płaszcz służący, który zapewne zajmował się domem. Zaskoczony ujrzałem wewnątrz przestronne pomieszczenia; zdawało mi się, że w ich eleganckim wystroju dostrzegam gust poznanej przeze mnie damy.

Gdy wyjrzałem przez okno na bezkresne, usiane granitami wrzosowisko, ciągnące się falującą linią aż po najdalszy kraniec horyzontu, mogłem się jedynie dziwić, co sprowadziło w takie miejsce tego wykształconego mężczyznę i tę zjawiskową kobietę.

– Dziwaczne miejsce wybraliśmy, prawda? – powiedział Stapleton, jakby czytając w moich myślach. – A jednak jakoś nam się udaje żyć tutaj całkiem szczęśliwie, prawda Beryl?

– Dość szczęśliwie – odrzekła, jednak w jej słowach dało się wyczuć, że nie jest o tym w pełni przeświadczona.

– Miałem kiedyś szkołę – powiedział Stapleton. – Na północy kraju. Dla człowieka z moim temperamentem była to mechaniczna, nieciekawa praca, bardzo jednak cieszyły mnie przywilej mieszkania z młodymi ludźmi i świadomość, że pomagam kształtować te młode umysły i wpajam im moje przekonania i ideały. Los jednak nie okazał się dla nas łaskawy. W szkole

wybuchła poważna epidemia, i trzech chłopców zmarło. Nigdy nie doszliśmy do siebie po tym ciosie, w dodatku bezpowrotnie straciłem znaczną część mojego kapitału. A jednak, gdyby nie utrata wspaniałego towarzystwa tych chłopców, mógłbym nawet się cieszyć z mej doli, bo przy głębokim zamiłowaniu do botaniki i zoologii znalazłem tutaj nieograniczony obszar działań, a moja siostra kocha naturę równie mocno jak ja. Proszę traktować moją opowieść, doktorze Watsonie, jako odpowiedź na pytanie, jakie odmalowało się na pańskiej twarzy, gdy przyglądał się pan przez okno wrzosowisku.

– Muszę przyznać, że przeszło mi przez myśl, iż może tu być nieco monotonnie… Zapewne nie tyle dla pana, ile dla pańskiej siostry.

– Nie, nie. Nigdy się tu nie nudzę – powiedziała szybko.

– Mamy swoje książki, swoje badania i mamy ciekawych sąsiadów. Doktor Mortimer jest niezwykle wykształconym człowiekiem, biegłym w swoim fachu. Biedny sir Charles również był wspaniałym towarzyszem. Dobrze go znaliśmy i trudno mi wyrazić, jak bardzo nam go brakuje. Myśli pan, że byłbym natrętny, gdybym wpadł dziś po południu do rezydencji i zaprosił do nas sir Henry’ego?

– Jestem pewien, że byłby zachwycony.

– W takim razie być może zechce pan wspomnieć o mojej propozycji. Na nasz skromny sposób możemy spróbować trochę uprzyjemnić mu życie, dopóki nie przyzwyczai się do nowego otoczenia. Doktorze Watson, czy miałby pan chęć wejść na górę i obejrzeć moją kolekcję motyli? Przypuszczam, że to najbardziej kompletny zbiór na południowym zachodzie Anglii. Zanim je pan obejrzy, lunch będzie już prawie gotów.

Ja jednak bardzo już chciałem wracać do mojego podopiecznego. Melancholijne wrzosowisko, śmierć nieszczęsnego kucyka, upiorny dźwięk kojarzony z ponurą legendą Baskerville’ów… Wszystkie te doznania wypełniały moje myśli niepokojem. A potem do tych niecodziennych wydarzeń doszło jeszcze zdecydowane i wyraźne ostrzeżenie panny Stapleton, wypowiedziane z tak śmiertelną powagą, że nie miałem wątpliwości, iż kryją się za nim jakieś ważkie i głębokie powody. Oparłem się wszelkim namowom, bym został na lunch, i natychmiast wyruszyłem z powrotem porośniętą trawą ścieżką, tą samą, którą tutaj dotarłem.

Najprawdopodobniej musiał istnieć jakiś skrót znany miejscowym, bo zanim jeszcze doszedłem do głównej drogi, ze zdumieniem ujrzałem pannę

Stapleton siedzącą na kamieniu przy skraju ścieżki. Jej twarz była pięknie zarumieniona od wysiłku, dłoń opierała na biodrze.

– Przez całą drogę biegłam, żeby pana wyprzedzić, doktorze Watson – powiedziała. – Nie miałam nawet czasu założyć kapelusza. Nie mogę się tu długo zatrzymywać, bo inaczej mój brat odkryje, że mnie nie ma. Chciałam panu powiedzieć, jak bardzo przepraszam za ten głupi błąd, jaki popełniłam, myśląc, że jest pan sir Henrym. Proszę zapomnieć o tych słowach, bo w żaden sposób one pana nie dotyczą.

– Ale ja nie potrafię o nich zapomnieć, panno Stapleton – odparłem. – Jestem przyjacielem sir Henry'ego i jego dobro bardzo leży mi na sercu. Proszę mi powiedzieć, dlaczego tak usilnie pragnęła pani namówić sir Henry'ego, aby powrócił do Londynu?

– Kobiecy kaprys, doktorze Watson. Gdy pozna mnie pan lepiej, zrozumie pan, że nie zawsze potrafię podać powody, dla których coś mówię lub robię.

– Nie, nie. Pamiętam to drżenie emocji w pani głosie. Pamiętam spojrzenie pani oczu. Bardzo proszę, niech pani będzie ze mną szczera. Panno Stapleton, odkąd tutaj przybyłem, jestem świadom wszystkich tych cieni, które mnie otaczają. Życie stało się niczym wielkie trzęsawisko Grimpen, pełne małych zielonych bagien, w które człowiek może się zapaść, jeśli nie ma przewodnika wskazującego mu drogę. Proszę mi powiedzieć, o co pani chodziło, a ja ze swej strony obiecam, że przekażę pani ostrzeżenie sir Henry'emu.

Na krótką chwilę twarz kobiety przybrała niezdecydowany wyraz, ale zaraz jej spojrzenie znów stało się twarde.

– Zbyt poważnie pan to wszystko traktuje, doktorze Watson – odparła. – Mój brat i ja byliśmy zrozpaczeni śmiercią sir Charlesa. Znaliśmy go bardzo dobrze, bo nasz dom leży na trasie jego ulubionego spaceru przez wrzosowiska. Był niezwykle przejęty klątwą wiszącą nad jego rodem, a gdy doszło do tej tragedii, uwierzyłam, że lęk, jaki odczuwał, musiał mieć jakieś głębsze przyczyny. Stąd moje ogromne przygnębienie, kiedy się dowiedziałam, że kolejny członek rodu zjawił zjawił się, aby tu zamieszkać. Pomyślałam, że powinnam go ostrzec przed niebezpieczeństwem, na jakie się naraża. To wszystko, co chciałam mu powiedzieć.

– Ale jakie to niebezpieczeństwo?

– Zna pan historię piekielnego psa?

– Nie wierzę w takie bajki.

– Ale ja wierzę. Jeśli ma pan jakikolwiek wpływ na sir Henry’ego, to proszę sprawić, by wyjechał jak najdalej od tego miejsca, które zawsze przynosiło nieszczęście jego rodzinie. Świat jest przecież wielki. Dlaczego baronet miałby mieszkać tam, gdzie coś mu grozi?

– Ponieważ to jest miejsce, w którym coś mu grozi. Sir Henry ma już taką naturę. Obawiam się, że jeśli nie przekaże mi pani bardziej konkretnych informacji, nie zdołam go przekonać do wyjazdu.

– Nie potrafię powiedzieć nic bardziej konkretnego, gdyż o niczym takim nie wiem.

– Chciałbym pani zadać jeszcze jedno pytanie, panno Stapleton. Skoro rozmawiając ze mną po raz pierwszy, rzeczywiście nie miała pani nic więcej na myśli, to dlaczego nie chciała pani, by usłyszał to jej brat? W tych słowach pani nie ma niczego, co mogłoby wzbudzić podejrzenia jego czy jakiejkolwiek innej osoby.

– Mojemu bratu bardzo zależy na tym, aby ktoś zamieszkał w rezydencji Baskerville’ów. Uważa, że wyjdzie to na dobre biednym ludziom z wrzosowiska. Byłby na mnie bardzo zły, gdyby się dowiedział, że powiedziałam coś, co mogłoby skłonić sir Henry’ego do wyjazdu. Teraz jednak spełniłam swój obowiązek i już o tym nie wspomnę. Muszę wracać, bo zauważy, że mnie nie ma, i zacznie podejrzewać, że z panem rozmawiałam. Do widzenia! – odwróciła się i po paru chwilach zniknęła wśród porozrzucanych głazów. Ja zaś, z duszą pełną niejasnych lęków, udałem się w powrotną drogę do rezydencji Baskerville’ów.

Rozdział ósmy

Pierwszy raport doktora Watsona

Od tej chwili będę przedstawiał bieg wydarzeń, przepisując moje listy do Sherlocka Holmesa, które leżą przede mną na stole. Zawieruszyła się gdzieś jedna strona, lecz poza tym niczego nie brakuje, są dokładnie takie, jak je napisałem. Odzwierciedlą one moje ówczesne uczucia i podejrzenia znacznie wierniej, niż mogłaby tego dokonać moja pamięć, mimo że zachowałem bardzo wyraźne wspomnienia tych tragicznych wypadków.

Rezydencja Baskerville'ów, 13 października

Mój drogi Holmesie!

Moje poprzednie listy i telegramy dość dokładnie i na bieżąco informowały Cię o wszystkim, co wydarzyło się w tym najbardziej zapomnianym przez Boga zakątku świata. Im dłużej człowiek tu przebywa, tym bardziej atmosfera wrzosowiska przenika jego duszę swym bezmiarem, jak również i swoim ponurym urokiem.

Kiedy już się tutaj znajdziesz, zostawiasz za sobą wszelkie ślady nowoczesnej Anglii, lecz z drugiej strony wszędzie wokół widzisz domostwa i dzieła prehistorycznych ludzi. Kiedy się tędy przechadzasz, ze wszystkich stron otaczają Cię domy tego zapomnianego ludu, jego grobowce i ogromne monolity, które najpewniej oznaczały miejsca jego świątyń. Gdy patrzysz na te szare, kamienne chatki stojące na poznaczonych bliznami rozpadlin stokach wzgórz, pozostawiasz za sobą włas-ną epokę. Gdybyś ujrzał odzianego w skóry włochatego człowieka wypełzającego z niewysokiego ukrycia i nakładającego strzałę z krzemiennym grotem na cięciwę swego łuku, odniósłbyś wrażenie, że jego obecność tutaj jest bardziej zasadna niż twoja własna.

Zastanawia mnie, że ci ludzie zamieszkiwali tak licznie ziemie, które od zawsze były dość nieurodzajne. Nie jestem archeologiem, lecz domyślam się, że musiał to być jakiś pokojowo nastawiony prześladowany lud, który zmuszono, by zadowolił się miejscem, w jakim nikt inny nie chciał się osiedlić.

Jednakże wszystko to nie jest związane z misją, z którą mnie tutaj wysłałeś, i prawdopodobnie okaże się wyjątkowo nieciekawe dla Twego ścisłego, praktycznego umysłu. Wciąż pamiętam kompletną obojętność, z jaką podszedłeś do

kwestii, czy to Słońce kręci się wokół Ziemi, czy też Ziemia dookoła Słońca. Pozwól zatem, że przejdę do faktów dotyczących sir Henry'ego Baskerville'a.

Jeśli w ciągu ostatnich kilku dni nie otrzymałeś żadnego raportu, to stało się tak tylko dlatego, że aż do dziś nie wydarzyło się nic istotnego, z czego mógłbym zdać Ci relację. Potem doszło do bardzo zaskakującego zdarzenia, o którym opowiem Ci we właściwym czasie. Przede wszystkim jednak muszę zadbać o to, abyś był na bieżąco z pewnymi innymi okolicznościami wywierającymi wpływ na sytuację.

Jedną z nich, o której do tej pory niewiele pisałem, jest obecność na wrzosowisku zbiegłego więźnia. Mamy w tej chwili przekonujące powody, by sądzić, że udało mu się wydostać z tych okolic, co nastraja pozytywnie tutejszych samotnych mieszkańców. Od jego ucieczki upłynęły już dwa tygodnie, podczas których nikt go nie widział i nikt o nim nie słyszał. To z całą pewnością niemożliwe, by tak długo mógł się ukrywać gdzieś na wrzosowisku. Oczywiście jeśli chodzi o kryjówkę, bez problemu zapewniłoby mu ją którekolwiek z tych kamiennych domostw. Nie miałby jednak czym się żywić, chyba że schwytałby i zarżnął jedną z pasących się na wrzosowisku owiec. Uważamy więc, że już go tutaj nie ma, a rolnicy z położonych na uboczu gospodarstw śpią dzięki temu spokojniej.

W rezydencji Baskerville'ów mieszka teraz czterech sprawnych mężczyzn, moglibyśmy więc całkiem dobrze o siebie zadbać. Przyznaję jednak, że miałem czarne myśli, jeśli chodzi o Stapletonów. Mieszkają oddaleni o wiele mil od kogokolwiek, kto mógłby im udzielić pomocy. Są tam pokojówka, starszy służący oraz siostra i brat, przy czym ten ostatni nie jest zbyt silnym mężczyzną. Wobec takiego desperata jak ten przestępca z Notting Hill byliby bezbronni, gdyby postanowił do nich wtargnąć. Sir Henry i ja martwimy się o nich i sugerowaliśmy nawet, żeby stajenny Perkins chodził tam spać, ale Stapleton nie chciał nawet o tym słyszeć.

Muszę wyjawić, że nasz przyjaciel baronet zaczyna wykazywać coraz wyraźniejsze zainteresowanie urodziwą sąsiadką. I nie ma się czemu dziwić, ponieważ w tym opuszczonym miejscu czas musi się wyjątkowo dłużyć mężczyźnie tak aktywnemu jak on, ona zaś jest niezwykle fascynującą i piękną kobietą. Ma w sobie coś tropikalnego i egzotycznego, co stanowi uderzający kontrast z chłodem i niewrażliwością jej brata. Jednak i on nie jest do końca tak beznamiętny, na jakiego wygląda. Z całą pewnością ma bardzo duży wpływ na siostrę, ponieważ zauważyłem, że ta nieustannie na niego zerka, kiedy coś mówi, tak jakby szukała u niego aprobaty. Mam nadzieję, że jest dla niej dobry. W jego oczach często pojawia się zimny błysk, zacina wówczas swoje wąskie wargi, co świadczy o jego stanowczej i być może dość surowej naturze. Byłby dla Ciebie interesującym obiektem badań.

Pierwszego dnia przybył w odwiedziny do Baskerville'a i już następnego ranka zaprowadził nas obu do miejsca, gdzie podobno – jak głosi legenda − rozegrał się dramat podłego Hugona. Odbyliśmy kilkumilowy spacer przez wrzosowisko, aż znaleźliśmy się na terenie tak ponurym, że już sam jego widok mógłby podsunąć wyobraźni równie straszliwą historię. Odkryliśmy krótki wąwóz pomiędzy postrzępionymi, skalistymi wzgórzami, z którego wyszliśmy na porośniętą trawą

przestrzeń, upstrzoną białymi kwiatami wełnianki. W samym środku wznosiły się dwa olbrzymie kamienie, zwietrzałe i zaostrzone u góry do tego stopnia, że wyglądały niczym dwa wielkie psujące się kły jakiejś monstrualnej bestii. Pod każdym względem odpowiadało to scenerii, w jakiej rozegrała się ta słynna tragedia.

Sir Henry'ego bardzo to wszystko zainteresowało i kilkakrotnie pytał Stapletona, czy ten rzeczywiście wierzy w możliwość ingerencji sił nadprzyrodzonych w ludzkie sprawy. Mówił to lekkim tonem, lecz wyraźnie można było wyczuć, że traktuje tę sprawę niezwykle poważnie. Uwagi Stapletona były bardzo powściągliwe, z łatwością można było jednak zauważyć, że mówił mniej, niżby mógł, i że nie chciał w pełni wyrazić swojej opinii ze względu na uczucia baroneta. Opowiadał nam o podobnych przypadkach, kiedy to całe rodziny cierpiały z powodu jakiegoś złowrogiego wpływu, i pozostawił nas w przekonaniu, że popiera popularny pogląd na ten temat.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na lunch w Merripit House, i tam właśnie sir Henry poznał pannę Stapleton. Od pierwszej chwili, gdy ją ujrzał, wydawał się nią zafascynowany, i byłbym w ogromnym błędzie, gdybym twierdził, że uczucie to nie było odwzajemnione. Gdy wracaliśmy do domu, bezustannie o niej mówił, i od tego czasu nie było chyba dnia, w którym nie widzielibyśmy się z rodzeństwem. Dziś wieczorem przychodzą tu na kolację i wspominano coś o tym, że my mamy udać się do nich w przyszłym tygodniu.

Można by pomyśleć, że taka partia dla siostry powinna Stapletonowi bardzo odpowiadać, a jednak nieraz widziałem na jego twarzy wyraz silnej dezaprobaty, gdy sir Henry poświęcał dziewczynie uwagę. Bez wątpienia jest do niej bardzo przywiązany i bez niej czułby się pewnie samotny, wydawałoby się to jednak szczytem egoizmu, gdyby miał stanąć siostrze na drodze w zawarciu tak wspaniałego związku. Jestem jednak pewien, że Stapleton nie życzy sobie, by bliskość młodych przerodziła się w miłość, a kilka razy zaobserwowałem, jak wiele zadawał sobie trudu, by nie dopuścić, aby przebywali ze sobą sam na sam. Nawiasem mówiąc, jeśli do dotychczasowych uwarunkowań dojdzie jeszcze romans, trudno mi będzie wypełniać nałożoną przez Ciebie misję, aby nie odstępować sir Henry'ego na krok. Jeśli mam co do joty wykonywać Twoje polecenia, to obawiam się, że wkrótce ucierpi na tym moja dobra opinia, a także sympatia baroneta, jaką mnie darzy.

Następnego dnia, a dokładniej w czwartek, doktor Mortimer zjadł z nami lunch. Prowadził wykopaliska w kurhanie w Long Down i wydobył stamtąd prehistoryczną czaszkę, co przyniosło mu niezmiernie dużo radości. Nigdy nie widziałem tak entuzjastycznie usposobionego człowieka jak on! Później zjawili się Stapletonowie, a nasz przyjaciel doktor zaprowadził wszystkich do cisowej alei, gdzie na prośbę sir Henry'ego zrekonstruował nam dokładnie przebieg wydarzeń tamtej fatalnej nocy.

Przechadzka cisową aleją to nic innego jak długi i ponury spacer pomiędzy dwiema wysokimi ścianami przystrzyżonego żywopłotu z wąskim pasem trawy po obu stronach. Na jej końcu stoi stara, waląca się altana. W połowie drogi znajduje się furtka wychodząca na wrzosowisko, gdzie starszy dżentelmen strzepnął popiół ze swojego cygara. To biała drewniana furtka z zasuwką. Pamiętałem, jaką wysnułeś

w związku z tym teorię, i próbowałem wyobrazić sobie wszystkie te wydarzenia. Gdy starzec tam stał, zobaczył coś, co zbliżało się od strony wrzosowiska i co tak bardzo go przeraziło, że postradał zmysły i rzucił się do ucieczki. Biegł tak i biegł, aż umarł z przerażenia i wyczerpania. Uciekał wzdłuż tego długiego posępnego tunelu. Ale przed czym? Psem pasterskim z wrzosowiska? Czy może przed bestią, czarną, milczącą i monstrualną? Czy w tę sprawę był zamieszany jakiś człowiek? Czy blady, ostrożny Barrymore wiedział więcej, niż chciał nam powiedzieć? Wszystko to było mroczne i niejasne, i zawsze gdzieś w tle czaił się mroczny cień zbrodni.

Od czasu gdy ostatnio do Ciebie pisałem, poznałem kolejnego z naszych sąsiadów. To pan Frankland z Lafter Hall, mieszkający jakieś cztery mile na południe od nas. Jest starszym mężczyzną o czerwonej twarzy, siwych włosach i raczej cholerycznym usposobieniu. Jego pasją jest brytyjskie prawo, i wydał już sporą fortunę na procesy sądowe. Walczy dla samej przyjemności walki i jest gotów opowiedzieć się po którejkolwiek ze stron sporu, nic więc dziwnego, że ta jego rozrywka jest taka kosztowna.

Czasami odmawia prawa przejazdu przez swój teren i rzuca parafii wyzwanie, by zobligowała go do ponownego udostępnienia drogi. Innym razem własnymi rękoma niszczy czyjąś furtkę i oświadcza, że od niepamiętnych czasów biegła tędy ścieżka, zmuszając właściciela, by ten pozwał go o wkroczenie na prywatny teren. Doskonale zna stare prawa ziemiańskie i gminne i stosuje swoją wiedzę czasami na korzyść wieśniaków z Fernworthy, a czasem przeciwko nim, tak więc bywają okresy, gdy jest triumfalnie noszony na rękach po ulicy wioski, jak i takie jak po jego ostatnim wyczynie, kiedy palono jego kukłę.

Mówi się, że w tej chwili ma siedem procesów sądowych, które prawdopodobnie pochłoną resztę jego majątku, tak więc sam ukróci sobie smycz i w przyszłości stanie się raczej nieszkodliwy. Pomijając te kwestie prawne, wydaje się życzliwym i dobrym człowiekiem, a wspominam o nim tylko dlatego, że mi zaleciłeś, bym przysyłał Ci opisy ludzi, którzy mieszkają wokół nas.

Obecnie znalazł sobie ciekawe zajęcie – bawi się w astronoma amatora. Ma wspaniały teleskop, z którym rozkłada się na dachu swego domu i przez cały dzień przeczesuje wrzosowisko w nadziei, że uda mu się wypatrzyć zbiegłego więźnia. Gdyby tylko ograniczył swe działania do tego, wszystko byłoby dobrze, dotarły mnie jednak plotki, że zamierza pozwać doktora Mortimera, iż otworzył grób, nie uzyskawszy uprzednio zgody najbliższego krewnego – przypominam, że doktor wykopał neolityczną czaszkę w kurhanie w Long Down. Pan Frankland sprawia, że nasze życie nie staje się monotonne, i dostarcza komicznych akcentów, akurat wtedy gdy są nam one naprawdę potrzebne.

A teraz, gdy dostarczyłem Ci już bieżących informacji o zbiegłym więźniu, Stapletonach, doktorze Mortimerze i o Franklandzie z Lafter Hall, pozwól, że na koniec opiszę to, co najważniejsze, i opowiem Ci więcej o Barrymore’ach, a zwłaszcza o zaskakujących wydarzeniach ubiegłej nocy.

Po pierwsze, chodzi o Twój telegram, który wysłałeś z Londynu, aby się upewnić, czy Barrymore rzeczywiście był w posiadłości. Jak już Ci wyjaśniałem, zeznania

kierownika poczty wskazują, że cały ten podstęp był bezużyteczny, i wciąż nie mamy dowodu na to, czy było tak, czy inaczej. Powiedziałem sir Henry'emu, jak stoją sprawy, on zaś natychmiast, z typową dla siebie szczerością, poprosił, by Barrymore przyszedł do niego na górę, po czym zapytał go, czy osobiście odebrał telegram. Barrymore potwierdził.

– Czy chłopiec dostarczył ci go do rąk własnych? – spytał sir Henry.

Barrymore wyglądał na zaskoczonego i przez chwilę się zastanawiał.

– Nie – odparł. – W tym czasie byłem na strychu, i żona mi go przyniosła.

– Czy sam na niego odpowiedziałeś?

– Nie. Powierzyłem to zadanie żonie, a ona zeszła na dół i odpisała.

Wieczorem Barrymore z własnej woli powrócił do tematu.

– Nie rozumiem do końca, w jakim celu zadawał mi pan te pytania, sir Henry – powiedział. – Mam nadzieję, że to nie oznacza, iż zrobiłem coś, czym nadużyłem pańskiego zaufania.

Sir Henry musiał go zapewnić, że absolutnie tak nie jest, i uspokoić, oddając mu znaczną część swej starej garderoby, zwłaszcza że dotarły już wszystkie nowe ubrania zakupione przez młodego baroneta w Londynie.

Pani Barrymore także jest dla mnie wielce interesująca. To tęga, mocno zbudowana kobieta o bardzo ograniczonym umyśle, za to niezwykle prawa i ze skłonnością do purytańskich przekonań. Trudno byłoby Ci sobie wyobrazić bardziej beznamiętny obiekt badań. A jednak, jak Ci już wspominałem, pierwszej nocy spędzonej tutaj usłyszałem jej rozdzierający szloch, a od tego czasu nieraz obserwowałem ślady łez na jej policzkach. Tę kobietę dręczy jakiś głęboki smutek. Czasami się zastanawiam, czy może prześladuje ją sumienie, czasem zaś rodzą się we mnie przypuszczenia, że Barrymore jest domowym tyranem. Zawsze miałem uczucie, że w charakterze tego człowieka jest coś osobliwego i budzącego wątpliwości, tym bardziej że wydarzenie, jakie miało miejsce ostatniej nocy, spowodowało, iż stałem się niezwykle podejrzliwy.

A jednak sama w sobie sprawa może się wydawać dość błaha. Jak wiesz, nie sypiam zbyt dobrze, a odkąd pełnię wartę w tym domu, sen mój stał się lżejszy niż kiedykolwiek. Ubiegłej nocy, około drugiej nad ranem, obudziły mnie ciche kroki przy drzwiach do mojego pokoju. Wstałem, otworzyłem drzwi i wyjrzałem. Korytarzem ciągnął się długi czarny cień. Rzucał go stąpający ostrożnie mężczyzna trzymający w dłoni świecę. Miał na sobie koszulę i spodnie, jednak jego stopy były bose. Ledwie byłem w stanie dostrzec jego sylwetkę, po wzroście jednak poznałem, że był to Barrymore. Szedł bardzo powoli i ostrożnie, a w całej jego postawie kryło się jakieś niesamowite poczucie winy, coś ukradkowego i podejrzanego.

Opisywałem Ci już, że korytarz przerwany jest galeryjką, biegnącą nad holem, i że prowadzi dalej, na drugi koniec domostwa. Odczekałem, aż Barrymore zniknie mi z oczu, a następnie poszedłem za nim. Gdy obszedłem galeryjkę, on dotarł już do najdalszego końca korytarza, a po blasku świecy wydostającym się przez otwarte drzwi poznałem, że wszedł do jednego z pokojów. Dodam w tym miejscu, że wszystkie te pokoje są nieumeblowane i nikt w nich nie mieszka, co tylko dodało

tajemniczości jego przedsięwzięciu. Świeca płonęła stabilnym świat-łem, tak jakby się nie poruszał. Podkradłem się korytarzem na tyle bezgłośnie, na ile potrafiłem, i zajrzałem do środka.

Barrymore czaił się przy oknie, trzymając świecę tuż przy szybie. Był zwrócony do mnie półprofilem i bacznie wpatrywał się w bezkresną czerń wrzosowiska, a jego twarz zastygła w oczekiwaniu. Stał w ten sposób przez kilka minut, obserwując coś w skupieniu, po czym wydał z siebie głęboki jęk i niecierpliwym gestem zgasił świecę. Natychmiast pospiesznie wróciłem do pokoju i w chwilę później usłyszałem skradające się kroki, gdy ponownie mijał moją sypialnię. Minęło sporo czasu, nim znów zapadłem w czujny sen.

Zbudził mnie dźwięk klucza, który ktoś przekręcał gdzieś w zamku, nie byłem jednak w stanie stwierdzić, skąd ten odgłos dobiegał. Nie potrafię odgadnąć, co to wszystko oznacza, jednak ten ponury dom pełen jest zagadek, które prędzej czy później rozwiążemy. Nie będę zawracał Ci głowy, wykładając tu moje teorie, prosiłeś bowiem, bym dostarczał Ci wyłącznie faktów.

Dziś rano odbyłem długą rozmowę z sir Henrym i na podstawie moich obserwacji z ubiegłej nocy stworzyliśmy cały plan działania. Nie będę go teraz opisywał, lecz dzięki temu mój kolejny raport powinien wydać Ci się ciekawy.

Rozdział dziewiąty

Drugi raport doktora Watsona. Światło na wrzosowisku

Rezydencja Baskerville’ów, 15 października

Mój drogi Holmesie!

Nawet jeśli w początkowych dniach mojej misji nie mogłem Ci dostarczyć zbyt wielu informacji, to sam musisz przyznać, że nadrabiam teraz ten stracony czas, tym bardziej że wydarzenia nagle potoczyły się bardzo szybko. Mój ostatni raport zakończyłem uwagą o Barrymorze stojącym przy oknie, teraz jednak mam Ci do opowiedzenia znacznie więcej i na ile Cię znam, jestem przeświadczony, że wiadomości te bardzo Cię zaskoczą. Sprawy przybrały bowiem taki obrót, jakiego nie byłem w stanie przewidzieć. Pod pewnymi względami w ciągu ostatnich dwóch dni wiele spraw się wyjaśniło, ale niektóre jeszcze bardziej skomplikowały się. Opiszę Ci jednak wszystko po kolei, abyś sam mógł to ocenić.

Rano przed śniadaniem, bezpośrednio po mojej nocnej przygodzie, przeszedłem się korytarzem i sprawdziłem pokój, w którym w nocy czaił się Barrymore. Zauważyłem, że zachodnie okno, przez które tak uporczywie wyglądał, ma jedną szczególną cechę, która odróżnia je od pozostałych okien w rezydencji – najlepiej przez nie widać wrzosowisko. Wynika to z tego, że wychodzi ono na otwartą przestrzeń pomiędzy dwoma drzewami, podczas gdy ze wszystkich pozostałych okien obserwacja jest bardzo utrudniona. To by dowodziło, że Barrymore, który korzystał wyłącznie z tego właśnie okna, musiał wyglądać kogoś lub czegoś na wrzosowisku.

Noc była bardzo ciemna, trudno mi więc sobie wyobrazić, jak mógł liczyć na to, że kogoś rzeczywiście wypatrzy. Przyszła mi nawet do głowy myśl, że być może chodzi tu o jakąś miłosną intrygę. Wyjaśniałoby to, dlaczego tak się skradał po nocy, uzasadniałoby również niepokój i złe samopoczucie jego żony. Barrymore to bardzo przystojny mężczyzna, na tyle atrakcyjny, by móc skraść serce wiejskiej dziewczyny, tak więc teoria ta nie wydała mi się bezpodstawna.

Odgłos otwieranych drzwi, który usłyszałem po powrocie do mojego pokoju, mógł oznaczać, że udał się na jakieś potajemne spotkanie. Do takich wniosków doszedłem

dziś rano i opisuję Ci, w jakim kierunku zmierzają moje podejrzenia, jakkolwiek ostateczne rezultaty wykazały, że były one nieuzasadnione.

Niezależnie jednak od tego, czym tak naprawdę kierował się Barrymore, bardzo trudno było mi zachować tę wiedzę wyłącznie dla siebie, czekając na wyjaśnienie całej sprawy. Po śniadaniu, gdy rozmawiałem z baronetem w jego gabinecie, opowiedziałem mu o wszystkim, co zobaczyłem. Nie był aż tak zaskoczony, jak się tego spodziewałem.

– Wiedziałem, że Barrymore wypuszcza się gdzieś po nocach, i zamierzałem z nim o tym porozmawiać – powiedział. – Dwa czy trzy razy słyszałem jego kroki na korytarzu, chodził tam i z powrotem dokładnie o tej godzinie, o której pan wspomniał.

– Być może więc każdej nocy podchodzi do tego samego okna – zasugerowałem.

– Możliwe. Jeśli tak jest, będziemy mogli go wyśledzić i odkryć, czym się zajmuje. Zastanawiam się, co w tej sytuacji zrobiłby pański przyjaciel Holmes, gdyby tu był.

– Sądzę, że zrobiłby dokładnie to samo, co pan teraz sugeruje – odparłem. − Poszedłby za Barrymore’em, aby zobaczyć, co zrobi.

– W takim razie zróbmy to.

– Ależ on na pewno nas usłyszy.

– Barrymore jest trochę przygłuchy, a my powinniśmy wykorzystać tę szansę. Dziś w nocy poczekamy w moim pokoju, aż będzie przechodził.

Sir Henry z zadowoleniem zatarł ręce, i widać było wyraźnie, że bardzo cieszy się na myśl o przygodzie, która uprzyjemni mu nieco monotonię życia na wrzosowisku.

Baronet skontaktował się z architektem, który opracowywał niegdyś plany dla sir Charlesa oraz z przedsiębiorcą budowlanym z Londynu, można się więc spodziewać, że wkrótce nastąpią tu ogromne zmiany. Przyjechali malarze i dekoratorzy z Plymouth, co świadczy o tym, że nasz przyjaciel ma wielkie plany i nie będzie szczędził trudu ani kosztów, aby przywrócić rezydencji jej dawny splendor.

Gdy dom zostanie już odnowiony i urządzony, wszystko, czego będzie potrzeba baronetowi, to żona. Tak między nami, dostrzegam tu ogromną szansę, o ile wybranka okaże się zainteresowana. Nie zdarzyło mi się bowiem spotkać do tej pory mężczyzny bardziej zauroczonego jakąś kobietą niż sir Henry swą sąsiadką, panną Stapleton. A jednak sprawy miłosne nie układają się wcale tak gładko, jak można by w tych okolicznościach oczekiwać. Dzisiaj na przykład miał miejsce incydent, który bardzo zdumiał i poirytował naszego przyjaciela.

Po rozmowie na temat zachowania Barrymore’a, którą Ci tu przytoczyłem, sir Henry założył kapelusz i zaczął przygotowywać się do wyjścia. Naturalnie ja zrobiłem to samo.

– A cóż to, pan również wychodzi, Watsonie? – spytał, dziwnie na mnie patrząc.

– To zależy od tego, czy wybiera się pan na wrzosowisko – odparłem.

– Owszem.

– Cóż, przecież dobrze pan wie, jakie otrzymałem instrukcje. Przykro mi, że tak się narzucam, jednak sam pan słyszał, jak bardzo Holmes nalegał, abym nie

odstępował pana ani na krok, a zwłaszcza nie pozwalał panu samemu zapuszczać się na wrzosowisko.

Sir Henry z miłym uśmiechem położył dłoń na moim ramieniu.

– Mój drogi przyjacielu – powiedział – pan Holmes, przy całej swej mądrości, nie przewidział niektórych rzeczy, jakie się wydarzyły, odkąd tu przyjechałem. Rozumie mnie pan? Jestem pewien, że jest pan ostatnim człowiekiem na świecie, który chciałby psuć innym zabawę. Muszę pójść sam.

Postawiło mnie to w nader niezręcznej sytuacji. Nie wiedziałem, co powinienem powiedzieć czy zrobić, i zanim podjąłem jakąkolwiek decyzję, wziął swoją laskę i wyszedł.

Jednak gdy przemyślałem sprawę jeszcze raz, poczułem ogromne wyrzuty sumienia, że pod byle pretekstem pozwoliłem mu zniknąć z zasięgu mojego wzroku. Wyobraziłem sobie, jakbym się czuł, gdybym musiał przyznać się Tobie, że doszło do jakiegoś nieszczęścia, ponieważ zlekceważyłem Twoje wskazówki. Zapewniam Cię, że na samą myśl o tym oblałem się rumieńcem. Być może nie było jeszcze za późno, aby go dogonić. Wyruszyłem więc natychmiast w kierunku Merripit House.

Z całych sił pospieszyłem drogą, nie zobaczyłem jednak przed sobą sir Henry’ego. Wreszcie dotarłem do miejsca, w którym ścieżka na wrzosowisko odchodzi od głównej drogi. Gdy tam doszedłem, zacząłem podejrzewać, że być może obrałem niewłaściwy kierunek. Wdrapałem się więc na wzgórze – to samo, które poznaczone jest śladami po kamieniołomie – skąd rozciąga się obszerny widok.

Stamtąd natychmiast go spostrzegłem. Był na ścieżce wiodącej przez wrzosowisko, jakieś ćwierć mili ode mnie; u jego boku zobaczyłem damę, którą mog-ła być tylko panna Stapleton. Oczywiste było, że nawiązała się między nimi nić porozumienia i że oboje przybyli na umówione spotkanie. Szli powoli, pogrążeni w rozmowie, i dostrzegłem, że panna Stapleton wykonuje szybkie gesty, tak jakby bardzo poważnie coś mu wyjaśniała, gdy tymczasem on uważnie jej słuchał. Kilka razy pokręcił głową, jakby się z czymś zdecydowanie nie zgadzał.

Stałem tak pomiędzy głazami, obserwując ich, nie miałem jednak pojęcia, co powinienem teraz zrobić. Wydawało mi się, że gdybym podszedł do nich i przerwał tę intymną rozmowę, byłoby to czymś nie na miejscu. Z drugiej strony spoczywał na mnie obowiązek, by nawet na moment nie spuszczać z oczu sir Henry’ego.

Szpiegowanie przyjaciela wydawało mi się okropnym zadaniem. W tej chwili nie przychodziło mi do głowy nic lepszego, niż dalej obserwować go ze wzgórza, a potem po prostu wyznać mu, co robiłem. Prawdą jest, że gdyby nagle zaczęło baronetowi grozić jakieś niebezpieczeństwo, byłbym zbyt daleko, aby mu pomóc. Jestem jednak pewien, że zgodzisz się ze mną, iż moja sytuacja nie była łatwa, i nie mogłem uczynić nic więcej.

Nasz przyjaciel sir Henry i panna Stapleton zatrzymali się na ścieżce i stali tak, głęboko pogrążeni w rozmowie, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że nie jestem jedynym świadkiem tego wydarzenia. Mój wzrok przykuła jakaś zielona smuga przecinająca powietrze, a gdy ponownie spojrzałem w tym kierunku, przekonałem się, że była to siatka na motyle niesiona przez człowieka idącego przez pełen

rozpadlin teren. To był Stapleton. Był znacznie bliżej od pary zakochanych niż ja, i wydawało się, że zmierza w ich stronę.

Nagle sir Henry przyciągnął pannę Stapleton do siebie. Objął ja ramieniem, ale wydawało mi się, że próbowała uwolnić się z objęć, odwracając od niego twarz. Pochylił się ku niej, lecz ona uniosła dłoń, jakby chciała zaprotestować. W następnej chwili zobaczyłem, jak młodzi pospiesznie odskakują od siebie.

Przyczyną tego zamieszania był Stapleton. Biegł pędem w ich kierunku, a za nim powiewała ta jego absurdalna siatka. Wymachiwał rękoma i wykonywał jakiś dziwny taniec przed parą zaskoczonych kochanków. Trudno mi było sobie wyobrazić, co może oznaczać ta scena, odniosłem jednak wrażenie, że Stapleton obrzuca sir Henry'ego wyzwiskami, ten zaś próbuje coś wytłumaczyć; słowa baroneta stawały się coraz bardziej gniewne, tymczasem przyrodnik nie chciał tego słuchać. Dama stała obok, wyniośle milcząc.

Wreszcie Stapleton odwrócił się na pięcie i rozkazującym gestem przywołał do siebie siostrę, która rzuciła niezdecydowane spojrzenie sir Henry'emu i odeszła w tę samą stronę co jej brat. Gniewne gesty przyrodnika wskazywały na to, że był bardzo niezadowolony z jej zachowania. Młody baronet stał przez chwilę, patrząc w ślad za nimi, a następnie powoli ruszył w powrotną drogę. Szedł ze zwieszoną głową i wyglądał na bardzo przygnębionego.

Nie miałem pojęcia, co to wszystko mogło oznaczać, czułem się jednak bardzo zażenowany, że byłem mimowolnym świadkiem tak intymnej sceny, w dodatku bez wiedzy mojego przyjaciela. Zbiegłem natychmiast ze wzgórza i spotkałem się z nim na dole. Sir Henry miał twarz zaczerwienioną od gniewu, a ściągnięte brwi wskazywały na to, że jest bardzo wzburzony.

– Hola, Watsonie! A pan skąd się tu wziął? – zapytał. – Nie chce pan chyba powiedzieć, że jednak za mną poszedł?

Wszystko mu wyjaśniłem: to, że czułem, iż nie mogę go zostawić, więc poszedłem za nim, przez co niechcący miałem udział w tym, co się tu wydarzyło. Przez chwilę oczy baroneta miotały błyskawice, moja szczerość rozbroiła go jednak i wreszcie wybuchnął śmiechem, chociaż twarz jego pozostała smutna.

– Można by pomyśleć, że takie pustkowie to idealne miejsce, by człowiek mógł zaznać odrobiny prywatności – powiedział – ale, do stu gromów, wygląda na to, że cała okolica przybyła, aby przyglądać się moim zalotom, i to w dodatku wyjątkowo nieudanym! Gdzie pan był?

– Na tamtym wzgórzu.

– Ech… Widzę, że miał pan miejsce w tylnym rzędzie. Jej brat był znacznie bliżej sceny. Widział pan, jak nas zaskoczył?

– Tak, widziałem.

– Czy ten jej brat nigdy nie wydawał się panu szalony?

– Nie mogę stwierdzić, bym kiedykolwiek odniósł takie wrażenie.

– Ja również. Aż do dziś wydawał mi się przy zdrowych zmysłach, ale może mi pan wierzyć, że albo jemu, albo mnie powinno się założyć kaftan bezpieczeństwa. A w ogóle, co jest ze mną nie tak?! Mieszka pan ze mną od kilku tygodni, Watsonie.

Proszę mi powiedzieć wprost! Czy jest coś takiego, co sprawia, że nie mogę być dobrym mężem dla kobiety, którą kocham?

– Przyznaję, że nie.

– Przecież on nie może mieć żadnych zastrzeżeń do mojej pozycji, a to oznacza, że musi żywić do mnie jakąś osobistą urazę. Ale co on może mieć przeciwko mnie? O ile wiem, nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziłem, ani mężczyzny, ani kobiety. A jednak Stapleton nie pozwoliłby mi nawet dotknąć czubków jej palców.

– Tak powiedział?

– Tak, to i jeszcze o wiele więcej. Mówię panu, Watsonie! Znam ją zaledwie kilka tygodni, ale od pierwszej chwili po prostu poczułem, że jest dla mnie stworzona, a ona… była szczęśliwa w moim towarzystwie… Mogę to panu przysiąc. W oczach kobiety pojawia się blask, który świadczy o tym lepiej niż jakiekolwiek słowa. Ale on nigdy nie pozwolił, abyśmy byli sami, i dopiero dziś po raz pierwszy pojawiła się szansa, bym mógł zamienić z nią kilka słów na osobności. Była zadowolona, że może się ze mną spotkać, ale gdy już byliśmy razem, nie mówiła o miłości i mnie również nie pozwoliłaby o tym mówić, gdyby tylko była w stanie mnie powstrzymać. Bezustannie wracała do tego, że to niebezpieczne miejsce i że nigdy nie będzie szczęśliwa, dopóki się stąd nie wyprowadzę. Odparłem, że odkąd ją poznałem, nie spieszy mi się, żeby stąd wyjeżdżać, i że skoro naprawdę chce, abym to zrobił, to tylko pod warunkiem że wyjedzie ze mną.

W ten sposób oświadczyłem się jej, jednak zanim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, zjawił się ten jej brat, biegnąc w naszą stronę z twarzą szaleńca. Był po prostu biały z wściekłości, a te jego jasne oczy płonęły jakąś dziką furią. Co takiego robię z tą damą? Jak śmiem jej się narzucać, jeżeli ona nie ma na to ochoty? Czy wydaje mi się, że skoro jestem baronetem, to mogę robić wszystko, na co mi przyjdzie ochota?

Gdyby nie był jej bratem, wiedziałbym, co mu odpowiedzieć! W tej sytuacji jednak odrzekłem mu, że nie wstydzę się moich uczuć do jego siostry, która, mam nadzieję, uczyni mi ten zaszczyt i zostanie moją żoną. Odniosłem wrażenie, że to wcale nie poprawiło sytuacji, a wtedy ja też straciłem panowanie nad sobą i odpowiedziałem mu nieco gwałtowniej, niż być może powinienem, biorąc pod uwagę, że ona stała obok. Tak więc skończyło się na tym, że odeszła razem z nim, jak pan widział, i oto stoi tu przed panem najbardziej zdezorientowany człowiek na świecie. Proszę mi wyjaśnić, co to wszystko może oznaczać, doktorze Watson, a będę panu dłużny więcej, niż jestem w stanie spłacić przez całe życie.

Spróbowałem podać jedno czy dwa wyjaśnienia, ale w rzeczywistości sam byłem kompletnie skołowany. Tytuł szlachecki naszego przyjaciela, jego fortuna, wiek i charakter, a także wygląd – wszystko to przemawiało na jego korzyść, i nie wiem o niczym, co ktoś mógłby mieć przeciwko niemu. Naprawdę zdumiewa mnie to, że jego zaloty zostały w tak brutalny sposób odrzucone przez Stapletona, który za nic ma zdanie swej siostry, a także to, że ona sama zaakceptowała tę sytuację bez żadnych protestów.

Jednak jeszcze tego samego popołudnia kres naszym domysłom położyła wizyta samego Stapletona. Przybył przeprosić za to, że rano był tak nieuprzejmy, a po długiej rozmowie w cztery oczy z sir Henrym w jego gabinecie spór został załagodzony. Aby przypieczętować zgodę, w następny piątek mieliśmy się wybrać do Merripit House na obiad.

– Nadal podejrzewam, że on może być szalony – powiedział sir Henry. – Nie potrafię zapomnieć wyrazu jego twarzy, kiedy dziś rano podbiegł do mnie, muszę jednak przyznać, że nikt inny nie byłby w stanie tak pięknie przeprosić.

– Podał jakieś powody swojego zachowania?

– Siostra jest dla niego wszystkim. Od zawsze byli razem, z tego, co mówił, jest człowiekiem bardzo samotnym, a to jego jedyna towarzyszka. Myśl, że miałby ją utracić, była dla niego naprawdę straszna. To zupełnie naturalne, i cieszę się, że ją tak ceni. Jak twierdził, nie zauważył, że żywię do niej jakieś uczucia. Gdy jednak przekonał się na własne oczy, że rzeczywiście tak jest, i zrozumiał, że siostra może go nagle opuścić, tak go to oszołomiło, iż przez moment stracił panowanie nad tym, co mówił i robił. Było mu bardzo przykro z powodu wszystkiego, co się dzisiaj wydarzyło, i przyznał, jakim był głupcem i egoistą, wyobrażając sobie, że na całe życie zatrzyma przy sobie tak piękną kobietę, jak jego siostra. Powiedział, jeśli już miałaby go opuścić, to zdecydowanie wolałby, by wyszła za sąsiada niż za kogokolwiek innego. W każdym razie był to dla niego cios, i musi upłynąć trochę czasu, nim oswoi się z tą myślą. Powiedział, że ze swej strony nie będzie mi robił żadnych przeszkód, jeśli tylko mu obiecam, że w ciągu najbliższych trzech miesięcy nie będę czynił żadnych dalszych zabiegów i przez ten czas zadowolę się przyjaźnią damy, nie okazując jej głębszych uczuć. Obiecałem, że tak właśnie uczynię, i tak oto sprawy teraz się mają.

W ten sposób wyjaśnił się jeden z naszych niewielkich sekretów. W bagnie tajemnic, w którym się poruszamy, przynajmniej w tej jednej sprawie dotarliśmy do sedna. Wiemy już, dlaczego Stapleton patrzył z taką niechęcią na adoratora swej siostry – mimo tak wspaniałych zalet, jakimi obdarzony jest sir Henry. Przejdę teraz do kolejnej nici, którą udało mi się wyplątać z tego pogmatwanego kłębka – a mianowicie do sekretu nocnych szlochów, śladów łez na twarzy pani Barrymore i potajemnych wycieczek kamerdynera do okna w zachodnim skrzydle. Pogratuluj mi, mój drogi Holmesie, i przyznaj, że nie zawiodłem Cię jako Twój wysłannik i że nie żałujesz zaufania, jakim mnie obdarzyłeś, przysyłając mnie tutaj. Dzięki działaniom przeprowadzonym w ciągu jednej nocy wszystkie powyższe zagadki zostały rozwiązane.

Napisałem: „dzięki działaniom przeprowadzonym w ciągu jednej nocy”, ale w rzeczywistości potrzebowaliśmy dwóch, ponieważ tej pierwszej zupełnie nie dopisało nam szczęście. Siedziałem z sir Henrym w jego pokoju prawie do trzeciej nad ranem, nie usłyszeliśmy jednak żadnego dźwięku, oprócz zegara z kurantem przy schodach. Było to wyjątkowo monotonne czuwanie, które skończyło się tym, że obaj zasnęliśmy w swych fotelach.

Na szczęście nie zniechęciliśmy się tym niepowodzeniem i kolejnej nocy postanowiliśmy spróbować ponownie. Przygasiliśmy lampę i czekaliśmy, paląc papierosy i nie wydając przy tym nawet najmniejszego dźwięku. Godziny mijały nadzwyczaj powoli, lecz my trwaliśmy w cierpliwym podnieceniu, niczym myśliwi z nadzieją obserwujący pułapkę, w którą już niebawem wpadnie zwierzyna. Zegar wybił pierwszą, potem drugą, byliśmy już gotowi zrezygnować, gdy nagle obaj wyprostowaliśmy się jak na komendę, a wszystkie nasze znużone czuwaniem zmysły w mgnieniu oka ponownie się wyostrzyły. Podłoga na korytarzu zaskrzypiała.

W milczeniu słuchaliśmy, jak mężczyzna nas mija, aż wreszcie odgłos kroków zamilkł w oddali. Wówczas baronet ostrożnie otworzył drzwi, i ruszyliśmy jego śladem. Obiekt naszej obserwacji obszedł już galeryjkę, korytarz spowijała ciemność. Skradaliśmy się przez pewien czas, dopóki nie dotarliśmy do drugiego skrzydła. Tam zdążyliśmy jeszcze dostrzec skuloną sylwetkę wysokiego mężczyzny z czarną brodą, idącego na palcach wzdłuż korytarza. Po chwili zniknął w tych samych drzwiach co poprzednio; na moment padł na nie blask świecy, a ponury ciemny korytarz rozświetliła pojedyncza smuga.

Zbliżaliśmy się ostrożnie, sprawdzając każdą deskę, nim ośmieliliśmy się stanąć na niej całym ciężarem ciała. Wcześniej zdjęliśmy buty, dzięki czemu poruszaliśmy się znacznie ciszej, lecz mimo to stare deski skrzypiały pod naszymi stopami. Chwilami wydawało nam się niemożliwe, by nas nie usłyszał. Człowiek ten jest na szczęście dość głuchy, a w dodatku był całkowicie pochłonięty tym, co robi. Gdy wreszcie dotarliśmy do drzwi i zajrzeliśmy do środka, znaleźliśmy go przyczajonego przy oknie, ze świecą w dłoni i z bladą skupioną twarzą przyciśniętą do szyby, dokładnie tak, jak ujrzałem go dwie noce wcześniej.

Nie zaplanowaliśmy sobie zawczasu całej operacji, baronet jest jednak typem człowieka bezpośredniego, nie zastanawiając się więc długo, wszedł po prostu do pokoju. Barrymore odskoczył od okna, z ostrym sykiem wciągając powietrze. Stał tak przed nami pobladły i drżący. Gdy przenosił wzrok z sir Henry’ego na mnie, jego ciemne oczy świecące w białej twarzy wypełniały zarazem przerażenie i zdumienie.

– Co tutaj robisz, Barrymore?

– Nic, sir – był tak zdenerwowany, że ledwie mógł wykrztusić z siebie te sło-wa; świeca w jego drżącej dłoni rzucała migotliwe cienie.

– Przyszedłem sprawdzić okna, sir. Chodzę nocą i sprawdzam, czy są dobrze zamknięte.

– Na piętrze?

– Tak, sir, wszystkie okna.

– Posłuchaj, Barrymore – rzekł stanowczo sir Henry. – Postanowiliśmy, że wyciągniemy z ciebie prawdę, a więc oszczędzisz sobie kłopotów, jeśli powiesz nam to od razu. No dalej! Bez łgarstw! Co robiłeś przy tym oknie?

Kamerdyner patrzył na nas bezradnie, zaciskając dłonie jak ktoś, kto pogrążony jest w najgorszych wątpliwościach i cierpieniu.

– Nie robiłem nic złego, sir. Trzymałem świecę przy szybie.

– A można wiedzieć, dlaczego trzymałeś świecę przy szybie?

– Proszę mnie o to nie pytać, sir Henry… Niech pan mnie o to nie pyta! To nie mój sekret, i nie mogę go zdradzić. Daję panu na to moje słowo! Gdyby nie dotyczyło to kogoś poza mną, nie próbowałbym tego przed panem zataić.

Nagle do głowy przyszła mi pewna myśl, wskazałem więc na świecę, którą Barrymore postawił na parapecie.

– Używał jej jako sygnału – powiedziałem. – Przekonajmy się, czy będzie jakaś odpowiedź.

Wziąłem świecę do rąk, podobnie jak on wcześniej, i zacząłem się wpatrywać w ciemności. Księżyc akurat skrył się za chmurami, rozróżniałem więc tylko czarną linię drzew i jaśniejszą plamę wrzosowiska. Po chwili jednak wykrzyknąłem z radości, bo nagle przez ciemną zasłonę nocy przebił się maleńki punkcik żółtego światła, który nagle się rozżarzył pośrodku czarnego kwadratu okna.

– Tam jest! – krzyknąłem.

– Nie, nie, sir. To nic… Nic takiego! – załamał się kamerdyner. – Zapewniam pana, sir…

– Proszę poruszyć świecą w poprzek okna, Watsonie! – zawołał baronet. – Widzi pan? To drugie światło też się porusza! I co, łotrze, nadal będziesz zaprzeczał, że to nie sygnał? No dalej! Mów! Kim jest ten twój wspólnik na wrzosowisku i jaki to spisek ma tutaj miejsce?!

Twarz Barrymore’a przybrała wyzywający wyraz.

– To moja sprawa, nie pańska! Nic nie powiem.

– W takim razie natychmiast cię zwalniam.

– Proszę bardzo, sir. Widocznie tak musi być.

– I odejdziesz okryty hańbą. Do diabła! Powinieneś się wstydzić. Nasze rodziny mieszkały wspólnie pod tym dachem przez ponad sto lat, a teraz się dowiaduję, że spiskujesz przeciwko mnie.

– Nie, nie, sir. Nie przeciwko panu! – odezwał się kobiecy głos.

W drzwiach stała pani Barrymore, jeszcze bledsza i bardziej przerażona niż jej mąż. Była opatulona szalem, miała na sobie grubą spódnicę. Jej zwalista sylwetka mogłaby się nawet wydawać komiczna, gdyby nie głębokie emocje malujące się na jej twarzy.

– Musimy odejść, Elizo. To koniec. Możesz zacząć pakować nasze rzeczy – powiedział kamerdyner.

– Och, John, John! To ja sprowadziłam na nas to nieszczęście. To przeze mnie, sir Henry… To wyłącznie moja wina. On to wszystko robił dla mnie, ponieważ go o to poprosiłam.

– W takim razie mówcie! Co to wszystko oznacza?

– Mój nieszczęsny brat umiera z głodu na wrzosowisku. Nie możemy pozwolić, by coś takiego stało się tu, pod naszymi drzwiami. To światło jest dla niego sygnałem, że przygotowaliśmy mu jedzenie, a on daje nam znaki świecą, w które miejsce trzeba mu je zanieść.

– Wobec tego twój brat jest…

– Tym zbiegłym więźniem, sir… To ten przestępca Selden.

– To prawda, sir – odezwał się Barrymore. – Mówiłem, że to nie mój sekret i że nie mogę go panu zdradzić. Teraz jednak sam się pan przekonał, że nawet jeśli był jakiś spisek, to na pewno nie wymierzony przeciwko panu.

Takie więc było wyjaśnienie ukradkowych nocnych wycieczek i świecy w oknie. Obaj z sir Henrym wpatrywaliśmy się w zdumieniu w panią Barrymore. Czy to możliwe, że tę szacowną kobietę łączyło pokrewieństwo z jednym z największych kryminalistów w tym kraju?

– Tak, sir. Moje panieńskie nazwisko brzmi Selden, a on jest moim młodszym bratem. Kiedy był chłopcem, za bardzo mu pobłażaliśmy i pozwalaliśmy, by wszystko było tak, jak zapragnie, aż zaczął wierzyć, że świat jest stworzony specjalnie dla niego i że może na nim robić wszystko, na co tylko przyjdzie mu ochota. Później, gdy był już starszy, popadł w bardzo złe towarzystwo, i diabeł w niego wstąpił. Złamał serce mojej matce i utarzał nasze nazwisko w błocie. Z przestępstwa na przestępstwo staczał się coraz niżej, aż w końcu tylko łaska boża uchroniła go od szafotu. Jednak dla mnie, sir, na zawsze pozostał tym małym chłopcem z kręconymi włosami, którym się opiekowałam i z którym się bawiłam, tak, jak to starsza siostra. To dlatego zbiegł z więzienia, sir. Wiedział, że tu jestem i że nie będziemy potrafili odmówić mu pomocy.

Gdy przywlókł się tutaj pewnej nocy, znużony i zagłodzony, ze strażnikami depczącymi mu po piętach, co mogliśmy zrobić? Wpuściliśmy go do środka, nakarmiliśmy i zadbaliśmy o jego potrzeby. A potem pan wrócił, sir, i mój brat doszedł do wniosku, że na wrzosowisku będzie bezpieczniejszy niż gdziekolwiek indziej, póki nie skończy się całe to zamieszanie wywołane jego ucieczką. Znalazł więc tam sobie kryjówkę. Jednak co drugą noc ustawialiśmy świecę w oknie, chcąc sprawdzić, czy wciąż tam jest, a gdy pojawiała się odpowiedź, mąż zanosił mu trochę chleba i mięsa. Codziennie mieliśmy nadzieję, że już odszedł, jednak dopóki tam był, nie mogliśmy go opuścić. To cała prawda, sir, mówię to panu jako uczciwa chrześcijanka, i sam pan widzi, że jeśli można kogoś za to winić, to mnie, a nie mojego męża, bo to dla mnie robił to wszystko.

W głosie kobiety brzmiały głęboka powaga i szczerość.

– Czy to prawda, Barrymore?

– Tak, sir Henry. Każde słowo.

– Cóż, nie mogę winić cię za to, że pomagałeś swojej żonie. Zapomnij o tym, co ci wcześniej powiedziałem. Idźcie oboje do swojego pokoju. Jutro rano porozmawiamy jeszcze o tej sprawie.

Gdy wyszli, ponownie wyjrzeliśmy przez okno. Sir Henry otworzył je na oścież, i w twarz powiał nam zimny nocny wiatr. W dali, w czarnych ciemnościach nocy, wciąż jarzył się jeden maleńki punkcik żółtego światła.

– Dziwi mnie, że się na to odważył – powiedział sir Henry.

– Mógł umieścić tę świecę w taki sposób, by była widoczna tylko stąd.

– To bardzo prawdopodobne. Jak pan myśli, jak daleko może to być?

– Sądzę, że gdzieś przy Cleft Tor.

– A więc nie dalej niż milę czy dwie?

– Pewnie nawet bliżej.

– W takim razie to musi być dość blisko, skoro Barrymore zanosił mu jedzenie. A ten łotr czeka gdzieś tam, przy świecy. Do diabła, Watsonie, zamierzam ująć tego człowieka!

Mnie również przyszła do głowy ta sama myśl. Wahałbym się, gdyby Barrymore'owie chcieli nas wciągnąć do swojego spisku, ale przecież my sami zmusiliśmy ich do wyjawienia tajemnicy. Ten człowiek stanowił zagrożenie, był bezwzględnym łotrem, dla którego nie powinno być litości ani przebaczenia. Sprawiając, że znów trafi tam, gdzie nikomu nie będzie mógł wyrządzić krzywdy, spełnilibyśmy jedynie nasz obowiązek. Biorąc pod uwagę jego brutalną, skłonną do przemocy naturę, nie można wykluczyć, że być może zapłaciłby za to niewinny człowiek. Na dobrą sprawę każdej nocy istniało ryzyko, że nasi sąsiedzi, Stapletonowie, mogą zostać przez niego zaatakowani, i może właśnie ta myśl sprawiła, że sir Henry tak chętnie podjął się próby ujęcia przestępcy.

– Pójdę z panem – powiedziałem.

– W takim razie niech pan bierze rewolwer i wskakuje w buty. Im szybciej wyruszymy, tym lepiej. On może po prostu zgasić tę swoją świecę i stamtąd odejść.

W ciągu pięciu minut staliśmy już przed drzwiami, gotowi do naszej wyprawy. Wśród głuchych jęków jesiennego wichru i szelestu opadających liści szybko minęliśmy ciemne zarośla. Nocne powietrze było ciężkie od wilgoci i zapachu rozkładających się roślin. Od czasu do czasu księżyc wyglądał na moment zza chmur, gnanych wichrem po niebie, a w chwili gdy wyszliśmy na otwartą przestrzeń, zaczął siąpić słaby deszcz. W dali przed nami świeca nadal płonęła stabilnym światłem.

– Ma pan broń? – spytałem.

– Mam szpicrutę.

– Musimy szybko go podejść, bo powiadają, że to człowiek gotowy na wszystko. Weźmiemy go z zaskoczenia, i zanim zdoła stawić opór, będzie już zdany na naszą łaskę.

– Zastanawiam się, Watsonie – rzekł baronet – co by na to wszystko powiedział Holmes. Co z tą godziną ciemności, kiedy moce zła są najsilniejsze?

Jakby w odpowiedzi na jego słowa, z ciemności nad wrzosowiskiem dobiegł nas raptem ten przedziwny krzyk, który słyszałem już wcześniej na obrzeżach wielkiego trzęsawiska Grimpen. Doszedł nas gnany wichrem przez nocną ciszę przeciągły głuchy szept, wznoszący się do wycia, który chwilę potem znów opadł do smutnego jęku i zamilkł gdzieś w oddali. Potem odezwał się ponownie. I raz jeszcze. Ostry, dziki, groźny, wypełniający pulsowaniem całe powietrze. Baronet chwycił mnie za rękaw. Jego blada twarz połyskiwała w ciemności.

– Wielkie nieba! Co to takiego, Watsonie?

– Nie mam pojęcia. To ten dźwięk, który słychać czasami na wrzosowisku. Już raz go wcześniej słyszałem.

Odgłos umilkł, i wokół nas zapanowała absolutna cisza. Staliśmy, wytężając słuch, jednak nic więcej już nie usłyszeliśmy.

– Watsonie – powiedział baronet – to było wycie psa.

Słowa sir Henry’ego zmroziły mi krew w żyłach; głos mu się załamał i zrozumiałem, że ogarnęło go nagle ogromne przerażenie.

– Jak nazywają ten dźwięk? – zapytał.

– Kto?

– Miejscowi.

– Och, to ciemni ludzie. Czemu miałby się pan przejmować tym, jak to nazy-wają?

– Proszę mi powiedzieć, Watsonie. Co o tym mówią?

Zawahałem się, ale nie sposób było uciec przed tym pytaniem.

– Mówią, że to wycie psa Baskerville’ów.

Baronet jęknął i przez kilka chwil milczał.

– To było wycie psa – odezwał się wreszcie. – Ale wydawało mi się, że dochodziło z odległości wielu mil, gdzieś stamtąd, jak sądzę.

– Trudno powiedzieć, skąd dochodziło.

– Wznosiło się i opadało wraz z wiatrem. Czy to nie tam leży wielkie trzęsawisko Grimpen?

– Tak, rzeczywiście.

– A więc to było stamtąd. Niech mi pan powie, Watsonie, czy sam pan nie pomyślał, że to było wycie psa? Nie jestem dzieckiem. Nie musi pan ukrywać przede mną prawdy.

– Kiedy ostatnio to słyszałem, był ze mną Stapleton. Mówił, że to może być nawoływanie jakiegoś dziwnego ptaka.

– Nie, nie. To był pies. Mój Boże, czy w tych wszystkich historiach może się kryć jakieś ziarno prawdy? Czy to możliwe, że rzeczywiście zagrażają mi jakieś ciemne moce? Pan w to nie wierzy, prawda, Watsonie?

– Nie, nie wierzę.

– A jednak czym innym było śmiać się z tego w Londynie, a czym innym jest stać tutaj, w sercu wrzosowiska, i słyszeć to. A mój wuj! Niedaleko miejsca, w którym go znaleziono, widziano odciski łap psa. To wszystko do siebie pasuje. Nie uważam się za tchórza, Watsonie, ale ten dźwięk autentycznie zmroził mi krew w żyłach. Proszę dotknąć mojej ręki.

Była zimna niczym blok marmuru.

– Jutro rano spojrzy pan na to inaczej.

– Nie sądzę, żebym był w stanie zapomnieć o tym wyciu. Jak pan radzi, co powinniśmy teraz zrobić?

– Może zawróćmy?

– Do diabła! Nie! Wyszliśmy, żeby ująć Seldena, i zrobimy to. Ścigamy zbiegłego więźnia, a nas być może ściga jakiś piekielny pies. Dalej! Zrobimy to, choćby na wrzosowisku miały się dzisiaj spotkać wszystkie diabły!

Powoli brnęliśmy w ciemnościach. Wokół nas wznosiły się czarne sylwetki skalistych wzgórz, a przed nami płonął równym światłem żółty punkcik świecy. Nic bardziej złudnego niż ocenianie odległości pośród nocy. Czasem płomyczek wydawał się migotać w dali na horyzoncie, a chwilami odnosiliśmy wrażenie, że jest kilka

jardów przed nami. W końcu jednak przekonaliśmy się, skąd dochodzi światło, i zrozumieliśmy, że teraz jesteśmy już bardzo blisko. Świeca wetknięta była w szczelinę w skałach otaczających ją z obu stron tak, aby nie zdmuchnął jej wiatr i by była widoczna tylko z jednego miejsca – z okna rezydencji Baskerville'ów. Podchodziliśmy od strony granitowego głazu, nie było nas więc widać. Przykucnęliśmy za nim i spojrzeliśmy na świecę. Dziwnie było tak patrzeć na to pojedyncze światełko palące się w samym sercu wrzosowiska, podczas gdy wokół nie było żywej duszy – jedynie prosty jasny płomień i migoczące wokół zarysy skał.

– Co teraz zrobimy? – wyszeptał sir Henry.

– Poczekamy tutaj. Musi się czaić gdzieś w pobliżu swojej świecy. Poczekajmy. Być może uda nam się go wypatrzyć.

Ledwie skończyłem wypowiadać te słowa, gdy obaj go ujrzeliśmy. Nad skałami, w szczelinie, w której płonęła świeca, zamajaczyła zła, pożółkła twarz, niczym przerażający pysk jakiegoś zwierza. Mężczyzna był cały brudny od błota, ze zwichrzoną brodą i splątanymi, zwisającymi w pasmach włosami. Równie dobrze mógł być jednym z tych pradawnych dzikusów, zamieszkujących kiedyś jamy na zboczach tych wzgórz. Światło odbijało się w jego małych, szczwanych oczach rzucających w ciemnościach wściekłe spojrzenia na wszystkie strony; przypominały ślepia jakiegoś przebiegłego dzikiego zwierzęcia, które raptem usłyszało kroki myśliwych.

Najwyraźniej coś wzbudziło jego podejrzenia. Być może Barrymore miał jakiś umówiony sygnał, którego my nie znaliśmy, lub też człowiek ten miał jakiś inny powód, by pomyśleć, że coś jest nie tak. Dostrzegłem strach na jego upiornej twarzy. W każdej chwili mógł zgasić świecę i zniknąć w ciemności, skoczyłem więc do przodu, sir Henry zrobił to samo.

W tym samym momencie więzień zaklął i cisnął w naszą stronę kawałkiem skały, który rozbił się o głaz, za którym się schroniliśmy. Zdążyłem ujrzeć tylko zarys jego niskiej, przysadzistej, mocno zbudowanej sylwetki, kiedy skoczył na równe nogi i rzucił się do ucieczki. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w tej samej chwili księżyc przebił się przez chmury. Pognaliśmy za nim grzbietem wzgórza. Mężczyzna uciekał z ogromną szybkością w dół po długim zboczu, przeskakując po kamieniach niczym górska kozica. Celny strzał z rewolweru mógłby go zatrzymać, jednak wziąłem ze sobą broń tylko na wypadek, gdybym został zaatakowany. Nie zamierzałem strzelać w plecy nieuzbrojonego, uciekającego człowieka.

Obaj z sir Henrym byliśmy niezłymi biegaczami i mieliśmy dobrą kondycję, jednak szybko się przekonaliśmy, że nie mamy szans, by go dogonić. Jeszcze przez długi czas widzieliśmy go w świetle księżyca, aż wreszcie stał się tylko małą plamką, poruszającą się szybko pomiędzy głazami na stoku kolejnego wzgórza. Gnaliśmy wytrwale, aż całkiem zabrakło nam tchu, jednak dzieląca nas odległość nieustannie się powiększała. Wreszcie daliśmy za wygraną i, dysząc ciężko, usiedliśmy na dwóch skałach, patrząc, jak znika w oddali.

Raptem wydarzyło się coś bardzo dziwnego i nieoczekiwanego. Wstaliśmy i zawróciliśmy, by udać się do domu, rezygnując z beznadziejnego pościgu. Księżyc

wisiał niewysoko na prawo od nas, a na tle jego srebrnego dysku rysował się postrzępiony szczyt granitowego wzniesienia. I tam właśnie spostrzegłem postać stojącą na wzgórzu. Była wyraźnie widoczna na tym świetlistym tle niczym czarny posążek z hebanu. Nie myśl, Holmesie, że coś mi się przywidziało. Zapewniam cię, że nigdy w życiu nie widziałem niczego wyraźniej. Na ile potrafiłem osądzić, była to sylwetka wysokiego, szczupłego mężczyzny. Stał z lekko rozstawionymi nogami, z założonymi rękoma i pochyloną głową, tak jakby dumał nad tym ogromnym pustkowiem wrzosów i granitu rozciągającym się przed nim. Równie dobrze mógł być duchem tego przerażającego miejsca. To nie był ścigany przez nas więzień. Człowiek ten stał zdecydowanie za daleko od miejsca, gdzie znikł ten ostatni. Poza tym był o wiele wyższy. Z okrzykiem zaskoczenia wskazałem na niego baronetowi, jednak w momencie gdy się odwróciłem, by chwycić go za ramię, tajemniczego człowieka już nie było. Ostry szczyt granitowego wzgórza nadal odcinał się wyraźnie od niższej krawędzi tarczy księżyca, nie pozostał jednak żaden ślad po milczącej nieruchomej postaci.

Chciałem udać się w tamtą stronę i przeszukać wzgórze, było ono jednak dość daleko od nas. Baronet nie doszedł jeszcze do siebie po tym, jak usłyszał skowyt, który przywodził mu na myśl mroczną rodzinną legendę, i nie miał ochoty na nowe przygody. Nie widział tego samotnego mężczyzny na wzgórzu i nie poczuł podniecenia, jakim wypełniły mnie jego dziwna obecność i władcza postawa.

– To musiał być strażnik – powiedział. – Na wrzosowisku aż się roi od nich, odkąd zbiegł ten człowiek.

Być może wyjaśnienie sir Henry’ego było słuszne, chciałem mieć jednak niezbite dowody. Dziś zamierzamy się skontaktować z ludźmi z Princetown i poinformować ich, gdzie powinni szukać swojego zbiega, szkoda jednak, że nie udało nam się triumfalnie doprowadzić go do nich jako naszego więźnia.

Takie mieliśmy przygody ubiegłej nocy, i musisz przyznać, mój drogi Holmesie, że zdałem Ci bardzo szczegółowe sprawozdanie. Bez wątpienia spora część tego, co Tobie piszę, nie ma znaczenia dla sprawy, mam jednak odczucie, że najlepiej będzie, jeśli poznasz wszystkie fakty i sam wybierzesz te, które najbardziej Ci się przydadzą do wyciągnięcia właściwych wniosków. Z całą pewnością czynimy pewne postępy. Jeśli chodzi o Barrymore’ów, poznaliśmy motywy ich działań, a to w znacznym stopniu wyjaśniło sytuację. Mimo to wrzosowisko ze swymi tajemnicami i z dziwnymi mieszkańcami nadal pozostaje nieprzeniknione, jak zwykle zresztą. Być może w moim kolejnym raporcie uda mi się rzucić trochę światła na niektóre z tych tajemnic. Najlepiej byłoby jednak, gdybyś Ty sam mógł tu do nas przyjechać.

Rozdział dziesiąty

Fragment dziennika doktora Watsona

Do tej pory mogłem cytować urywki moich raportów, jakie w tych początkowych dniach wysyłałem do Sherlocka Holmesa. Teraz jednak dotarłem do takiego punktu mej opowieści, w którym zmuszony jestem zrezygnować z tej metody i zdać się ponownie na swą pamięć, wspomagając się dziennikiem, jaki wówczas prowadziłem. Kilka jego fragmentów doprowadzi mnie do tych wydarzeń, których wszystkie szczegóły utkwiły w mej pamięci. Przejdę zatem do opisu poranka po naszym nieudanym pościgu za więźniem i innych dziwnych przygód, jakie spotkały nas na wrzosowisku.

16 października. Posępny i mglisty dzień, ciągle mży. Dom otaczają przewalające się chmury, które od czasu do czasu się unoszą, ukazując ponurą przestrzeń wrzosowiska i cienkie srebrne żyłki strumyków spływających po zboczach wzgórz. Głazy w oddali połyskują, gdy światło pada na ich mokrą powierzchnię. Melancholia otacza nas ze wszystkich stron, wewnątrz i na zewnątrz. Baronet bardzo przeżywa doświadczenia ubiegłej nocy. Mnie samemu jest ciężko na sercu, i przeczuwam zbliżające się niebezpieczeństwo, zagrożenie, które nieustannie wisi nad nami i wydaje się tym straszniejsze, że nie potrafię go określić.

Ale czyż nie mam powodów do takich odczuć po tych wydarzeniach, z których wszystkie wskazywały na to, że wokół nas działają jakieś mroczne siły? Śmierć ostatniego właściciela rezydencji bardzo dokładnie pasowała do rodzinnej legendy. No i mamy jeszcze wciąż nowe doniesienia wieśniaków o pojawieniu się jakiegoś dziwnego stworzenia na wrzosowisku. Dwukrotnie na własne uszy słyszałem dźwięk dobiegający z oddali i przypominający wycie psa. To niewiarygodne, wręcz niemożliwe, by ta sprawa rzeczywiście wykraczała poza zwyczajne prawa natury. Pies

widmo, który pozostawia całkiem materialne ślady i wypełnia powietrze swym dzikim wyciem, z całą pewnością nie istnieje. Stapleton może ulegać takim zabobonom, Mortimer również. Jeżeli jednak posiadam chociażby jedną zaletę, to jest nią zdrowy rozsądek, i nic mnie nie przekona, bym uwierzył w coś tak absurdalnego. Czyniąc to, zniżyłbym się do poziomu tych biednych wieśniaków, którym nie wystarcza sam upiorny pies, lecz muszą jeszcze opowiadać o piekielnym ogniu buchającym mu ze ślepi i z pyska. Holmes nie słuchałby takich bajek, a ja jestem jego wysłannikiem. Fakty pozostają jednak faktami, a ja dwa razy słyszałem ten przedziwny dźwięk na wrzosowisku. Załóżmy, że w okolicy jest rzeczywiście jakiś wielki pies włóczący się bez nadzoru. To by w znacznej mierze wyjaśniało sprawę. Ale gdzie taki pies mógłby mieć swą kryjówkę? Skąd brałby jedzenie? Skąd się w ogóle wziął? I dlaczego nikt nie widział go za dnia? Muszę przyznać, że tak samo ciężko wyjaśnić te wątpliwości z punktu widzenia zdrowego rozsądku, jak i wytłumaczyć w oparciu o nadprzyrodzone zjawiska. A poza tym, oprócz psa, mamy jeszcze rzeczywiste działania jakichś ludzi w Londynie – mężczyznę w dorożce oraz list ostrzegający sir Henry’ego przed przybyciem tutaj. To przynajmniej było całkiem realne, jednak mogło być działaniem zarówno wroga, jak i przyjaciela próbującego go chronić. Gdzie jest teraz ten przyjaciel lub wróg? Został w Londynie czy też udał się tutaj za nami? A może… Czy to możliwe, by był nim ten nieznajomy, którego widziałem na wzgórzu?

Prawdą jest, że widziałem go tylko przez chwilę, są jednak pewne rzeczy, co do których gotów byłbym przysiąc. Nie był to żaden z ludzi, jakich tutaj spotkałem, a teraz znam już wszystkich sąsiadów. Tamta postać była znacznie wyższa niż Stapleton i o wiele szczuplejsza niż Frankland. Mógł to być Barrymore, który jednak tamtej nocy został w rezydencji, i jestem pewien, że nie był w stanie nas śledzić. Nadal więc obserwuje nas jakiś nieznajomy, podobnie jak w Londynie. Nigdy nie udało nam się go zgubić. Gdybym mógł dostać w swe ręce tego mężczyznę, to być może wszystkie nasze problemy wreszcie dobiegłyby końca. Muszę teraz poświęcić całą energię, aby zrealizować ten zamiar.

W pierwszym odruchu chciałem wyjawić swój plan sir Henry’emu. Później jednak przyszła mi do głowy mądrzejsza myśl. Będę prowadził własną grę, nikomu nie mówiąc więcej niż to konieczne. Baronet jest

milczący i roztargniony. Ten dźwięk na wrzosowisku wstrząsnął nim do głębi. Nic mu nie powiem, aby nie zwiększać jego obaw, lecz sam podejmę właściwe kroki, by osiągnąć swój cel.

Dziś rano po śniadaniu doszło do niewielkiej scysji. Barrymore poprosił sir Henry'ego o rozmowę, po czym na jakiś czas obaj panowie zamknęli się w jego gabinecie. Siedząc w sali bilardowej, kilka razy słyszałem podniesione głosy, dobrze więc zdawałem sobie sprawę z tego, o czym dyskutowali. Po jakimś czasie baronet otworzył drzwi i zawołał mnie.

– Barrymore ma do nas żal – powiedział. – Uważa, że postąpiliśmy nieuczciwie, ścigając jego szwagra, podczas gdy on z własnej woli zdradził nam sekret.

Kamerdyner stał przed nami blady jak płótno, lecz opanowany.

– Być może zbyt mnie poniosło, sir – przyznał. – Skoro tak, to bardzo pana przepraszam. Z drugiej strony byłem bardzo zaskoczony, dowiedziawszy się dziś rano, że wy, panowie, dwaj dżentelmeni, ścigaliście Seldena. Ten biedak i tak ma już dość kłopotów oprócz tych, których ja mu przysporzyłem.

– Gdybyś opowiedział nam o tym dobrowolnie, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej – powiedział baronet. – Jednak ty, a właściwie twoja żona wyznała nam prawdę dopiero wtedy, gdy was do tego zmusiliśmy, a ty sam już nic nie mogłeś na to poradzić.

– Nie sądziłem, że pan to wykorzysta, sir Henry… Doprawdy, nie sądziłem.

– Ten człowiek stanowi zagrożenie dla społeczeństwa. Na wrzosowisku jest wiele samotnych domostw, a on jest zdolny do wszystkiego. Wystarczy jedno spojrzenie na jego twarz, żeby się o tym przekonać. Pomyśl na przykład o domu pana Stapletona. Sam jeden musiałby go bronić. Nikt w tej okolicy nie będzie bezpieczny, dopóki ten łotr nie trafi za kraty.

– On nie wtargnie do żadnego domu, sir. Mogę panu dać na to moje słowo. Poza tym on już nigdy nie zagrozi nikomu w tym kraju. Zapewniam pana, sir Henry, że już za kilka dni poczynimy odpowiednie kroki, i Selden znajdzie się w drodze do Ameryki Południowej. Na Boga, sir, błagam pana, niech pan nie mówi policji, że on wciąż jest na wrzosowisku. Przestali go już tam szukać, a on może spokojnie przeczekać w swojej kryjówce, aż załatwimy mu statek. Nie może pan na niego donieść, nie wplątując przy

tym w kłopoty mojej żony i mnie. Zaklinam pana, sir, proszę nic nie wspominać policji.

– Co pan na to, Watsonie?

Wzruszyłem ramionami.

– Gdyby bezpiecznie wyjechał z tego kraju, zmniejszyłoby to tylko koszty podatników.

– Ale jeśli kogoś napadnie, zanim wyjedzie?

– Nie zrobiłby czegoś tak szalonego, sir. Zapewniliśmy mu wszystko, czego mógłby zapragnąć. Gdyby popełnił jakieś przestępstwo, zdradziłby, gdzie się ukrywa.

– To prawda – rzekł sir Henry. – No cóż, Barrymore…

– Niech pana Bóg błogosławi, sir. Dziękuję panu z całego serca! Gdyby znów go pojmali, moja biedna żona by tego nie przeżyła.

– Odnoszę wrażenie, Watsonie, że to współudział w przestępstwie. Jednak po tym, co tu usłyszeliśmy, czuję, że nie mógłbym wydać tego człowieka. Uważam zatem sprawę za zamkniętą. W porządku, Barrymore. Możesz odejść.

Wyraziwszy swą wdzięczność w kilku urywanych słowach, kamerdyner odwrócił się, zamierzając wyjść. Zawahał się jednak i zawrócił.

– Okazał nam pan tyle dobroci, sir, że chciałbym panu za to odpłacić najlepiej, jak potrafię. Wiem o pewnej sprawie, sir Henry. Być może powinienem był powiedzieć wcześniej, jednak dowiedziałem się o tym na długo po zakończeniu śledztwa. Jeszcze żadnemu człowiekowi nie zdradziłem tej tajemnicy. Chodzi o śmierć tego nieszczęśnika, sir Charlesa.

Baronet i ja zerwaliśmy się na równe nogi.

– Wiesz, w jaki sposób zmarł?

– Nie, sir. Tego nie wiem.

– W takim razie o co chodzi?

– Wiem, dlaczego był przy furtce tak późno w nocy. Miał się spotkać z jakąś kobietą.

– Spotkać się z kobietą? On?

– Tak, sir.

– A jak się nazywała?

– Nie potrafię podać panu nazwiska, sir, znam jednak jej inicjały: L.L.

– Skąd to wiesz, Barrymore?

– Sir Henry, pański wuj dostał tego ranka list. Zazwyczaj przychodziło do niego bardzo dużo listów, ponieważ udzielał się w życiu publicznym i był dobrze znany ze swej szczodrości i z dobrego serca. Każdy, kto znalazł się w kłopotach, zwracał się do niego. Jednak tamtego ranka tak się złożyło, że przyszedł tylko ten jeden list, więc zwróciłem na niego uwagę. Przysłano go z Coombe Tracey, był zaadresowany kobiecą ręką.

– No i…?

– Cóż, sir. Nie zastanawiałem się więcej nad tą sprawą i nie poświęcałbym już temu uwagi, gdyby nie moja żona. Zaledwie kilka tygodni temu sprzątała gabinet sir Charlesa – niczego w nim nie ruszano od czasu jego śmierci – i znalazła spopielony list z tyłu na kracie kominka. Prawie cały był zwęglony, pozostał jednak niewielki skrawek arkusza, który się nie rozpadł. Nadal można było odczytać pismo, choć litery były już szare i niewyraźne. Wydawało nam się, że to postscriptum na końcu listu. Brzmiało tak: „Zaklinam pana, jeśli jest pan dżentelmenem, proszę spalić ten list i być przy furtce o dziesiątej”. Poniżej widniały inicjały: „L.L”.

– Masz jeszcze ten skrawek listu?

– Nie, sir. Rozpadł się na kawałki, gdy go oglądaliśmy.

– Czy sir Charles otrzymywał inne listy napisane tym samym charakterem pisma?

– Cóż, sir, nie zwracałem zbytniej uwagi na jego korespondencję. Tego listu też bym nie zapamiętał, gdyby przypadkiem tak się nie złożyło, że tego dnia doręczono tylko jeden.

– I nie masz pojęcia, kim jest L.L.?

– Nie, sir. Nie bardziej niż pan. Przypuszczam jednak, że gdybyśmy mogli dotrzeć do tej damy, dowiedzielibyśmy się więcej na temat śmierci sir Charlesa.

– Nie rozumiem, Barrymore, dlaczego zataiłeś tę ważną informację.

– To się stało bezpośrednio po tym, jak na nas samych spadło nieszczęście. Oboje byliśmy bardzo przywiązani do sir Charlesa i pamiętaliśmy wszystko, co dla nas zrobił. Odgrzebywanie tego incydentu nie mogło już pomóc naszemu biednemu panu, a gdy w sprawie pojawia się jakaś dama, dobrze jest zachować ostrożność. Nawet najlepsi spośród nas…

– Myślałeś, że mogłoby to zaszkodzić jego reputacji?

– Cóż, sir. Myślałem, że nie wynikłoby z tego nic dobrego. Jednak teraz okazał nam pan wielką dobroć, i czułem, że byłoby ogromną

niesprawiedliwością, gdybym nie powiedział panu wszystkiego, co wiem.

– Bardzo dobrze, Barrymore. Możesz odejść.

Gdy kamerdyner wyszedł, sir Henry zwrócił się do mnie:

– Watsonie, co pan o tym sądzi?

– Wydaje mi się, że teraz sprawa jeszcze bardziej się zawikłała.

– I ja odnoszę takie wrażenie. Jednak gdybyśmy dotarli do L.L., wszystko może by się wyjaśniło. Przynajmniej tyle zyskaliśmy – wiemy, że istnieje ktoś, kto zna okoliczności śmierci sir Charlesa. Gdyby tylko udało nam się ją odnaleźć! Jak pan sądzi, co powinniśmy zrobić?

– Bezzwłocznie poinformować o wszystkim Holmesa. Dzięki temu wskażemy mu trop, którego poszukuje, i naprawdę grubo bym się mylił, gdyby teraz do nas nie przyjechał.

Natychmiast udałem się do mojego pokoju i napisałem Holmesowi relację z rozmowy, która odbyła się tego ranka. Wydawało mi się oczywiste, że ostatnio był bardzo zajęty, ponieważ notatki, jakie otrzymywałem z Baker Street, były nieliczne i bardzo krótkie, beż żadnych komentarzy na temat informacji, które mu przysyłałem. Nie odnosił się też prawie w ogóle do mojej misji. Niewątpliwie ta sprawa szantażysty całkowicie go pochłonęła. Jednakże ten nowy szczegół z pewnością przykuje jego uwagę i sprawi, że ponownie zainteresuje się sprawą. Bardzo żałowałem, że nie ma go tu z nami.

17 października. Deszcz lał dziś przez cały dzień, szeleszcząc w bluszczu i spływając z okapów. Mimo woli przyszedł mi na myśl ten więzień, tułający się gdzieś po ponurym wrzosowisku bez dachu nad głową. Biedak! Niezależnie od tego, jakie popełnił zbrodnie, sporo już wycierpiał i z pewnością choć w części je odpokutował. A potem pomyślałem o tym drugim, o mężczyźnie z dorożki, postaci stojącej na skale. Czy on również był gdzieś tam, w tej ulewie, niewidzialny obserwator, człowiek z ciemności?

Wieczorem założyłem nieprzemakalny płaszcz i poszedłem na przesiąknięte wodą, ciemne wrzosowisko. Deszcz zacinał, a w uszach gwizdał wiatr. Boże, dopomóż tym, którzy teraz zawędrowali na trzęsawisko, bo tam nawet wyżynne obszary zamieniają się w bagno. Odnalazłem to czarne skaliste wzgórze, na którym widziałem samotną sylwetkę, i z jego szczytu rozejrzałem się po melancholijnych dolinach.

Nawałnica przesuwała się po ich rdzawej powierzchni, a ciężkie ołowiane chmury wisiały nisko nad ziemią, ciągnąc swoje szare wieńce po zboczach fantastycznych wzgórz. W odległej dolinie po lewej stronie, na wpół spowite we mgle, wznosiły się nad drzewami dwie smukłe wieże rezydencji Baskerville'ów. Były to jedyne oznaki ludzkiej obecności, jakie potrafiłem dostrzec, z wyjątkiem tych prehistorycznych domostw gęsto usianych na zboczach wzgórz. Nigdzie nie znalazłem żadnego śladu samotnego mężczyzny, którego widziałem w tym miejscu dwie noce wcześniej.

W drodze powrotnej spotkałem doktora Mortimera. Wracał swą dwukółką po nierównym trakcie, prowadzącym z jakiegoś oddalonego gospodarstwa w Foulmire. Poświęcał nam ostatnio bardzo wiele uwagi, i rzadko się zdarzało, by minął dzień bez jego odwiedzin w rezydencji. Nieustannie dopytywał, jak nam się tutaj wiedzie. Bardzo nalegał, żebym wsiadł do jego pojazdu i pozwolił mu podwieźć się do domu. Dowiedziałem się, że bardzo się martwi zniknięciem swego małego spaniela. Pies zawędrował gdzieś na wrzosowisko i już nigdy nie powrócił. Pocieszałem go jak mogłem, przypomniałem sobie jednak od razu kucyka z trzęsawiska Grimpen i już się nie łudziłem, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy swojego psiaka.

– A tak nawiasem mówiąc, doktorze Mortimer – powiedziałem, gdy telepaliśmy się po nierównej drodze – sądzę, że w tych stronach niewielu jest ludzi, których by pan nie znał?

– Przypuszczam, że takich nie ma.

– Czy może mi pan w takim razie podać nazwisko jakiejś kobiety o inicjałach L.L.?

Zastanawiał się przez kilka minut.

– Nie – odparł. – Jest paru Cyganów i robotników, których nie znam, ale wśród dzierżawców i szlachty nikt nie ma takich inicjałów. Chociaż chwileczkę… – dodał po chwili milczenia. – Jest Laura Lyons… Ona ma inicjały L.L. Ale mieszka w Coombe Tracey.

– Kim ona jest? – spytałem.

– To córka Franklanda.

– Co takiego? Starego Franklanda? Tego wariata?

– Właśnie. Poślubiła pewnego artystę o nazwisku Lyons, który przyjechał robić szkice na wrzosowisku. Okazał się jednak łajdakiem i ją opuścił. Zresztą z tego, co słyszałem, wina nie leżała tylko po jednej stronie. Ojciec

nie chciał po tym wszystkim mieć z nią nic wspólnego, bo poślubiła tego człowieka bez jego zgody, a być może też z paru innych powodów. Tak więc między nami mówiąc, dziewczyna nie miała zbyt lekkiego życia.

– Z czego się utrzymuje?

– Przypuszczam, że stary Frankland daje jej jakieś nędzne grosze, ale to nie może być dużo, bo jego sprawy sądowe kosztują go fortunę. Jednak jakkolwiek by było, nie można dziewczynie pozwolić całkowicie się stoczyć. Jej historia rozniosła się po okolicy, i kilka osób postarało się jakoś jej pomóc, by mogła znaleźć uczciwą pracę. Jednym z nich był Stapleton, a drugim sir Charles. Sam też przekazałem jej pewną drobną kwotę. Chodziło nam o to, aby mogła zacząć zarabiać jako maszynistka.

Chciał się dowiedzieć, dlaczego o to wszystko pytam, lecz udało mi się zaspokoić jego ciekawość, nie zdradzając przy tym zbyt wiele. Nie miałem powodów, by kogokolwiek wtajemniczać w tę sprawę. Jutro rano wybiorę się do Coombe Tracey, i jeśli uda mi się spotkać z panią Laurą Lyons, kobietą o wątpliwej reputacji, poczynimy znaczne kroki w kierunku wyjaśnienia jednej z tych nierozwiązanych zagadek. Z całą pewnością staję się przebiegły niczym wąż, bo gdy Mortimer nalegał ze swoimi pytaniami, zapytałem go od niechcenia, do jakiego typu należy czaszka Franklanda. Dzięki temu przez całą podróż słuchałem już tylko jego wywodów o kraniometrii. Nie na darmo mieszkałem przez tyle lat z Sherlockiem Holmesem!

Tego deszczowego burzliwego dnia miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie, które chciałbym tutaj opisać. Była nim moja rozmowa z Barrymore’em, która pozwoliła mi uzyskać kolejną mocną kartę w przyszłej rozgrywce.

Mortimer został na kolacji, a potem razem z baronetem grali w karty. Kamerdyner przyniósł mi kawę do biblioteki, a ja wykorzystałem tę okazję, by zadać mu kilka pytań.

– No i cóż – zapytałem – czy ten twój wspaniały szwagier już stąd zniknął, czy też dalej czai się gdzieś na wrzosowisku?

– Nie wiem, sir. Mam szczerą nadzieję, że już stąd odszedł, bo nie przyniósł nam nic prócz kłopotów! Odkąd ostatnim razem zostawiłem mu jedzenie, nie dawał znaku życia, a to było już trzy dni temu.

– Widziałeś go wtedy?

– Nie, sir. Jednak kiedy następnym razem tamtędy przechodziłem, jedzenie zniknęło.

– A więc widocznie jeszcze się tam ukrywa?

– Można by tak sądzić, sir, chyba że zabrał je ten drugi.

Zamarłem z filiżanką kawy w pół drogi do ust, wpatrując się w Barrymore’a.

– W takim razie wiesz, że jest tam jeszcze jakiś inny człowiek?

– Tak, sir. Jest jeszcze drugi mężczyzna na wrzosowisku.

– Widziałeś go?

– Nie, sir.

– Wobec tego skąd o nim wiesz?

– Selden mi o nim powiedział, sir. Tydzień temu albo nawet wcześniej. Też się ukrywa, ale z tego, co się domyślam, nie jest zbiegiem. Nie podoba mi się to, doktorze Watson. Mówię panu szczerze, bardzo mi się to nie podoba – w jego słowach nagle zabrzmiały silne emocje.

– Posłuchaj mnie, Barrymore! Interesuję się tą sprawą tylko ze względu na twojego pana. Przyjechałem tu wyłącznie po to, żeby mu pomóc. Powiedz mi szczerze, co ci się tak bardzo nie podoba?

Barrymore zawahał się przez chwilę, jakby pożałował swojego wybuchu lub jakby trudno mu było wyrazić uczucia słowami.

– Wszystko to, co się tu dzieje, sir! – krzyknął wreszcie, machając ręką w stronę ociekającego deszczem okna wychodzącego na wrzosowisko. – Tu się szykuje coś niedobrego, jakieś wstrętne łotrostwo, gotów jestem przysiąc! Bardzo bym się ucieszył, sir, widząc, że sir Henry wraca do Londynu!

– Ale co cię tak niepokoi?

– Niech pan pomyśli o śmierci sir Charlesa! Już samo to było dziwne, wnioskując ze słów koronera. I jeszcze te dźwięki dobiegające nocą z wrzosowiska. Nie znajdzie się taki człowiek, który przeszedłby wrzosowiskiem po zachodzie słońca, nawet jeśliby mu zapłacono. A na dodatek ten nieznajomy, który gdzieś się tam ukrywa, czeka, obserwuje! Na co on czeka? Jakie ma zamiary? To nie może wróżyć nic dobrego dla kogokolwiek o nazwisku Baskerville! Bardzo się ucieszę, mogąc się uwolnić od tego wszystkiego, gdy tylko nowa służba sir Henry’ego przejmie pieczę nad rezydencją.

– Ale co do tego nieznajomego… – wtrąciłem – możesz mi coś więcej o nim powiedzieć? Co mówił ci o nim Selden? Dowiedział się może, gdzie się ukrywa albo co robi?

– Widział go raz czy dwa razy, ale to skryty człowiek i niewiele zdradza. Na początku myślał, że to ktoś z policji, ale szybko się przekonał, że tamten ma jakieś inne zamiary. Z tego, co mówił, był to raczej jakiś dżentelmen, Selden nie domyślił się jednak, czym się zajmuje.

– A mówił może, gdzie się ukrywa?

– W jednym z tych starych domostw na zboczu wzgórza… W tych kamiennych ruinach, które niegdyś zamieszkiwali ludzie.

– Ale skąd bierze jedzenie?

– Selden odkrył, że pracuje dla niego jakiś chłopiec, który go zaopatruje. Przypuszczam, że robi dla niego zakupy w Coombe Tracey.

– Bardzo dobrze, Barrymore. Może jeszcze wrócimy do tej rozmowy.

Gdy kamerdyner wyszedł, zbliżyłem się do ciemnego okna. Przez zamazaną od deszczu szybę ujrzałem chmury pędzące po niebie i poszarpane kontury smaganych wichrem drzew. Nawet dla człowieka mającego dach nad głową była to szalona noc. A jak musiał czuć się ktoś, kto schronił się w kamiennych ruinach na pustkowiu? Jak potężna nienawiść musi nim powodować, że czai się tam w taką pogodę? Jak ważne i głębokie ma zamiary, że gotów jest znosić tak wiele wyrzeczeń! Tam właśnie, na wrzosowisku, kryje się zapewne klucz do rozwiązania problemu, który tak bardzo pragnę rozwiązać. Przysięgam, że nim minie kolejny dzień, zrobię wszystko, co w ludzkiej mocy, aby rozwikłać tę tajemnicę.

Rozdział jedenasty

Mężczyzna ze wzgórza

Cytując fragment z mego dziennika, stanowiącego cały poprzedni rozdział, doprowadziłem tę opowieść do 18 października, kiedy to wszystko zaczęło nabierać tempa, nieuchronnie zmierzając do straszliwego końca. Zdarzenia z kolejnych kilku dni wyryły tak głęboki ślad w mej pamięci, że mogę o nich opowiedzieć, nie odwołując się do notatek, jakie w tym czasie sporządzałem. Zacznę więc od dnia, który nastąpił po tym, gdy ustaliłem dwa niezwykle ważne fakty. Po pierwsze, pani Laura Lyons z Coombe Tracey napisała list do sir Charlesa Baskerville'a i umówiła się z nim na spotkanie dokładnie w tym miejscu i czasie, w którym dosięgła go śmierć. Po drugie, mężczyzna, którego dostrzegłem na wrzosowisku, ukrywał się w jednym z kamiennych domostw na zboczu wzgórza. Byłem przekonany, że posiadając te dwie jakże istotne wskazówki, będę w stanie rzucić nieco światła na te mroczne tajemnice. W przeciwnym razie moja porażka oznaczałaby niechybnie, że brak mi inteligencji albo odwagi.

Poprzedniego wieczoru nie zdołałem się podzielić z baronetem wiedzą na temat pani Lyons, jaką zdobyłem, ponieważ do późnej nocy grał on w karty z doktorem Mortimerem. Jednakże przy śniadaniu opowiedziałem mu o swym odkryciu i zapytałem, czy miałby ochotę towarzyszyć mi do Coombe Tracey. Początkowo bardzo chciał ze mną pojechać, jednak po namyśle obaj doszliśmy do wniosku, że będzie lepiej, jeżeli sam się tam udam. Im bardziej formalny charakter nadamy tej wizycie, tym mniej informacji zdołamy uzyskać. Tak więc, nie bez pewnych wyrzutów sumienia, zostawiłem sir Henry'ego w rezydencji i wyruszyłem z nową misją.

Gdy dotarłem do Coombe Tracey, powiedziałem Perkinsowi, aby zatrzymał konie, i zacząłem się rozpytywać o damę, której zamierzałem

zadać kilka pytań. Nie miałem problemu z odnalezieniem jej domu. Stał pośrodku miasteczka i prezentował się zupełnie przyzwoicie. Pokojówka bez większych ceregieli wpuściła mnie do środka, a gdy wkroczyłem do salonu, pani siedząca przed maszyną do pisania marki Remington uniosła się z krzesła z przyjemnym uśmiechem na twarzy, aby mnie powitać. Kiedy jednak dotarło do niej, że mnie nie zna, nagle spoważniała, usiadła i zapytała, jaki jest cel mojej wizyty.

W pierwszej chwili odniosłem wrażenie, że pani Lyons jest niezwykłą pięknością. Jej oczy i włosy miały ten sam głęboki orzechowy kolor, a policzki, choć nieco piegowate, okrywał piękny rumieniec, delikatny niczym herbaciana róża. Powtórzę jednak, że moim pierwszym wrażeniem był podziw dla jej urody. Po chwili pojawił się krytycyzm. Jej twarz kryła ledwo dostrzegalną skazę. Coś szpeciło tę doskonałą urodę. Być może była to pewna ostrość rysów, nazbyt twarde spojrzenie lub za bardzo wydatne wargi. Odczucia te pojawiły się jednak później. W tamtej chwili byłem po prostu świadom, że znalazłem się w towarzystwie bardzo ładnej kobiety, która pragnęłaby poznać powód mojej wizyty. Aż do momentu gdy ją ujrzałem, nie zdawałem sobie do końca sprawy, jak delikatnej natury była moja misja.

– Miałem przyjemność poznać ojca pani – powiedziałem.

Był to niezręczny wstęp, i dała mi to wyraźnie odczuć.

– Nic mnie nie łączy z moim ojcem – powiedziała. – Niczego mu nie zawdzięczam, a jego przyjaciele nie są moimi przyjaciółmi. Gdyby nie zmarły sir Charles Baskerville i paru innych dobrych ludzi, mogłabym umrzeć z głodu, a mój ojciec nawet by tego nie dostrzegł.

– To właśnie w związku ze śmiercią sir Charlesa Baskerville’a przybyłem do pani z wizytą.

Piegi na jej twarzy zarysowały się wyraźniej.

– Co mogę panu o nim powiedzieć? – spytała, przebiegając nerwowo palcami po klawiszach maszyny do pisania.

– Znała go pani, prawda?

– Powiedziałam już, że wiele zawdzięczam jego dobroci. Jeśli jestem w stanie sama się utrzymać, to w znacznym stopniu dzięki temu, że zainteresował się moim nieszczęśliwym położeniem.

– Korespondowała z nim pani?

Posłała mi szybkie spojrzenie, a w jej piwnych oczach pojawił się jakiś zły błysk.

– W jakim celu zadaje mi pan te pytania? – spytała ostro.

– Chciałbym uniknąć publicznego skandalu. Będzie lepiej, jeśli to ja panią wypytam, bo wkrótce sprawa może się nam wymknąć spod kontroli.

Milczała. Jej twarz stała się bardzo blada. W końcu rzuciła mi zuchwałe, wyzywające spojrzenie.

– Cóż, w takim razie odpowiem. O co chciałby mnie pan zapytać?

– Korespondowała pani z sir Charlesem?

– Z całą pewnością pisałam do niego raz czy dwa, by podziękować za delikatność i hojność, jaką mi okazał.

– Pamięta pani daty tych listów?

– Nie.

– Spotkała go pani kiedyś?

– Tak, kilka razy, kiedy przyjeżdżał do Coombe Tracey. Był bardzo nieśmiałym człowiekiem, i nie zależało mu na rozgłosie.

– Jednak skoro widywała go pani tak rzadko i równie rzadko do niego pisywała, skąd znał na tyle dobrze pani sytuację, by chciał jej pomóc?

Na moje trudne pytanie odpowiedziała bez wahania:

– Kilku dżentelmenów znało moją smutną historię; wspólnie postanowili mnie wesprzeć. Jednym z nich był pan Stapleton, sąsiad i bliski przyjaciel sir Charlesa. Okazał mi niezwykłą dobroć, i to dzięki niemu sir Charles dowiedział się o moich kłopotach.

Wiedziałem już o tym, że sir Charles kilkakrotnie prosił Stapletona, aby był jego pośrednikiem w takich sprawach, więc słowa Laury Lyons brzmiały wiarygodnie.

– Czy pisała pani kiedyś do sir Charlesa, prosząc o spotkanie? – dopytywałem dalej.

Znów oblała się gniewnym rumieńcem.

– Doprawdy, sir, pańskie pytania stają się coraz dziwniejsze.

– Przepraszam panią, ale muszę je powtórzyć.

– Wobec tego odpowiem. Z całą pewnością nie.

– I nie zrobiła pani tego w dniu śmierci sir Charlesa?

Rumieniec znikł w jednej chwili, a twarz kobiety zrobiła się śmiertelnie blada. Jej drżące usta nie były w stanie wypowiedzieć słowa „nie”, które raczej odczytałem z ruchu warg, niż usłyszałem.

– Z całą pewnością zawodzi panią pamięć – rzekłem. – Mogę nawet przytoczyć fragment pani listu. Oto on: „Zaklinam pana, jeśli jest pan dżentelmenem, proszę spalić ten list i być przy furtce o dziesiątej”.

Przyszło mi na myśl, że za chwilę zemdleje, jednak ogromnym wysiłkiem woli zapanowała nad sobą.

– Czy nie ma już na świecie dżentelmenów? – wyszeptała.

– Pani słowa są bardzo niesprawiedliwe wobec sir Charlesa. On spalił ten list. Jednak czasami pismo można odczytać nawet po spaleniu. A więc przyznaje pani teraz, że to napisała?

– Tak, napisałam to! – Krzyknęła, wylewając swe uczucia w powodzi słów. – Napisałam to! Czemuż miałabym temu zaprzeczać? Nie mam powodów, by się tego wstydzić. Pragnęłam, żeby mi pomógł. Czułam, że jeśli będę miała możliwość z nim porozmawiać, skłonię go, aby przyszedł mi z pomocą, dlatego poprosiłam, żeby się ze mną spotkał.

– Ale czemu o tak późnej porze?

– Ponieważ właśnie się dowiedziałam, że następnego dnia wyjeżdża do Londynu i być może nie będzie go tutaj przez kilka miesięcy. Były powody, dla których nie mogłam przybyć wcześniej.

– Dlaczego jednak zaproponowała pani spotkanie w ogrodzie zamiast u niego w domu?

– Sądzi pan, że kobiecie wypada udawać się samotnie o tej godzinie do kawalera?

– No cóż… Co się stało, gdy pani tam dotarła?

– Nigdy nie poszłam na to spotkanie.

– Pani Lyons!

– Nie! Przysięgam na wszystko co święte. Nigdy tam nie poszłam. Wydarzyło się coś, co mi w tym przeszkodziło.

– A co mianowicie?

– To osobista sprawa. Tego nie mogę panu powiedzieć.

– Przyznaje więc pani, że umówiła się z sir Charlesem w czasie i miejscu, w którym spotkała go śmierć, ale równocześnie twierdzi pani, że nie dotarła na to spotkanie?

– Taka jest prawda.

Zadawałem jej kolejne pytania, wciąż wracając do tego samego, ale w żaden sposób nie udało mi się niczego więcej z niej wyciągnąć.

– Pani Lyons – powiedziałem wreszcie, wstając, by zakończyć tę długą i prowadzącą donikąd rozmowę – bierze pani na siebie ogromną odpowiedzialność i stawia siebie w wyjątkowo złej sytuacji, nie mówiąc mi wszystkiego, co pani wie. Jeśli będę musiał zwrócić się o pomoc do policji, dopiero się pani przekona, jak poważna jest jej sytuacja. Jeżeli jest pani niewinna, to dlaczego w pierwszej chwili pani zaprzeczyła, że pisała tego dnia do sir Charlesa?

– Ponieważ obawiałam się, że na tej podstawie można wyciągnąć fałszywe wnioski i że ja sama mogę przez to zostać wplątana w skandal.

– A czemu pani tak nalegała, żeby sir Charles zniszczył ten list?

– Skoro go pan przeczytał, sam pan o tym wie.

– Nie mówiłem, że czytałem cały list.

– Przecież przytoczył pan jego fragment.

– Zacytowałem tylko postscriptum. Jak już pani mówiłem, list został spalony, i niewiele dało się z niego odczytać. Pytam więc panią ponownie, czemu tak bardzo nalegała pani, aby sir Charles zniszczył ten list, który otrzymał w dniu swojej śmierci?

– To bardzo osobista sprawa.

– To kolejna szansa dla pani, by uniknąć publicznego śledztwa.

– W takim razie powiem panu. Jeśli słyszał pan moją nieszczęsną historię, wie pan zapewne, że pochopnie wyszłam za mąż i miałam powody, aby tego żałować.

– Słyszałem o tym.

– Moje życie było jednym nieustającym pasmem prześladowań ze strony męża, do którego żywię wielką odrazę. Prawo stoi po jego stronie, i codziennie muszę się liczyć z tym, że być może zdoła mnie zmusić, abym znów z nim zamieszkała. W czasie gdy pisałam ten list do sir Charlesa, dowiedziałam się, że mam szansę na odzyskanie wolności, jeśli tylko znajdę środki na pokrycie pewnych kosztów. Oznaczało to dla mnie wszystko… Spokój ducha, szczęście, odzyskany szacunek dla samej siebie… Wszystko! Znałam hojność sir Charlesa i pomyślałam, że gdyby osobiście usłyszał ode mnie tę historię, zechciałby mi pomóc.

– W takim razie, jak to się stało, że pani do niego nie poszła?

– Bo wcześniej otrzymałam pomoc z innego źródła.

– Czemu więc nie napisała pani do sir Charlesa i tego nie wyjaśniła?

– Zrobiłabym to, ale następnego ranka przeczytałam w gazecie o jego śmierci.

Historia tej kobiety wydawała się spójna, i zadawanie dalszych pytań było bezcelowe. Pozostawało jedynie sprawdzić, czy rzeczywiście wszczęła procedurę rozwodową przeciwko mężowi mniej więcej w tym samym czasie, w którym doszło do tragedii.

Nie podejrzewałem, że miałaby odwagę oświadczyć, że nie była w rezydencji Baskerville'ów, gdyby rzeczywiście się tam udała. Musiałaby pojechać tam powozem i nie byłaby w stanie wrócić do Coombe Tracey aż do wczesnych godzin porannych. Takiej wycieczki nie udałoby się utrzymać w tajemnicy. Najprawdopodobniej zatem mówiła prawdę albo przynajmniej część prawdy. Wyszedłem od niej skonsternowany i rozczarowany. Ponownie odbiłem się od muru, który wydawał się wznosić w poprzek każdej ścieżki, jaką próbowałem dotrzeć do celu mojej misji. Jednak im dłużej myślałem o wyrazie jej twarzy i sposobie zachowania, tym bardziej się przekonywałem, że coś przede mną ukrywała. Dlaczego nagle tak pobladła? Dlaczego sama nie chciała się do niczego przyznać, a każde stwierdzenie musiałem wyciągać z niej niemal siłą? Dlaczego tak niechętnie mówiła o tym, co działo się wówczas, gdy doszło do tej tragedii? Z całą pewnością wyjaśnienie tego wszystkiego nie mogło być tak niewinne, jak próbowała mi to wmówić. W tej chwili nie mogłem jednak dalej brnąć w tym kierunku, lecz musiałem powrócić do drugiego tropu, którego należało szukać wśród kamiennych ruin na wrzosowisku.

A kierunek okazał się wyjątkowo niepewny. Uświadomiłem to sobie w drodze powrotnej, gdy spostrzegłem, jak wiele wzgórz usianych jest śladami tego pradawnego ludu. Jedyną wskazówką Barrymore'a było to, że nieznajomy schronił się w jednej z opuszczonych chat, a na ogromnej przestrzeni wrzosowiska były ich chyba setki. Za przewodnika posłużyło mi jednak moje własne doświadczenie. Widziałem przecież sylwetkę tamtego mężczyzny stojącego na szczycie Black Tor. Tak więc właśnie to wzgórze powinno stać się centralnym punktem moich poszukiwań. Zaczynając od tego miejsca, przeszukam każde domostwo na wrzosowisku, aż w końcu natrafię na właściwe. Jeżeli tam znajdę tego mężczyznę, to od niego samego się dowiem, kim jest i dlaczego od tak dawna nas śledzi – trzymając go na muszce rewolweru, o ile okaże się to konieczne. Udało mu się umknąć na zatłoczonej Regent Street, jednak trudno będzie mu tego

dokonać na samotnym pustkowiu. Z drugiej strony, jeżeli odnajdę jego schronienie, a nieznajomego w nim nie zastanę, będę musiał pozostać tam tak długo, dopóki nie wróci. Zwiódł Holmesa w Londynie. Doprawdy, triumfowałbym ogromnie, gdyby udało mi się go schwytać, dokonałbym bowiem tego, czego nie zdołał uczynić mój przyjaciel.

W ciągu całego tego śledztwa szczęście nam nie sprzyjało, teraz jednak wreszcie się do mnie uśmiechnęło. A zwiastunem dobrej nowiny okazał się nie kto inny, tylko pan Frankland, mężczyzna o siwych bokobrodach i czerwonej twarzy, stojący przed furtką swego ogrodu wychodzącego na główną drogę, którą zmierzałem.

– Dzień dobry, doktorze Watson! – zawołał tonem wskazującym, że był w niezwykle dobrym humorze. – Naprawdę powinien pan pozwolić odpocząć swoim koniom. Proszę wstąpić do mnie na kieliszek wina i pogratulować mi przy okazji.

Nie żywiłem do niego zbyt ciepłych uczuć szczególnie po tym, gdy dowiedziałem się, w jaki sposób potraktował własną córkę, chciałem jednak jak najszybciej odesłać Perkinsa z powozem do domu, i właśnie nadarzyła się ku temu okazja. Wysiadłem z powozu i przekazałem wiadomość dla sir Henry’ego, że resztę drogi pokonam pieszo i że powinienem zdążyć na obiad. Następnie ruszyłem za Franklandem do jadalni.

– To dla mnie wielki dzień, sir! Jeden z tych niezwykłych dni w kalendarzu życia! – zawołał, chichocząc. – Odniosłem podwójne zwycięstwo. Zamierzam tu wszystkich nauczyć, że prawo jest prawem; oto stoi przed panem człowiek, który nie boi się na nie powoływać. Przeforsowałem prawo przejazdu przez sam środek parku starego Middletona. Ciach! Przez sam środek, niecałe sto jardów od jego frontowych drzwi! I co pan o tym sądzi? Nauczymy tych tutejszych magnatów, że nie mogą deptać swoimi buciorami praw gminu. A niech ich diabli! I doprowadziłem do zamknięcia lasu, gdzie ludzie z Fernworthy urządzali sobie te swoje pikniki. Tym durniom wydawało się chyba, że nie istnieje coś takiego jak prawo własności i że mogą się tam zjeżdżać całą chmarą, zaśmiecając wszystko papierzyskami i butelkami. Obie sprawy są już rozstrzygnięte, doktorze Watson! Obie na moją korzyść! Nie pamiętam takiego dnia, odkąd wygrałem sprawę z sir Johnem Morlandem o zakłócanie porządku publicznego, gdy urządzał sobie polowania w swojej królikarni.

– A jakim cudem udało się panu to osiągnąć?

– Niech pan zajrzy do akt sądowych, sir. Opłaca się to przeczytać. Frankland przeciwko Morlandowi, Sąd Ławy Królewskiej. Kosztowało mnie to dwieście funtów, ale uzyskałem przychylny werdykt.

– I skorzystał pan na tym?

– Nic, sir. Absolutnie nic. Mogę z dumą stwierdzić, że nie miałem w tej sprawie własnego interesu. Działam wyłącznie z poczucia publicznego obowiązku. Nie wątpię na przykład, że dziś ludzie z Fernworthy spalą moją kukłę. Ostatnim razem, kiedy to zrobili, powiedziałem policji, że powinni powstrzymać te haniebne praktyki. Jednak policja w tym hrabstwie jest beznadziejna: nie zapewniono mi żadnej ochrony, choć mam do niej prawo. Sprawa Frankland przeciwko królowej zwróci uwagę społeczeństwa. Powiedziałem im, że jeszcze pożałują tego, jak mnie potraktowali, i moje słowa już się sprawdziły.

– W jaki sposób? – spytałem.

Twarz starca przybrała tajemniczy wyraz.

– Ponieważ mógłbym im powiedzieć to, czego tak bardzo chcieliby się dowiedzieć. Jednak nic mnie nie przekona do tego, by w jakikolwiek sposób pomóc tym draniom.

Niecierpliwie poszukiwałem jakiejś wymówki, dzięki której mógłbym się uwolnić od jego gadaniny, teraz jednak gorąco zapragnąłem usłyszeć więcej na ten temat. Poznałem już trochę naturę tego starego dziwaka i byłem przekonany, że każdy wyraz zainteresowania z mojej strony byłby najlepszym sposobem, by powstrzymać go od zwierzeń.

– Zapewne chodzi o jakiegoś kłusownika, prawda? – spytałem obojętnym tonem.

– Ha, ha! Mój chłopcze! To o wiele ważniejsza sprawa. A co powiesz na więźnia na wrzosowisku?

Poderwałem się na nogi.

– Nie chce pan chyba powiedzieć, że wie pan, gdzie on jest? – spytałem.

– Może i dokładnie nie wiem, ale jestem pewien, że mógłbym pomóc policji wreszcie go ująć. Nigdy nie przyszło panu do głowy, że najlepsza metoda, by złapać zbiega, to dowiedzieć się, skąd bierze jedzenie? I że w ten sposób można go wyśledzić?

Z całą pewnością Frankland zdawał się być niepokojąco blisko poznania prawdy.

– Bez wątpienia – odparłem – ale skąd pan wie, że on jest gdzieś tutaj na wrzoso-wisku?

– Wiem to, bo widziałem na własne oczy posłańca, który zanosi mu jedzenie.

Poczułem ucisk w żołądku z obawy o Barrymore'a. Gdyby znalazł się na łasce i niełasce tego przekornego wścibskiego starca, miałby poważne problemy. Słysząc jednak jego kolejną uwagę, odetchnąłem z ulgą.

– Być może zaskoczy pana wiadomość, że jedzenie zanosi mu jakieś dziecko. Codziennie widzę tego chłopca przez mój teleskop na dachu. Przechodzi zawsze tą samą ścieżką i o tej samej godzinie. A do kogo miałby iść, jeśli nie do tego zbiega?

To był doprawdy łut szczęścia! Stłumiłem jednak wszelkie oznaki zainteresowania. Dziecko! Barrymore mówił, że naszemu nieznajomemu jedzenie nosił jakiś chłopiec. To na niego, a nie na ślad zbiegłego więźnia natknął się Frankland. Jeśli uda mi się wyciągnąć od niego wszystko, co wie, być może oszczędzi mi to długich i trudnych poszukiwań. Tymczasem pozorne niedowierzanie i obojętność były ewidentnie moimi najsilniejszymi kartami.

– Powiedziałbym, że jest o wiele bardziej prawdopodobne, iż to syn jakiegoś pasterza. Zapewne zanosi ojcu obiad na wrzosowisko.

Najmniejsza oznaka czyjegoś sprzeciwu potrafiła całkowicie wyprowadzić z równowagi tego starego despotę. Spojrzał na mnie nieżyczliwym wzrokiem, a jego szare bokobrody najeżyły się jak u rozeźlonego kocura.

– Doprawdy, sir! – powiedział, wskazując na ciągnące się w oddali wrzosowisko. – Widzi pan Black Tor, tam dalej? No dobrze. A widzi pan to niskie wzgórze, jeszcze dalej, to porośnięte głogiem? To najbardziej kamienista część całego wrzosowiska. Czy to jest miejsce, w którym mógłby rozbić swój obóz jakiś pasterz? Pańska sugestia, sir, wydaje się być wyjątkowo absurdalna.

Odparłem potulnie, że powiedziałem to, nie znając wszystkich faktów. Moja uleg-łość sprawiła mu przyjemność i doprowadziła do dalszych zwierzeń.

– Sir, może pan być pewien, że muszę mieć bardzo mocne dowody, zanim wyrobię sobie zdanie na jakiś temat. Nieraz widywałem tego chłopca z zawiniątkiem. Codziennie, a czasem nawet dwa razy dziennie, mogłem…

Ale chwileczkę, doktorze Watson… Czy mnie oczy mylą, czy też w tej chwili coś się porusza na tamtym stoku?

Od wzgórz dzielił nas spory dystans, jednak wyraźnie dostrzegłem małą ciemną plamkę poruszającą się na tle matowej szarości i zieleni.

– Proszę za mną, sir! Proszę! – zawołał Frankland, rzucając się w górę po schodach. – Zobaczy go pan na własne oczy i sam oceni.

Teleskop, potężne urządzenie zamontowane na trójnogu, znajdował się na płaskim dachu budynku. Frankland zmrużył jedno oko i wydał z siebie okrzyk zadowolenia.

– Szybko, szybko, doktorze Watson! Zanim przejdzie na drugą stronę wzgórza!

Chłopiec, którego zobaczyłem, był z całą pewnością małym łobuziakiem niosącym w ręku niewielkie zawiniątko. Brnął powoli pod górę. Gdy dotarł do grzbietu wzniesienia, przez chwilę widziałem na tle zimnego błękitnego nieba jego skromnie odzianą postać. Rozglądał się wokół, niepewnie i ukradkowo, jak ktoś obawiający się pościgu. Potem zniknął za wzgórzem.

– I co?! Miałem rację?

– Z całą pewnością ten chłopiec wypełnia jakieś tajemnicze zadanie.

– A jakie to zadanie, zgadłby nawet wiejski posterunkowy! Ale ja nie pisnę im o tym ani słowa. I pana również, doktorze Watson, zobowiązuję do zachowania tajemnicy. Ani słowa! Rozumie pan?

– Jak pan sobie życzy.

– Haniebnie mnie potraktowali. Po prostu haniebnie. Gdy wyjdą na jaw fakty w sprawie Frankland przeciw królowej, spodziewam się, że krajem wstrząśnie fala oburzenia. Nic mnie nie skłoni, bym w jakikolwiek sposób miał pomagać policji. Jeśli chodzi o nich, to ci łajdacy mogliby spalić nawet mnie, a nie moją kukłę. Ależ proszę jeszcze zostać! Niech pan pomoże mi opróżnić karafkę wina dla uczczenia tej wspaniałej okazji!

Oparłem się jednak wszelkim namowom mego gospodarza i odwiodłem go od zamiaru odprowadzenia mnie do domu. Dopóki byłem w zasięgu jego wzroku, trzymałem się drogi, potem skręciłem na przełaj przez wrzosowisko i udałem się w kierunku kamienistego wzgórza, za którego grzbietem zniknął chłopiec. Wszystko wydawało się układać po mojej myśli, i przysiągłem sobie, że przez własne lenistwo lub brak wytrwałości nie zmarnuję szansy, którą los rzucił mi pod nogi.

Gdy dotarłem do szczytu wzgórza, słońce chyliło się już ku zachodowi. Długie zbocza poniżej były po jednej stronie złocistozielone, po drugiej skrywały się w szarych cieniach. W dali nad horyzontem unosiła się lekka mgiełka, z której wyłaniały się fantastyczne kształty Belliver i Vixen Tor. Nad tą ogromną przestrzenią nie było słychać żadnego dźwięku, nie widać też było żadnego ruchu. Tylko wysoko na błękitnym niebie szybował wielki szary ptak. Zapewne mewa albo kulik. Wyglądało na to, że jesteśmy, on i ja, jedynymi żywymi istotami pomiędzy ogromną kopułą nieba a ciągnącym się poniżej pustkowiem. Ta jałowa sceneria, poczucie samotności oraz tajemniczość i waga mojego zadania napełniły me serce chłodem. Chłopca nigdzie nie było widać. Jednak niżej, w dolinie pomiędzy wzgórzami, majaczył krąg starych kamiennych domostw, pośrodku których stała chata mająca jeszcze na tyle dobry dach, by mógł on stanowić ochronę przed niepogodą. Gdy ją ujrzałem, serce zabiło mi mocniej w piersiach. To musi być ta nora, w której czai się nieznajomy. Nareszcie udało mi się trafić na jego kryjówkę! Jego sekret był teraz na wyciągnięcie ręki.

Podszedłem do budowli, stąpając tak ostrożnie, jak robiłby to zapewne Stapleton, chcąc złapać w swoją siatkę motyla. Z zadowoleniem odkryłem, że w tym miejscu rzeczywiście ktoś mieszkał. Ledwo widoczna ścieżka pomiędzy głazami prowadziła do otworu służącego za wejście. Panowała absolutna cisza. Nieznajomy mógł czaić się w środku lub też krążyć gdzieś po wrzosowisku. Poczułem dreszczyk emocji. Odrzuciłem papierosa i położyłem dłoń na kolbie rewolweru. Szybko podszedłem do drzwi i zajrzałem do środka. Nikogo tam nie było.

Dostrzegłem jednak wystarczającą ilość oznak świadczących o tym, że nie podążałem fałszywym tropem. Ten mężczyzna z całą pewnością schronił się właśnie tutaj. Na kamiennej płycie, na której w czasach neolitu spali zapewne ludzie, leżało kilka zrolowanych koców przykrytych brezentem. Na prymitywnym palenisku dostrzegłem stertę popiołu. Obok niego leżały jakieś przybory do gotowania, i stało wiadro do połowy napełnione wodą. Puste puszki po konserwach wskazywały na to, że ktoś przebywał tu już od jakiegoś czasu, a gdy moje oczy przyzwyczaiły się do ciemności, w rogu spostrzegłem metalowy kubek i opróżnioną do połowy butelkę alkoholu. Płaski kamień pośrodku chaty służył za stół. Na nim leżało małe zawiniątko – bez wątpienia to samo, które widziałem przez teleskop w ręku chłopca. Zawierało bochen chleba, puszkę ozorków i dwie

puszki brzoskwiń. Gdy odłożyłem je na miejsce, serce zabiło mi mocniej w piersiach, ponieważ ujrzałem, że pod nim ukryta była zapisana kartka papieru. Wziąłem ją do ręki i odczytałem niewyraźnie nabazgrane ołówkiem:

Doktor Watson pojechał do Coombe Tracey.

Przez chwilę stałem tak z kartką papieru w dłoniach, myśląc o tym, co mogła oznaczać ta krótka wiadomość. A więc to ja byłem śledzony przez tego tajemniczego człowieka, a nie sir Henry! Nie śledził mnie sam, lecz wysłał w ślad za mną posłańca – być może właśnie tego chłopca. Teraz trzymam w rękach jego raport. Prawdopodobnie odkąd przyjechałem na wrzosowisko, nie udało mi się zrobić nawet kroku, nie będąc obserwowanym, a wyniki tych obserwacji przekazywano dalej. Owładnęło mną to wciąż powracające uczucie ingerencji jakiejś niewidzialnej siły, która owijała nas niczym sieć zarzucona tak umiejętnie i delikatnie, że tylko chwilami zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nas oplątuje.

Skoro znalazłem jeden raport, mogły tu być również inne, przeszukałem więc całe domostwo. Niestety, nic więcej nie znalazłem. Nie odkryłem także niczego, co mogłoby wskazywać na charakter czy też zamiary człowieka żyjącego w tym przedziwnym miejscu. Doszedłem jedynie do wniosku, że ma niewyszukane wymagania i że nie zależy mu zbytnio na wygodzie. Pomyślałem o ulewnych deszczach, a patrząc na dziurawy dach, zrozumiałem, jak ważny musi być jego cel, skoro zatrzymał się w tak niegościnnym miejscu. Czy był wrogiem i miał wobec nas złe zamiary? A może naszym aniołem stróżem? Poprzysiągłem sobie, że nie opuszczę jego kryjówki, dopóki się tego nie dowiem.

Słońce stało już bardzo nisko, i na zachodzie niebo zapłonęło szkarłatem i złotem. Jego purpurowe odbicie błyszczało w stawach leżących gdzieś daleko, na wielkim trzęsawisku Grimpen. Dalej widać było dwie wieże rezydencji Baskerville’ów, a niewyraźna smuga dymu wskazywała położenie wsi Grimpen. Gdzieś pomiędzy nimi, za wzgórzem, znajdował się dom Stapletona. W tym złocistym wieczornym świetle wszystko wydawało się słodkie, spokojne i łagodne, a jednak na ten widok w mojej duszy nie zagościł ten sam spokój, który zdawał się spowijać naturę. Zadrżałem z przerażenia, ponieważ czułem, jak z każdą chwilą zbliża się

moment naszego spotkania. Podenerwowany, ale zdeterminowany, usiadłem w najciemniejszym kącie tego prowizorycznego mieszkania i wytrwale czekałem na powrót lokatora.

I wreszcie go usłyszałem. Z daleka dobiegły ostre odgłosy butów uderzających o kamień. Po nim kolejne i kolejne. Były coraz bliżej. Przyczaiłem się w swoim kącie i odbezpieczyłem rewolwer, z postanowieniem, że nie ujawnię się, dopóki przynajmniej nie zobaczę nieznajomego. Nastąpiła długa chwila ciszy, świadcząca o tym, że się zatrzymał. Potem ponownie usłyszałem odgłos zbliżających się kroków, i wejście przysłonił czyjś cień.

– To naprawdę przepiękny wieczór, mój drogi Watsonie – odezwał się dobrze mi znany głos. – Myślę, że na zewnątrz będzie ci o wiele przyjemniej.

Rozdział dwunasty

Śmierć na wrzosowisku

Przez dłuższą chwilę nie byłem w stanie zaczerpnąć tchu. Nie wierzyłem własnym uszom. Wreszcie wróciłem do zmysłów i odzyskałem głos. W jednej chwili poczułem, jak kamień spadł mi z serca. Ten chłodny, przenikliwy, ironiczny głos mógł należeć tylko do jednego człowieka na świecie.

– Holmes! – zawołałem. – Holmes!

– Wyjdź – powiedział. – I proszę, bądź ostrożny z tym swoim rewolwerem.

Pochyliłem się i przekroczyłem prymitywny próg. Sherlock siedział na kamieniu. Musiał dojrzeć zdumienie malujące się na mojej twarzy, i w jego szarych oczach pojawił się błysk rozbawienia. Był wychudzony i przemęczony, ale wyraźnie ożywiony i czujny. Jego bystra twarz była spalona słońcem i osmagana wiatrem. W swoim tweedowym garniturze i czapce wyglądał jak zwykły turysta zwiedzający wrzosowisko. Dzięki swemu iście kociemu umiłowaniu do czystości − jednej z jego głównych cech − w jakiś sposób udało mu się zachować doskonale ogoloną twarz, jakby był u siebie na Baker Street.

– Jeszcze nigdy w życiu nie cieszyłem się tak ze spotkania z kimś – powiedziałem, serdecznie ściskając mu dłoń.

– I nigdy nie byłeś równie zaskoczony, prawda?

– Cóż, muszę przyznać, że tak.

– Jednak zapewniam cię, że zaskoczenie było obustronne. Nie miałem pojęcia, że odkryłeś moją kryjówkę, a tym bardziej że jesteś w środku, aż do chwili, gdy znalazłem się dwadzieścia kroków od wejścia.

– Przypuszczam, że zauważyłeś moje ślady?

– Nie, Watsonie. Obawiam się, że wśród wszystkich śladów na świecie nie byłbym w stanie rozpoznać akurat twoich. Jeśli jednak naprawdę chciałbyś mnie zaskoczyć, musiałbyś zmienić sklep, w którym kupujesz tytoń. Kiedy widzę niedopałek papierosa z napisem „Bradley, Oxford Street”, wiem, że w pobliżu musi być mój przyjaciel Watson. Spójrz, leży tam, przy ścieżce. Bez wątpienia wyrzuciłeś go w zdenerwowaniu, gdy zamierzałeś wtargnąć do środka.

– W rzeczy samej.

– Tyle się domyśliłem… I znając twoją wspaniałą nieustępliwość, byłem przekonany, że siedzisz tam w zasadzce, trzymając broń i czekając, aż mieszkaniec powróci. A więc naprawdę myślałeś, że to ja jestem tym przestępcą?

– Nie wiedziałem, kto się tu ukrywa, postanowiłem jednak, że się tego dowiem.

– Doskonale, Watsonie! A jak mnie namierzyłeś? Widziałeś mnie może tej nocy, gdy ścigaliście więźnia, a ja zachowałem się na tyle nierozsądnie, że stanąłem w księżycowym blasku?

– Tak, widziałem cię wtedy.

– I bez wątpienia przeszukałeś wszystkie chaty, aż natknąłeś się na tę?

– Nie. Ktoś zauważył tego chłopca, który ci pomaga, a to mi podpowiedziało, gdzie szukać.

– Zapewne to ten starszy dżentelmen z teleskopem. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, gdy po raz pierwszy zobaczyłem refleks światła w soczewce. – Wstał i zajrzał do wnętrza kryjówki. – Ha! Widzę, że Cartwright przyniósł mi trochę zapasów. A co to za kartka? Byłeś więc w Coombe Tracey?

– Tak.

– Spotkać się z panią Laurą Lyons?

– Właśnie tak.

– Dobra robota! Najwyraźniej nasze śledztwo podążało w tym samym kierunku. Przypuszczam, że gdy podzielimy się naszymi odkryciami, będziemy już wiedzieć prawie wszystko o naszej sprawie.

– Cóż, cieszę się z całego serca, że tu jesteś, bo ta odpowiedzialność i tajemniczość zaczęły mi już za bardzo działać na nerwy. Ale jak to się u licha stało, że zjawiłeś się tutaj, i co tu robisz? Myślałem, że jesteś na Baker Street i rozpracowujesz sprawę szantażysty.

– Chciałem, żebyś właśnie tak myślał.

– A więc wykorzystujesz mnie, ale mi nie ufasz! – zawołałem trochę rozgoryczony. – Myślałem, że mogę się spodziewać po tobie czegoś więcej, Holmesie.

– Mój drogi przyjacielu, twoja pomoc była dla mnie bezcenna, i to nie tylko w tej sprawie, ale i w wielu innych. Proszę, wybacz mi, jeśli trochę cię zwiodłem. Tak naprawdę zrobiłem to po części ze względu na ciebie. Wiedziałem, na jakie niebezpieczeństwo się narażasz, i czułem, że powinienem być na miejscu, aby zbadać tę sprawę. Gdybym jednak zamieszkał wraz z tobą u sir Henry'ego, oczywistym byłoby, że miałbym taki sam punkt widzenia na sprawę jak ty, a moja obecność ostrzegłaby naszych potężnych wrogów i zmusiła, by mieli się na baczności. Dzięki mojej kryjówce mogłem się tutaj swobodnie poruszać, co nie byłoby możliwe, gdybym mieszkał w rezydencji. A tak jestem dla naszych przeciwników wielką niewiadomą, która w krytycznym momencie może się ujawnić z całą mocą.

– Ale dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

– Gdybyś o tym wiedział, nic by to nam nie pomogło, a doprowadziłoby tylko do odkrycia mojej obecności. Być może chciałbyś mi coś powiedzieć albo w swojej życzliwości przynieść mi parę rzeczy, narażając nas w ten sposób na niepotrzebne ryzyko. Przyjechał tu ze mną Cartwright. Pamiętasz go? Ten chłopiec z biura kurierskiego. Zatroszczył się o moje proste potrzeby. Bochenek chleba i czysty kołnierzyk. Czegóż więcej trzeba? Poza tym dał mi dodatkową parę oczu i dwie bardzo szybkie nogi, co okazało się bezcenne.

– A więc na darmo pisałem te wszystkie raporty! – głos mi zadrżał na wspomnienie wysiłku i dumy, z jaką je spisywałem.

Holmes wyciągnął z kieszeni plik papierów.

– Oto twoje raporty, mój drogi przyjacielu. Zapewniam cię, że wszystkie bardzo dokładnie przejrzałem. Doskonale wszystko zorganizowałem, więc docierały do mnie z zaledwie jednodniowym opóźnieniem. Muszę pogratulować ci zapału i inteligencji, jakie wykazałeś w tej niezwykle trudnej sprawie.

Wciąż jeszcze byłem rozżalony, ponieważ mnie oszukano, jednak ciepłe słowa pochwały z ust Holmesa sprawiły, że złość w końcu mnie opuściła. W głębi serca czułem, że to, co mówił, było słuszne, a fakt, że nie byłem

świadom jego obecności na wrzosowisku, przysłużył się jedynie naszym celom.

– No, już lepiej – rzekł, widząc, że pochmurny wyraz znika z mojej twarzy. – A teraz opowiedz mi, co wynikło z twojej wizyty u pani Laury Lyons. Nietrudno było się domyślić, że właśnie z nią pojechałeś się spotkać. Wiedziałem już, że to ona jest tą osobą z Coombe Tracey, która może nam pomóc. Gdybyś dzisiaj tam nie pojechał, bardzo możliwe, że ja pojechałbym do niej jutro.

Słońce zaszło, i nad wrzosowiskiem zapadał zmierzch. Powietrze stało się chłodniejsze, weszliśmy więc do kryjówki mego przyjaciela. Siedząc tam w zapadających ciemnościach, opowiedziałem Holmesowi o mojej rozmowie z tą kobietą. Słuchał uważnie, a niektóre rzeczy musiałem powtarzać mu dwukrotnie, nim go usatysfakcjonowałem.

– To niezwykle ważne – powiedział, gdy skończyłem. – Te informacje wypełniają lukę, z którą do tej pory nie potrafiłem sobie poradzić. Wiesz może, że tę kobietę i Stapletona łączy bardzo intymna więź?

– Nie zdawałem sobie z tego sprawy.

– Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Spotykają się, korespondują ze sobą i są sobie bardzo bliscy. A to daje nam w ręce niezwykle potężną broń. Gdybym tylko mógł ją wykorzystać, by skłonić do pomocy jego żonę…

– Jego żonę?

– To teraz usłyszysz coś ode mnie w zamian za wszystkie wieści, jakich mi dostarczyłeś. Ta dama, która uchodzi tutaj za pannę Stapleton, jest w rzeczywistości jego żoną.

– Wielkie nieba, Holmesie! Jesteś tego pewien? Boże, jak on mógł pozwolić, by sir Henry się w niej zakochał?

– To, że się w niej zakochał, nie mogło zaszkodzić nikomu oprócz niego samego. Natomiast, jak zauważyłeś, Stapleton dołożył wszelkich starań, żeby sir Henry nie mógł się do niej zbytnio zbliżyć. Powtarzam ci, ta dama nie jest jego siostrą, lecz żoną.

– Ale po co ta cała mistyfikacja?

– Ponieważ przewidział, że będzie o wiele bardziej przydatna w jego planach jako wolna kobieta.

W jednej chwili wszystkie moje niewypowiedziane przeczucia i niejasne podejrzenia nagle nabrały kształtu i skupiły się na przyrodniku. W tym

beznamiętnym, bezbarwnym mężczyźnie w słomkowym kapeluszu i z siatką na motyle dostrzegłem nagle coś strasznego. Ujrzałem w nim niezwykle cierpliwego i piekielnie silnego człowieka z uśmiechem na twarzy, lecz z duszą mordercy.

– A więc to on jest naszym wrogiem… To on śledził nas w Londynie?

– Wszystko na to wskazuje.

– A to ostrzeżenie… To ona musiała je wysłać!

– Z pewnością.

Z ciemności, która od tak dawna mnie otaczała, zaczęła się wynurzać jakaś potworna niegodziwość, coraz wyraźniejsza i bardziej namacalna.

– Ale czy jesteś tego pewien, Holmesie? Skąd wiesz, że ta kobieta jest jego żoną?

– Ponieważ Stapleton podczas waszego pierwszego spotkania zapomniał się do tego stopnia, że zdradził ci pewne prawdziwe szczegóły ze swojego życiorysu. I ośmielę się stwierdzić, że już wielokrotnie tego żałował. Rzeczywiście był nauczycielem w szkole na północy Anglii. Musisz wiedzieć, Watsonie, że rzadko zdarzają się ludzie, których można namierzyć równie łatwo jak nauczycieli. Istnieją organizacje szkolne, dzięki którym można zidentyfikować każdego człowieka, który kiedykolwiek pracował w tym zawodzie. Moje niewielkie śledztwo wykazało, że szkoła popadła w tarapaty w okrutnych okolicznościach, a człowiek, który był jej właścicielem – nazwisko brzmiało inaczej – zniknął wraz ze swoją żoną. Ich opisy zgadzały się. Gdy dowiedziałem się, że ten człowiek interesował się entomologią, byłem już całkowicie pewien, że to on.

Ciemność zaczęła się rozrzedzać, jednak wiele rzeczy wciąż jeszcze skrywało się w cieniu.

– Skoro ta kobieta jest naprawdę jego żoną, to jak do tego wszystkiego pasuje pani Laura Lyons? – spytałem.

– To jedna z kwestii, na którą rzuciły światło twoje własne dociekania. Twoja rozmowa z nią znacznie wyjaśniła sytuację. Nie wiedziałem o tym, że planuje się rozwieść ze swoim mężem. W tym przypadku, uważając Stapletona za nieżonatego mężczyznę, bez wątpienia liczyła na to, że za niego wyjdzie.

– A jeśli wyprowadzimy ją z błędu…?

– Cóż, wówczas być może zechce nam pomóc. Naszym pierwszym zadaniem musi być spotkanie z nią. Pojedziemy tam jutro. Nie sądzisz,

Watsonie, że twój podopieczny za długo pozostaje już sam? Twoje miejsce jest przecież w rezydencji Baskerville'ów.

Ostatnie czerwone promienie słońca znikły na zachodzie, i nad wrzosowiskiem zapadła noc. Na fioletowym niebie słabo połyskiwało kilka gwiazd.

– Jeszcze ostatnie pytanie, Holmesie – powiedziałem, wstając. – Przecież nie powinno być między nami żadnych tajemnic. Co to wszystko oznacza? Co on próbuje osiągnąć?

Holmes odpowiedział, ściszając głos.

– Chodzi o morderstwo, Watsonie. Wyrafinowane morderstwo z zimną krwią. Nie pytaj mnie teraz o szczegóły. Zarzuciłem już na niego sieci, tak jak on na sir Henry'ego, a z twoją pomocą jest już niemal zdany na moją łaskę. Zagrozić nam może jeszcze tylko jedno, a mianowicie, że uderzy, gdy nie będziemy na to przygotowani. Jeszcze dzień, najwyżej dwa, i rozwiążę tę sprawę do końca. Ale do tego czasu pilnuj swojego podopiecznego, tak jak matka pilnuje swego chorego dziecka. Twoja dzisiejsza misja była usprawiedliwiona, ale wolałbym, abyś był teraz przy nim. Słyszysz?!

W ciszy wrzosowiska rozległ się przeraźliwy krzyk – wrzask przerażenia i bólu. Ten upiorny głos zmroził mi krew w żyłach.

– O mój Boże! – wykrztusiłem z siebie. – Co to? Co to było?

Holmes skoczył już na nogi, widziałem jego ciemną, wysportowaną sylwetkę w drzwiach chaty. Stał z pochylonymi ramionami i wysuniętą do przodu głową, wpatrując się w ciemność.

– Cicho – wyszeptał. – Cicho!

Krzyk był głośny i rozdzierający, dobiegał jednak z dali, gdzieś z pokrytej cieniami równiny. Teraz usłyszeliśmy go ponownie, był znacznie bliżej. Głośniejszy i jeszcze bardziej rozpaczliwy.

– Gdzie to jest? – wyszeptał Holmes. Z drżenia jego głosu wyczytałem, że on, człowiek o stalowych nerwach, był do głębi wstrząśnięty. – Skąd to dobiegało, Watsonie?

– Chyba stamtąd – wskazałem ręką w ciemności.

– Nie, stamtąd!

Nocną ciszę znów rozdarł umęczony krzyk, jeszcze głośniejszy i znacznie bliższy. Słychać też było jakiś inny dźwięk, głęboki stłumiony

pomruk, melodyjny, lecz groźny. Wznosił się i opadał, niczym cichy, nieustanny szum morza.

– To pies! – zawołał Holmes. – Chodź, Watsonie, chodź! Wielkie nieba, obyśmy tylko nie przybyli za późno!

Popędził przez wrzosowisko. Biegłem tuż za nim. Gdzieś z pełnego rozpadlin terenu bezpośrednio przed nami dobiegł ostatni zdesperowany wrzask, a zaraz potem głuchy ciężki odgłos. Stanęliśmy i nasłuchiwaliśmy. Jednakże w głębokiej ciemności bezwietrznej nocy nie dotarł do nas już żaden dźwięk.

Zobaczyłem, że Holmes podnosi rękę do czoła jak ktoś niezdolny zebrać myśli. Potem ze złością tupnął nogą w ziemię.

– Pokonał nas, Watsonie! Przybyliśmy za późno.

– Nie, nie. Na pewno nie!

– Jakim byłem głupcem, że tak długo czekałem! A ty, Watsonie?! Zobacz, co wynikło z tego, że opuściłeś swojego podopiecznego! Wielkie nieba! Ale jeśli doszło do najgorszego, pomścimy go!

Pognaliśmy na oślep przez ciemność, potykając się o głazy i przeciskając między gałęziami kolcolistu. Dysząc, pokonywaliśmy wzgórza i zbiegaliśmy po stokach w dół, zmierzając w stronę, z której dobiegły nas te straszliwe dźwięki. Na każdym wzniesieniu Holmes uważnie się rozglądał, jednak w ponurej przestrzeni pełnego nocnych cieni wrzosowiska nic się nie poruszało.

– Widzisz coś?

– Nie, nic.

– Słyszysz?! Co to?

Do naszych uszu dobiegł cichy jęk. A potem znów, na lewo od nas! Skalny grzbiet kończył się stromym urwiskiem, wznoszącym się nad usianym kamieniami stokiem. Na jego poszarpanej powierzchni widać było jakiś rozciągnięty nieregularny kształt. Pobiegliśmy w kierunku tych niejasnych konturów, które stawały się coraz wyraźniejsze. Był to człowiek, który leżał twarzą do ziemi, z głową przekrzywioną pod koszmarnym kątem, ze skulonymi ramionami i ciałem zwiniętym tak, jakby miał za chwilę zrobić salto. Pozycja jego ciała była tak groteskowa, że jeszcze przez chwilę nie docierało do mnie, że jęk, który usłyszeliśmy, był jego ostatnim tchnieniem. Teraz od strony ciemnego kształtu, nad którym się pochylaliśmy, nie dobiegał już żaden głos ani szept. Holmes dotknął go

ręką i zaraz ją cofnął z okrzykiem przerażenia. Błysk zapałki w jego dłoni padł na strużkę krwi, sączącą się powoli ze strzaskanej czaszki ofiary. W jej świetle zobaczyliśmy coś, co nas zmroziło i zdruzgotało – ciało sir Henry'ego Baskerville'a.

Świetnie pamiętaliśmy jego charakterystyczną rdzawą tweedową marynarkę, tę samą, którą miał na sobie pierwszego ranka, gdy pojawił się u nas na Baker Street. Zdążyliśmy się jej przyjrzeć, zanim zapałka zamigotała i zgasła, podobnie jak wszelka nadzieja w naszych sercach. Holmes jęknął, a jego twarz pobłyskiwała blado w ciemności.

– Bestia! Bestia! – zawołałem z zaciśniętymi pięściami. – Och, Holmesie! Nigdy sobie nie wybaczę, że go zostawiłem i skazałem na taki los.

– To raczej mnie należy winić, Watsonie, nie ciebie! Żeby rozpracować i zakończyć tę sprawę, rzuciłem na szalę życie mojego klienta. To największy cios, jaki spotkał mnie w mojej karierze. Ale skąd mogłem wiedzieć… Skąd mogłem wiedzieć, że zaryzykuje życiem, zapuszczając się samotnie na wrzosowisko mimo wszystkich moich ostrzeżeń.

– Słyszeliśmy jego krzyki… Mój Boże, te straszne krzyki! A mimo to nie zdołaliśmy go ocalić! Gdzie jest ta bestia, ten przeklęty pies, który go zabił? Teraz może się czaić gdzieś wśród tych skał. I gdzie jest Stapleton? Odpowie za swoje czyny!

– Odpowie. Dopilnuję tego. Zamordował wuja i bratanka. Jednego przeraził na śmierć sam widok bestii, która jak sądził, miała diabelskie pochodzenie. Drugiego spotkała śmierć, gdy uciekał przed nią na oślep. Teraz jednak musimy udowodnić związek pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem. Nie mamy nawet dowodów, że ten pies istnieje, bo sir Henry najwyraźniej zginął na skutek upadku. Ale na Boga, chociaż jest przebiegły, dorwę tego drania, nim minie kolejny dzień!

Staliśmy po obu stronach zmasakrowanego ciała rozgoryczeni i pogrążeni w smutku, przytłoczeni nagłym i nieodwracalnym nieszczęściem, które – mimo całego włożonego wysiłku – doprowadziło nas do tak żałosnego końca. Potem, gdy wzeszedł księżyc, wspięliśmy się na szczyt skał, z których spadł nasz biedny przyjaciel, i stamtąd wpatrywaliśmy się w pokryte cieniami wrzosowisko, na poły srebrzyste, na poły ukryte w mroku. W oddali, w kierunku Grimpen, paliło się równym płomieniem niewielkie żółte światełko. Mogło pochodzić jedynie

z samotnej siedziby Stapletonów. Popatrzyłem w jego stronę, potrząsając pięścią i miotając przekleństwa.

– Czemu nie złapiemy go od razu?

– Bo to jeszcze nie koniec. Ten człowiek jest bardzo ostrożny i przebiegły. Nie chodzi o to, co wiemy, lecz o to, co potrafimy mu udowodnić. Jeden fałszywy ruch, i ten łotr może nam uciec.

– Co powinniśmy zrobić?

– Jutro będziemy mieli mnóstwo roboty. Dziś w nocy możemy już tylko oddać ostatnią posługę naszemu biednemu przyjacielowi.

Zeszliśmy urwistym stokiem i zbliżyliśmy się do leżącego ciała, ciemnego i wyraźnie widocznego na oświetlonych światłem księżyca kamieniach. Patrząc na jego powykręcane członki, poczułem ucisk w sercu, a w oczach stanęły mi łzy.

– Musimy posłać po pomoc, Holmesie. Nie damy rady nieść go przez całą drogę do rezydencji. Wielkie nieba, czyś ty oszalał?!

Holmes wydał z siebie dziki okrzyk i pochylił się nad ciałem. Chwilę potem tańczył, zanosząc się śmiechem i ściskając moją dłoń. Czy to był ten sam opanowany i pełen powagi przyjaciel? Nie poznawałem go…

– Broda! Broda! Ten człowiek ma brodę!

– Brodę?

– To nie baronet… To… cóż, to mój sąsiad. Ten zbiegły więzień!

Gorączkowo odwróciliśmy ciało i zobaczyliśmy ociekającą krwią brodę, oświetloną zimnym jasnym światłem księżyca. Te krzaczaste brwi i głęboko osadzone zwierzęce oczy nie pozostawiały żadnych wątpliwości. W istocie była to ta sama twarz, która wpatrywała się we mnie znad skały, widoczna w blasku świecy. Twarz przestępcy Seldena.

W jednej chwili wszystko stało się dla mnie jasne. Przypomniałem sobie, że baronet wspominał mi, iż oddał swoje stare ubrania Barrymore’owi. A Barrymore przekazał je Seldenowi, żeby pomóc mu w ucieczce. Buty, koszula, czapka – wszystko to były ubrania sir Henry’ego. To, co się stało, było tragiczne, jednakże ten człowiek w świetle prawa obowiązującego w tym kraju zasłużył na śmierć. Powiedziałem Holmesowi, jak sprawy stoją, a serce wypełniły mi wdzięczność i radość.

– W takim razie biedak zginął z powodu tych ubrań – powiedział Holmes. – To chyba jasne, że psa poszczuto, dając mu do powąchania jakiś przedmiot należący do sir Henry’ego. Zapewne po to skradziono

baronetowi but w hotelu. Pies biegł za nim, aż ten spadł i się zabił. Jest w tym jednak pewna dziwna rzecz. Skąd Selden wiedział, że w tych ciemnościach ściga go pies?

– Musiał go usłyszeć.

– Coś takiego nie sprawiłoby, że twardy człowiek, taki jak ten zbieg, wpadłby w dzikie przerażenie i ryzykowałby ponowne schwytanie, wzywając z całych sił pomocy. Jego krzyki wskazywały na to, że musiał uciekać już dość długo od chwili, gdy zwierzę zaczęło go gonić. Ale w jaki sposób się spostrzegł, że to pies?

– Dla mnie większą zagadką jest to, dlaczego ten pies, zakładając, że wszystkie nasze przypuszczenia były właściwe…

– Ja niczego nie zakładam.

– No cóż, dlaczego ten pies miałby dzisiaj biegać samopas? Zapewne nie zawsze swobodnie biega po wrzosowisku. Stapleton by go nie wypuścił, chyba że miałby powody sądzić, iż będzie tam sir Henry.

– Trudno będzie odpowiedzieć na moje pytanie. Myślę, że twoja zagadka wkrótce się wyjaśni, gdy tymczasem moja pozostanie na zawsze tajemnicą. A teraz musimy postanowić, co zrobimy z ciałem tego biedaka. Nie możemy przecież zostawić go tutaj na pastwę lisów i kruków.

– Proponuję ułożyć je w jednej z tych budowli, dopóki nie skontaktujemy się z policją.

– Świetnie. Myślę, że damy radę je tam zanieść. Hola, Watsonie! A to co? Oto i nasz człowiek we własnej osobie. Cóż za zdumiewająca bezczelność! Ani słowa o naszych podejrzeniach! Ani słowa, bo zrujnujesz wszystkie moje plany.

Przez wrzosowisko ktoś się do nas zbliżał: dostrzegłem słaby żar palącego się cygara. Światło księżyca oświetliło przybysza, i teraz byłem w stanie rozpoznać wytworną postać i zawadiacki chód przyrodnika. Gdy nas zobaczył, zatrzymał się, a potem ponownie ruszył w naszą stronę.

– To pan, doktorze Watson? Jest pan ostatnim człowiekiem, jakiego spodziewałbym się spotkać o tej porze na wrzosowisku. Ale… O Boże! Co to? Ktoś jest ranny? Nie… niech mi pan nie mówi, że to nasz przyjaciel sir Henry!

Minął mnie szybkim krokiem i pochylił się nad zwłokami. Usłyszałem, jak ostro wciąga powietrze, cygaro wypadło mu z palców.

– Kto… kto to? – wyjąkał.

– To Selden. Więzień zbiegły z Princetown.

Stapleton zwrócił ku nam upiornie pobladłą twarz, jednak jakimś potwornym wysiłkiem udało mu się stłumić zdumienie i rozczarowanie. Obrzucał przenikliwym spojrzeniem to Holmesa, to mnie.

– Wielkie nieba! Cóż za straszna sprawa! W jaki sposób zginął?

– Wygląda na to, że spadł z tych skał i skręcił sobie kark. Ja i mój przyjaciel przechadzaliśmy się po wrzosowisku, gdy usłyszeliśmy krzyk.

– Ja również słyszałem ten krzyk. To właśnie dlatego wyszedłem. Niepokoiłem się o sir Henry'ego.

– Czemu właśnie o sir Henry'ego? – nie potrafiłem się powstrzymać, by o to nie spytać.

– Ponieważ proponowałem, żeby do mnie przyszedł. Kiedy się nie zjawił, byłem zaskoczony, a gdy usłyszałem krzyki na wrzosowisku, zacząłem się poważnie martwić, czy aby jest bezpieczny. A tak nawiasem mówiąc – znów przeniósł wzrok z mojej twarzy na twarz Holmesa – czy słyszeliście panowie coś oprócz krzyku?

– Nie – odparł Holmes. – A pan?

– Nie.

– O co w takim razie panu chodzi?

– Och, znacie panowie te historie wieśniaków o upiornym psie i tak dalej… Mówi się, że można go usłyszeć nocą na wrzosowisku. Zastanawiałem się, czy przypadkiem dziś w nocy nie słychać było dziwnych dźwięków.

– Nic takiego nie słyszeliśmy – powiedziałem.

– A jaką ma pan teorię na temat śmierci tego nieszczęśnika?

– Ciągły strach i zimno musiały sprawić, że oszalał. W tym stanie zaczął na oślep gnać przez wrzosowisko, aż w końcu spadł z tej skały i skręcił sobie kark.

– Ta teoria wygląda na bardzo rozsądną – rzekł Stapleton i westchnął, co odebrałem jako oznakę, że mu ulżyło. – A co pan o tym sądzi, panie Holmes?

Mój przyjaciel odpowiedział mu komplementem:

– Szybko rozpoznaje pan ludzi – powiedział.

– Spodziewaliśmy się pana w tej okolicy, odkąd pojawił się tu doktor Watson. Przybył pan w samą porę, by być świadkiem tej tragedii.

– Tak. W istocie. Wyjaśnienie mojego przyjaciela tłumaczy bez wątpienia wszystkie fakty. Jutro wrócę do Londynu obarczony tymi niemiłymi wspomnieniami.

– Och, jutro pan wraca?

– Taki mam zamiar.

– Mam nadzieję, że pańska wizyta rzuci nieco światła na wydarzenia, które uważamy za tak zagadkowe.

Holmes wzruszył ramionami.

– Nie zawsze odnosi się takie sukcesy, o jakich się marzy. Człowiek prowadzący śledztwo potrzebuje faktów, a nie jakichś legend czy pogłosek. To nie była zbyt satysfakcjonująca sprawa.

Głos mojego przyjaciela zabrzmiał lekko i szczerze. Stapleton wciąż wbijał w niego wzrok. Potem zwrócił się do mnie:

– Zaproponowałbym, żebyśmy zabrali tego nieszczęśnika do mnie do domu, ale mogłoby to przerazić moją siostrę. Czuję się usprawiedliwiony, by tego nie robić. Proponuję przykryć mu czymś twarz, do rana nic mu się nie stanie.

Tak też zrobiliśmy. Odrzucając propozycję gościny ze strony Stapletona, ruszyliśmy razem z Holmesem do rezydencji Baskerville’ów, pozostawiając przyrodnika samego. Gdy się obejrzeliśmy, zobaczyliśmy jego postać poruszającą się powoli wśród rozległej przestrzeni wrzosowiska. Za nim można było dostrzec niewielki ciemny punkt na oświetlonym światłem księżyca zboczu. To tam leżał człowiek, którego spotkał tak straszliwy koniec.

– Wreszcie jesteśmy bardzo bliscy rozwiązania – powiedział Holmes, gdy szliśmy razem przez wrzosowisko. – Doprawdy, ten człowiek ma stalowe nerwy. Jak szybko się pozbierał. Przecież to musiał być dla niego prawdziwy szok, gdy odkrył, że ofiarą jego spisku padł niewłaściwy człowiek. Mówiłem ci to już w Londynie, Watsonie, a teraz powtarzam po raz kolejny, że jeszcze nigdy nie spotkaliśmy wroga, który dorównywałby nam w większym stopniu.

– Szkoda, że cię zobaczył.

– Mnie też to początkowo zmartwiło. Ale cóż, nie można było tego uniknąć.

– Jak myślisz, teraz, kiedy już wie, że tu jesteś, jaki to będzie miało wpływ na jego plany?

– Być może będzie w związku z tym ostrożniejszy, a może skłoni go to do natychmiastowego podjęcia jakichś rozpaczliwych kroków. Podobnie jak większość błyskotliwych przestępców może za bardzo ufać swojej inteligencji i wyobrażać sobie, że udało mu się całkowicie nas zwieść.

– Dlaczego od razu go nie aresztujemy?

– Mój drogi Watsonie, jesteś prawdziwym człowiekiem czynu. Twój instynkt zawsze prowadzi cię do energicznych działań. Zakładając jednak, czysto teoretycznie, że aresztowalibyśmy go dziś w nocy, cóż takiego byśmy na tym zyskali? Nie moglibyśmy mu niczego udowodnić. Na tym właśnie polega ta jego diabelska przebiegłość! Gdyby działał przy pomocy wspólnika, moglibyśmy dzięki niemu uzyskać pewne dowody, jeśli jednak wywleklibyśmy tego wielkiego psa na światło dzienne, nie pomogłoby to nam posłać jego pana na szubienicę.

– Z całą pewnością sprawa jest już rozwiązana.

– Bynajmniej. Nie mamy nic prócz domysłów, podejrzeń i przypuszczeń. W sądzie by nas wyśmiali, gdybyśmy przedstawili taką historię i takie dowody.

– A śmierć sir Charlesa?

– Znaleziono go martwego bez żadnych śladów na ciele. Obaj wiemy, że zmarł z przerażenia, i wiemy też, co go tak wystraszyło. Jak jednak mamy o tym przekonać dwunastu rozsądnych przysięgłych? Jakie mamy dowody na istnienie psa? Gdzie są ślady jego kłów? Oczywiście wiemy, że pies nie ugryzie zwłok, a sir Charles nie żył już, nim ta bestia go dogoniła. Jednak musimy to wszystko udowodnić, a teraz nie jesteśmy w stanie tego zrobić.

– A wypadki dzisiejszej nocy?

– Z nich też nic nam nie przyjdzie. Nie ma żadnego bezpośredniego związku pomiędzy psem a śmiercią tego człowieka. Nie widzieliśmy psa. Owszem, słyszeliśmy go, nie potrafilibyśmy jednak udowodnić, że ścigał więźnia. Całkowicie brakuje tu motywu. Nie, mój drogi przyjacielu, musimy pogodzić się z faktem, że jeszcze nie ukończyliśmy tej sprawy i że opłaci nam się podjąć ryzyko, by ją do końca rozwiązać.

– A jak proponujesz to zrobić?

– Wiążę wielkie nadzieje z tym, co może dla nas zrobić pani Laura Lyons, gdy już wyjaśnimy jej, jak sprawy stoją. Poza tym mam też własne plany. Zobaczymy, co przyniesie nam jutro, mam jednak nadzieję, że nim dzień dobiegnie końca, uzyskam wreszcie przewagę.

Nic więcej nie udało mi się już z niego wyciągnąć. Szedł obok mnie pogrążony w myślach aż do furtki rezydencji Baskerville’ów.

– Wchodzisz?

– Tak. Nie widzę powodów, żeby się dalej ukrywać. Tylko jeszcze jedna sprawa, Watsonie. Nie mów sir Henry’emu nic o psie. Niech sądzi, że Selden zginął w taki sposób, jaki zasugerowaliśmy Stapletonowi. Nie będzie miał tak zszarpanych nerwów przed tymi ciężkimi przejściami, jakie czekają go jutro, bo o ile dobrze pamiętam z twojego raportu, jest umówiony z tymi ludźmi na obiad.

– Ja też mam tam być.

– W takim razie musisz znaleźć jakąś wymówkę, a on musi udać się do nich sam. Wymyślimy ci jakieś usprawiedliwienie. A teraz, skoro już spóźniliśmy się na obiad, sądzę, że obaj z przyjemnością zasiądziemy do kolacji.

Rozdział trzynasty

Zarzucanie sieci

Sir Henry był raczej uradowany niż zaskoczony widokiem Sherlocka Holmesa, gdyż od kilku dni się spodziewał, że ostatnie wydarzenia sprowadzą go tutaj z Londynu. Ze zdumieniem uniósł jednak brwi, widząc, że mój przyjaciel nie posiada żadnego bagażu ani nawet nie próbuje wyjaśnić jego braku. Zatroszczyliśmy się szybko o wszystko, czego potrzebował. Następnie podczas spóźnionej kolacji opowiedzieliśmy baronetowi tyle, ile uważaliśmy za stosowne. Najpierw jednak przypadł mi w udziale przykry obowiązek powiadomienia Barrymore'a i jego żony o śmierci Seldena. Temu pierwszemu zapewne przyniosło to ogromną ulgę, ale pani Barrymore gorzko się rozpłakała, chowając twarz w fartuch. Być może dla całego świata Selden był brutalnym przestępcą, na wpół bestią, na wpół demonem, jednak dla niej zawsze pozostał tym małym upartym chłopcem z czasów dzieciństwa, który kurczowo ściskał rękę starszej siostry. Naprawdę złym jest ten mężczyzna, którego nie opłakuje żadna kobieta.

– Odkąd Watson wyjechał dziś rano, przez cały czas siedziałem tutaj i rozczulałem się nad sobą – powiedział baronet. – Jednak zgaduję, że zasłużyłem sobie na pochwałę, bo dotrzymałem złożonej panom obietnicy. Gdybym nie przysiągł, że nie będę wychodził sam, spędziłbym ten wieczór o wiele ciekawiej, bo dostałem zaproszenie od Stapletona.

– Bez wątpienia miałby pan ciekawszy wieczór – stwierdził sucho Holmes. – A nawiasem mówiąc, pewnie nie przyszło panu nawet do głowy, że już pana opłakiwaliśmy, sądząc, iż złamał pan kark?

Sir Henry otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Jak to możliwe?

– Ten nieszczęśnik miał na sobie pańskie ubranie. Obawiam się, że pański kamerdyner, który mu je dał, może mieć problemy z policją.

– To mało prawdopodobne. O ile wiem, na żadnym z nich nie było moich inicjałów.

– W takim razie miał szczęście. Na dobrą sprawę to wszyscy mieliście szczęście, bo w tym przypadku każdy z was znalazł się po niewłaściwej stronie prawa. Z pewnością pierwszym obowiązkiem sumiennego detektywa byłoby aresztowanie wszystkich mieszkańców rezydencji. Raporty Watsona bardzo was obciążają.

– Ale co z naszą sprawą? – spytał baronet. – Zrozumiał pan już coś z tej całej gmatwaniny? Ja i doktor Watson nie jesteśmy o wiele mądrzejsi od dnia, kiedy tu przyjechaliśmy.

– Sądzę, że niedługo będę w stanie wyjaśnić panu całą sytuację. Sprawa jest jednak bardzo trudna i niezwykle powikłana. Wciąż pozostaje kilka niejasnych kwestii, niemniej rozwiązanie jest już coraz bliżej.

– Zapewne Watson już panu wspominał, że przeżyliśmy tu coś bardzo dziwnego. Słyszeliśmy psa na wrzosowisku. Mogę więc teraz przysiąc, że nie są to tylko puste słowa. Żyjąc na Zachodzie, miałem co nieco do czynienia z tymi zwierzętami, i potrafię rozpoznać psa, kiedy go usłyszę. Jeśli uda się panu nałożyć mu kaganiec i przykuć go do łańcucha, będę gotów uznać pana za największego detektywa wszech czasów.

– Myślę, że nałożę mu kaganiec i łańcuch. Będę jednak potrzebował pańskiej pomocy.

– Zrobię wszystko, co mi pan każe.

– Bardzo dobrze. I proszę pana również, by nie zawsze pan pytał o powody.

– Jak pan sobie życzy.

– Jeżeli pan mnie posłucha, sądzę, że istnieje szansa, aby nasz mały problem wkrótce się rozwiązał. Bez wątpienia…

Nagle zamilkł, wbijając wzrok w coś nad moją głową. Światło lampy padało na jego twarz, zastygłą niczym u klasycznego posągu. Pojawił się na niej taki wyraz absolutnego skupienia, że wyglądał jak czyste uosobienie czujności i oczekiwania.

– O co chodzi? – zawołaliśmy obaj.

Dostrzegłem, że Holmes spuścił wzrok, usilnie próbując stłumić jakieś emocje. Jego twarz pozostała opanowana, ale w oczach błyszczały radość

i uniesienie.

– Proszę wybaczyć podziw konesera – rzekł, wskazując ręką rząd portretów wiszących na przeciwległej ścianie. – Watson nigdy nie przyzna, że wiem cokolwiek o sztuce, ale wynika to po prostu z zazdrości, bo mamy na ten temat zupełnie różne poglądy. To naprawdę piękna kolekcja portretów.

– Miło mi to słyszeć – odparł sir Henry, zerkając nieco zdumiony na mojego przyjaciela. – Nie próbuję udawać, że znam się na tych sprawach, i z pewnością lepiej potrafiłbym ocenić konia czy byka niż dzieło sztuki. Nie sądziłem jednak, że znajduje pan czas na takie rzeczy.

– Kiedy widzę wartościowy obraz, wiem, że jest dobry, a te portrety takie właśnie są. Mógłbym przysiąc, że ta dama w niebieskich jedwabiach to Kneller. A ten tęgi dżentelmen w peruce tam dalej to na pewno Reynolds. Zakładam, że to wszystko rodzinne portrety?

– Tak. Co do jednego.

– Zna pan ich nazwiska?

– Barrymore próbował mnie ich nauczyć i sądzę, że dość dobrze odrobiłem lekcje.

– Kim jest ten dżentelmen z lunetą?

– To kontradmirał Baskerville, który służył pod Rodneyem w Indiach Zachodnich. A ten w niebieskim żakiecie ze zwojem papierów w dłoni to sir William Baskerville, przewodniczący komisji Izby Gmin za Pitta.

– A ten kawaler naprzeciwko mnie? Ten w czarnych aksamitach i koronkach?

– Ach, koniecznie powinien pan dowiedzieć się o nim więcej. To przyczyna wszystkich naszych problemów, niegodziwy Hugo, który sprowadził na nas psa Baskerville’ów. Raczej trudno byłoby nam o nim zapomnieć.

Nieco zaskoczony, z zainteresowaniem wpatrywałem się w portret.

– No proszę! – powiedział Holmes. – Sprawia wrażenie łagodnego, wręcz potulnego, ale ośmielę się stwierdzić, że w jego oczach czai się diabeł. Wyobrażałem go sobie jako bardziej krzepkiego i dzikiego człowieka.

– Obraz jest bez wątpienia autentyczny. Na odwrocie płótna widnieje nazwisko i data: 1647.

Potem Holmes niewiele się już odzywał. Wydawało mi się jednak, że zafascynował go portret awanturnika Hugona, gdyż przez całą kolację uparcie mu się przyglądał. Dopiero później, gdy sir Henry udał się na spoczynek, zdradził mi swoje spostrzeżenia. Zaprowadził mnie z powrotem do sali biesiadnej i, trzymając w dłoni świecę przyniesioną z sypialni, oświetlił nią naznaczony zębem czasu obraz.

– Zauważyłeś coś?

Wpatrywałem się w okoloną kręconymi lokami ostrą, surową twarz, kapelusz z szerokim rondem ozdobiony piórem i biały koronkowy kołnierzyk.

Nie było to okrutne oblicze, lecz raczej sztywne, surowe i poważne o zaciętych cienkich ustach i chłodnym twardym spojrzeniu.

– Przypomina ci kogoś, kogo znasz?

– Podbródek ma trochę podobny do sir Henry’ego.

– Być może to tylko sugestia. Ale poczekaj chwilę! – wspiął się na krzesło i, ściskając w lewej ręce świecę, prawą zasłonił kapelusz i spływające spod niego długie loki.

– Wielkie nieba! – krzyknąłem zdumiony.

Z płótna patrzyła na mnie twarz Stapletona.

– Ha! Teraz to widzisz. Mam wzrok wyćwiczony tak, by przyglądać się twarzom, a nie otaczającym je ozdobom i dodatkom. Umiejętność patrzenia przez przebranie to jedna z głównych cech detektywa.

– Ależ to niesamowite! To mógłby być jego portret.

– Tak, to ciekawy przykład rodzinnego podobieństwa, które wydaje się nie tylko fizyczne, lecz także duchowe. Studiowanie rodowych portretów czasem wystarczy, by uwierzyć w reinkarnację. Nasz Stapleton jest Baskerville’em. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

– Z własnymi planami dotyczącymi sukcesji.

– W rzeczy samej. Ten obraz dostarczył nam przypadkowo jednego z najbardziej oczywistych brakujących ogniw. Mamy go, Watsonie! Mamy go! I mógłbym przysiąc, że jutro, nim nadejdzie noc, będzie się szamotał w naszej sieci równie bezsilny jak jeden z tych jego motyli. Szpilka, korek, kartka z opisem, i będziemy mogli go dołączyć do naszej kolekcji na Baker Street! – odwrócił się od płótna i wybuchnął śmiechem. Zdarzało mu się to bardzo rzadko, ale zawsze, kiedy słyszałem ten śmiech, źle to komuś wróżyło.

Nazajutrz wstałem z samego rana, Holmes jednak musiał być na nogach jeszcze wcześniej niż ja, gdyż ubierając się, zobaczyłem, jak wychodzi na podjazd.

– Tak, ciekawy dzień przed nami. Sporo się dziś wydarzy – zauważył, zacierając z zadowoleniem ręce na myśl o czekającym go działaniu. – Sieci są już zarzucone, i niedługo zaczniemy je wyciągać. Jeszcze dziś w nocy przekonamy się, czy złapaliśmy naszego wielkiego drapieżnego szczupaka, czy też udało mu się wymknąć przez oczka sieci.

– Byłeś już na wrzosowisku?

– Wysłałem z Grimpen wiadomość o śmierci Seldena do Princetown. Chyba mogę wam obiecać, że nikt z was nie będzie niepokojony w związku z tą sprawą. Skontaktowałem się też z moim wiernym Cartwrightem. Pewnie tkwiłby pod progiem mojej kryjówki jak pies nad grobem swego pana, gdybym go nie uspokoił, że nic mi nie jest.

– Jaki będzie nasz następny ruch?

– Porozmawiać z sir Henrym. Ach, oto i on!

– Dzień dobry, panie Holmes – powiedział baronet. – Wygląda pan jak generał planujący bitwę ze swoim szefem sztabu.

– Bo tak jest w istocie. Watson właśnie pytał o rozkazy.

– Ja więc uczynię to samo.

– Doskonale. O ile rozumiem, jest pan na dziś wieczór umówiony na kolację z naszymi przyjaciółmi Stapletonami.

– Miałem nadzieję, że panowie również będziecie mi towarzyszyć. To niezwykle gościnni ludzie i myślę, że bardzo się ucieszą z waszych odwiedzin.

– Obawiam się, że Watson i ja musimy udać się do Londynu.

– Do Londynu?

– Tak. Sądzę, że w obecnej sytuacji jesteśmy tam bardziej potrzebni.

Twarz baroneta wyraźnie posmutniała.

– Miałem nadzieję, że panowie mi pomogą przebrnąć przez tę całą sprawę. Rezydencja i to pustkowie nie są zbyt przyjemnym miejscem dla samotnego człowieka.

– Mój drogi baronecie, musi mi pan całkowicie zaufać i zrobić dokładnie to, co panu powiem. Proszę przekazać swoim gospodarzom, że bardzo pragnęliśmy pojechać z panem, lecz pewna pilna sprawa wymagała naszej obecności w mieście. Mamy nadzieję, że wkrótce powrócimy do

Devonshire. Zechciałby pan zapamiętać tę wiadomość, żeby powtórzyć ją rodzeństwu?

– Jeśli pan nalega.

– Nie ma innego wyjścia. Zapewniam pana.

Odczytałem z pochmurnego oblicza baroneta, że bardzo zraniło go to, co odebrał jako naszą dezercję.

– Kiedy chcieliby panowie wyjechać? – spytał chłodnym tonem.

– Natychmiast po śniadaniu. Zajedziemy po drodze do Coombe Tracey, jednak Watson zostawi tu swoje rzeczy jako rękojmię, że do pana wrócimy. Watsonie, wyślij, proszę, wiadomość do Stapletona i napisz mu, że bardzo ci przykro, ale nie możesz się dziś stawić.

– Na dobrą sprawę chętnie pojechałbym z wami do Londynu – powiedział baronet. – Czemu miałbym zostawać tu sam?

– Bo tutaj jest pański posterunek. Poza tym dał mi pan słowo, że postąpi tak, jak mu powiem, a ja proszę, żeby pan został.

– W takim razie dobrze. Zostanę.

– I jeszcze jedno! Chciałbym, żeby pojechał pan do Merripit House powozem. Później proszę go jednak odesłać i powiedzieć im, że zamierza pan wrócić do domu pieszo.

– Przejść przez wrzosowisko?

– Tak.

– Ale właśnie tak często pan mnie przed tym ostrzegał! Prosił pan, żebym tego nie robił.

– Tym razem może to pan bezpiecznie uczynić. Gdybym nie miał pełnego zaufania do pańskiego opanowania i odwagi, nawet bym tego nie proponował, jednak to bardzo ważne, by postąpił pan tak, jak mówię.

– Dobrze, a więc wrócę pieszo.

– Jeśli ceni pan swoje życie, proszę trzymać się na wrzosowisku ścieżki prowadzącej z Merripit House do drogi z Grimpen. Jest to zresztą najkrótsza dla pana droga do domu.

– Zrobię dokładnie tak, jak pan mówi.

– Bardzo dobrze. Chciałbym wyruszyć zaraz po śniadaniu, żeby jeszcze po południu dotrzeć do Londynu.

Niezwykle mnie ten plan zdumiał, choć z drugiej strony pamiętałem, że ubiegłej nocy Holmes poinformował Stapletona, iż nazajutrz jego wizyta dobiegnie końca. Przez myśl mi nawet nie przeszło, że będzie chciał, abym

wyjechał razem z nim. Nie mogłem pojąć, jak może nas nie być tutaj w chwili, którą on sam uznał za kluczową. Nie pozostawało mi jednak nic innego niż bezwarunkowe posłuszeństwo. Pożegnaliśmy się więc z naszym rozżalonym przyjacielem i kilka godzin później byliśmy już na stacji w Coombe Tracey. Tam wysłaliśmy powóz w drogę powrotną. Na peronie czekał na nas mały chłopak.

– Jakie polecenia, sir?

– Pojedziesz tym pociągiem do miasta, Cartwright. Gdy tylko dotrzesz na miejsce, wyślesz w moim imieniu telegram do sir Henry'ego Baskerville'a. Napisz mu, że jeśli znajdzie portfel, który zgubiłem, proszę, by odesłał go przesyłką poleconą na Baker Street.

– Tak, sir.

– I zapytaj w biurze na stacji, czy jest dla mnie jakaś wiadomość.

Chłopiec wrócił z telegramem. Holmes pośpiesznie go przejrzał, a potem dał mnie. Oto jego treść: „DEPESZĘ OTRZYMAŁEM PRZYJEŻDŻAM Z NAKAZEM PIĄTA CZTERDZIEŚCI LESTRADE".

– To odpowiedź na moją wiadomość, którą wysłałem dzisiejszego ranka. Moim zdaniem, Lestrade jest najlepszym ze wszystkich policyjnych detektywów, i możemy potrzebować, jego pomocy. A teraz, Watsonie, sądzę, że najlepiej wykorzystamy czas, składając wizytę naszej znajomej, pani Laurze Lyons.

Powoli zaczynałem pojmować jego plan działania. Zamierzał wykorzystać baroneta, by przekonać Stapletonów o tym, że naprawdę wyjechaliśmy, choć w rzeczywistości wrócimy dokładnie w tej chwili, gdy będziemy najbardziej potrzebni. Jeśli sir Henry wspomni Stapletonom o tym telegramie z Londynu, to z całą pewnością rozwieje ich ostatnie podejrzenia. Teraz i mnie się wydawało, że nasze sieci zaciskają się coraz mocniej wokół tego drapieżnego szczupaka.

Pani Laura Lyons była w swoim biurze. Holmes rozpoczął rozmowę szczerze i bez ogródek, co wprawiło ją w osłupienie.

– Badam okoliczności towarzyszące śmierci sir Charlesa Baskerville'a – powiedział. – Mój przyjaciel, obecny tu doktor Watson, wspominał mi nie tylko o tym, co pani powiedziała, lecz również o tym, co pani przemilczała w związku z tą sprawą.

– O tym, co przemilczałam? – spytała wyzywająco.

– Przyznała pani, że prosiła sir Charlesa, aby był przy furtce o dziesiątej. Wiemy, że właśnie w tym czasie i miejscu dosięgła go śmierć. Zataiła pani związek między tymi zdarzeniami.

– Nie ma pomiędzy nimi żadnego związku.

– W takim razie to naprawdę niezwykły zbieg okoliczności. Sądzę jednak, że mimo wszystko uda nam się ten związek ustalić. Pragnę być z panią całkowicie szczery, pani Lyons. Uważamy, że mamy tu do czynienia z morderstwem, a dowody mogą obciążyć nie tylko pani przyjaciela, pana Stapletona, lecz również jego żonę.

Kobieta zerwała się na równe nogi.

– Jego żonę! – wykrzyknęła.

– Fakt ten nie jest już tajemnicą. Osoba podająca się za jego siostrę jest w rzeczywistości jego żoną.

Pani Lyons opadła na fotel. Z całej siły chwyciła za oparcie, ściskając je tak kurczowo, że aż zbielały jej palce.

– Jego żony! – powtórzyła. – Jego żony! On nie jest żonaty.

Sherlock Holmes wzruszył ramionami.

– Niech mi to pan udowodni! Żądam dowodów! A jeśli potrafi pan to zrobić… − gniewny błysk w jej oczach mówił więcej niż jakiekolwiek słowa.

– Jestem na to przygotowany – rzekł Holmes, wyciągając z kieszeni jakieś papiery. – Oto zdjęcie tej pary wykonane w Yorku cztery lata temu. Na odwrocie widnieje podpis: „Państwo Vandeleur”, lecz z łatwością pani go rozpozna. I ją również, jeśli zna ją pani z widzenia. A oto trzy zeznania dotyczące państwa Vandeleur, którzy prowadzili wówczas prywatną szkołę św. Oliviera, złożone przez wiarygodnych świadków. Niech je pani przeczyta i sama się przekona, czy mogą być jeszcze jakiekolwiek wątpliwości co do tożsamości tych ludzi.

Przebiegła wzrokiem dokumenty, a potem spojrzała na nas z zaciętą, stężałą twarzą zdesperowanej kobiety.

– Panie Holmes – powiedziała – ten człowiek proponował mi małżeństwo, pod warunkiem że uda mi się uzyskać rozwód. Ten łotr mnie okłamał, okłamał we wszystkim. Ani jedno słowo, które mi powiedział, nie było prawdą. I dlaczego… dlaczego? Wyobrażałam sobie, że robi to wszystko ze względu na mnie. Teraz jednak widzę, że nie byłam niczym więcej niż zwykłym narzędziem w jego rękach. Czemu miałabym być

wobec niego lojalna, skoro on nigdy nie był lojalny wobec mnie? Czemu miałabym go chronić przed konsekwencjami jego własnych podłych czynów? Proszę mnie pytać, o co tylko pan zechce, a ja niczego przed panem nie zataję. Ale jedno mogę panu przysiąc. Gdy pisałam ten list, nie miałam pojęcia, że temu starszemu dżentelmenowi może się przytrafić coś złego. Był dla mnie najlepszym przyjacielem.

– Całkowicie pani wierzę – odparł Sherlock Holmes. – Przypuszczam, że te wspomnienia muszą być dla pani bardzo bolesne. Być może ułatwię pani sprawę, jeżeli to ja opowiem, co się wydarzyło, a pani będzie mnie poprawiać, gdybym popełnił jakiś istotny błąd. Pomysł wysłania tego listu podsunął pani Stapleton?

– To on mi go podyktował.

– Zakładam, że powodem, który pani podał, było to, że sir Charles pomógłby pani pokryć koszty sądowe związane z rozwodem?

– Dokładnie tak.

– A potem, gdy już wysłała pani ten list, odwiódł panią od pójścia na umówione spotkanie?

– Powiedział mi, że straciłby szacunek do samego siebie, gdyby jakikolwiek inny mężczyzna wyłożył pieniądze na taki cel, i choć sam nie jest zamożny, poświęci ostatniego pensa, by usunąć przeszkody, które stoją nam na drodze.

– Co za konsekwencja! A potem o niczym pani nie słyszała, póki nie przeczytała w gazecie doniesienia o śmierci sir Charlesa?

– Nie.

– I zmusił panią, by mu pani przysięgła, że nikomu nie wspomni o umówionym spotkaniu z sir Charlesem?

– Tak. Powiedział, że jego śmierć była bardzo zagadkowa i że gdyby to się wydało, z całą pewnością znalazłabym się na liście podejrzanych. Tak mnie wystraszył, że postanowiłam milczeć.

– Na to wygląda. Ale coś pani podejrzewała?

Zawahała się i spuściła wzrok.

– Znałam go – powiedziała. – Gdyby jednak był wobec mnie lojalny, nigdy bym go nie zdradziła.

– Wydaje mi się, że ogólnie miała pani dużo szczęścia – powiedział Sherlock Holmes. – Miała go pani w garści, i on o tym wiedział, a jednak wciąż pani żyje. Od paru miesięcy stąpała pani nad brzegiem przepaści.

A teraz, pani Lyons, musimy życzyć pani dobrego dnia. Prawdopodobnie wkrótce znów się z panią skontaktujemy.

– Nasza sprawa zaczyna się wyjaśniać, a zagadki rozwiązują się jedna po drugiej – rzekł Holmes, gdy staliśmy na peronie, czekając na przyjazd ekspresu z miasta. – Wkrótce będę w stanie dokładnie przedstawić jedną z najbardziej osobliwych i sensacyjnych zbrodni naszych czasów. Studenci kryminologii pamiętają zapewne analogiczne wydarzenia w Grodnie w 1866 roku. No i oczywiście są też morderstwa Andersona w Karolinie Północnej. Nasza sprawa posiada jednak pewne cechy, które są całkowicie unikalne. Ten człowiek jest tak przebiegły, że nawet w chwili obecnej nie potrafilibyśmy mu niczego udowodnić. Byłbym jednak bardzo zaskoczony, gdyby wszystko nie wyjaś-niło się, nim udamy się dziś wieczorem na spoczynek.

Ekspres z Londynu z łoskotem wtoczył się na stację, a z wagonu pierwszej klasy wyskoczył niski, żylasty mężczyzna, wyglądem przypominający buldoga. Uścisnęliśmy sobie ręce. Z pełnych szacunku spojrzeń, jakie Lestrade rzucał w kierunku Holmesa, domyśliłem się, że sporo się nauczył, odkąd po raz pierwszy ze sobą współpracowali. Wciąż miałem w pamięci pogardę, jaką wcześniej budziły w tym praktycznym człowieku logiczne wywody mojego przyjaciela.

– Szykuje się coś poważnego? – spytał.

– Największa sprawa od wielu lat – odparł Holmes. – Najpóźniej za dwie godziny zaczynamy. Myślę, że najlepiej wykorzystamy ten czas, jeśli pójdziemy na obiad. A potem, Lestrade, wypędzimy z pana tę londyńską mgłę – będzie miał pan możliwość odetchnąć czystym, nocnym powietrzem w Dartmoor. Nigdy pan tam nie był? No cóż, przypuszczam, że nigdy pan nie zapomni tej swojej pierwszej wizyty.

Rozdział czternasty

Pies Baskerville'ów

Jedną z wad Sherlocka Holmesa – jeśli faktycznie można to uznać za wadę – była niechęć zdradzania komukolwiek swych planów aż do chwili, gdy miały się spełnić. Bez wątpienia wynikało to po części z jego władczej natury, która sprawiała, że uwielbiał dominować i zaskakiwać otoczenie. Było to również podyktowane częściowo jego zawodową ostrożnością, podpowiadającą mu, by nie podejmować niepotrzebnego ryzyka. Niestety, w rezultacie wystawiał na próbę swoich współpracowników. Takie jego postępowanie często dawało mi się we znaki, jednak nigdy nie odczuwałem tego tak dotkliwie, jak podczas długiej jazdy w ciemności. Czekały nas straszne przejścia; zbliżała się wreszcie kluczowa chwila, ale Holmes uparcie milczał, i mogłem się jedynie domyślać, co zamierza uczynić. Moje nerwy były napięte do granic wytrzymałości, aż wreszcie zimny wiatr, który odczuliśmy na twarzach, i ciemna pusta przestrzeń po obu stronach wąskiej drogi powiedziały mi, że oto znów wróciliśmy na wrzosowisko. Każdy krok koni i każdy obrót kół zbliżały nas do ostatecznego rozwiązania sprawy.

Nie mogliśmy swobodnie rozmawiać przy woźnicy wynajętego powozu, gawędziliśmy więc o jakichś błahostkach, ukrywając wewnętrzne napięcie i zdenerwowanie. Odczułem ogromną ulgę, kiedy wreszcie minęliśmy dom Franklanda. Wiedziałem, że jesteśmy coraz bliżej rezydencji i miejsca, gdzie wszystko ma się rozstrzygnąć. Nie podjechaliśmy jednak pod bramę, lecz wysiedliśmy przy furtce niedaleko alei. Zapłaciliśmy woźnicy i kazaliśmy mu natychmiast wracać do Temple Coombe, sami zaś ruszyliśmy w stronę Merripit House.

– Ma pan broń, Lestrade?

Niski mężczyzna uśmiechnął się.

– Dopóki mam spodnie, mam też kieszeń na biodrze, a dopóki mam tę kieszeń, zawsze mogę coś z niej wyjąć.

– To dobrze! Ja i mój przyjaciel również jesteśmy przygotowani na nieprzewidziany rozwój wypadków.

– Już prawie rozwiązał pan tę sprawę, panie Holmes. Co pan teraz planuje?

– Będziemy czekać.

– Daję słowo, to niezbyt radosne miejsce – powiedział detektyw, patrząc na ponure stoki wzgórz i ogromne jezioro mgły spowijające trzęsawisko Grimpen. Dostrzegłem, że przeszył go dreszcz. – Widzę światła domu.

– To Merripit House i zarazem koniec naszej podróży. Muszę pana teraz prosić, by szedł pan bardzo cicho i starał się szeptać.

Poruszaliśmy się ostrożnie wzdłuż ścieżki, tak jakbyśmy zmierzali w kierunku domu. Jednak w odległości dwustu jardów od niego Holmes kazał nam się zatrzymać.

– Wystarczy – powiedział. – Te skały po prawej wspaniale nas ukryją.

– Mamy tu czekać?

– Tak. Tutaj urządzimy naszą małą zasadzkę. Niech się pan schowa tu, w zagłębieniu, Lestrade. Byłeś w tym budynku, prawda Watsonie? Pamiętasz układ pokoi? W jakim pomieszczeniu są okna od tej strony?

– Sądzę, że to okna kuchenne.

– A tamto, z którego pada takie jasne światło?

– To z całą pewnością jadalnia.

– Okno nie jest zasłonięte. Ty najlepiej znasz ten teren, Watsonie. Podkradnij się cicho i zobacz, co robią. Ale, na litość boską, uważaj, by się nie domyślili, że są obserwowani!

Cicho, na palcach, ruszyłem ścieżką. Pochylony za niskim murkiem otaczającym skarlały sad, kryjąc się w jego cieniu, dotarłem do miejsca, z którego mogłem spojrzeć prosto w niezasłonięte okno.

W pokoju było tylko dwóch mężczyzn, sir Henry i Stapleton. Siedzieli naprzeciwko siebie przy okrągłym stole, zwróceni ku mnie profilem. Obaj palili cygara, a przed nimi stały kawa i wino. Stapleton opowiadał coś z ożywieniem, baronet wydawał się jednak blady i roztargniony. Zapewne myślał o tym samotnym spacerze przez złowrogie wrzosowisko, który czekał go jeszcze tej nocy.

Gdy tak ich obserwowałem, Stapleton wstał i wyszedł z pokoju. Sir Henry napełnił swój kieliszek i rozparł się w fotelu, zaciągając się cygarem. Usłyszałem skrzypienie drzwi i chrzęst butów na żwirze. Ktoś minął mnie, idąc ścieżką po drugiej stronie murku, za którym się przyczaiłem. Gdy wyjrzałem zza murka, dostrzegłem, że przyrodnik przystanął przy drzwiach budynku gospodarczego na końcu sadu. Przekręcił klucz w zamku i wszedł do środka, a po chwili dobiegły stamtąd dziwne odgłosy szamotaniny. Stapleton został wewnątrz nie dłużej niż minutę; kiedy wychodził, znów usłyszałem zgrzyt klucza, po czym minął mnie, wszedł do domu i wrócił do swojego gościa. Wycofałem się cicho do miejsca, gdzie czekali moi towarzysze, by opowiedzieć im o tym, co widziałem.

– Twierdzisz, Watsonie, że nie ma z nimi pani Stapleton? – spytał Holmes, gdy skończyłem mój raport.

– Nie ma.

– Gdzie w takim razie może być, skoro w żadnym innym pomieszczeniu prócz kuchni nie pali się światło?

– Nie mam pojęcia.

Wspomniałem już, że nad wielkim trzęsawiskiem Grimpen wisiała gęsta biała mgła. Teraz pełzła powoli w naszą stronę i piętrzyła się przed nami niczym ściana, niska, lecz nieprzenikniona, o wyraźnych zarysach. W świetle księżyca wyglądała jak połyskujące lodowe pole, nad którego powierzchnią unosiły się niczym głazy szczyty odległych wzgórz. Holmes zwrócił ku niej twarz i niecierpliwie mruknął coś pod nosem, obserwując, jak leniwie przesuwa się ku nam.

– Nadciąga w naszym kierunku, Watsonie.

– Czy to poważny problem?

– Bardzo poważny. W rzeczywistości jest to jedyna rzecz na świecie, która mogłaby pokrzyżować mi plany. Ale teraz na pewno sir Henry już niedługo wyjdzie. Jest dziesiąta. Nasz sukces, a jego życie mogą zależeć od tego, czy wyjdzie z domu, nim mgła zawiśnie nad ścieżką.

Nad nami wznosiło się nocne niebo, przejrzyste i piękne. Gwiazdy świeciły jasnym, zimnym blaskiem, a sierp księżyca zalewał cały krajobraz delikatną, słabą poświatą. Przed nami rysowała się ciemna bryła budynku. Jego nieregularny dach i sterczące kominy odcinały się wyraźnie od usianego srebrem nieba. Szerokie smugi złocistego światła padały z okien parteru na sad i wrzosowisko. Nagle w jednym z nich zgasło światło. To

służba wyszła z kuchni. Nadal paliła się tylko lampa w jadalni, gdzie dwóch mężczyzn, gospodarz-morderca i jego niczego nieświadomy gość, wciąż gawędziło, paląc cygara.

Z każdą chwilą biała wełnista równina pokrywająca teraz prawie połowę wrzosowiska nadciągała coraz bliżej domu. Jej pierwsze cienkie pasemka kłębiły się już przy złocistym kwadracie oświetlonego okna. Dalsza część sadu była niemal niewidoczna, a drzewa sterczały z kłębów białych oparów. Gdy tak patrzyliśmy, obłoki mgły oplotły oba narożniki domu i przetaczały się powoli, tworząc jedną gęstą ławicę, ponad którą piętro i dach budynku płynęły niczym dziwny okręt na cienistym morzu. Holmes ze złością uderzył pięścią w skałę przed nami i niecierpliwie zaczął udeptywać ziemię stopą.

– Jeśli nie wyjdzie w ciągu kwadransa, mgła zakryje ścieżkę. Za pół godziny nie będziemy w stanie dostrzec własnych dłoni.

– Może powinniśmy wycofać się trochę dalej, na wyższy teren?

– Tak, uważam, że to dobry pomysł.

Wycofaliśmy się więc przed oparami mgły i zatrzymaliśmy jakieś pół mili od domu. Niestety, gęste białe tumany o srebrzących się w świetle księżyca krawędziach powoli i nieubłaganie nadciągały coraz bliżej.

– Za bardzo się oddalamy – powiedział Holmes. – Nie możemy ryzykować, że zostanie zaatakowany, nim do nas dotrze. Musimy zostać tu, gdzie teraz jesteśmy. – Opadł na kolana i przyłożył ucho do ziemi. – Dzięki Bogu, chyba słyszę, jak wychodzi.

Ciszę wrzosowiska przerwał odgłos szybkich kroków. Przyczajeni za głazami, wpatrywaliśmy się intensywnie w połyskującą srebrzyście ławicę rozciągającą się przed nami. Słyszeliśmy te kroki coraz wyraźniej, i wreszcie z mgły, niczym zza kurtyny, wynurzył się człowiek, na którego czekaliśmy. Kiedy wkroczył w jasną, oświetloną gwiazdami noc, rozejrzał się wokół zaskoczony. Następnie żwawo ruszył ścieżką, przeszedł blisko kryjówki, w której się przyczailiśmy, i zaczął wspinać się na długi stok za nami. Idąc, co chwilę oglądał się przez ramię jak ktoś, kto nie czuje się zbyt bezpiecznie.

– Pst! – syknął Holmes, i usłyszałem ostre kliknięcie odbezpieczanego rewolweru. – Uwaga! Nadchodzi!

Gdzieś z samego serca tych pełznących białych oparów dobiegł nas stłumiony tupot. Mgła była już niecałe pięćdziesiąt jardów od naszej

kryjówki. Wszyscy trzej wbiliśmy w nią wzrok, nie wiedząc, jakie monstrum się z niej wyłoni. Przykucnąłem tuż przy Holmesie i przez chwilę obserwowałem jego twarz. Była blada, lecz podekscytowana, a oczy jasno świeciły w świetle księżyca. Nagle jednak jego rysy zamarły i stężały, w osłupieniu otworzył usta. W tej samej chwili Lestrade wydał z siebie przerażony jęk i rzucił się twarzą na ziemię. Skoczyłem na równe nogi, bezwładną dłonią sięgając po broń. Widok potwornego stwora, który wyskoczył na nas z tumanów mgły, sprawił, że ciało odmówiło mi posłuszeństwa. To był pies, olbrzymi i czarny jak węgiel, taki, jakiego dotychczas nie widział żaden śmiertelnik. Z jego otwartej paszczy zionął ogień, ślepia płonęły żarem, a pysk, grzbiet i podgardle otaczały migotliwe płomienie. Nawet w najdzikszych majakach jakiegoś chorego umysłu nie powstałoby nic bardziej dzikiego, strasznego i upiornego niż ta ciemna sylwetka i dziki pysk, które wypadły na nas zza ściany mgieł.

Wielkie czarne widmo mknęło długimi susami po ścieżce tropem naszego przyjaciela. Widok tej piekielnej zjawy tak nas sparaliżował, że nim odzyskaliśmy panowanie nad sobą, ta zdążyła nas minąć. Holmes i ja wystrzeliliśmy równocześnie. W tej samej chwili zwierzę wydało z siebie ohydny skowyt, który świadczył o tym, że przynajmniej jeden z nas trafił do celu. Nie zatrzymało się jednak i pognało przed siebie. Zobaczyliśmy, jak sir Henry się odwraca. Światło księżyca padło na jego pobladłą twarz. W przerażeniu uniósł ręce, wpatrując się bezradnie w to monstrum, które było już prawie przy nim.

Skowyt rannej bestii całkowicie rozwiał nasze obawy. Skoro mogliśmy ją zranić, była śmiertelna, a to oznaczało, że możemy ją też zabić. Nigdy nie widziałem człowieka pędzącego tak szybko, jak Holmes tamtej nocy. Mam opinię dobrego biegacza, lecz mimo to zostawił mnie tak daleko w tyle, jak ja niskiego policjanta. Gnając ścieżką, słyszeliśmy rozpaczliwe krzyki sir Henry’ego i nieprzyjazne warczenie psa. Kiedy do nich dobiegłem, bestia skoczyła właśnie na swą ofiarę, powalając ją na ziemię i próbując chwycić za gardło. Jednak w następnej chwili Holmes wpakował jej w bok pięć pozostałych kul ze swojego rewolweru. Z ostatnim skowytem bólu pies kłapnął jeszcze pyskiem w powietrzu i przetoczył się na grzbiet. Przez chwilę wściekle wierzgał łapami, a potem bezwładnie opadł na bok. Pochyliłem się zdyszany i przycisnąłem lufę rewolweru do jego straszliwej

połyskującej głowy. Nie było już sensu pociągać za spust. Ogromny pies był martwy.

Sir Henry leżał nieprzytomny tam, gdzie upadł. Rozerwaliśmy mu kołnierzyk, a Holmes westchnął z ulgą, widząc, że na jego szyi nie ma żadnych ran. Ratunek przybył na czas. Nasz przyjaciel zaczął już mrugać powiekami i ostrożnie próbował się poruszać. Lestrade przysunął swoją piersiówkę z brandy do ust baroneta, i po chwili spojrzała na nas para przerażonych oczu.

– O mój Boże! – wyszeptał. – Co to było? Co to było, na Boga?

– Cokolwiek to było, już jest martwe – rzekł Holmes. – Pozbyliśmy się tego rodzinnego upiora raz na zawsze.

Biorąc pod uwagę wyłącznie jego rozmiary i siłę, przed nami leżało na ziemi straszliwe stworzenie. Nie był to czystej krwi posokowiec ani mastiff. Wydawał się mieszańcem tych dwóch ras, smukły, dziki i olbrzymi jak niewielka lwica. Nawet teraz, patrząc na martwe nieruchome ciało, mogliśmy odnieść wrażenie, że z jego ogromnych szczęk wydobywa się niebieskawy płomień, a małe, głęboko osadzone ślepia otaczają ogniste pierścienie. Położyłem dłoń na jego pysku, a gdy ją uniosłem, moje palce połyskiwały i żarzyły się w ciemności.

– Fosfor – powiedziałem.

– Sprytnie to wymyślił – stwierdził Holmes, wąchając martwe zwierzę. – Nie ma żadnej woni, która mogłaby mu przeszkodzić w podążaniu za tropem. Sir Henry, jesteśmy panu winni wielkie przeprosiny, że naraziliśmy pana na takie niebezpieczeństwo. Spodziewałem się psa, ale nie takiego potwora jak ten. Do tego z powodu mgły mieliśmy niewiele czasu, żeby odpowiednio się nim zająć.

– Ocaliliście mi życie.

– Ale najpierw naraziliśmy je na niebezpieczeństwo. Ma pan siłę wstać?

– Dajcie mi jeszcze łyk tej brandy, a będę gotów na wszystko. O tak! A teraz proszę, pomóżcie mi się podnieść. Co proponujecie teraz zrobić?

– Musimy zostawić pana tutaj. Wystarczy przygód na jedną noc. Jeśli zechce pan tu zaczekać, któryś z nas odprowadzi go do rezydencji.

Mężczyzna spróbował niepewnie podnieść się na nogi, ale wciąż był upiornie blady i roztrzęsiony. Podprowadziliśmy go do skały, gdzie usiadł, drżąc i chowając twarz w dłoniach.

– Musimy iść – powiedział Holmes. – Powinniśmy dokończyć naszą pracę, a teraz liczy się każda chwila. Rozpracowaliśmy już całą sprawę i chcemy dopaść tego łotra.

– Postawiłbym tysiąc do jednego, że nie zastaniemy go w domu – ciągnął, gdy żwawo ruszyliśmy ścieżką w drogę powrotną. – Gdy usłyszał te strzały, musiał się domyślić, że gra skończona.

– Byliśmy w pewnej odległości od domu, a ta mgła mogła je stłumić.

– Szedł za psem, by móc go przywołać. Tego możecie być pewni. Nie, nie. Do tej pory na pewno już zniknął, ale przeszukamy dom i sprawdzimy, czy go tam nie ma.

Drzwi frontowe były otwarte, wtargnęliśmy więc do środka i szybko przejrzeliśmy pokoje, wprawiając w zdumienie zdziecinniałego starego służącego, na którego wpad-liśmy w korytarzu. Wszędzie prócz jadalni panowały ciemności, lecz Holmes chwycił lampę i zbadał każdy zakamarek domu. Nie znaleźliśmy ani śladu człowieka, którego ścigaliśmy. Tymczasem na piętrze drzwi jednej z sypialni były zamknięte na klucz.

– Ktoś jest w środku! – krzyknął Lestrade. – Słyszę, że się rusza. Otwierać drzwi!

Z wnętrza dobiegły nas szelest i słaby jęk. Holmes kopnął w drzwi tuż nad zamkiem, które otwarły się na oścież. Z bronią w ręku wbiegliśmy wszyscy trzej do pokoju.

Nie ujrzeliśmy jednak tego zdesperowanego zuchwałego łotra, którego spodziewaliśmy się tu znaleźć. Stało przed nami natomiast coś tak dziwnego i zaskakującego, że na chwilę zamarliśmy w bezruchu, wpatrując się w to coś w osłupieniu.

Pomieszczenie zostało urządzone niczym niewielkie muzeum. Ściany pokrywały szeregi niezliczonych szklanych gablotek, wypełnionych kolekcją ciem i motyli, których gromadzenie musiało stanowić rozrywkę tego dziwnego, niebezpiecznego człowieka. Pośrodku pokoju wznosił się filar, który musiano kiedyś postawić, aby podeprzeć stary, przeżarty przez korniki strop. Do filaru była przywiązana jakaś postać, tak owinięta i skrępowana prześcieradłami, że przez chwilę nie byliśmy pewni, czy mamy przed sobą mężczyznę, czy kobietę. Wokół szyi miała owinięty ręcznik, umocowany z tyłu za filarem. Inny ręcznik zakrywał dolną część jej twarzy, a sponad niego wpatrywało się w nas dwoje ciemnych oczu, oczu pełnych smutku i wstydu, w których kryło się straszliwe pytanie.

W jednej chwili zdjęliśmy ofierze knebel, rozplątaliśmy więzy, a przed nami na podłogę osunęła się pani Stapleton. Gdy jej piękna głowa opadła na piersi, zobaczyłem na szyi czerwoną pręgę po uderzeniu batem.

– Co za łotr! – zawołał Holmes. – Lestrade, dawaj brandy. Posadźmy ją w fotelu! Zemdlała z bólu i wyczerpania.

Znów otworzyła oczy.

– Jest bezpieczny? – spytała. – Uciekł?

– Przed nami nie ucieknie, proszę pani.

– Nie, nie. Nie chodziło mi o męża. Sir Henry? Jest bezpieczny?

– Tak.

– A pies?

– Nie żyje.

Wydała z siebie długie westchnienie ulgi.

– Dzięki Bogu! Dzięki Bogu! Och, ten łotr! Zobaczcie, jak mnie potraktował! – wysunęła ramiona z rękawów, a my z przerażeniem odkryliśmy, że całe były posiniaczone. – Ale to nic… To nic! To mój umysł i duszę dręczył i kalał. Mogłam to wszystko znosić: bicie, samotność, życie w kłamstwie… Wszystko… dopóki wciąż żyłam nadzieją, że mnie kocha. Teraz jednak wiem, że mnie również oszukał. Byłam tylko narzędziem w jego rękach…

Z jej piersi wydarł się przeraźliwy szloch.

– Widzę, że nie zamierza go pani chronić – powiedział Holmes. – Proszę nam wobec tego powiedzieć, gdzie go znajdziemy. Jeżeli kiedykolwiek pomagała mu pani w jego niegodziwych czynach, proszę nam teraz pomóc, żeby to naprawić.

– Jest tylko jedno miejsce, do którego mógł uciec – odparła. – W samym sercu trzęsawiska jest wyspa, na której znajduje się opuszczona kopalnia cyny. To właśnie tam trzymał swojego psa i tak wszystko przygotował, by w razie czego znaleźć schronienie. Tylko tam mógł się ukryć.

Świat za oknem spowijała biała wełnista zasłona mgły. Holmes skierował na nią światło lampy.

– Patrzcie – powiedział. – Dziś w nocy nikt nie odnajdzie drogi na trzęsawisko Grimpen.

Roześmiała się i klasnęła w dłonie. W jej oczach zabłysła okrutna radość.

– Być może uda mu się tam dostać, ale nigdy stamtąd nie wróci – zawołała. – Jak dzisiaj odnajdzie kijki oznaczające drogę? Razem je

wbijaliśmy, on i ja, aby oznaczyć ścieżkę przez trzęsawisko. Och, gdybym tylko mogła je wcześniej powyciągać. Wtedy naprawdę byłby zdany na waszą łaskę!

Było dla nas oczywiste, że dopóki mgła się nie uniesie, pościg nie ma żadnego sensu. Zostawiliśmy więc Lestrade'a w Merripit House, a sami wróciliśmy z baronetem do rezydencji Baskerville'ów. Nie sposób było przed nim dalej ukrywać historii państwa Stapletonów, jednak gdy dowiedział się prawdy o kobiecie, którą kochał, dzielnie przyjął ten cios. Niestety, przeżycia tej nocy wstrząsnęły nim do głębi. Zanim nadszedł dzień, leżał z wysoką gorączką, majacząc, a doktor Mortimer czuwał u jego boku. Tym dwóm jest pisane objechać razem świat, jak tylko sir Henry powróci do zdrowia i znów stanie się dziarskim, krzepkim mężczyzną, jakim był, nim odziedziczył tę ponurą posiadłość.

A teraz przejdę od razu do zakończenia mojej dziwnej opowieści, podczas której próbowałem dzielić z czytelnikiem te mroczne lęki i niejasne domysły, jakie tak długo zagradzały nam drogę i w dodatku doprowadziły do tak dramatycznego końca. Nazajutrz rano mgła się uniosła, i pani Stapleton zaprowadziła nas do miejsca, w którym rozpoczynała się odnaleziona przez nich ścieżka przez mokradła. Widząc, jak radośnie i ochoczo prowadzi nas tropem swego męża, zdaliśmy sobie sprawę, jakże okropne musiało być życie tej kobiety.

Zostawiliśmy ją na cienkim cyplu twardej torfowej ziemi, za którym ciągnęły się rozległe moczary. Od miejsca, gdzie kończył się cypel, ścieżkę wskazywały nam niewielkie kijki, tu i ówdzie powbijane w grząski grunt. Biegła ona zygzakiem z jednej kępy sitowia na drugą, wśród porośniętych zielenią niecek i wstrętnych bagien, zagradzających drogę osobom niepożądanym. Wysokie trzciny i bujne, oślizłe rośliny wodne napełniały powietrze wonią zgnilizny. Brnęliśmy naprzód w ciężkich bagiennych oparach. Nieraz, przez jeden fałszywy krok, zapadaliśmy się aż po uda w ciemne miękkie błoto, ciągnące się na wiele jardów wokół nas. Grząski szlam uparcie chwytał nasze stopy, a gdy się w nim pogrążaliśmy, mieliśmy wrażenie, jakby jakaś złośliwa ręka ciągnęła nas w te ohydne głębiny. Tylko raz dostrzegliśmy dowód, że ktoś przed nami przechodził tą niebezpieczną drogą. Pośrodku kępy sitowia wystawał jakiś ciemny przedmiot. Holmes zapadł się po pas, gdy zboczył ze ścieżki, chcąc go schwycić. Gdybyśmy nie pomogli mu się wydostać, być może nigdy nie postawiłby już stopy na

twardym gruncie. W dłoni ściskał stary czarny but. Na skórze po wewnętrznej stronie widniał napis: „Meyers, Toronto”.

– Dla czegoś takiego warto było skąpać się w błocie – powiedział. – To brakujący but naszego przyjaciela sir Henry’ego.

– Rzucony tam przez Stapletona podczas ucieczki.

– W rzeczy samej. Wciąż trzymał ten but w ręce, po tym jak go użył, by poszczuć psa na sir Henry’ego. Gdy się zorientował, że gra skończona, rzucił się do ucieczki, ciągle ściskając go w dłoni. A kiedy dotarł do tego miejsca, po prostu cisnął go w bagno. Teraz wiemy przynajmniej, że dotąd doszedł bezpiecznie.

Jednak, choć mogliśmy długo snuć nasze domysły, nigdy nie dane nam było dowiedzieć się czegoś więcej. Nie mieliśmy szans na odnalezienie śladów na mokradłach, bo bagnista ziemia natychmiast je wypełniała. W końcu dotarliśmy do stałego gruntu wznoszącego się nad trzęsawiskiem i zaczęliśmy zaciekle szukać. Niczego jednak nie znaleźliśmy. Jeśli ziemia mówiła nam prawdę, Stapleton nigdy nie dotarł do wyspy, do której brnął przez mgłę w tę ostatnią noc. Gdzieś w samym sercu wielkiego trzęsawiska Grimpen, pod ohydnym szlamem rozległych mokradeł, spoczywał zimny człowiek o okrutnym sercu, pogrzebany tutaj na zawsze.

Znaleźliśmy za to wiele śladów jego obecności na otoczonej bagnem wysepce, na której trzymał swojego dzikiego sprzymierzeńca. Ogromne koło napędowe i na wpół zapełniony śmieciami szyb wskazały nam miejsce, gdzie kiedyś znajdowała się stara kopalnia. Obok niej wznosiły się gruzy – pozostałości górniczych chat, których mieszkańców bez wątpienia odstraszył obrzydliwy odór ciągnących się wokół moczarów. W jednej z nich były skobel i łańcuch, a spora sterta ogryzionych kości świadczyła o tym, że trzymano tu jakieś zwierzę. Obok wśród gruzów leżał szkielet, na którym pozostały kępki splątanej brązowej sierści.

– Pies – powiedział Holmes. – Na Jowisza, to spaniel! Biedny Mortimer już nigdy nie zobaczy swojego ulubieńca. Cóż, nie wiem, czy to miejsce skrywa jeszcze jakiś sekret, którego nie poznaliśmy. Przyrodnik mógł schować tu swego psa, ale nie zdołałby stłumić jego głosu, i stąd właśnie dobiegało to wycie, które nie było zbyt przyjemnym dźwiękiem nawet w świetle dnia. W wyjątkowych sytuacjach mógł trzymać psa w budynku gospodarczym przy Merripit House, ale zawsze wiązało się to z ryzykiem. Ośmielił się to zrobić tylko w ten najważniejszy dzień, gdy uznał, że

wszystkie jego wysiłki dobiegną końca. Ta pasta w puszce to bez wątpienia fosforyzująca mieszanka, którą pokrywał stworzenie. Podsunęła mu ten pomysł oczywiście historia piekielnego psa Baskerville’ów. Chciał w ten sposób wystraszyć na śmierć starego sir Charlesa. Nic dziwnego, że nieszczęsny więzień z krzykiem rzucił się do ucieczki, ujrzawszy taką istotę ścigającą go w ciemnościach. Nasz przyjaciel też tak zareagował, a i my sami być może zachowalibyśmy się podobnie. Cóż za genialny plan! Nie dość, że mógł przerazić na śmierć swoją ofiarę, to jeszcze który wieśniak odważyłby się zbliżyć, gdyby przypadkiem zobaczył taką bestię? A wielu widziało ją na wrzosowisku. Mówiłem to już w Londynie, Watsonie, i teraz znów to powtórzę: jeszcze nigdy nie ścigaliśmy niebezpieczniejszego człowieka niż ten, który teraz gdzieś tam spoczywa.

Mówiąc to, machnął swoją długą ręką w stronę olbrzymiej przestrzeni upstrzonego zielenią bagna, ciągnącego się w dali aż po rdzawe stoki wrzosowiska.

Rozdział piętnasty

Retrospekcja

Był koniec listopada. W pewien zimny, mokry i mglisty wieczór siedzieliśmy z Holmesem przed kominkiem w naszym salonie na Baker Street. Od tragicznego finału naszej wizyty w Devonshire Holmes zajmował się dwiema sprawami o wielkim znaczeniu. W trakcie opracowywania pierwszej z nich wydobył na światło dzienne okrutne postępowanie pułkownika Upwooda w związku ze słynnym skandalem karcianym w Nonpareil Club. W drugiej bronił nieszczęsnej madame Montpensier przed zarzutami morderstwa, które zawisły nad jej głową w związku z rzekomą śmiercią jej pasierbicy, mademoiselle Carere. Jak się okazało, ta młoda dama sześć miesięcy później odnalazła się w Nowym Jorku, żywa i na dodatek zamężna. Pasmo sukcesów, jakie towarzyszyły tej serii trudnych i ważnych spraw, wprawiło mojego przyjaciela w doskonały nastrój. Dzięki temu udało mi się go skłonić, by omówił ze mną szczegóły zagadki Baskerville'ów. Musiałem cierpliwie czekać na tę okazję, bo wiedziałem, że nigdy nie pozwoli na to, by coś zaprzątało mu głowę, gdy skupiał się na jednej sprawie. Jego przejrzysty i logiczny umysł nie pozwalał, by rozpamiętywanie wydarzeń z przeszłości rozpraszało jego myśli i odciągało od bieżącej pracy. Teraz jednak sir Henry i doktor Mortimer przebywali w Londynie z zamiarem wyruszenia w długą podróż, którą zalecono baronetowi, aby uleczyć jego zszarpane nerwy. Akurat tego popołudnia złożyli nam wizytę, wydawało się więc naturalnym, że rozmowa o szczegółach naszej sprawy nasunie się niejako sama.

– Z punktu widzenia człowieka o nazwisku Stapleton – powiedział Holmes – cały bieg wydarzeń był jasny i logiczny, choć dla nas, nie mających na początku możliwości, by domyślić się motywów jego działań, i znających jedynie część faktów, wszystko to wydawało się niezmiernie

powikłane. Miałem możność dwa razy rozmawiać o tym z panią Stapleton, i teraz cała sprawa wydaje się jasna. Nie sądzę, by istniał jeszcze jakiś sekret, którego nie poznaliśmy. Kilka notatek dotyczących tej sprawy znajdziesz w mojej kartotece pod literą B.

– Może byłbyś tak dobry i przedstawił w skrócie bieg wydarzeń?

– Oczywiście, choć nie mogę zagwarantować, że pamiętam jeszcze wszystkie szczegóły. Intensywna koncentracja potrafi w przedziwny sposób zamazać wiedzę o tym, co już minęło. Prawnik prowadzący sprawę doskonale się w niej orientuje i może sprzeczać się z ekspertem w dziedzinie, w której sam nie jest specjalistą. Jednak w tydzień czy dwa po jej zakończeniu, następne sprawy sądowe powodują, że zapomina o poprzedniej. Podobnie tutaj, każda nowa sprawa wypiera z mojej głowy wspomnienia poprzedniej. Sprawa *mademoiselle* Carere wymazała z mojej pamięci wspomnienia z rezydencji Baskerville'ów. Być może jutro ktoś przedstawi mi jakiś inny niewielki problem, a to z kolei przyczyni się do tego, że zapomnę o pięknej Francuzce i tym łotrze Upwoodzie. Jednak jeśli chodzi o sprawę psa Baskerville'ów, spróbuję przedstawić ci przebieg wydarzeń tak dokładnie, jak potrafię, a ty, proszę, miej rękę na pulsie, jeżeli o czymś zapomnę.

Moje dociekania w sposób nie budzący żadnych wątpliwości wykazały, że rodzinny portret nie kłamał i że ten człowiek rzeczywiście był Baskerville'em, synem Rodgera Baskerville'a, tego okrytego mroczną reputacją młodszego brata sir Charlesa, który uciekł do Ameryki Południowej. Mówiło się, że zmarł tam, nigdy się nie ożeniwszy. W rzeczywistości jednak ożenił się i miał jedno dziecko, którego prawdziwe nazwisko brzmiało tak samo jak nazwisko ojca. Poślubił Beryl Garcię, jedną z kostarykańskich piękności, i po tym, jak zdefraudował znaczną sumę z publicznych funduszy, zmienił nazwisko na Vandeleur i uciekł do Anglii, gdzie założył szkołę we wschodnim Yorkshire. Zajął się tym szczególnym zawodem, ponieważ w drodze powrotnej zawarł znajomość z chorym na suchoty nauczycielem i wykorzystał zdolności tego człowieka, by osiągnąć sukces w swoim przedsięwzięciu. Jednak Fraser, ten nauczyciel, zmarł, i dobrze zapowiadająca się szkoła najpierw okryła się złą sławą, a potem wręcz hańbą. Para uznała, że najwygodniej będzie zmienić nazwisko na Stapleton, a Vandeleur postanowił przenieść na południe Anglii resztki swej fortuny, plany na przyszłość oraz zamiłowanie do

entomologii. Dowiedziałem się w British Museum, że był uznanym autorytetem w tej dziedzinie, a nazwisko Vandeleur zostało na stałe powiązane z pewnym gatunkiem ćmy, którą opisał jako pierwszy w historii jeszcze wówczas, gdy mieszkał w Yorkshire.

Teraz dochodzimy do tego okresu jego życia, który okazał się dla nas tak niezwykle interesujący. Człowiek ten najwyraźniej przeprowadził własne dochodzenie i dowiedział się, że jedynie życie dwóch ludzi dzieliło go od wielkiego majątku. Sądzę, że gdy udał się do Devonhire, jego plany były jeszcze bardzo mgliste. Jednak z tego, że zabrał ze sobą żonę, przedstawiając ją wszystkim jako swoją siostrę, wyraźnie wynika, że od samego początku miał złe zamiary. Najwyraźniej wpadł już wcześniej na pomysł wykorzystania jej jako przynęty, choć być może nie był jeszcze pewien szczegółów. Chciał w końcu doprowadzić do przejęcia majątku i w tym celu gotów był skorzystać z każdej sposobności i podjąć każde ryzyko. Pierwsze, co zrobił, było osiedlenie się jak najbliżej swoich przodków, drugie zaś – zawarcie i podtrzymywanie przyjaźni z sir Charlesem Baskerville’em oraz sąsiadami.

Baronet sam opowiedział mu legendę o psie, doprowadzając w ten sposób do włas-nej śmierci. Stapleton, bo tak będę go dalej nazywał, wiedział, że starzec ma słabe serce i szok może go zabić. Dowiedział się tego od doktora Mortimera. Słyszał również, że sir Charles był człowiekiem dość zabobonnym i bardzo poważnie traktował tę ponurą legendę. Jego niesamowita pomysłowość natychmiast podsunęła mu sposób, dzięki któremu mógł doprowadzić do śmierci baroneta, przy czym zauważ, że udowodnienie winy prawdziwemu mordercy graniczyłoby z cudem.

Gdy miał już w głowie ten plan, zabrał się z wielką finezją do jego realizacji. Zwykły przestępca zadowoliłby się zwykłym psem. Wykorzystanie fosforu, aby nadać temu stworzeniu diaboliczny wygląd, było z jego strony przebłyskiem prawdziwego geniuszu. Psa kupił w Londynie od Rossa i Manglesa, sprzedawców z Fulham Road. Wziął najsilniejsze i najdziksze zwierzę, jakie mieli. Przewiózł je linią kolejową do North Devon, a następnie przeszedł przez całe wrzosowisko, by zaprowadzić psa do domu, nie wzbudzając przy tym sensacji. Polując na swoje owady, nauczył się już, jak bezpiecznie przejść przez trzęsawisko Grimpen, miał więc świetną kryjówkę dla swojego zwierzęcia. Trzymał go tam w zamknięciu i czekał na swoją szansę.

Ta jednak ciągle nie nadchodziła. Nie sposób było wywabić starszego dżentelmena, by nocą opuścił teren swej posiadłości. Stapleton kilka razy czaił się w pobliżu ze swoim psem, jednak na próżno. To właśnie podczas tych bezowocnych wypraw on, a raczej jego dziki sojusznik, był widywany przez wieśniaków, dzięki czemu znów ożyła legenda o demonicznym psie. Miał nadzieję, że jego żona zawładnie sercem sir Charlesa ku jego zgubie, w tej jednak kwestii ona okazała upór. Nie chciała wplątywać starszego dżentelmena w żadną miłosną intrygę, dzięki której zdany byłby na łaskę swego wroga. Nic nie było w stanie zmienić jej stanowiska w tej kwestii – ani groźby, ani, co mówię z przykrością, bicie. Nie chciała mieć z tym nic wspólnego, i na jakiś czas Stapleton utknął w martwym punkcie.

Na sposób rozwiązania swych trudności trafił przez przypadek: sir Charles, z którym się zaprzyjaźnił, uczynił go swym pełnomocnikiem w sprawach charytatywnych, i w ten oto sposób trafił do tej nieszczęsnej kobiety, pani Laury Lyons. Przedstawiając się jej jako samotny mężczyzną, zaczął wywierać na nią ogromny wpływ i dał jej do zrozumienia, że jeśli tylko zdoła ona uzyskać rozwód, zostanie jego żoną. Jednakże pewne zdarzenie mogło pokrzyżować jego plany. Otóż Stapleton dowiedział się, że sir Charles zamierza za radą doktora Mortimera opuścić rezydencję, więc sam zaczął udawać, że zgadza się z jego opinią. Był zmuszony do natychmiastowego działania, ponieważ w przeciwnym razie ofiara opuściłaby miejsce, gdzie zamierzał zrealizować swój niecny plan. To dlatego namówił panią Lyons do napisania listu, w którym zaklinała starszego dżentelmena, by spotkał się z nią wieczorem przed swoim wyjazdem do Londynu. Potem, posługując się pokrętnym argumentem, nie dopuścił do tego, by udała się na spotkanie, i tak oto pojawiła się szansa, na którą tak długo czekał.

Wracając wieczorem z Coombe Tracey, zdążył wziąć ze sobą psa, pokryć go tą upiorną farbą i sprowadzić bestię pod furtkę, przy której, jak miał powody sądzić, zastanie starszego dżentelmena czekającego na panią Lyons. Pies poszczuty przez swego pana przeskoczył furtkę i ruszył w pogoń za nieszczęsnym baronetem, który, krzycząc, rzucił się do ucieczki cisową aleją. Olbrzymi czarny stwór z płonącym pyskiem i świecącymi ślepiami, pędzący za swoją ofiarą, musiał stanowić naprawdę przerażający widok w tym ponurym tunelu drzew. Baronet padł martwy u końca alei – jego serce nie wytrzymało takiego przerażenia.

Pies pędził porośniętym trawą pasem, tymczasem baronet biegł cały czas ścieżką, dlatego widoczne były tylko ślady mężczyzny. Widząc, że leży nieruchomo na ziemi, zwierz prawdopodobnie zbliżył się, aby go powąchać, jednak przekonawszy się, że ofiara nie żyje, zawrócił i odszedł. To właśnie wtedy pozostawił te odciski łap, które zauważył doktor Mortimer. Stapleton przywołał swojego psa i szybko zamknął go w kryjówce na trzęsawisku Grimpen. W ten sposób śmierć baroneta stała się zagadką, nad której rozwiązaniem głowiła się policja i która przeraziła okolicznych mieszkańców, a wreszcie doprowadziła do tego, że my zajęliśmy się tą sprawą.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o śmierć sir Charlesa Baskerville’a. Zwróć uwagę na tę demoniczną przebiegłość, Watsonie. Postawienie zarzutów prawdziwemu mordercy byłoby niemal niemożliwe. Jego jedyny wspólnik nigdy nie był w stanie go wydać, a groteskowa, niepojęta natura tego narzędzia, którym się posłużył, sprawiła, że stało się ono jeszcze skuteczniejsze. Obie kobiety zamieszane w tę sprawę, pani Stapleton i pani Laura Lyons, miały jednak mocne powody do podejrzeń. Pani Stapleton wiedziała, że jej mąż spiskuje, aby pozbyć się starca. Wiedziała również o istnieniu psa. Pani Lyons nie zdawała sobie sprawy z żadnej z tych rzeczy, ogromne wrażenie wywarł jednak na niej fakt, że śmierć sir Charlesa wydarzyła się w czasie nieodwołanego przez nią spotkania, o którym oprócz niej wiedział jedynie Stapleton. Obie jednak były pod jego wpływem, więc przyrodnik nie musiał się z ich strony niczego obawiać. Udało mu się zrealizować pierwszą część swojego planu, wciąż jednak czekało go drugie, znacznie trudniejsze zadanie.

Możliwe też, że Stapleton nie zdawał sobie sprawy z istnienia spadkobiercy żyjącego w Kanadzie. Tak czy inaczej, bardzo szybko dowiedział się o tym od swego przyjaciela, doktora Mortimera, i to ten ostatni zdradził mu wszystkie szczegóły dotyczące przyjazdu Henry’ego Baskerville’a. Początkowo Stapleton uważał, że tego młodego nieznajomego z Kanady będzie można się pozbyć raz na zawsze już w Londynie, nie czekając nawet, aż przybędzie do Devonshire. Nie ufał swojej żonie od czasu, gdy odmówiła mu pomocy w zastawianiu sideł na sir Charlesa, i bał się spuszczać ją na dłużej z oczu. To właśnie dlatego zabrał ją ze sobą do Londynu. Jak się dowiedziałem, zamieszkali w hotelu „Mexborough Private” przy Craven Street, czyli w jednym z tych hoteli, do

których udał się mój wysłannik w poszukiwaniu dowodów. Trzymał swoją żonę uwięzioną w pokoju, podczas gdy sam, ukryty za sztuczną brodą, śledził doktora Mortimera na Baker Street, skąd ten odjechał na stację, a następnie do hotelu „Northumberland”. Żona Stapletona miała pewne podejrzenia, co do jego planów. Tak bardzo bała się jednak męża – a lęk ten wynikał z faktu, że była przez niego brutalnie traktowana – iż nie miała odwagi napisać, by ostrzec człowieka, któremu groziło niebezpieczeństwo. Gdyby taki list wpadł w ręce Stapletona, zagrożone byłoby jej własne życie. W końcu, jak wiemy, uciekła się do innego sposobu. Wycięła z gazety słowa, które miały utworzyć wiadomość, i zaadresowała list, maskując swój charakter pisma. Wiadomość dotarła do baroneta, i było to pierwsze ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem.

Kluczowym punktem w planach Stapletona było zdobycie jakiejś części odzieży, noszonej przez sir Henry’ego, na wypadek gdyby do realizacji swych zamiarów musiał wykorzystać psa. Dzięki temu zawsze miałby możliwość poszczucia nim swej ofiary. Z typową dla siebie przebiegłością i zuchwałością natychmiast się do tego zabrał. Bez wątpienia sowicie opłacił pucybuta lub pokojówkę z hotelu. Przypadkiem jednak tak się złożyło, że pierwszy but, który zdobył, okazał się zupełnie nowym, a tym samym bezużytecznym dla jego celów. Zwrócił go wówczas i zdobył inny. Incydent ten był bardzo znaczący, ponieważ w ostateczny sposób udowodnił mi, że mamy tu do czynienia z prawdziwym psem. W żaden inny sposób nie dało się wyjaśnić jego starań, aby zdobyć stary but, i braku zainteresowania Stapletona nowym. Im bardziej ekscentryczny czy absurdalny jest jakiś incydent, tym bardziej należy się mu przyjrzeć, a jakiś szczegół, który wydaje się komplikować sprawę, po właściwej logicznej i naukowej analizie staje się tym, który rzuca na nią światło.

Następnego ranka nasi przyjaciele, nieustannie śledzeni przez Stapletona z dorożki, złożyli nam wizytę. Z tego, jak wiele wiedział o tym, gdzie mieszkam i jak wyglądam, oraz z jego sposobu postępowania wnioskuję, że przestępcza kariera Stapletona bynajmniej nie ograniczała się do sprawy Baskerville’ów. Bardzo wymowny jest fakt, że w ciągu ostatnich trzech lat w West Country doszło do czterech poważnych włamań, jednak nikogo w tej sprawie nie aresztowano. Ostatnie z nich, w Folkestone Court, które miało miejsce w maju, stało się głośne, ponieważ goniec, który zaskoczył zamaskowanego samotnego włamywacza, został zastrzelony z zimną krwią.

Nie mam żadnych wątpliwości co do tego, że właśnie w ten sposób Stapleton uzupełniał swoje coraz skromniejsze środki i że już od wielu lat był niebezpiecznym desperatem.

Mieliśmy przykład jego ogromnej pomysłowości tego ranka, kiedy udało mu się przed nami uciec, oraz jego zuchwałości, gdy przedstawił się dorożkarzowi moim nazwiskiem. Od tamtej chwili wiedział już, że przejąłem tę sprawę w Londynie, i w związku z tym nie ma tutaj żadnych szans. Powrócił więc do Dartmoor i oczekiwał na przyjazd baroneta.

– Chwileczkę! – powiedziałem. – Na pewno prawidłowo opisujesz przebieg wydarzeń, pozostaje jednak jedna niewyjaśniona kwestia. Co działo się z psem, gdy jego pan przebywał w Londynie?

– Poświęciłem tej sprawie trochę uwagi, ponieważ bez wątpienia jest dość ważna. Z całą pewnością Stapleton miał powiernika, choć zapewne nigdy nie zaufał mu na tyle, by wtajemniczyć go w swoje plany. Był nim ten stary służący z Merripit House o imieniu Anthony. Jego związek ze Stapletonami można prześledzić od czasów, gdy przyrodnik prowadził szkołę, musiał więc zdawać sobie sprawę z faktu, że jego państwo byli w rzeczywistości mężem i żoną. Człowiek ten zniknął, a potem uciekł z kraju. Ważnym szczegółem jest, że Anthony to niezbyt popularne imię w Anglii, natomiast imię Antonio spotyka się bardzo często w hiszpańskojęzycznych krajach Ameryki Południowej. Ten służący, podobnie zresztą jak pani Stapleton, dobrze mówił po angielsku, jednak z dziwnym, sepleniącym akcentem. Sam widziałem, jak starzec przemierza trzęsawisko Grimpen ścieżką oznakowaną przez Stapletona. Jest więc bardzo prawdopodobne, że to właśnie on opiekował się psem pod nieobecność pana, choć być może nigdy nie poznał celów, do jakich bestia ta miała zostać wykorzystana.

Stapletonowie powrócili więc do Devonshire, a wkrótce potem zjawiliście się tam ty i sir Henry. Teraz może parę słów o tym, czym ja się wówczas zajmowałem. Być może przypominasz sobie, że gdy badałem kartkę, na której zostały naklejone słowa wycięte z gazety, bardzo uważnie szukałem znaku wodnego. Przysunąłem ją blisko oczu i wówczas poczułem słaby zapach perfum o nazwie „Biały jaśmin”. Istnieje siedemdziesiąt pięć gatunków perfum, a dla specjalisty w dziedzinie kryminologii umiejętność ich odróżniania jest niezwykle ważna. Mogę cię zapewnić, że już nieraz mi się zdarzyło, iż rozwiązanie całej sprawy zależało od szybkiego ich

rozpoznawania. Ta woń sugerowała, że w sprawę zamieszana jest jakaś dama, i już wtedy zacząłem się zastanawiać nad Stapletonami. W ten sposób upewniłem się, że chodzi o prawdziwego psa, i odgadłem tożsamość przestępcy, jeszcze zanim udaliśmy się do West Country.

Moja gra polegała na obserwowaniu Stapletona. Oczywistym było jednak, że nie będę w stanie tego robić, jadąc z tobą, ponieważ wtedy miałby się na baczności. Oszukałem więc wszystkich, w tym również i ciebie, Watsonie, i pojechałem tam potajemnie, gdy tymczasem wszyscy sądzili, że jestem w Londynie. Niewygody, na jakie się naraziłem, nie były tak straszne, jak sądziłeś, choć takie błahostki nigdy nie powinny stawać na drodze podczas prowadzenia śledztwa. Przez dłuższy czas mieszkałem w Coombe Tracey, a z domostwa na wrzosowisku korzystałem jedynie wtedy, gdy musiałem być blisko miejsca wydarzeń. Zabrałem ze sobą Cartwrighta, który w swoim przebraniu wiejskiego chłopca okazał się niezwykle pomocny. To on przynosił mi jedzenie i czyste ubrania. Gdy ja obserwowałem Stapletona, Cartwright często obserwował ciebie, i w ten sposób mogłem trzymać w rękach wszystkie sznurki.

Wspominałem ci już o tym, że twoje raporty błyskawicznie do mnie docierały, ponieważ z Baker Street były natychmiast przesyłane dalej do Coombe Tracey. Okazały się dla mnie niezwykle pomocne, a szczególnie ten, w którym przypadkiem znalazł się prawdziwy fragment biografii Stapletona. Dzięki temu byłem w stanie ustalić jego tożsamość i nareszcie wiedziałem, na czym stoję. Sprawa skomplikowała się w znacznym stopniu przez ten incydent ze zbiegłym więźniem i relacje pomiędzy nim a państwem Barrymore. To także bardzo skutecznie wyjaśniłeś, choć ja sam również doszedłem do podobnych wniosków dzięki własnym obserwacjom.

Do czasu gdy odkryłeś mnie na wrzosowisku, znałem już całą prawdę, nie miałem jednak dowodów, z którymi można by pójść do sądu. Nawet zamach Stapletona na życie sir Henry’ego tamtej nocy, gdy zamiast niego zginął ten nieszczęśnik z więzienia, nie pomógłby nam zbytnio w udowodnieniu Stapletonowi, że to on jest mordercą. Wydawało się, że nie mamy innego wyjścia, jak przyłapać go na gorącym uczynku. Aby tego dokonać, musieliśmy wykorzystać jako przynętę sir Henry’ego, idącego samotnie i pozornie bezbronnego. Zrobiliśmy to, i kosztem poważnego szoku, jakiego doznał nasz klient, udało się zakończyć sprawę i spowodować, że Stapleton uciekł – na własną zgubę. Muszę przyznać, że

fakt, iż naraziliśmy na to wszystko sir Henry’ego, wynika z błędów, jakie popełniłem w prowadzeniu tej sprawy. Nie mogliśmy jednak przewidzieć, jakim straszliwym, paraliżującym zjawiskiem będzie ta bestia, ani tego, że nadciągnie mgła, przez którą ten potwór tak nas zaskoczy. Udało nam się zrealizować cel; na szczęście cena, jaką musieliśmy zapłacić, według specjalisty oraz doktora Mortimera nie jest zbyt wysoka – baronet wydobrzeje szybko. Prawdopodobnie długa podróż pomoże naszemu przyjacielowi uleczyć nie tylko wyczerpane nerwy, lecz także zranione uczucia. Pokochał tę kobietę głęboką i szczerą miłością. Dla niego najsmutniejszą częścią całej tej historii jest to, że go zwodziła.

Pozostaje nam tylko opisać rolę, jaką odgrywała w tym całym spisku pani Stapleton. Bez wątpienia jej mąż miał na nią ogromny wpływ, wynikający być może z miłości, a być może z lęku, a bardzo możliwe, że z obu tych rzeczy jednocześnie, ponieważ bynajmniej nie są to uczucia, które się nawzajem wykluczają. Tak czy inaczej, były one całkowicie skuteczne. Gdy jej tak nakazał, zgodziła się udawać jego siostrę, choć przekonał się, że jego wpływ ma swoje granice, kiedy spróbował uczynić z żony bezpośrednią wspólniczkę morderstwa. Była gotowa ostrzec sir Henry’ego i posunąć się najdalej jak mogła, nie obciążając przy tym swojego męża. I wielokrotnie próbowała to uczynić. Wygląda na to, że sam Stapleton był zdolny do odczuwania zazdrości i gdy zobaczył, jak baronet się do niej zaleca, nie był w stanie powstrzymać swojego wybuchu, który ujawnił ognistą naturę tego z pozoru doskonale panującego nad sobą człowieka, naturę do tej pory tak przebiegle ukrytą. Nie zapanował nad sobą mimo faktu, że taki rozwój wydarzeń był częścią jego własnego planu. Doprowadzając do powstania bliskiego związku pomiędzy nimi, upewnił się, że sir Henry będzie często przychodził do Merripit House, to zaś prędzej czy później dałoby mu okazję, na którą tak czekał. Jednak w dniu, w którym wszystko miało się zakończyć, jego żona nagle zwróciła się przeciwko niemu. Dowiedziała się czegoś o śmierci tego więźnia i wiedziała również, że tego wieczoru, kiedy sir Henry miał przyjść na obiad, Stapleton przyprowadził psa do budynku gospodarczego. Oskarżyła swego męża, że zamierza popełnić przestępstwo, i doszło do gwałtownej sceny, podczas której wyjawił jej po raz pierwszy, że nie jest jego jedyną miłością i że ma rywalkę. W jednej chwili jej wierność zmieniła się we wściekłą nienawiść, on zaś zrozumiał, że małżonka go zdradzi. Tak więc

związał ją, by nie miała szansy ostrzec sir Henry’ego, i bez wątpienia żywił nadzieję, że gdy wszyscy ludzie w okolicy zrzucą śmierć baroneta na karb rodzinnej klątwy, jak zresztą bez wątpienia by się stało, odzyska miłość swej żony. Liczył więc, że będzie milczała o całej sprawie. Sądzę, że w tym przypadku by się przeliczył, i nawet gdybyśmy się tam nie zjawili, los Stapletona byłby już przypieczętowany. Kobieta hiszpańskiej krwi nie wybacza takiej zniewagi. I to chyba wszystko, mój drogi Watsonie, co jestem w stanie przypomnieć sobie o tej ciekawej sprawie, nie sięgając do moich notatek. Nie sądzę, bym pominął jakiś istotny szczegół, którego sobie nie wyjaśniliśmy.

– Nie mógł chyba liczyć na to, że przerazi sir Henry’ego na śmierć dzięki swojemu potwornemu psu, tak jak mu się to udało w przypadku jego starego wuja?

– Bestia była dzika i na wpół zagłodzona. Nawet jeśli samo jej pojawienie się nie przeraziłoby ofiary na śmierć, na pewno by ją sparaliżowało tak, by nie potrafiła się bronić.

– Bez wątpienia. Pozostaje tylko jeden problem. Gdyby Stapleton rzeczywiście odziedziczył majątek, jak mógłby wyjaśnić fakt, że on, dziedzic, żył incognito pod innym nazwiskiem tak blisko posiadłości? Jak mógłby przejąć spadek, nie budząc podejrzeń i nie prowokując niewygodnych pytań?

– To bardzo poważny problem, i obawiam się, że prosisz o zbyt wiele, oczekując, że go rozwiążę. Domeną moich dochodzeń są przeszłość i teraźniejszość, trudno mi jednak odpowiedzieć na pytanie, co jakiś człowiek może zrobić w przyszłości. Pani Stapleton przy kilku okazjach słyszała, jak jej mąż o tym mówi. Miał trzy możliwe wyjścia. Mógł przejąć majątek z Ameryki Południowej, tam udowodnić swoją tożsamość przed brytyjskimi władzami i w ten sposób otrzymać fortunę, w ogóle nie przyjeżdżając do Anglii. Mógł także zapewnić sobie wyszukane przebranie na ten krótki czas, który musiałby spędzić w Londynie. Istnieje również możliwość, że podstawiłby jakiegoś wspólnika dysponującego wszystkimi dowodami i dokumentami. Podaliby go za dziedzica, a wówczas on zrzekłby się praw do majątku w zamian za część dochodu. Z tego, co o nim wiemy, nie możemy mieć żadnych wątpliwości, że znalazłby jakiś sposób, aby ten problem rozwiązać. A teraz, mój drogi Watsonie, mamy za sobą kilka tygodni intensywnej pracy, i wydaje mi się, że tego jednego wieczoru

możemy się skoncentrować na nieco przyjemniejszych czynnościach. Mam zarezerwowane miejsca w loży na „Hugenotów”. Słyszałeś braci Reszków? Czy w związku z tym mógłbym cię prosić, byś był gotowy do wyjścia za pół godziny, żebyśmy po drodze mogli jeszcze wpaść do Marciniego na jakąś małą kolację?

DOLINA STRACHU

Z angielskiego przełożyli: Anna Krochmal i Robert Kędzierski

Część pierwsza

Tragedia w Birlstone

Rozdział pierwszy

Ostrzeżenie

– Myślę, że… – powiedziałem.

– Pozwól, że to ja będę myślał – rzucił niecierpliwie Sherlock Holmes.

Sądzę, że należę do ludzi, którzy wyjątkowo długo potrafią cierpieć w milczeniu, niemniej muszę przyznać, że zirytowała mnie ta kąśliwa uwaga.

– Doprawdy, Holmesie – rzekłem oschle – czasami bywasz nie do wytrzymania.

Mój przyjaciel był jednak zbyt głęboko pogrążony we własnych myślach, by od razu zareagować na mój protest. Podparł głowę ręką, siedząc nad nietkniętym śniadaniem, i wpatrywał się w kartkę papieru, którą właśnie wyciągnął z koperty. Potem wziął pustą kopertę, uniósł ją do światła i bardzo starannie zbadał jej przednią stronę i skrzydełko.

– To pismo Porlocka – powiedział z namysłem. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości, choć widziałem je do tej pory tylko dwa razy. To francuskie „e” z osobliwym zawijasem na górze jest bardzo charakterystyczne. Ale skoro to wiadomość od Porlocka, musi to być coś bardzo, ale to bardzo ważnego.

Mówił raczej do siebie niż do mnie, jednak jego słowa tak mnie zainteresowały, że cała moja irytacja nagłe zniknęła.

– A kto to taki, ten Porlock? – zapytałem.

– Porlock, Watsonie, to pseudonim. Po prostu znak rozpoznawczy. Za nim kryje się jednak bardzo pokrętna i ulotna osobowość. W swoim poprzednim liście szczerze przyznał, że nie jest to jego prawdziwe nazwisko, i rzucił mi wyzwanie, bym wyśledził go w tym wielomilionowym mieście. Porlock jest ważny, ale nie ze względu na niego samego, lecz na potężnego człowieka, z którym ma kontakt. Wyobraź sobie

rybę pilota przy rekinie albo szakala przy lwie; cokolwiek, co jest nieistotne w porównaniu z czymś, co jest naprawdę potężne. I to nie tylko potężne, Watsonie, ale wręcz złowrogie! W najwyższym stopniu złowrogie. I właśnie ta kwestia interesuje mnie najbarziej. Pamiętasz, jak opowiadałem o profesorze Moriartym?

– Tym słynnym naukowcu przestępcy, równie znanym wśród oszustów, co…?

– Zawstydzasz mnie, Watsonie – mruknął ironicznie Holmes.

– Właśnie miałem powiedzieć, że nie jest znany opinii publicznej.

– Trafiłeś! Trafiłeś w samo sedno! – zawołał Holmes. – Widzę, że zaczynasz mieć sarkastyczne poczucie humoru, przed którym dopiero muszę się nauczyć bronić. Nazywając jednak Moriarty'ego przestępcą, w świetle prawa go oczerniasz. I właśnie dlatego jest to takie zdumiewające i niesamowite. Największy intrygant wszech czasów, organizujący iście diabelskie sztuczki, mózg kontrolujący całe podziemie przestępcze, który mógłby decydować o losach całych narodów, taki jest właśnie nasz człowiek. A jednak cały czas pozostaje w cieniu! Jest do tego stopnia wolny od jakichkolwiek podejrzeń, tak odporny na wszelkie zarzuty i tak zręczny w swym postępowaniu, że za słowa, które właśnie wypowiedziałeś, mógłby spokojnie pozwać cię do sądu i dostać całą twoją roczną pensję tytułem odszkodowania za zniesławienie. Czyż nie jest słynnym autorem „Dynamiki asteroidy", książki wznoszącej się na takie wyżyny czystej matematycznej abstrakcji, że mówi się, iż nie ma człowieka, który byłby w stanie napisać jej recenzję dla prasy? Czy to jest człowiek, którego można znieważać? Jakiś lekarz o niewyparzonym języku i upokorzony profesor. Oto jakie byłyby wasze role. Na tym właśnie polega jego geniusz, Watsonie. Lecz jeśli oszczędzą mnie gorsi od niego, na pewno przyjdzie taki dzień, gdy nasze drogi się skrzyżują.

– Obym dożył tej chwili! – zawołałem z zapałem. – Ale mówiłeś o tym Porlocku.

– Ten tak zwany Porlock jest ogniwem w łańcuchu, które znajduje się bardzo blisko miejsca, gdzie ten łańcuch łączy się z czymś bardzo ważnym. Tak między nami, Porlock jest nie do końca solidnym elementem. Na tyle, na ile udało mi się to sprawdzić, stanowi jedyne słabe ogniwo w tym łańcuchu.

– A żaden łańcuch nie jest mocniejszy niż jego najsłabsze ogniwo…

– Dokładnie, mój drogi Watsonie! I to właśnie dlatego Porlock jest tak niezmiernie ważny. Wykorzystując jego wrodzone aspiracje i motywując go dziesięciofuntowym banknotem, który przesłałem mu okrężną drogą, uzyskałem kilka cennych informacji. Okazały się one tak bardzo istotne, że pozwoliły mi przewidzieć zbrodnię i jej zapobiec. Gdy uda nam się rozszyfrować tę wiadomość, przekonamy się, że jest to informacja takiego właśnie rodzaju. Nie mam żadnych wątpliwości.

Holmes ponownie rozłożył świstek papieru na stole obok talerza. Wstałem i, pochylając się nad jego ramieniem, ujrzałem dziwaczny tekst:

534 C2 13 127 36 31 4 17 21 41
DOUGLAS 109 293 5 37 BIRLSTONE
26 BIRLSTONE 9 47 171

– Co o tym sądzisz, Holmesie?

– Oczywiście, jest to próba przekazania tajnej informacji.

– Ale na cóż komu zaszyfrowana wiadomość bez klucza do szyfru?

– W tym przypadku chyba zupełnie na nic.

– Dlaczego mówisz „w tym przypadku”?

– Ponieważ istnieje wiele szyfrów, które odczytałbym równie łatwo jak alfabet Morse’a. Takie proste metody cieszą intelekt, ale ten szyfr jest inny. To najwyraźniej odniesienia do słów na konkretnej stronie jakiejś książki. Dopóki się nie dowiem, która to strona i jaka książka, jestem bezsilny.

– Ale dlaczego napisał „Douglas” i „Birlstone”?

– Z pewnością dlatego, że są to słowa, których nie było na tamtej stronie w książce.

– Więc dlaczego nie dał ci żadnych wskazówek, jaka to może być książka?

– Ależ Watsonie, twoja wrodzona przezorność i tak charakterystyczny dla ciebie spryt, będący obiektem podziwu twych przyjaciół, z całą pewnością nie dopuściłyby do tego, byś umieścił wiadomość oraz klucz do szyfru w tej samej kopercie. Gdyby twój list nie dotarł do właściwych rąk, byłoby już po tobie. Natomiast w sytuacji takiej jak ta twoje plany zostaną pokrzyżowane dopiero wówczas, jeśli zarówno wiadomość, jak i klucz, dostaną się w niepowołane ręce… Wkrótce zapewne dotrze do nas drugi

list, i będę zaskoczony, jeśli nie znajdą się w nim dalsze wyjaśnienia, lub, co bardziej prawdopodobne, książka, bez której trudno byłoby się obejść.

Przewidywania Holmesa sprawdziły się w ciągu kilku minut. W pokoju zjawił się Billy, chłopak na posyłki, przynosząc list, którego oczekiwaliśmy.

– To samo pismo – zauważył Holmes, otwierając kopertę. – I nawet się podpisał – dodał triumfalnie, rozkładając list. – No proszę, Watsonie, posuwamy się naprzód. – Gdy jednak rzucił okiem na treść, jego twarz spochmurniała. – Doprawdy, jestem bardzo rozczarowany! Obawiam się, Watsonie, że wszystkie nasze rozważania prowadziły donikąd. Mam nadzieję, że temu Porlockowi nie stanie się żadna krzywda.

Drogi Panie Holmes!

Nie mogę dalej działać w ten sposób. To zbyt niebezpieczne. On mnie podejrzewa. Widzę to. Przyszedł do mnie nieoczekiwanie po tym, jak zaadresowałem tę kopertę z zamiarem przesłania panu klucza do szyfru. Udało mi się to przed nim ukryć. Gdyby ją zobaczył, źle by się to dla mnie skończyło. Wyczytałem jednak ze sposobu, w jaki na mnie patrzył, że mnie podejrzewa. Proszę spalić tę zaszyfrowaną wiadomość, która teraz na nic się już panu nie przyda.

Fred Porlock

Holmes siedział przez pewien czas, mnąc list w palcach i z zachmurzoną miną wpatrując się w ogień na kominku.

– Z drugiej strony – odezwał się wreszcie – być może nic się za tym nie kryje. Nie można wykluczyć, że to tylko jego nieczyste sumienie podsunęło mu taką myśl. Zdając sobie sprawę z tego, że jest zdrajcą, mógł wyczytać oskarżenie w oczach tego drugiego.

– Ten drugi to, jak zakładam, profesor Moriarty?

– Nie inaczej! Gdy którykolwiek z nich mówi o „nim”, wiadomo, kogo ma na myśli. Jest tylko jeden najważniejszy „on”.

– Ale co może zrobić?

– Hm. To wielki znak zapytania. Gdy masz przeciwko sobie jeden z najlepszych mózgów w całej Europie, wspierany przez wszystkie ciemne moce, możliwości są nieskończone. Tak czy inaczej nasz przyjaciel Porlock najwyraźniej odchodzi od zmysłów z przerażenia. Porównaj, proszę, pismo, jakim napisano ten list, do tego na kopercie, bo, jak wspominał, adresował ją przed tą złowróżbną wizytą. Jedno jest stanowcze i wyraźne, drugie prawie nieczytelne.

– Ale dlaczego w ogóle to napisał? Dlaczego po prostu nie wyrzucił tej koperty?

– Bo obawiał się, że w takim przypadku będę się o niego dowiadywał, a to mogłoby sprowadzić na niego kłopoty.

– Oczywiście – przyznałem – masz rację. – Wziąłem oryginalną zaszyfrowaną wiadomość i pochyliłem się nad nią. – Można oszaleć na myśl, że tutaj, na tym świstku papieru, kryje się jakiś ważny sekret, lecz jego rozwiązanie wykracza poza ludzkie możliwości.

Sherlock Holmes odsunął od siebie śniadanie, którego nawet nie skosztował, i zapalił swą wstrętną fajkę, towarzyszącą mu zawsze, gdy pogrążał się w najgłębszych rozmyślaniach.

– Ciekawe! – powiedział, rozpierając się wygodnie w fotelu i patrząc w sufit. – Być może są pewne kwestie, które umknęły twemu makiawelicznemu umysłowi. Rozważmy ten problem z czysto zdroworozsądkowego punktu widzenia. Ten człowiek odwołuje się do jakiejś książki. To jest punkt wyjścia.

– Raczej nieco mglisty punkt wyjścia.

– Zobaczmy, czy uda nam się go sprecyzować. Jeśli się nad tym zastanowić, nie wydaje się to już takie niemożliwe. Jakie mamy wskazówki odnośnie do tej książki?

– Nie mamy żadnych.

– Cóż, aż tak źle nie jest. Zaszyfrowana wiadomość zaczyna się od dużej liczby 534. Możemy przyjąć roboczą hipotezę, że liczba ta oznacza numer strony, którą wykorzystano do utworzenia szyfru. Tak więc nasza książka stała się już GRUBĄ KSIĄŻKĄ, i z całą pewnością jest to jakiś krok naprzód. Jakie są jeszcze wskazówki co do rodzaju tej grubej książki? Mamy C2. Co o tym sądzisz, Watsonie?

– Prawdopodobnie rozdział drugi.

– Ależ bynajmniej! Zapewne zgodzisz się ze mną, że skoro podano już stronę, numer rozdziału jest zupełnie zbędny. Ponadto gdyby strona 534 znajdowała się dopiero w drugim rozdziale tej książki, rozdział pierwszy musiałby być naprawdę niesamowicie długi.

– Szpalta! – zawołałem.

– Świetnie, Watsonie! Dzisiejszego ranka jesteś doprawdy błyskotliwy. Jeśli to nie kolumna, to muszę się bardzo, ale to bardzo mylić. A więc teraz, jak widzisz, zaczynamy już sobie wyobrażać grubą książkę z drukiem

dwukolumnowym, przy czym każda z kolumn jest znacznej długości, ponieważ jedno ze słów w tym dokumencie to słowo 293. Czy dotarliśmy już do granic tego, co może nam podsunąć logiczne myślenie?

– Obawiam się, że tak.

– W takim razie z całą pewnością nie doceniasz siebie. Błyśnij jeszcze raz, mój drogi Watsonie, wytęż swój umysł. Gdyby to była rzadka książka, wysłałby mi ją. Jednak zamierzał mi przesłać jedynie wskazówkę w tej kopercie, nim pokrzyżowano mu plany. Pisze o tym w swoim liście. A to wydaje się wskazywać na fakt, że chodzi o książkę, z której zdobyciem nie powinienem mieć żadnych trudności. On sam ją posiada i uważa, że ja również ją mam. Krótko mówiąc, Watsonie, to musi być bardzo popularna książka.

– To, co mówisz, brzmi bardzo rozsądnie.

– Tak więc zawęziliśmy obszar naszych poszukiwań do grubej książki, drukowanej w dwóch łamach i powszechnie dostępnej.

– Biblia! – krzyknąłem triumfalnie.

– Dobrze, Watsonie, brawo! Lecz jeśli mogę zauważyć, nie dość dobrze. Nawet jeśli sądzisz, że ja posiadam Biblię, co mógłbym uznać za komplement, miałbym duże kłopoty, by wymienić jakiekolwiek dzieło, które trudniej byłoby znaleźć u któregoś ze wspólników Moriarty’ego. Poza tym istnieje tyle różnych wydań Pisma Świętego, że niełatwo byłoby założyć, iż dwa egzemplarze będą miały tę samą numerację stron. Najwyraźniej odsyła do jakiegoś określonego wydania powszechnie wykorzystywanej książki. Musiał być pewny, że strona 534 w jego książce będzie dokładnie taka sama jak w mojej.

– Ale istnieje bardzo niewiele książek, które spełniałyby taki warunek.

– W rzeczy samej. I to nas ratuje. Teraz poszukiwania zawęziły się do książek ze stałą numeracją stron, takich, które zwykle posiada każdy.

– Bradshaw!

– Z tym jest pewien problem, Watsonie. Słownictwo Bradshawa jest skąpe i zdawkowe, a co za tym idzie, ograniczone. Dobór słów nie nadawałby się raczej do przekazania konkretnych wiadomości. Możemy wyeliminować Bradshawa. Obawiam się, że słownika też nie możemy wziąć pod uwagę z tych samych powodów. Co nam więc pozostaje?

– Almanach!

– Wyśmienicie, Watsonie. Grubo się mylę, jeśli nie trafiłeś w samo sedno. Almanach! Zobaczmy, może chodzi o almanach Whitakera. Jest dość powszechnie używany. Ma wymaganą liczbę stron. Jest drukowany w dwóch łamach. Choć wcześ-niej słownictwo było dość skąpe, to o ile dobrze pamiętam, w ostatnim wydaniu opisy były dużo bogatsze. – Sięgnął po książkę leżącą na biurku. – Tu mamy stronę 534, drugi łam. Sporo tekstu, jak widzę, na temat handlu i zasobów w Indiach Brytyjskich. Notuj słowa, Watsonie! Trzynaste słowo to „Mahratta". Nie. Obawiam się, że to niezbyt pomyślny początek. Sto dwudzieste siódme słowo to „rząd"; tak, to przynajmniej ma jakiś sens, choć zupełnie nie dotyczy ani nas, ani profesora Moriarty'ego. Spróbujmy jeszcze raz. Co robi rząd Mahratty? Niestety! Kolejne słowo to „szczecina". Mój drogi Watsonie, na tym musimy poprzestać!

Powiedział to żartobliwym tonem, lecz jego zmarszczone krzaczaste brwi świadczyły o rozdrażnieniu i rozczarowaniu. Siedziałem, bezsilny i nieszczęśliwy, wpatrując się w ogień. Długie milczenie przerwał nagle okrzyk Holmesa, który rzucił się w stronę kredensu i po chwili wrócił, trzymając w ręku inny tom w żółtej okładce.

– Watsonie, płacimy cenę za to, że zawsze jesteśmy na bieżąco! – zawołał. – Zanadto wyprzedzamy nasze czasy, i właśnie nam się za to dostało. Dziś jest siódmy stycznia, zaczęliśmy korzystać z nowego almanachu. To bardziej niż prawdopodobne, że Porlock napisał swoją wiadomość, używając jako klucza zeszłorocznego wydania. Niewątpliwie powiedziałby nam o tym, gdyby kiedykolwiek napisał swój list z objaś-nieniami. A teraz zobaczmy, co znajdziemy na stronie 534. Słowo numer trzynaście to „istnieje", a brzmi już znacznie bardziej obiecująco. Słowo sto dwudzieste siódme to „pewne". „Istnieje pewne…" – oczy Holmesa płonęły z podniecenia, a jego chude nerwowe palce drżały, gdy liczył słowa – „… niebezpieczeństwo". Ha, ha! Doskonale. Zapisz to, Watsonie. „Istnieje pewne niebezpieczeństwo… może… nadejść… już wkrótce". Potem mamy nazwisko „Douglas". „…teraz… bogaty… wieś… w Birlstone… dwór… Birlstone… pewność… jest… istotna". No i proszę, Watsonie! Co sądzisz o czystej logice i jej owocach? Gdyby w sklepie spożywczym sprzedawali coś takiego jak wieniec laurowy, zaraz posłałbym po niego Billy'ego.

Wpatrywałem się w dziwną wiadomość, którą nabazgrałem na arkuszu papieru kancelaryjnego rozpostartego na kolanie, tak jak Holmes ją

odszyfrował.

– Cóż za dziwny i pokrętny sposób wyrażania się – powiedziałem.

– Wręcz przeciwnie. Wyjątkowo dobrze mu poszło – rzekł Holmes. – Gdy przeszukujesz pojedynczą kolumnę druku, pragnąc znaleźć słowa, którymi chcesz coś wyrazić, nie możesz przecież oczekiwać, że znajdziesz wszystko, czego potrzebujesz. W takim razie musisz trochę liczyć na inteligencję twojego adresata. Sens jest całkowicie jasny. Szykuje się jakaś brudna sprawa wymierzona przeciwko Douglasowi, kimkolwiek by on był, bogatemu, jak tu napisano, dżentelmenowi, mieszkającemu na wsi. Porlock jest pewien („pewność” było słowem, jakie mógł znaleźć do „pewny”) grożącego niebezpieczeństwa. Takie są rezultaty naszej pracy. To była bardzo solidna, dobrze wykonana analiza.

Holmes przejawiał osobistą radość prawdziwego artysty, który tworzy jakieś dzieło, choć bardzo rozpaczał, kiedy nie osiągało ono poziomu, do jakiego dążył. Wciąż jeszcze cieszył się swoim sukcesem, gdy Billy otworzył nagle drzwi i wprowadził do pokoju inspektora MacDonalda ze Scotland Yardu.

Dawno temu, pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy Alec MacDonald, któremu wówczas daleko było jeszcze do tej sławy, jaką cieszy się obecnie w całej Anglii, był młodym, lecz bardzo obiecującym policjantem; już wtedy wyróżnił się w kilku powierzonych mu sprawach. Jego wysoka, koścista sylwetka świadczyła o wyjątkowej sile fizycznej, a duża głowa i głęboko osadzone bystre oczy pod krzaczastymi brwiami stanowiły dobitnie o przenikliwości i inteligencji. Był dość milczącym, precyzyjnie działającym człowiekiem o srogim charakterze; mówił z ostrym akcentem z Aberdeen.

Już dwukrotnie w jego karierze Holmes pomógł mu odnieść sukces, choć jedyną nagrodą dla tego drugiego była czysta intelektualna radość powodowana rozwiązaniem zagadki. Wdzięczny Szkot darzył swego kolegę amatora ogromnym, szczerym szacunkiem i sympatią, okazując je zawsze, gdy radził się Holmesa w jakiejś trudnej sprawie. Miernota nie potrafi uznać nikogo lepszego od siebie, lecz człowiek utalentowany natychmiast rozpoznaje geniusza; MacDonald miał talent, ale rozumiał, że nie ma nic upokarzającego w tym, żeby poprosić o pomoc kogoś, kto był uznawany za najlepszego w Europie, i to zarówno pod względem zdolności, jak i doświadczenia. Holmes nie był skłonny do nawiązywania przyjaźni,

tolerował jednak tego wielkiego Szkota i teraz uśmiechnął się na jego widok.

– Ranny z pana ptaszek, panie Mac – powiedział. – Życzę szczęścia w polowaniu na pańskie robaczki. Obawiam się, że wizyta pana oznacza, iż coś się szykuje.

– Gdyby powiedział pan „mam nadzieję” zamiast „obawiam się”, byłoby to znacznie bliższe prawdy, panie Holmes – odparł inspektor z szerokim uśmiechem. – Przydałby mi się mały kielonek. Strasznie chłodno dziś rano. Nie, nie, dziękuję. Nie chcę palić. Nie zabawię długo, bo w każdej sprawie pierwsze godziny po dokonaniu przestępstwa są najcenniejsze. Zresztą chyba nikt nie wie tego lepiej niż pan. Ale… ale…

Inspektor zatrzymał się nagle, wpatrując się w kompletnym osłupieniu w kartkę papieru leżącą na stole. Była to ta sama kartka, na której nabazgrałem ową enigmatyczną wiadomość.

– Douglas! – wykrztusił z siebie. – Birlstone! Co to, panie Holmes? To jakieś czary! Skąd, u licha, udało się panu to wytrzasnąć?

– To zaszyfrowana wiadomość, którą doktorowi Watsonowi i mnie udało się właś-nie odczytać. Ale czemu pan pyta? Co jest nie tak z tym tekstem?

Oszołomiony inspektor spoglądał ze zdumieniem to na mnie, to na Holmesa.

– Tylko tyle – odparł wreszcie – że pan Douglas z dworu w Birlstone został w potworny sposób zamordowany ubiegłej nocy!

Rozdział drugi

Sherlock Holmes i Alec MacDonald

To był jeden z tych dramatycznych momentów, dla których mój przyjaciel żył. Przesadziłbym, mówiąc, że był zszokowany czy choćby podekscytowany tą zdumiewającą wiadomością. Wprawdzie w jego niezwykłej naturze nie było miejsca na okrucieństwo, ale bez wątpienia widział w swym życiu tyle, że pewne rzeczy już nie robiły na nim wrażenia, i choć emocje były uśpione, intelekt pozostał niezwykle aktywny. Jego twarz nie zdradziła więc przerażenia, które sam poczułem, słysząc to lakoniczne oświadczenie. Była raczej spokojna, opanowana i wyrażała wielkie zainteresowanie, niczym twarz chemika, który obserwuje dziwaczne gromadzenie się kryształów w przesyconym roztworze.

– Niezwykłe – powiedział. – Niezwykłe.

– Nie wygląda pan na zaskoczonego.

– Jestem zaciekawiony, panie Mac, ale bynajmniej nie zaskoczony. Czemuż miałbym być zaskoczony? Otrzymuję anonimową wiadomość z miejsca, o którym wiem, że jest ważne, ostrzegającą mnie, że pewnej osobie grozi niebezpieczeństwo. W ciągu godziny dowiaduję się, że to niebezpieczeństwo przybrało konkretną formę: rzeczona osoba nie żyje. Jestem zaciekawiony, lecz jak pan słusznie zauważył, niezbyt zaskoczony.

W kilku krótkich zdaniach przekazał inspektorowi fakty dotyczące listu i szyfru. MacDonald siedział, opierając podbródek o rękę, a jego potężne piaskowe jasne brwi nastroszyły się.

– Wybierałem się dziś rano do Birlstone – powiedział. – Przyszedłem spytać, czy zechciałby pan pojechać ze mną. Pan i pański przyjaciel. Jednak z tego, co pan mówi, wynika, że być może byłoby lepiej, byśmy zostali w Londynie.

– Nie sądzę – odparł Holmes.

– Pal to sześć, panie Holmes! – zawołał inspektor. – Za dzień czy dwa gazety będą się rozpisywały o tajemnicy z Birlstone, ale cóż to za tajemnica, skoro w Londynie jest człowiek, który przewidział tę zbrodnię, jeszcze zanim ją popełniono? Musimy tylko złapać tego człowieka, a cała reszta sama się ułoży.

– Bez wątpienia, panie Mac. Ale co pan proponuje? W jaki sposób mamy złapać tego Porlocka?

MacDonald odwrócił list, który dał mu Holmes.

– Nadano go w Camberwell, a to nam za bardzo nie ułatwia sprawy. Nazwisko jest, jak pan mówi, fałszywe. Chyba rzeczywiście nie mamy się tutaj za bardzo na czym oprzeć. Wspominał pan, że przesyłał mu jakieś pieniądze?

– Tak, dwukrotnie.

– A w jaki sposób i dokąd?

– W banknotach, do urzędu pocztowego w Camberwell.

– Pofatygował się pan kiedyś, by sprawdzić, kto je odebrał?

– Nie.

Inspektor wyglądał na zaskoczonego i odrobinę zszokowanego.

– Dlaczego nie?

– Bo zawsze dotrzymuję słowa. Gdy napisał do mnie po raz pierwszy, obiecałem mu, że nie będę próbował go wyśledzić.

– Myśli pan, że ktoś za nim stoi?

– Wiem to.

– Ten profesor, o którym pan wspominał?

– Właśnie on!

Inspektor MacDonald uśmiechnął się. Gdy zwrócił twarz w moją stronę, dostrzeg-łem, że lekko do mnie mrugnął.

– Nie będę tego przed panem ukrywał, panie Holmes, ale w wydziale spraw kryminalnych uważamy, że ma pan lekkiego bzika na punkcie tego profesora. Sam próbowałem się czegoś o nim dowiedzieć. Jest to wykształcony, utalentowany i bardzo szanowany człowiek.

– Cieszę się, że dotarło do pana chociaż tyle, że jest utalentowany.

– O rany! Trudno tego nie zauważyć. Gdy usłyszałem, co pan myśli na jego temat, postanowiłem się z nim spotkać. Pogawędziliśmy trochę o zaćmieniach. Nie wiem nawet, w jaki sposób rozmowa zeszła na takie tematy, ale wyciągnął latarkę i globus i w ciągu minuty wszystko mi

wyjaśnił. Pożyczył mi pewną książkę. Nie będę ukrywał, że jej zrozumienie trochę mnie przerastało, choć w Aberdeen otrzymałem dobre wykształcenie. Świetny byłby z niego minister z tą jego chudą twarzą, siwymi włosami i poważnym, uroczystym tonem prowadzenia rozmowy. A kiedy wychodziłem, położył mi rękę na ramieniu. To było tak, jakby błogosławił mnie ojciec przed wyjściem w ten zimny, okrutny świat.

Holmes roześmiał się i zatarł ręce.

– Wspaniale! – powiedział. – Wspaniale! A teraz niech mi pan powie jedną rzecz, mój przyjacielu. Ta przyjemna i poruszająca rozmowa odbyła się, jak przypuszczam, w gabinecie profesora?

– Nie inaczej.

– To piękny pokój, nieprawdaż?

– Bardzo piękny… doprawdy, bardzo ładnie urządzony, panie Holmes.

– Siedział pan naprzeciw niego, przy biurku?

– Dokładnie.

– Tak, że słońce świeciło panu w oczy, a jego twarz ukryta była w cieniu.

– Nie, był już wieczór, ale zwróciłem uwagę na to, że lampa była tak ustawiona, by świeciła mi w twarz.

– Wcale mnie to nie dziwi. A zauważył pan może przypadkiem obraz wiszący nad głową profesora?

– Niewiele szczegółów mi umyka, panie Holmes. Chyba nauczyłem się tego od pana. Tak, widziałem ten obraz. Młoda kobieta z głową opartą na dłoniach, patrząca z boku.

– To obraz Jeana Baptisty Greuze’a.

Inspektor z trudem udawał, że go to interesuje.

– Jean Baptiste Greuze – ciągnął dalej Holmes, stykając opuszki palców i opierając się wygodniej w fotelu – był francuskim artystą, który swój okres świetności przeżywał w latach 1750–1800. Chodzi mi oczywiście o jego karierę jako malarza. Współcześni krytycy jeszcze wzmocnili doskonałą opinię, jaką mieli o nim ludzie za jego czasów.

W oczach inspektora pojawiło się rozkojarzenie.

– Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy… – zaczął.

– Właśnie to robimy – przerwał mu Holmes. – Wszystko, o czym panu mówię, ma bardzo bezpośredni i istotny wpływ na to, co nazywa pan tajemnicą z Birlstone. Doprawdy, w pewnym sensie można by powiedzieć, iż jest to jej sednem.

MacDonald uśmiechnął się słabo i rzucił mi błagalne spojrzenie.

– Pana myśli biegną trochę za szybko dla mnie, panie Holmes. Przeskakuje pan po parę ogniw na raz, a ja nie potrafię za panem nadążyć. Jakiż, u licha, może być związek pomiędzy tym już nieżyjącym malarzem a sprawą z Birlstone?

– Detektywowi przydaje się każdy rodzaj wiedzy – zauważył Holmes. – Nawet fakt tak błahy jak ten, że w roku 1865 obraz Greuze'a zatytułowany „La jeune fille à l'agneau" został sprzedany na aukcji w Portalis za milion dwieście tysięcy franków, czyli ponad czterdzieści tysięcy funtów. Być może ta informacja skłoni pana do pewnych refleksji.

Najwyraźniej tak się właśnie stało. Inspektor wyglądał teraz na szczerze zainteresowanego.

– Może jeszcze panu przypomnę – ciągnął dalej Holmes – że wysokość pensji profesora można sprawdzić w paru wiarygodnych księgach. Wynosi siedemset funtów rocznie.

– W takim razie jak mógł kupić…

– No właśnie! Jak mógł?

– To rzeczywiście niezwykle – rzekł z namysłem inspektor. – Proszę mówić dalej, panie Holmes. Zaczyna mi się to coraz bardziej podobać.

Holmes się uśmiechnął. Szczery podziw zawsze sprawiał mu przyjemność, co było cechą prawdziwego artysty.

– A co z Birlstone? – spytał.

– Mamy jeszcze czas – odparł inspektor, zerkając na zegarek. – Dorożka czeka na nas przed domem. Dojedziemy na Victoria Station w niecałe dwadzieścia minut. Ale jeśli chodzi o ten obraz… Wydaje mi się, panie Holmes, że kiedyś pan wspominał, iż nie spotkał pan nigdy profesora Moriarty'ego.

– Tak, to prawda.

– W takim razie skąd pan wie, jak wygląda jego mieszkanie?

– Ach, to zupełnie inna sprawa. Byłem w jego mieszkaniu trzykrotnie. Dwa razy wstąpiłem do niego pod jakimiś pretekstami, poczekałem trochę i wyszedłem, zanim się zjawił. A raz… Cóż, niezręcznie mówić o tym oficjalnemu przedstawicielowi prawa. Wtedy pozwoliłem sobie na przejrzenie jego dokumentów, zresztą z wyjątkowo nieoczekiwanym skutkiem.

– Znalazł pan coś, co go obciąża?

– Absolutnie nic. To właśnie tak mnie zdumiało. I jeszcze ten obraz. Teraz rozumie pan, dlaczego o nim wspomniałem? Obraz świadczy o tym, że profesor Moriarty jest wyjątkowo zamożnym człowiekiem. A w jaki sposób mógł dorobić się takiego majątku? Nie jest żonaty. Jego młodszy brat pracuje jako zawiadowca stacji w zachodniej Anglii. Katedra na uczelni przynosi mu siedemset funtów rocznie. I ma Greuze'a!

– No i?

– Wnioski są oczywiste.

– Chodzi panu o to, że ma ogromne dochody, które uzyskuje w nielegalny sposób?

– Tak właśnie, chociaż, oczywiście, mam też inne powody, by tak sądzić. Dziesiątki nikłych tropów prowadzących w niejasny, zawoalowany sposób do samego środka tej pajęczej sieci, w której czai się owa zjadliwa nieruchoma istota. Wspomniałem o obrazie Greuze'a tylko dlatego, ponieważ było to coś, co pan sam mógł zobaczyć.

– Cóż, panie Holmes, muszę przyznać, że to, co pan mówi, jest ciekawe, a nawet więcej niż ciekawe. To po prostu niesamowite. Ale czy może pan powiedzieć coś bardziej konkretnego? Chodzi o fałszerstwa? Bicie fałszywych monet? Włamania? Skąd pochodzą jego pieniądze?

– Czytał pan kiedyś o Jonathanie Wildzie?

– Brzmi znajomo. To jakaś postać z powieści? Z reguły nie zawracam sobie głowy detektywami z książek, facetami, którzy dokonują różnych czynów, ale nigdy nie pokazują, w jaki sposób. To jedynie ciekawa fikcja, a nie prawdziwe życie.

– Jonathan Wild nie był detektywem i bynajmniej nie jest postacią z powieści. Był błyskotliwym przestępcą, który żył w połowie ubiegłego wieku, około roku 1750.

– W takim razie na nic mi się to nie przyda. Jestem praktycznym człowiekiem.

– Panie Mac, najpraktyczniejszą rzeczą, jaką mógłby pan w życiu zrobić, byłoby zamknąć się na trzy miesiące w jakimś zacisznym miejscu i przez dwanaście godzin dziennie czytać kroniki kryminalne. Wszystko kręci się wokół tego samego, nawet profesor Moriarty. Jonathan Wild był ukrytą potęgą londyńskich przestępców. Sprzedał im swój intelekt i swą organizację za piętnastoprocentową prowizję. To prastare koło ciągle się kręci, i teraz znów ta sama szprycha jest u góry. To wszystko już kiedyś

było i znów będzie. Powiem panu parę rzeczy na temat Moriarty’ego, które mogą pana zainteresować.

– O tak, bardzo proszę.

– Tak się składa, że wiem, kto jest pierwszym ogniwem w utworzonej przez niego organizacji, na której jednym końcu stoi jakiś samozwańczy Napoleon, a na drugim – setka spłukanych zabijaków, kieszonkowców, szantażystów, karcianych oszustów; środkową część łańcucha tworzą osobnicy zajmujący się każdym możliwym rodzajem przestępstw. Szefem sztabu profesora jest pułkownik Sebastian Moran, równie niedostępny i chroniony przed prawem jak sam Moriarty. Jak pan sądzi, ile mu płaci?

– Chętnie się dowiem.

– Sześć tysięcy rocznie. Płaci mu za myślenie według amerykańskiej zasady biznesowej. Dowiedziałem się o tym przez przypadek. To więcej niż zarabia premier. Da to panu pewne pojęcie o tym, jakie dochody ma Moriarty i na jaką skalę działa. Kolejna sprawa. Ostatnio postanowiłem prześledzić „drogę” niektórych ostatnich czeków Moriarty’ego. Takich zwykłych, niewinnych czeków, którymi opłaca swoje koszty utrzymania. Wystawiono je na sześć różnych banków. Robi to na panu wrażenie?

– Doprawdy, dziwna sprawa! Ale jakie pan z tego wyciągnął wnioski?

– Nie chce, by plotkowano o jego fortunie. Nie chce, by ktokolwiek się dowiedział o tym, ile posiada. Bez wątpienia ma ze dwadzieścia różnych kont bankowych. Lwia część jego majątku jest na pewno ulokowana za granicą, w Deutsche Bank albo w banku Credit Lyonnais. Gdy kiedyś będzie pan miał czas, niech pan przestudiuje życie profesora Moriarty’ego.

W miarę rozwijania wątku rozmowy inspektor McDonald był pod coraz większym wrażeniem. Pochłonęła go własna ciekawość. Teraz jednak praktyczny szkocki umysł przypomniał mu o bieżącej sprawie.

– Zapewne ma pan słuszność – powiedział. – Jednak swoimi interesującymi anegdotami sprowadza nas pan na boczne tory, panie Holmes. Na razie wiemy tylko, że istnieje pewien związek pomiędzy profesorem a przestępstwem popełnionym w Birlstone. Taki wniosek wyciągnął pan z ostrzeżenia, jakie dostał od tego całego Porlocka. Czy możemy powiedzieć o tej sprawie coś więcej?

– Możemy stworzyć koncepcję, co do motywów zbrodni. Z pańskich wstępnych uwag wnioskuję, że jest to niewytłumaczalne lub co najmniej niezrozumiałe morderstwo. Zakładając, że jego przyczyną było to,

co podejrzewamy, możemy mieć do czynienia z dwoma motywami. Moriarty rządzi tymi ludźmi żelazną ręką. Panuje wśród nich bardzo surowa dyscyplina. Jego kodeks uznaje tylko jedną karę, a jest nią śmierć. Możemy więc założyć, że ten zamordowany, Douglas, o którego nieuchronnym losie wiedział jeden z podwładnych naszego arcyprzestępcy, zdradził swojego szefa. Gdyby został za to ukarany, wszyscy ludzie Moriarty'ego wiedzieliby o tym. Poinformowałby ich o tym choćby po to, by drżeli o własne życie.

– To jedno wytłumaczenie, panie Holmes.

– Mogło zostać zaaranżowane przez Moriarty'ego w ramach jego zwykłych interesów. Czy doszło do rabunku? Taki byłby drugi motyw.

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Skoro tak, to by świadczyło przeciwko pierwszej hipotezie, a na korzyść tej drugiej. Moriarty mógł to zorganizować w zamian za obietnicę udziału w łupach lub też zapłacono mu za to z góry bardzo dużą kwotę. I jedno, i drugie jest możliwe. Jednak niezależnie od tego, co było motywem, a może chodzi tu o coś zupełnie innego, rozwiązania musimy szukać w Birlstone. Za dobrze znam naszego profesora, by zakładać, że pozostawił jakieś ślady, które mogłyby nas do niego doprowadzić.

– W takim razie musimy jechać do Birlstone! – zawołał MacDonald, zrywając się z krzesła. – Wielkie nieba! Jest później niż sądziłem. Mogę dać wam, panowie, najwyżej pięć minut na przygotowanie się do podróży.

– To nam wystarczy – odparł Holmes, zrywając się z fotela i szybkim krokiem udając się do pokoju, by wyskoczyć ze swego szlafroka. – Kiedy już będziemy w drodze, panie Mac, poproszę pana by z łaski swojej opowiedział wszystko, co wie o tej sprawie.

„Wszystko" okazało się, ku naszemu rozczarowaniu, bardzo skromne, choć z drugiej strony wystarczyło, by upewnić nas, że sprawa może być godna uwagi eksperta. Słuchając tych skąpych, lecz bardzo istotnych szczegółów, Holmes rozpogodził się i co chwilę zacierał swoje chude ręce. Po długich jałowych i nudnych tygodniach znalazł właśnie odpowiednie zajęcie dla swoich zdolności, które, tak jak wszystkie inne szczególne talenty, stają się nieznośne dla swego właściciela, kiedy nie może z nich korzystać. Ostry, niczym brzytwa, umysł Holmesa tępił się i rdzewiał od bezczynności.

Jego oczy błyszczały, blade policzki się zaróżowiły, a inteligentna twarz płonęła tym wewnętrznym światłem jak zawsze, gdy pojawiała się odpowiednia sprawa.

Siedząc w dorożce, pochylił się do przodu i w skupieniu wysłuchał krótkiej relacji MacDonalda ze sprawy, która czekała na nas w Sussex. Sam inspektor, jak nam wyjaśnił, nie znał jej okoliczności z pierwszej ręki. Opierał się na pobieżnym sprawozdaniu przesłanym mu pierwszym porannym pociągiem. White Mason, miejscowy policjant, był jego przyjacielem, i właśnie dlatego MacDonald został poinformowany o tym znacznie szybciej, niż zwykle miało to miejsce, gdy policjanci z prowincji potrzebowali pomocy Scotland Yardu. Ekspertów ze stolicy z reguły proszono o pomoc dopiero wtedy, gdy trop od dawna nie był już gorący.

Oto list od Masona, który odczytał nam MacDonald:

Drogi Inspektorze!

Oficjalną prośbę o pańską pomoc znajdzie pan w osobnej kopercie. Ten list ma charakter prywatny. Proszę przesłać mi telegram, którym z porannych pociągów przybędzie pan do Birlstone, a wówczas wyjdę po pana lub, jeśli będę zbyt zajęty, kogoś po pana wyślę. Ta sprawa mnie przerasta. Proszę nie zwlekać ani chwili z podjęciem działań. Jeśli uda się panu namówić do przyjazdu pana Holmesa, proszę to uczynić. Z pewnością znajdzie tu coś dla siebie. Można by sądzić, że cała ta scena została zaaranżowana dla uzyskania efektu teatralnego, tyle że centralną postacią jest nieboszczyk. To istna makabra. Twardy orzech do zgryzienia, słowo daję.

– Jak widzę, pański przyjaciel nie jest głupi – zauważył Holmes.

– Nie, sir. White Mason to bardzo bystry człowiek, oczywiście, na tyle, na ile jestem w stanie to ocenić.

– Ma pan coś jeszcze?

– Poda nam wszystkie szczegóły, kiedy się spotkamy.

– No to jak pan dotarł do tego Douglasa i do informacji, że został bestialsko zamordowany?

– Przeczytałem o tym w załączonym służbowym raporcie. Nie użyto w nim określenia „bestialsko”. Nie jest to oficjalny termin, nie używamy go. Wymieniono nazwisko Johna Douglasa, napisano, że odniósł obrażenia głowy wskutek wystrzału ze śrutówki. Napomknięto również, że alarm wszczęto wczoraj późną porą, tuż przed północą. Wnioskowano, że w sprawie tej bez wątpienia chodzi o morderstwo, choć nie dokonano

żadnych aresztowań, i że posiada ona pewne zdumiewające i niezwykłe cechy. To już absolutnie wszystko, co w tej chwili mamy, panie Holmes.

– W takim razie, za pańskim pozwoleniem, panie Mac, na razie na tym poprzestańmy. Pokusa, by formułować przedwczesne teorie na podstawie niewystarczających danych, jest w naszym zawodzie wyjątkowo zgubna. W tej chwili z całą pewnością dostrzegam tylko dwie rzeczy. Wielki umysł w Londynie i zamordowany w Sussex. Naszym zadaniem jest prześledzić cały ten łańcuch, który ich ze sobą łączy.

Rozdział trzeci

Tragedia w Birlstone

Teraz poproszę czytelników, by pozwolili mej skromnej osobie usunąć się w cień, abym mógł opisać wydarzenia, jakie miały miejsce, zanim przybyliśmy na miejsce zbrodni. Tylko w ten sposób mogę przybliżyć czytelnikowi sylwetki osób, zamieszanych w tę sprawę oraz dziwne okoliczności, w jakie wpleciono ich losy.

Wieś Birlstone to małe prastare skupisko ryglowych chat na północnej granicy hrabstwa Sussex. Przez całe stulecia osada ta pozostawała niezmieniona. Jednak w ciągu ostatnich kilku lat jej malowniczy wygląd i położenie przyciągnęły sporo zamożnych osób, których wille wznoszą się teraz wśród otaczających wieś lasów. Lokalni mieszkańcy twierdzą, że lasy te stanowią skraj wielkiej puszczy Weald, która, stając się coraz rzadsza, sięga łagodnych wapiennych wzgórz na północy. Pojawiło się też kilka niewielkich sklepików, by zaspokoić potrzeby licznej populacji. Wydaje się więc, że istnieje spora szansa na to, by Birlstone przemieniło się wkrótce z prastarej wioski w nowoczesne miasteczko. Osada jest ważnym punktem w tej części hrabstwa, ponieważ Tunbridge Wells, najbliższe ważne miasto, oddalone jest jakieś dziesięć czy dwanaście mil na wschód i znajduje się już w hrabstwie Kent.

Około pół mili od miasteczka, w starym parku, słynnym ze swych ogromnych buków, znajduje sie stara rezydencja Birlstone. Wiek niektórych fragmentów sięga czasów pierwszej krucjaty, kiedy to Hugo de Capus wzniósł warownię pośrodku posiadłości nadanej mu przez Wilhelma II Rudego. W 1543 roku warownia spłonęła, ale niektóre z jej osmalonych kamieni zostały wykorzystane w czasach jakobickich, kiedy to na ruinach feudalnego zamku wzniesiono wiejską rezydencję z cegły.

Niewielki dwór z licznymi witrażowymi oknami, zwieńczonymi ostrołukami, wyglądał w dużym stopniu tak, jak na początku siedemnastego wieku. Warownię o zdecydowanie militarnym charakterze strzegły wówczas dwie fosy. Obecnie zewnętrzna fosa spełniała rolę przydomowego ogródka warzywnego. Wewnętrzna natomiast o szerokości czterdziestu stóp, choć głęboka zaledwie na kilka stóp, nadal otaczała cały budynek. Zasilał ją niewielki strumyk, dzięki czemu woda w fosie, choć dość mętna, nigdy nie była brudna czy szkodliwa dla zdrowia. Okna na parterze znajdowały się na wysokości mniej więcej jednej stopy nad powierzchnią wody.

Do domu można było dotrzeć jedynie przez zwodzony most, którego pierwotne łańcuchy i kołowrót dawno już zardzewiały i popękały. Jednakże ostatni dzierżawcy posiadłości wszystko to naprawili z typową dla siebie energią, i teraz zwodzony most co wieczór podnosili, a każdego ranka opuszczali. Dzięki przywróceniu zwyczajów z dawnych feudalnych czasów rezydencja zamieniała się nocą w wyspę. Była to okoliczność mająca istotny wpływ na rozwiązanie zagadki, która wkrótce przykuła uwagę całej Anglii.

Gdy Douglasowie przejęli posiadłość, dom nie był zamieszkany już od kilku lat, i groziło mu popadnięcie w malowniczą ruinę. Rodzina Douglasów składała się tylko z dwóch osób: Johna i jego żony. Douglas był niezwykłym człowiekiem zarówno z wyglądu, jak i charakteru. Jeśli chodzi o wiek, to mógł mieć około pięćdziesiątki. Miał surową twarz, mocną szczękę, przyprószone siwizną wąsy i wyjątkowo bystre szare oczy. Był żylasty i pełen wigoru, a jego ciało nie straciło nic z siły i sprawności typowych dla młodych ludzi. Miły i serdeczny dla wszystkich, był jednak nieco bezceremonialny w obejściu, odnosiło się wrażenie, że w swoim życiu obracał się w warstwach społecznych o wiele niższych niż te, do których zaliczali się właściciele ziemscy z hrabstwa Sussex.

Sąsiedzi Douglasa mający więcej ogłady zachowywali się w stosunku do niego z pewną ciekawością i rezerwą, ale wśród wieśniaków wkrótce stał się ogromnie popularny. Hojnie łożył na wszelkie lokalne cele i często chodził na oficjalne spotkania mężczyzn czy inne imprezy, a że był obdarzony wyjątkowo pięknym tenorem, zawsze godził się podczas tych imprez zaśpiewać jakąś piękną pieśń. Powiadano, że ma bardzo dużo pieniędzy, które zdobył pracując na złotonośnych polach w Kalifornii,

a z tego, co mówił i co potwierdzała jego żona, wynikało niezbicie, że spędził część swego życia w Ameryce.

Dobre wrażenie wywołane jego szczodrością i demokratycznym podejściem wzmacniała dodatkowo reputacja, jaką zdobył sobie dzięki temu, że żadne niebezpieczeństwo nie robiło na nim najmniejszego wrażenia. Choć był kiepskim jeźdźcem, pojawiał się na każdych zawodach i, zdeterminowany, by dorównać najlepszym, przeżył najniebezpieczniejsze upadki. Odznaczył się również brawurową odwagą, gdy na plebanii wybuchł pożar, a on wbiegł do płonącego budynku, aby ratować mienie, choć miejscowa straż pożarna już z tego zrezygnowała, uważając to zadanie za niemożliwe. Tym właśnie sposobem John Douglas w ciągu pięciu lat zyskał sobie uznanie wśród mieszkańców Birlstone.

Jego żona również była popularna wśród tych, którzy mieli okazję ją poznać. Jednakże, jak to bywa wśród Anglików, niewielu ludzi odwiedzało obcych, którzy osiedlili się na wsi, jeśli przedtem nie zostali sobie oficjalnie przedstawieni. Dla pani Douglas nie miało to zresztą większego znaczenia, ponieważ jej czas pochłaniały przede wszystkim obowiązki domowe i odpowiadał jej spokojny tryb życia u boku męża. Sama była Angielką. Poznała pana Douglasa w Londynie, kiedy był już wdowcem. Piękna kobieta o śniadej skórze, wysoka i szczupła, była o jakieś dwadzieścia lat młodsza od męża. Wydawało się jednak, że ta różnica wieku w żaden sposób nie burzy ich szczęśliwego życia rodzinnego.

Niemniej jednak ludzie, którzy znali ich najlepiej, mówili czasem, że ta para chyba nie do końca sobie nawzajem ufała, ponieważ żona albo dosyć niechętnie mówiła o przeszłości swojego męża, albo, co wydawało się wielce prawdopodobne, nie była o niej do końca poinformowana. Bardziej spostrzegawczy zauważyli również i nie omieszkali wspomnieć o tym, że pani Douglas wykazywała pewne oznaki napięcia i zawsze, gdy powrót jej męża się opóźniał, była bardzo zaniepokojona. W spokojnej wiejskiej okolicy, gdzie wszystkie plotki cieszyły się powodzeniem, chętnie napomykano o tej słabości pani z dworu, a pamięć ludzka przejaskrawiła ten szczegół, gdy doszło do wydarzeń, wyolbrzymiając jego znaczenie.

Pod dachem domu Douglasów pomieszkiwał jeszcze jeden człowiek. Choć pojawiał się tam sporadycznie, to za sprawą swej obecności podczas tych dziwnych wydarzeń, o jakich za chwilę opowiem, stał się publicznie

znaną osobą. Człowiekiem tym był Cecil James Barker z Hales Lodge w Hampstead.

Wysoką, gibką sylwetkę Cecila Barkera dobrze znali na głównej ulicy Birlstone, ponieważ był częstym i mile widzianym gościem we dworze. Rzucał się w oczy tym bardziej, że był jedynym przyjacielem pana Douglasa z tych czasów, kiedy on mieszkał i pracował w Ameryce. Sam Barker, dość zamożny człowiek i, jak sądzono, kawaler, niewątpliwie był Anglikiem, jednak z jego wypowiedzi wyraźnie wynikało, że poznał Douglasa w Ameryce i że wówczas byli ze sobą dość blisko.

Jeśli chodzi o wiek, to na pewno był młodszy od Douglasa. Miał co najwyżej czterdzieści pięć lat, trzymał się prosto. Był wysokim mężczyzną o szerokim torsie, z gładko ogoloną twarzą zawodowego boksera, gęstymi krzaczastymi brwiami i władczymi ciemnymi oczyma. Tym swoim spojrzeniem mógłby utorować sobie drogę przez wrogi tłum nawet bez pomocy wyjątkowo zręcznych rąk. Nigdy nie jeździł konno, nie polował, spędzał za to całe dnie wędrując po okolicach starej wioski z fajką w ustach. Czasami wyjeżdżał gdzieś ze swym gospodarzem, a podczas nieobecności pana Douglasa towarzyszył pani domu, zwiedzając z nią piękną okolicę. „To miły dżentelmen, spokojny i szczodry – twierdził Ames, kamerdyner. – Ale, daję słowo, nie chciałbym wejść mu w drogę!”. Cecil Barker był w zażyłych stosunkach z Douglasem i zachowywał się równie życzliwie wobec jego żony. Miejscowi odnosili jednak wrażenie, że ta przyjaźń drażniła jej męża do tego stopnia, iż nawet służący dostrzegali, jak bardzo się denerwował. To właśnie pan Barker był tą trzecią osobą we dworze, gdy doszło do katastrofy.

Jeśli chodzi o pozostałych mieszkańców tego wielkiego starego domu, to należy powiedzieć o kamerdynerze, szanowanym i kompetentnym Amesie, oraz pani Allen, pogodnej kobiecie o dość obfitych kształtach, która przyjęła na siebie niektóre obowiązki pani domu. Pozostałych sześciu służących nie miało żadnego związku z wydarzeniami, do jakich doszło nocą szóstego stycznia.

Za piętnaście dwunasta w nocy zaalarmowano mały lokalny posterunek policji, którym dowodził sierżant Wilson. Cecil Barker, bardzo podekscytowany, podbiegł do drzwi i zaczął wściekle szarpać za dzwonek. Doszło do straszliwej tragedii: John Douglas został zamordowany! Taką właśnie wiadomość przekazał Barker, z trudem łapiąc oddech, po czym

pobiegł z powrotem do domu, a po kilku minutach w ślad za nim udał się sierżant policji, który przybył na miejsce zbrodni tuż po północy; zdążył przedtem zawiadomić władze hrabstwa, że stało się coś poważnego.

Dotarłszy do dworu, sierżant przekonał się, że most zwodzony jest opuszczony, w oknach pali się światło, a w całym domu panuje ogromne zamieszanie. Pobladli służący stłoczyli się w małą grupkę w holu, a przerażony kamerdyner, stojąc w przejściu, załamywał ręce. Wydawało się, że jedynym człowiekiem, który wciąż panował nad swoimi emocjami i całą sytuacją, był Cecil Barker. Otworzył drzwi znajdujące się najbliżej wejścia i poprosił sierżanta, by poszedł za nim. W tej samej chwili przybył miejscowy lekarz, energiczny i kompetentny doktor Wood. Trzej mężczyźni weszli razem do feralnego pokoju, a przerażony kamerdyner poszedł za nimi, zamykając za sobą drzwi, by oszczędzić pokojówkom straszliwego widoku.

Zamordowany leżał na plecach pośrodku pokoju z rozrzuconymi rękoma i nogami. Ubrany był w różowy szlafrok, założony na piżamę. Na bosych stopach miał pantofle. Lekarz uklęknął przy nim i oświetlił go lampą, która stała na stole. Wystarczyło jedno spojrzenie, by się przekonać, że pomoc lekarza na nic się tu nie przyda. Mężczyzna odniósł potworne rany. Na jego piersi leżała dziwna broń, była to śrutówka z lufą odpiłowaną mniej więcej w odległości stopy od spustu. Było oczywiste, że wystrzelono do niego z małej odległości: cały śrut trafił prosto w twarz, roztrzaskując głowę niemal na kawałki. Oba języki spustowe zostały połączone po to, by równoczesny wystrzał z obu luf spotęgował śmiercionośne działanie broni.

Wytrącony z równowagi miejscowy policjant był zmartwiony i przytłoczony odpowiedzialnością, która spadła na niego tak nagle.

– Niczego nie będziemy dotykać aż do przybycia moich zwierzchników – rzekł ściszonym głosem, wpatrując się z przerażeniem w potwornie okaleczoną głowę Douglasa.

– Nikt nieczego nie dotknął – rzekł Cecil Barker – ręczę za to. Zastałem wszystko dokładnie tak, jak panowie widzą.

– Kiedy to się stało? – spytał sierżant, wyciągając notes.

– Było wpół do dwunastej. Wciąż ubrany, siedziałem w swojej sypialni przy kominku, gdy usłyszałem stłumiony, niezbyt głośny huk. Zbiegłem na dół. Zajęło mi to trzydzieści sekund.

– Drzwi były otwarte?

– Tak, otwarte. Biedny Douglas leżał tak, jak teraz go widzicie. Na stole paliła się świeca. To ja później zapaliłem lampę.

– Nie widział pan nikogo?

– Nie. Usłyszałem tylko, jak pani Douglas schodzi po schodach, i wybiegłem z pokoju, by nie dopuścić do tego, aby ujrzała to, co ja przed chwilą zobaczyłem. Pani Allen, gospodyni, przyszła i zabrała ją ze sobą. Potem zjawił się Ames, i razem wróciliśmy do tego pokoju.

– Mówią, że zwodzony most jest na noc podnoszony.

– Tak. I był podniesiony, dopóki go nie opuściłem.

– W takim razie jak morderca mógł się wydostać z domu? Najprawdopodobnie pan Douglas popełnił samobójstwo.

– Na początku też tak pomyśleliśmy. Ale proszę spojrzeć! – Barker odsunął zasłonę i wskazał na wysokie witrażowe okno, otwarte na oścież. – I niech pan popatrzy na to! – Opuścił lampę i oświetlił smugę krwi na drewnianym parapecie, kształtem przypominającą zelówkę buta. – Ktoś tutaj stąpnął, kiedy wydostawał się na zewnątrz.

– Sądzi pan, że ten ktoś pokonał fosę w bród?

– Owszem!

– W takim razie, skoro był pan w pokoju w ciągu pół minuty po popełnieniu zbrodni, ten człowiek musiał wciąż jeszcze być w wodzie.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Boże, jak strasznie żałuję, że nie podbiegłem do okna! Było jednak zasłonięte, jak pan widzi, i nawet nie przyszło mi głowy, żeby wyjrzeć na zewnątrz. Potem usłyszałem kroki pani Douglas i nie mogłem dopuścić, by weszła do tego pokoju. To byłoby dla niej zbyt straszne.

– Rzeczywiście, to straszne! – rzekł lekarz, patrząc na strzaskaną głowę i ślady krwi wokół niej. – Nie widziałem takich obrażeń od wypadku kolejowego w Birlstone.

– Ale, ale – zauważył niezbyt lotny sierżant, któremu zdrowy chłopski rozum kazał nadal zastanawiać się nad otwartym oknem. – To wszystko bardzo pięknie, co pan mówi, że ten człowiek uciekł w bród przez fosę, ale ja chciałbym pana zapytać, jak on mógł w ogóle dostać się do tego domu? Przecież most był podniesiony!

– Tak. To dobre pytanie – rzekł Barker.

– O której go podniesiono?

– Około szóstej – odpowiedział kamerdyner Ames.

– Słyszałem – rzekł sierżant – że zazwyczaj most podnoszą tuż po zachodzie słońca, a o tej porze roku słońce zachodzi około wpół do piątej.

– Pani Douglas miała gości – odparł Ames. – Nie mogłem podnieść mostu, póki nie odjechali. Potem zrobiłem to osobiście.

– A więc wszystko sprowadza się do tego – rzekł sierżant – że jeśli ktoś przybył tu z zewnątrz, O ILE rzeczywiście tak było, to przeszedł przez opuszczony most jeszcze przed szóstą i ukrywał się do czasu, gdy pan Douglas wszedł do tego pokoju po jedenastej.

– Istotnie! Pan Douglas każdego wieczoru robił obchód domu, następnie sprawdzał, czy światła są wszędzie pogaszone. To właśnie go tu sprowadziło. Ten człowiek zaczaił się w tym pokoju i zastrzelił pana domu. Potem wydostał się stąd przez okno, porzucając broń. Tak to wszystko widzę, bo nic innego nie pasuje do faktów.

Sierżant podniósł kartkę leżącą na podłodze przy zmarłym. Nagryzmolono na niej atramentem „V.V.”, a poniżej liczba „341”.

– A to co? – spytał.

Barker przyjrzał się jej, zaciekawiony.

– Wcześniej tego nie zauważyłem – powiedział. – Zostawił ją chyba morderca.

– „V.V. 341”. Nic z tego nie rozumiem.

Sierżant obracał kartkę w swoich wielkich palcach.

– Co może znaczyć to „V.V.”? Czyjeś inicjały? Co pan tam ma, doktorze Wood?

Na dywaniku przed kominkiem leżał pokaźnych rozmiarów młotek. Solidny rzemieślniczy młotek. Cecil Barker wskazał na pudełko na gzymsie kominka. W pudełku były gwoździe z mosiężnymi główkami.

– Pan Douglas przewieszał wczoraj obrazy – rzekł. – Sam widziałem, jak stał tu na krześle i wieszał tamten duży obraz. To by wyjaśniało obecność młotka.

– Lepiej odłóżmy go z powrotem na dywanik, tam, gdzie go znaleźliśmy – odparł skonsternowany sierżant, drapiąc się po głowie. – Trzeba będzie najlepszych mózgów w całej policji, żeby dotrzeć do sedna sprawy. Chyba przekażą ją do Londynu. – Uniósł lampę i powolnym krokiem obszedł pokój. – Hola! – zawołał podniecony, odsuwając na bok zasłonę. – O której godzinie zaciągnięto te zasłony?

– Gdy zapalono lampy – odparł kamerdyner. – Tuż po czwartej.

– Ktoś się tutaj ukrywał. To pewne – opuścił lampę, wskazując na widoczne teraz wyraźnie ślady zabłoconych butów w kącie pokoju. – Muszę przyznać, że to potwierdza pańską teorię, panie Barker. Wygląda na to, że ten ktoś dostał się do domu po czwartej, gdy zaciągnięto zasłony, ale przed szóstą, kiedy podniesiono most. Wślizgnął się do tego pokoju, bo była to pierwsza kryjówka, jaką znalazł. Nie mógł się schować w żadnym innym miejscu, ukrył się więc za zasłoną. To wszystko wydaje się dość oczywiste. Możliwe, że planował włamać się do domu i coś ukraść, jednak przypadkiem natrafił na niego pan Douglas, więc złodziej zamordował go i uciekł.

– To jest jakieś wytłumaczenie – rzekł Barker – ale czy przypadkiem nie tracimy cennego czasu? Nie powinniśmy przeczesać całej okolicy, zanim morderca ucieknie?

Sierżant zastanawiał się przez chwilę.

– Aż do szóstej rano nie ma żadnych pociągów, więc i tak się stąd nie wydostanie. Jeśli pójdzie drogą, ktoś dostrzeże jego przemoczone buty, i istnieje spora szansa, że zwróci na siebie uwagę. Tak czy inaczej nie wolno mi opuścić tego miejsca, dopóki ktoś mnie nie zastąpi. Ale chyba żaden z was nie powinien nigdzie chodzić, dopóki nie będziemy wiedzieli, na czym stoimy.

Lekarz wziął lampę i skrupulatnie badał ciało.

– A co to za znak? – spytał. – Czy to może mieć jakiś związek ze zbrodnią?

Rękaw szlafroka był podwinięty, i prawe ramię ofiary było obnażone do łokcia. Mniej więcej w połowie przedramienia znajdował się dziwny brązowy znak, trójkąt wpisany w koło, jaskrawo odcinający się od bladej jak kreda skóry.

– To nie tatuaż – rzekł lekarz, zakładając okulary i uważnie mu się przyglądając. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Temu człowiekowi wypalono kiedyś znamię, tak jak znakuje się bydło. Co to może oznaczać?

– Nie wiem, jakie to może mieć znaczenie – odparł Cecil Barker. – W ciągu ostatnich dziesięciu lat wiele razy widziałem ten znak na ramieniu Douglasa.

– Ja też – wtrącił kamerdyner. – Zawsze, kiedy mój pan podwijał rękawy, widziałem ten znak. Często zastanawiałem się, co to jest.

– A więc, tak czy inaczej, nie ma to nic wspólnego z tą zbrodnią – rzekł sierżant. – Chociaż sprawa jest podejrzana. Wszystko w niej jest podejrzane. O co znowu chodzi?

Zaskoczony kamerdyner wydał z siebie okrzyk, wskazując na wyciągniętą rękę zmarłego.

– Zabrali mu obrączkę! – wykrztusił.

– Co takiego?

– Tak, zabrali ją. Pan zawsze nosił złotą obrączkę na małym palcu lewej ręki pod pierścionkiem ze złotego samorodka, a pierścień z wężem – na środkowym palcu. Oba pierścienie są, ale obrączka zniknęła.

– On ma rację – rzekł Barker.

– Chcecie mi, panowie, powiedzieć – odezwał się sierżant – że obrączka była PONIŻEJ złotego pierścionka?

– Zawsze!

– W takim razie morderca, kimkolwiek był, musiał najpierw zdjąć ten pierścionek, potem zabrać obrączkę, a następnie włożyć z powrotem na palec złoty pierścień!

– Tak to musiało być!

Poczciwy wiejski policjant potrząsnął głową.

– Coś mi się widzi, że im szybciej przekażemy tę sprawę do Londynu, tym lepiej – powiedział. – White Mason to bystry człowiek. Nie było jeszcze w tych okolicach sprawy, z którą by sobie nie poradził. Wkrótce tu się zjawi, by nam pomóc. Ale i tak, myślę, bez Londynu się nie obejdzie. W każdym razie nie wstydzę się powiedzieć, że jak na mój gust, wszystko to jest trochę zbyt skomplikowane.

Rozdział czwarty

Ciemność

O godzinie trzeciej w nocy szef policji hrabstwa Sussex przyjechał dwukółką ciągniętą przez zgonionego kłusaka. Wyruszył z komisariatu natychmiast, gdy dostał informację od sierżanta Wilsona z Birlstone. Pociągiem o piątej czterdzieści rano przesłał wiadomość do Scotland Yardu i o dwunastej wyszedł na stację w Birlstone, aby nas powitać. White Mason był spokojnym człowiekiem o miłym wyglądzie. Miał gładko ogoloną rumianą twarz, korpulentną sylwetkę i potężne, trochę krzywe nogi w getrach. Ubrany był w luźną tweedową marynarkę. Wyglądał na rolnika, leśniczego na emeryturze lub na kogokolwiek innego, ale z całą pewnością nie na policjanta z prowincji zajmującego się sprawami kryminalnymi.

– To twardy orzech do zgryzienia, panie MacDonald – powtarzał ciągle. – Gdy prasa się o tym dowie, zlecą się tu dziennikarze jak muchy do miodu. Mam nadzieję, że uporamy z naszą sprawą, zanim zaczną wścibiać swoje nosy, zacierając wszystkie ślady. Jak sięgam pamięcią, nie wydarzyło się tu niczego podobnego. Niektóre elementy tej sprawy bardzo pana zainteresują, jestem tego pewien. I pana również, doktorze Watson, bo zanim skończymy tę sprawę, lekarze będą mieli sporo do powiedzenia. Zarezerwowaliśmy panom pokój w Westville Arms. Nigdzie nie było wolnych pokoi, słyszałem jednak, że kwatery tam są porządne i czyste. Ten człowiek weźmie bagaże. Proszę tędy, panowie.

Detektyw z Sussex był bardzo energicznym i miłym człowiekiem. W ciągu dziesięciu minut byliśmy już w naszej kwaterze. Po kolejnych dziesięciu minutach siedzieliśmy w salonie w karczmie. Przedstawiono nam pokrótce ogólny zarys wydarzeń, tak jak streściłem je w poprzednim rozdziale. MacDonald notował coś od czasu do czasu, a Holmes siedział,

zasłuchany, z tak zaskoczonym i nabożnym wyrazem twarzy niczym botanik badający jakiś rzadki i cenny okaz.

– Niezwykłe – rzekł, kiedy opowieść dobiegła końca. – Wyjątkowo niezwykłe! Nie przypominam sobie chyba żadnej innej tak osobliwej sprawy.

– Spodziewałem się, że pan tak powie, panie Holmes – odparł z zachwytem White Mason. – Wygląda na to, że tu, w Sussex, orientujemy się dość dobrze w sprawach bieżących. Opowiedziałem panu, jak sprawy wyglądały w chwili, gdy przejąłem sprawę od sierżanta Wilsona między trzecią a czwartą rano. Dałem popalić tej starej kobyle! Ale jak się okazuje, niepotrzebnie się tak śpieszyłem, bo nie było nic, co mógłbym zrobić natychmiast. Sierżant Wilson zebrał wszystkie fakty. Sprawdziłem je, przemyślałem, dodałem parę własnych.

– Co to za fakty? – spytał z ożywieniem Holmes.

– Najpierw zbadałem ten młotek. Doktor Wood był przy mnie i mi pomagał. Nie znaleźliśmy na nim żadnych śladów świadczących o tym, że użyto go jako broni. Miałem nadzieję, że pan Douglas bronił się tym młotkiem, a to by oznaczało, że mógł zostawić jakiś ślad na ciele mordercy, nim sam padł martwy. Nie znaleźliśmy jednak żadnej plamy.

– To oczywiście o niczym nie świadczy – zauważył inspektor MacDonald. – Wiele już razy zamordowano kogoś młotkiem, na którym nie pozostał żaden ślad.

– W istocie. To wcale nie oznacza, że nie użyto tego młotka. Mogły jednak być na nim jakieś plamy, co byłoby już jakąś wskazówką. Niemniej żadnych nie odkryliśmy. Potem zbadałem broń. Naboje wypełnione były grubym śrutem, i, jak zauważył sierżant Wilson, oba języki spustowe były połączone, tak więc w chwili, gdy pociągnięto za jeden spust, nastąpił wystrzał z obu luf. Niezależnie od tego, kto to zrobił, musiał być zdeterminowany i nie chciał podejmować żadnego ryzyka, że jego ofiara przeżyje. Ta śrutówka z odpiłowaną lufą miała nie więcej niż dwie stopy. Można ją było z łatwością ukryć pod płaszczem. Nie mamy pełnej nazwy producenta, ale we wgłębieniu pomiędzy lufami widoczne są litery Pen. Reszta nazwy musiała zostać na odpiłowanej części.

– Wielka litera „P” z zawijasem powyżej oraz małe „e” i „n”? – spytał Holmes.

– Dokładnie.

– Pennsylvania Small Arms Company. Znana firma amerykańska – stwierdził Holmes.

White Mason patrzył w osłupieniu na mojego przyjaciela, niczym wiejski lekarz podziwiający specjalistę z Harley Street, mogącego jednym słowem rozwiać trapiące go wątpliwości.

– To bardzo pomocne, panie Holmes. Bez wątpienia ma pan rację. Wspaniale! Wspaniale! Zna pan na pamięć nazwy wszystkich producentów broni na świecie?

Holmes zbył to pytanie machnięciem ręki.

– Jest to na pewno amerykańska strzelba – ciągnął dalej White Mason. – Chyba gdzieś czytałem, że śrutówki z odpiłowaną lufą używa się w niektórych rejonach Stanów Zjednoczonych. Przyszło mi to do głowy nawet bez tej nazwy na lufie. Mamy więc pewne dowody, że człowiek, który wdarł się do domu i zabił gospodarza, był Amerykaninem.

MacDonald potrząsnął głową.

– Nie jest to takie oczywiste – powiedział. – Jak do tej pory w ogóle nie mamy żadnych dowodów świadczących o tym, że do domu w ogóle wszedł ktoś obcy.

– Otwarte okno, krew na parapecie, kartka z dziwnym zapisem, ślady butów w kącie i broń!

– Nie ma wśród tych rzeczy niczego, czego nie można byłoby zaaranżować. Pan Douglas był Amerykaninem, a przynajmniej przez długi czas mieszkał w Ameryce. Podobnie zresztą pan Barker. Nie widzę tu potrzeby importowania jakiegoś nowego Amerykanina, by wyjaśnić to, co się stało.

– Ames, kamerdyner…

– Co z nim? Jest godny zaufania?

– Dziesięć lat z sir Charlesem Chandosem. Solidny jak skała. Pracuje u Douglasa już pięć lat, od czasu, gdy ten przejął dwór. Nigdy nie widział w tym domu takiej broni.

– Przerobiono ją tak, by łatwo było ukryć. Właśnie po to odpiłowano lufy. Zmieściłaby się w pudełku kartonowym. Jak może być pewny, że w domu nie było tej broni?

– W każdym razie nigdy jej nie widział.

Uparty Szkot potrząsnął głową.

– Nie jestem przekonany, czy do tego domu w ogóle wszedł ktoś z zewnątrz – rzekł. – Proszę, weźcie panowie pod uwagę – jego akcent z Aberdeen stawał się jeszcze silniejszy, gdy pogrążał się w rozważaniach – weźcie pod uwagę, co by to oznaczało, gdybyśmy założyli, że ta broń została wniesiona do domu i wszystkie te dziwne rzeczy zostały dokonane przez kogoś obcego. No nie, to wprost nie do pomyślenia. To przeczy zdrowemu rozsądkowi. Ale pozostawię to panu, panie Holmes. Niech pan osądzi na podstawie tego, co usłyszeliśmy.

– No cóż, proszę mi powiedzieć, jak pan to widzi, panie Mac – rzekł Holmes swym rzeczowym tonem.

– Ten człowiek, jeżeli w ogóle kiedykolwiek istniał, nie jest włamywaczem. Obrączka i kartka wskazują na morderstwo z premedytacją z jakichś osobistych powodów. Dobrze, dobrze… Mamy człowieka, który wkrada się do domu z zamiarem popełnienia morderstwa. Z całą pewnością człowiek ten wie, że będzie miał problemy w czasie ucieczki, bo dom jest otoczony fosą. Jaką broń by wybrał? Moim zdaniem, najcichszą na świecie. Wtedy mógłby mieć nadzieję, że kiedy zabije ofiarę, uda mu się szybko wyślizgnąć przez okno, przejść fosę w bród i spokojnie się oddalić. To wydaje się jasne. Ale dlaczego wybrał najgłośniejszą broń na świecie, doskonale wiedząc o tym, że w jednej chwili ściągnie to na miejsce zdarzenia wszystkich domowników i że najprawdopodobniej ktoś go wypatrzy, nim przekroczy fosę? Czyż to nie jest niewiarygodne, panie Holmes?

– Pańskie argumenty wydają się mocne – odparł z namysłem mój przyjaciel. – Coś takiego na pewno trzeba by było bardzo solidnie uzasadnić. Proszę mi powiedzieć, panie Mason, czy zbadał pan od razu drugi brzeg fosy w poszukiwaniu jakichś śladów świadczących o tym, że ten człowiek wyszedł z wody?

– Nie było żadnych śladów, panie Holmes. Jednak jest tam skalny występ, i trudno byłoby oczekiwać, że pozostanie na nim jakiś ślad.

– Zupełnie nic?

– Nic.

– Ha! Miałby pan coś przeciwko temu, panie Mason, byśmy od razu udali się do tego domu? Być może znajdziemy jakiś drobny, ale bardzo znaczący szczegół.

– Właśnie miałem to zaproponować, panie Holmes, pomyślałem sobie jednak, że zanim się tam udamy, byłoby dobrze, gdyby poznał pan wszystkie fakty. Gdyby cokolwiek zwróciło pańską uwagę…

White Mason spojrzał z powątpiewaniem na amatora.

– Pracowałem już wcześniej z panem Holmesem – rzekł inspektor MacDonald. – Świetnie zna reguły gry.

– W każdym razie moje własne reguły gry – odparł z uśmiechem Holmes. – Angażuję się w sprawy, aby sprawiedliwości stało się zadość i by wspomóc policję w jej pracy. Jeśli kiedykolwiek odciąłem się od oficjalnych przedstawicieli prawa, to tylko dlatego, że oni najpierw odcięli się ode mnie. Nie pragnę przypisywać sobie ich kosztem żadnych zasług. Równocześnie, panie Mason, zastrzegam sobie prawo do pracy według własnych metod i przekazania panom jej rezultatów, kiedy uznam to za słuszne. I zrobię to raczej wówczas, gdy rozwiążę tę sprawę do końca, a nie na którymś z jej etapów.

– Zapewniam, że czujemy się zaszczyceni pańską obecnością i przekażemy panu wszystko, co wiemy – rzekł serdecznie White Mason. – Proszę z nami, doktorze Watson. Kiedy nadejdzie odpowiedni moment, liczymy na to, że wszyscy znajdziemy się w pańskiej książce.

Szliśmy uroczą, starą wiejską uliczką z rzędami ogłowionych wiązów po obu stronach. Na jej końcu wznosiły się dwa starodawne kamienne filary, zniszczone przez siły natury i upstrzone plamami porostów. Na ich szczycie stało coś bezkształtnego, co niegdyś przedstawiało stojącego lwa Capusa z Birlstone. Przeszliśmy krótki odcinek krętym podjazdem, który pokrywała tak gęsta trawa i rosły takie dęby, jakie ujrzeć można jedynie na angielskiej wsi. Za ostrym zakrętem zobaczyliśmy długi, niski dom w stylu jakobickim, wybudowany z ciemnoczerwonej, teraz już wyblakłej, cegły, i stary ogród z przyciętymi cisami po obu stronach. Gdy się do niego zbliżyliśmy, naszym oczom ukazał się drewniany most zwodzony i piękna, szeroka fosa, spokojna i lśniąca niczym rtęć w chłodnych zimowych promieniach słońca.

Stary dwór przetrwał trzy stulecia, pełne narodzin i powrotów do domu, wiejskich tańców i spotkań myśliwych polujących na lisy. Jakże dziwnym wydawało się, że teraz, gdy dom był już tak stary, ta mroczna sprawa miała rzucić cień na jego wiekowe ściany! A jednak te dziwne spiczaste dachy i staroświeckie zwieszające się okapy stanowiły odpowiednią scenerię dla

ponurej i strasznej intrygi. Gdy wpatrywałem się w głęboko osadzone okna i długi bury front budynku, otoczony fosą, odniosłem wrażenie, że tragedia ta chyba nie mogłaby się rozegrać w odpowiedniejszym miejscu.

– To tamto okno – rzekł White Mason. – Pierwsze na prawo od zwodzonego mostu. Jest otwarte, tak jak zastaliśmy je ubiegłej nocy.

– Jest dość wąskie. Trudno byłoby się przez nie przecisnąć.

– Nie był to tęgi człowiek. Wiemy o tym nawet bez pańskiej dedukcji, panie Holmes. Pan i ja dalibyśmy radę przez nie przejść.

Holmes podszedł do brzegu fosy i spojrzał na drugą stronę. Następnie zbadał kamienny ustęp i granicę ciągnącego się dalej trawnika.

– Dobrze się tam rozejrzałem, panie Holmes – rzekł White Mason. – Niczego tam nie ma, żadnego śladu świadczącego o tym, że ktoś tu wyszedł z wody. Ale dlaczego miałby zostawić jakiś ślad?

– Właśnie, dlaczego? Czy woda zawsze jest mętna?

– Mniej więcej tak, jak teraz. Strumyk nanosi glinę.

– Jak głęboka jest ta fosa?

– Około dwóch stóp przy brzegach, trzy stopy pośrodku.

– A więc możemy porzucić myśl, że ten człowiek mógł się utopić, gdy tędy przechodził.

– O tak. Nawet dziecku by się tu nic nie stało.

Przeszliśmy przez most. Drzwi otworzył nam staroświecko ubrany żylasty wychudzony człowiek, który okazał się kamerdynerem Amesem. Biedak wciąż był blady i roztrzęsiony po przeżytym szoku. Wiejski sierżant, wysoki i dość melancholijny mężczyzna, wciąż czuwał w feralnym pokoju. Lekarz już wyszedł.

– Coś nowego, sierżancie Wilson? – spytał White Mason.

– Nie, sir.

– A więc może pan iść do domu. Pewnie ma pan już dość. Jeśli będziemy pana potrzebowali, poślemy po niego później. Niech kamerdyner poczeka lepiej na zewnątrz. Proszę mu powiedzieć, by uprzedził pana Cecila Barkera, panią Douglas i gospodynię, że wkrótce będziemy chcieli z nimi porozmawiać. A teraz, panowie, chciałbym najpierw przedstawić moją opinię, potem będziecie mogli wysnuć własne wnioski.

Ten specjalista z prowincji zrobił na mnie duże wrażenie. Solidnie gromadził fakty i podchodził do sprawy chłodno i bardzo rzeczowo, co powinno zaprowadzić go dość daleko w jego karierze. Holmes słuchał

w skupieniu, nie okazując zniecierpliwienia, które aż nazbyt często budzili w nim oficjalni przedstawiciele prawa.

– To samobójstwo czy morderstwo? Oto nasze pierwsze pytanie, panowie. Gdyby to było samobójstwo, najpierw musielibyśmy uwierzyć, że ten człowiek najpierw zdjął i schował swą obrączkę, potem zszedł na dół ubrany w szlafrok, pozostawił ślady błota w kącie pokoju za zasłoną, by stworzyć pozory, że ktoś się tam na niego zaczaił, otworzył okno, poplamił krwią…

– To możemy z całą pewnością wykluczyć – przerwał MacDonald.

– I ja tak sądzę. Samobójstwo nie wchodzi w rachubę. W takim razie mamy do czynienia z morderstwem. Teraz musimy ustalić, czy popełnił je ktoś z zewnątrz, czy też któryś z domowników.

– Wysłuchajmy wszystkich argumentów.

– Obie wersje są dość skomplikowane, niemniej któraś z nich musi być prawdziwa. Załóżmy najpierw, że zbrodnia została popełniona przez jakiegoś człowieka (albo ludzi), mieszkającego w tym domu. Sprowadził tutaj Douglasa, gdy wszędzie panowała cisza, lecz nikt jeszcze nie spał. Potem zabił go najdziwniejszą i najbardziej hałaśliwą bronią na świecie, by wszyscy od razu usłyszeli, że coś się stało. Użył broni, której nigdy wcześniej w tym domu nikt nie widział. Nie wydaje się to zbyt dobrym początkiem.

– Nie. W istocie.

– Wszyscy są zgodni co do tego, że po tym, gdy rozległ się wystrzał, mogła minąć co najwyżej minuta, nim zbiegli się wszyscy domownicy. Nie tylko pan Cecil Barker, choć twierdzi, że był tu pierwszy, lecz również Ames i pozostali. Czy w tym czasie morderca zdołał pozostawić ślady w kącie pokoju, otworzyć okno, poplamić parapet krwią, zdjąć obrączkę z palca zmarłego i zrobić całą resztę? To niemożliwe!

– Bardzo szczegółowo pan to opisał – rzekł Holmes. – Jestem skłonny się z panem zgodzić.

– W takim razie musimy powrócić do wersji, że sprawcą był ktoś z zewnątrz. Wciąż jest dużo niewiadomych. Jednak nie mamy już do czynienia z czymś, co wydaje się zupełnie niemożliwe. Ten człowiek dostał się do domu między wpół do piątej a szóstą, czyli po zapadnięciu zmroku, ale przed podniesieniem mostu. W domu byli goście, i drzwi były otwarte, nic nie stało więc na przeszkodzie. Być może był zwyczajnym

włamywaczem, a może żywił jakąś osobistą urazę do pana Douglasa. Ponieważ ten ostatni spędził większą część życia w Ameryce, a śrutówka jest chyba amerykańska, możemy założyć, że teoria osobistej zemsty jest bardziej prawdopodobna. Wślizgnął się do tego pokoju, ponieważ było to pierwsze pomieszczenie, do jakiego trafił, i ukrył się za zasłoną. Pozostawał tam aż do czasu, gdy kilka minut po jedenastej pan Douglas wszedł do pokoju. To musiała być krótka rozmowa, o ile w ogóle do jakiejś doszło. Pani Douglas twierdzi, że upłynęło co najwyżej kilka minut od momentu, gdy mąż ją opuścił, do chwili, gdy usłyszała strzał.

– Wskazuje na to świeca – rzekł Holmes.

– Tak. To była nowa świeca, wypaliła się nie więcej niż na pół cala. Douglas postawił ją na stole, zanim został zaatakowany. W przeciwnym razie, upadając, upuściłby świecę. To świadczy o tym, że nie został zaatakowany w tej samej chwili, gdy wszedł do pokoju. Gdy pan Barker tam wbiegł, świeca wciąż się paliła, a lampa była zgaszona.

– To wszystko jest całkowicie jasne.

– Spróbujmy zrekonstruować przebieg wydarzeń mniej więcej w następujący sposób. Pan Douglas wchodzi do pokoju. Stawia świecę na stole. Zza zasłony wyłania się jakiś człowiek. Jest uzbrojony w śrutówkę. Żąda, by ten pierwszy oddał mu obrączkę, Bóg jeden wie dlaczego, ale tak to musiało właśnie być. Gdy Douglas oddał mu obrączkę, wtedy nieproszony gość z zimną krwią lub podczas szamotaniny (bo napadnięty mógł schwycić młotek, który znaleziono na dywaniku) zadał Douglasowi tę potworną ranę. Następnie upuścił broń i tę dziwaczną kartkę z napisem „V.V. 341”, cokolwiek by to oznaczało, a następnie uciekł przez okno, przeprawiając się przez fosę w tym samym czasie, gdy Cecil Barker odkrył, że popełniono zbrodnię. Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

– To bardzo ciekawe, ale mało przekonujące.

– Człowieku, to byłby kompletny absurd, gdyby nie to, że wszystko inne jest jeszcze większym nonsensem! – zawołał MacDonald. – Ktoś zabił tego człowieka, ale powinien był to zrobić w jakiś inny sposób! Dlaczego miałby pozwolić odciąć sobie drogę ucieczki? Czemu użył śrutówki, choć cisza była jego jedyną szansą, by spokojnie się oddalić? Bardzo proszę, panie Holmes, skoro twierdzi pan, że teoria White’a Masona jest nieprzekonująca, niech pan podsunie nam jakieś rozwiązanie.

Holmes siedział w milczeniu, przysłuchując się w ogromnym skupieniu tej dyskusji, uważając, by nie umknęło mu ani jedno słowo. Jego bystre oczy zerkały to w lewo, to w prawo, a czoło zmarszczyło się w zadumie.

– Chciałbym poznać jeszcze kilka faktów, nim sformułuję jakąś teorię, panie Mac – rzekł, przyklękając przy zwłokach. – Wielkie nieba, te rany są naprawdę przerażające. Możemy na chwilę poprosić kamerdynera? Ames, na pewno widział pan na przedramieniu pana Douglasa to dziwne znamię: wypalony trójkąt w kole?

– Wiele razy, sir.

– Nigdy nie słyszał pan żadnych rozmów o tym, co to może oznaczać?

– Nie, sir.

– To wypalanie musiało go potwornie boleć (znamię bez wątpienia zostało wypalone). Panie Ames, na podbródku Douglasa jest mały kawałek plastra. Miał już go wówczas, kiedy jeszcze żył?

– Tak, sir. Zaciął się wczoraj rano przy goleniu.

– Czy kiedykolwiek przedtem zacinał się przy goleniu?

– Od dawna nic takiego nie miało miejsca, sir.

– Tak, tak! – rzekł Holmes. – Oczywiście, może to być czysty zbieg okoliczności, lecz może również wskazywać na pewne zdenerwowanie. A to świadczyłoby o tym, że miał powody, by obawiać się jakiegoś niebezpieczeństwa. Ames, zauważył pan wczoraj coś niecodziennego w jego zachowaniu?

– Rzuciło mi się w oczy, że był trochę niespokojny i podekscytowany, sir.

– Ha! Możliwe, że atak nie był dla niego całkowitym zaskoczeniem. Wydaje mi się, że robimy pewne postępy, prawda, panowie? A może pan woli zadawać dalej pytania, panie Mac?

– Nie, panie Holmes. Sprawa znajduje się teraz w dobrych rękach.

– W takim razie porozmawiajmy o tej kartce. „V.V. 341.” Napisane na kawałku szarego kartonu. Czy macie coś takiego w domu?

– Nie sądzę.

Holmes podszedł do biurka i nakapał trochę atramentu z każdego kałamarza na bibułę.

– W tym pokoju tego nie napisali. W kałamarzu atrament jest czarny, a na kartce – fioletowy. Użyli grubego pióra, a tutaj wszystkie pióra są cienkie. Na pewno zrobili to gdzie indziej. Rozumie pan coś z tego napisu, Ames?

– Nie, sir. Zupełnie nic.

– A co pan o tym sądzi, panie Mac?

– Mam wrażenie, że chodzi o jakieś tajne stowarzyszenie. Podobnie jak z tym znamieniem na ręce.

– Mnie również się tak wydaje – rzekł White Mason.

– Cóż, możemy to przyjąć jako roboczą hipotezę i przekonać się, w jakim stopniu rozwieje to nasze wątpliwości. Agent takiego stowarzyszenia dostaje się do domu, czeka na pana Douglasa, niemal roztrzaskuje mu głowę strzałem z broni i ucieka w bród przez fosę, pozostawiwszy przy zwłokach kartkę. Wzmianka o znalezisku na pewno pojawi się w gazetach, w ten sposób członkowie stowarzyszenia dowiedzą się, że zemsta została dokonana. Wszystko pasuje niby do siebie, ale dlaczego spośród najróżniejszych typów broni wybrano właśnie tę?

– Jest to bardzo dziwne.

– I dlaczego zniknęła obrączka?

– Właśnie.

– I do tej pory nie aresztowano sprawcy? Jest już po drugiej. Zakładam, że od świtu każdy konstabl w promieniu czterdziestu mil szukał przemoczonego nieznajomego.

– Nie inaczej, panie Holmes.

– Jeśli nie miał gdzieś w pobliżu kryjówki lub nie zmienił ubrania, raczej trudno byłoby go przeoczyć. A jednak do tej pory go nie złapali! – Holmes podszedł do okna i przy pomocy swej lupy dokładnie zbadał plamę krwi na parapecie. – To wyraźny ślad buta. Jest wyjątkowo szeroki. Można powiedzieć, że ten człowiek ma płaskostopie. A to ciekawe, ponieważ buty, które pozostawiły ślady w pokoju, mają węższe podeszwy. Chociaż są bardzo niewyraźne. Co jest pod tym stolikiem?

– Hantle pana Douglasa – odparł Ames.

– Hantle? Widzę tylko jeden ciężarek. Co się stało z drugim?

– Nie wiem, panie Holmes. Może był tylko jeden. Nie widziałem ich od wielu miesięcy.

– Jeden ciężarek… – rzekł poważnie Holmes. Nagle jego wypowiedź przerwało ostre pukanie do drzwi.

Do pokoju zajrzał wysoki mężczyzna, opalony i gładko ogolony. Łatwo było odgadnąć, że to Cecil Barker, o którym już sporo słyszeliśmy. Władcze spojrzenie kierował z jednej twarzy na drugą.

– Przepraszam, że przerywam panom naradę – rzekł – ale powinniście usłyszeć najświeższe wieści.

– Aresztowano go?

– Nie. Nie mieliśmy aż tyle szczęścia. Ale odnaleziono jego rower. Zostawił go tutaj. Proszę, panowie, chodźcie ze mną i zobaczycie sami. To niecałe sto jardów od domu.

Na podjeździe stało kilku parobków i gapiów i przyglądało się rowerowi wyciągniętemu z kępy wiecznie zielonych krzewów, gdzie został ukryty. Był to dość zużyty Rudge-Whitworth, ochlapany i brudny jak po długiej podróży. Znaleziono przy nim futerał z kluczem rowerowym i oliwiarkę, jednak właściciel zniknął bez śladu.

– Gdyby rowery były numerowane i rejestrowane – rzekł inspektor – usprawniłoby to bardzo pracę policji. Musimy jednak być wdzięczni za to, co mamy. Skoro nie wiemy, dokąd poszedł, dowiemy się przynajmniej, skąd tu przybył. Ale, do licha, co się takiego wydarzyło, że ten człowiek porzucił swój rower? I jak się stąd bez niego wydostał? Wydaje mi się, że ani trochę nie wyjaśniliśmy tej sprawy, panie Holmes.

– Tak pan sądzi? – odparł z namysłem mój przyjaciel. – Cóż, zobaczymy!

Rozdział piąty

Osoby dramatu

– Czy panowie obejrzeli już wszystko w gabinecie? – spytał White Mason, gdy ponownie weszliśmy do domu.

– Na razie tak – rzekł inspektor, a Holmes kiwnął potakująco głową.

– W takim razie posłuchamy może, co domownicy mają do powiedzenia. Ames, moglibyśmy wykorzystać do tego celu jadalnię? Proszę, niech pan opowie nam jako pierwszy o wszystkim, co wie.

Relacja kamerdynera, prosta i przejrzysta, wydała nam się szczera i przekonująca. Został zatrudniony pięć lat temu, kiedy Douglas pojawił się w Birlstone. Zamożny dżentelmen, który, jak zakładał Ames, wzbogacił się w Ameryce, był dobrym i uprzejmym pracodawcą, może nie takim, do jakich kamerdyner przywykł, ale przecież, z drugiej strony, nie można mieć wszystkiego. Ames nigdy nie dostrzegł żadnych oznak świadczących o tym, że pan Douglas się czegoś obawiał. Wręcz przeciwnie, był jednym z najbardziej odważnych ludzi, jakich znał. Polecił każdego wieczoru podnosić most zwodzony, ponieważ taki był dawny zwyczaj tego starego domu, a on lubił pielęgnować stare tradycje.

Pan Douglas rzadko wyjeżdżał do Londynu, nieczęsto opuszczał nawet wioskę, jednak w dniu poprzedzającym zbrodnię pojechał na zakupy do Tunbridge Wells. Tego dnia Ames zauważył, że jego pan był trochę niespokojny i podekscytowany. Wydawał się zniecierpliwiony i rozdrażniony, co było u niego raczej niezwykłe. Tamtej nocy Ames był w spiżarni na tyłach domu, ustawiając na miejsce srebrną zastawę, gdy usłyszał gwałtowne dzwonienie. Nie słyszał strzału, zresztą nie było nawet takiej możliwości, ponieważ spiżarnię i pomieszczenia kuchenne, położone na tyłach domu, dzieliło od miejsca zbrodni kilkoro zamkniętych drzwi

i długi korytarz. Gospodyni, zaalarmowana tym nagłym dzwonkiem, wyszła ze swojego pokoju. Razem pobiegli do frontowej części domu.

Gdy dotarli do schodów, Ames zobaczył, że pani Douglas schodzi na dół. Nie, nie śpieszyła się; nie odniósł wrażenia, by była jakoś szczególnie wzburzona. Gdy już zeszła na dół, z gabinetu wybiegł pan Barker. Zatrzymał ją i błagał, by zawróciła.

– Na miłość boską, wracaj do swojego pokoju! – zawołał. – Biedny John nie żyje! Już nic nie możesz zrobić. Na miłość boską, wróć do siebie.

Po chwili takiego przekonywania pani Douglas poszła na górę. Nie krzyczała. W ogóle nie płakała ani nie protestowała. Pani Allen, gospodyni, zaprowadziła ją do sypialni i została tam razem z nią. Wtedy Ames i pan Barker wrócili do gabinetu, gdzie wszystko zastali dokładnie tak, jak później zobaczyli to policjanci. Świeca nie paliła się wówczas, płonęła jednak lampa. Wyjrzeli przez okno, ale noc była bardzo ciemna, niczego nie zobaczyli i nie usłyszeli. Następnie pobiegli do holu, gdzie Ames uruchomił kołowrót i opuścił zwodzony most, a pan Barker udał się na posterunek. Takie były w ogólnych zarysach zeznania kamerdynera.

Relacja gospodyni pani Allen potwierdziła w najdrobniejszych szczegółach słowa lokaja. Jej pokój mieści się bliżej frontu domu niż spiżarnia, w której pracował Ames. Chciała się już położyć, gdy nagle ciszę zakłócił głośny dźwięk dzwonka. Pani Allen ma niewielkie problemy ze słuchem, być może dlatego nie usłyszała wystrzału. Tak czy inaczej gabinet był dość daleko od jej pokoju. Przypomniała sobie, że słyszała jakiś dźwięk, który, jak sądziła, był odgłosem zatrzaskiwanych drzwi. Ale to wydarzyło się sporo wcześniej. Co najmniej pół godziny przed tym, nim usłyszała dzwonek. Pobiegła wraz z kamerdynerem. Ujrzała, jak pan Barker, bardzo blady i podenerwowany, wychodzi z gabinetu. Zatrzymał panią Douglas, która właśnie schodziła po schodach. Zaklinał ją, by zawróciła, potem ona coś mu odpowiedziała, lecz gospodyni nie dosłyszała jej słów.

– Proszę ją zabrać na górę! Niech pani z nią zostanie – powiedział do pani Allen.

Tak więc zaprowadziła ją do sypialni i starała się jakoś pocieszyć. Pani Douglas była bardzo zdenerwowana, cała drżała, nie próbowała jednak zejść na dół. Po prostu usiadła w szlafroku przy kominku i schowała twarz w dłoniach. Pani Allen została z nią przez większą część nocy. Pozostali

służący już wcześniej udali się na spoczynek i nie słyszeli alarmu; dowiedzieli się o wszystkim dopiero tuż przed przyjazdem policji. Spali na tyłach domu i raczej nie mogli niczego słyszeć.

Gdy gospodyni znalazła się w krzyżowym ogniu pytań, nie była w stanie dodać nic więcej prócz lamentów i wyrazów zdumienia.

Kolejnym świadkiem był Cecil Barker. Jeśli chodzi o wydarzenia ubiegłej nocy, miał bardzo niewiele do dodania prócz tego, co już powiedział policji. Osobiście był przekonany, że morderca uciekł przez okno. Jego zdaniem, świadczyła o tym jednoznacznie plama krwi na parapecie. Poza tym most zwodzony był podniesiony, nie było więc innej drogi ucieczki. Nie potrafił wyjaśnić, co się stało z zabójcą ani dlaczego nie zabrał swojego roweru, o ile rzeczywiście ten rower do niego należał. Nie mógł się utopić w fosie, której głębokość nigdzie nie przewyższała trzech stóp.

Pan Barker miał bardzo dokładną i sprecyzowaną teorię na temat popełnionego morderstwa. Douglas był bardzo powściągliwym człowiekiem, nigdy nie mówił o niektórych zdarzeniach ze swego życiu. Wyemigrował do Ameryki jako młody człowiek. Dobrze mu się tam powodziło. Poznali się w Kalifornii, gdzie jako wspólnicy kierowali rentowną kopalnia w Benito Canyon. Wiodło im się bardzo dobrze, jednak Douglas nagle sprzedał swoje udziały i wyjechał do Anglii. Wtedy był już wdowcem. Po jakimś czasie Barker spieniężył własne udziały i zamieszkał w Londynie. W ten sposób odnowili swą przyjaźń.

Barkerowi od dawna wydawało się, że nad głową Douglasa wisi jakieś niebezpieczeństwo. Zawsze uważał, że jego nagły wyjazd z Kalifornii, podobnie zresztą jak wynajęcie domu w takim zakątku Anglii, były powiązane z tym zagrożeniem. Domyślał się, że jakieś tajne stowarzyszenie, jakaś nieprzejednana organizacja, deptała Douglasowi po piętach, nie zamierzając spocząć, póki ten będzie żył. Doszedł do takiego wniosku na podstawie kilku uwag zmarłego. Douglas nigdy mu jednak nie zdradził, co to było za stowarzyszenie ani czym zasłużył sobie na jego zemstę. Mógł jedynie przypuszczać, że napis na kartce był w jakiś sposób związany z tą tajną organizacją.

– Jak długo znał pan Douglasa w Kalifornii? – spytał inspektor MacDonald.

– Jakieś pięć lat.

– Był kawalerem?

– Wdowcem.

– Słyszał pan może kiedyś, skąd pochodziła jego pierwsza żona?

– Nie, nie wiem, gdzie się urodziła, ale mówił, że z pochodzenia była Niemką. Widziałem jej portret. Niezwykle piękna kobieta, zmarła na tyfus rok przed tym, nim poznałem Douglasa.

– Nie łączy pan jego przeszłości z jakimś szczególnym miejscem w Ameryce?

– Wspominał o Chicago. Dobrze znał to miasto, bo kiedyś tam pracował. Mówił też o zagłębiach węglowych i kopalniach rud żelaza. W swoim czasie sporo podróżował.

– Był politykiem? Czy to tajne stowarzyszenie mogło mieć coś wspólnego z polityką?

– Nie. Polityka go nie interesowała.

– Nie miał powodów, by sądzić, że ta organizacja mogła mieć przestępczy charakter?

– Wręcz przeciwnie. Nie spotkałem porządniejszego człowieka.

– Czy zauważył pan coś niezwykłego w jego życiu w Kalifornii?

– Najbardziej lubił przebywać w naszej kopalni w górach, dużo pracował. Stronił od ludnych miejsc. To właśnie dlatego pomyślałem najpierw, że ktoś go ściga. Potem, gdy tak nagle wyjechał do Europy, byłem już tego pewien. Sądzę, że dostał jakieś ostrzeżenie. W ciągu tygodnia od jego wyjazdu dopytywało się o niego paru ludzi.

– Jacy to byli ludzie?

– Wyglądali na twardzieli. Przyjechali do kopalni i chcieli się dowiedzieć, gdzie przebywa. Powiedziałem im, że wyjechał do Europy i nie mam pojęcia, gdzie go szukać. Nie mieli wobec niego dobrych zamiarów. Łatwo to było zauważyć.

– Czy ci ludzie byli Amerykanami, Kalifornijczykami?

– Nie wiem, czy byli z Kalifornii, a na pewno Amerykanami. Tylko nie górnikami. Nie wiem, kim byli, ale bardzo się ucieszyłem, kiedy wreszcie sobie odjechali.

– To było sześć lat temu?

– Raczej siedem.

– Skoro byliście wspólnikami w Kalifornii przez pięć lat, to znaczy, że rozpoczęliście działalność co najmniej jedenaście lat temu?

– Dokładnie.

– Był to jakiś bardzo poważny zatarg, skoro usiłowano go wyśledzić przez tak długi czas. Przyczyną nie mogła być jakaś błaha sprawa.

– Sądzę, że to rzuciło cień na całe jego życie. Nigdy tak do końca o tym nie zapomniał.

– Ale skoro zdawał sobie sprawę, że wisi nad nim jakieś niebezpieczeństwo, i wiedział, co to za niebezpieczeństwo, nie sądzi pan, że zwróciłby się do policji o ochronę?

– Może to było jakieś niebezpieczeństwo, przed którym nie można się było uchronić. Jest jedna rzecz, o której powinniście, panowie, wiedzieć. Zawsze chodził uzbrojony, chociaż nigdy nie wyjmował rewolweru z kieszeni. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności ubiegłej nocy był w szlafroku, a rewolwer zostawił w sypialni. Myślę, że po podniesieniu mostu uznał, że jest bezpieczny.

– Chciałbym sprecyzować daty – rzekł MacDonald. – Minęło sześć lat, odkąd Douglas opuścił Kalifornię. Pan poszedł w jego ślady rok później, prawda?

– Zgadza się.

– Od pięciu lat pański przyjaciel był żonaty. Musiał pan wrócić do Anglii mniej więcej w tym czasie, kiedy on się żenił.

– Jakiś miesiąc wcześniej. Byłem jego drużbą.

– Znał pan panią Douglas przed jej ślubem?

– Nie. Od dziesięciu lat nie było mnie w Anglii.

– Jednak od tamtej pory dość często pan ją widywał?

Barker spojrzał surowo na detektywa.

– Często spotykałem się z NIM – odparł. – Jeśli widywałem i ją, to tylko dlatego, że nie można odwiedzić mężczyzny w jego domu, nie widząc się przy tym z jego żoną. Jeśli wyobraża pan sobie, że jest jakiś związek…

– Nic sobie nie wyobrażam, panie Barker. Mam obowiązek zapytać o wszystko, co może mieć jakiś wpływ na sprawę. Ale nie chciałem pana urazić.

– Niektóre z pańskich pytań są jednak obraźliwe – odparł gniewnie Barker.

– Chcemy jedynie poznać fakty. W pańskim interesie i w interesie innych leży, aby wszystko wyjaśnić. Czy pan Douglas całkowicie akceptował pańską przyjaźń z jego żoną?

Barker pobladł, a jego wielkie silne dłonie zacisnęły się konwulsyjnie.

– Nie ma pan prawa zadawać takich pytań! – zawołał. – Co to ma wspólnego ze sprawą, którą pan bada?!

– Muszę powtórzyć pytanie.

– Więc odmawiam odpowiedzi.

– Pańskie prawo, ale musi pan być świadom tego, że jego odmowa sama w sobie jest odpowiedzią, ponieważ nie robiłby pan tego, gdyby nie miał pan nic do ukrycia.

Barker stał przez chwilę z ponurą, zaciętą twarzą, a jego grube czarne brwi zmarszczyły się, gdy nad czymś intensywnie myślał. Potem uśmiechnął się i podniósł wzrok.

– Wiem, panowie, chcecie po prostu jak najlepiej wykonać swoje obowiązki, a ja nie mam prawa w tym przeszkadzać. Poproszę was tylko, byście nie zadręczali tym panią Douglas. Już i tak za dużo na nią spadło. Mogę panom powiedzieć tyle, że biedny Douglas miał tylko jedną wadę, a była nią zazdrość. Do mnie był ogromnie przywiązany. Żaden człowiek na świecie nie mógłby bardziej lubić swojego przyjaciela. I był oddany swojej żonie. Bardzo chciał, żebym tutaj przyjeżdżał, i nieustannie wysyłał mi zaproszenia. Jednak kiedy rozmawiałem z jego żoną lub wydawało mu się, że czujemy do siebie jakąkolwiek sympatię, nie krył swej zazdrości. Wtedy tracił panowanie nad sobą i wygadywał przedziwne rzeczy. Nieraz się zdarzyło, że nie chciałem tu przyjechać z tego właśnie powodu, ale wysyłał mi pełne skruchy listy i tak błagał, że po prostu musiałem ustępować. Powiem szczerze, panowie, tak, jakby to były ostatnie słowa w moim życiu. Żaden mężczyzna na świecie nie miał bardziej kochającej i wierniej żony… I zapewniam, że żaden przyjaciel nie mógłby być bardziej lojalny niż ja!

Powiedział to z ogromnym przekonaniem, lecz inspektor MacDonald jakoś nie mógł zakończyć tego tematu.

– Wie pan zapewne – rzekł – że z palca zmarłego zdjęto obrączkę?

– Na to wygląda – odparł Barker.

– Co pan ma na myśli, mówiąc „na to wygląda”? Przecież pan wie, że to fakt.

Mężczyzna wydawał się zdumiony i niezdecydowany.

– Chodzi mi o to, że nie można wykluczyć, iż zdjął ją sam.

– Ale czy fakt, że obrączka zniknęła, niezależnie od tego, kto ją zdjął, nie nasuwa na myśl, że to małżeństwo i ta tragedia mają ze sobą coś wspólnego?

Barker wzruszył swoimi szerokimi ramionami.

– Nie potrafię powiedzieć, co to oznacza – odparł – ale jeśli chce pan zasugerować, że to mogłoby w jakikolwiek sposób rzucić cień na cześć tej damy… – jego oczy na chwilę zapłonęły, lecz z wyraźnym wysiłkiem zapanował nad swoimi uczuciami – to podążacie niewłaściwym tropem, to wszystko.

– Na razie nie mam do pana więcej pytań – rzekł chłodno MacDonald.

– Jeszcze jedna drobna kwestia – wtrącił Sherlock Holmes. – Kiedy wszedł pan do tego pokoju, na stole paliła się tylko świeca?

– Tak, tak było.

– I to w jej świetle dostrzegł pan, że doszło do jakiejś strasznej tragedii?

– Oczywiście.

– Od razu zadzwonił pan po pomoc?

– Tak.

– I ta pomoc bardzo szybko przybyła?

– W ciągu jakiejś minuty.

– A jednak kiedy tu przybyli, odkryli, że świeca jest zgaszona, a pali się tylko lampa. To wydaje się dość niezwykłe.

Na twarzy Barkera znów pojawił się wyraz niezdecydowania.

– Nie sądzę, żeby to było takie niezwykłe, panie Holmes – odparł po chwili. – Świeca rzucała bardzo słabe światło. Moją pierwszą myślą było to, żeby ten pokój lepiej oświetlić. Na stole stała lampa, więc ją zapaliłem.

– I zdmuchnął pan świecę?

– Tak właśnie zrobiłem.

Holmes nie miał już też pytań. Barker rzucił nam, jak mi się wydawało, dość wyzywające spojrzenie, odwrócił się i wyszedł z pokoju.

Inspektor MacDonald wysłał na górę wiadomość, że będzie chciał porozmawiać z panią Douglas w jej pokoju, odpowiedziała jednak, że spotka się z nami na dole. Do jadalni weszła wysoka, piękna kobieta około trzydziestki, niezwykle powściągliwa i opanowana, zupełnie nie pasująca do obrazu tej tragicznej, pogrążonej w rozpaczy postaci, jaką sobie wyobrażałem. Choć jej twarz była blada i zmęczona, jak u kogoś, kto przeżył ogromny szok, zachowywała się spokojnie, a jej piękna kształtna

dłoń oparta na krawędzi stołu drżała nie bardziej niż moja. Jej smutne oczy spoglądały na nas po kolei w dziwnie pytający sposób.

– Dowiedzieliście się już czegoś?! – spytała.

Czy to wyobraźnia podpowiedziała mi, że w tym pytaniu pobrzmiewał raczej lęk niż nadzieja?

– Podjęliśmy wszelkie możliwe kroki, pani Douglas – rzekł inspektor. – Może się pani nie obawiać, niczego nie zaniedbamy.

– Nie szczędźcie pieniędzy – powiedziała martwym, obojętnym tonem. – Pragnę, by podjęto wszelkie możliwe starania.

– Może mogłaby nam pani powiedzieć coś, co rzuciłoby więcej światła na sprawę?

– Obawiam się, że nie. Ale odpowiem na wszystkie pytania.

– Dowiedzieliśmy się od pana Cecila Barkera, że nie widziała pani… że nie weszła pani do tego pokoju, gdzie wydarzyła się tragedia.

– Nie. Zatrzymał mnie na schodach. Błagał, żebym wróciła do siebie na górę.

– Właśnie. Usłyszała pani strzał i natychmiast zeszła na dół?

– Włożyłam szlafrok i potem zeszłam na dół.

– Jak długo po tym, gdy usłyszała pani strzał, pan Barker zatrzymał panią na schodach?

– To mogło być kilka minut. W takich chwilach człowiek traci poczucie czasu. Zaklinał mnie, żebym tam nie wchodziła. Zapewniał, że nic nie mogę zrobić. Potem pani Allen zaprowadziła mnie na górę. To wszystko było jak jakiś koszmarny sen.

– Czy może nam pani powiedzieć, jak długo pani mąż mógł być na dole, nim usłyszała pani strzał?

– Nie, nie potrafię. Nie słyszałam, jak wyszedł ze swojej garderoby. Co wieczór robił obchód domu, bo obawiał się pożaru. Z tego, co wiem, była to jedyna rzecz, jakiej się lękał.

– Pani Douglas, poznała pani męża w Anglii?

– Tak. Byliśmy małżeństwem od pięciu lat.

– Czy słyszała pani kiedyś, by wspominał o czymś, co wydarzyło się w Ameryce i mogło się wiązać z jakimś niebezpieczeństwem?

Pani Douglas poważnie się zastanowiła, nim udzieliła odpowiedzi.

– Tak – odparła wreszcie. – Zawsze czułam, że wisi nad nim jakieś niebezpieczeństwo. Nie chciał o tym ze mną rozmawiać. Nie dlatego, że mi

nie ufał, bo całkowicie sobie ufaliśmy i bardzo się kochaliśmy, lecz dlatego, że pragnął, bym niczym się nie zamartwiała. Sądził, że gdybym wiedziała o wszystkim, dręczyłoby mnie to, więc wolał milczeć.

– Jak się w takim razie pani dowiedziała, że coś mu zagraża?

Twarz pani Douglas na chwilę rozjaśnił uśmiech.

– Czyż mąż jest w stanie nosić w sercu przez całe życie jakiś sekret, tak by kobieta, która go kocha, niczego się nie domyśliła? Wiedziałam o tym, ponieważ nie chciał mówić o niektórych epizodach ze swojego życia w Ameryce. Wiedziałam, bo podejmował pewne środki ostrożności. Domyślałam się ze słów, jakie mu się niekiedy wyrywały, lub ze sposobu, w jaki przyglądał się nieznajomym. Nie miałam żadnych wątpliwości, że miał jakichś potężnych wrogów i był świadom tego, iż są na jego tropie. Zawsze miał się na baczności. Byłam tego pewna do tego stopnia, że przez wiele lat, gdy zjawiał się w domu później niż powinien, byłam kompletnie przerażona.

– Czy mogę spytać – wtrącił Holmes – jakie to słowa przykuły pani uwagę?

– „Dolina strachu” – odparła kobieta. – Takich słów użył, gdy go o to spytałam. „Byłem w Dolinie strachu. I jeszcze się z niej nie wydostałem” – brzmiała odpowiedź. „Czy nigdy nie wydostaniemy się z tej Doliny strachu?” – pytałam go, gdy był poważniejszy i smutniejszy niż zazwyczaj. „Czasami myślę, że nigdy” – odpowiadał.

– Na pewno pytała go pani, co to jest ta Dolina strachu?

– Tak, ale wtedy stawał się bardzo poważny i potrząsał głową: „Wystarczy, że jedno z nas żyje pod presją związanych z niej wspomnień. Niech Bóg broni, by kiedykolwiek spadło to na ciebie!”. To była jakaś prawdziwa dolina, w której kiedyś żył i gdzie przydarzyło mu się coś strasznego. Tego jestem pewna. Nie potrafię jednak powiedzieć niczego więcej.

– I nigdy nie wymieniał żadnych nazwisk?

– Owszem. Po wypadku na polowaniu trzy lata temu miał wysoką gorączkę i majaczył. Pamiętam, że wtedy nieustannie powtarzał jedno nazwisko. Wypowiadał je z gniewem i jakimś przerażeniem. Brzmiało ono McGinty. Mistrz McGinty. Gdy doszedł już do siebie, zapytałam go, kto to McGinty i czyim jest mistrzem. „Nie moim, dzięki Bogu” – odparł

ze śmiechem. I to było wszystko, co udało mi się z niego wydobyć. Istnieje jednak jakiś związek pomiędzy mistrzem McGinty’m a Doliną strachu.

– Chciałbym jeszcze o coś zapytać – rzekł inspektor MacDonald. – Poznała pani swego przyszłego męża w pensjonacie w Londynie i zaręczyła się z nim. Czy ze ślubem wiązały się jakieś romantyczne wydarzenia, coś tajemniczego lub ukrytego?

– Tak, to było romantyczne wydarzenie. One są zawsze romantyczne, ale nie było w tym nic tajemniczego.

– Nie było żadnego rywala?

– Nie. Byłam wolna.

– Słyszała pani zapewne, że mężowi zabrano obrączkę. Czy w związku z tym nasuwa się coś pani na myśl? Zakładając, że to jakiś dawny wróg odnalazł go i popełnił tę zbrodnię, jakie miałby powody, by zabierać mu tę obrączkę?

Mógłbym przysiąc, że na ustach kobiety pojawił się ledwo dostrzegalny cień uśmiechu.

– Naprawdę nie potrafię na to odpowiedzieć – odparła. – To z pewnością bardzo niezwykłe.

– Nie będziemy pani dłużej zatrzymywać. Przepraszamy, że musieliśmy panią fatygować w takiej chwili – rzekł inspektor. – Gdy będziemy mieli jeszcze jakieś pytania, wówczas poprosimy panią o chwilę rozmowy.

Pani Douglas wstała, i znów zdałem sobie sprawę z tego, że obrzuca nas szybkim pytającym spojrzeniem, jakby chciała się dowiedzieć: „Jakie wrażenie zrobiło na was to, co powiedziałam?”. Równie dobrze mogłaby zadać to pytanie na głos. Dygnęła lekko i wyszła z pokoju.

– Jest piękną kobietą. Wyjątkowo piękną – rzekł z namysłem MacDonald, gdy drzwi się za nią zamknęły. – Ten Barker na pewno długo tutaj przesiadywał. Jest mężczyzną, który może się podobać kobietom. Przyznaje, że zamordowany był zazdrosny i może sam wie najlepiej, co było tego przyczyną. No i zniknęła obrączka. Trudno jest pominąć ten fakt. Człowiek, który zdziera obrączkę z palca zmarłego… Co pan o tym sądzi, panie Holmes?

Mój przyjaciel siedział z głową opartą na rękach, całkowicie pogrążony w myślach. Teraz wstał i zadzwonił dzwonkiem.

– Ames – powiedział, gdy wszedł kamerdyner. – Gdzie jest teraz pan Cecil Barker?

– Zaraz sprawdzę, sir.

Powrócił po chwili, by oznajmić, że Barker jest w ogrodzie.

– Pamięta pan, Amesie, co miał na nogach pan Barker ubiegłej nocy, gdy przybiegł pan do gabinetu i go tam zastał?

– Tak, panie Holmes. Domowe pantofle. Przyniosłem mu buty, gdy wybierał się na posterunek.

– Gdzie są teraz te pantofle?

– Pod krzesłem w holu.

– Bardzo dobrze, Ames. To bardzo ważne, byśmy się dowiedzieli, które ślady należały do pana Barkera, a które pozostawił ktoś inny.

– Tak, sir. Mogę dodać, że te pantofle były poplamione krwią. Tak samo jak moje własne.

– To dość naturalne, biorąc pod uwagę, w jakim stanie był cały pokój. Bardzo dobrze, Amesie. Jeśli będziemy pana potrzebowali, damy znać dzwonkiem.

Kilka minut później byliśmy z powrotem w gabinecie. Holmes wziął ze sobą pantofle z holu. Jak zauważył Ames, obie podeszwy były ciemne od krwi.

– Dziwne – mruknął Sherlock, skrupulatnie je badając w padającym od okna świetle. – Doprawdy, bardzo dziwne!

Pochylając się tym swoim szybkim kocim ruchem, postawił pantofel na krwawym śladzie na parapecie. Ślad i podeszwa były identyczne. Uśmiechnął się w milczeniu do swych kolegów po fachu.

Inspektora ogarnęło podniecenie. Jego szkocki akcent zagrzechotał niczym kij przeciągany po balustradzie.

– O rany! – zawołał. – Nie ma cienia wątpliwości. Barker sam zostawił ten ślad na oknie. Jest sporo szerszy niż odcisk jakiegokolwiek buta! Mówił pan, że ten człowiek musiał mieć płaskostopie, no i oto mamy wyjaśnienie. Ale o co tu chodzi, panie Holmes… O co tu chodzi?

– Właśnie. O co chodzi? – powtórzył z namysłem mój przyjaciel.

White Mason roześmiał się cicho i zatarł z satysfakcją swoje pulchne dłonie.

– Mówiłem wam, że to twardy orzech do zgryzienia! – zawołał. – I to naprawdę twardy.

Rozdział szósty

Brzask

Trzech detektywów zajęło się omawianiem szczegółów dotyczących śledztwa, a ja zdecydowałem się powrócić do naszej skromnej kwatery w wiejskiej karczmie. Po drodze postanowiłem pospacerować po tym osobliwym staroświeckim ogrodzie przylegającym do domu. Otaczały go szeregi wiekowych cisów o dziwnych kształtach. Pośrodku znajdował się trawnik ze starym słonecznym zegarem. Całe to miejsce działało tak kojąco i uspokajająco, że ucieszyłem się na myśl, iż przywróci nieco spokoju moim zszarpanym nerwom.

W tej błogiej i cichej atmosferze można było zapomnieć o ponurym gabinecie z ciałem rozciągniętym na podłodze w kałuży krwi lub wyobrazić sobie, że wszystko to było tylko jakimś koszmarnym snem. A jednak gdy przechadzałem się po ogrodzie, próbując ukoić moją duszę łagodnym balsamem tego miejsca, doszło do dziwnego zdarzenia, które znów skierowało moje myśli ku tej tragedii i pozostawiło mroczny ślad w mojej głowie.

Wspominałem już, że ogród otaczały ozdobnie przycięte cisy. W miejscu najbardziej oddalonym od domu drzewa utworzyły bardzo gęsty żywopłot. Po jego drugiej stronie znajdowała się kamienna ławka, ukryta przed wzrokiem kogokolwiek, kto nadchodził tu od strony domu. Kiedy zbliżyłem się do tego miejsca, usłyszałem czyjeś głosy. Niski męski głos wypowiedział jakąś uwagę, na którą odpowiedzią był lekki kobiecy śmiech. Obszedłem skraj żywopłotu i ujrzałem panią Douglas i Barkera, zanim oni zobaczyli mnie. Byłem zszokowany, gdy ujrzałem panią Douglas. W jadalni była skromna i przygaszona. Teraz znikły wszelkie pozory smutku. Była rozradowana, jej oczy lśniły radością, a na twarzy wciąż malowało się rozbawienie po wypowiedzi rzuconej przez jej towarzysza. Pan Barker

siedział pochylony do przodu z założonymi rękoma, opierając łokcie na kolanach, a na jego zuchwałej przystojnej twarzy gościł uśmiech. W tej samej chwili dostrzegli moją obecność i znów przybrali poważne maski. Pośpiesznie zamienili kilka słów, po czym Barker wstał i podszedł do mnie.

– Przepraszam, sir – powiedział. – Czy mam przyjemność z doktorem Watsonem?

Skłoniłem się chłodno, co, ośmielę się powiedzieć, doskonale odzwierciedlało wrażenie, jakie wywarła na mnie ta scena.

– Tak właśnie myśleliśmy, bo jest pan bardzo znany jako przyjaciel pana Sherlocka Holmesa. Mógłby pan porozmawiać chwilę z panią Douglas?

Poszedłem za nim z ponurą miną. Oczyma duszy bardzo wyraźnie ujrzałem ciało z roztrzaskaną głową leżące na podłodze. I oto w kilka godzin po tragedii żona zabitego i najlepszy przyjaciel śmieją się za krzakiem w jego własnym ogrodzie. Z rezerwą przywitałem się z damą. W jadalni przeżywałem jej smutek razem z nią. Teraz odpowiedziałem obojętnym wzrokiem na jej błagalne spojrzenie.

– Boję się, że uzna mnie pan za gruboskórną i nieczułą – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

– To nie moja sprawa – odparłem.

– Może pewnego dnia oceni mnie pan sprawiedliwiej. Gdyby tylko zdawał pan sobie sprawę…

– Nie ma takiej potrzeby, by doktor Watson zdawał sobie z tego sprawę – rzekł szybko Barker. – Jak sam powiedział, to nie jego sprawa.

– Tak powiedziałem – odparłem. – A więc proszę mi wybaczyć, ale pragnę kontynuować mój spacer.

– Niech pan chwileczkę zaczeka, doktorze Watson – krzyknęła błagalnym tonem kobieta. – Chcę zadać panu pytanie, na które tylko pan potrafi odpowiedzieć, a to może być dla mnie bardzo ważne. Zna pan swego przyjaciela pana Sherlocka Holmesa i jego relacje z policją lepiej niż ktokolwiek inny. Zakładając, że przedstawiono mu poufnie jakąś sprawę, czy uzna za konieczne przekazać to policji?

– Tak, tak – podchwycił z zapałem Barker. – Pan Holmes działa samodzielnie czy współpracuje z przedstawicielami prawa?

– Nie sądzę, żebym był upoważniony rozmawiać o takich rzeczach.

– Błagam… Zaklinam pana, doktorze! Zapewniam, że bardzo by nam… mnie pan pomógł, gdyby udzielił jakiejkolwiek wskazówki.

W glosie kobiety brzmiała taka szczerość, że na chwilę zapomniałem o jej beztrosce i zapragnąłem spełnić jej życzenie.

– Pan Holmes jest niezależnym detektywem – powiedziałem. – Jest sam sobie panem i działa tak, jak podpowiada mu jego własne sumienie. Z drugiej strony jest lojalny wobec policjantów i nie zatai przed nimi niczego, co mogłoby im pomóc w prowadzonym śledztwie. Więcej niczego nie mogę powiedzieć. Jeśli zależy pani na dokładniejszych informacjach, proszę zwrócić się do samego Holmesa.

Wypowiedziawszy te słowa, uniosłem kapelusz i poszedłem swoją drogą, pozostawiając ich w kryjówce za żywopłotem. Gdy dotarłem do jego najdalszego krańca, obejrzałem się. Wciąż byli pogrążeni w poważnej rozmowie, a rzucane w moim kierunku spojrzenia zdradzały, że dyskutowali nad tym, co im powiedziałem.

– Nie życzę sobie, aby mi się zwierzali – rzekł Holmes, gdy opowiedziałem mu, co się wydarzyło. Spędził całe popołudnie we dworze ze swymi kolegami po fachu. Wrócił około piątej, głodny jak wilk, więc zamówiłem mu porządny posiłek. – Żadnych zwierzeń, Watsonie… Będzie wyjątkowo niezręcznie, gdy dojdzie do aresztowania za morderstwo z premedytacją.

– Myślisz, że do tego dojdzie?

Był w wyjątkowo radosnym i beztroskim humorze.

– Mój drogi Watsonie, kiedy skończę to czwarte jajko, przedstawię ci całą sytuację. Nie twierdzę, że do końca zgłębiliśmy tę sprawę, bo daleko nam do tego, ale gdy już znajdziemy ten brakujący ciężarek…

– Ciężarek?!

– Watsonie! Czy nie rozumiesz jeszcze, że cała ta sprawa kręci się wokół zaginionego ciężarka? No, nie martw się. Mówiąc między nami, nie sądzę, żeby inspektor Mac czy ten wspaniały miejscowy detektyw rozumieli, jak ogromne znaczenie ma zniknięcie tego jednego ciężarka! Jeden ciężarek! Wyobraź sobie atletę z jednym ciężarkiem. Pomyśl o ryzyku skrzywienia kręgosłupa. To szokujące, Watsonie, szokujące!

Siedział z ustami pełnymi jedzenia, a jego oczy błyszczały, gdy obserwował moje intelektualne katusze. Sam widok tego, z jakim apetytem pochłaniał swój posiłek, był dla mnie gwarancją sukcesu. Bardzo dobrze pamiętałem te dni i noce, jakie spędzał, nie myśląc nawet o jedzeniu, gdy jego umysł zmagał się z jakimś problemem, a szczupłe rysy wyostrzały się

jeszcze bardziej przy tej umysłowej koncentracji. W końcu zapalił fajkę i, usiadłszy w niszy kominka starej wiejskiej karczmy, zaczął powoli i chaotycznie opowiadać o sprawie, zachowując się raczej jak człowiek, który myśli na głos, niż ktoś, kto wygłasza przemyślaną opinię.

– Kłamstwo, Watsonie. Wielkie, kompletne, wierutne, absolutne kłamstwo. Z tym właśnie mamy do czynienia od samego początku! To nasz punkt wyjścia. Cała historia opowiedziana nam przez Barkera jest jednym wielkim kłamstwem. Jednak pani Douglas potwierdza jego historię, a to oznacza, że ona również kłamie. Oboje kłamią i współdziałają ze sobą. Tak więc teraz wyraźnie rysuje się przed nami problem. Dlaczego kłamią, i jaka jest prawda, którą tak bardzo usiłują ukryć? Spróbujmy, Watsonie, we dwóch. Czy uda nam się przejrzeć ich kłamstwa i odtworzyć fakty?

Skąd wiem, że kłamią? Bo to wszystko niezręczne wymysły, które po prostu nie mogą być prawdą. Zastanów się tylko! Według historii, jaką nam opowiedzieli, zabójca miał niecałą minutę od popełnienia morderstwa na zdjęcie z palca ofiary obrączki, która była poniżej innego pierścienia, ponowne założenie pierścienia (czyli coś, czego z pewnością nigdy by nie zrobił) i zostawienie tej dziwacznej kartki przy zwłokach. Uważam, że było to w oczywisty sposób niemożliwe. Możesz twierdzić, Watsonie, choć za bardzo szanuję twój trzeźwy osąd, by pomyśleć, że będziesz przy tym obstawał, iż pierścień został zdjęty z palca, zanim mężczyzna został zabity. Fakt, że świeca paliła się tylko przez krótką chwilę, wskazuje, iż nie doszło pomiędzy nimi do dłuższej rozmowy. Czy Douglas, o którego nieustraszoności tyle słyszeliśmy, oddałby tak szybko i bez sprzeciwu swoją obrączkę? I czy w ogóle możemy zakładać, że by ją oddał? Nie, nie, Watsonie. Zabójca był przez jakiś czas sam na sam ze zmarłym, a wtedy paliła się już lampa. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości.

Jednak najwyraźniej przyczyną zgonu był strzał ze śrutówki. A to oznacza, że musiał paść nieco wcześniej, niż nam się to wmawia. W tej kwestii jednak nie ma miejsca na pomyłkę. Mamy więc do czynienia ze świadomą współpracą tych dwojga ludzi, którzy słyszeli strzał: Barkera i żony Douglasa. Potrafię oprócz tego wykazać, że ten krwawy ślad na parapecie pozostawił Barker z rozmysłem, aby sprowadzić policję na fałszywy trop. Zgodzisz się ze mną zapewne, że kolejne fakty w tej sprawie coraz bardziej go obciążają.

Teraz musimy się zastanowić, o której godzinie faktycznie doszło do morderstwa. Do wpół do jedenastej po domu kręcili się służący, na pewno więc nie zostało popełnione wcześniej. Za piętnaście jedenasta wszyscy udali się do swoich pokoi z wyjątkiem Amesa, który był w spiżarni. Po tym, jak opuściłeś nas dzisiaj po południu, przeprowadziłem kilka eksperymentów. MacDonald narobił hałasu w gabinecie, a ja byłem wówczas w spiżarni i przekonałem się, że gdy wszystkie drzwi są pozamykane, rzeczywiście niczego nie słychać.

Jeśli chodzi o pokój gospodyni, sprawa wygląda inaczej. Nie jest położony aż tak daleko w korytarzu, i stamtąd można usłyszeć niewyraźne dźwięki, gdy ktoś prowadzi bardzo głośną rozmowę. Wystrzał ze śrutówki jest stłumiony, kiedy strzela się z bardzo bliskiej odległości, tak jak niewątpliwie miało to miejsce w naszym przypadku. Hałas nie mógł być zbyt głośny, jednak w nocnej ciszy można było bez problemu go usłyszeć w pokoju pani Allen. Gospodyni wspominała nam, że jest przygłucha, niemniej przyznała, że słyszała jakby trzaśnięcie drzwi pół godziny przed wszczęciem alarmu, czyli za piętnaście jedenasta… Nie mam wątpliwości, że był to właśnie strzał i w rzeczywistości to wtedy doszło do morderstwa.

Jeśli tak jest w istocie, to musimy teraz ustalić, co Barker i pani Douglas – zakładając, że to nie oni są mordercami – mogli robić od za piętnaście jedenasta, gdy odgłos wystrzału sprowadził ich na dół, do kwadrans po jedenastej, gdy dali sygnał dzwonkiem i przywołali służących. Co robili i dlaczego od razu nie wszczęli alarmu? Nad tym musimy się teraz zastanowić. A gdy już uda nam się znaleźć odpowiedź na to pytanie, z całą pewnością poczynimy postępy na drodze do rozwiązania naszej zagadki.

– Jestem przekonany, że tych dwoje działa w porozumieniu – powiedziałem. – Pani Douglas jest istotą bezduszną, skoro śmiała się z jakiegoś żartu zaledwie w kilka godzin po tak tragicznej śmierci jej męża.

– Masz rację. Nawet jej własna relacja o tym, co się wydarzyło, sprawiła bardzo niekorzystne wrażenie. Wiesz, Watsonie, że nie przepadam zbytnio za kobietami, ale nie spotkałem jeszcze takiej, która nie pobiegłaby do zwłok męża tylko dlatego, że powstrzymały ją czyjeś słowa. Gdybym kiedykolwiek się ożenił, Watsonie, to mam nadzieję, że wzbudzę w mojej żonie choć tyle uczucia, że nie pozwoli się odprowadzić do pokoju przez gospodynię, gdy moje ciało będzie leżało na podłodze kilka metrów od niej. Kiepsko to wyreżyserowali, bo nawet najgorszy śledczy musi zauważyć

brak kobiecych lamentów, tak normalnych w podobnych sytuacjach. Nawet gdyby w tej sprawie nie było żadnych innych wątpliwości, sam ten incydent nasunąłby mi na myśl jakiś zaplanowany spisek.

– A więc jesteś przekonany, że to Barker i pani Douglas są mordercami?

– Twoje pytania są przeraźliwie bezpośrednie, Watsonie – rzekł Holmes, wskazując na mnie swoją fajką. – Trafiają we mnie niczym kule. Jeślibyś mnie spytał o to, czy pani Douglas i Barker znają prawdę i współdziałają ze sobą, by ją ukryć, mógłbym z pełnym przekonaniem udzielić ci twierdzącej odpowiedzi. Jestem pewien, że tak. Ale jeśli chodzi o twój zarzut morderstwa, to sprawa nie jest już taka prosta. Zastanówmy się przez chwilę nad trudnościami, które stoją nam na drodze. Załóżmy, że tę parę połączyła grzeszna miłość i zapragnęli pozbyć się mężczyzny, który stał pomiędzy nimi. To dość ryzykowne założenie, bo moje dyskretne pytania kierowane do służących i innych ludzi w żaden sposób go nie potwierdziły. Wręcz przeciwnie, wiele przemawia za tym, że państwo Douglas byli do siebie bardzo przywiązani.

– Jestem pewien, że to nie może być prawdą – odparłem, wciąż mając świeżo w pamięci tę piękną uśmiechniętą twarz w ogrodzie.

– Cóż, przynajmniej sprawiali takie wrażenie. Załóżmy jednak, że Barker i pani Douglas stanowią niezwykle przebiegłą parę, której udało się wszystkich oszukać i uknuć spisek, by zamordować jej męża. Tak się składa, że nad panem Douglasem wisi jakieś niebezpieczeństwo.

– Na potwierdzenie tego mamy tylko ich słowa.

Holmes wyglądał na zamyślonego.

– Rozumiem, Watsonie. Przedstawiasz mi zarys teorii, według której wszystko, co mówią, od samego początku jest kłamstwem. Według ciebie nigdy nie było żadnego ukrytego zagrożenia, żadnego tajnego stowarzyszenia, Doliny strachu czy jakiegoś mistrza McCośtam. To dość duże uogólnienie. Zobaczmy, dokąd nas to zaprowadzi. Wymyślają historię, która mogłaby wyjaśnić zbrodnię. Chcą ją uwiarygodnić, porzucając w parku rower na dowód istnienia kogoś z zewnątrz. O tym samym ma świadczyć plama na parapecie, podobno jak i karteczka znaleziona obok ciała, która mogła zostać sfabrykowana w domu. Wszystko to pasuje do twojej hipotezy, Watsonie. Teraz jednak natrafiamy na paskudne kanciaste elementy tej układanki, które nie chcą wskoczyć na swoje miejsca. Dlaczego ze wszystkich możliwych rodzajów broni użyto

przyciętej śrutówki, i to w dodatku amerykańskiej? Jak mogli być tacy pewni, że huk wystrzału nie sprowadzi do gabinetu kogoś, kto ich nakryje? Wtedy zdaliby się na czysty przypadek… Bo przecież to był czysty przypadek, że pani Allen nie poszła sprawdzić tego trzaśnięcia drzwiami. Czemu ta twoja para winowajców, Watsonie, miałaby się tak bez potrzeby narażać?

– Muszę przyznać, że nie potrafię tego wyjaśnić.

– Poza tym jeśli kobieta i jej kochanek spiskują, by zamordować męża, czemu mieliby to ostentacyjnie rozgłaszać, zdejmując mu po śmierci obrączkę? Czy wydaje ci się to prawdopodobne, Watsonie?

– Nie, bynajmniej.

– A z kolei gdyby przyszło ci na myśl zostawić rower schowany gdzieś na zewnątrz, to czy natychmiast nie zrezygnowałbyś z tego zamiaru? Przecież nawet najbardziej tępy detektyw na świecie od razu by się zorientował, że zrobiono to dla zmyłki, ponieważ rower jest bardzo przydatny zbiegowi podczas ucieczki.

– Nie mam żadnego wytłumaczenia.

– A jednak nie może mieć miejsca kombinacja zdarzeń, której ludzki umysł nie jest w stanie wytłumaczyć. Pozwól, że wskażę ci możliwe rozwiązanie. Potraktujmy to po prostu jako ćwiczenie intelektualne, zupełnie abstrahując od tego, czy jest to prawdą, czy nie. Przyznaję, że to tylko moje wyobrażenia, lecz z drugiej strony jakże często wyobraźnia jest matką prawdy.

Załóżmy, że Douglas miał jakiś wstydliwy i ponury sekret, który sprowadza do niego mściciela, osobę z zewnątrz. Z jakiegoś powodu, którego, przyznaję, wciąż nie jestem w stanie wytłumaczyć, ten mściciel zabrał obrączkę zmarłego. Zemsta może sięgać czasów pierwszego małżeństwa Douglasa, a obrączkę zabrano z jakiegoś powodu, związanego z tym samym okresem.

Zanim morderca uciekł, Barker i pani Douglas wbiegli do pokoju. Zabójca przekonał ich, że jakiekolwiek próby aresztowania go doprowadzą do wyjawienia pewnego haniebnego wydarzenia. Dali się przekonać i woleli puścić go wolno. Prawdopodobnie opuścili w tym celu most zwodzony, co można zrobić bezgłośnie, a następnie znów go podnieśli. Z jakiegoś powodu morderca doszedł do wniosku, że będzie bezpieczniejszy, poruszając się pieszo, a nie na rowerze. Dlatego pozostawił

swój pojazd w miejscu, gdzie nikt by go nie znalazł, póki sam nie ucieknie. Jak do tej pory wszystko, o czym powiedzieliśmy, byłoby możliwe, prawda?

– Tak, bez wątpienia – odparłem dość powściągliwie.

– Musimy pamiętać, Watsonie, że cokolwiek się wydarzyło, z całą pewnością było to coś bardzo niezwykłego. Rozwińmy nasze hipotetyczne wydarzenie. Po ucieczce mordercy para, niekoniecznie para winowajców, zdaje sobie sprawę, że znaleźli się w sytuacji, w której trudno będzie im udowodnić, że ani sami nie popełnili tej zbrodni, ani nie byli w nią zamieszani. Spróbowali szybko i dość niezgrabnie poradzić sobie z tym problemem. Barker zrobił krwawy ślad na parapecie swoim pantoflem, aby zasugerować, w jaki sposób morderca się wydostał. Oczywiście, obydwoje musieli słyszeć wystrzał, więc wszczęli alarm, dokładnie tak, jak by to normalnie zrobili, jednak dopiero dobre pół godziny po całym wydarzeniu.

– A jak zamierzasz to wszystko udowodnić?

– Jeśli w sprawę zamieszany jest człowiek z zewnątrz, można go wyśledzić i aresztować. To byłby najskuteczniejszy ze wszelkich możliwych dowodów. Jednak jeśli nie… Hm, nie wyczerpałem jeszcze bynajmniej wszystkich zdolności mojego umysłu. Sądzę, że samotne spędzenie wieczoru w tym gabinecie mogłoby nam bardzo pomóc.

– Wieczór w samotności!

– Teraz zamierzam tam się udać. Zorganizowałem to z naszym szacownym Amesem, który bynajmniej nie pała sympatią do Barkera. Posiedzę w tym pokoju, może jego atmosfera natchnie mnie jakimś pomysłem. Wierzę w *genius loci*. Uśmiechasz się, mój przyjacielu? Zobaczymy. *À propos*, wziąłeś ze sobą ten swój wielki parasol?

– Mam go tutaj.

– Chciałbym go pożyczyć, pozwolisz?

– Naturalnie. Ale cóż za beznadziejna broń! Jeśli natrafisz na jakieś niebez-pieczeństwo…

– To nic poważnego, mój drogi Watsonie. W przeciwnym razie z całą pewnością poprosiłbym cię o pomoc. Wezmę jednak ten parasol. Poczekam już tylko na powrót naszych kolegów z Tunbridge Wells, gdzie właśnie próbują wytropić właściciela znalezionego roweru.

Nim inspektor MacDonald i White Mason powrócili ze swej wyprawy, zapadł zmierzch. Zjawili się w szampańskim nastroju, mówiąc o ogromnym postępie w śledztwie.

– Panowie, muszę przyznać, że miałem pewne wątpliwości, czy faktycznie był w to zamieszany ktoś z zewnątrz – rzekł MacDonald. – Ale wszystko się potwierdziło. Udało nam się zidentyfikować ten rower, i mamy rysopis naszego poszukiwanego. A to ogromny krok naprzód.

– Brzmi jak początek końca – rzekł Holmes. – Gratuluję panom z całego serca.

– Faktem jest, że pan Douglas wydawał się zaniepokojony po powrocie z Tunbridge Wells. W takim razie to tam zdał sobie sprawę z jakiegoś niebezpieczeństwa. Było więc jasne, że nasz podejrzany przyjechał tu rowerem właśnie z Tunbridge Wells. Wzięliśmy rower ze sobą i pokazywaliśmy go w różnych hotelach. Kierownik Eagle Commercial od razu go rozpoznał. Twierdził, że należał do człowieka o nazwisku Hargrave, który dwa dni wcześniej wynajął u nich pokój. Jego bagaż składał się z roweru i niewielkiej torby podróżnej. Meldując się, powiedział, że przybywa z Londynu, adresu jednak nie podał. Torba została wykonana w Londynie, jej zawartość była brytyjskiej produkcji, jednak sam Hargrave bez wątpienia był Amerykaninem.

– Proszę, proszę – rzekł radośnie Holmes. – Naprawdę wykonaliście, panowie, kawał dobrej roboty, kiedy ja tu siedziałem, snując teorie z moim przyjacielem. To dla mnie lekcja praktyczności, panie Mac.

– Tak, panie Holmes, żeby pan wiedział – rzekł z satysfakcją inspektor.

– Ale to wszystko może pasować do twoich teorii – zauważyłem.

– Może tak, a może nie. Posłuchajmy najpierw, jak zakończyła się ta wyprawa. Panie Mac, nie było tam nic, co pozwoliłoby zidentyfikować tego człowieka?

– Tak niewiele, że było jasnym, iż bardzo starał się być niezauważalnym. Nie było żadnych dokumentów ani listów, żadnych inicjałów na odzieży. Na stole w jego sypialni leżała mapa rowerowa hrabstwa. Wczoraj rano po śniadaniu opuścił hotel i wyruszył gdzieś na rowerze, a później już o nim nie słyszano aż do chwili, gdy się pojawiliśmy.

– To właśnie nie daje mi spokoju, panie Holmes – rzekł White Mason. – Gdyby ten człowiek nie chciał wzbudzać żadnych podejrzeń, to powinien był chyba wrócić i pozostać przez jakiś czas w tym hotelu, udając zwykłego

turystę. Musiał zdawać sobie sprawę z tego, że kierownik hotelu powiadomi policję i że jego zniknięcie zostanie powiązane z dokonanym morderstwem.

– Tak, ma pan rację. Jednak jak na razie wszystko wskazuje na to, że nie jest głupi, bo do tej pory nie został pojmany. A jego rysopis? Jak wygląda?

MacDonald wyciągnął swój notes.

– Zapisaliśmy wszystko, co obsługa hotelu była w stanie powiedzieć o jego wyglądzie zewnętrznym. Nie zwrócili na niego szczególnej uwagi. Zeznania portiera, recepcjonisty i pokojówki raczej się zgadzają. Miał około pięciu stóp i dziewięciu cali wzrostu. Był w wieku mniej więcej pięćdziesięciu lat. Jego włosy i wąsy były lekko przyprószone siwizną. Miał orli nos i twarz, którą wszyscy określili jako okrutną i odpychającą.

– Poza tym ostatnim określeniem mógłby to być niemal opis samego Douglasa – rzekł Holmes. – Był tuż po pięćdziesiątce, miał posiwiałe włosy i wąsy, a wzrost też się mniej więcej zgadza. Dowiedzieliście się czegoś jeszcze?

– Ubrany był w ciężki szary garnitur, krótki żółty płaszcz oraz wełnianą czapkę.

– A co ze śrutówką?

– Mierzy niecałe dwie stopy. Bez problemu zmieściłaby się w tej jego torbie. Mógł ją wnieść do środka pod płaszczem, nie wzbudzając żadnych podejrzeń.

– Sądzicie, panowie, że ma to związek z naszą sprawą?

– Panie Holmes – rzekł MacDonald – dopiero gdy złapiemy naszego uciekiniera, będziemy mogli lepiej to ocenić. W ciągu pięciu minut po otrzymaniu rysopisu rozesłałem telegramy. Zrobiliśmy ogromny krok naprzód. Wiemy, że jakiś Amerykanin o imieniu Hargrave przybył dwa dni temu do Tunbridge Wells. Miał ze sobą rower i torbę podróżną. W torbie była śrutówka z odpiłowaną lufą, przyjechał więc z zamiarem popełnienia zbrodni. Wczoraj rano wyjechał na rowerze z Tunbridge Wells ze śrutówką ukrytą pod płaszczem. Z tego, co wiemy, nikt go nie widział, jak tu przyjechał. Jednak żeby dotrzeć do bramy parku, nie musiał przejeżdżać przez wioskę, a drogą jeździ wielu rowerzystów. Pewnie od razu ukrył swój rower w zaroślach wawrzynu, gdzie go później znaleziono, i tam też się przyczaił, obserwując dom i czekając, aż pan Douglas wyjdzie. Śrutówka to dość dziwna broń, by strzelać z niej wewnątrz domu, ale nasz przybysz planował użyć jej na zewnątrz. Zaletą takiej broni jest to, że nie można

z niej chybić, a ponieważ są to okolice łowieckie, nikt nie zwróciłby szczególnej uwagi na odgłos wystrzału.

– Brzmi to przekonująco – rzekł Holmes.

– Ale pan Douglas się nie pojawił. I co wtedy zrobił morderca? Zostawił swój rower i o zmierzchu zbliżył się do domu. Most zwodzony był opuszczony, nikogo w pobliżu nie było. Skorzystał z tej okazji, na wszelki wypadek przygotował wymówkę, gdyby kogoś spotkał. Szczęśliwie, na nikogo się nie natknął. Wślizgnął się do pierwszego z rzędu pokoju i ukrył się za zasłoną. Stamtąd dostrzegł, jak podnoszono most zwodzony, i już wiedział, że jedyna droga ucieczki wiedzie przez fosę. Kwadrans po jedenastej pan Douglas wszedł do pokoju podczas swego codziennego obchodu domu. Zabójca zastrzelił go i uciekł, tak jak sobie zaplanował. Zdawał sobie sprawę, że ludzie z hotelu rozpoznają rower, który może być poszlaką. Zostawił go więc w zaroślach i udał się do Londynu lub do jakiejś bezpiecznej kryjówki, którą wcześniej sobie zapewnił. I co pan o tym sądzi, panie Holmes?

– Panie Mac, bardzo zgrabnie i przejrzyście przedstawił pan i wytłumaczył całe zdarzenie. Ja natomiast obstaję przy tym, że zbrodnię popełniono pół godziny wcześ-niej, niż nam o tym doniesiono, że pani Douglas i Barker wspólnie spiskują, żeby coś ukryć, i dopomogli mordercy w ucieczce, fabrykując dowody mające świadczyć o tym, że wydostał się przez okno, choć najprawdopodobniej to oni sami umożliwili mu wyjście, opuszczając most. Tak ja to widzę.

Dwóch detektywów potrząsnęło głowami.

– Panie Holmes, jeśliby miało być to prawdą, to z jednej tajemnicy wpadamy w kolejną – rzekł inspektor z Londynu.

– I to pod pewnymi względami gorszą – dodał White Mason. – Pani Douglas nigdy w życiu nie była w Ameryce. Co mogłoby ją łączyć z amerykańskim zabójcą, i dlaczego miałaby go ukrywać?

– Przyznaję, że są pewne trudności – rzekł Holmes. – Zamierzam dziś w nocy przeprowadzić niewielkie śledztwo, które może wniesie coś nowego do sprawy.

– Czy potrzebuje pan pomocy, sir?

– Nie, nie! Moje potrzeby są niewielkie: ciemność i parasol doktora Watsona. A nasz wierny Ames niewątpliwie zatroszczy się o mnie. Moje

rozważania powracają ciągle do tego samego pytania: jak sportowiec wyrabia swoje mięśnie za pomocą tylko jednego ciężarka?

Była już późna noc, gdy Holmes powrócił ze swej samotnej wyprawy. Sypialiśmy w pokoju, w którym stało podwójne łóżko, bo tylko takie warunki była w stanie nam zapewnić mała wiejska gospoda. Spałem już, ale się obudziłem, gdy usłyszałem kroki mojego przyjaciela.

– No i co, Holmesie? – wymamrotałem. – Dowiedziałeś się czegoś?

Stał przy mnie w milczeniu, trzymając w dłoni świecę. W odpowiedzi jego wysoka szczupła sylwetka pochyliła się ku mnie.

– Posłuchaj, Watsonie – szepnął. – Czy bałbyś się spać w jednym pokoju z lunatykiem? Człowiekiem, któremu rozmięka mózg? Szaleńcem, który stracił kontrolę nad własnym umysłem?

– Absolutnie nie – odrzekłem, zdumiony.

– To dobrze – odparł i tej nocy nie wypowiedział już ani słowa.

Rozdział siódmy

Rozwiązanie

Następnego ranka po śniadaniu zastaliśmy inspektora MacDonalda i White’a Masona w niewielkim gabinecie miejscowego sierżanta policji, pogrążonych w rozmowie. Dyskutowali o sprawie, którą się zajmowaliśmy. Na stole przed nimi leżała sterta listów i telegramów, które starannie sortowali i katalogowali. Trzy odłożyli na bok.

– Wciąż jesteście, panowie, na tropie tego nieuchwytnego rowerzysty? – spytał wesoło Holmes. – Jakie są najświeższe wieści o tym łotrze?

MacDonald z żałosną miną wskazał na stertę korespondencji.

– Doniesiono nam, że w tej chwili przebywa w Leicester, w Nottingham, w Southampton, w Derby, w East Ham, w Richmond i w czternastu innych miejscach. W trzech z tych miejsc, czyli w East Ham, Leicester i Liverpoolu, postawiono tym ludziom zarzuty i nawet ich aresztowano. Wygląda na to, że w całym kraju roi się od zbiegów w żółtych płaszczach.

– Ojej – rzekł współczująco Holmes. – A teraz, panie Mac i panie Mason, chciałbym udzielić panom pewnej rady. Gdy zaangażowałem się w tę sprawę, ustaliłem z wami, jak bez wątpienia pamiętacie, że nie będę wam przedstawiał na wpół dowiedzionych teorii, lecz zachowam swe przemyślenia dla siebie i będę nadal nad nimi pracował, dopóki się nie upewnię, co do ich słuszności. Z tego właśnie powodu nie powiem panom teraz wszystkiego, co chodzi mi po głowie. Z drugiej strony obiecałem, że będę wobec was uczciwy, więc nie mogę pozwolić wam choć przez chwilę marnować czas i energię. I oto moja rada, którą można zawrzeć w trzech słowach: zostawcie ten problem.

MacDonald i White Mason wpatrywali się, zaskoczeni, w swojego słynnego kolegę po fachu.

– Według pana, jest to beznadziejne?! – wykrztusił inspektor.

– Uważam, że wasz pogląd na sprawę nie rokuje żadnych nadziei. Nie sądzę natomiast, by dotarcie do prawdy było sprawą beznadziejną.

– Ale ten rowerzysta… On nie jest jakimś wymysłem. Mamy jego rysopis, wiemy, jaki był jego bagaż i że miał rower. Ten człowiek musi gdzieś być. Dlaczego nie mielibyśmy go złapać?

– Owszem, bez wątpienia gdzieś jest i bez wątpienia go złapiemy, nie chciałbym jednak, byście marnowali swoją energię w East Ham czy w Liverpoolu. Jestem pewien, że możemy rozstrzygnąć problem, idąc na skróty.

– Coś pan przed nami ukrywa, panie Holmes? To nieuczciwe. – Inspektor był najwyraźniej poirytowany.

– Zna pan moje metody pracy, panie Mac. Już niedługo wszystko opowiem. Chciałbym tylko sprawdzić pewne szczegóły, uczynię to bez problemu, a potem pożeg-nam się z panami i wrócę do Londynu, przekazując im wyniki mojej pracy. Zbyt wiele panom zawdzięczam, by postąpić inaczej, bo w całej mojej karierze nie przypominam sobie dziwniejszej i ciekawszej sprawy.

– To mnie przerasta, panie Holmes. Widzieliśmy się z panem wczoraj wieczorem, gdy wróciliśmy z Tunbridge Wells, i zgodził się pan z naszym tokiem rozumowania. Co takiego się wydarzyło, że całkowicie zmienił pan pogląd na sprawę?

– Spędziłem w nocy kilka godzin we dworze.

– No dobrze. I co się tam wydarzyło?

– Mogę tylko bardzo ogólnie odpowiedzieć na to pytanie. A nawiasem mówiąc, przeczytałem krótką, lecz bardzo ciekawą historię tego starego budynku. Można ją nabyć za jednego pensa w miejscowym sklepie tytoniowym.

Mówiąc to, Holmes wyciągnął z kieszeni kamizelki niewielką broszurę, ozdobioną prymitywnym drzeworytem starego dworu.

– Mój drogi panie Mac, to naprawdę dodaje smaku śledztwu, gdy wczuwamy się w historyczną atmosferę naszego otoczenia. Niech pan tak na mnie nie patrzy. Zapewniam pana, że nawet tak skromna relacja jak ta sprawia, iż w umyśle pojawia się pewna wizja przeszłości. Proszę przez chwilę posłuchać: „Wzniesiony w piątym roku panowania Jakuba I i usytuowany w miejscu, w którym kiedyś stał znacznie starszy budynek, dwór Birlstone stanowi jeden z najpiękniejszych przykładów

otoczonej fosą jakobickiej rezydencji, jaki zachował się do naszych czasów…”.

– Niech pan nie robi z nas głupców, panie Holmes!

– Hola, hola, panie Mac. To pierwsza oznaka nerwowości, jaką u pana zauważyłem. Skoro ma pan w tej kwestii tak zdecydowany pogląd, nie będę czytał całego tekstu. A jest tu wzmianka o przejęciu dworu przez pułkownika ze stronnictwa parlamentarzystów w 1644 roku, o tym, że Karol ukrywał się tu przez kilka dni podczas wojny domowej, a wreszcie o wizycie Jerzego II. Zgodzi się pan ze mną, że ten stary dom nasuwa pewne ciekawe skojarzenia.

– Nie wątpię, panie Holmes. Ale to nie nasza sprawa.

– Doprawdy? Rzeczywiście? Szerokie horyzonty, mój drogi panie Mac, to podstawa w naszym zawodzie. Wzajemne powiązania różnych idei i niebezpośrednie zastosowanie wiedzy często okazują się niezwykle korzystne. Proszę przyjąć te uwagi od zwykłego amatora, ale starszego i bardziej doświadczonego.

– Ma pan rację – rzekł szczerze detektyw. – I muszę przyznać, że trafia pan w sedno. Jednak robi to niezwykle okrężną drogą.

– Dobrze, zostawię historię i przejdę do współczesności. Jak już mówiłem, wczoraj w nocy udałem się do dworu. Nie spotkałem ani Barkera, ani pani Douglas. Nie chciałem im przeszkadzać, z przyjemnością jednak dowiedziałem się, że pani domu nie jest pogrążona w rozpaczy, że zjadła smaczną kolację. Złożyłem wizytę naszemu dobremu Amesowi, wymieniliśmy z nim grzeczności, zgodził się, bym spędził jakiś czas samotnie w znanym panom gabinecie i obiecał nikomu o tym nie wspominać.

– Co takiego?! Sam ze zwłokami? – zawołałem.

– Nie, nie. Wszystko zostało uporządkowane. Dał pan na to swoją zgodę, panie Mac, jak mnie powiedziano. Spędziłem w gabinecie bardzo pouczający kwadrans.

– Co pan tam robił?

– To nie tajemnica. Szukałem brakującego ciężarka. Od samego początku miał on dla mnie najistotniejsze znaczenie. No i go znalazłem.

– Gdzie?

– Ha, tu dochodzimy do granicy niewyjaśnionego. Pozwólcie mi, panowie, zrobić jeszcze jeden krok, jeden niewielki krok, a obiecuję, że

podzielę się z wami całą mą wiedzą.

– Zgodziliśmy się na to, że pracuje pan na własnych warunkach, więc musimy na to przystać – rzekł inspektor. – Ale powiedział pan, żebyśmy zostawili tę sprawę… Dlaczego?

– Z tego prostego powodu, mój drogi panie Mac, że nie macie, panowie, zielonego pojęcia o tym, nad czym pracujecie.

– Badamy okoliczności śmierci pana Johna Douglasa z dworu Birlstone!

– Tak, tak. Niewątpliwie. Jednak nie fatygujcie się śledzeniem tego tajemniczego dżentelmena na rowerze. Zapewniam was, panowie, że w niczym wam to nie pomoże.

– To co nam pan sugeruje?

– Powiem wam, co powinniście zrobić, oczywiście, o ile zechcecie tak postąpić.

– Nieraz się przekonałem, że pana niecodzienne postępowanie miało jakieś uzasadnienie. Uczynię tak, jak mi pan powie.

– A pan, panie Mason?

Wiejski detektyw spoglądał bezradnie to na jednego, to na drugiego. Metody Holmesa były dla niego nowością.

– Cóż, skoro inspektor na to przystał, to ja postąpię tak samo – powiedział wreszcie.

– Doskonale – rzekł Holmes. – W takim razie zaproponuję panom przyjemny miły spacer po okolicy. Słyszałem, że widok z Birlstone Ridge na Weald jest doprawdy przepiękny. Możecie też zjeść lunch w jakiejś miłej oberży. Niestety, nie znam tych stron, więc nie mogę panom żadnej polecić. Wieczorem, zmęczeni, ale szczęśliwi…

– Proszę pana, to już przekracza wszelkie granice – krzyknął gniewnie MacDonald, zrywając się z miejsca.

– No cóż, możecie spędzić ten dzień tak, jak sobie życzycie – rzekł Holmes, klepiąc go wesoło po ramieniu. – Róbcie, co chcecie, i idźcie sobie tam, gdzie macie ochotę, ale wróćcie tutaj do mnie przed zmierzchem. Tylko przyjdźcie koniecznie. Koniecznie, panie Mac.

– To już brzmi rozsądniej.

– Dobrze wam radzę, ale nie będę się przy tym upierał, o ile zjawicie się tutaj, gdy będę was potrzebował. Jednak teraz, zanim się rozstaniemy, chciałbym, by napisał pan wiadomość dla pana Barkera.

– Jaką wiadomość?

– Jeśli pan pozwoli, mogę ją panu podyktować. Jest pan gotów?

Mój drogi Panie, doszedłem do wniosku, że naszym obowiązkiem jest osuszyć fosę w nadziei, że możemy tam odnaleźć coś…

– To niemożliwe – rzekł inspektor. – Już się o to dowiadywałem.
– Hola, hola, mój panie, proszę zrobić to, o co go proszę.
– Dobrze, proszę kontynuować.

…w nadziei, że możemy tam odnaleźć coś, co będzie miało znaczenie dla naszego śledztwa. Dokonałem już stosownych ustaleń, i robotnicy stawią się do pracy jutro rano, aby zmienić bieg strumienia…

– To niemożliwe!

…zmienić bieg strumienia; uznałem więc, że najlepiej będzie, jeśli wcześniej poinformuję Pana o tej sprawie.

A teraz proszę to podpisać i wysłać około czwartej; wiadomość ma być doręczona do rąk własnych. O tej samej godzinie znów się spotkamy w tym pokoju. Do tej pory każdy może robić, co chce, ponieważ, zapewniam panów, nasze śledztwo znajduje się w takim punkcie, kiedy musimy zrobić sobie krótką przerwę.

Gdy spotkaliśmy się ponownie, zbliżał się wieczór. Holmes był bardzo poważny, mnie zżerała ciekawość, a obaj detektywi byli wyraźnie poirytowani i nastawieni raczej krytycznie.

– Panowie – rzekł uroczyście mój przyjaciel. – Teraz poproszę was, abyście razem ze mną sprawdzili moją teorię i sami ocenili, czy obserwacje, które poczyniłem, uzasadniają wnioski, do jakich doszedłem. Wieczór jest chłodny, nie wiem, jak długo potrwa nasza wyprawa, ubierzcie się w najcieplejsze płaszcze, jakie macie. Jest bardzo ważne, żebyśmy byli na miejscu, nim zrobi się ciemno, więc, za panów pozwoleniem, powinniśmy wyruszyć natychmiast.

Minęliśmy najdalszy kraniec parku rozciągającego się wokół dworu i dotarliśmy do miejsca, gdzie w otaczającym posiadłość ogrodzeniu była dziura. Prześlizgnęliśmy się przez nią, a potem podążyliśmy w zapadających ciemnościach za Holmesem, aż dotarliśmy do zarośli położonych niemal naprzeciwko głównego wejścia i zwodzonego mostu,

który nie został jeszcze podniesiony. Holmes przykucnął za osłoną wawrzynów, a my trzej poszliśmy za jego przykładem.

– I co mamy teraz robić? – spytał nieco szorstkim tonem MacDonald.

– Uzbroić się w cierpliwość i zachowywać się bardzo cicho – odparł Holmes.

– Po co tu w ogóle jesteśmy? Naprawdę sądzę, że mógłby pan traktować nas trochę poważniej.

Holmes roześmiał się.

– Watson uparcie twierdzi, że mam zamiłowanie do dramatyzmu – odparł. – Cóż, mam w sobie artystyczną duszę, która nieustannie domaga się dobrze wyreżyserowanych przedstawień. Panie Mac, nasz zawód z całą pewnością ma już taki charakter, że wydawałby się szary i bezbarwny, gdybyśmy nie mogli czasami tak wszystkiego wyreżyserować, by móc się cieszyć końcowym efektem. Oskarżenie kogoś w otwarty sposób, brutalne położenie ręki na ramieniu przestępcy! Jakąż radość można mieć z takiego rozwoju sprawy? Proszę tylko pomyśleć! Błyskawiczne wyciąganie wniosków, zastawienie subtelnej pułapki, inteligentne przewidywanie wydarzeń, które dopiero mają mieć miejsce, triumfalne potwierdzenie śmiałych teorii… Czyż nie to jest kwintesencją i sensem życia w naszym zawodzie? W tej chwili jesteście niczym czatujący myśliwi i z niecierpliwością czekacie, aż zacznie się polowanie. Gdyby wszystko było znane i sprecyzowane niczym w rozkładzie jazdy, nie byłoby miejsca na dreszczyk emocji. Proszę tylko o odrobinę cierpliwości, panie Mac, a wkrótce wszystko stanie się dla panów jasne.

– Mam nadzieję, że ta duma, sens życia i cała reszta pojawią się, zanim zamarzniemy tu wszyscy na śmierć – odparł londyński detektyw z komicznie zrezygnowaną miną.

Wszyscy mieliśmy powody, by podzielać jego obawy, bo nasze czuwanie ciągnęło się w nieskończoność i bynajmniej nie należało do przyjemnych. Nad długą, posępną fasadą starego dworu powoli gęstniały cienie. Chłodny, wilgotny powiew od fosy z cuchnącą wodą sprawiał, że byliśmy przemarznięci do szpiku kości, a zęby dzwoniły nam z zimna. Nad wejściem wisiała lampa, światło paliło się też w feralnym gabinecie. Poza tym wszystko było pogrążone w ciemności i ciszy.

– Jak długo to jeszcze potrwa? – spytał wreszcie inspektor. – I na co właściwie czekamy?

– Wiem na ten temat tyle samo, co pan – odparł nieco cierpko Holmes. – Gdyby przestępcy zawsze działali według jakiegoś rozkładu, tak jak pociągi, z całą pewnością byłoby to dla nas wygodniejsze. A jeśli chodzi o to, na co czekamy… O, NA TO właśnie czekamy!

Gdy wypowiadał te słowa, na tle jasnej żółtej plamy światła w gabinecie pojawiła się jakaś sylwetka. Zarośla wawrzynu, w których się przyczailiśmy, znajdowały się dokładnie naprzeciwko okna, nie dalej niż sto stóp od niego. Widzieliśmy, jak człowiek chodził po pokoju tam i z powrotem. Skrzypnęły zawiasy, okno otworzyło się, ujrzeliśmy niewyraźny zarys głowy i ramion mężczyzny, który wpatrywał się w ciemność. Przez kilka minut rozglądał się niepewnie, ukradkiem, jak ktoś, kto pragnie się upewnić, że nikt go nie obserwuje. Następnie pochylił się naprzód, i w absolutnej ciszy usłyszeliśmy plusk wody. Wydawało się, że mężczyzna rzucił coś do wody, a potem nagle, niczym rybak chwytający rybę, wyciągnął jakiś duży okrągły przedmiot, który przysłonił światło płynące z pokoju, gdy mężczyzna wciągał go przez otwarte okno.

– Teraz! – zawołał Holmes. – Teraz!

Zerwaliśmy się wszyscy na nogi i podążyliśmy za nim, zesztywniali i zziębnięci, gdy rzucił się pędem przez most i z całych sił pociągnął za dzwonek. Po drugiej stronie drzwi rozległ się dźwięk odsuwanej zasuwy, i w wejściu pojawił się zdumiony Ames. Sherlock bez słowa odsunął go na bok i pognał do pokoju, w którym znajdował się obserwowany przez nas mężczyzna. Pobiegliśmy za nim.

Blask, który widzieliśmy z zewnątrz, pochodził od stojącej na stole lampy naftowej. Teraz trzymał ją w ręku Cecil Barker, i w chwili gdy weszliśmy, wyciągnął ją w naszą stronę. Światło padało na jego stanowczą, gładko ogoloną twarz i groźnie błyszczące oczy.

– Co to, u diabła, ma znaczyć?! – zawołał. – Czego tu szukacie?

Holmes szybko rozejrzał się wokół i rzucił się na mokre brudne zawiniątko obwiązane sznurkiem i ciśnięte pod stół.

– Tego właśnie szukamy, panie Barker! Tego zawiniątka obciążonego ciężarkiem, które właśnie wydobył pan z dna fosy.

Barker w osłupieniu wpatrywał się w Holmesa.

– Jak, u diabła, się pan o tym dowiedział? – spytał.

– To proste. To ja je tam umieściłem.

– Pan je tam umieścił? Pan?

– Powinienem raczej powiedzieć, że po raz drugi je tam umieściłem – odparł Holmes. – Pamięta pan, inspektorze, jak uderzyło mnie to, że brakowało jednego ciężarka. Zwróciłem panu na ten fakt uwagę, jednakże inne wydarzenia zaprzątały pański umysł, i nie mógł pan się nad tym dogłębnie zastanowić, żeby wyciągnąć odpowiednie wnioski. Gdy w pobliżu znajduje się woda i brakuje jednego ciężarka, nie wydaje się zbyt śmiałym przypuszczenie, że coś nim obciążono, aby utopić to w wodzie. Ten pomysł należało sprawdzić. Ames wpuścił mnie do tego pokoju. Za pomocą zakrzywionej rączki parasola doktora Watsona udało mi się zeszłej nocy wyłowić to zawiniątko i zbadać jego zawartość.

Kluczowe znaczenie miało jednak to, byśmy byli w stanie udowodnić, kto je tam umieścił. Udało nam się osiągnąć ten cel bardzo prostą metodą. Ogłosiliśmy, że jutro fosa zostanie osuszona, co oczywiście sprawiło, że osoba, która ukryła tam zawiniątko, musiała je stamtąd zabrać, kiedy tylko zapadnie zmrok. Mamy nie mniej niż czterech świadków mogących potwierdzić, kto skorzystał z tej okazji. A teraz, panie Barker, oddajemy panu głos.

Sherlock Holmes położył przemoknięte zawiniątko na stole przy lampie i rozwiązał sznurek, którym było obwiązane. Ze środka wyciągnął ciężarek, który cisnął w kąt pokoju, gdzie leżał ten drugi, a potem parę butów. „Amerykańskie, jak panowie widzą – zauważył, wskazując na noski”. Następnie położył na stole długi nóż w pochwie i wreszcie wyciągnął ubranie: komplet bielizny, skarpety, szarą tweedową marynarkę i krótki żółty płaszcz.

– To zwykła odzież – zauważył Holmes – natomiast na płaszcz należy zwrócić szczególną uwagę. – Delikatnie przysunął okrycie do światła. – Tutaj, jak panowie widzą, znajduje się wewnętrzna głęboka kieszeń, wpuszczona w podszewkę, by było wystarczająco miejsca na myśliwską strzelbę z odpiłowaną lufą. Przy kołnierzyku jest metka: „Neal, sprzedawca odzieży, Vermissa, USA”. Spędziłem bardzo owocne popołudnie w bibliotece proboszcza. Dowiedziałem się, że Vermissa to ładne miasteczko usytuowane w jednym z najlepiej znanych zagłębi górniczo-hutniczych w Stanach Zjednoczonych. Jak sobie przypominam, panie Barker, łączył pan zagłębia węglowe z pierwszą żoną pana Douglasa. Z całą pewnością nie byłoby więc zbyt naciąganym założenie, że litery „V.V.” na kartce znalezionej przy zwłokach mogą oznaczać „Vermissa Valley”,

czyli „Dolina Vermissy”, oraz że dolina, z której pochodzą emisariusze zbrodni, musi być zapewne Doliną strachu, o której słyszeliśmy. Jak do tej pory wszystko jest dość jasne. A teraz, panie Barker, sądzę, że nadszedł czas, by pan nam to wszystko wyjaśnił sam.

Obserwowanie wyrazistej twarzy Cecila Barkera podczas tej przemowy wielkiego detektywa było doprawdy niezwykłym widokiem. Przemknęły po niej kolejno gniew, zdumienie, konsternacja i niezdecydowanie. Wreszcie przyjął maskę czegoś, co przypominało gorzką ironię.

– Skoro tyle pan wie, panie Holmes, może najlepiej będzie, jeśli sam nam pan to wyjaśni – rzekł z szyderczym uśmiechem.

– Bez wątpienia mógłbym powiedzieć o wiele, wiele więcej, panie Barker. Sądzę jednak, że byłoby dla pana lepiej, gdybyśmy usłyszeli to z pańskich ust.

– Och, doprawdy? Tak pan sądzi? Mogę powiedzieć tylko tyle, że jeśli i jest tu jakiś sekret, to nie jest on moim sekretem, i nie jestem upoważniony, by go wyjawić.

– Cóż, skoro tak, panie Barker – rzekł cicho inspektor – nie spuścimy pana z oczu, póki nie otrzymamy nakazu aresztowania.

– A róbcie sobie, co wam się podoba! – rzucił zuchwale Barker.

Jeśli o niego chodzi, to najwyraźniej śledztwo definitywnie dobiegło końca. Wystarczyło tylko spojrzeć na tę kamienną twarz, by przekonać się, że nawet najgorsze tortury nie zmusiłyby go do wyjawienia czegoś więcej. Ciszę przerwał jednak kobiecy głos. Pani Douglas stała już od jakiegoś czasu za uchylonymi drzwiami, słuchając naszej rozmowy. Teraz weszła do środka.

– Dość już na razie zrobiłeś, Cecilu – rzekła. – Cokolwiek wyniknie z tego w przyszłości, zrobiłeś już wystarczająco dużo.

– Więcej niż dosyć – zauważył poważnie Sherlock Holmes. – Bardzo pani współczuję. Chciałbym panią zachęcić, by zaufała pani naszemu zdrowemu rozsądkowi i z własnej woli opowiedziała całą tę historię policji. Być może popełniłem błąd, nie korzystając z sugestii, którą przekazała mi pani przez mojego przyjaciela doktora Watsona. Wówczas jednak miałem wszelkie powody, by wierzyć, że była pani bezpośrednio zamieszana w to morderstwo. Teraz jestem już pewien, że tak nie było, ale wiele kwestii pozostaje niewyjaśnionych. Radziłbym, by pani poprosiła pana Douglasa, aby opowiedział nam całą historię.

Słuchając Holmesa, pani Douglas nagle krzyknęła. Obaj detektywi i ja byliśmy nie mniej zdumieni, gdy uświadomiliśmy sobie obecność mężczyzny, który pojawił się tak niespodziewanie, jakby oderwał się od ściany i ukazał w mroku panującego w kącie pokoju. Pani Douglas odwróciła się i w jednej chwili oplotła go ramionami. Barker ujął jego wyciągniętą dłoń.

– Tak będzie najlepiej, John – powiedziała jego żona. – Na pewno tak będzie najlepiej.

– Tak, panie Douglas – rzekł Sherlock Holmes. – Ja też jestem pewien, że sam pan to uzna za najlepsze wyjście.

Mężczyzna stał, mrugając oczyma odwykłymi od światła. Miał wyrazistą twarz, śmiałe szare oczy, krótko przycięte i przyprószone siwizną wąsy, wystający kwadratowy podbródek i wydatne usta. Przyjrzał nam się wszystkim, a potem, ku mojemu zdumieniu, podszedł do mnie i podał plik papierów.

– Słyszałem o panu – powiedział ze specyficznym akcentem. Jego wymowa nie była ani angielska, ani amerykańska, ale miękka i miła dla ucha. – Jest pan kronikarzem, doktorze Watson. Postawiłbym mojego ostatniego dolara, że jeszcze nigdy nie dostał pan w swoje ręce historii takiej, jak ta. Proszę opowiedzieć ją po swojemu, znajdzie pan tu jednak pewne ciekawe fakty, i jeśli zamieści je pan w swojej opowieści, z pewnością zainteresują one pańskich czytelników. Przez ostatnie dwa dni siedziałem zamknięty w mojej kryjówce. W słabym świetle dnia (które docierało do szczurzej nory) spisywałem swe wspomnienia. Chętnie przekażę je panu i pańskim czytelnikom. Oto historia Doliny strachu.

– To przeszłość, panie Douglas – rzekł cicho Sherlock Holmes. – Teraz chcielibyśmy od pana usłyszeć, co się wydarzyło w ostatnim czasie.

– Opowiem panu, sir – rzekł Douglas. – Mogę zapalić? Dziękuję, panie Holmes. O ile dobrze pamiętam, pan pali i zapewne może sobie wyobrazić, jak to jest nie móc zapalić przez dwa dni, mając tytoń w kieszeni, z obawy, że jego woń zdradzi twoją kryjówkę. – Oparł się o gzyms kominka i głęboko zaciągnął cygarem, które podał mu Sherlock. – Słyszałem o panu, panie Holmes, nigdy jednak nie przypuszczałem, że poznam pana osobiście. Ale zanim pan to wszystko przeczyta – skinął głową w moim kierunku, wskazując na papiery, które trzymałem w ręku – dojdzie pan do wniosku, że ma pan do czynienia z czymś zupełnie nowym.

Inspektor MacDonald gapił się na nowo przybyłego w najwyższym zdumieniu.

– No, no. To mnie powaliło. Skoro pan jest Johnem Douglasem z dworku Birlstone, to w takim razie okoliczności czyjej śmierci badaliśmy przez ostatnie dwa dni? I skąd u licha pan się teraz wziął? Wydawało mi się, że wyskoczył pan z podłogi jak diabełek z pudełka.

– Panie Mac – rzekł Holmes, z dezaprobatą grożąc mu palcem. – Nie chciał pan przecież przeczytać tej wspaniałej broszury, w której opisywano kryjówkę króla Karola. W tamtych czasach ludzie nierzadko się ukrywali w wyśmienitych kryjówkach, a już raz użytą kryjówkę, można wykorzystać ponownie. Doszedłem więc do wniosku, że odnajdziemy pana Douglasa pod tym dachem.

– I jak długo pan nas tak nabierał, panie Holmes? – spytał ze złością inspektor. – Jak długo pozwalał nam pan marnować siły na poszukiwania, o których pan wiedział, że są absurdalne?

– Ani jednej chwili, mój drogi panie Mac. Mój pogląd na tę sprawę wykrystalizował się dopiero ubiegłej nocy. Ponieważ aż do dzisiejszego wieczoru nie byłem w stanie dowieść jego słuszności, powiedziałem, że pan i pański kolega mogą dziś odpocząć. Co więcej mogłem zrobić? Gdy znalazłem te ubrania w fosie, natychmiast stało się dla mnie oczywistym, że ciało, które znaleźliśmy, nie mogło być ciałem pana Johna Douglasa, lecz że muszą to być zwłoki rowerzysty z Tunbridge Wells. To było jedyne wytłumaczenie. Dlatego musiałem się dowiedzieć, gdzie jest pan John Douglas. Najbardziej prawdopodobnym było to, że za cichą zgodą swej żony i przyjaciela ukrył się w swoim domu, gdzie miał doskonałą kryjówkę, i czekał na odpowiedni moment, by zniknąć stąd na dobre.

– Bardzo słuszne rozumowanie – rzekł z aprobatą Douglas. – Myślałem, że uda mi się uniknąć brytyjskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie byłem pewien, jak w świetle prawa brytyjskiego wygląda moja sytuacja, ponadto pojawiła się nareszcie szansa, by te psy, które mnie ścigały, w końcu zgubiły mój trop. Niech pan zwróci jednak uwagę, że nie zrobiłem niczego, czego musiałbym się wstydzić. Gdybym miał taką sposobność, uczyniłbym to jeszcze raz. Ocenicie, panowie, sami, gdy poznacie moją historię. Nie ma sensu, by mnie pan ostrzegał, inspektorze. Zamierzam opowiedzieć całą prawdę.

Nie zacznę jednak od początku. Wszystko jest opisane tutaj – wskazał ręką na plik papierów w moim ręku. – Dowiecie się niezwykle dziwnej historii. Są pewni ludzie, którzy mają ważne powody, by mnie nienawidzić, i oddaliby ostatniego dolara, by mnie dopaść. Dopóki oni żyją, nie mam bezpiecznego miejsca na ziemi. Ścigali mnie z Chicago do Kalifornii, a potem musiałem uciec z Ameryki. Gdy się ożeniłem i osiadłem w tym ustronnym miejscu, wydawało mi się, że spokojnie spędzę tu ostatnie lata życia.

Nigdy nie wyjaśniłem mojej żonie całej prawdy. Po cóż miałem ją w to wszystko wciągać? Wtedy już nigdy nie miałaby spokoju. Zawsze bałaby się, że za chwilę nadejdą kłopoty. Wydaje mi się, że czegoś się domyślała, bo kilka razy coś mi się wyrwało, ale aż do wczoraj, do chwili, gdy panowie z nią rozmawiali, nie miała pojęcia, jak się sprawy mają. Opowiedziała wam o wszystkim, co wiedziała, podobnie zresztą jak Barker. Tej nocy, kiedy wydarzyła się tragedia, było bardzo mało czasu na wyjaśnienia. Teraz moja żona wie już o wszystkim; postąpiłbym o wiele mądrzej, gdybym opowiedział jej o tym wcześniej. Ale to było bardzo trudne, kochanie – ujął na chwilę jej dłoń – i wydawało mi się, że postępuję tak, jak będzie najlepiej dla wszystkich.

Poprzedniego dnia udałem się do Tunbridge Wells i tam na ulicy ujrzałem pewnego człowieka. Widziałem jego twarz tylko przez chwilę, ale natychmiast go poznałem. Nie miałem wątpliwości, że był to mój najgorszy wróg, który ścigał mnie niczym głodny wilk polujący na jelenia. Wiedziałem, że szykują się kłopoty, wróciłem więc do domu i poczyniłem odpowiednie przygotowania. Doszedłem do wniosku, że poradzę sobie z tym wszystkim sam. W Ameryce miałem bardzo dużo szczęścia w 1876 roku i nawet przez chwilę nie zwątpiłem, że teraz też będzie mi sprzyjało.

Cały następny dzień miałem się na baczności, ani razu nie wyszedłem do parku. Musiałem tak postąpić, bo w przeciwnym razie mógłby mnie dosięgnąć z tej swojej śrutówki, zanim zdążyłbym go zauważyć. Gdy podniesiono most, trochę się uspokoiłem i postarałem się o wszystkim zapomnieć. Nawet nie przyszło mi do głowy, że mógł dostać się do środka i tu zaczaić. Jednak gdy robiłem wieczorem obchód domu, tak jak to miałem w zwyczaju, natychmiast po wejściu do gabinetu wyczułem atmosferę grozy. Wydaje mi się, że u człowieka, który w życiu tyle

ryzykował, na którego wielokrotnie czyhało niebezpieczeństwo, wykształca się coś w rodzaju szóstego zmysłu. W razie zagrożenia natychmiast daje sygnał ostrzegawczy czerwoną chorągiewką. Bardzo wyraźnie zobaczyłem tę czerwoną chorągiewkę, choć nie byłbym w stanie wam wyjaśnić, w jaki sposób. W następnej chwili ujrzałem but wystający spod zasłony i wszystko natychmiast zrozumiałem. W gabinecie płonęła tylko ta świeca, którą trzymałem w dłoni. Jednak przez otwarte drzwi do środka wpadało sporo światła rzucanego przez lampę w korytarzu. Odstawiłem świecę i rzuciłem się do kominka po młotek, który zostawiłem na gzymsie. W tej samej chwili mój wróg skoczył na mnie. Ujrzałem błysk noża i uderzyłem młotkiem. Musiałem go trafić w jakieś czułe miejsce, bo nóż z brzękiem upadł na podłogę. Uciekał przede mną dookoła stołu, szybko i zwinnie jak węgorz, a chwilę później wyciągnął spod płaszcza broń. Usłyszałem, jak odciąga kurek, jednak schwyciłem ją, nim zdążył wystrzelić. Złapałem za lufę, i przez jakiś czas szamotaliśmy się, starając się tę broń sobie wyszarpnąć. Wypuszczenie broni z ręki przez któregoś z nas oznaczałoby jego śmierć.

Chwytu nie zwolnił, jednak o chwilę za długo trzymał śrutówkę kolbą w dół. Może to ja pociągnąłem za spust? Może zrobiliśmy to razem, gdy się szarpaliśmy? Tak czy inaczej dostał w twarz z obu luf, a ja, spojrzawszy w dół, zobaczyłem, co pozostało z Teda Baldwina. Rozpoznałem go w miasteczku i w chwili, gdy się na mnie rzucił, jednak w tym momencie nie poznałaby go nawet jego rodzona matka. Jestem przyzwyczajony do brudnej roboty, ale zrobiło mi się niedobrze.

Stałem, trzymając się stołu, gdy do pokoju wbiegł Barker. Usłyszałem kroki swojej żony i podbiegłem do drzwi, aby ją zatrzymać. To nie był widok dla kobiety. Obiecałem, że niedługo do niej przyjdę. Powiedziałem parę słów Barkerowi (wystarczyło jedno spojrzenie, by wszystko zrozumiał), i czekaliśmy, aż zbiegnie się reszta, ale nie pojawiła się żadna osoba. Wtedy zrozumieliśmy, że nikt niczego nie usłyszał i że o tym, co się stało, wiemy tylko my.

Wówczas przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Wydał mi się tak genialny, że aż mnie oszołomił. Zabitemu podwinął się rękaw, i na jego przedramieniu zobaczyłem wypalony znak. Spójrzcie tylko tutaj!

Pan Douglas podwinął rękaw płaszcza i odwinął mankiet koszuli. Ujrzeliśmy brązowy trójkąt wpisany w koło, dokładnie taki sam, jaki

widzieliśmy na ręce zabitego.

– Po tym, jak zobaczyłem ten znak, wiedziałem, co robić. W jednej chwili wszystko wydało mi się bardzo proste. Wzrost, włosy, sylwetka były podobne do moich. Twarzy natomiast nikt by nie rozpoznał. Biedaczysko! Przyniosłem tutaj odzież, w ciągu piętnastu minut przebraliśmy go razem z Barkerem w mój szlafrok i ułożyliśmy tak, jak panowie go znaleźli. Wszystkie rzeczy przybysza spakowaliśmy w tobołek, do którego włożyłem ciężarek, jaki miałem pod ręką, i cisnąłem przez okno. Kartka, którą chciał położyć obok mojego ciała, znalazła się teraz przy jego własnych zwłokach. Włożyliśmy mu na palec moje pierścienie, ale jeśli chodzi o obrączkę – wyciągnął swą muskularną rękę – zobaczcie sami. Nie zdejmowałem jej od dnia ślubu, i mógłby ją zdjąć chyba tylko przy pomocy pilnika. Nie wiem, czy żal by mi było się z nią rozstać, ale nawet gdybym chciał, nie byłbym w stanie. Musieliśmy więc ten szczegół pozostawić losowi. Przyniosłem plaster i przykleiłem go w tym samym miejscu, w którym sam go mam. Panie Holmes, jest pan bardzo sprytny, jednak w tym przypadku coś pan przeoczył. Gdyby przyszło panu do głowy odkleić plaster, odkryłby, że nie ma pod nim żadnego skaleczenia.

Tak się to wszystko odbyło. Gdybym przez jakiś czas pozostawał w ukryciu, a potem wyjechał gdzieś, gdzie dołączyłaby do mnie żona, mielibyśmy szansę spokojnie przeżyć resztę życia. Te diabły nie dałyby mi spokoju, dopóki bym chodził po ziemi. Gdyby jednak wyczytali w gazetach, że Baldwin dorwał swojego wroga, wszystkie moje kłopoty wreszcie by się skończyły. Niewiele miałem czasu, żeby wyjaśnić to w szczegółach Barkerowi i mojej żonie, zrozumieli jednak wystarczająco dużo. Wiedziałem o kryjówce, podobnie jak i Ames. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, by połączyć ją z tą sprawą. Schroniłem się tam, a resztę pozostawiłem Barkerowi.

Domyślacie się zapewne, co zrobił. Otworzył okno i odcisnął ślad swego buta na parapecie, by zasugerować policji, jak morderca stąd uciekł. Było to dosyć naciągane, ale ponieważ most był podniesiony, nie było innej drogi ucieczki. Potem zaalarmował wszystkich dzwonkiem. Wiecie, co było później. A teraz, panowie, zróbcie to, co uważacie za słuszne. Ja wyjawiłem całą prawdę, tak mi dopomóż Bóg. Powiedzcie tylko, jaka jest moja sytuacja w świetle angielskiego prawa?

Zapadła cisza, którą przerwał wreszcie Sherlock Holmes.

– Angielskie prawo jest sprawiedliwe, panie Douglas. Otrzyma pan to, na co zasłużył. Chciałbym jednak zapytać, skąd ten człowiek wiedział, gdzie pan mieszka, jak dostać się do pańskiego domu albo gdzie się ukryć, aby pana zaskoczyć?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

Twarz Holmesa była bardzo blada i poważna.

– Obawiam się, że ta historia jeszcze się nie skończyła – powiedział. – Czyhają na pana gorsze niebezpieczeństwa niż angielskie prawo, gorsze nawet niż pańscy wrogowie z Ameryki. Czekają pan kłopoty, panie Douglas. Proszę posłuchać mojej rady i mieć się na baczności.

A teraz, moi cierpliwi czytelnicy, proponuję, żebyśmy zostawili na czas jakiś dwór Birlstone w Sussex i udali się w daleką podróż, cofając się w czasie mniej więcej o dwadzieścia lat i przenosząc się kilka tysięcy mil na zachód. Opowiem wam tak dziwną i straszną historię, że trudno będzie w nią uwierzyć, choć wydarzyła się naprawdę. Pod koniec naszej podróży będziemy wiedzieli wszystko o dziwnych losach człowieka, znanego jako John Douglas.

Nie sądźcie, że pragnę opowiedzieć jakąś drugą historię, nim pierwsza dobieg-nie końca. Sami przekonacie się, że wcale tak nie jest. A gdy już szczegółowo opiszę te odległe wydarzenia, i poznacie tajemnicę przeszłości, ponownie spotkamy się w mieszkaniu na Baker Street, gdzie historia ta, podobnie jak wiele innych niezwykłych wydarzeń, odnajdzie swoje zakończenie.

Część druga

Wykonawcy wyroków

Rozdział pierwszy

Mężczyzna

Miało to miejsce czwartego lutego 1875 roku. Zima była surowa, i w wąwozach Gilmerton Mountains leżał głęboki śnieg. Jednakże dzięki pługom parowym linie kolejowe zostały odśnieżone i wieczorny pociąg, łączący szereg górniczych i hutniczych osad, powoli, stękając, piął się w górę po stromych stokach wiodących ze Stagville na równinach do Vermissy, głównego miasta w tej okolicy, leżącego na drugim końcu doliny Vermissy. Stamtąd szlak biegł w dół do Bartons Crossing, Helmdale i rolniczego hrabstwa Merton. Była to jednotorowa linia kolejowa. Na każdej z wielu bocznic stały długie sznury wagonów wypełnionych węglem i rudą żelaza, świadczące o bogactwie, które sprowadziło rzesze ludzi do tego niegdyś przygnębiającego, a obecnie tętniącego życiem zakątka Stanów Zjednoczonych.

Kiedyś to naprawdę było bezludzie. Pionier, który tu dotarł, nie miał pojęcia, że najpiękniejsze prerie i najbujniejsze pastwiska nad wodami były nic niewarte w porównaniu z tą ponurą ziemią z czarnymi urwiskami i gęstą puszczą. Pośród wysokich jałowych szczytów i postrzępionych skał ukrytych pod białym śniegiem, których zbocza porastały ciemne, niemal nieprzebyte lasy, wiła się, otoczona ze wszystkich stron górami, długa kręta dolina. Wzdłuż tej właśnie doliny wspinał się powoli mały pociąg.

W pierwszym wagonie dopiero co zapalono lampy naftowe. Był to zwykły długi wagon, w którym mieściło się dwadzieścia–trzydzieści osób. Większość z nich stanowili robotnicy wracający po całodziennej harówce w niżej położonej części doliny. Co najmniej z tuzin z nich było górnikami, o czym świadczyły ubrudzone twarze i górnicze lampy. Siedzieli zbici w grupkę, paląc papierosy, i rozmawiali cichymi głosami,

od czasu do czasu zerkając na dwóch mężczyzn w drugiej części wagonu, których mundury i odznaki świadczyły, iż byli policjantami.

Resztę tej grupy stanowiło kilka kobiet z klasy robotniczej i paru podróżnych, którzy byli zapewne właścicielami niewielkich miejscowych sklepików. W kącie wagonu siedział samotnie młody człowiek, któremu bardzo dokładnie się przyjrzymy. Młodzieniec miał świeżą cerę, był średniego wzrostu i, oceniając na oko, zbliżał się do trzydziestki. W jego dużych bystrych wesołych oczach pojawiał się od czasu do czasu błysk zaciekawienia, gdy rozglądał się wokół i obserwował zza swych okularów współpasażerów. Te spojrzenia utwierdzały w przekonaniu, że był człowiekiem towarzyskim; powierzchowny obserwator powiedziałby, że jest to prostak. Pragnął być miłym dla wszystkich, często się uśmiechał. Jednak bardziej dokładne przyjrzenie się jego twarzy, pozwoliłoby dostrzec w wydatności szczęki i ponurym wyrazie zaciętych ust głębię i siłę, które kryły się pod zewnętrzną łagodnością i mogły świadczyć o tym, że ten miły młody Irlandczyk o kasztanowych włosach był w stanie zmienić na dobre lub złe losy każdej społeczności, w której przyszłoby mu żyć. Zagadnąwszy niepewnie parę razy najbliższego górnika i otrzymawszy tylko krótkie gburowate odpowiedzi, zrezygnowany podróżny zaakceptował ponurą ciszę i wyglądał melancholijnie przez okno na zblakły krajobraz.

Ten widok nie napawał radością. W gęstniejącym zmierzchu na zboczach wzgórz pulsowały czerwone łuny palenisk. Po obu stronach majaczyły wielkie sterty żużlu i hałdy popiołu, a nad nimi piętrzyły się wysokie szyby kopalni. Nędzne drewniane domy zbite w ciasne grupki, w których oknach właśnie zaczynały zapalać się światła, stały porozrzucane wzdłuż torów, na stacyjkach czekali, stłoczeni, brudni od sadzy robotnicy.

Zagłębie górniczo-hutnicze w rejonie Vermissy nie było miejscem dla ludzi wykształconych czy pragnących odpocząć. Tutaj toczyła się okrutna walka o życie.

Młody podróżny przyglądał się tym ponurym okolicom, a na jego twarzy malowały się odraza i zainteresowanie, co świadczyło o tym, że cała ta sceneria była dla niego czymś nowym. Co jakiś czas wyciągał z kieszeni długi list, w którym coś sprawdzał i notował na marginesach. Raz wyjął zza pasa coś, czego trudno byłoby oczekiwać u człowieka o tak łagodnym usposobieniu. Był to rewolwer największego kalibru. Gdy obrócił go ukośnie do światła, błysnęły obwódki miedzianych łusek w bębenku: broń

była naładowana. Szybko schował rewolwer do ukrytej kieszeni, ale nie na tyle prędko, żeby nie zauważył tego pewien robotnik, który zajmował sąsiednią ławkę.

– Hej, kolego! – powiedział. – Wygląda na to, że jesteś gotowy na wszystko.

Młody mężczyzna uśmiechnął się z zakłopotaniem.

– Tak – powiedział. – W miejscu, z którego pochodzę, potrzebujemy czasem takiej broni.

– Czyli skąd?

– Ostatnio mieszkałem w Chicago.

– A więc jesteś obcy w tych stronach?

– Tak.

– Jeszcze się przekonasz, że on ci się tutaj przyda.

– Doprawdy? – młody człowiek sprawiał wrażenie zaciekawionego.

– Nic nie słyszałeś o tym, co się tutaj wyrabia?

– Nie. Nie słyszałem niczego niezwykłego.

– Myślałem, że w całym kraju o tym mówią. Wkrótce się dowiesz. Co cię tutaj sprowadza?

– Słyszałem, że dla chętnego zawsze znajdzie się tu praca.

– Należysz do związku?

– Jasne.

– W takim razie pewnie dostaniesz pracę. Masz tu jakichś przyjaciół?

– Jeszcze nie, ale potrafię ich sobie zdobyć.

– Niby jak?

– Należę do Prześwietnego Zakonu Wolnych Ludzi. Nie ma takiego miasta, w którym nie mieliby swojej loży, a wszędzie tam, gdzie jest loża, znajdę przyjaciół.

Ta uwaga wywarła przedziwny wpływ na jego towarzysza. Rozejrzał się wokół podejrzliwie, przyglądając się innym podróżnym w wagonie. Górnicy wciąż cicho szeptali coś między sobą. Dwaj policjanci drzemali. Przeszedł na drugą stronę, usiadł przy młodym podróżnym i wyciągnął rękę.

– Przybij – powiedział.

Wymienili pewien gest.

– Jak widzę, mówisz prawdę – rzekł robotnik. – Ale dobrze jest się upewnić. – Uniósł prawą dłoń do prawej brwi. Podróżny natychmiast uniósł

lewą dłoń do lewej brwi.

– Ciemne noce są nieprzyjemne – rzekł robotnik.

– Tak, dla podróżnych znajdujących się w drodze – odparł ten drugi.

– To wystarczy. Jestem brat Scanlan z loży 341 w dolinie Vermissy. Witam w naszych stronach.

– Dziękuję. Jestem brat John McMurdo z loży 29 w Chicago. Mistrzem loży jest J. H. Scott. Dopisało mi szczęście, że tak szybko spotkałem brata.

– Sporo nas tutaj. Przekonasz się, że nasz zakon nigdzie w Stanach nie funkcjonuje równie wspaniale, jak tutaj, w dolinie Vermissy. Ale przydałoby nam się paru takich chłopaków jak ty. Nie potrafię zrozumieć, jak taki energiczny człowiek, należący do związku, nie mógł znaleźć sobie pracy w Chicago.

– Nie miałem problemu ze znalezieniem pracy – rzekł McMurdo.

– W takim razie dlaczego wyjechałeś?

McMurdo wskazał głową na policjantów i uśmiechnął się.

– Myślę, że oni chętnie by się tego dowiedzieli – powiedział.

Scanlan jęknął ze współczuciem.

– Masz kłopoty? – spytał szeptem.

– Poważne.

– Więzienie?

– I cała reszta.

– Ale nikogo nie zabiłeś?!

– Za wcześnie, by mówić o takich rzeczach – rzekł chłodno McMurdo, jak ktoś, kto już żałuje, że powiedział więcej, niż zamierzał. – Miałem bardzo poważne powody, by opuścić Chicago, i ta wiedza powinna ci wystarczyć. Kim jesteś, że ośmielasz się pytać o takie rzeczy? – nagle jego szare oczy zapłonęły zza okularów gwałtownym niebezpiecznym gniewem.

– W porządku, kolego! Bez urazy. Chłopaki nie będą o tobie źle myśleli, niezależnie od tego, co zrobiłeś. Dokąd jedziesz?

– Do Vermissy.

– To jeszcze trzy stacje. Gdzie się chcesz zatrzymać?

McMurdo wyjął kopertę i zbliżył ją do niezbyt jasnej lampy naftowej.

– Tu mam adres. Jacob Shafter, Sheridan Street. To pensjonat. Polecił mi go pewien znajomy z Chicago.

– Nie znam go. Ale Vermissa to nie mój teren. Mieszkam w Hobson’s Patch. Tam się pożegnamy. Ale zanim wysiądę, chciałbym ci jeszcze

udzielić jednej rady. Jeśli będziesz miał kłopoty w Vermissie, idź do Union House i porozmawiaj z mistrzem McGintym. Jest mistrzem tamtejszej loży, i nic nie ma prawa wydarzyć się w tej okolicy, jeśli Czarny Jack McGinty sobie tego nie życzy. Na razie, kolego. Pewnie spotkamy się któregoś wieczoru w loży. Ale zapamiętaj sobie moje słowa: jeśli masz problemy, idź do mistrza McGinty'ego.

Scanlan wysiadł, a McMurdo znów został sam ze swoimi myślami. Zapadła noc. Płomienie wielu palenisk drżały i huczały w ciemności. Na ich jaskrawym tle można było dostrzec ciemne sylwetki poruszające się w rytm pracy wyciągarki lub kołowrotu, w niekończącym się dudnieniu i łoskocie.

– Chyba tak właśnie musi wyglądać piekło – powiedział czyjś głos.

McMurdo odwrócił się i zobaczył, że jeden z policjantów podniósł się ze swojego miejsca i wyglądał przez okno.

– Co do mnie – powiedział drugi policjant – uważam tak samo. I diabły, które mieszkają tam na dole, na pewno nie są gorsze od tych miejscowych. Przypuszczam, że jesteś w tych stronach nowy, młody człowieku?

– A jeśli tak, to co? – odparł opryskliwie McMurdo.

– A tylko to, mój panie, że radziłbym mu staranniej dobierać przyjaciół. Gdybym był na pańskim miejscu, nie śpieszyłbym się zawierać znajomość z Mikiem Scanlanem czy z kimś z jego gangu.

– A co cię, u diabła, obchodzi, z kim się zadaję?! – ryknął McMurdo takim głosem, że głowy wszystkich obecnych w wagonie zwróciły się w jego stronę. – Pytałem cię o coś? A może uważasz mnie za takiego nieudacznika, który sam sobie nie poradzi? Nie odzywaj się, póki ktoś cię o to nie poprosi. I na Boga, gdybym tym kimś miał być ja, to musiałbyś długo czekać! – Wykrzywił twarz w złowrogim uśmiechu, obnażając zęby, niczym warczący pies.

Dwóch dość otyłych i dobrodusznych policjantów zaskoczyła niezwykła gwałtowność, z jaką odrzucono ich przyjazne słowa.

– Bez urazy, panie nieznajomy – powiedział jeden. – Ostrzegliśmy pana dla jego własnego dobra, widząc, że jest pan tutaj nowy.

– Może tutaj i jestem nowy, ale za to doskonale znam was i wam podobnych! – zawołał z zimną furią McMurdo. – Wszędzie jesteście tacy sami! Wtykacie ludziom na siłę swoje rady, chociaż nikt was o to nie prosi.

– Może już wkrótce poznamy się bliżej – powiedział jeden z policjantów z szerokim uśmiechem. – Na moje oko, niezły z ciebie gagatek.

– Też tak pomyślałem – zauważył jego towarzysz. – Chyba niedługo znów się spotkamy.

– Nie boję się was. Nie myślcie sobie! – krzyknął McMurdo. – Nazywam się John McMurdo. Jeżeli będę wam potrzebny, znajdziecie mnie w Vermissie u Jacoba Shaftera przy Sheridan Street. Nie kryję się przed wami. We dnie czy w nocy śmiało patrzę w oczy takim jak wy. Nie myślcie sobie, że jest inaczej.

Nieustraszona postawa przybysza wywołała szmer sympatii i podziwu wśród górników. Dwaj policjanci wzruszyli ramionami i powrócili do swojej rozmowy.

Kilka minut później pociąg wjechał na kiepsko oświetloną stację, i większość pasażerów zaczęła zbierać się do wyjścia. Vermissa była najwyraźniej największym miastem na tej linii. McMurdo wziął swą skórzaną torbę podróżną i już miał ruszyć w ciemność, gdy zagadnął go jeden z górników.

– Na Boga, kolego, wiesz jak rozmawiać z glinami – powiedział pełnym podziwu głosem. – Aż miło było słuchać, jak im wygarnąłeś. Pozwól, że poniosę twoją torbę i pokażę ci drogę. Pensjonat Shaftera jest mi po drodze.

Rozległ się chór przyjaznych głosów powtarzających słowo „dobranoc”, gdy górnicy opuszczali peron. Zanim McMurdo postawił stopę w Vermissie, już stał się tutaj znaną postacią.

W tej okropnej okolicy samo miasto było jeszcze bardziej przygnębiające. Płomienie i chmury dymu w dolinie poniżej potęgowały jeszcze ogrom tego ponurego miejsca, a ludzka siła i pracowitość same wznosiły sobie pomniki w postaci hałd, powstających przy monstrualnych wykopach. Miasto było natomiast potwornie szpetne i plugawe. Szeroka rozjeżdżona ulica zamieniła się we wstrętną, poznaczoną koleinami masę śniegu z błotem. Chodniki były wąskie i nierówne. Liczne lampy gazowe służyły chyba tylko temu, by można było wyraźniej zobaczyć długi szereg zaniedbanych i brudnych drewnianych domów, zwróconych werandami w stronę ulicy.

Gdy zbliżyli się do centrum miasta, scenerię tę rozjaśnił nieco rząd dobrze oświetlonych sklepów oraz parę barów i kasyn, w których górnicy wydawali swoje ciężko zarobione, ale duże pieniądze.

– To jest Union House – rzekł przewodnik, wskazując na jeden z barów, który wyglądał jak hotel. Mistrzem jest Jack McGinty.

– A co to za jeden? – zapytał McMurdo.

– Co takiego?! Nigdy nie słyszałeś o szefie?

– Jak mogłem o nim słyszeć, skoro, jak wiesz, jestem nowy w tych stronach?

– Myślałem, że jego imię jest znane w całym kraju. Często pisali o nim w gazetach.

– Dlaczego?

– No wiesz – górnik ściszył głos. – Chodziło o te sprawy.

– Jakie sprawy?

– Wielkie nieba, człowieku! Bez urazy, ale straszny z ciebie dziwak. W tych stronach jest tylko jeden rodzaj spraw, o jakich można usłyszeć: są to sprawy wykonawców wyroków.

– Chyba czytałem coś o nich w Chicago. To banda morderców, tak?

– Cicho, jeśli ci życie miłe! – zawołał górnik, zamierając z przerażenia i wpatrując się zdumionym wzrokiem w swojego towarzysza. – Człowieku, nie pożyjesz za długo w tych stronach, jeśli będziesz mówił takie rzeczy na ulicy. Już wielu ludzi zatłukli na śmierć, choć narazili im się mniej.

– Nic o nich nie wiem. Tylko tyle, co przeczytałem.

– A ja nie twierdzę, że to, co czytałeś nie było prawdą. – Mówiąc to, mężczyzna rozejrzał się nerwowo wokół, wpatrując się w cienie, jakby się obawiał, że gdzieś tam może czaić się niebezpieczeństwo. – Jeśli zabicie człowieka to morderstwo, to Bóg wie, że akurat morderstw mamy tutaj aż nadto. Ale nie waż się wymienić w związku z nimi nazwiska Jacka McGinty’ego. Tutaj każdy szept sięga jego uszu, a on nie jest z tych, co puszczają takie rzeczy płazem. A teraz posłuchaj. Oto dom, którego szukasz. Stoi trochę dalej od ulicy. Przekonasz się, że stary Jacob Shafter, który prowadzi pensjonat, to jeden z najuczciwszych ludzi w tym mieście.

– Dziękuję – rzekł McMurdo i, uścisnąwszy dłoń nowemu znajomemu, ruszył ścieżką z torbą w ręce we wskazanym kierunku.

Podszedł do domu, przystanął przy drzwiach i z całej siły zapukał. Drzwi się otworzyły, i McMurdo ujrzał niespodziewanie młodą i wyjątkowo piękną kobietę, sądząc z wyglądu, Niemkę: była blondynką o jasnych włosach, z którymi cudnie kontrastowały jej piękne ciemne oczy. Przyglądała się nieznajomemu, zdziwiona i przyjemnie zaskoczona,

co sprawiło, że jej jasna twarz oblała się rumieńcem. Na tle jaskrawego światła, które padało przez otwarte drzwi, wydała się Jackowi McMurdo pięknym obrazem, tym cudowniejszym, że tak bardzo się różnił od ponurego i obskurnego otoczenia. Piękny fiołek rosnący na jednej z tych czarnych hałd żużlu nie mógłby bardziej zaskoczyć. Mężczyzna był tak oczarowany, że stał bez słowa i patrzył na nią, w końcu dziewczyna przerwała milczenie.

– Myślałam, że to ojciec – powiedziała z lekkim, miłym dla ucha niemieckim akcentem. – Przyszedł pan do niego? Jest w mieście, ale powinien wrócić za chwilę.

McMurdo dalej wpatrywał się w nią, nie kryjąc podziwu, aż, zmieszana, spuściła oczy pod jego władczym spojrzeniem.

– Nie, panienko – powiedział w końcu. – Nie śpieszy mi się, by go zobaczyć. Polecono mi wasz dom, teraz jestem pewien, że będzie mi odpowiadał.

– Szybko się pan decyduje. – Roześmiała się.

– Każdy by tak uczynił, no chyba że byłby ślepy – odparł.

Uśmiechnęła się, słysząc komplement.

– Proszę wejść, sir – powiedziała. – Jestem Ettie Shafter, córka pana Shaftera. Moja matka nie żyje, a ja zajmuję się prowadzeniem domu. Może pan usiąść tam w salonie przy piecu i poczekać, aż wróci mój ojciec… Ach! Oto i on. A więc może pan z nim od razu wszystko załatwić.

Ścieżką wiodącą do domu wlókł się krępy starszy mężczyzna. McMurdo wyjaśnił mu w kilku słowach, z jaką sprawą przybywa. Pewien człowiek o nazwisku Murphy podał mu w Chicago adres pana Shaftera; Murphy natomiast dostał go od kogoś innego. Stary Shafter długo się nie zastanawiał. Nieznajomy nie targował się, od razu się zgodził na wszystkie warunki. Najwyraźniej miał sporo pieniędzy. Uzgodnili, że będzie miał pokój z wyżywieniem za siedem dolarów tygodniowo, płatne z góry.

I w ten właśnie sposób McMurdo, który sam przyznawał, że uciekał przed wymiarem sprawiedliwości, zamieszkał pod dachem Shafterów. Był to pierwszy krok, który miał doprowadzić do długiej i mrocznej serii wydarzeń, jakie znalazły swoje zakończenie w dalekim kraju.

Rozdział drugi

Mistrz loży

McMurdo umiał robić wrażenie. Gdziekolwiek się pojawił, ludzie szybko się o nim dowiadywali. Po tygodniu stał się zdecydowanie najważniejszą osobą w domu Shafterów. Mieszkało tam około tuzina innych gości; byli to uczciwi sztygarze i zwykli sprzedawcy, a więc ludzie zupełnie innego pokroju niż ten młody Irlandczyk. Kiedy wszyscy się zbierali wieczorami, zawsze opowiadał najlepsze dowcipy, prowadził najbardziej błyskotliwie rozmowy i najpiękniej śpiewał. Był typem serdecznego przyjaciela, obdarzonym magnetyzmem, który wprawiał w dobry humor wszystkich wokół niego.

Od czasu do czasu jednak, podobnie jak w wagonie kolejowym, wpadał nagle w gniew, budząc respekt, a nawet strach wśród tych, z którymi obcował. Okazywał też ostentacyjną pogardę dla prawa i jego przedstawicieli, co bardzo cieszyło niektórych spośród gości hotelowych, innych zaś napawało lękiem.

Od początku nie ukrywał, że córka właściciela domu zdobyła jego serce, gdy zobaczył ją po raz pierwszy i dostrzegł jej wdzięk i urodę. Spoglądał na nią, nie kryjąc podziwu. Był też zalotnikiem, któremu nie brakowało tupetu. Już drugiego dnia wyznał dziewczynie, że ją kocha, i od tego czasu ciągle zapewniał o swoim uczuciu, absolutnie nie zwracając uwagi na to, co mówiła, by go zniechęcić.

– Ktoś inny? – wykrzykiwał. – Tym gorzej dla niego! Niech uważa! Czy mam przez kogoś stracić moją życiową szansę i wszystko, czego pragnie moje serce?! Możesz mi dalej odmawiać, Ettie, ale przyjdzie taki dzień, kiedy wreszcie powiesz „tak”, jestem młody i mogę poczekać.

Był również niebezpiecznym uwodzicielem ze swą gładką irlandzką mową i czarującymi pochlebstwami. Wyczuwały się w nim doświadczenie

i tajemniczość, które zwykle przyciągają kobiety, wzbudzając najpierw zainteresowanie, a potem miłość. Potrafił mówić o łagodnych dolinach hrabstwa Monagham, skąd pochodził, o pięknej dalekiej wyspie, niewysokich wzgórzach i zielonych łąkach, które wydawały się jeszcze piękniejsze, gdy patrzyło się na nie oczyma wyobraźni, żyjąc w tym brudnym, zasypanym śniegiem miejscu.

Dobrze poznał życie w miastach na północy, w Detroit, w obozach drwali w Michigan i Chicago, gdzie pracował w tartaku. Napomykał przy tym o czymś tak romantycznym, o tak dziwnych i osobistych rzeczach, które przytrafiły mu się w tym wielkim mieście, że otwarcie nie można było o nich mówić.

Opowiadał smutnym głosem, że musiał stamtąd nagle wyjechać, zerwać wszystkie więzi, uciec w świat, który był mu obcy, i o tym, jak dotarł do tej ponurej doliny. Ettie słuchała go, a jej ciemne oczy błyszczały, pełne współczucia i sympatii; te dwa uczucia potrafią bardzo szybko i w naturalny sposób przerodzić się w miłość.

McMurdo był człowiekiem wykształconym, otrzymał więc pracę tymczasową jako księgowy. Przez większą część dnia przebywał poza pensjonatem i jak do tej pory nie znalazł jeszcze okazji, by zgłosić się do mistrza loży Prześwietnego Zakonu Wolnych Ludzi. O tym uchybieniu przypomniał jednak Mike Scanlan, człowiek poznany w pociągu, który pewnego wieczoru złożył mu wizytę. Scanlan, niski nerwowy mężczyzna o czarnych oczach i ostrych rysach, wydawał się zadowolony, że znów widzi Johna. Po paru szklankach whisky wyłuszczył mu, z czym przyszedł.

– Posłuchaj, McMurdo – powiedział. – Zapamiętałem sobie twój adres, więc pomyślałem, że wpadnę. Dziwi mnie, że do tej pory nie przedstawiłeś się mistrzowi loży. Dlaczego nie spotkałeś się jeszcze z mistrzem McGintym?

– Musiałem znaleźć sobie pracę. Byłem zajęty.

– Dla niego musisz znaleźć czas, nawet jeśli zabraknie ci go na wszystko inne. Wielkie nieba, człowieku! Byłeś głupcem, że pierwszego ranka, jak tylko przyjechałeś, nie poszedłeś od razu do Union House i nie zgłosiłeś się do loży. Jeśli mu się narazisz… Nie wolno ci! To wszystko.

McMurdo zdziwił się nieco.

– Należę do loży od ponad dwóch lat, Scanlan, ale nigdy nie słyszałem, by wynikały z tego tak pilne obowiązki.

– Może w Chicago tego nie ma.

– Przecież też to samo towarzystwo.

– Tak uważasz?

Scanlan utkwił wzrok w swym rozmówcy i długo mu się przyglądał. Spojrzenie miał złowrogie.

– A tak nie jest?

– Odpowiesz mi na to za miesiąc. Słyszałem, że po tym, jak wysiadłem z pociągu, pogadałeś z gliniarzami.

– A jak się tego dowiedziałeś?

– Obiło mi się o uszy. W tych stronach wszystko szybko staje się wiadomym, i dobre, i złe.

– Cóż, owszem, wygarnąłem tym psom, co o nich myślę.

– Na Boga, spodobasz się McGinty’emu!

– A co, on też nienawidzi policji?

Scanlan wybuchnął śmiechem.

– Idź się z nim zobaczyć, chłopcze – rzekł, zbierając się do wyjścia. – Jak tego nie zrobisz, to on zacznie nienawidzić ciebie, a nie policję. Posłuchaj przyjacielskiej rady i pójdź tam natychmiast.

Tak się złożyło, że jeszcze tego samego wieczoru McMurdo odbył podobną rozmowę ze swym gospodarzem. Czy doszło do niej dlatego, że młody człowiek stał się bardziej natarczywy w stosunku do Ettie, czy też ojciec dziewczyny o powolnym, lecz dobrodusznym niemieckim umyśle wreszcie to zauważył, właściciel pensjonatu zaprosił Johna do swego pokoju i zaczął bez ogródek:

– Wydaje mi się, mój panie, że podoba ci się moja Ettie. Czy nie tak? A może się mylę?

– To prawda – odparł młody człowiek.

– Powiem panu od razu, że to nie ma żadnego sensu. Ktoś pana już ubiegł.

– Mówiła mi o tym.

– I to jest prawda. A powiedziała panu, kto to jest?

– Nie. Pytałem ją o to, ale nie chciała wymienić jego nazwiska.

– No myślę, że nie. Ta mała szelma! Może nie chciała pana wystraszyć.

– Wystraszyć?! – McMurdo w jednej chwili się zacietrzewił.

– Tak, tak, mój przyjacielu. To żaden wstyd się go bać. To Teddy Baldwin.

– A kim on, u diabła, jest?

– Szefem wykonawców wyroków.

– Już o nich słyszałem! Tu wykonawcy, tam wykonawcy, i zawsze powtarzacie to szeptem. Czego wy się wszyscy boicie? Kim oni są?

Właściciel pensjonatu instynktownie ściszył głos, jak każdy, kto opowiadał o tym straszliwym stowarzyszeniu.

– Wykonawcy wyroków – powiedział – to Prześwietny Zakon Wolnych Ludzi!

Młody człowiek wbił w niego pełne zdumienia spojrzenie.

– Jak to? Sam należę do tego zakonu.

– Pan?! Nigdy by pan nie przekroczył progu mojego domu, gdybym o tym wiedział! Nawet gdyby chciał mi pan płacić sto dolarów na tydzień!

– A co jest złego w zakonie? Utworzono go w tym celu, by przyjaciele mogli sobie pomagać. Takie są jego zasady.

– Może gdzie indziej tak jest, ale nie tutaj!

– A jak jest tutaj?

– To banda morderców. Zajmują się zabijaniem.

McMurdo roześmiał się z niedowierzaniem.

– Może pan to udowodnić? – spytał.

– Udowodnić?! A pięćdziesiąt morderstw nie starczy, żeby to udowodnić? A co z Milmanem i Van Shorstem? A z rodziną Nicholsonów i ze starym panem Hyamem? I z młodym Billym Jamesem i z innymi? Udowodnić?! Czy w tej dolinie jest ktoś, kto by o tym nie wiedział?

– Proszę posłuchać – rzekł poważnie McMurdo. – Chcę, by cofnął pan to, co właś-nie powiedział, albo podał mi jakieś konkretne dowody. Musi pan uczynić albo jedno, albo drugie, nim wyjdę z tego pokoju. Proszę się postawić na moim miejscu. Jestem obcy w tym mieście. Należę do towarzystwa, o którym wiem, że nie robi nic złego. Jego członków można spotkać w całej Ameryce, nikt nikomu nie szkodzi. Teraz, gdy zastanawiam się, czy nie przystąpić do niego tutaj, mówi mi pan, że jest tym samym, co banda morderców zwana „wykonawcami wyroków”. Uważam, panie Shafter, że albo jest mi pan winny przeprosiny, albo jakieś wyjaśnienie.

– Mogę panu powiedzieć tyko to, o czym wiedzą tu wszyscy. Szefowie jednego są jednocześnie szefami drugiego. Jeśli narazi się pan jednemu, dorwie pana to drugie. Mamy na to aż nazbyt wiele dowodów.

– To tylko plotki. Domagam się konkretnych dowodów! – rzekł McMurdo.

– Jak pożyje pan tu trochę dłużej, dostanie pan te swoje dowody. Ale zapomniałem, że pan jest jednym z nich. Wkrótce stanie się pan równie zły, jak cała reszta. Musi pan sobie znaleźć inną kwaterę. Nie chcę go tutaj. Nie wystarczy, że jeden z tych ludzi przychodzi zalecać się do mojej Ettie, a ja się boję go odprawić? Muszę mieć jeszcze kolejnego, który wynajmuje ode mnie pokój? Nie! To ostatnia noc, jaką pan tu spędzi.

McMurdo poczuł się tak, jakby dostał podwójny wyrok. Pozbawiono go wygodnego mieszkania i odsunięto od dziewczyny, którą kochał. Tego samego wieczoru zastał ją samą w salonie i opowiedział jej o swoich kłopotach.

– Wiesz, Ettie, twój ojciec właśnie wypowiedział mi pokój – rzekł. – Nie przejmowałbym się tym, gdyby chodziło tylko o kwaterę, ale choć znam cię dopiero od tygodnia, jesteś mi tak bardzo droga, że nie potrafię żyć bez ciebie.

– Och, niech pan przestanie, panie McMurdo. Niech pan tak nie mówi – odparła dziewczyna. – Przecież mówiłam, że się pan spóźnił. Jest ktoś inny, i choć nawet jeszcze mu nie obiecałam, że za niego wyjdę, nie mogę tego powiedzieć nikomu innemu.

– A gdybym, Ettie, był tym pierwszym, czy wtedy miałbym u ciebie jakąś szansę?

Dziewczyna ukryła twarz w dłoniach.

– Boże, jak ja bym chciała, żeby to pan był tym pierwszym! – wyszlochała.

McMurdo w jednej chwili padł przed nią na kolana.

– Na Boga, Ettie, niech tak właśnie będzie! – zawołał. – Chcesz zniszczyć życie sobie i mnie z powodu tej jednej obietnicy? Posłuchaj swego serca, *acushla*: jest ono bardziej prawdziwe od słów obietnicy, którą złożyłaś, nie wiedząc do końca, co mówisz.

Chwycił białą dłoń Ettie w swoje silne smagłe ręce.

– Powiedz, że będziesz moja i że razem stawimy temu czoła!

– Gdzieś daleko?

– Nie, tutaj. – Otoczył ją ramionami.

– Ale John! Nie możemy tutaj zostać. Mógłbyś mnie gdzieś stąd zabrać?

Przez chwilę twarz McMurdo wyrażała jakąś wewnętrzną walkę. Zaraz jednak zesztywniała.

– Nie – odparł. – Będę cię miał, Ettie, nawet gdybym musiał stawić czoło całemu światu. Zostaniemy tu.

– Nie możemy stąd razem wyjechać?

– Nie, Ettie. Nie możemy.

– Ale dlaczego?

– Bo jeśli dam się stąd wypędzić, już nigdy nie będę mógł spojrzeć nikomu w oczy. Poza tym, czego się mamy bać? Czy nie jesteśmy wolnymi ludźmi w wolnym kraju? Skoro się kochamy, kto się ośmieli stanąć pomiędzy nami?

– John, ty nic nie rozumiesz. Za krótko tu mieszkasz. Nie znasz Baldwina ani McGinty'ego i jego ludzi.

– Owszem, nie znam ich, ale się ich nie boję, i nic mnie oni nie obchodzą! – powiedział McMurdo. – Żyłem wśród twardych ludzi, moja ukochana, ale nigdy się ich nie bałem, wręcz przeciwnie, po jakimś czasie mnie zaczynali się lękać. I tak było zawsze. To jakieś szaleństwo! Ettie, powiedz mi, skoro ci ludzie popełnili tak wiele zbrodni w tej dolinie, jak mówił twój ojciec, i wszyscy znają ich nazwiska, to dlaczego nigdy nie trafili przed sąd?

– Bo wszyscy boją się zeznawać przeciwko nim. Gdyby ktoś odważył się coś takiego zrobić, nie przeżyłby miesiąca. Oni też mają swoich ludzi gotowych przysiąc, że oskarżony był daleko od miejsca zbrodni. Ale, John, na pewno czytałeś coś na ten temat! Myślę, że pisały o tym wszystkie gazety w Stanach.

– Czytałem to i owo, ale byłem przekonany, że to jakieś wymysły. Może ci ludzie mają jakieś powody, by robić to, co robią? Może zostali skrzywdzeni i nie mogą pomóc sobie w inny sposób?

– Och, John, nie mów takich rzeczy! On mówi tak samo.

– Kto, ten Baldwin? On ci tak powiedział?

– Tak, i dlatego nie cierpię go. Powiem ci prawdę! Nienawidzę go z całego serca, ale się go boję. Boję się, że mnie skrzywdzi, ale jeszcze bardziej boję się, że wyrządzi krzywdę memu ojcu. Wiem, że gdybym odważyła się powiedzieć, co naprawdę czuję, spadłoby na nas jakieś straszne nieszczęście. To dlatego zbyłam go połowicznymi obietnicami. Tak naprawdę to była nasza jedyna nadzieja. Ale gdybyś ze mną uciekł, John,

moglibyśmy zabrać ze sobą ojca i zamieszkać daleko stąd, gdzie podli ludzie dzierżą władzę.

Przez chwilę McMurdo znów toczył wewnętrzną walkę, ale zaraz rysy jego twarzy skamieniały.

– Nic ci się nie stanie, Ettie. Ani tobie, ani twojemu ojcu. A jeśli chodzi o tych nikczemników, to nim skończę z nimi, przekonasz się, że nie jestem lepszy od najgorszego z nich.

– Nie, nie, John! Cokolwiek robiłeś, wiem, że i tak mogę ci zaufać.

McMurdo roześmiał się gorzko.

– Dobry Boże, jak mało o mnie wiesz. Ty z tą swoją niewinną duszą, moja ukochana, nie jesteś w stanie odgadnąć, co się dzieje w mojej duszy. Ale chwileczkę… Kim jest ten gość?

Drzwi otworzyły się nagle, i do środka wszedł młody mężczyzna. Poruszał się pewnym, władczym krokiem człowieka, który uważa, że jest panem wszystkiego. Był przystojny i energiczny, w tym samym mniej więcej wieku i tej samej budowy co McMurdo. Spod czarnego filcowego kapelusza z szerokim rondem, którego nawet nie pofatygował się zdjąć, widać było przystojną twarz o dzikich władczych oczach i orlim nosie. Spojrzał gniewnie na parę siedzącą przy piecu.

Ettie zerwała się na nogi, zmieszana i przestraszona.

– Cieszę się, że pana widzę, panie Baldwin – powiedziała. – Przyszedł pan wcześ-niej, niż myślałam. Proszę wejść i się rozgościć.

Baldwin stał z rękoma opartymi na biodrach, patrząc na McMurdo.

– Kto to jest? – spytał szorstko.

– To mój przyjaciel. Nowy gość w naszym pensjonacie. Panie McMurdo, chciałabym przedstawić pana Baldwina.

Młodzieńcy niechętnie skłonili głowy.

– Sądzę, że panna Ettie opowiadała panu, jak to z nami jest? – spytał Baldwin.

– Nie słyszałem, żeby coś was łączyło.

– Doprawdy? To zaraz pan usłyszy. Mówię panu, że ta młoda dama jest moja, więc może pan pójść sobie teraz na spacer. Wieczór doprawdy jest wspaniały.

– Dziękuję, ale nie mam ochoty na spacer.

– Tak? – w dzikich oczach mężczyzny płonął gniew. – A może ma pan ochotę się bić, panie gościu?

– Tak, mam! – zawołał McMurdo, zrywając się na równe nogi. – Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności.

– Na boga, John! Na Boga! – zawołała nieszczęsna zrozpaczona Ettie. – Och John, John! On ci zrobi krzywdę!

– A więc mówisz do niego John, tak? – spytał Baldwin, klnąc pod nosem. – Już przeszliście na ty?!

– Och Ted, bądź rozsądny. Bądź miły. Ze względu na mnie, Ted, jeśli kiedykolwiek mnie kochałeś. Okaż trochę serca i wybacz mu.

– Myślę, Ettie, że gdybyś zostawiła nas samych, moglibyśmy załatwić to miedzy sobą – rzekł cicho McMurdo. – A może, panie Baldwin, przejdzie się pan ze mną za róg? Mamy dziś piękny wieczór, a za następną przecznicą jest trochę wolnego miejsca.

– Załatwię cię i nawet sobie rąk nie pobrudzę – odparł Baldwin. – Zanim z tobą skończę, będziesz żałował, że twoja noga postała kiedykolwiek w tym domu.

– No to załatwmy to od razu! – krzyknął McMurdo.

– Sam wybiorę właściwy czas, mój panie. Zostaw to mnie. Patrz! – Nagle podwinął rękaw i pokazał dziwny znak na przedramieniu, który wyglądał jak wypalone znamię. Był to trójkąt wpisany w koło. – Wiesz, co to znaczy?

– Nie wiem, i nic mnie to nie obchodzi.

– No to się dowiesz. Obiecuję ci to. I nie będziesz miał okazji się zestarzeć. Może panna Ettie opowie ci o tym co nieco. A co do ciebie, Ettie, wrócisz do mnie na kolanach. Słyszysz, dziewczyno, na kolanach! I wtedy powiem ci, jaka będzie twoja kara. Zasiałaś ziarno i sama zbierzesz swoje plony, już ja tego dopilnuję. – Rzucił obojgu wściekłe spojrzenie, po czym odwrócił się na pięcie, i chwilę później drzwi zatrzasnęły się za nim.

Przez moment dziewczyna i McMurdo stali w milczeniu. Następnie Ettie objęła go.

– Och, John, jaki ty byłeś odważny! Ale to na nic. Musisz uciekać! Dziś w nocy, jeszcze dziś w nocy! To twoja jedyna nadzieja. On cię zabije. Wyczytałam to w tych jego strasznych oczach. Jaką będziesz miał szansę, jeśli napadnie cię ich tuzin? Co zdziałasz przeciw mistrzowi McGinty’emu i całej potędze loży, która za nim stoi?

McMurdo uwolnił się z jej objęć, pocałował ją i łagodnie popchnął na krzesło.

– Siądź, *acushla*, siądź. Nie martw się o mnie i nie bój się. Sam jestem członkiem loży. Właśnie powiedziałem o tym twojemu ojcu. Wcale nie jestem lepszy od innych, więc nie rób ze mnie świętego. Może teraz, kiedy tyle o mnie wiesz, też mnie znienawidzisz?

– Nienawidzić cię, John? Nigdy w życiu nie mogłabym cię znienawidzić! Słyszałam, że jeśli się należy do loży w innych miejscach, nie ma w tym nic złego. Tylko tutaj tak jest. Dlaczego miałabym źle o tobie myśleć? Ale skoro należysz do loży, John, dlaczego nie pójdziesz i nie zaprzyjaźnisz się z mistrzem McGintym? Och, pośpiesz się, John, pośpiesz się! Porozmawiaj z nim pierwszy, bo inaczej te psy będą cię ścigać.

– Myślałem o tym – rzekł McMurdo. – Pójdę tam od razu i załatwię to. Powiedz swemu ojcu, że dziś jeszcze tu przenocuję, a jutro rano znajdę sobie jakąś inną kwaterę.

Bar McGinty’ego, ulubione miejsce rozrywki wszystkich twardzieli w mieście, był zatłoczony jak zwykle. Sam McGinty wydawał się jowialnym człowiekiem, co przysparzało mu popularności. W rzeczywistości była to tylko maska, która skrywała bardzo wiele. Aby jednak przyciągnąć klientów do swego baru, wystarczyła nie jego sława, lecz lęk, jaki McGinty wzbudzał w całym mieście i w całej, długiej na trzydzieści mil dolinie, a nawet za górami po obu jej stronach. Nikt nie mógł bowiem pozwolić sobie na to, by nie spróbować pozyskać jego przychylności.

Oprócz owej tajemnej władzy, którą, jak powszechnie wierzono, wykorzystywał w tak bezwzględny sposób, był również wysokim urzędnikiem, radnym miejskim i komisarzem do spraw dróg, wybranym na to stanowisko głosami łotrów i cwaniaków, którzy w zamian za poparcie liczyli na korzyści. Koszty wyceny gruntów i podatki były ogromne, prace publiczne notorycznie zaniedbywane, przekupieni rewidenci nie sprawdzali zbyt dokładnie ksiąg rachunkowych, a przyzwoici obywatele byli tak sterroryzowani, że gotowi byli znosić ten publiczny szantaż, płacić i trzymać język za zębami, inaczej przytrafiłoby im coś złego.

I tak z roku na rok diamentowe spinki mistrza McGinty’ego stawały się coraz większe, złote łańcuszki na wspaniałej kamizelce – coraz cięższe, a jego zakład ciągle się rozrastał; wydawało się, że lada chwila zajmie całą stronę rynku.

McMurdo pchnął wahadłowe drzwi prowadzące do baru i wkroczył w tłum mężczyzn. Powietrze było tu gęste od dymu i ciężkich oparów alkoholu, wnętrze jasno oświetlone, a wielkie lustra na każdej ze ścian w bogato pozłacanych ramach odbijały i wzmacniały jaskrawe światło lamp. Kilku barmanów w samych koszulach ciężko pracowało, mieszając drinki dla gości, którzy otaczali szeroką, obitą mosiądzem ladę.

Przy samym jej końcu stał wysoki, potężny, mocno zbudowany mężczyzna. Opierał się plecami o bar, a w kąciku ust tkwiło cygaro. Był to sam McGinty: olbrzym o czarnej grzywie, z brodą sięgającą aż do kości policzkowych i bujną czupryną kruczoczarnych włosów opadającą mu aż na kołnierzyk. Skórę miał śniadą jak Włosi, a jego dziwne czarne oczy bez blasku, w połączeniu z lekkim zezem, nadawały mu jednak złowrogi wygląd.

Mimo to, wszystko inne w tym mężczyźnie – doskonałe proporcje ciała, przyjemne rysy i bezpośredniość – pasowało do tej jowialnej serdeczności, którą promieniował. Ktoś, kto przyjrzałby mu się uważniej, mógłby powiedzieć, że to bezceremonialny, szczery człowiek o dobrym sercu, choć jego słowa mogły się wydawać nieco obcesowe. Dopiero w chwili, kiedy te martwe, ciemne oczy, głębokie i bezlitosne, spojrzały na kogoś, ten kulił się, czując, że właśnie stanął twarzą w twarz z uśpionym, nieskończonym złem – i to tysiąckroć bardziej śmiercionośnym, bo stała za nim siła, przebiegłość i odwaga.

Przypatrzywszy się dobrze temu człowiekowi, McMurdo ze swą zwykłą beztroską zuchwałością ruszył w jego stronę, rozpychając się łokciami, aż dotarł do małej grupki „dworzan” przymilających się potężnemu mistrzowi i śmiejących się na całe gardło z jego dowcipów. Śmiałe szare oczy młodego nieznajomego bez lęku spojrzały zza okularów w nieruchome ciemne oczy tego drugiego. McGinty wbijał w niego spojrzenie.

– Cóż, młody człowieku, nie przypominam sobie twojej twarzy.

– Jestem tu nowy, panie McGinty.

– Nie jesteś na tyle nowy, by nie tytułować odpowiednio dżentelmena, z którym rozmawiasz.

– To radny McGinty – dobiegł jakiś głos z grupki.

– Przepraszam, panie radny. Jeszcze nie wiem, jak tu się sprawy mają. Poradzono mi jednak, bym się z panem spotkał.

– No więc spotkałeś się ze mną. Widzisz mnie. I co o mnie myślisz?

– Za wcześnie o tym mówić. Jeśli pańskie serce jest równie silne jak ciało, a dusza równie piękna jak twarz, to o nic lepszego bym nie prosił – rzekł McMurdo.

– Na Boga, masz irlandzką gadkę! – zawołał właściciel baru, nie do końca pewny, czy ma tolerować tego śmiałego gościa, czy raczej traktować go z góry. – A więc podoba ci się mój wygląd?

– Jasne – rzekł McMurdo.

– I ktoś ci powiedział, że masz się ze mną spotkać?

– Tak.

– A kto?

– Brat Scanlan z loży 341 w Vermissie. Piję pańskie zdrowie, panie radny, a także za to, żebyśmy się lepiej poznali.

Uniósł do ust kieliszek, który mu podano, i, pijąc, odchylił nieco mały palec.

McGinty, który bardzo uważnie go obserwował, uniósł swe grube czarne brwi.

– A więc to tak! – powiedział. – Muszę się dokładniej przyjrzeć temu panu…

– McMurdo.

– Panie McMurdo, w tych stronach nie wierzymy w to, co nam się mówi. Proszę pójść na chwilę ze mną.

Było tam małe pomieszczenie, w którym przy każdej ze ścian stały beczki. McGinty dokładnie zamknął drzwi, a następnie usiadł na jednej z nich, w zamyśleniu gryząc cygaro i świdrując towarzysza tymi swymi oczami, budzącymi niepokój. Przez kilka minut milczał. McMurdo nie sprawiał wrażenia zaniepokojonego tym badaniem. Stał z jedną ręką w kieszeni płaszcza, drugą podkręcał swój rudy wąs. Nagle McGinty się pochylił i wyciągnął rewolwer.

– Popatrz, mój żartownisiu! – powiedział. – Gdybym doszedł do wniosku, że sobie z nami pogrywasz, to długo byś nie pożył.

– To dość dziwne powitanie – odparł z godnością McMurdo. – Mistrz loży wita w taki sposób nieznajomego brata?

– Tak. Ale właśnie to musisz udowodnić. I niech Bóg ma cię w swojej opiece, jeśli ci się nie uda. Gdzie zostałeś przyjęty?

– W loży 29 w Chicago.

– Kiedy?

– 24 czerwca 1872 roku.

– Kto był mistrzem loży?

– James H. Scott.

– Kto zarządzał twoim rejonem?

– Barholomew Wilson.

– Ha! Całkiem nieźle wypadłeś w tym teście. Co tutaj robisz?

– Pracuję tak samo jak pan. Tyle że mam gorszą robotę.

– Widzę, że na wszystko masz gotową odpowiedź.

– Tak. Zawsze byłem wygadany.

– A jesteś też szybki w działaniu?

– Tak mówią ci, którzy znają mnie najlepiej.

– Cóż, możemy cię sprawdzić szybciej, niż ci się wydaje. Słyszałeś coś o tutejszej loży?

– Słyszałem, że trzeba być niezłym twardzielem, by zostać przyjętym do miejscowego bractwa.

– I bardzo dobrze pan słyszał, panie McMurdo. Dlaczego opuścił pan Chicago?

– Niech to szlag! Nie zamierzam nikomu o tym opowiadać.

McGinty szerzej otworzył oczy. Nie był przyzwyczajony do takich odpowiedzi i najwyraźniej go to rozbawiło.

– A czemu nie chce mi pan tego powiedzieć?

– Ponieważ bratu nie wolno okłamywać drugiego brata.

– A więc prawda jest zbyt nieprzyjemna, by o niej mówić?

– Jeśli pan chce, może pan to tak ująć.

– Niech pan zrozumie, nie może pan oczekiwać, żebym ja, jako mistrz loży, przyjął człowieka, za którego przeszłość nie mogę ręczyć.

McMurdo wyglądał na zdumionego. Wyjął z wewnętrznej kieszeni zmięty wycinek z gazety.

– Nie doniósłby pan na brata? – spytał.

– Spiorę cię po pysku, jeśli jeszcze raz to usłyszę – zawołał ze złością McGinty.

– Ma pan rację, panie radny – rzekł potulnie McMurdo. – Jestem panu winien przeprosiny. Powiedziałem to bez zastanowienia. Wiem, że w pańskich rękach jestem bezpieczny. Proszę spojrzeć na tę notatkę.

McGinty rzucił okiem na krótki artykuł o zastrzeleniu niejakiego Jonasa Pinto w barze „Jezioro” przy Market Street w Chicago w pierwszym

tygodniu 1874 roku.

– To twoja robota? – spytał, oddając wycinek.

McMurdo kiwnął głową.

– Czemu go zastrzeliłeś?

– Pomagałem Wujowi Samowi robić dolary. Może moje nie były takie „złote” jak jego, ale wyglądały równie dobrze i łatwiej je było zarobić. Ten Pinto pomagał mi je opchnąć…

– Co robił?

– No, wprowadzać do obiegu fałszywe pieniądze. Powiedział, że podzielimy się pół na pół. Może i rzeczywiście chciał się podzielić, ale nie czekałem na to. Załatwiłem go i wyjechałem do zagłębia węglowego.

– Dlaczego akurat tutaj?

– Bo czytałem, że w tych okolicach nie zadają zbyt dużo pytań.

McGinty się roześmiał.

– Najpierw byłeś fałszerzem, potem zostałeś mordercą i wreszcie przyjechałeś w te strony w nadziei, że przywitają cię tu z otwartymi ramionami?

– Coś w tym stylu – odparł McMurdo.

– Hm, wydaje mi się, że daleko zajdziesz. A powiedz, możesz nadal robić te fałszywe dolary?

McMurdo wyjął z kieszeni z pół tuzina banknotów.

– Te nigdy nie opuściły mennicy w Filadelfii – powiedział.

– Co ty powiesz! – McGinty zbliżył pieniądze do światła, trzymając je w swej ogromnej dłoni, owłosionej jak u goryla. – Nie widzę żadnej różnicy. Na Boga! Wydaje mi się, że będziemy mieli z ciebie pożytek! Poradzimy sobie, mając w swych szeregach paru złych ludzi, przyjacielu McMurdo. Zawsze mogą nadejść takie czasy, gdy każdy będzie musiał odegrać swoją rolę. Gdybyśmy nie odgryzali się tym, którzy nas atakują, wkrótce znaleźlibyśmy się pod ścianą.

– Wydaje mi się, że mogę wam w tym pomóc.

– Masz mocne nerwy. Nawet nie drgnąłeś, kiedy wyciągnąłem ten rewolwer.

– To nie ja byłem w niebezpieczeństwie.

– A kto?

– Pan, panie radny – McMurdo wyciągnął odbezpieczony pistolet z bocznej kieszeni kurtki. – Cały czas miałem pana na muszce. Sądzę, że

strzeliłbym równie szybko jak pan.

– Na Boga! – twarz McGinty’ego poczerwieniała ze złości, a potem wybuchnął gromkim śmiechem. – Muszę przyznać, że takiego diabła nie mieliśmy tu już od lat. Wydaje mi się, że loża jeszcze będzie z ciebie dumna… A ty czego tu, u diabła, chcesz? Nie mogę nawet pięć minut spokojnie pogadać z dżentelmenem, bo zaraz musisz się tutaj pchać?

Barman stał, zmieszany.

– Przepraszam pana, panie radny, ale przyszedł Ted Baldwin. Mówi, że musi się z panem natychmiast widzieć.

Przekazywanie tej wiadomości było niepotrzebne, bo znad ramienia barmana wyglądała już zacięta, okrutna twarz samego Teda Baldwina. Odepchnął pracownika i zamknął za nim drzwi.

– A więc to tak – rzekł, rzucając wściekłe spojrzenie McMurdo. – Dotarłeś tu pierwszy, tak? Chciałbym powiedzieć panu parę słów o tym człowieku, panie radny.

– To powiedz to teraz, przy mnie! – zawołał McMurdo.

– Powiem, kiedy będę chciał, i tak jak mi się spodoba!

– Hola, hola! – odezwał się McGinty, wstając ze swojej beczki. – Tak nie będziemy gadać. Mamy nowego brata, Baldwin, i nie godzi się witać go w ten sposób. No dalej, człowieku, podaj mu rękę i się pogódźcie.

– Nigdy! – wrzasnął rozwścieczony Baldwin.

– Powiedziałem mu, że jeśli czuje się pokrzywdzony, możemy się bić – rzekł McMurdo. – Mogę z nim walczyć albo na pięści, albo taką bronią, jaką sam wybierze. Panie radny, pozostawiam to panu do rozstrzygnięcia jako mistrzowi loży.

– A o co chodzi?

– O pewną młodą damę. Uważam, że może wybrać tego, którego chce.

– Doprawdy?! – krzyknął Baldwin.

– Jako że obaj jesteście braćmi z loży, to uważam, że pani ma wolny wybór – rzekł mistrz.

– A więc taka jest pańska decyzja?

– Tak, taka jest decyzja mistrza, Tedzie Baldwinie – rzekł McGinty ze złośliwym uśmiechem. – A co? Chciałbyś ją może podważyć?

– A więc tak pan traktuje kogoś, kto wiernie stał u pańskiego boku przez pięć lat? I tylko po to, żeby zadowolić jakiegoś przybłędę, którego nigdy

w życiu pan nie widział? Nie będziesz wiecznie mistrzem loży, Jacku McGinty! Na Boga, przy następnym głosowaniu…

Radny skoczył na niego jak tygrys. Jego dłoń zacisnęła się na gardle Baldwina. Rzucił go na beczki. W tej wściekłości zadusiłby brata na śmierć, gdyby nie wtrącił się McMurdo.

– Spokojnie, panie radny! Spokojnie, na Boga! – krzyknął, odciągając go do tyłu.

McGinty zwolnił chwyt, a Baldwin, przerażony i wstrząśnięty, z trudem łapiąc oddech i drżąc na całym ciele, jak ktoś, kto właśnie spojrzał śmierci w oczy, usiadł na beczce, na którą rzucił go mistrz.

– Dawno się już o to prosiłeś, Tedzie Baldwinie! Dostałeś to, na co zasłużyłeś! – wrzasnął McGinty. Jego ogromny tors unosił się i opadał. – Może ci się wydaje, że gdybym przegrał w głosowaniu na mistrza, zająłbyś moje miejsce? Loża o tym zadecyduje. Ale dopóki ja tu jestem mistrzem, żaden człowiek nie podniesie na mnie głosu i nie będzie kwestionował moich decyzji.

– Nic do pana nie mam – wymamrotał Baldwin, macając się po obolałym gardle.

– Dobrze. A więc w takim razie – stwierdził głośno ten drugi, w jednej chwili znów wpadając w jowialny nastrój – znów wszyscy jesteśmy przyjaciółmi. I niech tak się ta sprawa skończy.

Zdjął z półki butelkę szampana i odkręcił korek.

– A teraz – ciągnął, napełniając trzy wysokie kieliszki – wypijmy na zgodę za naszą lożę. Nie może być między nami żadnych waśni. Połóż lewą rękę na moim jabłku Adama. Powiedz, Tedzie Baldwinie, co cię dręczy, bracie?

– Na niebie są ciemne chmury – odparł Baldwin.

– Ale rozwieją się na zawsze.

– Przysięgam, że tak będzie.

Trzej mężczyźni opróżnili swoje kieliszki. Następnie przeprowadzono taką samą ceremonię pomiędzy Baldwinem i McMurdo.

– No i proszę! – zawołał McGinty, zacierając ręce. – Nie ma już między nami waśni. Jeśli posuniecie się dalej, loża was osądzi, a w tych okolicach ma ona ciężką rękę, wie o tym dobrze brat Baldwin… a ty się cholernie szybko o tym przekonasz, bracie McMurdo, jeśli będziesz się prosił o kłopoty!

– Przysięgam, że nie śpieszno mi do tego – rzekł McMurdo i wyciągnął rękę do Baldwina. – Jestem bardzo porywczy, ale też szybko przebaczam. Mówią, że to przez moją gorącą irlandzką krew. Co do mnie, sprawa jest zakończona, i nie żywię do ciebie urazy.

Baldwin musiał uścisnąć wyciągniętą do niego dłoń, bo patrzyły na niego złowrogie oczy straszliwego mistrza. Jednakże z jego pochmurnej twarzy można było wyraźnie wyczytać, że słowa McMurdo w ogóle go nie przekonały.

McGinty poklepał ich obu po ramieniu.

– No, no. Te dziewczyny, ach te dziewczyny! I pomyśleć tylko, że jakaś baba miałaby stanąć pomiędzy moimi dwoma chłopakami. To diabelska sprawka. No cóż, wygląda na to, że sama dziewczyna musi rozstrzygnąć ten problem. A to już nie należy do mistrza loży, i chwała Bogu! Mamy i bez tego mnóstwo kłopotów. Bracie McMurdo, niniejszym zostajesz przyjęty do loży 341. Mamy tu własne zwyczaje i metody, inne niż w Chicago. Spotykamy się w sobotę w nocy. Jeśli przyjdziesz, wtedy ostatecznie przyjmiemy cię do naszego bractwa w dolinie Vermissy.

Rozdział trzeci

Loża 341 w Vermissie

Następnego dnia po owym wieczorze, kiedy to wydarzyło się tyle interesujących rzeczy, McMurdo wyprowadził się od starego Jacoba Shaftera. Znalazł sobie nową kwaterę u wdowy MacNamara na obrzeżach miasta. Scanlan, jego pierwszy znajomy z pociągu, wkrótce potem przeprowadził się do Vermissy, i zamieszkali razem. Byli jedynymi lokatorami, a gospodyni – stara pogodna Irlandka – zostawiła ich samym sobie. Mogli więc swobodnie rozmawiać i działać, co zawsze bardzo cieszy mężczyzn mających wspólne sekrety.

McMurdo na tyle udobruchał Shaftera, że ten pozwolił mu przychodzić do siebie na posiłki, kiedy tylko młody Irlandczyk miał na to ochotę, tak więc jego związek z Ettie bynajmniej się nie skończył. Wręcz przeciwnie, w miarę jak mijały kolejne tygodnie, stawali się sobie coraz bliżsi.

W sypialni w swoim nowym mieszkaniu McMurdo poczuł się na tyle bezpiecznie, że wyciągnął matryce do fałszowania pieniędzy. Po złożeniu przysięgi o zachowaniu sekretu niektórzy bracia z loży przyszli je obejrzeć. Każdy wyniósł w kieszeni trochę fałszywych pieniędzy, wybitych tak umiejętnie, że nie było problemów z ich upłynnieniem i nie wiązało się praktycznie z żadnym ryzykiem. Towarzysze McMurdo zachodzili w głowę, po co w ogóle podejmował jakąkolwiek pracę. On jednak wyjaśniał wszystkim, którzy go o to pytali, że gdyby żył, nie mając żadnych legalnych dochodów, bardzo szybko ściągnąłby sobie na głowę policję.

I rzeczywiście. Pewien policjant już deptał mu po piętach, jednak szczęśliwym zbiegiem okoliczności łowca przygód wyszedł na tym raczej dobrze niż źle. Po wprowadzeniu do loży rzadko się zdarzało, by McMurdo nie zjawił się wieczorem w barze McGinty’ego. Przychodził tam, by bliżej się zapoznać z „chłopakami”, jak jowialnie zwano ów niebezpieczny gang

rządzący całą okolicą. Był hardy, nie bał się mówić, co myśli, wszyscy szybko go polubili. To, jak prędko i sprytnie poradził sobie ze swym przeciwnikiem w pewnej bójce, zyskało mu wśród braci szacunek. Kolejny incydent zaś sprawił, że zaczęli cenić go jeszcze bardziej.

Pewnej nocy, gdy w barze było najtłoczniej, drzwi nagle się otworzyły, i do środka wszedł mężczyzna w niebieskim mundurze i spiczastej czapce policji kopalni. Była to specjalna organizacja, utworzona przez koleje oraz właścicieli kopalń do wspierania działań zwykłej policji, która była kompletnie bezradna w obliczu zorganizowanej przestępczości, siejącej postrach w całym okręgu. Gdy wszedł do baru, rozmowy natychmiast ucichły. Obrzucono go zaciekawionymi spojrzeniami. Układy pomiędzy policją a przestępcami są w pewnych rejonach Stanów dość specyficzne, i sam McGinty, który akurat stał za barem, bynajmniej nie okazał zaskoczenia, gdy wśród jego klientów pojawił się przedstawiciel prawa.

– Whisky, bez lodu. Noc jest dzisiaj zimna – rzekł policjant. – My się chyba jeszcze nie znamy, panie radny.

– A, to pan jest tym nowym kapitanem – powiedział McGinty.

– Właśnie. Mamy nadzieję, że pan, panie radny, i inni wpływowi obywatele pomogą nam utrzymać praworządność w tym mieście. Jestem kapitan Marvin.

– Lepiej by nam było bez pana, kapitanie Marvin – odparł zimno McGinty. – Mamy naszą własną miejską policję i nie potrzebujemy tu takiego towaru z importu jak pan. Jest on tylko najemnym narzędziem kapitalistów, wynajętym, by tłuc biedniejszych obywateli lub strzelać do nich.

– No, no… Nie będziemy się o to spierać – rzekł przyjaźnie policjant. – Myślę, że wszyscy robimy to, co uważamy za swój obowiązek, jednak nie możemy postrzegać go tak samo – pociągnął ze swojej szklanki i odwrócił się, by wyjść, gdy nagle jego wzrok spotkał się z ponurym spojrzeniem Johna. – No proszę! – zawołał, mierząc go oczyma. – Widzę, że jest tu mój stary znajomy.

McMurdo odsunął się od niego.

– Nigdy w życiu nie byłem twoim przyjacielem ani przyjacielem żadnego przeklętego gliniarza – powiedział.

– Znajomy nie musi zaraz być przyjacielem – odrzekł kapitan z szerokim uśmiechem. – Ty jesteś John McMurdo z Chicago. Nawet nie próbuj

zaprzeczać.

McMurdo wzruszył ramionami.

– Nie zaprzeczam – odparł. – Myślisz, że wstydzę się własnego nazwiska?

– Masz ku temu wszelkie powody.

– Co, u diabła, chcesz przez to powiedzieć? – ryknął McMurdo, unosząc zaciśnięte pięści.

– Spokojnie, John. Nie wystraszysz mnie tym wrzaskiem. Byłem policjantem w Chicago, zanim trafiłem do tej przeklętej kopalni. I kiedy widzę oszusta z Chicago, to dobrze wiem, z kim mam do czynienia.

Jego rozmówcy zrzedła mina.

– Nie mów mi, że Marvin z głównej komendy w Chicago to ty! – zawołał.

– Ten sam stary Teddy Marvin, do usług. Nie zapomnieliśmy, że zastrzeliłeś Jonasa Pinto.

– Ja go nie zastrzeliłem.

– Doprawdy? I mówi to bezstronny świadek, co? Jego śmierć była ci bardzo na rękę, bo inaczej przymknęliby cię za fałszowanie pieniędzy. Cóż, było, minęło. A między nami, choć być może nie powinienem ci tego mówić, i tak nie mogli ci postawić niepodważalnych zarzutów, więc nawet jutro mógłbyś wrócić do Chicago.

– Jest mi bardzo dobrze tu, gdzie jestem.

– Jak chcesz. Zamiast mi podziękować, pyskujesz.

– Mam wrażenie, że chciałeś dobrze. A więc dziękuję – rzekł McMurdo tonem, w którym bynajmniej nie było słychać wdzięczności.

– Będę trzymał gębę na kłódkę tak długo, jak długo będziesz prowadził uczciwe życie – rzekł kapitan. – Ale, na Boga, jeśli znów coś wywiniesz, to będzie już inna historia. Dobranoc, McMurdo, dobranoc, panie radny.

Policjant wyszedł z baru, a całe zajście sprawiło, że McMurdo stał się lokalnym bohaterem. Już wcześniej szeptano o tym, co robił w dalekim Chicago. On jednak zbywał wszystkie pytania uśmiechem jak ktoś, kto nie chciał być uważany za kogoś ważnego. Teraz jednak sprawa została oficjalnie potwierdzona. Bywalcy baru stłoczyli się wokół niego, by serdecznie uścisnąć mu dłoń. Od tego czasu traktowali go jak swojego. McMurdo potrafił bardzo dużo wypić, i nie było tego po nim widać, jednak

tego wieczoru, gdyby nie Scanlan, który zaprowadził go do domu, nasz bohater z całą pewnością spędziłby noc pod barem.

W sobotę w nocy McMurdo został oficjalnie przyjęty do loży. Myślał, że stanie się jednym z nich bez żadnej ceremonii, bo przeszedł już inicjację w Chicago. W Vermissie jednak obowiązywały szczególne rytuały, z których miejscowe bractwo było dumne i którym musiał być poddany. Zgromadzenie odbywało się w wielkim pomieszczeniu w Union House, które zarezerwowane było na takie okazje. Tej nocy zebrało się około sześćdziesięciu członków bractwa, nie byli to jednak bynajmniej wszyscy należący do tej organizacji, bo w dolinie i za otaczającymi ją górami działały inne loże. Zawsze, kiedy odbywało się coś ważnego, loże wysyłały swoich przedstawicieli, aby przestępstwo popełniali ludzie nieznani w danej miejscowości. Ogólnie w okręgu węglowym było ich nie mniej niż pięciuset.

W pustawej sali zgromadzeń mężczyźni siedzieli przy długim stole. Z boku stał drugi stół, zastawiony butelkami i kieliszkami, i niektórzy ze zgromadzonych już niecierpliwie na niego zerkali. McGinty siedział u szczytu stołu. Na bujnej czarnej czuprynie miał założoną płaską czapkę z czarnego aksamitu, a na szyi zawieszoną fioletową stułą, co sprawiało, że wyglądał jak ksiądz odprawiający jakiś osobliwy rytuał. Po jego prawej i lewej stronie siedzieli wyżsi rangą członkowie loży. Wśród nich można było dostrzec okrutną, przystojną twarz Teda Baldwina. Każdy z członków miał na sobie jakiś szal lub medalion, będący oznaką pełnionej przez niego funkcji.

W większości byli to dojrzali mężczyźni, jednak pozostali zgromadzeni byli młodzieńcami w wieku od osiemnastu do dwudziestu pięciu lat, gotowymi wypełnić rozkazy swych zwierzchników. Wśród starszych mężczyzn wielu było takich, których rysy zdradzały drapieżną duszę i pogardę dla prawa. Patrząc na tych ludzi, trudno było uwierzyć, że ci młodzieńcy o pełnych zapału, szczerych twarzach rzeczywiście byli niebezpiecznymi mordercami o kompletnie zdeprawowanych charakterach, którzy szczycili się sprawnością i swymi wyczynami. Teraz patrzyli z ogromnym szacunkiem na człowieka, który miał reputację kogoś, kto wykonywał, jak to nazywali, „czystą robotę”.

Ci ludzie byli zdeprawowani do tego stopnia, iż uważali za rycerskie i godne pochwały zgłaszanie się na ochotnika, by zabić człowieka, który

nigdy ich nie skrzywdził i którego w wielu przypadkach nigdy wcześniej nie widzieli. Po wykonanej robocie kłócili się o to, który z nich zadał śmiertelny cios, i zabawiali towarzystwo opowiadaniem o krzykach i agonii ofiary.

Początkowo utrzymywali swoje działania w tajemnicy, jednak w czasach, których dotyczy ta opowieść, ich poczynania stały się całkowicie otwarte, bo ciągłe porażki wymiaru sprawiedliwości pokazały im, że z jednej strony nikt nie odważy się przeciwko nim zeznawać, zaś z drugiej mają do dyspozycji niezliczoną rzeszę popleczników, których zawsze można wezwać na świadków oraz pełną po brzegi skrzynię ze skarbami, z jakiej można zaczerpnąć fundusze, by zatrudnić najlepszego prawnika w całym stanie. W ciągu dziesięciu lat ich przestępczej działalności nikogo nie skazano, a jedynym niebezpieczeństwem grożącym wykonawcom wyroków były same ofiary, które mimo przewagi liczebnej przeciwnika i efektu zaskoczenia, od czasu do czasu któregoś raniły.

McMurdo został wcześniej ostrzeżony, że czeka go jakaś próba, nikt jednak nie chciał mu powiedzieć, na czym miała polegać. Dwóch pełnych powagi braci wyprowadziło go do innego pomieszczenia. Zza przepierzenia z desek słyszał szmer wielu głosów w sali zgromadzeń. Parę razy padło jego nazwisko, wiedział, że dyskutują o nim. Potem pojawił się wewnętrzny strażnik, przez pierś miał przewieszoną zielono-złotą szarfę.

– Mistrz loży rozkazuje, by go związać, przewiązać mu oczy i wprowadzić do sali – powiedział.

We trzech zdjęli mu płaszcz, podwinęli prawy rękaw koszuli i liną związali mocno ręce ponad łokciami. Następnie włożyli mu na głowę gruby czarny kaptur i opuścili go na oczy. Po tych przygotowaniach wprowadzili Johna do sali zgromadzeń.

McMurdo niczego nie widział, ledwie mógł oddychać i tylko słyszał szmer rozmów dookoła. Z oddali dobiegł głęboki głos McGinty’ego:

– Johnie McMurdo, czy jesteś już członkiem Prześwietnego Zakonu Wolnych Ludzi?

Skłonił się, by potwierdzić.

– Czy należysz do loży 29 w Chicago?

Znów się skłonił.

– Ciemne noce są nieprzyjemne – powiedział głos.

– Tak, dla podróżnych znajdujących się w drodze – odparł McMurdo.

– Niebo pokrywają ciemne chmury.

– Tak, zbliża się burza.

– Jesteście usatysfakcjonowani, bracia? – spytał mistrz loży.

Rozległ się potakujący szmer głosów.

– Teraz wiemy, bracie, dzięki hasłu i odzewowi, że jesteś rzeczywiście jednym z nas – rzekł McGinty. – Chcemy ci jednak powiedzieć, że w tym hrabstwie tak samo jak w innych w tej okolicy, mamy pewne rytuały, jak również obowiązki, które mogą wypełniać tylko odpowiedni ludzie. Czy jesteś gotów na próbę?

– Tak.

– Czy twoje serce jest mężne?

– Tak.

– A więc wystąp krok naprzód, aby to udowodnić.

Gdy tylko to uczynił, poczuł dwa ostre przedmioty przyciśnięte do oczu.Wydawało mu się, że jeśli postąpi jeszcze krok, straci oczy. Zebrał się jednak w sobie i zdecydowanie wystąpił naprzód, a wtedy ucisk ustąpił. Usłyszał pomruk aprobaty ze strony zgromadzonych.

– Ma mężne serce – powiedział głos. – A czy potrafisz znieść ból?

– Tak jak każdy inny człowiek – odpowiedział.

– Sprawdźcie go!

Gdy poczuł straszliwy, rozdzierający ból w przedramieniu, ledwo udało mu się powstrzymać od krzyku. Omal nie stracił przytomności, zagryzł jednak wargi i zacisnął pięści, żeby stłumić jęk.

– Potrafię znieść więcej niż to! – powiedział.

Tym razem pomruk aprobaty był o wiele głośniejszy. Jeszcze nikt nie zrobił tak dobrego wrażenia, gdy przyjmowano go do loży. Poczuł, że czyjeś ręce klepią go po plecach i zsuwają mu z głowy kaptur. Stał, mrugając oczami i uśmiechając się, gdy zebrani podchodzili do niego z gratulacjami.

– Jeszcze jedno, bracie McMurdo – rzekł McGinty. – Składałeś już przysięgę, że dochowasz tajemnicy i będziesz wierny bractwu, a więc musisz być świadom, że karą za jej złamanie jest natychmiastowa i nieunikniona śmierć.

– Jestem tego świadom – powiedział McMurdo.

– I będziesz akceptował decyzje mistrza loży, niezależnie od wszelkich okoliczności?

– Będę.

– W takim razie w imieniu loży 341 w Vermissie witam cię wśród jej członków, byś mógł korzystać z jej przywilejów i brać udział w obradach. Bracie Scanlan, podaj butelki, byśmy mogli wypić za naszego godnego brata.

McMurdowi zwrócono płaszcz, lecz zanim go założył, przyjrzał się swojej prawej ręce. Wciąż jeszcze czuł w niej piekący ból. Na jego przedramieniu widniał trójkąt wpisany w koło, głęboki i czerwony, taki, jakim pozostawiło go rozpalone żelazo. Paru jego sąsiadów podciągnęło swoje rękawy i pokazało mu znak loży na swoich rękach.

– Wszyscy to mamy – powiedział jeden z nich. – Ale nikt nie zniósł tego tak odważnie jak ty!

– Ech, to nic takiego – powiedział, choć ramię rwało go i paliło.

Gdy wypito toast po ceremonii inicjacji, rozpoczęły się zwykłe obrady loży. McMurdo przyzwyczajony w Chicago do dość prozaicznych tematów z zaciekawieniem nastawiał uszu i był bardziej zaskoczony tym, co nastąpiło, niż mógł to po sobie pokazać.

– Pierwszą sprawą w porządku obrad – rzekł McGinty – jest odczytanie listu od mistrza wydziału z loży 249 w Merton County. Pisze on:

Szanowny Panie!

Trzeba wykonać pewne zadanie związane z Andrew Rae z firmy „Rae and Sturmash”, do której należą tutejsze kopalnie. Pamięta pan zapewne, że pańska loża jest nam winna przysługę po tym, gdy zeszłej jesieni przysłaliśmy wam dwóch braci w sprawie pewnego policjanta. Wyślijcie nam dwóch odpowiednich ludzi. Zajmie się nimi skarbnik Higgins z tutejszej loży, którego adres jest panu znany. Pokaże im, gdzie i kiedy mają działać.

Z braterskim pozdrowieniem
J. W. Windle, D. M. A. O. F.

Windle nigdy nam nie odmówił, gdy prosiliśmy, by przysłali nam do pomocy paru ludzi, więc i nam się nie godzi mu odmawiać – McGinty przerwał na chwilę i rozejrzał się po sali swymi martwymi złymi oczyma. – Kto zgłasza się na ochotnika do tej roboty?

Kilku młodzieńców uniosło w górę ręce. Mistrz loży spojrzał na nich z pełnym aprobaty uśmiechem.

– Dobrze, Tygrysie Cormac. Jeśli poradzisz sobie tak dobrze jak ostatnio, to nie będzie źle. I ty, Wilsonie.

– Nie mam pistoletu – rzekł ochotnik, który miał zaledwie kilkanaście lat.

– To twój pierwszy raz, tak? Dobrze, będziesz miał swój chrzest bojowy. Świetny początek! A co do broni, to jeśli się nie mylę, już na ciebie czeka. Zgłoście się w poniedziałek. Kiedy wrócicie, zgotujemy wam wspaniałe powitanie.

– A jest tym razem jakaś nagroda? – spytał Cormac, krępy młodzieniec o smagłej twarzy i wyglądzie brutala, którego przezwisko „Tygrys" świadczyło o jego krwiożerczych instynktach.

– Nie myśl o nagrodzie. Zrób to dla samego zaszczytu. Może kiedy już wykonasz swoją robotę, znajdzie się parę dolarów na dnie skrzyni.

– A co ten człowiek zrobił? – spytał młody Wilson.

– To nie powinno ciebie obchodzić. Osądziła go tamtejsza loża. To nie twoja sprawa. Wszystko, co mamy zrobić, to wykonać dla nich robotę, tak samo, jak oni robią to dla nas. A skoro już o tym mowa, dwóch braci z loży w Merton przyjeżdża do nas w przyszłym tygodniu, by wykonać pewne zadanie w tej okolicy.

– Co to za jedni? – zapytał ktoś z sali.

– Uwierz mi, bracie, lepiej nie pytać. Kiedy nic nie wiesz, nic nie możesz zeznać i nie wynikną z tego żadne kłopoty. Ale to są ludzie, którzy wykonają czystą robotę, gdy przyjdzie już co do czego.

– Najwyższa pora! – krzyknął Ted Baldwin. – Ludzie w tych stronach zaczynają się robić bezczelni. Nie dalej jak tydzień temu brygadzista Blaker wywalił trzech naszych. Już od dawna mu się zbierało, i tym razem dostanie to, na co sobie zasłużył.

– A co go spotka? – spytał szeptem McMurdo swego sąsiada.

– Cóż, zwykły koniec. Kulka z rewolweru – odpowiedział mężczyzna, śmiejąc się głośno. – No i co o nas myślisz, bracie?

Wydawało się, że zdeprawowana dusza nowego członka loży już się oswoiła z nowym położeniem, a sam McMurdo czuje się świetnie w tym złym towarzystwie.

– Bardzo mi się podoba – odparł. – To właściwe miejsce dla faceta z charakterem.

Kilku braci siedzących przy nim usłyszało te słowa i przytaknęło z aprobatą.

– O co chodzi? – krzyknął czarnowłosy mistrz loży ze swojego końca stołu.

– Naszemu nowemu bratu podoba się u nas, sir.

McMurdo natychmiast powstał.

– Chciałbym powiedzieć, czcigodny mistrzu, jeżeli będzie wam potrzebny jakiś człowiek, uznam za zaszczyt, jeśli wybierzecie mnie, bym mógł dopomóc bractwu.

Te słowa wywołały głośny aplauz. Można było odnieść wrażenie, że nowe słońce pojawiało się nad horyzontem. Dla niektórych spośród starszych członków loży wszystko to działo się jednak nieco za szybko.

– Wnioskowałbym o to – rzekł sekretarz Harraway, starzec z twarzą sępa i siwą brodą, siedzący tuż obok przewodniczącego – że brat McMurdo powinien zaczekać, aż loża zechce skorzystać z jego usług.

– Oczywiście, właśnie o to mi chodziło. Jestem do waszej dyspozycji – powiedział McMurdo.

– Twój czas nadejdzie, bracie – rzekł przewodniczący. – Już wiemy, że jesteś chętny, i wierzymy, że wykonasz dla nas dobrą robotę. Dziś w nocy jest do załatwienia pewna drobna sprawa, i jeśli ci to odpowiada, możesz się tym zająć.

– Poczekam na coś poważniejszego.

– I tak możesz przyjść dziś w nocy, bo wtedy zrozumiesz, czego bronimy w tej społeczności. Później wszystko wyjaśnię. A tymczasem – spojrzał na porządek obrad – mam jeszcze parę spraw, które chciałbym przedstawić na tym zgromadzeniu. Po pierwsze, chciałbym wiedzieć o stanie naszego konta w banku. Jest jeszcze sprawa renty dla wdowy po Jimie Carnawayu. Zginął, wykonując pracę dla loży, i musimy zadbać o jego rodzinę.

– Jima zastrzelili w ubiegłym miesiącu, gdy próbowaliśmy zabić Chestera Wilcoxa z Marley Creek – wyjaśnił sąsiad McMurdo.

– Na chwilę obecną z funduszami wszystko jest w porządku – rzekł skarbnik, zaglądając do leżącej przed nim na stole książeczki bankowej. – Firmy były ostatnio hojne. Max Linder & Co. zapłaciła pięćset, żebyśmy zostawili ich w spokoju. Z Walker Brothers wysłali sto, uznałem jednak za stosowne, by im tę kwotę zwrócić i poprosić ich o pięćset. Jeśli nie odezwą się do środy, może się coś przytrafić ich wieży wyciągowej.

W ubiegłym roku musieliśmy spalić ich kruszarkę, nim posłuchali głosu rozsądku. No i West Section Coaling Company wpłaciła swój roczny wkład. Mamy w rękach dość, by wywiązać się ze wszystkich zobowiązań.

– A co z Archie Swindonem? – spytał jeden z braci.

– Ten stary diabeł wszystko wyprzedał i wyjechał z okręgu. Zostawił nam list, w którym napisał, że woli zamiatać ulice w Nowym Jorku i być wolnym człowiekiem, niż mieć wielką kopalnię i zginać kark przed bandą szantażystów. Na Boga, miał szczęście, że już go tu nie było, kiedy dotarł do nas ten list. Nie sądzę, by odważył się pokazać kiedykolwiek w tej dolinie.

Starszy, gładko ogolony mężczyzna o miłej twarzy i krzaczastych brwiach wstał ze swego miejsca przy przeciwległym końcu stołu, naprzeciw przewodniczącego.

– Panie skarbniku – powiedział – czy mogę spytać, kto kupił majątek tego człowieka, którego wygnaliśmy z naszego okręgu?

– Tak, bracie Morris. Został wykupiony przez State & Merton County Railroad Company.

– A kto kupił kopalnie Todmana i Lee, które w ubiegłym roku w ten sam sposób trafiły na rynek?

– Ta sama firma, bracie Morris.

– A kto wykupił huty żelaza Mansona, Shumana, Van Dehera i Atwooda?

– Wszystkie kupiła West Gilmerton General Mining Company.

– Nie rozumiem, bracie Morris – rzekł przewodniczący. – Przecież nie ma znaczenia, kto je kupił, bo i tak nie mogą ich wynieść z tej doliny.

– Z całym należnym panu szacunkiem, czcigodny mistrzu loży, sądzę, że może to mieć dla nas ogromne znaczenie. Dzieje się to już od dziesięciu długich lat. Stopniowo wypędzamy stąd wszystkich drobnych przedsiębiorców. I jaki jest efekt? Na ich miejsce powstają wielkie firmy, takie jak koleje, czy General Iron, które mają swoich dyrektorów w Nowym Jorku czy Filadelfii i nic sobie nie robią z naszych pogróżek. Możemy załatwić ich lokalnych szefów, ale oznacza to jedynie tyle, że przyślą kolejnych. No i poza tym staje się to dla nas niebezpieczne. Drobne płotki nie mogą nam zrobić krzywdy. Nie mają ani takich pieniędzy, ani takiej władzy. Dopóki nie będziemy ich za bardzo cisnąć, nie sprzeciwią się naszej władzy. Ale jeśli te wielkie firmy dojdą do wniosku, że stoimy im

na drodze do zysków, nie będą szczędzić kosztów ani wysiłków, by nas dorwać i doprowadzić przed sąd.

Gdy tylko przebrzmiały te złowróżbne słowa, w sali zapanowała cisza, wszystkie twarze pociemniały, a zgromadzeni wymieniali ponure spojrzenia. Do tej pory organizacja była tak wszechpotężna, że nikt nie ośmielił się rzucić jej wyzwania, i ludzie zupełnie zapomnieli o tym, że być może kiedyś dosięgnie ich zemsta. A jednak na samą tę myśl wzdrygnęli się nawet najbardziej nieustraszeni z nich.

– Moja rada jest taka – podjął dalej mówca – nie ciśnijmy zanadto drobnych przedsiębiorców. W dniu, kiedy ostatni z nich ucieknie, skończy się władza stowarzyszenia.

Przykro jest słuchać prawdy. Gdy mówca ponownie zajął swoje miejsce, w sali rozległy się gniewne okrzyki.

McGinty powstał ze swojego miejsca z zachmurzoną twarzą.

– Bracie Morris – powiedział – zawsze lubiłeś panikować. Dopóki członkowie tej loży trzymają się razem, nie ma takiej siły w całych Stanach Zjednoczonych, która mogłaby ich tknąć. Czyż nie przekonywaliśmy się o tym podczas procesów sądowych? Przypuszczam, że wielkie firmy uznają, że łatwiej im będzie płacić niż z nami walczyć, tak jak ma to miejsce w przypadku drobnych firm. A teraz, bracia – mówiąc to, McGinty, zdjął czarną aksamitną czapkę i stułę – loża zakończyła na dziś swe obrady wieczór. Została jedna drobna sprawa, o której pomówimy, kiedy będziemy się rozchodzili. Teraz nadszedł czas picia i wspólnej zabawy.

Doprawdy, przedziwna jest ludzka natura. Ci ludzie, którym nieobce były morderstwa, którzy nie raz już zabili ojca rodziny – zazwyczaj człowieka, do którego nie żywili żadnej osobistej urazy – i nie czuli przy tym najmniejszych wyrzutów sumienia ani współczucia dla jego łkającej wdowy czy bezbronnych dzieci, potrafili wzruszyć się do łez, słuchając pięknej wzniosłej muzyki. McMurdo obdarzony był wspaniałym tenorem, i nawet gdyby wcześniej nie zaskarbił sobie łask loży, nikt nie potrafiłby już mu się oprzeć, gdy poruszył zgromadzenie, śpiewając: *I’m sitting on the Stile, Mary* i *On the Banks of Allan Water*.

Już pierwszego wieczoru nowy członek stał się jednym z najpopularniejszych wśród braci, i było oczywistym, że szybko awansuje i będzie pełnił wysokie stanowiska. Jednakże dobry wolnomularz musiał

posiadać jeszcze inne cechy prócz umiejętności zaskarbiania sobie przyjaciół. Można było się o tym przekonać jeszcze tego wieczoru. Butelki z whisky już wielokrotnie obiegły stół, więc mężczyźni byli podpici i skorzy do zabawy, gdy mistrz ponownie powstał, by do nich przemówić.

– Posłuchajcie, chłopcy – powiedział. – W mieście jest pewien człowiek, którego należałoby utemperować, i do was należy, by dostał to, na co sobie zasłużył. Mówię o Jamesie Stangerze z „Heralda”. Czytaliście może, co znowu o nas powypisywał?

Rozległ się pomruk aprobaty, słychać było wypowiadane pod nosem przekleństwa. McGinty wyjął z kieszeni kamizelki wycinek z gazety.

– „PRAWORZĄDNOŚĆ!”. To nagłówek. A teraz posłuchajcie:

> RZĄDY TERRORU W ZAGŁĘBIU GÓRNICZO-HUTNICZYM. Upłynęło już dwanaście lat od pierwszych zamachów, które udowodniły, że mamy do czynienia z organizacją przestępczą. Od tego dnia przemoc nigdy nie ustała, a teraz sięgnęła punktu kulminacyjnego, czyniąc z nas zakałę cywilizowanego świata. Czyż po to nasz wspaniały kraj przyjmuje do siebie cudzoziemców uciekających przed europejskim despotyzmem? Czy robimy to, by stali się oni tyranami zastraszającymi tych, którzy dali im schronienie? Po to, by w cieniu świętej, usianej gwiazdami flagi wolności zapanowały terror i bezprawie, które przerażałyby nas, gdyby to się działo w jakimś wschodnim państwie monarchicznym? Wiadomo, kim są ci ludzie. Organizacja jest jawna i publiczna. Jak długo będziemy tolerować taki stan rzeczy? Czy mamy już zawsze żyć…

Przeczytałem wam już dość tych bredni! – krzyknął przewodniczący, ciskając gazetę na stół. – Tak o nas pisze. Powiedźcie mi, co mamy zrobić?

– Zabić go! – wrzasnął z tuzin rozwścieczonych głosów.

– Protestuję – rzekł brat Morris, mężczyzna o pięknym czole i gładko ogolonej twarzy. – Mówię wam, bracia, że rządzimy w tej dolinie zbyt ciężką ręką i że nadejdzie czas, gdy wszyscy ludzie zjednoczą się w samoobronie, żeby się z nami rozprawić. James Stanger jest starcem, mieszka tutaj. Szanują go w mieście i w całym naszym okręgu. Jego gazeta reprezentuje trwałe wartości w tej dolinie. Jeśli zniszczymy tego człowieka, zrobi się zamieszanie w całym stanie, a to może nas zgubić.

– A jak niby doprowadzą do naszej zguby, panie panikarzu? – krzyknął McGinty. – Kto to zrobi? Policja? Pewnie! Połowę policjantów mamy w kieszeni, a druga połowa się nas boi. A może zrobią to sądy i sędziowie? Nie! Próbowaliśmy już, jak to jest! I co z tego wyszło?

– Jest jeszcze „sędzia Lynch” – rzekł brat Morris.

Słowa te zagłuszył chór oburzonych głosów.

– Wystarczy, że kiwnę palcem – krzyknął McGinty – i będę miał dwustu ludzi, którzy przyjadą do tego miasta i zrobią tu porządek! – Potem nagle podniósł głos i ściąg-nął swe krzaczaste brwi w potwornym grymasie. – Posłuchaj, bracie Morris. Mam cię na oku i to już od jakiegoś czasu. Sam jesteś tchórzem i próbujesz na dodatek napędzić stracha innym. Zły będzie dla ciebie ten dzień, bracie, kiedy twoje nazwisko pojawi się jako jeden z punktów porządku naszych obrad, a coś mi się wydaje, że właśnie tam powinienem je umieścić.

Morris pobladł jak płótno i opadł na swoje krzesło, jakby ugięły się pod nim kolana. Drżącą dłonią uniósł swój kieliszek i wypił jego zawartość do dna. Dopiero potem był w stanie odpowiedzieć.

– Przepraszam pana, czcigodny mistrzu, i was, bracia, jeśli powiedziałem więcej, niż trzeba. Wiecie wszyscy, że jestem wiernym członkiem loży. Wypowiadam te pełne niepokoju słowa tylko dlatego, że obawiam się, iż może spaść na nas jakieś nieszczęście. Mam jednak większe zaufanie do pańskiego osądu, czcigodny mistrzu, niż do mojego własnego i obiecuję, że już nigdy nie popełnię takiego wykroczenia.

Gdy mistrz loży usłyszał te pokorne słowa, jego twarz znów się rozpogodziła.

– Bardzo dobrze, bracie Morris. Mnie samemu byłoby przykro, gdybym musiał udzielić ci lekcji. Jednak dopóki ja jestem mistrzem tej loży, będziemy zjednoczeni zarówno w słowach, jak i w czynach. A teraz, chłopcy – ciągnął dalej, rozglądając się po zgromadzonych – posłuchajcie. Gdyby Stanger dostał to, na co sobie zasłużył, mielibyśmy za dużo kłopotów. Ci redaktorzy trzymają się razem, i wszystkie gazety w tym stanie zrobiłyby dużo hałasu, wysyłając nam tu policję i wojsko. Myślę jednak, że możecie udzielić mu przestrogi. Załatwisz to, bracie Baldwin?

– Oczywiście! – rzekł z zapałem młodzieniec.

– Ilu braci weźmiesz ze sobą?

– Sześciu, dwóch potrzeba do pilnowania drzwi. Ty pójdziesz, Gower, i ty Mansel, i ty Scanlan. I dwóch Willabych.

– Obiecałem naszemu nowemu bratu, że on też pójdzie – rzekł przewodniczący.

Ted Baldwin skierował na McMurdo wzrok, z którego można było jasno wyczytać, że ani nie zapomniał, ani nie przebaczył.

– Może iść z nami, jeśli chce – rzekł opryskliwym tonem. – Tylu wystarczy. Im szybciej weźmiemy się do roboty, tym lepiej.

Towarzystwo podzieliło się na małe grupki, wrzeszczące i śpiewające pijackie piosenki. W barze wciąż były tłumy gości, i wielu spośród braci tam zostało. Mała grupa, którą wyznaczono do wykonania zadania, wyszła na ulicę i podzieliła się na pary i trójki, by nie zwracać niczyjej uwagi. Noc była bardzo zimna, a na mroźnym, usianym gwiazdami niebie świecił jasno półksiężyc. Mężczyźni zebrali się na dziedzińcu przed wysokim budynkiem. Między jasno oświetlonymi oknami widniały wypisane złotymi literami słowa: „Vermissa Herald”. Ze środka dobiegał stukot prasy drukarskiej.

– Hej, ty! – odezwał się Baldwin do McMurdo. – Możesz zostać na dole przy drzwiach i pilnować, żebyśmy mieli wolną drogę. Arthur Willaby może zostać z tobą. Reszta idzie ze mną. Nie ma obawy, chłopcy. Mamy z tuzin świadków, którzy mogą potwierdzić, że w tej chwili jesteśmy w Union House.

Dochodziła prawie północ, okolica była opustoszała; paru hulaków wracało do domu. Grupka braci przeszła na drugą stronę ulicy. Baldwin i jego ludzie otworzyli drzwi do redakcji gazety, wtargnęli do środka i szybko wbiegli na górę po schodach. McMurdo wraz z jednym z towarzyszy pozostał na dole. Z pomieszczenia na górze dobiegły krzyki i wołanie o pomoc, a potem odgłos dudniących stóp i przewracanych krzeseł. Chwilę później na schody wybiegł siwowłosy mężczyzna. Zanim zrobił kilka kroków, złapano go. Okulary spadły z brzękiem i potoczyły się aż do stóp McMurdo. Rozległ się głuchy odgłos ciosu. Mężczyzna jęknął i upadł na twarz. Natychmiast spadły na niego dalsze ciosy zadawane kijami. Wił się, a jego długie, chude kończyny drżały. Wreszcie przestali go okładać, tylko Baldwin ze swą okrutną twarzą, wykrzywioną w piekielnym uśmiechu, wciąż tłukł ofiarę po głowie. Mężczyzna na próżno próbował zasłonić się rękoma. Na jego białych włosach pojawiła się krew. Baldwin wciąż stał pochylony nad ofiarą, zadając szybkie ciosy za każdym razem, gdy zobaczył odsłoniętą część ciała. McMurdo wbiegł po schodach i pchnął go do tyłu.

– Zabijesz go – zawołał. – Przestań!

Baldwin spojrzał na niego zdumiony.

– Niech cię szlag! – krzyknął. – Kim ty niby jesteś, żeby się wtrącać? Jesteś nowy w loży. Odsuń się! – znów podniósł kij, lecz McMurdo wyciągnął swój rewolwer.

– To ty się odsuń! – zawołał. – Jeśli spróbujesz mnie tknąć, odstrzelę ci łeb! A co do loży, to czy mistrz nie rozkazał przypadkiem, byśmy go nie zabijali? A ty to właśnie próbujesz zrobić.

– Dobrze mówi – zauważył jeden z mężczyzn.

– Na Boga! Lepiej się pośpieszcie – krzyknął ten, który został na dole. – We wszystkich oknach zapalają się światła! Za pięć minut zbiegnie się tu całe miasto.

Rzeczywiście, z ulicy dało się słyszeć jakieś krzyki, a w holu poniżej stłoczyła się grupka zecerów i drukarzy, zamierzających coś zrobić. Bandyci zostawili u szczytu schodów nieruchome, zwiotczałe ciało, zbiegli w dół i szybko ruszyli ulicą. Gdy dotarli do Union House, niektórzy z nich wmieszali się w tłum w barze McGinty’ego, szepcząc mistrzowi, który stał za ladą, że robota została wykonana. Inni, między innymi McMurdo, skręcili w boczne uliczki, by potem okrężną drogą dotrzeć do swych domów.

Rozdział czwarty

Dolina strachu

Gdy McMurdo obudził się następnego ranka, od razu przypomniał sobie swą inicjację w loży. Po tym wszystkim, co wypił, bolała go głowa, a ramię, na którym wypalono piętno, było gorące i opuchnięte. Ponieważ miał własne, dość specyficzne źródło dochodów, w pracy pojawiał się nieregularnie. Zjadł więc spokojnie późne śniadanie i przez cały ranek pozostawał w domu, pisząc długi list do przyjaciela. Potem zabrał się za czytanie „Daily Herald”. W artykule specjalnym, dodrukowanym w ostatniej chwili, przeczytał:

„NAPAD W REDAKCJI HERALDA, REDAKTOR POWAŻNIE RANNY”.

Była to krótka relacja z wydarzeń, które sam znał lepiej niż ten, kto napisał artykuł. Kończyła się ona oświadczeniem:

> Sprawa znajduje się w tej chwili w rękach policji, lecz raczej trudno żywić nadzieję, by tym razem jej wysiłki przyniosły lepsze efekty, niż miało to miejsce w przeszłości. Niektórych spośród napastników rozpoznano, i jest nadzieja, że być może zostaną skazani. Nie trzeba chyba nawet wspominać, że za tym napadem stoi jak zwykle to niesławne stowarzyszenie, które już od tak dawna dręczy tutejszą społeczność i wobec którego „Herald” przyjęła tak bezkompromisowe stanowisko. Liczni przyjaciele pana Stangera ucieszą się na wieść, że choć został okrutnie i brutalnie pobity i odniósł poważne rany w okolicach głowy, jego życiu nie zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo.

Poniżej dodano, że do ochrony redakcji „Heralda” wyznaczono oddział policji, złożony z ludzi uzbrojonych w karabiny typu winczester.

McMurdo właśnie odłożył gazetę i zapalał fajkę ręką drżącą po ekscesach ubiegłej nocy, kiedy usłyszał pukanie do drzwi. Gospodyni

przyniosła mu list przekazany przez jakiegoś chłopaka. Był niepodpisany, brzmiał następująco:

> Pragnę z panem porozmawiać, wolę jednak nie robić tego w pańskim domu. Znajdzie mnie pan przy maszcie flagowym na Miller Hill. Jeśli zjawi się pan tam natychmiast, przekażę mu coś ważnego. Powinien to pan usłyszeć.

McMurdo, kompletnie zaskoczony, przeczytał dwukrotnie tych kilka wierszy. Nie miał pojęcia, co list mógł oznaczać ani kto go przysłał. Gdyby napisała to kobieca ręka, wyobraziłby sobie, że jest to początek jednej z tych przygód, które już nie raz w życiu zdarzyło mu się przeżyć. Było to jednak pismo mężczyzny, i to najwyraźniej wykształconego. Po dłuższym wahaniu zdecydował się wreszcie dowiedzieć, o co w tej sprawie chodzi.

Miller Hill to zaniedbany park w samym środku miasta. Ulubione miejsce mieszkańców Vermissy latem, w zimie jednak świeciło pustkami. Ze szczytu wzgórza rozciągał się widok na brudne miasto, wijącą się poniżej dolinę usianą kopalniami i fabrykami, pokrytą poczerniałym od brudu śniegiem oraz na zalesione, spowite bielą łańcuchy górskie.

McMurdo ruszył powoli krętą ścieżką, po której obu stronach rósł żywopłot wiecznie zielonych krzewów. Dotarł do opuszczonej restauracji, położonej w samym środku tego letniego miejsca rozrywki. Obok niej wznosił się nagi maszt flagowy, a pod nim stał jakiś mężczyzna. Miał głęboko nasunięty na czoło kapelusz i postawiony kołnierz u płaszcza. Gdy zwrócił twarz w jego stronę, McMurdo rozpoznał brata Morrisa, tego, który ubiegłej nocy wzbudził gniew mistrza loży. Przywitali się znakiem bractwa.

– Chciałem zamienić z panem słowo, panie McMurdo – rzekł starszy mężczyzna z wahaniem, jakby wiedział, że stąpa po grząskim gruncie. – Miło z pana strony, że pan się zjawił.

– Dlaczego pan nie podpisał listu?

– W tych czasach trzeba być ostrożnym, proszę pana. Nigdy nie wiadomo, w jaki sposób coś, co zrobimy, może do nas powrócić. Nie wiadomo, komu można ufać, a komu nie.

– Z całą pewnością można zaufać braciom z loży.

– Nie, nie. Nie zawsze! – zawołał z przekonaniem Morris. – Wszystko, co powiemy, a nawet to, co sobie pomyślimy, w jakiś sposób dociera

do McGinty’ego.

– Proszę mnie posłuchać – rzekł surowo McMurdo. – Jak pan doskonale wie, dopiero co, ubiegłej nocy, złożyłem przysięgę mistrzowi naszej loży. Chce pan, żebym teraz ją złamał?

– Skoro tak się pan na to zapatruje – rzekł smutno Morris – mogę pana jedynie przeprosić, że fatygowałem go przyjść tutaj i spotkać się ze mną. Nadeszły bardzo złe czasy, skoro dwóch wolnych obywateli nie może już nawet swobodnie podzielić się swoimi myślami.

McMurdo, który bacznie obserwował swego towarzysza, nieco się rozluźnił.

– Oczywiście, mówiłem za siebie – powiedział. – Jak pan wie, jestem tutaj nowy, i to wszystko jest mi obce. Nie powinienem się odzywać, panie Morris, skoro pan uważa, że ma mi coś do powiedzenia, to chciałbym to usłyszeć.

– I donieść o tym mistrzowi McGinty’emu? – wtrącił rozgoryczony Morris.

– Jest pan wobec mnie niesprawiedliwy, naprawdę – odpowiedział ostro McMurdo. – Jestem lojalny wobec loży i mówię panu o tym bez ogródek, ale nigdy nikomu nie zdradzam tego, co ktoś wyznał mi w zaufaniu. Wszystko, co pan mi powie, zostanie między nami, ale muszę go ostrzec, że być może nie znajdzie pan u mnie ani pomocy, ani współczucia.

– Już ich nie szukam – rzekł Morris. – Chcę wszystko szczerze wyznać. Wiem, że wraz z tym, co opowiem, składam swoje życie w pańskie ręce. Być może jest pan złym człowiekiem, ale wczoraj w nocy odniosłem wrażenie, że pan tylko udaje złego; jest pan tutaj dopiero od niedawna i w przeciwieństwie do pozostałych ma pan jeszcze sumienie. To dlatego chciałem z panem porozmawiać.

– Co mi pan ma do powiedzenia?

– Jeśli mnie zdradzisz, bądź przeklęty!

– Już mówiłem, że pana nie zdradzę.

– W takim razie proszę mi powiedzieć, czy gdy przystępował pan do loży masońskiej w Chicago i składał przysięgę na miłość i wierność bliźniemu, przyszło panu kiedykolwiek do głowy, że może to doprowadzić go do zbrodni?

– Skoro nazywa pan to zbrodnią… – odparł McMurdo.

– Nazywam to zbrodnią! – krzyknął Morris głosem drżącym od emocji. – Nie za wiele pan widział, skoro może pan to nazywać inaczej. A czy nie było zbrodnią tak dotkliwe pobicie ubiegłej nocy starego człowieka, który mógłby być pańskim ojcem, że krew splamiła jego siwe włosy? Czy to nie była zbrodnia? A jak inaczej pan by to nazwał?

– Niektórzy nazwaliby to wojną – rzekł McMurdo. – Bezwzględną walką dwóch klas, w której każda strona uderza najdotkliwiej jak może.

– Pomyślał pan o czymś takim, gdy przystępował do loży masońskiej w Chicago?

– Nie, oczywiście, że nie.

– Mnie też coś takiego nie przyszłoby nawet do głowy, gdy przystępowałem do loży w Filadelfii. To było po prostu zgromadzenie zapewniające wszystkim korzyści. Miejsce, gdzie można było się spotkać z towarzyszami. Potem dowiedziałem się o Vermissie, niech przeklęta będzie godzina, gdy po raz pierwszy usłyszałem tę nazwę, i przyjechałem tutaj, by zadbać o swe interesy! Dobry Boże, kto by pomyślał! Przywiozłem ze sobą żonę i trójkę dzieci. Otworzyłem pasmanterię na rynku i nieźle mi się powodziło. Rozeszły się pogłoski, że jestem masonem, i zmuszono mnie do przystąpienia do miejscowej loży. Podobnie jak panu ubiegłej nocy wypalono mi znamię hańby na ręce; o wiele gorsze znamię noszę w sercu. Zrozumiałem, że znalazłem się pod rozkazami jakiegoś skończonego łotra, uwikłany w zbrodniczą sieć. I co mogłem zrobić? Każde słowo, jakie wypowiadałem, by coś zmienić na lepsze, było odbierane jako zdrada, tak samo jak ubiegłej nocy. Nie mogę stąd uciec, bo mój sklep jest wszystkim, co posiadam. Jeśli opuszczę to stowarzyszenie, jestem pewien, że mnie zamordują, i Bóg jeden wie, co zrobią mojej żonie i moim dzieciom. O Boże, to straszne! Straszne! – zasłonił twarz dłońmi, a całe jego ciało drżało wstrząsane konwulsyjnym szlochem.

McMurdo wzruszył ramionami.

– Był pan za miękki do takiej roboty – powiedział. – Nie jest pan typem człowieka, który się do tego nadaje.

– Miałem sumienie i swoją wiarę, ale oni zrobili ze mnie przestępcę. Dali mi taką jedną robotę. Wiedziałem, że gdybym się wycofał, nie uszłoby mi to na sucho. Może jestem tchórzem? Może to myśl o mojej biednej żonie i dzieciach robi ze mnie tchórza? Tak czy inaczej, poszedłem i zrobiłem to. Będzie mnie to prześladowało do końca życia.

Dwadzieścia mil stąd, za tym łańcuchem górskim, stoi samotny dom. Kazali mi czekać przy drzwiach, tak samo, jak panu ubiegłej nocy. Nie ufali mi do końca. Pozostali weszli do środka. Kiedy wrócili, ich ręce były we krwi aż po łokcie. Gdy odchodziliśmy, w domu krzyczało dziecko, jak się okazało, pięcioletni chłopiec, na którego oczach mordowali ojca. Wzbudziło to we mnie taki strach, że prawie zemdlałem, ale musiałem udawać chojraka i się uśmiechać, bo dobrze wiedziałem, że gdybym zachował się inaczej, następnym razem wyszliby z zakrwawionymi rękoma z mojego domu, i to mój mały Fred krzyczałby nad zabitym ojcem.

Wtedy byłem już przestępcą, który brał udział w morderstwie. Byłem na zawsze stracony w tym życiu i skazany na potępienie po śmierci. Jestem katolikiem, ale gdy ksiądz dowiedział się, że zostałem wykonawcą wyroków, nie chciał zamienić już ze mną słowa. Zostałem ekskomunikowany. Zmierza pan tą samą drogą, pytam więc pana: dokąd to prowadzi? Czy pan jest gotów zostać mordercą i z zimną krwią zabijać ludzi, czy też możemy coś zrobić, żeby to powstrzymać?

– A co chciałby pan zrobić? – spytał ostro McMurdo. – Zeznawałby pan?

– Broń Boże! – zawołał Morris. – Sama myśl o tym kosztowałaby mnie życie.

– No i dobrze – rzekł McMurdo. – Uważam, że jest pan słabym człowiekiem i za bardzo się tym wszystkim przejmuje.

– Za bardzo?! Zobaczymy, gdy jeszcze trochę pan tutaj pożyje. Niech pan spojrzy na tę dolinę! Widzi pan tę chmurę dymu z setek kominów, która nad nią wisi? Mówię panu, że chmura morderstw jest tutaj jeszcze gęstsza i wisi jeszcze niżej nad głowami ludzi. To jest Dolina strachu, Dolina śmierci. Ludzie żyją tu w strachu od świtu do nocy. Poczekaj, młody człowieku, a sam się o tym przekonasz.

– Kiedy zobaczę więcej, dam panu znać, co o tym myślę – odparł beztrosko McMurdo. – Natomiast oczywistym jest, że nie pasuje pan do tego miejsca i im szybciej sprzeda pan swój interes, nawet jeśli miałby pan dostać dziesięć centów za dolara, tym lepiej dla niego. Niech się pan nie obawia, nie zdradzę tego, co mi pan powiedział. Ale na Boga, jeśli dojdę do wniosku, że jest pan donosicielem…

– Nie! Nie! – zawołał żałośnie Morris.

– Dobrze, pozostańmy przy tym. Będę pamiętał, co mi pan powiedział, i może któregoś dnia jeszcze do tego wrócimy. Zakładam, że miał pan

dobre intencje, mówiąc mi o tym wszystkim. A teraz idę do domu.

– Jeszcze jedno słowo, zanim pan odejdzie – rzekł Morris. – Być może widziano nas razem. Będą pytali, o czym rozmawialiśmy.

– Aha, dobrze, że pan o tym pomyślał.

– Oferowałem panu pracę sprzedawcy w moim sklepie.

– A ja odmówiłem. To nasza sprawa. Do widzenia, bracie Morrisie, i oby ci się w przyszłości lepiej wiodło.

Jeszcze tego samego popołudnia, gdy McMurdo, pogrążony w myślach, siedział przy piecu w swoim salonie i palił fajkę, drzwi otworzyły się z impetem, i stanęła w nich olbrzymia postać mistrza McGinty'ego. Przekazał mu znak bractwa, a potem usiadł naprzeciwko młodego człowieka i przez jakiś czas uparcie mu się przyglądał, McMurdo równie z uporem wpatrywał się w mistrza loży.

– Nieczęsto wybieram się w gości, bracie McMurdo – powiedział wreszcie. – Pewnie dlatego, że jestem zbyt zajęty sprawami ludzi, którzy przychodzą do mnie. Pomyślałem sobie jednak, że zrobię wyjątek i zajrzę do ciebie.

– Uczynił mi pan tym wielki zaszczyt, panie radny – odparł serdecznie McMurdo, wyjmując butelkę whisky z kredensu. – Tym większy, że nieoczekiwany.

– Jak tam ramię? – spytał mistrz.

McMurdo skrzywił się.

– Trudno o nim zapomnieć – powiedział. – Ale warto było.

– Tak, warto – odparł McGinty. – Przynajmniej dla tych, którzy są poddawani temu rytuałowi, by być lojalni i pomocni dla loży. A właśnie, czy nie rozmawiałeś przypadkiem dziś rano z bratem Morrisem na Miller Hill?

Pytanie to padło tak nieoczekiwanie, że McMurdo ucieszył się, iż miał gotową odpowiedź.

Roześmiał się głośno.

– Morris nie wiedział, że mogę zarabiać na życie w domu. Zresztą, nie dowie się o tym, bo jak na mój gust, za bardzo dręczy go sumienie. Ale to dobry, miły staruszek. Wydawało mu się, że nie mam co ze sobą począć, i chciał wyświadczyć mi przysługę. Zaproponował pracę sprzedawcy w swojej pasmanterii.

– Aha, o to chodziło!

– Tak. O to.

– I ty mu odmówiłeś?

– No jasne. Przecież w cztery godziny mogę zarobić dziesięć razy tyle we własnej sypialni.

– No dobrze, ale nie zadawałbym się za bardzo z tym Morrisem.

– Dlaczego nie?

– Powiedzmy, dlatego, że ja ci tak mówię. Większości ludzi w tych stronach to wystarcza.

– Większości może i wystarczy, lecz nie mnie, panie radny – rzekł śmiało McMurdo. – Skoro potrafi pan ocenić człowieka, powinien pan o tym wiedzieć.

Śniady olbrzym wpatrywał się w niego ponuro, a jego włochata łapa zacisnęła się przez moment na szklance, tak jakby chciał ją cisnąć w głowę swojego rozmówcy. Potem wybuchnął tym swoim gromkim nieszczerym śmiechem.

– Niezły z ciebie numer, bez dwóch zdań – odrzekł w końcu. – Cóż, jeśli chcesz znać powody… Czy Morris nie mówił ci nic przeciwko loży?

– Nie.

– Ani nic przeciwko mnie?

– Nic takiego nie mówił.

– Bo nie śmiał ci zaufać, jednak w głębi serca nie jest lojalny w stosunku do nas. Dobrze o tym wiemy. Obserwujemy go i czekamy na właściwy moment, żeby dać mu nauczkę. Myślę, że ta chwila jest coraz bliżej. W naszej zagrodzie nie ma miejsca na parszywą owcę. Ale jeśli będziesz się zadawał z nielojalnym człowiekiem, możemy pomyśleć, że może i ty jesteś nielojalny. Rozumiesz?

– Nie ma szans, bym się z nim trzymał: po prostu za nim nie przepadam – odparł McMurdo. – A jeśli chodzi o nielojalność, to nikt inny oprócz pana nie odważy się powiedzieć mi tego po raz drugi.

– To chyba wszystko – rzekł McGinty, dopijając whisky ze swojej szklanki. – Przyszedłem, by we właściwym momencie udzielić ci rady.

– Ciekaw jestem – zapytał McMurdo – jak pan dowiedział się o tym, że rozmawiałem z Morrisem?

McGinty się roześmiał.

– To mój interes, by wiedzieć o wszystkim, co się dzieje w tym mieście – stwierdził. – Możesz założyć, że słyszę o wszystkim, co się tutaj dzieje.

Śpieszy mi się, ale powiem ci jeszcze tylko…

Pożegnanie zostało jednak przerwane w bardzo nieoczekiwany sposób. Nagle z łoskotem otworzyły się drzwi, i do środka zajrzały trzy pochmurne, poważne twarze, spoglądające na nich spod policyjnych czapek.

McMurdo zerwał się na nogi i zdążył już do połowy wyciągnąć rewolwer, jednak powstrzymał się, gdy uświadomił sobie, że dwa winczestery mierzą w jego głowę. Człowiek w mundurze wkroczył do pokoju, trzymając w ręce sześciostrzałowy rewolwer. Był to kapitan Marvin, policjant z Chicago, który obecnie pracował w policji kopalni. Uśmiechnął się lekko do McMurdo i potrząsnął głową.

– Tak myślałem, że wpakujesz się w kłopoty, panie oszuście McMurdo z Chicago – powiedział. – Nie potrafisz się od nich trzymać z daleka, co? Bierz kapelusz i chodź z nami!

– Zapłaci mi pan za to, kapitanie Marvin – powiedział McGinty. – Chciałbym wiedzieć, kim pan jest, żeby włamywać się tak do czyjegoś domu i prześladować uczciwych, praworządnych ludzi?

– Niech się pan do tego nie wtrąca, panie radny – odparł kapitan. – Nie przyszliśmy tutaj po pana, tylko po McMurdo. Powinien nam pan pomagać, a nie utrudniać wykonywania obowiązków.

– To mój przyjaciel, i ręczę za niego – powiedział mistrz.

– Wygląda na to, panie McGinty, że już niedługo będzie pan musiał szukać poręki dla siebie – odparł kapitan. – Ten McMurdo był oszustem, jeszcze zanim się tutaj zjawił, i nim pozostał. Uważajcie na niego, kiedy będę go rozbrajał.

– Oto mój rewolwer – rzekł chłodno McMurdo. – Kapitanie Marvin, gdybyśmy się spotkali sam na sam, nie poszłoby panu tak łatwo.

– Gdzie jest wasz nakaz? – spytał McGinty. – Na Boga! Dopóki policją rządzą tacy ludzie jak pan, w Vermissie będzie coraz gorzej. To kapitalistyczne ekscesy, i ja tak tego nie zostawię!

– Panie radny, wykonuje pan swoje obowiązki najlepiej jak potrafi. My wykonujemy swoje.

– O co jestem oskarżony? – spytał McMurdo.

– O udział w pobiciu starego redaktora Stangera w redakcji „Heralda”. I ciesz się, że nie oskarżamy cię o morderstwo.

– Cóż, jeśli to wszystko, co macie przeciwko niemu – zawołał ze śmiechem McGinty – możecie zaoszczędzić sobie mnóstwa kłopotów

i odpuścić sobie. – Ten człowiek był ze mną w moim barze i do północy grał w pokera. Mogę przedstawić tuzin świadków, którzy to potwierdzą.

– To pańska sprawa, może pan to załatwić jutro w sądzie. A teraz chodź z nami, McMurdo, i zachowuj się spokojnie, jak nie chcesz dostać kolbą po głowie. A pan niech nam zejdzie z drogi, panie McGinty, bo ostrzegam, jestem na służbie i nie będę tolerował żadnego sprzeciwu.

Kapitan wyglądał na tak zdeterminowanego, że i McMurdo, i jego mistrz musieli zaakceptować sytuację. Zanim się rozstali, temu ostatniemu udało się szeptem wymienić parę słów z więźniem.

– A co z… – uniósł do góry kciuk, co miało oznaczać prasę menniczą.

– W porządku – odparł szeptem McMurdo, który wymyślił bezpieczną kryjówkę pod podłogą.

– No to do zobaczenia – powiedział mistrz, ściskając mu dłoń. – Zobaczę się z Reillym, prawnikiem, i wezmę na siebie koszty obrony. Uwierz mi, nie będą w stanie cię zatrzymać.

– Ja bym się o to nie zakładał. Wy, dwaj, pilnujcie więźnia, a gdyby próbował jakiś sztuczek, zastrzelcie go. Zanim wyjdę, przeszukam jeszcze dom.

I tak zrobił, ale najwyraźniej nie znalazł ukrytej prasy menniczej. Potem zszedł na dół i wraz ze swoimi ludźmi poprowadził McMurdo na posterunek. Zapadł już zmrok, i wiał ostry zimny wiatr, ulice były więc niemal całkowicie opustoszałe. Jednak za tą grupką poszło paru włóczęgów, którzy, zachęceni skrywającym ich mrokiem, obrzucali przekleństwami więźnia.

– Zlinczować tego przeklętego mordercę! – wrzeszczeli. – Zlinczować go! – Śmiali się i gwizdali, towarzysząc policjantom w drodze do samego posterunku. Po krótkim, formalnym przesłuchaniu przez dyżurnego inspektora, McMurdo został zamknięty we wspólnej celi. Znajdowali się tu już Baldwin i trzech innych przestępców, z którymi był ubiegłej nocy. Wszystkich aresztowano tego popołudnia; czekali teraz na proces, który miał się odbyć następnego dnia rano.

Jednakże długie ramię masonów sięgało nawet tego bastionu prawa. Późno w nocy zjawił się więzienny strażnik, który przyniósł im słomę na posłanie. Wydobyli z niej dwie butelki whisky, parę kieliszków i talię kart. Wesoło spędzili noc, nie martwiąc się zbytnio o to, co czeka ich rano.

I jak się okazało, nie mieli żadnych powodów, by się czegokolwiek obawiać. Sędzia nie był w stanie zatrzymać ich w areszcie w oparciu o zeznania świadków. Zecerzy i drukarze musieli przyznać, że światło było słabe, sami byli bardzo wystraszeni i nie potrafili przysiąc, czy oskarżeni byli tymi napastnikami. Z drugiej strony twierdzili, że byli wśród nich oskarżeni. Gdy bystry adwokat wynajęty przez McGinty'ego wziął ich w krzyżowy ogień pytań, zeznania świadków stały się jeszcze bardziej mgliste.

Redaktor Stanger, ofiara napadu, już wcześniej zeznał, że był tak zaskoczony, iż nie był w stanie powiedzieć nic poza tym, że pierwszy, kto go uderzył, miał wąsy. Według niego, byli to wykonawcy wyroków, bo nikt inny w ich społeczności nie był jego wrogiem, a już od dawna grożono mu z powodu artykułów, jakie o nich pisał. Z drugiej strony spójne zeznania sześciu obywateli, w tym wysokiego urzędnika radnego McGinty, wykazały, że oskarżeni grali w karty w Union House do późna w nocy i wyszli stamtąd wiele godzin po tym, jak dokonano rzeczonego napadu.

Nie trzeba chyba dodawać, że wszystkich zwolniono, sędzia niemal przepraszał ich za te niedogodności, a kapitan Marvin i policja zostali skrytykowani za nadgorliwość w wypełnianiu swoich obowiązków.

Gdy ogłoszono wyrok, ludzie w sali sądowej, wśród których McMurdo rozpoznał wiele znajomych twarzy, powitali go z głośnym aplauzem. Bracia z loży uśmiechali się i machali do nich. Byli tam jednak również inni ludzie, którzy siedzieli z zaciśniętymi ustami, pogrążeni w zadumie, gdy oskarżeni wychodzili na wolność. Jeden z nich, drobny stanowczy jegomość z ciemną brodą, wyraził uczucia swoje i swych towarzyszy, gdy niedawni więźniowie przechodzili obok niego.

– Wy przeklęci mordercy! – powiedział. – Jeszcze was dorwiemy!

Rozdział piąty

Najmroczniejsza godzina

Jeśli potrzebne było jeszcze coś, co mogło przysporzyć większej popularności Johnowi McMurdo wśród jego towarzyszy, to tym właśnie było jego aresztowanie i późniejsze uniewinnienie. To, że jakiś człowiek jeszcze tej samej nocy, gdy przystąpił do loży, zrobił coś, za co musiał stanąć przed sądem, otwierało zupełnie nowy rozdział w kronikach stowarzyszenia. McMurdo już wcześniej zdobył sobie reputację wesołego towarzysza, nie stroniącego od rozrywek, a ponadto człowieka obdarzonego takim temperamentem, że nie pozwoliłby się obrażać nawet samemu wszechmocnemu mistrzowi. Jego towarzysze byli teraz przekonani, że nie było wśród nich nikogo, kto z równie wielką łatwością potrafiłby uknuć krwawy plan, jak też go umiejętnie wykonać.

„Będzie właściwym człowiekiem do czystej roboty” – powtarzali starsi członkowie loży, czekając na taką chwilę, by móc mu powierzyć odpowiednie zadanie.

McGinty i tak już miał wielu ludzi, którzy byli narzędziami w jego planach. Zdawał sobie jednak sprawę, że ten nowy nabytek był niezwykle zręczny. Czuł się tak, jakby trzymał na smyczy wielkiego rozwścieczonego psa. Miał zwykłe kundle do wykonywania drugorzędnej roboty, wiedział jednak, że pewnego dnia spuści tę bestię z uwięzi i poszczuje nim ofiarę. Kilku członków bractwa, w tym Ted Baldwin, nie było zadowolonych z tego, w jak błyskawicznym tempie nieznajomy awansował w loży. Nienawidzili go za to; nie wchodzili mu jednak w drogę, bo był równie chętny do walki, co do śmiechu.

Chociaż McMurdo zaskarbił sobie łaski swych towarzyszy, to ojciec Ettie Shafter nie chciał mieć już z nim do czynienia i nie pozwalał przychodzić do swojego domu. Ettie była zbyt zakochana, by całkowicie o nim

zapomnieć, jednak zdrowy rozsądek ostrzegał ją przed tym, co może wyniknąć z poślubienia mężczyzny uważanego za przestępcę.

Pewnego ranka po bezsennej nocy postanowiła, że się z nim zobaczy – być może po raz ostatni – i jeszcze raz spróbuje odciągnąć go od tego złego towarzystwa, przez które staczał się na dno. Poszła do jego domu i weszła do pokoju, który był używany jako salon. Mężczyzna siedział przy stole, odwrócony do niej plecami, a przed nim leżał jakiś list. Ettie miała dziewiętnaście lat i lubiła pożartować; teraz nagle ogarnęła ją chęć, by zrobić mu jakiegoś psikusa. Nie usłyszał jej, kiedy otwierała drzwi. Podeszła do niego na palcach i lekko położyła dłoń na jego przygarbionych ramionach.

Jeśli miała nadzieję, że go przestraszy, to z całą pewnością jej się to udało, efekt jednak był taki, że sama przeraziła się jeszcze bardziej. Jednym tygrysim skokiem McMurdo znalazł się przy niej, podczas gdy jego prawa ręka już szukała jej gardła. Równocześnie drugą ręką zgniótł papier, który leżał przed nim na stole. Przez chwilę stał tak, patrząc na nią dzikim wzrokiem. Potem przerażenie, które wykrzywiło jego rysy, zastąpiły zdumienie i radość. Widok ten sprawił jedynie, że dziewczyna skuliła się i cofnęła o krok, przerażona czymś, czego nigdy jeszcze nie doświadczyła w swym spokojnym życiu.

– To ty – powiedział, ocierając czoło. – Pomyśleć tylko, że przyszłaś do mnie, moja ukochana, a mnie nie było stać na nic lepszego, niż próbować cię udusić. Chodź tutaj, najdroższa – i wyciągnął do niej ręce. – Zaraz to wszystko naprawię.

Ona jednak nie potrafiła zapomnieć tego nagłego lęku i poczucia winy, który wyczytała w jego twarzy. Kobieca intuicja podpowiadała jej, że nie była to zwykła reakcja mężczyzny, którego coś przestraszyło. Poczucie winy. Tak! To było to. Poczucie winy i strach!

– Co cię opętało, John? – wykrztusiła. – Dlaczego tak się mnie przestraszyłeś? Och, gdybyś miał czyste sumienie, nie patrzyłbyś na mnie w taki sposób!

– Masz rację. Myślałem o zupełnie innych rzeczach, a kiedy do mnie podeszłaś, stąpając cicho niczym wróżka…

– Nie, nie! To było coś jeszcze, John – nagle ogarnęły ją podejrzenia. – Pokaż mi ten list, który pisałeś.

– Och, Ettie, nie mogę.

Jej podejrzenia zmieniły się w pewność.

– Pisałeś do innej kobiety! – krzyknęła. – Wiem to! Z jakiego innego powodu nie chciałbyś mi tego pokazać? A może pisałeś do żony, co? Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś żonaty? Ty, przybysz, którego nikt tutaj nie zna!

– Nie jestem żonaty, Ettie, przysięgam! Jesteś dla mnie jedyną kobietą na świecie. Przysięgam na święty krzyż!

Był tak blady i poważny, a powiedział to z taką pasją, że musiała mu uwierzyć.

– Dobrze, ale w takim razie dlaczego nie pokażesz mi tego listu? – nie ustępowała.

– Powiem ci dlaczego, *acushla* – odparł. – Składałem przysięgę, że go nikomu nie pokażę, i tak jak nie złamię słowa danego tobie, dotrzymam też obietnicy, którą złożyłem innym. Ta sprawa dotyczy loży i musi pozostać tajemnicą nawet dla ciebie. A że przestraszyłem się, gdy poczułem, że dotyka mnie czyjaś ręka… Przecież to mógł być jakiś policyjny detektyw!

Dziewczyna czuła, że mówi prawdę. Wziął ją w ramiona i zaczął całował, aż zapomniała o wszystkich lękach i wątpliwościach.

– A teraz siądź tutaj przy mnie. Dziwny to tron dla takiej królowej jak ty, ale najlepszy, jaki ci może zaoferować twój biedny kochanek. Sądzę jednak, że już wkrótce będę w stanie dać tobie coś lepszego. Lżej ci już na sercu, prawda?

– Jak może mi być lżej na sercu, John, skoro wiem, że jesteś przestępcą? Nie ma takiego dnia, bym się nie bała, że usłyszę, iż stanąłeś przed sądem za morderstwo. „McMurdo, ten wykonawca wyroków”. Tak cię nazwał wczoraj jeden z naszych lokatorów. To było tak, jakby ktoś wbił mi nóż w serce.

– Słowa kości nie łamią.

– Ale one były prawdziwe!

– Ukochana, nie jest tak źle, jak myślisz. Jesteśmy tylko biednymi ludźmi, którzy próbują na swój własny sposób dostać to, co się im należy.

Ettie zarzuciła mu ręce na szyję.

– Skończ z tym, John. Skończ z tym, na Boga! Dla mnie. Przyszłam tu dzisiaj po to, aby cię o to prosić. Och, John… Błagam o to na kolanach. Klękam tutaj przed tobą, prosząc cię, abyś z tym skończył!

Podniósł ją z kolan i pocieszał, a ona przytuliła się do niego i oparła głowę na jego piersi.

– Moje kochanie, nawet nie wiesz, o co mnie prosisz. Jak mogę z tym skończyć, skoro oznaczałoby to złamanie przysięgi i opuszczenie moich towarzyszy? Gdybyś wiedziała, o co mnie prosisz! A poza tym, nawet gdybym chciał to zrobić, to w jaki sposób? Nie sądzisz chyba, że loża puściłaby wolno człowieka, który poznał wszystkie jej sekrety.

– Myślałam o tym, John. Wszystko zaplanowałam. Ojciec odłożył trochę pieniędzy. Jest już znużony życiem w tym miejscu, gdzie ludzi paraliżuje strach. Jest gotów stąd wyjechać. Ucieklibyśmy razem do Filadelfii albo do Nowego Jorku, gdzieś, gdzie bylibyśmy bezpieczni.

McMurdo roześmiał się.

– Loża ma długie ręce. Myślisz, że nie dosięgłaby nas w Filadelfii czy w Nowym Jorku?

– Cóż, wyjedźmy w takim razie na zachód albo do Anglii czy do Niemiec, tam, skąd przyjechał ojciec. Gdziekolwiek, byle jak najdalej od tej Doliny strachu!

McMurdo pomyślał o starym bracie Morrisie.

– Wiesz, już drugi raz słyszę, jak ktoś tak nazywa tę dolinę – powiedział. – Niektórych z was jej cień rzeczywiście przytłacza.

– On sprawia, że każda chwila naszego życia jest coraz mroczniejsza. Czy myślisz, że Ted Baldwin nam przebaczył? On się ciebie boi, inaczej nie mielibyśmy szans. Gdybyś tylko widział, jak na mnie patrzy tymi swoimi ciemnymi, głodnymi oczyma!

– Na Boga! Jak go tylko na tym przyłapię, nauczę go lepszych manier! Ale posłuchaj, moja dziewczynko, nie możemy stąd wyjechać. Proszę, zrozum to wreszcie. Jeśli pozwolisz mi załatwić to po swojemu, postaram się znaleźć jakiś sposób, by z honorem uwolnić się od tego wszystkiego.

– W takich sprawach nie ma mowy o żadnym honorze.

– No cóż, ty tak to widzisz. Ale jeśli dasz mi pół roku, spróbuję tak załatwić sprawy, bym mógł stąd wyjechać, nie wstydząc się spojrzeć innym w twarz.

Dziewczyna roześmiała się radośnie.

– Pół roku?! – zawołała. – Obiecujesz mi to?

– No, może siedem czy osiem miesięcy, ale najdalej w ciągu roku zostawimy tę dolinę.

To było wszystko, co Ettie udało się osiągnąć. Teraz widziała już to odległe światełko, które rozświetlało ponury mrok najbliższej przyszłości. Wróciła do domu ojca, czując, że jest jej tak lekko na sercu, jak jeszcze nigdy nie było od chwili, gdy John McMurdo pojawił się w jej życiu.

Można by pomyśleć, że skoro był członkiem loży, wiedział o wszystkich poczynaniach stowarzyszenia. Wkrótce jednak miał się przekonać, że organizacja była znacznie bardziej złożona i sięgała dużo dalej. Nawet mistrz McGinty o wielu rzeczach nie wiedział. Był natomiast pewien urzędnik mieszkający w Hobson’s Patch, który pełnił funkcję delegata hrabstwa. Miał władzę nad kilkoma różnymi lożami i przebiegle korzystał z niej w brutalny i samowolny sposób. McMurdo widział go tylko raz. Był to drobny siwowłosy człowiek o szczurzej twarzy, rzucający ukradkowe, pełne złośliwości spojrzenia. Nazywał się Evans Pott, i nawet wielki mistrz loży w Vermissie żywił do nie niechęć, podobnie jak potężny Danton czuł odrazę do wątłego, lecz niebezpiecznego Robespierre’a.

Pewnego dnia Scanlan, który mieszkał razem z McMurdo, dostał od McGinty’ego list. Do listu była dołączona informacja od Evansa Potta, w którym ten powiadamiał mistrza loży z Vermissy, że przysyła dwóch sprawdzonych ludzi – Lawlera i Andrewsa. Otrzymali oni instrukcje odnośnie do zadania, które mieli wykonać w tej okolicy, i dla sprawy byłoby najlepiej, żeby nikt nie znał żadnych szczegółów. Czy mistrz loży mógłby załatwić im mieszkanie i zapewnić wszystkie wygody do czasu, aż wykonają powierzone im zadanie? McGinty dodał od siebie, że w Union House nikt nie pozostanie anonimowym i w związku z tym byłby bardzo zobowiązany, gdyby McMurdo i Scanlan przygarnęli przybyszów na kilka dni u siebie.

Tego samego wieczoru zjawiło się dwóch mężczyzn, każdy z własną torbą podróżną. Lawler, starszy milczący człowiek, bystry i pewny siebie, był ubrany w stary czarny surdut i miękki filcowy kapelusz; miał nierówno przystrzyżoną brodę, przyprószoną siwizną. Wszystko to sprawiało, że wyglądał jak wędrowny kaznodzieja. Jego towarzysz, Andrews, jeszcze prawie chłopiec, wesoły, o szczerej twarzy, był tak radosny, jakby miał wakacje i cieszył się każdą ich minutą. Obaj mężczyźni nie brali alkoholu do ust i pod każdym względem zachowywali się jak przykładni obywatele. Różnica polegała na tym, że byli zabójcami na usługach loży. Lawler

wykonał jak dotąd już czternaście zleceń tego rodzaju, natomiast Andrews trzy. Oni chętnie mówili o swoich czynach, opowiadali o nich z nieśmiałą dumą ludzi, którzy bezinteresownie zrobili coś dobrego dla swej społeczności, natomiast o zadaniu, które ich teraz czekało, nie pisnęli ani słowa.

– Wybrali nas, bo nie pijemy, ani ja, ani chłopak – wyjaśnił Lawler – i nie powiemy więcej, niż powinniśmy. Nie bierzcie nam tego za złe, ale takie są rozkazy delegata hrabstwa, i musimy im być posłuszni.

– No jasne, wszyscy w tym siedzimy – rzekł Scanlan, gdy we czterech spożywali kolację.

– To prawda. Możemy gadać aż do rana o zabójstwie Charliego Williamsa czy Simona Birda albo o każdej innej wykonanej robocie. Nie powiemy jednak nic o czekającym nas zadaniu.

– Jest tu z pół tuzina takich, którym mógłbym co nieco wygarnąć – rzekł McMurdo, klnąc pod nosem. – Przypuszczam, że nie przyjechaliście po Jacka Knoxa z Iron Hill? Nie zmartwiłbym się, gdyby wreszcie dostał to, na co sobie zasłużył.

– Nie, to jeszcze nie on.

– A może Herman Strauss?

– Nie, też nie.

– Cóż, jak nie chcecie nam powiedzieć, nie możemy was do tego zmusić. Chętnie bym się jednak dowiedział.

Lawler uśmiechnął się i potrząsnął głową. Nie dało się z niego niczego wyciągnąć.

Mimo powściągliwości swych gości Scanlan i McMurdo koniecznie chcieli uczestniczyć w „zabawie”. Tak więc, kiedy wczesnym rankiem McMurdo usłyszał, że dwaj mężczyźni po cichu schodzą po schodach, obudził Scanlana, i obaj szybko się ubrali. Ich towarzysze zdążyli się wymknąć, pozostawiwszy za sobą otwarte drzwi. Słońce jeszcze nie wzeszło. W świetle ulicznych latarni dostrzegli, że dwaj mężczyźni szybko oddalali się ulicą. Ostrożnie ruszyli za nimi, stąpając bezgłośnie w głębokim śniegu.

Pensjonat, w którym mieszkali, położony był na skraju miasta. Wkrótce znaleźli się na skrzyżowaniu poza jego granicami. Czekało tam trzech mężczyzn, z którymi Lawler i Andrews przeprowadzili krótką ożywioną rozmowę, po czym wszyscy razem ruszyli naprzód. Była to ważna robota,

do której trzeba było więcej ludzi. W miejscu spotkania krzyżowało się kilka szlaków, prowadzących do różnych kopalń. Nieznajomi ruszyli drogą do Crow Hill, dużej firmy zarządzanej mocną ręką energicznego i nieustraszonego Josiaha H. Dunna z Nowej Anglii, któremu nawet w czasach terroru udało się utrzymać dyscyplinę i porządek.

Zaczynało już świtać; ciemną ścieżką powoli brnęli, pojedynczo i w grupkach, robotnicy.

McMurdo i Scanlan poszli z innymi, nie tracąc z oczu mężczyzn, których śledzili. Wokół unosiła się gęsta mgła, zza jej zasłony dobiegł nagle ostry dźwięk gwizdka. Był to sygnał, który oznaczał, że rozpoczyna się dzień pracy i za dziesięć minut klatki windy zostaną opuszczone do szybu.

Gdy dotarli na otwartą przestrzeń wokół szybu kopalni, stało tam już około stu górników, przestępujących z nogi na nogę i chuchających w ręce. Było przenikliwie zimno. Przyjezdni zbili się w niewielką grupkę w cieniu maszynowni. Scanlan i McMurdo wdrapali się na hałdę żużlu, z której mogli wszystko obserwować. Zobaczyli, jak inżynier, potężny, brodaty Szkot o nazwisku Menzies, wychodzi z maszynowni i daje sygnał gwizdkiem, by opuszczono windy. W tej samej chwili tyczkowaty młodzieniec o gładko ogolonej poważnej twarzy podszedł zdecydowanym krokiem do szybu. Jego wzrok padł na milczącą, nieruchomą grupkę stojącą pod maszynownią. Mężczyźni już wcześniej nasunęli nisko kapelusze i postawili kołnierze płaszczy, by zasłonić twarze. Serce zarządcy zamarło: ogarnął je chłód w przeczuciu rychłej śmierci. Jednak w następnej chwili pozbył się go i, widząc nieznajomych, którzy wtargnęli na teren kopalni, przystąpił do wykonywania swych obowiązków.

– Kim jesteście? – spytał, podchodząc do nich. – Co tu robicie?

Zamiast odpowiedzi młody Andrews wystąpił naprzód i strzelił mu w brzuch. Czekający na windę górnicy stali, nieruchomi i bezsilni, jakby byli sparaliżowani. Zarządca przycisnął obie dłonie do rany i zgiął się wpół, po czym ruszył do przodu chwiejnym krokiem, ale wtedy wystrzelił kolejny zabójca, i ofiara padła na bok, kopiąc nogami i wbijając paznokcie w stertę zastygłego żużlu. Na ten widok Szkot Menzies wydał wściekły ryk i z metalowym kluczem w ręku rzucił się na morderców. Dostał jednak dwie kule prosto w twarz i padł martwy tuż u ich stóp. Niektórzy z górników postąpili parę kroków naprzód, wydając nieartykułowane jęki bólu i złości, ale nieznajomi szybko opróżnili bębenki swoich

sześciostrzałowych rewolwerów, strzelając ponad głowami tłumu. Szeregi rozstąpiły się i rozproszyły; niektórzy górnicy rzucili się dzikim pędem do swych domów w Vermissie. Gdy paru najodważniejszym udało się w końcu skrzyknąć razem, banda morderców zdążyła już zniknąć z terenu kopalni we mgle poranku. Nie było nikogo, kto byłby w stanie rozpoznać ludzi, którzy popełnili to podwójne morderstwo na oczach stu świadków.

Scanlan i McMurdo poszli do domu. Scanlan był przybity; pierwsze morderstwo, które widział na własne oczy, wydało się mniej zabawne, niż próbowano mu to wmówić. Gdy szybkim krokiem wracali do miasta, słyszeli przeraźliwe krzyki żony zabitego zarządcy. McMurdo szedł, milcząc, pogrążony w myślach, nie okazał jednak wyrozumiałości dla słabości swego towarzysza.

– Przecież to jest jak wojna – powtarzał. – Bo to jest wojna między nami a nimi, i my uderzamy ich tam, gdzie najbardziej ich boli.

Tej nocy w loży odbywała się wielka uroczystość nie tylko z okazji zabójstwa zarządcy i inżyniera z kopalni Crow Hill, dzięki czemu tę firmę można było teraz szantażować jak wiele innych w okręgu, lecz również z powodu pewnego zwycięstwa, które gdzieś w innym okręgu odniosła loża z Vermissy.

Gdy delegat hrabstwa wysłał pięciu ludzi do wykonania zadania w Vermissie, zażądał, by trzech ludzi stąd przysłali w zamian, aby zabili Williama Halesa ze Stake Royal, jednego z najbardziej znanych i popularnych właścicieli kopalni w okręgu Gilmerton. Uważano, że człowiek ten nie ma ani jednego wroga na świecie, bo pod wszelkimi względami był przykładnym pracodawcą. Żądał jednak skuteczności i wydajności pracy i w związku z tym zwolnił kilku pijaków, będących członkami tej wszechpotężnej organizacji. Żadnymi groźbami, umieszczanymi nad jego drzwiami, nie udało się wymóc na nim cofnięcia postanowienia, i tak oto w tym wolnym, cywilizowanym kraju został skazany na śmierć.

Egzekucję wykonano. Ted Baldwin, który siedział, rozwalony, na honorowym miejscu u boku mistrza loży, dowodził oddziałem zabójców. Jego zaczerwieniona twarz i szkliste, nabiegłe krwią oczy świadczyły o tym, że od dawna nie spał i sporo już wypił. On i jego dwóch towarzyszy spędzili ubiegłą noc w górach. Byli brudni, znużeni i zmarznięci.

Przywitano ich jednak jak bohaterów, i, doprawdy, nie mogliby oczekiwać od swych braci gorętszego przyjęcia.

Historię opowiadano i wielokrotnie powtarzano wśród okrzyków zachwytu i wybuchów śmiechu. Czekali na swoją ofiarę, Williama Halesa, gdy wracał o zmroku do domu. Przyczaili się na szczycie stromego wzgórza, gdzie jego konie musiały iść stępa. Był tak opatulony, by nie zmarznąć, że nie dał rady wyciągnąć pistoletu. Wywlekli go z wozu i oddali do niego wiele strzałów. Błagał o litość. Mordercy naśladowali teraz jego krzyki, aby rozbawić towarzyszy z loży.

– Powiedzcie jeszcze raz, jak jęczał! – wołali.

Żaden z nich nie znał tego człowieka, jednak w zabijaniu kryje się odwiecznie coś fascynującego, a oni pokazali właśnie wykonawcom wyroków z Gilmerton, że na ludziach z Vermissy można polegać.

Podczas wykonywania roboty miało miejsce pewne wydarzenie: kiedy opróżniali magazynki swoich rewolwerów, strzelając do nieruchomego ciała, na drodze pojawił się jakiś człowiek z żoną. Ktoś zaproponował zastrzelić ich oboje, ale byli to jacyś postronni ludzie, nie związani z kopalniami. Poproszono ich więc stanowczo, by kontynuowali swą podróż i nikomu niczego nie opowiadali, bo może ich spotkać coś znacznie gorszego. „Szlachetni” mściciele zostawili nieruchomą postać, zalaną krwią, jako ostrzeżenie dla wszystkich pracodawców o twardych sercach, i pośpiesznie oddalili się w dzikie góry, które sięgały aż do granic palenisk i hałd żużlu. Zdrowi i bezpieczni, powrócili do domu po dobrze wykonanej robocie i teraz wysłuchiwali pochwał od swych towarzyszy.

To był wielki dzień dla wykonawców wyroków. Cień padający na dolinę stał się jeszcze ciemniejszy. Jednak podobnie jak mądry generał, który w chwili zwycięstwa postanawia zwielokrotnić wysiłki, by jego wrogowie nie mieli szansy pozbierać się po pogromie, mistrz McGinty, patrzący na pole bitwy swymi złowrogimi, złośliwymi oczyma zaplanował nowy atak na tych, którzy mu się sprzeciwiali. Jeszcze tej samej nocy, gdy na wpół pijane towarzystwo się rozeszło, zaprosił McMurdo do pomieszczenia, gdzie rozmawiali po raz pierwszy.

– Posłuchaj, mój chłopcze – powiedział. – Wreszcie mam dla ciebie robotę, która jest ciebie godna. Daję ci wolną rękę.

– Jestem zaszczycony – odparł McMurdo.

– Możesz zabrać ze sobą dwóch ludzi, Mandersa i Reilly’ego. Zostali już uprzedzeni i są przygotowani. Nigdy nie będzie dobrze w tym okręgu, póki nie pozbędziemy się Chestera Wilcoxa. Gdy go załatwisz, wszystkie loże z zagłębia węglowego będą ci wdzięczne.

– Postaram się najlepiej jak potrafię. Co to za jeden i gdzie go znajdę?

McGinty wyjął z kącika ust swoje nieodłączne, na wpół przeżute, a na wpół spalone cygaro i na kartce wyrwanej z notatnika naszkicował ogólny plan.

– Jest głównym brygadzistą Iron Dike Company. Twardy z niego typ, podczas wojny był sierżantem sztabowym. Same szramy i blizny. Już dwa razy próbowaliśmy go załatwić, ale nie udało się, a Jim Carnaway stracił życie. Teraz ty się tym zajmiesz. Na skrzyżowaniu Iron Dike, tu, gdzie zaznaczyłem na mapie, stoi samotny dom. W zasięgu wzroku nie ma innych zabudowań. Poczekaj, aż się ściemni. Wilcox jest uzbrojony, strzela szybko i celnie bez żadnych pytań. Ale w nocy… Siedzi tam ze swoją żoną, trójką dzieci i gosposią. Nie ma rady. Zginą wszyscy albo nie zginie nikt. Gdybyś położył worek prochu przy frontowych drzwiach i miał zapalnik z opóźnionym zapłonem…

– Co zrobił ten człowiek?

– Nie mówiłem ci, że zastrzelił Jima Carnawaya?

– A dlaczego go zastrzelił?

– Carnaway włóczył się pod jego domem w nocy, więc go zastrzelił. To mi wystarcza, i tobie też powinno. Musisz załatwić tę sprawę.

– Są tam te dwie kobiety i dzieci. Ich też mam wysadzić?

– Będziesz musiał, bo jak go inaczej dorwiemy?

– Wydaje mi się, że przesadzasz. Przecież oni nic nie zrobili.

– Co ty za głupoty opowiadasz? Wycofujesz się?

– Spokojnie, panie radny! Spokojnie! Niech tylko pan nie myśli, że będę się uchylał przed wypełnieniem rozkazów mistrza własnej loży. Niezależnie od tego, czy to słuszne, czy nie, pan o tym decyduje.

– A więc zrobisz to?

– Oczywiście, że to zrobię.

– Kiedy?

– Niech mi pan da jedną noc czy dwie, żebym mógł obejrzeć ten dom i wszystko zaplanować. A potem…

– Bardzo dobrze – powiedział McGinty, ściskając mu dłoń. – Wszystko pozostawiam tobie. To będzie wspaniały dzień, kiedy przyniesiesz nam dobre wieści. Ten ostatni cios powali ich na kolana.

McMurdo zastanawiał się długo i głęboko nad zleceniem, które tak nieoczekiwanie otrzymał. Samotny dom, w którym mieszkał Chester Wilcox, leżał w odległości około pięciu mil od Vermissy, w sąsiedniej dolinie. Jeszcze tej samej nocy wyruszył tam samotnie, aby przygotować się do zamachu. Gdy wracał ze zwiadu, już świtało. Następnego dnia porozmawiał ze swoimi dwoma podwładnymi, Mandersem i Reillym, lekkomyślnymi młodymi chłopakami, którzy byli tak podnieceni, jakby wybierali się polować na jelenie.

Dwa dni później spotkali się w nocy poza miastem. Wszyscy trzej byli uzbrojeni, a jeden z nich niósł wór wypchany prochem używanym w kamieniołomach. Do samotnie stojącego domu dotarli o drugiej. Noc była wietrzna, a poszarpane chmury pędziły szybko, zasłaniając księżyc zbliżający się do ostatniej kwadry. Ostrzeżono ich wcześniej, by uważali na psy, posuwali się więc naprzód z odbezpieczonymi pistoletami w rękach. Nie usłyszeli jednak żadnego dźwięku prócz wycia wichru i nie dostrzegli żadnego ruchu prócz szarpanych wiatrem gałęzi nad ich głowami.

Stojąc pod drzwiami samotnego domu, McMurdo przez jakiś czas nasłuchiwał, jednak wewnątrz panowała całkowita cisza. Oparł o drzwi worek z prochem, wyciął w nim nożem dziurę i zamocował lont. Kiedy zaczął się już palić, on i dwóch jego towarzyszy wzięli nogi za pas i byli już w sporej odległości od budynku, leżąc bezpiecznie w rowie, gdy usłyszeli najpierw huk eksplozji, a potem głuchy odgłos walącego się budynku. Zadanie zostało wykonane. Splamione krwią kroniki loży nie wspominały o tym, by kiedykolwiek wykonano bardziej czystą robotę.

Niestety, doskonale zorganizowana i tak śmiało przeprowadzona akcja poszła na marne! Chester Wilcox, którego ostrzegł los innych ofiar, wiedząc, że wydano na niego wyrok śmierci, dzień wcześniej wyprowadził się wraz z rodziną w jakieś nieznane miejsce, gdzie nad jego bezpieczeństwem miała czuwać policja. Eksplozja zburzyła jedynie pusty dom, a ponury weteran, były sierżant sztabowy, nadal pilnował dyscypliny wśród górników Iron Dike.

– Zostawcie go mnie – rzekł McMurdo. – To mój człowiek, i na pewno go dopadnę, choćbym miał czekać na to cały rok.

Członkowie loży podziękowali mu i zapewnili, że darzą go zaufaniem, tak więc na jakiś czas sprawę uznano za zamkniętą. Kiedy kilka tygodni później doniesiono w gazetach, że do Wilcoxa strzelano z zasadzki, było tajemnicą poliszynela, że to McMurdo próbował dokończyć dzieła.

Takie właśnie były metody masońskiej loży, i tak działali wykonawcy wyroków, terroryzując ten wielki i bogaty rejon, dręcząc mieszkańców swą straszliwą obecnością. Czemuż miałbym brukać te strony opisami dalszych mordów? Czyż to, co już powiedziałem, nie wystarczy, by przedstawić tych ludzi i ich metody?

Czyny te zostały opisane w książkach historycznych; istnieją źródła, z których można się dowiedzieć szczegółów, dotyczących m.in. zastrzelenia policjantów Hunta i Evansa, ponieważ ośmielili się aresztować dwóch członków stowarzyszenia. Było to podwójne morderstwo, zaplanowane przez lożę z Vermissy i popełnione z zimną krwią na dwóch nieuzbrojonych mężczyznach. Można również dowiedzieć się o zastrzeleniu pani Larbey, która opiekowała się swym rannym mężem, gdy ten został tak strasznie pobity z rozkazu mistrza McGinty’ego, że omal nie zmarł. Jeszcze tej samej straszliwej zimy zginął stary Jenkins, a wkrótce potem jego brat; James Murdoch został okaleczony; rodzinę Staphouse wysadzili w powietrze, a Stendhalów zamordowali.

Nad Doliną strachu zgromadziły się chmury. Nadeszła wiosna, potoki wezbrały, drzewa zakwitły. Dla natury, tak długo przebywającej w żelaznym uścisku zimy, pojawiła się nadzieja, ale nie mieli jej mężczyźni i kobiety żyjący w jarzmie terroru. Jeszcze nigdy wiszące nad nimi chmury nie były tak ciemne i tak przytłaczające, jak wczesnym latem 1875 roku.

Rozdział szósty

Niebezpieczeństwo

To był kulminacyjny punkt rządów terroru. McMurdo, który został już mianowany diakonem loży, miał przed sobą perspektywę zastąpienia McGinty’ego. Stał się teraz człowiekiem tak niezbędnym podczas narad stowarzyszenia, że właściwie nic się nie działo bez jego pomocy i rady. Wzrost popularności McMurdo wśród masonów spowodował, że na ulicach Vermissy witały go coraz bardziej pochmurne i zasępione twarze. Mimo terroru ludzie zbierali się na odwagę i próbowali łączyć przeciwko swym oprawcom. Do loży dotarły pogłoski o potajemnych zgromadzeniach w redakcji „Heralda” i o rozdawaniu broni praworządnym obywatelom. Jednak McGinty’ego i wielu jego ludzi, zdecydowanych na wszystko i dobrze uzbrojonych, nie niepokoiły raporty tej treści. Ich przeciwnicy byli natomiast rozproszeni i bezsilni. Sądzono, że wszystko się zakończy bezowocnym gadaniem i być może jakimiś nielicznymi aresztowaniami, jak miało to miejsce w przeszłości. Tak twierdzili McGinty, McMurdo i odważniejsi członkowie loży.

Był majowy wieczór. Loża zbierała się każdej sobotniej nocy, i McMurdo wychodził właśnie z domu, aby wziąć udział w zgromadzeniu, kiedy przyszedł do niego brat Morris – owo słabsze ogniwo ich organizacji. Był wymizerowany, a na jego życzliwej twarzy malowały się przygnębienie i głęboka troska.

– Mogę z panem swobodnie rozmawiać, panie McMurdo?

– Jasne.

– Nie potrafię zapomnieć, że kiedyś powiedziałem panu o tym, co mi leży na sercu, a pan zatrzymał to dla siebie, choć sam mistrz przyszedł o to zapytać.

– A cóż innego mogłem zrobić, skoro pan mi zaufał? I nie ma znaczenia, czy się z panem zgadzałem.

– Wiem o tym doskonale. Ale jest pan człowiekiem, z którym mogę porozmawiać i przy którym czuję się bezpiecznie. Noszę tu pewien sekret – położył dłoń na piersi – który mnie dusi. Żałuję, że to właśnie ja musiałem go poznać. Jeśli go zdradzę, z całą pewnością zakończy się to morderstwem. Ale jeśli tego nie zrobię, może to zgubić nas wszystkich. Dobry Boże, już sam nie wiem, co mam z tym wszystkim począć!

McMurdo spojrzał poważnie na Morrisa. Mężczyzna drżał na całym ciele. John nalał mu trochę whisky do szklanki.

– To lekarstwo dla takich jak pan – powiedział. – A teraz niech pan mówi.

Morris wypił, i na jego bladej twarzy pojawiły się lekkie rumieńce.

– Powiem to w jednym zdaniu – rzekł. – Pewien detektyw jest na naszym tropie.

McMurdo patrzył na niego, osłupiały.

– Człowieku, czy tobie kompletnie odbiło?! – wykrzyknął. – Przecież w tym miejscu aż się roi od policji i detektywów. Czy kiedykolwiek udało im się jakoś nam zaszkodzić?

– Nie, nie. To człowiek spoza naszego okręgu. Miejscowych znamy, nic nam nie zrobią. Ale czy słyszał pan o agencji Pinkertona?

– Obiło mi się o uszy.

– No to powinien pan wiedzieć, że trudno się zorientować, gdy depczą komuś po piętach. To nie są jacyś tam urzędnicy, którym wszystko jedno, czy im się uda, czy nie. To naprawdę poważna agencja, która działa z żelazną konsekwencją. Jeśli ktoś od Pinkertona zajmie się tą sprawą, wszyscy będziemy zgubieni.

– W takim razie musimy go zabić.

– Tak, to pierwsza myśl, która przyszła panu do głowy! A wiec tak zadecyduje loża. Czy nie mówiłem panu, że to się skończy morderstwem?

– Pewnie, ale czym jest morderstwo? Czyż to nie chleb powszedni w tej okolicy?

– Owszem, ma pan rację, ale to nie ja wskażę wam człowieka, którego trzeba zabić. Po czymś takim nigdy bym już nie mógł spokojnie spać. A jednak chodzi o nasze życie! Na Boga, co ja mam robić? – przestępował z nogi na nogę, udręczony, niezdolny podjąć jakiejkolwiek decyzji.

Jego słowa głęboko poruszyły McMurdo. Nietrudno było dostrzec, że podzielał jego opinię, co do grożącego im niebezpieczeństwa i tego, iż trzeba zrobić coś, aby się przed nim uchronić. Złapał Morrisa za ramię i mocno potrząsnął.

– Posłuchaj, człowieku – mówił tak podenerwowany, że prawie wrzeszczał. – Nic nie zyskasz, rycząc tu jak baba nad czyimiś zwłokami. Podaj mi fakty! Kim jest ten człowiek? Gdzie teraz jest? Skąd o nim wiesz? Dlaczego przyszedłeś z tym do mnie?

– Przyszedłem do pana, bo jest pan jedynym człowiekiem, który może mi coś doradzić. Już panu mówiłem, że zanim tu przybyłem, prowadziłem sklep na wschodzie kraju. Zostawiłem tam dobrych przyjaciół, jeden z nich pracuje w biurze telegraficznym. To list, który dostałem wczoraj od niego. Niech pan sam przeczyta tu, u góry strony.

McMurdo odczytał co następuje:

> Jak tam wykonawcy wyroków w waszych okolicach? Sporo tu o nich piszą w gazetach. Miedzy nami, liczę na to, że niedługo wyślesz mi jakąś wiadomość. Sprawą zajęły się na poważnie pięć wielkich korporacji i dwie kompanie kolejowe. Chcą to załatwić i z całą pewnością dopną swego. Ostro się za to zabrali. Na ich zlecenie sprawę przejęła agencja Pinkertona, a jej najlepszy człowiek, Birdy Edwards, już działa. Trzeba to natychmiast powstrzymać.

– A teraz proszę przeczytać postscriptum:

> Oczywiście, tego, o czym ci piszę, dowiedziałem się na drodze służbowej, więc, proszę, nie mów o tym nikomu. Codziennie mamy do czynienia z mnóstwem dziwnych zaszyfrowanych wiadomości i często nie jesteśmy w stanie ich odczytać.

McMurdo siedział przez jakiś czas w milczeniu, trzymając w dłoni list. Mgła się na chwilę uniosła, i on ujrzał otwierającą się przed nim otchłań.

– Czy o tym ktoś jeszcze wie? – spytał.

– Nie mówiłem nikomu prócz pana.

– Ale ten człowiek, pański przyjaciel… Czy ma jeszcze kogoś, komu mógłby o tym napisać?

– Myślę, że może znać paru takich ludzi.

– Z loży?

– To bardzo prawdopodobne.

– Pytam o to, bo może podał opis tego Birdy’ego Edwardsa. Wtedy mielibyśmy szansę go namierzyć.

– To jest możliwe. Ale nie sądzę, żeby go znał. Po prostu przekazał mi wiadomości, które dotarły do niego w pracy. Skąd miałby znać jakiegoś detektywa od Pinkertona?

McMurdo nagle się wzdrygnął.

– Na Boga! – zawołał. – Mam go! Jakim byłem głupcem, że się tego nie domyśliłem! Boże, jakie szczęście! Załatwimy go, zanim zdoła nam zaszkodzić. Morris, zostawisz mi tę sprawę?

– Oczywiście, jeśli tylko zechce mnie pan uwolnić od tego ciężaru.

– Zrobię to. Możesz się wycofać, ale pozwól mi działać. Nawet nie wymienię twego nazwiska. Wezmę wszystko na siebie, tak jakby ten list przyszedł do mnie. Odpowiada ci to?

– O to właśnie chciałem prosić.

– A wiec tego się trzymajmy. Tylko nie piśnij nikomu ani słowa. Teraz pójdę do loży, i wkrótce stary Pinkerton będzie miał powody, żeby się nad sobą użalać.

– Nie zabijecie tego człowieka?

– Im mniej wiesz, przyjacielu, tym mniej będziesz miał wyrzutów sumienia i tym spokojniej będziesz spał. Nie zadawaj żadnych pytań i pozwól mi załatwić tę sprawę samemu. Teraz ja się tym zajmuję.

Wychodząc, Morris smutno potrząsnął głową.

– Czuję jego krew na moich rękach – jęknął.

– Działanie w samoobronie nie jest morderstwem – rzekł McMurdo z ponurym uśmiechem. – Albo on, albo my. Przypuszczam, że ten człowiek zniszczyłby nas wszystkich, gdybyśmy pozwolili mu dłużej działać w tej dolinie. Wiesz, bracie Morris, jeszcze kiedyś wybierzemy ciebie na mistrza loży, bo z całą pewnością właśnie ocaliłeś nam skórę.

A jednak działania McMurdo wskazywały na to, że traktował tę nową sprawę o wiele poważniej, niż wynikało z jego słów. Być może przyczyną były jego wyrzuty sumienia, może reputacja agencji Pinkertona, a może wiedza o tym, że wielkie bogate korporacje postanowiły wreszcie pozbyć się wykonawcy wyroków. Jednakże niezależnie od tego, jakie były powody, zaczął działać jak ktoś, kto przygotowuje się na najgorsze. Nim wyszedł z domu, zniszczył listy i dokumenty, które mogły w jakiś sposób go obciążyć. Był usatysfakcjonowany, bo wydawało mu się, że jest

bezpieczny. Wciąż jednak prześladowało go poczucie zagrożenia, bo po drodze do loży zajrzał do starego Shaftera. Miał zakaz wstępu do jego domu, lecz kiedy zapukał w okno, Ettie wyszła do niego. W oczach swego irlandzkiego ukochanego nie dostrzegła tych wesołych iskier co zawsze. Jego twarz była poważna i napięta.

– Coś się stało?! – zawołała. – Och, John, jesteś w niebezpieczeństwie!

– Nie jest tak źle, moja ukochana. Jednak mądrze zrobimy, jeśli zaczniemy działać, nim będzie jeszcze gorzej.

– Zaczniemy działać?

– Obiecałem ci kiedyś, że pewnego dnia odejdę stąd. Myślę, że nastąpi to lada moment. Dziś dotarły do mnie wieści, złe wieści, i wiem, że zbliżają się kłopoty.

– Policja?

– Nie. Jakiś człowiek z agencji Pinkertona. Ale ty nie wiesz, co to jest, *acushla*, ani co to znaczy dla takich jak ja. Za głęboko w tym wszystkim siedzę i może będę musiał bardzo szybko się z tego wyplątać. Mówiłaś mi, że pojedziesz ze mną.

– Och, John, to by mogło cię ocalić!

– Pod pewnymi względami jestem uczciwym człowiekiem, Ettie. Nigdy nie pozwoliłbym, by spadł choćby jeden włos z tej twojej pięknej główki, ani nie ściągnąłbym cię z tego złotego tronu nad chmurami, na którym zawsze cię widzę. Potrafisz mi zaufać?

Bez słowa wsunęła dłoń w jego rękę.

– Dobrze. W takim razie posłuchaj, co ci powiem. Zrób dokładnie tak, jak ci każę, bo to dla nas jedyne wyjście. W naszej dolinie będą się działy różne rzeczy, czuję to w kościach. Wielu z nas będzie musiało na siebie uważać. Tak czy inaczej, ja na pewno. Jeżeli wyjadę, w dzień czy w nocy, ty będziesz musiała pojechać ze mną!

– Pojadę później, jak ty wyjedziesz, John.

– Nie, nie. Musisz pojechać ZE MNĄ. Jeśli ta dolina będzie dla mnie zamknięta, nie będę mógł tu wrócić, więc nie mogę ciebie tutaj zostawić. Może, ukrywając się przed policją, nie będę nawet miał szansy wysłać ci wiadomości. Musimy jechać razem. W miejscu, z którego przybyłem, znam pewną dobrą kobietę; zostawię cię u niej aż do czasu, kiedy będziemy się mogli pobrać. Pojedziesz ze mną?

– Tak, John. Pojadę.

– Niech cię Bóg błogosławi, że we mnie wierzysz. Byłbym skończonym draniem, gdybym nadużył twego zaufania. A teraz posłuchaj, Ettie. Wyślę ci krótką wiadomość; kiedy ją otrzymasz, rzuć wszystko i idź do poczekalni na dworcu. Czekaj tam, aż po ciebie przyjdę.

– W dzień czy w nocy, John, przyjdę, jak tylko dostanę wiadomość.

McMurdowi ulżyło trochę na sercu, gdy już rozpoczął przygotowania do ucieczki. Od Ettie udał się do loży. Jej członkowie już się zebrali, i tylko dzięki wymianie skomplikowanych znaków udało mu się minąć straże przy wejściu i kolejne, wewnątrz baru, pilnie strzegące zgromadzenia. Gdy wszedł do środka, powitał go pomruk zadowolenia. W długim pomieszczeniu panował tłok. Przez mgłę tytoniowego dymu ujrzał potarganą czarną grzywę mistrza, okrutną wrogą twarz Baldwina, sępie oblicze sekretarza Harrawaya oraz z tuzin innych masońskich przywódców. Ucieszył się, że wszyscy będą obecni, by obradować nad przyniesionymi przez niego wieściami.

– Dobrze, że już jesteś, bracie! – zawołał przewodniczący. – Mamy tutaj sprawę, którą trzeba mądrze rozstrzygnąć, potrzebujemy Salomona!

– Chodzi o Landera i Egana – wyjaśnił sąsiad, gdy McMurdo zajął swoje miejsce. – Obaj dopominają się nagrody wyznaczonej przez lożę za zastrzelenie w Stylestown starego Crabbe’a. A któż to może wiedzieć, który z nich wystrzelił, czyja to była kula?

McMurdo powstał i uniósł rękę. Wyraz jego twarzy przykuł uwagę zgromadzonych. Zapanowała absolutna, pełna oczekiwania cisza.

– Czcigodny mistrzu loży – odezwał się poważnym głosem. – Chciałbym zgłosić do rozpatrzenia pilną sprawę.

– Brat McMurdo zgłasza pilną sprawę do rozpatrzenia – powiedział McGinty. – To wniosek, który według reguł tej loży ma pierwszeństwo przed wszystkimi innymi. Słuchamy cię, bracie.

McMurdo wyjął z kieszeni list.

– Czcigodny mistrzu i wy, bracia – powiedział – przynoszę złe wieści, ale lepiej, żebyście je poznali i omówili, niż żeby bez ostrzeżenia miał na nas spaść cios, który zniszczyłby nas wszystkich. Dostałem informację, że najpotężniejsze i najbogatsze organizacje w tym stanie połączyły siły, by doprowadzić do naszej zguby. W tej właśnie chwili w dolinie przebywa pewien detektyw z agencji Pinkertona, niejaki Birdy Edwards. Zbiera dowody, dzięki którym będzie mógł wielu z nas posłać na szubienicę

i wsadzić za kratki każdego, kto siedzi w tej sali. To sytuacja, w której zdecydowałem się wnios-kować o rozpatrzenie pilnej sprawy.

W sali zapanowała martwa cisza. Przerwały ją słowa przewodniczącego.

– Jakie masz na to dowody, bracie McMurdo? – zapytał.

– Są w liście, który trafił do moich rąk – odparł McMurdo. – Przeczytam wam jego fragment. Nie mogę podać wam innych szczegółów na temat tego listu ani oddać go w wasze ręce. To dla mnie sprawa honoru. Zapewniam was jednak, że nie ma w nim żadnych innych informacji, które mogłyby dotyczyć interesów loży. Przedstawiam wam tę sprawę dokładnie tak, jak dotarła do mnie.

– Panie przewodniczący, chciałbym powiedzieć – odezwał się jeden ze starszych braci – że słyszałem o tym Birdym Edwardsie. Mówią o nim, że to najlepszy człowiek w agencji.

– Czy ktoś wie, jak on wygląda? – spytał McGinty.

– Tak – odparł McMurdo. – Ja.

W sali rozległ się szmer zdumienia.

– Sadzę, że mamy go już w garści – ciągnął z tryumfalnym uśmiechem na twarzy. – Jeśli będziemy działać szybko i mądrze, możemy załatwić tę sprawę raz, dwa. Jeśli okażecie mi zaufanie i udzielicie pomocy, nie powinniśmy mieć większych powodów do obaw.

– A jakie mamy w ogóle powody do obaw? Co on może wiedzieć o naszych sprawach?

– Mógłby pan tak mówić, panie radny, gdyby wszyscy byli tak twardzi i nieugięci jak pan. Ale za plecami tego człowieka stoją bogacze i ich miliony. Sądzi pan, że w żadnej z naszych lóż nie znajdzie się jakiś słabszy brat, którego można przekupić? Ten człowiek dotrze do naszych sekretów. Może nawet już do nich dotarł. Jest na to tylko jedna pewna rada.

– Żeby nigdy nie opuścił tej doliny – odezwał się Baldwin.

McMurdo kiwnął głową.

– Dobrze mówisz, bracie Baldwin – powiedział. – Nie zawsze się ze sobą zgadzaliśmy, ale dziś muszę ci przyznać rację.

– A więc gdzie on jest? Gdzie go znajdziemy?

– Czcigodny mistrzu loży – rzekł z powagą McMurdo – uważam, że sprawa jest zbyt poważna, byśmy dyskutowali o tym na otwartym posiedzeniu loży. Uchowaj Boże, bym wątpił w lojalność któregokolwiek ze zgromadzonych tutaj, ale jeśli do uszu tego człowieka dotrze choćby

jedna plotka czy pogłoska, zaprzepaścimy szansę na to, aby go dopaść. Panie przewodniczący, proponuję, by loża wybrała zaufaną komisję. Jeśli mogę zasugerować, to pana, brata Baldwina i jeszcze pięciu członków. Wtedy będę mógł swobodnie mówić o tym, co wiem, i doradzić, co powinniśmy zrobić.

Natychmiast przyjęto ten wniosek i wybrano komisję. Oprócz przewodniczącego i Baldwina znalazł się w niej sekretarz Harraway o sępiej twarzy, brutalny młody zabójca Tygrys Cormack, skarbnik Carter oraz bracia Willaby, nieustraszeni desperaci, gotowi zabić za nic. Hulanki, które zazwyczaj odbywały się po spotkaniach loży, tym razem trwały krócej i nie były tak radosne jak zwykle. Nad głowami masonów zawisł cień, i wielu po raz pierwszy dostrzegło widmo grożącej im ręki sprawiedliwości. Na pogodnym dotąd niebie, pod którym tak długo żyli, zaczęły gromadzić się ciemne chmury. Potworności, które wyrządzali innym, spowszedniały im do tego stopnia, iż stały się częścią ich spokojnego życia, a myśl o tym, iż kiedyś przyjdzie im za to zapłacić, była dla nich czymś bardzo odległym. Teraz, gdy niebezpieczeństwo stało się realne, ta myśl wydawała się jeszcze bardziej przerażająca. Rozeszli się więc do domów wcześniej niż zwykle, pozostawiając swych przywódców, by odbyli naradę.

– Teraz mów, McMurdo – rzekł McGinty, gdy zostali sami.

Siedmiu mężczyzn siedziało nieruchomo na swoich krzesłach.

– Powiedziałem, że znam Birdy’ego Edwardsa – wyjaśnił McMurdo. – Nie muszę wam chyba mówić, że ukrywa się pod innym nazwiskiem. To odważny człowiek, ale na pewno nie szaleniec. Podaje się za niejakiego Steve’a Wilsona. Wynajął kwaterę w Hobson’s Patch.

– Skąd to wiesz?

– Bo przypadkiem z nim rozmawiałem. Niewiele o tym wtedy myślałem i nie zastanowiłbym się nad tym po raz drugi, gdyby nie ten list. Ale teraz jestem pewien, że to chodzi o niego. Spotkałem go w pociągu w ubiegłą środę. Mamy poważny problem. Powiedział, że jest dziennikarzem. Nawet mu uwierzyłem. Chciał się dowiedzieć wszystkiego, co tylko mógł, o wykonawcach wyroków i o tym, co nazywał aktami przemocy. Twierdził, że pisze artykuł dla nowojorskiej gazety. Zadawał mi wszelkie możliwe pytania, żeby się czegoś dowiedzieć. Oczywiście, niczego ze mnie nie wyciągnął. „Zapłacę za informacje, i to dobrze – powiedział – o ile zainteresuje ona moją redakcję”. Powiedziałem mu coś, co, jak sądziłem,

spodoba mu się, a on dał mi za to dwudziestodolarowy banknot. „Dostaniesz dziesięć razy tyle – rzekł – jeśli dowiesz się dla mnie wszystkiego, co chcę wiedzieć”.

– A co mu takiego powiedziałeś?

– Wymyśliłem jakąś brednię.

– Skąd wiesz, że nie pracuje dla gazety?

– Wysiadł w Hobson’s Patch, i ja też tam wysiadłem. Zajrzałem przypadkiem do biura telegraficznego, a on właśnie stamtąd wychodził. „Niech pan tylko spojrzy – powiedział telegrafista, kiedy tamtego już nie było. – Chyba powinien płacić za to podwójnie”. „Też tak myślę” – odparłem. Ten człowiek wypełnił formularz jakimiś znaczkami, które wyglądały jak pismo chińskie. Nie byliśmy w stanie niczego zrozumieć. „Codziennie wysyła cały taki arkusz” – powiedział pracownik. „No tak – odparłem – to wiadomości specjalne dla jego gazety, i on boi się przecieków”.

Wtedy tak z telegrafistą myśleliśmy, ale teraz uważam inaczej.

– Na Boga, chyba masz rację! – powiedział McGinty. – Co powinniśmy teraz zrobić?

– Czemu nie pójść tam od razu i go nie załatwić? – zaproponował ktoś z zebranych.

– Tak. Im szybciej tym lepiej.

– Wyruszyłbym natychmiast, gdybym wiedział, gdzie go szukać – rzekł McMurdo. – Jest w Hobson’s Patch, ale nie wiem, w którym domu się zatrzymał. Mam pewien plan, jeśli tylko zechcecie mnie posłuchać.

– Jaki to plan?

– Jutro rano pojadę do Patch. Telegrafista pomoże mi go znaleźć. Myślę, że on potrafi namierzyć naszego „dziennikarza”. Jak się spotkamy, powiem mu, że jestem masonem. Zaproponuję za pewną cenę tajemnice loży. Założę się, że połknie haczyk. Wyjawię, że dokumenty są u mnie w domu i że jeśli ktoś go u mnie zobaczy, może mnie to kosztować życie. Będzie miał na tyle rozsądku, żeby to zrozumieć. Powiem, że może przyjść o dziesiątej w nocy i wtedy wszystko mu pokażę. To go na pewno tu ściągnie.

– No i…?

– Resztę możecie sobie sami zaplanować. Pensjonat wdowy MacNamara stoi na uboczu. To dobra kobieta i do tego głucha jak pień. W jej domu

oprócz mnie mieszka tylko Scanlan. Jeśli ten człowiek obieca mi, że przyjedzie, dam wam znać. Chciałbym, żeby cała siódemka zjawiła się u mnie o dziewiątej. Dorwiemy go. Jeśli uda mu się wydostać stamtąd żywym… Cóż, do końca swych dni będzie opowiadał o szczęściu Birdy’ego Edwardsa.

– O ile się nie mylę, to w agencji Pinkertona wkrótce zwolni się posada. Zróbmy tak, bracie McMurdo. Będziemy u ciebie jutro o dziewiątej. Kiedy tylko zamkniesz za nim drzwi, my dokonamy reszty.

Rozdział siódmy

Pułapka na Birdy'ego Edwardsa

Dom, w którym mieszkał McMurdo, stał na uboczu, na samym końcu miasta, w sporej odległości od drogi i doskonale nadawał się do popełnienia zbrodni, jaką bracia zaplanowali. W każdym innym przypadku spiskowcy po prostu zaczailiby się na swoją ofiarę, tak jak już to wiele razy robili, i opróżniliby magazynki swoich rewolwerów. Jednak tym razem koniecznie należało się dowiedzieć, ile ten człowiek już wie i co zdążył przekazać swoim pracodawcom.

Istniała możliwość, że było już za późno, że wykonał swoją robotę. Jeśli to rzeczywiście miało miejsce, mogli przynajmniej się na nim zemścić. Mieli jednak nadzieję, że detektyw nie poznał jeszcze żadnych istotnych szczegółów, bo w przeciwnym razie nie fatygowałby się zapisywać i wysyłać tak banalne informacje, jakie podał mu McMurdo. Chcieli się jednak tego dowiedzieć z jego własnych ust. Kiedy już go schwytają, znajdą jakiś sposób, by skłonić do mówienia. W końcu nie po raz pierwszy mieli do czynienia z niezbyt rozmownymi ludźmi.

Tak jak uzgodnili, McMurdo udał się do Hobson’s Patch. Odnosiło się wrażenie, że tego ranka policja szczególnie się nim interesuje, a kapitan Marvin, który znał go jeszcze z Chicago, podszedł nawet do niego i zagadnął, gdy ten pierwszy czekał na stacji. McMurdo odwrócił się do policjanta plecami i nie chciał z nim rozmawiać. Po południu powrócił ze swojej misji i spotkał się z McGinty’m w Union House.

– Przyjeżdża – powiedział.

– Dobrze! – odparł McGinty.

Olbrzym był w samej koszuli, na jego kosztownej kamizelce błyszczał gruby złoty łańcuch z wisiorem, a spod długiej brody lśniły diamenty. Mistrz bardzo się wzbogacił na polityce i sprzedaży alkoholu; stał się

naprawdę potężnym człowiekiem. Tym straszniejsza więc wydawała się myśl o więzieniu czy szubienicy, która zaświtała mu w głowie ubiegłej nocy.

– Sądzisz, że dużo wie? – spytał z niepokojem.

McMurdo ponuro kiwnął głową.

– Jest tu już od jakiegoś czasu, co najmniej od sześciu tygodni. Nie sądzę, żeby przyjechał w te okolice podziwiać widoki. Ma dużo pieniędzy. Działał przez cały ten czas, na pewno uzyskał jakieś rezultaty i przesłał je zleceniodawcy.

– W loży nie ma słabych ludzi! – krzyknął McGinty. – Wszyscy są jak ze stali. A jednak… Na Boga! Jest ten skunks Morris. Co z nim? Jeśli ktokolwiek może nas wydać, to właśnie on. Mam ochotę wysłać do niego jeszcze przed wieczorem paru chłopców, żeby go porządnie sprali i coś z niego wycisnęli.

– Nie zaszkodziłoby – odparł McMurdo – ale nie mogę zaprzeczyć, że lubię Morrisa, i byłoby mi przykro, gdyby coś mu się stało. Kilka razy rozmawiałem z nim o sprawach loży. On rzeczywiście ma do niej inny stosunek niż pan czy ja, ale nigdy nie uważałem go za człowieka, który byłby w stanie donosić. Ostatecznie to nie moja sprawa, i nie zamierzam stawać między nim a panem.

– Załatwię tego starego diabła! – rzekł McGinty, rzucając pod nosem przekleństwo. – Od roku mam go już na oku.

– Pan wie najlepiej – odparł McMurdo. – Ale cokolwiek pan zamierza, musi to się stać dopiero jutro. Nie możemy się zdradzić, dopóki nie załatwimy sprawy Pinkertona. Dziś akurat mamy taki dzień, że nie możemy sobie pozwolić, by policja zaczęła węszyć.

– Masz rację – odparł McGinty – a od Birdy’ego Edwardsa i tak dowiemy się, skąd wziął te swoje informacje, nawet jeśli będziemy musieli mu najpierw wyrwać serce. Nie odniosłeś wrażenia, że obawia się pułapki?

McMurdo się roześmiał.

– Chyba trafiłem w jego czuły punkt – powiedział. – Gdy tylko poczuł, że może wpaść na trop wykonawców wyroków, był gotów iść aż do piekła. Wziąłem od niego pieniądze – McMurdo uśmiechnął się szeroko, wyjmując plik banknotów – i mam dostać drugie tyle, kiedy zobaczy wszystkie moje dokumenty.

– Jakie dokumenty?

– Nie ma żadnych dokumentów. Ale naopowiadałem mu o różnych statutach, regułach i formularzach członkowstwa. Spodziewa się, że u mnie dowie się o nas wszystkiego.

– Tak, przypuszczam, że pod tym względem nawet się nie myli – rzekł ponuro McGinty. – Nie pytał, dlaczego nie wziąłeś ze sobą tych dokumentów?

– Tak jakbym mógł nosić przy sobie takie rzeczy. Ja, podejrzany, człowiek, z którym dziś na stacji rozmawiał kapitan Marvin?

– Tak, słyszałem o tym – powiedział McGinty. – Myślę, że najbardziej niewdzięczna część tego wszystkiego spadnie na ciebie. Kiedy tylko z nim skończymy, wrzucimy go do tego starego szybu. Ale jakkolwiek byśmy to załatwili, nie ukryjemy faktu, że mieszkał w Hobson’s Patch, a ty tam dzisiaj byłeś.

McMurdo wzruszył ramionami.

– Jeśli dobrze to rozegramy, nikt nigdy nie będzie w stanie udowodnić, że doszło do zabójstwa – powiedział. – Po zmroku nikt nie zobaczy, że wchodzi do mnie do domu, i już ja się o to postaram, żeby nikt nie widział, jak wychodzi. A teraz niech mnie pan posłucha, panie radny. Powiem panu, jaki mam plan, i proszę, by zapoznał pan z tym planem pozostałych. Dobrze, że przyjdziecie wszyscy odpowiednio wcześniej. On przyjedzie o dziesiątej. Ma zapukać trzy razy. Otworzę mu drzwi, a potem zamknę je na klucz. Wtedy będzie nasz.

– Łatwizna.

– Tak, ale trzeba się zastanowić nad kolejnym krokiem. Nie załatwimy go tak po prostu. Jest na pewno dobrze uzbrojony. Naopowiadałem mu różnych bzdur, ale i tak wydaje się być bardzo ostrożny. Załóżmy, że zaprowadzę go do pokoju, w którym będzie czekało siedmiu mężczyzn… A on na pewno jest przekonany, że będzie tam tylko nas dwóch. Dojdzie do strzelaniny, i komuś może stać się krzywda.

– Dobrze mówisz.

– Hałas sprowadzi nam na głowę wszystkich cholernych gliniarzy w tym mieście.

– Chyba masz rację.

– Powiem panu, jak ja bym to zrobił. Będziecie czekali w tym dużym pokoju, w którym rozmawialiśmy, gdy mnie pan odwiedził. Otworzę mu drzwi i wprowadzę do saloniku. Zostawię go tam i powiem, że idę

po dokumenty. Poinformuję was, jak się sprawy mają. Potem wrócę do niego z jakimiś fałszywymi papierami. Kiedy będzie je czytał, rzucę się na niego i spróbuję wyrwać mu pistolet. Zawołam was, a wtedy wszyscy wbiegniecie do pokoju. Im szybciej, tym lepiej, bo jest równie silny jak ja, i może się zdarzyć, że nie dam sobie z nim rady. Zakładam jednak, że poradzę sobie, dopóki nie wbiegniecie.

– To dobry plan – powiedział McGinty. – Loża będzie ci za to bardzo wdzięczna. Gdy będę rezygnował ze swej funkcji, podam nazwisko człowieka, który ma mnie zastąpić.

– Panie radny, jestem jeszcze nowicjuszem – uśmiechnął się McMurdo, lecz jego twarz wyraźnie świadczyła o tym, że ten komplement go połechtał.

Kiedy wrócił do domu, rozpoczął przygotowania do tego ponurego wieczoru. Najpierw wyczyścił, naoliwił i naładował swój rewolwer Smith & Wesson. Potem uważnie zbadał pokój, w którym miał schwytać detektywa w pułapkę. Było to duże pomieszczenie z długim stołem pośrodku i wielkim piecem przy ścianie. Po obu stronach znajdowały się okna; nie miały okiennic i zasłonięte były jedynie lekkimi firankami. McMurdo przyjrzał im się uważnie. Niestety, było to wyjątkowo wyeksponowane i widoczne miejsce jak na tak potajemne spotkanie, ale ponieważ dom stał daleko od drogi, nie było to takie istotne. Wreszcie omówił sprawę ze swoim współlokatorem. Choć Scanlan sam należał do wykonawców wyroków, był nieszkodliwym małym człowiekiem, zbyt słabym, by przeciwstawić się opinii swych towarzyszy. W głębi serca przerażały go te krwawe czyny, w których czasem był zmuszony uczestniczyć. McMurdo powiedział mu w skrócie, co zamierzali zrobić.

– Gdybym był na twoim miejscu, Mike’u Scanlanie, wyniósłbym się stąd na tę noc i nie mieszałbym się do tego. Nim nadejdzie ranek, urządzimy tu jatkę.

– Dobrze, Mac – odparł Scanlan. – Nie mam mocnych nerwów. Kiedy zobaczyłem, jak zamordowali zarządcę Dunna na terenie kopalni, to było dla mnie za wiele. Nie jestem do tego stworzony, tak jak ty czy McGinty. Loża i tak już o mnie gorzej myśleć nie będzie. Zrobię tak, jak mi radzisz, i zostawię was dzisiaj wieczorem samych sobie.

Zgodnie z ustaleniami mężczyźni przyszli dużo wcześniej. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak szanowani obywatele, schludni i dobrze ubrani.

Jednak ktoś umiejący czytać z twarzy, widząc ich zacięte usta i bezlitosne oczy, dawałby Birdy’emu Edwardsowi niewielkie nadzieje. W tym pokoju nie było nikogo, kto w przeszłości nie splamiłby krwią swych rąk przynajmniej z tuzin razy. Zamordowanie człowieka nie robiło na nich większego wrażenia niż zaszlachtowanie owcy.

Najbardziej niebezpiecznym z nich, zarówno z wyglądu, jak i z uwagi na popełnione zbrodnie, był oczywiście mistrz. Sekretarz Harraway, chudy zgorzkniały mężczyzna o długiej cienkiej szyi i nerwowych drżących rekach, wierny był tylko finansom zakonu i nie znał pojęcia sprawiedliwości czy uczciwości wobec kogokolwiek innego. Skarbnik Carter, mężczyzna w średnim wieku o beznamiętnym, raczej ponurym wyrazie twarzy, i żółtej niczym pergamin skórze, był zręcznym organizatorem, i to właśnie on zaplanował niemal wszystkie popełnione dotychczas przestępstwa. Dwaj bracia Willaby, wysocy zręczni młodzieńcy o pełnych determinacji twarzach, byli ludźmi czynu. Ich towarzysza, Tygrysa Cormaca, mocno zbudowanego smagłego chłopaka, bali się nawet jego kompani, tak dzikie miał usposobienie. Tacy właśnie ludzie zgromadzili się tej nocy pod dachem McMurdo z zamiarem pozbycia się detektywa z agencji Pinkertona.

Ich gospodarz postawił przed nimi na stole whisky, którą zaczęli się częstować, by skrócić czas oczekiwania. Baldwin i Cormac byli już na wpół pijani, a alkohol wydobył z nich całą tłumioną dzikość. Cormac przyłożył na chwilę dłonie do pieca, w którym palił się ogień, bo noce wciąż były zimne.

– To się nada – powiedział, rzucając przekleństwo.

– Tak – odezwał się Baldwin, od razu rozumiejąc, co ten miał na myśli. – Gdy go trochę na nim potrzymamy, wydobędziemy z niego całą prawdę.

– Tak, wydobędziemy. O to nie musicie się martwić – dodał McMurdo. Był naprawdę człowiekiem o stalowych nerwach. Choć cały ciężar sprawy spoczął na jego barkach, zachowywał się spokojnie i beztrosko jak zwykle. Inni to zauważyli, i podobało im się to.

– Jesteś właściwym człowiekiem, żeby sobie z nim poradzić – rzekł z aprobatą mistrz. – Nie zauważy nic podejrzanego, póki nie złapiesz go za gardło. Szkoda tylko, że nie masz okiennic w oknach.

McMurdo przeszedł od jednego okna do drugiego i dokładniej zaciągnął zasłony.

– Teraz na pewno nikt nie będzie mógł nas podglądać. Zbliża się wyznaczona godzina.

– A może nie przyjdzie? Może wyczuł niebezpieczeństwo? – powiedział sekretarz.

– Bez obawy, przyjdzie – odparł McMurdo. – Śpieszy mu się tak samo, jak wam. Słyszycie?

Wszyscy zastygli w bezruchu niczym woskowe figury. Wzniesione szklanki zamarły w połowie drogi do ust. Rozległo się głośne trzykrotne pukanie do drzwi.

– Cisza! – McMurdo ostrzegawczo uniósł rękę. Oczy mężczyzn zapłonęły radośnie, a ich ręce spoczęły na broni.

– Ani słowa, jak wam życie miłe – wyszeptał McMurdo i wyszedł z pokoju, starannie zamykając za sobą drzwi.

Mordercy czekali, nadstawiając uszu. Nasłuchiwali kroków swego towarzysza w korytarzu. Usłyszeli, jak otwiera drzwi. Padły słowa powitania. Uświadomili sobie, że ktoś wszedł, bo dotarł do nich nieznany im głos. Chwilę później trzasnęły drzwi, i dobiegł ich dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Zdobycz była w pułapce. Tygrys Cormac roześmiał się straszliwym śmiechem, a mistrz McGinty trzasnął go w twarz swoją wielką dłonią.

– Cicho, głupcze! – szepnął. – Zgubisz nas wszystkich.

Z pokoju obok dobiegał stłumiony szmer rozmowy. Wydawało się, że będzie się ciąg-nął bez końca. Potem drzwi się otworzyły, i pojawił się w nich McMurdo, przyciskając palec do ust.

Stanął u szczytu stołu i spojrzał na nich wszystkich. Nastąpiła w nim jakaś subtelna zmiana. Zachowywał się teraz jak ktoś, kto ma do wypełnienia bardzo ważne zadanie. Rysy twarzy zastygły, oczy błyszczały zza okularów w dzikim podnieceniu. W wyraźny sposób zmienił się w przywódcę. Patrzyli na niego z ciekawością i zapałem, ale nic nie mówił, kierował tylko to swoje dziwne spojrzenie na każdego z nich po kolei.

– No i co? – zawołał wreszcie mistrz McGinty. – Jest tu? Jest tu Birdy Edwards?

– Tak – odparł powoli McMurdo. – Birdy Edwards tu jest. To ja jestem Birdy Edwards!

Po tym krótkim oświadczeniu zapadło na dziesięć sekund tak głębokie milczenie, że pokój mógł się wydać całkowicie pustym. Słychać było jedynie ostre przenikliwe syczenie czajnika na piecu. Siedem pobladłych twarzy zwróconych ku człowiekowi, na którym skupiały się ich spojrzenia, zastygło nieruchomo w całkowitym przerażeniu. Nagle do ich uszu dobiegł odgłos tłuczonego szkła: z każdego okna patrzyły lufy strzelb. Zasłony zostały zerwane.

Zobaczywszy to, mistrz McGinty wydał z siebie ryk ranionego niedźwiedzia i rzucił się do na wpół otwartych drzwi. Natrafił tam jednak na lufę rewolweru i surowe niebieskie oczy kapitana Marvina z policji kopalni, który celował do niego. Mistrz cofnął się i opadł na krzesło.

– Tutaj jest pan bezpieczniejszy, panie radny – powiedział człowiek, którego znali jako McMurdo. – A ty, Baldwin, jeśli natychmiast nie zdejmiesz ręki z pistoletu, możesz jeszcze uciec przed szubienicą. Wyjmij go i połóż na stole, bo, na Boga, który mnie stworzył… Dobrze. Tak wystarczy. Dom jest otoczony przez czterdziestu uzbrojonych ludzi, więc oceńcie sami, jakie macie szanse. Zabierz im broń, Marvin!

Widząc wycelowane w nich strzelby, nie stawiali żadnego oporu. Zostali rozbrojeni. Ogłupiali i zdumieni, wciąż siedzieli ponuro przy stole.

– Zanim się rozstaniemy, chciałbym powiedzieć wam parę słów – rzekł ten, który schwytał ich w pułapkę. – Przypuszczam, że nie spotkamy się do czasu, gdy będę zeznawał w sądzie. Powiem wam coś, nad czym będziecie się mogli do tego czasu zastanowić. Teraz już wiecie, kim jestem. Wreszcie mogę wyłożyć karty na stół. Jestem Birdy Edwards z agencji Pinkertona. Zostałem wybrany, aby rozbić waszą bandę. Grałem w trudną i niebezpieczną grę. Nikt, nawet ci, którzy byli mi najdrożsi i najbliżsi, nie zdawali sobie sprawy z tego, czym się zajmuję. Wiedzieli o tym tylko kapitan Marvin i moi pracodawcy. Ale dziś w nocy gra dobiegła końca, dzięki Bogu, i to ja jestem zwycięzcą!

Patrzyło na niego siedem bladych zesztywniałych twarzy. W ich oczach malowała się wściekła nienawiść. Wyczytał z nich śmiertelną groźbę.

– Może wam się wydaje, że gra jeszcze nie jest skończona. Musimy się z tym liczyć. W każdym razie niektórzy z was już z niej wypadli; jeszcze tej nocy sześćdziesięciu innych trafi do więzienia. Muszę wam powiedzieć, że kiedy przydzielono mi tę robotę, nawet nie wyobrażałem sobie, iż może istnieć taka organizacja jak wasza. Myślałem, że to jakieś bujdy drukowane

w gazetach i że udowodnię to. Mówiono mi, że ma to coś wspólnego z masonami, pojechałem więc do Chicago i sam zostałem masonem. Członkostwo w loży upewniło mnie jedynie w tym, że to tylko wymysły dziennikarzy, bo masoni byli zupełnie nieszkodliwi, za to robili dużo dobrego.

Musiałem jednak wykonać swoje zadanie, dlatego przyjechałem do zagłębia węglowego. Kiedy tu dotarłem, przekonałem się, że się myliłem i że jednak mimo wszystko nie była to historyjka za dziesięć centów. Zostałem więc tutaj, żeby się tym zająć. W Chicago nigdy nie zabiłem żadnego człowieka. Nigdy w życiu nie sfałszowałem nawet dolara. Te, które wam dałem, były równie prawdziwe jak wszystkie inne, ale nigdy lepiej nie wydałem pieniędzy. Doskonale wiedziałem, jak wam się przypochlebić, więc udawałem, że ściga mnie prawo. I wszystko to zadziałało dokładnie tak, jak myślałem.

Przystąpiłem do waszej piekielnej loży i brałem udział w waszych obradach. Może powiedzą, że byłem równie zły jak wy. Mogą sobie gadać, co chcą, wiem, że was dopadłem. A jaka jest prawda? Tej nocy, kiedy się do was przyłączyłem, pobiliście starego Stangera. Nie mogłem go ostrzec, bo nie było na to czasu, ale złapałem cię za rękę, Baldwin, kiedy chciałeś go zabić. Jeśli kiedykolwiek podsuwałem wam różne pomysły, żeby utrzymać swoją pozycję, to zawsze były to rzeczy, o których wiedziałem, że mogę im zapobiec. Nie mogłem ocalić Dunna i Menziesa, bo za mało wiedziałem. Jednak dopilnuję, żeby ich mordercy zawiśli na szubienicy. Ostrzegłem zawczasu Chestera Wilcoxa, żeby on i jego rodzina mogli się ukryć i żeby ich nie było, kiedy wysadzałem ich dom w powietrze. Wiele było zbrodni, którym nie mogłem zapobiec, ale jeśli spojrzycie wstecz i zastanowicie się nad tym, ile razy wasze ofiary wracały inną drogą, niż sądziliście, albo były w mieście, kiedy wy próbowaliście ich zabić w domu, lub zostały u siebie, kiedy sądziliście, że wyjdą, dostrzeżecie w tym moją pracę.

– Ty pieprzony zdrajco! – syknął McGinty przez zaciśnięte zęby.

– Tak, Jacku McGinty, możesz mnie tak nazywać, jeśli poczujesz się z tym lepiej. Ty i tobie podobni byliście w tych stronach wrogami Boga i ludzi. Trzeba było, żeby ktoś stanął pomiędzy wami a tymi biednymi ludźmi, których dręczyliście. Był tylko jeden sposób, żeby to zrobić, i wykorzystałem go. Nazywasz mnie zdrajcą, ale myślę, że tysiące nazwą

mnie wybawcą, który zstąpił do piekła, by ich ocalić. Żyłem tak trzy miesiące. Nie chciałbym po raz drugi przeżyć podobnych trzech miesięcy, nawet gdyby wpuścili mnie do skarbca w Waszyngtonie i powiedzieli, że mogę sobie wziąć, co chcę. Musiałem tu zostać, póki nie zdobyłem wszystkich tajemnic i nie trzymałem w garści każdego z waszych ludzi. Poczekałbym trochę dłużej, gdyby nie dotarła do mnie wiadomość, że mój sekret wkrótce się wyda. Do miasta trafił list, z którego dowiedzielibyście się o wszystkim. Musiałem działać, i to szybko.

Nie mam już nic więcej do powiedzenia poza tym, że kiedy nadejdzie mój czas, łatwiej mi będzie umierać, gdy pomyślę o tym, co zrobiłem w tej dolinie. A teraz, Marvin, nie będę cię dłużej zatrzymywał. Zgarnij ich, i miejmy to już za sobą.

Niewiele pozostaje już do opowiedzenia. Scanlan dostał zapieczętowany list, który miał zostawić dla panny Ettie Shafter. Była to misja, którą przyjął z pełnym zrozumienia uśmiechem, mrugając okiem. Wczesnym rankiem piękna kobieta i człowiek tak opatulony, że trudno go było rozpoznać, wsiedli do specjalnego pociągu podstawionego przez kompanię kolejową i szybko, bez żadnych postojów, wyjechali z miejsca, gdzie groziło im niebezpieczeństwo. Po raz ostatni Ettie i jej kochanek widzieli Dolinę strachu. Dziesięć dni później pobrali się w Chicago, a stary Jacob Shafter był na ich ślubie.

Proces wykonawców wyroków odbył się daleko od miejsca, gdzie ich poplecznicy mogliby zastraszyć przedstawicieli prawa. Na próżno walczyli. Na próżno szastali pieniędzmi loży, wyciśniętymi szantażem z całego tego obszaru, próbując ocalić siebie. Dokładnych i wyczerpujących zeznań jednego człowieka, który poznał każdy szczegół ich życia, organizacji i popełnionych przez nich zbrodni, nie dało się podważyć mimo wszelkich sztuczek ich adwokatów. Wreszcie po wielu latach byli złamani i rozproszeni. Chmura wisząca nad doliną rozwiała się na zawsze.

McGinty skończył na szubienicy, skarżąc się i lamentując, gdy nadeszła jego ostatnia godzina. Ośmiu najważniejszych współpracowników podzieliło los mistrza. Ponad pięćdziesięciu zostało skazanych na karę więzienia. Praca Birdy’ego Edwardsa dobiegła końca.

A jednak, tak jak podejrzewał, gra nie była skończona. Jej uczestnicy nie dawali zapomnieć o sobie. Jednym z nich był Ted Baldwin, który uniknął szubienicy. Podobnie było z braćmi Willaby i kilkoma innymi najdzikszymi

członkami gangu. Na dziesięć lat zniknęli za więziennymi murami, ale nadszedł taki dzień, kiedy wyszli na wolność, a Edwards, który zdążył ich dobrze poznać, był pewien, że ten dzień będzie końcem jego spokojnego życia. Przysięgli na wszystko, co uważali za święte, że pomszczą swoich towarzyszy. I zrobili, co w ich mocy, żeby tej przysięgi dotrzymać.

Po dwóch zamachach na jego życie musiał uciekać z Chicago. Za każdym razem niewiele brakowało, by go zabili; był pewny, że za trzecim razem go dopadną. Pod zmienionym nazwiskiem wyjechał do Kalifornii, i to tam zgasło światło w jego życiu, kiedy zmarła żona Ettie. Tam znów omal go nie zabili. Kolejny raz zmienił nazwisko, i jako Douglas pracował w samotnym kanionie, gdzie wraz ze swoim angielskim partnerem o nazwisku Barker dorobił się fortuny. W końcu jednak dotarło do niego ostrzeżenie, że te psy znów są na jego tropie, wyjechał więc w ostatniej chwili do Anglii. Takim właśnie człowiekiem był John Douglas. Ożenił się powtórnie ze wspaniałą kobietą i przez pięć lat żył jako właściciel ziemski w hrabstwie Sussex. Ten okres w jego życiu zakończył się dziwnymi wydarzeniami, o których już słyszeliśmy.

Epilog

Śledztwo dobiegło końca, sprawę Johna Douglasa przekazano do sądu wyższej instancji, gdzie został uniewinniony. Wyrok uzasadniono tym, że oskarżony działał w samoobronie.

Holmes napisał do żony Douglasa:

> Proszę za wszelką cenę zabrać go z Anglii. Działają tutaj siły, które mogą być o wiele niebezpieczniejsze od tych, przed którymi udało mu się uciec. Pani mąż nigdy nie będzie w Anglii bezpieczny.

Upłynęły dwa miesiące, z czasem zapomnieliśmy o tej sprawie. Pewnego ranka dotarł do nas enigmatyczny list, który ktoś wrzucił do naszej skrzynki. „O rety, panie Holmes, o rety!” – brzmiała treść tej dziwnej notatki. Nie było na niej ani nagłówka, ani podpisu. Na widok tej dziwacznej wiadomości roześmiałem się, jednak Holmes potraktował ją niezwykle poważnie.

– To jakaś diabelska sztuczka, Watsonie – powiedział i długo siedział z nachmurzoną miną.

Tego samego dnia późnym wieczorem nasza gospodyni, pani Hudson, przyszła na górę z wiadomością, że jakiś dżentelmen chce się widzieć z panem Holmesem i że chodzi o sprawę ogromnej wagi. Po chwili pojawił się Cecil Barker, nasz przyjaciel z dworu otoczonego fosą. Twarz miał wymizerowaną i bardzo smutną.

– Mam złe wieści… Straszliwe wieści, panie Holmes.

– Tego się obawiałem – powiedział Sherlock.

– Nie dostał pan telegramu?

– Dostałem list od kogoś, kto go zapewne otrzymał.

– Chodzi o biednego Douglasa. Mówią mi, że nazywał się Edwards, ale dla mnie zawsze będzie Johnem Douglasem z Benito Canyon. Mówiłem panu, że trzy tygodnie temu wyruszyli „Palmyrą” do Afryki Południowej.

– Tak.

– Wczoraj wieczorem statek zawinął do Kapsztadu. A dziś rano dostałem telegram od pani Douglas:

> John wypadł za burtę podczas wichury u wybrzeży Świętej Heleny. Nikt nie wie, jak doszło do tego wypadku. Ivy Douglas.

– Ha! A więc tak to się stało – rzekł z namysłem Holmes. – Cóż, jestem pewien, że dobrze to zaaranżowali.

– Chce pan przez to powiedzieć, że to nie był wypadek?

– Z całą pewnością.

– Został zamordowany?

– Oczywiście!

– Ja też tak myślę. Ci piekielni wykonawców wyroków! To przeklęte gniazdo mściwych łotrów!

– Nie, nie, panie Barker – rzekł Holmes. – Widać tutaj mistrzowską rękę. To już nie jakieś śrutówki ze spiłowaną lufą czy niezgrabne sześciostrzałowce. Starego mistrza można poznać po jednym pociągnięciu pędzla. Rozpoznam Moriarty'ego, kiedy widzę jego dzieło! To zbrodnia zaplanowana w Londynie, nie w Ameryce.

– Ale jaki był jej motyw?

– Zrobił to człowiek, który nie może sobie pozwolić na porażkę. Cała jego wyjątkowość polega na tym, że wszystko, czego się podejmie, musi się kończyć sukcesem. Wielki mózg i ogromna organizacja postawiły sobie za cel pozbycie się jednego człowieka. To jak zmiażdżenie orzeszka kowalskim młotem, absurdalnie wielki nakład energii, niemniej orzech został zmiażdżony.

– A w jaki sposób ten człowiek w ogóle został w to zamieszany?

– Mogę powiedzieć tylko tyle, że po raz pierwszy dowiedzieliśmy się o tej sprawie od jednego z jego ludzi. Amerykanom ktoś dobrze doradził. Mieli do wykonania robotę w Anglii, więc zawarli sojusz z tym wielkim mistrzem zbrodni, tak jak zrobiłby to każdy przestępca zza granicy. Od tej chwili Douglas był skazany na zagładę. Najpierw Moriarty zadowolił się puszczeniem w ruch swej machiny, by odnaleźć ofiarę. Potem udzielił im wskazówek, jak można załatwić tę sprawę. A wreszcie, gdy przeczytał raport o niepowodzeniu misji, sam wkroczył na scenę, dokonując mistrzowskiego posunięcia. Słyszał pan, jak ostrzegałem Douglasa

w Birlstone, że niebezpieczeństwo, które się zbliża, jest groźniejsze niż to z przeszłości? Miałem rację?

Barker w bezsilnym gniewie przyłożył do głowy zaciśnięte pięści.

– To mamy po prostu tak siedzieć? Zostawić to? Nikt się nie policzy z tym królem diabłów?!

– Nie, tego nie mówię – rzekł Holmes, a jego oczy zdawały się spoglądać w daleką przyszłość. – Nie mówię, że nie można go pokonać. Ale musi pan mi dać czas… Musi mi pan dać na to czas!

Przez kilka minut wszyscy siedzieliśmy w milczeniu, podczas gdy mój przyjaciel usiłował przebić się przez zasłonę, za którą kryła się przyszłość.

KSIĘGA PRZYPADKÓW SHERLOCKA HOLMESA

Z angielskiego przełożyła: Zofia Wawrzyniak

Przedmowa

Obawiam się, że Sherlock Holmes zacznie w końcu przypominać tych popularnych tenorów, którzy mając najlepsze czasy za sobą, z chęcią nadal składaliby ukłony na pożegnanie przed swoją pobłażliwą publicznością. Trzeba to przerwać. Czas, by wielki detektyw zniknął zarówno ze świata realnego, jak i z wyobraźni. Lubimy myśleć, że istnieje gdzieś cudowna otchłań dla wyobraźni dzieci, dziwne, nieprawdopodobne miejsce, w którym być może amanci Fieldinga oddają się uciechom miłosnym z pięknościami Richardsona, bohaterów Scotta ciągle rozpiera duma, czarujące londyńskie opryszki Dickensa nadal wzbudzają uśmiech, a materialiści Thackeraya idą drogą niechlubnej kariery. Być może Sherlock i jego Watson przycupną na chwilę w kąciku tej Wallhali, podczas gdy jakiś bardziej przebiegły detektyw wraz z mniej przebiegłym towarzyszem zajmą ich miejsce na scenie.

Kariera Holmesa była długa, choć możliwe, że to tylko wyolbrzymione złudzenie; podstarzali panowie, którzy zwracają się do mnie, mówiąc, że jego przygody towarzyszyły im w latach chłopięcych, nie spotykają się z mojej strony z oczekiwaną reakcją. Nikt nie lubi, gdy do ich osobistych przeżyć podchodzi się w tak nieuprzejmy sposób. Gwoli przypomnienia, Holmes zadebiutował w dwóch książkach: *Studium w szkarłacie* oraz *Znak czterech*, które ujrzały światło dzienne między 1887 a 1889 rokiem. W 1891 roku w „The Strand Magazine” opublikowano *Skandal w Czechach*, pierwsze z pokaźnego zbioru krótkich opowiadań. Utwór ten spotkał się z bardzo dobrym odbiorem czytelników, którzy czekali na kontynuację. I tak przez trzydzieści dziewięć lat publikowałem zbiory opowiadań, na które obecnie składa się przynajmniej pięćdziesiąt sześć krótkich utworów wydawanych pod następującymi tytułami: „Przygody Sherlocka Holmesa”, „Dzienniki Sherlocka Holmesa”, „Powrót Sherlocka Holmesa” oraz „Ostatni ukłon”. Oczywiście, jest jeszcze dwanaście niniejszych opowiadań opublikowanych w zbiorze pod tytułem *The Case Book of Sherlock Holmes* (*Sherlock Holmes i kronika zagadek*).

Holmes rozpoczął swoją karierę w samym środku epoki wiktoriańskiej, kontynuował ją za krótkich rządów króla Edwarda VII i utrzymał się w swym małym świecie do tych gorączkowych czasów, w których przyszło mi żyć. To prawda, że ci, którzy pierwszy raz poznali przygody detektywa w młodym wieku, w tej chwili obserwują swoje własne, dorosłe już dzieci, które czytają te same opowiadania w tym samym magazynie. To niezwykły przykład wytrwałości i lojalności brytyjskich czytelników.

Postanowiłem, że „Dzienniki Sherlocka Holmesa” będą ostatnim tomem, w którym spotkamy Holmesa, ponieważ czułem, że moje literackie zapędy nie

powinny już dłużej podążać w tym kierunku. Ta bladolica, zwinna postać o wyraźnie zarysowanej twarzy zawłaszczyła sobie zbyt dużą część mojej wyobraźni. Jak pomyślałem, tak uczyniłem. Niestety, żaden koroner nie stwierdził zgonu, i tak po długiej przerwie z łatwością odpowiedziałem na, jakże pochlebne, oczekiwania czytelników i usprawiedliwiłem moje postępowanie zbyt pochopnym porywem. Nigdy nie żałowałem tej decyzji, a to dlatego, że nie zauważyłem, żeby te lżejsze formy literackie przeszkadzały mi w odkrywaniu nowych granic moich własnych możliwości w tak różnych dziedzinach, o które ociera się literatura, jak historia, poezja, powieści historyczne, parapsychologia czy dramat. Nie osiągnąłbym więcej, gdyby Holmes nie istniał, choć prawdopodobnie wtedy bardziej doceniono by moje poważniejsze utwory literackie.

Czytelniku, pożegnaj się zatem z Sherlockiem Holmesem! Dziękuję za Twą lojalność, mam nadzieję, że odwdzięczyłem Ci się za nią w ten szczególny sposób, jakim podczas czytania jest możliwość oderwania się od codziennych zmartwień i życiowych kłopotów oraz skierowania myśli na inny tor, co można osiągnąć jedynie, zatapiając się w czarownym królestwie fikcji literackiej.

ARTHUR CONAN DOYLE

Opowieść pierwsza

Znamienity klient

– Teraz mi już nie zaszkodzi. – Taka była odpowiedź Sherlocka Holmesa, gdy po raz dziesiąty na przestrzeni wielu lat poprosiłem go o zgodę na przedstawienie opowieści, którą obecnie przekazuję do waszych rąk, drodzy czytelnicy. Wreszcie mogłem opisać okres, który w pewnym sensie był najlepszym w karierze mojego przyjaciela.

Obaj mieliśmy słabość do łaźni tureckiej. Tylko tu, wśród pary, trwając w błogim znużeniu, Holmes stawał się mniej skryty i bardziej ludzki. W owym przybytku, który mieścił się przy Northumberland Avenue, znajdował się na wyższym piętrze odosobniony kącik, w którym stały dwie kanapy. To właśnie na nich leżeliśmy 3 września 1902 roku, w dniu, w którym rozpoczęła się ta historia. Zapytałem mojego przyjaciela, czy nie ma jakiejś ciekawej sprawy. W odpowiedzi wyciągnął nerwowym ruchem spod prześcieradła, którym był owinięty, długą chudą rękę i z wewnętrznej kieszeni wiszącego obok płaszcza wyjął kopertę.

– Może to tylko kaprys jakiegoś zarozumiałego głupca, a może to sprawa życia i śmierci – powiedział, podając mi list. –Wiem na ten temat niewiele więcej, niż zawiera ta wiadomość.

List został wysłany poprzedniego wieczora z Carlton Club. Oto jego treść:

> Sir James Damery przesyła panu Sherlockowi Holmesowi wyrazy szacunku. Chciałby zapowiedzieć swoją wizytę jutro o godzinie szesnastej trzydzieści. Sir James pragnie nadmienić, że sprawa, w jakiej ma zamiar zasięgnąć rady pana Holmesa, jest bardzo delikatna i jednocześnie niezmiernie pilna. Dlatego ufa, że pan Holmes dołoży wszelkich starań, by się ta rozmowa odbyła się, oraz potwierdzi spotkanie, dzwoniąc do Carlton Club.

– To, że wykonałem tę prośbę, rozumie się samo przez się, Watsonie – powiedział Holmes, gdy oddawałem mu list. – Czy wiesz coś o tym Damerym?

– Tylko tyle, że jego nazwisko jest znane w towarzystwie.

– Cóż, ja mogę ci powiedzieć nieco więcej. Zajmuje się on delikatnymi sprawami, które nie powinny ujrzeć światła dziennego. Pewnie pamiętasz jego pertraktacje z sir Georgem Lewisem dotyczące testamentu lorda Hammerforda. To światowy człowiek, obdarzony ogromnym taktem. Ufam, że nas nie zwodzi i naprawdę potrzebuje naszej pomocy.

– Naszej?

– Gdybyś był tak dobry, Watsonie.

– Będę zaszczycony.

– Masz wolne do szesnastej trzydzieści. Na razie nie musimy zawracać sobie tym głowy.

W owym czasie mieszkałem na Queen Anne Street, mimo to na Baker Street zjawiłem się przed czasem. Punktualnie o pół do piątej zaanonsowano pułkownika sir Jamesa Damery’ego. Nie ma potrzeby opisywać wyglądu naszego gościa, ponieważ do historii i tak przejdzie jego uczciwość, prostolinijność, szeroka, dokładnie ogolona twarz, a przede wszystkim łagodny głos. Szczerość biła z jego szarych irlandzkich oczu, a pogodę ducha odzwierciedlały rozpromienione w uśmiechu usta. Słynął ze skrupulatnej dbałości o strój, której dowodem były lśniący cylinder, ciemny surdut i wszystkie detale, począwszy od perłowej szpilki w czarnym satynowym krawacie aż po lawendowe getry nałożone na lakierowane buty. Władcza postać arystokraty zdominowała niewielki pokój.

– Naturalnie, spodziewałem się obecności Watsona –powiedział, kłaniając się wytwornie. – Pańska pomoc może być niezbędna, doktorze, gdyż mamy do czynienia z człowiekiem, któremu przemoc nie jest obca i który naprawdę nie cofnie się przed niczym. To najgroźniejsza postać w całej Europie, panie Holmes.

– Spotkałem już w życiu kilku przeciwników, którym schlebiano w ten sposób – z uśmiechem odparł Holmes. – Pan nie pali? Nie będzie pan miał nic przeciwko, gdy zapalę fajkę? Jeśli człowiek, o którym pan wspomina, jest groźniejszy niż świętej pamięci profesor Moriarty lub żyjący pułkownik Sebastian Moran, warto go w rzeczy samej poznać. Jak on się nazywa?

– Słyszał pan o baronie Grunerze?

– Ma pan na myśli tego austriackiego mordercę?

Pułkownik Damery uniósł dłonie odziane w szykowne rękawiczki i uśmiechnął się:

– Nic panu nie umknie, panie Holmes! Doskonale! Widzę, że wyrobił pan już sobie o nim zdanie.

– Śledzenie doniesień o zbrodniach popełnianych w Europie leży w moim interesie. Jeżeli chodzi o wydarzenia w Pradze, nikt nie mógł mieć jakichkolwiek wątpliwości co do winy tego człowieka! Uratowały go jedynie kruczek prawny i podejrzana śmierć świadka. Jestem tak bardzo przekonany, że to on zabił swoją żonę podczas „wypadku” na przełęczy Splügen, jakbym złapał go na gorącym uczynku. Wiem także, że przyjechał do Anglii, i przeczuwałem, iż prędzej czy później zapewni mi pracę. Co zamierza baron Gruner? Zakładam, że nie chodzi o tamtą tragedię.

– Nie, to znacznie poważniejsza sprawa. Należy karać za zbrodnie, ale przede wszystkim trzeba im zapobiegać. Panie Holmes, strasznie jest patrzeć, jak na naszych oczach trwają przygotowania do obrzydliwego występku, potwornego wydarzenia, mieć świadomość, dokąd to wszystko może zaprowadzić, i nie wiedzieć, jak temu zapobiec. Jest to okropne uczucie. Czyż można znaleźć się w bardziej nieznośnej sytuacji?

– Pewnie nie.

– Rozumiem zatem, że stanie pan po stronie klienta, którego reprezentuję.

– Nie sądziłem, że jest pan jedynie pośrednikiem. W czyim imieniu pan występuje?

– Panie Holmes, jestem zmuszony prosić, by nie zadawał pan tego pytania. Muszę być pewien, że szacowne nazwisko mojego klienta w żaden sposób nie zostanie wplątane w tę sprawę. Przemawiają przez niego jedynie uczciwość i rycerskość, nie chce jednak zdradzić, kim jest. Oczywiście, otrzymają panowie godziwe wynagrodzenie i swobodę działania. Proszę mi wierzyć, nazwisko mojego zleceniodawcy nie jest aż tak istotne.

– Przykro mi – odparł Holmes. – W każdej sprawie, którą prowadzę, jest zwykle tylko jedna zagadka do rozwiązania, gdy pojawia się druga, sytuacja się komplikuje. Obawiam się, że muszę odmówić.

Nasz gość szczerze się zmartwił i spochmurniał, a jego szeroka wrażliwa twarz wyrażała rozczarowanie.

– Nie zdaje pan sobie sprawy z konsekwencji swego działania, panie Holmes – odparł. – Stawia mnie pan w bardzo kłopotliwej sytuacji, gdyż jestem przekonany, że gdybym powiedział panu, o co chodzi, z dumą poprowadziłby pan tę sprawę, jednak obietnica nie pozwala mi wyjawić wszystkiego. Jeśli pan pozwoli, ujawnię to, co mogę.

– Oczywiście, pod warunkiem, że wysłuchanie tego, co ma pan do powiedzenia, do niczego mnie nie zobowiąże.

– To zrozumiałe. Po pierwsze, na pewno słyszał pan o generale de Merville'u?

– De Merville, który wsławił się w przełęczy Chajberskiej? Słyszałem o nim.

– Generał ma córkę, Violet de Merville, kobietę młodą, bogatą, piękną i utalentowaną, pod każdym względem wspaniałą. To właśnie tę uroczą, niewinną dziewczynę staramy się wyrwać ze szponów potwora.

– Czy baron Gruner ją uwięził?

– Owszem, i to w sposób najgorszy z możliwych, jeśli chodzi o kobiety: zakuł ją w kajdany miłości. Pewnie pan słyszał, że to wyjątkowo przystojny mężczyzna, znany ze swych nienagannych manier, obdarzony łagodnym głosem i otoczony mgiełką romansu i tajemnicy. A to się bardzo kobietom podoba. Powszechnie wiadomo, że płeć piękna zabiega o jego względy, co on sam zresztą często wykorzystuje.

– Jak doszło do spotkania tego człowieka i damy z wyższych sfer, jaką jest panna Violet de Merville?

– Poznali się podczas ekskluzywnego rejsu po Morzu Śródziemnym. Zebrało się doborowe towarzystwo, wszyscy płacili za podróż. Nic więc dziwnego, że organizatorzy zorientowali się, kto jest na pokładzie, gdy było już za późno. Zbrodniarz zdążył przylgnąć do młodej damy i zrobił to na tyle skutecznie, że całkowicie zdobył jej serce. Nie wystarczy powiedzieć, że go pokochała. Nie widzi świata poza nim. To już jest obsesja. Tylko on się liczy. Nie chce słyszeć o zarzutach przeciwko niemu. Zrobiliśmy wszystko, żeby wyleczyć ją z tego szaleństwa. Na próżno: za miesiąc biorą ślub. Panna Violet jest pełnoletnia, charakter ma jak ze stali, dlatego nie wiemy, jak ją powstrzymać.

– Czy wie o tym, co się stało w Austrii?

– Ten przebiegły diabeł opowiedział jej o wszystkich okropnych wydarzeniach z przeszłości, przedstawiając siebie samego jako niewinną

ofiarę. Dziewczyna wierzy tylko jemu i nie słucha nikogo innego.

– Niech mnie! Czyżby nieumyślnie wyjawił pan właśnie nazwisko swojego klienta? To bez wątpienia generał de Merville!

Nasz gość poruszył się nerwowo.

– Mógłbym pana teraz oszukać, potwierdzając te przypuszczenia. Nie byłoby to jednak zgodne z prawdą. De Merville się załamał. Ten incydent rozłożył tego nieustraszonego żołnierza na łopatki. Stracił opanowanie, które towarzyszyło mu zawsze na polu walki, i stał się słabym, zgrzybiałym staruszkiem, niezdolnym, by stanąć twarzą w twarz z błyskotliwym, gwałtownym złoczyńcą, jakim jest ten Austriak. Osoba, w której imieniu dziś występuję, jest moim dobrym przyjacielem, będącym z generałem od wielu lat w zażyłych stosunkach. Jego córkę obdarzył ojcowską miłością w czasach, gdy jeszcze nosiła dziewczęce sukieneczki. Nie będzie patrzył na tę tragedię z założonymi rękami, a jako że nie jest to sprawa dla Scotland Yardu, zasugerował, żebym poprosił pana o pomoc, wyraźnie zastrzegając, że on sam nie może być zamieszany w tę sprawę. Zdaję sobie sprawę, że pan z jego umiejętnościami mógłby, śledząc mnie, bardzo łatwo odkryć, o kim mowa, jednak w imię honoru proszę, by pan tego nie robił i pozwolił mojemu przyjacielowi pozostać incognito.

Na twarzy Holmesa pojawił sie grymas uśmiechu.

– Myślę, że z czystym sumieniem mogę to panu obiecać – odparł. – Co więcej, ta sprawa zainteresowała mnie i jestem gotów się nią zająć. W jaki sposób będziemy się kontaktować?

– W Carlton Club wiedzą, jak mnie znaleźć. W nagłych wypadkach proszę dzwonić pod mój prywatny numer telefonu XX.31.

Holmes zapisał dane i, uśmiechając się, położył na kolanach otwarty notatnik.

– Jaki jest obecny adres barona?

– Willa Vernon Lodge, niedaleko Kingston. To okazały dom. Jego gospodarz zdobył fortunę, prowadząc podejrzane interesy, co czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym.

– Obecnie bawi w Londynie?

– Owszem.

– Czy powinienem wiedzieć o nim coś jeszcze?

– Ma kosztowne upodobania. Jest miłośnikiem koni. Grywał nawet trochę w polo w klubie Hurlingham, ale gdy praskie wydarzenia wyszły

na jaw, przestał się tam pokazywać. Kolekcjonuje książki i obrazy. Ma duszę artysty. Jest także poważanym znawcą chińskiej porcelany i nawet napisał książkę na ten temat.

– Skomplikowany umysł – powiedział Holmes. – To domena wszystkich genialnych złoczyńców. Mój stary znajomy Charlie Peace był wybitnym skrzypkiem. Wainwright także był niezgorszym artystą. Mógłbym wymienić jeszcze wielu innych. Sir Jamesie, proszę poinformować swojego klienta, że zajmę się sprawą barona Grunera. Nic więcej nie powiem. Mam własne źródła informacji i śmiem twierdzić, że znajdziemy sposoby, by do niego dotrzeć.

Po wyjściu gościa Holmes tak długo trwał w głębokim zamyśleniu, że wydawało się, iż zapomniał o mojej obecności. W końcu jednak się ocknął. Był jak zawsze pełen energii.

– Watsonie, masz jakiś pomysł? – zapytał.

– Uważam, że powinieneś osobiście spotkać się z tą młodą damą.

– Drogi Watsonie, jeśli biedny załamany ojciec nie potrafi poruszyć jej sumienia, jak ma to zrobić obcy człowiek? Warto jednak zapamiętać tę sugestię i pójść w tym kierunku, w razie, gdy wszystko inne zawiedzie. Zacznijmy od innej strony. Wydaje mi się, że przyda nam się pomoc Shinwella Johnsona.

Nie miałem jeszcze okazji wspomnieć o Shinwellu Johnsonie, gdyż rzadko opisywałem sprawy, które mój przyjaciel prowadził w późniejszym okresie swej kariery. W pierwszych latach nowego stulecia Johnson stał się cennym asystentem. Przykro to mówić, ale usłyszeliśmy o nim po raz pierwszy, gdy był niebezpiecznym przestępcą i odsiadywał półroczny wyrok w więzieniu w Parkhurst. W końcu jednak okazał skruchę i przyłączył się do Holmesa. Został szpiegiem w kryminalnym światku Londynu, zdobywając informacje, które nierzadko okazywały się niezmiernie istotne. Gdyby Johnson był policyjnym informatorem, jego podwójne życie szybko wyszłoby na jaw, ale ponieważ pracował przy sprawach, które nigdy nie trafiły do sądu, uliczni kompani Shinwella nie domyślili się prawdy. Człowiek ten miał na koncie dwa wyroki, cieszył się więc w półświatku takim szacunkiem, który dawał mu wstęp do wszystkich nocnych klubów, jaskiń hazardu i noclegowni w mieście, a jego bystry umysł i zdolności obserwacyjne czyniły Johnsona idealnym informatorem. To właśnie jego miał na myśli Sherlock Holmes.

Nie mogłem od razu towarzyszyć mojemu przyjacielowi, gdyż ciążyły na mnie obowiązki zawodowe. Spotkaliśmy się dopiero wieczorem w restauracji Simpson’s. Siedząc przy niewielkim stoliku i obserwując przez okno życie Strand Street, opowiedział mi o wydarzeniach tego dnia.

– Johnson wyruszył na poszukiwania. Być może wyciągnie jakieś brudy z ciemnych zaułków, bo to właśnie tam, wśród czarnych korzeni zbrodni, kryją się tajemnice barona.

– Ale jeśli ta dama nie wierzy w to, co do tej pory usłyszała, w jaki sposób nowe odkrycia miałyby ją powstrzymać przed małżeństwem?

– Kto wie, Watsonie? Serce i umysł kobiety są dla mężczyzny nieodgadnione. Może jest w stanie wybaczyć lub usprawiedliwić morderstwo, ale mniejsze przewinienie zacznie ją nurtować. Baron Gruner zwrócił mi uwagę…

– Jak to?

– Celowo nie informowałem cię o moich planach. Wiesz, Watsonie, lubię zbliżać się do moich przeciwników. Chętnie spotykam się z nimi twarzą w twarz, żeby się na własne oczy przekonać, kim są. Poinstruowałem Johnsona, pojechałem dorożką do Kingston i zastałem barona w bardzo przyjaznym nastroju.

– Poznał cię?

– Z łatwością, a to dlatego, że wręczyłem mu swoją wizytówkę. To znakomity rywal o jedwabistym głosie. Jest zimny jak lód, łagodny jak ci eleganccy lekarze, z którymi pracujesz, i jadowity niczym kobra. Maniery ma we krwi. To prawdziwy arystokrata wśród przestępców: pod płaszczykiem popołudniowego spotkania przy herbatce kryje cmentarne okrucieństwo. Cieszę się, że mogłem się przyjrzeć baronowi Adelbertowi Grunerowi.

– Twierdzisz, że był miły?

– Jak pomrukujący kot, który patrzy na mysz. Uprzejmość może być groźniejsza niż gwałtowność ludzi gruboskórnych. Powitał mnie dość osobliwie: „Wiedziałem, że prędzej czy później nasze drogi się przetną, panie Holmes – powiedział. – Generał de Merville wynajął pana, by nie dopuścił pan do mojego ślubu z jego córką Violet. Zgadza się?”.

Przytaknąłem.

„Mój drogi – powiedział – zrujnuje pan swoją reputację. W tym przypadku sukces nie jest panu pisany. Pańska praca będzie bezskuteczna,

nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, jakie panu grozi. Proszę posłuchać mojej rady i wycofać się najszybciej, jak to będzie możliwe”.

„To dziwne – odparłem. – Chciałem poradzić panu to samo. Szanuję pański intelekt, baronie, a po dzisiejszym spotkaniu wiem, że i charakter mu dorównuje. Porozmawiajmy jak mężczyzna z mężczyzną. Nikomu nie zależy na tym, by grzebać w pańskiej przeszłości i nastręczać mu kłopotów. Ten rozdział jest już zamknięty, płynie pan po spokojnych wodach. Jeśli jednak nie zrezygnuje pan z tego małżeństwa, nastawi przeciwko sobie wiele osób, które nie spoczną, dopóki nie uprzykrzą mu życia do tego stopnia, że będzie pan musiał opuścić Anglię. Czy gra jest warta świeczki? Rozsądniej byłoby zostawić tę damę w spokoju. Gdy ona się dowie o pańskiej przeszłości, nie będzie to dla pana przyjemne”.

– Z nosa barona wystawały włoski, przypominające czułki owada, które podczas mojej przemowy drżały z rozbawienia. W końcu roześmiał się cicho:

„Proszę mi wybaczyć, panie Holmes, ale bawi mnie to, że próbuje pan grać, nie mając w ręku kart. Nikt nie potrafiłby zrobić tego lepiej niż pan, jednak jest to dość żałosne posunięcie. Nie ma pan nawet koloru, panie Holmes, same blotki”. „Tak pan przypuszcza?”.

„Wiem to. Wyjaśnię coś panu. Ja dla odmiany trzymam w ręku mocne karty, więc nie boję się ich odsłonić. Miałem szczęście, udało mi się całkowicie zdobyć serce tej damy. Podarowała mi je, choć opowiedziałem jej ze szczegółami o wszystkich nieszczęśliwych wydarzeniach z przeszłości. Ostrzegłem moją ukochaną, że złośliwe i podstępne osoby – ufam, że odniesie pan to do siebie – będą chciały opowiedzieć jej te historie, i poinstruowałem, jak ma się zachować. Zna pan pojęcie „trans hipnotyczny”? Będzie pan miał okazję zobaczyć, jak to działa w praktyce, bowiem człowiek o mocnym charakterze potrafi korzystać ze sztuki hipnozy bez prymitywnych błazenad. Panna de Merville jest przygotowana na pańską wizytę i na pewno chętnie pana przyjmie, gdyż jest posłuszna swemu ojcu we wszystkim poza jedną oczywistą kwestią”.

– Cóż, Watsonie, nie miałem nic więcej do dodania, zacząłem zatem zbierać się do wyjścia z całym dostojeństwem, na jakie było mnie stać, lecz gdy już chwytałem za klamkę, baron zatrzymał mnie:

„Tak na marginesie, słyszał pan o francuskim agencie Le Brune?”.

„Owszem” – odpowiedziałem.

„Wie pan, co mu się przytrafiło?”.

„Słyszałem, że w paryskiej dzielnicy Montmartre tak dotkliwie pobili go apasze, że do końca życia pozostanie kaleką”.

„Zgadza się, panie Holmes. Tak się składa, że tydzień wcześniej człowiek ten interesował się moimi sprawami. Proszę tego nie robić. To nie byłoby rozsądne. Wiele osób już się o tym przekonało. Na koniec dodam, że lepiej będzie, jeśli pójdzie pan swoją własną drogą, a mnie pozwoli iść moją. Żegnam!”.

– Zatem, Watsonie, wiesz już wszystko.

– Jest to niebezpieczny człowiek!

– Wyjątkowo. Gardzę blagierami, ale tacy jak on zwykle więcej myślą, niż mówią.

– Będziesz się w to mieszał? Czy ten ślub jest aż tak istotny?

– W świetle tego, że Gruner zamordował pierwszą żonę, a co do tego nie ma żadnych wątpliwości, wydaje się niezmiernie istotnym. Pamiętaj też o naszym kliencie! Ale nie mówmy na razie o tym. Kończ kawę i pojedź ze mną do domu: nasz wesołek Shinwell będzie na nas czekał z nowymi informacjami.

Gdy przybyliśmy na Baker Street, czekał już na nas potężny prostak o czerwonej twarzy. Był chory na szkorbut. Jego przebiegły umysł zdradzały jedynie bystre czarne oczka. Najwyraźniej zanurkował głęboko w odmęcie wód swego osobliwego królestwa, bo wyciągnął stamtąd żagiew, która miała postać chudej, rozgorączkowanej młodej kobiety. Jej blada napięta twarz była dosyć młoda, ale na tyle już wyniszczona grzechem i smutkiem, że można było wyczytać z niej okropną opowieść, która odcisnęła się piętnem podobnie jak trąd.

– To jest panna Kitty Winter – rzekł Shinwell Johnson, machając grubą dłonią na powitanie. – Czegóż to ona nie wie! Może lepiej sama panom opowie. Poszedłem do niej tuż po naszym spotkaniu, panie Holmes.

– Nietrudno mnie znaleźć – powiedziała dziewczyna. – Do diabła! Adres zawsze mam ten sam: londyńskie piekło. Porky i ja jesteśmy dobrymi kumplami. Niech mnie! Ale jest ktoś, kto powinien trafić do niższych od naszych kręgów piekła, o ile istnieje na tym świecie sprawiedliwość. Mowa o człowieku, którego pan ściga.

Holmes uśmiechnął się.

– Wnioskuję, że jest pani po naszej stronie, panno Winter.

– Jeśli tylko przyczynię się do tego, by trafił tam, gdzie jego miejsce, jestem do waszej dyspozycji – odparła z wściekłością. Na jej bladej nieruchomej twarzy i w gniewnym spojrzeniu malowała się nienawiść, jaką kobiety czują rzadko, a jakiej mężczyźni nie doświadczają nigdy.

– Moja przeszłość jest nieistotna. Nie ma żadnego znaczenia. Ale to przez Adelberta Grunera jestem tym, kim jestem. Gdybym tylko mogła go zniszczyć! – Gwałtownie zacisnęła dłonie w pięści. – Gdybym tylko mogła strącić go w otchłań, w którą on sam popchnął tak wielu!

– Wie pani, o co chodzi?

– Porky mi mówił. Przyczepił się do kolejnej głupiej biedaczki, lecz tym razem chce się z nią ożenić. Próbujecie temu zapobiec. Informacje, które macie o tym szatanie, powinny uchronić każdą porządną dziewczynę przy zdrowych zmysłach.

– Tego nie można o niej powiedzieć. Jest szaleńczo zakochana. Wie o nim wszystko i nie przejmuje się tym.

– O morderstwie też?

– Owszem.

– Na Boga! Musi mieć stalowe nerwy!

– Uważa, że są to tylko pomówienia.

– No to jej głupie oczy muszą ujrzeć dowody!

– Możemy liczyć na pani pomoc?

– Czyż sama nie jestem dowodem? Stanę przed nią i opowiem, jak mnie wykorzystał.

– Zrobi to pani?

– Czy zrobię? Nie mogłabym inaczej postąpić.

– Warto spróbować, choć on powiedział jej o wszystkich swoich występkach i uzyskał wybaczenie. Obawiam sie, że ta młoda dama nie zechce wrócić do tematu.

– Na pewno nie powiedział jej wszystkiego – rzekła. – Wiem o kilku innych morderstwach, które popełnił, zanim zrobiło się o nim głośno. Miał taki zwyczaj: opowiadał mi o kimś tym swoim aksamitnym głosem, a potem nagle wbijał we mnie nieruchomy wzrok i mówił: „Po miesiącu człowiek ten zginął”. To nie było czcze gadanie. Jednak nic sobie z tego nie robiłam, gdyż w owym czasie ja także go kochałam. Tak, jak ta biedaczka, godziłam się na wszystko, co robił. Ale jedna rzecz mną wstrząsnęła. Niech mnie! Gdyby nie jego jadowity kłamliwy język, który jest w stanie

wszystko wytłumaczyć i załagodzić, odeszłabym od niego już tamtej nocy. Chodzi o notatnik Grunera. To brązowa skórzana księga zamykana na kłódkę ze złotym herbem na okładce. Gdyby wtedy nie był pijany, pewnie by mi jej nie pokazał.

– Co w niej było?

– Mówię wam, ten człowiek kolekcjonuje kobiety i jest z tego dumny jak ludzie, którzy zbierają ćmy czy motyle. W notatniku było wszystko. Zdjęcia, nazwiska, wiele szczegółów dotyczących tych kobiet. Ohydna księga, czegoś takiego żaden człowiek, nawet taki, który wyszedł z rynsztoka, nie mógłby stworzyć. A jednak Adelbert Gruner tego dokonał. „Dusze, które doprowadziłem do upadku” – taki powinien być tytuł tej księgi. W każdym razie to nie ma znaczenia, bo notatnik i tak by się wam nie przydał, a gdyby nawet, i tak go nie zdobędziecie.

– A gdzie on jest?

– Skąd mam wiedzieć? Odeszłam od Grunera ponad rok temu. Wiem, gdzie wtedy go trzymał. Ten człowiek ma w sobie coś z kota, jest schludny i precyzyjny, może księga nadal leży w schowku w starym sekretarzyku, który znajduje się w małym gabinecie. Wie pan, gdzie on mieszka?

– Byłem nawet w jego gabinecie – odpowiedział Holmes.

– Doprawdy? Zaczął pan działać rano, a już tyle zrobił. Mam nadzieję, że drogi Adelbert trafił w końcu na godnego siebie przeciwnika. Jest jeszcze drugi gabinet. Tam między oknami stoi okazała szklana gablota, a w niej znajduje się chińska porcelana. Za biurkiem są drzwi, które prowadzą do małego gabinetu. To tam chowa wszystkie dokumenty.

– Nie obawia się włamywaczy?

– Adelbert nie jest tchórzem. Nawet jego największy wróg nie powiedziałby o nim tego. Potrafi o siebie zadbać. W nocy włącza alarm. Poza tym niczego ciekawego by tam nie znaleźli, chyba że zabraliby jego fantazyjną porcelanę.

– Na nic by się zdała – oznajmił Shinwell Johnson tonem znawcy. – Żaden paser nie zainteresuje się czymś, czego nie można przetopić lub sprzedać.

– Racja – powiedział Holmes. – Panno Winter, proszę zajrzeć do nas jutro o piątej po południu. W międzyczasie zorientuję się, czy można będzie zaaranżować spotkanie z tą młodą damą. Dziękuję za pomoc, jestem niezmiernie zobowiązany. Oczywiście, mój klient hojnie panią…

– Nie ma mowy, panie Holmes – krzyknęła dziewczyna. – Nie przyszłam tu po pieniądze. Widok tego człowieka pełzającego w błocie, i to z moim butem na jego przeklętej gębie, wynagrodzi mi wszystko. To moja cena. Przyjdę jutro i każdego innego dnia, dopóki będziecie go ścigać. Porky powie wam, gdzie można mnie znaleźć.

Spotkałem się z Holmesem dopiero następnego wieczora w restauracji przy Strand Street, gdzie zjedliśmy kolację. Wzruszył ramionami, gdy zapytałem o przebieg spotkania. Historię, którą opowiedział, powtórzę własnymi słowami. Jego suchy styl należy nieco przeredagować i dostosować do realiów.

– Bez żadnych problemów zaaranżowałem spotkanie – zaczął – gdyż panna de Merville w drobnych sprawach przejawia skrajne posłuszeństwo wobec swego ojca, próbując w ten sposób wynagrodzić mu ten skandaliczny wybryk, jakim okazały się zaręczyny. Generał zadzwonił, by poinformować, że wszystko jest gotowe, a wybuchowa panna W. pojawiła się zgodnie z planem. O pół do szóstej wysiedliśmy z dorożki przy Berkley Square 104, gdzie mieszka stary żołnierz. To jedna z tych okropnych szarych londyńskich kamienic, przy których nawet budowla, jaką jest kościół, wydaje się być finezyjna. Lokaj zaprowadził nas do okazałego salonu z żółtymi zasłonami, gdzie czekała już na nas poważna młoda dama, blada, powściągliwa i tak niedostępna, jak śnieg na szczytach gór.

– Nie wiem, jak ci to opisać, Watsonie – ciągnął mój przyjaciel. – Zanim zakończymy tę sprawę, być może sam poznasz Violet de Merville i wykorzystasz swój talent pisarski. Jest piękna, lecz to eteryczna uroda osoby opętanej. Widziałem takie twarze na płótnach średniowiecznych malarzy. Niewyobrażalne, jak ta bestia mogła chwycić w swoje szpony istotę jakby nie z tego świata. Jak widać, przeciwieństwa się przyciągają, duchowość łączy się z instynktami zwierzęcymi, człowiek pierwotny – z aniołem. Nie spotkałem się jeszcze z tak trudnym przypadkiem. Oczywiście, znała powód naszej wizyty. Zbrodniarz nie tracił czasu i skutecznie nastawił ją przeciwko nam. Wydaje mi się, że była zdziwiona obecnością panny Winter, jednak wskazała nam krzesła niczym wielebna matka przełożona przyjmująca dwoje trędowatych żebraków. Drogi Watsonie, nawet jeśli byłoby ci trudno to pojąć, posłuchaj jednak, co powiedziała panna Violet de Merville głosem zimnym niczym wiatr na lodowcu:

„Sir, wiem, kim pan jest. Przyszedł pan po to, aby oczernić mojego narzeczonego barona Grunera. Zgodziłam się na to spotkanie tylko ze względu na mojego ojca i z góry muszę pana ostrzec, że nie ma takiej rzeczy, która mogłaby zmienić moje zdanie”.

Było mi jej żal, Watsonie. Przez chwilę poczułem się tak, jakby była moją córką. Zwykle nie jestem elokwentny. Słucham rozumu, nie serca. Jednak tym razem próbowałem ją przekonać, używając wszystkich pokładów serdeczności, jakie we mnie drzemią. Nakreśliłem wizję kobiety, która znalazła się w okropnej sytuacji i budzi się obok nowo poślubionego męża, stając się obiektem pieszczot krwawych dłoni i lubieżnych ust. Niczego jej nie oszczędziłem: wstydu, strachu, agonii ani beznadziei sytuacji. Żadne z moich gwałtownych słów nie wywołało na jej obliczu nawet delikatnego rumieńca ani żadnych emocji w jej nieobecnych oczach. Przypomniałem sobie, jak ten złoczyńca napomykał o transie hipnotycznym. Trudno oprzeć się wrażeniu, że dziewczyna stąpa ponad ziemią w ekstatycznym śnie. Mimo to jej odpowiedzi były klarowne.

„Cierpliwie wysłuchałam pańskich argumentów – rzekła. – Moje stanowisko pozostaje bez zmian. Zdaję sobie sprawę, że Adelbert, mój narzeczony, ma za sobą burzliwą przeszłość, która budzi ogromną nienawiść i prowokuje niesprawiedliwe oszczerstwa. Nie jest pan pierwszy, który z tym do mnie przychodzi. Na pewno robicie to w dobrej wierze, wiem jednak, że jest pan prywatnym detektywem, który mógłby działać zarówno na rzecz barona, jak i przeciwko niemu. Bez względu na wszystko, proszę raz na zawsze przyjąć do wiadomości, że ja kocham jego, a on kocha mnie, dlatego opinia całego świata znaczy dla mnie tyle, co świergot ptaków za oknem. A jeśli nawet zboczył kiedyś z drogi, którą wyznacza mu szlachetność, może to właśnie ja mam go sprowadzić na nią z powrotem. Nie wiem tylko – tu rzuciła spojrzenie na moją towarzyszkę – kim jest ta kobieta”.

Już miałem odpowiedzieć, gdy dziewczyna wkroczyła do rozmowy niczym trąba powietrzna. Patrząc na te dwie kobiety, wyobraziłem sobie, że tak właśnie wyglądałoby zderzenie ognia i lodu.

„Powiem ci, kim jestem – krzyknęła, podrywając się z krzesła. Gniew wykrzywił jej twarz. – Byłam jego kochanką. Jestem jedną z setek kobiet, które omamił, wykorzystał, zniszczył i wyrzucił na śmietnisko. Ciebie też to czeka. Ale coś mi się zdaje, że ty skończysz raczej w grobie niż

na śmietniku; może to i lepiej. Powiem ci, głupia, że ten ślub oznacza twoją śmierć. Nie wiem, jak to się skończy: może złamie ci serce, a może skręci kark, tak czy siak zniszczy cię. Nie mówię tego dlatego, że mi na tobie zależy. Guzik mnie obchodzi, czy będziesz żyła, czy nie. Przemawia przeze mnie nienawiść i żądza zemsty za to, co uczynił mnie. To zawsze wygląda podobnie, i nie patrz tak na mnie, moja piękna pani, bo ani się obejrzysz, a spadniesz dużo niżej niż ja".

„Nie będę dyskutowała o takich sprawach – odparła panna de Merville obojętnie. – Po raz ostatni powtarzam, że wiem o trzech przypadkach z przeszłości mojego narzeczonego, kiedy to zadał się z podstępnymi kobietami. Zapewnił mnie, że szczerze żałuje, iż wyrządził tyle zła". „Trzy przypadki! – wrzasnęła moja towarzyszka. – Idiotka! Niewiarygodna głupota!".

„Panie Holmes, chciałabym już zakończyć tę rozmowę – usłyszałem lodowaty głos. – Spełniłam życzenie mojego ojca i spotkałam się z panem, jednak nie mam obowiązku wysłuchiwania bredni tej osoby".

Panna Winter z przekleństwami na ustach ruszyła do przodu, i gdybym nie chwycił jej za nadgarstek, złapałaby tę irytującą kobietę za włosy. Pociągnąłem ją w kierunku drzwi. Na szczęście, udało mi się wsadzić ją do powozu, unikając scen, bowiem wściekła była do granic możliwości. Choć byłem bardziej opanowany, również czułem złość. Było coś niezmiernie denerwującego w spokoju i wyniosłości kobiety, którą próbowaliśmy uratować, a którą cechowała wyjątkowa wiara we własne przekonanie. Teraz już wiesz, na czym stoimy. Wygląda na to, że muszę wymyślić nowy plan, bo ten podstęp się nie udał. Będziemy w kontakcie, Watsonie. Jestem pewien, że w tej historii odegrasz swoją rolę, choć najprawdopodobniej następny ruch będzie należał do nich naszych przeciwników, a nie do nas.

Tak też się stało. Zadali cios, ściślej rzecz biorąc, to baron go zadał, bo nigdy bym nie uwierzył, że panna Violet brała w tym udział. Mógłbym wskazać wam konkretny kamień chodnika, na którym stałem, gdy mój wzrok zatrzymał się na afiszu. Przerażenie ścisnęło moje serce. Miało to miejsce między hotelem Grand a stacją Charing Cross, gdzie kulawy kioskarz wykładał wieczorną gazetę. Minęły dwa dni od naszej ostatniej rozmowy. Czarny nagłówek na żółtym papierze głosił:

PRÓBA ZAMACHU NA SHERLOCKA HOLMESA

Przez kilka chwil stałem w całkowitym osłupieniu. Potem pamiętam jak przez mgłę, że porwałem gazetę mimo sprzeciwów sprzedawcy, któremu nie zapłaciłem, i że wreszcie, stojąc w drzwiach drogerii, przeczytałem ten nieszczęsny artykuł. Oto jego treść: Z żalem zawiadamiamy, że pan Sherlock Holmes, znany prywatny detektyw, padł dziś rano ofiarą okrutnej napaści, i obecnie jego życie wisi na włosku. Szczegóły zdarzenia nie są znane. Wiadomo jednak, że stało się to około godziny dwunastej na Regent Street przed kawiarnią „Cafe Royal". Pan Holmes został zaatakowany przez dwóch mężczyzn wyposażonych w kije. Zadano mu ciosy w głowę i tułów, powodując obrażenia, które lekarzy ocenili jako poważne. Rannego przewieziono najpierw do szpitala Charing Cross, ale ulegając jego namowom, przetransportowano następnie do domu przy Baker Street. Napastnicy to dwaj schludnie ubrani mężczyźni, którzy uciekli z miejsca zdarzenia przez „Cafe Royal" i zniknęli na jej tyłach, wybiegając na Glasshouse Street. Bez wątpienia pochodzili ze środowiska przestępczego, które nie raz ucierpiało z powodu pomysłowości wojującej z nim stale ofiary.

Ledwo zerknąłem na artykuł i już siedziałem w dorożce jadącej w kierunku Baker Street. W hallu natknąłem się na sir Leslie Oakshotta, sławnego chirurga. Przy krawężniku stał jego powóz.

– Nic mu nie grozi – stwierdził. – Dwie rany szarpane na czaszce i kilka dużych siniaków. Założyłem parę szwów i zaaplikowałem morfinę. Chory powinien odpoczywać, ale krótka rozmowa nie jest zabroniona.

Uzyskawszy zgodę, wślizgnąłem się do ciemnego pokoju. Poszkodowany nie spał i zachrypniętym głosem wyszeptał moje imię. Roleta była w trzech czwartych opuszczona, jednak promień słońca zdołał się przeniknąć do środka i padał na obandażowaną głowę rannego. Na opatrunku widniała plama krwi. Usiadłem obok i zwiesiłem głowę.

– Wszystko w porządku, Watsonie. Nie patrz takim przerażonym wzrokiem – wymamrotał słabym głosem. – Wygląda gorzej niż jest w rzeczywistości.

– Dzięki Bogu!

– Jak wiesz, jestem mistrzem w walce z jednym przeciwnikiem. Nigdy nie daję się zaskoczyć. Ale ten drugi… to było już za wiele.

– Jak mogę ci pomóc? Na pewno nasłał ich ten przeklęty typ. Powiedz tylko słowo, i go oszkaluję.

– Wierny przyjacielu! Nie możemy niczego zrobić, dopóki policja ich nie złapie. Ucieczka tych łotrów była precyzyjnie zaplanowana. Tego możemy

być pewni. Poczekajmy. Mam pewien plan. Po pierwsze, musimy wyolbrzymić doznane przeze mnie urazy. Na pewno zjawią się dziennikarze. Naciągnij prawdę, Watsonie. Powiedz, że to będzie cud, jeśli w stanie delirium przeżyję tydzień, wymyśl, co chcesz! Przecież ty świetnie sobie z tym poradzisz!

– A sir Leslie Oakshott?

– Zajmę się tym. Gdy przyjdzie następnym razem, będę w bardzo złym stanie.

– Coś jeszcze?

– Owszem. Niech Shinwell Johnson zadba o to, by panna Winter zniknęła. Te przyjemniaczki będą chciały ją dorwać. Wiedzą, że brała udział w tej sprawie. Jeśli odważyli się zaatakować mnie, o niej na pewno nie zapomną. To pilne. Załatw to jeszcze dziś.

– Zajmę się tym natychmiast. Coś jeszcze?

– Połóż tu na stole moją fajkę i woreczek z tytoniem. Zaglądaj do mnie każdego ranka, zaplanujemy działania.

Wieczorem ustaliłem z Johnsonem, że zawiezie pannę Winter w spokojne miejsce za miastem i dopilnuje, by nie wychylała się do czasu, gdy minie niebezpieczeństwo.

Przez sześć dni utrzymywano wszystkich w przekonaniu, że Holmes jest bliski śmierci. Komunikaty głosiły o jego ciężkim stanie, a w gazetach pełno było złowróżbnych informacji. Podczas kolejnych wizyt upewniałem się, że wcale nie było z nim tak źle. Jego mocny charakter i silna wola potrafiły zdziałać cuda. Szybko dochodził do siebie. Zacząłem nabierać podejrzeń, że nawet mnie nie przyznawał się do swego szybkiego powrotu do zdrowia. Miał dziwne skłonności do tajemnic, które często były brzemienne w skutki, i nawet ja, jego najbliższy przyjaciel, musiałem zgadywać, jakie ma plany. Popadał w skrajność, twierdząc, że spiskowiec może być bezpieczny jedynie wówczas, gdy spiskuje sam. Byłem mu bliższy niż ktokolwiek inny, a mimo to miałem świadomość, że są rzeczy, o których nie wiem.

Siódmego dnia można było już zdjąć szwy, ale w wieczornej gazecie ukazała się wzmianka o pojawieniu się u chorego objawów róży. W tym samym wydaniu znalazłem informację, którą bez względu na wszystko byłem zmuszony przekazać mojemu przyjacielowi. W notatce było napisane, że jednym z pasażerów „Ruritanii”, statku brytyjskich linii

Cunard wypływającego w piątek z Liverpoolu, będzie baron Adelbert Gruner, który wyrusza w podróż do Stanów Zjednoczonych w sprawach finansowych, które ma zamiar załatwić przed ślubem z panną Violet de Merville, jedyną córką… itd. Holmes wysłuchał wiadomości z chłodnym skupionym wyrazem twarzy, co utwierdziło mnie w przekonaniu, że ta nowina nim wstrząsnęła.

– Piątek! – krzyknął. – To już za trzy dni! Ten łotr chce umknąć przed niebezpieczeństwem. Nie uda mu się to, Watsonie! Niech to wszyscy diabli! Nie uda mu się! Zrób coś dla mnie, proszę.

– Jestem do twojej dyspozycji, Holmesie.

– Całą następną dobę poświęć studiowaniu wiadomości na temat chińskiej porcelany.

Nie wyjaśnił po co mam to robić, a ja nie zapytałem. Wieloletnie doświadczenie nauczyło mnie posłuszeństwa. Jednak gdy opuściłem jego pokój i poszedłem wzdłuż Baker Street, zacząłem się zastanawiać, jak u licha mam spełnić tę dziwną prośbę. W końcu pojechałem do biblioteki przy St. James Square, gdzie poprosiłem o pomoc mojego przyjaciela Lomaxa, asystenta bibliotekarza. Następnie z ciężką księgą pod ręką udałem się do siebie do domu.

Powszechnie wiadomo, że adwokat, który nabija głowę informacjami z akt sprawy, by w poniedziałek móc przesłuchać specjalistę w danej dziedzinie, zapomina przed sobotą całą pośpiesznie zdobytą wiedzę.

Z całą pewnością nie chciałem pretendować do miana autorytetu w dziedzinie porcelany. A jednak spędziłem cały wieczór, całą noc i następny poranek, pochłaniając wiedzę i zapamiętując nazwiska. Miałem jedynie krótką przerwę na odpoczynek. Przyswoiłem cechy wyróżniające style wielkich artystów, nauczyłem się tajemnicy zapisywania dat według kalendarza cyklicznego, poznałem wzory porcelany za panowania cesarza Hongwu i piękne dzieła z czasów Yongle, twórczość Tang-ying i wspaniałości prymitywizmu z okresu panowania dynastii Song i Yuan. Następnego wieczora, naszpikowany informacjami, udałem się do Holmesa. Już nie leżał w łóżku, choć sugerując się wiadomościami z gazet, ciężko było w to uwierzyć, tylko siedział wygodnie w swoim ulubionym fotelu, podtrzymując zabandażowaną głowę.

– Jeśli wierzyć gazetom – powiedziałem – jesteś umierający.

– Chciałem, by tak myślano – odpowiedział. – Watsonie, czy odrobiłeś pracę domową?

– Przynajmniej się starałem.

– Dobrze. Jesteś w stanie prowadzić interesującą rozmowę na temat porcelany?

– Sądzę, że tak.

– Podaj mi, proszę, małe pudełko, które leży na kominku.

Uczyniłem to. Podniósł wieczko i wyjął niewielki przedmiot, szczelnie owinięty w delikatny wschodni jedwab. W zawiniątku byl kruchy spodeczek o pięknym głębokim odcieniu błękitu.

– Trzeba się z nim obchodzić delikatnie, Watsonie. To jest oryginalna porcelana z okresu dynastii Ming. W domu aukcyjnym Christie nigdy nie było nic piękniejszego. Za cały komplet zapłaciłbyś tyle, ile za królestwo, choć wątpię, czy gdziekolwiek poza pałacem cesarskim w Pekinie znajduje się taka kolekcja. Widok tego cudeńka nie jednego znawcę doprowadziłby do szaleństwa.

– Co mam z tym zrobić?

Holmes wręczył mi wizytówkę, na której widniał napis: „Dr Hill Barton, 369 Half Moon Street”.

– Dziś wieczorem będziesz nosił to nazwisko. Spotkasz się z baronem Grunerem. Poznałem jego zwyczaje i wiem, że o pół do dziewiątej będzie prawdopodobnie już wolny. Wcześniej wyślemy bilecik, w którym zapowiesz swoją wizytę. Napiszesz, że przyniesiesz okaz z absolutnie unikatowego kompletu porcelany z okresu dynastii Ming. Możesz powiedzieć, że parasz się medycyną, ponieważ tę rolę możesz zagrać bez obłudy. Jesteś kolekcjonerem i posiadasz komplet spodeczków, słyszałeś o zamiłowaniu barona do porcelany i nie pogardzisz odpowiednią ceną.

– Jaką?

– Dobre pytanie, Watsonie. Z całą pewnością zostałbyś zdemaskowany, nie znając wartości własnego towaru. Ten spodeczek dostałem od sir Jamesa, który, jak rozumiem, otrzymaał go od swojego klienta. Nie będzie przesadą, jeśli powiesz, że nie ma na świecie drugiego takiego kompletu.

– Może zasugeruję, by specjalista przeprowadził wycenę?

– Doskonale, Watsonie! Jesteś dziś w świetnej formie. Zaproponuj jeden z domów aukcyjnych, Christie albo Sotheby’s. Powiedz, że twój takt nie pozwala ci, byś sam określił cenę.

– A co, jeśli się nie zgodzi na spotkanie?

– Zgodzi się. Opanowała go kolekcjonerska mania, zwłaszcza jeśli chodzi o temat, w którym jest niekwestionowanym autorytetem. Usiądź, przyjacielu, podyktuję ci treść liściku. Odpowiedź nie będzie potrzebna. Poinformujesz go tylko o powodzie swej wizyty.

Było to zgrabnie napisane pismo, krótkie, uprzejme i dla kolekcjonera z pewnością intrygujące. Natychmiast wysłaliśmy je przez posłańca. Wieczorem wyruszyłem na spotkanie ze swoją przygodą. W dłoni miałem cenny spodeczek, a w kieszeni – wizytówkę dr. Hilla Bartona.

Wspaniały dom i przylegające tereny potwierdziły słowa sir Jamesa, który utrzymywał, że baron Gruner jest człowiekiem zamożnym. Kręty podjazd, obsadzony po dwóch stronach niespotykanymi krzewami, prowadził do sporego placyku wysypanego żwirem, gdzie stały posągi. Pałacyk postawił południowoafrykański potentat, który dorobił się na złocie w czasach ożywienia gospodarczego. Choć długi i niski budynek z wieżyczkami i zakamarkami był sam w sobie architektonicznym straszydłem, to imponował masywnością. Kamerdyner, którego nie powstydziłby się żaden sąd, poprowadził mnie do elegancko odzianego lokaja, a ten z kolei wskazał mi pokój, w którym czekał baron.

Stał przy otwartych drzwiczkach okazałej gabloty znajdującej się między oknami, w której mieściła się część jego kolekcji. Gdy wszedłem, odwrócił się, trzymając w dłoniach mały brązowy wazonik.

„Proszę usiąść, doktorze – powiedział. – Przyglądałem się swoim skarbom, zastanawiając się, czy stać mnie na powiększenie zbioru. Ten niewielki okaz z czasów dynastii Tang pochodzący z XVII wieku powinien pana zainteresować. Jestem przekonany, że nigdy wcześniej nie widział pan tak starannego wykonania i pięknego szkliwa. Czy wziął pan ze sobą spodeczek z okresu dynastii Ming?”.

Rozpakowałem go ostrożnie i wręczyłem gospodarzowi. Usiadł przy biurku. Ponieważ powoli zapadał zmierzch, przyciągnął do siebie lampkę i zaczął bacznie przyglądać się cacku. Żółte światło padało mu na twarz, dzięki czemu z łatwością mogłem się jej przyjrzeć.

Rzeczywiście, był nadzwyczaj przystojnym mężczyzną. Panująca w Europie opinia o jego niezwykłej urodzie była całkowicie uzasadniona. Jeśli chodzi o posturę, był średniego wzrostu, ale miał postawę pełną ekspresji i gracji. Śniada, wręcz orientalna twarz, duże, ciemne rozmarzone

oczy – tym wszystkim z łatwością mógł czarować kobiety. Miał kruczoczarne włosy i krótkie, ostro zakończone i precyzyjnie nawoskowane wąsy. Rysy jego twarzy były regularne i łagodne, wyjątek stanowiły proste cienkie wargi. Jeśli kiedykolwiek widziałem usta mordercy, to właśnie wtedy – głębokie, okrutne nacięcie w twarzy, ściśnięte i przerażające. Postąpił nierozsądnie, przycinając wąsy i odsłaniając w ten sposób usta, ponieważ są one znakiem ostrzegawczym, który sama natura wysyła wszystkim jego ofiarom. Głos miał przyjemny, a maniery nienaganne. Jeśli chodzi o wiek, wyglądał na nieco ponad trzydzieści lat, choć naprawdę, jak się później okazało, miał czterdzieści dwa lata.

„W rzeczy samej piękny! – powiedział w końcu. – Mówi pan, że jest ich sześć w komplecie? Zastanawiam się, jak to możliwe, że nie słyszałem o takich imponujących okazach. Wiem tylko o jednej sztuce, która znajduje się w Anglii i na pewno nie jest w obiegu. Nie chciałbym być nietaktowny, doktorze Barton, ale ciekawi mnie, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie kompletu?”.

„Czy to ma jakieś znaczenie? – Starałem się, by pytanie zabrzmiało tak, jakby było zadane od niechcenia. – Widzi pan przecież, że to oryginalna porcelana, a jeśli chodzi o jej wartość, jestem skłonny poprosić o wycenę specjalistę”.

„Bardzo pan tajemniczy – odparł, łypiąc podejrzliwie ciemnymi oczami. – Przy transakcjach, dotyczących wartościowych przedmiotów, naturalnym jest, że człowiek chce znać jak najwięcej szczegółów. Jestem pewien, że to oryginał. Nie mam co do tego wątpliwości, ale muszę wziąć pod uwagę każdą ewentualność: załóżmy, że nie był pan upoważniony do sprzedaży”.

„Gwarantuję, że nikt nie będzie rościł praw do tego przedmiotu” – powiedziałem. „Muszę wiedzieć, ile warta jest pańska gwarancja” – brzmiała odpowiedź. „To już pytanie do moich bankierów” – nie dawałem za wygraną. „Racja. Wydaje mi się jednak, że to dość nietypowa transakcja” – nie ustępował baron. „ Może pan dobić targu albo tego nie robić – odpowiedziałem obojętnie. – Panu pierwszemu składam ofertę, bo wiem, że jest on znawcą tematu, ale z łatwością znajdę innych nabywców”. „Skąd pan wie, że jestem znawcą?” – zapytał baron. „Wiem, że napisał pan książkę o porcelanie” – odpowiedziałem. „Czytał ją pan?” – chciał wiedzieć mój rozmówca. „Nie”. „Coraz trudniej zrozumieć mi zaistniałą sytuację. Jest pan znawcą tematu i kolekcjonerem, a w pańskim

zbiorze znajdują się niezwykle wartościowe okazy, tymczasem nie zadał pan sobie trudu, żeby zaznajomić się z książką, z której dowiedziałby się, jaka jest waga i wartość tego, co pan posiada. Może pan to wyjaśnić?" – zapytał Gruner. „Jestem bardzo zajęty. Mam praktykę lekarską" – odpowiedziałem. „To nie ma znaczenia – nie ustępował baron. – Jeśli mężczyzna ma jakieś zainteresowania, to poświęca na nie czas bez względu na inne obowiązki. W bileciku napisał pan, ze jest znawcą". „Zgadza się" – potwierdziłem. „Czy mogę przeprowadzić test? – Gruner był bardzo nieufny. – Muszę panu powiedzieć, doktorze, jeśli faktycznie pan nim jest, że ta sprawa staje się coraz bardziej podejrzana. Chciałbym sprawdzić, co pan wie o cesarzu Shōmu i jaki miał on związek ze skarbcem Shōsōin niedaleko Nara? Jest pan zaskoczony? Proszę mi opowiedzieć o północnej dynastii Wei i jej miejscu w historii ceramiki".

Poderwałem się z krzesła, symulując gniew.

„To jest nie do przyjęcia! – wykrzyknąłem. – Przyszedłem tu, żeby oddać panu przysługę, a nie po to, by mnie egzaminowano jak uczniaka. Moja wiedza na ten temat może ustąpić jedynie pańskiej wiedzy, ale z całą pewnością nie zamierzam odpowiadać na pytania zadane w tak obraźliwy sposób".

Spojrzał na mnie ze spokojem. W jego oczach nie było już rozmarzenia. Patrzył ze złością. Pomiędzy srogimi wargami błysnęły zęby: „Co to za gra? Jest pan szpiegiem. Wysłannikiem Holmesa. Zaplanowaliście podstęp. Podobno jest umierający, wysyła zatem swojego człowieka, by miał mnie na oku. Wszedł pan tu bez zaproszenia i, na Boga, zaraz się pan przekona, że wyjście będzie o wiele trudniejsze".

Stanął na równe nogi, więc cofnąłem się o krok, przygotowując się do odparcia ataku, widziałem, że gotował się z wściekłości. Prawdopodobnie, od początku mnie podejrzewał, a jego pytania upewniły go, że miał rację. Było jasne, że go nie oszukam. Włożył rękę do bocznej szuflady i zaczął ją gwałtownie przetrząsać. Musiał coś usłyszeć, bo nagle znieruchomiał i zaczął nasłuchiwać.

„Ach tak!" – krzyknął i wbiegł do pokoju, który znajdował się za nim.

Dwa kroki dzieliły mnie od otwartych drzwi, a scena, którą ujrzałem, będę pamiętał do końca życia. Okno z widokiem na ogród było szeroko otwarte. Obok niego stał, niczym straszliwy duch, Sherlock Holmes. Głowę miał owiniętą krwawymi bandażami, jego twarz była wychudzona i blada.

W mgnieniu oka wyskoczył przez okno, usłyszałem, jak spadł na krzaki wawrzynu. Gospodarz domu, rycząc ze złości, rzucił się w kierunku okna.

To, co się wydarzyło, trwało sekundy, a jednak wyraźnie to widziałem. Ręka – kobieca ręka – wyłoniła się spośród liści. W tym samym momencie baron wydał z siebie potworny krzyk, który będzie mi towarzyszył do końca dni. Mężczyzna przycisnął do twarzy dłonie i zaczął biegać dookoła pokoju, gwałtownie uderzając głową o ściany. Potem upadł na dywan i zaczął turlać się i wierzgać, a jego wrzask roznosił się po całym domu.

– Wody! Na litość boską, wody! – krzyczał.

Chwyciłem karafkę ze stoliczka i ruszyłem na pomoc. W tej samej chwili do pokoju wbiegli kamerdyner i lokaje. Pamiętam, że jeden z nich zemdlał, gdy, uklęknąwszy przy rannym, obróciłem jego potworną twarz w stronę lampy. Przeżerał ją kwas siarkowy. Wyciekał z uszu i kapał z brody. Jedno oko zachodziło bielmem i stawało się szkliste, drugie było czerwone i zaognione. Rysy, które podziwiałem kilka chwil wcześniej, teraz przypominały piękny obraz, po którym artysta przejechał mokrą, cuchnącą gąbką. Twarz była rozmazana, pozbawiona kolorów, nieludzka i straszna.

W kilku słowach opowiedziałem zebranym przebieg zdarzeń, oczywiście, tych dotyczących ataku kwasem siarkowym. Ktoś wdrapał się na okno, inni wybiegli na trawnik, ale było ciemno, i zaczynało padać. Krzycząc, ofiara piekliła się i wygrażała swemu oprawcy: „To ta czarownica, Kitty Winter! Diablica! Zapłaci mi za to. Zapłaci! Na Boga, ten ból jest nie do zniesienia!”.

Przemyłem mu twarz olejem rycynowym, położyłem opatrunek na otwarte rany i zaaplikowałem zastrzyk morfiny. Wszystkie podejrzenia, które miał względem mnie, zniknęły w wyniku szoku, uczepił się moich dłoni, wydawało mu się, że mam moc, dzięki której rozjaśnię te jego zimne, nieobecne oczy. Wzruszyłbym się jego losem, gdyby nie pamięć o niegodziwym życiu, które doprowadziło do tego ohydnego przeobrażenia. Towarzyszyło mi odpychające uczucie, gdy wbijał sie we mnie rozpalonymi rękami, dlatego odczułem ulgę, kiedy lekarz rodziny wraz ze specjalistą uwolnili mnie od tego przykrego obowiązku. Przyjechał inspektor policji, któremu wręczyłem moją prawdziwą wizytówkę. Postąpiłbym głupio i bezmyślnie, zachowując się inaczej, gdyż na posterunku byłem równie

znany jak Holmes. Opuściłem ten ponury straszny dom. Po godzinie zjawiłem się na Baker Street.

Holmes siedział w swym ulubionym fotelu. Był blady i wyglądał na wycieńczonego. Wydarzenia tego wieczora nadwyrężyły nawet jego stalowe nerwy, kiedy przysłuchiwał się z przerażeniem moim opowieściom o strasznym przeobrażeniu barona.– To kara za grzechy, Watsonie, kara za grzechy! – rzekł. – Prędzej czy później dosięga każdego grzesznika. A baron ma wiele na sumieniu – dodał, biorąc ze stolika brązową księgę. – O tym notatniku mówiła dziewczyna. Jeżeli dzięki niemu ślub nie zostanie odwołany, to nic już nie pomoże. Ale, mój przyjacielu, uda się, powinno się udać. Żadna szanująca się kobieta nie zniosłaby czegoś takiego.

– To jego miłosny pamiętnik?

– Raczej lubieżny. Jak zwał tak zwał. Gdy panna Winter powiedziała nam o notesie, wiedziałem już, że mielibyśmy w rękach potężną broń, gdyby udało nam się go zdobyć. Nie wypowiedziałem na głos swoich myśli, obawiając się, że nie utrzymałbyś języka za zębami. Długo o tym myślałem. Napaść na mnie pozwoliła baronowi myśleć, że nie musi się mnie obawiać. Wyszło mi to zatem na dobre. Poczekałbym nieco dłużej, ale jego wyjazd do Ameryki zmusił mnie do działania. Nie zostawiłby przecież dokumentów, które naraziłyby jego reputacje na szwank. Zatem musiałem działać od razu. Włamanie w nocy nie wchodziło w rachubę. Jest przygotowany na taką ewentualność. Mogłem to zrobić jedynie wieczorem, upewniając się, że jego uwaga będzie odwrócona. Potrzebowałem więc ciebie i niebieskiego spodeczka. Musiałem się jednak dowiedzieć, gdzie dokładnie znajduje się notatnik, bo zdawałem sobie sprawę, że będę miał tylko kilka minut, bo mój czas ograniczała twoja wiedza na temat chińskiej porcelany. W ostatniej chwili pojechałem po pannę Winter. Skąd mogłem wiedzieć, co kryło się w małej paczuszce, którą kurczowo trzymała pod płaszczem? Myślałem, że przyszła tam w naszej sprawie, a okazało się, że chciała załatwić swoją.

– Domyślił się, że to ty mnie wysłałeś.

– Tego się obawiałem. Na szczęście, zająłeś go na tyle długo, że udało mi się wykraść notatnik, ale już nie miałem czasu, żeby uciec niepostrzeżenie. Sir James! Cieszę się że pan przyszedł!

Nasz wytworny przyjaciel uważnie wysłuchał opowieści Holmesa o wcześniejszych wydarzeniach.

– Zdziałał pan cuda! – krzyknął, wysłuchawszy całej historii. – Jeśli jednak jego obrażenia są faktycznie tak odrażające, jak twierdzi doktor Watson, to cel, jakim było odwołanie ślubu, osiągniemy nawet bez tej straszliwej księgi.

Holmes potrząsnął głową.

– Kobiety pokroju Violet de Merville nie postępują w ten sposób. Okaleczonego męczennika pokocha jeszcze mocniej. Nie fizyczną powłokę musimy zniszczyć, lecz obnażyć jego moralność. Ta księga sprowadzi ją na ziemię, nic innego tego nie dokona. To jest jego pismo. Nie przejdzie obok niego obojętnie.

Nasz gość zabrał księgę i drogocenny spodeczek. Byłem już spóźniony, więc wyszedłem na ulicę razem z nim. Jego powóz czekał. Mężczyzna wskoczył do środka i rzucił pośpiesznie rozkaz wystrojonemu stangretowi, który prędko odjechał. Sir James przełożył przez okno połę swego palta, by zasłonić tarczę herbową, widniejącą z boku pojazdu, niemniej jednak zdążyłem ujrzeć ją w jasnym świetle padającym przez szybę okienka nad drzwiami wejściowymi do domu. Z zaskoczenia zaparło mi dech. Odwróciłem się i pognałem po schodach do pokoju Holmesa.

– Wiem, kim jest nasz klient – z zapałem ogłosiłem moje odkrycie. – Jest nim…

– Lojalny przyjaciel i prawdziwy dżentelmen – powiedział Holmes, powstrzymując mnie uniesioną dłonią. Na teraz i na zawsze to wszystko, co powinniśmy wiedzieć.

Nie wiem, w jaki sposób wykorzystano obciążający notatnik. Możliwe, że zajął się tym sir James. Choć najprawdopodobniej tak delikatne zadanie powierzono ojcu młodej damy. W każdym razie upragniony cel został osiągnięty.

Trzy dni później w dzienniku „Morning Post” pojawiła się wzmianka o odwołaniu ślubu barona Adelberta Grunera i panny Violet de Merville. W tejże gazecie pisano o pierwszym policyjnym przesłuchaniu w sprawie przeciwko pannie Kitty Winter, oskarżonej o spowodowanie obrażeń ciała kwasem siarkowym. W trakcie procesu pojawiły się jednak pewne okoliczności łagodzące, dzięki którym wyrok przeszedł do historii jako najłagodniejszy z możliwych za przestępstwo tej kategorii. Sherlockowi Holmesowi groziło oskarżenie o włamanie, okazało się jednak, że gdy winny jest dobrym człowiekiem, a jego klient jest wystarczająco

znamienity, to nawet sztywne brytyjskie prawo staje się bardziej ludzkie i elastyczne. Mój przyjaciel nie zasiadł na ławie oskarżonych.

Opowieść druga

Żołnierz o bladym obliczu

Mój przyjaciel Watson rzadko wpada na jakiś pomysł, ale gdy już tak się stanie, upor-czywie stara się mnie do niego przekonać. Od dłuższego czasu namawia mnie, bym to ja opisał jedną ze swoich spraw. Prawdopodobnie sam jestem sobie winien, gdyż często wytykałem mu, że jego relacje są powierzchowne, i oskarżałem go o skłonność do schlebiania gustom czytelników zamiast tego, żeby ściśle trzymać się faktów i liczb. „Sam spróbuj, Holmesie!” – ripostował.

Muszę przyznać, że gdy wziąłem do ręki pióro, dopiero uświadomiłem sobie, że sprawę należy przedstawiać w sposób, który zainteresuje czytelnika. Jestem pewien, że tym razem uda mi się to uczynić, gdyż jest to jedno z najdziwniejszych wydarzeń w mojej karierze; próżno szukać go w zbiorze Watsona. W ogóle jeżeli chodzi o mojego starego przyjaciela i biografa, wykorzystam okazję, by nadmienić, że jeśli zgadzam się na to, aby towarzyszył mi w różnorodnych dochodzeniach, to powodem z całą pewnością nie są sentymenty ani zachcianki, tylko fakt, iż Watson posiada pewne wyjątkowe cechy, do których, będąc człowiekiem skromnym, nie przykłada wagi, skupiając się na wyolbrzymianiu moich zasług. Wspólnik, który potrafi przewidzieć twoje wszystkie działania i wnioski, jest niebezpieczny, za to taki, dla którego każde rozwiązanie jest zaskoczeniem, a przyszłość jest jak zamknięta księga, jest w rzeczy samej idealnym pomocnikiem.

Jak wynika z zapisków w moim notesie, pan James M. Dodd odwiedził mnie w styczniu 1903 roku, tuż po zakończeniu wojny burskiej. Był to wysoki, krzepki, spalony słońcem, dobrze zbudowany Brytyjczyk. W owym czasie Watson opuścił mnie i zamieszkał ze swoją żoną.

Przyznaję, że był to z jego strony jedyny egoistyczny czyn w trakcie całej naszej współpracy. Zostałem sam.

Mam zwyczaj siadać plecami do okna, moich gości natomiast zawsze usadzam na krzesłach stojących naprzeciw mnie, tak, żeby na twarze padało światło. Pan James M. Dodd wyglądał na zagubionego i nie wiedział, od czego ma zacząć rozmowę. Nie próbowałem mu pomóc, bo gdy on milczał, ja mogłem go obserwować. Uważałem, że dobrze jest zaimponować klientom moimi umiejętnościami, więc podzieliłem się z nim spostrzeżeniami.

– Jak mniemam, był pan w Afryce Południowej.

– Zgadza się, sir – odpowiedział zaskoczony.

– Służył pan w oddziale Imperial Yeomenry, tak?

– Nie inaczej.

– Zapewne w korpusie Middlesex.

– Owszem. Pan jest chyba czarownikiem, panie Holmes.

Uśmiechnąłem się na widok jego zdezorientowanej miny.

– Kiedy do mojego salonu wchodzi krzepki dżentelmen, którego twarz jest tak mocno opalona, iż nie ma wątpliwości, że angielskie słońce nie miało z tym nic wspólnego, i który trzyma chustkę w rękawie, a nie w kieszeni, to nietrudno zgadnąć, skąd pan pochodzi i czym się zajmuje. Pańska broda jest krótko przystrzyżona, co wskazuje na to, że nie jest pan zwykłym żołnierzem, tylko kawalerzystą. Z pańskiej wizytówki wynika, że jest pan maklerem giełdowym z Throgmorton Street, dlatego wymieniłem Middlesex; do tego pułku zaciągnęło się wielu pańskich kolegów.

– Pan widzi wszystko.

– Nie więcej niż pan, ale nauczyłem się wyciągać z tego wnioski. Jednak przyszedł pan do mnie dziś rano, panie Dodd, nie po to, żeby dyskutować o sztuce obserwacji. – Co słychać w Tuxbury Old Park?

– Panie Holmes!

– Szanowny panie, to żadna tajemnica. Bilecik został wysłany stamtąd, a jako że zależało panu na szybkim spotkaniu, oczywistym jest, iż wydarzyło się coś istotnego i niespodziewanego.

– To prawda. Napisałem do pana po południu, ale od tego czasu wiele się wydarzyło. Gdyby tylko pułkownik Emsworth mnie nie wyrzucił…

– Niby dlaczego miałby to zrobić?

– Tak się to właśnie wszystko potoczyło. Twarda sztuka z tego pułkownika. W swoim czasie był największym służbistą w armii, a tego dnia nie przebieraliśmy w słowach. Nigdy bym nie zaatakował pułkownika, gdyby nie chodziło o Godfreya.

Zapaliłem fajkę i rozsiadłem się na krześle.

– Proszę mi wyjaśnić, co pan ma na myśli.

Mój klient uśmiechnął się łobuzersko.

– Zacząłem już podejrzewać, że pan wie wszystko i nie potrzebuje żadnych wyjaśnień – odparł. – Przedstawię fakty i mam nadzieję, że pan je zinterpretuje właściwie. Całą noc nie spałem, zastanawiając sie nad tą sytuacją, i im więcej myślałem, tym bardziej wydawała się nieprawdopodobna. Gdy w styczniu 1901 roku, czyli dwa lata temu, zaciągnąłem się do wojska, młody Godfrey Emsworth dołączył do tego samego szwadronu. Był jedynym synem pułkownika Emswortha, który został uhonorowany Krzyżem Wiktorii za zasługi w wojnie krymskiej; w żyłach Godfreya płynęła krew wojownika, nic więc dziwnego, że zaciągnął się na ochotnika. W całym pułku nie było szlachetniejszego młodzieńca. Między nami zawiązała się taka przyjaźń, jaka jest możliwa tylko między ludźmi, prowadzącymi podobny tryb życia, dzielącymi te same radości i smutki. Był moim kumplem, a to w wojsku wiele znaczy. Czasem bywało ciężko, innym razem znośnie, ale udało nam się przetrwać rok na froncie. Pewnego dnia Godfrey został postrzelony podczas akcji niedaleko Diamentowego wzgórza poza granicami Pretorii. Jeden list przyszedł ze szpitala w Kapsztadzie, a drugi z Southampton. Od tamtego czasu, a minęło już sześć miesięcy, nie napisał już ani jednego słowa, panie Holmes, on, mój najlepszy kumpel. Gdy wojna dobiegła końca i wszyscy wrócili, napisałem do jego ojca, żeby się zapytać, gdzie jest Godfrey. Nie dostałem odpowiedzi. Po jakimś czasie napisałem ponownie. Tym razem otrzymałem krótki i niezbyt uprzejmy list: „Godfrey wyruszył w podróż dookoła świata i zapewne nie wróci wcześniej niż za rok”. To wszystko. Taka odpowiedź nie usatysfakcjonowała mnie, panie Holmes. Cała sytuacja wydawała się dziwna. Mój przyjaciel był porządnym chłopakiem, który nie potraktowałby kumpla w taki sposób. To nie było w jego stylu. Wiedziałem skądinąd, że odziedziczył pokaźny majątek, a jego stosunki z ojcem nie zawsze bywały poprawne. Stary Emsworth często zachowywał się jak tyran, a jego syn miał zbyt silny charakter, by to znosić. Jak już

powiedziałem, wiadomość zawarta w liście nie zadowoliła mnie, więc postanowiłem dotrzeć do sedna sprawy. Okazało się jednak, że po dwuletniej nieobecności w kraju musiałem załatwić wiele osobistych spraw, w związku z czym powróciłem do sprawy dopiero w tym tygodniu. Postanowiłem, że poświęcę się bez reszty rozwiązaniu tej zagadki.

Pan James Dodd wyglądał na człowieka, w którym lepiej mieć przyjaciela niż wroga. Spojrzenie jego niebieskich oczu było twarde, a kwadratowa szczęka znamionowała zdecydowany charakter.

– I co pan uczynił? – zapytałem.

– Najpierw złożyłem wizytę w jego domu w Tuxbury Old Park niedaleko Bredford, by na własne oczy przekonać się, jak się sprawy mają. W tym celu przypuściłem atak frontalny – zwróciłem się z listem do matki Godfreya, bo miałem już powyżej uszu jego zrzędliwego ojca. Napisałem, że Godfrey był moim kompanem z wojska, że znam wiele faktów z naszych wspólnych dziejów, a ponieważ będę akurat w okolicy, zapytałem, czy nie miałaby nic przeciwko mojej wizycie. Otrzymałem miłą odpowiedź i propozycję zostania na noc. Wyruszyłem w poniedziałek. Dostać się tam trudno. W promieniu pięciu mil od Tuxbury Old Hall nie kursuje komunikacja publiczna. Na stacji nie było ani jednego konnego powozu, musiałem zatem pójść pieszo, niosąc w ręku walizkę. Gdy dotarłem na miejsce, było już ciemno. Okazała posiadłość, położona w środku wielkiego parku, prezentowała mieszankę stylów, a źródło inspiracji architekt czerpał z różnych epok. Fasadę stanowił mur pruski z czasów elżbietańskich, wykończony wiktoriańskimi portykami. W środku królowały boazeria i gobeliny; gdzieniegdzie widać było stare przykurzone obrazy; dom, pełen cieni, ukrywał niejedną tajemnicę. Wydawało się, że kamerdyner, stary Ralph, miał tyle samo lat co budynek, a jego żona mogła mieć nawet więcej. Była niańką Godfreya. Nieraz mój przyjaciel mówił z czułością, że jest dla niego jak druga matka, dlatego mimo jej dziwnego wyglądu czułem do niej sympatię. Matkę Godfreya również polubiłem – była skromną, szarą myszką. Nie spodobał mi się natomiast pułkownik.

Zaraz po moim przybyciu posprzeczaliśmy się i wtedy powinienem był wrócić na stację, ale pomyślałem, że być może właśnie na tym mu zależało. Zaprowadzono mnie do gabinetu. Zobaczyłem przygarbionego, potężnego człowieka, który siedział za zawalonym papierami biurkiem. Miał ciemnoszarą cerę i siwą brodę. Jego nos upstrzony był czerwonymi żyłkami

i sterczał niczym dziób sępa, a dwoje szarych oczu groźnie spoglądało na mnie spod krzaczastych brwi. Zrozumiałem, dlaczego Godfrey tak rzadko wspominał o ojcu. „Cóż – zachrypiał pułkownik – interesuje mnie prawdziwy powód pańskiej wizyty". Powiedziałem, że wyjaśniłem wszystko w liście wysłanym do jego żony. „Tak, tak, podobno poznaliście się z Godfreyem w Afryce. Pana słowa są na to jedynym dowodem". „W kieszeni mam listy, które do mnie wysyłał" – odpowiedziałem. „Pozwoli pan, że je obejrzę?". Zerknął na papiery, które mu podałem, i rzucił je w moją stronę. „I co teraz?" – zapytał. „Bardzo lubiłem pańskiego syna. Wiele razem przeżyliśmy. Martwię się jego nagłym milczeniem, to nie jest naturalne, chciałbym się dowiedzieć, czym jest spowodowane". „Pamiętam, korespondowaliśmy ze sobą, napisałem panu o tym, co się z nim dzieje. Wyruszył w podróż dookoła świata. Po wydarzeniach w Afryce mój syn podupadł na zdrowiu i oboje z jego matką doszliśmy do wniosku, że przyda mu się odpoczynek i zmiana otoczenia. Uprzejmie proszę o przekazanie tej informacji innym kolegom, których może to zainteresować". „Oczywiście – odpowiedziałem. – Ale czy zechciałby pan wyświadczyć mi uprzejmość i podać nazwy linii morskiej i parowca, którym Godfrey podróżuje, a także datę wyjazdu. Wówczas będę mógł wysłać do niego list". Gospodarz był wyraźnie zakłopotany i zirytowany moją prośbą. Nachmurzył czoło, a palce nerwowo zastukały o blat stołu. W końcu podniósł wzrok; na twarzy malował się wyraz, jaki pojawia się u szachisty, który zagrożony uprzednim ruchem przeciwnika, właśnie obmyślił, jak go pokonać. „Panie Dodd – powiedział – wielu ludzi oburzyłby pański przeklęty upór, który w tej chwili urasta do rangi wyjątkowej impertynencji". „Proszę złożyć to na karb mojego emocjonalnego stosunku do pańskiego syna". „Owszem. Wziąłem to pod uwagę. Proszę jednak, by przestał pan wypytywać. Każda rodzina ma swoje prywatne sprawy i powody, żeby nie ujawniać tego obcym, jakkolwiek dobre intencje by mieli. Moja żona z niecierpliwością czeka na opowieści związane z przeszłością Godfreya, i to może pan dla niej zrobić, jednak proszę, by teraźniejszość i przyszłość zostawił pan w spokoju. Pańskie pytania niczemu nie służą, a nas stawiają w kłopotliwej sytuacji". Napotkałem mur, panie Holmes, i nie mogłem przez niego przeskoczyć ani go obejść. Musiałem tylko udawać, że zaakceptowałem te wyjaśnienia, ale w głębi duszy złożyłem przysięgę, że nie spocznę, póki się nie dowiem,

co spotkało mojego przyjaciela. Zapowiadał się nudny wieczór. Kolacja w mrocznej, podniszczonej sali była kameralna, przygotowana tylko dla naszej trójki. Kobieta chętnie wypytywała mnie o syna, za to jej mąż wydawał się ponury i przygnębiony. Byłem już tak znużony całą sytuacją, że gdy tylko nadarzyła się okazja, przeprosiłem gospodarzy i udałem się do swego pokoju. To wielkie opustoszałe pomieszczenie znajdowało się na parterze i było równie mroczne jak reszta domu, ale po latach spania na południowoafrykańskich stepach człowiek przestaje być wybredny. Odsłoniłem okno i wyjrzałem do ogrodu, gdyż noc była piękna, a księżyc świecił jasno. Następnie usiadłem przy rozpalonym kominku obok stolika, na którym stała lampa, i zabrałem się za czytanie powieści, by zagłuszyć myśli. Ciszę zakłócił stary kamerdyner Ralph, który przyniósł węgiel do kominka. „Pomyślałem, że w nocy może zabraknąć, proszę pana. Temperatura na zewnątrz spada, a i w pokojach zimno”. Miał już wyjść, gdy nagle zawahał się. Obejrzałem się: stał naprzeciwko mnie, a w spojrzeniu jego oczu na pomarszczonej twarzy malowała się tęsknota. „Przepraszam pana, ale niechcący usłyszałem, jak pan przy kolacji opowiadał o paniczu Godfreyu. Pan wie, że moja żona była jego niańką, dlatego jest on dla mnie jak przybrany syn. To naturalne, że się nim interesujemy. Mówi pan, że świetnie sobie radził?”. „Nie było odważniejszego żołnierza w naszym pułku. Gdyby nie uratował mnie przed strzelbami Burów, pewnie dzisiaj nie byłoby mnie tutaj”. Stary lokaj pogładził swoją dłoń: „Oj, tak, proszę pana, to cały panicz Godfrey. Zawsze był niezwykle dzielny. W tym parku nie ma drzewa, którego by nie zdobył. Nic go nie mogło powstrzymać. Był wspaniałym chłopcem i wspaniałym mężczyzną.” Stanąłem na równe nogi. „Zaraz! – krzyknąłem. – Jak to „był”? Mówi pan o nim jak o zmarłym. Co to za tajemnica? Co przytrafiło się Godfreyowi Emsworthowi?”. Złapałem starca za ramię, ale on się odsunął. „Nie wiem, o co panu chodzi. O panicza proszę pytać gospodarza. On wie wszystko. Mnie nie wolno się wtrącać”. Już wychodził, gdy załapałem go za rękę. „Proszę posłuchać – powiedziałem. – Nie wyjdzie pan stąd, dopóki nie odpowie na jedno pytanie, nawet jeśli będę musiał trzymać tu pana całą noc: czy Godfrey nie żyje?”. Nie mógł spojrzeć mi w oczy. Stał jak zahipnotyzowany. W końcu wycedził odpowiedź. Była przerażająca i nieoczekiwana: „Chciałbym, żeby tak było”. Wyrwał się z mojego uścisku i wypadł z pokoju. Może się pan domyślać, że gdy

wróciłem na swoje krzesło, byłem bardzo przygnębiony. Słowa starca mogłem zinterpretować tylko w jeden sposób. Najwyraźniej mój biedny przyjaciel wdał się w jakąś kryminalną sprawę albo dopuścił się jakiegoś haniebnego czynu, godząc w ten sposób w honor rodziny. Jego srogi ojciec wysłał go daleko i ukrył przed światem, żeby skandal nie wyszedł na jaw. Godfrey bywał lekkomyślny. Łatwo ulegał wpływom innych ludzi. Na pewno trafił na złe towarzystwo i został zbałamucony. Jego zachowanie godne byłoby potępienia, jednak nawet w takim przypadku musiałem odnaleźć przyjaciela i sprawdzić, czy mogę mu pomóc. Z niepokojem rozmyślałem o tej sprawie, a gdy podniosłem wzrok, ujrzałem przed sobą Godfreya Emswortha we własnej osobie”.

Mój klient przerwał, owładnięty emocjami.

– Proszę kontynuować – zachęciłem go. – Pańska opowieść rozwija się bardzo nietypowo.

– Stał za oknem, panie Holmes, z twarzą przyciśniętą do szyby. Jak wspominałem, wcześniej wyglądałem na zewnątrz. Zasłony pozostały częściowo odsunięte. To właśnie w tej szparze go ujrzałem. Okno sięgało do ziemi, widziałem więc całą sylwetkę, ale to twarz przykuła moją uwagę. Była śmiertelnie blada, nigdy wcześniej nie widziałem takiego odcienia skóry. Pewnie tak właśnie wyglądają duchy, jednak gdy nasze spojrzenia się spotkały, ujrzałem oczy żywego człowieka. Gdy zauważył, że na niego patrzę, odskoczył i zniknął w ciemnościach. Było w nim coś ogromnie niepokojącego, panie Holmes. I nie mam na myśli tej upiornej twarzy, białej jak śnieg twarzy, która wyłoniła się z mroku. To było coś subtelniejszego, zaczajonego, tajemniczego, podszytego winą, zupełnie niepodobnego do szczerego, mężnego chłopaka, którego znałem. W moim umyśle zagościło przerażenie. Gdy człowiek przez rok czy dwa, będąc w wojsku, bawi się z Burami w ciuciubabkę, potrafi trzymać nerwy na wodzy i szybko działać. Godfrey nie zdążył jeszcze zniknąć, a już byłem przy oknie. Zatrzask był nietypowy i straciłem trochę czasu, próbując go otworzyć. Gdy mi się to wreszcie udało, wyskoczyłem przez okno i pognałem ścieżką w głąb ogrodu, tam, gdzie jak się zdawało, pobiegł Godfrey.

Ścieżka była długa i słabo oświetlona, mimo to miałem wrażenie, że przede mną coś się rusza. Biegłem, wołając jego imię, ale na próżno. Dotarłem do rozwidlenia dróżek, prowadzących do różnych zabudowań. Nie mogłem się zdecydować, którą wybrać, i wtedy wyraźnie usłyszałem

odgłos zamykanych drzwi. Nie dochodził z miejsca, z którego przyszedłem, tylko z przodu, z ciemności. Teraz, panie Holmes, byłem już pewien, że nie uległem przywidzeniu. To Godfrey, uciekając przede mną, zamknął za sobą drzwi. Byłem o tym przekonany.

Niczego więcej nie mogłem zrobić, spędziłem więc niespokojną noc, rozmyślając i próbując znaleźć uzasadnienie tej sytuacji. Następnego dnia pułkownik był w bardziej ugodowym nastroju, a jego żona wspomniała o atrakcjach w okolicy, co dało mi pretekst, by zapytać, czy nie będę zbyt uciążliwy, gdy przedłużę swój pobyt do jutra. Pan domu nieco niechętnie wyraził zgodę, a ja zyskałem cały dzień na obserwację. Wtedy byłem już przekonany, że Godfrey ukrywa się w pobliżu, pozostało dowiedzieć się, gdzie i dlaczego.

Dom był tak wielki i miał tyle zakamarków, że gdyby się schował w nim cały pułk, nikt by się nie zorientował. Jeżeli tajemnica kryła się w jego wnętrzu, miałem przed sobą trudne zadanie. Jednak odgłos zamykanych drzwi na pewno nie pochodził stąd. Musiałem przeszukać ogród. Nie było ku temu żadnych przeszkód: gospodarze, zajęci własnymi sprawami, pozostawili mnie sobie samemu. W ogrodzie znajdowało się kilka pawilonów, a na jego końcu natknąłem się na wolno stojącą oficynę pokaźnych rozmiarów, wystarczająco dużą, by mógł w nim mieszkać ogrodnik lub gajowy. Czy to stąd dobiegł mnie w nocy dźwięk zamykanych drzwi? Podszedłem bliżej jakby od niechcenia, przechadzając się bez celu po ogrodzie. W tej samej chwili drzwi się otworzyły, i z domu energicznie wyszedł niski, brodaty mężczyzna. Odziany w czarne palto i w meloniku na głowie, nie wyglądał na ogrodnika. Ku mojemu zaskoczeniu zamknął drzwi na klucz i schował go do kieszeni. Potem popatrzył na mnie ze zdziwieniem. „Czy jest pan tu gościem?” – zapytał. Odpowiedziałem, że tak, i napomknąłem, iż jestem przyjacielem Godfreya. „Szkoda, że akurat jest w dalekiej podróży, bo na pewno ucieszyłaby go moja wizyta” – kontynuowałem. „Zapewne – powiedział z miną człowieka, który wie więcej, niż może powiedzieć. – Domyślam się, że przyjedzie pan ponownie w bardziej dogodnej chwili”. Poszedł dalej, ale gdy się odwróciłem, zauważyłem, że obserwuje mnie, schowany do połowy w krzakach wawrzynu, rosnącego na końcu ogrodu.

Gdy mijałem oficynę, uważnie się jej przyjrzałem, jednak okna były zasłonięte, i wyglądało na to, że nikogo w środku nie ma. Miałem

świadomość, że ktoś mnie obserwuje. Gdybym był zbyt wścibski, popsułbym własny plan, a nawet mógłbym zostać poproszony o opuszczenie posiadłości, dlatego spokojnym krokiem udałem się do domu i poczekałem aż zapadnie noc, by kontynuować śledztwo. Gdy na dworze zrobiło się ciemno, wymknąłem się po cichu przez okno i najostrożniej, jak tylko potrafiłem, udałem sie w kierunku tajemniczego budynku.

Wspomniałem wcześniej, że okna były starannie zasłonięte, teraz zamknięto także okiennice. Zauważyłem jednak strumień światła, wydostający się przez szparę, więc podszedłem bliżej. Miałem szczęście, ponieważ zasłona nie była do końca zaciągnięta, a dzięki niedomkniętej okiennicy utworzyła się szczelina, przez którą mogłem zajrzeć do pokoju. Wnętrze było bardzo przytulne, lampa świeciła jasno, a w kominku palił się ogień. Przodem do okna siedział niski człowieczek, którego spotkałem rano. Palił fajkę i czytał gazetę.

– Jaką gazetę? – zainteresowałem się.

Najwyraźniej zirytowałem mojego klienta, przerywając mu opowieść.

– Czy to ma jakieś znaczenie? – zapytał.

– To bardzo istotny szczegół.

– Nie zwróciłem uwagi.

– Może pan zauważył, czy format gazety był duży, czy raczej mniejszy jak w przypadku tygodników?

– Teraz, gdy pan o tym mówi, wydaje mi się, że był niewielki. Być może był to tygodnik „Spector”. Nie zwracałem jednak uwagi na szczegóły, gdyż w pokoju znajdował się jeszcze jeden mężczyzna, który siedział zwrócony plecami do okna. Mógłbym przysiąc, że był to Godfrey. Nie widziałem jego twarzy, ale poznałem kształt ramion. Trwał w melancholijnej pozie, podpierając się na łokciu, twarz zwrócona była w stronę ognia. Zastanawiałem się, co powinienem w tym momencie zrobić, gdy nagle ktoś mocno szturchnął mnie w ramię, był to pułkownik Emsworth. „Tędy proszę!” – powiedział niskim głosem. Bez słowa skierował się w stronę domu, a ja podążyłem za nim. Ze stołu w korytarzu wziął rozkład jazdy pociągów. „O ósmej trzydzieści odjeżdża pociąg do Londynu – zakomunikował. – Powóz będzie czekał przed domem o ósmej”. Był blady ze złości, a ja znalazłem się w tak trudnym położeniu, iż mogłem tylko wymamrotać chaotyczne przeprosiny, próbując usprawiedliwić się troską o przyjaciela. „Dyskusję na ten temat uważam za zakończoną – rzekł

szorstko. – Pańska ingerencja w prywatne sprawy naszej rodziny zasługuje na potępienie. Będąc gościem, stał się pan szpiegiem. Nie mam panu nic więcej do powiedzenia oprócz tego, że nie chcę pana więcej widzieć”. Te słowa wytrąciły mnie z równowagi, i odpowiedziałem nieco wzburzony: „Widziałem pańskiego syna i jestem przekonany, że ma pan powody, by ukrywać go przed światem. Nie wiem, czym się pan kieruje, izolując go, ale jestem pewien, że jego wolność została ograniczona. Ostrzegam pana, pułkowniku Emsworth, że dopóki nie upewnię się, iż mój przyjaciel jest bezpieczny i ma się dobrze, nie zaprzestanę działać i odkryję tę tajemnicę, a pańskie słowa lub czyny nie będą dla mnie przeszkodą”. Starzec miał tak wściekły wyraz twarzy, że pomyślałem, iż gotów jest mnie zaatakować. Jak już mówiłem, był to ponury, agresywny wielkolud, i choć ja sam do słabeuszy nie należę, tę potyczkę trudno byłoby mi wygrać. Pułkownik jednak tylko rzucił mi przeciągłe spojrzenie, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Rano wsiadłem do pociągu i postanowiłem natychmiast złożyć panu wizytę, żeby poprosić o radę i pomoc.

Taką właśnie sytuację przedstawił mój gość. Na drodze do rozwiązania zagadki, co uważny czytelnik na pewno zdążył zauważyć, stały pewne przeszkody, gdyż możliwości dotarcia do źródła były ograniczone. Mimo tych podstawowych problemów istniały interesujące i niespotykane elementy, które usprawiedliwiają celowość zapisania tej historii. Przeszedłem zatem do znanej mi metody logicznej analizy, żeby zawęzić krąg możliwych rozwiązań.

– Ilu służących jest zatrudnionych w domu? – zapytałem.

– Z tego, co wiem, tylko stary kamerdyner i jego żona. Prowadzą skromne życie.

– A w oficynie nie ma służby?

– Nie, chyba że weźmiemy pod uwagę brodatego człowieczka. Jednak wygląda on na kogoś, kto piastuje wyższe stanowisko.

– Nasuwają mi się pewne myśli. Czy widział pan, żeby do oficyny nosili jedzenie?

– Teraz, gdy pan o to zapytał, przypominam sobie, jak stary Ralph niósł koszyk, idąc przez ogród w stronę domku. Nie myślałem wtedy o jedzeniu.

– Czy rozmawiał pan z okolicznymi mieszkańcami?

– Tak. Zamieniłem kilka słów z zawiadowcą stacji i właścicielem gospody we wsi. Pytałem tylko, czy nie słyszeli niczego o moim starym

towarzyszu broni Godfreyu Emsworthie. Obaj zapewnili mnie, że wyruszył w podróż dookoła świata. Powiedzieli, że wyjechał prawie natychmiast po powrocie z wojny. Najwidoczniej wszyscy w to uwierzyli.

– Nie mówił im pan o swoich podejrzeniach?

– Nie.

– Mądrze pan postąpił. Należy zbadać tę sprawę. Pojadę z panem do Tuxbury Old Park.

– Dzisiaj?

Tak się złożyło, że w owym czasie rozwiązywałem wraz z moim przyjacielem Watsonem zagadkę Abbey School, sprawę, w którą był zamieszany książę Greyminster. Dostałem również zlecenie od tureckiego sułtana, który prosił o podjęcie natychmiastowych działań, gdyż zaniedbanie jego sprawy mogło grozić dramatycznymi skutkami politycznymi. Dlatego dopiero na początku następnego tygodnia, jak sprawdziłem u siebie w notatniku, mogłem wyruszyć z misją do hrabstwa Bedfordshire w towarzystwie pana Jamesa M. Dodda. Po drodze do Euston zabraliśmy pewnego posępnego, tajemniczego dżentelmena o przenikliwym spojrzeniu, z którym dokonałem niezbędnych ustaleń. Przedstawiłem go panu Jamesowi jak mojego starego znajomego:

– Możliwe, że jego obecność będzie zupełnie niepotrzebna, ale może też okazać się konieczna. Za wcześnie jest o tym mówić.

Opowiadania Watsona przyzwyczaiły, bez wątpienia, czytelnika do tego, że gdy sprawa jest w toku, nie marnuję słów, by wyrazić swe myśli. Dodd wyglądał na zdziwionego, ale ja nie udzieliłem mu żadnych wyjaśnień, i dalszą podróż kontynuowaliśmy we trzech. W pociągu zadałem panu Jamesowi jeszcze kilka pytań, gdyż zależało mi, by nasz towarzysz usłyszał odpowiedzi.

– Twierdzi pan, że widział twarz swojego przyjaciela, gdy tamten stał za oknem, na tyle wyraźnie, iż jest pan pewien, kto to był?

– Nie mam żadnych wątpliwości. Stał, przyciskając się mocno do szyby, a światło lampy padało prosto na niego.

– Czy mógł być to ktoś podobny?

– Nie. To był Godfrey.

– Utrzymuje pan jednak, że był odmieniony.

– Chodziło mi o barwę skóry. Jego twarz, jakby to ująć, była tak biała jak brzuch ryby, jak gdyby ją ktoś wybielił.

– Cała twarz była taka?

– Chyba nie. Bardzo wyraźnie widziałem jego czoło, gdyż było przyciśnięte do szyby.

– Zawołał go pan?

– Byłem zbyt zaskoczony i przerażony. Potem jednak, jak już mówiłem, pobiegłem za nim, niestety, na próżno.

Miałem już wszystkie elementy układanki, musiałem tylko potwierdzić swoje przypuszczenia. Po długiej podróży dotarliśmy do dziwacznego starego domu, chaotycznie zaprojektowanego, który wcześniej opisał mój klient. Drzwi otworzył nam wiekowy kamerdyner Ralph. Powóz wynająłem na cały dzień. Poprosiłem mego starego druha, by w nim pozostał, dopóki go nie poproszę. Ralph, stary człowiek o pomarszczonej skórze, był odziany w typowy strój, na który składały się czarny surdut i popielate spodnie. Był jeden, jedyny wyjątek: brązowe skórzane rękawiczki, które Ralph pośpiesznie zdjął, gdy tylko nas zobaczył, i odłożył na stoliczek w korytarzu. Mój przyjaciel Watson może wspominał już, że mam niezwykle wyostrzone zmysły: wyczułem słaby, ale ostry zapach. Miałem wrażenie, że dochodzi on od strony stoliczka w korytarzu. Zawróciłem, położyłem na blacie kapelusz, natychmiast go strąciłem i, pochylając się, by podnieść go z podłogi, powąchałem rękawiczki. Tak, to one były przesiąknięte dziwną smolistą wonią. Udałem się do gabinetu. Wszystkie elementy układanki łączyły mi się w całość. Niestety, gdy sam opisuję własną historię, odsłaniam od razu karty. Watson natomiast konstruował efektowne puenty, pomijając pewne ogniwa w łańcuchu śledztwa.

Pułkownika Emswortha nie zastaliśmy w gabinecie, ale gdy Ralph poinformował go o przybyciu gości, zjawił się niezwłocznie. Przez otwarte drzwi gabinetu usłyszeliśmy, jak w korytarzu rozległy się szybkie ciężkie kroki. Pan domu wkroczył energicznie do pokoju. Ujrzałem najeżoną brodę i wykrzywione oblicze starca; widok był przerażający, nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem. Mężczyzna trzymał w dłoni nasze wizytówki, które podarł i zdeptał, jak tylko nas zobaczył.

– Czyż nie mówiłem, przeklęty intrygancie, że zabraniam ci się tu pokazywać, że nigdy więcej nie chcę oglądać twojej obmierzłej twarzy i że jeśli jeszcze raz wejdziesz na teren posesji bez mojego pozwolenia, będę zmuszony, w świetle prawa, użyć przemocy? Zastrzelę cię! Klnę się na Boga, że to zrobię! To samo – rzekł, kierując te słowa w moją stronę –

dotyczy pana. Wiem o jego niegodziwej profesji, proszę jednak okazać swoje osławione talenty gdzie indziej. Tu na nic się one zdadzą.

– Nie wyjdę – rzekł stanowczo mój klient – dopóki z ust samego Godfreya nie usłyszę, że nie jest przetrzymywany siłą.

Rozwścieczony naszą wizytą, gospodarz przywołał dzwonkiem kamerdynera.

– Ralphie – powiedział – zatelefonuj na komisariat i poproś inspektora, by przysłał dwóch posterunkowych. Powiedz mu, że w domu są włamywacze.

– Chwileczkę – powiedziałem. – Panie Dodd, zdaje pan sobie sprawę, że prawo stoi po stronie pułkownika Emswortha i nas pod tym dachem nie chroni. Z drugiej strony, gospodarz domu powinien wiedzieć, że pańskie działania są powodowane jedynie troską o jego syna. Pozwolę sobie wyrazić nadzieję, że gdyby tylko pan, pułkowniku, zgodził się na pięciominutową rozmowę, mógłbym zmienić jego zdanie w tej kwestii.

– Nie tak łatwo mnie przekonać – odpowiedział stary żołnierz. – Ralphie, rób, co ci kazałem. Do diabła, na co czekasz? Dzwoń po policję!

– Nic z tych rzeczy – powiedziałem, opierając się plecami o drzwi. – Ingerencja policji doprowadzi do skandalu, którego pan się tak obawia. – Wyjąłem notatnik, wyrwałem z niego kartkę i napisałem jedno słowo. – To – powiedziałem, podając papier pułkownikowi Emsworthowi – jest przyczyna naszej wizyty.

Wpatrywał się w napis z takim wyrazem twarzy, który poza zdumieniem nie wyrażał żadnych innych emocji.

– Skąd pan wie? – westchnął, ciężko opadając na krzesło.

– Zdobywanie wiedzy na różne tematy leży w profilu moich zainteresowań. Taką mam pracę.

Siedział, zamyślony, skubiąc posępnie zmierzwioną brodę. W końcu wzruszył ramionami w geście rezygnacji.

– Jeśli chcą się panowie zobaczyć z Godfreyem, to proszę bardzo. Nie chciałem tego, lecz zostałem zmuszony. Ralphie, powiadom panów Godfreya i Kenta, że przyjdziemy do nich za pięć minut.

Po chwili, idąc ścieżką, dotarliśmy do tajemniczej oficyny, ukrytej na końcu ogrodu. Brodaty człowieczek stał w drzwiach, a na jego twarzy malowało się zdumienie.

– Co to za niespodziewana wizyta, pułkowniku Emsworth? – zapytał, po czym stwierdził: – Będziemy musieli całkowicie zmienić nasze plany.

– Nic na to nie poradzę, panie Kent. Mamy związane ręce. Czy Godfrey nas przyjmie?

– Owszem, czeka w środku.

Kent poprowadził nas do sporego, skromnie urządzonego salonu. Stał tam mężczyzna, odwrócony plecami do kominka. Mój klient pobiegł do niego z rozpostartymi ramionami.

– Drogi przyjacielu, już dobrze!

Mężczyzna przy kominku zatrzymał go jednak, podnosząc rękę.

– Nie dotykaj mnie, Jimmy. Zachowaj dystans. Możesz tylko patrzeć. Nie jestem już bystry starszy szeregowy Emswortha ze szwadronu B, prawda?

W rzeczy samej, wyglądał dziwnie. Twarz tego niegdyś przystojnego mężczyzny, ogorzała od afrykańskiego słońca, którą cechowały wyraźne rysy, upstrzona była dziwnymi białymi cętkami odbarwionej skóry.

– Dlatego nie przyjmuję gości – powiedział. – Nie mam nic przeciwko tobie, Jimmy, ale myślę, że mogliśmy się obejść bez twojego towarzysza. Domyślam się, że jest tu nie bez powodu, jednak stawia mnie w kłopotliwej sytuacji.

– Chciałem się upewnić, że masz się dobrze, Godfreyu. Widziałem cię tamtej nocy, gdy zaglądałeś do mnie przez okno; musiałem zrobić wszystko, żeby się dowiedzieć, o co chodzi.

– Stary Ralph powiedział mi o twoich odwiedzinach, nie mogłem sie powstrzymać, by nie zajrzeć przez szybę. Miałem nadzieję, że mnie nie zauważysz. Gdy usłyszałem, że otwierasz okno, uciekłem do swojej kryjówki.

– Na Boga, przyjacielu, co się dzieje?

– Nie będzie to długa opowieść – powiedział, zapalając papierosa. – Pamiętasz tę walkę o poranku w Bronkhorstspruit, niedaleko Pretorii, przy wschodniej linii kolejowej? Wiesz, że zostałem postrzelony?

– Tak, słyszałem o tym, ale nie znam szczegółów.

– Byłem z dwoma żołnierzami. Zgubiliśmy się, o co nie było trudno w tak zniszczonym kraju. Towarzyszył mi Simpson, ten, którego nazywaliśmy łysym Simpsonem, i Anderson. Tropiliśmy Burów, ale oni dobrze się schowali i trafili nas wszystkich. Simpson i Anderson zginęli

na miejscu. Pocisk trafił mnie w ramię. Mimo to nie spadłem z konia, który przegalopował kilka mil, zanim zemdlałem i spadłem z siodła.

Gdy doszedłem do siebie, zapadła noc. Byłem słaby i czułem się bardzo źle, ale stanąłem na nogi. Ze zdziwieniem spostrzegłem, że znajduję się obok dużego domu z szeroką werandą, który miał bardzo dużo okien. Było okropnie zimno. Pamiętasz ten przeszywający wieczorny ziąb, jakby niosący śmierć czy chorobę, nie podobny zupełnie do zdrowego orzeźwiającego mrozu? Przemarzłem do szpiku kości. Ten dom był moją jedyną nadzieją. Chwiałem się, idąc w jego kierunku, nie do końca zdając sobie sprawę z tego, co robię. Ledwie pamiętam, jak wszedłem powoli na schody. Drzwi były otwarte. Przekroczyłem próg i znalazłem się w przestronnym pokoju, w którym stało kilka łóżek. Z ulgą rzuciłem się na jedno z nich. Nie było posłane, ale to mi nie przeszkodziło. Opatuliłem ubraniem dygoczące ciało i po chwili zapadłem w głęboki sen.

– Obudziłem się rano i odniosłem wrażenie, że zamiast odzyskiwać przytomność umysłu, popadłem w jakiś niewyobrażalny koszmar. Blask afrykańskiego słońca wdarł sie do pokoju przez ogromne, pozbawione zasłon okna, i moim oczom ukazało się obszerne pomieszczenie, obsypane wapnem. Zobaczyłem każdy jego szczegół. Przede mną stał niski człowiek, przypominający skrzata, z dużą głową w kształcie cebuli, który z przejęciem trajkotał po niderlandzku i machał zniekształconymi dłońmi, przypominającymi dwie brązowe gąbki. Grupka osób za jego plecami była wyraźnie rozbawiona sytuacją. Gdy się przyjrzałem tym ludziom, przeszedł mnie dreszcz. Nie wyglądali normalnie. Byli powykręcani, opuchnięci lub dziwnie zdeformowani. Śmiech tych ludzkich dziwolągów brzmiał przerażająco.

Żaden z nich nie mówił chyba po angielsku, jednak sytuacja wymagała wyjaśnień, bo osobnik z wielką głową był coraz bardziej rozgniewany. Wydając okrzyki niczym dzika bestia, chwycił mnie swymi zniekształconymi rękami i próbował ściągnąć z łóżka, ignorując strużkę świeżej krwi sączącą się z mojej rany. Ten mały potwór był silny niczym byk, i nie wiem, jak by się to skończyło, gdyby nie starszy mężczyzna, najwyraźniej lider ich grupy, którego zwabiło nagłe poruszenie; powiedział kilka słów po niderlandzku, i mój prześladowca się wycofał. Mężczyzna, oszołomiony, zwrócił się do mnie po angielsku: „Na litość boską, jak pan tu trafił? Zaraz! Widzę, że jest pan zmęczony i ma zranione ramię. Jestem

lekarzem, zaraz opatrzę ranę. Na Boga! Tutaj grozi panu niebezpieczeństwo o wiele większe niż na polu bitwy. Jest pan w leprozorium. Spał pan w łóżku trędowatego”. Chyba nie muszę mówić nic więcej, Jimmie? Okazało się, że dzień wcześniej ewakuowano te biedne istoty w obawie przed zbliżającym się frontem. Jednak gdy Brytyjczycy przeszli dalej, chorzy wrócili tu ze swoim opiekunem lekarzem. On powiedział, że choć sam jest odporny na tę straszną chorobę, nigdy nie odważyłby się postąpić tak, jak ja. Odseparował mnie od innych i opiekował się mną. Po tygodniu przeniesiono mnie do szpitala w Pretorii. Wiesz już wszystko o mojej tragedii. Miałem płonne nadzieje, że wszystko będzie dobrze, do momentu, gdy wróciłem do domu, a znamiona na mojej twarzy stały się dowodem tego, że nie zdołałem uniknąć choroby. Co miałem począć? Musiałem pozostać sam w domu. Mogliśmy zaufać jedynie dwojgu naszym służącym. Zamieszkałem w oficynie w ogrodzie. Pan Kent, chirurg, zgodził się mną zaopiekować, zobligowany przysięgą do zachowania tajemnicy. Plan wydawał się prosty. Alternatywa była przerażająca: życie banity pośród obcych ludzi bez nadziei na powrót do normalnego życia. Niezbędna była całkowita dyskrecja, gdyż nawet tu, na spokojnej wsi mogła wybuchnąć panika, a mnie spotkałby straszny los. Nawet ty, Jimmie, nawet ty nie powinieneś poznać tej tajemnicy. Nie wyobrażam sobie, co spowodowało, że mój ojciec się ugiął.

Pułkownik Emsworth wskazał ręką na mnie:

– Zmusił mnie ten dżentelmen.

Rozwinął skrawek papieru na którym napisałem słowo „trąd”.

– Wydawało mi się, że skoro wie tak wiele, bezpieczniej będzie, jeśli pozna całą historię.

– Miał pan rację – powiedziałem. – Kto wie, może zaowocuje to czymś pozytywnym? Rozumiem, że pacjenta widział jedynie pan Kent. Proszę powiedzieć, czy jest pan specjalistą od chorób tropikalnych lub subtropikalnych?

– Posiadam na ich temat ogólną wiedzę medyczną – zabrzmiała obojętna odpowiedź.

– Nie wątpię, że jest pan niezwykle kompetentny, ale jestem pewien, że zgodzi się ze mną, iż w takich przypadkach niezbędna jest opinia drugiego lekarza. Rozumiem, unikaliście tego z obawy, że zostaniecie zmuszeni do odizolowania pacjenta.

– Zgadza się – powiedział pułkownik Emsworth.

– Domyśliłem się tego – rzekłem – i przywiozłem ze sobą przyjaciela, który cieszy się moim bezgranicznym zaufaniem. Kiedyś wyświadczyłem mu pewną zawodową przysługę. Jest gotów zająć się tą sprawą bardziej jako przyjaciel niż specjalista. Mówię o sir Jamesie Saundersie, znakomitym dermatologu z Londynu

Mam wrażenie, ze nawet spotkanie z lordem Robertsem nie wywołałoby na twarzy niedoświadczonego medyka, jakim był pan Kent, takiego wyrazu zachwytu i radości.

– Będę zaszczycony – wymamrotał.

– Sir James czeka w powozie przed domem. Poproszę go, by tu przyszedł. Pułkowniku Emsworth, przejdźmy do pańskiego gabinetu, chcę udzielić panu niezbędnych wyjaśnień.

To jest chwila, w której brakuje mi Watsona. Zadając przebiegłe pytania i wyrażając swój podziw okrzykami pełnymi zachwytu, podnosił do rangi niezwykłego talentu moje skromne umiejętności, które są niczym więcej jak tylko rzeczowym usystematyzowaniem faktów. Opisując historię własnoręcznie, nie mogę liczyć na takie wsparcie. Mimo to postanowiłem zaprezentować swój tok myślenia nawet niewielkiej publiczności, zgromadzonej w gabinecie pułkownika Emswortha, do której dołączyła również matka Godfreya.

– Wyszedłem z założenia – rzekłem – że prawdą, jakkolwiek niewiarygodną, jest to, co pozostanie po wyeliminowaniu wszystkich niemożliwych rozwiązań. Zdarza się, że to, co pozostaje, wymaga dodatkowych wyjaśnień, a wtedy należy zbadać je wszystkie, aż któreś z nich stanie się najbardziej przekonujące. Niniejsza sprawa jest świetnym przykładem zastosowania tej zasady. Na początek przedstawiono mi trzy możliwe wyjaśnienia, dotyczące izolacji bądź uwięzienia dżentelmena w domu na terenie posiadłości jego ojca. Istniało prawdopodobieństwo, że ukrywa się przed prawem lub postradał zmysły; chroniono go przed zamknięciem w szpitalu psychiatrycznym lub odseparowano z powodu choroby. Inne wytłumaczenie nie przychodziło mi do głowy. Kolejnym krokiem było wszystkie je porównać i zweryfikować.

Kryminalny występek nie wchodził w rachubę. W tym okręgu nie zgłoszono żadnej zagadkowej zbrodni. Tego byłem pewien. A jeśli Godfrey Emsworth popełnił przestępstwo, którego jeszcze nie odkryto, to z całą

pewnością w interesie rodziny leżałoby wysłanie delikwenta za granicę, a nie ukrywanie go w domu. Nie miałoby to sensu. Utrata zmysłów wydawała się bardziej prawdopodobna. Obecność osoby towarzyszącej sugerowała, że nad młodzieńcem czuwa stróż. Fakt, że stróż ten, wychodząc, zamknął drzwi na klucz, wzmocniło moje podejrzenie, że mamy do czynienia ze zniewoleniem. Z drugiej jednak strony pan Godfrey nie był przetrzymywany siłą, ponieważ chodził swobodnie po ogrodzie i nawet podszedł pod okna swego przyjaciela. Panie Dodd, pamięta pan zapewne, że drążyłem temat, wypytując na przykład o gazetę, którą czytał pan Kent. Utwierdziłbym się w swym przekonaniu, gdyby to było pismo dla lekarzy „Lancet” lub „Brytyjski Dziennik Medyczny”. Przetrzymywanie chorego psychicznie na terenie prywatnej posiadłości nie jest zabronione pod warunkiem, że jest on pod opieką wykwalifikowanego sanitariusza oraz że o tym fakcie zostały powiadomione odpowiednie władze. Skąd zatem desperackie pragnienie zatajenia całej sytuacji? Po raz kolejny nie mogłem znaleźć usprawiedliwienia dla takich działań.

Pozostała trzecia możliwość, do której, choć wydawało się to mało prawdopodobne, pasowały wszystkie elementy. W Afryce trąd spotyka się bardzo często, więc istniało ryzyko, że mógł się nią zarazić. Jego rodzice znaleźli się w trudnej sytuacji, gdyż chcieli uchronić swego syna przez odizolowaniem. Dyskrecja była konieczna, nie wolno było dopuścić do tego, by rozeszły się plotki, które zwróciłyby uwagę władz. Przy odpowiednio wysokim honorarium nietrudno znaleźć zaufanego lekarza, który może opiekować się chorym. Nie było powodów, by ten ostatni nie mógł opuszczać kryjówki po zmroku. Białe plamy na skórze to częsty objaw choroby. Przesłanki były na tyle przekonujące, że postanowiłem działać, nie mając jeszcze dowodów. Gdy po przyjeździe zauważyłem, że Ralph, który wynosił jedzenie, ma na dłoniach rękawiczki nasiąknięte środkiem odkażającym, pozbyłem się wątpliwości. Jedno słowo wystarczyło, by zrozumiał pan, że odkryłem pańską tajemnicę, a fakt, że napisałem je, a nie wypowiedziałem, miał dowieść, że jestem godzien zaufania.

Właśnie kończyłem przemowę, gdy drzwi się otworzyły, i ukazało się w nich surowe oblicze znakomitego dermatologa. Po raz pierwszy zobaczyłem, jak jego kamienna twarz złagodniała, a oczy stały się pogodne. Podszedł do pułkownika Emswortha i uścisnął mu dłoń.

– Zwykle przynoszę złe wieści, rzadko kiedy dobre – powiedział. – Tym razem mam pomyślną wiadomość. To nie jest trąd.

– Jak to?

– Jest to przypadłość podobna do trądu, zwana *ichthyosis*, „rybia łuska”, odrażająca i trudna do wyleczenia choroba skóry, która z całą pewnością nie jest zakaźna. Zgadza się, panie Holmes, to niesamowity zbieg okoliczności. Ale czy na pewno? Czyż światem nie rządzą siły, o których wiemy tak niewiele? Czy możemy przypuszczać, że pod wpływem okropnego strachu, który nie opuszczał młodzieńca od chwili zetknięcia się z zakaźną chorobą, wystąpiły fizyczne objawy, które były urzeczywistnieniem jego najgorszych obaw? W każdym razie za tę diagnozę ręczę swoją zawodową reputacją. Ale cóż to? Dama zemdlała! Myślę, że pan Kent powinien zostać przy niej, dopóki pani Emsworth nie dojdzie do siebie po szoku. To z radości.

Opowieść trzecia

Klejnot z kolekcji kardynała Mazariniego

Doktora Watsona ogarnęła nostalgia, gdy znowu znalazł się w zaniedbanym pokoju na pierwszym piętrze domu przy Baker Street, gdzie miało swój początek wiele wspaniałych przygód. Popatrzył na tablice i schematy wiszące na ścianach, na wypaloną kwasem półkę zastawioną chemikaliami, futerał na skrzypce stojący w kącie i wiaderko na węgiel wypełnione starymi fajkami i tytoniem. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na zdrowej uśmiechniętej twarzy Billy'ego, młodego, ale rozgarniętego i taktownego chłopca na posyłki, dzięki któremu samotność cechująca życie wyobcowanej indywidualności, jaką był wielki detektyw, stawała się mniej dotkliwa.

– Odnoszę wrażenie, że nic się tu nie zmieniło, Billy. Ty się także nie zmieniłeś. Mam nadzieję, że o Holmesie będę mógł powiedzieć to samo.

Billy z pewnym niepokojem zerknął w stronę zamkniętych drzwi sypialni.

– Myślę, że jeszcze śpi – powiedział.

Piękny letni dzień chylił się ku końcowi, dochodziła siódma, mimo to doktor Watson wcale się nie zdziwił, gdyż bardzo dobrze znał zwyczaje swojego przyjaciela, który chadzał spać o najróżniejszych porach.

– Pracuje nad jakąś sprawą?

– Owszem, nie oszczędza się. Boję się o jego zdrowie. Blednie i chudnie, w dodatku nie chce jeść. Gdy pani Hudson zapytała: „Kiedy życzy pan sobie kolację, panie Holmes?", odpowiedział: „Pojutrze o siódmej trzydzieści". Wie pan przecież, jak on się zachowuje w trakcie dochodzenia.

– Tak, Billy, wiem.

– Śledzi kogoś. Wczoraj jako robotnik szukał pracy. Dziś przebrał się za staruszkę. Dałem się nabrać, choć powinienem już znać jego zagrania. –

Billy z szerokim uśmiechem na ustach wskazał na spory parasol oparty o kanapę. – To część kostiumu starszej pani – powiedział.

– Co to za sprawa?

Chłopak ściszył głos, jakby rozprawiał o największych tajemnicach państwowych.

– Panu powiem, ale nikt inny nie może się o tym dowiedzieć. Dotyczy klejnotu koronnego.

– Co? Chodzi o tę kradzież brylantu wartego sto tysięcy funtów?

– Owszem. Muszą go odzyskać, proszę pana. Na tej kanapie siedzieli już premier i minister spraw wewnętrznych. Pan Holmes był dla nich bardzo uprzejmy. Szybko ich uspokoił i obiecał, że zrobi wszystko, co jest w jego mocy. No i jeszcze był tu lord Cantlemere…

– Och!

– Pan wie, co to oznacza. Jest sztywny, że się tak wyrażę. Premier zrobił na mnie dobre wrażenie i nie mam nic przeciwko ministrowi spraw wewnętrznych, który wygląda na dobrze wychowanego sympatycznego człowieka, ale tej jego lordowskiej mości nie mogę znieść. Pan Holmes ma podobne odczucia. Widzi pan, lord nie wierzy w umiejętności pana Holmesa i nie chciał go zatrudnić. Liczy pewnie, że poniesie fiasko.

– A Holmes o tym wie?

– On wie wszystko.

– Miejmy nadzieję, że mu się powiedzie, a lord Cantlemere będzie wielce rozczarowany. Co to za zasłona wisi w poprzek okna?

– Pan Holmes kazał ją powiesić trzy dni temu. Za nią ukryliśmy coś zabawnego.

Billy podszedł i odsłonił kotarę, która skrywała wnękę okna wykuszowego. Doktor Watson nie mógł powstrzymać okrzyku zdziwienia. Ujrzał bowiem kopię postaci swego dobrego przyjaciela, ubraną w szlafrok. Głowa była skierowana w stronę okna i pochylona tak, jakby mężczyzna czytał niewidzialną książkę, podczas gdy korpus wygodnie spoczywał w fotelu. Billy odłączył głowę od tułowia i uniósł do góry.

– Ustawiamy ją pod różnymi kątami, żeby wyglądała wiarygodniej. Nie odważyłbym się jej dotknąć, gdyby zasłona nie była opuszczona. Kiedy jest podniesiona, kukłę widać z naprzeciwka.

– Już raz wykorzystaliśmy coś podobnego.

– To było jeszcze, zanim ja się tutaj pojawiłem – powiedział Billy. Rozsunął zasłony i wyjrzał przez szybę. – Obserwują nas z różnych punktów. Widzę, jak ktoś stoi przy oknie. Niech pan sam zobaczy.

Watson ruszył do przodu, gdy nagle otworzyły się drzwi sypialni, i pojawił się w nich wysoki, chudy gospodarz. Jego pociągła twarz była blada, ale szedł bardzo energicznym krokiem. Jednym susem znalazł się przy oknie i opuścił kotarę.

– Wystarczy, Billy – powiedział. – Twoje życie było w niebezpieczeństwie, mój chłopcze, a na razie jesteś mi potrzebny. Watsonie, miło cię widzieć w twoim starym mieszkaniu. Przychodzisz w krytycznym momencie.

– Już się zorientowałem.

– Możesz już iść, Billy. Nie wiem, co począć z tym chłopakiem, Watsonie. Gdzie jest granica, której nie powinienem przekraczać, by nie narazić jego życia na niebezpieczeństwo?

– O jakim niebezpieczeństwie mówisz?

– O ewentualności nagłej śmierci. Dziś wieczorem spodziewam się czegoś.

– Czego?

– Tego, że zostanę zamordowany, Watsonie.

– Zapewne żartujesz, Holmesie.

– Nawet przy moim ograniczonym poczuciu humoru potrafię wymyślić lepszy dowcip. Do tego czasu możemy czuć się swobodnie. Nie pogardzisz kapką alkoholu? Syfon z wodą sodową i papierosy są tam, gdzie zawsze. Chciałbym jeszcze raz zobaczyć cię siedzącego w fotelu. Mam nadzieję, że moja fajka i marny tytoń nadal ci nie przeszkadzają? Obecnie zastępują mi jedzenie.

– Dlaczego nie jesz?

– Z pustym brzuchem moje umiejętności się doskonalą. Cóż, drogi Watsonie, jako lekarz na pewno przyznasz mi rację, że krew, wykorzystywana przez organizm w procesie trawienia, nie dociera już do mózgu. A przecież ja jestem mózgiem, Watsonie. Reszta mnie jest tylko dodatkiem. Muszę skoncentrować się na myśleniu.

– Ale jakie niebezpieczeństwo ci grozi?

– Posłuchaj, jeśli faktycznie potwierdzą się moje przypuszczenia, dobrze by było, żebyś obciążył swą pamięć nazwiskiem i adresem mordercy.

Możesz je przekazać inspektorom ze Scotland Yardu z pozdrowieniami i pożegnalnym błogosławieństwem. Jego godność hrabia Negretto Sylvius. Lepiej je zapisz! Moorside Gardens, 136, N.W. Masz?

Na szczerej twarzy Watsona odmalował się niepokój. Bardzo dobrze znał Holmesa, wiedział też, że zwykle podejmuje ogromne ryzyko, i zdawał sobie sprawę z tego, że ujawnił mu raczej łagodny opis sytuacji, a nie jej wyolbrzymioną wersję. Watson był jak zawsze realistą.

– Możesz na mnie liczyć. W najbliższym czasie nie mam żadnych zajęć.

– Nie pracowałeś ostatnio nad moralnością, Watsonie. Widzę, że na liście twych wad pojawiło się także kłamstwo. Odnoszę wrażenie, że jesteś niezwykle zapracowanym lekarzem, osaczonym przez pacjentów.

– To nie są poważne wezwania. Czy nie można tego człowieka oddać w ręce policji?

– Owszem, Watsonie, mógłbym. Właśnie to go tak martwi.

– Dlaczego tego nie zrobisz?

– Ponieważ nie wiem, gdzie jest brylant.

– Ach tak! Billy wspominał o zaginionym klejnocie koronnym!

– Wspaniały klejnot Mazariniego. Zarzuciłem sieć i złapałem w nią ryby. Tyle że bez kamienia. Po co więc je wyciągać z wody? Pewnie świat byłby lepszy, gdyby je wyłapać. Ale to nie jest mój cel. Zależy mi na klejnocie.

– Czy ten hrabia Sylvius jest jedną z twoich ryb?

– Tak, w dodatku to rekin. Robi użytek ze swych szczęk. Jest jeszcze drugi, bokser, który nazywa się Sam Merton. Nawet nie jest złym człowiekiem, tylko hrabia go wykorzystuje. Sam nie jest rekinem. Jest dużą głupawą płotką, która nie ma własnego zdania. Ale tak samo trzepocze się już w mojej sieci.

– Gdzie jest teraz hrabia Sylvius?

– Przez cały dzień deptałem mu po piętach. Widziałeś mnie kiedyś w przebraniu starej kobiety, Watsonie? Nigdy nie byłem bardziej wiarygodny niż dzisiaj. Do tego stopnia, że nawet podniósł mój parasol. „Pani pozwoli, madame” – powiedział z włoskim akcentem. To typ człowieka, który będąc w dobrym nastroju, jest przepełniony południową uprzejmością, lecz gdy humor ma trochę gorszy, staje się diabłem wcielonym. Życie to splot zabawnych wydarzeń, Watsonie.

– To się mogło skończyć tragicznie.

– Być może masz rację. Poszedłem za nim do zakładu starego Straubenzee, mieszczącego się w centrum Londynu, w okolicy zwanej Minories. Straubenzee wykonał na zamówienie wiatrówkę – piękna robota! – która w tej chwili znajduje się z pewnością w oknie naprzeciwko. Widziałeś kukłę? No tak, Billy ci ją pokazał. W każdej chwili jej głowę może przeszyć kula. O co chodzi, Billy?

Chłopak ponownie pojawił się w pokoju, niosąc na tacy wizytówkę. Mój przyjaciel, wyraźnie rozbawiony, zerknął na nią, unosząc brwi.

– O wilku mowa. Tego się nie spodziewałem. Uporajmy się zatem z problemem, Watsonie! Musi chyba mieć nerwy ze stali. Być może słyszałeś o sukcesach hrabiego w dziedzinie polowania na dziką zwierzynę? Triumfalnym ukoronowaniem jego znakomitych sportowych osiągnięć byłoby, gdybym się stał jedną ze zdobyczy. To dowód na to, że czuje mój oddech na swojej szyi.

– Zawiadom policję.

– Chyba powinienem. Ale jeszcze nie teraz. Watsonie, wyjrzyj, proszę, ostrożnie przez okno i sprawdź, czy ktoś się nie kręci po ulicy.

Watson spojrzał ukradkiem, delikatnie odchylając kotarę:

– Obok drzwi stoi jakiś nieprzyjemny typ.

– To zapewne Sam Merton, lojalny, aczkolwiek nieco głupawy. Gdzie jest ten dżentelmen, Billy?

– W poczekalni, proszę pana.

– Poproś go, gdy zadzwonię.

– Oczywiście.

– Wprowadź do pokoju, nawet gdyby mnie tu nie było.

– Rozumiem.

Watson poczekał, aż drzwi się zamknęły, i zdenerwowany, zwrócił się do swego towarzysza.

– Posłuchaj, Holmesie, tak być nie może. Ten człowiek jest zdesperowany i nie cofnie się przed niczym. Być może przyszedł tu, by cię zabić.

– Nie jestem zaskoczony.

– Chcę z tobą zostać, nalegam!

– Tylko byś przeszkadzał.

– Jemu?

– Nie, mój drogi, mnie.

– Cóż, nawet jeżeli tak jest, nie opuszczę cię.

– Przeciwnie. Zrobisz to, bo doskonale umiesz grać w tę grę. I dzisiejszą partię rozegrasz do końca. Choć człowiek ten przyszedł, by załatwić swoje sprawy, przy okazji i ja się z nim policzę.

Holmes wyjął notatnik i nabazgrał w nim kilka linijek.

– Pojedź do Scotland Yardu i przekaż to Youghalowi z wydziału kryminalnego. Wróć tu z policją. Wtedy go aresztują.

– Zrobię to z radością.

– Może dowiem się jeszcze przed twoim powrotem, gdzie jest klejnot.

Nacisnął dzwonek.

– Wyjdźmy przez sypialnię. Te drugie drzwi są bardzo przydatne. Wolę popatrzeć na polującego na mnie rekina, pozostając przez niego nie zauważonym; o ile pamiętasz, mam na to swoje sposoby.

Po minucie Billy wprowadził hrabiego Sylviusa do pustego pokoju. Ten sławny myśliwy, sportowiec i bywalec salonów był potężnym człowiekiem o śniadej twarzy, ozdobionej groźnymi wąsami, których cień padał na przerażające wąskie usta pod długim nosem, zagiętym niczym dziób orła. Był dobrze ubrany, choć jego kosztowny krawat, błyszcząca szpilka i migoczące sygnety były dość krzykliwe. Gdy drzwi się za nim zamknęły, rozejrzał się, a w jego dzikim spojrzeniu krył się niepokój człowieka podejrzewającego pułapkę. Ujrzawszy głowę wystającą ponad kołnierzem szlafroka, wystającą zza oparcia fotela przy oknie, wykonał gwałtowny ruch. Najpierw na jego twarzy wymalowało się zdziwienie. Potem w ciemnych przerażających oczach pojawiła się iskra nadziei. Rozejrzał się ponownie, by się upewnić, że nie ma świadków, a następnie zbliżył się na palcach do milczącej postaci, lekko unosząc cienką laskę. Gdy gotował się do ataku, od strony sypialni usłyszał opanowany sardoniczny głos.

– Nie niszcz jej, hrabio! Zostaw!

Zamachowiec zachwiał się, a jego twarz wykrzywiła się z zaskoczenia. Na chwilę podniósł laskę jeszcze raz, jakby chciał przenieść gniew z kukły na oryginał, jednak ujrzawszy błysk w spokojnych szarych oczach i drwiący uśmiech na ustach Sherlocka Holmesa, opuścił rękę.

– To całkiem ładna rzecz – powiedział mój przyjaciel, podchodząc do kukły. – Wykonał ją francuski artysta Tavernier. Jest specjalistą w dziedzinie wytwarzania woskowych odlewów, tak jak pański przyjaciel Straubenzee w dziedzinie produkcji wiatrówek.

– Wiatrówek? Co pan ma na myśli?

– Proszę położyć kapelusz i laskę na stoliku. Dziękuję! Proszę usiąść. Czy mógłby pan również odłożyć rewolwer? No dobrze, skoro woli pan na nim siedzieć… Przychodzi pan w samą porę, gdyż właśnie pragnąłem uciąć sobie z nim krótką pogawędkę.

Hrabia zerknął gniewnie spod krzaczastych brwi.

– Ja również chciałem zamienić z panem kilka słów, Holmesie. Dlatego przyszedłem. Nie będę zaprzeczał, że przed chwilą zamierzałem pana zaatakować.

Holmes przysiadł na brzegu stolika, machając nogą.

– Zauważyłem, że taka myśl przemknęła panu przez głowę – odparł. – Czemu zawdzięczam te uprzejmości?

– Zrobił pan wszystko, co w pana mocy, by mnie rozgniewać. Nasłane przez pana kreatury deptały mi po piętach.

– Kreatury! Zapewniam pana, że to nieprawda!

– Nonsens! Kazałem je śledzić. W tej grze udział może brać tylko dwóch uczestników, Holmesie.

– To drobnostka, hrabio Sylviusie, ale czy nie zechciałby pan jednak zwracać się do mnie z należytym szacunkiem. Rozumie pan z pewnością, że w mojej profesji trzeba być w dobrych stosunkach z całą galerią różnych szumowin, zgodzi się zatem, że pański sprzeciw mógłby być nieco kłopotliwy.

– Dobrze, zatem panie Holmes.

– Doskonale! Zapewniam pana jednak, że myli się pan co do moich rzekomych agentów.

Hrabia Sylvius uśmiechnął się pogardliwie.

– Nie tylko pan mnie obserwował. Wczoraj szedł za mną starszy, wysportowany mężczyzna. Dzisiaj stara kobieta. Cały dzień mieli mnie na oku.

– Ależ doprawdy, to wspaniały komplement, sir. Stary baron Dowson stwierdził, zanim zawisnął na sznurze, że na moim wyborze profesji zyskał wymiar sprawiedliwości, stracił jednak teatr. A teraz także i pan zachwala moje małe rólki.

– To był pan? We własnej osobie?

Holmes wzruszył ramionami:

– W kącie stoi parasol, który tak uprzejmie podał mi pan w okolicy Minories, zanim jeszcze pojawiły się pańskie podejrzenia.

– Gdybym wiedział, nigdy więcej…

– Nie ujrzałbym mego skromnego domostwa. Byłem tego świadom. Nie ma osoby, która nie żałowałaby niewykorzystanych okazji. Wtedy jednak nie wiedział pan o niczym.

Krzaczaste brwi hrabiego opadły niżej, przysłaniając częściowo jego groźne oczy.

– Pańskie słowa tylko pogarszają sytuację. Okazuje się bowiem, że to nie byli nasłani przez pana ludzie, tylko to był pan jako intrygant odgrywający przedstawienie. Przyzna pan, że mnie oszukał. Dlaczego?

– Panie hrabio, polował pan na lwy w Algierii.

– I cóż z tego?

– Dlaczego?

– Jak to dlaczego? Dla sportu, podniecenia, niebezpieczeństwa!

– Zapewne też po to, by wyeliminować drapieżne szkodniki?

– Nie inaczej!

– Mówiąc ogólnie, to także moje powody!

Hrabia poderwał się na równe nogi i odruchowo sięgnął ręką do kieszeni.

– Proszę usiąść, sir! Jest jeszcze jeden konkretny powód. Zależy mi na tym żółtym brylancie.

Sylvius rozsiadł się na krześle, uśmiechając się złowieszczo.

– Doprawdy, ma pan tupet! – rzekł.

– Wiedział pan, że właśnie to mnie interesuje. Tak naprawdę złożył mi pan wizytę, by sprawdzić, jak wiele wiem o tej sprawie i czy usunięcie mnie jest niezbędne. Cóż, wiem na ten temat wszystko, oprócz jednej rzeczy, którą pan zaraz mi wyjawi.

– Doprawdy! A cóż to za brakujące ogniwo?

– Gdzie znajduje się klejnot koronny?

Hrabia popatrzył na pana domu przenikliwym wzrokiem.

– O to panu chodzi? Skąd do diabła mam wiedzieć, gdzie on jest?

– Pan wie i powie mi to.

– Tak pan sądzi?

– Pański blef na mnie nie działa, hrabio. – Oczy Holmesa wpatrzone w gościa zmieniały swój kolor, aż w końcu przyjęły barwę rozgrzanej stali.

– Jest pan całkiem przewidywalny. Mogę zajrzeć nawet w odległe zakątki pana umysłu.

– Zatem z pewnością wie pan także, gdzie jest brylant!

Holmes klasnął z entuzjazmem w dłonie, a następnie z drwiącą miną wskazał palcem gościa.

– Czyli jednak pan wie. Właśnie się pan przyznał.

– Do niczego się nie przyznałem.

– Jeśli podejdzie pan do tej sprawy rozsądnie, dobijemy targu. Jeśli nie, stanie się panu coś złego.

Hrabia Sylvius uniósł wzrok ku sufitowi.

– Podobno to ja tu blefuję! – rzekł.

Holmes popatrzył na niego przenikliwie, niczym mistrz szachowy, który rozmyśla właśnie nad ostatecznym ruchem, kończącym partię. Następnie otworzył szufladę stolika i wyjął z niej pękaty notatnik.

– Czy pan wie, co tu zapisuję?

– Nie mam pojęcia.

– Informacje o panu!

– O mnie?

– Zgadza się! Wszystko, co pana dotyczy, każdy epizod z pańskiego nikczemnego życia.

– Niech cię szlag, Holmesie! – krzyknął hrabia, patrząc wściekłym wzrokiem. – Moja cierpliwość ma granice!

– Wszystko opisałem, hrabio. Odnotowałem prawdziwe wydarzenia, związane ze śmiercią starej pani Harold. Pozostawiła ona panu posiadłość Blymer, którą zresztą szybko przegrał pan w karty.

– Chyba się to panu przyśniło!

– Opisałem również dokładnie historię życia panny Minnie Warrender.

– Do niczego się to panu nie przyda!

– Jest tego więcej, hrabio. Na przykład kradzież w luksusowym pociągu jadącym z Paryża na Riwierę, dokonana 13 lutego 1892 roku, lub sfałszowanie czeku złożonego we francuskim banku Credit Lyonnais.

– I tu się pan myli.

– A to oznacza, że w pozostałych przypadkach mam rację! Hrabio, grywa pan w karty. Kiedy przeciwnik ma w ręku atuty, lepiej oszczędzić sobie czas i odłożyć karty na stół.

– Czy to wszystko ma coś wspólnego z klejnotem, o którym pan wspominał?

– Spokojnie, hrabio! Pański żądny wiedzy umysł będzie musiał jeszcze chwilę poczekać! Jeżeli pan pozwoli, przejdziemy do sedna sprawy, krocząc moją własną, być może monotonną, ścieżką. Fakty świadczą przeciwko panu, przede wszystkim jednak mam mnóstwo dowodów na udział pana w kradzieży klejnotu koronnego i opryszka, który mu pomagał.

– Czyżby?

– Wiem, który dorożkarz zawiózł pana do Whitehall i zabrał z powrotem. Odźwierny widział pana na miejscu zdarzenia. Wiem także, że Ikey Sanders nie chciał pociąć klejnotu i doniósł na pana. Wiem wszystko!

Na czole hrabiego zaczęła pulsować żyła. Zacisnął ciemne owłosione dłonie, aby ukryć targające nim emocje. Próbował mówić, ale nie potrafił sklecić zdania.

– Właśnie takimi kartami gram – powiedział Holmes. – Wyłożyłem je na stół. Brakuje tylko jednej. Brylantowego króla. Nie wiem, gdzie jest klejnot.

– Nigdy się pan nie dowie.

– Czyżby? Niech pan pomyśli racjonalnie, hrabio. Proszę ocenić sytuację. Zamkną pana na dwadzieścia lat. Razem z Samem Mertonem. Jaki będzie miał pan pożytek z ukradzionego brylantu? Absolutnie żadnego. Jeśli jednak odda go pan, odstąpię od przekazania tych dowodów. Nie zależy nam ani na panu, ani na Samie. Chcemy odzyskać klejnot. Jeśli pan go odda, będzie pan wolny, zakładając, że w przyszłości powstrzyma się od dalszych występków. Kolejne potknięcie będzie dla pana ostatnim. Teraz jednak mam za zadanie odzyskanie klejnotu, a nie doprowadzenie pana do więzienia.

– A jeśli odmówię?

– Przykro mi, ale wtedy zamiast brylantu przekażę władzom pana.

Holmes zadzwonił, i w drzwiach pojawił się Billy.

– Sądzę, hrabio, że pański przyjaciel Sam również powinien uczestniczyć w tym spotkaniu. Wypadałoby, żeby zadbał o własne interesy. Billy, przy drzwiach wejściowych stoi potężny i mało urodziwy mężczyzna. Poproś, żeby wszedł na górę.

– A jeśli się nie zgodzi?

– Przemoc nie jest raczej wskazana. Nie bądź dla niego zbyt surowy. Jeśli powiesz mu, że prosi go tutaj hrabia Sylvius, na pewno przyjdzie.

– Co pan zamierza? – zapytał hrabia, gdy Billy opuścił pokój.

– Niedawno był tu mój przyjaciel Watson. Powiedziałem mu, że zarzucam sieć na rekina i płotkę. Teraz, gdy ją wyciągnę, będę miał obie ryby.

Hrabia wstał z krzesła, trzymając rękę za plecami. Widząc to, Holmes położył rękę na kieszeni szlafroka.

– Nie umrzesz w swym łóżku, Holmesie.

– Straszono mnie już nieraz podobnie. Ale czy to naprawdę ma jakieś znaczenie? W końcu i pan, hrabio, raczej opuści ten świat na stojąco, a nie w pozycji horyzontalnej. Zostawmy jednak te ponure prognozy dotyczące przyszłości. Korzystajmy z nieograniczonych przyjemności, jakie oferuje nam chwila obecna.

Groźne oczy arcyprzestępcy rozbłysły w ciemnościach niczym ślepia dzikiej bestii. Przygotowując się do odparcia ataku, Holmes naprężył mięśnie i jakby nieco urósł.

– Lepiej, żeby nie sięgał pan po rewolwer, przyjacielu – powiedział cicho. – Doskonale zdaje pan sobie sprawę, że nie ośmieli się go użyć, nawet jeśli zdąży pan go wyjąć. Rewolwery to paskudne hałaśliwe przedmioty, hrabio. Wiatrówka byłaby lepsza. Ach! Słyszę kroki pańskiego szanownego wspólnika. Dzień dobry, panie Merton. Trochę nudno na ulicy, co?

Zawodowy bokser, człowiek o potężnej budowie ciała i pociągłej twarzy, głupawej i zawziętej, stał, zmieszany, w drzwiach, patrząc z zakłopotaniem na obecnych. Uprzejmość Holmesa była dla niego czymś zupełnie nowym, i choć miał niejasne uczucie, że była podszyta wrogością, nie wiedział, jak zareagować. Zwrócił się o pomoc do swego bystrego towarzysza.

– Co to za gra, hrabio? Czego on chce? O co chodzi? – zapytał niskim ochrypłym głosem.

Hrabia wzruszył ramionami, a Holmes odpowiedział:

– Mówiąc w skrócie, panie Merton, chodzi o wszystko.

Bokser ciągle zwracał się do swego wspólnika:

– Czy ten typ próbuje być zabawny? Nie jestem dziś w zabawowym nastroju.

– Domyślam się – rzekł Holmes. – Mogę panu obiecać, że późnym wieczorem będzie pan miał mniej powodów do radości. Proszę posłuchać, hrabio. Mam wiele obowiązków i nie lubię tracić czasu. Pójdę teraz do sypialni i proszę, by podczas mojej nieobecności czuli się panowie jak u siebie. Hrabio, może pan bez skrępowania wyjaśnić wszystko swemu przyjacielowi. Zagram na skrzypcach „Barkarolę" z *Opowieści Hoffmana*. Za pięć minut wrócę, by usłyszeć ostateczną odpowiedź. Zna pan obie możliwości, prawda? Albo schwytamy pana, albo odzyskamy klejnot.

Holmes wyszedł, zabierając po drodze skrzypce, które stały w kącie. Po kilku chwilach przez zamknięte drzwi sypialni zaczęły się przedostawać przeciągłe, zawodzące dźwięki melodii, łatwo zapadającej w pamięć.

– O co chodzi? – zapytał zaniepokojony Merton, gdy jego towarzysz odwrócił się do niego. – Wie o klejnocie?

– Wie o nim stanowczo za dużo, ale nie mam pojęcia, czy wszystko.

– Na Boga! – Szara twarz boksera pobladła.

– Ikey Sanders na nas doniósł.

– Naprawdę? Załatwię go, nawet gdybym miał dostać za to stryczek.

– To nam w niczym nie pomoże. Musimy się zastanowić, co robić dalej.

– Chwilunia – powiedział bokser, patrząc podejrzliwie na drzwi sypialni. – To podejrzliwy typ, który lubi podglądać. Ale chyba nic nie słyszy, prawda?

– Jak mógłby podsłuchiwać przy tej muzyce?

– Racja. Może ktoś się ukrył za zasłonami. Jest tu ich zbyt wiele.

Rozglądając się uważniej po pokoju, ujrzał kukłę na tle okna i znieruchomiał, wskazując na nią palcem, zbyt przejęty, by wydusić z siebie słowo.

– Och! To tylko manekin – powiedział hrabia.

– Nieprawdziwy, tak? Niech mnie kule biją! Niczym w muzeum Madame Tussauds. Wykapany Holmes i ten jego szlafrok… Ale panie hrabio, co z tymi zasłonami?

– Do diabła, daj mi spokój z zasłonami! Tracimy czas, a mamy go niewiele. Przez ten kamień możemy trafić do więzienia.

– Prawda, do czorta!

– Powiedział, że pozwoli nam odejść, jeśli ujawnimy, gdzie ukryliśmy kamyk.

– Co? Mamy go oddać? Sto tysięcy funciaków?

– Albo jedno, albo drugie.

Merton podrapał się w krótko ostrzyżony czubek głowy.

– Jest tam sam. Załatwmy go. Jeśli światło jest zgaszone, nie mamy się czego obawiać.

Hrabia pokręcił głową na znak sprzeciwu.

– Ma broń, jest przygotowany na atak. Jeśli go zabijemy, trudno będzie nam stąd uciec. Poza tym bardzo możliwe, że przedstawił policji wszystkie dowody. Zaraz! Co to było?

Mężczyźni usłyszeli niewyraźny dźwięk dochodzący prawdopodobnie od strony okna. Poderwali się obaj na równe nogi, ale dookoła panowała cisza. W pokoju z całą pewnością nie było nikogo poza tą jedną dziwaczną postacią w fotelu.

– To pewnie na ulicy – rzekł Merton. – Szefie, tu szef jest od myślenia. Jeśli mordobicie nie wchodzi w grę, to już pan, hrabio, musi się martwić, jak nas z tego wyciągnąć.

– Zwodziłem już lepszych od niego – odparł hrabia. – Klejnot znajduje się w mojej sekretnej kieszeni. Zostawiając go, zbyt wiele bym ryzykował. Jeszcze dzisiaj mogę go wysłać z Anglii do Amsterdamu, gdzie przed niedzielą zostanie pocięty na cztery części. On nie wie nic o van Seddarze.

– Van Seddar miał wyjechać dopiero w przyszłym tygodniu.

– Tak miało być. Ale w obecnej sytuacji musi popłynąć pierwszym statkiem. Jeden z nas pójdzie teraz na Lime Street, żeby mu o tym powiedzieć.

– Ale nie przygotowaliśmy jeszcze podwójnego dna.

– Będzie musiał zaryzykować. Nie ma chwili do stracenia.

Ponownie zawiesił głos i w naturalny dla sportowca sposób popatrzył instynktownie w stronę okna, jakby przeczuwając zagrożenie. Ten cichy dźwięk z całą pewnością dochodził z ulicy.

– A jeśli chodzi o Holmesa – kontynuował – możemy go z łatwością oszukać. Widzisz, ten głupiec nie odda nas w ręce policji, dopóki nie będzie miał klejnotu. Obiecamy więc, że go oddamy. Wskażemy mu fałszywy trop, i zanim się zorientuje, że go oszukaliśmy, brylant będzie w Holandii, a my za granicą.

– To brzmi nieźle! – wykrzyknął Sam Merton z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Idź i powiedz temu Holendrowi, żeby się szykował do podróży. Ja pogadam z naszym frajerem i udzielę mu fałszywych wyjaśnień. Powiem, że klejnot znajduje się w Liverpoolu. Do diabła! Ta zawodząca muzyka działa mi na nerwy. Zanim zorientuje się, że wcale go tam nie ma, kamień będzie za granicą, a my na oceanie. Podejdź tu, bo widać cię przez dziurkę od klucza. Oto klejnot.

– Dziwne, że hrabia nie boi się nosić go ze sobą.

– A gdzie byłby bardziej bezpieczny? Jeśli nam się udało wynieść go z Whitehall, ktoś inny mógłby zabrać go z mojego mieszkania.

– Niech na niego spojrzę.

Hrabia Sylvius popatrzył na wspólnika spode łba i zlekceważył wyciągniętą w jego kierunku brudną rękę.

– Boisz się, że go zabiorę? Słuchaj, panie hrabio, twoje zwyczaje zaczynają mnie już męczyć.

– Sam, nie obrażaj się. Nie możemy się teraz kłócić. Jeśli chcesz zobaczyć to cacko w pełnej okazałości, musimy podejść do okna. Oglądaj pod światło! Proszę.

– Dziękuję.

Jednym szybkim ruchem Holmes poderwał się z fotela, w którym wcześniej siedział manekin, chwycił drogocenny kamień i zacisnął go w jednej dłoni. W drugiej trzymał rewolwer i mierzył z niego w głowę hrabiego. Dwaj złoczyńcy cofnęli się, osłupiali. Zanim przyszli do siebie, Holmes zdążył nacisnąć elektryczny dzwonek.

– Załatwmy to bez użycia przemocy, bardzo was proszę! Pomyślcie o przyszłości! Musicie wiedzieć, że znaleźliście się w sytuacji bez wyjścia. Na dole czeka już policja.

Oszołomienie hrabiego wzięło górę nad gniewem i strachem.

– Jak, do diabła…? – sapał.

– Pańskie zaskoczenie jest całkiem naturalne. Nie wie pan, że drugie drzwi w mojej sypialni prowadzą za tę kotarę. Domyślam się, że usłyszeliście, jak przenosiłem kukłę, ale szczęście było po mojej stronie. Przysłuchiwałem się waszej interesującej rozmowie, która z pewnością byłaby mniej szczera, gdybyście wiedzieli o mojej obecności.

Zrezygnowany hrabia wzruszył ramionami.

– Trzeba ci przyznać, Holmesie, że jesteś diabłem wcielonym.

– W każdym razie niedaleko mi do niego – odpowiedział Holmes, uśmiechając się uprzejmie.

Do ciężko myślącego Sama Mertona zaczęła stopniowo docierać prawda o sytuacji, w jakiej się znalazł. Teraz, gdy na schodach słychać było odgłosy ciężkich kroków, przerwał milczenie.

– Prawdziwy z pana policjant! – powiedział. – Te cholerne skrzypce, ciągle je słyszę.

– Ależ oczywiście – odpowiedział Holmes – ma pan rację. Posłuchajmy! Jakież to wspaniałe urządzenie te nowoczesne gramofony.

Do pokoju wbiegli policjanci, słychać było dźwięk zatrzaskiwanych kajdanek. Przestępców wyprowadzono do dorożki. Watson podszedł do Holmesa, by złożyć mu gratulacje. W końcu wieniec laurowy detektywa wzbogacił się o nowy listek. Rozmowę po raz kolejny przerwał niewzruszony Billy, który przyniósł tacę z wizytówką.

– Lord Cantlemere, sir.

– Poproś go, Billy. To szacowny arystokrata, reprezentuje sprawy najwyższej wagi – powiedział Holmes. – Znamienity i lojalny człowiek, ale raczej starej daty. Może powinniśmy go odpowiednio ukierunkować. Ośmielę się zaryzykować, wprowadzając nieco swobody do naszej rozmowy. Przypuszczam, nie ma pojęcia, co tutaj naprawdę zaszło.

W drzwiach pojawiła się szczupła postać o srogim obliczu, ozdobionym błyszczącymi czarnymi bokobrodami, przystrzyżonymi według mody panującej w środkowym okresie epoki wiktoriańskiej, które kłóciły się wyraźnie ze zgarbionymi plecami i niedołężnym chodem lorda. Mój przyjaciel podszedł do niego z uśmiechem na twarzy i uścisnął mu dłoń. Uścisk pozostał bez odpowiedzi.

– Jak się pan miewa, lordzie Cantlemere? Jest dosyć chłodno jak na tę porę roku, na szczęście, w domu jest ciepło. Pan pozwoli, wezmę jego palto.

– Nie, dziękuję, nie zamierzam go zdejmować.

Holmes nie dał za wygraną, przytrzymując lorda za rękaw.

– Niech się pan zgodzi! Mój przyjaciel doktor Watson z pewnością potwierdzi, że gwałtowne zmiany temperatury mogą być zdradzieckie dla zdrowia.

Jego lordowska mość z niecierpliwością wyswobodził się z uścisku.

– Czuję się doskonale, sir. Moja wizyta będzie krótka. Odwiedziłem pana, by sprawdzić, jak posuwają się sprawy w związku ze zleceniem, które sam sobie pan przydzielił.

– To bardzo trudne zadanie.

– Obawiałem się, że może pan mu nie sprostać. – W słowach i sposobie ich wypowiadania dało się wyczuć wyraźną drwinę. – Trzeba być świadomym granic własnych możliwości, panie Holmes. Dzięki tej wiedzy człowiek nie popada w samozachwyt.

– Zaiste czuję się zakłopotany.

– Nic dziwnego.

– Mam jeden problem. Może będzie pan w stanie mi pomóc?

– Dosyć późno prosi mnie pan o radę. Sądziłem, że jest pan samowystarczalny. Mimo to służę, oczywiście, pomocą.

– Lordzie Cantlemere, wiemy, jakie zarzuty postawimy złodziejom.

– Jeśli ich pan schwyta.

– Racja. Ale jak postąpić z osobą, która weszła w posiadanie ich łupu?

– Za wcześniej jest o tym teraz myśleć.

– Lepiej przygotować się zawczasu. Jak pan sądzi, jaki dowód mógłby ostatecznie pogrążyć taką osobę?

– Posiadanie klejnotu.

– Wtedy kazałby go pan aresztować?

– Z całą pewnością.

Holmes rzadko się śmiał, w tej chwili jednak Watson mógłby przysiąc, że pierwszy raz widzi przyjaciela, który z trudem powstrzymuje się, by parsknąć śmiechem.

– Cóż, sir, jest mi bardzo przykro, ale jestem zmuszony prosić inspektora, by pana aresztował.

Lord Cantlemere rozgniewał się do tego stopnia, że jego kościste policzki oblały płomienne rumieńce.

– Na zbyt wiele pan sobie pozwala, panie Holmes. Przez pięćdziesiąt lat pracy nikt mnie tak nie obraził. Mam wiele obowiązków, prowadzę niezwykle ważne sprawy i nie mam czasu ani ochoty na grubiańskie żarty. Szczerze mówiąc, zawsze wątpiłem w pańskie umiejętności i uważałem, że będzie lepiej dla sprawy, by zajęła się nią policja. Pańskie zachowanie potwierdza tylko moje obawy. Pan pozwoli, że się pożegnam.

Holmes w mgnieniu oka znalazł się między arystokratą a drzwiami.

– Chwileczkę, sir – rzekł. – Jeśli wyjdzie pan stąd z tym klejnotem, będzie to znacznie poważniejsze przewinienie niż teraz, gdy pan go jedynie chwilowo przetrzymuje.

– Nie będę tego tolerował! Proszę mnie wypuścić!

– Proszę włożyć rękę do prawej kieszeni swego palta.

– Co to ma znaczyć?

– Niech pan zrobi to, o co go proszę.

Po chwili osłupiały arystokrata stał, mrugając oczami i jąkając się, a w jego trzęsącej się dłoni spoczywał żółtawy klejnot.

– Jak to? To niemożliwe, panie Holmes!

– A jednak, lordzie Cantlemere! – krzyknął Holmes. – Mój stary przyjaciel na pewno potwierdzi, że mam zwyczaj czasami płatać figle oraz że upodobałem sobie odgrywanie dramatycznych scen wieńczących prowadzoną sprawę. Przyznaję, pozwoliłem sobie na wiele swobody, wkładając bezceremonialnie klejnot do pańskiej kieszeni na początku naszej rozmowy.

Starzec spoglądał to na brylant, to na uśmiechniętą twarz detektywa.

– Czuję się zdezorientowany. W rzeczy samej, jest to klejnot kardynała Mazariniego. Jesteśmy panu dozgonnie wdzięczni, panie Holmes. Choć pana poczucie humoru, jak sam pan zresztą przyznał, jest nieco dziwaczne, i moment, który pan wybrał na żarty, również mało stosowny, jednak muszę oddać panu sprawiedliwość w związku z jego wspaniałymi umiejętnościami zawodowymi. Ale jak…

– Sprawa jest praktycznie zakończona, tyle że na ujawnienie szczegółów będzie pan musiał poczekać. Z całą pewnością, lordzie Cantlemere, przyjemność, jaką będzie pan czerpał, opowiadając w swoim kręgu o tym wspaniałym sukcesie, będzie dla pana niewielkim zadośćuczynieniem za mój żart. Billy, odprowadź jego lordowską mość i powiedz pani Hudson, że będę wdzięczny, jeśli jak najszybciej przygotuje obiad dla dwóch osób.

Opowieść czwarta

Dom Pod Trzema Daszkami

Mam wrażenie, że żadna z przygód, które przeżyliśmy wspólnie z Sherlockiem Holmesem, nie rozpoczęła się w tak dramatycznych okolicznościach, jak sprawa domu Pod Trzema Daszkami. Nie widziałem Holmesa od kilku dni i nie orientowałem się, w jakim kierunku zmierzała sprawa, którą od niedawna prowadził. Tego ranka był bardzo rozmowny. Usadowiłem się w nieco już wysłużonym fotelu stojącym obok kominka, a Holmes z fajką w ustach zajął miejsce naprzeciwko mnie. Wtedy właśnie przybył gość. Gdybym napisał, że wpadł do nas rozjuszony byk, byłoby to znacznie bardziej trafne określenie.

Drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju wtargnął potężny Murzyn. Gdyby nie jego gwałtowne zachowanie, z całą pewnością można byłoby potraktować go jako postać komiczną, miał bowiem na sobie krzykliwy surdut w szarą kratkę i łososiowy krawat. Jego szeroka twarz i płaski nos były wysunięte do przodu, a spojrzenie ponurych oczu, w których jarzył się płomień gniewu, kierował to na mnie, to na mojego przyjaciela.

– Który z panów to Sherlock Holmes? – zapytał.

Mój przyjaciel uniósł do góry fajkę. Na jego twarzy gościł leniwy uśmiech.

– To pan, tak? – rzekł nasz gość, okrążając stół. Był bardzo natarczywy. – Panie Holmes, nie mieszaj się pan w nie swoje sprawy. Niech każdy robi, co do niego należy. Rozumiemy się?

– Proszę sobie nie przerywać – odpowiedział detektyw. – Proszę mówić dalej.

– Mam mówić, tak? – warknął dzikus. – Inaczej będziesz pan śpiewał, jak się do pana dobiorę. Miałem już do czynienia z takimi typami jak pan

i jak z nimi kończyłem, nie wyglądali na zadowolonych. Niech pan się temu dobrze przyjrzy!

Zamachał wielką, zaciśniętą w pięść dłonią przed nosem mego przyjaciela. Holmes obejrzał ją z wyrazem ogromnego zainteresowania.

– Czy ma pan taki charakter od urodzenia? – zapytał. – Czy stopniowo pan się taki stawał?

Być może lodowate spojrzenie gospodarza domu albo delikatne brzęknięcie pogrzebacza, który chwyciłem, sprawiły, że nasz gość nieco się uspokoił.

– Cóż, niech pan potem nie mówi, że go nie ostrzegałem – rzekł. – Mój przyjaciel interesuje się sprawą związaną z Harrow i nie życzy sobie, by pan się wtrącał. Jasne? Panie, nie jesteś pan od wymierzania sprawiedliwości, ja także nie jestem, ale jeśli się pan wtrącisz, to ja sie nim zajmę. Radzę o tym pamiętać!

– Już od jakiegoś czasu chciałem pana poznać – powiedział Holmes. – Nie poproszę, by pan usiadł, bo jego zapach jest dość przykry. Pan się nazywa Steve Dixie, mam rację? Był pan zawodowym bokserem?

– Zgadza się, i przekona się pan o tym osobiście, jeśli nadepnie mi na odcisk.

– Z pewnością jest to ostatnia rzecz, jakiej pan teraz potrzebuje – rzekł Holmes, wpatrując się w okropne usta gościa. – To chyba pana łączą z zabójstwem młodego Perkinsa przed barem w londyńskim Holborn. Już pan wychodzi?

Murzyn cofnął się kilka kroków, a jego twarz spochmurniała.

– Nie będę wysłuchiwał tych bzdur – odparł. – Co ja mam niby wspólnego z tym całym Perkinsem, panie Holmes? Trenowałem na ringu, gdy ten chłopak wpadł w tarapaty.

– Tak, tak, o tym właśnie opowie pan sędziemu – rzekł Holmes. – Od jakiegoś czasu obserwuję pana i niejakiego Barneya Stockdale’a…

– Na litość boską! To niech mi pan pomoże, panie Holmes.

– Wystarczy! Wynoś się pan stąd. Jak będę pana potrzebował, to go znajdę.

– Do widzenia. Mam nadzieję, że nie jest pan zły z powodu mojej wizyty?

– Nie będę się gniewał, jeśli powie mi pan, kto go nasłał.

– Nie ma problemu, to żaden sekret. Ten dżentelmen, o którym pan przed chwilą wspominał.

– A kto jest jego szefem?

– Nie mam pojęcia, panie Holmes. Powiedział mi tylko: „Steve, masz iść do pana Holmesa i powiedzieć mu, że jeśli mu życie miłe, to nie powinien się wtrącać w sprawę posiadłości w Harrow”. Tak właśnie było.

Nie czekając na dalsze pytania, nasz gość wypadł z pokoju jak z procy, prawie tak szybko, jak wszedł. Holmes strząsnął popiół z fajki, uśmiechając się pod nosem.

– Cieszę się, że nie musiałeś rozbić mu tej tępej łepetyny, Watsonie. Zauważyłem, jak majstrowałeś przy pogrzebaczu. Ale uwierz mi, to nieszkodliwy typ, takie porywcze dziecko, muskularne i głupawe, które bez trudu można zastraszyć, jak zresztą sam widziałeś. Jest jednym z członków gangu Spencera Johna i ostatnio odwalił dla niego sporo brudnej roboty, o czym opowiem w wolnej chwili. Jego bezpośredni przełożony Barney jest od niego bystrzejszy. Napadają, kradną, zastraszają i robią podobne rzeczy. Przy okazji chcę się dowiedzieć, kto stoi na czele gangu.

– To dlaczego chcą zastraszyć ciebie?

– Chodzi o sprawę Harrow Weald. Właśnie zdecydowałem, że się nią zajmę, bo jeśli oni zadali sobie tyle trudu, żeby mnie od tego powstrzymać, to znaczy, że coś musi być w niej podejrzanego.

– A co to za sprawa?

– Miałem ci wyjaśnić, tylko przeszkodził mi ten komediant. Oto list od pani Maberley. Oczywiście, jeśli nie masz nic innego do roboty, to zatelegrafujemy do niej, a potem wyruszymy w podróż.

Wziąłem list do ręki i przeczytałem:

SZANOWNY PANIE HOLMES!

Ostatnio miały miejsce dziwne wypadki związane z moim domem i sądzę, że powinnam zasięgnąć pańskiej rady. Jutro cały dzień będę w domu. Mieszkam niedaleko stacji Weald. O ile sobie przypominam, mój zmarły mąż Mortimer Maberley był jednym z pierwszych pańskich klientów.

Z wyrazami szacunku, Mary Maberley

Na kopercie widniał adres: „Dom pod Trzema Daszkami, Harrow Weald”.

– Wiesz już wszystko! – rzekł Holmes. – A teraz, Watsonie, jeśli masz wolne popołudnie i możesz pojechać ze mną, powinniśmy się już zbierać.

Po niedługiej podróży pociągiem i jeszcze krótszej – powozem znaleźliśmy się na miejscu. Naszym oczom ukazała się stojąca na łące willa zbudowana z drewna i cegły. Trzy maleńkie daszki nad oknami znajdującymi się na wyższej kondygnacji były marnym uzasadnieniem nazwy domu. Za budynkiem znajdował się ponury zagajnik, w którym rosły niskopienne sosny. Mimo wyjątkowo zaniedbanego i przygnębiającego otoczenia dom wewnątrz był urządzony bardzo ładnie, a pani, która otworzyła nam drzwi, okazała się niezwykle sympatyczną staruszką o nienagannych manierach.

– Bardzo dobrze pamiętam pani męża, madame – rzekł Holmes – choć już wiele lat minęło od czasu, kiedy potrzebował mojej pomocy w jakiejś drobnej sprawie.

– Prawdopodobnie słyszał pan o moim synu Douglasie.

Holmes popatrzył na nią z nagłym zainteresowaniem.

– No proszę! To pani jest matką Douglasa Maberleya? Znałem go, oczywiście, cały Londyn go znał. Cóż za wspaniały człowiek! Gdzie przebywa obecnie?

– Nie żyje, panie Holmes! Pracował jako attaché w Rzymie, w zeszłym miesiącu zmarł na zapalenie płuc.

– Tak mi przykro. Śmierć nie pasuje do tak znakomitego człowieka. Nigdy dotąd nie poznałem nikogo, kto bardziej kochałby życie. Tętnił energią i żył bardzo intensywnie.

– Zbyt intensywnie, panie Holmes. To właśnie ten tryb życia go zniszczył. Pan go pamięta z czasów, gdy był jeszcze w świetnej formie. Nie widział pan, jaki stał się humorzasty, przygnębiony i wiecznie zamyślony. Miał złamane serce. W ciągu miesiąca mój chłopiec przeobraził się z wytwornego młodzieńca w zmizerowanego cynika.

– Miał romans? Chodzi o kobietę?

– Raczej o diabła w ludzkiej skórze. Ale nie po to panów zaprosiłam, żeby wspominać mojego biednego syna, panie Holmes.

– Razem z doktorem Watsonem jesteśmy do pani dyspozycji.

– Ostatnio miały tu miejsce bardzo dziwne wydarzenia. Mieszkam w tym domu już ponad rok, a ponieważ zależy mi na tym, by moje życie na emeryturze było spokojne, rzadko widuję się z sąsiadami. Trzy dni temu

złożył mi wizytę mężczyzna, który podał się za agenta nieruchomości. Twierdził, że jego klient poszukuje właśnie takiego domu jak mój, i jeśli zgodzę się na sprzedaż, jest gotów zapłacić każdą cenę. Wydało mi się to dość dziwne, ponieważ obecnie w pobliżu wystawionych jest na sprzedaż kilka bardzo przyzwoitych domów, ale oczywiście zainteresowało mnie to, co powiedział mój gość. Cena, którą zaproponowałam, była wyższa o pięćset funtów od kwoty, którą zapłaciłam. Od razu przystał na moją propozycję i poprosił, bym wyceniła także meble, gdyż jego klient chciałby odkupić całe wyposażenie. Niektóre z tych mebli przywiozłam ze sobą z poprzedniego domu i, jak panowie widzicie, są dosyć solidne, przedłożyłam więc okrągłą sumkę. Ponownie zgodził się od razu. Zawsze marzyłam o podróżach, a oferta była tak fantastyczna, że pomyślałam, iż te pieniądze zagwarantują mi życie na odpowiednim poziomie. Wczoraj człowiek ten przyjechał z przygotowaną umową. Na szczęście, pokazałam ją panu Sutro, prawnikowi mieszkającemu w Harrow, który powiedział: „To jest bardzo dziwny dokument. Czy jest pani świadoma, że podpisując go, nie będzie pani mogła wynieść niczego z tego domu, nawet rzeczy osobistych?”. Gdy mężczyzna wrócił wieczorem, wskazałam ten zapis w umowie i powiedziałam, że chciałam sprzedać jedynie meble. „Nie, proszę pani, wszystko” – odparł. „Moje ubrania też? I biżuterię?”. „No cóż, możemy ewentualnie pójść na drobne ustępstwa, jeśli chodzi o pani rzeczy osobiste. Ale bez naszej wiedzy nie może pani niczego zabrać. Mój klient jest bardzo liberalnym człowiekiem, ma jednak swoje kaprysy i lubi załatwiać interesy po swojemu. Albo wszystko, albo nic”. „Zatem nic z tego nie będzie” – odparłam. Pożegnaliśmy się, ale ta sprawa wydawała mi się do tego stopnia nietypowa, że…

W tym momencie pani Maberley zawiesiła nagle głos, bo Holmes uniósł dłoń, uciszając gospodynię. Następnie przeszedł przez pokój, otworzył z rozmachem drzwi i wciągnął za rękę do pokoju wysoką kobietę. Weszła z wielkimi oporami, wyglądała jak wielka dziwaczna gdacząca kura, siłą wyrwana ze swego kurnika.

– Proszę zostawić mnie w spokoju! Co pan wyrabia? – skrzeczała.

– Susan, co to ma znaczyć?

– Chciałam wejść, żeby zapytać, czy goście zostaną na lunch, a ten mężczyzna naskoczył na mnie.

– Przysłuchuję się jej od pięciu minut, ale nie chciałem przerywać pani frapującej opowieści. Czyżbyś była astmatyczką, Susan? Chyba nie nadajesz się do takiej pracy, twój oddech jest zbyt świszczący.

Susan zwróciła obrażoną i jednocześnie zdziwioną twarz w stronę swego oprawcy.

– Kim pan w ogóle jest i jakim prawem mnie tak traktuje?

– Chcę w twojej obecności zadać pani Maberley kilka pytań. Czy wspominała pani komuś, że zamierza prosić mnie o radę?

– Skądże, panie Holmes.

– Kto zaniósł na pocztę list zaadresowany do mnie?

– Susan.

– No właśnie. Susan, kogo powiadomiłaś o tym, że twoja pani wysłała do mnie list?

– To kłamstwo! Nikomu o tym nie mówiłam.

– Zdajesz sobie sprawę z tego, że astmatycy nie żyją długo, prawda? Niełądnie tak kłamać. Z kim sie kontaktowałaś?

– Susan! – krzyknęła gospodyni. – Wygląda na to, że jesteś zdradliwą kobietą. Przypominam sobie, że widziałam, jak rozmawiałaś z kimś przez żywopłot.

– To moja sprawa – odburknęła służąca.

– A jeśli powiem ci, że był to Barney Stockdale? – odparł Holmes.

– Skoro pan wie, to po co pyta?

– Nie byłem pewien, ale teraz już jestem. Myślę, że za dziesięć funtów powiesz mi, kto jest szefem Barneya.

– To ktoś, kto za pańskie dziesięć funtów z łatwością zapłaci tysiąc.

– Zatem jest to zamożny dżentelmen. Widzę, że się uśmiechnęłaś, czyli chodzi o kobietę. Skoro już tyle udało mi się z ciebie wyciągnąć, to możesz także powiedzieć mi, jak brzmi jej nazwisko, zarobisz przy okazji tę dziesiątkę.

– Prędzej zobaczymy się w piekle, niż panu powiem!

– Susan! Jak ty się wyrażasz?!

– Wynoszę się stąd. Mam was wszystkich dosyć. Jutro przyślę kogoś po moje rzeczy. – Ruszyła w stronę drzwi.

– Żegnam cię, Susan. A na twoje dolegliwości najlepiej stosować nalewkę z opium… Ten gang – kontynuował Holmes poważnym tonem, gdy drzwi zamknęły się za rozzłoszczoną kobietą – prowadzi różne

interesy. Proszę zobaczyć, jak zbliżyli się do pani. List przyszedł w kopercie ze stemplem, na którym widniała godzina dziesiąta. Susan szepnęła słówko Barneyowi, ten udał się do swego szefa i otrzymał dalsze instrukcje. Sam szef lub sama szefowa natomiast (biorąc pod uwagę uśmieszek Susan, gdy myślała, że nie znam prawdy, skłaniałbym się raczej ku temu drugiemu) szykuje plan. Czarny Steve zostaje wezwany i przynosi mi ostrzeżenie o jedenastej następnego ranka. Całkiem sprawna i szybka akcja.

– Ale czego oni chcą?

– To dobre pytanie. Kto mieszkał w tym domu przed panią?

– Ferguson, emerytowany kapitan żeglugi morskiej.

– Czy wiążą się z nim jakieś niezwykłe opowieści?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Zastanawiam się, czy mógł tutaj coś zakopać. W dzisiejszych czasach skarby ukrywa się raczej w banku, a nie zakopuje w ziemi. Ale zawsze znajdzie się jakiś szaleniec, który załatwia sprawy po swojemu. Bez takich dziwaków świat byłby wyjątkowo nudny. Na początku myślałem, że zakopał coś cennego. Nie wiem tylko, po co wtedy zależałoby im na pani meblach? Może nie zdaje pani sobie sprawy z tego, że posiada oryginalny obraz Rafaela albo pierwsze wydanie sztuk Szekspira?

– Poza serwisem do herbaty znanej firmy Crown Derby nie mam niczego drogocennego.

– Zatem tajemnica ciągle pozostaje nierozwiązana. Dlaczego nie powiedzą otwarcie, o co chodzi? Jeśliby zależało im na tym serwisie do herbaty, mogliby go wykupić, a nie czatować na całe pani mienie. Tu raczej chodzi o coś, co pani posiada, ale nie zdaje sobie z tego sprawy; gdyby pani o tym wiedziała, nie chciałaby się tego pozbyć.

– Mnie też się tak wydaje – wtrąciłem.

– Doktor Watson zgadza się ze mną, więc mamy rozwiązanie.

– Ale cóż to takiego może być, panie Holmes?

– Zobaczmy, czy analizując tę sprawę i wykorzystując jedynie zdolności umysłu, dojdziemy do bardziej konkretnych wniosków. W tym domu mieszka pani od roku, zgadza się?

– Prawie od dwóch lat.

– Tym lepiej. Przez ten czas nikt pani nie niepokoił. Teraz nagle od kilku dni natrętnie czynią pani propozycje. Jaki z tego wniosek?

– To może oznaczać tylko tyle – powiedziałem – że cokolwiek to jest, znajduje się w tym domu od niedawna.

– Zgadzamy się ponownie – rzekł Holmes. – Pani Maberley, czy ostatnio pojawił się tu jakiś nowy przedmiot?

– W tym roku niczego nie kupowałam.

– Doprawdy! To niezwykle interesujące. Dopóki nie znamy wszystkich faktów, pozostaje czekać; zobaczymy, jak sprawy się rozwiną. Czy ten prawnik, o którym pani wspomniała, jest wystarczająco kompetentny?

– Pan Sutro? Jak najbardziej.

– Czy poza tą zdrajczynią Susan, która przed chwilą trzasnęła drzwiami, ktoś jeszcze dla pani pracuje?

– Owszem, młoda służąca.

– Proszę zapytać prawnika, czy nie mógłby spędzić tu kilku najbliższych nocy. Być może przyda się pani ochrona.

– Przed kim?

– A któż to wie? Ta sprawa wydaje się dość skomplikowana. Jeśli mam się dowiedzieć, czego oni tak naprawdę chcą, muszę zacząć poszukiwania z innej strony, dlatego postaram się dotrzeć do szefa bandy. Czy ten agent nieruchomości zostawił swój adres?

– Nie, tylko wizytówkę, na której oprócz nazwiska widnieje jego profesja: „Haines-Johnson, aukcjoner i rzeczoznawca”.

– Nie sądzę, żebyśmy znaleźli go w książce telefonicznej. Uczciwi przedsiębiorcy nie ukrywają adresu swego biura. Proszę mnie o wszystkim informować. Zlecenie przyjmuję i zapewniam, że może pani liczyć na rozwiązanie zagadki.

Idąc do drzwi, Holmes, któremu nigdy nie umknąłby żaden, nawet najmniejszy szczegół, zwrócił uwagę na kilka kufrów i skrzyń stojących w kącie. Widniały na nich zawieszki.

– „Mediolan”, „Lucerna”. Przywieziono je z Włoch?

– To rzeczy mojego biednego syna.

– Jeszcze pani ich nie rozpakowała? Kiedy je dostarczono?

– W zeszłym tygodniu.

– Ale przecież mówiła pani…, cóż, to może być brakujące ogniwo. Czy wśród rzeczy syna jest coś wartościowego?

– To niemożliwe, panie Holmes. Mój biedny Douglas otrzymywał tylko niewielką pensję i roczną rentę. Cóż kosztownego mógłby mieć?

Holmes pogrążył się w zadumie.

– Proszę nie zwlekać, pani Maberley – powiedział w końcu. – Niech ktoś zaniesie te rzeczy do pani sypialni. Proszę jak najszybciej sprawdzić, co znajduje się w kufrach. Jutro powie mi pani, czy znalazła coś godnego uwagi.

Gdy wyszliśmy na zewnątrz, okazało się, że dom Pod Trzema Daszkami był pod obserwacją. Przechodząc obok wysokiego żywopłotu, zauważyliśmy ukrytego w ciemnościach na końcu alejki czarnoskórego boksera. Podeszliśmy do niego znienacka. W tym opustoszałym zakątku jego sylwetka wyglądała złowieszczo i posępnie. Mój przyjaciel złapał się za kieszeń.

– Szuka pan swojego pistoletu, panie Holmes? – zapytał zbir.

– Nie, flakonika z perfumami – odparł detektyw.

– Myśli pan, ze jest zabawny?

– Jeśli się za ciebie wezmę, to z pewnością nie będzie dla ciebie zabawne. Dziś rano cię ostrzegałem.

– Cóż, panie Holmes, przemyślałem to, co żeś pan mówił, mam już dosyć słuchania o tym Perkinsie. Jeśli mogę panu pomóc, to jestem skłonny do współpracy.

– No to powiedz, kto stoi za tą sprawą?

– Zaklinam się na wszystko! Panie Holmes, wcześniej mówiłem prawdę. Nie wiem. Dostaję instrukcje od mojego szefa Barneya, a poza tym nic nie wiem.

– Miej na uwadze, że pani, która tu mieszka, i to wszystko, co posiada, znajduje sie pod moją opieką. Pamiętaj o tym!

– Dobrze, panie Holmes. Będę pamiętał.

– Widzisz, Watsonie, przestraszyłem go, i teraz boi się o własną skórę – powiedział Holmes, kiedy oddaliliśmy się od domu. – Dlatego sądzę, że gdyby znał swego szefa, powiedziałby, kto nim jest. Dobrze się złożyło, że wiedziałem co nieco o gangu Spencera Johna i że Steve jest jednym z jego członków. Watsonie, to jest sprawa dla Langdale’a Pike’a, z którym właśnie zamierzam się zobaczyć. Być może to spotkanie otworzy mi oczy.

Tego dnia nie widziałem się już z Holmesem, ale mogę sobie wyobrazić, jak spędził czas. Langdale Pike był dla niego jak kolumna w gazecie, opisującej skandale towarzyskie. Ten dziwny apatyczny człowiek spędzał cały swój wolny czas, siedząc w oknie klubu przy St. James’s Street

i obserwując towarzystwo. Mężczyzna ten zbierał i przekazywał dalej wszystkie londyńskie ploteczki. Mówiono, że co miesiąc inkasuje czterocyfrową sumkę za dostarczanie brukowcom pikantnych informacji, które zaspokajają ciekawość czytelników. Gdy tylko w mętnych głębinach Londynu podwodne wiry zaczynały się uaktywniać, natychmiast skrupulatnie to odnotowywał i wyciągał z dna na powierzchnię ukrytą tajemnicę. Holmes dyskretnie informował Langdale'a o pewnych sprawach, w zamian za co ten drugi odwdzięczał się, pomagając czasem detektywowi.

Gdy wczesnym rankiem następnego dnia spotkałem się z mym przyjacielem na Baker Street, jego zachowanie wskazywało na to, że sprawy toczą się w dobrym kierunku. Mimo to czekała na nas przykra niespodzianka. Objawiła się jako telegram o następującej treści:

> Proszę natychmiast przyjechać. W nocy włamano się do domu klientki. Na miejscu jest policja. SUTRO.

Holmes zagwizdał.

– Punkt kulminacyjny dramatu nadszedł szybciej, niż się spodziewałem, ale nie jestem zdziwiony, bo całym interesem kieruje jakaś wyjątkowa postać, Watsonie. Poza tym czegoś się dowiedziałem. Pan Sutro to prawnik naszej klientki. Obawiam się, że popełniłem błąd, gdyż to ty powinieneś był zostać u niej na noc. Na tym człowieku najwyraźniej nie można polegać. Cóż, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko po raz kolejny złożyć wizytę w Harrow Weald.

Stara posiadłość Pod Trzema Daszkami prezentowała się teraz inaczej niż poprzedniego dnia. Mała grupka gapiów zebrała się pod bramą ogrodu, podczas gdy inspektorzy policji szukali śladów na parapetach okien i między liśćmi geranium. W środku natknęliśmy się na starszego siwego dżentelmena, który przedstawił się jako prawnik, oraz żywiołowego inspektora o rumianej twarzy, który powitał Holmesa jak starego przyjaciela.

– Cóż, panie Holmes, wydaje mi się, że tym razem pana umiejętności się nie przydadzą. To tylko włamanie, z którym zwyczajni policjanci na pewno sobie poradzą. Wiedza specjalisty nie będzie tu potrzebna.

– Jestem przekonany, że sprawą zajmą się najlepsi ludzie – rzekł Holmes. – Twierdzi pan, że to tylko zwyczajne włamanie?

– Zgadza się. Wiemy, kto to zrobił i gdzie ich szukać. To sprawka gangu Barneya Stockdale’a, którego jednym z członków jest ten potężny Murzyn. Podobno się tu kręcili.

– Doskonale! Co zabrali?

– Raczej niewiele. Panią Maberley odurzono chloroformem, a dom… Proszę, oto i gospodyni we własnej osobie!

Klientka, którą poznaliśmy poprzedniego dnia, weszła do pokoju prowadzona przez niewysoką służącą o drobnej posturze. Wyglądała blado i mizernie.

– Pańska rada okazała się nad wyraz trafna, panie Holmes – rzekła ze smutnym uśmiechem na twarzy. – Niestety, nie posłuchałam jej! Nie chciałam kłopotać pana Sutro, więc zostałam bez opieki.

– Dopiero dziś rano usłyszałem, co się wydarzyło – dodał prawnik.

– Pan Holmes poradził mi, żebym poprosiła kogoś zaufanego, by towarzyszył mi w domu. Zignorowałam jego radę, i spotkała mnie za to kara.

– Wygląda pani wyjątkowo mizernie – powiedział Holmes. – Pewnie nie ma pani siły, by opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Wszystko jest tu – rzekł inspektor, wyciągając pokaźny notes.

– Jeśli jednak pani czuje się na siłach, by…

– Niewiele mogę powiedzieć. Jestem przekonana, że otworzyła im drzwi ta niewdzięcznica Susan. Wygląda na to, że znali każdy zakamarek domu. Zanim przyłożono mi do twarzy chloroform, przez chwilę jeszcze kojarzyłam, co się dzieje, ale potem straciłam przytomność i nie wiem, jak długo to trwało. Gdy się obudziłam, u wezgłowia lóżka stał jakiś człowiek, a drugi podnosił się z klęczek z zawiniątkiem w dłoni, które znalazł wewnątrz jednego z kufrów mojego syna. Pozostałe skrzynie były pootwierane, wszędzie na podłodze leżały porozrzucane przedmioty. Próbowałam go schwytać.

– Wiele pani ryzykowała – rzekł inspektor.

– Uczepiłam się go kurczowo, ale zdołał się wyrwać, drugi z nich prawdopodobnie mnie uderzył, bo od tamtej chwili niczego już nie pamiętam. Moja służąca Mary usłyszała hałas i zaczęła krzyczeć przez okno. Przyjechała policja, ale łobuzy zdążyły umknąć.

– Co zabrali?

– Nie sądzę, żeby zginęły jakieś wartościowe przedmioty. Jestem pewna, że w kufrach mojego syna nie było niczego cennego.

– Czy zostawili jakieś ślady?

– Skrawek papieru. Musiałam go wyrwać człowiekowi, na którego się rzuciłam. Leżał pognieciony na podłodze. Słowa zostały napisane ręką mojego syna.

– A to znaczy, że nam się nie przyda – rzekł inspektor. – Gdyby tę notatkę napisał włamywacz…

– Racja! – rzekł Holmes. – Co za zdrowy rozsądek! Mimo to chciałbym zobaczyć tę kartkę.

Inspektor wyciągnął złożony papier z notatnika.

– Nic nie umknie mojej uwadze, nawet takie błahostki – powiedział nieco pompatycznie. – I to jest właśnie moja rada dla pana, panie Holmes. Dwadzieścia pięć lat pracy w zawodzie nie poszło na marne. Zawsze istnieje prawdopodobieństwo znalezienia odcisków palców.

Holmes przyjrzał się uważnie pomiętej kartce papieru.

– Jakie wyciągnął pan z tego wnioski, inspektorze?

– Wygląda jak zakończenie jakiejś dziwacznej powieści.

– W rzeczy samej, może się okazać, że będzie to zakończenie osobliwej opowieści – rzekł Holmes. – Zauważył pan numer zapisany na górze strony? Dwieście czterdzieści pięć. Gdzie zatem podziały się dwieście czterdzieści cztery pozostałe strony?

– Myślę, że zabrali je złodzieje. Tylko na co im to potrzebne!

– Czyż to nie dziwne, że włamywacze szukali akurat tego? Czy to panu coś mówi, inspektorze?

– Tak, sir, myślę, że dranie zabrali to, co mieli pod ręką. Życzę im szczęścia z takimi łupami.

– Dlaczego mieliby przetrząsać rzeczy mojego syna? – zapytała pani Maberley.

– Na dole nie znaleźli niczego cennego, więc spróbowali szczęścia na górze. Oto moje wnioski. Co pan o tym myśli, panie Holmes?

– Muszę to jeszcze dokładnie przemyśleć, inspektorze. Watsonie, podejdź, proszę, do okna.

Stojąc ramię w ramię, przeczytaliśmy tekst zapisany na kartce papieru. Zaczynał się w środku zdania i brzmiał następująco:

> …twarz mocno krwawiła w miejscach ran ciętych i uderzeń, ale to nic w porównaniu z jego sercem, które krwawiło jeszcze mocniej, gdy spoglądał w oczy ukochanej osoby patrzące teraz na jego cierpienie i upokorzenie. Był gotów poświęcić dla niej swe życie. Kobieta śmiała się – naprawdę się śmiała! Gdy na nią popatrzył, była już tylko diablicą bez serca. To właśnie wtedy umarła miłość i narodziła się nienawiść. Człowiek musi mieć powód, by żyć. Jeśli tym powodem nie są już twe objęcia, moja pani, będzie nim moja zemsta i twoja zguba.

– Dziwna gramatyka! – powiedział Holmes z uśmiechem na ustach, oddając inspektorowi kartkę. – Zauważył pan, jak narracja nagle zmienia się z trzeciej osoby na pierwszą? Pisarz tak zatracił się we własnej opowieści, że stał się jej głównym bohaterem.

– To raczej mierna pisanina – rzekł inspektor, wkładając papier między kartki notesu. – A cóż to, pan wychodzi, panie Holmes?

– Moja obecność nie przyda się na nic, skoro sprawa trafiła w tak kompetentne ręce. Na marginesie, pani Maberley, zawsze marzyła pani o podróżach, prawda?

– Zgadza się, panie Holmes.

– Dokąd chciałaby pani pojechać. Do Kairu, na Maderę, Riwierę Francuską?

– Gdybym miała pieniądze, pojechałabym w podróż dookoła świata.

– No tak. Dookoła świata. Pozwolą państwo, że się pożegnam. Pewnie wieczorem jeszcze do pani napiszę.

Wychodząc, kątem oka ujrzeliśmy uśmiech na twarzy inspektora nieznacznie kiwającego głową: „Ci przemądrzali zwykle mają w sobie coś z szaleńców”. Taki sens miała prawdopodobnie mina malująca się na twarzy inspektora.

– Watsonie, nasza podróż zmierza ku końcowi – powiedział Holmes, gdy ponownie znaleźliśmy się w hałaśliwym centrum Londynu. – Najlepiej będzie, jeśli załatwimy tę sprawę od razu. Dobrze by było, gdybyś mi towarzyszył, bo interesy z panią Isadorą Klein lepiej prowadzić przy świadkach.

Dorożkarz żwawo wiózł nas w kierunku Grosvenor Square. Holmes nagle ocknął się z zamyślenia, w którym trwał od jakiegoś czasu.

– Watsonie, mam nadzieję, że cała ta sprawa już nie jest dla ciebie zagadką.

– Niestety, nie mogę tego powiedzieć. Wnioskuję jedynie, że właśnie zmierzamy w kierunku domu kobiety, która uknuła tę intrygę.

– Nie inaczej! Ale czy nazwisko Klein nic ci nie mówi? Niegdyś głośno było o jej zachwycającej urodzie. Nie było piękniejszej kobiety. Jest Hiszpanką, w jej żyłach płynie krew potężnych konkwistadorów, rodzina od wielu pokoleń rządzi w Pernambuco. Wyszła za mąż za podstarzałego przedsiębiorcę z Niemiec, niejakiego Kleina, handlującego cukrem, dzięki czemu obecnie jest najbogatszą i zarazem najpiękniejszą wdową pod słońcem. Po jego śmierci zaczęła zaspokajać własne zachcianki. Miała wielu kochanków, w tym Douglasa Maberleya, jednego z najwspanialszych młodzieńców w Londynie. Z tego, co mi wiadomo, nie był to jedynie przelotny romans. On nie należał do tych, co to skaczą z kwiatka na kwiatek. Był dumnym mężczyzną, który wiele potrafił dać, ale miał również wysokie oczekiwania. Ona zaś była niczym typowa bohaterka powieści, „bezlitosna piękna dama”. Gdy tylko zaspokoi swój kaprys, porzuca kochanka, a jeśli on, wiedziony uczuciem, nie chce przyjąć do wiadomości gorzkich słów, Isadora ma swoje sposoby, by dać mu do zrozumienia, że to koniec.

– Zatem to właśnie przytrafiło sie młodemu Douglasowi…

– Widzę, że zaczynasz łączyć fakty. Słyszałem, że niedługo ma wyjść za mąż za młodego księcia Lomond, który mógłby być jej synem. Matka jego wysokości może i nie przejmie się wiekiem swojej przyszłej synowej, ale ewentualny skandal to zupełnie inna sprawa, tego nie zniesie. O, proszę, jesteśmy na miejscu!

Dorożka zatrzymała się przed jedną z najwspanialszych narożnych kamienic w dzielnicy West End. Lokaj zachowujący się jak maszyna wziął od nas wizytówki i po chwili wrócił, informując, że pani nie ma w domu.

– Zatem poczekamy na nią – powiedział rozbawiony Holmes.

„Maszyna” zareagowała natychmiast.

– To, że pani nie ma w domu, oznacza, że nie ma jej dla panów – rzekł lokaj.

– Dobrze – odparł Holmes. – Zatem nie będziemy czekać. Bądź tak miły i przekaż swej pani tę wiadomość.

Na kartce wyrwanej z notesu nabazgrał kilka słów, po czym złożył ją i podał lokajowi.

– Co napisałeś, Holmesie? – zapytałem.

– Zadałem jedno pytanie: „W takim razie wybiera pani policję?”. Myślę, że to będzie dla nas przepustka.

Faktycznie, lokaj wrócił zdumiewająco szybko z informacją, że możemy wejść. Po chwili znaleźliśmy się w salonie rodem z baśni tysiąca i jednej nocy, obszernym i zachwycającym, pogrążonym w półmroku, z ustawionymi gdzieniegdzie lampami świecącymi na różowo. Gospodyni była w wieku, kiedy nawet najbardziej zachwycającej urodzie sprzyja półmrok. Gdy weszliśmy, z kanapy podniosła się dostojnie wysoka kobieta o idealnej figurze i twarzy, na której piękno zastygło niczym maska, a niezwykłe oczy, zdradzające hiszpański temperament, patrzyły na nas tak, jakby ich właścicielka chciała nas zabić.

– Co panowie sobie wyobrażają, co to za najście i oburzająca wiadomość? – zapytała, wskazując na kartkę.

– Nie sądzę, by wyjaśnienia były konieczne, madame. Zbyt sobie cenię pani inteligencję, by to tłumaczyć – choć muszę pani wyznać, że ostatnimi czasy nie jest pani w szczytowej formie, jeśli chodzi o inteligencję.

– Co pan ma na myśli, sir?

– Sądziła pani, że przestraszą mnie nasłani przez panią dranie i wycofam się z tej sprawy. Zapewne żaden człowiek w takiej sytuacji nie podjąłby się tego zadania, chyba że tak, jak mnie, pociągałoby go niebezpieczeństwo. Wychodzi zatem na to, że to dzięki pani zainteresowałem się sprawą młodego Maberleya.

– Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Co ja mam niby wspólnego z wynajętymi łobuzami?

Holmes, zniechęcony jej postawą, odwrócił się na pięcie.

– Najwidoczniej przeceniłem pani inteligencję. Do widzenia!

– Zaraz! Dokąd pan idzie?

– Do Scotland Yardu.

Nie pokonaliśmy nawet połowy drogi do drzwi, gdy pani Klein podbiegła i chwyciła Holmesa za rękę. W jednej chwili stalowe spojrzenie jej oczu złagodniało.

– Proszę, siadajcie, panowie. Porozmawiajmy. Czuję, że mogę być z panem szczera, panie Holmes. Wierzę, że jest pan dżentelmenem. Kobieta instynktownie potrafi to wyczuć. Potraktuję pana jak przyjaciela.

– Nie mogę obiecać, że odwzajemnię się tym samym, madame. Nie jestem przedstawicielem prawa, ale walczę z niesprawiedliwością

wszelkimi środkami, na które mogę sobie pozwolić. Jestem gotów pani wysłuchać i wtedy postanowię, co dalej zrobię.

– Faktycznie, nie był to dobry pomysł, by grozić tak odważnemu człowiekowi jak pan.

– Naprawdę złym pomysłem było przyjęcie na siebie roli szefowej gangu łobuzów, którzy nie będą mieli skrupułów, by później panią szantażować lub wydać w ręce policji.

– Nie! To jest bardziej skomplikowane. Skoro już obiecałam, że będę z panami szczera, muszę wyznać, że żaden człowiek poza Barneyem Stockdalem i jego żoną Susan nie wie, kto wydaje rozkazy. A jeśli o nich chodzi, to współpracujemy już nie pierwszy raz … – Uśmiechnęła się, przechylając kokieteryjnie głowę.

– Rozumiem. Już wcześniej pani ich sprawdziła.

– To dobre psy gończe, bo nie szczekają.

– Wcześniej czy później takie zwierzęta kąsają rękę, która je karmi. Za to włamanie pójdą do więzienia. Policja już ich szuka.

– Z pokorą przyjmą każdą karę. Za to im płacę. Moje nazwisko nie będzie łączone z tą sprawą.

– Pod warunkiem, że ja pani nie wydam.

– Nie zrobi pan tego. Jest pan dżentelmenem. Nie wypada panu zdradzać tajemnic kobiety.

– Przede wszystkim proszę mi oddać ten rękopis.

Gospodyni roześmiała się głośno, podchodząc do kominka. Zamieszała pogrzebaczem w stercie popiołu.

– Na pewno pan tego chce? – zapytała.

Stała przed nami z szelmowskim wyzywającym uśmiechem, który wśród wszystkich kryminalistów, jacy stanęli na drodze Holmesa, był bez wątpienia najbardziej urokliwy. Dla mego przyjaciela sentymenty jednak nie istniały.

– Zatem pani los jest już przesądzony – rzekł ozięble. – Szybko pani działa, jednak tym razem posunęła się za daleko.

Pogrzebacz z hukiem uderzył o podłogę.

– Ale z pana twarda sztuka! – krzyknęła. – W takim razie wszystko panu opowiem, dobrze?

– Myślę, że sam mógłbym pani opowiedzieć tę historię.

– Wydaje mi się, że powinien pan popatrzeć na to moimi oczami, panie Holmes. Proszę ocenić tę sytuację z punktu widzenia kobiety, której wszelkie życiowe ambicje stanęły pod znakiem zapytania. Czy należy mnie winić za to, że próbowałam bronić swoich interesów?

– To pani zapoczątkowała ten łańcuch zła.

– Zgadza się! Przyznaję! Kochany był chłopak z tego Douglasa, jednak nie wpisywał się zupełnie w moje plany. Chciał się ze mną ożenić, panie Holmes, a przecież był tylko biedakiem pochodzącym z niższych sfer. Nie rozumiał, że małżeństwo nie wchodziło w grę. Z czasem stał się nachalny. Wydawało mu się, że skoro ofiarowałam mu tak wiele, już zawsze będziemy razem, a ja będę należała tylko do niego. Nie mogłam tego tolerować. Musiałam zrobić wszystko, żeby to w końcu pojął.

– I dlatego wynajęła pani opryszków, którzy pobili go pod pani oknem?

– Niczego się przed panem nie ukryje. To prawda. Barney i jego ludzie poturbowali go, muszę przyznać, nawet dość poważnie. Czy pan wie, co on wtedy zrobił? Nie spodziewałam się, że dżentelmen postąpi w ten sposób. Opisał naszą historię. Mnie, oczywiście, przedstawił jako wilczycę, a siebie jako biedne jagnię. Przedstawił wszystkie szczegóły i choć zmienił nazwiska, to oczywistym jest, że w Londynie wszyscy świetnie wiedzieliby, o kogo chodzi. Co pan na to, panie Holmes?

– Cóż, miał do tego prawo.

– Chyba to włoskie powietrze dostało się do jego płuc, powodując typową dla mieszkańców tego kraju chęć dokonania okrutnej zemsty. Przysłał mi kopię książki, żebym, oczekując na jej publikację, przeżywała prawdziwe tortury. Jak twierdził, przygotował dwie kopie: jedną dla mnie, drugą dla wydawcy.

– Skąd pani wie, że wydawca nie otrzymał swojej kopii?

– Znam tego człowieka. Douglas już wcześniej pisał powieści. Dowiedziałam się, że nie przyszła żadna paczka z Włoch. Potem usłyszałam o nagłej śmierci mego byłego kochanka. Wiedziałam, że dopóki nie zniszczę rękopisu, mój honor jest zagrożony. Domyślałam się, że książka znajduje się wśród rzeczy Douglasa, a te z kolei na pewno zostaną odesłane jego matce. Wynajęłam gang. Susan została zatrudniona przez panią Maberley jako służąca. Chciałam załatwić tę sprawę uczciwie. Naprawdę. Zamierzałam odkupić od starszej pani dom wraz ze wszystkim, co się w nim znajduje. Zgodziłam się na kwotę, którą zaproponowała.

Jednak gdy ten plan nie wypalił, byłam zmuszona sięgnąć po inne środki. Przyznaję, że obeszłam się z Douglasem zbyt surowo, i Bóg mi świadkiem, żałuję tego! Ale czyż mogłam postąpić inaczej, skoro moja przyszłość była zagrożona?

Sherlock Holmes wzruszył ramionami:

– Cóż, chyba jednak pani nie wydam, ale pod jednym warunkiem. Ile może kosztować podróż dookoła świata w luksusowych warunkach?

Kobieta popatrzyła na niego, zdziwiona.

– Czy pięć tysięcy funtów wystarczy?

– Wydaje mi się, że tak!

– Dobrze. Jestem pewien, że wypisze mi pani czek na taką kwotę, a ja dołożę wszelkich starań, by pani Maberley go otrzymała. Przyda jej się zmiana klimatu, jest jej pani to winna. A tak na przyszłość, moja droga – pomachał ostrzegawczo palcem przed nosem gospodyni – niech pani lepiej uważa! Dobrze pani radzę! Nie można wiecznie bezkarnie bawić się ostrymi narzędziami, bo w końcu pokaleczy pani swe delikatne dłonie.

Opowieść piąta

Wampirzyca z hrabstwa Sussex

Holmes uważnie przeczytał list, który dostarczono mu wieczorem, a następnie, ironicznie chichocząc, co w jego przypadku oznaczało wesoły śmiech, podał mi go.

– Widziałem już wiele, ale taka absurdalna mieszanka nowoczesności ze średniowiecznymi legendami, rzeczywistości i fantazji przekracza wszelkie granice – rzekł. – Co o tym sądzisz, Watsonie?

Przeczytałem, co następuje:

OLD JEWRY, nr 46, 19 listopada

w sprawie Wampirów

Szanowny Panie!

Dzisiaj nasz klient pan Robert Ferguson z firmy „Ferguson i Muirhead, dostawca herbaty" z Mincing Lane zwrócił się do nas z pytaniem dotyczącym wampirów. Jako że nasza firma zajmuje się oceną jakości maszyn, temat ten nie leży w obszarze naszych kompetencji, dlatego zasugerowaliśmy panu Fergusonowi, by złożył Panu wizytę i przedstawił wszystkie szczegóły sprawy. Ciągle pamiętamy o pańskim sukcesie w sprawie Matyldy Briggs.

Pozostajemy z szacunkiem.
Morrison, Morrison & Dodd
za pośrednictwem E. J. C.

– Matylda Briggs to nie młoda dziewczyna, Watsonie – rzekł Holmes, który przypomniał sobie tamtą sprawę. – To był statek. Miały tam miejsce wydarzenia, których bohaterem stał się ogromny szczur z Sumatry, ale na tę opowieść świat nie jest jeszcze gotowy. Co my wiemy o wampirach? Czy ten temat leży w obszarze naszych kompetencji? Wszystko jest lepsze od zastoju w interesie, choć wygląda na to, że zostaliśmy przeniesieni

w świat baśni braci Grimm. Sięgnij, proszę, po moją kronikę, zobaczymy, co jest w rozdziale na literę W.

Pochyliłem się i podałem mu wielką księgę. Holmes położył ją sobie na kolanie i z wyrazem uwielbienia zaczął powoli przeglądać swoje dawne sprawy i kolekcję cennych informacji, zbieranych przez całe życie.

– Rejs statku „Gloria Scott” – przeczytał. – To była okropna sprawa. Chyba opisałeś ją, Watsonie, ale nie pogratulowałem ci efektu końcowego. „Victor Lynch, fałszerz”… Jadowity jaszczur, czyli heloderma. Doskonała zagadka! „Vittoria, piękność z cyrku”, „Vanderbilt i kasiarz”… Żmije. „Wigor i cud w Hammersmith”. No, no! Stara dobra księga! Nie ma nic lepszego! Posłuchaj tego, Watsonie. Wampiryzm na Węgrzech. O, i wampiry z Transylwanii.

Choć na początku z zapałem wertował kartki, po wnikliwym, aczkolwiek szybkim przestudiowaniu tomu rzucił go na ziemię, wyraźnie rozczarowany.

– To wszystko bzdury, Watsonie! Co mamy wspólnego z zombi, które spoczną w trumnach dopiero wtedy, gdy przebije się je na wylot kołkiem? To istne szaleństwo.

– Ale przecież wampir nie musi być nieboszczykiem, prawda? – zapytałem. – Może nim być też żywy człowiek. Czytałem, na przykład, o starszych osobach, które wysysają krew młodych ludzi, by w ten sposób odzyskać witalność.

– Masz rację, Watsonie. Zgadza się, wspomniano tu o tej legendzie. Ale czy mamy poważnie traktować podobne zlecenia? Członkowie naszej agencji detektywistycznej twardo stąpają po ziemi i tak ma zostać. Na świecie dzieje się wystarczająco dużo różnych spraw. Duchy to już naprawdę zbyt wiele. Obawiam się, że nie będziemy mogli potraktować pana Roberta Fergusona zbyt poważnie. Kolejny list napisał chyba on sam. Zobaczymy, co go trapi.

Wziął ze stołu drugi list, który odłożył, skupiając uwagę na czytaniu pierwszego listu. Na początku był wyraźnie rozbawiony, ale im dłużej czytał, uśmiech powoli znikał z jego twarzy, na której pojawił się teraz wyraz skupienia i zainteresowania. Kiedy skończył, siedział przez kilka chwil, zamyślony, trzymając arkusz koniuszkami palców. Wreszcie ocknął się z zadumy i odzyskał werwę.

– Rezydencja Cheesemana w Lamberley. Gdzie leży Lamberley, Watsonie?

– W hrabstwie Sussex, na południe od Horsham.

– To chyba niezbyt daleko? A ta posiadłość?

– Znam tamtejsze okolice, Holmesie. Jest tam pełno starych domów; ich nazwy wywodzą się od nazwisk ludzi, którzy przed wiekami je wybudowali. Jest dom Odleya, Harveya i Carritona. O nich samych nikt już nie pamięta, ale ich nazwiska przetrwały dzięki budynkom.

– No właśnie – powiedział chłodno Holmes. Jedną z wielu dziwacznych cech osobowości tego dumnego, samowystarczalnego człowieka było to, że uważnie analizował nowe informacje w myślach, nie zwracając uwagi na osobę, która owe dane mu podsunęła.

– Zanim uporamy się z tą sprawą, nasza wiedza na temat posiadłości Cheesemana w Lamberley pogłębi się z całą pewnością. Tak jak myślałem, list napisał Robert Ferguson. Twierdzi, że jest twoim znajomym.

– Moim?

– Chyba powinieneś to przeczytać.

Podał mi arkusz papieru nad stołem. W nagłówku widniał wyżej wspomniany adres.

SZANOWNY PANIE HOLMES!

Moi prawnicy polecili, bym zasięgnął pańskiej rady, choć w rzeczy samej sprawa ta jest na tyle delikatna, ze trudno mi o niej pisać. Dotyczy mojego przyjaciela, w którego imieniu zwracam się do Pana.

Mniej więcej pięć lat temu poślubił on córkę peruwiańskiego kupca, którego poznał, prowadząc interesy związane z importem saletry. To była dama o wielkiej urodzie, ale jej pochodzenie i religia przyczyniły się do tego, że między nią a mężem powstało wiele różnic. Doprowadziło do osłabienia więzi między nimi. Jego miłość wypaliła się, a on sam zaczął uważać, iż ślub był błędem. Czuł, że w duszy jego żony istnieją zakamarki, do których nigdy nie uda mu się dotrzeć. Sytuacja była wyjątkowo nieprzyjemna, gdyż ona kochała go całym sercem i była mu całkowicie oddana.

Przejdę teraz do kwestii, którą szerzej objaśnię Panu, gdy się spotkamy. List piszę jedynie po to, by ogólnie nakreślić sytuację i wybadać, czy ta historia Pana zainteresuje.

Kobieta zaczęła przejawiać dziwne skłonności, zupełnie niepasujące do jej łagodnego usposobienia. Mój przyjaciel ma piętnastoletniego syna z poprzedniego małżeństwa. Jest to wyjątkowo czarujący wrażliwy chłopiec, niestety, pokrzywdzony przez los, jako że nieszczęśliwy wypadek, któremu uległ w dzieciństwie, uczynił

z niego kalekę. Żonę mojego przyjaciela dwukrotnie przyłapano na tym, jak znęcała się bez żadnego powodu nad biednym młodzieńcem. Raz uderzyła go nawet kijem, i chłopiec ma teraz wielką bliznę na ręce.

Była to jednak drobnostka w porównaniu z tym, jak potraktowała swojego własnego syna, który nie skończył jeszcze roku. Mniej więcej miesiąc temu niańka zostawiła na chwilę dziecko samo w pokoju. Wróciła natychmiast, gdy tylko usłyszała głośny rozpaczliwy płacz niemowlęcia. Kiedy wbiegła do pokoju, zastała swoją pracodawczynię, pochyloną nad łóżeczkiem, która najwyraźniej wbiła zęby w szyjkę dziecka. Strużka krwi sączyła się z małej ranki na szyi. Opiekunka była tak przerażona, że chciała wezwać pana domu, jednak pani błagała, by tego nie robiła, obiecała jej nawet pięć funtów za milczenie. Sytuacja nie została nigdy wyjaśniona i szybko o niej zapomniano.

Zdarzenie to wywarło ogromne wrażenie na opiekunce; od tamtej chwili bacznie obserwowała swoją panią i nie spuszczała z oczu dziecka, które z całego serca kochała. Wydawalo jej się, że matka tylko czekała, aż dziecko pozostanie bez opieki. W dzień i w nocy niańka troszczyła się o malucha, a pani czaiła się jak wilk, który chce schwytać jagnię. Pewnie wydaje się to Panu mało wiarogodne, błagam jednak, by potraktował on tę historię bardzo poważnie, gdyż od niego zależy życie dziecka i zdrowie psychiczne ojca.

W końcu nadszedł ten koszmarny dzień, gdy dłuższe ukrywanie przed mężem dziwnego zachowania jego żony okazało się niemożliwe. Opiekunka nie wytrzymała napięcia, musiała zrzucić z siebie straszny ciężar, wyjawiając przerażającą prawdę. Podobnie jak Panu teraz mojemu przyjacielowi wydawało się, że to tylko jakieś koszmarne nieporozumienie. Sądził, że kobieta jest kochającą żoną oraz, pomijając zajście z pasierbem, kochającą matką. Dlaczego miałaby krzywdzić swoje własne dziecko? Powiedział opiekunce, że najwyraźniej musiało jej się to przyśnić, a jej podejrzenia to tylko niczym nie uzasadnione pomówienia. Ostrzegł ją także, że nie będzie tolerował oszczerstw rzucanych na jego małżonkę. Gdy tak rozmawiali, powietrze przeszył nagły płacz. Opiekunka wraz z panem domu pobiegli do pokoju dziecka.

Proszę sobie wyobrazić, co poczuł ten człowiek, gdy ujrzał własną żonę podnoszącą się z klęczek przy kołysce, a na szyjce dziecka i pościeli zauważył plamy krwi. Krzycząc przeraźliwie, chwycił żonę za głowę, skierował jej twarz do światła i zobaczył wokół jej ust czerwone krople. Bez wątpienia, wysysała krew z szyi tego biednego dzieciątka.

I tak to właśnie wygląda. Na obecną chwilę kobieta zamknęła się w swym pokoju. Nie znaleziono żadnego wytłumaczenia jej postępowania. Ojciec prawie postradał zmysły. Ani on, ani ja niewiele wiemy o wampirach. Byliśmy przekonani, że są jedynie potworami z opowieści z dalekich stron. Okazało się jednak, że można je spotkać w samym środku Anglii, w hrabstwie Sussex. Właśnie o tym chciałbym z Panem jutro porozmawiać. Czy możemy się spotkać? Czy wykorzysta Pan swe wyjątkowe umiejętności, by pomóc załamanemu człowiekowi? Jeśli to możliwe,

uprzejmie proszę o nadanie telegramu pod adres posiadłości Cheesemana w Lamberley. Będzie to oznaczało, że przyjmie mnie Pan jutro o dziesiątej.

Łączę wyrazy szacunku
ROBERT FERGUSON

PS Wydaje mi się, że pański przyjaciel Watson grywał w rugby w drużynie Blackheath, kiedy ja trenowałem w Richmond. Są to jedyne referencje, które mogę panom przedstawić.

– Tak, teraz sobie przypominam – powiedziałem, odkładając list na stół. – Olbrzymi Bob Ferguson, najlepszy atakujący, jaki kiedykolwiek grał w drużynie Richmond. Miał wyjątkowo przyjemne usposobienie. To, że się tak przejmuje kłopotami przyjaciela, jest całkowicie do niego podobne.

Holmes popatrzył na mnie troskliwie i pokiwał głową.

– Nigdy nie rozgryzę cię do końca, Watsonie – powiedział. – Ukrywasz pokłady niezbadanych możliwości. Bądź tak dobry, wyślij telegram: „Z przyjemnością zbadamy pańską sprawę”. Zapisałeś?

– Jego sprawę?

– Nie możemy pozwolić, by myślał, że w naszej firmie pracują mało inteligentni ludzie. Oczywiście, że to jego sprawa. Zatelegrafuj i nie myśl o tym do jutra.

Następnego dnia punktualnie o dziesiątej Ferguson zapukał do naszych drzwi. Zapamiętałem go jako wysokiego, szczupłego, wygimnastykowanego mężczyznę, który, biegnąc, potrafił osiągnąć taką prędkość, że mógł bez problemów wyprzedzić zawodników przeciwnej drużyny. Nie ma nic bardziej przykrego niż widok wymizerowanego człowieka, który, gdy widziałem go po raz ostatni, był sportowcem w doskonałej formie u szczytu kariery. Niegdyś wspaniała sylwetka, zmarniała i zgarbiła się, a jasne włosy przerzedziły się. Obawiam się, że odniósł podobne wrażenie, patrząc na mnie.

– Serwus, Watsonie – powiedział. Jego głos brzmiał nadal donośnie. – Nie przypominasz tego młodzieńca, którego przerzuciłem przez linę i który wylądował w tłumie widzów w parku Old Deer. Domyślam się, że i ja się nieco zmieniłem. Postarzałem się przez te ostatnie dwa dni. Panie Holmes, z pańskiego telegramu wynika, że bezcelowe byłoby udawać, iż reprezentuję interesy osoby trzeciej.

– Bezpośrednia współpraca będzie z pewnością znacznie łatwiejsza – powiedział Holmes.

– Oczywiście, ma pan rację. Może pan sobie wyobrazić, w jak trudnym położeniu znalazłem się, opowiadając o kobiecie, którą powinienem otoczyć opieką. Co mogę począć? Mam pójść na policję i opowiedzieć tę całą historię? Za wszelką cenę muszę chronić dzieci! Czy to szaleństwo, panie Holmes, a może jakaś choroba? Czy w swojej karierze spotkał się pan z czymś podobnym? Na litość boską! Błagam o radę, bo naprawdę nie wiem już, co robić.

– Oczywiście, panie Ferguson. Proszę usiąść, wziąć się w garść i udzielić mi kilku konkretnych odpowiedzi. Zapewniam pana, że doskonale wiem, co robić, i jestem przekonany, iż znajdziemy rozwiązanie. Po pierwsze, proszę mi powiedzieć, jakie kroki pan podjął? Czy pańska żona przebywa w pobliżu dzieci?

– To bardzo ciepła kobieta, panie Holmes. Kocha mnie z całego serca i całą duszą jak nikt inny. Ale odkryłem jej straszliwy niewiarygodny sekret. Doszło do potwornej awantury. Jest to dla niej ogromny cios. Nie mogła wydobyć z siebie ani słowa. Nie reagowała na moje próby nawiązania kontaktu, patrzyła tylko dzikim wzrokiem, pełnym rozpaczy. Potem pobiegła do pokoju i zamknęła się w nim. Od tamtej chwili nie chce mnie widzieć. Ma pokojówkę Dolores. Zatrudniła ją, zanim się pobraliśmy. Dziewczyna jest raczej przyjaciółką mojej żony, a nie służącą. To ona zanosi jej jedzenie.

– Czyli w obecnej chwili dziecku nic nie grozi?

– Niańka, pani Mason, przysięgła, że w dzień i w nocy będzie przy małym. Ufam jej całkowicie. Martwię się za to o mego biednego Jacka, bo, jak pisałem, dwa razy go zaatakowała.

– Czy na ciele młodzieńca są rany?

– Nie, choć mocno uderzyła niewinnego kalekiego chłopca, dlatego tym straszniejszy wydaje się ten czyn. – Zmizerniała twarz Fergusona pojaśniała, gdy mówił o swym synu. – Na widok tego kochanego chłopca każde serce powinno zmięknąć. Gdy Jack był dzieckiem, zdarzył się wypadek, syn doznał urazu kręgosłupa. Mimo to ma złote dobre serce.

Holmes wziął ze stołu list, który otrzymał poprzedniego dnia, i zaczął go przeglądać.

– Kto jeszcze mieszka w tym domu, panie Ferguson?

– Od niedawna dwóch służących. Stajenny Michael także śpi w domu. I wszyscy pozostali: moja żona, ja sam, mój syn Jack, nasze niemowlę, Dolores i pani Mason.

– Czy długo znaliście się przed ślubem?

– Poznaliśmy się zaledwie kilka tygodni wcześniej.

– Od jak dawna jest przy żonie jej pokojówka Dolores?

– Od kilku lat.

– Zatem z całą pewnością zna charakter pańskiej żony lepiej niż pan?

– Myślę, że tak.

Holmes zanotował odpowiedź.

– Sądzę – powiedział – że bardziej przydam się w Lamberley niż tu. Tę sprawę muszę zbadać osobiście. Jeśli pani przebywa w swym pokoju, nasza obecność nie będzie jej drażniła ani sprawiała kłopotu. Oczywiście, zatrzymamy się w zajeździe.

Ferguson westchnął z ulgą.

– Miałem nadzieję, że pan tak uczyni, panie Holmes. O czternastej odchodzi pociąg z dworca Wiktoria, jeśli oczywiście odpowiada panu taka godzina.

– Naturalnie. To połączenie nam pasuje. Obecnie nie prowadzimy żadnych spraw. Mogę panu poświęcić całą swoją uwagę. Watson, oczywiście, jedzie z nami. Zanim rozpoczniemy działania, chciałbym upewnić się co do jednej, może dwóch kwestii. Rozumiem, że ta nieszczęśliwa kobieta znęcała się nad obojgiem dzieci, czyli nad własnym dzieckiem i pańskim synem, zgadza się?

– Tak.

– Każde z nich jednak zaatakowała w inny sposób. Pańskiego syna pobiła.

– Pierwszy raz kijem, a potem po prostu rękami.

– Czy wyjaśniła w jakikolwiek sposób swoje zachowanie?

– Nie. Twierdziła jedynie, że go nienawidzi. Powtarzała to w kółko.

– Cóż, macochy często miewają uczucia, które powoduje specyficzny rodzaj zazdrości o zmarłą matkę pasierba. Czy ta dama jest z natury zazdrosna?

– Owszem, i to bardzo. Zazdrość ta przejawia się z mocą równą jej ognistej namiętnej miłości.

– Pański syn ma piętnaście lat i, jak na swój wiek, domyślam się, jest wyjątkowo dojrzały umysłowo, biorąc pod uwagę fakt, że pod względem fizycznym jego możliwości są znacznie ograniczone. Może on wyjaśnił jakoś te napaści?

– Twierdzi, że w niczym nie zawinił.

– Czy przed tym zdarzeniem przyjaźnili się?

– Nie, ich stosunki nigdy nie były zażyłe.

– Utrzymuje pan jednak, że chłopiec jest uczuciowy?

– Nie ma na świecie drugiego syna, który byłby tak oddany swemu ojcu. Moje życie to jego życie. Chłonie wszystko, co robię i mówię.

Holmes po raz kolejny zapisał coś w notatniku. Przez chwilę siedział, pogrążony w myślach.

– Zapewne trzymaliście sztamę, zanim ożenił się pan po raz drugi. Byliście ze sobą bardzo blisko, prawda?

– W rzeczy samej.

– Twierdzi pan, że chłopiec jest uczuciowy, więc na pewno zachował w pamięci swą matkę?

– Był jej bardzo oddany.

– Wygląda na niezwykle intrygującego młodzieńca. Proszę mi powiedzieć, czy te dziwaczne ataki na dziecko miały miejsce w tym samym czasie co napady na pańskiego starszego syna?

– Za pierwszym razem tak. Wydawało się, że jakby opętana obłędem, wyładowała na nich swój gniew. Za drugim razem tylko Jack był ofiarą ataku. Pani Mason nie zauważyła niczego niepokojącego u malucha.

– To komplikuje sprawę.

– Chyba nie do końca za panem nadążam, panie Holmes.

– To bardzo możliwe. Po sformułowaniu prowizorycznych teorii należy poczekać, aż czas lub kolejne zdarzenia przyczynią się do ich obalenia. Zły to zwyczaj, panie Ferguson, jednak ludzka natura bywa słaba. Obawiam się, że obecny tu pański stary znajomy przesadził nieco, chwaląc moje naukowe metody. W każdym razie mogę powiedzieć, że znajdziemy rozwiązanie pańskiego problemu. Proszę oczekiwać nas jutro na dworcu Wiktoria o czternastej.

Po typowym listopadowym dniu nadszedł ponury mglisty wieczór. Zostawiwszy bagaże w zajeździe Chequers w Lamberley, jechaliśmy długą i krętą gliniastą drogą, typową dla hrabstwa Sussex, aż w końcu dotarliśmy

do odosobnionej starej wiejskiej posiadłości, w której mieszkał Ferguson. Ujrzeliśmy okazały budynek. Jego środkowa fasada pamiętała zamierzchłe czasy, skrzydła natomiast zostały odnowione. Na spadzistym dachu, wykonanym z lokalnego budulca, upstrzonym kępkami mchu, królowały dekoracyjne kominy w stylu Tudorów. Schody prowadzące do domu były mocno zniszczone, a stare płytki, którymi wyłożono ganek, obrazowały rebus, na który składały się wyobrażenia sera i człowieka, co miało nawiązywać do nazwiska budowniczego domostwa. Wewnątrz ciężkie dębowe belki podtrzymywały sufit, a nierówna podłoga w niektórych miejscach była mocno wypaczona. Ten rozpadający się budynek był przesiąknięty zapachem starości i zgnilizny.

Ferguson zaprowadził nas do wielkiego pokoju, znajdującego się w środkowej części domu. Na okazałym staromodnym kominku, osłoniętym żelazną kratą z 1670 roku, jak głosił napis, migotał ogień trawiący drewno.

Rozejrzałem się po pokoju, który wypełniały przedmioty pochodzące z różnych epok i miejsc. Boazeria położona do połowy wysokości ściany mogła być pozostałością po nie za bardzo zamożnym właścicielu ziemskim, który postawił ten dom w XVII wieku. Pod samym sufitem wisiały na ścianach dekoracje, poniżej – świetnie dobrane nowoczesne akwarele, a tuż nad dębową boazerię powieszono na żółtym tynku wspaniałą kolekcję południowoamerykańskich talerzy i strzał, przywiezionych z całą pewnością przez Peruwiankę, która obecnie przebywała w pokoju na górze. Holmes wstał, by przyjrzeć im się uważnie. Wiodła nim wrodzona ciekawość, rodząca się w jego żądnym wiedzy umyśle. Wrócił na miejsce z głową pełną przemyśleń.

– Hej! – krzyknął. – Co jest!

W kącie pokoju w koszyku leżał spaniel. Teraz podszedł powoli do swego pana; widać było, że czynił to z trudem, niezgrabnie poruszając tylnymi łapami i powłócząc ogonem po ziemi. Polizał dłoń Fergusona.

– O co chodzi, panie Holmes?

– Ten pies. Co mu dolega?

– Nawet weterynarz nie wiedział. Jakiś rodzaj paraliżu. Podejrzewał zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Ale powoli z tego wychodzi. Niedługo wyzdrowieje, prawda Carlo?

Jakby na potwierdzenie tych słów nieruchomym ogonem psa wstrząsnął dreszcz. Co chwilę zerkał na któregoś z nas swym smutnym wzrokiem. Wiedział, że rozmawiamy o nim.

– Czy zapadł na tę chorobę nagle?

– W ciągu jednej nocy.

– Dawno?

– Mniej więcej cztery miesiące temu.

– Niewiarygodne. Nasuwa mi to pewne myśli.

– Skąd to zainteresowanie psem, panie Holmes?

– Potwierdza to moją wcześniejszą teorię.

– Na litość boską, panie Holmes, o czym pan myśli? Dla pana to jedynie intelektualna zagadka, dla mnie sprawa życia i śmierci. Moja żona to niedoszła morderczyni, moje dziecko jest w niebezpieczeństwie. Proszę nie postępować ze mną w ten sposób, panie Holmes. To zbyt poważna sprawa.

Niegdyś potężny zawodnik rugby cały drżał. Chcąc go uspokoić, mój przjaciel położył mu rękę na ramieniu.

– Obawiam się, że każde rozwiązanie będzie dla pana przykre, panie Ferguson – powiedział. – Postaram się jednak oszczędzić panu bólu. W tej chwili nie mogę zdradzić niczego więcej, mam jednak nadzieję, że zanim opuszczę ten dom, wszystko się wyjaśni.

– Na Boga, bardzo pana o to proszę! Jeśli panowie pozwolą, pójdę teraz do pokoju mojej żony, by sprawdzić, czy jest jakaś poprawa.

Nie było go kilka minut. Ten czas Holmes wykorzystał na ponowne studiowanie okazów wiszących na ścianie. Gdy gospodarz powrócił, na jego twarzy malował się wyraz przygnębienia, co oznaczało, że sytuacja nie uległa zmianie. Przyprowadził ze sobą wysoką szczupłą dziewczynę o smagłej twarzy.

– Dolores, herbata jest już gotowa – rzekł. – Dołóż wszelkich starań, by twoja pani miała wszystko, czego zapragnie.

– Ona bardzo chora – rozpaczała dziewczyna, patrząc z oburzeniem na swego pracodawcę. – Ona nie prosić o jedzenie. Ona bardzo chora. Ona potrzebować doktora. Ja przestraszona zostawać sama z nią, bez lekarza.

Ferguson spojrzał na mnie pytająco.

– Z radością pomogę.

– Czy twoja pani przyjmie doktora Watsona?

– Ja go zaprowadzić. Nie pytać o pozwolenie. Ona potrzebować lekarza. – Dolores była bardzo wzruszona.

– Chodźmy zatem natychmiast.

Poszedłem za rozdygotaną dziewczyną najpierw po schodach na górę, a następnie wiekowym ciemnym korytarzem. Na jego końcu znajdowały się masywne drzwi, przymocowane do żelaznej futryny. Ujrzawszy je, pomyślałem, że gdyby Ferguson chciał się dostać do pokoju żony siłą, przyszłoby mu to z nie lada trudnością. Pokojówka wyciągnęła z kieszeni klucz, włożyła do zamka i ciężkie dębowe deski zawieszone na starych zawiasach zaskrzypiały głośno. Wszedłem do środka, a pokojówka żwawo wślizgnęła się tuż za mną, zamykając drzwi na klucz.

Widać było od razu, że leżąca na łóżku kobieta ma wysoką gorączkę. Była na wpół przytomna, ale gdy wszedłem, otworzyła swe wielkie przepiękne oczy i popatrzyła na mnie z przerażeniem. Zobaczywszy obcego człowieka, odetchnęła z ulgą i opadła na poduszkę. Podszedłem do niej, wypowiadając kilka uspokajających zdań. Leżała nieruchomo, gdy badałem jej puls. Tętno było bardzo przyśpieszone, a wysoka temperatura wskazywała na atak jakiejś choroby. Odniosłem jednak wrażenie, że jej stan był raczej wynikiem załamania nerwowego.

– Ona leżeć tak jeden dzień, dwa dni. Ja bać się, ona umrzeć – powiedziała dziewczyna.

Gdy kobieta zwróciła ku mnie swą piękną twarz, zobaczyłem na jej policzkach silne wypieki.

– Gdzie jest mój mąż?

– Na dole, bardzo chciałby się z panią zobaczyć.

– Nie chcę go widzieć. Nie chcę go widzieć.

Zaczęła majaczyć.

– Wróg! Wróg! Co mam zrobić z tym diabłem?

– Czy mogę pani jakoś pomóc?

– Nie. Nikt mi nie pomoże. To koniec. Wszystko zniszczone. Wszystko na nic.

Najwidoczniej panią Ferguson prześladowały jakieś urojenia. Bob nie kojarzył mi się ani z wrogiem, ani z diabłem.

– Madame – powiedziałem – pani mąż bardzo ją kocha. Z całego serca ubolewa nad tym, co się wydarzyło.

Ponownie popatrzyła na mnie cudownym oczami.

– Kocha mnie. Tak. Ale czyż ja go nie kocham? Czy moja miłość nie jest na tyle silna, że jestem w stanie poświęcić swoje życie, żeby tylko nie złamać jego kochanego serca. Kieruje mną wielkie uczucie. A mimo to on źle o mnie myśli i mówi straszne rzeczy.

– Przepełnia go smutek, ale tak naprawdę niczego nie rozumie.

– Zgadza się, lecz powinien mi ufać.

– Nie chce go pani widzieć? – zapytałem.

– Nie. Nigdy nie zapomnę tych okropnych słów i wyrazu jego twarzy. Nie chcę go widzieć. Proszę już iść! Nie może mi pan pomóc. Proszę mu powiedzieć tylko jedną rzecz. Chcę być ze swoim dzieckiem. Mam do tego pełne prawo. Nie mam nic więcej do powiedzenia.

Odwróciła się do ściany i zamilkła.

Zszedłem na dół do pokoju, gdzie Ferguson i Holmes wciąż siedzieli przy kominku. Gospodarz miał markotną minę, gdy opowiadałem mu o wizycie w pokoju jego żony.

– Zanieść jej dziecko? – zapytał. – Skąd mogę mieć pewność, że jakiś dziwny impuls nie pokieruje nagle jej zachowaniem? Jak mam zapomnieć ten straszny widok, kiedy podniosła się z klęczek przy łóżeczku z krwią na wargach? – Zadrżał na wspomnienie tamtego wieczora. – Dziecko pozostanie z panią Mason. Tylko tam jest bezpieczne.

Ładna służąca, stanowiąca jedyny nowoczesny akcent w tym domu pełnym staroci, podała nam herbatę. Gdy nalewała ją do filiżanek, drzwi się otworzyły, i do pokoju wszedł bardzo przystojny młodzieniec. Miał jasną skórę i blond włosy. Kiedy ujrzał ojca, w jego radosnych błękitnych oczach pojawił się błysk wzruszenia i szczęścia. Podbiegł do niego i zarzucił mu ramiona na szyję tak, jak zwykle to czynią kochające dziewczynki.

– Tatusiu! – wykrzyknął. – Nie wiedziałem, że już wróciłeś do domu. Przywitałbym cię od razu po przyjeździe. Tak się cieszę, że jesteś!

Ferguson delikatnie wyswobodził się z objęć, lekko zakłopotany.

– Mój drogi chłopcze – powiedział troskliwie, poklepując jasnowłosą głowę. – Przyjechałem wcześnie, ponieważ moi przyjaciele pan Holmes i doktor Watson zgodzili się nas odwiedzić i spędzić z nami wieczór.

– Pan Holmes, ten detektyw?

– Tak.

Młodzieniec spojrzał na nas przenikliwym, a nawet, jak mi się wydawało, nieco wrogim spojrzeniem.

– A pańskie drugie dziecko, panie Ferguson? – zapytał Holmes. – Czy możemy je zobaczyć?

– Poproś panią Mason, żeby przyniosła małego – rzekł Ferguson. Chłopiec odszedł, dziwnie powłócząc nogami, co mój medyczny umysł zinterpretował jako skutek urazu kręgosłupa. Wrócił w towarzystwie wysokiej wychudzonej kobiety, niosącej w ramionach niezwykle urodziwe dziecko z czarnymi oczkami i złotymi włoskami, cudowne połączenie cech saksońskich i latynoskich. Wyglądało na to, że Ferguson jest do niego bardzo przywiązany, gdyż wziął je na ręce i czule przytulił.

– Jak ktokolwiek mógłby skrzywdzić takie maleństwo? – wyszeptał, patrząc na malutką czerwoną rankę na szyi cherubinka.

Wtedy właśnie spojrzałem na Holmesa i w jego oczach ujrzałem niezwykłe podekscytowanie. Niewzruszona twarz przypominała rzeźbę z kości słoniowej, przez moment jego spojrzenie było skupione na ojcu i dziecku, a teraz z ciekawością wpatrywał się w jakiś obiekt na przeciwległym końcu pokoju. Podążając za jego wzrokiem, zobaczyłem jedynie, że patrzy przez mokre od deszczu okno na ponury ogród. Choć okiennica zasłaniała połowę okna, i widok był ograniczony, z całą pewnością to właśnie na nim Holmes skupił całą swą uwagę. Następnie uśmiechnął się i ponownie zerknął na dziecko. Na pulchniutkiej szyjce widniała ranka. Sherlock bez słowa przyjrzał jej się uważnie. W końcu potrząsnął pomarszczoną piąstką, która migała mu przed nosem.

– Do widzenia, mały człowieczku. Twoje życie zaczęło się dość nietypowo. Nianiu, chciałbym z panią porozmawiać w cztery oczy.

Odeszli na bok i przez kilka minut żarliwie dyskutowali. Zdołałem jedynie usłyszeć ostatnie zdanie:

– Mam nadzieję, że wkrótce będzie pani mogła odetchnąć z ulgą. – Kobieta, która wyglądała na zimną i opanowaną, opuściła pokój z dzieckiem na rękach.

– Jaka jest pani Mason? – zapytał Holmes.

– Na pozór mało sympatyczna, jak panowie mogli zauważyć, ale ma złote serce i bardzo kocha to dziecko.

– Lubisz ją, Jack? – Holmes niespodziewanie zwrócił się do chłopca, którego ekspresyjna twarz spochmurniała: pokiwał przecząco głową.

– Jacky albo kogoś bardzo lubi, albo nie lubi wcale – powiedział Ferguson, obejmując syna ramieniem. – Na szczęście, ja należę do tej

pierwszej grupy.

Chłopiec przymilał się i przytulał do piersi ojca. Ferguson delikatnie wydostał się z objęć.

– Zmykaj, mały Jacky! – powiedział, a jego kochające spojrzenie podążało za chłopcem, aż ten zniknął w korytarzu. – Panie Holmes – kontynuował – czuję, że ściągnąłem tu pana zupełnie niepotrzebnie, bo co pan może zdziałać? Jedynie złożyć mi wyrazy współczucia. Z pańskiego punktu widzenia sprawa ta na pewno jest wyjątkowo delikatna i skomplikowana.

– Delikatna jest z całą pewnością – rzekł mój przyjaciel, radośnie się uśmiechając. – Ale aż do tej chwili nie byłem świadom, jak bardzo jest złożona. Mogłem rozwiązać ją tylko dzięki metodzie dedukcji, kiedy jednak teorię krok po kroku potwierdzają liczne, niezwiązane ze sobą wydarzenia, wtedy to, co subiektywne, staje się obiektywne. W zasadzie miałem już gotowe rozwiązanie, zanim opuściliśmy dom przy Baker Street, a potwierdziłem je tutaj dzięki wnikliwej obserwacji.

Ferguson podparł zmarszczone czoło swą wielką dłonią.

– Na litość boską, Holmes – rzekł zachrypniętym głosem – jeśli odkrył pan prawdę, proszę nie trzymać mnie dłużej w niepewności. Jak mam to wytrzymać? Co mam począć? Nie obchodzi mnie to, jak pan doszedł do swoich wniosków, pod warunkiem, że osiągnął pan cel.

– Oczywiście, jestem panu winien wyjaśnienia i wkrótce je panu przedstawię. Ale proszę pozwolić mi załatwić tę sprawę po swojemu. Czy pani może nas przyjąć, Watsonie?

– Jest chora, ale mówi całkiem sensownie.

– Dobrze. Tylko w jej obecności możemy ujawnić rozwiązanie zagadki. Pójdźmy zatem do niej.

– Ona nie chce mnie widzieć – westchnął Ferguson.

– Wręcz przeciwnie – rzekł Holmes. Na kartce papieru nabazgrał kilka słów.

– Ciebie na pewno wpuszczą, Watsonie. Bądź tak dobry i zanieś pani ten liścik.

Ponownie udałem się na górę i wręczyłem kartkę Dolores, która ostrożnie otworzyła drzwi. Po chwili z wewnątrz dobiegł mnie krzyk, pełen radości i jednocześnie zdumienia. Dolores wyjrzała z pokoju.

– Ona ich przyjmie i będzie słuchać – rzekła.

Poprosiłem na górę Fergusona i Holmesa. Gdy weszliśmy do pokoju, pan domu postąpił kilka kroków naprzód w kierunku swej żony, lecz ona powstrzymała go uniesioną ręką. Opadł na fotel, a Holmes, uprzednio kłaniając się damie, która spoglądała na niego szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, usadowił się obok niego.

– Myślę, że obejdziemy się bez Dolores – powiedział Holmes. – Ale oczywiście, madame, jeśli życzy pani sobie, by została, nie widzę przeszkód. Panie Ferguson, jestem bardzo zajęty, przyjmuję wiele zleceń, dlatego moje metody muszą być bezpośrednie, i dobrze, jeśli stosunkowo prędko przynoszą efekty. Szybkie chirurgiczne cięcia są najmniej bolesne. Najpierw pana uspokoję. Pańska żona ma dobre serce i kocha pana, lecz jest bardzo chorą kobietą.

Ferguson radośnie wyprostował się w fotelu.

– Jeśli przedstawi pan dowody, stanę się pańskim dłużnikiem po wsze czasy.

– Zaraz to zrobię, jednak niestety, nie obędzie się bez przykrych niespodzianek. Ukłuję pana w serce z innej strony.

– Trudno, nie obchodzi mnie to, jeśli tylko oczyści pan moją żonę z tych strasznych zarzutów. Poza tym absolutnie nic innego się nie liczy.

– Opowiem panu zatem, jak przebiegał proces mojego rozumowania, gdy byliśmy na Baker Street. Myśl, że chodzi o wampira, była dla mnie absurdalna. W Anglii, w świecie kryminalnych występków, nie ma dla nich miejsca. Z drugiej strony poznaliśmy z pana opowiadania szczegóły tej historii. Wokół ust żony wstającej z klęczek przy łóżeczku dziecka wyraźnie widział pan krew.

– Zgadza się.

– Nie przyszło panu do głowy, że przykładając usta do rany na szyi dziecka, miała inny powód, niż wyssanie jego krwi? Czyż nie było w historii królowej, która ssała ranę, by wyciągnąć z organizmu truciznę?

– Truciznę?

– Dom ten pełen jest przedmiotów pochodzących z Ameryki Południowej. Domyślałem się, że muszą być też strzały, zanim zobaczyłem je na własne oczy. Mogło się okazać, że źródło trucizny było inne, ale taka była moja pierwsza myśl. Niewielki pusty kołczan i łuk, które tu zobaczyłem, to właśnie akcesoria, których się spodziewałem. Dla dziecka

ukłucie taką strzałą unurzaną w kurarze lub innej szatańskiej substancji oznaczałoby rychłą śmierć, gdyby trucizna nie została wyssana.

– Moją uwagę zwrócił również pies! Gdyby ktoś planował wykorzystanie takiej trucizny, z pewnością najpierw wypróbowałby ją, by sprawdzić, czy nadal posiada moc. Choć w tej historii nie przewidziałem udziału psa, był on kolejnym elementem układanki. Czy teraz pan rozumie? Pańska żona bała się, że atak wkrótce nastąpi. Widziała przebieg zdarzenia i uratowała swoje dziecko, mimo to lękała się powiedzieć panu prawdę, gdyż wiedziała, jak bardzo kocha pan syna, a taka wiadomość złamałaby panu serce.

– Jacky!

– Obserwowałem jego twarz, gdy przytulał pan niemowlę. Na tle zamkniętej okiennicy odbijała się wyraźnie w szybie. W jego oczach ujrzałem ogromną zazdrość i głęboką nienawiść, jakie na twarzy człowieka widuje się niezmiernie rzadko.

– Mój Jacky!

– Musi pan spojrzeć prawdzie w oczy, panie Ferguson! Sytuacja jest o tyle przykra, że to wypaczona miłość do pana oraz maniakalne wyolbrzymione uwielbienie, jakim prawdopodobnie obdarzała go matka, są przyczyną jego zachowania. Dusza jest przepełniona nienawiścią do tego pięknego dziecka, którego zdrowie i uroda stanowią tak wielki kontrast z jego fizyczną ułomnością.

– Dobry Boże! To niewiarygodne!

– Madame, czy mówię prawdę?

Kobieta szlochała, ukrywając twarz w poduszkach. Teraz zwróciła się do męża.

– Jak mogłam ci powiedzieć, Bob? Wiedziałam, że byłby to dla ciebie straszny cios. Wolałam poczekać, aż się dowiesz z innych ust. Uradowałam się, gdy ten dżentelmen, który najwidoczniej włada magicznymi mocami, napisał, że wie o wszystkim.

– Zalecałbym wysłanie panicza Jacky’ego na roczny rejs statkiem – rzekł Holmes, wstając z krzesła. – Jedno jest dla mnie nadal niejasne, madame. Rozumiemy pani ataki na młodzieńca. Cierpliwość matki ma swoje granice. Jak jednak mogła pani zostawić swoje dziecko na te kilka dni?

– Pani Mason o wszystkim wiedziała.

– Tak właśnie myślałem.

Ferguson stał przy łóżku z wyciągniętymi drżącymi rękami, usiłując coś powiedzieć zdławionym z rozpaczy głosem.

– Myślę, że na nas już czas, Watsonie – wyszeptał Holmes. – Wyprowadźmy z pokoju tę niezmiernie oddaną Dolores, weź ją pod jedno ramię, ja wezmę pod drugie. Teraz – dodał, zamykając drzwi – powinniśmy zostawić tych dwoje w spokoju, by mogli wyjaśnić sobie kilka kwestii.

Znalazłem jeszcze jedną notatkę dotyczącą tej sprawy. List, który Holmes napisał w odpowiedzi na ten, od którego zaczęło się niniejsze opowiadanie. Jego treść jest następująca:

BAKER STREET, 21 listopada
W sprawie wampirów

Szanowny Panie!

W odpowiedzi na pański list z 19 listopada śpieszę donieść, że przyjrzałem się sprawie pana Fergusona z firmy „Ferguson i Muirhead, dostawca herbaty” z Mincing i udało mi rozwiązać się ją pomyślnie. Dziękując za państwa rekomendację, pozostaję z szacunkiem

SHERLOCK HOLMES.

Opowieść szósta

O trzech panach Garrideb

Wydarzenia, o których mowa, są zarówno komedią, jak i dramatem. Jednego mężczyznę kosztowały utratę zmysłów, mnie trochę krwi, a ktoś jeszcze popadł z ich powodu w konflikt z prawem. Mimo to znalazło się też kilka zabawnych elementów. Lepiej będzie, jeśli czytelnicy ocenią to sami.

Bardzo dobrze pamiętam datę, bo działo się to w tym samym miesiącu, gdy Holmes odmówił przyjęcia tytułu szlacheckiego za rozwiązanie zagadki, którą być może pewnego dnia opiszę. Na razie nie jest to możliwe, albowiem nigdy nie ujawniam spraw niezakończonych, gdyż jako wspólnik i powiernik Holmesa czuję się w obowiązku dopilnować, aby na światło dzienne nie wydostały się ich żadne szczegóły. Z łatwością mogę za to ustalić datę: ostatnie dni czerwca 1902 roku, wkrótce po zakończeniu II wojny burskiej. Tego ranka po kilku dniach spędzonych w łóżku, co było jego zwyczajem, Holmes pojawił się z radosnym błyskiem w swych szarych srogich oczach, trzymając w dłoni urzędowy dokument.

– Nadarzyła się okazja, by co nieco zarobić, przyjacielu Watsonie – powiedział. – Mówi ci coś nazwisko Garrideb?

Odpowiedziałem, że zupełnie nic.

– No to jeśli znajdziesz mężczyznę, który tak się nazywa, będziesz miał w kieszeni fortunę.

– Co przez to rozumiesz?

– To długa historia, niepozbawiona zabawnych wątków. Choć od dawna badamy złożoność ludzkiej natury, nie spotkałem się jeszcze z tak wyjątkowym przypadkiem. Niedługo odwiedzi nas pewien mężczyzna, wtedy wyjaśnię, o co chodzi. Tymczasem poszukajmy tego nazwiska.

Książka telefoniczna leżała na stole obok mnie, przerzuciłem kilka stron, nie licząc, że uda się coś znaleźć. Jednak z zaskoczeniem odkryłem, że

to dziwaczne nazwisko znajduje się dokładnie tam, gdzie być powinno. Wydałem okrzyk triumfu:

– Proszę bardzo, Holmesie! Jest!

Mój przyjaciel sięgnął po książkę.

– „Garrideb N., Little Ryder Street, 136, West End” – przeczytał. – Muszę cię, niestety, rozczarować, gdyż to chodzi o naszego dzisiejszego gościa. Taki adres widniał na kopercie, w której przyszedł list. Szukamy jeszcze jednego do kompletu.

Pani Hudson weszła, niosąc na tacy wizytówkę. Wziąłem ją do ręki i przeczytałem.

– O wilku mowa! – wykrzyknąłem, zdumiony. – Właśnie odwiedził nas pan Garrideb o imieniu John, radca prawny, Moorville, Kansas, USA.

Holmes zerknął na wizytówkę z uśmiechem na twarzy.

– Obawiam się, że czeka ciebie jeszcze jeden wysiłek, Watsonie – powiedział. – Dżentelmen, który właśnie przyszedł, również jest wplątany w tę sprawę, choć absolutnie nie spodziewałem się jego wizyty dzisiaj. Posiada on jednak pewne informacje, które będą mi potrzebne.

Po chwili pan John Garrideb, radca prawny, wszedł do pokoju. Był niskim, mocno zbudowanym człowiekiem o zdrowej twarzy, okrągłej i gładko ogolonej, charakterystycznej dla Amerykanów, zawodowo zajmujących się reprezentowaniem interesów innych ludzi. Jego uśmiechniętą pucołowatą twarz cechował młodzieńczy wygląd. W jasnych bystrych oczach było coś frapującego; można z nich było wyczytać niezwykle bujne życie wewnętrzne i kotłujące się myśli. Miał amerykański akcent, ale sposób, w jaki mówił, nie różnił się wcale od londyńskiej angielszczyzny.

– Pan Holmes? – popatrzył pytająco na nas obu. – Ach tak! Na zdjęciach jest pan nawet do siebie podobny, jeśli mogę zauważyć. Zapewne dostał pan list od mężczyzny o takim samym nazwisku jak moje, pana Nathana Garrideba, mam rację?

– Proszę usiąść – rzekł Holmes. – Wydaje mi się, że powinniśmy porozmawiać. – Wyjął kilka kartek papieru. – Zapewne mam przyjemność z panem Johnem Garridebem, o którym była mowa w dokumencie? W Anglii przebywa pan już od dłuższego czasu, prawda?

– Skąd takie przypuszczenie, panie Holmes?

Nagle w jego żywych oczach pojawiła się podejrzliwość .

– Jest pan ubrany zgodnie z obowiązującą obecnie w Anglii modą.

Pan Garrideb zaśmiał się nienaturalnie.

– Czytałem o pańskich sztuczkach, panie Holmes, nie spodziewałem się jednak, że pewnego dnia wypróbuje je pan na mnie. Jaki element stroju mnie zdradził?

– To oczywiste: krój płaszcza i czubki butów.

– Cóż, nie sądziłem, że taki ze mnie Brytyjczyk. Przyjechałem tu w interesach już jakiś czas temu, i ma pan rację, prawie cały swój ubiór kupiłem w Londynie. Ale myślę, że pan ceni swój czas, a my spotkaliśmy się nie po to, by dyskutować o wzorze na moich skarpetkach. Przejdźmy zatem do dokumentu, który pan trzyma w dłoni.

Zachowanie Holmesa nieco wzburzyło naszego klienta, co spowodowało, że wyraz jego pucołowatej twarzy stał się znacznie mniej przyjazny.

– Cierpliwości, panie Garrideb! – rzekł mój przyjaciel uspokajającym tonem. – Doktor Watson z pewnością potwierdzi, że te moje delikatne dygresje często wnoszą wiele do sprawy. Dlaczego pan Nathan Garrideb nie przyjechał razem z panem?

– Nie wiem, dlaczego w ogóle wciągnął pana w tę sprawę – odparł gość, wybuchając gniewem. – Co, u licha, ma pan z tym wspólnego? Nagle okazuje się, że jeśli dwóch dżentelmenów załatwia między sobą interesy, jeden z nich zasięga rady detektywa! Widziałem się z nim dziś rano i przyznał się do tego, co uczynił, stąd też moja wizyta. Nie zmienia to jednak faktu, że czuję się źle z tego powodu.

– Nie wspomniał o panu w liście, panie Garrideb. Wyraził jedynie nadzieję, że z moją pomocą uda się doprowadzić sprawę do końca, na czym, jak mniemam, zależy również panu. Pan Nathan wie, że mam możliwość zdobycia pewnych informacji, i dlatego uważam za całkiem naturalne, iż zwrócił się do mnie o pomoc.

Zagniewana twarz gościa powoli się rozpogodziła.

– Cóż, to ukazuje naszą sprawę w zupełnie innym świetle – powiedział. – Gdy podczas naszego porannego spotkania poinformował mnie, że zwrócił się do detektywa, poprosiłem o pański adres i natychmiast przyjechałem. Nie chcę, by w moje prywatne interesy mieszała się policja. Nic się jednak nie stanie, jeśli pan pomoże nam odszukać pewnego mężczyznę.

– Właśnie to zamierzam zrobić – rzekł Holmes. – Skoro pan tu jest, będę wdzięczny, jeśli usłyszymy pańską wersję wydarzeń. Mój przyjaciel nie

poznał jeszcze szczegółów tej sprawy.

Pan Garrideb popatrzył na mnie niezbyt przychylnym wzrokiem.

– Czy jego też trzeba w to mieszać? – zapytał.

– Zwykle pracujemy razem.

– Zatem nie ma powodów, by cokolwiek zatajać. Postaram się jak najszybciej streścić panom tę historię. Gdybyście pochodzili z Kansas, nie musiałbym wyjaśniać, kim był Alexander Hamilton Garrideb. Zbił on fortunę, zajmując się sprzedażą nieruchomości i grywając na giełdzie w Chicago. Następnie kupił za uzyskane w ten sposób pieniądze tyle ziemi, że gdyby połączyć ze sobą wszystkie działki, powstałby obszar wielkości jednego z waszych hrabstw. Należy do niego cały teren wzdłuż rzeki Arkansas na wschód od Fort Dodge i wszystko, co się na nim znajduje: pastwiska, lasy, pola, ziemie o wysoko zmineralizowanej glebie i inne użytki, które roztropnemu właścicielowi mogą przynieść duży zysk. Alexander Garrideb nie miał przyjaciół ani krewnych, a jeśli nawet i była jakaś rodzina, to nigdy o niej nie słyszałem. Człowiek ten szczycił się swym nietypowym nazwiskiem. I tu nasze drogi się skrzyżowały. Studiowałem prawo w mieście Topeka. Pewnego dnia odwiedził mnie starzec, który był niezwykle podekscytowany spotkaniem z osobą noszącą takie samo jak on nazwisko. To był jego kaprys, za wszelką cenę chciał odnaleźć innych Garridebów. „Odszukaj jeszcze jednego!” – prosił. Odparłem, że mam na głowie wiele spraw i nie chcę poświęcić życia na włóczenie się po świecie i szukanie ludzi o nazwisku Garrideb. „Niemniej jednak – odrzekł – zrobi pan to, jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli”. Uznałem, że żartuje, później jednakże okazało się, że nie rzucał słów na wiatr.

Zmarł rok później, pozostawiając testament. Jego ostatnia wola była tak dziwna, że podobnie zapisanego dokumentu nigdy wcześniej nie odnotowano w stanie Kansas. Majątek podzielił na trzy równe części. Ja miałem się stać właścicielem jednej z nich pod warunkiem, że odnajdę dwóch pozostałych Garridebów, którzy podzielą się resztą. Każdy z nas ma dostać po pięć milionów dolarów, ale nie zobaczymy ani centa, jeśli cała trójka nie będzie w komplecie.

Nie mogłem stracić tak wielkiej szansy, porzuciłem więc swoją praktykę i wyruszyłem na poszukiwania Garridebów. W Stanach Zjednoczonych nie ma nikogo o tym nazwisku. Przeczesałem skrupulatnie cały kraj i nikogo nie znalazłem, dlatego przyjechałem na stary kontynent. Ucieszyłem się,

gdy w londyńskiej książce telefonicznej zobaczyłem to nazwisko. Dwa dni temu odwiedziłem pana Nathana i o wszystkim mu opowiedziałem. Podobnie jak ja jest samotny, w jego rodzinie są co prawda kobiety, ale mężczyzny o tym nazwisku próżno szukać wśród krewnych. W testamencie napisano, że chodzi o trzech dorosłych mężczyzn. Zatem, panowie, ciągle brakuje nam jednego spadkobiercy. Jeśli go odnajdziecie, odpowiednio was wynagrodzimy.

– Widzisz, Watsonie – rzekł Holmes z uśmiechem na ustach – mówiłem ci, że historia należy do tych zabawnych. – Na początek pomyślałbym o ogłoszeniu w gazecie.

– To już zrobiłem, panie Holmes. Nikt nie odpowiedział.

– A niech mnie! Z całą pewnością jest to nietypowy problem. W wolnej chwili zajmę się tym. A tak na marginesie, to ciekawy zbieg okoliczności, że przyjechał pan akurat z miasta Topeka. W 1890 roku burmistrzem był tam świętej pamięci doktor Lysander Starr, z którym często korespondowałem.

– Poczciwy doktor Starr! – rzekł nasz gość. – Bardzo mile go wspominamy. Panie Holmes, jeśli o nas chodzi, to jedyne, co możemy zrobić, to złożyć panu raport z naszych poszukiwań. Odezwiemy się w przeciągu dwóch dni.

Po tych słowach Amerykanin pożegnał się i wyszedł.

Holmes zapalił fajkę i przez jakiś czas siedział w milczeniu z osobliwym uśmiechem na twarzy.

– Wymyśliłeś coś? – zapytałem w końcu.

– Na razie tylko się zastanawiam.

– Nad czym?

Holmes wyjął fajkę z ust.

– Jakie pobudki kierowały naszym gościem, kiedy opowiadał nam te wszystkie kłamstwa? Już miałem go o to zapytać (czasem agresywny atak frontalny to najlepsza metoda), pomyślałem jednak, że lepiej będzie dla nas, jeśli zostanie w przekonaniu, że nas oszukał. Pojawia się tu w angielskim płaszczu przetartym na łokciach i spodniach z powypychanymi kolanami. Tak ubrania zwykle wyglądają po roku ich użytkowania, ale w dokumencie zapisano, co on sam potwierdził, że jest rodowitym Amerykaninem, który dopiero ostatnio przeniósł się do Anglii. Co więcej, w gazecie nie było żadnych ogłoszeń o poszukiwaniu

mężczyzny o nazwisku Garrideb. Wiesz, że nic mi nie umknie. Ogłoszenia to wspaniała skarbnica wiedzy o ptaszkach z kryminalnego światka, zawsze przeglądam to źródło informacji. Nigdy też nie znałem żadnego doktora Lysandera Starra z miasteczka Topeka. O co bym nie spytał, słyszałem w odpowiedzi same kłamstwa. Myślę, że nasz klient jest Amerykaninem, ale podczas wieloletniego pobytu w Londynie zdążył wygładzić swój akcent. Jaką grę prowadzi ten człowiek i jakie ma powody, by tak desperacko szukać Garridebów? Ta sprawa z całą pewnością zasługuje na naszą uwagę nie tylko dlatego, że nasz gość jest najwyraźniej złoczyńcą, ale przede wszystkim dlatego, że jest przebiegły i ma skomplikowany umysł. Teraz musimy sprawdzić, czy drugi Garrideb także jest oszustem. Zadzwoń do niego, Watsonie.

Zrobiłem to, o co prosił. Po drugiej stronie słuchawki usłyszałem drżący głos:

– Zgadza się, tu Nathan Garrideb. Czy jest tam pan Holmes? Bardzo mi zależy, by z nim porozmawiać.

Mój przyjaciel chwycił słuchawkę. Usłyszałem typowe urywane zdania.

– Tak, był tu. Wiem, że pan go nie zna… Jak długo?… Jedynie dwa dni!… Zgadza się, to fantastyczna perspektywa. Czy będzie pan u siebie dziś wieczorem? Rozumiem, że pana nowego znajomego nie będzie? Doskonale, przyjdziemy… Wolałbym porozmawiać tylko z panem. Doktor Watson przyjdzie ze mną… Wiem z pańskiego listu, że zwykle nie wychodzi pan z domu… Będziemy około szóstej. Proszę nie wspominać o naszym spotkaniu prawnikowi z Ameryki. Dobrze. Do zobaczenia!

Piękny wiosenny dzień chylił się ku końcowi. Powoli zapadał zmierzch. Nawet Little Ryder Street, jedna z mniejszych uliczek odchodzących od Edgware Road, odległa o rzut kamieniem od okrytego złą sławą Tyburn Tree, wydawała się cudownie złocista w promieniach zachodzącego słońca. Kierowaliśmy się w stronę wielkiego staromodnego budynku, zbudowanego we wczesnogeorgiańskim stylu. Dom miał ceglaną fasadę, a na parterze były dwa okna wykuszowe. Tam właśnie mieszkał nasz klient, a okna te, jak się okazało, były częścią ogromnego salonu, w którym przesiadywał całymi dniami. Zanim weszliśmy do środka, Holmes zwrócił moją uwagę na niewielką mosiężną tablicę, na której widniało to nietypowe nazwisko.

– Nadgryziona zębem czasu, Watsonie – skomentował odbarwioną powierzchnię tabliczki. – Warto to odnotować, nasz gospodarz naprawdę nosi takie nazwisko.

Weszliśmy do klatki schodowej, wspólnej dla mieszkańców i pracowników biur. Na ścianie obok numerów lokali widniały nazwiska mieszkańców i nazwy biur. Wyglądało raczej na to, że dom był schronieniem dla ludzi samotnych. Drzwi otworzył nasz klient, przepraszając, że robi to sam, gdyż gosposia wyszła o czwartej. Wysoki przygarbiony pan Nathan Garrideb był łysy i wychudzony. Mógł mieć około sześćdziesięciu lat. Miał bardzo bladą twarz i szarą cerę, jaka cechuje ludzi, dla których obcy jest wysiłek fizyczny. Duże okrągłe oprawki okularów i malutka kozia bródka w połączeniu ze zgarbioną sylwetką sprawiały wrażenie, jakby człowiek ten wyjątkowo uważnie i z ogromną ciekawością przyglądał się rozmówcy. Wyglądał na sympatycznego, acz nieco ekscentrycznego.

Pokój także był dziwaczny. Wyglądał raczej jak małe muzeum. W tym obszernym pomieszczeniu wszędzie stały szafki i regały, wypełnione po brzegi okazami geologicznymi i anatomicznymi. Przy wejściu po obu stronach drzwi stały gablotki z motylami i ćmami. Duży stół na środku pokoju był zagracony kawałkami minerałów, jakimś gruzem, szczątkami kości, spośród których wyzierał długi mosiężny tubus mikroskopu. Gdy rozglądałem się dookoła, zwróciłem uwagę na różnorodność zainteresowań naszego gospodarza. Zauważyłem szkatułkę ze starymi monetami. Obok niej stała gablota z narzędziami wykonanymi z krzemienia. Szafka za stołem zastawiona była skamieniałościami. Na ścianie wisiały czaszki, pod którymi widniały tabliczki z napisami: „Neandertalczyk”, „Homo heidelbergensis” czy „Człowiek z Cro-Magnon”. Najwyraźniej pan Nathan Garrideb był specjalistą w wielu dziedzinach. Stał przed nami, a w prawej dłoni trzymał skrawek irchy, którym polerował monetę.

– Z Syrakuz, z najwspanialszego okresu – wyjaśnił, pokazując nam numizmatyczny okaz. – Pod koniec całkowicie stracili swą świetność. Bardzo ich jednak cenię, choć niektórzy wolą szkołę aleksandryjską. Proszę usiąść na tym krześle, panie Holmes. Panowie pozwolą, że zabiorę stąd te kości. Pan Watson, jak mniemam? Czy byłby pan tak miły i przesunął ten japoński wazon. Jak panowie widzą, pełno tu przedmiotów związanych z moimi zainteresowaniami. Lekarz namawia mnie, bym częściej wychodził

z domu, jednak po cóż miałbym to robić, jeśli tutaj jest tak wiele interesujących rzeczy. Gdybym chciał skatalogować kolekcję znajdującą się choćby na jednym z tych regałów, zajęłoby mi to pewnie ze trzy miesiące.

Holmes rozejrzał się z zainteresowaniem.

– Chce pan powiedzieć, że w ogóle pan stąd nie wychodzi? – zapytał.

– Czasami odwiedzam domy aukcyjne Christie’s lub Sotheby’s. Poza tym rzadko opuszczam ten pokój. Mam słabe zdrowie, a badania pochłaniają dużo czasu. Może pan sobie wyobrazić, panie Holmes, jak bardzo byłem zaskoczony i jednocześnie szczęśliwy, słysząc o tym niewiarygodnym uśmiechu losu. Brakuje tylko jednego Garrideba, by osiągnąć cel, ale jestem pewien, że go znajdziemy. Miałem brata, niestety, już nie żyje, moje krewne nie spełniają wymaganego kryterium. Ale przecież na świecie na pewno ktoś jeszcze jest. Słyszałem, że zajmował się pan dziwnymi sprawami, dlatego napisałem do pana. Oczywiście, ten dżentelmen z Ameryki pewnie miał rację, i należało się z nim przedtem porozumieć, działałem jednak w dobrej wierze.

– Bardzo mądrze pan postąpił – rzekł Holmes. – Proszę mi powiedzieć, czy naprawdę zależy panu na posiadłościach w Stanach Zjednoczonych?

– Ależ skąd, sir! W żadnym wypadku nie porzuciłbym swoich zbiorów. Ten dżentelmen natomiast twierdzi, że gdy tylko sprawa zakończy się szczęśliwie, wykupi tę ziemię ode mnie. Wspominał o pięciu milionach dolarów. Obecnie na rynku jest mnóstwo okazów, które mogłyby powiększyć moją kolekcję, a na które mnie teraz nie stać. Proszę tylko pomyśleć, ile można zrobić, mając pięć milionów dolarów! Mógłbym zająć się gromadzeniem zbiorów narodowych. Byłbym Hansem Sloanem naszych czasów.

Oczy skrywane za wielkimi okularami zapłonęły z podniecenia. Nie było wątpliwości, że pan Nathan Garrideb zrobi wszystko, aby tylko odszukać człowieka o takim samym nazwisku.

– Cóż, miło było pana poznać, nie chcemy jednak zabierać zbyt wiele czasu, jest pan przecież zajęty badaniami – powiedział Holmes. – Lubię osobiście spotkać się z osobą, dla której pracuję. Mam parę pytań, bo choć opowiedział mi pan całą historię, po wizycie Amerykanina pojawiły się pewne niejasności. Rozumiem, że o jego istnieniu dowiedział się pan dopiero w ubiegłym tygodniu?

– Zgadza się. Był tu w zeszły wtorek.

– Czy wspominał panu o naszej dzisiejszej rozmowie?

– Tak, przyszedł od pana prosto do mnie. Wcześniej jednak był bardzo rozgniewany.

– Jaki miał ku temu powód?

– Twierdził, że ucierpiał jego honor. Gdy od panów wrócił, był już w dobrym nastroju.

– Czy przedstawił jakiś plan?

– Nie, sir. O niczym nie wspominał.

– Czy prosił pana o pieniądze?

– Ależ skąd!

– Nie domyśla się pan, o co mu tak naprawdę chodzi?

– Poza tym, o czym mówił, nie.

– Czy powiedział mu pan o naszej rozmowie telefonicznej?

– Owszem, sir.

Holmes zamyślił się. Dostrzegłem, że te odpowiedzi nieco go zdziwiły.

– Czy w pańskiej kolekcji znajdują się jakieś drogocenne okazy?

– Nie. Nie jestem zamożny. To piękny zbiór, ale niezbyt cenny.

– Nie obawia się pan złodziei?

– Skądże!

– Od jak dawna pan tu mieszka?

– Od pięciu lat.

Przesłuchanie przerwało głośne pukanie do drzwi. Ledwie nasz gospodarz otworzył, do pokoju wpadł podekscytowany prawnik.

– Tu pan jest, Holmesie! – krzyknął, machając gazetą nad głową. – Liczyłem na to, że jeszcze pana tu złapię. Panie Nathanie Garridebie, moje gratulacje! Jest pan bogaty! Nasza sprawa znalazła szczęśliwy finał. A jeśli o pana chodzi, panie Holmes, musimy pana przeprosić za niepotrzebne zamieszanie. – Następnie podał gospodarzowi gazetę z zakreślonym ogłoszeniem.

Razem z Holmesem pochyliliśmy się, by zza jego ramienia przeczytać następujący tekst:

> HOWARD GARRIDEB. KONSTRUKTOR MASZYN ROLNICZYCH. Snopowiązałki, płógi ręczne i parowe, siewniki, brony, furmanki, wózki kołowe i inne. Kosztorys budowy studni artezyjskiej. Biuro mieści się w Grosvenor Buildings, w Aston.

– Wspaniale! – wykrzyknął gospodarz. – Znalazł się trzeci Garrideb!

– Prowadziłem poszukiwania w Birmingham – rzekł Amerykanin – i mój znajomy przesłał mi to ogłoszenie z lokalnej gazety. Musimy się pośpieszyć i doprowadzić sprawę do końca. Powiadomiłem tego mężczyznę, że złoży pan wizytę w jego biurze jutro po południu, o czwartej.

– Pan chce, żebym to ja się z nim spotkał?

– Co pan na to, panie Holmes? Nie sądzi pan, że to rozsądne posunięcie? Nagle pojawia się włóczący się po świecie Amerykanin i opowiada niestworzone historie. Dlaczego miałby w nie uwierzyć? Pan Nathan za to jest Brytyjczykiem o ugruntowanej pozycji, dlatego pan Howard na pewno go wysłucha z uwagą. Jeśli będzie pan sobie życzył, to w ostateczności pojadę z panem, jednak jutro czeka mnie wiele obowiązków. Jeśli będzie pan miał jakieś problemy, dołączę do niego.

– Od lat nie podróżowałem tak daleko.

– To nic strasznego, panie Garrideb. Wybrałem już dogodne połączenia. Wyjedzie pan w południe, a na miejscu będzie około drugiej. Może pan wrócić jeszcze tego samego wieczora. Musi pan tylko spotkać się z nim, wyjaśnić, o co chodzi, i przywieźć dokument poświadczający jego istnienie. Na Boga! – dodał z zapałem. – Biorąc pod uwagę, że ja przybyłem tu z innego kontynentu, to pokonanie 100 mil doprawdy nie powinno być dla pana aż tak wielkim poświęceniem.

– Racja – rzekł Holmes. – Zgadzam się z panem.

Zrozpaczony Nathan Garrideb wzruszył ramionami.

– Skoro pan nalega, pojadę – odparł. – W rzeczy samej nie powinienem panu odmawiać, uwzględniając to, jak wiele nadziei wniósł pan do mojego życia.

– Zatem ustalone – rzekł Holmes. – Sądzę, że powiadomi mnie pan o przebiegu zdarzeń.

– Oczywiście – odparł Amerykanin. – Czas na mnie – dodał, spoglądając ukradkiem na zegarek. – Panie Nathanie, jutro odprowadzę go na dworzec. Pan też wychodzi, panie Holmes? Nie? Zatem do widzenia. Mam nadzieję, że jutro obwieszczę dobrą wiadomość.

Zauważyłem, że gdy Amerykanin zamknął za sobą drzwi, twarz mojego przyjaciela rozchmurzyła się i zniknął z niej wyraz konsternacji.

– Czy mógłbym się przyjrzeć okazom z pańskiej kolekcji, panie Garrideb? – zapytał. – W mojej pracy może się przydać znajomość

najdziwniejszych tematów, a ten pokój to prawdziwa skarbnica wiedzy.

Widać było, że to pytanie ogromnie poruszyło naszego gospodarza, gdyż oczy zaświeciły mu się radością.

– Słyszałem, że jest pan niezwykle inteligentnym człowiekiem – powiedział. – Jeśli nie ma pan innych obowiązków, mogę oprowadzić go teraz.

– Niestety, teraz mam na głowie inne sprawy. Widzę jednak, że większość przedmiotów jest dokładnie opisana i sklasyfikowana, więc pańska obecność nie jest konieczna. Czy nie miałby pan nic przeciwko, gdybym jutro zerknął sobie na jego zbiór?

– Ależ skąd. Zapraszam. Mieszkanie będzie oczywiście zamknięte, ale pani Saunders zwykle jest do czwartej na dole w suterenie, więc otworzy panom drzwi swoim kluczem.

– Jutro po południu akurat nie mam żadnych zajęć. Byłbym wdzięczny, gdyby pan zawiadomił panią Saunders, że przyjdę. A tak na marginesie, od kogo wynajmuje pan to mieszkanie?

Nasz klient był wyraźnie zaskoczony tym nagłym pytaniem.

– Od agencji Holloway and Steele. Jej siedziba znajduje się przy Edgware Road. Dlaczego to pana interesuje?

– Jeśli chodzi o kamienice, to sam często zachowuję się jak archeolog – odparł Holmes z uśmiechem na ustach. – Zastanawiałem się, czy ten budynek pochodzi z czasów królowej Anny, czy z epoki georgiańskiej?

– Bez wątpienia drugi strzał jest celny.

– Oczywiście. Powinienem był wcześniej na to wpaść. W każdym razie łatwo to sprawdzić. Zatem do zobaczenia, panie Garrideb, życzę owocnej wyprawy do Birmingham.

Dowiedzieliśmy się, że tego dnia wspomniana agencja nieruchomości była od rana zamknięta, wróciliśmy więc na Baker Street. Dopiero po kolacji Holmes ponownie podjął temat.

– Nasza mała zagadka niedługo się wyjaśni – rzekł. – Ty już chyba też znasz rozwiązanie.

– Niestety, mam pustkę w głowie.

– Pustki mieć nie możesz, coś na pewno wiesz, a reszta wyjaśni się jutro. Nie zauważyłeś niczego podejrzanego w tym ogłoszeniu?

– Słowo „pługi” napisano z błędem.

– Świetnie, zwróciłeś też na to uwagę. Watsonie, z dnia na dzień robisz postępy. Tekst ogłoszenia nie był napisany po angielsku, to był amerykański angielski. Wydrukowano je w oryginalnej formie. Zwróć także uwagę na nazwę „wózki kołowe”, takiego określenia na bryczki używa się w Ameryce. Studnie artezyjskie również tam są bardziej popularne. To było typowe amerykańskie ogłoszenie, choć miało wyglądać tak, jakby zamieściła je brytyjska firma. I co ty na to?

– Mogę jedynie przypuszczać, że to sprawka tego naszego Amerykanina. Nie mogę jednak zrozumieć, jakie motywy nim kierowały.

– To nie jest jedyne możliwe wyjaśnienie. W każdym razie zależało mu z pewnością na tym, by ta poczciwa ludzka skamielina wybrała się do Birmingham. Tego jestem pewien. Mogłem go ostrzec, że podróż może być bezcelowa, ale po zastanowieniu się stwierdziłem, że lepiej będzie, jeśli nasz kolekcjoner opuści mieszkanie. Jutro, Watsonie, wszystko się wyjaśni.

Następnego dnia Holmes wstał wcześnie. Gdy wrócił na lunch, zauważyłem, że miał wyjątkowo ponurą minę.

– Ta sprawa jest o wiele poważniejsza, niż myślałem, Watsonie – rzekł. – Powinienem cię ostrzec, choć wiem, że w ten sposób tylko spotęguję twoją chęć zmierzenia się z niebezpieczeństwem. Zdążyłem cię już trochę poznać. Narażamy życie, i uważam, że powinieneś o tym wiedzieć.

– Nie będzie to pierwszy raz w naszej wspólnej karierze, Holmesie. Obawiam się również, że nie ostatni. Powiedz, proszę, konkretnie, o co chodzi?

– Będziemy musieli się zmierzyć z niezwykle trudną sprawą. Wiem już, kim naprawdę jest człowiek podający się za Johna Garrideba. To Evans Zabójca we własnej osobie, złoczyńca o strasznej reputacji.

– Chyba nigdy o nim nie słyszałem.

– Nic w tym dziwnego, bo do twoich obowiązków nie należy utrzymywanie w pamięci kroniki policyjnej. Spotkałem się dziś z inspektorem Lestrade’em ze Scotland Yardu. Choć czasem brakuje im wyobraźni i intuicji, ich świat jest wyjątkowo uporządkowany. Pomyślałem, że przeglądając policyjne akta, natrafię na ślad naszego Amerykanina. Miałem rację: jego pucołowata twarz uśmiechnęła się do mnie ze zdjęcia w galerii portretów rzezimieszków. Na dole fotografii widniał napis: „James Winter, alias Morecroft, alias Evans Zabójca”. – Holmes wyciągnął z kieszeni kopertę: – Zanotowałem kilka faktów z jego życia. Lat

czterdzieści cztery. Miasto rodzinne Chicago. Oskarżony o zastrzelenie trzech mężczyzn w Stanach Zjednoczonych. Uciekł z więzienia dzięki układom politycznym. W 1893 roku przyjechał do Londynu. W styczniu 1895 roku postrzelił człowieka podczas gry w karty w nocnym klubie przy Waterloo Road. Mężczyzna zmarł, jednak udowodniono, że to on zaczął kłótnię. Zmarły nazywał się Rodger Prescott i był słynnym fałszerzem pieniędzy; pochodził też z Chicago. Evans Zabójca został zwolniony w 1901 roku. Od tego czasu znajduje się pod kuratelą policji i z tego, co wiadomo, prowadzi uczciwe życie. Jest bardzo niebezpieczny, zwykle nosi przy sobie broń, której w razie potrzeby nie zawaha się użyć. Oto nasza ptaszyna, Watsonie, a raczej, jak pewnie sam przyznasz, ptak drapieżny.

– Ale o co toczy się gra?

– Powoli zaczyna mi się to klarować. Byłem w Agencji nieruchomości. Potwierdziły się słowa naszego klienta, faktycznie, wynajmuje lokal od pięciu lat. Zanim jednak w nim zamieszkał, przez rok pomieszczenie stało puste. Poprzednim lokatorem był dżentelmen, na którego wołano Waldron. Pracownicy agencji dobrze kojarzą sobie tego człowieka, bo pewnego dnia zniknął bez śladu i słuch o nim zaginął. Był wysoki, miał brodę i ciemną karnację. Z notatek Scotland Yardu wynika, że Prescott, czyli człowiek, którego zabił Evans Zabójca, był wysoki, też miał brodę i ciemną skórę. Konstruując roboczą hipotezę, możemy przyjąć, że Prescott, amerykański kryminalista, mieszkał kiedyś w tym pokoju, który obecnie przerabia na muzeum nasz niczego nieświadomy przyjaciel. Przynajmniej istnieje jakieś ogniwo łączące ich ze sobą.

– Jest ich więcej?

– Cóż, właśnie musimy się o tym przekonać.

Wręczył mi rewolwer, który wcześniej wyjął z szuflady.

– Ja mam ten stary, mój ulubiony. Jeśli nasz przyjaciel z Dzikiego Zachodu zapragnie udowodnić, że naprawdę zasłużył sobie na swój przydomek, lepiej, żebyśmy byli przygotowani. Daję ci godzinę na odpoczynek, Watsonie, potem udamy się na Ryder Street na spotkanie z przygodą.

Gdy dotarliśmy do dziwacznego mieszkania Nathana Garrideba, wybiła czwarta. Dozorczyni pani Saunders właśnie wychodziła, jednak bez wahania wpuściła nas do środka, gdyż Holmes obiecał, że przed wyjściem

sprawdzi, czy drzwi wyposażone w zamek zatrzaskowy na pewno się zamknęły. Po chwili usłyszeliśmy dźwięk zamykanych drzwi wejściowych i przez okno obserwowaliśmy, jak czepek zdobiący głowę dozorczyni oddala się od budynku. Na parterze oprócz nas nie było nikogo. Holmes w ekspresowym tempie obszedł pomieszczenie. W ciemnym kącie stał, lekko odsunięty od ściany stał regał. Schowaliśmy się za tym meblem i Holmes szeptem przedstawił mi plan działania.

– Evans chciał wywabić stąd naszego sympatycznego przyjaciela, tego możemy być pewni, a skoro kolekcjoner prawie nigdy nie opuszcza swojego mieszkania, musiał wszystko szczegółowo opracować. Prawdopodobnie dlatego właśnie wymyślił tę historyjkę o spadku i trzech Garridebach. Muszę przyznać, że jest diabelsko przebiegły, nawet jeśli to dziwaczne nazwisko lokatora było dla jego opowieści wspaniałym punktem wyjścia, którego wcale się nie spodziewał. Uknuł tę intrygę w niebywale sprytny sposób.

– Ale po co to wszystko?

– Jesteśmy tu, by się tego dowiedzieć. Zdążyłem się już zorientować, że nie ma to najwyraźniej niczego wspólnego z naszym kolekcjonerem. Ma natomiast związek z człowiekiem, którego zabił, a który prawdopodobnie był jego wspólnikiem. Ten pokój kryje w sobie tajemnicę jakiegoś przestępstwa. Oto moje wnioski, Watsonie. Na początku myślałem, że nasz przyjaciel ma w swojej kolekcji jakiś przedmiot, z którego realnej wartości nie zdaje sobie sprawy, coś, co mogłoby zainteresować kryminalistę Evansa. Jednak fakt, ze wcześniej mieszkał tu Rodger Prescott, wskazuje na poważniejszą przyczynę. Cóż, Watsonie, musimy uzbroić się w cierpliwość, jest to kwestia czasu.

Nie musieliśmy długo czekać. Usłyszawszy szczęk otwieranych drzwi zewnętrznych, przykucnęliśmy w cieniu regału. Dobiegł nas ostry metaliczny dźwięk przekręcanego w zamku klucza, i już po chwili Amerykanin znalazł się w mieszkaniu. Po cichu zamknął za sobą drzwi, uważnie rozejrzał się dookoła, by sprawdzić, czy jest bezpieczny, zdjął płaszcz i zbliżył się do stołu pewnym krokiem człowieka, który dokładnie wie, po co przyszedł. Przesunął stół, podniósł i zrolował ten fragment dywanu, na którym stał mebel, następnie z wewnętrznej kieszeni wyjął krótki łom, uklęknął i z zapałem zaczął majstrować przy deskach podłogi. Wkrótce usłyszeliśmy dźwięk przesuwanego drewna, i naszym oczom

ukazała się kwadratowa klapa. Evans Zabójca zapalił zapałką świecę i zniknął w tajemniczym otworze w podłodze.

To była odpowiednia chwila, by opuścić naszą kryjówkę. Holmes dał znak, chwytając mnie za nadgarstek, i po chwili podeszliśmy na palcach do dziury. Choć staraliśmy się poruszać ostrożnie, deski chyba skrzypnęły, bo nagle z ciemności wychynęła się głowa Amerykanina, który zaczął niespokojnie rozglądać się wokół. Gdy zauważył dwa pistolety wycelowane w jego głowę, spojrzenie, początkowo przepełnione zdumieniem i gniewem, stopniowo złagodniało, a na twarzy zaczął się pojawiać wstydliwy uśmiech.

– Proszę! Proszę! – powiedział obojętnie, wychodząc z ciemnej otchłani. – Chyba pan mnie przechytrzył, panie Holmes. Odgadł moje zamiary i zabawił się ze mną w kotka i myszkę. Gratuluję! Pokonał mnie pan… – W mgnieniu oka z wewnętrznej kieszeni surduta wyciągnął rewolwer i oddał dwa strzały.

Poczułem nagle piekący ból, jak gdyby ktoś przyłożył do mego uda rozgrzany do czerwoności żelazny pręt. Usłyszałem tępy odgłos kolby pistoletu uderzającej o głowę złoczyńcy. Następnie ujrzałem go leżącego bezwładnie na podłodze; ze skroni spływała strużka krwi. Holmes zajęty był szukaniem broni w jego kieszeniach. Potem mój przyjaciel objął mnie swymi żylastymi rękami i poprowadził w stronę krzesła.

– Zranił cię, Watsonie? Na litość boską! Powiedz, że nic ci nie jest!

Rana się opłaciła – nawet mogłoby być ich więcej – bo oto zobaczyłem, jak wielkie oddanie i uczucia kryją się za maską obojętności, którą Holmes przywdziewał na co dzień. Przez chwilę jego wyraziste ostre spojrzenie było lekko zamglone, a zaciśnięte zwykle usta drżały. Pierwszy i jedyny raz w życiu dostrzegłem w nim poza wspaniałym umysłem wielkie serce. W tej jednej chwili zostałem wynagrodzony po stokroć za wszystkie lata, gdy pokornie i z oddaniem towarzyszyłem mu w jego pracy.

– To nic, Holmesie. Małe zadrapanie.

Przeciął moje spodnie scyzorykiem.

– Nic ci nie będzie – odetchnął z ulgą. – Rana jest powierzchowna. Jego oczy zapłonęły gniewem, niczym zapałka, gdy spojrzał na jeńca, którego twarz wyrażała jedynie osłupienie.

– Na litość boską! Miał pan szczęście. Gdyby pan zabił Watsona, nie wyszedłby żywy z tego pokoju. Czy chciałby pan teraz coś powiedzieć?

Nasz więzień milczał. Siedział tylko i patrzył spode łba. Oparłem się na ramieniu Holmesa i razem zajrzeliśmy do piwnicy ukrytej pod sekretną klapą. Wnętrze nadal oświetlał płomień świecy, którą Evans zostawił na dole. Zobaczyliśmy wielką zardzewiałą maszynę, rolki papieru, mnóstwo buteleczek i przewiązane paczuszki, precyzyjnie poukładane na stole.

– Prasa drukarska, pełne wyposażenie fałszerza pieniędzy – rzekł Holmes.

– Zgadza się, sir – odparł jeniec, który zachwiał się na nogach i ciężko opadł na krzesło. – W Londynie nigdy nie było lepszego fałszerza. To maszyna Prescotta. W tych pakunkach leżących na stole znajduje się tysiąc banknotów, każdy o nominale 100 funtów, świetna robota. Bierzcie, ile chcecie, panowie. Dobijmy targu.

Holmes roześmiał się.

– Nie prowadzimy takich interesów, panie Evans. Nie ma w tym kraju dla pana kryjówki. To pan zastrzelił Prescotta, zgadza się?

– Tak, i zostałem za to skazany na karę pięciu lat więzienia, choć to on był inicjatorem kłótni. Straciłem wolność, choć powinienem za to dostać medal wielkości talerza. Nikt nie odróżniłby banknotów Prescotta od tych drukowanych przez bank angielski. Gdybym go nie załatwił, zalałby nimi cały Londyn. Tylko ja wiedziałem, gdzie znajduje się jego drukarnia. Czy to dziwne, że chciałem się do niej dostać? Dziwi panów, że gdy się dowiedziałem, iż przesiaduje tu ten zwariowany głupiec, łowca robali o dziwacznym nazwisku, który nie opuszcza tego miejsca, musiałem zrobić wszystko, co w mojej mocy, by go stąd wykurzyć? Rozsądniej byłoby go zabić. Z pewnością łatwiej, ale, niestety, mam miękkie serce i nie strzelam do nieuzbrojonych ludzi. Panie Holmes, jakie jest moje przewinienie? Nie wykorzystałem banknotów. Nie skrzywdziłem tego starego dziwaka. Co pan ze mną zrobi?

– Na razie mogę pana oskarżyć o usiłowanie zabójstwa – rzekł Holmes. – Ale to już nie należy do naszych obowiązków. Zajmą się tym odpowiedni ludzie. Zależało nam tylko na złapaniu pana. Watsonie, bądź tak uprzejmy i zadzwoń do Scotland Yardu. Zresztą, spodziewają się telefonu.

Oto cała historia Evansa Zabójcy i jego wymyślonej opowieści o trzech Garridebach. Dowiedzieliśmy się później, że nasz biedny przyjaciel Nathan

Garrideb nigdy nie otrząsnął się z żalu po utraconych marzeniach. Wyśniony zamek, jaki budował, opierając się na planach na przyszłość, runął, pogrzebawszy go w swych ruinach. Po raz ostatni widziano go w domu opieki w Brixton.

W Scotland Yardzie świętowano odnalezienie drukarni Prescotta. Choć policjanci wiedzieli o jej istnieniu, po śmierci fałszerza nie byli w stanie ustalić, gdzie się znajduje. Evans oddał wielką przysługę policji, dzięki niemu kilku funkcjonariuszy z wydziału kryminalnego mogło wreszcie spać spokojnie, gdyż fałszerze należą do grupy groźnych przestępców. Policjanci z chęcią podyskutowaliby na temat wspomnianego przez kryminalistę medalu, ale niewdzięczni sędziowie mieli na ten temat zgoła inną opinię, i Zabójca trafił z powrotem w ciemne zakamarki więzienia, z których dopiero co się wydostał.

Opowieść siódma

Niezwykłe wydarzenia na moście Thor

Gdzieś w skarbcu banku „Cox and Co.” znajdującym się blisko stacji kolejowej Charing Cross spoczywa zakurzona i podniszczona kasetka. Na wieku jej pokrywy widnieje napis: „John H. Watson, były oficer Armii Indyjskiej”. Kasetka jest wypełniona po brzegi plikiem kartek, na których opisałem niezwykłe sprawy, jakie przyszło badać Sherlockowi Holmesowi. Niektóre z nich, choć równie interesujące jak inne, zakończyły się całkowitą porażką, więc nie warto o tym pisać, gdyż opowieściom tym brakowałoby puenty. Zagadka, której nie można rozwiązać, być może zainteresuje badacza, jednak dla zwykłego czytelnika będzie po prostu irytująca. Jedna z tych niedokończonych opowieści dotyczy pana Jamesa Phillimore’a, który wróciwszy do własnego domu po parasol, już nigdy z niego nie wyszedł, i wszelki słuch po nim zaginął. Równie niezwykła jest historia kutra „Alicja”, który pewnego dnia wpłynął w sam środek mgły i nigdy się już z niej nie wynurzył; do dziś nikt nie wie, co się stało z jego załogą. Bohaterem trzeciej sprawy, o której warto wspomnieć, był Isadora Persano, znany dziennikarz i amator pojedynków. Gdy go znaleziono, był obłąkany; trzymał w dłoniach pudełko po zapałkach z niezwykłym robakiem w środku, o którym nigdy wcześniej nie słyszał świat nauki. Oprócz tych nierozwiązanych zagadek w kasetce znajdują się notatki dotyczące wielu prywatnych rodzinnych sekretów, a informacja o tym, że mogłyby się ukazać w druku, spowodowałaby nie lada chaos i poruszenie w wielu domach przedstawicieli wyższych sfer. Nie muszę chyba mówić, że takie nadwyrężenie zaufania byłoby nie do pomyślenia i że zapiski dotyczące tych spraw zostaną zniszczone teraz, gdy mój przyjaciel może w końcu poświęcić na to nieco czasu. Jednak jest jeszcze wiele innych, mniej lub bardziej interesujących spraw, które prawdopodobnie opisałbym

wcześniej, gdyby nie obawa, że czytelnicy poczują przesyt przygodami detektywa, co z kolei odbiłoby się na nim jako na człowieku, którego szanuję najbardziej na świecie. W wielu dochodzeniach osobiście brałem udział i opisałem je z perspektywy naocznego świadka; inne sprawy toczyły się albo bez mojego udziału, albo udział ten był tak znikomy, że mógłbym je opisać jedynie z punktu widzenia obserwatora. Niniejsza opowieść jest oparta na moich własnych doświadczeniach.

Tego wietrznego październikowego poranka ubierałem się w swoim pokoju i obserwowałem, jak ostatnimi liśćmi powiewającymi na samotnym platanie, stojącym na podwórku z tyłu domu, targał porywisty wiatr. Zszedłem na śniadanie, spodziewając się, że zastanę swego przyjaciela w ponurym nastroju, gdyż jak wszyscy wielcy mistrzowie reagował gwałtownie na aurę. Zdziwiłem się, widząc go w dobrej formie. Właśnie kończył posiłek, na jego twarzy gościł ironiczny uśmiech, a on sam był radosny jak wówczas, gdy wszystko układało się po jego myśli.

– Masz jakąś nową sprawę, Holmesie? – zapytałem.

– Widzę, że metoda dedukcji jest zaraźliwa, Watsonie – odparł. – Dzięki niej odkryłeś mój sekret. Owszem, dostałem zlecenie. Nareszcie po okresie stagnacji i rozwiązywania drobnych zagadek maszyna ruszyła.

– Powiesz mi, o co chodzi?

– Nie bardzo jest o czym, ale chętnie porozmawiam z tobą, gdy skonsumujesz dwa jaja na twardo, którymi uraczyła nas nasza nowa kucharka. Sposób ich przyrządzenia bez wątpienia ma wiele wspólnego z ostatnim numerem tygodnika „Family Herald”, który wczoraj leżał na stoliku w korytarzu. Nawet tak prozaiczne zajęcie, jakim jest gotowanie jajek, wymaga koncentracji i umiejętności kontrolowania mijającego czasu, czemu z pewnością nie sprzyja zaczytywanie się romantycznymi opowieściami drukowanymi w tym jakże doskonałym piśmie.

Kwadrans później, gdy sprzątnięto ze stołu, usiedliśmy wygodnie naprzeciwko siebie. Holmes wyjął z kieszeni list.

– Słyszałeś o Neilu Gibsonie, królu złota? – zapytał.

– O tym amerykańskim senatorze?

– Tak, w przeszłości był senatorem któregoś z zachodnich stanów, ale w świecie słynie jako największy potentat finansowy handlujący złotem.

– Słyszałem o nim. Wiem nawet, że przez jakiś czas mieszkał w Anglii. To dosyć znane nazwisko.

– Zgadza się, pięć lat temu kupił okazałą posiadłość w Hampshire. Być może czytałeś, w jakich tragicznych okolicznościach zginęła jego żona?

– Rzeczywiście. Teraz sobie przypominam. Dlatego właśnie kojarzę to nazwisko. Niestety, nie znam żadnych szczegółów.

Holmes wskazał na plik gazet leżących na krześle.

– Gdybym wiedział, że ta sprawa do mnie trafi, przygotowałbym wycinki z gazet – rzekł. – Rozwiązanie tej zagadki, jakkolwiek wyjątkowo niezwykłej, wydaje się proste. Choć oskarżona jest bardzo interesującą osobą, dowody mówią same za siebie. Podobnie myślą koroner oraz inspektorzy policji. Rozprawa sądowa odbędzie się w Winchesterze. Postawiono przede mną niewdzięczne zadanie. Potrafię odkryć fakty, ale nie umiem ich zmieniać. Jedyna nadzieja w tym, że natrafię na zupełnie nowe ślady, inaczej mój klient nie ma na co liczyć.

– Twój klient?

– Zapomniałem, że przecież ty nic nie wiesz. Widocznie zaczynam przejmować od ciebie nawyk opowiadania każdej historii od końca. Myślę, że powinieneś to przeczytać.

Podał mi list napisany czyjąś pewną ręką; pismo było doskonale wyćwiczone.

CLARIDGE’S HOTEL, 3 października

SZANOWNY PANIE HOLMES!

Nie potrafię sobie wyobrazić, by najwspanialsza kobieta, jaką kiedykolwiek stworzył Bóg, została stracona, zanim nie zrobię wszystkiego co w mojej mocy, by ją ocalić. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, nawet nie będę próbował, ale nie mam jednak żadnych wątpliwości, że panna Dunbar jest niewinna. Na pewno zna pan fakty, ponieważ każdy słyszał o tej sprawie, a plotką żył cały kraj. Nikt nie stanął w jej obronie! Ta potworna niesprawiedliwość doprowadza mnie do obłędu. Panna Dunbar ma złote serce i nie skrzywdziłaby nawet muchy.

Jutro o jedenastej pozwolę sobie złożyć wizytę na Baker Street – może dzięki panu promyk nadziei rozświetli tę straszną ciemność. Być może istnieje jakiś trop, o którym nie wiem. W każdym razie ma pan do dyspozycji całą moją wiedzę, wszystko, co posiadam, a ja sam służę oczywiście wszelką pomocą, tylko niech ją pan uratuje. Jeśli to prawda, co mówią o pańskich umiejętnościach, proszę je w pełni wykorzystać.

Moje uszanowanie. J. NEIL GIBSON

– Spodziewam się wizyty tego dżentelmena – rzekł Sherlock Holmes, wysypując popiół z fajki, którą zwykł zapalać po śniadaniu, a następnie ponownie napełniając ją tytoniem. – Jeśli chodzi o wspomnianą historię z zabójstwem, nie mamy już czasu, byś przejrzał wszystkie gazety. Zatem jeśli masz chęć wziąć czynny udział w śledztwie, pozwól, że streszczę ci najważniejsze fakty. Neil Gibson jest najbogatszym człowiekiem na świecie, znany ze swego wybuchowego i trudnego charakteru. Ożenił się z kobietą, ofiarą tragedii, o której wiem tylko tyle, że najlepsze lata życia miała już za sobą, co się okazało dość niefortunne, gdyż edukacją ich dwojga dzieci zajmowała się wyjątkowo atrakcyjna guwernantka. Oto troje bohaterów dramatu, który rozegrał się we wspaniałej starej rezydencji położonej w historycznym centrum Anglii. I jeszcze kilka słów o tragicznych wydarzeniach. Żonę znaleziono późnym wieczorem. Leżała na ziemi w odległości pół mili od domu. Miała na sobie wieczorową suknię, ramiona otulał szal, a w głowie tkwiła kula. Przy zwłokach nie znaleziono rewolweru, nie było żadnych śladów, które doprowadziłyby do mordercy. Żadnej broni, Watsonie, warto, żebyś to zapamiętał. Prawdopodobnie zbrodnię popełniono wieczorem; ciało znalazł gajowy o jedenastej. Lekarz i policjanci dokonali oględzin zwłok, zanim przeniesiono je do domu. Czy to nie za dużo wiadomości na raz? Nadążasz?

– Owszem. Nie rozumiem tylko, dlaczego oskarżono guwernantkę?

– Przede wszystkim istnieje ważny dowód. Na dnie jej szafy znaleziono rewolwer z jednym brakującym nabojem. Kaliber i rodzaj użytego pocisku są takie jak w narzędziu zbrodni.

Holmes wbił nagle we mnie wzrok i powtórzył słowa, akcentując głosem poszczególne wyrazy:

– Na – dnie – jej – szafy.

Następnie zamilkł, a ja wiedziałem, że postąpiłbym nierozsądnie, przerywając w tej chwili tok jego myślenia. Po chwili się ocknął i z zapałem kontynuował:

– Tak, Watsonie, broń została znaleziona! Istotnie, jest to dowód nader obciążający, nieprawdaż? Ława przysięgłych na wstępnej rozprawie była tego samego zdania. Poza tym zmarła miała przy sobie liścik napisany ręką guwernantki z prośbą o spotkanie właśnie w tamtym miejscu. Co o tym sądzisz? No, jest też motyw. Senator Gibson to bardzo przystojny mężczyzna. W przypadku śmierci żony któż wydaje się lepszą kandydatką

na jej miejsce, jeśli nie młoda dama, którą wcześniej pracodawca adorował? Miłość, fortuna, władza – to wszystko mogłoby być jej, gdyby nie jedna kobieta w średnim wieku. Brudna sprawa, Watsonie!

– W rzeczy samej, Holmesie.

– W dodatku guwernantka nie miała alibi. Wręcz przeciwnie, przyznała, że mniej więcej wtedy, gdy popełniono zbrodnię, znajdowała się przy moście Thor, czyli na miejscu zdarzenia. Nie mogła zaprzeczyć, ponieważ widział ją przechodzący obok mieszkaniec okolicy.

– Wszystko wskazuje na to, że dowody faktycznie są niepodważalne.

– A jednak, Watsonie, nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Ten szeroki, jednoprzęsłowy kamienny most z barierkami po obu stronach, to jedyne miejsce, gdzie można się przedostać przez najwęższą część szerokiego głębokiego akwenu, zarośniętego trzciną. Ten most nosi nazwę Thor Mere. Kobieta leżała na ziemi tuż przy moście. Oto najistotniejsze fakty. Ale cóż to? Jeśli się nie mylę, nasz klient przybył na spotkanie przed czasem.

Billy otworzył drzwi, jednak zaanonsował osobę, której odwiedzin się nie spodziewaliśmy. Żaden z nas nie znał pana Marlowa Batesa. Był to szczupły znerwicowany człowiek, cały roztrzęsiony, o przestraszonych oczkach. Według mojej profesjonalnej medycznej opinii mężczyzna był na granicy załamania nerwowego.

– Jest pan czymś niezwykle poruszony, panie Bates – przywitał go mój przyjaciel. – Proszę, niech pan siądzie. Obawiam się, że nie mogę poświęcić mu wiele czasu, gdyż o jedenastej spodziewam się gościa.

– Wiem o tym – wysapał mężczyzna, wydobywając z siebie słowa z takim wysiłkem, jakby brakowało mu tchu. – Czeka pan na Gibsona. To mój pracodawca. Jestem zarządcą w jego posiadłości. Panie Holmes, to jest przestępca o diabelskiej naturze.

– Mocne słowa, panie Bates.

– Nie mogę owijać w bawełnę, bo mam niewiele czasu. Za nic w świecie nie chciałbym, żeby się dowiedział o mojej wizycie. A przecież jest już prawie godzina waszego spotkania. Niestety, wcześniej nie mogłem przyjść, gdyż miałem do wykonania inne obowiązki. Pan Ferguson, sekretarz pana Gibsona, dopiero dziś rano powiedział mi o jego wizycie w pańskim domu.

– A pan jest zarządcą, tak?

– Złożyłem już wymówienie. Za kilka tygodni przestanę być jego niewolnikiem. To bardzo surowy człowiek, panie Holmes. Za działalnością charytatywną ukrywa wyjątkowo niegodziwe interesy. Jednak jego żona cierpiała najbardziej. Był dla niej wyjątkowo brutalny! Nie wiem, jak doszło do jej śmierci, ale z całą pewnością zatruł jej życie. Czy wiadomo panu, że pochodziła z Brazylii?

– Nie, ten fakt akurat mi umknął.

– Tam się urodziła, miała ognisty temperament. Dziecko słońca i namiętności. Kochała swego męża z całego serca, a siła jej uczucia miała źródło w jej korzeniach. Niestety, gdy jej uroda przeminęła, a słyszałem, że niegdyś była wyjątkowo piękna, nic go już przy niej nie trzymało. Wszyscy bardzo lubiliśmy naszą panią, jej męża natomiast nienawidziliśmy za to, jak ją traktował. On mami ludzi i jest przebiegły. Tylko tyle chciałem panu powiedzieć. Niech pan sie nie da zwieść jego urokowi. Za tą maską, którą przywdział, kryje się dużo więcej. Pójdę już. Nie, proszę mnie nie zatrzymywać! On zaraz tu będzie.

Spoglądając z przerażeniem na zegar, nasz gość podbiegł do drzwi i zniknął.

– No! No! – rzekł Holmes, przerywając milczenie. – Pan Gibson ma miłych, oddanych pracowników. To ostrzeżenie może się jednak okazać przydatne. Nie pozostaje nam teraz nic innego, jak tylko czekać.

Punktualnie o wyznaczonej porze usłyszeliśmy ciężkie kroki na schodach, i po chwili milioner wszedł do pokoju. Patrząc na niego, zrozumiałem, dlaczego zarządca tak się go obawia i nie darzy ciepłymi uczuciami oraz skąd biorą się nieprzychylne opinie na jego temat, wypowiadane przez konkurentów. Gdybym był rzeźbiarzem i poproszono mnie o wykonanie wyidealizowanej podobizny człowieka sukcesu, wybrałbym jako modela pana Neila Gibsona. Jego wysoka szczupła sylwetka oraz stalowe spojrzenie świadczyły o silnym, agresywnym charakterze naznaczonym chciwością. Gdyby popiersie Abrahama Lincolna pozbawić wszystkich szlachetnych cech, dałoby to pewne wyobrażenie o tym mężczyźnie. Jego twarz, niczym wyrzeźbiona w granicie, była nieruchoma, poorana głębokimi zmarszczkami, pamiątkami po licznych przejściach życiowych. Spojrzenie zimnych szarych przenikliwych oczu spod krzaczastych brwi przewiercało przybysza. Gość niedbale kiwnął głową, gdy Holmes mnie przedstawiał, a następnie pewnie chwycił krzesło,

jakby był u siebie, i postawił je tuż przed moim przyjacielem. Gdy usiadł, jego kościste kolana prawie dotykały nóg detektywa.

– Przede wszystkim, panie Holmes – zaczął – pieniądze nie grają roli. Może je pan nawet spalić, jeśli tylko płomień oświeci panu drogę do prawdy. Ta kobieta jest niewinna, i musi zostać oczyszczona z zarzutów! Leży to już w pana gestii. Proszę podać kwotę!

– Moje honorarium jest jednakowe dla wszystkich klientów i ściśle określone z góry – rzekł Holmes ozięble. – Nie zmieniam stawek, chyba że z jakichś względów nie przyjmuję zapłaty wcale.

– Jeśli dolary pana nie przekonują, to proszę pomyśleć o renomie. Jeśli sprawa zakończy się sukcesem, wszystkie gazety w Anglii i Stanach Zjednoczonych będą o panu trąbiły. Mieszkańcy obu kontynentów poznają pańskie nazwisko.

– Dziękuję, panie Gibson, ale nie interesuje mnie zupełnie taki rozgłos. Może to pana zdziwi, ale wolę pracować anonimowo, a zadania podejmuję się tylko wówczas, gdy dana sprawa wydaje mi się interesująca. Tracimy wobec tego czas. Przejdźmy do sedna.

– Wszystkie fakty pewnie zna pan już z prasy. Nie wiem, czy będę mógł jeszcze w jakiś sposób pomóc. Jeśli jednak nie wszystko jest dla pana jasne, jestem do pańskiej dyspozycji.

– Właściwie to mam tylko jedno pytanie.

– Tak, słucham?

– Jakie relacje naprawdę łączyły pana i pannę Dunbar?

Król złota poderwał się gwałtownie z krzesła. Po chwili jednak spokój powrócił na jego oblicze.

– Chyba ma pan prawo, a jest to nawet pański obowiązek, by zadawać tego typu pytania, panie Holmes.

– „Chyba” to dobre określenie – odparł mój przyjaciel.

– Zapewniam pana, że zawsze traktowałem tę młodą damę jako moją pracownicę. Nigdy tak naprawdę nie rozmawiałem z nią ani nie spotykałem się w innej sytuacji niż wówczas, gdy przebywała w towarzystwie moich dzieci.

Holmes wstał z krzesła.

– Panie Gibson, mam wiele pracy – rzekł – i nie mam czasu ani ochoty na bezcelowe pogawędki. Życzę panu miłego dnia.

Potentat również podniósł się z krzesła. Stojąc, górował nad Holmesem. Pod jego krzaczastymi brwiami zabłysły rozgniewane oczy, a na policzkach pojawiły się wypieki:

– Co to, do diabła, ma znaczyć, panie Holmes? Nie chce pan tego zlecenia?

– Panie Gibson, przede wszystkim nie chcę pana. Wydawało mi się, że dosyć jasno się wyraziłem.

– Owszem, jasno, ale nie wiem dlaczego? Chce pan w ten sposób uzyskać wyższą stawkę? Mam prawo do szczerej odpowiedzi.

– Tak, ma pan takie prawo – rzekł Holmes. – Udzielę jej zatem panu. Sprawa jest wystarczająco skomplikowana, nie potrzebuję dodatkowo pańskich fałszywych zeznań.

– Twierdzi pan, że kłamię?

– Starałem się delikatnie dać to panu do zrozumienia, ale jeśli pan nalega, by używać takich dosadnych słów, nie będę się sprzeciwiał.

Stanąłem na równe nogi, zobaczywszy, jak milioner unosi zaciśniętą pięść z wściekłym i zaciętym wyrazem twarzy. Holmes uśmiechnął się lekko i sięgnął po fajkę.

– Proszę się nie awanturować, panie Gibson. Wyznaję zasadę, iż po śniadaniu nawet niewielka kłótnia nie jest wskazana. Wydaje mi się, że spacer na świeżym powietrzu i uporządkowanie myśli dobrze panu zrobią.

Król złota z ogromnym wysiłkiem opanował gniew. Muszę przyznać, że jego zachowanie było godne podziwu, gdyż taka kontrola nad własnymi emocjami jest rzadką umiejętnością. W jednej chwili przeobraził się z rozpalonego do czerwoności furiata w obojętnego człowieka o lodowatym pogardliwym spojrzeniu.

– Pański wybór. Na pewno wie pan, jak najlepiej prowadzić interes. Nie mogę pana zmusić, żeby przyjął to zlecenie. Dzisiaj jednak nie popisał się pan, panie Holmes. Nie takich jak pan potrafię złamać. Jeszcze nikomu, kto stanął mi na drodze, nie uszło to na sucho.

– Zgadza się, krąży o panu taka opinia, a jednak rozmawiam z panem – powiedział Holmes z uśmiechem na twarzy. – Do widzenia, panie Gibson. Jeszcze wiele musi się pan nauczyć.

Nasz gość wyszedł ostentacyjnie, podczas gdy Holmes pozostał w swoim fotelu z fajką w ustach milczący i jakby rozmarzony, ze wzrokiem wbitym w sufit.

– Co o tym sądzisz, Watsonie? – zapytał w końcu.

– Cóż, Holmesie, muszę przyznać, że biorąc pod uwagę usposobienie tego dżentelmena i fakt, że zmiecie ze swej drogi każdą przeszkodę, jaką z pewnością mogła być dla niego nielubiana, jak twierdzi pan Bates, żona, wydaje mi się, że…

– Zgadza się. Mnie także.

– Jakie były jego relacje z guwernantką i jak je odkryłeś?

– To był zwykły blef, Watsonie! Ton listu, który od niego otrzymałem, wskazywał, iż sprawa, co do której chce zasięgnąć mojej rady, nie należy do typowych biznesowych kwestii. Wyczytałem z listu wielkie zaangażowanie i determinację. Gdy połączyłem to z jego powściągliwym zachowaniem, stało się dla mnie jasnym, że pisząc list, musiał być pod wpływem silnych emocji, które wskazywały, iż bliższa jest mu oskarżona niż ofiara. Jeśli mam dotrzeć do prawdy, muszę wiedzieć, jakie były relacje między tymi trzema osobami. Byłeś świadkiem, jak go zaatakowałem, a on na początku pozostał niewzruszony? Dopiero potem użyłem blefu i dałem mu do zrozumienia, że wiem, iż nie mówi prawdy, ale miałem co do tego pewne podejrzenia.

– Czy wróci?

– Na pewno. Nie ma innego wyjścia. Nie może zaniechać tej sprawy. O proszę, chyba słyszę dzwonek. Wydaje mi się, że to jego kroki. Właśnie mówiłem Watsonowi, że trochę się pan spóźnia, panie Gibson.

Król złota wszedł do pokoju w nieco lepszym niż poprzednio nastroju. W oczach nadal można było dojrzeć urażoną dumę, ale najwyraźniej posłuchał zdrowego rozsądku i zdał sobie sprawę, że jeśli chce tę sprawę doprowadzić do końca, musi się podporządkować pewnym wymaganiom.

– Przemyślałem wszystko raz jeszcze, panie Holmes, i sądzę, że działałem zbyt pochopnie, biorąc do siebie pańskie uwagi. Zdobywanie informacji należy do pana obowiązków bez względu na to, czego dotyczą; to akurat dobrze o panu świadczy. Zapewniam jednak, że stosunki między mną a panną Dunbar nie mają nic wspólnego z rzeczoną sprawą.

– Pan pozwoli, że ja to ocenię.

– Dobrze, oczywiście. Przypomina pan chirurga, który musi poznać symptomy choroby, zanim postawi diagnozę.

– Zgadza się. Świetnie pan to ujął. A pacjent ma swoje powody, by zataić przed lekarzem objawy.

– Być może ma pan rację, panie Holmes, musi pan jednak przyznać, że większość mężczyzn postawionych w ten sposób pod ścianą i pytanych o to, co łączy ich z jakąś kobietą, zachowałoby się podobnie, zwłaszcza jeśli w grę wchodzi prawdziwe uczucie. Myślę, że w duszy mężczyzny istnieją zakamarki, do których wstęp nie jest mile widziany. A pan właśnie próbował dostać się w to miejsce. Jednak cel uświęca środki, ponieważ działał pan w obronie panny Dunbar. Zatem jestem do pańskiej dyspozycji, może pan pytać o wszystko. Co chce pan wiedzieć?

– Prawdę.

Król złota zadumał się, jakby porządkując myśli. Jego ponura twarz o ostrych rysach posmutniała i spoważniała.

– Całą historię można streścić w kilku zdaniach, panie Holmes – powiedział w końcu. – W życiu istnieją takie tematy, które niełatwo się porusza, dlatego nie będę się w nie zagłębiał, powiem tylko to, co najważniejsze. Poznałem moją przyszłą żonę podczas pobytu w Brazylii, gdzie prowadziłem interesy. Maria Pinto, córka dygnitarza państwowego z Manos, była wyjątkowo piękną dziewczyną. Teraz, gdy emocje dawno opadły i patrzę na tamte czasy krytycznym okiem, muszę przyznać, że cechowała ją niespotykana i zachwycająca uroda. Charakter dorównywał zewnętrznym walorom, gdyż była to osoba namiętna, impulsywna i kochająca żarliwie; zupełnie nie przypominała amerykańskich kobiet, jakie znałem. Byłem młody i porywczy, krótko mówiąc, zakochałem się i poprosiłem o jej rękę. Gdy jednak pierwsze porywy serca, które trwały naprawdę długo, minęły, okazało się, że nic nas absolutnie nie łączy. Moja miłość się wypaliła. Byłoby łatwiej, gdyby ona czuła podobnie. Ale wie pan, jakie są kobiety! Bez względu na to, co robiłem, nie przestawała mnie kochać. Bywały chwile, kiedy byłem dla niej oziębły, a czasem nawet brutalny, sądziłem, że w ten sposób jej miłość obróci się w nienawiść i wtedy obojgu nam będzie łatwiej. Ale moje zachowanie nie skutkowało. W tych angielskich lasach kochała mnie równie mocno jak wtedy, dwadzieścia lat temu, nad brzegiem Amazonki. Mogłem robić wszystko, co mi się żywnie podobało, a ona i tak ciągle była mi oddana.

W tym czasie pojawiła się w naszym domu panna Grace Dunbar. Odpowiedziała na ogłoszenie, w którym napisaliśmy, że poszukujemy guwernantki dla dwójki dzieci. Czy widzieli panowie jej portret w gazecie?

Cały świat orzekł, że jest to kobieta o niezwykłej urodzie. Nie chcę być świętszym od papieża, przyznaję, że trudno mi było żyć pod jednym dachem z taką pięknością, bo patrząc na nią każdego dnia, musiałem dusić w sobie rodzącą się namiętność. Dziwi mi się pan, panie Holmes?

– Rozumiem pańskie uczucia. Jednak uważam za niestosowne ich okazywanie, gdyż jako pracodawca powinien pan otoczyć tę młodą panienkę opieką.

– Pewnie ma pan rację – rzekł milioner, w którego oczach po wysłuchaniu reprymendy pojawił się złowrogi błysk. – Nie próbuję udawać kogoś lepszego, niż jestem w rzeczywistości. W ciągu całego życia dostawałem to, czego zapragnąłem, a nigdy nie marzyłem o niczym bardziej, niż posiąść tę kobietę i zdobyć jej miłość. Powiedziałem jej o tym.

– Doprawdy, zrobił pan to? – Czasami, gdy coś go poruszyło, Holmes potrafił wyglądać bardzo groźnie.

– Powiedziałem jej, że gdybym tylko mógł ją poślubić, zrobiłbym to od razu, lecz nie mam teraz takiej możliwości. Dodałem, że pieniądze nie grają roli i zrobię wszystko, aby żyło jej się przyjemnie i żeby była szczęśliwa.

– Szlachetny z pana człowiek – rzekł mój przyjaciel z ironicznym grymasem na ustach.

– Panie Holmes, przyszedłem tu, by przedstawić fakty, a nie wysłuchiwać kąśliwych uwag o moralności. Nie życzę sobie, żeby pan mnie krytykował.

– Zajmuję się pańską sprawą nie tylko ze względu na tę młodą dziewczynę – rzekł Holmes stanowczo. – Wydaje mi się, że czyn, o jaki została oskarżona, i tak nie dorównuje przewinieniom, do których właśnie się pan przyznał, mam na myśli zbałamucenie bezbronnej dziewczyny pod jego dachem, gdzie powinna być bezpieczna. Już czas, by tacy bogacze jak pan nauczyli się wreszcie, że nie wszystkich ludzi można kupić i nie każdy będzie spełniał wasze zachcianki.

Ze zdziwieniem zauważyłem, że król złota przyjął tę uwagę z pokorą.

– Teraz również jestem tego zdania. Dziękuję Bogu, że przeszkodził mi w zrealizowaniu pewnych planów. Panna Dunbar nie chciała ode mnie ani grosza, natychmiast zapragnęła za to opuścić mój dom.

– Doprawdy?

– Cóż, tak było przynajmniej na początku; ale niestety, ma na utrzymaniu rodzinę, trudno jej było zatem podjąć decyzję o odejściu, gdyż nie chciała zawieść bliskich. Przysiągłem wtedy, że już nigdy więcej nie będę jej nagabywał, i po tym zapewnieniu zgodziła się zostać. Ale był ku temu jeszcze jeden powód. Doskonale zdawała sobie sprawę, jak wielki ma na mnie wpływ. Chciała to wykorzystać w dobrej sprawie.

– W jakiej?

– Wiedziała co nieco o moich interesach. Inwestuję na wielką skalę, wręcz niewyobrażalną dla zwykłego śmiertelnika. Mogę tworzyć, ale też i niszczyć, i zwykle kończy się na tym drugim. Nie dotyczy to poszczególnych osób. Przeze mnie ucierpiały całe społeczności, miasta, nawet narody. Prowadzenie interesów to niewdzięczne zajęcie, słabi gracze szybko odpadają. Dlatego musiałem grać ostro. Nigdy nie biadoliłem, i nie obchodziły mnie narzekania innych. Jednak panna Dunbar miała odmienne zdanie na ten temat. Myślę, że ma rację. Według niej jeden człowiek nie powinien posiadać więcej niż potrzebuje, nie powinien zbijać fortuny kosztem rujnowania bytu tysięcy innych osób, pozostawiając ich bez środków do życia. Właśnie tak do tego podchodziła, i wiem, że dolary nie przesłaniały jej innych, ważniejszych wartości. Zauważyła, że jej słowa do mnie trafiają, liczyła zatem, że dobrze przysłuży się światu, wpływając na moje działania. Dlatego została, a resztę historii już znacie.

– Mógłby pan powiedzieć coś więcej?

Król złota milczał przez chwilę z twarzą schowaną w dłoniach, pogrążony w głębokiej zadumie.

– Wszystkie dowody wskazują na guwernantkę. Niezaprzeczalnie. Wiadomo przecież, że dla mężczyzn wewnętrzne życie kobiet bywa zagadką. Na początku to wydarzenie tak mną wstrząsnęło, że byłem gotów uwierzyć, iż działała pod wpływem jakiegoś niepojętego impulsu, zupełnie sprzecznego z jej naturą. Przyszło mi wtedy do głowy tylko jedno wyjaśnienie. Przedstawię je panu, może się do czegoś przyda. Niewątpliwie, moja żona była niezwykle zazdrosna. Istnieje pewien rodzaj zazdrości o duszę, której nie da się porównać do żadnej formy zawiści wywołanej cielesnością. Choć moja żona nie miała ku temu powodów i sądzę nawet, że była wyrozumiała, to z drugiej strony zdawała sobie sprawę, że Angielka ma taki wpływ na moje myśli i czyny, jakiego ona sama nigdy nie miała. I chociaż dzięki temu stawałem się lepszym

człowiekiem, nie miało to dla niej znaczenia. Szalała z nienawiści, jako że amazoński ogień ciągle płonął w jej żyłach. Nie zdziwiłbym się zatem, gdyby okazało się, że chciała zabić pannę Dunbar lub zmusić ją, by zrezygnowała z posady, grożąc bronią. Mogła wywiązać się szamotanina, rewolwer wypalił i zabił kobietę, która go trzymała.

– Taka myśl także i mnie przeszła przez głowę – rzekł Holmes. – Wydaje się, że oprócz zabójstwa z zimną krwią to jedyne możliwe wyjaśnienie.

– Jednak dziewczyna nie przyznaje się do tego.

– Ale to jeszcze o niczym nie świadczy, czyż nie? Można sobie wyobrazić, że kobieta, która znalazła się w takiej strasznej sytuacji, nie wie, co ma zrobić, więc biegnie z powrotem do domu, trzymając w dłoni rewolwer. Nie zdziwiłbym się nawet, gdyby wrzuciła nieświadomie broń między swoje ubrania, a potem, już po odnalezieniu rewolweru, przytłoczona zarzutami, próbowała ratować się kłamstwem, bo cóż innego jej pozostało? Czy coś może świadczyć przeciwko takiej teorii?

– Sama panna Dunbar.

– Może i tak.

Holmes zerknął na zegarek.

– Jestem pewien, że jeszcze dziś uda nam się zdobyć wszystkie niezbędne pozwolenia; pojedziemy zatem wieczornym pociągiem do Winchesteru. Być może po spotkaniu z tą młodą damą będę mógł państwu pomóc, choć nie mogę obiecać, że wnioski, które wysnuję, spodobają się panu.

Okazało się, że na przepustki, niestety, trzeba było poczekać, dlatego też nie dotarliśmy do Winchesteru, a zatrzymaliśmy się w Thor Place w hrabstwie Hampshire, w rezydencji pana Neila Gibsona. Właściciel posiadłości dał nam adres sierżanta policji Coventry’ego, który jako pierwszy zjawił się na miejscu zbrodni. Gospodarz nie towarzyszył nam. Policjant okazał się szczupłym jegomościem o kredowobladej cerze. Jego zachowanie było tajemnicze i wskazywało na to, że wiedział lub podejrzewał znacznie więcej, niż odważył się wyrazić słowami. Miał też dziwną manierę. Poruszając tematy według niego istotne, które tak naprawdę nie wnosiły niczego odkrywczego do rozmowy, zaczynał ni stąd ni zowąd mówić szeptem. Pomijając jednak te cechy jego charakteru, szybko okazało się, że jest to szczery i porządny człowiek, nie dbający o to,

że jego honor ucierpi, gdy przyzna się, że nieco się zagubił i potrzebuje pomocy.

– Tak czy inaczej lepiej, że to pan tu jest, a nie inspektorzy ze Scotland Yardu – rzekł. – Zawsze, gdy się pojawiają, przyjmują zaszczyty, odbierając miejscowym władzom zasługi w doprowadzeniu do pomyślnego rozwiązania sprawy, obarczając je jednocześnie odpowiedzialnością za ewentualną porażkę. Ponadto słyszałem, że pan jest uczciwym człowiekiem.

– Nie zależy mi na tym, żeby moje nazwisko łączono z tą sprawą – rzekł Holmes.Te słowa sprawiły, że nasz pogrążony w melancholii nowy znajomy odetchnął z ulgą. – Jeśli uda mi się rozwikłać tę zagadkę, nie będę zabiegał o poklask.

– To bardzo szlachetne z pana strony. Wiem także, że pański przyjaciel doktor Watson jest godzien zaufania. Chodźmy zatem na miejsce zdarzenia, a ja po drodze zadam panu jedno pytanie. Tylko z panem mogę o tym mówić. – Rozejrzał się dokoła, jakby bał się wypowiedzieć te słowa. – Nie uważa pan, że w tę sprawę może być zamieszany sam pan Gibson?

– Rozważam taką możliwość.

– Panowie nie widzieli jeszcze panny Dunbar. To pod każdym względem wspaniała kobieta. Równie dobrze pan Gibson mógł pragnąć pozbycia się swojej żony. A ci Amerykanie szybciej sięgają po broń, niż nasi mężczyźni. Czy wiedzą panowie, że rewolwer należał do niego?

– Czy to zostało udowodnione?

– Tak, sir. Miał dwa takie same.

– Ach tak! A gdzie jest drugi?

– Nie udało nam się ustalić, którego brakuje, pan Gibson posiada sporą kolekcję broni różnego rodzaju, ale w jednym z futerałów było miejsce na dwa egzemplarze.

– Jeśli oba rewolwery są takie same, z łatwością powinniście je zidentyfikować.

– Wszystkie okazy broni będące w posiadaniu tego dżentelmena znajdują się u niego w domu; pójdziemy tam, i sam pan je obejrzy.

– Może później. Najpierw proszę mnie zaprowadzić na miejsce zbrodni.

Rozmowa ta miała miejsce w niewielkim salonie skromnego domku sierżanta Coventry’ego, który służył jako komisariat policji. Żeby dotrzeć do bramy wjazdowej prowadzącej na teren rezydencji Thor Place,

musieliśmy przejść pół mili drogą wiodącą przez targane wiatrem wrzosowisko, porośnięte żółto-brązowymi zwiędłymi paprociami. Od bramy ścieżka poprowadziła nas przez bażantarnię do polanki, skąd ujrzeliśmy rozległą rezydencję, stojącą na pagórku, z elewacją typu mur pruski i elementami charakterystycznymi dla stylu Tudorów i architektury georgiańskiej. Obok dostrzegliśmy zarośnięty staw, którego dwa brzegi łączył kamienny most będący przedłużeniem głównej drogi dojazdowej. Po jego obu stronach utworzyły się dwa jeziorka. Nasz przewodnik zatrzymał się przed mostem i wskazał ręką na ziemię.

– To tutaj znaleziono ciało pani Gibson. Zaznaczyłem miejsce kamieniem.

– Przybył pan, zanim zwłoki przeniesiono do domu?

– Tak, zostałem wezwany natychmiast.

– Kto pana wezwał?

– Pan Gibson. Gdy poinformowano go o znalezieniu zwłok, przybiegł z domu wraz z innymi mieszkańcami i pilnował, żeby do przyjazdu policji nikt niczego nie ruszał.

– Zachował się bardzo rozsądnie. Wyczytałem w gazecie, że strzał padł z bliskiej odległości.

– Z bardzo bliskiej.

– Kula trafiła w prawą skroń ofiary?

– Tuż obok, sir.

– W jakiej pozycji leżało ciało?

– Na plecach, sir. Nie znaleziono żadnych śladów wskazujących na walkę. Żadnych ran ani żadnej broni. W zaciśniętej pięści zmarłej tkwił liścik od panny Dunbar.

– Pięść była zaciśnięta?

– Tak jest, ledwo udało nam się rozprostować palce.

– To niezmiernie istotny szczegół, który świadczy o tym, że tego skrawka papieru nie wsunięto w dłoń ofiary po śmierci, żeby pokierować śledztwo na fałszywe tory. O ile pamiętam, treści było niewiele:

Będę przy moście Thor o dziewiątej. G. DUNBAR.

Zgadza się?

– Tak, sir.

– Czy panna Dunbar przyznała się do napisania tych słów?

– Tak, sir.

– Czy wyjaśniła jakoś tę sytuację?

– Nie chciała nic mówić. Wszystkie wyjaśnienia ma złożyć podczas głównej rozprawy.

– To niezwykle interesujące. Co oznacza ten liścik?

– Sir – rzekł nasz przewodnik – jeśli wolno mi coś powiedzieć, to uważam, że ta karteczka to jedyny dowód.

Holmes potrząsnął głową.

– Jeśli to naprawdę napisała panna Dunbar, ofiara musiała ją otrzymać dwie, trzy godziny przed zabójstwem. Dlaczego zatem po takim czasie nadal kurczowo trzymała karteczkę w dłoni? Dlaczego ciągle miała ją przy sobie? Nie była jej do niczego potrzebna podczas spotkania. Czy to nie wydaje się panu dziwne?

– Teraz, kiedy pan zwrócił na to uwagę, faktycznie, myślę, że coś w tym jest.

– Powinienem chyba przez kilka minut posiedzieć w skupieniu i przemyśleć wszystkie fakty.

Holmes usiadł na kamiennej krawędzi mostu. Widziałem wyraźnie, jak jego bystre szare oczy rzucały pytające spojrzenia we wszystkich kierunkach. Nagle zerwał się i podbiegł do przeciwległej barierki, wyciągnął z kieszeni lupę i zaczął uważnie przyglądać się kamiennym elementom.

– Dziwne – powiedział.

– Tak, sir, my także zauważyliśmy ten wyszczerbiony fragment. To pewnie sprawka jakiegoś przechodnia.

Most był zbudowany z szarego kamienia, ale w jednym miejscu widniała biała plama wielkości sześciopensowej monety. Po dokładnych oględzinach można było stwierdzić, że szczerba powstała w wyniku potężnego uderzenia.

– Potrzeba wielkiej siły, żeby coś takiego zrobić – rzekł w zamyśleniu detektyw.

Kilkakrotnie uderzył swoją laską o barierkę, ale nie zostawiła ona żadnego śladu na kamieniu.

– To musiało być bardzo mocne uderzenie. W dodatku w dziwnym miejscu. Cios zadano od dołu, a nie od góry, widać to wyraźnie, gdyż szczerba powstała na dolnej krawędzi barierki.

– …i znajduje się w odległości przynajmniej piętnastu stóp od miejsca, w którym znaleziono ciało.

– Zgadza się, ma pan rację. Być może to odkrycie nie jest w żaden sposób powiązane z naszą sprawą, warto jednak o nim pamiętać. Myślę, że w tym miejscu nie znajdziemy już nic nowego. Wspomniał pan, że nie natrafiono na ślady butów.

– Ziemia jest twarda jak kamień, sir. Na niej nie widać żadnych śladów.

– No to możemy już iść. Chciałbym najpierw udać się do domu i obejrzeć kolekcję broni, o której pan opowiadał. Potem pojedziemy do więzienia, żeby się zobaczyć z panną Dunbar, zanim zagłębimy się w szczegóły sprawy.

Pan Neil Gibson ciągle jeszcze był w mieście, ale w domu zastaliśmy neurotycznego pana Batesa, który wcześniej tego ranka złożył nam wizytę. Z ponurą miną pokazał nam zbiór różnego rodzaju broni palnej, który jego pracodawca zgromadził w ciągu swego pełnego przygód życia.

– Pan Gibson ma wielu wrogów, co zresztą nie dziwi nikogo, kto zna jego metody działania – rzekł. – Rewolwer trzyma nawet w szafce przy łóżku. Bywa agresywny, czasami napawa nas wszystkich strachem. Jestem pewien, że ta biedaczka, jego żona, nie raz była przerażona jego zachowaniem.

– Czy był pan kiedykolwiek świadkiem tego, że Gibson stosował wobec niej przemoc fizyczną?

– Nie, nigdy. Słyszałem jednakże słowa, często wypowiadane w obecności służby, które potrafią ranić bardziej niż uderzenie ręką: zimne, pogardliwe.

– Czyli nasz milioner nie potrafi się zachowywać jak dżentelmen – skomentował Holmes, gdy jechaliśmy na stację. – Watsonie, odnaleźliśmy wiele śladów, niektóre z nich są zupełnie świeże, a mimo to ciągle brakuje rozwiązania. Od pana Batesa, który wyjątkowo nie lubi swego pracodawcy, dowiedzieliśmy się, że gdy znaleziono zwłoki pani Gibson, sam gospodarz przebywał w bibliotece. Kolacja dobiegła końca o ósmej trzydzieści i od tamtej chwili nie działo się nic niezwykłego. Alarm wszczęto późnym wieczorem, choć tragedia wydarzyła się około dziewiątej, jak miałaby świadczyć o tym treść liściku. Nic nie wskazuje na to, by pan Gibson wychodził z domu od chwili powrotu z miasta, czyli mniej więcej od godziny piątej. Z drugiej jednak strony, jeśli dobrze zrozumiałem, panna

Dunbar przyznaje, że umówiła się z panią Gibson na spotkanie przy moście. To jedyna informacja, jakiej udzieliła, ponieważ adwokat poradził jej, aby resztę wyjaśnień zostawiła dla sędziego. Muszę zadać kilka istotnych pytań tej młodej damie, i dopóki się z nią nie zobaczymy, nie zaznam spokoju. Muszę przyznać, że tylko jeden element tej układanki pozwala mi wierzyć, iż dziewczyna nie jest morderczynią.

– Co masz na myśli, Holmesie?

– Rewolwer znaleziony na dnie jej szafy.

– Czyżby! – wykrzyknąłem. – Właśnie ten dowód wydaje mi się najbardziej obciążający.

– Przeciwnie, Watsonie. Gdy po raz pierwszy przeczytałem o tragedii w gazecie, ten dziwny fakt przykuł moją uwagę, a im bliżej przyglądam się tej sprawie, coraz bardziej się przekonuję, że to jedyna rzecz, która pozwala mi sądzić, iż nasza podejrzana jest niewinna. Szukajmy konsekwencji w działaniu. Jej brak oznacza oszustwo.

– Chyba nie nadążam.

– Wyobraź sobie, Watsonie, że jesteś kobietą, która w okrutny sposób i z premedytacją chce się pozbyć swej rywalki. Wszystko zaplanowałeś. Napisałeś liścik. Ofiara stawiła się o umówionej porze. Masz przy sobie broń. Dokonujesz zabójstwa. Przeprowadziłeś akcję w niezwykle fachowy sposób. Chcesz mi wmówić, że po tak misternie dokonanej zbrodni pozwolisz sobie na utratę reputacji sprytnego zabójcy i nie wpadniesz na pomysł, by wrzucić rewolwer w otchłań wód zarośniętego stawu, w którym ślad by po nim zaginął, tylko zaniesiesz go do domu i schowasz na dnie swej własnej szafy, czyli w miejscu, które policja przeszuka w pierwszej kolejności? Twoi przyjaciele wiedzą, że marny z ciebie intrygant, Watsonie, ale nawet ty byś nie popełnił w podobnej sytuacji takiego absurdalnego czynu.

– Być może było to działanie pod wpływem emocji.

– Nie, Watsonie, emocje nie wchodzą w grę. Gdy z tak wielką pieczołowitością planuje się zabójstwo z zimną krwią, to w taki sam sposób się je tuszuje. Mam zatem nadzieję, że mamy do czynienia z błędnym tokiem myślenia.

– Ale jest tyle niewytłumaczonych elementów!

– Czas zatem zabrać się za ich wyjaśnianie. Gdy tylko zmienisz punkt widzenia na daną sprawę, ten jeden dowód, który do tej pory wydawał się

niepodważalny, może okazać się kluczem do poznania prawdy. Weźmy na przykład ten rewolwer. Panna Dunbar twierdzi, że o nim nie wiedziała. Jeśli uznamy, że nasza nowa teoria jest prawdziwa, będzie to znaczyło, że dziewczyna mówi prawdę. Wynika z tego, iż pistolet został podrzucony. Pytanie brzmi: „Podrzucony przez kogo?”. Oczywiście, przez osobę, której zależało na tym, by to guwernantka właśnie została oskarżona. Czyż nie wynika z mego rozumowania, że uczynił to prawdziwy zabójca? Zobacz, do jakich niespodziewanych wniosków doprowadziły nas te rozważania.

Musieliśmy się zatrzymać na noc w mieście, gdyż nie zdołaliśmy załatwić wszystkich formalności. Następnego ranka uzyskaliśmy pozwolenie na złożenie wizyty pannie Dunbar w jej celi. Towarzyszył nam pan Joyce Cummings, dobrze zapowiadający się adwokat, któremu powierzono obronę młodej damy. Wiele słyszałem o urodzie rzeczonej panny i spodziewałem się, że zobaczę piękną kobietę, ale nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie wówczas wywarła. Zrozumiałem, dlaczego nawet tak potężny milioner dojrzał w niej moc większą niż ta, którą on sam posiadał, i poddał się jej bez reszty, pozwalając, by nim kierowała. Patrząc na tę twarz, która mimo ostrych rysów wydawała się niezmiernie delikatna, miało się wrażenie, że nawet jeśli byłaby zdolna do popełnienia tak gwałtownego czynu, szlachetność, którą dało się wyczytać w jej oczach, wskazywała na to, że zrobiłaby to w dobrej wierze. Panna Dunbar była wysoką brunetką o wspaniałej figurze i władczej postawie, ale w jej ciemnych oczach malowała się bezbronność, jaką ujrzeć można w ślepiach zaszczutej zwierzyny, która czuje na karku oddech myśliwego, ale nie może wydostać się z pułapki. Gdy jednak dotarło do naszej panny, że mój sławny przyjaciel chce jej pomóc, na jej bladych policzkach pojawiły się wypieki, a oczy, które z nadzieją patrzyły na nas, pojaśniały.

– Pewnie pan Neil Gibson wspominał panom o tym, co między nami zaszło? – zapytała niskim głosem, w którym dało się wyczuć wzruszenie.

– Owszem – odparł Holmes – oszczędzę pani przykrości, związanych z opowiadaniem o waszych relacjach. Teraz, kiedy już się poznaliśmy, jestem gotów uwierzyć panu Gibsonowi, który opowiedział, jaki wpływ wywarła pani na nim, i że wasze stosunki nie przekroczyły granic przyzwoitości. Zastanawiam się tylko, dlaczego nie wspomniała pani o tym w sądzie?

– Wydawało mi się, że ta informacja i tak nie oczyści mnie z zarzutów. Myślałam, że z czasem cała sprawa wyjaśni się sama, a ja nie będę zmuszona do zagłębiania się w bolesne szczegóły życia tej rodziny. Zrozumiałam jednak, że nie mam co liczyć na jakiekolwiek zrozumienie, gdyż istnieją poważne dowody przeciwko mnie.

– Moja droga panno! – wykrzyknął Holmes z poważną miną. – Proszę nie mieć złudzeń w tej kwestii. Pan Cummings może potwierdzić, że dowody świadczą na pani niekorzyść, ale zrobimy wszystko co w naszej mocy, żeby oczyścić panią z zarzutów. Postąpiłbym nieuczciwie, udając, że nic pani nie grozi. Dlatego też liczę, że pomoże mi pani dotrzeć do prawdy.

– Nie będę niczego ukrywała.

– Proszę nam zatem opowiedzieć o pani stosunkach z żoną pani pracodawcy.

– Nienawidziła mnie, panie Holmes. Z całą mocą drzemiącą w jej ognistym temperamencie. To była kobieta, która zatracała się we wszystkim, co robiła, a miarą jej ogromnej miłości do męża była głęboka nienawiść do mnie. Prawdopodobnie miała błędne wyobrażenie o łączących nas więziach. Nie chcę o niej źle mówić, ale namiętna miłość fizyczna była dla niej o wiele ważniejsza niż aspekty duchowe i intelektualne, które przyciągały do mnie jej męża. Nie interesowało jej także to, że potrafię dla dobra sprawy wpływać na jego decyzje, a właśnie to trzymało mnie pod ich dachem. Teraz wiem, że popełniłam błąd. Nie powinnam była tam zostać, bo moja obecność była powodem ogromnego nieszczęścia, wiem jednak, że nawet gdybym odeszła, do tego domu nie zawitałoby szczęście.

– Panno Dunbar – wtrącił Holmes – proszę nam dokładnie opowiedzieć o wydarzeniach tamtego wieczora.

– Powiem panu wszystko, co wiem, ale nie będę mogła niczego udowodnić, zwłaszcza że tę historię cechują pewne istotne elementy, których nie potrafię wytłumaczyć.

– Jeśli przedstawi pani fakty, być może da się je wyjaśnić.

– Tamtego dnia rano otrzymałam liścik od pani Gibson, dlatego wieczorem poszłam do mostu Thor. Liścik leżał na stole w pokoju, gdzie uczę dzieci; niewykluczone, że zostawiła go tam osobiście. Prosiła, byśmy się spotkały po kolacji, gdyż chciała mi powiedzieć coś ważnego. Miałam zostawić odpowiedź na zegarze słonecznym w ogrodzie, ponieważ nie

chciała, żeby ktokolwiek wiedział o naszej tajemnicy. Nie miałam powodu, żeby ukrywać przed kimkolwiek nasze spotkanie, ale mimo to przystałam na jej prośbę. Pani Gibson zależało też na tym, żebym się pozbyła wiadomości od niej, dlatego spaliłam liścik w kominku. Kobieta bardzo bała się swego męża. Niejednokrotnie groził jej w okropny sposób; często go za to potępiałam. Byłam pewna, że chodziło jej o to, by się nie dowiedział o naszym spotkaniu.

– Karteczkę od pani trzymała kurczowo w dłoni, prawda?

– Zgadza się. Zdziwiło mnie, że w chwili śmierci miała ją przy sobie.

– Co było dalej? – zapytał Holmes.

– Poszłam w umówione miejsce. Czekała na mnie przy moście. Dopiero zdałam sobie sprawę z tego, jak silna była nienawiść tej biedaczki. Zachowywała się jak wariatka; mówiąc szczerze, sądzę, że nią była, choć potrafiła świetnie to ukrywać. Takie zdolności mają tylko ludzie obłąkani. Jak inaczej wytłumaczyć obojętność, z jaką patrzyła na mnie każdego dnia, podczas gdy jej serce przepełniała głęboka nienawiść? Nie powtórzę panom tego, co mi powiedziała. Przelała na mnie całą wściekłość, którą tłumiła, i obrzuciła nas okropnymi obelgami. Nie byłam w stanie wydusić słowa, przeraził mnie jej stan. Zakryłam uszy dłońmi i uciekłam. Ostatni raz widziałam ją, jak wygraża mi pięścią, i słyszałam, jak rzuca na mnie oszczerstwa. Stała przy wjeździe na most.

– Czyli tam, gdzie znaleziono ciało?

– W odległości kilku jardów od tego miejsca.

– Załóżmy, że zginęła chwilę po pani ucieczce, ciekawe, że nie słyszała pani strzału.

– To prawda. Proszę jednak pamiętać, że byłam tak roztrzęsiona i przestraszona jej okropnym wybuchem, że popędziłam co sił w nogach, byle tylko znaleźć się w zaciszu mego pokoju. Mogłam czegoś nie zauważyć lub nie usłyszeć.

– Twierdzi pani, że wróciła do swego pokoju. Czy potem go pani opuszczała?

– Wyszłam, słysząc, jak inni krzyczeli, że pani Gibson nie żyje.

– Zauważyła pani swego pracodawcę?

– Zobaczyłam go, gdy wracał z miejsca zbrodni. Posłał po doktora i zawiadomił policję.

– Czy wyglądał na zmartwionego?

– To jest bardzo opanowany i pewny siebie człowiek. Nigdy nie ujawnia emocji. Ja jednak znam go na tyle, że wiem, jak bardzo był przejęty.

– Przejdźmy teraz do najważniejszego punktu. Mam na myśli pistolet znaleziony w pani pokoju. Czy kiedykolwiek wcześniej go pani widziała?

– Przysięgam, nigdy.

– Kiedy go znaleźli?

– Następnego ranka, gdy policja przeszukiwała pokój.

– Leżał między ubraniami, tak?

– Tak, na dnie szafy pod moją sukienką.

– Domyśla się pani, jak długo tam leżał?

– Poprzedniego dnia rano jeszcze go tam nie było.

– Skąd ta pewność?

– Ponieważ robiłam w szafie porządki.

– Jest to zatem ostateczny dowód. Ktoś wszedł do pani pokoju i podrzucił rewolwer, żeby podejrzenia padły na panią.

– To jedyne wytłumaczenie.

– A kiedy to się mogło wydarzyć?

– W czasie posiłku albo wówczas, kiedy przebywałam z dziećmi.

– Czyli wtedy, kiedy otrzymała pani liścik, tak?

– Tak. Byłam z dziećmi cały ranek.

– Dziękuję, panno Dunbar. Czy jest jeszcze coś, co mogłyby mi pomóc?

– Nie sądzę – odparła.

– Na barierce mostu, naprzeciwko miejsca, w którym znaleziono ciało, zobaczyłem świeżą szczerbę. Czy potrafi to pani jakoś wyjaśnić?

– Pewnie zbieg okoliczności.

– Nie dziwi to panią, panno Dunbar? Dlaczego ten ślad pojawił się akurat w tym konkretnym miejscu i w tamtej chwili?

– W jaki sposób mogła powstać taka szczerba? Tylko silny człowiek mógłby zrobić coś takiego.

Holmes milczał. Na jego bladej twarzy pojawił się nagle wyraz skupienia, co zwykle w takich przypadkach oznaczało, że za chwilę da o sobie znać jego wielki talent. Jego mózg pracował z takim natężeniem, że żadne z nas, ani adwokat, ani oskarżona, ani nawet ja, nie odważyliśmy się mu przerwać. Obserwowaliśmy go w milczeniu. Nagle poderwał się z krzesła, drżąc z nadmiaru energii.

– Chodźmy, Watsonie! – wykrzyknął.

– Czy coś się stało, panie Holmes? – zapytała dziewczyna.

– Nic takiego, moja droga. Panie Cummings, wkrótce się odezwę. Z boską pomocą dostarczę panu dowodów, dzięki którym w całej Anglii będzie głośno o tej sprawie. Panno Dunbar, skontaktujemy się z panią jutro; na razie mogę ją zapewnić, że wiatr przegonił chmury i jest nadzieja na to, iż na niebie pojawią się promienie prawdy.

Podróż z Winchester do Thor Place nie zajęła nam wiele czasu, ale dla mnie trwała o wiele za długo, gdyż nie mogłem się doczekać rozwiązania. Dla Holmesa ciągnęła się chyba w nieskończoność; był tak zniecierpliwiony, że nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Chodził niespokojnie po przedziale i nerwowo stukał palcami o poduszki. Gdy byliśmy już prawie u celu, usiadł nagle naprzeciwko mnie. Jechaliśmy w wagonie pierwszej klasy, w przedziale nie było nikogo oprócz nas. Sherlock położył swoje dłonie na moich kolanach i popatrzył na mnie łobuzerskim wzrokiem niczym złośliwy chochlik.

– Watsonie – rzekł – pamiętam, że zwykłeś czasem zabierać broń na te nasze małe wycieczki.

Robiłem to dla jego dobra, gdyż on sam nigdy nie dbał o swoje bezpieczeństwo, gdy śledztwo zaprzątało mu umysł. Nieraz mój rewolwer okazywał się wspaniałym przyjacielem w potrzebie. Przypomniałem mu o tym.

– No tak, jeśli chodzi o kwestie bezpieczeństwa, to bywam roztargniony. Masz przy sobie rewolwer?

Wyciągnąłem z kieszeni poręczną, niezawodną broń o krótkiej lufie. Holmes najpierw ją rozładował, a następnie uważnie jej się przyjrzał.

– Bardzo ciężki ten rewolwer – zauważył.

– Zgadza się, to solidna robota.

Mój przyjaciel pogrążył się na kilka minut w zadumie.

– Watsonie, czy wiesz, że twój rewolwer może mieć ścisły związek z zagadką, którą próbujemy rozwikłać?

– Chyba żartujesz, mój drogi Holmesie.

– Przeciwnie. Jestem niezwykle poważny. Wymyśliłem pewien test. Jeśli pójdzie po mojej myśli, wszystko stanie się jasne. To, czy tak się zdarzy, zależy właśnie od tego niewielkiego rewolweru. Załaduję teraz pięć naboi, jednego będzie brakowało. Naładowana broń będzie cięższa, dzięki czemu łatwiej przeprowadzę rekonstrukcję zdarzeń.

Nie miałem zielonego pojęcia, co mojemu przyjacielowi wpadło do głowy, on sam oczywiście niczego mi nie wyjaśnił. Siedział, zamyślony, aż do chwili, gdy zatrzymaliśmy się na stacji w Hampshire. Rozklekotanym powozem konnym pojechaliśmy do domu naszego znajomego sierżanta. Po piętnastu minutach byliśmy na miejscu.

– Doszedł pan do jakichś wniosków, panie Holmes? Zdradzi mi je pan?

– Wszystko zależy od tego, w jaki sposób zachowa się rewolwer doktora Watsona – rzekł mój przyjaciel. – Oto on. Panie inspektorze, ma pan może sznurek o długości dziesięciu jardów?

W miejscowym sklepiku kupiliśmy kłębek grubego szpagatu.

– Mamy zatem wszystko, czego nam potrzeba – podsumował Holmes. – Żywię nadzieję, że to będzie ostatni etap naszej podróży.

Zachodzące słońce przeobraziło moczary Hampshire i teraz patrzyliśmy na uroczy jesienny pejzaż. Sierżant szedł obok mnie, co chwilę zerkając na nas podejrzliwie; w jego spojrzeniu dało się wyczytać głęboką wątpliwość co do zdrowia psychicznego mojego towarzysza. Gdy dotarliśmy na miejsce zbrodni, zauważyłem, że mój przyjaciel, zwykle bardzo opanowany, tym razem był wyraźnie poruszony.

– Zgadza się, Watsonie – odpowiedział, gdy zwróciłem mu na to uwagę – nie raz widziałeś już moje błędy. Wydawałoby się, że mam nader rozwinięty instynkt, a mimo to czasem mnie zawodzi. Ta myśl pierwszy raz przeleciała mi przez głowę, gdy rozmawialiśmy w celi z panią Dunbar, wtedy byłem przekonany, że mam rację, jednak jedną z wad osoby o inteligentnym umyśle jest ciągłe wynajdywanie alternatywnych wyjaśnień, które nie zawsze są trafne. A jednak, Watsonie, spróbujmy!

Sherlock przywiązał mocno koniec sznurka do rękojeści rewolweru. Dotarliśmy do miejsca przy moście, gdzie znaleziono ciało. Uważnie słuchając wskazówek policjanta, Holmes możliwie precyzyjnie zaznaczył miejsce na ziemi, gdzie leżały zwłoki. Następnie w pobliskich zaroślach wrzosu i paproci znalazł spory kamień, przywiązał do niego drugi koniec sznurka i zwiesił przez barierkę, tak, że ten swobodnie bujał się nad wodą. Potem, trzymając w jednej dłoni mój rewolwer, podszedł do miejsca, gdzie odnaleziono zwłoki, i stanął w niewielkiej odległości od krawędzi mostu. Szpagat między pistoletem a kamieniem był mocno naprężony.

– Teraz! – krzyknął.

Wypowiadając to słowo, przystawił rewolwer do głowy, a następnie rozluźnił uchwyt. W mgnieniu oka ciężki kamień, spadając, pociągnął za sobą pistolet, który najpierw uderzył mocno o barierkę, a potem zniknął w wodzie. Ledwie usłyszeliśmy plusk, a Holmes klęczał już przy balustradzie z radosnym wyrazem twarzy, który wskazywał na to, że jego podejrzenia się sprawdziły.

– Wspaniale udał mi się ten pokaz! – wykrzyknął. – Widzisz, Watsonie, twój rewolwer pomógł rozwiązać zagadkę! – Mówiąc to, wskazał na drugą, identyczną jak pierwsza szczerbę w kamiennej barierce mostu.

– Dziś zatrzymamy się w zajeździe – zwrócił się do oszołomionego sierżanta, wstając z klęczek. – Pan postara się wydostać rewolwer mojego przyjaciela z wody za pomocą bosaka. Z pewnością znajdzie pan tam też drugi pistolet, sznurek i obciążnik, którego użyła ta mściwa kobieta, próbując obarczyć winą za zbrodnię niewinną dziewczynę. Proszę powiadomić pana Gibsona, że spotkamy się z nim jutro rano i podejmiemy działania w celu oczyszczenia panny Dunbar z zarzutów.

Wieczorem tego dnia, gdy siedzieliśmy w zajeździe, paląc fajki, Holmes opowiedział mi, jak doszedł do rozwiązania zagadki.

– Obawiam się, Watsonie – rzekł – że umieszczając sprawę mostu Thor w swych kronikach, nie przysporzysz mi sławy. Mój umysł działał w zwolnionym tempie, zabrakło mi wyobraźni, która w moim zawodzie jest absolutnie konieczna. Przyznaję, że szczerba na kamiennej barierce była wystarczającym śladem, wskazującym na prawdziwy przebieg wypadków. Dlatego mam do siebie żal, że nie doszedłem do tych wniosków wcześniej. Trzeba przyznać, że działania tej nieszczęsnej kobiety były tak precyzyjnie przemyślane, że niełatwo było rozwikłać tę zagadkę. Wydaje mi się, że wśród naszych wszystkich przygód próżno szukać bardziej pogmatwanego przypadku, w którym główną rolę odgrywała namiętna wypaczona miłość. Bez względu na to, czy traktowała pannę Dunbar jako rywalkę pod względem fizycznym lub intelektualnym, nie była w stanie znieść żadnej konkurencji. Nic dziwnego, że to właśnie tę młodą damę winiła za wszystkie okrutne słowa, którymi mąż próbował zniechęcić ją do siebie. Postanowiła więc skończyć z własnym życiem. Zdecydowała, że uczyni to w taki sposób, by jej ofiarę spotkał los gorszy nawet od nagłej śmierci.

Zaplanowany dokładnie każdy krok wskazuje na to, że jej umysł pracował niezwykle precyzyjnie. Sprytnie doprowadziła do tego, że panna

Dunbar napisała liścik, z którego wynikało, kto był inicjatorem spotkania. Tak bardzo zależało jej, aby znaleziono karteczkę, iż posunęła się nieco za daleko, do samego końca trzymając ją w dłoni. Ten fakt również powinien wzbudzić moje podejrzenia dużo wcześniej. Następnie pani Gibson wzięła jeden rewolwer z ogromnej kolekcji swojego męża. Drugi egzemplarz ukryła tego ranka w szafie panny Dunbar, wyjąwszy wcześniej jeden nabój. Mogła to swobodnie zrobić w lesie, nie zwracając niczyich podejrzeń. Następnie udała sie na most, gdzie obmyśliła niesłychanie pomysłowy sposób na pozbycie się broni. Gdy panna Dunbar pojawiła się w umówionym miejscu, pani Gibson zebrała w sobie resztki sił, przelewając na dziewczynę całą swą nienawiść, a gdy ta, uciekając, znalazła się odpowiednio daleko od miejsca zdarzenia, doprowadziła tę straszną sprawę do końca. Wszystkie elementy układanki znalazły się na swoim miejscu. Dziennikarze z pewnością będą pytali, dlaczego wcześniej nie przyjęto takiego założenia. Po fakcie jednak wszyscy są mądrzy, a otchłań tego zarośniętego stawu niełatwo przejrzeć, chyba że wiadomo, czego i gdzie należy szukać. Watsonie, pomogliśmy wyjątkowej kobiecie, a także potężnemu milionerowi. Jeśli kiedykolwiek ich drogi się skrzyżują, czego wykluczyć nie można, świat finansjery przekona się, że obarczony bagażem przykrych doświadczeń, dobrze odrobił swą lekcję.

Opowieść ósma

Ofiara miłości

Sherlock Holmes od dawna zachęcał mnie do opublikowania niezwykłej historii profesora Presbury'ego. Miałem to uczynić choćby z tego powodu, by raz na zawsze rozwiać obrzydliwe plotki, które jakieś dwadzieścia lat temu zaczęły krążyć na uniwersytecie, a następnie przedostały się do kręgów naukowych Londynu. Istniały jednak pewne przeszkody i wcześniej prawda o tej osobliwej sprawie nie mogła wyjść na jaw. Czekała na odpowiedni moment w metalowym pudełku, w którym przechowuję zapiski o wielu przygodach mojego przyjaciela. W końcu uzyskaliśmy pozwolenie, by ujawnić wydarzenia, które złożyły się na jedną z ostatnich spraw mojego przyjaciela Holmesa na krótko przed tym, jak porzucił swą detektywistyczną praktykę. Ale nawet teraz, przedstawiając historię profesora szerokiej publiczności, uważam, że należy się powstrzymać przed opisaniem wszystkich faktów.

Wieczorem pewnej wrześniowej niedzieli 1903 roku otrzymałem typową dla Holmesa lakoniczną wiadomość:

> Jeśli możesz, przyjdź natychmiast; jeśli nie możesz, i tak przyjdź. S.H.

W tamtym okresie nasze relacje były dosyć specyficzne. Życiem mojego przyjaciela rządziły przyzwyczajenia, a ja stałem się jednym z nich. Postrzegał mnie jak swoje skrzypce, tytoń, sczerniałą starą fajkę, archiwa i inne rzeczy, do których przywykł. Gdy aktywnie pracował i potrzebował opanowanego towarzysza, na którym mógłby polegać, było oczywistym, że to mnie wzywał. Jednak spełniałem jeszcze jedną rolę. Byłem dla niego tym, czym osełka jest dla noży, stymulowałem go. Często w mojej obecności głośno wyrażał swe myśli. Nie można powiedzieć, żeby się dzielił ze mną swymi spostrzeżeniami (odbiorcą wielu z nich równie dobrze

mogło być łóżko), niemniej jednak zwyczaj mówienia na głos przyjął się, a wtrącane przeze mnie uwagi okazywały się często pomocne. Niekiedy moje niezbyt szybkie procesy myślowe irytowały go, ale jednocześnie z tego powodu jego wyostrzona intuicja budziła się w nim z jeszcze większą mocą. Taka właśnie była moja skromna rola w naszym układzie.

Gdy przybyłem na Baker Street, zastałem mojego przyjaciela w jego ulubionym fotelu; siedział skulony, z zafrasowanym obliczem. Kolana podciągnął pod brodę, w ustach trzymał fajkę. Było jasne, że dręczy go jakiś skomplikowany problem. Wskazał mi tylko fotel (w którym zwykłem siadać) i przez pół godziny w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. W pewnym momencie ocknął się z zadumy, podniósł się i z dziwnym grymasem na twarzy, przypominającym uśmiech, który tak dobrze znałem, przywitał mnie, mówiąc, że rad widzieć mnie w domu, w jakim i ja kiedyś mieszkałem.

– Mój drogi Watsonie, wybacz, proszę, tę moją chwilową nieobecność – rzekł. – W ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin dowiedziałem się o pewnych jakże ciekawych wydarzeniach, co z kolei zapoczątkowało domysły o bardziej ogólnym charakterze. Z całą powagą rozważam napisanie krótkiej monografii na temat wykorzystania psów w pracy detektywa.

– Ten temat na pewno został już gdzieś opisany, Holmesie – powiedziałem. – Psy gończe, psy tropiciele…

– Nie, Watsonie, ty mówisz o sprawach oczywistych. Istnieje jednak znacznie bardziej subtelny aspekt. Przypominasz sobie sprawę, którą w typowy dla ciebie sensacyjny sposób połączyłeś z wydarzeniami w Copper Beeches? Wtedy to, obserwując zachowanie dziecka, wydedukowałem kryminalne uwarunkowania jego ojca, pewnego siebie, poważanego w towarzystwie.

– Owszem, pamiętam to bardzo dobrze.

– Mój tok myślenia odnośnie do psów jest analogiczny. Pies jest odzwierciedleniem życia rodzinnego. Kto widział ponurą rodzinę z rozbrykanym radosnym psem albo osowiałe zwierzę w towarzystwie szczęśliwych ludzi? Psy należące do naburmuszonych osób warczą, a te, którymi opiekują się złoczyńcy, są najczęściej groźne. Ich zmienne nastroje mogą odzwierciedlać stan ducha właścicieli.

Słuchając wywodu, pokiwałem głową.

– Holmesie, czyż to nie nazbyt daleko idąca teoria? –zapytałem.

Mój przyjaciel ponownie napełnił fajkę tytoniem i wrócił na swoje miejsce, całkowicie ignorując moją uwagę:

– Będę mógł zbadać praktyczne zastosowanie tej teorii, rozwiązując moją obecną sprawę. W tym poplątanym kłębku staram się znaleźć koniec jednej z nici. Może nim być odpowiedź na pytanie: „Dlaczego wilczur Roy profesora Presbury'ego próbował go ugryźć?".

Nieco rozczarowany, opadłem na fotel. Czy to właśnie tak trywialne pytanie oderwało mnie od pracy? Holmes zerknął na mnie.

– W ogóle się nie zmieniłeś, Watsonie! – wykrzyknął. – Nigdy się nie nauczysz, że poważne sprawy często zależą od najdrobniejszych szczegółów. Czyż nie wydaje ci się dziwnym fakt, że stateczny starszy mędrzec (oczywiście, zakładam, że słyszałeś o słynnym profesorze z Camford), że to właśnie on został dwukrotnie zaatakowany przez wilczura, swego wiernego starego przyjaciela? Co o tym sądzisz?

– Pies jest chory – odpowiedziałem.

– Z pewnością to jedna z możliwości, jednak zwierzę nie atakuje innych ludzi, a poza tymi zdarzeniami nigdy wcześniej nie przejawiał agresji w stosunku do swego właściciela. To niecodzienna sytuacja, Watsonie. Słyszę dzwonek do drzwi. Jeśli to młody pan Bennett, to przyszedł przed czasem. Miałem nadzieję, że przed jego wizytą uda nam się dłużej pogawędzić.

Usłyszeliśmy pośpieszne kroki na schodach, potem głośne pukanie do drzwi. Chwilę później pojawił się w nich nasz nowy klient. Był to wysoki przystojny mężczyzna około trzydziestki, dobrze ubrany i elegancki. W jego postawie widziałem jednak raczej nieśmiałego studenta niż światowego, pewnego siebie mężczyznę. Uścisnął dłoń Holmesa i zerknął na mnie ze zdziwieniem.

– To bardzo delikatna sprawa, panie Holmes – rzekł. – Proszę wziąć pod uwagę zarówno oficjalne, jak i prywatne relacje, jakie łączą mnie z profesorem Presburym. Naprawdę nie wyobrażam sobie, żeby kolejna osoba miała się o wszystkim dowiedzieć.

– Proszę się nie obawiać, panie Bennett. Doktor Watson to uosobienie dyskrecji, i mogę pana zapewnić, że w tej sprawie jego pomoc może się okazać niezbędna.

– Jak pan uważa, panie Holmes. Z pewnością rozumie pan, dlaczego zależy mi na tym, by nikt się o niczym nie dowiedział.

– Watsonie, pozwól, ten oto dżentelmen, pan Trevor Bennett, jest osobistym asystentem wielkiego naukowca. Mieszka pod jego dachem i jest zaręczony z jedyną córką profesora. Jesteśmy zgodni co do tego, że powinien być lojalny w stosunku do swego przełożonego. Największym tego dowodem będzie podjęcie wszelkich kroków, by rozwikłać tę dziwną zagadkę.

– Mam taką nadzieję, panie Holmes. Tylko na tym mi zależy. Czy pan Watson wie, o co chodzi?

– Nie miałem czasu, by mu cokolwiek wyjaśnić.

– Wobec tego, zanim przedstawię panom najświeższe informacje, zacznę od początku.

– Jeśli pan pozwoli, będę opowiadał ja – rzekł Holmes. – Chcę się upewnić, że zapamiętałem wszystkie wydarzenia w odpowiedniej kolejności. Otóż, Watsonie, profesor Presbury cieszy się wspaniałą reputacją w całej Europie. Swoje życie podporządkował nauce. Z jego imieniem nie łączono absolutnie żadnych skandali. Jest wdowcem, ma córkę o imieniu Edith. Jak sądzę, jest to człowiek energiczny i stanowczy, można nawet powiedzieć, że ma wojowniczy charakter. Cała sprawa wyszła na jaw kilka miesięcy temu. Wtedy to jego życie całkowicie się zmieniło. Profesor ma sześćdziesiąt jeden lat, a mimo to zaręczył się z córką swego kolegi profesora Morphy’ego, który wykłada anatomię porównawczą. Rozumiem, nie były to jedynie zaloty starszego już dżentelmena, podyktowane rozsądkiem, tylko namiętna miłość, typowa dla młodzieńczych dusz. Trudno spotkać tak oddanego adoratora. Zauroczenie profesora było w pełni zrozumiałe, biorąc pod uwagę piękną figurę i wspaniały umysł Alice Morphy. Niemniej jednak rodzina pana profesora nie była zachwycona tą sytuacją.

– Uważaliśmy, że jego zachowanie jest raczej mało racjonalne – wtrącił nasz gość.

– A nawet nieco porywcze i nietypowe. Profesor Presbury jest człowiekiem zamożnym, zatem ojciec dziewczyny nie miał żadnych obiekcji. Jego córka za to miała na ten temat zgoła inną opinię, gdyż otaczało ją wielu adoratorów, którzy choć niekoniecznie pasowali do niej pod względem intelektualnym, to ich wiek z pewnością był bardziej

odpowiedni. W każdym razie mimo pewnych dziwactw profesora dziewczyna bardzo go lubiła. Jedyną przeszkodą wydawała się różnica wieku.

– Wtedy właśnie wyszła na jaw tajemnica profesora, która zburzyła jego spokojne życie. Zrobił coś, czego nigdy wcześniej nie robił. Wyszedł z domu, nie mówiąc nikomu, dokąd się wybiera. Po dwóch tygodniach wrócił w opłakanym stanie. Nie wspomniał nawet, gdzie przebywał przez ten czas, choć z natury był człowiekiem bardzo otwartym. Traf chciał, że nasz klient, obecny tu pan Bennett, otrzymał list od swego kolegi, studenta z Pragi; tamten pisał, że się cieszy, iż widział profesora Presbury'ego, choć nie udało mu się z nim porozmawiać. W ten sposób rodzina dowiedziała się o jego podróży.

– Teraz rzecz najważniejsza. Od tamtej pory profesor bardzo się zmienił. Stał się skryty i tajemniczy. Jego bliscy mają wrażenie, że nie jest już tym człowiekiem, jakiego znali, a jego wspaniałe cechy przyćmił jakiś niepokojący cień. Za to intelektualnie jest w szczytowej formie. Nigdy wcześniej jego wykłady nie były tak doskonałe. Ciągle pojawiają się w nich jakieś nowe mroczne i niespodziewane elementy. Jego córka, z którą łączyły go zawsze bardzo bliskie stosunki, wielokrotnie próbowała odnowić więzi z ojcem i zdjąć tę maskę, którą ojciec przywdział, ukrywając swą prawdziwą twarz. Pan, panie Bennett, także próbował pomóc, jednak na próżno. Proszę teraz opowiedzieć incydent z listami.

– Doktorze, musi pan wiedzieć, że profesor nigdy nie miał przede mną tajemnic. Gdybym był jego synem lub młodszym bratem, byłbym niezwykle dumny z powodu wielkiego zaufania, jakim mnie darzył. Ponieważ jestem jego sekretarzem, przez moje ręce przechodzą wszystkie dokumenty adresowane do niego. Otwierałem i segregowałem listy. Wszystko się zmieniło po jego powrocie. Powiedział, że oczekuje tych listów z Londynu, na których kopertach pod znaczkiem będzie widniał mały krzyżyk. Zabronił mi czytać tę korespondencję. Faktycznie, kilka takich listów przeszło przez moje ręce. Na kopercie widniały inicjały E.C., a pisała je niewprawna ręka. Nie wiem, czy odpowiadał na te listy, gdyż ani razu nie wręczył mi kopert zwrotnych, ani też nie widziałem ich w koszyczku, w którym trzymamy całą korespondencję.

– Proszę opowiedzieć o pudełku – przypomniał Holmes.

– Ach tak, jeszcze pudełko. Ze swej podróży profesor przywiózł drewnianą skrzyneczkę. Tylko ona wskazywała na to, że był na kontynencie, gdyż jest to jedno z tych oryginalnie rzeźbionych pudełeczek, jakie można nabyć w Niemczech. Umieścił je w swojej szafce z narzędziami laboratoryjnymi. Pewnego dnia natrafiłem na nią, szukając kaniuli, i wyjąłem z szafki. Jakież było moje zdziwienie, gdy profesor strasznie się rozgniewał i zbeształ mnie ostrymi słowami, wytykając mi ciekawość. Taka sytuacja miała miejsce pierwszy raz; sprawiło mi to ogromną przykrość. Próbowałem wyjaśnić, że wyjąłem skrzyneczkę przez przypadek, ale widziałem, jak do końca wieczora patrzył na mnie podejrzliwie i ciągle myślał o tym, co się wydarzyło. – Pan Bennett wyciągnął z kieszeni mały notesik. – Miało to miejsce drugiego lipca – przeczytał.

– Jest pan wspaniałym świadkiem – rzekł Holmes. – Daty, które pan zapisał, będą mi bardzo przydatne.

– Wielu rzeczy, w tym systematyczności, nauczyłem się od mojego mistrza. Gdy tylko dostrzegłem jego dziwne zachowanie, wiedziałem, że powinienem zbadać tę sprawę. Z moich notatek wynika, że właśnie tego dnia, gdy profesor wyszedł ze swego gabinetu, zaatakował go Roy. Podobne zdarzenie miało miejsce jedenastego lipca, a kolejne – dwudziestego. Wtedy to musieliśmy zamknąć Roya w stajni. Ten pies jest oddanym kochającym przyjacielem… Ale obawiam się, że moja opowieść nieco panów nudzi.

Nasz rozmówca, sądzę, poczuł się trochę dotknięty, widząc, że Holmes przestał go słuchać. Mój przyjaciel siedział nieruchomo ze wzrokiem wbitym w sufit. W końcu ocknął się z widocznym wysiłkiem.

– Dziwne! Bardzo dziwne! – zamruczał pod nosem. – Tych szczegółów jeszcze nie znałem, panie Bennett. Przedstawił pan nam już wszystkie fakty? Wspominał pan o nowych odkryciach.

Przyjazna twarz naszego gościa zmieniła wyraz. Można było z niej wyczytać, że ponownie przeżywa jakąś przerażającą sytuację.

– Przedwczoraj w nocy miały miejsce pewne wydarzenia – rzekł gość. – Około drugiej nad ranem leżałem w łóżku, gdy nagle usłyszałem dziwny stłumiony odgłos dochodzący z korytarza. Otworzyłem drzwi i wyjrzałem na zewnątrz. Sypialnia profesora znajduje się na końcu korytarza…

– Kiedy dokładnie to się stało? – zapytał Holmes.

Nasz klient wyraźnie się zdenerwował tym mało istotnym pytaniem.

– Mówiłem już, że przedwczoraj w nocy, czyli czwartego września.

Holmes pokiwał głową z uśmiechem na twarzy.

– Proszę mówić dalej – zachęcił naszego gościa.

– Jak już wspominałem, profesor zwykle śpi w pokoju na końcu korytarza; żeby dotrzeć do schodów, musi przejść obok mojego pokoju. To była naprawdę przerażająca sytuacja, panie Holmes. Zawsze wydawało mi się, że mam mocne nerwy, ale to, co zobaczyłem, wstrząsnęło mną. W korytarzu było ciemno, jedynie mała smużka światła wpadała przez niewielkie okno. Dostrzegłem ciemny kształt, który skradał się po podłodze. Nagle ta dziwna istota zatrzymała się w miejscu, które było oświetlone księżycem, i wtedy zobaczyłem, że to był mój profesor. Panie Holmes, on szedł na czworakach! Ale nie opierał się na kolanach. Raczej szedł na rękach i stopach z twarzą schowaną między ramionami. Mimo takiej dziwnej pozycji poruszał się z łatwością. Stałem jak sparaliżowany; dopiero gdy dotarł do mych drzwi, odważyłem się podejść do niego i zapytać, czy nie potrzebuje mojej pomocy. Jego reakcja była zadziwiająca. Stanął na równe nogi, obrzucił mnie przykrymi słowami, przeszedł obok w pośpiechu i zniknął na schodach. Czekałem jeszcze przez godzinę, ale nie wrócił. Trafił do swego pokoju pewnie gdy już świtało.

– Watsonie, co o tym sądzisz? – zapytał Holmes tonem patologa, który przedstawia do badania niezwykle ciekawy okaz.

– Prawdopodobnie lumbago. Widziałem ludzi, którzy przy ostrych atakach tej choroby chodzili właśnie w ten sposób. Tłumaczyłoby to także nagły wybuch złości.

– Doskonale, mój doktorze! Zawsze można liczyć na twoje zdroworozsądkowe podejście, ale lumbago wydaje się mało prawdopodobne, bo przecież mógł swobodnie się wyprostować.

– Nigdy wcześniej nie był w tak świetnej formie – rzekł Bennett. – Znam go od wielu lat i wiem, że naprawdę czuje się doskonale. Takie są fakty, panie Holmes. Nie jest to sprawa dla policji, a my nie wiemy, co począć. Mamy wszak niejasne przeczucie, że czeka nas jakaś straszna tragedia. Edith, panna Presbury, zgadza się ze mną co do tego, że nie można już dłużej biernie patrzeć na to, co się dzieje.

– Ta sprawa jest niezwykle interesująca. Co o tym myślisz, Watsonie?

– Jako lekarz uważam, że profesorem powinien się zająć psychiatra. Procesy myślowe starszego dżentelmena zostały najprawdopodobniej zakłócone z powodu niespodziewanej miłości. Wybrał się w podróż zagraniczną, licząc na to, że wyrwie się ze szponów uczucia. Listy i drewniana skrzyneczka mogą być elementami zupełnie innej historii: może chodzi o pożyczkę, a w pudełku znajdują się akcje lub obligacje.

– I wilczurowi nie spodobały się finansowe inwestycje właściciela! Watsonie, chyba jest to bardziej skomplikowana sprawa. Teraz mogę jedynie zasugerować, aby…

Nigdy nie dowiemy się, co chciał zasugerować Sherlock Holmes, gdyż w tym właśnie momencie drzwi się tworzyły, i stanęła w nich młoda dama. Ujrzawszy swą narzeczoną, pan Bennett podbiegł do niej, wzruszony, i chwycił ją za ręce, które wyciągała w jego kierunku.

– Edith, kochanie! Coś się stało?

– Musiałam tu przyjść, Jack, tak bardzo się bałam! Okropnie jest siedzieć samej w tym domu!

– Panie Holmes, oto moja narzeczona, młoda dama, o której właśnie mówiłem.

– Zaczynaliśmy już dochodzić do tego wniosku, prawda, Watsonie? – odpowiedział Holmes z uśmiechem na ustach. – Czy mi się wydaje, panno Presbury, czy wydarzyło się coś nowego, o czym chciałaby pani powiedzieć?

Naszym nowym gościem była piękna dziewczyna o typowej angielskiej urodzie, która odwzajemniła uśmiech, siadając obok pana Bennetta.

– Gdy powiedziano mi, że Jack wyszedł z hotelu, pomyślałam, że pewnie znajdę go tutaj. Oczywiście, wiedziałam, że zamierza się z panem skontaktować. Panie Holmes, czy da się coś zrobić w sprawie mojego biednego ojca?

– Mam taką nadzieję, panno Presbury, ale na razie nic jeszcze nie wiadomo. Być może to, co pani chce nam powiedzieć, rzuci nowe światło na sprawę.

– Coś się wydarzyło zeszłej nocy, panie Holmes. Tata dziwnie się zachowywał przez cały dzień. Jestem pewna, że nie jest świadom tego, co robi. Żyje jakby we śnie. Tak właśnie było wczoraj. Nie poznaję go, nie jest sobą. Widzę jego cielesną powłokę, ale w środku jest kimś zupełnie innym.

– Proszę opowiedzieć, co się stało.

– W nocy obudziło mnie przeraźliwe szczekanie psa. Biednego Roya trzymają od niedawna na łańcuchu przy stajni. Kiedy kładę się spać, zamykam drzwi na klucz, bo wszyscy mamy przeczucie, że nadchodzi jakieś niebezpieczeństwo. Jack może to potwierdzić. Mój pokój znajduje się na drugim piętrze. Akurat tej nocy okiennica była otwarta i do pokoju wpadało jasne światło księżyca. Gdy leżałam, wpatrując się w świetlisty kwadrat, słuchając wściekłego szczekania psa, zauważyłam nagle mojego ojca. Przyglądał mi się zza okna! Panie Holmes, ze strachu i zaskoczenia omal nie umarłam. Jego twarz była przyciśnięta do szyby; jedną ręką próbował otworzyć okno. Gdyby mu się to udało, z pewnością bym oszalała. To nie były zwidy, panie Holmes, proszę tak nie myśleć. Leżałam jak sparaliżowana, wpatrując się w jego twarz. Po jakichś dwudziestu sekundach zniknął, a ja nie potrafiłam wstać z łóżka, żeby go poszukać. Do rana nie ruszałam się, oszołomiona, cały czas dygocząc. Podczas śniadania ojciec był nerwowy i oschły, ale ani słowem nie wspomniał o wydarzeniach minionej nocy. Ja także nic nie mówiłam, wymyśliłam tylko jakiś powód, żeby przyjechać do miasta. I oto jestem.

Holmes był głęboko poruszony opowieścią naszego niespodziewanego gościa.

– Droga panno Presbury, czy pani sypialnia znajduje się na drugim piętrze? Czy w ogrodzie jest jakaś długa drabina?

– Nie, panie Holmes, to jest najbardziej zaskakujący szczegół całej historii. Nie ma możliwości, żeby w normalny sposób zajrzeć przez okno, a jednak on to zrobił.

– Czy wydarzenia miały miejsce piątego września? – zapytał Sherlock. – To bardzo komplikuje sprawę.

Teraz młoda dama wyglądała na zdziwioną.

– Po raz drugi zwrócił pan uwagę na datę, panie Holmes – wtrącił Bennett. – Czy według pana ma to jakiś związek z całą sytuacją?

– Bardzo możliwe, aczkolwiek nie mam jeszcze wszystkich potrzebnych informacji.

– A może na jego obłąkańcze zachowanie oddziałują fazy księżyca?

– Nie, nie, zapewniam, jest to zupełnie coś innego. Czy mógłby pan zostawić mi swój notes, żebym przestudiował daty? Watsonie, wiemy, co robić. Ta młoda dama powiedziała nam, a ja nie widzę powodów, by jej

nie wierzyć, że jej ojciec pamięta niewiele z wydarzeń, które miały miejsce w ostatnich dniach albo zgoła nie pamięta zupełnie niczego. Pójdziemy do profesora jakby nigdy nic, twierdząc, że umawialiśmy się na spotkanie właśnie w któryś z tych dni. Pomyśli, że zwyczajnie zapomniał o zaplanowanej wizycie. Zanim podejmiemy pierwsze kroki, przyjrzymy się mu uważnie.

– Doskonale! – wykrzyknął pan Bennett. – Ostrzegam panów jednak, że profesor bywa porywczy i wybuchowy.

Holmes uśmiechnął się:

– Istnieją pewne powody, dla których powinniśmy odwiedzić go natychmiast. Jeśli moje teorie się sprawdzą, to powody te są niezwykle przekonujące. Panie Bennett, jutro zawitamy do Camford. O ile mnie pamięć nie myli, jest tam zajazd „Szachownica”; serwują w nim wyśmienite porto, a pościel w pokojach jest bez zarzutu. Watsonie, w najbliższym czasie los rzuci nas w znacznie mniej przyjemne miejsca. Ja ci to mówię!

W poniedziałek rano byliśmy w drodze do znanego miasteczka uniwersyteckiego. Od Holmesa nie wymagało to żadnych wyrzeczeń, gdyż nic go w mieście nie trzymało, i z łatwością mógł wyruszyć w podróż. Ja natomiast musiałem wcześniej pozałatwiać w pośpiechu wiele spraw, ponieważ w owym czasie moja praktyka lekarska rozwijała się nader pomyślnie. Holmes nie wspominał o sprawie, która była powodem naszego przybycia tutaj, dopóki nie dotarliśmy do starego zajazdu, o którym wspominał poprzedniego dnia. Tam też zostawiliśmy bagaże.

– Watsonie, możemy złapać profesora tuż przed lunchem. O jedenastej ma wykład, następnie jest przerwa.

– Jaki wymyślimy powód naszej wizyty?

Holmes zajrzał do notesu.

– Około dwudziestego szóstego sierpnia profesor był bardzo podekscytowany. Załóżmy, że w takich chwilach bywa nieco zamroczony i nie wie, co robi. Jeśli powiemy, że wcześniej umawialiśmy się na to spotkanie, przyjmie nas bez oporów. Czy jesteś na tyle bezczelny, żeby przeprowadzić tę akcję?

– Możemy spróbować.

– Doskonale, Watsonie! „Możemy spróbować”. Oto nowe motto naszej firmy. Ktoś z miejscowych wskaże nam chyba drogę do domu profesora.

Napotkany przechodzień zgodził się pojechać z nami powozem na miejsce. Minęliśmy stare kolegia i wjechaliśmy w szeroką aleję, obsadzoną drzewami, która doprowadziła nas do drzwi uroczego domku, otoczonego trawnikiem, i porośniętym glicynią o fioletowych kwiatach. Jak się okazało, profesor Presbury żył spokojnie i wygodnie. Gdy zajechaliśmy pod dom, we frontowym oknie ukazała się siwa głowa naukowca. Gospodarz bacznie obserwował nas bystrym spojrzeniem; jego oczy, ukryte pod krzaczastymi brwiami, były schowane za wielkimi okularami. Po chwili weszliśmy do jego sanktuarium; tajemniczy uczony, którego dziwne postępowanie przywiodło nas tu z Londynu, stał przed nami. Był to korpulentny wysoki człowiek, odziany w surdut. Jego poważny wygląd ani zachowanie nie odbiegały od normy, odznaczał się jedynie pewnym dostojeństwem, niezbędnym w zawodzie nauczyciela akademickiego. Najciekawszym elementem jego twarzy były bystre mądre oczy, można by rzec, przebiegłe, które obserwowały każdy ruch gościa.

Profesor popatrzył na nasze wizytówki.

– Proszę, niech panowie usiądą. Co mogę dla panów zrobić?

Holmes uśmiechnął sie przyjaźnie:

– Właśnie miałem panu zadać to samo pytanie.

– Mnie?

– Może to jakaś pomyłka. Słyszałem od pewnej osoby, że profesor Presbury z Camford potrzebuje mojej pomocy.

– Ach tak!

Przez chwilę wydawało się, że w jego szarych oczach pojawił się złowrogi błysk.

– Słyszał pan coś takiego? Jak się nazywa pański informator?

– Przykro mi, profesorze, ale nie mogę tego ujawnić. Jeśli nastąpiła jakaś pomyłka, to przecież nic się nie stało. Jestem gotów przeprosić pana za zaistniałe nieporozumienie.

– Nic nie szkodzi. Chętnie poznam więcej szczegółów. Zaintrygował mnie pan. Czy może pan potwierdzić swe słowa, ujawniając mi na przykład jakąś wiadomość, jakiś list czy telegram?

– Niestety, nie mam niczego takiego.

– Chyba nie posunie się pan do twierdzenia, że to ja panów wezwałem?

– Wolałbym nie odpowiadać na to pytanie – rzekł Holmes.

– Tak myślałem – odparł szorstko profesor. – W tym przypadku pańska odpowiedź byłaby zbędna.

Gospodarz podszedł do dzwonka znajdującego się na drugim końcu pokoju. W drzwiach ukazał się pan Bennett, nasz znajomy z Londynu.

– Wejdź, proszę. Ci dwaj panowie przyjechali do mnie ze stolicy i twierdzą, że to ja ich zaprosiłem. Ty zajmujesz się moją korespondencją. Czy pamiętasz, żebym wysyłał jakąkolwiek wiadomość do osoby o nazwisku Holmes?

– Nie, sir – odparł Bennett z wypiekami na twarzy.

– To rozstrzyga sprawę – rzekł profesor, patrząc gniewnie na mojego towarzysza. – Sir – oparł się obiema rękami na stole – wydaje mi się, że znalazł się pan w nieciekawym położeniu.

Holmes wzruszył ramionami:

– Mogę jedynie ponownie przeprosić pana za najście.

– To nie wystarczy, panie Holmes! – wykrzyknął starszy człowiek, a na jego twarzy pojawił się wyraz niewyobrażalnej wściekłości. Mówiąc to, stanął w drzwiach i zaczął gwałtownie wymachiwać rękami. – Tak łatwo pan się z tego nie wymiga!

Mięśnie twarzy, którą wykrzywił straszny grymas, zaczęły pulsować. Wypluwał z siebie słowa, niewyraźnie bełkocząc, opętany gniewem. Pewnie doszłoby do rękoczynów, gdybyśmy chcieli opuścić ten pokój, na szczęście zainterweniował pan Bennett.

– Drogi profesorze – wykrzyknął – nie przystoi panu takie zachowanie! Mógłby pan wywołać nie lada skandal na uniwersytecie! Pan Holmes jest znaną osobą. Nie wypada traktować go w tak obraźliwy sposób.

Nasz gospodarz – jeśli mogę go tak nazwać – odsunął się od drzwi; miał urażoną minę. Z przyjemnością wyszliśmy z tego domu. Nareszcie mogliśmy się rozkoszować się ciszą panującą na zewnątrz. Holmes był rozbawiony tą scenką.

– Nasz uczony przyjaciel zupełnie nie panuje nad nerwami – rzekł. – Być może nasze najście było nieco nietaktowane, ale dzięki temu mogliśmy się przyjrzeć profesorowi z bliska, na czym mi niezmiernie zależało. Watson, zobacz, on depcze nam po piętach! Chyba goni nas!

Za plecami usłyszałem tupot biegnących stóp, ale na szczęście okazało się, że nie był to groźny profesor, tylko jego asystent, który wychynął zza zakrętu. Podszedł do nas, dysząc ciężko.

– Przepraszam, panie Holmes. Bardzo mi przykro.

– Mój drogi, wszystko w porządku. W mojej pracy często zdarzają się podobne sytuacje.

– Pierwszy raz widziałem go w takim stanie. Staje się coraz bardziej ponury, ale jego umysł jest niezwykle sprawny. Rozumie pan teraz, dlaczego jego córka i ja jesteśmy tak zaniepokojeni.

– Zbyt sprawny! – rzekł Holmes. – Tego się nie spodziewałem. Okazało się, że z jego pamięcią nie jest tak źle, jak myślałem. Zanim wyjedziemy, chciałbym, jeśli to możliwe, zerknąć jeszcze na okno sypialni panny Presbury.

Przedarliśmy się przez krzaki i stanęliśmy przy bocznej ścianie domu.

– Drugie okno po lewej stronie.

– Dosyć trudno byłoby się do niego dostać. Chociaż rośnie pod nim pnącze, a wyżej znajduje się rynna, która może służyć jako podparcie dla stóp i rąk.

– Ja bym na pewno się tam nie wdrapał – rzekł pan Bennett.

– Pewnie ma pan rację. Dla każdego normalnego człowieka byłby to bardzo niebezpieczny wyczyn.

– Panie Holmes, muszę panu powiedzieć jeszcze coś. Mam londyński adres człowieka, do którego pisuje profesor. Prawdopodobnie dziś rano wysłał do niego list, bo adres odcisnął się na bibułce. Jak na lojalnego sekretarza, to dość niegodziwe zachowanie, ale cóż innego mnie pozostaje?

Holmes zerknął na bibułkę i włożył ją do kieszeni.

– Dorak. Co za dziwne nazwisko! Pewnie słowiańskie. Wielce prawdopodobne, że jest to istotne ogniwo w tym łańcuchu przyczyn i skutków. Panie Bennett, dziś po południu wracamy do Londynu. Tu się na nic nie przydamy. Nie możemy kazać aresztować profesora, bo nie popełnił żadnej zbrodni, nie możemy też zamknąć go w szpitalu psychiatrycznym, bo nie mamy dowodów na to, że cierpi na jakąś chorobę. Na razie nie możemy podjąć żadnych działań.

– Co robić?

– Trochę cierpliwości, panie Bennett. Już wkrótce wszystko się wyjaśni. Jeśli się nie mylę, w przyszły wtorek nastąpi kryzys. Oczywiście, tego dnia będziemy w Camford. Sytuacja niewątpliwie jest nieprzyjemna, panna Presbury powinna przedłużyć swą wizytę w Londynie.

– Nie będzie z tym kłopotu.

– Musi zostać tam do chwili, gdy niebezpieczeństwo minie. Na razie radzę nie wchodzić profesorowi w drogę. Dopóki jest w dobrym humorze, wszystko jest w porządku.

– Oto i on! – rzekł Bennett szeptem. Spoglądając zza gałęzi, ujrzeliśmy wysokiego mężczyznę, który wyszedł z domu, rozglądając się wokół siebie. Stał, lekko pochylony do przodu, jego ręce swobodnie zwisały, a głowa obracała się w obie strony. Sekretarz pomachał nam na pożegnanie i zniknął między drzewami. Zobaczyliśmy, jak dołączył do swego pracodawcy; razem weszli do domu, prowadząc burzliwą rozmowę.

– Profesor połączył chyba parę faktów – rzekł Holmes, gdy szliśmy w stronę zajazdu. – Kiedy u niego byliśmy, zauważyłem, że myśli wyjątkowo logicznie i jasno. Jest wybuchowy, bez dwóch zdań, ale ma ku temu powody: w końcu nasłano na niego detektywów, i pewnie podejrzewał, że to sprawka jego własnej rodziny. Obawiam się, że naszego przyjaciela Bennetta czekają teraz trudne chwile.

Po drodze zatrzymaliśmy się na poczcie, gdzie Holmes wysłał telegram. Wieczorem nadeszła odpowiedź:

> Byłem na Commercial Road i widziałem tam Doraka. Przyjemny starszawy Czech. Jest właścicielem dużego sklepu z różnymi artykułami. MERCER.

– Mercera poznałem, zanim zaczęliśmy wspólnie pracować – powiedział Holmes. – To człowiek, któremu można zlecić dużo zadań; często coś dla mnie sprawdza. Chciałem się dowiedzieć więcej o mężczyźnie, z którym profesor koresponduje w tajemnicy. Jego narodowość łączy się w jakiś sposób z wizytą starszego pana w Pradze.

– Dzięki Bogu, w końcu coś się z czymś łączy. Do tej pory wszystkie niewytłumaczalne wydarzenia nie miały ze sobą nic wspólnego, bo jak na przykład szukać powiązań między rozwścieczonym wilczurem a podróżą do Czech lub człowiekiem idącym po korytarzu w środku nocy na czworakach? A te daty to już chyba największa tajemnica.

Holmes uśmiechnął się, zacierając dłonie. Siedzieliśmy w starym salonie staromodnego zajazdu. Na stole stała butelka wina dobrego rocznika, o którym Holmes wspominał przed wyjazdem.

– Dobrze, zacznijmy od dat – powiedział detektyw, składając dłonie w piramidkę i zmieniając ton, jakby zwracał się do uczniów. – Z notatnika

szacownego młodego człowieka wynika, że kłopoty zaczęły się drugiego lipca. Dziwne wydarzenia powtarzają się regularnie co dziewięć dni z jednym wyjątkiem, jeśli dobrze pamiętam. Ostatni piątkowy wybuch profesora miał miejsce trzeciego września, poprzedni dwudziestego szóstego sierpnia, co idealnie pasuje do mojej teorii. Nie ma tu miejsca na przypadek.

Musiałem przyznać mu rację.

– Przyjmijmy zatem roboczą hipotezę. Co dziewięć dni profesor zażywa jakiś bardzo silny narkotyk. Jego działanie mija po pewnym czasie, ale organizm pozostaje nadal pod wpływem tego narkotyku, który pobudza jeszcze bardziej wybuchowy charakter naszego profesora. Pan Presbury dowiedział się o narkotyku w Pradze, a zaopatruje go czeski pośrednik z Londynu. Wszystkie elementy do siebie pasują, Watsonie!

– Ale co z psem, twarzą w oknie i człowiekiem pełzającym po korytarzu?

– Zaraz, zaraz, dopiero zaczęliśmy łączyć fakty. Myślę, że do następnego wtorku nic nowego się nie wydarzy. Będziemy kontaktować się co jakiś czas z Bennettem i rozkoszować się urokami tego cudownego miasteczka.

Następnego dnia rano asystent profesora wymknął się z domu, by złożyć nam sprawozdanie z ostatnich wydarzeń. Zgodnie z podejrzeniami Holmesa znalazł się w nieciekawym położeniu. Choć profesor nie oskarżył go wprost o nasłanie na niego detektywów, to miał o to do niego wyraźny żal i w nieprzyjemny szorstki sposób wyładował na sekretarzu swój gniew. Rano znów był opanowany i przeprowadził niezwykły wykład dla studentów w wypełnionej po brzegi sali.

– Poza tymi dziwacznymi wybuchami – podsumował Bennett – stał się bardziej energiczny i ma więcej zapału, jego umysł pracuje ze zdwojoną siłą, ale to nie jest ten sam człowiek, którego znam od lat.

– W tym tygodniu nie musi się pan niczego obawiać – odparł Holmes. – Teraz mam sporo zajęć, a i na doktora Watsona czekają pacjenci. Spotkajmy się tu o tej samej porze we wtorek. Będę bardzo zaskoczony, jeśli przed naszym wyjazdem nie uda się wyjaśnić tej sprawy i rozwiązać pańskich problemów. Gdyby się coś działo, proszę do nas pisać.

Przez kilka następnych dni nie widziałem się z Holmesem. W poniedziałek wieczorem dostałem krótką wiadomość z prośbą, bym następnego dnia stawił się na dworcu kolejowym. Podczas podróży do Camford mój przyjaciel poinformował mnie, że ostatnio nic

wyjątkowego się nie wydarzyło, nikt nie zakłócił spokoju profesora, a jego zachowanie było całkiem zwyczajne. Wieczorem w naszym pokoju w „Szachownicy” odwiedził nas pan Bennett, który potwierdził słowa detektywa.

– Dziś profesor otrzymał list od swego znajomego z Londynu. Oprócz wiadomości była jeszcze paczuszka. Na obu przesyłkach pod znaczkiem widniał mały krzyżyk, co oznaczało, że nie wolno mi ich otwierać. Poza tym nic się nie działo.

– To nam w zupełności wystarczy – rzekł Holmes z ponurym wyrazem twarzy. – Panie Bennett, dziś wieczorem wszystko się wyjaśni. Jeśli moja metoda dedukcji mnie nie zawiedzie, zakończymy szczęśliwie tę sprawę. Proszę przez cały czas obserwować profesora. Najlepiej, gdyby tej nocy nie kładł się pan spać. Jeśli pan usłyszy, że profesor przechodzi pod drzwiami pańskiej sypialni, proszę się do niego nie odzywać, tylko pójść za nim. Będziemy z doktorem Watsonem w pobliżu. A tak na marginesie, gdzie jest klucz do tej skrzyneczki, o której pan wspomniał?

– Profesor trzyma go na łańcuszku od zegarka.

– Poszukiwania powinniśmy zacząć właśnie od tej skrzyneczki. W najgorszym wypadku trzeba będzie wyważyć zamek, co nie powinno być trudne. Czy w domu jest jeszcze jakiś mężczyzna?

– Tak, stangret Macphail.

– Gdzie on śpi?

– Przy stajniach.

– Może być nam potrzebny. Zobaczymy, co przyniesie noc; do tego czasu nic więcej nie da się zrobić. Do widzenia, zobaczymy się o świcie.

Dochodziła północ, gdy zajęliśmy nasze pozycje w krzakach naprzeciwko drzwi wejściowych do domu profesora. Noc była piękna, ale nieco chłodna; cieszyliśmy się, że założyliśmy ciepłe płaszcze. Wiał wiaterek, który przeganiał po niebie chmury, od czasu do czasu zasłaniające księżyc. Gdyby nie oczekiwanie na nadchodzące wydarzenia i związane z tym podekscytowanie, a także zapewnienia mojego towarzysza, że ta dziwna sprawa niedługo znajdzie swój finał, tę noc spędzilibyśmy w ponurych i przygnębiających nastrojach.

– Jeżeli sprawdzi się moja teoria odnośnie dziewięciodniowego cyklu, dziś zachowanie profesora będzie najdziwniejsze – rzekł Holmes. – Te wszystkie objawy, które przejawiał po powrocie z Pragi, jego sekretna

korespondencja z czeskim handlarzem w Londynie, który być może reprezentuje osoby z Pragi, i fakt, że profesor właśnie dziś dostał od niego paczuszkę, prowadzą do jednego wniosku. To, co zażywa, i dlaczego to robi, pozostaje na razie tajemnicą, ale substancja ta bez wątpienia pochodzi z Pragi. Profesor bierze narkotyk co dziewięć dni zgodnie ze wskazówkami, i właśnie ta regularność zwróciła moją uwagę. Objawy są niespotykane. Czy zwróciłeś uwagę na knykcie jego palców?

Przyznałem, że nie.

– Spiczaste i wystające. Nigdy wcześniej nie widziałem czegoś takiego. Zawsze patrz na dłonie, a potem na mankiety, spodnie na kolanach i buty. Bardzo dziwne były te knykcie. Ich niezwykły wygląd jest skutkiem zażywania tej substancji… – Holmes przerwał swą wypowiedź i złapał się za czoło. – Watsonie, ale ze mnie głupiec! Wydaje się to nieprawdopodobne, ale z pewnością jest prawdziwe. Jest tylko jeden wniosek! Jak mogłem nie połączyć ze sobą tych faktów? Jak mogłem przegapić te knykcie? I psa? I bluszcz? Nadszedł czas, bym się zaszył na tej niewielkiej farmie, o której od dawna marzę. Patrz, Watsonie, oto i on! Za chwilę zobaczymy to na własne oczy!

Drzwi wejściowe powoli się otworzyły i ukazała się w nich wysoka postać. Profesor Presbury miał na sobie szlafrok. Jego sylwetka rysowała się na tle oświetlonego korytarza; stał na dwóch nogach, ale jego korpus pochylał się do przodu, a ręce swobodnie zwisały.

Po chwili profesor wyszedł przed dom i tam nastąpiła niezwykła przemiana, której byliśmy świadkami. Starszy pan osunął się na czworaki i zaczął się poruszać do przodu na rękach i stopach, od czasu do czasu dziwnie podskakując, jakby przepełniała go energia. Szedł najpierw wzdłuż frontowej ściany domu, a potem zniknął za rogiem. Gdy straciliśmy go z pola widzenia, z domu wyszedł Bennett i, skradając się, poszedł za starszym panem.

– Chodźmy, Watsonie! – krzyknął Holmes.

Szliśmy, schowani za krzakami, najciszej jak się dało, aż dotarliśmy do miejsca, z którego mogliśmy obserwować oświetloną przez księżyc tylną ścianę domu. Wyraźnie widzieliśmy profesora pełzającego pod obrośniętą bluszczem ścianą. Nagle z niezwykłym zapałem zaczął się wspinać po pnączach. Podpierał się stopami i chwytał zręcznie gałęzie, wdrapując się bezcelowo, najwyraźniej jedynie dla przyjemności. Poły szlafroka

powiewające na wietrze sprawiały, że wyglądał jak ogromny nietoperz przyklejony do ściany domu, wielka czarna plama na ścianie zalanej światłem księżyca. Obserwowaliśmy, jak profesor zmęczony swoimi wyczynami opuszcza się na dół po pnączach, a następnie w znany nam już nienaturalny sposób rusza na czworakach w stronę stajni. Wilczur uwiązany na łańcuchu siedział na dworze i szczekał wściekle, a gdy właściciel pojawił się w zasięgu jego oczu, rozjuszył się jeszcze bardziej. Rzucał się na łańcuchu, nie mogąc pohamować gniewu. Profesor podkradł się jak najbliższej psa i zaczął go prowokować na wszystkie sposoby. Rzucał w stronę zwierzęcia garście kamyków, szturchał go patykiem, machał rękami przed jego rozwartym pyskiem, starając się ze wszystkich sił jeszcze bardziej rozwścieczyć psa, który i tak był już na granicy obłędu. W czasie całej mojej detektywistycznej kariery pierwszy raz widziałem tak dziwną scenę. Ta nieczuła, a mimo to w pewien sposób ciągle dostojna istota, skacząca na czterech kończynach niczym żaba, brała udział w dzikim widowisku, jakim było drażnienie z wyrachowanym okrucieństwem rozwścieczonego wilczura na łańcuchu.

I wtedy właśnie stało się! To nie łańcuch pękł, tylko obroża ześlizgnęła się z szyi psa, gdyż była przeznaczona dla nowofunlandów mających dużo grubszą szyję. Usłyszeliśmy brzęk upadającego łańcucha i po chwili pies i mężczyzna turlali się na ziemi, pierwszy warczał szaleńczo, a drugi krzyczał przeraźliwym falsetem. Profesorowi śmierć spojrzała w oczy. Rozwścieczony pies wczepił się kłami głęboko w jego szyję. Natychmiast podbiegliśmy do nich i odciągnęliśmy psa, ale profesor był już nieprzytomny. Dla nas cała ta sytuacja mogła się także skończyć tragicznie, ale na szczęście obecność i głos Bennetta doprowadziły zwierzę do porządku. Jednocześnie, obudzony hałasem, wyszedł ze swego pokoju nad stajnią zaspany i otępiały stangret.

– Wcale mnie to nie dziwi – rzekł, kiwając głową. – Już wcześniej obserwowałem takie sceny. Wiedziałem, że prędzej czy później pies go dopadnie.

Zwierzę zostało ponownie przywiązane, a my zanieśliśmy profesora do jego pokoju, gdzie Bennett, który skończył medycynę, pomógł mi opatrzyć jego poharataną szyję. Ostre zęby zagłębiły się w ciało niebezpiecznie blisko tętnicy szyjnej, dlatego ranny stracił dosyć dużo krwi. W ciągu pół godziny zażegnaliśmy niebezpieczeństwo, zaaplikowałem

profesorowi zastrzyk z morfiny, po którym zapadł w głęboki sen. Dopiero wtedy mogliśmy spokojnie przeanalizować wydarzenia.

– Myślę, że powinien go zobaczyć chirurg – rzekłem.

– Na Boga, tylko nie to! – wykrzyknął Bennett. – Na razie o tym skandalu wie tylko nasza rodzina. Bezpiecznie będzie, jeśli tak pozostanie. Jeśli sekret wydostanie się poza ściany naszego domu, nigdy już nie będziemy mieć spokoju. Proszę pomyśleć o jego pozycji na uniwersytecie, o jego reputacji w Europie, o uczuciach córki.

– Racja – odparł Holmes. – Być może uda nam się zachować to w tajemnicy i jednocześnie zadbać, by sytuacja się nie powtórzyła, zwłaszcza teraz, gdy mamy wolną rękę. Poproszę o klucz, który znajduje się przy łańcuszku zegarka. Macphail popilnuje pacjenta i będzie nas informował o jego stanie. Zobaczmy, co kryje się w tajemniczej skrzyneczce profesora.

Nie było tego wiele, ale wystarczyło. Jedna pusta fiolka i druga prawie pełna, strzykawka i kilka listów zapisanych niewprawną ręką. Znaki na kopercie wskazywały na to, że są to przesyłki, których nie wolno było czytać sekretarzowi. Adres nadawcy: „Commercial Road”; podpis: „A. Dorak”. Były to głównie powiadomienia, że nowa fiolka została wysłana do profesora, i potwierdzenia odbioru zapłaty. Wśród tych papierów była też jedna koperta, zaadresowana przez osobę bardziej wyedukowaną, z austriackim stemplem i znaczkiem z Pragi.

– Tego właśnie szukaliśmy! – wykrzyknął Holmes, rozrywając kopertę.

Szanowny Kolego!

Od czasu pańskiej wizyty wiele myślałem o pana przypadku, i choć ma pan wyjątkowe powody, by skorzystać z kuracji, zalecałbym mimo wszystko ostrożność, gdyż moje badania wskazują, że zażywanie tej substancji może być niebezpieczne.

Być może serum pochodzące od małpy człekokształtnej byłoby w pana przypadku bardziej odpowiednie. Jak już wspominałem, wykorzystałem próbki pochodzące od langura czarnego, gdyż takie tylko były dostępne. Oczywiście, langury są zwinne i sprawnie się wspinają, ale małpy człekokształtne poruszają się na dwóch nogach i choćby tylko z tego powodu są bliższe człowiekowi.

Bardzo pana proszę, żeby zachował pan wszelkie środki ostrożności, aby proces nie postępował zbyt szybko. W Anglii mam jeszcze jednego klienta, i Dorak będzie dostarczał serum wam obu. Czekam na cotygodniowe raporty.

Z wyrazami szacunku. H. Lowenstein

Lowenstein! Spotkałem się już z tym nazwiskiem, przeglądając gazetę, w której napisano, że pewien nieznany naukowiec wkroczył na niezbadany teren, prowadząc doświadczenia nad serum młodości i eliksirem życia. Lowenstein z Pragi! Lowenstein z cudownym eliksirem, dzięki któremu wracają siły witalne, a który stał się tematem tabu w środowisku lekarzy, gdyż wynalazca odmówił ujawnienia jego składu. W kilku słowach opowiedziałem moim towarzyszom o artykule. Bennett sięgnął po encyklopedię zoologiczną i przeczytał:

Langur, małpa o czarnym umaszczeniu pyszczka zamieszkująca zbocza himalajskie, największa i najbardziej podobna do człowieka małpa wspinająca się.

Następnie wymieniono szereg dodatkowych szczegółów.

– Dzięki panu, panie Holmes, odkryliśmy źródło zła.

– Prawdziwe źródło – odparł Holmes – leży w nieszczęśliwej miłości, przez którą nasz porywczy profesor wpadł na pomysł przeobrażenia się w młodszego mężczyznę. Gdy ktoś próbuje wznieść się ponad naturę, jest skazany na upadek. Najwspanialsi nawet ludzie mogą przeobrazić się w zwierzęta, jeśli zboczą z drogi swego przeznaczenia.

Holmes przez chwilę siedział, zamyślony, trzymając w dłoni małą fiolkę i patrząc na przezroczysty płyn.

– Ten proceder zakończy się dopiero wtedy, gdy poinformuję tego mężczyznę, że odpowie przed sądem za rozprowadzanie trucizny. Obawiam się, że moda na takie kuracje może powrócić. Pojawią się inni, pragnący znaleźć sposób na odzyskanie młodości. To wielkie niebezpieczeństwo, które zagraża ludzkości. Pomyśl tylko, Watsonie, że wszyscy, zarówno materialiści, jak i ludzie podatni na pokusy, będą starali się przedłużać swój marny żywot. Ci uduchowieni zajmą się dążeniem do wyższych wartości. Przetrwają tylko najgorsze kreatury. Nasz biedny świat zamieni się w szambo.

Po tych słowach ocknął się z zadumy i energicznie poderwał się z krzesła.

– Nie pozostało już nic do dodania, panie Bennett. Teraz pan łatwo połączy ze sobą wszystkie dziwne wydarzenia. Oczywiście, pies zdał sobie sprawę z przemiany profesora szybciej niż pan. Dzięki świetnemu węchowi wyczuł substancję pochodzącą z organizmu małpy. Roy nie atakował

profesora, tylko małpę, która go drażniła. Wspinanie się po pnączach było dla tej istoty zwykłą zabawą, i myślę, że zaglądał przez okno pana narzeczonej bez konkretnego celu. Watsonie, rano odjeżdża pociąg do Londynu, ale przed podróżą zdążymy chyba jeszcze wypić w zajeździe małą filiżankę herbaty.

Opowieść dziewiąta

Lwia grzywa

To naprawdę niezwykłe, że najbardziej zawiłą i zagadkową sprawę, z jaką miałem do czynienia w swojej długiej karierze, poprowadziłem, będąc już na emeryturze. Co więcej wydarzenia te miały miejsce tuż pod moimi oknami. Gdy po wielu latach wycofałem się ze spraw, zamieszkałem w małym domku w hrabstwie Sussex, gdzie rozkoszowałem się spokojnym życiem, które prowadziłem w zgodzie z naturą. Często o tym marzyłem, pracując w mrocznym Londynie. W owym czasie straciłem kontakt z moim starym dobrym przyjacielem Watsonem. Raz tylko wpadł z wizytą; poza tym w ogóle się nie spotykaliśmy. Dlatego też musiałem zostać kronikarzem własnych dokonań. Ach, gdyby tylko mój druh był przy mnie, z pewnością pięknie opisałby mój sukces, który odniosłem mimo wielu przeszkód. Niestety, muszę sam opowiedzieć prostymi słowami o swojej przygodzie, przedstawiając krok po kroku trudności, z jakimi przyszło mi się zmierzyć, gdy szukałem rozwiązania zagadki lwiej grzywy.

Moja willa znajduje się na południowym zboczu wapiennych wzgórz, skąd roztacza się cudowny widok na kanał La Manche. W tym miejscu linię brzegową tworzą kredowe klify. Do wody można się dostać jedynie długą ścieżką, wijącą się wśród stromych i śliskich zboczy. Prowadzi ona do kamienno-żwirowej plaży, która nawet w czasie przypływu nigdy nie jest całkowicie zalana. Gdzieniegdzie jednak tworzą się zakola, i każda nowa fala napełnia te baseniki wodą morską. Ta urocza plaża rozciąga się w obie strony na kilka mil. W jedynym miejscu przecina ją niewielka zatoczka, nad brzegiem której leży wioska o nazwie Fulworth.

Mój dom stoi na odludziu. Oprócz mnie mieszkają w nim moja gosposia i moje pszczoły. W odległości pół mili od domu znajduje się szkoła Harolda Stackhursta o nazwie „Gables”. Jest to dosyć duża placówka, do której

uczęszczają zdolni młodzieńcy, uczący się różnych zawodów pod okiem mistrzów. Przed laty Stackhurst był wybitnym wioślarzem i wszechstronnie uzdolnionym studentem. Gdy zamieszkałem na wybrzeżu, zaprzyjaźniłem się z nim. Był jedyną osobą, z którą łączyły mnie na tyle zażyłe stosunki, że często bez zaproszenia wpadaliśmy wieczorami do siebie.

Pod koniec lipca 1907 roku nawiedziła nasze wybrzeże potężna wichura, podczas której wiatr wiejący od strony kanału tworzył ogromne fale liżące podnóże klifu. Po odpływie pozostał na plaży niewielki zalew. Tego ranka, o którym wspomniałem, wiatr się uspokoił, przyroda odświeżona po burzy budziła się do życia. W tak piękny dzień trudno było skupić się na pracy, więc jeszcze przed śniadaniem wyruszyłem na przechadzkę, by pooddychać świeżym powietrzem. Szedłem spokojnie ścieżką wzdłuż klifu, która prowadziła do stromego zejścia na plażę. Nagle usłyszałem za plecami czyjeś wołanie. Odwróciłem się i ujrzałem Harolda Stackhursta przyjaźnie machającego na powitanie.

– Cóż za piękny poranek, Holmesie! Byłem pewny, że cię tu spotkam.

– Widzę, że masz zamiar zażyć kąpieli.

– A ty jak zwykle wszystko wiesz – zaśmiał się, klepiąc wypchaną po brzegi torbę kąpielową. – Masz rację oczywiście. McPherson wyszedł wcześnie rano i spodziewałem się, że go tu zastanę.

Fitzroy McPherson, wykładowca nauk ścisłych, był młodym przystojnym mężczyzną. Niestety, jego życie komplikowały choroba serca i reumatyzm. Mimo to był zapalonym sportowcem i dobrze sobie radził w każdej konkurencji, która nie wymagała zbyt dużego wysiłku. Latem i zimą pływał, a ponieważ i ja lubię kąpiele, często do niego dołączałem.

W pewnej chwili dostrzegliśmy pana McPhersona. Najpierw ujrzeliśmy głowę, która wychynęła ponad krawędzią klifu w miejscu, w którym kończy się ścieżka, następnie zobaczyliśmy całą jego postać. Szedł chwiejnym krokiem, jakby był pijany. Nagle zaczął machać rękami i chwilę później, przeraźliwie krzycząc, upadł na twarz. Leżał w odległości jakichś pięćdziesięciu jardów. Razem ze Stackhurstem ruszyliśmy na pomoc. Podbiegliśmy do leżącego, przewróciliśmy go na plecy. Oczywiste było, że Fitzroy McPherson umiera. Świadczyły o tym zapadnięte szkliste oczy i przerażająco sine policzki. Odzyskał na chwilę świadomość, by wydusić z siebie kilka ostrzegawczych słów. Jego mowa była bełkotliwa, a ostatnie słowa przeszły w przeraźliwy krzyk i prawdopodobnie brzmiały: „lwia

grzywa”. Przynajmniej tak zrozumiałem jego wrzask, choć wyrazy te naprawdę nie miały żadnego sensu. Po tym słownym wysiłku próbował się podnieść, wyrzucił ręce w górę i upadł na bok. Był martwy.

Mój towarzysz stał jak sparaliżowany, obserwując tę przerażającą scenę, ja natomiast, jak można się domyślić, musiałem zachować czujność, gdyż było jasne, że przed chwilą wydarzyło się coś niezwykłego. Mężczyzna miał na sobie jedynie płaszcz od Burberry’ego, spodnie i niezasznurowane płócienne buty. Gdy się przewrócił na bok, zobaczyliśmy jego plecy, wcześniej ukryte pod płaszczem zarzuconym na ramiona. Osłupiali, patrzyliśmy na ciało. Plecy pokrywały ciemne czerwone rany, jakby przed chwilą ktoś wysmagał je cienkim batem. Narzędzie, którym wykonano tę straszną karę, musiało być bardzo elastyczne i dość długie, gdyż pręgi zakręcały na żebrach i ramionach. Po brodzie mężczyzny spływała krew z dolnej wargi, którą przygryzł, gdy był w agonii. Jego wykrzywiona twarz wskazywała na to, że odszedł w strasznych męczarniach.

Klęczałem nad ciałem, a Stackhurst stał obok mnie. Nagle padł na nas cień czyjejś sylwetki. Okazało się, że był to Ian Greever, wysoki szczupły mężczyzna, który uczył w szkole matematyki. Jego mrukliwość i wyniosły charakter spowodowały, że nikt nie chciał się z nim nigdy zaprzyjaźnić. Wydawało się, że żyje w jakimś abstrakcyjnym świecie wśród liczb niewymiernych i krzywych stożkowych, w całkowitym oderwaniu od rzeczywistości. Studenci patrzyli na niego jak na dziwaka; pewnie uczyniliby z niego obiekt swych drwin, gdyby nie wyróżniające go wygląd i temperament: smagła twarz o czarnych jak węgiel oczach i nagłe wybuchy gniewu, które można było określić jako straszliwe i brutalne. Pewnego razu, gdy rzucił się na niego piesek McPhersona, matematyk złapał zwierzę i cisnął nim o lustrzaną szybę, za co Stackhurst z pewnością zwolniłby go z pracy, gdyby nie fakt, że był to wyjątkowo dobry nauczyciel. Właśnie taką skomplikowaną osobowość miał człowiek, który pojawił się obok nas. Gdy zobaczył zwłoki, odniosłem wrażenie, że się szczerze przeraził, choć incydent z psem mógłby wskazywać na to, iż nie darzył sympatią zmarłego.

– Biedny człowiek! Biedny człowiek! Czy mogę coś zrobić? Jak mogę pomóc?

– Był pan z nim? Może nam pan powiedzieć, co się wydarzyło?

– Niestety, dzisiaj wstałem nieco później. W ogóle nie byłem jeszcze na plaży. Właśnie szedłem tu ze szkoły. Mogę jakoś pomóc?

– Tak, trzeba jak najszybciej zawiadomić policję w Fulworth o wypadku.

Matematyk bez słowa puścił się biegiem w kierunku miasteczka, a ja postanowiłem wziąć sprawy w swoje ręce, gdyż Stackhurst stał nieruchomo, wstrząśnięty tragedią. Po pierwsze, sprawdziłem, oczywiście, czy ktoś był na plaży. Stojąc na wzniesieniu, widziałem ją wyraźnie aż po horyzont. Oprócz dwóch czarnych sylwetek idących w kierunku miasteczka, na plaży nie było nikogo. Gdy już wykonałem tę czynność, zacząłem powoli iść ścieżką. Na tych terenach wszędzie było pełno gliny lub marglu zmieszanego z kredą. Widziałem ślady butów wskazujące na to, że osoba idąca wcześniej zeszła na dół, a następnie wróciła. Nikt inny poza zmarłym nie szedł tędy dziś rano. W jednym miejscu zauważyłem odcisk dłoni, palce skierowane były w stronę szczytu. To mogło oznaczać, że biedny McPherson przewrócił się, a potem próbował wspiąć się wyżej. Gdzieniegdzie widniały również wklęsłe okrągłe miejsca sugerujące, że kilkakrotnie upadł na kolana. Na samym dole ścieżki znajdowała się spora zatoczka, pozostałość po przypływie. Na jej brzegu leżały ręcznik i szlafrok; tu właśnie McPherson się rozebrał. Jego rzeczy były złożone i suche, co mogło świadczyć o tym, że nie zdążył wejść do wody. Poszukując śladów na żwirze, w kilku miejscach znalazłem odciski jego płóciennych butów i bosych stóp. Był to dowód na to, że już się przygotował do kąpieli, ale sądząc po suchym ręczniku, nie zdążył się zanurzyć.

Ot i cała zagadka, najdziwniejsza ze wszystkich, jakie do tej pory rozwiązywałem. Mężczyzna przebywał na plaży nie dłużej niż kwadrans. Nie miałem co do tego wątpliwości, gdyż Stackhurst podążał za nim ze szkoły. McPherson poszedł popływać i rozebrał się, na co wskazują ślady bosych stóp. Następnie w pośpiechu zarzucił na siebie ubranie – płaszcz był niezapięty, a sznurowadła butów niezawiązane – i wrócił na górę, nie zanurzając się w wodzie, a przynajmniej nie używając ręcznika, żeby się wysuszyć. Nie zrealizował swego planu, ponieważ ktoś w bestialski sposób pokaleczył mu plecy i potraktował go tak okrutnie, że biedak przygryzł wargę z bólu i ostatkiem sił uwolnił się od oprawcy, by umrzeć w spokoju. Któż mógłby uczynić coś tak barbarzyńskiego?

U podnóża klifu znajdowały się małe groty i jaskinie, jednak promienie nisko stojącego słońca oświetlały je na tyle wyraźnie, że nie mogły służyć za kryjówkę. No i jeszcze sylwetki daleko na plaży. Wydawało się jednak,

że te osoby znajdowały się w takiej odległości, że nie sposób było powiązać je z dokonaną zbrodnią, zwłaszcza że szeroka zatoczka stanowiłaby przeszkodę w dotarciu do McPhersona. Na morzu w niewielkiej odległości od brzegu zauważyłem dwa lub trzy kutry rybackie. Postanowiłem przesłuchać w wolnej chwili rybaków. Istniało kilka tropów, jednak żaden z nich nie prowadził do oczywistych wniosków. Gdy w końcu wróciłem na górę, wokół ciała zebrała się już grupka gapiów. Stackhurst nadal stał przy zwłokach, a Ian Greever właśnie wracał w towarzystwie miejscowego posterunkowego Andersona, potężnego człowieka o rudych wąsach, wychowanego w tych okolicach. Mężczyźni z hrabstwa Sussex zwykle ukrywali pod lekko głupkowatym wyrazem twarzy oraz mrukliwością dość błyskotliwy umysł. Policjant wysłuchał całej historii, zanotował szczegóły i poprosił mnie na bok:

– Będę wdzięczny za pańską pomoc, panie Holmes. To poważna sprawa i, jeśli mi się nie powiedzie, oberwę za to od Lewesa.

Poradziłem, by natychmiast posłał po swego przełożonego oraz doktora i dopilnował, by nikt niczego nie dotykał ani nie kręcił się przy zwłokach, gdyż mógłby w ten sposób zatrzeć ślady. Tymczasem przeszukałem kieszenie płaszcza ofiary. Znalazłem w nich chusteczkę, duży nóż i niewielki portfel. Wystawał z niego skrawek papieru, który rozłożyłem i podałem posterunkowemu. Na kartce, widniała następująca wiadomość, napisana kobiecą ręką:

> Będę na pewno. MAUDIE.

To wyglądało na liścik miłosny, jednak nie było takich szczegółów jak miejsce czy godzina spotkania. Posterunkowy schował karteczkę z powrotem do portfela i wraz z pozostałymi przedmiotami włożył do kieszeni płaszcza ofiary. Po oględzinach dopilnowałem jeszcze, by należycie przeszukano podnóże klifu, i poszedłem do domu na śniadanie, gdyż byłem pewny, że tego dnia na miejscu zbrodni nic się już nie wydarzy.

Dwie godziny później odwiedził mnie Stackhurst i powiedział, że ciało przeniesiono do „Gables”, gdzie zostanie zbadane w celu określenia przyczyny zgonu. Pan Stackhurst miał też ważne informacje. Tak jak podejrzewałem, w małych jaskiniach u podnóża klifu niczego nie znaleziono, za to pośród papierów znajdujących się w szufladach biurka

McPhersona, które przejrzał Stackhurst, było kilka liścików świadczących o zażyłych stosunkach z panną Maud Bellamy z Fulworth. Zatem udało się ustalić tożsamość nadawcy tej krótkiej wiadomości znalezionej w płaszczu.

– Policja zabrała listy – wyjaśnił. – Nie mogłem ich przynieść. Bez wątpienia był to namiętny romans. Nie widzę jednak powodów, no może poza tym, że dama zamierzała spotkać się z ofiarą, żeby łączyć ich zażyłość z dzisiejszymi przerażającymi wydarzeniami.

– Nie sądzę jednak, żeby umówili się przy zatoczce na plaży, z której przecież wszyscy korzystają – odparłem.

– Prawdopodobieństwo tego, że razem z McPhersonem był któryś z jego uczniów, też jest znikome.

– Niby dlaczego?

Stackhurst zmarszczył czoło.

– Ian Greever przetrzymał ich w klasie nieco dłużej – odparł. – Mieli rozwiązać jeszcze przed śniadaniem zadania z algebry, które im zadał. Biedaczysko, jest bardzo przygnębiony tym strasznym wypadkiem.

– Słyszałem, że nie byli dobrymi kolegami.

– Kiedyś nie byli. Ale rok temu, może nawet wcześniej Greever zbliżył się do McPhersona bardziej niż do kogokolwiek przedtem. Jak wiadomo, nie jest to człowiek życzliwie nastawiony do innych ludzi.

– Rozumiem. Przypominam sobie historię o tym, jak matematyk okropnie potraktował psa.

– O tym już nikt nie pamięta.

– Ale może pozostał żal do oprawcy.

– Na pewno nie, jestem przekonany, że to była prawdziwa przyjaźń.

– Powinniśmy się dowiedzieć czegoś więcej o tej dziewczynie. Znasz ją?

– Wszyscy ją znają. To najbardziej urodziwa dziewczyna w okolicy, prawdziwa piękność, Holmesie, za którą wszyscy wodzą oczami. Wiedziałem, że podoba się McPhersonowi, ale nie sądziłem, że stosunki między nimi zaszły tak daleko, jak to wynika z tych listów.

– Ale kim ona jest?

– To córka Toma Bellamy’ego, właściciela wszystkich łodzi i koszy plażowych w Fulworth. Kiedyś był rybakiem, ale teraz jest człowiekiem interesu. Prowadzi firmę razem z synem Williamem.

– Może pójdziemy do miasteczka i odwiedzimy go?

– Pod jakim pretekstem?

– Na pewno coś wymyślimy. Przecież ten biedny McPherson tak okrutnie sam się nie okaleczył. Ktoś trzymał bat w dłoni, jeśli faktycznie użyto takiego narzędzia kaźni. Tutaj na odludziu krąg jego znajomych jest dość wąski. Przyjrzyjmy się im wszystkim, a na pewno znajdziemy sposób, który doprowadzi nas do zabójcy.

Gdyby nasze myśli nie krążyły wokół tragedii, której byliśmy niedawno świadkami, spacer po pachnących tymiankiem pagórkach byłby zapewne bardzo przyjemny.

Miasteczko Fulworth jest położone w niewielkiej dolince opasującej półkolem zatokę. Za starą osadą rybacką na zboczach pagórków wybudowano kilka nowoczesnych willi. Stackhurst zaprowadził mnie do jednej z nich.

– To ten dom z narożną wieżyczką i dachem z płytki łupkowej. Bellamy nazwał go „Przystań”. Nieźle jak na człowieka, który zaczynał od niczego. Na Boga! Popatrz, kto idzie!

Brama prowadząca do ogrodu „Przystani” otworzyła się, i wyszedł z niej mężczyzna. Dobrze znałem tę wysoką kościstą sylwetkę matematyka Iana Greevera. Po chwili zrównaliśmy się z nim.

– Witam! – krzyknął Stackhurst. Mężczyzna ukłonił się, spojrzał na nas swymi niesamowitymi czarnymi oczami i z pewnością poszedłby dalej, ale zatrzymał go jego pracodawca.

– Dlaczego pan tu przyszedł? – zapytał.

Greever wyraźnie się rozgniewał:

– Podlegam panu tylko w szkole. Nie wiedziałem, że kontroluje pan też moje prywatne życie.

Dzisiejsze wydarzenia mocno nadszarpnęły nerwy Stackhursta. Prawdopodobnie, byłby bardziej cierpliwy, teraz jednak całkowicie stracił opanowanie.

– W świetle dzisiejszej tragedii pańska odpowiedź jest po prostu bezczelna, panie Greever.

– Pańskie pytanie jest tak samo zuchwałe.

– Nie po raz pierwszy przymykam oko na pańską niesubordynację, ale z całą pewnością po raz ostatni. Proszę, aby jak najszybciej poszukał pan sobie nowej pracy.

– Właśnie zamierzałem to zrobić. Dzisiaj straciłem jedyną osobę, dzięki której mogłem wytrzymać w tej szkole.

Po tych słowach oddalił się szybkim krokiem, odprowadzany wściekłym spojrzeniem dyrektora.

– Co za nieznośny człowiek! – wykrzyknął mój towarzysz.

Scena, którą obserwowałem, nasunęła mi myśl, że Ian Greever wykorzystał pierwszą nadarzającą się okazję, by otworzyć sobie drogę ucieczki z miejsca zbrodni. Mgliste podejrzenia zaczęły kiełkować w moim umyśle. Pomyślałem, że być może wizyta w domu Bellamy'ego rzuci nieco jaśniejsze światło na całą sprawę. Gdy Stackhurst się opanował, ruszyliśmy w kierunku domu.

Pan Bellamy, mężczyzna w średnim wieku, miał ognistorudą brodę. Był bardzo zdenerwowany; po chwili jego twarz upodobniła się do jaskrawej barwy zarostu brody.

– Proszę pana, nie interesują mnie szczegóły tego, co się stało. Mój syn – wskazał na potężnego młodego mężczyznę, który z ponurą miną siedział w kącie pokoju – i ja uważamy, że stosunki McPhersona z Maud były wysoce niestosowne. Nigdy nie było mowy o małżeństwie mimo licznych liścików, schadzek i innych rzeczy, których żaden z nas nie pochwala. Dziewczyna wychowała się bez matki, jesteśmy jej jedynymi opiekunami. Zdecydowaliśmy się na…

Nie zdążył dokończyć zdania, bo oto w drzwiach stanęła Maud. Niewątpliwie, jej uroda była wyjątkowa. Któż by pomyślał, że taki piękny kwiat wyrośnie z takich nasion i do tego w takim środowisku. Rzadko zwracałem uwagę na kobiety, gdyż nigdy nie kierowałem się sercem, lecz rozumem, ale patrząc na tę idealną, pięknie wyrzeźbioną twarz o delikatnych rysach i świeżej rumianej cerze, typowej dla dziewcząt wychowujących się w tutejszym klimacie, nie dziwiłem się wcale temu, że żaden mężczyzna nie mógł przejść obok niej obojętnie. Dziewczyna otworzyła drzwi i stanęła naprzeciwko Harolda Stackhursta z szeroko otwartymi oczami.

– Wiem już, że Fitzroy nie żyje – rzekła. – Nie bójcie się, panowie, możecie swobodnie mówić o szczegółach.

– Ten drugi dżentelmen, który pracuje w pańskiej szkole, przekazał nam nowinę – wyjaśnił ojciec.

– Nie widzę powodów, dla których mielibyśmy mieszać w to moją siostrę – odburknął młodzieniec.

Dziewczyna popatrzyła na niego gniewnym wzrokiem.

– To moja sprawa, Williamie. Pozwól, że sama się nią zajmę. Wszystko wskazuje na to, że popełniono zbrodnię. Jedyne, co mogę teraz zrobić dla Fitzroya, to pomóc panom w odnalezieniu sprawcy.

Młoda dama wysłuchała krótkiej opowieści mego towarzysza w pełnym skupieniu, co świadczyło o tym, że poza niezwykłą urodą posiada również silny charakter. Do końca moich dni zapamiętam pannę Maud Bellamy jako niezwykłą osobę, obdarzoną wieloma zaletami. Była to najwspanialsza kobieta, jaką kiedykolwiek poznałem. Okazało się, że zna mnie z widzenia:

– Panie Holmes, niech pan doprowadzi ich przed oblicze sprawiedliwości. Wesprę pana i pomogę mu bez względu na to, kim są zbrodniarze. – Wydawało mi się, że mówiąc to, zerknęła znacząco na ojca i brata.

– Dziękuję pani – odparłem. – Uważam, że w takich sprawach kobieca intuicja jest niezwykle przydatna. Mówiła pani o zbrodniarzach? Uważa pani, że było ich kilku?

– Bardzo dobrze znałam McPhersona i wiem, że był to niezwykle odważny i silny człowiek. Jeden napastnik za nic w świecie nie zdołałby go tak okrutnie pokiereszować.

– Czy mogę zamienić z panią słówko na osobności?

– Mówiłem ci, żebyś się w to nie mieszała! – wykrzyknął ojciec.

Popatrzyła na mnie z bezradną miną.

– Cóż mogę począć, panie Holmes?

– Niedługo i tak cały świat pozna prawdę, więc nie widzę powodu, dla którego nie mielibyśmy porozmawiać tutaj – odrzekłem. – Wolałbym, oczywiście, pomówić z panią na osobności, ale skoro jej ojciec się na to nie godzi, będzie musiał w tym uczestniczyć.

Po tych słowach opowiedziałem o liściku znalezionym w kieszeni ofiary.

– Na pewno zostanie on uwzględniony w toku śledztwa. Czy mogłaby pani powiedzieć coś więcej na temat waszego spotkania?

– Nie widzę powodów, by to zatajać – odpowiedziała. – Byliśmy zaręczeni, a fakt ten trzymaliśmy w tajemnicy jedynie dlatego, że wuj Fitzroya, który jest na łożu śmierci, mógłby go wydziedziczyć z powodu ślubu, który miał się odbyć wbrew jego woli. Tylko dlatego ukrywaliśmy nasze zamiary.

– Mogłaś nam powiedzieć – mruknął Bellamy.

– Zrobiłabym to, gdybyś choć raz okazał zrozumienie.

– Nie podobało mi się, że moja córka spotyka się z mężczyzną z niższych sfer.

– Nie powiedzieliśmy ci o niczym tylko dlatego, że byłeś do niego uprzedzony. A wracając do spotkania – spomiędzy fałd sukni wyciągnęła pogniecioną karteczkę – to była moja odpowiedź na liścik, który od niego dostałam:

> Najdroższa, spotkajmy się we wtorek tam, gdzie zawsze, na plaży, tuż po zachodzie słońca. Tylko wtedy będę mógł się na chwilę wyrwać. F.M.

– Dziś mamy wtorek, wieczorem miałam się z nim spotkać.

Odwróciłem kartkę.

– Nie ma stempla pocztowego. W jaki sposób to pani doręczono?

– Wolałabym nie odpowiadać. To naprawdę do niczego wam się nie przyda, ale chętnie odpowiem na inne pytania.

Jak rzekła, tak zrobiła, jednak w żaden sposób nie pomogła nam w śledztwie. Nie wiedziała niczego o ewentualnych wrogach swojego narzeczonego, choć przyznała, że kręcili się wokół niej adoratorzy.

– Czy pan Greever był jednym z nich?

Dziewczyna zmieszała się, a na jej policzkach wystąpiły rumieńce.

– Kiedyś myślałam, że tak. Ale gdy zrozumiał, co łączy mnie i Fitzroya, wszystko się zmieniło.

Była to kolejna uwaga, dzięki której moje wyobrażenie o tym dziwnym człowieku zaczęło nabierać konkretnych kształtów. Wiedziałem już, że należało się zapoznać z faktami z jego przeszłości i przeszukać cichaczem jego pokój. W umyśle Stackhursta również zaczęły kiełkować podejrzenia, dlatego nie ukrywał, że chciałby mi pomóc. Po wizycie w „Przystani” mieliśmy nadzieję, że koniec nitki zwiniętej w ten poplątany kłębek, trzymamy już w dłoni.

Minął tydzień. Określenie przyczyny zgonu nie wniosło niczego nowego do śledztwa, które zostało chwilowo zawieszone do czasu pojawienia sie nowych dowodów. Stackhurst przeprowadził dyskretny wywiad na temat swego pracownika oraz pobieżnie przeszukał jego pokój, niestety na próżno. Ja z kolei poszedłem ponownie na miejsce zbrodni i po raz kolejny próbowałem połączyć ze sobą fakty, lecz nie wysnułem żadnych wniosków. Pośród historii odnotowanych w moich kronikach czytelnik nie

znajdzie ani jednej sprawy, w której czułbym się taki bezradny. Nawet moja wyobraźnia nie podpowiadała mi żadnych rozwiązań. I wtedy doszło do incydentu z psem.

Usłyszała o nim moja stara gosposia dzięki łańcuszkowi pośredników zwykle roznoszących plotki w małych miasteczkach.

– To smutne, sir, co się wydarzyło się z psem McPhersona – powiedziała pewnego wieczora.

Zwykle niechętnie wdaje się z nią w takie rozmowy, ale tym razem jej słowa zwróciły moją uwagę:

– A co się stało z psem McPhersona?

– Drogi panie, zdechł z żalu po swoim panu.

– Kto pani o tym powiedział?

– Wszyscy o tym gadają. Bardzo to przeżył, przez tydzień nic nie jadł. Dzisiaj dwóch młodzieńców z „Gables” znalazło go martwego na plaży, dokładnie w tym samym miejscu, gdzie dokonał żywota jego pan.

„W tym samym miejscu”. Te słowa głęboko zapadły mi w pamięć. Ogarnęło mnie niejasne przeczucie, że należałoby natychmiast zbadać tę sprawę. To, że pies zdechł, nie zdziwiło mnie, gdyż są z natury niezwykle wierne swym właścicielom, ale że „dokładnie w tym samym miejscu”?! Dlaczego wyzionął ducha akurat na pustej plaży? Czy to możliwe, że także to biedne zwierzę padło ofiarą zemsty? Choć moje przeczucie było mgliste, w głowie zaczęły się rodzić pewne myśli. Po chwili byłem już w drodze do szkoły. Stackhursta znalazłem w jego gabinecie. Na moją prośbę posłał po Sudbury’ego i Blounta, dwóch studentów, którzy znaleźli psa.

– Leżał na brzegu zatoki – rzekł jeden z nich. – Musiał iść po śladach swego zmarłego pana.

Wychodząc, zauważyłem to biedne wierne stworzenie rasy airedale terier, leżące na wycieraczce w korytarzu. Jego ciałko było sztywne, oczy wytrzeszczone, a kończyny powykrzywiane. Było jasne, że bardzo cierpiał przed śmiercią.

Ze szkoły poszedłem prosto na plażę. Słońce już zachodziło, a cień wielkiego klifu kładł się czarną plamą na mieniącej się tafli wody, wyglądająca niczym blacha, od której odbijają się promienie słoneczne. Dookoła było pusto, ani śladu żywego ducha, nie licząc dwóch skrzeczących mew krążących nad moją głową. Obok wielkiego kamienia, na którym leżał ręcznik ofiary, ledwo odnalazłem w przygasającym świetle

dnia wgłębienie w piasku, gdzie znaleziono psa. Długo stałem, pogrążony w zadumie, a cienie wokół mnie stawały się coraz głębsze. W mojej głowie jedna myśl goniła drugą. Wszyscy znamy to koszmarne uczucie, kiedy wiadomo, że istnieje jakiś ważny element, i szuka się go w przekonaniu, że gdzieś być musi, ale, niestety, i tak w końcu pozostaje on na zawsze tajemnicą. Właśnie tak się czułem tamtego wieczora, stojąc samotnie na „cmentarzysku". W końcu odwróciłem się i poszedłem w kierunku domu.

Byłem już u szczytu ścieżki, gdy doznałem olśnienia. To było jak błyskawica. Przypomniałem sobie nagle to, czego tak uporczywie poszukiwałem. Wiecie zapewne (a jeśli nie, to znaczy, że Watson pisał o tym niepotrzebnie), że zgromadziłem w domu mnóstwo wszelkiego rodzaju informacji (nieuporządkowanych i nieposegregowanych), które w trakcie moich licznych śledztw nie raz okazały się bardzo przydatne. Mój mózg przypomina zatłoczony magazyn pełen paczek poukrywanych w różnych zakamarkach. Z istnienia wielu z nich nie zdaję sobie nawet sprawy. Przeczuwałem, że gdzieś głęboko w moim umyśle tkwi jakiś trop, który może się przydać w tej sprawie. Był nadal mglisty, ale przynajmniej wiedziałem, gdzie go szukać. Rozwiązanie wydawało się przerażające i niewiarygodne, a jednak możliwe. Wiedziałem, że będę musiał zbadać to dokładnie.

W moim niewielkim domu jest duży strych, po brzegi wypełniony książkami. To tam spędziłem kolejną godzinę, szperając w swoich zbiorach. Poszukiwania zakończyłem, trzymając w ręku wolumin w srebrno-czekoladowej okładce. Z zapałem szukałem rozdziału, którego treść ledwo pamiętałem. Po przeczytaniu tekstu wiedziałem już, że ewentualne rozwiązanie jest mało prawdopodobne i naciągane, ale czułem, że nie spocznę, dopóki nie sprawdzę jego autentyczności. Gdy kładłem się spać, było już bardzo późno. Nie mogłem się doczekać następnego dnia – tak bardzo chciałem sprawdzić swoją teorię. Rano, nim zdążyłem cokolwiek zrobić, ktoś mi przeszkodził w irytujący sposób. Wypiłem poranną herbatę i ledwo zacząłem się przygotowywać do wyjścia, gdy nagle w drzwiach mojego domu stanął inspektor Bardle z okręgowego posterunku policji hrabstwa Sussex. Był to potężny człowiek, w którego zatroskanym spojrzeniu wyczytałem zakłopotanie.

– Znam pana wspaniałe dokonania, sir – rzekł. – Chciałbym nieoficjalne zadać panu pytanie, co, oczywiście, pozostanie między nami. Nie mogę sobie poradzić ze sprawą McPhersona. Nie wiem, czy mam dokonać aresztowania, czy nie?

– Ma pan na myśli pana Iana Greevera?

– Tak, sir. Nikt inny nie przychodzi mi na myśl. Oto zalety takich odosobnionych miejsc, w których można zacieśnić krąg podejrzanych. Jeśli nie on, to kto?

– Jakie ma pan dowody przeciwko niemu?

Policjant opierał swe przypuszczeniach na tych samych założeniach, o których i ja myślałem. Koncentrował się na charakterze Greevera i na tajemniczej aurze, która go otaczała. Zwrócił też uwagę na jego wybuchowy temperament, który dał o sobie znać podczas incydentu z psem. W końcu przypomniał nader istotne fakty: Greever nie był w przeszłości z McPhersonem w dobrych stosunkach i prawdopodobnie chował do niego urazę spowodowaną stosunkami, jakie łączyły go z panną Bellamy. Poza tym uzyskałem od inspektora Bardle’a informację, że wszystko wskazuje na to, iż Greever przygotowuje się do wyjazdu.

– Jak to będzie wyglądało, jeśli mając takie dowody przeciwko niemu, pozwolę mu się wywinąć? – Tęgi flegmatyczny mężczyzna był szczerze zmartwiony całą sytuacją.

– Musi pan pomyśleć – rzekłem – o brakujących ogniwach. Kilka osób może potwierdzić alibi nauczyciela matematyki. Lekcja trwała dłużej niż zazwyczaj, a na plaży pojawił się kilka minut po tym, jak zobaczyliśmy McPhersona. Przyszedł od strony szkoły. Należy też wziąć pod uwagę, że jest mało prawdopodobne, by tak straszliwie okaleczył człowieka równie silnego jak on sam bez niczyjej pomocy. Nie wiemy poza tym, jakie było narzędzie zbrodni.

– A co innego poza batem albo giętkim biczem?

– Czy zbadał pan pręgi na ciele ofiary? – zapytałem.

– Zerknąłem na nie, podobnie jak i lekarz.

– A ja przyjrzałem im się uważnie za pomocą lupy. Są tam pewne interesujące szczegóły.

– Jakie, panie Holmes?

Poszedłem do gabinetu i przyniosłem powiększoną fotografię.

– Oto moje metody działania – wyjaśniłem.

– Widzę, że jest pan niezwykle skrupulatny, panie Holmes.

– Nie byłbym tym, kim jestem, gdybym tak nie postępował. Popatrzmy na tę pręgę, która zachodzi aż na prawe ramię. Czy widzi pan coś niezwykłego?

– Muszę przyznać, że nie.

– Są przede wszystkim miejsca, w których pręga jest mocniejsza. Tutaj widzimy większą kroplę krwi i tutaj także. Z tej rany poniżej również można wyczytać dodatkowe informacje. Jak pan myśli, co to może oznaczać?

– Nie mam pojęcia. A pan wie?

– Tak mi się wydaje, tyle że nie jestem pewien. Być może wkrótce powiem panu coś więcej na ten temat. Gdy się dowiemy, jakim narzędziem zadano rany, będziemy o wiele bliżej przestępcy.

– To absurdalny pomysł – powiedział policjant – ale jeśli na przykład na plecach ofiary położono rozgrzaną do czerwoności siatkę lub drucianą kratkę, to w tych miejscach, gdzie pręgi są bardziej widoczne, znajdowały się być może łączenia siatki.

– Doskonały pomysł. A może był to sztywny dziewięciorzemienny bat do chłosty zakończony supełkami?

– Na Boga, panie Holmes, chyba ma pan rację.

– Może mam, a może nie. A jeśli użyto innego narzędzia, panie Bardle? Nie ma pan wystarczających dowodów, by aresztować matematyka. Trzeba pamiętać o ostatnich słowach ofiary: „Lwia grzywa”.

– Zastanawiałem się, czy Ian…

– Też myślałem o tym, czy słowa, które wypowiedział umierający, nie brzmiały jak „Ian Greever”, ale doszedłem do wniosku, że nie. Jestem pewien, że wykrzyczał „grzywa”.

– Nie ma pan innego pomysłu, panie Holmes?

– Być może… Ale na razie, póki nie mam dowodów, wolałabym o tym nie mówić.

– A kiedy pan może je zdobyć?

– W ciągu godziny, nie wykluczone, że nawet wcześniej.

Inspektor podrapał się po brodzie i spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Chciałbym wiedzieć, co też panu chodzi po głowie, panie Holmes. A może to ma jakiś związek z kutrami rybackimi?

– Nie sądzę, były zbyt daleko od brzegu.

– W takim razie może stary Bellamy z tym swoim wielkim synem? Nie byli zbyt przyjaźnie nastawieni do McPhersona. Czy oni mogliby być sprawcami?

– Proszę mnie nie ciągnąć za język. Jak będę coś wiedział, to wszystko panu opowiem – odparłem z uśmiechem na ustach. – Inspektorze, powinniśmy wrócić do swoich obowiązków. Proszę zajrzeć do mnie około południa.

Podczas gdy ustalaliśmy godzinę spotkania, nagle wydarzyło się coś, co przybliżyło koniec tej dziwnej sprawy.

Drzwi do mojego domu otworzyły się z hukiem, w korytarzu usłyszałem pośpieszne kroki, i po chwili stanął przed nami sam Ian Greever. Był blady, potargany i niechlujnie ubrany; kościstą dłonią łapał poręcz fotela, próbując utrzymać się na nogach.

– Brandy! Nalejcie mi brandy! – sapał, opadając ciężko na kanapę.

Nie był sam. Po chwili do pokoju wszedł Stackhurst. Nie miał na głowie kapelusza; był zdyszany i zdenerwowany prawie tak samo, jak mój pierwszy gość.

– Dla mnie też brandy! – wykrzyknął. – Greever prawie wyzionął ducha. Jedyne, co mogłem dla niego zrobić, to przywlec go tu. Po drodze zemdlał dwukrotnie.

Pół szklanki mocnego alkoholu zdziałało cuda. Mężczyzna podparł się na rękach i zrzucił z ramion płaszcz.

– Na litość boską! Dajcie mi opium lub morfinę, cokolwiek! – wykrzyknął. – Wszystko jedno co, byle tylko uśmierzyć ten rozdzierający ból!

Widok, jaki ukazał się naszym oczom, wstrząsnął zarówno mną, jak i policjantem. Na ramionach mężczyzny zobaczyliśmy taki sam kraciasty wzór, utworzony z zaognionych pręg, jaki zaobserwowałem na plecach zmarłego Fitzroya McPhersona.

Te rany nie były najwidoczniej jedynym źródłem bólu, gdyż matematyk oddychał z trudem, a jego twarz siniała. Nabierając raz po raz łapczywie powietrza, chwytał się za serce, czoło miał zroszone kropelkami potu. Śmierć była blisko. Laliśmy mu do gardła spore porcje brandy i wydawało się, że alkohol przywraca pacjenta do życia. Bawełniane okłady nasączone leczniczym olejem, które położyliśmy na jego rany, uśmierzały ból. W końcu głowa Greevera ciężko opadła na poduszkę. Wykończony

organizm szukał schronienia w śnie jako ostatnim źródle sił witalnych. Pacjent na poły zasypiał i tracił przytomność, ale ból ustąpił, przynajmniej częściowo.

Nie mogliśmy zapytać go o to, co się wydarzyło, ale gdy tylko upewniliśmy się, że jego stan jest stabilny, Stackhurst zwrócił się do mnie.

– Mój Boże! – wykrzyknął – Co to jest, Holmesie? O co tu chodzi?

– Gdzie go znalazłeś?

– Na plaży – odparł. – W tym samym miejscu, gdzie naszego biednego McPhersona. Gdyby jego serce było tak słabe, jak poprzedniej ofiary, już by go z nami nie było. Kiedy szliśmy do ciebie, nie raz miałem wrażenie, że już nie oddycha. Do szkoły było za daleko, dlatego postanowiłem przyprowadzić go do ciebie.

– Spotkałeś go na plaży?

– Spacerowałem po klifie, gdy nagle usłyszałem krzyk. Stał nad wodą i kołysał się jak pijany. Zbiegłem na dół, zarzuciłem mu na ramiona płaszcz i przyprowadziłem prosto do ciebie. Na litość boską, Holmesie, błagam cię, zrób wszystko, co w twojej mocy, by zdjąć klątwę z tego miejsca, bo życie tutaj staje się nie do zniesienia. Czy człowiek taki jak ty, cieszący się szacunkiem na całym świecie, nie potrafi nic dla nas zrobić?

– Myślę, że potrafię. Chodź za mną! Panie inspektorze, zapraszam. Może uda nam się doprowadzić zabójcę wprost przed pana oblicze.

Zostawiliśmy nieprzytomnego matematyka pod opieką mojej gosposi, a sami udaliśmy się do śmiercionośnej zatoczki. Na kamieniach leżała sterta ręczników i porzuconych przez ofiarę ubrań. Powoli obszedłem wodę dookoła. Moi towarzysze szli gęsiego za mną. Zatoczka była raczej płytka, ale tuż pod klifem plaża była wyżłobiona i głębokość wody sięgała czterech, może pięciu stóp. Zwykle pływacy wybierali właśnie ten fragment plaży, gdyż mieli szansę popływać w pięknym przejrzystym basenie wypełnionym zielonkawą kryształową wodą. U podnóża klifu leżała góra kamieni, po których właśnie szedłem, zaglądając ciekawie w odmęty wody. Dotarłem do najgłębszego miejsca nie zmąconego falami i ujrzałem, to czego szukałem. Krzyknąłem triumfalnie:

– *Cyanea*! *Cyanea*! Chodźcie zobaczyć „lwią grzywę”!

Dziwny obiekt, na który wskazywałem palcem, rzeczywiście wyglądał jak garść kudłów wyrwanych z grzywy lwa. Spoczywał na skalnej półce na głębokości około trzech stóp pod wodą. Była to dziwaczna falująca

włochata istota, składająca się z żółtych warkoczy, gdzieniegdzie poprzeplatanych srebrnymi paseczkami. Pulsowała wolno w wyniku jednostajnych skurczy.

– Zbyt wiele zła już wyrządziła. Wybiła jej ostatnia godzina! – wykrzyknąłem. – Pomóż mi, Haroldzie! Zakończmy żywot tego morderczego stworzenia.

Tuż nad skalną półką, gdzie spoczywał stwór, znajdował się spory głaz. Popchnęliśmy go do wody i usłyszeliśmy plusk. Gdy fale wywołane potężnym uderzeniem o taflę wody uspokoiły się, zobaczyliśmy, że kamień spadł akurat na półkę skalną. Samotna żółta odnoga falująca w głębinach świadczyła o tym, że nasza ofiara została przyciśnięta głazem, spod którego wydobywała się teraz gęsta, oleista maź, rozprzestrzeniająca się dookoła i powoli wypływająca na powierzchnię.

– Zadziwiające! – wykrzyknął inspektor. – Co to jest, panie Holmes? Urodziłem się i wychowałem w tych okolicach, ale nigdy wcześniej nie spotkałem niczego takiego. W Sussex takie stwory nie mieszkają.

– Tym lepiej dla was – odparłem. – Pewnie przywiał ją ten południowo-zachodni wiatr podczas ostatniej burzy. Zapraszam panów do siebie do domu; przeczytam wam o strasznych wydarzeniach, w których uczestniczył pewien człowiek. Ten mężczyzna do końca życia zapamięta spotkanie z tym groźnym morskim stworzeniem.

Gdy wróciliśmy do gabinetu, okazało się, że Greever doszedł już do siebie na tyle, że nawet siedział o własnych siłach. Był oszołomiony, a jego ciałem co chwilę wstrząsał spazm bólu. Lekko bełkocząc, próbował wyjaśnić, że nie ma pojęcia, co się wydarzyło. Pamiętał jedynie, że kąpiąc się, poczuł w pewnej chwili straszliwy skurcz i resztką sił zdołał dopłynąć do brzegu.

– W tej książce – powiedziałem, pokazując gościom niewielki tomik – po raz pierwszy rzucono światło na sprawę, która na zawsze mogła pozostać nieodkrytą. Książka nosi tytuł *Tajemnice przyrody*, napisał ją znany badacz J. G. Wood. Autor również ledwo uniknął śmierci po spotkaniu z tym okropnym stworzeniem, więc doskonale wie, o czym pisze. *Cyanea capillata* to pełna nazwa tej złośliwej jędzy, a poparzenie jadem jej macek zagraża życiu w takim samym stopniu jak ukąszenie przez kobrę, z tym że jest o wiele bardziej bolesne. Pozwólcie, panowie, że przeczytam krótki fragment:

> Jeśli pływak zauważy falujący luźny kłąb złotawobrązowych włóknistych macek, przypominający garść kłaków wyrwanych z grzywy lwa, połączonych jakby ze srebrnymi wstążeczkami, musi być bardzo ostrożny, ponieważ właśnie natknął się na straszną parzącą meduzę *Cyanea capillata*.

Próżno szukać dokładniejszego opisu naszej złowrogiej znajomej. Dalej autor opowiada o tym, jak podczas kąpieli natrafił na tę meduzę w hrabstwie Kent. Odkrył, że rozpościera ona swe niewidzialne czułki w promieniu stu stóp i dla każdego, kto znajdzie sie w jej zasięgu, kąpiel może zakończyć się śmiercią. Choć Wood znajdował się w pewnej odległości od meduzy, i tak omal nie zginął.

> Liczne witki spowodowały szkarłatne pręgi na skórze, które przy bliższym zbadaniu okazały się być maleńkimi krostkami, wyglądającymi tak, jakby w ciało wbito setki rozgrzanych do czerwoności igieł.

Jak wyjaśnia jednak dalej, ból miejscowy był niczym w porównaniu z innymi objawami:

> Skurcze przeszyły moją klatkę piersiową i poczułem się tak, jakby trafił w nią pocisk wystrzelony z pistoletu. Było to tak silne uczucie, że aż upadłem. Puls powoli ustawał, a serce zaczynało bić jak oszalałe, jakby chciało wyrwać się z piersi.

Wood omal nie zginął, choć trafił na meduzę, zażywając kąpieli w otwartym wzburzonym oceanie, a nie w spokojnych wodach niewielkiej zatoczki. Autor twierdzi, że widząc odbicie swojej bladej pomarszczonej i pokurczonej twarzy, nie wierzył, że należy do niego. Chwycił butelkę brandy i wychylił ją do dna, co uratowało mu życie. Inspektorze, proszę bardzo, oto książka. Zostawiam ją panu i sądzę, że zgodzi się pan ze mną, iż to w niej znajduje się wyjaśnienie sprawy McPhersona.

– A przy okazji ma pan dowód, który oczyszcza mnie z zarzutów – zauważył Greever z lekko drwiącym uśmiechem na twarzy. – Nie mam panu za złe, panie inspektorze, ani panu, panie Holmes, gdyż wasze podejrzenia były całkowicie usprawiedliwione. Wygląda na to, że na chwilę przed moim aresztowaniem udowodniłem, że jestem niewinny, jako że prawie podzieliłem los z moim biednym przyjacielem.

– Nie, panie Greever. Już wcześniej podejrzewałem, jaka była prawdziwa przyczyna śmierci McPhersona, i gdybym wcześniej wyszedł z domu, kto

wie, może udałoby się uchronić pana przed tym strasznym doświadczeniem.

– Ale jak pan na to wpadł, panie Holmes?

– Mam wszechstronne zainteresowania, dużo czytam, a oprócz tego mam świetną pamięć do szczegółów. Określenie „lwia grzywa” nie dawało mi spokoju. Pamiętam, że już wcześniej w jakichś okolicznościach się z nim spotkałem. Widzieliście, panowie, to wyrażenie idealnie opisuje tę istotę. Nie mam wątpliwości, że to właśnie ją widział McPherson w dniu swojej śmierci. Porównując ją do lwiej grzywy, próbował ostrzec nas przed niebezpieczeństwem.

– Przynajmniej wina nie spadła na mnie – rzekł Greever, wstając powoli z kanapy. – Myślę jednak, że należą się panom pewne wyjaśnienia, ponieważ wiem, czego panowie próbowali się dowiedzieć. Prawdą jest, że kochałem pannę Maud, ale gdy tylko dowiedziałem się, że wybrała mojego przyjaciela, pragnąłem już tylko jej szczęścia. Cieszyłem się, że jestem przy niej i mogę być ich pośrednikiem. Często bywałem listonoszem, i właśnie dlatego, że byłem ich powiernikiem i darzę tę pannę uczuciem, natychmiast pośpieszyłem, by osobiście poinformować ją o śmierci mojego przyjaciela. Nie chciałem, by dowiedziała się tego w bardziej przykrych okolicznościach. Nie powiedziała panu o naszych stosunkach, bo bała się, że pan by tego nie pochwalił, a ja miałbym problemy. Teraz, drodzy panowie, jeśli pozwolicie, udam się już do mego pokoju w „Gables”; we własnym łóżku będzie mi znacznie wygodniej.

Stackhurst wyciągnął do niego dłoń.

– Wszyscy byliśmy bardzo zdenerwowani tą sytuacją – rzekł. – Zapomnijmy o urazach, panie Greever. Myślę, że w przyszłości będziemy potrafili się lepiej porozumieć.

Po tych słowach wyszli razem, objęci w przyjacielskim uścisku. Inspektor cielęcym wzrokiem patrzył na mnie w milczeniu.

– Udało się panu! – rzekł w końcu. – Czytałem o pana zdolnościach, ale szczerze mówiąc, nie zawsze w nie wierzyłem. Wspaniale!

Nie mogłem się z nim zgodzić. Gdy człowiek bezkrytycznie przyjmuje takie komplementy, obniża wymagania w stosunku do siebie.

– Byłem zbyt wolny już na starcie, wstyd mi za to. Gdyby ciało zostało znalezione w wodzie, nie przeoczyłbym tego na pewno. Zmylił mnie ten ręcznik. Biedak nawet nie pomyślał, by się wytrzeć, dlatego sądziłem, że

po prostu w ogóle nie wszedł do wody. Skąd więc mogłem przypuszczać, że zaatakowało go jakieś wodne stworzenie? Wtedy się pogubiłem. Tak, inspektorze, często żartowałem sobie z dżentelmenów z policji, a tu, proszę, *Cyanea capillata* prawie pomściła Scotland Yard.

Opowieść dziesiąta

Lokatorka w woalce

Jeśli wziąć pod uwagę fakt, że Sherlock Holmes aktywnie pracował przez dwadzieścia trzy lata, z czego przez siedemnaście lat razem z nim prowadziłem śledztwa i zapisywałem wszystkie jego przygody, okaże się, że w ciągu tego czasu uzbierała się ogromna ilość notatek. Nigdy nie miałem problemu ze znalezieniem tematu do opisania, miałem kłopoty jedynie z tym, by wybrać go spośród zgromadzonych materiałów. Zastawiłem całą półkę kronikami oraz teczkami pełnymi dokumentów. Była to niezwykła kopalnia wiedzy dla badacza kryminalnych spraw, a także cenne źródło informacji o skandalach zarówno towarzyskich, jak i tych na wyższym szczeblu, o których było głośno w epoce wiktoriańskiej. Jeśli chodzi o tę drugą grupę, to zaniepokojeni nadawcy listów, w których błagają mnie, by nie ucierpiały honor ich rodzin oraz nieskalana do tej pory reputacja ich znanych przodków, nie muszą się niczego obawiać. Dyskrecja i niezwykły profesjonalizm zawodowy, które stały się wizytówką mojego przyjaciela, są także teraz kryterium, według którego spisuję te wspomnienia, i mogę zapewnić, że niczyje zaufanie nie zostanie zawiedzione. Jednak stanowczo potępiam ostatnie próby wykradnięcia i zniszczenia tych notatek. Wiem, kto się dopuścił tak skandalicznego czynu, i jeśli sytuacja się powtórzy, mam całkowite pozwolenie od pana Holmesa, by opublikować pełną wersję wydarzeń dotyczących jednego z polityków, latarni morskiej i wyszkolonego kormorana. Przynajmniej jeden z czytelników powinien wiedzieć, co mam na myśli.

Nierozsądnym byłoby podejrzewać, że każda ze spraw, jakie prowadził mój przyjaciel, pozwoliła mu wykazać się jego niezwykłą intuicją i umiejętnością obserwacji, które starałem się opisać w niniejszych pamiętnikach. Czasami musiał włożyć duży wysiłek, żeby podnieść owoc

z ziemi, a w innych przypadkach owoc sam spadał mu na kolana. Ale te sprawy, w których nie miał możliwości wykazać się swymi umiejętnościami, zwykle wiązały się z potwornymi tragediami ludzkimi, i właśnie jedną z takich historii pragnę teraz opisać. Nazwisko bohaterki i miejsce zdarzenia są tu inne niż w rzeczywistości, ale wszystko inne pozostało niezmienione.

Rzecz się działa w 1896 roku. Pewnego przedpołudnia otrzymałem liścik od Holmesa, w którym prosił mnie, bym natychmiast pojawił się na Baker Street. Gdy przyjechałem, siedział w gęstej chmurze dymu, a na krześle naprzeciwko niego spoczywała starsza kobieta przypominająca nasze matki. Był to typ gospodyni domowej o obfitych kształtach.

– Przedstawiam ci panią Merrilow z South Brixton – powiedział mój przyjaciel, wskazując ręką na damę. – Nasz gość nie ma nic przeciwko paleniu tytoniu, Watsonie, więc jeśli tylko masz ochotę dać upust swojemu okropnemu nałogowi, to się nie krępuj. Pani Merrilow chciałaby opowiedzieć nam niezwykle interesującą historię. Nie jest wykluczone, że pociągnie to za sobą pewne działania, w których twój udział będzie bardzo przydatny.

– Jeśli tylko będę mógł pomóc…

– Pani Merrilow, rozumie pani, że wizytę u pani Ronder wolałbym złożyć w towarzystwie świadka. Proszę wytłumaczyć to jej przed naszym przyjazdem.

– Niech pana Bóg błogosławi, panie Holmes – rzekł nasz gość – biedaczka nie może się już doczekać spotkania z panem, może pan przyprowadzić ze sobą nawet całą parafię.

– Przyjedziemy zatem wczesnym popołudniem. Ale najpierw uporządkujmy fakty. Przy okazji, gdy ponownie je prześledzimy, doktor Watson dowie się, o co chodzi. Pani Ronder jest lokatorką w pani domu od siedmiu lat i tylko raz widziała pani jej twarz, czy nie tak?

– I z całego serca żałuję, że tak się stało! – wykrzyknęła pani Merrilow.

– Twarz tej pani jest strasznie okaleczona.

– Panie Holmes, trudno nazwać to twarzą. Wyglądała potwornie. Gdy nasz mleczarz zauważył ją, kiedy wyglądała przez okno, upuścił bańkę i mleko rozlało się po całym ogrodzie. To właśnie z powodu tej okaleczonej twarzy! Gdy ją zobaczyłam, zresztą zupełnie przypadkowo, pani Ronder

szybko zakryła oblicze, mówiąc: „Teraz już pani wie, dlaczego nigdy nie odsłaniam woalki”.

– Czy zna pani jej historię?

– Niestety, nie.

– Gdy starała się o pokój w pani domu, przedstawiła jakiś list polecający?

– Nie, za to dała mi sporo gotówki. Z góry zapłaciła za trzy miesiące bez negocjowania stawki. W dzisiejszych czasach taka biedna kobieta jak ja nie może sobie pozwolić na odrzucenie korzystnej oferty.

– Czy podała powód, dla którego wybrała akurat pani dom?

– Chyba tylko taki, że stoi nieco dalej od drogi w porównaniu z innymi, jest więc na uboczu. Oprócz tego jest ona moją jedyną lokatorką, nie mam własnej rodziny. Sądzę, że oglądała inne posiadłości, ale moja najbardziej przypadła jej do gustu. Najbardziej zależy jej na prywatności i jest gotowa wiele za nią zapłacić.

– Mówiła pani, że poza tą jedną sytuacją nigdy ani wcześniej, ani później nie odsłoniła twarzy. To naprawdę niezwykła historia; nie dziwię się, że chce pani, byśmy przyjrzeli się tej sprawie z bliska.

– Nie chcę, panie Holmes. Jestem bardzo zadowolona, ona dobrze płaci za wynajem. Tak spokojnej lokatorki próżno szukać, w dodatku nie stwarza żadnych problemów.

– Dlaczego zatem potrzebuje pani mojej pomocy?

– Chodzi o jej zdrowie, panie Holmes. Każdego dnia się pogarsza. Jej umysł nawiedzają jakieś potworne myśli. „Morderstwo! – krzyczy – Morderstwo!”. A innym razem usłyszałam, jak wołała: „Ty okrutna bestio! Ty potworze!”. To miało miejsce w nocy i jej krzyk niósł się po całym domu, przyprawiając mnie o dreszcze. Poszłam do niej rano. „Pani Ronder – powiedziałam – jeżeli pani dusza cierpi, mamy tu księdza, no i policję. Na pewno pani pomogą”. „Na litość boską, tylko nie policja! – krzyknęła. – A i ksiądz nie zmieni przeszłości, jednak uspokoiłabym się trochę, gdybym przed śmiercią mogła komuś powiedzieć prawdę”. Wtedy ja zaproponowałam: „Jeśli nie chce pani skorzystać z pomocy duchownych ani policji, może poradzi się pani tego detektywa, o którym czytałyśmy, pana Holmesa”. Proszę mi wybaczyć. Od razu na to przystała: „Ten człowiek mi pomoże. Zastanawiam się, dlaczego wcześniej o tym nie pomyślałam. Proszę go tu przyprowadzić, pani Merrilow, a jeśli nie zechce

przyjść, proszę mu powiedzieć, że jestem żoną niejakiego Rondera, który kiedyś prowadził cyrk. I proszę jeszcze wymienić nazwę: «Abbas Parva»”. Zapisała ją na tej karteczce. „Jeśli jest tym, o kim myślę, to gdy usłyszy moje nazwisko, na pewno się tu zjawi”.

– Dlatego między innymi odwiedzę pani lokatorkę – wtrącił Holmes. – Dobrze, pani Merrilow. Chciałbym teraz pomówić z doktorem Watsonem. Z pewnością potrwa to do lunchu. Może się pani nas spodziewać w Brixton około trzeciej.

Gdy tylko pani Merrilow poczłapała na korytarz – żadne inne słowo nie określiłoby bardziej trafnie sposobu, w jaki nasza klientka opuściła pokój – Holmes poderwał się i energicznie podszedł do stosu starych książek leżących w kącie. Przez chwilę słyszałem tylko szelest przewracanych kartek, aż w końcu mój towarzysz mruknął z zadowolenia – znalazł bowiem to, czego szukał. Był tak podekscytowany, że nawet nie wstał z podłogi, siedział tylko ze skrzyżowanymi nogami jak Budda. Na kolanach trzymał jakiś tom, a dookoła wszędzie leżały pootwierane książki.

– Już wtedy zainteresowałem się tą sprawą, Watsonie. A tu na marginesie widnieją moje ówczesne notatki. Przyznaję, że wtenczas niczego nie zrozumiałem. Byłem jednak pewien, że koroner się pomylił. Czy nie pamiętasz tej tragedii w Abbas Parvie?

– Niestety, nie, Holmesie.

– Przecież wtedy pracowaliśmy już razem. Moje wnioski były dość powierzchowne. Nie miałem się czego chwycić, a żadna ze stron nie chciała mojej pomocy. Może przeczytasz te notatki?

– Wolałbym, żebyś sam przedstawił mi fakty.

– Oczywiście, nie ma problemu. Pewnie przypomnisz sobie tę sprawę, gdy będę opowiadał. Nazwisko Ronder było w tamtych czasach bardzo dobrze znane w towarzystwie. Człowiek, który je nosił, był najwspanialszym cyrkowcem w owym czasie i jednocześnie konkurentem niejakich Wombwella i Sangera. Niestety, zaczął dużo pić, i na krótko przed tragedią, jaka się rozegrała, zszedł na psy, a jego słynny popisowy numer przestał być atrakcyjny. Te straszne wydarzenia, o których mowa, miały miejsce w Abbas Parva, małej wiosce w Berkshire, gdzie trupa cyrkowa zatrzymała się na noc. Podróżowali do Wimbledonu, chcieli odpocząć, nie planowali rozbijać namiotu i występować, bo miasteczko było na tyle małe, że im by się to zupełnie nie opłaciło.

W jednym z pokazowych numerów brał udział wspaniały afrykański lew o imieniu „Król Sahary”. Ronder wraz z żoną występowali z nim w klatce. Tutaj jest fotografia jednego z numerów, na której widać, że Ronder był potężny i gruby, a jego małżonka odznaczała się zachwycającą urodą. W trakcie śledztwa okazało się, że już przed występem lew zachowywał się agresywnie, jednak jak to zwykle bywa, gdy człowiek jest zbyt pewny swego, przestaje doceniać niepokojące oznaki, dlatego też nie zwrócono uwagi na dziwne zachowanie zwierzęcia.

Zwykle Ronder albo jego żona karmili bestię w nocy. Czasami do klatki wchodziło tylko jedno z nich, innym razem przebywali tam we dwójkę, jednak nikomu innemu nie wolno było zbliżać się do lwa. Wierzyli bowiem, że dopóki to oni będą go karmić, zwierzę nigdy nie zrobi im krzywdy jako swoim dobroczyńcom. Siedem lat temu oboje poszli w nocy nakarmić lwa i wtedy właśnie wydarzyło się coś strasznego. Szczegóły do dziś nie są znane. O północy wszystkich śpiących w obozowisku obudziły ryk lwa i wrzask kobiety. Opiekunowie zwierząt i inni pracownicy cyrku wybiegli ze swych namiotów, niosąc w rękach latarki; w ich świetle zobaczyli przerażającą scenę. Ronder leżał na ziemi w odległości dziesięciu jardów od klatki, która teraz była otwarta. Czaszka mężczyzny była pogruchotana, a na skórze głowy widniały ślady wielkich pazurów. Niedaleko klatki leżała na plecach pani Ronder, a nad nią pochylało się wielkie warczące zwierzę. Twarz biednej kobiety była tak poszarpana, że nikt nie dawał jej szans na przeżycie. Kilku cyrkowców z siłaczem Leonardo i klaunem Griggsem odgoniło kijami lwa od cierpiącej kobiety. Przestraszone zwierzę wycofało się do klatki, którą natychmiast zamknięto. Nikt nie wie, jak to się stało, że lew zdołał się uwolnić. Przypuszczalnie gdy opiekunowie otworzyli drzwiczki klatki, zamierzając wejść do środka, bestia rzuciła się na nich. Nie odkryto żadnych innych śladów, Kobieta półprzytomna z bólu krzyczała: „Tchórz! Tchórz!”, podczas gdy przenoszono ją do wozu, w którym mieszkała. Zeznania złożyła dopiero sześć miesięcy później, gdy jej stan się polepszył, ale śledztwo zostało zawieszone, a werdykt brzmiał: „Śmierć na skutek nieszczęśliwego wypadku”.

– Jakież mogło być inne rozwiązanie? – zapytałem.

– Być może masz rację. Jednak jeden, może dwa elementy tej układanki zainteresowały niejakiego Edmundsa z posterunku policji w Berkshire. Bystry młodzieniec! Po tamtych wydarzeniach wysłano go do Allahabad.

To od niego dowiedziałem się o całej sprawie, gdyż pewnego dnia odwiedził mnie i przy fajeczce opowiedział mi całą historię.

– Czy mówisz o takim szczupłym żółtowłosym mężczyźnie?

– Zgadza się. Byłem pewien, że w końcu trafisz na dobry trop.

– A na co zwrócił on uwagę?

– Obaj zwróciliśmy. Niezmiernie trudno było zrekonstruować przebieg wypadków. Popatrz na to z punktu widzenia lwa. Co robi uwolnione zwierzę? Dopada Rondera w kilku susach. Ten odwraca się, a świadczą o tym ślady pazurów na czaszce mężczyzny, próbuje uciec, lecz zwierzę powala go na ziemię. Następnie zamiast skorzystać z wolności, lew wraca do kobiety stojącej przy klatce, rzuca się na nią i wgryza się w jej twarz. Poza tym słowa, które ona wykrzykuje, wskazują na to, że mąż ją zawiódł. A cóż ten biedny człowiek mógł zrobić, żeby jej pomóc? Sam widzisz, że sprawa wydaje się trudna, prawda?

– Racja.

– Jest jeszcze jeden szczegół. Teraz, gdy o tym myślę, przypominam sobie pewną rzecz. Istniały dowody, wskazujące na to, że w chwili gdy lew zaryczał, a kobieta zaczęła krzyczeć, słychać było przeraźliwy wrzask mężczyzny.

– Rondera? – zapytałem.

– Gdy człowiek ma roztrzaskaną czaszkę, raczej trudno się spodziewać, że będzie jeszcze cokolwiek mówił. Dwóch świadków wspominało, że wyraźnie słyszeli na przemian krzyki kobiety i mężczyzny.

– Wydaje mi się, że wtedy już całe obozowisko wrzeszczało. A jeśli chodzi o inne elementy tej układanki, to myślę, że mam rozwiązanie.

– Chętnie cię wysłucham.

– Mężczyzna i kobieta stali w odległości dziesięciu jardów od klatki, gdy lew nagle się z niej wydostał. Mężczyzna odwrócił się, by uciec, i został powalony na ziemię. Pani Ronder wpadła na pomysł, żeby zamknąć się w klatce. Tylko tak mogła się uratować. Ruszyła w stronę klatki, i gdy już prawie była wewnątrz, bestia dopadła ją i przewróciła na ziemię. Była zła na męża za to, że rozjuszył zwierzę, próbując uciekać. Gdyby stanęli z nim oko w oko, ono być może by się przestraszyło. Dlatego właśnie krzyczała: „Tchórz!”.

– Genialnie, Watsonie! Twój brylant ma jednak jedną rysę – zaoponował mój przyjaciel.

– Co masz na myśli, Holmesie?

– Skoro oboje stali w pewnej odległości od klatki, w jaki sposób zwierzę się wydostało?

– Być może jakaś nieprzychylna im osoba otworzyła wcześniej zamek.

– Dlaczego zatem lew tak okrutnie ich poranił, skoro zwykle bawił się z nimi i wykonywał różne sztuczki na ich rozkazy?

– Być może ta sama osoba, która go wypuściła, zrobiła coś, co go rozwścieczyło?

Holmes zamyślił się i zamilkł na kilka chwil.

– Cóż, Watsonie, istnieją pewne fakty, które mogłyby potwierdzić twoją teorię. Ronder miał wielu wrogów. Edmunds wspominał, że gdy tylko się napił, zachowywał się fatalnie. Rozrabiał, przeklinał i atakował wszystkich, którzy weszli mu w drogę. Domyślam się, że te krzyki: „Ty potworze!”, o których mówiła pani Merrilow, były spowodowane nocnymi koszmarami, strasznymi wspomnieniami po jej kochanym zmarłym mężu. Dopóki jednak nie poznamy wszystkich faktów, nasze rozważania będą jałowe. Na bufecie czeka zimna kuropatwa, Watsonie, i stoi butelka Montrachet. Musimy się wzmocnić, z pewnością będą nam potrzebne siły.

Gdy podjechaliśmy dorożką pod dom pani Merrilow, pulchna gospodyni stała już w progu swego skromnego domku, położonego na ustroniu. Było oczywistym, że dbała głównie o to, aby jej cenna lokatorka nie opuściła mieszkania, więc zanim zaprowadziła nas do pani Ronder, poprosiła, byśmy nie zrobili ani nie powiedzieli niczego, co mogłoby się skończyć opuszczeniem przez nią domu. Zapewniliśmy, że niczego takiego się nie zdarzy, i podążyliśmy za nią po schodach, na których leżał nieładny wytarty chodnik. Po chwili byliśmy już w pokoju tajemniczej lokatorki.

W pomieszczeniu było duszno, wyczuwało się stęchły zapach, co zresztą nie zdziwiło nas zupełnie, gdyż jego mieszkanka rzadko je opuszczała. Niegdyś to ona doglądała bestii zamkniętych w klatkach, teraz los zemścił się na niej okrutnie, gdyż sama stała się bestią zamkniętą w klatce. Pani Ronder siedziała w wysłużonym fotelu znadującym się w zacienionym kącie pokoju. Długie lata bezczynności sprawiły, że przybrała nieco na wadze, lecz z pewnością była niegdyś piękną kobietą, a jej pełne kształty były ciągle kuszące. Twarz miała przykrytą czarną woalką do wysokości górnej wargi, dzięki czemu jej pięknie wyrzeźbione usta i delikatnie

zaokrąglona broda były odsłonięte. Mogłem sobie wyobrazić, że dawniej była kobietą o niezwykłej urodzie. Miała też bardzo przyjemny tembr głosu.

– Moje nazwisko z pewnością obiło się panu o uszy, panie Holmes – rzekła. – Wiedziałam, że przyjdzie pan, gdy je usłyszy.

– Zgadza się, madame, choć nie mam pojęcia, skąd może pani wiedzieć o tym, że interesowałem się pani sprawą.

– Dowiedziałam się, gdy wkrótce po tym, jak doszłam do siebie, przesłuchiwał mnie pan Edmunds, miejscowy detektyw. Okłamałam go. Pewnie zachowałabym się rozsądniej, gdybym powiedziała całą prawdę.

– Zazwyczaj słuszniej jest mówić prawdę. Ale dlaczego go pani oszukała?

– Ponieważ od moich zeznań zależał los innej osoby. Zdaję sobie sprawę z tego, że nie był to wartościowy człowiek, a mimo to nie chciałam przyłożyć ręki do jego zguby. Łączyły nas bliskie stosunki, bardzo bliskie!

– Czy ta przeszkoda nadal istnieje?

– Nie, sir. Osoba, o której mowa, nie żyje.

– Dlaczego zatem teraz nie zwróci się pani do policji?

– Ponieważ w tę sprawę zamieszana jest jeszcze jedna osoba. Mam na myśli siebie. Nie zniosłabym skandalu i publicznej nagonki, jaka niewątpliwie by rozgorzała, gdyby policja wznowiła śledztwo. Długo już nie pożyję i chcę umrzeć w spokoju, dlatego potrzebuję opowiedzieć moją straszną historię jakiemuś rozsądnemu człowiekowi, żeby po mojej śmierci wszystko było jasne.

– To dla mnie komplement, madame. Ale jestem także odpowiedzialnym człowiekiem. Nie mogę pani obiecać, że gdy wyjawi pani tajemnicę, nie dojdę do wniosku, że moim obowiązkiem jest zgłosić to na policję.

– Nie wydaje mi się, by pan to uczynił, panie Holmes. Od kilku lat śledzę pana osiągnięcia i zdążyłam już poznać jego charakter i metody pracy. Czytanie to obecnie moja jedyna przyjemność; dzięki temu wiem, co się dzieje na świecie. W każdym razie zaryzykuję bez względu na to, jaki użytek zrobi pan z moich wyjaśnień. Będę spokojniejsza, jeśli komuś opowiem o tamtych wydarzeniach.

– Zarówno ja, jak i mój przyjaciel chętnie panią wysłuchamy.

Kobieta podniosła się z fotela i wyjęła z szuflady fotografię mężczyzny. Wyglądał na zawodowego akrobatę, gdyż miał niezwykłą sylwetkę. Pozował do zdjęcia ze skrzyżowanymi na umięśnionej klatce piersiowej

potężnymi ramionami, a na jego twarzy malował się pod gęstymi wąsami uśmiech pewnego siebie zwycięzcy.

– To jest Leonardo – rzekła.

– Siłacz Leonardo, który składał zeznania?

–Ten sam. A to mój mąż. – Pokazała nam drugie zdjęcie.

Spojrzała na nas okropna twarz, przypominająca ryj wieprza lub raczej dzika; była to twarz bestii. Nietrudno sobie wyobrazić, jak te wstrętne usta toczyły pianę z wściekłości, a małe złośliwe oczka rzucały na wszystkich wredne spojrzenia. Bandyta, tyran, bestia – to wszystko było wypisane na jego twarzy, którą cechowała także szeroka szczęka.

– Te dwa zdjęcia pomogą panom zrozumieć moją historię. Byłam biedną dziewczyną; wychowałam się w cyrku. Zanim skończyłam dziesięć lat, wykonywałam już salta przez obręcze. Gdy stałam się kobietą, pokochał mnie ten człowiek, o ile oczywiście jego dzikie pożądanie można było nazwać miłością; w końcu zostałam jego żoną, niestety, w złą godzinę. Od tamtej pory żyłam w piekle, w którym torturował mnie sam diabeł. W cyrku wszyscy wiedzieli, jak mnie traktuje. Zdradzał mnie z innymi kobietami. Gdy żaliłam się na swój marny los, przywiązywał mnie i chłostał pejczem. Moi koledzy bardzo mi współczuli, a do niego pałali nienawiścią. Byli jednak bezradni, bo się bali mojego męża. Wcale mnie to zresztą nie dziwi, gdyż z natury był to straszny człowiek, a kiedy wypił za dużo, miewał mordercze zamiary. Ciągle miał problemy z policją, niejednokrotnie był w areszcie za bójki i okrucieństwo wobec zwierząt, jednak nie przejmował się karami pieniężnymi, bowiem był bardzo bogaty. Wszyscy najlepsi cyrkowcy odeszli od nas, i interes zaczął podupadać. Jedynie Leonardo i ja dbaliśmy o wszystko, a pomagał nam klaun, mały Jimmy Griggs. Mimo że nie było się z czego śmiać, biedak wychodził z siebie, żeby tylko rozśmieszyć ludzi. Leonardo stawał się coraz bliższy mojemu sercu. Widzicie, panowie, jakim był mężczyzną. Teraz już wiem, że w tym silnym ciele krył się słaby duch, choć w porównaniu z moim mężem zachowywał się jak anioł Gabriel. Temu siłaczowi bardzo mnie było żal, pomagał mi, aż w końcu nasza zażyłość przerodziła się w miłość. To było głębokie uczucie, silne i namiętne, o jakim wcześniej mogłam jedynie marzyć; nie miałam nadziei, że kiedyś spotka także i mnie. Mój mąż tyran podejrzewał, że łączy nas coś więcej niż tylko praca, ale był tchórzem i Leonarda bał się najbardziej. Mścił się za to na mnie, torturując

okrutnie. Pewnej nocy, usłyszawszy moje krzyki, Leonardo przyszedł pod drzwi wozu, w którym spałam. Wtedy to zarówno mój kochanek, jak i ja zrozumieliśmy, że nie da się uniknąć tragedii. Mój mąż nie zasługiwał na to, by żyć. Postanowiliśmy go zabić i ułożyliśmy plan. Leonardo był bystry i sprytny. To on wpadł na ten pomysł. Nie mówię tak dlatego, by zrzucić na niego winę, wówczas poszłabym za nim w ogień. Sama nigdy bym nie wpadła na taki pomysł. Leonardo przymocował na końcu pałki pięć długich stalowych gwoździ; rozstaw był identyczny z rozstawem pazurów w łapie lwa. Mój mąż miał zginąć tak, by wyglądało, że został zaatakowany przez zwierzę, które wcześniej chcieliśmy wypuścić z klatki.

To była wyjątkowo ciemna noc. Oboje z mężem jak zwykle poszliśmy nakarmić bestię. Mieliśmy ze sobą surowe mięso w cynkowym wiadrze. Leonardo czekał, schowany za jednym z wozów, który minęliśmy, idąc do klatki. Siłacz był zbyt powolny; zanim zadał cios, zdążyliśmy już przejść obok niego. Nie zrezygnował jednak i zaczął się skradać za nami. W chwili gdy pałka roztrzaskała czaszkę mojego męża, usłyszałam huk. Moje serce podskoczyło z radości. Pobiegłam do przodu i otworzyłam drzwiczki klatki, w której siedział nasz wielki lew. I wtedy stało się coś strasznego. Być może panowie wiedzą, że gdy te zwierzęta poczują tylko zapach krwi, natychmiast atakują. Instynkt podpowiedział temu stworzeniu, że zabito człowieka. Gdy otworzyłam drzwiczki, bestia natychmiast na mnie skoczyła. Leonardo mógł mnie uratować. Gdyby podbiegł do zwierzęcia i uderzył pałką, pewnie by go przestraszył. Mężczyzna jednak nie potrafił się opanować. Słyszałam, jak krzyczał ze strachu, a potem zobaczyłam, jak ucieka. Kły lwa zatopiły się w mojej twarzy. Gorący obrzydliwy oddech zwierzęcia odurzył mnie, byłam nieprzytomna z bólu. Wołając o pomoc, próbowałam rękami odepchnąć ogromne szczęki, upaćkane krwią. Wiedziałm, że całe obozowisko stanęło na równe nogi, jak za mgłą pamiętam grupkę mężczyzn. Leonardo, Griggs i inni wyciągnęli mnie wreszcie z łap lwa. Nic więcej nie pamiętam, panie Holmes. Następne miesiące były wypełnione cierpieniem. Gdy doszłam do siebie i miałam odwagę spojrzeć w lustro, przeklinałam lwa, jak strasznie go przeklinałam! Przeklinałam nie dlatego, że zniszczył mi urodę, ale dlatego, że nie zabrał mi życia. Miałam tylko jedno marzenie i wystarczająco pieniędzy, by je spełnić. Pragnęłam zamieszkać w ustronnym miejscu, gdzie nikt nie mógłby mnie odnaleźć, i ukryć moją okaleczoną twarz, by nikt jej więcej

nie zobaczył. Tylko tyle mi pozostało. Tak też uczyniłam. Biedne zranione stworzenie, które wczołgało się do swej nory, by umrzeć – taki koniec spotkał Eugenię Ronder.

Gdy nieszczęsna kobieta skończyła swą opowieść, przez chwilę siedzieliśmy, pogrążeni w milczeniu. Po chwili Holmes wyciągnął ku niej swą długą rękę i pogładził ją po dłoni z taką czułością, jaką rzadko przejawiał w stosunku do ludzi.

– Biedna dziewczyna! – rzekł. – Biedna dziewczyna! Czasem trudno zrozumieć niespodzianki, jakie szykuje nam los. Jeśli nasze tragedie na ziemi nie zostaną później wynagrodzone, to świat jest tylko okrutną drwiną. Ale co się stało z Leonardem?

– Nie miałam nigdy więcej żadnych wiadomości ani o nim, ani od niego. Chyba nie powinnam go tak surowo oceniać, być może potrafiłby pokochać to, co pozostawił lew, wszak byłam taka, jak jedna z tych biednych, dziwacznie wyglądających dziewcząt, które nie raz pokazywaliśmy w naszym cyrku. Miłość kobiety nie umiera tak szybko. Ten człowiek zostawił mnie w łapach dzikiej bestii, opuścił mnie w potrzebie, a mimo to nie byłam w stanie posłać go na szubienicę. Jeśli o mnie chodzi, było mi wszystko jedno. Czy może być coś gorszego niż moje obecne życie? Ode mnie jednak zależał los Leonarda.

– On nie żyje…?

– Utopił się miesiąc temu, kąpiąc się niedaleko Margate. Czytałam o jego śmierci w gazetach.

– Wie pani, co zrobił wtedy z pałką naśladującą lwie pazury? Muszę przyznać, że to najciekawszy element pani opowieści.

– Nie mam pojęcia, panie Holmes. Niedaleko obozowiska znajdował się kamieniołom; na jego dnie było głębokie jeziorko, w którym woda miała zieloną barwę. Być może wrzucił ją w tę głębinę…

– Cóż, siłacz i tak już nie poniesie konsekwencji swego czynu. Uważam tę sprawę za zamkniętą.

– Zgadzam się z panem, panie Holmes – odparła kobieta. – Sprawa jest zamknięta.

Podnieślismy się z krzeseł, jednak w głosie tej biedaczki było coś, co zwróciło uwagę mego przjaciela. Energicznie odwrócił się do niej.

– Pani życie nie należy jedynie do niej! – wykrzyknął. – Nie może go pani sobie odebrać!

– A na cóż ja się mogę jeszcze przydać?

– Nigdy nie wiadomo. Cierpliwe czekanie w cierpieniu jest samo w sobie najcenniejszą lekcją dla tego niecierpliwego świata.

Odpowiedź kobiety była przerażająca. Podniosła woalkę i podeszła do światła.

– Ciekawe, czy zniósłby pan coś takiego? – zapytała.

Wyglądała koszmarnie. Nie ma takich słów, które mogłyby opisać twarz, której tak naprawdę nie było. Dwoje żywych pięknych brązowych oczu zerkających na nas ze smutkiem z tej makabrycznej ruiny sprawiały, że widok był jeszcze bardziej przejmujący. Holmes uniósł rękę w geście współczucia i protestu i obaj opuściliśmy pokój.

Dwa dni później, gdy odwiedziłem mojego przyjaciela w jego domu, wskazał na małą niebieską buteleczkę na kominku. Wziąłem ją do ręki. Widniała na niej czerwona naklejka ostrzegająca o tym, że zawartość jest trująca. Gdy ją otworzyłem, poczułem przyjemny migdałowy zapach.

– Kwas pruski? – zapytałem.

– Zgadza się. Paczka przyszła dziś rano. Dołączono do niej liścik: „Wysyłam panu moją pokusę. Posłucham pańskiej rady”. Myślę, Watsonie, że wiemy, kto napisał ten list.

Opowieść jedenasta

Stary dwór Shoscombe

Od dłuższego czasu Sherlock Holmes siedział pochylony nad niewielkim mikroskopem. Nagle wyprostował się i popatrzył na mnie wzrokiem zwycięzcy.

– To klej, Watsonie – rzekł. – Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Zerknij na te paproszki!

Podszedłem do przyrządu, przytknąłem oko do okularu i nastawiłem odpowiednią ostrość.

– Te włoski to nici pochodzące z tweedowego płaszcza, a nieregularne szare drobiny to kurz. Po lewej stronie widać komórki naskórka. Brązowe kleksy pośrodku to bez wątpienia klej.

– Cóż – zaśmiałem się – wierzę ci na słowo. Czy to odkrycie do czegoś ci się przyda?

– To wspaniały eksperyment – odparł. – Może pamiętasz wydarzenia na stacji St. Pancras, kiedy to obok zwłok policjanta znaleziono czapkę? Oskarżony twierdzi, że nie należy do niego. Człowiek ten zajmuje się wyrobem ram do obrazów, ma zatem styczność z klejem.

– Mówisz o sprawie, którą prowadzisz?

– Nie, mój przyjaciel Merivale ze Scotland Yardu poprosił mnie o pomoc. Gdy jakiś czas temu udowodniłem winę fałszerza monet, odnajdując opiłki cynku i miedzi w szwach jego mankietów, zaczęli doceniać wagę mikroskopu.

Zerknął niecierpliwie na zegarek.

– Spodziewam się nowego klienta, ale widzę, że się spóźnia. Tak przy okazji, Watsonie, znasz się może na wyścigach?

– Powinienem. Wydaję na nie połowę mojej renty wojskowej.

– Zatem będziesz moim przewodnikiem po torze wyścigowym. Słyszałeś o baronecie Robercie Norbertonie?

– Obiło mi się o uszy. Człowiek ten mieszka w posiadłości Shoscombe. Dobrze znam te okolice, bo kiedyś spędzałem tam lato. Norberton raz już nawet dołączył do grona kryminalistów, ocierając się tym samym o obszar twoich działań .

– A co zrobił?

– Na torze wyścigowym Newmarket Heath wychłostał szpicrutą Sama Brewera, znanego lichwiarza z Curzon Street. Omal go nie zabił.

– Wygląda mi na ciekawego człowieka! Często oddaje się takim uciechom?

– Wyrobił sobie reputację niebezpiecznego człowieka. Jest najodważniejszym dżokejem w Anglii, kilka lat temu zdobył drugie miejsce w wyścigu Grand National. To jeden z tych, co urodzili się o pokolenie za późno. W okresie regencji byłby prawdziwym dandysem. Jest doskonałym bokserem, sportowcem, ryzykantem na torze wyścigowym, otacza się pięknymi kobietami, a do tego wszystkiego ma tyle długów, że być może nigdy nie będzie w stanie ich spłacić.

– Kapitalnie, Watsonie! Cóż za fantastyczny opis w pigułce. Jakbym zobaczył tego pana Norbertona! Mógłbyś mi opowiedzieć jeszcze o posiadłości Shoscombe?

– Wiem tylko tyle, że położona jest w samym środku parku, a w pobliżu znajdują się znana stadnina koni i ośrodek treningowy.

– Głównym trenerem – rzekł Holmes – jest John Mason. Nie dziw się, tę wiedzę zdobyłem z ogromną łatwością. Pan Mason napisał do mnie list. Ale powiedz mi więcej o samym dworze. Jesteś nieocenionym źródłem informacji.

– Hoduje się tam spaniele. Na każdej wystawie psów jest o nich głośno. To najwspanialsza rasa w całej Anglii. Psy są chlubą właścicielki rezydencji.

– Domyślam się, że mowa o żonie sir Roberta Norbertona.

– Sir Robert jest kawalerem i to się dobrze składa, biorąc pod uwagę jego sytuację. On mieszka ze swoją owdowiałą siostrą, lady Beatrice Falder.

– Chciałeś powiedzieć, że to ona mieszka z nim?

– Nie. Posiadłość należała do jej zmarłego męża sir Jamesa, Norberton nie ma żadnych praw do majątku. Po śmierci lady Beatrice właścicielem

zostanie brat jej zmarłego męża. Na razie to ona czerpie zyski.

– A braciszek Robert przepuszcza jej dochody?

– Mniej więcej tak to wygląda. To istny diabeł wcielony; pewnie uprzykrza jej życie. A jednak słyszałem, że jest do niego bardzo przywiązana. Czy coś złego wydarzyło się w Shoscombe?

– Tego właśnie chcę się dowiedzieć. A oto przyszedł człowiek, który opowie nam coś więcej.

Drzwi się otworzyły i służący wprowadził wysokiego, starannie ogolonego mężczyznę o stanowczym i groźnym wyrazie, jaki spotyka się jedynie na twarzach ludzi trenujących konie lub szkolących niegrzecznych chłopców. Pan John Mason musiał radzić sobie z jednymi i drugimi i wyglądał na takiego, który potrafił stanąć na wysokości zadania. W jego ukłonie wyczuwało się pewien chłodny dystans. Mężczyzna usiadł na krześle, które wskazał mu Holmes.

– Dostał pan mój liścik, panie Holmes?

– Owszem, ale nic z niego nie wynika.

– To zbyt delikatna sprawa, żeby jej szczegóły spisywać na papierze, a także za bardzo skomplikowana. Muszę opowiedzieć panu osobiście o dziwnych wydarzeniach, których byłem świadkiem.

– Jesteśmy do pańskiej dyspozycji.

– Panie Holmes, po pierwsze, wydaje mi się, że mój pracodawca sir Robert oszalał.

Detektyw otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

– Jest pan w moim mieszkaniu przy Baker Street, a nie w gabinecie psychiatry przy Harley Street – odparł. – Ale proszę mi powiedzieć, dlaczego pan tak uważa.

– Sir, jeśli człowiek zachowa się raz czy dwa razy ekscentrycznie, można to jakoś wytłumaczyć, ale jeśli wszystko, co robi, jest dziwaczne, to daje wiele do myślenia. Sądzę, że Książę Shoscombe i wyścigi młodych koni pomieszały mu w głowie.

– Ma pan na myśli tego źrebaka, którym się pan zajmuje.

– Jest najlepszy w całej Anglii, panie Holmes. Wiem, co mówię. Będę z panem szczery, bo wiem, że jest pan honorowym dżentelmenem i moje słowa nie wyjdą poza te ściany. Sir Roberts musi wygrać derby. Tkwi w długach po uszy i to będzie jego ostatnia szansa. Wszystko, co zdołał

pożyczyć, postawił na tego konia. Teraz zakłady można kupić po czterdzieści funtów, ale zaczynał od stu.

– Skoro to tak wspaniały koń, dlaczego stawki są niższe?

– Ludzie nie zdają sobie sprawy z tego, jaki jest dobry. Sir Robert to spryciarz, lepszy od bukmacherów. W eliminacjach wystawił źrebaka od tej samej matki co Książę. Konie są identyczne. Ale jeśli chodzi o galop, to na dystansie dwustu dwudziestu jardów Książę jest lepszy o dwie długości. Mój pracodawca nie potrafi myśleć o niczym innym jak tylko o koniu i wyścigu. Stawką jest jego przyszłość. Na razie lichwiarze go nie nagabują. Jeśli Książę przegra, to mój pracodawca będzie skończony.

– Wygląda to na desperacką próbę odkucia się na zakładach, ale nie widzę tu obłędu.

– Żeby tylko pan zobaczył sir Roberta! Jestem pewien, że wcale nie sypia. Całymi dniami przebywa w stajniach. Ma dzikie spojrzenie i zszarpane nerwy. Do tego jeszcze jego zachowanie wobec lady Beatrice!

– O czym pan mówi?

– Oni zawsze byli najlepszymi przyjaciółmi. Mają jednakowy gust, a lady Beatrice kocha konie równie mocno jak jej brat. Każdego dnia o tej samej porze jeździła do stajni, by na nie popatrzeć, największą miłością darzyła Księcia. Gdy koń słyszał pisk kół zatrzymujących się na żwirze, od razu stawiał uszy i truchtem podbiegał do powozu, by dostać kostkę cukru. Ale to się skończyło.

– Dlaczego?

– Lady przestała się interesować zwierzęciem. Gdy ostatnio pojawia się w stajniach, rzuca tylko obojętne „dzień dobry”. Trwa to już tydzień.

– Sądzi pan, że pokłóciła się z bratem?

– To musiała być straszna i burzliwa kłótnia, bo sir Robert zabrał jej ulubionego pieska, a był on dla niej jak syn. Kilka dni temu podarował zwierzaka staremu Barnesowi, który prowadzi zajazd „Zielony Smok”, to jakieś trzy mile od Crendall.

– Faktycznie, to dość dziwne zachowanie.

– Kobieta ma słabe serce, cierpi na puchlinę wodną i ledwo się porusza. Wcześniej sir Robert każdego dnia spędzał u niej w pokoju przynajmniej dwie godziny. Robił wszystko, co chciał, siostra wszystko mu wybaczała. To była prawdziwa, rzadko spotykana przyjaźń. Ale wszystko się skończyło. Teraz sir Robert w ogóle nie przychodzi do lady Beatrice i ona

bardzo to przeżywa. Przestała wychodzić z pokoju, stała się humorzasta i zaczęła pić. Panie Holmes, pije jak smok!

– Czy przedtem też nadużywała alkoholu?

– Od czasu do czasu wychyliła kieliszeczek, ale teraz w ciągu wieczora może wypić całą butelkę. Tak mi powiedział nasz lokaj Stephens. Nic nie jest takie, jak było dawniej, panie Holmes, w tym domu dzieje się coś bardzo niepokojącego. No i nie mam pojęcia, po co sir Robert chodzi nocą do starej krypty i kim jest mężczyzna, z którym się tam spotyka.

Holmes zatarł ręce z zainteresowaniem.

– Proszę kontynuować, panie Mason. Robi się coraz ciekawiej.

– Tego wieczora, gdy koło północy kamerdyner zauważył pana Roberta, padał rzęsisty deszcz. Następnej nocy nie spałem, przekonany, że mój pracodawca znowu wyjdzie na nocną przechadzkę. Razem ze Stephensem podążyliśmy w ślad za nim, a nie było to łatwe zadanie, bo musieliśmy uważać, by pan Robert nas nie zauważył. Gdy się denerwuje, wstępuje w niego diabeł – zaciska pięści z gniewu, a innych ludzi ma za nic. Baliśmy się zatem podejść nieco bliżej, ale całą noc go obserwowaliśmy. Szedł w stronę straszliwej krypty, gdzie czekał na niego jakiś mężczyzna.

– O jakiej krypcie pan mówi?

– W parku stoi stara zrujnowana kapliczka. Jest tak wiekowa, że nikomu nie udało się ustalić daty jej powstania. Pod kapliczką znajduje się krypta, która cieszy się w okolicy złą sławą. Nawet w ciągu dnia w tym opuszczonym wilgotnym miejscu jest ciemno, ale niewielu jest ludzi w tym kraju, którzy odważyliby się pójść tam w nocy. Sir Robert jednak się nie boi. On nigdy w życiu niczego się nie bał. Ale po co chodzi tam w nocy?

– Zaraz! – rzekł Holmes. – Twierdzi pan, że spotyka się tam z innym mężczyzną? To musi być wasz stajenny albo ktoś ze służby. Wystarczy odkryć, co to za człowiek, i zadać mu parę pytań.

– Nie znam tego człowieka.

– Jest pan pewien?

– Widziałem go, panie Holmes! Wtedy, drugiej nocy. Sir Robert, wracając do domu, przeszedł tuż obok nas. Ponieważ tamta noc była wyjątkowo jasna, czatowaliśmy ze Stephensem w krzakach jak dwa króliki. Słyszeliśmy ciągle tego drugiego mężczyznę. Nie baliśmy się go. Gdy mój pracodawca zniknął w ciemnościach, wyszliśmy z naszego ukrycia i jak gdyby nigdy nic ruszyliśmy w kierunku obcego, udając, że wybraliśmy się

na nocną przechadzkę. „Hej, ktoś tu jest?” – zawołałem. Najwidoczniej nie słyszał, że nadchodzimy, bo gdy się odwrócił, na jego twarzy malowało się przerażenie, wyglądał tak, jakby zobaczył ducha. Krzyknął ze strachu i nagle rzucił się do ucieczki. Był świetnym biegaczem! Trzeba to przyznać. Po minucie zniknął z horyzontu i nigdy nie dowiedzieliśmy się, kim lub czym był.

– Ale wtedy, w świetle księżyca widział go pan wyraźnie?

– Owszem, zobaczyłem jego żółtawą twarz. Tylko co on może mieć wspólnego z sir Robertem?

Holmes siedział przez chwilę, zamyślony.

– Kto dotrzymuje lady Beatrice towarzystwa? – zapytał.

– Służąca Carrie Evans. Jest z nią już od pięciu lat.

– Zapewne jest bardzo lojalna?

Pan Mason nieco się zmieszał.

– Powiedzmy, że wystarczająco lojalna – rzekł. – Ale nie chciałbym mówić, w stosunku do kogo.

– Ach tak! – wykrzyknął Holmes.

– Nie chcę roznosić plotek.

– Rozumiem, panie Mason. Sytuacja jest wystarczająco jasna. Jak powiedział doktor Watson, żadna kobieta, która ma do czynienia z sir Robertem, nie jest bezpieczna. Być może właśnie o to pokłócił się z siostrą?

– Wie pan, od dawna już wiadomo o tym skandalu.

– Ale może lady Beatrice nie była tego świadoma? Możemy założyć, że dopiero niedawno dowiedziała się o całej sprawie. Teraz chce się pozbyć swej pokojówki. Jej brat nie zgadza się na to, jest głuchy na wszelkie perswazje tej biednej chorej kobiety o słabym sercu, której się nawet trudno poruszać. Znienawidzona służąca jest stale u jej boku. Pani domu zamyka się w sobie, przestaje rozmawiać z ludźmi, zaczyna zaglądać do butelki. Wiedziony gniewem, sir Robert zabiera jej ukochanego pieska. Czyż taki scenariusz nie byłby możliwy?

– Owszem, elementy tej układanki pasują do siebie. Ale jak wytłumaczy pan wizyty mego pracodawcy w krypcie? To nie ma nic wspólnego z pańskim scenariuszem. I jeszcze jedno. Po co sir Robert miałby odkopywać zwłoki?

Holmes gwałtownie się wyprostował.

– O tym dowiedzieliśmy się dopiero wczoraj, już po tym, jak do pana napisałem. Sir Robert pojechał do Londynu, więc razem ze Stephensem zakradliśmy się do krypty. Niby wszystko było w porządku, ale w rogu zauważyliśmy ludzkie szczątki.

– Poinformowaliście policję?

Nasz gość uśmiechnął się ponuro:

– Wątpię, żeby się tym zainteresowali. Na podłodze leżała głowa i kilka kości. Myślę, że szczątki mogły mieć nawet tysiąc lat, ale wcześniej ich tam nie było. Tego jestem pewien, Stephens też to potwierdzi. Ktoś ułożył je w kącie i przykrył deskami.

– Co panowie zrobili z kośćmi?

– Zostawiliśmy je tam, gdzie leżały.

– Bardzo rozsądnie. Pan twierdzi, że sir Roberta nie było wczoraj w domu. Czy dziś już wrócił?

– Spodziewamy się go dopiero wieczorem.

– Kiedy pański pracodawca oddał psa siostry?

– Tydzień temu. Pies strasznie wył na dworze przy starej studni, a sir Robert był tego dnia w fatalnym nastroju. Złapał zwierzę, przestraszyłem się nawet, bo pomyślałem, że go zabije. Na szczęście, zaniósł je Sandyemu Bainowi, dżokejowi. Poprosił go o zawiezienie psa do starego Barnesa, właściciela „Zielonego Smoka”. Powiedział, że nie chce więcej oglądać zwierzęcia.

Holmes na chwilę pogrążył się w milczeniu. Zapalił najstarszą i najbrzydszą fajkę ze swojej kolekcji.

– Chyba nie do końca wiem, czego pan ode mnie oczekuje, panie Mason – rzekł. – Czy mógłby mi pan powiedzieć, jak mogę mu pomóc?

– Zdradzę panu coś, co może uczyni moją prośbę bardziej konkretną – rzekł nasz gość.

Wyjął z kieszeni kartkę papieru, rozwinął ją ostrożnie i wyjął fragment kości.

Holmes zbadał okaz z zainteresowaniem.

– Skąd pan to ma?

– W piwnicy, pod sypialnią lady Beatrice znajduje się piec centralnego ogrzewania. Długo nie był używany, ale ostatnio sir Robert narzekał na chłód, i dlatego ponownie go uruchomili. Obsługuje go Harvey, jeden

z moich pomocników. Dziś rano przyniósł mi to. Twierdzi, że znalazł kość, wygarniając popiół z pieca. Nie spodobało mu się to odkrycie.

– Mnie się także nie podoba – odparł Holmes. – Co o tym sądzisz, Watsonie?

Kość była spalona prawie na węgiel, jednak poza wszelką wątpliwością, były to szczątki ludzkie.

– To fragment kości udowej – stwierdziłem.

– Zgadza się! – Holmes spoważniał. – Kiedy Harvey dorzuca do pieca?

– Co wieczór. Ogień pali się przez całą noc.

– Czyli w środku nocy każdy może tam wejść?

– Tak, sir.

– Czy do piwnicy można dostać się z zewnątrz?

– Owszem. Są tam drzwi prowadzące na podwórze. Jest jeszcze drugie wyjście. Po schodach można dojść do korytarza, z którego prowadzą drzwi do sypialni lady Beatrice.

– Wygląda na to, że trafiliśmy na wyjątkowo nieprzyjemny bagnisty teren, panie Mason. Mówi pan, że sir Robert był wczoraj poza domem?

– Zgadza się.

– Zatem ktokolwiek palił kości, to nie był on.

– Racja.

– Jak nazywa się zajazd, o którym pan wspominał?

– „Zielony Smok”.

– A jak ryba bierze w tej części hrabstwa Berkshire?

Po minie biednego trenera widać było wyraźnie, że jest przekonany, iż w jego i tak już ciężkim życiu pojawił sie kolejny wariat.

– Słyszałem, że w strumieniu przy młynie można złapać pstrąga, a w jeziorze Hall szczupaka.

– Nie jest najgorzej. Watson i ja jesteśmy doświadczonymi wędkarzami, czyż nie, doktorze? Zatrzymamy się w „Zielonym Smoku”. Będziemy tam już dziś wieczorem. Rozumie pan, że nie warto mu tam przychodzić, wystarczy, jak w razie potrzeby wyśle pan liścik. Jeśli będę potrzebował spotkać się z panem, sam go znajdę. Gdy się dowiem więcej na temat tej dziwnej sprawy, dam panu znać.

I tak oto pewnego pogodnego majowego wieczora jechaliśmy z Holmesem w wagonie pierwszej klasy, zmierzając w kierunku niewielkiej stacji Shoscombe, gdzie pociągi zatrzymują się jedynie na wyraźne

życzenie pasażera. Półka na bagaż wisząca nad naszymi głowami była zapchana wędkami, kołowrotkami i różnymi koszami. Na stacji przesiedliśmy się do dorożki i dość szybko dotarliśmy do staromodnego zajazdu, gdzie gospodarz Jozajasz Barnes, amator sportów, z wielkim zainteresowaniem wysłuchał naszych planów dotyczących połowu ryb w okolicznych akwenach.

– A może w jeziorze Hall udałoby się złowić jakiegoś szczupaka? – zapytał Holmes.

Twarz właściciela zajazdu spochmurniała.

– Nic z tego, sir. Już prędzej sam pan wylądujesz w jeziorze, zanim cokolwiek złapiesz.

– Jak to?

– Sir Robert nie pozwoli wam na wędkowanie w tym miejscu. Bardzo pilnuje, żeby po jego włościach nie plątali się szpiedzy. Gdyby zobaczył, że dwaj obcy mężczyźni znaleźli się tak blisko jego toru treningowego, z pewnością pokazałby wam, gdzie pieprz rośnie. Sir Robert nie chce ryzykować.

– Słyszałem, że jego koń zakwalifikował się do wielkiego wyścigu.

– Owszem, to świetny źrebak. Wszyscy z okolicy na niego postawili i sir Robert bardzo liczy na zwycięstwo. No właśnie – popatrzył na nas z zainteresowaniem – panowie nie macie chyba nic wspólnego z wyścigami?

– W rzeczy samej, nie mamy. Jesteśmy tylko dwoma zmęczonymi londyńczykami, którym przyda się odrobina tutejszego świeżego powietrza.

– Trafiliście w odpowiednie miejsce. Tego nam tu nie brakuje. Ale radzę pamiętać, o czym panom mówiłem. Sir Robert najpierw atakuje, a potem dopiero zadaje pytania. Lepiej trzymajcie się z dala od parku.

– Oczywiście, panie Barnes! Zastosujemy się do pańskich wskazówek. A tak na marginesie, widziałem w korytarzu pięknego spaniela.

– Zgadza się. To pies z tutejszej hodowli. W całej Anglii nie ma wspanialszych okazów.

– Ja sam bardzo lubię psy – rzekł Holmes. – Jeśli wolno mi spytać, ile kosztuje zwierzę o tak szlachetnych korzeniach?

– Znacznie więcej, niż mógłbym za niego dać. Sir Robert podarował go mnie. Dlatego musiałem uwiązać go na smyczy. Gdybym tego nie zrobił, od razu uciekłby z powrotem do dworu.

– Powoli odkrywają się przede mną poszczególne karty, Watsonie – rzekł Holmes, gdy właściciel wyszedł. – Nie wiem, czy będzie nam się nimi dobrze grało, ale o tym przekonamy się w ciągu najbliższych dni. Sir Robert nadal chyba bawi w Londynie. Zatem zakradniemy się dziś do posiadłości bez uszczerbku dla zdrowia. Muszę osobiście sprawdzić kilka elementów tej układanki.

– Czy masz już jakąś teorię, Holmesie?

– Wiem z pewnością, że tydzień temu wydarzyło się coś, co odcisnęło swe straszne piętno na mieszkańcach tego domostwa. Co to mogło być? Możemy tylko zgadywać, patrząc na dość dziwne skutki tych wydarzeń. Ale to jest akurat zaletą. Nieciekawe sprawy, w których nic się nie dzieje, są skazane na niepowodzenie. Podsumujmy to, co już wiemy. Brat przestał odwiedzać swoją ukochaną chorą siostrę. W gniewie pozbył się jej ulubionego zwierzęcia. Jej psa, Watsonie! Nie sądzisz, że to może być wskazówka?

– Co do tego tylko, że jej brat ogromnie rozzłoszczony.

– Zapewne masz rację. A może istnieje inne wytłumaczenie. Porozmawiajmy teraz o wydarzeniach, które działy się po kłótni, jaka między nimi wybuchła, zakładając, że kłótnia faktycznie miała miejsce. Lady Beatrice nie wychodzi ze swej sypialni, porzuca dotychczasowe zwyczaje, nie wysiada z powozu, gdy jedzie wraz ze służącą na przejażdżkę, nie zatrzymuje się w stajni, by przywitać się ze swoim ulubionym koniem, a do tego zaczyna pić. Na razie wszystko jest jasne, tak?

– Poza kryptą.

– To jest odrębny wątek, Watsonie, a jest ich dwa, i proszę cię, byś ich nie mieszał ze sobą. Wątek „A” dotyczy lady Beatrice i ma nieco złowieszcze zabarwienie, nie uważasz?

– Nic z tego nie rozumiem.

– Zastanówmy się nad wątkiem „B”, ma on związek z bratem lady Beatrice. Człowiek ten całkowicie oszalał na punkcie zwycięstwa w derbach. Lichwiarze ostrzą sobie na niego zęby, w każdej chwili może stracić swe stajnie i konie i zostanie bankrutem. Sir Robert jest odważny i zdesperowany. Utrzymuje go siostra, której służąca jest narzędziem w jego rękach. Jak dotąd wszystko wydaje się zrozumiałe, prawda?

– Ale co z tą kryptą?

– No tak, krypta! Załóżmy, że, jest to jedynie dramatyczne przypuszczenie, tylko i wyłącznie hipoteza, czysta teoria, sir Robert zabił swoją siostrę.

– Mój drogi Holmesie, to jest absolutnie niemożliwe.

– Może masz rację, Watsonie. Sir Robert pochodzi z rodziny szlacheckiej. Ale w każdym stadzie znajdzie się czarna owca. Zastanówmy się przez chwilę nad taką możliwością. Sir Robert dokonuje zbrodni, ale nie może uciec za granicę, dopóki Książę nie wygra, a on sam nie dostanie pieniędzy. Dlatego musi tu zostać, ale żeby jego zbrodnia nie wyszła na jaw, powinien pozbyć się ciała i znaleźć osobę, która wcieli się w rolę jego siostry, co jest konieczne, by nie wywołać podejrzeń jej nagłym zniknięciem. Biorąc pod uwagę fakt, że jest w świetnych stosunkach ze służącą, przychodzi mu to niezwykle łatwo. Ciało może przenieść do krypty, gdyż jest to miejsce, gdzie prawie nikt nie bywa. Następnie w nocy pali je w piecu, zostawiając dowód w postaci fragmentu kości. Co ty na to, Watsonie?

– Jeśli przyjmiemy twoją straszliwą hipotezę, to wydaje się to prawdopodobne.

– Jutro przeprowadzimy mały eksperyment, może wtedy poznamy więcej szczegółów. A teraz, jeśli chcemy być wiarygodni, zaprośmy naszego gospodarza na kieliszek wina; pogadamy o węgorzach i innych rybach. Dzięki temu zdobędziemy jego zaufanie. Być może usłyszymy jakieś ciekawe miejscowe ploteczki, a to może się okazać przydatne.

Rankiem Holmes odkrył, że nie wzięliśmy ze sobą przynęty na szczupaki, dlatego musieliśmy zrezygnować z wędkowania. Około jedenastej poszliśmy na spacer; mój przyjaciel uzyskał pozwolenie na zabranie ze sobą czarnego spaniela.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł, gdy stanęliśmy przed wysoką bramą, prowadzącą do parku, na której widniał herb rodzinny.

– Pan Barnes mówił, że koło południa starsza pani wybiera się zwykle na przejażdżkę powozem, i w tym miejscu stangret musi nieco zwolnić, czekając, aż otworzą bramę. Gdy dorożka podjedzie pod bramę, chciałbym, Watsonie, żebyś zatrzymał stangreta pod byle pretekstem. Na mnie nie zwracaj uwagi. Będę stał za tym ostrokrzewem i spróbuję zajrzeć do wnętrza powozu.

Nie musieliśmy długo czekać. Po piętnastu minutach zobaczyliśmy wielki żółty pojazd z rozkładaną budą, ciągnięty przez dwa wspaniałe dostojne siwe konie. Holmes ukrył się za krzakiem razem z psem. Ja stałem beztrosko na środku alejki, machając laską. Z domku obok wybiegł dozorca i otworzył bramę.

Powóz jechał teraz bardzo wolno i dzięki temu mogłem się dokładnie przyjrzeć podróżującym. Na siedzeniu po lewej stronie zobaczyłem młodą dziewczynę o bezczelnym spojrzeniu z rumieńcami na twarzy i jasnymi włosami. Z prawej strony zauważyłem starszą przygarbioną osobę, której twarz i ramiona zasłonięte były szalami. Wszystko wskazywało na to, że jest to starsza niepełnosprawna kobieta. Gdy konie przekroczyły bramę, uniosłem bez wahania rękę i stangret zatrzymał powóz. Zapytałem, czy sir Robert przebywa obecnie w rezydencji.

W tej samej chwili Holmes wyszedł zza krzaków i spuścił spaniela ze smyczy. Pies podbiegł do powozu, radośnie szczekając, jednak bardzo szybko wesołe powitanie zmieniło się w dziką wściekłość. Patrząc na czarną spódnicę, znajdującą się nieco wyżej jego wzroku, zwierzę zaczęło głośno ujadać.

– Jedziemy! Jedziemy! – usłyszeliśmy ostry głos. Stangret uderzył konie batem, i po chwili zostaliśmy na drodze całkiem sami.

– Cóż, Watsonie, wszystko jasne – powiedział Holmes, zakładając obrożę na szyję podnieconego spaniela. – Myślał, że to jego pani, a okazało się, że w powozie siedzi ktoś obcy. Psy nigdy się nie mylą.

– Ale ten głos należał do mężczyzny! – krzyknąłem.

– Masz rację! Kolejna karta wpadła nam w ręce, ale tę partię należy rozegrać bardzo ostrożnie.

Mój towarzysz nie miał żadnych planów na popołudnie, więc poszliśmy wzdłuż strumienia, gdzie w końcu wykorzystaliśmy nasz sprzęt wędkarski, czego rezultatem był wyśmienity pstrąg podany na kolację. Dopiero po posiłku Holmes powrócił do tematu.

Ponownie znaleźliśmy się na drodze, która prowadziła do bramy parku. W ciemnościach czekał na nas wysoki mężczyzna. Okazał się nim trener koni John Mason, którego poznaliśmy w Londynie .

– Dobry wieczór, panowie – rzekł. – Dostałem pański list, panie Holmes. Sir Roberta nadal nie ma, ale słyszałem, że dziś wieczorem ma wrócić.

– Czy krypta znajduje sie daleko od domu? – zapytał Holmes.

– Mniej więcej ćwierć mili.

– Myślę zatem, że możemy zlekceważyć ostrzeżenia właściciela zajazdu.

– Nie mogę pójść z panami. Jak tylko wróci, od razu po mnie pośle. Będzie chciał, żebym streścił mu ostatnie wydarzenia w Shoscombe.

– Rozumiem! W takim wypadku musimy poradzić sobie sami, panie Mason. Proszę tylko pokazać nam kryptę, a potem wróci pan do siebie.

Noc była ciemna i księżyc nie oświetlał nam drogi, ale Mason pewnie poprowadził nas przez park; wkrótce potem ujrzeliśmy ciemny kształt budowli, która okazała się starą kaplicą. Weszliśmy do środka przez otwór w ścianie znajdujący się od strony niegdysiejszej kruchty. Pan Mason, potykając się o bryły gruzu, przedostał się do kąta pomieszczenie, skąd prowadziły schody do krypty, po czym zapalił zapałkę. Jej płomień rozświetlił to przygnębiające miejsce. Ujrzeliśmy wyjątkowo ponure pomieszczenie z sypiącymi się ścianami, wykonane z grubo ciosanego kamienia. Zewsząd unosił się zapach stęchlizny. Na ziemi stały stosy kamiennych i ołowianych trumien, sięgające aż do łukowego sklepienia. Holmes zapalił swoją małą latarkę, której jasny snop światła padał na poszczególne elementy pomieszczenia. Światło odbijało się od wiek trumien; widniały na nich herby rodziny, której korzenie sięgały odległej przeszłości, a jej członkowie dumnie kroczyli na spotkanie ze śmiercią.

– Mówił pan o kościach, panie Mason. Mógłby je nam pan pokazać, zanim nas opuści?

– Leżą w tym kącie.

Trener podszedł do miejsca, które wskazał, i zamilkł ze zdziwienia, gdy padło tam światło.

– Nie ma, nie ma kości! – wykrzyknął.

– Tak przypuszczałem – zachichotał Holmes. – Sądzę, że ich popiół nadal leży w piecu, który już wcześniej pochłonął część szczątków.

– Ale dlaczegóż, na Boga, ktokolwiek miałby palić resztki człowieka, który nie żyje od wieków? – zapytał John Mason.

– Jesteśmy tu po to, żeby wszystko wyjaśnić – odparł Holmes. – Poszukiwania dowodów zajmą nam trochę czasu, więc nie chcę już dłużej pana zatrzymywać. Sądzę, że nad ranem będziemy mieli rozwiązanie tej zagadki.

Gdy Mason nas opuścił, Holmes zaczął skrupulatnie badać groby. Rozpiętość w czasie była imponująca. Pierwsze groby sięgały czasów

anglosaskich, pośrodku leżały trumny, w których pochowano przodków z długiej linii z okresu panowania dynastii Normańskiej; były tam wreszcie szczątki sir Williama i Denisa Falderów z XVIII wieku. Po godzinie Holmes zaczął badać ołowianą trumnę, stojąca w kącie przed wejściem do krypty. Usłyszałem cichy pomruk zadowolenia i, widząc jego szybkie ukierunkowane ruchy, wiedziałem już, że znalazł to, czego szukał. Za pomocą lupy uważnie przyglądał się krawędziom ciężkiego wieka. Następnie wyjął z kieszeni krótki łom i włożył go w szczelinę, podważając przednią część wieka, zabezpieczonego jedynie kilkoma klamrami. Gdy zatrzaski puściły, usłyszeliśmy dźwięk otwierającej się pokrywy. Niestety, nie zdążyliśmy zajrzeć do środka trumny, bo nasze poszukiwania zostały przerwane.

Nagle usłyszeliśmy wyraźnie czyjeś kroki, dochodzące z góry. Ten ktoś kroczył szybko i pewnie, co świadczyło o tym, że doskonale znał drogę do kaplicy i dokładnie wiedział, po co tu przyszedł. Na schodach pojawił się strumień światła, i po chwili na gotyckim sklepieniu ujrzeliśmy cień mężczyzny. Jego potężna sylwetka była przerażająca i groźna. Przed sobą trzymał wielką latarnię, z tych, co zwykle wiszą w stajniach, która oświetlała twarz o ostrych rysach, przyozdobioną wąsami, i rozgniewane spojrzenie, którym omiótł całe pomieszczenie. W końcu zatrzymał swój piorunujący wzrok na mnie i moim towarzyszu.

– Do diabła, kto tu jest? – zagrzmiał. – I co robicie na terenie mojej posiadłości?

Holmes nie odezwał się ani słowem, więc gospodarz postąpił kilka kroków do przodu z uniesionym w górę drągiem, który przyniósł ze sobą.

– Słyszycie mnie? – krzyknął. – Kim jesteście? Co tu robicie? – Groził nam kijem.

Holmes nie przestraszył się gróźb i podszedł do napastnika.

– Ja również mam do pana pytanie, sir Robercie – powiedział charakterystycznym oziębłym tonem. – Kto to jest? I dlaczego leży w trumnie?

Następnie odwrócił się, otworzył wieko i oświetlił wnętrze latarką. Oczom ukazało sie ciało owinięte w prześcieradło. Uderzył mnie widok sinej rozpadającej się twarzy, wykrzywionej i pełnej zmarszczek, z której wystawały długi nos i podbródek; ciemne oczodoły wpatrywały się nieruchomo w przestrzeń.

Baronet krzyknął, cofając się, by wesprzeć się na kamiennym sarkofagu.

– Skąd pan o tym wie? – krzyknął, a następnie dodał zaczepnym tonem: – Jaki pan ma w tym interes?

– Nazywam się Sherlock Holmes – rzekł mój towarzysz. – Być może moje nazwisko obiło się panu o uszy. Prowadząc jakąkolwiek sprawę, pilnuję, by przestrzegano prawa, czyli tego, co powinno być ważne dla każdego prawego obywatela. Leży to w moim interesie. Pan, wydaje się, ma wiele na sumieniu.

Sir Robert przez chwilę patrzył na nas gniewnym wzrokiem, ale obojętny ton głosu Holmesa i jego opanowanie uspokoiły go nieco.

– Przysięgam na Boga, że nic złego się tu nie wydarzyło – rzekł. – Wiem, że wszystko wskazuje na to, iż popełniłem zbrodnię, ale nie mogłem tego inaczej rozwiązać.

– Chciałbym w to wierzyć, jednak sądzę, że powinien pan tłumaczyć się przed policją.

Sir Robert wzruszył swymi szerokimi ramionami.

– Jeśli to konieczne, to niech tak będzie. Proszę pójść ze mną do domu. Sami panowie zobaczą, jak się sprawy mają.

Kwadrans później znaleźliśmy się w zbrojowni starego domu, o czym świadczyły wypolerowane lufy pistoletów w szklanych gablotach. Stały tu wygodne sofy, na których usiedliśmy, gdy gospodarz na chwilę nas opuścił. Wrócił w towarzystwie dwóch osób. Jedną z nich była rumiana młoda kobieta (widzieliśmy ją w powozie), a drugą – niski człowieczek o szczurzej twarzy, którego zachowanie było nieprzyjemnie tajemnicze. Tych dwoje wyglądało na niezwykle zdziwionych, co świadczyło o tym, że baronet nie miał czasu, by opowiedzieć im o ostatnich wydarzeniach.

– Przedstawiam panom – rzekł sir Robert, wskazując ręką na przybyłą parę – pana i panią Norlett. Pani Norlett od lat jest zaufaną pokojówką mojej siostry i znana jest pod nazwiskiem Evans. Są to jedyni ludzie na świecie, którzy mogą potwierdzić moje słowa, a ja uważam, że najlepiej będzie, jeśli wyjawię panom całą prawdę.

– Czy to naprawdę konieczne, sir Robercie? Przemyślał pan w szczegółach swoją decyzję? – zapytała kobieta.

– Jeśli o mnie chodzi, nie miałem z tym nic wspólnego – wtrącił jej mąż.

Sir Robert popatrzył na niego z pogardą:

– Biorę na siebie całą odpowiedzialność. Panie Holmes, proszę wysłuchać całej tej historii. Sądząc po tym, gdzie pana spotkałem, jestem pewien, że jest on świadom wielu moich poczynań. Przygotowuję do wyścigów wspaniałego konia, i cała moja przyszłość zależy od tego, czy koń zwycięży. Jeśli wygra, wszystko się ułoży. Jeśli przegra, wtedy… boję się nawet o tym myśleć.

– Rozumiem, w jakiej sytuacji pan się znalazł – powiedział Holmes.

– Jestem całkowicie zależny od mojej siostry lady Beatrice. Wiadomo jednak, że wszelkie dochody z tej posiadłości należą do niej tylko do dnia jej śmierci. Ja z kolei tkwię po uszy w długach. Od zawsze wiedziałem, że jeśli moja siostra umrze, wierzyciele rzucą się na ten majątek jak sępy na padlinę. Zabiorą mi wszystko, w tym moją stadninę i moje konie…. Panie Holmes, moja siostra umarła tydzień temu.

– I nikomu pan o tym nie powiedział?

– Miałem coś wymyślić? Stanąłem w obliczu bankructwa. Chciałem tylko zataić ten fakt przez najbliższe trzy tygodnie. Obecny tu pan Norlett, mąż służącej, jest aktorem. Wpadliśmy na pomysł, a dokładniej mówiąc, ja to wymyśliłem, żeby on przez jakiś czas udawał moją siostrę. Do jego obowiązków należały tylko codzienne przejażdżki powozem i nic więcej, bo przecież nikt poza służącą nie wchodził do pokoju jej pani. Nietrudno było to zaaranżować. Moja siostra umarła na skutek puchliny wodnej, na którą cierpiała od wielu lat.

– O tym zdecyduje koroner.

– Jej doktor na pewno potwierdzi, że objawy od dawna wróżyły bliski koniec.

– Co pan zrobił po jej śmierci?

– Nie mogłem zostawić ciała w pokoju. Pierwszej nocy zanieśliśmy razem z Norlettem zwłoki do starego nieużywanego pawilonu, w którym znajduje się studnia. Niestety, poszedł za nami ulubiony spaniel Beatrice, który potem szczekał jak opętany przed drzwiami. Wiedziałem już wtedy, że zwłoki należy przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Najpierw pozbyłem się psa, a potem przenieśliśmy ciało do krypty pod kaplicą. W moim mniemaniu nie jest to brak poszanowania dla zmarłej, panie Holmes i nie wydaje mi się, żebym zbezcześcił jej zwłoki.

– Pańskiego czynu nie można niczym usprawiedliwić.

Baronet potrząsnął niecierpliwie głową.

– Łatwo jest prawić innym kazania – rzekł. – Gdyby był pan w mojej sytuacji, pewnie miałby inne zdanie. Nie można bezczynnie patrzeć, jak wszystkie marzenia i nadzieje mogą zostać zaprzepaszczone w jeden dzień. Wydawało mi się, że jeśli na jakiś czas miejscem spoczynku mej siostry będzie jedna z trumien przodków jej męża znajdująca się na poświęconej ziemi, to nic złego się nie stanie. Otworzyliśmy trumnę, usunęliśmy z niej szczątki i położyliśmy ciało mojej siostry. Nie mogliśmy jednak pozostawić starych kości na podłodze krypty. Razem z Norlettem przenieśliśmy je do pieca i w nocy spaliliśmy. Oto cała historia, panie Holmes, choć to, jak pan odkrył mój sekret i zmusił, bym go panu wyjawił, jest niezwykłe.

Holmes przez chwilę siedział, zamyślony.

– Jest jedna rzecz, która się nie zgadza, sir Robercie – powiedział w końcu. – Mam na myśli pańskie zakłady, a co za nimi idzie, nadzieję na lepszą przyszłość. Gdyby wierzyciele pozbawili nawet pana majątku, i tak mógłby żyć pan z wygranej.

– Koń jest częścią majątku, inaczej w ogóle nie zależałoby im na tym wyścigu. Prawdopodobnie wcale nie wystawiliby konia. Największe długi zaciągnąłem u mojego najzagorzalszego wroga, nie lada łobuza Sama Brewera, którego kiedyś przetrenowałem batem na torze wyścigowym Newmarket Heath. Czy naprawdę myślicie, panowie, że oszczędziłby mnie?

– Cóż, sir Robercie – rzekł Holmes, wstając z krzesła – bez dwóch zdań sprawę tą należy zgłosić na policję. Muszę dopilnować, by fakty wyszły na światło dzienne. Na tym moja praca się zakończy. Nie mnie jednak oceniać pański kręgosłup moralny albo poczucie przyzwoitości. Watsonie, dochodzi północ, powinniśmy się chyba udać do naszych skromnych kwater.

Historia ta zakończyła się radosną wieścią od sir Roberta: jego działanie się opłaciło. Książę Shoscombe wygrał derby, właściciel konia zgarnął osiemdziesiąt tysięcy funtów z zakładów, a do chwili zwycięstwa udało mu się utrzymać wierzycieli z dala od majątku. Wygrana pozwoliła sir Robertowi spłacić długi i poukładać sobie życie na nowo. Zarówno policjanci, jak i koroner popatrzyli na przewinienia sir Roberta przez palce i poza reprymendą za zwłokę w zgłoszeniu śmierci starszej pani, baronet wyszedł z opresji bez szwanku. Ten dziwny incydent w jego życiu pomógł

mu stanąć na nogi, i można przypuszczać, że uda mu się dożyć sędziwego wieku.

Opowieść dwunasta

Emerytowany sprzedawca farb

Tego ranka Sherlock Holmes był w melancholijnym filozoficznym nastroju. Jego czujny i praktyczny umysł często poddawał się takim stanom.

– Widziałeś go? – zapytał.

– Masz na myśli tego mężczyznę, który przed chwilą stąd wyszedł?

– Nie inaczej.

– Tak, minęliśmy się drzwiach – odparłem.

– Co o nim sądzisz?

– Żałosna istota, mizerna i przybita.

– Trafiłeś, Watsonie. Żałosny mizerny człowiek. Ale czy cały świat nie jest żałosny i mizerny? Czy osobista historia człowieka nie jest tylko odzwierciedleniem tego, co doświadcza świat, tylko na mniejszą skalę? Mamy marzenia. Spełniamy je. Ale cóż pozostaje nam na koniec? Cień. Albo nawet gorzej – cierpienie.

– Czy to był twój nowy klient?

– Można tak powiedzieć. Przysłali go do mnie ze Scotland Yardu, podobnie jak lekarze, którzy czasami wysyłają swoich nieuleczalnie chorych pacjentów do znachora. Twierdzą wtedy, że oni już nie poradzą, a stan pacjenta jest tak zły, że i tak nic go już nie pogorszy.

– Jaki problem sprowadził tego dżentelmena?

Holmes podniósł ze stołu poplamioną wizytówkę.

– Jozajasz Amberley. Twierdzi, że był kiedyś wspólnikiem w firmie Brickfall i Amberley, produkującej artykuły dla artystów malarzy. Nazwa ta często widnieje na opakowaniach farb. Po wielu latach żmudnej pracy zarobił tyle pieniędzy, że w wieku sześćdziesięciu jeden lat odszedł na emeryturę, kupił dom w Lewisham, przeprowadził się tam i wreszcie

mógł się napawać odpoczynkiem. Wydawało się, że czeka go skromne spokojne życie.

Holmes zerknął na zapiski nabazgrane na odwrotnej stronie koperty.

– Przeszedł na emeryturę w 1896 roku. W 1897 roku pojął za żonę młodszą o dwadzieścia lat kobietę i, jeśli ta fotografia nie kłamie, to była ona bardzo urodziwa. Miał więc pieniądze, żonę i cieszył się życiem. Wszystko układało się wspaniale. A jednak w ciągu dwóch lat zmienił się, jak sam zauważyłeś, w przygnębionego nieszczęśliwego człowieka.

– Znasz powód jego kłopotów?

– To, co zwykle, Watsonie. Nielojalny przyjaciel i niewierna żona. Pan Amberley ma jedno hobby – grę w szachy. W Lewisham mieszka niedaleko niego pewien lekarz, który również jest amatorem tego szlachetnego sportu. Mam tu zapisane jego imię, nazywa się Ray Ernest. Lekarz ten często odwiedzał mojego klienta, więc nikogo nie dziwiło, że stosunki między nim a panią Amberley stały się dosyć zażyłe, gdyż, nawet na pierwszy rzut oka widać, jak się zresztą sam przekonałeś, iż nasz nieszczęsny klient nie grzeszy urokiem osobistym, choć pewnie ma inne zalety. Przyjaciel lekarz i żona mego klienta uciekli w zeszłym tygodniu i nikt nie wie dokąd. Co więcej, jego niewierna małżonka zabrała ze sobą kasetkę na dokumenty, w której pan Amberley trzymał większość oszczędności. Czy tę kobietę da się odszukać? Czy uda się odzyskać pieniądze klienta? Problem jest dość pospolity, jednak dla pana Jozajasza Amberleya jest niezwykle istotny.

– Co zamierzasz zrobić?

– Mój drogi, pytanie powinno brzmieć: „Co ty, Watsonie, zamierzasz zrobić?”, jeśli oczywiście będziesz tak dobry i zechcesz mnie zastąpić. Wiesz przecież, że obecnie zajmuję się sprawą dwóch patriarchów kościoła koptyjskiego, która już dziś powinna się wyjaśnić. W tej chwili naprawdę nie mam czasu, żeby jechać do Lewisham, a przecież dowody zgromadzone na miejscu zdarzenia są niezwykle istotne. Starszy pan bardzo nalegał, żebym to ja właśnie pojechał, ale wytłumaczyłem mu, dlaczego nie mogę tego uczynić. Zapewniłem go, że przyjedzie mój przedstawiciel.

– Oczywiście, pojadę – odparłem. – Szczerze mówiąc, nie sądzę, żebym zdołał jakoś pomóc, ale zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy.

I tak pewnego letniego dnia wyruszyłem do Lewisham, marząc po cichu, by problem, z jakim przyjdzie mi się zmierzyć w tym tygodniu, stał się tematem numer jeden w całej Anglii.

Gdy wróciłem na Baker Street, by zdać relacje z mojej wyprawy, było już dość późno. Słuchając mnie, Holmes siedział, wtulony całym swoim chudym ciałem w fotel, i pykał spokojnie fajkę, z której unosił się gryzący dym. Miał błogi wyraz twarzy; powieki opadły leniwie na oczy i wydawało się, że za chwilę zaśnie, ale gdy tylko zawieszałem głos lub moja opowieść nasuwała jakieś pytania, jego szare oczy się otwierały, a żywe spojrzenie przewiercało mnie na wylot niczym rapier.

– Dom pana Jozajasza Amberleya nazywa się „Przystań”. Myślę, że to cię powinno zainteresować. Posiadłość wygląda jak zubożały patrycjusz, który zagubił się wśród swych poddanych. Znasz tę dzielnicę – na ulicach kostka brukowa, a dojechać do niej można tylko podmiejską podniszczoną drogą. Gdzieś pośrodku znajduje się ten stary dom, niczym mała oaza starożytnej kultury i stylu, otoczony wysokim popękanym murem, gdzieniegdzie nakrapianym mchem…

– Watsonie, daruj sobie, proszę, ten poetycki opis – rzekł Holmes ostrym tonem. – Istotne jest to, że to wysoki ceglany mur.

– Zgadza się. Żeby się dowiedzieć, gdzie znajduje się „Przystań”, musiałem zapytać o drogę jakiegoś przypadkowego przechodnia, palącego fajkę. Mam powody, by o nim wspomnieć. Był to wysoki ciemnowłosy mężczyzna, obdarzony gęstymi wąsami. Wyglądał na wojskowego. W odpowiedzi na moje pytanie pokiwał głową, a w jego oczach dostrzegłem ciekawość, o czym przypomniałem sobie dopiero później. Nie zdążyłem jeszcze przekroczyć bramy, gdy zauważyłem pana Amberleya wychodzącego z domu. Dziś rano nie miałem okazji mu się przyjrzeć, choć nawet krótkie spojrzenie pozwoliło mi wywnioskować, że jest to dziwny człowiek. Gdy zobaczyłem go w pełnym świetle, wydał się jeszcze bardziej osobliwy.

– Ja mu się przyjrzałem, ale chciałbym wiedzieć, jakie ty odniosłeś wrażenie – rzekł Holmes.

– Tego człowieka troski dosłownie przygniatają do ziemi. Garbi się bardzo, wydaje się, jakby dźwigał na barkach ogromny ciężar. A jednak nie wygląda na słabeusza, za jakiego na początku go uważałem – ma szerokie jak u atlety ramiona i klatkę piersiową, sylwetka zwęża się ku dołowi i kończy się dwiema umięśnionymi nogami. I wiesz co? Jego lewy but jest bardziej zniszczony niż prawy.

– Nie zwróciłem na to uwagi! – wykrzyknął Holmes.

– To jasne. Jestem lekarzem, zauważyłem, że ma sztuczną nogę.

– Kontynuuj, proszę.

– Zdumiały mnie wijące się pukle siwych włosów, wystające spod starego słomianego kapelusza, i mocno pomarszczona twarz o zawziętym żywym spojrzeniu.

– Bardzo dobrze, Watsonie. Co powiedział?

– Zaczął wylewać swe gorzkie żale. Szliśmy alejką, więc miałem okazję, by się dobrze rozejrzeć. Pierwszy raz widziałem tak zaniedbany dom. Ogród był całkowicie zarośnięty, pozostawione samym sobie rośliny wyglądały tak, jakby celem ich wegetacji był powrót do natury, a nie ozdabianie ogrodu. Nie wiem, czy jakakolwiek porządna kobieta była w stanie żyć w takim otoczeniu. Dom był również zapuszczony. Ten biedny starszy człowiek zdawał sobie z tego sprawę i najwidoczniej chciał pomalować fasadę, bo w korytarzu stała puszka zielonej farby, a on sam miał w ręku gruby pędzel. Widocznie miał zamiar się zabrać za malowanie drewnianej framugi.

Zaprowadził mnie do swej zapuszczonej pracowni, gdzie długo sobie pogawędziliśmy. Oczywiście, był nieco zawiedziony faktem, że nie stawiłeś się osobiście. „Nie sądziłem – rzekł – że taka skromna osoba jak ja, zwłaszcza teraz, gdy straciłem większość swego majątku, zwróci na siebie uwagę tak sławnego człowieka, jakim jest pan Sherlock Holmes”.

– Uspokoiłem go, mówiąc, że się nie musi martwić o finanse. „No tak, dla tego wielkiego detektywa prowadzenie sprawy jest samo w sobie ekscytujące – powiedział – i może się okazać, że nawet w tym przypadku znajdzie dla siebie coś interesującego. Och! Ludzka natura jest okrutna, doktorze Watson, a najgorsza jest ta niewdzięczność. Spełniałem wszystkie zachcianki mojej żony. Nie ma na świecie kobiety, której tak by dogadzano. A ten młodzieniec mógłby być moim synem. Często odwiedzał nas w moim domu. Widzi, pan jak mnie potraktowali. Doktorze, świat jest naprawdę okrutny i bezduszny.

– Przez godzinę opowiadał mi o swoim cierpieniu. Twierdził, że była to przemyślana intryga. Małżonkowie mieszkali tylko we dwoje. Każdego dnia rano przychodziła służąca i zostawała do szóstej po południu. Owego feralnego dnia Amberley, chcąc sprawić żonie przyjemność, kupił bilety do teatru Haymarket, najlepsze miejsca, na balkonie. Gdy już mieli wychodzić, żona poskarżyła się na ból głowy i stwierdziła, że zostanie

w domu. Mąż udał się na przedstawienie sam. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości, bo pokazał mi niewykorzystany bilet małżonki.

– Niezwykła historia – rzekł Holmes coraz bardziej zainteresowany moją opowieścią. – Proszę, mów dalej, Watsonie. Twoja relacja jest bardzo ciekawa. Czy dokładnie obejrzałeś ten bilet? A może przez przypadek zapamiętałeś numer miejsca?

– W rzeczy samej, zapamiętałem. – Byłem z siebie bardzo dumny. – Nie sprawiło mi to trudności, gdyż był to mój numer w dzienniku klasowym w czasach szkolnych. Trzydzieści jeden.

– Doskonale, Watsonie! Zatem mąż musiał siedzieć na miejscu numer trzydzieści albo trzydzieści dwa.

– Zgadza się – odpowiedziałem nieco zafrapowany. – Rząd B.

– Wspaniale! Co jeszcze ci powiedział?

– Pokazał mi pomieszczenie, które nazywa skarbcem. To naprawdę dobrze zabezpieczony pokój, jak w banku. Prowadzą do niego metalowe drzwi, zewnętrzne okiennice też są metalowe, i jak twierdzi właściciel, żaden włamywacz się nie dostanie do środka. Sądzę jednak, że pani Amberley miała drugi klucz i zabrała ze sobą gotówkę i papiery wartościowe, warte siedem tysięcy funtów.

– Papiery wartościowe? Jak zamierzają je sprzedać?

– Gospodarz powiedział, że złożył na policji listę i liczy na to, iż złodziejom nie uda się niczego sprzedać. Około północy wrócił z teatru. Mieszkanie zastał całkowicie splądrowane, drzwi i okna pootwierane. Żony nie było nigdzie. Nie zostawiła żadnej wiadomości ani listu, nie odezwała się od tamtej pory ani słowem. Natychmiast zawiadomił policję.

Mój przyjaciel się zamyślił:

– Twierdzisz, że zabierał się do malowania? Co chciał pomalować?

– Ścianę w korytarzu. Wcześniej pomalował już drzwi i drewnianą framugę, jak wspomniałem.

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że w tych przykrych okolicznościach znalazł sobie akurat takie zajęcie?

– Ludzie robią czasem różne rzeczy, żeby tylko zająć czymś swe myśli. Właśnie tak wytłumaczył swe czynności. To dość dziwne zachowanie, ale i on sam jest ekscentryczny. Gdy tam byłem, podarł na kawałeczki fotografię swojej żony. Był wściekły, przemawiał przez niego straszliwy gniew. „Nigdy więcej nie chcę widzieć jej przeklętej twarzy” – krzyczał.

– Coś jeszcze, Watsonie?

– Jest jedna rzecz, na którą zwróciłem szczególną uwagę. Gdy skończyliśmy rozmowę, pojechałem na dworzec Blackheath i wsiadłem do pociągu. Gdy ten ruszał, zobaczyłem, jak w ostatniej chwili do przedziału obok wskoczył mężczyzna. Wiesz dobrze, Holmesie, że mam dar zapamiętywania twarzy. Był to bez wątpienia ten wysoki ciemnowłosy mężczyzna, którego zaczepiłem wcześniej na ulicy. Widziałem go jeszcze raz na London Bridge, a potem zgubił się w tłumie. Jestem jednak przekonany, że mnie śledził.

– Z całą pewnością! – odparł Holmes. – Twierdzisz, ze był to wysoki mężczyzna z długimi wąsami w przyciemnionych okularach?

– Holmesie, ty chyba jesteś czarownikiem. Nie mówiłem przecież, że miał okulary.

– Miał też pewnie masońską szpilkę do krawata?

– Holmesie!

– To bardzo proste, mój drogi Watsonie. Ale na razie zajmijmy się faktami. Muszę przyznać, że sprawa, która wyglądała na absurdalnie prostą i trywialną, nabiera w szybkim tempie rumieńców. Poza istotnymi szczegółami, na które nie zwróciłeś uwagi, te, które same wpadły ci w oczy, są podstawą do przemyśleń.

– Co umknęło mojej uwadze?

– Mój przyjacielu, nie chciałem cię urazić. Wiesz, że stronię od osobistych przytyków. Nikt inny nie wykonałby tego zadania lepiej niż ty. Są tacy, co uczyniliby je w miarę dobrze. Umknęły ci jednak pewne istotne elementy. Co sądzą sąsiedzi o panu Amberleyu i jego żonie? To z pewnością jest ważne. Czy mówili coś o młodym doktorze, który grywał ze starszym panem w szachy? Czy rzeczywiście był kobieciarzem? Masz nieodparty urok, Watsonie, który powoduje, że wszystkie kobiety chętnie ci pomagają. A może dowiedziałbyś się czegoś od dziewczyny pracującej na poczcie albo od żony sprzedawcy warzyw? Wyobrażam sobie, jak szepczesz słodkie banały do uszka młodej dziewoi w zajeździe „Pod Niebieską Kotwicą”, a w zamian uzyskujesz kilka istotnych informacji. O tym nie pomyślałeś!

– Nic straconego, mogę tam jeszcze wrócić.

– Nie musisz się już kłopotać. Telefony i policjanci ze Scotland Yardu pomagają mi zbierać informacje bez wychodzenia z domu. Fakty, które

zdobyłem, potwierdzają słowa naszego klienta. W okolicy ma opinię liczykrupy i surowego męża. Potwierdziło się również, że w tym swoim skarbcu trzymał dużą sumę pieniędzy. Wiem także, że młody doktor Ernest jest kawalerem, grywał w szachy z Amberleyem i prawdopodobnie z żoną naszego emeryta łączyło go ciepłe uczucie. Sprawa niby oczywista, a jednak tak nie jest.

– W czym leży problem?

– Prawdopodobnie w mojej wyobraźni. I tymczasem pozostawmy go tam, Watsonie. Wyrwijmy się z tego prozaicznego świata pracy przez drzwi prowadzące do muzyki. Dziś wieczorem w Albert Hall występuje Carina. Jeszcze zdążymy się przebrać i zjeść kolację, a potem pójdziemy się rozkoszować jej śpiewem.

Następnego dnia wstałem wcześnie rano, ale pozostawione na stole okruszki po tostach i dwie skorupki po jajkach wskazywały na to, że mój towarzysz był na nogach dużo przede mną. Znalazłem też pośpiesznie zapisaną wiadomość.

> Drogi Watsonie. Istnieje kilka elementów, o których chciałbym pomówić z panem Jozajaszem Amberleyem. Gdy to uczynię, będziemy mogli uznać sprawę za zamkniętą albo i nie. Prosiłbym, żebyś był w domu około trzeciej, bardzo możliwe, że będziesz mi potrzebny. S.H.

Holmes wrócił o umówionej godzinie. Był poważny, małomówny i pochłonięty swoimi myślami. W takich chwilach lepiej było mu nie przeszkadzać.

– Czy był tu pan Amberley?

– Nie – odparłem.

– Ach tak! Czekam na niego.

Nie trwało to długo, gdyż starszy pan właśnie wszedł do pokoju, a na jego zatroskanej twarzy malowało się zaskoczenie.

– Dostałem telegram, panie Holmes. Nic z tego nie rozumiem. – Gość wręczył kartkę Holmesowi, który przeczytał na głos:

> Proszę natychmiast przyjechać. Mam informacje o pańskiej zgubie. ELMAN.

– List przyszedł z plebanii.

– Wysłano go o drugiej dziesięć z Little Purlington – rzekł Holmes. – Little Purlington to miejscowość w hrabstwie Essex, niedaleko Frinton. Oczywiście, natychmiast pan tam pojedzie. Najwyraźniej wiadomość pochodzi od osoby godnej zaufania, od tamtejszego księdza. Gdzie jest spis księży z tamtych okolic? O, proszę, jest: „J. C. Elman, magister teologii, zamieszkały w Little Purlington”. Przyjacielu, sprawdź, proszę, pociągi.

– Jest taki, co odjeżdża o piątej dwadzieścia z dworca przy Liverpool Street.

– Doskonale! Watsonie, powinieneś pojechać z naszym klientem. Być może będzie pan potrzebował pomocy mego przyjaciela. Przed nami przełomowy moment.

Jednak nasz klient wcale się nie palił do wyjazdu.

– To absurdalne, panie Holmes – rzekł. – Cóż ten człowiek może wiedzieć na temat mojej żony i mych oszczędności? Ta podróż to według mnie strata czasu i pieniędzy.

– Nie wysłałby do pana telegramu, gdyby nie wiedział czegoś istotnego. Proszę zatelegrafować do niego, że pan przyjedzie.

– Nie sądzę, żeby moja obecność tam była konieczna.

Holmes przybrał swą najsurowszą minę.

– Pańska odmowa wywarłaby zarówno na mnie, jak i na policji wyjątkowo złe wrażenie. Nie wyglądałoby dobrze, gdyby w świetle pojawiających się nowych dowodów z takim uporem odmawiał pan zapoznania się z nimi. Oznaczałoby to, że ma pan coś do ukrycia.

Te słowa wyraźnie przestraszyły naszego klienta.

– Jeśli tak to pan odbiera, to oczywiście pojadę – odparł. – Choć nadal nie uważam, że ten ksiądz wie cokolwiek o mojej sprawie, ale skoro pan naciska…

– Owszem, naciskam – rzekł Holmes stanowczo.

Wyruszyliśmy zatem w podróż do Little Purlington. Przed wyjściem z domu przy Baker Street Holmes dał mi na osobności ostatnie wskazówki. Świadczyło to o tym, że sprawa jest poważna.

– Musisz zrobić wszystko, by nasz klient pojechał – powiedział. – Gdyby jednak uciekł albo wrócił sam do domu, znajdź najbliższą budkę telefoniczną i powiedz hasło: „Czmychnął”. Zaaranżuję wszystko tak, by dostać tę wiadomość bez względu na to, gdzie będę.

Do tej niewielkiej miejscowości nie jest łatwo się dostać, gdyż prowadzi do niej jedynie boczna linia kolejowa. Podróż nie należała do przyjemnych, ponieważ było niewiarygodnie gorąco, pociąg jechał wolno, a mój towarzysz był milczący i zamyślony. Poza kilkoma ironicznymi uwagami dotyczącymi bezcelowości tej wyprawy nie odezwał się ani słowem. Na niewielkiej stacji przesiedliśmy się w powóz i po przejechaniu dwóch mil dotarliśmy do plebanii, gdzie przywitał nas w swym gabinecie potężny i trochę pompatyczny ksiądz. Na biurku leżał telegram, który otrzymał od nas.

– Jak mogę panom pomóc – zapytał?

– Przyjechaliśmy w odpowiedzi na telegram od pana – wyjaśniłem.

– Ale ja nie wysyłałem żadnej wiadomości.

– Mam na myśli telegram, który nadał pan do Jozajasza Amberleya w sprawie jego żony i pieniędzy.

– Szanowny panie, jeśli to jakiś żart, to mało śmieszny – odburknął gniewnie ksiądz. – Nigdy nie słyszałem takiego nazwiska i nie nadawałem żadnych telegramów.

Nasz klient i ja popatrzyliśmy na siebie ze zdziwieniem.

– Nastąpiła jakaś pomyłka – rzekłem. – Czy pan jest jedynym księdzem w okolicy? Proszę, oto telegram, na dole widnieje nazwisko Elman.

– Tu jest tylko jedna plebania, sir, i tylko jeden ksiądz, a ten telegram jest sfałszowany i powinien zostać zbadany przez policję. Tymczasem panowie pozwolą, że ich pożegnam.

Tak oto razem z panem Amberleyem znaleźliśmy się na drodze w tej, jak mi się wydawało, najbardziej zapomnianej wiosce w całej Anglii. Chciałem zatelegrafować do Holmesa, ale poczta była już nieczynna. Na stacji kolejowej była jednak budka telefoniczna, zadzwoniłem do mego przyjaciela, który był równie zdziwiony jak my, usłyszawszy, jaki przebieg miała nasza wizyta.

– Niewiarygodne! – powiedział głos w słuchawce. – Doprawdy niezwykłe! Obawiam się, mój drogi Watsonie, że dziś już nie ma żadnego pociągu do Londynu. Niechcący skazałem was na koszmar spędzenia nocy w zajeździe, chociaż zawsze jest jeszcze przyroda, no i Jozajasz Amberley, możesz się zbliżyć do nich obojga. – W słuchawce dało się słyszeć niegłośny chichot mego przyjaciela.

Bardzo szybko się przekonałem, że mój towarzysz podróży w pełni zasłużył sobie na miano skąpca. Narzekał na ceny biletów, nalegał, byśmy pojechali w przedziale trzeciej klasy, i nie śpieszył się z zapłaceniem rachunku za nocleg. Trudno stwierdzić, który z nas następnego dnia w gorszym humorze dotarł do Londynu.

– Myślę, że powinien pan wstąpić na Baker Street – powiedziałem. – Być może pan Holmes będzie miał jakieś nowe informacje.

– Jeśli są tyle warte, co ostatnie rewelacje, to nie będą zbyt pomocne – odburknął Amberley niechętnie. Niemniej jednak dotrzymał mi towarzystwa. Choć powiadomiłem Holmesa telegramem o godzinie naszego przyjazdu, na Baker Street znaleźliśmy karteczkę, na której napisał, że wyruszył do Lewisham, gdzie będzie oczekiwał naszego powrotu. Informacja ta bardzo nas zaskoczyła, choć jeszcze bardziej zdziwił fakt, że w salonie domu w Lewisham oprócz Holmesa siedział ktoś jeszcze. Zobaczyłem poważnego człowieka o kamiennej twarzy, w przyciemnionych okularach. Na jego krawacie widniała masońska szpilka.

– Przedstawiam panom mojego znajomego, pana Barkera – powiedział Holmes. – On także interesuje się pańską sprawą, choć każdy z nas pracuje na własną rękę. Obaj chcielibyśmy zadać panu te same pytania.

Pan Amberley opadł ciężko na krzesło. Wyczuwał nadciągające niebezpieczeństwo. Poznałem to po jego wybałuszonych oczach i wykrzywionej twarzy.

– Co chciałby pan wiedzieć, panie Holmes?

– W zasadzie tylko jedno. Co pan zrobił ze zwłokami?

Gospodarz poderwał się na równe nogi, krzycząc przeraźliwie. Zaczął wygrażać nam swymi kościstymi rękami. Stał tak z otwartymi ustami, wyglądając jak straszny drapieżny ptak. Przez chwilę zobaczyliśmy prawdziwe oblicze Jozajasza Amberleya, zdeformowanego demona, którego dusza była równie zniekształcona jak jego ciało. Gdy w końcu opadł ciężko na krzesło, zasłonił sobie usta dłonią, jakby próbował stłumić kaszel. Holmes gwałtownie skoczył ku niemu niczym tygrys i przycisnął twarz mężczyzny do ziemi. Z jego ust wypadła biała pigułka.

– Niełądnie tak wybierać sobie drogę na skróty, panie Jozajaszu Amberley. Tę sprawę należy zakończyć we właściwy sposób. Jaki pan ma plan, panie Barker?

– Dorożka czeka przed drzwiami – odparł nasz tajemniczy towarzysz.

– Komisariat jest niedaleko. Pojadę z panem. Watsonie, poczekaj tu na mnie. Wrócę za pół godziny.

Starszy człowiek okazał się silny jak lew, ale i tak nie dał rady dwóm doświadczonym łowcom złoczyńców. Gdy prowadzili go do dorożki, ciągle wierzgał i wyrywał się z rąk swej eskorty. Zostałem zupełnie sam w tym pechowym domu. Holmes wrócił w czasie krótszym, niż się tego spodziewałem, a razem z nim do pokoju wszedł młody przystojny inspektor policji.

– Barker został na komisariacie, musi załatwić jakieś formalności – rzekł Holmes. – Nie miałeś jeszcze okazji go poznać, Watsonie. To mój zaprzysięgły rywal z Surrey. Gdy powiedziałeś mi o wysokim ciemnowłosym mężczyźnie, wiedziałem już, o kim mowa. Trzeba przyznać, że parę spraw udało mu się rozwiązać, prawda, inspektorze?

– Na pewno kilka razy ingerował w nasze śledztwa – odparł powściągliwie inspektor.

– Ma nietypowe metody, podobnie zresztą jak i ja. Ci, których metody są oryginalne, często okazują się przydatni. Na przykład, gdyby z uporem maniaka chciał pan przeforsować mój pomysł i przedstawić temu złoczyńcy znaną formułkę, iż wszystko, co powie może być użyte przeciwko niemu, nigdy nie przeprowadzilibyśmy tego blefu, który praktycznie zakończył się jego przyznaniem się do winy.

– Być może ma pan rację. Ale ja także osiągnąłbym swój cel, panie Holmes. Niech się panu nie wydaje, że nie mieliśmy swoich własnych podejrzeń co do tej sprawy i że nie złapalibyśmy w końcu tego człowieka. Proszę wybaczyć nasze oburzenie, ale nagle pojawia się pan z tymi swoimi metodami, które dla nas są nie do przyjęcia, i zbiera laury.

– Proszę się nie obawiać, panie MacKinnon, nie odbiorę wam zaszczytów. Zapewniam pana, że od tej chwili nie będę już interesował się tą sprawą, a jeśli chodzi o Barkera, robił tylko to, o co go prosiłem, więc i jego zasług tu nie ma.

Inspektor chyba poczuł znaczną ulgę.

– To bardzo szlachetne z pana strony, panie Holmes. Dla pana pochwały lub reprymendy nie mają znaczenia, ale jeśli o nas chodzi, to zupełnie inna historia, zwłaszcza gdy dziennikarze zaczynają zadawać pytania.

– Rozumiem. Jestem jednak pewien, że pojawią się na komisariacie, dobrze byłoby zatem, gdyby pan wiedział, co odpowiedzieć, kiedy jakiś

bystry i ciekawski reporter zapyta, jakie poszlaki wzbudziły pana podejrzliwość i doprowadziły do rozwiązania tej sprawy.

Inspektor popatrzył na mego towarzysza, zmieszany.

– Na razie brakuje nam faktów, panie Holmes. Jedyne, co mamy, to pańskie słowa, że gospodarz domu w obecności trzech świadków przyznał się właściwie do zbrodni, gdyż chciał popełnić samobójstwo. Tym samym poświadczył, że zamordował żonę i jej kochanka. Czy zna pan inne dowody?

– Czy kazał pan przeszukać dom?

– Posłałem po trzech posterunkowych, są już w drodze.

– No to wkrótce będzie miał pan przed sobą dowód całkowicie obciążający małżonka. Te dwa ciała muszą tu gdzieś być. Radzę przeszukać piwnicę i ogród. To nie powinno zająć wam zbyt wiele czasu. Dom jest starszy niż kanalizacja. Musi tu gdzieś być stara studnia. Proszę tam szukać.

– Ale jak pan na to wpadł, i w jaki sposób Amberley dokonał zabójstwa?

– Najpierw opowiem wam, w jaki sposób zabił swą żonę i jej kochanka, a potem wyjaśnię, jak to odkryłem. Jestem bardzo wdzięczny mojemu przyjacielowi, który przy okazji tej sprawy tak wiele wycierpiał, ale przysłużył się do jej rozwiązania. Najpierw jednak należy powiedzieć parę słów o mentalności Amberleya. Jego umysł pracuje w bardzo nietypowy sposób, sądzę nawet, że zamiast na stryczku powinien skończyć w szpitalu psychiatrycznym. Taka mentalność była właściwa raczej średniowiecznym Włochom, u współczesnych Brytyjczyków jest rzadkością. Człowiek ten jest nieszczęśliwym skąpcem, który tak uprzykrzył życie swojej żonie, że ta gotowa była odejść z pierwszym lepszym adoratorem. W naszym konkretnym wypadku okazał się nim doktor, z którym mrukliwy małżonek grywał w szachy. Amberley jest mistrzem szachów. Ludzie przebiegli zwykle świetnie sobie radzą w tej grze. Jak każdy skąpiec, starszy człowiek bywał zazdrosny, co w końcu przeobraziło się w obsesję. Słusznie czy nie, podejrzewał, że jego żona romansuje z lekarzem. Za wszelką cenę chciał się zemścić na niewiernej małżonce i nielojalnym przyjacielu, więc swą wendettę zaplanował z diaboliczną wręcz precyzją. Podejdźcie, panowie!

Holmes poprowadził nas pewnym krokiem przez korytarz, jakby to on sam mieszkał w tym domu, i zatrzymał się przed otwartymi drzwiami skarbca.

– Fuj! Ten okropny zapach farby! – wykrzyknął inspektor.

– To była pierwsza wskazówka – odparł Holmes. – Można za nią podziękować doktorowi Watsonowi, choć nie sądził on, że ten fakt może mieć jakieś znaczenie. Uczepiłem się go: dlaczego w tak przykrym dla siebie okresie mężczyzna spowodował, by tak silna woń przeniknęła cały dom? Oczywiście, po to, by zabić nią inny zapach, który najwyraźniej bardzo chciał ukryć. Mam na myśli tajemniczą woń, która mogłaby wywołać podejrzenia. Następnie moją uwagę przykuł ten pokój z metalowymi drzwiami i okiennicami. Pomieszczenie to może być przecież hermetycznie zamknięte. Połączmy ze sobą te dwa fakty i dokąd nas to zaprowadzi? Mogłem się tego dowiedzieć jedynie, przyjeżdżając tu osobiście. Na tym etapie wiedziałem już, że sprawa jest poważna, gdyż zasięgnąłem informacji w kasie biletowej teatru Haymarket – kolejny strzał w dziesiątkę Watsona – i dowiedziałem się, że na balkonie w rzędzie B ani miejsce numer trzydzieści dwa, ani trzydzieści nie były tego wieczoru zajęte. A to znaczy, że Amberley nie był wtedy na spektaklu, co z kolei przekreśliło jego alibi. Popełnił błąd, pozwalając, by mój bystry przyjaciel zauważył numer miejsca przeznaczonego dla żony. Zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób przeszukać dom. Postanowiłem wysłać go do wioski, do której ciężko było dotrzeć. Amberley powinien przybyć na miejsce o takiej porze, żeby powrót do Londynu był już niemożliwy. Aby wszystko poszło zgodnie z planem, towarzyszył mu doktor Watson. Nazwisko księdza znalazłem w spisie księży. Czy do tej pory wszystko jest jasne?

– Jak najbardziej. To mistrzowska akcja – rzekł inspektor, a w jego głosie dało się wyczuć wielki szacunek.

– Wiedząc, że nikt mi nie przeszkodzi, mogłem swobodnie przetrząsnąć dom. Zawsze uważałem, że gdybym nie był tym, kim jestem, pracowałbym jako włamywacz, co więcej, jestem przekonany, że byłbym w tym doskonały. Proszę zobaczyć, co znalazłem. Widzicie, panowie, tę rurę gazową przy listwie przypodłogowej? Dobrze. W tym miejscu, w kącie, idzie ona po ścianie w górę, a tu w rogu znajduje się kurek. Dalej, jak widzicie, rura biegnie do skarbca i znika pod tą gipsową rozetą na środku sufitu. Koniec rury nie jest niczym zabezpieczony. W każdej chwili można odkręcić kurek i wówczas cały pokój wypełni się gazem. Gdy drzwi i okna są szczelnie zamknięte, a w rurze płynie gaz, potrzeba dwóch minut, by osoba zamknięta w tym małym pomieszczeniu straciła przytomność. Nie

wiem, jakiego diabelskiego podstępu użył, by ich tam zwabić, ale gdy drzwi się za nimi zamknęły, byli już całkowicie zdani na jego łaskę.

Inspektor z zainteresowaniem zbadał rurę.

– Jeden z moich podwładnych wspomniał coś o zapachu gazu – rzekł – ale wtedy drzwi i okna były już otwarte i w pomieszczeniu dało się wyczuć głównie zapach farby. Jeśli wierzyć słowom Amberleya, zaczął on malowanie dzień przed tym strasznym wydarzeniem. Ale co było dalej, panie Holmes?

– Potem miało miejsce pewne zdarzenie, którego się nie spodziewałem. O świcie próbowałem wymknąć się przez okno, gdy nagle poczułem, jak ktoś chwyta mnie za kołnierz. Następnie usłyszałem głos: „Ty, łobuzie, co tu robisz?”. Udało mi się odwrócić głowę, wtedy spojrzałem prosto w przyciemnione okulary mojego znajomego i rywala zarazem, pana Barkera. Trzeba przyznać, że było to niezwykłe spotkanie, więc obaj zaczęliśmy się śmiać. Okazało się, że rodzina doktora Raya Ernesta wynajęła go, żeby przeprowadził śledztwo. Po kilku zdaniach ustaliliśmy, że obaj mamy te same podejrzenia. Barker od kilku dni obserwował dom i pewnego dnia był świadkiem wizyty Watsona, który wydał mu się podejrzany. Nie mógł kazać aresztować mego przyjaciela, ale gdy zobaczył człowieka wymykającego się przez okno, jego cierpliwość się skończyła. Opowiedziałem mu, jak sprawy wyglądają, i postanowiliśmy poprowadzić tę sprawę wspólnie do końca.

– Dlaczego akurat z nim? Czemu nie z nami?

– Zależało mi na tym małym eksperymencie, który tak fantastycznie się powiódł. Obawiam się, że policja nie zgodziłaby się na podjęcie takich kroków.

Inspektor uśmiechnął się.

– Pewnie nie. Mam nadzieję, że teraz pan zniknie, i pańskie nazwisko nie będzie łączone z tą sprawą. Czy przedstawi pan wszystkie szczegóły na komisariacie?

– Oczywiście, zawsze działam w ten sposób.

– Cóż, dziękuje panu w imieniu władz policyjnych. Wydaje się, że zakończymy tę sprawę szybko i łatwo odnajdziemy ciała.

– Pokażę panom ponury dowód – rzekł Holmes – i jestem pewien, że sam Amberley nie zwrócił na niego uwagi. Dobre rezultaty osiąga się, myśląc, co ty sam zrobiłbyś na miejscu zbrodniarza czy ofiary. To wymaga bujnej

wyobraźni, ale się opłaci. Wyobraźmy sobie, że jest pan zamknięty w malutkim pokoju, pozostały mu dwie minuty życia, ale mimo to chce pan wyrównać rachunki ze swym oprawcą, który w tej chwili prawdopodobnie drwi sobie z pana za zamkniętymi drzwiami. Co by pan zrobił?

– Napisałbym coś.

– Doskonale. Chciałby pan poinformować ludzi o tym, jak zginął. Nie ma sensu pisać na kartce, bo oprawca od razu ją znajdzie. Ale jeśli napisze pan na ścianie, być może ktoś to kiedyś zauważy. Proszę popatrzeć! Tuż nad listwą widnieje informacja napisana fioletowym niezmywalnym atramentem: „Zamor…”. I to wszystko.

– Jak pan to zinterpretuje?

– Napis znajduje się na wysokości jednej stopy nad podłogą. Ten biedny człowiek leżał na ziemi, konając; zanim skończył pisać, stracił przytomność. Chciał napisać: „Zamordowano nas”. Tak to odczytałem. Jeśli znajdzie pan pióro z niezmywalnym atramentem przy zwłokach…

– Może pan być pewien, że będziemy go szukali. Ale co z tymi papierami wartościowymi? Oczywistym jest, że nie było włamania, a oskarżony naprawdę je posiadał. Potwierdziliśmy to.

– Na pewno ukrył wszystkie w bezpiecznym miejscu. Gdy cały szum związany z rzekomą ucieczką tych dwojga ucichłby w końcu, Amberley z pewnością stwierdziłby, że para wiedziona poczuciem winy odesłała łup lub porzuciła go gdzieś podczas ucieczki.

– Widzę, że ma pan gotowe wyjaśnienia na wszystko – rzekł inspektor. – Złoczyńca musiał zgłosić zaginięcie na policji, ale dlaczego przyszedł prosić pana o pomoc?

– Bezczelna przechwałka! – odparł Holmes. – Był tak przekonany o genialności swego sprytnego planu, iż nie wierzył, że ktokolwiek odgadnie jego tajemnicę. Każdemu podejrzliwemu sąsiadowi mógł przecież powiedzieć: „Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, żeby ich odnaleźć. Zgłosiłem sprawę na policję, nawet poprosiłem o pomoc Sherlocka Holmesa”.

Inspektor zaśmiał się.

– Musimy wybaczyć panu to „nawet”, panie Holmes – rzekł – już dawno nie widziałem, żeby ktoś tak fachowo wykonał swą pracę.

Kilka dni później mój przyjaciel podał mi ostatni numer dwutygodnika „North Surrey Observer”. Zwróciłem uwagę na szereg krzykliwych

nagłówków, poczynając od „Horror w Przystani”, a kończąc na „Policja przeprowadza genialne śledztwo”. W kolumnie poniżej opisano drobnym drukiem poszczególne kroki, podjęte w toku dochodzenia. Wystarczy, że przytoczę akapit, w którym podsumowano te wydarzenia, gdyż cały artykuł utrzymany był w podobnym tonie:

> Dzięki swemu niezwykle przenikliwemu umysłowi inspektor MacKinnon zwrócił uwagę na zapach farby i wydedukował, że ma on na celu ukrycie innej woni. Jego śmiałe przypuszczenie, iż skarbiec w domu w Lewisham mógł służyć jako komnata śmierci, doprowadziło do przerażającego odkrycia. Policjanci znaleźli dwa ciała na dnie nieużywanej studni, sprytnie ukrytej pod budą dla psa. Dochodzenie prowadzone przez inspektora przejdzie do historii kryminologii jako znakomity przykład niezwykłej inteligencji naszych służb policyjnych.

– Cóż, MacKinnon to porządny człowiek – rzekł Holmes, uśmiechając się pobłażliwie. – Watsonie, możesz dołączyć tę sprawę do swych archiwów. Być może pewnego dnia opiszesz prawdziwą historię.

OSTATNI UKŁON

Z angielskiego przełożyli: Anna Krochmal i Robert Kędzierski

Wstęp

Przyjaciele Sherlocka Holmesa ucieszą się na wieść, że on wciąż żyje i ma się dobrze, choć od czasu do czasu doskwiera mu reumatyzm. Od wielu lat mieszka na niewielkiej farmie na wzgórzach, pięć mil od Eastbourne, gdzie spędza czas, zajmując się filozofią i rolnictwem.

W tym okresie, ciesząc się wypoczynkiem, odrzucał najlepsze oferty, zachęcające go do wyjaśniania rozmaitych spraw, ponieważ umyślił przejść na emeryturę. Jednak gdy zbliżała się wojna z Niemcami, postanowił oddać to swoje niezwykłe połączenie intelektualnych i praktycznych zdolności do dyspozycji rządu. Historyczne rezultaty tej decyzji opisane zostały w książce *Ostatni ukłon*. Pragnąc uzupełnić i wzbogacić ten tom, zamieściłem w nim również kilka innych historii z przeszłości, które przez długi czas spoczywały w mojej szufladzie.

Dr John H. Watson

Opowieść pierwsza

Przygoda w willi Wisteria

Rozdział pierwszy
Przedziwne doświadczenia pana Johna Scott Ecclesa

Był to ponury wietrzny dzień pod koniec marca 1892 roku. Tak zapisałem w swym notesie. Właśnie jedliśmy lunch, gdy Holmes dostał jakiś telegram i szybko na niego odpisał. Nic nie powiedział, jednak sprawa ta najwyraźniej wciąż zajmowała jego myśli, bo później stał przez jakiś czas przed kominkiem, w zamyśleniu paląc fajkę i od czasu do czasu zerkając na tekst otrzymanej depeszy. Nagle odwrócił się do mnie z psotnym błyskiem w oku.

– Zakładam, Watsonie, że można cię uznać za człowieka pióra – rzekł. – Jak byś zdefiniował słowo „groteskowy”?

– Dziwny… niezwykły – podsunąłem.

Słysząc moją definicję, potrząsnął głową.

– W tym słowie z całą pewnością kryje się coś więcej – powiedział. – Sugestia czegoś tragicznego i strasznego. Jeśli przypomnisz sobie opowieści, którymi obdarzałeś swych cierpliwych czytelników, na pewno zauważysz, jak często to, co wydawało się groteskowe, przeradzało się w zbrodnię. Przypomnij sobie na przykład tę błahą sprawę Rudowłosych. Na początku wydawała się groteskowa, a jednak zakończyła się desperacką próbą rabunku. No i ta nadzwyczaj dziwaczna sprawa pięciu pestek pomarańczy, prowadząca prosto do spisku, którego celem było popełnienie morderstwa. To słowo sprawia, że budzi się we mnie czujność.

– A pojawia się ono w tej wiadomości? – spytałem.

Odczytał mi na głos telegram:

Właśnie przydarzyło mi się coś niewiarygodnego i groteskowego. Czy można prosić pana o radę?

Scott Eccles
urząd pocztowy Charing Cross

– Kto to napisał, mężczyzna czy kobieta? – spytałem.

– Och! Oczywiście że mężczyzna. Żadna kobieta nie wysłałaby telegramu z opłatą za odpowiedź. Już raczej sama by tu przyszła.

– Spotkasz się z nim?

– Mój drogi Watsonie, przecież dobrze wiesz, jak bardzo się nudzę, odkąd przymknęliśmy pułkownika Carruthersa. Mój umysł jest niczym silnik pracujący na pełnych obrotach, który rozpada się na kawałki, gdy nie może wykonywać pracy, do której został stworzony. Życie jest takie monotonne. W gazetach nie ma nic ciekawego. Wygląda na to, że zuchwałość i romantyzm na zawsze zniknęły ze świata zbrodni. I w tej sytuacji pytasz mnie, czy jestem gotów zająć się jakąś nową zagadką niezależnie od tego, jak błaha się okaże? Ale, o ile się nie mylę, oto nasz klient.

Usłyszeliśmy miarowe kroki na schodach. W chwilę później do naszego pokoju wprowadzono korpulentnego wysokiego mężczyznę o siwych bokobrodach i poważnym, budzącym szacunek wyglądzie. Historię jego życia można było wyczytać z ciężkich rysów twarzy i pompatycznego zachowania. Getry i okulary w złotych oprawkach wskazywały, że jest konserwatystą i człowiekiem religijnym, przykładnym obywatelem, ortodoksyjnym pod każdym względem. Można było jednak dostrzec, że poruszyło go jakieś niesamowite zdarzenie, pozostawiając po sobie ślady w postaci rozczochranych włosów, gniewnych rumieńców na policzkach oraz ożywienia i podekscytowania. Natychmiast przeszedł do sprawy, która była powodem jego wizyty.

– Miałem bardzo niezwykłe i nieprzyjemne przeżycie, panie Holmes – powiedział. – Jeszcze nigdy w życiu nie znalazłem się w takiej sytuacji. To takie… niestosowne. Skandaliczne! Muszę uzyskać jakieś wyjaśnienie. – Czerwienił się i sapał ze złości.

– Proszę spocząć, panie Eccles – rzekł uspokajająco Holmes. – Po pierwsze, chciałbym pana zapytać, dlaczego zwraca się pan z tym do mnie?

– Odniosłem wrażenie, sir, że nie jest to sprawa, która zainteresowałaby policję, a jednak gdy opowiem panu wszystko, będzie pan musiał przyznać, że nie mogłem tego tak po prostu zostawić. Prywatni detektywi nie są ludźmi, których darzyłbym sympatią, niemniej gdy usłyszałem pańskie nazwisko…

– Rozumiem. Ale po drugie, dlaczego nie przyszedł pan z tym do mnie od razu?

– Co pan ma na myśli?

Holmes zerknął na zegarek.

– Jest kwadrans po drugiej – powiedział. – Pan nadał telegram około pierwszej. Jednak patrząc na pański strój i wygląd, nie sposób nie zauważyć, że to, co pana tak poruszyło, wydarzyło się, zanim się pan przebudził.

Nasz klient przygładził nieuczesane włosy i przesunął dłonią po nieogolonym podbródku.

– Ma pan rację, panie Holmes. Nawet nie pomyślałem o porannej toalecie. Za bardzo mi się śpieszyło, żeby wydostać się z tego domu, ale zanim przyszedłem do pana, zajrzałem tu i tam, starając się dowiedzieć pewnych rzeczy. Poszedłem do agentów nieruchomości, od których dowiedziałem się, że czynsz pana Garcii jest już uregulowany, a z willą Wisteria jest wszystko w porządku.

– Proszę się uspokoić, sir – rzekł Holmes ze śmiechem. – Pan, podobnie jak mój przyjaciel doktor Watson, ma zły nawyk opowiadania historii od końca. Proszę najpierw zebrać myśli i przedstawić mi po kolei, co to były za wydarzenia, które sprawiły, że przyszedł pan tutaj nieuczesany, nieogolony, w butach nie pasujących do reszty pana stroju i w krzywo zapiętej kamizelce, by poprosić mnie o pomoc i radę.

Nasz klient z zażenowaniem skomentował swój dość niekonwencjonalny wygląd:

– Na pewno prezentuję się okropnie, panie Holmes, ale nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek w życiu przytrafiło mi się coś takiego. Opowiem panu o całej tej przedziwnej sprawie, a wówczas pan sam będzie zmuszony przyznać, że to, co się wydarzyło, wystarczy, by usprawiedliwić moje zachowanie.

Jednakże nie było mu dane zacząć swą opowieść. Z zewnątrz dobiegł jakiś hałas, a chwilę później pani Hudson otworzyła drzwi, by wprowadzić

dwóch krzepkich mężczyzn o wyglądzie urzędników. Jednym z nich był doskonale nam znany inspektor Gregson ze Scotland Yardu, energiczny, prężny i zdolny policjant, mający wszakże – jak każdy człowiek – pewne wady. Uścisnął dłoń Holmesa i przedstawił swego towarzysza, inspektora Baynesa z Surrey.

– Polujemy razem, panie Holmes, i trop doprowadził nas tutaj – zwrócił swoje oczy buldoga na naszego gościa. – Czy to pan jest John Scott Eccles z Popham House w Lee?

– Tak, to ja.

– Szukaliśmy pana przez cały ranek.

– Bez wątpienia namierzyliście go panowie po telegramie – rzekł Sherlock.

– Właśnie tak, panie Holmes. Wpadliśmy na trop w urzędzie pocztowym w Charing Cross, więc przyszliśmy tutaj.

– Ale dlaczego panowie mnie szukali? Czego ode mnie chcecie?

– Chcemy usłyszeć, co pan ma do powiedzenia, panie Eccles, na temat wydarzeń, które miały miejsce ubiegłej nocy i doprowadziły do śmierci pana Aloysiusa Garcii z willi Wisteria niedaleko Esher.

Nasz klient siedział z szeroko otwartymi oczyma, a jego zdumiona twarz pobladła tak, że przypominała kredę.

– Nie żyje? Powiedział pan, że on nie żyje?

– Tak, sir. Nie żyje.

– Ale jak to się stało? Wypadek?

– Morderstwo. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości.

– Dobry Boże! To okropne! Ale nie chce pan chyba… Nie chce pan chyba powiedzieć, że jestem podejrzany?

– W kieszeni zmarłego znaleziono pański list. Dowiedzieliśmy się z tego listu, że zamierzał pan spędzić ubiegłą noc w jego domu.

– Bo tak było.

– Och, doprawdy? – inspektor wyciągnął swój notes.

– Niech pan chwilę poczeka, panie Gregson – rzekł Sherlock Holmes. – Chodzi panu tylko o zwykłe oświadczenie, prawda?

– I moim obowiązkiem jest ostrzec pana Scott Ecclesa, że może ono zostać wykorzystane przeciwko niemu.

– Kiedy pan wszedł do pokoju, pan Eccles właśnie zamierzał nam o tym wszystkim opowiedzieć. Myślę, Watsonie, że nie zaszkodziłaby mu brandy

z wodą sodową. A teraz, sir, proponuję, by nie zwracał pan uwagi na to, że grono jego słuchaczy nieco się powiększyło, i kontynuował swą opowieść tak, jak pan by to uczynił, gdyby nic mu nie przerwało.

Nasz gość łapczywie wypił brandy, i na jego twarz powróciły kolory. Rzuciwszy pełne wątpliwości spojrzenie na notes inspektora, rozpoczął po chwili swą niezwykłą opowieść.

– Jestem kawalerem – powiedział. Z powodu swojego towarzyskiego usposobienia mam bardzo wielu przyjaciół. Należy do nich rodzina pewnego emerytowanego piwowara, pana Melville, mieszkająca w dworku Abermarle w Kensington. To właśnie u niego w domu kilka tygodni temu poznałem pewnego młodego człowieka o nazwisku Garcia. Jak się domyślałem, pochodził z Hiszpanii i był w jakiś sposób związany z ambasadą swojego kraju. Doskonale mówił po angielsku, był bardzo miły w obyciu i należał chyba do najprzystojniejszych mężczyzn, jakich w życiu widziałem.

Na swój sposób nawet się zaprzyjaźniliśmy, ten młody człowiek i ja. Wydawało się, że od początku mnie polubił; dwa dni po tym, jak się poznaliśmy, przyjechał zobaczyć się ze mną w Lee. Wszystko toczyło się dość szybko, bo podczas tej wizyty zaprosił mnie, bym spędził parę dni w jego domu, w willi Wisteria, położonej między Esher i Oxshott. Wczoraj wieczorem pojechałem do Esher, tak jak się umówiliśmy.

Opisał mi w szczegółach swój dom. Mieszkał z wiernym służącym, swoim rodakiem, który mówił po angielsku, prowadził dom i dbał o wszystkie jego potrzeby. Pan Garcia miał też wspaniałego kucharza, mulata, którego przywiózł z jednej ze swych podróży i który potrafił serwować doskonałe potrawy. Pamiętam, jak twierdził, że to przedziwny dom w samym sercu Surrey. Przyznaję mu rację, choć okazał się jeszcze o wiele, wiele dziwniejszy, niż sądziłem.

Położony około dwóch mil na południe od Esher, dom miał dość pokaźne rozmiary i stał w pewnym oddaleniu od drogi. Prowadził do niego kręty podjazd, otoczony zaroślami wysokich wiecznie zielonych krzewów. Był to stary, dość zrujnowany budynek, którego stan wskazywał na to, że bardzo przydałby mu się remont. Kiedy dwukółka zatrzymała się na zarośniętym trawą podjeździe przed poplamionymi i zniszczonymi przez warunki atmosferyczne i upływ czasu drzwiami, zacząłem mieć pewne wątpliwości, czy rzeczywiście mądrze robię, odwiedzając człowieka,

którego znam tak krótko. Sam jednak otworzył mi drzwi i wyjątkowo serdecznie mnie powitał. Następnie nakazał służącemu, melancholijnemu smagłemu człowiekowi, aby ten zaprowadził mnie do pokoju i zaniósł mój bagaż. Wnętrze robiło przygnębiające wrażenie. Zjedliśmy obiad tylko we dwóch, i choć gospodarz starał się jak mógł, by mnie zabawić, sprawiał wrażenie, jakby jego myśli biegły w różne strony: mówił tak niejasno i chaotycznie, że ledwo byłem w stanie go zrozumieć. Ciągle bębnił palcami po stole, obgryzał paznokcie i wykazywał wszelkie inne oznaki zdenerwowania i zniecierpliwienia. Obiad sam w sobie nie był ani dobrze podany, ani smaczny, a ponura obecność milczącego służącego bynajmniej nie podnosiła mnie na duchu. Mogę pana zapewnić, że wiele razy podczas tego wieczoru żałowałem, że nie przychodzi mi do głowy żadna wymówka, która pozwoliłaby wrócić do Lee.

Przypominam pewną sprawę, która może wam się, panowie, przydać podczas prowadzenia śledztwa. Wtedy się nad tym nie zastanawiałem. Gdy obiad dobiegał już końca, służący podał mojemu gospodarzowi jakąś kartkę. Zwróciłem uwagę na to, że kiedy ją przeczytał, stał się jeszcze bardziej roztargniony i zaczął zachowywać się coraz dziwniej. Przestał silić się na jakiekolwiek próby podtrzymywania rozmowy i siedział, pogrążony w myślach, odpalając jednego papierosa od drugiego. Nie wspomniał nawet słowem o tym, co było w tym liście. Około jedenastej z radością udałem się wreszcie na spoczynek. Jakiś czas później Garcia zawołał mnie przez drzwi. W pokoju było już ciemno, a on zapytał, czy wzywałem kogoś dzwonkiem. Odpowiedziałem, że nie, wówczas przeprosił za zakłócenie spokoju tak późno w nocy, dodając, że dochodzi już pierwsza. Po tym incydencie zasnąłem i spałem mocno do samego rana.

A teraz zbliżam się do najbardziej zdumiewającej części mojej opowieści. Kiedy się obudziłem, było już całkiem widno. Spojrzałem na zegarek i przekonałem się, że dochodziła dziewiąta. Bardzo wyraźnie prosiłem, by obudzono mnie o ósmej, zdziwiło mnie więc, że gospodarz o tym zapomniał. Zerwałem się na równe nogi i zadzwoniłem na służącego. Żadnej odpowiedzi. Zadzwoniłem jeszcze raz i jeszcze raz, ale z tym samym skutkiem. Wtedy doszedłem do wniosku, że dzwonek nie działa. Szybko się ubrałem i w wyjątkowo złym humorze zszedłem na dół, aby poprosić o przyniesienie mi ciepłej wody. Możecie sobie, panowie, wyobrazić, jak byłem zaskoczony, gdy odkryłem, że w domu nikogo nie

ma. Najpierw zawołałem w holu. Żadnej odpowiedzi. Potem sprawdziłem pokoje. Wszędzie było pusto. Ubiegłego wieczoru mój gospodarz pokazał mi, gdzie znajduje się jego sypialnia, więc zapukałem do tych drzwi. Nikt nie odpowiedział. Nacisnąłem klamkę i wszedłem do środka. Pokój był pusty, a w łóżku nikt nie spał. Garcia zniknął tak samo jak cała jego służba. Mój hiszpański gospodarz, jego hiszpański lokaj i cudzoziemski kucharz – wszyscy gdzieś się podziali w nocy! Tak zakończyła się moja wizyta w willi Wisteria.

Sherlock Holmes zacierał ręce i chichotał pod nosem, ciesząc się na samą myśl o tym, że doda ten dziwaczny incydent do swojej kolekcji niezwykłych spraw.

– O ile wiem, sir, pańskie doświadczenia były całkowicie unikalne – powiedział. – Mogę zapytać, co pan wówczas zrobił?

– Byłem wściekły. Pierwszą myślą, jaka przyszła mi do głowy, było przekonanie, że padłem ofiarą jakiegoś absurdalnego dowcipu. Spakowałem swoje rzeczy do torby podróżnej, trzasnąłem drzwiami i wyruszyłem do Esher. Zajrzałem do Braci Allan, głównej agencji wynajmu nieruchomości w tej wsi, i dowiedziałem się, że właśnie przez tę firmę wynajęto willę. Nasunęło mi się na myśl, iż w tym wszystkim nie chodziło raczej o zrobienie ze mnie głupca, powodem musiała być pewnie chęć uniknięcia zapłaty czynszu. Marzec ma się już ku końcowi, zbliża się termin kwartalnych opłat. Ale ta teoria się nie sprawdziła: wdzięczny za ostrzeżenie, agent poinformował mnie, że czynsz został opłacony z góry. Udałem się do miasta i poszedłem do hiszpańskiej ambasady. Nikt tam nie słyszał o moim nowym znajomym. Potem pojechałem do Melville’a, u którego poznałem tego Garcię, przekonałem się jednak, że Melville wie o nim jeszcze mniej niż ja. Gdy wreszcie dostałem od pana odpowiedź na swój telegram, przyjechałem do pana, bo jak sądzę, jest pan człowiekiem, który potrafi coś doradzić w trudnych sprawach. A teraz, panie inspektorze, może pan kontynuować opowieść, bo z tego, co pan mówił, zrozumiałem, że wydarzyła się jakaś tragedia. Mogę panów zapewnić, że każde moje słowo było prawdą i że poza tym, o czym mówiłem, nie wiem absolutnie niczego o losach tego człowieka. Moim jedynym pragnieniem jest dopomóc przedstawicielom prawa w każdy możliwy sposób.

– Jestem tego pewien, panie Eccles, jestem tego pewien – rzekł inspektor Gregson wyjątkowo przyjaznym tonem. – Muszę przyznać, że wszystko, co pan powiedział, zgadza się całkowicie ze znanymi nam faktami. Weźmy na przykład tę wiadomość, którą dostarczono podczas obiadu. Może wie pan przypadkiem, co się stało z kartką, na której ona była zapisana?

– Owszem, wiem. Garcia zmiął ją i cisnął do ognia.

– Co pan o tym sądzi, panie Baynes?

Detektyw z prowincji był korpulentnym człowiekiem o czerwonej nalanej twarzy, która nie wydawała się pospolita jedynie dzięki niezwykle bystrym oczom, niemal ukrytym w fałdach tłuszczu. Uśmiechając się, powoli wyciągnął z kieszeni zmięty odbarwiony kawałek papieru.

– Utkwił w ruszcie kominka, panie Holmes. Nie trafił w płomień. Wygrzebałem ten niespalony list.

Holmes uśmiechnął się z aprobatą.

– Musiał pan bardzo starannie przeszukać dom, żeby znaleźć tę jedną kulkę zmiętego papieru.

– Tak zrobiłem, panie Holmes. Zawsze tak robię. Mam to odczytać, panie Gregson?

Londyński detektyw skinął głową.

– Wiadomość została napisana na zwykłym papierze listowym w kolorze kremowym bez znaku wodnego. Na ćwiartce arkusza. Papier został odcięty nożyczkami o krótkich ostrzach. Złożono go trzy razy i zapieczętowano w pośpiechu fioletowym woskiem, który następnie przyciśnięto jakimś płaskim owalnym przedmiotem. List zaadresowano do pana Garcii z willi Wisteria. A oto jego treść:

> Nasze własne barwy, zieleń i biel. Zieleń otwarte, biel zamknięte. Główne schody, pierwszy korytarz, siódme po prawej, zielone sukno.
>
> Z Bogiem. D.

To pismo kobiety. Użyła pióra o ostro zakończonej stalówce, jednak adres napisano innym piórem, chyba że zrobił to ktoś inny. Jak pan widzi, pismo jest grubsze i odważniejsze.

– To naprawdę niezwykłe – powiedział Holmes, przebiegając wzrokiem list. – Muszę panu pogratulować, panie Baynes. Badając go, zwrócił pan uwagę na szczegóły. Można by jeszcze dołożyć parę błahych drobiazgów.

Ta owalna pieczęć to niewątpliwie zwykła gładka spinka do mankietu. Cóż innego mogłoby mieć taki kształt? Użyto zagiętych nożyczek do paznokci. Chociaż oba cięcia były bardzo krótkie, na obu wyraźnie widać taką samą lekką krzywiznę.

Detektyw z prowincji roześmiał się cicho.

– Wydawało mi się, że wycisnąłem już z tego wszystkie soki, ale jak widzę, trochę jeszcze zostało – powiedział. – Muszę przyznać, nic z tej informacji nie rozumiem z wyjątkiem tego, że coś się szykowało i jak zwykle chodziło o jakąś kobietę.

Podczas tej rozmowy pan Scott Eccles wiercił się niecierpliwie na krześle.

– Cieszę się, że znalazł pan ten liścik, ponieważ potwierdza on moją opowieść – powiedział. – Pragnę jednak podkreślić, że jak do tej pory nie usłyszałem jeszcze, co się stało z panem Garcią i jego domem.

– Jeśli chodzi o samego Garcię – odparł Gregson – to mogę z łatwością odpowiedzieć na pańskie pytanie. Dziś rano znaleziono go martwego na błoniach w Oxshott, w dość odludnej okolicy, niecałą milę od domu. Głowę miał roztrzaskaną potężnymi ciosami zadanymi workiem z piaskiem lub czymś podobnym. W pobliżu tego miejsca nie ma żadnego budynku. Najwyraźniej został uderzony najpierw z tyłu, lecz potem napastnik bił go jeszcze długo, gdy Garcia już nie żył. To była wyjątkowo brutalna napaść. Nie ma żadnych śladów ani niczego, co pozwoliłoby wnioskować o tym, kim byli przestępcy.

– Obrabowano go?

– Nie, nic nie przemawia za rabunkiem.

– To bardzo przykre. Bardzo przykre i straszne – powiedział pan Scott Eccles płaczliwym tonem. – Ale dla mnie to prawdziwa tragedia. Nie miałem nic wspólnego z tym, że mój gospodarz wybrał się na nocną wycieczkę i że spotkał go tak smutny koniec. W jaki sposób zostałem wplątany w tę sprawę?

– To bardzo proste, sir – odparł inspektor Baynes. – Jedynym dokumentem znalezionym w kieszeni nieboszczyka był pański list, w którym pisał pan, że będzie u niego tej feralnej nocy. Dzięki kopercie, w której znajdował się list, dowiedzieliśmy się, jak się nazywał zmarły i gdzie mieszkał. Dziś rano po dziewiątej dotarliśmy do jego domu i nie zastaliśmy ani pana, ani nikogo innego. Wysłałem telegram do pana

Gregsona, by odnalazł pana w Londynie, kiedy ja przeszukiwałem willę Wisteria. Potem przyjechałem do miasta, dołączyłem do pana Gregsona, i oto jesteśmy.

– Myślę – rzekł Gregson, wstając – że najlepszym posunięciem będzie nadanie tej sprawie oficjalnego charakteru. Uda się pan z nami na posterunek, panie Eccles, i tam spiszemy pańskie zeznania.

– Oczywiście, natychmiast się tam udam. Nadal jednak pragnę skorzystać z pańskich usług, panie Holmes. Chciałbym, żeby nie szczędził pan kosztów ani wysiłków, aby dotrzeć do prawdy.

Mój przyjaciel zwrócił się do inspektora z prowincji.

– Jak zakładam, panie Baynes, nie ma pan nic przeciwko temu, bym z panem współpracował?

– To będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt, sir.

– Odnoszę wrażenie, że wszystko, co pan do tej pory zrobił, zostało przeprowadzone bardzo szybko i fachowo. Ciekaw jestem, czy znalazł pan jakąkolwiek wskazówkę, na podstawie której można byłoby odtworzyć dokładną godzinę zgonu tego człowieka?

– Był tam od pierwszej w nocy. Mniej więcej o tej porze padał deszcz, a on z całą pewnością został zabity, zanim zaczęło padać.

– To przecież niemożliwe, panie Baynes! – zawołał nasz klient. – Nie sposób pomylić jego głosu z jakimkolwiek innym. Mogę przysiąc, że to on o tej porze mówił do mnie przez drzwi sypialni.

– To niezwykłe, ale bynajmniej nie niemożliwe – rzekł z uśmiechem Holmes.

– Ma pan jakieś przesłanki? – spytał Gregson.

– Na pierwszy rzut oka sprawa nie wydaje się skomplikowana, ale pojawiły się pewne nowe interesujące przesłanki. Zanim pozna pan moją ostateczną opinię, muszę dokładniej przeanalizować fakty. A nawiasem mówiąc, panie Baynes, czy przeszukując dom, znalazł pan jeszcze coś niezwykłego oprócz tego listu?

Detektyw rzucił mojemu przyjacielowi dziwne spojrzenie.

– Było tam kilka BARDZO niezwykłych rzeczy – powiedział. – Kiedy już skończymy formalności na posterunku, może zechciałby pan pojechać ze mną i powiedzieć mi, co pan o tym myśli?

– Jestem do pańskiej dyspozycji – odrzekł Holmes i dał sygnał dzwonkiem. – Pani Hudson, proszę odprowadzić dżentelmenów i wysłać

z łaski swojej chłopaka z tym telegramem. Ma opłacić pięć szylingów za odpowiedź.

Gdy nasi goście wyszli, siedzieliśmy przez jakiś czas w milczeniu. Holmes, marszcząc brwi, w skupieniu palił fajkę.

– Cóż, Watsonie – zagadnął mnie nagle. – Co o tym sądzisz?

– Nic nie pojmuję z całej tej mistyfikacji, w którą wplątano pana Ecclesa.

– Ale co myślisz o samej zbrodni?

– Biorąc pod uwagę zniknięcie służących tego człowieka, uważam, że byli w jakiś sposób zamieszani w jego zabójstwo i uciekli, by uniknąć sprawiedliwości.

– Z całą pewnością można tak to tłumaczyć. Jednak musisz przyznać, że to bardzo dziwne, by jego służący planowali zabójstwo i zaatakowali go akurat tej nocy, kiedy podejmował gościa. Każdej innej nocy był przecież całkowicie zdany na ich łaskę.

– W takim razie dlaczego uciekli?

– No właśnie, dlaczego uciekli? To ważne pytanie. Kolejnym istotnym faktem są niezwykłe przeżycia naszego klienta Scott Ecclesa. A teraz powiedz, mój drogi Watsonie, czy znalezienie argumentów, które wyjaśniałyby oba te fakty, wykracza poza granice ludzkiej pomysłowości? Gdyby dało się wytłumaczyć również tajemniczy liścik i jego wyjątkowo interesujące słownictwo, wówczas być może warto byłoby go zaakceptować jako naszą roboczą hipotezę. Gdyby wszystkie nowe fakty, o których się dowiemy, pasowały do tego schematu, nasza hipoteza mogłaby stopniowo zmienić się w rozwiązanie tajemnicy.

– Mamy jakąś hipotezę?

Holmes usiadł głębiej w fotelu, oczy miał na wpół przymknięte.

– Musisz przyznać, mój drogi Watsonie, że pomysł, iż był to jakiś żart, jest nie do przyjęcia. Jak się później okazało, doszło do poważnych wydarzeń, a zwabienie Scott Ecclesa do willi Wisteria miało z nimi określony związek.

– Ale jaki mógł to być związek?

– Przyjrzyjmy się temu krok po kroku. Na pierwszy rzut oka wydaje się, że było coś nienaturalnego w tej dziwnej i tak nagle zawartej przyjaźni pomiędzy owym młodym Hiszpanem a Scott Ecclesem. To ten pierwszy podjął inicjatywę. Odwiedził Ecclesa na drugim końcu Londynu następnego dnia po tym, jak go poznał, i utrzymywał z nim przez cały czas kontakt,

dopóki nie sprowadził go do siebie do Esher. A teraz zastanówmy się, czego mógł chcieć od Ecclesa. Co Eccles mógł mu ofiarować? Nie postrzegam go jako wyjątkowo czarującego człowieka. Nie jest też szczególnie inteligentny, i trudno sobie wyobrazić duchowe pokrewieństwo między nim a bystrym południowcem. To dlaczego właśnie Eccles został wybrany spośród wszystkich ludzi, których Garcia poznał, jako odpowiedni dla jego celów? Czy ma jakąś szczególną cechę? Powiedziałbym, że tak. Jest modelowym przykładem szanowanego Brytyjczyka i dokładnie takim typem człowieka, który jako świadek byłby w stanie przekonać innego Brytyjczyka. Sam widziałeś, że żadnemu z inspektorów nie przyszło nawet do głowy, by kwestionować jego oświadczenie, choć było tak niezwykłe.

– Ale miał być świadkiem czego?

– Tak się złożyło, że niczego, jednak gdyby stało się inaczej, miał być świadkiem wszystkiego. Tak ja widzę tę sprawę.

– Rozumiem. Mógł dostarczyć alibi.

– Właśnie tak, mój drogi Watsonie. Mógł potwierdzić alibi. Załóżmy dla potrzeb naszej dyskusji, że ludzie mieszkający w willi Wisteria byli wspólnikami w realizacji pewnego planu i mieli podjąć jakąś próbę, czegokolwiek by ona miała dotyczyć, przed pierwszą w nocy. Całkiem możliwe, że przestawiając zegary, sprawili, że Scott Eccles poszedł spać wcześniej niż myślał. W każdym razie to prawdopodobne, że gdy Garcia specjalnie przyszedł mu powiedzieć, że jest pierwsza, w rzeczywistości nie było później niż dwunasta. Gdyby Garcia zdołał zrobić to, co zamierzał, cokolwiek to było, i wrócić przed tą wymienioną godziną, ewidentnie miałby mocne alibi w przypadku jakichkolwiek oskarżeń. Miałby zapewnione świadectwo tego Anglika o doskonałej reputacji, gotowego przysiąc w każdym sądzie, że oskarżony przez cały ten czas znajdował się w domu. Był dla niego zabezpieczeniem na wypadek, gdyby doszło do najgorszego.

– Tak, tak. To rozumiem. Ale co ze zniknięciem pozostałych?

– Nie poznałem jeszcze wszystkich faktów, nie sądzę jednak, by czekały nas jakieś trudności nie do przezwyciężenia. Jednak błędem jest wyciąganie wniosków, zanim nie zdobędzie się wszystkich danych. W takim przypadku człowiek zaczyna w nieuzasadniony sposób naginać fakty, by pasowały do jego teorii.

– A ta wiadomość?

– Jak to brzmiało? „Nasze własne barwy, zieleń i biel”. To sformułowano tak, jakby miało związek z jakimiś wyścigami. „Zieleń otwarte, biel zamknięte”. To ewidentnie jakiś sygnał. „Główne schody, pierwszy korytarz, siódme po prawej, zielone sukno”. To miejsce jakiegoś spotkania. Możliwe, że ujawnimy, iż za tym wszystkim kryje się zazdrosny mąż. Najwyraźniej chodzi o jakąś niebezpieczną wyprawę. Gdyby tak nie było, nie dodałaby na końcu: „Z Bogiem. D.”, to powinna być wskazówka.

– Ten człowiek był Hiszpanem. Sugeruję, że „D.” może oznaczać Dolores. To popularne kobiece imię w Hiszpanii.

– Dobrze, Watsonie. Bardzo dobrze. Ale to mało prawdopodobne. Hiszpanka pisałaby do Hiszpana po hiszpańsku. Kobieta, która napisała tę notatkę, z całą pewnością jest Angielką. Cóż, możemy jedynie uzbroić się w cierpliwość, dopóki ten wspaniały inspektor nie wróci do nas. A tymczasem podziękujmy naszemu szczęśliwemu losowi, który na kilka krótkich godzin uratował nas przed nieznośnym wpływem bezczynności.

Nim powrócił inspektor z Surrey, nadeszła odpowiedź na telegram Holmesa. Przeczytał ją i właśnie miał odłożyć do swojego notatnika, gdy dostrzegł moją pełną oczekiwania twarz. Rzucił mi telegram ze śmiechem.

– Obracamy się w wyższych sferach – powiedział.

Telegram zawierał listę nazwisk i adresów:

> Lord Harringby, Dingle; sir George Ffolliott, Oxshott Towers; sędzia Hynes Hynes, Purdley Place; James Baker Williams, Forton Old Hall; Henderson, High Gable; wielebny Joshua Stone, Nether Walsling.

– To bardzo oczywisty sposób, by ograniczyć nasz zakres działań – rzekł Holmes. – Bez wątpienia Baynes, będąc bardzo metodycznym człowiekiem, już ma jakiś plan.

– Zupełnie tego nie rozumiem.

– Cóż, mój drogi przyjacielu. Doszliśmy już do wniosku, że wiadomość, którą Garcia otrzymał przy obiedzie, dotyczyła jakiegoś umówionego spotkania. Oznacza to, że jeśli sposób, w jaki ją interpretujemy, jest słuszny, to aby zjawić się na miejscu schadzki, trzeba wejść na górę głównymi schodami i odnaleźć siódme drzwi w korytarzu. A z tego wynika, że dom, o którym mowa, jest wyjątkowo duży. Równie jasne jest to, że nie może być położony dalej niż jedną czy dwie mile od Oxshott, ponieważ Garcia

zmierzał w tym kierunku pieszo. Tak jak ja to rozumiem, miał nadzieję, że uda mu się wrócić na czas do willi Wisteria, by móc skorzystać z alibi, które byłoby ważne tylko do godziny pierwszej w nocy. Ponieważ liczba wielkich domów w okolicach Oxshott jest ograniczona, przyjąłem nasuwające się w oczywisty sposób założenie. Wysłałem telegram do agentów nieruchomości, o których wspominał Scott Eccles, i otrzymałem od nich listę takich domów. Zostały wymienione w tym telegramie, i to właśnie wśród nich musi znajdować się koniec nici naszego poplątanego kłębka.

Dochodziła już prawie szósta, gdy w towarzystwie inspektora Baynesa znaleźliśmy się w Esher, ładnej wsi w hrabstwie Surrey.

Obaj z Holmesem zabraliśmy ze sobą trochę rzeczy osobistych; w karczmie „Pod Bykiem” znaleźliśmy wygodną kwaterę. Następnie wyruszyliśmy wraz z detektywem do willi Wisteria. Był zimny ciemny marcowy wieczór, w twarze zacinał drobny, niesiony wiatrem deszcz. Pogoda idealnie pasowała do dzikich opustoszałych błoni, jakimi wiodła nasza droga, i tragicznego celu wędrówki, do którego ta droga nas doprowadziła.

Rozdział drugi
Tygrys z San Pedro

Po melancholijnym kilkumilowym spacerze w chłodnym powietrzu doszliśmy do wysokiej drewnianej bramy, która otwierała się na ponurą aleję kasztanowców. Kręty zacieniony podjazd doprowadził nas do niskiego ciemnego domu, którego czarny niczym smoła kształt odcinał się od tła, jakie tworzyło niebo koloru ołowiu. Z okna znajdującego się w ścianie frontowej na lewo od drzwi pobłyskiwało słabe światło.

– W domu jest konstabl – poinformował nas Baynes. – Zapukam w okno. – Przeszedł przez trawnik i zastukał. Przez zaparowaną szybę dostrzegłem niewyraźną sylwetkę mężczyzny, który zerwał się z krzesła przy kominku. Usłyszałem ostry krzyk dobiegający z pokoju. Chwilę później drzwi otworzył policjant; oddychał ciężko, a jego twarz była blada. W drżącej dłoni trzymał świecę z rozchwianym płomieniem.

– O co chodzi, Walters? – spytał ostro Baynes.

Mężczyzna otarł czoło chustką i wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi.

– Cieszę się, że pan przyjechał, sir. To był długi wieczór, a moje nerwy nie są tak mocne jak kiedyś.

– Twoje nerwy, Walters? Nie sądziłem, że w ogóle jakieś masz.

– Sir, to przez ten opuszczony cichy dom i to dziwactwo, które ujrzałem w oknie. Kiedy zapukał pan w szybę, pomyślałem, że ono znowu przyszło.

– Że co przyszło?!

– Diabeł, sir. Tak mi się wydaje. To coś było w oknie.

– Co było w oknie i kiedy?

– Jakieś dwie godziny temu. Właśnie zapadał zmierzch. Siedziałem na krześle i czytałem. Nie wiem, dlaczego podniosłem wzrok: z zewnątrz patrzyła na mnie przez okno jakaś twarz. Dobry Boże, sir, co to była za twarz! Będzie mi się śniła po nocach.

– Opanuj się, Walters. Konstabl nie powinien wygadywać takich bredni!

– Wiem, sir, wiem. Ale to mną ogromnie wstrząsnęło, i nie ma sensu zaprzeczać. Ta twarz nie była ani czarna, ani biała, ani też w żadnym innym kolorze, jaki znam. To był jakiś dziwny odcień przypominający glinę z domieszką mleka. No i jeszcze jej rozmiary… Była dwa razy większa niż pańska, sir. A jak wyglądała… Wielkie wybałuszone, wlepione we mnie oczy i białe zęby jak u jakiejś głodnej bestii. Mówię panu, sir, nie byłem w stanie poruszyć nawet palcem. Zaparło mi dech w piersiach. A potem w jednej chwili ta twarz znikła. Wybiegłem na zewnątrz, przebiegłem przez te krzaki, ale dzięki Bogu, nikogo tam nie było.

– Gdybym nie wiedział, że dobry z ciebie człowiek, Walters, byłbyś przegrany w moich oczach. Nawet gdyby to był sam diabeł, to konstabl na służbie nie powinien dziękować Bogu, że nie był w stanie go schwytać w swoje ręce. Zakładam, że to wszystko ci się nie przywidziało i było wynikiem zdenerwowania?

– Przynajmniej to można bardzo łatwo ustalić – rzekł Holmes, zapalając swoją małą kieszonkową latarkę. – Tak – odezwał się po krótkim badaniu trawnika. – Mamy tu odcisk buta, powiedziałbym, numer dwanaście. Jeśli wzrost tego człowieka był proporcjonalny do wielkości jego stopy, to z całą pewnością musiał być olbrzymem.

– I co się z nim stało?

– Wygląda na to, że przedarł się przez te krzaki i poszedł w stronę drogi.

– Cóż – powiedział inspektor z poważną zamyśloną twarzą – ktokolwiek to był i czegokolwiek tutaj szukał, teraz go nie ma, a na nas czekają pilniejsze sprawy. Panie Holmes, za pańskim pozwoleniem, chciałbym oprowadzić pana po domu.

Po uważnym przeszukaniu sypialni i salonów okazało się, że nie ma tam nic ciekawego. Najwyraźniej najemcy przywieźli ze sobą niewiele, a wszystkie meble, aż po najmniejsze drobiazgi, przejęli razem z domem. Pozostawili po sobie sporo ubrań marki Marx and Co., High Holborn. Próbowano się już dowiedzieć czegoś telegraficznie, okazało się jednak, że Marx nie wiedział niczego na temat swojego klienta poza tym, że ten dobrze płacił. Trochę drobiazgów, jakieś fajki, parę powieści, z tego dwie po hiszpańsku, oraz staromodny rewolwer na naboje trzpieniowe i gitara były jedynymi przedmiotami osobistymi.

– Niczego tu nie ma – rzekł Baynes, przechodząc ze świecą w ręce z pokoju do pokoju. – Ale teraz, panie Holmes, proszę zwrócić uwagę

na kuchnię.

Było to ponure pomieszczenie z wysokim stropem, położone na tyłach domu. W jednym z kątów leżało posłanie ze słomy, na którym najwyraźniej sypiał kucharz. Na stole piętrzyły się talerze z resztkami jedzenia i brudne naczynia z pozostałościami po obiedzie z ubiegłego wieczoru.

– Proszę na to spojrzeć – rzekł Baynes. – Co pan o tym sądzi?

Zbliżył świecę do niezwykłego przedmiotu w głębi kredensu; ten przedmiot był tak pomarszczony i skurczony, że trudno było powiedzieć, co to jest. Można było jedynie stwierdzić, że to czarne i skórzaste przypominało trochę skarlałą ludzką postać. Gdy zacząłem go badać, pomyślałem najpierw, że jest to zmumifikowane murzyńskie dziecko, potem wydało mi się, że to bardzo poskręcana stara małpa. Na koniec miałem wątpliwości, czy było to jakieś zwierzę, czy może człowiek. Pośrodku tego czegoś przywiązany był podwójny sznur białych muszelek.

– Bardzo ciekawe… Doprawdy, bardzo ciekawe – rzekł Holmes, przyglądając się tym mrocznym szczątkom. – Coś jeszcze?

Baynes w milczeniu poprowadził nas do zlewu i oświetlił go świecą. Ujrzeliśmy kończyny i korpus jakiegoś wielkiego białego ptaka, który został bestialsko porozrywany na kawałki, choć nadal pokrywały go pióra. Holmes wskazał na korale na odciętej głowie zwierzęcia.

– To biały kogut – powiedział. – Wyjątkowo interesujące! To naprawdę bardzo ciekawa sprawa.

Najstraszniejszy eksponat pan Baynes zachował na sam koniec. Spod zlewu wyciągnął blaszane wiadro zawierające sporą ilość krwi. Potem wziął ze stołu półmisek, na którym piętrzyła się sterta zwęglonych kawałków kości.

– Jakieś żywe stworzenie zostało tu zabite i spalone. Wygrzebaliśmy wszystkie te kości z pieca. Rano sprowadziliśmy tutaj lekarza. Stwierdził, że nie były to ludzkie szczątki.

Holmes uśmiechnął się i zatarł ręce.

– Muszę panu pogratulować, inspektorze. Doskonale pan prowadzi tę jakże wyjątkową i pouczającą sprawę. Nie chciałbym pana urazić, ale odnoszę wrażenie, że pańskie stanowisko nie pozwala panu w pełni wykazać swoich możliwości.

Małe oczka inspektora Baynesa błysnęły z zadowoleniem.

– Ma pan rację, panie Holmes. Na prowincji popadamy w stagnację. Tego rodzaju sprawa daje człowiekowi szansę, i mam nadzieję, że uda mi się z niej skorzystać. Co pan sądzi o tych kościach?

– Powiedziałbym, że to jagnię albo koźlę.

– A ten biały kogut?

– Ciekawe, panie Baynes. Bardzo ciekawe, niemal niespotykane.

– Tak, sir. W tym domu musieli mieszkać jacyś bardzo dziwni ludzie o niecodziennych upodobaniach. Jeden z nich nie żyje. Czy jego towarzysze poszli za nim i go zabili? Gdyby tak było, powinniśmy ich złapać, każdy port jest obserwowany. Mam jednak inne zdanie na ten temat. Tak, sir, zupełnie inne.

– A więc ma pan jakąś teorię?

– Tak. I sam ją dopracuję, panie Holmes. Tylko w ten sposób mogę zdobyć uznanie. Pańskie imię jest już sławne, ale na to, aby moje stało się także znane, muszę zapracować. Będę się cieszyć później, mogąc powiedzieć, że rozwiązałem tę sprawę bez pańskiej pomocy.

Holmes zaśmiał się wesoło.

– No cóż, inspektorze – powiedział – proszę w takim razie podążać własną ścieżką, a ja pójdę swoją. Wyniki, jakie uzyskam, będą zawsze do pańskiej dyspozycji, o ile tylko pan mnie o to poprosi. Myślę, że zobaczyłem już w tym domu wszystko, co chciałem zobaczyć, i teraz lepiej wykorzystam mój czas gdzie indziej. *Au revoir* i powodzenia!

Odczytywałem z wielu subtelnych znaków, które były niedostrzegalne dla kogokolwiek innego, że Holmes znalazł jakiś gorący trop. Choć przygodnemu obserwatorowi mógł wydawać się beznamiętny jak zwykle, w błyszczących oczach przyjaciela dostrzeg-łem zapał i tłumione napięcie, a jego ożywienie upewniło mnie w przekonaniu, że coś się szykuje. Zgodnie ze swoim zwyczajem nic nie powiedział, ja natomiast jak zwykle nie zadawałem żadnych pytań. Wystarczała mi świadomość, że biorę udział w tej sprawie oraz że mogę udzielić skromnej pomocy Sherlockowi przy ujęciu przestępcy, nie angażując bez potrzeby niezwykłych umiejętności jego umysłu. Dowiem się wszystkiego we właściwym czasie.

Tak więc czekałem. Jednakże ku mojemu coraz większemu rozczarowaniu czekałem na próżno. Mijały dni, a mój przyjaciel nie zrobił nawet jednego kroku naprzód. Jeden poranek spędził w mieście: jak się dowiedziałem z rzuconej od niechcenia uwagi, był w British Museum. Poza

tym całymi dniami długo i często samotnie spacerował lub rozmawiał z wioskowymi plotkarzami, na znajomości z którymi bardzo mu zależało.

– Jestem pewien, Watsonie, że tydzień na wsi świetnie ci zrobi – zauważył. – Jak przyjemnie znów widzieć pierwsze zielone pąki na żywopłocie i kotki na leszczynie. Mając łopatkę, blaszane pudełko i podstawy wiedzy z botaniki, można tu spędzić parę pouczających dni.

Krążył więc sam po okolicy, wyposażony we wspomniany sprzęt, jednak kolekcja roślin, którą przynosił wieczorami, była niezbyt imponująca.

Podczas naszych wędrówek natykaliśmy się czasami na inspektora Baynesa. Gdy witał się z moim towarzyszem, jego otyła czerwona twarz marszczyła się w uśmiechu, a małe oczka błyszczały. Mówił niewiele na temat sprawy, jednak z tego, co powiedział, wywnioskowaliśmy, że on również był zadowolony z rozwoju wydarzeń. Muszę jednak przyznać, że byłem nieco zaskoczony, gdy pięć dni po popełnieniu zbrodni zajrzałem do porannej gazety i znalazłem ten oto nagłówek, wydrukowany wielkimi literami:

TAJEMNICA Z OXSHOTT
ROZWIĄZANIE
ARESZTOWANIE DOMNIEMANEGO MORDERCY

Gdy odczytałem go na głos, Holmes podskoczył na swoim krześle, jakby coś go ukłuło.

– Na Jowisza! – zawołał. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że Baynes go złapał?

– Najwyraźniej – odparłem i przeczytałem co następuje:

> W Esher i jego okolicach zapanowało wielkie poruszenie, gdy ubiegłej nocy stało się wiadomym, że dokonano aresztowania w związku z morderstwem w Oxshott. Przypominamy, że pan Garcia z willi Wisteria został znaleziony martwy na błoniach Oxshott, a ślady na jego ciele wykazywały brutalną przemoc. Tego samego wieczoru zbiegli jego służący i kucharz, co wydawało się wskazywać na ich udział w tej zbrodni. Sugerowano, lecz nigdy nie udowodniono tego, że zmarły dżentelmen mógł posiadać w domu kosztowności i że motywem tej zbrodni był rabunek. Prowadzący sprawę inspektor Baynes poczynił wszelkie możliwe wysiłki, aby odnaleźć kryjówkę zbiegów. Miał uzasadnione powody, by uważać, iż nie odeszli zbyt daleko, lecz zaczaili się w jakimś wcześniej przygotowanym ukryciu. Od samego początku było wiadomo, że ich ujęcie jest tylko kwestią czasu, ponieważ na podstawie zeznań kilku

handlarzy, którzy widzieli kucharza przez okno, ustalono, iż ten człowiek miał bardzo niezwykły wygląd. Był to olbrzymi wstrętny mulat o żółtawej skórze wyraźnie negroidalnego typu. Widziano go po popełnieniu zbrodni. Jeszcze tego samego wieczoru zauważył go i ścigał konstabl Walters, gdy kucharz miał czelność zjawić się ponownie w willi Wisteria. Inspektor Baynes doszedł do wniosku, że taka wizyta musiała mieć jakiś cel i kucharz prawdopodobnie zjawi się tam ponownie. Dom stał więc opuszczony, w pobliskich krzakach zastawiono jednak pułapkę. Ubiegłej nocy człowiek ten wpadł w zasadzkę i został pojmany po krótkiej walce, podczas której konstabl Downing został poważnie pogryziony przez dzikusa. Zakładamy, że kiedy więzień stanie przed sądem, policja złoży wniosek o zatrzymanie go w areszcie śledczym, i że z jego pojmaniem wiązać można wielkie nadzieje na rozwiązanie sprawy.

– Musimy się natychmiast spotkać z Baynesem! – zawołał Holmes, chwytając swój kapelusz. – Powinniśmy go zastać, nim wyjdzie z domu.

Ruszyliśmy pośpiesznie wiejską uliczką i zgodnie z naszymi oczekiwaniami przekonaliśmy się, że inspektor właśnie wychodzi ze swojego mieszkania.

– Widział pan gazetę, panie Holmes? – spytał, podając nam najnowszy numer.

– Tak, Baynes, widziałem. Proszę nie czuć się urażonym, ale chciałbym panu udzielić przyjacielskiego ostrzeżenia.

– Ostrzeżenia, panie Holmes?

– Dość starannie zbadałem tę sprawę i nie jestem przekonany o tym, że jest pan na właściwym tropie. Nie chciałbym, aby posunął się pan zbyt daleko, dopóki nie będzie miał pewności.

– To bardzo uprzejme z pana strony, sir.

– Zapewniam pana, że mówię to dla jego dobra.

Odniosłem wrażenie, że powieka zakrywająca niewielkie oko pana Baynesa drgnęła, jakby chciał do mnie mrugnąć.

– Uzgodniliśmy, że każdy z nas będzie pracował po swojemu, panie Holmes. I to właśnie robię.

– Och, oczywiście – rzekł mój przyjaciel. – Tylko proszę mnie później nie winić.

– Ależ skąd, sir. Jestem przekonany, że ma pan dobre intencje. Ale wszyscy mamy własne metody, sir. Pan ma swoje, a ja swoje.

– W takim razie nie mówmy już o tym.

– Zawsze chętnie udzielę panu najświeższych informacji. Ten człowiek to kompletny dzikus, silny jak koń pociągowy i wściekły jak jakiś diabeł. Prawie odgryzł kciuk Downingowi, nim udało się go obezwładnić. Prawie nie mówi po angielsku, nie wydobyliśmy z niego nic prócz jakiegoś bełkotu.

– Ma pan dowody świadczące o tym, że zamordował swojego pana?

– Tego nie powiedziałem, panie Holmes. Tego nie powiedziałem. Wszyscy mamy swoje sposoby. Pan stosuje swoje, a ja spróbuję zastosować moje. Taka jest umowa.

Gdy odchodziliśmy, Holmes wzruszył ramionami.

– Nie pojmuję tego człowieka. Wygląda na to, że zmierza ku klęsce. Ale cóż, tak jak mówi, każdy z nas musi próbować rozwiązać problem po swojemu, i zobaczymy, co z tego wyniknie. Niemniej w inspektorze Baynesie jest coś, czego do końca nie rozumiem.

Gdy wróciliśmy do naszego pokoju w karczmie „Pod Bykiem”, Sherlock rzekł:

– Usiądź na tym krześle, Watsonie, chcę ci wyjaśnić sytuację, ponieważ dziś w nocy mogę potrzebować twojej pomocy. Pozwól, że przedstawię rozwój wypadków w tej sprawie na tyle, na ile udało mi się ją prześledzić. Choć w głównych zarysach wszystko jest proste, pojawiły się nieprzewidziane przeszkody wynikające z aresztowania kucharza. Z tego powodu istnieją pewne luki, które musimy jeszcze wypełnić.

Cofnijmy się do wiadomości, którą wręczono Garcii tego wieczoru, gdy został zamordowany. Możemy odrzucić pomysł Baynesa, że w sprawę byli zamieszani jego służący. Dowodem na to jest fakt, że to właśnie ON tak wszystko zaaranżował, by w jego domu obecny był Scott Eccles, a mógł to zrobić tylko po to, by mieć alibi. W takim razie to Garcia planował jakieś przedsięwzięcie, i najwyraźniej przedsięwzięcie przestępcze, które miał przeprowadzić tamtej nocy i w trakcie którego został zabity. Mówię, że to przedsięwzięcie miało przestępczy charakter, ponieważ tylko człowiek, który planuje coś w tym rodzaju, chce zapewnić sobie alibi. A w takim razie kto najprawdopodobniej odebrał mu życie? Z całą pewnością ktoś, przeciwko komu to zamierzenie było skierowane. Jak sądzę, do tej pory poruszamy się po bezpiecznym gruncie.

Teraz rozumiemy powody zniknięcia służących Garcii. WSZYSCY oni byli wspólnikami w realizacji tej samej, nieznanej nam zbrodni. Gdyby

wydała się ona po powrocie Garcii, zeznania Anglika obaliłyby wszelkie możliwe podejrzenia. Jednak przedsięwzięcie to było ryzykowne. Bez wątpienia, gdyby Garcia nie powrócił przed określoną godziną, znaczyłoby, że najprawdopodobniej sam stracił życie. W związku z tym ustalono, że w takiej sytuacji jego dwóch podwładnych uda się do przygotowanego wcześniej miejsca, aby się ukryć przed policją, a później przeprowadzić kolejną próbę zamachu. To by całkowicie wyjaśniało znane nam fakty, prawda?

Zacząłem nareszcie dostrzegać sens w całej tej pozornie niewytłumaczalnej plątaninie. Tak jak zawsze, zastanawiałem się, dlaczego nie było to dla mnie oczywiste od samego początku.

– Ale dlaczego jeden ze służących wrócił?

– Możemy sobie wyobrazić, że kiedy uciekali, w zamieszaniu zostawili coś cennego, coś, z czym ten człowiek za nic nie chciał się rozstać. To by wyjaśniało jego upór, prawda?

– Cóż… Jaki jest kolejny krok?

– Kolejnym krokiem jest wiadomość otrzymana przez Garcię podczas obiadu. Wskazuje ona na istnienie jakiegoś sojusznika z zewnątrz. A gdzie on może być teraz? Już wspominałem, że może on być tylko w jakimś dużym domu i że liczba takich domów jest ograniczona. Pierwsze dni w tej wiosce poświęciłem na spacery, podczas których zajmowałem się badaniami botanicznymi, a w przerwach przeprowadziłem rekonesans we wszystkich dużych posiadłościach i zapoznałem się z rodzinną historią ich mieszkańców. Moją uwagę przykuł jeden dom, tylko jeden. To słynny stary jakobicki folwark High Gable, położony milę stąd po drugiej stronie Oxshott i niecałe pół mili od miejsca, gdzie rozegrała się tragedia. Pozostałe dworki należały do zwykłych szanowanych ludzi, którzy trzymają się z dala od wszystkiego, co niezwykłe i tajemnicze. Jednak pan Henderson z High Gable jest ze wszech miar ciekawym człowiekiem, któremu jak najbardziej mogłyby się przytrafić niecodzienne przygody. Tak więc skupiłem uwagę na nim i na mieszkańcach jego domu.

Przedziwna zbieranina ludzi, Watsonie. A sam Henderson wyróżnia się spośród nich wszystkich. Udało mi się z nim spotkać pod jakimś wiarygodnym pretekstem, ale odniosłem wrażenie, czytając w jego ciemnych złowrogich oczach, że doskonale wie, co tak naprawdę mnie tam sprowadziło. To pięćdziesięcioletni mężczyzna, silny i sprawny, ma

stalowoszare włosy, wielkie krzaczaste czarne brwi, porusza się niczym jeleń i roztacza wokół siebie iście cesarską atmosferę. Jest gwałtownym władczym człowiekiem, pod którego pergaminową skórą skrywa się ognisty temperament. Albo sam jest cudzoziemcem, albo przez długi czas mieszkał w tropikach, bo jest żółty i wysuszony, ale twardy jak rzemień bata. Jego ciemnoskóry przyjaciel i sekretarz pan Lucas niewątpliwie jest cudzoziemcem. Przebiegły, gładki w obyciu i zręczny jak kot, ma miły głos, w którym jednak wyczuwa się jad. Watsonie, natknęliśmy się, jak widzisz, już na dwie grupy cudzoziemców. Jedną w willi Wisteria, a drugą w High Gable. Tak więc elementy naszej układanki zaczynają do siebie pasować.

Ci dwaj opisani przeze mnie ludzie, będący bliskimi i zaufanymi przyjaciółmi, stanowią samo serce tego domu. Istnieje jednak ktoś jeszcze, czyja rola może być nawet ważniejsza w naszych dociekaniach. Henderson ma dwoje dzieci – dziewczynki w wieku jedenastu i trzynastu lat. Ich guwernantką jest niejaka panna Burnet, Angielka w wieku około czterdziestu lat. Mają też jednego zaufanego służącego. Razem tworzą niemal rodzinę. Zawsze podróżują razem, a Henderson jest prawdziwym globtroterem; nieustannie gdzieś wędruje. Ostatnio powrócił do High Gable po rocznej nieobecności. Mogę też dodać, że jest niesamowicie bogaty i z łatwością może zaspokajać wszystkie swoje kaprysy i zachcianki. Co do reszty domowników, w High Gable roi się od kamerdynerów, służących, pokojówek oraz zwyczajnego przekarmionego leniwego personelu, charakterystycznego dla wielkich wiejskich rezydencji.

Tyle się dowiedziałem, po części z wioskowych plotek, a po części z moich własnych obserwacji. Nie ma lepszych informatorów niż zwolnieni służący, mający żal do swych chlebodawców, a mnie szczęśliwie udało się takiego znaleźć. Nazywam to szczęściem, ale na pewno bym na niego nie natrafił, gdybym go nie szukał. Jak mówi Baynes, wszyscy mamy swoje sposoby. Mnie udało się znaleźć Johna Warnera, niegdyś ogrodnika w High Gable, zwolnionego przez swego władczego pracodawcę w przypływie złego humoru. Warner miał z kolei przyjaciół wśród domowej służby, a oni również obawiali się swojego pana i go nie znosili. W ten sposób zdobyłem klucz do tajemnic tej rezydencji.

Mieszkańcami są przedziwni ludzie, Watsonie. Nie próbuję udawać, że już to wszystko rozumiem, ale tak czy inaczej, są naprawdę dziwaczni. Dom ma dwa skrzydła. W jednym z nich mieszkają służący, a w drugim

rodzina. Nikomu nie wolno przechodzić z jednego skrzydła do drugiego z wyjątkiem osobistego służącego Hendersona, który serwuje posiłki dla rodziny. Są one przenoszone przez drzwi, które stanowią jedyne przejście pomiędzy dwoma skrzydłami budynku. Guwernantka i dzieci wychodzą rzadko, i tylko do ogrodu. Hendersonowi nigdy nie zdarza się wyjść gdzieś samemu. Ciemnoskóry sekretarz jest niczym jego cień. Służący plotkują, że ich pan czegoś się bardzo obawia. „Sprzedał duszę diabłu za pieniądze – mówi Warner – a teraz boi się, że wierzyciel przyjdzie upomnieć się o swoje". Nikt ze służących nie ma pojęcia, skąd przyjechali ani kim są. To bardzo gwałtowni i brutalni ludzie. Henderson dwa razy rzucił się na kogoś z batem i tylko dzięki głębokiej kieszeni i niebotycznym odszkodowaniom nie musiał stawić się w sądzie.

Cóż, Watsonie, oceńmy teraz sytuację w świetle naszych nowych informacji. Możemy założyć, że wiadomość wysłano z tej przedziwnej rezydencji. Miała ona zachęcić Garcię, by przeprowadził jakiś zamach, który zaplanowano już wcześniej. Kto mógł napisać ten list? Na pewno ktoś spośród mieszkańców tej cytadeli, i jestem pewien, że była to kobieta. A więc któż inny, jak nie panna Burnet, guwernantka? Wygląda na to, że nasze rozumowanie jednoznacznie do tego prowadzi. W każdym razie możemy przyjąć je jako hipotezę i przekonać się, co z tego wyniknie. Dodam jeszcze, że wiek i charakter panny Burnet całkowicie wykluczają moje pierwsze podejrzenia, że w tej historii chodzi o jakieś sprawy miłosne.

Skoro napisała ten liścik, była prawdopodobnie przyjaciółką i sojuszniczką Garcii. A więc jak zareagowałaby na wieść o jego śmierci? Gdyby został zabity, wykonując jakieś nikczemne przedsięwzięcie, mogłaby milczeć jak grób. Jednak w głębi serca powinna być rozgoryczona i nienawidzić jego morderców. Prawdopodobnie byłaby gotowa pomóc ludziom, którzy umożliwiliby jej zemstę. Czy moglibyśmy się z nią spotkać i spróbować nakłonić do współpracy? Taka była moja pierwsza myśl. Teraz jednak dochodzimy do pewnego ponurego faktu. Panny Burnet nikt nie widział od owej nocy, gdy popełniono morderstwo. Od tego wieczora wszelki ślad po niej zaginął. Czy wciąż żyje? Może spotkała ją śmierć tej samej nocy, gdy zginął przyjaciel, którego wzywała? A może jest tylko więziona? To pytania, na które wciąż nie mamy odpowiedzi.

Na pewno dostrzegasz, Watsonie, jaka to trudna sytuacja. Nie mamy żadnych podstaw, by ubiegać się o nakaz przeszukania. Gdybyśmy

przedłożyli cały nasz plan sędziemu, mogłoby mu się to wydać wytworem naszej wyobraźni. Fakt zniknięcia tej kobiety nic nam nie pomoże, ponieważ każdy z mieszkańców tej niezwykłej rezydencji może nie pokazywać się nawet przez tydzień. A jednak w chwili obecnej jej życie może być w niebezpieczeństwie. Wszystko, co mogę zrobić, to postawić przy bramie mojego wartownika Warnera i obserwować ten dom. Nie możemy pozwolić, by taka sytuacja trwała nadal. Skoro prawo na nic się tu nie zda, sami musimy podjąć ryzyko.

– Co proponujesz?

– Wiem, gdzie jest jej pokój. Można się do niego dostać z dachu przybudówki. Sugeruję, żebyśmy udali się tam we dwóch dziś w nocy i przekonali się, czy zdołamy rozwikłać tę tajemnicę.

Muszę przyznać, że nie była to zbyt kusząca perspektywa. Stary dom owiany atmosferą morderstwa, jego osobliwi i nieprzewidywalni mieszkańcy, nieznane niebezpieczeństwa związane z łamaniem zasady nietykalności prywatnego terenu oraz fakt, że mieliśmy naruszyć prawo – wszystko to sprawiło, że mój zapał raptownie przygasł. Jednak w chłodnym metodycznym rozumowaniu Holmesa było coś, co nie pozwalało mi uchylić się przed proponowaną przez niego wyprawą. Czułem, że tylko w ten sposób możemy znaleźć rozwiązanie. W milczeniu uścisnąłem mu dłoń. Kości zostały rzucone.

Nie dane nam było jednak doczekać takiego finału naszego śledztwa. Było około piątej, i właśnie zaczęło zmierzchać, gdy do naszego pokoju wbiegł podekscytowany wieśniak.

– Wyjechali, panie Holmes! Wyjechali ostatnim pociągiem. Ta kobieta się im wyrwała! Mam ją na dole w dorożce.

– Doskonale, Warner! – zawołał Holmes, zrywając się na nogi. – Watsonie, elementy naszej układanki wreszcie błyskawicznie wskakują na swoje miejsca!

W dorożce siedziała kobieta, ledwie żywa ze zdenerwowania i wyczerpania. Jej wymizerowana twarz o ostrych rysach nosiła ślady świeżo przeżytej tragedii. Głowa bezwładnie zwisała na piersi. Gdy skierowała na nas swe otępiałe spojrzenie, ujrzałem, że jej źrenice były niczym czarne punkciki pośrodku szerokiej szarej tęczówki. Znajdowała się pod działaniem opium.

– Stałem i obserwowałem bramę, tak jak pan mi polecił, sir – rzekł nasz pomocnik, ów zwolniony ogrodnik. – Kiedy powóz wyjechał, śledziłem go do stacji. Pasażerka wyglądała tak, jakby chodziła we śnie, ale kiedy spróbowali usadowić ją w pociągu, nagle wróciły jej siły, i zaczęła walczyć. Wepchnęli ją do wagonu, ale udało jej się wyrwać i wydostać z pociągu. Postanowiłem pomóc, umieściłem ją w dorożce, i oto jesteśmy. Nigdy nie zapomnę twarzy w oknie wagonu, kiedy odjeżdżaliśmy. Ten czarnooki wściekły żółty diabeł! Gdyby mu się poszczęściło, długo bym nie pożył…

Zanieśliśmy pannę Burnet na górę i położyliśmy na sofie. Po paru filiżankach bardzo mocnej kawy jej umysł wreszcie się otrząsnął z oparów narkotyku. Holmes wysłał wiadomość do Baynesa, któremu błyskawicznie wyjaśniliśmy całą sytuację.

– No cóż, sir. Zdobył pan dla mnie wszystkie dowody, jakich potrzebowałem – rzekł ciepło inspektor, ściskając dłoń mojego przyjaciela. – Od początku podążałem tym samym tropem co pan.

– Co takiego?! Podejrzewał pan Hendersona?

– Panie Holmes, kiedy pan czołgał się w krzakach przy High Gable, ja siedziałem na jednym z drzew w sadzie i obserwowałem pana z góry. Chodziło jedynie o to, kto pierwszy zdobędzie dowody.

– W takim razie dlaczego aresztował pan tego mulata?

Baynes zachichotał.

– Byłem pewien, że Henderson, bo takim nazwiskiem się posługuje, czuł, iż jest podejrzewany w tej sprawie. Przypuszczałem, że będzie miał się na baczności i nie wykona żadnego ruchu, dopóki będzie uważał, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Aresztowałem niewłaściwego człowieka, aby uwierzył, że to nie on jest podejrzanym. Wiedziałem, że wtedy najprawdopodobniej czmychnie, a to da nam szansę dotarcia do panny Burnet.

Holmes położył dłoń na ramieniu inspektora.

– Wysoko pan zajdzie w swojej profesji. Posiada pan instynkt i intuicję – powiedział.

Baynes zarumienił się z zadowolenia.

– Przez cały tydzień ubrany po cywilnemu funkcjonariusz czekał na stacji. Gdziekolwiek pojadą mieszkańcy High Gable, nie straci ich z oczu. Musiał mieć poważny dylemat, kiedy zobaczył, że panna Burnet próbuje się uwolnić. Zabrał ją jednak pański człowiek, i wszystko dobrze

się skończyło. Nie możemy nikogo aresztować bez jej zeznań, więc im szybciej je od niej uzyskamy, tym lepiej.

– Z każdą chwilą dochodzi do siebie – rzekł Holmes, spoglądając na guwernantkę. – Ale proszę mi powiedzieć, panie Baynes, kim jest ten cały Henderson?

– Henderson – odparł inspektor – to Don Murillo, niegdyś zwany Tygrysem z San Pedro.

Tygrys z San Pedro! W jednej chwili przez głowę przemknęła mi historia tego człowieka. Zasłynął jako najbardziej lubieżny i krwiożerczy tyran, jaki kiedykolwiek rządził krajem uważanym za cywilizowany. Ten potężny bezwzględny człowiek zdołał na dziesięć czy dwanaście lat narzucić swe ohydne, haniebne rządy przerażonym ludziom. Jego imię budziło grozę w całej Ameryce Środkowej. Na koniec doszło do powszechnego powstania przeciwko niemu. Był jednak równie przebiegły co okrutny. Uprzedzając przewrót, który miał zakończyć jego panowanie, przewiózł potajemnie swoje skarby na statek, którego załogę stanowili jego oddani zwolennicy. Następnego dnia powstańcy wzięli szturmem pusty pałac. Nie dostali w swe ręce dyktatora, jego dwójki dzieci, sekretarza ani jego bogactw. Od tej chwili tyran zniknął, a w europejskiej prasie od czasu do czasu ukazywały się różne spekulacje na temat jego aktualnej tożsamości.

– Tak, tak, sir. Don Murillo, Tygrys z San Pedro – powtórzył Baynes. – Jeśli pan to sprawdzi, panie Holmes, przekona się pan, że barwami San Pedro są zieleń i biel, tak jak w liściku. Przyjął nazwisko Henderson, jednak prześledziłem wstecz jego drogę z Paryża przez Rzym i Madryt aż do Barcelony, gdzie zawinął jego statek w 1886 roku. Przez cały ten czas przeciwnicy szukali go, żeby się zemścić, ale dopiero teraz zaczęli podejrzewać, gdzie się ukrywa.

– Odnaleźli go rok temu – odezwała się panna Burnet, która zdążyła już usiąść na sofie i w skupieniu przysłuchiwała się naszej rozmowie. – Już raz przeprowadzono zamach na jego życie, ale jakiś zły duch go uchronił. Teraz z kolei poległ szlachetny rycerski Garcia, a ten potwór dalej bezpiecznie chodzi po świecie. Ale pojawi się ktoś inny, i jeszcze następny, aż pewnego dnia sprawiedliwości stanie się zadość. To równie pewne jak to, że jutro wzejdzie słońce. – Zacisnęła swoje chude dłonie, a jej umęczona twarz pobladła z nienawiści.

– Ale jak pani wplątała się w tę sprawę, panno Burnet? – spytał Holmes. – Jak angielska dama mogła przyłączyć się do tak podłego przedsięwzięcia?

– Dołączyłam do niego, bo nie było na świecie żadnego innego sposobu, by sprawiedliwości stało się zadość. Cóż obchodzą angielskie prawo rzeki krwi, przelane wiele lat temu w San Pedro, czy statek obładowany skarbami, które ukradł ten niegodziwiec? Dla was to jak zbrodnie popełnione na jakiejś innej planecie. Ale MY o nich wiemy. Poznaliśmy prawdę w bólu i w cierpieniu. Dla nas nawet w piekle nie ma gorszego diabła od Juana Murillo, i nie zaznamy w życiu spokoju, póki jego ofiary nie zostaną pomszczone.

– Nie wątpię – rzekł Holmes – że było tak, jak pani mówi. Słyszałem o jego okrucieństwach. Ale w jaki sposób dotyczy to pani?

– Wszystko panu opowiem. Ten łotr prowadził taką politykę, by pod jakimkolwiek pretekstem mordować każdego, kto wydawał się potencjalnym konkurentem do władzy. Mój mąż (bo naprawdę nazywam się signora Victor Durando) był ambasadorem San Pedro w Londynie. Tam poznaliśmy się i wzięliśmy ślub. Po ziemi nigdy nie chodził nikt szlachetniejszy. Niestety, Murillo usłyszał o tym, jak wybitnym był człowiekiem. Pod byle pretekstem odwołał go z Londynu i kazał zastrzelić. Przeczuwając swój los, mąż nie chciał wziąć mnie ze sobą. Jego majątek został skonfiskowany, a mnie pozostały nędzne grosze i złamane serce.

Potem doszło do upadku tyrana. Zbiegł, tak jak to pan przed chwilą opisał. Jednak zrujnował życie tylu ludziom, których najbliższym i najukochańszym zadawał tortury, a potem skazywał ich na śmierć, że nie możemy tak tego zostawić. Ludzie ci utworzyli stowarzyszenie, które będzie działało, dopóki jego misja nie dobiegnie końca. Gdy odkryliśmy, że Henderson to w rzeczywistości poszukiwany despota, moje zadanie polegało na tym, by trzymać się blisko jego rodziny i na bieżąco informować innych o jego posunięciach. Mogłam tego dokonać, zatrudniając się jako guwernantka jego dzieci. Nie miał pojęcia, że kobieta, która siedziała z nim przy jednym stole podczas każdego posiłku, była tą, której męża wysłał w zaświaty. Uśmiechałam się do niego, wypełniałam obowiązki wobec jego dzieci i czekałam na właściwy moment. W Paryżu dokonano pierwszego nieudanego zamachu na jego życie. Szybko przejechaliśmy okrężnymi drogami przez Europę, aby zgubić pościg, aż

wreszcie dotarliśmy do tego domu, który Murillo kupił, gdy po raz pierwszy przyjechał do Anglii.

Wysłannicy sprawiedliwości wiedzieli, że on tu powróci, toteż Garcia, syn wysokiego dygnitarza z San Pedro, czekał wraz z dwoma zaufanymi towarzyszami z niższych warstw. Wszyscy trzej płonęli żądzą zemsty z tych samych powodów. Za dnia niewiele mogli zrobić, bo Murillo był bardzo ostrożny i nigdy nie wychodził na zewnątrz bez swojego nieodłącznego Lucasa, czyli Lopeza, bo tak zwał się w dniach świetności tyrana. W nocy jednak sypiał sam, i mściciel miałby szanse do niego dotrzeć. Pewnego wieczoru, jak ustaliliśmy wcześniej, wysłałam mojemu przyjacielowi ostatnie instrukcje, bo obiekt naszej zemsty nieustannie miał się na baczności i ciągle sypiał w innym pokoju. Miałam się upewnić, że drzwi będą otwarte, i dać sygnał z okna wychodzącego na podjazd. Zielone światło miało oznaczać, że droga wolna, a białe – że lepiej byłoby odłożyć zamach.

Jednak wszystko poszło nie tak. Niespodziewanie wzbudziłam podejrzenia Lopeza, sekretarza. Podkradł się do mnie od tyłu i rzucił się na mnie w chwili, gdy kończyłam pisać ten list. On i jego pan zaciągnęli mnie do mojego pokoju i odbyli nade mną sąd jak nad jakąś zdrajczynią. Już wtedy zadźgaliby mnie nożami, gdyby tylko wiedzieli, jak uniknąć konsekwencji takiego czynu. Wreszcie po długiej dyskusji doszli do wniosku, że zamordowanie mnie byłoby zbyt ryzykowne. Postanowili jednak raz na zawsze pozbyć się Garcii. Zakneblowali mnie, i Murillo wykręcał mi rękę, dopóki nie podałam mu adresu. Przysięgam, że mógłby mi ją nawet ukręcić, gdybym tylko wtedy rozumiała, co to będzie oznaczać dla Garcii. Lopez zaadresował list, który napisałam, zapieczętował go swoją spinką od mankietu i wysłał przez służącego Jose. Nie wiem, w jaki sposób go zamordowali, poza tym, że zrobił to Murillo, bo Lopez został, żeby mnie pilnować. Przypuszczam, że musiał się zaczaić w zaroślach kolcolistu, między którymi wije się ścieżka, i zamordować Garcię, kiedy tamtędy przechodził. Na początku planowali zwabić go do domu i zabić jako włamywacza, potem jednak pomyśleli, że gdyby wplątali się w śledztwo, natychmiast wyszłaby na jaw ich prawdziwa tożsamość, i tym samym naraziliby się na kolejne zamachy. Wraz ze śmiercią Garcii zamachy mogłyby ustać, ponieważ byłaby ona czynnikiem odstraszającym od podejmowania kolejnych misji.

Wszystko to uszłoby im na sucho, gdyby nie fakt, że wiedziałam o tym, co zrobili. Nie wątpię, że były chwile, kiedy moje życie wisiało na włosku. Byłam zamknięta w moim pokoju, terroryzowana najstraszliwszymi groźbami i brutalnie bita. Zrobili to, by mnie złamać. Zobaczcie, panowie, to ukłucie na moim ramieniu i te siniaki na rękach… W usta wcisnęli mi knebel po tym, gdy spróbowałam zawołać o pomoc przez okno. To było straszne… Przez pięć dni byłam więziona i dostawałam tak mało jedzenia, że ledwie wystarczyło na utrzymanie się przy życiu. Dzisiejszego popołudnia przynieśli mi przyzwoity lunch, ale dopiero kiedy go zjadłam, zorientowałam się, że okrasili go jakimś narkotykiem. Pamiętam jak przez sen, że niemal wnieśli mnie do powozu. W takim samym stanie zaprowadzili do pociągu. Dopiero gdy pociąg już ruszał z miejsca, zdałam sobie sprawę, że moja wolność jest wyłącznie w moich własnych rękach. Zerwałam się i wyskoczyłam na peron. Próbowali wciągnąć mnie z powrotem do pociągu, i gdyby nie pomoc tego dobrego człowieka, który wsadził mnie do dorożki, nigdy nie udałoby mi się uciec. A teraz, dzięki Bogu, jestem już na zawsze bezpieczna, oni mnie nie dosięgną.

Wszyscy przysłuchiwaliśmy się z uwagą tym niecodziennym zwierzeniom. Potem zapadła cisza, którą po chwili przerwał Holmes.

– Nasze problemy na tym się nie kończą – zauważył, potrząsając głową. – Policja już nie ma tu nic do roboty, ale rozpoczyna się postępowanie sądowe.

– Właśnie – powiedziałem. – Dobry prawnik mógłby to przedstawić jako działanie w samoobronie. Choć w przeszłości popełnili setki zbrodni, można ich sądzić tylko za tę jedną.

– Niech pan da spokój – rzekł pogodnie Baynes. – Myślę, że sytuacja nie wygląda aż tak źle. Samoobrona to jedna sprawa, a zwabienie człowieka, aby z zimną krwią go zamordować, to już całkiem co innego, niezależnie od tego, że czuł się zagrożony. Nie, nie! Jestem pewien, że wkrótce ujrzymy dzierżawców High Gable na ławie oskarżonych w sądzie w Guildford.

Historia potoczyła się jednak inaczej. Musiało upłynąć jeszcze trochę czasu, nim Tygrys z San Pedro zapłacił za swe zbrodnie. Przebiegłym i przemyślanym posunięciem on i jego towarzysz pozbyli się śledzącego ich człowieka, wchodząc do pensjonatu przy Edmonton Street i wychodząc stamtąd tylnymi drzwiami na Curzon Square. Od tego dnia nikt ich w Anglii już nie widział. Jakieś sześć miesięcy później markiz Montalva

i signor Rulli, jego sekretarz, zostali zamordowani w swoich pokojach w hotelu „Escurial” w Madrycie. Zbrodnię tę przypisano nihilistom, a morderców nigdy nie aresztowano. Inspektor Baynes odwiedził nas na Baker Street i przyniósł rysopisy zabitych: ciemnoskórego sekretarza oraz jego pana o władczych rysach, hipnotycznych czarnych oczach i krzaczastych brwiach. Nie mieliśmy żadnych wątpliwości, że – choć z opóźnieniem – sprawiedliwości wreszcie stało się zadość.

– To zagmatwana sprawa, mój drogi Watsonie – rzekł Holmes, paląc wieczorem fajkę. – Nie będziesz mógł jej przedstawić w zwięzłej formie, tak miłej twojemu sercu. Wszak działo się to na dwóch kontynentach i dotyczyło dwóch tajemniczych grup ludzi, a niezwykła obecność naszego szacownego znajomego Scotta Ecclesa jeszcze bardziej komplikuje sprawę. Jego wplątanie w tę mroczną zagadkę świadczy o tym, że zmarły Garcia był świetnym intrygantem i posiadał doskonale wykształcony instynkt przetrwania. Ale cały ten przypadek jest godny uwagi choćby ze względu na fakt, że w gęstej dżungli wątpliwości my oraz nasz wspaniały inspektor trzymaliśmy się tego, co najważniejsze, dzięki czemu udało nam się zawiłą, krętą ścieżką dotrzeć do rozwiązania zagadki. Czy jest jeszcze coś, co nie byłoby dla ciebie jasne?

– Po co wrócił ten kucharz mulat?

– Myślę, że po to dziwne stworzenie, które odkryliśmy w kuchni, a które musiało być jego totemem. Ten człowiek był prymitywnym dzikusem z lasów San Pedro. Kiedy on i jego towarzysz zbiegli do jakiejś wcześniej przygotowanej kryjówki, w której bez wątpienia ktoś już na nich czekał, ów towarzysz musiał go namówić, aby pozostawił ten jakże kompromitujący przedmiot. Jednak mulat nie potrafił się z nim rozstać i następnego dnia poczuł nieodpartą potrzebę, aby po niego wrócić. Wówczas, zajrzawszy przez okno, odkrył obecność policjanta Waltersa pilnującego rezydencji. Odczekał jeszcze trzy dni, a wtedy jego wiara lub przesądy kazały mu podjąć kolejną próbę. Inspektor Baynes, będąc wyjątkowo sprytnym człowiekiem, przedstawił mi ten incydent jako niewiele znaczący, choć od początku zdawał sobie sprawę z jego prawdziwego znaczenia. Zastawił więc pułapkę. Coś jeszcze, Watsonie?

– A rozszarpany na kawałki ptak, wiadro krwi, zwęglone kości i wszystkie te dziwactwa w kuchni?

Holmes uśmiechnął się, wertując strony swojego notatnika.

– Spędziłem poranek w British Museum, aby czegoś się o tym dowiedzieć. Oto cytat z dzieła Eckermanna „Wudu i religie murzyńskie”:

> Prawdziwy wyznawca wudu nie podejmuje żadnego ważnego przedsięwzięcia, nie złożywszy przedtem pewnych ofiar, które mają zjednać mu przychylność jego nieczystych bogów. W skrajnych przypadkach rytuały te przybierają postać ofiar z ludzi, po których następują kanibalskie uczty. Najczęściej jednak w ofierze składa się białego koguta, który zostaje żywcem rozerwany na kawałki, lub czarną kozę, której najpierw podrzyna się gardło, następnie ciało zostaje spalone.

Jak widzisz, nasz przyjaciel dzikus fanatycznie przestrzegał swoich rytuałów. To naprawdę groteskowe, Watsonie – dodał Holmes, powoli zamykając swój notes. – Ale jak miałem już okazję zauważyć, od tego co straszliwe groteskę dzieli tylko jeden krok.

Opowieść druga

Tekturowe pudełko

Wybierając kilka typowych spraw, które najlepiej ilustrowałyby niezwykłe zdolności intelektualne mojego przyjaciela Sherlocka Holmesa, starałem się w miarę możliwości ograniczyć do minimum sensacyjne szczegóły i opisać przypadki najlepiej prezentujące jego wyjątkowe talenty. Niestety, nie sposób jednak całkowicie oddzielić sensację od zbrodni, a kronikarz nieuchronnie staje przed dylematem: albo musi zrezygnować ze szczegółów mających kluczowe znaczenie dla jego opowieści, odbiegając tym samym od prawdy, albo też przedstawić sprawę, którą podsunął mu czysty przypadek, a nie taką, jaką sam wybrał. Po tej krótkiej przedmowie pragnę powrócić do moich notatek związanych z szeregiem pewnych wydarzeń, które okazały się nie tylko niezwykłe, lecz również wyjątkowo ponure i straszne.

Był skwarny sierpniowy dzień. Na Baker Street czuliśmy się jak w rozgrzanym piekarniku, a jaskrawy blask słońca na żółtawych cegłach kamienic po drugiej stronie ulicy raził oczy. Trudno było uwierzyć, że to te same ściany, które tak ponuro majaczyły w zimowej mgle. Mieliśmy na wpół zasunięte zasłony, a Holmes leżał skulony na sofie, po raz kolejny czytając list, który otrzymał poranną pocztą. Jeśli chodzi o mnie, to dzięki służbie w Indiach nauczyłem się lepiej znosić upały niż chłody, i trzydzieści stopni na termometrze nie były dla mnie trudne do wytrzymania. W porannej gazecie nie znalazłem niczego ciekawego. Parlament zakończył obrady, wszyscy poznikali z miasta, a ja tęskniłem za polanami New Forest i kamienistymi plażami w Southsea. Brak pieniędzy na koncie sprawił, że musiałem odłożyć wakacje na później, mojego towarzysza natomiast nie ciągnęło ani do uroków wsi, ani nad morze. Uwielbiał tkwić w samym centrum pięciomilionowego miasta, czekał, przygotowując swe zmysły,

gotów natychmiast zareagować na każdą pogłoskę czy podejrzenie dotyczące jakiegoś niewyjaśnionego przestępstwa. Jego charakter nie pozostawiał miejsca na zachwycanie się pięknem natury, chyba że znalazłby na nie czas, śledząc jakiegoś złoczyńcę na wsi, a nie podążając jego tropem w mieście.

Przekonawszy się, że Holmes jest zbyt pochłonięty tym, co robił, i z pewnością nie będzie miał ochoty na rozmowę, odrzuciłem na bok nudną gazetę i, opierając się wygodnie w fotelu, pogrążyłem się w zadumie. Nagle bieg moich myśli przerwał głos Sherlocka.

– Masz rację, Watsonie – powiedział. – Też uważam, że to zupełnie niedorzeczny sposób rozwiązywania sporów.

– Kompletnie niedorzeczny! – zawołałem, a potem, zdając sobie nagle sprawę, że odczytał najgłębsze myśli skrywane w mojej duszy, wyprostowałem się w fotelu i spojrzałem na niego w całkowitym osłupieniu. – Cóż to było, Holmesie?! Tym razem naprawdę twoja uwaga zaskoczyła mnie w niesamowity sposób.

Widząc moją konsternację, roześmiał się serdecznie.

– Pamiętasz może – powiedział – że gdy czytałem ci niedawno fragment jednego z opowiadań Poe, w którym człowiek posługujący się logicznym myśleniem śledził niewypowiedziane myśli swego towarzysza, byłeś raczej skłonny potraktować to wszystko jako czcze wymysły autora? A gdy zauważyłem wówczas, że ja sam nieustannie robię to samo, wyrażałeś swoje niedowierzanie.

– Och nie!

– Być może nie wyraziłeś tego słowami, mój drogi Watsonie, ale z całą pewnością świadczyły o tym twe uniesione brwi. Tak więc gdy zobaczyłem, że odrzucasz gazetę i pogrążasz się w myślach, bardzo się ucieszyłem, że mam oto okazję, aby je odczytać, a następnie opowiedzieć ci o nich jako dowód na to, że nawiązałem z tobą bliski kontakt mentalny.

Nie byłem ani trochę usatysfakcjonowany tymi słowami.

– W tym przykładzie, który mi podałeś – rzekłem – rozumujący człowiek wyciągał wnioski z działań mężczyzny, którego obserwował. O ile dobrze pamiętam, mężczyzna ten potknął się o stos kamieni, potem spojrzał w górę na gwiazdy i tak dalej. Ja natomiast siedziałem sobie spokojnie w fotelu. Jakich więc przesłanek mogłem ci dostarczyć?

– Jesteś niesprawiedliwy wobec samego siebie. Człowiek ma rysy twarzy, aby mog-ły wyrażać jego emocje, zaś w twoim przypadku wiernie ci one służą.

– Chcesz przez to powiedzieć, że odczytałeś moje myśli z samych rysów mej twarzy?

– Tak, z twoich rysów twarzy, a przede wszystkim z oczu. Może pamiętasz, od czego zaczęły się twoje rozmyślania?

– Nie pamiętam.

– W takim razie ja ci powiem. Po tym, gdy odrzuciłeś gazetę (a ten fakt zwrócił moją uwagę), przez pół minuty siedziałeś z pustym wyrazem twarzy. Później utkwiłeś wzrok w niedawno oprawionym portrecie generała Gordona, a ja spostrzegłem po zmianie twoich rysów, że zacząłeś intensywnie myśleć. Nie trwało to jednak zbyt długo. Skierowałeś oczy na nieoprawiony portret Henry’ego Warda Beechera, stojący na twoich książkach. Później spojrzałeś w górę na ścianę i to, co pomyślałeś, było dla mnie oczywiste. Przyszło ci do głowy, że gdyby ten portret był oprawiony, zasłoniłby to puste miejsce na ścianie i dobrze by pasował do wiszącego już portretu Gordona.

– Świetnie odgadłeś moje myśli! – zawołałem.

– Aż do tamtego punktu raczej nie mogłem pobłądzić. Wtedy jednak twoje myśli powróciły do Beechera, i spojrzałeś na niego twardo, tak jakbyś badał jego charakter na podstawie rysów twarzy. Później wyraz twych oczu złagodniał, lecz nadal na niego patrzyłeś, a twoja twarz wyrażała zamyślenie. Przypominałeś sobie różne epizody z kariery Beechera. Doskonale zdawałem sobie sprawę, że przy tej okazji nie mogłeś nie pomyśleć o misji, jakiej się podjął dla Północy podczas wojny secesyjnej w Stanach Zjednoczonych, pamiętałem bowiem, z jaką pasją wyrażałeś swoje wzburzenie faktem, jak przyjęli go mniej przychylnie nastawieni Anglicy. Wywołuje to w tobie tak silne emocje, iż wiedziałem, że nie możesz myśleć o Beecherze, nie rozważając również tej kwestii. Gdy chwilę później ujrzałem, że twoje oczy zaczynają błądzić i nie wpatrują się już w portret, podejrzewałem, że zwróciłeś myśli ku wojnie secesyjnej. Gdy zauważyłem, jak zaciskasz usta i pięści, a w twoich oczach pojawiają się błyski, byłem już pewien, że rzeczywiście myślisz o męstwie okazanym przez obie strony podczas tego desperackiego konfliktu. Potem jednak twoja twarz posmutniała. Potrząsnąłeś głową. Zadumałeś się nad tym, jak

smutny, przerażający i bezużyteczny był ten rozlew krwi. Twoja dłoń bezwiednie powędrowała w miejsce, w które kiedyś cię zraniono, a na twoich ustach pojawił się lekki uśmiech, co przekonało mnie o tym, iż właśnie myślisz, że taka metoda rozwiązywania międzynarodowych sporów jest doprawdy niedorzeczna. W tym właśnie punkcie zgodziłem się z tobą, mówiąc, iż rzeczywiście jest niedorzeczna, i mogłem się z radością przekonać, że cały ten przeprowadzony przeze mnie proces dedukcji był słuszny.

– Całkowicie słuszny! – powiedziałem. – I muszę przyznać, że teraz, kiedy mi to wszystko wyjaśniłeś, wciąż jestem równie zdumiony jak przedtem.

– Mój drogi Watsonie, to naprawdę nic niezwykłego, zapewniam cię. Nie przerywałbym nawet twoich refleksji, gdybyś parę dni temu nie wyrażał swojego niedowierzania, iż jest to możliwe. Mam tu jednak pewną drobną zagadkę, której rozwiązanie może się okazać trudniejsze niż to małe studium nad czytaniem w myślach. Zauważyłeś może w gazecie krótką wzmiankę o tym, że pannie Cushing z Cross Street w Croydon przysłano paczkę o przedziwnej zawartości?

– Nie, nic takiego nie widziałem.

– W takim razie musiałeś to przeoczyć. Rzuć mi gazetę. Jest tu, pod rubryką finansową. Bądź tak dobry i przeczytaj na głos.

Podniosłem gazetę, którą mi odrzucił, i przeczytałem wskazaną przez niego notatkę. Nagłówek brzmiał: „Makabryczna paczka”.

> Panna Susan Cushing, zamieszkała przy Cross Street w Croydon, padła ofiarą czegoś, co można by uznać za wyjątkowo odrażający żart, o ile nie okaże się, że z tym incydentem wiążą się jakieś tragiczne wydarzenia. Wczoraj o drugiej po południu listonosz doręczył jej niewielką paczkę owiniętą brązowym papierem. Wewnątrz znajdowało się tekturowe pudełko wypełnione gruboziarnistą solą. Po jego otwarciu panna Cushing z przerażeniem odkryła, że zawiera ono dwoje ludzkich uszu, najwyraźniej odciętych dość niedawno. Przesyłka została nadana poprzedniego ranka z Belfastu. Nie ma żadnych wskazówek dotyczących nadawcy, a sprawa wydaje się tym bardziej tajemnicza, że panna Cushing ma pięćdziesiąt lat, jest niezamężna i prowadziła do tej pory bardzo spokojne życie. Posiada tak niewielu znajomych i przyjaciół, z którymi koresponduje, że otrzymanie jakiegokolwiek listu czy przesyłki pocztowej jest dla niej rzadkim wydarzeniem. Kilka lat temu, gdy mieszkała w Penge, wynajmowała pokoje trzem młodym studentom medycyny, jednak była zmuszona wymówić im kwaterę ze względu na ich hałaśliwe zachowanie

i niestosowny tryb życia. Według policji ten wybryk mógł być dziełem wspomnianych trzech młodzieńców, którzy żywili urazę wobec panny Cushing i być może liczyli, że ją przestraszą tymi rekwizytami z prosektorium. Teoria ta wydaje się dość prawdopodobna, biorąc pod uwagę fakt, że jeden ze studentów pochodził z północy Irlandii, jak twierdzi panna Cushing, właśnie z Belfastu. Intensywne śledztwo w tej sprawie prowadzi jeden z naszych najlepszych detektywów, pan Lestrade.

– Tyle pisze o tym Daily Chronicle – rzekł Holmes, gdy skończyłem czytać. – A jeśli chodzi o naszego przyjaciela Lestrade'a, dziś rano otrzymałem od niego ten oto list. Posłuchaj, co mi napisał:

Mam wrażenie, że ta sprawa bardzo przypadłaby panu do gustu. Żywimy nadzieję, że uda nam się ją wyjaśnić, natknęliśmy się jednak na pewne drobne trudności. Nie możemy znaleźć nic, na czym moglibyśmy się oprzeć. Naturalnie, wysłaliśmy telegram do urzędu pocztowego w Belfaście, jednak tego dnia nadano tam bardzo wiele paczek. Nie mają żadnej możliwości zidentyfikowania tej konkretnej przesyłki ani nie potrafią sobie przypomnieć, kto ją nadał. Jest to półfuntowe pudełko po tytoniu o aromacie rosy miodowej, co w żaden sposób nie jest dla nas pomocne. Nadal sądzę, że najprawdopodobniej zrobił to ten student medycyny, lecz jeśli miałby pan ochotę poświęcić tej sprawie kilka godzin, bardzo chętnie się z panem spotkam. Przez cały dzień będę albo u panny Cushing, albo na posterunku.

I co na to powiesz, Watsonie? Potrafiłbyś się przemóc w taki upał i pojechać ze mną do Croydon, licząc, że okaże się to sprawa którą mógłbyś zamieścić w swoich kronikach?

– Miałem nadzieję, że pojawi się jakieś zajęcie.

– W takim razie się pojawiło. Zadzwoń po naszego pucybuta i powiedz mu, żeby zamówił dorożkę. Za chwilę wrócę, muszę się tylko przebrać i napełnić moją papierośnicę.

Gdy siedzieliśmy w pociągu, spadł deszcz, a w Croydon upał był o wiele mniej dotkliwy niż w mieście. Holmes wysłał wcześniej telegram, więc Lestrade czekał na nas na stacji – jak zwykle szczupły, elegancki i jak zawsze przypominający fretkę. Po pięciominutowym spacerze dotarliśmy na Cross Street, przy której mieszkała panna Cushing.

Była to bardzo długa uliczka, zadbana i wymuskana, wzdłuż której ciągnęły się jednopiętrowe ceglane domy z bielonymi kamiennymi schodami. Klimat tworzyły niewielkie grupki kobiet w fartuchach plotkujące przy drzwiach domów. W połowie ulicy Lestrade zatrzymał się

i zapukał do drzwi. Otworzyła nam służąca o drobnej posturze. Panna Cushing siedziała w salonie, do którego nas wprowadzono. Miała spokojną twarz, duże łagodne oczy i siwe włosy opadające na skronie. Na kolanach trzymała małą narzutę, nad którą pracowała, zaś na stołku obok stał kosz z różnokolorowymi kawałkami jedwabiu.

– Te ohydztwa są w przybudówce – powiedziała, gdy wszedł Lestrade. – Chciałabym, żebyście, panowie, zabrali je stąd.

– Tak zrobię, panno Cushing. Trzymałem je tutaj tylko do czasu, gdy mój przyjaciel pan Sherlock Holmes będzie mógł je obejrzeć w pani obecności.

– Dlaczego w mojej obecności, sir?

– Na wypadek gdyby pragnął zadać pani jakieś pytania.

– A jaki jest sens zadawać mi jakieś pytania, skoro mogę panom od razu powiedzieć, że nic o tym nie wiem?

– Tak, proszę pani – rzekł uspokajająco Holmes. – Nie wątpię, że cała ta sprawa i tak już panią za bardzo zdenerwowała.

– To prawda, sir. Jestem spokojną kobietą i prowadzę spokojne życie. Moje nazwisko nigdy nie pojawiło się w żadnej gazecie. Nigdy też nie było u mnie w domu policji. Nie chcę tego tutaj, panie Lestrade. Proszę mi tego tu nie wnosić. Jeśli chce je pan sobie obejrzeć, musi pan iść do przybudówki.

Była to niewielka szopa stojąca w małym ogródku za domem. Lestrade wszedł do środka, a po chwili pojawił się z żółtym tekturowym pudełkiem owiniętym kawałkiem brązowego papieru i obwiązanym jakimś sznurkiem. Przy końcu ścieżki stała ławka, na której wszyscy usiedliśmy, po czym Holmes zbadał jeden po drugim przedmioty podane mu przez Lestrade’a.

– Ten sznurek jest niezwykle interesujący – zauważył, podnosząc go do światła i wąchając. – Co pan o nim sądzi, Lestrade?

– Jest smołowany.

– Dokładnie. To kawałek smołowanego szpagatu. Bez wątpienia zauważył pan również, że panna Cushing przecięła ten sznurek nożyczkami, co widać po wystrzępieniu obu końców. To jest istotne.

– Nie rozumiem, co w tym istotnego – rzekł Lestrade.

– To, że węzeł pozostał nienaruszony, a jest bardzo interesujący.

– Sznurek został wyjątkowo porządnie związany. Już to odnotowałem – rzekł Lestrade, wyraźnie zadowolony z siebie.

– W takim razie skończmy ze sznurkiem – odpowiedział z uśmiechem Holmes. – Zajmijmy się teraz materiałem, którym owinięto pudełko. To brązowy papier z wyraźnym aromatem kawy. Jak to?! Nie zauważył pan tego? Sadzę, że nie może być co do tego żadnych wątpliwości. Adres napisano niechlujnie, drukowanymi rozstrzelonymi literami: „PANNA S. CUSHING, CROSS STREET, CROYDON”. Użyto pióra o szerokiej końcówce, prawdopodobnie wiecznego pióra ze stalówką, i atramentu bardzo kiepskiej jakości. Słowo „Croydon” napisano najpierw przez „i”, które potem poprawiono na „y”. Paczkę nadał mężczyzna (pismo jest wyraźnie męskie) niezbyt wykształcony, nie znający miasta Croydon. Pudełko to żółte półfuntowe opakowanie po aromatyzowanym tytoniu, w którym nie ma nic szczególnego z wyjątkiem dwóch odcisków kciuka w lewym dolnym rogu. Wypełniono je gruboziarnistą solą, taką, jakiej używa się do konserwacji skór oraz innych celów przemysłowych, natomiast w soli znajdują się te dwa bardzo szczególne przedmioty.

Mówiąc to, wyjął dwoje uszu i, kładąc sobie na kolanie kawałek deski, bardzo dokładnie je zbadał. Lestrade i ja siedzieliśmy pochyleni po jego obu stronach, patrzyliśmy na przemian to na te okropności, to na skupioną, pełną zapału twarz naszego towarzysza. Wreszcie odłożył uszy do pudełka i przez jakiś czas milczał, pogrążony w głębokiej zadumie.

– Zauważył pan oczywiście – odezwał się wreszcie – że te uszy nie są od pary?

– Tak, zauważyłem. Jednak jeśli to faktycznie żart jakichś studentów, w prosektorium nie mieliby problemu ze znalezieniem dwojga różnych uszu.

– Dokładnie. Ale to nie był dowcip.

– Jest pan tego pewien?

– Wiele na to wskazuje. Do ciał w prosektorium wstrzykuje się płyny konserwujące. Po tych uszach tego nie widać. Poza tym są świeże. Zostały odcięte jakimś tępym narzędziem, co raczej nie miałoby miejsca, gdyby zrobił to jeden z tych studentów. Ponadto substancją konserwującą byłby jakiś środek na bazie fenolu lub rektyfikowany spirytus. Zastosowałby je ktoś znający się na medycynie. Takiemu człowiekowi na pewno nie przyszłoby do głowy, by użyć gruboziarnistej soli. Powtarzam, nie mamy tu do czynienia z jakimś dowcipem. Prowadzimy śledztwo w sprawie poważnego przestępstwa.

Gdy usłyszałem słowa mojego towarzysza i ujrzałem surową powagę malującą się na jego twarzy, przeszył mnie dreszcz. Ten brutalny wstęp wydawał się wskazywać, że w całej sprawie kryje się jakaś dziwna niewytłumaczalna groza. Jednak Lestrade, nie do końca przekonany, potrząsnął głową.

– Z pewnością można znaleźć pewne zastrzeżenia do sugestii, że to był dowcip – powiedział. – Jednak zastrzeżenia do tej pańskiej teorii są jeszcze poważniejsze. Wiemy, że przez ostatnich dwadzieścia lat ta kobieta wiodła wyjątkowo spokojne i uczciwe życie w Penge, a później tutaj. Przez ten czas rzadko zdarzały się okresy, by nie było jej w domu dłużej niż przez jeden dzień. Dlaczego jakiś przestępca miałby jej przysyłać dowody swojej zbrodni? Zwłaszcza, jak się wydaje, rozumie z tej sprawy równie mało co my?

– To jest właśnie problem, który musimy rozwiązać – odparł Holmes. – Jeśli chodzi o mnie, to zabiorę się do rozstrzygnięcia tej sprawy, wychodząc z założenia, że moje rozumowanie jest słuszne i że popełniono podwójne morderstwo. Jedno z tych uszu to ucho kobiety, małe, delikatne, z dziurką po kolczyku. Drugie to ucho mężczyzny, opalone, pożółkłe i również z dziurką po kolczyku. Ci ludzie prawdopodobnie nie żyją, bo w przeciwnym razie już byśmy o nich usłyszeli. Dziś mamy piątek. Paczka została nadana w czwartek rano. Tak więc do tej tragedii doszło w środę lub we wtorek albo jeszcze wcześniej. Jeśli tych dwoje ludzi zostało zamordowanych, to któż mógłby wysłać pannie Cushing dowód swoich dokonań, jeśli nie sam morderca? Możemy założyć, że człowiek, którego szukamy, to nadawca tej paczki. Musiał mieć jednak jakiś bardzo ważny powód, żeby wysłać ją pannie Cushing. Ale jaki powód? Zrobił to, by jej przekazać, że popełnił zbrodnię? A może żeby zadać jej ból? Jednak w takim razie musiałaby wiedzieć, kim byli zamordowani. Czy wie? Wątpię. Gdyby wiedziała, po cóż miałaby wzywać policję? Mogła po prostu zakopać te uszy, i nikt by się nawet o tym nie dowiedział. Tak właśnie by postąpiła, gdyby chciała chronić tego zbrodniarza. Jednak skoro nie chce go chronić, podałaby jego nazwisko. Mamy tutaj do czynienia z kłębkiem, który trzeba jakoś rozplątać – mówił szybko podniesionym głosem, patrząc pustym wzrokiem gdzieś ponad płot okalający ogród. Zaraz jednak żwawo zerwał się na nogi i ruszył w stronę domu.

– Chciałbym zadać pannie Cushing kilka pytań – oświadczył.

– W takim razie pozwolę sobie zostawić pana tutaj – rzekł Lestrade – ponieważ muszę się zająć inną drobną sprawą. Nie sądzę, bym mógł się jeszcze czegoś dowiedzieć od panny Cushing. Znajdzie mnie pan na posterunku.

– Zajrzymy do pana w drodze na stację – odparł Holmes.

Chwilę później byliśmy obaj z powrotem w salonie, gdzie starsza pani nadal obojętnie, w milczeniu, pracowała nad swoją narzutą. Gdy weszliśmy, odłożyła ją na kolana i spojrzała na nas swymi szczerymi, pytającymi niebieskimi oczyma.

– Jestem przekonana, sir – powiedziała – że cała ta sprawa to jakaś pomyłka i że to nie ja miałam dostać tę paczkę. Mówiłam to parę razy tym dżentelmenom ze Scotland Yardu, ale pan Lestrade po prostu mnie wyśmiał. O ile wiem, nie mam na świecie żadnych wrogów, więc dlaczego ktoś miałby zrobić mi taki okrutny żart?

– Doszedłem do tego samego wniosku, panno Cushing – rzekł Holmes, siadając przy niej. – Myślę, że to więcej niż prawdopodobne… – Nagle przerwał, a gdy na niego spojrzałem, ze zdumieniem spostrzegłem, że z osobliwym skupieniem przypatruje się profilowi starszej pani. Przez moment na jego bystrej twarzy malowały się zaskoczenie i satysfakcja, jednak gdy podniosła wzrok, by znaleźć przyczynę jego nagłego milczenia, jego twarz przybrała już zwykły beznamiętny wyraz. Sam zacząłem się dokładniej przyglądać jej gładko przyczesanym siwym włosom, czepkowi na głowie, drobnym pozłacanym kolczykom i łagodnym rysom. Nie zauważyłem jednak niczego, co mogłoby tłumaczyć wyraźne podekscytowanie mojego towarzysza.

– Jest parę pytań…

– Och! Zmęczyły mnie już te pytania! – zawołała ze zniecierpliwieniem panna Cushing.

– Jak sądzę, ma pani dwie siostry?

– A skąd pan to może wiedzieć?

– Gdy wszedłem do tego pokoju, zauważyłem na kominku portret trzech dam, z których jedną niewątpliwie jest pani, podczas gdy dwie pozostałe są do pani tak bardzo podobne, że nie może być cienia wątpliwości co do łączącego was pokrewieństwa.

– Tak, ma pan rację. To moje siostry, Sarah i Mary.

– A tutaj z boku stoi kolejny portret, zrobiony w Liverpoolu. Przedstawia pani młodszą siostrę w towarzystwie jakiegoś mężczyzny, zapewne stewarda, sądząc po jego uniformie. Jak widzę, była wtedy niezamężna.

– Jest pan bardzo spostrzegawczy.

– Taki mam już zawód.

– Cóż, ma pan rację. Kilka dni później wyszła za mąż za pana Brownera. Kiedy robiono to zdjęcie, pracował na statku kursującym do Ameryki Południowej. Jednak tak bardzo ją kochał, że nie mógł już znieść długich okresów rozłąki. Przeniósł się więc na statek pływający z Liverpoolu do Londynu.

– Może na „Conquerora”?

– Nie, ostatnio kiedy o tym słyszałam, pracował na „May Day”. Jim przyjechał tu kiedyś do mnie w odwiedziny. Wtedy jeszcze nie złamał swojej przysięgi. Ale potem, kiedy był na lądzie, zawsze bardzo dużo pił, odrobina alkoholu wystarczała, by wpadał w furię i tracił panowanie nad sobą. Och, to był zły dzień, kiedy znów sięgnął po kieliszek. Najpierw zerwał kontakt ze mną, potem pokłócił się z Sarah, a teraz, kiedy Mary przestała pisać, nie wiem, jak się im wiedzie.

Było widać, że ten temat budził w pannie Cushing bardzo silne emocje. Jak większość ludzi wiodących samotny tryb życia była z początku bardzo nieśmiała, lecz szybko stała się wyjątkowo rozmowna. Opowiedziała nam wiele szczegółów z życia swego szwagra stewarda, a potem przeszła do tematu byłych lokatorów, studentów medycyny, i długo wyliczała nam ich przewinienia, podając nazwiska oraz nazwy szpitali. Holmes uważnie słuchał tego wszystkiego, od czasu do czasu rzucając jakieś pytanie.

– A jeśli chodzi o pani drugą siostrę, Sarah – powiedział – to zastanawiam się, czemu razem nie mieszkacie. Przecież obie jesteście niezamężne.

– Och! Nie wie pan, jaka ona jest. Gdyby ją pan znał, nie dziwiłby się pan temu. Kiedy sprowadziłam się do Croydon, zamieszkałam z nią. Przebywałyśmy razem jeszcze jakieś dwa miesiące temu, ale musiałyśmy się rozstać. Nie chcę opowiadać złych rzeczy o mojej rodzonej siostrze, ale zawsze była strasznie wścibska, i trudno ją było zadowolić. Taka już jest.

– Wspominała pani, że Sarah pokłóciła się z pani krewnymi z Liverpoolu.

– Tak, a kiedyś byli najlepszymi przyjaciółmi. Zamieszkała tam, aby być bliżej nich. Teraz jednak nie potrafi znaleźć słów, które wystarczająco krytycznie opisałyby Jima Brownera. Przez ostatnie sześć miesięcy, kiedy tutaj mieszkała, nie mówiła o niczym innym prócz tego, jaki z niego pijak, i co jeszcze wyprawia. Podejrzewam, że przyłapał ją na tym, jak się wtrącała w nieswoje sprawy, i wygarnął jej, co o tym myśli. Tak się to właśnie wszystko zaczęło.

– Dziękuję, panno Cushing – rzekł Holmes, kłaniając się jej na pożegnanie. – Wspominała pani, że jej siostra Sarah mieszka przy New Street w Wallington? Żegnam panią, jest mi bardzo przykro, że fatygowano panią w związku ze sprawą, z którą, jak pani mówi, nie ma nic wspólnego.

Gdy wyszliśmy, przejeżdżała akurat dorożka. Holmes ją zatrzymał.

– Jak daleko jest stąd do Wallington? – zapytał.

– Nie więcej niż mila, sir.

– Bardzo dobrze. Wskakuj, Watsonie! Musimy kuć żelazo, póki gorące. Choć to tak prosta sprawa, wiąże się z nią kilka wyjątkowo ciekawych szczegółów. Dorożkarzu, gdy będzie pan mijał biuro telegraficzne, proszę się tam na chwilę zatrzymać.

Holmes wysłał krótką depeszę i przez resztę naszej podróży siedział rozparty w dorożce. Kapelusz miał opuszczony na nos, by osłonić twarz przed słońcem. Nasz pojazd zatrzymał się przed domem bardzo podobnym do tego, który właśnie opuściliśmy. Mój towarzysz kazał dorożkarzowi poczekać i właśnie położył dłoń na kołatce, gdy drzwi się otworzyły, i na progu pojawił się młody, ubrany na czarno dżentelmen o poważnym wyglądzie; na głowie miał bardzo lśniący kapelusz.

– Czy zastałem pannę Cushing? – spytał Holmes.

– Panna Sarah Cushing jest bardzo chora – odparł mężczyzna. – Od wczoraj wykazuje ostre objawy zapalenia mózgu. Jako jej lekarz nie mogę pozwolić, by ktokolwiek teraz się z nią widział. Radzę panu odwiedzić ją ponownie za dziesięć dni. – Włożył rękawiczki, zamknął drzwi i ruszył ulicą.

– Cóż, jak nie możemy, to trudno – rzekł wesoło Holmes.

– Może i tak nie chciałaby ci zbyt wiele powiedzieć albo nie byłaby w stanie tego zrobić.

– Właściwie to wcale nie chciałem, by mi cokolwiek mówiła. Miałem zamiar tylko na nią spojrzeć. Sądzę jednak, że uzyskałem wszystko, czego

potrzebowałem. Dorożkarzu, proszę nas zawieźć do jakiegoś przyzwoitego hotelu, gdzie będziemy mogli zjeść lunch. A potem zajrzymy na posterunek do naszego przyjaciela Lestrade’a.

Zjedliśmy niewielki smaczny posiłek, podczas którego Holmes mówił wyłącznie o skrzypcach. Opowiadał mi ze śmiechem o tym, jak za jedyne pięćdziesiąt pięć szylingów kupił Stradivariusa wartego co najmniej pięćset gwinei u pewnego żydowskiego handlarza na Tottenham Court Road. To doprowadziło jego myśli do Paganiniego; przez godzinę siedzieliśmy przy butelce Bordeaux, a on opowiadał kolejne anegdoty o tym niezwykłym muzyku. Nim znaleźliśmy się na posterunku, było już późne popołudnie, a lejący się z nieba skwar złagodniał do przyjemnego ciepła. Lestrade czekał na nas przy drzwiach.

– Telegram do pana, panie Holmes – powiedział.

– Ha! Oto i odpowiedź! – otworzył go szybkim ruchem i przebiegł oczyma, a potem zmiął i schował do kieszeni. – W porządku – powiedział.

– Dowiedział się pan czegoś?

– Dowiedziałem się wszystkiego!

– Co takiego?! – Lestrade patrzył na niego osłupiałym wzrokiem – Chyba pan żartuje?!

– Nigdy w życiu nie mówiłem poważniej. Popełniono szokującą zbrodnię, i jak sądzę, udało mi się teraz wyjaśnić wszystkie jej szczegóły.

– A przestępca?

Holmes nabazgrał parę słów na odwrocie jednej ze swych wizytówek i podał ją Lestrade’owi.

– To jego nazwisko – powiedział. – Będzie go pan mógł aresztować najwcześniej jutro wieczorem. Wolałbym, żeby pan w ogóle nie wspominał o mnie w związku z tą sprawą. Chcę być kojarzony wyłącznie ze zbrodniami, których rozwiązanie nastręcza pewne trudności. Chodźmy, Watsonie. – Razem ruszyliśmy na stację, pozostawiając Lestrade’a wciąż wpatrzonego z zachwytem w wizytówkę, którą dał mu Holmes.

– Ta sprawa – rzekł mój przyjaciel, gdy tego wieczora gawędziliśmy sobie, popalając cygara w naszym mieszkaniu na Baker Street – to jedna z takich, w których, podobnie jak w przypadku śledztw opisanych przez ciebie w *Studium w szkarłacie* oraz w *Znaku czterech*, byliśmy zmuszeni rozumować, cofając się od skutków do przyczyn. Napisałem list do Lestrade’a, prosząc go, by powiadomił nas o szczegółach, których w tej

chwili nam brakuje, a które on pozna dopiero po aresztowaniu tego człowieka. Możemy założyć, że to mu się uda, bo choć nie posiada ani krzty zdrowego rozsądku, kiedy już pojmuje, co ma zrobić, staje się nieustępliwy niczym buldog. To właśnie tylko dzięki tej nieustępliwości dotarł na same szczyty w Scotland Yardzie.

– A więc nie zakończyłeś jeszcze tej sprawy? – spytałem.

– Znam już dość dobrze jej ogólne zarysy. Wiem już, kto jest odpowiedzialny za tę odrażającą zbrodnię, choć wciąż nie mam pewności co do jednej z ofiar. Oczywiście, doszedłeś do własnych wniosków.

– Zakładam, że człowiekiem, którego podejrzewasz, jest ten Jim Browner, steward na statku pływającym do Liverpoolu?

– Och! To coś więcej niż tylko podejrzenia.

– A jednak nie widzę tu niczego prócz jakichś bardzo niejasnych przesłanek.

– Wręcz przeciwnie, sądzę, że to jasne jak słońce. Pozwól, że omówię to krok po kroku. Jak pamiętasz, podeszliśmy do tej sprawy, nie zakładając niczego z góry, a to zawsze jest korzystne. Nie sformułowaliśmy żadnych teorii. Po prostu byliśmy na miejscu i obserwowaliśmy wydarzenia, aby móc wyciągnąć z nich wnioski. Cóż takiego zobaczyliśmy najpierw? Wyjątkowo łagodną szanowaną kobietę, która sprawiała wrażenie całkowicie niewinnej i nie posiadającej żadnych sekretów oraz portret, który mi podpowiedział, że ma dwie młodsze siostry. Natychmiast przez głowę przebiegła mi myśl, że być może to jedna z nich miała otrzymać tę przesyłkę. Odsunąłem jednak tę hipotezę jako taką, którą można bez wielkiego wysiłku obalić lub potwierdzić. Potem, jak pamiętasz, udaliśmy się do ogrodu i obejrzeliśmy bardzo osobliwą zawartość tej małej żółtej paczuszki.

Obwiązana była sznurkiem, jakiego używają żaglomistrze na statkach, i natychmiast w naszym śledztwie pojawił się zapach morza. Gdy zauważyłem, że węzeł, którym związano sznurek, jest często stosowany przez marynarzy, paczkę nadano w mieście portowym, a w uchu mężczyzny była dziurka po kolczyku, co jest o wiele częściej spotykane wśród ludzi morza niż wśród szczurów lądowych, byłem już pewien, że bohaterowie tego dramatu muszą być związani z morzem.

Gdy przyjrzałem się adresowi, na który wysłano tę paczkę, zauważyłem, że nadano ją do panny S. Cushing. Cóż, najstarsza z sióstr to oczywiście

panna Cushing, lecz choć jej imię rozpoczyna się literą „S”, mogło chodzić również o inną z sióstr. W tym przypadku powinniśmy rozpocząć nasze śledztwo, opierając się na zupełnie nowych podstawach. Tak więc wszedłem do domu z zamiarem wyjaśnienia tej kwestii. Miałem właśnie zapewnić pannę Cushing, iż jestem przekonany, że to jakaś pomyłka, gdy, jak pamiętasz, nagle zamilk-łem. Właśnie zauważyłem coś, co mnie bardzo zaskoczyło, a równocześnie niesamowicie zawęziło krąg naszych poszukiwań.

Jako lekarz, Watsonie, zdajesz sobie sprawę, że nie istnieje żadna inna część ludzkiego ciała, która wykazywałaby tak wiele cech indywidualnych jak ucho. Z reguły każde ucho jest charakterystyczne i różni się od wszystkich innych. W „Dziennikach antropologicznych” z ubiegłego roku znajdziesz dwie moje krótkie monografie poświęcone tej kwestii. W związku z tym zbadałem uszy w pudełku okiem eksperta i starannie odnotowałem ich anatomiczne osobliwości. Wyobraź sobie wobec tego moje zaskoczenie, gdy spojrzawszy na pannę Cushing, zauważyłem, że jej ucho jest bardzo podobne do kobiecego ucha z pudełka, które dopiero co oglądałem. To z całą pewnością nie mógł być zbieg okoliczności: to samo skrócenie małżowiny usznej, ta sama szeroka krzywizna górnej części płatka małżowiny i to samo zawinięcie chrząstki. Pod względem budowy te uszy były identyczne.

Siostra naszej gospodyni ma na imię Sarah, jeszcze do niedawna mieszkała pod tym samym adresem. Wydawało się więc całkiem oczywistym, że doszło do pomyłki co do tego, kto miał otrzymać tę paczkę. Potem usłyszeliśmy o stewardzie, który ożenił się z trzecią z sióstr, i dowiedzieliśmy się, że jakiś czas temu był tak blisko z panną Sarah, iż ta nawet wyjechała do Liverpoolu, by być niedaleko państwa Brownerów. Później jednak doszło pomiędzy nimi do kłótni, która sprawiła, że przez kilka miesięcy w ogóle nie kontaktowali się ze sobą, tak więc jeśli Browner miałby zaadresować jakąś paczkę do panny Sarah, niewątpliwie użyłby jej starego adresu.

I w tym właśnie punkcie sprawa zaczęła się cudownie wyjaśniać. Dowiedzieliśmy się o istnieniu tego stewarda, człowieka impulsywnego i targanego namiętnościami (jak pamiętasz, odrzucił znacznie lepszą posadę, aby tylko móc być bliżej swojej żony). Usłyszeliśmy też, że od czasu do czasu sporo pił. Mieliśmy powody, by sądzić, że zamordowano

jego żonę i że równocześnie zabity został jakiś mężczyzna, prawdopodobnie marynarz. Oczywiście, jako motyw tej zbrodni nasuwa się zazdrość. A dlaczegóż to dowody winy miałyby zostać przesłane pannie Sarah Cushing? Prawdopodobnie dlatego, że w czasie gdy mieszkała w Liverpoolu, w jakiś sposób przyczyniła się do wydarzeń, które doprowadziły do tej tragedii. Zauważ także, że ta linia żeglugowa wiedzie przez Belfast, Dublin i Waterford. Tak więc zakładając, że Browner popełnił to przestępstwo, a potem wszedł na pokład swego parowca „May Day", pierwszym miejscem, z którego mógłby wysłać tę koszmarną paczkę, byłby Belfast.

Na tym etapie możliwe było oczywiście jeszcze drugie rozwiązanie, i choć uznałem je za niezwykle mało prawdopodobne, postanowiłem wyjaśnić tę okoliczność, nim posunę się dalej. Jakiś odtrącony kochanek mógł zabić zarówno pana, jak i panią Browner, a ucho mężczyzny w paczce mogło być uchem jej męża. Do tej teorii miałem wiele poważnych zastrzeżeń, potencjalnie była jednak możliwa. Tak więc wysłałem telegram do mojego przyjaciela Algara z liverpoolskiej policji i poprosiłem, by sprawdził, czy pani Browner jest w domu i czy pan Browner odpłynął na pokładzie „May Day". Następnie udaliśmy się do Wallington, aby odwiedzić pannę Sarah.

Byłem bardzo ciekaw, w jakim stopniu można stwierdzić rodzinne podobieństwo na podstawie cech uszu rodzeństwa. Poza tym, oczywiście, mogła udzielić nam bardzo istotnych informacji, choć na to zbytnio nie liczyłem. Musiała usłyszeć o tym fakcie dzień wcześniej, bo w całym Croydon było głośno o zawartości dostarczonej paczki, a tylko ona mogła zrozumieć, do kogo była w rzeczywistości adresowana. Gdyby chciała pomóc policjantom w ujęciu przestępcy, prawdopodobnie już by się z nimi skontaktowała. Naszym obowiązkiem było oczywiście spotkać się z nią, więc poszliśmy do niej do domu. Dowiedzieliśmy się, że wieści o pojawieniu się tej paczki wywołały u panny Cushing zapalenie mózgu, bo zachorowała właśnie w tym czasie. Stało się dla mnie oczywistym, że dokładnie rozumiała, co to oznacza, lecz równie jasne było to, iż na jakąkolwiek pomoc z jej strony będziemy musieli trochę poczekać.

W rzeczywistości jednak nie potrzebowaliśmy od niej żadnej pomocy. Poprosiłem Algara, żeby wysłał odpowiedź na posterunek policji; jak wiesz, już tam na mnie czekała. Nic nie mogło być bardziej rozstrzygające w tej

sprawie. Dom pani Browner stał zamknięty od ponad trzech dni, sąsiedzi sądzili, że wyjechała na południe, by spotkać się z krewnymi. W biurze linii morskich potwierdzono, że Browner odpłynął na pokładzie „May Day”; według moich obliczeń, statek powinien wpłynąć jutro wieczorem na wody Tamizy. Gdy tylko Browner się tu pojawi, na spotkanie wyjdzie mu dość tępy, lecz nieustępliwy Lestrade, i nie wątpię, że wtedy poznamy wszystkie szczegóły.

Sherlock Holmes nie zawiódł się w swych oczekiwaniach. Dwa dni później otrzymał grubą kopertę zawierającą krótki list od detektywa oraz napisany na maszynie dokument, obejmujący kilka stron papieru kancelaryjnego.

– Lestrade go złapał – powiedział Holmes, spoglądając na mnie. – Może zainteresuje cię, co pisze?

Mój drogi Panie Holmes!

Zgodnie z planem, mającym sprawdzić nasze teorie (to „nasze” jest niezłe, nie sądzisz, Watsonie?), wczoraj o szóstej po południu udałem się do doków Albert i wszedłem na pokład SS „May Day”, będącego własnością Liverpool, Dublin and London Steam Packet Company. Zasięgnąwszy informacji, dowiedziałem się, że na pokładzie jest steward o nazwisku James Browner, który podczas podróży zachowywał się w tak niezwykły sposób, iż kapitan musiał zwolnić go z obowiązków. Gdy zszedłem na dół, gdzie znajdowała się koja Brownera, zastałem go siedzącego na skrzyni, z twarzą schowaną w dłoniach, kiwającego się w przód i w tył. To potężny, silny mężczyzna, gładko ogolony, o bardzo smaglej cerze, trochę jak Aldridge, który dopomógł nam w sprawie z pralnią. Gdy usłyszał, z czym przyszedłem, zerwał się na równe nogi, lecz ja trzymałem już w ustach gwizdek, by móc w każdej chwili przywołać paru ludzi z policji rzecznej, czekających tuż za rogiem. Wydawało się jednak, że był całkiem zrezygnowany, bo po prostu spokojnie wyciągnął ręce, żebym założył mu kajdanki. Zabraliśmy go do celi, wzięliśmy też jego bagaż, bo myśleliśmy, że może znajdziemy tam coś, co mogłoby go obciążyć. Jednak prócz wielkiego ostrego noża, jaki posiada prawie każdy marynarz, nic ciekawego w bagażu nie było. Przekonaliśmy się natomiast, że nie będziemy potrzebowali więcej dowodów. Gdy tylko stanął przed inspektorem na posterunku, sam zapytał, czy może złożyć zeznania, które oczywiście zostały dokładnie spisane przez stenografa. Kazaliśmy je przepisać na maszynie w trzech egzemplarzach, z których jeden załączam. Tak jak od samego początku sądziłem,

sprawa okazała się niezwykle prosta, jestem panu jednak wdzięczny za pomoc w śledztwie.

Z wyrazami szacunku,
oddany Panu
G. Lestrade

– Hm, to śledztwo rzeczywiście było wyjątkowo proste – zauważył Holmes. – Nie sądzę jednak, by tak uważał, kiedy prosił nas o pomoc. Ale teraz zobaczmy, co ma do powiedzenia Jim Browner. Oto jego zeznanie złożone przed inspektorem Montgomerym na posterunku Shadwell. Ma ten plus, że zostało spisane słowo w słowo.

Czy mam coś do powiedzenia? Tak, mam, i to bardzo dużo. Muszę się do tego wszystkiego przyznać. Możecie mnie powiesić albo zostawić w spokoju. Ni cholery mnie nie obchodzi, co zrobicie. Mówię wam, odkąd to zrobiłem, nie zmrużyłem oka i nie wierzę, żebym kiedykolwiek jeszcze mógł je zmrużyć, póki żyję. Czasami widzę jego twarz, ale najczęściej widzę ją. Zawsze któreś z nich stoi przede mną. On patrzy na mnie gniewnie i ponuro, ale na jej twarzy widzę coś jak zaskoczenie. O tak, ta niewinna owieczka! Musiała być zaskoczona, gdy wyczytała śmierć z oczu, które do tej pory spoglądały na nią tylko z miłością.

Ale to była wina Sarah! Niech dosięgnie ją klątwa złamanego człowieka! Niech krew zgnije jej w żyłach! Nie chodzi o to, że próbuję oczyścić siebie. Wiem, że znów zacząłem pić jak bydlę, którym zresztą byłem. Ale ona by mi to wybaczyła. Stałaby przy moim boku, gdyby tylko ta przeklęta kobieta nigdy nie przekroczyła naszego progu. Bo Sarah Cushing mnie kochała! To jest właśnie sedno całej tej sprawy. Kochała mnie, póki cała jej miłość nie zmieniła się w jadowitą nienawiść, gdy przekonała się, że bardziej sobie cenię ślad stopy mojej żony, niż ją z jej ciałem i duszą.

W sumie były trzy siostry. Najstarsza była po prostu dobrą kobietą, druga wcielonym diabłem, a trzecia aniołem. Gdy ożeniłem się z Mary, miała dwadzieścia dziewięć lat, a Sarah trzydzieści trzy. Kiedy zakładaliśmy razem dom, byliśmy bardzo szczęśliwi. W całym Liverpoolu nie było wspanialszej kobiety niż moja Mary. Potem na tydzień zaprosiliśmy do siebie Sarah, tydzień przeciągnął się w miesiąc, i tak krok po kroku stała się dla nas niczym członek rodziny.

Wtedy w ogóle nie piłem, odłożyliśmy trochę pieniędzy, i wszystko zdawało się tak jasne i wspaniałe jak nowy dolar. Dobry Boże, któż by pomyślał, że może dojść do czegoś takiego? Komu by coś takiego w ogóle przyszło do głowy?

Bardzo często spędzałem niedziele w domu, a czasami zdarzało się, że gdy statek zatrzymywano na załadunek, miałem cały tydzień wolnego. W ten sposób często widywałem moją szwagierkę Sarah. Była ładną wysoką kobietą o ciemnych włosach, szybką i gwałtowną. Chodziła z dumnie uniesioną głowa i takim błyskiem w oczach,

jak iskry wykrzesane z krzemienia. Ale kiedy obok mnie była moja mała Mary, nigdy nawet o niej nie pomyślałem. Przysięgam to, jak pragnę litości od Boga. Czasami miałem wrażenie, że lubi zostawać ze mną sam na sam albo kusi mnie, bym poszedł z nią na spacer. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Jednak pewnego wieczoru oczy mi się otworzyły. Wróciłem dopiero co z rejsu, a w domu przekonałem się, że nie ma mojej żony. Była za to Sarah. „Gdzie jest Mary?" – spytałem. „Poszła zapłacić jakieś rachunki" – odpowiedziała. Byłem zniecierpliwiony i chodziłem tam i z powrotem po pokoju. „Nie potrafisz nawet przez pięć minut być szczęśliwy bez Mary, Jim? – zapytała. – Nie możesz choćby przez chwilę cieszyć się z mojego towarzystwa?". „Już dobrze, dziewczyno" – powiedziałem, po przyjacielsku wyciągając do niej rękę, ale ona natychmiast schwyciła ją w obie dłonie. Były tak rozpalone, jakby miała gorączkę. Spojrzałem w jej oczy i wszystko z nich wyczytałem. Nie musiała nic mówić. Popatrzyłem na nią groźnie i cofnąłem dłoń. Przez chwilę stała obok, milcząc, a potem poklepała mnie po ramieniu. „Dobry stary Jim!" – powiedziała z kpiną w głosie i wybiegła z pokoju.

Od tego czasu Sarah znienawidziła mnie z całego serca. A jest kobietą, która potrafi nienawidzić. Byłem głupcem, ślepym głupcem, że pozwoliłem jej u nas zamieszkać. Nigdy jednak nie wspomniałem o tym Mary ani słowa, bo wiedziałem, że to by ją zasmuciło. Sprawy toczyły się właściwie tak jak przedtem, jednak po jakimś czasie zacząłem odkrywać, że sama Mary się trochę zmieniła. Zawsze do tej pory była taka ufna i niewinna. Teraz stała się jakaś dziwna i podejrzliwa, zaczęła się dopytywać, gdzie byłem, co robiłem, od kogo dostałem list, co miałem w kieszeniach i mnóstwo tego typu rzeczy. Z dnia na dzień stawała się coraz dziwniejsza, ciągle była rozdrażniona. Nieustannie kłóciliśmy się bez powodu. Byłem tym wszystkim bardzo zmęczony. Sarah mnie teraz unikała, ale ona i Mary stały się po prostu nierozłączne. Teraz widzę, jak cały czas knuła i spiskowała, żeby zatruć serce mojej żonie i zrazić ją do mnie. A ja byłem takim ślepym głupcem, nie rozumiałem tego. Wtedy złamałem przyrzeczenie i znów zacząłem pić, ale myślę, że nigdy bym tego nie zrobił, gdyby Mary się tak nie zmieniła. Teraz miała powód, by się mną brzydzić; dzieląca nas otchłań stawała się coraz głębsza. A potem pojawił się ten Alec Fairbairn, i wszystko stało się jeszcze tysiąc razy bardziej ponure.

Najpierw zjawił się w moim domu, żeby zobaczyć się z Sarah, ale wkrótce zaczął przychodzić również do nas. Był czarującym człowiekiem, i wszędzie, gdzie się pojawił, pozyskiwał przyjaciół. To był energiczny, bystry dumny mężczyzna o kręconych włosach, taki, co to zwiedził pół świata i potrafił opowiadać o tym, co widział. Nie przeczę, że był wspaniałym towarzyszem i zachowywał się niezwykle uprzejmie i miło, choć był marynarzem. Myślę, że kiedyś częściej przebywał wśród oficerów niż w kubryku ze zwykłymi marynarzami. Cały miesiąc przychodził do mnie do domu, i nawet nie przyszło mi do głowy, że z tej jego podstępnej uprzejmości mogą wyniknąć nieprzyjemności. A potem w końcu coś wzbudziło moje podejrzenia, i od tego dnia nie zaznałem już nawet chwili spokoju.

To była zwykła drobnostka. Niespodziewanie wszedłem do salonu i, stając w drzwiach, ujrzałem, jak twarz mojej żony rozjaśnia się na powitanie. Gdy jednak

zobaczyła, że to ja, radość znikła z jej twarzy, i z rozczarowaniem odwróciła wzrok. To mi wystarczyło. Przecież odgłosu moich kroków nie można było pomylić z żadnymi innymi, prócz kroków Aleca Fairbairna. Gdybym go wtedy zobaczył, to bym go zabił, bo gdy wpadam w gniew, staję się szaleńcem. Mary zobaczyła ten diabelski błysk w moich oczach i natychmiast do mnie podbiegła, wyciągając ręce. „Nie rób tego, Jim! Nie rób tego!” – zawołała. „Gdzie jest Sarah?” – spytałem. „W kuchni” – odparła. „Sarah – powiedziałem, gdy tam wszedłem – ten człowiek, Fairbairn, nie ma już wstępu do mojego domu”. „Dlaczego nie?” – spytała. „Bo ja tak każę” – byłem bardzo stanowczy. „Och! – powiedziała – skoro moi przyjaciele nie są mile widziani w tym domu, to, rozumiem, mnie też tu nie chcą”. „Rób, co uważasz – odpowiedziałem. – Ale jeśli tylko ten Fairbairn znów się tu pokaże, przyślę ci jego ucho na pamiątkę”. Chyba przeraził ją mój wyraz twarzy, bo nie powiedziała ani słowa i tego samego wieczora opuściła nasz dom.

Nie wiem, czy była to czysta złośliwość tej kobiety, czy też może wydawało jej się, że może zwrócić mnie przeciwko mojej żonie, zachęcając ją, by się źle zachowywała wobec mnie. Tak czy inaczej znalazła sobie dom dwie ulice dalej i wynajmowała kwatery marynarzom. Fairbairn zatrzymał się u niej, a Mary często wychodziła na herbatę do swojej siostry i do niego. Jak często tam bywała, tego nie wiem, ale pewnego dnia poszedłem za nią. Gdy zacząłem dobijać się do drzwi, Fairbairn uciekł przez płot na tyłach ogrodu niczym jakiś tchórzliwy skunks, którym zresztą był. Poprzysiągłem żonie, że ją zabiję, jeśli jeszcze raz zobaczę ich razem, i zaprowadziłem ją do domu szlochającą, drżącą i bladą jak płótno. Nie było już pomiędzy nami ani śladu miłości. Widziałem, że się mnie boi i nienawidzi, a ponieważ sama ta myśl sprawiała, że sięgałem po butelkę, zaczęła mną również gardzić.

Sarah wkrótce przekonała się, że nie utrzyma się w Liverpoolu, wróciła więc do Croydon i, jak sądzę, zamieszkała ze swą siostrą, a moje sprawy toczyły się zwykłym torem. Potem nadszedł tydzień, kiedy wydarzyła się ta potworna katastrofa.

Było to tak. Wypłynęliśmy na pokładzie „May Day” w siedmiodniowy rejs. Gdy jedna beczka się obluzowała i spowodowała uszkodzenia, musieliśmy na dwanaście godzin zawinąć do portu. Zszedłem na ląd i wróciłem do domu, myśląc o tym, jak zaskoczona będzie moja żona. Miałem nadzieję, że może się ucieszy z tego, że tak szybko wróciłem. O tym właśnie myślałem, gdy skręcałem w moją ulicę. W tej samej chwili minęła mnie dorożka. Siedziała w niej Mary obok tego Fairbairna. Rozmawiali sobie, śmiali się i nie mieli pojęcia, że stoję tuż obok, obserwując ich z chodnika.

Mówię panu, mogę dać słowo, że od tej chwili nie panowałem już nad sobą. Kiedy teraz o tym myślę, wszystko to wydaje mi się jak jakiś mglisty sen. Ostatnio bardzo dużo piłem, i te dwie rzeczy wyłączyły mi mózg. Nawet teraz czuję, jak coś pulsuje mi w głowie, wali niczym młot dokera, lecz tego ranka wydawało mi się, że w uszach gwiżdże mi i huczy cała Niagara. Rzuciłem się biegiem za tą dorożką. W ręce miałem ciężką dębową laskę. Mówię panu, od początku miałem mordercze myśli, ale kiedy tak za nimi biegłem, do głowy przyszedł mi pewien pomysł.

Trzymałem się trochę z tyłu, tak, żeby ich obserwować, samemu nie będąc widzianym. Wkrótce zatrzymali się przy stacji kolejowej. Przy kasie był spory tłum, podszedłem więc do nich dość blisko, uważając, by mnie nie spostrzegli. Kupili bilety do New Brighton. Zrobiłem to samo, ale wsiadłem trzy wagony za nimi. Gdy dojechaliśmy na miejsce, oni wysiedli i ruszyli wzdłuż promenady, a ja przez cały czas trzymałem się niecałe sto jardów za nimi. W końcu zobaczyłem, że wynajmują sobie łódź i odpływają od brzegu. Dzień był bardzo gorący, i na pewno sobie myśleli, że może na wodzie będzie im chłodniej.

To było tak, jakby sami oddali się w moje ręce. Nad wodą wisiała lekka mgiełka, i nie sposób było niczego zobaczyć dalej niż na kilkaset jardów. Wynająłem łódź i popłynąłem za nimi. Widziałem rozmyte kontury ich łodzi, ale płynęli niemal tak szybko jak ja, i nim się z nimi zrównałem, musieliśmy już być ponad milę od brzegu. Mgła otoczyła nas jak kurtyna, odcinając naszą trójkę od całego świata. Mój Boże, czy kiedykolwiek zapomnę wyraz ich twarzy, kiedy zobaczyli, kto siedzi w zbliżającej się do nich łodzi? Mary krzyknęła. On zaczął przeklinać jak szaleniec i zamachnął się w moją stronę wiosłem, bo musiał dostrzec w moich oczach śmierć. Uchyliłem się i walnąłem go moją laską, która zmiażdżyła mu głowę, jakby to było jajko. Może bym ją oszczędził, mimo całego mojego szaleństwa, ale oplotła go ramionami, wołając do niego i powtarzając jego imię: „Alec!, Alec!”. Uderzyłem jeszcze raz, i po chwili leżała wyciągnięta obok niego. Byłem jak dzika bestia, która posmakowała krwi. Gdyby Sarah tam była, to, klnę się na Boga, dołączyłaby do nich. Wyjąłem nóż i… Cóż, powiedziałem już wszystko. Ogarnęła mnie jakaś dzika radość na myśl, jak poczuje się Sarah, kiedy zobaczy ten znak i zrozumie, co wynikło z jej wtrącania się w nasze sprawy. Potem przywiązałem ciała do łodzi, wybiłem dziurę w dnie i czekałem, aż pójdzie na dno. Doskonale wiedziałem, że właściciel łodzi pomyśli, że stracili w tej mgle orientację i zniosło ich na pełne morze. Doprowadziłem się do porządku, wróciłem na ląd, a potem udałem się na mój statek, tak że nikt nie miał pojęcia o tym, co się wydarzyło. Tej nocy przygotowałem paczkę dla Sarah Cushing, a następnego dnia wysłałem ją z Belfastu.

I taka jest cała prawda. Możecie mnie powiesić albo zrobić ze mną, co wam się podoba. Ale nie możecie mnie ukarać, bo już zostałem ukarany. Za każdym razem, kiedy zamykam oczy, widzę te dwie wpatrzone we mnie twarze. Widzę, jak patrzyli na mnie, gdy moja łódź wyłoniła się z mgły. Zabiłem ich szybko, ale oni zabijają mnie powoli. Jeśli będę musiał przeżyć jeszcze jedną taką noc, to oszaleję albo umrę, zanim nadejdzie ranek. Nie wsadzi mnie pan samego do celi, prawda, sir? Niech się pan zlituje i tego nie robi. I niech w dniu śmierci zostanie pan osądzony, tak jak dzisiaj mnie pan osądzi.

– I co to oznacza, Watsonie? – rzekł z powagą Holmes, odkładając dokument. – Jaki sens ma ten zamknięty krąg bólu, przemocy i lęku? To musi służyć jakiemuś celowi, bo w przeciwnym razie naszym wszechświatem rządzi przypadek, a to jest nie do pomyślenia. Ale jaki

to cel? To wielkie i odwieczne pytanie, na które ludzki umysł do dziś nie potrafi znaleźć odpowiedzi.

Opowieść trzecia

Czerwony krąg

Rozdział pierwszy

– Cóż, pani Warren, nie sądzę, żeby miała pani jakieś szczególne powody do obaw. Nie rozumiem, dlaczego ja, człowiek, dla którego czas ma bądź co bądź jakąś wartość, miałbym się zajmować tą sprawą. Naprawdę mam inne zajęcia, które pochłaniają moją uwagę – powiedział Sherlock Holmes i znów pochylił się nad swoim wielkim notesem z wycinkami z gazet, w którym układał i zapisywał materiały dotyczące prowadzonych przez siebie spraw.

Jednakże gospodyni obdarzona była uporem i sprytem typowym dla swojej płci. Stanowczo trwała przy swoim.

– W ubiegłym roku pomógł pan mojemu lokatorowi rozwiązać pewną sprawę – powiedziała. – Chodzi o pana Fairdale’a Hobbsa.

– Aha… tak. To była prosta sprawa.

– Ale on przez cały czas o tym mówi. O tym, jaki pan był dobry i uprzejmy, sir, i jak rozjaśnił pan ciemności. Przypomniałam sobie jego słowa, kiedy mnie samą ogarnęły wątpliwości i zaczęłam błądzić po omacku. Wiem, że mógłby pan się tym zająć, gdyby tylko pan zechciał.

Holmesa można było podejść odpowiednim pochlebstwem, ale trzeba mu również oddać sprawiedliwość, że nie brakowało mu życzliwości ani dobroci. Te dwie cechy sprawiły teraz, że westchnął, odłożył z rezygnacją pędzel do kleju i odsunął krzesło od biurka.

– No dobrze, pani Warren. Proszę mi w takim razie opowiedzieć, co panią sprowadza. Mam nadzieję, że nie przeszkadza pani dym tytoniowy? Watsonie, podaj mi zapałki. Dziękuję. Jak rozumiem, ma pani

pewne obawy, bo jej nowy lokator cały czas siedzi u siebie w pokoju, i pani go nie widuje. Moja droga pani Warren, gdybym to ja był pani lokatorem, często nie widywałaby mnie pani przez całe tygodnie.

– Nie wątpię, sir. Ale to coś innego. To mnie przeraża, panie Holmes. Nie mogę spać ze strachu. Słyszę te jego szybkie kroki, to tu, to tam, od wczesnego ranka aż do późna w nocy, a jednak ani razu nawet przez chwilę go nie widziałam. To więcej niż jestem w stanie znieść. Mój mąż jest podenerwowany całą tą sprawą podobnie jak ja, ale on całe dnie spędza w pracy, a ja w ogóle nie mam ani chwili, żeby od tego odpocząć. Po co on się ukrywa? Co zrobił? Poza jedną służącą jestem z nim w domu zupełnie sama, i moje nerwy nie są już w stanie dłużej tego znieść.

Holmes pochylił się i położył swoje długie chude palce na ramieniu kobiety. Kiedy chciał, posiadał niemal hipnotyczną moc uspokajania ludzi. Z jej oczu zniknęło przerażenie, a podekscytowana twarz wygładziła się, przyjmując normalny wyraz. Usiadła na krześle, które jej wskazał.

– Jeśli mam się podjąć tej sprawy, to muszę poznać każdy szczegół – powiedział. – Proszę się nie śpieszyć i dobrze się nad tym zastanowić. Nawet najdrobniejsze, pozornie nieważne informacje mogą mieć kluczowe znaczenie. Twierdzi pani, że ten mężczyzna zjawił się dziesięć dni temu i zapłacił pani z góry za dwa tygodnie pobytu z wyżywieniem?

– Zapytał o moje warunki, sir. Powiedziałam mu, że chcę pięćdziesiąt szylingów na tydzień. Do jego dyspozycji miał pozostawać mały salonik, sypialnia i wszystko inne na piętrze naszego domu.

– No i?

– Odparł: „Zapłacę pani pięć funtów za tydzień, jeśli będę mógł wynająć od pani tę kwaterę na moich warunkach”. Jestem biedną kobietą, sir, a pan Warren też niewiele zarabia, więc takie pieniądze dużo dla mnie znaczą. Wtedy wyjął dziesięciofuntowy banknot i od razu mi go dał. „Może pani tyle dostawać co dwa tygodnie jeszcze przez długi czas, jeśli będzie pani przestrzegała warunków – powiedział. – W przeciwnym razie nie będę chciał mieć już z panią do czynienia”.

– Jakie to były warunki?

– No cóż, sir… Chciał dostać klucz od drzwi wejściowych. To było w porządku. Lokatorzy często dostają klucze. Poza tym chciał, żeby całkowicie zostawić go samemu sobie i żeby nigdy, pod żadnym pretekstem absolutnie mu nie przeszkadzać.

– Ale chyba nie ma w tym nic dziwnego?

– Na zdrowy rozsądek nic, sir. Ale tu naprawdę wszystko jest dziwne. Mieszka tam już od dziesięciu dni, i ani pan Warren, ani ja, ani służąca nie widzieliśmy go. Słyszymy te jego szybkie kroki, jak chodzi tam i z powrotem, nocą, rano i w południe. Jednak z wyjątkiem pierwszej nocy nigdy nie wyszedł z domu.

– O, więc pierwszej nocy jednak wyszedł, prawda?

– Tak, sir. I wrócił bardzo późno, kiedy wszyscy już dawno położyliśmy się spać. Kiedy wynajęłam mu to mieszkanie, uprzedzał mnie, że tak będzie robił, i prosił, żebym nie ryglowała drzwi. Po północy usłyszałam, jak wchodzi po schodach.

– A posiłki?

– Udzielił mi szczególnej wskazówki, że zawsze, kiedy zadzwoni, mamy postawić mu posiłek na krześle przed jego drzwiami. Potem zadzwoni jeszcze raz, gdy już skończy jeść, a my zabieramy naczynia z tego samego krzesła. Jeśli chce czegoś jeszcze, pisze to na kawałku papieru i zostawia nam wiadomość.

– Pisze?

– Tak, sir. Pisze wielkimi literami, ołówkiem. Tylko jedno słowo, nic więcej. Przyniosłam parę takich liścików, żeby panu pokazać… MYDŁO. A tu inny… ZAPAŁKA. A ten zostawił pierwszego ranka… DAILY GAZETTE. Przynoszę mu teraz gazetę każdego ranka, razem ze śniadaniem.

– O rany, Watsonie! – powiedział Holmes, wpatrując się z ogromnym zaciekawieniem w kawałki papieru kancelaryjnego podane mu przez gospodynię. – To z całą pewnością trochę niezwykłe. Potrafię zrozumieć jego odosobnienie, ale czemu miałby pisać wielkimi literami? To przecież niewygodne i uciążliwe. Czemu po prostu nie napisze normalnie? Co ci to nasuwa, Watsonie?

– Że ten człowiek chce ukryć swój charakter pisma.

– Ale dlaczego? Jakie to może mieć dla niego znaczenie, że kobieta, od której wynajmuje kwaterę, zobaczy jeden wyraz napisany jego pismem? Chociaż może być tak, jak mówisz. Z drugiej jednak strony, dlaczego miałby pisać tak lakoniczne wiadomości?

– Nie mam pojęcia.

– Stwarza nam to swobodne pole dla inteligentnych spekulacji. Słowa są pisane raczej tępym zwykłym fioletowym ołówkiem. Zauważ, że kawałek papieru został oderwany tutaj z boku, kiedy już napisał cały wyraz, bo nie ma fragmentu litery M w słowie MYDŁO. To znaczące, Watsonie, nieprawdaż?

– Myślisz, że świadczy o jego ostrożności?

– Dokładnie. Najwyraźniej musiał tam być jakiś znak, na przykład odcisk kciuka, który mógłby dostarczyć jakichś wskazówek co do tożsamości tej osoby. Pani Warren, wspominała pani, że ten człowiek jest średniego wzrostu, smagły i nosi brodę. W jakim może być wieku?

– Dość młody, sir. Nie ma więcej niż trzydzieści lat.

– Czy nie może mi pani podać jakichś szczegółów?

– Dobrze mówił po angielsku, sir, a jednak, słysząc jego akcent, pomyślałam, że jest cudzoziemcem.

– I był dobrze ubrany?

– Bardzo elegancko, sir. Prawdziwy dżentelmen. Ciemne ubranie… Nic, co zwracałoby uwagę.

– Nie podał żadnego nazwiska?

– Nie, sir.

– Czy dostawał jakieś listy? Czy go ktoś odwiedzał?

– Nie.

– Ale na pewno pani albo służąca wchodzicie rano do jego pokoju?

– Nie, sir. Sam dba o wszystko.

– O rany! To z całą pewnością niezwykłe. A co z jego bagażem?

– Miał ze sobą jedną dużą brązową torbę. Nic poza tym.

– Cóż, nie wygląda na to, byśmy mieli wiele informacji, które mogłyby nam pomóc. Twierdzi pani, że nic nie wynoszono z tego pokoju? Absolutnie nic?

Gospodyni wyciągnęła ze swojej torebki kopertę, z której wytrząsnęła na stół dwie spalone zapałki i niedopałek papierosa.

– Zostawił na tacy dziś rano. Przyniosłam to, bo słyszałam, że potrafi pan wyczytać ważne rzeczy z różnych drobiazgów.

Holmes wzruszył ramionami.

– Nic tu nie ma – powiedział. – Zapałki zostały oczywiście użyte, by zapalić papierosa. Świadczy o tym to, jak krótki jest nadpalony fragment. Przy zapalaniu fajki lub cygara wypala się połowa zapałki. Ale proszę,

proszę! Niedopałek papierosa jest z całą pewnością wyjątkowy. Wspominała pani, że ten dżentelmen miał brodę i wąsy, prawda?

– Tak, sir.

– Nie pojmuję tego. Powiedziałbym, że tego papierosa mógł spalić tylko gładko ogolony mężczyzna. Spójrz, Watsonie. Nawet twoje dość skromne wąsy by się przypaliły.

– Może używa fifki? – podsunąłem.

– Nie, nie. Widać, że trzymał go w ustach. Zakładam, że w tym pokoju nie może mieszkać dwóch ludzi, prawda, pani Warren?

– Nie, sir. Je tak niewiele, że często się zastanawiam, jak ten człowiek potrafi na tym wyżyć.

– Cóż, myślę, że musimy poczekać, aż będziemy mieli trochę więcej informacji. Nie ma pani powodów do narzekań. Dostała pani swój czynsz, a on nie jest kłopotliwym lokatorem, choć, muszę przyznać, z całą pewnością dość niezwykły. Dobrze płaci i jeśli chce się tak ukrywać, nie jest to bezpośrednio pani problem. Nie mamy prawa naruszać jego prywatności, póki nie będziemy mieli powodów, by sądzić, że coś jest nie tak, jak być powinno. Podjąłem się wyjaśnienia tej sprawy i nie będę jej tracił z pola widzenia. Proszę mnie zawiadomić, jeśli wydarzy się coś nowego. I może pani liczyć na moją pomoc, o ile okaże się to konieczne.

– Z pewnością są w tej sprawie pewne ciekawe cechy, Watsonie – zauważył Holmes po wyjściu gospodyni. – Oczywiście, może się okazać trywialna, bo ten człowiek może być po prostu ekscentrykiem, ale może się też okazać bardziej złożona, niż to się z pozoru wydaje. Pierwszą rzeczą, która się nasuwa, jest oczywista możliwość, że człowiek, który teraz przebywa w tym mieszkaniu, może być kimś zupełnie innym niż ten, kto je wynajął.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Pomijając ten niedopałek papierosa, nie wydaje ci się znaczącym, że lokator wyszedł tylko raz, i to bezpośrednio po tym, jak wynajął mieszkanie? Wrócił, kiedy nie stał mu na drodze żaden świadek, więc równie dobrze mógł to być ktoś inny. Nie mamy żadnego dowodu na to, że człowiek, który wrócił w nocy, był tym samym, który wyszedł. No a poza tym człowiek, który wynajął tę kwaterę, dobrze mówił po angielsku. Tymczasem ten drugi pisze wielkimi literami słowo ZAPAŁKA, choć powinien był napisać „zapałki”. Potrafię sobie wyobrazić, że znalazł

to słowo w słowniku, w którym podany był tylko rzeczownik w liczbie pojedynczej, bez liczby mnogiej. Ten lakoniczny styl może ukrywać brak znajomości języka angielskiego. Tak, Watsonie, mamy solidne podstawy, by podejrzewać, że lokatorzy się zamienili.

– Ale w jakim celu mieliby to robić?

– Ach! W tym właśnie tkwi nasz problem. Istnieje tylko jeden, dość oczywisty sposób prowadzenia tego śledztwa. – Zdjął z półki gruby brulion, do którego codziennie wklejał wycinki z rubryki towarzyskiej różnych londyńskich dzienników. – O! – powiedział, wertując kolejne strony. – Cóż za chór jęków, płaczu i biadolenia! Groch z kapustą. I to same osobliwości. Ale z całą pewnością jest to najcenniejszy obszar łowów, jaki kiedykolwiek mieli badacze rzeczy niezwykłych. Ten człowiek jest sam, i nie można mu przekazać żadnego listu, nie wyjawiając w ten sposób tajemnicy, która jest pożądana w danej sytuacji. To jak ma do niego dotrzeć jakakolwiek wiadomość czy nowina z zewnątrz? Oczywiście, poprzez ogłoszenie w gazecie. Wygląda na to, że nie ma innej możliwości. Na szczęście musimy się zająć tylko jedną gazetą. Tu mamy wycinki z „Daily Gazette” z ostatnich dwóch tygodni. „Dama w czarnym boa w książęcym klubie łyżwiarskim”. To możemy sobie darować. „Z pewnością Jimmy nie złamie serca swej matce…”. To nie pasuje do naszej sprawy. „Jeśli dama, która zemdlała w autobusie do Brixton…”. Ona mnie nie interesuje. „Co dzień moje serce tęskni…”. Biadolenie, Watsonie, co za biadolenie! O, a to już trochę bardziej sensowne. Posłuchaj: „Cierpliwości. Znajdziemy jakiś bezpieczny sposób komunikacji. Tymczasem ta rubryka. G.”. To się ukazało dwa dni po tym, jak zjawił się lokator pani Warren. Brzmi sensownie, prawda? Ten tajemniczy człowiek rozumie język angielski, nawet jeśli nie umie posługiwać się nim w piśmie. Zobaczmy, czy znów trafimy na jego trop. No i proszę! Trzy dni później… „Udało mi się coś zaaranżować. Cierpliwość i roztropność. Chmury się rozwieją. G.”. A potem nic przez cały tydzień. A tutaj mamy coś bardziej konkretnego. „Droga staje się wolna. Jeśli trafi mi się okazja, wiadomość sygnałowa. Pamiętaj uzgodniony kod, jeden A, dwa B itd. Wkrótce usłyszysz. G.”. To było we wczorajszej gazecie, w dzisiejszej nic nie ma. Wszystko to świetnie pasuje do lokatora pani Warren. Jeśli trochę poczekamy, Watsonie, bez wątpienia coś się wyklaruje.

I tak się stało. Rano zastałem mojego przyjaciela stojącego na dywaniku przed kominkiem plecami do ognia, a na jego twarzy malował się błogi uśmiech zadowolenia.

– A co powiesz na to, Watsonie? – zawołał, biorąc ze stołu gazetę: – „Wysoki czerwony dom. Trzecie piętro. Drugie okno od lewej. Po zmierzchu. G.”. To już jest dość konkretne. Myślę, że po śniadaniu powinniśmy przeprowadzić mały rekonesans w okolicy, w której mieszka pani Warren. Och, a oto i ona we własnej osobie! Jakie wieści przynosi nam pani dziś rano?

Nasza klientka nagle wtargnęła do pokoju niczym burza, co musiało świadczyć o nowym i bardzo doniosłym rozwoju wydarzeń.

– To sprawa dla policji, panie Holmes! – zawołała. – Dłużej już tego nie zniosę! Ma się stamtąd wynieść z całym tym swoim bagażem. Poszłabym prosto do niego na górę i tak mu powiedziała, ale pomyślałam sobie, że nie byłabym w porządku wobec pana, gdybym nie zapytała go najpierw o zdanie. Ale kończy mi się już cierpliwość, a jeśli chodzi o poniewieranie mojego staruszka…

– Poniewieranie pana Warrena?

– W każdym razie użyli wobec niego przemocy.

– Ale kto użył wobec niego przemocy?

– Och, tego właśnie chcemy się dowiedzieć. To się stało dziś rano, sir. Pan Warren jest dyspozytorem w „Morton and Waylight’s” przy Tottenham Court Road. Musi wychodzić z domu przed siódmą. Tego ranka nie uszedł nawet dziesięciu kroków od domu, kiedy nagle zaszło go od tyłu jakichś dwóch jegomości: zarzucili mu płaszcz na głowę i wepchnęli do dorożki stojącej przy krawężniku. Wozili go tak przez godzinę, a potem otworzyli drzwi i go wyrzucili. Stał na środku drogi, był tak wstrząśnięty, że nie zwrócił nawet uwagi na to, co się stało z dorożką. Kiedy doszedł do siebie, odkrył, że znajduje się na Hampstead Heath, wrócił więc do domu autobusem, a teraz leży tam biedak na sofie. Przyszłam prosto do pana, żeby powiedzieć o tym, co się stało.

– Wyjątkowo interesujące – rzekł Holmes. – Zauważył pojawienie się tych mężczyzn? Słyszał, jak ze sobą rozmawiali?

– Nie, jest zupełnie oszołomiony. Wie tylko tyle, że go złapano, jakby za sprawą jakichś czarów, a potem nagle wyrzucono. Musiało to zrobić co najmniej dwóch ludzi, a może trzech.

– Wiąże pani ten atak z pani lokatorem?

– Mieszkamy tam od piętnastu lat, i nigdy wcześniej nic podobnego nas nie spotkało. Mam już dość tego lokatora. Pieniądze to nie wszystko. Nim ten dzień się skończy, wyniesie się z mojego domu!

– Niech pani chwilę poczeka, pani Warren. Proszę niczego nie robić pochopnie. Zaczynam sądzić, że ta sprawa może być o wiele ważniejsza, niż wydawała się na pierwszy rzut oka. Jest oczywistym, że pani lokatorowi zagraża jakieś niebezpieczeństwo. Równie jasnym jest, że jego wrogowie, którzy zaczaili się na niego niedaleko pani domu, pomylili z nim pani męża w mglistym porannym świetle. Kiedy odkryli swój błąd, wypuścili go. Możemy się tylko domyślać, co by zrobili, gdyby to nie była pomyłka.

– No to co ja mam robić, panie Holmes?

– Mam ogromną ochotę zobaczyć tego pani lokatora, pani Warren.

– Nie wiem, jak to można zrobić, chyba że wyważy pan drzwi. Gdy schodzę w dół po schodach, zostawiwszy mu pod drzwiami tacę, zawsze słyszę, jak przekręca klucz i je otwiera.

– Musi zabierać tę tacę do środka. Na pewno moglibyśmy się gdzieś ukryć i zobaczyć go, kiedy to robi.

Gospodyni zastanawiała się przez chwilę.

– Wie pan, sir, naprzeciwko jego drzwi jest mała komórka. Może mogłabym wstawić tam lustro, a wy, panowie, stojąc za drzwiami…

– Doskonale – powiedział Holmes. – Kiedy jada lunch?

– Koło pierwszej, sir.

– W takim razie doktor Watson i ja zjawimy się w odpowiednim czasie. A na razie żegnam panią, pani Warren.

O wpół do pierwszej znaleźliśmy się na schodach domu pani Warren. Był to wysoki wąski budynek z żółtej cegły przy Great Orme Street, małej uliczce na północny wschód od British Museum. Dom stał blisko skrzyżowania, skąd otwierał się widok na okazałe kamienice przy Howe Street. Holmes parsknął i wskazał na jedną z nich. Piętrowy budynek wyróżniał się tak bardzo, że nie sposób było go przeoczyć.

– Spójrz, Watsonie – powiedział – „Wysoki czerwony dom”. To na pewno stamtąd będzie nadawał sygnały. Znamy miejsce i kod, więc nasze zadanie z całą pewnością powinno okazać się proste. W oknie wisi kartka z napisem: „Do wynajęcia”. To najwyraźniej pusta kamienica, do której jego wspólnik ma dostęp. I co teraz, pani Warren?

– Wszystko dla panów przygotowałam. Wejdźcie, proszę, na górę i zostawcie buty na półpiętrze. Zaraz tam panów zaprowadzę.

Przygotowała nam doskonałą kryjówkę. Lustro zostało ustawione w taki sposób, że siedząc w ciemności, doskonale widzieliśmy drzwi naprzeciwko. Ledwie gospodyni się oddaliła, gdy nagle odległy dźwięk dzwonka oznajmił nam, że nasz tajemniczy sąsiad właśnie nadał sygnał. Po chwili pojawiła się pani Warren, niosąc tacę. Postawiła ją na krześle przy zamkniętych drzwiach, a następnie, głośno stąpając, odeszła. Skuleni za drzwiami, wbijaliśmy wzrok w lustro. Nagle, gdy kroki gospodyni ucichły, rozległ się zgrzyt przekręcanego klucza, klamka opadła, a zza drzwi wysunęły się dwie szczupłe dłonie, które błyskawicznie zabrały tacę z krzesła. Chwilę później taca została w pośpiechu odstawiona na miejsce, a ja ujrzałem przez moment piękną smagłą przerażoną twarz, wpatrzoną w wąski otwór drzwi naszej komórki. Następnie drzwi z hukiem się zatrzasnęły, znów zgrzytnął klucz i zapadła cisza. Holmes szarpnął mnie za rękaw i razem po cichu zeszliśmy na dół.

– Zajrzę do pani jeszcze raz wieczorem – rzekł do pełnej oczekiwania gospodyni. – Myślę, Watsonie, że możemy spokojniej omówić tę sprawę w naszym mieszkaniu.

– Jak widzisz, moje przypuszczenia okazały się słuszne – odezwał się Holmes z głębi swego fotela. – Lokatorzy się zamienili. Nie przewidzieliśmy natomiast tego, że zastaniemy tam kobietę. I to nie jakąś zwykłą kobietę, Watsonie.

– Widziała nas.

– Cóż, widziała coś, co ją zaalarmowało. To pewne. Ogólny bieg wydarzeń jest dość oczywisty, prawda? Pewna para chroni się w Londynie przed jakimś grożącym jej straszliwym niebezpieczeństwem. Bezwzględną koniecznością jest przestrzeganie wszelkich środków ostrożności. Mężczyzna, który musi coś zrobić, pragnie, by kobieta w tym czasie była absolutnie bezpieczna. Nie jest łatwo to uczynić, on jednak rozwiązuje problem tak skutecznie, że o obecności kobiety nie wie nawet gospodyni, która przynosi jej jedzenie. Wiadomości pisane drukowanymi literami, są oczywistym sposobem na to, by nie rozpoznano płci na podstawie pisma. Mężczyzna nie może zbliżyć się do kobiety, bo wtedy naprowadzi wrogów na jej trop. Ponieważ nie może się z nią bezpośrednio kontaktować, ucieka

się do zamieszczania ogłoszeń w rubryce towarzyskiej. Jak do tej pory, wszystko jest jasne.

– Ale co się za tym wszystkim kryje?

– Tak, tak, Watsonie, jesteś bezlitośnie praktyczny, jak zwykle! Co się za tym wszystkim kryje? W miarę jak się w to zagłębiamy, zabawny problem pani Warren staje się dużo poważniejszy i przybiera o wiele bardziej ponure kształty. Na razie możemy powiedzieć tylko tyle, że nie jest to jakaś zwykła ucieczka kochanków. Widziałeś twarz tej kobiety, gdy pomyślała, że coś jej zagraża? Słyszeliśmy też o ataku na pana domu, który bez wątpienia był zamachem na lokatora. Wszystkie ostrzeżenia oraz desperacka potrzeba zachowania tajemnicy świadczą o tym, że jest to kwestia życia i śmierci. Napad na pana Warrena pokazuje również, że wrogowie, niezależnie od tego, kim są, nie wiedzą, że lokatora zastąpiła lokatorka. To bardzo dziwna i złożona sprawa, Watsonie.

– Czemu chcesz to dalej drążyć? Co możesz na tym zyskać?

– No właśnie, Watsonie. To sztuka dla sztuki. Jak przypuszczam, gdy wykonywałeś zawód lekarza, studiowałeś różne przypadki, nie myśląc przy tym o wynagrodzeniu.

– Robiłem to dla mojego wykształcenia, Holmesie.

– Nauka nigdy nie dobiega końca, Watsonie. Jedna lekcja następuje po drugiej, a ostatnia z nich będzie najważniejsza. To pouczająca sprawa. Nie wiążą się z nią ani pieniądze, ani jakieś wielkie zasługi, a jednak mam ochotę ją rozwiązać. Kiedy zapadnie zmierzch, posuniemy się w naszym śledztwie o krok naprzód.

Gdy powróciliśmy do mieszkania pani Warren, ponury zimowy londyński wieczór zagęścił się, tworząc jedną szarą kurtynę o martwej monotonnej barwie, przerywanej jedynie jaskrawożółtymi kwadratami okien i zamazanymi świetlistymi aureolami otaczającymi lampy gazowe. Gdy wyjrzeliśmy z okna pogrążonego w mroku salonu zobaczyliśmy, że przez ciemność przebija się jedno przyćmione światło wysoko w górze.

– Ktoś się porusza w tamtym pokoju – szepnął Holmes, przysuwając swą bystrą chudą twarz do szyby. – Tak, widzę jego cień. I znów jest! Trzyma w dłoni świecę. Wygląda teraz na zewnątrz. Patrzy w tę stronę. Chce się upewnić, że ona go widzi. Zaczyna dawać sygnały świecą. Ty też zapisuj tę wiadomość, Watsonie, byśmy mogli ją razem sprawdzić. Pojedynczy błysk. To z całą pewnością A. No a teraz? Ile naliczyłeś? Dwadzieścia? Ja też.

To powinno być T. AT. To przynajmniej jest zrozumiałe! Kolejne T. To na pewno jest początek drugiego wyrazu. Teraz TENTA. I nic więcej. To przecież nie może być wszystko, Watsonie? AT TENTA nie ma żadnego sensu. AT TEN TA też nie jest o wiele lepsze, chyba że T.A. to inicjały jakiejś osoby. No i znowu wysyła sygnały! A co to? ATTE… No cóż, to znów ta sama wiadomość. Dziwne, Watsonie. Bardzo dziwne! I znów wysyła sygnał! AT… Powtarza to samo po raz trzeci. Trzy razy ATTENTA! Ile razy zamierza to powtórzyć? Nie. Wygląda na to, że to już koniec. Odszedł od okna. Co o tym sądzisz, Watsonie?

– Zaszyfrowana wiadomość, Holmesie.

Nagle mój towarzysz się roześmiał, pojąwszy treść wiadomości.

– Nie jest to jakiś tajemniczy szyfr, Watsonie – powiedział. – No oczywiście! To po włosku! „A” na końcu oznacza, że było adresowane do kobiety. „Uważaj! Uważaj! Uważaj!”. I co powiesz, Watsonie?

– Chyba trafiłeś w sedno.

– Bez wątpienia. To bardzo pilna wiadomość, powtórzona trzykrotnie, by nadać jej tym pilniejszy charakter. Ale „uważaj” na co? Poczekaj chwilę. Znów podchodzi do okna.

Ponownie ujrzeliśmy niewyraźną sylwetkę skulonego mężczyzny i błysk małego płomyczka w oknie po drugiej stronie ulicy, gdy jeszcze raz zaczął nadawać swój sygnał. Tym razem robił to szybciej, tak szybko, że trudno było za nim nadążyć.

– PERICOLO, *pericolo*. Eh, co to znaczyło, Watsonie? Niebezpieczeństwo, prawda? Tak, na Jowisza. To ostrzeżenie o niebezpieczeństwie. I znów nadaje! PERI. Hola! Co u diabła… Nagle światło zgasło, lśniący kwadrat okna znikł, a trzecie piętro znów stało się jednolitą ciemną bryłą z szeregiem połyskujących szyb. Ten ostatni ostrzegawczy sygnał został nagle przerwany. W jaki sposób i przez kogo? W jednej chwili obaj pomyśleliśmy o tym samym. Holmes, do tej pory skulony przy oknie, zerwał się na równe nogi.

– To poważna sprawa, Watsonie! – zawołał. – Dzieje się coś złego. Czemu miałby nagle w taki sposób przerwać nadawanie wiadomości? Poinformuję o tej sprawie Scotland Yard… Ale to zbyt pilna sprawa, żebyśmy teraz stąd odeszli.

– Czy mam iść na policję?

– Musimy najpierw trochę lepiej zrozumieć sytuację. Wciąż istnieje możliwość, że jest to jakaś błaha sprawa. Chodź, Watsonie! Pójdziemy tam i spróbujemy sami zorientować się, o co w tym wszystkim chodzi.

Rozdział drugi

Gdy przemierzaliśmy szybkim krokiem Howe Street, odwróciłem się, by spojrzeć na budynek, z którego wyszliśmy. W oknie dostrzegłem niejasne kontury głowy; kobieta intensywnie wpatrywała się w noc, czekając w napięciu, ze wstrzymanym oddechem, czy ta przerwana wiadomość będzie kontynuowana. W bramie kamienicy przy Howe Street stał, opierając się o płot, jakiś człowiek w grubym płaszczu opatulony w fularowy szal. Wzdrygnął się, gdy światło przy drzwiach padło na nasze twarze.

– Holmes! – zawołał.

– O, Gregson! – powiedział mój towarzysz, ściskając dłoń detektywowi ze Scotland Yardu. – „Podróże kończą się spotkaniami kochanków”. Co pana tu sprowadza?

– To samo co pana, jak sądzę – rzekł Gregson. – Nie mam pojęcia, jak pan wpadł na ten trop.

– Inna nić, ale doprowadziła do tego samego kłębka. Zapisywałem sygnały.

– Sygnały?

– Tak, z tamtego okna. Urwały się nagle w połowie. Przyszliśmy tutaj, żeby zobaczyć dlaczego. Ale ponieważ sprawa jest w pańskich rękach, nie widzę sensu jej kontynuować.

– Proszę chwilę poczekać! – zawołał z zapałem Gregson. – Muszę oddać panu sprawiedliwość, panie Holmes. Jeszcze nigdy nie zajmowałem się sprawą, w której nie czułbym się silniejszy, mając pana u swego boku. Z tych mieszkań jest tylko jedno wyjście, więc na pewno go złapiemy.

– Kim on jest?

– O, jak widzę, choć raz mamy nad panem przewagę. Musi pan przyznać, że tym razem byliśmy lepsi. – Ostro stuknął swoją laską o ziemię, co było sygnałem dla dorożkarza, który, trzymając w dłoni bat, wysiadł ze swojego pojazdu i podszedł do nas. – Czy mogę przedstawić pana panu Sherlockowi

Holmesowi? – spytał Gregson dorożkarza. – Pan Leverton z amerykańskiej agencji Pinkertona.

– Bohater tajemnicy jaskini na Long Island?

– Miło mi pana poznać, sir.

Amerykanin, spokojny rzeczowy młody człowiek o gładko ogolonej twarzy i ostrych rysach, zarumienił się, słysząc te słowa uznania.

– Teraz jestem na tropie sprawy mojego życia, panie Holmes – powiedział. – Jeśli uda mi się dopaść Gorgiano…

– Co takiego?! Gorgiano z „Czerwonego kręgu”?

– O, jak widzę zasłynął również w Europie, prawda? W Ameryce dowiedzieliśmy się o nim wszystkiego. Wiemy, że to on stał za pięćdziesięcioma morderstwami, a jednak nie mamy żadnych konkretnych podstaw, by go aresztować. Śledzę go od Nowego Jorku, przez tydzień w Londynie deptałem już mu po piętach, czekając tylko na jakiś pretekst, by złapać go za kołnierz. Razem z panem Gregsonem zapędziliśmy go do tej dużej kamienicy, a tu są tylko jedne drzwi, więc nam nie ucieknie. Odkąd wszedł do środka, wyszły stąd trzy osoby, ale jestem gotów przysiąc, że nie było go wśród nich.

– Pan Holmes mówił o jakichś sygnałach – rzekł Gregson. – Spodziewam się, że jak zwykle wie sporo więcej niż my.

W kilku prostych słowach Holmes wyjaśnił im sytuację, tak jak my ją rozumieliśmy.

Amerykanin, rozdrażniony, klasnął w dłonie.

– Zorientował się, że go śledzimy! – zawołał.

– Czemu pan tak sądzi?

– Wszystko na to wskazuje! Jest tam, wysyła jakieś wiadomości swojej wspólniczce… W Londynie przebywa kilka osób z jego gangu. A potem nagle, właśnie w chwili, kiedy, jak sam pan mówi, przekazuje ostrzeżenie o jakimś niebezpieczeństwie, wiadomość raptem się urywa. Cóż to może znaczyć? Albo zobaczył przez okno któregoś z nas, albo w jakiś sposób wyczuł, że niebezpieczeństwo jest blisko i musi natychmiast coś zrobić, aby przed nim uciec. Co pan proponuje, panie Holmes?

– Wejdźmy na górę i sami wszystko sprawdzimy.

– Ale nie mamy nakazu aresztowania.

– Wtargnął do niezamieszkanego lokalu, i to w podejrzanych okolicznościach – powiedział Gregson. – To na razie musi wystarczyć.

Kiedy już złapiemy Gorgiano, przekonamy się, czy Nowy Jork pomoże nam utrzymać go za kratami. Biorę na siebie odpowiedzialność za aresztowanie go teraz.

Być może nasi policyjni detektywi nie są najinteligentniejsi, ale na pewno nie brakuje im odwagi. Gregson wspinał się po schodach, by aresztować gotowego na wszystko mordercę, i robił to z takim samym niewzruszonym spokojem, z jakim wchodziłby do swojego gabinetu w Scotland Yardzie. Detektyw z agencji Pinkertona próbował go wyprzedzić, lecz Gregson stanowczo nie chciał go przepuścić. Jego zdaniem, walka z niebezpieczeństwem, jakie czyhało na ulicach Londynu, była przywilejem londyńskiej policji.

Drzwi mieszkania na trzecim piętrze po lewej stronie były uchylone. Gregson otworzył je jednym pchnięciem. Wewnątrz panowały absolutna cisza i ciemność. Wyciągnąłem zapałki, by zaświecić latarnię, którą miał Gregson. Gdy migocząca lampka zapłonęła wreszcie stabilniejszym światłem, wydaliśmy z siebie okrzyk zaskoczenia. Na miękkich drewnianych deskach podłogi, na której nie było dywanu, widniały świeże ślady krwi, wiodące w naszą stronę od położonego w głębi pomieszczenia, którego drzwi pozostawały zamknięte. Gregson pchnął je z impetem i wyciągnął przed siebie płonącą latarnię, a my wszyscy niecierpliwie zajrzeliśmy mu przez ramię.

Na podłodze pośrodku pustego pokoju leżał, skulony, olbrzymi mężczyzna. Jego gładko ogolona smagła twarz była wykrzywiona w straszliwym groteskowym grymasie, a głowę otaczała upiorna szkarłatna aureola krwi rozlanej szerokim kręgiem na białych deskach podłogi. Jego kolana były podciągnięte, ręce szeroko rozrzucone, gruba szyba wygięta, a w gardle tkwił biały trzonek noża wbitego na całą długość. Choć był prawdziwym olbrzymem, pod tym straszliwym ciosem musiał paść niczym ogłuszony wół. Na podłodze, tuż przy jego prawej ręce, leżał przerażający obosieczny sztylet z rogową rączką, a przy nim czarna rękawica z koźlej skóry.

– Na Boga! To Czarny Gorgiano we własnej osobie! – zawołał amerykański detektyw. – Tym razem ktoś nas ubiegł.

– W oknie stoi świeca, panie Holmes – rzekł Gregson.– Ale co pan robi?

Holmes podszedł do okna, zapalił świecę i przesuwał ją w przód i w tył przy szybie. Potem wyjrzał w ciemność, zdmuchnął płomyk i rzucił świecę

na podłogę.

– Wydaje mi się, że to będzie pomocne – powiedział. Stał, pogrążony w myślach, kiedy dwóch detektywów badało ciało. – Twierdzi pan, że gdy czekaliście tam na dole, z tych mieszkań wyszło trzech ludzi – powiedział w końcu. – Przyjrzał im się pan dokładnie?

– Owszem.

– Czy był wśród nich smagły mężczyzna około trzydziestki, średniego wzrostu, z czarną brodą?

– Tak. Mijał mnie jako ostatni.

– Sądzę, że to nasz człowiek. Mogę panu podać jego rysopis, mamy też wyraźny odcisk jego buta. To powinno panu wystarczyć.

– Nie bardzo, panie Holmes, biorąc pod uwagę te miliony ludzi, które mieszkają w Londynie.

– Ma pan rację, dlatego właśnie doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie wezwać na pomoc tę damę.

Odwróciliśmy się wszyscy, słysząc te słowa. W drzwiach stała wysoka piękna kobieta, tajemnicza lokatorka z Bloomsbury. Podeszła do nas powoli. Jej twarz była blada i wystraszona, a oczy z przerażeniem patrzyły na wyciągniętą na podłodze ciemną sylwetke.

– Zabiliście go! – wyszeptała. – Och, *Dio mio*, zabiliście go! – Usłyszałem, jak gwałtownie wciąga powietrze. Potem podskoczyła w górę z radosnym okrzykiem. Zaczęła tańczyć po pokoju, klaszcząc w dłonie, jej ciemne oczy lśniły z radości, a z ust padały jedne po drugich wesołe włoskie okrzyki. Był to straszliwy i zdumiewający widok; ta ponura scena najwyraźniej ogromnie ją uradowała. Nagle zatrzymała się i spojrzała pytająco na nas wszystkich.

– Ale wy?! Jesteście z policji, prawda? Zabiliście Giuseppe Gorgiano. Tak?

– Jesteśmy z policji, proszę pani.

Rozejrzała się wokół, patrząc w okryte cieniem kąty pokoju.

– Ale w takim razie, gdzie jest Gennaro? – spytała. – Mój mąż, Gennaro Lucca. Jestem Emilia Lucca. Oboje jesteśmy z Nowego Jorku. Gdzie Gennaro? Przed chwilą wzywał mnie z tego okna, przybiegłam ile sił w nogach.

– To ja panią wzywałem – rzekł Holmes.

– Pan?! Jak pan mógł mnie wezwać?

– Wasz szyfr nie był trudny, proszę pani. Pani obecność tutaj była bardzo pożądana. Wiedziałem, że wystarczy nadać kodem „Vieni”, a na pewno pani przyjdzie.

Piękna Włoszka spojrzała z podziwem na mojego towarzysza.

– Nie rozumiem, skąd pan wie takie rzeczy – powiedziała. – Giuseppe Gorgiano… Jak on… – przerwała na chwilę, a potem nagle jej twarz rozpromieniła się dumą i radością. – Teraz rozumiem! Mój Gennaro! Mój wspaniały piękny Gennaro, który ochronił mnie przed wszystkimi niebezpieczeństwami! On to zrobił. Własną silną ręką zabił tego potwora! Och Gennaro, jaki jesteś cudowny! Jakaż kobieta zasługiwałaby na takiego mężczyznę?

– Cóż, pani Lucca – rzekł rzeczowo Gregson, kładąc dłoń na ramieniu damy równie bezceremonialnie, jakby była jakimś chuliganem z Notting Hill. – Nie rozumiem jeszcze do końca, kim pani jest ani czym się pani zajmuje, ale powiedziała już pani wystarczająco dużo, by zainteresował się nią Scotland Yard. Musi pani udać się ze mną.

– Chwileczkę, panie Gregson – rzekł Holmes. – Sądzę, że ta dama równie chętnie udzieli nam informacji, jak pilnie my ich wysłuchamy. Czy rozumie pani, że jej mąż zostanie aresztowany i stanie przed sądem za zamordowanie tego człowieka? To, co pani powie, może zostać potraktowane jako dowód w sprawie. Jeśli sądzi pani, że nie kierowały nim przestępcze motywy i że on sam chciałby, abyśmy je poznali, nie może mu pani wyświadczyć lepszej przysługi, niż opowiedzieć nam całą tę historię.

– Teraz, gdy Gorgiano nie żyje, nie boimy się już niczego – powiedziała kobieta. – Był diabłem, potworem, i nie ma takiego sędziego na świecie, który ukarałby mojego męża za to, że go zabił.

– W tej sytuacji – rzekł Holmes – proponowałbym, żebyśmy zamknęli ten pokój, pozostawili wszystko tak, jak zastaliśmy, i udali się z tą damą do jej pokoju, aby wysłuchać, co ma do powiedzenia. Wtedy będziemy mogli wyrobić sobie zdanie na ten temat.

Pół godziny później siedzieliśmy wszyscy czworo w niewielkim salonie signory Lucca, słuchając jej niezwykłej opowieści o tych ponurych wydarzeniach, których zakończenia byliśmy świadkami. Mówiła szybko, płynnym, lecz bardzo niekonwencjonalnym angielskim, do którego dla jasności postanowiłem wprowadzić poprawki gramatyczne.

– Urodziłam się w Posilippo, niedaleko Neapolu – powiedziała. – Jestem córką Augusto Barelliego, znanego prawnika, który przez jakiś czas był też deputowanym z tego regionu. Gennaro pracował dla mojego ojca, a ja się w nim zakochałam. Każda kobieta musiałaby się w nim zakochać. Nie miał ani pieniędzy, ani pozycji, niczego prócz urody, siły i energii, nic więc dziwnego, że mój ojciec nie zgodził się na ten związek. Razem uciekliśmy, pobraliśmy się w Bari, a ja sprzedałam swoje klejnoty, by zdobyć pieniądze na podróż do Ameryki. To było cztery lata temu. Od tego czasu mieszkaliśmy w Nowym Jorku.

Na początku los bardzo nam sprzyjał. Gennaro wyświadczył przysługę pewnemu włoskiemu dżentelmenowi, uratował go od jakichś zbirów w miejscu zwanym Bowery i w ten sposób zyskał wpływowego przyjaciela. Ten człowiek nazywał się Tito Castalotte i był starszym wspólnikiem w wielkiej firmie „Castalotte and Zamba”, która jest największym w Nowym Jorku importerem owoców. Signor Zamba jest inwalidą, a nasz nowy przyjaciel pan Castalotte w rzeczywistości zarządza firmą dającą pracę ponad trzystu osobom. Zatrudnił też mojego męża, dał mu stanowisko szefa wydziału i na wszelkie możliwe sposoby okazywał mu swe względy. Signor Castalotte był kawalerem, i wydaje mi się, że Gennaro był dla niego jak syn. Oboje z mężem kochaliśmy go jak ojca. Wynajęliśmy i urządziliśmy mały domek na Brooklynie i wyglądało na to, że czeka nas spokojna przyszłość. Ale wtedy nadciągnęła ta czarna chmura, która wkrótce zasłoniła całe niebo.

Pewnego wieczoru, gdy Gennaro wrócił z pracy, przyprowadził ze sobą jakiegoś rodaka. Nazywał się Gorgiano i również pochodził z Posilippo. Był potężnym człowiekiem, widzieliście, panowie, jego zwłoki. Zresztą nie tylko ciało miał olbrzymie; wszystko w nim było jakieś groteskowe, ogromne i przerażające. Jego głos niósł się niczym grom w naszym małym domku. Ledwie starczało miejsca, gdy mówiąc, wymachiwał swymi wielkimi rękoma. Jego myśli, uczucia, namiętności – wszystko było przesadne i monstrualne. Mówił, a raczej ryczał, z taką energią, że inni musieli po prostu siedzieć i słuchać, przytłoczeni potężną rzeką słów. Jego oczy płonęły, a człowiek, na którego patrzył, czuł się tak, jakby był zdany na jego łaskę. Był straszny i niesamowity. Dziękuję Bogu, że już nie żyje!

Potem znów się pojawił i znów. Zdawałam sobie sprawę, że Gennaro, podobnie jak i ja, nie był zachwycony jego obecnością. Mój biedny mąż,

blady i apatyczny, słuchał tych niekończących się wywodów o polityce i sprawach społecznych, zachowując milczenie, znałam go jednak doskonale i potrafiłam wyczytać z jego twarzy to uczucie, którego nigdy wcześniej nie widziałam. Na początku myślałam, że to antypatia. Potem zrozumiałam, że to coś więcej. To był strach. Głęboki, utajony paraliżujący strach. Tamtej nocy wyczytałam z twarzy mojego męża, że on boi się Gorgiano. Objęłam go i zaklinałam na naszą miłość i na wszystko, co było mu drogie, by niczego przede mną nie zatajał i wyjawił mi, dlaczego znosi obecność tego olbrzyma i się go boi.

Odpowiedział mi, a gdy go wysłuchałam, moje serce sparaliżował potworny lęk. Mój biedny Gennaro w dniach swych dzikich szaleństw, kiedy wydawało mu się, że nie zazna w życiu sprawiedliwości i że cały świat jest przeciwko niemu, przyłączył się do neapolitańskiego stowarzyszenia „Czerwony krąg", które było powiązane z dawnymi *carbonari*. Sekrety tego bractwa, przysięgi jego członków są straszliwe, a według obowiązujących zasad opuszczenie jego szeregów jest niemożliwe. Gdy udaliśmy się do Ameryki, Gennaro sądził, że na zawsze się od niego uwolnił. Jakież było jego przerażenie, gdy pewnego wieczoru spotkał na ulicy przewodniczącego ceremonii jego inicjacji w Neapolu. To był Gorgiano, który w południowych Włoszech zdążył już zasłużyć sobie na przydomek „Śmierć", bo mówiono, że jego ręce czerwone są od krwi aż po łokcie! Przybył do Nowego Jorku, uciekając przed włoską policją, i w swej nowej ojczyźnie zdążył już założyć filię tego strasznego stowarzyszenia. Gennaro wszystko mi opowiedział i pokazał wezwanie, które otrzymał tamtego dnia. U góry widniał znak „Czerwonego kręgu", poniżej była informacja, że loża zbiera się w określonym dniu, a on musi się stawić na to zebranie.

Samo to było już wystarczająco straszne, ale miało być jeszcze gorzej. Już od jakiegoś czasu zauważyłam, że kiedy Gorgiano do nas przychodził, a robił to coraz częściej, dużo ze mną rozmawiał. Nawet wówczas, gdy zwracał się do mojego męża, te jego straszne płonące oczy dzikiej bestii zawsze utkwione były we mnie. Pewnej nocy zdradził mi swój sekret. Wzbudziłam w nim coś, co nazywał „miłością"… Miłością bestii… dzikusa. Pewnego razu przyszedł, gdy Gennaro nie było jeszcze w domu. Wprosił się do środka, złapał mnie w te swoje potężne ramiona, objął w niedźwiedzim uścisku, obsypał pocałunkami i błagał, żebym z nim

uciekła. Wyrywałam mu się i wołałam o pomoc. Wtedy wszedł Gennaro, a on go zaatakował. Uderzył mojego męża tak, że ten stracił przytomność. Potem uciekł z naszego domu, do którego już nigdy nie miał wstępu. Tego wieczoru zyskaliśmy w nim straszliwego wroga.

Kilka dni później miało miejsce zapowiedziane wcześniej zebranie. Gennaro wrócił ze spotkania z takim wyrazem twarzy, że od razu wiedziałam, iż stało się coś strasznego. Było jeszcze gorzej, niż mogliśmy sobie wyobrazić. Stowarzyszenie zbierało pieniądze, szantażując bogatych Włochów i grożąc im zemstą, jeśli nie zechcą zapłacić. Wyglądało na to, że to właśnie spotkało pana Castalotte, naszego przyjaciela i dobroczyńcę. Nie chciał ugiąć się przed ich groźbami i oddał sprawę w ręce policji. Teraz postanowiono, że trzeba go potraktować w przykładny sposób, by zastraszyć inne ofiary, które mogłyby się zbuntować. Na spotkaniu ustalono, że wysadzą jego dom w powietrze. Ciągnęli losy, aby ustalić, kto ma przeprowadzić ten zamach. Gdy Gennaro wkładał rękę do worka, widział nad sobą okrutną uśmiechniętą twarz naszego wroga. Bez wątpienia zostało to w jakiś sposób ukartowane, bo to on wylosował ten fatalny żeton ze znakiem „Czerwonego kręgu” – zobowiązanie do popełnienia morderstwa. Musiał zabić swego najlepszego przyjaciela, bo inaczej naraziłby nas oboje na zemstę swych towarzyszy. To była jedna z tych ich piekielnych metod. Karali ludzi, których nienawidzili lub których się bali, krzywdząc nie tylko ich samych, ale również ich najbliższych. Właśnie świadomość tego tak przeraziła mojego biednego Gennaro i niemal doprowadziła go do szaleństwa.

Przez całą noc siedzieliśmy razem, objęci, dodając sobie nawzajem sił przed tym, co nas czekało. Zamach miał się odbyć następnego wieczoru, a już tego samego dnia (dnia egzekucji), nim nadeszło południe, mój mąż i ja byliśmy w drodze do Londynu. Przedtem jednak Gennaro ostrzegł naszego dobroczyńcę i poinformował o całej sprawie policję, by w przyszłości czuwała nad jego bezpieczeństwem.

Resztę już, panowie, znacie. Byliśmy pewni, że nasi wrogowie podążą za nami niczym cienie. Gorgiano miał osobiste powody do zemsty, ale nawet bez tego zdawaliśmy sobie sprawę, jaki był bezlitosny, przebiegły i zaciekły. Zarówno we Włoszech, jak i w Ameryce można było usłyszeć wiele historii o jego straszliwych czynach. Mój ukochany wykorzystał tych kilka dni spokoju, gdy wciąż mieliśmy nad nimi przewagę, aby zapewnić

mi bezpieczną kryjówkę, w której nie dosięgłaby mnie zemsta. Sam chciał się swobodnie poruszać, by móc się kontaktować z amerykańską i włoską policją. Sama nie wiem, gdzie mieszkał ani co robił. Wszystkiego dowiadywałam się z rubryki ogłoszeń w gazecie. Jednak pewnego razu, gdy wyjrzałam przez okno, zobaczyłam, że dom jest obserwowany przez dwóch Włochów, i zrozumiałam, że Gorgiano w jakiś sposób musiał odkryć naszą kryjówkę. Wreszcie dowiedziałam się z ogłoszenia w gazecie, że Gennaro będzie mi wysyłał sygnały z tamtego okna. Kiedy jednak odebrałam tę wiadomość, okazało się nią ostrzeżenie, które nagle zostało przerwane. Teraz jest dla mnie całkowicie oczywistym, że mój mąż wiedział, iż Gorgiano depcze mu już po piętach, i był, dzięki Bogu, przygotowany na spotkanie z nim. A teraz, panowie, chciałabym was zapytać, czy mamy się czego obawiać ze strony prawa. Czy jakikolwiek sędzia na świecie potępiłby mojego Gennaro za to, co zrobił?

– Cóż, panie Gregson – powiedział Amerykanin, patrząc na londyńskiego detektywa – nie wiem, jak to wygląda w świetle waszego brytyjskiego prawa, ale wydaje mi się, że w Nowym Jorku mąż tej damy otrzymałby raczej podziękowania.

– Będzie pani musiała udać się ze mną i porozmawiać z głównym inspektorem – odparł Gregson. – Jeśli to, co pani mówi, potwierdzi się, nie sądzę, by pani czy jej mąż mieli powody do obaw. Nijak jednak nie potrafię zrozumieć, jakim cudem pan się wplątał w tę sprawę, panie Holmes.

– Dążenie do wiedzy, dążenie do wiedzy… Wciąż jeszcze pragnę się uczyć na starym uniwersytecie. Cóż, Watsonie, masz kolejny przykład tragicznych i groteskowych wydarzeń, które możesz dodać do swojej kolekcji. A nawiasem mówiąc, nie ma jeszcze ósmej, a dziś jest wieczór wagnerowski w Covent Garden. Jeśli się pośpieszymy, możemy jeszcze zdążyć na drugi akt.

Opowieść czwarta

Plany łodzi Bruce-Partington

W trzecim tygodniu listopada 1895 roku nad Londynem zawisła gęsta żółta mgła. Od poniedziałku aż do czwartku z naszych okien przy Baker Street nie było widać nawet zarysów majaczących naprzeciwko domów. Pierwszy dzień Holmes spędził opracowując system odsyłaczy w swoim ogromnym zbiorze materiałów. Drugiego i trzeciego dnia cierpliwie zajmował się tematem, który ostatnio stał się jego hobby, a mianowicie średniowieczną muzyką. Jednak gdy po raz czwarty po śniadaniu ujrzeliśmy nieprzeniknione bure kłęby mgły przesuwające się za naszym oknem i osiadające oleistymi kroplami na szybach, niecierpliwa, dynamiczna natura mojego towarzysza nie była już dłużej w stanie znieść tej ponurej monotonnej egzystencji. Rozpierała go tłumiona energia. Poirytowany, chodził tam i z powrotem po salonie, ogryzał paznokcie, stukał w meble i narzekał na bezczynność.

– Nie ma nic ciekawego w gazecie, Watsonie? – spytał.

Wiedziałem, że pytając o coś ciekawego, Holmes mógł mieć na myśli tylko ciekawe sprawy kryminalne. W gazecie pisano o rewolucji, o groźbie zbliżającej się wojny i o mającej wkrótce nastąpić zmianie rządu, to jednak mojego towarzysza nie interesowało. Jeśli zaś chodzi o przestępstwa, nie byłem w stanie znaleźć niczego, co nie wydawałoby się pospolite i jałowe. Holmes jęknął i znów zaczął niespokojnie miotać się po pokoju.

– Londyńscy przestępcy to z pewnością nieciekawi ludzie – odezwał się płaczliwym tonem sportowca, który doznał zawodu podczas meczu. – Wyjrzyj przez okno, Watsonie. Spójrz, jak pojawiają się tam jakieś zamazane postacie, majaczą we mgle, a potem znów się z nią stapiają. W taki dzień złodziej czy morderca mógłby panoszyć się po Londynie

niczym tygrys w dżungli, niewidzialny, póki nie uderzy, a i wtedy zobaczyłaby go tylko jego ofiara.

– Dokonano wielu drobnych kradzieży – powiedziałem.

Holmes prychnął z pogardą.

– Tą wielką złowrogą scenę przygotowano na coś lepszego – stwierdził. – Ci ludzie wokół mają szczęście, że nie jestem przestępcą.

– Tak, to prawda! – powiedziałem z przekonaniem.

– Załóżmy, że byłbym Brooksem czy Woodhouse'em, czy kimkolwiek z tych pięćdziesięciu ludzi, którzy mają uzasadnione powody, by mnie zabić. Jak długo udałoby mi się uciekać przed sobą samym? Jakieś wezwanie, zaaranżowane spotkanie, i byłoby po wszystkim. Dobrze, że nie mają takich mglistych dni w krajach latynoskich… W krajach zamachów… Na Jowisza! Nareszcie nadchodzi coś, co przerwie tę nużącą monotonię.

Tym czymś była pokojówka niosąca telegram. Holmes otworzył go i wybuchnął śmiechem.

– No, no! Ciekawe, co będzie dalej – powiedział. – Zajrzy do nas mój brat Mycroft.

– A co w tym niezwykłego? – spytałem.

– Niezwykłego? To tak, jakbyś spotkał tramwaj na wiejskiej drodze. Mycroft ma swoje szyny i po nich się porusza. Mieszkanie przy Pall Mall, klub „Diogenes", Whitehall; to jest jego trasa. Był tutaj jeden, jedyny raz. Jakiż to wstrząs mógł go wykoleić?

– Czy niczego nie wyjaśnił?

Holmes podał mi telegram od swojego brata.

Muszę się z tobą spotkać w sprawie Cadogana Westa. Zaraz przyjdę. Mycroft

– Cadogan West? Słyszałem to nazwisko.

– Z niczym mi się nie kojarzy. Ale żeby Mycroft zachowywał się w tak spontaniczny sposób! Chyba łatwiej byłoby wytrącić z orbity planetę. Nawiasem mówiąc, wiesz, kim jest Mycroft?

Pamiętałem niejasno parę szczegółów z czasów naszej przygody z greckim tłumaczem.

– Mówiłeś mi, że prowadzi niewielkie biuro podległe brytyjskiemu rządowi – powiedziałem.

Holmes zachichotał.

– W tamtych czasach nie znałem cię jeszcze tak dobrze, jak teraz. Mówiąc o sprawach wagi państwowej, trzeba być dyskretnym. Masz rację, twierdząc, że pracuje dla brytyjskiego rządu. Jednak w pewnym sensie miałbyś również rację, mówiąc, że od czasu do czasu on jest brytyjskim rządem.

– Ależ mój drogi Holmesie!

– Wiedziałem, że cię to może zaskoczyć. Mycroft zarabia czterysta pięćdziesiąt funtów rocznie, zawsze był podwładnym, nie ma żadnych ambicji, nie otrzymał żadnych zaszczytnych tytułów, ale nie zmienia to faktu, że jest najbardziej niezastąpionym człowiekiem w tym kraju.

– Ale w jaki sposób?

– Cóż, jego stanowisko jest jedyne w swoim rodzaju. Sam je dla siebie stworzył. Nigdy przedtem czegoś takiego nie było i nigdy już nie będzie. Spośród wszystkich ludzi chodzących po ziemi ma najbardziej uporządkowany, usystematyzowany mózg. Te same ogromne zdolności, które ja ukierunkowałem na to, aby wykrywać przestępców, mój brat wykorzystuje na innym szczególnym polu. On jest centralną agencją informacyjną i rachubą, która bilansuje informacje otrzymane z każdego ministerstwa. Wszyscy inni ludzie są specjalistami, ale on specjalizuje się w wyciąganiu wniosków z posiadanej wiedzy. Załóżmy, że jakiś minister potrzebuje informacji w sprawie dotyczącej marynarki, Indii, Kanady oraz bimetali. Mógłby dostać odrębne porady z różnych ministerstw w odniesieniu do każdego z tych zagadnień, ale tylko Mycroft potrafi ogarnąć je wszystkie i powiedzieć na poczekaniu, jak każdy z czynników wpłynie na pozostałe. Zaczęli wykorzystywać go jak drogę na skróty, dla wygody; teraz jednak stał się niezastąpiony. W tym jego potężnym mózgu wszystko znajduje się w odpowiednich szufladkach i natychmiast może być wyciągnięte i podane. Już wielokrotnie jedno jego słowo decydowało o polityce całej Anglii. Tym żyje. Nie myśli o niczym innym prócz krótkich chwil, kiedy ma trochę wolnego czasu i odpoczywa, a ja, korzystając z okazji, zwracam się do niego o radę dotyczącą jednej z moich niewiele znaczących zagadek. Traktuje to jako ćwiczenie intelektualne. Ale dziś Jowisz schodzi do nas z nieba. Cóż to może oznaczać? Kto to jest Cadogan West, i co on może znaczyć dla Mycrofta?

– Już mam! – zawołałem, nurkując w stertę papierów leżących na sofie. – Tak, tak, to na pewno on! Cadogan West to ten młody człowiek, którego

ciało znaleziono w metrze we wtorek rano.

Holmes usiadł wyprostowany jak struna, jego ręka, która trzymała fajkę, zamarła w połowie drogi do ust.

– To musi być poważna sprawa, Watsonie. Śmierć, która sprawiła, że mój brat zmienił swoje nawyki, nie może być zwyczajną śmiercią. Co on może mieć z tym wspólnego? O ile dobrze pamiętam, to nie była jakaś szczególna sprawa. Ten młody człowiek najwyraźniej wypadł z pociągu i zabił się. Nie został obrabowany, nie było też żadnych specjalnych powodów, by podejrzewać, że to było morderstwo. Mam rację?

– Przeprowadzono dochodzenie – powiedziałem – i wyszło na jaw sporo nowych faktów. Po bliższym przyjrzeniu się tej sprawie z całą pewnością powiedziałbym, że jest dość dziwna.

– Sądząc po tym, jaki wpływ wywarła na mojego brata, musi być wyjątkowa. – Holmes skulił się w swoim fotelu. – A teraz, Watsonie, przyjrzyjmy się tym faktom.

– Ten człowiek nazywał się Arthur Cadogan West. Miał dwadzieścia siedem lat, był kawalerem i pracował jako urzędnik w biurze Arsenału w Woolwich.

– Pracownik rządowy? Oto dlaczego mój brat zaangażował się w tę sprawę!

– W poniedziałek w nocy opuścił nagle Woolwich. Jako ostatnia widziała go panna Violet Westbury, jego narzeczona, którą nagle zostawił we mgle około 7.30 tego wieczoru. Nie doszło między nimi do kłótni, a ona nie potrafiła wyjaśnić jego zachowania. Potem usłyszano o nim dopiero, gdy robotnik torowy o nazwisku Mason znalazł jego zwłoki tuż za stacją Aldgate londyńskiego metra.

– Kiedy?

– Ciało znaleziono we wtorek o szóstej rano. Leżało w pewnej odległości od torów, po lewej stronie, jak się patrzy na wschód, niedaleko stacji, tam, gdzie pociąg wyjeżdża z tunelu. Głowa Arthura Westa została zmiażdżona. Uraz taki mogło równie dobrze spowodować wypadnięcie z pociągu. Tylko w ten sposób ciało mogłoby się znaleźć na torach. Nie mogli je tam przynieść z którejś z sąsiednich ulic: trzeba byłoby przejść przez stację, gdzie zawsze stoją kontrolerzy biletów. To jest całkowicie pewne.

– Bardzo dobrze. Sprawa jest dość konkretna. Człowiek, żywy lub martwy, wypadł lub został wyrzucony z pociągu. Tyle jest dla mnie jasnym.

Czytaj dalej.

– Po torach, przy których znaleziono ciało, ruch odbywa się w kierunku zachód–wschód. Jeżdżą tędy i pociągi metra, i pociągi podmiejskie z Willesden oraz bardziej oddalonych węzłów kolejowych. Można stwierdzić z całą pewnością, że ten młody człowiek zginął, gdy jechał w tym właśnie kierunku późno w nocy. Nie sposób jednak stwierdzić, w którym miejscu wsiadł do pociągu.

– Oczywiście wskazywałby na to jego bilet.

– W jego kieszeniach nie było biletu.

– Nie było biletu?! Doprawdy, Watsonie, to rzeczywiście bardzo dziwne. Wiem z doświadczenia, że nie da się przejść na peron, z którego odjeżdża pociąg metra, nie mając biletu. A więc należy przypuszczać, że ten młody człowiek miał bilet. Czy mu go zabrano, żeby ukryć, z której stacji wyjechał? To możliwe. Chyba że zgubił go gdzieś w wagonie. Nie można tego wykluczyć. To wyjątkowo interesujący szczegół. Jak rozumiem, nie było żadnych śladów rabunku?

– Ponoć nie. Oto lista tego, co miał przy sobie. W portfelu znaleziono dwa funty i piętnaście szylingów. Miał również książeczkę czekową filii banku Capital and Counties w Woolwich. Dzięki temu ustalono jego tożsamość. Oprócz tego były jeszcze dwa bilety na ten właśnie wieczór do teatru w Woolwich na balkonie pierwszego piętra oraz pakiet dokumentacji technicznej.

Holmes krzyknął z satysfakcją:

– Nareszcie to mamy, Watsonie! Brytyjski rząd, Arsenał, dokumentacja techniczna i mój brat Mycroft. Nasz łańcuch jest kompletny. Ale o ile się nie mylę, brat właśnie nadchodzi. Zaraz sam nam wszystko wyjaśni.

Chwilę później do pokoju wprowadzono wysokiego tęgiego Mycrofta Holmesa. Był masywny, miał atletyczną posturę, a jego sylwetka świadczyła o całkowitym braku ruchu. Jednak nad tym zwalistym ciałem wznosiła się głowa o władczym bystrym spojrzeniu stalowoszarych, głęboko osadzonych oczu, pełnych stanowczości ustach i tak subtelnym wyrazie twarzy, że zapominało się o olbrzymim ciele, a odczuwało tylko dominujący umysł.

Zaraz za nim wszedł nasz stary przyjaciel Lestrade ze Scotland Yardu, chudy jak zwykle i bardzo czymś przejęty. Powaga malująca się na ich twarzach zapowiadała jakąś wyjątkowo ważną sprawę. Detektyw bez słowa

uścisnął nam dłonie. Mycroft Holmes z trudem uwolnił się ze swojego płaszcza i opadł na fotel.

– Wyjątkowo irytująca sprawa, Sherlocku – powiedział. – Nie cierpię zmieniać swoich nawyków, tyle że w tym przypadku nie mogłem postąpić inaczej. Biorąc pod uwagę obecną sytuację w Syjamie, doprowadziłbym do bardzo niezręcznej sytuacji, gdybym nie był na swoim posterunku. Ale mamy do czynienia z prawdziwym kryzysem. Jeszcze nigdy nie widziałem, by premier był tak zdenerwowany. Jeśli chodzi o admiralicję, to zawrzało tam jak w przewróconym ulu. Czytałeś o tej sprawie?

– Tak, przed chwilą. Co to była za dokumentacja techniczna?

– I o to właśnie chodzi. Na szczęście, nie było żadnych przecieków. Prasa by oszalała, gdyby tak się stało. Dokumenty, które miał w kieszeni ten biedak, były planami łodzi podwodnej Bruce-Partington.

Mycroft Holmes wypowiedział te słowa z taką powagą, że od razu dało się wyczuć, jak niezwykle ważna musiała być ta sprawa. Jego brat i ja siedzieliśmy pełni oczekiwania.

– Na pewno o tym słyszeliście. Wydawało mi się, że każdy o niej słyszał.

– Słyszałem jedynie nazwę.

– Jest tak ważna, że nie sposób przecenić jej znaczenia. To była jedna z najściślej strzeżonych rządowych tajemnic. Możecie uwierzyć mi na słowo, wojna na morzu stanie się wręcz niemożliwa w zasięgu operacyjnym łodzi Bruce-Partington. Dwa lata temu przeznaczono ogromną kwotę z budżetu na zakup tego wynalazku. Poczyniono wszelkie starania, aby zachować to w sekrecie. Rysunki techniczne są niezwykle skomplikowane, zawierają około trzydziestu różnych patentów, z których każdy jest wręcz nieodzowny dla całej konstrukcji. Były przechowywane w sejfie o skomplikowanej konstrukcji w utajnionym biurze przy Arsenale; pokoje biura wyposażono w antywłamaniowe okna i drzwi. Pod żadnym pozorem nie wolno było ich wynosić z tego biura. Gdyby chciał je przejrzeć główny konstruktor, nawet on musiałby jechać w tym celu do Woolwich. A jednak znaleźliśmy je w kieszeni tego martwego urzędnika, w samym sercu Londynu. Z oficjalnego punktu widzenia to po prostu katastrofa.

– Ale je odzyskaliście?

– Nie, Sherlocku, nie! W tym właśnie cały problem. Nie odzyskaliśmy ich. Z Woolwich zabrano dziesięć dokumentów. W kieszeni Cadogana Westa było ich tylko siedem. Nie ma trzech najważniejszych. Skradziono je.

Przepadły. Masz rzucić wszystkie swoje pospolite drobne zagadki kryminalne. To kluczowa sprawa o międzynarodowym zasięgu! Musisz ją rozwiązać. Dlaczego Cadogan West zabrał te dokumenty? Gdzie są pozostałe? W jaki sposób zginął? Jak jego ciało znalazło się tam, gdzie je odkryto? Jak można naprawić to całe zło? Znajdź odpowiedzi na wszystkie pytania, a wyświadczysz swojemu krajowi ogromną przysługę.

– Dlaczego sam nie rozwiążesz tej sprawy, Mycrofcie? Twój wzrok sięga równie daleko jak mój.

– Być może, Sherlocku, ale to kwestia dotarcia do szczegółów. Zdobądź je dla mnie, a ja, nie wstając z fotela, wydam znakomitą opinię eksperta. Nie jest moim powołaniem bieganie tu i tam, wypytywanie strażników kolejowych, czołganie się po ziemi z lupą przy oku. Nie, nie! To ty jesteś człowiekiem, który potrafi rozwiązać tę sprawę. Jeśli masz ochotę zobaczyć swoje nazwisko na następnej liście odznaczonych…

Mój przyjaciel uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Gram w tę grę dla samej gry – powiedział. – Ale ta zagadka z pewnością ma pewne interesujące cechy, i z przyjemnością się nią zajmę. Podaj mi, proszę, trochę więcej faktów.

– Wynotowałem najistotniejsze, są na tej kartce wraz z paroma adresami, które mogą ci się przydać. Oficjalną osobą odpowiedzialną za przechowywanie dokumentów jest słynny ekspert rządowy sir James Walter, którego odznaczeniami i tytułami można by zapełnić dwie kolumny w encyklopedii. Służąc swojemu krajowi, zdążył posiwieć. Jest dżentelmenem i gościem mile widzianym w najlepszych domach, a przede wszystkim człowiekiem, którego patriotyzmu nie sposób kwestionować. Był jednym z dwóch ludzi, którzy mieli klucz do tego sejfu. Mogę dodać, że dokumenty z całą pewnością znajdowały się w biurze w poniedziałek w godzinach pracy i że sir James wyjechał do Londynu około trzeciej, zabierając ze sobą klucz. Przez cały wieczór był w domu admirała Sinclaira przy Barclay Square.

– Czy ktoś to potwierdził?

– Tak. Jego brat, pułkownik Valentine Walter, poświadczył, że sir James wyjechał z Woolwich, a admirał Sinclair zeznał, że przybył do Londynu. Tak więc można wykluczyć bezpośredni udział sir Jamesa w tej sprawie.

– Kim był drugi człowiek posiadający klucz?

– Wyższy urzędnik i kreślarz, pan Sidney Johnson. Czterdzieści lat, żonaty, ma piątkę dzieci. Jest milczącym ponurym człowiekiem, jednak ogólnie rzecz biorąc, ma doskonałe referencje z okresu służby w administracji państwowej. Koledzy za nim nie przepadają, ale to bardzo pracowity człowiek. Według jego własnych słów, potwierdzonych jedynie zeznaniami jego żony, cały poniedziałkowy wieczór spędził po pracy w domu i ani na chwilę nie zdjął klucza z łańcuszka od zegarka, na którym go nosi.

– Powiedz nam, kim był ten Cadogan West.

– Pracował w administracji od dziesięciu lat, był bardzo dobrym urzędnikiem. Miał reputację człowieka porywczego i władczego, ale szczerego i uczciwego. Nie mamy niczego, co świadczyłoby przeciwko niemu. W hierarchii biura był następny po Sidneyu Johnsonie. Jego obowiązki wiązały się z codziennym osobistym dostępem do tych planów. Nikt inny nie mógł dostać ich do rąk.

– Kto tego wieczoru zamykał plany w sejfie?

– Pan Sidney Johnson.

– Cóż, wiadomo przynajmniej, kto je zabrał. Znaleziono je przy tym Cadoganie Weście, urzędniku niższego szczebla. To chyba mówi samo za siebie, prawda?

– Owszem, Sherlocku, a jednak tak wiele pozostaje niewyjaśnione. Przede wszystkim dlaczego miałby je zabrać?

– Zakładam, że miały ogromną wartość.

– Z łatwością mógłby za nie dostać kilka tysięcy.

– Potrafisz podać jakikolwiek inny powód zabrania tych dokumentów do Londynu poza takim, że chciał je sprzedać?

– Nie, nie potrafię.

– W takim razie musimy uznać to za naszą roboczą hipotezę. Młody West wziął te dokumenty. Mógł to zrobić jedynie, posiadając dorobiony klucz.

– Kilka dorobionych kluczy. Musiał otworzyć jeszcze drzwi do budynku i pokój z sejfem.

– W takim razie miał kilka dorobionych kluczy. Zabrał dokumenty do Londynu, aby sprzedać tę tajemnicę, i bez wątpienia zamierzał odłożyć plany na miejsce, nim ktokolwiek zauważy ich brak następnego ranka. Gdy był w Londynie, wypełniając tę zdradziecką misję, dosięgła go śmierć.

– W jaki sposób?

– Załóżmy, że wracał do Woolwich, a wtedy go zamordowano i wyrzucono z pociągu.

– Aldgate, gdzie znaleziono jego zwłoki, jest położone sporo za stacją London Bridge, przez którą wracałby do Woolwich.

– Można wyobrazić sobie wiele różnych okoliczności, które mogły sprawić, że przejechał London Bridge. Na przykład w wagonie był ktoś, z kim prowadził ożywioną rozmowę. Doprowadziła ona do aktu przemocy, wskutek którego stracił życie. Możliwe, że próbował wydostać się z wagonu, spadł na tory i tak zginął. Ten drugi zamknął drzwi. Była wtedy gęsta mgła, i nic nie było widać.

– Przy naszej obecnej wiedzy nie sposób podać lepszego wytłumaczenia, a jednak weź pod uwagę, Sherlocku, jak wiele rzeczy pozostawiłeś niewyjaśnionych. Załóżmy dla potrzeb naszych rozważań, że młody Cadogan West rzeczywiście postanowił zawieźć te dokumenty do Londynu. Wtedy naturalnie umówiłby się na spotkanie z agentem obcego państwa i nic innego nie planowałby na ten wieczór. A jednak kupił dwa bilety do teatru, szedł tam ze swoją narzeczoną, a potem nagle zniknął w połowie drogi.

– Wybieg – wtrącił Lestrade, który siedział, ze zniecierpliwieniem przysłuchując się tej rozmowie.

– Wyjątkowo dziwny. Takie jest zastrzeżenie numer jeden. Zastrzeżenie numer dwa: załóżmy, że dojeżdża do Londynu i spotyka się z tym agentem. Musi odłożyć papiery na miejsce, nim nastanie ranek, żeby nikt nie zauważył ich zniknięcia. Zabrał dziesięć dokumentów. W jego kieszeni znaleziono tylko siedem. Co się stało z pozostałymi trzema? Z całą pewnością z własnej woli by ich nie zostawił. No a wreszcie, gdzie jest zapłata za tę zdradę? Można by oczekiwać, że w jego kieszeniach powinna być spora suma pieniędzy.

– Wydaje mi się to całkowicie jasne – powiedział Lestrade. – Nie mam żadnych wątpliwości, jak to się stało. Wziął dokumenty, żeby je sprzedać. Spotkał się z agentem. Nie mogli się dogadać w sprawie ceny. West pojechał do domu, agent udał się za nim. W pociągu zamordował urzędnika, zabrał najważniejsze dokumenty i wyrzucił jego ciało z wagonu. To by wszystko wyjaśniało, prawda?

– Dlaczego nie miał biletu?

– Bilet pokazywałby, jaka stacja była najbliżej miejsca, w którym mieszkał agent. Dlatego wyjął go z kieszeni zamordowanego.

– Dobrze, panie Lestrade. Bardzo dobrze! – powiedział Holmes. – Pańska teoria brzmi rozsądnie. Jednak gdyby miało to być prawdą, byłby to koniec sprawy. Z jednej strony zdrajca nie żyje, z drugiej natomiast plany łodzi podwodnej Bruce-Partington są już zapewne gdzieś w Europie. Co nam pozostaje do zrobienia?

– Działać, Sherlocku, działać! – zawołał Mycroft, zrywając się na nogi. – Cały mój instynkt podpowiada mi, że to błędne wyjaśnienie. Wykorzystaj swoje zdolności! Udaj się na miejsce zbrodni! Spotkaj się z ludźmi, którzy byli w to zamieszani! Zajrzyj pod każdy kamień! W całej karierze nigdy nie miałeś tak wielkiej szansy przysłużenia się swojemu krajowi.

– No cóż… Dobrze – rzekł Holmes, wzruszając ramionami. – Chodź, Watsonie! Panie Lestrade, czy zechciałby pan zaszczycić nas przez parę godzin swoim towarzystwem? Rozpoczniemy śledztwo od wizyty na stacji Aldgate. Do widzenia, Mycrofcie. Przed wieczorem zdam ci raport. Ale uprzedzam cię z góry, że nie powinieneś zbyt wiele się spodziewać.

Godzinę później Holmes, Lestrade i ja staliśmy na torach metra w miejscu, gdzie wyłaniają się one z tunelu tuż przed stacją Aldgate. Koleje reprezentował uprzejmy starszy dżentelmen o rumianej twarzy.

– To tutaj leżały zwłoki tego młodego człowieka – powiedział, wskazując na miejsce oddalone jakieś trzy stopy od torów. Nie mogły spaść z góry, bo tam, jak pan widzi, są tylko nagie ściany. A to oznacza, że ciało mogło wypaść jedynie z pociągu, który – jeżeli dobrze go zidentyfikowaliśmy – musiał tędy przejeżdżać w poniedziałek około północy.

– Czy sprawdzono wagony w poszukiwaniu jakichś śladów przemocy?

– Nie było żadnych takich śladów. I nie znaleźliśmy biletu.

– Żadnej wzmianki o tym, że jakieś drzwi były otwarte?

– Nie.

– Dziś rano uzyskaliśmy nowe informacje – odezwał się Lestrade. – Pasażer, który przejeżdżał w poniedziałek przez stację Aldgate pociągiem metra około godziny 23.40, twierdzi, że wyraźnie słyszał jakiś głuchy odgłos, tak jakby ciało wypadło na tory na chwilę przed tym, nim pociąg wjechał na stację. Wszystko jednak tonęło w gęstej mgle, i niczego nie było widać. Wówczas tego nie zgłosił. Ale co się stało, panie Holmes?

Mój przyjaciel trwał w bezruchu z wyrazem skrajnego skupienia na twarzy, wpatrując się swym bystrym pytającym wzrokiem w szyny w tym miejscu, gdzie one łukiem wybiegały z tunelu. Aldgate jest sporym węzłem kolejowym, zbiega się tam wiele torów. Na zamyślonej twarzy Sherlocka dostrzegłem to zacięcie ust, lekkie drżenie nozdrzy i uniesienie gęstych krzaczastych brwi, które tak dobrze znałem.

– Punkty – mruknął – punkty, w których krzyżują się tory.

– Co z torami? O co ci chodzi?

– Zakładam, że w takim systemie jak ten nie ma zbyt wielu zwrotnic?

– Rzeczywiście, jest ich bardzo mało.

– No i zakręt. Zwrotnice i zakręt. Na Jowisza, gdyby tylko okazało się, że mam rację.

– O co chodzi, panie Holmes? Ma pan jakiś trop?

– Pomysł… Wskazówkę. Nic więcej. Z całą pewnością sprawa staje się coraz ciekawsza. Unikalna, jedyna w swoim rodzaju. Ale… Nie widzę żadnych śladów krwi na torach.

– Bo żadnych nie było.

– Rana, jak rozumiem, była bardzo rozległa.

– Kość uległa zmiażdżeniu, ale nie było dużych obrażeń zewnętrznych.

– Jednakże można by się było spodziewać jakichś śladów krwi. Czy mógłbym przeszukać pociąg, którym jechał ten pasażer? No ten, który usłyszał głuchy odgłos we mgle…

– Obawiam się, że to niemożliwe, panie Holmes. Tamtego składu już nie ma, a wagony doczepiono do nowych.

– Mogę pana zapewnić, panie Holmes – rzekł Lestrade – że każdy wagon został bardzo starannie przeszukany. Osobiście się tym zająłem.

Jedną z najbardziej oczywistych wad mojego przyjaciela było to, że mając do czynienia z ludźmi mniej inteligentnymi od siebie, tracił cierpliwość.

– Bardzo możliwe – powiedział, odwracając się. – Ale to nie wagony chciałem przeszukać. Watsonie, zrobiliśmy tu już wszystko, co się dało. Nie będziemy już pana dłużej fatygować, panie Lestrade. Pojedziemy teraz do Woolwich.

Przy London Bridge Holmes napisał telegram do swojego brata, po czym dał mi go do przeczytania przed wysłaniem. Oto treść depeszy:

Widzę małe światełko w ciemności, ale może ono zgasnąć. Tymczasem prześlij mi na Baker Street przez posłańca kompletną listę wszystkich szpiegów, o których wiadomo, że przebywają w Anglii, wraz z ich dokładnymi adresami. Chciałbym ją mieć po powrocie do domu.

Sherlock

– To powinno nam pomóc, Watsonie – zauważył, gdy zajęliśmy miejsca w pociągu do Woolwich. – Z całą pewnością musimy być wdzięczni Mycroftowi za to, że przedstawił nam problem, który zapowiada się na doprawdy niezwykłą sprawę.

Na jego bystrej twarzy wciąż malował się znany mi wyraz intensywnego, pełnego napięcia skupienia, świadczący o tym, że jakiś świeży sugestywny szczegół zapoczątkował w jego umyśle nowy tok rozumowania. To było tak, jakby wyżła leżącego sobie spokojnie w psiarni ze zwisającymi uszami i opuszczonym ogonem porównać z tym samym psem, który z błyskiem w oczach i naprężonymi mięśniami podąża czyimś tropem. Taka właśnie zmiana zaszła w Holmesie tego dnia rano. Nie był już tą bezwładną rozleniwioną istotą w szarym szlafroku, która jeszcze kilka godzin temu tak niespokojnie dreptała po pokoju. – Jest w tym ciekawy materiał, są interesujące możliwości – powiedział. – Naprawdę byłem głupcem, że od razu ich nie dostrzegłem.

– Nawet teraz sprawa wygląda na dość mglistą.

– Mnie również rozwiązanie wydaje się niejasne, przyszła mi jednak do głowy pewna myśl, która może nas daleko zaprowadzić. Ten człowiek zginął gdzie indziej, a jego ciało było na DACHU wagonu.

– Na dachu?

– Niezwykłe, prawda? Przyjrzyj się faktom. Czy to zbieg okoliczności, że ciało znaleziono dokładnie tam, gdzie pociąg kołysze się, przejeżdżając przez punkt, w którym zbiegają się tory? Czyż nie jest to miejsce, gdzie można by się spodziewać, że coś, co leży na dachu wagonu, spadnie z niego? Nie miałoby to wpływu na coś, co było wewnątrz wagonów. Albo te zwłoki spadły z dachu, albo mamy do czynienia z innym, bardzo osobliwym wytłumaczeniem. Zastanówmy się też nad śladami krwi. Oczywiście, jeśli wykrwawił się gdzie indziej, na torach nie byłoby żadnych śladów. Każdy pojedynczy fakt jest już sam w sobie wymowny, wszystkie razem mogą powiedzieć bardzo dużo.

– No i bilet! – zawołałem.

– Tak, tak. Nie byliśmy w stanie wyjaśnić jego braku. Zaistniałe okoliczności tłumaczą sporo, teraz wszystko do siebie pasuje.

– Ale nawet zakładając, że tak było, jesteśmy tak samo dalecy od rozwiązania tajemnicy jego śmierci jak przedtem. W rzeczywistości sprawa, zamiast się klarować, jeszcze bardziej się komplikuje.

– Być może – rzekł z namysłem Holmes – być może. – Po czym zapadł w milczącą zadumę, która trwała aż do chwili, gdy powoli jadący pociąg wjechał wreszcie na stację Woolwich. Kiedy wysiedliśmy, przywołał dorożkę i wyciągnął z kieszeni kartkę, którą dał mu Mycroft.

– Dziś po południu musimy złożyć sporo wizyt – powiedział. – Myślę, że najpierw powinniśmy się udać do sir Jamesa Waltera.

Słynny mąż stanu mieszkał w pięknej willi; rozciągające się wokół zielone trawniki opadały w dół aż do Tamizy. Gdy dojechaliśmy na miejsce, mgła właśnie się unosiła, i przez jej opary zaczął się przebijać słaby rozproszony blask słońca. Drzwi otworzył nam kamerdyner.

– Do sir Jamesa? – zapytał z wielką powagą. – Sir James zmarł dziś rano.

– Wielkie nieba! – zawołał zdumiony Holmes. – W jaki sposób zmarł?

– Być może zechce pan wejść do środka i porozmawiać z jego bratem pułkownikiem Valentine Walterem?

– Tak. Tak byłoby najlepiej.

Wprowadzono nas do salonu, w którym paliło się przyćmione światło. Chwilę później dołączył do nas bardzo wysoki przystojny mężczyzna z jasną brodą, około pięćdziesiątki. Był to młodszy brat zmarłego. Jego niespokojne spojrzenie, nieogolone policzki i zwichrzone włosy świadczyły o tym, jaki bolesny cios spadł na rodzinę. Ledwie był w stanie wydobyć z siebie słowa.

– To przez ten straszliwy skandal mój brat James nie żyje – powiedział. – Był człowiekiem honoru. Ta okropna afera złamała mu serce. Zawsze był ogromnie dumny ze skuteczności swojego wydziału, takie zrządzenie losu było dla niego zbyt okrutne.

– Mieliśmy nadzieję, że poda nam pan jakieś wskazówki, które mogłyby nam pomóc w wyjaśnieniu tej sprawy.

– Zapewniam pana, że było to dla niego taką samą zagadką, jaką jest dla pana i dla każdego z nas. Przekazał policji wszystko, co wiedział na ten temat. Naturalnie, nie miał żadnych wątpliwości co do winy Cadogana Westa. Wszystko inne było nie do pomyślenia.

– Więc nie może pan wnieść niczego nowego do tej sprawy?

– Sam nic o tym nie wiem prócz tego, co słyszałem lub czytałem. Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale jak pan rozumie, panie Holmes, w tej chwili jesteśmy bardzo poruszeni, i muszę pana prosić o jak najszybsze zakończenie tej rozmowy.

– To doprawdy nieoczekiwany rozwój wydarzeń – rzekł mój przyjaciel, gdy znaleźliśmy się z powrotem w dorożce. – Zastanawiam się, czy śmierć nastąpiła z naturalnych przyczyn, czy też ten biedak się zabił. Jeśli prawdziwa jest ta druga wersja, to czy można ją uznać za pewną oznakę wyrzutów sumienia spowodowaną zaniedbaniem swych obowiązków? Musimy jednak odłożyć na później odpowiedź na to pytanie. Teraz zajmiemy się Cadoganem Westem.

Matka zmarłego mieszkała w ładnym zadbanym domu na skraju miasta. Starsza pani była zbyt oszołomiona śmiercią syna, by mogła nam się na cokolwiek przydać. Młoda dama o pobladłej twarzy, która jej towarzyszyła, przedstawiła się jako panna Violet Westbury, narzeczona zmarłego. Ona ostatnia widziała Cadogana Westa tamtej feralnej nocy.

– Nie potrafię niczego wyjaśnić, panie Holmes – powiedziała. – Od czasu tragedii nie zmrużyłam oka. Ciągle, w dzień i w nocy, myślę, myślę, co to może tak naprawdę oznaczać. Arthur był niezwykle ambitnym, najbardziej rycerskim człowiekiem, jakiego znałam. Był prawdziwym patriotą. Wolałby odciąć sobie prawą rękę, niż sprzedać tajemnicę państwową, którą mu powierzono. Każdy, kto go znał, postrzega to jako coś absurdalnego, niemożliwego, wręcz groteskowego.

– A fakty, panno Westbury?

– Tak, tak. Przyznaję, że też nie potrafię ich wyjaśnić.

– Czy brakowało mu pieniędzy?

– Nie. Miał bardzo skromne potrzeby, a jego pensja w zupełności wystarczała na ich pokrycie. Odłożył kilkaset funtów, wkrótce mieliśmy się pobrać.

– Czy wykazywał jakieś oznaki podekscytowania? Proszę, panno Westbury, niech pani będzie z nami absolutnie szczera.

Bystre oczy mojego towarzysza spostrzegły jakąś zmianę w jej zachowaniu. Zarumieniła się i zawahała.

– Tak – odpowiedziała wreszcie. – Odniosłam wrażenie, że coś go dręczyło.

– Od jak dawna?

– Tylko przez ostatni tydzień. Był zamyślony i czymś zmartwiony. Raz go o to zapytałam. Przyznał, że jest coś, co go dręczy, i że dotyczy to jego pracy. „To zbyt poważna sprawa, nie mogę o tym mówić. Nawet tobie” – odpowiedział. Nic więcej nie byłam w stanie z niego wydobyć.

Holmes słuchał jej ze skupieniem na twarzy.

– Proszę mówić dalej, panno Westbury. Nawet jeśli się pani wydaje, że to go obciąża, proszę mówić. Nie potrafimy w tej chwili przewidzieć, dokąd nas to może zaprowadzić.

– Tak naprawdę to nie mam już nic więcej do powiedzenia. Raz czy dwa razy wydawało mi się, że już jest gotów mi coś wyjawić. Pewnego wieczoru mówił o tym, jak ważny jest to sekret, i pamiętam, że wspomniał, iż agenci obcych wywiadów z pewnością dobrze by zapłacili, aby go poznać.

Twarz mojego przyjaciela stała się jeszcze poważniejsza.

– Coś oprócz tego?

– Powiedział, że jesteśmy zbyt niedbali w takich sprawach, że zdrajcy łatwo byłoby dotrzeć do planów.

– Czy te uwagi wypowiedział dopiero co?

– Tak, całkiem niedawno.

– A teraz proszę nam opowiedzieć o ostatnim waszym wieczorze.

– Mieliśmy pójść do teatru. Mgła była tak gęsta, że dorożka na nic by nam się nie przydała. Udaliśmy się więc pieszo, mijając po drodze jego biuro. Nagle zniknął we mgle.

– Bez słowa?

– Krzyknął coś, to wszystko. Czekałam, ale już nie wrócił. Poszłam do domu, a następnego ranka po otwarciu jego biura przyszli i dopytywali się o niego. Około dwunastej usłyszałyśmy tę straszliwą wieść o jego śmierci. Och, panie Holmes, gdyby tylko mógł pan ocalić jego honor! Tak wiele dla niego znaczył.

Holmes ze smutkiem potrząsnął głową.

– Chodź, Watsonie – powiedział. – Pójdziemy teraz gdzie indziej. Naszym kolejnym przystankiem będzie biuro, z którego skradziono dokumenty.

– Fakty od samego początku wskazywały winę tego młodego człowieka, a w miarę postępowania naszego śledztwa obciążają go coraz bardziej –

zauważył, gdy dorożka ospale ruszyła z miejsca. – To, że wkrótce miał się żenić, dostarcza motywu zbrodni. Jest oczywistym, że potrzebował pieniędzy. Musiała mu przejść przez głowę taka myśl, skoro nawet o tym mówił. Niemal uczynił tę dziewczynę wspólniczką zdrady, opowiadając jej o swoich planach. To wszystko wygląda bardzo nieciekawie.

– Ale, Holmesie, z pewnością jego charakter też się liczy. No i po co miałby zostawiać dziewczynę na ulicy, by nagle zniknąć, aby popełnić przestępstwo?

– Tak, tak! Budzi to duże zastrzeżenia, ale obalić zarzuty będzie bardzo trudno.

Pan Sidney Johnson, urzędnik wyższego szczebla, spotkał się z nami w biurze i potraktował nas z szacunkiem, jaki zawsze wzbudzała wizytówka mojego towarzysza. Był chudym szorstkim mężczyzną w średnim wieku, nosił okulary i miał wymizerowaną twarz, a ręce drżały mu pod wpływem zdenerwowania sytuacją, w jakiej się znalazł.

– Źle to wygląda, panie Holmes. Bardzo źle! Słyszał pan o śmierci szefa naszego wydziału?

– Właśnie wracamy z jego domu.

– A tu zapanował chaos. Szef nie żyje, Cadogan West nie żyje, skradziono tajne dokumenty, chociaż gdy zamykaliśmy drzwi w poniedziałek wieczorem, byliśmy równie skutecznym biurem jak wiele innych instytucji rządowych. Dobry Boże, jakie to straszne, żeby spośród wszystkich ludzi właśnie West zrobił coś takiego!

– A więc jest pan pewien, że to on?

– Nie widzę żadnej innej możliwości. A ufałem mu tak, jak ufam samemu sobie.

– O której zamknięto w poniedziałek biuro?

– O piątej.

– To pan je zamykał?

– Zawsze wychodzę ostatni.

– Gdzie znajdowała się dokumentacja?

– W tamtym sejfie. Sam je tam umieściłem.

– Czy w budynku nie ma strażnika?

– Owszem, jest. To stary żołnierz, człowiek godny zaufania. Ale pilnuje też innych wydziałów. Tego wieczoru nic nie widział. Mgła była bardzo gęsta.

– Załóżmy, że Cadogan West chciałby dostać się do budynku po godzinach pracy. Potrzebowałby trzech kluczy, żeby dotrzeć do dokumentów, prawda?

– Tak. Do zewnętrznych drzwi, do biura i sejfu.

– Tylko sir James Walter i pan mieliście te klucze?

– Ja nie miałem kluczy do drzwi. Mam klucz tylko do sejfu.

– Czy sir James był człowiekiem dobrze zorganizowanym?

– Tak, sądzę, że tak. Wiem, że te trzy klucze trzymał wszystkie na jednym kółku. Często je widziałem.

– I zabrał ze sobą te klucze do Londynu?

– Tak powiedział.

– A pan nigdy nie stracił z oczu swojego klucza?

– Nie, nigdy.

– W takim razie West musiał dorobić klucz, jeśli założymy, że to on był sprawcą. A jednak klucza przy zwłokach nie znaleziono. Jeszcze jedno. Gdyby jakiś pracownik biura chciał sprzedać te plany, czy nie byłoby prościej skopiować je, zamiast brać oryginały, tak jak to miało miejsce w tym przypadku?

– Skuteczne skopiowanie tych planów wymagałoby znacznej wiedzy technicznej.

– Zakładam jednak, że sir James czy West posiadali taką wiedzę. Dotyczy to rów-nież pana.

– Tak, bez wątpienia. Błagam jednak, by nie próbował mnie pan wciągnąć w tę sprawę, panie Holmes. Jaki sens mają takie spekulacje, skoro oryginały planów znaleziono przy zwłokach Westa?

– Cóż, to z całą pewnością bardzo dziwne, że zaryzykował zabrać oryginały, skoro mógł bezpiecznie wykonać i wynieść kopie, które równie dobrze służyłyby jego celom.

– Tak. Bez wątpienia, to dziwne, a jednak to zrobił.

– Każde pytanie, jakie zadaję w tym śledztwie, ujawnia coś niewytłumaczalnego. Teraz nadal brakuje trzech dokumentów. Jak rozumiem, to te najistotniejsze?

– Tak, rzeczywiście.

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że ktoś, kto posiadałby te trzy dokumenty, mógłby skonstruować łódź podwodną, taką ja Bruce-Partington, nie mając siedmiu pozostałych?

– Taki raport złożyłem admiralicji. Jednak dziś ponownie przeglądałem rysunki i już nie jestem tego taki pewny. Plany podwójnych zaworów z automatycznymi samonastawnymi szczelinami były w jednym z dokumentów, który do nas wrócił. O ile ci cudzoziemcy sami nie wynaleźli czegoś takiego, nie mogliby zbudować tej łodzi. Oczywiście, wkrótce mogliby się uporać z tym problemem.

– Ale trzy brakujące rysunki są najważniejsze?

– Bez wątpienia.

– Teraz, za pańskim pozwoleniem, rozejrzę się po waszym biurze. Nie przychodzi mi na razie do głowy żadne pytanie, jakie chciałbym zadać.

Mój przyjaciel zbadał zamek sejfu, drzwi prowadzące do pomieszczenia i metalowe okiennice. Dopiero gdy znaleźliśmy się na trawniku przed budynkiem, coś nagle wzbudziło jego zainteresowanie. Przy oknie rósł krzak wawrzynu, kilka jego gałęzi najwyraźniej ktoś połamał. Holmes bardzo starannie zbadał je przez lupę, a potem zaczął się przyglądać jakimś niewyraźnym śladom na ziemi. Wreszcie poprosił szefa wydziału, by ten zamknął okiennice. Zwrócił moją uwagę na to, że pośrodku okiennice się nie stykały i że każdy, kto zaczaiłby się na zewnątrz, mógł zobaczyć, co się dzieje w pomieszczeniu.

– Przez te trzy dni ślady zdążyły się już zatrzeć. Mogą coś oznaczać, ale równie dobrze mogą nie znaczyć nic. Cóż, Watsonie, nie sądzę żebyśmy mogli się czegoś jeszcze dowiedzieć w Woolwich. Skromny zebraliśmy tutaj plon. Zobaczmy, czy w Londynie nie pójdzie nam lepiej.

Jednak zanim odjechaliśmy ze stacji Woolwich, zasób naszych informacji powiększył się o jeszcze jedną. Kasjer z okienka biletowego był całkowicie pewien, że w poniedziałek wieczorem Cadogan West, którego dobrze znał z widzenia, udał się do Londynu pociągiem o 20.15. Był sam i kupił bilet trzeciej klasy w jedną stronę do stacji London Bridge. Kasjera uderzyło wówczas jego podekscytowanie i nerwowe zachowanie się. Był tak roztrzęsiony, że nie potrafił sam pozbierać wydanej mu reszty, i kasjer musiał mu w tym pomóc. Z rozkładu jazdy wynikało, że pociąg o 20.15 był pierwszym, do którego mógł wsiąść West po tym, jak rozstał się ze swoją narzeczoną około 19.30.

– Zrekonstruujmy to, Watsonie – powiedział Holmes po półgodzinnym milczeniu. – Nie przypominam sobie, byśmy podczas naszych wspólnych spraw mieli kiedykolwiek do czynienia z taką, którą trudniej byłoby

rozwiązać. Wszystko, czego się dowiadujemy, odsłania przed nami jedynie kolejne przeszkody, chociaż z całą pewnością poczyniliśmy znaczne postępy.

To, o czym nas poinformowano w Woolwich, świadczyło wyraźnie przeciwko Cadoganowi Westowi, jednak ślady odkryte pod oknem pozwalają postawić bardziej korzystną dla niego hipotezę. Załóżmy na przykład, że skontaktował się z nim agent obcego państwa. Być może zobowiązał go do milczenia, jednak West nie mógł przestać o tym myśleć, co przejawiało się w uwagach, które słyszała jego narzeczona. Bardzo dobrze. Teraz załóżmy, że gdy szedł z tą młodą damą do teatru, nagle we mgle spostrzegł tego samego agenta zmierzającego w stronę biura. Był porywczy i szybko podejmował decyzje. W jednej chwili rzucił wszystko, by wypełnić swój obowiązek. Poszedł za tym człowiekiem, dotarł pod okno, zobaczył, jak ten zabiera dokumenty, po czym podążył za złodziejem. W ten sposób możemy poradzić sobie z zastrzeżeniem, że nikt nie wziąłby oryginału, skoro mógł sporządzić kopie. Ten człowiek z zewnątrz musiał wziąć oryginały. Jak do tej pory wydaje się to dość rozsądne.

– Jaki jest kolejny krok?

– Teraz natrafiamy na trudności. Można by sobie wyobrazić, że w takich okolicznościach pierwszym, co zrobiłby Cadogan West, byłoby schwytanie złodzieja i wszczęcie alarmu. Dlaczego tak nie postąpił? Czy jest mozliwym, że to jakiś zwierzchnik z jego biura wziął dokumenty? To by wyjaśniało postępowanie naszego urzędnika. A może to właśnie szef wydziału wymknął się Westowi we mgle, a ten ostatni natychmiast wyruszył do Londynu, by przeciąć mu drogę do domu, zakładając, że wiedział, gdzie mieszka? To musiała być jakaś niezwykle pilna sprawa, bo zostawił swoją dziewczynę i nawet nie próbował jej niczego wytłumaczyć. W tym miejscu nasz trop urywa się, i powstaje ogromna luka pomiędzy którąkolwiek z tych hipotez a ciałem Westa z siedmioma dokumentami w kieszeni, leżącym na dachu miejskiego pociągu. Instynkt podpowiada mi teraz, bym zaczął poszukiwania od końca. Jeśli Mycroft już przesłał mi listę agentów z adresami, może będzie wśród nich ten, kogo potrzebujemy, wobec tego zyskujemy dwa tropy zamiast jednego.

I rzeczywiście, na Baker Street czekał na nas list. Został on błyskawicznie dostarczony przez rządowego posłańca. Holmes rzucił na niego okiem i podał mnie.

Jest tu mnóstwo drobnych płotek, niewielu jednak takich, którzy mogliby być zamieszani w tak grubą aferę. Jedynymi godnymi uwagi są: Adolph Mayer z Great George Street 13 w Westminsterze, Louis La Rothiere z Campden Mansions w Notting Hill oraz Hugo Oberstein z Caulfield Garden 13 w Kensington. O tym ostatnim wiadomo, że w poniedziałek był w mieście, a ostatnio doniesiono, że wyjechał. Cieszę się, słysząc, że ujrzałeś światełko w ciemności. Rząd z niepokojem oczekuje twojego końcowego raportu. W trybie pilnym zebrali się najważniejsi urzędnicy w państwie. Cała policja tego kraju jest do twojej dyspozycji, jeśli będziesz jej potrzebował.

MYCROFT

– Obawiam się – rzekł z uśmiechem Holmes – że w tej sprawie nie mogą nam pomóc ani wszyscy konni, ani wszyscy dworzanie. – Rozłożył swoją ogromną mapę Londynu i w skupieniu się nad nią pochylił. – No, no! – zawołał po chwili z satysfakcją. – Wreszcie sprawy zaczynają się powoli układać po naszej myśli. Wiesz, Watsonie, jestem szczerze przekonany, że mimo wszystko nam się to uda. – Klepnął mnie w ramię w nagłym przypływie wesołości. – Wychodzę na mały rekonesans. Ty zostań tutaj. Ale bez obaw, nie podejmę nic ważnego bez mojego towarzysza i biografa u boku. Wszystko wskazuje na to, że zobaczymy się znów za godzinę czy dwie. Jeśli będzie ci się dłużyło, weź pióro i arkusz papieru i zacznij spisywać opowieść o tym, jak uratowaliśmy Anglię.

Jego euforia w pewnym stopniu udzieliła się również i mnie. Musiał mieć jakiś bardzo ważny powód do radości, bo inaczej nie zauważyłbym tak znacznej zmiany w jego zazwyczaj powściągliwym zachowaniu. Czekałem przez cały długi listopadowy wieczór, z niecierpliwością wyglądając jego powrotu. Wreszcie, krótko po dziewiątej, przybył posłaniec z listem:

Jem kolację u Goldiniego przy Gloucester Road w Kensington. Proszę, przybądź natychmiast i dołącz do mnie. Weź ze sobą krótki łom, małą latarkę, dłuto i rewolwer.

S.H.

Dla szanowanego obywatela idącego przez ciemne, spowite mgłą ulice był to naprawdę wymarzony sprzęt do noszenia przy sobie. Wszystkie te przedmioty upchnąłem dyskretnie pod płaszczem i pojechałem prosto pod wskazany adres. Tam, w jasno oświetlonej włoskiej restauracji,

zastałem mojego przyjaciela siedzącego przy małym okrągłym stoliku ustawionym przy drzwiach.

– Jadłeś już coś? Tak? W takim razie napij się ze mną kawy i curaçao. Spróbuj jednego z cygar, które proponują w tym lokalu. Są mniej trujące, niż można by się spodziewać. Masz narzędzia?

– Są tutaj, ukryte w moim płaszczu.

– Doskonale. Pozwól, że opowiem ci w ogólnych zarysach, co robiłem, i o tym, co mamy do zrobienia. Teraz musi już być dla ciebie oczywistym, Watsonie, że ciało tego młodego człowieka zostało UMIESZCZONE na dachu pociągu. Było to dla mnie jasne od chwili, gdy ustaliłem, że spadło z dachu, a nie wypadło z wagonu.

– Czy nie mogło zostać zrzucone z mostu?

– Na pewno nie. Gdybyś się przyjrzał dachom wagonów, zauważyłbyś, się, że są lekko zaokrąglone i nie mają balustradki. Tak więc możemy stwierdzić z całą pewnością, że Cadogana Westa umieścili na dachu.

– W jaki sposób?

– Dobre pytanie. Jest tylko jeden sposób, w jaki można to zrobić. Wiesz, że metro wyjeżdża z tuneli w kilku miejscach na West Endzie. Pamiętałem jak przez mgłę, że gdy jeździłem metrem, widziałem okna domów tuż nad głową. A teraz załóżmy, że pociąg zatrzymuje się tuż pod takim oknem. Czy wówczas umieszczenie ciała na dachu byłoby trudne?

– To się wydaje wyjątkowo mało prawdopodobne.

– Musimy trzymać się starej zasady: gdy wszystkie inne możliwości zawiodą, to ta z nich, która pozostaje, musi być prawdziwa, jakkolwiek byłaby nieprawdopodobna. Wszystkie inne ewentualności ZAWIODŁY. Gdy dowiedziałem się, że najważniejszy szpieg zagraniczny, który właśnie wyjechał z Londynu, mieszkał w jednym z domów przylegających do torów, bardzo się ucieszyłem. Widzę, że zdumiała cię moja nagła wesołość.

– Och! A więc o to chodziło!

– Tak, o to. Moim celem stał się Hugo Oberstein, zamieszkały przy Caulfield Gardens pod numerem 13. Zacząłem od stacji Gloucester Road, gdzie bardzo pomocny pracownik przeszedł się ze mną wzdłuż torów i pomógł mi się upewnić nie tylko co do tego, że tylne okna domów przy Caulfield Gardens wychodzą na linię metra. Z uwagi na sąsiedztwo węzła,

gdzie przecinają się różne linie kolejowe, pociągi metra często zatrzymują się w tym właśnie miejscu na kilka minut.

– Wspaniale, Holmesie! Znalazłeś to, czego szukałeś!

– Powoli, Watsonie, powoli. Robimy postępy, ale cel wciąż jeszcze jest daleko. Obejrzawszy sobie tyły domów przy Caulfield Gardens, przyjrzałem się im też od frontu i upewniłem się, że ptaszek rzeczywiście wyfrunął z gniazdka. Dom, gdzie mieszkał, jest dość duży i nieumeblowany, tyle byłem w stanie ustalić, przynajmniej jeśli chodzi o mieszkanie na piętrze. Oberstein mieszkał tam z jednym służącym, który prawdopodobnie był jego zaufanym wspólnikiem. Musimy pamiętać o tym, że Oberstein wyjechał do Europy, by tam pozbyć się łupu, ale bynajmniej nie traktował swojego wyjazdu jako ucieczki. Nie miał żadnego powodu, by obawiać się nakazu rewizji, i na pewno nie przyszło mu do głowy, że jakiś amator złoży wizytę u niego w domu. A właśnie to zamierzamy teraz zrobić.

– Nie moglibyśmy uzyskać nakazu i zrobić tego legalnie?

– Z tymi dowodami, które mamy, to wykluczone.

– Czego się możemy spodziewać?

– Trudno przewidzieć, jaką korespondencję możemy tam znaleźć.

– Nie podoba mi się to, Holmesie.

– Mój drogi przyjacielu, ty będziesz trzymał wartę na ulicy, a ja zajmę się całą brudną robotą. To naprawdę nie jest odpowiednia pora, by powstrzymywały nas takie drobiazgi. Pomyśl o liście od Mycrofta, o admiralicji, rządzie i o tej najważniejszej osobie, która czeka na wieści. Musimy tam iść.

W odpowiedzi wstałem od stołu:

– Masz racje, Holmesie, musimy.

Zerwał się na nogi i uścisnął mi dłoń.

– Wiedziałem, że nie wycofasz się w ostatniej chwili – powiedział, i na krótką chwilę w jego oczach pojawiło się coś, co było bliższe wzruszeniu niż cokolwiek, co do tej pory u niego widziałem. W następnej chwili znów był sobą. Władczy i praktyczny. – To prawie pół mili stąd, ale nigdzie nam się nie śpieszy. Zróbmy sobie spacer – powiedział. – Tylko proszę cię, nie upuść narzędzi. Gdyby aresztowano cię jako podejrzanego typa, byłaby to dla nas wyjątkowo niefortunna komplikacja.

Caulfield Gardens była jedną z ulic z szeregiem domów o prostej fasadzie z kolumnami i portykami, tak bardzo charakterystycznych dla epoki wiktoriańskiej w londyńskim West Endzie. W sąsiednim domu odbywała się chyba jakaś zabawa dla dzieci, bo w wieczornej ciszy rozbrzmiewał wesoły gwar młodych głosów i dźwięki pianina. Mgła, która wciąż wisiała nad miastem, przykryła nas swą przyjazną zasłoną. Holmes zapalił latarkę i oświetlił nią masywne drzwi.

– Poważna sprawa – powiedział. – Na pewno są zamknięte na klucz i zaryglowane. Lepiej poradzimy sobie z wejściem od podwórza. A tam dalej jest dogodne przejście, na wypadek gdyby chciał nam przeszkodzić jakiś nadgorliwy policjant. Podaj mi rękę, Watsonie. Potem ja ci pomogę.

Minutę później obaj byliśmy na podwórzu. Ledwie udało nam się skryć w cieniu, gdy usłyszeliśmy we mgle zbliżającego się policjanta. Gdy stłumiony rytm jego kroków ucichł, Holmes zabrał się do pracy przy drzwiach do piwnicy. Zobaczyłem, jak się pochyla i męczy z ich otwarciem. Wreszcie drzwi odskoczyły z ostrym trzaskiem. Pośpiesznie weszliśmy w ciemny korytarz, zamykając drzwi. Holmes ruszył przede mną krętymi, pozbawionymi wykładziny schodami. Skierował strumień żółtego światła na okno na parterze.

– No i proszę, Watsonie. To musi być to, czego szukaliśmy. – Otworzył je, a wówczas rozległ się cichy ostry szmer, który stopniowo przerodził się w głośny ryk, kiedy w ciemnościach przemknął pod oknem pociąg. Holmes oświetlił latarką parapet. Był pokryty grubą warstwą sadzy, jednak w niektórych miejscach czarna powierzchnia była rozmazana.

– Widzisz? Tu oparli ciało. Hola, Watsonie! A to co? Nie ma najmniejszych wątpliwości, że to ślady krwi. – Wskazywał na słabe odbarwienia na stolarce okiennej. – Tutaj też, na tych kamiennych schodach. Wszystko jak na dłoni. Poczekajmy, aż jakiś pociąg się zatrzyma.

Nie musieliśmy długo czekać. Z tunelu dobiegł ryk kolejnego pociągu, jednak tym razem, gdy pociąg wyjechał na otwartą przestrzeń, zwolnił i z piskiem hamulców zatrzymał się bezpośrednio pod nami. Parapet okna dzieliło nie więcej niż cztery stopy od dachu wagonu. Holmes cicho zamknął okno.

– Jak do tej pory nasze działania są usprawiedliwione – powiedział. – Co o tym sądzisz, Watsonie?

– Prawdziwy majstersztyk. Jeszcze nigdy nie wzniosłeś się na takie wyżyny.

– Tutaj nie mogę się z tobą zgodzić. Od chwili gdy przyszło mi do głowy, że ciało było na dachu, co z całą pewnością nie było zbyt skomplikowanym pomysłem, cała reszta była już nieuniknioną konsekwencją. Gdyby nie to, że chodzi o poważne interesy państwowe, to sprawa ta byłaby już po prostu trywialna. Niemniej wciąż piętrzą się przed nami trudności. Może jednak znajdziemy tutaj coś, co nam pomoże.

Wspięliśmy się po kuchennych schodach do apartamentu na pierwszym piętrze. Pierwszym z pokoi była jadalnia, surowo urządzona i nie zawierająca niczego, co by nas mogło interesować. Drugim była sypialnia, w której też nie znaleźliśmy niczego ciekawego. Ostatni pokój wydał nam się bardziej obiecujący, i mój towarzysz zabrał się za jego przeszukiwanie. Wszędzie walały się książki i jakieś papiery, a pomieszczenie ewidentnie było używane jako gabinet. Holmes szybko i systematycznie wysypywał zawartość poszczególnych szuflad i opróżniał każdą szafkę, jednak jego poważnej twarzy nie rozświetlił uśmiech zadowolenia. Po godzinie nie posunęliśmy się ani o krok naprzód.

– Ten szczwany lis zatarł po sobie ślady – powiedział. – Nie zostawił niczego, co by go obciążało. Musiał zniszczyć lub zabrać ze sobą wszelką niebezpieczną korespondencję. To nasza ostatnia szansa.

Wskazał na małą blaszaną kasetkę na pieniądze, stojącą na biurku. Holmes podważył jej wieko dłutem. Wewnątrz było kilka ruloników papieru pokrytych jakimiś cyframi i obliczeniami bez żadnych notatek wyjaśniających, do czego się one odnoszą. Wciąż powtarzające się słowa, takie jak „ciśnienie wody” i „ciśnienie na cal kwadratowy”, świadczyły o możliwym związku z łodzią podwodną. Holmes niecierpliwym gestem odrzucił je na bok. Teraz pozostała tam już tylko koperta z jakimiś małymi wycinkami z gazet. Wytrząsnął je wszystkie na stół, i w jednej chwili zobaczyłem po wyrazie jego skupionej twarzy, że coś wzbudziło w nim nadzieję.

– Co to jest, Watsonie? No? Co to jest? Szereg wiadomości, które ukazały się w ogłoszeniach w jakiejś gazecie. Sądząc po czcionce i papierze, to rubryka towarzyska „Daily Telegraph”. Prawy górny róg strony nie ma daty, ale wiadomości układają się w całość. To musi być pierwsza:

Miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś wcześniej. Warunki przyjęte. Opisz wszystko dokładnie i prześlij pod adres podany na wizytówce.

Pierrot

A to następna:

Zbyt skomplikowane, opis nie wystarcza. Muszę mieć pełny raport. Gdy dostarczysz towar, coś będzie na ciebie czekać.

Pierrot

I jeszcze jedna:

Są naciski. Muszę wycofać ofertę, o ile umowa nie zostanie spełniona. Dogadaj się listownie. Potwierdzę w ogłoszeniu.

Pierrot

Nareszcie ostatnia:

W poniedziałek wieczorem po dziewiątej. Pukać dwa razy. Tylko my. Nie bądź taki podejrzliwy. Po dostarczeniu towaru płatność w gotówce.

Pierrot

W końcu mamy kompletny obraz, Watsonie. Gdybyśmy tylko mogli dostać człowieka, który za tym stoi! – Siedział pogrążony w myślach, pukając palcami w stół. Wreszcie zerwał się na nogi. – Cóż, może mimo wszystko nie będzie to wcale takie trudne. Nie mamy tu już nic więcej do roboty, Watsonie. Udamy się teraz do redakcji „Daily Telegraph” i w ten sposób zakończymy nasz udany dzień.

Następnego dnia Mycroft Holmes i Lestrade zjawili się na umówione spotkanie, a Sherlock Holmes opisał im poczynione poprzednio postępy. Gdy przyznaliśmy się do włamania, policyjny detektyw potrząsnął głową.

– W policji nie możemy robić takich rzeczy, panie Holmes – powiedział. – Nic dziwnego, że uzyskuje pan lepsze rezultaty. Ale pewnego dnia posunie się pan za daleko, a wtedy pan i pański przyjaciel będziecie mieli kłopoty.

– Wszystko dla naszej pięknej Anglii, prawda, Watsonie?

Będziemy męczennikami na ołtarzu naszej ojczyzny. Ale co ty o tym sądzisz, Mycrofcie?

– Wspaniale, Sherlocku. To godne podziwu. Jak chcesz to wykorzystać?

Holmes wziął ze stołu „Daily Telegraph”:
– Widziałeś dzisiejsze ogłoszenie Pierrota?
– Co takiego? Kolejne?
– Tak, jest tutaj:

Dziś wieczorem. Ten sam czas i to samo miejsce. Pukać dwa razy. Bardzo ważne. Chodzi o twoje bezpieczeństwo.

Pierrot

– Na Jowisza! – krzyknął Lestrade. – Jeśli na to odpowie, mamy go!

– Właśnie z tą myślą je zamieściłem. Proszę udać się dziś z nami do Caulfield Gardens około ósmej wieczorem. Jestem pewien, że zbliżymy się do rozwiązania tej sprawy.

Jedną z najbardziej wyjątkowych cech Sherlocka Holmesa była jego zdolność kierowania swych myśli na inne tory i zajmowania umysłu lżejszymi rzeczami zawsze, kiedy przekonywał się o tym, że jego praca nie mogła przynieść już żadnych efektów. Pamiętam, że cały ten wyjątkowy dzień spędził nad swoją monografią na temat polifonicznych motetów Orlando di Lasso. Ja natomiast nie posiadałem nic z tej zdolności, i w efekcie wydawało mi się, że ten dzień ciągnie się w nieskończoność. Fakt, że była to sprawa wagi państwowej, która mogła wywołać kryzys na najwyższych szczeblach, a także czekające nas niebezpieczeństwo – wszystko to miało wpływ na moje nerwy. Poczułem ulgę, kiedy wreszcie po lekkim posiłku wyruszyliśmy na naszą wyprawę. Tak jak wcześniej ustaliliśmy, Lestrade i Mycroft spotkali się z nami przed stacją Gloucester Road. Tylne drzwi do domu Obersteina zostawiliśmy otwarte ubiegłej nocy, musiałem więc wejść do środka i otworzyć drzwi frontowe, bo Mycroft Holmes stanowczo i z oburzeniem odmówił wspinania się po ogrodzeniu. Przed dziewiątą siedzieliśmy już wszyscy w gabinecie, cierpliwie czekając na naszego człowieka.

Minęła godzina, a potem kolejna. Wielki zegar na wieży kościelnej wybił jedenastą; ten dźwięk zdawał się kłaść kres naszym nadziejom. Lestrade i Mycroft wiercili się na swoich miejscach, co chwilę spoglądając na zegarek. Holmes siedział w milczeniu, opanowany, z na wpół przymkniętymi powiekami, jednak wszystkie jego zmysły były w pełnej gotowości. Nagle wzdrygnął się i uniósł głowę.

– Idzie – powiedział.

Usłyszeliśmy ukradkowe kroki przy drzwiach. Potem jeszcze raz. Dobiegł nas odgłos szurania, a potem dwa ostre uderzenia kołatki. Holmes powstał, pokazując nam gestem, żebyśmy się nie podnosili z miejsc. Lampa gazowa w korytarzu była zaledwie punkcikiem światła. Otworzył drzwi, a wtedy jakaś ciemna postać prześlizgnęła się koło niego. Holmes zamknął drzwi i przekręcił klucz.

– Tędy proszę! – usłyszeliśmy jego głos. Chwilę później stanął przed nami mężczyzna, na którego czekaliśmy.

Mój przyjaciel szedł tuż za nim, a gdy nasz gość odwrócił się z okrzykiem strachu i zaskoczenia, złapał go za kołnierz i wepchnął z powrotem do pokoju. Nim nasz więzień odzyskał równowagę, drzwi były już zamknięte, a Holmes stał, opierając się o nie plecami. Mężczyzna rozejrzał się wokół jak osaczony zwierz, zachwiał się i upadł nieprzytomny na podłogę. Podczas upadku jego kapelusz z szerokim rondem zsunął się z głowy, fularowy szal opadł z twarzy i naszym oczom ukazała się długa jasna broda i delikatne przystojne rysy pułkownika Valentine’a Waltera.

Holmes aż gwizdnął ze zdumienia.

– Tym razem możesz odnotować, że wyszedłem na osła, Watsonie – powiedział. – To nie ten ptaszek, którego się spodziewałem.

– Kto to jest? – spytał niecierpliwie Mycroft.

– Młodszy brat zmarłego sir Jamesa Waltera, szefa wydziału łodzi podwodnych. Tak, tak, teraz widzę, jak ułożyły się karty. Dochodzi do siebie. Myślę, że najlepiej zrobisz, jeśli pozwolisz mi go przesłuchać.

Przenieśliśmy bezwładne ciało na sofę. Nasz więzień usiadł, rozejrzał się wokół z przerażoną twarzą i przyłożył dłoń do czoła jak ktoś, kto nie potrafi dać wiary własnym zmysłom.

– Co to ma znaczyć? – spytał. – Przyszedłem tu z wizytą do pana Obersteina.

– O wszystkim już wiemy, pułkowniku Walter – powiedział Holmes. – Zupełnie jednak nie potrafię pojąć, jak angielski dżentelmen może postępować w taki sposób. Poznaliśmy już całą pańską korespondencję i relacje z Obersteinem. Podobnie zresztą jak okoliczności związane ze śmiercią młodego Cadogana Westa. Radzę, by okazał pan przynajmniej skruchę z powodu tego, co pan uczynił, i wszystko nam wyznał, bo wciąż istnieją pewne kwestie, które tylko pan może wyjaśnić.

Mężczyzna jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Czekaliśmy, ale on wciąż milczał.

– Mogę pana zapewnić – powiedział Holmes – że poznaliśmy już wszystkie istotne fakty. Wiemy, że potrzebował pan pieniędzy, że zrobił pan odcisk klucza przechowywanego przez pańskiego brata i że korespondował z Obersteinem, który odpowiadał na pańskie listy w ogłoszeniach publikowanych w „Daily Telegraph”. Wiemy też o tym, że w poniedziałek wieczorem, we mgle, udał się pan do biura, ale wtedy zobaczył go Cadogan West i poszedł za panem, bo prawdopodobnie już wcześniej miał jakieś powody, by pana podejrzewać. Zobaczył, jak kradnie pan dokumenty, ale nie mógł wszcząć alarmu, bo istniała możliwość, że bierze pan te dokumenty dla swojego brata do Londynu. Zapominając o wszystkich swoich prywatnych sprawach, jak dobry obywatel, którym zresztą był, śledził pana we mgle i deptał mu po piętach, póki nie dotarł pan do tego oto domu. Tutaj spróbował interweniować, i to właśnie wtedy, pułkowniku Walter, do zdrady stanu dodał pan jeszcze straszniejsze przestępstwo. Morderstwo.

– Nie zrobiłem tego! Nie zrobiłem! Przysięgam na Boga, że tego nie zrobiłem! – zawołał nasz nieszczęsny więzień.

– W takim razie proszę nam powiedzieć, w jaki sposób zginął Cadogan West, nim położył pan jego ciało na dachu wagonu kolejowego.

– Opowiem wszystko. Przysięgam. Zrobiłem resztę, przyznaję się do tego. Było tak, jak pan mówi. Musiałem spłacić długi, które zrobiłem na giełdzie. Bardzo potrzebowałem pieniędzy. Oberstein zaproponował mi pięć tysięcy. Chciałem się ratować przed ruiną. Ale jeśli chodzi o popełnienie morderstwa, to jestem równie niewinny jak pan.

– W takim razie jak to się stało?

– Już wcześniej West miał wobec mnie pewne podejrzenia i śledził mnie, jak pan to opisał. Nie zorientowałem się, póki nie stałem pod samymi drzwiami. Mgła była bardzo gęsta, i nic nie było widać na odległość większą niż trzy jardy. Dwa razy zapukałem kołatką, i Oberstein otworzył drzwi. Wtedy ten młody człowiek nagle wybiegł z oparów mgły i zażądał, żebyśmy natychmiast mu powiedzieli, co chcemy zrobić z tymi dokumentami. Oberstein miał krótką pałkę, którą zawsze nosił ze sobą. Gdy West wtargnął za nami do jego domu, uderzył go w głowę. Cios był śmiertelny. Zmarł w ciągu pięciu minut. Leżał w holu, a my nie mieliśmy

pojęcia, co zrobić. Wtedy Obersteinowi przyszedł do głowy pomysł na to, jak pozbyć się ciała, bo wiedział, że pociągi zatrzymują się tuż pod jego oknem na tyłach domu. Najpierw jednak przejrzał dokumenty, które przyniosłem. Powiedział, że trzy z nich są najistotniejsze i że musi je zatrzymać. „Nie może ich pan zatrzymać – powiedziałem. – Jeśli nie zostaną zwrócone, w Woolwich wybuchnie straszna afera". „Muszę je zatrzymać – stwierdził – bo są tak skomplikowane, że nie zdołam zrobić kopii do rana". „W żadnym wypadku. Wszystkie dokumenty muszę tam zwrócić jeszcze dziś w nocy" – odparłem. Przez chwilę się zastanawiał, a potem powiedział, że ma pewien pomysł. „Te trzy zatrzymam – powiedział – a pozostałe włożymy do kieszeni tego młodego człowieka. Kiedy znajdą jego ciało, na pewno pomyślą, że to on jest odpowiedzialny za całą tę sprawę". Nie widziałem żadnego innego wyjścia. Zrobiliśmy więc tak, jak zaproponował. Odczekaliśmy pół godziny, wówczas pod oknem zatrzymał się pociąg. Mgła była tak gęsta, że nic nie było widać, więc bez problemu opuściliśmy ciało Westa na dach. Jeśli o mnie chodzi, to taki właśnie był koniec tej sprawy.

– A pański brat?

– Nic nie powiedział, ale przyłapał mnie raz ze swoim kluczem, i sądzę, że mnie podejrzewał. Wyczytałem to w jego oczach. Jak pan wie, nigdy po tym zajściu nie doszedł do siebie.

W pokoju zapanowało milczenie. Przerwał je Mycroft Holmes.

– Może jest pan gotów jakoś to naprawić? Ulżyłoby to pańskiemu sumieniu i być może złagodziłoby wymiar kary.

– A w jaki sposób mogę to naprawić?

– Gdzie jest Oberstein z dokumentami?

– Tego nie wiem.

– Nie podał panu adresu?

– Powiedział, żeby pisać do niego na adres hotelu „Du Louvre" w Paryżu.

– W takim razie wciąż jeszcze może pan to naprawić – rzekł Sherlock Holmes.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Nie mam powodów, by mieć szczególnie dobrą wolę wobec tego człowieka. Doprowadził mnie do upadku i ruiny.

– Tu jest papier i pióro. Proszę usiąść przy tym biurku i napisać to, co panu podyktuję. Niech pan napisze na kopercie wskazany przez niego adres. Dobrze. A teraz list.

Szanowny Panie!

Jeśli chodzi o naszą transakcję, to bez wątpienia musiał pan zauważyć, że jak do tej pory brakuje pewnego bardzo istotnego szczegółu. Mam kopię dokumentu, dzięki której będzie ona kompletna. Wiązało się to jednak dla mnie z dodatkowymi trudnościami, i muszę prosić pana o zaliczkę w wysokości pięciuset funtów. Nie wyślę tego pocztą i nie przyjmę żadnej innej formy płatności prócz złota lub banknotów. Przyjechałbym do pana, jednak gdybym w tej chwili opuścił kraj, mogłoby to wywołać różne plotki. W związku z tym chciałbym się z panem spotkać w palarni hotelu „Charing Cross” w sobotę, w południe. Proszę pamiętać o tym, że przyjmę wyłącznie angielskie banknoty lub złoto.

To powinno wystarczyć. Będę bardzo zaskoczony, jeśli nie sprowadzi go to do Anglii.

I sprowadziło! To fakt historyczny. Wydarzenia te pozostały utajnione, jednak prawdziwa historia kraju często bywa o wiele nam bliższa i ciekawsza niż to, co możemy przeczytać w oficjalnych kronikach. Oberstein, pragnąc dokończyć misję swojego życia, połknął haczyk i trafił na piętnaście lat do brytyjskiego więzienia. W jego kufrze podróżnym odnaleziono bezcenne plany łodzi Bruce-Partington, które oferował marynarkom wojennym wszystkich krajów w Europie.

Pułkownik Walter zmarł w więzieniu pod koniec drugiego roku odsiadywania wyroku. A Holmes z nową energią powrócił do swej monografii o motetach polifonicznych Lasso, która już została wydrukowana przez prywatnego wydawcę i według ekspertów jest najlepszym opracowaniem na ten temat. Kilka tygodni później dowiedziałem się przypadkiem, że mój przyjaciel spędził dzień w Windsorze, skąd wrócił z wyjątkowo piękną szmaragdową spinką do krawata. Gdy go zapytałem, czy ją kupił, odparł, iż jest to prezent od pewnej łaskawej damy, dla której miał kiedyś zaszczyt wykonać drobne zadanie. Nic więcej nie powiedział, sądzę jednak, że potrafię odgadnąć imię tej dostojnej damy, i nie mam najmniejszych wątpliwości, że ta szmaragdowa spinka już zawsze będzie przypominała mojemu przyjacielowi o przygodzie z planami łodzi Bruce-Partington.

Opowieść piąta

Umierający detektyw

Pani Hudson, która wynajmowała mieszkanie Sherlockowi Holmesowi, była cierpliwą kobietą. Nie dość, że do jej pokoi na piętrze przychodziły o wszelkich możliwych godzinach tłumy dziwnych i często niezbyt pożądanych ludzi, to w dodatku jej wyjątkowy lokator był ekscentrykiem i prowadził nieregularny tryb życia, co musiało być dla niej poważną próbą. Straszliwy bałagan, jaki u niego panował, granie na skrzypcach o dziwnych porach dnia, fakt, że czasami ćwiczył strzelanie z rewolweru u siebie w mieszkaniu, osobliwe i niekiedy wyjątkowo cuchnące eksperymenty, jakich dokonywał, oraz atmosfera zbrodni i przemocy, która go otaczała, czyniły z niego najgorszego lokatora w Londynie. Z drugiej strony płacił po królewsku. Nie miałem żadnych wątpliwości, że za pieniądze, które Holmes uiścił w tych latach, kiedy z nim mieszkałem, można byłoby kupić cały dom.

Gospodyni darzyła go ogromnym szacunkiem i nie ośmielała się wchodzić mu w drogę, jakkolwiek skandaliczne mogły się wydawać jego nawyki. Poza tym lubiła go, ponieważ był wyjątkowo miły i uprzejmy wobec kobiet. Nie darzył sympatią przedstawicielek słabej płci i im nie ufał, zawsze jednak był w stosunku do nich rycerski. Wiedziałem o tym, jak pani Hudson poważała Holmesa, więc gdy przyszła do mnie w drugim roku mojego małżeństwa, żeby opowiedzieć, w jak ciężkim stanie znalazł się mój biedny przyjaciel, wysłuchałem jej z zaniepokojeniem.

– On umiera, doktorze Watson – powiedziała. – Od trzech dni ciągle mu się pogarsza, i wątpię, czy dożyje jutra. Nie pozwolił mi sprowadzić lekarza. Dziś rano, kiedy zobaczyłam, jak sterczą mu kości na wychudłej twarzy, gdy spojrzał na mnie tymi swoimi wielkimi jasnymi oczyma, nie byłam w stanie dłużej tego znieść. „Wszystko jedno, czy mi pan pozwala,

czy nie, panie Holmes, natychmiast idę sprowadzić lekarza” – powiedziałam. „W takim razie niech to będzie doktor Watson” – odrzekł. Na pańskim miejscu nie traciłabym ani chwili, sir, bo może go pan już nie zastać żywego.

Byłem przerażony, bo nic nie słyszałem o jego chorobie. Nie muszę chyba mówić, że natychmiast pobiegłem po płaszcz i kapelusz. W drodze na Baker Street wypytałem ją o szczegóły.

– Niewiele mogę panu powiedzieć, sir. Pracował nad jakąś sprawą w Rotherhithe, w jakiejś uliczce nad rzeką, i stamtąd przywlókł tę chorobę. W środę po południu położył się do łóżka i od tej pory już z niego nie wstał. Przez te trzy dni nic nie jadł ani nie pił.

– Dobry Boże! Czemu nie wezwała pani lekarza?

– Nie pozwalał mi na to, sir. Sam pan wie, jaki potrafi być uparty. Nie ośmieliłam się mu sprzeciwić. Ale niedługo już pożyje na tym świecie. Sam się pan o tym przekona, kiedy tylko go zobaczy.

Holmes faktycznie wyglądał żałośnie. W przyćmionym świetle mglistego listopadowego dnia pokój chorego był ponurym miejscem, a ta jego wymizerowana, wychudła twarz spoglądająca na mnie z łóżka zmroziła mi serce. Oczy niezdrowo błyszczały, rozpalone od gorączki policzki oblewał chorobliwy rumieniec, wargi były suche i sine. Chude dłonie, leżące na kołdrze, nieustannie się trzęsły, a głos miał ochrypły i słaby. Gdy wszedłem do pokoju, leżał bezwładnie, jednak na mój widok w jego oczach pojawiły się iskry. Wiedziałem, że mnie rozpoznał.

– Cóż, Watsonie, wygląda na to, że nastały dla nas złe czasy – powiedział słabym głosem, w którym jednak pobrzmiewała jego dawna beztroska.

– Mój drogi przyjacielu! – zawołałem, zbliżając się do niego.

– Cofnij się! Natychmiast się cofnij! – powiedział ostrym władczym tonem, którego używał tylko w krytycznych momentach. – Jeśli spróbujesz się do mnie zbliżyć, Watsonie, wyproszę cię z tego domu.

– Ale dlaczego?

– Bo tak sobie życzę! Czy to nie wystarczy?

Tak, pani Hudson miała rację. Był jeszcze bardziej despotyczny niż kiedykolwiek. Widziałem jednak jego ogromne wyczerpanie. Był to dla mnie bardzo smutny widok.

– Chciałem ci tylko pomóc… – wyjaśniłem.

– Wiem! Najlepiej mi pomożesz, jeśli będziesz robił to, co ci powiem.

– Oczywiście, Holmesie.

Jego srogie oblicze trochę złagodniało.

– Nie jesteś na mnie zły? – spytał, z trudem łapiąc oddech.

Biedak. Jak mógłbym być na niego zły, widząc, jak leży przede mną złożony chorobą.

– To dla twojego własnego dobra – wychrypiał.

– Dla MOJEGO dobra?

– Wiem, co mi dolega. To choroba kulisów z Sumatry. Coś, o czym Holendrzy wiedzą więcej niż my, choć jak do tej pory niewiele im ta wiedza dała. Pewne jest tylko jedno. W każdym przypadku jest śmiertelna, a poza tym jest absolutnie zaraźliwa.

Mówił teraz z gorączkowym zapałem, a gdy wskazywał mi gestem, że mam się odsunąć, jego długie dłonie trzęsły się i drżały.

– Przenosi się przez dotyk, Watsonie. Dokładnie. Przez dotyk. Trzymaj się ode mnie z daleka, a wszystko będzie dobrze.

– Wielkie nieba, Holmesie! Coś takiego nie powstrzymałoby mnie nawet w przypadku obcego człowieka. Naprawdę myślisz, że z tego powodu nie pomogę mojemu staremu przyjacielowi?

Znów zrobiłem krok w jego stronę, obrzucił mnie jednak wściekłym gniewnym spojrzeniem.

– Jeśli zostaniesz tam, gdzie jesteś, wszystko ci opowiem. Jeśli nie, masz wyjść z tego pokoju!

Darzę Holmesa tak głębokim szacunkiem za jego niesamowite zdolności, że zawsze ulegałem jego woli, nawet gdy zupełnie niczego nie rozumiałem. Teraz jednak doszedł do głosu mój zawodowy instynkt. Może sobie rządzić we wszystkich innych sprawach, ale w pokoju chorego to ja mam coś powiedzenia.

– Holmesie – powiedziałem – nie jesteś sobą. Chory człowiek jest jak dziecko, i tak cię właśnie będę traktował. Czy ci się to podoba, czy nie, zamierzam cię zbadać i leczyć zgodnie z objawami.

Rzucił mi jadowite spojrzenie.

– Skoro już ma mnie zbadać lekarz, bez względu na to, czego ja sam bym chciał, niech to przynajmniej będzie taki lekarz, do którego mam zaufanie – powiedział.

– A więc nie masz do mnie zaufania?

– Do twojej przyjaźni – jak najbardziej. Ale fakty pozostają faktami, a ty bądź co bądź jesteś tylko lekarzem ogólnym o bardzo ograniczonym doświadczeniu i miernych kwalifikacjach. Przykro mi mówić tobie takie rzeczy, ale nie pozostawiasz mi żadnego wyboru.

Dotknęło mnie to do żywego.

– Takie uwagi są niegodne ciebie, Holmesie. Wskazują bardzo wyraźnie, w jakim stanie są twoje nerwy. Ale jeśli nie masz do mnie zaufania, nie będę ci się narzucał z moją pomocą. Pozwól, że sprowadzę tu sir Jaspera Meeka albo Penrose'a Fishera czy któregokolwiek z najlepszych lekarzy w Londynie. Jeden z nich MUSI cię zbadać. To moje ostatnie słowo. Jeśli ci się wydaje, że będę tak stał i patrzył, jak umierasz, nie próbując ci pomóc ani nie sprowadzając innego lekarza, to bardzo się mylisz.

– Wiem, że chcesz dobrze, Watsonie – powiedział chory, wydając z siebie coś pomiędzy szlochem a jękiem. – Mam ci zademonstrować twoją własną ignorancję? Powiedz mi, proszę, co wiesz o gorączce z Tapanuli. Co wiesz o czarnej zarazie z Formozy?

– Nigdy o nich nie słyszałem.

– Na wschodzie jest wiele różnych chorób, Watsonie. Wiele dziwnych patologicznych przypadków. – Po każdym zdaniu na chwilę przerywał, by zebrać słabnące siły. – Tyle się przynajmniej dowiedziałem podczas moich niedawnych medyczno-kryminalny badań. To właśnie wtedy, gdy je prowadziłem, nabawiłem się tych dolegliwości. Nic nie możesz zrobić.

– Może nie. Ale tak się składa, że doktor Ainstree, największy współczesny autorytet od chorób tropikalnych, przebywa w tej chwili w Londynie. Nic ci nie pomogą żadne protesty, Holmesie. Natychmiast go tutaj sprowadzę!

Stanowczo odwróciłem się do drzwi.

Nigdy w życiu nie przeżyłem takiego szoku. W jednej chwili konający Holmes dopadł mnie w tygrysim skoku. Usłyszałem ostry zgrzyt przekręcanego klucza. Następnie chwiejnym krokiem poszedł z powrotem do łóżka, wyczerpany i zdyszany po tym wysiłku, który kosztował go tak wiele energii.

– Nie odbierzesz mi siłą tego klucza, Watsonie. Mam cię, przyjacielu! Jesteś tutaj i tu pozostaniesz, dopóki nie zechcę, by było inaczej. Ale zaraz poprawię ci nastrój – wszystko to mówił urywanymi słowami, dysząc, a w przerwach z ogromnym trudem usiłując złapać oddech. – Leży ci

na sercu moje dobro. Oczywiście, doskonale o tym wiem. Zrobisz tak, jak zechcesz, ale daj mi trochę czasu, żebym zebrał siły. Nie teraz, Watsonie, nie teraz. Jest czwarta. Możesz pójść o szóstej.

– To jakieś szaleństwo, Holmesie.

– Tylko dwie godziny, Watsonie. Obiecuję ci, że o szóstej będziesz mógł pójść. Zaczekaj, proszę.

– Wygląda na to, że nie mam wyboru.

– Żadnego, Watsonie. Dziękuję ci. Nie potrzebuję pomocy przy poprawianiu pościeli. Proszę cię, trzymaj się z daleka. A teraz, przyjacielu, stawiam jeszcze jeden warunek. Sprowadzisz do mnie pomoc, ale to nie będzie żaden z tych lekarzy, o których wspominałeś, tylko ktoś, kogo ci sam wskażę.

– Ależ oczywiście.

– To pierwsze sensowne słowa, jakie wypowiedziałeś, odkąd wszedłeś do tego pokoju, przyjacielu. Tam znajdziesz jakieś książki. Jestem nieco wyczerpany. Zastanawiam się, jak musi się czuć elektryczna bateria, chcąc przekazać energię izolatorowi. O szóstej, Watsonie, wrócimy do naszej rozmowy.

Było nam jednak pisane podjąć naszą rozmowę o wiele wcześniej, i to w okolicznościach, które wywołały u mnie prawie tak wielki szok, jak ten spowodowany jego skokiem do drzwi. Stałem przez kilka minut, patrząc na milczącą postać w łóżku. Jego twarz prawie zniknęła pod kocem, i wydawało mi się, że śpi. Nie mogąc się uspokoić na tyle, by coś czytać, zacząłem powoli przechadzać się po pokoju, przyglądając się portretom znanych przestępców, które zdobiły wszystkie jego ściany. Wreszcie, spacerując bez celu, dotarłem do kominka. Panował na nim straszny bałagan. Leżały tu fajki, kapciuchy na tytoń, strzykawki, scyzoryki, naboje do rewolweru i inne drobiazgi. W samym środku tego bałaganu zauważyłem małą czarno-białą szkatułkę z kości słoniowej z odsuwanym wiekiem. Był to śliczny drobiazg, i już wyciągałem rękę, by się dokładniej mu przyjrzeć…

Cóż to był za przerażający krzyk! Straszliwy wrzask, który słychać było chyba aż na ulicy. Skóra mi ścierpła, a włosy stanęły dęba na głowie. Gdy się odwróciłem, ujrzałem wykrzywioną twarz i oszalałe oczy mojego przyjaciela. Stałem jak sparaliżowany, trzymając w dłoni małą szkatułkę.

– Odłóż to! Odłóż to w tej chwili, Watsonie! W tej chwili, mówię!

Gdy odłożyłem szkatułkę na kominek, jego głowa znów opadła na poduszkę, a on wydał z siebie głębokie westchnienie ulgi.

– Nienawidzę, jak ktoś dotyka moich rzeczy, Watsonie, wiesz, że nienawidzę. Tak się wiercisz, że już nie potrafię tego znieść. Ty, lekarz, już sam wystarczysz, żeby pacjent trafił do domu wariatów! No usiądź, człowieku, i pozwól mi wypoczywać!

Ten incydent wywarł na mnie wyjątkowo przykre wrażenie. Jego gwałtowny wybuch bez żadnego powodu, a potem te ostre słowa, tak bardzo nie pasujące do jego zwyczajnej uprzejmości, pokazały mi, jak wielki chaos spowodowała choroba w jego umyśle. Spośród wszystkiego, co zostało zrujnowane, najbardziej smutna była utrata szlachetnych cech jego osobowości. Siedziałem, przygnębiony, pogrążony w milczeniu, póki nie minął uzgodniony czas. Wyglądało na to, że tak jak i ja patrzył na zegar, bo ledwie minęła szósta, znów zaczął mówić w ten sam gorączkowy sposób.

– Słuchaj, Watsonie – powiedział – masz jakieś drobne w kieszeni?

– Mam.

– Jakieś srebrne?

– Tak, sporo.

– Ile masz półkoronówek?

– Pięć.

– Ach, za mało! Za mało! To bardzo źle, Watsonie. Ale i tak możesz je włożyć do swojej kieszonki na zegarek. Pozostałe pieniądze przełóż do lewej kieszeni spodni. Dziękuję. Lepiej utrzymasz równowagę.

To były jakieś majaczenia szaleńca! Wzdrygnął się i znów wydał z siebie ten dźwięk, coś pomiędzy kaszlem a szlochem.

– Teraz zapal lampę gazową, Watsonie. Ale musisz być bardzo ostrożny. Nawet przez chwilę nie może być odkręcona bardziej niż do połowy. Błagam cię, Watsonie, bądź ostrożny. Dziękuję. Wspaniale. Nie! Nie musisz zasłaniać okna. A teraz, proszę cię, bądź tak dobry i połóż te listy i dokumenty tu na stole, w zasięgu mojej ręki. Dziękuję. I jeszcze kilka drobiazgów z kominka. Świetnie, Watsonie! Są tam szczypce do cukru. Proszę, bądź tak dobry i z ich pomocą podnieś tę małą szkatułkę z kości słoniowej. Połóż ją tutaj, między tymi papierami. Dobrze! A teraz idź i sprowadź tu pana Culvertona Smitha z Lower Burke Street 13.

Prawdę mówiąc, moja chęć sprowadzenia lekarza nieco osłabła, bo biedny Holmes majaczył w tak ewidentny sposób, że bałem się zostawić go samego. Jednak w tej chwili z równym zapałem chciał wezwać tego Smitha, co przedtem z uporem odmawiał jakiejkolwiek pomocy.

– Nigdy o nim nie słyszałem – powiedziałem.

– Możliwe, mój dobry Watsonie. Być może cię to zaskoczy, ale człowiekiem, który najlepiej na świecie zna się na tej chorobie, nie jest lekarz, lecz pewien znany plantator z Sumatry pan Culverton Smith. Obecnie przebywa w Londynie. Epidemia tej choroby wybuchła na jego plantacji, położonej w bardzo odległym miejscu. Sprowadzenie jakiejkolwiek pomocy medycznej było niemożliwe, dlatego pan Smith sam zaczął doszukiwać się przyczyn tej choroby i osiągnął w tym spory sukces. Jest człowiekiem bardzo systematycznym, i nie chciałem, żebyś wyruszył stąd przed szóstą, ponieważ dobrze wiedziałem, że wcześniej w gabinecie go nie zastaniesz. Gdybyś zdołał go namówić, żeby tutaj przyszedł i pozwolił nam skorzystać ze swych unikalnych doświadczeń związanych z tą chorobą, której badanie jest jego ulubionym zajęciem, to bez wątpienia mógłby mi pomóc.

Przedstawiłem słowa Holmesa jako jedną, spójną całość i nie będę nawet usiłował opisać, jak bardzo były przerywane sapaniem, próbami złapania oddechu i zaciskaniem rąk, co wskazywało na to, jak wielki odczuwał ból. W ciągu tych kilku godzin, kiedy z nim przebywałem, jego wygląd znacznie się pogorszył. Wypieki stały się wyraźniejsze, oczy błyszczały coraz bardziej w pociemniałych oczodołach, a na czole połyskiwał zimny pot. Nadal jednak mówił w ten ironiczny, pewny siebie sposób. To on chciał jak zwykle być panem sytuacji, aż do ostatniego oddechu.

– Opowiedz mu ze szczegółami, w jakim stanie mnie zostawiłeś – powiedział. – Przekaż wszystkie swoje obserwacje. Powiedz mu, że umieram. Umieram, majacząc. Doprawdy, nie potrafię zrozumieć, dlaczego całe dno oceanu nie jest jedną spójną masą ostryg, te stworzenia są takie płodne. Ach, to ciekawe! Dziwne, w jaki sposób mózg kontroluje myślenie. Co mówiłem, Watsonie?

– Udzielałeś mi wskazówek o tym, co mam powiedzieć panu Culvertonowi Smithowi.

– Ach tak, pamiętam. Od tego zależy moje życie. Błagaj go o pomoc, Watsonie. Nie pałamy do siebie zbytnią sympatią. Jego siostrzeniec,

Watsonie… Miałem podejrzenia, że Smith jest zamieszany w jakieś brudne sprawki, i dopuściłem do tego, by to spostrzegł. Chłopak zginął straszną śmiercią, a Smith żywi do mnie urazę. Namów go jakoś, Watsonie. Błagaj, proś, ale sprowadź go tutaj za wszelką cenę. Tylko on potrafi mnie ocalić!

– Przywiozę go dorożką, choćbym miał na siłę go do niej zawlec.

– Nie rób niczego takiego! Namów go, żeby przyszedł. Ale wróć koniecznie przed nim. Znajdź jakąś wymówkę. Nie zapomnij o tym, Watsonie! Nie zawiedziesz mnie, prawda? Nigdy mnie nie zawiodłeś. Bez wątpienia istnieją jacyś naturalni wrogowie ograniczający przyrost tych stworzeń. Ty i ja, Watsonie, obaj odegraliśmy nasze role. W takim razie czy światem mają zawładnąć ostrygi? Nie, nie! To straszne! Przekaż mu wszystko, co sam na ten temat myślisz.

Wyszedłem, a mój umysł przepełniał obraz tego niesamowitego intelektu, bełkoczącego niczym jakieś głupawe dziecko. Dał mi do ręki klucz, a ja chętnie wziąłem go ze sobą, myśląc, że przyda mi się, gdyby Holmes chciał się zamknąć od środka. W korytarzu czekała pani Hudson, drżąca i zalana łzami. Gdy zamknąłem za sobą drzwi, usłyszałem jeszcze wysoki cienki głos Sherlocka, monotonnie bredzącego coś w malignie. Wyszedłem na ulicę i zagwizdałem na dorożkę, gdy z mgły wyłonił się jakiś człowiek.

– Jak się czuje pan Holmes, sir? – zapytał. Był to nasz stary znajomy, inspektor Morton ze Scotland Yardu, ubrany po cywilnemu w tweedowy garnitur.

– Jest bardzo chory – odparłem.

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie. Gdyby nie wydało mi się to takie absurdalne, pomyślałbym, że w przelotnym błysku światła zobaczyłem rozbawienie na jego twarzy.

– Doszły mnie o tym pewne słuchy – powiedział.

Zajechała dorożka i pożegnaliśmy się.

Lower Burke Street leżącą na pograniczu Notting Hill i Kensington była ulicą z szeregami pięknych budowli po obydwu stronach. Dom, przy którym zatrzymała się dorożka, prezentował się dość skromnie, lecz dostojnie – staroświecka żelazna balustrada przy wejściu i masywne drzwi ze lśniącymi mosiężnymi okuciami. Do tego wszystkiego doskonale pasował majestatyczny kamerdyner, który pojawił się w drzwiach w różowym blasku elektrycznego światła.

– Tak, pan Culverton Smith jest w domu, doktorze Watson. Oczywiście, sir. Zaraz zaniosę pańską wizytówkę.

Wyglądało na to, że moje skromne nazwisko i tytuł nie zrobiły żadnego wrażenia na panu Culvertonie Smisie. Przez na wpół przymknięte drzwi usłyszałem wysoki, przenikliwy i niezadowolony głos.

– Co to za człowiek? Czego tu chce? Doprawdy, Staplesie, ile razy już ci mówiłem, by mi nie przeszkadzać, kiedy prowadzę badania.

Usłyszałem potok cichych słów: to kamerdyner próbował go ułagodzić i wszystko mu wytłumaczyć.

– Nie spotkam się z nim, Staplesie. Nie mogę pozwolić na to, żeby przeszkadzano mi w pracy. Nie ma mnie w domu. Powiedz mu tak! Powiedz, że jeśli już koniecznie musi, może przyjść jutro rano.

I znów łagodne mamrotanie kamerdynera.

– No dobrze. Przekaż mu tę wiadomość. Może przyjść rano albo wcale. Nie może mi tak przeszkadzać w pracy.

Pomyślałem o Holmesie rzucającym się na łóżku i być może liczącym minuty w oczekiwaniu, aż sprowadzę pomoc. To nie był odpowiedni moment na jakieś ceregiele. Jego życie zależało od tego, czy będę działał szybko. Nim kamerdyner zdołał wyjaśnić wszystko swoim przepraszającym tonem, minąłem go i wkroczyłem do pokoju.

Mężczyzna zerwał się z fotela przy kominku z przenikliwym, wściekłym okrzykiem. Ujrzałem jego ogromną żółtą twarz z obwisłym podwójnym podbródkiem, otyłą i prostacką. Spod krzaczastych płowych brwi spoglądało na mnie złowrogo dwoje nieżyczliwych szarych oczu. Na wielkiej różowej łysinie miał kokieteryjnie przekrzywioną na jedną stronę małą aksamitną czapeczkę. Jego czaszka musiała być ogromna, a jednak, gdy mu się przyjrzałem, ze zdumieniem odkryłem, że mężczyzna ten był niski i sprawiał wrażenie kruchego, a jego ramiona i plecy były powykrzywiane, jakby w dzieciństwie cierpiał na krzywicę.

– Co to ma znaczyć?! – zawołał piskliwym głosem. – Co ma oznaczać to najście? Czy nie przekazano panu wiadomości, że spotkam się z panem jutro rano?

– Przepraszam – powiedziałem – ale to sprawa nie cierpiąca zwłoki. Pan Sherlock Holmes…

Gdy tylko wspomniałem nazwisko mojego przyjaciela, zauważyłem, że wywarło ono ogromne wrażenie na tego drobnego człowieka. Złość

w jednej chwili znikła z jego twarzy. Jego rysy stały się czujne i napięte.

– Przychodzi pan od Holmesa? – spytał.

– Właśnie od niego wyszedłem.

– I co z nim? Jak się czuje?

– Jest bardzo poważnie chory. To właśnie dlatego przychodzę.

Mężczyzna wskazał mi ręką krzesło, po czym odwrócił się i również usiadł. W tej chwili ujrzałem przelotnie odbicie jego twarzy w lustrze wiszącym nad kominkiem. Mógłbym przysiąc, że dostrzegłem na niej złośliwy wstrętny uśmiech. Zdołałem jednak przekonać samego siebie, że był to jakiś nerwowy skurcz na jego twarzy, bo gdy chwilę później odwrócił się do mnie, malowała się na niej szczera troska.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział. – Znam pana Holmesa tylko w związku z pewnymi interesami, które prowadziliśmy, bardzo jednak szanuję jego talent i profesjonalizm. Jest znawcą zbrodni, podobnie jak ja jestem znawcą chorób. Dla niego łotrzy są tym, czym dla mnie mikroby. A oto i moje więzienie – ciągnął dalej, wskazując na rząd butelek i słoików stojących na stoliku pod ścianą. – Na tych kulturach z żelatyny odsiadują swój wyrok najgorsi przestępcy na świecie.

– To właśnie w związku z pana szczególną wiedzą pan Holmes pragnął się z panem spotkać. Ma o panu bardzo dobrą opinię i jest przekonany, że pan jako jedyny w Londynie będzie w stanie mu pomóc.

Drobny człowieczek wzdrygnął się, a zawadiacko przekrzywiona czapeczka ześlizgnęła się na podłogę.

– Dlaczego? – zapytał. – Czemu pan Holmes sądzi, że mógłbym mu pomóc w jego kłopotach?

– Ponieważ zna się pan na wschodnich chorobach.

– Ale dlaczego uważa, że ta choroba, którą się zaraził, pochodzi ze wschodu?

– Ponieważ prowadząc pewne śledztwo, pracował w dokach wśród chińskich żeglarzy.

Pan Culverton Smith uśmiechnął się uprzejmie i podniósł swoją czapeczkę.

– Ach, więc to tak? Mam nadzieję, że sprawa nie jest na tyle poważna, jak pan sądzi. Od jak dawna jest chory?

– Mniej więcej od trzech dni.

– Majaczy?

– Od czasu do czasu.

– Hmm. Wygląda to poważnie. Byłoby nieludzkie, gdybym nie zareagował na jego wezwanie. Nie cierpię, kiedy ktoś przeszkadza mi w pracy, doktorze Watson, ale z całą pewnością jest to wyjątkowa sytuacja. Natychmiast udam się tam z panem.

Przypomniałem sobie instrukcje Holmesa.

– Jestem już umówiony… – powiedziałem.

– Cóż, w takim razie pojadę sam. Zanotowałem sobie adres pana Holmesa. Może pan być pewien, że będę u niego najpóźniej za pół godziny.

Ze ściśniętym sercem ponownie wchodziłem do sypialni Holmesa. Zdawałem sobie sprawę, że pod moją nieobecność mogło dojść do najgorszego, jednak ku mojej ogromnej uldze jego stan znacznie się poprawił. Wyglądał równie upiornie jak przedtem, znikły jednak wszelkie ślady delirium i teraz, choć nadal mówił słabym głosem, robił to nawet bardziej rzeczowo i jasno niż zwykle.

– No i co, spotkałeś się z nim, Watsonie?

– Tak. Przyjedzie.

– Cudownie, Watsonie! Cudownie! Jesteś najlepszym posłańcem na świecie.

– Chciał jechać razem ze mną.

– To by nie wystarczyło, Watsonie. To by było oczywiście niemożliwe. Pytał, co mi dolega?

– Opowiedziałem mu o Chińczykach z East Endu.

– Świetnie! Cóż, Watsonie, zrobiłeś wszystko, co mógł zrobić dobry przyjaciel. Teraz możesz już zniknąć ze sceny.

– Muszę poczekać i wysłuchać jego opinii, Holmesie.

– Oczywiście, że musisz. Mam jednak powody, by wierzyć, że ta opinia będzie o wiele bardziej szczera i cenna, jeśli będzie mu się wydawało, że jesteśmy tutaj sami. Tutaj za wezgłowiem mojego łóżka jest trochę miejsca, Watsonie…

– Ależ mój drogi Holmesie!

– Obawiam się, że nie ma innego wyjścia, Watsonie. W pokoju nie ma możliwości, żeby się ukryć, ale to nawet lepiej, bo tym mniejsze jest prawdopodobieństwo, że coś wzbudzi jego podejrzenia. Myślę jednak, Watsonie, że tutaj uda ci się jakoś schować. – Usiadł nagle na łóżku, a jego wymizerowana twarz zastygła w skupieniu. – Słyszę, jak zajeżdża dorożka.

Szybko, człowieku, jeśli chcesz mego dobra! I niezależnie od tego, co się stanie, nie możesz się ruszyć. Niezależnie od tego, co się stanie, słyszysz?! Nic nie mów! Nie ruszaj się! Zamień się cały w słuch!

Potem w jednej chwili ten jego nagły przypływ sił znów go opuścił, a logiczne, wypowiadane władczym tonem słowa przeszły w ciche, niewyraźne mamrotanie człowieka na wpół majaczącego.

Z kryjówki, do której w takim pośpiechu mnie zagonił, usłyszałem kroki na schodach oraz odgłos otwierania i zamykania drzwi sypialni. Potem, ku mojemu zaskoczeniu, nastało długie milczenie, które przerywały jedynie ciężki oddech i posapywania chorego. Mogłem się tylko domyślać, że nasz gość stoi przy nim i mu się przygląda. W końcu jednak to dziwne milczenie zostało przerwane.

– Holmes! – zawołał. – Holmes! – wołał uporczywym tonem kogoś, kto budzi śpiącego. – Słyszysz mnie, Holmes?

Pochwyciłem jakiś szelest, jakby ostro potrząsnął chorego za ramię.

– To pan, panie Smith? – wyszeptał Holmes. – Nie śmiałem mieć nadziei, że pan przyjedzie.

Nasz gość się roześmiał.

– Wcale mnie to nie dziwi – powiedział. – A jednak, jak pan się przekonał, jestem tu. Odpłacam panu dobrem za krzywdy!

– To bardzo wspaniałomyślnie z pańskiej strony… Bardzo szlachetnie. Cenię pańską szczególną wiedzę.

Smith nieprzyjemnie zachichotał.

– Owszem. Ceni pan. Jest pan na szczęście jedynym człowiekiem w Londynie, który ją ceni. Wie pan, co panu dolega?

– To samo – odpowiedział Holmes.

– O, rozpoznaje pan objawy?

– Aż nazbyt dobrze.

– Cóż, nie powinien pan być zaskoczony, panie Holmes. Bardzo możliwe, że jest to właśnie to samo. A jeśli już, to pańskie rokowania są kiepskie. Biedny Victor umarł na czwarty dzień. A był silnym, krzepkim młodym człowiekiem. Wówczas zaskoczyło pana to, że zaraził się ewidentnie chorobą azjatycką w samym sercu Londynu, i to w dodatku taką, której poświęciłem specjalne badania. Przedziwny zbieg okoliczności, panie Holmes. Bardzo sprytnie pan to zauważył, ale sugestia, że można tu dostrzec przyczynę i skutek, nie była zbyt życzliwa.

– Wiedziałem, że to pana sprawka.

– Wiedział pan? Doprawdy? Ale nie był pan w stanie tego udowodnić. Co pan sobie myśli? Opowiada pan takie rzeczy na mój temat, a potem, kiedy ma kłopoty, czołga się u mych stóp, prosząc o pomoc. Co to za gra, co?

Usłyszałem chrapliwy, ciężki oddech chorego.

– Wody… – wysapał.

– Mało ci już zostało do końca, mój przyjacielu, nie chcę jednak, byś odszedł, zanim nie zamienię z tobą paru słów. Tylko dlatego podam ci wodę. Nie rozlej jej! Dobrze. Rozumiesz, co mówię?

Holmes jęknął.

– Niech pan zrobi dla mnie wszystko, co w pana mocy. Zapomnijmy o przeszłości – wyszeptał. – Wymażę te słowa z pamięci, przysięgam. Tylko niech mnie pan wyleczy, a zapomnę o tym.

– O czym pan zapomni?

– O śmierci Victora Savage’a. Właściwie to już się pan przyznał, że pan to zrobił. O tym zapomnę.

– Może pan o tym zapomnieć albo to pamiętać, jak się panu żywnie podoba. Jakoś nie widzę pana w roli świadka w sądzie. Raczej w trumnie, zapewniam. Nie ma dla mnie żadnego znaczenia, czy pan wie, w jaki sposób umarł mój siostrzeniec, czy nie wie. To nie o nim teraz rozmawiamy, tylko o panu.

– Tak, tak.

– Ten jegomość, który po mnie przyszedł, zapomniałem, jak się nazywa, powiedział, że zaraził się pan na East Endzie od marynarzy.

– Tylko tak potrafiłem to wyjaśnić.

– Jest pan dumny ze swojego umysłu, panie Holmes, prawda? Wydaje się panu, że jest pan taki bystry, co? Tym razem trafił pan na kogoś bardziej inteligentnego. A teraz proszę się zastanowić, panie Holmes. Nie przychodzi panu do głowy żaden inny pomysł, jak mógł się pan tym zarazić?

– Nie mogę myśleć. Mój mózg nie działa, jak należy. Na Boga, niech mi pan pomoże!

– O tak, pomogę panu. Pomogę panu zrozumieć, co się stało i jak do tego doszło. Chciałbym, żeby pan się tego dowiedział, nim umrze.

– Niech mi pan coś da na złagodzenie bólu.

– Boli, no nie? Tak, kulisi też trochę jęczeli przed śmiercią. Coś mi się wydaje, że czuje się pan tak jak przy skurczach.

– Tak, tak, to są skurcze.

– Nie szkodzi, one nie przeszkodzą panu wysłuchać, co mam do powiedzenia. Niech pan posłucha. Nie przypomina pan sobie żadnego niezwykłego incydentu, mniej więcej w tym czasie, gdy pojawiły się pierwsze objawy?

– Nie, nie. Nic nie pamiętam.

– Niech się pan jeszcze zastanowi.

– Jestem zbyt chory, żeby jasno myśleć.

– Cóż, w takim razie pomogę panu. Nic nie przyszło do pana pocztą?

– Pocztą?

– A może przypadkiem jakaś szkatułka?

– Mdleję… Umieram!

– Słuchaj, Holmes! – Poczułem, jak potrząsa umierającym, i ledwie byłem w stanie się powstrzymać, by nie wyskoczyć z mojej kryjówki. – Musisz mnie posłuchać! Wysłuchasz mnie. Pamiętasz szkatułkę, taką z kości słoniowej? Przyszła w środę. Otworzyłeś ją. Pamiętasz?

– Tak, tak, otworzyłem ją. W środku była ostra sprężyna. Jakiś dowcip…

– To nie był dowcip. Na pewno się o tym przekonasz. Ty głupcze, prosiłeś się o to i dostałeś, co chciałeś. Po co wchodziłeś mi w drogę? Gdybyś zostawił mnie w spokoju, nie musiałbym cię krzywdzić.

– Pamiętam – sapnął Holmes. – Sprężyna! Skaleczyła mnie do krwi. Ta szkatułka… Ta na stole.

– Właśnie ta, na Jowisza! I spokojnie może teraz opuścić ten pokój w mojej kieszeni. Tak oto znikają resztki twoich dowodów. Ale teraz poznałeś prawdę, Holmes, i możesz umrzeć, mając świadomość, że cię zabiłem. Za dużo wiedziałeś o losach Victora Savage’a, wysłałem cię więc tam, gdzie i jego. Niewiele ci zostało czasu, Holmes. Posiedzę sobie tutaj i popatrzę, jak umierasz.

Głos Sherlocka opadł do niemal niesłyszalnego szeptu.

– Co takiego? – powiedział Smith. – Podkręcić lampę? Ach, zaczynasz widzieć cienie, co? Tak, podkręcę tę lampę, żebym mógł cię lepiej widzieć. – Przeszedł przez pokój i nagle światło stało się jaśniejsze. – Mogę ci jeszcze wyświadczyć jakąś przysługę, przyjacielu?

– Papierosa. I zapałki.

Niemal krzyknąłem z radości i ze zdumienia. Znów mówił swoim naturalnym głosem. Być może trochę słabym, ale dokładnie takim samym głosem, który tak dobrze znałem. Nastąpiła długa chwila milczenia, i czułem, że Culverton Smith stoi zdumiony, oniemiały, patrząc na swojego rozmówcę.

– Co to ma znaczyć? – usłyszałem, jak mówi suchym, ochrypłym głosem.

– Najlepszym sposobem odegrania jakiejś roli jest pełne utożsamienie się z przedstawianą postacią – powiedział Holmes. – Daję panu słowo, że przez trzy ostatnie dni nawet nie skosztowałem jedzenia ani picia, póki nie był pan tak dobry, by nalać mi tę szklankę wody. Ale to brak tytoniu najbardziej mi doskwierał. Ach, tu są jakieś papierosy. – Usłyszałem trzask zapalanej zapałki. – O, tak! Tak jest o wiele lepiej. Ale, ale. Czyżbym słyszał mojego przyjaciela?

Z korytarza dobiegły odgłosy czyichś kroków, po czym drzwi się otworzyły, i pojawił się w nich inspektor Morton.

– Wszystko w porządku. Oto pański człowiek – rzekł Holmes.

Policjant wygłosił standardowe pouczenie.

– Aresztuję pana pod zarzutem zamordowania niejakiego Victora Savage’a – zakończył.

– I może pan jeszcze dodać do tego usiłowanie zamordowania niejakiego Sherlocka Holmesa – zauważył mój przyjaciel, chichocząc. – Aby oszczędzić fatygi schorowanemu człowiekowi, inspektorze, pan Culverton Smith był tak miły, by nadać umówiony sygnał, podkręcając lampę. Nawiasem mówiąc, aresztowany ma w prawej kieszeni płaszcza małą szkatułkę, którą radziłbym mu odebrać. Dziękuję bardzo. Na pańskim miejscu ostrożnie bym się z tym obchodził. Proszę ją położyć tam. Może odegrać pewną rolę podczas procesu.

Nagle usłyszałem jakieś poruszenie i odgłosy szamotaniny, a po chwili brzęk metalu i okrzyk bólu.

– Tylko zrobisz sobie krzywdę – powiedział inspektor. – Stój spokojnie. – Rozległo się kliknięcie zamykanych kajdanek.

– Niezła pułapka! – zawołał Smith wysokim, piskliwym głosem. – To TY trafisz do więzienia, nie ja, Holmes! Prosił mnie, abym tutaj przyszedł i go wyleczył. Zrobiło mi się go żal, więc przyszedłem. A teraz na pewno będzie wmawiał, że powiedziałem jakieś wymyślone przez niego rzeczy, które

potwierdzają jego szaleńcze podejrzenia. Możesz łgać, ile ci się podoba, Holmes. Moje słowo jest równie dobre jak twoje.

– Wielkie nieba! – zawołał Sherlock. – Zupełnie o nim zapomniałem. Mój drogi Watsonie, jestem ci winien ogromne przeprosiny. Jak mogłem tak cię zostawić? Chyba nie muszę cię przedstawiać panu Culvertonowi Smithowi, bo jak rozumiem, spotkaliście się już wcześniej dziś wieczorem. Zostawił pan na dole dorożkę? Pójdę za panem, kiedy się tylko ubiorę, bo mogę się jeszcze na coś przydać na posterunku. Nigdy nie potrzebowałem tego bardziej – kontynuował mój przyjaciel, wychylając kieliszek bordo i posilając się herbatnikami w przerwach podczas ubierania. – Jednak, jak wiesz, mam niezbyt regularny sposób życia, więc takie wyrzeczenia oznaczały dla mnie dużo mniejsze poświęcenie niż dla większości ludzi. Bardzo ważnym było przekonać panią Hudson, że mój stan jest bardzo ciężki, ponieważ to ona miała przekazać wiadomość tobie, a ty z kolei jemu. Nie obrazisz się na mnie, prawda, Watsonie? Na pewno zdajesz sobie sprawę z tego, że mimo wielu talentów aktorstwo nie jest, niestety, twoją mocną stroną. Gdybym zdradził ci mój sekret, nigdy nie byłbyś w stanie przekonać Smitha, że jego przyjście jest palącą koniecznością. A to był najistotniejszy punkt w całym planie. Znając jego mściwą naturę, byłem zupełnie przekonany, że zechce się tu zjawić i podziwiać swoje dzieło.

– Ale twój wygląd, Holmesie, twoja upiorna twarz?

– Trzy dni całkowitego postu nie poprawiają urody, Watsonie. A jeśli chodzi o resztę, to nie ma niczego, czego nie mogłaby zdziałać gąbka. Smarując czoło wazeliną, zakrapiając belladoną oczy, nakładając róż na kości policzkowe i suche grudki wosku pszczelego na usta, można uzyskać bardzo dobry efekt. Zastanawiałem się czasami, czy nie napisać monografii na temat symulowania różnych chorób. Rzucanie od czasu do czasu uwag o półkoronówkach, ostrygach czy jakichkolwiek innych sprawach nie związanych z tematem sprawia wrażenie maligny.

– Ale czemu nie pozwoliłeś mi do siebie podejść? Przecież w rzeczywistości nie było żadnej infekcji.

– Jak możesz o to pytać, mój drogi Watsonie? Wydaje ci się, że naprawdę nie szanuję twoich lekarskich zdolności? Czy wyobrażasz sobie, że z twoją zdrową oceną sytuacji uznałbyś za umierającego człowieka, który choć jest słaby, nie ma przyśpieszonego pulsu ani podwyższonej temperatury?

Z odległości czterech jardów byłem w stanie cię zwodzić. Gdyby mi się to nie udało, kto by mi sprowadził tu Smitha? Nie, Watsonie, na twoim miejscu nie dotykałbym tej szkatułki. Jeśli spojrzysz na nią z boku, zobaczysz, skąd wyskakuje sprężyna, ostra niczym ząb żmii. Przypuszczam, że to właśnie dzięki takiemu urządzeniu biedny Savage, który stał temu potworowi na drodze do przejęcia majątku, stracił życie. Jednak, jak wiesz, otrzymuję bardzo różnorodną korespondencję i zawsze mam się na baczności, kiedy dostaję jakąś paczkę. Było dla mnie oczywistym, że udając, iż jego plan naprawdę się powiódł, mógłbym z zaskoczenia wyciągnąć z niego przyznanie się do winy. Tak więc zachowywałem wszelkie pozory, przeprowadzając to tak solidnie i rzetelnie, jak prawdziwy artysta. Musisz mi pomóc założyć płaszcz, Watsonie. Dziękuję. Myślę, że kiedy już załatwimy wszystkie sprawy na posterunku, całkiem na miejscu byłaby jakaś pożywna kolacja u Simpsona.

Opowieść szósta

Zniknięcie lady Frances Carfax

– Ale dlaczego tureckie? – spytał Sherlock Holmes, wbijając wzrok w moje buty. Siedziałem wygodnie na krześle z trzcinowym oparciem, a moje wyciągnięte stopy przykuły jego wiecznie czujną uwagę.

– Angielskie – odparłem z pewnym zaskoczeniem. – Kupiłem je u Latimera na Oxford Street.

Holmes uśmiechnął się jak człowiek cierpliwy, ale znużony nieco brakiem polotu u swego rozmówcy.

– Łaźnie – powiedział. – Łaźnie. Czemu chcesz zażywać odprężających kąpieli w drogiej łaźni tureckiej, zamiast pozwolić, by dodała ci energii zwykła domowa kąpiel?

– Bo przez kilka ostatnich dni doskwierał mi reumatyzm, i poczułem się staro. Kąpiele w łaźni tureckiej są czymś, co w medycynie nazywamy środkiem zmieniającym nastrój. To początek, oczyszczenie całego organizmu. A tak nawiasem mówiąc, Holmesie – dodałem – nie wątpię, że związek pomiędzy moimi butami a łaźnią turecką jest dla kogoś logicznie myślącego całkowicie oczywisty, jednak byłbym ci bardzo zobowiązany, gdybyś mi go wyjaśnił.

– W tym przypadku tok rozumowania nie jest zbyt zawiły, Watsonie – odparł Holmes z łobuzerskim błyskiem w oku. – Należy do tych samych elementarnych podstaw dedukcji, które mógłbym ci zilustrować, pytając, z kim jechałeś dziś rano dorożką.

– Nie sądzę, żebyś mógł mi to wyjaśnić, kompletnie zmieniając temat – odparłem dość oschle.

– Brawo, Watsonie! Logiczny sprzeciw pełen godności. Ale zobaczmy… O co nam chodziło? Na początek weźmy tę drugą kwestię, dorożkę. Zauważ, że masz ochlapany lewy rękaw i lewe ramię płaszcza. Gdybyś

siedział w dorożce pośrodku, prawdopodobnie nie byłbyś ubrudzony, a nawet gdybyś był, to z całą pewnością symetrycznie. Dlatego jest dla mnie oczywistym, że siedziałeś z boku, a co za tym idzie, również niewątpliwym to, że nie jechałeś sam.

– To całkowicie jasne.

– Absurdalnie banalne, prawda?

– Ale te buty i łaźnia turecka?

– To również dziecinnie proste. Masz nawyk wiązania butów w ten sam określony sposób. Tym razem widzę, że zawiązano je na bardzo wymyślną podwójną kokardę, czyli nie tak jak zwykle. A to oznacza, że je zdejmowałeś. Kto ci je zawiązał? Szewc? A może chłopak w łaźni? Jest raczej mało prawdopodobne, byś był u szewca, bo twoje buty są prawie nowe. Co nam w takim razie pozostaje? Łaźnia. Banalne, prawda? Ale przynajmniej ta łaźnia się do czegoś przydała. Mówiłeś, że poszedłeś tam, bo potrzebowałeś jakiejś odmiany. Pozwól, że ci jedną zasugeruję. Co byś powiedział na wyjazd do Lozanny, mój drogi Watsonie? Bilety pierwszej klasy i pokrycie wszystkich kosztów. Zaiste po królewsku.

– Cudownie! Ale dlaczego?

Holmes rozparł się wygodniej w fotelu i wyjął z kieszeni notes.

– To przedstawicielka jednego z najbardziej niebezpiecznych rodzajów na świecie – zaczął. – Wolna, jeżdżąca tu i tam, nie mająca przyjaciół kobieta. Często jest nieszkodliwa, a nawet pożyteczna dla innych śmiertelników; są jednak tacy, których nieuchronnie skłania do zbrodni. Jest bezbronna. Prowadzi wędrowny tryb życia. Ma dość środków, by podróżować z kraju do kraju, zatrzymując się w hotelach. Najczęściej jest zagubiona w labiryncie rozmaitych pensjonatów i kwater. Jest niczym zbłąkany kurczak w świecie pełnym lisów. Kiedy ktoś ją połknie, nikt nawet nie zauważy, że jej brakuje. Obawiam się, że lady Frances Carfax przytrafiło się coś złego.

Odczułem ulgę, gdy tak nagle przeszedł od ogółu do konkretu. Holmes zajrzał do swoich notatek.

– Lady Frances – ciągnął dalej – jest jedyną żyjącą osobą z najbliższej rodziny zmarłego hrabiego Rufton. Jak sobie zapewne przypominasz, majątki ziemskie były dziedziczone po mieczu. Została z ograniczonymi środkami, jednak przypadła jej w udziale bardzo wyjątkowa stara hiszpańska biżuteria, srebro z ciekawie oszlifowanymi brylantami. Była

bardzo przywiązana do tych klejnotów. Zbyt przywiązana, nie chciała ich zostawić w depozycie swego banku i zawsze woziła je ze sobą. Lady Frances to dość żałosna postać. Jest ładną kobietą w średnim wieku, obdarzoną nieprzemijającą urodą. A jednak za sprawą dziwnego przypadku to tylko nędzne odbicie kobiety, która zaledwie dwadzieścia lat temu postrzegana była jako niezwykła piękność.

– A co się jej przytrafiło?

– Otóż, właśnie. Co się przytrafiło lady Frances? Żyje czy nie? To jest zagadka, którą musimy rozwikłać. Ta kobieta ma swoje nawyki. Od czterech lat regularnie co dwa tygodnie pisywała do panny Dobney, swej byłej guwernantki, która dawno już przeszła na emeryturę i mieszka w Camberwell. To właśnie panna Dobney poprosiła mnie o radę. Minęło prawie pięć tygodni, a ona nie dostała ani słowa. Ostatni list przyszedł z hotelu „National” w Lozannie. Wszystko wskazuje na to, że lady Frances wyjechała stamtąd i nie podała kolejnego adresu. Jej rodzina się niepokoi, a ponieważ jest bardzo bogata, nie zamierza szczędzić kosztów, by wyjaśnić tę sprawę.

– Czy panna Dobney jest jedynym źródłem informacji? Lady Frances na pewno koresponduje jeszcze z innymi ludźmi.

– Jest ktoś, z kim na pewno musi korespondować, Watsonie. To jej bankier. Samotne damy muszą z czegoś żyć, a ich książeczki czekowe są niczym specyficzne pamiętniki. Pieniądze trzyma w banku Silvester’s. Przejrzałem jej konto. Przedostatni czek opiewał na ogromną sumę. Po opłaceniu rachunku hotelowego w Lozannie prawdopodobnie zostało jej jeszcze sporo gotówki. Od tamtego czasu wystawiła tylko jeden czek.

– Na kogo i gdzie?

– Na pannę Marie Devine. Nic nie wskazuje na to, gdzie go wystawiono, natomiast został zrealizowany w banku Credit Lyonnais w Montpellier niecałe trzy tygodnie temu. Opiewał na pięćdziesiąt funtów.

– A kim jest panna Marie Devine?

– To również udało mi się ustalić. Panna Devine była służącą lady Frances Carfax. Jak do tej pory nie wiemy, dlaczego zapłaciła jej czekiem. Nie wątpię jednak, że twoje dociekania wkrótce wyjaśnią tę kwestię.

– MOJE dociekania?!

– Stąd ta zdrowotna wycieczka do Lozanny. Wiesz przecież, że nie mogę wyjechać z Londynu, póki życiu starego Abrahamsa grozi tak wielkie

niebezpieczeństwo. Poza tym w ogóle nie powinienem opuszczać kraju. Scotland Yard czuje się beze mnie samotny, a ponadto moja nieobecność budzi niezdrowe ożywienie wśród przestępców. A więc jedź, mój drogi Watsonie, i jeśli moje skromne rady mogą być warte tak wygórowanej ceny jak dwa pensy za słowo, będą one do twojej dyspozycji we dnie i w nocy na drugim końcu drutu telegraficznego łączącego Anglię z kontynentem.

Dwa dni później byłem już w hotelu „National" w Lozannie, gdzie zostałem bardzo gościnnie przyjęty przez słynnego dyrektora *monsieur* Mosera. Poinformował mnie, że lady Frances mieszkała u niego w hotelu przez kilka tygodni. Wszyscy, z którymi się spotykała, bardzo ją polubili. Miała nie więcej niż czterdzieści lat. Wciąż była bardzo ładna, i wszystko świadczyło o tym, że w młodości musiała być niezwykle urodziwą kobietą. *Monsieur* Moser nie wiedział nic na temat jej cennej biżuterii, jednak pokojówki i służące zauważyły, że w sypialni damy stał zawsze starannie zamknięty ciężki kufer. Służącą Marie Devine wszyscy równie dobrze znali jak jej panią. Aktualnie była zaręczona z jednym z głównych kelnerów pracujących w hotelu, i nie było żadnych problemów z uzyskaniem jej adresu. Mieszkała w Montpellier przy Rue de Trajan pod numerem 11. Zanotowałem wszystkie informacje z poczuciem, że nawet Holmes nie mógłby zręczniej zebrać faktów dotyczących sprawy.

Tylko z jednym wciąż nie dawałem sobie rady. W żaden sposób nie potrafiłem rzucić światła na to, dlaczego lady Frances tak nagle wyjechała. W Lozannie była bardzo szczęśliwa. Wszyscy byli przekonani, że zamierzała pozostać w swych luksusowych pokojach z widokiem na jezioro przez cały sezon. A jednak wyjechała, informując o tym zaledwie dzień wcześniej, co wiązało się z bezsensowną koniecznością dokonania opłaty za cały tydzień. Tylko Jules Vibart, ukochany jej służącej, był w stanie podsunąć mi jakiekolwiek wyjaśnienie. Nagły wyjazd lady Frances wiązał z faktem, że jeden czy dwa dni wcześniej złożył jej w hotelu wizytę jakiś wysoki smagły mężczyzna z brodą. „*Un sauvage, un véritable sauvage!*" – wołał Jules Vibart. Człowiek ten wynajmował kwaterę gdzieś w mieście. Widziano go, jak prowadził poważną rozmowę z *madame* na promenadzie nad jeziorem. Potem przyszedł do niej z wizytą, nie miała jednak ochoty się z nim spotkać. Był Anglikiem, ale nikt nie znał jego nazwiska. Zaraz potem *madame* wyjechała. Oboje, Jules Vibart i – co istotniejsze – jego ukochana, uważali, że ta wizyta i wyjazd damy były ze sobą bezpośrednio powiązane.

Tylko o jednej rzeczy Jules nie mówił. Był nią powód, dla którego Marie opuściła swoją panią. Na ten temat nie mógł lub nie chciał niczego powiedzieć. Jeśli zamierzałem się tego dowiedzieć, musiałem pojechać do Montpellier i zapytać o to ją samą.

W ten sposób dobiegł końca pierwszy rozdział mojego śledztwa. Drugi dotyczył miejsca, do którego lady Frances Carfax udała się po opuszczeniu Lozanny. Było ono najwyraźniej owiane tajemnicą, co potwierdzało podejrzenie, że udała się tam po to, żeby zmylić trop i umknąć temu, kto ją śledził. W przeciwnym razie dlaczego jej bagaż nie miałby zostać otwarcie wysłany do Baden? Zarówno ona, jak i jej rzeczy dotarły do kurortu nad Renem jakąś okrężną drogą. Tyle udało mi się dowiedzieć od kierownika miejscowego biura Cooka. Pojechałem więc do Baden, przesławszy uprzednio Holmesowi telegram z relacją o wszystkich moich poczynaniach i otrzymawszy od niego odpowiedź pełną na wpół żartobliwych pochwał.

W Baden nietrudno było podążać za tropem lady Frances. Przez dwa tygodnie mieszkała w Englischer Hof. Wówczas poznała doktora Shlessingera i jego żonę, misjonarzy z Ameryki Południowej. Podobnie jak większość samotnych kobiet lady Frances znajdowała pocieszenie i zajęcie w religii. Ogromne wrażenie wywarła na niej osobowość doktora Shlessingera, jego żarliwe oddanie dla wiary oraz fakt, że dochodził właśnie do siebie po chorobie, którą zaraził się, wypełniając swe misjonarskie obowiązki. Pomagała pani Shlessinger pielęgnować tego powracającego do zdrowia „świętego”. Jak opowiadał mi kierownik, spędzał on dni na leżaku rozłożonym na werandzie, z usługującymi mu damami po obu stronach. Opracowywał mapę Ziemi Świętej, ze szczególnym uwzględnieniem królestwa Madianitów, o którym pisał monografię. Gdy wreszcie stan jego zdrowia znacznie się poprawił, wrócił wraz z żoną do Londynu, a lady Frances pojechała z nimi. Działo się to zaledwie trzy tygodnie temu. Od tego czasu kierownik nic więcej o nich nie słyszał. Jeśli zaś chodzi o służącą Marie, odeszła kilka dni wcześniej, zalana łzami, poinformowawszy inne służące i pokojówki, że na zawsze opuszcza lady Carfax. Przed wyjazdem doktor Shlessinger zapłacił rachunek za wszystkich.

– Nawiasem mówiąc – rzekł, podsumowując, kierownik – nie jest pan jedynym przyjacielem lady Frances Carfax, który o nią dopytuje. Zaledwie

tydzień temu zjawił się tutaj pewien mężczyzna dokładnie w tej samej sprawie.

– Podał nazwisko? – spytałem.

– Nie, ale był Anglikiem, choć dość niezwykłym z wyglądu.

– Nieokrzesany typ? – spytałem, kojarząc fakty w taki sposób, jak zrobiłby to mój wybitny przyjaciel.

– Właśnie, to świetnie określa jego wygląd: potężny i opalony, bardziej pasowałby ze swoją brodą do wiejskiej karczmy niż do eleganckiego hotelu. Twardy gwałtowny człowiek, takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Nie miałbym ochoty wejść mu w drogę.

Cała tajemnica zaczęła nabierać wyraźniejszych kształtów, tak jakby unosiła się spowijająca ją mgła. Mieliśmy więc tę dobrą i pobożną damę, którą ścigał jakiś złowrogi nieustępliwy mężczyzna. Musiała się go bać, bo w przeciwnym razie nie uciekłaby z Lozanny. Pojechał za nią. Prędzej czy później ją doścignie. A może już ją doścignął? Czy na tym właśnie polegał sekret jej długiego milczenia? Czy ci dobrzy ludzie, w których towarzystwie podróżowała, nie zdołali uchronić jej przed przemocą czy szantażem ze strony tego Anglika? Jakiż straszliwy cel, jaki niewiarygodny plan krył się za tym jego pościgiem? To był właśnie problem, który musiałem rozwiązać.

Napisałem do Holmesa, informując go, jak szybko i konsekwentnie dotarłem do samego sedna sprawy. W odpowiedzi dostałem telegram, w którym prosił mnie, bym opisał lewe ucho doktora Shlessingera. Poczucie humoru Holmesa jest dość dziwne i czasem nawet obraźliwe, nie zwróciłem więc uwagi na jego kiepski dowcip. Do tego czasu dotarłem już zresztą do Montpellier w poszukiwaniu służącej Marie.

Nie miałem żadnych problemów z odnalezieniem dziewczyny, od której dowiedziałem się o wszystkim, co była mi w stanie powiedzieć. Ta pełna oddania istota opuściła swoją panią tylko dlatego, że była pewna, iż ta znalazła się w dobrych rękach. Ponadto rozstanie było tak czy inaczej nieuniknione ze względu na jej zbliżające się zamążpójście. Wyznała mi ze smutkiem, że podczas pobytu w Baden jej pani była rozdrażniona, miała zły nastrój, a nawet raz ją wypytywała, tak jakby o coś podejrzewała. To właśnie sprawiło, że rozstanie przyszło Marie łatwiej, niż miałoby to miejsce w innych okolicznościach. Lady Frances podarowała jej pięćdziesiąt funtów w prezencie ślubnym. Podobnie jak ja Marie była

bardzo podejrzliwa wobec tego nieznajomego, którego przybycie przyczyniło się do wyjazdu jej pani z Lozanny. Widziała na własne oczy, jak gwałtownie złapał damę za rękę na publicznej promenadzie nad jeziorem. Był dzikim i straszliwym człowiekiem. Marie nie kryła przekonania, że to właśnie ze strachu przed nim lady Frances zgodziła się, by państwo Shlessinger towarzyszyli jej w drodze do Londynu. Nigdy nie rozmawiała o tym z Marie, ale wiele drobnych oznak przekonało służącą, że jej pani żyła w stanie nieustannego lęku. Doszła do tego miejsca w swej opowieści, kiedy nagle zerwała się z krzesła, a na jej twarzy pojawił się grymas zaskoczenia i strachu.

– Proszę spojrzeć! – zawołała. – Ten szubrawiec nadal podąża jej tropem! To jest właśnie ten człowiek, o którym panu mówiłam!

Przez otwarte okno salonu ujrzałem potężnego smagłego mężczyznę z krzaczastą czarną brodą, idącego powoli środkiem ulicy i przypatrującego się intensywnie numerom domów. Było dla mnie jasnym, że podobnie jak ja próbował odnaleźć służącą. Pod wpływem impulsu wybiegłem na zewnątrz i zaczepiłem go.

– Jest pan Anglikiem – powiedziałem.

– I co z tego? – odparł z wyjątkowo paskudnym grymasem.

– Mogę spytać, jak się pan nazywa?

– Nie, nie może pan – odparł stanowczo.

Sytuacja była niezręczna, ale najbardziej bezpośredni sposób jest często najlepszy.

– Gdzie jest lady Frances Carfax? – spytałem.

Spojrzał na mnie osłupiały.

– Co pan z nią zrobił? Czemu ją pan śledził? Proszę mi natychmiast odpowiedzieć! – zawołałem.

Jegomość wydał z siebie gniewny ryk i skoczył na mnie jak tygrys. Dobrze sobie radziłem podczas wielu walk, ale ten człowiek miał żelazny uścisk i siłę diabła. Zacisnął rękę na moim gardle, i byłem już bliski utraty przytomności, gdy jakiś nieogolony francuski *ouvrier* w niebieskiej koszuli wypadł z *cabaret* naprzeciwko z pałką w ręku. Z całych sił walnął nią napastnika w przedramię. Ten puścił mnie. Przez chwilę stał nade mną, dysząc wściekle, najwyraźniej zastanawiając się, czy nie ponowić ataku. Potem z gniewnym warknięciem zostawił mnie leżącego na ziemi i wszedł

do domu, z którego dopiero co wyszedłem. Zwróciłem się do mojego wybawcy, stojącego tuż przy mnie na drodze, aby mu podziękować.

– Cóż, Watsonie – powiedział – pięknego bałaganu nam narobiłeś. Myślę, że najlepiej będzie, jeśli wrócisz ze mną do Londynu nocnym ekspresem.

Godzinę później Sherlock Holmes, ubrany jak zwykle, siedział razem ze mną w moim pokoju w hotelu. Wyjaśnienie tego, w jaki sposób tak nagle i szczęśliwie dla mnie się zjawił, było banalnie proste. Dowiedziawszy się, że może wyjechać z Londynu, postanowił przeciąć mi drogę w kolejnym punkcie mej podróży. Przebrany za robotnika siedział w *cabaret*, czekając, aż się pojawię.

– Przeprowadziłeś wyjątkowo spójne i konsekwentne śledztwo, mój drogi Watsonie – powiedział. – W tej chwili nie przychodzi mi do głowy żaden błąd, którego byś nie popełnił. Całkowity efekt twoich poczynań jest taki, że ostrzegłeś wszystkich wokół, niczego przy tym nie odkrywając.

– Może tobie wcale nie poszłoby lepiej – odparłem urażony.

– Tutaj nie ma miejsca na „może”. Mnie POSZŁO lepiej. Oto szanowny Philip Green, który tak, jak i ty, mieszka w tym hotelu. Możemy uznać go za punkt wyjścia do bardziej udanego śledztwa.

Przyniesiono nam wizytówkę na tacy, a po chwili zjawił się ten sam brodaty łotr, który zaatakował mnie na ulicy. Wzdrygnął się na mój widok.

– Co to ma znaczyć, panie Holmes? – spytał. – Dostałem pański list i przyszedłem do pana. Ale co ten człowiek ma wspólnego ze sprawą?

– To mój stary przyjaciel i pomocnik, doktor Watson. Pomaga nam w rozwiązaniu tej zagadki.

Nieznajomy wyciągnął swoją wielką opaloną dłoń, mrucząc pod nosem słowa przeprosin.

– Mam nadzieję, że nie zrobiłem panu krzywdy. Kiedy mnie pan oskarżył, że coś jej zrobiłem, straciłem panowanie nad sobą. Doprawdy, w ostatnim czasie nie zachowuję się zbyt odpowiedzialnie. Moje nerwy napięte są do granic wytrzymałości. Ale ta sytuacja mnie przerasta. Przede wszystkim, panie Holmes, chciałbym się dowiedzieć, jak u diabła w ogóle dowiedział się pan o moim istnieniu?

– Jestem w kontakcie z panną Dobney, guwernantką lady Frances.

– Stara Susan Dobney w tym swoim czepku na głowie! Doskonale ją pamiętam.

– A ona pamięta pana. Jeszcze z czasów, zanim… Zanim uznał pan, że lepiej panu będzie w Afryce Południowej.

– Aha, widzę, że zna pan całą moją historię. Nie muszę nic przed panem ukrywać. Przysięgam, panie Holmes, nigdy nie było na świecie mężczyzny, który bardziej by kochał jakąś kobietę niż ja Frances. Byłem dzikim, nieokrzesanym młodzieńcem, wiem o tym, ale nie gorszym niż inni z mojego otoczenia. Jednak jej umysł był czysty niczym śnieg. Nie potrafiła znieść choćby cienia prostactwa. Tak więc, kiedy usłyszała o tym, co zrobiłem, nie miała mi już nic więcej do powiedzenia. A jednak mnie kochała. To jest w tym wszystkim najdziwniejsze! Kochała mnie do tego stopnia, że pozostała samotna, spędzając dni niczym jakaś święta tylko i wyłącznie z mojego powodu. Minęło wiele lat, ja dorobiłem się w Barberton fortuny i pomyślałem, że być może uda mi się ją odnaleźć i poruszyć jej serce. Słyszałem, że nie wyszła za mąż. Odnalazłem ją w Lozannie i próbowałem wszystkiego, co tylko mi przyszło do głowy. Myślę, że jej opór osłabł, ma jednak bardzo silną wolę, i gdy następnym razem przyszedłem ją odwiedzić, okazało się, że opuściła już miasto. Pojechałem za nią do Baden, a po jakimś czasie usłyszałem, że znajduje się tam jej służąca. Jestem nieokrzesanym twardym człowiekiem, bo takie miałem życie, i kiedy doktor Watson tak się do mnie odezwał, na chwilę straciłem panowanie nad sobą. Ale na miłość boską, niech mi pan powie, co się stało z lady Frances!

– Tego właśnie próbujemy się dowiedzieć – odparł Holmes z jakąś dziwną powagą w głosie. – Jaki jest pański adres w Londynie, panie Green?

– Listy do mnie dotrą pod adresem hotelu „Langham”.

– W takim razie radziłbym panu, żeby tam wrócił i był pod ręką na wypadek, gdybym go potrzebował. Nie chcę wzbudzać fałszywych nadziei, może pan jednak być spokojny, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby zapewnić lady Frances bezpieczeństwo. W tej chwili nie mogę panu powiedzieć niczego więcej. Zostawię tę wizytówkę, żeby pan mógł się z nami kontaktować. A teraz, Watsonie, spakuj, proszę, swoją torbę, a ja wyślę pani Hudson telegram, żeby jutro na siódmą trzydzieści postarała się przygotować coś dobrego dla dwóch głodnych podróżnych.

Gdy dotarliśmy na Baker Street, czekał na nas telegram. Holmes odczytał go z ogromnym zainteresowaniem, po czym podał mnie. Telegram nadany z Baden zawierał trzy słowa: „Poszarpane albo naderwane”.

– Co to znaczy? – spytałem.

– Wszystko – odparł Holmes. – Może pamiętasz moje pozornie nieistotne pytanie o kształt lewego ucha tego duchownego? Nie odpowiedziałeś na nie.

– Wyjechałem już z Baden i nie mogłem się tego dowiedzieć.

– Z tego właśnie powodu wysłałem duplikat depeszy do kierownika Englischer Hof. A to jego odpowiedź.

– I o czym to świadczy?

– O tym, mój drogi Watsonie, że mamy do czynienia z wyjątkowo przebiegłym i niebezpiecznym człowiekiem. Ten wielebny dr Shlessinger, misjonarz z Ameryki Południowej, jest w rzeczywistości Holym Petersem, jednym z największych, pozbawionych skrupułów łotrów, jakich wydała Australia, a jak na tak młody kraj jest ojczyzną paru naprawdę wyjątkowych drani. Jego specjalność to zwodzenie samotnych dam: czyni to, grając na ich uczuciach religijnych, a ta jego niby-żona, Angielka o nazwisku Frazer, jest jego nie mniej niebezpieczną wspólniczką. Domyśliłem się tożsamości „wielebnego” na podstawie stosowanej przez niego taktyki, a ten znak szczególny (bo został dotkliwie pobity w 1889 roku podczas bójki w barze w Adelajdzie) potwierdził moje podejrzenia. Biedna lady znalazła się w rękach wyjątkowo perfidnej pary, która nie cofnie się przed niczym. Bardzo możliwe, że już nie żyje. Jeśli jeszcze tak się nie stało, to jest już niewątpliwie gdzieś uwięziona i dlatego nie może napisać do pani Dobney ani do innych przyjaciół. Można przypuszczać, że nigdy nie dotarła do Londynu lub że tylko przez niego przejechała i pojechała dalej. Jednak ta pierwsza ewentualność wydaje się nieprawdopodobna, bo biorąc pod uwagę graniczny system rejestracyjny na kontynencie, cudzoziemcom niełatwo jest oszukać miejscową policję. Druga możliwość również jest mało prawdopodobna, ponieważ ta zbrodnicza para raczej nie mogła liczyć na to, że uda jej się znaleźć jakieś inne miejsce, gdzie będzie równie łatwo kogoś więzić. Mój instynkt podpowiada mi, że lady Frances jest w Londynie, jednak ponieważ na chwilę obecną nie mamy sposobu, by dowiedzieć się gdzie, możemy tylko podjąć rutynowe kroki, zjeść kolację i uzbroić się w cierpliwość. Później wieczorem zamierzam się przejść do Scotland Yardu i zamienić parę słów z naszym przyjacielem Lestrade’em.

Jednak ani policja, ani mała, lecz wyjątkowo skuteczna, grupa dochodzeniowa Holmesa nie zdołały wyjaśnić tej tajemnicy. Trzy osoby zniknęły w wielomilionowym mieście, jakby nigdy nie istniały. Dawaliśmy ogłoszenia w gazetach, ale i to nie pomogło. Podążaliśmy w trop za nimi, wszakże donikąd to nas nie doprowadziło. Obserwowaliśmy wszystkie znane miejsca spotkań przestępców, w których mógł się pojawić Shlessinger. Śledziliśmy jego dawnych wspólników, jednak z żadnym się nie kontaktował. A potem nagle, po tygodniu błądzenia i bezradności, pojawiło się światełko w tunelu. Srebrny wisiorek z brylantem starej hiszpańskiej roboty został oddany w zastaw u Bovingtona przy Westminster Road. Człowiek, który go przyniósł, był olbrzymim, gładko ogolonym mężczyzną o wyglądzie duchownego. Podane przez niego nazwisko i adres były oczywiście fałszywe. Właściciel lombardu nie zwrócił uwagi na jego ucho, ale rysopis z całą pewnością pasował do Shlessingera.

Nasz brodaty przyjaciel z Langham trzykrotnie przychodził do nas, by się czegoś dowiedzieć. Za trzecim razem zjawił się w niecałą godzinę po tym, kiedy dowiedzieliśmy się o zastawieniu klejnotu. Ubrania zwisały coraz luźniej na jego potężnym ciele. Sprawiał wrażenie, jakby marniał z niepokoju. „Gdyby tylko dał mi pan coś do roboty!” – nieustannie narzekał. I wreszcie Holmes znalazł dla niego zadanie.

– Zaczął oddawać w zastaw klejnoty. Teraz go dostaniemy.

– Ale czy to znaczy, że lady Frances stała się jakaś krzywda?

Holmes bardzo poważnie potrząsnął głową.

– Nawet zakładając, że do tej pory ją więzili, jest oczywistym, że nie mogą jej wypuścić, nie sprowadzając na siebie zguby. Musimy przygotować się na najgorsze.

– Co mogę zrobić?

– Ci ludzie nie znają pana z widzenia?

– Nie.

– Możliwe, że on pójdzie do jakiegoś innego lombardu. W takiej sytuacji będziemy musieli zaczynać od nowa. Z drugiej strony, tam dostał dobrą cenę, i nikt nie zadawał pytań, więc jeśli będzie pilnie potrzebował pieniędzy, prawdopodobnie wróci do Bovingtona. Napiszę list do właściciela lombardu, a tam pozwolą panu czekać w sklepie. Jeśli zjawi się ten człowiek, będzie go pan śledził aż do jego kryjówki. Ale proszę zachowywać się bardzo dyskretnie. I przede wszystkim żadnej przemocy!

Proszę dać mi słowo honoru, że nie podejmie pan żadnych kroków bez mojej wiedzy i zgody.

Przez dwa dni Philip Green (wspomnę w tym miejscu, że był on synem słynnego admirała Greena, który podczas wojny krymskiej dowodził flotą na Morzu Azowskim) nie dawał znaku życia. Jednak wieczorem trzeciego dnia wbiegł do naszego salonu blady i roztrzęsiony, a każdy mięsień jego potężnego ciała drżał z podniecenia.

– Mamy go! Mamy go! – zawołał.

Był tak podekscytowany, że nie mógł sensownie się wysłowić. Holmes uspokajał go, skłaniając jednocześnie, by usiadł w fotelu.

– Spokojnie, spokojnie… Proszę nam opowiedzieć po kolei, co się wydarzyło.

– Niecałą godzinę temu zjawiła się kobieta, chyba jego żona, która przyniosła wisiorek, bardzo podobny do poprzedniego. Była wysoka i blada, a oczy miała takie jak fretka.

– Tak, to ona – rzekł Holmes.

– Wyszła z lombardu, a ja poszedłem za nią. Ruszyła Kennington Road, ja trzymałem się z tyłu. Po chwili weszła do jakiegoś biura. Panie Holmes, to był zakład pogrzebowy.

Mój towarzysz się wzdrygnął.

– I co? – spytał ożywionym głosem, świadczącym o tym, że mimo zewnętrznych oznak opanowania wewnątrz krył się ognisty temperament.

– Rozmawiała z kobietą stojącą za ladą. Ja również wszedłem do środka. „Jest późno” – powiedziała. Pracownica zakładu pogrzebowego próbowała się usprawiedliwiać. „Dawno już powinna tu być – odparła. – Zajęło nam to więcej czasu, bo była dość nietypowa”. Wtedy obie przerwały i spojrzały na mnie, więc zadałem parę pytań i wyszedłem.

– Doskonale sobie pan poradził. Co się stało później?

– Ja ukryłem się w bramie, a kobieta po chwili wyszła z zakładu. Myślę, że wzbudziłem w niej podejrzenia, bo rozglądała się dookoła. Potem zatrzymała dorożkę i wsiadła do niej. Miałem szczęście, bo udało mi się zatrzymać kolejną dorożkę; pojechałem za nią. Wysiadła w Brixton przy Poultney Square 16. Przejechałem nieco dalej, kazałem dorożkarzowi zatrzymać się na rogu placu, wysiadłem i zacząłem obserwować dom.

– Widział pan kogoś?

– We wszystkich oknach było ciemno, z wyjątkiem jednego na parterze. Było zasłonięte, więc nie mogłem zajrzeć do środka. Stałem tam, zastanawiając się, co mam teraz robić, kiedy zajechał kryty powóz, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Wysiedli, wyjęli coś z powozu i wnieśli to po schodach przez drzwi. Panie Holmes, to była trumna.

– Och!

– Mało brakowało, a wtargnąłbym do środka. Drzwi się otworzyły, żeby mężczyźni mogli wejść i wnieść trumnę, a ja zobaczyłem tę samą kobietę. Kiedy tam stałem, ona musiała mnie zauważyć, i wydaje mi się, że mnie rozpoznała, bo wzdrygnęła się i szybko zamknęła drzwi. Pamiętałem jednak o tym, co panu obiecałem, więc jestem.

– Doskonale pan sobie poradził – rzekł Holmes, bazgrząc coś na kartce papieru. – Legalnie niczego nie jesteśmy w stanie zrobić bez nakazu, pan przysłuży się sprawie najlepiej, gdy zaniesie ten list na policję i uzyska taki nakaz. Mogą powstać pewne trudności, myślę jednak, że sprzedaż biżuterii będzie dostatecznym powodem. Lestrade zatroszczy się o wszystkie szczegóły.

– Ale w tym czasie ją zamordują! O czym świadczy ta trumna, panie Holmes? I dla kogo mogła być przeznaczona, jeśli nie dla niej?

– Zrobimy wszystko, co w ludzkiej mocy, panie Green. Nie stracimy ani chwili. Proszę nam to pozostawić. A teraz, Watsonie – dodał, kiedy nasz klient pośpiesznie wyszedł – on sprowadzi na miejsce policję, a my, siły ochotnicze, jak zwykle musimy działać po swojemu. Sytuacja wydaje się tak dramatyczna, że usprawiedliwione są nawet najbardziej skrajne działania. Ruszajmy natychmiast! Jedziemy na Poultney Square!

– Spróbujmy zrekonstruować sytuację – powiedział, gdy dorożka szybko minęła parlament i przejeżdżała przez Westminster Bridge. – Ta para łotrów zwabiła nieszczęsną kobietę do Londynu, odsuwając ją najpierw od wiernej służącej. Jeśli pisała jakieś listy, wszystkie zostały przechwycone. Przy pomocy wspólnika wynajęli urządzony dom. Gdy się już w nim znaleźli, uwięzili ją i zabrali kosztowną biżuterię, która od początku było ich celem. Zaczęli już ją częściowo wyprzedawać, co wydawało się im dość bezpieczne, ponieważ nie mieli powodu, by sądzić, że ktoś się interesuje losem tej damy. Gdyby ją wypuścili, oczywiście, zgłosiłaby sprawę na policję, dlatego nie mogą do tego dopuścić. Ale nie mogą jej też

wiecznie trzymać pod kluczem. Tak więc morderstwo wydaje się jedynym rozwiązaniem.

– Te rozważania nie są pozbawione logiki.

– A teraz proponuję inny tok rozumowania. Gdy prześledzisz obydwa, Watsonie, znajdziesz taki punkt, w którym one się przecinają. Ten punkt powinien odpowiadać prawdzie. Teraz zaczniemy nie od naszej lady, lecz od trumny, i będziemy odtwarzali postępowanie wstecz. Obawiam się, że ten incydent niewątpliwie dowodzi, iż lady nie żyje. Wskazuje na to również oficjalny, legalnie organizowany pogrzeb, któremu towarzyszy przedstawienie stosownego aktu zgonu. Gdyby lady została zamordowana, zakopaliby ją po prostu w ogródku na tyłach domu. Tutaj jednak wszystko odbywa się jawnie i oficjalnie. Co to oznacza? Zapewne zabili ją w jakiś sposób, który zwiódł lekarza i symulował śmierć z przyczyn naturalnych. Być może ją otruli. A z drugiej strony, jakie to dziwne, że w ogóle pozwolili zbliżyć się do niej lekarzowi! Chyba że był ich wspólnikiem, ale to raczej mało prawdopodobne.

– Ale mogli sfałszować akt zgonu?

– To niebezpieczne, Watsonie. Bardzo niebezpieczne. Nie. Wątpię, by to zrobili. Stój, dorożkarzu! To jest zapewne ten zakład pogrzebowy, bo już minęliśmy lombard. Wszedłbyś do środka, Watsonie? Twój wygląd budzi zaufanie. Spytaj, o której jest jutro pogrzeb przy Poultney Square.

Kobieta z zakładu pogrzebowego odpowiedziała bez wahania, że pogrzeb ma się odbyć o ósmej rano.

– Widzisz, Watsonie! Żadnych tajemnic. Wszystko jawnie! W jakiś sposób załatwili wszystkie formalności prawne i sądzą, że mają niewiele powodów do obaw. Cóż, w tej chwili nie pozostaje nam nic prócz bezpośredniego frontalnego ataku. Masz broń?

– Mam laskę!

– No cóż, jakoś będziemy musieli sobie z nimi poradzić. Po trzykroć jest uzbrojonym ten, kto walczy w słusznej sprawie. Po prostu nie możemy czekać, aż zjawi się policja. Musimy złamać prawo. Może pan już jechać, dorożkarzu. A teraz, Watsonie, spróbujmy razem szczęścia, tak jak robiliśmy to już nieraz w przeszłości!

Zadzwoniliśmy głośno do drzwi wielkiego, ciemnego domu, stojącego pośrodku Poultney Square. Drzwi natychmiast się otworzyły, i na tle przyćmionego światła w holu pojawiła się postać wysokiej kobiety.

– Tak? O co chodzi? – spytała ostro, przypatrując się nam w ciemności.

– Chciałbym porozmawiać z doktorem Shlessingerem – rzekł Holmes.

– Nikt taki tu nie mieszka – powiedziała i spróbowała zamknąć drzwi, lecz Holmes zdążył zablokować je stopą.

– W takim razie chcę się zobaczyć z mężczyzną, który tu mieszka, niezależnie od tego, jak się nazywa – rzekł stanowczo Holmes.

Zawahała się, potem otworzyła drzwi na całą szerokość.

– Dobrze, proszę wejść – powiedziała. – Mój mąż nie boi się stawić czoła żadnemu człowiekowi na świecie.

Zamknęła za nami drzwi i wprowadziła nas do salonu po prawej stronie holu, po czym podkręciła lampę gazową.

– Pan Peters zaraz do panów przyjdzie – powiedziała i wyszła.

I była to prawda w dosłownym sensie, bo ledwie rozejrzeliśmy się po pokoju, którego ściany obite były zakurzonym, przeżartym przez mole materiałem, gdy drzwi się otworzyły i do środka wszedł lekkim krokiem potężny łysy mężczyzna. Był gładko ogolony, miał wielką czerwoną twarz, obwisłe policzki i na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie życzliwego. Psuły go tylko wąskie zacięte usta.

– Na pewno doszło do jakiejś pomyłki, panowie – rzekł przymilnym beztroskim głosem. – Obawiam się, że ktoś wprowadził panów w błąd. Gdybyście, panowie, spróbowali poszukać dalej w dół ulicy…

– To wystarczy. Nie mamy czasu do stracenia – rzekł stanowczo mój towarzysz. – Jest pan Henrym Petersem z Adelajdy, który ostatnio podawał się za wielebnego doktora Shlessingera z Baden i Ameryki Południowej. Jestem tego równie pewien jak tego, że nazywam się Sherlock Holmes.

Peters, bo tak go teraz będę nazywać, wzdrygnął się i wbił spojrzenie w swego rozmówcę.

– Pańskie nazwisko mnie nie przeraża, panie Holmes – rzekł chłodno. – Kiedy człowiek ma czyste sumienie, nie sposób go niczym zastraszyć. Czego pan szuka w moim domu?

– Chcę wiedzieć, co pan zrobił z lady Frances Carfax, którą przywiózł pan tutaj ze sobą z Baden.

– Bardzo bym się ucieszył, gdyby mi pan powiedział, gdzie lady może w tej chwili przebywać – odparł chłodno Peters. – Zostawiła mi do zapłacenia rachunek na prawie sto funtów i nie dała nic na jego pokrycie poza paroma tandetnymi wisiorkami, na które w lombardzie nie chcą nawet

spojrzeć. Przyłączyła się do mnie i do pani Peters w Baden (to fakt, że wówczas używałem innego nazwiska) i trzymała się nas aż do chwili, gdy przybyliśmy do Londynu. Opłaciłem jej rachunek w hotelu i kupiłem jej bilet. Kiedy już tu dotarliśmy, znikła bez słowa, i jak już wspomniałem, zostawiła tę staroświecką biżuterię na pokrycie długu. Jeśli pan ją znajdzie, panie Holmes, będę mu bardzo zobowiązany.

– Zamierzam ją znaleźć – rzekł Sherlock Holmes. – Będę tak długo przeszukiwał ten dom, dopóki jej nie znajdę.

– A gdzie pański nakaz?

Holmes wysunął rewolwer z kieszeni.

– Taki będzie musiał wystarczyć, póki nie przybędzie lepszy.

– Wobec tego jest pan pospolitym włamywaczem.

– Może mnie pan tak określić – rzekł wesoło Holmes. – Mój towarzysz również jest niebezpiecznym łotrem. A teraz razem przeszukamy ten dom.

Nasz przeciwnik otworzył drzwi.

– Sprowadź policję, Annie! – zawołał. Sukienka kobiety śmignęła w korytarzu, drzwi holu otworzyły się i zamknęły.

– Mamy mało czasu, Watsonie – rzekł Holmes. – Jeśli spróbujesz nas powstrzymać, Peters, z całą pewnością stanie ci się jakaś krzywda. Gdzie jest ta trumna, którą wnosili do domu?

– A czego pan chce od tej trumny? Jest zajęta. Leży w niej ciało.

– Muszę zobaczyć to ciało.

– Nigdy się na to nie zgodzę.

– Więc zrobię to bez twojej zgody! – szybkim ruchem Holmes odepchnął go na bok i wyszedł na korytarz. Znaleźliśmy się przed uchylonymi drzwiami. Weszliśmy do środka. To była jadalnia. Na stole, w na wpół przygaszonym świetle wiszącego nad nim żyrandola, stała trumna. Holmes podkręcił lampę gazową i uniósł wieko. W wielkiej głębokiej trumnie leżała jakaś wymizerowana postać. Światło z góry oświetliło starą pomarszczoną twarz. Nie było możliwości, by jakiekolwiek okrucieństwo, głodzenie czy choroba mogły przekształcić piękną lady Frances w ten zmęczony, zużyty wrak człowieka. Na twarzy Holmesa malowało się zdumienie, lecz również ulga.

– Dzięki Bogu – wymamrotał. – To ktoś inny.

– Popełnił pan straszny błąd, panie Holmes – rzekł Peters, który wszedł za nami do pokoju.

– Kim jest ta kobieta?

– Skoro koniecznie musi pan wiedzieć, to dawna opiekunka mojej żony. Nazywała się Rose Spender. Znaleźliśmy ją w szpitalu Brixton Workhouse. Sprowadziliśmy ją tutaj, wezwaliśmy doktora Horsoma z Firbank Villas 13 (proszę zapamiętać sobie ten adres, panie Holmes!), i starannie o nią dbaliśmy, tak jak przystoi dobrym chrześcijanom. Trzeciego dnia zmarła. W akcie zgonu wpisane jest: „Śmierć ze starości”. Ale to tylko opinia lekarza, pan oczywiście wie lepiej. Zamówiliśmy dla niej pogrzeb w Stimson and Co. z Kennington Road. Pochowają ją jutro rano o ósmej. Widzi pan w tym jakąś lukę, panie Holmes? Popełnił pan głupi błąd i na pewno za niego zapłaci. Sporo bym dał, żeby mieć zdjęcie pańskiej osłupiałej, zaskoczonej twarzy, kiedy odsunął pan to wieko, spodziewając się zobaczyć lady Frances Carfax, a zobaczył jakąś biedną dziewięćdziesięcioletnią staruszkę.

Podczas gdy jego przeciwnik tak sobie z niego drwił, twarz Holmesa zachowała swój zwykły obojętny wyraz, lecz zaciśnięte dłonie zdradzały, jak bardzo był poirytowany.

– Przeszukam pański dom – powiedział.

– Doprawdy? – zawołał Peters, gdy usłyszeliśmy kobiecy głos i czyjeś ciężkie kroki dobiegające z korytarza. – Wkrótce się o tym przekonamy. Tędy proszę, panowie. Ci ludzie wtargnęli do mojego domu, i nie potrafię się ich pozbyć. Proszę pomóc mi ich stąd usunąć!

W drzwiach stali sierżant i konstabl. Holmes wyciągnął z futerału swoją wizytówkę.

– Oto moje nazwisko i adres. A to mój przyjaciel, doktor Watson.

– Świetnie pana znamy, panie Holmes – rzekł sierżant – ale nie może pan tutaj przebywać bez nakazu.

– Oczywiście, doskonale to rozumiem.

– Aresztujcie go! – krzyknął Peters.

– Wiemy, gdzie znaleźć tego dżentelmena, jeśli będziemy go potrzebowali – oświadczył z godnością sierżant. – Ale musi pan stąd wyjść, panie Holmes.

– Tak, Watsonie, musimy wyjść.

Minutę później znów znaleźliśmy się na ulicy. Holmes był opanowany jak zwykle, ale ja aż kipiałem z gniewu i upokorzenia. Sierżant wyszedł za nami.

– Przykro mi, panie Holmes, ale takie jest prawo.

– Racja, sierżancie. Nie mógł pan postąpić inaczej.

– Zakładam, że miał pan uzasadniony powód, żeby tam wejść. Jeśli mogę coś dla pana zrobić…

– Zaginęła pewna kobieta, sierżancie, i sądzimy, że jest w tym domu. Właśnie czekamy na nakaz.

– W takim razie będę miał ich na oku, panie Holmes. Jeśli cokolwiek się wydarzy, na pewno dam panu znać.

Była dopiero dziewiąta, znów ruszyliśmy w drogę. Najpierw pojechaliśmy do szpitala Brixton Workhouse, gdzie dowiedzieliśmy się, że to, co opowiedział Peters, było prawdą. Kilka dni temu zjawiła się jakaś miłosierna para. Oboje twierdzili, że zniedołężniała staruszka była ich dawną służącą. Gdy uzyskali pozwolenie, zabrali ją ze sobą do domu. Nikt sie nie zdziwił, że staruszka właśnie zmarła.

Potem udaliśmy się do lekarza. On opowiedział, że został wezwany do chorej, po czym pokazano mu jakąś leciwą kobietę, umierającą ze starości. Odeszła na jego oczach. Sporządził wówczas stosowny akt zgonu.

– Mogę panów zapewnić, że wszystko odbyło się całkiem naturalnie. W ogóle nie było tu miejsca na jakieś brudne sprawki – dodał.

W całym domu nie spostrzegł niczego dziwnego poza tym, że ludzie z tych sfer nie mieli żadnej służby. Tyle dowiedzieliśmy się od lekarza.

Wreszcie udaliśmy się do Scotland Yardu. Pojawiły się pewne trudności z uzyskaniem nakazu. Zwłoka była nieunikniona, gdyż sędzia mógł podpisać nakaz dopiero rano. Gdyby Holmes przyszedł około dziesiątej, mógłby się udać na miejsce z Lestrade’em i przeszukać dom. W ten sposób zakończył się dzisiejszy dzień, dodam tylko, że około północy odwiedził nas jeszcze nasz przyjaciel sierżant. Poinformował, że widział migoczące światła w oknach tego wielkiego ciemnego domu, lecz nikt stamtąd nie wychodził i nikt nie wchodził do środka. Mogliśmy się tylko uzbroić w cierpliwość i czekać na nadejście poranka.

Sherlock Holmes był zbyt rozdrażniony, aby rozmawiać, i zbyt podekscytowany, aby położyć się spać. Kiedy udawałem się na spoczynek, wciąż siedział, marszcząc ciemne brwi i paląc fajkę, a jego długie palce nerwowo bębniły w oparcie fotela. Zastanawiał się nad każdym możliwym rozwiązaniem tej zagadki. W nocy kilka razy słyszałem, jak krąży po domu. Rano, tuż po tym jak się przebudziłem, Holmes wpadł do mojego pokoju.

Wciąż był w szlafroku, lecz jego blada twarz i podkrążone oczy świadczyły o tym, że w nocy w ogóle nie spał.

– O której miał być ten pogrzeb? O ósmej, prawda? – spytał z przejęciem. – Teraz jest siódma dwadzieścia. Wielkie nieba, Watsonie! Co się stało z tym rozumem, danym mi od Boga? Szybko, szybko! Pośpiesz się, człowieku! To sprawa życia i śmierci. Szanse są jak jeden do stu. Nigdy, nigdy sobie nie wybaczę, jeśli przybędziemy za późno!

Niecałe pięć minut później mknęliśmy już dorożką po Baker Street. Mimo to, gdy mijaliśmy Big Ben, była już za dwadzieścia pięć ósma, a gdy wjechaliśmy na Brixton Road, wybiła ósma. Jednak pozostali spóźnili się tak samo jak my. Dziesięć po ósmej karawan wciąż jeszcze stał pod drzwiami domu, a gdy nasz spieniony koń się zatrzymał, trzech mężczyzn wynosiło właśnie trumnę przez próg. Holmes wyskoczył z dorożki i zagrodził im drogę.

– Wnieście ją z powrotem do środka – zawołał, kładąc dłoń na piersi pierwszego z mężczyzn. – Do środka, natychmiast!

– Czego pan, u diabła, chce?! Jeszcze raz pytam, gdzie pański nakaz? – wrzasnął Peters, a jego wielka czerwona twarz płonęła z wściekłości.

– Nakaz jest już w drodze. Trumna pozostanie w domu, dopóki policjanci nie przybędą z nakazem.

Władczy głos Holmesa podziałał na niosących trumnę. Peters nagle zniknął w domu, oni zaś posłuchali poleceń.

– Szybko, Watsonie, szybko! Tu jest śrubokręt! – zawołał, gdy tylko trumnę odstawiono na stół. – A tu drugi dla ciebie, mój dobry człowieku. Płacę suwerena, jeśli zdejmie pan to wieko w ciągu minuty! Żadnych pytań, niech się pan natychmiast bierze do pracy. Dobrze! I kolejna! I jeszcze jedna! A teraz unieśmy to wszyscy. Ustępuje! Ustępuje! Ach, nareszcie!

Wspólnym wysiłkiem podważyliśmy wieko. Gdy tylko to uczyniliśmy, po pokoju rozeszła się odurzająca nieprzyjemna woń chloroformu. W trumnie leżało jakieś ciało. Cała twarz owinięta była watą nasączoną tym środkiem. Holmes zdjął watę, i naszym oczom ukazała się piękna niczym posąg, uduchowiona twarz kobiety w średnim wieku. W jednej chwili objął ją ramieniem i uniósł do pozycji siedzącej.

– Watsonie, czy ona żyje? Czy tli się w niej jeszcze choćby iskra życia? Na pewno nie zjawiliśmy się zbyt późno?

Przez pół godziny wydawało się, że jednak było już za późno. Biorąc pod uwagę to, że się dusiła, a do tego jeszcze otaczały ją trujące opary chloroformu, należało przypuszczać, że życia lady Frances nie sposób już uratować. Ale potem po zastosowaniu sztucznego oddychania, podaniu eteru i użyciu wszystkich środków znanych nauce, wreszcie pojawiła się w niej słaba iskra życia. Powieki lekko zadrżały, powierzchnia lusterka zmatowiała, a lady powoli zaczęła dochodzić do siebie. Gdy pod dom zajechała dorożka, Holmes rozsunął zasłony i wyjrzał na zewnątrz.

– Jest Lestrade ze swoim nakazem – powiedział. – Przekona się, że jego ptaszki wyfrunęły. A z nim – dodał, gdy w korytarzu rozległy się ciężkie pośpieszne kroki – idzie ktoś, kto ma o wiele większe prawo niż my opiekować się tą damą. Dzień dobry, panie Green. Myślę, że im szybciej przeniesiemy lady Frances, tym lepiej. A tymczasem pogrzeb się odbędzie, ta biedna staruszka uda się na miejsce wiecznego spoczynku bez towarzystwa.

– Czy będziesz chciał dodać tę sprawę do swoich kronik, mój drogi Watsonie? – spytał tego wieczoru Holmes. – Może ona ci posłużyć za przykład chwilowego zaćmienia, które przytrafia się nawet najsprawniej funkcjonującemu umysłowi. Takie pomyłki zdarzają się wszystkim śmiertelnikom, i chwała tym, którzy potrafią je zauważyć i naprawić. Być może mógłbym się do nich zaliczyć. Przez całą noc dręczyło mnie przeczucie, że jest jakaś wskazówka, jakieś dziwne zdanie lub niecodzienny szczegół, które musiałem zauważyć, a potem zbyt łatwo odrzucić. I nagle, gdy już wstawał świt, przypomniały mi się te słowa. To były słowa żony przedsiębiorcy pogrzebowego, które powtórzył nam Philip Green: „Dawno już powinna tu być. Zajęło nam to więcej czasu, bo była dość nietypowa”. Chodziło o trumnę. Była nietypowa. Mogło to tylko oznaczać, że została wykonana w jakimś specjalnym celu. Ale dlaczego? Po co? Potem w jednej chwili przypomniałem sobie tę głęboką, przepastną trumnę i drobną, wymizerowaną postać na dnie. Po co tak wielka trumna na tak niewielkie ciało? Żeby zostawić miejsce na drugie ciało! Obie zostałyby pochowane na jeden akt zgonu. To wszystko było takie oczywiste! Gdybym tylko był wystarczająco bystry, żeby wcześniej na to wpaść! Lady Frances miała zostać pochowana o ósmej. Jedyne, co mogliśmy uczynić, to zatrzymać orszak pogrzebowy, zanim wyjdzie z domu.

Szansa, że znajdziemy ją jeszcze żywą, była desperacko nikła. A jednak ISTNIAŁA, jak się później okazało. Z tego, co wiem, ci ludzie nigdy przedtem nie popełnili morderstwa. Być może w ostatniej chwili okazali się niezdolni do czegoś tak brutalnego. Mogli ją natomiast pochować tak, by nie pozostały żadne ślady wskazujące, w jaki sposób zmarła. Nawet gdyby ją ekshumowano, wciąż jeszcze trudno byłoby im coś udowodnić. Miałem nadzieję, że doszli do takiego właśnie wniosku. Możemy dość dobrze odtworzyć tę scenę. Widziałeś tę straszną norę na górze, gdzie tak długo trzymali biedną lady? Wpadli do środka i odurzyli ją chloroformem, znieśli na dół, nalali do trumny jeszcze więcej chloroformu dla pewności, że się nie obudzi, a potem przykręcili wieko. Bystra sztuczka, Watsonie. Jak sądzę, to nowość w kronikach zbrodni. Jeśli nasz były misjonarz jakoś wymknie się Lestrade’owi, to spodziewam się, że w przyszłości jeszcze usłyszę o błyskotliwych poczynaniach tej parki łotrów.

Opowieść siódma

Czarcia stopa

Od czasu do czasu uzupełniam swoje notatki dotyczące mego starego przyjaciela Holmesa o kolejne zadziwiające wydarzenia i ciekawe wspomnienia naszej wieloletniej i bliskiej przyjaźni. Wówczas nieustannie natrafiam na pewne trudności powodowane niechęcią Sherlocka Holmesa do jakiegokolwiek rozgłosu. Pełen powagi i cynizmu umysł mojego przyjaciela nigdy nie znosił publicznego aplauzu. Nic nie bawiło go bardziej niż powierzenie – w ostatniej fazie sprawy – ujęcia przestępcy i ujawnienia wszystkich szczegółów jakiemuś sztywnemu policjantowi, a potem słuchanie z drwiącym uśmiechem chóru gratulacji kierowanych do niewłaściwego adresata. W rzeczywistości to właśnie takie nastawienie mojego przyjaciela, a nie z całą pewnością brak interesujących materiałów skłoniło mnie do tego, że tylko nieliczne z naszych przygód przedstawiłem moim czytelnikom. Mój udział w niektórych jego sprawach zawsze był przywilejem, który wymagał ode mnie dyskrecji i powściągliwości.

Dlatego więc byłem bardzo zdumiony, gdy w ubiegły wtorek otrzymałem od Holmesa telegram (jeszcze nigdy nie napisał listu, jeśli tylko wiedział, że telegram w zupełności wystarczy) o następującej treści:

> Dlaczego by im nie opowiedzieć o tym kornwalijskim horrorze? To najdziwniejsza sprawa, jaką prowadziłem.

Nie mam pojęcia, co sprawiło, że wspomnienia te odżyły w jego umyśle, i za sprawą jakiego kaprysu poprosił mnie, bym o tym opowiedział. Przed otrzymaniem następnego telegramu, w którym Holmes napisał, że jednak nie chce tego ujawnić, pobiegłem po swoje szczegółowe notatki, by przedstawić tę opowieść moim czytelnikom.

Działo się to wiosną 1897 roku. Wtedy pojawiły się oznaki pogorszenia się żelaz-nego zdrowia Holmesa, na co miała wpływ nieustanna i bardzo wyczerpująca praca. Nie jest wykluczone, że przyczyniła się do tego jego własna nieostrożność. W marcu dr Moore Agar z Harley Street, o którego dramatycznym spotkaniu z Holmesem być może któregoś dnia opowiem, zalecił słynnemu prywatnemu detektywowi, by odłożył na bok wszystkie swoje sprawy i poświęcił się w pełni wypoczynkowi, jeśli chce uniknąć całkowitego wycieńczenia. Sam Holmes bynajmniej nie interesował się stanem własnego zdrowia, bo jego umysł nie zwracał uwagi na tego typu drobiazgi, jakimi były symptomy choroby, w końcu jednak ustąpił w obliczu groźby, że zostanie na stałe pozbawiony możliwości wykonywania swojego zawodu, i zgodził się całkowicie zmienić otoczenie i powietrze. W ten właśnie sposób wczesną wiosną rzeczonego roku znaleźliśmy się obaj w małej wiosce niedaleko zatoki Poldhu, na najdalszym krańcu półwyspu kornwalijskiego.

Było to osobliwe miejsce, szczególnie dobrze odpowiadające ponuremu nastrojowi mojego pacjenta. Z okien naszego małego, bielonego wapnem domku, stojącego wysoko na równinnym przylądku, rozlegał się widok na złowrogie półkole zatoki Mount’s Bay, na tę starą straszliwą pułapkę dla żaglowców, z jej czarnymi klifami i sterczącymi skałami, będącymi śmiertelnym zagrożeniem dla niezliczonej ilości żeglarzy. Gdy wieje północna bryza, miejsce to jest spokojne i osłonięte, zapraszając miotane sztormem statki, by schroniły się w zatoce i przeczekały burzę. Potem kierunek wiatru nagle się zmienia, zrywa się wichura z południowego zachodu, rozpoczyna się rzucanie kotwic, fale spychają statki w stronę brzegu, a załogi toczą ostatnią walkę o życie ze spienionymi falami. Mądry marynarz trzyma się zwykle z daleka od tego miejsca.

Od strony lądu okolica była równie ponura jak od strony morza. Była to odludna kraina falujących ciemnobrązowych wrzosowisk. Z rzadka widać było kościelną wieżę, znaczącą miejsce, gdzie znajdowała się niewielka odosobniona, zapomniana przez świat wioska. Wszędzie na tych wrzosowiskach można było znaleźć ślady występowania jakiegoś od dawna nieistniejącejgo plemienia, które całkowicie zniknęło, pozostawiwszy po sobie jedynie kamienne budowle, nieregularne kurhany z prochami zmarłych oraz dziwne wały i umocnienia ziemne wskazujące na jakieś starożytne konflikty. Piękno i tajemniczość tego miejsca, jego niepokojąca

atmosfera, na którą składają się elementy wiary, tradycji oraz historii zapomnianych mieszkańców, poruszały wyobraźnię mojego przyjaciela, spędzał więc większość czasu na wrzosowisku na długich spacerach i samotnych rozważaniach. Uwagę jego przykuł również prastary kornwalijski język, i pamiętam, że rozważał hipotezę, iż ten język był spokrewniony z chaldejskim i w znacznym stopniu wywodził się od fenickich handlarzy cyną. Zamówił sporo książek poświęconych filologii, i właśnie zamierzał rozwinąć swe dociekania. Jednakże ku mojemu rozczarowaniu, a jego niekłamanej radości znaleźliśmy się nagle w samym środku sprawy, i to tutaj, w tej odosobnionej i dzikiej krainie. Sprawa natomiast była nieskończenie bardziej zajmująca i tajemnicza niż jakakolwiek z tych, które wygnały nas z Londynu. Nasze proste spokojne życie i zdrowe nawyki zostały gwałtownie zaburzone: w jednej chwili znaleźliśmy się w samym środku wydarzeń, które wywołały ogromne poruszenie nie tylko w Kornwalii, lecz na całym zachodzie Anglii. Wielu moich czytelników może przypomni sobie tę historię, określaną wówczas „kornwalijskim horrorem”, na podstawie wyjątkowo niedoskonałej relacji z tych wydarzeń, jaka przedostała się do londyńskiej prasy. Teraz, po trzynastu latach, pragnę wyjawić opinii publicznej prawdziwe szczegóły tej niesamowitej sprawy.

Wspominałem już, że miejsca, w których położone były wioski w tej części Kornwalii, znaczyły kościelne wieże. Najbliższą z nich była osada Tredannick Wollas, gdzie domki kilkuset mieszkańców stłoczyły się wokół starego, porośniętego mchem kościoła. Pastor tej parafii pan Roundhay amatorsko zajmował się archeologią, i to właśnie hobby zainteresowało Holmesa. Pastor był dość tęgim życzliwym człowiekiem w średnim wieku, posiadającym sporą wiedzą o lokalnym folklorze. Na jego zaproszenie pojechaliśmy na podwieczorek do plebanii i poznaliśmy tam również pana Mortimera Tregennisa, niezależnego dżentelmena, dzięki któremu pastor mógł podreperować swoje dość skromne dochody, wynajmując kwaterę we własnym wielkim, przestronnym domu. Pan Roundhay był kawalerem i z radością przystał na taki układ, choć niewiele go łączyło z lokatorem, wysokim smagłym człowiekiem w okularach, garbiącym się tak bardzo, iż można było odnieść wrażenie, że jego ciało jest faktycznie zdeformowane. Pamiętam, że podczas naszej krótkiej wizyty przekonaliśmy się, że pastor był dość gadatliwy, zaś jego lokator – dziwnie powściągliwy i skryty.

Siedział ze smutną twarzą, odwracając od nas oczy i najwyraźniej zastanawiając się nad jakimiś własnymi sprawami.

To właśnie tych dwóch mężczyzn wtargnęło nagle do naszego małego salonu we wtorek szesnastego marca, wkrótce po śniadaniu, gdy siedzieliśmy, paląc fajki i przygotowując się do naszej codziennej wędrówki po wrzosowisku.

– Panie Holmes! – zawołał pastor poruszonym głosem. – W nocy wydarzyło się coś naprawdę niezwykłego i tragicznego. To rzeczywiście potworna sprawa. Możemy uznać za znak opatrzności, że jest pan teraz akurat tutaj. Chyba nie ma w całej Anglii człowieka, którego byśmy teraz bardziej potrzebowali niż pana.

Spojrzałem niezbyt przychylnie na intruza, Holmes jednak natychmiast wyjął fajkę z ust i wyprostował się na swoim krześle niczym stary pies myśliwski, który usłyszał polecenie, by ruszyć w pogoń za lisem. Wskazał ręką na sofę, a nasz bliski palpitacji gość wraz ze swym wzburzonym towarzyszem usiedli na niej obok siebie. Pan Mortimer Tregennis był bardziej opanowany niż pastor, jednak drżenie jego chudych rąk i blask ciemnych oczu świadczyły o tym, że obaj czuli podobne wzburzenie.

– Ja mam mówić czy pan? – spytał pastora.

– Cóż, skoro, jak się wydaje, pan to odkrył, czymkolwiek by to było, a pan Roundhay zna całą historię z drugiej ręki, chyba będzie najlepiej, jeśli pan nam to opowie – rzekł Holmes.

Spojrzałem na pastora, który najwyraźniej ubierał się w pośpiechu, i na jego porządnie ubranego lokatora, siedzącego tuż obok, i z rozbawieniem zaobserwowałem zaskoczenie, które pojawiło się na ich twarzach po tej prostej dedukcji Holmesa.

– Może lepiej będzie jeśli na początek to ja powiem parę słów – rzekł pastor – a wtedy będzie pan mógł sam ocenić, czy zechce najpierw wysłuchać szczegółów tej sprawy od pana Tregennisa, czy też może powinniśmy natychmiast udać się na miejsce, gdzie wydarzyła się ta tajemnicza sprawa. Chciałbym zatem wyjaśnić, że obecny tu nasz przyjaciel spędził ubiegły wieczór w towarzystwie dwóch swoich braci, Owena i George’a, oraz swojej siostry Brandy w ich domu Tredannick Wartha, niedaleko tego starego kamiennego krzyża na wrzosowisku. Wyszedł od nich krótko po dziesiątej, zostawiając ich grających w karty przy stole w jadalni, w doskonałym zdrowiu i nastroju. Pan Tregennis z reguły wstaje

wcześniej, więc tego ranka przed śniadaniem ruszył na spacer w kierunku domu rodzeństwa. W pewnej chwili zatrzymał się przy nim powóz doktora Richardsa. Lekarz wyjaśnił mu, że właśnie otrzymał bardzo pilne wezwanie do Tredannick Wartha. Pan Mortimer oczywiście pojechał wraz z nim. Gdy dotarł do domu swego rodzeństwa, zastał bardzo niezwykłą scenę. Obaj jego bracia i siostra znajdowali się przy stole dokładnie tak, jak ich pozostawił, przed nimi wciąż leżały karty, a świece były wypalone do końca. Siostra siedziała odchylona na krześle, zimna i martwa, natomiast dwaj bracia po obu jej stronach śmiali się, krzyczeli i śpiewali. Całkowicie postradali zmysły! Cała trójka, martwa kobieta i dwóch obłąkanych mężczyzn, miała na twarzach wyraz nieopisanego przerażenia, grymas strachu, na który patrzyło się ze zgrozą. W domu nie odnaleziono śladu obecności kogoś obcego z wyjątkiem pani Porter, starej kucharki i gospodyni, która oświadczyła, że głęboko spała i niczego w nocy nie słyszała. Niczego nie skradziono ani nie zniszczono, i absolutnie nie sposób było wyjaśnić, co przeraziło tę młodą kobietę na śmierć i sprawiło, że dwóch silnych mężczyzn oszalało. Tak właśnie w skrócie wygląda sytuacja, panie Holmes, i jeśli pomoże nam pan to wyjaśnić, wykona doprawdy wspaniałą pracę.

Liczyłem jeszcze na to, że w jakiś sposób uda mi się namówić mojego towarzysza do kontynuowania tego spokojnego trybu życia, który był celem naszego przyjazdu do Kornwalii. Wystarczyło jednak tylko spojrzeć na jego skupioną twarz i ściągnięte brwi, by się przekonać, jak płonne były moje nadzieje. Przez chwilę siedział w milczeniu, pochłonięty tym dziwnym dramatem, który wtargnął w nasze spokojne życie.

– Zajmę się tą sprawą – powiedział wreszcie. – Na pierwszy rzut oka wydaje się wyjątkowo niezwykła. Był pan tam, panie Roundhay?

– Nie, panie Holmes. Pan Tregennis przywiózł wieści o zajściu na plebanię, i natychmiast razem z nim pośpieszyliśmy tutaj, by poradzić się pana.

– Jak daleko jest stąd do domu, w którym wydarzyła się ta straszna tragedia?

– Mniej więcej mila w głąb lądu.

– W takim razie przejdziemy się tam razem. Jednak zanim wyruszymy, muszę zadać panu kilka pytań, panie Tregennis.

Drugi z naszych gości przez cały ten czas milczał, zdążyłem jednak zauważyć, że choć lepiej panował nad swoimi nerwami, był nawet bardziej poruszony niż ostentacyjnie okazujący swoje emocje duchowny. Siedział z pobladłą ściągniętą twarzą, utkwiwszy niespokojne spojrzenie w Holmesie, dłonie miał konwulsyjnie zaciśnięte. Gdy słuchał o tej straszliwej tragedii, która dotknęła jego rodzinę, zbielałe wargi drżały, a w ciemnych oczach wydawało się odbijać coś z grozy tej opisanej wcześniej sceny.

– Proszę pytać, o co tylko pan zechce, panie Holmes – rzekł skwapliwie. – Cała ta sprawa jest tak mroczna, że trudno mi o niej mówić, ale powiem panu całą prawdę.

– Proszę mi opowiedzieć o wydarzeniach ubiegłej nocy.

– Cóż, panie Holmes. Tak jak wspominał pastor, zjadłem tam kolację, a potem mój starszy brat zaproponował, byśmy zagrali w wista. Siedliśmy do gry około dziewiątej. Wyszedłem mniej więcej kwadrans po dziesiątej. Zostawiłem ich wszystkich wesołych, siedzących przy stole.

– Kto otwierał panu drzwi, gdy pan wychodził?

– Pani Porter już spała, więc wyszedłem sam. Zamknąłem za sobą wyjściowe drzwi. Okno pokoju, w którym siedzieli i grali, było zamknięte, ale zasłona nie była zaciągnięta. Dziś rano nie zauważyłem żadnych zmian na drzwiach czy oknach ani niczego, co dałoby mi powody sądzić, że w domu był ktoś obcy. A mimo to siedzieli tam obłąkani z przerażenia. Brenda spoczywała martwa na krześle, z głową zwisającą na bok. Nigdy, póki żyję, nie zapomnę widoku tego pokoju.

– Fakty, tak jak je pan opisuje, są z całą pewnością bardzo niezwykłe – rzekł Holmes. – Zakładam, że sam pan nie ma żadnej teorii, która mogłaby wszystko jakoś wyjaśnić.

– To diabelska sprawka, panie Holmes. Diabelska sprawka! – zawołał Mortimer Tregennis. – To, co się tam zdarzyło, nie pochodzi z tego świata. W tym pokoju zjawiło się coś, co zgasiło światło rozsądku w ich umysłach. Czy jakikolwiek człowiek mógłby wymyślić coś takiego?

– Obawiam się – rzekł Holmes – że jeśli sprawa nie jest zwykłej ludzkiej natury, wówczas jej rozwiązanie będzie zadaniem, które mnie przerośnie. Zanim uciekniemy się do takiej teorii, musimy najpierw wyczerpać wszelkie naturalne ziemskie wyjaśnienia. A jeśli chodzi o pana, panie

Tregennis, zakładam, że z jakiegoś powodu celowo odseparował się pan od rodziny, jako że oni mieszkali razem, a pan wynajmuje kwaterę.

– W istocie, panie Holmes, jednak ta sprawa należy do przeszłości i została już załatwiona. Wszyscy pochodziliśmy z rodziny związanej z kopalnią cyny w Redruth, sprzedaliśmy jednak nasze przedsiębiorstwo pewnej firmie i zostaliśmy rentierami, dysponując środkami pozwalającymi nam się spokojnie utrzymywać. Nie przeczę, że istniały pewne problemy związane z podziałem tych pieniędzy, i przez jakiś czas one nas dzieliły, wszystko jednak zostało wybaczone i zapomniane, i znów staliśmy się najlepszymi przyjaciółmi.

– Jeśli chodzi o wieczór, który spędziliście razem, czy pańską uwagę zwróciło coś, co mogłoby ewentualnie rzucić światło na tę tragedię? Proszę się dobrze zastanowić, panie Tregennis, każda wskazówka mogłaby mi bardzo pomóc.

– Ale nie było niczego takiego, sir.

– Byliście w takich nastrojach jak zwykle?

– Nigdy nie czuliśmy się lepiej.

– Czy to byli nerwowi ludzie? Czy kiedykolwiek wykazywali oznaki obaw przed jakimś zbliżającym się niebezpieczeństwem?

– Nic podobnego.

– W takim razie czy może pan dodać jeszcze coś, co mogłoby mi pomóc?

Mortimer Tregennis przez chwilę poważnie się zastanawiał.

– Przychodzi mi do głowy jedna rzecz – powiedział wreszcie. – Siedziałem przy stole, zwrócony plecami do okna, a mój brat George, który był moim partnerem w grze, siedział do niego przodem. Zobaczyłem w pewnym momencie, jak intensywnie na coś patrzy ponad moim ramieniem, więc odwróciłem się i również tam spojrzałem. Okno było zamknięte, lecz zasłona odsunięta. Widziałem krzewy na trawniku i przez chwilę wydawało mi się, że coś się w nich porusza. Nie potrafię nawet powiedzieć, czy to był człowiek, czy zwierzę, ale wydawało mi się, że coś tam jest. Kiedy go spytałem, na co tak patrzy, powiedział mi, że odniósł podobne jak ja wrażenie. To wszystko, co mogę powiedzieć.

– Nie próbował pan tego sprawdzić?

– Nie. Zapomnieliśmy o całej sprawie, bo wydawała się zupełnie nieważna.

– A więc kiedy pan stamtąd wychodził, nie miał pan jakichś złych przeczuć?

– Najmniejszych.

– Nie do końca rozumiem, jak to się stało, że dziś, o tak rannej porze usłyszał pan te wieści.

– Wcześnie wstaję i z reguły wychodzę na spacer przed śniadaniem. Dziś rano ledwo zdążyłem wyruszyć z domu, gdy dogonił mnie lekarz w swoim powozie. Powiedział mi, że stara pani Porter przysłała chłopaka z pilnym wezwaniem. Wskoczyłem do powozu, siadłem obok niego, i obaj tam pojechaliśmy. Kiedy dotarliśmy na miejsce, rzuciliśmy się do tego upiornego pokoju. Świece i ogień na kominku musiały się wypalić wiele godzin wcześniej, a oni siedzieli tam w ciemności, póki nie nastał świt. Lekarz stwierdził, że Brenda musiała nie żyć co najmniej od sześciu godzin. Nie było żadnych śladów przemocy. Po prostu leżała w krześle, przewieszona przez jego poręcz, z tym przerażającym wyrazem na twarzy… George i Owen śpiewali urywki jakichś piosenek i bełkotali jak dwie wielkie małpy. Och, co za straszny widok! Nie byłem w stanie tego znieść, a lekarz pobladł jak płótno. Sam nawet opadł na krzesło, tak jakby zaraz miał zemdleć.

– Niezwykłe. Wyjątkowo niezwykłe! – rzekł Holmes, wstając i sięgając po kapelusz. – Myślę, że powinniśmy teraz bezzwłocznie udać się do Tredannick Wartha. Muszę przyznać, że rzadko zdarzała mi się sprawa, która już na pierwszy rzut oka wydawałaby się tak bardzo osobliwą.

To, co zrobiliśmy tego pierwszego ranka, niewiele posunęło śledztwo naprzód. Jednak już na samym początku miał miejsce pewien incydent, który wywarł na mnie wyjątkowo ponure wrażenie. Do domu, w którym wydarzyła się ta tragedia, szło się wiejską drogą, wąską i krętą. Idąc tą drogą, usłyszeliśmy turkot powozu zbliżającego się w naszym kierunku i zeszliśmy na bok, aby mógł przejechać. Gdy nas mijał, ujrzałem przez zamknięte okno potwornie powykręcaną, paskudnie roześmianą twarz, która się nam przypatrywała. Te wlepione w nas oczy i wyszczerzone zęby przemknęły obok niczym jakaś koszmarna wizja.

– Moi bracia! – zawołał Mortimer Tregennis. Zbladł tak, że nawet jego wargi wydawały się białe. – Zabierają ich do Helston.

Zdjęci grozą, patrzyliśmy w ślad za czarnym powozem, toczącym się ciężko po drodze, po czym ruszyliśmy w stronę owego domu, w którym

tych ludzi spotkał tak dziwny los.

Był to duży i przestronny budynek, raczej willa niż wiejska chata, ze sporym ogrodem, który w łagodnym kornwalijskim klimacie był już pełen wiosennych kwiatów. Na ten właśnie ogród wychodziło okno salonu, skąd, według Mortimera Tregennisa, przyszło zło, które w przerażający sposób w jednej chwili poraziło umysły jego braci. Nim weszliśmy na ganek, Holmes powoli, w skupieniu przechadzał się między rabatami wzdłuż ścieżki. Pamiętam, że był tak pochłonięty swoimi myślami, iż potknął się o konewkę i wylał jej zawartość na ścieżkę, zalewając nam buty.

W domu powitała nas leciwa kornwalijska gospodyni, pani Porter, która z pomocą młodej dziewczyny troszczyła się o wszystkie potrzeby tej rodziny. Chętnie odpowiedziała na wszystkie pytania Holmesa. W nocy nie słyszała niczego. Ostatnimi czasy wszyscy jej pracodawcy byli we wspaniałych nastrojach, i nie pamiętała, żeby kiedykolwiek byli weselsi i lepiej im się powodziło. Ona sama zemdlała z przerażenia, gdy rano weszła do pokoju i zobaczyła to koszmarne towarzystwo przy stole. Kiedy już doszła do siebie, otworzyła okno, by wpuścić trochę porannego powietrza, i pobiegła do drogi, skąd wysłała parobka, aby sprowadził lekarza. Jeśli chcemy zobaczyć jej panią, to leży ona w swoim łóżku na górze. Potrzeba było czterech silnych mężczyzn, aby wsadzić obu braci do powozu, który zabrał ich do zakładu dla obłąkanych. Ona sama nie zamierzała pozostawać w tym domu ani dnia dłużej i jeszcze tego samego popołudnia wybierała się do St. Ives, by zamieszkać u swojej rodziny.

Weszliśmy na piętro i obejrzeliśmy ciało. Panna Brenda Tregennis była bardzo piękną kobietą, choć wkraczała już nieuchronnie w wiek średni. Jej smagła wyrazista twarz była cudowna nawet po śmierci, lecz wciąż widać było na niej grymas przerażenia, które okazało jej ostatnim uczuciem za życia. Z sypialni zeszliśmy na dół do salonu, w którym wydarzyła się ta niebywała tragedia. Na ruszcie kominka leżał popiół po spalonym drewnie. Na stole stały cztery wypalone świece, a na jego blacie wciąż leżały rozrzucone karty. Krzesła odsunięto do ściany, lecz wszystko inne pozostawiono w takim stanie, w jakim zostało znalezione. Holmes przemierzał pokój lekkimi szybkimi krokami. Siadał na różnych krzesłach, przysuwał je do stołu i odtwarzał ich pierwotne położenie. Sprawdzał, w jakim stopniu przez okno był widoczny ogród, zbadał podłogę, sufit i kominek, ale ani razu nie spostrzegłem na jego twarzy tego nagłego

błysku w oczach czy zaciśnięcia ust, które powiedziałyby mi, że dostrzegł jakieś światełko w tej całkowitej ciemności.

– Dlaczego w kominku rozpalili? – spytał. – Czy w tym małym pokoju grzeją nawet wiosną?

Mortimer Tregennis wyjaśnił, że noc była zimna i wilgotna, i dlatego już po jego przyjeździe rozpalono ogień.

– Co pan zamierza teraz zrobić, panie Holmes? – zapytał.

Mój przyjaciel uśmiechnął się i położył mi dłoń na ramieniu.

– Myślę, Watsonie, że wrócę do intensywnego zatruwania się tytoniem, które tak często i tak słusznie potępiałeś – powiedział. – Za pozwoleniem, panowie, teraz udamy się do siebie, ponieważ nie sądzę, byśmy mogli znaleźć tu jeszcze coś nowego. Zastanowię się nad wszystkim, panie Tregennis, i jeśli cokolwiek przyjdzie mi do głowy, z całą pewnością skontaktuje się z panem i pastorem. A tymczasem, panowie pozwolą, życzę wam obu miłego dnia.

Po powrocie do naszego domku w Poldhu upłynęło dużo czasu, nim Holmes przerwał całkowite, pełne skupienia milczenie. Siedział skulony w swoim fotelu, a jego chuda ascetyczna twarz była ledwie widoczna w zasłonie kłębów niebieskawego tytoniowego dymu. Czarne brwi były ściągnięte, czoło zmarszczone, a nieobecne oczy spoglądały gdzieś w dal. W końcu odłożył swoją fajkę i zerwał się na nogi.

– To nam nie wystarczy, Watsonie – powiedział z uśmiechem. – Przejdźmy się razem wzdłuż klifów i poszukajmy krzemiennych grotów. Łatwiej przyjdzie nam je znaleźć, niż uzyskać jakieś wskazówki potrzebne do rozwiązania tej zagadki. Zmuszanie mózgu do pracy bez wystarczającego materiału jest jak przeciążanie silnika. W końcu rozpadnie się na kawałki. Morskie powietrze, słońce i cierpliwość, Watsonie. Reszta przyjdzie sama.

– A teraz przeanalizujmy naszą sytuację – ciągnął dalej, gdy ruszyliśmy wzdłuż krawędzi klifów. – Zdefiniujmy tę niewielką ilość informacji, którą posiadamy, żeby wówczas, gdy pojawią się nowe fakty, można je było natychmiast dopasować we właściwe miejsce tej układanki. Przede wszystkim zakładam, że żaden z nas nie jest gotów pogodzić się z możliwością interwencji jakichś demonicznych sił w ludzkie sprawy. Zacznijmy od całkowitego wykluczenia tej ewentualności. Bardzo dobrze. Mamy trzy ofiary świadomego lub nieświadomego przestępstwa

popełnionego przez człowieka. Na razie poruszamy się po twardym gruncie. A teraz pomyślmy. Kiedy to się stało? Zakładając, że jego opowieść była prawdziwa, doszło do tego najwyraźniej bezpośrednio po wyjściu pana Mortimera Tregennisa z pokoju. To bardzo ważny moment. Zakładamy, że stało się to jakieś kilka minut później. Karty wciąż leżały na stole. Minęła już pora, o której zazwyczaj udawali się na spoczynek. Nie zmienili pozycji ani nie odsunęli krzeseł. A więc, powtarzam, musiało do tego dojść bezpośrednio po jego wyjściu, nie później niż o jedenastej ubiegłego wieczoru.

Naszym kolejnym krokiem jest ustalenie, na tyle na ile to możliwe, poczynań Mortimera Tregennisa po opuszczeniu pokoju. Nie jest to trudne, jego działania nie wydają się wzbudzać żadnych podejrzeń. Człowiek, który zna moje metody tak dobrze jak ty, Watsonie, musiał naturalnie zdawać sobie sprawę z tej nieco niezręcznej sztuczki z wywróceniem konewki, dzięki czemu udało mi się uzyskać wyraźniejszy odcisk jego stopy, niż byłoby to możliwe w innych okolicznościach. Przepięknie się odcisnęła na tej mokrej piaszczystej ścieżce. Ostatnia noc, jak pamiętasz, również była wilgotna, i łatwo prześledziłem jego drogę. Wygląda na to, że szybkim krokiem odszedł w kierunku plebanii.

Tak więc skoro Mortimer Tregennis zniknął ze sceny, to pojawił się ktoś inny, ktoś, kto wywarł takie wrażenie na pozostałych uczestnikach gry w karty. Panią Porter możemy wykluczyć. Jest całkowicie nieszkodliwa. Czy mamy jakieś dowody, że ktoś zakradł się pod okno wychodzące na ogród i spowodował, że ci, którzy go zobaczyli, postradali zmysły? Jedyna sugestia pochodzi od samego Mortimera Tregennisa, który powiedział nam, że podobnie jak jego brat zauważył jakiś ruch w ogrodzie. Jest to z całą pewnością niezwykłe, ponieważ noc była deszczowa, pochmurna i ciemna. Każdy, kto zamierzałby wystraszyć tych ludzi, byłby zmuszony przysunąć twarz do samej szyby, żeby w ogóle go zobaczyli. Pod tym oknem jest szeroka na trzy stopy rabata z kwiatami, nie ma jednak na niej żadnych odcisków stóp. W związku z tym trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób człowiek z zewnątrz mógłby wywrzeć tak straszliwe wrażenie na siedzącym w środku towarzystwie. Nie znaleźliśmy też do tej pory żadnego motywu, który tłumaczyłby uknucie tak dziwnego misternego planu. Widzisz, jakie mamy trudności, Watsonie?

– Są aż nazbyt wyraźne – odparłem z przekonaniem.

– A jednak jeśli uzyskamy trochę więcej materiału, przekonamy się, że wcale nie są nie do pokonania – rzekł Holmes. – Myślę, Watsonie, że w swoich obszernych archiwach mógłbyś znaleźć parę przypadków, które wydawały się równie niejasne. A tymczasem odłóżmy tę sprawę na bok, dopóki nie otrzymamy bardziej dokładnych danych, i poświęćmy resztę tego poranka na poszukiwanie śladów człowieka neolitu.

Wspominałem już o tym, jak mój przyjaciel potrafił wyłączyć się nagle ze sprawy i skierować swe myśli na zupełnie inne tory, nigdy jednak nie zdumiało mnie to tak bardzo, jak tego wiosennego ranka w Kornwalii, kiedy przez dwie godziny raczył mnie wykładem o Celtach, grotach strzał i skorupach garncarskich. Robił to z takim zaangażowaniem, jakby nie istniała żadna złowieszcza tajemnica, którą należało rozwiązać. Dopiero gdy tego popołudnia powróciliśmy do naszego domu i zastaliśmy czekającego na nas gościa, nasze myśli znów powróciły do bieżącej sprawy. Żadnemu z nas nie trzeba było wyjaśniać, kim był ten człowiek. Potężne ciało, pomarszczona, głęboko pobrużdżona twarz o dzikich oczach i orlim nosie, siwa głowa, która niemal dotykała sufitu pokoju, broda, złocista na końcu, a biała w okolicach ust, z wyjątkiem plamy od nikotyny po jego nieodłącznym cygarze, wszystko to było równie dobrze znane tak w Londynie, jak i w Afryce i jednoznacznie wskazywało na niesamowitą osobowość doktora Leona Strendale’a, wielkiego badacza i łowcy lwów.

Słyszeliśmy już wcześniej, że przebywa w tej okolicy, i parę razy widzieliśmy jego sylwetkę na ścieżkach wiodących przez wrzosowisko. Nie szukał jednak z nami kontaktu, my natomiast nawet nie marzyliśmy o tym, że to uczyni, ponieważ doskonale zdawaliśmy sobie sprawę, iż to z powodu swego upodobania do życia w odosobnieniu spędzał większość czasu pomiędzy swoimi ekspedycjami w małym domku ukrytym gdzieś w lesie Beauchamp Arriance. Tam, w otoczeniu książek i map, wiódł absolutnie samotne życie, troszcząc się o najprostsze potrzeby i pozornie nie zwracając uwagi na sprawy swoich sąsiadów. Było więc dla mnie ogromnym zaskoczeniem, gdy usłyszałem, jak pełnym przejęcia głosem pyta Holmesa, czy poczynił jakiekolwiek postępy w odtworzeniu okoliczności tego tajemniczego wydarzenia.

– Policja z hrabstwa zupełnie nie wie, co począć – powiedział – ale być może pańskie bogatsze doświadczenie podsunęło mu jakieś wytłumaczenie. Proszę pana, by wtajemniczył mnie w tę sprawę tylko dlatego, że

wielokrotnie zatrzymywałem się w tej okolicy i bardzo dobrze poznałem rodzinę Tregennisów. Mógłbym ich nawet nazwać kuzynami ze strony mojej matki, Kornwalijki. Ten przedziwny los, który ich spotkał, był dla mnie ogromnym szokiem. Wybierałem się do Afryki i byłem już w Plymouth, ale dziś rano dotarły do mnie te wieści, więc natychmiast powróciłem, by pomóc w śledztwie.

Holmes uniósł brwi.

– Pański statek odpłynął?

– Popłynę następnym.

– O rany! To musiała być prawdziwa przyjaźń.

– Wspominałem już panu, że byli moimi krewnymi.

– Tak, tak. Kuzynami ze strony matki. Czy pański bagaż był już na pokładzie?

– Częściowo, większość została w hotelu.

– Rozumiem. Ale o tym wydarzeniu na pewno nie pisano jeszcze w porannych gazetach w Plymouth?

– Nie, sir. Dostałem telegram.

– Mogę spytać, od kogo?

Po surowej twarzy podróżnika przemknął cień.

– Jest pan bardzo dociekliwy, panie Holmes.

– Taką mam pracę.

Z wyraźnym wysiłkiem doktor Sterndale odzyskał panowanie nad sobą.

– Nie mam nic przeciwko temu, powiem panu – rzekł. – To pastor, pan Roundhay, wysłał telegram, który mnie tutaj sprowadził.

– Dziękuję – rzekł Holmes. – Jeżeli chodzi o pana pierwsze pytanie, nie mam sprecyzowanej opinii na temat tej sprawy, żywię jednak nadzieję, że ją rozwiążę. Jest jeszcze przedwcześnie na jakiekolwiek wnioski.

– Być może zechciałby mi pan powiedzieć, czy pańskie podejrzenia idą w jakimś konkretnym kierunku?

– Nie, nie mogę odpowiedzieć na to pytanie.

– W takim razie zmarnowałem czas i nie będę już przedłużać mojej wizyty – słynny podróżnik szybkim krokiem opuścił nasz dom w wyraźnie złym humorze, a po pięciu minutach Holmes ruszył za nim.

Nie było go aż do wieczora. Wracając, szedł powolnym krokiem, twarz miał ponurą i wymizerowaną. Wiedziałem już, że nie poczynił żadnych

znaczących postępów w swym śledztwie. Rzucił okiem na telegram, który na niego czekał, i cisnął go na ruszt kominka.

– To z hotelu w Plymouth, Watsonie – powiedział. – Dowiedziałem się od pastora, jak się nazywał, i wysłałem tam telegram, żeby sprawdzić, czy relacja doktora Leona Sterndale'a była prawdziwa. Wygląda na to, że rzeczywiście spędził tam ubiegłą noc i wysłał już część swojego bagażu do Afryki, sam zaś powrócił, by uczestniczyć w tym śledztwie. Co o tym sądzisz, Watsonie?

– Jest nim bardzo zainteresowany.

– Bardzo zainteresowany… Tak. To jest nić, której jeszcze nie chwyciliśmy, a która być może przeprowadzi nas przez ten splątany kłębek. Rozchmurz się, Watsonie, bo jestem pewien, że niewiele jeszcze wiemy. Kiedy poznamy więcej, pokonamy wszystkie trudności.

Nie zdawałem sobie nawet sprawy, jak szybko spełni się przepowiednia Holmesa ani jak dziwny i złowróżbny będzie dalszy rozwój wypadków, który zapoczątkował zupełnie nowy rozdział w naszym śledztwie. Goliłem się rano przy oknie, gdy usłyszałem tętent kopyt; wyjrzawszy przez okno, zobaczyłem dwukółkę pędzącą galopem drogą. Zatrzymała się przy naszych drzwiach, po czym wyskoczył z niej nasz przyjaciel pastor i co tchu ruszył ogrodową ścieżką. Holmes był już ubrany, i obaj pośpieszyliśmy na dół, by wyjść mu na spotkanie.

Nasz gość był tak poruszony, że ledwie mógł wydobyć z siebie słowo. W końcu jednak, łapiąc powietrze, urywanymi zdaniami wyrzucił z siebie tę tragiczną nowinę.

– Nawiedził nas diabeł, panie Holmes! Moją biedną parafię nawiedził diabeł! – zawołał. – Sam szatan tutaj grasuje! Wszyscy jesteśmy w jego rękach!

W swoim podekscytowaniu niemal tańczył po pokoju, wyglądałby dość groteskowo i śmiesznie, gdyby nie jego biała jak kreda twarz i przerażone oczy. Wreszcie wydobył z siebie straszne wieści.

– Pan Mortimer Tregennis zmarł dzisiaj w nocy. Miał dokładnie takie same objawy, jak reszta jego rodziny.

Holmes zerwał się na równe nogi, w jednej chwili pełen energii i żądny działania.

– Zmieścimy się wszyscy do pańskiej dwukółki?

– Owszem.

– W takim razie, Watsonie, odłożymy na później nasze śniadanie. Panie Roundhay, jesteśmy całkowicie do pańskiej dyspozycji. Tylko szybko, szybko, zanim ktoś coś poprzestawia!

Lokator pastora zajmował na plebanii dwa narożne pokoje, położone jeden nad drugim. Na dole znajdował się duży salon, a nad nim sypialnia. Okna wychodziły na trawnik do gry w krykieta, sięgający do samych okien salonu. Przyjechaliśmy na miejsce jeszcze przed pojawieniem się lekarza i policji, więc wszystko znajdowało się w całkowicie nienaruszonym stanie. Opiszę teraz tę scenę tak dokładnie, jak ją ujrzeliśmy w ten mglisty marcowy poranek. Do tego stopnia wryła się w moją pamięć, że nigdy nie potrafię jej zapomnieć.

W pokoju panował potworny przygnębiający zaduch. Gdyby służący nie otworzył okna wcześnie rano, zaduch byłby wręcz nie do zniesienia. Po części mogło to wynikać z faktu, że pośrodku stołu stała zapalona i wciąż dymiąca lampa. Przy stole siedział na krześle zmarły, odchylony do tyłu. Jego rzadka bródka sterczała do góry, okulary zsunęły się na czoło, a szczupłą ciemną twarz zwróconą w stronę okna wykrzywił taki sam grymas przerażenia, jaki odbił się bardzo wyraźnie w rysach jego nieżyjącej siostry. Ręce i nogi były powykręcane, a palce zaciśnięte, tak jakby zmarł w paroksyzmie strachu. Był ubrany, choć znaleźliśmy oznaki świadczące o tym, że ubierał się w pośpiechu. Wcześniej dowiedzieliśmy się, że spał w swoim łóżku i ten tragiczny koniec spotkał go wczesnym rankiem.

Gdy tylko weszliśmy do salonu, w Holmesie nastąpiła gwałtowna zmiana: flegmatyczna powierzchowność przeobraziła się w rozgrzaną do białości energię. W jednej chwili stał się spięty i czujny, w oczach pojawił się błysk, twarz stężała, a mięśnie rąk się naprężyły w oczekiwaniu na fizyczny wysiłek. Wyszedł na trawnik, wrócił przez przeszklone drzwi, obszedł pokój, przeszedł do sypialni niczym wyżeł w pogoni za zwierzyną. Błyskawicznie przeszukał sypialnię, a na koniec energicznie otworzył okno na oścież, co najwyraźniej dało mu jakieś nowe powody do ekscytacji, bo natychmiast się przez nie wychylił z głośnymi okrzykami radości i zaciekawienia. Potem pędem ruszył na dół po schodach, wybiegł przez otwarte drzwi, rzucił się na trawnik, zerwał na równe nogi i znów wrócił do pokoju, a wszystko to z energią myśliwego, który depcze już po piętach ściganej zwierzynie. Wyjątkowo drobiazgowo i starannie zbadał lampę, która wydawała się zupełnie zwyczajna, i dokonał pewnych pomiarów jej

pojemnika na naftę. Obejrzał starannie przez lupę warstwę sadzy pokrywającą szczyt osłony lampy i zdrapał trochę osadu, który przylgnął do jej górnej powierzchni. Odrobinę tego pyłu wsypał do koperty, którą umieścił w swoim portfelu. Gdy wreszcie przyjechał lekarz i zjawiła się policja, Holmes przywołał gestem pastora, po czym wszyscy trzej wyszliśmy na trawnik.

– Mogę z przyjemnością poinformować, że moje śledztwo nie było całkowicie jałowe. Nie mogę tutaj pozostać, by omówić go z policją, ale byłbym panu bardzo zobowiązany, panie Roundhay, gdyby przekazał pan wyrazy szacunku inspektorowi i raczył zwrócić mu uwagę na okno w sypialni oraz na lampę w salonie. Każdy z tych obiektów jest bardzo ważny, a razem mają niemal rozstrzygające znaczenie. Jeśli policjanci będą chcieli uzyskać więcej informacji, chętnie się z nimi spotkam w naszym domu. A teraz, Watsonie, myślę, że znacznie lepiej wykorzystamy nasz czas gdzie indziej.

Być może policjanci poczuli się urażeni wtargnięciem jakiegoś amatora lub też wydawało im się, że są na jakimś obiecującym tropie, ponieważ nikt z policji nie zjawił się u nas przez kolejne dwa dni. Holmes spędził ten czas, siedząc zamyślony w fotelu i paląc fajkę. Zaczął jednak częściej wychodzić na samotne spacery, a kiedy wracał po wielu godzinach, nawet słowem nie wspominał, gdzie był. Jeden z przeprowadzonych przez niego eksperymentów wskazał mi, w jakim kierunku podąża śledztwo. Kupił lampę, identyczną jak ta, która paliła się w pokoju Mortimera Tregennisa tego samego ranka, gdy doszło do tragedii. Napełnił ją taką samą naftą, jakiej używano na plebanii, i starannie zmierzył czas potrzebny do tego, aby jej pojemnik się opróżnił. Kolejny przeprowadzony przez niego eksperyment był bardziej nieprzyjemny, i z całą pewnością nigdy go nie zapomnę.

– Pamiętasz chyba, Watsonie – zauważył pewnego popołudnia – że w tych wszystkich relacjach, które usłyszeliśmy, występuje jeden wspólny czynnik. Chodzi mi o oddziaływanie powietrza na ludzi, którzy wchodzili do pokoju. Mortimer Tregennis, opisując ostatnią wizytę w domu swoich braci, powiedział nam, że lekarz po wejściu do tego pokoju opadł na krzesło. Zapomniałeś już o tym? Cóż, mogę cię zapewnić, że tak właśnie nam powiedział. Pamiętasz też zapewne, że i gospodyni, pani Porter, mówiła nam, iż wszedłszy do pokoju, zemdlała, a potem, gdy doszła

do siebie, otworzyła okno. Przypomnij sobie ten potworny zaduch, jaki panował w salonie Mortimera Tregennisa, kiedy przybyliśmy na miejsce, choć służący już wcześniej otworzył okno. Pytałem o to i dowiedziałem się, że następnie tak się źle poczuł, iż musiał położyć się do łóżka. Przyznasz chyba, Watsonie, te fakty są bardzo znaczące. W obu przypadkach mamy dowody świadczące o tym, że powietrze w pokojach było niezdrowe, wręcz zatrute. Jednocześnie w obydwu pomieszczeniach, gdzie znajdowały się ofiary, zachodził bez przeszkód proces spalania: w jednym ogień palił się na kominku, w drugim – płonęła lampa. Ogień był, jak się okazało, potrzebny dla ogrzania pomieszczenia, jednak lampa, co wiemy na podstawie ilości zużytej nafty, została zapalona na długo po tym, gdy na zewnątrz było już całkiem jasno. Dlaczego? Z całą pewnością dlatego, że istnieje jakiś związek pomiędzy tymi trzema zjawiskami, jakimi były: proces spalania, zaduch panujący w pokojach i wreszcie szaleństwo lub śmierć tych nieszczęsnych ludzi. To jasne, nieprawdaż?

– Tak się przynajmniej wydaje.

– Możemy to w każdym razie przyjąć za naszą roboczą hipotezę. A więc załóżmy, że w obu tych przypadkach spalono coś, co spowodowało wytworzenie się toksycznej atmosfery, wywołującej dziwne efekty. Doskonale. W pokoju, gdzie przebywała rodzina Tregennisa, tę substancję umieszczono w kominku. Okno było zamknięte, ale ciąg kominowy sprawiał, że część trujących oparów ulatywała do komina z dymem. W związku z tym można by oczekiwać, że efekty działania trucizny będą słabsze niż w mieszkaniu Tregennisa, bo stamtąd opary nigdzie się nie wydostawały. Efekty wydają się potwierdzać to przypuszczenie. W pierwszym przypadku ofiarą padła tylko kobieta, która przypuszczalnie miała bardziej wrażliwy organizm, zaś u pozostałych pojawiły się trwałe lub przejściowe objawy szaleństwa, które najwyraźniej muszą być pierwszym objawem działania tej substancji. W drugim przypadku jej wpływ był niczym nie zmącony. Tak więc fakty wydają się potwierdzać teorię, że użyto tu jakiejś trucizny, która uaktywniała się przy zetknięciu z płomieniem.

Ze względu na takie rozumowanie było naturalnym, że szukałem w pokoju Mortimera Tregennisa jakiejś pozostałości tej substancji. Oczywistym miejscem, gdzie należało to sprawdzić, była osłona lampy. I owszem, zauważyłem tam trochę łuszczącego się osadu, a wzdłuż

krawędzi dolnej osłony obwódkę brązowawego proszku, który nie uległ jeszcze spaleniu. Widziałeś, zebrałem połowę tego proszku i przesypałem go do koperty.

– Dlaczego tylko połowę, Holmesie?

– Ponieważ, mój drogi Watsonie, nie mogę stawać na drodze oficjalnych przedstawicieli prawa. Zostawiłem im wszystkie dowody, jakie sam znalazłem. Trucizna nadal jest w osadzie, jeśli tylko będą na tyle bystrzy, żeby ją znaleźć. A teraz, Watsonie, zapalimy naszą lampę. Zachowajmy jednak ostrożność i otwórzmy okno, by nie dopuścić do przedwczesnego zgonu dwóch jakże szanowanych obywateli. Ty siądziesz przy otwartym oknie w fotelu, chyba że, będąc rozsądnym człowiekiem, dojdziesz do wniosku, iż nie zamierzasz brać udziału w tym eksperymencie. Aha, chcesz się jednak przekonać, co się stanie? Wiedziałem, że dobrze znam mojego przyjaciela Watsona. To krzesło postawię naprzeciwko twojego fotela, będziemy siedzieli w tej samej odległości od trucizny, zwróceni twarzami do siebie. Drzwi zostawimy uchylone. W ten sposób każdy z nas będzie mógł obserwować drugiego i zakończyć ten eksperyment, gdyby tylko pojawiły się niepokojące objawy. Wszystko jasne? Cóż, w takim razie wyjmę z koperty proszek, a przynajmniej to, co z niego zostało, i umieszczę go nad płonącą lampą. O tak! A teraz, Watsonie, usiądźmy sobie i zobaczmy, co się wydarzy.

Na efekty nie trzeba było długo czekać. Ledwie zdążyłem usiąść w fotelu, gdy poczułem gęsty piżmowy zapach, subtelny i wywołujący mdłości. W tej samej chwili świadomość mi się zmąciła, i straciłem kontrolę nad sobą. Przed oczyma pojawiła się gęsta czarna chmura, a umysł podsunął mi wizję, że w tej chmurze znajduje się wszystko to, co w jakiś niejasny sposób jest przerażające i, choć jeszcze niewidoczne, zaraz mnie dopadnie. Czułem, że w niepojęty sposób kryje ona w sobie wszystko, co potworne i podłe we wszechświecie. W tej ciemnej chmurze majaczyły i poruszały się niewyraźne kształty, każdy niczym jakiś złowróżbny znak, ostrzeżenie przed czymś, co dopiero ma nadejść, przeczucie, że na progu stoi coś niewypowiedzianego, czego sam cień wystarczy, by zniszczyć moją duszę. Mrożące krew w żyłach przerażenie przejęło nade mną kontrolę. Poczułem, że włosy stają mi dęba, oczy wytrzeszczają się, usta otwierają, a język robi się sztywny niczym rzemień. W moim mózgu zapanował chaos, byłem pewien, że za chwilę coś w nim pęknie. Próbowałem

krzyknąć i niejasno usłyszałem ochrypłe skrzypienie, które było moim własnym głosem, jednak jakimś odległym i całkowicie nie związanym ze mną. W tej samej chwili, zdobywając się na nieprawdopodobny wysiłek, aby od tych wyobrażeń uciec, przebiłem się przez chmurę rozpaczy i na moment ujrzałem twarz Holmesa. Była biała i sztywna. Malowało się na niej takie samo przerażenie, jakie zobaczyłem w rysach tych martwych ludzi. Widok ten przywrócił mi na chwilę siły i kontrolę nad umysłem. Zerwałem się z fotela, z całych sił objąłem ramionami Holmesa i razem chwiejnym krokiem wydostaliśmy się na zewnątrz. Chwilę później padliśmy na trawnik i leżeliśmy obok siebie, świadomi jedynie wspaniałego blasku słońca, które zaczęło się przebijać przez tę piekielną chmurę przerażenia, jaka jeszcze przed chwilą nas otaczała. Powoli strach opuszczał nasze dusze niczym mgła podnosząca się nad łąką, aż wreszcie powrócił do nas rozsądek i spokój ducha. Usiedliśmy na trawie. Ocierając lepkie od potu czoła i patrząc z lękiem na siebie nawzajem, dostrzegaliśmy ustępowanie tego strasznego doświadczenia, jakie właśnie przeżyliśmy.

– Wielkie nieba, Watsonie! – odezwał się wreszcie Holmes niepewnym łamiącym się głosem. – Jestem ci winien zarówno podziękowania, jak i przeprosiny. Tego eksperymentu nie można by usprawiedliwić nawet wówczas, gdybym przeprowadził go tylko na sobie, a już tym bardziej na moim przyjacielu. Naprawdę bardzo cię przepraszam.

– Wiesz – odparłem poruszony, bo jeszcze nigdy nie widziałem, by Holmes okazał tyle ludzkich uczuć – że pomaganie tobie to moja największa radość i mój największy przywilej.

Znów przyjął ten swój na wpół żartobliwy, na wpół cyniczny ton, jakim miał zwyczaj zwracać się do ludzi, którzy go otaczali.

– Doprowadzanie nas do obłędu byłoby zbyteczne – powiedział. – Obiektywny obserwator z pewnością by oświadczył, że byliśmy już obłąkani, nim rozpoczęliśmy ten szaleńczy eksperyment. Muszę przyznać, że nawet nie przyszło mi do głowy, iż efekty mogą być tak nagłe i intensywne. – Pobiegł do domu, a po chwili pojawił się, trzymając płonącą lampę na odległość wyciągniętego ramienia, po czym cisnął ją w zarośla jeżyn. – Musimy trochę odczekać, aż powietrze w pokoju się oczyści. Zakładam, Watsonie, że nie masz już nawet cienia wątpliwości co do tego, w jaki sposób doprowadzono do tragedii?

– Absolutnie żadnego.

– Jednak przyczyna pozostaje równie niejasna, tak jak przedtem. Chodźmy do tamtej altany i omówmy sprawę. Mam wrażenie, że to ohydztwo nadal tkwi mi w gardle. Myślę, że powinniśmy przyznać, iż wszystko wskazuje na tego całego Mortimera Tregennisa, który był sprawcą pierwszej tragedii, natomiast padł ofiarą drugiej. Musimy przede wszystkim pamiętać, że w rodzinie doszło jakiś czas temu do niesnasek, po których wszyscy się pogodzili. Nie jesteśmy w stanie stwierdzić, jak zajadły był to spór ani jak szczere było wybaczenie. Kiedy myślę o Mortimerze Tregennisie z tą jego lisią twarzą i małymi cwanymi świdrującymi oczyma spoglądającymi zza okularów, to raczej trudno mi uwierzyć, by chętnie wybaczał innym. Poza tym pamiętasz zapewne, że sugestia, dotycząca czegoś, co poruszało się w ogrodzie, która na jakiś czas odciągnęła naszą uwagę od prawdziwej przyczyny tragedii, pochodziła właśnie od niego. Miał motyw, by skierować nas na fałszywy trop. A wreszcie skoro to nie on wrzucił tę substancję do ognia w chwili, kiedy stamtąd wychodził, to kto mógł to zrobić? Ta tragedia wydarzyła się natychmiast po tym, jak stamtąd wyszedł. Gdyby ktokolwiek następnie tam wszedł, ci ludzie z całą pewnością wstaliby od stołu. Poza tym w spokojnej Kornwalii goście nie pojawiają się po dziesiątej w nocy. Możemy więc założyć, że wszystkie dowody wskazują na Mortimera Tregennisa, który popełnił tę zbrodnię.

– Ale w takim razie jego własna śmierć była samobójstwem!

– Cóż, Watsonie, na pierwszy rzut oka nie wydaje się to wcale takie niemożliwe. Człowiek, który miał na sumieniu członków własnej rodziny, mógł równie dobrze sam się zabić pod wpływem wyrzutów sumienia. Istnieją jednak pewne przekonujące powody, by sądzić, że tak nie było. Na szczęście jest w Anglii pewien człowiek, który wie dużo na interesujący nas temat, i tak to zaaranżowałem, byśmy dziś po południu mogli poznać prawdę z jego ust. Aha, oto i on! Jest trochę przed czasem. Bardzo proszę tutaj, doktorze Sterndale! Przeprowadzaliśmy pewien eksperyment chemiczny, w związku z czym nasz niewielki pokoik chwilowo nie nadaje się na przyjęcie tak znamienitego gościa.

Usłyszałem skrzypnięcie ogrodowej furtki, i na ścieżce pojawiła się majestatyczna postać wielkiego podróżnika i znawcy Afryki. Z pewnym zaskoczeniem skierował się ku altanie, w której siedzieliśmy.

– Posłał pan po mnie, panie Holmes. Dostałem pański list jakąś godzinę temu i przybyłem, choć doprawdy nie wiem, z jakiej racji miałbym się

stawiać na pańskie wezwanie.

– Być może uda nam się wyjaśnić tę kwestię, nim się rozstaniemy – rzekł Holmes. – Tymczasem jestem panu bardzo wdzięczny, że był pan tak uprzejmy i tutaj przyszedł. Proszę nam wybaczyć to nietypowe przyjęcie pod gołym niebem, ale mój przyjaciel Watson i ja niemal napisaliśmy kolejny rozdział tej historii, którą gazety już nazywają „kornwalijskim horrorem", i chwilowo wolimy pozostać na świeżym powietrzu. Biorąc pod uwagę fakt, że sprawy, które poruszymy, mogą dotyczyć pana osobiście, lepiej nawet będzie rozmawiać tutaj, gdzie nikt nie podsłucha naszej rozmowy.

Podróżnik wyjął cygaro z ust i spojrzał surowo na mojego towarzysza.

– Bardzo bym się chciał dowiedzieć, sir – powiedział – co takiego pan ma do powiedzenia, co miałoby mnie dotyczyć.

– Zabił pan Mortimera Tregennisa – rzekł Holmes.

Przez chwilę żałowałem, że nie mam przy sobie broni. Wściekła twarz Sternadale'a przybrała purpurowy odcień, oczy błysnęły, a na czoło wystąpiły nabrzmiałe żyły. Z zaciśniętymi pięściami rzucił się na mojego towarzysza. Zaraz jednak się zatrzymał i potężnym wysiłkiem woli znów powrócił do chłodnej opanowanej postawy, która zdawała się jeszcze groźniejsza niż ten porywczy wybuch.

– Tak długo żyłem wśród dzikich ludzi, poza jakimkolwiek prawem – powiedział – że sam zacząłem stanowić dla siebie prawo. Dobrze by było, panie Holmes, gdyby pan o tym nie zapominał, bo nie chciałbym zrobić panu krzywdy.

– Ja również nie mam ochoty zrobić panu krzywdy, doktorze Sterndale. Najlepszym dowodem jest chyba fakt, że wiedząc to, co wiem, posłałem po pana, zamiast zawiadomić policję.

Sterndale z westchnieniem opadł na krzesło, onieśmielony, chyba po raz pierwszy w ciągu swego całego życia, pełnego przygód. Spokojny chłodny Holmes był tak stanowczy, że nasz gość nie potrafił mu się oprzeć: zająknął się, a jego wielkie dłonie nerwowo otwierały się i zaciskały.

– Co to ma znaczyć? – zapytał w końcu. – Jeśli to blef, panie Holmes, to wybrał pan nieodpowiedniego człowieka do swego eksperymentu. Ale skończmy już z owijaniem w bawełnę. O co panu chodzi?

– Powiem panu – rzekł Holmes – a zrobię to tylko dlatego, że mam nadzieję, iż szczerość wywoła szczerość. Mój następny krok zależy

wyłącznie od tego, w jaki sposób będzie się pan bronił.

– Bronił?

– Tak, sir.

– Bronił przed czym?

– Przed zarzutem zamordowania Mortimera Tregennisa.

Sterndale otarł czoło chustką.

– Wielkie nieba, posuwa się pan za daleko! – wykrzyknął. – Czy wszystkie pańskie sukcesy wynikają z tej niezwykłej umiejętności blefowania?

– To pan blefuje, doktorze Sterndale, a nie ja – odparł z powagą Holmes. – Aby to panu udowodnić, przedstawię pewne fakty, na których opieram swoje wnioski. Pański powrót z Plymouth oraz informacja o tym, że znaczna część pańskiego bagażu popłynęła do Afryki, naprowadziły mnie na myśl, iż pan jest jednym z czynników, które trzeba wziąć pod uwagę przy rekonstrukcji przebiegu tego dramatu.

– Wróciłem…

– Słyszałem już powody, jakie pan podawał, i uważam je za nieprzekonujące i niewystarczające. Ale pomińmy to. Przyszedł pan wówczas, żeby zapytać, kogo podejrzewam. Odmówiłem odpowiedzi na to pytanie. Potem poszedł pan w stronę plebanii, przez jakiś czas czekał przed budynkiem i wreszcie wrócił do siebie.

– Skąd pan to wie?

– Śledziłem pana.

– Nikogo nie widziałem.

– Bo tego właśnie oczekuję, gdy kogoś śledzę. Spędził pan w domu bezsenną noc i uknuł pewien plan, do którego realizacji zabrał się wcześnie rano. Wychodząc z domu o świcie, napełnił pan kieszeń jakimś czerwonawym żwirem, którego sterta leży przy pańskiej furtce.

Sterndale wzdrygnął się gwałtownie i zdumiony spojrzał na Holmesa.

– Potem szybkim krokiem przebył pan milę dzielącą jego dom od plebanii. Pragnę zauważyć, że miał pan na nogach te same tenisówki z karbowaną podeszwą, co teraz. Przeszedł pan przez sad w pobliżu plebanii, pokonał ogrodzenie i w ten sposób dotarł pod okno Tregennisa. Słońce już wzeszło, jednak w domu nie rozpoczęła się jeszcze codzienna krzątanina. Wyjął pan trochę żwiru z kieszeni i rzucił nim w okno na piętrze.

Sterndale zerwał się na równe nogi.

– Jest pan wcielonym diabłem! – zawołał.

Holmes uśmiechnął się, słysząc ten komplement.

– Wystarczyły jakieś dwie czy trzy garście żwiru, by lokator podszedł do okna. Pokazał mu pan gestem, żeby zszedł na dół. Szybko się ubrał i udał się do swojego salonu. Pan wszedł przez oszklone drzwi i podczas krótkiej rozmowy przemierzał pokój, następnie wyszedł, zamykając za sobą drzwi do ogrodu. Przez jakiś czas stał pan na zewnątrz na trawniku, paląc cygaro i obserwując to, co się wydarzyło. Wreszcie, gdy śmierć dosięgła Tregennisa, wycofał się pan tą samą drogą, którą przyszedł. A teraz, doktorze Sterndale, czym chce pan usprawiedliwić ten czyn i co było motywem pańskich działań? Jeśli będzie pan próbował udzielić mi wymijających odpowiedzi albo grać ze mną w jakieś gierki, mogę zapewnić, że przekażę tę sprawę władzom.

Gdy nasz gość słuchał tych oskarżycielskich słów, jego oblicze stawało się popielatoszare. Przez jakiś czas siedział pogrążony w myślach, z twarzą ukrytą w dłoniach. Później, pod wpływem nagłego impulsu, wyciągnął z kieszeni na piersi zdjęcie i rzucił je na stojący przed nami nieociosany stolik.

– To dlatego to zrobiłem – powiedział.

Zdjęcie przedstawiało portret bardzo pięknej kobiety. Holmes pochylił się nad nim.

– Brenda Tregennis.

– Tak, Brenda Tregennis – powtórzył nasz gość. – Od lat ją kochałem. Od lat ona kochała mnie. To jest właśnie ten sekret mojego życia w odosobnieniu, gdzieś w Kornwalii, któremu ludzie tak bardzo się dziwili. W ten sposób mogłem być blisko jedynej osoby na świecie, która była mi tak droga. Nie mogłem się z nią ożenić, bo mam żonę, która wiele lat temu ode mnie odeszła, a z którą jednak przez to żałosne angielskie prawo nie mogę się rozwieść. Przez wiele lat Brenda czekała. I ja czekałem. I doczekaliśmy się tej tragedii – jego potężnym ciałem wstrząsnął straszliwy szloch, który ścisnął mu gardło. Po chwili z trudem się opanował i ciągnął dalej. – Pastor o tym wiedział. Wtajemniczyliśmy go w nasz sekret. Mógłby panu powiedzieć, że była aniołem chodzącym po ziemi. To właśnie dlatego wysłał mi telegram, bym wrócił. Cóż dla mnie znaczyły ten bagaż czy ta Afryka, kiedy dowiedziałem się, że na moją ukochaną

spadło takie nieszczęście? To jest ten pański brakujący motyw moich działań, panie Holmes.

– Proszę mówić dalej – rzekł mój przyjaciel.

Doktor Sterndale wyjął z kieszeni papierową paczuszkę i położył ją na stole. Było na niej napisane: „Radix pedis diaboli”. Poniżej znajdowała się czerwona nalepka, ostrzegająca, że zawartość jest trująca. Pchnął ją w moim kierunku.

– Wiem, że jest pan lekarzem, sir. Czy słyszał pan kiedyś o tym preparacie?

– Korzeń czarciej stopy! Nie, nigdy o czymś takim nie słyszałem.

– Nie umniejsza to w niczym pańskiej fachowej wiedzy – rzekł Sterndale – bo jestem przekonany, że z wyjątkiem jednej próbki w laboratorium w Budapeszcie nie znajdzie go pan w całej Europie. Preparat ten nie trafił jeszcze do farmakopei ani do literatury dotyczącej toksykologii. Korzeń ma kształt w połowie ludzkiej stopy, a w połowie koźlego kopyta; stąd ta wymyślna nazwa, jaką nadał mu jakiś misjonarz botanik. Jest stosowany podczas obrzędów przez szamanów w pewnych rejonach Afryki Zachodniej, a wiedza o nim jest utrzymywana w tajemnicy. Tę konkretną próbkę otrzymałem w bardzo niezwykłych okolicznościach w dorzeczu Ubangi – mówiąc to, rozchylił papier i pokazał nam stosik czerwonawobrązowego proszku, przypominającego tabakę.

– I? – wtrącił surowo Holmes.

– Zamierzam panu opowiedzieć, panie Holmes, o wszystkim, co się wydarzyło, ponieważ wie pan już tak dużo, że z całą pewnością leży w moim interesie, by poznał pan całą resztę. Wyjaśniłem już panu, jakie były moje związki z rodziną Tregennisów. Ze względu na siostrę zaprzyjaźniłem się z braćmi. W rodzinie doszło do sporu o pieniądze, wskutek którego ten Mortimer się od nich odsunął, podobno jednak wszystko sobie wyjaśnili, i spotykałem się z nim tak samo, jak z pozostałymi. Był przebiegłym wyrafinowanym intrygantem. Wydarzyło się parę rzeczy, które wzbudziły moje podejrzenia, nie miałem jednak żadnych podstaw, by coś mu zarzucić.

Pewnego dnia, zaledwie parę tygodni temu, przyszedł do mojego domu, a ja pokazałem mu parę ciekawostek z moich podróży do Afryki. Opowiedziałem między innymi o dziwnych właściwościach tego proszku i o tym, jak pobudza ośrodki w mózgu, które kontrolują odczuwanie

strachu: nieszczęśni tubylcy poddawani próbie przez szamana swojego plemienia popadają pod wpływem proszku w obłęd lub umierają. Wspomniałem mu również, jak bezsilna jest europejska nauka, jeśli chodzi o jego wykrywanie. Nie potrafię powiedzieć, w jaki sposób udało mu się go ukraść, bo ani na chwilę nie wyszedłem z pokoju, nie mam jednak najmniejszych wątpliwości, że to musiało być wtedy, gdy otwierałem szafki albo pochylałem się nad jakimiś skrzyniami. W każdym razie udało mu się wziąć trochę tego proszku z korzenia czarciej stopy. Doskonale pamiętam, jak męczył mnie pytaniami o dawkę i czas, który jest potrzebny, by pojawiły się efekty. Nigdy jednak nie przyszło mi choćby przez chwilę do głowy, że mógł mieć osobiste powody, by o to pytać.

Nie zastanawiałem się więcej nad tą sprawą, dopóki w Plymouth nie dotarł do mnie telegram od pastora. Mortimer myślał, że wypłynę na morze, nim zdążę otrzymać jakieś wieści, i że na parę lat zniknę gdzieś w Afryce. Wróciłem jednak natychmiast. Oczywiście, gdy tylko usłyszałem o szczegółach tej tragedii, byłem pewien, że użyto mojej trucizny. Przyszedłem tu spotkać się z panem, żeby sprawdzić, czy nie nasunęło mu się jakieś wyjaśnienie. Jednak nie mogło być żadnego innego. Byłem pewny, że to Mortimer Tregennis był mordercą i że dla pieniędzy – być może pomyślał, że gdyby pozostali członkowie jego rodziny oszaleli, on zostanie jedynym spadkobiercą całego ich majątku – wykorzystał proszek z czarciej stopy, doprowadzając dwóch z nich do obłędu i zabijając własną siostrę Brendę, jedyną ludzką istotę na świecie, którą kochałem i która kochała mnie. Taka była jego zbrodnia. A jaka miała być jego kara?

Czy powinienem był zwrócić się do przedstawicieli prawa? Jakie miałem dowody? Znałem prawdę, ale jak mogłem sprawić, by wiejscy przysięgli uwierzyli w tak fantastyczną historię? Może by mi się to udało, a może nie. Jednak nie mogłem sobie pozwolić na klęskę. Moja dusza wołała o pomstę. Mówiłem już panu, panie Holmes, że znaczną część życia przeżyłem poza prawem i w końcu sam się stałem prawem dla samego siebie. Tym razem też tak było. Postanowiłem, że Mortimer powinien podzielić los swoich bliskich. Musiał zginąć w taki sposób, jaki im zgotował. Gdyby się to nie udało, sam zamierzałem zadbać o to, by sprawiedliwości stało się zadość, i zabić go własnymi rękoma. W całej Anglii nie może być w tej chwili ani jednego człowieka, który mniej ceniłby swoje własne życie niż ja sam.

Opowiedziałem panu wszystko. Reszty sam się pan dowiedział. Rzeczywiście, po bezsennej nocy wczesnym rankiem wyszedłem z domu. Przewidziałem, że będę miał trudności z obudzeniem go, wziąłem więc trochę żwiru z tej sterty, o której pan wspominał, i rzuciłem nim w jego okno. Zszedł na dół i wpuścił mnie do środka przez drzwi w salonie. Powiedziałem mu, że wiem o jego zbrodni i że przychodzę jako sędzia i kat w jednej osobie. Ten łajdak opadł na krzesło, sparaliżowany widokiem mojego rewolweru. Zapaliłem lampę, umieściłem nad nią proszek i stałem na zewnątrz za oknem, gotów spełnić moją groźbę i go zastrzelić, gdyby spróbował opuścić pokój. Umarł po pięciu minutach. Mój Boże! Jak on umierał! Ale moje serce było twarde jak skała. Miałem satysfakcję, że musiał odczuwać to wszystko, co wcześniej czuła moja niewinna ukochana. Taka jest moja historia, panie Holmes. Być może, jeśli kochał pan kiedyś jakąś kobietę, postąpiłby pan tak samo jak ja. Tak czy inaczej jestem w pańskich rękach. Może pan zrobić to, na co ma pan ochotę. Jak już powiedziałem, nie ma takiego człowieka na świecie, który mniej bałby się śmierci niż ja w tej chwili.

Holmes przez chwilę siedział w milczeniu.

– Jakie miał pan plany? – zapytał w końcu.

– Zamierzałem zakopać się gdzieś w środkowej Afryce. Moja praca w tych rejonach nie jest jeszcze nawet w połowie skończona.

– W takim razie proszę tam jechać i ją dokończyć – rzekł Holmes. – Ja przynajmniej nie zamierzam panu w tym przeszkadzać.

Doktor Sterndale podniósł się, skłonił z powagą, po czym opuścił altanę. Holmes zapalił fajkę i podał mi woreczek z tytoniem.

– Dla odmiany przydałoby się trochę oparów, które nie są tak trujące – powiedział. – Myślę, że zgodzisz się ze mną, Watsonie, iż nie jest to sprawa, w którą powinniśmy się wtrącać. Prowadziliśmy to śledztwo niezależnie od oficjalnego, i nasze działania również takie będą. Doniósłbyś na tego człowieka?

– Z całą pewnością nie – odparłem.

– Nigdy nie byłem zakochany, lecz gdybym kogoś pokochał i gdyby tę kobietę spotkał taki koniec, mógłbym postąpić dokładnie tak, jak nasz żyjący poza prawem łowca lwów. Kto wie, Watsonie? Kto wie? Nie zamierzam, mój drogi, obrażać twojej inteligencji, wyjaśniając ci to, co jest oczywiste. Naturalnie, punktem wyjścia w moim śledztwie był ten żwir

na parapecie. Nie przypominał ziemi z ogródka przy plebanii. Dopiero po wizycie doktora Sterndale’a zwróciłem uwagę na jego osobę i domek, w którym mieszkał, a obok domu znalazłem podobny żwir. Lampa paląca się w biały dzień i pozostałości tego proszku na jej osłonie były ogniwami w dość oczywistym łańcuchu. A teraz, mój drogi Watsonie, myślę, że możemy zapomnieć o tej sprawie i z czystym sumieniem powrócić do badania chaldejskich korzeni, które z całą pewnością można wyśledzić w kornwalijskiej odmianie wspaniałej celtyckiej mowy.

Opowieść ósma

Ostatni ukłon

Sherlock Holmes. Epilog

Była dziewiąta wieczorem drugiego sierpnia, tego najstraszliwszego sierpnia w historii ludzkości. Można by pomyśleć, że klątwa Boga już ciążyła nad zdegenerowanym światem, bo panowała nad nim pełna grozy cisza, a w parnym nieruchomym powietrzu wisiało niejasne oczekiwanie na coś, co miało dopiero nadejść. Słońce zaszło już dawno, ale na zachodzie, tuż nad horyzontem, widniała jeszcze na niebie krwistoczerwona plama, niczym otwarta rana. Nad głową jasno świeciły gwiazdy, a niżej, w zatoce, połyskiwały światła statków.

Przy kamiennej balustradzie na ogrodowej ścieżce stało dwóch Niemców. Za nimi wznosił się długi przysadzisty dom z ciężką fasadą. Patrzyli w dół na szerokie plaże ciąg-nące się u stóp wielkiego kredowego klifu, na którym von Bork zagnieździł się cztery lata temu niczym jakiś wędrowny orzeł. Stali blisko siebie, niemal dotykając głowami, i rozmawiali cichym głosem. Patrząc z dołu, można było odnieść wrażenie, że dwa żarzące się końce ich cygar to płonące oczy jakiegoś złośliwego diabła, który spogląda w dół poprzez ciemność.

Von Bork był niezwykłym człowiekiem. Nie znalazłoby się takiego drugiego wśród najbardziej oddanych agentów cesarza niemieckiego. Dzięki jego rzadkim talentom powierzono mu misję w Anglii, najważniejszą ze wszystkich. Odkąd się jej podjął, te jego talenty zdawały się coraz bardziej oczywiste dla pół tuzina ludzi, którzy znali prawdę. Jednym z nich był towarzyszący mu obecnie baron von Herling, pierwszy sekretarz ambasady, którego ogromny Benz z silnikiem o mocy stu koni mechanicznych blokował wiejską dróżkę, gotów odwieźć swojego właściciela z powrotem do Londynu.

– O tyle, o ile jestem w stanie ocenić bieżącą sytuację, w ciągu tygodnia pan zapewne znów będzie w Berlinie – mówił sekretarz. – A kiedy już pan tam dotrze, mój drogi panie von Bork, myślę, że będzie zaskoczony powitaniem, jakie go czeka. Tak się składa, że wiem, co ludzie znajdujący się na najwyższym szczeblu w tym kraju sądzą o pańskiej pracy. –

Sekretarz był wysokim potężnym mężczyzną o szerokich ramionach. Mówił powoli i twardo, co było jego głównym atutem w karierze politycznej.

Von Bork się roześmiał.

– Łatwo ich zwieść – zauważył. – Trudno by sobie było wyobrazić bardziej uległych i prostodusznych ludzi.

– Tego nie wiem – rzekł jego rozmówca z namysłem. – Mają dziwne cechy, trzeba się nauczyć ich obserwować. To właśnie ich zewnętrzna prostoduszność stanowi pułapkę dla cudzoziemca. Sprawiają wrażenie łagodnych i miękkich. Później nagle natrafiasz na coś twardego i zdecydowanego i już wiesz, że osiągnęło się pewną granicę i trzeba się do tego dostosować. Mają te swoje wyspiarskie zwyczaje, których po prostu należy przestrzegać.

– Czyli trzymać fason i robić tego typu rzeczy – von Bork westchnął jak człowiek, który wiele wycierpiał.

– Inaczej mówiąc, brytyjskie uprzedzenia we wszystkich dziwacznych przejawach. Jako przykład przytoczę jedną z moich najgorszych wpadek. Mogę sobie pozwolić, by o tym mówić, bo doskonale zna pan moją pracę i jest pan świadom moich sukcesów. To było wówczas, gdy przyjechałem tu po raz pierwszy. Zaproszono mnie na weekend na przyjęcie w wiejskiej rezydencji ministra. Rozmowy były niesamowicie niedyskretne.

Von Bork kiwnął głową.

– Byłem tam – rzekł sucho.

– Tak, tak. Oczywiście, wysłałem streszczenie wszystkich rozmów do Berlina. Niestety, nasz dobry kanclerz jest mało taktowny w pewnych sprawach. Wygłosił jakąś uwagę, z której można było wywnioskować, że wiedział, jakie słowa tam padały. A to oczywiście prowadziło prosto do mnie. Nie ma pan nawet pojęcia, jak bardzo mi to zaszkodziło. Mogę zapewnić, że nasi brytyjscy gospodarze nie byli wtedy łagodni. Przez dwa lata nie mogli mi tego zapomnieć. A teraz pan, który udaje sportowca…

– Nie, nie! Nie nazwałbym tego w ten sposób. Gra to coś sztucznego, a ja zachowuję się całkiem naturalnie. Jestem urodzonym sportowcem. Uwielbiam to.

– Cóż, dzięki temu pańska działalność jest jeszcze skuteczniejsza. Ściga się pan z nimi na jachtach, poluje, gra w polo. Jest pan dla nich równym przeciwnikiem w każdej grze. Pański czterokonny zaprzęg wygrywa

zawody w Olimpii. Słyszałem nawet, że posunął się pan do tego, że boksował się z młodymi oficerami. I jaki jest efekt? Nikt nie traktuje pana poważnie. Mają pana za „dobrego starego kolegę”, „całkiem przyzwoitego człowieka jak na Niemca”, sporo pijącego, włóczącego się po nocnych klubach, panoszącego się po mieście beztroskiego młodzieńca. Przez cały ten czas pański spokojny dom na wsi pozostaje ośrodkiem, w którym rozgrywa się połowa intryg w Anglii, i komu może przyjść do głowy, że ten młody wysportowany chłopak to najzręczniejszy agent tajnych służb w całej Europie. Jest pan geniuszem, mój drogi panie von Bork, prawdziwym geniuszem!

– Schlebia mi pan, baronie. Jednak z całą pewnością mogę powiedzieć, że cztery lata, które spędziłem w tym kraju, nie były bezproduktywne. Nigdy nie pokazywałem panu mojej małej kolekcji. Zechciałby pan wstąpić na chwilę do domu?

Drzwi gabinetu otwierały się prosto na taras. Von Bork pchnął je i, idąc przodem, włączył światło elektryczne. Następnie zamknął drzwi za zwalistym mężczyzną, który wszedł za nim, i starannie zasunął ciężką zasłonę. Dopiero kiedy przedsięwziął te środki ostrożności i wszystko dokładnie sprawdził, zwrócił wyrazistą opaloną twarz do swego gościa.

– Niektórych dokumentów już tu nie ma – powiedział. – Gdy moja żona i wszyscy domownicy wyjechali wczoraj do Flushing, zabrali ze sobą te mniej istotne. Jeśli chodzi o pozostałe, to muszę oczywiście prosić ambasadę o ich ochronę.

– Pańskie nazwisko zostało już wpisane na listę członków osobistej świty. Pan nie napotka na żadne trudności, a pański bagaż będzie bezpieczny. Oczywiście, istnieje możliwość, że nie będziemy musieli jechać. Anglia może pozostawić Francję jej losowi. Jesteśmy pewni, że nie ma pomiędzy nimi żadnego wiążącego traktatu.

– A Belgia?

– Dotyczy to też Belgii.

Von Bork potrząsnął głową.

– Nie rozumiem, jak to możliwe. Ten traktat bardzo precyzyjnie określa zobowiązania stron. Anglia nigdy by się nie podźwignęła po takim upokorzeniu.

– Ale przynajmniej przez chwilę będą mieli spokój.

– A honor kraju?

– Phi! Mój drogi panie, żyjemy w wieku utylitaryzmu. Honor to pojęcie średniowieczne. Poza tym Anglia nie jest gotowa. To wprost niepojęte, ale nawet nasz specjalny podatek wojenny, opiewający na pięćdziesiąt milionów, który tak wyraźnie wskazuje na nasze cele, jakbyśmy ogłosili je na pierwszej stronie „Timesa”, nie obudził tych ludzi z drzemki. Od czasu do czasu ktoś zada pytanie. Moim zadaniem jest wymyślenie odpowiedzi. Czasami ktoś bywa rozdrażniony. Moim zadaniem jest go uspokoić. Mogę jednak pana zapewnić, że jeśli chodzi o najważniejsze kwestie, takie jak składowanie amunicji, przygotowanie na atak łodzi podwodnych, ustalenia dotyczące produkcji materiałów wybuchowych, nic nie jest przygotowane. Jak w takim razie Anglia może się w to włączyć? Zwłaszcza teraz, gdy przyrządziliśmy Anglikom diabelski koktajl złożony z wojny domowej w Irlandii, furii tłukących okna i Bóg wie czego jeszcze, by musieli myśleć wyłącznie o tym, co się dzieje u nich w kraju.

– A ich przyszłość?

– To już inna kwestia.

– Zdaje mi się, że mamy własne, bardzo konkretne plany co do przyszłości Anglii i że informacje dostarczone przez pana mogą mieć dla nas kluczowe znaczenie. Rozprawimy się z Anglikami nie dziś, to jutro. Jeśli wolą, żeby to było dziś, jesteśmy całkowicie gotowi. Jeśli wybiorą jutro, będziemy tym bardziej przygotowani. Sądzę, że zrobiliby mądrzej, mając przy swoim boku sojuszników, ale to już ich sprawa. W tym tygodniu ważą się ich losy. Ale mówił pan o swoich dokumentach. – Usiadł w fotelu, a światło odbijało się od jego wielkiej łysej głowy, kiedy spokojnie pykał swoje cygaro.

W najdalszym rogu wielkiego pokoju z dębową boazerią i regałami pełnymi książek przy ścianach wisiała zasłona. Kiedy von Bork ją odsunął, wyłonił się potężny, obity mosiężną blachą sejf. Mężczyzna zdjął z łańcuszka do zegarka mały klucz i po chwili manipulowania przy zamku otworzył ciężkie drzwi.

– Proszę spojrzeć! – powiedział, odsuwając się na bok i wskazując gestem na zawartość sejfu.

Jasne światło padło na otwarty sejf, sekretarz ambasady patrzył z zainteresowaniem na rzędy wypełnionych dokumentami przegródek. Każda przegródka była odpowiednio opisana. Przebiegając je wzrokiem, odczytał długą listę tytułów: „Brody”, „Obrona portów”, „Samoloty”,

„Irlandia”, „Egipt”, „Fortyfikacje Portsmouth”, „Kanał La Manche”, „Rosyth” oraz wiele innych. W każdej przegródce jeżyły się upchnięte dokumenty i plany.

– Kolosalne zbiory! – zawołał sekretarz. Odłożywszy cygaro, lekko zaklaskał swymi otyłymi dłońmi.

– A to wszystko w cztery lata, baronie. Nie najgorzej jak na sporo pijącego, jeżdżącego konno chłopaka ze wsi, prawda? Pokażę panu prawdziwy klejnot mojej kolekcji, bo wszystko jest już na to gotowe. – Wskazał na przegródkę, nad którą widniała nazwa: „Sygnały marynarki wojennej”.

– I tak ma pan już niezłe dossier.

– To dziś już makulatura. Admiralicja została w jakiś sposób ostrzeżona, zmienili wszystkie kody. To był straszliwy cios, baronie. Najgorsza porażka w całej mojej karierze. Ale dzięki książeczce czekowej i dobremu Altamontowi dziś w nocy wszystko znów będzie dobrze.

Baron zerknął na zegarek i wydał z siebie gardłowy okrzyk rozczarowania.

– Uff! Doprawdy nie mogę już dłużej czekać. Chyba potrafi pan sobie wyobrazić, jak szybko posuwają się teraz sprawy w Carlton Terrace. My wszyscy musimy być na swoich posterunkach. Miałem nadzieję, że będę mógł przynieść panu wieści o wielkim przewrocie. Czy Altamont nie podał żadnej godziny?

Von Bork wręczył mu telegram.

Przyjdę z całą pewnością dziś w nocy i przyniosę nowe świece zapłonowe.

ALTAMONT

– Świece zapłonowe?

– Wie pan, udaje wielkiego eksperta od silników, a ja mam przecież pełen garaż samochodów. To nasz kod, wszystkiemu, co może nas interesować, nadaliśmy nazwy części zamiennych do samochodu. Kiedy mówi o chłodnicy, ma na myśli pancernik, pompa olejowa oznacza krążownik i tak dalej. Świece zapłonowe to sygnały marynarki wojennej.

– Nadane z Portsmouth w południe – rzekł sekretarz, przyglądając się nagłówkowi. – A tak nawiasem mówiąc, ile pan mu płaci?

– Pięćset funtów za tę konkretną robotę. Oczywiście, ma również stałą pensję.

– Zachłanny łotr. Pożyteczni są ci zdrajcy, ale szkoda mi pieniędzy, które na nich wydajemy.

– Ja niczego nie żałuję Altamontowi. Wspaniały z niego pracownik. Kiedy mu dobrze płacę, przynajmniej dostarcza mi dobry towar, tak sam to ujął. Poza tym nie jest żadnym zdrajcą. Mogę pana zapewnić, że nasi najbardziej pangermańscy junkrzy są niczym łagodne gołąbki w swoich odczuciach wobec Anglii w porównaniu z najbardziej zajadłym Amerykaninem irlandzkiego pochodzenia.

– Aha, więc to Amerykanin irlandzkiego pochodzenia!

– Gdyby pan usłyszał, jak mówi, nie miałby pan co do tego cienia wątpliwości. Zapewniam, że czasami ledwo go rozumiem. Wygląda na to, że wydał wojnę nie tylko angielskiemu królestwu, lecz również klasycznej angielszczyźnie. Naprawdę musi pan już iść? Może tu być w każdej chwili.

– Niestety. Przykro mi, ale i tak już zostałem dłużej niż powinienem. Oczekujemy pana jutro wcześnie rano. Jeżeli uda się panu przekazać te kody sygnałowe w obecności księcia Yorku, może pan uważać za zakończony swój tryumfalny pobyt w Anglii. A to co takiego?! Tokaj?

Wskazał na zapieczętowaną, pokrytą kurzem butelkę stojącą na tacy wraz z dwoma wysokimi kieliszkami.

– Mogę zaproponować panu kieliszek przed podróżą?

– Nie dziękuję. Ale wygląda zachęcająco.

– Altamont zna się na winach, bardzo mu zasmakował mój tokaj. Jest drażliwy, łatwo się obraża, muszę starać się o jego względy. Ma bardzo trudny charakter, zapewniam pana.

Powolnym krokiem wyszli na taras i skierowali się do jego najdalszego krańca. Tam czekał olbrzymi samochód barona, który natychmiast zadrżał i zamruczał, jak tylko kierowca go dotknął.

– Przypuszczam, że są to światła Harwich – rzekł sekretarz, zakładając prochowiec. – Wszystko jest takie ciche i senne. W ciągu tygodnia mogą się tu pojawić inne światła, i angielskie wybrzeże nie będzie już takim spokojnym miejscem. Niebo też może nie być już takie przyjazne, jeśli nasz dobry zeppelin spełni wszystkie swoje obietnice. A to kto?

W jednym z okien paliło się światło. Za szybą widać było stojącą lampę, a obok przy stoliku staruszkę o rumianej twarzy w wiejskim czepku

na głowie. Siedziała, pochylona nad robótką ręczną. Od czasu do czasu odkładała ją na bok, żeby pogłaskać wielkiego czarnego kota leżącego na stołku przy niej.

– To Martha, jedyna służąca, jaka mi jeszcze została.

Sekretarz zachichotał:

– Może być uosobieniem Brytanii: całkowicie skupiona na własnych sprawach, leniwie i wygodnie drzemie. *Au revoir,* von Bork! – Machnął jeszcze ręką na pożegnanie, po czym wskoczył do samochodu i chwilę później ciemność przebiły dwa złociste stożki świateł reflektorów. Sekretarz rozparł się wygodnie na poduszkach swojej luksusowej limuzyny, pogrążony w myślach o nadciągającej europejskiej tragedii. Nawet nie zauważył niewielkiego forda jadącego z przeciwka, który minął go, gdy Benz skręcał w wiejską drogę.

Kiedy ostatni błysk świateł samochodu barona zniknął w oddali, von Bork wolnym krokiem wrócił do swojego gabinetu. Przechodząc obok, zauważył, że jego stara gospodyni zgasiła lampę i udała się na spoczynek. To było dla niego nowe doświadczenie. Cisza i ciemność w ogromnym domu. Miał liczną rodzinę i wielu służących. Z ulgą jednak pomyślał o tym, że teraz wszyscy byli już bezpieczni i że z wyjątkiem tej jednej staruszki, która przed chwilą siedziała jeszcze w kuchni, w całym tym domu jest sam. W gabinecie czekało go sporo sprzątania. Pilnie wziął się do pracy, a jego bystra przystojna twarz zarumieniła się od gorąca bijącego od płonących dokumentów. Przy stole stała skórzana walizka. Zaczął pakować do niej w bardzo porządny i systematyczny sposób bezcenną zawartość swojego sejfu, jednak ledwo się za to zabrał, jego doskonały słuch wyłowił z oddali dźwięki silnika zbliżającego się samochodu. Krzyknął z zadowolenia, zapiął paski walizki, zamknął sejf, przekręcił klucz i szybkim krokiem ruszył na taras. Zdążył akurat, by zobaczyć światła małego samochodu, który zatrzymywał się właśnie pod bramą. Wyskoczył z niego pasażer i szybko zaczął iść w jego stronę, podczas gdy szofer, potężnie zbudowany starszy mężczyzna z szarymi wąsami, usadowił się wygodnie, jakby spodziewał się, że długo sobie poczeka.

– I jak? – spytał z zapałem von Bork, wybiegając na spotkanie gościowi.

W odpowiedzi mężczyzna tryumfalnie machnął nad głową małą paczuszką owiniętą w brązowy papier.

– Może mi pan pogratulować! – zawołał. – Wreszcie zarobiłem na chleb.

– Sygnały?

– Tak jak pisałem w telegramie. Wszystkie, co do jednego. Flagi, sygnały świetlne, szyfry radiowe… Proszę zwrócić uwagę, że to kopia, a nie oryginał. Inaczej byłoby zbyt niebezpieczne. Ale to prawdziwy towar, zapewniam pana. – Klepnął Niemca w ramię z nieokrzesaną poufałością. Von Bork aż się skrzywił.

– Proszę wejść – powiedział. – Jestem zupełnie sam w domu. Czekałem tylko na to. Oczywiście, kopia jest lepsza niż oryginał. Gdyby zaginął oryginał, wszystko by pozmieniali. Sądzi pan, że ta kopia jest całkowicie pewna?

Amerykanin wszedł do gabinetu, usiadł w fotelu i wyciągnął swoje długie nogi. Był wysokim chudym mężczyzną około sześćdziesiątki o wyrazistych rysach, miał niewielką hiszpańską bródkę. Wszystko to sprawiało, że przypominał karykatury wuja Sama. Z kącika ust zwisało na wpół wypalone zgaśnięte cygaro; gdy tylko usiadł, natychmiast go zapalił.

– Przygotowania do wyprowadzki? – zauważył, rozglądając się wokół. – Proszę mi powiedzieć – dodał, spoglądając na odsłonięty sejf. – Chyba nie chce mi pan wmówić, że w tym sejfie trzyma pan dokumenty?

– A czemu nie?

– Cholera! Taka tandeta! Taka skrzynka! A uważają pana za szpiega pierwszej klasy. Każdy jankeski złodziej włamałby się do niego za pomocą otwieracza do konserw. Gdybym wiedział, że moje listy leżą sobie w czymś takim, byłbym frajerem, pisząc do pana.

– Każdy miałby problemy, żeby dostać się do tego sejfu – odparł von Bork. – Tego metalu nie przetnie się żadnym narzędziem.

– A zamek?

– Nie, nie! To zamek z podwójną kombinacją. Wie pan, co to jest?

– Niech mnie pan oświeci – rzekł Amerykanin.

– Żeby skłonić ten zamek do współpracy, potrzebuje pan słowa hasłowego i określonej liczby – mówiąc to, wstał i wskazał na podwójny dysk wokół dziurki od klucza. – Ten zewnętrzny krąg przeznaczono na litery, wewnętrzny – na cyfry.

– No, no. Całkiem niezłe.

– A więc nie jest on taki prymitywny, jak pan myślał. Kazałem go zrobić cztery lata temu, i według pana, jakie słowo i jakie cyfry wybrałem?

– Nie mam pojęcia.

– Słowo „sierpień”, a liczbę „1914”. No i proszę.

Twarz Amerykanina wyrażała zaskoczenie i podziw.

– O rany, sprytnie pan to wykombinował, dopracował do ostatniego szczegółu.

– Tak. Niektórzy z nas już wtedy mogli odgadnąć datę. No i proszę, wszystko się sprawdziło, a ja zwijam się stąd jutro rano.

– Hm, tak sobie myślę, że będzie pan też musiał załatwić coś dla mnie. Nie zostanę całkiem sam w tym pieprzonym kraju. Coś mi się wydaje, że najdalej za tydzień John Bull zacznie się miotać jak wściekły byk. Wolałbym go wówczas obserwować zza wody.

– Ale jest pan przecież amerykańskim obywatelem.

– Jack James też był amerykańskim obywatelem, a mimo to siedzi teraz w więzieniu w Portland. Angielskim gliniarzom nie trafia do przekonania, jak się im powie, że jest się amerykańskim obywatelem. „Tu mamy brytyjskie prawo i brytyjski porządek” – mówią. A nawiasem mówiąc, skoro już jesteśmy przy Jacku Jamesie, coś mi się wydaje, że nie bardzo się pan wysila, by chronić własnych ludzi.

– Co pan ma na myśli? – spytał ostro von Bork.

– Zatrudnia ich pan, prawda? Więc do pana należy tak ich ubezpieczyć, by nie mieli kłopotów. Jednakże wpadali w kłopoty. I co, wyciągnął ich pan kiedyś? Był James…

– To była jego wina. Sam pan o tym dobrze wie. Był za uparty do tej roboty.

– James to była zakuta pała, muszę przyznać. Potem był Hollis.

– Ten człowiek był szaleńcem.

– Tak, pod koniec trochę mu odbiło. Kiedy człowiek musi grać jakąś rolę od świtu aż do nocy, a setka ludzi tylko czeka, żeby nasłać na niego gliniarzy, to może się zdarzyć, że trafia się do wariatkowa. Ale jest jeszcze Steiner…

Von Bork wzdrygnął się gwałtownie, a jego rumiana twarz stała się o jeden odcień bledsza.

– Co ze Steinerem?

– Dopadli go. To wszystko. Zrobili wczoraj w nocy nalot na jego magazyn, teraz siedzi ze swoimi papierami w areszcie w Portsmouth. Pan sobie stąd wyfrunie, a ten biedak Steiner beknie i będzie miał szczęście,

jeśli uda mu się ocalić życie. To dlatego chcę się znaleźć za tą wodą równie szybko jak pan.

Von Bork był silnym opanowanym mężczyzną, nie trudno było jednak zauważyć, że te wieści go zszokowały.

– Ale jak dotarli do Steinera? – mruknął. – To jest dopiero cios.

– Niewiele brakowało, a doszłoby do jeszcze gorszego, bo myślę, że depczą mi po piętach.

– Nie mówi pan tego poważnie!

– Jak najbardziej. Moją gospodynię we Fratton o coś wypytywali. Kiedy się o tym dowiedziałem, doszedłem do wniosku, że pora się już stamtąd usunąć. Chciałbym się tylko dowiedzieć jednej rzeczy. Skąd gliniarze mają takie informacje? Steiner jest piątym człowiekiem, którego pan traci, odkąd zacząłem dla pana pracować, i coś mi się zdaje, że znam nazwisko szóstego, jeśli szybko się stąd nie wyniosę. Jak pan mi to wyjaśni? Nie wstyd panu, że jego ludzie wpadają jeden po drugim?

Na twarzy von Borka pojawił się purpurowy rumieniec.

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?!

– Gdybym nie ośmielał się na to czy owo, to bym dla pana nie pracował. Ale powiem, co myślę, prosto z mostu. Słyszałem, że tym waszym niemieckim politykom nie jest nawet przykro, gdy się dowiadują, że uwięziono ich agenta, kiedy już wykonał swoją robotę.

Von Bork zerwał się na równe nogi.

– Śmiesz podejrzewać, że wydałem własnych agentów?

– Tego nie twierdzę, ale gdzieś musi być jakiś agent czy donosiciel, i do pana należy dowiedzieć się, kto to taki. W każdym razie ja już więcej nie zamierzam ryzykować. Chcę się dostać do Holandii, i to im szybciej, tym lepiej.

Von Bork opanował złość.

– Zbyt długo byliśmy sojusznikami, by się kłócić teraz, w godzinie zwycięstwa – powiedział. – Wykonał pan wspaniałą robotę, ogromnie ryzykując, a ja o tym nie zapomnę. Oczywiście, proszę jechać do Holandii. Tam może pan wsiąść na statek z Rotterdamu do Nowego Jorku. Za tydzień żadna inna linia nie będzie bezpieczna. Wezmę tę księgę sygnałów i spakuję z całą resztą.

Amerykanin trzymał w ręku niewielką paczkę, nie zrobił jednak żadnego gestu, aby ją podać.

– A co z zapłatą? – spytał.

– Z czym?

– Z pieniędzmi. Z nagrodą. Moje pięćset funtów. Na koniec bosman zrobił się naprawdę paskudny i musiałem go uspokoić setką funtów, bo w przeciwnym razie zostalibyśmy na lodzie: i pan, i ja. „Nie da rady” – powiedział, i to właśnie miał na myśli, ale druga setka załatwiła sprawę. W sumie kosztowało mnie to dwieście funtów, więc raczej małe są szanse, żebym to panu oddał, póki nie dostanę swojej forsy.

Von Bork gorzko się uśmiechnął.

– Jak widzę, nie ma pan zbyt wysokiego mniemania o moim honorze – rzekł. – Żąda pan pieniędzy, zanim odda mi pan tę książkę.

– Mój drogi panie, to propozycja, ubijamy interes.

– W porządku. Niech będzie tak, jak pan chce. – Usiadł przy stole, wypełnił czek, po czym wyrwał go z książeczki, nie kwapił się jednak z wręczeniem go swojemu towarzyszowi. – A właśnie, panie Altamont, skoro nasze relacje uległy zmianie – powiedział – nie widzę powodu, żebym miał ufać panu bardziej niż pan mnie. Pan mnie rozumie? – dodał, oglądając się przez ramię na Amerykanina. – Czek leży na stole. Mam prawo obejrzeć tę paczkę, zanim zgarnie pan pieniądze.

Amerykanin podał mu ją bez słowa. Von Bork rozwiązał oplątujący paczkę sznurek i ściągnął dwie warstwy papieru. Przez chwilę siedział, milczący i osłupiały, patrząc na małą niebieską książeczkę. Na okładce napisano złotymi literami: „Praktyczny podręcznik pszczelarstwa”. Zdumiony arcyszpieg wpatrywał się w dziwny, zupełnie nieoczekiwany tytuł tylko przez moment. W następnej chwili ręce mocne niczym żelazny chwyt ścisnęły mu gardło, a do jego wykrzywionej twarzy ktoś przycisnął gąbkę nasączoną chloroformem.

– Jeszcze jeden kieliszek, Watsonie? – rzekł Sherlock Holmes, trzymając w ręce butelkę cesarskiego tokaju.

Przysadzisty szofer, który usadowił się przy stole, z widocznym zapałem podsunął swój kieliszek.

– To wyśmienite wino, Holmesie.

– Wyjątkowe wino, Watsonie. Nasz przyjaciel, który leży tam na sofie, zapewniał mnie, że pochodzi ze specjalnej piwniczki Franciszka Józefa z pałacu Schönbrunn. Możesz otworzyć okno? Opary chloroformu nie sprzyjają rozkoszom podniebienia.

Holmes stał przed otwartym sejfem, szybko wyjmując pakiety dokumentów, jeden po drugim. Przeglądał każdy bardzo dokładnie, a następnie starannie wkładał do walizki von Borka. Niemiec spał na sofie, głośno chrapiąc; jego ramiona były mocno związane paskiem, drugi pasek krępował nogi.

– Nie musimy się śpieszyć, Watsonie. Nikt nam nie przeszkodzi. Mógłbyś zadzwonić? W domu nie ma nikogo prócz starej Marthy, która przewspaniale odegrała swoją rolę. Przedstawiłem jej całą sytuację, kiedy tylko podjąłem się tej sprawy. Ach, Martho, na pewno się ucieszysz, kiedy ci powiem, że wszystko jest w porządku.

W drzwiach pojawiła się miła starsza pani. Uśmiechnęła się do Holmesa i dygnęła, ale z pewną obawą zerknęła na śpiącego.

– Wszystko dobrze, Martho. Nic mu nie będzie.

– Cieszę się, panie Holmes. Na swój sposób był dobrym panem. Wczoraj chciał, żebym pojechała z jego żoną do Niemiec, ale to by raczej nie odpowiadało pańskim planom, prawda, sir?

– Tak, Martho, to prawda. Dopóki byłaś tutaj, byłem spokojny. Ale dziś w nocy musieliśmy poczekać na twój sygnał.

– Był tu sekretarz, sir.

– Wiem. Mijaliśmy jego samochód.

– Myślałam, że nigdy nie wyjdzie. Wiedziałam, że mogło to pokrzyżować pańskie plany, gdyby pan zastał go tutaj.

– Tak, w istocie. Ale musieliśmy poczekać jakieś pół godziny, póki nie zobaczyliśmy, że gasisz swoją lampę. Droga była wolna. Możesz zgłosić się do mnie jutro w Londynie, Martho. Będę w hotelu „Claridge”.

– Dobrze, sir.

– Zakładam, że masz już wszystko gotowe do wyjazdu?

– Tak, sir. Nadał dzisiaj siedem listów. Tak jak zwykle, mam adresy.

– Bardzo dobrze, Martho. Jutro się tym zajmę. Dobranoc. Te dokumenty – ciągnął dalej, gdy staruszka zniknęła – nie są szczególnie ważne, bo zawarte w nich informacje zostały już dawno wysłane niemieckiemu rządowi. Tutaj są tylko oryginały, których nie można było bezpiecznie wywieźć z kraju.

– W takim razie są bezużyteczne.

– Aż tak daleko bym się nie posuwał, Watsonie. Przynajmniej pokażą naszym, o czym Niemcy wiedzą, a czego nie wiedzą. Mogę dodać, że sporą

część tych dokumentów dostał ode mnie, i nie muszę ci chyba mówić, że są kompletnie niewiarygodne. Ucieszyłaby mnie na starość wiadomość, że jakiś niemiecki krążownik nawigował przez cieśninę Solent, posługując się planami pól minowych, które ja im dałem. Ale ty, Watsonie… – przerwał swoją pracę i chwycił za ramiona starego przyjaciela. – Nie widziałem cię jeszcze w pełnym świetle. Bardzo się postarzałeś? Wyglądasz na tego samego beztroskiego chłopaka co zawsze.

– Bo czuję się o dwadzieścia lat młodszy, Holmesie. Chyba nigdy nie byłem tak szczęśliwy jak w chwili, gdy dostałem twój telegram, w którym prosiłeś mnie, bym czekał na ciebie w Harwich z samochodem. Ale ty, Holmesie… Prawie wcale się nie zmieniłeś… Może z wyjątkiem tej wstrętnej bródki.

– Człowiek jest gotów do różnych poświęceń dla swojej ojczyzny, Watsonie – rzekł Holmes, pociągając za zarost. – Jutro nie będzie to niczym więcej, jak tylko koszmarnym wspomnieniem. Po odpowiednim przystrzyżeniu włosów i paru innych zmianach w wyglądzie pojawię się jutro w hotelu „Claridge” i będę wyglądał tak samo jak przed tym amerykańskim epizodem. Och, przepraszam cię, Watsonie. Chyba moja angielszczyzna ucierpiała… Przez tę amerykańską robotę.

– Ale, Holmesie, wszak przeszedłeś na emeryturę. Słyszeliśmy, że wiedziesz pustelniczy żywot wśród swoich pszczół i książek na małej farmie w South Downs.

– Owszem, tak, Watsonie. I oto rezultat mojego spokoju i wypoczynku, wielkie dzieło ostatnich lat życia! Podniósł ze stołu książkę i odczytał na głos jej tytuł: „Praktyczny podręcznik pszczelarstwa z pewnymi spostrzeżeniami dotyczącymi segregacji królowej”. Sam to napisałem! Spójrz na ten owoc pełnych zadumy nocy i pracowitych dni, gdy obserwowałem te małe, doskonale zorganizowane i skrzętnie uwijające się gangi, tak jak kiedyś śledziłem światek przestępczy Londynu.

– Ale jak to się stało, że wróciłeś do pracy?

– Ach, sam się temu dziwię. Ministrowi spraw zagranicznych jeszcze bym się jakoś oparł, ale pod mój skromny dach raczył zawitać sam premier. Fakt pozostaje faktem, Watsonie, ten dżentelmen na sofie był trochę za dobry jak dla naszych ludzi. Był jedyny w swoim rodzaju. Różne sprawy toczyły się nie tak, jak trzeba, i nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się działo. Podejrzewano różnych agentów i nawet ich łapano, były jednak

dowody świadczące o działalności jakiejś silnej i tajemniczej centralnej postaci. Jej zdemaskowanie było absolutnie konieczne. Wywierano na mnie silną presję, żebym zajął się tą sprawą. Kosztowało mnie to dwa lata, Watsonie, ale na brak przygód nie narzekałem. Jeśli ci powiem, że zacząłem moją pielgrzymkę w Chicago, wstąpiłem do tajnego irlandzkiego stowarzyszenia w Buffalo, narobiłem poważnych kłopotów posterunkowi w Skibbareen, i dopiero wtedy wpadł mi w oko podrzędny agent von Borka, który polecił mnie szefowi jako odpowiedniego człowieka, zdajesz sobie sprawę, jakie to było skomplikowane. Od tego czasu zaszczycał mnie swoim zaufaniem, co w niczym nie zmieniło faktu, że większość jego planów subtelnie się nie powiodła, a pięciu z jego najlepszych agentów siedzi w więzieniu. Obserwowałem ich, Watsonie, i zrywałem, kiedy tylko dojrzeli. Sir? Mam nadzieję, że nic się panu nie stało?!

Ta ostatnia uwaga była skierowana do samego von Borka, który najpierw zaczął sapać i mrugać, a teraz leżał spokojnie, przysłuchując się słowom Holmesa. Nagle wyrzucił z siebie potok strasznych niemieckich przekleństw, a jego twarz wykrzywił wściekły grymas. Holmes szybko przeglądał dokumenty, podczas gdy jego więzień nadal potwornie klął.

– Choć niemiecki nie jest melodyjny, za to najbardziej wyrazisty ze wszystkich języków – zauważył, gdy von Bork zamilkł z wyczerpania. – Ho, ho! – dodał, wbijając wzrok w kalkę rysunku technicznego, nim odłożył ją do walizki. – To powinno wsadzić kolejnego ptaszka do klatki. Nie miałem pojęcia, że skarbnik jest takim łotrem, chociaż już od dawna miałem go na oku. Panie von Bork, odpowie pan za niejedno przestępstwo, ma pan wiele na sumieniu.

Więzień z pewnym trudem uniósł się na sofie i z dziwną mieszaniną zdumienia i nienawiści wpatrywał się w człowieka, który go schwytał.

– Policzę się z tobą, Altamont – powiedział, powoli cedząc słowa. – Nawet jeśli mi to zajmie całe życie, policzę się z tobą!

– Ta sama stara słodka śpiewka – rzekł Holmes. – Ileż razy słyszałem ją w dawnych czasach. To była ulubiona piosenka świętej pamięci profesora Moriarty’ego, którego tak bardzo nam brakuje. Wyśpiewywał ją też pułkownik Sebastian Moran. A ja wciąż sobie żyję i hoduję pszczoły w South Downs.

– Niech cię szlag, ty podwójny zdrajco! – wrzasnął Niemiec, szarpiąc więzy i rzucając Holmesowi mordercze spojrzenie.

– Nie, nie! Aż tak źle nie jest – rzekł Holmes z uśmiechem. – Jak wskazuje moja angielszczyzna, pan Altamont z Chicago tak naprawdę wcale nie istniał. Wykorzystałem go, i on zniknął.

– W takim razie kim pan jest?

– To naprawdę nie jest ważne, kim jestem, ale ponieważ widzę, że ta sprawa pana ciekawi, panie von Bork, mogę powiedzieć, że nie po raz pierwszy mam do czynienia z członkami pańskiej rodziny. W przeszłości rozplątałem kilka spraw w Niemczech, i prawdopodobnie moje nazwisko jest panu znane.

– Chciałbym je poznać – rzekł ponuro Prusak.

– To ja doprowadziłem do separacji pomiędzy Irene Adler a nieżyjącym już królem Czech, kiedy pański kuzyn Heinrich był cesarskim wysłannikiem. To również ja ocaliłem przed zamordowaniem hrabiego von und zu Grafenstein, starszego brata pańskiej matki, kiedy chciał go zabić nihilista Klopman. To ja…

Osłupiały von Bork usiadł.

– Jest tylko jeden taki człowiek! – zawołał.

– Tak, tylko jeden – odparł Holmes.

Von Bork jęknął i opadł na sofę.

– A większość informacji, które pan mi dostarczył? – zawołał. – Ile są warte? Co ja narobiłem! Jestem zrujnowany na zawsze.

– Z całą pewnością były odrobinę mało wiarygodne – rzekł Holmes. – Trzeba będzie je sprawdzić, ale pan nie ma na to czasu. Pański admirał szybko się przekona, że nowe działa są trochę większe, niż się spodziewał, a krążowniki nieco szybsze.

Zrozpaczony von Bork schwycił się za gardło.

– Jest jeszcze sporo innych szczegółów, które bez wątpienia wyjdą na światło dzienne w odpowiednim czasie. Ale posiada pan jedną cechę, panie von Bork, którą bardzo rzadko można spotkać u Niemców. Ma pan ducha sportowca i nie będzie miał mi za złe tego, kiedy uświadomi sobie, że ten, kto przechytrzył tak wielu ludzi, w końcu sam został przechytrzony. Bądź co bądź zrobił pan dla swojego kraju, co tylko mógł, ja zaś uczyniłem najlepsze co w mojej mocy dla mojego kraju, a cóż mogłoby być bardziej naturalne? A poza tym – dodał życzliwym tonem, kładąc dłoń na ramieniu mężczyzny wyciągniętego na sofie – to już lepsze, niż ponieść klęskę z powodu działań jakiegoś bardziej pospolitego wroga. Dokumenty są już

gotowe, Watsonie. Jeśli mi pomożesz, możemy natychmiast ruszać do Londynu.

Nie było łatwym zadaniem przetransportować silnego i zdesperowanego von Borka do samochodu. Wreszcie, trzymając go z obu stron pod ramię, dwóch przyjaciół bardzo powoli przeprowadziło Niemca ogrodową ścieżką. Zaledwie kilka godzin wcześniej kroczył nią jeszcze tak dumnie i pewnie, gdy wysłuchiwał gratulacji od barona von Herlinga. Po ostatniej krótkiej walce posadzili go ze związanymi wciąż rękoma i nogami na tylnym siedzeniu w małym wozie. Jego bezcenną walizkę upchnięto tuż obok.

– Mam nadzieję, że jest panu wygodnie, biorąc pod uwagę okoliczności – rzekł Holmes, kiedy było już po wszystkim. – Czy pozwoliłbym sobie w pańskich oczach na zbyt wiele, gdybym przypalił cygaro i wsadził je panu do ust?

Jednak Niemiec, wściekły, odrzucał wszystkie uprzejmości.

– Zakładam, że zdaje pan sobie sprawę, panie Holmes – rzekł – iż jeśli pański rząd popiera takie traktowanie przez panów mojej osoby, to jest to równoznaczne z wywołaniem wojny?

– A cóż ma do tego pański rząd i traktowanie pańskiej osoby? – spytał Holmes, poklepując walizkę.

– Jest pan osobą prywatną. Nie ma pan nakazu aresztowania. To, co się tutaj dzieje, jest całkowicie nielegalne i skandaliczne!

– Całkowicie – zgodził się Holmes.

– To uprowadzenie niemieckiego obywatela!

– I kradzież jego prywatnych dokumentów.

– Cóż, widzę, że pan i pański wspólnik zdają sobie sprawę z własnej sytuacji. Gdybym zaczął wzywać pomoc, kiedy będziemy przejeżdżać przez wioskę…

– Mój drogi panie, gdyby zrobił pan coś tak głupiego, prawdopodobnie jedna z naszych wioskowych karczm zyskałaby kolejną nazwę. Wyobrażam sobie ten szyld: „Dyndający Prusak”. Anglicy to cierpliwe stworzenia, ale w tej chwili są nieco poirytowani, i nie byłoby zbyt mądrym tak nadużywać ich cierpliwości. Nie, panie Bork. Spokojnie pojedzie pan z nami do Scotland Yardu, skąd może pan posłać po swojego przyjaciela barona von Herlinga i przekonać się, czy nawet teraz nie mógłby zapewnić panu tego miejsca, które zarezerwował panu w świcie ambasadora. A jeśli chodzi o ciebie, Watsonie, pewnie z przyjemnością się do nas przyłączysz,

bo Londyn jest ci po drodze. Postójmy przez chwilę tutaj na tarasie, bo to może być już nasza ostatnia spokojna pogawędka.

Dwóch przyjaciół przez chwilę prowadziło zażyłą rozmowę, jeszcze raz wspominając dawne dni, podczas gdy ich więzień na próżno się wił, próbując uwolnić się ze ściskających go pasków. Gdy powrócili do samochodu, Holmes wskazał za siebie na oświetlone księżycem morze i w zadumie potrząsnął głową.

– Nadchodzi wiatr ze wschodu, Watsonie.

– Nie sądzę, Holmesie. Jest bardzo ciepło.

– Mój dobry, stary Watson. Jesteś jedynym stałym punktem odniesienia w zmieniających się czasach. A jednak nadchodzi wiatr ze wschodu, i taki wiatr jeszcze nigdy nie wiał nad Anglią. Będzie zimny i przenikliwy, Watsonie, wielu z nas może nie przetrwać jego podmuchów. Ale mimo wszystko to wiatr Boga. Kiedy burza już minie, w słońcu jawi się czystszy, lepszy i silniejszy kraj. Zapal silnik, Watsonie. Pora ruszać w drogę. Mam czek na pięćset funtów, który chciałbym szybko zrealizować, bo ten, kto go wystawił, może go jeszcze unieważnić.

[1] farangi – popularne w wielu krajach Wschodu określenie białych ludzi, wywodzące się z języka perskiego

[2] *moidore* – z portugalskiego *moeda de Ouro* moneta ze złota

[3] zdjęcia wielkości 4,5 x 6,5 cala, naklejane na warstwę grubego kartonu; cieszyły się dużą popularnością pod koniec XIX wieku (przyp. tłum.)

[4] John Hare – angielski aktor; występował w Londynie w drugiej połowie XIX w., uważany był za najwybitniejszego aktora swych czasów (przyp. tłum.)

[5] Wszystko, co nieznane, (wydaje się) wspaniałe (łac.) (przyp. tłum.)

[6] Pablo Martín Melitón de Sarasate y Navascués (1844–1908) – hiszpański skrzypek i kompozytor (przyp. tłum.)

[7] Człowiek jest niczym, dzieło – wszystkim (fr.) (przyp. tłum.)

[8] George Meredith (1828–1909) był angielskim powieściopisarzem i poetą (przyp. tłum.)

[9] zobaczymy (fr.) (przyp. tłum.)

[10] Richard Baxter (1615–1691) – duchowny, teolog i poeta purytański

[11] William Clark Russell (1844–1911) – popularny autor powieści i opowiadań o przygodach na morzu, opartych na doświadczeniach, jakie zebrał, pracując jako marynarz (przyp. tłum.)

[12] Thomas de Quincey (1785–1859) – angielski pisarz i myśliciel, autor książki *Wyznania angielskiego opiumisty* (przyp. tłum.)

[13] gran to jednostka miary stosowana w krajach anglosaskich, równa 0,065 g; rubin waży zatem ok. 2,5 g, czyli 12,5 karata (przyp. tłum.)

[14] Kolegium Cywilistów (ang. *Doctor's Commons*) – stowarzyszenie londyńskich cywilistów, istniejące od XVI do początku XX wieku, zajmujące się m.in. sprawami spadkowymi (przyp. tłum.)

[15] istniejąca do dziś firma, obecnie wytwarzająca amunicję i broń sportową (przyp. tłum.)

[16] dr William Palmer (1824–1856) i dr Edward William Pritchard (1825–1865) należeli do grona najsłynniejszych XIX-wiecznych brytyjskich morderców (przyp. tłum.)

[17] Amerykański myśliciel Henry David Thoreau (1817–1862) opisał następujące wnioskowanie oparte na poszlakach: jeśli znajdziemy pstrąga w szklance z mlekiem, to rozsądne jest uznać, że ktoś o dziwnym poczuciu humoru lub o niekonwencjonalnych poglądach na temat przechowywania ryb jest przyczyną zaobserwowanego zjawiska, ponieważ cała nasza wiedza o rzeczywistości wyklucza, by pstrągi w naturalny sposób, bez pomocy czynnika inteligentnego, przebywały w szklance z mlekiem.

[18] furlong – angielska miara długości, równa 201,168 m

[19] V.R. – Victoria Regina, inicjały królowej Wiktorii.

[20] liga (morska) – miara długości, równa 5556 m (3 mile morskie)

[21] Holmes trawestuje tu monolog z *Antoniusza i Kleopatry* Szekspira. Wersja polska na podstawie przekładu Jerzego Limona i Władysława Zawistowskiego (przyp. tłum.).

[22] Cytat z *Wieczoru Trzech Króli* Szekspira w przekładzie Stanisława Dygata (przyp. tłum.).

[23] *shikari* – myśliwy; określenie używane szczególnie w Indiach, w stosunku do tubylców zajmujących się polowaniem na grubego zwierza i pełniących rolę przewodnika (przyp. tłum.).

[24] Majorat to sposób dziedziczenia własności ziemskiej polegający na przejmowaniu majątku zmarłego przez najstarszego syna bądź najbliższego krewnego (przyp. tłum.).

[25] West Country – nieformalna nazwa południowo-zachodniego obszaru Anglii, obejmującego Kornwalię, Devon, Dorset, Somerset i miasto Bristol (przyp. tłum.).

[26] Samuel Pickwick – bohater *Klubu Pickwicka*, pierwszej powieści Charlesa Dickensa, publikowanej w odcinkach w latach 1836–1837 (przyp. tłum.).

[27] Kamień (*stone*) to anglosaska jednostka masy; jeden kamień to ok. 6,35 kg (przyp. tłum.).

[28] Bitwy pod Marengo i Waterloo stoczył Napoleon Bonaparte. Pierwszą z nich, mimo zagrożenia porażką, wygrał, w drugiej poniósł ostateczną klęskę (przyp. tłum.).

[29] Teczka z czerwonej skóry, używana w Wielkiej Brytanii do przekazywania ministrom dokumentów rządowych (przyp. tłum.).

[30] 'rozdział' w języku angielskim to *chapter*

[31] 'szpalta' w języku angielskim to *column*

[32] popularny w owym czasie rozkład jazdy pociągów w Wielkiej Brytanii

[33] ze staroceltyckiego 'kochanie'

[34] elitarny londyński klub dla dżentelmenów, założony w 1832 r. (przyp. tłum.)

[35] ostry stan zapalny skóry wywołany przez paciorkowce (przyp. tłum.)

[36] brytyjskie oddziały kawalerii złożone z ochotników (przyp.tłum.)

[37] szpital dla pacjentów dotkniętych trądem (przyp.tłum.)

[38] Frederick Sleigh Roberts (1832–1914) – jeden z najbardziej zasłużonych brytyjskich dowódców. Oznaczony wieloma orderami, w tym Krzyżem Wiktorii.

[39] N.W. – północno-zachodnia część Londynu

[40] sir Hans Sloane (1660–1753), lekarz, botanik, kolekcjoner minerałów i roślin. W testamencie przekazał swoje pokaźne zbiory do użytku publicznego, co w konsekwencji doprowadziło do założenia British Museum (przyp. tłum.)

[41] AT TEN T.A. mogłoby oznaczać „O dziesiątej” oraz inicjały „T.A.”

[42] W. Szekspir, *Wieczór Trzech Króli*

[43] parafraza znanej rymowanki „Humpty Dumpty”

[44] *For England, home and beauty* – zawołanie w marynarce brytyjskiej, używane też jako toast

[45] chodzi o małą czapeczkę zakładaną przez palaczy, by uchronić włosy przed przykrym zapachem dymu tytoniowego (przyp. tłum.)

[46] ogromna hala w Londynie, gdzie odbywają się m.in. zawody sportowe

[47] chodzi o ruch feministyczny

[48] pomnik księcia Yorku znajdował się obok budynku ambasady niemieckiej